

Biblioteka
Warszawska

Mf 12441

Warszawa
1851 r.

t. 1-2

poz. Mf 12441

Biblioteka Warszawska

Warszawa 1851 t.1-2, og.zb.41-42(m-c I-VI),
sp.rzeczy. W t.1 sp.treści
roczników 1846-1850.

Opis.:ZMI0 sygn.117.152

neg. Mf 12441

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1851.

Tom pierwszy.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLI.



WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

1851.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIÉRWWSZYM

z r. 1851.

	Stron.
Od redakcyi	I
Filozofia.	
Początki filozofii krajowój. Przegląd, przez <i>A. Tyszyńskiego</i> (ciąg dalszy).	269
Materyały historyczne.	
O dawnych statutach synodalnych polskich dotąd niewydanych, przez <i>R.</i>	91
Kilka uwag nad artykułem Wiktora hr. Ossolińskiego: Wspomnienia z Podlasia. O uroczysku historycznym zwaném Komat. Przez <i>J. R. J. Podlasianina</i>	122
Rzut oka na dotychczasową polską historiją, p. <i>Augustyna Bielowskiego</i> . 195,	534
Miasto Brody z dawnemi przynależnościami, przez <i>Tymoteusza Lipińskiego</i>	435
O nowém wydaniu sag skandynawskich, przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	512
Prawo.	
Ustawa wexlowa niemiecka, z dotęczeniem odmian tekstu austriackiego i z objaśnieniami, przez <i>Felixa Zielińskiego</i>	546

Nauki społeczne.

	Stron.
Jeziora w Królestwie Polskiem, przez <i>Ludwika Wolskiego</i>	46
Uwagi w przedmiocie wystawiania duplikatów na papiery publiczne procentowe zagubione lub zniszczone, przez <i>W. G.</i>	112

Opisy i podróże.

Maurowie niegdys w Hiszpanii, a dzis w Afryce. Przez autora: O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d.	296, 395
---	----------

Literatura.

Nowa epoka literatury historycznej polskiej. Przegląd p. <i>Juliana Bartoszewicza</i>	448
---	-----

Powiesci.

Obrazki wiejskie. Sobótka, przez <i>Jana Kant. Gregorowicza</i> (dokończenie). 1,	215
Danitko flis. Obrazek z obyczajów ludu okolic nadbużnych, przez <i>Leona Kunickiego</i>	168
Tankred de Montecute, czyli nowa krucjata. Powieść przez d'Israeli napisana. Część IV i V.	471

Poezye.

Wybudowanie Skadru (z gminnych poezyj serbskich).....	85
Jaskółka, przez <i>Z.</i>	469
Pieśń wiosenna, przez <i>Z.</i>	469

Sztuki piękne.

Wspomnienia koncertowe: Szczepanowski, Kellermann, Schulhoff. Józef i Henryk Wieniawscy, Kątski Apolinary. Przez <i>J. Sikorskiego</i>	369
--	-----

Rozbiory.

Pogląd na opinią p. Dutkiewicza co do teoryi ostrzeżeń hypotecznych, przez <i>A. Heylmana</i>	132
Ustęp z historyi Szląska, wypracowanej przez profesora Dra Walentego Kulawskiego. Kraków. 1850. Przez <i>J. B.</i>	142
Kile słów wo Kaszebach e iich zemi, przez Wójkasena. Tudzież rzecz o języku kaszubskim, ze zdania sprawy Prajsa. Kraków. 1850. Przez <i>K. W. W.</i>	151
Pamiętnik naukowo-literacki. Pismo literaturze, umiejętnościom i sztuce poświęcone, pod redakcyą R. Podbereskiego. 1850. Tom IIgi. Przez <i>T.</i>	159
Dawne zabytki miasta Krakowa. Przypomnienia przeszłości o niektórych starożytnych zwyczajach mieszczan krakowskich, o bramach, basztach i wszelakich téj niegdys stolicy kraju obronach... Z rękopisów zebrał i ogłosił Ambroży Grabowski. Z ryciną. Kraków. 1850. Przez <i>J. B.</i>	357

	Stron.
Myśli przy czytaniu dzieła: Słownik malarzów polskich, tudzież obcych w Polsce osiadłych, lub czasowo w niej przebywających, przez Edwarda Rastawieckiego. Tom Iszy. Warszawa. 1850. Przez <i>Gwałberta Pawlikowskiego</i>	363
Przekłady poetów polsko-lacińskich, tomik IIgi: Rymy lacińskie Jana Kochanowskiego, przekład Władysława Syrokomli. Wilno. 1851. Przez <i>St. Lisowskiego</i>	576
Królewicze biskupi. Żywoty czterech kapłanów, przez Juliana Bartoszewicza. Warszawa. 1851. Przez <i>A. P.</i>	589

Nauki przyrodzone.

Spis ptaków gubernii lubelskiej, przez <i>W. Taczanowskiego</i>	334
Polnik zwyczajny (<i>Arvicola arvalis</i>). Wyjątek z listu Gustawa Belke do Konstantego hr. Tyzenhauza.....	595
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:	
Chemia, przez <i>J. B.</i>	181
Rejestr abecadłowy Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych, z r. 1850.....	183

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej od <i>T. Sierocińskiego</i>	599
<i>Kronika bibliograficzna</i>	185, 387, 603
Doniesienia literackie.....	186, 388, 604
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskiem:	
za miesiąc listopad r. z.....	191
— — grudzień r. z.....	391
— — styczeń r. b.....	607
Wykaz dostrzeżeń meteorologicznych, w obserwatoryum warszawskiem w roku 1850 robionych.	



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1851.

Materyały historyczne.

	Stron.
Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego. (Część pierwsza i druga). 1/401	1/401
Rzut oka na dotychczasową polską historyą, p. <i>Augusta Bielowskiego</i> (ciąg dalszy).....	89, 470
O nagrobku w Sarbiewie, przez <i>Kajetana Kwiatkowskiego</i> . (Z ryciną)....	137
Paweł z Przemankowa. Rys historyczny z drugiej połowy XIII wieku w Polsce, z nieznanych po większej części, lub mało znanych źródeł skreślony, przez <i>Alexandra Przędzieckiego</i>	201
Testament Tomasza Kajetana Węgierskiego.....	382

Biografia.

Wiadomość o życiu i pismach ś. p. <i>Ignacego Jagielly</i> , nauczyciela w gimnazjum winnickim, przez <i>Alexandra Grozę</i>	184
Lord Ashley, misyonarz Londynu. Przez <i>A. Heylmana</i>	378
Księgarz i nakładca D. E. Friedlein w Krakowie. Przez <i>A. B. C.</i>	383

Prawo.

	Stron.
Odparcie opinii p. Dutkiewicza w kwestyi: odkąd ustawie hipotecznej z r. 1818 i połączonym w niej przepisom służy moc obowiązująca? Przez <i>A. Heylmana</i>	161

Nauki społeczne.

Sprawozdanie z obrotu handlu zbożowego, drzewnego, tudzież innych płodów w r. 1850. Przez <i>Alexandra Makowskiego</i>	357
Wystawa powszechna w Londynie. (Artykuł dla Biblioteki Warszawskiej wyłącznie napisany).	535

Opisy i podróże.

Maurowie niegdyś w Hiszpanii, a dziś w Afryce. Przez autora: O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d. (ciąg dalszy).	113, 309, 490
Mormony, przez ks. <i>Józefa Szpaderskiego</i>	562

Literatura.

Nowa epoka literatury historycznej polskiej. Przegląd p. <i>Juliana Bartoszewicza</i> (ciąg dalszy).	259, 428
--	----------

Powieści.

Tankred de Montecute, czyli nowa krucyata. Powieść przez d'Israeli napisana. Część V, VI i ostatnia.	25
--	----

Poezye.

Ożenienie króla Wukaszina (z gminnych poezyj serbskich).	105
Zaklęcia (z ludowych poezyj serbskich), przez <i>R. Z.</i>	285
Sobie śpiewam, nie komu, przez <i>Felicyana</i>	533

Sztuki piękne.

O malarzach lwowskich.	176
Malarze krakowscy. Przez **	372

Rozbiory.

Athenaeum. Pismo zbiorowe, poświęcone historii, filozofii, literaturze i sztukom. Wydawca <i>J. I. Kraszewski</i> . Rok 1849, i roku 1850 tom I do V.—Rubon. Pismo zbiorowe, poświęcone pożytecznej rozrywce. Wydawca <i>Kazimierz Bujnicki</i> . ser. V. t. 1, 2. Wilno. Przez <i>F. Z.</i>	139
Dzielo p. <i>Vossberg</i> o chorągwiach krzyżackich, przez <i>T. Żebrawskiego</i>	167

	Stron.
Kilka słów w odpowiedzi na recenzją Zabytków miasta Krakowa, umieszczoną w Bibliotece Warszaw. m. luty r. 1851, przez <i>Ambrożego Grabowskiego</i>	171
Stanisława Strąbskiego Rocznik na rok 1851. Warszawa. Przez <i>W.</i>	173
Rozbiór krytyczny dzieła p. Walentego Dutkiewicza, pod tytułem: Prawo hipoteczne w Królestwie Polskiem, przez <i>C. Z.</i>	289, 452
Emeryt. Powieść przez Józefa Korzeniowskiego. Wilno. 1851. Przez <i>T.</i>	337
Grammatyka polska dla dzieci krótko zebrana przez Adama Stanisława Krasieńskiego Pijara. Wilno. 1850. Przez <i>T. Sierocińskiego</i>	349
Świat zastosowany do pojęcia młodzieży. Warszawa. 1850. Przez <i>S. P.</i>	354
O źrudle wiedzy tegoczesnej, przez Dominika Szulca. Warszawa. 1851. Przez <i>T.</i>	547

Nauki przyrodzone.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:

Fizyka, p. <i>S. P.</i>	187, 386
Chemia, p. <i>J. B.</i>	389
Mineralogia, p. <i>J. Bocheńskiego</i>	189

Korrespondencya.

List Ignacego Domejki.	579
<i>Kronika bibliograficzna</i>	194, 393, 586
Doniesienia literackie	194, 395, 586
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskiem:	
za miesiąc luty r. b.	197
— — marzec r. b.	397
— — kwiecień r. b.	589

Do zeszytu kwietniowego dołączony jest Spis rzeczy, zawartych w drugich 20stu tomach Biblioteki Warszawskiej, tojest od roku 1846 do 1850 włącznie.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W DWUDZIESTU TOMACH

Biblioteki Warszawskiej

Z LAT 1846, 1847, 1848, 1849 i 1850.

Od Redakcyi Biblioteki Warszawskiej. 1846. I. 1. 455. IV, 679.
1847. IV, 676. 1848. IV, 697. 1849. IV, 648. 1850. IV, 576.

Filozofia.

- Coto jest filozofia? przez *W. Jakowicza* 1847. III, 297
Filozofia Indów; z najnowszych źródeł ułożył *Michał Gliszczyński*
1847. IV, 326
O powołaniu lekarza, przez *Dr. Ferdynanda Dworzaczka*. 1849. I, 477
Platon; i jego stosunek do Sokratesa, i jego pojęcia piękności, przez
Juliana Kurtza 1849. II, 281. III, 101
Wyjątek z filozofii umniczej, przez *K. Libelta* 1849. IV, 221
Początki filozofii krajowej, przez *Alexandra Tyszyńskiego*,
1850. I, 122, 313. II, 295. IV, 277

Historya.

Historya powszechna.

- Panowanie Konstantyna W. Wyjątek z tomu III Historji rzymskiej,
przez *Jana Szwanica*, 1846. II, 221
Starożytności i dzieje czeskie; wyjątek z dzieła: O Czechii *E. C.* 1846. IV, 457
Wybór i koronacya papieżów, a w szczególności Piusa IX. Przez *Ed-
warda hr. Łubieńskiego* 1847 I, 1
O przymierzu Rzymian z Sabinami. Przypis do księgi I Liwiusza, przez
Alexego Nendzyńskiego. 1847 II, 129

Historya cywilizacyi wyspy Madagaskar i prześladowań, jakich tam chrześciance doznali.	1847. II,	582
Pokój w Tylży. Przez M.	1847. III,	332
Co jest historia? przez <i>Michała Gliszczyńskiego</i>	1848. IV,	1
Historya angielska Macauleya. Wilhelm i Marya, przez <i>Felixa Zielńskiego</i>	1850. I,	442
Saragossa w 1809 r. Wyjątek z niedrukowanych dotąd pamiętników.	1850. IV,	1

Biografie.

Wiadomość o życiu Jana Bandtkiego Steżyńskiego, przez <i>Felixa Bentkowskiego</i>	1846 I,	603
Nekrolog Jana Wincentego Steżyńskiego - Bandtkie, przez <i>Wacława Alexandra Maciejowskiego</i>	1846 I,	613
O życiu i pismach Michała Sędziwoja, przez <i>Juliusza barona Brinken</i>	1846. II,	479
Hrabia Wallcki i X. Fr. Sapieha. (Wyjątek z t. II. Pam. Bułharyna; tłum. <i>Em. Glücksberg</i>)	1846. II,	162
Żywoty malarzy polskich: Bacciarellego i Antoniego Brodowskiego, przez <i>Edwarda barona Rastawieckiego</i>	1846. IV,	312
O życiu i pracach naukowych Alexandra This, przez <i>Wincentego Majewskiego</i>	1846. IV,	374
Żywoty malarzy polskich: Czechowicza i Smuglewicza, przez <i>Edwarda barona Rastawieckiego</i>	1847 I,	123
Wspomnienie Alexego Nendzyńskiego, p. <i>A. Wage</i>	1847. II,	124
Wspomnienie o J. B. Puszu, i pracach jego naukowych, przez <i>A. M. Pq.</i>	1847. II,	283
O życiu i pismach Dominika Lisieckiego, przez <i>F. S. Dmochowskiego</i>	1847. II,	355
Wspomnienie o dwóch odrębnych malarzach Kopeckich: jednym Węgrze, innym Polaku, przez <i>Edwarda barona Rastawieckiego</i>	1847. II,	373
Alexander Humboldt i jego Kosmos, przez <i>Józefa Sapalskiego</i>	1847. II,	461
Życiorys Dominika Estreichera malarza z czasów Stanisława Augusta.	1847. II,	644
Życiorys ś. p. Kazimierza Lux, i list do redak. Biblioteki Warszawskiej, przez <i>W. Krasieńskiego</i>	1847. IV,	173
Życiorys Roberta Turgot, przez <i>J. A. Chobrzyńskiego</i>	1847. III,	270
Grzegorz VII, podług monografii Vogta, p. <i>Michała Gliszczyńskiego</i>	1847. III,	389
Jan Kasiński, malarz portretowy domu Zamojskich, przez <i>Edwarda bar. Rastawieckiego</i>	1847. III,	596
Wzmianka o życiu Leona Uszczapowskiego, przez <i>Alexandra Grozę</i>	1847. IV,	223
Innocenty III, przez <i>Michała Gliszczyńskiego</i>	1847 IV, 515. 1848. I,	101
Jan Rebour, przez <i>Leona hr. Potockiego</i>	1848. I,	183
Żywot J. Nep. Rostworowskiego, przez <i>F. Bentkowskiego</i>	1848. I,	188

Opis biegu życia Franciszka Armińskiego założyciela obserwatorium warszawskiego, przez <i>Józefa Belzę</i>	1848. II,	63
Wiadomość o Janie Regulskim medalierze i rzeźbiarzu, przez <i>Edwarda bar. Rastawieckiego</i>	1848. II,	262
Bieg życia i prace naukowe Michała Pełki Polińskiego, przez <i>F. M. Sobieszczańskiego</i>	1848. IV,	173
O Antonim Malczewskim i Wspominku o nim, przez <i>A. V.</i>	1848. IV,	181
Wiadomość o życiu i pracach naukowych <i>Ludwika Bojanusa</i> , przez <i>F. M. Sobieszczańskiego</i>	1849. I,	169
Wspomnienie o Łukaszu Gołębiowskim, p. <i>F. Bentkowskiego</i>	1849. I,	406
Franciszek Krasieński biskup krakowski, podkanclerzy koronny, przez <i>Żegotę Onacewicza</i>	1849. III,	15
Krótki rys życia J. J. Berzellusa (z francuzkiego).	1849. IV,	66
Wspomnienie Szopena, (z wizerunkiem), przez <i>Józefa Sikorskiego</i>	1849. IV,	510
Wiadomość o życiu i pracach naukowych ks. Stanisława Jundzilla (z wizerunkiem), przez <i>Jana Jundzilla</i>	1850. I,	15
Nekrolog ś. p. Sylwestra Grozy.	1850. II,	570
Podróże i pamiętniki Tomasza Kajetana Węgierskiego, przez <i>Lucjana Siemieńskiego</i>	1850. IV,	474

Do historyi polskiej.

Dawne żupy i żupnicy w Polsce, przez <i>Hieronima Łabęckiego</i>	1846. I,	246
Słówko o postępie nauki prawa litewskiego, z rzutem oka na dzieła Czackiego i Jaroszewicza, przez <i>Wacława Alexandra Maciejewskiego</i>	1846. I,	322
Wyjątek z listu do profesora Jaroszewicza dotyczący Jadźwingów, p. <i>Ignacego Wąsowskiego</i>	1846. III,	185
Niektóre szczegóły dotyczące się Zygmunta Augusta, przez <i>Tymoteusza Lipińskiego</i>	1846. IV,	80
Obraz elekcyi króla Michała, przez <i>ks. Józefa Gackiego</i>	1846. IV,	296
O prawach miast polskich najdawniejszych, przez <i>Wacława Alexandra Maciejewskiego</i>	1846. IV,	362
Wiadomość od dworze królowej Bony i królewien w 1518 r, przez <i>Tymoteusza Lipińskiego</i>	1846. IV,	639
Wyciąg z pamiętników Wierzbickiego, ułożył <i>Leon hr. Potocki</i>	1847. I,	102, 583
Nieco o Świętopietrze w Polsce, zebrał <i>Tymoteusz Lipiński</i>	1847. I,	276
O czarownicach w Polsce, przez <i>Karola Milewskiego</i>	1847. I,	646
Obraz wieku panowania Zygmunta III, czyli obraz stan. narodu i kraju wystawiający, przez <i>ks. Franciszka Siarczyńskiego</i>	1847. II,	1
Niektóre wiadomości o mieście okręgowém Kraśniku, przez <i>ks. T. T.</i>	1847. III,	1
Daty pobytu królów polskich w Warszawie, między r. 1526 a 1596, przez <i>Ig. Zagórskiego</i>	1847. IV,	204
Dyplomata tynieckie przez Bolesława Chrobrego i jego następców r. 992—1275 wydane, przez <i>W. A. Maciejewskiego</i>	1847. IV,	287

Zamek pillecki, przez <i>Romana Hubickiego</i>	1847. IV,	435
O mniemaném podrobieniu dyplomu, którym nadał Tyniec Bolesław Chrobry, przez <i>W. A. Maciejowskiego</i>	1848. I, 116. II,	119
Zamek w Międzyborzu, tłumaczenie <i>F. M. Sobieszczańskiego</i> . 1848. I,		192
Rys historyczno-statystyczny miasta Warszawy, przez <i>F. M. Sobieszczańskiego</i> . 1848, I, 441. (z ryciną), II, 1, 296. III, 221. IV, 262,		536
Hetmani małosyjscy i Kozacy do czasów unii, przez <i>M. Gliszczyńskiego</i>	1848. II, 471. III,	178
Wiadomość historyczna o zamku krzemienieckim, przez <i>Samuela Nowoszyckiego</i>	1848. II,	53
Kilka słów o odnowieniu zamku królewskiego w Grodnie w r. 1678. 1848. III,		430
Grobowiec Ryxy królowej polskiej, przez <i>Alexandra Przedzieckiego</i>	1848. IV,	41
O rzece Russa, Russ, przez <i>J. Szredera</i>	1848. IV,	433
O najdawniejszej pieczęci miasta Warszawy, przez <i>F. M. Sobieszczańskiego</i>	1848. IV,	436
Wspomnienia z Podlasia. O uroczysku Kumat (z ryciną), przez <i>Wiktora hr. Ossolińskiego</i>	1848. IV,	465
Wiadomość o pierwszej mennicy w Warszawie, przez <i>Alexandra Wejnerta</i>	1848. IV,	659
Znaczenie i wewnętrzne życie Zaporozia, przez <i>Michała Gliszczyńskiego</i> (z mapą)	1849. I, I, 374, 484. II, 26. 319,	515
Mniemany grobowiec Bolesława Wstydlwego w Krakowie, przez <i>Kazimierza Stronczyńskiego</i> (z drzeworytem).	1849. II,	502
Wiadomość o Szlązku, przez <i>Józefa Lepkowskiego</i>	1849. III,	319
Data koronacyi Barbary Radziwiłłówny, p. <i>Tymoteusza Lipińskiego</i> . 1849. III,		397
Poszukiwania historyczne nad finansami polskimi w XIV i XV wieku, przez <i>Felixa Zielińskiego</i>	1849. II,	553
O przywileju założenia Warszawy, przez <i>Alexandra Wejnerta</i> . 1849. IV,		163
Gabinet historii naturalnej i ogród botaniczny wileńskiego uniwersytetu, przez <i>ks. Stanisława Jundzillę</i>	1850. I,	39
Kościół Ś. Andrzeja i Kanoniczki w Warszawie, przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	1850. I, 197, 477. III,	1
Adam Śmigielski (1703—1716), przez <i>Kazimierza hr. Tarnowskiego</i> . 1850. I,		245
Łukasz Górnicki, przez <i>W. A. Maciejowskiego</i>	1850. II,	1
Dopełnienia do rozprawy <i>J. Bartoszewicza</i> : O kościele Ś. Andrzeja, przez <i>F. M. Sobieszczańskiego</i>	1850. II,	91
Słów kilka z powodu przywileju <i>Kazimierza W.</i> z r. 1350, na kopanie rud kruszcowych, przez <i>Hieronima Łabęckiego</i>	1850. II,	415

Materyały historyczne.

Czasy Augusta III, wystawione w piśmiennych z owęj epoki zabytkach, przez <i>Tymoteusza Lipińskiego</i>	1846. I,	471
---	----------	-----

Dyaryusz podróży Zofii Jagiellonki 1556 r. z rękopismu ogłosił <i>Tymoteusz Lipiński</i>	1847. I,	635
Elekcya Stanisława Augusta, ze społecznych pamiętników ogłosił <i>F. M. Sobieszczański</i>	1848 II,	361
Bezkrólewie po śmierci Augusta IIIgo .Wyjątek z pamiętników społecznych, udzielony przez <i>F. M. Sobieszczańskiego</i> . . .	1848. III,	162
Wydatki magistratu Starój Warszawy z r. 1579, podał <i>T. Lipiński</i>	1849. I,	165
Wyciąg z rękopisu 1749 r., przez <i>T. Lipińskiego</i>	1849. I,	396
Dawne pismo wójta warszawskiego z 1459 r., podane przez <i>Bolesława Podczaszyńskiego</i>	1849. I,	623
Korrespondencye Władysława IV, króla polskiego z Galileuszem, udzielone przez <i>Alexandra Przezdzieckiego</i>	1849. III,	191
Odpowiedź drabska i wykład jój przez <i>F. Bentkowskiego</i> . 1850. I,		384
Przywilej Kazimierza W. z 1350, Spytkowi kaszt. krakowskiemu na kopanie rud kruszcowych, udzielony i tłumaczony przez <i>Alexandra Przezdzieckiego</i>	1850. II,	413

Numizmatyka i sfragistyka.

Miscellanea numizmatyczne. Medale za rządu Stanisława Augusta. Z ryciną, przez <i>Tymoteusza Lipińskiego</i>	1847. III,	197
Słowniczek numizmatyczny monet, które w dawnych wiekach miały w Krakowie obieg, p. <i>Ambr. Grabowskiego</i>	1847. III,	568
Nowości numizmatyczne, p. <i>Kazimierza Stronczyńskiego</i> . (z ryc.).	1848. I,	93
Sprostowanie i dopełnienie wiadomości tyczących się medalów koronacyjnych obrazu Najświętszej Panny Berdyczowskiej, w dziele ś. p. hr. Raczyńskiego, przez <i>Ambrożego Grabowskiego</i> . 1849. III.		172
Wiadomości historyczno-numizmatyczne o koronacji obrazów Matki Boskiej w dawniej Polsce, p. <i>Tymoteusza Lipińskiego</i> . 1849. IV,		441
	(z 4 tablicami na miedzi).	
Wiadomość o pieczęciach polskich, z autografu ś. p. Tadeusza Czackiego, przez <i>Ambrożego Grabowskiego</i>	1850. II,	567
O dwóch wykopaliskach starych monet w Galicyi	1850. III,	561

Archeologia.

Urny i kości świeżo odkryte pod miastem Pilicą, przez <i>X. O.</i> 1846. I,		417
<i>Pro-memoria</i> dla badaczy i zbieraczy dawnych zabytków z czasów przed-chrześcijańskich w Polsce, p. <i>Ambrożego Grabowskiego</i>	1849. III,	171
Ułamek z podróży archeologicznej po Galicyi, odbytej w r. 1849, przez <i>J. Lepkowskiego</i> i <i>J. Jerzmanowskiego</i>	1850. III,	416
Do dziejów budowy wielkiego ołtarza w kościele P. Maryi w Krakowie, przez <i>Ambrożego Grabowskiego</i>	1850. IV,	364

Geografia i podróże.

Wyjątek z dziennika podróży: Gräffenberg, p. <i>Kajetana Kotowskiego</i> .	1846. IV,	172
Wyjątek z dzieła: <i>W Alpach i za Alpami</i> , przez <i>Lucyą</i> z książąt <i>Giedrojców Rautenstrauch</i>	1846. IV	229
Wycieczka do Trok; wyjątek z dziennika podróży <i>Juliana Kurtza</i> .	1847. IV,	421
Opis podróży po kraju 12 uczniów Instytutu agronomicznego w Marymoncie, przez <i>Kryspina Swieżyńskiego</i> .	1847. IV, 560. 1848. I,	33
Okolice Rzymu, przez <i>Edwarda hr. Łubieńskiego</i>	1848. I,	217
Podróże po Bieskidach, przez <i>Ludwika Zejsznera</i> .	1848. III, 96, 371,	476
Tatry polskie, przez <i>Ludwika Zejsznera</i> .	1849. I, 57, 335. III,	1
	441. IV,	
Szeklery i ich kraina, (z angielskiego)	1849. I,	258
Wspomnienia z podróży po kraju 8 uczniów Inst. agr. w Marymoncie w r. 1848 odbytej	1849. I, 221,	441
Kilka słów o Kalifornii i Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, przez <i>Jana Mitkiewicza</i>	1849. II,	1
Kopalnie soli i złota w Siedmiogrodzie, tłumaczył <i>L. Zejszner</i> .	1849. III,	221
Podróż Anglika na Wschodzie, przez <i>J. R. S.</i>	1849. III,	596
Przygody myśliwskie p. Coulter w Kalifornii	1850. I,	222
Podróż do źródeł Wisły w r. 1849, p. <i>Ludwika Zejsznera</i> .	1850. I,	421
O stosunkach społecznych Kantabrii, przez Dr. <i>T. Tripplina</i> .	1850. I,	397
Podróż po Portugalii, przez Dr. <i>T. Tripplina</i> .	1850. III, 385. IV, 18,	305
Wspominki z życia wojskowego w Afryce	1850. IV, 154,	549

Statystyka.

Pomnożenie się król. biblioteki w Berlinie w roku zeszłym.	1846. II,	180
Towarzystwo geograficzne rossyjskie.	1846. II,	181
Wiadomości statystyczne o spożyciu w różnych krajach Europy, p. <i>S.</i>	1846, II,	577
Tryest.	1846. III,	159
Wiadomość statystyczna o składzie nauczycielskim Okręgu Naukowego Warszawskiego, z początkiem roku szkolnego 184 ⁵ / ₆ ,	1846. IV,	645
Wiadomość statystyczna o szkołach i instytutach w królestwie Polskiem w r. 184 ⁵ / ₆ .	1847. I,	430
Wiadomość statystyczna o stanie zakładów naukowych Okręgu Naukowego Warszawskiego w r. 1847, i porównawcze z lat 1846 i 1847. Tłumaczenie <i>F. M. Sobieszczańskiego</i> . .	1848. III,	649
Statystyka bibliotek publicznych w Europie, przez <i>F. M. S.</i>	1848. IV,	186
Szczegóły statystyczne dotyczące W. Brytanii, p. <i>Piotra Steinkellera</i> .	1849. IV.	303
Materyały do statystyki królestwa Polskiego, ^f przez <i>Ludwika Wolskiego</i> . Ludność (z 2 tabellami i tablicami) . .	1850. II, 205,	472

Prawo.

Czy kapitały hipoteczne w królestwie Polskiem są nieruchomością lub ruchomością, przez <i>W. Majewskiego</i>	1846. II,	46
Przestępstwo wielożeństwa, p. <i>Franciszka Maciejewskiego</i> . 1846. III,		47
Wiadomość o postępie prawodawstwa kryminalnego w Anglii, przez <i>Karola Bachmana</i>	1846. III,	217
Prawo o pojedynkach we Francyi, przez <i>K. Bachmana</i> .	1846. III,	442
Dowód ze zbiegu poszlak (indicia), przez <i>K. Bachmana</i> .	1846. III,	551
Karygodność spółwinowajców, podług prawa naszego z r. 1818, przez <i>Franciszka Maciejewskiego</i>	1846. IV,	115
O odwoływaniu się od wyroków niezupełnie untewinniających, na zasadzie artykułu 23 ustawy senackiej z d. 26 marca r. 1842, przez <i>Augusta Heylmana</i>	1847. I,	221
Wykład artykułu 64 kodexu handlowego, czyli o przedawnieniu odnoszącym się do spółki likwidacyjnej, przez <i>Augusta Heylmana</i> . 1847. II,		233
Sądownictwo karne w Krakowie, przez <i>Ambrożego Grabowskiego</i> . 1847. IV,		208
Rozbiór pytania: czy na zasadzie praw obowiązujących zachodzi jaka różnica, między uwolnieniem zupełnym dla braku dowodów, a takimże uwolnieniem dla wykrytej niewinności i t. d. 1848. III,		299
Odpowiedź na rozbiór tego pytania, przez <i>Augusta Heylmana</i> . 1848. III,		563
Prawo angielskie z 22 lipca 1847 r. o nieletnich przestępcach, przez <i>K. Bachmana</i>	1848. IV,	184
O zastosowaniu przepisów eo do praw na przypadek śmierci jednego małżonka, pozostałemu służących, przez <i>Ferdynanda Sadkowskiego</i>	1848. IV,	404
Wiadomość o nowych ważniejszych postanowieniach w prawodawstwie kryminalnym, przez <i>K. Bachmana</i>	1849. IV,	191
O wspólnie handlowej prostej, przez <i>A. Heylmana</i>	1849. IV,	269
O pożyczce na procent u Rzymian, przez <i>F. Zielińskiego</i> .	1849. IV,	562
Czy strona, która w procesie cywilnym czuje się być obrażoną na sławie zarzutami strony przeciwniej, może ją pociągnąć przed sądy karne? przez <i>Augusta Heylmana</i>	1850 II,	509

Nauki społeczne.*Ekonomia polityczna.*

O taxach dóbr ziemskich według zasad Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, w W. X. Poznańskim, p. <i>Antoniego Michalskiego</i> . 1846. I,		47
O ubezpieczeniach na przypadek choroby i śmierci, przez Dr. <i>Alfonsa Brandta</i>	1846. I,	352
Osadnictwo w Algierze, przez <i>Edwarda hr. Łubińskiego</i> . 1846. I,		524
Praktyczny przykład polepszenia moralności ludu wiejskiego. 1846. I,		670

Jakie skutki wywrze na tutejszy kraj zmiana taryfry, do parlamentu angielskiego wniesiona p. Rob. Peel, przez <i>K. L. Wolickiego</i>	1846. II,	118
O potrzebie i skutkach jawności w przedmiotach rolniczych. 1846. II,		650
Ustawa saska o banku włościańskim 17 marca 1832 r.	1847. I,	641
O przesileniu handlowém i finansowém w r. 1847; tłumaczył <i>K. L. Wolicki</i>	1847. II, 661. III,	497
Objaśnienie terażniejszego urządzenia rolników w ordynacyi Zamojskiej osiadłych	1847. IV,	457
O wpływie, jaki postęp i zamiłowanie dobrego bytu wywiera na moralność ludu, przez <i>Fryderyka hr. Skarbka</i>	1848. I,	1
O prawodawstwie rolniczém pruskim	1848. III,	449
O mieszkaniach dla klas robotniczych (z francuzkiego).	1849. III,	482
Ekonomia polityczna i stan jęj w naszym kraju, p. <i>Felixa Zielińskiego</i>	1850. I,	100
Porównanie prawodawstwa pruskiego z naszym, co do pomieszczenia w jednej osobie przymiotów dłużnika i wierzyciela hipotecznego, przez <i>Adama Bagniewskiego</i>	1850. II, 115,	324
O bankach na słowo uczciwości (z francuzkiego).	1850. II,	189
O związku kredytu ziemskiego z instytucyami zabezpieczenia od losowych wypadków, przez <i>W. Łuszczewskiego</i>	1850. II,	274
Spór ekonomii politycznej z rzeczywistością, niewłaściwie wszczęty przez p. <i>Felixa Zielińskiego</i>	1850. II,	333
Dziennik ekonomistów z roku 1848, p. <i>W. Łuszczewskiego</i> . 1850. II,	575. III, 177,	364

Finanse.

O dochodach z dróg żelaznych, przez <i>Wilhelma Kolberga</i> . 1846. I,		1
Wypadki finansowe i ekonomiczne ze zniżenia ceł w Anglii, przez <i>F. Zielińskiego</i>	1850. I,	388

Administracya.

Władości z nauk administracyjnych, przez <i>P. Ł.</i>	1846. I,	217
Rzut oka na urządzenie służby zdrowia w królestwie Polskim. 1846. III,		94
O kongresie pokutnym odbyłym w Frankforcie nad Menem w 1846. r., przez <i>Fryderyka hr. Skarbka</i>	1847. I,	59

Przemysł i handel.

Nowsze spostrzeżenia w przedmiocie użycia powietrza ogrzewalnego przy wielkich piecach, przez <i>Karola Zejdlera</i>	1846. I,	410
O warzelni soli i kąpielach w Ciechocinku, p. <i>J. N. Rostworowskiego</i>	1846. II,	126
O handlu pijawkami we Francyi i ich utrzymywaniu, przez <i>A. Wagę</i>	1846. II,	408

Czy można robić piwo z kartofli bez dodatku siodu? p. <i>J. Koncewicz</i> .	1846. II,	175
O stosunkach handlu i transportu Warszawy i portów zaniemeńskich.	1846. IV,	1
O przedsięwzięciu żeglugi parowej na Wiśle, p. <i>Felixa Miaskowskiego</i> .	1846. IV,	273
O handlu zamiennym prowadzonym przez Dniepr na morzu Czarném.	1847. I,	404
Wiadomość o progach Dnieprowych, przez <i>M. Pawliszczewa</i> .	1847. I,	420
Najdoskonalsza rasa jedwabników, otrzymana przez <i>Bronskiego</i> we Francyi	1847. III,	518
O zakładach przemysłowych gubernii moskiewskiej, p. <i>Samoilowa</i> ; tłumaczył i dodał wstęp o połączeniu celném Polski z Rossyą <i>Felix Miaskowski</i>	1847. IV,	52
Fabrykacya cukru z buraków w Związku Celnym.	1848. II,	175
O handlu soli, przez <i>S.</i>	1849. IV,	166
O obrocie handlu zbożem i t. d. w Gdańsku w 1849 roku	1850. II,	374

Inżynierya cywilna.

O nowym systemacie drewnianych bruków, przez <i>Stanisława Wysockiego</i>	1846. I,	123
Przypisek do odpowiedzi p. Klopmana na artykuł o brukach, przez <i>Wilhelma Kolberga</i>	1846. I,	214
O żegludze parowej, i zastosowaniu do niej śruby Archimedes'a, przez <i>Konstantego Rudzkiego</i>	1846. II,	507
Wiadomość o pomiarach geodezyjnych, wykonywanych w królestwie Polskim, przez <i>S. P.</i>	1849. I,	404
Droga żelazna z Libawy do Jurborga, p. <i>W. Kolberga</i>	1849. II,	616
Rys hydrograflii królestwa polskiego, p. <i>Ludwika Wolskiego</i>	1849. II,	496
	221, 441. III,	19, 259,

Literatura.

Literatura zagraniczna.

Alexander Humboldt. Tłumaczenie z <i>Revue Britannique</i> , przez <i>Konstantego Wolickiego</i>	1846. II,	1
Kritische Zeitschrift für Rechtswissenschaft von Mittermayer, przegląd, przez <i>Felixa Zielińskiego</i>	1846. IV,	189
Manuel de médecine légale, par Briand; przegląd <i>Bachmana</i>	1846. IV,	200
Législation et jurisprudence française, par Faverie, przegląd <i>Bachmana</i>	1846. IV,	202
Répertoire méthodique de législation, par Dalloz i t. d., przegląd przez <i>K. Bachmana</i>	1846. IV,	413
Lettre à M. le Dr. Enoch, sur le traitement des maladies chronique par la purification du sang, par Schröth, przez <i>A. Wage</i>	1847. II,	186

Der Starost und sein Nachbar; przekład niemiecki z dzieł hr. Skarbka, przez Ed. Lossow, przez <i>Ig. S.</i>	1847. II,	206
Wiadomość i uwagi o nowém dziele: <i>Le moyen âge et la renaissance</i> , przez <i>Bolesława Podczaszyńskiego</i>	1848. I,	645
Odkrycie Ameryki; wyjątek z II tomu <i>Kosmos</i> , Humboldta, tłumaczył <i>Ludwik Zejszner</i>	1848. IV, 221,	478
Berghaus, <i>Physicalisches Atlas</i> , przez <i>S. Przysiańskiego</i> . 1849. I,		161
Najnowsze romanse w Niemczech	1850 II, 587. III,	568
Ruch umysłowy w Hiszpanii	1850. II,	592
Toussaint Louverture, dramat Lamartina	1850. III,	253
Rozbór życia i prac naukowych W. Herschla, przez Fr. Arago; tłumaczył <i>Jan Baranowski</i>	1850. IV,	98
Adam Oelenschläger poeta duński	1850. IV.	567

Historya literatury polskiej.

Rzut oka na dzieje i piśmiennictwo herbarstwa polskiego, przez <i>Norberta J. Malinowskiego</i>	1847. III, 254,	474
Nowa epoka literatury historycznej polskiej, przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	1850. II, 55, 528. III, 95. IV,	430

Bibliografia dawniejsza polska.

Słowo o zamierzonym krytycznym wydaniu kronikarzy polskich, przez <i>Wacława Alexandra Maciejewskiego</i>	1846 I,	461
Wstęp do wiadomości bibliograficznej o rękopismach zawierających w sobie rzeczy polskie, przejrzanych po bibliotekach i archiwach zagranicznych p. <i>Alexandra Przędzieckiego</i> . 1847. III,		96
Wiadomość bibliograficzna o rękopismach zawierających w sobie rzeczy polskie i t. d. przez <i>Alexandra Przędzieckiego</i> . 1847. IV, 1, 241, 1850. I,		529
Materyały do historyi bibliotek w Polsce: Informacya o fundacyi biblioteki J. W. X. Jędrzeja Załuskiego bpa kijow. r. 1761. 1848. II,		560
Nota własnoręczna bpa Załuskiego podana królowi Stanisławowi Augustowi; ze zbioru i tłumaczenia <i>F. M. S.</i>	1848. II,	570
Wiadomość bibliograficzna o dziełku niemieckim, zawierającym szczegóły o weselu Zygmunta Augusta w Krakowie 1543 roku, przez <i>A. Wage</i>	1848. III,	632
Nazwiska księgarzy krakowskich z XVI i XVII wieku; z aktów radzieckich tego miasta, przez <i>Ambrożego Grabowskiego</i> . 1849. III,		389
Wiadomość o zbiorze atlasów i mapp Ignacego Onacewicza, p. <i>F. M. S.</i> 1849. III,		406

Poezya oryginalna.

Po co narzekać? przez <i>Seweryna Filleborna</i>	1846. III,	113
Ezechiel, scena liryczna według pisma Św., p. <i>Adama Słowikowskiego</i> . 1846. IV,		602

Kołacz, legenda z pism ks. Skargi, przez <i>J. Kaszewskiego</i> . 1847. III,	543
Na śmierć Szopena, przez <i>Seweryna Kaplińskiego</i>	1849. IV, 560
Cisza, przez <i>Zenona Fisch</i>	1849. IV, 561
Fryderyk Szopen, fantazyja <i>Włodzimierza Wolskiego</i>	1850. I, 60
Pieśń życia, przez <i>Henryka Cieszkowskiego</i>	1850. II, 268
Tęskne chłopię, przez <i>F. F.</i>	1850. III, 124
Smutno mi Boże, przez <i>Henryka Cieszkowskiego</i>	1850. III, 266
Dziwne dziewczę, przez <i>F. F.</i>	1850. III, 271
Starość samoluba, monolog, p. <i>Ludwika Niemojowskiego</i> . 1850. III,	471
Do K. przez <i>Jerzego Laskarys</i>	1850. III, 473
Do Władysława Syrokomli, przez <i>Jerzego Laskarys</i>	1850. IV, 96
Fantazyja, przez <i>Seweryna Kaplińskiego</i>	1850. IV, 299

Poezya tłumaczona.

Zgon Kloryndy. Ustęp z XII pieśni Jerozolimy Wyzwolonéj Tassa; przekład <i>Ludwika Kamińskiego</i>	1846. I, 118
Bitwa pod Kosową; z serbskiego, przez <i>Włodzimierza Podlewskiego</i>	1846. III, 114
Wschodnia czterdziesta, Wiktora Hugo, p. <i>Szymona Konopackiego</i>	1846. IV, 111
Messyada Klopsztoka. Przekład z niemieckiego wierszem miarowym, przez <i>J. K. Jaslikowskiego</i>	1847. I, 343
Wyjątek z tragedyi Goethego: <i>Faust</i> ; tłumaczył <i>Włodzimierz Wolski</i>	1848. III, 66
Wezwanie do modlitwy (z Wiktora Hugo), przez <i>Kl.</i>	1850. II, 505
Tęsknota do niebieskiej ojczyzny (z łacińskiego Sarbiewskiego), przez <i>Jerzego Laskarys</i>	1850. IV, 96
Czarodziejstwo Odyna, (ze staréj Eddy).	1850. IV, 496
Margraf Géro (z czeskiego: <i>Córy sławy</i> , Kollara), przez <i>R.</i> 1850. IV,	497

Dramat.

Dymitr i Marya, dramat w pięciu aktach, wierszem, <i>Józefa Korzeniowskiego</i>	1847. I, 544. II, 79
Autorka, dramat we czterech aktach, przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i>	1849. IV, 90

Powieści.

Pamiętniki szlachcica z czasów Jana Sobieskiego, przez <i>Ad. Am. Kosińskiego</i> (ciąg dalszy; ob. 1845. IV, 549). 1846. I, 17, 274, 556, II, 60, 276, 540. III, 273, 524.	
Dworek na Kopcu; powiastka z 1720 roku, przez <i>Józefa Alexandra Miniszewskiego</i>	1846. III, 615
Przewóz przy Kazimierzu lubelskim, przez <i>Ad. Am. Kosińskiego</i>	1846. IV, 137

Wizya króla Jana Kazimierza, przez <i>Ad. Am. Kosińskiego</i> . 1846. IV,	504
Łza w niebie; fantazyja przez <i>J. I. Kraszewskiego</i>	1847. I, 87
Korrespondencya; powieść przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i> . 1847. I,	245
Mahmudek; powieść przez <i>Władysława Strzelnickiego</i> . 1847. I,	482. II, 32, 241
Bertha z Düsseldorfu, przez <i>Leona hr. Potockiego</i>	1847. II, 421
Panna postępowca, przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i>	1847. II, 524
Palce Boży, powieść p. <i>Ad. Am. Kosińskiego</i> . 1847. III, 38, 417. IV,	127, 364
Wiadomość o klasztorze i kościółku Ś. Katarzyny pod górą Łysicą; z notat mojego dziada, p. <i>Marcellego Rostkowskiego</i> . 1847 III,	351
Ksiądz Gwardyan; opowiadanie <i>Józefa Korzeniowskiego</i> . 1847. IV,	539
Oblubienica bożka kwiatów: legenda chińska.	1847. IV, 639
Antoni Malczewski; wspominek p. <i>Ad. Kosińskiego</i>	1848. I, 324
Dwór Mehmeda - Ali; opowiadanie jego kamerdynera; tłum. z fran- cuzkiego <i>M. Gliszczynski</i>	1848. I, 387
Budnik; obrazek, przez <i>J. I. Kraszewskiego</i> . 1848. I, 590 II, 74,	225
Krzyż na stepie, powieść p. <i>Józefa Korzeniowskiego</i> . 1848. III, 349,	582. IV, 102
Bernard Cikowski z Cikowa, p. <i>Antoniego Wieniarzkiego</i> . 1848. IV,	376
Emeryt, powieść, przez <i>Józefa Korzeniowskiego</i> . . 1849. I, 330,	569. II, 132. 1850. II, 241. IV, 41, 273
Tamko, powieść z XVIII wieku, p. <i>Antoniego Wieniarzkiego</i> . 1849. II,	559
Wies Grady; wyjątek z dziennika podróży <i>Ad. Am. Kosińskiego</i> .	1849. III, 131
Wygnanowice; powiastka historyczna, przez <i>A. Wieniarzkiego</i> .	1849. IV, 150
Gabryela; powiastka przez <i>Paulinę Wilkońską</i>	1849. IV, 340
Pieniądze i klejnot szlachecki (Sacs et parchemins, par <i>J. Sandeau</i>), tłumaczenie z francuzkiego przez <i>J. Wslickiego</i> . 1850. I, 67,	266. II, 18, 419
Wies Krupa; zdarzenie historyczne z 1715 r. przez <i>Antoniego Wie- niarzkiego</i>	1850. I, 463
Odmęt Maelstrom w północnej Norwegii, p. <i>M. Morzkowskiego</i> . 1850 II,	173
Baulundtir, saga skandynawska (z dzieł Oelenschlegera), przez <i>R. Z.</i>	1850. III, 66
Tankred de Montecute, (powieść z angielskiego tłumaczona przez <i>W. Morzkowską</i>)	1850. III, 475. IV, 52, 302, 498
Obrazki wiejskie. Karczma, przez <i>Jana Gregorowicza</i> . . 1850 III,	497
Indyane północno-amerykańscy i kalifornijscy; przekład <i>Ad. Am. Ko- sińskiego</i>	1850. III, 542
Obrazki wiejskie. Pan rządca, przez <i>Jana Gregorowicza</i> . 1850. IV,	189
Rezydent domowy, przez <i>Leona Kunickiego</i>	1850. IV, 357

Literatura mieszana.

O romanse nowoczesnym, przez <i>Augusta Cieszkowskiego</i> . 1846. I,	135
Oznajmienie redakcyi Bibl. Warsz. z powodu powyższego artykułu.	1846. I, 455

O najnowszej literaturze Czechów, Słowaków i Słowian południowo-zachodnich, przez <i>Piotra Dubrowskiego</i>	1846. I,	203
Poetyczna historia Rzymu, ze zwrotem na pieśni wszystkich ludów, przez <i>Jana Szymańskiego</i>	1846. II,	387
Rzecz krótka o życiu Tassa i o Jeruzolimie Wyzwolonej, przez <i>Romana Linowskiego</i>	1846. III,	677
Co mogą znaczyć w literaturze i krytyce pytania <i>o cel utworów?</i> przez <i>L. Zienkowicza</i>	1847. I,	196
Myśl o śpiewie słowiańskim, L. Rittera; przełożył <i>Aloizy Kuczyński</i>	1847. I,	306
Pieśni ludu weselne, przez <i>Oskara Kolberga</i> (z muzyką). 1847. II, 188, 649. III, 582. IV, 625. 1848. III, 615. 1849. I, 605. IV,		383
Historia starożytnej rosyjskiej literatury Szewyrowa, przez <i>P. Dubrowskiego</i>	1847. II,	402
Pisma czasowe u Słowaków, przez <i>F. Zielińskiego</i>	1847. II,	433
Rozbiór dramatu: <i>Odprawa posłów greckich</i> , Kochanowskiego, przez <i>Karola Mecherzyńskiego</i>	1849. III,	1
List <i>Ignacego Krasickiego</i> o trefniśiach czyli błaznach.	1850. I,	161
Klechdy polskie i obrobienie ich, p. <i>W. A. Maciejowskiego</i> . 1850. I,		1
Listy miłosne z czasów Stanisława Augusta, p. <i>K. Wł. Wojcieckiego</i>	1850. I,	116
Przysłowia polskie, używane na Litwie, p. <i>Eust. hr. Tyszkiewicza</i>	1850. I,	165
Nowo odkryte ułamki 98 księgi Liwiusza, p. <i>F. Zielińskiego</i> . 1850. I,		573
Stan piśmiennictwa rosyjsk. w r. 1848, p. <i>F. M. Sobieszczańskiego</i>	1850. I, 574. III,	346

Sztuki piękne.

Malarstwo i rzeźbiarstwo.

O rzeźbiarzach dziś żyjących, przez <i>Cyprjana Norwida</i>	1846. I,	197
Wiadomość o nowo odkrytych zabytkach sztuk pięknych ze średnich wieków w dawniej Polsce, przez <i>F. M. Sobieszczańskiego</i>	1847. IV,	649
Wzmianka o niektórych obrazach Smuglewicza, p. <i>E. Rastawieckiego</i>	1849. II,	636
Spominki historyczne i artystyczne, przez <i>Edwarda Rastawieckiego</i>	1849. IV,	403
O cynkografii, z powodu doświadczeń S. Oleszczyńskiego, przez <i>F. M. Sobieszczańskiego</i>	1849. IV,	179
Jeszcze słówko o drukach anastatycznych, p. <i>B. Podczaszyńskiego</i>	1849. IV,	605

Architektura.

Sala posiedzeń zgromadzenia narodowego w Paryżu, przez <i>B. Podczaszyńskiego</i>	1849. III,	401
O architekturze gotyckiej, przez <i>Juliana Ankiewicza</i>	1849. IV,	39

Muzyka i tańce.

Muzyka taneczna, przez <i>Józefa Sikorskiego</i>	1846. I,	176
Wspomnienia koncertowe, przez <i>tegoż.</i>	1846. I,	664
Oratorium kościelne męki Pana Jezusa, <i>Elsnera</i> , przez <i>Karola Milewskiego</i>	1846. II,	335
Kompozycje do śpiewu PP. <i>Komorowskiego</i> , <i>Quattriniego</i> , <i>Teychmana</i> i <i>Montuszk</i> i, przez <i>Józefa Sikorskiego</i>	1846. III,	148
Stowarzyszenia i uroczystości muzyczne, przez <i>tegoż.</i>	1846. IV,	160
Loterya, operetka <i>Montuszk</i> i, przez <i>tegoż.</i>	1846. IV,	402
Matematycy i muzyka, przez <i>tegoż.</i>	1847. I,	175
Reakcyja w muzyce spodziewana, przez <i>tegoż.</i>	1847. I,	422
Charakterystyka tańców, p. <i>Karola Czerniawskiego</i>	1847. II,	293
Wspomnienia koncertowe, przez <i>Józefa Sikorskiego</i>	1847. II,	416
Pieśni bez słów i różne inne kompozycje, przez <i>tegoż.</i>	1847. II, 629,	634
Mozart i jego <i>Don Juan</i> , przez <i>tegoż.</i>	1847. III,	143
Żal Turczynki i inne muzyki <i>J. Komorowskiego</i> , p. <i>tegoż.</i>	1847. IV,	419
Narzędzia muzyczne z klawiaturą, przez <i>tegoż.</i>	1848. II,	367
Krakowiak i t. d., przez <i>tegoż.</i>	1848. III,	607
Zjawiska, przez <i>tegoż.</i>	1848. III,	425
Wspomnienia koncertowe, przez <i>tegoż.</i>	1849. II,	383
Koncert p. <i>Kazimierza Wernik</i> , przez <i>tegoż.</i>	1849. III,	608
Kilka słów do Wspomnień koncertowych pana <i>Sikorskiego</i> , p. <i>K. Ładę</i>	1849. IV,	413
Wspomnienia koncertowe: <i>Zofia Bohrer</i> , przez <i>J. Sikorskiego</i>	1850. II,	183
Kompozycje różne na fortepian przez <i>tegoż.</i>	1850. III,	167
Odpowiedź na wzmiankę pana <i>J. Sikorskiego</i> o marszu na cześć <i>Szopena</i> , p. <i>E. Jenike</i>	1850. III,	363
Ustęp z wrażeń artystycznej podróży, przez <i>Józefa Brzowskiego</i>	1850. IV,	258
Koncerty małoletnich <i>Marcinkiewiczów</i> , przez <i>J. Sikorskiego</i>	1850. IV,	176

Nauki przyrodzone.

Rzut oka na dzieje botaniki, przez <i>Tytusa Chałubińskiego</i>	1846 I,	308
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:		

a) Astronomia i fizyka kuli ziemskiej, przez <i>J. Baranowskiego</i>	1846. I,	677.
--	----------	------

II, 184, 653. III, 187, 690. IV, 204, 420, 650. 1847. I, 665.	
II, 442. III, 373, 601. IV, 662, 1848. I, 653. II, 584, 1849. I,	
190, 408. II, 391. III, 194. 1850. I, 579. III,	376
b) Fizyka, p. <i>St. Przysiański</i> . 1846. I, 221, 419. II, 188,	
419, 656. III, 191, 450, 694. IV, 205, 426, 652. 1847. I,	
207, 432, II, 209, 674. III, 181, 375, 605. IV, 227, 441.	
1848. I, 202, 660. II, 390, 590. III, 184, 438, 656. IV,	
190, 437, 661. 1849. I, 195, 411, 632. II, 643. III, 409.	
IV, 195, 627. 1850. I, 175, 588. II, 388, 595. IV,	374
c) Chemia, przez <i>J. Bełzę</i> . 1846. I, 225, 422, 679. II, 190, 425,	
660. III, 195, 699. IV, 657. 1847. I, 208, 435, 667. II, 213,	
215, 446, 449, 681. III, 195, 380. IV, 230, 444, 667, 1848.	
I, 407, 664. II, 196, 394, 593. III, 187, 657. IV, 192, 439,	
663. 1849. I, 204, 413, 634. II, 407, 653. IV, 198, 423,	
629. 1850. I, 176, 589. II, 390,	596
d) Historia naturalna, przez <i>A. Wągę</i> . 1846. I, 430. IV, 429,	
1847. IV, 482, 1848. I, 409. II, 595. IV,	441
e) <i>Mineralogia</i> , p. <i>J. Bocheński</i> . 1846. I, 683. II, 194, 430,	
664. IV, 430. 1850. II,	404
f) Botanika p. <i>ks. J. Wyszynski</i> 1846. I, 229,	435
g) Zoologia, przez <i>A. Wągę</i> . 1846. I, 233, 439, 685. II, 197,	
437, 667. III, 205. IV, 208, 433, 663, 1848. I, 417, 665. II,	
198, 398, 601. III, 189. 659. IV, 193, 451, 667. 1849. I,	
206, 436, 643. II, 195, 408, 655. III, 198, 413, 631. IV,	
200, 428, 632. 1850. I, 179. II,	394
<i>Wiadomości te mają swoje oddzielne abecadłowe spisy na</i>	
<i>końcu ostatniego tomu z każdego roku, jakoto:</i> Z roku	
1846, IV, 669. Z roku 1847, IV, 671. Z roku 1848, IV, 690.	
Z roku 1849 IV,	638
O układach w botanice, przez <i>Karola Zaczynski</i> . . . 1846, III,	1
Sposób praktyczny robienia magnezów, przez <i>Józefa Zochowski</i> .	
1846. III,	446
Tabella ruchu włosennego ptaśwa w Bychawce z r. 1846, przez <i>W.</i>	
<i>Taczanowski</i> 1846. III,	464
Ślady historii naturalnej wszechświata. Ciała w przestrzeni, ich układ	
i początek; tłum. z ang. <i>F. Zielński</i> . . . 1846. IV, 61, 1847. I,	287
Rozbór gliny z Wielkiej Woli, przez <i>S. Zdzitowiecki</i> . . . 1847. I,	185
Krótki opis zjawisk przy spadnięciu aerolitów we Francyi pod Laissac.	
1847. I,	205
Rozbór rudy żelaznej z Tychowa pod Ilżą, przez <i>S. Zdzitowiecki</i> .	
1847. I,	209
Oznaczenie długości geograficznej Warszawy, względem głównego	
obserwatorium Pulkowa, wykonane p. <i>Jana Baranowski</i> .	
1847, I,	532
Dostrzeżenia planety Neptuna, wykonane w obserwatorium warszaw-	
skim w roku 1846, p. <i>Jana Baranowski</i> . . . 1847. III,	88
O źródłach i rzekach podług <i>F. Arago</i> , przez <i>J. Sapalski</i> . 1848. I,	262
Koszatki w lasach litewskich, przez <i>Konstantego hr. Tyzenhauza</i> .	
1848. II,	158

Relacya o zdarzonym fenomecie na jeziorze Krubło w r. 1782, przez <i>S. B. Górskiego</i>	1848. II,	180
O tożsamości тура i żubra. Z niemieckiego <i>Weissenborna</i> . 1848. II,		348
O złocie, przez <i>Jana Mitkiewicza</i>	1848. II, 407. 1849. I,	284
Dwie tabelle ruchu wiosennego ptactwa w latach 1846 i 1847, uważanego w Bychawce przez <i>W. Taczanowskiego</i>	1848. II,	406
	po k.	
O piorunach, podług <i>Fr. Arago</i> , przez <i>Józefa Sapalskiego</i> . 1848. III,		
	1, 325, 532. IV, 46. 1849. II,	97
Natężenie siły magnetycznej w Warszawie, p. <i>A. Prażmowskiego</i> . 1848. IV,		362
O formacyi Jura w Ciechocinku, przez <i>L. Zejsznera</i>	1848. IV,	425
O korzyściach nauk przyrodzonych i o stanie ich u nas, przez <i>A. Wage</i> . 1849. I,		179
Wiadomość o robakach spadłych ze śniegiem w gubernii wileńskiej dnia 24 stycznia 1849, przez <i>K. hr. Tyzenhauza</i>	1849. II,	189
O droncie, samotniku i o urojonym ptaku nazareńskim, przez <i>A. Wage</i> . 1849. II,		372
O żubrze i polowantu na niego (z angielskiego), przez <i>A. W.</i> 1849. III,		177
Kilka słów o Tarwasz, powieści runicznych (z niemieckiego), p. <i>A. W.</i> 1849. III,		182
Dodatek do wiadomości o robakach ze śniegiem spadłych p. <i>K. Tyzenhauza</i>	1849. III,	188
Użyteczność istot mianych zwykle za szkodliwe, przez <i>W. P.</i> 1849. IV,		621
Tabella ruchu wiosennego i jesiennego ptaków, w r. 1848 uważanego w Bychawce, przez <i>W. Taczanowskiego</i>	1849. IV,	653
Systematyczny spis ptaków, uważanych w dawniej ziemi krakowskiej przez <i>Kazimierza hr. Wodzickiego</i>	1850. I,	351
Wypadki z dostrzeżeń meteorologicznych robionych r. 1849 w Mińsku, przez <i>Rodziewiczza</i>	1850. II,	383
Sprostowanie błędu botanicznego <i>L. Zejsznera</i> , p. <i>Jakóba Wage</i> . 1850. II,		384
Mniemania o figurze ziemi i jej pomiarach, przez <i>J. Lesisza</i> . 1850. III,		455
Odpowiedź p. <i>Jakóbowi Wadze</i> , przez <i>L. Zejsznera</i>	1850. IV,	368
Odpowiedź na powyższą odpowiedź, przez <i>J. Wage</i>	1850. IV,	370

Gospodarstwo.

Gospodarstwo wiejskie.

O nowych doświadczeniach w rolnictwie, przez <i>S. Z.</i>	1846. II,	648
Uwagi nad rachunkowością gospodarstw wiejskich, przez <i>Wilhelma Kolberga</i>	1847. III,	235
O chorobie kartofli obecnie w kraju naszym objawionej, przez <i>Henryka Rothe</i>	1847. III,	531
Kilka słów o chorobie kartofli	1847. III,	538

Leśnictwo i łowiectwo.

O dozorowaniu lasów prywatnych, przez C. A. . . . 1846. III, 317, 465

Nauki lekarskie.

Rzut oka na systemata lekarskie, i wykaz postępu téjże nauki w nowszych czasach, przez *Felixa Jablonowskiego* 1847. I, 447
 Wiadomość o cholerye epidemicznej, wyjęta z rękopismu pana Wiktora Moczulskiego, kapitana w służbie rosyjskiej 1847. IV, 653

Lingwistyka i pomniki językowe.

Vigille za umarłe ludzyc, duszom w czyseczu bardzo pomoczne (osobliwy zabytek językowy). 1846. II, 401
 Wyjątki z pozostających w rękopiśmie części rozprawy *Józefa Elsner*, o metryczności języka polskiego 1846. III, 247
 Słownik mongolsko - rosyjsko - francuzki, *Józefa Kowalewskiego*. 1846. III, 688
 Prowincjonalizmy księztwa oświęcimskiego i zatorskiego, zebrane przez *Ambrożego Grabowskiego* 1849. III, 174
 Krótka wiadomość o przekładzie biblij na różne dyalekta słowiańskie, przez *Andrzeja Kucharskiego* 1849. IV, 409
 Uwagi fizyologiczne nad abecadłem polsktém, przez Dr. *Ludwika Natansona* 1849. IV, 138
 Rozblór uwag fizyologicznych nad abecadłem polsktém L. Natansona, przez *T. Kurhanowicza* 1850. I, 337
 Najdawniejszy zabytek polszczyzny, p. *And. Kucharskiego*, (z ryciną). 1850. II, 113
 Odpowiedź na Rozblór uwag nad abecadłem L. Natansona, przez *T. Kurhanowicza*, przez Dr. *Natansona* 1850. II, 80
 Do redakcyi Bibl. Warsz. przez X. (o téj literze) 1850. II, 195
 Kile słow wo Kaszebach e jich ziemi i t. d.; tudzież rzecz o języku kaszubskim, ze zdania sprawy Prajsa 1850. IV, 548

Rozbiory i krytyki:a) *Dzieł historycznych.*

Kronika miasta Lwowa, przez Dyonizego Zubrzyckiego; przez *Michała Balińskiego*. 1846. I, 621

Żywot bł. Prandoty z Białaczowa bpa krakowskiego, przez X. Gładyszewicza, przez <i>H. Ł.</i>	1846. I,	634
Dawid Mściśławicz kniaź na Łucku	1846. II,	153
Zbiór wiadomości historycznych i aktów dotyczących dziesięciu kościelnych na Rusi X. Jana Pocieja, przez <i>F. Zielińskiego</i> . 1846. II,		375
Dodatek do tejże recenzji, przez <i>tegoż.</i>	1846. II,	640
Dykeyonarz biograficzno-historyczny, przez <i>F. Bentkowskiego</i> . 1846. II,		384
X. Hugona Kołłątaja korespondencye z Tadeuszem Czackim; rozbiór <i>Teodozego Sierocińskiego</i>	1846. III, 371. IV, 88,	578
Pierwotne dzieje Polski i Litwy, Maciejowskiego, p. <i>A. Tyszyńskiego</i> . 1846. IV,		633
Opis powiatu radomskiego z rękopismu Starczyńskiego, przez <i>Felixa Bentkowskiego</i>	1846. IV,	637
Odpowiedź na recenzją dziełka: O dziesięciu kościelnych na Rusi, przez <i>X. Jana Pocieja</i>	1847. I,	139
Dzieje Korony polskiej i W. X. Litewskiego, Wapowskiego, przez <i>M. Balińskiego</i>	1847. I,	370
Dzieje polski za Władysława Jagiełły i Władysława III, <i>Ł. Gołębowski</i> , przez <i>M. Balińskiego</i>	1847. I,	628
Codex Diplomaticus Poloniae L. Rzyszczewskiego i A. Muczkowskiego, przez <i>W. A. Maciejowskiego</i>	1847. II,	377
Kilka słów o <i>Pieniądżach Piastów</i> , Kazimierza Stronczyńskiego, p. <i>I. Zagórskiego</i>	1848. I,	132
Uwagi nad pismem p. Maciejowskiego: <i>Pierwotne dzieje Polski i Litwy</i> , przez <i>A. Tyszyńskiego</i>	1848. I, 527. II,	129
Odpowiedź na <i>Kilka słów o pieniądżach Piastów</i> , przez <i>K. Stronczyńskiego</i>	1848. I,	623
Uwagi nad Uwagami p. Tyszyńskiego <i>O pierwotnych dziejach Polski</i> , przez <i>W. A. Maciejowskiego</i>	1848. II, 273,	514
Odpowiedź p. Maciejowskiemu, przez <i>A. Tyszyńskiego</i> , 1848. II, 288,		78
Odpowiedź na Odpowiedź, przez <i>W. A. Maciejowskiego</i>	1848. III,	146
Druga i ostatnia odpowiedź na repliki pana Maciejowskiego, przez <i>A. Tyszyńskiego</i>	1848. III,	400
Historja narodu rzymskiego, Szwałnica, przegląd <i>A. Tyszyńskiego</i> . 1849. I,		92
Monastyr Skit w Maniawie D. J. Wagillewicza, przez <i>S. Lisowskiego</i> . 1849. IV,		585
Starożytności Warszawskie Wejnerta, przez <i>St. Lisowskiego</i> . 1850. I,		140
Wiadomość o założeniu uniwersytetu krakowskiego, J. Muczkowskiego, przez <i>J. Bartoszewicza</i>	1850. II,	159
Krótki rys dziejów ludu izraelskiego A. Paprockiego, przez <i>St. Lisowskiego</i>	1850. II,	348
Roczniki i kroniki polskie i litewskie W. A. Maciejowskiego, przez <i>Juliana Bartoszewicza</i>	1850. III,	147
Tajne listy Zygmunta Augusta, odcyfrowane przez J. Lepkowskiego, przez <i>S. Lisowskiego</i>	1850. III,	537
O Pomorzu zaodrzańskim D. Szulca, przez <i>Juliana Bartoszewicza</i> . 1850. IV,		133

Opis Piotrkowa trybunalskiego O. Flatta, p. <i>F. M. Sobieszczańskiego</i> .	1850. IV,	140
Opis historyczny trzech kęp na Wiśle A. Wejnerta, p. <i>S. Lisowskiego</i>	1850. IV,	334
Statuta ordinis Philosophorum in Unwersitate Jagellonica <i>J. Muczkowskiego</i> , przez <i>J. Bartoszewicza</i>	1850. IV,	339
Historia szkół w Koronie i Litwie, <i>J. Łukaszewicza</i> , przez <i>F. Bentkowskiego</i>	1850. IV,	526

b) *Dzieł w naukach ekonomicznych i prawnych.*

Trzy kodexa francuzkie, wydał J. H. S. Rzesziński, przez <i>F. Z.</i> 1846. I,	167
Uwagi nad kodexem handlowym, przez <i>J. Ro. Rozbiór Jana Chryz. Sławianowskiego</i>	1846. I, 362
Kodex handlowy, przekład Heylmana, p. <i>J. Chr. Sławianowskiego</i> .	1847. III, 317
Prawoznawstwo niemieckie i francuzkie, p. <i>K. Bachmana</i> . 1847. III,	363
Odpowiedź sędziego Heylmana na recenzją pana Sławianowskiego.	1847. IV, 586
Prawoznawstwo niemieckie i francuzkie, przez <i>Karola Bachmana</i> .	1848. II, 382, 574. III, 432. 1849. III, 625
Wykład prawa handlowego Rogrona, przez <i>J. Chr. Sławianowskiego</i> .	1848. III, 413
Sprawozdanie z eksploatacyi drogi żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, przez <i>S. Przysiańskiego</i>	1848. IV, 169
Rozprawy C. K. galicyjskiego towarzystwa gospodarskiego, p. <i>A. Waga</i> .	1849. II, 180
Zdanie i uwagi nad dziełem: Prawo hipoteczne w królestwie Polskiem, Dutkiewicza, przez <i>J. Chr. Sławianowskiego</i> . . .	1850. III, 125

c) *Dzieł w naukach ścisłych i przyrodzonych.*

Traktat czyli nauka o georginach Józefa Strumiły, p. <i>S. P.</i> 1846, I,	649
Władości chemiczno-gospodarskie, p. <i>Zdzitowieckiego</i> . 1846, II,	94
Nowe lub niedokładnie opisane gatunki skamieniałości tatrowych, odkryte przez Ludwika Zejsznera. Poszyt I. p. <i>Hier. Łabęckiego</i> .	1846, II, 145
Ornitologia powszechna hr. Tyzenhauza	1846, II, 637
Zdanie o dziełku: Klucz dla objaśnienia praktyczno-arytmetycznych tablic, wydanych przez E. M. Gurlandau, p. <i>Augusta Frączkiewicza</i>	1846, III, 119
Gospodarstwo leśne Aulejtnera, przez <i>Klemensa Wydrzyńskiego</i> .	1846, III, 295
Gospodarstwo łowieckie Reumanna, przez <i>Klemensa Wydrzyńskiego</i> .	1846. III, 427
Zasady technologii chemicznej, Rybickiego, p. <i>Józefa Bełzę</i> . 1846. IV,	399

O karcie klimatologicznej polskiej Jaszczybowskiego p. <i>S. Przysiański</i>	
<i>skiego</i>	1847. I, 159, 385
Parę uwag z powodu artykułu Rudzkiego: <i>O żegludze parowej</i> , p. <i>W. J.</i>	1847 I. 172
Zasady Algebry Mayera i Choqueta, tłumaczone p. Wrześniewskiego, przez <i>J. Centnerszvera</i>	1847. III, 133, 325. IV, 191.
Upominek rolniczo-przemysłowy T. Rybickiego, p. <i>J. Belzę</i> .	1847. III, 141
Wykład matematyki dla szkół gimnazjalnych, K. L. przez <i>S. P.</i>	1848. I, 142
O machinach parowych Dominika Bilińskiego, przez <i>S. P.</i> .	1848. I, 381
Obrazy z państwa Flory, p. <i>A. Wągę</i>	1848. II, 167
Kurs geometryi elementarnej M. Świerzblińskiego, p. <i>S. Przysiański</i>	
<i>go</i>	1849. II, 610
Źródła mineralne w Galicyi i na Bukowinie, T. Torosiewiczza, p. <i>L. Zejsznera</i>	1849. III, 586
O mappe geologicznej Francyi p. Dufrenoy i Beaumont, przez <i>H. L.</i>	1849. III, 616

d) *Dzieł w przedmiotach literatury i sztuki.*

Grammatyka polska Sierocińskiego, przez <i>Tomasza Kurhanowicza</i> .	
	1846. I, 507
Drugi śpiewnik domowy S. Moniuszki, p. <i>J. Sikorskiego</i> . .	1846. I, 375
Wspomnienia, Ludwika Pietrusińskiego. T. III. i IV.	1846. I, 191
Samoluby. Obrazy tegoczesne M. Skotnickiego	1846. I, 381
Ramoty i Ramotki literackie Au. Wi. Tom III i IV, p. <i>K. Witte</i> .	1846 I, 645
Klementyna czyli życie steroty. J. S. Boguckiego	1846. I, 389
O stowarzyszeniach wiejskich do wyrobów mlecznych w Szwajcaryi Karola Lullin; uwagi nad tém piśmkiem	1846. I, 395
Notatki z podróży muzycznej po Niemczech W. Każyńskiego, 1846. II,	133
Komplet wzorów na budowę włosciańskie, Idzkowskiego. 1846. II,	150
Dokładna nauka czyszczenia i naprawiania obrazów, p. S. . 1846. II,	158
Niezapominajki, powieści moralne dla dzieci Monikowskiej, przez <i>Leona Potockiego</i>	1846. II, 160
Cnota chłopczyka wynagrodzona, p. <i>tegoż</i>	1846. II. 161
Pod włoskiem niebem, i Wspomnienia Odessy, Kraszewskiego; p. <i>Karola Witte</i>	1846. II, 356
Chorał gregoryański rytualny, tłumaczony p. Jarmusiewiczza; i <i>Choralbuch</i> , p. A. Freyera; przez <i>J. Sikorskiego</i> .	1846. II, 360
Nauka języka polskiego podług zasad Szreniawy, zeszyt I. p. <i>Józefa Czajkowskiego</i>	1846. II, 607
Biłgos hultajski Blepońskiego. Tom 2gi i 3ci, p. <i>K. Witte</i> .	1846. II, 619
Pamiętniki umysłowe Jana ze Sliwina, p. <i>J. Sikorskiego</i> .	1846. II, 626
Odpowiedź na artykuł pod napisem: Grammatyka polska Sierocińskiego.	
	1846. III, 67
Dzieciątko Jezus, opowiadanie X. Hołowińskiego, p. <i>K. Witte</i> .	1846. III, 143
Nieodbrane małżeństwo, Ig. Grzegorzewskiego, p. S.	1846. III, 158
Dzieciątko Jezus, opowiadanie X. Hołowińskiego, przez <i>J. I. Kraszewskiego</i>	1846. III, 165
Tajkury. Powieść Edwarda Tarszy, przez <i>K. Witte</i> . . .	1846. III, 414

- Pamiętniki nieznanego, J. I. Kraszewskiego, przez *K. Witte*. 1846. III, 420
- Powieści Elżbiety z hr. Kraslńskich Jaraczewskiej, przez *Alexandra Tyszyńskiego*. 1846. III, 643
- Pamiętniki nieznanego J. I. Kraszewskiego p. *J. Sikorskiego*. 1846. III, 653
- Grammatyka języka polskiego Deszkiewicza, przez *Józefa Czajkowskiego*. 1846. III, 660. IV, 141
- Spekulant. Powieść Józefa Korzeniowskiego, przez *J. Sikorskiego*, 1846. III, 672
- Jordan. Fantazya dramatyczna Sowy, przez *A. Tyszyńskiego*. 1846. IV, 152
- Zapóźno i jeszcze dość wczesne p. Paulinę Wilkońską; przez *A. Tyszyńskiego*. 1846. IV, 382
- Rodni czyli Duch na drodze pokuty, Boguckiego; przez *L. Z.* 1846. IV, 388
- Kataleptyk. Powieść Eleonory Szyrmer. przez *A. Tyszyńskiego*, 1846. IV, 613
- Zygmuntowskie czasy. J. I. Kraszewskiego, przez *L. Z.* . 1846. IV, 623
- Odpowiedź na krytykę p. T. o dwóch powieściach p. Wilkońskiej, przez *Au. Wilkońskiego*. 1846. IV, 627
- Rachel, powieść K. Hołowińskiego, przez *A. Tyszyńskiego* . 1847. I, 390
- Kompozycye różne na fortepian, p. *J. Sikorskiego* 1847. I, 395
- Odpowiedź Józefowi Czajkowskiemu, na krytykę mojej Grammatyki, p. *J. N. Deszkiewicza*. 1847. I, 609
- Moje wędrówki po obczyźnie, Kajetana Niepowie, p. *K. Witte*. 1847. II, 162
- Odpowiedź autora na artykuł w Przeglądzie Naukowym, o Pedagogice Sierocińskiego 1847. II, 169
- List o Pedagogice i odpowiedzi, p. *Hippolita Skimborowicza*. 1847. II, 389
- O kosztorysach w budownictwie cywilnem, Gołębiowskiego, p. *A. Idźhowskiego* 1847. II, 395
- Geografa M. Pawliszczewa, przez *J. Korzeniowskiego*. . . 1847. II, 399
- Kollokacya, powieść J. Korzeniowskiego, p. *A. Tyszyńskiego*. 1847. II, 622
- Zwyczajna historia, przegląd *P. Dubrowskiego*. 1847. II, 661
- Historya, literatura i krytyka J. Majorkiewicza, p. *Tyszyńskiego*. 1847. III, 106
- Wykład nauk przeznaczony do pomocy w domowem wychowaniu pańien, Żmichowskiej, p. *Teodozego Sierocińskiego* . 1847. III, 545
- O piękności w sztuce, Juliana Ankiewicza, p. *Tyszyńskiego*. 1847. IV, 181
- Polsko-niemieckie i niemiecko-polskie słowniki Trojańskiego. 1847. IV, 202
- Władości historyczne o sztukach pięknych w dawniej Polsce. F. M. Sobieszcańskiego, przez *Edwarda Rastawieckiego*. 1847. IV, 387
- Sfinx, powieść J. I. Kraszewskiego. przez *A. Tyszyńskiego*. 1847. IV, 397
- Powiastrki i bajki Stan. Jachowicza, przez *tegoż*. 1847. IV, 607
- Słownik polsko-rossyjski administracyjny i sądowy, Piotra Dubrowskiego, przez *W.* 1847. IV, 623
- Salon i ulica. Powieść Dzierzkowskiego, pr. *J. Sikorskiego*. 1848. I, 158
- Dzieła teoretyczne do nauki śpiewu i t. d. p. *tegoż* 1848. I, 162
- O Grammatyce polskiej Sierocińskiego, p. *A. Wage*. 1848. I, 172
- O najnowszych książkach dla dzieci, p. *tegoż* 1848. I, 178
- Rozbiór zdania p. *T. O piękności w sztuce*, p. Ankiewicza . 1848. I, 365
- Trzy powieści M. Skotnickiego, przez *J. Sikorskiego* . . . 1848. I, 632
- Odpowiedź na artykuł z podpisem A. W., *O Grammatyce Sierocińskiego*, p. *T. Sierocińskiego* 1848. I, 634

Poranki i wieczory p. P. Wilkońską.	1848. II,	552
Michała Wiszniewskiego podróż do Włoch, przez <i>J. S.</i>	1848. II,	554
Tak się dzieje. Powieść P. Wilkońskiej, przez <i>J. S.</i>	1848. III,	156
Album literackie. Pismo zbiorowe pod redakcją K. W. <i>Wojcickiego</i> przez <i>A. Tyszyńskiego</i>	1848. III,	397
Władysław. Wyciąg z pamiętników niebardzo starych, A. Grozy, przez <i>J. Sikorskiego</i>	1848. III,	605
Opisanie powiatu borysowskiego E. hr. Tyszkiewicza, p. <i>F. Z.</i> 1848. IV,		146
Pisma Żegoty Kostrowca, przez <i>K. Witte</i>	1848. IV,	159
Wybór bajek i powieści T. Nowosielskiego, przez <i>C.</i>	1848. IV,	166
Dwanaście śpiewów polskich J. Nowakowskiego, przez <i>J. S.</i> 1849. I,		155
Wędrowki Oryginała p. J. Korzeniewskiego, Tom 1szy, p. <i>E. L.</i> 1849. I,		597
Nauka czytania i pisowni St. Wasniewskiego. p. <i>A. Wągę.</i> . 1849. II,		177
Wiązanie dla molch wnuków; T. Dziekońskiego, p. <i>tegoż.</i> . 1849. II,		357
Wykład praktyczny chorób zębów i ich leczenia, Jana Anus, p. <i>J. R.</i> <i>Szymańskiego</i>	1849. II,	263
Pamiętnik Jana Chłopickiego, wydany przez Romualda Podbereskiego, Rok 4ty, p. <i>J. R. Szymańskiego</i>	1849. II,	594
Rocznik literacki R. Podbereskiego, Rok 4-ty, p. <i>tegoż.</i>	1849. II,	601
Poezye J. D. Minasowicza, przez <i>A. Tyszyńskiego</i>	1849. III,	367
Opis Królestwa Polskiego J. M. Wiślickiego, przez <i>K. Wojcickiego</i> . 1849. IV. 580. 1850. II,		555.
Światło i cienie, Eleonory Szyrmer, p. <i>J. R. Szymańskiego</i> . 1849. IV,		590
Bigos hultajski, I. Blepońskiego, przez <i>A. Tyszyńskiego</i>	1850. I,	146
Rocznik literacki, Romualda Podbereskiego, p. <i>K. Wojcickiego</i> . 1850. I,		153
Przekłady poetów polsko-łacińskich (Janickiego) Władysława Syrokom- II, p. St. <i>Lisowskiego</i>	1850. I,	365
Pokojówka, szkic obyczajowy Tad. Padalicy, p. <i>Wojcickiego</i> . 1850. I,		377
Pamiętnik naukowo-literacki, Rom. Podbereskiego, przez <i>Józefa Korze- niowskiego</i>	1850. I,	557
Felicyta. Dramat w 5 aktach Ant. Ed. Odyńca, p. <i>Tyszyńskiego</i> . 1850. II,		142
Hersylla, powieść Ewy Fellńskiej. p. <i>J. R. S.</i>	1850. II,	167
Wymarzony, kochanek, T. Strzemięca, p. <i>J. R. S.</i>	1850. II,	352
Godzina rozrywki, P. Wilkońskiej, p. <i>J. R. S.</i>	1850. II,	561
Grammatyka języka polskiego, D. Łazowskiego, przez <i>T. Sierocińskie- go</i>	1850. III,	315
Słownik malarzy polskich, Edw. barona Rastawieckiego, przez <i>F. M.</i> <i>Sobieszczakańskiego</i>	1850. III,	530
Chłopi arystokracji, szkic dramatyczny, Wł. Anczyca, p. <i>Wojcickiego</i> 1850. III,		540
Przy kominku. W. Kołłupajły. p. <i>tegoż.</i>	1850. IV,	145
Broszury E. Jastrzębicyka, p. <i>tegoż.</i>	1850. IV, 149.	352
Życiorysy znakomych ludzi, p. <i>A. Tyszyńskiego</i>	1850. IV,	542.

Rozmaitości.

Rolnicza uroczystość, p. <i>Władysława Wężyka</i>	1846. I,	399
Dewocya generała Kunickiego; wyjątek z listu X. Stanisława Chołolewskiego do J. I. Kraszewskiego.	1846. II,	451
Teatr w Krakowie, p. <i>Ambr. Grabowskiego</i>	1847. III,	176
Odpowiedź na artykuł Bibl. Warsz. pod tytułem: <i>Zjawiska</i> , przez <i>S. S.</i>	1848. IV,	177
Guttapercha, jej otrzymywanie, własności i użycie, przez <i>B. . y</i>	1848. IV,	644
Wiadomość bibliograficzna, przez <i>A. Wagę</i>	1849. I,	176
O złocie w Kalifornii, przez <i>J. R. Szymańskiego</i>	1849. II,	76
Starożytne rękopisma i książki w Samarkandzie, przez <i>J. M.</i>	1849. II,	368
Komu rzeczywiście należy się wynalazek suszenia i macerowania buraków cukrowych? p. <i>A. Wagę</i>	1849. II,	194
Zofia Zarębianka, czyli wyrok na karę śmierci niesłusznie zapadły, p. <i>Ferdynanda Biesiekierskiego</i>	1849. IV,	572
O korsarzach archipelagu Wschodniego.	1849. IV,	477
Wiadomości historyczno-bibliograficzne, przez <i>Z.</i>	1850. III,	173
Pomnik X. Krzysztofa Kluka w Clechanowcu; z 5 rycinami	1850. IV,	128
Sprostowanie o Mrozińskim, przez <i>F. Bentkowskiego</i>	1850. IV,	373

Korespondencye.

Wyjątek z listu <i>Kraszewskiego</i>	1846. I,	653
Do redakcyi Bibl. Warsz. od <i>M. Z.</i>	1846. II,	182
List <i>Józefa Kraszewskiego</i>	1846. IV,	186
Do redakcyi Bibl. Warsz. od <i>E. bar. Rastawieckiego</i>	1846. IV,	188
List do redakcyi Bibl. Warsz., od <i>K. W.</i>	1846. IV,	410
Oświadczenie <i>W. A. Maciejowskiego</i>	1846. IV,	648
List do redakcyi Bibl. Warsz., od <i>T. Sierocińskiego</i>	1847. III,	360
Do redakcyi Bibl. Warsz. list <i>Bazylego Piotra Wierzbickiego</i>	1847. IV,	656
Do redakcyi Bibl. Warsz. z Grodna.	1848. III,	181
Do redakcyi Bibl. Warsz. od <i>K. hr. T.</i>	1848. III,	183
Do redakcyi Bibl. Warsz. od <i>Alexandra Wejnerta</i>	1848. IV,	188
Do redakcyi Bibl. Warsz. od <i>F. B.</i>	1848. IV,	660
Do redakcyi Bibl. Warsz. o złotym dukacie Władysławowskim, p. <i>Erazma Niedzielskiego</i> (z drzeworytem).	1849. II,	388
Do redakcyi Bibl. Warsz. o dziele Oeynhausona: <i>Opis geologiczny górnego Szlązka</i> , p. <i>K. Kossowskiego</i>	1849. II,	639
Do redakcyi Bibl. Warsz. od <i>Seweryna Oleszczyńskiego</i>	1849. III,	623
Do redakcyi Bibl. Warsz. od <i>Józefowicza</i>	1849. IV,	623
Do redakcyi Bibl. Warsz. zarzut na zarzut, przez <i>T. Lipińskiego</i>	1850. I,	578
Do redakcyi Bibl. Warsz., od <i>X.</i>	1850. II,	195
Wyjątek z listu J. I. Kraszewskiego do A. Przeddzieckiego.	1850. II,	386
Do redakcyi Bibl. Warsz. o nazwiskach niem. miast słowiańsk.	1850. II,	572
Wyjątki z listów A. Bielowskiego do A. Przeddzieckiego o wydaniu roczników i kronik polskich.	1850. III,	174
Wyjątek z listu pisanego z Nowego Yorku	1850. III,	564

Do redakcyi Bibl. Warsz. od <i>T. K.</i>	1850. IV,	178
Do redakcyi Bibl. Warsz. od <i>K. Mielezki.</i>	1850. IV,	180
Do redakcyi Bibl. Warsz. od <i>A. Bartoszewicza</i>	1850. IV,	568
Do redakcyi Bibl. Warsz. od <i>J. K. Wilczyńskiego</i>	1850. IV,	569

Kronika bibliograficzna.

Rok 1846. I, 235, 449, 693, II, 213, 442, 676, III, 210, 456, 701, IV, 208, 447, 677.
Rok 1847. I, 214, 440, 672, II, 225, 452, 685, III, 190, 382, 612, IV, 233, 447, 673.
Rok 1848. I, 206, 434, 678, II, 217, 401, 605, III, 214, 443, 679, IV, 215, 459, 696.
Rok 1849. I, 215, 434, 662, II, 214, 433, 669, III, 215, 435, 646, IV, 215, 434, 646.
Rok 1850. I, 190, 391, 591, II, 198, 407, 599, III, 186, 378, 572, IV, 182, 377, 572.

Wiadomości i doniesienia literackie.

Rok 1846. I, 240, 454, 696, II, 215, 446, 677, III, 212, 459, 703, IV, 222, 448, 679.
Rok 1847. I, 215, 442, 674, II, 227, 453, 687, III, 191, 384, 612, IV, 235, 448, 674.
Rok 1848. I, 208, 434, 679, II, 220, 402, 606, III, 216, 444, 680, IV, 216, 460, 697.
Rok 1849. I, 216, 435, 663, II, 215, 434, 670, III, 216, 435, 647, IV, 215, 435, 647.
Rok 1850. I, 191, 391, 591, II, 199, 408, 600, III, 187, 379, 572, IV, 183, 378, 573.

Doniesienia literackie i artystyczne.

p. F. M. S. i przez β. (w 1849 r. i 1850); J. R. S. (1850).

Rok 1848. I, 199, 403, II, 192.
Rok 1849. II, 646, III, 189, 407, 620, IV, 187, 418, 612.
Rok 1850. I, 168, 171, 387, II, 361, III, 563.

Dostrzeżenia meteorologiczne w obserwatoryum warszawskiem.

Rok 1845. <i>Listopad.</i> 1846. I, 241. <i>Grudzień</i> I, 457. Wykaz z całego roku 1845. I, 460.
Rok 1846. <i>Styczeń</i> , I, 697. <i>Luty</i> , II, 217. <i>Marzec</i> , II, 447. <i>Kwiecień</i> II, 679. <i>Maj</i> , III, 213. <i>Czerwiec</i> , III, 461. <i>Lipiec</i> , III, 705. <i>Sierpień</i> , IV, 225. <i>Wrzesień</i> , IV, 453. <i>Październik</i> , IV, 681. <i>Listopad</i> , 1847, I, 217. <i>Grudzień</i> . I, 443.

- Rok 1847. *Styczeń* 1847. I, 675. *Luty* II, 229. *Marzec* II, 457. *Kwiecień* II, 693. *Maj* III, 193. *Czerwiec* III, 385. *Lipiec* III, 621. *Sierpień* IV, 237. *Wrzesień* IV, 453. *Październik* IV, 677. *Listopad* 1848, I, 213. *Grudzień* I, 437.
Wykaz dostrzeżeń meteorologicznych w obserwatorium Warszawskiem robionych w r. 1846 1847. I. po str. 444
- Rok 1848. *Styczeń* 1848. I, 681. *Luty* II, 221. *Marzec* II, 403. *Kwiecień* II, 607. *Maj* III, 217. *Czerwiec* III, 435. *Lipiec* III, 681. *Sierpień* IV, 217. *Wrzesień* IV, 461. *Październik* IV, 701. *Listopad* 1849 I, 217. *Grudzień* I, 437.
Wykaz dostrzeżeń meteorologicznych w obserwatorium Warszawskiem w roku 1847 robionych. 1848. I, po str. 440
- Rok 1849. *Styczeń* 1849. I, 605. *Luty* II, 217. *Marzec* II, 437. *Kwiecień* II, 673. *Maj* III, 217. *Czerwiec* III, 437. *Lipiec* III, 649. *Sierpień* IV, 217. *Wrzesień* IV, 437. *Październik* IV, 649. *Listopad* 1850. I, 193. *Grudzień* I, 393.
Wykaz dostrzeżeń meteorologicznych w obserwatorium Warszawskiem w roku 1848 robionych. 1849. I. po str. 668
- Rok 1850. *Styczeń* 1850. I, 593. *Luty* II, 201. *Marzec* II, 409. *Kwiecień* II, 601. *Maj* III, 189. *Czerwiec* III, 381. *Lipiec* III, 577. *Sierpień* IV, 185. *Wrzesień* IV, 381. *Październik* IV, 577.
Wykaz dostrzeżeń meteorologicznych w obserwatorium Warszawskiem w r. 1849 robionych 1850 II. po str. 204

S P R O S T O W A N I E.

Rozbiory powieści J. I. Kraszewskiego: *Maleparta*, (R. 1844. T. IV, str. 210) i *Powieści Nieboszczyka Pantofla* przez Eleonorę Sztyrmer (R. 1845. T. II str. 412), w *Spisie Rzeczy z pierwszych pięciu lat i dwudziestu tomów Biblioteki Warszawskiej*, przez pomyłkę panu Karolowi Witte przypisane, napisał p. Alexander Przedzlecki.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.



OD REDAKCYI.



Przy skończeniu drugiego pięcioletniego okresu Biblioteki Warszawskiej, redakcyja, celem ułatwienia czytelnikom swoim poszukiwań w ostatnich dwudziestu tomach, ułożyła, podobnie jak po pierwszych pięciu leciech, *spis rzeczy* temi tomami objętych, wedle osnowy artykułów, wraz z alfabetycznym rejestrem autorów. Spis rzeczony podany będzie w załączeniu do zeszytu na miesiąc luty r. b., tudzież wyjdzie w małej liczbie osobnych odbiteków.

Zamykając ten pierwszy dziesięcioletni peryod nieprzerwanego istnienia swojego pisma, postanowiła redakcyja, z powodu częstych w téj mierze zgłoszeń, ułatwić późniejszym i nowym prenumeratorom, nabycie całego zbioru lub lat pojedynczych, a to przez zniesienie ceny.

Odtąd *cały dziesięcioletni komplet od 1841 do 1850 roku włącznie*, złożony ze 120 zeszytów, czyli 40 tomów, może być nabyty w redakcyi za połowę ceny prenumeracyjnej, t. j. *za złotych 300*.

Komplety z lat pojedynczych 1842, 1843, 1844, 1845, i 1846, odstępuje redakcyja po złotych 40. Na kompletach z lat 1841, 1847, 1848, 1849 i 1850, jako znacznie wyczerpanych, zmniejszenia ceny redakcyja postanowić nie może.

Pojedyncze zeszyty z całego ciągu Biblioteki o tyle tylko mogą być osobno sprzedawane, o ile ich zbywać będzie nad komplety. Cena pojedynczego zeszytu pozostaje niezmienna złotych 5.

31 grudnia, 1850 roku.

OBRAZKI WIEJSKIE.

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza.

III.

S O B Ó T K A.

„Gdy słońce Raka zagrzewa,
A słowik więcej nie śpiewa,
Sobótkę, jako czas niesie,
Zapalono w Czarnymlesie.

Tam goście, tam i domowi
Sypali się ku ogniowi,
Bąki zaraz troje grały,
A sady się sprzeciwiały.....

Siostró! ogień napalono,
I placu nam postąpiono,
Czemu sobie rąk nie damy,
A społem nie zaśpiewamy?

To tak matki nam podały,
Same także z drugich miały,
Że na dzień świętego Jana,
Zawždy Sobótką palana.“

Jan Kochanowski.

I.

Sobótko! Sobótko! Ileżto radości, ileż ukontentowania mieści się w tym wyrazie dla wiejskiej dziewczicy okolic Sandomierza! Obrzędy, pieśni i zwyczaje ludu tego niezepsute blizkiem sąsiedztwem miast wielkich, zachowując całą dziewiczość, całą czystość swego początku, dziwnym urokiem karmią duszę i serce czulego słuchacza. Kto chce poznać zwyczaje, stronę moralną i poetyczną ludu naszego, niech go nie szuka blisko Warszawy, bo tam nie znajdzie ani wioski prawdziwej, ani włościan z czystym uczu-

ciem. Już to dowiedzione, że człowiek, którego serce silniej uderza, względnie do wykształcenia, na wszelkie wrażenia tylko sercem dające się pojmować, nie porzuci samowolnie strony rodzinnej, aby ją zamienić na obfitość obcego świata; a jeżeli zmuszony okolicznościami wypuści ze swego objęcia strzechę, która słyszała płacz jego dziecięcy, i poślubi cudze strony i towarzystwo cudzych ludzi: to wówczas i na szczycie dostatków nieraz pierś wzniesie westchnienie tęsknoty i przytuli myśl do ogniska domowego, jakby do minionego bezpowrotnie szczęścia.

Warszawa, ten pasożyt czteromilowego okręgu, nie produkując nic na zaspokojenie licznych i wymyślnych codziennych swych potrzeb, wymaga znacznej liczby rąk pracujących, które zwabione łatwością zarobku i dosyć jego wysoką nagrodą, chętnie ze wszystkich stron świata gromadzą się w pobliże stolicy.

Zbiegowiska te składając się z szumowin klasy wieśniaczęj, wypchniętej z zagona ojczystego próżniactwem, opilstwem i bezeniem życiem, bo chłop z sercem i pracą aż nadto znajdzie chleba na własnej skibie, i za żadne w świecie pieniądze nie pójdzie go szukać daleko; zawierając w łonie swém zwyczaję wszystkich okolic: muszą więc uczuciową stronę i wszystko to, co stanowi indywidualność człowieka wylewać w akordzie niesfornym, chropowatym, niemiłym tak dla ucha, jak dla oka. I w rzeczy samej ich strój pół miejski, pół wiejski, dobierany z najlichszych tandet bliższej stolicy, jakże dobitnie maluje różnorodność żywiołów wsiąkniętych w synów równin Mazowsza!

Nie szukaj między nimi tej jednostajności, tej prostoty podanej od dziada pradziada, które wdziękiem swoim tak ślicznie barwią odzież wieśniaczą dalszych okolic: bo w miejsce tak niewinnej zalotności, znajdziesz na tle wiejskiem różnorodną zbieranie ze strojów całej klasy wieśniaczęj, z potwornem nieraz odbiciem upłynionej mody, która tak szeroką posiada władzę w gotowniach naszych pań i panów.

Muzyka, ta boska mowa szlachetnych i delikatnych wzruszeń serca, karmiona oschłą duszą godnych współbraci pierwszych założycieli Rzymu, gnębiona w miarę zaludnienia się Warszawy codziennie powiększającem się zbiegowiskiem, musiała karłowacić, więdnąć, aż nareszcie uschła i pozbawiona żywiołu z poczciwój i jedrnej piersi idącego, zamieniła się w niemilosierne przedrzeźnianie piosnek teatralnych, ubitych na walce bezdusznój katarynki. A jeżeli czasem dziarska krew Mazura poruszy rzeźkim mło-

dźwięnem, i ujętemu w pół z gracką dziewoją w żwawych tanach, w wesołych pokrzykach rozogni lica, wstrząśnie nerwami i stworzy tłum czucia, tak chętnie w piosnce się objawiający: to w miejscu od ucha rznącego skrzyпка, któryby wiernie odegrał śpiewkę w chwili zapalu stworzoną, cóż biędny Mazur spotyka?—oto katarynkę najczęściej fałszywą. I stanął, podumał, natchnienie mięło, a on jakby z gniewu, że nie ulżył sercu zajętemu wdziękami swojej luběj, urznął hołupca i puścił się młyńca za śladem piosnki, którój i narodzin i śmierci jedynym był świadkiem.

Cóż dopiéro mówić o zwyczajach i obrzędach? Każdy znowo osiedlających się, wynosząc z ognisk domowych takie tylko, które najbardziej przystają do jego skażonego usposobienia, łączy ich cząstkę z nowo poślubionemi, i stwarza cudaka, Bóg wie do czego podobnego (1).

Te więc zbiegowiska zwabione ludnością stolicy, krzewiąc się jak bujne zielska na równinach Mazowsza, z każdą chwilą przygłuszają charakter ludu od wieków na nich zamieszkującego; i przyjdzie ta chwila, może już niedaleka, gdzie ze stron tych zniknie zupełnie dziarska postać Mazura ze wszystkimi swemi zwyczajami, obrzędami i pieśniami, ustępując siedliska światowcowi (2). Kto więc chce poznać lud wieśniaczy w samém jego jądrze i uszczknąć kilka kwiatków z przeszłego jego życia. które on, jakby tajemnice kapłanów egipskich, odział szatą swoich zwyczajów i obrzędów: niech porzuci nudną, równą okolicę Warszawy i bezdusznych jej mieszkańców, i stanie z chęcią swoją przed Sandomierzakiem lub Krakowiakiem; a zaręczam, że choćby był najwybrydniejszy zadowolni swoje ciekawość, ustroi czucie pieśniami, obrzędami, niby kwiatkami wprawdzie polnemi, prostemi jak natura, szczerze po ich niwach złotodajnych rozsypanemi, ale wprost z duszy płynącemi i mówiącemi sercem do serca.

(1) W wioskach nad Narwią położonych, półczwartej mili od Warszawy, w powiecie pułtuskim, jest zwyczaj że w ostatnich dniach zapust, kobiety i cała hołota wiejska rozbestwiona trunkiem, obiega całą wieś i zabiera prawem Kaduka drzewo w kłocach, jakie napotka w okólnikach chłopskich zwiezione ręką skrzętniejszego gospodarza, i przywiódłszy do karczmy pije na zabój, szczerze częstowana przez samego szynkarza, który naturalnie staje się nowym posiadaczem zrabowanego drzewa. Jakie złąd wynikają kłótnie, sprawy, łatwo sobie wystawić.

(2) W mowie wieśniaczej światowiec ma to samo znaczenie, co kosmopolita.

Między wielu zwyczajami ludu sandomierskiego jest jeden zwany Sobótką, obchodzony nocną porą w wilią świętego Jana Chrzciciela z wielką uroczystością. Zwyczaj ten bez zaprzeczenia wyszły z pogaństwa, przez źle zrozumianą pobożność, jako nie odziany szatą religii, wymierzaniem kar na zachowujących go niszczone i wygładzone, z czasem zupełnie zniknie i nie rozświetli więcej nocy dnia tego ogniem bylicy (1), i nie zakłóci jej ciszy wesołym śpiewem tańczących dziewczyn.

W wiosce przez nas opisującej się, obrząd palenia Sobótki zachowywany w całej swój pełności, gorząc jasnym płomieniem jak Znicz litewskiego Lezdejki, zawsze oczekiwany był z największą niecierpliwością przez młodzież płci obojga.

Lubo w ostatnich trzech latach śmiercią ojca dzisiejszego dziedzica pozbawiony powagi, jakiej obecność panów zawsze nadaje wieśniaczym zgromadzeniom, nie miał tej uroczystości, tej pełności i swobody, jakie najglówniej stanowią jego zalety: był jednak obchodzony.

Pan rządcą się gniewał, ciskał, bo słyszał, że Sobótką przez pogan jeszcze obchodzona, ustanowioną była na cześć bogini słońca, i że grzechem jest nie bronić jej wypełniania; ale to nic nie pomagało. Dziewczęta w cichym szepcie przez dzień cały naradzały się o osnowie i porządku nastąpić mającego śpiewu, o miejscu rozniecenia ognia, o chwili zgromadzenia się: i gdy przyszedł wieczór i umówiona pora, ni ztąd ni zowąd zbiegła się kupka w bieli ubranych dziewic, i napaliwszy ogień, dalej w tany, dalej w śpiewy!

Na drugi dzień pan rządcą namantyczył, naodgrażał, nakrzyczał, a one przytuliwszy uszy do siebie i porobiwszy skromne minki jak żalujące przestępczynie, słuchały z udanym smutkiem łajania pana rządcy; lecz jak tylko odwrócił się plecami, zaraz ich twarzyczki zakraśniały długo tłumionym śmiechem, i nie z jednej pokazał się język posłany w pogoń za odchodzącym rządcą, jakby szyderstwo z jego odgrózek i z jego dziwactwa.

Coto dopiéro było uciechy w powrocie do domu! Magda, jako najwyższa i zarazem najdowcipniejsza, zwykle udawała pana rządcę, naśladowując jego ton mowy, odgrózki i sposób łajania; a w wspólnych śmiechach wydając wyroki za pomocą innych dzie-

(1) Bylica rodzaj chwastu, wysoko jak słonecznik wyrastającego, którego grube łodygi używane bywają na ogień przy paleniu Sobótki.

wuch, przyjmujących na siebie rolę karbowego, ekonoma i innych przystawców, natychmiast je wykonywała.

Bez wątpienia, gdyby łajanie pana rządcy i bronienie palenia Sobótki było szczere i pochodziło z niekłamanój chęci wygubienia tego zwyczaju, znalazłby stosowne środki, i dziewczęta mimo najserdeczniejszėj chęci, musiałyby noc wili ś. Jana przepędzić na smutném wspomianiu dawnych, wesółych czasów; ale nosząc zawsze płaszcz na dwóch ramionach, był on w tym wypadku, jak to mówią, między młotem i kowadłem.

Dziedzice ją szanowali, zaszczycali zwykle swoją obecnością; powstawać więc naten obrząd byłoby to samo, co ganić postępowanie swych panów, a on tego bał się jak djabeł święconėj wody; milczć znów i nie starać się o zniszczenie tój pamiątki poganizmu, byłobyto pozwalać na jego szerzenie i zagubiac sumienie. Cóż więc było robić?

Pan rządcą i w tym wypadku umiał się bardzo zręcznie wykręcić. Gdy nadchodziła wilia ś. Jana, ani jedném słowem nie wydał się, że pamięta o zbliżającėj się nocy, która ma okryć cieniem swym wesole płasy młodzieży wieśniaczėj, oświetlone płomieniem gorejącėj bylicy; a jeżeli przypadkiem najmniejszą wzmiankę usłyszał o tój uroczystości, natychmiast niby sobie coś nagle przypominając zmieniał przedmiot rozmowy, i najczęściej z fúkkiem i lamentami gniewał się o jaką drobnostkę gospodarczą.

Ale proszę go było dopiero widzić na drugi dzień, jak rozgorgolony łajał wszystkie dziewczęta, należące do tajemnėj wycieczki nocnėj; to tak krzyczał, tak wrzeszczał, iż sądzilibyście, że się dom zapalił i grozi zniszczeniem zabudowań dóworskich. A tak spełnieniem obrzędu Sobótki, nie naraził się dziedzicowi, chociaż on ani myślał o tём; łajaniem znów i gniewem wywiązywał się z obowiązku sumienia, czyli, że i wilk był syty, i owca cała. Szczęśliwy! istotnie bardzo szczęśliwy!

Dziewczęta tóż pozornie mając sobie wzbronioną wesolą uciechę wili ś. Jana, pozornie się tylko do tego zastosowywały, i radząc cały dzień tajemnie, gdy wszystko się do snu układało, one złączone w gromadkę wybiegały z ogniem na ugór, i podsycając go zbieraną bylicą i wszelkim innym materyałem palnym, śpiewem i tańcem wynagradzały sownie tłumioną w sobie przez dzień cały radość.

W kilka dni we wsi Zagry, którą obraliśmy za miejsce naszego opowiadania, i po zdarzeniach w poprzednich rozdziałach

przywiedzionych, nadeszła nareszcie chwila tak długo oczekiwanéj uroczystości.

Obecność dziedzica, który będąc dzieckiem, zawsze z rodzicami swemi podzielał zabawy i zwyczaje ludu, nie małą robiła otuchę dla całej dziewczęcej rzeszy, iż dzień dzisiejszy świetnością swoją zaćmi wszystkie inne Sobótki, które w czasie jego nieobecności pod osłoną tajemnicy zwykle były dokonywane.

Jak tylko pierwsze ranne zatrudnienie gospodarcze przez płeć niewieścią dopełnione zostało, zaraz się dał spostrzedz jakiś ruch niezwykły między dziewczętami. Przechodziły od chałupy do chałupy, przystawały na błoni, gdy się jedna z drugą spotkała, coś rozprawiwały z wielkiem zajęciem, niektóre ze śmiechem, inne znów z dąsami: słowem, każdy to uważał, że coś niezwyčajnego zaprzęta główki powabnych dziewczuch.

Nie sądźcie jednak ładne czytelniczki, aby tylko strój, ubranie, wplecenie nowéj wstążki miało jedynie stanowić treść rozmowy tych nieokrzesanych piękności. Zalotność i chęć zabłyśnięcia urodą jest im wprawdzie znaną, bo nie każda poprzestaje tylko na świadectwie krynicznej wody, szukając wierniejszego odbicia swoich wdzięków w małym, w ścianę przy oknie wlepioném przejrzałku (1); lecz zalotność ta nie może dostarczać tyle rozmaitości w rozmowie, tyle obfitości, jakie się napotyka po salonach płci nadobnej świata wyższego, gdzie moda, zmienność, upodobania, a nadewszystko widzimi się i małe grymasiki, składają się na tkanę przedmiotów, poruszających różane usta naszych piękności.

Wiejska dziewczica nie rozumie, a nawet nie zna wyrazu moda, bo jéj babka i prababka przed stu laty tak się ubierały, jak ona dziś, jutro, i za lat kilka ubierać się będzie; zmienności, upodobania i grymasików co do stroju mieć także nie może, bo zkąd tu brać na zrealizowanie ich w nowy gorsecik, w nową spódniczkę, lub inny jaki powabny stroik?

Staranniejsze znów ubranie zachowuje jedynie do kościoła (2), na obrząd weselny, w którym jako druchna lub panna młoda

(1) Tak nazywają zwierciadło.

(2) W Sandomierskiem wszelkie ubranie lepsze, którego lud nie używając przy codziennéj pracy bierze tylko na siebie w dni świąteczne i inne uroczystości wiejskie, nazywa szmatami kościelnymi. Nazwa ta, a szczególniej przeznaczenie, jakie nadaje porządniejszemu ubraniu, dosyć pochlebnie świadczą o jego cześci dla obrzędów kościoła i poszanowaniu dla religii swych przodków.

bierze udział, i bardzo rzadko do zabawy karczemnej; w inne zaś dni i w innych wypadkach tylko czystość i świeżość części ubioru, stanowią jedyną jego zaletę.

Więc rozprawy ze śmiechem i dąsem połączone wcale co innego miały na celu; nie o stroju naradzały się tu przyszłe kapłanki pogańskiego obrzędu, nie o wstążkach ani o sposobie ubrania: dziś daleko ważniejsza okoliczność zaprzętała umysły tych prostych córek natury. Sobótka, ten wyraz czarodziejski, onto tyle robi wrzawy, onto rozwiązał języki młodych jego główek, i spowodził śmiech i gniew do ich rannych rozmów.

I nie dziwcie się; śpiew przy Sobótce wykrywał wszystkie tajniki miłosne, połączone z sądem o nich wsi całej, on naznaczał przymioty dziewczętom, on określał ich wady: więc był niejako cenzorem ich postępowania i skazówką opinii, jaką każda z nich posiadała między jój mieszkankami. A więc rozprawiwały i naradzały się, bo istotnie miały nad czém radzić!

Teraz zapewne nie zadziwią się ładne czytelniczki i nie rzucą gromów na nasze wiejskie bohaterki, za brak uczucia piękności, którém same tak zgrabnie zdobią całą swoją powierzchowność: bo taki cel, jaki zamykał w sobie obrząd Sobótki, musiał głównie wziąć górę w rozmowie i ubarwić ją wszystkiém tém, co bliższy lub dalszy z nią ma stosunek.

Między najbardziej czynnymi dziewczętami, była znajoma nam Magda. Jak tylko się obudziła, jeszcze przed wschodem słońca, natychmiast poświęciła kilka chwil umyciu i ubiorowi; uprzątnąwszy następnie posłanie, rzuciła krowom zebranego chwastu, wydoiła je i ryczące pogoniła ku błoniowi, gdzie zastała już kilka wieśniaczek, jak z założonemi rękoma w rozmowie czekały na pokazanie się pastucha.

Byłyto po większej części same gospodynie; nie zbliżała się więc do nich, bo i przez pewien rodzaj uszanowania i że spostrzegła stojącą między niemi Szczepanową, niebardzo przez siebie lubioną, a troszkę za niemi Marynę Patyjak, z którą w dzień zabawy karczemnej, tak się przemówiła. Magda spoglądała często ku chałupce Małgosi; widno było w jój spojrzeniu, żeby rada jednéj chwili zobaczyć się ze swoją przyjaciółką; czasem rzuciła ciekawém uchem ku gromadce rozmawiających kobiet, ale jak tylko niby nieznacznie zaczęła się do nich zbliżać, natychmiast cichł głos rozmawiających, tak, że nic nie mogła uchwycić, z czego by poznał treść ich skrytej narady. Ile razy oddaliła się, tyle

razy gromadka ta stawała się hałaśliwszą, i wzrastającym śmiechem tém większą obudzała ciekawość; za zbliżeniem znów uci-
chła. Gdy więc Magda po trzy razy powtórzyła swoje manewra i zawsze bezskutecznie, rozgniewawszy się i mruknawszy pod nosem: „Psie mięsa, szepczą, szepczą i śmieją się jak głupie; żeby poszeptaly że bodaj” przegnała krówki na drugą stronę i zajęta już tylko samą chałupką Małgosi, spokojnie czekała w miejscu pognania bydła w pole.

Nie próżna jednak tylko ciekawość kazała Magdzie podstuchiwać rozmowy, tak troskliwie przed nią ukrywaną: przeczuwała ona a nawet pewną była, że to o Małgoście tak radzą: więc chciała coś, coś, chociaż jedno słowo uchwycić, aby poznać w jaki sposób obgadują lubioną przez siebie dziewczynę. Od zabawy bowiem karczowniczej, która tak nieszczęśliwy dla Józefa miała koniec, od pierwszej kłótni z Maryną o Małgość, ciągle słyszała wznoszące się wokoło siebie rozmowy, tak niekorzystne, tak pełne zjadliwości dla biednej swój przyjaciółki, że w końcu sama nie wiedziała czemu wierzyć, a co plotkom i złośliwości przypisać.

Kilka tych dni przebiegło jak nic; na drugi dzień po uciezce niedzielnej, Małgosi nie było u roboty, nie mogła się więc z nią widzieć; następnych zaś dni, wiele razy zaszła do jęj chałupki, to albo nikogo nie zastała, albo samą matkę tłumaczącą nieobecność Małgosi to pójściem do młyna po dane wczoraj pół korca żyta, to udaniem się w interesie do ciotki w Blesznicach mieszkającej, lub innym jakim sposobem. Lecz gdy przyszła wilia ś. Jana, gdy ją dochodziły posłuchy, że sam dziedzic pytał się o Sobótkę, bądź co bądź postanowiła koniecznie zobaczyć się z Małgosią, i dlatego tak od rana zwijała się w robotcie, żeby mogła chociaż z godzinę nagadać się i naradzić z przyjaciółką.

Nie spuszczała więc z oka ani na chwilę jęj pomieszkania, słusznie wnosząc, że nie będąc dzisiaj wysłaną na pańszczyznę, musi ją gdziekolwiek spotkać, bo prawie ze wschodem słońca rozpoczęła swoje obserwacyę.

Tymczasem coraz więcej z przybywającym bydłem na błonie powiększało się grono rozmawiających kobiet, a im więcej było życia w ich rozprawach, tém więcej Magda, chociaż już opodal stojąca, niecierpliwiła się i szeptała pod nosem wyrazy nieukontentowania.

— Ale coś pastuchy nie widać—odezwała się znana nam Franciszkowa Federak do otaczających ją kobiet—słonko się już coraz lepij podnosi, a on ani myśli o naszej chudobie.

— Ha! moja kumo—odrzekła Szczepanowa—bo i on tak se zaczyna poczynać, jak Małgoška: w nocy hula, a w dzień śpi, choćby do śniadania.

— A prawda, macie racyą, moja sąsiado—odezwała się żona Ignacego Lacha, kobiéta już niemłoda—czy-ta Małgoška hula po nocach czy nie, tego ja nie wiem, ale widzę, że cierpliwa w oczach, bo słonko siedzi prawie u niéj na oknie, a ona se widać śpi, bo jéj jeszcze ani widno przed chałupą nie było.

— Ej, moja sąsiado—odrzekła Szczepanowa podnosząc do góry ramiona—gdybyście i wy w takiej byli obserwacyi jak Małgoška, tobyście i wy tak się wysypiali.

— Doprawdy?—odrzekła z niekłamaném zadziwieniem Lachowa—tak mówicie moja Szczepanowa?

— Alboto ja tak mówię sama jedna: toć przecie wiedzą ludzie, co się to święci z Małgošką.

— A cóż przecie takiego, moja sąsiado?

— Patrzta, patrzta, moje sąsiady—przerwała Federakowa, jak to Janowa obsługuje Małgoškę.—I po tych słowach wszystkie zwróciły oczy na chałupę cenzorowanej dziewczyny.

Istotnie Janowa otworzywszy sionkę, wypuszczała z noclegu gąski, które z podniesionemi skrzydłami i z głośném, radosném gęganiem wybiegały po jednej prosto ku sadzaweczce, na środku błonia położonej. Małgoška ani się pokazywała.

— O niebożatko!—odezwała się Lachowa—na stare lata musi sama wedle wszystkiego się starać. O nieboga!

— Moja Ignacowa, nie żałujcie—odezwała się Stachowa Kapuscina, wysoka, w średnim wieku kobiéta, z wyrazem twarzy złośliwym i głosem prędkim, jak grzechotka wkółko obracana—bo jak se nie umiała poczynać z chudobą po nieboszczyku, tak teraz z córusią: i jak chudoba z wodą poszła, tak i z Małgošką nic lepszego nie będzie.

Ignacowa Lach nic na to nie odpowiedziała, tylko potrząsając głową, ciągle jakby do siebie powtarzała: O niebożatko! o nieboga! na stare lata!

— Kumo, kumo!—rzekła Federakowa trącając Szczepanową, gdy Lachowa ze smutkiem poglądała na Janową, uganiającą się

przy sadzawce z gąskami —Kumo zobaczycie, że Małgoškę to teraz ani uświadczy bosó (1).

— A rękawiczki—odrzekła zagadniona—to se teraz nawet na nos kupi, zobaczycie.

— A może to być—odezwały się dwie inne, wtorując sobie śmiechem.

— A do karczmy—dołożyła Kapuścina—i na inną jaką uciechę, to ją wodzić będą w krzesło, jak nieboszkę matkę naszego młodego dziedzica; ha! ha! ha!

I śmiech jak iskra elektryczna znowu obleciał dokoła po ustach rozmawiających. Jedna tylko Lachowa stała smutnie i milcząca, spoglądając na Janowę, która ciągle krzątała się około chałupki: to zbierała drobne kawałki drzewa, to porządkowała w sieni, a ciągłym wchodzeniem i wychodzeniem najchętniej dowodziła, że sama tylko jedna zajęta jest małym swym gospodarstwem. Małgoška się nie pokazywała.

— O poganka, poganka!—odezwała się Szczepanowa potrząsając głową — jabym ci się pozwałała tak wysypiać i swoje stare kości tak tyrać w robocie. O! poganko, poganko! Różgi halegantce, różgi!

— Et, gadacie moja sąsiado—rzekła Kapuścina—niedoczekanie teraz nasze, żeby Małgoškę kiedy pokładali; prędzej nam się może co dostać jakby kto podsłuchał, że tak o niej radziwa.—A cichszym głosem dodała:—Widzicie, jakto Magda podsuwa się ku nam, a radaby uszy wsadzić której z nas do gęby. Cicho, cicho moje sąsiady, bo z tą wielguśnicą ona bardzo się lubi.

— Oto moje kochaneczki—mówiła cichszym głosem Federakowa—jest w tém racya, co powiadacie moja Stachowa, bo żebyście wy wiedzieli, co się to działo w pałacu w poniedziałek, jakto obili Wojtka, Tomka i Walka, to aż dziwno człowiekowi się robi.

— No, cóż takiego, cóż takiego? — odezwały się wszystkie razem.

— Dworus jak poszedł na uzalenie do dziedzica, jak mu powiedział, że to cała zabijatyka poszła z tego, że on se chciał z Małgošką po warszawsku począć: tak moje kochaneczki dziedzic, chociaż młody ale nabożny, nie żaden sodomnik....

— A już to prawda—przerwała Szczepanowa —w kościele zawdy z książki czyta; rychtyczek jak jego ojcowie.

(1) Czyli, nie zobaczy bosó chodzącój.

— Alboto opiekun także nie nabożny człowiek—domówiła Kapuścina—choćta z dużemi wásami i gada, że go ciężko zrozumieć, ale zawsze klęcząco mszy świętej słucha.

— Czekaĵta, czekaĵta, moje sąsiady —mówiła Federakowa trącaĵąc obie, zajęte pochwałami nabożeństwa swoich dziedziów.

— Jakem się dworskim chlebem pała—mówiła Szczepanowa nie zważając na trącanie Federakowój—to ja sięta wszystkiego dosyć napatrzyła. O moje kochaneczki! dworskie śmieci to jednemu majątek, a drugiemu biędę przynoszą. Razem ze mną....

— Ale czekaĵta, moje kochaneczki. Kumo, kumo!—mówiła Federakowa szarpiąc za rękę Szczepanową—czekajcieno....

— No gadajcie, gadajcie.—odrzekła Szczepanowa.—Kiedy wam tak pilno, gadajcie.

— Otóż widzicie, moje kochaneczki, jak się dziedzic o zbytkach Małgoški dowiedział, to się tak rozgniewał, tak chodził wkoło po pokoju, tak....

— Doprawdy? patrzcie—przerwały słuchające.

— Tak, tak, moje kochaneczki; i potóm....

— Rychtyczek jak ojciec nieboszczyk — domówiła Szczepanowa.

— I potóm moja kumo zawołał rządcy i kazał Małgošce dać piętnaście różg, a Antkowi, Wojtkowi, Walkowi i Tomkowi tylko nakrzyczeć i nastraszyć ich; ale cóż....

— Patrzajcie? i jakże się zrobiło?—zapytała Lachowa.

— Moja Lachowa, czy to nie znacie—mówiła Szczepanowa—że psu i chłopu to nigdy wierzyć nie trza.

— Oj prawda, prawda — rzekła Kapuścina, a podnosząc oczy w górę, z westchnieniem dodała.—Pamiętacie nieboszczyka dziedzica? niechta z Bogiem spoczywa; żebyta wszystko tak było dochodziło do skutku, jak on w złości....

— Czekaĵcieno Stachowa—przerwała Federakowa, szarpiąc wszystkie kobięty za ręce—czekajcieno: pozwólta, ja wam wszystko powiem jak było, bo moja bratanka Jagna była wtedy....

— Ale moja kumo—odezwała się Szczepanowa—wyta lepiej nie wiécie odemnie; tylko posłuchajta....

— A gadajcie moja kumo—odpowiedziła Federakowa—przecieć wam goździem języka nie przybiłam.

— Otóż widzicie, moje kochaneczki—ciągnęła mowę Szczepanowa—jak się dworus zwąchał z Małgošką, tak zaraz niby się

téz przypochebić, dalej z gadką (1) do dziedzica. To zwyczajnie jak każdy chłop.....

— A juźcić, moja Szczepanowa, wy tota najlepij znata—przerwała Kapuścina.

— Co wy gadacie, moja Stachowa—rzekła urażona Szczepanowa—jakbyście nie wszystko dobrze w głowie mieli: cóżto? najlepij wiem.

— A juźcić byliście lat kilka we dworze—odpowiedziała zagadniona—to tam.....

— Nie ocierajcie se gęby mojm dworactwem, moja Stachowa—mówiła rozgniewana Szczepanowa—bo ja czysta wszędzie, choćta niejeden, moje kochaneczki.....

— A moja Szczepanowa, przecie ja was do żadnych zbytków nie przykładam.

— Bom nie zbytkowała, moja Stachowa, Bóg mi świadkiem nie zbytkowałam; a wy lepijbyście swego nosa pilnowali, jak czyjego dworstwa.

— Mójta nos nie potrzebuje waszego ucierania, i aby mi Bóg dał zdrowie, to nie będziecie mi go nigdy ucierać.

— Nie miałabym téż roboty, ale o waszym nosie myśleć—mówiła Szczepanowa w coraz większy wpadając zapał.

— A czegoż się tykacie mego nosa? He?

— A poccoście ugryźli mnie w moje dworstwo? He?

— E, dajta pokój sąsiady. Kumo —odezwała się Federakowa—patrzajcie jak Janowa dźwiga na plecach wodę z konewkami.—I wszystkie jak na komendę zwróciły uwagę w stronę sobie wskazaną.—Bodajto na stare lata takię się pociechy z dziecka doczekać!

Tym przypadkowym zwrotem rozmowy podnosząca się kłótnia między dwiema kobietami, w miejscu przeciętą została. Chłop bowiem każdy w ogóle, a szczególniej kobiety, jak są łatwe do swarów, tak jeszcze prędsze do zgody; chwila pokłóci, wyobraza językami na wszystkie strony, i ta sama chwila, zapał gniewu przemienia bardzo często w wspólny śmiech serdeczny.

Gdy rozmawiające w milczeniu spojrzwały na postępującą z wolna z konewkami starą Janowę, zaraz odezwała się Lachowa z największym żalem:

(1) Z gadką, od *gadać*, czyli z mową.

— O! niebożatko, tak się tyrać, tak się wysługiwać!

— Słuchajcie kumo—rzekła Szczepanowa—powieǳcie Magdzie, żeby nam siadła na językach, bo ciągle wedle nas zacharuje.

— Ha, moja kumo—odrzekła zagadniona głos zniżając—nadśluchuje, żeby się téż Małgoſce odkazać i liznąć, gdy ją w maśło będą obléwać—i zaczęły się wszystkie śmiać.

— Bęǳta i inni lizać—dodała Kapuścina.

— A juźcié moja sąsiado—odpowiedziała Szczepanowa—wszystkim się tam po trochu dostanie: i dziedzicowi, i dworskim, i.....—Podnoszący się śmiech nie dał jéj daléj mówić.

— Moje sąsiady—odezwała się najmnieǳ dotąd mówiąca Lachowa, gdy spokojność między rozmawiającemi wracać zaczęła—wy gadata, gadata, a jata nie waszój gadki nie rozumiem.

— A cóżto? czy was nie ma we wsi, czy co?

— Moja Stachowa, jata stara, z domu rzadko wyłażę, do karczmy nie chodzę, mój.....

— A i myćta w karczmie nie siedziwa zawsze: mawa także w domu robotę, żebyśwa mieli cudzych interesów patrzeć—odezwała się Kapuścina.—Gadacie moja Ignacowa jak na mękach.

— Ej, moja Stachowa, kto tam wam poradzi ze Szczepanową.

— Kto poradzi? kto poradzi? Cóżto ja taka ostatnia? taka najgorsza? Jakieście starzy, tak i głupi—mówiła Stachowa trzymając się ręką pod bok.

— Dalibyście pokój, Stachowa—odezwała się tonem pojednawczym Szczepanowa:—tak se poczynacie z Ignacową, jak z jaką młokoską: przecieć miejcie kalkulacyą.

— O wyście mądrzy, mądrzy—odpowiedziała Kapuścina—że dwór znacie, to się puszycie jak jędor.

— Ej, dajta pokój, moje sąsiady—odezwała się Federakowa:—dajta pokój. Słuchajcie mnie Ignacowa, ja wam wszystko przełożę.

— Ale wyta nie wiecie tak, jak ja; czekajcie, czekajcie, moja kumo—porzucając nową kłótnię odezwała się Szczepanowa.

— Gadajcie, gadajcie—domówiła Federakowa z Kapuściłą.

— Otóż widzicie moja Ignacowa, jak dworus przed dziedzińcem oświadczył o Małgoſce wszystko, że gładka, że młoda, tak potém wsiadł na konia i przyjechał pod jéj chałupę....

— Alboto prawda?—przerwała Federakowa—Nie tak, czekajcie, ja powiem. Widzicie.....

— Ale moja kumo — odpowiedziała Szczepanowa — przecieć ja se tego z palca.....

— O! już wy wszystko wiecie najlepiej — odezwała się Kapuścina. — Dajcie pokój Janowej, niech mówią.

— No, niech mówią, niech mówią, kiedy się tak wydzierają do gadki.

— Widzicie moja Lachowa kochana — ciągnęła opowiadanie Federakowa, gdy milcząca Szczepanowa słuchając razem z innymi, kiedyniekiiedy szeptała sobie pod nosem: — Aha, albotto prawda: nie tak, nie — i t. p. wyrazy. — Otóż widzicie moja Lachowa kochana, jak dziedzic kazał dać 15 różg Małgoście, tak zaraz Nastka od rządcy poleciała do niej z językiem, bo.....

W tém miejscu Szczepanowa głośniej szepnęła, jakby z niecierpliwością. — Nie prawda, Nastka-ta ani wiedziała, co dziedzic mówił.

— Et gadacie, gadacie — odpowiedziała opowiadająca — Moja kumo, wiedziała, bo ona mi to wszystko opowiedziała.

— No gadajcie, gadajcie, jak wiecie; ja wam tam gęby nie zatykam — mówiła Szczepanowa. — Potém ja swoje powiem.

— Jak rządcą przyszedł od dziedzica, tak wszystko swój opowiedział, a Nastka wtedy obsługiwała; i słyszała, a wy mówicie — dodała obracając się do Szczepanowej — że Nastka nie wiedziała co dziedzic mówił; więc zaraz.....

— Gadajcie, gadajcie — domówiła Szczepanowa.

— Więc zaraz Janowa z Małgością, ustrojoną jakby na jaki odpust poszły do dziedzica, i wszystko się też zaraz przemieniło.

— Doprawdy? — rzekła zdziwiona Lachowa: — to już jój nie bili?

— Powiadam wam, że się wszystko przemieniło. Małgości już nie bili, ale obili Wojtka, Tomka i Warka za to, że także wedle niej zacharowali.

— Doprawdy? — odezwała się Lachowa — moje kochaneczki, pierwszy raz słyszę; a to się różne dziwy dzieją na świecie.

— Moja Lachowa — odezwała się Kapuścina — tak gadacie, jakbyście dziś dopięro wyleźli na świat; dziwicie się, jakby to było co dziwnego. O Boże kochany i z wami, i z waszém dziwieniem się!

— Moja sąsiado — odezwała się strofowana — dziwię się, bo to pierwszy raz słyszę, co się między wami urodziło.

— Między nami urodziło—powtórzyła z gniewem Kapuścina—widzicie ich. Coto?—mówiła dalej przytupując nogą i opierając rękę na boku—coto? czy my się plotkami bawiewa, czy to my nie mamy gospodarstwa, żeby tylko myśleć o cudzych sprawach? Widzicie, jacy mądrzy.

— A dajcie mi święty pokój—rzekła Lachowa podnosząc ramiona do góry—czy zwaryowała ta kobieta, czy co? Boże kochany!

— Coto? co wy se myślicie—w jednej, zawsze rozdąsanéj postawie mówiła z fukiem Kapuścina—coto, mnie będziecie do waryatów przykładać? Abo ja dziś szaleju (1) najadła się, czy co? Mam chleb Bogu dzięki, mam; nie pragnę go, nie pragnę, bo ja umiem wedle niego chodzić.

— E, cichobyscie byli—odezwała się Federakowa—bo Magda znowu z uszami podjeżdża tu ku nam.

— A! bo to chytra (2) na plotki, jak kot na myszy—odezwała się Szczepanowa. I wszystkie ze śmiechem i przytłumioném wołaniem:—Kici, kici, kici—po raz trzeci odstraszyły podsuwającą się ku nim Magdę, która, jak widzieliśmy, rozgniewana, przegnała krowy na drugą stronę błonia.

— Oho! kot poszedł do mleka—zawołała głośniej Kapuścina—i wołając na kręcącego się koło nich psa, dodała:—Burek! huzia! kota, kota, kota.

Pies jakby rozumiejąc prowadzoną rozmowę, pobiegł z głośném szczekaniem w stronę idącej Magdy, i mimowolném zastosowaniem się do wydanego rozkazu, powiększył jeszcze bardziej podnoszące się śmiechy między rozprawiającemi kobietami.

— Bodaj was, moja Stachowa—odezwała się Lachowa ze śmiechem, zapominając zupełnie przerwanéj z nią kłótni—bodaj was Bóg kochał z waszemi uciesznemi rzeczami. O mój Jezu! jakem się téż uśmieła!

— A widzicie, że to i pies czasem ma rozum.

— Kumo, kumo—rzekła Federakowa—teraz Małgośka w takiej obserwacji, to się będzie musiała o psa wystarać, żeby jój nie okradli.

(1) Szalej, roślina, której nasienie drobne, czarne, zamknięte w małych jak makówka główkach, ma własność niebezpiecznego odurzenia.

(2) Czyli cheiwa. Lud w Sandomierskiém wszędzie wyraz *chciwość* zastępuje wyrazem *chytrość*, i mówi: chytry na robotę, chytry na pieniądze i t. p.

— A jużci, moja kumo, jata swego od dziś dnia zawsze na sznurku będę przy chałupie wiązała, żeby go do siebie nie zwabiła—odpowiedziała Szczepanowa.

— I ja, i ja—odezwały się Federakowa i Kapuścina.

— Moje kochaneczki, moje złote sąsiadki—mówiła Lachowa—a z kądże ta obserwacya spadła na Małgoškę? czy z nieba, czy z deszczu?

— Ale, z nieba? Takżeście chcieli—odpowiedziała Szczepanowa.—Oto widzicie, dziedzie jak przyjechał do Małgoški na koniu, tak dalej do figłów: zaczęli gadać, śmiać się, boć to wszystko widział Franek rządcy, jak jechali na folwarki....

— Prawda, prawda—potwierdziły drugie.

— No to widzicie, jak się naśmiali, nagadali, tak dziedzie zaczął liczyć pieniądze i het wsuwać za koszulę. Paskudnica, bezwstydnica, poganka!

— Doprawdy—odezwała się z zadziwieniem i z oburzeniem Lachowa—anim miarkowała, żeby Małgoška tak była rozpuszczona.

— A widzicie, taki to niby potulne, a jak to umie chłopów se zwabiać. I mego głupiego Antka także otumanila, ale teraz zmiarkował, jakim mu nagadała, jak rządcza mu powiedział do rozumu, tak se przecieć tę poganke wybił z głowy.

— Moje kochaneczki—rzekła jednym tonem Lachowa—kto by się to spodziewał! A i cóż ona z temi pieniędzmi zrobiła?

— Ej, moja sąsiado, alboto na tém koniec? i zboża ze spi-chrza dworskiego dostała, i gruntu jój mają pod żyto dać na zimę, a potém to i chałupę nową postawią, i stodołę, bo już mówił ekonom, że będzie przed zniwy jeszcze zwoził materyał z lasu.

— Patrzajcie, moje sąsiadki—rzekła Lachowa—to się teraz podeprze biedactwo Janowa: może się nie będzie tak wysługiwać wedle domu.

— Et gadacie, gadacie; jeszcze więcej będzie musiała rąk do pracy przykładać—mówiła Kapuścina—bo jój ślicznój córusi ani uświadczy teraz w domu: ciągle światem i światem.

— A gdzież ona teraz tak chodzi?

— O! moje kochaneczki—odezwała się Szczepanowa—kiedy tak grosz lekko wpadnie do garści, to trzeba tylko myśleć, jak go najprędzej zmarnować; bo kto pracą nie letkością dorobi się kawałka chleba, to go szanuje, moje kochaneczki, ściska brzucha, a barszcz jé szydłem. O ho! ho!

„Kto za młodu skacze,
To na starość płacze”.

Oj prawda, prawda, moja sąsiado—odrzekła Kapuścina:— płacze teraz Janowa, że nie umiała nieboszczyka pracy szanować, i ta będzie płakać jej śliczna córusia, niech tylko tak se z młodości poczyna, jak już zaczęła.

— A juźcić moja Stachowa macie racyą, bo kiedy grosz-ta do niej przychodzi, niechby kupiła wieprzka, upasła, toby i pomalu przyszła do krowiny, i miałaby w domu kapkę mleka; ale....

— Moje sąsiadki—zaczęła znowu Lachowa—żebyśta.....

— Patrzta—zawołała raptem Federakowa—a dyćto Małgośka wyszła teraz z doma i pędzi przed sobą jakiegoś bydlaka.

Wszystkie z największą ciekawością spojrzaly. Istotnie Małgosia w białej koszuli, w białej spódnicy, w pstrój chustce na głowie i z przewieszonym nowym szkaplerzem, szła za ładną czerwona krowką, którą wprost ku gromadzącemu się bydłu w pole popędzała. Patrzyły i milczały nasze radzące gosposie; bo każda w głowie swojej krzyżowała myśli, z kąd Małgosia tak nagle przyszła do krowy.

Byłyby pewnie na nowo przytoczyły wszystkie już wypowiedziane swoje uwagi, z tysiącznemi domysłami, o początku przyjęcia do krowki przez obmawianą przez nich dziewczynę, gdyby nie ogólny ruch między zgromadzonem bydłem, które popędzane trzaskaniem bicia i wołaniem goniącego pastuchy, zaczęło się z rykiem gromadzić i wolno postępować w idący od wsi wąwóz.

Słońce wybiegło już dosyć wysoko, a promieniem swoim wyglądając z zakaleniec (1) chat wieśniaczych, wplatało wstęgi jasne, ogniste, w popielate pasma dymu, z kominów prosto w górę strzelających. Wiatr muskał listki i trawki obciążone kroplami czystej rosy, które chwając się i jaśniejac milionami odbitych w sobie słońce, szmerem swym niewyraźnym, łączącym się ze świergotaniem ptasząt, stanowiły główny śpiew, sunący się po ziemi jak krasna Sandomierzanka, gdy z piosnką na ustach przebiega niwy złotodajnej swój krainy.

Ryk bydła, wołanie popędzających wieśniaczek i pastuchy, wrzaskliwe krzyki ganiających się na sadzawce gęsi i kaczek, stanowiły znów jakby wtór tego śpiewu przyrodzenia, podnoszącego głos na widok wszystko ożywiającego słońca.

(1) Tak się zowie sam szczyt dachu.

Wąwóz idący prosto w pole nieoświetlony jeszcze blaskiem gwiazdy dziennój, obrośnięty przy wnijsciu dużemi krzakami łopianu, bylicy i kółącego ostu, wyglądał jak paszcza bajecznego potworu, otwarta na pochłonięcie przysuwającego się ku niej bydła. I gromadka wolno kroczącego dobytku wieśniaczego jak tylko się go dotknęła zaczęła się zmniejszać, uszczuplać: już tylko ośm, sześć sztuk mogłeś się dorachować, nareszcie trzy, dwie, jedna, i ta znikła, a za nią i trzaskający z bicza pastuch, który z powagą, zgarbiony, z torbą skórzaną przez ramię przewieszoną, wsunął się w gardziel otwartej paszczy. Jeszcze chwil kilka mogłeś dosłyszeć jakby podziemne szamotanie się i głuchy jęk połkniętej rzeszy we wnętrzościach potworu, aż pomału, pomału i to uciadło, zostawiając mały tuman opadającego pyłu, niby świadectwo ruchu i życia, przed minutką na błoniu wiejskiem panującego. Lecz o dziwo! nad wsią, z drugiej strony wąwozu, jak w zaklętej krainie duchów i wieszczek, nagle zpod ziemi wybiegła jedna krówka, dalej dwie, sześć, dziesięć; o ho! już nie możesz się dorachować, tak się cisną i wylewają szerokim strumieniem na twarde ugor, łączący się z miękkim zielonem pastwiskiem. Nareszcie pokazał się i sam pastuch: palnął z bata jakby z radości, że znów świat i słońce zobaczył, krzyknął na różnobarwną rogatą rzeszę rozsypaną po polu, i znowu z zegnaną gromadką pomału skrył się w rozdole, łączącym się z pastwiskiem.

Gospoście pospieszyły do domu, zostawiając na inny raz zaczęte na błoniu rozprawy; nawet kłótniwa Kapuścina, wymowna Szczepanowa i ciekawa Lachowa, musiała w sobie chętkę do gadania przytłumić, bo to z każdój chałupy po kilkoro ludzi jest w polu u roboty, trzeba więc poprzyrządzać śniadania, zanieść każdemu, w domu poumiatać, ocharużyć się (1), przynieść dla dobytku chwastu: więc pośpiech w powrocie potrzebny, każda chwila drogą. Magda jak tylko ujrzała idącą Małgosię i popędzającą przed sobą krowę; natychmiast podeszła ku niej, i razem z nią za idącym bydłem postępowwała. Zdziwienie jej nie miało granic. Krówka młoda, ładna, wartająca najmniej pięć dukatów, oczywiście zdaje się być własnością Małgosi. Ale zkądże wzięła tyle pieniędzy? W pierwszej chwili ukontentowanie, jakiego doznała na widok bogactwa Małgosi, przytłumiło w niej wszelkie inne myśli. Zajęta jedynie szczęściem swój przyjaciółki, z radością niczém nicopisaną zganiając

(1) Ocharużyć się, znaczy, w swoim ubraniu zrobić mały porządek.

krówki skubiące trawę na błoni, przyspieszonym krokiem postępowała ku krasnej dziewczoi, aby czémprędzej przypatrzeć się temu nowemu skarbowi, ocenić, czy będzie dobra do chowu, do mléka, i dowiedzieć się, z której strony gwiazda pomysłności zajaśniała dla biednej dziewczyny.

Bo ileżto one nie poświęciły godzin na narady, zebrania potrzebnej summy do kupna jeśli nie krowy, to przynajmniej jałówki? ileżto rozkosznych marzeń nie przesunęło się w mglistych obrazach po radzących ich głowach? Ale byłyto tylko sny rozkoszne, po których srogą rzeczywistość biedy rozwiewała jedném dmuchnięciem złote nitki nadziei, z taką wianą, z taką szzerotą! snute i snute bez końca!

— Oto — mówiła zwykle Magda — masz moja Małgosiu czternaście gęsi; jak ci się podchowają, weź na odrobek ze dwóra choć z pół korca owsa, podpasiesz ich jako tako trochę ziemiakami, trochę owsem, i sprzedasz je na św. Marcina na jarmarku. Choćbyta już najgorzej, to zawsze za czternaście gęsi zbierzesz chociaż ze czterdzieści złotych. We zniwa będziesz z matką chodzić do roboty, to przecie zbierzeta chociaż ze dwadzieścia złotych; ot widzisz, to i mało braknie do krowy, a może ci trochę ludzie dopomogą, pożyczą, to później im odrobisz i przyjdiesz przecie do kapki mléka w domu.

Małgosia z uśmiechem słuchała téj mowy Magdy, kiedyniekiedy wyglądając okienkiem za owemi gąskami, przyszłym swoim skarbem; i jak tylko ujrzała zbliżające się z wyciągniętymi szyjami pod próg swojej chaty, natychmiast wybiegała, rzucała posiekaną zieleninę, i z całą troskliwością czulej gospodyni przyglądała się łakomie pożerającemu ptastwu. Tu znów nową odbywały naradę: albo lubowały się ich pięknoscią, wykrywając różne przymioty, których nie dostrzegały w żadnych sąsiednich, albo zastanawiały się nad sposobem ich karmienia i wychowania, aby się ustrzedz od wszelkiego ubytku w niewielkiém i tak stadku, albo narazcie naradzały się nad środkami leczenia w czasie jakiej słabości już doświadczonemi skutecznie przez Szczepanową, Federakową lub inną jaką gospodynią. — I to stadko biało-piórych gąsek, zaledwie kilkanaście złotych mających wartości, dopiero czasem, starunkiem, mogące przyjsć do szacunku owych tak gorąco pragnionych czterdziestu złotych, było po większej części treścią rozmów, marzeń i nadziei Małgosi: było promieniem, zakreślającym koło dumañ naszej wiejskiej piękności.

Biędne dziecko! marzyło, dumało, a rok mijał za rokiem, i tak chciwie wyglądana krówka nie zaglądała pod strzechę, aby napęlić radością i dumą serce stariej Janowej, pragnącej widzieć swoją córkę w posiadaniu tego klejnotu, tego bogactwa wiejskiej dziewczicy. Bo gdy przyszły żniwa, matka styrana pracą i zmartwieniami nie mogła codziennie chodzić do roboty; zarobek więc niewielki szedł w części na uiszczenie zaciągniętego na przednowku (1) we dworze długu, w części na kupno kilku ćwiartek zboża, soli i jakiej takiej okrasz. Z ośm lub dziesięć dni trzeba było odrobić za przysadzenie ziemniaków, przysianie lnu i konopi, kilka dni znów za uprawę roli: słowem żniwa przeszły, i kopanie ziemniaków, ikośba potrawu, a stara Janowa ledwo dała radę zaspokojeniu gniotącym ją potrzebom; nie dopięroż tu myśleć o obróceniu zarobku na kupno krowy! Z ludzi nikt nie pomógł, ani pożyczyl, bo każdy miał swoich tysiące potrzeb; z gąsek jedną wozem ze snopkami przejechano, jedną we drzwiach przycięnięto, parę znów w szkodzie zabito: koniec końców ze stadka tego ledwo dziewięć zostało, i te trzeba było sprzedać, bo pan rządecz owsa na odrodek dać nie chciał, powiadając do proszącej się Janowej:

— Teraz babo po żniwach, to masz pieniądze, kup sobie kiedy chcesz wypasać gęsi zbożem, a nie, to ruszaj do djabła, bo ja nie mam czasu tutaj z tobą bałamucić.

Itak mijał św. Marcin, a z nim nikła i nadzieja, z takim weselom, z takim szczęściem ożywiona rozmową i wyrachowaniem Magdy. Przyszły drugie żniwa, przyszły inne gąski, z niemi nowe narady, nowe nadzieje i nowy zawód. I tak już trzecie nadchodziły żniwa, aż tu raptem ni ztąd ni zowąd Małgosia ma krowę. W pićrwszej więc chwili ukontentowanie Magdy nie miało granic: prawie biegnący popędzała kilka sztuk swego bydła, aby czempredzej złączyć się ze swoją przyjacielką. Zajęta jēj szczęściem ani pomyślała, zkąd Małgosia mogła przyjsć do tak znacznych zasobów, żeby mogły wystarczyć na kupno tyle drogiej rzeczy. Lecz gdy ujrziała Małgosię jak ze spuszczonemi oczyma, stroniąc prawie od ludzi nieśmiało popędzała swój dobytek, jakby z bojaźnią, żeby nie być zaczepioną zapytaniem ciekawych na wszystko sąsiadek, nagle stanęły jēj w myśli tajemne szepty i rozprawy tak niekorzystne, tak szarpiące sławę ładnej dziewczyny, które już od kilku dni ciągle się o jēj uszy obijały. I zwolniła kroku

(1) Przednowkiem nazywają czas dwumiesięczny przed zaczęciem żniw.

pocziwa nasza Magda, bo rumieniec wstydu przycisnął bijące jój serce radością, na widok szczęścia tyle lubionój Małgosi.

Małgosia szła nie dając najmniejszego baczenia na wszystko, co się koło niój działo: nie widziała ani Magdy, ani zwróconej powszechnie na siebie uwagi, ani Argusowych spojrzeń Szczepanowój, Kapuściny i innych radzących kobiet, tylko widziała śliczną swoją krówkę, jak uwiązaną za rogi popędzała ku błoniowi zastanemu bydłem wsi całej. Otóż widzisz biedna dziewczyno, jakto ze szczęściem zaraz i smutek graniczy: zdobyłaś ładną krówkę, której tak oddawna pragnęłaś, i zaraz cię wszyscy palcem we wsi wytykają; nawet ta Magda, owa Magda, która pięściami nieraz stawiała w twój obronie, dowodząc czynem swego do ciebie przywiązania, zamiast weselić się i podzielać radość przyjaciółki, idzie jakby nogami połamanemi, lękając się jedném spojrzeniem, jedném słowem dać poznać światu poślubioną dla ciebie przyjazną przychyłość. O! biedna, prawdziwie biedna dziewczyno!

Jeżeli los naszej wiejskiej bohaterki wzbudził jakikolwiek interes w ładnych czytelniczkach, zapewne dzielając zadumanie się jój przyjaciółki, rade będą poznać bliższe szczegóły tak nagłej pomyślności; a radząc się swego serca, przebiegając myślą cudowne wypadki, których miłość była piérwszym początkiem i jedyną twórczynią: w modrych oczkach Małgosi, w jój smagłej kibici i powabnym buziaku, szukać będą téj nitki z kłębka, na której końcu znalazła się tyle wszystkich intrygująca krówka.

Może zgadną. Kto to wie?

Małgosia ze spuszczonei oczami przybliżała się nareszcie do gromady bydła. Wszysey zwrócili oczy i na nią i na jój nowe kupno: ona tylko na nikogo nie spozrzała. Co chwila okrągła jój buzia nowym kraśniała rumieńcem, za każdym podniesieniem głosu przez popędzające kobiety serduszko jój drgało, jakby z bojaźni, czy która do niój nie zwraca się z natrętném pytaniem, oczy ciągle w dół miała spuszczone, lękając się badawczego i ironicznego spojrzenia tyłu na błoniu zgromadzonych kobiet: a gdy ujrzała, jak bydło wsi całej obcą jeszcze dla nich krówkę zaczęło obwąchiwać i ze spuszczonei rogami przygotowywać do niegościnnego przyjęcia, o mało się nie rozplakała. Lecz Magda, u której radość z pomyślności Małgosi przytłumiała wszystkie inne względy, zobaczywszy niebezpieczne położenie nowego jój skarbu, nie namyślając się chwili wpadła między gromadę bydła, a rozeznawszy ją potężnemi okładającami kija, uchwyciła za rogi zestra-

chaną krówkę, zgłośném wołaniem do wpół płaczącej Małgosi, aby jój powróż podała.

Przytomność Magdy sprawiła pewne zamieszanie między rogatą rzeszą, która rozpierzchając się na wszystkie strony, zmusiła postępujące wieśniaczki do czynnego wdania, w celu przywrócenia zakłóconego porządku. Podniósł się téż zaraz niejeden głos skargi i strosfowania, a Kapuścina była pierwsza, która grzechoczącym tonem odezwała się do idącej przy niej Szczepanowej:

— Tak się kręcą z tą krową, jak kura z jajem: wartogłowy, latawice!

— Ha, moja sąsiado — odrzekła Szczepanowa — bo téż ta kura może teraz zacnie nieść złote jaja dla Małgośki.

— Żeby się pokręciły, że bodaj! A ke! a ke! — wołała Kapuścina uderzając jedną z krów, która dwie uciekające przed sobą chciała koniecznien kolnąć spiczastemi rogami.

— A czy boskie skaranie, czy co? A dyć te psie mięsa to pozabadają się pewnikiem — kończyła rozgniewana Kapuścina. — Nie mogły w pole wygnać do pastuchy, tylko tu muszą się popysznić ze swoim nabytkiem.

— Ej dalibyscie pokój moja Kapuścino, bo teraz z Małgośką nie ma co żartować: jój teraz to pewno do głowy wielkie państwo zajechało. Ho! ho! zobaczycie tylko dalej.

— Niech se ma w głowie co chce, a niech zważa tylko na koniec. O! moja sąsiado, znamy my te wszystkie obserwacye; nie od dziś i nie od wczoraj żyjewa na świecie; słonko tylko w dzień świeci, a rosa w nocy pada.

— Ale znacie dobrze i tę gadkę między ludźmi, że nim słonko wejdzie, to rosa oczy wyjé; pilnujcie się, żeby wam Małgośka oczu nie wydlubała.

Baba dyplomat umyślnie tak mówiła, aby poddmuchnąć gniew w kłótliwój Kapuścinie; widząc bowiem oczywiście możne jakieś względy dla Małgosi, chociaż tylko domyślała się z kąd pochodzą, pragnęła jednak usunąć się od wszelkich niekorzystnych nad niemi narad, aby nie obudzić nienawiści i nie ściągnąć na siebie zemsty przyszłych stronników kochanej przez swego syna dziewicy. Lecz usuwając się od czynnego działania, nie chciała z rąk wypuścić tajemnej sieci, w którą ją tak zgrabnie wplątawszy w zabawie karczemnej, widziała samą szczególnym biegiem wypadków coraz więcej w nią się wikłającą.

Dlatego więc Kapuścinę obrała za narzędzie swoich intryg, aby ta, kłótliwym i złośliwym językiem, w jedném zawsze oddale- niu trzymała rozkochanego Antka. Nie dowierzając bowiem jego odstrychnięciu, zawsze lękała się powrotu przywiązania, które przynajmniej powierzchownie widziała z jego serca wyrugowa- ne. I dobrze trafiła. Kapuścinnie tylko w to graj. Klótnia i py- tlowanie językiem byłyto jedyny jój żywioł, pewność więc miała niemal wszelką Szczepanowa, że podjurzywszy cokolwiek znany talent swojej sąsiady, jeszcze większym tumanem plotek i potwa- rzy okryje nienawidzoną przez siebie dziewczynę. Jak tylko Kapuścina otrzymała tak niemłą przepowiednię względem swych oczu, natychmiast zatrzymując się w miejscu, z największym fu- kiem odpowiedziała:

— Coto Małgoška jaka wielka pani, czy co? Uczciwszy uszy wszystkich poczciwych ludzi, tyle o nią dbam, co pies o piątą nogę, kiedy ma cztery zdrowe; a pies moja sąsiado póty spo- kojny, póki go za ogon nie pociągniesz: niechże mnie nie cią- gniesz za język, bo jak ugryzę, to tak zaboli, że i Święty Boże nie pomoże.

— Ej, dalibyście pokój, moja sąsiado, bo-ta wszyscy tylko po nas oczami ciskają; nie róbcie z siebie dziwowiska, bo-ta te latawice—mówiła dalej wskazując poruszeniem głowy dwie na- sze dziewczuchy obok siebie idące—radeby przecie wziąć co na język, żeby potem miały z czém latać po wsi całej.

— Niech se latają, niech se latają—mówiła głos podnosząc Kapuścina, jakby umyślnie, żeby ją wszyscy słyszeli—jeszcze im trzewiki pokupuję, żeby se ten delikacik nóg nie pokaleczył. Zobaczymy kto się piérw ustraszy, kogo wprzódy gęba zaboli: boć i mój język nie słomiany, nie połamie się, o nie! nie lękajcie się paskudnice, halegantki.

Szczepanowa po tym wybuchu gniewu Kapuściny umilkła, bo już zrobiła co chciała. Zostawiając godnego siebie zastępcę, pewną była, że siatka oszczerstw nie przerwie się, ale owszem powię- kszając się coraz nowemi ogniwami, z każdą chwilą oddalać silniej będzie dwa serca, ślubnym wiankiem połączyć się pragnące.

Tymczasem dwie dziewczyny, na które nowy spisek uknuto, nie domyślając się niczego szły obok siebie w milczeniu, popędza- jąc trzymaną krowę na postronku.

Magda milczała, bo się jój różne myśli w głowie krzyżowa- ły. Małgosia także nie mówiła: tak była pomieszana, tak nie-

śmiałość w całej niej się przebijała, że mimo woli każde zamykała usta, któreby poruszyć się chciały natrętném dla niej pytaniem.

I tak weszły w wąwóz, zostawiając za sobą na bloniu wiejskiém radzące o nich gospodynie.

Tu dopiero osłonięte panującym mrokiem, nierozświeconym jeszcze promieniami nizko nad ziemią unoszącego się słońca, obie cokolwiek otrząsnęły się z ugniatającego ich wrażenia, i pierwsza Magda przemówiła:

— Oj ty latawico, co cię teraz w domu ciężko uświadczyć, ktota kiedy widział, żeby kupne bydłę odrazu między całą gromadę wganiać?

— Widzisz moja Magduś—odpowiedziała Małgoska cokolwiek ośmielona—wyrwała mi się z postronka i leciała i leciała jak głupia.

— Ej, boś tak szła jak nieżywa, jakby krowa nie twoja była, tylko kradziona.

Małgosia nie na to nie odpowiedziała, tylko się z uszami cała zarumieniła. Po małej pauzie Magda znowu się odezwała:

— Ale ujdzie krowina; cożes za nią dała?

— Zgadnij, moja Magduś.

— Ej, bo ja tam wiem, czyta teraz bydlaki placą czy nie. Ale nie powinno być drogo; teraz przednówek, każdy sciska grosz, przedźej ma do sprzedania, jak do kupna.

Małgosia znowu umilkła i nowym zakraśniała rumieńcem. Magda przyglądając się prowadzonej krowie, powtórzyła pytanie:

— No i cożes dała? może z pięć dukatów.

— Bez sześciu złotych, moja Magduś; sprawiedliwie powiadam, bez sześciu złotych.

— No, toś dobrze kupiła; jeżeli jeszcze do mléka będzie dobra, to.....

— Ujdzie, ujdzie, nie ma-ta co narzekać—odpowiedziała Małgosia coraz śmielszym tonem.—Dziś dała mi pełny skopek, chociaż o głodzie przygnałam ją wczoraj do domu.

— Toś ją dopiero wczoraj przygnała? A gdzieżes ją kupiła?

— U ciotki w Błesznicach, bo po znajomości to zawdy człowiek bezpieczniejszy. A jak żre żebyś wiedziała, to już nie wiem, jak jój pysk wystarczy.

— Doprawdy? to nie garna (1) kiedy tak.

(1) W mowie ludu sandomierskiego wyraz *garny* znaczy to samo, co wybrydny.

— Już co nie garna, to nie garna; miałamta w sieni trochę słomy kłociastój (1) powalanój, to ze szczętem zjadła, ani zdziebelka nie zostawiła.

— A to poczciwe jakieś bydłatko — odpowiedziała Magda, przyglądając się jój uważniej.—Wiész co Małgoś, rychtyczek taka jak ta, coście ją sprzedali Joskowi; tak, trzy lata, prawda?

— Prawda, moja Magduś, tylko tamta była trochę łysa, a ta cała czerwona, kieby wiśnia.

W tém miejscu obie rozmawiające wyszły z wąwozu i znalazły się na obszernym ugorze, zsuniętym całą swoją długością ku obszernemu pastwisku.

Słońce lunąwszy potokiem światła, oblało promieniami swemi całą bydłą rzeszę, i postępującego za nią pastucha z dziewczętami; i wszystko zaraz tak pokraśniało, tak lśniło i tak jasno odbiło się na tle zielniącego ugoru, jakby wyszło z kąpieli, jakby w świeżych szatach przedstawiło się zdumionemu oku. Nawet ów zgarbiony, prozaiczny pastuch w słomianym kapeluszu i z torbą skórzaną przewieszoną przez ramię, posuwając się zwolna za własnym cieniem, długo na ziemi rozłożonym, otoczony blaskiem odbitych promieni słońca, sypiąc za każdym palnięciem bata, za każdym poruszeniem nogi rześiste krople błyszczącej rosy, wyglądał jak nieziemska istota, pełną garścią rozrzucająca złoto i srebro dla biednych mieszkańców ziemi, których my ludźmi nazywamy.

Ryk bydła wtórował temu poważnemu pochodowi, a spłoszony skowronek wzbijając się wysoko, nucił pieśń pozdrowienia gwiazdzie dziennój, poważnie w niebieskim przestworze coraz wyżej nad ziemią pływającej.

Dwie nasze przyjaciółki wyszedłszy z wąwozu, przystały trochę, a spuszczać z postronka prowadzoną krowę, wegnały ją między gromadę rozsypanego po ugorze bydła.

— Widzisz—rzekła Magda—tu przestrono, to łatwiej będzie się mogła obrócić, gdy ją inne bósć albo gonić zaczną; trzeba było tak zaraz zrobić, toby nie było tyle termedyi na błoni między bydłem.

— Patrzaj, patrzaj—zawołała z radością Małgosia, gdy wzrok jój ciągle gonił za posuwającym się bydłem—wiesz, jak wiśniucha byle zielsko wyrzywa i miele językiem kiej żarnami. O! poczci-

(1) Kłocią nazywają prostą słomę.

wa moja krowina! Poczekaj, zbieram ci za to ślicznego na południe chwastu. Moje drogie bydlatko! żeby mi jój tylko bydło nie przebodło.

— Ej, co jój tam będzie—odrzekła Magda—bydlę jak nie garne, to i nie płochliwe; widzisz, jak i ona już zaczyna nadstawiać się rogami—mówiła dalej wskazując na krowę, która gromadzące się około niej bydło, zniżonym łbem od siebie odstraszała — Zobaczysz, że niedługo to ją tak będą obserwowac, jak nie przymierzając i ciebie już ludzie we wsi obserwują.

Tu obie umilkły. Małgosia cała oblała się rumieńcem, że jój ledwo z twarzy krew nie trysnęła.

Magda ukradkiem spojrzawszy dostrzegła to pomieszanie, i zaraz wszystkie słyszane szepty i własne domniemywania, jak natrętne muchy rojem obsiadły jój dziewicze serce. Umilkła, bo w pomieszaniu Małgosi jasno czytała, że nie wszystko było plotką i potwarzą, co ludzie od kilku dni ciągle gadają; umilkła, bo rumieniec wstydu oblewający ładną buzię Małgosi, odbiwszy się także i na jój lieu, przytłumił chętkę do dalszego rozgadywania.

Więc obie zawiązawszy usta milczeniem stały w cichości, machinalnie zwracając oczy za coraz więcej oddalającym się bydłem.

Gromadka dobytku wieśniaczego zbita w jedną kupkę, posuwając się zwolna po pochyłym ugorze do żyznego pastwiska, w miarę zniżania się malała w oczach zadumanych dziewczyn. Już tylko tołubami swemi sterczała nad powierzchnią, nogi mając ugrzęźnięte w pochyłości pola i chwiejąc się na wszystkie strony, wyglądała jakby płynąc rozbijała bystry prąd strumienia, pasując się z falami, chcącemi je pochłonać.

Wkrótce tołuby ukryły się po same grzbiety, a zbite w masę różnobarwną, swoją krasą wydawały się jak płynąca zdala rzeka, z której podnoszącemi się bałwanami igra promień słoneczny: to go musknie swoim światłem, to się skryje za szarą chmurkę, to znów wyjrzy, znów się schowa, aż nareszcie na długo utonie w pluskającym żywiole; jak krasna dziewica, co pragnęłaby a nie śmie spojrzeć na urodnego młodziana, odwraca główkę, zasłania oczki palcami, aż przypadkiem przez szpary raz na niego wzrok posławszy, już nie może się oderwać od lubego przedmiotu.

I strumień płynął, płynął coraz wężiej, coraz niewyraźniej, mignął parę razy jakby wznosił oczy do nieba, aż zniknął bez śladu, zapadł pod ziemią, zostawiając na swój powierzchni tylko ster-

czące rogi, niby maszty oddalających się berlinek i innych statków Wisły, téj królowej wszystkich rzek polskich.

Nareszcie i te się schowały i cichość i spokój przytuliły się do miejsca, w którym niedawno taki gwar, taki wrzask rozlegał się dokoła.

Dziewczęta nasze stały jeszcze w milczeniu, bo obudwom niemiłe wrażenia zarówno serce ugniatały. Czuly, że bardzo wiele mają z sobą do mówienia, a żadna nie śmiała pierwsza dotknąć przedmiotu, ciekawością i taką nieśmiałością dla obojga nacechowanego.

Magda dumiała, a krzyżujące się jój myśli snute ze współczucia i poślubionój przyjaźni, jakby technieniem złego ducha rozwiewały się na wspomnienie wyrazów: „paskudnica, póganka, wszeźtecznica”, które w ustach złośliwych gospodyń brzęczały od dni kilku ciągle koło jój uszu.

I w walce téj wewnętrznej, jaka się toczyła w tém poczciwém sercu, w samém panującym milczeniu znajdując nowe usprawiedliwienie szerzących się pogłosek, zły duch zwyciężył, i Magda odpowiadając westchnieniem niemój z samój z sobą prowadzonój rozmowie, nie rzekłszy ani słowa do zamysłonój Małgosi, zaczęła szybko posuwać się ku domowi.

O! bo i Małgosia także dumiała, a myśl jój wybiegając za obręb rodzinnój wioski, bujała swobodnie po stronach obcych, między cudzemi ludźmi, gdzie ślicznie wystrojona w rzesiste wiązki koralu, w cudne spodniczki i gorsety, widząc siebie prawie całą odbitą w dużych przejrzałach, słyszała z ust dorodnego młodziana ciągle powtarzane wyrazy: „Tyś ładna, tyś piękna, tyś zgrabna, szkoda twojój urody na wsi zakopać: widzisz to złoto, chodź do mnie, ja cię lubię, kocham i zawsze cię kochać będę.

Zawsze? zimny, martwy wyrazie! Kiedyż przestaniesz zwodzić ludzi z całą niepokalaną szczerotą wierzących twojój potędze? Tyle zwodzący i tylu w siebie wierzących znajdujący, kiedyż zrzucisz powabny strój syreny? Kiedy zapomnisz ponętnych jój śpiewów, na które z taką łatwością chwytasz niedoświadczonych? Biedni, o! bardzo biedni, którzy wierzą w cię, lecz biedniejsi, stokroć biedniejsi, którzy wierzyć przestali!

I Małgosia już zaczynała być biedną, bo ten wyraz *zawsze* przyłgnał do jój serca, rozrósł się w olbrzyma i wywołał rój myśli, niby ptastwa rozlicznego, który skrzydłem swoim zastonił cały

świat ją otaczający: i Magdę, i Antka, i matkę, i słomianą strzechę małego jój domku.

Szybkie oddalenie się Magdy ocknęło z zadumy Małgosię, rój ptastwa odleciał i ujrzała się sama, nawet odstąpiona od téj, która przedtém szczerze dawała dowody życzliwości. Dwie łzy jak dwie krople rosy błysnęły w jój modrych oczkach, a wyciągając ręce za odchodzącą przyjaciółką, nawpół z płaczem zawołała: Magduś, Magduś, wróćno się!

Magda przystanąła, a zwracając się do wołającej:—Czegóż chcesz?—zapytała.

— Moja Magduś, wróć się—i Małgosia podniosła biały fartuszek do oczu, z których jak groch łzy spadały na ziemię.

Magda ujrzawszy płaczącą swoje przyjaciółkę natychmiast do niéj przybiegła; cała przejęta litością nad niezwykłym stanem Małgosi, już tylko o pociesze myślała.

— Małgoś, Małgoś!—zawołała,—i czegoż płaczesz?

Lecz ta mając całą twarz białym fartuszkiem zakrytą, ze zwieszoną głową, głośném tylko łkaniem na zapytanie odpowiedziała.

— No, Małgoś nie bądźże głupia, i czegoż płaczesz? Jata wierzę, co ludzie gadają.

— A cóż ludzie gadają?—zapytała ciągle płacząca Małgosia.

— Albo ja wiem—odpowiedziała Magda podnosząc ramiona do góry—zwyczajnie jak to ludzie, gadają i gadają, bo od tego pyski mają, żeby gadali.

— Jata nic nie winna—mówiła Małgosia z zasłoniętymi fartuszkiem oczami—dziedzic dał matusi sto złotych, żeby krowę kupili, bo powiedział, że rządcza niesprawiedliwie zabrał nam parę szkapin, jak nieboszczyk tatuś pomarli.

— Dziedzic dał matusi?—zapytała ze zdziwieniem Magda, i wszelka wątpliwość znikła z jój do dobroci skłonnego serca;—więc dał matusi a nie tobie?

— Tak, tak, dał matusi, mnie nawet wtedy nie było w domu: pełtam len w polu u matki chrzestnej, co mi prosiaczka podarowała.

— To i czegoż beczysz jak głupia?—odpowiedziała troszkę z gniewem Magda—to dla czegoż te wartogłowe pleciuchy szwar-goczą pyskami, żeś ty latawica, paskudnica, poganka, wszetecznicza?

— Albo ja wiem: ja-ta nic temu nie winna, że dziedzic taki dla nas dobry—mówiła Małgosia odsuwając od twarzy fartuszek; a spuszczać oczy dodała—i że - ta ze mną rozmawia w polu, jak napotka gdzie u roboty.

— Z tobą rozmawia? A o czémże z sobą gadata?

— Albo ja wiem, moja Magduś—odpowiedziała Małgosia, a wyraz radości obsiadł na ładnej jój twarzyczce, przed chwilą smutkiem i łzami oblanéj;—ja-ta nie umiem tak złożyć, jak dziedzic gada, ale tak ślicznie, tak ładnie mówi, że już nie wiem, jak gota i słuchać.

— Doprawdy? patrzajcie?—z zadziwieniem mówiła Magda, —to pewnikiem musi się wywiadywać o rządce, o ekonomów, co-ta ludzie przecie o nich gadają?

— Ej, nie moja Magduś, onta ani słowa o tém nie mówił.

— A to i o czémże gadata?—rzekła z niecierpliwością Magda.

— Moja kochana—odrzekła Małgosia—ja-ta nie mam takiego ułożenia w głowie, żebym ci potrafiła wszystko opowiedzieć; gada i gada tak ładno, że człowiek nie wie, kiedy do domu ma wrócić.

Tu obie umilkły i obie się zadumały.

Opowiadanie Małgosi dosyć się Magdzie podobało, tylko te rozmowy z dziedzicem jakoś jój nie przypadły do smaku. Coby jednak uważała godném nagany, tego sama nie wiedziała. Lubo już nie potępiała Małgosi, czuła jednak, że tajemne, a tak niekorzystne rozmowy gospodyń miały jakąś zasadę, i że mogą bardzo wiele szkodzić przyszłości jój przyjaciółki. Magda bowiem przy całej prostocie, młodości i wrodzonej żywości, posiadała wiele naturalnego rozsądku, który chociaż nie wystarczał do obszernego rozumowania, był jednak dostateczny na głębsze nad rzeczami zastanawianie się, i odkrywanie następstw, dopiero w przyszłości objawić się mogących.

Po małej więc pauzie odezwała się, a w twarzy jój widny był namysł i rozważa:

— Słuchaj Małgoś—ja-ta nie wiem, czy to dobrze się dzieje czy źle, że z dziedzicem w polu u roboty rozgadujesz, bo-ta na to lepszej trzeba głowy jak moja; ale widzisz, jakta ludzie będą mieli zawsze czém pyski swoje obcierać, tota z tego nie nie urodzi się dobrego. Szczepanowa, jakta Szczepanowa, kontenta, że przecie złapie coś na język, zacznie chodzić chałupa od chałupy między kumeczkami, między siostrzyczkami, i dalejże z gadką

wyjeżdżać—mówiła dalej Magda, naśladowując ton mowy Szczepanowej: „Jéjta moje kochaneczki trzeba chłopa do rozgadek w polu, do umizgów, do strojów, a nie do roboty, nie do gospodarstwa, o ho! ho! Moje sąsiadki, moje kochaneczki, ta poganka, latawica zagubi każdego, kto się do niéj odważy, zagubi”. I cóż będzie z tego? jak zaczną: swar, swar, świar, świar po wsi, tak i odwróć Antka od ciebie i ożenią go z tą niemrawicą Maryną. Widzisz moja Małgoś, uważ se tylko wszystko dokumentnie (1).

Małgosia nie na to nie odpowiedziała, uczuła bowiem wartość słów wyrzeczonych. Oddając się z całą nieogłędnością wpływowi nowych otaczających ją wrażeń, pierwszy raz następstwa w przyszłości w jasnej prawdzie migiem jéj w myśli przebiegły. I westchnęła, a na końcu tego westchnienia jak w zwierciadle odbiła się smagła postać..... Czyja? niech zgadną ładne czytelniczki.

Jabym rad dla utrzymania samego zajęcia, jakie uzyskała zapewne wiejska nasza bohaterka w serduszkach czytających piękności, aby zwierciadło to odbiło dorodną postać Antka; ale niestety! to byłoby wiernością, stałością prawie niepraktyczną; a wierność, stałość bardzo rzadko w jednéj parze z ładną buzią, modremi oczkami i zgrabną kibicią w świecie postępują.

Lecz nie potępiajmy za to krasnej Małgosi: otoczona szorstką naturą, szorstkimi uczuciami i szorstkiem wcielaniem ich w słowa, czyż mogła oprzeć się wpływowi świata zupełnie jéj nieznanego, który przez usta dorodnego młodziana okazał nowe wdzięki, nieznaną rozkosz, i otwierając wszystkie swoje skarby, w ponętném wysłowieniu rzucił się jéj pod nogi, nucąc piosnkę tak miłą dla ucha dziewiczego: tyś młoda, tyś piękna, bierz pełną garścią, używaj i kochaj. Bo tylko słuchajcie!

Gdy Małgosia swego rubla, niemego świadka rozmowy z dzieźdkiem schowała pod przycieś w sieni, wiedziona pokusą raz wraz do niego zaglądała. Lubowała się biedaczka nie jego błyszczącą powierzchnią, nie przypomnieniem dawcy; ale tym rojem myśli, który za każdym jego obejrzeniem podnosił się w główce Małgosi i przesuwiał jak w kalejdoskopie najpiękniejsze stroje wiejskiej dziewicy.

Więc zaglądała i zaglądała tyle razy, ile tylko mogła; zapomniała nieraz i o zaczętej robocie, i o gniewie matki strofującej takie zaniedbywanie się: tylko w dręczącej ją chęćce za każdą naj-

(1) Dokumentnie czyli dokładnie.

mniejszą sposobnością wymykała się do sionki i dalej w ciche rozmowy z lubym swym podarunkiem.

Aż wreszcie naturalnem następstwem schwytaną została przez Janową na gorącym uczynku, która zniecierpliwiona ciągłym łajaniem, pocichu wyszła do sieni i niepostrzeżona stanąwszy za Małgosią, spostrzegła rubla na jój ręku leżącego.

— A ty zkąd masz te pieniądze?—z największym zadziwieniem zapytała się Janowa.

Gdyby w téj chwili pod nogami Małgosi ziemia się była rozstąpiła i buchnęła kłębami dymu, ognia, sykiem i piskiem upiórów i wszystkich duchów piekielnych, może nic tyle byłaby się przestraszyła, ile się wylękała, usłyszawszy nad samą głową takie zapytanie matki.

Rubel wyleciał jój z ręki i zatoczywszy w biegu koło, upadł w miejscu oświetloném promieniem słońca, który jakby na większe udreczenie Małgosi, duża szpara we drzwiach przepuszczała.

Gdy matka jednym tonem powtarzała zrobione już raz pytanie, on błyszcząc odbitým światłem zdawał się oskarżać zawstydzoną dziewczynę o wykrycie tajemnicy, której jedynym był świadkiem.

Byłyto dwa ognie, dwie tortury dla biédnej Małgosi. Gdyby umiała mdléć i spazmatycznym śmiechem lub płaczem objawiać wewnętrzne wzruszenie, niezawodnie byłaby zemdląła; ale proste to dziecko natury nie znało tych ucywilizowanych środków ratunku w podobnie drażliwych wypadkach, więc nie zemdląła, nie śmiała się, ani płakała, tylko poprostu tak bladła i znowu cała czerwieniała, że wyglądała jak kalina, gdy krasne swoje jagody poruszone tchem wietrzyka wychyla na świat Boży, lub zasłania drobnymi listkami swoich gałązek.

— Zkąd wzięłaś te pieniądze—powtarzała ciągle matka.— Zaraz mi powiedz, od kogoś je dostała?

Ale Małgosia odwróciła się bokiem do matki i ani słowa nie odpowiedziała.

— Słyszałaś? zaraz mi gadaj, zkąd wzięłaś tyle pieniędzy, czyś je znalazła?

— Nie matusiu—wybąkała przecie Małgosia ze spuszczone-mi oczami i dłubiąc palcami w ścianie—nie znalazłam, tylko mi dziedzić dał.

— Dziedzic? a to za co?—mówiła Janowa ze zdziwieniem, na pewien rodzaj strachu zakrawajęcém.

— Za to, com mu wody podała—odrzekła Małgosia i wymawiając te słowa, prawie zupełnie tyłem odwróciła się do matki.

— Coś mu wody podała? — rzekła Janowa i pociągnawszy za rękaw koszuli, odwróciła ją twarzą ku sobie—i tyś śmiała za ten dar boski brać zapłatę? a ty paskudnico!

— Ja tam nie brała—odpowiedziała Małgosia z jedną zawsze nieśmiałością—tylko dziedzic.....

— Jako nie brałaś? to pieniądze właśnie nogi mają, co same przysły do ciebie?

— Jużćie nie brałam — mówiła Małgosia już cichszym głosem i cała oblewając się rumieńcem—bo dziedzic wsunął mi je za koszulę.

— Za koszulę? a cóżeśta robili, że się dziedzic pośratal z twoją koszulą? Zaraz mi gadaj!

Małgosia milczała, a milczeniem swem jeszcze bardziej powiększała rodzące się podejrzenie w doświadczonej umyśle matki.

— Słyszałaś! cośta robili? zaraz mi gadaj, bo jak wezmę... i Janowa zaczęła się kręcić po małej sionce, jakby czego szukała.

— Moja matusiu, cośwa mieli robić—zawołała z pośpiechem Małgosia, domyślając się po ruchu matki, jakich wkoło siebie szuka argumentów.—Dziedzic stał na koniu przed naszą sienią, ja powracałam od wody, kazał mi podać garnuszek i jak się napił, tak mi podarował; i tyle było wszystkiego.

— A ty paskudnico! Dziewka, piękna dziewczka, z kawalerami będzie się na środku wsi rozgadywać; a do roboty, do pracy! ja cię tu zaraz nauczę. Widzisz ją, z dziedzicem będzie w komplementa wchodzić. Poczekaj ty halegantko, niech ino raz jeszcze co podobnego dostrzegę, to mi się już na oczy nie pokazuj; nie chcę znać takiego dziecka, co mi się z dworskimi wduje: tyś chłopka od ojca i dziada, toś tylko ze swemi powinna przestawać, a dworscy niech se szukają dworskich.

Małgosia nawpół zwrócona do matki, odłupując zeschlą glinę ze szpar ściany, ze spuszczonej w dół oczyma słuchała w milczeniu strofowania. Rubel ciągle mrugał odbitym promieniem słońca, a matka przychylna robiąc stosowne poruszenia rękoma, tak dalej łajanie prowadziła:

— Pamiętaj se na to dobrze, co ci tu mówię, bo rybie trzeba wody, wołu trawy, szlachcicowi szlachcianki, a chłopu chłopki; a jak wół nie naję się wodą, a ryba trawą, tak i szlachcicowi

nie wystarczy chłopka: zawdy go oczy zabolą, jakby tylko na nią patrzył. Nie tkaj palcy między drzwi, to ci ich nie przycisną. Żyd z żydem, Niemiec z Niemcem, a katolik z katolikiem najlepiej się rozmówią: tak i ty, zobaczysz gdzie jaśnie dziedzica, skłoń mu się jako swemu panu, rzeknij bozkie słowo i umykaj, bo tyta niemasz takiej gadki, jaką mają panowie. A pamiętaj se—mówiła dalej Janowa grożąc ręką w pięść złożoną—jak nie dasz baczenia na wszystko, com ci tu nagadała, to niech cię moje oko już więcej nie uświadczy. Temi oto staremi rękoma wszystkie ci klaki ze łba wyciągnę i ślipie wydtłubię, żeby daremnie na ludzi nie patrzyły; pamiętaj se.—I Janowa zakończywszy nawpół z płaczem prosiła lecz jasną swoje perorę, weszła do izby.

W pół godziny po tém łajaniu, matka z córką już radziły nad nadaniem przeznaczenia otrzymanemu podarunkowi: bo chwilowe wzruszenie i garnące się niespokojne myśli, w trwożliwém lecz kochającym macierzystém sercu ustąpiły miejsca radości, jaką wznieciła niedoświadczona dotąd szczodrość dziedzica.

Na drugi dzień Małgosia poszła w pole pléć len swojej chrześtnéj matce.

Wesoła, bo i czegoż miała się smucić, przyspiewując biegła granicami, między kołyszącém się zbożem, które chylącemi kłosami zdawało się oddawać pokłon urodzie, młodości i niewinności śpiewającej dziewczicy.

Biegła i biegła z ciąglą piosnką na ustach, a zroszona ziemia niosła daleko łube jój tony, które obiegając każdą trawkę, każdy kłosek, zdawały się szeptać słowa radości, jakiemi pałało serduszko krasnej śpiewaczki.

Nadszedłszy nad łąkę, snującą się jak zielona wstążka między dwoma wzgórzami, Małgosia ucichła, bo ujrzała śliczne kwiatki, które z pomiędzy zdziebeł trawy wyglądały główkami, prosząc się prawie, aby je przypięła do swego łona.

Urwawszy żółtego kaczeńca, różowej ostróżki i dzikich goździków, ułożyła je w mały bukiet i wpięła za modrą nakrapianą chustkę, która związana kształtnym węzłem nad samém czołem, spadała rozpuszczonym końcem na plecy, okryte tylko bielutką koszulką i zasłaniała jasny warkocz, godło wiejskiej dziewczicy.

I tak ustrojona poprawiała małe kosmyki włosów, wymykające się zpod chustki po obu stronach twarzy; przeskoczyła stróżkę środkiem łąki płynącą, i zatrzymała się przy łnie stojącym pro-

ściutko, niby żołnierze wszeregu, nad samym brzegiem zielonego kobierca.

Tu przystanąła, rozłożyła płachtę na ziemi, żeby nie zazielenić świeżej spódniczki z białym fartuszkim, i dalej do pracy, dalej do śpiewu!

Małgosia chociaż nie uczony, miała jednak miły, dźwięczny głos; a trafem, czy też odpowiadając cisnącym się myślom w głowie, gdy ręce zajęła robotą, zanuciła znajomy w całej okolicy śpiew, w którym dziewczica bierze na siebie różne postaci, niby uciekając przed zalecankami młodziana, a on ją goni i wyszukuje odpowiednie środki dla uczynienia powolną swojej miłości. I tak śpiewała:

Stanę się, stanę stwym kaczorem,
Popłynę sobie bystrém jeziorem,

Twoją miłą nie będę,
Wedle ciebie nie siędę.

A mamci ja też takie siodła,
Złapię ja kaczkę za jój skrzydełka,

Moją miłą musisz być,
Mnie tę wolę uczynić.

Stanę się, stanę białym gołąbkim,
I usiędę nad wysokim dąbkim,

Twoją miłą nie będę,
Wedle ciebie nie siędę.

A mamci ja też takie topory,
Wytnę ja lasy, dęby i bory.

Moją miłą musisz być,
Mnie tę wolę uczynić.

Stanę się, stanę jasną gwiazdeczką,
Pójdę do nieba prostą drózczką,

Twoją miłą nie będę,
Wedle ciebie nie siędę.

A mamci ja też swego aniola,
On mi gwiazdeczkę spuści do siola,

Moją miłą musisz być,
Mnie tę wolę uczynić.

Już widzę teraz Boskie obrzędy,
Gdzie się obrócę, znajdziesz mnie wszędy;

Twoją miłą już będę,
Wedle ciebie usiędę (1).

Zaiste! gdybyście byli świadkami téj pasterskiej sceny, niezawodnie poklaskiem obsypalibyście ładną Małgosię; bo oprócz ślicznej melodyi, czułego, naiwnego układu myśli i powabnej buzi, która wydobyła z piersi tak miłe tony: sama otaczająca cisza wiejska i wtórowanie dalekiego echa, powiększały urok już i tak krasną śpiewaczką cudny i uroczy.

Lecz jeżeli pozbawioną była licznego zebrania słuchaczy, był jeden, który słuchał niepostrzeżony od Małgosi i lubował

(1) Powyższa pieśń wiernie wyjęta z ust ludu okolic Sandomierza, z małemi odmianami i więcej rozszerzona znaleziona została przez szanownych zbieraczy skarbów umysłowych ludu prostego w okolicy Warszawy, w Galicyi, w Morawii i Serbii. Obacz: Pieśni ludu Biało-Chrobatów, Mazurów i Rusi znad Bugu, zebrane przez Kaz. Wł. Wojcieckiego. Tom I, kar. 141, i Pieśni ludu polskiego w Galicyi, zebrane przez Żegotę Pauli, kar. 133. Melodyą zaś ułożoną na fortepian, ciekawy znaleźć może w Zbiorze pieśni ludowych, zebranych przez Oskara Kolberg.

się wzrastającym poetycznym wzruszeniem, łowiąc uchem każdy wyraz piosnki, każdy ton ulatującego śpiewu.

Tym słuchaczem był sam dziedzic. Młody, więc pełen uniesień, niezepsuty jeszcze bezceństwem świata, umiał czuć i pojmować wrażenia, w delikatnym swym drzeniu tylko dla serca zrozumiałe.

Przy ostatniej strofie uśmiech zadowolenia, jaki obsiadł usta śpiewaczki, tak ukraślił śliczne jej jagody, tak wiernie odmalował ukryte w jej łonie już poczynające pałać ognie miłości, tak wykrył całą niewinność i wstydlivość dziewiczą: że zobaczywszy ją padłbyś na kolana i z całą szczerotą wyrzekłbyś: pięknaś dziewczeco, pięknaś jak anioł! kochaj mnie, jam twój do śmierci.

Ale przepraszam, zapomniałem, że to tylko wiejska, prosta dziewczyna: jakże jej daleko, aby mogła wzbudzić podobne uniesienia!

Nie lękajcie się więc ładne czytelniczki, młody dziedzic zawsze pozostanie wiernym waszym sługą; może trochę pomarzy, pobawi się wzrastającym pierwszym wrażeniem, ale w końcu wróci na drogę rozsądku i zada fałsz znaną śpiewce:

„Serce nie sługa, nie zna co to pany”.

Lecz nie uprzedzajmy wypadków: kto wie, co się jeszcze stanie. Gdy Małgosia śpiew ukończyła, westchnęła, a podniosłszy oczy, ujrzała dorodną postać dziedzica, do połowy zakrytą smagłym żytem, spływającym z szerokiej niwy wązką wstęgą ku łące. I krzyknęła z przestachu, bo zabobonnej główce urodny młodzian w niezwykłym dla jej oka ubraniu, wychodzący nagle jakby zpod ziemi, zdał się być mieszkańcem nietutejszego świata. Dopiero odezwanie się dziedzica uspokoiło ją cokolwiek.

— No, nie lękaj się Małgosiu—rzekł młodzian nie posuwając się z miejsca, bo uczuł jakieś współczucie dla tak niekłamanego przestachu—nie lękaj się, to ja. Cóż tu porabiasz?

Lecz Małgosia milczała; miejsce przestachu, nieśmiałość usta jej skrepowała; zmuszony więc został ponowić pytanie:

— No, Małgosiu! widzisz, że to ja: coż tu porabiasz, nie lękaj się.

— Len pielę matce chrzestnej—odpowiedziała półgębkiem i cała zalała się szkarłatem.

— Matce chrzestnej? to ten len nie twój?—zagadł młodzian z największą łagodnością, widząc takie pomieszanie biędnej dziewczyny.

— A z kądże wzięlibyśmy roli, kiedy my nie mamy ani kasiolka gruntu — odpowiedziała Małgosia już więcej ośmielona, i powstawszy ujęła obiema rękoma przy samych stopach nogi dziecka.

— Moja Małgosiu — odezwał się młodzian wychodząc na murawę — powiedzże mi, to z czegoż wy żyjecie?

— A z wyrobku, proszę Jaśnie Pana.

— Z wyrobku? i wystarczycie tak pracować?

— Musimy, proszę Jaśnie Pana.

— Ojca podobno już nie masz, moja Małgosiu? Dawno jak umarł? — zapytał się młodzian z coraz większą czułością; czém ośmielona Małgosia, mając spuszczone oczy do ziemi, zajęta robotą, z większą już odwagą odpowiadała:

— Już na wiosnę trzy lata minęło, jak pomarli.

— Czémże twój ojciec był? czy służył we dworze?

— Nie, proszę Jaśnie Pana; trzymaliśmy zagrodę, tę, co teraz ma Paweł Grąda.

— A dlaczegóż ją porzuciliście? Trzeba było przyjąć parobka, tobyście mogli mieć zawsze gospodarstwo.

— Nie było z czém, proszę Jaśnie Pana utrzymać się przy zagrodzie.

— Jakże, to po ojcu nic nie zostało? — pytał się dziedzic z coraz większym zajęciem.

— E, zostało się dosyć, proszę Jaśnie Pana.

— A gdzieście podzieli? bo teraz podobno biedni jesteście?

— Trochę, proszę Jaśnie Pana poszło na chorobę, trocha na pogrzeb, parę znów szkapin co nieboszczyk tatuś kupili se w zimie na jarmarku, zabrał Wielmożny rządca do dworu za zaległą pańszczyzną, i tak wszystko poszło z wiatrem. Ciężko se dalej było rady dać i matusia musieli porzucić gospodarkę.

— Jakto? rządca wam zabrał parę koni?

— A tak, proszę Jaśnie Pana, zabrał.

— Za zaległą pańszczyzną?

— A juźcić, proszę Jaśnie Pana, za cożby innego.

Tu dziedzic zamilczał. Naiwne tłumaczenie się Małgosi było jakby wymówką jemu zrobioną; lecz ona dlatego tylko powiedziała o grabieży dwóch koni, że była o to zapytaną, nie myśląc bynajmniej o przymówce, a nawet nie znając téj dzielnej broni, którą wprawni szermierze tak zgrabnie władać umieją.

Dziedzie więc zamilkł, bo dumał nad tak nieludzkim czynem swego rządcy; i Małgosia także dumiała, ale jakże ich myśli różne były od siebie!

Gdy głowa młodziana w szlachetnym oburzeniu roila smutne porównania swoich dostatków ze szczupłym mieniem kmiotków, które przyciskała ręka bezlitośna źle zrozumianej przychylności i obowiązków swojej służby; Małgosia przypomniała sobie ostatnie pogroźki matki, tak niemiłe dla jej jasnych włosów i ślicznych modrych oczków, i zakaz niewdawania się w rozmowy z młodym dziedzicem.

Stosując się więc do wydanego w tym razie sposobu znalezienia się, powstała od swojej pracy, powtórzyła uścisk nóg i wyrzekłszy: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, zwróciła się w stronę ku domowi.

— Na wieki, wieków— odpowiedział młodzian, nie rozumiejąc zupełnie poruszenia Małgosi; lecz zobaczywszy, że prosto zmierza ku strudze, środkiem łąki płynącej, nieoglądając się nawet na niego, dołożył zaraz z pośpiechem:

— Małgosiu, Małgosiu! cóżto już od roboty? A gdzieżto idziesz?

Małgosia nad samą strugą zatrzymała się, a spuszczać oczy do ziemi, nawpół zwrócona z największą nieśmiałością odpowiedziała:

— Do domu, proszę Jaśnie Pana.

— Do domu? czy na śniadanie? bo do południa jeszcze daleko.

Małgosia nie nie odpowiedziała; jasno się tylko okazywało w całym jej ułożeniu, że nie śmie wyjawić przyczyny powrotu, czem jeszcze więcej pobudziła ciekawość w młodzieńcu; a nie zmieniając postawy i malując purpurą krasne swe lica, bawiła się końcami czerwonej krajki, kształtną jej kibić opasującej.

— No, Małgosiu— odezwał się młodzian po małej pauzie— czyś zapomniała mówić? Czy na śniadanie się spieszysz, czy na obiad? Odpowiedzże przecie.

— Ej nie, proszę Jaśnie Pana— wybąkała zaledwie nieśmiało dziewczica.

— A, to już teraz zgaduję — mówił młodzian z uśmiechem — pewno do Antka. Widzisz, jakto ja już wiem wszystko.

Małgosia niewyraźnym cichym szeptem na to odpowiedziała, ale widać było, że gniew zawrzał w młodym jej serduszkach, bo pochmurzyła czoło i potrząsała głową, jakby robiła znak przeczenia.

— No, nie gniewaj się moja ładna Małgosiu, bo ci tak nie pięknie z pochmurzoném czołem; Antek aniby chciał spojrzeć na ciebie.

— Jata nie potrzebuję, proszę Jaśnie Pana, żeby Antek na mnie patrzył—odpowiedziała z nowym dąsem Małgosia.

— No, to dobrze, mała ty złośniczko—odrzekł młodzian nawpół z uśmiechem — że nie potrzebujesz Antka; ale widzisz, ja znów potrzebuję popatrzeć się na ciebie, na twoją piękną buzię, na twoje ładne oczki, na koszulkę białą, na szyjkę śliczniutką, a ty niedobra chcesz uciekać odemnie.

Gdy Małgosia nic nie odpowiedziała, młodzian okalając ją promieniami oczu swoich, tak dalej mówił:

— Małgosiu, moja droga Małgosiu, spójrz choć troszeczkę na mnie, a przekonasz się, że i ja przecie wart jestem twego Antka; tylko spojrzuj.

Prawie machinalnie podniósłszy oczy spotkała ogniste spojrzenie młodziana, który z dubeltówką opartą o ziemię, w zgrabnym myśliwskim ubraniu, przy młodości i urodzie dosyć posiadał wdzięku, aby zawrócić głowę nietylko takiej prostaczce, jaką była nasza wiejska dziewczica.

I w rzeczy samej, niebezpiecznito było porównanie dla nieobecnego Antka. Małgosia wprawdzie zaraz spuściła oczy, ale powabny młodzian z wijącemi się puklami włosów, tak ślicznie twarz jego zdobiącemi, odrysował się w jej duszy, z tym wzrokiem ognistym, którego dotąd nie znała.

— No Małgosiu, któż ładniejszy?—zagałł młodzian — czy ja, czy twój Antek?

Małgosia tylko uśmiechem zadowolenia odpowiedziała.

— Słuchaj Małgosiu—mówił dalej młodzian—odpowiedź przecie, bo będę myślał, że Antek ładniejszy, a ja okropnie o swoją urodę jestem zazdrosny. No, któż ci się lepiej podoba: ja, czy Antek? Małgosiu! nie bądźże dzieckiem, odpowiedz przecie, ja się nie rozgniewam, chociaż mnie w drugim miejscu postawisz.

— Albo ja tam wiem, proszę Jaśnie Pana—wybąkała zaledwie Małgosia z uśmiechem tłumionej radości.

— Niedobra jesteś moja Małgosiu; ty nie wiesz, czy ja jestem brzydki czy ładny, a ja jednak wiem, że jesteś najładniejszą z pomiędzy wszystkich dziewczyn na wsi. Od wczorajszego dnia, jakieś mnie tym garnuszkiem wody oczarowała, tak o nikim nie myślę tylko o tobie: ciebie zawsze widzę w swoich oczach, i tak mi ja-

koś smutno było na sercu, że wyszedłem w pole, i dopiero się rozweseliłem, gdy ciebie ujrzałem śpiewającą o gwiazdce, o gołąbku.

Małgosia milczała, lecz uchem łowiła każdy wyraz wymówiony, który jak ziarno w rolę rzucony, stawał się nasieniem przyszłych obrazów, codziennie rojonych władnej głowce.

— Słuchaj Małgosiu—po małej pauzie mówił znowu młodzian—wczoraj, kiedyś mnie oczarowała swojemi oczkami, przy owym garnuszku wody, przyrzekłaś coś takiego, o co cię będę bardzo prosił. Pamiętasz? otóż musisz mi dziś podarować jednego calusa, tylko jednego, a ja ci za to znów coś podaruję.

I to mówiąc, wydobyl sakiewkę, wysypał pieniądze na rękę, i z brzękiem zaczął w nich przerzucać.

Małgosia w tej chwili przypomniała sobie matkę i odbytą scenę z rublem, a wiedziona tajemną, instynktową bojaźnią i przerażeniem z nieznanego jej dotąd śmiałego żądania, z największą niespokojnością przy niskim ukłonie wyrzekła:

— Już muszę iść, proszę Jaśnie Pana, do domu, bo matusia, to mnie chyba zabiją.

— A to za co?—zapytał młodzian.

— A że się rozgaduję z Jaśnie Panem—odpowiedziała Małgosia, przestrasz bowiem i bojaźń odgrózek matki uczyniły ją śmielszą i więcej mowniejszą.

— A i cóż w tém złego?

— Jata nie wiem, proszę Jaśnie Pana, ale matusia powiedzieli—mówiła Małgosia nawpół z płaczem, zasłaniając oczy fartuszkami:—że jak się dowiedzą kiedy, że ja się rozgadawała z Jaśnie Panem, to mi wszystkie włosy z głowy wyrwą i oczy wydłubią, żebym na ludzi nie patrzała.

Tak szczere tłumaczenie i z współczuciem i z mimowolnym uśmiechem przyjęte zostało przez młodziana; a jakby na pocieszenie płaczącej dziewczyny, z pełną dłonią drobnej monety przybliżył się do niej, i rzekł:

— No Małgosiu nie płacz, nie płacz; już nic nie chcę od ciebie: ani ładnego buziaka, ani słodkiego calusa, tylko nadstaw fartuszka, to ci dam kilka złotych na nową chustkę, żebyś miała czém swoje śliczne oczki obcierać. No, Małgosiu—mówił dalej widząc, że nic nie odpowiada—dajno fartuszka, bo mnie ręka zabolę od trzymania w niej pieniędzy; a patrz tylko jakie ładne, bielelutkie jak twoja szyjka, a jak ślicznie brzęczą, słuchaj!

I podrzucił niemi parę razy w górę. Ale to wszystko nie nie pomogło. Małgosia fartuszka od oczu nie odjęła i zdawała się zupełnie nie zważać na brzęczenie pieniędzy. Widząc to młodzian, zaczął je układać na rękę, i przysuwając się bliżej, mówił tonem lekkiej przymówki:

— Moja Małgosiu, kiedy taka jesteś niedobra, że nie chcesz ani jednem oczkiem na mnie spojrzeć, ani podać fartuszka na przeznaczony dla ciebie podarunek, to ja będę lepszy i wszystkie złotówki wsunę ci po jednej za koszulkę, tak jak wczoraj rubla.

I sięgnął ręką. Małgosię to dobito; odsuwając się parę kroków, opuściła fartuszek i w błagającej postaci, tonem przestachu wyrzekłszy:

— Już pójdę, proszę Jaśnie Pana do domu, bo mnie matusia na śmierć ubija—przeskoczyła przez strugę, nad którą dotąd stała i zaczęła postępować ku wsi.

Szybkie to poruszenie nadzwyczaj zdziwiło i zmieszało młodego dziedzica. On, który sądził, że dosyć błysnąć i brzęknąć pieniędzmi, aby kupić urodę prostej wieśniaczki, znalazł właśnie upór tam, gdzie się go najmniej spodziewał, i odrzucenie oliary, której potęgą chciał zdobyć serce tyle dla niego powabu mające.

Zmieszał się, bo mimowoli czujemy poszanowanie dla skromności i niewinności, tém więcej się powiększające, im mniej tych wdzięków duszy gdzie znaleźć spodziewaliśmy się.

Traktując zaś zlekka to, co na cześć zasługuje, jakże nam potem przykro, jak boleśnie, gdy jasna prawda błąd ten wykryje! Wówczas w rozżaleniu serca szukamy środków złagodzenia cierpienia, którego mimowoli stawaliśmy się przyczyną; i w takim położeniu był właśnie młody nasz dziedzic.

On sądził, że aby osiąść wdzięki młodej wieśniaczki, zerżnąć wstyd z dziewiczego jej lica, dosyć jest kiwnąć palcem arystokratycznym, ustrojonym w glansowną świeżą rękawiczkę, i brzęknąć sakiewką, a wdzięki i wstyd uścielą się plackiem przy jego nogach. Jakże się więc zadziwił, jak zmieszał, gdy Małgosia szybko odejściem, zakrawającym na ucieczkę, tą jedyną bronią słabości, stawiała niespodziewany opór śmiałym, a tak niezwykłym dla niej zalecankom.

Młodzian zawstydził się; szlachetne jego serce umiało czuć powab skromności i niewinności; a patrząc na jego zakłopotaną minę, z jaką stojąc milczący chował pieniądze do sakiewki, byliście rozśmieli się, widząc salonowego rycerza, który jednem

spojrzeniem, jedném ściśnieniem ręki, niejedną może zadał ranę sercom ucywilizowanych piękności, jak stoi przed wiejską biedną dziewczyną z tak śmieszną miną, jakby trzech zliczyć nie umiał, jakby go opuściła wymowa, która mu po salonach świata wyższego, tak wybornie służyć umiała.

Małgosia już nie oglądając się nawet, coraz więcej przyspieszała kroku; a przebiegłszy łąkę, gdy zaczęła posuwać się granicą, po której przed chwilą z taką szczerą wesołością postępowała, wołaniem dziedzica zatrzymaną została w szybkim swoim biegu.

— Małgosiu! Małgosiu!—wołał tenże tonem niezadowolenia —czegoż uciekasz? czy boisz się, żebym cię nie zjadł? Wróć się do roboty, bo ja odchodzę, kiedy tak na mnie patrzeć nie możesz. Wróć się, zaraz idę.

Małgosia przystanąła. Dziedzic istotnie wolnym krokiem zaczął iść brzegiem łąki, która dochodziła aż pod sam ogród dworski. Małgosia nie poruszając się z miejsca, długo patrzyła za odchodzącym młodzianem, aż dostrzegłszy fury dworskie, jak z zabudowań folwarcznych prosto zmierzały ku łąkom po siano, czując się jakoś więcej śmielszą, powróciła na miejsce przerwanej pracy.

Gdy Małgosia pracuje i małą swoją główką rozbiera wypadek, który ją tyle nabawił niespokojności, nasz urodny młodzian posuwał się coraz prędzej ku dworowi.

Rozgniewany, bo jak się tu nie gniewać, gdy prosta, wiejska, nieokrzesa dziewczyna ośmieliła się sprzeciwić woli swego pana, woli, która jedném skinieniem mogłaby biędę otoczyć blaskiem dostatku, i z najuboższej wieśniaczki zrobić najbogatszą dziewczę wsi całej.

Więc gniewał się, a mruknąwszy pod nosem, „szkoda czasu i atlasu“, wystrzelił z dubeltówki do przelatującego ptaszka, poprawił małych ładnych wąsików, i zarzuciwszy strzelbę na plecy, doszedł do dworu, gdzie go zastawione czekało śniadanie.

Najczęściej tak się dzieje, że im więcej usiłujemy wyrugować z głowy wspomnienie zdarzenia, które nam przykrość sprawiło, tém więcej obraz jego, jak natrętna mucha siada na duszy, płosząc wszystkie inne myśli, któremi chcemy zapełnić dumania.

To samo działo się i z naszym młodym panem; lubo sobie powiedział, że niewarto i jednéj minuty czasu poświęcić dla takiej prostaczki jak Małgosia, tymczasem myśl o niej ze wszyst-

kiemi szczegółami odbytej rozmowy, jak na złość raz wraz przebiegała, i ironicznym śmiechem z doznanego zawodu kłóła go w najdrażliwszą stronę, bo w uczucie miłości własnej.

Po długiej nareszcie rozwadze i zastanowieniu się, w których krasna postać Małgosi z całym blaskiem urody, skromności i niewinności, nieraz mignęła w wrzącym umyśle młodziana: uznał za konieczne, jeżeli nie dla jej wdzięków, to coś zrobić dla sprawiedliwości, i postanowił bliżej zbadać szczegóły owego zaboru przez rządcę dwóch koni do dworu.

Tój więc wewnętrznej rozwadze i szlachetności młodego dziedzica winna była Małgosia ów podarunek stu złotych, i przyście do tyle upragnionej krowy. Bo gdy ściągnięta opinia okazała się jak najkorzystniejsza dla rodziców Małgosi i nawet dla niej samej, którą w przebiegłym swym umyśle pan rządca ubarwił nawet tysiącznemi dodatkami, spodziewając się słusznie chwilowego przynajmniej panowania urodnej dziewczicy nad sercem i wolą swego pana: młody dziedzic po południu przechodząc przez wieś zaszedł do chałupki Małgosi, a niezastawszy jej w domu po krótkiej z matką rozmowie doręczył jej pieniężny podarunek, jako wynagrodzenie za zabrane konie, obiecał dać gruntu pod zasiów oziminy, korzec żyta na chleb i przyrzekł dalszą swoją opiekę.

Otóż i tajemnica wykryta; lecz nie na tém koniec!

Nie będę się silił na opisanie radości, jaka napełniła strzechę naszej dziewczicy. Jeżeli rubel, nędzny jeden rubel, mógł tyle sprawić ukontentowania, jak to opisaliśmy w rozdziale poprzednim, cóż tu teraz powiedzieć? Bięda znikła, bo jest krowa, jest chleb, grunt na zasiów i przyrzeczona opieka pańska; więc jest bogactwo, jest szczęście! Szczęście? czy widzieliście zrealizowane w czyn to, co ten wyraz szczęście oznacza? czyście je gdzie widzieli lub spotkali goniąc za niem przez wiek cały życia swego?

A jednak rzecz dziwna! posiadamy nazwę, nie posiadając rzeczy; posiadamy wiedzę, uczucie szczęścia, a jego samego nigdy osiąść nie możemy: bo ono bywa, lecz tak krótko, jak wiele trzeba czasu na wymówienie tego wyrazu, jak krótko trwa drzenie powietrza, poruszone głosem ust wymawiających.

Gdy matka nie mogła się naopowiadać o dobroci i łaskawości dziedzica, i po raz może setny opisywała jej wszystkie szczegóły

mianej z nim rozmowy, jak jej dwoił (1), jak wywiadywał się o meboszczyku ojcu, o ich zagrodzie; Małgosia z dziwnym stanem serca słuchała całej tej mowy.

Jeżeli pierś jej rozdymało radosne westchnienie z odebranego dobrodziejstwa, możemy zaręczyć, że w obrazach snuty na tle owych stu złotych, bardzo często rysowała się urodna postawa młodziana z całą potęgą wymowy, której melodyjnym tonem tak mile pieścił słuchającą chciwie dziewczycę.

I cóż dziwnego! Ranna rozmowa otworzyła jej świat nowy, którego dotąd nie znała; a lubo przy końcu jej użyła broni, którą tak poraziła młodego śmiałka, czyn ten był więc mimowolnym, instynktowym, jak wyrozumowanym; bardziej był wypływem dziewczęcego wstydu i nieskażonej niewinności, niż zastanowienia ładnej, lecz niewykształconej główki.

Nie miejmy więc za złe biednej Małgosi, że troszkę uległa otaczającym ją wrażeniom, chociaż przybiegała jej w pomoc myśl o Antku, o tak pragnionem weselu i o przyszłym wspólnym gospodarstwie. Słaby to jednak był puklerz, aby skutecznie mógł zasłonić serduszko niedoświadczone przed tchnieniem świata wyższego, które jak uderzający wyziw w urodnej postaci dziedzica, w ponętnej z nim rozmowie i w jego szczodrym, łaskawym zasiłku, wokoło niej zacząwszy się unosić, już opanował główkę, grożąc sercu, które dotąd tak wiernem tętnem tylko dla smagłego i rzeźkiego Antka biło.

Małgosia z całą szczerotą wieku młodego i względnie do swego nieskażonego serca, opowiedziała matce spotkanie ranne

(1) Lud wieśniaczy dalszych okolic, w których typ czystego chłopca w całej żyje czystości, gdy mówi z uszanowaniem używa wyrażenia *wy*, co nazywa dwojeniem. W blizkich okolicach Warszawy już nie wszędzie można to usłyszeć, bo śliczne miano *wy* zastępują mieszkańcy wyrazem *pan*, jakby parodyą biedy i nędzy moralnej, któremi głównie się różnią od swych braci, dalej zamieszkujących.

Zaiste, żałować należy, że to wyrażenie *wy* nie weszło w użycie w salopach świata wyższego. Przodkowie nasi w rozmowie lub piśmie czcąc się wzajemnie tym mianem, uważali niejako podwojenie swęj wartości: jednę, do której mamy prawo jako człowiek, istota towarzyska; drugie, własnej zasługi i wartości moralnej.

Może być, że pozbawiwszy się właśnie tej drugiej, nie śmiemy uważać siebie w liczbie mnogiej i zamieniliśmy starodawne *wy* na nowomodne *pan*. Jeżeli tak jest, zasługujemy zawsze na pochwałę, że nie przywdziewamy szaty, do której nie mamy prawa.

z dziadcem, i o dziwo! wysłuchaną została prawie z zadowoleniem, bez odgrózek tak niemiłych dla jęj jasnych włosów i modych, ślicznych oczków.

Biędna matka! w niezwyklęj dla siebie radości, jaką sprowadziła przemiana biędy na dostatek, zapomniála nieboga o niebezpieczeństwie otaczającém kochane jęj dziecko, i w nieoględnosci swojęj zdawała się potakiwać targowi, jaki rozpoczęto o urodę krasnej Małgosi.

Biędna matka! ale cóż miała robić? Gdyby odrzuciła z pogardą czynione ofiary, i w szlachetném oburzeniu potargała sieci na wdzięki Małgosi zastawione, zapewne że postąpiłaby pięknie z całym hartem duszy, jak matka godna starożytnych rzymskich lub greckich bohaterek, i zyskałaby poklask każdego serca, cnotę i piękność czuć umięjącego. Ale Janowa nasza była tylko prostą chłopką, umięjącą ocenić tylko to, co zbliżka o jęj zmysły uderzało, a niemogąca siłą swego rozumu sięgnąć głębięj w istotę rzeczy, i oprzecz się zdradnej ponęci, jaka w postaci łaski i dostatków do jęj ubogięj chaty zaglądała.

Pomimo jednak panującęj w domu radości i po zobopólném obfitém nagadaniu się o wypadkach dnia upłynionego, stara Janowa zaczęła już wieczorem częściej zastanawiać się nad opowiadaniem Małgosi. Lubo nie widziála niebezpieczeństwa, nie była jednak zupełnie spokojną; i zabierając się do spania, gdy już wyszeptála pacierze, tak wyrzekła do krzątającęj się po izbie córki:

— Małgoś, moje dziecko, tylko zawdy mięj se na uwadze, com ci wczoraj mówiła; nie zabaczaj (1) ani jednego słowa, boś ty młoda, głupia, tota nie możesz dobrze wiedzieć co parzy, a co ziębi. Oj! nie płakałaby teraz Róża, żeby była się nie wdawała z lokajem nieboszczyka naszego pana; i cóż se teraz dobrego zrobiła? Onta Bóg wię gdzie się wala po świecie, a ona płacze, i Bogać-ta nie ma płakać, gdy chłopczysko kieby bizon wisi u szyi i raz wraz woła: „matusiu! chleba”. Nie mówię jata moje dziecko — dodała po małej chwili—żebyta nasz dziadec miał być taki jak drudzy, bo to poczciwe, dobre panisko, niech mu Bóg we wszystkiém błogosławi i da potém niebo; ale widzisz, dziadec chociażta szlachcie od ojca i dziada, ale zawdy chłop,

(1) Zabaczać czyli zapominać.

a ludzie starzy i mądrzejsi odemnie mówią: że nie przymierzając, psu i chłopu nigdy nietrzeba wierzyć.

W kilka chwil po téj przestrodze, Małgosia tlejący jeszcze ogień na kominie ugasiła i sen zaczął pomалу zaglądać do chałupki, która w ścianach swoich mieściła dwa serca biednych wieśniaczek, napelnione radością i weselem.

I tak zakończył się dzień, niosąc w biegu swoim tyle zdarzeń szczęśliwych, tyle wrażeń nieznanych dla młodej naszej dziewczynki; a płacząc to wszystko w ładnej jej główce z różnemi planami na przyszłość już snutemi, utulił modre oczki słodkim snem, wplatając w marzenia wypadki dnia ubiegłego.

(Dokończenie nastąpi).



JEZIORA

W KRÓLESTWIE POLSKIM (*).

PRZEZ

Ludwika Wolskiego.

Trzy główne znajdujemy grupy jezior w Królestwie: jedna w środkowej części gubernii augustowskiej, to jest w powiatach: kalwaryjskim, sejneńskim i augustowskim; druga przy wyjściu Wisły z kraju, to jest w powiatach: gostyńskim, włocławskim i konińskim gubernii warszawskiej, tudzież w powiecie lipnowskim gubernii płockiej; trzecia nakoniec grupa jezior w środkowej części gubernii lubelskiej, to jest w powiatach: krasnostawskim i lubelskim. Pierwsza grupa jest najznacniejsza, bo i największe i w największej liczbie posiada jeziora; niektóre z nich mają więcej jak po tysiąc morgów rozległości, a znaczna liczba znajduje się takich, co są rozległe przeszło na 300 morgów.

Oprócz tych grup wielkich, znajdujemy jeszcze i inne mniejsze, albo też jeziora pojedynczo rozsypane.

Tu podamy opis wszystkich jezior. Opis ten obejmie następujące zapytania:

- nazwisko jeziora;
- w jakiej gminie, dobrach, wsi jezioro jest położone;
- jakich wsi grunta do jeziora przypierają;
- jaka jest jeziora obszerność i głębokość;
- czy jest położone na płaszczyźnie, czy w miejscu wzgórzystém; jedna jak drugie, czy są otwarte, czy ścieśnione np. lasami i t. d.

(*) Zob. Bibl. Warsz. rok 1849 m. maj, czerwiec i t. d.

jakiéj natury grunt nadbrzeżny; czy grunta orne, łąki, piaski, błota, trzęsawiska i t. d.;

przez jezioro jaka rzeka lub strumień przepływa; czy ta bierze z niego początek, czyli przeciwnie w niem ginie, albo tylko przepływa, dalej szukając celu swego zlania się z ogółem;

czy jezioro ma i z czém kómmunikacyą, czyto zewnątrzną, czy podziemną;

czy wzbiera za roztopieniem śniegów i spadnięciem deszczów, lub téz stale swój poziom utrzymuje;

czy pomiędzy źródłami nie ma jakich mineralnych;

woda czy jest czysta, zupełnie przezroczysta, lub téz w inny jaki kolor wpadająca; słodka, słona lub téz inny jaki smak i ódór mająca;

jakie użytki z jeziora pod względem spławów i połowu ryb. Jeżeli spław odbywa się po jeziorze, to jakimi statkami i jakie przedmioty są spławiane. Jezioro jakiego rodzaju posiada ryby, i w przybliżeniu roczny dochód z ich połowu. Gatunki ryb znajdujących się w jeziorze będą wymienione porządkiem, w miarę ich obfitości;

jakie jest położenie jeziora względem innych otaczających go, to jest, ile poziom jego wody w stanie normalnym jest wyżéj lub niżéj od innych położony.

Wspomnimy téz i o wszelkich innych szczegółach na uwagę zasługujących.

Przy każdém jeziorze większém, prawie wszystkie, w miarę możności, szczegóły te zamieścimy. O jeziorach bardzo małych tylko wspomnimy, przytaczając to tylko, co ich charakteryzuje szczególniéj; mianowicie wykażemy ich rozległość, głębokość, użyteczność i t. d.

Pierwszyto dopiéro jest opis jezior krajowych pod wymienionemi względami, sądzę więc, że jak największa obfitość szczegółów jest tu pożądaną. Tém powodowany przekonaniem, starałem się zebrać jak najwięcéj materyałów, a po ich obrobieniu podaję opisy nietylko wielkich jezior, z których już kilka z pism drukowanych znamy, ale nie pomijam nawet i najmniejszych. Sądzę, że nie zgrzeszę tu tak szczegółowym opisem. On da nam dokładne pojęcie rzeczy; on nawet może nietylko obznajmi nas z hydrografią kraju, ale jeszcze obznajmi z gospodarstwem rybném, a w części nawet da niejakie wyobrażenie o kraju, pod względem topograficznym i gatunków gruntu.

Mamy znać przedmiot, znajmyż go we wszystkich szczegółach i z różnych punktów widzenia rzeczy. Literatura nasza pod względem geografii i statystyki kraju jest bardzo szczupłą, jest prawie żadną. Znamy i karty zagraniczne, a olbrzymy nasze są dla nas obce. Wszystko na téj drodze leży u nas odłogiem. Dla dojścia do poznania kraju pod temi względami, nie rzucajmy się odrazu na wszystko, nie szkicujmy tylko, ale przeciwnie wyczerpujemy każdy dział aż do elementów jego najdrobniejszych, prawie niksących dla małości swojej. Monografie, a nie szkice obznajmią nas z krajem, tak na nieszczęście długo pod tym względem zapomnianym. Przedstawienie stanu wód przyjąłem na siebie, i z tego się naprzód wywiążę; przedstawiłem już rzeki, podaję teraz jeziora, pójdą dalej stawy, wody mineralne, błota. Będzieto już zapewne kompletny początek znajomości wód krajowych. Po ukończeniu tego pójdę dalej do innych działów znajomości kraju. Co naprzykład wiemy o gatunkach gruntu, o wydmach piaszczystych? co wiemy o lasach krajowych i wielu innych przedmiotach geografii? co wiemy ze statystyki kraju?—nic prawie. A przedmioty te nie są małej wagi.

Systemat w opisywaniu jezior przyjąłem taki, jak i w opisie rzek, zamieszczonym w Bibliotece Warszawskiej za rok 1849. Przedstawię jeziora zlewami rzek, zaczynając od lewej strony Wisły. Poznamy przeto naprzód jeziora gubernii radomskiej i warszawskiej; dalej przejdziemy do jezior prawego brzegu Wisły, to jest do gubernii lubelskiej i płockiej; naostatku dopiero pójdziemy do gubernii augustowskiej, należącej w części do zlewu Wisły, w części do zlewu Niemna. W zlewie Warty kilka znajdujemy jezior, to jest w powiecie konińskim w okolicach Gopła; te podamy w liczbie innych tu znajdujących się jezior, przy zlewie Wisły.

Podobnie jak w opisie rzek, tak i tu wiadomości potrzebne czerpałem głównie z akt urzędowych; korzystałem téż w kilku miejscach z pism drukiem ogłoszonych.

JEZIORA GUBERNII RADOMSKIEJ.

Wysokie położenie téj gubernii, osobliwie jój części południowo-zachodniej, mnóstwo różnych rzeczek i strumieni zlewających się jużto bezpośrednio, już pośrednio do Wisły: jest powodem, że w gubernii téj jezior nie ma wiele, a znajdujące się,

właściwie tylko za opuszczone wody rzek lub małe zbiory wód uważać należy. Znajdujemy tu jeziora tylko w powiatach: miechowskim, stopnickim i sandomierskim, i to albo nad samą Wisłą, albo w nieznacznój od niej odległości. Przystępujemy do szczegółowego ich opisu.

Powiat Miechowski.

a. Jeziora nad samą Wisłą.

Jezioro we wsi *Pobiedniku Małym* (bez nazwiska), utworzone w nizinie między łąkami i polami, obok lasu o kroków 100 odległego. Gleba gruntu nadbrzeżnego próchnista. Obszerność tego jeziora morgów 5, głębokość różna, największa stóp 8. Żadna rzeka ani strumień nie przepływa; odpływ wody do Wisły. W czasie roztopienia śniegów i spadnięcia deszczu nieco wzbiera. Komunikacyi podziemnych nie ma żadnych. Woda czysta, zupełnie biała. Brzegi jeziora miejscami trzcina zarosłe. Obfituje w ryby: szczupaki, karpie, liny, karasie i t. p. zaledwie wystarczające na miejscowe potrzeby.

W dobrach Igołomia znajdują się trzy jeziora: *Skrzynka*, *Smolowa*, *Mościsko*.

Jezioro *Skrzynka* położone na płaszczynie w błoniach; grunt nadbrzeżny iłowaty, w części piasek. Obszerność jeziora morgów 3, głębokość stóp 8. Za spadnięciem deszczu, roztopieniem śniegów i z powodu źródeł wewnętrznych znacznie wzbiera. Komunikacyj podziemnych nie ma. Woda niezbyt czysta, smaku nieco odrażającego zgnilizną. Źródeł mineralnych nie ma. Poławiają się w małej ilości szczupaki i karasie, zaledwie wystarczające tylko na domową potrzebę. Odpływ wody do Wisły.

Jezioro drugie *Smolowa*, położone na płaszczynie w miejscu otwartém; obszerne morgów 2, głębokie około 17 stóp. Grunt nadbrzeżny próchniasty. Żadna rzeka ani wpływa ani przepływa. Wzbiera za spadnięciem deszczu. Odpływ jeziora toczy się do Wisły. Komunikacyj podziemnych i źródeł mineralnych nie ma. Brzegi jego w części trzcina zarosłe. Woda w niém odrażająca zgnilizną. Obfituje w małą ilość ryb, wystarczających tylko na potrzebę domową.

Jezioro trzecie *Mościsko* leży na płaszczynie w otwartém miejscu; obszerne $\frac{3}{4}$ morga, głębokie stóp 10. Co do szczegółów, podobne dwom powyższym jeziorom.

W dobrach Złotniki znajdują się trzy koło siebie położone jeziora bez nazwisk. Ogólna ich obszerność morgów 47, prętów 148; największa głębokość stóp 15. Leżą one w otwartym miejscu; grunta nadbrzeżne próchniste. Żaden strumień nie wpływa ani przepływa; woda czysta. Mają one komunikacją z rzeką Wisłą, która gdy wzbierze o tyle je przepelnia, że łąki i pastwiska zalewają. Brzegi tych jezior w części trzcina zarosłe. Źródeł mineralnych, ani komunikacyj podziemnych nie mają żadnych. Poławiają się w nich szczupaki, liny i karasie; obfitość jest mała bo połów czyni dochodu rocznego rs. 24. Splawu na tych jeziorach nie ma żadnego.

We wsi Tomaszów znajduje się jezioro bez nazwiska; to ścisnione górami leży w otwartym miejscu. Grunt nadbrzeżny gliniasty. Obszerność jeziora morgów 12, prętów 73. Jezioro to tworzą środkowe źródła; rzeka nie wpływa ani nie przepływa. Za ściekiem wody deszczowej z gór, lub roztopieniem śniegów, jezioro o tyle się przepelnia, że zalewa przyległe łąki. Komunikacji podziemnej nie ma. Woda w nim czysta, z powodu bijących źródeł; do picia zdrowa, biała, przezroczysta. Znajdują się w nim szczupaki w małej ilości, które służą tylko na domową potrzebę. Woda z tego jeziora odpływa na młyn, a dalej małym rowkiem do Wisły.

b. Jeziora nad Nidzią.

Jezioro *Krzywda* zwane, położone w mieście Szkalbmierzu u poziomu góry, wpośród łąk, na płaszczyźnie w otwartym miejscu; grunt nadbrzeżny jest czarnoziem urodzajny, zapuszczony na łąkę. Jezioro to podzielone małymi przedziałami na cztery nierówne części, ma w ogóle długości sążni 105, szerokości 65, czyli ogólnej powierzchni morgów $3\frac{2}{3}$; głębokość stóp 8 do 10. Wpływa do niego strumień *Maruszka* zwany, i ten następnie rowami, przez łąki wsi Sielce wybitymi, uchodzi do rzeki Nidzi. Środkiem jeziora woda czysta, przezroczysta; na dnie miejscami znaczna warstwa mułu; w wielu miejscach tak zarosłe trawą, mchem i trzcina, że trudno jest nawet przekonać się o jego głębokości. Woda nieco słoną się wydaje, ma odór zgnilizny. Ryby drobne znajdują się w niewielkiej ilości. Z powodu trudnego przystępu oraz zarośnięcia mchem, niepodobniestwem jest wyrachować, jakiby dochód z rybołostwa osiągnąć można; nateraz żadnego nie

ma. Podziemnej komunikacji nie znać. Ponieważ jest niedość rozległe, przeto żadnego na niem splawu urządzić nie można.

c. Jeziora nad Nidą.

We wsi Mozgawa należącój do dóbr prywatnych Chroberz, znajduje się jezioro nazwiskiem *Katek*. Leży ono na płaszczyźnie; grunt nadbrzeżny orny, urodzajny, z północy pruchnica, z południa glinka. Obszerność jeziora morgów 2, głębokość w środku na stóp 5. Do jeziora tego napływ wody jest ze śniegów i deszczów; leży ono w nizinie pól, ze wszystkich stron grunt jest wyższy, woda więc nie ma żadnego odchodu, przez co jest w połowie chwastami zarosła; jest wszakże czysta, zupełnie biała i przezroczysta, ale odoru bagnistego. Dochodów żadnych jezioro to nie przynosi, gdyż jest zupełnie bezrybne.

Powiat Stopnicki.

a. Jeziora nad Wisłą.

W gminie i wsi *Wojcza* znajduje się jezioro w łąkach, na obszernej płaszczyźnie, wśród błot, które w porze suchej w siano obfitują. Rozległe ono morgów 28; dosyć głębokie. Żadnej nie ma komunikacji podziemnej. Woda czysta, po głębiznach niezarosła, nad brzegami trzcina gdzieniegdzie spostrzegać się daje. Śladu źródeł mineralnych tu nie ma. Z powodu niemożności upuszczenia wody, jezioro to żadnego dochodu z rybołóstwa nie przynosi. Co się tyczy splawów, te nie mają tu miejsca. W czasie wezbrania, przy roztopach śniegów, wody jeziora tego spływają do innych jezior, w okolicy nadwiślańskiej znajdujących się, a które pod względem poziomu prawie jednakowo są położone.

W gminie *Ślupia Wielka* znajdują się jeziora: *Wir*, *Trzos*, i pięć jezior zwanych *Skrzynki*. Pierwsze położone jest na płaszczyźnie, w miejscu otwartém. Brzegi jego błotniste, w siano obfitujące. Rozległe morgów 1½, głębokie do stóp 40. Woda tego jeziora zwykle nie ma odchodu; lecz w czasie wezbrania i wylewu z roztopienia śniegów, przepływa strumieniami do innych jezior, a następnie do Wisły. Żadnej komunikacji podziemnej nie ma. Woda czysta, nad brzegami tylko zarosła trzci-

na. Źródeł mineralnych nie ma. Obfituje w szczupaki, leszcze i białą płoć; te wystarczają tylko na domowe potrzeby.

Jeziro nazwane *Trzos*, położone na płaszczynie w miejscu otwartém i płaskiem. Obszerne jest morgów 7, głębokie do stóp 70. Grunta jego nadbrzeżne rędzinne i bagniste. Zdaje się, że jeziro pomienione ma swoje źródła; obok tego wzbiera i po nawalnych deszczach i roztopach śniegów. Dla braku sposobności spuszczenia wody, żadnego dochodu z rybołostwa nie przynosi; bo jakkolwiek obfituje w szczupaki, liny, leszcze i płoć białą, jednakże głębokość wody nie pozwala ich łowić. Jezioro to zasila swoją wodą inne jeziora, obok niego będące. Położenie jego względem innych prawie równe.

Jezióra *Skrzynki* położone są na płaszczynie, w miejscu otwartém, wśród gruntów bagnistych. Ogólna ich obszerność morg. 5; głębokie po stóp 10. Woda do nich przy pływa z jeziora *Trzos*; wypływający z nich strumyk wpada do Wisły. Komunikacyj podziemnych nie mają. Woda w nich czysta i przezroczysta, w miejscach płytkich trzcina porosła. Źródeł mineralnych nie mają. Obfitują w szczupaki, liny, leszcze, wystarczające na miejscową potrzebę. Spławy na tych jeziorach miejsca nie mają. W czasie suchego lata tracą z sobą komunikacyą; nigdy tak nie wzbierają, aby woda rozlewała się i robiła jakie szkody.

W gminie *Żabiec* znajduje się jeziro nazwane *Osetnie*, położone na płaszczynie w miejscu otwartém. Grunt nadbrzeżny rędzinny, w siano obfitujący. Obszerne morgów 3, głębokie stóp 3 1/2. Odchodu wody prawie żadnego nie ma, tylko w czasie wezbrania i roztopienia śniegów, przepływa strumieniami do innych jezior, a następnie do Wisły. Woda czysta, po płytkich i nadbrzeżnych miejscach zarosła trzcina. Źródeł mineralnych nie ma. Jezioro to obfituje w szczupaki, leszcze i białą płoć, lecz w bardzo małej ilości, tak, że ryb na sprzedaż użyć nie można.

W gminie *Zborówek* znajduje się jeziro nazwane *Krzyżki*. Położone jest na płaszczynie w otwartém miejscu. Grunt nadbrzeżny urodzajny, wokoło trzęsawiska. Obszerność jeziora morgów 6, głębokość stóp 20. Odchodu wody prawie żadnego nie ma, tylko w czasie wezbrania i roztopienia śniegów, przepływa strumieniami do innych jezior, a następnie do Wisły. Woda w niém czysta, po płytkich i nadbrzeżnych miejscach zarosła trzcina. Żadnych źródeł mineralnych nie posiada. Głównym

użytkiem jest rybołówstwo; szczupaki, leszcze i biała płoć wystarczają na domową potrzebę. Splawy nie odbywają się.

b. Jeziora w zlewku Nidy.

W gminie Ostrow znajduje się jezioro nazwane *Zaogrodzie*, położone na płaszczynie w miejscu otwartym, między łąkami. Grunt nadbrzeżny piaszczysty. Obszerne morg 1; głębokie stóp 6. Woda w niem czysta i biała, trzcina zarosła. Źródła mineralne spostrzegać się tu nie dają. Jezioro to zupełnie bezrybne. Woda z niego odpływa do jeziora niżej opisanego *Chałopa*. Splaw na niem nie odbywa się.

W téjże gminie Ostrow znajduje się jezioro nazwane *Chałopa*, położone na płaszczynie w miejscu otwartym, pomiędzy łąkami; grunt jego nadbrzeżny piaszczysty. Obszerne morg 1; głębokie stóp 6. Łączy swe wody z jeziorem powyżej opisanym, i z rzeką Czarna. Woda w niem czysta, biała, trzcina zarosła. Źródeł mineralnych nie ma. W ryby zupełnie nie obfituje. Splawów żadnych nie ma.

W gminie Sędziejowice znajduje się sześć małych jezior, jakoto: *Włoczek*, *Skala*, *Smigowiec*, *jezioro bez nazwiska*, *Tsawko* i *Siwice*. Wszystkie położone w miejscu otwartym między polami. Grunta ich nadbrzeżne rędzinne. Jeziora te zajmują razem obszerności morgów 7, głębokie od 3 do 8 stóp. Nie przyływa do nich ani rzeka, ani strumień; przybywa tylko woda z deszczów i z roztopienia śniegów, a obok tego mają zapewne swoje źródła podziemne. Woda w nich czysta, biała, niezarośnięta. Źródeł mineralnych nie mają. Ryby w nich zupełnie się nie znajdują. Jeziora te nie mają z sobą żadnej komunikacji, są prawie jednakożego co do poziomu położenia.

W gminie Umianowice znajdują się dwa jeziora, to jest: *Kuliska* i *Zanidzie*. Położone na płaszczynie, w miejscu otwartym, pomiędzy łąkami i błoniami; grunta ich nadbrzeżne rędzinne. Oba te jeziora zawierają obszerności morgów 4, głębokości stóp 8. Woda do nich przyływa z rzeki Nidy. Podziemnej komunikacji nie mają. Woda przezroczysta, lecz miejscami zarosła trzcina. Źródeł mineralnych i ryb nie posiadają. Jeziora te nie mają komunikacji z innymi, i dlatego położenie ich z drugimi porównane być nie może.

Miasto Pińczów ma dwa jeziora: *Okrąglica* i drugie *bez nazwiska* pod wsią Pastorka; oba położone na płaszczynie w miejscu otwartém, pomiędzy łąkami. Każde z nich zawiera obszerności po półtora morga, głębokości po stóp 4. Do nich przy pływa woda smugami z rzeki Nidy. Kommunikacyi podziemnej ani źródeł nie mają. Woda biała i czysta, zarosnięta chwastami. Z powodu swój bezrybności, użytku żadnego nie przynoszą. Spławy żadne.

W gminie Kowala znajduje się jezioro *Zagorze*, położone na płaszczynie w otwartém miejscu. Grunt nadbrzeżny czarny, urodzajny. Obszerne morgów 3, głębokie stóp 8. Przy pływa do niego woda z rzeki Nidy. Kommunikacyi podziemnej nie ma. Woda w niém czysta, biała, trzcina zarosła. Ani źródeł mineralnych, ani ryb, ani spławów nie ma.

W mieście Wiślicy jezioro tak nazwane *Płyt*, położone na płaszczynie, w otwartém miejscu między łąkami, a błoniem. Grunt nadbrzeżny piaszczysty. Obszerne morgów 2, prętów 100, głębokie stóp 15. Woda wpływa do niego strumieniem od rzeki Nidy, a w drugim kierunku odpływa do téj samej rzeki. Wzbie-ra po roztopieniu śniegów, i spadnięciu deszczów i często zalewa łąki. Jezioro to żadnej podziemnej komunikacyi nie ma. Woda w niém czysta, odoru nieprzyjemnego z powodu nieregularnego odpływu. Źródeł w niém mineralnych nie ma. Korzyść z rybołostwa bardzo małą przynosi, gdyż posiada tylko drobne ryby. Żadne spławy na niém miejsca nie mają.

Powiat Sandomierski.

Wszystkie jeziora powiatu tego leżą nad samą rzeką Wisłą.

W dobrach Ossala są dwa małe jeziora bez nazwisk; obszerność ich morgów 2, głębokość około stóp 16. Są one położone w odległości kilkadziesiąt kroków jedno od drugiego, na płaszczynie rozległej, w gruntach twardych, urodzajnych. Kommunikacyi żadnej z innymi wodami nie mają, i jedynie z deszczów lub roztopu śniegów woda w nich przybywa. Po większej części zarosłe są trzcina. Woda w nich jest czysta, przezroczysta, smaku zwyczajnego. W ryby nie obfitują, oprócz małej ilości okuni i płoci, przez co żadnego dochodu z rybołostwa nie dają.

Znajdujące się we wsi Matyaszów, gminie Tursko, jezioro nazwane *Matyaszowskie*, położone jest na płaszczynie, w miejscu

otwartém. Grunta jego nadbrzeżne są twarde. Obszerne 5 do 6 morgów, głębokość nierówna, największa wynosić może stóp 16. Żadna rzeka ani strumień z niego nie wypływa, ani też wpływa; za roztopieniem śniegów, lub spadnięciem ulewnych deszczów, znacznie przybiera. Podziemnej komunikacji nie ma. Woda nieco zielonawego koloru, słodka, żadnego odoru niemająca, od brzegów zarosła trzcina. Obfituje w ryby: szczupaki, karasie, karpie i inne. Gdy jeszcze od strony Wisły lądy nie były zabezpieczone wałami, rzeka ta, w czasie wylewów swych, wiele drzew do jeziora tego naniosiła, przez co połów ryb utrudniony. Lecz wydobycie drzew tych jest niepodobne, gdyż woda z jeziora spuścić się nie da, a ztąd i znacznego dochodu z rybołostwa spodziewać się tu nie można. Obecnie takowy liczyć można rocznie najwięcej rub. sr. 3.

We wsi Szwagrów, gminie Tursko, jezioro nazwane *Traczewski dół*, położone na płaszczynie rozległej, ma obszerności $\frac{2}{3}$ części morga; głębokość stóp 20, grunta jego nadbrzeżne twarde, urodzajne. Żadna rzeka ani strumień do niego nie wpływa i nie wypływa. Za roztopieniem śniegów i spadnięciem ulewnych deszczów, szczególnie w porze wiosennej, wody jeziora tego z lądów wychodzą; lecz to okolicznym gruntom nie jest szkodliwém. Podziemnej komunikacji i źródeł mineralnych nie ma. Woda w niem czysta, słodka, bez żadnego odoru, zarasta po brzegach wisem. Chociaż w niewielkiej ilości, zawsze jednak obfituje w ryby: szczupaki, karpie, karasie i okunie. Właściciel żadnego dochodu pieniężnego z rybołostwa nie ma. Spławów nie istnieją.

We wsi Tursko Wielkie do téjże gminy należącej, jezioro zwane *Skrzynka*, położone na płaszczynie rozległej, ma brzegi twarde; obszerne jest morg 1, głębokie stóp 15. Zwykle spływa do niego woda z pól po roztopieniu śniegów i spadnięciu deszczów. Żadna rzeka ani strumień przez jezioro to nie przechodzi. Woda w niem czysta, słodka, żadnego odoru ani części mineralnych nie ma. Szczupaki, okunie i inne ryby, tylko zaledwie na użytek właściciela wystarczają. Spławów nie ma.

W téjże samój wsi Tursko Wielkie jezioro *Pisulka* zwane, na płaszczynie rozległej położone, ma grunta nadbrzeżne twarde, urodzajne. Obszerność jego wynosi 2 morgi, głębokość 15 stóp. Po większej części zarosła trzcina. W porze wiosennej po spadnięciu deszczów nawalnych i stopnieniu śniegów przybiera. Pod-

ziemnej komunikacji nie ma. Woda w niem czysta, słodka, żadnego odoru ani części mineralnych nie ma. Znajdują się w niem ryby: szczupaki, okunie, płoć, lecz rzadko łowią się i to jedynie na własną potrzebę. Nie jest spławne.

W gminie Osiek znajdujemy pięć jezior: dwa we wsi Osieczko, nazwane *Białe* i *Skopaniec*, we wsi Łęk nazwane *Brzeźnica*, w Osieku *Bania*, we wsi Długoleka *Gaj*.

Szczegółowy ich opis następuy: Jezioro *Białe*, położone jest na płaszczynie rozległej w miejscu otwartém. Obszerność morgów 10, głębokość stóp 9. Grunta nadbrzeżne urodzajne. Wody jeziora nawet po stopnieniu śniegów i nawalnych deszczach nie wzbierają. Brzegi jego są zarosłe trzciną. Kommunikacji podziemnej ani źródeł mineralnych nie ma. Woda czysta, słodka, bez odoru. Obfituje w szczupaki, karasie, okunie i płotki, z czego dochód na rok uczyni najwięcej rs. 9. Spławy żadne nie odbywają się.

Jezioro *Skopaniec*, położone na płaszczynie rozległej w miejscu otwartém, ma obszerności morgów 3, głębokości stóp 20. Grunta jego nadbrzeżne urodzajne. Do jeziora Bani, poniżej opisanego, wypływa ztąd strumień; to jest powodem, iż wody jeziora tego nigdy nie wzbierają. Kommunikacji podziemnej i źródeł mineralnych jezioro to nie ma. Woda w niem czysta, słodka, do użytku zdatna, po brzegach tylko zarosła trzciną i innemi chwastami. Obfituje w różne gatunki ryb, lecz tych dla znacznej głębokości wody łowić nie można; dochodu więc żadnego jezioro to nie przynosi. Spławy żadne.

Jezioro *Brzeźnica*, położone na płaszczynie rozległej, w miejscu otwartém, obszerne morg 1, głębokie stóp 16; grunta nadbrzeżne urodzajne, twarde. Od strony zachodniej przepływają przez jezioro to dwa małe strumienie. Podziemnej komunikacji i źródeł mineralnych nie ma. Woda czysta, słodka, bez żadnego odoru, po brzegach zarosła trzciną i innemi chwastami. W ryby nie obfituje, gdyż jak wyżej powiedziano, są dwa odpływy wody, przez które ryby uchodzą. Spławy nie istnieją żadne.

Jezioro *Bania*, położone na płaszczynie rozległej, w miejscu otwartém, wśród gruntów urodzajnych, obszerne jest morgów 3, głębokie stóp 4. Z trzech powyżej opisanych jezior wpadają do niego małe strumienie, które znów z niego wypływają do Wisły. Nawet w czasie stopnienia śniegów i spadnienia nawalnych de-

szczów woda w jeziorze tém nie wzbiera. Podziemnej komunikacji nie ma, źródła mineralne nie okazują się. Woda czysta, słodka, bez żadnego odoru, prawie zupełnie zarosła trzcina i innymi chwastami; z tego powodu ryb, chociaż jest ich dosyć, łowić nie można, a tém samém żadnych odnosić korzyści.

Nareszcie jezioro *Gaj*, położone jest na płaszczynie rozległej, w miejscu otwartém, wśród gruntów urodzajnych; obszerne półtora morga, głębokie stóp 6. Woda do niego nie wpada, odchodzi zaś do jeziora w dobrach Swiniary znajdującego się, a zatem po ulewnych deszczach i roztopach śniegów woda nie wznosi się. Podziemnej komunikacji i źródeł mineralnych nie ma. Woda czysta, słodka, bez żadnego odoru, po brzegach nieco zarosła trzcina i szuwarami. Z ryb poławiają się szczupaki, okunie, liny, karpie, karasie i płotki; dochód przecież z połowu ich zbyt mały. Spławy nie istnieją.

W dobrach Swiniary znajdujemy jezioro nazwane *Zadnie*. Położone na płaszczynie rozległej, w miejscu otwartém, wśród gruntów urodzajnych, więcej długie a wąskie, ma obszerności morgów 11, głębokości stóp 12. Przez jezioro to przepływa strumień idący od wsi okolicznych i następnie wpada do Wisły. W czasie spadnięcia nawalnych deszczów i stopnienia śniegów wody jeziora tego cokolwiek podnoszą się, lecz z łądów nie występują. Komunikacji podziemnej i źródeł mineralnych nie ma. Woda czysta, cokolwiek zarosnięta trzcina. Poławiają się szczupaki, okunie, karasie, liny i płotki, z czego dochód na rok wynosi rub. sr. 30. Spławy nie istnieją żadne.

W tychże dobrach Swiniary jeszcze trzy jeziora: *Kamień*, *Żurawskie*, *Olesna*.

Jezioro Kamień. Z trzech jego stron rozciąga się rozległa płaszczyna, a od zachodu wzgórze na 5 stóp wysokie. Grunta nadbrzeżne urodzajne, twarde. Obszerność jeziora morgów 4, głębokość stóp 12. Do tego jeziora żadna rzeka ani przyplywa, ani odpływa; woda w niem zupełnie stojąca. Komunikacji podziemnych ani źródeł mineralnych nie ma żadnych. Woda nigdy nie wzbiera, zawsze poziom stale utrzymuje, czysta, słodka, nieco trzcina zarosła. Ryby poławiają się w małej ilości, z czego dochód na rok wynosi najwięcej rub. sr. 3.

Jezioro Żurawskie położone wśród rozległej płaszczyny, grunta jego nadbrzeżne są po części piaszczyste, wszelako urodzaj-

ne. Obszerność tego jeziora dochodzi 15 morgów, a głębokość do 16 stóp. Woda stojąca, znikąd nie przyplywa i nigdy nie podnosi się; czysta, smaczna. Kommunikacyj podziemnych i źródeł mineralnych nie ma. Brzegi zarośnięte trzcina i trawą. W ryby mało obfituje; z rybołówstwa na rok najwięcej rub. sr. 2 dochodu mieć można. Spławy na tém jeziorze nie odbywają się.

Jezioro Olesna. Grunta nadbrzeżne od strony wschodniej są twarde; z trzech stron pozostałych, bagna i trzęsawiska. Obszerność jeziora morgów 12, głębokość stóp 18. Do jeziora tego żadna woda nie przyplywa, ani téż z niego odpływa. Woda w jeziorze tém jest brudna, błotem czuć się dająca, trzcina, łozami i innymi chwastami po brzegach zarosła. Kommunikacyi podziemnej, ani źródeł mineralnych nie ma. W ryby zupełnie nie obfituje. Spławy żadne.

We wsi i gminie Chodków znajduje się jezioro pod nazwiskiem *Lacha*. Położone na płaszczyźnie rozległej, w miejscu otwartém, ma obszerności morgów 3, głębokości stóp 12. Grunta nadbrzeżne są urodzajne, twarde. Kommunikacją ma z rzeką Wisłą, od której tylko o kilkanaście kroków jest oddalone. Źródeł mineralnych nie ma. Woda czysta, słodka. Użytków z jeziora żadnych, gdyż połów ryb z powodu wielkiej głębokości wody i znajdujących się w niej drzew, przez powodzie naniesionych, jest niepodobny.

Jezioro Stoniawa, w dobrach Przewłoka, położone częścią na płaszczyźnie a częścią w miejscu lesistém. Grunta nadbrzeżne są twarde, urodzajne. Obszerność morgów 30, głębokość stóp 15. Po spadnięciu deszczów ulewnych, lub stopnieniu śniegów na wiosnę, woda cokolwiek podnosi się, jest czysta, słodka, za poruszeniem dna wydaje odór nieprzyjemny, podobny do siarki. Zdaje się, że ma ono podziemną komunikacją z rzeką Wisłą, która tylko o pół wiorsty od niego płynie. Ryb w jeziorze tém łowić nie można, gdyż woda jest zarośnięta trzcina i innymi chwastami, i dlatego właściciel żadnych korzyści nie odnosi.

Znajdujące się w tychże dobrach Przewłoka jezioro *Przewłockie*, obecnie zmieniło się w bagna zarosłe trzcina i chwastami; pod spodem ich jest woda, téj jednak głębokości oznaczyć nie można z przyczyny pływających po niej kęp zarośli i trzciny. Obszerność wynosi morgów 30. Czy jest rybne, nie wiadomo, gdyż wielkie szuwary, sprawdzić tego nie pozwalają.

W dobrach Ciszyca Szlachecka jezioro pod nazwiskiem *Dolne*, położone na płaszczyźnie rozległej w miejscu otwartém; obszerność morg 1, głębokość stóp 6; grunta nadbrzeżne iltowate. Żadna rzeka ani strumień nie przepływa. W czasie wiosennym za roztopieniem śniegów, lub spadnięciem deszczów ulewnych, woda jeziora tego występuje z łądów. Kommunikacyi podziemnej nie ma. O źródłach mineralnych nie wiadomo z pewnością, jest tylko domniemanie, iż te choć w części znajdować się muszą, gdyż woda jest nieczysta, nieprzyjemny odór wydająca. Użytków z jeziora nie ma żadnych, albowiem ryby zupełnie tam nie znajdują się, a przewozów zaprowadzać nie ma potrzeby.

We wsi i gminie Ciszyca Duchowna znajduje się jezioro bez nazwiska, położone przy samej wsi, na płaszczyźnie rozległej. Grunta nadbrzeżne, jako podpadające wylewom wód rzeki Wisły i Koprzywianki, są bezużyteczne. Obszerność jeziora morgów 10, głębokość stóp 8. Przez środek tego jeziora przepływa rzeka Koprzywianka. W czasie wezbrania pomienionej rzeki, wody jeziora także wzbierają, lecz to nie na długo, gdyż za zmianą powietrza do właściwego stanu powracają. Woda za wezbraniem jest mętną, w rudziany kolor wpadającą, po opadnięciu wszakże okazuje się być białą, odoru błotnistego. Brzegi na kilka łokci są zarosnięte trzcina i szuwarami; z tego więc powodu korzyści dzierżawca nie odnosi żadnych. O podziemnej komunikacyi i źródłach mineralnych nie wiadomo.

W samym środku wsi Świężyca, w gminie Ciszyca Duchowna, znajduje się jezioro *Glaska*. Obszerność jego morgów 8, głębokość stóp 6. Przez sam środek jego przepływa rzeka Koprzywianka, która czasami, mianowicie po spadnięciu śniegów, lub deszczów ulewnych, łącząc się z wodami jeziora, zalewa przyległe grunta i łąki. Woda w jeziorze tém jest białą, odoru błotnistego, po brzegach zarosła trzcina i tatarakiem. Z ryb trafiają się szczupaki i karasie.

W dobrach Koprzywnica spotykamy cztery jeziora: *Krzcinińskie*, *Kozłowy dół*, *Stony dół*, *Łacha stara*.

Jezioro *Krzcinińskie*, położone jest na płaszczyźnie rozległej. Grunta jego nadbrzeżne urodzajne, twarde. Obszerność około 50 morgów, głębokość miejscami dochodzi do stóp 20. W czasie stopnienia śniegów lub spadnienia ulewnych deszczów woda jego z łądów występuje, i płynąc przez pola, wlewa się do Wisły. W porze suchej woda znacznie opada. Zdaje się wszakże, iż je-

zioro to ma własne swoje źródła, lub komunikacją podziemną z rzeką Wisłą, o wiorst 20 odległą, gdyż największe susze, jakie się już praktykowały, osuszyć go zupełnie nie zdołały. Woda środkiem jest czystą, słodka; od łądów trzcina zarosła. Na dnie jeziora znajduje się dosyć mułu czarnego, zgnilego, za poruszeniem którego woda, oprócz zmienienia właściwego swego koloru, wydaje odór siarki. W ryby dość obfituje, poławiają się tam szczupaki, okunie, karpie, liny, karasie, leszcze, lecz dla wielkiej głębokości wody i niezmiernych zarostów łowić je bardzo jest trudno. Dochód przecież z ryb przynieść może na rok rs. 15.

Jezioro *Kozłowy dół* położone jest częścią w otwartym, a częścią w lesistym miejscu, na płaszczynie rozległej. Grunta jego nadbrzeżne są twarde i urodzajne. Obszerności ma morgów 70, głębokość rozmaita, od jednej do dwudziestu czterech stóp. Żadna rzeka ani też strumień przez jezioro to nie przepływa. Na wiosnę, po stopnieniu śniegów lub spadnięciu wielkich deszczów, wody jeziora podnoszą się, lecz za nadejściem pory letniej opadają, a czasami nawet i wysychają. Komunikacji żadnej, jako też źródeł mineralnych nie ma. Woda w nim czysta, słodka, tylko nieco odoru błotnistego. Ryby są w znacznej ilości, lecz łowić je niepodobna, z powodu różnych zawałów, jakie się znajdują w wodzie i na jej powierzchni; mimo to przecież dochodu na rok z tego jeziora można mieć około rs. 15.

Jezioro *Stony dół*, położone jest na płaszczynie rozległej, w łądach wzniesionych, spadzistych; ma obszerności morg 1, głębokości od stóp 9 do 24. Grunta nadbrzeżne urodzajne. Żaden strumień z niego nie wypływa ani też wpływa. W czasie wiosennym woda cokolwiek wzbiera, lecz to pochodzi jedynie z napływu wielkiej ilości wody. Komunikacji podziemnej i źródeł mineralnych nie ma, gdyż woda w nim znajdująca się jest czysta, słodka i tylko trzcina oraz innymi szuwarami zarosła. Z rybołostwa dzierzawca nie odnosi żadnych korzyści, gdyż połów ryb, z powodu wielkich zarosli, nie praktykuje się.

Jezioro *Łacha stara* zwane, położone jest częścią na płaszczynie, a częścią w miejscu lesistym. Obszerność morgów 10, głębokości stóp 10. Grunta nadbrzeżne urodzajne, twarde. Jeśli na wiosnę woda z Wisły wyleje, lub też znaczne śniegi stopnieją, wody w jeziorze podnoszą się, i z łądów wychodzą; przeciwnie, przy suszach zupełnie wysychają. Ztąd więc i ryb w jeziorze nie ma. Komunikacji podziemnej i źródeł mineralnych

nie ma. Woda czysta, słodka, w niektórych miejscach szuwarami i trzcina zarosła.

We wsi i gminie Skotniki jezioro nazwane *Skotnickie*, położone na płaszczynie rozległej, w otwartym miejscu, wśród gruntów nadbrzeżnych urodzajnych, obszerne morgów 8, (przy szerokości prętów 70), głębokie stóp 8. Czasami wody tego jeziora przez złączenie się ze strumieniem zwanym Samborka i to najwięcej po stopnieniu śniegów na wiosnę lub spadnięciu nawałnych deszczów, dość znacznie wznoszą się. Woda w jeziorze czysta, bez żadnego odoru, do napoju służyć może. Z powodu przepływu Samborki, ryb w jeziorze nie ma, gdyż te chociażby były jakie, wypływają za bieżącą wodą. Całe jezioro to zarosnięte jest trzcina i szuwarami.

We wsi i gminie Ostrołęka znajduje się jezioro, nazwane *Tarnówka*. Leży ono na płaszczynie rozległej, w miejscu otwartym. Grunta jego nadbrzeżne ze wszystkich stron urodzajne. Obszerność jeziora morgów 3, głębokość od 12 do 16 stóp. Od strony zachodniej wpływa do tego jeziora strumień Samborka, lecz znów z niego wypływa i wpada do rzeki Wisły, odległej o jedną wiorstę. Różnemi czasami, jakoto: po spadnięciu nawałnych deszczów, a szczególnie na wiosnę, gdy śniegi stopnieją, wody jeziora tego cokolwiek się podnoszą; lecz następnie do swego pierwotnego stanu powracają. Co się tyczy kwestyi, czy jezioro to nie ma podziemnej komunikacyi i czy pomiędzy źródłami, z jakich jest uformowane, nie znajdują się jakie mineralne, wiadomości tych podać niepodobna, gdyż zarosła, to jest trzcina i szuwary znajdujące się, wzbraniają dociec pierwszej okoliczności, a woda biała, czysta, bez żadnego odoru, i do napoju zdatna, przemawia za nieistnieniem źródeł mineralnych. W ryby nie jest ono obfite, wszelako takowe na potrzeby właściciela wystarczają. Z ryb poławiają się najwięcej i to w małym gatunku: szczupaki, karasie i okonie. Spławów żadnych na wodach jeziora odbywać nie można, gdyż przez środek zaledwie tylko łódka się przemknie.

We wsi i gminie Zajeziórze, nad brzegiem rzeki Wisły położonej, znajduje się kilka jezior, w których przy deszczach lub wylewie Wisły zbiera się zwykle większa masa wody, pochodzącej także z przepływającego strumienia Samborka. Jeżeli, jak to jest zaprojektowane, w skutek obwałowania Wisły, strumień ten odwrócony zostanie: natenczas jeziora te osuszą się i zamienią na

pastwiska lub łąki. Obecnie obszerność jezior tych wynosi morgów 14; głębokości z powodu wielkich błot oznaczyć nie można. Woda w nich jest bagnaista, miękka, do napoju nieprzydatna i błotem czuć się dająca. Kommunikacyj podziemnych i źródeł mineralnych nie mają. Ryby zwykle po wylewie Wisły poławiają się; w latach wolnych od tego wylewu prawie zupełnie ich nie ma, a jeśli są, to z powodu zarosłego szuwarami i ziołami dna jezior, połów ich jest niepodobny.

We wsi i gminie Koćmierzów, powyżej Sandomierza, jezioro nazwane *Bełk Koćmierzowski* leży na płaszczyźnie rozległej, w otwartym miejscu. Grunt nadbrzeżny urodzajny. Obszerność morg 1, głębokość mniej więcej stóp 6. Od strony zachodniej przepływa przez nie strumień mały. W porze wiosennej po stopnieniu śniegów lub też spadnięciu ulewnych deszczów, jezioro to znacznie wzbiera, i wtedy zalewa nadbrzeżne grunta i łąki; wkrótce jednak woda do pierwotnego stanu powraca. O podziemnej komunikacji nie powiedziéć niepodobna; gdyż dojścia okoliczności tej wzbraniają różne zarosty, jakoto: trzcina i szuwary. Źródeł mineralnych nie ma, o czém dostatecznie przekonująca znajdująca się tam woda zupełnie czysta, smaczna jak studzienna. Z ryb trafiają się szczupaki, okunie i białoryb, lecz w bardzo małej ilości, wystarczającej tylko na potrzebę właściciela.

We wsi i gminie Dębno jezioro nazwane *Przerza*, znajduje się na płaszczyźnie, w miejscu otwartym; grunta nadbrzeżne są po części urodzajne, a po części błotniste. Obszerność jeziora morgów 4 do 5, głębokość stóp 15. Przez sam środek przepływa strumień, który następnie do Wisły wpada. W czasie wylewu rzeki Wisły, woda jeziora z brzegów swych występuje; gdy wylewy nie praktykują się i woda jeziora stale swój poziom utrzymuje; czysta, słodkawa, ma odór gliny ilowatej. Źródeł mineralnych nie ma. Szczupaki, liny, okunie, leszcze i płotki, ledwie na potrzebę właściciela wystarczają. Spławy żadne na niem nie odbywają się, bowiem jest w znacznej części zarosłe trzcina i wisem, a z rzeką splawną się nie styka.

We wsi i gminie Maruszów jezioro nazwane *Czarne*, położone na płaszczyźnie rozległej, w otwartym miejscu; grunta nadbrzeżne urodzajne. Obszerność morgów 21, pretów 126; głębokość od 4 do 20 stóp. W czasie wylewu wody z rzeki Wisły, wody jeziora z swych brzegów występują, co wszakże na wiosnę

i po ulewnych deszczach nie trafia się. Woda zwyczajna biała, nieco odór błotnisty mająca. Z ryb w mierniej ilości poławiają się: szczupaki, liny, karaski, karpie i płotki; dochód z nich rocznie nie wynosi więcej nad rs. 15. Na jeziorze tém jest urządzony most, jako na trakcie pocztowym krakowsko-lubelskim i z tego dziedzic, stosownie do nadanej przez rząd taryfy klasy 4, pobiera opłatę mostowego.

Z wyliczenia takowego wypada, że w gubernii radomskiej jest w ogóle jezior 59, rozległość ich włók 15, morgów 27; a mianowicie:

W powiecie miechowskim jezior 10, rozleg. włók 2 morg. 16.
— stopnickim — 18, — — 2 — 4.
— sandomiers. — 31, — — 11 — 7.

Wszystko to są jeziora mniejszej wielkości; największe z nich Kozłowy dół ma obszerności morgów 70, po nim idzie Krzczańskie-morgów 50, dalej Słoniawa i Przewłockie po morgów 30; inne coraz mniejsze.

GUBERNIA WARSZAWSKA.

Wszystkie jeziora gubernii téj leżą albo nad samą Wisłą, albo w niewielkiej od niej odległości. Z początku są drobne, dalej dopiero od powiatu gostyńskiego zaczynają się ukazywać większe, a na ostatecznym ich końcu, jakby na strażnicy, rozciągają się: Gopło, Sleszyńskie i inne znaczniejsze. Porządek powiatów, przypierających do Wisły z lewego brzegu, jest następujący: powiat warszawski, łowicki, gostyński, włocławski; za nim na południe w zlewie Warty, koniński. Tym porządkiem jeziora przedstawimy. Jeziora gubernii téj leżące po prawym brzegu Wisły, przedstawimy po gubernii lubelskiej.

Powiat Warszawski.

Z dwudziestu znajdujących się tu jezior, dwa leżą nad Narwią, wszystkie inne nad samą Wisłą lub w jej bliskości, po obu jej stronach. Tu przedstawimy tylko jeziora z lewej strony tej rzeki, inne pójdą gdzieindziej.

Jezioro pod samym miastem Czerskiem od południa. Obszerność jego z dokładnością nie wiadoma, w przybliżeniu jednak liczyć można szerokość sążni 100, długość 400, głębokość od

18—24 stóp. Leży ono na płaszczynie, w miejscu otwartém. Grunt nadbrzeżny urodzajny, piaszczysty, w pewnej części otaczają jezioro bagna, trzęsawiska, zarośla. Przepływa przez nie rzeczka *Czarna*, i druga mała strużka *Stara*; pierwsza wpada do Wisły pod miastem *Górą*, druga zaraz w bliskości ma ujście. W jeziorze woda czysta, biała, przezroczysta, miękka, obfituje w szczupaki i drobne białe ryby. Dochód z rybołówstwa rocznie 50 rs. wynosi.

Jezioro na gruntach miasta *Góry*, rozległe morgów 5, głębokie od 4—30 stóp. Leży na płaszczynie w miejscu otwartém; woda czysta, przezroczysta, słodka, bez odoru. Połów szczupaków, leszczy, sandaczów i innych ryb.

Jezioro w gminie *Brzeszcze*, rozległe morgów 4, głębokie stóp 6—10; leży na płaszczynie w miejscu otwartém, grunt nadbrzeżny urodzajny; woda czysta, słodka, bez odoru. Poławiają się szczupaki, karpie, liny, okunie i inne na własny miejscowy użytek.

W gminie *Obory* znajdują się cztery jeziora: *Habdzińskie*, *Opackie*, *Gozdziorońskie*, *Borkowskie*. Wszystkie znajdują się na płaszczynie, w miejscach otwartych. Grunt nadbrzeżny urodzajny, woda czysta, biała, przezroczysta. Ryby znajdujące się: szczupaki, sandacze, liny, leszcze, okunie i płocie; dochód z ich połowu rocznie rs. 120. Rozległość i głębokość jezior tych następują:

Habdzińskie rozległe morgów 8, głębokie stóp 8; *Opackie* rozległe morg. 28, głębokie stóp 8—10; *Gozdziorońskie* rozległe morg. 36, głębokie stóp 6—12; *Borkowskie* rozległe morg 1, głębokie stóp 4—6.

Jezioro we wsi *Bielawa*, rozleg. morg. 18, głębokie stóp 18.

Jezioro we wsi *Powsinek*, rozleg. morg. 20, głębokie stóp 24.

Obadwa jeziora te leżą na płaszczynie, w miejscu otwartém. Grunt nadbrzeżny bagnisty. Wzbierają za przybraniem wód do rzeki *Wisły*, inaczéj statecznie poziom utrzymują. Woda w nich czysta; wśród lata bywa koloru zielonego. Ryby: sandacze, karpie, leszcze, szczupaki, liny. Dochód roczny z połowu ryb w obudwu tych jeziorach rub. sr. 450; to jest z pierwszego rub. sr. 250, z drugiego rub. sr. 200.

We wsi *Czerniakowie* znajdują się dwa jeziora: jedno rozległe morg. 20, głębokie stóp 16—20; drugie rozległe morg. 4, głębokie stóp 4—10. W pierwszym woda więcéj czarna niż bia-

ła, słodka, przezroczysta. Zdaje się, że jezioro to ma podziemną komunikacyą z Wisłą, gdyż w niém jak i w Wiśle jednocześnie woda przybiera lub opada. W obudwóch znajdują się szczupaki, sandacze, leszcze, karpie, węgorze. Dochód rub. sr. 60.

JEZIORA POWIATU GOSTYŃSKIEGO.

Wszystkie jeziora powiatu tego leżą albo nad samą Wisłą, albo téż w bliżkiej od niej odległości. Idąc za biegiem rzeki téj następne znajdujemy jeziora:

Jezioro *we wsi Swiniary*, położone na płaszczynie otwartej, wśród gruntów piaszczystych, ma rozległości morgów 20, głębokości do 8 stóp. Żadna rzeka ani strumień nie przepływa; woda czysta, zwyczajna. Ryby: szczupaki, okunie, leszcze, zaledwie na miejscowe potrzeby wystarczają.

Jezioro w gminie *Podmiany*, położone na płaszczynie rozległej, otwartej, wśród gruntów urodzajnych. Rozległe morgów 6, głębokie od 4 do 8 stóp. Połów ryb wcale się nie odbywa, z powodu znajdującego się w jeziorze drzewa.

Jezioro *Troszyńskie* w gminie Sannik, uformowane w starém korycie Wisły. Woda do niego wpływa ze strugi zwanéj Nidą i błot okolicznych; położone wśród łąk. Rozległe morg. 60, głębokie od 12 do 18 stóp. Woda czysta bez żadnego odoru, niesłona; kanałem wykopanym odpływa do Wisły. Ryby: szczupaki, liny, okunie, leszcze, płocie; dochód roczny z ich połowu rub. sr. 75. Jezioro to nie wydaje żadnych szkodliwych wyziewów, ani mgły.

Jezioro w gminie *Grabie*, położone na płaszczynie, otoczone trzęsawiskami, rozległe morg. 16. Woda rudawa, rowem odpływa do Wisły.

W gminie Łąck znajdujemy cztery jeziora: dwa we wsi Łąck, jedno we wsi Zdworze, i jedno we wsi Góra.

Pierwsze jezioro w Łącku rozległe morg. 120, pretów kwad. 64, głębokie od 11 do 25 stóp. Od strony północnej i wschodniej opasane jest górami, lasem porośłemi, z innych stron pole otwarte. Za roztopieniem śniegów i spadnięciem deszczów wzbiera; w porze letniej poziom stale utrzymuje. Woda biała, przezroczysta, słodka, przy brzegach trzciną zarosła. Znajdują się w niém szczupaki, okunie, liny, rapy, płocie, karasie, sumy, jazgarze; dochód roczny z ich połowu rub. sr. 30.

Drugie jezioro w téjże wsi Łąck położone jest mniejsze, albowiem obejmuje morg. 72, prętów 217; jest dosyć płytkie, bo średnia głębokość 2 stopy wynosi. Położone w miejscu otwartém, na płaszczyźnie rozległej; otaczają go bagna, trzęsawiska, pastwiska i łąki. Łączy się ono z powyższém przez kanał, stosownie poprowadzony. Inne szczegóły, jak przy poprzedniém jeziorze.

Jezioro *Zdworskie*, położone w bliskości rzeki Wisły pod wsią Zdworze. Od strony wschodniej znajdują się lasy miasta Gębina, z innych stron pole otwarte. Z powodu znacznej obszerności jeziora, bo wynoszącej morg. 717, prętów 261 i grunt nadbrzeżny rozmaity: to góry piaszczyste, to trzęsawiska, krzaki, lasy. Głębokość jego od 1 do 25 stóp. Połączone jest ono przez kanał z jeziorem powyższém. W czasie roztopów lub spadnięcia deszczów, wody więcej nad stopę nie wzbierają; zresztą poziom stale utrzymują. Ryby: sumy, szczupaki, rapy, płocie, jazgarze, okunie, miętusy; dochód roczny z ich połowu rub. sr. 35.

Jezioro we wsi *Góra*, rozległe morg. 36, prętów 161, głębokie do 18 stóp. Położone z dwóch stron pomiędzy górami lasem zarosłemi, z jednej dotyka jeziora do dóbr Ciechomie należącego, a z drugiej traktu. Woda czysta, słodka, przy brzegach zarosła trzcina. Leszcze, szczupaki, płocie, sumy, liny, okunie, jazgarze, kielbie dają dochodu rocznego rub. sr. 25.

Co się tyczy położenia tych jezior pod względem topograficznym, jest ono następane: najwyżej położone jest jezioro we wsi Góra, po niém idzie jezioro pierwsze w Łącku, dalej drugie w téjże wsi, nareszcie jezioro Zdworskie.

Jezioro w gminie i wsi *Ciechomie*, rozległe morg. 44, głębokie od 20 do 60 stóp. Ścieśnione górami piaszczystemi, pokrytemi lasem. Woda czysta, na dnie wszakże znajduje się zielsko, mech, błoto. Ryby: szczupaki, okunie, leszcze, płotki; dochód roczny z ich połowu od 18 do 22 rub. sr. Połączone jest ono przez kanał z jeziorem Zdworskiém. Woda z niego rowem do Wisły odpływa; na wiosnę po roztopach wzbiera.

Niedaleko za jeziorami temi wpływa do Wisły pod wsią Brwilno rzeczka Osetnica, inaczéj Skrwą zwana. Nad nią samą albo w jéj zlewie leżą następane jeziora:

We wsi i gminie *Szczawin Kościelny* jezioro obszerne mor. 60, głębokie od 8 do 10 stóp. Leży ono na płaszczyźnie rozległej, otoczone z jednej strony lasem, z drugiej łąkami. Grunt nadbrze-

żny torfiasty. Woda w niém czysta, koloru sinawego, słodka; za roztopieniem śniegów lub spadnięciem deszczów wzbiera. Ryby: szczupaki, okunie, leszcze dają dochodu rocznego rub. sr. 30. Do jeziora wpływa struga, która następnie z niego wypływa.

W gminie *Białe* znajdujemy trzy jeziora: jedno we wsi Białe, drugie we wsi Gorzewo, trzecie w kolonii Łuków.

Pierwsze rozległe morgów 244, głębokie do 130 stóp. Leży ono na otwartój, nieco wzgórzystej płaszczynie; grunt nadbrzeżny piaszczysty, miejscami bagnisty. Woda w niém czysta, niezarośla. Znajduje się na niém jedna kępa, rozległa morg jeden. Ryby: szczupaki, liny, okunie, węgorze, płotki, dają dochodu rocznego rub. sr. 15. Żadna rzeka ani strumień nie wpływa.

W bliskości jeziora tego znajdują się trzy małe zlewy wód, rozległe morgów 5. W nich ryb niéma. Pokład mchu i ziół formuje na nich skorupy.

Jezioro we wsi *Gorzewo*, rozległe morg. 64, głębokie od 30 do 36 stóp. Leży ono w miejscu otwartém, pomiędzy znacznymi wzgórzami; grunt nadbrzeżny piaszczysty, porośły krzewami. Woda w niém czysta. Z powodu znajdującego się w niém drzewa, połów ryb nie odbywa się.

Jezioro w kolonii *Łuków* rozległe morg. 30, głębokie od 6 do 9 stóp, leży pomiędzy małemi wzgórzami, wśród gruntów lekkich, piaszczystych. Znajdują się w niém karaski, szczupaki, zaledwie na domowe potrzeby wystarczające.

W obu tych jeziorach woda czysta, po roztopach wzbiera.

Z lewego brzegu rzeki Skrwy znajdują się następne jeziora:

W gminie *Rataje* trzy jeziora: jedno zwane Kocioł, drugie Czarne, trzecie Błota.

Jezioro *Kocioł* rozległe morg. 10, głębokie stóp 18, położone wśród gruntów piaszczystych i bagnistych, z trzech stron ścieśnione górami, z czwartój otwarta płaszczyna. Woda w niém czysta, smaku zwykłego, w części zarosła trzciną. Szczupaki, okunie, płocie, czynią dochodu rocznego rub. sr. 15.

Jezioro *Czarne* rozległe morg. 5, głębokie stóp 12, otoczone naokoło wzgórzami piaszczystemi. Woda czysta, w części trzciną zarosła, wzbiera na wiosnę w czasie roztopów śniegowych. Szczupaki, liny i płocie dają dochodu rocznego rub. sr. 7½. Do jeziora tego wpływa strumień z jeziora Kocioł, a wypływa z niego strumień do stawu dla młyna, zwanego Ziejki.

Jeziro *Błoto* zwane, ma obszerności pół morga, głębokie stóp 20; ścieśnione górami, otoczone błotami niedostępnymi. Woda czarna, smaku odurzającego, poziom statecznie utrzymuje. Żaden strumień ani rzeka nie przepływa. Znajdują się okunie w bardzo małej ilości; dochód roczny z ich połowu r. s. 3, kop. 75.

W gminie *Solec* trzy jeziora: *Główki*, *Gąsak*, *Popowek*.

Jeziro *Główki* rozległe morg. 8, głębokie 18 do 20 stóp; położone wśród gruntów piaszczystych, wzgórzystych, pokrytych lasem. Woda nieco czarna, smak zwyczajny, nad brzegami zarosła trzciną. Ryby: szczupaki, liny, okunie, karasie, zaledwie wystarczają na potrzeby domowe miejscowe.

Jeziro *Gąsak* rozległe morg. 7, głębokie około 12 stóp; z jednej strony dotyka ono lasu, z drugiej błota, trzęsawiska. Woda przezroczysta, wpada nieco w kolor rudawy; smak zwyczajny, bez odoru.

Jeziro *Popowek* rozległe morg. 4, głębokie około 18 stóp; leży pomiędzy lasami w miejscu wzgórzystém. Woda nieczysta, wpada w kolor czarniawy, ma odór błotnisty.

Wszystkie te trzy jeziora żywią w sobie jednakie gatunki ryb, przy piérwszém z nich wymienione. Poziom zawsze stale utrzymują; żadna rzeka lub strumień nie przepływa przez nie.

W gminie *Korzeń* cztery jeziora: *Drzesno*, *Sendeń*, *Górki*, *Przyteńb*. Piérwsze trzy jeziora otoczone wzgórzami piaszczystymi, brzegi ich błotniste; jezioro ostatnie w części otoczone lasem, w części gruntami ornemi i zarosłami. Ryby w nich: szczupaki, okunie, leszcze; dochód roczny z ich połowu w trzech piérwszych po rub. sr. 30, w ostatniém rub. sr. 20. Przez jezioro *Drzesno* przepływa mały strumyk. Wszystkie na wiosnę i w czasie roztopów wzbierają.

Rozległość ich i głębokość następną:

Drzesno rozleg. morg.	60,	głębokie do	9	stóp.
Sendeń	—	—	25,	— 10 —
Górki	—	—	10,	— 6 —
Przyteńb	—	—	80,	— 20 —

W gminie *Lucień* dwa jeziora: jedno, we wsi *Lucień* nazwane *Lucieńskim*, drugie we wsi *Georgenthal*.

Jeziro *Lucieńskie* rozległe morg. 913, głębokość wynosi do 80 stóp. Z dwóch stron otoczone jest górami i lasami, z dwóch drugich łąkami. Grunt nadbrzeżny piaszczysty i bagnisty. Woda czysta, zupełnie biała, słodka. Ryby: szczupaki, płocie, jazgarze,

okunie; z ich połowu dochód roczny podany na rub. sr. 30. Za roztopnieniem śniegów lub spadnięciem deszczów mało co wzbiera. Wpływa do niego woda upustem przy młynie we wsi Lucieniu, a wypływa strumień wpadający do rzeki Skrwa. Podobno ma ono podziemną komunikacją z jeziorem Bialskim, które odległe od niego o pół mili, położone po prawej stronie rzeki Skrwy, opisanem zostało powyżej.

Jeziro we wsi Georgenthal rozległe morg. 3, głębokie do 30 stóp. Położone na płaszczyźnie, w polu otwartem. Grunt nadbrzeżny bagnisty i z trzęsawisk składający się. Woda biała, przezroczysta, słodka, zarosła trawą, na powierzchni pływająca. Ryby: piskorze, szczupaki zaledwie na miejscowe potrzeby wystarczają. Za roztopnieniem śniegów lub spadnięciem deszczów mało wzbiera; położone jest ono o 3 stopy wyżej od jeziora Lucieńskiego.

Powiat Włocławski.

W powiecie włocławskim dwie znajdujemy rzeczki, wpadające oddzielnymi korytami do Wisły: Zgłowiączka i Tąrzyna. Pierwsza jakkolwiek mała, zlewem swym sięga daleko, bo aż za miasta: Kowal, Lubień, Chodecz, Przedecz; dlatego więc prawie wszystkie jeziora jakie się tu znajdują, leżą albo nad nią samą, albo nad rzeczkami i strumieniami do niej zlewającemi się. W zlewie Tąrzyny, kilka zaledwie i to małych znajdujemy jeziorok. Są też tu i jeziora, których wody sączą się do Gopła.

Jeziro w zlewie Zgłowiączki.

Jeziro we wsi Chotel, położone w miejscu wzgórzystem, leśnym, wśród gruntów urodzajnych, tudzież łąk błotnistych. Rozległe morgów 3 1/2, głębokie stóp 12. Ryby: szczupaki, okunie, leszcze i inny białoryb; dochód roczny z ich połowu rub. sr. 60. Do jeziora tego wpływa struga idąca zpod Chociszewa, ta następnie opuszcza jezioro, a przepłynąwszy znaczną odległość, ginie nareszcie w jeziorze Chalno, a następnie Orle.

Jeziro we wsi Wólka Komorowska rozległe morg. 1, głębokie stóp 12. Z jednej jego strony las, z drugiej pole otwarte. Otaczają łąki i bagna, zarosłe trzcina. Woda zielona,

czysta, bez odoru. Ryby: szczupaki, leszcze, karasie, dają z połowu dochodu rocznego rub. sr. 24.

Do jeziora tego odpływa woda z jeziora we wsi Tymin. Jezioro to położone na płaszczyźnie otwartej, otoczone łąkami, a w części bagnami, rozległe jest morg. 8, głębokie stóp 30. Woda zielonawa, lecz czysta, w części trzcina zarosła. Leszcze, liny, karasie, szczupaki, dają z połowu dochodu rocznego rub. sr. 6.

Jezioro we wsi Swiszewy, w położeniu wzgórzystém, między borami, a z jednej strony ogrody. Rozległe morg. 1, głębokie stóp 3. Woda koloru rudawego, smak kwaskowaty. Znajdujące się w jeziorze tém drobne rybki, wystarczają zaledwie na domowe miejscowe potrzeby.

Jezioro we wsi Kamieniec, położone w miejscu wzgórzystém, otwartém; grunt nadbrzeżny przeważa gliniasty, chociaż są i piaski. Rozległe morg 1, głębokie stóp 17. Z ryb: szczupaki, okunie, leszcze i inne dają dochodu rocznego rub. sr. 30. Leży ono na strudze od jeziora w Chotelu płynącej o której powyżej wspomnieliśmy.

Jezioro we wsi Chalno: z trzech stron wzgórza, a z czwartej bagno. Rozległość morgów 3, głębokość stóp 20. Woda czysta, bez smaku, nieco trzcina zarosła. Sumy, szczupaki, okunie, leszcze dają dochodu rocznego rub. sr. 120. Tu ginie struga powyżej wspomniona, a wypływająca ztąd woda przybiera nazwisko rzeczki Zgłowiączki. Ta płynąc dalej około wsi Rybiny, Janiszewo, Zgłowiączka, Korzeszynek, miasto Lubraniec, wsie Dobieszyn, Kazanie, Sokołów, Rządka Woda, na Brześć, wsie: Falborz, Wolica, Konty, Wieniec, Siedlinin, Swieck, Lisek, pod wsią Zamczce wpada do Wisły. W samym zaraz początku wpływa do tej rzeki pod wsią Rybiny, strumień wychodzący z jezior Głuszynskie, Orzelskie, Czarnockie. Te jeziora połączone z sobą mają rozległości włók 22; głębokość średnia stóp 20. Leżą one pomiędzy wsiami: Dąbrówka, Czarnocice, Głuszyn, Miłachowo, Orle, młyn Zalasek, wieś Potałówek, Głuszyn. Z początku jezior tych rozlega się płaszczyzna, dalej za Głuszynem wzgórza, a pod wsią Orle lasy. W ogóle grunta nadbrzeżne urodzajne, nieco piaszczyste. Woda czysta, nad brzegami zarosła trzcina; zasilają ją źródła, w znacznej obfitości nad brzegami znajdujące się. Ryby: szczupaki, leszcze, liny, sumy, okunie i inne drobne ryby, dają dochodu rocznego rub. sr. 60.

Jezióra te leżą o stopę niżej od jeziora Chalno. Wpływające do tych jezior strugi, przerzynają następne jeziora: Sadłużek, Bytoń i Wymysłowo.

Jezióro *Sadłużek* rozległe morg. 8, głębokie stóp 24, leży w położeniu wzgórzystém, otwartém, wśród gruntów piaszczystych.

Jezióro *Bytoń* rozległe 1½ morgi, głębokie stóp 10, leży wśród gruntów urodzajnych i łąk.

Jezióro *Wymysłów*, w położeniu wzgórzystém, wśród lasów, w gruntach piaszczystych, rozległe morg. 1⅕, głębokie stóp 6. We wszystkich tych jeziorach ryby: szczupaki, leszcze, liny; z dwóch pierwszych zaledwie na miejscowe potrzeby wystarczają, a w ostatniém czynią dochodu rocznego rub. sr. 22½.

Daléj do rzeczki Zgłowiączki wpływa rz. Kocięca, biorąca początek z jeziora Grojeckiego. Jezióro to położone pod wsią od której otrzymuje nazwisko, wśród gór pod lasem, grunt nadbrzeżny urodzajny. Rozległe morg 1, głębokie stóp 108. Woda czysta, w niéj szczupaki, leszcze, karasie i inne, lecz ledwie na miejscowe potrzeby wystarczają.

Struga *Chodeczka*, wpadająca do Zgłowiączki poniżej miasta Lubrańca, przerzyna następne jeziora: Chodeckie, Lubienieckie, Uklejnia, Chocień, Krukowo.

Jezióro *Chodeckie*, rozciągające się od młyna Dudała, obok Kromszewic, Chodcza do Podgórze, rozległe jest morg. 8, głębokie stóp 30. Od Chodcza do Kromszewic okolica otwarta, górzysta; ze strony przeciwnéj lasy. W ogóle grunta nadbrzeżne piaszczyste. Woda czysta; wniéj ryby: szczupaki, liny, karasie, okunie, leszcze, czynią dochodu rocznego rub. sr. 150.

Jezióro we wsi Lubieniec rozległe morg. 2⅔, głębokie stóp 30; położone w miejscu wzgórzystém, leśném, wśród gruntów urodzajnych, w części łąk i bagnisk. Dochód z połowu ryb: szczupaków, okuni, leszczów rub. sr. 150.

Jezióro we wsi Uklejnia, rozległe morg 1, głębokie stóp 30. Położenie jak powyższego. Połów ryb daje dochodu rocznego rub. sr. 60.

Jezióro we wsi Chocień, otoczone gruntami wsi Chocień, Chocenek, Borzymie, Borzymowice, Szczytno, Jarcntowiszki; położone w miejscu nieco wzgórzystém, płaskiém; otoczone łąkami i gruntami ornemi. Ma rozległości morg. 14, głębokie stóp 40. Szczupaki, okunie, leszcze, sumy, miętusy, płocie, liny, węgorze, czynią dochodu rocznego rub. sr. 25.

Jeziro we wsi Krukowo, położone w miejscu otwartém, na płaszczynie, wśród gruntów urodzajnych, rozległe włók dwie, głębokie stóp 100. Dochód roczny z połowu ryb rub. sr. 25.

Poniżej ujścia téj strugi znajdujemy nad rzeką Zgłowiączką jeziro Świętowo, na gruntach miasta Brześcia. Małe to jeziorko, bo rozległe tylko pół morga, głębokie stóp 20, daje jednak rocznego dochodu z połowu sumów, szczupaków, okuni i leszczy, rub. rs. 20. Dokoła otaczają je błota.

Rzeczka Przedpolna albo Djabełek, przepływa przez jeziora: w Lubieniu, Rzewiewie, Kłobce, i Kępie Szlacheckiej.

Jeziro Lubieńskie położone w miejscu otwartém, wzgórzystém; rozległe morg. $10\frac{1}{2}$, głębokie stóp 62. Grunt nadbrzeżny częścią piaszczysty, częścią gliniasty, a w początku od wsi Narty błotnisty. Przyległe wsie są: Stempka, Czaple, Narty i folwark Lubień. Woda czysta, żywi ryby: szczupaki, leszcze, okunie; z ich połowu dochód roczny rub. sr. 105.

Jeziroa we wsiach Rzewewo i Kłobka położone między górami, wśród gruntów piaszczystych, błotnistych, mają wodę słodką; w pierwszym koloru rudzianego, zarosta. Ryby: szczupaki, okunie, leszcze, zaledwie na miejscowe potrzeby wystarczają. Pierwsze jeziro rozległe $\frac{3}{4}$, drugie $\frac{1}{3}$ morga; głębokie od 7 do 12 stóp.

Jeziro we wsi Kępka Szlachecka rozległe jest morg 1, głębokie stóp 24; położone w miejscu otwartém, wzgórzystém, wśród błot i trzęsawisk. Ryby: szczupaki, okunie, dają rocznego dochodu rub. sr. 15.

Na zachód jeziora tego, znajdujemy jeziro w gminie Luto-borz; rozległe ono pół morga, głębokie od 20 do 36 stóp. Położone w miejscu wzgórzystém, leśném, grunt nadbrzeżny piaszczysty, a nawet i bagna. Ryby tylko na miejscowe potrzeby wystarczają.

Poniżej wsi Łagiewniki wpada do rzeczki Przedpolnej struga Wiślanówka. Ta powstaje ze zlania się różnych strumieni; z nich niektóre sięgają aż pod miasto Lubień. Wszystkie one wypływają z jezior: we wsiach Zawada, Trzebowo, Szewo, Kurowo, Go-reń, Rakutowo.

We wsi Zawada znajdujemy dwa jeziora: jedno rozległe $1\frac{1}{2}$, drugie $\frac{5}{6}$ morga; pierwsze głębokie stóp 20, drugie 6. Leżą one obadwa w położeniu wzgórzystém, między borami; otaczają je piaski lub błota. Ryby: szczupaki, okunie, płotki, tylko na miejscowy użytek wystarczają.

Jeziro Trzebowo rozległe morg 1, głębokie stóp 15; położenie płaskie, między borami.

Jeziro we wsi Szewo, położone na płaszczyźnie otwartej, wśród pastwisk i nieużytków; rozległe $\frac{2}{3}$ morga, głębokie stóp 18.

Jeziro we wsi Kurowo, rozległe morg. 5, głębokie stóp 20. Położenie wzgórzyste, otwarte; z trzech stron grunt orny, z czwartą łąki.

We wszystkich tych jeziorach jedne gatunki ryb, to jest: szczupaki, okunie, płotki, tylko na miejscową potrzebę wystarczające.

Jeziro Rakutowskie, położone na płaszczyźnie, w miejscu otwartym; otaczają je błota i trzęsawiska. Rozległe morgów 180, głębokie stóp 18. Woda czysta, zasilana znaczną ilością okolicznych źródeł; z większych strumyków cztery tu spotykamy. Ryby: karasie, sumy, leszcze, liny, okunie, dają dochodu rocznego rs. 100.

Powyzżej jeziora tego znajdujemy małe jeziora w następnych wsiach: Goren, Skrzyńki, Lubaty, Teleżna. Ryby w nich wszystkich tylko na miejscowe potrzeby wystarczają.

Rozległość ich i głębokość następują:

jeziro we wsi Goren	rozległe morg.	$3\frac{1}{2}$	głębokie stóp	30.
—	Skrzyńki	—	—	$1\frac{1}{2}$, — 10.
—	Lubaty	—	—	1, — 12.
—	Teleżna	—	—	2, — 36.

To ostatnie jezioro leży nad samą prawie Wisłą, i do niej wpływa z niego mały strumień.

Nakoniec przy samem ujściu Zgłowiączki do Wisły rozciąga się leśnictwo Włocławek, a w niem aż 14 jezior. Wszystko to jeziora mniej znaczne, największe z nich obejmuje 14 morgów rozległości.

Jezióra te są:

Gociąż	rozległ. morg.	$2\frac{1}{3}$	głęb. stóp	30,	dochód z ryb rub. sr.	$2\frac{1}{2}$.
Wikaryjskie.	—	4	—	42,	—	12.
Rydzyszyńskie	—	2	—	35,	—	6.
Łąkie	—	14	—	20,	—	$2\frac{1}{2}$.
Wydoń	—	$\frac{4}{3}$	—	18,	—	6.
Łomne	—	$\frac{4}{3}$	—	18,	—	15.
Czarne	—	$\frac{3}{3}$	—	54,	—	2.
Łąkie 2gie . . .	—	$\frac{3}{3}$	—	16,	—	$2\frac{1}{2}$.
Rybniew	—	$\frac{1}{2}$	—	16,	—	4.
Jedwabne . . .	—	$\frac{1}{2}$	—	6,	—	3.

Chrapka	rozległ. morg.	12	głęb. stóp.	4,	dochód z ryb rub. sr.	2 1/2.
Święte	—	10	—	2,	—	2 1/2.
Czarne	—	6	—	21,	—	2 1/2.
Wienieckie.	—	6	—	6,	—	2.

Jezióra Gociąż, Wikaryjskie, Rydzyszyńskie, Łąkie, Czarne i Jedwabne, leżą w gruntach piaszczystych; Wydoń, Łomne, Rybnica w mokradłach; pozostałe trzy: Chrapka, Święte i Wienieckie otoczone są bagnami. Ryby różne, w jednych szczupaki, liny, karasie, w innych nadto leszcze i okunie; a w innych, mianowicie błotnistych, same liny i karasie.

Jezióra leżące na grutach miasta Włocławka rozległe jest morgów 5 1/4, głębokie stóp 22. Grunt nadbrzeżny piaszczysty, bagnisty. Ryby: szczupaki i karasie ledwie na użytek miejscowy wystarczają. Woda w nióm błotnista.

Za ujściem rzeki Zgłowiączki znajdujemy w okolicach Wisły następujące jeziora:

Jezióra Niszczowy rozległe pół morga, głębokie stóp 5. Leży ono na płaszczynie pod lasem, otoczone bagnami i trzęsawiskami. Różne drobne ryby w jeziorze znajdujące się, zaledwie na miejscowe potrzeby wystarczają.

Jezióra Plebanka rozległe morgów 2, głębokie stóp 16. Leży ono na płaszczynie otwartej, wśród gruntów urodzajnych. Woda czysta, zwyczajna, nieco trzcina zarosła. Ryby: szczupaki, karasie, pstrągi, liny, leszcze, dają z połowu dochodu rocznego rub. sr. 60.

Jezióra we wsi Święte, położone między górami pod lasem, wśród bagien i trzęsawisk. Rozległe pół morga, głębokie stóp 4.

Jezióra we wsi Brzeźno położone na płaszczynie otwartej, wśród gruntów urodzajnych, rozległe morg. 1, głębokie stóp 20. Ryby: szczupaki, karasie, okunie, czynią dochodu rocznego rub. sr. 15.

Jezióra we wsi Bodzanówek położone na płaszczynie otwartej, wśród bagien i trzęsawisk, rozległe pół morga, głębokie stóp 7. Połów ryb tylko na użytek domowy.

Jezióra we wsi Nagórki. Położenie jego jak powyższe; rozległość 2/3 morga, głębokość stóp 12. Dochód roczny z połowu ryb rub. sr. 10.

Jezióra we wsi Dobrze. Grunt nadbrzeżny częścią urodzajny, częścią bagna i trzęsawiska. Rozległość morg. 1 3/4, głębokość stóp 14. Dochód roczny z połowu ryb rub. sr. 25.

Nad rzeką Tąrzyną lub w jej bliskości, znajdujemy trzy jeziora: we wsi Goszczewo, na gruntach miasta Służewa, i we wsi Słońsku.

Pierwsze jezioro w położeniu płaskim, otwartym, wśród gruntów urodzajnych; rozległe morg. 6, głębokie stóp 12. Ryby: szczupaki, karasie. Dochód roczny z ich połowu rub. sr. 15.

Jezioro drugie to jest na gruntach miasta Służewa, rozległe morg. 5, głębokie stóp 8. Dochód roczny z połowu szczupaków i karasi rub. sr. 10.

Nareszcie jezioro we wsi Słońsku, rozległe jest morgów 9, głębokie stóp 6. Grunt nadbrzeżny urodzajny, ze trzech stron płaszczyna otwarta, czwarta lesista. Z ryb karpie, czynią dochodu rocznego rub. sr. 9.

Powyżej wszystkich jezior powiatu tego znajdujemy kilka położonych między miastami Przedecz i Brdów, a mających komunikacją z Gopłem. Jakoż struga bezimienna wypływająca z jeziora Przeddeckiego, przepływa następnie przez jeziora Korzecznik, Modzerowo, Brdów, zabiera z sobą dalej wodę płynącą od jeziora Lubotyńskiego, i następnie dopiero ginie w Goplu.

Wymienionych jezior opis jest następujący:

Jezioro Przeddeckie otoczone gruntami wsi Jarowo, Katarzyk i Rybno, ma rozległości morgów 7, głębokości stóp 30. Grunta nadbrzeżne w części orne, w części łąki. Położenie w ogóle jest płaskie, otwarte. Woda błotnista zielonawa, odoru nieprzyjemnego. Ryby: szczupaki, karasie, dają z połowu dochodu rocznego rub. sr. 90.

Jezioro we wsi Korzecznik rozległe pół morga, głębokie stóp 16. Leży ono w położeniu wzgórzystym, grunt nadbrzeżny piaszczysty, częścią bagnisty. Woda czysta, zarosła trzcina. Ryby: szczupaki, okunie, leszcze; dochód roczny z ich połowu rub. sr. 18.

Jezioro we wsi Modzerowo, otoczone gruntami wsi Psary, Długie i Smielnik, rozległe jest morgów 9, głębokie stóp 30. Od strony wsi Psary i Długie miejsce otwarte, wzgórzyste, dalej lasy. Otaczają jezioro łąki bagniste.

Jezioro Brdowskie położone o dwie stopy niżej od poprzedzającego, otoczone jest gruntami częścią piaszczystymi, częścią gliniastymi, pod Świętosławicami zaś błota. Rozległość jeziora morg. 6, głębokość stóp 18. Ryby: szczupaki, leszcze, okunie. Z połowu ich dochód roczny rub. sr. 30.

Jeziro Lubotyńskie rozległe morg. $8\frac{1}{2}$, głębokie stóp 80. Od Lubotyńa położenie okolic jest otwarte, naprzeciw lesiste. Jeziro otaczają łąki i grunta orne. Woda czysta, smak zwykły. Ryby: szczupaki, okunie, liny, leszcze, dają z połowu dochodu rocznego rub. sr. 35. Obudwu jezior tych spód zawałony drzewem.

Powyzéj strugi na którój leżą wymienione tu jeziora, znajduje się jeziorko we wsi Zakrzówek. Położone jest w miejscu wzgórzystém, w połowie leśném; grunt nadbrzeżny piaszczysty. Rozległe morg 1, głębokie stóp 50. Różne drobne ryby na użytek miejscowy wystarczają. Do jeziora tego wpływa od północy mała struga.

JEZIORA POWIATU KONIŃSKIEGO.

Za temi wszystkimi jeziorami, w punkcie, gdzie się schodzą granice powiatów włocławskiego i konińskiego, tudzież W. Ks. Poznańskiego, znajdujemy jezioro Gopło. Na południe jego w powiecie konińskim, od strony zachodniej, leżą jeziora: Wilczyńskie, Marszewskie, Budziszławskie, Powidzkie: wszystkie na linii oddzielającej powiat koniński od W. Ks. Poznańskiego; na wschód zaś tych jezior leżą: Melno, Sleszyńskie, Ostrowite, Głodowskie, a jeszcze dalej na wschód Lubstowskie.

Poznajmy najprzód pojedynczo wszystkie te wymienione jeziora jedynie tylko pod względem czysto opisowym, a potem przystąpimy do ogólnego ich rozważenia.

Jeziro Wilczyńskie położone pod miastem Wilczynem w okręgu pyzdrowskim, stanowi granicę powiatu konińskiego od W. Ks. Poznańskiego; długie jest wiorst 8, szerokie w średniém przecięciu sążni 180. Jeziro Marszewskie ma długości $4\frac{1}{4}$ wiorsty, szerokości 185 sążni; Budziszławskie długie także jak powyższe $4\frac{1}{4}$ wiorsty, szerokie 308 sążni; Powidzkie długie wiorst 12; przez połowę swéj długości szerokie jest na 600, przez drugą połowę na 300 sążni. To ostatnie jezioro brzegami swemi dotyka gruntów wsi Giwartowo i Koszewo; obfituje w sumy, leszcze, szczupaki, okunie, płotki, kielbiki, stynki. Dochód roczny z ich połowu rub. sr. 23.

Wszystkie te cztery jeziora mają spadek i odpływ do rzeki Warty przez rzeczkę Meszną, wpadającą do Warty pod wsią Polichno. Żadna żegluga nie odbywa się na nich.

Jezioro Gopło jest cztery mile długie, a przeszło pół mili szerokie. Całego nie posiadamy w naszych granicach, ale tylko mil dwie, reszta w W. Ks. Poznańskim. Ma ono wiele zatok i zakrętów, kilka wysepek i kilka półwyspów. Z wysepek najobszerniejsze są: Sięganów i Potrzymiechy, bogate w łąki i piękne siano; między półwyspami największy Ostrówek, na którym wieś tegoż nazwiska. Brzegi jeziora są płaskie, równe, nagie, огоłocone całkiem z drzew i lasów, ale za to gęsto obsiane wsiami. Po jednej stronie leży Łuszczew, Borowna, Rzeszynek, Kościeszki, Giżewo, Mnich, Łagiewniki, dalej Kruszwica; przy wyjściu Noteci wieś Szarléj, Gezanów, Tarnówek, Popowo; poniżej Połajew, Mietlica, Wywoźna, a naprost Kruszewicy z drugiego końca Gopła Wawrzynów. Woda głęboka na sążni 16, tém osobliwa, że kolor swój zmienia raz po raz, zwłaszcza tam, gdzie strumień Noteci zwolna i poważnie płynie. Wśród niej sterczy stara wieża zamku kruszwickiego, miejsce bajecznej śmierci Popiela.

Okolice przyległe i wody pokrewne przyciągają oko widza i sprzyjają malowniczym opisom. Okolice te hojnie uposażone w płody natury, ożywione są pracą i przemysłem ludzkim. Dalej i znacznie dalej rozciąga się miasto Radziejów. Zbudowane na wzgórzu panuje nad całą równiną, upstrzoną złotymi łanami pszenicy i zieleniejącymi się łąkami. Swobodnie ze wzgórza tego oko buja po całej okolicy. Widać naokoło mnóstwo wsi, trzy czy cztery kościołki parafialne, a na lewéj ręce Gopło, które jak modra wstęga, przepasuje żyzne pola. Smugi dolin zlewających opodal zgromadzone wody; Noteć, tak urocza i tyle pięknych, szczególnie koło Nakli przedstawiająca widoków; wspomnienia historyczne, jakie się tu obudzają: wszystko to napawa niewysłowionemi uczuciami. Noteć, z powodu jéj wylewów, niektórzy nazwali Nilem polskim, a brzegi, polską Szwajcaryą. Dużo ta rzeczka ma podobieństwa z Obrą, a nierównie więcej korzyści, bo połączona z Wisłą trzymilowym kanałem bydgoskim, jest spławną.

Dalszy ciąg Gopła stanowią jeziora Melno i Sleszyńskie, które się przelewa aż ku Warcie poniżej Konina, pod Morzysławiem.

Wody jeziora Sleszyńskiego poczynają się o pół mili od miasta Sleszyna, w lesie do tego miasta należącym. Dalej rozlewają się one w kształcie kotwicy: prawe ramię zachodzi pod Binişzew, gdzie na wysokiej górze, Sowią zwanéj, jest opuszczony klasztor księży Kamedułów; lewe zaś kończy się za Licheniem, niegdys miasteczkiem, dziś wioską lichą. Brzegi, osobliwie w początku

ma wysokie, co wśród lasu i przy modrym kolorze wód, piękny sprawia widok. Wszędzie tu czyste piaski. Długość jeziora od północy na południe wynosi milę całą, a od zachodu na wschód blisko dwie mile. Stanowi ono jedną całość, lecz z powodu przerw nieznacznych, jakie istnieją, wodom jego nadają odmienne nazwiska. I tak: poczynając z góry około miasta Sleszyna część tę nazywają jeziorem Sleszyńskim; poniżej około Mikorzyna, Mikorzyńskim; pod Łężynem, Łężyńskim; na zachód: Biniszewskie, Pątnowskie, Gosławickie, na wschód Licheńskie.

Bór Sleszyński, leżący przy początku jeziora, pełen jest zarosli, gąszczów, wądołów i kryjówek, służących za schronienie czarnemu zwierzowi i złoczyńcom. Część jego nazwana Czarny Bór przeraża ponurością swoją. Ogromne, odwieczne drzewa, jako olbrzymy puszczy strzelające do chmur, zaciemniają niebo czarnymi korony. Wicher szumi po ich wierzchołkach, ale spodem cisza nieprzerwana i głucha. Żadna paproć, żadna trawka się nie ruszy, chyba, że gad zjadliwy prześlizgnie się pod niemi. Nie usłyszysz tu nawet śpiewu ptaka, zegnającego dzień zachodzący; tylko jastrząb drapieżny albo sowa łązna przestraszy swym łopotem, kiedy się nagle porwie i siwe skrzydła rozpiery na wiatrach. Czasem zachrzeszczą chrósty i zachrapocą szuwały; to zwierz dziki pomknął z leżyska i uchodzi na głębsze komysze.

Cały zabrzeg jeziora naprzeciw Mikorzyna zaludniony jest licznymi i rozkosznymi osadami. Począwszy od miasta Sleszyna ciągną się schludne wioski aż do Wąsosz, gdzie widać na wysokim pagórku kościół Św. Krzyża cudami słynący. Głębokość wody dochodzi 16 do 20 sążni, i tém jest niebezpieczniejsza, że brzegi strome i przykre zaledwie kilka kroków mają mielizny. Wśród wody leży mała wysepka; podobno to jest miejsce, gdzie dawniej przed r. 1416 leżała wieś Lubomyśl, a na wzniesioném wśród niej miejscu świetniał zamek wspaniały. Zamku tego wszakże, wsi i ludzi którzy je zamieszkiwali, napróżno już dziś szukać.

Z wybrzeża jeziora tego, Białém zwanego, piękny rozwija się widok na kościół św. Barbary, patronki tonących, zbudowany na przyległym pagórku. Czerwony dach jego i białe ściany cudnie odbijają się przy sinych i ciemnych wodach jeziora, w różne rozlewy stoczonego, ginących z jednej strony w błękicie widnokregu, z drugiej w zieloności łąk gosławskich. Na prawo rysują

się w obłokach zamglone pagórki Brzeźna, gdzie jest łom kamienia ciosowego.

Postępując od Pątnowa do Gosławic groblą, gdzie most na odnodze jeziora Sleszyńskiego, skoro zwrócimy oczy na prawo, niepodobna nie uczuć powabu téj okolicy. Ogromna przestrzeń wód wokół otoczona starym poważnym lasem, gdzieniegdzie poprzerzynana smugami łąk i bielejącemi się drogami; wprost zpoza jeziora wyglądające dwie wieże biniszewskiego kościołka, a po lewej stronie porządne z czerwonymi dachami zabudowania w Gosławicach: wszystko to jakoś harmonizując z sobą, szczerze zająć potrafi.

Naprzeciw Mikorzyna, w Wąsoszach, przy kościele Św. Krzyża, znajduje się najgłębsza toń jeziora. Wynosi ona przeszło 30 sążni. Zwykle téż lody najprędzej pękają w tém miejscu, a pękawszy tak silnie ścierają się z sobą, jakąś tajemniczą siłą przyciągane, że formują skały kryształowe, tysiącem promieni błyszczące, najrozmaitszą grą kolorów drgające w słońcu. Cudny to widok! Latem wody jeziora tak są czyste, zwłaszcza na głębinie, że nieledwo dna dojrzećby można; w niektórych znowu miejscach naśladują całkiem kolor wód morskich, również ich wzburzenie i opadanie. W czasie takiego wzburzenia nie radziłbym nikomu puszczać się czółnem na głębią; większe nawet łodzie doświadczonéj tylko ręce kierować się wtedy pozwolą.

I to jezioro ma swoje piękne krajobrazy. Zaraz naprzekład z gaju Krzyżki albo Ostrobrzegów można się w lecie przypatrzyć kąpielom jeleni. Z wysokich brzegów skaczą one gwałtownie stadami w głębią jeziora, a podniósłszy rogi rosochate, pływają rączo, podobne morskim potworom. Lecz to samo jezioro służąc im za ochłodę w lecie, staje się w zimie ich zgubą; wilki bowiem napędzają je w téj porze na gołe lody, gdzie ślizgając się padają ofiarą podstepu tego drapieżnego nieprzyjaciela.

Na jeziorze Sleszyńskim jest téż i wyspa, która świeżo dostała nazwisko Izabella, od imienia właścicielki.

Jezioro to przelewa się, jakeśmy już powyżej rzekli, do Warty za pośrednictwem kanału, Morzysławskim zwanego. Kanał ten długi na wiorst 7 1/2 jest w dobrym stanie utrzymywany.

Wzajemnie téż i do jeziora spływają różne wody, mianowicie strumienie: jeden płynący zpod Wilczyna i Marszewa, drugi zpod Gogolina, trzeci zpod Sławoszewa. Wszystkie one połą-

czywszy się powyżej Pątnowa, wpadają następnie do części jeziora, nazwanéj Pątnowskim jeziorem.

Strumyk piérwszy przepływa przez jezioro położone pod wsiami Ostrowite i Izdebno. Jezioro to długie jest wiorst 3, szerokie 250 sążni.

Ponizéj jeziora tego, nawschód Biniszewa, znajduje się jezioro Głodowskie, długie wiorst 2, szerokie 250 sążni.

Jezioro Lubstowskie leżące na zupełnie osobnéj drodze od Gopła do Warty, osobną także ma dolinę, którą dziś ulewa swoje wody na jedną i na drugą stronę. Jest ono długie 3 wiorsty, szerokie 200 sążni. Dolina jego poczynając się od Gopła ze strony wschodniéj, przy młynie noteckim, przytyka nieprzerwanym smugiem do rzeki Warty pod Wólką albo Grójcem. Dolina ta na trzy mile długa, po większój części podsączana wodami, wystawia pasmo błót i strug zarosłych kępami. Chociaż jezioro Lubstowskie nierównie nizéj jest położone od Sleszyńskiego i Gosławickiego, jednak podobnie jak to ostatnie znajduje się na samym punkcie przewagi między Wartą i Gopłem. Na dwie te przeciwné strony ulewane jego wody, nie mając porządnego łoża, rozciągają się po całej przyległéj równinie.

Po takiém szczegółowém poznaniu wymienionych jezior, spojrzymy teraz na ich wzajemne względem siebie położenie, i zobaczymy czy one zawsze takimi były, jakimi je dziś znajdujemy.

Długosz opisując Gopło naznacza początek jego w końcu południowym przy źródłach Noteci (Noteczy), leżących pod miasteczkiem, a dziś wioską Noteć. W drugim końcu północnym pod zamkiem Szarleje, wedle niego, wyrzynała się znowu Noteć. W końcu południowym między Wartą i Gopłem dwa tylko wymienia jeziora: Sleszyńskie i Lubstowskie. Z piérwszego wylewała się rzeka Goplenica do Warty pod Morzysławiem. Długość naznacza mu ten autor mil 5; początek pod górą Przewłoki.

Dziś zupełnie inny stan tych jezior widzimy; dziś jezioro Gopło przy wsi Noteci, nie jest zaraz ogromne, jak pisał o niém Długosz; nie ciągnie się ono na północ pod zamek Szarleje, ale kończy się pod Kobylnikami za Kruszwicą: tu rozciągają się błota Bachorze, a dopiéro o ćwierć mili długości poczyną się jezioro Szarlejskie, które się ciągnie na pół mili aż do Łojowa. Dziś nie znajdujemy już owéj sflawnéj rzeki Goplenicy; zaledwie ślad

tylko jój koryta wynaleziono w strudze błotnistój. Rozważanie tych okolic przekonało, że wody jeziora Sleszyńskiego mają około trzech stóp większy spadek na Gopło, anizeli na Wartę; że najwyższy punkt pomiędzy temi jeziorami jest w końcu jeziora Gosławickiego, w tém właśnie miejscu, gdzie przedtém wyrzynała się Goplenica ku Morzysławiu, a wysokość jego nad powierzchnią Gopła wynosi dziś do stóp jedénastu.

Wszystko to dowodzi, że przez jakieś ułatwienie odpływu, wody jeziora Sleszyńskiego ułały się do Gopła, a z temi dalej spływały. Handel, jaki prowadzony był po tych jeziorach, jest faktem historycznym, a jakżeby mógł być prowadzony, gdyby ich stan był taki, jak obecny. Jakżeby Długosz nazywał Goplinicę rzeką spławną, gdyby ona wtedy była taką, jaką była za naszych czasów przed wykopaniem kanału Morzysławskiego, to jest małą strugą błotnistą.

O zmianie stanu wód tych jezior znajdujemy dowody w dokumentach granicznych, równie jak w podaniach gminnych. Jest ślad w Gosławicach, że tam, gdzie się dziś najszerzej woda rozlewa, była wieś i grunta plebańskie. Z zamku wybudowanego przez Bolesława Chrobrego, a po wydarzonej pogorzeli zamienionego na browar, widać, że dawniej tylną bramą był wyjazd na drogę, która prosto do Konina prowadziła. Dziś podchodzi woda z téj strony pod sam zamek i płócze próg bramy, a z jeziora pokazuje się letnią porą przy niskiej wodzie figura ś. Jana, stojąca zapewne nad dawną drogą.

Lud utrzymuje, że jakiś szlachcic Kadzidłowski, dziedzic Gosławic, człowiek złośliwy, jawnogrzeszny, przewrotny, okrutnie obszedł się z miejscowym proboszczem; za to go pan Bóg potopem ukarał, deszczem czternastodniowym wszystkie jego posiadłości zalał, a on sam biedak do dziś dnia pokutuje, tułając się po lesie. Z archiwum kościelnego w Kazimierzu doczytać się można, że ów Kadzidłowski był na swój wiek wielce uczonym.

Jawniejszy jeszcze dowód owój zmiany stanu wód znajdujemy w Mikorzynie. Wieś tę założoną dopiero około r. 1416, według miejscowego dokumentu, przez Klarę Mikorzyńską, oblewa pierwotne jezioro Sleszyn w postaci wielkiej rzeki, ujętej między wysokimi brzegami, które jeśli się niekiedy pochylają, to jedynie tylko dla utworzenia żyznych łąk i nizin. Tutajto pokazują w niewielkiej odległości od Sleszyna początek grobli, którą się

niegdyś jeździło od tego miasta do Lichenia; dzisiaj zaś ginie ona w głębokości jeziora, największego w tém miejscu. Tam, gdzie teraz jezioro Mikorzyńskie, leżała przed r. 1416 wieś Lubomyśl; dziś, jakśmy powyżej wspomnieli, ujrzyć tylko można małą wysepkę, zapewne najwyższy punkt téj wsi, na którym istniał wspaniały zamek.

Otóż więc zmiana łożyska wód tych i opadnięcie jezior Sleszyńskiego i Gopła jest faktem dowiedzionym. Pojmujemy więc, że w dawnych czasach, przy dawnym stanie wód, spław po jeziorach tych od Warty do Wisły mógł się odbywać. Opadnięcie wód, a z niemi przerwanie spławu, przerwanie handlu w tych stronach, sprawiło upadek całej téj okolicy. Upadła Kruszwica, nie masz miast Noci i Lichenia, znikły ludne wsie nad jeziorem Sleszyńskim i nad Goplenicą położone, jakoto: Kępa, Kępka, Przeław, Blizno i Blizienko, chociaż dobroć i żyzność gruntu zdawały się trwałość ich zapowiadać.

Rząd pruski przyzwyczajony korzystać z tego wszystkiego, w czém natura uprzęda potrzeby i życzenia ludzkie, rząd ten mając w posiadaniu tę część kraju, szukał w położeniu Gopła tych samych pożytków, jakie tam przed wiekami zbierali Polacy. Łatwość odnowienia dawnych jego związków z Wartą i Wisłą, ukazała mu szeroką drogę handlową tak do morza, jako téż do wszystkich zarazem innych prowincyj. Za jój otworzeniem nietylko hojnie uposażone okolice tego jeziora, ale téż odległy Poznań, Kalisz, Sieradz i inne miasta mogłyby bez trudności i z małym kosztem wysyłać swoje dostatki na Wisłę do Warszawy, Torunia, Gdańska i dalej, a ztamtąd sprowadzać te, których im brakuje.

Po rozpoznaniu całego położenia nietylko się przeświadczone, że otworzenie żeglugi przez Gopło mało wymagało kosztów, ale nadto, że we względach ekonomicznych niezmiernie obiecywało korzyści. Od Warty pod Koninem dwie znaleziono niziny, dogodne do poprowadzenia kanału: jedną od Morzysławia wzdłuż zagnionego koryta niegdyś Goplenicy przez jeziora Gosławickie, Sleszyńskie i Melno; a drugą od Grójca albo Wólki przez Lubstowo, Wierzclin i młyn notecki.

Jak jedna tak druga, przy trzech śluzach nietylko zapewniała dostatek wody na spławianie statków noszących od 360 do 400 korey zboża, ale nadto z jednéj strony miała ułatwiać po drodze osuszenie rozległych zatopów, a z drugieój otworzyć odbyt niezmiernym lasom, które tam dotąd rosły i pruchniały bez użytku.

Strugi rozciągające się na milę od Morzysławia do Gosławic, a ztamtąd dalej te, które leżą pomiędzy jeziorami aż do Gopła, wszystkieby za wykopaniem tu kanału osuszyły się na żyzne łąki, a rozległe puszcze Lubstowskie, Sleszyńskie i inne, mogłyby dostarczać najpiękniejszego drzewa do Gdańska, Szczecina i morza.

Koszta na wykopanie tego kanału od Warty do jeziora Gosławickiego na milę długości, wyrachowano do 12000 talarów; dalej wyprowadzenie drugiego kanału od jeziora Sleszyńskiego do Melna, miało kosztować do 17000 talarów, a trzeciego od Melna aż do samego Gopła, do 3000 talarów. Wydatki na każdą z uprojektowanych śluz rachowano od 3 do 4000 talarów. Dodawszy do tego wszystkie koszta na dyety, bonifikacye, mosty, groble, faszyny, drzewo, statki i t. d., cała summa wydatków na połączenie w tém miejscu Warty z Gopłem, miała wynosić ogółem sto trzydzieści kilka tysięcy talarów.

Druga nizina zdolna do połączenia wspomnionych dwóch spławów od Wólki przez Lubstowo i młyn noteckie, w tém ustępowała piérwszój, że nie mając jezior, wymagała na kopaniu trzy mile długiego kanału, do 30,000 talarów więcej wydatków. Ztémwszystkiém ta przewyżka kosztów z innój strony mogłaby się tu nagrodzić; kanał w tém miejscu otwierając równie wielki spław dla przyległych lasów, więcejby jeszcze po drodze mógł osuszyć gruntów i łąk, aniżeli piérwszy.

Rząd pruski, zawsze wierny przyjętemu prawidłom oszczędności, dał piérwszeństwo uprojektowanemu kanałowi od Morzysławia, częścią dla mniejszych kosztów, częścią téż, że pośrednio leżące jeziora w téj linii, obszerniejsze żegludze otwierały pole. Do uskutecznienia tego dzieła, trzeba jednak było wprzódy osuszyć wszystkie strugi, przez które kanał miał być następnie poprowadzony. Tym końcem wykopano w r. 1796 rów od jeziora Gosławickiego aż do Warty na 5 stóp głęboki, szeroki we dnie 3, a u wierzchu 12 stóp. Ten ciągnąc się na milę długości, nie kosztował więcej jak 1387 talarów. Pożytki jakie się zaraz z tego rowu pokazały, stokrotnie nagrodziły wszelkie prace i koszta wyłożone. Za jego bowiem pomocą nietylko przyległe strugi osuszonymi zostały, ale nadto, czego się z początku mniej spodziewano, utworzył się tam wygodny spław do Warty na drzewo i małe statki. W następującym zaraz roku przylegli właściciele zaczęli ze swych lasów i innych źródeł zbierać dochody, o jakich przedtém nie marzyli nawet.

Tak przez samo Gopło, jako też przez te jeziora pośrednie, żegluga odbywać się miała częścią za pomocą żagli, częścią za pomocą wiosł lub holowania. O dostatku wód potrzebnych i o sposobności wszystkich tych jezior do spławu, wcale nie powątpiewano: nad tém tylko namyślano się jeszcze, czyli w północnym końcu miano urządzić żeglugę wzdłuż koryta Noteci aż do Nakła i kanału bydgoskiego, czyli też bliższą drogą od Łabiszyna, przez kanał zasiłkowy do tamtego, czyli nareszcie od Kruszwicy przez półczwartęj mili do rzeczki Błociszówki, a ztamtąd do Brdy, nie dotykając powyższych dwóch kanałów. Dla odłożonego nadal projektu, pytania te rozwiązane nie zostały; ztémwszystkiem każdą z wymienionych dróg uznano za zdatną do połączenia Gopła z Wisłą, i każda, prócz innych pożytków, ułatwiała przyległym okolicom odkrycie nowych źródeł dochodów.

Wszakże koryto Noteci zasługiwało na pierwszeństwo.

Autor pisma o rzekach i spławach krajowych Księstwa Warszawskiego, z którego wyjęliśmy niektóre szczegóły tyczące się samych jezior o których tu mowa i ich połączenia, przedstawia dalej stan rzeki Noteci, korzyści z jej usplawnienia, i środki, jakimi do tego celu dojść miano.

Wszystko to pozostało tylko w projektach, a wykonano dotąd tylko kanał Morzysławski.

Poznaliśmy więc jeziora gubernii warszawskiej: ich liczba i rozległość są następujące:

w powiecie warszawskim jezior	24,	rozleg. włók	13,	morg.	18 $\frac{1}{3}$.
— stanisławow.	— 12,	—	59,	—	1.
— gostyńskim	— 25,	—	87,	—	6 $\frac{1}{2}$.
— włocławskim	— 75,	—	60,	—	9.

Rozległość jezior powiatu konińskiego nie jest z dokładnością podana.

Najznaczniesze z tych jezior są w powiatach: gostyńskim, włocławskim, konińskim. W pierwszym jezioro Lucień, rozległe morgów 913, Zdwojskie 718, Białe 244; we włocławskim: Głuszynskie, Orzelskie, Czarnockie razem obejmują morgów 660, Rakutowskie 180; w konińskim całe Sleszyńskie ze wszystkiemi swemi częściami, obejmuje morgów 977, Gopło przeszło 700.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYBUDOWANIE SKADRU.

(Z GMINNYCH POEZYJ SERBSKICH).

Gród stawiali trzech bracia rodzeni,
Trzej rodzeni bracia Morlawczewicze;
Jeden z nich był król, Wukaszin mianem,
Drugi zaś był Uglesz wojewoda,
A trzeci się zwał Morlawczewicz Gojko.

Stawiali gród Skadar nad Bojaną,
Gród stawiali całutkie trzy lata;
Trzy lat trzysta mistrzów budowało:
A nie mogli położyć zakładu,
Tém mniej jeszcze grodu wybudować:
Co mularze za dnia zbudowali,
Wszystko w nocy rozburzyła *Wila*.
Aż gdy lato nastawało czwarte,
Wila z góry głośno zawołała:

— „Nie kasaj się Wukaszinie królu!
Nie kasaj się, a nie trwoń pieniędzy.
Nie myślć ci położyć zakładu,
Tém zaś jeszcze mniej zbudować grodu,
Aże wpiérwój znajdziesz ludzi dwoje
Z jedném mianem: Stoję i Stojana,
Coby z sobą brat i siostra byli,
A zagrzebiesz ich pod zakład wieży.
Tak ci tylko i zakład położyć,
I gród będzie podobna zbudować.“

Kiedy to król Wukaszin usłyszał,
Wołał, k' sobie sługę Desimira:
— „Desimirze! dziecię moje drogie!
Dotąd dla mnie byłeś wiernym sługą,
Wszak od dzisiaj będziesz synem drogim.
Weźmij synu do powozu konie,

Weź téż z sobą te sześć worków złota,
 I tak pojedź synu w świat szeroki,
 Szukaj dwojga ludzi z jedném mianem,
 Z jedném mianem: Stoi i Stojana,
 Coby sobie brat i siostra byli.
 I porwij ich albo zakup złotem,
 I do Skadru przywiedź nad Bojanę,
 Abyśmy ich w zakładzie zagrzebli:
 Żeby przeto stanął zakład wieży,
 I szczęśliwie gród się wybudował."

Gdy Desimir usłyszał te słowa,
 Wziął co żywo do powozu konie,
 A wziął także i sześć worków złota.
 I tak we świat odjechał szeroki.
 Szuka wszędy znajsęby ludzi dwoje
 Z jedném mianem: Stoją i Stojana.

Szukał długo, przez trzy całe lata,
 Ale nigdzie nie mógł znaleźć dwojga
 Z jedném mianem: Stoi i Stojana.
 Zaś się tedy powrócił do Skadru,
 Oddał powóz i konie królowi,
 Oddał jemu i sześć worków złota:
 — „Masz tu królu! twój powóz i konie,
 Masz tu oto i sześć worków złota;
 Nigdzie nie mógł znaleźć dwojga ludzi
 Z jedném mianem: Stoi i Stojana.”

Kiedy to król Wukaszin usłyszał,
 Przyzwał k' sobie Rada, budownika;
 Rad na trzystu zawołał mularzy,
 I stawiali Skadar nad Bojaną.
 Co postawią, to Wila rozburzy,
 Ani da im położyć zakładu,
 Tém mniej jeszcze grodu wybudować.
 Wreszcie zuowu Wila z góry woła:

— „Słyszysz-li ty? Wukaszinie królu!
 Nie kasaj się, a nie trwoń pieniędzy,
 Wszakże jest was trzech rodzonych braci,
 A po wiernój każdy z was ma żonie.
 Która z jutrem przyjdzie nad Bojanę,
 I przyniesie mularzom śniadanie,
 Tę w zakładzie wieży zamurujcie.
 Tak wam tylko i zakład położyć,
 I gród będzie podobna zbudować.”

Kiedy to król Wukaszin usłyszał,
Do rodzonych tak przemówi braci:
— „Słyszeliście drodzy bracia moi!
Co tu z góry powiadała Wila:
Na nic nie zda się marnować złoto,
Wila nie da położyć zakładu,
Tém zaś jeszcze mniej zbudować grodu.
Bądź-że tedy jako prawi Wila:
Jest nas oto trzech rodzonych braci,
Każdy w domu ma wierną małżonkę:
Która z jutrem przyjdzie nad Bojanę,
A przyniesie mularzom śniadanie,
Tę by zagrześć pod zakładem wieży;
Tak się uda i zakład położyć,
I zaś gród sam szczęśliwie zbudować.
Zechcecieżli zakląć się na Boga,
Że nic żaden nie powie swój żonie,
Lecz że na los szczęścia poniechamy,
Która z jutrem przyjdzie nad Bojanę?”

I na Boga poprzysięgli sobie,
Że nic żaden nie powie swój żonie.
Zatém kiedy noc się przybliżała,
Każdy odszedł do białego dworu,
I przy hojnym jadł wieszczę stole,
Wreszcie z żoną kładł się do łożnicy.

A tu patrzcie, co się oto stało!
Król Wukaszin piérwszy złamał słowo,
I najpiérwszy powiedział swój żonie:
— „Pomnij, wierna żono moja! strzeż się!
Nie chodź jutro nad rzekę Bojanę,
Ani nie noś mularzom śniadania,
Bo o życiebyś się przypawiła:
Zagrzebionoby cię w zakład wieży.”

Uglesz równie złamał słowo dane,
I on także mówił swojej żonie:
— „Nie zapomnij, wierna żono moja!
Nie chodź jutro nad rzekę Bojanę,
Ani nie noś mularzom śniadania,
Bo byś marnie młodo zejść musiała:
Zagrzebionoby cię w zakład wieży.”

Młody Gojko nie złamał przysięgi,
Sam nic tylko nie powiedział żonie;
Więc gdy z jutrem nastawało rano,
Wstali z łoża trzech Morlawczewiczowie,

I do grodu poszli nad Bojanę.
 Przyszedł zatém czas ponieść śniadanie;
 Kolej była w dzień ten na królowę:
 Ta bieżała do bratowój swojój,
 Do bratowój swojój Ugleszowój.
 — „Pustuchaj mię, moja ty bratowo!
 Niezmiernie mię głowa rozboląta;
 Ani na raz nie chce mi być lepiój;
 Donieś za mnie mularzom śniadanie.”

Ugleszowa odpowió jój na to:
 — „O bratowo ma, królowo pani!
 Niezmiernie mię ręka rozboląta,
 Ani na raz nie chce mi być lepiój;
 Ale pytaj najmłodszej bratowój.”

Do najmłodszej poszła więc królowa:
 — „Siostró miła, młodziuchna Gojkowo!
 Niezmiernie mię głowa rozboląta,
 I ni na raz nie chce mi być lepiój;
 Donieś za mnie mularzom śniadanie.”

Na to młoda odpowió Gojkowa:
 — „Matko moja, ty królowo, pani!
 Radabym twą uczyniła wolę,
 Lecz wykąpać małe dziecię moje,
 I me białe płótno wyprać muszę.”

Więc jój zasię odrzeczé królowa:
 — „Idźno jeno, a ponieś śniadanie,
 O więcej się nie troszcz, moja miła!
 Ja za ciebie płótno twe wypiorę,
 A bratowa wykąpie dzieciátko.”

Młoda zatém Gojkowa zwoliła,
 I poniosła mularzom śniadanie.
 Gdy się k' rzece Bojanie zbliżała,
 Najpiérw spostrzegł ją Morlawczewicz Gojko.
 Rozbolało serce młodzieńcowi;
 Żal mu straszny i kochanej żony,
 Żal mu było i dziecka w kolebce,
 Co dopiéro cztery niedziel miało:
 I lzy mu się po twarzy polały.

Zobaczy to wierna jego żona,
 A więc zwolna ku niemu podchodzi,
 I podszedłszy, zwolna zapytuje:

— „Co ci to jest? mój ty miły paniel
Zkąd ci łzy te po twarzy się leją?”

Młody Gojko Morlawczewicz odповіć:
— „Szkoda mi się stała, żono droga!
Miałem jabłko ze szczerego złota,
To mi dzisiaj wpadło do Bojany;
Po niém ci się ukoić nie mogę.”

Młoda żona słów tych nie rozumie,
Ale męża pocieszyć się stara:
— „Daj ci tylko Boże zdrowie trwałe!
Piękniejszego możesz dobyć jabłka.”

Tu już srogim owładnięty bólem,
Młodzian głowę odwrócił na stronę,
By nie widzieć więcej swojej żony.

Wtém przystąpią obaj Morlawczewicze,
Obaj młoděj Gojkowěj szwagrowie,
I za białe pochwyciwszy ręce,
Zamurować do grodu ją wiedli.
Zawołali budownika Rada,
Rad]na trzystu zawołał mularzy.

Młoda żona uśmiecha się na to,
Myśląc sobie, że to wszystko żarty.
Jak ją w dole gdzie zakład stawili,
Trzystu mistrzów do pracy się jęło:
Kłaść poczęli drzewo i kamienie,
Ażci mur jěj sięga po kolana;
Ona jeszcze uśmiecha się na to,
Jeszcze myśli, że to wszystko żartem.

Trzystu mistrzów pracowało dalej,
Kładli wyżej drzewa i kamienie.
Ażci mur jěj sięga już do pasa.
Tu już widzi, że się z nią źle dzieje,
Ciała gniotą drzewo i kamienie.
Jak gadzina z bólu zasyczała,
I litośnie pocznie szwagrów prosić:
— „Nie dajcie mnie przez Boga żywego!
Nie dajcie mnie młoděj zamurować”.

Tak się modli, lecz nic nie pomoże;
Ani spojrzą obadwaj szwagrowie,
Obaj wstydem ponurym oblani.
Więc do swego małżonka się zwróci:

—,Ty mnie nie daj, do b y, miły panie!
 Nie daj młodo w zakładzie pogrzebać.
 Poślij raczój do matki méj starój,
 Matka moja ma bogactwa dosyć,
 Niewolnika lub dziewczkę wam kupi,
 Do zakładu więzy zamurować”.

Tak się modli, ale nie nada.
 Kiedy biédna niewiasta zobaczy,
 Ze daremne jój wszystkie modlitwy,
 Pocznie prosić budownika Rada:
 —,Bracie w Bogu, budowniku Radzie!
 Koło piersi zostaw mi okienko,
 Cobym przez nie ssać jeszcze dać mogła,
 Gdy mi moje przyniosą dzieciątko”.

I uczynił jój Rad wedle woli,
 Pozostawił u piersi okienko,
 Aby, gdy jój niemowlę przyniosą,
 Piers mu jeszcze mogła podać białą.

Ona zatém wtóre jeszcze prosi:
 —,Bracie w Bogu! Radzie budowniku!
 Zostaw jeszcze okno przed oczyma:
 Cobym mogła k' dworowi białemu
 Patrzéc, gdy mi będą nieśli dziecię,
 A napowrót odnosić do dwora”.

Rad uczynił i to po jój woli,
 Zostawił jój okno przed oczyma,
 Coby mogła k' dworowi białemu
 Patrzéc, gdy jój będą nieśli dziecię,
 A napowrót odnosić do dwora.

Tak została pogrzebiona w grodzie.
 Gdy zaś dziecię z kolebką przynieśli,
 Tydzień cały głosem je koła;
 Po tygodniu głosu już nie stało,
 Ale pokarm sączył się dziecięciu.

I trwało to tak przez lato całe.
 Potém, tak to na zawsze zostało.
 Po dziś jeszcze pokarm tam się sączy,
 K' woli dziwu, a k' woli pomocy
 Matkom, mléka cierpiącym ubytek.



O DAWNYCH

STATUTACH SYNODALNYCH POLSKICH DOTĄD NIE WYDANYCH (*).

Podając w roku 1836 do Tygodnika Petersburskiego słów kilka o najdawniejszych statutach ziemi krakowskiej, wspomniałem, iż wiadomość o nich wyczerpniętą została z rękopismu obejmującego w sobie zbiór statutów, synodów polskich Jarosława Bogoryi, arcybiskupa gnieźnieńskiego, współczesnego Kazimierzowi W., który kiedyś przechowywała biblioteka Załuskich, i który opisany został przez Janockiego (1).

Zajęcia inne nie pozwoliły dotąd cośkolwiek napisać i o tych dawniejszych statutach synodalnych polskich; tymczasem gdzieindziej ważny ten przedmiot przynajmniej częściowo zwrócił na siebie uwagę. Stenzel w przedmowie do wydanego przez siebie w r. 1845 zbioru dyplomatów, wyjaśniających historią biskupstwa wrocławskiego (2), wspomina razy kilka o dawnych ustawach synodów prowincyi gnieźnieńskiej, oznacza nawet kilku onych treści musiał więc także mieć pod ręką ich zbiór, i to jak się zdaje ten sam, o którym oddawna podał nam wiadomość Kloze (w historii

(*) Już po napisaniu obecnej rozprawki doszła do rąk moich praca zasłużonego JKs. Jabczyńskiego, zamieszczona w pierwszym zeszycie z roku 1849 *Rocznika Towarzystwa naukowego z Uniwersytetem Jagiellońskim połączonego*, pod tytułem: *Wiadomość o synodach prowincjonalnych polskich i zbiorach ich statutów*.

(1) *Janociana sive clarorum atque illustrium Poloniae Auctorum Maccenatumque memoriae miscellae. Varsaviae et Lipsiae 1779. Vol. II. p. 21, 22.* Opisanie Janockiego powtórzył Wiszniewski w T. II. swojej *Historji literatury polskiej*.

(2) *Urkunden zur Geschichte des Bisthums Breslau im Mittelalter. Breslau. 1845.*

miasta Wrocławia), i który dotąd zapewne zachowuje się w archiwum kapituły wrocławskiej. Już od niejakiego czasu i ja miałem ten zbiór na oku, i przy kilkakrotnym moim pobycie w Wrocławiu, starałem się otrzymać pozwolenie obejrzenia go, dla porównania ze zrobioną przezemnie kopią ze zbioru Załuskich: starania jednak moje pozostały bezowocne, co tém więcej żałować wypada, iż rękopism o którego treści obecnie podać zamierzam krótką wiadomość, w wielu miejscach przedstawia lakuny, w innych zaś jest tak zagmatwany, iż niepodobieństwo jest nawet dociec sensu.

Straciwszy nadzieję korzystania z rękopismu wrocławskiego, ograniczam się na tém, co mam pod ręką. Byłbym nader rad, gdybym już dzisiaj mógł ogłosić drukiem wszystkie mi znajome dotąd niewydane statuta prowincyi gnieźnieńskiej, których odpisy blisko od lat 15 zrobiłem; dla braku jednak czasu muszę się ograniczyć na wydaniu kilku z pomiędzy nich nie powiem najważniejszych, bo wszystkie równie są ważne i zajmujące, ale raczej takich, które w rękopiśmie z którego je biorę, są lepiej wypisane (1).

Wiadomo, iż Załuski miał zamiar ogłoszenia drukiem zupełnego zbioru statutów synodalnych polskich, poczynając od najdawniejszych, i doprowadzając do najnowszych czasów. Kto miał sposobność przeglądania nagromadzonych przez niego rękopisów i wydań drukowanych, mógł się łatwo przekonać, jak ogromne były zasoby, które zebrał, i jak wielkich trudów przedsięwzięcie to wymagało. Jak ważną byłaby praca ta, nie potrzeba i wspominać; a jakkolwiek nie można się spodziewać, aby była w sobie mieściła wszystkie warunki krytycznego wydania, jakie w dzisiejszym stanie nauki zwyczajnie są wymagane od prac podobnego rodzaju: byłaby przynajmniej zachowała od zatraty mnóstwo dawnych pomników, które już dzisiaj może na zawsze są stracone. Mnie samemu zdarzyło się widzieć dawniejszemi czasami nie jeden ważny pod tym względem rękopism, który już obecnie tam, gdzie był przechowywany nie znajduje się, i może zupełnie zaginął.

(1) Po napisaniu przed dwoma laty téj obecnie drukującej się wiadomości dowiedziałem się, iż jeden z szanownych literatów warszawskich posiada także rękopis dawnych statutów synodalnych prowincyi gnieźnieńskiej; wszakże i rękopisu tego, pomimo wszelkiej ze strony właściciela gotowości, dla nieprzewidzianych przeszkód widzieć, a tém mniej porównać z mojami odpisami nie mogłem.

Arcybiskupstwo gnieźnieńskie z swojemi suffraganiami stanowiło w świecie chrześcijańskim osobną prowincją. Prowincya ta, tak jak wszystkie inne prowincye kościoła katolickiego, rządziła się ogólnemi prawami kościoła; w zakresie wszakże tych praw miała władzę stanowienia ustaw, przez zastosowanie praw ogólnych do miejscowych i czasowych potrzeb.

Wiadomo jest z historyków naszych, a mianowicie: Kadłubka, Bogufała, archidyakona gnieźnieńskiego, Długosza, iż biskupi polscy pod prezydencją arcybiskupów gnieźnieńskich, poczynając od dwunastego wieku, często zbierali się w różnych miejscach dla wspólnej narady i stanowienia statutów, które obowiązywały tak duchowieństwo, jako téż i świeckie osoby całej prowincyi w stosunkach ich do kościoła.

Wiadomo także, iż papieże w różnych czasach, często w epokach bardzo do siebie zbliżonych, przysyłali swoich legatów do Polski, dla uporządkowania stosunków kościelnych i wytępienia rozmaitego gatunku nadużyć. Legat zbierał zwyczajnie około siebie całe wyższe duchowieństwo prowincyi, składał z niem synod prowincjonalny, i spisywał ustawy, które następnie wykonywały się.

Z liczby pierwszych naszych ustaw kościelnych zachował nam sam Długosz w potwierdzeniu Alexandra papieża uchwały zjazdu łęczyckiego, odbytego za Kazimiérza Sprawiedliwego w roku 1180 (1). Późniejsze aż do końca wieku XIVgo, uważane były u nas zwyczajnie za stracone.

Najdawniejszy zbiór ustaw synodalnych prowincyi gnieźnieńskiej któryśmy znali, był zbiór sporządzony na początku wieku XV za sprawą Mikołaja Trąby arcybiskupa gnieźnieńskiego, ułożony na synodzie, rozpoczętym w Wieluniu, a ukończonym w Kaliszu r. 1420, w obecności Alberta biskupa krakowskiego, Jakóba płockiego, Andrzeja poznańskiego, Mikołaja włocławskiego i prokuratorów biskupa wrocławskiego i lubuskiego.

Ze wstępu w którym Mikołaj wyklada powody, które go skłoniły do wykonania przedsięwziętej pracy, dowiadujemy się, iż

(1) Wiadomość o synodzie łęczyckim podał ks. *Męllewicz w Pamiętniku religijno-moralnym* T. XVI. z r. 1849. Praca godna uwagi, wymagająca jednak dopełnienia. Przedmiot o zniesionych przez zjazd łęczycki ciężarach, łączy się z najdawniejszą historją urzędzenia państwa. Wreszcie rozstrzygnąć zawsze jeszcze wypada, czy to był synod w ścisłym znaczeniu tego wyrazu. Już o tém pisał dawniej Młaczyński.

chodziło głównie o zdecydowanie, które jeszcze z postanowień poprzedników jego zachowały moc obowiązującą, aby tym sposobem zapobiedz niepewnościom w ocenieniu i sądzeniu spraw kościelnych. Jakie jednakże były te dawniejsze postanowienia, sam zbiór Mikołaja żadnego nam nie pozostawił śladu, wyjąwszy, iż w jednym tylko miejscu znajdujemy powołane nazwisko Jakóba, jednego z poprzedników Trąby z końca wieku XIII.

Dopiero dzisiaj przez bliższe rozpoznanie wspomnionego powyżej zbioru Jarosława Bogoryi, ciekawość nasza pod tym względem może być zaspokojona. W zbiorze tym znajdujemy z wieków XIIIgo i XIVgo prócz statutów samego Jarosława, statuta Fulkona czyli Pełki, Janusza, Jakóba i Janisława arcybiskupów gnieźnieńskich, a także statuta legatów papieżkich Jakóba archidyakona leodyjskiego (później papieża pod nazwiskiem Urbana IV) i Guidona kardynała presbitera. Też same statuta, jak się zdaje, znajdują się i w rękopisie wrocławskim (1).

Porównyując to co nam udzielił Stenzel o statutach umieszczonych w dopiero co powołanym rękopiśmie i niektóre inne źródła, z tém co nam dostarcza nasz zbiór, możemy udzielić następujące bardziej szczegółowe wiadomości o każdym z powyżej wzmiankowanych statutów co do czasu i miejsca, w jakim wydane zostały.

1. *Statuta Fulkona czyli Pełki.* W zbiorze Jarosława znajdują się trzy oddzielne statuta Pełki; o dwóch nie ma wzmianki w którym roku i gdzie wydane zostały, tylko w jednym z nich jest oznaczone, że wydany był na synodzie w Sieradzu dnia 5 lipca 1233 roku. Statuta te tak się zaczynają:

Anno incarnationis dominicae Millesimo CCXXXIII, quinto nonas Julii in Siradia.—Nos Fulco Gnesnensis Archiepiscopus cum fratribus et coepiscopis et aliis praelatis ecclesiarum Poloniae ad Sinodum in virtute spiritus sancti congregati (2).

2. *Statuta Janusza.* Zachowały się dwa statuta Janusza: jeden ogłoszony na zjeździe w Sieradzu roku 1262 w miesiącu wrześniu w dniu świętego Lamperta, drugi w Kamieniu (in Camon) niedaleko Kalisza, bez oznaczenia roku. Na synodzie w Sieradzu

(1) *M. Wiszniewskiego: Historia literatury polskiej* T. II, str. 297.

(2) Może być, iż jeden z dwóch synodów Pełki nieoznaczonych rokiem zgromadzenia się, jest synodem z r. 1257, wspomnianym u Godzysława Baszka. *Janociana* T. II, p. 99.

byli obecnymi, jak mówią same statuta, biskupi: krakowski, wrocławski, kujawski, poznański i mazowiecki, co widać z ich początku:

In nomine Domini Amen. Nos Janussius miseracione divina Gnesnensis Archiepiscopus, una cum Suffraganeis nostris Cracoviensi videlicet Vratislaviensi, Lubucensi, Cujaviensi, Poznaniensi et Masoviensi Episcopis, ac aliis nostris et eorum inferioribus praelatis et subditis in Siradz in Synodo congregati (1).

Na zjeździe w Kamieniu obecnymi byli prócz prałatów, i książęta polscy. Tenże sam Janusz, jak widać ze zbioru dyplomatów niedawno wydanego w Warszawie, odprawiał jeszcze synody prowincjonalne w Dankowie roku 1267, i drugi synod w Sieradzu r. 1270 (2).

3. *Statuta Jakóba*. W zbiorze Jarosława znajdujemy dwa prawodawcze pomniki, odnoszące się do pamiętnego w historii naszego kościoła arcybiskupa Jakóba Swinki. Jeden przedstawia konstytucye synodalne, wydane na zjeździe biskupów prowincyi polskiej (3), bez oznaczenia miejsca i czasu odprawienia zjazdu; drugi obejmuje postanowienia o dochodach tak zwanego *Annus gratiae*, wydane także na jakimś synodzie prowincjonalnym równie bez oznaczenia czasu i miejsca odprawienia onego. Synod na którym postanowione zostały pierwsze konstytucye jest bez wątpienia zjazd odprawiony w Łęczycy w pierwszych dniach stycznia 1285 roku, na którym zatwierdzony także został wydany przez Tomasza I biskupa wrocławskiego wyrok przeciwko Henrykowi IV księciu wrocławskiemu. Na zjeździe tym byli obecni: Paweł krakowski, Jan poznański, Tomasz płocki i Wisław wrocławski biskupi (4).

4. *Statuta Janisława*. W zbiorze Jarosława znajdujemy ustawy wydane na synodzie w Uniejowie dnia 11 marca 1326 roku,

(1) *Janociana* T. II, p. 278, 279. Treść tych statutów z rękopisu wrocławskiego podaje Stenzel w wyżej przytoczoném dziele (przedmowa str. XLIV, XLV). Wyjątki z nich znajdują się także w dziele poużej cytowaném Rittera, na str. 196.

(2) *Codex diplomaticus Poloniae*. T. II, p. 74, 82.

(3) Na początku statutów powiedziano: Nos Jacobus miseracione divina Gnesnensis Archiepiscopus una cum venerabilibus fratribus nostris coepiscopis provinciae Poloniae. *Janociana* T. II, p. 272.

(4) Stenzel: *Urkunden* p. 136: cum enim essemus in Lanchicia nuper in provinciali synodo congregati... datum apud Lanchiciam XIII. Kal.

lecz mylnie przypisane temuż Jarosławowi arcybiskupowi; godzi się bowiem domniemywać, jak tego dowodzi sama data wydania i udzielone nam przez Kloseo i Stenzla wiadomości o manuskrypcie wrocławskim, iż ustawy te spisane zostały za sprawą arcybiskupa gnieźnieńskiego Janisława (1). Stanowczo potwierdza to domniemanie i usuwa wszelką wątpliwość akt Nankiera biskupa wrocławskiego z dnia 15 grudnia 1340 roku, którym rzuca klątwę na Jana króla czeskiego, i w którym odwołuje się na postanowienia Janisława arcybiskupa wydane na prowincjonalnym synodzie, znajdujące się w rękopiśmie naszym w rzędzie postanowień wspomnianego uniejowskiego zjazdu (2). Na synodzie w Uniejowie byli obecni: Nankier biskup krakowski (ten sam, który później był biskupem wrocławskim), Floryan płocki, Mateusz włocławski, Jan poznański i prokuratorowie biskupa wrocławskiego i lubuskiego.

5. *Statuta Jarosława*. Ostatnie miejsce w porządku chronologicznym w zbiorze naszym zajmują statuta, ogłaszane przez Jarosława z Bogoryi arcybiskupa gnieźnieńskiego na synodzie prowincjonalnym, odprawionym w dniu 8 stycznia 1357 roku w Kaliszu w obecności biskupów Bodzanty krakowskiego, Mateusza włocławskiego, Klemensa płockiego, Jana poznańskiego i prokuratorów Przeclawa wrocławskiego i Henryka lubuskiego (3).

Februarii anno MCCLXXX quinto. p. 137, 138. Noverint universi praesentes litteras inspecturi, quod cum nos, Jacobus d. gr. s. Gneznensis ecclesie archiepiscopus suffraganeos et coepiscopos nostros ad nostram provincialem synodum in Lanchiciam vocassemus.... datum et actum Lanchiciae XVIII Kal. Februarii anno MCCLXXXV.

(1) Stenzel p. 282, Klosee II, p. 24.

(2) Stenzel: *Urkunden* p. 282. Reverendus pater dominus Janislaus s. Gneznensis ecclesie archiepiscopus in provinciali synodo de suorum suffraganeorum assensu prohibuit.... za tym idzie postanowienie zawarte w tychże statutach.

(3) W poleceniu daném Janowi proboszczowi kaliskiemu z d. 1 marca 1360 r., tak między innymi wyraża się Jarosław o statutach wydanych przez siebie i poprzedników swoich: a nonnullis Romanis pontificibus et Sedis apostolicae legatis ad nostram provinciam missis mandata salubria et statuta utilia cum multa providentia emanarunt, quae postea per praedecessores nostros et nos in conciliis provincialibus innovata et extensa cum adicione poenarum pro subditorum et ecclesiarum utilitate morumque correctione eorundem et quiete, extiterunt.... (Stenzel *Urkunden* p. 328). Statuta kaliskie Jarosława, jak dowiedziałem się z rozprawy powyżej powołanej JKs. Jabczyńskiego, już są przez niego wydane w Gazecie Kościelnej poznańskiej (r. 1846) z rękopisu archiwum kapituły w Poznaniu.

Statuta legata papieżkiego Jakóbu, znanego później po wyniesieniu na godność papieżką pod nazwiskiem Urbana IV. Jakób archidyakon leodyjski wysłany w r. 1247 przez Innocentego IV papieża jako legat do Polski, Prus i Pomorza, zebrał w Wrocławiu w miesiącu październiku r. 1248 prowincjonalny synod, na którym w obecności arcybiskupa gnieźnieńskiego Fulkona, biskupów wrocławskiego Tomasza I, krakowskiego Prandoty, kujawskiego Michała, poznańskiego Bogufała, mazowieckiego Piotra, lubuskiego Nankiera, i chełmińskiego Henryka, ogłosił statuta, które następnie sam zostawszy papieżem dnia 3 lipca r. 1263, opuściwszy rozporządzenia niemogące już znaleźć zastosowania, na nowo utwierdził i do wykonania podał (1).

7. *Statuta Guidona legata*. Guido kardynał wysłany do Polski jako legat przez Klemensa IV, zebrał w Wrocławiu synod prowincjonalny, na którym znajdował się Janusz arcybiskup gnieźnieński, i wydał na nim statuta, o których następnie w różnych aktach urzędowych wspomina się. Nie wiemy z pewnością epoki odbycia synodu. Stenzel mniema, że był odprawiony roku 1268 w miesiącu lutym; wszakże zdaje się nie podlegać wątpliwości, iż synod miał już miejsce wcześniej, kiedy w piśmie duchowieństwa polskiego z roku 1267 miesiąca października do Miestwina księcia pomorskiego, cytują się dosłownie dwa postanowienia zawarte w statutach na nim ogłoszonych, ze wzmianką, że konstytucye są wydane „per venerabilem patrem dominum Guidonem tituli sancti Laurencii in Lucina presbiterum Cardinalem, Apostolicae Sedis Legatum, in Sinodo per ipsum in Vratislavia novissime celebrata“ (2). Zatem podług wszelkiego podobieństwa do prawdy synod wrocławski pod prezydencją Guidona, odprawiony być także musiał w r. 1267, kiedy w miesiącu październiku tegoż roku duchowieństwo polskie na nowym już znowu było zebrane synodzie w Dankowie, o czém świadczy powyżej powołane pismo. Niemniej podobnym jest do prawdy, iż na synodzie w Wrocławiu,

(1) Stenzel: *Urkunden* p. XV. XXXIII. XXXIV. *Janociana* II, p. 118, 119. Treść statutów tych złożonych z 26 §§, podaje w historii biskupstwa wrocławskiego Józef Ritter kanonik kapituły wrocławskiej (*Geschichte der Diocese Breslau. Breslau 1845*) na str. 179, 186.

(2) *Codex diplomaticus Poloniae* T. II, p. 74—76. Toż samo pismo duchowieństwa polskiego do księcia pomorskiego znajduje się już u Damałowicza: *Vitae Vladislaviensium Episcoporum*, p. 190, 191.

odprawionym w obecności kardynała, znajdowali się ci sami biskupi polscy, których spotykamy w tymże roku zgromadzonych na synodzie w Dankowie. Byli niemi: Janusz arcybiskup, następnie Tomasz wrocławski, Paweł krakowski, Wolimir wrocławski, Mikołaj poznański biskupi.

Mamy więc tymczasowo w porządku chronologicznym z datą pewną następujące statuta prowincyi gnieźnieńskiej:

Pełki arcybiskupa z r. 1233.

Jakóba legata z r. 1248.

Janusza arcybiskupa z r. 1262.

Guidona legata z r. 1267.

Jakóba arcybiskupa z r. 1285.

Janisława z r. 1326.

Jarosława z r. 1357.

Prócz tego mamy jeszcze z datą dotąd nieoznaczoną dwa statuta arcybiskupa Pełki, jeden statut Jakóba, i Janisława; w ogólności wszystkich statutów prowincjonalnych dawniejszych jedenaście.

Jak znacznie materiały te wzbogacają historią rozwinięcia prawodawstwa kościoła naszego, rzeczą aż nazbyt jest widoczną. Czy kiedykolwiek później będziemy dość szczęśliwi zbogacić je nowemi odkryciami, trudno jest przewidzieć; być jednak może, że szczęśliwy traf nastarczy nam nowe jeszcze pomniki.

Nie wspominając o postanowieniach synodu łęczyckiego z r. 1180 nie podpada żadnej wątpliwości, iż w wieku XIIym kościół gnieźnieński posiadał jeszcze inne statuta prowincjonalne; wspomina o istnieniu ich Pełka arcybiskup w statutach z r. 1233. We wstępie do nich wyraźnie mówi: iż wydał za zgodą braci swojej, to jest biskupów i suffraganów prowincyi gnieźnieńskiej konstytucye, w których powtórzył i dopełnił niektóre ze statutów poprzedników swoich (1). Załuski, jak powszechnie utrzymują, miał posiadać w rękopisie statuta synodów łęczyckich z r. 1188 i 1197 (2).

Niemniej pewną jest rzeczą, że prócz wskazanych wyżej statutów należących do wieku XIIIgo, wydane jeszcze były w tym wieku inne statuta. Wspomnę tylko dla przykładu konstytucye synodalne, ogłoszone przez legata papieżkiego biskupa Filipa, na

(1)constituciones subscriptas de consensu fratrum nostrorum.... edidimus, seu *innovando* seu *addendo antecessorum nostrorum statuta quaedam*.

(2) M. Wiszniewski: *Historja literatury polskiej*. T. II, str. 296.

które powołują się wydane przez Stenzla akta szląskie z lat 1284, 1285 i następnych (1). Jak wiadomo, Filip znajdował się w r. 1280 na Węgrzech w Strygoniu (2), a w roku 1281 w Wrocławiu, gdzie zapewne odprawił w tymże czasie synod prowincyi gnieźnieńskiej (3).

Pisali nadto dla Polski statuta na początku wieku XIVgo legaci papieżcy: Mikołaj biskup Ostyi, znany później pod nazwiskiem Benedykta XIgo, i Gentilis kardynał, którego konstytucye zachowała nam historia kościoła Raynalda.

Te tedy miał pod ręką statuta Jarosław, kiedy postanowił przynajmniej ważniejsze z pomiędzy nich w jednym pomieścić zbiorze, i dodać jeszcze do nich kilka nowych postanowień. Powodem głównym, dla którego Jarosław umyślił zrobić zbiór statutów poprzedników swoich, była zapewne rzadkość exemplarzy dawnych statutów, i chęć uczynienia ich powszechniej znajomymi. Dlatego we wstępie do statutów z roku 1357 poleca, aby odtąd wszyscy biskupi, archidyakonowie i przełożeni kościołów starali się mieć u siebie kopią tego zbioru, i aby archidyakonowie statuta te czytawali na zgromadzeniach podwładnych im osób (4). Zgodnie z tą myślą synod postanowił odnowić statuta Pełki, Janusza, Jakóba i Janisława arcybiskupów, i pomieścić je w zbiorze (5); jakoż znajdujemy je w istocie w naszym rękopiśmie pomieszczonemi zaraz za postanowieniami samego Jarosława. Porządek pomieszczenia nie jest ściśle chronologiczny. Naprzód idą statuta Jarosława z r. 1326, potem Pełki niewiadomego roku, następnie Janusza 1262 r., Pełki 1233 r., Jakóba 1285 r., Janusza niewiadomego roku, znowu Jakóba bez pewnej daty, na końcu Pełki bez roku.

(1) *Urkunden*, str. 70, 85, 91, 137, 161, 218.

(2) Wydane przez niego także dla Węgier konstytucye, znajdują się w zbiorze Jarosława Bogoryi. Statuta te już są kilka razy drukowane, a mianowicie w Zbiorze koncyliów węgierskich, wydanym przez Karola Peterfy. Nie znajdują się w rękopisie kapituły wrocławskiej.

(3) *Codex diplomaticus Poloniae* T. II. p. 100, 74.

(4)mandamus ut fratres nostri episcopi et archidiaconi et rectores ecclesiarum statutorum ac constitutionum ipsorum copiam habeant et in suis diocesibus archidiaconi quoque in conventibus subditorum suorum relegant et faciant publicare.

(5)decrevimus.... vetera praedecessorum nostrorum pia memoriae Fulconis, Janussii, Jacobi Swincae, Janisłai archiepiscoporum quondam Gneznensis ecclesiae innovare et hujus approbatione concilii innovamus, additis nostris declarationibus.

Czy zamiarem było Jarosława pomieszczać w zbiorze swoim i konstytucje powyżej powołane legatów Guidona, Jakóba i Filipa, trudno odgadnąć; w rękopiśmie, który mamy pod ręką znajdują się zamieszczone za ostatnimi statutami Pełki: wyraźnie jednak jest powiedziane, że wzięte zostały z księgi Stefana kanonika wrocławskiego. Podobniejsze jest więc do prawdy, że znalazły tu miejsce więcej przypadkowym sposobem.

Mimowolnie następuje tutaj uwaga, co do autentyczności naszego rękopisu. Wiem, że Janocki, a za nim i Wiszniewski, utrzymują jakoby rękopism ten był samym oryginałem ustaw zebrałych w Kaliszu za Jarosława arcybiskupa, przechowywanym dawniej w archiwum metropolii gnieźnieńskiej; samo jednakże powierzchowne obejrzenie onego, a mianowicie dopiero co-przytoczona okoliczność, a nadto mnóstwo błędów w texcie, i gdziegdzie lakuny przekonywają, że to kopia prywatna, jak się zdaje sporządzona nawet nie w Wielkopolsce, ale w Krakowie, czego dowodzi rejestr konstytucyj ziemi krakowskiej, umieszczony na końcu, które przepisywacz chciał włączyć do zbioru praw kościelnych (1). Oryginał sam statutów zapewne był staranniej pisany, i musiał być stwierdzony pieczęciami wszystkich biskupów, których Jarosław zwołał był na synod do Kalisza, tak jak u kopii onych autentycznej, znajdującej się w Wrocławiu, ma być pieczęć Przecława biskupa wrocławskiego.

Po synodzie w Kaliszu aż do końca wieku XIV, zapewne duchowieństwo polskie odprawiło jeszcze nowe synody, i ogłosiło na nich dodatkowe konstytucje. Stosunki szybko zmieniały się; to, co mogło być przystosowaniem na początku wieku, już ku końcowi onego nosiło na sobie piętno zastarzałości. Okoliczność ta głównie stała się powodem arcybiskupowi Mikołajowi Trąbie, jak o tém wyżej wspomniałem, do zrobienia z postanowień synodalnych poprzedników swoich zbioru systematycznego, w którym już nie chronologicznym porządkiem, jak to miało miejsce w zbiorze Jarosława, ale podług systematu w dekrecie Gracyana przyjętego, rozłożone zostały dawniejsze i nowe postanowienia za wyłączeniem tych wszystkich dawnych konstytucyj, które nie mogły już znaleźć za czasów jego przystosowania.

(1) Jakle koleje przebiegał nasz rękopis nim się dostał do zbioru Zańskich, wspomina o tém Janocki w dziele tyle razy powołanem na str. 21, 22.

Teraz dopiero mając pod ręką zbiór Jarosława, będziemy mogli oznaczyć, kto jest rzeczywiście autorem każdego z zamieszczonych w statutach synodalnych Trąby postanowienia. Postaram się z czasem podać do wiadomości powszechnej już w części przygotowany chronologiczny wykaz źródeł całego zbioru. Tymczasowo zwracam się do statutów które obecnie zamierzam drukiem ogłosić. Na pierwszy raz ogłaszam statuta Pelki z roku 1233 i Janusza z r. 1262.

Wypadałoby może dodać do samego textu objaśnienia; praca jednak ta ogromna, obecnie nie może być podjęta. Nie wątpię, że znajdą się inni, którzy ją dokonają.

Pisano w Petersburgu w miesiącu sierpniu 1848 r.

R.

I. Statut arcybiskupa Pelki z r. 1233.

Anno incarnationis dominicæ Millesimo CCXXXIII, quinto nonas Julii in Siradia. Nos Fulco Gnesnenis Archiepiscopus cum fratribus et coepiscopis et aliis praelatis Ecclesiarum Polonie, ad synodum in virtute spiritus sancti congregati, habita diligenti investigatione super his que ad honorem domus Domini et decorem ecclesie nobis commissæ, pertinere videbamus, constitutiones subscriptas de consensu fratrum nostrorum et aliorum ecclesie praelatorum edidimus, seu innovando, seu addendo, antecessorum nostrorum statuta quædam, prout salutis expedire videbamus in melius reformando.

§ 1. Statuimus igitur ut omnia de reverentia sacramentorum et de honestate ministrorum ecclesie prout in antiquis

Roku od wcielenia Pańskiego 1233 dnia 3 lipca w Sieradzu. My Pelka arcybiskup gnieźnieński z bracią i współbiskupami i innymi prałatami kościołów polskich, na synod w imię Ducha Świętego zgromadzeni, śledząc pilnie tego, co ku czci domu Bózego i ozdobie kościoła należeć zdaje się, ustawy niżej wypisane, za zezwoleniem braci naszój i innych prałatów kościoła wydaliśmy: czyto one odnawiając, czy téż niektóre do ustaw poprzedników naszych dodając, przywodząc one do lepszego porządku na korzyść zbawienia.

§ 1. Postanawiamy więc, aby wszystko cokolwiek o czci sakramentów i uszanowaniu sług kościoła, w dawnych kanonach

canonibus sive in constitutionibus antecessorum nostrorum jam dudum promulgata sunt, ab omnibus nostris subditis inviolabiliter observentur videlicet ut mundiciam servent, irreprehensibiles sint in opere, divina officia devote peragant, ab indecentibus negociis absistant, habeant tonsuram competentem, vestes in qualitate et quantitate clericali officio competentes, videlicet ut non rubræ, nec virides, nec virgultatæ, nec nimia longitudine, nec aliter indecentes, manicas habeant, nec consutiles calceos, nec rostratos.

§ 2. Super omnia autem districte statuentes præcipimus, ut omnes clerici sicut convenit continentiam observent, ab omni genere fornicationis abstinentes, ut mundi munda pertractent ministeria, maxime in sacris ordinibus constituti, quibus receptis matrimonia nullo modo eis liceat contrahere, nec uti contractis, licet quondam in minoribus constituti ordinibus, legitime contraxerint.

§ 3. Concubinas igitur omnes, districte præcipimus, ut a se penitus abdicent, nullomodo audendo suspectas in domo propria vel alio loco retinere familias. Et licet ex constitutionibus super hæc editis frequenter propter contumaciam clericorum parvus inde fructus proveniret,

albo konstytucyach poprzedników naszych oddawna ogłoszono, wszyscy poddani nasi nienaruszenie zachowali, to jest: aby czystość zachowali, nienagannie się prowadzili, służbę bożą z nabożeństwem odprawiali, nieprzyzwoitych spraw zaniechali, tonsurę i suknie co do jakości i ilości, stanowi duchownemu przyzwoite mieli, to jest nie czerwone, ani zielone, ani pstre, ani zbyt długie, ani inaczej nieprzyzwoitych rękawów nie mieli, ani razem zszytych trzewików, ani spiczastych.

§ 2. Nadewszystko zaś surowo nakazujemy, aby wszyscy duchowni, jako się godzi, umiarkowanie zachowali, i od wszelkiego rodzaju wszeteczeństwa powściągali, aby sami czyści, koło spraw z czystością chodzili, mianowicie gdy święcenia wyższe odbiorą; które otrzymawszy, niewolno im żadnym sposobem małżeństw zawierać, ani z zawartych korzystać, chociażby i mniejsze święcenia prawnie przyjęli.

§ 3. Nałożnic przeto wszelkich surowo zabramy, aby się ich całkiem wyrzekli i w żaden sposób podejrzanych familij w domach własnych lub innych miejscach utrzymywać nie śmieli. A ponieważ dotąd z przyczyny nieposłuszeństwa duchownych, ustawy mały pożytek odnoszą,

nos tamen amplius haec nullo modo pro aliqua persona volumus tollerare. Mandamus fratribus et cœpiscopis nostris ut super hoc articulo invigilent diligenter, ut purgent filios pena, et auferant ab oculis opprobrium ecclesiae dei..... (1).

§ 4. Præcipimus specialiter archidiaconis omnibus ut suum officium diligenter exercent, personaliter ecclesias et sacerdotes visitantes, non per alios, nisi sint justo et sufficienti impedimento detenti, reforment secundum deum quae sunt reformanda; hoc autem eis inhibemus ne aliquid audeant a sacerdotibus nomine visitationis exigere..... (2).

§ 5. Item precipimus quod omnes cujuscunque sint conditionis decimam ex integro persolvant in *gonitwam*, licet sint aratores militum.

§ 6. Quia vero per licenciam poloniae, sive per tolleranciam, sive per concessionem militibus poloniae permissum est solvere decimas ad ecclesias quas elegerint, quidam hac concessionem sive tollerancia nequiter abutuntur, fraudantes ipsas decimas et non integre persolventes, statuimus: ut si quis miles probatus fuerit, fraudem in hoc fecisse et non integre decimam per-

przeło wiêcej w żaden sposób nikomupobłażać nie chcemy. Zalecamy braciom i współbiskupom naszym, aby nad tym artykułem pilnie czuwali, aby synów przez karę oczyścili i zakryli przed oczyma sromotę kościoła Bózego.

§ 4. Nakazujemy szczególnież wszystkim archidyakonom, aby obowiązki swe pilnie wykonywali, kościoły i plebanów osobicie wizytowali, a nie przez innych; chyba, gdyby słuszną i ważną przeszkodą zatrzymani byli. Niech odmieniają, przebóg, to co jest do odmienienia. Zabraniaemy im wszakże, aby nie śmieli nic z przyczyny wizyty od kapłanów pobierać.

§ 5. Także nakazujemy, aby wszyscy jakiegobądź stanu dziesięcinę całkownie płacili na *gonitwy*, chociażby byli rolnikami szlachty.

§ 6. Ponieważ zaś w Polsce przez wolność, albo przez pobłażanie, albo przez ustąpienie szlachcie polskiej dozwolono jest płacić dziesięcinę kościołom jakie wybiorą, a tego ustąpienia, albo pobłażania podstępnie nadużywają, oszukując w samych dziesięcinach, lub one nie w całości płacąc; stanowimy, aby jeżeli który szlachcie przeświadczony będzie, że w tém oszu-

(1) Manuskrypt w tém miejscu wątpliwy.

(2) Następných kilka wierszy w manuskrypcie nieczytelnych.

solverit, cadat ab hoc jure quod militibus est permissum et solvat decimam sicut illiqui privilegium militiæ non habent.

§ 7. Item cum contra violatores ecclesiarum vel cimeteriorum poenæ sint a canonibus constitutæ et peccatibus nostris exigentibus in hæc tempora devenerimus, quod a magnatibus terræ, nec timor Deo, nec honor ecclesiis impenditur, præcipimus, ut talibus qui ecclesias, seu cimeteria effractionibus, rapinis seu aliis violenciis violant, eis diocæsiani episcopi nullomodo parcant, sed tales excommunicent et excommunicatos denuncient, ad satisfactionem condignam et præcipue princeps exercitus per quem facta fuerint et si nullus principum ibi personaliter fuerit, tunc pena promulgetur specialiter in illos qui principales in exercitu fuerint, nec aliquo modo lata in eos sententia relaxetur, donec de dampnis et de injuriis fuerit satisfactum.

§ 8. Praeterea precipimus ut qui ecclesiam vel cimeterium violaverit, vel qui fuerit de principalioribus illius exercitus, qui hoc commiserit, pena puniatur, ut donec per ipsum de omni injuria sanctæ ecclesiæ satisfactum fuerit et ecclesiæ

kat i nie całkowicie dziesięć zapłacił, utraci prawo, jakie szlachcie jest dozwolone, i zapłaci dziesięć tak, jak i inni, którym przywilej szlachecki nie służy.

§ 7. Także, gdy przeciwko gwałcącym kościoły i cmentarze, kanonami ustanowione są kary, a z powodu naszych grzechów przyszliśmy do takich czasów, że magnaci ziemscy ani na bojaźń Boga, ani cześć kościoła nie zważają, nakazujemy, aby takich, którzy kościoły, albo cmentarze, wyłamaniem, rabunkiem, albo innym jakim gwałtem znieważą, aby biskupi diecezjalni w żaden sposób nie oszczędzali, lecz onych wykluczyli i wykluczonymi ogłosili do przyzwoitego zadość uczynienia; a mianowicie wódz wojska, przez które to było uczynione; jeżeli zaś wódz tam nie był osobiście, wtedy kara rozciąga się w szczególności na tych, którzy wojskiem dowodzili i wyrok na nich, żadnym sposobem odwołanym nie będzie, dopóki szkodom i krzywdom zadość nie uczynią.

§ 8. Nadto zalecamy, aby ten, który kościół albo cmentarz zgwałci, lub ten, który będzie dowódcą owych wojsk co to spełniły, aby ponosił karę, dopóki przez niego wszelkim krzywdom kościołowi świętemu zrażdzonym zadość uczynionem nie będzie,

omnes in quibus habuerunt jus patronatus sint suspensæ, nec non in eis in quacunq̄ue diocæsi fuerint, divina officia celebrentur.

§ 9. Vastaciones et deprædaciones ecclesiæ propter quamcunq̄ue guerram fieri prohibemus et cum aliquæ per rapinam fuerint spoliata, princeps exercitus tamdiu excommunicatione teneatur, donec de omnibus damnis satisfaciat competenter.

§ 10. Item statuimus quod si quis de principibus vel aliquis de magnatibus et cæteris quibuscunq̄ue juramento facto, maxime in præsentia alicujus episcopi, contrarium suo juramento fecerit, episcopus suus diocæsanus coram quo præstitum est sacramentum, perjurum excommunicet, et tamdiu faciat evitari donec satisfaciat, vel sufficientem causam coram episcopo eodem assignaverit, vel probaverit quare fecit contrarium.

Et si post tale perjurium dux aliquis tali perjuro, aliquod castrum dederit in illo castro toto tamdiu non celebrentur divina officia, donec dux eidem castrum reddat vel ipse de perjuro satisfaciat sicut debet (1).

i kościoły wszystkie do których mieli prawo prezenty są zawieszane, i w nich, do jakichbądźby dyecezyj należały, służby Bożej odprawiać nie wolno.

§ 9. Pustoszenia i łupienia kościoła dla jakiegobądź przypadku zwad zabraniamy; i gdyby które przez grabież zostały złupione, dowódzca wojsk tak długo wykluczonym będzie, dopóki wszystkim szkodom dostatecznie zadość nie uczyni.

§ 10. Także postanawiamy, gdyby który z książąt, lub innych możnych lub innych jakichbądź wykonawszy przysięgę, a najbardziej w obec jakiego biskupa, a przeciwnie swój przysiędze działał: wtedy biskup dyecezyalny, przed którym wykonaną była przysięga, krzywoprzysiężcę wykluczy i tak długo od onego stronić każe, dopóki zadość nie uczyni, lub dostateczną przyczynę przed biskupem nie wykáže lub dowiedzie, dla czego przeciwnie uczynił. . . .

A jeżeli po takim krzywoprzysięztwie, książę jaki krzywoprzysięzcy takiemu, jaki gród odda: wtedy w owym grodzie tak długo służba boża odprawianą nie będzie, dopóki u księcia gród trzymać będzie; lub dopóki sam za krzywoprzysiężcę zadość nie uczyni jak powinien.

(1) Widocznie w tém miejscu coś brakuje.

§ 11. Item præcipimus omnibus religiosis cujuscunque regulæ sint, ne judicia sæcularia inter principes seu alios laicos non pertractent, discurrentes de claustris suis, nisi sit abbas vel alius principalis praelatus vel alius minor, qui faciet hæc de præcepto sui superioris speciali vel utilitate domus vel ecclesiæ. Præcipimus abbatibus eorum ut tales in claustris recludentur et si abbates in hoc negligentes fuerint, nos eorum negligenciam prout decreverit puniremus.

§ 12. Item præcipimus quod viri claustrales in sæcularibus ecclesiis personaliter non deserviant nec aliqua conversentur occasione.

§ 13. Item cum absurdum sit et iniquum pro bono mala retribuere, statuimus ut quicumque clericus et maxime beneficiatus in aliqua ecclesia, contra honorem sive utilitatem ecclesiæ vel praelati sui, aliquo consilio vel auxilio astiterit alicui personæ sæculari, quia indignum se reddidit beneficii ejus quod impugnat, eodem beneficio per diocæsanum suum privetur.

§ 13. Similiter si sui capituli secreta prodiderit, quod factum si negaverit et super hoc informatus fuerit et suspectus, purgatio ei per episcopum secundum quantitatem infamiæ indi-

§ 11. Także zalecamy wszystkim duchownym jakiegobądź reguły, aby sądów świeckich między książętami lub innemi świeckimi nie wykonywali. Oddalających się z klasztorów swoich, jeżeli to nie są opaci lub inni starsi prałaci, albo inni młodszy, którzy to czynią ze szczególnego rozkazu przełożonego swego dla pożytku klasztoru lub kościoła, takich zalecamy opatom, aby ich w klasztorze zamknęli, a jeżeli opaci tego zaniedbają, my ich niedbalstwo wedle dekretu ukarzymy.

§ 12. Także zalecamy, aby zakonnicy kościołów świeckich nie doglądali, ani tam pod żadnym pozorem nie przybywali.

§ 13. Także ponieważ niedorzecznie i niegodziwie jest złem za dobre płacić, postanawiamy, iż gdyby który z duchownych, a mianowicie uposażonych jakim kościołem, przeciwko czci lub użyteczności kościoła lub przełożonego swego jaką radę lub pomoc osobie świeckiej dawał, ponieważ niegodnym się okazał dobrodziejstwa, które napastuje, więc onego przez biskupa diecezjalnego pozbawionym zostanie.

§. 13 Podobnie, jeżeli tajemnice kapituły swojej zdradzi, czego jeżeliby przeczył a był doniesiony i podejrzany, oczyszczenie mu przez biskupa wedle wielkości niesławy naznaczone

catur, quod nisi præstitit pena prædicta puniatur. Et si qui tales sunt qui ecclesiastica beneficia non habent, in illa ecclesia, spem provisionis non habeant, quam impugnant.

§ 14. Item cum sciamus multas constitutiones a nostris antecessoribus editas in quibus latae sunt contra transgressores excommunicationis seu interdicti sententiæ.

§ 16. Addimus ut secundum constitutionem Concilii Lateranensis quilibet in ecclesia parochiali, quam tenet, personaliter resideat et deserviat in ordine quem requirit cura ejusdem ecclesiæ, non liceat alicui talium vicarium ponere sine nostra licencia speciali. Vicarii autem omnes parochialium ecclesiarum ponentur vel de nostra licencia speciali et consciencia vel nostrorum archidiaconum quibus competit talium personarum examinatio, nec removeantur nisi ex justa causa nobis vel nostris Archidiaconis manifesta; nec vicarius in sua vicaria pro se alium constituat vicarium. Vicariis autem de competenti sufficienter per dominos ecclesiarum præcipimus provideri, ita ut hospitalitatem exercere et se ipsos competenter valeant sustentare et executionem hujus statuti nostris Archidiaconis committimus.

będzie, i dopóki tego nie uczyni, karę rzezoną ponosić będzie. A jeżeli to są tacy, którzy beneficjów nie mają, nie mogą mieć nadziei opatrzienia w tym kościele, który napastują.

§ 14. Także ponieważ wiemy, że poprzednicy nasi wiele wydali postanowień, w których przeciwko wykraczającym w wykluczeniu lub interdykcie wyrzekli zdanie:

§ 16. Dodajemy aby wedle ustaw Konsylium Lateraneńskiego nikt w kościele parafialnym, który posiada, gdzie osobiście przebywa i służbę odprawia, dla porządku jaki staranie względem tego kościoła wymaga, nie przyjmował wikaryusza bez naszego szczególnego pozwolenia. Wikaryusze zaś wszelkich kościołów parafialnych stanowią się albo za naszym szczególnym pozwoleniem i wiadomością, albo też naszych archidyakonów, którym służy prawo wybadywania takich osób; i nie można ich oddalać, chyba ze słusznej przyczyny nam lub naszym archidyakonom objawionej. Wikaryusz w swoim wikaryacie nie może dać zastępcy. Opatrzienie zaś ich zalecamy panom kościoła, w sposób, aby gościnność wykonywać i sami się dostatecznie utrzymywać mogli. Wykonanie czego naszym archidyakonom zalecamy.

II. Statut arcybiskupa Janusza z r. 1262.

In nomine Domini Amen.

Nos Janussius miseracione divina Gnesnensis Archiepiscopus, una cum suffraganeis nostris Cracoviensi videlicet, Vratislaviensi, Lubucensi, Cujaviensi, Poznaniensi et Mazoviensi episcopis ac aliis nostris et eorum inferioribus praelatis et subditis in Siradz in Sinodo congregati, ad honorem Dei et ad salutem animarum ac profectum ecclesiae, renovantes et firmiter observari praecipientes sinodales constitutiones praedecessorum nostrorum aliqua inferius adnotata, seu declarando, sive de novo constituendo praefatis praedecessorum nostrorum constitutionibus duximus adnectenda.

§ 1. Quicumque vendicionem decimarum liberam manifeste vel occulte quacunque machinatione vel dolo impediverit, seu decimas injuriose detinuerit, convictus, pro uno quoque aratro parvo quod *radlo* dicitur, lapidem cærae, pro magno vero quod *plug* dicitur duo lapides cærae emendari teneatur. Si quæ praediximus in termino sibi assignato facere contempserit, donec omnia ex integro persolvat, excommunicetur.

§ 2. Item statuimus ut si quis in villa sua decimam colligen-

W imię Pańskie Amen.

My Janusz z miłosierdzia Bózego arcybiskup gnieźnieński, wraz z suffraganami naszymi, to jest biskupami: krakowskim, wrocławskim, lubuskim, kujawskim, poznańskim i mazowieckim, jako téż i inszemi niższemi, naszymi i ich praelatami i podwładnemi, w Sieradzu na synod zgromadzeni, na cześć Boga i zbawienie dusz a pożytek kościoła, odnawiając i niewzruszenie zachowywać przykazując uchwały poprzedników naszych, niektóre poniżej zanotowane albo ogłaszając, albo na nowo stanowiąc, do wspomnionych ustaw poprzedników naszych przyłączyć postanowiliśmy:

§ 1. Ktokolwiekby wolnej sprzedaży dziesięcin, jawnie lub potajemnie, jakimibądź fortelami lub podstępami przeszkadzał, lub dziesięciny niesprawiedliwie zatrzymywał; przeświadczony o tém od każdego małego pluga *radlem* zwanego, kamień wosku, od większego zaś *plugiem* zwanego, dwa kamienie wosku winy przepadnie; gdyby zaś tego cośmy wyrzekli w czasie naznaczonym dopełnić zaniechał, dopóki wszystkiego nie uiści, wykluczonym będzie.

§ 2. Także postanawiamy, jeżeli kto we wsi swojej dziesię-

dam seu collectam locari prohibuerit, cujus villa fuerit, tamen excommunicetur in sua parochia et aliis vicinis ecclesiis et ipsa villa sit ecclesiastico subdita interdicto, donec damnum quod ex hujus prohibitione dominus sustinuerit decimæ, ipsi domino vel procuratori ejus solutum fuerit.

§ 3. Adhoc statuimus (1) et sub poena excommunicationis jam prolatæ prohibemus ut nullus in villis ecclesiæ seu apud homines earundem villarum, adscripticios vel liberos, *podvodas* occupare (2), præsumat, nisi in tribus casibus, si videlicet traditio ducis, seu alicujus castrisubita timeatur, vel si exercitus in terram ingrediens fuerit nuncian- dus, et in his scriptis casibus qui *podvodas* (3) acceperit prima opportunitate sibi occurrente, sine qualibet fraude permittet et in eo loco relinquat ubi ab his quorum fuerunt, absque difficultate possent recuperari (4). Qui autem præter hos casus in villis vel ab hominibus præfatis ipsas receperit (5), vel in casu licito acceptas detinuerit vel alienaverit (6), vel usibus

cinę pobieraną lub zebraną umieścić zabrania, ten, czyja jest wioska, tak długo wykluczonym będzie w swojej parafii i innych kościołach sąsiednich, a wieś sama interdyktowi duchownemu podległa, dopóki szkody, jakie z tego zabronienia poniósł właściciel dziesięciny, jemu samemu lub jego rządcy zapłacone nie będą.

§ 3. Nadto stanowimy i pod karą wspomnionego już wykluczenia zabraniamy, aby nikt we wsiach kościelnych lub u mieszkańców tychże wsi czyto osadników, czy też wolnych, *podwód* zajmować nie śmiał, chyba w trzech wypadkach, to jest: jeżeliby zdrada nagła księcia, lub któregokolwiek grodu, lub wtargnienie wojska do ziemi doniesione były; i w tych wypisanych przypadkach, ten, kto *podwody* zajmuje, przy pierwszej zdarzonej okoliczności, takowe bez ukrzywdzenia odmieni i na owém miejscu pozostawi, aby od tych, których były własnością, bez trudu odebrane być mogły. Ktoby zaś oprócz tych wypadków we wsiach lub u ludzi wspomnionych takowe zabierał, albo też w przypadku dozwoło-

(1) Lib. III. de immunitate ecclesiarum fol. 25 verso: Statuta provincialia provincie Gueznensis valentia auctoritate apostolica edita ut clare patet ex bullis Summorum Pontificum hic insertis. Cracoviae 1518.

(2) Ed. *podvodos accipere*. (3) Ed. *qui ipsos podvodos*. (4) Ed. *reperiri*. (5) Ed. *repperint*. (6) Ed. *acceptos detinuerint vel alienaverint*.

propriis aliquo tempore deputaverit, tamdiu in locis in quibus diocessano expedire videbitur denunciatur excommunicatus (1) donec eis ex integro persolutum vel restitutum fuerit damnum, quod inde ipsarum domini passi fuerint (2).

§ 4. Ad hæc firmiter prohibemus ne quis clericos ad iudices protrahat seculares statuimus quod iudex qui ad suam præsentiam ipsos citari scienter præceperit et actor qui citationem procuraverit, tamdiu excommunicationis sententia subjecti detineantur, donec de damnis que ex hujus modi citatione ipso citato evenerint juxta arbitrium diocæsani satis faciant.

§ 5. Item inhibemus ne quis in detrimentum vel fraudem decimarum, quascunque villas seu terras, eo jure, ne decimæ manipulatim in campis persolvantur, locare seu locatas detinere præsumat, donec cum domino ecclesie de consensu episcopi diocæsani, infra duorum mensium spacium plenarie, a publicatione hujusmodi constitutionis, componat. Alioquin dominus et scultetus ville excommunicetur, et ipsa villa ecclesiastico interdicto subjaceat, donec vel decimam in campo

nym takowe zatrzymał lub odmienił, lub na własny użytek przez czas jakiś używał; wykluczony będzie tak długo i w miejscach, w których biskup zechce, dopóki w zupełności nie zapłaci lub nie zwróci szkód, które przez to poniósł właściciel.

§ 4. Nadto niewzruszenie zabraniamy, aby nikt kleryków do sądów świeckich pociągać nie śmiał; stanowiąc, aby sędzia, który ich przed siebie wezwać poleci, i powód, który im pozew wyda, tak długo wyrokowi wykluczenia podlegali, dopóki szkodom, jakie z tego pozwania wynikły pozwanemu, wedle wyroku biskupa zadość nie uczynią.

§ 5. Także zabraniamy, aby nikt ze szkodą lub krzywdą dziesięciny, wsi lub ziem, na prawie aby dziesięciny snopami na polu płacono, lokować albo już ulokowanych zatrzymywać nie śmiał, dopóki z plebanem za zezwoleniem biskupa dyecezyalnego, w przeciągu dwóch miesięcy od ogłoszenia takowego postanowienia, ostatecznie się nie ułoży. Inaczéj, właściciel i sołtys wsi wykluczeni będą, a wieś interdiktowi kościelnemu podległa, dopóki albo dziesięcina w polu zapłaconą nie będzie, albo, jake-

(1) Ed. denunciatur excommunicati.

(2) Ed. donec ipsis podvodis restitulis damnum quod inde ipsorum dominis passi fuerint ex integro persolutum.

persolvi faciat, vel prout præmisimus cum domino decimæ componat.

§ 6. Statuimus insuper ut ad quemcunque terrae decimam solventes, quocunque titulo deventerint, possessor et cultor ipsarum terrarum, ei de ipsis terris decimam solvant, cui ab antiquo solvere consueverunt, nulla consuetudine vel privilegio nobilitatis obstante.

§ 7. Item statuimus et districte omnibus episcopis præcipimus ut quociescunque aliquis principium excommunicato contumaciter communicaverit, in ipsius principis curia, donec ipsum a curia et sua familiaritate ejecerit, divinum officium et ecclesiastica sacramenta interdicanter.

§ 8. Ad hæc statuimus sub anathemate prohibentes ut nequaquam *dziewicze, wdowicze...* recipiantur.

Actum anno domini Millesimo CC^{mo} LXII in die beati Lamperti episcopi et martiris.

śmy wspomnieli, z panem dziesięciny nie ułożą się.

§ 6. Stanowimy także, aby z każdej ziemi dziesięcinę płacący z jakiegobądź tytułu, czyto posiadacz, czy uprawiacz téjże ziemi, temu ze swych ziem dziesięcinę płacili, komu oddawna płacić zwykli, na żaden zwyczaj lub przywilej szlachecki nie zwyczajając.

§ 7. Także stanowimy i surowo wszystkim biskupom polecamy, iż gdyby którykolwiek z książąt, wykluczonego statecznie w swym domu książęcym przechowywał, dopóki takowego z dworu i społeczności swojej nie wyrzuci, podlegać ma interdiktowi służby Bożej i sakramentów kościelnych.

§ 8. Nadto stanowimy, pod klątwą zakazując, aby w żaden sposób *dziewiczego, wdowiczego...* nie pobierali.

Działo się R. P. 1262 w dzień błogosławionego Lamperta biskupa i męczennika.



UWAGI

W PRZEDMIOCIE WYSTAWIANIA DUPLIKATÓW NA PAPIERY PUBLICZNE
PROCENTOWE ZAGUBIONE LUB ZNISZCZONE.

PRZEZ

W. G.

Z powodu ogromnej ilości papierów publicznych procentowych, w obiegu europejskim będących, znakomita ważność towarzyszy urządzeniom, które mają na celu ubezpieczenie bezszkodności prawnego właściciela papieru publicznego, chociażby z posiadania tytułu swój wierzytelności wyzutym został skutkiem siły większej, lub jakiego wypadku losowego, np. pożaru, powodzi i t. p.

W urządzeniach tego rodzaju, spoczywają dla właścicieli papierów publicznych te rękojmie, jakie dają wszelkiej innej własności ruchomej, zabezpieczenia przyjmowane bądź przez prywatne stowarzyszenia, bądź przez rząd. Urządzenia takie są poniekąd uzupełnieniem systematu ubezpieczeń, z tą różnicą, że te ostatnie wynagradzają poszkodowanemu stratę, urządzenia zaś dotyczące obiegu papierów publicznych, mają na widoku zapobieżenie szkodzie.

Z różności urzędzeń tego rodzaju bezpośrednio wynika siła obiegowa papierów publicznych, odróżniająca je; jakoż w jednym rządzie stoją te papiery publiczne, które nie mogą być ustępywane bez wiadomości dłużnika, jakim jest zwykle skarb rządowy: takimi są np. renty francuzkie (rentes sur l'Etat); w drugim rządzie stoją papiery publiczne wystawione na okaziciela: takimi są najliczniejsze papiery publiczne rosyjskie, austriackie,

pruskie i polskie, takimi są także listy zastawne rozmaitych towarzystw kredytowych, przechodzące z rąk do rąk bez żadnej formalności, pod powagą wspólnej wielu prawodawstwom zasady kodexu cywilnego francuzkiego: „Possession vaut titre“.

Wiadomo jest, że pod względem pewności posiadania, znakomitą rękojmię daje kontrola przelewu własności, towarzysząca obiegowi rent francuzkich; bo w wypadku zniszczenia nawet oryginału obligacyi rządowej, nietrudno jest poszkodowanemu posiadaczowi dobrej wiary, udowodnić, że duplikat wystawionym być może, i na jego imię wystawionym być winien. Kontrola rent francuzkich, jest jakby hypoteczném urządzeniem wielkiej księgi długu krajowego, której każda pozycja otoczona jest rękojmią wiary publicznej. Ale z drugiej strony nie da się zaprzeczyć, że urządzenia tego rodzaju połączone z pewnym zachodem, mogą mieć zastosowanie tylko do kapitałów, na długotrwałe umieszczenie przeznaczonych; są zaś prawie niewykonalne poza granicami kraju, w którym papier publiczny wystawionym został, gdyż zbyt odległe znoszenie się z władzą kontrolną, odejmuje układowi o kupno i sprzedaż papierów publicznych ten charakter szybkości, który na korzyść bardzo znakomitego obrotu kapitałów pod postacią papierów publicznych głównie przemawia, który też w najwyższym stopniu posiadają papiery procentowe, wystawione na okaziciela, dlatego, że bez żadnej formalności, na wszystkich giełdach świata handlowego, spieniężone być mogą. W krajach posiadających papiery obudwu wyżej wymienionych rodzajów, kapitały szukające długoletniego umieszczenia ubiegają się za papierami procentowymi, których obieg ulega kontroli władzy; papiery zaś bez żadnej formalności z rąk do rąk przechodzące, również chętnie są poszukiwane przez tych wszystkich, którzy na ustawicznym obrocie kapitałów, zyski swe zakładają, którzy też w ciągu posiadania takich papierów publicznych zabezpieczają się od straty, chroniąc je przed siłą większą lub wypadkami losowemi, przez środki materialnego zabezpieczenia, tak, jak to czyni każdy posiadacz papierów, monetę zastępujących. Jednakże przyznać trzeba, że niebezpieczeństwo wypadków losowych, ciężące na papierach procentowych i bezprocentowych dotkliwiej zagraża własności papierów procentowych, bo w ich wartości, mienie całkowite niejednej rodziny lub stowarzyszenia, skupioném być może, i rzeczywiście bywa, co pod żadną inną formą domniemywać się

nie daje. Kiedy więc najrozleglejsze nawet środki ochronne, nie mogą być dość silne, aby wszystkim bezwarunkowo oparły się wypadkom losowym; urządzenia zachowawcze dla obiegu papierów, na okaziciela wystawianych, w miarę wzrastającej ich liczby występować muszą jako warunek pomyślnego obiegu, tych zwłaszcza papierów procentowych, które głównie przedmiotem lokacyi bywają. Takimi są znane oddawna listy zastawne pruskie; w Prusiech téż naprzód weszły w użycie piśmienne przelewy własności listów zastawnych, nazwane indossacją (endossement) (remarque); lecz nieużyteczność tego środka rychło się wykryła, bo indos, tak jak każde pismo nietrudno jest wykrobać, lub chemicznym środkiem zniszczyć, a w wypadku spalenia się papieru indosowanego, wraz z papierem ginie indos. Poszkodowany więc posiadacz papieru indosowanego nie jest w lepszym położeniu od tego posiadacza, który papier bez indossu posiadał.

Potrzeba dokładniejszych urządzeń, wywołała następnie w państwie pruskiem rozmaite postanowienia gabinetowe w interesie posiadaczy listów zastawnych, przez tameczne Towarzystwo Kredytowe wystawionych; na wzorach zaś pruskich osnowane prawo z d. 1/13 czerwca 1825 r. o Towarzystwie Kredytowym Ziemskim w królestwie Polskiem, odznacza się już szczególną względnością dla poszkodowanego właściciela listu zastawnego lub kuponu, jakimkolwiek sposobem utraconego, to jest bądź z wypadku siły większej, bądź z wypadku losowego. Jakkolwiek listy zastawne polskie, były pierwszym i jedynym papierem publicznym krajowym, który przeto potrzebował znaleźć się w warunkach takich, aby zdołał starczyć wymaganiom zarówno długotrwałego swobodnego umieszczenia kapitału, jako téż szybkich onego obrotów, to jednak zdawało się, że listy zastawne mając wyręczyć lokacją hipoteczną wierzytelności przeciążających dobra ziemskie, pozostaną po większej części w ręku spleconych wierzycieli. To nam tłumaczy, dlaczego prawo z r. 1825 o Towarzystwie Kredytowym Ziemskim w królestwie Polskiem, przeznaczenie lokacyjne listów zastawnych na główniejszym miało względzie; przegląd zaś urządzeń przed wpływem takiego założenia obmyślonych, z dążnością wyczerpania pod tym względem wszystkich doświadczonych środków i wzmocnienia jeszcze takowych, da nam poznać, że względność prawodawcza najodleglejszych dotknęła granic opieki. Prawo z r. 1825 przyrzeka wystawienie duplikatów na listy zastawne lub kupony, jakim bądź sposobem zatracone, a nawet skradzione.

Treść istniejących w téj mierze urządzeń jest następująca:

1. Poszkodowany powinien oznajmić Dyrekcji Głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego o wypadku, który go wyzwał z posiadania papierów Towarzystwa, i wymienić numera utraconych listów zastawnych i kuponów.

2. Poszkodowany powinien udowodnić, iż był ostatnim utraconego listu lub kuponu posiadaczem.

3. Poszkodowany powinien złożyć stosowny fundusz na koszt ogłoszeń, że jego listy zastawne lub kupony zatraczone zostały.

4. Dyrekcya Główna obwieszcza po razy 9 w pismach krajowych i zagranicznych numera poszukiwanych listów zastawnych i kuponów, z zastrzeżeniem:

a) iż ktoby je posiadał, winien takowe złożyć Dyrekcji Głównej w depozyt, trwać mający aż do rozstrzygnięcia przez właściwe sądy sporu o własność tych papierów, zapowiedzianego ze strony poszukującego takowych, przeciw każdemu ich okazicielowi;

b) że skoroby ogłoszone listy lub kupony, nie zostały w Dyrekcji Głównej złożone do oznaczonego terminu, władza ta umorzy je w obiegu; co będzie miało ten skutek, że posiadacz listu lub kuponu umorzonego, utraci już tytuł wierzyciela Towarzystwa Kredytowego, stanie się tylko wierzycielem osobistym tego, który mu list taki podstępnie sprzedał, i tego, który duplikat uzyskał. Zamierzam wykazać:

Najprzód: iż przepisy powyższe na korzyść poszkodowanych wydane, wyjątkowo tylko mogą być im użyteczne. *Powtóre:* iż z przepisów powyższych wynika zbyt wielka uciążliwość, dla obiegu listów zastawnych i kuponów.

Rozbiór kolejny czterech głównych przepisów powyżej treściowo powtórzonych, obadwa twierdzenia usprawiedliwi.

Co do 1go. Przepis oznajmiania, jakim numerem oznaczony był list zastawny lub kupon zagubiony, jakkolwiek naturalny, spotyka w praktyce trudności niespodziewane, nietylko w tém, że nie każdy zwykł utrzymywać spis posiadanych listów zastawnych (zwłaszcza, jeśli tylko na czas krótki chce je posiadać), lecz także z powodu zbyt częstych pomyłek, jakie się natrafiają w kon-sygnacjach listów zastawnych, władzom Towarzystwa składanych. Okazuje się z doświadczenia, że trzeba pewnej wprawy, do tego nawet, aby liczby dobrze przepisywać.

Opierając cały szereg dowodzeń o zniszczeniu listu zastawnego na twierdzeniu, że list zastawny poszkodowanego, oznaczony był numerem konsygnacją przez nikogo niesprawdzoną objętym, można w najlepszej wierze błądzić, a przeto cały szereg działań zachowawczych, bezużytecznym uczynić.

Co do 2go. Niemniej naturalnym jest drugi przepis, aby poszkodowany udowodnił, że był ostatnim utraconego listu zastawnego lub kuponu posiadaczem; jednakże doświadczenie okazało, że co do posiadania listów zastawnych, lub kuponów zbyt trudno jest przynieść dowód tego rodzaju: szczęśliwy, kto z początkowym dowodem popisać się potrafi. Owóż w największej liczbie wypadków przysięga albo wyrecza dowód, albo uzupełniać go zwykła. Nie można zaprzeczyć, że pospolitowanie przysięgi ma złą stronę, a z drugiej strony wiadomo, że dla ludzi drażliwego sumienia, taki rodzaj dowodzenia jest niezmiernie przykrym. Zdawało się niektórym, że okazanie Dyrekcyi Głównej posiadanych kuponów, może być poczytane za dowód posiadania listów zastawnych odpowiednich. Ale teorią tę obala art. 22 prawa z 1825 r., który upoważnia oddzielny obieg dla kuponów, oddzielny dla listów zastawnych; to zaś sprawia, że najlepszej wiary posiadacz listów zastawnych i kuponów, gdy utraci same listy zastawne nie otrzyma duplikatów, mimo, że kupony w jego pozostaną posiadaniu, bo list zastawny jego, przedany być mógł na giełdzie bez kuponów, a nabywcy trzeciemu nie może być zarzuconą zła wiara, gdyż list zastawny wystawiony jest na okaziciela, i jak wiadomo jest epoka po wyczerpaniu dołączonych do każdego listu zastawnego kuponów, a przed dołączeniem nowych, w której do listu zastawnego, żadne kupony nie należą.

Co do 3go. Przepis obowiązujący poszkodowanego do ponoszenia kosztów ogłoszeń, usprawiedliwiony jest tą naturalną zasadą, że nikt do wykładu kosztów w interesie mu obcym nie może być obowiązany; ale też strata poszkodowanego tém jest dotkliwszą, jeśli duplikaty będą musiały być odmówione, jak to w dzisiejszym stanie urzędzeń Towarzystwa Kredytowego zbyt często wydarzyć się musiało.

Co do 4go. Przepis nakoniec w ustępie ostatnim powołany, wkładając na posiadaczy listów zastawnych obowiązek kontrolowania ciągłego obwieszceń o poszukiwanych listach zastawnych i kuponach, obowiązek wykonalny pod zagrożeniem skutków gra-

niczających z konfiskatą własności posiadanego listu zastawnego lub kuponu; przepis mówiący ten nadzwyczajnie jest uciążliwy, a przez to samo nieprzyjazny obiegowi listów zastawnych, w których obiegowości leży główne ich odróżnienie od tytułów należności osobistych, jakimi są wexle, rewersa, obligacye i t. p.

Obiegowość listu zastawnego wynika głównie ztąd, iż jest wystawiony na okaziciela, a zabezpieczony na dobrach Towarzystwu zastawionych; co znaczy, że kto kupuje list zastawny, nie potrzebuje ani bezpieczeństwa wyrażonej w liście zastawnym summy rozpoznawać, ani tytułów posiadania tego listu badać. Owoż przepisy art. 124 do 128 prawa z r. 1825 czynią wyjątek od powyższego pravidła, wyjątek, który w interesie pojedynczych osób poszkodowanych przez utratę listów zastawnych, w nieustanną wprawia obawę wszystkich posiadaczy listów zastawnych, ażali skutkiem czynionych poszukiwań, na proces lub stratę nie będą narażeni. Szczególna opieka prawa z r. 1825 dla poszkodowanych właścicieli listów zastawnych, okupiona niedogodnością wielostronną, nie dosięgnęła przecież zamierzonego celu w tych wszystkich wypadkach, w których poszukiwany list zastawny znalazł się w obiegu, gdyż nie było wypadku, aby okaziciel onego nie był dobrej wiary posiadaczem.

Zawód tego rodzaju, odnosnym jest nietylko do tych listów zastawnych, które skradzione zostały, ale w znakomitej części i do tych listów zastawnych, które skutkiem wypadku losowego zniszczeniu uległy, bez pozostawienia śladu po sobie; zbyt często bowiem w konsygnacyach posiadanych, a następnie utraczonych listów zastawnych spotykają się pomyłki, które udaremniają całe postępowanie poprzedzające wystawienie duplikatów. Niedostateczność powyższych przepisów, wywołała w Prusach zwyczaj handlowy, iż przy każdej sprzedaży listów zastawnych polskich, sprzedawca daje nabywcy konsygnacją numerów przez siebie podpisaną. Utrudzająca ta formalność, która może cokolwiek wpływa na stosunkowo niższe notowanie listów polskich w porównaniu z listami zastawnymi pruskimi, nie ma co do tych ostatnich zastosowania, bo odpowiednie urządzenia dają nabywcy listów zastawnych rękojmię skuteczniejszą od tych, jakie w przepisach naszego Towarzystwa Kredytowego zamierzone były. Pozostaje nam do życzenia, aby w skład ustawy o Towarzystwie Kredytowym w królestwie Polskim mogło wejść za wzorem pruskim urządzenie takie, które bez ubliżenia łatwości obiegu listów zastawnych i ku-

ponów, ułatwiałyby jednak uzyskanie duplikatów. Propozycja w tym celu polegałaby na przywróceniu arkusiom kuponowym kształtu, jaki im pierwotnie prawo nadało; jakiego wzór w aneksie do prawa z d. $\frac{1}{13}$ czerwca 1825 r. w Dzienniku Praw znaleźć można. Arkusz obejmujący siedmioletnie kupony, opatrzony był nagłówkiem pod nazwą talonu, na którym mieściło się poświadczenie podpisami członków władz Towarzystwa Kredytowego stwierdzone, iż połączone z tym talonem kupony, wystawione zostały przez Dyrekcyą Główną do listu zastawnego lit. N. na półroczów 14. W miejsce powyższego poświadczenia możnaby podstawić redakcyą następującą: „Niniejszy talon, należący do listu zastawnego lit. N. pod liczbą N. stanowi dla okaziciela tegoż listu świadectwo posiadania; a przeto ani okaziciel wspomnianego listu bez niniejszego talonu, ani okaziciel niniejszego talonu bez odpowiedniego mu listu zastawnego, nie będzie mógł puścić w obieg z dobrą wiarą bądź samego listu zastawnego, bądź samego talonu, ani będzie mógł żądać od Towarzystwa Kredytowego należności, przypadających właścicielom listów zastawnych, lecz pozostanie mu droga poszukiwania utraconego listu lub talonu, wedle przepisów art. 124 i 128 prawa z d. $\frac{1}{13}$ czerwca 1825 r.” Takięj właśnie natury jest urządzenie pruskie, objęte najwyższym rozkazem gabinetowym z d. 12 stycznia 1839 r., w przypisku powtórzonym (1). Z urządzenia tego wywiązuje się ten skutek, że każdy posiadacz listu zastawnego może być pewnym uzyskania duplikatów środkami niezawodnemi, bez żadnej uciążliwości dla ogółu posiadaczy listów zastawnych. Bliż-

(1) Najwyższy rozkaz gabinetowy z dnia 12 stycznia 1839 r., tyczący się zmiany postępowania, w § 227 regulaminu kredytu ziemskiego dla Wielkiego Księstwa Poznańskiego, z dnia 15 grudnia 1821 r., względem wydawania nowych kuponów przepisanego:

„Ponieważ, jak wyczytuję z raportu ministrów dotyczących wydziałów, postępowanie w § 227 ziemskiego regulaminu kredytowego dla Wielkiego Księstwa Poznańskiego z dnia 15 grudnia 1821 względem wydawania nowych kuponów (przekazów) prowizyjnych przepisane, sprawiło trudności, i z tój przyczyny już od roku 1827 oddzielne talony prowizyjne wygotowane a nowe kupony tylko za ich złożeniem wręczane były, to zaś zmienione urządzenie zupełnie celowi odpowiedziało; zaczęm potwierdzam je niniejszém, postanawiając, iż posiadaczom talonów te same mają służyć prawa, jakle w § 227 posiadającym dziesiąty czyli ostatni kupon są nadane. Zarazem ku uzupełnieniu wspomnianego § 227 stanowią, że, skoro posiadacz listu zastawnego, przed wydaniem nowych kuponów, przeciw wręczeniu ich

szy rozbiór wyjaśni, że urządzenie proponowane znosi wszystkie na wstępie wymienione cztery trudności, towarzyszące działaniom poprzedzającym wydanie duplikatów z mocy dziś obowiązującego prawa z r. 1825. I tak:

Po pierwsze. Każdy będzie dobrze wiedział numer utraconego listu lub talonu, bo utraciwszy jeden z tych dwóch dokumentów, znajdzie w drugim dowód, jaki numer listu zastawnego lub talonu utraconym został.

Po drugie. Po utracie jednego z 2ch dokumentów jedną całość stanowiących, okazanie drugiego, dostateczny będzie stanowiło dowód, iż uszkodzony był ostatnim utraconego dokumentu posiadaczem: bo osnowa talonu i listu zastawnego uprzedza każdego, iż okaziciel listu zastawnego bez talonu domniemanym jest złej wiary posiadaczem. Nie można zaś wątpić, że kto sobie przywłaszczył list zastawny bez talonu, nie będzie tak nieoświadczym, aby się przedstawiał Dyrekcyi Głównej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego jako uszkodzony; wiedząc, że za wydaniem obwieszczeń i zgłoszeniem się prawego posiadacza, trzeba się będzie z nim rozprawić, a w roprawie tego rodzaju, prawda wykrytą koniecznie być musi.

Jakoż nie zdarzyło się zapewne nigdy, aby ten, który cudzą rzecz sobie przywłaszczył, odgrywał rolę uszkodzanego: bo zwykle ludzie ubodzy, próżniactwu oddani, a przeto niepodobni do posiadania prawnego, które z pracy i zarobku wynika, rzucają się na przywłaszczenia, zdradzaliby więc obrane powołanie, gdyby się do własności przyznawali.

okazicielowi talonu w ziemstwie zaprotestuje, okaziciel zaś talonu ich się domaga i na wręczenie ich posiadaczowi listu zastawnego nie zezwala; ziemstwo ma interesentów po rozstrzygnięciu wzajemnej ich pretensyi, do sądu, do którego realnej jurysdykcyi dobra listami zastawnymi obciążone należą, odesłać, a nowy poczet (series) kuponów na wniosek którego z interesentów lub za rekwizycyą sądu, do depozytu jego złożyć. Jeżeli zaś talon ani w terminie do wydawania nowych kuponów, ani w najbliższym terminie do odbierania prowizyi nie będzie w ziemstwie okazany; kupony nowego poczetu, jak to dotąd już działo się, stosownie do uchwały walnego zebrania ziemstwa z dnia 29 października 1836 r., mają być, za nadejściem drugiego terminu prowizyjnego tegoż poczetu, posiadaczowi listu zastawnego wręczone. Ministeryum stanu rozporządzenie to w zbiorze praw zamieścił”.

Berlin, dnia 12 stycznia 1839 r.

Do ministeryum stanu.

Fryderyk Wilhelm.

Potrzebie. Obok rękojmi postępowania poprzedzającego wydanie duplikatów, poszkodowany posiadacz listów zastawnych utraconych, słusznie do ponoszenia kosztów obwieszczeń pociągany, chętnie je poniesie dla celu, który go chybić nie może.

Poczwarte. Poszukiwanie takiego listu zastawnego, który przez brak odpowiedniego mu talonu z obiegu wyłączonym został, nie obchodząc wcale posiadaczy innych listów zastawnych, talonami właściwymi opatrzonych, nie potrzebowałoby nawet być przez nich uwzględniane; aniby się mógł zdarzyć wypadek przewidziany przez prawo z r. 1825 w art. 128, iżby po wystawieniu formalnego duplikatu, pierwotny list zastawny wynalazł się w obiegu. Wedle prawa z r. 1825 umorzenie listu zastawnego w obiegu, dzieje się sposobem umyślowym; wedle propozycji powyżej wyłożonej, towarzyszy temu aktowi umorzenia materialne zniszczenie połowy oryginalnego tytułu, którym jest zachowany w ręku prawego posiadacza list zastawny lub talon.

Dopełnieniem koniecznym i naturalnym proponowanego tu urządzenia byłby przepis, że ktoby utracił i list zastawny i talon, nie miałby prawa żądać wydania duplikatu; niemniej, że w miejsce kuponów zatraconych, duplikaty wcale wydawane być nie mają, kupony bowiem przeznaczeniem swoim tak są zbliżone do papierów obiegowych, że tak jak tamte na środkach materialnego zabezpieczenia, w ręku posiadacza poprzestać mogą.

Ponieważ urządzenie proponowane istnieje w Prusiech, a dla zastosowania u nas nie tworzyłoby form nowych, lecz mogłoby się oprzeć na doświadczonej już i za dogodną uważanej formie arkuszy kuponowych, opatrzonych talonem; przeto sędzę, że zarzut nowości nie może przeciw propozycji tej nawet pozornie być stawionym.

Wreszcie, powołane urządzenie ma pewne podobieństwo do przyjętego między bankami zwyczaju, iż na jedną i tę samą kwotę, wystawia się dwa wexle pod nazwą prima, i secunda, a zapłata primy następuje za jej okazaniem wtenczas tylko, jeśli także secunda oddzielną drogą doszła do rąk tego, który należność wexlową, spłacić jest obowiązany.

Podobno także w Anglii jest we zwyczaju, że papiery na bardzo wysokie summy, np. 100,000 f. s. są wystawiane w 2ch połówkach, dla ochrony właściciela od utraty tytułu tak znakomitej należności, przez wypadek losowy, szczególnie przy wyprawach morskich.

Taki posiadacz chcąc przesłać osobie trzeciej swą obligacją, expedyuje najprzód jedną połówkę, a gdy otrzyma pokwitowanie z odbioru, odsyła drugą.

Kończąc te uwagi, nie będzie zbytecznym powtórzyć, iż środki dogodniejsze od tych, jakie w dr. z r. 1825 są wyrażone, środki niewątpliwe a zabezpieczające poszkodowanym właścicielom papieru publicznego, możność otrzymania duplikatów, potrzebnymi są dla obiegu listów zastawnych naszych; bo zgodnie z przewidywaniami pierwotnego prawa z r. 1825, papier ten głównie stał się przedmiotem długotrwałego umieszczenia dla kapitałów, tak w kraju jak za granicą, a mianowicie w Prusach: w kraju dlatego, że zastąpił w części lokacyą kapitałów bezpośrednią, na hypotekach powszechnie tu praktykowaną; za granicą, a prawie wyłącznie w Prusach dlatego, że list zastawny polski czteroprocentowy podstawiony został we wszystkich massach depozytowych pruskich w miejsce listów zastawnych pruskich, i obligacyj kompanii morskiej, odkąd instytucye te stopę czwartego procentu zniżyły. Ta okoliczność niepomału téż wpływać mogła na utrzymanie kursu naszych listów zastawnych wtenczas nawet, gdy cena wszystkich innych papierów na giełdzie berlińskiej gwałtownie spadła.



KILKA UWAG NAD ARTYKUŁEM WIKTORA Hr. Z TĘCZYNA OSSOLIŃSKIEGO :

WSPOMNIENIA Z PODLASIA.

O UROCZYSKU HISTORYCZNYM ZWANYM KOMAT,

umieszczonym w Bibliotece Warszawskiej na r. 1848 w T. IV, str. 465—477, z dołączoną ryciną, uroczysko to przedstawiająca.

Kto umie cenić ważność zachowania od zagłady historycznych miejscowych podań, między ludem krążących, nie bez zajęcia zapewne przeczytał ów artykuł p. hr. Ossolińskiego o Komacie; szczególnież jednak my Podlasianie winniśmy niemałą za to wdzięczność autorowi, że nam w swoich wspomnieniach wypisał podanie, które każdemu z nas przypomina jedno z ważniejszych zdarzeń starożytnych dziejów naszej krainy. Wszakże czytając ten artykuł, nie nas jednych zapewne musiało to zadziwić, jak tyle szczegółów dotyczących się walk Jadźwingów z Bolesławem V, szczegółów z taką dokładnością oznaczonych, iż zaledwoby coś lepszego od naocznego świadka można się było dowiedzieć, przez sześć prawie wieków bez zepsucia w podaniu ludowym zachować się mogło. Mimowolnie zatem mamy w podejrzeniu owych weteranów podlaskich: Ignacego Kapicę archiwistę aktów ziemi bielskiej i Wawrzyńca Markowskiego miecznika ziemi mielnickiej (od których to wszystko słyszeć miał p. hr. Ossoliński), że obeznani dokładnie z miejscowością, szcerby podania, chociażby kosztem historycznej prawdy, starali się dopełnić i ubarwić; mowę historycznej prawdy, gdyż i pod tym względem to przystrojone podanie niemało wykracza. Nie weźmie nam przeto za złe p. hr. Ossoliński, że tu wypiszemy kilka naszych uwag, na dziejach i miejscowym zbadaniu opartych. Ale naprzód zobaczymy, co sam autor artykułu powiedział.

Z Długosza, którego text w owym artykule jest przywie-
dziony, dowiadujemy się, że pierwsi Jadźwingowie stanęli gotowi
do boju, i że po starciu się z hufcami Bolesława V Wstydliwego,
wódz ich Komat w ponowionéj walce zginął. Cały ten dramat
odbył się w jednym dniu, t. j. 22 czerwca (decima calendas julii)
1264 r. Autor artykułu nie dodał, że kronikarze nasi nie umie-
ją naznaczyć miejsca téj walki, i w ogólności tylko mówią, że się
to stało gdzieś na granicach podlaskich i województwa lubelskie-
go, a zatem nie tak blisko od naszego Kumata (*Naruszewicz
V. str. 112. przyp. 214*). Po texcie z Długosza zaczyna się po-
danie; i tutaj rzecz cała przybiéra ze względu na okoliczności miej-
scem i czasem objęte, daleko wyraźniejszą, więcej ożywioną po-
stać. Naprzód, już dnia 21 czerwca, jakoby tylko dla rozpozna-
nia siły nieprzyjaciół, rozpoczynają Jadźwingowie przedwstępne
z Polakami utarczki pod Mokobodami, a zatem z lewéj strony Bu-
gu. Ztąd cofają się za tę rzekę, a Bolesław ciągnąc za nimi
i pomnożywszy d. 22 czerwca wojsko swoje chorągwiami Mazo-
wszan, Wielkopolan i hufcem Krzyżaków, przyciąga nad Bug i sta-
je obozem naprzeciw Drohiczyna. Odtąd z dziwną szybkością
na kilkomiłowój przestrzeni, odbywają się: przeprawy, szturmy,
walki i pogoń. Zaraz nazajutrz, t. j. 23, rycerstwo polskie nie-
tylko wstępny bojem Bug przebywa, ale nadto po krwawém
zwycięstwie bierze szturmem *jatwiezkie zamki, Drohiczyn i Miel-
nik*, o trzy mile jeden od drugiego odległe, i nie odpocząwszy
po tylu trudach, do siedmiu mil ściga nieprzyjaciół, aż ku brze-
gom Nurca i Bronki, w okolicach Brańska. Dzielny Komat po na-
daremnej obronie przeprawy przez Nurzec, ustępuje nareszcie
ku Bronce, i tu ostatni raz stawiając czoło Polakom d. 24 o zacho-
dzie słońca, wraz z wojownikami swemi, bohaterską ginie śmiercią
na uroczysku, które w swéj nazwie pamięć tego wodza dotąd zacho-
wało. Podług podania, przyczyną tak nagłego pośpiechu w ści-
ganiu Komata była chęć zdobyczy, gdyż Jadźwingowie zdążyli ja-
koby wynieść z Drohiczyna i Mielnika nie tylko swe bogi, ale
i skarby niezmierne: owoc wieloletnich łupów zbieranych po Rusi
i Polsce. Mówią jednak, że to wszystko uszło rąk Polaków,
gdyż Komat przed ostatnią walką wyprowadził te skarby wraz z żo-
nami, dziećmi i starcami ku Narwi i za błota Surażskie, a straż
przydana bojąc się pogoni polskiej, wymordowała upadających
na siłach w ucieczce, świętości zaś i skarby, w bezdennych zato-
piła bagnach. Z tymi niedobitkami ratować się miał i synek Ko-

mata, który zostawszy później (1282 r.) chrześcianinem, ma być według Kapicy protoplastą rodziny podlaskiej Kumatów. Tyle co do działań wojennych. Zobaczmy teraz, czego nas o samém uroczysku p. hr. Ossoliński naucza. Autor powiedziawszy, że nazwisko Komata służy nietylko samemu brodowi na Bronce, przez który dzisiaj mostem się jedzie, ale i przyległej błotnistej kniei, a nawet wzgórzowi za mostem na prawo (jadąc z Brańska) położonemu, udziela nam jeszcze téj ciekawej wiadomości: *że wzgórek ten cały jest wewnątrz przepelniony składem zachowanych w nim grobowych popielnic*, gdyż, jak twierdzi (zapewne podług podania), ubici w boju Jadźwingowie zostali spaleni i obyczajem pogańskim w popielnicach pod owém wzgórzem pochowani, a sam Komat pod mogiłą na jego szczycie. Na dowód zaś rzeczywistego znajdowania się w tém miejscu popielnic dodaje w przypisku: że gdy żołnierze z litewskiego batalionu saperów (który od r. 1817, a raczej 1823 do 1831 kwaterował w Brańsku i jego okolicach, a latem dla ćwiczeń w robotach praktyczno-naukowych, zwykł był stawać obozem przy uroczysku Komat), zapuścili byli w r. 1829 podkopy pod opisany wzgórek, i niebawnie trafili na wspomniane grobowe popielnice poległych Jadźwingów, światły korpus oficerów tego batalionu, skoro powziął wiadomość o gminném podaniu przywiązaném do tego uroczyska i grobowego na niém pagórka, jednomyślnie uchwalił podkopane wzgórze napowrót zapelnąć, zaokrąglić i nigdy go więcej podczas ich obozowania motyką żołnierską nie dotknąć, szanując spoczynek popiołów przedwiecznych bohaterów.

Taka jest główna treść, na podaniu opartéj wiadomości o wyprawie Bolesława Vgo na Jadźwingów i miejscu ostatniej z niemi walki. Zobaczmyż teraz, jakie się nam nastreczyły wątpliwości i zarzuty przy czytaniu tego artykułu, a naprzód co do samych tylko działań wojennych.

Być może, że kronikarze nasi niedość dokładnie zapisali nam wypadki wyprawy Bolesława V. na Jadźwingów; że zamiast jednej gdzieś na granicach Podlasia i województwa lubelskiego bitwy, było ich aż cztery: przy Mokobodach, Drohiczynie, nad Nurcem i Bronką, a szczególnie w ostatniém miejscu, gdzie samo uroczyska nazwisko nie mało za podaniem przemawia; że nawet w tymże czasie (o czém nie wspomniał pan hr. Ossoliński, a co również od Kapicy, troskliwego, jak widać, zbieracza dawnych podań pochodzi), prócz Komata, stracili Jadźwingowie i drugiego

jeszcze, zapewne mniejszego wodza *Cwintela*, od którego, jak podanie niesie, dotąd pewne uroczysko łąk, na błotach z lewej strony Nurca, niedaleko wsi Olexina, Cwintelem się zowie; że wreszcie i jakiś oddział Krzyżaków w jakim bądź celu, mógł się na owej przeciw poganom wyprawie w wojsku Bolesława znajdować, chociaż ani dawniejsi nasi kronikarze, ani Voigt najnowszy dziejopis tego zakonu, nic o tém nie mówią. Wszystko to jednak, jako rzeczy, których sprawdzenie może już dzisiaj niepodobne, bez dalszego zostawiamy rozbioru; lecz godzi się zapytać, czy Jadźwińgowie w r. 1264 byli rzeczywiście w posiadaniu Drohiczyzna i Mielnika? Oto jest jedna z główniejszych wątpliwości, nad którą naprzód zastanowić się nam wypada.

Aby się przekonać o ile podanie zgadza się z prawdą lub od niej odstępuje, przejrzyjmy niemal spółczesne z wyprawą Bolesława źródła dziejowe, pozbierajmy wzmianki o Drohiczyźnie i Mielniku z lat najbliższych, przed i po owym wypadku w kronikach zapisane, a może się téż uda w zaspokajający sposób na powyższe odpowiedzieć pytanie.

Na lat 27 przed wyprawą Bolesława Igo, w r. 1237 Konrad książę mazowiecki, dla obrony kraju od pogan (Jadźwińgów, Litwinów), osadza w Drohiczyźnie braci dobrzyńskich z ich mistrzem Henrykiem z Żygocina, i ustępuje im prawem dziedzictwa całą przestrzeń kraju od Bugu i Nurca do granic ruskich (1237, *VIII Idus Martii in Babin. Voigt Gesch. Preus. I, 277*). Wspomniane w przywileju granice ruskie, oznaczyć można miastami Mielnikiem, Bielskiem i Brańskiem, bo tę stronę nazywano Rusią, chociaż w późniejszym czasie Litwini i Drohiczyzn do strony ruskiej liczyli, jak się to pokazuje z umowy Jagiełły i Kiejstuta z mistrzem Winrychem z Kniprodu, zawartej w Trokach 1379 roku, gdzie Rusią nazwany cały kraj od Niemna ku stronie pruskiej z Wołkowyskiem, Surazem, Drohiczyzmem, Mielnikiem, Bielskiem, Brańskiem i Kamieńcem; (*v. Kodex Litwy Raczyńskiego*). Drohiczyzn braciom dobrzyńskim oddany, byłto bez wątpienia Drohiczyzn *lacki*, z lewej strony Bugu położony i do książąt mazowieckich należący, póki go sobie Litwini w późniejszym czasie nie przywłaszczyli. Odróżnić go zatem trzeba od Drohiczyzna *ruskiego*, który jak dotąd, tak i wówczas, znajdował się na prawej stronie téj rzeki; lubo kronikarze na tę różnicę względu nie mają, co téż nieraz utrudza historyczne badania. Jak zatem w r. 1237, tak i r. 1264 nie kto inny miał prawo do Dro-

hiczyna lackiego, tylko Mazowszanie, choć może i ruscy książęta chcieli się czasem w jego posiadanie wdzierać; lecz żadnego nie mamy śladu, aby w przeciągu tych lat dwudziestu kilku, choć na krótko dostało się to miasto we władanie Jadźwingów. Jeżeli więc Jadźwingowie nie trzymali Drohiczyna lackiego, tém bardziej nie należał do nich i zarieczny ruski.

We trzy lata później, 1240 r., prócz innych miast téj części Rusi (Brześcia, Wołkowyska, Grodna, Nowogródka) zburzyły wojska Batego i Drohiczyn z Mielnikiem (*Naruszewicz IV*, 303). Nie wymienia ich wprawdzie najbliższy owych czasów latopisiec wołyński (1); wspomniawszy jednak o zdobyciu przez Tatarów Kijowa, Kamieńca, Zastawia i Halicza, dodaje, że temuż losowi uległo mnóstwo miast innych: „inyj hrady mnohij, imże niet czy-sła”, a w téj liczbie mogły być i nasze zamki podlaskie. Lecz posiadaczami tych grodów nie byli wówczas Jadźwingowie, bo tenże latopisiec zaraz niżej powiada: że książę Daniel po wyjściu Tatarów z Rusi do Węgier, wracając z Mazowsza, gdzie przed tą dziczą u Bolesława syna Konrada szukał schronienia, zajął na nowo Drohiczyn r. 1240, oświadczając, że do niego należy, bo go już dawniej orężem zdobył: „se hrad moj, prezdje bo prijach ij kopjem”, i tamże cerkiew Bogarodzicy zbudował (*Zbiór Latop. rus. T. II*. 178).

W rok później (1241), według kronikarzy litewskich spustoszone przez Tatarów ziemie, zajmować miał książę litewski Erdziwitł, który na starych horodyszczach nowe wznosił zamki i pozostałych po Tatarach Rusinów chrześcian, na zgliszczach Nowogródka, Grodna, Brześcia, Suraza, Brańska, Bielska, Mielnika i Drohiczyna osadzał (*kron. Rępa B. jchowca p. b. Strykowski p. 227*).

(1) Kronika ta obejmuje lat 91, t. j. od 1201 do 1292, i szczególnie zajmuje się dziejami Rusi południowej. Zdaje się, że była układaną w Nowogródku około r. 1289, a może i wcześniej, przynajmniej na ten domysł sam jej text nas naprowadza; jakoż z okoliczności chrztu Wojsiełka syna Mendoga, mówi kronikarz: „i krestisia tu w Nowiehorodeje”, a pod r. 1289 wyraził, że zapisał w latopiscu bunt Brześcian przeciw Mściśławowi: „a wopsał jeśm w lietopisec koromołu ich”. (*Zbiór Latop. rusk. Petersburg, 1843. Tom II, 201, 225*). Że kronika ta mogła być pisaną w Nowogródku nie dziwnego, gdyż po zdobyciu Kijowa przez Tatarów, wielu Rusinów zwłaszcza uczeńszych, uciekało na północ do Rusi litewskiej, a szczególnie do Nowogródka.

Tą razą jednak jeszcze się nie ustaliło panowanie Litwy nad Bugiem, gdyż w kilka lat później, widzimy znowu książąt Rusi południowej w Mielniku i Drohiczynie, jako w swoich grodach goszczących.

Tak w r. 1248 Wasilko brat Daniela księżę włodzimirski, goniąc za wracającymi z wyprawy na Ruś Czerwoną Jadźwingami, we trzy dni przybył z Włodzimierza do Drohiczyna, i u bram tego miasta, w posiadaniu którego widocznie Jadźwingowie nie byli, na głowę ich poraził (*Zbiór latop. rus. II. 182*).

Potém r. 1251 w Drohiczynie, może lackim, zbierały się wojska książąt ruskich Daniela i Wasilka, jako téż mazowieckich Ziemowita i Bolesława na wyprawę przeciw Jadźwingów (*l. c. p. 185*), a w r. 1253 wzmiankowany Daniel przyjmował w tymże Drohiczynie z rąk legata Opizona przyslaną mu od papieża Innocentego IV królewską koronę (*l. c. p. 191*).

Gdy w r. 1259 tenże księżę halicki Daniel mimo swéj chęci wysłać musiał brata Wasilka z wojskiem w pomoc Tatarom Burundaja przeciwko Litwie, sam tymczasem bawił w Mielniku, gdzie dla odwrócenia zapewne nieszczęść grożących od Tatarów, składał votum w cerkwi Bogarodzicy, słynnej cudownym obrazem, przyozdobienia świątyni (*l. c. p. 197*).

Mielnik i Drohiczyn (przynajmniej ruski) z innemi miastami téj części Rusi, składały w tym czasie wydział Szwarna Daniłowicza, i zapewne były w jego posiadaniu do śmierci, t. j. do r. 1269, a zatém i w roku mniemanego zdobycia tych miast na Jadźwingach przez Bolesława V. Szwarno nie wyrzekł się nawet tych posiadłości ruskich, gdy po Wojsielce został W. ks. litewskim, bo na rok przed swym zgonem bronił ich jeszcze przeciw Bolesławowi V (*l. c. p. 203 i 204*).

Jeszcze i w następnych latach widzimy Drohiczyn z Mielnikiem pod rządem książąt ruskich, na co dowody w tymże latopiscu wołyńskim znajdujemy; i tak: r. 1274 Grodnianie z rozkazu litewskiego księcia Trojdena zdobyli Drohiczyn na Lwie Daniłowiczu zabójcy Wojsielka (*l. c. p. 205*). R. 1281 Włodzimierz księżę wołyński wyprawiał z Mielnika pomoc Konradowi mazowieckiemu przeciw jego bratu Bolesławowi (*l. c. p. 209*). R. 1282 mieszkał w Mielniku syn Lwa Daniłowicza, Jerzy, którego ojciec przestrzegał, aby nie szedł z Litwą na Polaków, by go Litwini nie zabili, mszcząc się śmierci Wojsielka (*l. c. p. 211*). Nakoniec tenże Jerzy Lwowicz jeszcze 1288 r. Mielnik z Drohi-

czynem posiadał, i żądał od stryja swego Włodzimierza księcia na Włodzimierzu wołyńskim, by mu jeszcze Brześcia postąpił (*l. c. p. 218*).

Z przywiedzionych więc dowodów mamy, jak się nam zdaje, dostateczne przekonanie, że w czasie wyprawy Bolesława V na Jadźwingów, tak Drohiczyn lacki i ruski, jako też Mielnik do nich nie należały, a tém samém, że tych miast Polacy na Jadźwingach zdobywać nie mieli potrzeby, bo ci ich pewnie nie bronili, choć swoje rabownicze wycieczki nieraz daleko za Bug zapuszczali, a bitwy na Podlasiu zwodzili. Jadźwingów siedziby w XIII wieku były za Narwią, koło Biebrzy, ku Rajgrodowi i granicom pruskim. Jakoż czytamy w tyle razy już przywiedzionym latopiscu wołyńskim, że książę Daniel z synem Leonem 1253 r. wojując ze Stekentem wodzem Jadźwingów, szukać ich musiał nad jeziorami w okolicach Rajgrodu; a znowu r. 1260, kiedy tymże książętom wypadła potrzeba przekonać się, czy Tatarowie są w ziemi jatwieżskiej, wysyłali na wywiady do Wizny, a zatém również za Narew (*l. c. p. 191, 197*).

Porównawszy teraz to wszystko, cośmy dotąd ze źródeł dziejowych przytoczyli, z treścią artykułu o Komacie, czyliż nie postrzegamy, że pierwotna tradycja samém zapewnie uroczyskiem Komat ograniczona, przez chęć nadania jój pełniejszego kształtu, dodatkami rozszerzoną i przystrojoną została, a skrzywienie prawdy historycznej przy tej kompozycji, wynikło prosto z braku gruntownej, krytycznej znajomości dziejów ojczystych. Przeczytał w kronikarzu Kapica lub ktokolwiek inny, co się obrabianiem podania zajął, że Drohiczyn miał być kiedyś stolicą czy grodem warownym jatwieżskim; że Kazimierz Sprawiedliwy roku 1193 zdobywał go na tychże Jadźwingach, a księcia ich Polexiusa, jak go Wincenty syn Kadłubka nazywa (IV, 19), do uległości zmusił; nie wahał się przeto osadzić ich tamże i w XIII wieku, a w hojności swój dodawszy im jeszcze Mielnik, umieścił bałwany jatwieżskie w tych już oddawna chrześcijańskich grodach.

Lecz dosyć o Drohiczynie i Mielniku! Nowa wątpliwość nastęrcza się nam z okoliczności pogrzebu w boju poległych Jadźwingów i samego ich grobowiska na uroczysku Komat. Według podania spisane go przez autora rozbieranego artykułu, ubitych w ostatniej z Bolesławem V walce Jadźwingów, obyczajem pogańskim spalono i szczątki ich w popielnicach, pod opisaném wzgórzem schowano, a zwłoki Komata pod mogiłą na jego szczycie.

Krwawa musiała być walka, bo Jadźwingowie, jak wszyscy nasi kronikarze jednoznacznie powtarzają, byli tak waleczni, że jeden z nich gotów był i dziesięciom dotrzymać placu; a kto raz do boju wystąpił, nie odchodził z niego chyba zwycięzcą lub zabitym. Kto zatem po owój bitwie pod Bronką został przy życiu, albo był w niewoli, albo haniebną na Jatwiaga ratował się ucieczką. Polacy także musieli opuścić pobojowisko, bo według samegoż podania, zaraz po zwycięztwie puścili się taborem w po-goń, który uchodząc na błota Surażskie, zapewne i niedobitków za sobą pociągnął. Któż więc zajmował się pogańskim pogrzebem? Trzymając się podania, wnieśby wypadło: że nie kto inny, tylko samiż Jadźwingowie, którzy choć na głowę pobici, dość jeszcze musieli mieć czasu, układać stosy, zbierać poległych, palić ich ciała, grzebać pozostałe szczątki w popielnice zebrane, i wreszcie nieszczęśliwemu wodzowi mogiłę na szczycie wzgórza usypać. Niechże nas teraz kto nauczy, jak się to wszystko stać mogło po stanowczej Jadźwingów porażce? Sami Polacy zapewne że się nie zajęli podobnym pogrzebem. Mogli wprowadzić użyć do tego nieprzyjacielskich branców; ależ kiedy branców tych, jak piszą kronikarze nasi, Bolesław gwałtem i pod karą śmierci na upornych pochrzcić rozkazał: czyżby im dozwolono więc dopełniać pogańskie obrzędy? Chyba więc po odejściu Polaków, jakaś część niedobitków upatrzwszy porę, wyszła z kryjówek i poległym braciom owę ostatnią wyświadczyła przysługę. Takie przypuszczenie miałoby jakikolwiek pozór podobieństwa do prawdy. Lecz gdybyśmy się i na to zgodzić nie mogli, stając przy niemożności dopełnienia przez pokonanych nieprzyjaciół owego pogrzebu, a jednak bytność popielnic wzgórza Komata wyjaśnienia potrzebowała; ten jeszcze pozostałby dla nas domysł: że Jadźwingowie, miejsce grobów swych ojców, oddawna, gdy jeszcze w tych stronach mieszkali, poświęcone, za ostatni plac boju z Polakami obrali, aby przez pamięć przodków tém dzielniejszy odpór swym wrogom dać mogli. Byłby to bez wątpienia piękny epizod z rycerskiego Jadźwingów życia, gdybyśmy tylko o rzeczywistości znajdowania się owych popielnic, dostateczne mieli przekonanie; lecz właśnie na téj pewności zupełnie nam zbywa.

Ponieważ p. hr. Ossoliński twierdzenie swoje o bytności popielnic, oparł jedynie na świadectwie pionierów w Brańsku niegdys kwaterujących, o własnych zaś na miejscu poszukiwaniach

nie zgoła nie wspomina; dla sprawdzenia téj okoliczności, do tegoż samego udaliśmy się źródła, a traf tak nam posłużył, żeśmy w tych stronach znaleźli jeszcze przy życiu dwóch ze służby uwolnionych pionierów, którzy w kopaniu min na owém wzgórzu czynny mieli udział. Posłuchajmy więc co się nam od nich dowiedzieć udało.

Pierwszy z nich Stefan Hołowaty feldfelbel z 3ciój pioniernéj roty, dziś na służbie przy bielskiéj powiatowéj kassie zostający, dobrze pamięta, jak podczas ćwiczeń letnich r. 1826, 1828 i 1830 sypano szanice na wzgórzach Komata, a spodem zapuszczano miny (1); lecz nie zgoła o tém nie wie, aby przy tych robotach, czy to na wierzchu, czy u spodu, jakiebądź naczynia z gliny wyrabiane, znalezione być miały. Sądzi zatém, że jeżeli co podobnego odkryto, to chyba wtenczas, gdy był odkomenderowany do pontonierskiéj roty: lubo nie pojmuje, jakby o tém wiedzieć nie miał, kiedy podobne odkrycie niezawodnie byłoby przedmiotem rozmów żołnierzy w całym batalionie: tém bardziej, jeśliby z tego powodu (co właśnie utrzymuje p. hr. Ossoliński) i roboty na tém miejscu wstrzymane być miały.

Drugi niedawno zmarły podoficer, Tymoteusz Pyszka, z téjże co poprzedzający roty, za rzecz najpewniejszą opowiadał: że gdy go w roku 1826 do dozoru przy robotach pionierskich na wzgórzu obok Komata, wyznaczono, naocznym był świadkiem jak w pewnéj głębokości odkryto rozmaite rzeczy, a mianowicie: sztuk ze dwadzieścia różnego rodzaju miedzianych i cynowych, do waz podobnych naczyń z nakrywkami; kilka nożów i łyżeczek srebrnych wewnątrz tychże waz; jakieś naczynia miedziane podobne do tac, tudzież pieniądze srebrne wielkości polskich szelągów, z których jedne, jak słyszał rozmawiających oficerów, miały łacińskie, inne zaś niezrozumiałe jakieś nadpisy; była prócz tego i jedna sztuka monety złotéj, w czworogran obcięta, do dwóch łutów ważąca; nakoniec niemało naczyń porcelanowych czy fajansowych z jakimiś nadpisami i śladem pozłoty. Wszystkie te rzeczy musiały być kiedyś złożone w kufrze, gdyż zaraz obok nich dostrzeżono przerdzewiałe żelaztwo, podobne do okucia skrzyni, którój drzewo przez czas zupełnie zgniło. Przy dalszém kopaniu odkryto jeszcze

(1) W tych tylko trzech wymienionych latach, był obóz pionierów przy Komacie, w roku zaś 1825 pod samym Brańskiem, a w latach 1827 i 1829 pod Potokami. Zresztą nie od 1817, lecz dopiero od 1823 konsystował ten batalion w Brańsku.

w ziemi ślad byłego muru, żuzle i znaczną ilość węgla zmieszanego z ziemią. Przy dobytciu owych rzeczy, był przytomny z oficerami swemi pułkownik Obruczew. Czyniący tę relacją, który tak szczegółowo pamiętał co wówczas odkryto, stale utrzymywał, że nietylko nie podobnego do popielnic (które mu opisywano), ale nawet skorup od zwyczajnych glinianych garnków nie widział (1).

Jeżeli pomimo zaprzeczania pierwszego świadka prawdą jest co drugi opowiadał, szkoda zatem, że wydobytych z ziemi rzeczy pilniej nie rozpatrzono i nie opisano, bo dla nauki naszych starożytności możeby to bez korzyści nie było. Lecz nie mówmy już o tém; wykopaliska te choćby je rzeczywiście znaleziono, dla nas już są na zawsze stracone.

Cóż więc teraz powiemy o popielnicach, któremi, podług słów p. hr. Ossolińskiego, całe wzgórze ma być przepelnione? Obaj świadkowie nasi w taki sposób zaprzeczają ich bytności, że już, jak się zdaje, nie masz co o tém i wątpić. Ponieważ całe podanie o Komacie niemało przez to traci uroku, a okolice nasze i tak są ubogie w podobne historyczne zabytki, szczerze zatem wyznajemy, że bardzo bylibyśmy radzi, gdyby opowiadania saperów, zupełnie bezzasadnemi okazać się mogły. I w rzeczy samej, któż wie, czy nie zaszła jaka okoliczność, która właśnie przy odkopaniu popielnic lub ich szczątków, była w stanie odwrócić naszych świadków uwagę? Może nawet prości żołnierze nie wiedzieli, dlaczego wstrzymano ich w robocie (jeśli to istotnie miało miejsce) i gdzieindziej kopać kazano. Dla miłości zatem prawdy, wartoby było, nie spuszczając się jedynie tylko na krążące w okolicy wieści, jeszcze raz nowe na miejscu przedsięwzięć poszukiwania i nas stanowczo o istocie rzeczy przekonać. Nikt zaś pomimo najgorętszych chęci lepiej tego do skutku nie doprowadzi jak sam p. hr. Ossoliński, który i blizkim jest uroczyska sąsiadem, i wszelkie materyalne do uskutecznienia tego przedsięwzięcia pod ręką ma środki. Jakoż mamy nadzieję, że szanowny autor artykułu o Komacie postara się nam dowieść, żeśmy nasze wątpliwości na czeczych i błędnych opierali zasadach.

J. R. J. Podlasianin.

(1) Wiadomość tę winienem JW. Piotrowskiemu b. archidyakonowi obwodu niegdyś białostockiego, który nie odmawiając mi swojej pomocy, kazał wezwać owego sapersa Pyszkę w Brańsku zamieszkałego, spisać jego opowiadanie i mnie takowe udzielić łaskawie raczył.

KRONIKA LITERACKA.

Pogląd na opinię p. Dutkiewicza co do teoryi ostrzeżeń hipotecznych.

W dziele z r. 1850 pod tytułem: „Prawo hipoteczne objaśnione”, jego autor p. Dutkiewicz był profesor, dziś pomocnik prokuratora, rozbierał i moje rozprawy do ustawy hipotecznej z r. 1818 odnoszące się, a mianowicie: jedną z r. 1841 o terminach mocy obowiązującej wszelkich przepisów w ustawie hipotecznej połączonych, którą poprzedziła rozprawa z r. 1828 po tytułem: Wywód zasad co do stosunków majątkowych między małżonkami podług ustawy hipotecznej w związku z kontraktem małżeńskim kodexu cywilnego francuzkiego: gdzie kwestya co do terminów prekluzyjnych już była rozbierana; drugą pod tytułem: Wytłumaczenie artykułów 137 i 138 ustawy hipotecznej, czyli rozwiązanie pytania: jakim zasadom i formom ulegają ostrzeżenia hipoteczne względem poszukiwań osobistych?

Nawzajem nie mam zamiaru rozbierać całego dzieła p. Dutkiewicza, ani z układu teoretycznego i zasad kierujących, ani z jasnego pojęcia prawa i stylu, ani z logicznego szyku rozumowań, ani z głębokości spostrzeżeń lub trafności argumentów prawniczych; gdyż niedostaje mi czasu na mozolne wyszukanie tych zalet.

Zostawię nawet do późniejszego czasu odpowiedź względem pierwszych dwóch rozpraw moich, dlatego mianowicie, ponieważ każdy to jasno widzi, że dysputa p. Dutkiewicza przeciw wyraźnemu brzmieniu działu X i artykułów 162 i 163, na nic się nie przyda.

Ograniczę się nateraz na krótkim rozbiorze argumentów autora co do teoryi ostrzeżeń hipotecznych: gdyż lubo ustawa hipoteczna z r. 1818 w ślad ordynacyi hipotecznej pruskiej i przy uwzględnieniu prawa i postępowania cywilnego francuzkiego przyjęła zasadę: że wszelkiego rodzaju prawa *rzeczowe*, na mocy wyroku illacyjnego, po wręczeniu pozwu i opła-

ceniu wpisu w głównej sprawie, wszelkiego zaś rodzaju poszukiwania *osobiste*, tylko na mocy wyroku należność osobistą przysądżającego, atoli przed jego prawomocnością ostrzeżone być mogą: jednakże opartą na zasadzie téj teorią, były professor uważa „za nową, za błędną i mylną, za wchodzenie w zapasy z prawem i zdrowym rozsądkiem, za męczenie jasnego prawa” i t. d. utrzymując z swéj strony, że i wszelkiego rodzaju należności osobiste, w drodze sądowej poszukiwane sposobem illacyjnym, ostrzeżone być mogą.

Dotychczas p. Dutkiewicz znany był tylko z jednéj rozprawy o procentach, która pozorną swą powagą niedługo się cieszyła. Wydawszy więc dziś objaśnienia prawa hipotecznego, uważanym być musi za poczynającego autora, który po raz piérwszy na widownią zawodu literackiego wychodzi. Z téj przyczyny zasługuje na pobłażanie: tylko niech pomni, że droga poczynającego autora, miotającego drażliwemi wystawieniami nader jest ślizką. Jeżeli jego opinie są dojrzałe, co rzadko bywa, ściągnie na siebie zarzut arrogancyi, zbytńiej zarozumiałości. Jeżeli zaś są niedojrzałe, co często bywa, narazi się bądź na pośmiewisko, bądź na politowanie.

Pozostawiając to w zawieszeniu, uprzedzić należy, że p. Dutkiewicz w trzech miejscach swojego dzieła o teoryi ostrzeżeń rozprawia, a mianowicie pod artykułami 10, 137 i 138.

Po przeczytaniu tego wywodu, bez systematycznój podstawy, bez sterujących zasad, bez punktów wyjścia, ujęcia i ujścia, bez wiązanego rozumowania, nie obrażę zaiste własnój skromności, jeżeli powiem, że to wszystko nie zasługuje na odparcie, i że za całą odpowiedź dość powołać się na rozprawę z r. 1845.

Tak samo postąpił p. Jan Chryzostom Sławianowski, recenzując całe dzieło p. Dutkiewicza. Wynurzywszy bowiem w potoczystym płynie okazałych wystawień czułe i szumne grzeczności potędze umysłu autora, a nie znalazłszy odpowiedniego wątku w szczegółach dzieła i wytknąwszy stylem pobłażającym mnóstwo rażących błędów, obok niedostatku „poglądów, rysów i pojęć ogólnych”, poprzestał w końcu, co do opinii autora, jakoby ostrzeżenie względem należności osobistych sposobem illacyjnym uzyskaném być mogło, na oświadczeniu, iż jest przeciwnego zdania.

Ażeby się jednak nie zdawało, jakobyśmy tym obrotem chcieli unikać rozprawy, przystąpimy nieco bliżej do argumentów autora objaśnień. Tu wszelako potrzeba rozdzielić jego argumenta *in jure*, od jego argumentów *in facto*, dlatego, mianowicie, że w kategorii faktycznój ustanowić należy istotę czynu, *corpus delicti*, dla dojścia prawdy intelektualnój, umyślnie zagmatwanój.

Zaczynamy więc, podobnie jak w innych sprawach, od historii czynów. Autor umieścił ją jakoby z niechcenia na końcu, pod artykułem 138; lecz to mu nie pomoże. My ją na wierzch wydobędziemy.

Autor powołując się na artykuły 138, 7 i 11 ustawy hipotecznej, przywodzi „że wyrażenia się różne tych *dwóch* artykułów naprowadziły prokuratora przy trybunale lubelskim na myśl, że ostrzeżenia należności osobistój, nie można *u nas* otrzymać na skutek rezolucyi, ale trzeba mieć wyrok zasadzający. Myśl tę przedstawił on Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości. *Młodszy jeden referent* podzielał zdanie to; ale ponieważ chodziło o tłumaczenie prawa, odpowiedziano, że to pozostawić należy sądowi” i t. d.

Powiedziawszy to, autor dodaje „Kommissya Rządowa Sprawiedliwości wydając zbiór urzędzeń hipotecznych w r. 1847, nie zamieściła nawet odpowiedzi prokuratorowi lubelskiemu udzielonej, pomieściła atoli reskrypt z dnia 23 kwietnia (5 maja) 1841 r., w którym na wstępie wyrażono, że prawo o hipotekach w art. 137 przepisuje stosowne postępowanie na przypadek, gdy strona interesowana chce sobie zabezpieczyć w księdze hipotecznej prawo rzeczowe lub należność osobistą, w drodze sądowej dochodzoną; że wreszcie to samo powtórzono w decyzji na końcu, w celu rozwiązania wątpliwości względem zastosowania artykułu 137.

Rzetelność opowiadania tego sprawdzić należy autentycznie w zwierciedle aktów Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości.

Otóż w r. 1828 w lat 4 po wprowadzeniu ustawy hipotecznej z r. 1818, w gubernii lubelskiej, tameczny prokurator cywilny przedstawił Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości *sprzeczne wyroki* trybunału w materji ostrzeżeń hipotecznych, donosząc, że zdania sądu są podzielone, gdy jedni utrzymują, że sposobem illacyjnym podług art. 137 tylko prawa rzeczowe, inni zaś, że i wszelkie pretensye osobiste tymże samym sposobem ostrzeżenie uzyskać mogą; że prokurator, nie wdając się, którzy z sądu lepiej myśl prawodawcy w wyrokach oddają, uważa być korzystniejszą i więcéj do celu trafiającą opinią tych, którzy dozwalają i dla wszelkiego rodzaju pretensyj osobistych zapisywać ostrzeżenia sposobem illacyjnym, zwłaszcza, że zwłoka w uzyskaniu ostrzeżenia podług artykułu 138 częstokroć szkodliwą być może: ztąd więc, jeżeliby i Kommissya Rządowa uważała powołano przepisy być niejasne, prosi o przedstawienie wypadku tego izbie prawodawczej.

W rozwiązaniu przedstawienia tego, Kommissya Rządowa wydała mu reskrypt z dnia 30 października 1828 r. Nr. 11,391 już w rozprawie mojej z r. 1845 co do punktu istotnego wypisany, którego cała osnowa jest następująca:

„Na raport prokuratora względem niejednostajnego przez wydziały trybunału tłumaczenia artykułu 137 ustawy hypotecznej z r. 1818, odpowiada, że gdy zastosowanie i tłumaczenie prawa należy do właściwych sądów, stronie więc mieniającej się być uciążoną wyrokiem, wolno od takiego odwołać się; Kommissyi Rządowej bowiem nie służy attrybucya objaśniania sądom przepisów prawa.“

„Zwraca jednak uwagę prokuratora, że artykuł 137 w związku z art. 132 lit. C. mówi wyraźnie o przypadku, gdy rzecz idzie o zabezpieczenie skutku praw rzeczowych, a nie należności osobistych. O tych bowiem mówi artykuł 138 téjże ustawy. Prokurator przeto stosownie do przepisów tych wnioski swe czynić powinien“.

Reskrypt ten w aktach Kommissyi Rządowej, pisany jest oryginalnie ręką ś. p. Marcina Grabowskiego sędziego najwyższej instancyi, substytuta rady stanu dyrygującego wydziałem cywilnym Kommissyi.

Protokół zaś sessjonalny téjże daty, w którym treść reskryptu powyższego słowo w słowo umieszczoną się znajduje, podpisany jest własnoręcznie przez cały skład Kommissyi, przez mężów stanu, z których żaden już nie żyje, ale których jako wielką intelligencyą celujących całe sądownictwo dzisiejsze pamięta, a mianowicie: przez ministra sprawiedliwości Ignacego Sobolewskiego; przez radców stanu Woźnickiego, Antoniego Wyczechowskiego, Ilnickiego.

Nikt więc na tym protokole nie jest podpisany, gdyż substytucji protokółów sessjonalnych nie podpisywali.

Cóż to wszystko dowodzi? Oto łód, że autor objaśnienia prawa hypotecznego fałszywie objaśnił, jakoby prokurator lubelski swoje myśl a nie rację niejednostajną praktykę trybunału Kommissyi przedstawił jakoby on był zdania, że tylko prawa rzeczowe formą illacyjną ostrzeżone być mogą; a nie rację zdania przeciwnego, tego samego, co i autor objaśnień. Co gorsza:

2re, że autor fałszywie doniósł, jakoby młodszy jeden referent zdanie prokuratora podzielał, gdy przecież tak zwany referent i cały skład Kommissyi byli przeciwnego zdania prokuratora, i właśnie dlatego Kommissya Rządowa *zwróciła uwagę* jego na prawdziwą myśl artykułów 137 i 138 ustawy hypotecznej.

3cie, że autor obrotami opowiadania swojego chciał przyćmić prawdę i w oczach sądownictwa osłabić reskrypt, który na solennem posiedzeniu magistratury ministeryalnej, z całą rozważą najznakomitszych prawników, a nawet przy bezpośrednim udziale *samego redaktora ustawy hypotecznej* ś. p. Antoniego Wyczechowskiego zapadł.

A któż nie znał ś. p. Marcina Grabowskiego z wysokięj intelligen-
cyi prawniczęj, dokładności w czynnościach urzędowych? Wszyscy go
znali; i pan Dutkiewicz go znał, zostawszy w owym czasie pisarzem przy
trybunale w Suwałkach.

Nie godziło się więc nazwać ś. p. Grabowskiego, sędziego najwyż-
szęj instancyi, członka Kommissyi Rządowej, *młodszym jednym referen-
tem* i poniewierać autentyczną prawie interpretacją prawa.

Teorya więc, że nie można domagać się ostrzeżenia pretensyj oso-
bistych sposobem illacyjnym nie jest *nową*. Wynika nietylko z ustawy
tutejszęj z r. 1818, ale i z ordynacyi hypotecznęj pruskięj z r. 1783, i ma
nadto oparcie na autentyczném objaśnieniu władzy ministeryalnęj.

Przeciwna owszem opinia, jakoby wolno było wszelkie poszukiwa-
nia należności osobistych, przed ich sprawdzeniem, przed ustanowieniem
liquidum, przed zapadnięciem wyroku należność w zasadzie i w ilości pe-
wnęj przysądżającego, ostrzeżeniem illacyjnym z art. 137 zabezpieczyć
jest nową.

Albowiem znowu niedokładnie donosi autor, jakoby Kommissya
Rządowa Sprawiedliwości zbiór urzędzeń hypotecznych w r. 1847 wydała.
Zbiór ten wprowadzie w drukarni Kommissyi Rządowej Sprawiedliwości
jest drukowany, lecz nie nosi na sobie żadnego piętna autentyczności.

Ztąd więc pominięcie reskryptu z dnia 30 października 1828 r., nie
może jego autentyczności powyżęj wyjaśnionęj w niczém osłabiać. Był
pominięty, dlatego, że do jednego li prokuratora, na jego zapytanie, był
wydany.

Co się tyczy reskryptu z d. 23 kwietnia (5 maja) 1841 do sądów
pokoju wydanego, ten nie ma na celu rozbierać kwestyi co do sposobów
wnoszenia ostrzeżeń hypotecznych, lecz zajmuje się widocznie rozbio-
rem i rozwiązaniem przedstawionęj wówczas wątpliwości attrybucynęj,
czy dozwole nie ostrzeżeń wyłącznie do trybunałów cywilnych należy, czy
tęż do wydziałów spornych przy sądach pokoju, jeżeli żądane ostrzeżenie
do hypoteki powiatowęj się ściąga. A lubo redagujący w rzeczy samęj
przypuszczał możność ostrzeżenia należności osobistych formą illacyjną,
jednakże w konkluzyi nie powtarzając tego bynajmniej, co autor znowu
mylnie donosi, jedynie tę kwestyą rozwiązał, że rozpoznawanie żądań
o zapisanie ostrzeżeń co do prawa rzeczowego lub należności osobistęj
w hypotekach powiatowych, do wydziałów spornych przy sądach pokoju
jako wydziałów hypotecznych należy.

Jeżeli więc w celu poparcia jednęj lub drugięj opinii idzie o powagę
wyższą, zewnętrzną, o proste *argumentum autoritatis*, po sprostowaniu
mylnych opowiadań autora, łatwo każdy osądzi, któremu z powyższych
dwóch reskryptów pierwszeństwo się należy.

W poparciu swojej opinii autor powołał się także na ordynacyą hipoteczną pruską z r. 1783. Lecz jego cytacye tak są niedokładne, a wyprowadzane z nich wnioski tak fałszywe i blahe, że nie wiemy, czy to przypisać improwizacyi, czy zupełnemu niepojęciu prawa.

Autor bowiem chcąc koniecznie wykazać: jakoby prawo pruskie dawne znało protestacye czyli ostrzeżenia poszukiwań osobistych, acz ich wcale nie znało aż do r. 1834, pomija przedewszystkiém cytacyą dwóch stanowczych, związkowych, bo nawzajem tłumaczących się §§ 289 i 290, jako fundamentalnego założenia teoryi o protestacyach hipotecznych.

Potém opiera się głównie na niemieckim przysłówku *blos*, i z tego wywodzi podział na czyste i nie czyste należności osobiste.

Potém twierdzi, że § 153 ordynacyi, dozwała ostrzeżenia wierzytelności osobistój, nie przeczytawszy jednak poprzedzających związkowych paragrafów, zaczawszy od § 104, które wszakże o służących lub poszukiwanych prawach rzeczowych, *Real-Rechte* traktują jedynie: z czego wypływa, że § 153 jedynie o protestacyi prawa realnego wspomina.

Potém autor, pomimo twierdzenia, że powszechne prawo pruskie nie pozostawia w téj mierze wątpliwości, znouwu wątpliwość przypuszcza, dodając: „że chociażby prawo to nie dozwalało ostrzeżeń wierzytelności to jednakże podług prawa naszego rzecz się ma inaczej”.

Potém wszystkiém więc widzę, że nie mam potrzeby rozwodzić się nad umysłowo-potężnemi dowodzeniami autora. Nie pozostaje mi, jak odesłać go do rozprawy z r. 1845, w której historycznie i dogmatycznie jurisprudenca hipoteczna pruska jest wyjaśniona. Z niej się dowięd, że ordynacya hipoteczna pruska nie dozwalała żadnych zgoła ostrzeżeń praw osobistych, i że dopiero ustawa z dnia 4 marca 1834 r. nadała wierzycielowi osobistemu *tytuł do hipoteki*, ale jedynie na zasadzie wyroku układu, lub nakazu sądowego, do exekucyi upoważniającego.

Lecz autor odpowiada na to: „że podług prawa naszego rzecz się ma inaczej.” Ztąd więc przystępujemy do obejrzenia jego argumentów prawniczych na zasadzie naszej ustawy hipotecznój.

Przedewszystkiém jednak nadmienić muszę, że autor Objaśnień zrobił niby wyciąg z mojej rozprawy, przywiedzeniem czterech punktów oświadczając, że to są główne argumenta moje.

Przeciw wyciągowi i oświadczeniu temu protestuję, gdyż głównym moim argumentem jest związkowa całość rozprawy, bez jój pokaleczenia.

Na utwierdzenie swojej opinii autor Objaśnień dużo zawitych argumentów przytoczył. Atoli prawdę mówiąc, wszystkie obracają się oko-

ło dwóch punktów więcej na wierzch występujących, a mianowicie około artykułu 10 w związku z innymi artykułami ustawy hipotecznej, o ostrzeżeniach stanowiącemi, niemniej około motywów prawodawczych.

Co do pierwszego usiłuje autor wmówić w czytelników, że ponieważ artykuł 10, pozwalając ostrzeżeń podług art. 137, wymienia i hipoteki i prawa hipotekowane i uwolnienia; przeto upoważnia do żądania ostrzeżeń nie tylko dla praw rzeczowych, lecz i dla wierzytelności osobistych.

Atoli niech będzie pewny, że mu nie uwierzą, dlatego, że lepiej znają różnicę praw rzeczowych i praw osobistych, tak co do przedmiotu, jak co do zasady i formy prawnej, i że skutkiem tego, uważając hipoteki lub prawa hipotekowane, niemniej wszelkie intabulacye lub subintabulacye, wykreśleniu z wykazu hipotecznego ulegające, czyli tak zwane uwolnienia za *prawa rzeczowe*, *Real-Rechte*, wiedzą, że w artykule 10 mowa jest o samych li prawach rzeczowych, a bynajmniej o prawach osobistych, tytułu do hipoteki niemających; że następnie wszelkie prawa osobiste, *jura obligationum*, aby mogły uzyskać tytuł do hipoteki tymczasowej, do protestacyi, do ostrzeżenia, powinny być wprzód ustanowione i przysądzone wyrokiem w głównej sprawie zapadłym, który to wyrok, gdy się stanie prawomocnym, zmieni hipotekę tymczasową, czyli ostrzeżenie, w hipotekę stałą, przyznaną, w hipotekę sądową.

Autor wyraża się w tym względzie tak: „że tu musi zachodzić jakieś prawnicze nieporozumienie.” Zachodzi w istocie nieporozumienie, czyli raczej niepojęcie elementarnej różnicy praw rzeczowych pierworzodnych i przysposobionych, czyli początku historycznego i wewnętrznej istoty *hypoteki*.

Co do drugiego argumentu prawniczego, były professor z całą otwartością i szczerością przyznaje: „że mu trudno znaleźć jakąbądź racjonalną przyczynę, dla którejby prawodawca pozwalał na ostrzeżenie prawa rzeczowego, a nie dopuszczał ostrzeżenia dla należności pieniężnej; że mu nie wiadomo, co za powód mógł mieć prawodawca, taką troskliwość okazywać w zabezpieczeniu prawa rzeczowego, a tak lekceważyć utratę należności pieniężnej, większej może nieraz wartości.

Następnie zapytuje się autor: „czybyto było zgodne z sprawiedliwością, abyśmy mogli zyskać ostrzeżenie, że nam służy prawo przechodu przez cudzy dziedziniec, a niewolno nam było zabezpieczyć sobie należności, mogącój stanowić jedyny fundusz utrzymania.”

Nie dziwię się ani téj trudności, ani téj niewiadomości, bo z całego dzieła autora nie można się tego doczytać, iżby miał kiedykolwiek wiedzieć, że dwa stanowcze pojęcia prawne o tém wszystkiém, co naszym

majątkiem nazywamy, wychodząc z prawa rzymskiego, jak dwa nieprzerwane pasma, i przechodząc pod techniczną nazwą prawa rzeczowego i prawa osobistego nowożytnie prawodawstwa w rozmaitych zastosowaniach, stanowią żywotny pierwiastek organiczny każdego systematu hipotecznego.

Tych wielkich pasm, téj elementarnéj różnicy, na której w prawie rzymskiém cała budowa prawa majątkowego stoi, której żadne nowożytnie prawodawstwo ominąć nie mogło, i która w ustawie hipotecznój wyraźnemi rysami jest przeprowadzona, a do której różnica ostrzeżeń względem praw rzeczowych lub osobistych się odnosi, autor objaśnień nie pojmuje.

Usiłuje on wprowadzić pod niewłaściwym napisem *urządzenia* ogólne, gdy mu jako li autorowi należało wyrazić się *zasady* ogólne, w § 31 na wstępie do ustawy hipotecznój objaśnić różnicę praw rzeczowych i praw osobistych; lecz zablądziwszy *in terram incognitam*, chciałby czytelnika przekonać, że znalazł w niej różnicę „zobowiązania osobiste od zobowiązania rzeczowe” objaśniając, że ten obowiązany jest rzeczowo, kto nie zaciągał zobowiązania, a posiada rzecz do której cudze prawa są przywiązane.

Gdy objaśnienie to i do złodzieja, *fur*, co cudzą rzecz bez wiedzy i woli właściciela wziął i posiada, zastosowane być może, przeto nic nie objaśniając, maćci owszem wszelkie pojęcia o różnicy praw rzeczowych i praw osobistych, nie pozostawiając nic więcej, jak *confusionem idearum*.

Zobowiązanie, *jus obligationis*, może tylko zachodzić między dwoma subjektami, między dwiema lub kilku osobami, *inter personas*, nigdy zaś między osobą a rzeczą, *inter personam et rem*. Rzecz, nie mając woli, zobowiązywać się nie może, a zatém i o zobowiązaniu rzeczowo nigdy mowy być nie może.

Autor mając, jak się zdaje, łatwość spamiętania szczegółów i pojedynczości jak najrozmaitszych i najróżnorodniejszych, lecz nie doszedłszy ich związkowego wątku, ani ich istotnych różnic, przypomniał sobie coś o *kontraktach* konsensualnych i realnych z prawa rzymskiego; lecz materia ta należąc wyłącznie do zakresu *juris obligationum*, i będąc zadawnioną, w nowożytnych prawodawstwach nieużywaną, i niepotrzebnie jest powoływana i źle przez autora pojęta. *Quibus modis re contrahitur obligatio*: o tém b. professor lepszą może powziąć wiadomość z instytucyi Justyniana księgi III tytułu XIV (XV), jako téż z instytucyi Gaja.

Dlatego nie nudźmy siebie i innych rozbiorem skrzywionych zupełnie pojęć, których sprostowanie wszelką możność przechodzi.

Różnica prawa rzeczowego i osobistego, która w prawie rzymskiem z matematyczną konsekwencyą jest rozwinięta, i łączy się ściśle z nader ważną częścią *de jure actionum in personam vel in rem*, nie znalazła w kodexie cywilnym Napoleona tak wyraźnego uznania, jak w partykularnych legislacyach niemieckich. Dopiero ustawa hypoteczna z r. 1818, wystawiona na fundamencie ordynacyi hypotecznej pruskiej, na konieczności prawnej objawiania w księgach hypotecznymi zwanych, wszelkich praw rzeczowych nieruchomości, tak tych, które za pierwiastkowe i wieczyste, jako i tych, które za pochodne i przemijające są uważane, wydożyła różnicę tę więcej na jaw. Ztądto zapewne pochodzi, że autor Objasnień prawa hypotecznego tak błądzi, nie mogąc znaleźć punktów wejścia lub wyjścia: bo czego komentatorowie kodexów francuzkich nie wiedzą lub nie pojmują, tego, po większej części i autor nie wie i nie pojmuje, nie domyślając się tego, że zmiany prawodawcze krajowe, zaczawszy od r. 1818 otworzyły nam nowe obce źródła do interpretacyi prawa, tak dalece, że tej nieraz z logiki prawa rzymskiego zaczerpnąć potrzeba.

Z téjto przyczyny autor Objasnień także nie wie o głównej różnicy, jaka między systematami hypotecznymi rzymskim lub francuzkim a pruskim, austryackim lub naszym krajowym zachodzi. Przedmiotem hypoteki rzymskiej lub instytucyi kodexu cywilnego francuzkiego o przywilejach i hypotekach były tylko hypoteki w pierwotnym i właściwym swém znaczeniu, czyli należności *ex jure obligationum*, którym umowa stron lub samo prawo nadały naturę i skutki prawa rzeczowego; przedmiotem zaś wymienionych trzech innych systematów hypotecznych są głównie wszelkie prawa rzeczowe, że tak powiem pierworodne, *dominium et jura in re, dingliche Rechte*, obok nich *ex jure obligationum* należności osobiste *te*, którym w szczególności podług ustawy naszej z r. 1818 bądź umowa, bądź prawo, bądź wyrok naturę prawa rzeczowego, *jus in re*, hypotekę czyli pewność realną przyznały.

W miarę tych pojęć i zasad, w miarę rozmaitych kategorii praw rzeczowych, nawet podzielony jest wykaz hypoteczny ustawą z r. 1818 przewidziany: gdyż wykaz ten rozróżnia główne prawo rzeczowe, którym jest własność, (dział II); prawa rzeczowe, własność ścieśniające lub ograniczające, za wieczyste uważane, ciężarami wieczystymi lub służebnościami zwane, (dział III); nakoniec prawa rzeczowe przemijające, *ex jure obligationum* pochodzące, właściwie hypotekami zwane, (dział IV). Podług instrukcyi hypotecznej z r. 1819, w artykule 100, wzmianki o sporze, pretestacye czyli ostrzeżenia powinny być wpisane w to miejsce, w któreby prawo samo,

gdyby nie było zaprzeczoném, wpisać należało. Tu więc znowu różnica ostrzeżeń co do praw rzeczowych lub osobistych występuje, gdyż ostrzeżenia illacyjne względem własności do działu II, względem innych praw rzeczowych stałych, wieczystych, do działu IIIgo, ostrzeżenia zaś należności osobistych, wyrokami przysądzonych, do działu IV należą.

Autor Objasnień prawa hipotecznego nie poznawszy kolei historycznej systematu praw rzeczowych lub osobistych, ani ich wewnętrznej tak naturalnej jak prawnej różnicy, nie może znaleźć żadnej racjonalnej przyczyny dla którejby prawodawca taką troskliwość w ubezpieczeniu praw rzeczowych miał okazywać, a tak lekceważyć utratę należności pieniężnej; dlaczegoby nam wolno być miało uzyskać ostrzeżenie illacyjne względem prawa przechodu przez cudzy dziedziniec, a niewolno względem należności osobistej, jedyny fundusz utrzymania stanowiący.

W tym względzie odwołuję się do wyjaśnień racjonalnych w rozprawie z r. 1845, zacząwszy od str. 539 (Bibl. Warszaw. r. 1845. T, IV) wyluszczonych. Tu tylko nadmieniam, że gdy ustawa z r. 1818 za główną zasadę całego systematu hipotecznego postanowiła: Że prawa rzeczowe nieobjawione utracają się za przejściem nieruchomości w ręce trzeciego nabywcy dobrej wiary, prawa zaś rzeczowe, które do działu IIgo i IIIgo należą, jakoto: własność dóbr, gruntu lub domu, następnie wszelkie służebności, *servitutes* czyli *jura praediorum urbanorum vel rusticorum*, np. jak to autor przywodzi, prawo przechodu, *iter, via, actus*, albo ciężary wieczyste, np. czynsz, *laudemium* i inne tym podobne opłaty są téj natury, że zniknęłyby na zawsze, uległyby zniszczeniu bezwzględnemu, bez możności ich ożywienia i odzyskania, gdyby nie były wprzód ostrzeżone nimby właściciel *jawnny* zdołał dobra, grunt, dom, do którego tego rodzaju prawa rzeczowe się odnoszą, sprzedać trzeciemu w dobrej wierze zostającemu; gdy co do należności osobistych drogą procesu poszukiwanych, ich utrata absolutna bynajmniej poszukiwającemu nie zagraża: bo chociażby dłużnik grunt lub dom swój sprzedał, zawsze jednak egzekucyi na posiadanym majątku ruchomym i nieruchomym ulegać będzie, gdy nadto pretensye osobiste nader często są wątkie, błahe, przesadzone, wygórowane, a nawet zupełnie bezzasadne; gdy prawodawca wążąc na szali sprawiedliwości i doświadczenia środki dozwoić się mające do zaczepki lub obrony procesowej, nie może przypuszczać lepszej wiary w powodzie jak w pozwanym, a tém samém nie może piérwszemu rąk zupełnie rozwiązywać, a drugiemu zupełnie wiązać, owszem tak ogół wierzycieli jak ogół dłużników w karbach umiarkowania utrzymywać powinien: z tychto przyczyn prawodawca ustawy hipotecznej z r. 1818 dozwoił dla praw rzeczowych, którym natychmiastowa śmierć zagraża,

ratunku illacyjnego, a nie dozwolił tego ratunku jako zawczesnego dla pretensyj osobistych, nakazując, aby te ostatnie wprzód nim będą mogły być hipotecznie ostrzeżone, usprawiedliwione były wyrokiem choćby zaocznym, choćby nieprawomocnym.

Ztąd i prawo przez cudzy dziedziniec więcej znaczy, jak odpowiadająca takiemu prawu ilość pieniędzy. Tamto prawo, nieostrzeżone illacyjnie, w razie sprzedaży dziedzince, znikłoby na zawsze; należność zaś osobista, acz nieostrzeżona, nie zniknie na zawsze, chybaby dłużnik w zupełném ubóstwie umarł.

Nakoniec lubo teoria ostrzeżeń hipotecznych, na ustawie z r. 1818 uzasadniona wymagać może pewnych popraw: o czém również w rozprawie z r. 1845 nadmienilem, jednakże jój główna zasada, na artykułach 137 i 138 oparta, nigdy naruszoną być nie powinna.

Heylman.

Ustęp z historii Szląska, wypracowanej przez profesora Dra Walentego Kulawskiego. W Krakowie, w drukarni Uniwersytetu. 1850. W 8ce wielk. Str. 51.

Każdy naród ma swoje wewnętrzzną i zewnętrzną historią. W historii wewnętrznej rozwija myśl swoją i wskazuje na cel, dla którego stworzony na ziemi. W zewnętrznej, zwracają przedewszystkiém na siebie uwagę uczonych jego stosunki z sąsiadami, albo z odleglejszemi narodami. W stosunkach tych odbijają się często myśli narodu, jego zamiary i widoki. Dlatego notować potrzeba wszelkie dyplomatyczne związki narodu jednego z drugim. Potrzeba pisać historią tych związków, jak się kojarzyły i jak się potóm zrywały. Potrzeba układać spisy poselstw wzajemnych jednego narodu do drugiego: bo dopiero za pośrednictwem takich badań pojmiemy ten stosunek wzajemny.

Ta część jednak zewnętrznej historii rzeczypospolitej prawie u nas nietknięta. Bawiono się długo w panowania pojedynczych królów; dzisiaj wydawanie pomników dawnych historycznych, stanowi główne zajęcie nasze w pracy około obrabiania dziejów. A jednak jeżeli który naród europejski, potrzebuje znać swoje zewnętrzne stosunki, to nasz przedewszystkiém. Na Zachodzie król rządził narodem, u nas król rządził z narodem. Tam stosunki zewnętrzne były odbiciem się własnego usposobienia króla, bojowniczego albo spokojnego, wesołego albo zgryźliwego

charakteru. U nas, stosunki zewnętrzne odbijały już prawdziwiej myśl całej szlacheckiej Rzeczypospolitej. Na Zachodzie więc są zdobycze i zabory; u nas brak wojen zaczepnych, samolubnych. Jeżeli Rzeczpospolita walczy o jaką ziemię, to albo o swoją własną, albo o tę, która się jej dobrowolnie poddała, ratując przed obcemi albo narodowość, albo wyrobioną już kosztem pracy i krwi, cywilizacyą. Polska też, sama w sobie tworzyła cały świat, oddzielny od reszty Europy. Ze wszystkich stron Rzeczypospolitej zasiedli mniejsi i więksi książęta, co hołdowali Jagiellonom i Wazom, nieraz niedołęzni, to prawda, ale też często potężni i silni, nie tylko w moc fizyczną, ale i w ten polityczny rozum, co może tworzyć tak na ziemi, jak Bóg tworzył we wszech świecie.

Rzecz dziwna, że na to wcale nie zwrócili uwagi swojej uczeni nasi. Kurlandya, Szląsk, Wołoszczyzna, Pomorze, były prowincjami, były ziemiami, w których długo przechowało się podanie rodzinnej słowiańskiej wiary. Nie mamy jednak żadnych dzieł o historii tych krain. Jakie między Rzeczpospolitą a niemi zachodziło powinowactwo, jaki krwi związek? doprawdy, nie potrafilibyśmy dobrze odpowiedzieć sobie na te ważne pytania. A jednak książę pruski i kurlandzki od Rzeczypospolitej brali swoją władzę i znaczenie, a jednak zarząd naczelny tych krain należał do króla polskiego, a jednak tysiące nitek wiązało do nas te ziemie. Kurlandya, Wołochy, o tyle są znane w dziejach naszych, o ile wypadki polityczne pokrzyżowały się, o ile wojna np. zaczęta w Rzeczypospolitej przeniosła się do Wołoch, albo interesowała Wołochy. Tomasz Święcki w swoim Obrazie starożytniej Polski rozumiał dobrze tę prawdę, że historia hołdowniczych ziem i książąt, jest częścią ogólniej historii kraju, kiedy obok geografii Rzeczypospolitej, dawał nam i opis miast i rzek krain bezpośrednio od Polski zależących. Czemuż tego historycy jeszcze nie zrozumieli? I czy możemy, doprawdy, rozumieć prawa nasze, politykę królów, wojny ze Szwecyą i Turcyą, kiedy nie rozumiemy dziejów ani Inflant, ani Wołoszczyzny? Rzeczpospolita księztwom hołdowniczym zostawiała po spolicie rząd wewnętrzny: miała tylko nad ziemiami prawo opieki i zachowała sobie wyłącznie kierunek ich polityki zagranicznej, do której książęta hołdujący stosować się musieli, lubo i to niezawsze. Było więc w nich dużo polskiego, ale było nierównie więcej swojego, rodzinnego pierwiastku. Rzeczpospolita nawet i dla ziem z sobą połączonych miała serce matki, a stosunki metropolii do książąt, nie narażały w niczem ich godności, oprócz oznak zwyczajnego hołdu, który królowi i Rzeczypospolitej składali.

Pracujemy dzisiaj nad dziejami pojedynczych księstw i powiatów, nad historią miast i wiosek, które weszły w skład późniejszej Rzeczypos-

politej polskiej, powinniśmy też pracować i nad dziejami księstw z nami związanych unią, albo hołdowniczych. Ich prawodawstwo, zwyczaje, sejmy, rząd wewnętrzny, moneta, religia, wszystko nas obchodzić powinno. Mazowsze jest częścią Rzeczypospolitej, więc najmniejsza pamiątka po Mazowszu, wpływa do jej dziejów ogólnych; ale Kurlandya np. jest też częścią Polski, lubo nie częścią włączoną, wcieloną; zawsze nas też pamiątki Kurlandyi obchodzić powinny, może nietyle co Mazowsza, ale przecież więcej jak Austria, jak Węgry, których przeszłość także w niejednym miejscu ma związek z przeszłością polską. Rzeczpospolita dla Austrii, dla Węgier, dla Czech, miała swoje międzynarodowe, właściwe sobie stosunki, bliższe jak np. dla Francji i Anglii, ale też i na stopie udzielnych państw, traktowała ziemie swoje hołdownicze. Miała więc i z niemi swoje międzynarodowe stosunki i to znowu nierównie bliższe, jak z Węgrami albo Austrią. Jeżeli myśl, którą rozwijała przez posłannictwo, z góry sobie wytknięte, wywierała wpływ jaki na zagranicę, to jakże nie miała myśl ta znaczyć więcej dla ziem hołdowniczych, dla książąt udzielnych, zrosłych na łonie narodu? A jeżeli myśl miała rzeczywiście to znaczenie, czyż dzieje ogólne kraju naszego nie cierpią na tém zapomnieniu, na tém wyłączeniu z jego obrazu, historii ziem pod jakimkolwiekby względem zjednoczonych z Polską?

Nasza epoka zrozumiała dopiero tę prawdę dziejową. W naszym też czasie powstaną zapewne i prace około obrabiania dziejów księstw i ziem hołdowniczych Rplitej.

Wskazujemy na ślad tego zwrotu, a raczej na ślad tego rozwoju idei. Oto p. Kulawski w Krakowie gotuje dla literatury naszej dzieje Szląska i Piastów, którzy tam nad Odrą najdłużej ród znakomitego kołodzieja ciągnęli, a wygaśli przed dwustą nie pełną laty.

Szląsk był długo zupełnie zapomnianą przez nas krainą. Zbiegiem nadzwyczajnych okoliczności, lubo podlegał Czechom, zniemczał przecież zupełnie, zapomniawszy o swoim życiu słowiańskim. Jeszcze póki do Austrii należał i stanowił w tej monarchii prowincją czeską, była nadzieja, że się opamięta i wróci do źródła dawnego żywota. Ale do Prus przykuty, stracił nawet uczucie swojej rodowości i dzisiaj gra nawet znakomitą rolę wpośród innych ludów niemieckich. Uczucie słowiańskie, do gór i źródeł dwojga wielkich rzek przyparte, dźwiga się przecież. W Bytomiu, Gliwicach, Niemczy, bije tętno słowiańskie. Wrocław oddawna stał się ogniskiem umysłowego naszego ruchu. W porę więc bardzo przychodzi p. Kulawski ze swoją pracą, bo na Szląsk zwracają się teraz częścięj oczy i umysły nasze.

Zasługiwał przecież i dawniej Szląsk na jakieś społeczenie. Gdyby już nie innego, to łączyło tę ziemię z nami jedno pochodzenie i ród zacnego Piasta. Kiedy rysy pochodzenia zatarły się przez zabiegi Niemców i jakieś jakby nieszczęsne przeznaczenie, które ciążyło zawsze nad tą ziemią książąt wrocławskich, lignickich i brzegskich, ci sami książęta mogli interesować rzeczpospolitą. Niejeden z nich starał się potem o tron polski; niejeden z nich łupieżył na pograniczu; niejeden z nich żenił się u nas i bywał u nas w gościnie. Nie powiemy, żeby ci książęta kochali swoją kolebkę. Podupadłszy na znaczeniu, w rozdrobnionych księztwach, dzielących się bez końca, książęta ci ostatkiem gonili i wyzuwali się nie tylko z uczuć rodzinnych, ale nawet z uczciwości, z charakteru. Byli to kupcy, handlarze, ale nie ludzie czynu i woli. Owszem dla wygodę własną, dla pieniędzy, oni ojczyznę własną prowadzili do zguby, wrzucali ją w ręce Niemców. Ten bolesny moralny upadek Piastowego plemienia, oczywiście interesuje nas. My chcemy ująć za kłębek, żebyśmy z niego snuli nie tego okropnego upadku. Bo gdyby ten Szląsk narazie stracił wszystko, co miał słowiańskiego, nawet do imienia, gdyby niemieckiem względem nas oddychał uczuciem, to zawsze interesować nas będzie, choćby dla tych książąt Piastowych, którzy, prawdę powlechiawszy, czarną niewdzięcznością się wyplacili, względem dawnego gniazda.

Pan Kulawski, jak widać z jego krótkiej rozprawki pod tytułem *Ogólny pogląd na historię Szląska*, zamieszczonej na początku broszurki, którą robieramy (str. 3 do 7), już oddawna zajmował się dziejami tej stariej nadodrzańskiej krainy. Drukował już i przedtém wyjątki z tej pracy; my jednak tych wyjątków nie znamy. Jednakże dzieło podobno już zupełnie skończone, leży u autora w rękopisie i czeka szczęśliwego biegu okoliczności, żeby poszło pod prasę. Takby przynajmniej wypadało wnosić z kilku słówek p. Kulawskiego przy końcu rozprawki. Jakkolwiek z wyjątku podanego w broszurze naszej domyślać się godzi, że to będzie praca niedokładna, literatura nasza oczekiwać ję będzie z niecierpliwością. Niechaj to będzie zły rys dziejów szląskiej ziemi, zawsze to jednak rys, co nas zapozna z przeszłością Piastów najstarszej linii, z dziećmi Henryka Brodatego i S. Jadwigi. Dzieło p. Kulawskiego w każdym razie będzie zagajeniem w literaturze naszej o Szląsku, a nie wątpim, że znajdą się z czasem zdolniejsi ludzie, co nam te dzieje piękniej i zrozumiałej dla serca, opowiedzą.

P. Kulawski dzieło swoje rozdzielił na trzy części: opisał osobno historię książąt górnego i niższego Szląska, w trzeciej części zawarł ogólne dzieje całej ziemi. Już z tego samego podziału wnioskujeśmy o war-

tości jego pracy. Tutaj brak systematu uderza najwidoczniej. Dlaczego te podziały, górnej i dolnej ziemi, dlaczego ta osobna część trzecia o dziejach ogólnych? Właśnie idzie nam o całą historią Szląska. Więc w ramach tego podziału, autor będzie w swoim dziele ciągle się płątał i powtarzał. Czy między górnym a dolnym Szląskiem, Opatrzność albo ludzie, mur jaki wzniesli, który całą ziemię na dwie części równe podzielił? Więc książęta np. cieszyńscy nie wiązali się nigdy z Głogowem, Sagan z Lignicą? Czy podobna np. pisać oddzielnie dzieje księstwa krakowskiego, a osobno Sandomierza i Lublina? Jak w zegarku, jak w każdej maszynie, któradsiaj zastępuje siłę ludzi, kółko jedno zachodzi za drugie, tak, że całości pomyśleć nie można bez części, a części bez całości: tak i w dziejach jednej ziemi. Dobrze, że Szląsk rozdzielił się na wiele udzielnych i małych państewek; idzież za tém, że dzieje państewka jednego nie zachodzą w drugie? Może wiązać, kto zechce, wspomnienia historyczne, np. około Wrocławia; zawsze te wspomnienia nie będą stanowić dziejów księstwa, a dzieje tylko samego Wrocławia. Księstwo, chociażby było najmniejsze, zajmuje już znakomitsze w dziejach stanowisko, jak pojedyncze miasto; więc ma zaraz i rozciąglejszy zakres działania i wpływ rozleglejszy. Tak u nas np. na mazowieckiej ziemi: może pisać, kto zechce dzieje księstwa rawskiego albo sochaczowskiego, ale to będzie zawsze oderwana kronika od całości, niezrozumiała bez całości. W dawniej Lechii tworzyło się wiele systematów księstw. W każdym było inne ognisko życia. Tylko dzieje całego systematu mają jakąś całość, a nie jego części, które zawsze wyglądać będą jak ułamki. I systematów tych dowolnie rozrywać nie można, tworząc podsystematy, podziały jakiegokolwiek. Można pisać osobno dzieje księstw polskich (wielkopolskich), osobno kujawskich, osobno mazowieckich, osobno krakowskich i pomorskich; ale kto np. dzieje Mazowsza rozbije na dwie połowy i opowiadać oddzielnie będzie historią ziem przedwiślańskich, a osobno zawiślańskich, chybi celu, zabije swoją pracę, odejmie jej interes, całość zamąci. Tak i Szląsk sam w sobie, jest oddzielnym systematem i rozbijać go na Szląsk górny i dolny, żeby oddzielnie pisać historią tych dwojga części, nie ma żadnej potrzeby. Gdybyć zresztą p. Kulawski podług jakiejś głównej myśli, czerpniętej z faktów Szląska, urabiał swoje podziały, darowałibyśmy mu te wszystkie rozdrobnienia. Widzielibyśmy z tego, że nie po kronikarsku pojmuje dzieje nadodrzańskiej ziemi. Widzielibyśmy, że w układzie swoim faktów szląskich, nie samo przedstawienie zewnętrznego życia, ale dzieje rozwoju ducha ma na celu. Gdyby p. Kulawski wziął np. za zasadę, za myśl główną swojego dzieła, przedstawienie walki pomiędzy swojskim, słowiańskim, na Szląsku żywiołem, a pierwiastkiem obcym; gdyby do tej my-

śli zastosował powieść swoją i wskazywał na główne punkta dziejów Szląska, jak się ta myśl obca rodziła, wzrastała, zwyciężała wreszcie pierwiastek rodzinny, jak znówu ta cała słowiańskość ziemi zacierała się co chwila przed najściem niemieckich wyobrażeń: jużbyśmy nie do nadmienienia nie mieli. Owszem, z téj strony przedstawiona walka dwóch wrażliwych narodowości, najwięcej nas obchodzi, bo podobna walka nie w jedném odbywała się miejscu, a wszędzie przejścia i fazy musiała mieć też same, bliźnięco do siebie podobne. Czyż górny Szląsk inną rozwijał ideę w dziejach swoich jak dolny? Wątpim bardzo. I tutaj i tam trwała walka. Dzisiaj, kiedyśmy dojrzeli praw, nawet w moralnym świecie, podług których rozwija się życie; żadnemu dziejopisowi niewolno podług arbitralnych usposobień i widoków, traktować przedmiot tak wielkiej wagi, jak historia całej ludzkości, albo jakiegokolwiek jęj cząstki. Dawniej dzielili naukę jak tylko żywnie chcieli; dzisiaj w tym podziale idea jakaś przewodniczyć musi. Inaczej, gdzież się podzieje filozofia historii? Inaczej, musielibyśmy wstecz się cofać, a to niepodobna, tego nikt nie zechce.

Już nierównie stosowniejszy byłby podział dziejów Szląska podług pewnych momentów życia téj ziemi, które zauważał p. Kulawski, a które każdy z nas widzi. Na pięć wielkich gałęzi dałby się rozszczepić ten pień całości: Szląsk przed przyjęciem wiary chrześcijańskiej; Szląsk stanowiący prowincją monarchii, aż do śmierci Bolesława Krzywoustego; potem Szląsk rozdzielony na księztwa, wreszcie Szląsk podległy to Czechom, to Prusom. Piérwsze trzy części należą całkiem do dziejów Polski, drugie dwie już płyną oddzielném korytem. W tym podziale nie ma zapewne śmiałego w przeszłość poglądu, nie ma wyższej myśli; ale jest wiele kronikarskiej prawdy. Bo kronikarski to byłby zupełnie podział dziejów nadodrzańskięj krainy, taki zupełnie, jaki niegdyś był i dla dziejów naszych. Opisywano osobno Polskę przed przyjęciem wiary chrześcijańskiej, potem osobno czasy Piastów, oddzielnie Jagiellonów, osobno epoka królów obieralnych, ustawiały się, jakby w kolumny dla przeglądu. I długo ten podział królował w nauce. Do niego zastosował swoje wielkie dzieło Naruszewicz. Na te wielkie oddziały wskazywał każdy uczoney, aż do chwili, kiedy człowiek idei przewrócił do góry nogami cały ten dziwny porządek, i wskazał nam na Polskę rodzącą się, podzieloną, kwitnącą i upadającą.

Ale od tych wstępnych uwag, które nam nastreczył ogólny pogląd na historię Szląska, skręślony na dwóch kartkach przez p. Kulawskiego, przejdźmy do samęj książki, czyli do głównęj jęj treści. Bo autor dał nam jeden już wykończony ustęp ze swojego dzieła. Ustęp ten właśnie stanowi broszurę. Pogląd ogólny był wstępem tylko, w którym autor

rzucił myśli kilka o dziejach szląskich; pogląd jak widzieliśmy nietrafny i niewyrozmowany, a zupełnie kronikarski, w duchu dawniej szkoły.

Ustęp przedstawia nam dzieje księstwa zęgańskiego pod synami Jana Igo, tojest Baltazarem i Janem II, i zawiera przeciąg czasu od roku 1439 do roku 1504, tojest lat 65. Rok 1472 rozdziela tę całą powieść na dwie połowy. W tym czasie właśnie przestał panować Baltazar, a dziedzicem praw jego i całego księstwa został Jan II.

Byłto pan wojowniczy i pewnych nawet zdolności, ale jak wszyscy prawie ówczesni książęta Piastowego pokolenia, byłto pan bez żadnego uczucia godności własnej, rozpasany na wszelkiego rodzaju występki, zimny samolub, który dla zysku gotów był zamordować brata, poświęcić niewinność, rzucić się na stronę Macieja Korwina albo Jerzego Podjebrada, napastować na publicznej drodze własnych poddanych. Taki książę czy mógł mieć serce jakie dla dawniej ojczyzny? Nie, —o to go nikt nie posądzi; owszem książę Jan II bawił się lotrostwem, a całe pogranicze od Wielkopolski aż po Kraków, miało się przed nim na baczeniu. Mówią historycy, że przy większych zasobach, przy staranniejszym wychowaniu, Jan II mógł się stać chlubą swojej ziemi; owszem podnoszą go wysoko w mniemaniu ogólnym, kiedy twierdzą z pewnością, że książę miał siły dosyć po temu, żeby w dziejach zabłysnąć, jak wybawiciel Śląska. W samej rzeczy dziką energią swoją, książę równoważył potęgę węgierskiego Macieja Korwina, i póki żył, nie mógł powiedzieć sławny wojownik, że ma panowanie nad Śląskiem. Nie przesadzajmy jednakże. Książę zęgański nie mógł zapewne wyrwać ziemi swojej zpod wpływu obcych. Czechy, czy Węgry, czy Polska, a zawsze jedno z tych mocarstw, przyciągnęłoby Śląsk do siebie, bo ziemia ta już być udziałną nie mogła, a Wrocław napróżno czas jakiś myślał o niepodległości republikańskiej; ale książę Jan mógł przynajmniej obronić narodowość swojej ziemi i w pewnej mierze niepodległość: mógłby się przyłączyć tak do Polski, albo Czech, albo Węgier, jak np. nieco później Kurlandya przypięła się do rzeczypospolitęj. Mógł to zrobić książę Jan II, gdyby miał więcej uczucia w sercu, gdyby już samo wychowanie, nie pozbawiło go rozumu politycznego w latach niemowlęcych jeszcze.

Obchodzą zatem nadzwyczaj dzieje takiego książęcia. Bo jemu dała Opatrzność stanowczemi wypadkami wpłynąć wiele na przyszłość swojej ziemi. Czasy Jana II są epoką, są chwilą wielką, w której się zwykle ważą losy narodów. Krok naprzód—zbawienie; krok w tył—śmierć oczywista. P. Kulawski umiał wybrać ustęp ze swojego dzieła. Ustęp ten, że ważniejszy od innych, że więcej stanowczy, powinien w samym dziele odznaczać się. Powinien w nim być obraz piękniejszy i żywszy nad obra-

zy inne. Niechajby czytelnik rozważając to czasy brzemienne przyszłością, sam czuł to dobrze i rozumiał, że tutaj idzie o śmierć albo życie szląskiej ziemi.

Tego właśnie obrazu nie widzimy wcale w pracy p. Kulawskiego. Wszędzie ta kronikarska metoda opowiadania, wszędzie ten odbłysek zeszlých pojęć i zeszlých epoki. Nigdzie tam myśl usposobiona do wyższego lotu, do głębszych wrażeń, nie uderza o prawdę dziejową, jak my ją pojmujemy. Nie pochwycisz tam ducha, a widzisz tylko obnażone ciało. Epoka wielka dla Szląska, przemknęła się w tém dziele niepostrzeżenie; my jęj wcale nie widzimy. Bo czyż takie fakta, że Jan ubijał się z Baltazarem, że potém przyszedł do dziedzictwa Głogowa i Krośna, że godził się z Maciejem, że zamęczył radzców głogowskich, a potém wędrował do Rzymu i dowcipkował o papieżu, że umarł zapomniany i prawie jak na wygnaniu; czyż takie fakta, powtarzamy, dają nam wyobrażenie o dziejach Szląska pod koniec XV i na początku XVI wieku? Okropnie razi ta małość pojęcia historii!

Czytaliśmy kiedyś niemieckie dziełko, wydane na początku naszego wieku we Wrocławiu. Nie pamiętamy autora, ale dziełko samo nosiło tytuł: „Briefe über Schlesien“. Było w dwóch tomach. Autor Niemiec, notował w tém dziełku spostrzeżenia swoje o Szląsku, w przejeździe przez tę ziemię, jak to widać z samego tytułu. Niemiec ten opisywał zaraz i dzieje Szląska. Rzecz to sumiennie była napisana. Nie dojrzeliliśmy tam błędów historycznych, co wielka rzadkość u Niemca, który pisze o Słowiańszczyźnie. Niemiec, Szląsk rozważał podług tych pięciu momentów życia, któreśmy wyżej wskazali. Z kolei opisywał i czasy Jana II. Nie uderzała go wielkość chwili, to prawda, ale czyny Jana II opowiedział z nierównie większym talentem, jak p. Kulawski. W jego szkicu jest wszystko, co w tym ustępie z dziejów szląskich: i wojny Jana II, i jego polityka, i jego błędy; nic nie opuszczono, nic zupełnie. P. Kulawski, gdyby po prostu przetłumaczył ten kawałek o Janie II z niemieckiego autora, byłby sobie oszczędził pracy badań i cytacyj, a praca jego niezawodnieby na tém zyskała. Doprawdy, smutno pomyśleć.

P. Kulawski, jak widzieliśmy, opowiada dzieje po kronikarsku i nie potrafi wcale obudzić zajęcia ani dla swojego bohatera, ani dla stron które opisuje. Miesza wypadki pomiędzy sobą, trzymając się jednak chronologicznego porządku. Nie rozwinie jednéj rzeczy dostatecznie, a ciągle przechodzi od jednego do drugiego przedmiotu. Pomiedzy kronikę wojen, wsuwa wiadomość, że Baltazar nadawał przywileje sukiennikom i herb połowę orla czarnego. Wtrąca nawet legendy i powieści anegdotyczne, które ubliżają majestatowi historii. Wiele rzeczy nie potrafi ro-

zwickłać, a w texcie przytacza krzyżujące się zdania jednych i drugich kronikarzy, jak gdyby dla porównań takich, nie było jeszcze właściwego miejsca w dopisach. Czasami w text swojej opowieści wtrąca moralne spostrzeżenia i uwagi, które doprawdy rażą ekliwością. Opisując np. okrucieństwa księcia Jana, mówi „że wydrżać bratu dziedzictwo ojcowskie, uwięzić go przeciw danemu słowu, a nakoniec umorzyć głodem, zawsze będzie okrucieństwem, na które się natura wzdrygnie, a czytelnik z sercem ludzkim łzę uroni“. Niepotrzebne wcale te moralizowania. Czytelnik światły, wie o jakich ludziach będzie czytał, chociażby go nawet nie uprzedził autor; wie gdzie ma łzę uronić, a gdzie łez wcale nie potrzeba. Dużo się wybacza wiekowi i pojęciom. Ludzi XV stulecia nie możemy sądzić podług skali naszego świata i naszych wyobrażeń. Dowcipy też księcia Jana, które w kilku miejscach przywodzi p. Kulawski, charakteryzują także wiek XV, napół jeszcze dziki i barbarzyński. Te anegdotki są tak rubaszne i ekliwo-grube, że psują jeszcze do szczytu efekt, jeżeli ustęp z historyi Szląska, może się poszczycić, że sprawił na kimś jaki efekt.

W ogólności powiedziéć potrzeba, że zapowiedziana' praca p. Kulawskiego będzie daleką od doskonałości, jakiej dzisiaj po dziejach historycznych żądamy. Owszem, praca ta ani w setnej części obudzonych nadziei naszych nie ziści. Nawet ten język chropawy, ten styl jakiś dziwny, nie przypadają ani do języka, ani do stylu dziejowego. Rylcem słowa, artysta-dziejopis kreśli prawdziwe obrazy z przeszłości; a pan Kulawski nie domyśla się, że artystą może być historyk, że może mieć swój znakomity rylec, jak rzeźbiarz-artysta. Myśmy nawet nie wystawiali sobie, żeby kto był w stanie, w chwili obecnej, tak pisać historią, jak p. Kulawski napisał swój ustęp z dziejów Szląska. Myśmy sądzili że pojęcie kunsztu historycznego, już tak się rozwinęło mocno w społeczeństwie naszym, że nawet ubogi w duchu o nióm słyszał. Omyliliśmy się. Praca p. Kulawskiego przypomina nam dawne czasy, wieje z niej duch dawniej szkoły. Duch to Naruszewicza, ale nie jego talent, nie jego sąd krytyczny, nie jego nauka ogromna na swój czas.

Jednakże prosimy p. Kulawskiego o wydanie na świat historyi Szląska. Dlaczego? zapytają się czytelnicy, którzy z nami treść księgi autora krakowskiego przebiegli.

Dlaczego? dlatego, że ta książka będzie pierwszą książką napisaną po polsku, a poświęconą dziejom nadodrzańskiej ziemi i Piastów najstarszej linii. Dlatego, że książka ta może inne wywołać prace, że może obudzić rozprawy i krytykę historyczną, a każda krytyka rozjaśnia przeszłość badaniami swojemi i zarzutami. Dlatego, że jakkolwiek niedołęzna będzie to praca, zawsze w ogół czytelników rzuci dużo faktów, dotąd za-

chowanych po starych drukach i starszych jeszcze może szpargałach. Dlatego, że książka ta przypomni nam związki dawne, jakie nas ze Szląskiem łączyły. Dlatego wreszcie, że pomnoży niespory zasób dzieł naszych treści historycznej. Pan Kulawski powiada, że brat, który opuścił zagrodę ojcowską i przeniósł się w obce strony, godny jest naszego wspomnienia, godny, żebyśmy go czasem chociaż listem w oddaleniu pocieszyli (str. 5). Trudno z tém się nie zgodzić. Tém więcéj zatém potrzeba nam poznać koleje, jakie brat przebył na obczyźnie.

14 listopada 1850 r.

J. B.

Kilce slov wo Kaszebach e jich zemi, przez Wójkasena. Tudzież rzecz o języku kaszubskim, ze zdania sprawy Prajsa. Kraków, nakładem księgarni i czcionarni pod Sową. 1850 r., 16ka. str. 36.

Wydawca L. Łukaszewicz w przedmowie mówi: „Dla każdego badacza języka polskiego w szczególności, a wszystkich słowiańskich w ogólności, niemałą pociechą, że się przecież Kaszubi raz zdobyli na napisanie czegoś w języku własnym. Bo zdaje mi się, że w istocie Wójkasena pismo niniejsze, jest pierwszym owocem pióra kaszubskiego, które na świat wyszło. Pociecha i korzyść, gdyż każdy będzie mógł się przekonać własnymi oczyma, co to za język, i do której rodziny należy.”

„Aby zarazem ułatwić badanie i roztrząsanie tego przedmiotu miłośnikom i znawcom, podaję tu pierwszą pracę naukową we względzie języka kaszubskiego, którą winniśmy Prajsowi z Piotrogradu. Niewątpliwie wszyscy, nawet najmniej uważni spostrzegą, iż ci dwaj pisarze odmiennie wypisują brzmienia nosowe. Dziwić się temu nie można: przedmiot świeży, pierwsze kroki. Za dokładność wydania ręczyć nie mogę, bo ile mi się zdaje, w pierwszym wytłoczeniu jednego i drugiego pisma, znaczne zachodzą omyłki. Ale takato dola każdego nowego przedsięwzięcia! Co nieco, sam poprawić ośmieliłem się. Czy odpowiednio? niech znawcy powiedzą. Jakkolwiek pierwszy krok uczyniony, miejmy nadzieję, że zasoby i dokładność będą ciągle wzrastały.”

Wdzięczni jesteśmy wydawcy, że pierwszy daje nam materiał, choć niedostateczny, do poznania bliżej tego narzecza polskiego, zupełnie dotąd obcego naszej literaturze. Samo nazwisko *Kaszubów*, mało znane, lubo wiadomo, że to są Polacy, a dotąd żyjących mamy u nas znakomitych urzędników, pochodzących z rodu kaszubskiego.

Wiadomo, że *Kaszubami* zwano dawną część województwa pomorskiego, leżącą przy księztwie wendeńskim nad morzem Bałtyckim (1).

Naruszewicz *Kaszubami* nazywa część Pomeranii z téj strony rzeki *Persanty* i *Kolberga*. Przyznaje, że *Kaszubitowie* byli rodu słowiańskiego, nazwę zaś ich wyprowadza od nazwiska dawnych *Kizynów*, narodu Lutyków i z niemieckiego *Hube*, pewny wymiar gruntów znaczącego. „Mogło w czasie (mówi) urosć nazwisko *Kiszybów* czyli *Kaszubów* (2).”

To domniemywanie Naruszewicza najmniej zasługuje na uwagę, bo domysły takie, żadnej wartości nie mają. Trzeba lud poznać nie z za stolika literackiego, ale z blizka, a wtedy prawdziwą nazwę łatwiej wytłumaczymy sobie. Wbrew twierdzeniu Naruszewicza Bogufał utrzymywał, a jest bliższym prawdy, że nazwa *Kaszubów* od fałdowanych sukien, jakich używali powszechnie, pochodzi.

Wydawcy *Starożytnój Polski* nie oznaczyli nawet właściwych granic Kaszubii, i lekko wszystko zbyli ogólnikiem, że Pomerania gdańska, zwała się *kaszubską* (3).

Takie zaniedbanie i lekceważenie ściślejszych badań o jedném ple-mieniu polskiem, rzuconém na ziemi oplukiwanéj Bałtykiem, spowodowało wiele dziwnych i opacznych mniemań. Znany słownikarz Mrongowius, (jak podaje pan Prajs) utrzymywał, że język kaszubski, gałąź już końającego narzecza polskiego, wiele ma podobieństwa z rosyjskim. Zdanie Mrongowiusa nie mogło być bez znaczenia; przez sam pobyt swój w Gdańsku, był on w stanie sądzić o tym przedmiocie. Oprócz tego wsparty od hr. *Rumiańcowa*, objeżdżał osady kaszubskie, i zbierał wiadomości na miejscu. Zdanie Mrongowiusa zyskiwało na powadze, tém więcej, że zna dostatecznie i język rosyjski.

Tymczasem p. *Prajs*, w zdaniu sprawy do ministra oświecenia w Rosyji w r. 1840, na miejscu badając, odkrył powód (jak wyraża) tak grubój pomyłki szanownego literata.

„Jako słownikarz (mówi p. Prajs), Mrongowius więcej uważał na słowa; i rzeczywiście wielu wyrazów, istniejących jeszcze w narzeczu kaszubskiem język polski nie zna: inne przybrały formy, temu językowi niewłaściwe. Ta strona pytania przeważała w zdaniu Mrongowiusa, który przeto nadto wielkie nadał znaczenie drobnym w téj nauce różnicom, a nie zważył na główne znamiona, które rozróżniają narzecza słowiańskie wschodnie od zachodnich. Z tego stanowiska uważając rzecz.

(1) Dykcyonarz geograficzny, 1782. 8ka. T. 2.

(2) *Hist. Nar. Pol.* T. II.

(3) *Starożytna Polska* tom 1, str. 673.

język kaszubski żadnego nie ma podobieństwa do rosyjskiego, i cały układ jego, cała budowa, przekonywają, że jest gałęzią mowy Lachów”.

Z bardzo pewnego źródła wiadomo nam, że Mrongowius, wcale nie podziela tego zdania, jakie mu Prajs poddaje, owszem stale utrzymuje, że język kaszubski jest narzeczem polskiem.

W dalszym ciągu swego sprawozdania p. *Prajs* wykazuje niektóre właściwości narzecza kaszubskiego, i różnice, jakie w szczególe dostrzegł przy zakończeniach wyrazów. Dalej dawszy mały słowniczek wyrazów kaszubskich, tak rzecz swą kończy:

„Dyalekt kaszubski, tak jak dyalekt Słowian nadbałtyckich, należy bezsprzecznie do języka polskiego. Ale różnice, o których wyżej wspomnieliśmy, tak nienaturalne w narzeczu słowiańskiem, każą się domyślać, że plemiona istotnie Lachów z trudnością rozumiały Słowian nadbałtyckich. Dziś nawet Kaszubi źle rozumieją mówiących Polaków. Ztąd poszło, że jeszcze 1643 roku trzeba było dla Kaszubów przetłumaczyć katechizm. Zdanie to moje zgadza się zupełnie ze zdaniem Mrongowiusa, który uważa Kaszubów jako szczątki *Wendów*, przyjmując wyrażenie w tém znaczeniu, jakie do tego szczepu w północnych Niemczech przywiązują; ci zaś, którzy bezwarunkowo Kaszubów do plemienia polskiego odnoszą, w ogóle tylko rzecz uważają, i w tym stosunku mają słuszość bez wątpienia”.

Zakończenie to, nie daje jasnego pojęcia przedmiotu: bo jeżeli dyalekt *kaszubski*, jak przekonywająco dowiódł p. *Prajs*, należy do języka polskiego, i Kaszubów dolicza sam do plemienia polskiego, to już żadnych wątpiwości w tym względzie być nie może. P. Prajs pisze, że w bibliotece berlińskiej znalazł mały zbiór wyrazów i *Ojeze nasz* w języku kaszubskim. Ile dotąd nam wiadomo, oprócz katechizmu z 1643 r. nic w tém narzeczu nie pisano (1). P. W. A. Maciejowski znalazł przecie dwa inne pomniki tego narzecza, nieznanne panu Prajsowi: piérwszy najdawniejszy fragment religijnej treści, który wyda w drukującej się *Historji literatury polskiej*; drugi pochodzi z r. 1582. Jestto przekład jednéj łacińskiej mowy Krzysztofa Warszewickiego na narzecze kaszubskie przez *Lubelskiego*.

(1) Katechizmu tego drugie wydanie nastąpiło w r. 1752; przedrukował je Mrongowius 1828 r. p. n.: „Mały katechizm D. Marcina Lútra, z niemieckiego języka w słowiański wystawiony przez Michała Pontana, sługę słowa Bożego w Smoldzynie, roku pańskiego 1643. Nowa edycja z przydatkiem niektórych pytań nauki chrześciańskiej. W Gdańsku drukował Godfryd Hartmann r. 1750.

„Trzeba (pisze Prajs) wszelako uważać, że ten katechizm pisany jest w polskim języku. Właściwości kaszubskiego narzecza są tu bardzo rzadkie, np.

Przywiedziony słowniczek wyrazów kaszubskich nieprzenoszący 200 w liczbie, jest bardzo szczupły: dopełnimy go więc tutaj wyrazami (choć w małej części), ale takimi, których w pomienionym słowniczku nie znaleźliśmy.

Białki, niewiasty. *Buten*, na dwór; *na buten* wypędzić, t. j. na dwór.

Chyžo, prędko, spieszo; *chyże*, prędziej. *Cwela*, podwalina.

Dać będzie, za *da*, on mi to da. *Dec*, wszakże, toć.

Ękorki, węgorze.

Fosk, kasztanek, koń kasztanowaty.

Gęgajca, gęś. *Gweszno*, pięknie, dobrze.

Juniec, młody wół, bukat, wolec (1). *Jo*, takjest, z niemieckiego *ja*.

Klasnąć, uderzyć. *Knop*, chłopiec, z niemieckiego *Knabe*. *Korpol*, zając. *Knypel*, kij. *Kucic się*, iść za mąż.

Leno, tylko.

Łoni, albo *łońskiego roku*, przeszłego roku.

Mać, matka. *Matynka*, mateczka. *Mermoc się*, módl się. *Merzeta*, niewiasta narzeczona. *Miesąc*, księżyc. *Modry*, błękitny. *Myca*, czapka, z niemieckiego *Mütze*.

Oblec się, odziać się. *Orlech*, albo *orzela*, orzeł.

Poziemk, wiosna. *Plasgajca*, kaczką. *Pludry*, stare spodnie. *Przewnikać*, skradać się, czaić.

Sięty, święty. *Szlepie*, oczy. *Szczekacz*, zegarek kieszonkowy. *Szczuka*, szczupak samica.

Tatk, ojciec. *Tatynek* pieszczotliwie.

Wejta! otóż! *Werwech*, wilk v. *wołk* i *welk*. *Wery*, stare, liche łóżko. *Woyek*, ojciec, wyraz ludowy. *Wytrzeszcz*, zając.

Zabył, zapomniak.

Przywiedziemy teraz starą, nieznaną dotąd kaszubską ludową modlitwę kmiotków do ś. Mikołaja, która miała leczyć rany skaleczonych koni od wilka i orla, i chronić od wdania się robactwa. Należy ona

jem zamiast *jestem*, *jes* zamiast *jest*, *procim*, *procimu*, zamiast *przeciw* Nadto wiele z tego, co się wydaje obcym dzisiejszemu językowi polskiemu, istniało w nim pewno w XVII stuleciu”.

P. Prajs, dodać tu musimy, a wiemy to z bardzo pewnego źródła, wszystkie swoje wiadomości o Kaszubach czerpał z opowieści i notat szanownego Mrongowiusa. Żałować trzeba, że sam nie zwiedził i nie poznał bliżej ludu, a zyskałoby o wiele wartości jego badania w tym względzie.

(1) U nas *juniec* oznaczał młodego byka. Ztąd poszedł wyraz *junak*, młodzieniec dziarski, waleczny, bohater.

bez wątpienia do bardzo odległych wieków, i zachowała się jedynie w ustach ludu:

„Święty Nekloszu, gweszny nasz patronie, merimoc sę za naju foska do niebieskich woje, do ktorego sę przewnikoł złodziej werwech z orłechem, i oszaradzeł mu rzetnicę, a ne długie pedroki gmeroły. Klasnijze go nam dużym kneplem, na którym rozparty stoisz, i ną długą mycą, którą mosz na głoje twojój przenajsiętszej: a my za to doma wojcom naszym dobrodziejoszkom parę plasgaje, parę gęgaje, okonkow, ękorów, i kapkę śnierzochy”.

Święty Mikołaju, dobry nasz patronie, módl się za naszego kasztanka do niebieskich ojców, do którego podkradł się złodziej wilk z orłem i skaleczył mu zad, a długie pędraki się wdały! Uderzże go pastoralem na którym wsparty stoisz i długą czapką (infułą). którą masz na głowie twojój przenajsiętszej: a my za to damy ojcom naszym dobrodziejaszkom (księżom) parę kaczek, parę gęsi, okonków, węgorzy i miarkę wódki.

Wójkasen na początku dziełka umieścił w dyalekcie kaszubskim rozprawkę, p. n.: „*Kile słow wo Kaszebach e iich zemi*”, z której damy wyciąg, objaśniający rzecz o Kaszubach:

„Kochany bracie Kaszebo! Kiedy czytasz książki tak cudzych jako i słowiańskich pisarzy, co o naszych przodkach wspominają, a dobrze się nie zastanowisz nad imionami, jakich do oznaczenia mieszkańców naszej ziemi potrzebują: tedy lekko możesz tak zbłądzić, że zrobisz z naszych przodków przynajmniej cztery narody, choć oni zaprawdę tylko jedną część wielkiego rodu słowiańskiego stanowili, jak to my, ich wierni potomkowie, jeszcze po dziś dzień jesteśmy prawdziwemi Słowianami“.

„Ziemia kaszebska ciągnęła się już w najdawniejszych czasach od morza *Baltyckiego*, czyli, jak my je teraz zowiemy *Wielkiego*, aż po Noteć i Wartę, między Odrę i Wisłę. Ludowi tutejszemu dawali dziejopisowie różne nazwiska: *Venetów* czyli *Vendów*, *Słowianów*, *Pomorzanów*, *Kaszebów*. Powiastki Greków i Rzymian, jakoby na ziemi naszej niegdyś mieli mieszkać Niemcy, pomijam, bo wielu już pisarzy niemieckich, za niewczesne i kłamliwe je podali”.

„Tak powiada *Sell* zaraz na początku swojej historii księstwa pomorskiego, że nigdy w tych stronach Niemcy nie przebywali, a wszystkie dawne nazwy miast, wsi, rzek, gór i t. d., jak stoją w starych dokumentach zapisane, nie są niemieckie, ale są słowiańskie“.

Przywołując dalej *Wójkasen* dowody ze starożytnych pisarzy, że ich ziemię plemię słowiańskie *Vendów* czyli *Vinidów* jedynie zamieszki-

wało, że Niemcy po dziś dzień Kaszebów jeszcze Vendami nazywają, tak dalej mówi:

„Z tego wszystkiego wynikają dwie rzeczy: 1) że pierwsi historyczni mieszkańcy ziemi kaszubskiej byli Słowianie. 2) Że miano Vendów nie należy jedynie do części plemienia słowiańskiego nad morzem między rzekami Wisłą, Odrą, Wartą i Notecią zwaną Kaszebami: ale że owo miano, oznacza jeden wielki lud słowiański, albo przynajmniej jego wielką część”.

„Zaprawdę nikt nie będzie chciał całego plemienia słowiańskiego w dopiero co opisanych granicach zamknąć; bo jego siedziby od niepamiętnych czasów zajmowały i zajmują większą połowę całej Europy. Dlatego miano Słowianów pomijam, i do nazwy Pomorzanów przystępuję.

„Pierwszy dziejopisarz, to miano *Pomorzanów* wspominający, jest *Adam Bremeńczyk*, żyjący około r. 1060.

„W jego historii kościelnej księdze II, rozdziale 13 znajduje się następujące miejsce: „Odra, obróciwszy się ku północy, płynie przez ziemię Vinulów, aż przyjdzie do *Jumne* miasta, gdzie dzieli *Pomorzanów* od *Wilków*“. Też samą myśl, i nawet temi samymi słowami, mamy wyrażoną w kronice słowiańskiej *Helmolda*, trochę później żyjącego, w księdze 1szej, rozdziale 11stym. Według tych dwojga głównych źródeł kierowali się nowsi dziejopisarze, z tą jedynie różnicą, że niektórzy rozciągali granice ku zachodowi, aż po rzekę *Ejdrę*, czyli aż po Danią”.

„W tém znaczeniu pisze o Pomorzanach bezimienny, opowiadający życie świętego Ottona biskupa bamberskiego w księdze 2, rozdziale 1ym: „Pomorze ciągnęło się aż po Danią“. W kodexie dyplomatycznym *Dregera* stoi w jednym z najdawniejszych dokumentów: „Szczeceno w Pomeranii“. Jednak nietylko w tych stronach nad morzem mieszkających Słowian zowią pobratymce Pomorzanami, ale i gdzieindziej, jak np. nad morzem Adryatyckim; co widocznie stąd pochodzi, że ta nazwa nie więcej nie oznacza, jak jedynie ludzi, których siedziby aż po morze sięgają. Taż sama więc nazwa Pomorzanów służy zarówno dla mieszkańców nad morzem *Wielkim*, tak z téj, jak z tamtéj strony Odry. Ztąd jasno się pokazuje, że Kaszeby są Pomorzanami, ale nie wszyscy Pomorzanie są Kaszebami”.

„Właściwe miano ludu na wspomnionój przestrzeni mieszkającego jest Kaszebi. Ale nie mniejsza sprzeczka, jak co do wyprowadzenia téj nazwy, panuje nawet w najlepszych pisarzach względem oznaczenia granic Kaszebii, co głównie stąd pochodzi:

„W najdawniejszych czasach było u nas, Kaszebów, jak u wszystkich Słowian, życie patryarchalne, to jest ojciec rządził swoim rodzeń-

stwem, a najstarsi we wsi byli przełożonemi nad całą wsią w rzeczach świeckich; w rzeczach zaś duchownych mieli zwierzchność księża. Dopiero wtenczas, gdy sąsiednie narody, osobliwie Niemcy, Duńczycy i Prusacy zaczęli napadać naszą ziemię kaszebską, musieli nasi przodkowie nad Wisłą, Odrą i morzem, wybierać książąt sobie, którzyby im dowodzili przeciwko napastnikom. Tym sposobem powstało jedno księstwo nad Wisłą, z głównym miastem *Gdańskiem*, drugie nad Odrą, ze stolicą w *Szczecinie*, trzecie nad morzem Wielkim wokoło *Slepska*, czwarte ze *Starogardą* nad rzeką *Wierzyszą*, piąte ze *Starogardą*, niedaleko Odry, szóste w *Swiecu* nad *Czarną wodą* i Wisłą, parę także nad Notecią. Pojedynczy książęta chcieli mieć oddzielne godności, przez co chmara się tytułów utworzyła, do których pomnożenia wiele się przyczynili ich potomkowie, czyto przez podziały ojcowizny, czy też przez chęć długich napisów. Niektórzy książęta zmieniali tytuły swoich poprzedników, choć territorium bynajmniej się nie zmieniło: bo nawet jeden i ten sam rządca jednego i tego samego księstwa, bez zmienienia granic pisał się różnemi czasy różnie. Na dowód i poparcie służy *Codex diplomaticus Pomeraniae*, przez Dregera. Tu czytamy na dokumentach z XII wieku, że książę Kazimiérz na Szczecinie pisał się „*Dowódzca*“ albo „*Książę*“ albo „*Dowódzca i książę Słowianów*“, a czasem „*Książę Pomorzanów*“. W tych samych latach, mianował się jego brat *Bogusław* w *Starogardzie* niedaleko Odry „*Dowódzca Pomorzanów*“ albo „*Dowódzca Leutycy*“. Kiedy się to nad Odrą działo, pisali się rządcy nadwiślańscy w Gdańsku „*dowódcą Pomorza*“ albo „*dowódcą całego Pomorza*“, a Grzymisław w *Starogardzie* nad *Wierzyszą* nazywa się: „*jeden z książąt Pomorza*“. Nad Notecią i Wartą panował téj części *Gniewomir*. Taż sama dowolność ma miejsce w następnych i późniejszych wiekach. Król duński *Waldemar* IIgi podbiwszy okolice nadmorskie, a osobliwie wokoło *Slepska*, *Dirłowa*, pisał się: „*Król Duńczyków i Słowianów*“. Książę nadwiślański *Świętopelk* i jego syn *Mszczug* IIgi w Gdańsku tytułują się: „*Dowódcą całego Pomorza*“.

Pomimo tych tytułów książąt słowiańskich i Pomorza, dopiero pierwszy książę nadodrzański *Barnim*, i syn jego *Bogusław* w *Starogardzie* przybrali tytuł: „*Dowódzca Słowianów ziemi kaszebskiej*“. Odtąd téż nazwa *Kaszebów* występuje w dyplomatach. Rządca nadodrzański *Bogusław* i syn jego *Wartisław* na *Szczecinie* piszą się: „*Dowódcą Słowianów i ziemi kaszebskiej*“. Ich następca *Otto*: „*Dowódzca Słowianów i ziemi kaszebskiej i pan na Szczecinie*. Jego synowie *Otto*, *Wartisław*, i *Barnim* mieli takie tytuły: *dowódzca Szczecina, Słowianów, ziemi kaszebskiej, i Pomorza*; a po śmierci *Otona*: *My Bogusław*

Barnim, Wartisław bracia, dowódcy Szczecina, Vendów, Kaszebów, Pomorzanów i książęta Rugów.

Najstarszy dziejopis pomorski z dawniejszych czasów *Kanzor*, żyjący około r. 1530, w dziełku swoim: *Pomerania*, mówi: „Kaszuby tworzą część Pomorzanów czyli są ci Wendami, którzy nie nad morzem, ale dalej w kraju mieszkali, i przeciwko zwyczajów dawnych Wendów długie suknie z *gubami* (1) nosili. Ich siedziby były tu, gdzie teraz biskupstwo kamińskie, Pomerelia (Prusy królewskie) i *Nowa Marchia* (Ukraina). Ich mowa, która ma swoje właściwości, utrzymuje się jedynie w Pomerelii”.

„Wszyscy geografowie znający miejscowość, oznaczają siedzibę Kaszubów nad morzem, głównie koło rzek *Parzanty* i *Rzegi*, jak piszą *Mack Seutter*, *Gerard Walk*, Jan Baptysta *Homan*, Franciszek de *Witt*, *Sanson*: albo koło rzek *Wippry* i *Stepice*: jak Jan de *Ram*, *Nisko*, *Vischer*, albo też dają dwojakie zamieszkanie; tak mieści ich *Konrad Lotter* na jednym ziemobrazie nad rzekami *Parzantą* i *Rzegą*, a na drugim oznacza ich siedzibę w Marchii gdańskiej. Geograf niemiecki *Schwarz* powiada: „Rzeka *Radunio*, wypływa z jednego jeziora w Kaszubach”. *Gundling* w opisie Pomorza mówi: „Kaszuby są Pomerelią, teraz do Prus polskich należąca, oprócz państwa Lęborskiego i Betewskiego. Sławny nasz ziemiopisarz *Kluwer* (mówi *Wójkasen*) rodem z Gdańska, żyjący na początku XVII wieku, tak *Kaszebią* opisuje:

„Granice Prus ku zachodowi stanowią Kaszeby. Województwo Kaszebskie między Prusami i Pomorzem leżące, było niegdyś więcej szerokie jak jest teraz. Cała część Prus wokoło Wisły leżąca, co się teraz *Pomerelią* zowie, przypadała przedtém książętom kaszubskim. W ziemi, którą teraz kaszubską mianują, jest główném miastem *Chojnice*, a pomniejsze są: *Człochowo*, *Betowo*, *Lęborg*”. *Wójkasen* kończy rozprawę w dyalekcie kaszubskim napisaną, przywiedzeniem jeszcze cytat o Kaszubach z *Naruszewicza* i *Bandtkiego*.

Ciemny dotąd wizerunek Kaszubów, zyskał teraz nieco światła. Zapoznajem się z tém narzeczem polskiem, i widzimy już w pewnych granicach ich siedziby. Wiadomość podana przez *Bogufała*, że nazwę swoją mają od sukni fałdowanych, w kilka wieków później dziejopis pomorski *Kanzor* zdaje się potwierdzać, opisując tenże sam rodzaj sukni z *gubami*, a czém się wyróżniali od dawnych Wendów. Wyraz ten nie jest obcy dawnemu językowi polskiemu.

Początek już zrobiono pisemkiem, o którym zdajemy tu sprawę. Życzyćby należało, aby znalazł się jaki pracownik sumienny, któryby mógł

(1) Z fałdami.

zbadać na miejscu stan dzisiejszy tego w znacznej części już zniemczanego plemienia polskiego, i żyjącego dotąd dyalektu. Czcigodny *Mrongowius*, przyciśniony sędziwym wiekiem nie podołał tej pracy, a ten, któregośmy poświęcenia uwielbiali, zasłużony ks. *Gizewiusz*, już w mogile spoczywa. Obyśmy się doczekać mogli godnego tego kapłana następcy!

Warszawa, 29 listopada. 1850 r.

K. W. W.

Pamiętnik naukowo-literacki. Pismo literaturze, umiejętnościom i sztuce poświęcone, pod redakcją Romualda Podbereskiego. 1850. Tom 2gi.

O treści tomu Igo Pamiętnika naukowo-literackiego czytelnicy Biblioteki wiedzą już z kroniki literackiej r. z. Tom 2gi ma też zalety i cechy. Przytaczamy tu krótko treść tak oddziału *poezyi*, jak *prozy*.

Poezya. Oddział ten nie obejmuje w tomie obecnym plodów pióra poety z pięknych czasów naszej poezyi, p. *Odyńca*; mieści jednak, równie jak *Iszy*, utwory pisarza, który rzadkim wyjątkiem w ciągu lat 2 czy 3, umiał już zyskać przymiot *zasłużonego*—p. Władysława *Syrokomli*. Czytelnikom Biblioteki znane już są próby przekładów tego autora poezyi Janickiego i Sarbiewskiego. Pamiętnik daje nam teraz wyjątki z przekładu *Roxolanii* Kłonowicza. Kłonowicz był poetą zbyt więcej oryginalnym, niż Janicki i Sarbiewski; pisał on prawie zawsze o przedmiotach krajowych i nawet językiem krajowym; sama *Roxolania*, to opis piękności rodzinnéj ziemi autora (Czerwonorusi); może téż dlatego i przekład tego poety wdzięczniej jeszcze niż innych dał się tłumaczowi wykonać. W przekładzie tym jest, jak i w poprzednich, zachowanie charakterystyki: treści i dykeyi tekstu, obok swobody tłumaczenia; i owszem, znając pióro polskie śpiewaka *Roxolanii* poprawne i silne (np. w *Worku Judaszowym*, *Flisie* i t. d.) rzechy można, że sam autor gdyby pisał po polsku, nie wyrażałby się inaczej.

Przytaczamy tu dla przykładu parę wyjątków.

Poeta w opisie miast swéj prowincyi, po apostrofach do świętych grodów Kijowa i Lwowa, zwraca się do Kamieńca, uchwytując poetyczną stronę w budowie grodu i nie szczędząc mu, snać potrzebnych podówczas, przestróg moralnych:

A ty Kamieńcu, słynny znakomicie!
Kto godnie twoję wyśpiewa pochwałę?
Kto cię osadził na twardym granicie?
Człowiek nie zdołał wrzucić cię na skałę.

Nie z ręki ludzkiej, nie z uczonej karty,
 Lecz na skinienie wszechmocnego oka,
 Na jednej skale cały gród oparty,
 A całe miasto, to jedna opoka.
 Bóg, nie zaś człowiek, wykonał cię z głazu,
 Bóg, nie zaś człowiek, zdobędzie cię siłą;
 Człek jest zrodzony—tyś stworzon odrazu,
 A stworzon pierwój nim człeka nie było.
 Gdy przyjdzie skonać zastarzałej ziemi,
 Ty musisz skonać jój urodzin świadku;
 Lecz jakoś stanął przed miasty innemi,
 Tak i zaginiesz chyba na ostatku.
 Nie bój się człeka, bo cię niebo trzyma,
 Lecz gdy powstaniesz na ojca, co w niebie,
 Znajdzie się mściciel na miasto olbrzyma (1),
 Ten co cię stworzył, i w prochu zagrzebie.
 Módl się do Pana, masz znaczne kościoły
 Masz tron pasterski....

W opisie płodów ziemi czerwonoruskiej poeta umiając upatrzeć we wszystkiém strony poetyczne przedmiotu, tak sławi *miody* (niezapominając w panegiryku stylem czasu, i mitologii):

Włoski mieszkańcze! cóż twoje nektary?
 Co twoje wina przed nektarem Rusi?
 Wino jest z ziemi błotnistej i szaręj,
 Miód prosto z niebios spuszczone być musi.
 Miód, rosa niebios i manna jedyna:
 Pszczółka cię zbiera do swego zacisza.
 Miody sycone lepsze są od wina,
 O ile Bachus niższy od Jowisza.
 Jak wyższe niebo nad poziom ubogi,
 Zkąd się wyradza winogronna trawa;
 Miodem zaiste nieśmiertelne bogi,
 Kwitnąca Hebe w Olimpie napawa.
 Bo żniwem bogów są górne obłoki,
 Człek żyje z tego, co ziemia przysporzy.
 Niech inni w winie piją ziemne soki,
 My Haliczanie mamy nektar boży".

Z oryginalnych poezyj p. *Syrokomli* znajdujemy w tym tomie: *Muzykę* i *Waryant z pieśni gminnej*.

We wspomnieniu pod napisem *Muzyka*, autor gra i wewnątrz i zewnątrz swym wierszem na różne nuty; treścią zaś jest: oddanie hołdu tej sztuce, która zdolną jest nas unosić chociaż na chwilę od rzeczy-

(1) Stosując tę przestrożę wyłącznie do Kamieńca, zdaje się, iż duch wieczny autora sięgał przeczuciem na *wiek*. Pierwsze wydanie Roxolanii było 1584; w lat 100 Kamieniec był w ręku Turków.

wistości. Przyjaciel rozwagi i racyi, autor w zaczęciu wiersza tak użala się, iż nieraz proste piosnki krajowe wzruszają go silniej, niż najuczuczejsze kompozycye:

„Ej, coż poradzisz z kapryśnym szalem
I z fantastyczną myślą ruchawą?
Jaż na koncertach nieraz drzémałem,
Lub tonem znawcy wołałem: bravo!
Lecz znowu nieraz rwały mi duszę
W echu Niemnowém piosnki pastusze,
Nieraz od tonu skrzypiec i fleta
Lałem gorące łzy jak kobiéta;
Zimny rozumie, weź mię we władzę!
Kiedyż kaprysom ducha zaradzę?
Dziwaczna myśli, podetnij skrzydeł!
Serce niekarne pilnuj prawideł!

Inne poezye umieszczone w tym tomie są: *Graf Łoś*, powieść Alexandra Puszkina, naśladowana przez Ignacego Kułakowskiego. Treścią téj dowcipnej powiastki jest przypadek hr. *Łosia*, który wszedłszy o świetle lampy do pokoju Natalii (uprzejmiej pani domu w którym był gościem) i uściskawszy ją w rączkę prawą, dostał po twarzy lewą. Autor dodaje: iż scenę tę opowiedziała sama Natalia swemu mężowi, i cieszy się, iż jest jeszcze cnota na ziemi. Wiersz powieści lekki i gładki.

Pani Kaznaczejowa powieść wierszem p. A. *Kłewszczyńskiego*. Powieść ta jest naśladowaniem poprzedniej, z różnicą, iż bohaterami są nie Natalia i graf, ale pani *Kaznaczejowa* i *ułan*. Jest nadto i ciąg dalszy: mąż bohaterki, pan Kaznaczej, stawia na kartę żonę, przegrywa, a *ułan* ją unosi. Powieść tę opowiedzianą także wierszem gładkim, lecz trochę za rozwleczonym, autor tak kończy:

Taki jest finał téj filodramy,
I tutaj punktum mojego śpiewu;
Niech mi przebaczą szanowne damy
Gdym cierpliwości waszój nadużył:
Jakem potrafił, takem usłużył.

Dwa *wierszyki w albumie*, p. Juliana *Korsaka*; jestto snąc cała praca poetyczna autora od lat 10.

Poezye Leona *Janiszewskiego* i *J. J. P.*, wiersze już krótszej, już dłuższej treści, gładkie, harmonijne, rozwlektę, rzechy można jedną ręką pisane, a ręką kobiety.

Proza. Oddział prozy można podzielić na część *naukową*, *powieściową* i *listy*. Do części naukowej należą:

Wyjątki ze studyów nad dziejami powszechnemi przez Alberta *Gryfa*. Czytaliśmy już kilka rozpraw gdzieindziej p. Alberta *Gryfa*, i le-

dwie już nie więcej pochwał. Autor obecnie zapowiedział wydanie pisma p. n.: *Filozofia dziejów piśmiennictwa krajowego*, a sam spis przedmiotów tomu I okazał się tak obfitym, iż redakcyja uznała za stosowne umieścić go jako oddzielny artykuł w Pamiętniku.

W rozprawach p. Alb. Gryfa (jak niegdyś u nas autora *Historyi Literatury i krytyki*) znajdujemy istotnie i *myślenie* i *pracę* i *zapał*, i boimy się tylko, iżby nie przeważył zapał, bo wtedy daje nam często zbiór wykrzyknień zamiast *wykładów*, prowadzi do twierdzeń o ogółach, bez poprzedniego zdania sprawy przed sobą ze szczegółów i t. p. Wyjątek ze *studjów* o którym mowa, właśnie stwierdził nam tę obawę; treścią jego jest powiedzenie: *że duch chrześcijański przyszedł odnowić ludzkość wśród świata starożytnego*. Opowiedzenie to jednak obok niejednej myśli w duchu wieku odbitej, objęło raczej rząd deklamacyj, jak wywód treści.

Dla zapoznania czytelników z piórem młodego autora, przytaczamy tu kilka wierszy z samego zaczęcia artykułu:

„Dwa są główne poglądy na dzieje ludzkości: pogląd materialny i pogląd spirytualny; tamten najdosadniej wyraził się w przeszłym, ten zaś w obecnym wieku. Dzieje, to ementarz ludzkich społeczności!—mówił wiek XVIIIy. Przeciwnie! woła nasze stulecie: historia jest królestwem ich ducha, jest elizejskim polem, na którym się przesadzają zbiorowe indywidualia ludzkości. Tam panuje wyłącznie zewnętrżność, tu wewnętrzność; *szkoła malownicza* (?) w dziejopisarstwie zdaje się godzić te dwie ostateczności. Poezyja i filozofia podają sobie dłonie: pierwsza oczami ducha widzi psychę ludów umarłych; druga (zapewne pierwsza) wzrokiem kunsztów schwytuje piękną, poetyczną stronę ich ziemskiego postannictwa i ubiera te zbiorowe postacie w stosowne dla nich symbola i drapeiry; temu daje kij w ręce i wdziewa zapyłone sandały pielgrzyma, roznoszącego barbarzyńskim ludom *dobrą nowinę* zbawienia; jestto lud-apostoł, człowiek Wschodu! Tamten wznosi się na szczyt siedmiopa górkowego grodu jedną dłonią, potęgą miecza ciągnie do siebie ludy, w drugiej trzyma księgę, z której płyną potoki organizacyjnego ducha, cywilizacyi prawa i społeczęńskich związków. Dalej powstaje postać skupiająca w sobie jeszcze potężniejszego ducha, bo *ideę ofiary*“ i t. d.

Autor, widzimy, potępił z góry pogląd spirytualny, sam jednak dalej nie za innym idzie, i owszem przesadza poprzedników. Twierdzi autor, iż to poezyja stworzyła wędrówki apostołów, osadziła Rzym na siedmiu pagórkach i dała mu w jedną rękę miecz, w drugą kodex. Czytaliśmy w innym piśmie zbiorowym rozprawę, także już wielce sławioną, p. Wandalina *Habdanka*, w której dowodzi: iż i historia i filozofia i religia i każdy nasz codzienny uczynek jestto poezyja. Tylko pisarzom znad rzeki Niemna, mie-

szańcom miejsc przydzielanych w urok przez naszych rzeczywistych poetów, wybaczone być mogą równe wykrzykniki na rzecz poezji.

Gawędy krytyko-literackie przez Adolfa zpod Bielska.

Jeżeli p. Alb. Gryf obiecuje nam dopiero w programmie pisać o wszystkiém, drugi współpracownik Pamiętnika p. *Adolf zpod Bielska*, autor *Gawęd krytyko-literackich*, już pisze o wszystkiém. *Gawędy* te umieszczane w każdym zeszytcie Pamiętnika, sąto rozmowy czytelników wiejskich o nowych pismach, i rozbiegają pisma ze sfery nauki, sztuki, umiejętności,—krajowe, zagraniczne i t. p.

Być może, iż autor *gawęd* jest erudytem piérwszój potęgi, i piérwszego rzędu estetykiem; gdy jednak o tém nie wiemy, przeto nie porzeczajemy na zdaniach, które zwykle mówią nam tylko, iż ta książka jest dobrą a ta inną dobrą, ta jest taką, ta inną, bez wymienienia powodów. Gdyby przynajmniej autor przytaczał treść pism, o których wspomina, czytelnik mógłby albo bliżej ocenić zdanie, albo skorzystać z poznania treści pism nowych. Pióro autora jest gładkie i czytelnik dowiadyuje się jasno, iż objawione to albo inne zdanie przez p. Adolfa jest rzeczywiście zdaniem p. Adolfa, nie jednak go nie zniewala, by je podzielił.

Ralph Waldo Emerson poeta-mściciel amerykański. Literatura Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, jak wiadomo, w każdej gałęzi piérwsze kroki dopiero stawia. W filozofii jeszcze przed kilką laty uważane tam były za szczyt myślenia pisma filozoficzne *Locka* i *Szkoly szkockiej*; dopiero w tych latach ostatnich pisarze jak *Rauf*, *Rufus Dawes* i *Emerson*, w kilku rozprawach oddzielną od poprzedników drogą pójść odważyli się. Znane pismo francuzkie: *Przegląd dwóch swiatów*, które jakkolwiek zwykle zajmuje się *jednym*, przypomina jednak niekiedy na swój napis, przed trzema laty umieściło o Emersonie artykuł Emila *Montegut*. Według tego artykułu podał wiadomość o tymże Emersonie p. Michał Bohusz *Szyszko* do Pamiętnika. Jest też to artykuł z naukowych artykułów w Pamiętniku najobszerniejszy i najwięcej zająć mogący. Większa część myśli Emersona, które zadziwiły świat nowy, dawno już wprawdzie znane były na starym; myśli te jednak mają też i pewien sobie właściwy odcień, ze społecznego wychowania autora wypływający. Artykuł p. Szyszki napisany jest dobrze i przekonywa nas, że autor ten i sam myśli; porównania w nim jednak do *Montaignów* i *Mallebranchów* niewielkiém są wyjaśnieniem dla czytelnika polskiego.

Z części powieściowój mamy w tym tomie:

Kilka wspomnień uniwersyteckich (dokończenie). Wspomnienia te są napisane oryginalnie i z przyjemnością czytać się dają. Mają one istotnie niejeden rys wierny ze stosunków młodzieży uniwersyteckiej,

piérwszych ich kroków na świecie i przeniosły nas żywo w dawne czasy. Żałujemy jednak, iż bohater tych wspomnień, student *Marcinkiewicz*, podany tu za typ prawości i szlachetności jest zwykle *kłamacą* (z głównych czynów téj szlachetności Marcinkiewicza piérwszy zależy na tém, iż pracę swoją wyznał być pracą swego biédnego kolegi, a *szlachetny* rektor wiedząc o tém, i Marcinkiewicza pochwalił i piérwszą nagrodę niezastużonemu przyznał; drugi zaś na tém, iż zwiódł matkę swego kolegi Erazma pisząc do niéj, iż ten chory na odrę, kiedy rzeczywiście leżał w niebezpiecznej gorączce). Wyznajemy, iż nie wierzymy nawet w podobne rysy; ludzie rzetelnej miłości nie sąto kłamacy; rzetelna miłość i prawda chodzą razem. W każdym zaś razie rysy takie nie były do ideału.

Pamiętniki Józefka. Szkic. Autor tych pamiętników (lekarz) opisuje dwie wizyty z swego zawodu, z których w piérwszej ujęła go córka pacyenta (Olesia), w drugiej córka pacjentki (Nastusia). Zdaje się, iż autor w powieści usiłował naśladować półlekkosć, półnaukowość opowiadania Sterna; to jednak, co w tém opowiadaniu najbardziej jest ciężkiem, jest właśnie lekkosć.

Przygody człowieka, który sprzedał swój cień, powieść naśladowana z niemieckiego, przez redaktora.

Jestto w lekkiem przerobieniu znana powieść autora niemieckiego, Chamisso: *Peter Schlemihl*, która wydana niegdys po raz piérwszy w r. 1814, w lat 20 przełożoną była na wszystkie prawie języki europejskie, a w drugie lat 20 przeszła, jak widzimy, i do nas. Bohater téj powieści Piotr *Schlemihl*, za kieskę mieszczącą złoto nigdy nieprzebrane, sprzedał swój cień. Po tym targu nie uczuł nawet swéj straty, ale wnet uczuł korzyść: siał złotem, używał świata, i kupił za nie wszystko, prócz jednak szczęścia. Brak cienia uczynił go wkrótce postrachem i przedmiotem wstrętu każdemu, do którego się zbliżył: domowi, przyjaciele, kochanka, słudzy, nawet prosty lud wiejski, opuścili go i uciekali od niego; „przecież i pies ma cień“, słyszał nieraz wołanie. Opuuszczony i zrozpaczony rzucił się w świat oderwany: podróże i uprawę umiejętności. P. *Podbereski* przy końcu téj powieści dodaje w nocy kilka wykładów znaczenia jéj allegorycznego, a między innemi: iż „gawieź goni zwykle za cieniem“: nam się zdaje, iż to, co zjednało było powodzenie téj powiastce, było jéj znaczenie daleko prostsze, to jest: iż najlichszy przymiot człowieka, chociażby cień, większej jest w gruncie wagi dla człowieka, niż złoto, chociażby nieprzebrane. Dodały nadto zajęcia powiastce, umieszczone przy końcu obrazy malowne różnych stron świata; autor jéj bowiem (Chamisso) był jednym z tych, którzy odbyli pod Koztebueu podróż naokoło świata.

Literatura polska ma wdzięczność dla p. Podbereskiego, iż ją zapoznał, choć późno, ze sławną powiastką. Opowiadanie wykonane jest piórem wprawném; mielibyśmy tylko do zarzucenia wespółzrobienie, wespółztrzymanie kolorytu textu; w opowiadaniu np. autor utworzył nazwisko *Sobka*, a pozostawił Schlemihl, wymienia w powieści dzieła piśmienne bohatera z historii naturalnej (które rzeczywiście były dziełami samego Chamisso) i dodaje, iż je zamierza odesłać do uniwersytetu *krakowskiego* i t. p.

Oddział *Listów* obejmuje ledwie nie trzecią część tomu. Listy te pisane do redaktora, zawierają częścią *doniesienia*, częścią *porady*. *Porady* udzielane redaktorowi i ogłaszane przez redaktora, figurują trochę dziwnie w dzienniku. Czytelnik, który prenumeruje pismo ma oczywiście ufnosć, iż otrzyma lekye od redaktora; tymczasem czyta przeciwnie lekye redaktorowi dawane. Porozumienia się wspólne dobre są przed przystąpieniem do wydawania pisma, a nie potóm. *Doniesienia* mają kilka szczegółów zajmujących.

Do oddziału tego należą:

List *Antoniego Edwarda Ż.* (Sowy) zawierający uwagi ogólne i szczegółowe o dobrém wydawaniu Pamiętnika.

List *Zosi K.* W liście tym autorka w imię chrześcijaństwa (to jest nauki miłości) zaklina redaktora, aby w zdaniach o ludziach i pismach nie przestrzegał języka miłości.

List *Michała Bohusza Szyszki* o kilku moralnych włazach człowieka i nadawaniu im właściwych nazwisk.

List *Kazimierza Alksi* o p. Kraszewskim.

List *Waleryana Kępis* o fenomenach somnambulizmu (jasnowidzenia) świeżo zdarzonych w Wilnie.

List p. *Lewieckiego* (niegdyś ucznia instytutu w Marýmencie) o konieczności poprawy gospodarstwa wiejskiego na Litwie.

List *Leona Janiszewskiego* pisany z Tyflisu. List ten zaczynający się od słów: „Chcesz abym ci doniósł o pracach naszej młodzieży na Kaukazie” przyniósł nam niespodzianie kilka ciekawych szczegółów do dziejów biografii lub bibliografii krajowej, powtórzmy więc tu urywki: „*Strzelnički* Wład. umarł: talent wielki, prawdziwy poeta (?), pisarz wielkich nadziei; poezye jego drukowane były w *Roczniku Literackim*, powieść *Mahmudek* w Bibliotece Warszawskiej.” Umarł téż i *Zabłocki* (Łada): „nie szukaj zdrowej, potężnej myśli ani w jego pismach, ani w jego śmierci (?). Wszędzie u niego myśl jest niewolnicą powierzchownej oglady. Nakoniec i jemu samemu znudził się ten koncert na eolskiej arfie; zachciało mu się wystąpić poetą - my-

ślicielem, i napisał *Kuzbek*. Galimatya jak *Kuzbek* kolosalna. Napisawszy *Kuzbek* przyjął obowiązki dozorczy żup solnych wkrótce przed śmiercią, i skończył życie nad rejestrami i rubryką.—*Konstanty Zach* znał język perski, tatarski i turecki, zabierał się całe życie pisać grammatykę tych języków i był w stanie to uskutecznić, ale skończyło się na projekcie; nie napisał nic, oprócz tytułu grammatyki i szczyptych o niektórych prowincjach tatarskich notatek. Potrzeba chleba codziennego zagnała go po raz drugi do służby wojskowej; udawszy się na robotę drogi w górach, znalazł tam śmierć pod urwiskami skał i w falach górnego potoku.—*Michał Andrzejkiewicz* zbiera materiały do opisu Kaukazu, z książek, opowiadań miejscowych i t. p. Zbiór swój szacuje już na 40,000.—*Hugo Korsak*. Nieboszyk Łada chciał go gwałtem zrobić powieściopisarzem; jakoż zaczął pisać *Kikoli powieść gruzyjską*, ale się w czas obejrzał i spalił.—O badaniach *Jana Wierzbickiego* we względzie medycyny i historii naturalnej na Kaukazie, nie bliżej nie wiem.—*Zacnego Pietraszkiewicza* inwalida z kulą w brzuchu już dawno nie ma na Kaukazie; podobno na Wołyniu ile mu zdrowie pozwala pilęgnuje ojczyście muzy.—*Stanisława Winnickiego* autora niedokończonego poematu *Artem Popowicz* nie poznałem, gdyż umarł przed moim na Kaukaz przyjazdem. *Winnicki* umarł na gorączkę, *Strzelnicki* na zapalenie kiszek, *Zabłocki* z cholery. *Win. Dawid* znany z wyjątków wierszem i prozą umieszczanych w różnych pismach zbiorowych, pisarz z ukształceniem wysokim i talentem. Słyszałem jeszcze o *Muczlerze* żołnierzu w pułkach dagestańskich, którego wiersze umieszczane były w *Rubonie*.—O czytelnikach mówi autor, iż tych jest naturalnie więcej, aniżeli piszących na Kaukazie, i tak dalej pisze: „Był czas, kiedyśmy byli ubożsi, a nie żałowaliśmy odejmować od potrzeb codziennych, od powszedniego chleba na pokarm duchowy. Lecz oto, poszliśmy w górę, mój panie, zapijamy szampana, posyłamy na bank pieniądze i gramy w karty, ale nie mamy i jednego rubla na książkę. Słów wiele wprawdzie, ale czynów mało.” *P. Janiszewski* mówi wreszcie o sobie (czytelnicy Biblioteki znają autora jako tłumacza poematu *Cyganie*), i między innemi, komunikuje takich parę osobliwszej treści szczegółów do swój biografii. „Przed dwoma laty, na drugi dzień po odebraniu wiadomości o ucieczce króla Filipa z Francyi, rozwiązałem przygotowane do podróży do kraju tłumoki; po otrzymaniu wiadomości o wzięciu Wiednia przez wojska, ożeniłem się; a ponieważ teraz faktą wyprzedzają myśli, więc powiem ci, że na drugi dzień po otrzymanej wiadomości o rozpuszczeniu sejmu przez króla pruskiego, urodziła mi się córeczka, śliczna jak anioł, i która teraz tak słodko gwarzy w kołysce, że muszę wstać żeby na nią popatrzeć.”

Z artykułów poświęconych czasom ubiegłym, znajdujemy: Opis przez naocznego świadka *swawoli studentów wileńskich* z czasów Jana Kazimierza, z pamiętników Filona Osińskiego, artykuł podany p. *Teodora Narbutta*: tudzież opis kilku kalendarzy polskich z początku XVIII wieku p. Ignacego *Chodźkę*, według exemplarzy w sąsiedztwie znalezionych.

Inne drobniejsze artykuły są: nekrologi profesora *Jakowickiego* i Sylwestra *Grozy* z wymienieniem ich pism; krótkie artykuły fizyologiczne przez *Macieja Mutewkę*; *Pielgrzymka ludu litewskiego* do Kalwarii pod Wilnem przez *Pulkamera* i t. p. Znajdujemy też: Programmat do historyi zakonu Jezuitów p. *Alexandra Jurkowskiego*, w którym autor przyrzeka nam bezstronną i szczegółową historyą tego zakonu, zwłaszcza w kraju.

Mówiąc w ogóle: wszystkie artykuły Pamiętnika mają pewien charakter wspólny: charakterem tym w stronie zewnętrznej jest pewna poprawność stylu (z wyjątkiem wszakże używania nieraz wyrazów, których nie rozumiemy), w stronie wewnętrznej pewna dążność: dążnością zaś tą zdaje się być: zachęcanie czytelników do czynności i do miłości towarzyskiej. Autorami artykułów są po większej części pisarze od lat 2 lub 3, na pole literatury przybywający, i widzimy, iż wszyscy w ogóle przynoszą w myśleniu swém nowy nieznany dawniej pierwiastek—żywiol *sądu*.

Co do rodzaju: jest w Pamiętniku przewaga wyobraźni nad stroną naukowości; *przewaga téj władzy i pośród sądu*. Redaktorowi Pamiętnika umiającemu zebrać, zachęcić i spólnym kierunkiem ożywić młode myśli i prace, winna mieć wdzięczność istotną literatura. Dodalibyśmy tylko, jeżeli nam pozwoli redaktor, małą grammatyczną uwagę co do nazwiska jego pisma, które wielu może uprzedzać. Wyraz *literatura* oznacza to wszystko, co jest ze sfery pisma, równie *naukę* jak *sztukę*, a bez wyjątku *naukę*; wyrażenie więc Pamiętnik *naukowo-literacki* tak się wydaje, jak gdybyśmy mówili np. Instytut pedagogiczno-nauczający, albo poemat deskrypcyjno-opisujący.

T.

ROZMAITOŚCI.

DANIĘKO FLIS.

Obrazek z obyczajów ludu okolic nadbużnych.

Niechaj kto chce wygaduje sobie na okolicie Podlasia, niechaj je pustynią polską nazywa, stroną pozbawioną wszelkich malowniczości, a natomiast pełną piasku, błota, i lasów i równin; ja pominąwszy stronność, jaką się zwykle uczuwa dla rodzinnych okolic (jestem bowiem zabitym Podlasiakiem), śmiało obstawać będę przy zdaniu, że chociaż niektóre okolice, szczególniej téż nadbużne, pełne są rozmaitości i przyjemnych a nawet ładnych widoków.

A proszę je widzieć na wiosnę, gdy śniegi stopnieją i lody pokrywające rzekę, pobliskie jeziora i rzeczki ujdą gdzieś daleko, pozostawiwszy powierzchnią wód czystą jak zwierciadło; gdy wierzby i topole pierwsze zaczną puszczać pączki, i świeżą, czystą woń rozsiewać po nadwodnych wybrzeżach; gdy małe a liczne, jak gdyby archipelagu wysepki, zieloną, młodocianą pokryją się trawką..... Lecz to nie jeszcze! jeśliś marzyciel, jeśli jesteś uczuciowy, lub jeśliś zakochany, spojrzuj w piękną noc miesięczną kwietniową ze wzgórz, panującego nad rzeką i obszernemi okolicznemi łągami: Bug wezbrał, a oto rzeczutki, jeziora pobliskie i odnogi, co w różnych zwykle kierunkach przerzynają łągi, teraz w jedną z rzeką zlane całość, tworzą ogromne jezioro; ledwo okiem dosięgniesz brzeg drugi, szarzojący naprzeciw. Śród tego, księżyc odbijający się w téj rozległej wód przestrzeni, daleką smugą srebrzy bałwanki, wieczornym gnane powiewem, a tu i owdzie błyszczą światła nadbrzeżnych chat, odbijając się stokrotnie w czystych falach, tu i owdzie czernieją wysepki, których powierzchni dumne fale rzeki nie były w stanie zagładzić.

Niemniej pięknym wydaje się wówczas widok Bugu, gdy galary lub tratwy drzewa w paki związane, z pluskaniem drygawek i donośnemi głosy ochoczych flisów, płyną krętem Bugu korytem. Odważny retman w czarnym, przetartym, zwykle o dużym rondzie kapeluszu, w granatowej lub szaraczkowej kapocie uklękawszy w czółenku, nadzwyczaj małej objętości, zręcznie przemyka się naprzód, stawiając wiechy na prądach i mieliznach, i ogromnym głosem dając znaki i ostrzeżenia płynącej za nim flocie. Flota ta z kilku lub więcej składająca się galarów naładowanych zbożem, które w Gdańsku ma się spieniężyć, na jednym z nich ma wybudowaną budkę *skarbowką* zwaną, przeznaczoną dla nadzorca, wyprawy i zawierającą pożywne dla flisów zapasy, a przy drygawkach na każdym statku, po obu jego końcach, stoi dwóch flisów w białych koszulach, z łyżkowaną u szyi kokardą, w słomianych kapeluszach, butach lub postołach, z fajkami bakunu w ustach, śpiewających niekiedy tęskno smutne swe pieśni. I płyną ciągle dalej i dalej, coraz nowe brzegi nasuwają im się przed oczy, coraz nowe wsie, cerkiewki, i dwory, i ogrody.... Najcięższa im na młynach przeprawa, których na Bugu jest dosyć, prawie w każdej nadbrzeżnej wiosce; wówczas to z trudem przeprowadzają swe statki przez ciasninę, z dwóch grobel palami obitych utworzoną.

A noclegi odbywają się pod gołym niebem, na pierwszym lepszym brzegu, gdzie im noc wypadnie: ognia napalą, pieką kartofle, palą fajki i gawędzą; lub gdy ich święto jakie uroczyste w drodze zaskoczy, cały dzień statki stoją na kotwicach, a flisy dla uczczenia pamiątki dnia tego stawiają krzyż prosty drewniany nad brzegiem.

* * *

Na stromym, wyniosłym, piaszczystym brzegu, w cieniu kilku odwiecznych sosen, co się nad wodą pochyliły, jak gdyby się w nią przejrzeć chciały, stała pokurczona starością, z roztrzepanym od burzy dachem chata, zwykłej w tamtych stronach budowy, to jest z opołów drewnianych jako tako sklecona, z kominem z tyczek, gliną i chróstem przeplatanych, poczerniałym od dymu, i pochylonym nad mchem obrosłą i podziurawioną strzechą.

Wnętrza jej opisywać nie będę, bo komuż są nieznane chaty polskie, tylokrotnie i z taką prawdą przez Kraszewskiego opisane: te izby ciemne, pełne dymu i wilgoci, w których całym umeblowaniem stół dębowy, tapczany, ławy, naczynia i narzędzia gospodarskie.

Za chatą ciągnął się ogródek warzywny, płotem z chróstu opasany, z kilkoma owocowemi drzewami; z boku stara stodółka z wystrzyżonym krzyżem na słomianej strzesze, dalej podobna do niej obórka i chlewki

wszystko troje do siebie przyparte, jedną prawie stanowiły całość. Od drzwi chaty udeptana ścieżka po spadzistości wybrzeża, spuszczała się aż do samego Bugu: czerpający wodę mieszkańcy téj chaty snąć ją udeptali; a w piasku po bokach ścieżki wydrażone jamki i piecyki świadczyły o zabawach dzieci, które tu często ze wsi przybiegały. Nieco dalej o kilkaset kroków za sosnami, rozciągała się wieś z cerkwią o trzech błyszczących kopułach, ocienionych gałązkami kilku brzoź płaczących, i dworek ekonomiczny z ganeczkiem; wreszcie dwór biały pański z ogrodem na wzgórzu. Niedaleko chaty na Bugu huczał młyn wodny z hałaśliwym kamieniem i czarném a ciężkiém kołem, z drugiej zaś strony rzeki rozciągała się lesista, pusta, bez wdzięku okolica wołyńskiego Polesia.

Mieszkańcami téj od siola oddalonej chaty, były cztery osoby: wdowa *Pałaszka*, dwóch jój synów: *Daniłko* i *Prokop*, i stara *Czyranicha* przyjaciółka czy krewna Pałaszki, na łascę u nich utrzymywana.

Pałaszka sześćdziesięcioletnia kobiéta, wdowa od lat kilku, schorzała, zapadająca często, o bladej jakby nalanej twarzy, siedziała przy synach, z których starszy nierównie od brata Prokop, gospodarstwem się głównie na małym ziemi kawałku zajmował. Przędła zimą we dworze na folwarku, latem odrabiała pańszczyznę, pielęgnowała swój ogródek warzywny, i wraz z Czyranichą miała staranie o chacie, o strawie i ubiorach dla synów.

Czyranicha, kobiéta już prawie zgrzybiałej starości, sucha, czarna, z nosem orlim i brodą ku końcowi nosa, z przyczyny braku zębów, zbliżoną, z głosem do wykrzykników czajki podobnym, zasługiwać mogła w całym znaczeniu na nazwę czarownicy. Umiała przytém zamawiać, zażegnywać, złe wypędzać; obok tego pierwszą była dewotką w cerkwi, najgłośniej ze wszystkich śpiewała, najgoręcej się modliła i najczęściej się żegnała.

Zajęcie jój w chacie, w której jój dano przytułek, ograniczało się na pomaganiu Pałaszce w przyrządzeniu strawy, na przędzeniu, cerowaniu i szyciu ubiorów.

Prokop, lat około 40, o dużej, ogorzałej i bez wyrazu twarzy, długich włosach, ponury zawsze i milczący; zamilowany gospodarz, większą część roku przepędzał na roli pod gołym niebem. Nie lubił zabaw karczemnych, hulanki jarmaczych, zbierał grosz oszczędnie i oddawał go matce.

Daniłko, ośmnastoletni parobczak, co do postaci i humoru dziwną stanowił z bratem sprzeczność: był bowiem nadzwyczaj żywy i wesoły, zgrabny w postaci, przystojny w twarzy, i wbrew zwyczajnym tamtostronnym wynędzniałym i chorowitym fizyonomiom, rumiany i świeży. Oczy miał czarne, pełne wyrazu, zęby miał białe, a śmiał się często, nos

cokolwiek zadarty; w jego ruchach przebijała się zawsze dziwna ochoczość i życie.

To też kochała go nadzwyczaj matka, i więcej nawet jak Prokopa, i częściej go głaskała, częściej z nim żartowała, powtarzając: „Bodaj ty Daniłku świta nie baczyw”. I jakkolwiek te oznaki macierzyńskiej miłości były nie tak dobitne i nietyle delikatne jak te, do których przywykliśmy, jednakże Daniłko czułém i silném uczuciem synowskiej miłości odplacał się matuli: kochał matkę, kochał swoją starą i popruchniałą chatę, i nie oddałby pewnie tego rumowiska, téj izby ciemnej i dusznej, w której się urodził, i w której ojciec jego skonał, za najpiękniejszą murowaną we wsi chatę, za najwidniejszą i obszerną izbę.... To miejsce przed chatą, te sosny i widok Bugu, do których wzrok jego tak przywykł, były mu miejscem pełném z dzieciennego wieku pamiątek; tu, na téj pochyłości wybrzeża piaszczystego, dziecięć w pół nagie, w brudną tylko przyodziany koszulkę, tarzał się po piasku, robił piecze, sadzawki, a na Bugu puszczał czólenka małe z kory sosnowej, własnej roboty: niby galary, na które corocznie z taką ciekawością patrzył, gdy przepływały popod chatą.

I już w dziecięcym wieku gdy widział tych flisów rzeźwych i ochoczych do pracy i piosnek, wzrosła w nim ochota do wody, do żeglugi: najmiléj mu było nad wodą. A gdy tylko przestał pasać gęsi, owce i bydło rodzicielskie, gdy ręce, aczkolwiek młodociane, siekierę były w stanie ująć, już się zaciągał na *bindugę* pańską, gdzie corocznie prawie budowano galary, lub drzewo zbijano w tratwy: „A jak będę jeszcze trochę starszym, mówił wtenczas, to zaraz pójdę na flisa, i do Brześcia, a może i do Gdańska popłynę”.

* * *

Przeszłego roku na wiosnę przeciągały powoli liczne galary i tratwy popod Daniłową chatą; on stał na wzgórzu i chciwie śledził oczyma poruszenia drygawek, i z pewną zazdrością spoglądał na flisów, ochoczo krzątających się po statkach; a gdy wieczorem stanęły galary w przystani i flisy rozniecili ognisko na brzegu, zasiadłszy kołem, zbliżył się do nich Daniłko, zapoznał i wkrótce zawiązał rozmowę:

— Daleko płyniecie?

— Do Brześcia!—odpowiedzieli.

— I nie przykrzy wam się na wodzie?

— Ho! a i czego nam się ma przykrzyć—odezwał się grubym głosem jeden z nich z miną zupełnie flisowską—drygawkami się robi, ale i nie zawsze; przez młyny trochę pracy, to prawda, ale taki miło jest płynąć w pogodę, gdy słońce świeci a czajki i rybitwy ponad głowami prze-

latują, a taki i zarobek niemały, dobrze i z gościńcem dla żony i dzieci powrócić do chaty.

— Jeszcze jak *horyłkę* dają trzy razy na dzień jak nasz Mordko, to i ujdzie—rzekł inny.

— A i mięso jest i sól, chwata Bogu—wtrącił trzeci i t. d.

Dosyć tego było dla Daniłka, który pomimo wrodzonej do tego stanu ochoty, słyszał jeszcze z ust flisów pochwałę tego zawodu, aby nie powziąć stałego zamiaru z przyszłą wiosną wyruszyć z galarami, nad którymi w *bindudze* podjął się być pracować.

Przynióśszy flisom butelkę *horyłki* utraktowali się i pożegnali, a powróciwszy do chaty zawołał wesóło wchodząc do izby: „Bih me matulu, tak ja na weśnu pijdu na flisa do pańskich galarów, ta i zaroblu broszy” i zaczął się śmiać i skakać po izbie. „Bodaj ty tak świta ne baczył Daniłku” było zwyczajną żartobliwą matuli odpowiedzią.

Przy końcu jesieni i na początku wiosny robota na *bindudze* przyspieszonym postępowała krokiem: miało być bowiem sześć galarów wyprawionych do Brześcia. Daniłko przez zimę woził z lasu belki, obrabiał tarcice, *dychtował* galary, a gdy nadeszła chwila spuszczenia statków na wodę, z całej wioski prawie pozbiegano się nad brzeg, dziwować się jemu widokowi. I Daniłkowi uśmiechała się dusza, gdy zepchnięty galar z szumem i bukiem roztrącał fale Bugu, a potem kołysał się na wodzie tak czółenko przez czas jakiś.

Wybudowano skarbowkę, zepchnięto wszystkie galary, woda wiosenna cokolwiek opadała, zbliżał się czas odjazdu.

Daniłko oczekiwał téj chwili z niecierpliwością. Zapisało się ich kilku z téj wioski, resztę z innych siół zebrano; żaden z nich jednak pewnie z większą od Daniłka nie szedł ochotą.

Nadszedł czas odjazdu. O południu w piękny dzień majowy, galary miały wyruszyć.

Całym przyborem Daniłka do téj podróży było zawiniątko, płachtą okryte, przez Pałaszkę przygotowane, składające się z dwóch koszul, nowój sukmany i pary *postolów*; sam zaś w starój łatanój sukmanie, w kapeluszu słomianym z życzkową wstążeczką, w butach z długimi cholewami, przepasany na koszuli pasem z kaletką, wsadziwszy fajkę krótką z papużą bakunu za pazuchę, już był do drogi gotowym.

A Pałaszka włożyła mu na szyję medalik z Matką Boską chełmską, a Czyranicha przeżegnała go spluwając trzy razy, dla oddalenia złych przygód w podróży.

Już galary stały rzędem i retmian wsiadał na swe gibkie czółenko, i każdy z flisów był na swoim miejscu przy swojej drygawce; łatwo by-

ło między nimi rozróżnić Danilka po jego minie obojętnej i oczach pełnych życia, w których się przebijają namięta żądza tój żeglugi.

A na brzegu stała Pałaszka w siwej sukmanie, z chustką białą na głowie, z rękami na piersi założonemi; przy niej Czyranicha z wyciągniętą żylastą szyją, w ceglastej podziurawionej sukmanie, sękatym podpierająca się kijem.

Warto, by ten obraz nasz Suchodolski przeniósł był na płótno.

Rozległ się grzmiący głos retmana, zaszumiały drygawki pierwszego ze skarbowką galaru, potem drugi ruszył się z miejsca, potem trzeci i następne.....i szum drygawek coraz się zuniejszał, coraz to cichł, coraz to dalej odpływały galary....

Ze smutną twarzą Pałaszka wraz z Czyranichą prowadziły okiem Danilka aż do zakrętu; tam im się jeszcze kapeluszem skłonił, wreszcie lasek wierzbowy zasłonił im całą tę wodną wyprawę.

— Ne smutte sia Pałaszko, poichaw to i werne sia nazad! —zaskrzeczała Czyranicha i obie zawróciły się wolnym krokiem do domu.

* * *

Piękny był wieczór sierpniowy, a nad Bugiem i w ogóle w okolicach nadrzecznych stokroć ten wieczór jest piękniejszym, bo jego harmonią podnoszą skrzeki żabek, odgłosy derkaczów po bagniskach i dzikich kaczek, a świeżości dodają mu lekki powiew wiatru od strony wód i biała mgła, w fantastycznych wznosząca się tumanach. W naszej okolicy, oprócz powyższych, uzupełniały cudność harmonii klekoty bocianów, tu i owdzie w gniazdach na wysokich i suchych dębach poumieszczanych, szum młynów na Bugu i gwar wiosek nadbrzeżnych.

W podobny to wieczór o zachodzie słońca, które złościło kopy cerkwi rodzinnego siola, Danilko spiesznym krokiem z zawiniątkiem i butami na kiju zawieszonemi, powracał z flisowskiéj aż z Brześcia wyprawy. W jego twarzy malowało się zadowolenie: pierwszyto raz bowiem w życiu tak daleką odbył podróż, widział tyle wsi i miasteczek, i sam Brześć z fortecą, który mu się daleko piękniejszym od znajomój mu wydał Włodawy; nadto tyle przygód w tak długiej choć przyjemnej podróży, a w kaletce kilka rubli zarobku i ebustka dla ukochanej matuli, i paciorki dla Czyranichy: wszystko to w jego oczach i twarzy niezwykłym malowało się ukontentowaniem. Teraz chciałby tylko lotem ptaka do domu przylecieć, uściskać matulę ukochaną, opowiedzieć im co widział, co słyszał, gdzie był.

To tóż, gdy zdala ujrzał szarzejącą swą wioskę, i Bug kręto jak wstęga u jój stóp płynący, zabiło mu serce z radości i przyspieszył kroku.

Zboczył z głównego, wierzbami wysadzanego gościńca, i znanemi mu przez krzaki ponad Bugiem puścił się manowcami.

Już ujrzał sosny, i wzgórze piaszczyste, i chatę poczerniałą. Ktoś siedzi na jej progu!... to może matula... nie, to Czyranicha. Poznał ją po kolorze sukmany: podparła się ręką pod brodę i znać dumata, czy się modliła, bo właśnie dzwon cerkiewny chrapliwy i smutny, rozlegał się po okolicy na Anioł Pański.

Gdy już był o kilkadziesiąt tylko kroków od niej, a stara ze spuszczoną w ziemię głową ciągle siedziała, zaczął wołać na nią wesoło:

— Czyranicho, Czyranicho! jak się maete, zdroweś te?!

Stara podniosła na niego siwe i wpadłe oczy, a poznawszy Danilka, czajkowym swym głosem zaczęła rozwodzić, kiwając głową:

— Oj biédny ty biédny syn Danilku!—i zaczęła rychotać od płaczu— Oj już nie zobaczysz twojej matulki, twojej gołąbki; zawieźliśmy ją na mogiłki przed czterema dniami, a świeża jej jeszcze mogiła... — i zaczęła dalej kiwać głową i wywozić żale.

Danilko struchlał, pobladł, zatoczył się, a oparłszy się o ścianę, zapytał stłumionym głosem:

— I prawdu howoryte, Czyranicho?

— Oj prawdęć ja mówię—ciągnęła dalej tym samym, płaczem przerywanym głosem stara—tać ja jej sama oczy zamknęła i ręce złożyła; oj prawda, prawda, nieszczęśliważ moja doleńko!!!

Cios tak niespodziewany jakby piorunem uderzył w Danilka; gdy pierwsze wrażenie niemiej boleści przeminęło, wszedłszy do chaty, zapłakał. Czyranicha mu wtorowała.

Przyszedł Prokop z roboty, a widząc żal Danilka, kiwał tylko głową i cały ten wieczór smucili się a wzdychali, kiwając głowami.

Nazajutrz rano Danilko smutny, blady, poszedł ku cmentarzowi, który leżał niedaleko chaty, otoczony popruchniałym parkanem, z bramą przez burzę odwaloną, pokryty mnóstwem małych prostych krzyżyków i młodych sosenek, tu i owdzie po mogiłach rozsianych.

Tutajto było miejsce wypoczynku po ciężkim i pełnym trudu życiu chłopków naszej wioski; tutaj starzec gospodarz z czystym umierającym sumieniem, spracowane swe składał ciało, zostawiwszy dzieciom i wnukom chatę, kawałek roli i prawo do podobnież mozolnego jak on na życie zarobku; tutaj dziecię chorobą dotknięte spało, uniknąwszy cierni życia, jakieby go w późniejszym czekały zawodzie!...

Danilko przez Czyranichę o miejscu mogiły matki objaśniony, wszedł na cmentarz, zdjął kapelusz i stanął nad grobem. Matkę złożono koło ojca, a na obu mogiłach stały małe, poprostu wystrugane krzyżyki. Ojco-

wska już dawno trawą porośla, a blawatki i bratki jasne swe główki kołysały naprzemian za najmniejszym wiatru powiewem.

Popłakawszy jeszcze trochę, pokiwawszy głowę, opuścił Danilko to miejsce, szepcząc wyuczoną przez nieboszczkę matkę za umarłych modlitwę.... Smucić się dłużej nie było czasu, a zresztą coby to i pomogło, potrzeba było o dalszym zarobku, o dalszej pomysłić pracy.

Jakoż wkrótce Danilko aczkolwiek smutny, siekierą znowu robił w lesie u pańskich belek, zwoził drzewo lub pomagał Prokopowi, i w czasie pracy lżej mu było, zapominał o smutku; lecz gdy wieczorem do ulubionej powracał chaty, nie było matuli, coby mu pieśń jaką zanuciła, coby jakie przy ognisku opowiedziała zdarzenie: tylko milczący jak zawsze Prokop siedział na przypiecku z fajką bakunu w zębach, tylko Czyranicha krzątała się około wieczery, i wspomnieniami o Pałaszcze powiększała smutek i tęsknotę synowskiego serca.

I uczył Danilko, że jest samotnym na świecie: jakaś tęsknota ścisnęła jego serce, dziwne myśli przesuwaly mu się po głowie, i znów zateknął za wiosną, za galarami, za wodą; a czas ten wydawał mu się tak nudny i długi, jesień bowiem dopiero nastawała ze swemi deszczami, błotem i gwizdzącym przez szpary ścian wiatrem.

On wesoly i śmiejący się prawie zawsze dawniej—teraz wieczory samotne z Prokopem i Czyranichą trawił, siedząc zamyślony i patrząc na ognisko; a na jego twarzy był rozlany dziwny jakiś wyraz tęsknoty i znudzenia.

Zwróciła na to uwagę Czyranicha, i pewnego wieczoru rzekła mu:

— Danilko! wyście smutni, nudno wam samemu, jabym wam poradziła jedno lekarstwo.

— Na co takiego?

— A ta, że wam-bo czas się i żenić, a taki kiedy żonka dobra a gospodarna, a dzieci parę, to taki weselej jakoś, jak się do chaty po pracy powróci.

— Żenić się, a z kim? *kole* mi się żadna z naszego siola na żonę nie spodobała.

— Bo dawnoście nie byli na *wieczornyciach*, na *achotach* w karczmie w niedzielę. Ho, ho! a czyto mało i w naszym chociaż siole młodych czarnobrew krasnych: oto pierwsza *Winodja Ostapicha*, co zawsze wieniec ma na dożynkach na głowie, świeża, krasna, a i do roboty skora, abo *Paraska Hołowaczówna*, świeża jak jagoda.

Danilko kiwnął ręką z obojętnością.

— Abo *Hapka z Zamolodycza*, to mi dziewoja, a i rodzice posażni.



— Hapka? nie znam; a czyjaż ona?

— Od Harasyma Borysieczenko co niedziela przychodzi tu do krewnych i zawsze prawie jest na ochocie.... Żebyście ono tylko chcieli (dodała po chwili), toby wam się pewnie i która spodobała, a jaby was zaraz wyzwatała.—A trzeba wiedziéć, że Czyranicha była jedyną na swatkę, na kumę przy chrzcie, na płaczkę przy pogrzebie.

Po tych namowach Czyranichy zadumał się Danilko i rzekł w duchu: a możeb to i dobrze było, co stara mówi—i postanowił na przyszłą niedzielę iść na ochotę do karczmy.

A wiecie wy, coto jest ochota w karczmie? Oto wieczorem w niedzielę lub święto schodzą się starzy gospodarze, baby, parobki i mołodyce. Kowal lub diak rzępoli na starych potłuczonych skrzypkach, starzy popijają do siebie horyłkę, baby gwarzą, a młodzież hasa, i zabawa ta żywiój i weselój idzie zwykle, jak w najpiękniejszych salonach miejskich niejeden bal wykwinny. Tu w półkwaterku wódki, w tych płasach swobodnych i ochoczych, zapominają trudów przeszłotygodniowój ciężkiój pracy, i nie pomną o jutrzejszój, która ich czeka.

Na piérwszą więc niedzielę wybrał się Danilko na owę ochotę, na którój dawno już nie był.

Gdy wszedł, już izba była pełna ochoczych gości: gwar go zagłuszał. Poza stołami siedzieli już podpili, po większój części gospodarze, w czapkach baranich, i baby w białych rańtuchach, rozwodząc głośno, traktując się i całując. Pomędzy nimi krzątał się ponury, z chorowitą twarzą gospodarz, dolewając wódki do wypróżnianych co chwila półkwatereków. Na przyzbie od pieca, siedział grajek miejscowy: byłto kowal, chłop jak inni z téj wsi, który dla odróżnienia się swém rzemiosłem, chodził przybrany w granatową i długą jakąś kapotę; szyję miał wyciągniętą, twarz wyschłą, jakby z niechcenia pociągał smyczkiem po starych rozbitych skrzypkach, wydobywając z nich jak najfalszywsze preludia. Po drugiej stronie izby, popod oknami, siedziały rzędem mołodyce, ze pstromi chustkami na głowach, lub z długimi warkoczami, z paciorkami u szyi, w bielszych nieco i cieńszych od męzkich koszulach, w trzewikach z dwiema czerwonymi kokardami. Sprzeciwiała im się młodzież, co chwila potupując i zachęcając do przyszłego tańca.

Gdy wszedł Danilko, powitało go kilkanaście głosów:

— Jak sia maesz?!

--- Hdeżeś buw do toj pory?!

— Wypijmo horyłki.

— To flis, jemu ono pływać po wodzie i t. d.

A Daniłko rzucił naprzód wzrokiem na grono młodych, obejrzał ich kolejno, a oczy jego mimowolnie zastanowiły się na przedostatniej odedrzwi siedzącej. Była wysoka i zgrabna, oczy miała czarne i żywe, i rumieniec na ogorzalęj, chociaż miłej twarzy.

— Czyjaż ta, ot tam, powiedzcie?—zapytał pocichu jednego z parobków.

— Nie znajesz? ta to Hapka z Zamołodycz, od Harasyrna Borysieczecko—odpowiedział zagadniony.

— Nie znam—rzekł Daniłko, i pilnie się w nią wpatrywał.

Zaczęła się zabawa. Daniłko tańczył zawzięcie; zapomniał swego smutku; najwięcej zaś tańczył z Hapką. Sprzeciwiał się jój, żartował, a jój oczy czarne tak przyjaźnie na niego patrzyły!

Późno w noc skończyła się ochota. Daniłkowi żal było rozejść się, a co najwięcej, że Hapka, która tak mu się podobała, nazajutrz powracała do Zamołodycz, o milę od wsi naszej odległych, i nie miał jój znów ujrzeć aż na przyszlą niedzielę.

I całą tę noc po ochocie śnił o Hapce; nazajutrz myślał o niej przy robocie i szukał w głowie sposobu zbliżenia i zapoznania się z jój rodzicami, których tylko znał z widzenia.

Nadeszła druga niedziela, a z nią i ochota, na którą Daniłko tak niecierpliwie przez cały tydzień wyglądał; i znowu ujrzął Hapkę, tańczył z nią znowu najwięcej, bliżej się jeszcze zapoznał, i tém bardziej pokochał, że w jój czarnych, pełnych życia oczach, widział dla siebie spólcucie.

Pewnego dnia, po drugiej niedziel, a było to nad wieczorem, podczas słotnej i wietrznej jesiennęj pory, Daniłko drwa rąbał w lesie do dworu; wóz z parą zaprzężonych wołów stał na drodze; dęszcz z wiatrem szumiał po nagich i wysokich drzewach lasu, a Daniłko myślał o Hapce, o sposobie zapoznania się z jój rodzicami; wtém ujrzął wysoką i smagłą postać kobiecą, idącą drogą ku niemu. Po chodzie, po postaci zdawało mu się, że to Hapka płachtą miała nakrytą głowę.... Zastukało mu serce w piersiach, tém bardziej, gdy już wątpić nie mógł, że to ona. Przestał więc rąbać i zbliżył się do niej.

— A dobry wieczór!

— Dobry wieczór!

— Gdzież tak idziecie w taką porę?!!

— Bapko posłał mnie do Kuźmy do Borowęj Cerkwi dowiedzieć się, jak się ma.

— I nie boicie się wołków?!

— A i czegoż?!! — odpowiedziała bawiac się końcem płachty, i nie podnosząc oczu na niego.

— Jakże wy zajdziecie do Zamołodycz?

— Tak jak wyszła, tak i powrócę.

— A chcecie, to was powiożę: taki dészcz—mówił do niej szczęśliwy, że mu się trafi sposobność poznania jój rodziców.

— Dziękuję wam, ja i tak zajdę.

— Nie, taki was koniecznie zawiożę do Zamołodycz, do saméj chaty, a i rodzicom się pokłonię, których nie znam i was obronię od wołków.

— Jeżeliście łaskawi, to dobrze.

I siadła Hapka na wóz. Daniłko woły prowadził śmiejąc się i żartując z kochanki.

Przybywszy do Zamołodycz, Daniłko wszedł do chaty rodziców Hapki i pozdrowił ich. Rodzice podziękowali mu, poczęstowali wódką, i prosili o odwiedzinę: tego też Daniłkowi było potrzeba.

I od téj pory widywał ją często, często bardzo długie wieczory zimowe trawił przy niej, przy rodzicach, którzy radzi mu zawsze byli, i stale postanowił przyszłej jesieni ożenić się z Hapką.

* * *

Na końcu naszój wioski stała ^{*}chata ^{*}porządniejsza i większa od innych, z murowanym kominem i dużemi oknami; było to chatę gajowego Stepana młodego, o zgrabnej postawie i przystojnej twarzy parobka, który pobierał ze dworu 100 złotych pensyi i stroił się odrębnie od chłopków téj wioski, jakkolwiek był synem jednego z tamtejszych gospodarzy przed rokiem zmarłego; nosił bowiem z delikatniejszego sukna sukmanę, bardziej wciętą i krótką, i pięknym rzemiennym z świecą kłamrą przepasywał się pasem, a w miejscu baraniéj czapki lub słomianego kapelusza. nosił jakąś czarną z kutasem, na bakier zasadzoną furazerkę, którą, jak mówiono, pisarz mu darował.

Pewnego razu, gdy Daniłko odwiedzał w Zamołodyczach swą kochankę i jój rodziców, zastał w chacie Stepana rozmawiającego z Hapką, zmarszczył się na to i rzekł do Hapki:

— Po co on tu przyszedł, czego on tu chce?

— Przyjdzietą i pójdzie—obojętnie odpowiedziała Hapka, i spojrziała znów na Daniłka tym wymownym i czułym wzrokiem, tak, że go zupełnie zaspokoila.

Lecz zima się kończyła. śniegi topniały, nadchodziła wiosna; znów kilka galarów według zwyczaju spławiać miano do Gdańska, i Daniłkowi, jakkolwiek z jednej strony miło było być przy Hapce, patrząc w jój czarne i wymowne oczy, z drugiej strony zatęsknił do wody z wiosenną porą, i za przyjemną z flisami podróżą. Porozumiano się za pośrednictwem swatki Czyranichy o czasie wesela Daniłka z Hapką, na które rodzice jój

z ochotą przystali i uradzono, że po powrocie jego z Brześcia na jesień, odbędzie się ta uroczystość.

— Bądź zdrowa. Hapko, do widzenia!—mówił jój żegnając się Daniłko, gdy nazajutrz miał z galarami wyruszyć — a nie zapominajcie o mnie; jak wrócę, to się pobierzem.

Hapka płakała.

Daniłko o jój wiare czuł się zupełnie zaspokojonym. I znowu był w swoim żywiole, gdy wyruszyły galary z miejsca, gdy wiatr świeży od wody owiał jego ciało w lekką tylko przyodziane koszulę, i popłynął. ...

* * *

Była noc cicha, miesięczna, noc cudna: nad brzegami po wioskach uciął gwar, gdzieniegdzie tylko pies zaszczekał, lub wartownik przy kołowrocie zakrzyczał przeciągłym głosem: werda! Pogasty ogień po chatach, gdzieniegdzie jeszcze tlejące węgle słabo rumieniły wnętrze izby, w której snem głębokim, bo po pracy, spoczywali ludzie. Tylko Bug nie znał nocy i spoczynku, bo płynął ciągle dalej i dalej, i żabki jednotonnym a smutnym odzywały się gdzieś chórem.

W owąto noc powracał Daniłko z Brześcia z gościńcem dla narzeczonej, którą tak niecierpliwie pragnął być ujrzyć, i o której myślał przez cały ciąg swój podróży.

„Jutro rano, mówił sobie, zaraz pójdę do Zamołodycz, zaniosę jój gościńca; ale dziś niedziela, to może ją jeszcze i w karczmie znajdę na ochocie“—i szedł prosto gościńcem, nie manowcami, jak dawniej.

Gdy się zbliżał do kołowrotu, uderzyło go światło bijące [z okien chaty Stepana; zdawało mu się nawet, że słyszy muzykę... Ciekawy zbliża się i zagląda przez okno.

Oniemiał!.. tchu mu w piersiach zabrakło... krzyknął rozpaczliwie i ręce załamał. Bo przez szyby dość dużych okien ujrzał Hapkę w stroju panny młodej i Stepana przy jój boku. Wdzięcznie, tak jak niegdyś na Daniłka, tak teraz na Stepana patrzyła czarnemi swemi oczyma, a wokoło nich snuło się mnóstwo młodych, bab, i parobków, i starosta potrzasał dzwoneczkami skacząc po izbie, i kowal rzępolił na skrzypcach.

To może sen!

Zagląda raz jeszcze.. Tak, niemylnie, to ona, wiarołomna Hapka, teraz z panem młodym do ochoczego wysuwa się tańca; a w jój twarzy taka wesołość, na jój ustach taki uśmiech!

Ha!—zakrzyczał z wściekłością biedny Daniłko, i z roczochronym włosom, bladą jak trup twarzą wbiegł do sionki, a roztworzywszy z łoskotem drzwi od *świetylicy*, konwulsyjnie śmiać się zaczął, wołając:

— Jak się macie, Hapko? zdrowe? O! bawcie się na waszém wesiliu, tancujcie zdrowi!! i śmiał się ciągle, i coś jeszcze niezrozumiałe, chociaż już ciszej mówił, aż się potoczył na ziemię i upadł.

Popłoch wielki powstał w zgromadzeniu: Hapka tuliła się ze strachem do męża, starosta oniemiał i kowal grać przestał; podjęto zemdlałego Daniłka i zaniecono go do jego chaty.

A nazajutrz rano Daniłko chwiejącym krokiem, z twarzą bladą jak wczoraj, z niewywidziona na nię boleści wyrazem, wychodził ze swéj staréj chaty, pożegnawszy Prokopa i Czyranichę, mówiąc im, że idzie w świat, gdzie go oczy poniosą, i że już może do nich nie wróci.

Istotnie poszedł; lecz gdzie? niewiadomo!

*

Wiosną, znów płynęły po Bugu zwykłym porządkiem galary, a na jednym z nich leżał flis blady, co drygawką już robić nie miał siły. Po téj twarzy schudzonej, i boleści rozlanej po wszystkich jéj rysach, po tych oczach niezwykłym jeszcze jaśniejących blaskiem, poznać było można znajomego nam Daniłka: a jak wychudł, zestarzał, choć to tylko lat kilka temu. Galary były o milę od rodzinnego Daniłka sioła, na noc tam ściągnąć zamierzano.

Flisy, koledzy Daniłka, chcieli go schorzałego w piérwszój lepszój zostawić wiosce; lecz on prosił ich tak ujmująco, tak błagał nawet, aby go tu na wodzie zostawili, gdzie świeżém może oddychać powietrzem, że go dopiero w rodzinnej jego wiosce zostawić się zgodzili.

Lecz gdy się już do wioski zbliżali, Daniłko zasypiał, zasypiał snem śmierci, aby się po tylu cierpieniami zbolałém życiu, w lepszym nad ten rozbudzić świecie.

Zatrzymały się galary nad brzegiem... Daniłko już nie żył....

A na piaszczystém wybrzeżu między sosnami, stała jak dawniej chata Daniłka, lecz jedna jéj połowa z dachem zupełnie zapadła, w drugićj okienka bez szyb i drzwi wywalone świadczyły, że stała pustkami.

Wyniesiono na brzeg martwe zwłoki i położono na murawie, a w owę właśnie chwilę z piosnką w ustach szła wesoło pani Stepanowa po wodę do Bugu.

Przez ciekawość zbliżyła się do miejsca, gdzie flisy z pełną uszanowania postawą zgromadzili się wokoło zmarłego; a gdy ujrzała tę twarz tak dobrze znajomą, cierpieniem i śmiercią zmienioną, krzyknęła i zastłoniwszy sobie oczy uciekła.

Zbiegli się ludzie ze wsi przypatrywać się zmarłemu, a poznawszy Daniłka kiwali głowami i szeptali. Przybył i Prokop, wziął ciało brata do siebie i pochował je z należytą przyzwoitością. Czyranichy tylko nie było, coby płakała i rozwodziła żale na pogrzebie, bo Czyranicha już dawno na mogiłkach....

A nazajutrz, na brzegu przy którym nocowały galary, widziéć było można krzyż prosty drewniany, przez flisów na uczczenie pamiętki zmarłego wystawiony, rozciągający ponad wodą swoje ramiona.

Leon Kunicki.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

Na posiedzeniu Akademii umiejętności paryzkiej w dniu 8 kwietnia r. z. czytał p. Gasparin rozprawkę o pożywieniu górników belgickich.

Podług niego, ludność górnicza okolic Charleroi rozwiązała pytanie pod względem żywienia się, dostatecznego zachowania zdrowia, przy utrzymaniu znacznej siły ciała, pożywając pokarmy połowę tylko zawierające ciał usaletrorodnionych, niż brane w innych krajach. Rozbiór chemiczny wskazuje, że pokarm robotnika w okolicy Charleroi ma jedynie 14,820 gram saletrorodu; w innych zaś krajach toż pożywienie ma go 20 do 26 gram. Ale sposób życia w okolicy Charleroi odróżnia się od innych, przez używanie kawy przy każdym jedzeniu. Oto są szczegóły tego dotyczące:

Rano po wstaniu górnik pije kawę, czyli odwar bardzo lekki z połowy kawy i połowy cykoryi. Napój ten, do którego dodają dziesiątą część inleka, stanowi prawie całkowicie część ciekłą pożywienia. Przed udaniem się do pracy, górnik używa pół kwarty téj kawy, i zjada kromkę białego chleba z masłem. Bierze także z sobą do kopalni takiéjże wielkości kromkę chleba z masłem, i w naczyniu blaszaném około kwartę kawy. To zużywa w ciągu jednego dnia. Wieczorem przychodząc do siebie je ziemniaki ugotowane z kapustą, lub jaką zieleniną, a kończy wieczerzę kromką chleba z masłem i filiżanką kawy.

Wszyscy robotnicy zapytywani, zeznali: że na dwa dni potrzebują jednego bochenka chleba; chléb ten waży 4 funty. Mięso jedzą tylko w niedzielę i wielkie święta, i pije wtedy każdy około 2 kwart piwa. Chléb zaś jest biały i dobry, ale jedzenie mięsa w inny dzień tygodnia, należy do wyjątków między robotnikami.

Masła na dzień używa robotnik do 60 gram, kawy z cykoryą w połowie zmieszanej 60 gram; ziemniaków i rzeczy z niemi gotowanych stanowiących wieczerzę, najwięcej 250 gram. Robotnik takowy w ciągu całego tygodnia nie pije ani piwa, ani innych rzeczy wyfermentowanych; kawa jest jego wyłącznym napojem.

Do takiego przeto życia, potrzeba 2 kwart kawy i $\frac{2}{10}$ kwarty mleka, kilogram chleba, masła ile się podoba, 750 gram legumin zielonych, $\frac{1}{2}$ kilograma mięsa na tydzień, czyli średnio 73 gramy. na dzień; 2 kwarty piwa na tydzień, czyli 286 gram na dzień.

Chleb górników z Charleroi podobny jest pod względem pożywności do tego chleba paryzkiego, który zawiera na 100 częściach 1,25 saletrorodu. Z rozbioru kawy mielonej pokazuje się: że odwar ze 100 gram, zawiera 0,gr 726 saletrorodu; 100 gram utartej cykoryi, mają 0,gr 574 saletrorodu; mięso zwyczajne, z swemi kośćcami ma 2,42 na 100 saletrorodu; mleko 0,57 na 100. Leguminy zielone 0,36 na 100. Masło, zwykle zawierające przy sobie twaróg ma jeszcze 0,64 na 100 saletrorodu.

Podług więc poprzedniego opisu, pokarm górnika belgickiego składa się:

Z kwarty kawy: z tego na kawę 30,gr.59	0,gr.222
— na cykoryą 30, 59	0, 176
— na mléko $\frac{2}{10}$ kwarty	0, 114
Chleba 1 kilogram	12, 500
Masła 60 gram	0, 004
Legumin zielonych 750 gram	0, 027
Mięsa 73 gram	1, 767
	14, 820.

Tak więc tylko około 15 gram saletrorodu potrzebuje dziennie górnik belgicki, gdy we Francyi ilość ta do 23 dochodzi.

Nadto dodaje p. G., że górnik belgicki żyjąc ciałami uboższymi w saletroród, ma porównawczo większą siłę, do tego stopnia, że robotnik francuzki żywiący się daleko lepiej, nie może z nim wytrzymać współubiegania.

Sądzi więc p. G. że ten wypadek kawie przypisać należy.

Dalsze spostrzeżenia zapewne rzucą lepsze światło na ten ciekawy przedmiot. (*L'Institut* 10 *Avril* 1850).

* W dzienniku *L'Institut* z dnia 5 *Juin* 1850, czytamy o dwusiarkanie drugim wapna, co następuje:

PP. Mène i Vinchon chcą doświadczyć postępowania p. Melsens'a, przy wyrabianiu cukru przez zastosowanie dwusiarkanu drugiego wapna

(bisulfite de chaux), nie mogli w żaden sposób otrzymać powyższej soli wapiennej, chociaż robili tak, jak radzą różni pisarze chemii. Wykryli nadto: że sól handlowa (dwusiarkan drugi wapna) jest mieszaniną gąszzonego wapna i siarkanu drugiego (sulfite) obojętnego; że siarkan drugi zawsze ma skład jednakowy i działa jako sól obojętna; że dwusiarkan drugi, czyli sól kwaśna wcale nie istnieje, czyli inaczej mówiąc, nie powstaje w okolicznościach do dziś dnia znanych: wreszcie, że ani baryta, ani magnezya, ani glinika, nie mogą tworzyć siarkanów drugich. Wypadki otrzy manep przez p. Melsens'a pochodziły od znajdowania się kwasów wolnych w cieczach cukrowych, któreto kwasy sprawiały wywięzowanie się kwasu drugiego siarkowego (acide sulfureux) z siarkanu drugiego obojętnego wapna.

J. B...a.



Rejestr abecadłowy Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych, z r. 1850.

ASTRONOMIA I FIZYKA KULI ZIEMSKIEJ.

	Tom, str.
Mierzenie prędkości światła na powierzchni ziemi, przez Fizeau.	I, 579
Wyszczególnienie obserwatoryów meteorologicznych i magnetycznych w Rossyi	III, 376

FIZYKA.

Ilość deszczu w różnych wysokościach.	I, 588
Naciąganie mięśni ręki wzbudza strumienie elektryczne.	II, 596
Nizkość poziomu morza Kaspjskiego	IV, 376
O konduktorach elektrycznych na budowlach.	IV, 375
O telegrafach elektrycznych.	I, 175
Tłumaczenie blasku wycinka świetnego otaczającego zorzę.	II, 388
Tłumaczenie dźwięków wydawanych przez sztabkę magesowaną.	II, 389
Tłumaczenie magnetyzmu i diamagnetyzmu ciał.	IV, 374
Wpływ ciał ciepłych i zimnych na igłę magesową.	I, 175
Wpływ wody w temp. około 4° na płaszczyznę polaryzacji światła.	IV, 375
Założenie obserwatoryum centralnego fizycznego w Petersburgu.	I, 176

CHEMIA.

Bytność fluoru w wodzie morskiej.	I, 178
Chwilowa niepalność ciała ludzkiego.	II, 597
Ilość krwi w zwierzętach.	II, 390

	Tom, str.
O topliwości i ulatnianiu metali	II, 392
O topliwości i lotności metali	II, 589
Potwierdzenie doświadczeń Boutigny przez Pluckera	III, 375
Skład świeżych żołądzi	II, 391
Szczególne własności cukrów	II, 390
Użycie octanów zasadowych i kwasu siarkowego przy wy- rabianiu cukru	I, 176
Tworzenie się tłustości w roślinach	II, 390
Wódka z jagód jarzębinowych	I, 178
Wpływ światła na błękit pruski w próżni	I, 176
Wyrobienie węglańu ołowiu we Francyi	I, 589
Zanurzenie ręki zwilgoconej eterem w roztopione żelazo	II, 597

Zoologia.

Chód żerafy i rodzaju kota, psa	II, 394
Chrzęszcz wołkowy, <i>Lixus augustatus</i>	II, 396
Dront należał do rodzaju <i>Grallae</i>	II, 394
Gąsienica chrząszcza <i>Nebria brevicollis</i>	II, 395
„ „ <i>Donatia sagittariae</i>	II, 396
Odlepka dwuoczna	I, 183
Odkrycia w przedmiocie trylobitów czeskich	I, 397
Ostryga ma płec rozdzieloną	II, 398
Podwójny przyrząd oddychania u <i>Pteronarcys regalis</i>	II, 397
Pożywienie węża gładkiego (<i>Coluber levis</i>)	II, 395
Rodzaj <i>Hermella</i>	I, 180
Skład powłoki proszkowatej u chrząszczy <i>Lixus</i>	II, 397
Tłumaczenie sposobu jakim miękkie zwierzęta dziurawią skały	II, 398
Układ nerwowy podstawą klasyfikacyi zwierząt bezkręgowych	II, 397
Wytepienie szczurów w podziemiach Paryża	I, 179

MINERALOGIA.

Minerały nowo odkryte i ich skład, a mianowicie:

Chiolit	II, 404
Vanerdan miedzi	— —
Haneryt	— —
Astonit	II, 405
Medzyt i Liebigit	— —
Monazyloit	— —
Neolit	— —
Wodnian niedokwasu niklu	— —
O kurzu meteorologicznym	— —
Rozbój złoty z Kalifornii	— —

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1849.

L W Ó W.

89. Nauka gospodarstwa wiejskiego popularnie wyłożona przez Dr. A. E. Urbańskiego, z. p. profesora fizyki w liceum przemyskiem. Część pierwsza przygotowawcza. 8ka. Lwów. 1849. W drukarni Zakładu narod. Ossoliń. Str. 385 i rejestru kart 4. Złp. 8.

B E R L I N.

90. *A complete dictionary english and polish and polish and english, compiled from the dictionaries of Johnson, Webster, Walker, Fleming and Tibbins, etc., Linde and Mrongovius.... To which is prefixed a Grammar of the English language.* Svo. Berlin, 1849. B. Behr. Kart nap. 2 i str. 370. Grammatyki angielskiej osobno liczb, str. 93. Z pren. na tom Ilgi Złp. 40.

1850.

W A R S Z A W A.

94. Wspomnienia z czasów Napoleona. Tajemnice wyspy świętej Heleny albo godziny niewoli cesarza Napoleona, przez Emilla Marco de Saint-Hilaire. 2 tomy. 16ka. Warszawa. 1850. Nakładem i drukiem Orgelbranda. T. I, str. 298. T. II, 398. Złp. 12.

K R A K Ó W.

95. Historia pożaru miasta Krakowa (Z rycinami). 16ka. Kraków. 1850. W Z.(akładzie) W.(ydawnictwa) D.(zieł) K.(atolickich). Str. 104. (Z planem Krakowa i 7 rycinami). Złp. 6.

1851.

W A R S Z A W A.

10. Dzieje świata od najdawniejszych do najnowszych czasów zebrane z najlepszych źródeł przez Wojciecha Szymanowskiego, Dzieje starożytne. 8ka. Warszawa, 1851. Nakład i druk Tomaszewskiego. Str. 280. Złp. 10.

11. Encyklopedia doręczna czyli zbiór ciekawych wiadomości dla panien (.) przez autorkę Pamiątki po dobrej matce. 12ka. 2 tomy. Warszawa. 1851. Nakład i druk Orgelbranda. T. I, A—M. 167. N—Z. 170. W każdym napisów i rejestru po kart 2. Złp. 8.

12. Książka do nabożeństwa dla chrześcian Ewangelików, ułożona podług dzieła ś. p. Jakóba Glatz.... 12ka. Warszawa. 1851. Nakład G. Sennewalda, druk Ungra. Kart 4, str. 412 i rejestru kart 4. Złp. 8.

13. Perełka (.) Almanach dla płci pięknej, ozdobiony 12 rycinami na stali. 1851. Warszawa, nakład i druk Orgelbranda. Złp. 6 gr. 20.

14. Powieści i wspomnienia historyczne w sposobie chronologicznym zastosowane do pojęcia każdego wieku. przez Edwarda Bogusławskiego. 8ka. Warszawa. 1851. Nakład Merzbacha, druk Ungra. Str. 179, i rejestru kart 2. Złp. 5.

15. Powieści i legendy Ad. Am. Kosińskiego. 12ka. 4 tomy. Warszawa. 1851. Nakładem i drukiem Orgelbranda. Tom I str. 356. II 356. III 287. IV 316. W każdym napisów kart 2. Złp. 26 gr. 20.

16. Stanisława Janickiego Kalendarz domowy i gospodarski, na rok zwyczajny 1851, mający dui 365 (ułożony na południk i poziom warszawski). 4ka. Warszawa. Nakładem wydawcy, druk Jaworskiego. Str. 72 i 8. Złp. 2 gr. 10.

17. Zwierzęta słynne w historii. Dla użytku młodzieży. Z rycinami. 12ka. Warszawa. 1851. Nakład J. Bernsteina, druk Jaworskiego. Kart 4 i str. 197. (6 rycin kolorowych). Złp. 8.

KRAKÓW.

18. Izmael Er-Raschydi (.) powiastka obrazowa z nad brzegów Nilu. 12ka. Kraków. 1851. Druk J. Czecha. Str. 61. Złp. 2 gr. 10.

19. Silvio Pellico. O powinnościach człowieka, przełożył z włoskiego M. W. Wydanie trzecie. 12ka. Kraków. 1851. Druk i nakład J. Czecha. Str. 136. Złp. 3 gr. 15.

WROCLAW.

20. Kazania adwentowe, świętne, passyjne, przygodne i pogrzebowe przez X. Franciszka Wróżewskiego. 8ka. Wrocław. 1851. Nakład Schlettera, druk Grassa, Bartha i Spółki. Kart nap. 2. i str. 220. Złp. 9.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Wyliczmy tu dzieła i rozprawy, które albo się u nas drukują, albo wkrótce pójdą pod prasę drukarską:

Literatura. 1) *O źródle wiedzy tegoczesnej:* p. Dominika Szulca. Nakład Friedlejna. 2) Przysłowia, zdania moralne, dowcipne lub krytyczne, alfabetycznie ułożone. 3) Przysłowia Grzegorza Knapskiego, wydaje A. Bar-toszewicz. 4) O korzyści nauczania się języka i literatury rosyjskiej.

Poezya 1) Bajki i przypowieści Augusta Zaleszczyńskiego. 2) Nauka poezyi zawierająca teorią poezyi p. H. C. 3) Pierwsze prace z poezyi *Nemoryna*.

Dzieła dla młodzieży. 1) Zwierzęta historyczne dla użytku młodzieży. Tłumaczenie Czajkowskiego, 2) Małe rozrywki dla dzieci, zawierające powieści moralne, opowiadania historyczne, życiorysy niektórych sławnych ludzi, listy, anegdoty ciekawe, wyjęte z pism autorki Wiązania Helenki: ułożył J. E. 3) Zbiór pożytecznych wiadomości dla młodego wieku. 4) Rodzina poczciwego Petro, czyli związki przyjaźni pomiędzy dziećmi i zwierzętami. Powieść p. Amelią Winter, przepolszczył T. Nowosielski, z 64 rycinami, druk Orgelbranda. 5) Opowiadania celem zabawy i nauki, ułożone dla dzieci od 5 do 8 lat p. Gustawa *Holting*, tłumaczenie z niemieckiego.

Prawo. Historia bibliografii prawa polskiego napisana przed r. 1830 przez Jana Wincentego Bandtkiego Stężyńskiego. Wydaje syn Kazimierz Bandtkie Stężyński.

Historia Powszechna. Jeografia. 1) Życie Fryderyka Wgo, tłumaczenie Artychiewicza profes. w Radomiu. 2) Historia powszechna dla zakładów naukowych przez Smaragdowa: przekład Rogalskiego. 3) Dzieje nowożytne od zdobycia Konstantynopola do r. 1843 doprowadzone, zebrane z najlepszych źródeł p. Wojciecha Szymanowskiego. 4) Historia powszechna dla początkujących, ułożona w porządku chronologicznym p. P. Bertheraü profesora uniwersytetu paryskiego. Przekład z francuzkiego. 5) O potrzebie znajomości historii kościelnej dla każdego kapłana, oraz konieczności łączenia jej z historią powszechną p. K. Bulińskiego. 6) Listy historyczne w podróży po Azji przez ziomka naszego pisane, który w tej podróży umarł. 7) Jeografia w powieściach i obrazach. 8) Krótki rys historii powszechnej dla początkującej młodzieży podług Smaragdowa tłumaczył Skrzypiński. 9) Nakładem i drukiem Orgelbranda ma zacząć wychodzić w ciągu r. b. tłumaczenie znanej historii powszechnej *Cezara Cantu*; jestto dzieło jedno z najobszerniejszych w tym przedmiocie.

Matematyka. 1) Krótki rys Buchalteryi podwójnej włoskiej, oraz słowniczek kupiecki p. Adama Schwarzenstein. 2) Rachunkowość gospodarska układu B. Alexandrowicza. 3) Arytmetyki początków wykład p. Marcińskiego. 4) Tryangulacya, napisał Henryk Muklanowicz. 5) O obrotach ciał niebieskich Mikołaja Kopernika, przekład Jana Baranowskiego. 6) Krótki wykład najpotrzebniejszych zasad Arytmetyki przez Edmunda Turskiego.

Z nauk przyrodzonych. 1) Wykład chemii początkowej o metalach i ich związku p. Seweryna Zdzitowieckiego. 2) Polskie nazwy mineralogiczne, do opisanja kruszców, kamieni, kryształów; przy nich nazwiska francuzkie i niemieckie, wydał Kazimierz Floryan Zdzitowiecki.

Powieści oryginalne i tłumaczone. 1) Przeznaczenie i łaska, p. Henryka hr. Rzewuskiego. 2) Zakochany w księżycu, romans P. Kocka. 3) Dwór i dworki, szkic Kunickiego. 4) Krystyna, powieść p. D'Arboneville, przełożył Szpaderski. 5) Ludwik XIV p. Dumasa, tłum. J. El. 6) Genowefa, historia służącej p. A. Lamartina: przekład S. P. 7) Dwie siostry: Jadwiga i Salomea, powieść oryginalna z końca zeszłego, a początku teraźniejszego wieku w 2 tomach, utworu Ignacego Grzegorzewskiego. 8) Perelka, Almanach dla płci pięknej, ozdobiony 12ma rycinami na stali w formie 24, wydanie ozdobne, nakład Orgelbranda. 9) Dwie siostry czyli zamek w Grantly, powieść Lady Fullerton: tłumaczenie z angielskiego p. Barankiewicza, 3 tomy. 10) Burgrafowie, dramat w 3ch częściach W. Hugo, przełożył Biedrzycki. 11) Żebrak murzyn, powieść Fevala. 12) Malwina, powieść o ile być może prawdziwa p. Julią Jasnowidzącą. 13) Kawaler d' Harmenthal. 14) Powieści i wspomnienia historyczne p. E. Bogusławskiego, 2 tomy.

— Stanisława Strąbskiego Kalendarz czyli Rocznik na rok 1851 wyszedł z druku w ozdobnym wydaniu, z drzeworytami. Cena exemp. złp. 2 gr. 17.

— Do utworów prawdziwie artystycznych, wysokiej wartości, policzamy dzieło w 8 tomach Dra Tripplina, p. n.: „Wspomnienia z podró-

ży po Danii, Anglii, Szkocyi, Hebrydach, Portugalii, Hiszpanii i państwie Marokańskiem. Ogłoszona prenumerata na oddział pierwszy, złożony z 4 tomów, a zawierający podróże po Danii, Norwegii, Anglii i Szkocyi, wynosi rs. cztery. Oddział ten wyjdzie w miesiącu lutym r. b. Oddział drugi ukończony będzie w miesiącu czerwcu. Jeżeli pokup znajdując przekłady obcych autorów, podróże te oryginalne, skreślone przez pisarza znakomitego talentem i rodaka, nacechowane rzetelną wartością, powinny znaleźć przyjęcie i upowszechnienie.

—Oddział drugi *Pamiętnika naukowo-literackiego* na rok 1851, pisma zbiorowego, poświęconego literaturze, umiejętnościom i sztuce, który dotąd był wydawany w Wilnie pod redakcją Romualda Podbereskiego, oddany teraz został do druku w Warszawie, i zeszyt 1szy zawierać będzie następujące przedmioty: Poezye: *Jeniec kaukaski* poemat Puszkina, przekład Leona Janiszewskiego. Prozą. Podróże: *Listy ze wschodniej Syberji* przez Hilarego Smutka. Historia: O feudalizmie u narodów słowiańskich, rozprawa Włodzimierza Spasowicza. Badania starożytności: *Wstęp do Scytyi Herodota* ks. IV *Melpomeny*, objaśnionej i do miejscowości zastosowanej, przez Andrzeja Podbereskiego. Statystyka: O domach ochrony i poprawy dla niepełnoletnich, rozprawa p. Maćka Matewkę. Nauki społeczne: O ruchu społecznym nauk społecznych w ogólności, p. Romualda Podbereskiego. Sztuki piękne: Estetyczne znaczenie nowszej fortepianowej szkoły: Scholastyka. Wpływ Szopena na reformę gry fortepianowej. Stanisław Moniuszko. Krytyka: Gawęda krytyko-literacka p. Adolfa z pod Bielska, zawiera następujące rozbiory: *Estetyki Libetta*; artykułów krytycznych nowych M. Grabowskiego; *Felicjty*, dramatu A. Edwarda Odyńca; *Hersylii* powiastki Ewy Felińskiej; *Pamiętników umysłowych Jana ze Słwina* i t. d. Kerrespondencya: List obywatela Wiłkołoka o broszurach Emanuela Jastrzębczyka. List Kaz. Miłośnickiego o dążności i kierunku *Pamiętnika naukowo-literackiego*. Rozmaitości i t. d.

Zeszyt 1szy wyjdzie po Nowym Roku. Tom 1szy, złożony ze trzech zeszytów stanowić będzie osobną całość; opłata dla mieszkańców Królestwa Polskiego przyjmuje się rs. 6 za sześć zeszytów, i rs. 3 za trzy zeszyty. Można opłacić we wszystkich księgarniach warszawskich, oraz u samego wydawcy, w hotelu Drezdeńskim przy ulicy Długiej.

Wilno. *Emeryt*, powieść dwutomowa J. Korzeniowskiego, z portretem autora, już w druku ukończona. Powieść J. Kraszewskiego p. n. *Komedyanci*, poszła pod prasę. Rozbiór *Słownika malarzy polskich* E. Rastawieckiego napisał Kraszewski, i takowy umieścił w jednym z ostatnich tomów swego *Athenaeum* na r. 1850. Pismo to dla braku współpracowników i prenumeratorów, po wyjściu sześciu tomów na r. 1850, przestanie wychodzić.

Kijów. W miejsce *Gwiazdy*, która przestała wychodzić, ma być wydawany *Gołąb* przez Grzegorza Lubeckiego, z dołączeniem *Papugi europejskiej*.

Petersburg. Nakładem B. M. Wolffa drukować się zaczną: J. Kraszewskiego powieści: p. n.: *Kordecki* (historyczna); *Ostatnia z domu Siekierzyńskich*.—Tegoż: *Opis malowniczy dawniej Polski*. Cztery

rycin, i sto kilkadziesiąt drzeworytów (robionych wedle rysunku samego Kraszewskiego) w Paryżu, przyozdobi ten opis.

— Nakładem tegoż Wolffa zacząną się drukować: 1) „Biblioteka klasyków polskich, i Przekłady dawnych historyków polskich, jak Solikowskiego, Fredry, Hejdenstejna, Sobieskiego, Łasicckiego, Petrycego, Kobierzyckiego, Rudawskiego, Kojalowicza, i Klimakterów Kochowskiego.” 2) Poezycie B. Zaleskiego, wydanie w rodzaju Maryi, drukowanój w Lipsku w 24. 3) L. Siemieńskiego powieści.

— *Dziwadła*, powieść J. I. Kraszewskiego we 2 tomach, drukuje się nakładem Tygodnika Petersburskiego. Tegoż powieść p. n. *Serce bawelniane* ma się w Warszawie drukować.

Kraków. (Wyjątek z listu W. Pola). „Sekcja Archeologiczna Towarzystwa naukowego z Jagiellońskim uniwersytem połączonego, wydała odezwę znaną już wam. Obecnie przeznaczyło Towarzystwo fundusz na wydawanie archeologicznego pisma z rycinami, i w pierwszym zeszycie będzie umieszczony monograficzny opis starożytnego krakowskiego ratusza, z widokami dyrektora budownictwa w Krakowie p. Karola Kremera. W zakres sekcji archeologicznój wchodzi także zbieranie starożytności lub zachowanie pomników, gdzieby się takowe znajdowały: komitet tedy pogorzeli miasta Krakowa, przeznaczył na naprawę przez ogień uszkodzonych pomników 8000 złp. do rozporządzenia sekcji archeologicznój, co wystarczy na naprawę pomników *Piotra Kochanowskiego* i *Petrycego*, tudzież szacownych bardzo obrazów olejnych, które przy nowój restauracyi kościołów piękne mogą zająć miejsce. Pan Wojciech Statler pracuje obecnie nad wielkiem obrazem olejnym: Chrystus na krzyżu. Dzieło piękne, w stylu rzymskim pojęte. Wielki talent jego syna Henryka, który jest rzeźbiarzem, rozwija się, dosłownie to biorąc, z każdym dniem wyżej.”

— *P. Cercha* młody rysownik wykończył obecnie kilka oddziałów z wielkiego ołtarza P. Maryi rzeźby Wita Stosa. Robota staranna i wierna. Komitet archeologiczny zajmie się zapewne wydaniem tego rysunku, w dobrej litografii; bo publikacya tego zabytku i smakby ożywiła, i cudzoziemców przekonała, że i w Polsce są płody sztuki, godne iść w zawody o pierwszeństwo z najslawniejszymi zabytkami innych krajów.

— *P. Antoni Oleszczyński*, jak słychać, miał otrzymać od Akademii sztuk pięknych w Petersburgu polecenie, rytowania obrazu, za którego wykonanie wyznaczyła 50,000 franków nagrody.

— Wyszły tu z druku następne pisma:

Wiadomość o rękopismach historii Długosza, napisał Józef Muczkowski prof. i bibl. uniwer. Jagiellońskiego. Kraków, w drukarni uniwersyteckiej, 1850, 8ka, str. 79 i tablica podobizn. Ważne to pismo dla bibliografii polskiej, z całą pracowitością, właściwą autorowi wykonane, obznajmia nas z rozrzuconemi po świecie dziejowemi rękopismami Długosza. Dodatek zaś w końcu dziełka podaje najdokładniejszy opis rękopismu Długosza pod tytułem: „*Liber beneficiorum*” znajdującego się w archiwum kapituły katedralnej krakowskiej.

— P. Niewiarowski inżynier cywilny wrytował i wydał na widok publiczny piękną mapę pożaru Krakowa, na obszerną skalę. Od góry herb miasta tego, i herb wszechnicy Jagiellońskiej są umieszczone; od dołu piękne kopije z rycin wydanych w Krakowie, spalonych kościołów Domitriańskiego i Franciszkańskiego. Dochód ze sprzedaży na pogorzelców Krakowa przeznaczony.

— *Łęstaw Łukaszewicz* właściciel księgarni w Krakowie, ogłosił następną odezwę niemało obchodzić mogącą handel krajowy księgarski:

„Bez księgospisu, trudny zawód dla księgarza. Dotąd nikt nie wydał u nas takiego, któryby mógł być poczytany za dogadzający każdego księgarza polskiego, bieżącej potrzebie. Przedsiębiorę zaradzić temu niedostatkowi, i dlatego proszę każdego zajmującego się księgarstwem polskim, o nadesłanie mi dokładnego spisu wszelkich książek i pism od 1750 do 1851 r. wydanych, do piśmiennictwa polskiego należących, a jego własnością będących, lub w kommis mu wręczonych. Z takich wykazów *pojedynczych*, powstanie wykaz *powszechny*, tego wszystkiego, co obecnie księgarze polscy posiadają i czego dostarczyć mogą. Równie i ta skazówka niemałej wagi znajdzie się, od kogo ten lub ów przedmiot dawniejszy lub zapomniany sprowadzonym być może. Oczywiście, że wielka musi być dokładność co do tytułu, ilości stronnic, miejsca i czasu wydania, tudzież co do oznaczenia czyj to nakład i własność terażniejsza, lub kto ma ten przedmiot w kommis sobie dany, nakoniec co do ceny”.

„Ponieważ z wydania tego katalogu nie zamierzam żadnego zysku ciągnąć, a zatem każdy księgarz, przysyłając mi swój spis najdalej do końca lutego 1851 r., raczy zarazem oświadczyć, ile egzemplarzy tego katalogu życzy sobie mieć dostarczonych, iżby dojsć liczby, ile odbić i ile wypadnie z rozrachowania na niego zapłacić, bo tylko tyle będzie wyłoczonych, ile żądanie wskaże”.

„Prócz jak najprędzszego nadesłania rzeczonych wykazów, ja sobie tylko jedno zamawiam i zastrzegam, to jest: nadesłanie mi natychmiast po odebraniu żądanych egzemplarzy katalogu przypadającej za nie należytości w gotówce, bez odnoszenia się dalszego do rachunków, między nami istnieć mogących”.

„Przyszedszy raz do księgospisu powszechnego, już łatwiej będzie potem, wydawać dopełnienia lub *czasopis*, dla pożytku księgarzy przeznaczony”.

Lwów. Pokazał się tu tomik poezyi Stanisława Doliwy (hr. Starzyńskiego): sąto trzy utwory dramatyczne w przekładach: *Matka rodu Dobryńskich* z Grillparcera: *Cykuta* z Emila Augier, i *Mania do wierszów* z Pirona.

Górny Szląsk: w *Piekarach* wyszła książka: *Dostateczny śpiewnik kościelny i domowy*. Wydał *Piekoszewski* młynarz, który wiele lat strawił nad zgromadzeniem najdawniejszych pieśni kościelnych polskich, a teraz własnym nakładem ogłasza. Najpiękniejsze hymny naszych poetów brzmieć będą w świątyniach Szlązka, do których i noty dołączone zostaną.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Listopad, 1850.

Listopad 1850.

Dostrzeżenia w Obserwatorium

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza,
czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1		746.77	747.84	748.64	750.00	+ 1.3	+ 5.6	+ 5.8	+ 5.6	94.2
2		751.34	752.68	752.28	751.41	+ 4.1	+ 5.1	+ 6.1	+ 1.2	90.0
3		748.46	748.79	750.43	753.10	+ 3.1	+ 6.9	+ 10.6	+ 5.0	91.5
4	☉	754.94	755.42	750.68	748.00	+ 4.9	+ 5.6	+ 6.7	+ 6.0	97.3
5		744.25	745.87	745.65	742.12	+ 6.9	+ 7.1	+ 7.5	+ 7.9	74.8
6		738.88	740.04	741.07	742.16	+ 6.7	+ 6.0	+ 5.8	+ 4.8	85.2
7		741.78	742.22	744.89	750.41	+ 4.4	+ 5.8	+ 4.2	+ 2.7	89.0
8		749.95	748.30	743.09	739.73	+ 1.4	+ 5.4	+ 8.0	+ 6.7	94.0
9		736.39	734.20	738.12	742.79	+ 5.0	+ 5.8	+ 6.3	+ 2.3	74.7
10		747.60	749.81	750.19	742.31	+ 1.2	+ 1.3	+ 1.5	+ 2.9	87.8
11		739.88	739.37	738.95	739.03	+ 8.3	+ 6.9	+ 6.9	+ 6.3	91.8
12	☾	735.26	734.64	738.71	743.11	+ 3.4	+ 0.6	+ 1.0	— 0.9	89.5
13		744.57	744.63	742.80	739.09	— 2.4	— 0.9	— 0.5	— 0.2	95.7
14		735.69	736.63	739.42	740.61	+ 0.6	+ 0.8	— 0.4	— 0.1	85.5
15		745.01	746.72	747.67	748.28	— 0.6	+ 0.2	— 0.2	— 1.5	89.0
16		749.13	751.18	752.76	753.73	— 2.5	— 1.8	— 2.3	— 6.6	93.2
17		751.22	750.33	747.00	745.17	— 2.6	— 1.1	— 2.7	— 4.0	92.8
18		745.39	746.90	746.74	746.08	— 3.8	— 3.5	— 1.5	— 1.4	92.3
19	☉	745.12	745.35	744.02	741.98	— 3.8	— 2.3	— 1.1	— 2.9	88.7
20		738.56	738.14	737.53	737.00	— 1.3	+ 0.8	+ 1.2	+ 1.6	96.5
21		734.67	734.67	734.20	734.19	+ 3.0	+ 4.4	+ 5.6	+ 5.4	93.5
22		740.12	743.10	747.12	749.87	+ 2.1	+ 3.1	+ 2.7	+ 1.5	89.5
23		751.92	752.83	752.53	751.77	+ 0.8	+ 2.1	+ 2.3	— 0.5	99.2
24		748.93	749.10	749.45	748.78	+ 1.1	+ 3.5	+ 6.7	+ 3.2	86.3
25		744.83	743.06	741.87	741.84	+ 0.0	+ 4.4	+ 6.7	+ 6.5	89.5
26	☾	741.95	743.32	744.22	745.97	+ 5.4	+ 6.0	+ 6.9	+ 5.3	90.2
27		745.66	744.80	744.58	746.03	+ 2.3	+ 5.8	+ 8.7	+ 6.1	98.5
28		747.42	749.34	751.79	755.75	+ 4.6	+ 5.0	+ 5.3	+ 4.0	97.3
29		761.65	764.32	765.59	766.65	— 0.9	— 0.6	— 0.2	— 3.3	92.3
30		764.50	764.05	761.66	760.49	— 5.9	— 2.7	— 0.2	— 0.4	87.2
Śre.		745.731	746.255	746.455	746.562	+ 1.56	+ 2.84	+ 3.58	+ 2.11	90.6

Astronomiczném Warszawskiem.

ęgo szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s, 7
 względem południka paryzkiego.

S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 godz. r.	10 godz. r.	4 godz. w.	10 godz. w.	dé-szczu	śnie-gu
h. mgła	lek. pochm.	pochmurny	napót pog.	—	—	—	PnZ.		
h. mgła	pochmurny	pochmurny	pogodny	—	—	—	PdZ.	7.0	
zcz	dészcz	napót pog.	pogodny	PdZ.	Z.	PnZ.	Z.		
h. mgła	mgła gruba	pochmurny	pogodny	Z.	PdZ.	Pd.	Pd.		
bmurny	napót pog.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	16.7	
hmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	6.3	
hmurny	pr. pochm.	dészcz	napót pog.	Z.	Z.	PnZ.	Z.	14.2	
ót pog.	pochmurny	pochmurny	dészcz	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	23.9	
hmurny	pochmurny	pochmurny	dészcz	PdZ.	Z.	PnZ.	PnZ.		
hmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Z.	PdZ.		
zcz drob.	dészcz	pochmurny	pochmurny	Z.	PnZ.	PnZ.	Z.	19.3	7.2
zcz	śnieg	pr. pogod.	pogodny	Z.	Pn.	Pn.	PnZ.	9.3	17.4
godny	pr. pogodny	pogodny	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	Pd.		10.7
hmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		6.2
hmurny	pochmurny	śnieg i kru.	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		2.7
hmurny	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	Z.	—	—	—		2.0
hmurny	lek. pochm.	pochmurny	napót pog.	Z.	Z.	Z.	—		6.1
hmurny	pochmurny	śnieg	pochmurny	PnZ.	Z.	PnZ.	Z.		
hmurny	pochmurny	pochmurny	mgła lekka	Z.	—	Pd.	PdW.		
hmurny	mgła lekka	dészcz drob.	pochmurny	Pd.	PdW.	Pd.	PdW.	5.9	
hmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.	3.4	
hmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	—	—		
hmurny	pochmurny	pogodny	napót pog.	—	—	—	—	3.1	
hmurny	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	PdW.	Pd.	PdZ.	PdZ.		
godny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Pd.	Pd.	PdZ.		
pogodny	pr. pogod.	pr. pogodny	pr. pogodny	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdZ.	12.6	
h. mgła	pochmurny	pochmurny	pogodny	—	Pd.	—	Pn.	2.0	
h. mgła	pochmurny	pochmurny	pochmurny	—	—	—	Pn.	2.5	
godny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	—	—	W.		
godny	pogodny	pr. pochm.	pochmurny	—	W.	PdW.	W.		
								126.2	52.3

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	746.251	27	6.810
Najwyżej dochodził — d. 29 o g. 10 w.	766.65	28	3.853
Najniżej — — d. 21 o g. 10 w.	734.19	27	1.463
Średnia zmiana dzienna barometru	5.676		2.520
Największa zmiana dzienna barometru d. 21—22 o g. 10 w.	15.68		6.922
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 24 lat poprzedzających	4.180		1.852
Średnia temperatura Listopada wynosi: +	20.52 C.	+20.016	R.
i ta jest wyższa o	1.11	„	0.886 „
od stanu normalnego z 24 lat po- przedzających	+ 1.41	„	+ 1.13 „
Największe ciepło dochodziło d. 3 o godz. 4 wieczór.	+ 10.6	„	+ 8.48 „
Największe zimno dochodziło d. 16 o godz. 10 wieczór.	— 6.6	„	— 5.28 „
Termometrograf wskazał:			
Maximum: + 9.09 R. d. 3 po poł.			
Minimum: — 6.3 „ d. 16 wieczór			
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.458	„	1.966 „
Największa zmiana dzienna d. 28—29 o godz. 10 w.	7.3	„	5.85 „
Wody z deszczu spadło wysoko na 126,2 milim., czyli 55,65 lin par., z śniegu 52,3 milim. czyli 23,22 lin. par., razem z deszczu i śniegu 178,5 milim. czyli 78,87 lin. par., to jest: 61,75 lin. par. więcej, niż w stanie normalnym.			
Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 90,6 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru, 5,68 gramów, na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest prawie tak sama co i w stanie normalnym.			
Dni pogodnych było 2, napót pogodnych 3, pochmurnych 25.			
— deszczu 15 (d. 3, 6, 7, 8, 9, 10, 11, 12, 20, 21, 23, 24, 26, 27, 28).			
— śniegu 9 (d. 10, 11, 12, 14, 15, 16, 17, 18, 20).			
— krup 5 (d. 6, 14, 15, 20, 23).			
— mgły 13 (d. 1, 2, 4, 17, 19, 20, 21, 22, 23, 26, 27, 28, 29).			
Wiatr panujący: Zachodni.			
Wichrów było 8, t. j. Z=6; PdZ=1; PnZ=1.			
Wiatrów mocnych 9, to jest: Z=5; PnZ=3; W=1.			
Listopad r. b. był niepogodny, słotny, mglisty, blisko o jeden stopień R. cieplejszy jak zwykle. Pierwsze dziesięć dni i dziesięć dni od d. 20 do 29 były ciepłe lecz dżdżyste; ośm dni od d. 11 do 19 śnieżne; siedm dni od d. 13 do 20 mroźne. Powietrze w ogóle było łagodne lecz wilgotne. Mgły osobliwie w ostatnich dziesięciu dniach trwały prawie ciągle. Deszcze padały często i obficie. Hość wody spadłej z deszczu i śniegu jest cztery razy większa jak zwykle. Średnia wysokość barometru miesięczna jest tak niska jak w żadnym z 25 lat poprzednich nie była. Zmiany barometru przy częstych wichrach zachodnich, znaczne. Najcieplejsze dni były d. 3, 4, 5, 6, 8, 11, 26, 27; najzimniejsze d. 13, 15, 16, 17, 18, 19, 29, 30.			
D. 11 przed południem deszcz ulewny.			
D. 19 o godz. 10 wieczór koło białe otaczało księżyc.			
D. 13, 25, 29 plamy na słońcu były widzialne.			

DO REDAKTORA.



Przed kilką laty wzywałeś mnie, abym z dziejów, nad któremi wówczas pracowałem, przysłał jaki ustęp do waszój Biblioteki. Nie mogłem wtedy, mimo szczerój chęci, żądaniom twoim zadosyć uczynić: znajdowałem się bowiem w samym toku potrąconych zewsząd wątpliwości, dla których rozjaśnienia zapuszczać się musiałem aż do ostatnich źródeł, niepewny wyniku do jakiego doprowadzić mię miały dalsze śledzenia. Od tego czasu pismo wasze postępowało torem wytkniętym, zdając publiczności sprawę z najznakomitszych zjawisk literatury, i samo jedno przetrwało wszystkie zmiany wznoszącego się chwilowo i znowu nagle podupadającego polskiego dziennikarstwa. Kiedy dzieło moje oddawałem do druku, pierwszą myślą moją było dać kilką uwag z niego do waszego pisma, i acz późno, odpowiedzieć przyjaznemu twemu wezwaniu. Mnóstwo drobiazgowych zachodów, jakie zwykle u nas staranniejszemu wydaniu dzieła towarzyszą, oderwało i tą razą w inną stronę całą moję uwagę, i ledwie dziś, kiedy już ostatni arkusz mego dzieła opuszcza zmuzną korektę, i ma być odbitym na czysto, przesłać ci mogę artykuł.

Łatwo to pojdziesz, że z książki w której jest ścisłego druku do 36 arkuszy, niepodobna jest dać krótki, trzy lub cztery arkusze wynoszący wyciąg, tak, iżby czytelnik miał dokładne o samém dziele wyobrażenie. Zrobię jednak co mogę: i chociaż niejedno z tego co tu powiem, wyda się hypotetyczném, dla czytelnika wszelako, którego zajmie rzecz sama, zostanie zawsze droga zajrzeć po dowody do dzieła. Z tego względu nie jest może złą rzeczą, że niniejsza moja odezwa nie o wiele pojawienie się samój książki poprzedza.

Ktokolwiek zastanawiał się nad ojczytymi naszemi dziejami, a zwłaszcza nad ich początkiem, mógł dostrzedz pewną niedo-

stateczność w ich dotychczasowém opracowaniu. Początek naszej historii wisi jakby w powietrzu. Wiemy coś pewnego o Mieszku; o ojcu jego prawie nie pewnego nie wiemy, a o dziadku i pradziadku jego pleciemy czasem niedorzeczności. Zkąd się wzięła naraz silna społeczność, Polską nazwana? gdzie było jej pierwowocie? w jaką konstellacją złożyły się polityczne ciała w Europie, co tak szczęśliwy poród wywołały?—sąto pytania, które się zwykle pomijają w naszej historii, i na które nikt nie starał się odpowiedzieć dokładnie. Trzeba ich atoli raz już rozwiązać, trzeba orzec stanowczo, jaki jest ostateczny wyraz tego, co nam każdy ze źródłowych pisarzy, czyto swojak, czy pobratymiec, czy obcy, o początku naszym powiada: jedném słowem, trzeba zstąpić do ich analizy i okazać ostateczne jej wyniki. Droga ta jest nieco przydłuższa; wszakże na niej jedynie osiągnięty być może cel zamierzony. Opatrzeć tedy pewną, niezachwianą podstawę, na której wznieść się ma budowa narodowej historii; z przysporzonych różnemi czasy materiałów do téj budowy wydzielić to, co jako gruz niezdatny zawadzać tylko może w téj pracy: takie mniej więcej powinno być założenie wstępu krytycznego do naszych dziejów.

Mój wstęp krytyczny podzieliłem na trzy księgi: w pierwszej roztrząsam najdawniejsze historyczne pomniki, dając rys znajomości rzeczy i większej lub mniejszej wiarogodności każdego ze źródłowych pisarzów. W drugiej zestawivszy powieść najstarszego kronikarza naszego, ze wszystkiemi paralelami i przyświadczeniami bądź obcych, bądź téż swojskich a zawsze jeszcze źródłowych pisarzów, starałem się obejrzyć krytycznie dzieje tak zwanych Lechitów, którento imieniem obejmują kronikarze nasi dzieje starożytnych przodków naszych, w Iliryi i nad Dunajem od czwartego przed Chrystusem, aż do drugiego po Chrystusie wieku zamieszkałych. W trzeciej nakoniec księdze rozpoznaję właściwe dzieje Polski, śledząc bieg wypadków politycznych od piątego po Chrystusie, aż do połowy niemal XIgo wieku.

Oddzieliwszy tedy dzieje starożytne od nowożytnych i okazawszy, że tak kronikarze polscy, jako i Nestor i Kosma pragski opisują w jednej części zdarzenia, które nie tylko epokę powstania Polski, Rusi i Czech, ale nawet epokę nazwania przodków naszych Słowianami o wiele wyprzedziły; że opisują jedném słowem zdarzenia z dziejów starożytnych: wypadało mi zabawić przydłużej nieco w owéj epoce, i rozwieść się o tych dziejach obszerniej. Rzecz sama, którą w téj części rozpoznaję, tyczy się

pytań następujących: jakie wyobrażenie mieli w najdawniejszych czasach Polacy i w ogólności Słowianie o swoim pochodzeniu? czy to wyobrażenie zgodne jest z udowodnionemi reszty Europy dziejami? i jak się ma do tych wywodów Słowiańszczyzny, które po dziś dzień doznają najwięcej wziętości?

W właściwych znowu dziejach Polski zwracałem głównie uwagę na to, z kąd się nam wyobrażenia o trwałej, niezawistej społeczności udzielały; i wątek pewniejszych dziejów uchwyciwszy, rozpoznawałem i w téj epoce co tylko wątpliwościom ulegało, aż do wstąpienia na tron Kazimierza I.

Z każdej z trzech ksiąg prześlę ci wypis, któryby mógł mieć jakąś całość dla siebie; winienem tylko ostrzedz przedewszystkiém, że z głębokiego przekonania o koniecznej potrzebie poprawek pewnych w nomenklaturze naszych historycznych pomników, pozwoliłem sobie niektórych odmian w téj mierze: i tak zwanego Dzierzwę, którego kronikę od dopełnień późniejszych oddzieliłem, i ród, oraz wiek jego dokładnie oznaczyć starałem się, nazywam *Miorszem*; Marcina Gala, *Gawłem*; Kadlubka, *Wincentym Bogusławicem*; Godzisława Baszkę, *Godysławem Paskiem*; bezimiennego notaryusza Beli, *Gwidonem z Kolumny*; wreszcie piszę imiona *Lęchia*, *Lęchowie*, *Waręgowie*, *Wętycze*, przez głoskę nosową, tak ze względu na właściwe brzmienia języka Nestorowego, jako téż ze względu na dawniejsze jeszcze, obce pomniki.

Lwów, dnia 4 listopada 1850 r.

A. Bielowski.

RZUT OKA

NA DOTYCHCZASOWĄ POLSKĄ HISTORIĄ.

Zmiany, jakim zwykle ulega historia, płyną z dwojakiego źródła: wykrywają się nowe pomniki dziejów, które dotąd nieopatrzone leżały, lub téż dawne i powszechnie znane pomniki podciągają się pod nowe roztrząśnienie, którego wynik zmienia niekiedy zupełnie istotę tego, co dotąd za prawdę uchodziło lub pospiesznie zaliczone było do bajek. Może więc historyk jedne i te same dzieje opowiadać całkiem inaczej od swego poprzednika,

choćby w przeciągu czasu, jaki między nim a tamtym zachodzi, żadnych lub tylko małoznaczące źródła wykryto. Wszystko to zależy od dokładniejszego rozpoznania, od przenikania myślą tych źródeł, która to czynność bardzo wiele stopni dopuszcza. Duch ludzki ma tu podobieństwo z promieniami słońca, które chociaż się nad jedną i tą samą okolicą przesuwają, następcza jednak oku dostrzegacza w rozmaitych chwilach nieskończone pasmo różnic w jej widoku, począwszy od rannego brzasku i wśród błękitów chmurami przetykanych, aż do rozpogodzonego, a letnim żarem gorejącego południa.

Rzuciwszy okiem na historią polską od czasów najdawniejszych aż do dnia dzisiejszego, dostrzega się w niej takie same zmiany, jakim w powszechności historia w Europie ulegała. Był czas, w którym składała się z luźnych zdarzeń zaciągnionych do ksiąg pod swoim rokiem. Później wyrabiano z nich powieść ciągłą, jak przedzę z włókien pojedynczych. Od ośmiu przeszło wieków występowała w Polsce mężowie, którzy dzieje narodowe opowiedzieć starali się; każdy z nich miał mniej lub więcej prawdę na celu, ale pojmowanie jej zmieniało się według zdolności, według światła i usposobień opowiadacza, a każdy wiek następczał takiemu opowiadaczowi inne kłopoty, i zwracał w inną stronę główne jego usiłowania. W wieku XI i na początku XII, kiedy historyczny materiał składał się po większej części z urywkowych zapisków, które w księgach klasztornych i po ich okładzinach trzeba było mozolnie wyszukiwać, kłopotano się głównie tém, jak z tych martwych rejestrów usnuć powieść jednolitą, któraby jakowyś obraz życia narodu przedstawiała. Przed tém główném staraniem ustępowała na stronę chronologiczna dokładność, i proste nawet następstwo zdarzeń w opowiadaniu, zdawało się rzeczą podrzędną i mniej potrzebną; zwykle bowiem przy kronice dopisywano rocznik, z którego zainformowałeś się o datach. W wyrabianiu tedy ciągłego opowiadania z dat rozpięzchnionych, i przy coraz większym udoskonalaniu powieści, przybywało niejedno dla krągłości, dla ozdoby lub ożywienia obrazu; a w miarę jak zyskiwała forma, prawda dziejowa bladła i mgła się powlekała. Po rocznikarzach i opowiadaczach nastąpił wiek historyografów: którzy z jednej strony wysłędzone jeszcze tu owdzie przerwy w dziejach erudycją z całego świata nadstawiając, z drugiej strony zaś pełniejszą powieść dziejową ze ścisłością chronologiczną połączyć usiłując, dawali narodowi dzieła i różnaitością opowiadania zaj-

mujące, ale w wyjaśnieniu dawniejszych zdarzeń rzadko szczęśliwe. Ojcem i wzorem takich historyografów u nas jest Długosz: z nim przeszła historia polska w nową epokę, i zaczęto już z góry poglądać na roczniki proste i kroniki, które coraz więcej szły w zaniechanie.

Przyszedł nakoniec czas głębszej rozważki nad historią, czas wytrawniejszej krytyki. Pod koniec XVIIIgo wieku postrzeżono, że płynne i choćby najzręczniejsze opowiadanie nie zastąpi prostej i na dowodach opartej prawdy, która sama jedna jest celem historii. Nie zapoznawano wprawdzie i tego, że historia głównie na świadectwach współczesnych i na kombinacjach opierać się powinna, a wszystko, co pochodzi z czasów późniejszych, może w niej warunkowe tylko zajmować miejsce; ale niepodobniestwem było przyjść naraz do tak pojmowanej historii: aby się nawet choć cokolwiek do niej zbliżyć, trzeba było podejmować trudy olbrzymie. Przez kilka bowiem wieków, w których kolejno to rocznikarze, to kronikarze, to historyografowie występowali, zbierano i wypisywano ich dzieła, nie mając innego celu na względzie, jak tylko własną dogodność. Jeżeli rocznik lub kronika kończyła się na zdarzeniach dawniejszych, nie zaniebano dodać do nich wypadki nowsze, sklejjąc dwa, trzy lub więcej dzieł z różnych czasów i różnego pióra w jedno, częstokroć i własne postrzeżenia wmieszawszy. Gdy tedy rzadkie autografy i społeczne odpisy naszych kronik to w domowych nieszczęściach, to w zaburzeniach publicznych ginęły, wyrabiały się z nich tymczasem w powyższy sposób dziwne amalgamata, podobne swoim różnorodnym składem do wykopalisk, coto zdaleka uważane mają pozór jednorodności, a w których przy troskliwszym rozpoznaniu okazują się pogmatwane szczątki ze świata roślinnego, kruszcowego i zwierzęcego. Twardo szło odszukanie dawnych historycznych polskich pisarzy; twardziej nierównie rozpoznanie i oczyszczenie ich tekstu. Wzięteś do ręki dzieło najgłośniejszego z pomiędzy kronikarzy, Kadłubka, plątał ci myśl bezustannie jego komentator, i trzeba się było mieć na baczności, aby nie powiedzieć z Mikołajem Chwałkowskim, że Kadłubek pisał za czasów Warneńczyka. Otworzyłeś księgi Gawła (1), uderzały cię cuda św. Stanisława, kanonizowanego w roku 1253, nasuwał się tedy wniosek najwidoczniejszy, że Gawł pisał do-

(1) Marcina Gała, jak go nazywa J. Wincenty Bandtkie.

piéro w drugiej połowie wieku XIIIgo. Chciałeś się poznać z kroniką Bogufala, trafiłeś na Godysława Paska (1), który do poważnej jego sutanny różnobarwnych łąt i świecideł nawieszawszy, rozsądnego biskupa na błazna wystrychnął.

W takimto czasie zamętu i powikłania historycznych źródeł, otrzymał Naruszewicz polecenie od króla pisać historią narodu. Znaczna część pomników źródłowych była jeszcze nieodszukana, a żaden dawniejszy kronikarz niewydany krytycznie; brakło nawet prac przygotowawczych ku temu. Niedosć więc było naszemu historykowi zająć się porównaniem świadectw, i z wyższą myślą rozpoczynać budowę narodowej historii; sam on musiał piérwój przysposabiać materyał, sam gruz niezdatny wydzielać i ociosywać kamienie. Historią pierwiastkową narodu, jako potrzebującą długich i wyłącznych studyów, odłożył na czas późniejszy, a ująwszy wątek dziejów u Mieczysława Igo, gdy mu i odszukaniem pomników i oczyszczeniem i rozświeceniem ich treści zająć się przychodzi, dawała się zanadto uczuć potrzeba, oprzec myśl wątpliwościami strudzoną o jakąwąś powagę. Taką powagę wydał mu się Długosz, i na tle jego sadowi i rozprawadza część największą swojej historii. Atoli dziś wiadomo, że Długosz, z bardzo małym może wyjątkiem, nie miał pod ręką żadnych innych źródeł jak te, które nas doszły; a gdy takowe z jego słowami porównujemy, daje się dostrzedz i to, że Długosz niezawsze był szczęśliwy w zrozumieniu świadectw dawniejszych. Powaga więc jego nie daje nam żadnej rękojmi w rzeczach, które wiek jego wyprzedziły.

Miał jednak Naruszewicz niejedno, czego mógłby mu słusznie zazdrościć dzisiejszy polski historyk. W Polsce było mnóstwo bibliotek. Biskupowi, na rozkaz królewski historią narodu piszącemu, wszystko stało otworem, i wszędy, tak po publicznych, jak i prywatnych księżnicach, na skinienie jego odpisywały się i gromadziły kosztem królewskim najrzadsze pomniki dziejowe. Przy takiej zewnątrz pomocy, a nadzwyczajnie trzeźwym rozsądku, którego ogrom erudycyi ztępic nie zdołał, i którym po dziś dzień nad zapaśnikami swemi góruje, dokonał szczęśliwie dzieła, które jak było wówczas jedyne w swoim rodzaju na całej przestrzeni zamieszkanój przez Słowian, tak téż sprawiedliwe odbierało ze wszech stron uwielbienie. Ale obok poklasków i pochwał,

(1) Godzislawa Baszkona, jak go po dziś dzień nazywają.

jakie tak to dzieło, jak i powinowate mu dzieło Tadeusza Czackiego budziło i budzi dotychczas, znalazł uznanie swoje w narodzie i głos ostrzegający: że Naruszewicz i Czacki nadużywają poważnego słowa *świadectwo*, stosując je częstokroć do pisarzy o dwieście i więcej lat od zdarzenia późniejszych.

W zaszłych później stosunkach trzeba było nadzwyczajnej sprężystości ducha, aby nietylko rozszerzyć prace, które Naruszewicz rozpoczął, ale nadto rzucić niektóre zarysy do przyszłej świetniejszej dziejów budowy. Tadeusz Czacki zbadał w uczoneń dziele: *O Prawach litewskich i polskich*, najważniejszą część dziejów, i zapowiedział wydanie Gawła kroniki, przez siebie w rękopiśmie nienadwerżonym odszukaną. Przyrzeczenie to ziścił w lat dwadzieścia później Jan Wincenty Bandtkie. Wielu innych jego kolegów dopełniało historią polską przez Naruszewicza zaczęta panowaniami pojedynczych królów, a Wawrzyniec Surowiecki zajął się zbadaniem pierwszego okresu naszych dziejów pominiętego najprzód przez Naruszewicza, a w rękopismach późniejszych skreślonego dorywczo. Długoletnia ta praca z rozległą erudycją i w sposób naukowy przeprowadzona, zwróciła na się uwagę uczonego Czecha *Pawła Józefa Szafarzyka*, który też ją w przerobieniu niemieckim ogłosił, i dała mu popęd do przedsięwzięcia rozleglejszych jeszcze badań na tém polu, złożonych później w dziele: *Słowanskie Starożytności*.

Odmienny charakter noszą w tym okresie prace Joachima. Przejęty wysokiem wyobrażeniem o powołaniu historyka, czuł on najlepiej niedostatki dzieła Naruszewiczowego; nietylko więc wkładał usiłowania swoje w dopełnienia zaczętej przez tamtego historyi, jak raczej w to, aby same źródła dziejów polskich wykryć, wyjaśnić i zrobić dostępnymi dla powszechnego użytku. Zwracał tedy bezustannie uwagę narodu to na najdawniejsze roczniki polskie, po różnych rękopismach znajdujące się; to na ruskie latopisy zasobne w materyał do dziejów Polski, a przez Naruszewicza prawie nietknięte; to na niedrukowane dotąd kroniki. Jego to przynaglenia spowodowały ostatecznie wydanie krytyczne Gawła kroniki. Gdyby większość jego kolegów wychodziła była z téj zasady, tedy zaszczyconym opieką trzech monarchów, łatwo mógł być dostarczony dla naukowego użytku każdy prawie ważniejszy rękopism, czyto z Petersburga, czy z Wiednia, lub też Królewca i Berlina; a gdy prócz tego każdy rodak rad składał w ich ręce najważniejsze dziejowe pomniki: skoroby więc pojęli

byli należycie swe stanowisko i odpowiednio temu zabrali się do pracy, mielibyśmy dziś mniej wprawdzie o panowanie jednego lub drugiego z naszych królów, co wszakże nie byłoby stratą do niewynagrodzenia; ale byłyby uratowane dla narodu najcenniejsze źródła polskiej historyi, na których brak każdy się użala, a które dziś rozpieczętowane i oku Polaka po większej części niedostępne, hutwieją. Ogłaszał Joachim od czasu do czasu postrzeżenia swoje we względzie narodowych dziejów, rozświecając w nich rozmaite pytania na podstawie zeznań społecznych. Mnóstwo takich rozprawek i rozpraw rozrzuconych było po pismach periodycznych; część ich pokazała się nawet w języku niemieckim, tłumaczona przez Lindego, a Ryszard Röppel układając w naszych czasach rozsądnie i umiejętnie polską historyą, miał już pod ręką niejedną wyśmienitą pracę przygotowawczą, na jakich Naruszewiczowi całkiem zbywało.

Jedną z najwcześniejszych prac Joachima są uwagi nad Mateuszem herbu Cholewa, w których text kroniki Wincentowej roztrzysając, rozróżnił trafnie Mateusza od Wincentego, i charakter obu tych kronikarzów z bystrością nakręślił; atoli nie odgadł, co za dzieje księga pierwsza téj kroniki zawiera. Wynik poszukiwań autora na tém polu, i wynik poszukiwań jego na polu dziejów powszechnych uzyskany, stanęły w dziwném do siebie przeciwieństwie. Jan Krzysztof Gatterer, jeden z bystrzejszych badaczy historycznych, rozpatrując się w dziejach starożytnych i nowożytnych, powiedział w końcu zeszłego wieku, że Słowianie sąto starożytni Getowie. Rozprawa, którą w téj mierze ogłosił (1), zostawia zapewne w jednym lub drugim względzie niemało jeszcze do życzenia; ztémwszystkiém dla historyków, bezpośrednio ze źródłami słowiańskimi obeznanych, rzucony został pomysł nader płodny w następstwa. Mniemanie Gatterera trafiło do przekonania Joachima; już w Dziejach Starożytnych wydanych w Wilnie roku 1818, poświęca on szczególniejszą bacność ludom getyckim, i ogółowy obraz ich czynów śmiałemi pociągami nakręślił. Badania Surowieckiego i Szafarzyka, któryto ostatni Słowian ze wszystkiemi niemal ludami europejskiemi bratając, od Getów wyraźnie odcina, nie zachwiały w niczém przekonania Joachima, i tenże do ostatnich czasów ma Słowian za jeden i ten sam lud

(1) *Dissertatio de populi slavici getica sive dacica origine: in Comment. societ. Gotting. tom X, p. 167—399.*

ze starożytnymi Getami i Dakami. Myśl, którą powziął Gatterer z samego rozważania dziejów powszechnych, ma nierównie wyraźniejszą podstawę w źródłach historycznych słowiańskich: nasz Mateusz i Wincenty zwany Kadłubkiem, podali w pierwszej księdze swojej kroniki cały szereg królów getyckich, i główne zdarzenia z dziejów tego narodu, jako wstęp do dziejów polskich, położyli (1). Przed nimi na lat sto z górą podał to samo w kronice swojej Miorsz, zwany mylnie Dzirswą, oznajmując wyraźnie, że pierwszy z tych królów panować zaczął za czasów perskiego Aswera (Artaxerxes Memnona), na czterysta lat przed Chrystusem (2), a ostatni z nich panował w pierwszym po Chrystusie wieku, pamiętając jeszcze czasy Nerona oraz Piotra i Pawła męczeństwo (3). Te kroniki roztrzásając Joachim, zapoznaje zupełnie co to są za dzieje, które się w pierwszej księdze Wincentowej zawierają, i stara się wszelkimi sposobami przenieść wymienione tam zdarzenia z wieków przed-Chrystusowych, w późniejsze po-Chrystusowe wieki: szuka więc w Alexandrze Macedońskim Alexandra trybuna lub też prefekta rzymskiego, który w VI po Chrystusie wieku ze Słowianami walczyli; a nie znalazłszy dostatecznego między nimi podobieństwa, wykreca tegoż Alexandra na chagana Obrzynów (4). W kochanku Wandy wypatruje królika Warnów (5); w Leszku I każe nam widzieć Samona (6), a w Leszku III Ermanaryka, któremu, jak powiada, i Słowacy podlegali (7). Tak dziwny wykład prowadził prosto do wniosku, że Mateusz pierwszą swą księgę układał tylko na żart i drwiny: i tento wniosek wyczytujemy istotnie w nowém owój rozprawie wydaniu (8). Trudnoby było wytłumaczyć sobie taką sprzeczność u autora, znanego równie z bystrości w poszukiwaniach, jak i z rozległej nauki, gdyby nie ta

(1) Jeszcze w XVII wieku wiedziało dobrze o tém, co za dzieje obejmuje księga I kroniki Wincentego. Mateusz Pretorius powiada: *Multa de Gethis, vetustissimus scriptorum Polonicorum Vincentius Cadlubko (tradidit). Orbis Got. opera et studio Mathaei Praetorii. Oliva 1688, str. 2.*

(2) *Floruit autem Graccus rex Poloniae (Lincithiae) ante incarnationem Christi annis plus quadingentis, et ante Alexandrum Macedonem annis pene centum. Chron. Polon. per Dzierzswam, I, 16; wyd. warsz. z roku 1824.*

(3) *Regnavit etiam usque ad Neronis tempora qui Petrum et Paulum, apostolos, interemit. Tenże I, 56.*

(4) Uwagi nad Mat. rozdz. 28. 33. (5) Tamże rozdz. 24. (6) Tamże rozdz. 30. (7) Tamże rozdz. 40. (8) *Pols. śr. wiek. I 176, 304 i 305.*

okoliczność, że główne studia jego nad Mateuszem są z r. 1808, a wynik poszukiwań jego na polu dziejów powszechnych, zdaje się należeć do czasu nierównie późniejszego. Jakoż jego Dzieje Starożytne pokazały się dopiero w roku 1818.

Chećcemu dziś pisać dzieje narodu polskiego, któreby nie były powtórzeniem obcych dzieł, ale powieścią własną, na sumienném zbadaniu świadectw i trafnych kombinacyach opartą, a przedstawiającą życie narodu jako ruchomy obraz ciągłych przyczyn i następstw, na większy rozmiar wypracowany i zamożny w wielostronne widoki: jest rzeczą niezbędną podciągnąć pod nowe roztrząśnienie źródła tych dziejów, a przedewszystkiém te, które sam wywód czyli początki narodu obejmują. Praca ta sama z siebie mozolna, tém mozolniejsza jest u nas, gdzie tyle jeszcze pomników źródłowych w rękopismach ukrywa się, a ledwie jeden kronikarz wydany jest krytycznie. Wstępna ta praca potrzebuje zazwyczaj wielu lat i niemałych natężeń, jeśli choć w części ma odpowiedzieć zamierzonemu celowi: cokolwiek bowiem zawierać się ma w samém wyluszczeniu dziejów, to wszystko musi w niej mieć swoje podstawę, a ta skoro jest chybiona, skutki tego chybienia muszą być w całym dziele widoczne.

Od wielu lat zajmowałem się rozpoznaniem źródeł do dziejów Polski. Z drukowanych kronik szedłem do rękopismów, bacząc pilnie na zachodzące między niemi różnice. Brak w bliskości biblioteki, w którejby źródła do naszych dziejów pierwotnych w znaczniejszej przynajmniej części były zgromadzone, mocno mi się czuć dawał, stawiając nieprzewyciężone moim poszukiwaniom przeszkody. Przedsiębrać dalsze w tym celu podróże nie pozwalały mi środki; wypadało ograniczyć się na samej korespondencyi. Lata upływały nim od przełożonego téj lub owéj biblioteki, lub mającego łatwy wstęp do niéj, udało mi się wypukać przychylniejszą odpowiedź, która mi jeden lub drugi szczegół, znajdujacego się tam rękopismu, pojaśniała. Nakoniec zmieniły się okoliczności o tyle, że mogłem w tym celu przejeżdżać się nie tylko do miejsc ode Lwowa bliższych, ale i do Krakowa; do Warszawy i Wilanowa dojechać. Przy ponawianych tedy usiłowaniach, szczególné ze szczegółem zestawiając, przyszedłem po latach dwunastu do pewnych wyników nad ogółem tych źródeł, i część ich, do pierwszego okresu dziejów Polski odnoszącą się, tu kładę. Czytelnik obeznany z tą gałęzią piśmiennictwa u nas łatwo

obaczy, co w téj książce jest owocem własnych moich zachodów, a co od poprzedników moich przejąłem (1).

Kronika lęchicka.

Na początku wieku XIgo, była w Polsce jakaś kronika lęchicka, zawierająca dzieje starożytnych Linchitów (Ληχίται), ludu pierwiastkowo ilirskiego, mieszkającego później w Dacyi. Miał ją pod ręką Miorsz i zowie ją „*Descriptio Lechiticorum annalium.*” Ponieważ wywód i początek narodu naszego, zkądinąd nikomu nieznany, opisując, powołał się w główném miejscu na tę księgę; godzi się wnosić, że ona była źródłem jego najwłaśniejszém. Zawierała tedy dzieje Ilirodaków, poczynając od Artaxerxesza Memnona, zwanego w języku biblijnym Aswerem, a ciągnąc je mniej lub więcej aż do czasów Decebala: bo na nich urywają się wiadomości Miorsza, zaczerpnięte z dziejów ilirodackich czyli lęchickich. Kto tę księgę pisał? kiedy? gdzie? i według jakich źródeł?—o tém nie wiemy nic pewnego; gdy atoli wiadomo, że już w wieku IXm i na początku Xgo zajmowali się Słowianie wywodami swoich pierwiastków, zaczepiając takowe aż o czasy Jafeta (2); że do przodków swoich zaliczali starożytnych Getów i Daków, których mędrzec Dikeneas czyli Keneas słyszał u Słowian jako założyciel jednéj z piérwszych ich świątyń (3): można się więc domyślać, że księga ta w XIIm wieku przez Polaków czytana i wypisywana, była puścizną starych Słowian, którzy zapisali w niéj to, co o pochodzeniu swém bądź od narodów oświecześniejszych dowiedzieli się, bądź téż z własnych podań usłyszeli.

(1) Następujące źródła rozpoznane są w piérwszém księdze: „Wstępu krytycznego do dziejów Polski”: I. Kronika lęchicka. II. Roczniki polskie. III. Miorsza kronika Lęchitów i Polaków. IV: Kronika Gawła mnicha i Michała kanclerza. V. Latopis Nestora. VI. Kronika Koźmy pragskiego. VII. Mateusza kronika Lęchitów i Polaków. VIII. Kronika Wincentego Bogusławica, zwanego Kadłubkiem. IX. Kronika Boguła. X. Godysława Paska kronika Lęchitów i Polaków. XI. Gwidona z Kolumny historia o siedmiu książętach węgierskich. XII. Masudego Łąka złota i kopalnie klejnotów.—Tylko niektóre z nich damy tu i to w skróceniu.

(2) Tous les Selabes, au rapport des personnes le mieux instruites de leur origine descendent de Mari (Madai) fils de Japhet et c'est à lui qu'ils font *eux-mêmes* remonter leurs généalogies. Massudy u D'Ohssona: Des peuples du Caucase. Paris. 1828. str. 85.

(3) Massudy tamże str. 104; porów. Strab. Geogr. VII. 298.

W onych wiekach znano jeszcze w całości wielu pisarzy greckich i rzymskich, których dzieła znamy dziś tylko z ułamków, jakoto: Teopompa Chioćę, Troga Pompeja (1) i innych. Równie téż nie poginęły były jeszcze dzieła, w których dzieje Getów starożytnych wyłącznie traktowano. Pobudką do pisania ich było nadzwyczajnie

(1) Z tego autora przechował nam prześliczny ustęp o przewagach starożytnych Ilirów na Adryatyku, nasz Mateusz herbu Cholewa. W rękopismach Wincentego jest on bardzo pokaleczony i zmieniony do niepoznania. Porównałem kilkadziesiąt kodexów téj kroniki, a tak z wariantów ich, jako téż z odgłosów przechowanych u Skymnosa Chioćy, u Diodora Sykułskiego, u Strabona i u Justyna, okazuje się, że pierwotnie opiewał on tak:

„Infinittissimae numerositatis manum quondam in Illyrico viguisse (narrabat grandis natu: Trogus Pompejus) ut tanti regni immensitas (quanta est regni Macedonici) vix ab ea unius iuguris meruerit existimatione censeri. Adeo *Illyrios* non dominandi ambitus, non habendi urgebat libido; sed adultae robur animositatis exercebat, ut praeter magnanimitatem nil magni existimarent, ut suarum accessiones virtutum nullis usque terminis limitarent. Nec enim essent virtutes, si ullis dignarentur limitum ergastulis includi.”

„Hi etiam transmariorum fines suae titulis victoriae asculpserunt: non solum enim cismarinas undique nationes; sed etiam *dalmaticas* insulas suae conjecerant ditioni, quarum non invalidas legiones prius navalibus fudere proelits; deinde intimis insularum praecordiis infusi omnem clientulorum (macedonicorum) subjiciunt nationem, rege quoque illorum *Amynta* in vincula coniecto. Quibus duorum data est optio: vel vectigales perpetuo recognoscant pensiones, vel cum mulieribus indifferentes habitu comas muliebriter enutrient: argumentum scilicet imbecillitatis femineae. Illi dum altercantur de altero, utrumque suscipere coguntur.”

„Opowiadał wysoce urodzony Trog Pompej: Niegdyś żyła w Illiryku nieprzeliczona mnogość luda, u którego obszar taki (jak macedońskie królestwo) ledwie znaczył tyle, co Jan jeden. Illirów tedy nie gwałta do czynu żądza panowania lub zbiorów; lecz utwierdzone męztwo szukało chlubnych dla się popisów: prócz wielkoduszności nie uznawali oni nic wielkiem, a nabytków swój waleczności nie rozgraniczali żadnem kopcami. Bo téż waleczność, jakby w więzieniu zamknięta, rozwinaćby się nie mogła.”

„Onito aż na zamorskich ziemiach zwyciężkie imię swoje wyryli. Nietylko bowiem wokół ludy nadmorskie, ale nawet wyspy dalmackie zagarnęli w moc swoją, potłukwszy nielada ich zastępy w morskich bitwach; potem usadowiwszy się w samym środku wysp, podbili wszystkie ludki Macedonom daniczne, i samego ich króla Amyntę w kajdany zakuli. Zwycięzonym dano do wyboru: aby albo wieczyście dań opłacali, albo wraz z niewiastami jednaki ubiór przywdziawszy, po kobiecemu zapuszczali włos długi: w znak niewieściego niedołążstwa. Gdy się wahają w wyborze jednego z dwojga, zostają pomuszeni przyjąć oboje.”

czajne wzniesienie się, a potem upadek tego narodu za czasów Decebala, i wszystkie one kończyły się mniej lub więcej na tej katastrofie. Zwykle dawano im nadpis *Getica*, a niekiedy *Dacica*. Pisał Γετιζα Kriton z Pieryi, i Dio Chryzostom z Prusei: pisał Δακιζα Appian, a podobno i Statius. Nakoniec pisali o Getach Kassiodor i Jornandes Got, starożytnych Getów ilirskich, ze skandynawskimi Gotami zmieszawszy. Wiadomości, które kronikarze nasi z dziejów ilirodackich podają, zachowały się czysto od pomącenia Getów z Gotami: źródłem więc ich nie mógł być ani Kassiodor, ani Jornandes; ale pisarzów wyżej wymienionych, których dzieła obfitujące w wiadomości źródłowe już zaginęły, mogli z korzyścią radzić się starzy Słowianie w swoich wywodach, a niejedno zapewne wiedzieli oni także z podań swoich ojczystych. Jakoż są niektóre szczegóły, w których Jornandes z kronikarzami naszymi zupełnie zgadza się; nie można tedy wątpić, że te same źródła z których czerpał niegdyś Kassiodor, skrócony przez Jornandesa, znane były w swojej czystości autorowi kroniki lęchi-

„Minor tamen est obsequelae recognitio, quam ignominiae cauterium, prudentius enim famae consulitur, quam parcitur divitiis: divitiae siquidem infamia possessae nomen divitiarum non demerentur.”

„Hujus vero Amyntae nepos (Alexander magnus) avitam ultisci volens injuriam, in ipsos transtulit ultionem, quam extorquere non poterat. Quia enim Daci (soboles Getarum) cum Rolo rege adversus Bastarnas male pugnaverant, ad ultionem seguities, capturi somnum, capita loco pedum ponere jussu regis coacti sunt, et ministeria uxoribus, quae viris antea fieri solebant, facere, donec ignominiam bello acceptam (virtute) deleverent.”

„Mniejszém jednakże nieszczęściem jest uległość niż hańba; roztropniejsza ratować sławę, niż dostatki: bogactwa bowiem z hańbą posiadane, nazwiska bogactw niewarte.”

„Wnuk zaś tego Aminty (Alexander Wielki) chcąc zemścić krzywdę dziadowską, poniósł na nich miecz zemsty; ale nie od nich wymórz nie zdołał: (u ludów tych bowiem taka panuje karność, że) gdy oto Dakowie, Getów ilirskich potomki, pod królem swoim Rolą źle wojowali przeciw Bastarnom: za karę swego niedbalstwa pomuszeni zostali rozkazem królewskim, iżby spać idąc kładli się w nogi głowami, i wyrządzali żonom swoim taką służebność, jaka pierwój od nich mężom się należała, a to tak długo, pokądby hańby w wojnie poniesionej, nie zmylił.”

Kommentarz do tego ustępu i paralele zebrane ze starożytnych pisarzy poczynawszy od Tukididesa aż do Trogowego skróciiciela, Justyna, znajdzie czytelnik w samém dziele na str. 225 i dalszych.

ckiej (1), na którą ostatecznie powołał się Miorsz, a z której wiadomości wyjmując, skracał je i opowiadał swojemi słowami. Takich to wiadomości składem była najstarsza z ksiąg w Polsce znanych, a odgłos tych wiadomości, odnoszących się do dziejów getyckich zalatuje nas nietylko z naszych, po łacinie pisanych kronik, ale i z kroniki peczerskiego mnicha Nestora (2).

Roczniki polskie.

Pierwszą formą, pod którą dzieje nowożytne w chrześcijańskim świecie objawiać się zaczęły, są roczniki: ztąd ważność ich dla tych dziejów uznana jest zarówno w Niemczech, jak we Francji lub Anglii. U nas zrobiono już niejedno trafne postrzeżenie nad ojczystemi rocznikami; w ogólności jednak krążą o nich zdania częstokroć mylne zupełnie, a i w dziełach najznakomitszych naszych pisarzy nie przyznano im jeszcze ważności takiej, jaka im w rzędzie źródeł polskich należy. Z tej przyczyny mając tu mówić o rocznikach polskich, muszę rzecz moję wyżej zasięgnąć.

Dokładne oznaczenie dni wielkanocnych, według których resztę świąt w roku obliczano, było jedno z najwcześniejszych potrzeb chrześcijaństwa. Kłopotalo ono przez długi czas duchownych: najpierwsi bowiem prałaci nie umieli częstokroć oznaczyć właściwego dnia *Paschy*, a spory w tej mierze wytaczane niepomalu gorszyły wiernych i zasmucały. Dla zapobieżenia temu wy-

(1) Z kroniki łęchickiej, której autor miał pod ręką *Getica* Diona z Prusei, czy też Kritona, jest owa ważna i ciekawa, a w pisarzach starożytnych zatracona wiadomość: o założeniu wielkiego państwa w Iliryi, na lat czterysta przed Chrystusem, przez Bargylosa czyli Graka I. Nawiasowo tylko napomknął o tém zdarzeniu Strabo w swój Geografii i Appian; u naszego Miorsza i Mateusza herbu Cholewa przechował się ten ustęp z dziejów ilirskich szczegółowo, ze wszystkimi okolicznościami: wymieniają oni dokładnie granice tego autaryockiego czyli łęchickiego państwa, i takowe rozciągały się od krainy Partynów nadadryackich (u których głównejsze miasta były: Partos i Dirrachium) do brzegów Dunaju i do granic Noryku. Text oczyszczony obu tych kronikarzów co do tego miejsca, wraz ze skazówkami Strabona i Appiana, znajdzie czytelnik w dziele samém na str. 238 i dalszych.

(2) To, co mówi Nestor o Iliryku jako pierwszej siedzibie Słowian, o nauczaniu ich przez Pawła apostoła i t. d., jest tylko jakby summarycznym powtórzeniem tego, co w naszych kronikarzach: Miorszu, Mateuszu i Wincentym obszernie i szczegółowo znajduje się.

naleziono tak zwane cykle czyli wielkanocne tablice, które na lat dziewiętnaście obliczone, a po klasztorach i kościołach znaczniejszych rozesłane, wskazywały naprzód kiedy Wielkanoc przypadnie. Pierwsze cykle miał układać Euzebi cesarejski; układał je później S. Teofil, a uważano, że źle układał (1). Były też cykle ś. Cyrylla alexandryjskiego; naostatek układał je innym znowu sposobem Wiktoryn akwitański. Na początku VI wieku, opat rzymski Dyonizy, zwany przez skromność Małym, poprawił Wiktoryna, oznaczył początek ery chrześcijańskiej, przyjmując rok 753 od założenia Rzymu, za rok narodzenia Pańskiego, i stosownie do tego urządził cykle. Mnich anglosaski, Beda, żyjący w końcu VII i na początku VIII w. zastosował pierwszy erę Dyonizego do kronikarstwa, a przeważnym wpływem swoim sprawił, że cykle na nowy sposób urządzone, upowszechniły się po klasztorach i kościołach Zachodniej Europy. Pisano je tak, że text właściwy w dziewiętnastu rubrykach zamknięty, mieścił się na jednej lub dwóch stronnicach w wązkiej kolumnie, a szerokie dokoła brzegi, wyśmienicie mogły być użyte do zaciągnięcia pod rukiem odpowiednim znaczniejszych przygód kraju i kościoła, dla którego cykl był przystany. Niewątpliwie tedy już w wieku VII lub na początku wieku VIII powstały na Zachodzie roczniki, według ery chrześcijańskiej obliczane, a pisane pierwiastkowo na cyklach czyli tablicach wielkanocnych, z których później w jedną księgę zebrane, a w licznych odpisach myłone częstokroć i podrabiane, utworzyły osobny rodzaj materiału dla historii. Roczniki więc u wszystkich nowożytnych narodów wyprzedziły właściwe kronikarstwo, i stały się posadą jego i źródłem (2).

(1) Bedae opusc. f. 65, wydanie kolońskie z r. 1537.

(2) Charakterystyczny w cywilizacji zachodnio-europejskiej jest chód historii. Jak niegdyś oddzielić się musiała poezya od muzyki, aby zosobna udoskonalone tém korzystniej z sobą łączyć się mogły; tak też w Europie Zachodniej oddzieliła się wcześniej chronologia od historycznej narracji, i od czasu do czasu powstałi kronikarze, którzy czując wyższe powołanie historii, uważali ścisłe następstwo lat za rzecz podrzędną, a wkładali główne usiłowania w to, aby zdarzenia ze względu przyczyn i skutków do siebie należące, zestawieć w jednym obrazie, w którymby się życie narodu wyraźniej odbijało. Takim opowiadaczem, że innych dalszych pomnę, jest u Niemców Luitprand, Widukind, Tietmar; takim opowiadaczem u nas jest Gaweł mnich, Mateusz herbu Cholewa, i Wincenty zwany Kadłubkiem. Nie ma ich w owym czasie na Rusi: bo ta wpływem zachodniej cywilizacji podówczas jeszcze nie uległa, i tak Nestor jak i pierwsi jego dopełniacze pisali częścią ro-

Nie ma wątpliwości, że cykle przez wielebnego Bedę poprawione i do ery chrześcijańskiej zastosowane, obiegały i w Polsce. Mamy tego oczywisty dowód w rękopiśmie pergaminowym krakowskim, gdzie wszelkie obliczenia kalendarzowe są z dzieła anglosasa Bedy odwzorowane, a znajdujący się na początku rocznik, który w innym znowu rękopiśmie znalazł Sommersberg, a uczony Alexander hr. Przeddziecki udzielił mi odpis jego z rękopismu watykańskiego, zaczyna się tak: *DCCXXX Beda presbiter obiit*. Początek tedy roczników polskich sięga początków chrześcijaństwa u nas. Już Mieczysław I, zakładał u nas klasztor (1), i ani wątpić, że za jego czasów spisywano w Polsce roczniki na cyklach; a chociaż autografy ich poginęły, pewna jednak, że w odpisach, jakich nam wieki późniejsze dość obficie dostarczyły, znajduje się niejedno zdarzenie historyczne, zaciągnięte do ksiąg już w wieku X, i na początku wieku następnego.

Wszystkie niemal roczniki polskie jakie dziś znamy, są z małym tylko wyjątkiem odpisami, nie oryginałami: odpisami niekiedy nader późnemi, ale zawsze prawie wielkiej wartości. Mówiąc tedy o dawności ich, rozróżniać trzeba pilnie wiek rękopismu w którym nas doszły, od wieku pierwszego ich twórcy i wieku ich dopełniacza.

cznik, częścią kronikę. Dlatego kiedy u nas wykrywa się mnóstwo roczników, które właściwe kronikarstwo wyprzedziły; na Rusi znajdują się one oddzielnie tylko w tych czasach, w których wpływ Polski był na nią widoczny. Wtedyto i kronikarstwo litewskie, w ruskim języku pisane, przyjęło piętno Zachodu i oddzieliło się od właściwych ruskich *latopisów*, jak to pięknie wykazał Ignacy Daniłowicz w swojej rozprawie. Nie rozumiał tego Braun, kiedy powiedział o naszym Wincentym: „Forte tempus nullum expressit, ut fabulis indulgeret.” *De script. Pol.* str. 197. Nie rozumieją ci wszyscy, co właśnie z tego punktu robią częste na kronikarzów naszych wycieczki. Gaweł, w pierwszej redakcyi swojej kroniki, zatrzymywał tu owdzie rok i wyraźnie rocznikarza; opuścił je po rozważniejszym namyśle w redakcyi drugiej, i zastąpił opowiadaniem, a było w jego przekonaniu rodzaj postępu, czego też, wszystkie okoliczności zważywszy, i dziś zaprzeczyć mu nie można.

(1) *Myesko primus cristicola fundavit monasterium Trzemesnense*; mówi rocznikarz w rkp. XXV kroniki Wincentego, na karcie 1 umieszczony. Że ten fakt jest niewątpliwy, pokazuje się to z okoliczności tej, iż ciało św. Wojciecha w roku 997 zabitego, złożone było najprzód w Trzemesznie, a później dopiero do Gniezna przywiezione. W Trzemesznie tedy byli Benedyktyni, których regułę przyjął był Wojciech, a Paprocki zsyła się na trzemeszeński rocznik już pod rokiem 999.

Pierwsze ich wzory wzięliśmy od sąsiadów: przywiezli je mnisi sprowadzeni do Polski, przywiozła duchowieństwo z Włoch, z Francji, z Czech lub Niemiec, do Polski przybywające. Znamiona tedy naszych roczników są te same, co roczników innych narodów, co roczników całej chrześcijańskiej Europy. Zwykle im starsze, tém są zwięzlejsze. Zapisywaczów zajmowało przede wszystkim to, co się tyczyło własnego ich kościoła lub klasztoru, jakoto: założenie jego, uposażenie lub odnowienie; następnie to, co w jakimkolwiek stało z nim związku: czyn znakomity ich dobrodzieja, przygoda jego lub rok śmierci, a gdy zbywała wolna rubryka, nie pominieli dziwów natury i wszelkich nadzwyczajności. Za obręb prowincyi swojej lub powiatu leniwo wychodzą, i nie znają częstokroć z panujących nikogo, prócz tego księcia, pod którego bezpośredniem zwierzchnictwem zostają, w bliższe nawet stosunki domu jego nic się nie wdając. Ztąd przy nielicznych za pierwszych książąt naszych katedrach i klasztorach w Polsce, a ustawiczném dzieleniu kraju między synów panującego, nie znamy z dzieci Ziemisławowych nikogo prócz Mieszka, a z dzieci Mieszka znowu nikogo prócz Bolesława Chrobrego. Tak zapisywali pierwsi układacze roczników, i tak powtarzali za nimi nasi kronikarze. Cóż mówić o książętach dawniejszych, coto byli niby poganami? Tietmar dopióro, obcą kronikę pisząc wygadał się, że tak nasz Mieszko I, jako i ojciec jego, kilkoro dzieci zostawił.

Dotychczas nie zdarzyło się wykryć z pierwszej epoki rocznikarskiej, ani jednego cyklu dziewiętnastoletniego, na którymby zdarzenia z dziejów Polski były zapisane. Nie zdaje się być nim nawet ów kawałek rocznika lubińskiego, znaleziony na okładce książki przez J. H. Pertza, chociaż zawsze jestto znalezek bardzo cenny. Atoli mamy kilka bardzo ciekawych roczników z drugiej epoki: z téj mianowicie, kiedy rocznikarskie zapiski wielu cykliów zgromadzone w jedno, zaczęły stanowić osobną księgę, którą następnie bieżącemi latami dopełniano. Jest tedy w takowych księgach znaczna część zdarzeń zaciągniętych spólcześnie, i takie oryginały acz nie w wielkiej ilości, posiadamy. Znajdują się, ile mi dotąd wiadomo, w rękopismach następujących: w pergaminowym krakowskim, który w znacznej części roku 1253 pisany, należał do Gethena czyli Getki herbu Gryf, a dziś jest własnością uczonego prałata Gładyszewicza; od połowy tedy XIIIgo wieku są tu bardzo ważne i liczne,

bo aż pod koniec XVgo wieku ciągnące się, spólczesne zapiski historyczne; dawniejsze zaś są tylko kopią, najpodobniej z cyklów samych zdejmowaną. Do tego samego czasu zdaje się należeć spomniany wyżej ułamek rocznika lubińskiego, spisany na półarkuszu pergaminowym, a obejmujący zdarzenia z lat 1143—1175. Osobliwością w tym rodzaju jest także rękopism miechowski, pisany na pergaminie przez Dobiesława *de Pedriruno* kłeryka z diecezji kujawskiej. Zawiera on najpierw kazania pisane r. 1359, i dlatego w cesarskiej petersburskiej bibliotece, gdzie się obecnie znajduje, umieszczony jest w oddziale teologicznym pod znakiem G. 421. Na karcie 136, zaczynają się roczniki. Część ich pierwsza od r. 947—1388, jedną ręką pisana, jest oczywiście zbieraniną, jak się zdaje z cyklów; ale począwszy od tego roku, ciągną się następstwem lat roczniki oryginalne, spólcześnie zapisywane, w których szesnaście odmiennych charakterów różnić można, a urywają się na roku 1434. Nakoniec w nowo odkrytym rękopiśmie pergaminowym biblioteki ordynackiej Zamajskich, w którym głównie kronika Gawła znajduje się, jest między innymi odpis dawnego rocznika, dopełniany w drugiej połowie XIVgo wieku, spólcześnie ze zdarzeniami.

Przypatrując się tym rękopismom przekonać się można, jak łatwo było roczniki interpelować i zapełniać rozmaitemi wsuwkami. Rubrykowane są tak, że na każdy rok przeznaczono jedną, dwie lub kilka linii, żadnego lata, czy w niem co ważnego zaszło lub nie zaszło, nie opuszczając. Pierwszy zapisywacz wciągnął tylko pod rok stosowny to, co mu się osobliwszem lub potrzebniejszym wydało, zostawiając próżne rubryki lat innych; a dopiero ręką o sto lub dwieście lat późniejszą widzimy na opróżnionych miejscach pozaciągane rozmaite inne zdarzenia, lub przy zapiskach dawnych porobione dodatki. Mając tedy pod ręką rocznik oryginalny, łatwo jest przekonać się o autentyczności lub nieautentyczności jego świadectwa: ale w roczniku przechowanym tylko w odpisach późnych, już te wszystkie cechy zlały się w jedno i zatarły ze szczeniem. Tylko więc wnioski dalekie można robić o tém, co zaciągnięte było dawniej, a co później zostało wtrącone; ku temu celowi potrzebne jest przedewszystkiem zebranie jak największej ilości odpisów, w różnych czasach i miejscach, i przez rozmaite osoby robionych.

Zasługuje to na szczególniejszą uwagę, że do różnych rękopismów jednego i tego samego kronikarza, najczęściej jeden i ten

sam rocznik jest przyczepiony. Kronika Miorsza znana jest dotąd z trzech rękopismów: szamotulskiego, kuropatnickiego i lubińskiego, i we wszystkich trzech tych kodexach w różnych miejscach, w różnych czasach i przez rozmaite osoby pisanych, znajduje się jeden i ten sam rocznik, zaczynający się indukcją o Arnolfie cesarzu, którego wszy zjadły za jakoweś nieprawości. Całkowita kronika Gawła znajduje się w dwóch tylko rękopismach: pergaminowym i papierowym, z których pierwszy jest, a drugi był własnością Zamojskich. W obu tych kodexach następuje po Gawle żywot śgo Stanisława, a po nim bezpośrednio rocznik, zaczynający się zaślubinami Mieczysława I z Dobrówką, a który od ostatniego dopełniacza jego nazywam rocznikiem Traski (1). Nakoniec jedne i te same mniej więcej roczniki znajdują się przy kronice Jana z Czarnkowa, archidyakona gnieźnieńskiego (2), w rozmaitych jęj rękopismach. Byłto jak się zdaje okres ostatni, w którym zbieraniem roczników pilnie się zajmowano. Zebrano tu wszystko, cokolwiek jeszcze tak z cyklów, jako téż i z luźnych dat po różnych rękopismach rozrzuconych wytrząść się dało: obok tedy polskiego rocznika znalazł tu miejsce annał frankoński, przybyły niegdyś do Polski z cudzoziemskimi mnichami: obok zdarzeń świeckich, notatka o fundacyach zakonnych; obok długiego letnika, krótki historyczny kalendarz. Wszystko to, czy pierwotnie przez samego Jana z Czarnkowa bezładnie w jedną księgę

(1) Rocznikarz ten po opisie zajęcia Lwowa przez Kazimierza Wielkiego w roku 1340. dodaje dobitnie, większemi nieco głoskami: *Thraska etiam fuit ibidem*. Rkp. Sędziwoja str. 349; rkp. parg. Zam. k. 90. Z przywileju Władysława Jagiełły dowiadujemy się, że tenże trzymał dzierżawą wieś Dąbrowę koło Nowego Sącza. Powiedziano tam między innymi: *villam nostram Dąbrowa dictam, quam alias Pastko Trestka, miles noster, ex parte nostra tenuit, prope praefatam nostram civitatem Novam Sandecz situatam, damus, conferimus, incorporamus (monasterio Praemonstratenstium in Nova Sandecz noviter fundato)*. Actum in Sandecz feria sexta, proxima post dominicam qua cantatur Jubilate, anno domini 1410. Tab. Reggn. Gal. et Lod. libr. fund. t. 110, p. 83.

(2) Albertrandy zrobił pierwszy to postrzeżenie, że ów archidyakon gnieźnieński zwał się właściwie Janem z Czarnkowa. Sprzeciwił się temu Janocki obwiniając Albertrandego, że dwie różne osoby pomieszał (Janociana III. 187). Wydawcy Kodexu dyplomatycznego Polski: Ryszczewski Leon, Muczkowski Antoni i Helcel, rozstrzygnęli tę rzecz stanowczo na korzyść Albertraudego, umieszczając dyplom z r. 1370, na którym Jan z Czarnkowa jako archidyakon gnieźnieński i wicekanclerz jest podpisany. *Kod. dypl. Polski I, str. 236*.

zgarbione, czy też może w części jakiegóś przypadkowo na próżnych kartach dopisane godne jest zastanowienia ztąd, że chodzi w parze właśnie tylko z tym kronikarzem, stanowiąc nagłówek jego kroniki.

Że znajdowanie się jednych i tych samych roczników przy pewnych kronikach nie jest rzeczą przypadkową, ale zdaje się mieć związek z samą ich treścią, na to wskazują okoliczności następujące: Miorsz sięga w kronice swojej czasów najdalszych, owoż i rocznik, który przy nim chodzi, sięga w czasy dawne tak wysoko, jak tylko rocznik polski w ogólności sięgnąć może. Oznacza on czas panowania Leszka Ziemowitowego, powiada, że po nim r. 913 czy 915 przyszedł na tron Ziemisław: podaje rok urodzin Mieczysława I, i wiele szczegółów o zostających z Polską w blizkich stosunkach księżętach czeskich, nim o zaślubinach Dobrówki napomknął. Przeciwnie wszystkie inne roczniki, tak te, które przy kronice Gawła po żywocie S. Stanisława znajdują się, jako też i te, co przyczepione są do kroniki Jana z Czarnkowa, zaczynają dzieje Polski zaślubinami Dobrówki. Prócz tego Miorsz powołuje się w kronice swojej wyraźnie na roczniki polskie: i właśnie miejsca te, w których się na nie powołuje, znajdujemy dosłownie w tym oto roczniku, który chodzi przy jego kronice.

Za temi skazówkami idąc można wniesć śmiało, że ponieważ Miorsza kronika, jak to dowieść się daje, jest z kronik polskich najstarszą: i rocznik tedy, co jój zwykle towarzyszy i na który w texcie jój są wyraźne powoływania się, musiał początkiem swoim poprzedzić wszystkie znane dotąd polskie roczniki. Atoli doszedł on nas w późnych tylko odpisach, zawiera tedy niezawodnie obok dat pierwotnych, i wtręty późniejsze.

OBRAZKI WIEJSKIE.

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza.

(Dokończenie)

III.

S O B Ó T K A.

Na drugi dzień Małgosia obrządziwszy się w domu, pobiegła rano do pola dla ukończenia plewienia łąki.

Uradziwszy bowiem obie z matką, że najlepiej będzie kupić krowę od ciotki z Blesznic, chciała po południu tam dobiec i jak najprędzej sprowadzić tę nową radość do domu. Gdy pracuje i дума, bo zanadto tłumne myśli krążyły w jej głowce, aby mogła śpiewem wtórować robocie, ujrzała dziedzica z dubeltówką na plecach idącego wprost ku miejscu, w którym się znajdowała.

Małgosia gdy to dostrzegła, cała się zarumieniła, poprawiła kwiatków zdobiących jej dziewicze czoło, w które nie zapomniła się ustroić w przechodzie przez łąkę, i z drżeniem serca troszkę z radości, a troszkę z bojaźni, oczekiwała przybycia urodzonego młodzieńca.

— Jak się masz Małgosiu!—były pierwsze słowa, które wyrzekł dziedzic zatrzymując się w małym oddaleniu od pracującej dziewczyny— cóżto tak rano i już w polu u roboty?

— Już, proszę Jaśnie Pana—odrzekła Małgosia oddając niski pokłon młodzieńcowi.

— A i cóż ci tak pilno z tym lnem, czy matka chrzestna zapłaci ci za twoją robotę?

— E, co mają zapłacić, alboto oni mało mi się już nadawali różnych rzeczy; trzeba i im pomódz w robocie, kiedy można.

— No, to ty Małgosiu musisz kochać matkę chrzestną, kiedy dla niej darmo pracujesz?

— A juźcić, proszę Jaśnie Pana, bo oni bardzo są dla mnie dobrzy: co tylko mogą, to het wtykają.

— To bardzo dobrze, bardzo pięknie z twój strony, że płacisz sercem za uczucie serca; więc i ja teraz mogę się spodziewać, że mnie lubić przynajmniej będziesz, bo to niedosyć co wczoraj dałem twojej matce, ale już zawsze pamiętać o was będę, i z waszjej chałupy wygnam biędę raz na zawsze, aby już nigdy do was nie zajrzała.

Małgosia nic na to nie odpowiedziała, tylko nowym oblała się rumieńcem. Po małej pauzie dziedzic mówił dalej, jakby coś sobie przypomniął:

— Ale, ale, i dlaczegożeś to wczoraj, ty mała złośniczko, tak uciekła odemnie? co? Powiedźże mi moja Małgosiu, czyś się mnie zlekła, czy co innego?

— Albo ja tam wiem, proszę Jaśnie Pana—po długim wahanu wyrzekła zakłopotana Małgosia.

— Jaktó nie wiesz dlaczegoś uciekła? a to zabawne! Ale to nie może być, żebyś nie wiedziała; pewnoś mnie się zlekła; no powiedźże, moja Małgosiu!

— A juźcić, proszę Jaśnie Pana, zlekłam się—odpowiedziała z największą nieśmiałością.

— A i czegożeś się bała? żebym cię nie zjadł, czy żebym cię nie ugryzł?

Małgosia milczała.

— No mówże przecie, moja Małgosiu, nie bądźże dzieckiem: czegoś mnie się bała?

Po długim wahanu zaledwie odpowiedziała:

— Albo ja tam wiem, proszę Jaśnie Pana.

— Masz tobie—odrzekł dziedzic z tonem małego zniecierpliwienia—znowu jedna piosnka *nie wiem*.—A podnosząc ramiona do góry, dodał:—Kiedy ty nie wiesz, to tém bardziej i ja nie wiem, więc oboje nie wiemy. No, to przecie kwestya rozwiązana.

I nastąpiła chwila milczenia.

Cały urok poetyczny, jakim w bujnej wyobraźni młody nasz dziedzic otaczał ładną Małgosię, zaczął niknąć przed tak dotykającą prostotą, wyzuta z wszelkiej głębszej myśli, z jakiegokolwiek bądź umysłowego wykształcenia. Proste odpowiedzi Małgosi były jak lód na głowę przyłożony; a spojrzawszy okiem oziębioném z gorączkowego szału, ujrzał w powabnej dziewicy tylko dziewczkę prostą, podobną do tysiąca innych, cokolwiek ze zgrabniejszą kibicią i ładniejszym buziakiem.

Odpowiadając więc nowemu wrażeniu, przysunął się bliżej, i rzekł:

— Słuchaj Małgośka, ja nie mam czasu długo z tobą bałamucić; pokochaj mnie dzień, dwa, choćby i dłużej, a dam ci tłu-stą krówkę, która zawsze będzie buczeniem z tobą się rozmawiać; kupię ci śliczne korale, i potem takie ci sprawię wesele, że się wszyscy popijecie jak bydło, wycubicie, pokłócicie: i czegoż chcesz więcej? Jakże, będziesz mię kochać?

Ton mowy dziedzica i gest twarzy tak były różne od tych, które Małgosia już słyszała i widziała parę razy, że zdumiona podniosła oczy, które ciągle wlepione miała w robotę, i opuściwszy ręce; z osłupieniem patrzyła na mówiącego młodziana.

Jakież w takiej postawie była ładna! bo posiadana urodę podwoiła wyrazem niezwykłym twarzy, w którym się jasno odbijało przerażenie i obraza dziewczęcego uczucia.

Nasz urodny młodzian zupełnie to sobie inaczej wytłumaczył: przerażenie wziął za namysł, rumieniec wstydu za ukrytą radość z otrzymania tylu przyrzeczonych podarunków, a w wlepionych w siebie oczach, czytał ów upragniony wyraz, kocham, zapłacony szczodrą jego obietnicą.

Wyprowadziwszy więc takie wnioski, sądząc, że już lada czém przeważy chwiejącą się szalę z urodą Małgosi na swoją stronę, wyjął sakiewki i podnosząc w górę, mówił do zmieszanej dziewoi:

— Patrz Małgosiu, widzisz co tu rubli, a wszystkie mogą być twoje; za każdego całusa dostaniesz jednego. A nie lękaj się, z buzi twojej nic nie ubędzie; zawsze będzie aż nadto piękna dla twego Antka; — i brzęknął sakiewką, podrzucając ją w górę,

Małgosia milcząc spuściła oczy ku ziemi, lzy jak groch za-jaśniały jej w oczach, a opierając złożone ręce na kolanach, w kłę-żączej postawie, taką wyrażała boleść, taki wstyd, takie pomieszanie, że każde czułe serce pękłoby z żalu, widząc to piękne dzie-

wczę do szczęścia przeznaczone, pod tak wielkiem brzemieniem smutku upadające.

Urodny młodzian gdyby był nie patrzył okiem uprzedzenia, byłby odrazu poznał cały zamęt myśli, jaki krążył w rozdrażnionem uczuciu wstydu wiejskiej naszej dziewoi; lecz zostając pod wpływem tak niekorzystnych wrażeń, zmieszał się tylko cokolwiek, bo przygotowany do innéj odpowiedzi nie sądził, aby w miejsce spodziewanego wyznania podziału tak śmiało domaganéj powolności, odebrał łyzy i niekłamaną boleść.

Małgosia zastłoniła oczy fartuszkciem, i otulając twarz obiema rękami płakała tak rzewnie, tak szczerze, że sambyś się rozplakał, gdybyś mógł czytać w cierpiącym jéj sercu i poznać walkę wzruszeń, szamocących niby wichry wierzchołkami drzew niebotycznych, jéj jeszcze niczém niepokalaném uczuciem.

Biedna dziewojo! Obdarta z tego wszystkiego, czém stroi cywilizacya i złoto, trzebaż było, aby dwa te mamidła, dwie bańki mydlane z łądzącemi kolorami tęczy, spotkawszy się z piękną naturą, jak wyszła z rąk Boga przy stworzeniu; trzebaż było, by w ironicznój swéj dumie chciały cię wyzuc z najpiękniejszych cnót niewieścich: skromności i wstydu?

O! biedna Małgosiu!

Bo czy sądzicie, że tylko wykształcenie i pieniądz zdolne są przyodziać temi pięknymi szatami kobietę-dziewicę? Czy sądzicie, że pod zgrzebnym rańtuchem, prostą szatą, nie znajdziecie nic takiego, co właściwie stanowi godność natury człowieczej?

O! jeżeli tak myślicie, jakże was żałuję! jak boleję nad waszą niewiadomością, nad waszém barbarzyństwem!

Skromność bowiem i wstyd tak są zrosnięte z tym wyrazem dziewica, że trudno je przedstawić w umyśle bez towarzystwa tych dwóch naturalnych strażyc: wdzięków i niewinności; bo zdaje się, że gdyby człowiek biorąc duszę jako obraz i podobieństwo Boga, zapomniał był zawrzec braterstwa z temi jedynemi towarzyszami wygnańców rajy, kobiéta pierwsza podałaby im rękę, aby w cieniu ich skrzydeł mogła bezpieczniej stąpać po bezdrożach życia ludzkiego, i odbijać, niby puklerzem, pociski namiętnego, zwierzęcego materyalizmu.

Więc to, co przy naszych narodzinach sam Bóg stworzył, tém zarówno obdarzył wszystkie swoje dzieci, wszystkie warstwy towarzystwa ludzkiego; tak samo więc zapłonie obrażona skro-

mność wiejskiej dziewoi pod słomianą biędną strzechą, jak i w pałacach lśniących się złotem, najpięrsza piękność ucywilizowanego świata.

Lecz nie śmieście się z prostego rysownika prostych scen chłopskich, i nie kładźcie słów powiedzianych na karb uniesienia poetycznego, umiejącego dopatrywać perel tam, gdzie oko prawdy tylko brud i błoto widzi, bo wam powiem jeszcze więcej.

Można powiedzieć, że wstyd i skromność najwięcej zniosły swych darów na utworzenie kobiety-człowieka; tak dalece, że gdy która w biegu swego życia najrozrzutniej tych darów używając, w końcu zupełnie się z nich wyzuje: z resztą składowych części przemienia się w kobietę-zwierza jeszcze potworniejszą od czworonogów, których prawdziwą staje się siostrzycą.

Niestety! ileż takich istot pełza w przedsiionkach świata ucywilizowanego, potrząsających małemi nabytkami wykształcenia, jakby ehwalbą towaru, który niosą na sprzedaż!

Zaprawdę powiem wam szczerze, między klasą wieśniaczą nie spokrewnioną z ludnością miast większych, nie napotkasz tych plugawych, bezecnych stworzeń. Tam każda dziewczica, każda kobięta jest dziewczicą i kobietą-człowiekiem; a jeżeli czasem błędną stąpi nogą, to gdybyście rozważyli wszystkie okoliczności i z gruntu zbadali pięrszą przyczynę złęgo, to więcej litością jak wzgardą nacechowałibyście wasze zawyrokovanie: bo upewniam was, że błędząc gonila w prostocie swęgo serca za cieniem, za marą, za mdłym światelkiem, uśmiechającym się do niej powabnym okiem miłości.

Dziedzic więc złę trafil, wyciągając po wdzięki Małgosi rękę uzbrojoną złotem. Wychowaniec miasta, gdzie młodość swoje całą przepędzil, sądził, że to najwymowniejszy będzie środek na obłaskawienie dzikięj, nieokrzęsanęj dziewczyny; a biorąc porównanie z doświadczonemi w podobnych razach wypadkami, chciał prostým kiwnięciem palca i brzękiem sakiewek przeciąć zbyt długą drogę pochwycenia zdobyczy, tyle przez niego upragnionęj.

Lecz się omylił, i porządnie omylił; nie znał bowiem z tęg strony natury wieśniaczek. Troszkę pochlebstwa, troszkę słów okraszonych miłością, więcej skromności, a mniej natarczywego działania: niezawodnie prędzej doprowadziłyby go do celu, jak wszystkie brzęki i szczęki pieniężne, przy tak śmiałym, junaczným postępowaniu.

Proste i pełne jeszcze wiary serce Małgosi czyżby umiało odkryć fałsz i zdradę pod tak ponętnymi postaciami, snujące się z ust urodnego młodziana jak wąż olbrzymi, pełzający między gęstą krzewiną, nim jednym skokiem rzuci się na swoją zdobycz! Onaby z całą szczerotą wieku młodego przylgnęła do człowieka, który otwierając wymową ust swoich nowy dla niej świat, ożywiłby zarazem tłum nieznanego uczucia, z rozkoszy i boleści złożonego, jak piękna róża, co wonnością i krasą pieści zmysły i kole rękę zarazem, a jednak ją zrywamy i lubujemy się wonią i krasą.

Tém ożywioném uczuciem byłaby miłość! Czyżto Małgosia już jój nie poznała? Czyliż nie kocha urodnego Antka?

Tak, Małgosia wprawdzie kocha; ale kocha po swojemu: cicho, spokojnie, jak siostra brata, jak przyjaciel przyjaciela. A dlaczego? Bo miłość gorąca, namiętna, która w jedném spojrzeniu, uścisku dłoni, widzi niebo, raj, szczęście; co podniesiona przez zmysły do najwyższej potęgi uniesienia, w lubym zachwycie buja po przestworze marzeń tak daleko od ziemi, jak daleko myśl ludzka dolecić może, jest wyrobkiem rozumu, rozumami innych ludzi ubogaconego.

A Małgosia i Antek prości, nieuczenni, takiego rozumu nie posiadając, nie mogli i czuć podobnej miłości; poprzestawali zatem na uczuciu cichém, spokojném, i było im z tém bardzo dobrze, i nic do ich szczęścia nie brakowało.

Czy jednak tak na zawsze pozostanie? Czy zetknięcie się miłości tak prostej, naturalnej, z wrzącym i poetycznym zapalem wychowanka cywilizacyi, w przejściu swoim nie wyrze szczerby bardzo długo zabliznić się niedającej?—zobaczmy później.

Nieznajomości jednak serca ludzkiego, jaką w opowiedzianém zdarzeniu okazał młody dziedzic, winna była Małgosia ocale nie czystości swego serca. Jeżeli naiwne jój odpowiedzi stały się zimnym lodem, położonym na głowę urodnego młodziana, rojącą uniesienia poetyczne: brak taktu, jakim jój skromność dziewczęta obrażoną została, przedstawił nagą prawdę, jakby odbitą w czynie od przestróg przez matkę jój udzielanych.

Spojrzała na siebie, na powabnego młodziana, na swoje niską, biędną chatę, i dumnie bielejący na wzgórzu pałac; przypomniała sobie Różę, słowa matki, i w téj jednéj chwili, co prawie migiem przebiegła, przeżyła lat wiele, bo poznała drogę zatracenia w postaci bogactwa, urody i jedwabnych słówek, już ją do swego łona tulącą.

Ciesz się więc Małgosiu! Chociaż teraz płaczesz i szczerze płaczesz, alebyś jeszcze rzęsiście łzy wylewała, gdyby serce twoje nie spotkałoby się z cierpieniem, nie było doświadczeniem skąpało się w prawdzie.

Płacz zatem biedna dziewczyno, płacz, kiedy jeszcze płakać możesz. Szczęśliwaś, bo zwykle smutek radością się kończy; gorzej byłoby dla ciebie, gdyby łzy na wieki zamarły w twoich ślicznych modrych oczkach.

Lecz jeżeli słowa dziedzica tyle wzbudziły szlachetnych myśli w niepokalaném sercu Małgosi, to płacz jój także nie był bez skutku; każda łza rosząca śliczne jój jagody spadała na duszę młodziana jak zgryzota, jak wyrzut sumienia, przechodząc wszystkie stopnie od zadziwienia, litości, do uwielbienia. W piérwszój jednak chwili zmieszał się, bo Małgosia tuląc głowę w fartuszek, przytrzymywany obiema rękoma, płakała najprzód cicho, później coraz głośniej, aż nareszcie zakończyła głośném łkaniem, tak boleśnie przemawiającém do czulej duszy.

Młodzian przybliżył się do niój, a kładąc rękę na ramieniu, odezwał się dawnym, miłym głosem:

— Małgosiu, Małgosiu! ty płaczesz? I czegoż płaczesz, przecie ja złego nic nie chciałem ci zrobić. Małgosiu nie płacz, bo się pogniewam na ciebie i ani jednego słowa nigdy do ciebie nie zagadam. Powieź mi przecie, i czegoż płaczesz?

— Ja już nic nie chcę od Jaśnie Pana—po długim wahaniu odpowiedziała dziewczyna, w ciągłym, nieustannym płaczu—ja wszystko powiem matusi: niech oddadzą i krowę, i pieniądze, bo ja nie Róza, ja nie chcę, żeby mnie tak ludzie palcami wytykali, jak ją teraz we wsi wytykają.

— Tyś nie Róza?—zapytał dziedzic—cóżto za Róza? za cóż ją to palcami wytykają?

— Ach mój Jezu kochany!—mówiła Małgosia, jakby nie zważając na zrobione pytanie—o moja matusiu droga! o Matko Boska Częstochowska! o nie odstępujcież mnie biédnej sieroty!

Młodzian zadumał się. Tyle płaczu, tyle żalu, tak prosto i naturalnie objawionego, musiały wywrzść wpływ na serce jego, ubogacone wrodzoném czuciem.

W tak jednak krótkiej chwili nie mógł sam siebie zrozumieć, ani sprawiedliwie ocenić stosunku swego postępowania, z wewnętrzném usposobieniem Małgosi; a naciskany coraz nowemi myślami,

bez porządku i ładu krążącemi, sam nie wiedział co dalej mówić, jakich znaleźć środków na uspokojenie płaczącej dziewczyny.

Nareszcie po kilku chwilach daremnego kłopotania się przerwał panujące milczenie, przerywane tylko kiedyniekiedy podnoszącym się płaczem Małgosi:

— Małgosiu! no powiedzże mi, czegoż płaczesz? bo jak mi nie wytłumaczysz przyczyny swego żalu, będę sądził, że ja stałem się do niego powodem, i że jako zagniewana nie chcesz mi odpowiadać; a wtedy odejdę, i już się nigdy z sobą nie zobaczymy.

— Niech Jaśnie Pan odejdzie—odpowiedziała odstaniając zapłakane oczy i pokazując zarumienioną od wzruszenia twarzyczkę, jak młody pączek róży, gdy rozkłada listki, chcąc całą krasą błysnąć zalotnie przed okiem hodującej go ręki—niech Jaśnie Pan odejdzie, ja chłopka, to tylko z chłopami umiem się rozgadawać; jata nie potrzebuję kogo innego.

— No, Małgosiu bo pójdę—mówił dziedzic, jakby próbował stałości wypowiedzianego oświadczenia—ale pamiętaj, że się nie wrócę, choćbyś mnie nie wiem jak wołała.

— Niech Jaśnie Pan odejdzie, to ja wtedy i płakać przestanę—odpowiedziała Małgosia—bo teraz za każdyraz co spojrzę na Jaśnie Pana, to mi się zaraz na płacz zbięra.

— No, to dobrze—odrzekł z gniewem młodzian — kiedyś taka uparta, to i ja nie lepszym będę; ale pamiętaj, żebyś nie żałowała, pamiętaj!

I zarzuciwszy dubeltówkę na plecy, z gestą miną, prędkim krokiem odszedł w stronę ku dworowi. Ale im więcej oddalał się od miejsca rozmowy, tém krok jego wolniał, drobniejszym się stawał. Radby się wrócić, a przynajmniej obejrzyć na zostawioną dziewczynę, czy czasem nie goni go wzrokiem, czy nie namyśla się zawołać za dawcą tak szczodrych obietnic.

Ale Małgosia milczała, a młodzian ulegając podszeptom miłości własnej, posuwał się wprawdzie coraz dalej, ale tak wolno, tak leniwo, jakby żałował porywczego swego kroku. Z dziwnym stanem serca rozważał cały tok prowadzonej rozmowy, a przeprowadziwszy wszystkie towarzyszące jój okoliczności przez proces myśli, mimowoli zakończył dumanie i litością, i uwielbieniem dla skromnej, niewinnej, a tak ładnej naszej wieśniaczki.

I stanęła mu w myśli śliczna jój postać z całą krasą młodości i powabu, i z tym uroczystym żalem, w którym łkając schylona ku ziemi, gdy wiatr igrał końcem chustki i jasnymi włosami, wyglądała

jak brzoza płacząca, otrząsająca za najmniejszym poruszeniem szeszczących listków drobne swe gałązki z kroplistej rosy.

I żal się zrobiło poczciwemu młodzieńcowi płaczącej dziewczyny; a powodując się już więcej tém szlachetném poruszeniem serca, jak materyalném, zmysłowém wrażeniem, oskarżając niejako siebie o tak bolesne zakończenie odbytej sceny, wstrzymał się w pochodzie, i pomyślawszy troszkę, powrócił nazad do pracującej w polu Małgosi.

Ona biedaczka już się cokolwiek uspokoiła; pracowała, jakby w zajęciu swoim żadnej nie doznała przeszkody: tylko poczerwienione oczki jedyném były świadectwem i żalu, i płaczu, który zasłoną smutku okrył niepokalane jój dotąd serduszko.

Gdy ujrzała powracającego dziedzica, bojaźń przejęła ją całą: bo zanadto świeże były wypadki, aby miała o nich zapomnieć. Rumieniec wstydu znowu osiadł na licach, lecz machinalnie sięgnęła ręką ku głowie, aby poprawić rozrzucone strojące ją kwiatki, których i z kraszy i czystości rodzoną była siostrą.

— Widzisz Małgosiu—wyrzekł młodzian zatrzymując się od niej kilka kroków—widzisz Małgosiu, jakaś ty niedobra: aniś się na mnie spojrziała, aniś zawołała, chociaż widziałas, że odchodzę. A gdybym był nie wrócił, to i któżby na tém stracił?

Po małym wahaniu, troszkę ośmielona odpowiedziała:

— Wolnota Jaśnie Panu robić co się podoba.

— Ja wiem, moja kochana, że mi wolno; ale zawsze jesteś niedobra, niepoczciwa: żebyś ty mnie chociaż troszeczkę lubiła za tyle dobrego, co wam zrobiłem, tobyś nigdy nie pozwoliła, żebym odchodził od ciebie tak rozgniewany. Za to żeś taka niedobra, że nie czujesz nic dla mnie wdzięczności, to ci powiem: że jak wprzód cię lubiłem, tak teraz ani odrobinki, ani tyle nawet —wyrzekł młodzian odznaczając ręką kawałek palca.

— A to i po cóż Jaśnie Pan wrócił do mnie?—zapytała figlarnie Małgosia.

— Po co wróciłem? oto po to, moja Małgosiu, żeby ci powiedzieć, żeś niedobra, żeś niepoczciwa, i że cię nic a nic nie lubię—z udanym gniewem odpowiedział dziedzic.

Tutaj nastąpiła mała przerwa. Małgosia milczała wrywając zielsko z dorodnego lnu, nie podnosząc nawet oczu od roboty. Młodzian także milczał, lecz w milczeniu z coraz większym zajęciem przyglądał się urodzie dziewoi, i lubował się świe-

zemi jój wdziękami, które dla niego tak niespodziewanie otoczyła podwójną strażą skromności i wstydu.

— Małgosiu! moja ładna Małgosiu! chociaż się niedobra i nie-poczciwa—rzekł młodzian po małej pauzie milczenia:—powiedz mi tylko szczerze, czy się gniewasz jeszcze na mnie? No Małgosiu, powiedz, bo będę myślał, że mnie tak nie lubisz, iż nawet już nie chcesz rozmawiać.

— Teraz się nie gniewam—wybąkała nieśmiało. —Jaśnie Pan już nie taki, jaki był wprzód.

— A jakież ja byłem wprzód?

— Albo jata wiem—odpowiedziała Małgosia.

— No, kiedy ty nie wiesz—wyrzekł młodzian już bez zniecierpliwienia na tę zwykłą w kłopotliwych razach odpowiedź wieśniaczek—to ja ci powiem, jaki byłem wprzód. Czy będziesz mnie słuchać? Jakże, mam ci powiedzieć?

— A niech Jaśnie Pan mówi.

— No, to dobrze; słuchajże mnie: wprzód byłem niegrzeczny, chciałem od ciebie całusów, które ty chowasz dla Antka lub dla tego, który się z tobą ożeni, a więc nie sprzedasz za żadne w świecie bogactwa; jakże czy prawda, że dlatego na mnie się pogniewałaś?

— A już cię, proszę Jaśnie Pana, bo mi zawdy na myśli stała Róża.

— Cóżto za Róża? cóż ona takiego zrobiła?

— Ej! bo ja tam wiem—odrzekła Małgosia nieśmiało.

— Ale cóżto za jedna?—zapytał się znowu dziedzic, wiedząc z doświadczenia nabytego w rozmowie z Małgosią, że tylko coraz nowszymi pytaniami może wyciągnąć wyjaśnienie przedmiotu, którego omówienie trudne jest dla prostego umysłu wieśniaka.

— A to ta, proszę Jaśnie Pana, co we dworze za dziewczkę służy, z czarnymi włosami.

— A ha!—odpowiedział młodzian przypominając sobie historią biednej Róży, i uśmiechnął się z coraz nowszym uwielbieniem i dla skromności, i dla naturalnego rozsądku ładnej Małgosi.—No, moja ty złośniczko! dobrze że zważasz na takie rzeczy i strzeżesz się ich; ale widzisz, ty nie Róża, a ja także nie Paweł, co służył u nieboszczyka mego ojca, prawda?

— Już cię prawda, ale zawsze trzeba mieć wszystko na baczności.

— Dobrze, dobrze moja Małgosiu; tylko się na mnie nie gniewaj; już nigdy nic takiego nie powiem ani nie zrobię, żeby potem twoje śliczne oczki miały płakać. Nie uwierzysz, jak mi nawet teraz przykro, gdy cię lepijć poznałem, że ci tyle zmartwienia sprawiłem. Więc już nie gniewasz się na mnie?

Małgosia w miejsce odpowiedzi spojrzała na młodziana, z wesołym dosyć wyrazem twarzy.

— Tak, to dobrze moja Małgosiu kochana; tak, to cię lubię i coraz więcej lubić będę, jeżeli częściej ślicznemi swemi oczkami spoglądać na mnie będziesz. Bo to widzisz, moja ładna złościczko.....słuchaj Małgosiu, na pamiątkę naszego pogodzenia, od tćj chwili inaczćj zwać cię nie będę, tylko ładną złościczką: czy dobrze?

— Dobrze—półgłosem odpowiedziała.

— Więc ty będziesz się zwała ładną moją złościczką. O! boś ty moja; ja cię nikomu wziąć nie dam—a jakby miarkując się w swojćm uniesieniu, dodał:—póki cię twój Antek nie weźmie, bo ja was muszę z sobą pożenić. A mnie moja złościczko nazywać będziesz? jak? powiedz sama.

— Jakże? jużcić Jaśnie dziedzicem, bo tak wszyscy o Jaśnie Panu mówią.

— E, co tam dziedzicem, dziedzicem—mówił młodzian z pewnym rodzajem niezadowolenia—kiedy jesteśmy razem i z sobą rozmawiamy, to ty jesteś śliczniutka, młodziutka Małgosia, a ja ładny Jaś, bo mi Jaś na imię. Ale wiesz co, ty mnie nazywaj np. wilkiem, dlatego, że jak wilk owieczkę, tak ja ciebie porwać chciałem: czy dobrze?

— Ej, bo jabym śmiała tak do Jaśnie Pana mówić—odpowiedziała Małgosia nawpół z uśmiecchem.

— No, to sama powiedz, jakie mi dasz nazwisko.

— Abo jabym śmiała przezywać Jaśnie Pana: zawdy będę mówiła, Jaśnie Panie, i jużci.

— No, to kiedy tak koniecznie upierasz się przy swojćm, to już nazywaj mnie jak sama chcesz, ale ja inaczćj nie będę mówił do ciebie, tylko moja ładna złościczko, a czasem śliczna upartuszeko. Więc widzisz ładna złościczko, ja tak ciebie uważałem, jak u nas w naszym stanie różne ładne bićdne dziewczęta: coto dosyć rubla w ręku pokazać, żeby dała buzi do pocałowania. Gdybym był wiedział, że jak jesteś ładna, tak równie i uparta, to nigdybym nie śmiał powieździć ci co nagadałem i o coś się na mnie tak pogniewała. Ty nie wiesz, moja kochana złościczko, jak ja cię lubię; ja-

bym rad bardzo często widywać się z tobą, rozmawiać z tobą, i na twoją ładną buzię spoglądać. O! bo ty nie wiesz, jak ty jesteś piękna; gdybym był parobkiem, to musiałabyś mnie pokochać, żeby tam i dziesięciu Antków było na zawadzie, a tak, to się zmarnujesz: szkoda twojej urody dla prostego chłopca. Ale wiesz co, moja złośniczko, ja może niedługo ożenię się, to wtedy wezmę cię do dworu za pokojówkę: sprawię ci śliczne gorsety, spódniczki materyalne, koszule webowe, chustek kilka na głowę, żebyś codziennie mogła się inaczej ubierać; a na szyję to ci kupuję koraliki takich dużych, jak laskowe orzechy, że ci wszyscy zazdrościć będą. Jak się tak ślicznie ustroisz, w trzewikach i ponczochach do tego, i jak spojrzysz w duże lustro, tak wielkie jak ty cała, co u mnie w bawialnym pokoju po ścianach są porozwieszane: to się sama nie poznasz, i powiesz, że to nie ta sama Małgosia, co teraz ze swoim dziedzicem rozmawia. Widzisz Małgosiu, jakato ty będziesz szczęśliwa!—Cóż? podoba ci się teraz moja mowa?

Małgosia tylko uśmiechnęła się.

— A jakto się będą wtedy do ciebie różne chłopcy umizgać! nie takie gawrony, jak są u nas na wsi; i jak tak pobędziesz u mnie lat parę, wydam cię za jakiego dworusa poczciwego, i dopiero będziesz śmiać się ze wszystkich. Tylko pamiętaj, żebyś o mnie wtedy nie zapomniała, bo wówczas już nam nikt nie zabroni kochać się z sobą. Jakże Małgosiu, będziesz mnie wtenczas kochać?

— A kiedy Jaśnie Pan będzie miał żonę, to jakże jabym śmiała o takich rzeczach myśleć? A coby na to Jaśnie Pani powiedziała?

— E, aboby ona o tym wiedziała? A zresztą u nas, widzisz, to niezawsze się żenią z pokochania; żonę, to zwykle miewamy tylko dla świata, dla ludzi, dla interesu; a dla miłości, dla szczęścia, to się kocha takie ładne buziaczki, jak twoja twarzyczka; więc widzisz, jak to łatwo będzie można pogodzić jedno z drugim.

— E, proszę Jaśnie Pana, kiedyto zawsze grzechem—odpowiedziała Małgosia z poważnym wyrazem twarzy— gdy się ma swego, żeby za innym z oczami chodzić.

— To ty się takiego grzechu bardzo lękasz?— zapytał młodzian z małym uśmiechem.

— A juści, proszę Jaśnie Pana. Matusia mi mówili, że raz przy świętej spowiedzi, to ksiądz nie dał rozgrzeszenia jednej kobiecie, co se tak poczyła.

— To więc została bez rozgrzeszenia? i cóż jój z tém tak złego było?

— A Bogać-ta nie miało być złego? Od tego czasu zupełnie ją Pan Bóg odstąpił: nic się jój nie wiodło, gospodarstwo się jój zmarnowało, chłop się jój rozhultał, tylko zbytków pilnowała, a nie roboty. A jak umarła i pochowali, to ją święta ziemia wyrzuciła na wierzch; dopiero krewniaki zakupili trzysmsze śpiewane, córka co została, leżała krzyżem w kościele w czasie nabożeństwa, i na nowo ją pochowali.

— A potem już jój święta ziemia nie wyrzucała?—zapytał z jednym zawsze uśmiechem młodzian.

— A już nie, proszę Jaśnie Pana.

— I to tak na prawdę było, jak mi opowiedziałaś? i ty wierzysz temu wszystkiemu?

— A jakże, wszystko święta prawda, proszę Jaśnie Pana. Matusia mi to opowiedzieli, a słyszeli to od swojej stariej ciotki, co się u niej chowali od młodu.

Młodzian umilkł i zadumał się.

Tyle wiary, tak prostej, tak szczerzej, a snującej z siebie tak śliczną w następstwach naukę moralności, jak owe małe ewangeliczne ziarnko gorczycy, które rozrosłszy się w gałęzie, służy za ochronę gniazd ptaków niebieskich: przejęło takim poszanowaniem całą duszę młodziana, że prawie zaczął zazdrościć prostoty i czystości serca ładnej naszej Małgosi.

Umilkł; bo i cóż miał dalej mówić? Miałże zimnym cyrklem swego rozumu rozmierzać wartość słów, taką wiarą nacechowanych, i przykładać do formułki zasad, zdobytych pracą i nauką przez wiek życia swego? Miałże nieczułą ręką anatomika obdzierać duszę niewinną z szat ułudy, przesądu, gdy te pomiedzy bezdrożami życia ludzkiego, najpewniej ją poprowadzą drogą prawości i człowieczeństwa? Nie! urodny nasz młodzian zanadto miał czucia, zanadto szlachetności, aby nie umiał szanować tego, co zasługiwało na szacunek, chociaż pod tak dziwnym kształtem życie swoje objawiło.

Więc umilkł. Uwielbienie wzrastało, a podnoszące się uniesienie poetyczne dwudziesto-czteroletniego młodziana, znów ujrzało owę ładną Małgosię, wszystkimi wdziękami ciała i duszy tak szczerze przez matkę naturę uposażoną, z owym najpiérwszym garnuszkim wody, z owym bolesnym, tak szczerym płaczem,

w których ze wszystkimi powabami sielankowych pasterek przedstawiała się jego zdumionym oczom.

— Dobrze robisz, moja Małgosiu—odezwał się młodzian po małej pauzie milczenia—że słuchasz starszych, że wierzysz co oni mówią, bo takich ludzi, to zawsze Pan Bóg błogosławi; ale dajmy już temu pokój, ja nie ksiądz, tylko ładny Jaś, albo wilczysko; a tu nie kościół, tylko pole, więc sobie pogadajmy o czém inném. Najprzód, moja ty ładna upartuszko, powiedz mi tylko szczerze, czy lubisz słuchać kiedy do ciebie mówię? Ale nie wtedy, kiedy to wilczysko gada, tylko ja, ładny Jaś?

Małgosia milczała, i figlarnym uśmiechem stroiła zakłopotaną minę krasnej swojej twarzyczki.

— No, powiedzże mi moja Małgosiu, bo jak będziesz milczeć, to osądzę, że nie lubisz mojej mowy i umilknę tak, że ani jedném słowem więcej się do ciebie nie odezwę; jakże więc, lubisz słuchać, gdy mówię?

— A już ci lubię, proszę Jaśnie Pana—odpowiedziała Małgosia kraśniejąc cała rumieńcem.

— A i cóż ci się najlepiej z tego podoba?

— Ej, bo ja tam wiem, proszę Jaśnie Pana.

— Może dlatego lubisz mnie słuchać mówiącego, że czasem wspominam o Antku? Wszak prawda, że dlatego?

— Ej nie!—odpowiedziała z małym zakłopotaniem Małgosia;

— No, to dobrze, że nie dlatego, bo ci powiem, moja ty śliczna upartuszko, że jakbyś o nim tylko myślała, a o mnie nic, to bym ci go połknął, jak wilk barana.

— A cóż onta takiego przeciwnego zrobił Jaśnie Panu? — zapytała z uśmiechem Małgosia.

— Wprawdzie nic mi nie zrobił jeszcze dotąd złego, ale po mału to robi, jak zostaniesz Antkową; wówczas z kimże ja tak będę rozmawiał, jak teraz z tobą?

— A to se Jaśnie Pan poszuka jakiej bogatej, ładnej pani, i będzie się z nią rozgadywał.

— A jak nie znajde ani bogatej, ani ładnej, to i cóż wtedy będę robił?

— Ej, co też ta Jaśnie Pan gada. Albo to się ich mało zjeżdża co święta do naszego kościoła, a wszystko takie śliczniuchne, takie postrojone, jakby jakie święte.

— Prawda, prawda, moja Małgosiu, lecz mi się dotąd żadna tak nie spodobała, jak ty. Szkoda, wielka szkoda, że nie należysz

do świata wyższego, do świata zdobnego cywilizacją i dostatkiem, to jest — mówił dalej młodzian miarkując swoje uniesienie — to jest, że nie należysz do stanu naszego; bo gdybyś była nawet tak uboga jak dziś jesteś, zarazbym się z tobą ożenił.

Małgosia po tych słowach spojrzała na młodziana i spotkawszy jego od zapału błyszczące oczy, opuściła główkę i tajemną radością umiliwszy twarzyczkę, zajęła się dalej przerwana robotą.

— A możebyś ty mnie nie chciała, jakbyś była szlachcianką? — zapytał młodzian po małej pauzie.

— Ej! co téżta Jaśnie Pan wygaduje! gdzie mnie tam o szlachectwie myśleć: ja biedna chłopka, to ja nie mam takiego ułożenia w głowie, żebym mogła być szlachcianką.

— Ale ja się nie o to ciebie pytam, moja kochana ślicznoko — mówił młodzian z małym uśmiechem — czy możesz być szlachcianką lub nie, tylko jakbyś nią była, czybyś mnie pokochała, czybyś chciała zostać moją żoną?

— Ej, kiedy Jaśnie Pan takie zawsze rzeczy wynajduje, co ja nie umiem se o nich pomiarkować w głowie.

— No, to widzę, żebyś mnie nie chciała, to i lepiej, że nie jesteś szlachcianką, bo byś ze mną może i nie rozmawiała, tak jak teraz?

— Ej, nie — było całą odpowiedzią Małgosi z pewnym rodzajem małej niecierpliwości.

— To więc chciałabyś mnie? Powiedzże mi moja kochana, moja droga, śliczna Małgosiu!

— Chciałabym Jaśnie Pana — odpowiedziała z największą nieśmiałością, i cała błysnęła krasnym rumieńcem jak pełna róża, gdy ją światło słoneczne ozłoci swoim promieniem.

— Chciałabyś mnie? — powtórzył młodzieniec z taką radością, jakby obietnicę wzajemności otrzymał od ulubionój, o której łaski już od lat kilku nadaremnie się starał. — Więc tybyś mnie chciała? — a hamując swoje uniesienie nadbiegłą myślą, tak wielkiej odległości miejsca, które zajmuje w towarzystwie ludzkim od biédnej wieśniaczki, mówił dalej napół bolesnym tonem: — Biédna dziewczyno, biédna Małgosiu! dlaczegoż Bóg nas tak daleko od siebie rzucił w świecie? dlaczego nie obdarzył nas jednymi wypadkami losu? bo, czy w twoim, czy w moim stanie znajomość jednego tylko świata, wystarczałaby aż nadto do naszego szczęścia. A tak.....

W tém miejscu młodzian nasz umilkł. Tak żywe wrażenie nie mogło długo w całej swój sile wstrząsać poetyczną jego du-

szą: objawiwszy się w słowach na zewnątrz, osłabło, i zaraz przyszła w pomoc chłodna rozwaga, a z nią rozum i poszanowanie cnoty i niewinności. Idąc więc za popędem nowych tych myśli, a głównie chcąc zniszczyć najmniejszą nadzieję, jeżeli chociaż jedną iskierkę tak mimowolnie w serduszkach Małgosi rozniecił, po przerwaniu rozpoczętej rozmowy, wkrótce znowu przemówił:

— Ale co tam o takich rzeczach mamy gadać: ty masz swego Antka, pożenicie się z sobą, ja będę hulał na waszém weselu, że aż ziemia będzie jęczała, i dopióroto Małgosia będzie szczęśliwą! prawda?

Małgosia po tych słowach powstała, i z największym zadziwieniem dziedzica przysunawszy się do nóg, objęła je rękoma, i wyrzekła:

— Prawda, proszę Jaśnie Pana.

Dziedzic spojrział na nią, lecz twarz jej tak była spokojną, tak nie na sobie nie wyrażała pasowania się zawiedzionych nadziei i przerażenia, jakie był przygotowany zobaczyć na ślicznym jej buziaku, że umilkł, bo sam nie wiedział, jak to ma rozumieć.

Małgosia więc mimowolnie dała mu drugą lekcją sądu o wieśniaczkach; w zarozumieniu bowiem swoim był pewny niemal, że już zdobył niewinne jej serduszko; w łatwości zaś zwycięstwa nie znajdując dalej bodźca do rozszerzania wskrzeszonego uczucia, chciał w dumie swój heroicznym poświęceniem własnej skłonności, zapewnić spokojność i szczęście dziewicy, której przyszłość zdawało mu się, że już trzyma w swoim ręku. Ale czekaj panie! jeżeli ty myślał o wielkim przedziale, jaki cię oddziela od ładnej wieśniaczki, nie sądz, żeby ta myśl była jej obcą.

Dlatego chociaż Małgosia słuchała mowy dziedzica, ale jej jeszcze sercem nie przyjmowała; trudnoćto bowiem małym poetycznym uniesieniem i wyrzuceniem w rozmowie kilku tysięcy słów, osłabić wiarę w przekonanie, które z doświadczenia wiekami podawane z pokolenia do pokolenia, wrosło w jestestwo wieśniaka, i nabrało hartu prawie niezłomnego.

Napróżno się zatem biedzisz, szlachetny jednak młodzianie, jak masz działać, abyś nie naruszył spokojności wiejskiej piękności: bo ona nie dziewica twojego świata, mająca prawo wierzyć różanym słówkom miłości, godnej swojej rączki, zdobnej słubnym pierścionkiem, tylko prosta wychowanka ciężkiej pracy, tak dalekiej od ciebie i od świata, którego cząstkę stanowisz.

Gdy Małgosia szczerém a tak niespodziewaném podziękowaniem odpowiedziała na ostatnie słowa dziedzica, on jakby nie wierzył swoim uszom osłupiał prawie ze zdumienia, a szkaradny robak zazdrości podniosłszy głowę w duszy rozśmiał się, jakby małym szyderstwem z jego urody, bogactw i zarozumiałości, które w pochlebnym podszepcie przedstawiały mu taką ładną zdobyczą z niewinnego serca biédnej wieśniaczki!

Drugi więc raz przegrałś paniczu; raz w walce o cnotę, a teraz o serce, i zwycięzcą pozostał wieśniak; ów wieśniak, który w pielgrzymce życia swego rządzi się samym prostym rozsądkiem, którego my, jako pozbawionego błogich skutków cywilizacji, za pół dzikiego, za pół barbarzyńcę uważamy. Młodzian nasz nie mógł jednak strawić myśli, która w czynie objawiła się jakby wzgardą jego osoby: bo nie znając jeszcze dobrze ludu wiejskiego, uważał za wzgardę to, co było tylko naturalnym następstwem pojmowania rzeczy, wykołysanej czasem i doświadczeniem w duszy naszego chłopca.

Po ochłonięciu z tak niespodziewanego wrażenia, dziedzic przemówił do pracującej dziewczyny:

— Tobys ty była bardzo szczęśliwa, gdyby się Antek z tobą ożenił?

— O! zapewne, proszę Jaśnie Pana.

— To nicby ci mnie żal nie było?

Małgosia milczała; widać tylko było małe w twarzy zakłopotanie.

— Małgosiu!—mówił znowu dziedzic czułym tonem, jakby się spodziewał i życzył przeczącej odpowiedzi — powiedzże: nicby ci żal nie było mnie, owego najprzód wilczyska, a teraz ładnego Jasia, jakby się Antek z tobą ożenił?

— Ej!—po małym wahaniu odpowiedziała Małgosia—kiedy ja tam nie rozumiem, jak Jaśnie Pan mówi.

— Jaktó, nie rozumiesz tego, czybyś mnie żałowała lub nie, jakbyś była Antkową?

— A i o cóżbym miała Jaśnie Pana żałować?

— O co? a to o to, moja Małgosiu, że jużbym nie mógł nazywać ciebie ani ładną moją złośniczką, ani upartuszką, ani z tobą rozmawiać, boby się może twój Antek na mnie gniewał.

— Ej, coby się tam miał o takie rzeczy gniewać.

— Ale widzisz, jużbyś mnie nie widywała, jużbyś nie była ową ładną Małgosią, którą ja tak lubię, tylko panią Antoniową.

— A to i cóż z tego, proszę Jaśnie Pana?—zagadła Małgosia, odpowiadając na drugą część mowy dziedzica.

— Jakto co z tego?—powtórzył młodzian z wyrazem niezadowolenia w twarzy—toby ci nie żal było, gdybyś się ze mną przestała widywać?

— A gdziebyto Jaśnie Pan był wtedy?—zapytała Małgosia ze szczerem zadziwieniem, spoglądając na mówiącego.

Młodzian znowu umilkł; ton mowy Małgosi i cała jej twarz, to zwierciadło duszy, taką wyrażały szczerą, że żadnej już nie podpadała wątpliwości płonność spodziewanego, a tak przez zrozumienie upragnionego wskrzeszenia uczucia miłości w dziewczycy.

Młodzian więc idąc za popędem męczącego go robaka zazdrości, który w największej prawie części był wpływem rozdrażnionej miłości własnej, jak niepodzielanego małego jeszcze działania serca, dalej zaczął prowadzić przerwana rozmowę:

— Słuchaj Małgosiu! kiedy ty mnie nie rozumiesz, lub nie chcesz rozumieć, gdy robię zapytania okrążające główną myśl, powiem ci zatem wyraźnie. Powiedziałaś, żebyś mnie chciała, gdybym miał zamiar z tobą się ożenić: wszak prawda?

— Tak jest, proszę Jaśnie Pana—po małej chwili z nieśmiałością odpowiedziała.

— Więc kiedybyś mnie chciała, to muszę ci się podobać, musisz mnie chociaż troszeczkę lubić: wszak prawda? No Małgosiu! odpowiedz przecie—mówił młodzian nie odbierając żadnej odpowiedzi;—przecieć w tém nie ma nic złego.

— Kiedy ja nie śmiem na to Jaśnie Panu odpowiedzieć.

— Nie bądźże dzieckiem, moja Małgosiu, odpowiedz tak albo nie, i ukończysz cały kłopot.

— Ej, Jaśnie Pan tam lepiej wie jak ja.

— Zabawna jesteś, moja ty ładna upartuszeko; ale mniejsza z tém, to ja odpowiem za ciebie, kiedy, jak powiadasz, lepiej mam wiedzieć: więc podobam się tobie i lubisz mnie troszeczkę, wszak prawda?

— Prawda — nieśmiało wybąkała ze spuszczonej w dół oczyma.

— Więc kiedy mię lubisz i podobam ci się, jakżeż to może być, żebyś mnie nie żałowała, gdy się Antek z tobą ożeni. Wszakżeś sama mówiła, że to grzechem jest mając męża wodzić oczy za innemi.

Małgosia tak powikłaną została temi dowodzeniami, że nie śmiejąc odpowiedzieć, zamilkła. Młodzian po małej chwili znowu przemówił:

— Słuchaj Małgosiu! jak uważam, ty wielka jesteś bałamu-tka: bo i Antka, i mnie jednakowo lubisz. Jak widzę, tybyś za obudwóch nas poszła.

— Co téżto Jaśnie Pan gada! Ja lubię Jaśnie Pana jako swego dziedzica, za tyła dobrego, cośmy z matusią odebrali, ale nie na...i zacięła się w mowie.

— Ale nie na męża—dokończył młodzian—czy tak?

— A jużci tak, proszę Jaśnie Pana.

— A jednak powiedziałaś, że chciałabyś mnie, gdybym my-słał z tobą się ożenić; i jakże to może być?

— Już jata nie wiem, jak z Jaśnie Panem gadać. Jaśnie Pan takie trudne rzeczy wynajduje! A czybyto ja się zdała na żonę dla Jaśnie Pana? czybyto ja umiała chodzić w takich ładnych sukniach? A czyby Jaśnie Pan poważyl się kiedy ze mną ożenić?

— A jakbym się ożenił?

— Ej! proszę Jaśnie Pana, gdzie tam mnie prostój chłopce o takich rzeczach myśleć; a cobyto ludzie na to powiedzieli?

— Cóżby mieli powiedzieć? musieliby cię szanować, i kwita.

— Zawszeby se przedrwiwali, choć nie w oczy, to za oczy.

— Nie bój się: jakbyś była moją żoną, toby ci wszyscy nadskakiwali.

— Co téż Jaśnie Pan wygaduje, to aż mi się śmiać chce!— odrzekła Małgosia napół z uśmiechem.

Takie próżne wysilanie się młodziana w celu obudzenia uczu-cia, choćby cieniem miłości nacechowanego, zaczęło go w końcu gniewać.

Gdy z bolesném wrazeniem dla godności własnej przekonał się, że ani swoją osobą, ani posiadany majątkiem nie wywarł żadnego wpływu na serce Małgosi, uczuł pewny rodzaj czczości, niezadowolenia wewnętrznego i postanowił bądź co bądź zdobycie tego, co nie tak było łatwém do zdobycia, jak mu się przed chwila zdawało.

Nie sądzicie jednak nadobne czytelniczki, aby postanowieniem tém podnosząca się miłość dla Małgosi kierowała; zakrawało to wprawdzie troszeczkę na to szlachetne uczucie, ale więcej było prostém upodobaniem i wpływem téj przekory wewnętrznej, któ-

ra kole przymówkami, gdy to, czegośmy się spodziewali, czego życzyli prawie, zupełnie przeciwny weźmie kierunek.

Lecz nie potępiajmy naszego urodnego młodzieńca za uknućie spisku na spokojność biédnej wieśniaczki: już to w naturze naszej spoczywa, że zwykle gonimy za tém, co przed nami ucieka. On i tak wiele rozwagi i względności pokazał, gdy w prowadzonej rozmowie, jak widzieliśmy, chciał przygasić iskrę miłości, którą uważał, chociaż błędnie, że zaczyna się rozpalać w serduszkach Małgosi. Goń więc młodzianie, bo Małgosia ucieka; jednak ostrożnie, pamiętaj ostrożnie, żebyś sam nie wpadł w sidła, które wokoło niej roztaczać zamysłasz.

Po małej pauzie milczenia młodzian przemówił:

— I cóż tak złego wygaduję? wszystko prawdę, jak Bóg przykazał: wszyscyby cię szanowali, nadskakiwali, a Józef lokaj, co tak był śmiały do ciebie w karczmie, niósłby za tobą książkę do nabożeństwa, jakbyś szła do kościoła.

Małgosia głośno się rozśmiała i spojrzała na młodziana.

— A rządca, ekonom, inni oficjaliści, i wszyscy chłopi, toby precz przed tobą czapki zdejmowali i zawszeby do ciebie mówili: Jaśnie Pani.

Małgosia coraz więcej śmiać się zaczęła, i podnosząc modre swoje oczki na powabnego młodziana, odpowiedziała:

— A Boże kochany z tym Jaśnie Panem! a dyćto Jaśnie Pan niestworzone rzeczy wygaduje. Cobyto było dopiéro uciechy po ludziach, a Boże kochany! a jakby ich to w oczy gryzło!

— No, moja Małgosiu, jednychby gryzło, a drugichby cieszyło; zresztą, albobymy w Zagrach tylko siedzieli? tu tylko czasem w lecie, a w zimie w Warszawie, lub gdzie za granicą.

— Za granicą?—powtórzyła Małgosia—a gdzieby się matusia wtedy obrócili?

— A matusia zostaliby we wsi.

— A jabym tak nie chciała: jabym zawdy, tak jak teraz, chciała być razem z matusią.

Młodzieniec uśmiechnął się troszkę: i z okazanego zajęcia się powabnym obrazem, jaki przedstawiał biédnej Małgosi, i takiem szczerém przywiązaniem córki, które nawet w podobnej chwili nie opuściło duszy téj poczciwej dziewczyny.

Trzeba jednak przyznać, że lubo w stanie wieśniaczym dosyć często zdarzają się wyjątki w przywiązywaniu tém, ręką natury w piersi naszej wyrzycém, więcéj przeciez oskarżać ich należy

o brak delikatnego, względnego postępowania, jak o potworne nieraz obchodzenie się dzieci cywilizacji z dawcami swego życia.

— No, to mniejsza z tém, co byśmy z matusią zrobili; dość, żeby jój musiało być dobrze—odezwał się znowu młodzian.—Ale cobyś ty ślicznych rzeczy zobaczyła, ileto miast wielkich, nie takich brudnych jak Klimontów, Koprzywnica, Ożarów, lub inne; a cobyś się to najeżdżała koczem, powybijanym różnemi bogatemi materyami! nie tak jak teraz, co zawsze chodzisz piechotą. Każdy coby cię spotkał tu na wsi, toby zaraz powiedział: o, jedzie nasza Jaśnie Pani; a znów w Warszawie, toby mówili: patrzaj, jakato śliczna ta Jaśnie Wielmożna Janowa Zatorska! coto za szczęśliwa kobiéta!

Małgosia słuchała słów młodziana z widoczném ukontentowaniem; już nie śmiała się wprawdzie głośno, tak serdecznie; uśmiech jednak zadowolenia przebiegał kiedyniekiedy po jój ślicznym buziaczku, i zdradzał tajemne myśli, nowo w jój duszy wyłęgające się.

W rzeczy samój, na niebezpiecznej drodze stoisz biędna dziewczyno! Za nowemi wrażeniami idą nowe myśli, a z nich nowe życzenia, i nowe niepokoje, gdy które w biegu życia z zawodem się napotka. Uciekaj więc, uciekaj! nie garnij się do świata, który tak powabnie wyciąga do ciebie swoje objęcia: bo jak ptak bez powietrza, ryba bez wody, tak i ty bez swojej prostoty żyćbyś w nim nie mogła.

Gdy młodzian spostrzegł, że Małgosia słucha mowy jego w milczącym zajęciu, po małej pauzie mówił dalej:

— Ale wiesz co Małgosiu, jabym cię nie przebiérał tak po naszymu, jak to widziałaś u pań, co w kościele bywają, tyłkobyś zawsze chodziła w swoim własnym stroju wieśniaczym, jak się ubierasz w święto lub w inne wasze uroczystości; ale za to miałybyś tyle gorsetów, spódniczek, chustek na głowę, cienkich koszul, fartuszków i koralu, żebyś się codzień mogła inaczej wystroić, i do tego tak pięknie, iżbyś wyglądała, jak najśliczniejszy aniołek, jak najpiękniejsza dziewica ze wszystkich dziewic naszego stanu. Cóż Małgosiu, podoba ci się to wszystko, co do ciebie mówię?

Małgosia zamiast odpowiedzi podniosła modre oczki i spojrziała tak czułym wyrazem na młodziana, że nie podpadało żadnej wątpliwości zachwycenie, jakie w niej obudził swoją wymową.

Młodzian więc nie zastanawiając się nad dalszemi skutkami zabiegów, widząc jasno, że szala zwycięstwa już się chwieje i wkrótce na jego stronę przeważoną zostanie, muskając wąsy i faworyty, tak dalej mówił:

— A cobyś ty moja Małgosiu miała pieniędzy, samych rubli i dukatów, to teraz nawet tyle groszy w domu nie widzujesz. A jakto ja byłbym dla ciebie grzeczny, jakbymto ja ciebie lubił, kochał! O! boś ty bardzo piękna, bardzo ładna, moja śliczna Małgosiu! A jeżelibyś mnie tylko troszeczkę chciała kochać, to ja bym cię przez całe swoje życie zawsze lubił, zawsze kochał, i tak byłibyśmy szczęśliwi, żeby nam każdy szczęścia pozazdrościł. Szkoda twojej urody, moja kochana ślicznotko dla chłopa, wielka szkoda! Tybyś tak ślicznie ozdobiła krasą swoją nasze salony, i ożywiła prostym, naturalnym rozsądkiem, kwaśne, nudne, sztywne i bezduszne towarzystwa, które w pysze swojej tak nisko i ciebie i twój stan kładą.

Młodzian zamilkł, i Małgosia także milcząc prowadziła swoje robotę.

Sprawdziło się również i tu znane przysłowie: kto pod kim dolki kopie, ten często sam w nie wpada; gdyż w tonie mowy młodzieńca można było jasno wyczytać, że mówił, co serce czuje.

Może on sam tego nie wiedział, może wymowę swoją uważał wprost jako chwilowy wypływ wrażeń, odbitych o wdzięki Małgosi; ale jednak było tak, jak powiedzieliśmy.

— Małgosiu, moja ty ładna ślicznotko—mówił dalej młodzian—powieź mi teraz, czy ci się wszystko podoba, co do ciebie powiedziałem, czy lubisz słuchać, kiedy w ten sposób do ciebie mówię?

Po małej pauzie, w której widać było walkę, jaka się toczyła w duszy Małgosi, podnosząc oczy ku stojącemu młodzianowi, odpowiedziała drżącym głosem od wewnętrznego wzruszenia:

— Niech Jaśnie Pan ulituje się nademną, mnie tak jakoś dziwno się robi, tak mi lzy idą do oczu, że jak Jaśnie Pan dłużej tak będzie gadał, to chyba..... to chyba.....się rozplacę.

— Rozplakałabyś się? a to czego? wszakże grzeczny jestem.

— Albo ja wiem czego? ale mi jakoś tak smutno, tak dziwno, a serce to mi tak ściska, gdy Jaśnie Pan o tém wszystkiém

rozgaduje, że.....że.. ..—przestała dalej mówić, bo łzy jak groch zaczęły spadać po krasnych jęj licach.

Po takim obfitym wylewie słów, nastąpiła niema scena. Małgosia zakryła oczy fartuszkim i płakała wprawdzie pocichu, ale lkaniem serdeczném zdradzała rżesiste łzy, roszące śliczne jęj jagody.

Dziedzic stał niemy, i o dziwo! spoglądał na Małgosię okiem nie radości, nie tryumfu, którego należało się spodziewać. A dlaczego? wszakże miłość już zagłada do serduszka niewinnęj Małgosi, jak odblask, jak różowa jutrzienka słońca, gdy ma pokazać pałającą swoje tarczę.

Wszakże zdaje się, że już jest panem zdobyczy, której tak usilnie pragnął? Wszystko to prawda; ale czy sądzicie, że muzyk wyda tony lubości i zachwytu, jeżeli ich w duszy nie czuje? Młodzian w rozmowie z Małgosią przechodząc przez tyle wrażeń zmysłów i duszy, drażniony uczuciem obrażonęj miłości własnej, w samolubnej dumie zapragnął szczerych wzruszeń serca niewinnęj dziewicy, otoczył ją nowemi, nieznanemi jęj wrażeniami, przytulił do duszy wymową ust swoich, a biedna dziewica chwytając to wszystko jak nieogłędne dziecko, odurzona obcym światem, tak w wabnym stroju wokoło nięj się podnoszącym, wyplakała pieśń miłości, z bólu i radości razem złożoną.

Pieśń ta dziwném echem odbiła się w duszy młodziana; nie sądził bowiem, aby pod tak smutną szatą objawiła swoje życie.

A czyż mogło być inaczej? Czyż serce nie boleje i nie płacze, gdy widzi, że podnoszące się w niém czucie prawęj miłości, na drodze prawości i cnoty dalej nie będzie mogło swego życia rozwijać? Małgosia więc płakała, bo ożywiająca się w nięj miłość, tyle w przyszłym rozwoju zamykała łez i boleści, że i chwilę narodzin swoich musiała boleścią i płaczem naznaczyć.

Łzy jednak te przyjęte czułą duszą szlachetnego młodziana, przedstawiły w jasnej prawdzie cały zamęt myśli, jaki krążył w niewinném jęj dotąd serduszku; i młodzian już nie zmysłami przyjmując wrażenie, spojrział sam w siebie i zadrzał.... Dusza bowiem jego, jak dalekie echo, drgając wszystkiemi wzruszeniami ładnej wieśniaczki, smutkiem i żalem, zdawała się harmonizować z rozrzewnieniem dziewicy i zlewać wszystkie czucia w jeden ton, w jeden akord, litości, uwielbienia i.....miłości.

Wprawdzie to ostatnie uczucie nie było jeszcze tak silne, aby mogło przygłuszyć stosunek wieśniaka do pana; ale przyznacie sami, że litość i uwielbienie nad ładną dziewicą, chociażby wie-

śniaczką, bardzo dotyka miłości, i pomału, pomału, przy sprzyjających okolicznościach, całkiem się z nią może połączyć, nie zachowując w rozwoju ani śladu początku, z którego życia nabrało.

W takim usposobieniu po przytoczonej rozmowie, znalazł się właśnie młody nasz dziedzic; zanadto jednak świeże były odebrane wrażenia, aby namysłem i rozwagą mógł znaczyć dalszy tryb swego postępowania: a ulegając wpływowi, jaki wywarła na niego piękna dziewczyna wylaniem tak szczerego uczucia, w pierwszej chwili zdawał się niejako podzielać działanie jej serduszka, czém do reszty powikłał myśli, i tak już bez ładu w główce jej krążące.

Po małej chwili, gdy pierwsze wzruszenie minęło, dziedzic przemówił:

— Nie płacz moja Małgosiu, nie płacz, bo niedługo, jak widzę, i ja się rozplączę: a dopiero śmiesznieby było, gdyby nas kto spotkał razem w polu płaczących. Nie płacz więc; już nigdy ani jednego słowa takiego nie powiem, któreby dla ciebie stało się początkiem płaczu. W jaki sposób będę z tobą rozmawiał, tego ci nie umiem w tej chwili powiedzieć; dość, że ci przyrzekam najszczerzej, że po każdym naszym spotkaniu, nie z płaczem, tylko ze śmiechem będziemy się z sobą rozłączać. Teraz bywajże mi zdrowa, moja kochana Małgosiu, i o tém pamiętaj, że ja tu każdego dnia do tego lnu zajrzę, i będę bardzo rad, kiedy cię przy nim czasami zastanę.

Na tém skończyła się rozmowa, i do dnia, w którym zamieszczamy obecne opowiadanie, już Małgosia zajęta ciągle kupnem krowy nie miała czasu ukończyć rozpoczętego plewienia lnu, i więc nie widziała się z dziedzicem.

Cokolwiek zanadto długo odbieглиśmy od głównego przedmiotu; ale czuliśmy się niejako w obowiązku przedstawienia powyższych scen, aby wykazać niewinność tyle zajmującej nas dziewczyny, i czarność obmowy, jaka, dzięki złym językom i zabiegom Szczepanowej, przebiegała pod osłoną tajemnicy z ust do ust między mieszkańcami wsi całej.

Widzieliśmy, że gdy Magda zdanie swoje o schadzkach dziedzica z Małgosią wypowiedziała, obie zamilkły i zadumały się. Wkrótce Magda pierwsza przemówiła tonem zwykłej wesołości, bo wszystko widziała wytłumaczone, a Małgosię ubogacącą i oczyszczoną z potwarczych zarzutów; więc i wesołość na chwi-

łę przerwana, pomału zaczęła zganiać małe chmurki smutku i niezadowolenia wewnętrznego, jakie się na licach obu rozmawiających, mimo ich wiedzy, przewijały.

— Ale wiesz Małgoś—zwracając się nagle rzekła z największą radością Magda—Nastka od rządcy powiadała mi, że dziedzic dowiadywał się o dzisiejszej Sobótce...

— Jakto, to dzisiaj Sobótka?

— A tak; cóżto, zapomniałaś?

— A zapomniałam, moja Magduś, bo mi się jakoś tak wszystko w głowie pomąciło, że....

— Tak, tak Sobótka, i zobaczysz, jak przypieczewa tój niemrawicy Marynie; ty musisz mieć wianek z bożydrzewka, a jój damy z piwonii, bo kawalerzy piją u niój; tobie dawa Antka, jak będziewa śpiewać o bukowinie, jak to wiesz, a jój garbatego Felka, co się postarzał na swoim kawalirstwie.

— Ej, co ty moja Magduś wygadujesz—odpowiedziała Małgosia nawpół z radosnym uśmiechem.—Jakby to wszystko tak poszło jak powiadasz, toby zaraz powiedzieli, że ja się sama tak przed wszystkimi naprzód wypycham.

— A niech se gadają; myślisz, że będę na to zważała: niech se gadają. Cóżto? może o Marynie będziewa śpiewać, że jest we wsi najładniejsza. O! zapewne! moje śliczności! nie doczekanie jój do tego.

— O to ja nie mówię; ale jakże można Felka, takiego paskudnego, obrzydłego dziada przyrównywać do Maryny?

— A i cóżto wielkiego! przeciećtota wszystko ino dla żartu; a ja muszę jój zapłacić za niedzielne jeszcze, kiedyto dworskiego lokaja wybili w karczmie. O ho! poczekaj, nie wykręcisz mi się.

— A jak inne nie przystaną?—zagadła Małgosia z widocznym zajęciem się prowadzoną rozmową.

— Uhm! zapewne, nie przystaną; będę się ich tam właśnie prosiła?—Już ja se to dobrze pomiarkowała w głowie—odpowiedziała Magda z miną pewności i ufności w swoją siłę i starania.—Ale słuchaj Małgoś, wróćwa się do wsi, bo jeszcze muszę obleciéć wszystkie nasze dziewczuchy: bota dzień zejdzie i ani się człowiek obejrzy, jak się ściemnieje. Chodźwa, chodźwa.

I zwróciły się do wąwozu, nie przestając prowadzić zawiązanęj rozmowy.

— Wiész co Małgoś, że mi się dziwne rzeczy dzieją, jak se pomyślę, coto będzie dziś wieczorem uciechy. Boto ma być i dziedzic u Sobótki, i....

— Doprawdy?—przerwała Małgosia z lekkim zarumienieniem.

— Tak, tak, i dziedzic, i opiekun, i oficjalistowie; a jak se wspomnę Marynę i garbatego Felka, to ledwo się nie uduszę od śmiechu—i obie szczerze śmiać się zaczęły.

— Ej ty, ty! zkąd cita zawsze takie ucieszne rzeczy do głowy przychodzą—zagadła Małgosia.

— A słuchaj, stara Szczepanowa z Federakową to się chyba pogryzą, jak o Antku i o tobie razem zaśpiewamy.

— Ej dajta pokój takiój śpiewce; Antek może mną nie zaprząta se głowy.

— Czy zaprząta czy nie zaprząta, tota wszystko jedno; ale możebyś ty wołała o kim innym, żeby ci zaśpiewać?—i rzuciła bawdawcze spojrzenie na Małgosię.

— A o kimże?—z największym pomieszaniem odrzekła zagadniona—ktoby tam pomyślał o biédnej sierocie?

— Ktoby pomyślał? ej ty judasznicol! No! no! —mówiła dalej Magda grożąc jój palcem —nie wywołuj wilka z lasu, bo Antka damy Marynie, a dziedzica tobie.

— Ej, co tyż ty wygadujesz—odrzekła Małgosia z jedném zawsze pomieszaniem —jak można taką śmiałą gadkę wywodzić.

— To téż to wszystko ja tak bez żart gadam; boć przecie wiem, że ty masz dobrą kalkulacyą w głowie. A słuchaj, żeby lepiej dogryść Szczepanowój, to téj niezdarzonej Jadwidze, jój chrześnicy, powiewa przy Sobótce:

Ma zapaskę we dwie pole
Robota ją w ręce kole.

To dopiéro będzie śmiechu, zobaczysz!

— Dobrze, dobrze, moja Magduś, róbc jak miarkujesz, tylko mnie nie wywódź na ludzkie języki.

— Ej gadasz, gadasz, jak kowal w gorączce! Cózto ja nie mam swego rozumu, czy co? My tu se gadawa, zwyczajnie tak, żeby się ucieszyć, a przy ludziach to znów co innego.

— Ja ci téż moja Magduś nie mówię tego z przymówiska; ale pamiętasz tak rok, wyśta chciały śpiewkę o Antku do mnie przykładać, a wszystkie nas zakrzyczały i dały mi małego Wojtka.

— Ej, bota tak rok wszystko się zrobiło po głupiemu, moja Małgosiu.

— A potem pamiętasz coto było gadania po wsi, i z tego téż wszystko poszło. Szczepanowa się rozjadła.....

— Ej, bo ci powiadam—mówiła Magda przerywając—że tak rok wszystko się nie wiedzieć jak porobiło. Dzisiaj już ja se na-przód wszystko dobrze obmyśliła; i przemądra Szczepanowa i Kapuścina ze swoim językiem nic nie pomogą; musi wszystko tak pójść, jakem sobie ułożyła.

Tak rozmawiając, przybliżyły się nareszcie do chałupki starój Janowej. Magda ujrzawszy idącą zdaleka jedną z dziewcząt, po-biegła ku niej, a Małgosia odsunawszy zasuwę drzwi, sieni zamy-kającą, gdyż matki nie było w domu, weszła do niewielkiej izdeb-ki. Podłogę z tarcic, ubita glina zastępowała; ściany w niektó-rych miejscach popaczone, wylepione były także gliną. Wszę-dzie było czysto, ładnie poumiatane, każda rzecz w właściwém miejscu pomieszczona, ale biedno i nigdzie najmniejszego zbytku nie dostrzegłś.

Jedno tylko, i to nigdy nieotwierające się okienko, przepusz-czało światło dzienne przez siebie. Wprost drzwi, przy których z je-dnej strony mały był kominek z przygaszoném ogniskiem, z drugiej niewielka szafa z przegrodami na garnki, miski i inne podobne gospodarcze sprzęty, mieściły się tuż przy ścianie proste dwa łóżka, zastane w bielutkich powłóczkach pierzynami i poduszkami.

Pod oknem stały dwie skrzynki z zamalowanemi na wierzchu dużemi bukietami kwiatów, którychbyś naprózno szukał w natu-rze; a między kominem i łózkami dostrzegłś kilka beczek, dziś próżnych, jako na przednowku, a zwykle mieszczących w sobie kwaszoną kapustę, mąkę, kaszę i inne leguminy.

Znad belki przez środek izby pod pułapem przechodzącej, wyglądało parę ogromnych bochenków chleba razowego, dwa ko-zuchy i dwie kamizele.

Ławka prosta i kawałek lusterka w ścianie gliną oblepiony, stanowiły jedyne sprzęty zbytkowe, a kilka obrazów w drewnia-nych czarnych ramach z wizerunkami świętych, odmalowanych pędzlem godnym malarza ówch bukietów na skrzynkach, repre-zentowały i uczucie religijne, i śmieszłą chęć przyozdobienia bie-dnego swego pomieszkania.

Dla oka nieprzyzwyczajonego do podobnych widoków, jak-że to wszystko nędznie, jak biędnie się wydawało! A chociaż

skromna ta chatka nieraz smutkiem pokryła ubogie jój mieszkan-ki, to dosyć często mogłeś tam zastać tyle śmiechów i wesołości, jakich może napróżno wyglądałbyś po pałacach błyszczących złotem i marmurami.

Niedługo dała się słyszeć głośna rozmowa Magdy, przeplatana dosyć często serdecznym śmiechem, i dwie dziewczuchy weszły do izdebki Małgosi.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!—wyrzekła jeszcze w progu izby Magda.

— Na wieki wieków amen.

— No, prowadzę Baśkę —mówiła dalej—będziwa ją uczyć dzisiejszój Sobótki.

— O moja Małgoś—odezwała się Baśka, młoda, rumiana, jak burak, dziewczoja— żebyś ty wiedziała, co ta Magda wygaduje o Felku, o Marynie, to mało mnie kolki od wielkiego śmiechu nie zeprą.

— A onata już od samego rana niestworzone rzeczy wydziwia, moja Basiu.

— A wydziwia, wydziwia—mówiła Magda udając niby urażoną— albotto Felek nie chłop, czy co? A jakbyto mu ślicznie było za pana-młodego: nie potrzebowałby się nic chyłać, jakby ludzi obejmował za nogi, bota nos jego rychtyk dochodzi do mego kolana. Widzicie ich, jakie wybrydne halegantki!

Dziewczęta tylko śmiechem odpowiadały na żarty wesołój Magdy.

— No, cicho, cicho pleciuchy; bo jakby kto szedł błoniem, toby Bóg wié co pomyślał. No cicho, cicho—mówiła dalej—bo was wodą pooblewam. Słuchajta. No, ty Basiu! co nie lubisz z kapusty kwasu, cicho bądźże raz przecie.

— Oj ty Magda!—odezwała się zaledwie mogąca przemówić Baśka— ty rychtyczek taka, jak oset: pięknie, uciesznie gadasz, a zaraz i kolesz.

— Widzisz ją, jak oset? moja śliczna! Bo ty nie wiész, że ja cała z ostu, każdego kolnę, kto mi się nie podoba; a wiész ty dlaczego ja z ostu?

— Może żeś taka ucieszna?

— Ej głupiaś, kiedy tak gadasz; widzisz dlatego z ostu, zem dużego wzrostu. A ha! i cóż na to powięta?

Dziewczęta ledwo nie pospadały z ławki, takim śmiechem odpowiedziały na żarty Magdy, która nie zmieniając zupełnie wyrazu twarzy, z najobojetniejszą miną przyglądała się swoim towarzyszkom.

Po małym uspokojeniu się z tej serdecznej radości, Małgosia przerywanym głosem odezwała się:

— Magduś! kiedyś se tak upodobała oset, to na dzisiejszą Sobótkę weź se go za wianek.

— A dobrze mówisz, moja Małgosiu. Tyś widzę nieglupia dziewczyna; dobrze, dlaczego go nie mam wziąć? on taki dobry, jak i każdy inny. Pamiętaj więc, jak będzieta o mnie śpiewać, to mówta:

„Ma wianeczek z ostu,
Bo dużego wzrostu.”

O Małgosce śpiewać będzieta, że:

„Ma wianeczek z boży-drzywka
Najładniejsza we wsi dziwka.”

— Ja tam tak nie chcę—przerwała Małgosia.

— Ej, cicho ty wartogłowa; to komuż go damy? może Marynie?

— Dajta Baśce—odpowiedziała z dąsem Małgosia.

— Głupiasz, moja kochana. Baśka dobra, pocziwa dziewczucha, nikomu wody nie zamąci, to będzie miała taki sam wianeczek, jak tak rok, ze złota, bo uboga sierota; rozumiesz?

— Ale Magduś, moja kochana....

— Cicho, sza, pleciuchy, bo jak wezmę czego—mówiła Magda dyktatorskim, strofującym tonem—to ja was tu zaraz nauczę. Więc Baśce wianek damy ze złota, a Marynie, pamiętajta, z piwo-
nii. Jak wrzasnę, tak wy wszystkie za mną drzyjta się co tylko możecie, że kawalirzy piją u niej.

— Dobrze, dobrze, tylko żebyśwa blisko siebie stali.

— A jakże, jak się zmierzchnie, to sięta zejdziwa i razem ztąd pójdziemy na ugór, a jak śpiewać będziem o bukowinie, to Antek będzie dla Małgośki, dla Maryny Felek: to już nie może być inaczej; a....

— Ej! dałabyś pokój z Felkiem—odezwała się Baśka—zobaczysz, że ze Szczepanową i z Federakową, to się chyba pobijecie.

— O to, to, to, tego też właśnie chcę; jak ja im raz kłaków ze łba nawyciągam, to wszystko ich złe o nas poodchodzi. Dosyć się oni pyskami o nas nawycierają; i dziś na błoniu rano ledwo mnie nie zjadły, nawet psem mnie poszczuły. Poczekajcie, przysolę ja wam dzisiaj za wszystkie czasy.

— Tobie znów Magduś—zagadła Małgosia—to damy Tomka, bo on tak samo do bitwy skory. jak i ty.

— Zapewne, że rychtyczek dla mnieby się przydał; ale widzicie nie byłoby uciechy, a dla uciechy, to wiecie, który dla mnie najlepiej przypada?

— No, może Felek?

— Ej, to już Maryny: jata nie lubię bałamucić cudzych kawalirów.

— To może Wojtek?

— A jużćie Wojtek; bo ino mnie jak obszył do szyi dostaje. Chociaż ja wiem, że onta woli gdzieindziej niż na mnie spoglądać—mówiła Magda, dając gestem do zrozumienia, że to do Małgosi stosuje—ale do Sobótki musi mi służyć, czy chce, czy nie chce.

— Ej Magda, Magda! jużta Bóg wie nie kogo do mnie przykładasz.

— Cicho, ty haligantko, bo ci tak powiem, jak te psie mięsa baby, co dzisiaj na błoniu radziły.... Cicho!

— Słuchajno Magduś, o każdój radziła—odezwała się Baśka, gdy Małgosia zarumieniwszy się, oczy w dół spuściła—a o mnie toście na piękne zapomniały.

— O! widzicie ją, jaka pospieszna; możebyś chciała Felka odebrać Marynie, albo mnie Wojtka?

— Ej, ja tam nie potrzebuje—odpowiedziała rozdąsana Basia—ani Felka, ani Wojtka.

— No, no, cicho, ty mruku, ty nurku; nie bój się, nie brakuje we wsi kawalirów dla twoich czerwonych raków, co ich nosisz pod oczami: znajdzie się i dla ciebie.

— Tak, i data mi jakiego niemrawca, żeby się ze mnie potem cała wieś śmiała.

— Patrzaj ją, jaka bojąca: jak się to boi ludzkich śmiechów!

— Magduś—rzekła Małgosia przybliżając się do ucha rej wodzącej dziewczyny—to Baśce trzeba dać Walka.

— Prawda, prawda—odpowiedziała głośno.—No Basiu! nie mruż se pod nosem ze złości, bo będziesz miała Walka; wyta lubita na siebie spoglądać: no dobrze?

Skrzyp otwierających się drzwi przerwał dalsze narady rozmawiających dziewczuch, i pokazała się w nich znana nam z pierwszego obrazku krępa Kaśka, która nie zważając na wysoki próg zawadziła o niego nogą, i jak długa padła na ubitą ziemię w izbie.

Wszystkie trzy dziewczęta naturalnie najszczerzym śmiechem przyjęły nieszkodliwy wypadek Kasi, a Magda korzystając z okoliczności, zaraz się odezwała:

— A cóżto ty Kaśka? tak nisko się nam kłaniasz, jakbyś prosiła na wesele. No wstań, wstań, będziewa ci służyć, już nie proś, myta nie takie harde.

— U! ty wielgośnica—naprawdę rozgniewana odpowiedziała Kasia—ze wszystkiego tylko wykpiwać umiesz.

— A i czegoż się boczysz? Patrzajta dziewczuchy—mówiła Magda—onaby rada, żebyśwa płakały. Oj ty, ty! chodzisz jak spętana: przecieć nie z żelaza masz nogi.

— A może i z żelaza—z gniewem odrzekła Kasia.

— A toś ty dlatego przez próg nie przelazła? Słuchajta—no dziewczuchy—mówiła Magda odwracając się do dwóch drugich—jak to się ładno złożyło: nogi ma z żelaza, przez próg nie przelaza; prawda?

— Ej, tak nieładno: nogi z żelaza—odezwała się Małgosia—lepij bity albo trzewiki, to jakoś składniej.

— Dobrze mówisz, moja Małgoś, prawda, tak jakoś składniej:

„Ma trzewiki z żelaza,
Ledwo przez próg przelaza.”

I zaczęły się śmiać nasze młode, różne dziewoje; jedna tylko Kasia nie podzielała wesołości swoich towarzyszek, i stojąc oparta o krawędź łóżka, pomrukiwała:

— Wykpiwajta se, wykpiwajta, moje robotnice, nikij żyd w szabas. Śmieją się jak głupie; wartogłowe, latawice!

Gdy Kasia się dąsa, a dziewczęta w najlepsze się śmieją, Basia nachyliła się do ucha Magdy i poszepnęła:

— Słuchajno Magduś, jak dziś w Sobótce będziewa śpiewać o Kaśce, to powiewa jak się nam tu złożyło, że:

„Ma trzewiczki z żelaza,
Ledwie przez próg przelaza”.

Czy dobrze?

— Dobrze, dobrze, tylko cicho, żeby nie pokalkulowała; ja powiem Małgośce.—I znów Magda tym samym sposobem udzieliła wiadomość trzeciej dziewczynie, która zatykając sobie rękami usta, dusiła śmiech podnoszący się ciągle między niemi.

Nareszcie Magda dając znak porozumienia, odezwała się do rozdąsanj Kaśki, która stojąc nawpół tyłem obrócona, nie widziała potajemnie prowadzonej rozmowy:

— No, Kaśka! nie bądźże przecie taka zawzięta; no i cóż ubyło ci co, żeśwa się trochę z ciebie pośmiały? Oto lepiej siądź se tu wedle mnie, to ci opowiem, jak dzisiaj przy Sobótce umyśliłyśmy zapiec Marynie Federak, co jak się ubierze w białe szmaty, to tak wygląda, jak purchawka po deszczu.

— Ja tam nie potrzebuję waszój narady.—A zobaczywszy jak Małgosia z Basią tuż przy sobie stojąc, w cichym szepcie ciągle się śmiały, rozgniewana wybiegła z izby, trzasnąwszy silnie drzwiami.

— Ej! wy pleciuchy, pleciuchy!—zawołała Magda po wyjściu Kaśki—a już téż was gęby swędziały, swędziały; mogłyście na później śmieszki zostawić.

— Ej, moja Magduś, kiedyśwa nie mogły wytrzymać. Cośmy se przypomniały o takim ładnym złożeniu, i jak Kaśka leżała tu na ziemi, to myślałam, że się podusiewa.

I znowu wspólny szczerý śmiech obleciał twarzyczki tulących się do siebie dziewcząt.

— No, śmieszki, cicho! dajta pokój; trzeba już pójść do dom; ty Małgoś przejdź do Józwiaków i Dybów, a ty Baśka między swemi pochodź i każdój tak gadajta, jak tu: a pamiętajta, że Marynie Felek.

— Dobrze, dobrze, a wieczorem zejdzta się do mnie—zaga-dła Małgosia.

— A juści do ciebie, bo dla wszystkich po drodze. Jata polazę jeszcze na drugą stronę wsi, żeby się dobrze ubezpieczyć.

— No zostań z Bogiem, moja Małgoś.

— Idzta z Bogiem, idzta z Bogiem.

I rozeszły się radzące dziewczuchy, każda spiesząc w swoje stronę, aby zyskiwać nowych stronników, do dokładnego wypełnienia ułożonego przeciw Marynie spisku.

Gdyby jednak mogły przewidzieć, jakiego im psikusa przygotowuje rozgniewana Kaśka za śmiechy i żarty, których stała się celem, byłyby pewnie nie tak radośnie zakończyły naradę o nocnym obrzędzie Sobótki. Lecz nie przewidując złych następstw z niewinnój wesołości, z całą ufnością w pewność swojej sprawy, zajęły się działaniem podług wskazania dyktatorskiej Magdy.

Dziewczęca więc rzesza podzieliła się na dwa stronnictwa, i na dwa spiski wzajemne, które rozwijając całą energią, wszelkich dokładały starań, aby zapewnić pomyślny rezultat swoim zabiegom.

Na czele jednego stała Maryna Patyak, nadniespodziewanie wzmocniona połączeniem się rozgniewanej Kaśki: drugiem zaś rządziła Magda, która i siłą fizyczną i znanym dowcipem, niebezpiecznym była do zwalczania szermierzem. Tak więc w dwóch tych obozach nieprzyjacielskich na wzajemnych przygotowaniach upływał dzień, mający zakończyć się walką, zbrojną nie w pociski krwi i rzezi przy huku bębna i jęku konających; lecz w śpiew, w żarty, śmiechy, przerywane kiedyniekiedy trzaskaniem gorejącej bylicy lub powiewem wiatru, niosącym na swych skrzydłach od wsi sąsiedniej nutę pieśni Sobótkowej.

Nareszcie słońce jakby znużone całodziennym wylewem ognistych promieni, zaczęło się coraz więcej nachylać ku zachodowi.

Gromady bydła, owiec, otoczone tumanami podnoszącego się pyłu, ręce fornalki, poważne czwórki wołów z piszcząciami od pługów kółkami; parobcy, gospodynie i gospodarze, pojedynczo lub w większych gromadkach; słowem wszystko co żyło i pracowało za domem, pospieszało z różnych stron drogami, miedzami, i granicami do wsi, do tego wspólnego ogniska odpoczynku po znojach całodzienniej roboty.

I wieś dotąd cicha, bezludna prawie, bo pracowity lud sandomierski w dniu powszednie pory letniej, tylko dzieci i starców zwykł po domostwach zostawiać, nagle ożyła i zagadała do zbliżającego się wieczoru rykiem bydła, owiec, trzaskaniem biczy poganiających, rozgłośnym wołaniem gospodyń na rozpierzchły po błoniu dobytek; co łącząc się wszystko w jeden akord wrzasku, sunęło się daleko po polach, aż ginęło w niewyraźnym szmerze, w którym pojedynczych głosów naprózno siliłbyś się dochodzić.

W miarę krycia się gwiazdy dzienniej, ruch i życie coraz mniejszemi się stawały, a z ostatnim jej promieniem, przesłanym jakby na dobranoc pracowitym mieszkańcom, znowu cisza wiejska przykryła płaszczem swym zagrody wieśniacze.

Teraz dopiero nadszedł czas powrotu reszty ludności kmiećj. Młodzież śpiewem, starsi znów głośnym rozgoworem znaczyli swój powrót od pracy; a gdy i to ucichło i zmiérzch ustroiwszy wszystko w szare sukienki dozwolił niebu spojrzeć na ziemię milionami gwiazd, zaraz okna chałup zajaśniały roznieconym ogniem, wysyłając w górę słupy dymu popielatego.

Nagle, i tu i tam drzwi skrzypnęły, i dziewczęta całe w bieli przesuając się między zabudowaniami, zaczęły się łączyć w małe gromadki, i w miarę tego do jakiego należały stronnictwa, biegły do chałupki Małgośki lub Maryny Patyak.

— No, pamiętajta—mówiła Magda otoczona małym gronkiem dziewczuch, lecz aż nadto wielkim na szczupłą izdebkę Małgosi—pamiętajta, jakem mówiła, żebyśta nie pokpiły sprawy—i zaczęła się wspólna, głośna, przerywana rozmowi.

— A ogień która weźmie?

— A mata słomę na podpal?

— Basiu, Basiu! a nie widziałaś kaj Kaśki?

— Cicho, nie krzyczta; coto karczma?

— Małgoś! daj gałgana na ogień.

— Cicho dziewczuchy, cicho—powtórzyła raz drugi Magda—trzeba się spieszyć, bo te drugie niemrawice gotowe wprzódy pójść na ugór i zapalić ogień.

E, bajki—odezwała się jedna z dziewczyn—przeciećby tędy szły, tobyśwa ich widziały.

— Ja imta jednak nie dowierzam, i dla wszelkiego upewnienia, weź ty Małgoś garnek z wodą; a jeżeliby ważyły się ogień bez nas zapalić, to weźmiewa się wszystkie za ręce, przeleciwaw hurmem bez ogień: ty wodę wylejesz, a my nogami do reszty dotłuczemy.

— Dobrze, dobrze!—wrzasnęły wszystkie, i śmiechem i tupaniem nóg odpowiedziały na przedstawiony projekt Magdy.

Tuż zaraz za wsią rozpoczynał się dworski ugór, który głębokim wąwozem łączył się ze wsią; zwykle w tej porze cichy, ciemny, bo wysokimi ścianami nie dopuszczał nawet w środek swój bladych promieni księżyca, dziś nagle ożył tłumioną rozmową postępujących nim dziewczyn.

Lecz nie dostrzegłeś między nimi ani Magdy, ani Małgosi, bo niestety! byłoto właśnie stronictwo nieprzyjazne naszej krasnej dziewoi.

Obszedłszy drugą stronę wsi jak najciszej, wemknęły się w szyję wąwozu, i tu dopięro rozpoczęły ciche z sobą szepty.

— No, spieszta się, spieszta—mówiła Maryna, bo i wielguśnica nie lubi zasypiać.

— Ej, oneta w najlepsze szwargoczą i wykpiwają—odezwała się Kaśka—i nim wybiorą się, to my pół Sobótki przepiwawa.

— Plecieszta moja Kaśka, nie wiedzieć jak; nibyto do ugoru daleko: a dyc go każda prawie na swoim nosie czuje.

— Ale my zawsze pierwsze ogień zapaliwa.

— To téż spieszta się, spieszta.

— A nie zapomnijta—dołożyła Kaśka—że Józef lokaj Małgośce, Magdzie niezdarzony Felek, i wianek taki, jakeśwa ułożyły.

— Jakto, jak?—odezwało się kilka głosów dziewczęcych, które tylko przypadkiem znalazły się między drugim stronnictwem i stanowiły stronę bierną, pragnącą jedynie śmiechu i zabawy.

— A cóżto, nie słyszałyśta—odpowiedziała Kaśka—że:

„Cała taka jak pokrzywa;
Z ludzi se tylko wykpiwa.”

— Dobrze, dobrze, rychtyczek do niej, bo téż wielka z niej wymyślnica.

I zbiwszy się w kupkę, tupotaniem tylko nóg przerywając milczenie wieczoru, wybiegły z wawozu, i zwracając się w bok od drogi, przystały dla założenia ogniska przyszłego obrzędu.

Dobrze jednak powiada stare przysłowie: „Co nagle, to po djable“, bo im więcej pragnęły pośpiechu w roznieceni ognia, tém bardziej, jakby na złość przyniesiony zatłony gałgan nie chciał buchnąć płomieniem. Nie pomagała nic i słoma, i sucha bylica, i wszelkie usiłowania dziewczęce; płomień jak się nie pokazywał, tak nie pokazywał.

Opóźnienie to dostateczne było dla Magdy i jej towarzyszek, bo gdy dziewczęta klęcząc formowały koło, dotykając się prawie głową jedna drugiej, i wspólném dmuchaniem, już, już miały wydobyć z tlejących iskier tyle upragniony płomień; nagle pomiędzy nie wpadła zgraja dowodzona przez Magdę, ogień zasycał wylaną na siebie wodą, i do reszty zatratowany został skrzętnie uwijającemi się po nim nogami.

Śmiech serdeczny i krzyki zadziwienia i gniewu wspólnie się ozwały; a gdy minęło pierwsze wzburzenie, i przyczyna niepokojności wyjaśnioną została, rozpoczęły się kłótnie i wyrzekania napadniętych tak znieścacka dziewczyn.

— Czy poszalały te wartogłowe, czy co?—ozwała się pierwsza Maryna, rzucając spojrzenie nieprzyjazne na Magdę i Małgosię.

— Wartogłowe? widzisz ją: tyś sama wartogłowa....

— Cicho ty wielguśnico—przerwała Maryna—ja wiem, że ta ciebie nikt nie przegada.

— Moja milcząca persona, śliczna lalusia; widzisz ją.....

— Żebyś poszalała, że bodaj!—przerywając odezwała się jedna z dziewczyn, z zupełnie gołą głową, trzymając w ręku zmoczoną chustkę przez kąpiel, dla ognia przeznaczoną.

— I ty tu będziesz z językiem wyjeżdzać—rzekła Magda raptem zwracając się do mówiącej—Nie bój się, i tak ci ładno będzie: stary Jędrzej łysy, to on lubi takie jak ty łysuchy bez chustek.

— Ja sięta obejdę bez Jędrzeja.

— Cicho Geruś, cicho!—odezwała się Maryna—zawsze twój Jędrzej darniejszy od Magdzinego Felka.

— To twój Felek! moja ty pyszna okaro.

— Twój, twój!

— Cicho ty wyklapańcze!

I kłótnia w ten sposób prowadzona Bóg wie jak długoby się przeciągnęła i jak skończyła, gdyby nie wznoszący się płomień z ognia, rozniecony nareszcie przez dziewczęta do kłótni nienależące, który oświetlając swarzące się przyszłe kapłanki, przypominał im cel nocnego zgromadzenia.

Wrzawa ustała, i jak gdyby najmniejsze nie zaszło nieporozumienie, wszystkie ująwszy się za ręce okoliły ogień, starając się jednak każda przy swoim stanąć stronnictwie. I gdy płomień bucha, z trzaskiem wyrzucając w górę popiół z palącój się bylicy, one:

Jako krążą, brzmia żurawie,

Gdy wracają tu na wiosnę;

Tak wesołe i radosne,

Brzmia i krążą po murawie.

I jak rybka tuż za rybka,

Jak jaskółka za jaskółką,

Dłonie w dłoniach, rażno wkółko,

W płasach, w skokach krążą szybko.

...I wietrznice krążą, nucą

Tańce; piosnka jedna, druga,

Jak lecąca z dźwiękiem struga,

Nieustannie echa kłóćą”.

Zaiste, w całej téj scenie nocnej, jaka się odbywała przy śpiewie i tańcu kilkunastu dziewczyn, zdobnych krasą i bielutkiem skromnym ubraniem, oświetlonych gorejącem wpośród nich ogniskiem, ileż się nie mieściło poezyi!

Zdawało się, iż cała okolica wtorując echem wznoszącemu się śpiewowi, przypomniawszy dawniej nucone tony, nie może się nacieszyć powrotem przeszłości, która zapewne innym okiem i z inną czcią patrzyła na obrząd Sobótki.

Dziwna, a jednak tak naturalna zmiana pojęć ludzkich! Co dziś człowiek czei, jutro poniewiera; za czém dziś ugania się, jutro i spojrzeć nie chce. Dziwna, śmieszna natura człowieka! kiedyż staniesz na stałym gruncie? kiedyż powiesz: już nie chcę iść dalej, już niczego nie pragnę?

Ale dajmy pokój moralom, posłuchajcie lepiej śpiewu, który dziewczęta, co piersi starczyły, wywodziły ciągle przy tańcu. Treść jego była zabawna: przechodziły nią kolejną wszystkie we wsi znajdujące się małżeństwa, odmieniając tylko w każdej strofie imiona tak męża, jak żony. Brzmiał on tak:

„Szerzy się bylica po wsi,
Oj wygnała Szczepanowa samego (1) ze wsi.
A gdzieżeś bywał Szczepuś nieboże?
Oj pasłem moja Maryś konie na dworze” (2).

Gdy dziewczęta śpiewają, bo to niebagatelnego trzeba było czasu na uczenie każdego małżeństwa, tak niewygodnym znalezieniem się czulej żonki, ciekawsi ze wsi i młodzi i starzy zwa- bieni ogniem i daleko rozchodzącym się śpiewem, zaczęli niezna- cznie, formując małe grupy, schodzić się na miejsce uroczystości wiejskiej. Dostrzegł tam między nimi i kilku gospodarzy sta- rych, jak oparci na kijach jedną ręką, a z drugą włożoną za kami- zelę, prowadzili urywaną, poważną między sobą rozmowę.

Z drugiej strony ognia, bliżej jednak dziewczyn, spoczywało kilkunastu małych chłopaków, przytulonych w brózdach do ziemi, którzy podnosząc nad zagon rozczochrane główki, stali wzrok cie- kawy prosto do ogniska, i tylko wzajemnymi figlami i tłumionym śmiechem zdradzali swoją obecność.

Cokolwiek dalej, nawet za gospodarzami rozmawiającemi w znanym nam już wąwozie, stała rzeźka czwórka parobczaków,

(1) *Samego*, znaczy męża.

(2) Cały obrząd Sobótki tu zamieszczony, opisany został wliernie tak jak go obchodzi lud w Sandomierskiem, a mianowicie we wsi Bileza, półtoręj mili od Sandomierza położonej. Nie wdając się w szeroki rozbiór wszel- kich domysłów pewnych i niepewnych o początku tego zwyczaju, nadmie- nimy tylko, iż według zdania uczonych naszych badaczy starożytności sło- wiańskich, należy on do najdawniejszych; że był obchodzony na cześć słoń- ca, a przechodząc z poganizmu w wieki chrześcijańskie, zatrzymał coś z mi- nionej przeszłości, oblekając się w szaty nowo wzrastającej religii. Ciekawsi, bliższe szczegóły znaleźć mogą w Pieśniach Ludu Biało-Chrobatów, Mazu- rów i Rusi znad Baga, zebranych przez Kaz. Wł. Wójcickiego, tom Iszy; i w Pieśniach ludu polskiego w Galicyi, zebranych przez Żegotę Pauli.

którzy tak wesoły rej wiedli w opisanéj zabawie karczemnej w pierwszym rozdziale; a zakryci do połowy cieniem jego, mogli wszystko widzieć i słyszeć, nie mogąc od nikogo być dostrzeżonemi.

Blizéj przed gromadkami wieśniaczemi sformowało się grono oficyalistów dworskich, między któremi w środku mieścił się poczciwy ogrodnik Sakowski, a blizéj jeszcze stał sam dziedzic z opiekunem, człowiekiem już niemłodym, wojskowej postawy, za któremi, jak sztyldwach na warcie, sterczała postać szanownego pana rządcy.

Dziewczéta śpiewając ciągle tańczyły, kręcąc się raz w jedną, drugi raz w drugą stronę; a buchający ogień odznaczał na ugorze cień osób, których ciekawość i zabawa na miejsce to zgromadziły.

— Słuchaj Jasiu—mówił opiekun do młodego dziedzica, pokręcając węża—dlugo one tak będą wyganiać ci gospodarzy ze wsi?

— Albo ja wiem, mój wuju; piérwszy dopiéro raz jestem przy tym pogańskim obrzędzie, więc zupełnie nie znam jego tajemnicy.

— Przyznam ci się, że gdyby nie kilka ładnych twarzyczek, które mi się migają z drugieój strony ognia między tańczącemi dziewczętami, jużbym ci dawno drapnął do łózka.

— O! jak to znać—odpowiedział siostrzeniec z uśmiechem—starego wiarusa, co wprawiał swoje oczy na powabnych twarzach Francuzek, Hiszpanek i Włoszek.

— Zapewne, mój bracie, tam się żyło i bawiło! Chociaż czasem poczułeś przy piersi swéj zimne żelazo zazdrosnego męża lub rozkochanego adonisa; ale za to w chwilach szczęścia, dnie stawały się minutami i miło było..... Ale Jasiu, uważałeś, dali-pan, o! teraz, teraz—mówił daléj opiekun wskazując palcem ku dziewczętom—czy widzisz tego ładnego buziaka, w pstréj chustce na głowie, z czerwoną krajką w pasie? Na honor, to dziewczyna całą gębą, co się nazywa.

— To Małgosia, mój wuju, córka biednej komornicy.

— Małgosia? to panicz już nawet imię zna, i stosunki familijne? No, no, przyznam ci się, że jest czego pozazdrościć.

— Nie zazdrość mój wuju, to poczciwa i bardzo skromna dziewczyna.....

— Wierzę, wierzę, ale mówiąc o tej twojej ślicznej Sobótce, zdaje mi się, że już czas uderzyć capstrzyk i pomyśleć o odwrocie.

— Czekaj, mój wuju, jak dziewczęta przestaną śpiewać wmieszamy się między nie, i bliżej przypatrzymy się młodym i rumanym ich twarzyczkom. Ciekawym, jak wuj znajdziesz nasze Sandomierzanki, czy będą godne chociaż jednego oczka piękności, jakich dosyć napatrzyłeś się w wojennym swoim życiu.

— No patrzajże mój poczciwy Pawelku—odpowiedział opiekun odwracając się do stojącego w tyle rzędcy—coto za młodzież terazniejsza, mnie starego wieść na pokuszenie; wszak nie prawda, lepiej spać iść, jak grzeszyć okiem i myślą turecką...!

— Myślą turecką? co też wuj wygaduje?

— A tak, myślą turecką, bo mi zaraz wolność turecka przyszła do głowy. Jakże Pawelku, wszak mam słuszność utrzymując, że wszystkie te śpiewy i tańce, to niezdatne i psu na budę?

W bardzo przykrém położeniu znalazł się szanowny pan rzędca; zapytywany, ciągle coś pomrukiwał, chrząkał, uśmiechał się, lecz ani jednym słowem nie objawił swego zdania. Naciskany jednak coraz bardziej, majaczył z odpowiedzią, bo nie chciał ani dziedzica, ani opiekuna obrazić, gdyby którego z nich nie podzielił opinii.

— Proszę łaski pańskiej—odezwał się nareszcie oddając jak najniższy ukłon i wciągając brzuch w siebie, czego ze szczególnym dopełniał talentem, ile razy zostawał w towarzystwie swoich panów. Uważając go bowiem za najszlachetniejszą część ciała, sądził, iżby ubliżył posiadaniem większego egzemplarza tym, dla których z obowiązku należało się od niego uszanowanie. Dlatego rozmawiając z niższemi rozdymał go tak, że raz wraz musiał poprawiać podnoszącej się kamizelki; z wyższemi zaś chował go, jakby nie miał brzucha, lub jakby dwa posiadał: inny dla podkomendnych, inny dla dziedziców.

— Proszę łaski pańskiej, to zależy, to jest...to zależy od woli pańskiej. I nieboszczyk pan także lubił przypatrywać się Sobótkom, chociaż proboszcz z Suszek zawsze powiada, że jak Sobótkę palą i śpiewają, to djabeł zdaleka patrzy i śmieje się.

— Doskonale mój Pawelku—odezwał się opiekun zacieraając ręce—palmąś argumentem, jak nabojem z działa, doskonale.

Pan rzędca się przestraszył, lecz ujrzawszy i dziedzica, jak z uśmiechem coś pocichu mówił do opiekuna, rozjaśnił lica,

brzuch jeszcze lepiej wciągnął w siebie, i tylko niskim ukłonem odpowiedział na odebraną pochwałę.

— Wiész jednak co, mój Jasiu — odezwał się głośno opiekun — gdy patrzę na to ognisko, na te w pomroku nocy niewyraźnie rysujące się postaci, na ten ruch i gwar, który wokoło nas panuje: przypominam sobie obozowe dawne moje życie, gdy pokładłszy się wokoło ognia, odziani płaszczem, z fajką w ustach, gwarzyliśmy o oddalonej rodzinie, przyjaciółach, o jutrze, które niejednego z nas przeniósło do bram wieczności, gdy bęben dał znak boju, a działa otworzyły śmierć niosące paszcze.

— A, złapałem wuja, ot i kawałek mamy poezji — mówił z radością młodzian: lecz nagle uciął ujrawszy starego wojaka, jak kręcąc węża ze zwieszoną głową stał milcząc nieporuszony, zapuszczając zapewne myśli w daleko ubiegłą przeszłość.

W tém miejscu dziewczęta ukończywszy śpiewanie, rozerwały sformowane koło, i stając na uboczu w jedném gronie, białém jednostajném ubraniem bardzo fantastyczny przedstawiały widok na ciemném tle, wokół ich otaczającym.

Gdy ognisko próżne pozostało, nagle podniosły się główki owych kilkunastu przyczajonych w bródzie chłopaków, i w całym biegu, jeden za drugim, jak sznur dzikich gęsi, gdy szybują w powietrzu wartkiem swém skrzydłem, w śmiechach i w wesołych pokrzykach: hu! ha! zaczęli tam i nazad przeskakiwać przez ogień.

Nie jeden ubrany w długą kamizelę starszego swego rodzeństwa, zaplątawszy nogi w szerokich polach, upadł jak długi w pierwszym zaraz poskoku; inny popchnięty przez biegnącego za nim towarzysza, straciwszy równowagę spadał z góry niby jabłko z drzewa otrząśnięte w sam środek palącego się ogniska, a wydobywając się czémprędzej z parzącego żywiołu, przyduszał zatłoczone szoldry, w różnej wielkości płatach z ubrania jego spadające.

Wypadki te wprawdzie trochę bolące, lecz nie przedstawiające żadnego niebezpieczeństwa, jeszcze więcej ożywiały wesołe grono małych chłopczków, którzy przeskakując przez wywróconych towarzyszy, ciągle ponawiali i skoki i radosne rzeźkie pokrzyki.

Gdy wesołość, śmiech i żarty coraz większej nabięrały potęgi, zdarzyło się nieraz, że zgraja chłopczyków znalazła się razem z różnych stron ogniska, a pokryta cieniem nocy, nie widząc się wzajemnie, spotykała się raptem nad samą gorejącą bylicą, i po-

trąciwszy się, rozprysknięta uderzeniem na wszystkie strony, zostawiała kilku na wznak przewróconych, usiłujących grzebaniem nóg w gorącym popiele wyjść z nienaturalnego swego położenia.

Wszyscy widzowie z serdecznym śmiechem przypatrywali się rozwijającej przed ich oczami scenie; i w rzeczy samej tyle tam było prostej, naturalnej komiki, że prawie mimowolnie, chociażby człowiek nie chciał, musiał podzielać wesołość, tak szczerze wszystkich serca napelniającą.

Opiekun pokręcał węsą, i urywaném zachęceniem i pochwałą: „brawo, wybornie, dalej w marsz dzieci”, dodawał śmiałości i ognia małemu wieśniaczemu pokoleniu.

Dziewczęta chichocząc, kryły się jedna za drugą, aż znowu ująwszy się za ręce zawiodły koło; chłopcy powrócili na dawne stanowisko, i nowy śpiew zabrzmiał, poświęcony czei Sobótki:

„Poleciał sokół,
Przez Franków okół,
Padł, padł w ogródeczku,
Przy bujnym zioleczku,
Roztoczył ogon.

„A puk, puk, puk w okieneczko,
Wyjdź-że Maryś kochanecko,
Sama jedyna.“

Maryś nie wyszła,
Siostrę wysłała:
Siestro, moja siestro,
Oj staw się za mnie ostro,
Jakby ja sama.“

Śpiew ten służył samym dziewczętom, i dla każdej z odmianą tylko imion, po szczególe był powtarzany.

Opiekun nareszcie tak się zajął sceną przez małych chłopców wyprawianą, że ująwszy pod rękę siostrzeńca, z zapaloném cygarem zaczął się przechadzać bliżej kręcących dziewczyn, nie myśląc zupełnie o odejściu.

Na uboczu, w przyzwoitej odległości stojąca kupka oficjalistów i służących dworskich, naśladując swoich panów, także dosyć głośno rozprawiała. Znajdował się między niemi znany nam Józef lokaj, i poczciwy staruszek ogrodnik Sakowski, którzy gestykulując rękoma, nader żwawe prowadzili rozmowy.

— Co mi tam asan, panie Józefie—mówił ogrodnik uderzając palcami w tabakierkę—wyjeżdżasz ze swoją Warszawą, jakby to ona była białym krukiem....

— Mój panie Sakowski—zagadł przerywając Józef—o czémże mam mówić? Może o waszym ślicznym Klimontowie albo Koprzywnicy? (1).

— Mów sobie o czém chcesz, ale nie poniewieraj naszej wsi i nie wykpiwaj naszych różnych zwyczajów: boć i my takie mamy nosy, takie oczy, takie nogi i takie same ręce (ten wyraz *ręce* wymówił dobitniej i przytém mruknął) jak i wy, mój panie Warszawiaku.

— No, proszę się nie gniewać, panie ogrodniku—mówił Józef polykając przymówkę, jakby jój nie rozumiał—proszę się nie gniewać; wszak ja wszystko co tylko mówiłem, to tylko tak dla żartu.

Lecz ogrodnik włożywszy obie ręce w kieszenie, widocznie rozgniewany odwrócił się od stojących, i postępując parę kroków mruczał pod nosem:— Fanfarony, osły, Warszawa, Warszawa, wielkie zwierzę; a jednak tu chleb jedzą.

E! panie Sakowski—odezwał się ekonom, chłop tęgi, barczysty, grubym nieharmonijnym głosem, na którego dość było raz spojrzeć, aby poznać do jakiego cechu należy—czego się pan gniewasz? Chodź pan, chodź, ot lepiej popatrzymy, jak się stary pułkownik do dziewuch umizga.

— O! to stary zbytnik!—odezwał się Józef—znam jego wszystkie warszawskie sprawy.

— Wart pałac Paca, a Pac pałaca—mruknął ogrodnik.

— Jaktó zaraz przybliżył się pan Sakowski—mówił żartobliwym tonem ekonom—gdysmy o dziewczkach wspomnieli. Ho! ho! musiało być z pana kiedyś ptaszek nielada.

— Zapewne, zapewne—dołożył Józef.

— I dziś jeszcze tego zérka oczami po ładnych kobietach; a do ogrodu to po sześć, po ośm dziewczek co dzień muszę dawać, a wszystko niby do roboty.

— Cicho, ty zbytniku—nawpół udobruchany mówił ogrodnik—kto w popiele lega, drugiego ożogiem sięga. Kiedym był na dworze pana Jacka Małachowskiego w Bodzechowie, bo to był dobry, poczciwy pan; niech tam ludzie co chcą mówią o nim, ja zawsze powiem, że był najlepszym ojcem dla sług, a kto jest w jedném dobry, to musi takim być i we wszystkiém.

— Oj prawda, prawda—powtórzyli przytomni.

(1) Dwa małe miasteczka w Sandomierskiém.

— A moi panowie—mówił dalej ogrodnik częstując wszystkich tabaką i zwracając się do ekonoma, jakby do niego tylko mówił—kto w jedném znów zły jest, to we wszystkiém takim będzie.

Trzeba wiedzieć, że poczciwy staruszek nie lubił ekonoma za jego gburowatość, srogie postępowanie z ludem wieśniaczym, wieczne kłamstwa jakimi znaczył wszystkie swoje rozmowy; słowem za całą nikczemność charakteru, który w każdym kroku życia jego dostatecznie się przebił.

Gdzie tylko więc mógł, chociaż okolicznie, zawsze mu dawał różne przycinki i przymówki, a ten znosił to wszystko najczęściej w milezeniu; czasem się odciął, lecz poprzestawał więcej na tajemnej nienawiści, lękając się otwartej wojny z człowiekiem, który posiadaniem względami dziedziców, mógł się stać dla niego bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem.

Jak więc pan Batowski, ekonom, usłyszał wypowiedziany przez ogrodnika przygryzek, zaraz zwrócił się do mówiącego:

— Ja nie wiem, co u stu tysięcy djabłów pan ogrodnik do mnie obraca się zawsze z swemi mowami? Czy to....

— Dziwna rzecz—odrzekł staruszek wolnym głosem kiwając głową—żeto pan ekonom zawsze wszystko bierzesz do siebie, co ja tak mówię, ogólnie. Czy...

— Ogólnie, ogólnie—mruczał dąsający się ekonom—znam ja się dobrze na tych ogólnościach.

— Czyto pan—mówił dalej ogrodnik nie zważając zupełnie na uczynioną przerwę—czyto pan chcesz koniecznie sprawdzić to przysłowie: że uderzyć w stół, to nożyce się odezwą.

— Ja wiem, że pan umiesz wszystko wytłumaczyć.

— Mój panie Batowski—mówił ogrodnik tonem ironicznej refleksyi—przecież my tu pana znamy, jako ucziwego, rozsądnego człowieka, dlaczegóż...

— Tak, tak, jak pan ugryziesz, to potem miódem smarujesz.

— Ej dajcie panowie pokój—odezwał się Józef—kto słyszał, żeby oficjaliści od jednego pana w kłótni z sobą żyli.

— A kto aspanu, panie Józefie powiadał, że ja się kłóczę?

— No, przecież widzę i słyszę.

— No, to asan i źle słyszysz i źle widzisz; bo ja kiedy mówię, to mówię do wszystkich, a o żadnych kłótniach nie myślę. Ja mój panie kochany, ani bywalec, ani zabijatyka karczemny; a jak chcę wypić kieliszek wódki, to go znajdę i w domu, nie potrzebuję chodzić albo posyłać do karczmy.

Na widoczną tę przymówkę niedzielnej bójki, Józef tylko coś mruknął sobie pod nosem, i przysuwając się bliżej do ekonoma, zamówił do niego cichszym tonem:

— Wiész pan co, panie ekonomic? bo z tym starą marudą nie ma co gadać, że ten, ktoby się ożenił z Małgosią, toby dobrze mógł się otrząsnąć z biedy.

— Dlaczego?

— Dlaczego?—powtórzył Józef—czy pan nie wiész, co się święci?—i przy tych słowach zrobił gest głową wskazujący ognisko, około którego dziedzic z opiekunem przechadzając się i paląc cygara, robili spostrzeżenia nad twarzyczkami kręcących się dziewczyn.

— Uhm!—mruknął ekonom dając do zrozumienia, że pojął—tylko mąż takiego wymuskanego cacka, na całe życie podobno zostałby rogalem.

— No, ma się rozumić—odpowiedział Józef poprawiając czuba—to mała rzecz, głupstwo, ktoby tam uważał na podobne rzeczy.

— Zapewne, zapewne—potwierdził ekonom.

I zadumali się, obliczając pewnie materialne korzyści, jakie można osiągnąć przez małżeństwo z Małgosią; obadwa bowiem wolnego byli jeszcze stanu i obadwa dosyć posiadali nieszczęsności, aby ze związku małżeńskiego zrobić brudną pieniężną spekulacją.

Stary ogrodnik także nic nie mówił, i wszyscy w milczeniu z założonemi rękoma przypatrywali się dalej płasom i śpiewom dziewczęcym.

Niedługo, gdy śpiewem swoim obeszły wszystkie domostwa, w których się znajdowały dorosłe lub dorastające dziewczęta, rozerwały sformowane koło, i skupiwszy się w jedną gromadkę, zaczęły radzić o dalszym ciągu obrzędu i o swych wiankach, jaki której dany zostanie. I tak radząc nieznacznie rozdzieliły się na dwie części, gotując się wzajemnie do walki na gardła, bo właściwie szło im tylko o to, która strona drugą zdoła przekrzyczyć.

— Słuchaj Jasiu—odezwał się opiekun, zatrzymując się z młodym dziedzicem niedaleko dwóch gromadek dziewczęcych, które z głowami do środka obróconemi, w żywych ruchach cichym szeptem rozmawiały—słuchaj Jasiu, zdaje mi się, że obóz naszych amazonek niezgoda jakaś rozdziela.

— Wuj pułkownik zapewne zapragnąłby ich pogodzić?

— Ha! mój bracie, dlaczego nie? Tylko Małgosi, tobys ty dał lekcją miłości braterskiej.

Dalszą rozmowę przygłuszył śpiew nowo podnoszący się, który osnową swoją oznaczał przymioty dziewcząt, o czém na początku rozdziału powiedzieliśmy:

„Biały Janie!
Przyjeżdżaj do mnie,
Jeśli się chcesz ożenić:
Ja ci żonkę naraję,
Mój biały Janie!”
„Jest tam u Wicków
Nadobna Marysia,
Ma wianek z ruty,
Nikt cnoty u niej nie kupi,
Mój biały Janie!”

Śpiew ten dla każdej dziewczyny także był powtarzany, z tą tylko różnicą, że każdej inny dawano wianek, stosowny do cnót, wad, lub przekory i nieprzyjazni chwilowej. I tak śpiewano:

1. „Ma wianeczek z boży-drzywka,
Najładniejsza we wsi dziwka.”
2. „Ma zapaskę we dwie pole,
Robota ją w ręce kole.”
3. „Ma trzewiczki z żelaza,
Ledwo przez próg przelaza.”
4. „Ma wianeczek z piwonii,
Kawalerzy piją u niej.”
5. „Ma wianeczek z ostu,
Oj, bo dużego wzrostu”.
6. „Cała taka jak pokrzywa,
Z ludzi se tylko wykpiwa.”
7. „Ma wianeczek ze złota,
Bo uboga sierota.”
8. „Ma wianeczek z boży-drzywka,
Najbogatsza we wsi dziwka”
9. „Ma spódnice z falbauami,
Chodzi w zanadrzu z rękami.”

Wianki te co Sobótka bywały inne; niektóre tylko, a szczególnie mówiące o urodzie, lub bogactwie, służyły przez lat parę uprzywilejowanym we wsi dziewczętom, dopóki nowe gwiazdy i urodziwsze i bogatsze nie zajaśniały na horyzoncie wiejskim.

Nie można się dosyć nadziwić dowcipowi młodego pokolenia wieśniaczek i trafnego sądu o wartości moralnej swoich ró-

wiennic; trzebaby bardzo wiele napisać, aby dać jakie takie wyobrażenie tego, cośmy się starali w tych kilku kartkach opowiedzieć.

Widzieliśmy wyżej, iż między przypatrującemi znajdowało się kilku gospodarzy. Byli to już nam znani Ignacy Lach, Jan Federak i Franciszek Patyjak.

I ich także ciekawość z domu wyciągnęła, i oni także, niby nawiasem, powiększyli liczbę zgromadzonych widzów, przeplatając rozmową nieczynne swoje przypatrywanie.

— Mój sąsiedzie—mówił Jan Federak zakładając rękę za szeroki pas, spięty sprzączkami na kamizeli—mój sąsiedzie, powiedzcie mi, po co tu tyle ludzi zeszło się, na przypatrywanie tym młodym latawicom?

— Po co? ot takżeście powiedzieli!—odpowiedział Ignacy Lach, odgarniając siwe włosy na oczy mu spadające—po co? a wy pocście tu przyszli?

— No jużć to prawda, żeta człowiek tak samo głupieje, jak i drudzy; ale to fracha, boć się to nie ma takiego rozumu: ale powiedzcie mi, po kiego licha i dziedzic patrzy i opiekun ze swemi dużemi, nikiěj kot wąsami?

— At, mój sąsiedzie, zwyczajnie tak. Czyżto nie wiecie, że im trzeba zawsze coś nowego?

Federak ładował się nowe uczynić pytanie mądrymu Lachowi, jak go wszyscy we wsi nazywali, gdyż posiadał najwięcej naturalnego rozsądku; lecz przerwał mu trzeci, Franciszek Patyjak, ojciec znanėj nam Maryny.

— Kumie! patrzajcieno, jakto rządca pokorniuško stoi za panami, nikiějby brzucha nie miał z sobą.

— O! bo to mądra Juda—odpowiedział Lach—nie pyszni się ze swoim kałdunem, bo się boi, żeby go dziedzic nie zapytał, na czém mu tak urosł.

— Ale powiedzcie mi mój kumie, kaj on go podział? bo jak się z nami rozgaduje, to mu się sadlisko trzęsie, nikiěj pies, kiedy się z kudłów otrząsa.

— A mój kumie, jużć go musi mieć z sobą; tylko widzicie, on wie dobrze, gdzie się z nim ma pysznić.

I rozśmieli się wszyscy trzej i z dowcipu i z wewnętrznego zadowolenia, że chociaż między sobą, a dokuczyli nienawidzonemu przez siebie rządcy.

Byliby jeszcze dalej drwinkowali, ale niezwykły ruch między kręcącemi się dziewczętami, zwrócił powszechną uwagę.

— Amazonki nasze widzę biorą się do broni—odezwał się stary pułkownik, widząc, że dziewczęta urwawszy śpiewanie, zaczęły najprzód cicho, a potem coraz głośniej sobie przymawiać.

Ruch i wrzawa powiększały się, aż nareszcie wystąpiły na scenę trzy dziewczuchy: Magda, Kaśka i Maryna, i już nie żałując głosu, prowadziły językową bójkę.

Zgoda, która ich dotąd łączyła, rozerwaną została trzecim śpiewem, bo to szło o wianki: o owe wianki, któremi każda partya podług swego widzimisie chciała rozdzielić zgromadzone na Sobótkę dziewoje.

Więc Marynie jedna strona chciała dać wianek z boży-drzewka, jako najbogatszej; inna z piwonii, że niby wódką wabi do siebie kawalerów; gdy Magda znów sama o sobie zaczęła śpiewać, że:

„Ma wianeczek z ostu,
Bo dużego wzrostu”

Inne wrzasnęły:

„Cała taką jak pokrzywa,
Z ludzi se tylko wykpiwa”.

I gdy jedne koniecznie ją chciały mieć ostem, inne znów pokrzywą, więc te o oście, a tamte o pokrzywie ciągle się darły. Aż w końcu obie strony widząc, że sobie nie poradzą, nagle urwały, zostawiając kłótni rozstrzygnięcie podniesionego sporu.

— Ty halegantko kaprawa—wołała Magda podnosząc pięść ściśnioną—co ty będziesz mnie pokrzywą robić?

— Tyś sama kaprawica, wielguśnica!

— Cicho ty mieli-pysku, bo jak cię złapę za kudły, to ci cały łeb wraz do ognia.

— A bo to prawda? wraź, wraź, to pójdiesz na zamek do Sandomierza (1).

— O! zapewne, moja śliczna, za ciebie właśnie? Jeszczeby mi zapłacili za to, żebyś świętej ziemi nie walała swemi łapami.

— Cicho ty pyskowany wielgusie—dołożyła Kaśka—kiedy nie zważasz na nas, to miej se na baczeniu Jaśnie dziedzica.

— I ty tu sikoro piszcząca będziesz z gębą wyjeżdzać? A trzewiki z żelaza czyś już zdarła? czy już nożyska twoje lepiej przez próg przelazą? czyś zapomniała, jakieś nas na nogi dzisiaj rano chylała, żeby ci tylko Felka dać przy Sobótkce?

(1) Tak nazywają więzienie poprawcze w Sandomierzu.

Żarty te, ogólny śmiech wywołały w słuchających dziewczynach, wiele też zaraz z nich namawiało do zgody i do dalszego prowadzenia śpiewu; a ucieszone krotofilną mową Magdy, zaczęły się do niej przyłączać, tak, że prawie samą zostawiwszy Marynę z Kaśką, ujęły się znów za ręce i pobiegły wirem wokoło ogniska.

Tak więc Magda zwyciężyła, i objęła prawie całkowicie ster nad przyszłym śpiewem i tokiem mającego się poprowadzić porządku; co widząc opuszczone od stroniczek swych dwie dziewczyny, jak niepyszne wmieszały się w płasające koło, i niżły hardą swoją dumę przed dyktatorską wolą Magdy.

I znowu nowa pieśń zabrzmiała, najważniejsza, bo łącząca pary w spodziewane lub życzone przyszłe małżeństwa.

„Brzmia wozy, brzmia po bukowinie,
Nasieje ja tatarczki na tej nowinie.
W tej tatarczce któż tam przebywa?
Oj parobczek Janek konie pętywa.
Jagusia jego płoty łamała,
Poglądała niży, wyży, aż go dojrzała.”

Tym porządkiem śpiew przechodził wszystkie dziewczęta, a dzięki kłótni, która tak pomysłny wzięła obrót dla Magdy, parobczaków mieszczono przy tych, jak poprzednio w naradzie swęj ułożyły.

Zapomnieliśmy zupełnie w opowiadaniu naszym o wesołej czwórce, zakrytej cieniem jednej ściany wąwozu, a jednak osnowa śpiewów ich najwięcej dotykała.

Wiedząc o tém dobrze, chcieli wszystko widzieć i słyszeć; a niepostrzeżeni przez nikogo, każdy ruch, każdy śpiew dziewcząt doskonale obserwowali.

— Tomek! Antek!—mówił Walek wskazując palcem na małego Wojtka—patrzta, jak się Wojtek wspina na palce: tak mu pilno z oczami do dziewczuch.

— Ej, jemu tak pilno do Józefa—odezwał się Tomek.—Już dawno frycówki nie dostał, toby rad na nią zarobić.

— Ty jankurniejszy jesteś do takich zarobków—odpowiedział Wojtek—w prowizyi to i nam się dostało.

— Widzisz go, w prowizyi? Cóżto nie darłeś się do ślipiów dworusa, nie ciągnąłeś go za nogi, jak my z Antkiem wedle gardziela zaharowali?

— E, dajta tam pokój takim rozgadkom—odezwał się milczący dotąd Antek—mnie zaraz serce ściska, jak se wspomnę, że się to jakoś tak wszystko dziwnie obróciło.

— Może ci idzie o Małgośkę?

— Małgośka ma teraz innego: już ja se głowy nie zaprzęgam nią, niech ją.....

— Cicho, cicho Antek—rzekł Walek—nie klnij, bo Wojtkowi jakoś oczy na wierzch wylażą, tak dziwno patrzy.

— A ty właśnie swoje, toś w zanadrze schował; chodzisz ty z niemi dobrze za Baską—odpowiedział Wojtek głosem niezadowolenia.

— Albo ja się wypieram? Zapewne zaraz po siewach z wódką do niej poślę.

— A poprosisz nas na wesele?—odezwali się dwaj drudzy, oprócz Wojtka.

— A jakżeby to było? poproszę.

— Słyszysz Wojtek—mówił Tomek—a ty kiedy o weselu i o Małgośce pomyślisz?

— Ale, ale, prawda, gadajno—dolożyli drudzy.

— Ej, nie wykpiwajta, nie wykpiwajta, bo jak złapę kórego, to.....

— A ty nurku, ty lisi synu, że my jak jacy poczciwi obiecujewa ci służyć przy weselu, to ty z odgrózkami wyjeżdżasz. Poczekaj!

Już Tomek zabierał się do wypłatania figla Wojtkowi, gdy odezwanie się Waleka zwróciło wszystkich uwagę.

— Ej, dalibyśta pokój, słuchajta lepiej, bo dziewczuchy o nas zaczynają śpiewać.

I zaraz figlarze umilkli, powyciągali głowy, a mały Wojtek wspiął się aż na palce; i z największą uwagą przysłuchując się śpiewowi, robili nad niemi stosowne uwagi.

— Patrzajta, jakie bestyjniki mądre—odezwał się zeicha Tomek—jakby były między nami. Kiedyśwa o Baśce rozgadywali się, rychtyk ją tobie Walek ofiarowały.

— Ho, ho! wiedzą one to wszystko dobrze i wszystko umieją wyspekulować.

— Cicho, cicho! teraz o wielkiej Magdzie śpiewają.

— Ciekawa rzecz, kogota dla niej wymyślą?

— Albota mało takich dragonów jak ona—odpowiedział Wojtek.

— Ej, nie wydrwiwaj se z niej, bo one może dla śmiechu, to ciebie do niej przyłożą.

— A możeta być: u nich nie kupić tego — dołożył Tomek.

— Cicho, bo już nadchodzi na to: tobyto śmiechu było! Istotnie tak jak ułożyły dziewczęta, tak się i stało: mały Wojtek dostał się daleko od niego wyższej Magdzie.

Jednocześnie dwa chóry śmiechu serdeczne, szczere i głośne jak cała wieczorna zabawa, buchnąwszy od tańczących dziewczyn i ukrytych w wąwozie parobczaków, skrzyżowały się w górze nad ich głowami, i pobiegły daleko, odbijając się echem między licznymi wzgórzami, głosić radość i wesele, jakie tyle serc prostaczych w wieczorze tym napelniały.

Gdy przerwana spokojność powróciła, znowu zabrzmiał śpiew Sobótki i powiększyła się ogólna uwaga.

Wojtek tylko jeden nie podzielał wesołości; lecz w końcu widząc wszystkich śmiejących się, nie mógł wytrzymać, i parsknął całą szczerotą prostego swego serca.

— Słuchaj Tomek—odezwał się Walek—Magda to dziewczuszko mądre: ona wie, że nie ma wiana i nie miałaby sobie za co nawet łóżka kupić, więc wzięła Wojtka, bo bez dzień w butachby chodziła, a na noc wsadzałaby go do jednego z nich, i Wojtekby się wykręcał na wszystkie strony, nikiéj kogut w śmieciach.

— Ej, Walek nie wykpiwaj, bo....

— Cicho ty kusy djable, bo teraz o Tomku śpiewają. — Po maléj chwili, gdy śpiew o nim ukończono, dodał—Widzicie, Tomkowi Jagnę ześratali.

— Obeszłoby się bez tego—odpowiedział obdarowany—ja se-ta wcale nie zaprzątam nią głowy.

— Boś głupi, mój kochany; to dziewczuszko potulne, robotne, rychtyk dla ciebie; z inną jaką skoczną, tobyśta się chyba codzień za łby włóczyli.

— No, tobyśmy się włóczyli.

— Ej głupis, głupis!

— No cicho, cicho chłopcy: usłyszewa teraz, którą Antkowi dadzą.

— Pewno Marynę—dołożył Tomek.

— A, niechta i Marynę; mnie wszystko jedno, czy ta, czy ta.

— Patrzajta, Małgośkę mu dali—zawołał Walek z pewnym rodzajem zadziwienia.

Antek nic na to nie odpowiedział, włożył tylko rękę za kamizelę, postawił nogę na obcasie, i chwiejąc nią na obie strony, patrzył w stronę ogniska.

Jeszcze jakiś czas dziewczęta śpiewały, łącząc w pary młodzież wieśniaczą; niektóre przyjmowały to z widocznym ukontentowaniem, inne z dąsami, gdy nie podług życzenia kawalerem obdarowane zostały; aż nareszcie wyśpiewawszy pieśń o niezdarzonym Felku, jak go wszyscy nazywali i przeznaczonój mu Marynie, ku wielkiemu jój niezadowoleniu w ogólnym wszystkich śmiechu, zamilkły, usuwając się na bok od gorejącego ognia. Znowu mała zgraja chłopaków wybiegła, i skoki i zabawne wypadki, któreśmy opowiedzieli, powtórzyły się, darząc nową uciechą widzów i aktorów starożytnego tego obrzędu.

Na dany znak przez dziedzica ozwały się skrzypki z nieodstępniemi swemi towarzyszami basami, i skoczna nuta sandomierskiego oberka, zapukała nadzieją nowój zabawy młodemu wsi pokoleniu.

Wszystkie nogi zaczęły zaraz w takt potupywać, a śmielsze dziewczęta wpół się ująwszy, zawiodły tany, wirując para za parą po nierównym i twardym ugorze.

Wysunęła się nareszcie z pomroki nocy i cała postać wiejskiego grajka, który z opartą głową na swoim instrumencie, znacząc takt regularnym podnoszeniem nogi, tak rznął od ucha, tak skoczno wygrywał, że mimowolnie wszystko musiało zadrgać wesolością, jaka dobitnie opromieniała twarz młodego wesolucha (1).

Do tego gdy zabrzęczały flaszki napełnione wódką, i kieliszek z rąk do rąk podawany zaczął krążyć między zgromadzonemi, ruch się powiększył i wszystko nowego życia nabrało. Pomału nieznacznie przybliżyli się i znani nam parobcy, opuszczając dotychczasowe swoje schronienie.

Dziedzic ujrzawszy to, coś szepnął rządcy; ten znów częstującemu wódką Józefowi, i żartobliwe grono parobczaków łyknęło po kilka kieliszków kartosflówki, łącząc się z całą gromadką wieśniaczą.

Gdy wódka szafowana szczodrą ręką zaczęła wywierać znany swój skutek, zaraz się ozwały głośne śmiechy, żarty, gwarliwe rozprawy; między któremi odbierając ciągle pokłony przechadzał się dziedzic ze starym pułkownikiem i z panem rządcą, tuż za nimi postępującym.

(1) Tak zowią grających na skrzypcach.

— Zdaje mi się, mój poczciwy Pawelku—rzekł pułkownik zwracając się do rządcy—że tam jeszcze w cieniu widzę jakieś postaci: nieprawda?

— A tak, proszę łaski pana pułkownika—odpowiedział rządcą oddając ukłon unizony z taką zręcznością i wprawą, jakby miał zawiasy w krzyż wprawione—to są, proszę łaski pana, trzej nasi gospodarze.

— A częstowano ich wódką?

— Jeszcze nie, proszę łaski pana, ale zaraz sam pójde.

— Czekał, czekał! Wiész co Jasiu, pójdźmy sanai; dajcieno flaszkę z wódką—i posunęli się obadwa ku stojącym opodal chłopom.

— Cóżto chłopcy—mówił pułkownik do zdejmujących czapki gospodarzy—tutaj tak osobno porabiacie?

— A tak, proszę Jaśnie Pana—odpowiedział Lach zniżając czapkę do saméj ziemi—stojewa i przypatrujewa się tym szaleńcom młodym.

— Oj, tak, tak, mój poczciwy sąsiedzie, wszystko ma swoje porę i wszystkiego za pieniądze dostanie, tylko młodości za nie nie kupisz.

— Oj, mówi Jaśnie Pan, Bóg widzi że prawdę—odezwali się razem wszyscy.

— No, mój poczciwy siwy druchu—mówił opiekun trzymając kieliszek w rękę—bo podobno w latach, to już jedną piosnkę śpiewamy, palniemy razem po kieliszku wódki: daj ci Boże zdrowie!

— Życzę zdrowia dobrego Jaśnie Panu—odpowiedział Lach powtarzając ukłon; i odebrawszy kieliszek, podał go sąsiadowi.

Rozmowa się zaraz ożywiła, gdy spirytusowe krople wytrysnęły rumieńcem na poważnych twarzach wieśniaczych.

— Tyś bracie musiał kiedyś wojskowo służyć?

— Było się, proszę Jaśnie Pana, i dosyć się po świecie nawalało.

— A wachałeś proch?

— A jakże, proszę Jaśnie Pana; wojnę pod Sandomierzem to tak, jak dziś pamiętam; a potem kiedyśmy byli w marszu, tośmy zawsze śpiewywali:

„Sokolnicki w te tropy,
W sandomierskie okopy
Obstąpiwszy dość ściśle,
Wziął wszystkie armaty przy Wiśle”.

— Już więcej proszę Jaśnie Pana nie pamiętam, boła już wszystko z tego starego łba zaczyna pomału wylatywać.

— Tęgiś mój siwy druchu! masz, zapal sobie cygaro—mówił pułkownik podając jedno dziedzicowi, a drugie dawnemu wojakowi, które on z uśmiechem schował do kieszeni—jak ci czas pozwoli, to jutro przyjdź do mnie w południe, pogadamy sobie o dawnych dziejach; a teraz chłopcy posuńcie się z nami, może i my trochę poskaczemy, bo widzę młodzież już na prawdę zaczyna się kręcić.

Istotnie wieśniacza gromadka doskonale hulala, a Walek wzięwszy Baškę, Antek Marynę, Wojtek Małgosię, tak wywijali, takie rznęli hołubce, jakby na najpiękniejszej posadzce, jakby po muzyce najzawołanszjej.

A przecież pod ich nogami rozestaną była tylko nierówna, twarda niwa ugoru, nad głowami świeciło miliony gwiazd; gorząca bylica w ognisku z trzaskiem się paląc, zastępowała oświetlenie naszych salonów, a padająca rosa z przelatującym kiedyniekiedy wietrzykiem, lepiej chłodziły twarzyczki dziewcząt zmęczonych, niż wszystkie wachlarze, lemoniady, orszady lub lody.

O szczęśliwi! i bardzo szczęśliwi, z całą swoją prostotą, i dla naszego oka, do zbytków przyzwyczajonego, z pozorną materialną biedą! Szczęśliwi, a nawet szczęśliwsi od wszystkich, którzy i wykształceniem, i mieniem wyżej nad nich stoją!

Nasz rozum co dzień stwarzając nowe potrzeby, daje zarazem życie nowym żalom, gdy z zawodem przyjdzie stoczyć walkę; ich wykształcenie lepiej im w tym razie służy: każe bowiem poprzestawać na tém, jak było u ich ojca, dziada i jak bywało dawno i bardzo dawno przed niemi.

Dlatego też wieśniak nasz bez żadnej prawie odmiany jakim jest dzisiaj, takim z pewnością był przed dwustu lub trzystu laty, i byłby zupełnie szczęśliwy, gdyby nie chwilowa czasami samowolność, której, z naturalnego rzeczy porządku, zwykle się staje ofiarą.

Ale już wpływ prawdziwej cywilizacji zagląda do serc wszystkich i co chwila pomniejsza się ważność skargi, którąśmy otwarcie objawili.

Pląsy, śpiewy, wesole pokrzyki hu! ha! ani na chwilę nie przerywały się; wszystko hasało, kręciło się wirem szalonym, mącącem nawet głowy obojętnie się przypatrującym.

Już i Federak, i Patyjak, a nawet poważny Ignacy Lach zarzani trunkiem stanęli w szeregu tańczących, co zobaczywszy pułkownik, obrócił się do młodego dziedzica i krzyknął:

— Kiedy mój stary kamrad wyrusza nawet do boju, to musi mu przodować także stary pułkownik: dalej Jasiu! bierz Mał....

W tém miejscu dziedzic szepnął coś do ucha swemu wujowi, ten kiwnął głową, wziął pierwszą spotkaną dziewczynę, i stanął przed siostrzeńcem trzymającym Magdę.

Długi sznur par uformował się za niemi i palnął żwawego oberka.

Za takim przykładem wszystko co żyło zaczęło tańczyć, szaleć; nawet zgraja małych chłopaków nowém kołem zawodziła wesole tany, naśladując piskliwym głosem ochocze pokrzyki: hu! ha! hejze, hejze! wio dalej! umykaj! i t. p.

Z jakim weselem, z jaką radością wszystko się bawiło, tego wam słabe pióro moje nie zdoła opisać; trzeba samemu być i widzieć, aby poznać cały ogień i życie, jakie zwykle rozlane są w zabawach wieśniaczych, gdy sam pan chce, i stara się o to.

Nie wiedzieć jak długo ochocze płąsy byłyby się przedłużały, gdyby nie pierwsze błyski jutrzeńki pokazawszy się wązkim rąbkiem na horyzoncie, nie dały znaku że słońce niedługo wejdzie.

Na to hasło wszyscy przystanęli, skrzypek długim przeciągłym tonem zakończył granie, i całe wieśniacze zgromadzenie w głośnym rozgovorze zaczęło pospieszać do domu. Wieś na chwilę napelniła się gwarem, rozlegając się skrzypieniem zamykanych i otwieranych drzwi od chałup, aż wreszcie i to ucichło, zostawiając zupełne panowanie dla snu i spoczynku, które przed chwilą resztę wsi mieszkańców trzymały oddawna w swoich objęciach.

Tak więc zakończył się wieczór Sobótki, pamiętny tysiącem rozmów, żartów i figłów, jakie w dalszym rozwoju życia wieśniaczego miały się objawić między aktorami odbytej sceny.

POCZĄTKI FILOZOFII KRAJOWEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

A. Tyszyńskiego.

(Ciąg dalszy) (*).

Władze i kategorie.

Widzieliśmy wyżej w treści *Loiki*, jaki jest podział i jakie według autora są nazwiska i przymioty tych władz moralnych, przez które przychodzimy stopniowo do poznania rzeczywistości.

Realność czyli naturę zewnętrzną ogląda, według autora, nasz *zmysł*:—idealność czyli prawa natury, nasz *umysł*;—połączenie zaś realności i idealności czyli rzeczywistość, nasz *mysł*.

Mysł ten, jestto więc władza, która jest podstawą i gruntem całej teorii autora. O istnieniu tej władzy autor pierwszy nas zawiadamia i uczy; władzę tę więc przedewszystkiém zbliżka winniśmy poznać.

Mysł ten, wyznajmy to z góry, nader nietrafnie przez autora użytym został do wykładu systemu rzeczywistości, a to dlatego, iż sam nie istnieje w rzeczywistości.

Autor wprawdzie jak w innych swych pismach, tak i w *Loice*, już tłumaczy go *grammatycznie*, już określa *metafizycznie*; w okre-

(*) Zob. zeszyty Biblioteki Warsz. za m. *styczeń, luty, maj i listopad* z roku zeszłego. Części niniejszego artykułu w ten sposób rozłożone zostały, iż każdy w sobie stanowi oddzielną całość. Część obecna jest rozbiorem zasad autora *Systemu loiki krajowej*, uważanego jako reprezentanta teorii w początkach naszej filozofii krajowej.

śleniach tych jednak ani wskazuje w języku, ani przynosi do języka rzetelnego wyrazu.

Pojęcia materyjalne istotnie nabywane są przez człowieka zmysłem (zmysłami), zaś idealne umysłem. Te pojęcia są nader różnej natury, mają jednak punkt jeden wyjścia i punkt spólny zejścia w gruncie naszego pojęcia. Ta spólność, która istnieje idealnie, autor Loiki dostrzegł, że w owych wyrazach naszych istnieje téż i realnie; równie bowiem w wyrazie *umysłu* jak *zmysłu* istnieje dźwięk *mysłu*; wniósł więc: iż władzą wspólną i która jest źródłem obu, jestto jakowyś nasz *mysł*.

To jest wzgląd grammatyczny.

Dźwięk ten *mysł* w wyrazach *umysł* i *zmysł*, czémże jednak istotnie jest grammatycznie?

Mysł w wyrazach *umysł* i *zmysł* niczém inném nie jest grammatycznie, jak tym wyrazem, *mysł*.

Dla znających przemiany i składy w języku naszym wyrazów i głosek, wiadome są te dwa w nim, między innemi, prawa zewnętrzne, które do odcieniania znaczeń wyrazów są środkiem: przybieranie przez pierwotne wyrazy krótkie, do swego początku przyimków, już mających, już nawet niemających z siebie znaczenia (jako *u*, *z*, *za*, *wy*, *roz*, *prze*, *po*, *na*, *o*, *ob*, *od*, *pod* i t. p. i formowanie w ten sposób szeregu wyrazów pochodnych, jak np. *odchód*, *wchód*, *wschód*, *zachód*, *przechód*, *rozchód*, *dochód*, *nachód*, *podchód*, *wychód*, i t. p.); i powtóre: zamienianie końcowych głosek twardych na odpowiednie miękkie, i miękkich na twarde (jako np. *nić*, *nitka*, *noga*, *nodze*, *geśl*, *gusła*, *paśl*, *paśli*, i t. p.), obok przestrzegania w tych zmianach innych lingwistycznych przymiotów, jak harmonii, jasności i t. p.

Wyraz nasz *mysł* właśnie jest jednym z tych, który daje nam szereg wyrazów pochodnych przez przybieranie przyimków do swego początku, pozostając jednak bez zmiany, dałby nam szereg wyrazów z brzmieniem dwuznaczném; ratując więc przymiot jasności, głoski końcowe *śl*, zamienia na odpowiadające im *śl*, i otrzymujemy w ten sposób wyrazy: *przemysł*, *zamysł*, *namysł*, *wymysł*, *zmysł*, *umysł*, *pomysł* i t. p., które wszystkie są tylko modyfikacją wyrazu *mysł* (1).

(1) Jasność, to jest chronienie się dwuznaczności, jestto przymiot, który język nasz w odmianach grammatycznych głównie przestrzega, a to nawet z poświęceniem nieraz foremności (jak np. gdy mówimy na *ręku*, zam.

Że w wyrazach tych dźwięk *mysł* jest żywym wyrazem *inysł*, dowodzą też tego dobitnie dalsze ich grammatyczne odmiany, jak np.: gdy od *zmysł*, *umysł*, *wymysł*, kształcimy czasowniki *zmyślić*, *umyślić*, *wymyślić*, i t. p. i objaśniają to wreszcie odpowiednie t. j. jednoznaczne z nimi wyrazy innych dyalektów słowiańskich, gdzie już znika złudzenie głosek; jak np. wyraz w narzeczu rosyjskiem odpowiedni wyrazowi *wymysł*, *wyдумка*, ukazujący w nim wyraźnie pierwiastek *dumat'* czyli *myślić*. Układ naszych wyrazów: *umysł* i *zmysł* rzeczywiście loicznym jest i loiczniejszym nawet niż w innych językach; pierwiastkiem ich jednak nie jest jakowyś *mysł*, ale względ na to: iż jeden z nich oznacza władzę, która jest *u*, a drugi która jest *zewnątrz myśli* (1).

Wyraz *mysł* nie istnieje więc wcale w naszym języku grammatycznie, nie znał go dotąd żaden słownik, pisarz, i jest śnąc całkiem przeciwny duchowi języka w swém oderwaniu; nikt bowiem, nawet ze stronników i naśladowców autora Loiki, nie przyjął go za własny (2).

Jakież jednak według autora jest znaczenie wewnętrzne tego wyrazu? Władza ta może tylko nie istnieć w słownikach naszych, lecz istnieje w nas?

Określając w *Systemie loiki* znaczenie wewnętrzne swego wyrazu *mysł*, autor mówi między innymi:

na ręce; tą razą, zam. tym *razem* (uderzeniem) i t. p.; wymawiając *zmysł*, *wymysł pomysł* i t. p. nie wiedzielibyśmy czy się wyrażamy rzeczownie, czy rozkazując.

(1) Autor *Systemu umnictwa* czyli filozofii umysłowej, twierdzi: iż wyraz *umysł* znaczy połączenie *umu* i *myśli* czyli wyobraźni i rozumu II. 229. Autor *Filoz. i Kryt.* przyznaje więc także, iż *mysł* w wyrazie *umysł* jest to *mysł*. Przyznawanie jednak zarazem w tym wyrazie pierwiastku *um*, jest tylko skutkiem złudzenia;—zbliżenie głosek *u* i *m* jest tu tylko przygodnym, powstającym z przyjęcia przyrostku *u*; twierdzenie więc, iż *umysł* jest połączeniem wyrazów *um*, i *mysł* nie może mieć więcej zasady, jak gdybyśmy twierdzili np., że wyraz *przemysł* jest połączeniem wyrazów *przemoc* i *mysł*, albo *pomysł* wyrazów *pomoc* i *mysł*. Sam owszem autor *Filoz. Kryt.* o tym wyrazie *pomysł*, w *Systemacie umnictwa* tak się wyraża: „*Po-mysł*, jak to wykazuje wybornie znaczenie tego wyrazu, jest *synem myśli*.” IV. 162.

(2) Jeden z młodych naszych pisarzy zamierzywszy na zasadzie *Systemu krajowej loiki*, dać system krajowej estetyki, użył też w ogłoszonym *Fragmencie* i wyrazu *mysł*; lecz wyraziwszy go parę razy, dalej używa wszędzie wyrazu *twórczość*. Autor *Systemu umnic.* potwierdził także wyraz *mysł*; sam jednak nigdzie go w swém piśmie nie użył.

„*Mysł jest ojcem, pierwiastkiem i źródłem* tak zmysłu, jak umysłu; właściwie nie ma ani zmysłu, ani umysłu, ale *mysł* tylko, a to raz zewnętrzny, drugi raz wewnętrzny, trzeci raz jądrowy czyli właściwy“. *Mysł* jest tu, jak widzimy, źródłem i ojcem zmysłu, oraz umysłu. Czyniąc to określenie autor Loiki, miał oczywiście przed sobą wyobrażenie *ducha*.

W innym znowu miejscu téjże Loiki tak się wyraża:

„*Mysł* będąc jedną *rozumu* (to jest władzy widzącej jedynie realność) i *umysłu* (władzy widzącej idealność) obejmuje wszystko, co do tych władz należy: jest więc *zmysłem, wyobraźnią, pamięcią, rozumem, umem, rozsądkiem i umysłem*; jest on oprócz tego *uwagą* i *rozważą*, bo te są nim samym, ale na niższym stopniu rozwikłania“.

Wyraz, któryby dopuszczał wyobrażenia tak liczne i różnorodne jest jeden tylko w naszym języku, a tym jest *mysł*.

W innym wreszcie miejscu zwróciwszy autor uwagę, iż rozum nasz tworzy *pojęcia*, umysł *sądy*, a *mysł objęcia* (acromata, Inbegriffe), w których stapiają się, według autora: wrażenia, wyobrażenia, przypomnienia, *pojęcia*, ideały, zdania, idee, postrzeżenia i zdjęcia, mówi: „*Mysł* nasz ma wszystkie wiedniki do działalności i samodzielności, należące swemi omówcami, i stanowi w nas, oraz wygląda za nami: *całość, wszech-obecność, pojedynczość, wolność, rzeczywistość, kojarzenie, rozświat, istotę, miotowość, mac, dlasobistość*“ (to jest wszystkie wypadkowe momenta loicznych kategetoryj).

Jakież znowu wyobrażenie miał tu przed sobą autor, dając to określenie utworzonego przez siebie, a przeto tak powolnego na wszelkie opisy wyrazu? *Mysł* ten, widzieliśmy, iż określonym był z razu jako *źródło* myśli, dalej jako *mysł* sama; tu zaś widzimy, iż oznacza moment *ukształconego myślenia*. Moment ukształconego myślenia, i lud mówiący i pisarze piszący językiem naszym nazywali i zowią *rozumem*, *Mysł* autora w przytoczonym dopiero opisie, jest to więc nic innego, jak tylko, mówiąc właściwie — *rozum*.

Wyobrażenie swe *mysłu* wyjaśnia téż jeszcze autor przez oznaczenie składających go władz.

Jakże go odznaczają? i jakież to jest w ogóle nomenklatura i charakterystyka wskazanych i określonych przez autora władz naszego poznania?

Rozumowi, który, jak to widzieliśmy już w treści *Loiki*, jest głównym narzędziem *zmysłu* i ogląda jedynie stronę zmysłową rzeczy, towarzyszą, według autora, *pamięć* i *wyobraźnia*.

Władzą, którą poznaje *umysł* jest *rozsądek*, a towarzyszą mu *um* i *sąd*.

Władze zaś wreszcie, przez które poznaje i widzi rzeczywistość nasz *mysł*, sąto: *uwaga* i *rozważa*.

Mogąż nam co wyjaśnić, i czego nauczyć, tak rozstawione i tak ponazywane przez autora władze naszego poznania?

Rozum, ta władza oznaczająca w rozumieniu *powszechném* szczyt ukształcenia umysłowego w człowieku, jest tylko, według autora, rodzajem *zmysłu*, i może jedynie poznawać rzeczy zmysłowe.

Rosądek, ten przymiot, według rozumienia *powszechnego*, średniego ukształcenia myślenia, przymiot właściwy wszelkiej ludzkiej (byle nieobłąkanéj) myśli, według autora przeciwnie, jest przymiotem o tyle wyższym nad *rozum*, o ile jest świat idealny nad materyalny (1).

Pamięć i *wyobraźnia*, to także według autora odcienia *zmysłów* (!).

Wyobraźnia i *um* (2) (*fantazya*) nie są to, według autora, władze jednéj natury, jednego celu. *Umysł* ludzki, według téjże dyalektyki autora, nie może być nazwany, czyli stać się nigdy *rozumem*.

A owe: *uwaga* i *rozważa*, władze stanowiące według autora właściwość i mające nam przeto najbliżej wyjaśnić naturę *mysłu*, o który tu głównie nam idzie, w rzeczywistości czémże są?

(1) W języku rzeczywistości, wyobrażenie, jakie przywiązujemy do wyrażenia człowiek *rozumny*, zamyka już w sobie i wyobrażenie *rozsądku*; przeciwnie, człowiek *rozsądny* może być jeszcze dalekim od ukształcenia naukowego.

(2) Wyraz *um*, równie jak *mysł* nie jest i nie był nigdy używanym u nas przez lud i pisarzy; wyraz ten jednak ma być w niektórych narzeczach słowiańskich, ztąd téż w ostatnich czasach przyjętym był łącznie przez kilku pisarzy do wykładu naukowego w znaczeniu *fantazji* (na wzór Czechów). *Um* w narzeczech *cerkiewném*, *rossyjskiém* i innych oznacza *ukształcone pojęcie*, i w tém znaczeniu (jako pierwiastek) zachowanym téż został w niektórych wyrazach i naszego języka, jak np. w wyrazach: *umieć*, *umiejętność*, *rozum* i t. p.; używanie więc tegoż *um* za *fantazją*, *umniczy*, *umnictwo*, za *artystyczny*, *artystyczność*, *fantazyjność* i t. p. nie pozyska u nas, wnieść można, nigdy *powszechnego* przyjęcia i nie stanie się zrozumiałym dla kraju.

Uwaga jestto władza moralna, właściwa, już nie mówimy człowiekowi każdemu, skoro jest tylko człowiekiem, lecz nawet większej części najmniej nawet moralnie uposażonych zwierząt.

Rozwaga wśród składu *mysli*, oznacza nie pewien stopień już określony, lecz tylko gałąź, która może mieć jeszcze rozliczne stopnie i przejścia; człowiek *najrozważniejszy* wiele jeszcze potrzebować może, iżby był nazwany *rozumnym*.

Władze takie jakże nam mogą wyjaśnić naturę myślu autora? Gradacya, którą zwyczaj *powszechny* wyrył w języku naszym dla odznaczenia stopni moralnych, jest, idąc od dołu do góry, taka: uwaga, rozwaga, rozsądek, rozum. Autor Loiki w oznaczeniu swych władz poznania, gradacyi téj użył na wywrót, i dwa najniższe przymioty, za cechy główne i szczególne swéj najwyższej władzy poczytał.

Nazwanie i oznaczenie w ten sposób przez autora Loiki władz naszych poznania, z samego założenia już, jak widzimy, nie wprowadza nas, i prowadzić nie może do systemu *rzeczywistości*.

Dla wyrażenia dwóch tak przeciwnych pierwiastków, jakimi są *duch* i *myśl*, dwóch czy trzech różnych momentów tegoż pierwiastku (to jest *rozumu* i *czystej myśli*, *uwagi* i *rozwagi* i t. p.); autor użył wyrazu przez siebie utworzonego *myśl*, który nie istnieje w składzie języka naszego grammatycznie, a jako zbiór wyobrażeń sprzecznych, nie może być w swojej naturze i uosobieniu pojętym metafizycznie.

Dla wyjaśnienia zaś znaczenia tego wyrazu, jak w ogóle procederu wszystkich władz naszych moralnych, łączących się do zdobycia poznania, autor użył szczególnego wśród drogi *rozjaśnienia* środka, gdyż *zaciemnienia*.

Krzywić i plątać znaczenie wyrazów krajowych, wnosząc je do wykładu naukowego, jestto nietylko zaciemniać wykład swój własny, badany przedmiot, lecz owszem, jestto, ledwiebyśmy nie rzekli, zbrodnią krajową. Kraj, lud, ma już pewien stopień nauki, zawarty w swoim języku, w znajomości wyrazów tego języka. Wznosić stopień téj znajomości, jestto rzeczywiście posuwać jego naukę, lecz *brać gotowe wyrazy z ust ludu*, i wnosząc je do wykładu naukowego, *znaczenie ich zmieniać i mieszać*, nie jestto wznosić, lecz jestto *pozbawiać go tego nawet stopnia nauki, jaką już posiadał*. Każdy lud wyrazami swego języka nietylko porozumiewa się wzajem, lecz téż pisane ma księgi (i, jak u nas np., od czasów dawnych); pomieszać mu znaczenie wyrazów, jestto

nietylko zaćmieć i skrzywić środek porozumiewania się codziennego, lecz też znaczenie wszystkich dotychczasowych w jego języku ksiąg (1).

Autor *Loiki* w którémś miejscu téj książki, mówiąc: „łącz fantazyą z filozofią” dodaje: „nawet w kraju filozofii przyjemnym być może *bal maskowy*”; bal ten przyjemnym być może, istotnie, jeżeli jednak gdzie, tedy zapewne głównie w kraju filozofii, a zwłaszcza w filozofii rzeczywistości, przyjemność i jój uluda za niewzruszoną podstawę prawdy nie mogą być przyjmowane. Na zasadzie jednak tych środków, tak oznaczonych władz, autor *Loiki* przystąpił do wykładu momentów kształcącego się poznania naszego, czyli swych *kategorij*.

Uważaliśmy już, że system swój tłumaczenia historyi myśli od jój poczęcia się, do dojścia do punktu swój prawdy, autor tém głównie od niemieckich odróżnił, iż *przedmiot* i jego odcienia za twierdzenia w *loice* uznał.

Za pierwszą więc kategorią loiczną, czyli twierdzącą (poznawaną *rozumem*) uznaną przez autora została *prawda* czyli *natura*, a tym odpowiada w człowieku *ciało* i *wiara*.

(1) *Rozum*, według autora, jestto główna władza zmysłności; gdyby więc uczeń i wyznawca zasad autora czytał np. Psalmi pokutne, a w nich ten werset: „nie bądźcie jako koń i muł, które nie mają *rozumu*”, wnieśćby mniął, iż wola było Ducha bożego, iżbyśmy się więcej jeszcze od zwierząt oddawali zmysłności. Jakoż i autor sam idąc za swą dyalektyką twierdzi nieraz, iż mniemać, że „możemy poznać Boga rozumem, jest głupstwem” (poznać go bowiem, według autora, możemy tylko *mystem*), „iż wierzyć, że dusza ludzka jest nieśmiertelną jest szaleństwem”, przez duszę bowiem autor w dyalektyce swój rozumie myśl, a to, co język nasz nazywa *duszą*, autor nazywa *jaźni* i t. p.—Dodajmy tu, iż to dobrowolne zmienianie i krzywienie znaczenia wyrazów krajowych przy wnoszeniu ich do dyalektyki, nie jednemu tylko autorowi *Loiki* jest dziś u nas właściwem. Autor np. którego ze względu na umiejętność wyrażania językiem krajowym wszelkich odcieni myśli filozoficznej, moglibyśmy zkadinać nazwać książęciem filozoficznego języka naszego, autor „*Fenomenologii* i *Loiki*” zdaje się owszem w dyalektyce swój, szukać nawet niekiedy chłudy z owych skrzywień. „Pojęcie (mówi np. w *Loice*) jest połączeniem *istnienia* i *istoty*, tu więc (dodaje) poznajemy różnicę pojęcia wziętego w znaczeniu loicznym, od pojęcia *zwykle* tak uważanego w życiu potocznem.” § 86.—„Pamiętajmy atoll, mówi w inném miejscu, w rzeczy o duszy, że jak wszędzie tak i tu, nie przywiązujemy do wyrazu *dusza* *zwyczajnego znaczenia*.” § 178. „Twierdzić iż Bóg ma *istnienie* (mówi także) jestto orzeczenie nietylko niegodne wyobrażenia o Bogu, ale niegodne wysłającego człowieka.” § 190, (*istnienie* bowiem, według autora, jest dopiero pierwszym momentem kategory-

Za kategorią drugą przeczącą (poznawaną umysłem) *wiedza i duch*, czyli w odniesieniu do człowieka: *nauka i dusza*. Za trzecią wreszcie, kojarzącą dwie pierwsze (a poznawaną myślem) *poznanie* czyli *rzeczywistość*, w człowieku *jaźń, filozofia* (1).

Tak ułożony wzorzec rozwijania się myśli, zdaniem autora jest przeciwieństwem i jest udoskonaleniem dyalektyki (a ztąd i systemu) Hegla; zdaniem jednak naszym jest tylko naśladowaniem, i ztąd téż źródłem, wcale nie do poznania rzeczywistości, wiodącej metody.

Za pierwszy moment poznania, to jest myśli naszej drogie do rzeczywistego poznania przebywającej, autor położył *prawdę* czyli *naturę* w sobie. Uczeń jednak systemu, któryby sądził, iż autor przez moment ten rzeczywiście rozumiał przyrodę w sobie, to jest przyrodę niedotykaną jeszcze naszą wiedzą, pojęciem, my-

cznym). Autor *Filoz. i Kryt.* idąc za wyobrażeniem idealistów (o którym jednak począwszy od Arystotelesa wziankowali i materyaliści) twierdzi, iż *materya* nie istnieje (to jest iż to, co rozumiemy przez materią nie jest to żaden szczególny przedmiot, lecz sąto *siły natury*); a zatem że „*materya jest myślą.*” III. 64. Twierdzenie to autor nieraz powtarza, i w swym *Systemacie umnicstwa* do rozjaśnienia natury rzeczy, używa. Żaden wyraz nie ma przez się bezwzględne znaczenia, ale ma takie, jakie mu człowiek nadał; człowiek siły, własności natury zewnętrznej, nazwał materią, jeśli zatem mówimy o inném wyobrażeniu, tedy winniśmy i nowego użyć wyrazu; ale jeśli mówimy o znaném wyobrażeniu, tedy w miejsce wyrazu *materya* na to tylko nowożybyśmy stworzyli, aby gdy go lud upowszechni, przez dyalektykę wytracono go kiedyś znown. Tyle jeszcze potrzebujemy wyjaśnień, dlaczegoż więc nawet to, co przez ogólne porozumienie się jasnym już nam przecie się stało, mamy przed sobą zaciemniać?

Zbliżyliśmy tu z umysłu te kilka dyalektycznych zбочeń naszych pisarzy znakomitszych, i dlatego właśnie, że znakomitszych. Dni nasze są właśnie dniami pierwszego ukazywania się i kształcenia się filozofii krajowej, obowiązkiem więc, zdaniem naszym jest: tém pilniej strzedz się, i czas jeszcze jest strzedz się, *izby nie z ziaren fałszu powstały dalej rośliny.*— O ile to krzywienie wyrazów potocznych ludu będzie u nas powszechném, o tyle przeszkodą się stanie do postępu i zakwitnięcia u nas filozofii rzeczywistości.

(1) Wzorzec autora Loiki jest więc następny:

prawda	wiedza	poznanie
ciało	dusza	jaźń
wiara	nauka	filozofia
natura	duch	rzeczywistość

liłby się. To, co nie jest dotykane pojęciem, jest zewnątrz pojęcia, co zaś jest zewnątrz pojęcia, nie może być jeszcze częścią loiki (1). Jakże przypuszczać, rozróżniać kategorie tego momentu (byt, nicność, żywostan, bożostan) bez spółdziałania myśli, pojęcia? Jakoż za władzę reprezentującą loicznie ten moment uznał sam autor *rozum*, (to jest myśl czystą). Ta więc *natura w sobie*, ta *prawda* autora Loiki, jest nic innego w gruncie, jak *przedmiot* Hegla.

Podmiot według autora jest jednym z odcieni *stosunku* za kategorią wiedzy uważanego (2); wszystkie jednak i kategorie i podkategorie (błamy i wiedzniki) tego momentu, są dopiero momentem *oczekiwania*, dążenia myśli, do połączenia się z momentem pierwszym (przedmiotem) w stopniu rzeczywistości: cały przeto ten moment *wiedzy* autora Loiki, nic innego nie jest w gruncie, jak *podmiot* Hegla.

Tak więc w ogólnym pomysle systemu, jak i w pomysle loiki, autor za drogę *rzeczywistości* uznał nie dodanie jakiegoś nowego rzeczywistego momentu, ale tylko *odwrócenie momentów*.

Uznanie podmiotu za przedmiot a przedmiotu za podmiot, czyli zamienienie ich miejsc, stało się istotnie w wykładzie źródłem odwrócenia kolei tych kategorii, lecz nie zdobyło więcej prawdy ani w przedstawieniu rozwijania się myśli (poznania), ani w wypadkach. Metoda troistych momentów, czyli rozróżnianie momentów zatrzymania się myśli w podmiocie, przedmiocie i zlanu, jest tylko złudzeniem loicznem. Ta gwałtowna dyssekcja myśli wyłożona w systemacie Hegla, a poparta talentem wykładu, powagą głosu, została wzięta za prawdę i nieomylną; lecz w istocie tkwiła tylko w wyobrażeniu twórcy systematu, a przynajmniej tak twierdził, że tkwiła. Iż dwa pierwsze momenta w tej troistości, rozbite na oddzielności, są tylko złudzeniem; dowodem tego jest najprzód każdego *sąd prosty* (który wiedząc, iż przez *myśl* rozumiemy właśnie jakieś *wyobrażenie o czémś*, wie, iż bez wyobrażenia o czémś (przedmiotu) nie ma wcale myśli; i dowodem dla autora Loiki winna być sama ta jego loika. Loika ta uskutecznia wykład

(1) Zład też nader zgodniej z systemem rzeczywistości, autor *Wykładu systematycznego filozofii*, Fenomenologią (czyli przyrodę w sobie) położył dopiero za wstęp do loiki.

(2) Według określenia autora wyrażonego w Loice „podmiotowość jest nicestwem podciągniętym pod wiedzę o stosunku i jest drugą polowicą jednowdrogłości.”

momentów wprost odwrotnie od loiki Hegla; wykład jednak jednój jak drugiej z tymże pozornym szykiem i z tymże, w odniesieniu do rzeczywistości, stopniem prawdopodobieństwa, dał się wykonać. Przejęcie drogi stało się w książce autora i przeniesieniem charakterystyki jej. Układ i wykład następstw formuł i kategorii w loice Hegla, zaprzeczyć nie można, iżby nie był harmonijnie zgodnym z założeniem ogólnym; lecz nie można zaprzeczyć i temu, iż przeprowadzenie to całe jest biegiem równie dowolnym, jak założenie. Loika Hegla jak w ogóle filozofia niemiecka, wszystkie jej części, (wyptyw, praktycznie, potrzeby rozciągania kursów rocznych na oddzielne gałęzie zbyt rozdrobnionych) z pozoru dały nam rozbiór, i dały nam obraz odcieni myśli człowieka do swych krańców doprowadzonój; w gruncie jednak, charakterystyka téj filozofii odbiła tylko, że tak rzecz można, charakterystykę modlitwy pogan, treść jej stała się polem i biegiem wielomówności i próżnomówności, i pod hasłem gromienia i potępiania *szkolności* (scholastycyzmu), apoteozą jej.

Moment wypadkowy loiczny, poznanie, z założenia miał być w loice autora połączeniem świadectwa *zmysłów* i świadectwa *myśli*, jakoby *uczucia* i *rozumu*; dyalektycznie jednak, jak to już uważaliśmy, stał się tylko złączeniem *rozumu* (myśli o naturę odbitej) i *rozsądku* (myśli w jej oderwaniu). Moment ten zatem nazwiskiem tylko i niepoczytaniem go za *ducha*, różnym stał się od *idei bezwzględnej* Hegla, w istocie zaś skład jego loiczny jest jeden i tenże. Skład ten o ile jest blizkim wypadkowi poprzedniej loiki, o tyle (wypada to już z samych zarysów owego *prostego* sądu (1), o którym rzekliśmy) oddalonym być musi od wykładu *rzeczywistości*. Autor Loiki ma całą idealność w sobie za fałsz, i całą *realność*

(1) Powiedzieliśmy jeszcze zapewne zamało za metodą *prostosci* sądu, i nie mamy tu (z zadania rozprawy) prawa dłużej objaśniać się; gdy jednak do téj metody tu i zawsze odwołujemy się, przytoczmy jeszcze przynajmniej wzgląd, głównie w każdej nauce rozstrzygający, wzgląd historyczny. Ta prostosc sądu w ogóle, czémże jest najprzód w swém odniesieniu do szczegółów?—Ta prostosc w odniesieniu do drobnieni i szczegółów, jestto przedstawianie prawd na skalę wzroku *każdego*, czyli praktyczność. Pośród ludzi i dziejów jakaż metoda zdolną była podawać i przechowywać najskuteczniej prawdy moralne? Mamy już przed sobą świat *dawny* i dosyć jest spojrzeć. Weźmy np. najgłówniejszą z tych prawd, znajomość Boga.—Znajomość i nauka o Bogu wśród ziemi stworzonej, powstała nie w głowach roślin lub zwierząt, a wśród ludzi, nie w sercach i głowach głupich, lecz mędrców; jakiż był jednak skutek za wieku starożytnego nauki téj? Jeżeli

w sobie za fałsz, a dopiero ich połączenie za rzeczywistość; my przeciwnie i *realność* i *idealność* mamy w sobie za rzeczywistość. Zarówno więc przewód momentów, jak i ich dyalektyczny wypadek w *Systemie loiki* autora nie mogą być uznane jako zgodne z drogą rzeczywistości; stąd też i wykład prawd w takich ramach nie mógł stać się wykładem prawd *rzeczywistych*. By to uznać, dosyć jest nawet spojrzeć na wzorzec autora, który przytoczyliśmy, a który wskazuje kategorie praktyczne odpowiadające kategoriom autora teoretycznym. Duch i dusze uznane tu zostały za jakąś oddzielność od *prawdy* (momentu 1go), jakąś *przeczącą* jej *nikłość*. Z tą cechą przedstawione są: wszelka *wiedza*, *umiejętność*, *nauka*; *pożranie* podane za moment całkiem innej natury jak *wiedza*, *filozofia*, za jakąś różność od *prawdy*, *wiedzy*, *nauki*, i t. p.

Miłośnik teoretycznie prawdy, autor *Systemu loiki*, wyrzucił wprawdzie zarazem w przewodzie tym, i masę postępnych twierdzeń, cząstkowych prawd, dał i rozwinął istotnie nowy przed nami dyalektyczny system, a obfitością i szczegółowością swych

np. śród Grecy filozof Plato w długim swym dialogu o *spólnym rzeczy po-
czątku* przekonywał i uczył, że jest Bóg *jeden*; Bóg *duch*, idea ideów; jeżeli u Rzymian Cycero wymownie wykazywał w traktatach też bytność i twierdził np. „że Bóg jest kołem, którego środek jest wszędzie, a okrąg nigdzie”, jeżeli kapłani indyjscy określając tę najwyższą Istność (Bramę najwyższego) wołali z istotną wzmożłością: „Ten, który sądzi, iż go nie zna, ten go zna; ten zaś, który sądzi, iż go zna, ten go nie zna. On uważany jest jako niepojęty przez tych, którzy go znają, i jako zupełnie znany przez tych, którzy nie znają go wcale” (*Sama Veda*). Te i tym podobne twierdzenia miały zapewne swą stronę prawdy, ale zostawały przy tych, którzy je wyrażali, nie zapobiegając lub nie odwołując innych od bałwochwalstwa. Ale kiedy prorok Hebrajski nauczając lud swój na puszcy, zwrócił myśl jego do jego *dziejów*, bytu dziennego, praktyki, i wskazując na tę *Sitę ukrytą*, lecz *wszehmocną i kochającą*, która go wiodła: kazał mu przypominać ją codzien, mówiąc: „Jam jest Pan Bóg twój, którym cię wywiódł z ziemi Egipskiej, z domu niewoli”,—ta nauka, mimo subtelność treści, przy prostości wyrazu stała się jasną, i nauka o Bogu *jednym*, o Bogu *duchu*, pomimo twardość czasów, rozwinęła się i przetrwała śród tego ludu, jednego między wszystkimi, do czasów nowych.—Jak naukę o Bogu, tak i o stosunku człowieka do Boga, czyli o *obowiązkach* człowieka, *cnotach*, *zawodzie* życia i t. p. gdy inne ludy w traktatach racjonalnych, inne w hymnach, poematach a oderwanych obrazach, określały; *Biblia i Ewangelia* opowiedziały i przedstawiły ją w *czynach*, *żywych* przykładach, a *dziejach*. Jeżeli filozofia *materyalna* wieków nowych odpowiada filozofii i religii ksiąg dawnych chińskich; filozofia *spekulacyjna* tak się ma do (mającą dopiero być) *rzeczywistą*, jak księgi pierwotnej religii Indyan, do ksiąg starego i nowego przymierza.

terminów, określeń i podokreśleń, podziałów, poddziałów i podpoddziałów, zawstydził nawet w tym swym wykładzie bogactwo loik niemieckich; czyniąc wszakże ten wykład słowami, których rzeczywiste znaczenie z góry pokrzywione zostało, podając nam jako środki, narzędzia które nie istną, wychodząc z założeń dowolnych, autor wyrzucił też w swym wywodzie równą masę i fałszów cząstkowych jak prawd, tak, iż oceniając tę jego książkę jedynie pod względem wykładu *władz i kategorii* rzeczy można, iż autor w swym Systemacie loiki nazwanej krajową (1) dał nam raczej system zamętu jak *loiki*.

Kriterium.

Wartość i żywotność teorii sprawdza wreszcie i wykazuje najlepiej (jak powtarzamy to zawsze) zwrot jęj do praktyki. Zwrotem tym do praktyki, czyli ostatecznym wypadkiem w loice autora, nauczającej o *historii poznania*, jest oznaczenie cechy, po której moglibyśmy ocenić i uznać, iż jest już rzeczywistém filozofijném, dane poznanie; lub słowem, oznaczenie *kriterium*, czyli jak autor nazywa *sprawdzianu poznania*.

To oznaczenie *kriterium* poznania rzeczywistego, istotnie ma swoje stanowcze znaczenie systematyczne; jak bowiem z jednej strony jest ostatecznym wpływem loiki, tak dalej zasadą i źródłem sposobu jęj stosowania do wypadkowych rozwić, jako *religii, form społeczności, obyczajów, całości życia* i t. p. Szukaniem i oznaczeniem tego *kriterium*, zajmowano się, jako wiadomo, od czasów starożytności; uznawano zaś za nie już doświadczenie, już zgodność z *wiarą*, już *jasność*, już *zmysł wewnętrzny*, już *vox populi*, już *przyrównanie* i t. p.

Autor Systemu loiki krajowej, w oznaczeniu swego kriterium czyli sprawdzianu, wyszedł naturalnie z zasad swęj loiki. Opierając się on najprzód na naturze określonych przez siebie władz moralnych, uznał: iż sprawdzian ten leżć nie może ani w naszym *zmyśle*, ani *umyśle*, ale jest w *myśle*; że zatem nie może być ani w *doświadczeniu*, ani w *myśleniu*, ale jest w *przeświadczeniu*. Przeświadczenie to jednak znajduje się, to jest może być

(1) Autor rozprawy *O stosunku bezpośr. filoz. do religii i cywil. naszej*, mówiąc o tych teoriach, które autor (o którym mówimy) przed wydaniem jeszcze swęj *Loiki* narodowemi nazwał, słusznie uczynił uwagę: iż narodowém nazywać się może tylko to, co się z przyzuania narodu wyciąga, nie zaś to, co się narodowi narzuca.

w nas, także w różnych momentach. Autor zwrócił uwagę na *kojarzący* i doszedł, że przeświadczenie to, wtedy jest dopiero sprawdzianem, kiedyśmy przyszli do niego po przebyciu dwóch poprzednich momentów, to jest kiedyśmy przyszli do niego *sami*, przez *samodzielność*. Na dojście to, autor z tryumfem wskazuje w *Loice*, i dając w końcu wyraźne określenie swego sprawdzianu poznania, tak mówi: „Długo starały się ludy o odkrycie i oznaczenie sprawdzianu poznania, ale daremnie. Za ten sprawdzian miano *powagę* (kościół), *przyznanie powszechne* (*consensus gentium*) *analogią* i t. p.; my dopiero bez trudu znaleźliśmy go: jednym i najpewniejszym sprawdzianem poznania jest *samodzielność*.” „Jażń moja nie przychodzi do poznania prawdy i wiedzy samój, skoro nie prawdę i wiedzę samą, ale obcy filozoficzny system lub kościelną dogmatykę robi swym przedmiotem i zapuszcza się w nią. Tu poznaje li obcy filozoficzny system lub kościelną dogmatykę nie zaś prawdę i wiedzę samą, a mówiąc, iż poznaje prawdę i wiedzę samą, biorę *quiproquo* i jestem w błędzie.” „Za sąd prawdziwy ręczy ci bezpośrednia pewność zmysłu, umysłu i myśłu twego. Przekonywam się bezpośrednio mym zmysłem o prawdzie i naturze; bezpośrednio mym umysłem o prawdzie i duchu; bezpośrednio mym myśłem o prawdach dotyczących się Boga. Precz więc z *consensus gentium*, *prawdopodobieństwem*, z wszelką *obcą powagą*; — mamy sprawdzian poznania we własnej jaźni.”

Gdybyśmy nie czytali sami, wyznajemy, iż nie wierzylibyśmy, aby autor, jeśli nie *rzeczywistego*, tedy jednak z wielu względów tak loicznie przeprowadzonego systemu, mógł wyrazić w oznaczaniu kryterium, tak niedopuszczające żadnych loicznych następstw twierdzenie.

Samodzielność, zdaniem autora, zdobywa, daje nam prawdę. Samodzielność to wychodzenie z siebie, nie naśladowność. Byli już na długo przed nami twórcy nauk i dojść, a choćbyśmy twierdzić mieli, że wszyscy byli naśladowcami aż do pierwszego, tedy wyjąć jednak musimy pierwszego, bo jeśli twierdzę o kimś że jest naśladowcą, tedy uznawać też muszę że jest czymś. Ów pierwotny wzór lub pierwowzorzec byłato *samodzielność*, *samodzielności*, a jako *samodzielności*, zdaniem samego autora, zdobyli prawdę. Jeśli tedy zdobytą już była przed nami prawda taka lub inna, była już, jest dla nas, gotowa *powaga*, taka lub inna. Odrzucając wszelką *powagę* jako kryterium, potępił też razem autor i swe kryterium. Odrzucając bowiem *powagę* dlatego, że jest *powagą*,

to jest iż jest, obcą, iż jest wczorajszą, zapisał wyrok śmierci własnym twierdzeniem, które i dla każdego są obce i jutro już wczorajszymi się staną.

Jak *powagi*, tak nieloicznem jest i potępienie *consensus gentium* obok uznawania za kriterium samodzielności. Ogół ludzi jest rządzonym, i jest żywionym *różnością* nauk, różnością wpływów; jeśli tedy przeciw tym wpływom zewnętrznym, władzom różności, stawia przeciwnie uznanie jakiegóż *jedności*: jestto skutek oparcia się wpływom przez czerpanie z jednego *tlu* pierwotnego, czyli skutek *samodzielności*. Autor raz uznawszy za kriterium *samodzielność* czyli przyznanie samodzielne jednostki, nie powinien był zaprzeczać cechy kriterium *consensus gentium*, które jest *samodzielnością jednostek*.

Teorya tu więc autora, nawet jako teorya, jest w sobie sprzeczną; lecz wchodzimy w proste rozumienie zasad autora. Autor lękał się, iżby za kriterium prawdy nie był uznanym katechizm czyli powaga kościelna (1); czuł, iż z nauką jego nie zgodzi się nigdy *consensus gentium*, chciał zaś najwyżej postawić przekonanie swe własne i pochlebnie: przekonanie każdego własne, za przekonanie filozoficzne uznał; jakieżby jednak praktycznie być musiał stan prawdy w tak urządzonej państwie autora?

Lud, dzieci, piękna pleć, całe słowem pokolenie noworodzące, w kraju autora nie mogłyby słuchać, przyjmować żadnej prawdy, nauki, przepisu; przyjmując bowiem powagę (przeciwność, według autora, samodzielności, czyli przeciwność prawdzie) nie postępowałyby w prawdzie. Autor kraj swoich uczniów

(1) Za bezwzględne kriterium prawdy istotnie nie może być filozoficznie uznaną powaga wiary w ogóle, czyli jak się wyrażają niektórzy (zasadzając kriterium na drogości wspomnień) „wiara ojców”. Tyle na ziemi jest wiar, i z tylu odmiennymi wyobrażeniami żyje ojców. Sam kościół katolicki chrześcijański (którego powagi głównie zdaje się lękać autor) nie uznaje tego kriterium; jedną z cech tego kościoła od czasów pierwotnych, jest owszem, jako wiadomo: ciągłość *missyi*; celem zaś *missyi* jest właśnie odwracanie od wiary ojców. Wprawdzie jeśliby wiara, którą wyznawali ojcowie nasi, była właśnie tą, która jest z prawdy, (a o tém mamy się wnet niżej wyrazić otwarcie i jasno), podwójnie musieliby nam być drogiemi i ta wiara i nasi ojcowie, i byłaby (ta wiara) wtedy kriterium; lecz powtarzamy: wiara ojców nie jest *absolutnem* kriterium. Zaś według autora Loiki, lub ściśle idąc za jego *teoryą* uznać należy, że owe kriterium prawdy ma (jako wypływ pierwotnie samodzielności) wiara *każda*; lub idąc za wyraźnem jego wyznaniem: nie ma go *żadna*.

uważa oczywiście jako utopią, to jest jako kraj, w którym odrazu przychodzi na świat ród mężów, samodzielność w sobie zbudzić mogących; przypuszczamy na chwilę ten kraj (to jest staramy się go uosobić wśród społeczności), w kraju tym cóżby uznanem być mogło za prawdę?

W kraju tym, mówiąc krótko, samodzielność jednostki stałaby przeciw samodzielności drugiej jednostki, przeciwność przeciw przeciwności, i cechą moralnego biegu w nim stałby się chaos.

Przed *rozważa* w tym kraju: wiek przeszły z całą obfitością swych zdobyc, swych faktów, stałby się jako *przygodność, odierwanie*, i bajka; pracą wieku byłoby postawienie siebie w takimże do następnych stosunku.

W kraju tym, słowem, pod względem o którym mówimy, głównie, to jest poznania prawdy, celem byłby: bieg do *różności* nie do jedności; hasłem: brak prawdy ogólnej, nieuznawania teraz i potem żadnej, dopóki są ludzie.

Mówiąc to jednak o skutku, jakiby wydać musiało uważanie samodzielności jako kryterium, ostrzegamy, iż nie powstajemy bynajmniej przeciw samodzielności jako samodzielności.—Naśladownictwo, rząd fałszów, jestto co *powściąga* praktycznie głównie: rozwicie moralnych gałęzi w życiu ludzkości, a środkiem przeciwko temu właśnie jest samodzielność. Samodzielność to środek nader pożądany w drodze tych rozwic, w sferze sztuki, nauki, samych dociekań prawdy i t. p. Ztąd też powoływanie przez autora Loiki tak w loice tej, jako i w innych pismach do samodzielności, jest i wdzięczności godne i jest żywotne; lecz żywotne do stopnia, w którym tę samodzielność uważa jako *środek* i *przymiot*, nie jak *kryterium* (1). Pomieszanie wyrazów i wyobrażeń *kryterium* i *przymiot*, stało się źródłem błędu autora w oznaczeniu *kryterium* i wszelkich ztąd następstw; stało się źródłem

(1) W Pedagogice np. wyrażając autor swą bojaźń, iżby wychowywany młodzieniec nie ograniczył swęj missyi stopniem poprzedniego poznania, mówi do mistrza: „Tylko nie wezwyczajaj wychowanka do powiierzania zdań i sądów twoich, albowiem nie małpę swoją, nie obraz i podobieństwo siebie samego, ale oryginalne bóstwo masz wychować. O! nie wkładaj świeżemu, prosto z nieba wywedrowanemu, silnemu duchowi pęta na jego lotne skrzydła, bo on może tę pęta raz na zawsze zatrzymać, i z orła przemienić się w sruśta; zrobisz go orangutanem zbrojnym w miecz

skutku: iż zamiast pociągania, wielu do odstąpienia od przymiotu samodzielności powiodł. Istotnie bowiem, jeżeli wśród fałszów, myśl nasza może się samodzielnie wzruszać i w kierunku iść prawdy, może podobnie wzruszać się wśród tego kierunku i iść ku fałszom. *Inna więc jest twierdzić: iż samodzielność to przymiot; a inna, iż jest kryterium.* Inna jest wznosić i samodzielnie rozwijać poznanie w drodze przejętej prawdy, w ramach tej prawdy; a inna: iż mamy co chwila na nowo zaczynać drogę z odrzuceniem i wszelkiej prawdy i wszelkich ram.

Uznawanie samodzielności za *sprawdzian*, jestto przenoszenie miłości własnej (co też zowie się *pychą*) nad prostotę, siebie nad świat i ludzkość, i słowem: *myśli* nad *duch*. Jakoż jestto kryterium filozofii *myśli* (nie filozofii rzeczywistości);—to znalezienie sprawdzianu poznania we własnej *jaźni*, jest już znanym (i rozwijanym) w filozofii niemieckiej od czasów *Kanta*, gdy uznała z nim, iż kryterium materyalne nie istnieje, i że obecność w myśli *subjektu* (*jaźni*) jest jedynym warunkiem kryterium subiektywnego.—Kryterium to jest też kryterium, powstałego z tej filozofii protestantyzmu racjonalnego.

Wypadki.

Sprawdzeniem mylnego, to jest: z drogą *rzeczywistości* niezgodnego oznaczenia przez autora Loiki władz i kategorii, stało się zdobyte przez nie *kryterium*; sprawdzeniem zaś mylności tego kryterium, są znowu otrzymane przez nie wypadki.

Jakieżto są te wypadki autora, to jest: stosowanie jego teoryj do gałęzi praktycznych rozwicia, jako: *religii, sztuki, stosunków społecznych, krytyki, obyczajów* i t. p., stosowanie, które (z góry to uprzedzamy) jest wszakże właściwie nie zwrotem teoryj do praktyki, lecz tylko teoryj do teoryj owych gałęzi. Wskazujemy je po kolei.

Cherubina". Jestto piękne i silne powoływanie do ufności w swe siły moralne, pokoleń młodych, lecz i tu widny już system, to jest branie samodzielności nie tylko za przymiot, lecz i kryterium, stawianie wychowanka w odosobnieniu od przeszłości i od przyszłości. Owe bóstwo autora, które wzrosłszy dalej na mistrza, ma strzedz się, iżby nie tworzyło podobnych sobie, gdyż potworzy orangutanów, jestto istotnie jakoweś *oryginalne* bóstwo.

Religia. Rzeczywistość rozpoznaje nasz *mysł*; i w religii więc, jak i we wszystkiem, rzeczywistość rozpoznaje nasz *mysł*, a wspiera go (to jest okazuje obecność jego) samodzielność.

Mysł nasz widzi *wiarę* i *kościół*, ale (jak to już uważaliśmy w treści) odrzuca je, jestto bowiem uznanie *zmysłu*, moment samego twierdzenia; zna ateizm, ale potępia go, jestto bowiem dziecko *umysłu* czyli nikłego przeczenia; *mysł* zlewa te dwa momenta, a dopiero to kojarzenie czyli zlanie, daje nam *filozoficzne poznanie* w sferze religii.

Poznanie filozoficzne w religii czegoż dochodzi? czyli, religia filozoficzna czegoż się trzyma?

Podstawą religii filozoficznej, czyli rozumienia filozofijnego w danej religii, jest rozumienie jęj pierwotnych ksiąg. Te księgi (przypominamy, iż powtarzamy naukę autora), nie sąto jednak skutki natchnienia jakiegoś *ducha* i *objawienia*. To, co zwane jest objawieniem, jestto tylko *filozoficzne poznanie* śród danej chwili. Człowiek, który objawia w ten sposób (poznaje i głosi) prawdy, mające wpłynąć na dobro rzetelne ludzi, tworzy *religią* i jest zwanym, a zwanym jest słusznice, wysłańcem Bożym. Twórcą wszelkiej religii jest równym wysłańcem. Jego księga, prawem jego wyznawców. Dla nas chrześcian prawem jest ewangelia. Księgę tę zna rzeczywistość ten, kto ją zna *samodzielnie*. Najlepszą hermeneutyką (kommentatorką) pisma św. jest filozofia, a najlepszym teologiem filozof.—Jakim stopniem podstawy w religii mogą być księgi święte i jakie jest do ich rozumienia kriterium?— o tém powiemy wnet niżej w przejściu do żywiołu *praktyki* (rozbioru *Moalitiwy*); tu wskazujemy tylko, jak zastosowanie kriterium autora do teorii religii, jest tylko bezowocności jego sprawdzeniem.

Trzy są rzecz można skale roztwieranego pojęcia ludzkiego w rozwadze rzeczy. Piérwsze widzi jedynie chwilę, wychodzi z chwili: byłoto, jak widzieliśmy, stanowisko sądu *materyalnego*. Drugie wznosi się i sięga do granic czasu, zawodu ziemi: jestto stanowisko i zakres ostatniej filozofii *spekulacyjnej*. Ale jest jeszcze stanowisko trzecie, stanowisko wynoszące pojęcie za wyobrażenie i kresy czasu, za początek i koniec ziemi (obecnych rzeczy); a stanowisko to, które winno być stanowiskiem filozofii *rzeczywistości* (jak bowiem chwila i czas, tak téż trwanie i wieczność rzeczywistością są), jest téż właśnie i stanowiskiem widzenia *religijnego*. Autor Systemu loiki znajduje, iż wszelka dziś

istnąca religia, jest dobrą *dlatego, iż istnieje dzisiaj*, nie wynosi się więc oczywiście myślą do czasu, kiedy jeszcze nie istniała żadna z tych religij, i nie łączy owego czasu z dzisiejszym, jak dzisiejszego z przyszłym; stanowisko autora nie dochodzi zatem w swym sądzie nawet do spekulacyjnego stanowiska. Autor nadto, jak to widzieliśmy, nie rozróżnił pierwiastków ludzkich według rzeczywistości, i nie według rzeczywistości uczynił rozdział momentów logicznych; nie rozróżnił np. *myśli* od *ducha*, sferę myśli i ducha za przeczenie i nikłość poczytał; w sądzie zaś o religii (nauce ducha) najpierwszym warunkiem być musi jasne wyobrażenie o duchu.

Grunt więc z którego sam autor Loiki do oceny istoty religii wyszedł, jest, jak widzimy, całkiem przeciwny temu, z którego wychodzi religia; to ocenie jednak mieści, według autora, kryterium prawdy, źródłem bowiem jego jest samodzielność.

Takiem jest pojęcie autora; w innym znowu kierunku lub stopniu kształcić się i rozwijać mogą samodzielnie inne pojęcia.

Autor, który najlepszą hermeneutykę widzi w swym własnym sądzie, doszedł w rozprawie swój o *religii* i twierdzi np. iż lubo karty ewangelii są prawdą, ale podstawą nauki ewangelijnej jest tylko *poznanie filozoficzne*, nie *objawienie* (1), iż ostatnie karty

(1) Poznanie idące z *objawienia* tém jest różne od *poznania filozoficznego*, iż jest skutkiem natchnienia *ducha*, nie dojścia *myśli*. Sam autor w wyrażonej rozprawie kartom pisma św. przyznaje żywioł prorocki, gdy mówi: „Biblią zrozumiesz należycie dopiero w wigilią sądu ostatecznego”. Lecz twierdzenia proroków biblii, które lub już się sprawdziły, albo sprawdzają się, nie wszystkie sprawdziły się tak, jak je sam prorok pojmował. To najprzód wiedząc, pisze apostoł *Piotr* w liście 2m dając regułę w pojmowaniu pisma św. „iż każde pismo prorockie nie dzieje się wykładem własnym (2 *Piotr. 1. 20*)”. Jakoż prorok hebrajski prorokował np. o wielkim *wodzu*, o swoich *królach*, o *swojej ziemi*, a to *królestwo*, ta *władza*, ten los miały się zjawić, i sprawdzać w duchowym i ludzkości kierunku. W prorocत्वach swych mieścił nawet niekiedy i szczegóły *drobne* o przyszłym Zbawcy (1). I w nauce ewangelicznej, to co jest głó-

(1) W księgach owych czytamy np. „I ty Bethlehem Ephrata, malutkiś jest między tysiącami ludzkimi, z ciebie mi wynidzie który będzie panującym w Izraelu, a wyście jego od początku odedni wieczności.” *Micheasz V. 2—5*. „a po tygodniów sześćdziesiąt i dwu będzie zabity Chrystus, a miasto i świątynię skazi lud z wodzem, który przyjdzie.” *Daniel IX. 25—26*. I odważyli zapłatę moję 30 *srébrników*. I rzekł Pan do mnie: „Porzuć to do garn-carza, piękną zapłatę którąm jest od nich oszacowan.” *Zachar. XI*. „Ofiarowan jest iż sam chciał, jako owca na zabicie wiedzion będzie, a jako baranek przed strzygnącym go zamil-knie, a nie otworzy ust swoich. . . . ze złośnikami jest policzon, a za przestępce modlił się.” *Izaj. L. III. i t. p.*

tęj księgi są allegoryą i t. p. Lecz oto inne społeczne autorowi samodzielności doszły: iż owszem wszystkie karty ewangelii są allegoryą; inne, że ewangelie są pismem nie ewangelistów, lecz ludzi, którzy nie byli ewangelistami; inne znowu np. (że zejdziemy niżej i bliżej pod słuchując i powtarzając twierdzenia samodzielnie niekiedy rozumujących naszych kmiotków), iż bytność i Jezusa Chrystusa i wszelkich świętych wymyślił tylko ksiądz proboszcz dla brania dziesięcin. Te i tym podobne twierdzenia nie mogą być z prawdy, a to dla tej prostej przyczyny, iż są wbrew sobie przeciwne, są jednak opatrzone wszystkie, według autora, w owe kryterium prawdy. W rozprawie swęj utrzymuje to autor jawnie: iż to, co rozumieć należy o stosunku jednej religii do drugiej, to jest: iż dobra jest każda, to też rozumieć należy o stosunku odcieni pojmowań (sekt), w jednej i tejże religii, to jest, iż dobre są wszystkie; iż to, co się rozumie o sektach, rozumieć też należy o sądach oddzielnych śród jednej i tejże sekty, to jest, iż dobry jest wszelki; owszem tém lepszy, im samodzielniejszy, to jest dalszy od widzenia i sądu sektotwórcy; wnosi więc, iż w rzeczy rozważania religii dobre jest zdanie *każde*, a zatem co jedno jest—*żadne*.

Te dojścia i te wypadki nie mogą więc nam *rzeczywiście* wzbogacać w niczem naszego poznania religijnego.

Sztuka. Sztuka jestto uosobiona praktyczność; filozofia (jak to było przynajmniej dotąd) uosobiona teoretyczność; ztąd też, jak to już gdzieindziej uważaliśmy, sąd o sztuce był zawsze kamieniem obrazu dla spekulacji. Im umysł filozofa danego jest więcej dyalektycznym, tém też do pojmowania sztuki mniej zdol-

wną jej treścią, nie jestto *nauka* miłości (ta bowiem z lekkim odcieniem była spólną wielu poprzednim), ale zapowiedzenie przybliżenia się królestwa Bożego. Hasłem pierwszych apostołów opowiadających naukę ewangelijną było głównie i prawie jedynie: „odpuszczenie grzechów i żywot wieczny”. Te głoszenia nie mogły wypłynąć z *dojścia*, tém więcej, gdy, jak to powiadamy, *niekiedy od samych swych głosicieli rozumiane nie były*. Te głoszenia (usprawiedliwione dalej następstwem) były więc nie *dociečeniem*, lecz *objawieniem*, skutkiem nie *myśli*, lecz *ducha*. Autor Łoiki w swém piśmku *Demonomania*, dopuszcza wprawdzie możność działania ducha niezależnie od myśli, ale dodaje, iż stan taki (jak w lunatykach, jasnowidzących i t. p.) jest chorobliwym, a więc zbyt niższym od działania zdrowej myśli człowieka. Twierdzić tak, jestto jednak prawie to samo, jak gdybyśmy twierdzić chcieli, że ludzka *myśl* jest *szalenstwem*, a to dlatego, iż niekiedy przez usta obłąkanych szalenstwa prawi.

nym. System autora Loiki jest głównie dyalektycznym, ztąd też i w pismach jego zwroty do sztuki zbyt rzadkie, a gdzie są, tam są i pozostają wyłącznie dyalektyką.

Wzmiankę o sądzie sztuki znajdujemy np. w *Pedagogice*. Autor dając tu wykład treści ogółu nauk, czyni też między innymi i zwrot do nauki o *piękném* czyli estetyki, i tak ją objaśnia:

„Trzy są części estetyki:

Przedmiotowa (to jest dotykająca zewnętrzności sztuki), jak snycerstwo, malarstwo, śpiew, deklamacya, styl i t. p.

Podmiotowa (dotykająca wewnętrzności), a ta dzieli się na *klassycyzm*, *romantycyzm* i połączenie obu (*patrycizm*, zapewne od wyrazu *patria*); i wreszcie:

Miotowa, będąca połączeniem zewnętrzności i wewnętrzności. Szczyt tej poezji miotowej: epiczność, polega według autora na malowaniu przeszłości, szczególnie bohaterkiej; a tu, dodaje, należą:

1) *Robinsonada* (?) przedstawia przeszłość junacką i awanturniczą; jej wzory: *Odyseja*, *Eneida*, *Donkiszot*, *Wallenrod* (!), *Grażyna* (!), *Marya* (!), *Sfinxy*, *Centaury*, *Syreny*, *Piramidy*, *Obeliski*, *Labirynty*, *letnie pałace bogaczy*, *altany*, *kioski* i t. p.

2) *Kerneryzm*, przedstawia przeszłość ciemną z mocami poza światem, z potępięciami i upiorami walczącą (ballady, legendy, w muzyce Wolny strzelec, Flet zaczarowany i t. p.); nakoniec:

3) *Epopėja*, przedstawia przeszłość prawdziwie rycerską, (*Iliada*, *Jerozolima*, *Ossian*), i t. p.

Ile tu twierdzeń, tyle moglibyśmy wskazać dowodów braku uczucia sztuki. Wskażemy na jeden. Niedawny a znany w kraju poemat w literaturze naszej *Konrad* tak się ma, zdaniem autora, do *Iliady*, jak *Robinsonada* do *Epopėi* rzetelnej. Zbyt szczuplejszy jest objętością i zbyt świeższy głośnością nasz poemat; jeżeli jednak mamy go kłaść za wzór, (jak to uczynił sam autor) i wprowadzać w porównanie z *Iliadą*, musimy przyznać, iż tak się ma do *epopei* Homera, jak nowy wiek do starego, chrześcijaństwo do pogaństwa. Ideą treści *Iliady* było poświęcenie wszystkich dla siebie (gniew Achillesa), w *Konradzie* siebie dla wszystkich; poetyczność *Iliady* była jedynie w machinie, w *Konradzie* w odcieniach uczuć, przenośniach, poetyczności wierszy szczególnych i t. p. Różnicę tę czyliż nam wyklada wyraz *Robinsonada*? Gdzie jest, dodajmy, owa położona za treść miotowości rycerskość i przeszłość, w altanach, letnich pałacach? i t. p.; gdzie

jest patryczność w Jerozolimie? i t. p. Podział ten cały jest oczywiście tylko dyalektyczną zabawką autora.

Krytyka. Sąd, ten żywioł głównie żywotny, w każdej gałęzi rozwić moralnych obecny, którego uosobienie w naukę byłoby wszystkich nauk złączeniem, którego posunięcie i zmiana posuwa i zmienia wiek; sąd ten i jego uosobienie, *krytyka*, uznane zostały przez autora Systemu loiki nie za krytykę, ale jakąś gałąź moralną, której wzbronione być winny: *rozum, uczucie sztuki, poznanie filozoficzne* i t. p. „Jako krytyk, mówi autor w *Myślini*, stoisz na polu literatury pod chorągwią *rozsądku*, a pojęciami twojemi są sądy. Jeżeli te sądy zmieszasz z pojęciami *rozumowemi, umowemi, umysłowemi*, będziesz w błędzie i okazesz się nędznym krytykiem”. Jeżeli według autora poznanie *filozoficzne* jest nietylko *wiedzą*, lecz też i złączeniem świadectw *zmysłów, rozumu*, całością; tedy krytyka, której zadaniem jest kierować do tego poznania, oceniać je, jakoż tém bardziej może nie być ową całością? Jeżeli nią nie będzie i od owego *poznania* będzie niższą, tedy właśnie będzie złą krytyką, lub raczej: będzie czémś inném, nie krytyką. Ta *krytyka* jestto w sobie *nauka, wiedza*; *wiedza* zaś to dopiéro według autora kategoria loiczna druga, córka umysłu, przeczenie; kategoria, która dopiéro nas przeprowadza do poznania filozoficznego, ale sama niém nie jest. Autor więc zapisując ów swój wyrok o krytyce, nie myślał ani o *istocie*, ani o *powodzie*, ani o *celu* krytyki, a tylko o *dyalektyce* swój.

Spoleczność. Autor ogłaszał po kilkakroć, lecz zawsze odmiennie rozumowania i wnioski swe co do urządzeń społecznych; na zmianę tę wpływało to, co uważaliśmy już, iż jest źródłem sądu autora—chwila i jój powaga. W każdym razie, powodem tak fałszów cząstkowych, jako i zmian był też brak w podstawie żywiołu, który jeżeli gdzie, tedy w tego rodzaju wnioskach, jest nieodbitym, tojest: miłości rzetelnój.

Cnota. Jak prawie każdy filozof, tak równie i autor Loiki podaje za obowiązek cnotę. Spółpracownik nadto okresu, który podaje za swe zadanie: zwrot do praktyki, autor owszem to powołanie do cnoty powtarza częściej niż wielu; nie zapomina o niém nawet w wykładzie swoich kategorii i podkategorij loicznych, śród subtelności dyalektycznych. W *Systemie loiki* np. w tych słowach regułę do wykonywania w życiu przepisuje i po kilkakroć do jój treści wraca: „Tak żyj, abyś nigdy i niczém bóztwa

swój piersi nie splamił. Tak działaj, jak Bóg-człowiek, to jest, nie wahaj się ponieść śmierci za prawdę, piękność i cnotę; nie lękaj się śmierci, bo jaźń twoja, to bóstwo z niebios, umrzeć nie może“.

Jestto zapewne piękny przepis, jakkolwiek nie nowy dla czytelników chrześcian. Autor radzi i nakazuje poświęcać się za *prawdę, piękność i cnotę*; czémże są jednak ta prawda, ta piękność i ta cnota według autora?

Widzieliśmy właśnie, iż z teorii i pism autora nie dowiadujemy się, co jest prawda, i nie dowiadujemy się, co jest piękność, nie dowiadujemy się równie i co jest cnota.

Kriterium cnoty, według autora Loiki, leży w *samodzielności* jednostki; samodzielności jednostek tyle jest, ile jednostek: tyle więc jest i różnych cnót. Według samodzielności szczególnych, uznanem być może za cnotę nawet *przywłaszczenie* rzeczy, *sam rozbój* (np. dla konieczności utrzymania siebie, rodziny i t. p.); samodzielności te jeśli pójdą za przepisem autora, będą więc miały za obowiązek kłaść nawet życie swoje za tę cnotę.

W prostocie sądu nie mniemamy, iżby autor dopuszczał równe następstwa; nie zaprzeczy nam jednak, iż miłując w oderwanych teoriach, i przy zwrocie nawet do praktyki zatrzymując się w nich, wiedzie nieraz naukę swoją ledwo nie bezpośrednio do równych następstw.

Wskażemy tu tylko na jeden przykład z dzieła, które z celu swojego bezpośrednio jest poświęconem praktyce czyli uczynkom codziennym—*Pedagogiki*.

Zwróciwszy w niem autor uwagę, iż *wiara* nasza wtędy dopięro staje się w nas rzetelną i niewzruszoną, kiedy przez moment *przeczenia przejdzie do kojarzenia*; dodaje: każdy z nas ma ów żywioł przeczenia, tłumić go, jestto tłumić naturę; należy więc raczej dozwalać, aby rozwinął się rychléj i przebył swą fazę; „należy wychowawcowi pozwolić, mówi autor, aby raczej swego kacerskiego ducha rozwikłał; niech najprzód będzie sceptykiem i w wierze i w nauce i obyczajach: takie przejście i takie jedynie może w końcu doprowadzić duch jego do kojarzenia i postawić jego poznanie w momencie filozoficznym“. Autor rozkazuje mistrzowi, aby wychowawcowi swemu dozwolił być na *chwilę* kacérzem, rozpustnikiem, nieukiem i t. p., nie udziela jednak mocy mistrzowi oznaczenia następnie kresu owéj chwili. Na stu uczniach puszczonej w ten sposób na przebywanie momentów

filozoficznych, czyli zaręczy autor, iż znajdzie się, nie mówimy dziewięćdziesięciu dziewięciu, ale przynajmniej jeden, któryby się zatrzymał na *chwile* w biegu przeczącym i doszedł do kojarzącego momentu? Za światłość kiedyś niepewną, autor tu za obowiązek podaje ciemność pewną. Nie może policzyć mistrz dni dozwolonych pobujań swojego ucznia, i owszem nie może nawet policzyć dni ucznia. Uczeń ten czyliż nie może w dni kilka po zaczętej fazie przeczenia zakończyć życia, i tym sposobem (mówiąc nawet słowami dyalektyki samego autora) wejść *głupcem* do żywota wiecznego?

Nie określa więc autor jasno, i owszem określił jawnie fałszywie: co ma być obowiązkiem, regułą dzienną życia, a przeto cnotą. Teorya jego w tym zwrocie jest wprawdzie jak i gdzieindziej, zgodną z teorią jego zasad loicznych; lecz przez to samo, jest też ich niedostateczności nowém sprawdzeniem.

Takie są w głównych punktach wypadki, do których doszedł autor Systemu loiki, i charakterystyka ich.

Zatrzymaliśmy się tu dłużej tak nad treścią ogólną tych wypadków, jako też nad teorią, która je wydała, gdyż, jak rzekliśmy, autor jój jest dotąd głównym reprezentantem u nas teorii, gdyż tę teorią rozwinął, gdyż (dodać tu wreszcie winniśmy) pod względem pomysłów dyalektycznych, pod względem wykładu, autor Loiki ma cechy pierwszego rzędu pisarza. System i wykład autora Loiki mieszczą nawet niezaprzeczenie i cechy postępane w ogólnej drodze dociekań; a za cechy te, będące tak w samym *Systemie loiki*, jako też w ogóle pism jój autora, co do nas, następane poczytujemy:

1. Nieprzyznanie ostatecznej nieomyślności systemom spekulacyjnym i szukanie systemu nowego *rzeczywistości*.

2. Uznawanie i wyznawanie teoretyczne, oprócz prawdy myśli, i prawdy materji.

3. Uznanie za istotne *poznanie* połączenia *uczucia* i *wiedzy* (co chociaż, jako widzieliśmy, nie zostało uskutecznoném w rozwinięciu, lecz jest postępane już przez samo wskazanie drogi w *założeniu*).

4. Mimo główne tło dyalektyki, mienie zawsze na względzie *stosowań* w budowie teorii; i lubo jeszcze nie dochodzenie, chęć dochodzenia do stosowania. Loiczne autora formuły (jako np. *treść, forma, istota; stnienie, istnienie, istnostnienie* i t. p.) nie

sąto już tak oderwane, i zatrzymane wyłącznie wśród sfery myśli, jak loik niemieckich; zład też i wypadkowa potrójność, potrójność najwyższa (Trójca) w systemie autora mniej już jest samą formułą, jak Trójca niemiecka (1).

5. Wykład zewnętrzny; cechami postępnymi którego są: *siła*, *ozdobność* (wkraczające nieraz w kraj poezji, czyli *fantazji filozoficznej*, moment postępny przeciw *pamięci* spekulacyjnej); i wreszcie, a nadewszystko *jasność* (2), jasność tak dyalektyki, czyli rozkładu loicznego w wywodach, jako też i pojedynczych wyrażen.

(1) Według wykładu w *Vorstudien*: Trójcę Bożą składają: *Bóg-natura*, *Bóg-duch* i *Bóg-duch-natura*, czyli *Bóg-człowiek* (*Natur-Gott*, *Geist Gott*, i *Erscheinungs-Gott*). Natura tu mówi: „mnie to nazywał Chrystus Bogiem Ojcem. Prawa jej: mnie to nazywał Chrystus Bogiem-Duchem i t. d. Wykład ten wprawdzie zbyt oddycha napozór przyrodobóstwem, w istocie jednak, autor i *naturę* i *ducha* pojmuje tu raczej jako w Bogu istnące, niż Bogiem będące, i twierdzi: iż Bóg może istnieć *bez światła*, iż był przed światem, przeciwko czemu wystąpił właśnie w *Systemie umniectwa* autora Filozofii i krytyki. W każdym razie ta Trójca autora Loiki więcej już nam przedstawia istotę żywą, *Ducha żywego*,⁵ jak *przedmiotpodmiot*.

(2) Niektórzy filozofowie *jasność* nawet za kryterium ogólne prawdziwości zdania uważać chcieli; *jasność* zdania dowodzi bowiem w części istotnie iż autor je z prostotą przed sobą pojął, iż jest zgodne z pojęciem ogólnym. Autor Systemu loiki mówiąc w niej o tym przymiocie, robi uwagę: „można przedmiot najgłębszy plastycznie przedstawić i dla chłopca szkolnego uczynić zrozumiałym, a pedant stylistyczny zrobi najłatwiejszą rzecz niesłychanie trudną. W Heglu nie wszystko jest równie głębokie jak trudne”. Podnosząc zaś określenie jasności do wykładu dyalektycznego swój loiki (według której gruntem jest nie *przedmiotowość* ani *podmiotowość*, ale *miotowość*) tak uczy o tym (tak często pomiatanym) przymiocie: „*przedmiotowa* jasność poznania, do której dzielny empiryk dochodzi, i którą się pyszni, jest z natury rzeczy podmiotową ciemnością poznania, bo nie ma w niej czystej myśli, tej jedynej jasności dla podmiotowego ducha. *Podmiotowa* jasność poznania, z którą dzielny matematyk np. Fichte lub Hegel występuje, jest znowu przedmiotową poznania ciemnością, bo nie ma w niej śladu realności, tej jedynej gwiazdy widocznej dla przedmiotowego zmysłu. Dwie te jasności są przeto równie jasnością jak ciemnością, są bytem i niestwem w jasności poznania *rzeczywistej*, jasnością istotną w rozdarłości swych połowie, dwójeą pochurną. Jasność poznania nie powinna być ani li przedmiotową, ani li podmiotową, ale jedną i drugą społem” (to jest miotową). „*Jasność miotowa* jest w sobie samą *widocznością* (*Angenschein*), a pod piórem gieniuszu staje się *przejrzyistością* (*Helligkeit*). Nie w wyczerpaniu zewnętrznych, spólrzędnych, rozkładniczych i świadczą-

Te cechy, i tym podobne, uważamy za cechy postępane w systemie i wykładzie autora *Systemu loiki*; to jednak (powtarzamy) co autor sam za postęp w swój filozofii uważa, jest właśnie jej brakiem. Za postęp w swój filozofii autor Loiki uważa swą dyalektykę; a dyalektyka ta jakkolwiek jest górującą, jest też cechą głównie szkodzącą jego wykładowi *rzeczywistości*. Dyalektyka ta jest nietylko ogniwem, filozofią jego z filozofią niemiecką wiążącym, ale też na ujemnym jej gruncie zatrzymującym. Dyalektyka ta sprawiła, iż autor swój postępnny pomysł *poznania*, cofnął w wykładzie; dyalektyka ta stworzyła owe fałszywe władze, owe pomieszanie ich nazw i znaczeń, owe zgubne kryterium, owo wreszcie uznanie rzeczywistości w zgodności z formułą dyalektyki, zatrzymanie się we wszystkiém na dyalektyce, i słowem: istoty filozofii w istocie samej dyalektyki oglądanie (1).

Autor wprawdzie swą filozofią zdaje się mieć za praktyczną, już bowiem nie przez przybliżenie i omówienie (jak to czyniono w Niemczech), lecz jawnie podaje ją za *chrześcijańską*, z chrześcijaństwa wychodzącą, z chrześcijaństwa żywot ciągnącą, do chrześcijaństwa rzetelnego wiodącą. Autor twierdzi np: iż nikt jeszcze nie wyłożył tak trafnie pierwszych słów ewangelii św. Jana, nikt tak dobrze Trójcy chrześcijańskiej, nikt tak nie pojął ducha szcze-

nych znamion, czyli nie w obszerności (Führlichkeit), ani też w wyczerpaniu wewnętrznych, podrzędnych, składniczych i zbijających znamion, czyli nie w głębokości (Tiefe), ale w wyczerpaniu jądrowych, wrzędnych, układniczych i godzących znamion, czyli w zupełności (Vollstaendigkeit) leży jasność prawdziwa, a z nią zaspokajającość (Befriedigung)". Brzmienie i wyobrażenie wyrazu *miot*, zdaniem naszym równie nie ma *rzeczywistości*, jak i wyraz *mysł*; stając wszakże na stanowisku dyalektyki autora, możemy się domyślać rodzaju wymaganej tu przez autora *rzeczywistości*. Jakoż autor sam mimo zapuszczania się w swych wykładach w odmęt podziałów, podziałów i podpodziałów, pomimo masę terminów i potworzonych przez siebie nowych wyrazów, umie wszakże zawsze w wykładzie swym być zrozumiałym i jasnym dla czytelnika.

(1) Autor Loiki pisał rozbiór zasad filozoficznych *Wronskiego* i naukę jego nazwał filozofijką. Zasady w pismach Wronskiego, zdolne jednak były nowy nawet okres rozpocząć. Autor ten równie jak autor Loiki (lecz pierwój) *mysł*, *wiedzę* za przeczenie poczytał; stosowanie za konieczność i postęp; filozofią swą tak jak autor nazwał chrześcijańską, jak on oparł się na pierwszym wersecie św. Jana, jak on kładzie za cel filozofii: rzeczywistość, przybliżenie królestwa prawdy i t. p. Autor Loiki jednak tę filozofią nazwał filozofijką, czemuż? oto dlatego: iż autor przez filozofią nie jej *istotę*, lecz majestat dyalektyczny tylko rozumie.

gólnych przepisów, szczególnych wyrażen nauki ewangelicznej, nikt wreszcie tak dobrze przed nim jęj celu, naleźnej drogi jęj rozwijania i t. p.

Kriterium wszakże religijnęm nie jest ani *litera*, ani *myśl*, ale *duch*; duch zaś filozofii autora i duch nauki chrześcijańskiej tak owszem odmienne są, iż gdyby nie sam autor wprowadzał to porównanie, upatrywanie jego raczęj za śmieszność mogłoby być poczytanęm.

Dawca i Założyciel chrześcijaństwa uczył, iż przyszedł nie rozwiązywać *zakon* i *pismo*, ale wypełnić; że przeto od pierwszych dni ludzi był pewien zakon, pewna prawda, której strzegły *księgi zakonu*; że te były i pozostać miały jako powaga. Autor Loiki odrzuca przeciwnie z góry wszelką powagę.

Nauka Zbawcy byłato, że tak rzec można nauka pojęcia, które oglądało przed sobą i obejmowało w przepisach *wszech-wieczność* i jakby *wszech-przestrzeń*; ztąd tęj chwilę podawała za chwilę, nikłość za nikłość. Filozofia autora Loiki jeśli kiedy mówi o czasie przeszłym, o wieku przyszłym, tedy o tyle tylko, o ile te stawać się mogą przedmiotem myśli śród chwili, jako o oderwaniach; to zaś z czego wychodzi, co wielbi, co za jedyną prawdę uważa, jest chwila (1).—Ewangelia przyniosła pociechę dla wszystkich, nadzieję dla wszystkich, i owszem za najbliższych i najsposobniejszych do królestwa Bożego uznała prostaczków. Autor Loiki cichych, prostaczków, tych wszystkich, którzy nie znają jego kategorii loicznych; którzy przyjmują i poprzestają na nauce powagi, zowie: „dwunożną trzodą, barłogiem ludzkości i t. p.“

Nauką Jezusa Chrystusa było zaprzęć się siebie, poświęcać dla drugich siebie, umieć oddać swą duszę za swych przyjaciół (2); jawnym przepisem autora Loiki jest: ku własnym swym przyjaciołom i uczniom mieć nienawiść (3), „żyć dla wszystkich przez wszystkich dla siebie” (*Myślini*). Cechą wszystkich nauk autora duch egoizmu.

Dodajmy wreszcie, iż *ewangelią* odznacza żywioł *proroctwa*, iż jęj celem jest praktyka i twierdzenie, nie zaś dyalektyka i dochodzenie.

(1) Die Gegenwart ist einzig und allein wirkliche Welt. *Vorst. 1. 88.*

(2) *Jan XV. 12. 13.—1. Jan III. 16.*

(3) Prawdziwy filozof nienawidzi wszystkich, a szczególnie własnych swych zwolenników. *Myślini. 1. 391.*

Wykształcone i przez kategorie loiczne przeprowadzone pojęcie ludzkie dojść winno, zdaniem autora, do poznania w końcu prawdy chrześcijańskiej; lecz oto jeśli to poznanie, tę wiarę duch ludzki przyniósł już światu: tedy filozofia rzetelna, filozofia *rzeczywistości* iść już winna z ich uznania, nie zaś wieść do szukania i na nowo do dociekania; inaczéj będzie to filozofia pogańska, nie zaś chrześcijańska.

Brak miłości, cześć chwili, sfera teoryi, to są cechy, które duch nauki autora głównie różnią od ducha nauki ewangelijnéj; te cechy są téż właśnie gruntem tych przyczyn, dla których zamierzony i pomysłany przez autora system *rzeczywistości*, mimo żywość w nim myśli i słów, tak dalekim okazał się jeszcze od wykładu *rzeczywistości*.

(Dalszy ciąg nastąpi).

MAUROWIE

NIEGDYŚ W HISZPANII, A DZIŚ W AFRYCE.

PRZEZ AUTORA :

O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d.

Maurowie—co nas obchodzić może naród tak odległy od naszego kraju; naród, który podobno kiedyś ciężył potężnie na losach Europy, ale dziś tak jest słabym, że ledwo od czasu do czasu znak nam życia daje? Co nas zajmować mogą losy narodowości, której posłannictwo skończyło się oddawna, a istność dzisiejsza pełza tam dziś nieznaną w ciągłej agonii, nim się zakończy wolną, ale niechybną śmiercią!

Tak zapyta może niejeden z naszych czytelników, przesycony utworami mego niewprawnego, skromnego pióra, zagniewany na mą ciągłą, pałającą, niepowściągnioną żądzę żywienia go obrazami krajów i narodów, niemogących wyrzucić żadnego bezpośredniego wpływu na nasze własne losy. Miałbym istotnie zasługiwać na te zarzuty? Czy mnie oślepiła do tego stopnia wiara w wartość mych wspomnień przeszłości, że się sam nie spostrzegam na ich nieużyteczności? Czy je kocham dlatego tylko, że wielkimi znojami w długich cierpieniach zdobyte?

Wyznam tu bez ogródki, że wraz z tęp pytaniem, które nieraz sam sobie zadaję, przykra nieufność wkracza w me serce.

A jednak pióro nie wypada z mój ręki! Wracam do niego jako do mego pocieszyciela, wracam tęp chętniej, im więcej w literaturze obcej, której żywimy się tłumaczeniami, spostrzegam ducha partyi, zaciemniającego zdrowe wyobrażenie o rzeczywistości.

Świat jest niewyczerpaną księgą nauki; wszakże w nim, a nie za nim niez mordowany umysł ludzki stara się zastosowywać, lub też zastosowuje wszystkie swe pojęcia. Wszakże w nim, a nie za nim odbija się lub odbić się usiłuje wszystko, cośmy pomysleli lub też instynktownie za potrzebne uznali. Ściganie za prawdą, za prawdą bezwzględną, jest potrzebą objawiającą się mniej więcej wyraźnie w każdym człowieku. Człowiek bowiem rodzący się przynajmniej z instynktem swęj własnej konserwacji, nie zatracą go nigdy; nawet wtenczas, kiedy wychowanie niedostateczne nie uszlachetni w nim surowego zwierzęcego instynktu, do potęgi jasnej, przezornej myśli; nawet wtenczas, kiedy skrzywione wychowanie pozwala mu upatrywać w myleniu się bliźnich, w nieprawie i w fałszu, żywoły dalszego ciągu swego nieużytecznego lub szkodliwego życia.

Ze człowiek może być szkodliwym światu, choćby nigdy nie przestąpił praw spisanych temu lat kilka tysięcy, któż o tém dziś wątpi? Niedawno widzieliśmy, jak ludzie pełni cnót domowych i publicznych, pędzeni duchem partji, dławili w samym zarodku życie swego narodu, i niezliczonych klęsk stali się przyczyną dla świata całego; a potém ustąpiwszy z widowni krwią i łzami zlanęj, użyli pióra, niegdyś tryumfowi uczuć poświęconego, na sławienie własnych krótkich i pełnych zarozumiałości teoryj.

Czterech olbrzymów literatury francuzkiej, z których każdy był przewodcą osobnego stronnictwa, znalazło się przeszłego roku jednocześnie na ziemi angielskiej. Każdy zapatrywał się na ten kraj i naród, z swego właściwego stanowiska, przez pryzmę swęj teoryj; każdy pospieszył z opisem tego, co spostrzegł, czyli raczej tego, co dostrzegł; żaden nie spuścił z oka ważnej kwestji *przyszłości*, do której dążymy w imieniu postępu: i cóż się świat dowiedział nowego? „Anglia jest osią życia fizycznego, moralnego świata“ mówi p. G. „i w jęj rękach ważą się losy ludzkości; ona udoskonalając od tylu wieków budowę swą socyalną na tych samych podstawach, przeświadczy świat, że jęj system jest nieomylnym, a przynajmniej najlepszym ze wszystkich dotąd w życie lub w myśl weszłych“.

„Anglia jest filarem, na którym opiera się prawdziwe pojęcie o świętości religii i o godności człowieka“, mówi pan de L. . . . „Ona w imieniu ludzkości, sercem swém litościwém dokazała od lat kilkunastu niespodziewanych nigdy cudów. Ona, nim jeszcze czas nieubłagany zdołał pochłonać jedną generacyą ludzką, prze-

kształciła lud swój przed chwilą jeszcze barbarzyński, zbydlęcony, i zrobiła go dobrym, ucywilizowanym i szczęśliwym. Wszystkie stronnictwa podały sobie tu ręce dla wspólnego dobra, wszyscy ludzie dążyli do jednego celu, rozgrzani świętym uczuciem religii.”

„Nie masz narodu oględniejszego, jak angielski; nie masz arystokracji mędrzej, jak angielska”, mówi pan L. B. „Arystokracja w owym kraju urzeczywistnia te teorye tak zbawienne, które gdyby były przez lud francuzki pojęte, dziś już rządziłyby światem. System Roberta Peel wprowadzając w życie wolność konkurencji płodów ziemi, wykazał już klęski, jakie spłynąć mogą w krótkim czasie na kraj cały przez wolną konkurencją płodów pracy, przez wolność tranzakcyi, przez nieograniczoną wolność osobistą.”

„Arystokracja Anglii żywiona najlepszymi głowami z rodu plebejuszów, poznała dziś prawdę, przewiduje dziś klęski grożące krajowi, i będzie miała odwagę zabezpieczyć go od nich wprowadzeniem w życie nowej organizacyi pracy. Przekształcenie postaci świata całego będzie wynikiem tej ważnej, na drodze pokoju odbyć się mającej reformy.”

„Anglio! stoisz nad przepaścią!” woła pan L. R. — „Anglio! twój lud ciągle ubożeje i nikczemnieje, i tak brodzić będzie głęboko w błocie, aż dojrzeje w nędzy i hańbie do okropnej katastrofy rewolucyjnej, jakiej nie było przykładu w historii, i której żadna mądrość ludzka uniknąć nie jest w stanie!”

O sprzeczności sądów ludzkich! proszę mi powiedzieć, co ma wspólnego Anglia pana G. z Anglią pana L? Anglia pana L. B. z Anglią pana L. R.? Chyba tylko nazwisko kraju, zresztą nic wcale. Każdy z tych panów wiele ma talentu i dał tego niezliczone dowody; każdy z nich jaśnieje potęgą umysłu, wie o tym świat cały; każdy z nich jako naczelnik stronnictwa odbił swe stopy na spizowém polu historii: i każdy przecież raz wystąpiwszy z granic swego kraju, sądził tak różnie, tak sprzecznie o kraju obcym, każdy wybudował osobną Anglią na korzyść swego czytelnika i swego księgarza. A przecież kraj angielski jest bardzo charakterystycznym; wszystkie właściwości narodowe jawiące się w innych krajach w niewyraźnych lub zamazanych zarysach, wybite są na Anglii tak jasno i oczywiście, często nawet rażąco!

Ale co pomogą płaszczyzny, niziny i załamy dla człowieka, który wszędzie chce widzieć Pyrenee, Alpy i Karpaty? Co pomogą piaski dla poety, który wszędzie chce widzieć gaje i ogrody? Co

pomogą lepianki dla tego, który założył sobie spostrzegać tylko wysokie kominy fabryk, obracanych parą; a choć się snuje droga po nudnej płaszczyźnie, zgryźliwy systematyk widzi tam tylko skały, przepaści i parowy.

Nieubłagany duch partyi jest kolebką tój potwornój, przymuszonój poezyi, władającój tak nielitościwie rozumami ludzkimi; jemuto winniśmy to rozdwojenie, to rozstrzelenie myśli, tę niepewność sądu, tę niewiarę w rozum ludzki, co charakteryzuje ducha naszego myślącego społeczeństwa. Nie mówię już społeczeństwa *niemyślącego*; to wierne sobie we wszystkich wiekach i krajach, zawsze jest nadzwyczajnie zadowolnioném, kiedy coś mocniejszego, czémkolwiek bądź imponującego, wskaże mu byle słowem lub gestem jak ma myśleć, czuć, działać, a nawet i wierzyć.

Nie! nie w duchu partyi jest prawda bezwzględna, nie tam sący się wieczne źródło prawdziwój mądrości. Mówią, że dla krótkowidzących trzeba pewnej mety, pewnych granic rozumu, aby tylko jakimkolwiek bądź torem biegli naprzód i nie spuszczać celu z oka, nie zatrzymywali się w jedném miejscu, nie gnuśnieli.

Zdradliwa to teoria!

A jeżeli po długich wysileniach stanie u mety swój krótkiej teoryjki taki dobroduszny wierzący, i w niej nie znajdzie urzeczywistnienia swych dobrych intencyj, tylko przepaść?

O wierz mi czytelniku! więcej ludzkiego życia ginie z rozpacy, jak z rozpusty: gdyż rozpaczający człowiek wierzył więcej, jak tysiąc ludzi rozpustnych wierzyć są w stanie; a wartość życia ludzkiego nie w materyi, lecz w duchu; nie w objętości ciała, lecz w skupieniu wiary.

Nie w duchu partyi, lecz ponad duchem partyi jest prawda bezwzględna. Nie unosi się ona w owym niezmiernym przestworze, który się zaczyna od granic rozumu naszego, lub ducha rozumem jeszcze niedźwiganego, niesformowanego, a nigdzie się nie kończy; lecz się zaczyna daleko bliżej nas, tam, gdzie się dusza oswobadza z trujących objęć miłości własnej, z samolubstwa, a kończy się w nieskończoności poczciwego serca ludzkiego.

Lecz czemuż wymówiłem ten wyraz *samolubstwo*? czemuż trafiłem na kamień, o który—tak ludzie przyjęli—roztrącać się powinny ostatecznie wszystkie szlachetne życzenia i zamiary?

Tą razą nie chcąc oddalać się zbyt znacznie od celu téj rozprawki i ja zatrzymam się przy tym brzydkim kamieniu, przy tém bożyszczu, któremu najtajemniejsze, najserdeczniejsze składamy ofiary, nie myśląc, nie wierząc przynajmniej, żeby kto inny rzetelnie innego uznawał Boga.

Zatrzymamy się tutaj i wrócimy do Maurów, zastrzegając sobie jednakże na przyszłość prawo zapędzania się od téj mety, którą niechętnie opuszczamy, w przestrzeń dalszą, dziś może tylko sercem przewidzianą, duchem przecztą, a rozumem jeszcze niezmierną.

Pióro tedy nie wypada z méj ręki, choć sobie nieraz mówię: „dzieci twego ducha może ci miłe dlatego, żeś je począł w cierpieniach i w boleści na świat wydajesz“.

Tak jest. Może kiedyś świat uzna, żeś ty godne być bliźnim najszcześliwszego, choćby tylko dlatego, żeś się w tym czasie zrodziło.

Więc wskrzeszam obrazy méj przeszłości, naglony jakąś tajemną potrzebą przeświadczenia czytelnika, że prawda zyskuje pewne błyskotliwe barwy, pewne ujmujące kształty, skoro na nią przez ciasny kalejdoskop, dziś umysłami świata rządzących systematów, spoglądamy; lecz że tym sposobem traci na swój bezwzględnej wartości, że tym sposobem oddana, uważana, służyć nie może na dobro rozumowi.

Niech się czytelnik nie zraża lekkością kształtu, którą me utwory dla dogodzenia panującemu smakowi ubióram; lekkość ta jest może tylko pozorną. Może myśl jaka poważna, godna uwagi, snuje się mniej więcej znacznie na pstrém i urozmaiconém tle mych obrazków, tak, jak się snuje po rosą zwilżonej, kwiatami umajonej łące ślad skocznej sarny. Raz się zatracą ów ślad myśli na krzemiennych gruntach, których uniknąć nie można; drugi raz tém wyraźniej na piasku wybity, pozwoli ci czytelniku odgadnąć dawny ślad myśli, z kierunku, który wzięła.

To, co w krajach obcych uszło wprawnego oka wielkich historyografów, dlatego tylko, że do systemu ich nie przystawało, że nie mogło być zastosowaném do żadnych wprzód pojętych potrzeb; co nie znalazłszy odgłosu w analogii, przeminęło bez zwrócenia na siebie uwagi: to samo mogło silnie uderzyć umysł innego podróżnika, którego czucie budzone zawsze czuwającą pamięcią bólu, instynktownie upatruje we wszystkich największych

i najmniejszych zjawiskach *coś*, co mu większą jeszcze boleść lub ulgę sprawić może.

Wprowadź botanika do owego pysznego ogrodu: kroki jego zwrócą się do najrzadszego exemplarza jakiej egzotycznej rośliny. Wprowadź doń kobietę: ona pospieszy do najpiękniejszej z miłych córek Flory. Wprowadź obolałego, rannego do tegoż samego ogródka: on zerwie listek bluszczu, pnącego się mimo woli ogrodnika po murze i przyłoży go na swą ranę.

Historykiem tedy nie jestem; znam tego zaszczytnego powołania trudne obowiązki, i nie chciałbym niedoskonałym przedstawieniem przeszłości, obciążać się odpowiedzialnością za przyszłość młodocianych umysłów.

W nieprawdzie życia nie ma, a fałsz stać się może zjadliwą trucizną.

Ale jestem spostrzegaczem z powołania; znam stanu mego obowiązki, i dlatego radbym, żeby cała ludzkość uwierzyła w życiodawczość tych wpływów, które memu sercu ulgę sprawiły.

Zapytałeś mię czytelniku zaraz na początku tej rozmowy: co nas zajmować może istność Maurów, narodu barbarzyńskiego, pobitego niedawno w tyłu bitwach przez *Francuzów*, *Abd-er-Hammana* i przez własne przesady.

Oto odpowiedź, która tylko jest echem twój własnej:

Słońce zachodzi i wraca: nie tak z życiem ludzkim; wiosna przechodzi i wraca: nie tak z życiem nas wszystkich; ale narody nie zachodzą i nie przechodzą jak słońce i wiosny. Maur dzisiejszy jest oschłym krzakiem róży, który już wiedzieć zaczyna, że mu słońce i dęszcze pomódz mogą.

Lat temu kilka przebiegałem Hiszpanią, byłem w Andaluzji, Kastylii i Grenadzie; żyłem w tej atmosferze poezją palającej, a tak żywotnej, że ją kiedyś uczuł wieszcz nieśmiertelny aż na brzegach Wilii i Niemna. W pomnikach Hiszpanii, w jej obyczajach, w jej krwi nawet tyle spostrzegłem pamiątek dawnych Maurów, że zapragnął zwiedzić siedziby ich prawnuków.

Daném mi było urzeczywistnić gorące pragnienie mego serca. Poznałem Maurów na brzegach oceanu i morza Śródziemnego, na stopach starego Atlasu; widziałem ich polujących i marzących, słyszałem ich opowiadających i rozumujących.

Później jeszcze brałem czynny udział w Algiieryi w sprawach Francuzów przeciw Maurom i Arabom; jako lekarz rozumié się, gojąc rany wszystkich mych bliźnich, dając pierwszeństwo temu, który najwięcej cierpiał.

W trzech peryodach mego życia widziałem tedy trzy ważne chwile istności Maurów, i podług nich podzielię mą rozprawę. Wystawię przeszłość Maurów w Hiszpanii, teraźniejszość w państwie marokańskiem, ich możliwą przyszłość w Algieryi.

Zresztą, co do kształtu tego opisu, pójdę za mym ulubionym zwyczajem: poprowadzę czytelnika wszędzie z sobą, żeby własnemi oczyma oglądał, własnym rozumem sądził.

I.

Celnik hiszpański i kontrabandzista angielski.

Słońce zachodzi za góry Alemtejo i złoci ich modre szczyty; już nam z oczu zniknęły w wieczornym pomroku wieże Badajoz; góry tylko Estremadury hiszpańskiej błyszczą zdaleka na widokregu północnym, oświetlone owém drżącym półświatłem, jakie mu śle Febus żegnając się z ziemią. Księżyc prawie tuż nad naszymi głowami: błady i nieśmiały spogląda na nas, czeka niecierpliwie na znikające promienie słońca. Wówczas jego rozpocznie się panowanie, wówczas będzie się mógł przeglądać do woli w tych pięknych wodach Guadyany, na których falach spieszymy ku południowi.

Jeszcze daleko ztąd do Ayamonte; tak daleko, jak z Torunia do Gdańska; ale wszystko nam sprzyja, wiatr dmie w żagle, woda pędzi i unosi nas z sobą; a zresztą gdyby i wiatr ustał i strumień się ku nam zwrócił, dwadzieścia cztery wiosła wpadnie na jedno skinienie kapitana w nurty Guadyany, i pchnie naszą łódź szybko ku celowi.

Guadyana—piękna, już przez Maurów w licznych rycerskich balladach sławiona;—Guadyana, rzeka, której samo nazwisko wskrzesza w pamięci długi szereg romantycznych obrazów; Guadyana początek swój bierze u stóp Sierry Moreny w jeziorach Królewskimi zwanych. Płyńie naprzód ku północy i zwraca się ku zachodowi w prowincyi zwanéj Mancha; potem oddziela część Manchy od południa Nowéj Kastylji, przekracza w tym kierunku całą Estremadurę, nareszcie wzrosła wodami wielu rzek i strumieni, obmywa mury twierdzy Badajoz, zwraca się ku południowi, i pędzi jak strzała ku oceanowi Antlantyckiemu. W tym zaś kierunku odgranicza część Estremadury od prowincyi portugalskiój Alentejo, przebiega wschodnią część téj prowincyi, nareszcie oddziela zachodnią Andaluzją od królestwa Algarwii.

Guadyana staje się potężnym strumieniem dopiero pod Badajoz. Anglicy gdyby posiadali Guadyanę, umieliby z niej zrobić niewyczerpane źródło bogactw dla kraju, który ona oblewa; ale Portugalczycy i Hiszpanie jeszcze się nie nauczyli korzystać z darów boskich, lub też nieprzyciśnięci jeszcze gwałtowną potrzebą, nie dbają o korzyści zdobyte wielkimi wysileniami.

Guadyana nie ma charakteru jednostajnego. Raz jak nasza Wisła roztacza flegmatycznie swe wody, szeroko, szeroko po piaszczystej płaszczyźnie, a wierzby nie tak piękne, jak nasze wilanowskie, wyciągają swe gałęzie ku powierzchni, suwającej się całą płaszczyzną jak niezmierne zwierciadło na miałkiem, bielutkiem łożu; drugi raz bieży potok wartki i rwący między górami, pokrytymi, jak brzegi cudnego Renu, wysokimi sosnami, winnicą i ruinami zamczysk; potem znów się rozlewa i znów się ścieśnia między stromemi skałami: huczą nurty, rwą i kipią spadając ze skały na skałę, rozlewają się na mnóstwo miałkich strumieni, jak niegdyś Clyda, nim ją potężna ręka Szkotów nie ujęła i zmusiła płynąć w rozstrzelone prochem głębokie łoże; nareszcie w jednym miejscu niknie prawie cała Guadyana w podziemnych jaskiniach, tak, jak Rodan: szczupły tylko pozostaje przesmyk, i ten jeszcze spada kaskadą. Tutaj wielkie trudy w przeprawie; sternik też nie ustępuje ani na chwilę od steru, w ściśniętej brwi skupia się pamięć, myśl czuwa na tém brunatnym, zoraném czole! Wielka na nim cięży odpowiedzialność, to łącno odkryć z wyrazu jego twarzy.

On nie stoi na pokładzie; tegoby dokazać nie mógł: obie manogi ustrzelone pod Talawejrą jeszcze za czasów francuzkich wojen. To stary weteran, ale jędrny na umyśle, rad pełnić trudne swe obowiązki, zwłaszcza teraz, kiedy Hiszpania nawiedziona bratobójczą wojną, musiała powołać pod oręż wszystko, co go nosić może.

Kapitan siedzi obok na ławce. Ma lat już czterdzieści kilka, już lekki szron przypruszył mu głowę, ale coto za bystrość w tém wielkiem czarném oku! a w téj twarzy jaki wyraz szlachetnej smętności, a woli i życia zarazem! Jestto jeden z tych uprzywilejowanych ludzi, którym ani zmartwienie, ani bole, ani sam wiek nie odbierają młodości. Dusza i życie klinem wbite w każdy atom ciała tego człowieka; żywość czucia, pragnienie czynu, zdradza się w każdym jego słowie, w każdym geście i ruchu. Powiedziałbyś, że w swój osobie niewielkiej, chudój, prawie delikatnej,

kupią się i tłoczą istności tysiąca ludzi. Twarz jego wyrazista, choć rysy dość drobne, czoło szerokie, choć dość niskie, usta cokolwiek szerokie, zęby białe nieraz trzeszczą, gdy w namiętném uczuciu lub w wspomnieniu przeszłości, ściska swe silne szczęki.

Ale i on także weteran; drewniane szczudło zastępuje mu nogę, którą mu ustrzelono pod Trocadero w walce Francuzów przeciw liberalnym Hiszpanom. Kilka dekoracyj błyszczy na karmazynowych rabatach munduru marynarki hiszpańskiej, na kolanach trzyma gitarę, i często jego wprawne palce przebiegają struny dzwięcznego instrumentu; czasem głos jego zanuci kilka strof o kochance, o Cydzie i o Abencerragach.

Dziwna rzecz! i pomiędzy liczną załogą statku naszego spostrzegam wielu weteranów: ten kuleje, tamten plastrem przykrył wystrzelone oko, inny jeszcze zaledwie do człowieka podobny, tak ma twarz porozrywaną bliznami. Widać, że go proch musiał wysadzić w powietrze na minie jakiegóś, na reducie, lub téż na okręcie. Ale co pozostało z ciała tych mężnych, to dobre i waleczne; każdy cał tych ludzi jest bohaterem. Patrz, jak spoglądają na pokład zavalony bronią.

Co to za statek z taką załogą chciwą boju, a inwalidom powierzony?

Nazywa się „la joven Isabel” młodą Izabellą. Jestto rodzaj galery kanonierskiej, opatrzonej masztem i 24 wiosłami, rozdzielonemi na dwa piętra. W spodniém piętrze siedziało 12tu galerników zamkniętych w klatkach za przestępstwa kryminalne, a mianowicie za zbrojną kontrabandę. Na pokładzie 12 ludzi w mundurze marynarki, uzbrojonych w sztućce, pistolety i pałasze, pełni służbę wiosłarzy w razie potrzeby. Ośmiu innych przeznaczono do rozpinania żagli, przytém było tu kilku kanonierów; dział jednakże nie było, tylko na przodzie stały dwie lawety bez rur, a na tyle okrętu jedna ogromna, także bez rury: same działa leżały w Ayamonte. Statek nasz póki płynął na rzece, nie zniósłby ciężaru tak wielkiego, bez zanurzenia się zanadto głęboko w wodę, a łoże Guadyany w niektórych miejscach dość jest płytkie. Dwie tylko dość długie trzyfuntowe armatki, przytwierdzone były na żelaznych ruchomych podporach do galeryi tyłu okrętowego. Z nich można było strzelać bardzo celnie. Około masztu ustawiono kilkanaście gardłaczy (trabucos), z pół tuzina śmigownic i z trzydzieści karabinów i pistoletów; przytém innéj broni, pałaszy, pik i toporów mnóstwo leżało na pokładzie.

Cały statek długi przeszło stóp 40, szeroki na 14 w środku, nowy, świeżo z igły zdjęty, wybudowany był z wielką, rzadką w tym kraju troskliwością, na warsztacie w Badajoz, pod przewodnictwem kapitana Pedrillo, tegoż samego weterana, który w tej chwili śpiewa o królu Boabdilu, i z rozkoszą spogląda na swe dzieło. Niższe piętro wioseł wystawało tylko na półtoręj stopy ponad powierzchnią wody, i tak było urządzone, że jego otwory w razie fali lub głębokiej wody, można było zatkać grubemi, szczelnie zamykającemi okiennicami, przepuszczającemi za ledwie rękojeść wiosła w wydrążeniach u góry umieszczonych, a filcem wodę nieprzepuszczającym opatrzonych.

Nasza galera była statkiem umyślnie wybudowanym dla użytku straży celnej, strzegącej ujścia Guadyany. Pierwszy raz puszca się do Ayamonte, z kąd wieści dochodzą, że Anglicy ciągle dowożą gerylasom portugalskim broni, hiszpańskim przemycarzom towarów zakazanych, bigotom biblij i traktatów religijnych.

I ja tu jestem pomiędzy celnikami hiszpańskimi, i gotów ratować celników, i bronić ich w potrzebie! Czytelniku, nie pytaj dlaczego. Wszakże wiesz, że chmiel pnie się po tyczce, bo mocniejsza, psy opadają zebraka, bo słaby i stary; ale człowiek rad zawsze bronić słabszego przeciw mocniejszemu, gdy posiada wiedzę swęj zacności, gdy w nim cierpienia nie przytarły uczucia, lecz owszem zaostrzyły wzrok serca.

Jestem tedy pomiędzy celnikami, już nawet noc jedną z nimi spędziłem, już się porozumieliśmy z kapitanem Pedrillo: od dnia wczorajszego spędziliśmy z sobą lat dwadzieścia, i w jedném uściśnieniu ręki obiecaliśmy pamiętać o sobie wiecznie.

Świeci nad nami słońce Andaluzyi, i z pałającego rydwanu strzela promieniami na wschód na błonia Estremadury, na zachód w tajemnicze doliny gór Monchique. Tu się pasą liczne stada owiec i chmary bawołów: jednych pilnują zadumani pastuszkowie, nucąc płaczliwe, monotonne pienia; drugich strzeże na dzielnym koniu silny Torrero z włócznią w ręku, z groźbą na opalonej, zziąjanęj twarzy. Tam znów ze strony portugalskiej, zza skały lub krzaku wyzierają na nas oczy, jak ostrze pugiinałów błyszczące. To nie sępy ani krogulce, to są czaty owych obywateli gór i dolin, których już znamy z Estrelli.

Dopływamy do miejsca, gdzie się zapadają w podziemną otchłań wody Guadyany. Wiążą liny do statku, na skały wysadzają jego załogę, wypróżniają go z wszelkiego ciężaru. Trzy-

dziestu ludzi napiętrzonych po urwiskach skały przyprzęgą się do końca lin, wstrzymuje prawie w powietrzu ciężką łódź i przenosi ją tuż na zwierciadle kaskady, tuż ponad kipiącą otchłań. Ha, przecież dzieło dokonane! Łódź w całości, lecz niemalą to zwycięstwo odniesione pracą. Spadek tak prawie wysoki, jak spadek Renu pod Szafhużą, tylko wężki bardzo. Kilkaset kroków za kaskadą ziemia znów wyrzuca z swego łona część Guadyany, którą była pochłonięła wyżej spadku. Pieni się jak mydlane szumowiny, rozgrzany kryształ, zdaje się, że z kotła wulkanu wyrzucony.

— I tu marzą o żegludze parowej na Guadyanie—rzecze kapitan Pedrillo—łatwiejby żółw przebył Sierre Morenę, lub skowronek zanucił piosnkę nad śnieżnymi szczytami Alpucharry, jak statek parowy skalął swym oddechem jasne niebo naszej Andaluzji.

— Kapitanie, mylisz się. Dwadzieścia lat nie minie, a koła parostatku zakłóca te czyste fale Guadyany—odrzekłem.

— *Jamas, mi Sennor! jamas!* Nigdy mój panie, nigdy. Patrz, jak tam wre wulkan i strzeże świętości naszych wód i potoków. Patrz, jak się piętrzą granity i groźnie spoglądają w przepaść. Biada śmiałkowi, coby chciał wzruszyć tych dzieł natury—rzecze dalej kapitan.

— A ja ci powiadam, że przyjdzie tu kiedyś Anglik, zapisany przez twe ministryum, że wulkany wygna z swych siedzib mianami podwodnemi, elektrycznością zapalonemi, że tu porobi śluzę i zapory, prochem wysadzi nierówne łoża, ostrzem roztoczy głazy, i że ci odda Guadyanę tak grzeczną i równą, jak kanał jaki.

— Dowiedz mi pan to rysunkiem, dowiedz mi, bo inaczej pomyszę, że żartujesz — prosił kapitan.

I łatwym, prostym rysunkiem przekonałem kapitana, że ten cud jest możliwym.

— *Malediccion sobre la Inglaterra!* Prawda, ani słowa. Rzecz może być wykonaną wielkiem wysileniem pracy i pieniędzy. Nieznośni ci Anglicy! swemi czartowskiemi sztukami zmuszają świat cały do współubiegania się z niemi; inaczej, wiecznie musielibyśmy płacić im haracz. I tak już każdą rzecz musimy nabywać od nich; nawet takie, których pierwszy materiał na naszej rodzi się ziemi. Sukna, bawełny, kapelusze, papier, proch i strzelby: wszystko nam przychodzi z Anglii; cała Hiszpania zalana jest jej towarami, pomimo celników i dobrych niby stosunków dyplomatycznych.

— A jednak macie piękne merynosy, wyroby żelazne tolekańskie słyną od ośmiu wieków, strzelby z San Sebastian i z Wiktoryi cieszą się bardzo dobrą sławą; Katalonia dostarcza wam bawelnianych wyrobów, papier wasz aloesowy wcale dobry, siarki macie tyle, że świat cały moglibyście nią zapalić.

— Panie doktorze! gotowem sam rozsadzić się z gniewu, gdy o tych rzeczach pomyślę. Patrz pan, nasza Hiszpania, pierworodna córka nieba, arcydzieło Boga, ojczyzna najszlachetniejszych ludzi świata, ogród hesperyjski złotemi jabłkami świecący: patrz pan, jak zubożała nasza ojczyzna! Wprzód nie wiedzieliśmy co z metalem robić: srebrem brukowaliśmy dziedzińce, złotem pokrywaliśmy dachy kościołów; a dziś? — dziś dlatego jesteśmy niewolnikami Anglii, że jej towary, choć daleko późniejsze od naszych, tańsze są przecież o cośkolwiek. Anglicy weszli do nas jako przyjaciele. Pan wie, co zrobili z fabrykami naszemi? — spustoszyli je i z ziemią zrównali wszędzie, gdzie tylko mogli. W Madrycie spalili tak piękną fabrykę porcelany, dlatego, że niby kilkunastu Francuzów w niej się obwarowało. San Sebastian spustoszyli ze szczerem, oszczędzając załogę francuzką, ale w pięć wycinając całą ludność miasta, złożoną z fabrykantów i wyrobników. Tysiąc podobnych opowiedziałbym czynów. A dziś, co u nas robią Anglicy? podszczuwają w miastach portowych zamieszki i rewolucyjki, a w chwili gdy się wojsko bije z ludem, wprowadzają towary. Tak robią w Santander, w Bilbao, a mianowicie w Maladze kilka razy do roku. Codziennie cała armia przemycarzy, gerylasów i malkontentów pracuje dla Anglii, broczy w krwi bratniej, żeby lepiej smakowały bifsztyki. Panie! daj mi tu Anglika za wagę złota, żebym go mógł...

— *Capitanito! capitanito! paciencia!* Kapitanie! kapitanie uspokój się — przerwał sternik Asbudera siedzący bez nóg na pokładzie, i swą godnością nigdy go nieopuszczającą, przytłumił wybuch gniewu zapalczego kapitana. Patrz — rzece dalej sternik — patrz, co się tam dzieje na górach.

Noc. — Księżyc znów świeci, już się nawet chyli ku zachodowi, zapadnie za godzin kilka. Jesteśmy jeszcze na gruncie prowincyi Alemtejo, nieopodal miejsca, gdzie Caldeicao, odnoga gór zwanych Serra Monchique, wkracza w Guadyanę i stanowi granicę Algarwii, dawnego emiratu maurytańskiego. Jeszcze z pięć mil do morza, licząc biegiem krętój rzeki, a trzy najdalej, lotem

ptaka. Wtém od południa, od strony morza, błysnął w ciemnym lazurze nocnego nieba płomień jakiś, wznoszący się pionowo w górę. To raca kongrewska! jedna, druga, trzecia w krótkich przestankach.

— Patrz kapitanie!—powtórzył sternik wskazując na meteor ognisty.

— To nie jest bez kozery—rzecze kapitan.

— Spodziewam się—odpowiéd sternik.—I to nie bez kozery, że na szczytach gór Monchique zattały w miejscach dość od siebie odległych prawie jednocześnie ognie jakies. To nie Sobótki; daleko do św. Jana. To gerylasy kapitanie! to Migueliści zamysłają nam wyplatać jakiego figla. Zapewneto Anglik jakiś zwabia do siebie owemi racami.

— Miejmy się na baczności sterniku!—powiéd kapitan —utrzymuj statek w jak największym oddaleniu od portugalskiego brzegu.

Sternik.—O ile się da; ale pół mili ztąd nie da się, chyba byś mi kazał po piasku jeździć twą łodzią. O pół mili ztąd musimy się zbliżyć o 50 kroków do przedgórze wkracającego w rzekę, a w ścianach tego przedgórze mnóstwo jest małych zatok, w których gerylasy mogą się łatwo zacząć w małych łodziach, strzelić do nas, zabić kilku ludzi, spalić statek szermelami wrzucenemi w żagle, wyrznąć załogę, oswobodzić więźniów, uzbroić ich, napaść z niemi na Villa Nova de San Antonio, i rozniosłszy pożogę wnieść do Portugalii i Hiszpanii tyle kontrabandy, ile zawiera w sobie ów Anglik.—Takie się rzeczy działy na Guadyanie, zanosi się coś na powtórzenie tego przedstawienia.

Kapitan.—Zanosi się na bójkę, to rzecz pewna; co robić w tój chwili?

Sternik.—Nie przybliżać się nocą do złowrózbnój skały. Remechido dowodzi gerylasami; jestto człowiek bardzo śmiały, bardzo przedsiębiorczy, godzien naszego Cabrery Cabecilla. Szczęście dotychczas doświadczone zrobiło go nader zaufanym w swe siły, a to zawsze rękojmią tryumfu, mój kapitanie! Ja radzę spocząć na kotwicy, przeczekać noc; źle się bronić w nocy, łatwiej uda się napadającemu.

Kapitan.—Nie, sterniku, nie, do tysiąca czartów. Przewiduję, że nas będą potrzebować w Villa Nova nasi sąsiedzi Portugalczycy. Nie chcę się wystawić na zarzut tchórzostwa lub nawet zbytnej ostrożności. Musimy iść dalej. Zwińmy żagle, by nam ich nie zapalono.

Sternik.—Nie można, kapitanie, nie można zwijać żagli.

Kapitan. A to znów czemuż? niech wioslarze zastąpią wiatr i żagle.

Sternik.—Niech galernicy zatrzymają pół minuty statek pod ogniem, a jesteśmy straceni.

Kapitan.—To prawda! wielka prawda; na galerników wierność w takich chwilach liczyć nie można.

Zamyślił się kapitan chwil kilka, potem zgromadził załogę na tyle okrętu i tak do niej przemówił:

— *Escuchad amigos soldados y marineros!* słuchajcie przyjaciele żołnierze i żeglarze! Według wszelkiego prawdopodobieństwa będziemy napadnięci niezadługo tam około przylądka wkraczającego w Guadyangę. Rozkazy me następujące wypełnijcie w cichości, żeby się galernicy na naszych nie pomiarkowali ruchach i nie zechcieli nam szkodzić jakim zamachem buntowniczym. Wy sześciu wynieście wszystkie sikawki na pokład, wodą oblejcie żagle i postronki, żeby się mogły oprzeć wpływowi palnej materii. Czterech was wniesie na pokład skrzynkę z ręcznymi granatami i rozda ich po dwanaście pomiędzy załogę. Tyleż gardłaczy nabitych siekańcem i goździami rozdzieli się pomiędzy was. Armatki nabijemy pojedynczemi kulami; walić z nich w spód łodzi nieprzyjacielskiej dla zatopienia jój jeśli można. Te rozkazy wykonajcie z jak największą spokojnością; tymczasem wy śpiewacy i gitarzyści, dalej, zanućcie piosnkę, wy co macie zdrowe nogi tańczcie, a wy co ich nie macie, bijcie w kastaniety; starajcie się wesołością waszą oszukać baczność bandytów i podejrzliwość galerników. Haki, włócznie, siekiery i lonty mieć w pogotowiu, a ostrożnie z ogniem. Dalej do dzieła! Czeka nas pod Villa Real inna jeszcze trudniejsza sprawa.

Rozkaz kapitana wypełniono: wniesiono sikawki, zwilżono żagle, broń nabijano przy odgłosie wesołej muzyki, do boju się gotowano tańcząc. Dziwny to był i ujmujący widok!

— Panie doktorze! teraz chroń się do kajuty i przygotuj plastry i bandaże. Krew tu płynąć będzie niezadługo — rzece do mnie kapitan.

— Wszystko w pogotowiu, kapitanie; ale przedewszystkiém wypada widzieć, jak się zadają owe rany, które mam goić; nie mam jeszcze jasnego wyobrażenia o bitwie morskiej na słodkiej wodzie—odpowiedziałem.

— Ale na Boga, panie doktorze! Migueliści nieostrożnie strzelają, a ja święcie przyrzekłem gubernatorowi w Badajoz, że pana żywego i zdrowego do Ayamonte dostawię, i tam prześwietnemu Ayantamiento oddam—przedstawia kapitan Pedrillo.

— Gubernatorowie długiej pamięci nie mają, kapitanie. Zresztą bądź spokojnym, żaden mnie konsul reklamować nie będzie, a mym spadkobiercą mianuję twego syna, tutaj, uroczyste w obec całej załogi okrętowej, w razie, gdyby jaka kula ułakomić się zechciała na me życie.

— Trudna widać z panem sprawa! Dobrze, niech i tak będzie. Stań pan tutaj na schodach prowadzących do kajuty; tak! ztąd pan wszystko zobaczysz, a nie podasz strzałom nic, prócz głowy....

Nic prócz głowy!—pomyślałem sobie; dość naiwna przezorność!

Księżyc opada na zębate szczyty góry Caldeicao w miarę, jak my się zbliżali do brzegu skalistego, pod którym płynął wartki strumień. Na lewo, ku Hiszpanii, Guadyana rozacza szeroko swe wody; ale w tém miejscu była płytka. Zbliżyć się do tego brzegu niebezpiecznie: łatwo mogliśmy osiąść na lawie piaszczystej, a wówczas sprawa nasza przegrana.

I zapadł nareszcie księżyc; wiatr łamie się na skałach zasłaniających nasz widokrąg, chwilowo następowała cisza. Wiosłarze biorą się do wiosel czynnie i raźnie, galera ślizga się jak łabędź na powierzchni wody. Znów zrywa się wiatr i unosi na swych skrzydłach odgłos wiosel, śpiewu i monotony dźwięk gitary. Opoka wkraczająca w rzekę stała jak czarny Tytan przed nami. Ciemno! Już jesteśmy pod stopami Tytana.

— *Montad las ventanas!*—krzyknie kapitan. Ale zaledwie wzięto się do zakładania grubych okiennic, mających zasłonić wiosłarzy od kul nieprzyjaciela, kiedy przeraźliwy huk moździerza dał się słyszeć tuż nad naszymi głowami. Sto szmermeli spada na żagle i pokład. Jednocześnie rażą nas wystrzały z broni ręcznej; trzy łodzie napelnione uzbrojonymi wylatują przeciw nam, zakładają haki na galeryą naszego statku, i wrzucają nań zarzewie. Niestychany wrzask i łoskot roztrąca powietrze: żagle już goreją!

Ale i my nie byliśmy bezczynnymi. Sikawki gaszą ogień, wiosłarze, choć kilku z nich rannych, nie ustają w pracy, gardłacze siekają najeźdźników całemi garściami grubego siekańcu, pękają w łodziach granaty wprawna wyrzucone ręką, ogień karabinowy

nie ustaje. Przerażliwy jęk na łodziach dowodzi, że razy nasze trafiają boleśnie. Haki pozostają przyczepione do naszego statku, lecz żadna ich już nie utrzymuje ręka.

Wszystko to trwało zaledwie minutę.

Młoda Izabella buja swobodnie na falach Guadyany, lecz jój pokład krwią zalany. Palą się żagle i postronki, nieugaszone strumieniami wody, wytryskującej z sikawek; tu i owdzie i drzewo się zajmuje. Nie masz rady: żagiel trzeba zwinąć i tlejący się do rzeki wrzucić. Pięciu rannych jęczy na statku: jeden z nich ducha oddaje, drugi stracił ramię.

— Nic to w porównaniu klęski, zadanój napastnikom—mówi kapitan zdejmując kapelusz z skrwawionój głowy—i mnie coś dotknęło włosów zaraz przy pierwszym wystrzale, nawet mnie coś piecze bardzo; ale to nic, to ułamek granatu, ot tu pozostał w kapeluszu: woda zimna krew zatamuje. Ratuj pan mych wiarusów, doktorze!

Tymczasem nie stracono ani chwili: naprawiono powrozy i zaciągnięto żagiel rezerwowoy. „Spieszmy ku Ayamonte całą siłą żagli i wiosel; tam nas czekają nowe walki”—wołał kapitan.

Spieszemy tedy. Księżyc, którego wzdętą tarcz odstłoniły nam góry za nami pozostałe, chylił się ku zachodowi, by sobie wypocząć w nurtach oceanu. Jeszcze dwie godziny do wschodu słońca.

Już nas dochodzą zdaleka głosy warty hiszpańskięj z Ayamonte, i warty portugalskięj z Villa Real. Już się rzeka rozacza z obu stron na szerokie koryto, brzegi giną w nocnym pomroku, tylko stary Maurów zamek wyciąga swe wieże wysoko w niebo, i pilnuje białych jak śnieg dachów miasta Ayamonte, a tu na prawo portugalskie *Castro marin* wkracza redutą aż w środek Guadyany.

Zawijamy do przystani Ayamonte.

Tu nas czeka komendant portu stary, suchy, zwiędły hidalgo. Słyszał zdaleka wystrzały zwiastujące nasze przybycie.

— Kapitanie! chwili jednęj nie trać. Tu w bliskości ujścia krąży od wczorajszego wieczora silny bryg kontrabandyerski, i usiłuje zwabić do siebie przemycarzy z gór. Skuner portugalski pięciodziałowy nie da mu rady; nam przykazano w podobnych okolicznościach ująć się za naszymi sąsiadami. Gotuj się tedy kapitanie do obrony naszego brzegu, zabierz z arsenału przystani działa

na lawety, przydaje ci dziesięciu ludzi dla wzmocnienia twój załogi. Ile ci trzeba czasu na przeniesienie dział?

— Godzinę przynajmniej.

— Dobrze, przed wschodem słońca bądź w pogotowiu, i nie czekając dalszych rozkazów, wypłynij na morze; ale żadnej walki nie zaczynaj z kontrabandyerem nim cię nie zaczepi, bo to może Anglik: gotów na dyplomatycznej drodze upomnieć się o krzywdy. Ostróżnie z Anglikami. Ale powiedz kapitanie, coto za cudzoziemiec, co się tam krząta około twych rannych? to coś na Anglika zakrawa.

— *Sia Usted sim desconfianza, Commandante! es un amigo, un Polacco!* — Można mu zaufać, to przyjaciel; polecił mi go gubernator Estramadury i kazał zawieźć do Ayamonte. Pozwól tedy panie komendancie, bym ci go przy tej sposobności przedstawił i polecił twym względom; Ayuntamiento bowiem śpi w tej chwili, a ja w dalszą wyruszam podróż.

Nastąpiło ceremonialne przedstawienie, wymiana wzajemnych grzeczności.

— Wszystko dobrze, kapitanie, ale ja przy tobie pozostaję, dopóki nie odpędzisz nieprzyjaciela twego handlu i przemysłu; wielkim jestem zwolennikiem celników.

Kapitan przystać musiał na me życzenie.

Wszędzie ruch, zgiełk i wrzawa. Gwardya narodowa miasta Ayamonte stanęła pod bronią; z Villa Real de San Antonio dochodzi nas odgłos bębna. Przybyła tam kompania piechoty z Távira. Rozciągnięto kordon wojskowy naokoło miasta, mianowicie od strony północnej: ztamtąd zapewne przybędą gerylasy i rozniosą postrach i pożogę.

Działa żurawiem wniesione na pokład już spoczywają na lawetach. Luki od dolnego piętra zamknięto okiennicami, bo głębiej pod ciężarem spżu nurza się statek. Amunicya już także w miejscu; wszystko gotowe.

Drżą od wschodu jakieś srebrne, lekkie jak gaza obłoczki; rumienią się z radości, bo tam z wysoka już widzą zbliżające się słońce: przybywa złotowłosa młodzian, rozpędza pomrok nocy, i zalewa żywą purpurą całe niebo. Cały wschód w płomieniach; oceanu szmaragdowe fale igrają w połysku słońca.

I my już kołyszymy się na falach Atlantyku.

Na prawo od nas skuner portugalski zoczył punkt jakiś czarny ku zachodowi, i pędzi ku niemu, dając nam sygnał baczności; zwracamy się w tę stronę.

O mały strzał armatni od brzegów Portugalii, niedaleko ujścia Guadyany stoi wielki bryg czarno malowany. Żadna na maszcie nie powiewa flaga:—to statek kontrabandyerski trzymający morze. Zbliżony jest do brzegu o tyle, o ile jego głębokość dozwoli. Portugalczyk podsuwa się do podejrzanego statku i wzywa go do objawienia swój narodowości wystrzałem z działa, prochem tylko nabitego, i wywieszeniem narodowej flagi.

Kontrabandyer nic na to.

Portugalczyk jeszcze raz grzmi z działa, teraz już kulą nabitego, ale je wymierza na prawo od brygu. Żelazo zaryło po trzykroć fale oceanu, odbija się trzy razy, a potem tonie w jego nurtach.

Dumny kontrabandyer stoi w miejscu, potem powoli zwraca swój tył ku skunerowi. Kłęb dymu z niego wychodzi, kulą świszczy ponad masztami Portugalczyka, wpada w morze o kilkaset kroków za nim, silny odgłos roztrąca powietrze!

— Co to znaczy taki manewr?—zapytam kapitana.

— To znaczy: gadać z tobą nie chcę, choć mam silniejsze płuca. To brzydka odpowiedź, panie doktorze, to musi być Anglik: któżby miał odwagę uragać się w ten sposób z flagi portugalskiej?

Tymczasem i my się zbliżyli na połowę strzału armatniego pod statek. Za pomocą perspektywy doskonale można było widzieć, co się działo na brygu. Wielka spokojność na jego pokładzie, majtków zaledwie dwunastu, stoją oparci o galeryą okrętu, i spoglądają na nas bardzo obojętnie. Twarze mają ogromne, wygolone, czerwone, z jednej strony wypchane prymką.

— To Anglicy, to rzecz pewna—rzeknę do kapitana—ja nawet znam ten okręt, znam jego nazwisko, nazwisko jego patrona, i nazwisko portu do którego należy.

Istotnie, wywiczony długim doświadczeniem w rozpoznawaniu szczegółów budowy okrętu, poznałem, wprowadzony jednem wspomnieniem na ślad drugiego, że ten okręt ze zdjętą figurą na przodzie, szczupły ale długi w piersiach, niosący dwa maszty wysokie i na tył pochylone, był właśnie owym tajemniczym statkiem, o którym mój gospodarz w Falmouth w Cornwallii mówił, że na uczciwy statek kupiecki miał za długie nogi i za wąskie piersi:

owym statkiem, którego piękna, romantyczna Miss Diana była chrześną matką.

— *Cien mil bombas, senmor doctor!* jeśli to prawda, jeśli się nie mylisz, wówczas będziemy mieli kapitalną zabawę: zuchwalec raz zdemaskowany uciekać będzie jak zajac z wody. Przecież nie śmiałyby na własną swą rękę wydawać wojny Jój Królewskim gościom Izabelli Hgiój i Maryi da Gloria. Dalej panie doktorze, dalej na Boga, napisz trzy obiecane nazwiska—ręczę kapitan z najwyższą radością, i krzyczy na chłopca okrętowego: *Muchacho. Muchacho!* przynieś tu maźnicę z czarnym pokostem, przynieś pędzel i kawał żagla wielkości obrusa.

W mgnieniu oka junga przyniósł zażądane przedmioty, a ja napisałem na płótnie wyraźniej niż zwykle piszę, trzy następujące słowa:

„Diana—Davenport—Falmouth.”

Kapitan, by zwrócić na siebie uwagę kontrabandyera, kazał wciągnąć na szczyt masztu owę długą, wąską wstęgę, nazwaną po hiszpańsku *flamula*, a potem rozpięte na dwóch wioślach płótno kazał podnieść w górę.

Kapitan angielski spostrzegł nasz manewr i za pomocą perspektywy przeczytał trzy nazwiska. Oczom swym nie dowierzał: przeciera je, przeciera szkła perspektywy i jeszcze raz spoziera. Nareszcie woła sternika i każe mu patrzeć. Te same znaki zadziwienia daje sternik, potem kiwa głową jak automat i wraca do steru.

Kapitanowi Pedrillo serce rosnęło na widok sprawionego wrażenia.—Nie zawiodłeś mnie pan: *Viva Usted mil Annos* (żyj za to lat tysiąc); ani słowa, to oni, *Curajo!* zdarliśmy maskę szalbierzowi; zobaczysz, jak zmiatać będzie Anglik, aż się z niego zakurzy. Ha łajdaku, dam ja tobie! A precz mi ztąd rozbójniku morski!

Rzeczywiście okręt się wykręca, staje tyłem do nas, i z niego wychodzi... *co?*—kłęb dymu bardzo wielki, ale bez żadnego prawie huku i łoskotu, tylko z świstem jakimś niegłośnym. Dawszy taki znak życia kontrabandyer, wraca do swój dawniej postawy.

— Ale jaka hańba!—krzyknie kapitan Pedrillo zgrzytając zębami, jak gdyby febrą trzęsiony; krew ustępuje mu z oblicza, i zimny pot oblewa czoło.—Ach jaka hańba! widział pan co ten bezwstydnij hultaj zrobił?

— Widziałem, że się jakoś zakurzyło, ale nie widzę, żeby uciekał—odpowiedziałem ruszając ramionami.

— Ale wie pan, co taki obrót z takim kłębem dymu i poświstem znaczy w języku angielskim?... Panie doktorze, na Boga! pęknę ze złości.

— Domyślam się co to znaczy; zapewne: „nie dbam o ciebie“.

— Nie, tego nie zniosę; jak mi Bóg i honor drogi, tego nie zniosę. Kanoniery! nabijcie działo na tylnym kastelu najlepszym prochem i szlifowaną kulą, a ja sam mierzyć będę.

Kanoniery nabijają działo, kapitan zębami zgrzyta, z oczu pryskają mu iskry jak z krzesiwka.

Wtém się odzywa sentencyjonalnie nasz mądry, rozważny sternik:

— Istotnie, kapitanie! djablego wypłatasz mu figla, jeśli od pierwszego wystrzału tylny mu maszt zgruchotasz. Maszt spadnie na pokład, pokaleczy mu ludzi, nie da mu ruszyć z miejsca; wówczas dalej *obces* na kontrabandzistę, i *viva Sant Jago y Espana* zdobywamy statek, topimy Anglików, lub ich téż wieszamy na pozostałym drugim maszcie, jak nam ochota przyjdzie, ha! i mścimy honor Guadyany w krwi przemycarskiej! Ale jeśli chybisz kapitanie, co jest rzeczą najpewniejszą, wówczas bądź zdrów z nami; wszyscy ginieemy, i mysz okrętowa nie ocaleje. Kontrabandier niedługo się z nami bawić będzie: da kilka razy do nas ognia ze wszystkich swych koronad, i topi młodą Izabellę wraz z jój dziećmi.

— Chybię czy nie chybię, utonę lub nie utonę, ale hańby nie zniosę: wołę ginąć—odpowié kapitan ściskając piersi swe wydymane zapalczywością.—Dalej sterniku! daj statkowi obrót.

Młoda Izabella stanęła tyłem do zdemaskowanej Diany.

Kapitan spieszy do działła, klęka przed niém, mierzy; długo mierzy, obraca śrubę podpierającą ciężki spiż w prawo, w lewo, nareszcie wstaje i sam wydziera lont kanonierowi.

Serce nam biło wszystkim potężnie. Położenie nasze nie było godném zazdrości, to rzecz pewna. Los nas wszystkich zależał od trafności jednego wystrzału, zależał od ręki kapitana, a ta ręka drżała!

— Kapitanie! słuchaj raz jeszcze! Na Boga! zastanów się! Wystawić statek i życie czterdziestu bliźnich na los szczęścia jednój kuli, to rzecz nieludzka! Nie wyzywaj Boga! Flaga hiszpańska krzywdy nie ucierpiała, wszakże ona na maszcie nie powiewa jeszcze. Wolno psu na Pana Boga czekać.

— Wolno psu na Pana Boga szczekać?.. Ha! to filozofia tchórzów, którzy: żadnej hańby uczuć nie są w stanie. Flagi nie wywiesiłem? Junga! zdejmuj flammę, i wywieś flagę królowej! Jeśli dwie minuty pozostanie na szczycie masztu bez odebrania należnych hołdów, wówczas upomnimy się w imię Boga o jój prawa—przemówił kapitan rozkazującym głosem.

Flamma spada z wysokiego szczytu, a na jój miejsce wlatuje złoty lew Kastylii w karmazynowém polu.

— *Viva la Reyna!*—krzyknęła jednogłośnie cała osada okrętu dotychczas struchlała. Dobosze biją w bębny; od téj chwili nie szło już o fraszki, lecz o rzecz każdemu człowiekowi najdroższą: o honor narodowy. Czuł każdy w swém sercu ważność téj chwili, czuł każdy, że ręką swego przewodzczy rzucił śmierci rękawicę; ale nie drżał już i nie truchlał: uczucie szlachetne przemogło nad wszystkimi innymi względami, i stało się uczuciem rządzącém.

Kapitan wydobyl zegarek i wlepił nań oczy, w ręce prawej trzymając tlejący się lont.

Wszyscy staliśmy w milczeniu z odkrytymi głowami, jak gdyby oczekujący wyroku niebios.

Kontrabandier stał nieporuszony; osada jego spoglądała na nas głupio i obojętnie. Niejedna może z tych surowych, Merkurmu sprzedanych dusz, szydziła sobie z uczuć władających nami, z serc przed Bogiem stojących.

Ciężkie chwile oczekiwania, płonnego oczekiwania minęły. Kapitan schował zegarek, i badawczym wzrokiem spojrział na nas kolejno; czoło miał pogodne. I na mych oczach spoczął chwilę bystry jego wzrok, i na nich wyczytał wyraz *pal!* Dusza moja wrzała świętym gniewem przeciw tym kupcom, którzy w imieniu *szylinga* życiem ludzkim szafują.

— Brawo!— powiedział sam do siebie kapitan; ukląkł jeszcze raz przed działem, długo mierzył, ale tą razą pewną ręką; wstał, przytknął lont do zapalu: kula prochem porwana, tyłu ludzi modłami wiedziona, leci, pada na maszt nieprzyjacielski, trzaska go i wywraca na pokład.

„*Viva Sant Jago y Espana!*”—krzyknęliśmy wszyscy.

Byłato chwila w życiu mojem pamiętna, bo nie często byłem świadkiem tryumfu sprawiedliwości!....

Maszt nieprzyjacielski runął na pokład; Anglik w mgnieniu oka rozpiął żagle na przodzie okrętu, i umykał co miał tchu przed nami. Walił do nas uciekając, tą razą serdecznie dobrimi ku-

lami, ale spieszno mu było, źle mierzył, kule padały blisko, lecz żadna nie ugodziła młodą Izabellę. Byłyto kule ogromnego kalibru; każda byłaby statek nasz przedziurawiła na wylot.

I znikł nam wreszcie z oczu dumny kontrabandier, tylko maszt zrzucony w morze dostał się w ręce nasze: ciągnęliśmy go za nami, jako zdobycz zwycięstwa.

Powracamy do portu. Jakie tu uniesienie! Wszyscy nas witają hucznym radości okrzykiem: „*Viva el valeroso capitán Pedrillo! viven los bravos niños de la joven y gloriosa Isabel!*” (Niech żyje waleczny kapitan Pedrillo! niech żyją dzieci młodej i zwyciężki Izabelli).

Cieszył się lud, gwardya narodowa, żołnierze i księża, tylko się nie cieszył stary komendant portu. Stał z surową miną sam jeden w pełnym mundurze: twarz cierpka, chuda, zmarszczona, zielonkowata, zanurzała się do połowy w wysokim, złotem haftowanym kołnierzu.

— O źle!—rzecze kapitan—źle! Stary komendant wystąpił ze swą szczupaczą fizyonomią, i w swój najpiękniejszej skórze. Źle! zapewne zamyśla odegrać jaką heroiczną rolę w obliczu całej ludności; całe życie był zazdrosnym jak szatan: zwyczajnie jak hidalgo dawniej daty.

I kapitan także przypiął szpadę i szlify, zapiął mundur i przywdział kapelusze stosowany.

Statek przybija do bulwaru przystani; kapitan wysiada i idzie składać raport samemu zwierzchnikowi. Komendant słucha go w milczeniu, z miną poważną, tonie prawie cały w ogromnym kołnierzu swego munduru, nareszcie tak rzecze:

— Wszystko, coś mi właśnie raportował kapitanie, jest prawdą; sam bowiem z bastyonu zamkowego przypatrywałem się całej akcji, i pierwszy pospieszyłbym wieszować ci chlubnego jej końca, gdyby mnie, panie kapitanie, obowiązki nie zmuszały do sprawiedliwego, bezstronnego ocenienia twego postępu. Kapitanie Pedrillo! komendant straży celnej morskiej nie ma prawa postępowania sobie jako komendant marynarki królewskiej, i zaczepiać okręty nie złapane na gorącym uczynku kontrabandy. Szafowałeś życiem twych podkomendnych dla dogodzenia własnym wyobrażeniom o honorze; przekroczyłeś twe obowiązki, i dowiodłeś, że słabe jeszcze masz wyobrażenie o godności życia chrześcian. Wzywam cię przeto, kapitanie, do oddania mi szpa-

dy, i do oczekiwania w więzieniu zamkowym odpowiedzi z Madrytu, to jest opinii naszego ministerjum.

— Słabe mam wyobrazenie o godności życia chrześcijańskiego?—zapytał sam siebie kapitan oddając szpadę, drżąc i blednąc ze złości.—Oh! panie komendancie! niegodna to przymówka; wiem do czego ją stosujesz! Dziękuj Bogu, że twa niedołężność i zgrzybiałość osłania cię od mego gniewu.

— *Muera el viejo sollo!* Niech ginie stary szczupak!—krzykliwych uliczników odprowadzając komendanta do domu, i sutą mu sprawili kocią muzykę.

Kapitan Pedrillo otoczony licznym orszakiem obywateli, gwardzistów narodowych, nawet oficerów liniowych, piął się po spadzistej ulicy ku bramie starożytnego zamku. I ja mu towarzyszyłem; za wstawieniem się księży i oficerów uzyskałem nawet pozwolenie odwiedzania go w więzieniu, dla opatrywania rany.

— Kapitanie! czemuż cię tak wzruszyły słowa komendanta portu? jakaż to przymówka tyle cię obesztła, żeś zbladł z gniewu, jakby piorunem rażony?—pytałem go jeszcze tegoż samego dnia.

— Inną razą pomówimy o tém, dziś zanadto jestem wzruszony, jeszcze mi cierpnie serce na samo wspomnienie wyrządzonej mi zniewagi—odpowiedział kapitan blednąc i odwracając głowę.

Szczególne rzecz! pomyślałem sobie: nasz kapitan tak się obruszył wyrzutem postępowania niechrześcijańskiego, jak gdyby się poczuwał do krwi starozakonnej. Wiem o tém wprawdzie, że są w Hiszpanii żydzi, którzy tylko pozornie na wiarę chrześcijańską przeszli; Mendizabal, niegdyś wszechmocny minister Donny Krystyny, ma do ich liczby należeć. Pan Borrow misyonarz angielski, który długo w Hiszpanii podróżował, utrzymuje nawet, że pomiędzy biskupami katolickimi miał się znaleźć żyd zaczajony; ale Pedrillo choć ma twarz bardzo charakterystyczną i istotnie coś orientalnego przypominającą, nie wygląda wiele na żyda, bije się jak bohater i o żadnych spekulacyjkach nie rozmawia. A zresztą choćby i był żydem, wszakże i Machabeusze byli żydami, i pan Cerfbeer generał francuzki jest żydem: to mu wcale nie ujmie wartości w mych oczach. Widziałem go przy dziele zimnym i odważnym, walecznym jak lew: takich ludzi się szanuje w każdym narodzie.

I nie pytałem kapitana więcej o przyczynę jego nagłego gniewu, choć go odwiedzałem codziennie po dwa razy. Stan jego zdrowia wymagał tego, zapadł bowiem w skutku rany i doznanych cierpień moralnych na gorączkę żółciową, w krajach gorących prawie zawsze bardzo gwałtowną. Ale on sam poznawszy mnie bliżej, i widząc, że mu bardzo sprzyjam, przypomniał sobie, że mi winien odpowiedź i wyjaśnienie.

— Chciałeś pan wiedzieć, panie doktorze—rzekł do mnie Pedrillo—czemu mnie tak boleśnie trafił zarzut uczyniony mi przez komendanta. Teraz panu mogę objawić przyczynę tego żalu; widzę bowiem, że nie dzielisz nieszczęsnych przesądów mego narodu. Zarzucają mi niechrześcijaństwo, wiesz czemu? oto dlatego, że przodkowie lat temu przeszło dwieście pięćdziesiąt nie byli chrześcianami. Jestem z pokolenia Maurów, jestem potomkiem dzieci wydanych na świat w więzieniach inkwizycji przez matki na śmierć skazane, a później po rozwiązaniu publicznie spalone. Siedmset przeszło takich dzieci litość króla Filipa IIgo uchroniła przed śmiercią, grożącą im jeszcze przed urodzeniem. Nie wiem, czy w całej Hiszpanii dwieście jeszcze pozostaje potomków tych biednych istot; a jednakże my, choć tak nieliczni, dźwigać musimy po dziś dzień cały ciężar dawnych przekleństw inkwizycji, i dziś jeszcze istniejących przesądów. Nie wiemy komu winniśmy nasze poczęcie, kto nas rodził; urodzeni jesteśmy w wierze chrześcijańskiej, i szczerze do niej przywiązani; nie znamy innego języka prócz hiszpańskiego, innej ojczyzny prócz Hiszpanii; bronimy sławy naszego kraju z poświęceniem bez granic, zasługujemy się Hiszpanom gdzie tylko możemy i jak tylko możemy, każdy nam to przyznaje, a jednakże, coto wszystko pomoże? Ciśnie nas dotąd całe brzemie przekleństw i przesądów, które naszym pradziadom grób wykopały. Hiszpan, a szczególnie hidalgo hiszpański, dumny a niedołyżny, nie przepuści żadnej sposobności upokarzania nas w tém, co nam jest najdroższém:—w naszym honorze; który przecież wart tyle, co honor każdego Hiszpana. Oto pan znasz teraz powody mego nagłego gniewu, mego zmartwienia i méj choroby. Nie pierwszy raz w mém życiu podobnych doświadczam zgryzot; gdyby nie ta krew maurytańska, której kilka kropli jeszcze w mych żyłach płynie, byłbym już generałem oddawna; me dekoracye, me rany dowodzą, że się umiał bić za mą ojczyznę. Ale najczęściej zamiast nagrody trafiały mnie wyrzuty i przesławiania, jak tą razą: i odznaczywszy się w dwudziestu bi-

twach, oddawszy cały mój majątek dla sprawy publicznej, utraciwszy nogę, czémże zostałem nareszcie?—kapitanem małej galery przeznaczonój do służby celnój, celnikiem, nic więcéj. Urzędnikiem tak poślednim, że taki pan komendant, który nigdy w swém życiu w żadnój nie był bitwie, może mnie areztować, więzić, może nawet o stratę miejsca przyprawić.

— Pojmuję twe zmartwienie, kapitanie—rzekłem do Pedrilla—pojmuję twe zmartwienie tém lepiéj, żem się zrodził w kraju szczerze religijnym, bardzo katolickim, a jednakże woluym od takiéj potwornój nietolerancyi. Powiédz mi kapitanie, czy te upokorzenia i niesprawiedliwości nie zstępują w was miłości do kraju i do rodaków? Czy nie zazdrościcie nigdy owym potomkom waszych pradziadów, którzy się pod niebem Afryki rodzili?

— Imy także cierpimy, ale ojczyznę naszą hiszpańską szczerze kochamy i o innój nie marzymy nigdy. Nie zazdrościmy bynajmniej Maurom afrykańskim: to ród dziś bardzo znikczemniały, żadnego z nim nie mamy punktu zetknięcia. W pamięci naszój przechowujemy dawne, świetne dzieje naszych pradziadów; ale to nam służy jedynie za pobudkę do szlachetnych czynów, z których Hiszpania korzysta. Maurowie uważają nas za odszczepieńców; biada nam, jeśli który z nas dostanie się w ich ręce! Bystry mają wzrok i w każdym odkryją choćby najmniejszy ślad krwi maurytańskiej. Po wypadkach 1823 roku, po ugaszeniu za pomocą francuzkich bagnatów rewolucyi, wynikłéj z wpływu ducha francuzkiego, młody jeden oficer inżynieryi, potomek dawnych Maurów, a syn powieszonogo niby za zdradę kraju generała Torrixa, chrońjąc się przed podobną śmiercią uszedł do Tangeru, a ztamtąd protegowany przez konsula angielskiego, dostał się do Maroko. Panował wówczas w tym kraju Muley Abd-er-Hamman, piąty czy dziesiąty, i widząc w młodym człowieku wielkie zdolności, namówił go obietnicami świetnój przyszłości do wyrzeczenia się chrześcijańskiej wiary. Młody Torrixo uległ nadziejom, obietnicom, a podobno i miłości; zmienił religią, mówią, że tylko pozornie. W krótkim czasie nauczył się języka arabskiego, został bejem, tojest pułkownikiem, potém baszą, a nareszcie ministrem wojny. Cesarz dał mu własną córkę za żonę; miał ich wprowadzić z ośmdziesiąt na wydaniu. Rok rocznie nawet starał się ścięśnić węzeł pokrewieństwa pomiędzy sobą a młodym Torrixo, który przybrał nazwisko Hassana-Paszy; rok rocznie dawał mu świeżą córkę za żonę, tak, że ich zięć cesarski miał aż cztery za sobą.

Hassan-Pasza był prawie wszechwładnym, opływał w niewyczerpane bogactwa, seraj miał liczniejszy jak trzoda, a konie piękniejsze jak sam cesarz. Przez lat blisko dziesięć Torrixo umiał się utrzymać przy władzy i wzięciu, co jest rzeczą nadzwyczajną w tym kraju, gdzie koło fortuny tak się szybko toczy. Nareszcie umiera Ferdynand VII król hiszpański, stronnictwo konstytucyjne znów górę bierze. Hiszpanie jęczący na wygnaniu wracają do ojczyzny. Dowiaduje się o tém Hassan-Pasza w Larrasz, w twierdzy marokańskiej, położonej na brzegach oceanu. Wspomnienia młodości, sprawa dla której ojciec stracił życie jako męczennik, uczucia miłości do kraju i narodu, budzą się w duszy potężnego baszy. Okręt hiszpański na którym powiewa złoty lew Kastylii właśnie stoi w przystani, właśnie kotwicę wyciąga, i przy radosnym śpiewie wraca do ojczyzny.

Hassan-Pasza już nie należy do siebie: jego dusza wróciła na rodzinne niwy, kędy tętnią dzwony kościelne i rozlega się śpiew chrześcian. Hassan-Pasza musi biedz za swą duszą. Zdziera ze siebie turban i baszowską oponczę, zdiera dyamenty i depce je nogami, wsiada na okręt, powraca do Hiszpanii, i staje jako Alfons Torrixo, jako podporucznik inżynieryi. Dziś już jest majorem. Prawda, że mu ustrzelili Karliści po Bilbao rękę lewą, ale pozostaje mu jeszcze prawa: zresztą to nie żal, choć to boli i niewygodnie — dodał kapitan Pedrillo, patrząc na własną drewnianą nogę.

— A rodzina Hassan-Paszy, a jego liczne żony, cóż się z nimi stało?—pytam kapitana.

— Żony Hassana-Paszy? Muley Abd-er-Hamman kazał je wydusić za to, że nie umiały sobie przywiązać męża, za to, że wilk wrócił do lasu; a niewolnice, których było z kilkaset, sprzedane na targowisku.

— A zatem, kapitanie, bądź co bądź, najlepiej jeszcze w rodzinnym kraju.

— Najlepiej, panie doktorze, doprawdy najlepiej.

— Podajmy sobie ręce, kapitanie: *viven las almas generosas!*

— *Viva Sant Jago y Espanna!*—odpowiedział potomek Maurów.

Odpowiedź z Madrytu nadeszła. Ambasador angielski nie reklamował. Kapitan Pedrillo wrócił do swych obowiązków, i dziś jest komendantem portu w Ayamonte.

II.

Księżniczka z domu Boabdila.

Już od tygodnia bawię w Ayamonte, w tém mało znaném miasteczku, położoném prawie tuż nad ujściem Guadyany do Atlantyku, wzniesioném na podnóżu gór, a tak ładném, schludném, białém. Miejsce to było niegdyś stolicą emiratu maurytańskiego, w dziedzińcu tego groźnego, dziś napół zniszczonego zamku, odbywały się tak sławne turnieje, że rycerze znad Rodanu, ba! nawet znad Renu doń przybywali kruszyć kopije, zdobywać wieńce waleczności i uroczne uśmiechy młodych, przeslicznych niewiast.

Dziś Ayamonte nie jest już czém było. Podwoje książąt maurytańskich przemieniono na magazyny wojskowe, na koszary i więzienia, obszerny dziedzieniec porósł chwastem i zjadliwemi zioły, padalce i jaszczurki wkradły się do podziemnych krużganków, a zamiast bonzy wzywającego do pacierzy, puszczyk jęczy na wieży meczetu, i straszy swym złowróbnym głosem zabobonne Andaluzki.

Nawet te klasztory, które wzniosły się po ustąpieniu Maurów z Hiszpanii, i przytułek dawały tylu biédnym i nędzarzom, od lat kilku stoją opuszczone. Już tu sowy powybijają okna, i torują drogę szatanom zniszczenia, już pasożytne zielska dławią te piękne akacje, granaty i pomarańcze.

Jeden tylko klasztor opiera się zniszczeniu: to klasztor Urszulinek. Dobreto i nabożne panny, miasto je kocha i edykta Mendizabala nie pomogły. Miasto nabyło budynek wystawiony na sprzedaż, i napowrót osadziło wygnane zakonnice. Dziś ten zakład już nie istnieje kosztem rządu, ani własnych dóbr dochodem, lecz wolą obywateli, ich współczuciem i miłosierdziem. Prawda, nowych już zakonnice przyjmować niewolno; ale te, które dziś jeszcze istnieją, nie wymrą tak prędko; tymczasem wiele rzeczy stać się może na tym świecie: pozostaje Urszulinkom nadzieja, ten błogi, niewyczerpany żywioł szczęścia!

Ja mieszkam w najlepszym hotelu miasta, w *Fonda de las hermanas mudas*, w oberży sióstr głuchoniemych.

Istotnie, boginie tego domu były głuchonieme, już niemłode panny, chude i suche, ale wesołe i dobre, choć mówić nie umiały, albo może właśnie dlatego, że mówić nie umiały. Dom ich był prawdziwym wzorem porządku i czystości; wszystkie

potrzeby każdego podróznego zawczasu przewidziane: ten lubił wesołość, życie i wrzawę, dano mu tedy stancyą, której okna wychodziły na dziedziniec; tamten potrzebował samotności i cichości, dano mu tedy pokój na ustroniu, którego okna wychodziły na ulicę. Taki bowiem w Hiszpanii południowej charakter: życie skupia się w domach tam, gdzie jest cień, chłód i ciągle wytryskująca z fontan woda; życie znika z ulic, gdzie słońce dokucza, gdzie bruk rozgrzany piecze w nogi. Klimat zmusił Hiszpanów do przybrania od Maurów zwyczajów ludu wschodniego.

Co wieczór wesołe *tertulie*, to jest zabawy towarzyskie niespraszane, na dziedzińcu domu siostr głuchoniemych. One tak lubią śmiechy, romanse i tańce, choć same ani słyszą, ani tańczą, ani téż romansują! Lwem naszych tertulij, najlepszym tancerzem, najweselszym opowiadaczem, śpiewakiem i gitarzystą był ksiądz wikary z Ayamonte. Nie wystawiajmy sobie bowiem, żeby ksiądz hiszpański był zawsze tak ponurym, chytrym i czarnym, jak go tuzinkowe romanse opisują; bynajmniej. Ksiądz bierze tutaj często serdeczny udział we wszystkich sprawach familijnych; raz odbywszy swe funkcyje religijne w kościele, miesza się ze wszystkimi klassami ludu jako przyjaciel, poradzca lub téż poprostu jako uczestnik.

Nasz ksiądz wikary, młody, piękny i umysłowo wykształcony, często nas nawiedzał: opowiadał co się dzieje w mieście i w świecie, potem przygrywał na gitarze, zanucił smętną balladę maurytańską, hymn bohaterski o Cydzie i o generale Riego, piosnkę wesołą o czarnookiej Andaluzce, a potem dał się uprosić, zdjął swą rewerendę, pozostał w krótkim, pstro wyszywanym lejniku, w krótkich czarnych, opiętych spodniach, w długich jedwabnych pończochach, trzewikach ze sprzączkami, i zatańczył naprzód poważnego Fandango, a nakoniec, przeszedłszy stopniowo skoczne Bollero, wesołą Arragonezkę, zakończył na romantycznej i namiętnej Caciuci.

Lwicą naszych tertulij była młodziuchna mężatka, matka dwunastoletnia, istota, jaka tylko pod błogiem, płodnym, życiodawczym niebem Andaluzji urodzić się i rozwinąć może.

Donna Maria Pastora de Dias Serenos y Torres Alamillas łączyła w swój prześlicznej osobie wszystkie uroki dzieciństwa, i wszystkie ponęty dojrzałego wieku. Niewinna i wesoła jak dziecko, troskliwa o swe niemowlę, które ją nigdzie nie odstępowało, czasem na chwilę smętna i zamyślona: przedstawiała wi-

dok, któryby i najtwardsze serce był rozrzewnił. Mąż jój powołany pod sztandary w kilka tygodni po ślubie, opuścić ją musiał nim jeszcze minął cukrowy miesiąc dla młodego stadła. Dziecię to urodziło się kilka temu miesięcy; młodziuchna matka sama je karmi.

Ale te obowiązki, te smutki, wcale nie przeszkadzają Hiszpankom bawić się, skoro tylko nadarzy się sposobność. Młodość tu prędko przemija, a długo trzeba żyć jój wspomnieniami.

Coś jest w tój wesołości andaluzkiej czarującego, porywającego. Widząc te dzieci pogodnego nieba śmiejące się, śpiewające i tańczące, każdy się ośmieli do śmiechów, do śpiewu i do tańca, nawet najzimniejszy człowiek. Raz uchwycony duszą takt owój ochoczej choć monotonnej muzyki, przechodzi pomimowolnie w ręce i w nogi; ręce wyciągają się pomimo naszej wiedzy do owych tęsknych, namiętnych ruchów, nogi nas unoszą, a oko? oko śledzi w oku tanecznicy odgłosu tych niewypowiedzianych uczuć, które nas przejmują jak sny młodociane, i znajdzie zawsze ten odgłos. Taniec andaluzki nie jest tańcem: jest on mową tém wymowniejszą, że jój słów żaden filolog w słowniku spisać nie zdoła; jest on więcj jak to, jest on moralném połączeniem się dwóch dusz, nekanych zmysłowością.

Zdradliwyto taniec; nie chciałbym żeby go nasze Polki знаły.

Okolice tego zachodniego krańca Andaluzji nie celują malowniczością, ale świetnieją bujnością vegetacyi; a co więcj, są dobrze uprawne. Klęska wojny już oddawna nie dotknęła tych odległych niw bezpośrednio, nie wrzały tu nigdy polityczne namiętności. Prawda, że bratobójcza walka rozdzierająca Hiszpanię, pozbawiła i te okolice wielu rąk roboczych; ale kobiety starały się zastąpić mężczyzn, powołanych do służby wojskowej. Żal mi nieraz ścisnął serce na widok tylu młodych, zaledwie z dzieciństwa wyrosłych dziewcząt, których kształtne, pełne gracyi kibicie, ugiwały się jak trzcina pod ciężarem wielkich snopów kukurydzy. Było coś uroczystego, poszanowanie wzbudzającego, w tych twarzach tak smętnych, zękanie i cierpienia wyrażających. Przechodziły koło mnie piękne jak Cerery, i choć nieznanego, choć cudzoziemca witały dzwicznemi słowy: „*buenas dias a Sennor Caballero!*” dzień dobry panu kawalerowi; lub tóż: „*vaya Usted siempre con Dios, Sennor*“ niech ci Bóg zawsze towarzyszy, panie!—Potrzeba grzeczności wrodzona jest temu poczciwemu ludowi, który się przecieź brzydzi wszelką unizonością.

Byłoto w drugiej połowie maja. Już się tu rozpoczęły zniwa, zbierano jęczmień, pszenicę, różne rodzaje grochu, a nawet i kukurydzę.

Pszenica andaluzka jest tak dobrą, jak nasza sandomierka; ziarno choć większe, cieniutką ma łuskę i białe jest jak śnieg. Mąka, którą wydaje, pulchniutką jest jak najdelikatniejszy puder.

Dziwnym tu sposobem wymłacają ziarno. Na wielkiem, marmurowemi taflami wyłożoném bojowisku rozkładają snopy, a potem na nie wpuszczają sześć do ośmiu koni tak wyuczonych, że pozostając ciągle w jednym szeregu, wolno postępują naprzód, i ciągle małemi krokami deptają w miejscu.

Wino tu uprawiają tylko na południowój ścianie góry, przegradzającój północny widokrąg. Cały schyłek przemieniano powoli w olbrzymie schody, murami podpierającemi ziemię. Ze sto szeregów tego muru piętrzą się jedne nad drugimi aż na sam szczyt, a mury te zasłonięte winnymi liśćmi, wyglądają zdaleka jak schody Tytanów, prowadzące do nieba. Tylko młodego wina dostać tu można: rozeszli się OO. Kapucyni, rozpierzchli się księża Dominikanie, z niemi jakoś zatracił się sekret przechowywania i doskonalenia win téj sfery.

Najlepsze grunta przeznaczone są na jarzyny, włoszczyzny i warzywa, udające się tutaj najwyborniej. Mało patatów, to jest ziemniaków, mało kapusty, ale za to bardzo wiele pysznych melonów, arbużów, pieprzu tureckiego i selerów: jarzyny tak potrzebnej w tym ognistym klimacie; wiele sałat, kalafiorów, szparagów, karczochów i *oberginas*, rodzaju ogórka koloru fioletowego, który przerznęty wzdłuż, piecze się, polany oliwą, na gorącym popiele. Wiele także ananasów i *garbanzów*, to jest grochu okrągłego, wielkiego jak orzech laskowy, bardzo smacznego, a nieudającego się nigdzie jak w południowój Hiszpanii.

Woda potrzebna do odwilżania gruntów pochodzi częścią ze źródeł wytryskujących z gór, częścią z studni, z których, za pomocą bardzo prostój mechaniki, wół lub osiel obracając kołem dźwiga wodę i zlewa ją bezustannie w rynny, rozprowadzone w pola.

W stronie północno-wschodniej pół znajduje się jeszcze jedna z owych monumentalnych studni, któremi, dbali o dobro publiczne Maury, kraj ten niegdyś obdarzyli. Studnia ta przeszło 130 stóp głęboka, mająca średnicy 25 stóp, ocembrowana jest samemi z granitu ciosanemi głazami, a wodotrwałym cementem spojonymi tak szczelnie, że żadnego nie dostrzeżesz odstępu po-

między głazami. Schody granitowe, na półtrzeciej stopy szerokie, prowadzą wokoło wnętrza studni ślimakiem aż do spodu. Temi schodami dojść można łatwo aż do samego zwierciadła wody, nigdy niebrakującej, ale nie radzę nikomu puszczać się w tę podróż bez lampy, i pozostać w otchłani skoro ta zgaśnie; osiada bowiem tutaj kolumna kwasu węglowego, mogąca każde żyjące stworzenie zadusić.

Proboszcz miasta Ayamonte wraz z tutejszym księgarzem, nawet spowiednik panien Urszulinek, tolerowanych w Ayamonte dlatego, że się do polityki nie mieszały: słowem wszystkie znakomości naukowe miasta utrzymują, że istnieje podziemna droga pomiędzy zamkiem maurytańskim strzegącym miasta, a wnętrzem studni; która, jak to gruzy dotychczas dowodzą, kiedyś była fortyfikacyami opasaną. Utrzymują nawet, że Maurowie nadzwyczajnie biegli w sztuce hydrauliki, umieli osuszać studnię i sprowadzać jej wody aż do zamku, i że przekradając się tą drogą z zamku w czasie oblężenia, oblegającym tył zabierali.

Nie byłem w stanie sprawdzić tych szczegółów, pomimo najusilniejszych experymentacyj z tyczkami. Wiem wprawdzie, że się Maurowie dłużej trzymali w Ayamonte jak w reszcie Andaluzji; wiem, że świetny emir Natszir-al-Kharun potrafił ująć ze swego zamku z znaczną częścią załogi i przedrzeć się aż do ujścia Guadyany, gdzie go oczekiwały statki Berberów: ale nie wiem, czy to figlom hydraulicznym przypisać należy.

Mamże jeszcze opisywać wegetacją tego błogosławionego kraju? Widziałem ją w najpiękniejszym swym rozwoju, jeszcze świeżą, jeszcze ani pyłem przypruszoną, ni słońcem zwarzoną. Widziałem granaty jak pęki rubinów, pomarańcze piękniejsze jak złocone jabłka, palmy wysokie jak nasze topole, a wysmukłe jak trzcina; akacje kwitnące milionem najpyszniejszych motyli, aloesy noszące swe drgające kielichy na cienkich, długich włóczniech. Widziałem cyprysy, modrzewie, klony, laury, drzewa świętojańskie; widziałem wszystko, co ta piękna ziemia wydała pysznego, i w zubóstwieniu natury ronilem łzy szczere i Bogu dziękowałem, że mi było daném nasycić się serdecznie widokiem Jego utworów.

Korzystając z mego położenia przechodniego, pełniąc dobrowolnie przyjęte obowiązki lekarza garnizonu, pozostałem w Ayamonte dni kilkanaście. Czas mój wolny przepędzałem w gaikach

i na polu, w ciągłej, ścisłej styczności z matką naturą, przemawiającą zawsze tak wymownie do mego serca.

Odgłos oceanu szumiącego tak uroczyście, dźwięczne tętnienie dzwonów kościelnych, zapach atmosfery wzruszanej morskim powiewem, tęskny śpiew rolników, wracających do swych kwiatami porośniętych siedzib: oto skromne, ale ulubione, ale niewyczerpane żywioły mego szczęścia. Dumny byłem, że tak mało mi wystarczyło aby być szczęśliwym, że ludziom tak dobrym i szlachetnym, tak hojnie przez Boga obdarzonym, mogłem stać się użytecznym. Nikomu wówczas nie zazdrościłem, i z rozczuleniem uznawałem, że nie jest nieszczęśliwym człowiek, którego cała dusza może się zapełnić uczuciami wdzięczności i ubóstwienia dla swego Stwórcy; uczuciami, które ani wspomnienia przeszłości zatrzeć, ani obawa przyszłości strwożyć, zdeptać nie zdołają. Żyjąc całkiem życiem terażniejszości, napawałem się jak gdyby przecuciem jakimś do tego wzywany, wrażeniami chwili, w której wpływ nieba w sobie czułem; gromadziłem w mej pamięci wszystkie czyste rozkosze momentu, jak owa mrówka, przewidująca długą zimę.

Tak jest, dusza moja była wówczas w ciągłym stanie błęgiego zachwycenia; po długich cierpieniach odpoczęła w ręku Boga, nie dbając o to, co się na ziemi dzieje.

Nawet mnie na chwilę przestała trapić tęsknota.

Dusza ludzka powinna czasem umieć się usamowolnić z węzłów i więzów tej ziemi, wznieść się do swój niebieskiej ojczyzny, i pokrzepić się zapomnieniem, choć krótkotrwałym, tych drobnych namiętności, w których niejeden człowiek zatracą wiedzę swój wyższej istności.

Razu jednego, wracając wieczorem z wycieczki, zabłądziłem w labiryncie krętych ścieżek, wijących się na podnózu góry. Mnóstwo małych chatek otoczonych ogródkami, rozsianych było tu i owdzie na różnych wysokościach podnóza. Żywe płoty splecione z aloesów, kaktusów, bluszczu, granatów, kwitnącego jaśminu i kapryfolii, odgraniczały jedno pole od drugiego, i tak się wysoko pięły, że mi wszelki widok na miasto przejmowały. Nie wiedziałem gdzie jestem i którądy wrócić do domu. Pukam do jednej chatki, nikt mi nie odpowiada; widać, że gospodarstwo jeszcze w polu. Pukam do drugiej, tu tylko kilkoro dzieci pozostało, a te pierzchają przedemną. Nareszcie dochodzi mnie głos tęsknego śpiewu z innego ogrodzenia, zpoza którego wznosił się dach schludnie posyty liśćmi palmowemi.

Głos ten nie jest mi nieznanym, mówię do siebie; ale nie! myślę się zapewne, kogóżbym tu znał w téj okolicy tak odosobnionej od miasta?

Stając pod żywym płotem, usuwam starannie liście i kwiaty przejmujące widok, zazieram do ogródka, i spostrzegam dziecko jakieś spore, tyłem do mnie obrócone i na murawie siedzące. W lekkim było stroju, na nogach nie miało prócz płyciuteńskich sandałków; kusa spódniczka z surowego jedwabiu, szerokim, czerwonym, w zęby wykrojonym szlakiem ozdobiona, spadała niewiele dalej, jak do kolan; koszulka tak zsunęła się z szyi, że prawie całe plecy były obnażone. Włosy rozplecione ronily się jak czarna katarakta w bogatych kędziarach na barki i na ziemię. To dziecko z tak długimi włosami, kołysało na swych kolanach inne jeszcze dziecko, jakieś niemowlę, nie większe jak dobra lalka, i nuciło mu srebrnym, czystym głosem smętną piosenkę o Grenadzie, upadku Maurów i rozpaczy króla Boabdila. Do dziś dnia brzmią mi w uszach tęskne nuty téj ballady, i słowa te nigdy z méj nie wyjdą pamięci.

Passabase el rey Moro,
Por la ciudad de Granada,
Desde las puertas de Elvira,
Hasta las de Vivarambla.

Ay de mi, Alhama!

Cartas le fueron venidas,
Que Alhama era ganada;
Las cartas echó en el fuego,
Y al mesagero matava;

Ay de mi, Alhama!

Hombres, ninnos y mugeres,
Lloran tan grande perdida,
Lloraban todas las damas
Cuantas en Granada avia

Ay de mi, Alhama!

Por las calles y ventanas
Mucho luto parecia,
Llora el rey como fembra,
Que es mucho lo que perdia

Ay de mi, Alhama!

Król Boabdil jechał konuo
Przez miasto Granadę,
Od bram Elviry,
Aż ku twierdzy Vivarambla.
Biada mi, Alamo!

I listy mu wręczono.
Że się poddała Alama;
Listy spalił w ogniu,
Posłańca zaś ubił na miejscu.
Biada mi, Alamo!

Mężę, kobiety i dzieci,
Placzeie téj wielkiej straty.
Placzą damy we wszystkich oknach,
He ich było w Granadzie.
Biada mi, Alamo!

Na ulicach i w świątyniach,
Wszędzie wielka panuje żaloba,
Placze król jak kobieta,
Bo dziś spadła jego korona.
Biada mi, Alamo!

Jakim sposobem ta pieśń Maurów zaleciała aż tutaj, i stać się mogła pieśnią ludu tak nieprzychylnego dawnym panom Hiszpanii? — pytam sam siebie. — Zobaczmy, przemówmy do téj dziewczynki, co tak młoda, a tak tęsknie śpiewa.

— *Mi ninna, quieres decirme por gracia, para donde esta el camino de la ciudad?* (Moje dziecko, chcesz być łaskawe powiedziéć mi, którędy droga do miasta)?

Głos mój uderzył jak piorun w młodą dziewczynkę; żywy rumieniec odbił się purpurą na jéj obnażonych plecach, stuliła się jak gołębica, i cała się otoczyła kędziorami swych bogatych, czarnych jak heban włosów.

— Ach panie doktorze! *ah virgen purissima!* podchodzić mnie jak zwierzyńcę, tak ukradkiem, to niepięknie! My wszystkie myślały, że pan święty: tak pan dobrze skromnego udawał. Powiem to głuchoniemym siostróm, powiem, jak mi Bóg miły!

Istotnie, to dziecko, ta dziewczynka, byłato powabna Donna Marya de Dias Serenos, matka owego niemowlęcia.

— Przysięgam ci na honor, piękna Donna Maryo, zem cię nie podchodził; ślepy traf wszystko zrządził. Od godziny już błądzę w tym labiryncie, i wyjść nie mogę z niego. Nie mogąc się nigdzie dopytać o drogę, usłyszałem głos pani zdaleka, i za nim przybyłem aż tutaj. Głos twój słowiczy mnie tu zwabił; gniéwaj się na niego, ale nie na mnie, o Donna Maryo! Ale pani! co tu robisz w tém ustroniu, u kogo tu jesteś?

— Cha, cha! jestem w moim własnym pałacu, w mojem królestwie! Ale czy mnie pan widzisz zpoza płotu?

— Zaledwie słabe rozeznaję zarysy jakiegoś krzaku czarnego, poruszającego się na murawie.

— Doprawdy? nic pan nie widzi więcéj?

— Nic a nic; spostrzegam także coś białego, okrągłego, co wygląda zpod tego krzaka; to zapewnie.....

— To nic, Don Teodoro! Odwróć się pan i zamruż oczy, proszę; służę za chwilę, tylko mego Pablita odniosę do domu.

— Już oczy me zamrużone!

Donna Marya, lekka jak antylopa, skoczyła na swe nagie nóżki i pobięła do chatki, tuląc do łona swe dziecko. Wróciła niebawem z mantylą na głowie, w białych pończochach i płyciuteńkich trzewiczkach, i otworzyła furtkę, prowadzącą do ogrodu.

Śmiała się do rozpuku ładna, mała istota; owym dźwięcznym, srebrnym głosem niewinności.

— Więc pan istotnie nie wiedziałeś, że biędna Pastora, przędząca od rana do wieczora u siostr głuchoniemych, jest kaszteleńką tego pałacu?

— Któżby mi miał to powiedzieć? siostry głuchonieme nie mogły, pani nie powiedziałaś, a pytań niedyskretnych nikomu nie zadaje.

— To prawda. *Usted es un verdadero Caballero!* pan jesteś prawdziwym kawalerem. Patrz pan, wszystko to do mnie należy: ten pałac, ten ogród, pole, lasek oliwny i te obory; wszystko.—Spojrzałem wokoło. Ogród był wielki jak sala balowa, pole jak dziedziniec, pałac był chatką, lasek składał się z kilkunastu drzew, a w oborach mogły znaleźć miejsce osieł, koza i kilka owiec.

— Cha, cha, cha!—śmiała się znów Donna Marya de Dias Serenos—Cha, cha, cha! smutne coś powzięłaś wyobrażenie o mojem bogactwie; a to jednak mój raj i moje szczęście, i wystarczy nam na utrzymanie, byle tylko wrócił mój kochany Don Valerio. Widzi pan, to pole daje nam chleb, kozy mleko, te pomarańcze wety, oliwki światło dla lampy na uczczenie naszej patronki, drzewo sprowadzamy z gór naszym osiołkiem, mamy wełny i jedwabiu podostatkiem, a na trzewiki wystarczy sprzedaż naszych włoszczyzn; ryby zaś sam Valerio łowi, i na niedzielę królika zabije w tej puszczy, tam na górach; podatki zaś płaci przepisując akta rady miejskiej, mój mąż bowiem jest uczonym, zna nawet łacinę.

— A któż teraz uprawia wasze pole?

— Dobrzy sąsiedzi i sąsiadki. Ja nie mogę, słaba bowiem jestem już z natury, i karmić muszę moje dziecię. Ja znów wywdzięczam się mym sąsiadom szyciem i przedzeniem, i tak żyjemy, lepszych wyglądając czasów. Bodajby przyszły jak najprędzej! Ale wstąp do mego domu, panie doktorze, i uczcij mą patronkę.

Jedna izba, nie więcej, ale dość obszerna, czysciutka: kominiek w jednym kącie, łóżko białe jak śnieg w drugim, tu obraz Matki Bożkiej pasterskiej, przed nią pali się lampka.

Złożyłem hołd patronce tego domu, pocałowałem śpiące dziecko, pokłoniłem się matce na znak, że ją we własnym witam domu. Taki bowiem zwyczaj w Hiszpanii, taki i u nas, i nigdzie więcej na świecie.

— Boże! jaki szczęśliwy traf pana tu sprowadził; napiszę to memu Valerio, on się tak cieszyć będzie!

— Powiedz Donna Maryo, co znaczą te książki: brewiarz, pismo święte, egzegeza, dogmatyka, żywoty świętych aż 20 tomów, przez ojca Anzelma Societatis Jesu?

— Cha, cha! to biblioteka mego męża. On się na księdza sposobił, był nowicyuszem w klasztorze Dominikanów, tak jak ja byłam nowicyuszką w klasztorze Urszuliniek; ale edykt Mendizabala inny dał obrot naszemu losowi. Klasztory zniesiono, zakonników rozproszono; zakonnice wprowadzie miasto Ayamonte wzięło w protekcję, ale nowicyuszek już niewolno było przyjmować Urszulinkom. Głuchonieme siostry dały mi przytułek w swym domu, do nich chodził dawny nowicyusz, Don Valerio, na tertulie; spotkalismy się, polubili i pobrali nareszcie.

— Zakonnik z zakonnica?

— Nie! dziecko z dzieckiem, panie doktorze—odpowiedziała rumieniąc się Donna Marya. Mąż mój miał wówczas lat siedmnaście, a ja jedenaście; w tym wieku ani Bóg, ani prawa ludzkie nie mogą wymagać ślubu kapłaństwa. Wolni byliśmy zupełnie i sieroty; miłość rozwija się przed rozsądkiem, tak u nas wszyscy mówią, a rozsądek gdy się rozwinię, nie potępia nigdy ślubu zawartego w imieniu miłości.

— Jestem zwyciężony, *mi joven Sennorita*, młoda moja pani; ale jeszcze jedno pytanie, wybacz mój ciekawości: powiedz, kto cię nauczył téj ballady o królu Boabdilu, którą z tak rzewnym uczuciem śpiewałaś w ogródku?

— Kto mnie nauczył śpiewać rodzinne me piosnki? ja tego nie wiem, doprawdy. Może ojczyzny mój powietrze, może słowiki, co się gnieźdzą w ogrodzie Generalifu, może puszczyki Alhambry. Wszakżeż ja córka Grenady, wszakżeż w mych żyłach płynie krew.....—nie dokończyła frazesu.

— Wszakże w twych żyłach płynie krew.... O dokończ Donna Maryo! Krew, która w twych żyłach płynie, jest piękną i szlachetną, nie wyrzekaj jęj się—mówilem śledząc w obliczu młodej kobiety potwierdzenia myśli oddawna powziętej. Czoło to szerokie, powieki długie, ukośnie skrojone, nosek nieco zadarty, zęby bieluteńkie, małe, ale cokolwiek odległe jedno od drugich, cera czysta, ale śniada jak spiż polerowany, a jednak tak przezroczysta, że każde najlżejsze uczucie w niej błyskało gorącym płomieniem; kibić wysmukła, ten ruch czarujący gracyą i giętkością, ta przedwczesna dojrzałość i to wilgotne, przyćmione, tęskno-lubieżne spojrzenie: — to typ maurytański czysty, bez skazy, bez przymieszania obcych żywiołów, jasno wybity.

— I cóż Sennorita, jesteś z pokolenia dawnego rodu?—pytałem ośmielając ją do odpowiedzi.

— Dawnego rodu królów Grenady!—odpowié dumnie młoda kobiéta—z pokolenia dawnéj, dobréj szlachty, chrzczonej już w XVIym wieku. Arcybiskup toledański oblewał święconą wodą mego antenata.

Ani słowa! gospodyni moja była księżniczką z domu niegdys panującego, księżniczką na zagrodzie wprawdzie, księżniczką jak niejedna z córek Paleologa, Zenona, Lascarisa i Comnena, dziś jeszcze żyjących; księżniczka, jak może będą potomkowie dziś już niepanujących rodzin, ale zawsze potomkowie sławnego rodu.

— Ale po cóż zgłębiać przyszłości tajniki? po cóż domniemywać się tego, co być może? Nie wiem zresztą, co więcéj serce martwić powinno: czy upadek dawnych świetności, czy wyniesienie grzybów ślepego szczęścia?

— Księżniczka z domu Zegris żoną bombardyera Donny Izabelli de Bourbon?—wyrzekłem mimowolnie.

— Żoną szlachcica, panie doktorze—odpowiedziała dumnie Donna Marya.

— Nie jestem biegłym w heraldyce, *mi Sennorita*, ale pierwszy raz słyszę o domu szlacheckim *de Dias Serenos*.

— Mój mąż jest własnego rodu dynastyą, mój mąż urodził się szlachcicem z woli Boga.

Pojmuje—rzekłem do siebie, pojmuje: twój mąż jest dzieckiem miłości, ma w herbie parę dziobków gołębih pod naguteńkiem niebem, na goluteńkiem polu. O Hiszpanio! cóż za toba przemawia wymowniej, jak tve dawne, w uczuciu religii czerpane prawa. Gdy się dziecię urodzi, i żaden się do niego nie przyzna ojciec, wówczas prawo Hiszpanii sponuje, nie chcąc robić krzywdy małéj, niewinnéj istocie, że *szlachcie* był ojcem tego dziecięcia, i mianuje je szlachcicem. W Anglii po dziś dzień syn miłości jest uważanym za dziecko ostatniego z ludzi, i według téj myśli wychowywanym w domu podrzutek. Tłumią w niém zdolności, wywyższyć je mogące ponad położenie *minorum gentium*; „niech innym godniejszym nie zabiera miejsca”, mówi prawo angielskie, zimne, nieublagane, samolubne.

Prawo hiszpańskie usiłuje wynagrodzić dziecku krzywdę wyrządzoną mu przez urodzenie; prawo angielskie potępia go za nią. Niech sobie Anglik wygórjuje w drogach żelaznych, w fabrykach i w komforcie; wyższego ducha ludzkości nie masz w jego prawach: wolę mych Hiszpanów.

Słońce chyliło się ku zachodowi i długie drżące rzucało cienie.

— Donna Maryo! a którądy droga do miasta?

— Pokażę ją panu, tylko osiołka mego schwytam i okiełznam. Dziś tertulia u sióstr głuchoniemych, ksiądz wikary obiecał śpiewać nową *tragala*.

Donna Marya siedzi na osielku i dziecko trzyma przy pierśsiach, ja zaś prowadzę osła za lejce. Istna ucieczka do Egiptu. W tym kraju wszystko jeszcze przypomina czasy biblijne.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SPIS PTAKÓW GUBERNII LUBELSKIEJ.

PRZEZ

W. Taczanowskiego.

Najsurowszy lecz bezstronny znawca, oceniając ogólny ruch naukowy w Polsce, uderzony zostaje znakomitym postępem, do jakiego nauki przyrodzone od lat kilkunastu w kraju naszym doszły. Już dziś każda prawie gałąź tych nauk ma swych pracowników i powszechne zajęcie obudzać zaczyna. Wprawdzie dalecy jeszcze jesteśmy od tego, abyśmy dorównali innym narodom; wszakże ogólne przynajmniej stanowisko, jakie dziś nauki przyrodzone w świecie uczonym zajmują, nie obcém jest dla nas. Zoologia szczególnie, dzięki pojedynczym pracom i usiłowaniom, wielkie rokuje nadzieje. Troskliwe badanie bogactw przyrody krajowej, tworzenie w różnych stronach kraju zbiorów prywatnych, nie tylko ogółowi nauk wielką przyniesie przysługę, ale przyczyni się nadto do gruntownego poznania własnych zasobów, dopełni wiele niedokładności, i sprostuje błędy któremi dzieła nasze dotąd przepełnione były.

Na téj drodze odznaczył się głównie hr. Tyzenhauz, znakomity nasz naturalista. Oprócz kilku dzieł ornitologicznych, któremi literaturę naszą wzbogacił, ogłosił spis zwierząt ssących i ptaków całej dawniej Polski, oparty na własnych postrzeżeniach, świadectwie dawnych i nowszych naturalistów i prawdopodobieństwie, jakie z porównania z sąsiednimi krajami utworzył, i do podobnej pracy miłośników nauki zachęcił; gruntowne bowiem zbadanie całego kraju, przechodzi możność jednego człowieka.

Kraj nasz składa się z rozmaitych miejscowości, z których prawie każda właściwe sobie płody zawiera; im więcej ludzi spe-

cyalnych zajmować się będzie poznaniem onych, i wchodząc w myśl hr. Tyzenhauza wypadki prac swoich ogółowi poda, tém dokładniejszy, bardziej szczegółowy i sumienny utworzy się spis królestwa zwierzęcego w kraju. Podzielając to przekonanie, hr. Wodzicki odpowiedział pierwszy na wezwanie uczonego ziomka, i w poszycie lutowym r. p. Biblioteki Warszawskiej, ogłosił spis ptaków w dawniej ziemi krakowskiej zamieszkałych. Oczekujemy od niego podobnych wiadomości z księstwa Poznańskiego i niektórych okolic Galicyi, a szczególnie Tatrow, które w tym roku w celu naukowym zwiedzał.

Wstępując w ślady miłośników ornitologii, od kilku prawie lat wyłącznie zajmowałem się zbadaniem gubernii lubelskiej, i owoc postrzeżeń moich w załączonym tu spisie przedstawić pośpieszam. Spis ten bez wątpienia nie może być dokładnym: najgorliwsze osobiste usiłowania, przy braku pomocy, przy obojętności i niewiadomości naukowej większej części mieszkańców, nie mogły w tak krótkim czasie do zupełnego poznania krajowego ptastwa doprowadzić. Dalsze postrzeżenia pomnożą zapewne liczbę zamieszczonych tu ptaków; porównania z sąsiednimi okolicami, domyślać się kaza, że wiele pominiętych tu ptaków zalatywać do nas może; gdy atoli prace tego rodzaju powinny być sumienne, gdyż łatwiej będzie niedostatki dopełnić, niż raz wprowadzone błędy i fałszywe sprostować i wykorzystać: takie tylko zamieściłem tu gatunki, które u nas z pewnością dostrzeżone były. Co się zaś tyczy innych, które się mogą oprócz tego znajdować, ograniczam się na zwróceniu uwagi zajmujących się tym przedmiotem i wysłedzeniu, czyli rzeczywiście do naszych mieszkańców zaliczone być mogą.

Wątpię, ażeby więcej wykryto ptaków drapieżnych nad te, które w spisie niniejszym umieściłem; być jednak może, że Orzeł włochaty Tyl. (*Falco pennatus*) pospolity w Węgrzech, przypadkowy na Podolu (1) i Orzeł cesarski Tyl. (*Falco imperialis*) i u nas dostrzeżone zostaną.

Pastérz różowy Tyl. (*Pastor roseus* Tem.) który zalatuje w Krakowskie (2), a nawet czasami pösowa się w okolice Warszawy, również jak mieszkaniec Ameryki północnej Krzyżodziób białoskrzydły Tyl. (*Loxia leucoptera*), zwiedzający w wędrówkach

(1) *Catalogus avium et mammalium Tyzenhauzii.*

(2) Systematyczny spis ptaków ziemi krakowskiej, Wodzickiego.

swych Krakowskie (1) i okolice Warszawy, niepodobna przypuścić ażeby i do nas nie zalatywały.

Poświerka ogrodniczek Rzącz. (*Emberiza hortulana*) rzadka, lecz gnieździ się w Poznańskim, a nawet około Warszawy dostrzeżona, zdaje się, że i w Lubelskim zostanie wykrytą. A wnosząc z opowiadania myśliwych, cienkonóg czarnoskrzydły Tyz. (*Himantopus melanopterus*), kurka Baillona (*Rallus Bailloni*) i Amerykański brodziec półpłetwowy (*Totanus semipalmatus*), u nas ubijane bywały; w połowie nawet lipca r. p. w Rakolupach powiecie krasnostawskim, ubito ptaka błotnego, który, według opisu, był wymienionym brodźcem półpłetwowym. W przeszłym także roku między pliszkami siwemi, widziano podobną do pliszki żałobnej (*Motacilla lugubris*): być może że jeżeli to nie była przypadkowa odmiana siwój, ptak ten południowy do nas zalatuje. Lecz gdy na takowych świadectwach trudno poprzestać, należy czekać aż zoologowie po dokładném przekonaniu się, do fauny naszej go zaliczą.

Dotąd jeden tylko gatunek, gajówki wodniczki Tyz. (*Sylvia aquatica*), nieobjęty wcale spisem hr. Tyzenhauza, dostrzegłem; znajduje się i gnieździ dość obficie we wschodniej bagnistej części gubernii lubelskiej. Ku końcowi lata gajówki te, wszędzie ponad wodami, po ogrodach, a nawet wśród pól po kartofflach i kapustach pojedynczo przebywają.

Pustuleczka zaś (*Falco tinnunculoides*) na Podolu wątpliwie z domysłu umieszczona, u nas wprawdzie rzadka, lecz corocznie się gnieździ. Ostatniej wiosny tak licznie naleciały, że w niektórych okolicach równie były przez całe lato pospolite, jak pustulki (*Falco tinnunculus*). Ztąd można wnosić, że w okolicach więcej na południe położonych, jak Galicya, Podole i Wołyń, piękny ten gatunek sokoła powinien się znajdować. Gajówka kopciuszką Tyz. (*Sylvia tithis*), podobnie z wątpliwością w Karpatach umieszczona, w Lubelskim przypadkowa, około Warszawy ma się czasami gnieździć.

Siewka obroźna (*Charadrius hiaticula*) do ptaków nadbaltyckich zaliczona, u nas się znajduje. W roku 1848 ubilem starego samca w czerwcu, a młodą na przelocie w pierwszych dniach października; w roku następnym w tymże samym czasie jedną widziałem; czyli się zaś gnieździ, z pewnością twierdzić nie można, wielkie jednak jest podobieństwo, że w czerwcu, gdy wszystkie

(1) Systematyczny spis ptaków ziemi krakowskiej, Wodzickiego.

prawie ptaki zajęte są gnieźdzeniem, sam samiec nie przebywał, a wnosząc z położenia, całe zapewne Królestwo Polskie zwiedza.

Porównyując spis ptaków ziemi krakowskiej z obecnym, pokazuje się, że Lubelskie daleko jest bogatsze; położone korzystniej pod względem ornitologicznym, ma znaczne błota, lasy, jeziora i wydmy piaszczyste: brak mu tylko gór, i pod tym względem tanta ma wyższość. Hr. Wodzicki w spisie swym 211 gatunków umieścił, oprócz oddziału Sów uszatyh (*Striges auritae*), które zapewne przez omyłkę druku zostały opuszczone (1); w Lubelskiem dotychczas 2 dostrzegłem, znaczna więc jest różnica. Skoro jednak strony te dokładniej zostaną zbadane, różnica ta zmniejszy się; wiele bowiem naszych ptaków wędrownych, a mianowicie błotnych i wodnych, w przelotach brzegi Wisły w Krakowskiem zwiedzać powinno: i w tém tylko główna pozostanie różnica, że te ostatnie, które na obszernych naszych błotach wywodzić się zwykły, tamte tylko strony w przelotach odwiedzają; gdy przeciwnie mieszkańcy gór i innych klimatów, jak: płochacz górny (*Accentor alpinus*), drózd skalny (*Turdus saxatilis*), drózd czarnogardlisty (*Turdus atrogularis*), opocznik czarnogardlisty (*Saxicola rubicola*), pliszka wolarka (*Motacilla boarula*), dzięcioł trzypalcowy (*Picus tridactylus*) i t. d. u nas zapewne nie będą wykryte.

Rząd I. Drapieżne, (*Rapaces*).

Rodz. SĘP, *Vultur*.

1. Sęp kasztanowaty Tyz. *Vultur arrianus* Pic la Peyr. *V. cinereus* Linn. przypadkowy, bardzo rzadki. Liczę go między ptaki krajowe, z dwóch wiadomych mi wypadków ubicia: w roku 1838 we wsi Fajslawicach powiecie krasnostawskim, i w roku 1842 w Siemieniu, powiecie radzyńskim.

Rodz. SOKÓŁ, *Falco*.

Oddział II, Sokoly właściwe (*Falcones nobiles*).

2. Sokół wędrowny Jar. *Falco peregrinus* Linn. przypadkowy, bardzo rzadki.

3. Sokół kobuz Rącz. S. kobiec Waga. *Falco subbuteo* Linn. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

4. Sokół drzemlik Rącz. Drewniak gmin. *Falco aesalon* Temm. *Caesius lithofalco* Gm. pospolity w przelotach, a mianowicie jesiennych; niektóre zimują.

(1) Porównywaliśmy nadesłany nam rękopis p. Wodzickiego z jego przedrukiem i przekonaliśmy się, iż żadne opuszczenie w nim nie zaszło. P. Red.

5. Sokół kobuzek Tyz. S. rdzawonóg Jar. *Falco rustipes* Beseke. *F. vespertinus* Gm. w okolicach błotnych dość pospolity, w przelotach rzadko gnieździ się, na zimę odlatuje.

6. Sokół pustulka Rzącz. S. wieczowy Wodz. *Falco tinnunculus* Linn. najpospolitszy; gnieździ się; na zimę odlatuje.

7. Sokół pustuleczka Tyz. S. białoszpon Jar. *Falco tinnunculoides* Meisner. *F. Xanthonyx* Natt. rzadki; gnieździ się; na zimę odlatuje.

Oddział III. Orły (*Aquilae*).

8. Sokół orzeł przedni Rzącz. Orzeł bielik Waga. Orzeł kasztanowaty Jundz. *Falco fulvus* Linn. *Aquila nobilis* Pall. *chrysaëtos*, *canadensis*, *albus*; w zimie dość pospolity.

9. Sokół orzeł krzykliwy albo plamisty Tyz. Orzeł orlik Waga. O. mogilnik Rzącz. Orlik gmin. *Falco naevius* Linn. *F. maculatus* Lath. *Aquila clanga* Pall. z całego oddziału najpospolitszy, gnieździ się; na zimę odlatuje.

10. Sokół orzeł łomignat Rzącz. *Falco leucocephalus* Linn. rzadki w przelotach.

11. Sokół orzeł bielik Myśl. ptasze. *Falco albicilla* Linn. *albicaudus*, *melanaëtos*, *ossifragus*; dość pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

12. Sokół orzeł krótkoszpon Tyz. Orzeł pstry Jar. O. gadożer Pietr. Półorlik gmin. *Falco brachydactylus* Wolf. *Aquila leucamphomma* Bork. *Accipiter hypoleucos* Pall. dość rzadki; gnieździ się, na zimę odlatuje.

13. Sokół orzeł rybitw. Tyz. Orzeł rzeczny Wodz. O. morski Jundz. Rybołów gmin. *Falco haliaëtos* Linn. *Accipiter haliaëtus* Pall. pospolity w dużych lasach nad wodami położonych, gnieździ się; na zimę odlatuje.

Oddział IV. Kobuzy (*Buteones*).

14. Sokół kobuz trzmielojad Górs. S. pszczołojad Kluk. *Falco apivorus* Linn. *Accipiter lacertarius* Pall. *Pernis communis* Cuv. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

15. Sokół kobuz myszołów Jundz. Kaniuk gmin. *Falco buteo* Linn. *communis*, *variegatus*, *albidus*, najpospolitszy, gnieździ się i w części zimuje.

16. Sokół kobuz włochaty Jar. Puszczy gmin. *Falco lagopus* Linn. *Buteo buteo* Less. pospolity, przylatuje na zimę.

Oddział VI. Kanie (*Milvi*).

17. Sokół kania Rzącz. Kania wielka Myśl. Ptasz. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

18. Sokół kania czarna Tyz. S. ciemno-rudy Jar. *Falco ater*. Linn. *Accipiter milvus* Pall. *Falco aegyptius* et *Forskahlii*; pospolitsza od poprzedniej, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Oddział VIII. Jastrzębie (*Astures*).

19. Sokół jastrząb. Rzącz. Kurnik, gołębnik, kuropatwiarz gmin. *Falco palumbarius* Linn. pospolity, gnieździ się i zimuje.

20. Sokół jastrząb krogulec Rzącz. Rabiec Waga. *Falco nisus* Linn. *Accipiter nisus* Pall. pospolity, gnieździ się i zimuje.

Oddział IX. Błotniaki (*Circi*).

21. Sokół błotniak błotny Jundz. Kania mała Myśl. Pta. Kaniuk gmin. *Falco rufus* Linn. *Accipiter circus* Pall. *Falco aeruginosus*, *arundinaceus*, *Crameri*; bardzo pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

22. Sokół błotniak zbożowy Tyz. S. błękitny Jar. *Falco cyaneus* Montagu. *Accipiter variabilis* Pall. *F. pygargus* Gm. *bohemicus*, *albicans* Buff. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

23. Sokół błotniak popielaty Jar. Błotniak łączny Wodz. *Falco cineraceus* Mont. mniej pospolity od poprzedzającego, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodz. SOWA, *Strix*.

Oddział 1. Długoogonowe (*Macrourae*).

24. Sowa biała Jundz. *Strix nyctea* Linn. przypadkowa, bardzo rzadka.

25. Sowa jarzębata Tyz. S. jastrzębiata Jar. *Strix funerea* Linn. *S. nisoria* Mey. *S. dolata* Pall. *Surnia borealis* Less. *Strix canadensis*, *hudsonia*, *ulula*, rzadka, gnieździ się.

Oddział 2. Krótkoogonowe nieuszate (*brachyurae inauritae*).

26. Sowa puszczyk Jundz. S. rdzawa (samica) Jundz. Puszczyk zwyczajny Waga. S. lelek Rzącz. *Strix aluco* Meyer. *S. stridula* Gm. *Syrnium aluco* Less. bardzo pospolita, gnieździ się.

27. Sowa sówka Rzącz. Pódzka zwyczajna Waga. Puszczyk gmin. *Strix passerina* Linn. pospolita, gnieździ się.

28. Sowa pojdzka Tyz. S. *Tengmalmi* Wodz. S. włochatka Jar. *Strix Tengmalmi* Linn. *S. dasypus* Bechst. rzadka, gnieździ się.

29. Sowa karliczka Jar. *S. acadica* Gm. *S. pygmaea* Bechst. *pusilla*, *passerina*; rzadka, gnieździ się.

30. Sowa płomyczkowata Tyz. S. puszczyk Rzącz. S. płomienista Jundz. *Strix flammea* Linn. pospolita, gnieździ się.

Oddział 3. Puhacze (*Striges auritae*).

31. Sowa puhacz błotny Tyz. S. krótkoucha Jar. *Strix brachyotus* Lath. *ulula*, *aegolius* Pall. *accipitrina*, *palustris*, *arctica*; pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

32. Sowa puhacz właściwy Rzącz. Puhacz wyk, Waga. *Strix bubo* Linn. dość pospolity po dużych lasach, gnieździ się.

33. Sowa puhacz uszaty Tyz. S. uszata Jundz. *Strix otus* Linn. pospolity, gnieździ się.

34. Sowa puhacz syczek Tyz. S. leśniczka Waga. S. sówka Jundz. *Strix scops* Linn. *Scops europaeus* Less. *S. zorca*, *carniola*, bardzo rzadka, gnieździ się.

Rząd II Żarłoczne (*Omnivorae*).

Rodzaj Kruk, *Corvus*.

Oddział 1. Kruki właściwe.

35. Kruk właściwy Jar. *Corvus corax* Linn. pospolity, gnieździ się.

36. Kruk wroniec Tyz. K. wrona czarna Kluk. K. czarnowron Waga; w jesieni, w zimie i na wiosnę pospolity.

37. Kruk wrona Rzącz. *Corvus cornix* Linn. najpospolitsza, gnieździ się.

38. Kruk gawron Rzącz. *Corvus frugilegus* Linn. pospolity w przelotach na wiosnę i w jesieni; czasami niektóre zimują.

39. Kruk kawka Rzącz. *Corvus monedula* Linn. pospolita, w przelotach i zimą, mała liczba gnieździ się po wieżach.

Oddział 2. Sroka, *Pica*.

40. Kruk sroka Rzącz. *Corvus pica* Linn. pospolita, gnieździ się.

Oddział 3. Sójka, *Garrulus*.

41. Kruk sójka Rzącz. *Corvus glandarius* Linn. pospolita, gnieździ się.

Rodzaj ORZECHÓWKA, *Nucifraga*.

42. Orzechówka stryszek Tyz. O. pospolita Jar. Kostogryz orzechówka Waga. *Nucifraga caryocathactes* Briss. nie wiem z pewnością czy się gnieździ, latem rzadka, w jesieni częściej widzieć je można: w roku 1844 ogromnemi stadami przeciągały; w tym także roku pospolite.

Rodzaj JEMIOŁUCHA, *Bombycilla*.

43. Jemiołucha jedwabniczka Rzącz. *Bombycilla garrula* Temm. pospolita, przylatuje na zimę.

Rodzaj KRASKA, *Coracias*.

44. Kraska gwarliwa Tyz. Kraska pospolita Jundz. *Coracias garrula* Linn. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodzaj WILGA, *Oriolus*.

45. Wilga żółta Tyz. W. czerwono-żółta Wodz. Wywielga wilga Waga, Boguwola, zofia, złotnia gmin. *Oriolus galbula* Linn. *Turdus*, *Oriolus* Briss. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodzaj SZPAK, *Sturnus*.

46. Szpak skorzec Tyz. S. pstry Jar. *Sturnus varius* Meyer. *S. vulgaris* Linn. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rząd III. Owadożerne (*Insectivores*).Rodzaj DRÓZD, *Turdus*.

47. Drózd jemiolowy, Tyz. D. wielki Jundz. D. jemiolucha Kluk. Paszkot gmin. *Turdus viscivorus* Linn. mniej pospolity od innych, gnieździ się.

48. Drózd kwiczoł Rzącz. *Turdus pilaris* Linn. pospolity, gnieździ się.

49. Drózd śpiewak Tyz. D. paszkot Rzącz. D. lepak Waga, *Turdus musicus* Linn. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

50. Drózd rdzawoboczny Jar. D. marczok Waga. D. mniejszy Jundz. *Turdus iliacus* Linn. pospolity w przelotach, na wiosnę i w jesieni.

51. Drózd obróżny Tyz. D. paszkot Waga. D. białopregi Jar. *Turdus torquatus* Temm. bardzo rzadki w przelotach.

52. Drózd kos. Rzącz. *Turdus merula* Linn. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje, czasami jednak niektóre zimują.

Rodzaj PLUSZCZ, *Cinclus*.

53. Pluszcz wodny Jar. P. wodnokos Wodz. *Cinclus aquaticus* Bech. przypadkowy, rzadki, zalatuje w czasach nieoznaczonych.

Rodzaj DZIERZBA, *Lanius*.

54. Dzierzba srokosz Rzącz. D. wielka Wodz. *Lanius excubitor* Linn. zimę tylko pojedynczo przepędza.

55. Dzierzba czarnoczelna Jar. Srokos zemszczyk, Waga. *Lanius minor* Linn. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

56. Dzierzba rdzawokarczysta Tyz. D. rdzawogłowa Jar. *Lanius rufus* Briss. *L. rutilus* Lath. rzadsza od innych, gnieździ się, na zimę odlatuje.

57. Dzierzba cierniokręt Jar. D. śpiewak Wodz. Srokos irgogoł Waga. Gąsiorek gmin. *Lanius collurio* Briss. *Lanius spinitorquus* Bechs. najpospolitsza, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodz. MUCHOŁÓWKA. *Muscicapa*.

58. Muchołówka szara Jar. *Muscicapa grisola* Linn. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

59. Muchołówka białoszyjka Tyz. *Muscicapa albicollis* Temm. rzadka, gnieździ się, na zimę odlatuje.

60. Muchołówka żałobna Tyz. M. czarnogłowa Jar. *Muscicapa luctuosa* Temm. dość pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodz. GAJÓWKA. *Sylvia*.

Oddział 1. Trzcionki (*Calamodytae*).

61. Gajówka drożdówka Tyz. Drózd sitowiaczek Jar. Pokrzywka krzyczka Waga. Gajówka drózdzik Wodz. Trzcinniak gmin. *Sylvia turdoïdes* Meyer. *Turdus arundinaceus* Gm. *Turdus junci* Pall. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

62. Gajówka rokitniczka Tyz. Pokrzywka szarobrwista Jar. *Sylvia phragmitis* Bechs. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

63. Gajówka wodniczka Tyz. *Sylvia aquatica* Lat. pospolita w bagnistej części Lubelskiego i Podlasia, w przelotach jesiennych wszędzie zalatuje.

64. Gajówka trzcionka Tyz. Pokrzywka świegotka Jar. Gajówka trzcinna Wodz. Pokrzywka trzcionek Waga. *Sylvia arundinacea* Lath. dość rzadka, gnieździ się, na zimę odlatuje.

65. Gajówka łożówka Tyz. G. błotna Wodz. Pokrzywka błotniczek Jar. *Sylvia palustris* Bechs. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

66. Gajówka strumieniowa Tyz. *Sylvia fluviatilis* Meyer, rzadka w przelotach.

67. Gajówka świerszczak Tyz. *Sylvia locustella*. Lath. rzadka nad Wisłą.

Oddział 2. Piegze. *Currucæ*.

68. Gajówka słowik rdzawy Jar. G. słowik leśny Wodz. *Sylvia luscinia* Lath. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

69. Gajówka słowik szary Tyz. Pokrzywka słowik rudy Jar. Gajówka słowik ogrodowy Wodz. Pokrzywka bekwarek Waga. *Sylvia philomela* Bechs. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

70. Gajówka jarzębata Jar. *Sylvia nisoria* Bechs. dość pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

71. Gajówka czarnobista Tyz. Pokrzywka czarnogłowa Jar. *Sylvia atricapilla* Lath. dość pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

72. Gajówka ogrodowa Tyz. Pokrzywka szara Jar. *Sylvia hortensis* Bechst. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

73. Gajówka popielata Jar. Pokrzywka gmin. *Sylvia cinerea* Lath. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

74. Gajówka piegża Rzącz. Pokrzywka pionka Waga. Pliszka nocośpiów Kluk; pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

75. Gajówka rudzik Tyz. Pokrzywka rdzawogardlista Jar. Włodarka, reszka gmin. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje, często się jednak zdarza, że niektóre pozostają.

76. Gajówka modra Tyz. Gajówka błękitnopiersń Wodz. Ludarka błękitna Waga. *Sylvia suecica* Lath. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

77. Gajówka kopciuszka Tyz. Pokrzywka podczerniona Jar. *Sylvia thitis* Scopoli. przypadkowa, bardzo rzadka.

78. Gajówka pliszka Tyz. Pokrzywka czarnousta Jar. Ludarka rutochwast Waga. Popek, słowik murowy gmin. *Sylvia phoenicurus* Lath. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Oddział 3. Mucharki, *Muscivoræ*.

79. Gajówka szczebiotliwa Tyz. Pokrzywka podżółkła Jar. *Sylvia hypolais* Lath. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

80. Gajówka swistonka Tyz. Pokrzywka zielonawa Jar. Przyziemek gmin. *Sylvia sibilatrix* Bechst. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

81. Gajówka pierwiosnka Tyz. *Sylvia trochilus* Lath. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

82. Gajówka rudawa Tyz. Pokrzywka brudna Jar. Piecuszek gmin. *Sylvia rufa* Lath. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodz. KRÓLIK, *Regulus*.

83. Królik czubaty Rzącz. Pokrzywka mysi-królik Jar. *Regulus cristatus* Brehm. *Sylvia regulus* Lath. pospolity, gnieździ się.

84. Królik śmieszek Tyz. *Regulus ignicapillus* Brehm, rzadki, gnieździ się.

Rodz. STRZYŻYK, *Troglodytes*.

85. Strzyżyk wołowe oczko Rzącz. krzciuczek gmin. *Troglodytes vulgaris* Temm. *T. parvulus* Koch. pospolity, gnieździ się, i w części zimuje.

Rodz. OPOCZNIK, *Saxicola*.

86. Opocznik białorzytka Tyz. Rudzik siwy Jar. kłaskacz, pokłaskwa gmin. *Saxicola oenanthe* Bechs. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

87. Opocznik białobrwały Jar. Pokłaskwa zwyczajna Waga. *Saxicola rubetra* Bechs. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodz. PŁOCHACZ, *Accentor*.

88. Płochacz pokrzywnica Jundz. P. popielaty Wodz. *Accentor modularis* Cuv. pospolity, gnieździ się, później odlatuje, a wcześniej na wiosnę wraca.

Rodz. PLISZKA, *Motacilla*.

89. Pliszka biała Jundz. P. siwa Waga. *Motacilla alba et cinerea* Linn. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

90. Pliszka żółta Kluk. *Motacilla flava* Linn. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodz. ŚWIERGOTEK, *Anthus*.

91. Świergotek nadwodny Jar. *Anthus aquaticus* Bechs. rzadki, przypadkowy.

92. Świergotek łączny Jar. *Anthus pratensis* Bechs. skowronek łąkowy gmin. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

93. Świergotek drzewny Jar. *Anthus arboreus* Bechs. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

94. Świergotek rudawy Tyz. Ś. polny Jar. *Anthus rufescens* Temm. *A. campestris* Bechs. dość pospolity w okolicach piaszczystych, na zimę odlatuje.

Rząd IV. Ziarnojady (*Granivores*).Rodz. SKOWRONEK, *Alauda*.

95. Skowronek rolny Tyz. S. pospolity Jundz. *Alauda arvensis* Linn. bardzo pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

93. Skowronek borowy Rzącz. Dzierlatka ledwuchna Waga. S. leśniaczek Jar. Wygońka, suliszka gmin. *Alauda arborea et nemorosa* Gm. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

97. Skowronek dzierlatka Rzącz. Śmieciucha, pośmięciucha gmin. *Alauda cristata* Linn. pospolity, gnieździ się.

98. Skowronek górniczek Kluk. *Alauda alpestris* Linn. *A. nivalis* Pall. rzadki, zalatuje w ciężkie zimy.

Rodz. SIKORA, *Parus*.

99. Sikora większa Jundz. Sikora bogatka gmin. *Parus major* Linn. pospolita, gnieździ się.

100. Sikora czarna Jundz. S. ciemna Wodz. S. sosnówka Kluk, *Parus ater* Linn. pospolita, gnieździ się.

101. Sikora modra Rzącz. *Parus coeruleus* Linn. pospolita, gnieździ się.

102. Sikora popielata Rzącz. S. czarnogłówka Wodz. S. biała Waga. S. uboga gmin. *Parus palustris* Linn. pospolita, gnieździ się.

103. Sikora czubata Rzącz. Koziółek gmin. *Parus cristatus* Linn. pospolita, gnieździ się.

104. Sikora ogoniasta Jundz. Raniuszek gmin. *Parus caudatus* Linn. pospolita, gnieździ się.

Rodzaj REMIZ, *Remiz*.

105. Remiz rzemieślnik Tyz. R. rdzawy Jar. *Remiz pendulinus* Cuv. *Parus narbonensis* Gm. *Parus lithuanicus, polonicus, pendulinus*, rzadki, gnieździ się w niedostępnych bagnach nad Wieprzem i Bugiem.

Rodzaj POŚWIERKA, *Emberiza*.

106. Poświerka prosowa Tyz. P. trznadel Jar. P. potrest Waga, Świerczak Myśl. Pta. Potrzészcz gmin. *Emberiza miliaria* Linn. pospolity, gnieździ się.

107. Poświerka trznadel Rzącz. P. styrnal Jar. *Emberiza citrinella* Linn. pospolity, gnieździ się.

108. Poświerka potrzos Rzącz. Sitówka Jar. Wróbel trzciny Kluk. *Emberiza schoeniclus* Linn. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

109. Poświerka śnieguła Rzącz. *Emberiza nivalis* Linn. przybywa na zimę, dość pospolita.

Rodzaj KRZYŻODZIÓB, *Loxia*.

110. Krzyżodziób papużka Gors. Krzywonos krótko-szczęki Jar. *Loxia pythiopsittacus* Bechs. dość pospolity tak latem jak zimą, lecz się nie gnieździ.

111. Krzyżodziób krzywodziób Rzącz. Krzywonos długo-szczęki Jar. *Loxia curvirostra* Linn. pospolitszy od poprzedzającego.

Rodzaj GIL, *Pyrrhula*.

112. Gil kłęsk Tyz. Dębonosek kłęsk Waga. Łuszczałak grabołosk Jar. Łuskowiec gmin. *Pyrrhula enucleator* Temm. *Corythus* Cuv. *Strobilophaga* Vieillot. *Loxia psittacea* Pall. dość rzadki, zalatuje w ciężkie zimy.

113. Gil dziwoni Tyz. *Pyrrhula erythrina* Pall. *Fringilla erythrina* Mey. przypadkowy, bardzo rzadki.

114. Gil właściwy Tyz. G. pospolity Jar. *Pyrrhula vulgaris* Briss. pospolity, przybywa corocznie na zimę.

Rodzaj ŁUSZCZAK, *Fringilla*.Oddział 1. Grubodzioby (*Laticones*).

115. Łuszczałak grubodziób Jundz. Grubodziób ir Jar. Grabołosk pestkogryz, wiśniójad gmin. *Fringilla coccothraustes* Temm. pospolity, gnieździ się.

116. Łuszczałak dzwonec Rzącz. *Fringilla chloris* Temm. pospolity, gnieździ się.

117. Łuszczałak wróbel Rzącz. *Fringilla domestica* Linn. *Pyrgita* Cuv. bardzo pospolity, gnieździ się.

118. Łuszczałak mazurek Rzącz. *Fringilla montana* Linn. *Pyrgita* Cuv. pospolity, gnieździ się.

Oddział 2. Krótkodzioby (*Brevicones*).

119. Łuszczałak zięba Rzącz. *Fringilla coelebs* Gm. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje, niektóre jednak pozostają.

120. Łuszczałak jér Tyz. *Fringilla montifringilla* Gm. Zięba sosnowka Kluk. bardzo rzadko się gnieździ, w przelotach wiosennych i jesiennych pospolity.

121. Łuszczałak makolągwa Rzącz. *Fringilla cannabina et linota* Linn. pospolity, gnieździ się.

Oddział 3. Ostrodzioby (*Longicones*).

122. Łuszczałak czyż Rzącz. *Fringilla spinus* Linn. pospolity, gnieździ się.

123. Łuszczałak czeczotka Rzącz. Trawniczek Kluk. *Fringilla linaria* Linn. pospolita, przylatuje na zimę.

124. Łuszczałak szczygiel Rzącz. *Fringilla carduelis* Linn. pospolity, gnieździ się.

Rząd V. Dwuparzystopalcowe (*Zygodactyli*).

Rodz. KUKUŁKA, *Cuculus*.

125. Kukułka właściwa Tyz. Kukawka zezula gmin. *Cuculus canorus* Linn. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

126. Kukułka rdzawa Tyz. *Cuculus rufus* Bechs. rzadsza, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodz. DZIĘCIOŁ, *Picus*.

127. Dzięcioł czarny Tyz. Czarna-żołna gmin. *Picus martius* Linn. dość pospolity, gnieździ się.

128. Dzięcioł zielony Jundz. Zielona-żołna gmin. *Picus viridis* Linn. dość pospolity, gnieździ się.

129. Dzięcioł zielono-siwy Jar. Zielona-żołna gmin. *Picus canus* Gm. *P. chlorio* Pall. dość pospolity, gnieździ się.

130. Dzięcioł białogrzbietny, Jar. *Picus leuconotus* Bechs. *P. cirris* Pall: pospolity w lasach liściastych, gnieździ się.

131. Dzięcioł pstry większy Tyz. D. większy Kluk, *Picus maior* Linn. *P. cissa* Pall. najpospolitszy, gnieździ się.

132. Dzięcioł pstry średni Tyz. D. średni Jundz. *Picus medius* Linn. *P. canædus* Pall. dość pospolity, gnieździ się.

133. Dzięcioł pstry mały Tyz. D. mały Kluk. D. świerczyk Waga. *Picus minor* Linn. *P. pipra* Pall. dość pospolity, gnieździ się.

Rodz. KRĘTOGŁÓW, *Junx*.

134. Krętogłów szaro-pstry Tyz. K. pospolity Jundz. Wąglów gmin. *Junx torquilla* Linn. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rząd VI. Przyrostopalcowe (*Anisodactylæ*).

Rodz. BARGIEŁ, *Sitta*.

135. Bargieł kowalik Jundz. Dzięcioł modry Rzącz. Sikoro-żołn Kluk. Kowal, zalepiarz gmin. *Sitta europaea* Linn. pospolity, gnieździ się.

Rodz. PEŁZACZ, *Certhia*.

136. Pełzacz zaskórnik Myśl. Pta. P. drzewny Jundz. Kowalik szary gmin. *Certhia familiaris* Linn. *C. scandens* Pall. pospolity, gnieździ się.

Rodz. DUDEK, *Upupa*.

137. Dudek właściwy Tyz. *Upupa epops*. Lin. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rzęd VII. Alcyony (*Alcyones*).Rodz. ZIMORODEK, *Alcedo*.

138. Zimorodek europejski Tyz. Z. zwyczajny Waga Z. pospolity Jundz. *Alcedo ispida* Linn. *Ispida senegalensis* Briss. dość pospolity, gnieździ się.

Rzęd VIII. Paszczaste (*Chelidones*).Rodz. JASKÓŁKA, *Hirundo*.

139. Jaskółka dymówka Jundz. *Hirundo rustica* Linn. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

140. Jaskółka oknówka Jundz. *Hirundo urbica* Linn. *H. lagopoda* Pall. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

141. Jaskółka brzegówka Jundz. J. grzebielucha Rącz. Grzebółka gmin. *Hirundo riparia* Linn. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodz. JERZYK, *Cypselus*.

142. Jerzyk mурowy Jar. Murzynek gmin. *Cypselus murarius* Temm. *Hirundo apus* Linn. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodz. KOZODÓJ, *Caprimulgus*.

143. Kozodój lelek Tyz. K. pospolity Rącz. Śpiuch gmin. *Caprimulgus europaeus* Linn. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rzęd IX. Gołębie (*Columbæ*).Rodz. GOŁĄB', *Columba*.

144. Gołąb' grzywacz Rącz. *Columba palumbus* Linn. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

145. Gołąb' siniak Jundz. Dziupnik gmin. *Columba oenas* Linn. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

146. Gołąb' turkawka Kluk, *Columba turtur* Linn. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rząd X. Kury (*Gallinae*).Rodz. Głuszc, *Tetrao*.

147. Głuszc właściwy Rząd. *Tetrao urogallus* Linn. gnieździ się w dużych lasach zamojskiego i krasnostawskiego powiatów, gdzieindziej za naszej pamięci wyginęły.

148. Głuszc cietrzew Rząd. *Tetrao tetrix* Linn. *Lyrurus tetrix* Swains. dość pospolity, a mianowicie w błotnistych lasach powiatów lubelskiego, krasnostawskiego i radzyńskiego.

149. Głuszc jarząbek Rząd. *Tetrao bonasia* Linn. pospolity, gnieździ się.

Rodz. KUROPATWA, *Perdix*.

150. Kuropatwa właściwa Jar. *Perdix cinerea* Lath. pospolita, gnieździ się.

151. Kuropatwa przepiórka właściwa Tyz. *Perdix coturnix* Lath. *Coturnix dactylisonans* Meyer. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rząd XI. Draby (*Cursores*).Rodz. Drop', *Otis*.

152. Drop' brodacz Tyz. D. wielki Wodz. D. właściwy Jar. *Otis tarda* Linn., gnieździ się na rozległych polach Śniatyckich w powiecie zamojskim, w niektórych okolicach hrubieszowskiego i chełmskiego i około Międzyrzecza, wszędzie nieliczny, w innych miejscach w przelotach czasami zapada.

153. Drop' strepet Tyz. D. mniejszy Jundz. *Otis tetrax* Linn. *Tetrax campestris* Leach. przypadkowy, bardzo rzadki.

Rząd XII. Podkasałe (*Grallae*).Rodz. KULON. *Oedicaemus*.

154. Kulon właściwy Tyz. Siewka grubonóg Kluk, *Oedicaemus crepitans* Temm. *Otis oedicaemus* Lath. gnieździ się na rozległych ugorach piaszczystych powiatu radzyńskiego, a w małej liczbie lubelskiego i pobrzeżach piaszczystych nad Wiśłą; w innych miejscach w przelotach tylko się zatrzymuje.

Rodz. DZDZOWNIK, *Charadrius*.

155. Dżdżownik siewka Tyz. Siewka złocista Wodz. Siewka zwyczajna Waga. *Charadrius pluvialis* Linn. *C. auratus* Suckow. Przelotna, wiosną rzadka, w jesieni pospolita, nigdy się nie gnieździ.

156. Dżdżownik górny Tyz. Siewka mornel Jar. *Charadrius morinellus et sibiricus* Gm. *Eudromias* Boié. przelotna, rzadka, zalatuje w jesieni lub na wiosnę nielicznymi stadkami.

157. Dżdżownik obrotny Tyz. Siewka piszczyk Waga. Siewka żółtodziób Jar. Ispówka gmin. *Charadrius hiaticula* Linn. *Hiaticula annulata* G. R. Gray, rzadka; nie wiem czyli się gnieździ, na zimę odlatuje.

158. Dżdżownik rzeczny Tyz. Siewka mniejsza Jar. *Charadrius minor* Meyer. *C. fluviatilis* Bechs. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodz. CZAJKA, *Vanellus*.

159. Czajka siewnica Tyz. C. podczerniała Jar. *Vanellus melanogaster* Bechs. *Squatarola* Cuv. *Tringa helvetica* Gm. *Charadrius hypomelanus* Pall. przypadkowa, rzadka; zalatuje w jesieni ze stadami siewek (*Charadrius pluvialis*), czasami pojedyncze zdarza się napotykać nad brzegami rzek i jezior.

160. Czajka właściwa Tyz. Czajka czubata Jar. Siewka czajka Wodz. *Vanellus cristatus* Meyer. *Tringa vanellus* Linn. *Charadrius vanellus* Pall. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodz. ŻÓRAW, *Grus*.

161. Żóraw pospolity Tyz. Żóraw popielaty Jar. *Grus cinerea* Bechs. *Ardea grus* Linn. *Megalornis* G. R. Gray; pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodz. CZAPLA, *Ardea*.

Oddział 1. Czaple właściwe.

162. Czapla siwa Jar. *Ardea cinerea* Lath. *Ardea maior* Gm. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

163. Czapla purpurowa Kluk. *Ardea purpurea* Linn. rzadka, przelotna.

164. Czapla forga Tyz. Czapla biała duża Jar. *Ardea egretta et alba* Lath. bardzo rzadka w przelotach.

165. Czapla nadobna Tyz. C. biała mniejsza Jar. *Ardea garzetta* Linn. *Herodias garzetta* Boié; bardzo rzadka w przelotach.

Oddział 2. Bąki.

166. Czapla bąk właściwy Rzącz. *Ardea stellaris* Linn. *Botaurus stellaris* Stephens; pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

167. Czapla bąk bączek Tyz. C. zdrobniata Jar. *Ardea minuta* Lath. dość pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Oddział 3. Ślepowrony.

168. Czapla ślepowron właściwy Rzącz. *Ardea nycticorax* Linn. dość rzadka w przelotach.

Rodz. BOCIAN, *Ciconia*.

169. Bocian biały Jundz. *Ciconia alba* Belon. *Ardea ciconia* Gm. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

170. Bocian śniady Tyz. B. czarny Kluk. Tajstra gmin. *Ciconia nigra* Belon. rzadki, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodz. WARZĘCHA, *Platalea*.

171. Warzęcha biała Kluk. *Platalea leucorodia* Linn. przypadkowa, bardzo rzadka.

Rodz. KULIG, *Numenius*.

172. Kulig ugorowy Jar. *Numenius arquatus* Lath. *Scolopax arquatus* Gm. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

173. Kulig kulon Tyz. *Numenius phaeopus* Lath. rzadszy od poprzedzającego, przelotny.

Rodz. BIEGUS, *Tringa*.

174. Biegus kuliczek Tyz. *Tringa subarquata* Gm. *T. arquatella* Pall. rzadki, przelotny.

175. Biegus górny Tyz. Biegus odmienny Wodz. *Tringa alpina* Linn. *T. variabilis* Mey. przelotny, na wiosnę rzadki, we wrześniu i na początku października dość pospolity nad rzekami i jeziorami.

176. Biegus płaskodzioby Tyz. Bekasik brzegowy Wodz. *Tringa platyrhyncha* Temm. *Limicola pygmaea* Koch. bardzo rzadki w przelotach nad Wisłą.

177. Biegus Temminga Tyz. *Tringa Temminckii* Leiss. przelotny, rzadki nad Wisłą i jeziorami.

178. Biegus malutki Tyz. *Tringa minuta* Leiss. przelotny, rzadki nad Wisłą i jeziorami.

179. Biegus rdzawy Jar. *Tringa cinerea* Linn. dość pospolity w przelotach.

Rodz. BOJOWNIK, *Machetes*.

180. Bojownik zmienny czyli batalion Tyz. *Machetes pugnax* Cuv. *Tringa pugnax* Linn. gnieździ się na dużych błotach między Wieprzem i Bugiem leżących, a mianowicie pod Wytycznem; gdzieindziej tylko w przelotach zapada.

Rodz. BRODZIEC, *Totanus*.

181. Brodziec kwokacz. Tyz. Łądzik szary Jar. *Totanus glottis* Bechs. *Glottis chloropus* Nils. *Limicola* Leach. *Limosa* Pall. w przelotach nad rzekami i jeziorami, w jesieni pospolitszy niżeli na wiosnę.

182. Brodziec śniady Tyz. B. ciemny Wodz. Łądzik rudy Jar. *Totanus fuscus* Leiss. przelotny.

183. Brodziec krwawodziób Jar. *Totanus calidris* Bechs. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

184. Brodziec pławny Tyz. B. brzegowy Wodz. *Totanus stagnatilis* Bechs. rzadki w przelotach.

185. Brodziec samotny Tyz. *Totanus ochropus* Temm. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

186. Brodziec leśny Tyz. *Totanus glareola* Temm. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

187. Brodziec piskliwy Tyz. Łądzik piskliwy Wodz. Łądzik kuliczek Jar. *Totanus hypoleucos* Temm. *Tringoides* Bonap. *Actitis* Illig. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodz. SZLAMNIK, *Limosa*.

188. Szlamnik czarnosterny Tyz. Nabłotnik rdzawoszyjny Jar. *Limosa melanura* Leiss. gnieździ się gromadnie, na obszer-nych błotach między Wieprzem i Bugiem leżących, w stykających się okolicach powiatów radzyńskiego, lubelskiego i krasnostawskiego, a mianowicie na błotach Wytyckich; gdzieindziej bardzo rzadki w przelotach, wcześniej odlatuje, u myśliwych naszych znany pod nazwiskiem *rycyka*.

189. Szlamnik rdzawy Tyz. Nabłotnik podgorzały Jar. *Limosa rufa* Briss. *Scolopax leucophoea* Lath. (młody w pierwszym pierzu); przelotny, bardzo rzadki.

Rodz. BEKAS, *Scolopax*.

190. Bekas słomka Rącz. B. słomka Kluk. *Scolopax rusticola* Linn. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

191. Bekas dubelt Tyz. B. właściwy Jundz. *Scolopax maior* Linn. *S. palustris* Pall. *Telmatias* Boié. pospolity, gnieździ się na dużych błotach, na zimę odlatuje.

192. Bekas kszyk Jundz. Baranek gmin. *Scolopax gallinago* Linn. *Telmatias* Boié. pospolitszy od dubelta, wszędzie się gnieździ, na zimę odlatuje, niekiedy pojedyncze zimują na oparzeliskach.

193. Bekas mały Jundz. Ficlaus gmin. *Scolopax gallinula* Linn. *Philolimnus* Brehm. *Ascolopax* Keys. przelotny na wiosnę i w jesieni, gnieździ się bardzo rzadko; raz znalazłem młode podloty w czerwcu r. 1844 na błocie Kaniowolskiem w powiecie lubelskim, drugi raz ubitem samice z jaj, 2 czerwca 1850 r.

Rodz. ChróścIEL, *Rallus*.

194. ChróścIEL wodnik Tyz. Wodnik zielonawy Jar. *Rallus aquaticus* Linn. dość rzadki, gnieździ się i zimuje.

195. ChróścIEL derkacz właściwy Tyz. Ch. łączny Jar. Derkacz, chróścIEL, kiecak gmin. *Rallus crex* Linn. *Gallinula crex* Lath. pospolity, gnieździ się, na zimę odlatuje.

196. ChróścIEL kurka wodna Tyz. Kurka nakrapiana Wodz. K. kokoszka Jar. *Rallus porzana* Linn. *Zaporina* Leach; pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

197. ChróścIEL kurka zielonka Tyz. Kurka mała Jar. *Rallus pusillus* Linn. rzadka, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodz. KokoszKA, *Gallinula*.

198. KokoszKA zielononoga Kluk. Kurka wodna Jundz. *Gallinula chloropus* Lath. *G. galeata* Bonap. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rzęd XIII Płatkonogie (*Pinnatipedes*).

Rodz. ŁYSKA, *Fulica*.

199. ŁYSKA czarna Jar. *Fulica atra* Linn. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

Rodz. PERKOZ, *Podiceps*.

200. Perkoz dwuczubny Tyz. Nurek czubaty Kluk. Nurek wielki Wodz. Koza gmin. *Podiceps cristatus* Lath. *Colymbus cristatus* Gm. *Colymbus cornutus* Pall. pospolity, gnieździ się po dużych stawach i jeziorach, na zimę odlatuje.

201. Perkoz rdzawoszyjny Tyz. Nurek wpółczubaty Jar. *Podiceps rubricollis* Lath. *Colymbus subcristatus* Gmel. *Colymbus cucullatus* Pall. przelotny, na wiosnę i w jesieni zapada na Wiśle i jeziorach.

202. Perkoz uszaty Tyz. Nurek rogaty Jar. *Podiceps cornutus* Lath. rzadki w przelotach.

203. Perkoz zauszniK Tyz. Nurek zauszniK Kluk. *Podiceps auritus* Lath. dość pospolity w przelotach.

204. Perkoz mniejszy Jundz. *Podiceps minor et hebridicus*. Lath. pospolity, gnieździ się i zimuje.

Rząd XIV. Płetwonogie (*Palmipedes*).Rodz. RYBOŁÓWKA, *Sterna*.

205. Rybołówka zwyczajna Tyz. R. pospolita Jundz. *Sterna hirundo* Linn. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

206. Rybołówka białoczelną Jundz. *Sterna minuta* Linn. zalatuje czasami nad Wisłą, gdzieindziej bardzo rzadko.

207. Rybołówka białowąsa Tyz. *Sterna leucopareia* Natt. przypadkowa, bardzo rzadka.

208. Rybołówka białoskrzydła Jar. *Sterna leucoptera* Temm. przypadkowa, bardzo rzadka.

209. Rybołówka krzyżek Tyz. R. czarna Jar. *Sterna nigra* Linn. *S. naevia* Gm. (młoda); pospolita, gnieździ się.

Rodz. MEWA, *Larus*.

210. Mewa czarnogrzbieta Tyz. M. siodłata Jar. *Larus marinus* Linn. rzadka, przypadkowa w przelotach.

211. Mewa żółtonoga Jar. *Larus fuscus* Linn. *Larus flavipes* Meyer, dość pospolita w przelotach w rozmaitym czasie, zdarzają się nawet wypadki, że wśród zimy zalatuje.

212. Mewa srebrzysta Tyz. *Larus argentatus* Brehm. *Larus glaucus* Retz. przypadkowa, bardzo rzadka.

213. Mewa pospolita Jundz. Wrona morska gmin. *Larus canus* Linn. dość pospolita w przelotach.

214. Mewa trzypalcowa Tyz. M. zimowa Kluk, *Larus tridactylus* Lath. rzadka w przelotach.

215. Mewa śmieszka Kluk, *Larus ridibundus* Linn. pospolita, gnieździ się nad jeziorami: nad Wytyckiem w powiecie radzyńskim, na bardzo szczupłym bagnie po kilkaset par się ściele. Na zimę odlatuje.

Rodz. WYDRZYK, *Lestris*.

216. Wydrzyk białopiór Jar. *Lestris cataractes* Temm. przypadkowy, bardzo rzadki.

Rodz. KACZKA, *Anas*.Oddział II. Gęś, *Anser*.

217. Kaczka gęś białolica Tyz. *Anser leucopsis* Bechs. *Anas erythropus* Gm. bardzo rzadka w przelotach.

218. Kaczka gęś bernikla Tyz. *Anser bernicla* Linn. bardzo rzadka w przelotach.

219. Kaczka gęś czerwonoszyja Kluk, *Anser ruficollis* Pall. *Anser torquata* Gm. na wiosnę roku 1848 widziano stado około 60 sztuk.

220. Kaczka gęś białoczarna Jar. *Anser albifrons* Bechs. w przelotach dość często zalatuje.

221. Kaczka gęś Heckela Tyz. *Anser Heckelii* Tyz. *Anser minutus* Naum. *Anser brevirostris* Heck. zalatuje w przelotach.

222. Kaczka gęś posiewnica Jar. gęś litewka gmin. *Anser segetum* Bechs. pospolita w przelotach.

223. Kaczka gęś polna Tyz. *Anser arvensis et rufescens* Brehm. pospolita w przelotach.

224. Kaczka gęś szara czyli gęgawa Tyz. Gęś popielata Jar. *Anser cinereus* Mey. pospolita w przelotach.

Oddział 3. Łabędź, *Cygnus*.

225. Kaczka łabędź gędziec lub dziki Tyz. *Cygnus musicus* Bechs. *Cygnus xanthorinus* Naum. *Anas cygnus* Gm. *Cygnus olor* Pall. zalatuje w przelotach w jesieni, zimie i na wiosnę.

226. Kaczka łabędź nadobny Tyz. *Cygnus gibbus* Bechs. przypadkowy, rzadszy od poprzedzającego.

Oddział 4. Kaczki właściwe, *Anas*.

227. Kaczka ohar Rzącz. K. podgorzelec Jar. *Anas tadorna* Linn. przypadkowa, bardzo rzadka.

228. Kaczka krakwa czyli pospolita Tyz. krzyżówka, szarka, burka gmin. *Anas boschas* Linn. najpospolitsza, gnieździ się i zimuje.

229. Kaczka grzechotka Kluk. *Anas strepera* Linn. przypadkowa, rzadka.

230. Kaczka długosterna lub rozeniec Tyz. K. strzałogon Kluk. K. jaskółczyogon gmin. *Anas acuta* Linn. nieliczna, gnieździ się, na zimę odlatuje.

231. Kaczka gwiździąca Jundz. K. piszczalka Kluk. Swistun gmin. *Anas penelope* Linn. *Anas kagolka* Gm. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

232. Kaczka płaskonos Jundz. *Anas clypeata* Linn. *Spatula* Boié. *Rhynchaspis* Leach. nieliczna, gnieździ się, na zimę odlatuje.

233. Kaczka cyranka Rzącz. *Anas querquedula* Linn. *A. ciria* Gm. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

234. Kaczka cyraneczka Kluk. *Anas crecca* Linn. pospolita, gnieździ się, na zimę odlatuje.

235. Kaczka uhla Rzącz. *Anas fusca* Linn. rzadka w przelotach, zalatuje latem i zimą.

236. Kaczka czarna Kluk. *Anas nigra* Linn. *Anas atra* Pall. rzadsza od poprzedzającej.

237. Kaczka hełmiasta Tyz. K. rdzawoczub Jar. *Anas rufina* Pall. bardzo rzadka w przelotach.

238. Kaczka ogorzalka Myśl, Pta. *Anas marila* Linn. *Anas kagolka* Lepech. dość rzadka w przelotach.

239. Kaczka podgorzalka Tyz. K. kasztanowata Jar. *Anas ferina* Linn. dość pospolita w przelotach; niektóre pary gnieździą się na wielkich stawach i jeziorach.

240. Kaczka białooka Jar. Podgorzalka gmin. *Anas leucophthalmos* Linn. pospolita, gnieździ się, czasami zimuje.

241. Kaczka czernica Górs. *Anas fuligula* Linn. dość pospolita w przelotach.

242. Kaczka krzykliwa Jundz. Gągoł gmin. *Anas clangula* Linn. pospolita w jesieni, w zimie i na wiosnę.

243. Kaczka wdówka Kluk. *Anas glacialis* Linn. bardzo rzadka w przelotach.

Rodzaj TRACZ, *Mergus*.

244. Tracz nurogęś Jundz. Ślacharz gmin. *Mergus merganser* Linn. pospolity w jesieni, w zimie i na wiosnę.

245. Tracz długodziób Kluk. *Mergus serrator* Linn. rzadszy od poprzedzającego, zalatuje w tym samym czasie.

246. Tracz bielaczek Jar. *Mergus albellus* Linn. najpospolitszy; w tym samym czasie pospolity.

Rodzaj PELIKAN, *Pelecanus*.

247. Pelikan baba Jundz. *Pelecanus onocrotalus* Linn. bardzo rzadki w przelotach.

Rodzaj KORMORAN, *Carbo*.

248. Kormoran kruk morski Tyz. *Carbo cormoranus* Mey. rzadki w przelotach.

Rodzaj NUR, *Colymbus*.

249. Nur lodowiec Tyz. *Colymbus glacialis* Linn. na wiosnę, w jesieni i w zimie dość często zalatuje.

250. Nur czarnoszyj Tyz. *Colymbus arcticus* Linn. pospolitszy od poprzedzającego, zalatuje równie w zimie, jako też latem.

251. Nur rdzawogardlisty Jar. *Colymbus septentrionalis* Linn. bardzo rzadki w przelotach.

KRONIKA LITERACKA.

Dawne zabytki miasta Krakowa. Przypomnienia przeszłości o niektórych starożytnych zwyczajach mieszczan krakowskich, o bramach, basztach i wszelakich téj niegdyś stolicy kraju obronach, z dodatkiem różnych do dziedziny pamiątek należących wiadomości. Z rękopismów zebrał i ogłosił Ambroży Grabowski sędzia pokoju, członek Towarzystwa Naukowego, mieszczanin krakowski. Z ryciną. W Krakowie, w drukarni Czasu. 1850 r. str. IV i 226.

Kraków stary posiada dwóch bardzo zacnych ludzi, którzy postanowili wybierać wszystkie jego pamiątki, i opis dawnych zabytków drukiem ogłosić. Czém Muczkowski jest dla akademii Jagiellońskiej, tém Ambroży Grabowski dla samego miasta. I jednego i drugiego dzieł, dziełek, broszurek i rozpraw o Krakowie, można zbierać dziesiątkami. Ale Muczkowski staranniejszy, podaje nam obrobiony materiał, jako cegielki do gmachu wielkiego, który ma stawiać w przyszłości; Grabowski zbiera tylko wiadomości oderwane, to o tém, to o tamtém i podaje ten materiał *in crudo* dla innego już budownika. I jeden drugiemu nie wadzi na raz obranej drodze: Muczkowski przebióra akta i pomniki akademii, Grabowski akta miejskie. Żadne miasto polskie nie ma dwóch tak wytrwałych, w jednym raz obranym zawodzie, pracowników. To téż może starożytnego Krakowa najlepiej i najwierniej mamy opisane pamiątki, a przynajmniej najgłośniejsze o nich słyhać w całej naszej literaturze społecznej.

W nowo wydaném dziele, pan Ambr. Grabowski zmieścił całą encyklopedyą Krakowa. Sam tytuł wskazuje wiele, a przecież jest tutaj daleko więcéj, jakby można było sądzić z tytułu, na piérwszy rzut oka. Jestto zbiór samych oderwanych wiadomości, o zamku, o ratuszu, o bramach Krakowa, które są wszystkie wyliczone z kolei: i te, których już

ani śladu, i te, co do dziś dnia jeszcze przetrwały. P. Grabowski nie opisuje dziejów tego zamku, ratusza, bram, ale do nich przyczepia, powiedzielibyśmy, wspomnienia, gdyby wspomnieniami nazywać było można rachunki, likwidacye, wydatki, które miasto wydawało np. na upiększenie mieszkania królewskiego, albo gdyby wspomnieniami były spisy sprzętów i obrazów na ratuszu, wyjęte z dawnych inwentarzów. Podane szczegóły, że ślusarz od przybicia dwóch zamków w ratuszu wziął tyle a tyle, że kowal do bramy Floryańskiej urobił kolce do sprysze i wziął za nie znowu tyle a tyle, mogą być ciekawe, może zdadzą się komu na co, ale nie przecie nie interesują dziejów ogólnych rzeczypospolitej. Nie jesteśmy, broń Boże, przeciw zbieraniu i upowszechnianiu drukiem takich wiadomości: owszem zdaniem naszym, najmniejszy rys przeszłości, zachować dla nauki, albo dla przestrogi potrzeba; ale wolelibyśmy jednak czytać coś więcej o życiu wewnętrzném miasta, o jego urządzeniach, o ludziach składających starszszynę Krakowa. Bo tak, jak dzisiaj jest, p. Grabowski bardzo suchą księgę napisał i li tylko dla archeologów, kiedy niejednen wziął do ręki *Dawne zabytki Krakowa* w nadziei, że znajdzie w nich może szczegóły jakie do życiorysu kraju.

Jednakże jest w tém wszystkiém metoda, i dziwić się doprawdy musim, żelaznej pracy i cierpliwości zacnego szperacza. Bierze np. autor wieżę ratuszową Krakowa, i pod tym tytułem gromadzi listy, supliki, odezwy do magistratu, albo od magistratu, tyjące się téj wieży, i drukuje po kolei w porządku chronologicznym wszystko, co tylko znalazł. W rzeczy tak małej wagi, jak jest wieża ratusza Krakowa dla całej Polski, spotyka czasem czytelnik interes, jeżeli nie dla wieży, to dla osób, które z sobą korespondują. Pisują o niej nawet królowie Jan III i August II, kanclerze Wielopolski i Szembek, biskupi krakowscy, hetmani i t. d. Niezawsze, ale znajdzie się przecież czasami szczegół, który nawet obchodzi pośrednio i dzieje kraju.

Co do samego Krakowa, najciekawsze są zapewne w *Dawnych zabytkach* te wypisy z akt, przywilejów i postanowień magistratu, które dotyczą uzbrojenia miasta. Król Stefan kazał już zamykać bramy w Krakowie w r. 1579, a stolica rzeczypospolitej wznosiła ciągle wtenczas nowe baszty i wieże, we wszystkich stronach miasta. W pierwszym już bezkrólewiu po Henryku wydawała urządzenia, zmierzające do utrzymania bezpieczeństwa, stanowiła o straży i obronie téj głównej warowni państwa, lękając się, żeby nie wpadła w moc burzycieli publicznego spokoju. Na ganku wieży ratuszowej, pacholek znać dawał o trwodze trąbą miedzianą, wygrywając na niej pieśń Boga-Rodzicy. Cechy miejskie wzruszały się na ten odgłos we wszystkich dzielnicach Krakowa; biegł każdy na zborue miejsce z bro-

nią, z rynsztunkiem wojennym. Tam pułki swoje ustawił hetman miejski i dziesiętnicy. Hetmanów, oprócz przedmieść, w samym Krakowie było czterech. Sąto wszystko nadzwyczaj ciekawe szczegóły, ale trzeba je czytać w książce p. Grabowskiego, żeby mieć wyobrażenie o porządku wewnętrznym miasta pod tym względem. Magistrat mógł doprawdy się pochwalić nadzwyczajną swoją czynnością. Miał 46 baszt w Krakowie. Urządzeń jego znajduje się więc mnóstwo; nie pilnował nawet materyalnej korzyści, aby spokojność miasta zabezpieczyć. W roku 1651 np. podarował Jezuitom od śś. Piotra i Pawła plac i grunt, a zamiast opłaty czynszu wiecznego, zobowiązał rektora Hinczę, żeby wystawił trzy nowe baszty. Taż staranność o mury, przekopy, rondelle, belluardy, szanice, o zbrojownią miejską i cekhausz, widoczna wszędzie przez dwa przeszło wieki, bo datuje się od czasów Starego Augusta. Kraków miał nawet swoją ludwisarnią; odlewał działa naprzód u siebie, a potem kiedy podupadł; na Wiśnicz u Lubomirskich; wyrabiał proch, broń ręczną i strzelby. Miał własnych żołnierzy, których jeszcze w roku 1797 utrzymywał, ale już tylko kilkunastu; niegrzeczne a kłótlive przekupki nazywały tych dzielnych zapewne żołnierzy, *śledziami*. Obywateli swoich, czyli mieszczan, wzywał nawet Kraków na okazowania, czyli popisy wojenne, na wzór stanu rycerskiego. Byłto niby rodzaj wystąpienia dzisiejszej gwardyi narodowej.

Dla historyi wewnętrznej miasta, wszystko to są pierwszego znaczenia szczegóły. Dzieje rzeczypospolitej, interesują szczególniej zabiegi miasta, w czasie drugiej wojny szwedzkiej i konfederacyi barskiej. Rzecz dziwna, że p. Grabowski nie wyszukał w aktach Krakowa jakich wiadomości o zachowaniu się miasta, w czasie najścia Karola Gustawa. Tak dzielnie bronił się w stariej stolicy Stefan Czarniecki, że aż zasłużył na szacunek dumnego zwycięzcy. Musieli kasztelanowi pomagać dobrowolnie w tej sprawie mieszczanie Krakowa, a jeżeli nie pomagali, to ich z ręcznie poprosił. Może szczegóły zebrane o tej walce wyjaśniłyby stosunki ówczesne, możeby wskazały na siłę Czarnieckiego, jaką mógł rozporządzać i nadzieję na jaką mógł się spuścić. Mamy w *Dawnych zabytkach* tylko dwa listy magistratu do króla (4 i 7 sierpnia 1655 r.) błagające o pomoc przeciw Szwedom i załogę. Kraków nawet i kasztelana swojego, Stan. Warszuckiego, upraszał o wsparcie. List Jana Kazimiérza z Żywca (13 października) do mieszczan, mówi tylko coś o dzielnej obronie Krakowian, o której zaświadczał przed nim kasztelan kijowski; a król wdzięczny, obiecał za szczęśliwszą porą, pomnożyć za to miastu wolności. Czemuż tak mało o tych fatygach i pracach obrońców Krakowa?

Za to, jak powiedzieliśmy, mamy więcej szczegółów o czasach Karola XII. Widzimy z kolei pieczołowitość o miasto Małachowskiego

biskupa, potem jego komendantów Morsztyna i Platera, wreszcie Michała Behma burmistrza, zabiegi drugiego burmistrza Fryznekera, grafa Legnasko i t. d. Za czasów barskich miasto było w wielkich kłopotach. Komendant placu podpułkownik ross. d'Oebschelwitz, napędzał magistrat do naprawy murów, co miało kosztować do kilkudziesięciu tysięcy, a biedny Kraków już wtedy strasznie podupadł, tak, że na utrzymywanie bram i murów pobięrał już od kilku czasów pieniądze ze skarbu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Wysłało wtedy miasto osobnych delegatów do króla; żeby wyjednać sobie uwolnienie od tego obowiązku. Pisał magistrat i do kanclerza Młodziejowskiego. Szczegóły te bardzo zajmują.

Jako dopełnienie do całego obrazu wojennej siły Krakowa, p. Grabowski dodał inwentarze broni miejskiej z różnych czasów. Najdawniejszy pochodzi z roku 1398. Rajca Adam Nagoth ułożył w r. 1626 spis dział zachowanych po bramach i basztach, w cekkhausio i w ratuszu, spis kul żelaznych i kamiennych do dział i wszystkich wojennych potrzeb miasta. Najbogatszy wtedy pod względem broni był Kraków; takby przynajmniej sądzić należało, kiedy się porówna inwentarz Nagotha ze spisami z lat innych, których w dziele p. Grabowskiego tak wiele!

Pod osobnym tytułem: *Do dziedziiny pamiątek należące wiadomości* (od str. 155, do końca), zawierają także bardzo rozmaite urywki. Naprzód idzie sztuka i artykuły o Wicie i Stanisławie Stossach, zbogaczone nowemi wypisami z akt miejskich. Potrzeba przyznać, że pan Grabowski wielkie położył zasługi względem tej sławnej rodziny rzeźbiarzów: odtworzył ich, w pamiątce przynajmniej..... Potem idą artykuły o malarzach nadwornych Zygmunta I, o mistrzu Janie Triciuszu, dalej drzeworytnictwo, kartownicy i szpalernicy, Wreszcie rzecz o muzykach nadwornych królewskich. Wszystkie te wiadomości uzupełniają artykuły dawniejsze p. Grabowskiego o sztuce, bo pracowity nasz szperacz umie szukać, ale jak to powiedzieliśmy, nie potrafi nic zbudować. Ztąd też błąka się ciągle w zaczarowanym kole upodobań swoich: do każdego obrazu to raz wraz powraca, to się znowu oddala od niego, a ten budownik, który z jego materiałów tworzyć będzie gmach, czy o sztuce, czy o czémkolwiek zechce przed nami rozprawić, będzie miał doprawdy mozolną pracę w pozbieraniu tych wszystkich wiadomości, rozproszonych po tylu dzielkach i pismach peryodycznych krakowskich i warszawskich. Pan Grabowski zgubił się w artykulikach.

Artykulików tych mnóstwo i w *Dawnych zabytkach*. Wypisy, i same wypisy, rzadko pozlepiane sztucznie przez wydawcę. To o skromnych zwyczajach stołu królów Jagiellonów, to o turniejach, to o darach królowej Bonie przez miasto w czasie koronacyi oliarowanych, rozpo-

wiada nam z akt miejskich pan Grabowski. Najwięcej jednak wypisów świadczących o wewnętrzném życiu starego grodu. Tutaj p. Grabowski po kolei rozprawia, to o języku i kazaniach niemieckich w Krakowie, to o strzelaniu do kurka, o processyi mieszczan w zbroi na Boże Ciało, to o zwyczajach cechowych iglarzy, oświeceniom miasta, banku pobożnym, wreszcie o stallach u św. Trójcy. Z rękopismów pozostałych po Janie Sobieskim, wypisał wydawca artykuł o koronach i pierścieniach króla Zygmunta III. Do ciekawszych także wyjątków należą: opis wjazdu na biskupstwo krakowskie królewicza Jana Olbrachta, opis ceremonii hołdu i przysięgi Krakowa Władysławowi IVmu, tudzież wjazdu na koronacyą Jana Kazimierza, a potém królowej Eleonory. Ale prawdziwą wdzięczność winniśmy panu Grabowskiemu za szczegóły, zachowane o zamiarze przeniesienia obrazu Najświętszej Panny Częstochowskiej do Krakowa. W roku 1793, kiedy się wieść nagle rozeszła, że król pruski chce zająć nawet Jasną Górę, magistrat pisał o tych wieściach do Grodna i podsunął myśl królowi przeniesienia cudownego obrazu do Krakowa. Pięć ciekawych listów najmniej napisano w tym przedmiocie. Król pozwalał na to, rozpoczął już nawet w tym celu starania na drodze dyplomatycznej; wszystko sprzyjało dawniej stolicy, ale zaszły wypadki, które nie pozwoliły na spełnienie pierwotnego zamiaru. Flepij doprawdy Najświętszej Pannie Częstochowskiej, że została na Jasnej Górze, na świętém miejscu, gdzieśmy ją od tylu wieków już oglądać nawykli. I dobrze, że nie spełniły się życzenia magistratu, który dbał więcj w tym razie o konsumpcyą miasta i o wzrost handlu, jak o uszanowanie świętości.

Kiedyśmy kończyli nasz przegląd *Dawnych zabytków Krakowa*, mimowolnie nasunęło się nam porównanie i myśl, że pan Grabowski ma wiele podobieństwa z naszym Wincentym Hippolitem Gawareckim. Obadwaj szczerze pokochali stare pamiątki; zbieraniu ich i opisywaniu poświęcili życie całe. Obadwaj tóż zasługi położyli znakomite dla literatury dziejowej. Ale pokazując *miłość*, nie pokazali *sztuki*. Zdolności nie widać w ich pracach.

Gawarecki nadzwyczaj wiele opisał kościołów, klasztorów, miast, wiosek, pomników. Całe Mazowsze wieczną dla niego wdzięczność zachowa. Grabowski wszystkie pamiątki starego grodu opisał: wszystkie jego zwyczaje, zabawy i zatrudnienia. Umiemy cenić tę pracę.

Gawarecki więcj napisał o Mazowszu, jak Grabowski o Krakowie. Ale za to Grabowski potrafił lepiej wziąć się do dzieła. Gawarecki zbiera wiadomości, ale bez krytyki; powtarza się ciągle w dopiskach, w których jeden i tenże sam herb opisuje po sto razy, o jednym i tymże biskupie powiada także po sto razy, że umarł wtedy i wtedy. Do rzeczy

historycznych, ściśle pląta czasami najniestosowniej statystykę dzisiejszą, a czasem lubi i ekliwo-romansowo-czułe poetyzowanie, które mu wcale nie do twarzy. Grabowski umie już zrobić wybór i w czułości się nie bawi; w wypisach są u niego tylko poprostu wypisy, a w rozumowaniu, opowiadaniu, które bardzo rzadko u niego się napotyka, jest przecież sąd i myśl krytyczna. W tém właśnie wyższość jego nad Gawareckim. Ale obadwaj lubią zboczenia; nigdy nie wypowiedzą wszystkiego, co im leży na sercu, często więc robią dopiski i od tych znowu dopisków, jeszcze dopiski. To już wszelki brak twórczej siły. Grabowskiego wyżej cenim pod względem prawdy dziejowej, a przecież takie artykuły, jak np. w *Dawnych zabytkach* o królu Batorym (str. 192), *chronologia* od roku 1543 (str. 189), *fundacye kościołów* (str. 191) i t. d., chociaż z dawnych rękopismów przepisane, są bez żadnej wartości, i p. Grabowski powinienby poznać się na tém. Cóż z tego, że to autografy Jana Januszowskiego Andryswicza, kiedy to widać tylko kalendarzowe przypomnienia rzeczy starych i znanych, kiedy z nich najmniejsze, dla nas potomków, nie spłynie światło? Artykuł np. o Stefanie Batorym, czegoż nas uczy?—urodził się tego a tego roku, nawet dnia nie ma (a dzień znajduje się w Albertrandym, pisarzu lat niedawnych), wjechał do Krakowa w poniedziałek, królował lat 10, umarł w Grodnie, pochowany wtenczas a wtenczas, żył lat tyle a tyle. Nie wszystko jest godne druku, co stare, choćby np. te siedm wierszy o królu Batorym.

Pan Grabowski powinienby nas poznać teraz z prawami swojego rodzinnego miasta, bo dosyć tych kleceń napół historycznych. Piękny kodex z malowaniami przedstawiającymi ubiory i zatrudnienia mieszczan i rękodzielników Krakowa z roku 1505, sporządzony przez Baltazara Belma, jeszcze żyje (str. 9). Wypisy z niego będą najwięcej interesujące, bo o Krakowa wewnętrznym rządzie i prawach, wiemy jeszcze zbyt mało, prawie to jedynie, co nam rozpowiedział Karol Mecherzyński w szanowném dziele swoim: *O magistratach miast polskich*.

J. B.



ROZMAITOŚCI.

Myśli przy czytaniu dzieła: Słownik malarzów polskich, tudzież obcych w Polsce osiadłych, lub czasowo w niej przebywających, przez Edwarda Rastawieckiego. Warszawa. Nakładem autora, w drukarni Orgelbranda. 1850. Tom 1^{szy} w 8^{ce}. Przedmowy stron. VIII. Dzieła stron. 334.

Jużto drugim własnym dziełem wielce się literaturze naszej przysługuje pan Rastawiecki. Winniśmy mu oprócz tego wdzięczność za wydanie tyle ważnego dzieła numizmatycznego p. Zagórskiego, a które dla wielkich, niezwracających się wydatków nakładu, zapewniemy w tece szanownego pisarza dotąd jeszcze spoczywało.

Cześć mu więc za nie, cześć za własną jego Mappologią i za niniejszą pracę; tém bardziej, iż nikt, kto się w tym zawodzie nie próbował, nie jest w stanie odgadnąć téj zmuśnionej pracy, i ocenić trudy i wydatki, jakie ponosić trzeba, by się przynajmniej módz zbliżyć do celu. Szczerze tylko zamięłowanie przeszłości, uszanowanie coraz bardziej znikających pomników przodków naszych i uszczuplające się w tym rodzaju bogactwa kraju, te to mogą dodać niezbędnie potrzebnej wytrwałości; by wśród trudu nie ustać.

Że dzieła podobne ogromną korzyść przynoszą, — rozumię tu korzyść nie dla autora, ale dla literatury, a przez nią dla ogólnej oświaty, — najłatwiej poznamy, jeżeli się zastanowimy nad skutkami, jakie prace w podobnych rodzajach już zdziałały.

Przed rokiem 1814, zbierali u nas książki: Czacki, Czartoryski, Działyński, Ossoliński, Raczyński i Tarnowski. Zbyt szczupłe grono szlacheckich, na taką przestrzeń kraju! — Słabe ślady owego ogromu zbioru Załuskich, tylko w dziełach Janockiego pozostały. Po klasztorach jeszcze niezniezionych, lub może żywiły się książkami pod prochami na strychach, lub butwiały one w wilgotnych lamusach. Z skasowanych

zaś, sprzedawane centnarami, albo szły na obwijanie korzeni po sklepach, lub też w papierniach na czysty papier przerabiane, dostarczały politykom materiału do zamącania spokoju naszego, a półmędrkom do zamącania mózgu.

Zjawił się Bentkowski, i w tej zaraz chwili rzuciła się ówczesna młodzież z zapalem do pracy; a idąc wskazanym przezeń szlakiem, na nieprzejrzanym dziewiczym obszarze rodzimych nauk dorosłszy w męża, wzniosła terażniejszą budowę zaszczytniej historii literatury naszej.

Albertrandego pismo o medalach w kilku odpisach, starannie w szafach zamykaném było. Wiadomości Czackiego o pieniądzech naszych w nie do ocenienia jego dziele: O litewskich i polskich prawach, miało tylko służyć do poznania wartości monet. Obudzeni przez nich wyszli z ukryć Bandtkie i Zagórski, po nich wznosił się Stroneczyński, a na uTOROWANEJ drodze, znaczna liczba zbieraczy uratowała te w tyglach znikające pamiątki sławy i bogactw krajowych. Iluż przez to powstało badaczy historycznych i archeologicznych, których poczyta rozsądną wiązaną krytyką, rozliczne oświaty pozapalała kagańce! Niebawem przekonają się, iż co do rzeczy nienumizmatycznych wyżej nierównie staliśmy, jak reszta Europy. Numizmatyka innych krajów, co do pieniędzy wyświeca tylko działania ich rządów, ich wiarę kupiecką i stan sztuki; nasza zaś oprócz tego, wyjaśnia wpływ miast i osób prywatnych: co gdy bardziej jeszcze rozwinięciem zostanie, niejedna się zawilość w historii rozplące.

Szczęśliwy jestem, jeżeli mój, już nateraz szczupły spis rytowników naszych, wzbudził c hęc zbierania ryciu, i posłużył do tego, że pokazać możemy, iż i w tym zawodzie nie staliśmy w tyle za innemi. Wielu rytowników naszych słyneło za granicą, a był taki, który w r. 1621 we Lwowie rytował blachy dla handlu sztuk pięknych Jana Le Clerca w Paryżu (1).

Wielki, nowy zawód otwiera Słownik pana Rastawieckiego. W myśli mojej uradowany przebiegam obfity w przyszłości plon tego szlachetnego nasienia, rzuconego na zaniedbaną niwę rodzimą; cieszę się, chociaż trudno, by podeszły wiek pozwolił korzystać z owoców. Witam więc dzieło to z szczerą wdzięcznością dla pisarza, iż otworzył podwoje tej świątyni. W niej będziemy mogli składać cześć przodkom naszym, i okazać światu, że i w tej gałęzi nauk, nie do ostatnich należeliśmy.

Ależ w istocie obejrzyjmy się wkoło. Te liczne ślady dawniej okazałości u nas, wskazują, jak na wysokim stopniu sztuki stały. Takie

(1) Jakób Ziarnko Lwowianin rytował we Lwowie (J. Ziarnko Leopoli): „Portrait de la ville de la Rochelle avec ses fortereses comme elle est (à present (sic), folio; a u dołu objaśnienia, dokola ze wszech stron ryciny drukowanego: „A Paris chez Jean Le Clerc le jeune, rue Saint Jaques. 1621” (sic.).

massy tych pięknych rzeczy, nie sami obcy tylko w kraju tworzyli. Dlaczegoż bowiem swojacy w kraju pracować nie mieli, kiedy się za granicą i kielnią i dłutem wstawiali.

Im znaczniejsza liczba obcych artystów do kraju naszego napływała, tém mocniejsze mamy świadectwo i gustu naszego, i potrzeby kunsztu, a tém samém większa liczba naszych na ich wzorach kształcić się musiała. Moźni nasi, licznie za granicą podróżując, nie mogli nie nabywać zamiłowania do sztuk pięknych, a ukształcone ich pojęcie piękna, nie mogło zostać bez wpływu i nie rozszerzać się po kraju. Tak wzmagający się smak dobry, zdradzał potrzebę otaczania się nadobnymi tworami.

Będąc puklerzem dla reszty Europy od najazdów tatarskiej dziczy, utraciliśmy zbiory nasze. Więcej jeszcze wyniszczyły je zamieszki z Sasami do nas przybyłe; co nie zginęło, to Szwed i Sas wywiózł.... Wiele także fałszywe ukształcenie duchownych do zagłady się przyczyniło.— Dziurawiono obrazy po kościołach, by je firaneczkami ozdobić, lub kwiatami ustrajać. Odziewano świętych w dziwaczne blaszane sukienki; a co gorsza jeszcze: za nowy, lichy, od pokostu lśniący się bohomaz, od dawano dawne arcydzieła, które zaraz za granicę wywożono. Obielano freski i rzeźby; bo były ciemnej barwy. — Niestety! ten wandalizm trwa i po dziś dzień, a w wykonaniu onegoż nawet szukają zasługi! Nakoniec, przyczyniają się u nas do niszczenia obrazów artyści, którzy nie z zamiłowania, ale z głodu sztukom się oddają; umiając nieco malować, pomimo, iż restaurowanie malowideł zupełnie jest inną nauką, biorą się do naprawiania obrazów starych. Kannibale ci, nie naprawiają, ale zmywaniem i firniksowaniem samém, już niszczą dzieła najpiękniejsze, a właściciele obrazów nie mogą dosyć być w tym względzie ostrożnymi, bo lepiej zostawić uszkodzonym obraz, niżeli go powierzyć niedoświadczonemu partaczowi. Otóżto przyczyny, dla których za granicą prędkiej, niżeli w domu zbiory rodzinne sztuk pięknych uzupełnić można. Poświadcza to zbiór Cichockiego w Paryżu, Wodzińskiego w Dreźnie, a i ja w kraju prawie nic nie uzbierałem.

Powszechnie się na to zgodzono, że oświata tylko obok sztuk pięknych postępuje; bez nich, nie wciska się w głębią duszy narodu. One nie tylko kształcą i wyższym człowieka czynią, łagodzą obyczaje i uczucie, sprosne zastępują zabawy, ale mu w niejednym smutku, gojącą niosą pociechę. Powinno zatem być staraniem naszym, rozszerzać i upowszechniać zamiłowanie do tworców sztuk pięknych. Zamiłowanie to, tam być nie może, gdzie większa nierównie część ludności, nie znając ich nawet, pojęcia o nich nie ma zupełnie.

U nas (mówię o Galicyi) nie masz publicznych zbiorów, w którychby się nacieszyć można obzieraniem dzieł sztuki. Nie masz i prywatnych,

bo niszczące przez poskładanie po wsiach w stopy, zbieranych przez rodziców obrazów, nie mogą liczyć zaistniejące; równie jak i ubogi w arcydzieła zakład Ossolińskich.— Nie masz więc sposobu obeznania się z sztukami, a jednakże zaprzeczyć nie można, że pociąg do nich u nas jest niemały. Zajrzyjmy tylko do naszych lichych chat; w każdej znajdziemy pełno drzeworytów i nikczemnych olejnych obrazów, które nie sama tylko pobożność, ile, że nie wszystkie święte, ale i chęć ozdobienia ścian, porozwieszała. Ileżto samorodnych mamy malarzy, snycerzy! Tych sam pociąg ku pięknu utworzył, a gdyby taki miał wzory i na tych technicznie mógł się kształcić, mielibyśmy wielu wyższego stopnia artystów. Wielużto z naszych, acz bez pomocy i protekcji, kształcąc się w zagranicznych akademiach, między pierwszemi zajmują miejsce. Niezawodnie więc jest w rodzie naszym uczucie i pociąg do piękna, lecz do rozwinięcia i upowszechnienia tego uczucia, potrzeba je pielęgnować i na wiérzch, iż tak rzekę, wyprowadzić. Do tego artyści nasi najwięcejby się przyczynić mogli. Onito tylko sami smak do malowideł wzbudzić mogą, a wtedy sztuka stałaby się potrzebą. Jednym potrzebą z zewnętrznego uczucia, innym potrzebą z chęci naśladowania dla mody, lub z dumy, by nie dać się uprzedzić drugim. Ależ artyści nasi odstraszą ceną wysoką, równającą się cenom zagranicznym najcelniejszych i poszukiwanych artystów; sami też winni, że zatrudnienia nie mają. Tanio kupiony obraz, pociąga do nabycia drugiego. Mając ich kilka, wzrasta potrzeba posiadania więcej, a oglądając je często, zamiłowanie staje się namiętnością, i bez téj zabawy obejść się już nie można. Gdyby nasi artyści chcieli tych kilka słów wziąć na uwagę, liczniejszemi stałyby się obstalunki, a w miarę konkurencyi, wzrastałyby nagrody za ich prace.— Niechaj przytém, nie w miarę wyższej lub niższej ceny, lepiej lub gorzej obstalunek wykończają, ale w każdej robocie starając się celować, niech wzbudzają smak, pożądanie ich dzieł, i zostawia świadectwo swego ukształcenia i umiejętności, które często każą takim zaniedbaniem. Polecałem potrzebującemu portreciście, w istocie w każdej stolicy do celniejszych liczyć się mogącego, ale nawet iść do niego nie chciał, mówiąc: iż widział ręki jego portrety, nienajlepiej wykończone. Byłyto takie, które za tanie pieniądze robił, a które przez lichsze wykonanie, popsuły mu słusznie nabytą sławę i wziętość. Przyczynia się do tego jeszcze i to, iż niektórzy z naszych artystów pracę swą nie dokonywają, upatrując w tém wielkość artysty.—Zresztą nie należy im z założonemi rękami czekać na obstalunek, lecz ciągle doskonalić się pracą; przyjdzie chwila, iż odrazu sobie imię i nagrodę pozyskać, a miłośnikom sposobność zaspokojenia żądzy, dać będą mogli.—Już dlatego tylko, aby dać możność szukającym obrazów wybrania

podług myśli przedmiotu, należy mieć ubrane ściany swój pracowni; ale tam najczęściej tylko studia i kopie robione w akademii, a nie późniejszego znaleźć nie można. Nie jestto sposób wzbudzania gustu, a od tego wszystko zawisło.

Wielu bardzo między młodzieżą kształcąca się za granicą bywa z wielkiem usposobieniem. Niestety! zarozumiałość i niechęć do pracy, stają często na zawadzie wykształceniu do wyższego stopnia. Te to przyczyny, a nie mylnie przez pana Stattlera w mowie pełnej kwasu, mianej w wszechnicy krakowskiej, są istotną przeszkodą wzniesienia się sztuk u nas. Niechaj artyści nasi kształcą się na wzorach branych z natury, a utworzy się szkoła rodzima; lecz niech dla oryginalności i dobitności, nie karykaturują co tyle jest szanowném, a nawet świętém. Popatrzmy na dzieła Bana, Dolabelli, Hooga. Sąto cudzoziemcy; w dziełach ich przecież i cień nie został obczyzny, wszystko żywcem nasze. Dla czegożby więc krajowcom miało być niepodobniem ze swojej na obce nie zbaczać niwy? Niechaj bawiąc za granicą, uczą się tylko techniki, i obeznają się z prawdziwą piękną. Wróciwszy znajdą równą piękną w domu, i potrafią do niej zastosować nabytą teorią.

Posiadamy szkołę własną, ale ta zbyt rozproszona i niedosyć liczna, nie przedstawiała się przed oczy tym, którzy jęj nie szukali.

Za cesarstwa francuzkiego w Paryżu, szkołę polską po zbiorach reprezentował Norblin. Pojmowali i czuli Francuzi, iż inne zwyczaje, inne stroje, inne mamy ruchy i postawę, inne nieba i ziemi barwy. Aby to wszystko dokładnie oddać, innego potrzeba poglądu, innego miotu pędzla i przyobleczenia w inne, przedmiotowi właściwe, barwno. Czyliż nie te właściwości cechują różnicę w obcych szkołach? Otóżto wtedy nikt z panem Stattlerem nie odmówi narodowi naszemu zdatności i umiejętności, a tymczasem dzięki panu Rastawieckiemu, iż rewindykuje naszych artystów.

Nie przedsiębrałem był pisać krytyki jego Słownika, który nie słowa, ale imiona czyli nazwy i życiorysy malarzy nam przedkłada. Zbieram tu tylko myśli odrębne, nieuporządkowane, jak mi się nawijają przy czytaniu tego dzieła, które mi rozjaśniło całą widownią obszernej niwy sztuk pięknych u nas, powody ich upadku i nadzieję wzrostu pożądanego.

Dwie już dotąd zdarzyło mi się czytać krytyki dzieła tego: jedną w Dodatku Literackim do Czasu Nro 24, bezimienną, a drugą w Pamiętniku Lwowskim, pana Szczęsnego Morawskiego. Obiedwie oddają sprawiedliwość zastudze autora, i obiedwie w tém się zgadzają, że autor zbyt mało czerpał wiadomości z twórców artystycznych po kraju rozrzuconych. Pierwszy, zarówno niesłusznie zarzuca autorowi, że obcych

u nas pracujących, pomiędzy naszych przyjął; wszakże ci do wykształcenia smaku niemało się przyczynili, a wiadomość o nich do niejednego przyprowadzi odkrycia; jak i niesłusznie żąda, by monogrammata umieszczonemi były: przez to, wielubymy pod temi sfinksami najnieśluszniej takich sobie przywłaszczyli, którzy nigdy w kraju naszym nie byli. Mniemam, że tylko te monogrammata, o których z pewnością twierdzić można, iż są polskich malarzy, do tego spisu należećby mogły; inne zaś niepewne, na obrazach po kraju rozrzucone, zostawić wypada do szczegółowych archeologicznych opisów.—Niesłuszny także zarzut szanownego krytyka co do umieszczenia Hooga. Kto się należycie wpatrzy w jego roboty, ten nie zwątpi, iż kto tak po polsku maluje, ten musiał być w Polsce, żyć w kraju z Polakami, i widzieć, a może i gonić wraz z nami Tatarów. Nudzi wprawdzie czytać wykazywane własności kamienie w Krakowie; lecz to wyszczególnienie nie jest naganném, bo przy obco-brzmiającej nazwie malarza, posiadłość taka, dowodzi jego uobywatelnienia. Z mojej strony, życzyłbym raczój i upraszał autora, by krótką wzmiankę o żyjących malarzach umieścić. Może to zrobić zechce w dodatku do następujących tomów; wszakże przez to, da przyszłemu pisarzowi ślad, gdzie ich szukać będzie winien, wyrwie niejednego z zapomnienia, a i im zrobi przysługę, uwiadamiając publiczność o istnieniu ich pracowni.

I moje dołączyłbym prośbę do życzenia p. Morawskiego, aby szanowny autor do przyszłych tomów udzielił portretów dotąd niewydanych; wszakże sam o nierozpowszechnionych, że je ma, wspomina.

Wypada mi także sprostować twierdzenie p. Rastawieckiego, jakoby Dankersowi przynależało odkrycie kopalni marmurów w Polsce. Nierównie, bo na sześć wieków wprzód, Polak Woltzner budował z polskich marmurów kościół św. Szczepana w Wiedniu, o czém świadczą opisy téj starożytnój świątyni, świadczy Ossoliński i Kluczycki.

Nie piszę, jak wspomniałem krytyki, ale aby się choć w czémkolwiek z autorem nie zgodzić, to mu zarzucę, że wiadomości, które na stronach: 49 i 79 znajdujemy, jako nietyczące się artystycznego usposobienia malarzy, w ich publiczne niewchodzące życie, należało zupełnie opuścić.

Wdzięczni za ozdobienie wydania i nieszczędzenie nakładu na to dzieło, z upragnieniem dalszych tomów wyglądamy.

Medyka, dnia 28 października 1850 r.

Gwalbert Pawlikowski.

WSPOMNIENIA KONCERTOWE:

*Szczepanowski, Kellermann, Schulhoff, Józef i Henryk Wieniawscy,
Kątski Apolinary.*

Świetnie dla Warszawy ubiegł pod względem muzycznym koniec 1850 r. i następnego początek. Tamten ostatni w pierwszej, ten pierwszy w drugiej połowie XIXgo wieku ery naszój, przyzwałyż znakomitości europejskie na muzyczne igrzyska do Warszawy, by nas nauczyć dokądeśny pracą poprzednich czasów doprowadzeni zostali, by nam powiedzieć, w jakim kierunku dalszą drogę odbywać będziemy? Boć przeszłość na terażniejszość, a ta na przyszłość wpływa. Tony, któreśmy słyszeli nietylko czucie wywołało, ale i wiedza przez wieki rosnąca. Nim się te tony ozwały, trzeba było, by przez długie wieki ludzkość z grobu jak z kolebki wstawała, rosła, pracowała, i znów w grób się kładła, w nową zamienioną kolebkę; trzeba było, by tyło serc radosnych i bolejących naprzemian, uczyły obecną radość i boleść, jak mają przemawiać. Sztuka dzisiejsza jest niejako historią ludzkości w jedną wcieloną chwilę, najnowszym prześwieconą poglądem, pokrytą drgającą warstwą dzisiejszego żywota, którą obecna chwila nowym bogaci dodatkiem, a duchem czasu go nazywa. Jakimkolwiek okaże się on w szczegółach, musi w ogóle wynikać z tego, co tworzy sztukę: z wiedzy i czucia. Pierwsza, ciągnąc zyski ze wszystkiego, co do historii już należy, stosownie do potrzeb bieżących się urobiła, przeparała zapory, rozszerzyła obręb działania, ubrała się w świetność, sama za dwoje prawie starczy: za siebie i czucie, bo je do współdziałania ledwie przypuścić raczy niekiedy, by się niém odświeżyć, urozmaicić, uniknąć zarzutu o nagromadzenie płonnych bogactw, oddając ich odrobinę na usługę uczuciu. Ono silniej mówi, niż hałaśliwe pozory, bo jest prawdą; mało się rozwijając, niezatarte kładzie piętno na wszystkiém czego dotyka, na określenie charakteru przeważnie wpływa, i przedstawia się w każdój chwili jako odwieczne a nowe, zmarłe i odrodzone, zahukane a panujące. Ono jedno przeszłość w terażniejszość zamienia, bo zawsze to samo i zawsze zrozumiałe. Wiedza dawniejsza mało komu jasna, historyka, starożytnika obchodzi; czucie wszystkich zajmuje, jak gdyby samo tylko twórcą było.

Gdy wiedza posługuje się czuciem, a ono na nięj się rozwiesza, więc zmieszana obojga czynność jest wypadkiem nietylko dawnego, ale i obecnego żywota; że ostatniego więcej, lepszym też niż pierwszego jest

obrazem. Gorejąca Kątskiego muzyka czemuż rozpala? czerstwa śpiewność Kellermanna czemu w dumanie pograża? Schulhoffa świetność i elegancya czemu tak łechce? gitara Szczepanowskiego czemu rozdrażnia, a młoda sztuka Wieniawskich czemu tak lubo nadzieją się odzywa?—Bo nadzieja, drażliwość, tęsknota, świetność i zapal przemawiają do nas jako znamiona niektóre to poczynającego się, to pełnią świecącego życia. Gaśnie jedno, drugie już błyska, i przerwy nie ma; a więc i sztuka, ten mocarz wybierający daninę ze zbiorów przeszłowiecznych, by zbogacony tym łupem, skarby swoje oddał haraczem przyszłej wiedzy i mającemu w przyszłym życiu zawrzeć uczuciu, nie ma przerwy, a wciąż rosnąć się zdaje.

Jakichże poświęceń z czasem od muzyków mocarz ten wymagać będzie, gdy już i dziś ciągłym podżeganiem współzawodnictwa, ciągłym nowości pragnieniem doprowadził ich tam, gdzie zwyczajne nie mogą dostąpić zdolności, i albo jak Faust duszę za wiedzę, życie za część jego obrazu dać muszą? Czém opłaci sobie ofiara poświęcenie, jak użyje bogactw po przeszłości odziedziczonych, czém terazniejszości odwdzięczy, że ją wypielegnowała, czém się zasłuży przyszłości torując jój drogę, czém złoży hołd Najwyższej Istocie za udzielenie sobie potężniejszego niż innym światła i ducha? Albo może dosyć jest być ofiarą bez wywołania następstw, dziedzicem bez przekazania pomnożonego skarbu, pasożytem i nikogo nie karmić, mądrym a nie przewodniczyć, potężnym i sobie tylko hołdować? Jesteśmyż tu rzuceni bez przyczyn i celów, bez potrzeb obowiązków narzucających, własną wolą i siłą? Kto sobie to pytanie zadał, sięgnął duszą, gdzie człowiek sięgnąć może; poczuł w sobie nieśmiertelność użyzniającą jałowe pracy pole, wynikłości w ogniwa wiążącą, a własną potęgą pokorny, a pokorą wielki, widzi, że jest twórcą i narzędziem, źródłem i rozwojem, przyczyną i wypapką. Kto w tej odpowiedzi prawo wyczytał i posłusznym mu został, jest wielkim, jak człowiek być nim zdoła.— Wy, coście wzięli na siebie przedstawiać życie w czém godne i szlachetne, odłączyć od niego brudy doczesne, opowiadać światu o tém, co go wzmacnia i pokrzepia, o artyści! jakżeście wielcy, gdyście zrozumieli prawo i w jego duchu idziecie! Jakżeście mali, gdy wierzycie tylko w chwilę obecną, gdy wysłańcy bóstwa do ludzkości o sobie mówicie, świętą sztukę w szyderski zamieniacie szarlatanizm, poniżacie co wielkie, śmieszycie poważne, mierzycie chwilą, co jak przepaść wieczności głębokie! Odpowiedcie za to kiedyś przed ludzkości sądem; ukarze was zapomnieniem jak tylu innych. Odpowiedcie kiedyś przed surowszym jeszcze sądem: oby wam był miłosierny!

Będzie nim zaiste, bo sprawiedliwym będzie; naśladowmy go, bądźmy sprawiedliwi. Życie jak strumień przez różne ziemie płynący, mętny jest lub jasny; mamyż nim pogardzić, że męt unosi niekiedy? Wszakżeż to dowodzi, że bystro płynie; cóż winien, że brudnym toczy się korytem? Ale gdy zaczerpnąć zechcemy, by pragnienie ugasić, nie pójdziemyż tam, gdzie się błękit niebieski przegląda? więc idźmy patrzeć jakie gdzie wody, jakie odbija się w nich życie. Słuchajmy, czego nas uczy skrzypek, niemający sobie równego, co mówi gitara, wiolonczella, fortepian, zbudzone pierwszego rzędu talentem; co nam obiecują dzieci prawie i dzieci jeszcze, a już znakomitości tak wielkie, że podobnych im wiekiem i stopniem między artystami ze świecą szukać; słuchajmy! A czy gorejący porwie nas zapal, czy dumanie obejmie, czy uśmiech zadowolenia na usta nam wybiegnie, czy obojętnością skamienieje oblicze, albo się niechęcią zasepi: starajmy się wrażenia i pojęcia nasze w sąd wykształcić i wynikłość zeń wywieść. Warte zachodu co wrażenia wywiera i pojęcia budzi: bo podnieca życie, zdarzenia jego zacniejsze pomnaża, i wydzierając ludzi samolubnemu odosobnieniu, wspólnym kojarzy ich węzłem. Jakże szczęśliwy, jakże wielki kto takie robi cuda, kto szczęście i wielkość w tyłu rozbudza sereach! Bo gdy muzyka imię z tysiąca ust naraz się wydzierając brzmienno mu tryumf niesie; gdy tysiące dloni nie mogąc go jakby chciały do nieba podnieść, z naiwnym dzieciństwa gestem do poklasku się złoży: nie jestżeto znak wewnętrznego tryumfu człowieka, nie dowodziż to, że sprawą jednego, tysiące ku niebu się wzniosły, którego dosięgłszy człowiek stał się czystym, niewinnym jak dziecko, aniołem, jak widząca jasno prostota niepróżno dziecię nazywa!

Ale dziecko łatwo uwieść: błękit powietrza będzie mu już niebem, pozór prawdą, zgorszenie cnotą, gdy mu się je pokazuje w wabnym przybrane stroju, gdy mu się to ciągle wmawia, gdy się przed niem z powagą mistrza staje; łatwo uwieść prostotę, gdy się jój z szarłatańską miną opowiada cudowne towaru przymioty; mamyż dać się zwodzić jak prostota, jak dzieci?

* * *

Jednym z dotykalniejszych owoców muzykalnej wiedzy dzisiejszej, jest ów mechanizm, który sam się kształcąc tak już daleko posunął instrumenta i tak je rozwinął, że dalsze posunięcie i rozwinięcie niepodobnym prawie się stało bez zmiany warunków w jakich dzisiaj zostają. Więc gdy kto wysileniem czy trafem nową posiadzie zdobycz, zaraz powszechnie uwielbienie zyskuje; wszyscy wołają: patrzcie! patrzcie! słuchajcie! słuchajcie! tego nigdy jeszcze nie było! Mało kto pyta, do czego nowa zdo-

bycz poprowadzi? Mało kto się troszczy o to, czy ona rzetelną jest, czy pozorną; co się stanie, gdy już ostatnia zdobycz pochwyconą zostanie? Bo co z materji płynie, to i wyschnie nakoniec. Cóż pozostaje naprzykład skrzypkowi jak Kątski, gdy posiadał już wszystko, co ludziom trudném, niepodobném zdawało się prawie, gdy umieć wszystko, co smyczkiem i palcami na skrzypcach zrobić można? Cóż poczną, on i jemu podobni, jeśli istnieją, by swój instrument posunąć? Berlioz myślał już za nich i poleca w swój *instrumentacyi*, by struny skrzypiec grzbietem smyczka biczować! A gdy to się zużyje, to może kto poradzi prostém w dekę strojową szturgnięciem, skrzypce w bęben, położeniem na niej ciężaru, w trąbę zamienić? Oto gotowe pole dla instrumentalnego Farysa. Szczepanowski naśladowuje na gitarze bęben i trąbkę! Piérwszy z tych środków (a może i drugi) nie jest jego wynalazkiem, a tak prosty, że za wynalazek uchodzić nie może; ale on piérwszy w dziedzinę sztuki je wprowadzić pragnie, a do tego zbyt prostacze nam się wydają. Jak tam o tém sądzić będzie smak późniejszy, wiedzieć teraz nie można. Smak dzisiejszy nas uczy, że gdy mamy rzeczywiste bęben i trąbkę, nie potrzebujemy udanych; nie lubimy słuchać człowieka udającego głos ptaka, choćby słowika nawet. Dlategoto uwolniono fortepian dzisiejszy od owego przyrządu młotów, dzwonek, fagotów i wszystkich osobliwości tworzących niegdyś tak zwaną janczarską muzykę, bo to fortepian poniżało, osłabiało jego samoistność do naśladowania ją naginając. Wprawdzie zdawałoby się, że co tylko instrument wydaje, z naturą jego jest zgodne; przecież natura instrumentu leży w przeważnych jego przymiotach, do rozlicznych zastosowań zdolnych i niedaremnie długotrwałém zażyciem uznanych. A gitara, ta poniekąd spadkobierczyni liry starożytniej, młodszą siostrą téj sześciostronnej lutni, która do wykształcenia i upowszechnienia narzędzi klawiszowo-strunowych, z równém powodzeniem służyła za tłumacza uczuć w cichej komnacie, świątyni pańskiej, na dworcu królewskim i szlacheckim, a nie wyrzekając się ni pacząc swój natury, umiała śpiewać sielanki i gody, pieśni miłosne i pobożne, głosiła rycerskie dzieje i tanom przewodniczyła. Wznoszący się coraz blask życia, rosnące potrzeby dzielniejszych tłumaczenia się sposobów, podjęły różne narzędzia muzyczne, i zwały lutnię z tonu; więc coraz skromniejsza przyległa potulnie gdzieś w ukryciu, tajemniczemu powierzwszy pismu dowody bujnego niegdyś żywota (tabulatura na lutnię). Ale ani wrzące życiem skrzypce, ni fortepian, przywłaszczyciel dziedzictwa bohaterskiej harfy, na olbrzyma dziś wyrosły, ni narzędzia dęte o płynnym tonie, nie mogły zastąpić miękkich, tęskno rozbrzmiewających lutni dźwięków. Więc maurytańska gitara

z kraju rozkoszy i dumań przybyła do środkowej i północnej Europy, kołysząc ją w duchu marzeń Korynny, powieści pani de Genlis, sielanek Karpińskiego. Przetrwaliż te czasy aż do nas, polskież to plemię ma je wskrzesić, że dziś nasz ziomek z gitarą w ręku chce dla niej Europę do hołdu i uwielbień zmusić? Niestety! dla gitary, chwała Bogu! dla nas, inny dziś duch po świecie się uwija, a gitara na jego wytłumaczenie za słaba; przecież, jak każda słabość, zarozumiała. Powszechne kiedyś zamiłowanie, sztuka wirtuozów, wzbily ją w pychę do tego stopnia, że nietylko bratać się chciała z innymi narzędziami muzycznymi daleko od niej najmniejszymi w środku, ale nawet za przewodnika narzucać się im śmiała. Tak np. Giuliani, na początku bieżącego stulecia grywał w Wiedniu koncerta z towarzyszeniem całej orkiestry. Nadużycie to spostrzeżono niebawem, i gitarę coraz więcej zaniedbywać zaczęto: nie dla niej wystawne życie! Daremnie wysilenia zakochanych w niej zwolenników na dawne przywrócić ją chciały stanowisko, na koncertach ją pokazując (u nas przed kilkoma laty Pik i Mertz); ogólny odgłos nie współczucie, ale litość prawie tylko znalazł dla niej; może przez pamięć na dawniejszą świetność. Z rozgłosu imienia Szczepanowskiego, zdawało się, że dawne czasy dla gitary wróciły; ale te nadzieje za posłyszeniem go zniknęły niepowrotnie, dla nas przynajmniej. Nie dlatego jednak, by ziomek nasz mniej się jej zasłużył, ale że przez nią nie do majątku muzycznego nie wniósł. Dawniejsza gitara i w jego ręku została niezdolną przekonywająco przedstawić nietylko ogromu życia, ale nawet tych z jego uczuć, które wybornie tłumaczy. Uczucia te bowiem nie rad człowiek pokazuje, nie rad je publicznie pokazywane widzi, czując, że jakkolwiek mu drogie, szyderstwo wywołują. Może wiedząc o tém, chciał Szczepanowski ogólniejszym język gitary uczynić, ale daremnie; zawsze jeszcze samotność marzycieli podzielać, tęsknotę miłosną wygłosić, z promieniem księżyca pomówić:—oto jej przeznaczenie. To téż co się do tego odnosi, samo tylko w grze Szczepanowskiego ma urok; mógłby się on dla słuchaczów niezmiernie podnieść, gdyby go tajemnica osłaniała: tak dotyka najtajemniejszych serca zakątów; podsłuchać, co innego jest niż przygotować się do słuchania, bo wiemy, że tam prawda, tu udanie. Niepodobna było go nie dostrzedz nawet z tych, jakkolwiek drobnutkich gitary efektów, z których żadnego Szczepanowski nie zapomniał. Tu należą: ów pękający rozdźwięk fladżeoletu, owe jęki, posunięciem palca po strunie *portamento* głosu ludzkiego lub narzędzi smyczkowych naśladowujące, ów cień melodyi *pianissimo* wykonywanéj, owe drżenia (*vibrato*) jednego tonu, któremi chciał melodyą namiętną uczynić, owe *melisma*

samém podrywaniem palców lewój ręki w dźwięk przyodziano, a cichym odzywając się szeptem, jak koncert Gnomów na dworze Oberona (Wieland); owe wspomniane wyżój, trąbka i tamburino, usiłują nadać gitarze wojowniczego ducha. Częste, zbyt częste używanie tych drobiazgów pokazuje sąd samegoż Szczepanowskiego o gitarze, dowodzi nadto uczucia wystudowanego, mocnego przemyślenia nad sztucznym przyborem, często trafnie zastosowanym, niekiedy rażącym przesadą, jak np. owe wciąż jęczące tony melodyi szerokiój, jasnój, w ekliwo-namiętnej zmienionój.

O kompozytyach Szczepanowskiego nie ma co mówić: zdaniem naszym, gitara niezdolna przedstawiać rozległo zakreślonych, pomysłanych głęboko, chyba w towarzystwie innych instrumentów, co znów dla niej niekorzystne. Kompozytya jednak jakkolwiek drobna i prosta może być arcystosowną do swego przeznaczenia, środków instrumentu i jego ducha. Otóż przeciw ostatniemu nasz wirtuoz nieraz wykracza. Któż np. nie czuje, że gdy gitara brzmi wojowniczo, to nie dla ludzi? że to raczój zdałoby się do podżegnienia zapasów rycerzy drewnianych i piernikowych, które tak zabawnie i straszno opisał niedościgniony Hoffman, w jednej ze swych powieści.

Jako wirtuoz, pod wieloma względami Szczepanowski pierwszym jest dziś w Europie, może jedynym téj siły, bacząc na małą liczbę osób z całą duszą gitarze się oddających. Trudności jakie pokonywa, choćby ich nie znano, łatwo do odgadnięcia z tego już samego, że do cichój i skromnej roli stworzony instrument, zmuszany jest do względnie znakomitego koncertowego sola; nie pierwszito przykład, ale zasługa nie mniejsza przeto. Ileżto potrzeba było pracowitych wysień, by dojść aż do tego? Zaiste myśląc o tém niepodobna nie żałować, że ziomkowi naszemu, wedle jegoż samego wyznania, zbieg okoliczności (a twarde one nieraz bywają) gitarę narzucił; że jój właśnie musiał oddać czas i mózół, by sobie stanowisko w społeczeństwie wyrobić. Ciężkato praca, ciągle z instrumentem walczyć, by go z tęsknoty w namiętności przerzucić, brzmienne lubiącego akkorda lekkich nauczyć figur, wydartemu samotności wmówić dziarskie piękności pieśni ludu, szerokim rozglosem żyjącej. Ten opór instrumentu, a raczój trafny sąd o jego naturze są podobno powodem, czemu Hiszpan żaden jako wirtuoz na gitarze się nie zjawia; a przecież domowy to, narodowy jego instrument. Ten opór sprawia, że wszystko prawie co Szczepanowski zamierza, w połowie mu się tylko udaje, jakby w miniaturze wygląda. A jak w miniaturze z trudnością oko drobne szczegóły wypatruje, tak w brzmieniu gitary ucho nie znajduje potrzebnej wydatności, by schwytać jasno, niewątpliwie szczegóły, mające wrażenia rozbudzić; tém bardziej, im więcej miejsce popisu,

zbyt rozległe dla wąskiego gitary głosu. Nie widzimy, czémby nasz wirtuoz zasoby jój pomnożył; chyba wymienimy dwa szczegóły i to nie pracy, ale dowcipowi należne. Jednym jest swoboda ręki prawej, którą zwykle gitarzyści jakby przylepioną na małym palcu do deki trzymają, a którą Szcz. z tój nieużytecznej niewoli wyswobodził. i może tym sposobem ułatwienie w traktowaniu gitary pokazał; drugim i ważniejszym jest przestrajanie chwilowe strun niektórych, co bogatszej modulacyi dozwala, ale czystość jój naraża na niebezpieczeństwo. I to jednak nie postawi gitary na wyższym stopniu w hierarchii instrumentów koncertowych, a Szczepanowski jak dziś pierwszym, tak podobno ostatnim będzie w Europie gitarzystą.

A któryżto instrument w hierarchii koncertowych najwyżej stoi? — trudna odpowiedź! Zaszczyt ten przyznamy podobno ostatniemu, który posłyszemy rozbudzony ręką mistrza i duchem; tak z kolei wiolonczella, skrzypce i fortepian wydzierają sobie pierwszeństwo. Pierwsza ma w Kellermannie dzielnego obrońcę; ale się tu długo nad nią nie zatrzymamy, bo nam pilno do skrzypiec się dostać, które się tym razem wyższe okazały. A przecież Kellermann gra a raczej śpiewa tak tkliwie i mężko, tak doskonale cieniuje siłę prowadząc ją przez wszystkie stopnie, od najdzielniejszego *fortissimo* do jakiego basetla zdolna, aż do graniczącego z ciszą *pianissimo*, a przecież pojął dokładnie naturę swego instrumentu i usiłuje jój być wiernym! I nie dziw: odstąpienie od niej niezawsze mu bezkarnie uchodzi; póki syrena śpiewa, wszyscy zachwyceni zapominają o bożym świecie; ten ton (może skutkiem nawyknienia w orkiestrze nabytego) nieco zatwardy do słodkich i czułych pieśni, płynie jednak giętko i rozkosznie, to szeroko i klasycznie, że radziłyśmy go wiecznie słuchali. Ale niechno się na lotne puści passáže, rzadko bez szwanku z nich wyjdzie; zdziwieni słuchacze tym syreny wybrykiem, zaraz znajdują to jasność wątpliwą, to chcą intonacyi nie dowierzać: a mimo to podziwiają wszystko, czemu się już tyle razy dziwili słuchając znakomitych basettlistów. I Kellermann do nich należy, a jeśli w czém komuś ustąpi, to pewnie nie w śpiewie; wraca do niego co prędzej, i my też doń wracamy, by dodać, że jest pełen czerstwego zdrowia, nigdy nie przechodzi w wyszukaną sentymentalność, tę pieszczotliwość słodką, która zwykle wydaje chorobliwość czucia, lub zastępujące je udanie. Śpiew ten ciągle potoczysty, pogodny w cierpieniu, poważny w radości, wykończony aż do drobnostek, takie czyni na słuchaczu wrażenie, jak arcydzieła sztuki rzeźbiarskiej na widzu, i sam o sobie mówi, że jest skutkiem sumiennój pracy, poważnych studyów, zagłębienia się w klasyczne wzory. Najcelniejszych też kompozytorów dzieła wyszły zpod smyczka Kellermanna; jego własne kompozycye wielkie budzą zajęcie, bo je wypełniają części dobrze obmy-

ślano i z pojęciem nieraz głębokiém wykonano. Nie brakło na niém i karnawałowi weneckiemu....

Któż tu sobie zaraz Paganiniego nie przypomni? On twórcą tego rodzaju w muzyce, bo karnawał wenecki to rodzaj cały, nie ustęp tylko. Także uroczy. ten rodzaj że się nań prawie wszyscy rzucają, także łatwy, że go fortepianista nawet się ima? Przeciwnie, rodzaj to trudny, lubo raczej łechący niż powabny, a jednak czepił się wirtuozów jak zaraza. Oto w przeciągu dwóch tygodni słyszeliśmy go na fortepianie, wiolonczelli i skrzypcach! Zawsze tu dążnością jest wynaléźć zwroty i efekta do komiczności stosowne, a zawsze na słynnym owym temacie: *o mamma mia*. Komiczność im niżej spada, tém mniej muzyce przystoi; boska ta sztuka lubi raczej łyż w oku zatechle wycisnąć, by je otrzéc mogła, zrzucić z serca kamieniem ciężące na niém westchnienie, by je otuchą owinąć; tém więcej trzeba podziwiać szczęśliwy wynalazek, wiodący za sobą odrębną charakterystykę, niestety! nieraz kosztem dobrego smaku! Chcąc porównywać wynalazek i charakter, widzimy naprzód, że instrument jako tłumacz obojga wiele tu stanowi, i dlatego wyłączymy karnawał fortepianisty Schulhoffa, bo mu brakło potężnego zasobu, jakim jest ciągłość tonu narzędzi smyczkowych, a nawet jego rozmaitość (rozumiemy tu różne brzmienie strun, i różny głos, stosownie do odległości smyczka od podstawka). Ciągłość tonu dozwala różnych w nim przemian bez żadnej przerwy po sobie następujących, a rozmaitość uwydatnia sprzeczności, w których komiczność sobie podoba. Fortepianista ma ton suchy i jednostajny, a więc jego pomysły mniej dosadnie wypowiedziéć się dadzą, zamożność akcentu wkrótce się wyczerpie, i zostaje ton szlachetny, sam przez się rzadko śmieszny. Basetla i skrzypce jedne mają zalety, tutaj konieczne, a przecież karnawał Paganiniego jak go nam grał Kątski, daleko wyższy od karnawału Kellermanna; u pierwszego figle, psoty, dziwactwo, pustota, podrzeźniają z lekkością to usposobienie człowieka w dobrym humorze, oddającego się wykwinnym, wyszukanyim żartom; u Kellermanna nie ma téj skoczności, téj wesolój igraszki; wszystko cięższe, wesołość jakby nakazana; pisk nie tak cienki, skrzywienie więcej szorstkie; ryk tygrysa, nie kota miauczenie.... Ale gdzież nas chęć dosadnego wyrażenia powiodła? pisk, skrzyp, miauczenie! jestże to muzyka? to téż to żarty; raczej połóżyń obok siebie świegotliwość i zrządzenie, przymilanie się poddane i pochlebstwo ostrożne i t. p. W tém porównaniu charakter narzędzi muzycznych, najważniejszą gra rolę; pomaga do niéj i wykonanie, ale najwięcej stanowi wynalazek, pomysł. Z niego widać, jaka różnica między Paganinim a jego naśladowcami, między Włochem, który urosł w tém co malował, a ludźmi innéj narodowości, którzy albo tylko przelotnie widzieli, albo coś

o tém zasłyszeli, albo nakoniec brali za wzór to, co u siebie, w swoim kraju znaleźli, a co widać ani tak ucieszne, ani tak rozpustne nie jest. Zpomiędzy skrzypków, nie wyjmując nawet Ernsta, któremu naśladowanie najlepiej się dotąd udało, ani dowcipnego Vieuxtemps (Jankee-doodle), żaden jak Paganini nie wpił się w karnawałową pustotę ludu, żaden mimo całej usilności, by się zniżyć, nie zdołał spaść aż do blażeństw arlekina. Więc gdy karnawał wenecki, to na skrzypcach, to Paganiniego, który nawet w swęj słabości wielkim się pokazał. Pobawić się nie zaszkodzi, rozśmiać się nie jest grzechem, a gdy gra Kątski, to przecież i nauczyć się czegoś można o duchu wyjątkowym tego ludu, który dał temat i na warzycie charakteru dostatek.

Schulhoffa karnawał nie mógł do porównania stawać; nie jest jednak bez miejsc szczęśliwych i dowcipnych. Kompozycje tego fortepianisty (a grywał nam swoje tylko, z wyjątkiem dwóch drobnych rzeczy: Szopena marsza żałobnego i pieśni Mendelsohna) mają cele błache, bo im chodzi o świetność, elegancją, popis, a środki dobiera do tego tak proste, że zdaje się, że ich nie wybierał nawet. Dość mu było pochwycić czy pieśń ludu, czy myśl własną jaka się nawinęła, i zrobić z tego udatne warzycie, to jest odziać wspomnieniami dawniejszych ćwiczeń, i jest kompozycja to fantazją, to barkarolą, to nokturnem nazwana! Co większa! same ćwiczenia wedle mniemania wirtuoza starczyły na zajęcie publiczności, i dlatego bez ceremonii zapowiedział, że na piérszym swoim koncercie grać będzie między innymi i *tryle*.... Czemu nie było powiedzieć: „pieśń bez słów, nokturno, rapsodya, ballada, *scherzo*“ lub coś podobnego? Jestżeto szczerosc, zarozumialosc, czy lekceważenie? Dosyc, że grał tryle, ale prawda że mistrzowskie. Słyszeliście pewnie nieraz, jak z ręki swawolnego chłopca bąk puszczoney, zrywa się z łoskotem, wiruje warcząc i gwizdząc? Otóż tak zrywa się nagle tryl Schulhoffa, warczy, aż nagle utnie jak bąk wirujący jeszcze, nagle dłonią pochwyczoney. Że to nie jest bez pewnego wrażenia na słuchaczów, jak i wszystko, co wirtuoz wykonywał, to pewna; bo posiadał mechanizm tak jasny, tak skończony, a choć nie można powiedzieć niezmierny, to tak znakomity, że do wszystkiego mu starczył. Ale cóż, gdy zapał sięgający głęboko nigdy się nie pokaże, i wtenczas tylko cokolwiek wstaje, gdy i niebezpieczeństwa mechaniczne groźnie wstają: jak ujarzmiony zwierz w menażeryi, by uleźć oczywiście; ale cóż, gdy czucie przez natłok wymuskanych przyborów, jak przez mgłę się przedzierać musi. Oneto stanowią główną cechę kompozycji i gry Schulhoffa, gry zresztą tak dźwięcznej i wdzięcznej, ale i tak prawie martwej, jak muzyka w stoliku grającym. Są wprawdzie ludzie niektórzy, którychby można nazwać chodzącymi: stolikami, grają, jak ich

nakreć i na jaką nutę; może to im w holdzie sztuka nowożytna stworzyła Schulhoffa, a może też on znając świat i widząc, że idzie jak go nakreć, dopóki się machina nie popsuje, chce mu obraz jego własny rzucić w oczy. Dosyć, że nie sztuka, ale sztuczność jest mu celem, gdy publicznie występuje.

Że od niej także zaczyna publiczny swój zawód dwunasto czy trzynastoletni fortepianista Józef Wieniawski, nie dziwnego: bo w tak młodej duszy prawda wyrobić się nie miała jeszcze czasu, a zgadnąć ją nawet byłoby przedwcześnie dla tak młodego pojęcia; tylko naśladowanie jest tu możebne: ono zrozumieć zewnętrzną, uchwyci pozory, przyswoi je sobie i niemi się zbrata ze starszymi wiekiem i duchem. Alboż i to nie dowód wielkiej pojętności i talentu niezmiernego! Daj Boże, by nie zimarzał zanim samoistnością odziany w gieniuszu wystąpi postaci, by go nie brakło na całą drogę, która jeszcze czeka młodego wirtuoza nim dojdzie do pojęć własnych o życiu i sztuce, by wszedł na drogę, którą do nich dojść można. W modlitwie naszej obejmujemy wszystkie młode zdolności; a gdy o fortepianistę mowa i rodaku, to mimowolnie się przypomina młody Marcinkiewicz (patrz Bibl. War. 1850 na paźdz.). Nie chcemy ani możemy ich tu porównywać, bo obydwaj do dzieci jeszcze należą; dziś widać u Wieniawskiego większą spokojność, z owładnięcia mechanizmem idącą, i wyrazistość (*expressya*) rozważną, chłodną; u Marcinkiewicza wydatniejsza walka z trudnościami i ostrą szczerą w pojęciu. Możeby się tu dało coś z tego wnioskować, ale nie pora; więcej nas to uderza, że Wieniawskiemu oddano sprawiedliwość jak na to zasługuje, Marcinkiewicza mało kto chciał słyszeć. Powodem tego, według nas, jest to przedewszystkiem, że pierwszy z Paryża i z tamiecznego konserwatorium, drugi z Mińska (na Litwie) do nas przybył; o pierwszym krzyczały sprawozdania z *examinów* i gazety całej podobno Europy; o drugim dowiedzieliśmy się dopiero z ogłoszonego koncertu. Pominął formy, a to grzech wielki! tak spaść odrazu jak z nieba, i chociażby z nieba, gdy nie z Paryża, to nie uchodzi. Nam potrzeba patentów i gazet, *nb.* zagranicznych, byśmy talent lub zasługę uznali. Kiedyż nasz sąd zpod téj opieki sądu zagranicznego wyswobodzimy? Zyskał na niej Wieniawski, nie przeto mniej mu pozostaje do zrobienia, by z czasem stanął na czele pierwszych. Mamy nadzieję, że tak będzie z nim i bratem jego Henrykiem, bo obadwa, fortepianista i skrzypek tak wysoko już dzisiaj stoją, że tego niejedna dojrzała ambicya im pewnie zazdrości. Mianowicie skrzypek, jako starszy o parę lat, do większych upoważnia wymagań i zadowolnić je umie. Nie wdając się w wyliczanie przymiotów, które jako wirtuoz posiada, ni tych, których mu brakuje, bo pewnie zna je dobrze, radzibyśmy, by pielęgnował

jedne, zdobył sobie drugie; a jakakolwiek metodą postępuje przy pracy w domu, niech publicznie pokazuje to tylko, co już posiadał. Wprawdzie z pobłażaniem dostrzegamy wady, których i starsi niezawsze umieją uniknąć; przecież pobłażanie ujmą jest dla występujących jako artyści. Dla nich sąd surowy, i tém surowszy, im większą znakomitość swoją potęgą, młodą zasługę zaciera; niebezpiecznie dla Wieniawskiego mówić o nim, gdy się tylko co Kątskiego słyszało. Kompozycye młodych braci dwóch rzeczy dowodzą: że pojęli sztukę tworzenia nowożytną, i że kompozycyą tego żadną miarą nazywać nie można. Przemilczymy tu nawet formę i prowadzenie; te można przerabiać, poprawiać, ale duch ustępów z życiem spleciony być winien, a to dziś być nie mogło.

Otóż dostaliśmy się nakoniec do Kątskiego. Dla wielu imię to świętym jest zjawiskiem, słyszą je na grzmocie oklasków niesione, same sobie starczące, nawykłe już wodzić za sobą uwielbienie i podziw, pewne, że nie zaginie; dla nas nie jednego Kątskiego nazwisko, ale całej rodziny Kątskich, oddawna wielki ma urok, bo się z niem wiążą najprędzkie prawie muzyczne wspomnienia, do imion przywiązywane. Kiedyś takie podziwienie imię to budziło, taką nadzieję, ile dziś zapalu i uwielbień; dla nas wtenczas już zapal i uwielbienie, zastabe podobno byłyby wyrażenia. Tak wiele, nie słysząc Kątskich tylko o nich, młoda głowa narobiła sobie obrazów, z których każdy z nieba zdawał się być wzięty, młode serce tyle zgadywało rozkoszy, ile tylko w niem zmieścić się mogło. Z czasem szczęścia się zamglił obraz, rozkosz ustąpiła miejsca rozlicznym życia wrażeniom, i samo imię nawet prawie zginęło. Aż oto po długich latach potężnym ozwało się głosem, który się po Europie rozlegał; z dziecka wstał człowiek i artysta. I nam pamięć wróciła wszystkie dawniejsze widzenia, a nie przestając na Apolinarym, pytała pism i głosu publicznego o resztę rodzeństwa, jakby o członków własnej rodziny, i powiedziano jój, że wszyscy co kiedyś dziećmi byli, wyrosli na ludzi i artystów. Więc pomiędzy temi, co pragnęli poznać i posłyszć Kątskich, należeliśmy do najgoręcej pragnących poznać ich i posłyszć. Apolinary przybył pierwszy, a wszystkie nadzieje, wszystkie życzenia i pragnienia nasze, które się rodzinie całej należały, jemuśmy oddali, i od niego czekali ich spełnienia. Byłożto zawiele? Bo dziwna rzecz, dziś, gdy tyle dawniejszych nadziei i podziwień dla innych w zapal i uwielbienie przerosły, nasze uwielbienie i zapal do podziwienia i nadziei spadły. Za każdym koncertem zapowiedzianym biegliśmy, by nadzieje w rzeczywistość zamienić, spełnienia ideału szukać. Słyszeliśmy ich cztery, bo jak dla tylu innych, i dla nas na resztę koncertów miejsce brakło, i cztery razy z rosnącym podziwieniem i uporeczywą

wracaliśmy z koncertu nadzieją. Nie straciliśmy jęj jeszcze zupełnie, ale podobieństwo spełnienia jęj na długi jeszcze czas odwlec musimy.

Po takiej spowiedzi, zawierającej już pogląd nasz na Kątskiego, nicbyśmy dodać nie mieli potrzeby, gdyby nie było obowiązkiem ogłaszającego zdanie jakiegokolwiek, poprzec je dowodami, gdyby Apollinary Kątski nie był tak znakomitym artystą, gdyby zapal Warszawian dla niego nie był tak niezmierny. Ostatni ten powód jest nam zarazem przestrogą: czy wymarzony ideał, czy młodzieńcza pamięć i długie oczekiwanie nie powiodły nas do zbyt wysokich pragnień, których człowiek zaspokoić nie może? Nie zaiste! sztuka tyłoma już potężnemi udarowała nas wrażeniami, że i więcj mamy ich prawo żadać, bo właśnie ich wielkość sprawia, że ich nigdy niedosyć. Gdzie szukać dowodów, o których wyżj była mowa?—w rozpamiętywaniu wrażeń, które u każdego ze słuchaczów już dawno postać zdania przybrały. czy umić je wypowiedzić czy nie. A zdanie to jedno u wszystkich: Kątski wielki jest skrzypek. Szczegóły różne różni podadzą: i podobno w działaniu artystyczném Kątskiego nie się nie znajdzie, coby kogoś nie zachwyciło, wielkością mu się nie zdawało, choć innym się nie spodoba, albo mniej daleko. Więc zbierzmy jak można najwięcj szczegółów, by tém śmielęj zawołać z innymi: znakomity skrzypek!

Któż nie zna skrzypiec, kto nie slyszal piérwszych na nich mistrzów? A jednak Kątskiego skrzypce nie takie, jak innych się zdają; tak silna przemawia z nich indywidualność, a jednak Kątski pod pewnym względem mistrz nad mistrzami! Ton jego ani tak potężny i okrągły jak go Vieuxtemps posiada, ani tak pieszczony jak go miał Lafont, ani tak miękki jak Ernsta, ani tak męzki jak Lipińskiego, o ile każdy z tych tonów wrażeniem do pamięci przybity, staje tu do porównania; ale raczj pałacy jak Paganiniego, często poryweczy, że tak powiemy, jak go Artól miewał. Taki ton pływa na massie orkiestry jak wstęga ognista, wije się w nięj jak błyskawica, zaślepia ucho, że tak powiemy, rozcina je niemal, by się w nie wpić mógł łatwięj. Natura tego tonu dozwała poniekąd odgadnąć naturę gry Kątskiego, jak ten ton odrębnęj, a jednak mimo różnic rodzajów, tēj samęj w szerokięj, klassycznęj kompozycyi, w rwącęj fantazyi, w huczonym mazurze, w obrazie fantastycznym lub komicznym i wszędzie, gdzie Kątski był czynny. W tym tonie i w tēj grze zdaje się przebijać silna osobistość, żadnym niezłamana wpływem, nawykła kruszyć zapory i z trudnościami olbrzymiemi igrać; pewność tak ufna, jak gdyby nigdy a nigdy zachwiać się jęj nie zdarzyło, ani zdolna uwierzyć w zachwianie, choć się i zdarzy; pewność rzucająca się oślep na wszystko, licząca na wygraną i wygrywająca istotnie. Nie jest ona jednak zuchwalstwem, bo świa-

domość i przezorność, jakby ostrożność w porę przywołana, w pomoc przychodzi niekiedy. I nie dziw! owoc to oddawna zaczętej pracy, a więc długo już trwającej; owoc to energii, rosnącej w miarę pomnażających się zdobyczy. Mamyż, wdając się w technikę instrumentu, spróbować, powiedzieć, do czego to wszystko doszło? jak Kątski podbił sobie niezmierną skalę muzyczną, a podbił ją w całym znaczeniu tego wyrazu; jak się po tym dziedzictwie lewa ręka lotnym przesuwą passażem; jak je od krańca do krańca przeskakuje albo szerokimi rozmierza krokami; jak nie tylko blizkimi siebie podwójnymi tonami, ale oktawami szaleje, gdy inni z powagą do tego się biorą; jak nie tylko bajeczne fladzeolety wynajduje, ale i tryl bić im każe? Jak nie mniejsze cuda prawej ręki: czyto smyczek po strunach rzuciwszy, giętkość mu węża nadaje, albo mu na nich podskakiwać każe, myślałby kto, że z szybkością drgań saméjże struny; jak go przedłuża albo odwraca, że zdaje się, jakoby końca nie miał; jak go sprężyste naciska, by to dzielne, to ledwie słyszalne wydobyć tony; jak niestrudzona, rąbie nim i rąbie arpedžia, niby pojedyncze tony; jak sama jedna, a dwoić się umie, by równocześnie smyczek prowadzić i rwać palcami? Jak.... Aleśmy już powiedzieli: Kątski, to mistrz nad mistrzami! a to znaczy, że nikogo między skrzypkami wymienić nie umiemy, któryby te wszystkie trudności mechaniczne posiadał i tak wysoko; co więcéj! że podobno żaden celując czémkolwiek w mechanizmie, nie przewyższył swoim szczegółem Kątskiego szczegółu, jeśli go tylko doszedł. Więc podziwienie.... ale to mało— szął prawie porywa słuchacza i wyciśnie mu wykrzyknik: Kątski, to pierwszy dzisiaj wirtuoz na skrzypcach. Przyjrzyjmyż się teraz artyście.

Wiecie zapewne, że wirtuoz i artysta są wyrazy blisko, ale nie jednoznaczne; a ktoby nie wiedział, to mu nateraz tyle tylko powiemy, że można być artystą nie będąc wirtuozem, ani nawet technikę sztuki uprawiać. Każdy człowiek może być artystą, bo go nim robią czucie i pojęcie; każdy jednak wirtuozem nie jest, kto się techniką zatrudnia, albo kto jest artystą; wirtuoz oznacza człowieka, który sobie wysokie mechaniczne środki zdobył. Mechanizm należy do wiedzy sztuki, ale sztuką jeszcze nie jest, bo inaczej i szybkobiegacz byłby artystą. Mechanizm tylko ułatwia wyrażenia sztuki; ztąd każdy wirtuoz niemal więcéj niż inni może być artystą, ale że niekoniecznie nim bywa, widoczne z poprzedzającego. Kątski nie tylko jest wirtuozem, ale i artystą.

Paganini, to jest człowiek, który grał na skrzypcach ze sztuką i natchnieniem szatana, a wtenczas właśnie zdawał się aniołem, Paganini przepowiedział Kątskiemu jego wielkość jako skrzypka; a może, by się nie omylił, stał się jego nauczycielem i duszę mu swoje.... nie! chcemy mó-

wie skrzypce mu swoje zapisał. Choćby one były kosztowne, cudowne, jak żadne na świecie, zawsze mniej warte od nauki, czerpanej z ust i przykładu takiego mistrza. Czy mowa i przykład tak były oględne, że samoistności łamać nie chciały; czy ona tak mocna, że się złamać nie dała: dość, że w duchu gry Kątskiego nie ma tój Paganiniego excentryczności, kaleczącój uczucie, miotającój niém jak piłką, tego straszliwego na świat poglądu, który wszystko w nim widział do drugiej podniesione potęgi, czyto była rozkosz, czy boleść, i wszystko w wór z szyderstwa utkany wtlaczał, i na torturach nieludzkiego śmiechu rozciągał. Nie, nasz Kątski nie taki: on widzi, lubo, świetnie, gorejąco, także niekiedy excentrycznie, ale zawsze po ludzku; długo nad jednóm zastanawiać się nie lubi, najmnień nad głęboko tkwiącém uczuciem; a czy w nas radość czy smutek zbudzi, to je pochwyci zaraz, odrzuca, a nas ciągnie dalej, by to samo powtórzyć, by nas obłąkać, oślepić i niemogącemi przyjść do siebie kręcić, jak mu się spodoba. Połowa tego wszystkiego wynika z jego kompozycyj, których tym sposobem ogólnego ducha skreśliliśmy; niespokojna ruchliwość, wartki zapal, przeskakiwanie z charakteru do charakteru, a wszędzie pełno świetnie zwalczonych trudności, marnowanie ich bogactwa: oto ich cechy, tych szczególniej, które nazwisko fantazyi noszą. Sam tóż rodzaj ten uprawnia owę niebaczną rozmaitość i do popisu podżega. Co w nich jest Kątskiego własnością, rzadko głęboko w uczucie się wżera; muska je tylko i mknie dalej, albo za trzymawszy się nieco, w przesadę pod koniec się zamienia. Mówimy tu o przykończaniu, jakiego artysta używa przeciągając ton jeden, albo powtarzając go długo nad potrzebę. Widząc jak gra sama, powiedzmy wyraźniej, uczucie, rozwija się wedle kompozycyi, przebiegniemy niektóre przez Kątskiego grywane, nie oddzielając ich wyrażnie na kategorye i mieszając spotrzeżenia, czyto one dotyczą ducha utworu, wykonania, mechanizmu, myśli, i wszelkiego wrażenia. Będzie to trochę bez planu, chaotycznie, ale odpowiednio ogólnemu wyobrażeniu, jakie o Kątskim powzięliśmy z jego koncertów.

Piérwszy swój koncert rozpoczął Kątski ustępem z koncertu skrzypcowego Mendelsobna, który nie był skrzypkiem, ale raczej fortepianistą, a nadewszystko wielkim kompozytorem; to tóż ustęp ten był jednym z niewielu, które na koncertach Kątskiego dały słuchaczom rozkosze czysto muzyczne. Po jego posłyszeniu, oceniając i wybór dowodzący rzetelnego piękności muzycznych pojęcia, i zaparcie się dla nich sztuki wirtuozu, i to poddane woli autora, a jednak samoistne jój przedstawienie, i ten ton pałający: to wszystko razem mówiło nam, że ideał nasz wielkiego skrzypka urzeczywistniony został. A gdyśmy się w tém przekonaniu zachwiali, to pamięć na ten ustęp jeden na długo nadzieją nas zaopatrzył.

Dlatego za ciężką mamy Kątskiemu winę, że tak skąpo zdobył swoje programmata koncertowe podobnej wartości dziełami. Wprawdzie nasza publiczność muzyczna, a taka lub prawie taka jest wszędzie, lepiej rozumie to, co lżejszóm nazywa, co bardziej migotne, i od czasu do czasu trzeba jęj rzucić na uciechę parę błyskotek; ale z tego uczynić rzecz główną nie godzi się. Poczytujemy to za grzech każdemu, kto ma do czego innego środki, kto wzięwszy od Stwórcy i narodu wielkiego ducha i pojęcia, głębokie dla siebie tylko je chowa, albo je rzadko pokazuje. Wielki artysta powinien kształcić słuchaczów, a nie wedle ich smaku postępować, bo ich nigdy ukształconych nie znajdzie, zawsze się zniżać będzie musiał, zamiast podnieść ich do siebie. Kątski grał np. ustęp koncertu Rodego i zimno przyjęto wielkość w prostoty ubraną szatę, a po każdym fadzeolecie poklaskami grzmiano! To jest nasza muzykalność, którą tak się chelpimy! Poznał może artysta nasze pojęcia i chciał nam dogodzić, zwłaszcza, gdy mu to radziła także niezmierna technika, którą posiadał; nie miałże jęj pokazać? Więc ją wcielił wszędzie, zacząwszy od rozległych fantazyj z tematów muzyki dramatycznej, aż do prostej piosenki. Fantazyje muzyczne, to wynalazek równie drogi wirtuozom, jak para przemysłowcom lub węgiel; wszystko co muzyka posiada świętego, wielkiego, tkliwego, modnego i t. d. wszystko się w fantazyi zmieści; a ta rozmaitość na rękę jest i wirtuozom, bo im pozwala naraz prawie pokazać co mogą, i słuchaczom, bo ich bawi. Ale piérwsi nie mogą w nięj okazać, jak głęboko i szeroko pojmują, bo na to nie ma miejsca i czasu; słuchacze też nie doznają wzruszeń wielkich, głębokich i trwałych, bo ledwie zaczęli rozumieć jedno, już ich drugio napada. Rzecz jasna, że wartość tych kompozycyj na drobiazgach, szczegółach polega i nieraz wysoko rośnie, gdy je odziewa duch i zapach Kątskiego; jakżeby wzrosła, gdyby jęj wątek stanowiły motywa domowe, jak np. owa znana pieśń „Jechał Kozak z za Dunaju”? Ale grając ją oddzielnie, ubogo, cóż miał na celu? oto pokazanie niezmiernęj skali, jaką jednęj strunie wydarł, a może fadzeoletów, których rzeczywiście nadużywa (a nie ich tylko), zapominając dla nich o muzyce; trochę jeszcze więcj ich używając, ściągnałby na siebie zarzut, że i o smaku dobrym zapomina, bo żeby to było pięknoscią choć tak niezmiernie trudne, tego zapewne nikt utrzymywać nie zechce: jestto bowiem raczej gwizdanie wyuczonego kosa, niż ton muzyczny zdolny uczucie ludzkie przedstawić. Uczucie to tych tylko tonów istotnie potrzebuje, jakie się w skali głosów ludzkich znajdują; za niskie lub za wysokie, mają w sobie coś dzikiego, obcego naturze człowieka, z trudnością nawet ocenić się dają. A żeby też w fadzeoletach struna nie próbowała niekiedy uwol-

nić się spod panowania smyczka, choć zwycięzkiego, tego w nas nikt nie wmówi.

Rozległość skali na jednej strunie okazana, lepiej zastosowaną nam się zdawała w aryzi z Roberta Djabła, ale najlepiej w Modlitwie z Mojżesza Rossiniego. Ten ustęp na wszystkich silnie musiał uczynić wrażenie, czy jako muzyka, czy jako niezmierna trudność; jedno i drugie wszyscy zrozumieli. Ów chór głosów ludzkich, ta orkiestra, te skrzypce Kątskiego i Paganiniego razem, to połączone, to przeplatane, a w ogóle ta piękna Rossiniego muzyka, choć tak znana, nie mogła daremnie się odezwać, i może niejedno westchnienie na tonach muzyki niesione, pobiegło szukać błogostawieństwa dla artysty u Dawcy wszelkiego dobra. Jaką zaś sztukę rozwinął tu Kątski w fantazyi Paganiniego, trudno opowiedzieć; podobno oni dwaj tylko do tego urosli.

Z własnych kompozycyj Kątskiego prócz fantazyi, żadna z posłyszanych przez nas nie przedstawia go nam tak wydatnie jako kompozytora, jak *Sen dziewicy*. Obraz ten od piérwszój do ostatniej nuty jego jest własnością. W muzyce najromantyczniejszój ze sztuk pięknych, wynaleźli jeszcze ludzie klassycyzm i romantyzm; podział to trafny raczój co do formy i faktury, niż treści: mniój opisuje ducha, więćój sposób jego rozwinięcia. Ale jeśli romantyczność muzyki nie jest urojeniem, to Kątskiego *Sen dziewicy* do najromantyczniejszych jój pódów należy, a ma wiele cech, które nieprzyjaciele romantyzmu w poezyi wyrzucali mu niegdys; przypomniéje je sobie. Otóż w *Śnie dziewicy* przedewszystkiém natchnieniem, najzaciejsza z sił twórczych, zdaje się władać od początku do końca, co z jego naturą nie jest zgodne. Skutek to swobody zadania (*sen*), fantazyi bystrój, wynalazku ustępów podwójnie dowcipnego: jako pomysł i jako odzianie go w tony z naznaczeniem mu stosownego miejsca w całości; skutek to zbadania niektórych tajemnic instrumentu naczelnego (skrzypiec), dowód niezmiernój biegłości w ich traktowaniu, na każde zachcenie starczającój, skutek to wreszcie owładnienia orkiestry, tak cudownie lekkiej i potulnej, tak w porę niemój, tak stosownie chimerycznej lub groźnie huczającój. Wszystkie przygrywki Kątskiego są takie; a co więćój, nietylko są podporą, ale i współdziałaczem pojętném, dodają wartości jego kompozycjom. Cóż więćój dodać mamy, by obraz *Snu* uzupełnić? Oto wadę wytkniemy: zbyt młody, zbyt uludny, zbyt wiotki, zbyt bogaty w szczegóły mało rozwinięte. Bogactwo, względnie uważając, jest przymiotem, bo dowodzi zamożnej fantazyi, ale wadą dla słuchacza tonącego w bogactwie; gubi nić mającą go w ślad fantastyczności prowadzić, jak logika na jawie. I *Sen* ma swoją logikę, ale im mętniejsza, tém więćój nad szczegółami zatrzymywać się powinna, by je określić, z wła-

szcza, że tu rzecz się ma z muzyką, najmniej ze wszystkich sztuk, szybko determinować zdolną. Brak ten rozwinięcia, a więc niedostateczna jasność tak widoczne, że ktoś z gorących wielbicieli Kątskiego i jego *Snu dziewicy*, wziął się do okiełznania wyrazami pomysłów muzycznych; chciał na niej jednę legendy nawlec rozprysnione widzenia młodzieńczej fantazyi, i ulepił dziwotwór tém śmieszniejszy, że to, co w muzyce dostrzegął, własnymi dopełniał i kleił domysłami; bredni tam co niemiara, żadnej myśli, któraby wartą była jednego pociągnięcia smyczkiem. Treściwsze dano nam objaśnienie sceny dramatycznej *Machabeusze*; żeśmy jej nie słyszeli, nie o niej powiedzieć nie umiemy; mniemaniem jest naszym, że muzyka obrazować i dramatyzować mało zdolna (wyjąwszy, gdy ją wspiera sceniczność lub mowa), że liryzm jest główną jej cechą. Być może, że *Machabeusze* zachwiałyby tę pewność, rozszerzyły obręb działania dla muzyki; możebyśmy słysząc *Kaskadę*, dojrzeli spadające jej wody, poili się słodkim ich szmerem lub przerażającym hukiem trwożył... Znając ją dawniej jeszcze w przekładzie na fortepian, uważaliśmy ją za *etiudę* tylko; pojmujemy przecież, jak różnie to samo wygląda na fortepianie i skrzypcach, mianowicie gdy Kątski gra na nich.

Dotykamy tu przelotnie tylko istotnych etiud, zwanych przez autora *pizzi-arco*, bo w nich połączył dwa tonu rodzaje: *pizzicato* i *arco*. Zdaje nam się, że to jego wynalazek; z bogacił je więc jednym więcej efektem i jedną trudnością więcej; aby go zaś nie dościgniono posunął ją niezmiernie, bo tak i tak podwójne wydobywa tony: to cuda zręczności! Jakie ma bogactwo humoru Kątski, jak się wkradł w życie ludu włoskiego, widać było z karnawału weneckiego; a jak lud i obyczaj polski rozumieć, pokazał w mazurze.

Mówiliśmy wam już wyżej o smyczku Kątskiego, i wiecie, że jeden z najlepszych w Europie; ale co tam Europa! oto między wszystkimi smyczkami, jakkie kiedykolwiek dzielnego ze skrzypiec wydobyły mazura, jego smyczek pierwsze trzyma miejsce. Z jaką energią smyczek ten kroi struny, z jaką pieśczożą je głaszcze, jak na nich podskakuje junacko, jak je humorystycznie drażni, i co tam jeszcze za harce z niemi wyprawia, przypominamy, tym, co słyszeli, lubo daremnie, boć nie zapomną; opowiedzieć tym, co nie słyszeli, nie umiemy; to może i lepiej, hoby się rozplakali z żalu że nie słyszeli. A trzy mazury grał Kątski; jednego z nich jużesmy dawniej poznali grywanego przez innych; autor go nazywa: *Sielanka mazurowa*. Ale czyto że nas porównanie wykonania i wykonania zbyt zajęło, czyto żeśmy zbyt wiele szukali sielanki, jakoś nie mogliśmy jej dostrzedz; a teraz mniemamy, że autor chciał przezto powiedzieć, że mazur jest muzyka przedewszystkiém sielska, jak i kraj nasz cały rolniczy.

My nie dziwim się mazurcom, jak się nie dziwim Wiśle naszej, topoli nad jej brzegami rosnącej, pszenicy na naszych niwach, pszczołom w ulach i tylu pięknym rzeczom, które Pan Bóg stworzył; a jednak dziwiliśmy się temu mazurkowi i kazali go grać sobie na każdym koncercie Kątskiego. Bo pierwsza część brzmi wojennie i tryumfalnie; staje na pamięci Carogród, Wiedeń; a w drugiej części jakiegoś rozpustnej, hulackiej, czy to nie saskie czasy się skryły, bo jakaś podochocona; za to następne świeże, ciche i niewinne jak życie pod wiejską strzechą. I tak od części do części myśl wiedziona, jak one spleciona i związana, dziwi się, że w jednym mazurce przez dwa wieki wędruje. Inne czary tkwią w sztuce ze wszelkich pomocy obranej, a i takiej mazur ten się zasłużył; ma charakter dosadny, a jak część trzecia i czwarta, wdzięk i humor Szopena. Któżby tu nie zawołał: „o graj grajku, będziesz w niebie!”

J. S.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850.

WARSZAWA.

97. Stanisława Strąbskiego Rocznik na rok zwyczajny 1851. 8ka wielka. Warszawa. 1850. Nakładem i drukiem wydawcy. Str. 128. (Z mapką, 2 planami i kliszami w teście). Złp. 2 gr. 17.

1851.

WARSZAWA.

21. Historia powszechna dla zakładów naukowych płci żeńskiej. Przez S. Smaragdowa Professora adjunkta w Cesarski(é)m Alexandryjski(é)m liceum. Z rosyjskiego tłumaczył Leon Rogalski. Historia starożytna. 12ka. Warszawa. 1851. Nakład G. L. Glücksberga, druk Jaworskiego. Przedmowy autora str. VIII, wstępu str. XI i 339. Złp. 10.

22. Łaska i przeznaczenie (,) przez Henryka hr. Rzewuskiego autora Listopada. 2 tomy. 12ka. Warszawa. 1851. Nakład S. H. Merzbacha, druk Ungra. Tom I, str. XI i 285. II. 271. W każdym napisów kart 2. Złp. 18.

W I L N O.

23. Anna (,) powieść przez Michała Czajkowskiego. Wydanie nowe poprawne. 2 tomy w jednym. 12ka. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. 384. Złp. 10.

24. Emeryt. Powieść przez Józefa Korzeniowskiego. Z portretem autora na stali rytym. 12ka. Wilno. 1851. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 459. Kart napisowych 2 i rejestru kart 2. Złp. 13 gr. 10.

25. Historia rewolucyi francuzkiej, (1789). Przez M. Poujoulat'a. Przełożył i notami objaśnił Władysław Syrokomla. Z ośmiu rycinami na stali rznietymi. 8ka. Wilno. 1851. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Tom I, str. 356. Z prenumeratą na tom IIgi, złp. 26 gr. 20.

26. Nowe wędrówki oryginała, z rękopismu nieznajomego autora, ogłasza Józef Korzeniowski. Tom I. 12ka. Wilno. 1851. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. 324. Z pren. na tom IIgi, złp. 20.

27. Pamiętniki kwestarza. Przez Ignacego Chodźkę. Wydanie drugie poprawne. 2 tomy w jednym. Ozdobione portretem na stali. 12ka. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. 432. Złp. 11.

28. Przekłady poetów polsko-łacińskich, przez Władysława Syrokomlę. Tomik pierwszy: Poemata Klemensa Janickiego. Str. 185. T. II: Rymy łacińskie Jana Kochanowskiego. Str. 180. T. III: Ziemie Czerwonéj Rusi. Rolowania. Str. 106. 3 tomiki. 16ka. Wilno. 1851. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Z pren. na tom. 4 i 5. złp. 20.



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Nakładem Orgelbranda wyszło już dzieło p. t.: *Joachima Bielskiego dalszy ciąg Kroniki polskiej, zabierającej dzieje od r. 1587 do 1598 r. w rękopismie odkryt i do druku podał, oraz historyczno bibliograficzny opis żywota i prac Marcina ojca i Joachima syna Bielskich napisał i przyłączył* F. M. Sobieszczański. Z dwiema rycinami (wizerunek Marcina Bielskiego w całej postaci siedzącego i piszącego dzieje, i szyk bojowy pod Byczyną, tak Maxymiliana jak i Zamojskiego). Warszawa. 1851. Ska. CVI, i str. 311. O tym pomniku historycznym, w jednym z następnych poszytów obszerniejsze zdamy sprawozdanie.

— Dalszy ciąg: *Opisu Królestwa Polskiego* M. Wiślickiego tom III i IVty, jeszcze w r. b. wyjdzie na widok publiczny.

— Druk dzieła p. n.: *Wspomnienia z podróży* Dra T. Tripplina (oddział Iszy) zawierający podróże po Danii, Norwegii, Anglii i Szkocyi, już się rozpoczął.

— Z prac historycznych przygotowanych do druku, możemy wymienić: „Żywot Hieronima Radziejowskiego”, w obszernym zakresie obejmujący wiele szczegółów nieznanych dotąd.

— Rozprawa D. Szulca p. t.: *O Pomorzu Zaodrzańskiem* przełożoną została na język niemiecki przez Kleinpaul, i w tej chwili drukuje się w Lipsku.

— Tygodnik Petersburski zapowiedział na rok bieżący, że będzie częściami umieszczał z powieści tomu IIgo *Nie-bajki* hr. Rzewuskiego, i dalszy ciąg powieści J. I. Kraszewskiego p. n.: *Dziwadła*.

— Żegota Pauli wydał w Krakowie: *Sielanki krakowskie* Wincentego Reklewskiego. Jestto przedruk znanych poezyj p. n.: *Pienia wiejskie*, przez W. R. (Kraków, w drukarni Gröblowskiéj) 1811 r. wydanych, z tytułem sztychowanym i ryciną podług rysunku M. Stachowicza. Nie rozumiemy, dlaczego wydawca z r. 1850 przerobił pierwotny tytuł, jaki dał sam autor. Wydanie niezupełne pism Reklewskiego, bo nie ma tu poematu: *Wieniec*, drukowanego w Pamiętniku Warszawskim 1821 r. Wydanie tych sielanek, poprzedza życiorys Reklewskiego przez K. Brodzińskiego.

— Władysław Anczyc w Krakowie, po wydaniu krotcechwił: *Chłopi arystokraci*, przygotował do druku *Kolokacyę*, dramat w 3ch aktach z epilogiem, z powieści Korzenłowskiego ułożony. *Po pożarze*, obrazek dramatyczny w 2ch aktach ze śpiewami oryginalnie napisany. *Zemsta szlachecka polskiego*, dramat historyczny z czasów wojen szwedzkich z roku 1705. Pisarz ten, magister farmacyi i adjunkt przy gabinecie chemicznym przy uniwersytecie Jagiellońskim, wypracował: Chemią rolniczą dla ludu wiejskiego w rozmowach, według najnowszych chemików ułożoną. *Farbiarstwo domowe*, wywabianie plam, i pranie wszelkich materyj, dla gospodarzy i gospodyń, z praktycznych doświadczeń ułożone.

— P. Grangier de la Marinière były członek zgromadzenia narodowego we Francyi, w przejeździe z Warszawy bawił w Krakowie, z kąd udał się do Poznań. Celem jego podróży po Polsce jest zebranie materyałów do napisania życia Maryi Ludwiki żony Władysława IV i Maryi Kazimierzy

żony Sobieskiego. Pan de la Marinière znalazł też w swój podróży bogate źródła i ważniejsze jeszcze niż w archiwach francuzkich, za pomocą których będzie w możności wyjaśnić te dwie postaci w dziejach naszych należycie.

— W drukarni uniwersyteckiej wyszedł drugi zeszyt: „Rocznika Towarzystwa Naukowego na r. 1851.” Zawiera następujące artykuły: J. Muezkowskiego: Wiadomość o rękopismach historii Długosza.—J. N. Deszkiewicz: Treść odczytów objaśniających układ jego Grammatyki polskiej i rozwiązujących największe trudności grammatyczne.—J. Majera: Szczegół historyczny w przedmiocie badania nerwów.

— W drukarni Stanisława Gieszkowskiego w Krakowie wyszła broszura pod tytułem: *Kilka słów o Towarzystwie Kredytowem, napisał L. hr. Skorupka.*

— Nakładem księgarni Juliusza Wildta w Krakowie wyszły z druku: *2. Mazurkas pour le Pianoforte par* Wincent Studziński.

— We Lwowie nakładem Towarzystwa Rolniczego wyszedł: *Liwozczanin.* Kalendarz rolniczo-gospodarski jako lico części jednej podgórza naszego od góry Liwocza nam odsłaniający, na rok 1851. W 8cc wiel. 10 arkuszy przeszło. Drukiem Zakładu narodowego Ossolińskich. Cena złp. 2.

— Dyonizy Zubrzycki we Lwowie, od r. 1847 zbierał materiały do dzieła: *Codex diplomaticus Gallicensis*, do którego wzorem było mu wydanie nasze, Ryszczewskiego i Muezkowskiego. Jak nasi wydawcy, Zubrzycki ograniczył się także rokiem 1506. Teraz (w marcu r. z.) upraszał Kommissyę archeograficzną w Petersburgu, żeby na swój koszt przyjęła wydanie tego dyplomatarjusza Galicyi. Kommissya przystała na to, i dowiadujemy się właśnie z Dziennika Ministerjum Ośw. Narod., że całe dzieło już jest nadesłane do Petersburga, i oczekuje na druk. Zubrzycki dotrzymał więc, jak obiecywał; bo oprócz samego dyplomatarjusza, nadesłał jeszcze zbiór kopij dyplomatów, jako dopełnienie do dzieła.

— W Poznaniu z nowych publikacyj wyszły: *Historja powszechna dla młodzieży, Tom I-szy, przez Kazimierza Błociszewskiego.*—*Jakie są siły zmysłowe i zdolności umysłowe, tudzież skłonności serca Niemców i Polaków, same języki tych narodów świadczą.*—*Mysli o sposobie urzadzienia szkół ogólnych mężczyzn.*

— W Lesznie wyszedł u Günthera poemat pod tytułem: *Dworzec mego dziadka*, przez autora Wizyty w sąsiedztwo. 1851. r.

— W Pradze wydział *Maticy czeskiej* postanowił na dniu 14 grudnia z. r. wydać Czeski słownik konwersacyjny, którego naczelną redakcyą powierzono Palackiemu; oprócz niego, do redakcyi wchodzić będą: Czela-kowski, Fabian, Pełrzyzna, Purkinie, Szafarzyk, Strobach i Wocel. Całe dzieło składać się będzie z 8 do 10 tomów, po 50 arkuszy druku każdy, i ukończoném będzie najdalej w 8 latach.

— Książę Woronców namiestnik Kaukazu wysłał p. Kästnera do ruin miasta Ani, aby tamże skopiował widoki i budowę tego starożytnego siedliska Bagratidów, gdzie natrafiają się pamiątki z XI, XII i XIII wieku. P. Kästner wróciwszy, przywiózł z sobą 65 rysunków z natury zdjętych.

— Paryzka akademia napisów i literatury na ostatniem posiedzeniu skompletowała listę swoich korespondentów, mianując nowych w miejsce

tych, którzy zmarli w r. 1850. W miejsce p. Lindego z Warszawy, mianowany został korespondentem p. Hodgson w Kalkucie.

— Polacy na uniwersytecie wrocławskim będący, zamierzają czynnie na polu literatury wystąpić, a to przez wydawanie z dnem 1 lutego b. r. pils na zbiorowego; pod napisem *Znicz*. Ceniąc młode usiłowania, zawczasu należy się uzbroidć w wyrozumiałość.

— Założone przed kilkunastą laty Towarzystwo słowiańsko-literackie między młodzieżą polską, na uniwersytet wrocławski uczęszczającą, pod kierunkiem jeszcze wówczas prof. Purkiniego, uczyniło obecnie podanie do senatu akademickiego o przywrócenie na nowo katedry literatur słowiańskich. Wrocław bowiem, napół polskie miasto, stolica prowincyi, której część wschodnia i południowa wyłącznie polska, nie miał nigdy dotąd w uniwersytecie swoim wyłącznej katedry polskiej literatury i polskiego języka, a przez lat parę literatura ta pocieszać się musiała krótką przynajmniej wzmianką pomiędzy uboższymi siostrami swojemi, w wykładzie prof. Czelakowskiego. Ale natomiast arabska literatura dwóch professorów liczyła!

— W b. m. spalił się dom w Laszkach w Galicyi, gdzie znajduje się wielka biblioteka po ś. p. Kalasantym Szaniawskim; ogień jednak do składu książek nie doszedł i paki z książkami nienaruszone zostały.

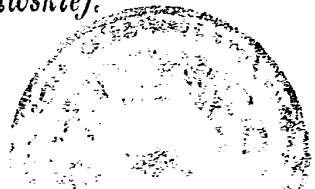
— W Wiedniu, postanowieniem cesarskim z d. 31 grudnia r. z. na wniosek ministra handlu utworzoną zostanie kommissya przy ministerstwie handlu w celu poszukiwania i zachowywania dziejowych pomników, i ustanowienia konserwatorów w pojedynczych krajach koronnych. Kommissya centralna składać się będzie z szefa sekcji budownictwa w ministerstwie, prezydującego; dalej z przełożonego sekcji architektury, z dwóch zastępców ministerstwa spraw wewnętr. dwóch minister. oświecenia. dwóch akademii umiejętności, nakoniec z konserwatora dla Wiednia ustanowionego. Istota tej instytucyi głównie na prywatnej polega działalności, rząd zaś tylko ogólny kierunek, opiekę i pośrednie wspieranie prywatnych osób i związków w tym celu związanych, sobie zastrzega. Obowiązkiem centralnej kommissyi będzie: korzystać z sił już istniejących i nowe powoływać do życia. Kommissya nadto musi wejść w związki ze wszystkimi istniejącemi już stowarzyszeniami historycznemi i archeologicznemi, jak również z prywatnemi osobami, które zajmują się starożytnościami, sztukami pięknymi, historycznemi pomnikami, tudzież starać się o zawiązanie nowych stowarzyszeń, gdzie tego zachodzi potrzeba, i ustanowienie po różnych miejscach korespondentów. Kommissya wydawać wreszcie będzie pamiętniki, mające obejmować treść jej badań historycznych, statystykę pomników i całoroczne sprawozdania.

† D. 1 stycznia r. b. umarł we Lwowie hr. Stanisław Borkowski. Zapisał akademii swoją bogatą bibliotekę, z 18,000 przeszło książek złożoną.

Zapowiedziany na m. luty SPIS RZECZY, dołączony będzie do zeszytu na m. marzec r. b. Bibl. Warszaw.



Redakcyja Biblioteki Warszawskiej.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Grudzień, 1850.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 377 stóp paryzkich nad poziom morza czyli w łuku 18°41'25,"5 na wsch

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stusstopniowy				Wzrost na 100 cz. średn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	god. rano	god. rano	god. wiec.	god. wiec.	
1		759.30	760.87	760.77	763.20	— 0°2	— 0°2	— 0°4	— 0°6	95.
2		765.99	767.23	767.55	767.75	— 1.3	— 0.4	— 0.7	— 1.4	95.
3	☉	764.85	763.64	760.93	758.18	— 2.6	— 2.7	— 2.3	— 3.5	95.
4		756.46	756.88	756.34	756.83	— 3.6	— 3.1	— 2.7	— 3.1	100.
5		755.35	755.58	755.47	757.71	— 2.1	— 1.3	— 1.3	— 1.7	99.
6		762.41	764.92	765.07	763.32	— 1.4	— 0.2	— 0.5	— 1.0	96.
7		756.98	755.18	753.45	751.13	+ 1.2	+ 1.0	+ 2.3	+ 2.7	97.
8		753.33	753.64	750.98	747.74	+ 2.0	+ 1.9	+ 1.7	+ 2.1	100.
9		746.45	748.75	752.11	756.77	+ 3.8	+ 2.9	— 0.2	— 4.0	78.
10		750.05	759.47	758.29	756.95	— 7.4	— 4.6	— 3.5	— 2.3	91.
11	☾	754.15	754.42	751.99	751.18	— 1.1	— 1.3	— 2.5	— 0.6	95.
12		749.07	749.14	748.91	748.71	— 1.3	— 1.1	— 1.2	— 0.4	96.
13		747.39	748.47	750.39	751.83	+ 0.3	+ 0.9	+ 1.7	+ 1.9	98.
14		753.63	754.11	752.45	750.84	+ 1.7	+ 2.0	+ 3.1	+ 0.5	92.
15		747.56	746.50	743.06	740.02	+ 1.2	+ 2.0	+ 3.6	+ 0.8	91.
16		730.00	726.95	722.12	732.03	+ 3.8	+ 6.2	+ 9.1	+ 4.5	94.
17		732.82	731.36	731.01	732.70	+ 0.4	+ 2.5	+ 4.1	+ 3.6	99.
18		735.51	735.18	735.83	738.49	+ 0.5	+ 2.9	+ 3.7	+ 2.2	96.
19	☺	740.48	742.45	743.24	742.47	+ 2.1	+ 1.2	+ 2.1	— 0.4	97.
20		743.18	745.45	748.85	752.78	+ 0.8	+ 1.7	+ 1.8	+ 0.8	98.
21		756.84	758.16	758.93	759.50	— 3.1	— 3.0	— 1.9	— 2.1	98.
22		760.96	762.12	763.05	765.21	— 3.3	— 1.8	— 2.3	— 3.3	95.
23		766.10	766.46	765.80	762.81	— 4.3	— 3.3	— 2.3	— 4.5	96.
24		760.44	758.98	756.19	754.69	— 4.3	— 3.6	— 1.7	— 0.1	
25	☾	752.82	752.51	749.34	747.62	+ 0.1	+ 0.4	— 0.7	— 1.9	
26		747.45	748.57	749.75	750.68	— 1.5	— 0.2	+ 0.6	+ 0.8	
27		751.56	752.57	751.62	750.51	+ 0.2	— 0.2	+ 0.1	+ 0.1	
28		745.54	744.68	744.01	742.69	— 0.1	+ 1.0	+ 1.3	+ 1.5	99.
29		737.96	738.78	739.18	738.25	+ 1.0	+ 0.4	+ 0.6	— 0.2	99.
30		733.94	736.89	742.22	746.54	— 1.3	— 1.5	— 0.9	— 4.1	98.
31		748.73	748.45	743.94	743.56	— 5.4	— 5.4	— 4.3	— 5.2	99.
Śre.		750.848	751.238	750.737	751.151	— 0°81	— 0°22	+ 0°21	— 0°61	96.

Astronomiczném Warszawskiem.

ego szerokość geogr. 52°13'3", długość w czasie 1^h 14^m 45^s, 7
zgodnym południka paryzkiego.

STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dę- szczy	śnie- gu
chmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	—	—	—		
chmurny	pochmurny	poch. mgła	pochmurny	—	—	—	—		
mgła	pochmurny	napół pog.	pr. pogodny	Pd.	Pd.	PdZ.	W.		
chmurny	poch. mgła	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
mgła	pochmurny	poch. mgła	poch. mgła	Z.	Z.	PdZ.	—		
mgła	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	W.	—	—		
mgła	dészcz b. dr.	dészcz b. dr.	poch. mgła	Z.	Z.	Z.	PnZ.	5.7	
chmurny	pochmurny	pochmurny	dészcz b. dr.	PnZ.	Z.	Z.	Z.		
chmurny	napół pog.	pr. pogodny	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Pn.	1.5	
chmurny	pochmurny	śnieg	pochmurny	—	PnZ.	Z.	Z.		1.4
chmurny	pr. pochm.	pogodny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		4.8
chmurny	pochmurny	pr. pogodny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
chmurny	pochmurny	pr. pochm.	pr. pochm.	Z.	Z.	Z.	Z.	1.3	
chmurny	pochmurny	pochmurny	pr. pogodny	—	—	PdW.	Pd.		
chmurny	pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	Pd.	Pd.	PdZ.	PdZ.	3.0	
chmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.	20.5	
chmurny	pochmurny	pr. pogod.	pochmurny	Pd.	Pd.	PdZ.	Z.	2.5	
chmurny	pochmurny	napół pog.	pr. pogodny	Pd.	Pd.	PdZ.	PdZ.		
chmurny	pogodny	pochmurny	poch. mgła	PdZ.	—	—	Pd.		
chmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	Z.	—		
chmurny	pog. mgła	pochmurny	pochmurny	—	—	—	—		
chmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	—	—	—	—		
chmurny	pr. pogod.	pr. pogodny	pog. mgła	—	—	—	Z.		
chmurny	mgła	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
chmurny	dészcz drob.	pochmurny	pogodny	Z.	Z.	PdZ.	Pd.	1.2	
chmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
chmurny	pr. pochm.	śnieg	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
chmurny	dészcz dr.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	1.6	3.6
chmurny	napół pog.	pochmurny	śnieg	Z.	Z.	Z.	Z.	1.9	
chmurny	pr. pochm.	pochmurny	pog. mgła	PnZ.	—	—	—		2.5
chmurny	lek. pochm.	pochmurny	śnieg	—	—	Pd.	W.		
								39.2	12.3

	mm.	o.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	759.994	27	8.913
Najwyżej dochodził — d. 2 o g. 10 w.	767.75	28	4.340
Najniżej — — d. 16 o g. 4 w.	722.12	26	8.113
Średnia zmiana dzienna barometru	5.88		2.611
Największa zmiana dzienna barometru d. 15—16 o g. 4 w.	20.94		9.317
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 24 lat poprzedzających	4.180		1.852
Średnia temperatura Grudnia wynosi: —	751.332	27	9.085
i ta jest wyższa o	0°.33 C.	—0°.265	R.
od stanu normalnego z 24 lat po- przedzających	2.225 „		1.779 „
Największe ciepło dochodziło d. 16 o godz. 4 wieczór.	— 2.555 „	—	2.044 „
Największe zimno dochodziło d. 10 o godz. 6 rano.	+ 9.1 „	+	7.28 „
Termometrogaf wskazał:	— 7.4 „	—	5.92 „

Termometrogaf wskazał:

Maximum: + 7.928 R. d. 16 po poł.

Minimum: — 7.1 „ d. 10 rano

Średnia zmiana dzienna temperatury 1.784 „ 1.527 „

Największa zmiana dzienna

d. 9—10 o godz. 6 rano 11.2 „ 8.96 „

Wody z deszczu spadło wysoko na 39,2 milim., czyli 17,4 lin. par.; z śniegu 12,3 milim. czyli 5,4 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 51,5 milim. czyli 22,8 lin. par., to jest: o 6,9 lin. par. więcej, od ilości wody jaka zwykle u nas w tym miesiącu spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 96,1, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru, 5,03 gramów, na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest o 2 setne większa jak zwykle.

Dni pogodnych było 1, napół pogodnych 4, pochmurnych 26.

— deszczu 11 (d. 7, 8, 9, 13, 15, 16, 17, 25, 28, 29, 30).

— śniegu 7 (d. 10, 11, 27, 28, 29, 30, 31).

— krup 1 (d. 28).

— mgły 13 (d. 2, 3, 4, 5, 6, 7, 19, 20, 21, 23, 24, 25, 30).

Wiatr panujący: Zachodni.

Wichrów było 5, t. j. Z=3; PnZ=2.

Wiatrów mocnych 3, to jest: Z=2; PnZ=1.

Grudzień był niepogodny, słotny, wilgotny, mglisty lecz ciepły, i więcej do jesiennego niż zimowego miesiąca podobny; średnia jego temperatura jest wyższa o 1,78 stop. R. od normalnej. Pierwsze sześć dni były zimne i mgliste, środek miesiąca dżdżysty lecz znacznie ciepły, przy niskim stanie barometru. Ostatnie dziesięć dni, wyjąwszy 27, 28, 29, były zimne. Śnieg drobny i nieznaczny przuszył w pięciu dniach ostatnich. Mgły trwały przez ośm dni początkowych, i przez siedm dni od 19 do 26. Najcieplejsze dni były: 7, 8, 14, 15, 16, 17, 18, 19; najzimniejsze: 3, 4, 10, 21, 22, 23, 24, 31. Dzień 16 odznaczał się szczególnym stanem powietrza; był bowiem ciepły, słotny i nader wietrzny; po południu ciepło dochodziło przeszło 7 stop. R. przy wielkiem niżeniu barometru, dochodzącem tylko 26 cali 8.113 lin. par. jakiego w ciągu 25 lat poprzednich w tym miesiącu nie było; wieczorem powstał gwałtowny wichor zachodni, który wiele szkód poczynił.

D. 4 w gubernii lubelskiej widziano błyskawice.

D. 14 i 19 wieczorem, kolo białe otaczało księżyc.

D. 21, 23 okazywały się plamy na słońcu.

Wzrost i zdrowie zwierząt domowych

Wzrost i zdrowie zwierząt domowych					Klasyfikacja
Wzrost i zdrowie zwierząt domowych					Wzrost
Wzrost i zdrowie zwierząt domowych					Wzrost
Wzrost i zdrowie zwierząt domowych					Wzrost
010.000	000.000	000.000	000.000	000.000	Wzrost
020.000	010.000	000.000	000.000	000.000	Wzrost
030.000	020.000	010.000	000.000	000.000	Wzrost
040.000	030.000	020.000	010.000	000.000	Wzrost
050.000	040.000	030.000	020.000	010.000	Wzrost
060.000	050.000	040.000	030.000	020.000	Wzrost
070.000	060.000	050.000	040.000	030.000	Wzrost
080.000	070.000	060.000	050.000	040.000	Wzrost
090.000	080.000	070.000	060.000	050.000	Wzrost
100.000	090.000	080.000	070.000	060.000	Wzrost
110.000	100.000	090.000	080.000	070.000	Wzrost
120.000	110.000	100.000	090.000	080.000	Wzrost

Wzrost i zdrowie zwierząt domowych		
Wzrost	Wzrost	Wzrost
111.8	111.8	111.8
122.7	122.7	122.7
133.6	133.6	133.6
144.5	144.5	144.5
155.4	155.4	155.4
166.3	166.3	166.3
177.2	177.2	177.2
188.1	188.1	188.1
199.0	199.0	199.0
210.0	210.0	210.0

nie było; wieczorem
 D. 4 w gubernii lubelskiej widziano błyskawice.
 D. 14 i 19 wieczorem, koło białe otaczały księżyc.
 D. 21, 23 okazywały się plamy na słońcu.

MAUROWIE

NIEGDYŚ W HISZPANII, A DZIŚ W AFRYCE.

PRZEZ AUTORA:

O Danii i Norwegii, Bashach, Portugalii i t. d.

(Ciąg dalszy).

III.

Donna Delfinia, żona beja tunetańskiego.

Czyto Wenus Afrodyte występuje jak śnieżna piana z odmetów bezdenne go morza? Czyto grupa srebrnych minaretów wyziera ponad wzburzone fale oceanu? Czyto nie złudzenie mego wzroku, lub kaprys wyobraźni, wybujałej obrazami tego południowego nieba? Nie! to Kadyx wznoszący się ponad modre wody Atlantyku, Kadyx śnieżny, piękny, kąpiący swe stopy w czystych nurtach morza, a pławiący swe szczyty w jasnym lazurze przezroczystego nieba. Piękność jego ciągle wzrasta, coraz więcej świecie z każdym obiegiem potężnych kół, rozdzierających bałwany i zostawiających długą, pianistą drogę za nami. Kadyx wydaje się odosobniony od lądu jak wyspa; długi, piaszczysty język łączący go z lądem znika zupełnie, nawet jeszcze w bliskości: tak jest mało wyniesionym ponad powierzchnią piętujących się fali. Niezmierne miasto z swemi bieluteńkiemi domami, z których prawie każdego pnie się ku obłokom misterna wieżyczka, *miradorem* zwana; niezmierne miasto, mówię, opasane jest zewsząd granitowym wałem, o który, ciągłym dręczone gniewem, huczą fale morskie i rozbijają się w białą pianę.

Piękny to, i wspaniały bohaterski gród, co się wznosi w śnieżnej bieli przed memi zdumiałemi oczyma. Trzydzieści przeszło wieków kołatało tu o te ogromne skały, i zawsze wydawało dźwięk cywilizacyi, roznoszącej się jak niebieska harmonia na odległą okolicę. W najciemniejszej pomroce przedhistorycznych wieków osiedli tu Fenicyanie i przewali to miasto imieniem Gades; ztąd wypływali w dalekie morza do Tyru po purpurę i aż na brzegi dzisiejszych Prus i Kurlandyi. Bussoli jeszcze nie znali, wiedzieli tylko, że fale Bałtyku wyrzucają bursztyn, a bryłom niekształtnym już wówczas umieli nadawać powabne kształty. Później Kartagińczykowie odbili Fenicyanom to miasto, tu wzniesli bóstwom swym ołtarze, i tu w świątyni Herkulesa, Hannibal zaprzysiągł po wzięciu Saguntu w ręce swego ojca Amilkara wieczną nienawiść przeciw Rzymianom.

Rzymianie opanowali miasto w drugiej wojnie Punickiej; Juliusz Cezar dał mu nazwisko Julia Augusta Gaditana i wyniósł je do godności *municipium* rzymskiej. Pod panowaniem Rzymian kwitnęło to miejsce jako jedno z najpiękniejszych całego państwa, wydało kilku znakomitych obywateli rzymskich, mianowicie historyka Korneliusza Balbę, poetę Kaniusza i Columelę, ojca agronomii.

Później hordy Wandalów, chmary Gotów zalały Hiszpanią i zacierają ślady cywilizacyi. Kadyx upadał. Wkraczają Maurowie do Europy i zdobywają miasto, lecz nie oceniają ważności tego punktu, i mniej daleko zadają sobie pracy na upiększenie go, jak na ozdobienie Sewilli, Kordoby, Toledo i Grenady. Ztém-wszystkiém sumienny Aben-Zoar dziejopisarz i lekarz arabski, żyjący w XIIIym wieku zaręcza nam, że Maurowie wielkimi wysileniami rozprzestrzenili i oczyścili ze skał przystań Kadyxu, i że w środku samego miasta niesłychanemi trudami wydrążyli w opocie jedyną studnię, która do dziś dnia tu istnieje. Będziemy mieli sposobność przypatrzania się jej zblizka.

Wiemy, że krzyż chrześcijański długo i cierpliwie czekał na sposobność odebrania półksiężycowi mahometańskiemu swój zdobywczy. Przyszła nareszcie upragniona chwila. Złoty lew Kastylii znów powiewa na wysokich wieżach Kadyxu. Odkrycie Ameryki nadaje mu ważność, jakiej nigdy nie posiadał, drży bruk Kadyxu pod ciężarem wozów obładowanych złotem Meksyku i skarbami peruwiańskimi. Taką przebyło przeszłość to piękne miasto, ale mało bardzo zachowało zabytków, mogących dziś żywo przypo-

mnieć tę świetną a starożytną epokę swój istności. Zadrżała po trzykroć jak lew ze snu przebudzony ta silna opoka, na której wystawiono tyle pałaców i kościołów; z jej grzbietu runęły w odchłań morską wszystkie zabytki starożytności. Co nie dokazało trzęsienie ziemi, to dokazały bomby angielskie w roku 1596. Kadyx znów był pustynią jak 3,000 lat temu, tylko mu pozostała część pracowitych i przedsiębiorczych mieszkańców. Oni odbudowali miasto według zupełnie nowego planu.

I tak się stało, że Kadyx, najdawniejszy gród całego półwyspu Pyrenejskiego, jest dziś najwytworniejszém miastem w całej Hiszpanii, jedném z najokazalszych w całej Europie.

Dumne jego wały, świetne, marmurem brukowane ulice, pyszne place i alamedy, wysokie marmurowe pałace, ogromne magazyny, przypominają dziś jeszcze panowanie Ferdynanda aragońskiego i Izabelli kastylijskiej, Karola Vgo i dwóch Filipów, kiedy Kadyx był jednym z najważniejszych portów handlowych świata.

Dziś już tém nie jest Kadyx. Dziś jest tylko jedną z najobronniejszych twierdz świata.

Gruby, na 45 stóp wysoki granitowy wał, w nim kazałaty z kul szydzące, i siła bastyonów w morze wkraczających, opasują miasto wokół. Dwie groźne cytadelle pilnują wejścia do zatoki, straszna, potrójna linia fortyfikacyj broni bramy Trocadero, jedynéj od strony lądu, a mnóstwo oddzielnych baterij i szanców piętrzy się około zatoki, mającéj 5 mil geogr. obwodu, a tak obszernéj, iżby wszystkie floty świata pomieścić mogła.

Nie znam miasta morskiego, nie wyjmując nawet Kopenhagi i Palermo, któreby ze strony przystani miało postać tak wspaniałą i dumną, jak Kadyx. Czarujący widok! mianowicie gdy gazem oświecone, przygląda się w własnych wód zwierciadle. Domy okazałe, prawie wszystkie na próbę bomby wystawione, na trzy lub cztery piętra wysokie i tyluż gankami ozdobione; marmuru nigdzie nie szczędzono. Dachy płaskie, lasem kwiatów zastawione, a nad dachami wznoszą się wysoko w powietrze owe „miradores”, owe wieże, z których widok na morze i przybywające okręty tak przecudowny. Wieże te udzielają miastu szczególny powab i charakter. Ściany, pokoje, schody a nawet i sienie domów, powykładane są białym marmurem; wszędzie tak ładnie i czysto, wszystko tak białe, świecące i misterne, iż zdaje

się, że z cukru upieczone. Tylko ulice położone około kościoła katedralnego mniej się odznaczają czystością. Pyszna architektura domów, szlachetna postać miasta, ruch zawsze jeszcze zwawwy w porcie, świat elegancki krążący na spacerach, wystawne, pełne przenikającej uroczystości nabożeństwo w kościołach, narreszcie to niebo południa, chłodzone ciągłym powiewem oceanu, to powietrze tak czyste, którem tak swobodnie oddychasz, ten niewypowiedziany urok rozwoju ciągle młodzieńczego, niezatrute go żadnym nieszczęściem, niehamowanego żadną obawą, nieskrępełego żadną nieufnością, a odbijający się tak wyrażnie na wszystkich twarzach młodych i starych, pięknych i niepięknych; ten odgłos życia bez granic, który znajdujesz w każdej duszy tej bohaterkiej ludności gadetańskiej, która zawsze broniła cnotę i była przedmurzem cywilizacyi, przyszłość rodu ludzkiego odgadującą:—oto przyczyny mego szczęścia, méj czulej sympatyi, mego uniesienia, gdy m się znalazł w murach Kadyxu.

Czytelniku! znasz ty historią życia tego miasta, wiesz ty, ile ucierpiał o od lat pięćdziesięciu?

Opowie ci ją ten starzec z siwiutenką głową, z obliczem tak czerstwem, którego tam zoczysz wpośród licznego grona mężczyzn i kobiet na Alamedzie. To pan Uthoff, konsul pruski, rodem Niemiec, ale od końca przeszłego wieku tutaj osiadły. On tak mówi: „W roku 1801 Anglicy bombardowali nasze miasto. Wszystko co broń nosić mogło i nosić chciało, zostało powołanem do obrony. Żaden z cudzoziemców nie pozostał głuchym na to wezwanie. Wstąpiłem i ja z memi trzema braćmi do gwardyi narodowej. Flota francuzko-hiszańska przysłała nam na odsiecz; Anglik ją pobił, ale zwycięstwem samem d. 22 lipca tak się osłabił, że odstąpić musiał od oblężenia. Jeden z mych braćmi stracił życie w bombardowaniu. Lat trzy potem żółta febra wkra- dła się do naszego portu aż z Ameryki. Połowa mieszkańców miasta wymarła; z nią mój brat drugi. Po wybuchu wojny w r. 1808 bombardowaliśmy z bateryi Trocadero, Puntales i Sancti Petri flotę francuzką, leżącą w zatoce, a dowodzoną przez admirała Roselly, i zmusiliśmy ją do poddania się. W r. 1810 regencya królestwa Hiszpanii ścigana przez marszałka Soult schroniła się do Kadyxu. Francuzi blokowali i bombardowali miasto nasze przez lat dwa. Nikt nie zdoła opisać naszej nędzy; brakło i ammunicyi i żywności, ale o poddaniu się nikt nie my-

ślał nawet. Pod bombami i kulami nieprzyjaciół, umierając z głodu i z wycieńczenia, układaliśmy prawo zasadnicze dla całej Hiszpanii. To owa sławna konstytucya 1812 roku, dla której tyle się krwi rozlało. Napróżno Soult, Victor i Sebastiani roztręcali kulami swemi bohaterski Kadyx; napróżno doń stali olbrzymie bomby z umyślnie lanego mózdzierza, z zdobytego na nas portu Matagorda; myśmy się nie poddali i nieprzyjaciół odciągnąć musiał. Pokój potrwał aż do roku 1820; wzmocniliśmy się znów w siły, a ja, choć konsul dalekiego kraju, dzielając wszystkie koleje méj przysposobionéj ojczyzny, zostałem uznany prawem kraju i wolą ludu za rodaka tych bohaterskich dzieci Kadyxu, którzy nigdy nie ulegli żadnym przeciwnościom. Dnia 1 stycznia r. 1820 zbuntowały się na Isla de Leon hufce, które miały być wysłane na uśmierzenie powstania amerykańskich kolonij, pod przewodztwem podpułkownika Riego, i spowodowały ruch ogólny, do którego przystąpił król Ferdynand VII uznawszy powtórnie prawo zasadnicze 1812 roku. Kadyx odgrywał w téj okoliczności główną rolę, król bowiem i Kortezy schronili się tutaj przed francuzką armią, dowodzoną przez księcia Angoulême. I znów klęski wojny i powietrza morowego zlały się jednocześnie na nasze miasto. Nieubłagane nam dokuczały postrzały francuzkie i żółtej febry zaraza. Trzeci mój brat padł ofiarą ostatniój. Francuzi, ci sami, którzy nam lat temu dwadzieścia przynieśli *pojęcie o godności i prawie człowieka*, którzy dziesięć lat potem wytepiali nas najniełitościwiéj, ciż sami Francuzi w roku 1823 spaliwszy nam miasto, zaprzysięgłszy pod marszałkiem Bourmont warunki kapitulacyi, wtargnęli do nas i odbudowali, dopuściwszy się niesłychanych gwałtów, panowanie inkwizycyi. Skutkiem takich wojen i klęsk rozlicznych, skutkiem późniejszego odpadnięcia kolonij amerykańskich, handel Kadyxu został zniszczonym. Ferdynand VII chcąc wzniesć upadające miasto, uznał je za port wolny. Jeszcze raz zabłysła nadzieja lepszego bytu i błogie wydała plony: liczba mieszkańców wzniosła się do 70,000. Lecz stan ten nie potrwał długo: reakcya wzięła górę i cięży dotychczas na tém miejscu. Kadyx wprawdzie pozostał wiernym swym zasadom, i jeszcze w r. 1843 ofiarował przytułek Esparterze, ściganemu przez wojsko reakcyonistów. Ex-regent jednakże nie przyjął téj ofiary i udał się do Anglii. Takie przetrwałem koleje w tém miejscu"—mówił dalej don Ludolfo Uthof rodem Niemiec i konsul pruski— „kilkakrotnie otrzymałem chrzest narodowości w klęskach

mój przysposoblonój ojczyzny, i dziś otoczony dziećmi i wnucami tutaj splotonemi, jestem Hiszpanem tak dobrym, jak i każdy inny pod tém niebem zrodzony Hiszpan”.

Cóż można zarzucić takiemu rozumowaniu? potępić starego konsula za wyrzeczenie się własnej, mdłej, problematycznej narodowości dla innej, obcej, żywotnej, bohaterskiej, w poświęceniach siłę swą czerpającej? niesposób! Nie przywiązał go do siebie ów żywioł germanizmu, który nawet w swój pełnej istności jest raczej potęgą ujemną, odbierającą, jak dodajną: zachwycił go żywioł hiszpański, jędrny, życiodawczy, nawet wtenczas, kiedy cierpi i boleje. Szczęście to wielkie rodzić się na ziemi godnej kochania, pomiędzy ludźmi szacunek wzbudzającemi! w atmosferze, której dźwięk tak jest mocnym, że jęj harmonijne tony towarzyszą nam od kolebki aż do grobu, w dalekiej odległości i po długim czasie. Ale nie każdemu dane to szczęście. Niemcowi widać; nie dane, kiedy go tak pełno we wszystkich obcych krajach, kiedy się tak łatwo wynaradawia.

Innego był usposobienia konsul angielski w Kadyxie. Ten choć oddawna w Hiszpanii przebywa, nie stracił ani cala z swój sztywnej narodowości, ani nawet nic z swych przesądów, nałogów, upodobań i oryginalności. Oficerem był marynarki w swój młodości, lat temu ze trzydzieści, i dlatego też wprowadził w swój dom marmurowy i niechwiejący się, wszystkie zwyczaje żeglarskie. W konsulacie angielskim nikt nie śpi w łóżku, tylko w hamaku, zawieszonym na sznurach u sufitu. Równy ze świtem, na znak dany wystrzałem, zbierają się hamaki i przytroczają na ganek, niby na galeryi okrętowej. Co cztery godziny dzwon powołuje coraz innych lokajów do służby. Ledwie wstąpisz do konsulatu, a już cię odzwierny piszczałką gospodarzowi anonsuje: trzy razy jeśliś *gentlemanem*, dwa razy jeśliś *osobą*, raz tylko jeśliś *poprosto człowiekiem*. Wiemy już z poprzednich opisów, że w oczach Anglika ludzkość dzieli się na *gentlemen*, *persons* i na *men*. Konsula nigdy nie ujrysz bez *tuby maryny* w rękę, którą tylko przemienia od czasu do czasu na kielich ogromnego rozmiaru, gdy się chce napić z tobą *the good morning toast* (dzieńdoberek), co mu się trafi ze dwadzieścia razy na dobę. Gdy audyencya skończona, konsul świszczy w piszczałkę, lokaj ubrany za majtka wpada do pokoju, otwiera drzwi na oścież i także gwizdże; drugi lokaj w przedpokoju gwizdże, odzwierny gwizdże, i tak cię wyświstują z konsulatu bez żadnej litości, aż staniesz na

bruku. Na samym gmachu konsulatu wznosi się zamiast wieży, wysoki maszt okrętowy, ubrany we wszystkie swe powrozy, liny, drabiny i kosze, a w koszu siedzi majtek z perspektywą i ciągle spogląda na wszystkie strony, i krzyczy jak opętany, gdy zdaleka okręt jaki spostrzeże. Na samym szczycie masztu dumnie powiewa flaga Wielkiej Brytanii.

Ztémwszystkiém konsul angielski w Kadyxie jest osobą godną widzenia, godną poznania i szacunku godną. Wystawnie reprezentuje wielkość swego kraju, rozsądza jak Salomon spory pomiędzy kapitanami kupieckich statków i ich majtkami, propaguje metodycznie, i jest ojcem dwóch prześlicznych córek, wysokich, poważnych, białych jak lilie, i jak białe róże powiew różowy na licach noszących.

Z niemito właśnie jestem na *Plaza de San Antonio*, dziś przechrzczonej imieniem *Plaza de la Constitucion*, na tym obszer- nym czworogranie, wysadzonym wokoło pysznemi exotycznemi drzewami, wyłożonym taflami białego marmuru. To spacer publiczny; tu co wieczór zbiera się cały piękny świat gadetański, a przedewszystkiém *las Sennoras y Sennoritas, Donnas y Duennas, Manolas y Muchachas,—todas las hermosuras de la muy heroica ciudad Cudis*, wszystkie piękności bohaterskiego miasta Kadyxu.

Często mnie się pytają: czy piękne Hiszpanki?

Czy piękne Hiszpanki? na to pytanie niełatwo odpowiedzieć jednym słowem.

Cóż pod pięknością kobiet wystawiamy sobie?

Gdyby dowiedzioném było, że istnieje gdzieś typ ideału pięknej kobiety zmaterializowany w ciało, w marmur, lub przynajmniej ujęty pędzlem malarza; gdyby wierzyć można, że natura daje sztuce lub umiejętności prawo przedstawienia lub obracowania jój bezwzględnego piękna w formach powszechnie przyjętych: natenczas na powyższe pytanie odpowiedzi dawać nie śmiałbym, nie miałem bowiem nigdy sposobności sprawdzać łokciem i cyrklem tych interesujących badań... Podciągnąć pod rozmiary matematyczne takich drażliwych kwestyj nie można, dopóki w postrzegaczu trwa życie choć tylko odbiciem wspomnienia.

Zresztą, według jakiej porównawczej skali mamy cenić pięknosc kobiet? Czy istotnie w utworach dłuta Fidyasza i Praxyteleasa? Czyż istotnie mieli oni odgadnąć najwyższy stopień piękna, do ja-

kiego na tój ziemi wznieść się może owe najładniejsze stworzenie Boga—kobieta?

Nie! wszakże rodzaj ludzki kształci się fizycznie w miarę jak się wykształca jego dusza, wszakże każde szlachetne uczucie odbić się musi i znaleźć trwały przytułek w obliczu człowieka; a religia chrześcijańska silnie wpłynęła na wydoskonalenie duszy. Przypomnijmyż sobie, jakie surowe, jakie materialne wyobrażenie robili sobie Grecy o Najwyższej Istocie i o jój przymiotach, jak tłumaczyli *miłość*, tę najpiękniejszą i najświętszą własność serca ludzkiego, przez Chrystusa po pierwszy raz w całej swój godności pojętą, a dziś jeszcze nie przyjętą jako podstawę wszelkiego szczęścia doczesnego i wiecznego.

Rzecz niezaprzeczona! Ród ludzki kształci się ciągle i doskonalili bezwzględnie, tylko nie jednostajnie, nie jednocześnie na tym samym punkcie ziemi. To nie jest w widokach Opatrzności, aby dać nieskończenie wygórować jednemu plemieniu nad drugie; dążenie do równowagi, do równości nawet, jest celem Boga i przyrody.

A zatem doskonalimy się także w piękności; i to, co było niegdyś uważaném, lub duszą artysty przeczutém za najwyższego piękna ostatniém słowem, już przewyższoném zostało rzeczywistością na tym lub owym punkcie ziemi, gdzie ani klimat, ani przesąd, ani głupstwo, nie krępuje rozwoju człowieka. Canova i Thorwaldsen powinni być wyższymi od Fidyusza i Praxyteleusa, gdyby im równy był dany talent, lub gdyby byli mieli szczęście wyszukać sobie również grzeczne Chryne, Galatee i Laisy. Alexander Macedoński, ów wielki zdobywca, pod którego młodzieńczemi stopy zadrzał niegdyś świat cały w swych podstawach, Alexander stanąwszy nad grobowcem Achillesa, w szczupłym tylko obrębie bohaterstwem wstawionego, zawołał: „O szczęśny młodzieńcze, któryś znalazł w lutni Homera sławy twój tłumacza!”

Alexander zazdrościł Achillesowi, tak jak my, chrześcijanie, zazdrościć musimy Grekom ich wielkich rzeźbiarzy; ale znajdzie się kiedyś godny tłumacz chrześcijańskiego piękna, wyższy gieniuszem plastyczności od gieniuszów kolorytu Rafaela i Murilla.

Dość, że nie było nigdy na tój ziemi wyższych piękności jak te, które za mych czasów żyły, lub téż jeszcze żyją; posągów zazdroszą Grekom, ale nie żyjącego piękna typów.

I gdzież przykłady tych typów najczęściój znajdziemy?

Teoretycznie rozumując, zapewne tam, gdzie się dusza najswobodniej rozwija, w obrębie jeżeli nie pojęć, to przynajmniej uczuć religijnych; tam, gdzie klimat łagodny nie zmusza do ciągłego pozostawania w murach i nabywania nałogów z jednostajności życia lub nudów wypływających; tam, gdzie wychowanie modne, wykwintne, to jest jednostronne i źle zrozumiane nie rozwija zbyt znacznie jednej własności ciała i umysłu, ze szkodą drugiej; nareszcie gdzie wielka jest wiara z woli Boga i siły natury, gdzie się nie uciekają zanadto prędko do sztuki i lekarstw dla przywrócenia zachwianej równowagi zdrowia, gdzie sobie sami umiejają radzić wodą, ziółkami, gimnastyką i odpoczynkiem.

Jednym z krajów, w których znajdziesz wszystkie te warunki rozwoju najwięcej skupione, jest niezawodnie Hiszpania; i w żadnym też kraju nie znajdziesz tyle piękna rozlanego na ogół, jak w Hiszpanii, tyle kształtności połączonej z siłą, tyle szlachetności, gracy i zręczności w ruchu, tyle objawu swobody i życia w każdym atomie ciała, jak w Hiszpanach.

Niech się tedy litują nademną Angielki ile tylko zechcą, niech się wściekają Francuzki, niech płaczą Niemki, zębami zgrzytają Włoszki, niech się nawet żalą na mnie własne me piękne współrodaczki, ja utrzymuję uroczyście i stale, konno i pieszo, na morzu i na lądzie, na zimno i na gorąco, że nie masz w Europie kraju, w którymby przestrzeń wdzięków obszerniejszą była, jak w Hiszpanii; w którymby ogólny diapason piękna wyżej stał, jak w szczęsnych ogrodach hesperyjskich.

Rozumię się samo z siebie, że przez to me zdanie wcale nie myślę utrzymywać, żeby najpiękniejsze kobiety świata miały się koniecznie znajdować w Hiszpanii, a przypadkiem nie gdzie indziej, u nas lub w Anglii. Fenomenalne zjawiska właśnie dlatego są nadzwyczajnemi, że się tylko wyjątkowo wydarzają, że pod żadne nie dadzą się podciągnąć prawidło. Najcelniejsi filozofowie, uczeni i artyści świata, nie wychodzą czasem z najlepszych szkół: często się to nawet wydarza; czemużby piękności kobiece miały mieć przywilój wychodzenia zawsze z jednej kolebki?

Hiszpania zawiera tedy na daną ilość kobiet stosunkowo największą liczbę pięknych, a ojczyzną najpiękniejszej kobiety może być każdy inny kraj, nie wiem który, ale zapewne ten, w którym pisząc te słowa, przebywam.

A tak bez naruszenia niczyjéj miłości własnéj, zdołaliśmy przecieź wyrzec prawdę.

Ale dość tutaj o piękności Hiszpanek w ogólności. Później o szczególnych typach Hiszpanek, o charakterach piękna do miejscowości przywiązanych. Niezaprzeczoną bowiem jest rzeczą, że Andaluzka od Arragonki różna, że nawet Gadetanka do Sewilianki niezupełnie podobna.

Wróćmy tedy na plac św. Antoniego, do naszych Angielek ślicznych, białych, wysokich. Strój ich jasny, świecący, kapelusze z kwiatami, powiewające woale gazowe, niezmiernie odbijają od tych czarnych mantyl, sukni i koronek, w które ubrane wszystkie Gadetanki, przesuwają się około nas tak lekko, jak chińskie cienie.

Mister Borrow, podróżujący w Hiszpanii dla upowszechnienia znajomości ewangelii, wyrzekł w swém dziele, pod tytułem: *Gatherings from Spain*, zdanie następujące: „Lubię Kadyx za to, że się jego *damy* (*ladies*) w niczém nie odróżniają modami od jego *kobiet* (*womea*), chyba tylko cienkością mantyli, sukni i koronek.

Wyborny Angliku! dla ciebie *damy* nie są *kobietami*, *gentleman* nie *ludźmi*, i *oficerowie* nie *żołnierzami*. Miło mi jednak, że się cieszysz z tego, co w Hiszpanii jest dobrém, a czego u ciebie nie ma. Równość zalecasz w ewangelii, której 1,000,000 exemplarzy rozrzucisz rok rocznie, a nie masz jéj u ciebie, ani w stroju, ani nawet w kościele.

Ale co jest mantyla hiszpańska? Nie to samo, co u nas pod tém nazwiskiem znane. Jestto strój, składający się z dwóch z sobą złączonych części: z jedwabnego kołnierzyka przyczepionego do wysokiego grzebienia i spływającego na tył szyi, i z kwefa koronkowego, do kołnierzyka przyszytego. Zazwyczaj kwef ten spływa także na barki, ale można go wznieść i nim zasłonić lica. Strój ten ubiera daleko lepiej i okazałej głowę, ciemnym, bogatym włosem ozdobioną, czarném okiem błyskającą, białém, pogodném i dumném czołem świetniejącą, jak owe jaskrawe papierowe trąbki, damskimi kapeluszami nazywane, a od których paryzkiego stroju zwolenniczki, pożyczają blask swego lica.

Francuz utrzymuje, że *le piquant* tworzy cały urok hiszpańskich twarzy, tak jak gdyby mówił o pieprzu tureckim lub o musztardzie. Prawda, że jest coś dziwnie zachęcającego, ponętne-go w tych oczach tak aksamitnych, tak długich, w tym wyrazie ust lekko szepleniących, w tym ruchu ręki ciągle i z taką zrę-

cznością igrającej z wachlarzem, ale to nie stanowi jedynego uroku Hiszpanki. Patrz na tę kibić tak cienką, że ją rękami objąć mógłbyś i chciałbyś, gdyby tylko było wolno; kibić tak giętą, jak u węża! Zgadujesz, że tam nie ma sznurówki, przejmującej jak kirys serca tego bicia; patrz na tę nóżkę tak drobną, wąską i posuwistą; fizyonomia téj nóżki wiele obiecuje, i wiele dotrzymać jest w stanie, doprawdy!

Ale srebrny głos miss Seliny zwraca się do mnie, i wyrывa mię z zachwycenia, pytaniem: „*Well, Sir*—jak się panu podoba świat ten gadetański?”

— Jak mi się podoba ten Olimp? Pani! gdybym sto ócz posiadał, powiedziałbym, że mię oczarował ale teraz odpowiedzieć muszę, że nie wiem. A czyż para oczu wystarczy na pojęcie tylu piękności?—odrzekłem z zapalem.

— Na syna Północy masz pan wiele ognia—ręczę znów uśmiechając się cokolwiek gorzko miss Selina.

— Pani, u nas klimat nie jest tak zimnym, żeby nam odbierał ogień, tylko go skupia wewnątrz, cały w sercu: to właśnie nasze nieszczęście!—odpowiedziałem, także się uśmiechając niekoniecznie słodko.

— Któraż się z tych dam hiszpańskich najwięcej panu podoba?—spyta znów miss Flavia, młodsza siostra miss Seliny.

— Ta wysoka, z tak smętném, bladém licem, bielsza niż wszystkie inne, co ma oczy tak tęskne z umyślnie przyćmionym blaskiem. Chodzi z tym *caballero* podeszłego wieku, z siwiutką głową, za niemi dwie murzynki. O! teraz nas mija, spoziera na panią z ukosa; jaka szlachetna gracya w tym ruchu! Młoda jest, a tak smętną jednakże; na tém boskiém czole myśl jakaś smutna osiadła. Ach! chciałbym ją zegnać!

— I ta się panu najwięcej podoba? — spyta znów miss Selina, starsza z siostr, rumieniąc się nieco.

— Ta, ta! najwięcej, na honor!

— Cha, cha, cha! panie doktorze, jak nieszczęsny pan masz gust, *dear me!* A wiész pan kto ta osoba? *Oh fy! shoking!* (o pfe! to zgroza!).

— Nie wiem, dopiero od kilku dni w Kadyxie bawię, ale pragnąłbym to wiedzieć; może to żona tego *caballero*?

— Ja zaspokoje pańską ciekawość: nie, to nie żona tego *caballero*, to jego córka, to Donna Delfinia de Redondo, ta sama Donna Delfinia, która w Tunis....

— Ah wiem! to żona beja tunetańskiego; wiem, że tu bawi w Kadyxie.

— To nie żona beja, doktorze: Donna Delfinia jest chrześcianką, chodzi do kościoła bardzo regularnie, codziennie raz przynajmniej; żadnego nie ominie kazania, a panu musi być wiadomém, że prawa Alkoranu wzbraniają muzułmanowi żenić się z chrześcianką.

— Czémżeby więc było to anielskie stworzenie dla owego monarchy muzułmańskiego, którego tak chwala mądrość i ludzkość: to chyba jego Egeryą? Tak jest, Egeryą, nieprawdaż? Powiedz że tak jest, o miss Selino, błagam panią!

— Egeryą? cha, cha, cha! panie doktorze, na miłość Boga, wszakżeż Egerya była Nimfą, rusalką; Numa Pompiliusz nie widział jój nigdy, choć z niej czerpał swe piękne natchnienia. Nie, Donna Delfinia nie jest Nimfą, jak pan widzisz, tylko bardzo ziemskiém stworzeniem; a wieści głoszą, że była z bejem w stosunkach, w stycznościach rodzaju tak osobliwego, że.....

Zakrzuszyła się wstydliwie miss Selina, i twarz swoją zasłoniła wachlarzem.

— Że...—na Boga! mów pani dalej.

— Litości, panie doktorze! Pan długo bawił w Anglii i zapewnie znasz naszą delikatność, nasze *przesady*, jak je nazywają cudzoziemcy, i wiesz bez wątpienia, że o pewnych rzeczach angielska lady nigdy nie mówi.

I na tém się skończyła nasza rozmowa. Ścigałem oczyma za piękną Donną Delfinią, spostrzegłem, że się jój ojciec przyjacielsko przywitał z konsulem pruskim, który otoczony licznym hufcem dzieci i wnuków, przechadzał się po Alamedzie. Obie grupy połączyły się. Donna Delfinia rozmawiała żywo z jedną z córek Don Ludolfa, i przechodząc mimo nas rzuciła ogniste, ukośne spojrzenie na moje Angielki.

Byłem roztargniony, rozmowa nie szła już ani żywo, ani swobodnie. Spostrzegły to dumne córki Albionu, i pożegnawszy mnie dość opryskliwie, opuściły spacer i wróciły do konsulatu angielskiego, nie zapraszając mię na herbatę.

Za pół minuty byłem w obozie nieprzyjacielskim, wyznaję to bez ogródki.

— Jeszcze wam jednego zawerbuję kawalera, *mi Sennoritas*—mówił odwracając się do swych dam konsul pruski—dziś u nas tertulia panie doktorze, bądź łaskaw, poświęć nam dzisiaj-

szy wieczór: będziem śpiewać, grać na gitarze i tańczyć. Pan lubisz nasze zabawy hiszpańskie, nieprawdaż?

— Prawda, i chętnie w nich biorę udział. Panie konsulu, kto jest ta dama piękna, wysoka, blada, która rozmawia z pańską najmłodszą córką?

— To Donna Delfinia, córka tego tu caballero, Don Felixa de Redondo, który był konsulem hiszpańskim w Tunis. Jestto młoda dama, bardzo interesująca, bardzo ukształcona i bogata, bogata na miliony. Poznasz ją pan u nas zblizka; mówi doskonale po francuzku.

Rzadkato rzecz, żeby Hiszpanka mówiła po francuzku; Hiszpanka gardzi wszelką cudzoziemszczyzną, i nie przyjmuje ani mody, ani języka cudzoziemskiego. Donna Fernanda zaledwie rozumiała po francuzku, w chwili, gdy się książe Montpensier z nią żenił; a jeszcze nie umiała się wystowić płynnie w tym języku, w chwili, gdy ją pan Lasteyne podczas wybuchu lutowego zabrał z sobą z Tuilleries, i w swym domu przechował.

Wysokiego stopnia ukształcenia nie posiadają Hiszpanki. Napotkałem w nich raczej wielką niewiadomość o wszystkich rzeczach, które ich bezpośrednio nie dotyczą. Z dziecinném jakimś ograniczeniem umysł ich krąży w szczupłym zakresie otaczających je stosunków, i w téj sferze nie wyśokiéj, nie obszernéj, rozwijają nieskończenie wiele dowcipu i gracyi. Znają swój język, dzieje swego kraju, swych poetów i swych malarzy: i na tém się kończą ich wiadomości. Przeniesione do salonów londyńskich i paryzkich, do warszawskich nawet, istoty te filozofią cudzoziemską nie karmione, systematami modnemi nie przesiąkłe, nie odegrałyby może świetnéj roli. Ale tu, w Hiszpanii, gdzie każdy mężczyzna więcej kocha kobietę dla *jéj* osoby, jak dla *jéj* rozumu; istoty te własnego chowu (jak je u nas nazywają) większy daleko wywierają na młodzież urok, niż w innych krajach owe modnie wykształcone panny, umiejące mówić po francuzku, znające tyle filozofii, ile potrzeba do przejęcia się maxymami pani George Sand, tyle historyi, ile potrzeba do zrozumienia panowania Dyany, Gabryeli, Lavallierki i Pompadourki, tyle geografii, ile wystarczy na korzystanie z opisów podróży pana Alexandra Dumas i romansów pana Eugeniusza Sue, umiejące nawet rozwijać nieskończoną gracyą w polce *tremblante*.

Ton towarzyski Hiszpanek jest sobie dość wolnym, to prawda. Młode panienki rozmawiają się tu często z zastanawiającą

śmiałością o rzeczach, którychby wcale znać nie powinny, a męzkatki jeszcze są śmielsze i szersze. Ale mniej tu owych rozmów, duszę może więcej drażniących, w których pod zasłoną przenośni i dwuznaczności, niektórzy mężczyźni popsutego smaku, a biegli w tego rodzaju konwersacjach, wystawiać umieją rzeczy nieprzystojne, rubaszne, częstokroć nawet szkaradne, i ubiegają się o smutny zaszczyt wywołania rumieńca wstydu na licach niewinności, lub też zmuszają panny z różnemi stanami pewnych rzeczy już lepiej obznajmione, do udawania pożyczanej naiwności.

Mężczyźni mając szerokie pole do korzystania z nauk biernie i czynnie, daleko się więcej kształcą niż kobiety, i więcej także posiadają wiadomości.

Hiszpania swobodna, niezależna, doznawszy dobrodziejstw pokoju, otworzyła swój młodzieży szerokie bramy do wszystkich zawodów. Towarzystwo mężczyzn na tertulii konsula pruskiego, składało się z kommissantów bankierskich, z kilku adwokatów, z oficerów floty, artylerji i inżynjerji. Każdy z nich, mianowicie kupcy i marynarze, znał po kilka języków, ale nikt nie robił parady ze swój umiejętności; owszem wszyscy zebrani w jednym celu, dla przyjemności zabawienia się, umieli zapomnieć różnicę zawodów i poddawali się bez dumy i ogródki wszystkim natchnieniom wesołej chwili. Ten tańczył, tamten śpiewał, inny improwizował wiersze;—był i dowcipniś, bawiący towarzystwo krotoczwilami. Błazna nie było, któryby z swego dowcipu robił trybularz; to rzecz pewna; w narodzie tak szlachetnym, rycerskim jak hiszpański, wszystkie podziemne kadzidła są wzgardzone.

Alegrya! wesołości! jak czarujący, jak zarażający jest twój urok. Znikła chmurka wisząca na świetnym czole pięknej *Donny Delfinii*, i na twarzy téj bladéj, wykwitł dziewiczy rumieniec, błysnął na koralowych ustach, nabrzękłych napływem krwi, słodki uśmiech rozkoszy, i okazał dwa rzędy pereł tak pięknych, że każda warta była parę milionów. Dała się ubłagać, poszła do tańca; zręczna ręka chwyciła za kastaniety, i postać ta wysoka, szlachetna we wszystkich klasycznych postawach, w każdym atomie swego cudnego ciała jaśniała promieniami niewypowiedzianego wdzięku.

Diva! Divina Delfinia! jęczały usta wszystkich mężczyzn, obłok nieprzejrzący zakrył mi całe towarzystwo, widziałem tylko ją w niebieskim świetle bengalskiego płomienia, zapalonego iskrą méj wyobraźni.

„Bardzo ziemskie stworzenie!” powiedziały Angielki. Oh nie! to zazdrość, to bardzo nadprzyrodzona istota, to Nimfa, to anioł, to muzyka z lutni Orfeusza, zdolna przemienić w posłuszne owieczki wszystkie lwy i tygrysy Atlasu.

Wraca na swe miejsce omdlała, z drgającymi ustami, z oczyma w łzach rozkoszy pływającymi. Tak zapewne wyglądała Danae, gdy ją zrosił ów dészcz Metamorfozy.

Oto Hiszpania!—w powietrzu rozkosz, na ziemi mitologia, w sercu religia, w głowie duma.

Miałem sposobność poznania bliżej Donnę Delfinią. Widząc mnie wprzód w towarzystwie Angielek, nie dowierzała mi zrazu. „Czyś ty przypadkiem nie zdrajca?” pytały jój bystre oczy, przyćmione długimi rzęsami. Takie podejrzenie długo spoczywać nie może nad głową, któraby wołała raczej upaść, jak zniżyć się przed fałszem. Wkrótce, za minut kilka, odgadł to nieomylny instykt kobiecy, uczuł, że jakaś niezwalczona siła pędziła tam umysł, gdzie było już serce. Jednego nie przemówiliśmy słowa ani po francuzku, ani o Tunis, ani o Angielkach. Mówiliśmy o tańcach i piosnkach, o Hiszpanii i o dalekiej ojczyźnie podróżnika, zawianego burzą na brzegi oceanu. Oczy jój otwierały dawne rany, słowa jój były dla nich balsamem.

Przypadek, a może i nie przypadek tak zrządził, że wychodząc z konsulatu pruskiego spotkaliśmy się w jego wrotach z Donną Delfinią. Ojciec jój dawniej już wrócił do domu, tylko pozostały z nią dwie murzynki nieme, ale dobrze wszystko spostrzegające. Kilku kawalerów czekało, może także tylko przypadkiem, i ofiarowało Donnie Delfinii ramię. Nie przyjęła; chciała mieć *un momento de recogimiento*, chwilkę do zebrania myśli. Ja nie dałem się odstraszyć; udaję, że w inną idę stronę, potem puszczam wytężonym cwałem za piękną Hiszpanką, dopędzam ją i pytam:

„Ach! Sennora, zapomniałem się spytać, w jakim kościele składasz Bogu dzięki za tyle łask, któremi cię obdarzył?”

„*Et à quelle heure je rends mes graces, n'est ce pas vrai. Ah, vous êtes excellent, Docteur!*”—odpowiedziała Donna Delfinia przemawiając po pierwszy raz po francuzku.

— Ach! nie wiem czy jestem doskonałym, ale chciałbym nim być istotnie, by stanąć na równi z istotą tak doskonałą.

„*Taisez vous, écoutez!*”—przerywa Donna Delfinia. Przebiegaliśmy szerokie, odludne ulice miasta. Przed wielkim, pięknym domem stał w długim płaszczu jakiś mężczyzna, trzymający gitarę

w ręku. Nie grał na niej jednakże, tylko rozmawiał z damą, na balkonie pierwszego piętra stojącą, i wychylającą się z niego. Widząc nas w pomroku nocnym gwiazdzistego nieba zbliżających się, cofnęła się dama, mężczyzna zagrał kilka ponurych akordów. Mineliśmy dom. Gitara ucichła. Znow się rozpoczęła rozmowa.

— Co to przedstawiają owe nocne stosunki?—pytałem.

— Nic nie przedstawiają, jak serenadę. Dama ta jest córką właściciela domu, bardzo ładną i młodą panienką, a jegomość młodym kawalerem, składającym jój co noc swe hołdy.

— Są zapewne zaręczeni?—zapytałem.

— Nie wiem tego.

— A stosunki podobne czy nie szkodzą sławie młodej panienki?

— Oh wcale nie! Dzieje się to wszystko z wiedzą rodziców. Zresztą proszę pana, co może wyniknąć z stosunków gan-ku pierwszego piętra z brukiem ulicy? Gdyby okna parteru opatrzone były kratami, mogliby rozmawiać swobodniej pod protekcyą żelaza, strzegącego cnotę. Chcesz pan widzieć sławną naszą piękność gadetańską, Donne Inez, rozmawiającą z swym *Novio*? — spyta Donna Delfinia.

— I owszem. Ale co jest *Novio*? czyto narzeczony? czy téż to samo, co *Cavaliere servente* lub *Sigisbeo*?

— A pfe! Don Teodoro! takich atrybucyj *Novio* nie ma jak *Cavaliere servente*, ani téż takich nie używa przywilejów, jak *Sigisbeo*. *Noviovi* świat winien przypisywać chęć zostania narzeczonym: to wszystko! My Hiszpanki lubimy być ubóstwiane, młodzi kawalerowie potrzebują ubóstwiać, i z téj zobopólnej potrzeby wyrodziła się instytucya *Noviów*, bardzo niewinna, i bardzo dla naszego klimatu wygodna. Widzi pan śliczną Inez? Ha! jak rączkę swą białą szybko wścięgnęła zpoza kraty, a on jak piękny, i jak pięknie śpiewa: *un glorioso Novio!* doprawdy! Ale oddałyśmy się, żeby mnie młoda Inez nie poznała; kaprysiłaby jutro ze mną.

— Donno Delfinio! a pani, czy ma swego *Novia*?

— Co pana tak interesuje ta instytucya *Noviów*? Cha, cha! masz może ochotę zostać nim sam, podczas pobytu w Kadyxie. Zobaczymy. Ale otóż i mój dom. Dobranoc, *Muy buenas noches don Teodoro!*

— Pani! racz odpowiedzieć na me pytanie: w którym kościele składasz Bogu dzięki za twą piękność i za twój rozum?

— Ah, jaki natrętny! Jestem na mszy codziennie u Kapucynów o dziewiątej godzinie. Jutro będę z młodą przyjaciółką; możesz nam wychodzącym podać święconą wodę, i potem zaprowadzić nas do owego szpitala, który tak chwaliysz. *Buenas noches Amigo!* Ale Don Teodor! na miłość Boga, nie wracaj trotoarem, tylko środkiem ulicy, i puginału nie wypuszczaj z ręki. We drzwiach jednego z owych niskich domów, gdzie mieszkają Bóg wie jacy ludzie, może czyhać zbrojca, przebieć cię przechodzącego, wciągnąć do domu, obedrzyć, a potem z wałów wrzucić w nurty morza. To się nieraz dzieje z nieostrożnymi cudzoziemcami.

— Dziękuję ci za twą radę, Sennora, za twą troskliwość. Dobranoc *diva, divina!*

— Słuchaj, jeszcze jedno słowo. Kiedy się zobaczysz z pięknymi Angielkami?

— Już nigdy.

— Nie! raz jeszcze musisz je widzieć.

— Dlaczego panią interesują te Angielki?

— *Ah que pregunta insidiosa!* Ah jakie podstępne pytanie! Mego oka nigdy nic nie ujdzie, bądź pewnym. *Hasta a manana por la manana*, do jutra rana. Adjo!

Wiem teraz co mi grozi; mam być narzędziem małej zemsty kobiecój—pomyślałem sobie.—Takięj roli nie lubię wcale, a przeczuwam, że pod tym tylko warunkiem posiadę zaszczyt zostania Noviem młodęj Hiszpanki, zaszczyt wyprawiania jej nocnych serenad, wzdychania przy świetle księżyca, rozmawiania z nią zpoza kraty żelaznej. A gdybym przypadkiem igrając, swawoląc tak niewinnie z uczuciem miłości, naraził się jeszcze jakiemu Caballero, lub téż rozkochał się na dobre? Ah, bah! spodziewam się poprowadzić tak rzeczy, że i serce pozostanie całém, i honor i osoba.

* * *

Kościół Kapucynów w Kadyxie florentyńskiego stylu, słynie ze swęj wspaniałęj facyaty i z obrazów pędzla Estebana Murilla.

Msza odprawiana codziennie przed ołtarzem Matki Boskiej Różańcowej jeszcze nie była wyszła. Miałem czas przypatrzenia się przedziwnym utworom hiszpańskiego Rafaela.

Jeden wystawiał św. Franciszka z Assisu. Na jego niewypowiedzianie pięknęj choć sędziwęj twarzy, malują się wszystkie walki, burzą miotanego życia. Trudno widzieć coś piękniejszego.

Drugi obraz wystawia Niepokalane Poczęcie Najświętszej Maryi Panny, trzeci zaś zaślubienie świętej Katarzyny.

Obraz ten, obok swój wielkiej artystycznej wartości, ma jeszcze inną historyczną cenę. Jest on ostatnim utworem, a zarazem przyczyną śmierci wielkiego malarza, tak potężnie działającego duchem i pędzlem. Murillo bowiem skończywszy ten obraz odstąpił kilka kroków w tył, by raz jeszcze obejrzeć całość swym badawczym wzrokiem. Zapomniał, że rusztowanie było bardzo wązkim i że nie miało poręczy, i padł z wielkiej wysokości tyłem głowy na marmurową posadzkę kościoła.

W sześć miesięcy potem umarł wielki Murillo w Sewilli, w skutek tego nieszczęsnego upadku.

W ogrodzie klasztornym OO. Kapucynów znajduje się grupa drzew palmowych, może najpiękniejsza w całej Andaluzji.

Inną jeszcze osobliwość dotychczas nieocenioną, a dla botaników bardzo powabną odkryłem w tym ogrodzie: drzewo figowe tak zrosłe z swym sąsiadem, drzewem do zupełnie innej rodziny należącym, a *Sanguis Draconis* (smoczą posoką) zwanym, że sok tego drzewa czerwony jak krew, przeszedł w gałęzie, liście nawet i owoce figi. Całe drzewo wygląda jak krzew koralowy. Te styczności nienaturalne figi z smoczem drzewem bardzo bawią poczciwych Kapucynów; nacieszyć się nie mogą swemi purpurowemi figami i dumni są z grzechów wegetacyi, odbywających się w ogrodzie.

Już się schodzą dziewice gadetańskie na mszę przed ołtarz Boga Rodzicy Różańcowej. Żadna ławka nie zastania miejsca w kościołach, podłoga zawsze jest tak czystą, tak białą i polyskującą, jak niezmierne prześcieradło. Na tém śnieżnym tle klękają damy, i potem mówiwszy paciérz, siadają jakoś orientalnie, ale dziwnie pięknie na posadzkę, i w tém położeniu pół leżącym, pół klęczącym, w którym bardzo trudno z gracyą się zachować, pozostają Hiszpanki podczas nabożeństwa. Wznoszą się na kolana jednym pełnym gracyi ruchem podczas ewangelii, potem znów siadają. Obszerna czarna suknia otacza każdą jak aureola; spod niej wyziera część nóżki, ubranéj w płyciuteńki trzewik. Ile tu gracyi rozestłanych na tym marmurze! Jest i Donna Delfinia z swą przyjaciółką, daje mi jednem drobniutkiem ściśnieniem powiek serdeczne powitanie: w kościele nie wita się inaczej.

Nabożeństwo trwało pół godziny. Msza była śpiewana przy odgłosie organów i oboi, najwykwintniejsze palono kadzidła,

mnóstwo zapalono świec, kapłan w najnowsze i najświetniejsze szaty obleczony. Była to msza elegancka w całym znaczeniu tego słowa, mniej uroczysta jak msza w wiejskim kościółku, o świecie, w pomroku porannym.

Wychodzę. Maczam końce mych palców w święconej wodzie i wyciągam rękę ku nadchodzącym przyjaciółkom. One zbierają swemi paluszkami święconą rosę i żegnają się nabożnie.

— Nie wiedziałam, żeś pan tak nabożny, Don Teodoro; nie często widywałam doktorów w kościele—rzecze Donna Delfinia.

— Prawda pani, rzadziej są w kościele, jak przy łożu cierpiącego, ale i to miejsce jest kościołem dla chrześcianina.

— Idziemy obejrzyć nową budowę kościoła katedralnego: chce nam pan towarzyszyć?—zapyta Delfinia wiedząc dobrze, że nie odmówię propozycji.

Wielka to, wspaniała świątynia ta katedra, którą od r. 1722 budują i dziś podobno jeszcze nie skończono zupełnie. W dość mieszanym stawiana stylu, nie przedstawia z zewnątrz harmonii, znamionującej czysto-gotyckie lub bizantyńskie budowle; więcej się trzymało pomysłów Michała Angelo, czyli tak zwanego stylu odrodzenia.

Wnętrze jest regularniejsze, i ma kształt podługowatej rotundy. Przepych marmurów wszędzie czaruje oko. Imponująca kopuła wznosi się wysoko nad wielkim ołtarzem. Główna nawa i poboczne kaplice zawierają kilka wybornych malowideł starzej i nowiej szkoły hiszpańskiej; pomiędzy pierwszymi obraz Maryi Magdaleny, przypisywany Murillovi, przypisywany mówię, gdyż brak szlachetności w postawie, nieprzezroczyść w kolorycie, pozwalają powątpiewać o autentyczności pędzla.

Pod kościołem znajdują się obszerne katakumby, doskonale odpowiadające w swych olbrzymich rozmiarach miejscom nad niemni leżącym, a sklepienia ich tak są sztucznie z ogromnych głazów złożone, że spojeń wcale nie widać.

Kościół ten podziemny służył za przytułek starcom i dzieciom w chwili, kiedy Francuzi w r. 1823 Kadyx bombardowali. Żadnej tu nie ma wilgoci. Pod sklepieniem odpowiadającym wielkiemu ołtarzowi, znajduje się jedyna studnia w Kadyxie. Zawiera ona słodką wodę, choć jej zwierciadło daleko leży głębiej jak powierzchnia morza. Kapituła katedry ciągnie niestetychane dochody z tej studni, którą tutaj ośm wieków temu, jak głoszą dzieje i podania, Maury długoletniem wysileniem pracy i pieniędzy, w twardej

wydrążyli opoce. Woda z tego źródła, potem deszczowa zbierana w cysternach, nakoniec rzeczna przywożona z Puerto de Santa Marya, służy za napój biednym Gadetańczykom, otoczonym ze wsząd falami morskimi.

Idźmy *al hospicio*, do szpitala. Jestto dom przytułku dla 700 chorych, 500 sierot, 400 starców, i dla obłąkanych całej prowincyi. Leży w zachodniej części miasta, i zdumiewa nie tylko kolosalnością swęj budowy, ale porządkiem i czystością wszędzie panującą. Wszędzie dochodzi światło i powietrze, a nigdzie wilgoć. Wszystkie posadzki wyłożone marmurem, fontanny biją ciągle nie tylko w dziedzińcach, lecz i w salach, i odświeżają atmosferę.

Sieroty czyściuteńko poubierane nie mrą na wyścigi, jak w największej liczbie podobnych zakładów, lecz się wychowują zdrowe, piękne i szczęśliwe. Wiemy już, że ludzkość hiszpańska stara się wynagrodzić dzieciom naturalnym krzywdę, wyrządzoną im przez urodzenie, i czyni to w sposób czuły, ujmujący. *Las amarias* (mameczarnie), *las ninnarias* (niańczarnie) i inne instytucye, jakoto: szkoły, sale pracy, infirmarye dla każdego rodzaju chorób, nawet ortopedyczna sala: oto zakłady wchodzące w skład części szpitala, przeznaczonego dla dzieci.

Inny jeszcze przytułek, może jedyny w swoim rodzaju, świadczący tak wymownie, tak silnie za dobrocią serca owego narodu hiszpańskiego, tak źle pojętego, tak niedokładnie opisanego przez cudzoziemców; inny jeszcze przytułek stanowiący część szpitala, zasługuje na serdeczne podziwienie, na całe współczucie zwiedzającego cudzoziemca. Przytułek ten chwalony przezemnie w wyrazach pełnych zapału na tertulii w domu Don Ludolfa Uthof, wzniecił w Donnie Delfinii chęć zwiedzenia go.

W jednej części szpitala, zupełnie odosobnionej od głównego gmachu, znajdowała się na tęg szczupłej wysepce, za ledwie wystarczającęj na pomieszczenie 70,000 mieszkańców, mała osada, raczég wioska, takjest wioska, zamieszkała przez stadła, których mąż przeżył rok *siedmdziesiąty*, których żona przeżyła rok *sześdziesiąty*. Każde stadło miało osobny domek, wielki wspólny dziedziniec, i sierotę jedną, wybraną z najgorliwszych, najczynniejszych, a zatém najreligijniejszych dusz *domu podrzutków*, do usługi.

W tęg wiosce panowała miła, rozrzewniająca spokojność. Kwiat młodości i łupina sędziwég starości mieszkały tu razem, i nawzajem pogadzały się ze smutną koniecznością życia, nawza-

jem doskonaliły się w obliczu obrazu szczęśnej chrześcijańskiej śmierci. Extra-legalna młodość służy tu za podporę legalnej starości: jedna uczy się cierpliwości, druga, choć w sędziwym wieku, jeszcze się uczy—pobłażania.

Chodziliśmy od domku do domku: było ich z piętnaście, i wszędzie wypytywaliśmy się czy zdrowy Filemon, czy szczęśliwa Baucis. Filemon stary rzęda, czasem się skarżył, że mu mało tabaki dają do zażywania; Baucis stara gderaczka, żaliła się tu i owdzie na zbytnią wesołość, na roztrzepanie młodej wychowawicy.

— Jeśli chcecie, mogę wyrobić, że wam inną dadzą; jestem bowiem znany dyrektorowi zakładu, więc mi nie odmówi.

— Ach broń Boże, Sennor Caballero! ach broń Boże! ach to najlepsze dziecko w świecie. Od roku z nami pozostaje; kochamy ją jak nasze dziecko, więcej jak to, jak naszą wnuczkę!

I nuż płakać rzewnie, i nuż chwalić, przechwalać wnuczkę.

Wystawcie sobie, moje panie, nikt tu nie wie, kto pierwszy podał myśl tego zakładu, który dopiero od roku istnieje, kto wyłożył kapitał na zakupienie tego drogiego gruntu, na uposażenie tych dobrych ludzi. Nikt nie wie ani w mieście, ani w państwie, czyj duch chrześcijański unosi się nad tą siedzibą szczęścia i pokoju. O! jak zazdroszczę temu pięknemu sercu, jak radbym wiedzieć, czy to człowiek szczęśliwy, czy nieszczęśliwy, który padł na tę zbawienną myśl kształcenia serca młodzieży w widoku cierpień zgrzybiałości!

Nic mi nie odpowiedziano na moje pytanie, tylko drgnęły usta Donny Delfinii, twarz jej zbladła, a ramię jej lekko zadrżało w mojem.

— Odprowadź nas pan do domu—rzekła stłumionym głosem.

Spoczęliśmy na *patio*, to jest na dziedzińcu domu Donny Delfinii, zewsząd otoczonym gankami, na marmurowych filarach dzwiganami. W środku niego fontanna alabastrowa, wytryskująca wodę zbieraną w cysternach, na dachu umieszczonych. Gęste szeregi kwiatów i krzewów, na stopniach naokoło umieszczonych, rozsyłały woń, więzioną w atmosferze przegrodzonej niebieskim namiotem od upałów słońca. Wygodne dywany adamaszkiem wybite, stały naokoło fontanny.

Spoczęliśmy na tych dywanach. Przyniesiono lody, cygaretki i gitarę, ale nikt na niej nie grał. Gospodyni domu w uroczystym była humorze: mało mówiła, zdawała się zasypiać na swym

dywanie; przyjaciółka jój toż samo. Chciałem sobie pójść, lecz mię zatrzymano.

— Oczekuję mego brata, jedyne go krewnego, jakiego mam na tój ziemi prócz mego ojca; radabym poznać go z panem, zostań pan chwilkę, proszę!

Zostałem.

Wkrótce potém wchodzi jakiś ksiądz wysoki, blady, z czarnym włosem, w dość zaniedbanój sutannie i wielkim płaszczu, ale z uczuciową, sympatyczną twarzą.

— To mój brat, a to doktor cudzoziemiec, którego wczoraj poznałam w konsulacie pruskim—rzekła Donna Delfinia wstając i całując rękę duchownego.

Duchowny skłonił się lekko, zapalił cygaretko i usiadł. Długo się wpatrywał we mnie i okiem rzucił na damy.

— Coś panie jak porażone?—rzekł nareszcie.

— To wina doktora—odpowiedziała z żywością przyjaciółka Donny Delfinii. Wystaw sobie Don Gerundio, doktor nas zaprowadził, zgadnij gdzie?—do szpitala; i tam z widoku sierot i starców tyleśmy się rozrzewniły, żeśmy cały nasz humor postradały, i teraz leżymy tu na dywanach jak marmurowe grobowce.

— Nie łaj za to doktora, Inesillo; bądź mu raczej wdzięczną. Ja sama prosiłam go o to; a potém on cudzoziemiec, a tak wynosił ludzkość naszego narodu: czyż nam się godzi łajać go za tę chwilę rozrzewnienia, tak rzadką w naszym życiu?—odparła żywo Donna Delfinia.

— Pewno, że nie—rzekł Don Gerundio—bądźcie mu owszem za to wdzięczne. Nic się więcej nie podoba Bogu, jak kiedy z natury wesoly umysł, rozpamiętywa nad rzewnemi wrażeniami, które otrzymał. Chwile takie są płodne w dobre postanowienia, a dobre postanowienia rodzą dobre uczynki.

Słowa te wyrzeczone skromnie i bez przesady, sprawiły przecież widoczne wrażenie na Donnie Delfinii. Opowiedziała bratu żywo i nie zapominając żadnego napozór drobnostkowego szczegółu, wrażenia ubiegłego poranku; nie zapomniała żadnego z moich słów, żadnej nawet ich intonacji, ani tóż odpowiedzi ze strony ludzi, z którymi rozmawialiśmy. Jakiś niezwykły zapal ożywił jój opowiadanie.

I ksiądz także słuchał jój mowy z napiętą uwagą; szczerze go widać zajmowały uczucia i zdania swój siostry. Nie spodzie-

wałem się znaleźć tyle dowodów udziału w tej zimnej i ascetycznej twarzy.

— Istotnie panie doktorze, podobnego domu przytułku dla starców nie widziałeś nigdzie?—spyta mi się Don Gerundio.

— Nigdzie, doprawdy, ani nawet w Anglii, gdzie przecież ludzkość arystokracji wymyśliła już stajnię przytułku dla czworo- nożnych inwalidów, którzy w gonitwach stargali swe siły—odpowiedziałem.

— Anglicy wiedzą, że o końskim domu przytułku więcej będą prawić gazety, jak o naszej gadetańskiej wiosce, mieszczącej kilkanaście sędziwych stadł, które nie miały potomstwa, lub też je przeżyły. We wszystkich swych instytucjach, Anglia dba więcej o sławę, jak o ludzkość.

Rozmawialiśmy jeszcze czas niejaki bardzo poważnie i mądrze; ale nareszcie krew południowa wzięła górę, i wyrwała nas z uroczystej smętności. Posiedzenie zakończyło się bollerami i segedillą, tojest tańcem i śpiewem na dziedzińcu hotelu Redondo.

Często widywałem Donnę Delfinią podczas mego pobytu w Kadyxie, i powolój, powolój dowiedziałem się całej prawdy.

Kto była Donna Delfinia?

Żoną Sidi Ahmeda, beja tunetańskiego, wyznającego potajemnie wiarę chrześcijańską, nawróconego do chrystyanizmu słowami Don Gerundia, a może jeszcze więcej wdziękami Donny Delfinii.

Tak jest, piękna Hiszpanka była i jest jedyną żoną tego mu- zulmańskiego monarchy, który zniósł w swym kraju nieludzkie, hańbiące niewolnictwo.

Donna Delfinia była już od lat czterech potajemnie zaślubioną bejowi, gdy go względy polityczne zmusiły do zwiedzenia Francji. Hiszpanka korzystając z nieobecności męża przybyła z ojcem swym i bratem do Kadyxu, do swego rodzinnego miasta, i tutaj, chcąc zostawić wieczny ślad swego pobytu, wpadła na piękną, na szczęśliwą myśl założenia w największym sekrecie przytułku dla starców żonatych, a niemających dzieci.

I ona także bezdzietną była, co ją niemało martwiło. Kochała bowiem swego męża z całym zapalem Hiszpanki, i mniemała, że potomstwo będzie tém większą rękojmią stałej wzajemności. Lecz pod tym względem, jak i pod wieloma innymi, Ahmed-Bej mało jest podobnym do innych monarchów muzulmańskich.

Żadnego nigdy nie miał dziecka, nawet wprzód, gdy nie znając jeszcze Hiszpanki i korzystając z praw Mahometa, trzymał sobie kilkaset żon różnego koloru.

Padiszah ottomański doszedłszy zaledwie do lat dwudziestu, już więcej miał dzieci, niżeli wiosen życia.

Nieraz rozmawialiśmy z piękną Gadetanką i jej bratem o Jego Wysokości beju tunetańskim. Monarcha ten objął rządy regencyi Tunis po swym ojcu w r. 1837. Matka jego jest chrześciana z Genui, zabrana do niewoli tunetańskiej w Tabarca, razem z całą osadą genueńską, żyjącą na téj wysepce. Zmieniwszy wiarę, wprawdzie tylko napozór, Genuenka została żoną beja Mustafy, i umiała synowi swemu Ahmedowi wpoić te szlachetne uczucia, które go tak świetnie dały poznać ludzkości. „Już i Mustafa tyle miał poszanowania dla godności kobiecój”, mówiła mi raz pewnego Donna Delfinia „że na bramie prowadzącej do haremu, następujący kazał wyryć wiérsz z Alkoranu:

„Nigdy hańbiącą karą nie karz kobiety, nawet gdy ci sto razy dokuczy.”

— A jak dokuczy raz a dobrze, tak jak to kobiety czasem umieją, jakże je wtenczas z Alkoran radzi karać?—spytałem.

— Śmiercią: karą, która hańby na życiu zostawić nie może—odpowié pani bejowa.

— To doprawdy grzecznie, bardzo delikatnie, ani słowa; ale djable surowo, moja pani. Możeby kobiety wolały zrobić tak, jak żołnierze angielscy, i prosić najpokorniej o łaskawe przywrócenie chłosty. Kara śmierci nie byłaby wówczas tak częstą.

— A pfe, Don Teodoro! Cóż warta kobieta, która otrzymała chłostę lub jakakolwiek bądź karę hańbiącą? Czy w niej pozostać może choć jedno uczucie szlachetne?—rzekła z oburzeniem Hiszpanka.

— Różnie o tém różni mówią. Honor człowieka nie może być ofiarą potworu, który ma władzę, choć nie prawo, karania go. A potém, gdyby wszyscy niesprawiedliwie cierpiący, i niezasłużonym bólem karani, mieli być odarci z uczuć honorowych, moja pani, wówczas cierpiącym dostałoby go się najmniej. Ale wróćmy do kwestyi pierwotnej, do obowiązków, praw i przywilejów małżeńskich. Wié pani, co prawo celtyckie jeszcze za Ludwika XVI we *Francyi* za podstawę jurysdykcyi używane, głosi? Oto, że:

Le mari peut battre sa femme, mais pas l'assommer.

— Oto prawo łagodne, ale hańbiące, i wydało potemu płony!—krzyknęła Donna Delfinia—wolę być sądzoną według Alkoranu, wolę raz umierać, jak być ciągle ofiarą brutalstwa.

Inną razą zgadało się o samém mieście Tunis, o jego zabawach, o życiu towarzyskiém.

— Pan istotnie myślisz, że żyjemy jak w pustyni, odosobnieni od świata i od cywilizacji? Niech się pan nie myli. Wszystkie mamy pisma peryodyczne francuzkie, angielskie, włoskie i hiszpańskie. Towarzystwo dramatyczne marsylijskie i opera neapolitańska odwiedzają nas rok rocznie. Ja zajmuję pałac osobny i pyszny ogród w samym obrębie książęcego zamku, zwanego Bardo. Wyjeżdżam na spacer albo w lektyce na wielbłądzie, albo konno, przebrana w najświetniejsze suknie za Turka. Zresztą tańczymy i obiadujemy, gramy w karty i polujemy, tak jak niegdyś księżniczki w Europie. Towarzystwa nam nie braknie. Matka mego męża jest osobą silnego charakteru, mądrą i wysoko wykształconą. General wojska naszego, Kasnadar Sidi Mustafa, Grek rodem, ma trzy młode i piękne siostry. Najstarsza już nie żyje; była ona przedemną żoną mego męża. Kawaler Ruffo chrześcianin, Włoch rodem, pułkownik inżynieryi i defterdar mego męża, ma przy sobie swą siostrę i córkę: dwie prześliczne panny, wychowane w Sacré Coeur w Paryżu. Wiele także jest oficerów francuzkich w służbie beja, wielu osiadło w mieście konsulów i kupców europejskich z rodzinami.

— Bawimy się jak najdoskonalój. Robimy częste wycieczki w czarujące okolice miasta, do kaplicy katolickiej, wystawionój na cześć świętego Ludwika na miejscu, na którém umarł; czasem idziemy płakać na ruinach Kartaginy, czasem spieszymy na fajerwerki do obozu beja, stryja mego męża, starca pełnego dobroci; polujemy na flamingi po błoniach, a w górach na lwy i na tygrysy. W naszym książęcym pałacu w Bardo mamy kaplicę katolicką; już nawet wieżę śmieliśmy nad nią wynieść. Do 40 księży mahometańskich potajemnie nawróciło się do katolicyzmu. Idzie o przekonanie całego narodu. Bóg nam dopomoże, byleby mąż mój pożył długo i przyjaźń Francyi potrwała.

IV.

Znakomitsze siedziby Maurów w Hiszpanii.

Puśćmy się lotem ptaka nad ten piękny ogród hesperyjski, który potem przezwano Hiszpanią, roztoczmy nasze skrzydła, tam wysoko nad obłokami; biegu naszego hamować nie będą ani skały, ani przepaści, ani huczące strumienie, ani téż owe zuchwałé góry, które wierzchołkami swemi sięgają nieba. Tylko jeden cel mamy tu przed oczyma, cel święty i dla nas pełen uroku: wysłedzić w *tém* co jest, śladów potęgi i upadku *tego, co było*. Umysł ludzki niechętnie pogadza się z myślą znikomości rzeczy ludzkich. Do wieczności powołany, nadzieję wieczności pielęgnując w sobie od kolebki aż do grobu, człowiek chciałby w życiu i w pracy najodleglejszych swych pradziadów znaleźć żywą pamiątkę, i żywą rękojmią przyszłych myśli, działań i rzeczy. A człowiek, który i w pocie swego czoła obsiewa łany, wyrwane niesłychaną pracą z własnego serca i z własnego mózgu; człowiek, który nic więcej nie posiada jak to, co w sobie samym niewypowiedzianym mozolem stworzył, którego pędzi wiara i nadzieja tak przemagającą siłą ku przyszłości, że w mimowolnym biegu zapomina wszelkiej oględności na terażniejszość:—człowiek taki czyż może znieść straszną ideę *znikomości*, czyż może choć jedną tylko chwilę istnieć bez odwoływania się do przeszłości po zasoby wieczności?

Wszystko tu w Hiszpanii przyciąga jeszcze oko młodzieńca, wszystko czaruje smętny, ale czujny umysł filozofa. Wielkie katastrofy historyczne nie przeminęły tu bez zostawienia głębokich i niezatartych śladów na powierzchni ziemi i w gruncie charakteru narodów.

Ogromem swym zastanawiające stopy głazów, wzniesione jak gdyby ręką Tytana, siłą, sztuką dotychczas nieodgadniętą, świadczą, że i Druid w ciemnym swym chaotycznym umyśle, jasno i potężnie przejrzał potrzeby przyszłości, potrzebę życia wiecznego. Mówią, że on się do swych bożyszczów modlił na tych ołtarzach; nie! on naszego Boga błagał tutaj swemi niezmiernemi głazami, tym surowym, kamiennym językiem błagał o przyszłość, o życie wieczne. Po cóżby bowiem znosił te ogromne kamienie ten naród, który, zdawałoby się, wszystkie swe siły potrzebował na po-

konanie dzikich zwierząt, pierwotnych naszej ziemi mieszkańców? Idea wieczności, owa rzewna, święta tęsknota za nieustającym życiem, pojęcie religijne wrodzone, tlało już w tych surowych dzieciach puszczy, i czynem się objawiało niesłychanej potęgi.

I stoją od wieków może czterdziestu jako pierwsze świadki ruchu umysłowo-popotopowego owe niezmierne ołtarze Druidów, i urągają się z burzy, z nawałnic i z trzęsienia ziemi. Stoją, jak meteory z nieba spadłe i w kamień skrzepte; a gdy zabrzmi trąba archaniola i wezwie nas z łona ziemi do zmartwychwstania, gdy my już nie znajdziemy może ani śladu naszych filigranowych utworów, Druid wówczas ujrzy w całości pracę swoją, i zostanie sownie wynagrodzonym za swą wielką tęsknotę do wieczności.

Ale tu, obok ołtarzy Druidów, wznoszą się na fenicyjskiego przemysłu, na kartagińskiego męztwa szczątkach, zabytki dumy rzymskiej, chrześcian pierwsze świątynie, Maurów uroczę grody w całej swój pierwotnej kształtności, świetne gotyckie przybytki, nowożytnie budowle pełne piękności, i świadczą o nieprzebranych skarbach kraju, o duchu przedsiębiorczym narodu, który umiał tyle razy powstać z gruzów i zadziwić świat cały żywotnością swój istności.

Szcześliwa Hiszpania! ona nie potrzebuje dziejopisarzy. ona ich się lękać nie powinna. Sama sobie pisała swe dzieje granitem, marmurem i spizem, dzieje niczém niezatarte, ani się ukryć, ani sfalszować niedające. Tu w Hiszpanii jeden wiek ustąpić nie chciał drugiemu bez zostawienia na ziemi godnego sobie pomnika, świadka i obrońcy prawdy.

Puściliśmy się z Kadyxu w naszą nadpowietrzną podróż w głąb Andaluzji, na drugą stronę zatoki, tworzącej przystań Kadyxu. Gdziekolwiek rzucim okiem, wszędzie widzimy kraj jak najładniej uprawny. Na rozległym błoni, obficie wodą odwilżonem, spostrzegamy stada koni, do 800 sztuk liczące. Wyborne, sławne na świat cały winnice pokrywają pagórki. Tu znów lasy oliwne, tam łąny pola, z których już zebrano pszenicę, i jeszcze będą zbierać inne zboże przed końcem lata, i na których wyrosnie jeszcze koniczyna przed zimą.

Wiele miast dość znacznych leży tu w małej od siebie odległości: Puerta de Santa Maria, San Lucar de Borromeda, Rota Xerez. Wszystkie te miejsca do miast maurytańskich bardzo

podobne: te same białe domy, też same w nich rozporządzenia; takie dziedzińce i ogrody, jak w Tangerze, Tetuan i Larrasz.

Tu na tych błoniach Xeresu półksiężyc tryumfował nad Roderikiem, nieszczęsnym wodzem Gotów (w r. 711), i ztąd rozniósł swe panowanie na całą Hiszpanią. Tylko w górach Galicyi, Asturyi i Kantabryi oparł się krzyż półksiężycowi i pozostał niezwalczonym.

Przedsiębiorczy Maur sam sobie wszystko chciał być winien, i w dumie swęj niewiele uszanował śladów cywilizacyi Gotów; własną zaś pragnął zaszcześcić na gruzach lub na gołym polu. Ale prawda, gdzie przedtém stały chaty i lepianki, tam stanęły murowane domy; gdzie były niekształtne surowe zamki Gotów, tam się wzniosły pałace, przewyższające w piękności wszystkie marzenia ludzkie; gdzie było żelazo, tam umieszczono złoto. I to właśnie zgubiło tych dumnych, w przepychu zniewieściałych Maurów. W siedmset ośmdziesiąt lat legł na górach Grenady złoty półksiężyc pod ciosami żelaznego krzyża; lecz ślady jego pobytu pozostały niezatarte pomimo wszystkich prześladowań, wymierzanych przeciw synom Islamizmu. Wpływ wywarty przez Maurów na Andaluzją objawia się w obyczajach, w stroju, nawet w języku terażniejszych jęj mieszkańców. Niejedną zagadkę ich charakteru odgadnąć można z pokrewieństwa Hiszpanii z Wschodem. Język obrazowy Wschodu, jego zamiłowanie w rzeczach cudownych, jego powieści, słowa i zwroty przeszły w zwyczaj Andaluza; sposób nawet wymawiania narzecza andaluzkiego świadczy o długotrwałym wpływie Arabów; naprzykład mocna intonacya głosów gardłowych i syczących.

Miasto Xeres leży wysoko na wyniesionej, cokolwiek pochyło ściętej opoce. Na lewo piętrzy się ogromny taras, który mieszkańcom służy za miejsce przechadzki. Bramy i obwodną murę ustąpiły domom, w miarę, jak się ludność miasta powiększyła; dziś dochodzi do 40,000, i wzmaga się ciągle w dostatki ta ludność; wszakże to stolica wybornych win i sławnych rumaków.

Z wysokości obłoków nie spadajmy do głębokości piwnic, ale namówmy naszego Pegaza do fraternizowania ze swemi nieskrzydlatemi braćmi, którzy tutaj tak wesoło, tak swobodnie na polu płasają. Sióstr tu nie masz wprawdzie; zwyczajem maurytańskim trzymają tutaj pleć piękną czworonożną pod szczególném i bardzo staranném zamknięciem; mężką zaś utrzymują w zupełnej niewiadomości, że coś podobnego, jak klacz lub kobyła, istnieje-

je. Mówią, że takie wychowanie przykłada się wiele do utrzymania rasy w pełnej swój szlachetności.

Stadnina, z którą fraternizujemy w tej chwili, liczna i czysto-andaluzka, miała wprzódę zaszczyt należeć do Ojców Kamedułów, posiadających ów niezmierny klasztor tuż pod Xerese. Nieubłagany edykt Mendizabala pozbawił pocziwych ojców przytulku, wraz z niewinną przyjemnością trudnienia się rozmnażaniem rasy końskiej. Stadninę kupił z dobrami jeden hidalgo, w spółce z kilkoma majętными wieśniakami.

Konie czystej andaluzkiej rasy mają prawie bez wyjątku dwa ważne błędy piękności: to jest głowę wielką, rysów cokolwiek pospolitych, i krzyż cokolwiek wązki, zniżający się pochyło, nieco *świński* jak to mówią. Zdawałoby się, że konie te słabe są w zadzie, a jednakże to się nie sprawdza, bo i nadzwyczajnie dobrze skaczą, i do dziesięciu mil geograficznych pod jeźdźcem ubiedz są w stanie bez schwacenia się, lub też zbytniego znużenia. Inny błąd, według mnie także bardzo ważny, leży w ustroju tylnych nóg zanadto wygiętych, a zatem zadaleko prześcigających przednie nogi. Krok takich koni jest długi, posuwisty, ale w wypuszczonym klusie tylne kopyta zacinają się o przednie. W galopie niedogodność ta wcale się nie spostrzega, dlatego też Andaluź rzadko używa klusa.

Konie andaluzkie nie tak prędko dorastają i dojrzewają, jak, stosunkowo mówiąc, ludzie tego kraju. Dopiero w siódmym roku przychodzą do swój właściwej siły; lecz za to nieprędko z pola schodzą. Konie wierzchowe dwadzieścia lat mające jeszcze są szybkie, giętkie i wytrzymałe. Późne rozwijanie się koni andaluzkich, pochodzi zapewne także ze sposobu wychowywania ich w znanój nam niewiadomości. Do czwartego roku tak są dzikie, chude i kudłate, że pojąć nie można, żeby z takiego stworzenia wyrobił się koń silny i piękny.

Don Diego Gonzales de Ribeira pokazał mi pysznego bułanego ogiera, u którego, prócz łba cokolwiek wielkiego, nie było nic a nic do zganienia; krzyż bowiem miał piękny i nogi nie zanadto wygięte. Rosły, silny w kościach, z grzywą i z ogonem koloru jedwabiu surowego, a włosy tak bogate, że aż na ziemię spływał, koń ten miał dumny, wysoki chód, a w galopie tak orał ziemię, jak gdyby ją chciał w kawały rozbić. Właściciel żądał za niego 12,000 złp. Piękne i wielkie konie zawsze są w Hiszpanii i drogie i rzadkie. Za konia jako tako zdatnego pod oficera kawa-

leryi lekkiój, zapłacić trzeba przynajmniej 1400 zlp. Dodam tu jeszcze, że Hiszpanie nigdy klaczy pod wierzch nie używają, ani też nigdy ogierów nie wałaszą. Zdaje się, że cała siła konia andaluzkiego spoczywa w jego męskości; gdy ją raz postrada, przepadł do wszystkiego.

Pewny jestem, że nasza polska rasa koni, tak ładna i silna, w rękach umiejętnych i dbałych o jej sławę gospodarzy, wyższéby mogła dostąpić doskonałości, jak rasa andaluzka. Ale wlec za sobą źrebięta, za ledwie kilka tygodni żyjące, na wszystkie jarmarki i imieniny, zaprzęgać je do koczów w konkury, gdy za ledwie trzech lat dojdą, jestto barbarzyństwo, prowadzące najoczywiściej do spodlenia całego plemienia koni.

W sztuce ujeżdżania koni Hiszpan bardzo jeszcze nisko stoi. Siedzi on wprawdzie mocno na koniu, z urodzenia bowiem śmiałym jest jeźdźcem; ale nie potrafi obejść się umiejętnie z koniem, nadać mu dobre chody, wygiąć go należycie w wstawach. Konie andaluzkie daleko są łagodniejsze i rozumniejsze jak nasze; uporu nie mają żadnego, niełatwo je znarowić, i łatwą bardzo pracą możnaby z nich wszystko zrobić, możnaby ich wszystkich sztuk nauczyć. Pomimo tego Hiszpan kładzie swemu koniowi munsztuk tak mocny, żeby nim hippopotama ujeździł, przytém wędzidło do ściskania języka opatrzone jest sztangami, na dziewięć cali długimi. Takim munsztukiem można wywierać nieograniczoną siłę na biédne zwierzę, można go odrazu osadzić na zadzie. Hiszpan namiętnie lubi używać takich rycersko-zakoskich efektów, drzeć galopem po bruku, raptem, krótko parować konia w najbystrzejszym biegu.

Eleganci madryccy zaprowadzili gonitwy konne na sposób angielskich; koń hiszpański jednakże nie celuje wcale szybkością biegu, i w tym względzie o tyle jest niższym od naszego, ile nasz od angielskiego.

Dość tutaj o koniach, wróćmy znów nad obłoki. Pośpny Maurze przebacz..... *s'adorno in parte, d'attri diletti che de tuoi le carte*: przebacz, jeśli w części innemi przystrajam wdziękami, jak twemi, te strony; ale i koń andaluzki jest pamiątką, którąś pozostawił w Hiszpanii; wszakżeż to potomek téj saméj rasy, którąś z Numidy z sobą sprowadził, i na tych koniach dowiedli w niejednej potyczce ułani, że istnieją jeszcze potomkowie zwycięzców z Samo-Sierry.

Co to za chaos zwalonych murów pod nami? co to za wieże i bastiony, wznoszące się pośród drzew i krzaków? — to ruiny potężnego grodu Rzymian, to zamek maurytański: to Medyna Sionia, starodawne Asindo Rzymian. Tu w tym zamku Al-Tanazor więził piękną Temirę księżniczkę Asturyi: i gdy groźby i katusze nie wymogły na niej miłości, tu ksiązę Maurów otrzymał z ręki swój niewolnicy chrzest Zbawiciela. Z tych murów uciekli oboje do Oviedo: ona, by się zamknąć na wieki w klasztorze, on, by umrzeć z miłości po długich cierpieniach. Stara ballada maurytańska ostrzega:

Chcesz-li wiedzieć co chrześciana?

O! spytaj cieniów błędnych Tanazora,

Serce jój zimne nie bije dla Moslema,

Choćby jój tron, wiarę i życie poświęcił.

O zabij ją, nim się w nią wpatrzysz,

Zabij, przepadłeś na wieki, gdy chwilę przeczekasz;

Mata! mata! *desdichado!*

Zabij, zabij nieszczęśny!

Czyż można znaleźć w jakimkolwiek bądź języku piękniejszy hymn na pochwałę kobiety, pojmującej swą godność?

I Pegaz mój ożywiony tą atmosferą, wieczną poezją palającą, wzbil się wysoko, wysoko pod niebo: tam, gdzie mnie myśl i wdzięczność potęgą całej mój tęsknoty ciągnęła; tam, gdzie jest wieczne źródło piękna, zdobiącego swym blaskiem naszą ziemię. Mało też już zobaczyć mogłem z téj ziemi, tylko jakieś szmaragdowe kryształy i sznurek dyamentów przelewający się węzłem po nich. Byłyto zapewne błonia Andaluzyi i srebrne wody Guadalquiviru. Długo bujałem w nadpowietrznych strefach, nareszcie wyrwał mnie z zachwycenia tłum odgłosów i harmonii, wznoszący się z głębi ku niebu.

Rozeznają huk dział i dzwonów uroczysty odgłos; rozeznają harmonią licznój orkiestry i śpiew religijny wielu tysięcy wierznych. Zbliżam się znów ku téj ziemi, dzielącój tak rzewnie me uczucia; spostrzegam wysokie wieże, wielki gotycki kościół, wiele innych wież i kościołów, zamków i pałaców; ulice napelnione ludźmi w świetne szaty przybranemi, niezliczone mnóstwo światel, chorągwi, proporców, wojska i kapłanów. Ha! to Sewilla! kwiat ziemi, *la flor del mundo*, jak ją Hiszpan nazywa, to processya Bózego Ciała.

— Zatrzymajmy się tutaj, tu tak dobrze i pięknie — mówię do Pegaza.

— Chętnie — odpowiedział Pegaz — i ja jestem zmęczony, radbym odpocząć.

— Jakto? Pegaz się męczy? — zapytałem zdziwiony.

— A to dobre — odpowie z oburzeniem Pegaz. I Homer czasem zasypia, niesie stare greckie przysłowie. Muzy czasem mleka dać nie chcą, jak to wiedzą niektórzy poeci, a ja nie miałbym się męczyć? Wszystko się z czasem męczy, nawet panna w tańcu.

— Oho bratku! nie byłeś widać dawno w W.....wie?

— Istotnie, nie byłem od lat kilkunastu.

— A czemu nie byłeś?

Pegaz stulił swe skrzydła pod czaprak... i zaniósł mnie piechotą *a la fonda de las diligencias*.

Ciągle jeszcze brzmiało tysiące dzwonów w stu kościołach Sewilli, ciągle jeszcze powietrze drżało odgłosem ogromnych dział z murów Alcazaru, to jest pałacu królów maurytańskich, ciągle jeszcze wzmagała się siła harmonii religijnej w instrumentach muzycznych i piersiach ludzkich. Wielkie bramy jednej z najwspanialszych bazylik świata stały otworem, z nich jeszcze wyrusza processya na ulicę, wysłaną kwiatami i zasłoniętą od promieni słońca niezmiernymi kurtynami z jedwabnej materyi, rozciągniętymi od dachu do dachu.

Sta chorągwi bujają w powietrzu, wiele tysięcy pali się gromnic, legia seminarystów w białych haftowanych komzach śle ku niebu na znak dany wonie z pięciuset trybularzy. Dzieci napół nagie z skrzydłami z gazy srebrnej, z przyprawionemi i aż na pięty spadającemi włosami, przedstawiają chóry aniołków. Za nimi postępują heroldowie w złocistych szatach, a dalej jeszcze jawią się kolosalne figury, okryte kosztownymi ubiorami i przedstawiające historią męki Pańskiej.

Ołtarzy nie budują w Hiszpanii na Boże Ciało takich, jak u nas, tylko wysoki, do trzeciego piętra sięgający, najpyszniejszymi rzezbami ozdobiony, srebrny, bogato wyłaczany, drogiemi kamieniami połyskujący ołtarz, toczy się na przykrytych kołach, popychany niewidzialną ręką. Szesnastu ludzi porusza ten gmach, miliony kosztujący, z wewnątrz.

Za ołtarzem liczny orszak księży, w ciężkich od złota i kamieni ornatach. *Sanctissimum* niósł sam arcybiskup pod baldachinem, dźwiganym przez gubernatorów, generałów, admirałów. Szpalery tworzyli gwardziści narodowi przybrani w paradne mundury, naczupurzeni piórami. Kilka orkiestr wojskowych pieszych

i konnych gra marsze wojskowe, tyleż chorów śpiewaków śpiewało hymny religijne, przerywane od czasu do czasu wrzaskliwym i umyślnie fałszywym odgłosem trąb jerychońskich, w które dęło najnielitościwiej ze trzydziestu jakichsiś atletycznych jegomości, przybranych w habity czarne, brunatne i białe, habity podobne do dominów, i w wysokie, śpiczaste kapelusze kształtu trąbki od cukru. Za temi muzykantami uszy rozrywającemi, postępowały trzy *hermandades de penitencia*, trzy bractwa skruchy, przybrane w także suknie białe, brunatne lub czarne, z twarzami zasłoniętymi workami podobnegoż koloru.

Dawniej byłoby za temi *hermandades de penitencia* postępowało ze trzy tysiące zakonników, przybranych w habity różnokolorowe, i wydobywających z potężnych piersi tony godne Lablasza i Tamburinię. Ale nieubłagany edykt Mendizabala wszystko to zmienił. Dziś idzie tu tylko ze trzy tysiące żołnierzy z kaszkietami w ręce lewój, z gromnicami w prawój, żołnierzy broniących kraj swój w imieniu Boga.

Liczny orszak panien w bieli, mężatek w niebieskich sukniach, wdów zaś w czarnych, ciągnął w długim szeregu. Panny niosły i rozrzucaly kwiaty, mężatki niosły palące się świece, wdowy zaś niosły różańce.

Teraz znów idą cechy z chorągwiami, szkoły i fakultety w długich togach, poprzedzone pedelami, buławy dźwigającemi.

I znów orszak jakiś komedyantów i komedyantek przedstawiający Rzymian w hełmach i z mieczami, żydów szachrujących wszystkiemi rzeczami, Faryzeuszów z książkami do modlitwy, Indyan i Maurów, Gotów i Ostro-Gotów. Pontus Pilatus wystąpił w własnej osobie; był tam i Herod i Barabasz, ś. Piotr i Marya Magdalena, był i nasz Odkupiciel krzyż dźwigający, i jego Matka łzy roniąca.

I znów orkiestry i żołnierze pod bronią, lecz bez gromnic, i tysiące, tysiące ludzi: i tacy, co zbierali jałmużnę wołając: *para decir missas y hacer bien a las almas que suffren en el purgatorio* (dla zakupienia mszy na zbawienie dusz pozostających w czyseu), i koszami przytwierdzonemi do długich żerdzi, sięgali po jałmużnę do pierwszego, drugiego i do trzeciego piętka.

Spadały w te kosze hojne jałmużny.

Każdy raz, kiedy *Sanctissimum* na ołtarzu spoczęło, *los seises*, to jest sześcioro za aniołów przepysznie przebranych dzieci, tańczyło około ołtarza, śpiewając i bijąc w kastaniety.

Tak w Hiszpanii chwałą Boga! I temi środkami do zmysłów zmierzającemi, wszystkie zmysły w najskrytszych tajnikach przenikającemi, ale w przelocie i zmysłowość trafiającemi, temi mówię środkami wiara utrzymuje się tutaj w poszanowaniu!

Istotnie, wiele jeszcze jest, zawiele obrządków tchnących zmysłowością poganizmu w katolicyzmie hiszpańskim, więcej daleko, niż w jakimkolwiek bądź kościele chrześcijańsko-południowym: Duchowieństwo hiszpańskie, pojmujące może świętość religii, zanadto wiele poświęca słabości natury ludzkiej, zanadto często odzywa się do zwierzęcego instynktu człowieka po zasoby duchowe. Jestto widok bardzo rażący dla syna Północy, przyzwyczajonego chwalić swego Boga poważnie i z godnością; a jednakże trudno jest bardzo opierać się ogólnemu wrażeniu, trudno nie wyznać przy końcu ceremonii, że odurzający wywarły wpływ na naszą duszę.

Nie tak pojmowali świętość religii poeci i malarze Hiszpanii, choć nie duchowni, choć nie księża. Idźmy do muzeum sewilskiego, a przekonamy się o prawdzie tego zdania.

Kosztowny zbiór malowideł należący do miasta, umieszczony jest w dawnym klasztorze Kapucynów, którego kościół i sale przeistoczone zostały w akademią sztuk pięknych. Nic nie można zarzucić organizacyi tego muzeum. Malowidła wiszą w najlepszym świetle, codziennie i bezpłatnie odwiedzić je można.

Tu na tém niebie świetnieją nazwiska: Murilla, Velasquesa, Zurbarana, Valdes Leala, jako gwiazdy piérwszej wielkości.

Wchodzimy do sali zawierającej utwory Murilla. Jest ich ośmnaście: wszystko arcydzieła czarującej piękności. Usiadłem na ziemi, oparty o mur naprzeciwległy cudotworom, i ugiąłem się przed wielkością artysty. Najwięcej zastanawia koloryt Murilla: wielki mistrz wlał weń całą swą duszę, i z niego dusza widza czerpie pomimowolnie jakieś dziwne, uroczyste usposobienie, przenoszące go w sferę piękna, dotychczas niepojętego. Murilla nikt jeszcze nie przewyższył w głębokości i przezroczystości tonów; a jednak w jego dziełach wielka prostota w wyborze kolorów, i tylko sztuczném rozdzieleniem światła i cienia wrażenie tak głębokie sprawiają. Mistyczna ciemność rozpościera się zazwyczaj na obrazach Murilla, światło pada tylko na główne osoby i wydobywa je w pewnych i jasnych zarysach z drżącego pomroku. Każdy odgaduje natychmiast akcyą osób i wysoki pomysł

malarza pojmuje: tak jest olbrzymim, wyraźnym gieniuszem napiętnowane tło Murilla.

Nigdy nie podziwiałem utworów Murilla, żeby mi analogia nie wskrzeszała w myśli Szekspira. Obum zarzucano brak poprawności! Dostojni estetycy nazwali obydwóch dziećmi natury! Ale to, co płytkie umysły nazywają nieklassycyzmem jest właśnie ową poezją, wydobywającą się własnymi siłami z ciasnych konwencyonalnych kształtów i więzów.

Murillo nie znał starożytnych pierwowzorów sztuki!—zarzucają mu jedni. Nie! on nimi pogardził. Pierwowzorem jego była przyroda. Zdrowa jego wyobraźnia nie wydała nigdy nic chorowitego, ani się też nigdy nie dała uludzić urokowi zmysłowości.

Obrazy jego wolne są od wszelkiej lubieżności, czego nie można powiedzieć o wielu obrazach dawniej szkoły włoskiej. Jego czysta, wstydliva Muza służyła jedynie religii i kościołowi, nie wychodząc jednakże nigdy poza obręb widzialnego świata, świata ludzkiego, naturalnego. Jego święci nie są zubóstwione, zdywinizowane istoty, lecz uszlachceni ludzie. Jego Panny Marye nie noszą na sobie piętna nadziemskiej delikatności i świętości, są one tylko wzorami najszlachetniejszych istot płci swojej. Heżto Murillo nie malował *Maryj de la concepcion*, Niepokalanego Poczęcia, które na półksiężycu stojąc, unoszone są przez aniołów i nimi otoczone; a wszystkie mają łube, świeże twarze, wzruszające wyrazem najmiłszej niewinności. Boski duch, który w tych twarzach mieszka, nie zniszczył formy, tylko ją zidealizował. Owe czarne, głębokie, wielkie oczy nie wypierają się wcale żyjących wzorów, które niezawodnie bujały przed oczyma wyobraźni andaluzyjskiego malarza w chwili, gdy je tu swym nieśmiertelnym pędzlem więził; lecz te jasne, złotego połysku włosy łagodzą zapał owych oczu, tak pełnych ognia, tak wymownych.

Hiszpańscy malarze w ogólności nigdy nie zanieśli wystrzegania się owych nieprzystojności, owych indecencyj, których malarze włoscy wcale nie unikali, a które Rafael za konieczny żywioł malarstwa używał. Sumienniejszemi byli Hiszpanie: nie poświęcali nigdy celu dla efektu.

Patrz na ten obraz: przedstawia on mężczyznę i dziecko, obaj najpiękniejsi, jakich w życiu mojem widziałem. To święty Józef i dziecko Jezus. Nie wiem, czemu inni malarze pierwszego przedstawiają zawsze jako łysego starca?—zapewne tego sami

nie wiedzą. Murillo maluje go inaczej: pięknym, poważnym, a najwięcej lat czterdzieści liczącym człowiekiem. Że w takim *mężu* rezygnacya jest rzeczą bolesną, wiele znaczącą i inaczej się wydaje jak w zgrzybiałym starcu, tego sobie inni malarze wcale nie wystawiali.

Stoi tedy przed nami święty Józef, wysoki, czarnooki, z czarnym włosem i gęstą poważną brodą, w długiej, brunatnej szacie. Głowa jego pełna myśli i męzkiego bólu. On ściga swemi troskami przyszłość tego dziecięcia, przy którego urodzeniu aniołowie śpiewali Alleluja; tego dziecięcia, które spoczywa tak swobodnie w jego ramionach. Dziecko to trzyma w ręku jakiś biały kwiatek, tuberozę, jeśli się nie mylę, a główkę opiera o pierś świętego Józefa, jak gdyby było znużonem. Pełna, nieporównana gracia dzieciństwa! Zrenice te brunatne, pływające w bieli lazuruwego połysku, oczy tak swobodnie marzące, a jednak tak *dziwnie przeczuwająco wyglądające*, ta sukienka niebieska, z której ukazują się szyja, nogi i ręce tak plastycznie, tak świeżo; wszystko jest oddane z czarującą prawdziwością, wszystko wonieje ziemią, a jednakże wszystko unosi duszę.

Zadajmy sobie gwałt, odstępmy choć niechętnie od Murilla; inaczej on jeden stanie się przedmiotem naszych myśli, naszego ubóstwienia. W innym miejscu więcej o muzeach hiszpańskich, tak bogatych w narodowe arcydzieła. Szczęśliwy kraju! stracilesz obie Indye, spalono ci flotę i złote źródła ci wyschły, ale ci pozostały Murille, Velasquezy i Zurbarany, pozostała ci dusza twój świetnej przeszłości.

Ale! *à propos*, jakież istnieje związki pomiędzy Maurami, processyą, a wrażeniem niezatartem, pozostałem mi po muzeum sewilskim, do którego piękności Maurowie nie przyłożyli się przecież wcale?

Czyż mam dowodzić algebraicznie analogii lub kontrastu?

Murillo nie był duchownym, tylko malarzem, a jednakże wcale inaczej pojmował świętość religii, i najmniejsze swe utwory umiał ożywić wielkim, a jednak dostępnym duchem chrystyanizmu, i wznieść umysł człowieka ku sobie.

Nie tak ciało, które z powołania i powinności powinno było czuwać nad świętością powierzonego mu skarbu, i nad rozwojem umysłu ludzkiego: „łatwiej oczarować duszę tysiąca ludzi, jak przeświadczyć umysł jednego człowieka”, powiedział Aben-Zoar filozof maurytański. Od tego czasu zmieniły się cele, ale sposoby

pozostały też same, a większy daleko wpływ wywierają sposoby, niż cele, nawet w najświętszych rzeczach.

Ale mówiąc tyle o religii, i o sztukach, i obyczajach z nią związek mających, niesposób byłoby opuścić Sewillę bez zwiedzenia sławnej bazyliki tego miasta, téj dumy całej Hiszpanii.

Założona w r. 1401, nie została ukończoną jak w sto dwadzieścia lat potem. Kapituła sewiliańska zakładając tę olbrzymią budowlę, postanowiła jednomyślnie wznieść coś tak ogromnego, że na widok jego późniejsze pokolenia miały się zdumieć i osłupieć. I od téj chwili wszyscy i następni członkowie kapituły poświęcili całe swe niezmierne dochody na budowę kościoła, i żyli przez lat 120 tylko chlebem i wodą. Byłto jeszcze wiek wiary i potęgi ducha; w nim uciekano się do ofiar dla dowiedzenia świętości celu.

Biędny tumie koloński! ty dotychczas figurujesz w całości tylko w sztychach i cynowych medalach, i łakniesz wybudowania tak, jak nasza drobnymi namiętnościami spiekła ziemia łaknie rosy niebieskiej i urzeczywistnienia słów Chrystusa.

Santa Maria de la sede de Sevilla jest największą, a w wewnętrzném wykończeniu najwspanialszą świątynią gotycką. Stoi na miejscu dawnego głównego meczetu Maurów, z którego pozostała tylko owa różowa niebotyczna *girald*a, najwyższa wieża hiszpańska, a obszarem swój olbrzymiej podstawy zajmuje ogromny czworobok. St. Hilaire powiada, że ani kościół śgo Piotra w Rzymie, ani katedra medyolańska nie sprawiły na nim tego religijnego wrażenia, jakiego doświadczył przy swym wstępie do tego domu Boga, oświeconego pełnym tajemnicy drżącym promkiem. Tu wszystko jest wielkie a proste, przyzwoite i godne. Żadne wyzłacanie, żadna cisnąca massa ozdób. Wysokie wysmukłe filary, dźwigające na swych szczytach śmiałe łuki, które spotykając się i wiążąc tworzą wysokie sklepienie, wznoszące się jak niebo nad twą zdumiałą głową. Nie wstydz się korzyć człowieku przed tą niemą wielkością, która wznosi, a nigdy nie grozi.

Kościół ma 420 stóp długości, a 260 szerokości; rozpada się trzydziestu dwoma pilastrami na pięć naw, wysokości 130 stóp, a podłoga jego sztucznie jest wyłożona mozaiką z czarnego i białego marmuru. Wysokie, dziwnie pięknie oprawne, i pysznemi malowidłami na szkle ozdobione okna, słabo tylko oświecają wnętrze kościoła, co i wznioślejsze sprawia wrażenie, i korzystny rozlewa urok na wspaniałe malowidła Murilla,

Zurbarana i innych mistrzów szkoły sewiliańskiej. A jest ich ze wszystki^{em} 82 tych arcydzieł sztuki!

W chórze, znajdującym się w środku głównej nawy, umieszczono z jednej i drugiej strony organy. Te, które się z prawej strony głównego ołtarza znajdują, zawierają 5,000 piszczałek; na samym ołtarzu stoi wielka trumna z czystego srebra, a w niej przechowują zwłoki ś. Ferdynanda króla Hiszpanii, patrona Sewilli. Obok pochowany syn jego Alfons IX, przewany Mądrym, i żona królowa Beatrice. Skarbiec tego arcybiskupiego kościoła, głowy czterech biskupstw i 234 parafij, przechodzi w bogactwie wszystkie wyobrażenia. Samych koron królewskich jest jedenaście, a ile bereł szczerozłotych i monstrancyj, ile kandelabrow, lamp, patyn, kielichów i innych starożytności, jak zbroje królów i bohaterów, ich pieczęci i t. p. kosztowności, to rzecz niesłychana.

Na każde święto inny jest garnitur ornatów na 36 księży, zaczawszy od infuły, a skończywszy na stułach.

Bazylika sewilliańska przedstawia w swém wnętrzu najszlachetniejszy, najszczytniejszy utwór gotyckiego stylu. Dusza się wznosi w tym przybytku, jak gdyby na skrzydłach archanioła, a serce się korzy na widok tych niezmiernych przestrzeni noszonych okiem niedościgłemi słupami.

Kto jest wynalazcą tego boskiego stylu, tego urzeczywistnienia najbujniejszych pomysłów snu fantastycznego, tego przeobrażenia w żyjący kamień najuroczystszych uczuć religijnych, czuwających od wieków w duchu człowieka?

Nie wiem kto.

Odgadli go ludzie, ale nie wynalazł człowiek. Ten styl istniał wiecznie, może jeszcze nie na ziemi, ale gdzieś w niebie, i umysły wierzących a pragnących, wpadły na trop wiecznego piękna, tak, jak dziecię nowonarodzone tuli się do łona sw^oj matki i chwyta pierś dającą mu pokarm.

Starożytni tworzyli swych Bogów według idei ludzkich, ludzkiemi ich przystrajali przymioty i chwalili ich po ludzku; a ztąd ich świątynie zawarte w liniach poziomych, lub od ziemi równo-odległych, świątynie niskie, szerokie i płaskie. Dla architektury nie masz wielkiej przyszłości w podobnego rodzaju budowlach.

Ale zlewa się na spragnioną ziemię błoga rosa słów Chrystusa, odradza się człowiek i pojmuje, że już inaczej chwalić przystoi Boga; już duszy jego uszlachetnionej nie wystarczały

poziome linie, unosi go gorejącej wdzięczności polot, i zrywa te płaskie dachy, ciężące na usamowolnionym umyśle.

Znikają jednostajne zapory, wznoszą się linie ku niebu, kopyły się wzdymają i wieże chmur sięgają; rosną na wysokich słupach śmiałe sklepienia, okno się wyciąga w swych cienkich jak wstęga, misternych oprawach, mury się zdobią tą uroczą siatką, której ani początku, ani końca nie ujrzysz; i jest styl gotycki. I na nim koniec—piękniejszego mieć nie będziemy nigdy.

Odstąpiliśmy dość znacznie od przedmiotu naszego, od Maurów, ale tylko pozornie; znajdziemy później, że istnieje jakiś tajemniczy, a przecież wyraźny węzeł pomiędzy przeszłością a teraźniejszością Sewilli, pomiędzy katolicyzmem jak go księza hiszpańscy pojmują, a filozofią, jak ją Maurowie pojmowali.

Najpiękniejszy pomnik maurytańskiej architektury jaki posiada Sewilla, niewątpliwie z zewnątrz okazalszy, ale w środku nie tak powabny jak granadeńska Alhambra, najpiękniejszy mój pomnik Maurów jaki posiada Sevilla jest Alcazar, czyli zamek dawnych królów Sewilli, założony w VIII wieku przez Abd-el-Aziza syna kalifa Muzy, który zawojował Hiszpanię. Zajmuje ten pałac przestrzeń bardzo obszerną, i stanowi tak jak *Palais royal* paryzki całą dzielnicę miasta.

Przez piękną bramę, wylamaną w wysokim, wałem podniesionym murze, wchodzi się do *Patio principal*, do głównego dziedzińca, ozdobionego marmurowymi fontannami, drzewami pomarańczowemi i cytrynowemi, a otoczonego portykiem na pięćdziesięciu dwóch kolumnach dźwiganym. Obok znajduje się wielka sala ambasadorska, przybytek wyniosły, pokryty kopułą sztucznie z hebanu złożoną, a mającą kształt połowy pomarańczy. Miejsce to jest napiętnowane smutnemi historycznemi wypadkami. Piotr zwany Okrutnym kazał w niej ubić brata swego Don Fadrique, wielkiego mistrza orderu Santiago, i tutaj własną ręką zabił Mahometa VIIIgo króla Granady, który błagając o pomoc, pod jego udał się opiekę. Salę tę wybudował arabski architekt Jalubi w roku 1181, pod panowaniem Abd-el-Mumena.

Pokazywano mi łaźnie królów maurytańskich, znajdujące się w podziemnych sklepieniach pałacu tak jeszcze silnych, że dzieci i starcy Sewilli w nich znaleźli przytułek w chwili, gdy owa gwiazda zachodząca, księżciem Zwycięztwa przezwana, z Hiszpanii uchodząc a tytuł swój chcąc usprawiedliwić, najpiękniejsze miasta swój ojczyzny bombardowała.

Obszerne ogrody Alcazaru przed siedmiu wiekami założone, przechowane są do dziś dnia w takim stanie, w jakim je Maurowie utrzymywać chcieli. Drzewa pomarańczowe wyrosły tu jak lipy, cyprysy jak topole; pełno tu odwiecznych myrtów i róż najrozmaitszych odmian. Styl tych ogrodów zbliżony do staro-frankońskiego, to jest dość wymuszony i nienaturalny: szpalery obcięte pod cyrklem w kształcie kopuł i minaretów, ścieżki powykładane różno-kolorowemi kamieniami, ułożonemi w arabeski.

(Dalszy ciąg nastąpi).



MIASTO BRODY

Z DAWNENI PRZYNALEŻYTOŚCIAMI (*).

Istnienie Brodów, jako miasta, nie jest zbyt dawne, lecz natomiast wiejska osada tego miejsca, odległej sięga starożytności. Nie zaciekać się, gdyż byłoby to napróżno, nad wykazaniem i oznaczeniem epoki, kiedy ta wieś powstała, dosyć będzie powiedzieć: iż pierwszy o niej ślad piśmienny napotykamy pod 1441 r., kiedy Władysław Jagiellończyk król polski i węgierski nadał Janowi z Sienna zamek Olesko z kilkumilową przestrzenią ziemi; już wtedy znajdowały się między innymi włościami donacją objętymi i Brody. Następnym dziedzicem tych majątności był Piotr z Sienna Sieniński podkomorzy przemyski, starosta sandomierski, którego dwie córki: Anna, żoną była Fryd. Herburta kasztelana bieckiego, Jadwiga zaś za Marcinem Kamienieckim wojewodą podolskim. Na mocy działu dóbr 1511 r. otrzymały one po połowie zamku i miasta Oleska z różnemi wsiami, a w téj liczbie przypadły *Brody* na Jadwigę Kamieniecką. Synowie jej: Jan, Wojciech i Stanisław, uczynili między sobą 1578 roku dział majątku w ten sposób: iż dwom pierwszym dostała się połowa zamku i miasta Ole-

(*) Niuejszą monografią ułożyłem z materyałów archiwum brodzkiego, które w wierzytelnych odpisach udzielić mi raczył senator hr. Fran. Potocki. Do tych bogatych zapasów przydałem niektóre szczegóły; spoiwszy je w jedno ogniwo z opisem Brodów, podanym przezemnie w *Star. Polsce II*, str. 596, utworzy się całość, stanowiąca kronikę rzeczzonego miasta i dawnych jego posiadłości.

ska, wieś *Brody* i inne włości; Stanisławowi zaś klucz *Załośce* zwany. Jan i Stanisław Kamienieccy zastawili zrazu *Brody*, *Wolicę*, *Piaski*, *Smolno*, *Berlin*, *Łahodów* i *Detkowce*, poczem sprzedali je 1580 roku Stanisławowi *Żółkiewskiemu* wojewodzie bełzkiemu, który zbudowawszy zamek w okolicy bagnistój, między wsiami *Brodami* i *Łahodowem*, począł tamże i miasto od swego herbu *Lubicz* zwanego, zakładać, na co taki od *Stefana Batorskiego* wyjednał przywilej, dany w *Lublinie* 22 sierpnia 1584 r. „Quod cum intelleximus magn. Stanislau *Żółkiewski* Palatinum *Belzensem* instituisse, sive adeo jam cœpisse erigere et locare novum oppidum in fundo suo hæreditario villæ *Brody* in *Russia* loco valde idoneo inter paludes sito dicto *Ostrow*, inter villas *Brody* et *Lahodow*, illique a suis et suæ familiæ insignis nomen et appellationem *Lubicze* indidisse: probato hoc suo instituto ac consilio, illud favori etiam et clementia, ac beneficiis nostris regiis promovendum et adjuvandum incepimus. Cum et enim per locum atque fundum eundem in quo oppidum illud erigendum est, commune et usitatum iter ex *Russia* et *Podolia* in *Voliniam*, et ex multis item *Russiæ* oppidis ad alia rursus oppida observetur et habeatur, cumque locus ille in ipso hostium transitu cum ad populandas regni provincias ingredi illos contigit sit positus, valde necessarium et opportunum esse judicamus oppidum illic collocari, quod suo tempore aliquibus forte munitionibus circumseptum multis receptui ac salutis adversus hostium incursus, e contra vero hostibus ipsis pro aliquo in transitu obice esse possit. Itaque cum hac de causa, tum gratificari etiam cupientes præfato magn. Stanislao *Żółkiewski* de nobis et antecessoribus nostris, deque republica, domi et militiæ optime merito, in novi istius oppidi erectio-nem per eum inchoatam consensimus, consentimusque” (1). W dalszym ciągu przywileju obdarza monarcha miasto *Lubicze* prawem magdeburskiem, ustanawia jarmarki: w *Iszą* niedzielę po *Świątkach*, nazajutrz po *Narodz. N. Panny*, i w tydzień po *N. Roku*, targi zaś w niedzielę i piątek; uwalnia wieczyście mieszczan od opłaty wszelkich ceł, mostowego i grobelnego, w ziemiach ruskich pobieranych, wyjąwszy od cła pogranicznego; od podatków zaś publicznych do lat.... (tu miejsce próżne).

Wkrótce potem udzielił też i fundator z swojej strony nowym osadnikom pewne swobody, jakoż w piśmie swoim wyraża

(1) Z archiwum głównego w Warszawie, ks. metr. 129, str. 486.

„umysliłem na to się dobrze rozmyśliwszy i przypatrzawszy częstym najazdom, albo przechodom szlakowym tatarskim przez imiona moje własne Brody, i szkody wielkie w ludziach i majątnościach czynienia innym imionom ku tym Brodom należącym, a chcąc niejaką ostrożność uczynić, zamek zbudować na ostrowie brodzkim i pośrodku stawu Nokopeń przewiskiem, mianowany *Lubicze*. Przy którym zamku dozwoliłem i dozwalam się miastu budować, tymże przewiskiem nazwanym *Lubicze*, dając im wolą ku budowaniu i gruntowaniu na lat 15, na placach pomierzonych na ostrowie, między stawem Łahodowskim, przydając im według potrzeby łany, albo włoki, folwarki, łąki w polach, w dąbrowach i t. d. Dan w Brodziech d. 13 *Augusta* 1586.” Po bezpotomnym zgonie Katarzyny z Herburtów Żórawińskiej, poboczni jęj spadkobiercy sprzedali odziedziczone swe dobra Żółkiewskim, z których: Mikołaj podkomorzy lwowski, zeznał 1594 r. w trybunale lubelskim erekcją dla kościoła w miasteczku *Lubicz* uczynioną. Jak wiele grodów w kraju ze wsi przeistoczonych, nie przyjęło nadanej sobie przez założyciela nowej nazwy, tak się téż stało i z *Lubiczem*, któryi sami dziedzice ulegając zwyczajowi, Brodami mianować musieli, co się z następującego okazuje przywileju: „Łukasz Żółkiewski z Żółkwie dziedzic miasta *Lubicza alias Brodów*. Wiadomo czynię tem niniejszém pisaniem mojem: iż za żądaniem mieszczan Brodzkich poddanych moich, prawa ich i przywilej przeczytawszy, które im przez sławnęj pamięci JMP. Stanisława Żółkiewskiego Wdę bełzkiego dziada mego i JMci sław. pam. Pana Mikołaja Żółkiewskiego podkomorzego lwowskiego, Pana ojca mego są nadane, potwierdzam. Lecz, iż są niektóre punkta w tych funduszach ich, o których poprawę, albo raczěj odmianę wszytka gromada miasta żądała, przeto na prośbę ich czynię to, i tych poprawuję praw, i t. p. Dan w dworze Brodzkim, nazajutrz po Gromnicach 1614.” Tenże Łukasz Żółkiewski widząc się bezdzietnym, połowę dóbr swoich, miasto Brody ze wsiami: Stare Brody, Dytkowce, Smolno, Wysocko, Ponikowice, Kadłubiszczce, Hołoskowice, Suchodoły, Berlin, Rudę, Rudę Babin, Klekotów, Koniuszków, Bołduiry, Bielawiec, Sznyrów, Klekotów, Piaski, Wołkowatycze i Nowogroble, zapisał 1629 roku wieczną darowizną, drugą zaś połowę za 500,000 zł. sprzedał Stan. Konięcpolskiemu Wdzie sandom. hetmanowi W. K. (1). Objąwszy nowy dziedzic pomie-

(1) Łukasz Żółkiewski zmarł 1636 r. Wdą braclawskim.

nione majątności, wyrzekł w swém piśmie: zostawszy panem dziedzicznym miasta Brodów i wszystkich przyległości zdawna do niego należących, produkowali mi mieszczanie oryginał praw i wolności swoich. Te przejrawszy wszystkie, wyrzuciwszy niektóre miuiej im potrzebne punkta, a przydawszy insze bardziej do pożytku służące, potwierdzam i t. d. Działo się w Brodach 8 kwietnia 1629 r.

Władysław IV zatwierdzając 11 marca 1633 r. prawa miastu służące, pozwala: ażeby Stan. Koniecpolski, naówczas kaszt. krak., H. W. K. murem dokoła Brody opasał i zamek utwierdził (1). Syn jego i Krystyny Lubomirskiej, Alexander Koniecpolski, bawiąc na dworze cesarza Ferdynanda III, zaszczycony został tytułem księcia św. Państwa rzymskiego; z Barbary Zamojskiej, córki Tomasza kanclerza W. K. miał syna Stanisława. Złe jego pożycie z żoną Eugenią Katarzyną Wiśniowiecką, stało się powodem, iż poczynił manifestacye w różnych grodach, darował Brody królewiczowi Jakóbowi Sobieskiemu, inne zaś dobra: Koniuszków, Jasionów, Suchodół, Wysocko, Czernicę, Ponikowice, Dytkowce, Kadłubiszczce, Berlin, Smolno, Sznyrów, Oparypsy, Korsów, Grzymałówkę, Hołoskowice, Satyjów: miasta: Radziwiłów, Leśniów i Równe, zapisał krewnemu swemu Jan. Alex. Koniecpolskiemu. Wyznaczeni kommissarze królewscy: Michał Wyżycki proboszcz wiski i Stanisław Szczuka podczaszywiski, podpisali zawarty w Biszczy 20 sierpnia 1682 r. kontrakt donacyi Brodów, który opiewa: „Stanisław na Koniecpolu i Brodach Koniecpolski ksiązę S. P. R., hrabia na Tarnowie, kasztelan krakowski, Ssta doliński. Fortecę brodzką, od Stan. Koniecpolskiego dziada mego własnym sumptem wystawioną, a widząc moje bezpotomność, i że kiedyś cała włość brodzka, z Najjaśniejszego domu J. K. M. Jana Sobieskiego, od niegdy Łukasza Żółkiewskiego dziada Jego, w dom Koniecpolskich przeniosłszy się; nadto, że J. K. M. z tak wielu dóbr, dożywociu N. Królowej podległych, przez ś. p. Zamojskiego zapisanych (2), jako: z Tarnopola, Tarnawy, Rówieńszczyzny, Krzyszewa, Krzeszowic, Satyowa, Ostroga, Pawołoczy, Kotelni, Iwankowa, Smidyna i innych, a oraz rzeczy ruchomych, stad i wszelkich sprzętów domowych

(1) Zmarł 11 marca 1646 r. w Brodach i tamże pogrzebiony.

(2) Marya Kazimiera de la Grange d'Arquien, po zgonie męża swego Jana Zamojskiego Wdy sandomierskiego, poślubiła 5 lipca 1665 r. Jana Sobieskiego marsz. W. K., hetm. P. K.

ustąpił i odstąpił: owszem, aż do téj godziny pańskie swoje we wszelkich okazyach nieprzestannie wyświadcza łaski, za które pamiętną i nieśmiertelną oddać należy wdzięczność. Tedy z tych i innych reflexyj, uprosiłszy sobie u króla JMci w terażniejszej zdrowia słabości *concessionem* metryki koronnój i kommissarzów, przy ich obecności *viva voce* przed niebem i światem protestując się: że to czynię *intuitu publici et conservationis* tak sławnej fortecy, a oral *ex gratitudine* łask pańskich, *et ex justitia recompensandae facilitatis* królowej JMci w ustąpionych pretensjach swoich. *Ex nunc* N. Jakubowi królewiczowi, starszemu synowi królestwa JMość i jego własnym successorom, fortecę Brody, *vetustate* czasu nadwyrężoną i niemalój jeszcze restauracyi podległą, ze wszystkimi wielkimi i małemi działami, moździerzami, i wszelką inną *in genere et specie* armatą (wyjolszy 24 dział wielkich, które królowi JMci już dawno ofiarowałem), z miastem, ze wsią Staremi Brodami i stawem Łahodowskim, na potomną pamięć i nieśmiertelną imienia Koniecpolskich sławę, wiecznemi czasy daję, daruję i zapisuję, *cum hoc* jednak *onere perpetuo*: aby, póki królewicz do lat zupełnych i stanu należytego *maturiarum curarum* nie przyjdzie, sam J. K. M. *singulariori vigilantia et sollicitudine*, pomienioną fortecę dźwigał, opatrował, i na jój conservacyą *ad commodum reipublicae et perpetuam nominis Koniecpolsciani memoriam* kosztów swoich nie żałował, i toż potém *post sera et quam longissima* J. K. Mci *fata* królewicz JMci czynił i skutecznie pełnił. W nadgrode których kosztów, *et in levamentum regiarum* koło téj fortecy *sollicitudinem*, wszystkiemu Najjaś. potomstwu i ich własnym successorom, pałac swój *Podhorecki*, ze wsiami: Podhorce i Zahorce, *pro conservatione et reparatione* fabryki, jako na własnym dziedzicznym króla JMci gruncie do Złoczowczyzny należącym wystawiony, ze wszystkimi strukturami, ozdobami, i ze wszystkim tych dóbr ograniczeniem, wiecznemi także czasy daję, daruję i zapisuję, i to wszystko przed aktami metryki koronnój zeznać, dać, darować i zapisać obiecuję. A że, gdy się Panu i ojczyźnie powinna oddaje życzliwość i miłość, należy téż *primario* i Najwyższemu Stwórcy od stworzonego prochu *heccatomben* nieudolnej oddać wdzięczności. Tedy JP. kasztelan, nie wiedząc dnia ani godziny, chcąc jak najdoskonalsze chrześciańskiej pobożności czynić akty, tusząc, że i w tym punkcie zbawiennych medytacyj swoich od JKMci nie odniesie *repulsum*, nie spuszczać się na testa-

mentowe dyspozycje, które częstokroć, albo dla pozorów tylko duchownego *in suprema hora* wymuszają się, albo nierychłej, niepewnej, czasem żadnej nie dostępują exekucyi, *onerat bonitatem et conscientiam* JKMci, aby: *pro sigillo* łask sobie doczesnych wyświadczonych, i te jeszcze do nieśmiertelności należące pokazał dobroczynności. Naprzód: aby do rąk Jegomości *pro piis operibus* ze skarbu swego wyliczyć kazał 186,000 zł., albo *in quantum* by do wyliczenia onęj, *ob præmatura* strzeż Boże *fata* Jegomości nie przyszło, sam one *pro beneplacito suo in usus* pobożnych uczynków, *pie et sancte* dysponował. Potém: aby sumę koś. żółkiewskiemu wyderkałowemu sposobem przez antecessorów P. kasztelana zapisaną, przez lat kilkadziesiąt nieczynszowaną, pod ciężkimi processami zostającą, J. K. Mość na dobra dziedziczne swoje, lub insze jakie pewne przeniósł, *cum onere perpetuo pendendi census in refrigerium animarum* przodków swoich; z czynszów zaś zatrzymanych, dekretów i processów *eo nomine* przewidzianych, kwit na osobę P. krakowskiego otrzymać kazał. Więc i nową fundacyą w Brodach do fary i na szpital ordynowaną, aby *ex pietate sua* JKMość przyjąć raczył. A że się obawia P. krakowski, aby pani małżonka, córka ks. Dymitra Wiśniowieckiego kaszt. krak. H. W. K., summami swemi *ex nullo dato et accepto* przez się zapisanemi i już przez manifestacje swoje rewokowanemi, pomienionych dóbr nie agrawowała; tedy *in quantum* by przyszło do jakich trudności, *si et in quantum de jure* należałoby, skarb J. K. Mci zapłaciwszy sumę 35000 zł. *ad rationem* posagu, albo raczej prowizyi powzięte, do żadnych ciężarów pociągany być nie ma; owszem wyżej mianowane dobra, pod żadne, jakimkolwiek tytułem nazywające się długi, podlegać nie mają, ale wolne i czyste, bezpieczone od wszelkich ciężarów, jako *portio ad securitatem publicam fundata* być powinno. Na co wszystko PP. kommissarze mając w tém rzetelną od króla informacyą i moc sobie daną, zupełnie imieniem pańskim zezwolitszy, deklarują: iż J. K. Mość wzajemnym ku sobie P. kasztelana krakowskiego certując respektem, nie ma nic tak ciężkiego, czegoby *per amorem conservandae gloriae* wielkopomnego imienia *domus Koniecpolscianae*, a ile gdzie *vertitur monumentum publicae securitatis* uczynić nie miał. A zatem, *regio spondet verbo* za siebie i królewicza: że konserwacyą fortecy brodzkiej, albo raczej gruntowną onęj restauracyą, jako najdoskonalsza być będzie mogła *providebit, ma-*

nutenebit, ani na zabezpieczenie podejrzanym minom, kosztów swoich oszczędzać nie będzie, z tą jednak prekawcą: aby za żywota swego, daj Boże jak najdłuższego, lubo rzetelnej dopuści intromissyi P. kasztelan, te dobra trzymał i fortecę prowidował, ani do trzymania onych *usque ad fata sua*, króla JMci necessitował; summę także 186000 zł. *pro piis operibus* na 20 września w r. t. do rąk P. kasztelana wyliczyć skarbowi swemu punktualnie zleci. Ileby zaś do tego *ob fata*, strzeż Boże, nie przyszło, obrócić *ad pia opera exemplarissime* nie omieszka, i pokaże to światu: że *etiam pius manes* domu tak zacnego, umie *immortali prosequi favore*. Summę nadto żółkiewskiego kościoła i fundacye, nietylko nowe przez P. kasztelana, ale i stare przez antecessorów JMci w Brodach poczynione, *ex pietate sua* JKMość przejmuje, i kwit z czynszów zatrzymanych kościołowi żółkiews. z processów i dekretów, w czasie wyliczenia summy naznaczonym, owszem za niedziel 2 *in personam* P. kasztelana, otrzymać pewnie każe. Nakoniec: summę pani małżonki Jegomościńej 35000 zł. *et in quantum de justitia et jure venerit, omni tempore et loco*, skarb JKMcI wyliczyć będzie gotów; *sin secus* tedy, do rąk tego pomieniona summa wyliczona będzie, do którego sam P. kasztelan *pro usu piorum operum* według zdania swego ordynować będzie. Które to wszystkie punkta *ad perpetuam rei memoriam* spisane, pomienione strony trzymać sobie obiecują *sub damnis terrestribus*, o które *forum* P. kasztelan sobie *ubiquinarium*, a PP. kommissarze administratorów dóbr dziedzicznych JKMcI w każdym grodzie, gdzie tylko dobra *consistunt* naznaczają. Na co się dla lepszej wiary rękami własnymi, przy pieczęciach swoich, podpisują”.

Po śmierci Konięcpolskiego kaszt. krak. pozostała wdowa ugodziła się z Jan. Alex. Konięcpolskim, iż *a conto* posagu swego, otrzyma 60,000 zł. Gdy pieniądze te wypłacone jój nie zostały, zaniósła manifest i zapisała powyższą summę synom ks. Konst. Wiśniowieckiego. To stało się powodem do długotrwałych kroków prawnych, zwłaszcza: iż Jan Alex. Konięcpolski zbrojno najechał był miasto Leśniów, gdzie przyszło do rozlewu krwi. Jak się nakoniec załatwiła sprawa, najlepiej wyjaśni pismo pod d. 10 listop. 1692 r. przez tegoż Konięcpolskiego dane: „Zeznam tym skryptem moim: iż za przyjęciem przez JKMość długu kościoła żółkiewskiego tak kapitałnej, jako czynszowej summy 33,000 zł., tudzież za spuszczenie 50,000 zł. od W. Adama Sieniawskiego Wdy

bełzkiego, i od niej prowizyi przychodzącej, także za zniesieniem 60,000 zł. do rąk JW. Anny z Chodorostawu Dolskiej Marsz. W. Ks. L. przez skarb JKMcI wyliczonej i oraz za processa w téjże sprawie przewidzione; nadto, za odebranie do rąk moich własnych 10,000 zł. z skarbu JKMcI, a nakoniec za zupełną satysfakcyę tych wszelkich summ, którekolwiek *proveniebant* z *submissyi* uczynionej niegdy Stan. Koniempolskiemu kaszt. krak. jurisdatorowi *meo*, przez kommissarzów JKMcI w Biszczy 20 sierpnia 1682 r., wiecznemi czasy skarb JKMcI *ob praestitam satisfactionem* kwituję i zwalniam”.—O niespokojnym umyśle i gwałtownych czynach Jana Alex. Koniempolskiego koniuszego K., świadczy kondemnata trybunału lubelskiego 1700 r. w tych wyrazach: „że on chcąc wszystkie czyny i dyspozycye niegdy Stan. Koniempolskiego kaszt. krak. naruszyć i zniszczyć, nie mając dosyć poprzednich gwałtownych w nocy napadów na zamek brodzki, kazał świeżo swoim Wołochom wejść w nocnej porze do miasta, złapać Radkiewicza dworzana zamkowego, knebel mu drewniany w gębę wsadzić, do siebie przyprowadzić do miasta Równe, gdzie go na śmierć skazałszy, z muszkietu na dziedzińcu w swojej przytomności ranić kazał, który *sabatho post dominicam Jubilatae* 1699 umarł; i inne wiolencye czynić kazał, że szkody na 200,000 zł. narobiono. Sąd przeto trybunalski, karę banicyi wiecznej wyrokiem swoim przysądził i szkody zapłacić nakazał” (1).

Z podanego urzędownie przez królewicza Jakóba wykazu, okazuje się, iż objąwszy w posiadanie Brody, spłacił przejęte długi, poczynione różnym osobom zapisy, summy i procenta kościołowi w Żółkwi, w ogóle 352,000 zł. Gdy w tymże czasie zgorzało było miasto do szczętu, wydał Jakób Ludwik królewicz polski, Wgo Ks. Lgo i olawski książę, następujący w Piaszkowicach 4 czerwca 1699 r. przywilej: „Iż my, stosując się do dawnych praw i przywilejów od antecessorów naszych żydom i obywatelom miasta Brody nazwanego, nadanych, a teraz *incendio*

(1) Jan Alex. Koniempolski herbu Pobog, syn Krzysztofa Wdy bełzk. i Konstancyi Stanisławskiej, najprzód koniuszy K., dalej Wda braclawski, a od 1711 r. Wda sieradzki. Miał on za żonę Elżb. Febronią, córkę Mich. Flor. Rzewuskiego podskarb. N. K.; dobra swoje: Koniuszów, Berlin, Bielawce, Boidury i Smolno, ustąpiwszy kontraktem 1718 r. siostrzeńcowi swemu Alex. Walewskiemu Śście wartskiemu, zmarł 14 grudnia 1719 r. ostatni domu i imienia swego potomek. Datę zgonu zamieściłem podług gazety rękopisnej 1719 r.; mylnie przeto Niesiecki mówi: że umarł 1720 r.

universalis miasta *absumptorum*, i oraz mając respekt na nich z osobliwych racyj, umysł nasz skłaniających, prawa onych i wszelkie prerogatywy, które przed nami i kommissarzami naszymi prezentowane były przed pogorzelskiem, i jeśliby jakie przed ogniem się uchylily, konserwować umyśliliśmy. Jakoż niniejszym listem naszym konserwujemy i konfirmujemy”.—W chwili najścia Szwedów, przemieszkując królewic w Szląsku, ustąpił Brody osobie, która go w ciężkich razach pieniędzmi zasilala; pismo jego datowane w Olawie 4 września 1703 r. opiewa: „Jakób Ludwik królewic polski, W^{go} Ks. L^{go} i Olawski książę, *Inferioris Austriae, Styriae, Carinthiae Gubernator*. Oznajmujemy wszem wobec i każdemu z osobna, komu o tém wiedzieć należy: iż oddawszy dobra nasze własne i dziedziczne, t. j. miasto, fortecę Brody z działami wszystkimi, ze wsią Stare Brody, p. Gabryelowi graffowi Wyhowskiemu w summie 30,000 talerów bitych *in specie*, długu realnego Jmci winnego, tak przez nas za odebraną summę jego własną, którą miał lokowaną na ratuszu wrocławskim i na pilną potrzebę naszą obróconą, jakotéz i za inne gotowizny, któremi *de proprio* różnemi czasy zakladał *defectus* skarbu naszego, według dostatecznego porachowania z Jmcią uczynionego, i uczyniwszy dóbr pomienionych donacją wieczystą, assekurujemy *omni meliori modo et forma*, że in *quatumby* Jmć dla odzyskania téj summy swojej 30,000 talerów, dobra pomienione w czasie roku jednego, *a die 1 scilicet Januarii* następującego 1704, *ut ad similem diem* przyszelego da Bóg 1705 sprzedać nie mógł: tedy natenczas, pomienioną summę 30,000 talerów *una cum provisione octo procentum*, co czyni za ten rok jeden 2,400 talerów bitych, Jmci *realiter* wrócić i zapłacić powinni będziemy. Którą to summę, tak kapitalną, jako i prowizjonalną na dobrach naszych wszystkich dziedzicznych w koronie, i na summach zastawnych na ekonomiach, tak szawelskiej w Litwie, jakotéz tygielnowskiej w Prusiech zostających (1), nam służących, z najjaś. sukcesorami naszymi zapisujemy i P. graffowi z sukcesorami jego obligując, *cavemus*. Na co, dla lepszej pewności, własną się ręką podpisawszy, pieczęć przycisnąć rozkazaliśmy”. Niewiadomo jakie zaszły okoliczności, dosyć, że wkrót-

(1) Tigelhof czyli Nowydwór, wieś w Wtwie pomorskiem, powiecie człuchowskim. Lustracya 1664 r. pisze: „ekonomia Nowodworska albo Tygielnoffska.”

ce potém zawarty został w Olawie 8 stycznia 1704 r. między królewicem a Józefem ze Złotego Potoka, na Stanisławowie, Zbarażu, Niemirowie Potockim Wdą i Generałem ziem kijowskich, halickim, leżajskim, śniatyńskim, kołomyjskim, czerwonogrodzkim Sstą, kontrakt sprzedaży Brodów, w ten sposób: „Królewic dobra swoje dziedziczne w Wtwie ruskiém, a ziemi lwowskiej leżące, miasto Brody i wieś Stare Brody, z Łahodowem i stawem, z borami i t. d. i zamkiem brodzkim, należącemi do niego działami, armatami, moździerzami spizowemi i żelaznemi, hakownicami, ręczną i wszelką *in genere* strzelbą, bombami, granatami, kulami, prochami, ołowiami, *cum omni supellectili et apparamento* cekauzu, i całym arsenalem, *atque cum jure patronatus*, JW. Wojewodzie i jego sukcesorom, *modo purae et irrevocabilis donationis, perpetuo* rezygnować, *diplomma super resignationem in quam plennissima juris forma eorundem bonorum, per manus* kommissarza swego i jemuż plenipotencyą *ad traditionem* onych, *et intromissionem admittendam* w te dobra JW. Wojewodzie dać i zeznać deklaruje. A zaś JW. Wojewoda *ultra quantitatem* summy *in antecessum* wyliczonej, *restans pretium* takim wypłacać powinien będzie sposobem: naprzód, 15,000 talerów bitych *in crastino S. Stanislai Eppi in anno praesenti* 1704 do skarbu królewica, lub do rąk jego *plenipotentarii*. Drugą *restantem* ostatnią summę 15,000 talerów bitych *in crastino festi S. Joannis Bapt.* w roku da Bóg przysłym 1705, *exsolvere* submituje. A że *circa exsolutionem* wspomnionej *in crastino S. Stanislai* 1704 liczącej się summy 15,000 talerów od P. Wojewody należącej, N. królewic *una cum diplomate traditionem bonorum praestare exnunc, atque intromissionem et apprehensionem* dóbr bierze *permittere* P. Wojewodzie, niniejszym *obligare* kontraktem; więc téż P. Wojewoda ponieważ już mieć będzie natenczas *jus plenum et assecuratam sibi* do tych dóbr, i one *in realem apprehendet possessionem, super restanti summa* 15,000 talerów na dobrach swoich Królewicach i Czyżowicach, do klucza Bejskiego należących, *inscriptionem modo purae obligationis* uczynić N. królewicowi *tenebitur*. A jeżeliby *pro termino praefixo* ta summa *super praefatis bonis* zeznana przez P. Wojewodę nie była wypłaconą, tedy *in futurum tempus*, t. j. *a festo S. Joannis Bapt. in anno 1705, provisionem adequatam* summie płacić, lub w niej dobra Królewice i Czyżowice, puścić P. Wojewoda

N. królewicowi *tenebitur*" (1). Pod dniem 30 stycznia 1704 r. wydał królewic kupującej stronie, po łacinie pisane *diplomma donatarium*, oblatowane w grodzie lwowskim, na którym tytułuje się: *Jacobus Ludovicus Regius Princeps Poloniae et Magni Ducatus Lithuaniae, Olaviaeque Dux, Provinciarum Inferioris Austriae, Styriae, Carinthiae, Carniolae Gubernator*. Dnia 8 maja 1704 r., zaliczył Wojewoda *a conto* Brodów 13,200 talarów do rąk plenipotentą Jerzego Wyhowskiego, dał oraz skrypt we Lwowie: jako zostaje winien 1,800 talarów, które za trzy niedziele wypłacić zobowiązuje się; poczem objął w posiadanie Brody, czyli jak wyrażono: intromitowanym został. Do zadość uczynienia warunkom kontraktu, stanęła na przeszkodzie wojna szwedzka; królewic Jakób z bratem Konstantym, zdradziecko pochyceni w Szląsku, osadzeni zostali w twierdzy Königstein, a Józef Potocki za granicę uchodzić musiał, gdzie lat kilka przebywał. Wróciwszy do kraju, załatwił z królewicem ostatecznie 1715 r. nabycie Brodów, a w 1723 r. odkupił u Alex. Walewskiego Ssty wartskiego pierwotnie do Brodów należące włości: Koniuszków, Berlin, Bielawce, Bołdury i Smolno. W ową epokę był Józef Potocki jednym z najmożniejszych magnatów polskich, w rozległych zaś posiadłościach ziemskich, nikt mu w kraju nie zrównał; zmarł 1751 r. kasztelanem krakowskim i H. W. K., a syn jego z Wiktoryi Łęszczyńskiej Wdzianki podlaskiej zrodzony, Stanisław Wda kijowski, odziedziczył wraz z innemi dobra brodzkie. Tenże Stanisław podejmował tu okazale 1755 r. posła wysokiej Porty Otomańskiej, przybywającego z doniesieniem Augustowi III o wstąpieniu na tron sułtana. Dnia 11 marca wprowadzony poseł do miasta przy biciu z dział, zaproszony został nazajutrz na ucztę; gdy wjeżdżał do zamku, wystąpiła na dziedzińcu załoga piesza i szwadron dragonii nadwornej, podczas biesiady zaś dawano ciągle ognia z moździerzy (2). Stanisław Potocki piastując następnie godność Wdy poznańskiego, zmarł 1760 r., zostawując z Heleny Zamojskiej trzy córki i synów: Józefa, Piotra, Franciszka i Wincentego.

Po zejściu swój matki uczynili czterej wzmiankowani bracia Potoccy, dział wszystkich dóbr w Warszawie 28 września 1770 r. Wincenty jako najmłodszy, obrał sobie schedę składa-

(1) Dwie włości w b. Wtwie sandomierskim, powiecie wiślickim.

(2) Kuryer Polski 1755 r.

jąca się z następujących majątności: w ziemi lwowskiej Brody z pałacem i fortecą, folwarki: Stare Brody, Gaje Starobrodzkie, Smolno, Gaje Smoleńskie, Nowitczyzna, Łahodów, Drańcza, Dytkowce, Gaje Dytkowieckie, Ponikwy, Boratyn, Wołochy, Hucisko, Koniuszków, Berlin, Bielawce, Bołdury, Suchowola, Czernica, Krzywczyce, i jurydyki we Lwowie: Łyczkowska i Syxtowska (1).

W rok potem, zmarł bezżenny Fran. Potocki; nastąpił dział spadku między trzema braćmi, z których Wincenty otrzymał: miasto Niemirów w Wtwie braclawskim, a w księstwie Zbarskim: Roznoszyńce, Krasnosielce, Hłuboczek, Dobromirkę, Huszczankę, Łozowatę, Obodówkę, Klebanówkę, Jacowce, Korszyłówkę, Supranówkę, Nowesioło, Kozary, Hałuszczynce, Zawaliki, Porochnią, Pisarzówkę, Wójtowce, Musarowce, Terpiłówkę, Kloniny i Rabijówkę. Tylu majątności posiadacz, zwiększył je nowym kupnem; dnia 23 grudnia 1771 r. podpisany został między Józefem na Tarnopolu, Bejscach, Tyśmienicy, Józefowie Potockim krajczym K., a Wincentym na Brodach, księstwie Zbarskim, Niemirowie, Rudniku Potockim, kontrakt w tej treści zawarty: „iż Józef Potocki, dobra swe dziedziczne, t. j. miasto Leśniów, wsie: Piaski, Korsów, miasto Radziwiłów, wieś Parypsy, miasto Stanisławczyk, wsie: Grzymałówkę, Rudę, Lewiatyn, Gaje, Klekotów, Sznyrów, Siestratyn, Niemirówkę i Buhałówkę, bratu swemu rodzonemu Wincentemu, daje, daruje i wiecznemi czasy rezygnuje, a to za sumę *pro pretio* tych dóbr umówioną 1,628,000 zł.”

(1) Należały też do tej schedy, w Wtwie wołyńskim, powiecie krzemienieckim: miasto Zbaraż z zamkiem, Załuże, Stary Zbaraż, Bazarzynce, Lubianki wyższe i niższe, Czerniechowce, Wierniaki, Ochrymowce, Zarudzie, Stryjówka, Hrycowce, Kretowce, Wałachówka, Szlachcińce, Łozowa, Kurniki, Zarubińce, Iwaszkowce, Tarasówka, Sarnów, Kuruweczka, Krzywaczyńce, Petrykowce, Kaczorzyńce, Broniówka, Wodyczki, Klimkowce, Widawa, Moczulińce, Kudryńce, Daniuki, Medwedówka, Łapkowce, Bogdanowce, Kołybanie. W Wtwie lubelskim: wieś Giełczew. W Wtwie podolskim, włości: Olczydajów, Popieluchy i Kotiuzany. W Wtwie kijowskim: miasto Leszczyn z wsiami: Tulin, Łuka, Młyniszczka, Piaski, Iliaszów. W Wtwie braclawskim: Obodówka, Bondarówka, Cybulówka, Torkanówka, Katarzyn, Żabokrzyce, Piatkówka, Bałanówka, Jaroszkówka, Roszki, Konstantynogród czyli Trościaniec, Gordyówka, Kozarzyńce, Sumówka, Kruszykówka, Mytówka. W Warszawie: pałac na Lesznie, z placem i austeryą, magazyn i młyn na Wiśle. Wartość tej schedy oszacowaną była 6,653,955 zł.

Po takim zwiększeniu majątności brodzkiej, począł dzie-
dzic niektóre z świeżo nabytych dóbr, jako wielce długami ob-
ciążone zbywać; i tak: 13 stycznia 1772 r. sprzedał Radziwi-
łów, Oparypsy, Buhajówkę, Lewiatyn i Gaje za 150,000 zł.
Ign. Malczewskiemu regentowi kancel. mniejszej kor., a 17 sty-
cznia t. r. Niemirówkę, Nowesiolo, Koziary i Hałuszczynce, Mik.
Dobrzyńskiemu za 196,346 zł. Nastąpiły później sprzedaże i in-
nych dóbr, Siestratyn zaś kupił 26 stycznia 1790 r. Eustachy
Stan. Zakrzewski generał wojsk koronnych za 180,000 zł. Te-
goż roku 1790 wielką klęską miasto dotknięte zostało, dnia bo-
wem 20 października zgorzało przeszło 500 domów, a kupcy
ogromne ponieśli straty w różnych towarach (1). Zwyż rzeczony
Wincenty Potocki (od 1773 r. podkomorzy W. K. i szef puł-
ku gwardyi konnej kor.; urząd dygnitarski piastował do 1794 r.),
przeżywszy lat 73, zmarł w Koniuszkowie 14 stycznia 1826 r.
Z Anny Mycielskiej wojewodzianki inowrocławskiej, zostawił syna
Franciszka, który sprzedał 1834 r. Brody z przynależnościami
Janowi Młodeckiemu prezesowi sądów gubernii wołyńskiej.

Tymoteusz Lipiński.

Pisałem w Warszawie,
d. 21 stycznia 1851 r.

(1) *Thornische historische Nachrichten, 1790.*



NOWA EPOKA LITERATURY HISTORYCZNEJ POLSKIEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

materiały historyczne wydane w Warszawie.

**Co rozumiemy pod nazwiskiem materiałów? Biblioteka starożytna
pisarzy polskich, Wojcieckiego.**

(Ciąg dalszy).

Jest w Bibliotece Starożytnej i druga *Ekonomia*, napisana przez studenta zacnej akademii krakowskiej, Władysława Jeżowskiego (T. II, str. 205—264) (1). Ale to już nie dzieło uczone, nie przepisy gospodarskie i nie filozofia praktyczna dawnego hreczkosieja, owszem to cały poemat, pretensjami i formą. Brak autorowi wprawdzie na zdolnościach do twórczego obrazowania; skacze też ciągle od przedmiotu do przedmiotu, bo o czém inném mówić

(1) Oekonomia albo porządek zabaw ziemiańskich. Według czterech części roku:

Z którego się każdemu nauczyć potrzeba,
Jako w dobrach Ziemiańskich nabywać ma chleba.

Wydany przez Władysława Stani: Jeżowskiego studenta zacnej Akad. Krak. (dewiza z Psalmu i Jakóba z Ujścia). W Krakowie, w druk: Marcina Filipow: Roku Pań. 1648. Dedykacya Samuelowi z Lipie Lipskiemu podkomorzemu Najjaś. Królewicza Jego Mości Karola biskupa Pł. staroście Żiwieckiemu, panu miłościwemu etc.

zacznie, a na czém inném skończy; nie umie nawet władać językiem, bo pełno w téj Ekonomii wyrazów obcych, łacińskich, z łacińską nawet pisownią: ale to wszystko jednak nie przeszkadza nam przyznać, że poemat jego ma wartość historyczną, jako rys obyczajowy swojej epoki. Złeśmy się wyrazili: Jeżowski nie jest wcale artystą, nie maluje więc fizyognomii swoich czasów, ale dostarcza nam ciekawych i drogich szczegółów do zrysowania obrazu. Chciał uczeń przesławnej akademii napisać sielanekę, ale przemo-gło w nim satyryczne usposobienie i rozwodził tylko skargi i żale.

Oto, jak cel swojego poematu nakreślił Jeżowski w odezwie do Samuela Lipskiego: „Płód zaś dowcipu mojego nie inszy jest, tylko rok ze czterech części złożony i wystawiony. Jako wiosna wieńcem pięknie z rozmaitego kwiecia uplecionym ozdobiona, jako lato gorące wielkimi skarbami żyznego zboża ubogacone, jako jesień obfita, smaczniemi owocami hojna, jako zima przykra przedłużonemi nocami wczasowita, krótko opisałem.“ Powtarza to samo w wierszu do czytelnika, ale innemi słowy. Nie dotrzy-mał jednakże obietnicy i pisał o czém inném zupełnie, ale nie o gospodarstwie i czterech porach roku, chociaż poemat rozdzie-la się na cztery główne części, w których opisują się niby zabawy wiosenne, letnie, jesienne i zimowe.

W ustępie poświęconym wiosnie wylicza Jeżowski roboty gospodarskie w polu i w ogrodach; a powiedziawszy, że:

„Przynosi nam miły maj zielone jarzynki,
Miszkulancye włoskie, potym sałateczki,
Szparagi i karczochy, smaczne łakoteczki.”

zaraz udaje się do Cerery, bo bez mitologii kroku ruszyć nie mogli dawni poeci, i wystawia rolę, jako klejnot drogi. Od roli bardzo proste przejście do gniewu na czasy, na zaniedbane ziemie; i nie dziwnego, Jeżowski potrafiłby znaleźć związek pomiędzy maczugą Herkulesa, a Rplitą na księżycu. Od takich wyliczeń zaczyna się każda pora roku.

Żył Jeżowski w czasie, w którym oprócz zbytku, już siła złego było w Koronie. Po wszystkiém widać, że miał serce, bo ubolewał nad tém, co się działo w Rplitéj; widać, że miał téż i wiele trafnego sądu, bo przewidywał skutki i przyszłe nieszczęścia ojczyzstego kraju. Wołał razem z innemi na ogólne zepsucie, na nierząd, który się wkładał wszędzie od zamków pańskich aż do zagrody szlacheckiej; ale kiedy poważniejsi latami i urzędem ludzie wołali w Rplitéj napróżno, jakby na puszczy, cóż mógł poradzić

biedny Jeżowski? Postawił tylko pomnik obywatelskim swoim uczuciom, bo oto po upływie lat dwustu, piszemy o nim i przeczucamy stronnice jego Ekonomii.

Jeżowski nie lubi Niemców i z ochotą im przymawia gdzie można. Polskę nazywa karmicielką ziem cudzych, a zwłaszcza sąsiadów na Zachodzie. Wskazuje na korzyści, jakieby z tego powodu mogła ciągnąć Rplita, gdyby umiała dobrze chodzić około siebie, gdyby gospodarstwo swoje poprawiła, a szczerze zajęła się handlem. Hojne nasze kraje bogacą tylko postronnych. Niemiec i wodą i lądem wyprowadzał z Polski niezmierne zapasy, kupował wszystko za bezcen, a sprzedawał drogo za granicą. Nawet zboże i woły brał z Polski. Żeby jeszcze przyjechał do nas za kupnem, byłoby pół nieszczęścia, ale rzeźnicy nasi prowadzili sami woły na Szlązko, w garście włącząc Niemcowi. Ztąd drożyzna w kraju, a Niemiec śmiał się, że mu Polacy sami usługują:

Niechaj sobie przyjedzie tak Szlązak i Niemiec,
Po woły i każdą rzecz wszelki cudzoziemiec (str. 239).

Ztąd,—to fakt historyczny, który zwróci na siebie uwagę badaczów,—podano raz projekt na sejmie, żeby taxa ze czterech stron w Polsce stanęła, bo ziemianie nasi nie mieli pieniędzy, wysyłając je za fraszki za granicę. *Szoci* sprzedawali te fraszki jako chcieli drogo, a Polacy dlatego wielką szkodę mieli:

Lecz gdy u nas panowie co kiedy uradzą,
Do efektu dobrego nic nie przyprowadzą.

Narzekał Jeżowski i na to, że siła pozwala się mieszczanom. Mieszczanie kupowali wioski i osiadali na ziemskim gospodarstwie; ztąd upadały miasta, bo obojętność dla nich rosła właśnie pomiędzy temi, którychby wzrost osad najwięcej w kraju interesować powinien. Cudzoziemskim zwyczajem, czy jakim się stawa, mówił Jeżowski, że tak wiele mieszczan po wsiach, i dlatego szlachty mało do potrzeby po województwach. Majątki ziemskie za jego czasów były albo w rękach panów wielkich, albo spanoszonych mieszczan. Ztąd też niegdyś (tu przymówka):

Nie prosili przodkowie żadnych cudzoziemców,
Ani też zasiękali dla pomocy Niemców:
Sami zawsze potężnie, znaczny odpór dali (str. 240).

Przodkowie nasi kochali się przedtém w roli, a o fałszywych kontraktach nigdy nie słyszeli. Dzisiaj, mówi Jeżowski, tych kontraktów podostatku wszędzie:

Bo przed Szoty, żydami, wioski nie nabędzie
 Szlachcie, musi do miasta: bo na wsi nie może
 Wskórać: zdrożały wioski.
 Arendować mu nie chcą, mówią, że pieniędzy
 Więcej daje żyd; szlachcie musi zostać w nędzy,
 Z ubogimi działkami wniwecz się obraca.
 Albo też gdzie na lichéj musi kondycyęj
 Siedzieć, kończący swój wiek, jak w penitencyej;
 To żadnemu nie szkodzi, który szlachcie dawny
 Z przodków swych? napisany wykład na to prawny.
 Szlachcie, który poczciwy, by siedział w ogrodzie
 Równy kasztelanowi, także wojewodzie.
 Któż jest większą przyczyną, że szlachta drobniej?
 Panowie niepobożni, żydów dobrodzieje i t. d. (str. 219).

Na żydów szczególnie unosi się Jeżowski i jest bardzo często z tego powodu wymowny. Nazywa ich bąkami zakonu starego, co pszczołom wybierają miód z roju nowego (str. 244).

Podaje na tych bąków i na dobrowolne ubóstwo kraju stosowne środki Jeżowski, i zawsze rozводи się z myślą zaprowadzenia taxy. Pod tym względem ma trafny rzut oka i wiele prawdy w swoim zdaniu.

Do szlachty, jak widzieliśmy, przemawia zawsze językiem, którymby chciał przypomnieć spółbraciom świetne ich przeznaczenie w rzeczypospolitej. Ziemianie mają piękne przewiska od ziemi nadanej im przez królów. Kto szlachcie, to i ziemianin razem. Dzisiaj (za Jeżowskiego) są ludzie:

Co nie są we wsi szlachta, ni w mieście ziemianie. (st. 232)
 Szlachcie ma być szlachetny nad wszelakie stany
 Z przodków, sławy, z postępów, z inszych cnót nazwany.
 Jest siła miejskich ludzi, szlacheckie przewiska
 Używają częstokroć i rzemieśniczyska.
 Dobrze rzemieśnikowi mieć przewisko na *wiecz*
 Nie na *ski*, szlachecka to: warowniej Kukłowicz,
 Takowych tytulantów często bierzowano.

Kończą poemat dwa osobne poemata: *Zabawy ziemianek*, znowu piękna sielanka i rys obyczajowy, jakich tu wszędzie, i *Zbytki terażniejsze miejskich białychgłówn*, rzecz także napisana z ogniem oburzenia, warta przedruku, bo to czysty materyał dziejowy.

Zoiloni, czyli raczej *obmówcy*, tak przymawia Jeżowski:

Zazdrości swęj dogadzasz, bo chociażby złoto
 W gębę twoję płynęło, rzekłbyś, że to błoto:

Ja nie dbam, żebyś chwalił: a to jako baczysz
Napisalem: ty na swym poprawiaj jak raczysz.

Jeżowski, jak z tytułu widać, chciał napisać poemat wiejski, a napisał nie sam tylko wiejski poemat. Wszystko tu pomieszane: satyra obok moralności, myśl obok uczucia; nie ma jednego ciągu, nie utrzymany wyłącznie jeden interes, a jednak wszystko to żywo interesuje.

Idzie z kolei *Szcześliwa expedycya Potockiego z r. 1674.* (Tom III, str. 71—97) (1).

To już żywcem historia, nie poezya, jak Zbylitowskiego *Droga do Szwecyi*, chociaż historia wierszem, podług zwyczaju owych czasów. Ma wprawdzie i pan stolnik latyczewski żyłkę do poetyzowania, chce opowiadać z wdziękiem i w obrazach; dlatego zdobywa się na koncept i czasem porównaniami sadzi, ale to już tylko pretensya. Wiersz wszędzie nędzny, mechanizm wcale dziwny, ale co wartość broszury wysoko podnosi, to znakomita jej wierność historyczna. Fakt tutaj snuje się za faktem, a wszystko interesujące szczegóły. Stolnik latyczewski znajdował się na wyprawie Potockiego i opisuje to, na co patrzył własnemi oczyma.

Zdawałoby się jednak na pierwsze spojrzenie, że wyprawa ta pod Kamieniec jest czémś ważniejszém. Makowiecki wciąż Potockiego nazywa regimentarzem wojsk rzeczypospolitėj. Po przeczytaniu pokazuje się, że to była mała wyprawka, spór pograniczny z Turkami, który odparł p. wojewoda *własnym dowcipem*. Rzecz jednak ciekawa, tém bardziej, że spór ten przypadł właśnie w czasie bezkrólewia po królu Michale, w zimę śnieżną, w mróz styczniowy.

Potocki działał tutaj nie na mocy upoważnienia szczególnego rzeczypospolitėj, ale na mocy własnego przekonania. Marcin Bogusz podstoli nowogrodzki, stojący na pograniczu, doniósł p. wojewodzie, że ludzie jego, gdy z dobytkiem powracali do pułku, przez nieostrożność, dali się pokrzywdzić straży tureckiej. Potocki, który miał zlecenie od hetmana Sobieskiego pil-

(1) *Szcześliwa expedycya pod Kamieńcem z Turkami* Jaśnie Wielm. Jego Mości p. Jana na Potoku i Buczaczu Potockiego wojewody Brack. Czerwonogrodzkiego etc. starosty, natenczas Regimentarza wojsk Rzeczypospolitėj. Przez Stan. z Wielkiego Łukoszyna, Makowieckiego Stolnika Latyczowskiego, wierszem polskim opisana i do druku podana. Która się stała Dnia 16 miesiąca stycznia, roku pańs. 1674.

nować granicy, ściągnął zaraz wojsko i ruszył naprzód, żeby się pomścić zniewagi. Bohaterami téj wyprawy byli Bogusz i Kijaszka jakiś; to ostatnie, widać może obozowe nazwisko jakiego dowódcy. Pod nimi szły chorągwie kwarciane. Dowodzili niemi Adam i Marek Siekierzyńscy, Jerzy Steckiewicz, Franciszek Wasilkowski, Hieronim Lanckoroński, Humiecki, Protasewicz i t. d. Sam wojewoda szedł jednak na czele i ruchami ogólnemi kierował.

Wojsko skupiło się na dolinie Hołoskosko za Smotryczem. W pudłoskim lesie zdybują Polacy Turków rąbiących drzewo, rozpędzają ich, i dowiadują się od jeńców, że Kamieniec ledwie się już trzyma, bo w fortecy nędza, że żołąd nie przysyłają ze Stambułu, konie zdychają, drożyzna okropna, a Turcy muszą do lasów wychodzić i drzewo rąbać, żeby je potem sprzedawać w mieście dla kupienia kęsa chleba. Gdyby wojsko polskie podstępowało pod Kamieniec, janczarowie uderzyliby na paszów i twierdzę rzeczypospolitój wydali. Ale jak na nieszczęście Potocki nie miał tyle wojska, żeby uderzyć na Kamieniec. Wtém Turcy zrobili wycieczkę z twierdzy. Następuje bój, w którym i zasadzka grała rolę,—bój, przedmiot opisu Makowieckiego. Polacy odnieśli tak świetne zwycięstwo, że sami się nawet takiego nie spodziewali. Każdy cudów męstwa dokazywał, a waleczność swoje nawet chwali Makowiecki. Poemat jest bardzo ważny, bo wylicza osoby i opisuje czyny każdego pojedynczo rotmistrza, albo porucznika, albo towarzysza. Turcy zemknęli pod mury twierdzy, ale tam już za nimi nie pogonił wojewoda braclawski, bo harmaty na bateriach poustawiane, przstraszyły ścigających. Nie wypadli téż i Turcy z Kamieńca, bo kiedy spojrzeli z murów po wojsku polskiem, które się w szyku rozciągnęło po błoniach podolskich, zdawało im się, że Potocki dziesięcią tysiącami dowodzi, a on miał tylko wszystkiego 2,000 żołnierzy. Nastąpiła i rozmowa dowódców tureckich z polskimi, rozmowa, która się zakończyła strzałami. Pasza pytał się naszych, kto niemi dowodzi. Nasi odrzekli, że Bogusz, chcąc ukryć wyprawę Potockiego; przez uczucie dumy nie mieli myśli się wydać, że aż wojewoda na Turków uderzył. Bisurmani dziwili się i mówili, że to być nie może, bo tylko dziewięciu rotami dowodzi Bogusz, a tu widzieli aż 33 rotę. Po téj rozmowie wojsko wraca za Horyń. Zwycięzcy dzielą się łupami. To cała treść *szczęśliwej expedycyi*.

Przy téj okoliczności poprawić musim pomyłkę Niesieckiego. Podług *Korony*, Jan Potocki wojewoda braclawski umarł w r.

1670. Tymczasem widzimy go tutaj, działającego w styczniu 1674. O lat cztery różnica. Albo więc Niesiecki pomylił się w dacie śmierci, albo też po jednym Janie Potockim był drugi Jan Potocki, wojewoda braclawski. Niesiecki jednak w spisie wojewodów kładzie zaraz po Janie, księcia Konstantego Wiśniowieckiego.

Wyżej opuściliśmy tragedję Jeftes, która jest także w zbiorze Wojcickiego w tomie pierwszym str. 271 do 339 (1). Jeftes nie ma nic wspólnego z dziejami polskimi i może chyba interesować sztukę polską. Na zasługi autora téj tragedyi wskazał już przed nami Majorkiewicz.

Oto wszystko, co nam dał Wojcicki z broszur; oto i skończony cały szereg jego przedruków. Przekonajmy się z tego obrazu, ile tutaj skarbów prawdziwych, i czémby Biblioteka Starożytna być mogła, gdyby się nie na sześciu tomach skończyła. Zobaczmy teraz, jaką wartość i treść mają rękopisy, i ile te rękopisy rozświetlają przeszłość narodową.

Znajdował się w bibliotece niegdyś Józefa Dzierzkowskiego rękopism in folio, w pergamin złoty oprawny, a zawierający *prawa i artykuły Ormian lwowskich*. Prawa te nadał na sejmie piotrkowskim w roku 1519 Ormianom Zygmunt Stary (data przy końcu wyrażona 1512 jest fałszywa). Oryginał był łaciński, a rękopism, o którym mówimy, przełożono na język polski 1601 r. Przepisał go w roku 1658 Jakób Wartanowicz starszy praw Ormian lwowskich, a Tadeusz Wasilewski (zmarły w roku 1850), dał Wojcickiemu do odkopiewania te prawa. Oto historia samego rękopismu (tom I, str. 31 do 137).

Nabytek nadzwyczaj ważny dla dziejów ogromnej niegdyś ludności, która osiadła na ziemi naszej. Zaczyna się rękopis od wykładu, jakim sposobem ma się odbywać gajenie sądu ormiańskiego. Następuje przemowa króla Zygmunta, z której widać, że Jagiellończyk zatwierdzał tylko prawa, jakie Ormianie z ojczyzny swojej do Polski wynieśli. Potém idzie text prawa. Król stanowi o testamentach, o formalnościach używanych przy małżeństwie, o prawie kmięcém i t. d.

Text składa się z kapitalów czyli artykułów. Za bardzo wielą artykułami stoi osobno przydatek króla Jegomości, bo oczy-

(1) Jephthes. Tragoedia Jana Zawickiego. W Krakowie w drukarni, Łazarzowej, Roku 1587. Dedykacya Stanisławowi Mińskiemu.

wiecie Zygmunt w wielu miejscach musiał zmieniać ustawy azyatyckie; ale prawo samo ułożone bez systematu. Razem jest tutaj i kodex cywilny i kryminalny, i moralności przepisy zmienione w prawo, i text postanowień handlowych. Prawo to nie podaje wcale zasad, a stanowi na pewne przypadki, i dlatego ważne jest dla nas, bo nam daje zarysy cywilizacji Ormian polskich.

Zapewne w prawodawstwie naszym niejedyn artykuł nie uszedłby w kodexie, a niejedyn wydałby się może i za zbyt dziecinny. Różnica też wielka pojęć naszych od pojęć wieku XVI.

Bawią czytelnika np. postanowienia o pijanych ludziach, dziwią kary na człowieka, któryby drugiego ciągnął za brodę, albo prawo o cudzym wole, któryby kogo uderzył, albo o człowieku, któryby wpadł w dół, albo o koniach, co mają zwyczaj obrażać. Są przepisy i o sposobie noszenia szat, i kary na ludzi, co cudze konie straszą; jest o rzekach bieżących po wsiach i o niedoskonałych lekarzach. Są prawa dla kupców, kramarzy, dla rzemieślników i pastuchów, dla sierot i dla sędziów. Jest o dołach i studniach, jest o kupnych niewiastach chrześcijańskich, i kupnych sługach pogańskich. Jednym słowem, tu cała encyklopedia Ormian, tutaj cały krajostan narodowy.

Nie wątpim, że kiedyś jaki z prawników naszych, podług tych ustaw, skreśli nam stosunek prawodawstwa ormiańskiego do ogólnego prawodawstwa w kraju. Będzie to praca wielce nauczająca.

Za rękopismem Dzierzkowskiego, idzie *Kronika od r. 1507 do 1541*, spisana w r. 1549 (tom 6. str. 1—38). Prawdziwie kronika,—bo żadnego życia, a same daty; żebyć te jeszcze daty przynajmniej były dokładne, wyrażały i dzień i miesiąc, interes byłby większy. Ale zawsze i w takim składzie jak jest, kronika nasza zawiera ciekawe szczegóły o zamku krakowskim za Zygmunta Starego i królowej Bony. Znaleźliśmy także tutaj parę wspomnień o księciu Konstantym Ostrogskim, i o Janie z książąt litewskich, naturalnym synie królewskim; dwa też szczegóły dla życiorysu sławnego Seweryna Bonara: dalej wiadomości, że prymas Drzewiecki umarł w drodze do Krakowa, spiesząc konno na wesele królowej Jadwigi, która szła za Joachima brandenburgskiego; i wiadomość o wjeździe biskupa Latańskiego do Krakowa. Mamy tutaj zachowane podanie, że synek młodszy Zygmunta Starego, którego Bona poroniła na łowach w Niepołomickiej puszczy, miał na imię Olbracht.

Byłoby to wszystko ciekawe do najwyższego stopnia, chociaż opowiedziane tak bez krasy, gdybyśmy mogli na ślepo zawierzyć podaniom kroniki. Ale dostrzegliśmy, że często z prawdą omija się ten zlepek ciekawy. Jużto naprzód pomieszane tutaj są bardzo i daty i czasy, tak, że niewszędzie dojść można porządku i przekonać się o prawdzie jakiegoś podania. Potem zaraz uderzają fałszy. Jeśli np. powie kronikarz, że Zygmunt Stary ożenił się z Barbarą Zapołską 8 lutego 1492, że w r. 1500 tenże Zygmunt wystawił bratu swojemu kardynałowi Fryderykowi nagrobek w katedrze krakowskiej; oczywiście wiara dla niego upaść musi. My znamy kilku piszących po polsku, coby za te błędy gotowi wykląć kronikę, kilku znowu takich, którym ona z powodu tych dat fałszywych, może parę nocy oczu zamrużyć nie pozwoliła; a jednak my w szczerzej wierze i w prostocie naszego serca przypuszczamy, że i ona pożyteczna, choć błędna czasami, że i ona przyda się na coś.

Rozprawa już pod tytułem: *Spisanie kroniki o ziemi wołoskiej, także i o Gospodarach jej, jako najpierwej Wołochowie przyszli do ziemi wołoskiej, i który najpierwszy Gospodar albo wojewoda ich był od roku pierwszego stworzenia świata roku 8624, od narodzenia Bożego 1352, w r. 1566, 28 die mensis 8bris w Jassiech*, chociaż z rękopismów po Adamie Naruszewiczu wyjęta, doprawdy nie wiemy, czy przyda się na co. W tej rozprawie nie ma nic, oprócz spisu wojewodów, pełnego błędów, oprócz kilku rzeczy znajomych, a najokropniej zepsutych. Naruszewicz mógł starać się o ten rękopism, ale dostawszy go, pewnie wzruszył tak ramionami, jakeśmy sami wzruszali (T. VI. str. 51—67).

Za tém idzie kilka ciekawych urzędowych dokumentów, jak np. przywilej Zygmunta Augusta w Wilnie 21 lutego 1547 r. wydany dla Witebska, w którym czytamy zatwierdzenie praw tego miasta od dawnych książąt i królów (T. VI. str. 195). Przywilej ten wydrukowany z rękopismów archiwum króla Stanisława, a ze zbioru Dogiela. Potem z tychże rękopismów i Dogiela Zbioru, przywilej unii Wiel. Księstwa Litewskiego z Koroną, pod dniem 1 lipca 1569 (T. VI str. 203) i unia Korony z Litwą z dnia 4 lipca 1569 (tamże str. 235). Obadwa dyplomata własnością były Naruszewicza, jak świadczy podpis jego z roku 1782. Oryginał pierwszego dokumentu do dziś dnia zachowany w archiwum nieświeżskim.

Cyrograf Jana Herburt z Fulsztyna, w Tarnowcu i Biebnich dziedzica, dany w piątek po ś. Wawrzyńcu w roku 1575, Wojcicki do pomników języka zaliczył; my go uważamy za dokument historyczny. Herburt pożyczył od Michałowskiego 90 tal. węg. i chciał mu oddać tę pożyczkę na ś. Marcin w dworze królewskim bieckim. W przeciwnym razie poddawał się dobrowolnej bezczęści (T. I str. 343).

Artykuł pod tytułem: *Panowanie króla Jmci Stefana Batoro* (T. VI str. 39) ma zbyt wiele obiecujący tytuł, a i milionowej części obietnic nie spełnia. Rękopism był w bibliotece Załuskich nr. 413. Na drugiej zaraz kartce po wstępie czytamy: „sequitur dyaryusz Wielm. Jmci pana Dunina podkanclerzego koronnego”. Otóż i nowy autor odgrzebany w przeszłości narodowej; szkoda, że nie większej zasługi. A mógł nim być zapewne znakomity dyplomata, poseł na hiszpańskim dworze, gdzie się upominał o spadek Bony; człowiek uczony i światły, potem kanclerz i biskup płocki ksiądz Piotr Wolski. Z jego dyaryusza nie nauczyliśmy się nic nowego. Ciągnie się od rady senatu z d. 27 marca, aż do pobicia Gdańszczan, w dniu 15 kwietnia 1577 r.

Mieszczanie zamojscy byli wolni od płacenia ceł na Wiśle, a tymczasem w Kujawach pobierali od nich opłatę arendarzy Stan. Garwaskiego kasztel. płockiego, który prawem dożywotnym cła trzymał od króla Jegomości. Wynikły ztąd nieporozumienia, którym chcąc koniec położyć, Garwaski pisał do Zamojskiego list, tłumacząc się. List ten z Krakowa 1602 r. znajduje się w tomie V, str. 309. Jednego z Garwaskich wspomniał Jędrzej Zbylitowski w *Drodze do Szwecyi*, że przyjechał za królem do Sztokolmu. Jeżeli tam mowa o kasztelanie płockim, to dwa szczegóły nowe do jego życiorysu.

Przywilej dla rzeźników sandomierskich, wydany we wrześniu 1620 r. (T. II str. 295), przyda się dla historii cechów miejskich w Polsce.

Pogrom' Tatarów przez Wielm. hetmana kor. Stanisława Żółkiewskiego, których 30000 legło od siedmiu tysięcy rycerstwa polskiego, w wołoskiej ziemi, 6 octobris w r. 1620. Przytym ordynek wyprawy tatarskiej na wojnę Marcina Broniowskiego i zaś edykt Kozaków niżowych, nie możemy powiedzieć z pewnością czy przedrukiem jest, czy też z rękopisu wydany. Wojcicki nas nie objaśnił; zdaje się, że to przedruk. Dewiza na kartce tytułowej:

„Vespasianus inquit, stando moriendum est pro R. P. Imperatori.” Byłaby to rzecz ciekawa, dopełniająca powieść o wielkiej klęsce, gdyby Broniowski lepiej i więcej powieździć umiał. Ale nasz autor więcej erudycją, jak swoim przedmiotem był zajęty. Erudyt,—więc zbacza często do historii rzymskiej i Ilionu. Zamieszcza w texcie swojego opowiadania: „to przywilój ludziom zasłużonym od Rzymian”, „to przywilój Karola W. ludziom służebnym”: pisze o wyprawie na wojnę Tatarów i prędkości, pokazuje ordynek ich w ciągnienu i jak się pod zamkami sprawują; wreszcie pisze o kotarach tatarskich, o edykcje kozackim, o wojsku Tatarów tauryckich, o stoczeniu bitwy i szykowaniu wojska, o podziale wreszcie jeńców chrześciańskich, pędzonych w jassy, na granicy Krymu. Wszystko byłoby to bardzo ciekawe, gdyby, jakżeśmy to powiedzieli, Broniowski opowiadać umiał, bo kilka wyrazów od niechcenia, nic nie nauczy, zwłaszcza w kwestyach tak ciekawych.

Wyczytujemy jednak i w tój nikczemnej broszurce wspomnienie o jednej bohaterce polskiej. Była to Anna Jordanowa kasztelanowa krakowska, z domu Sieniawska, hetmańska córka. Dla obrony od Tatarów wymurowała ona w Mikuliniczach zameczek na samym szlaku najeźdców. Pisze o tём i Niesiecki, ale Broniowski dodaje: że Tatarzy odtąd mijali te strony. „Wielki to animusz był tój paniej, że gdyby się jój było godziło to ręką uczynić, co w myśli miała, siła przed bojaźliwym bellikosą dokażać mogła”. *Pogromu* tego w texcie jest 12 kartek, a jednak o samym pogromie trzy kartek, nie więcej (T. III, str. 223).

Do tój samej epoki cecorskiej klęski, odnoszą się i *woloskie dzieje niektóre, z relacyi pewnych osób* (T. V, str. 205). Mamy tu naprzód obrachowaną siłę Żółkiewskiego, podług oddziałów wojska, kiedy ruszał na wsparcie Gracyana. Hetman miał tylko 9,000 ludzi. Rękopis mały, ale może być użyty przy opisaniu nieszczęśliwego pola Cecory. Zaczyna się od 2 września 1620 r., a ciągnie się do 6 października. Wiadomość szczupła, ale niezbyteczna.

Umowy ze Szwecyą. Dyaryusz Janusza Tyszkiewicza z roku 1625 (T. V, str. 1, 77). Król Zygmunt IIIci na początku r. 1625, złożył sejm w Warszawie, na którym stany pragnął zachęcić do wojny ze Szwecyą, bo jeszcze myślał o strąceniu z dziedzicznego tronu sudermańskiej dynastyi. Ale posłowie na po-

datki przystać nie chcieli, a do układów z Gustawem Adolfem wysadzony był Janusz Tyszkiewicz wojewoda wtenczas mściłowski.

W dyaryuszu, o którym piszemy, jest z początku listowanie, które prowadził Tyszkiewicz z osobami dworu, będąc już wyznaczony do układów. Piszą do niego: król Zygmunt, podkanclerzy litewski a szwagier wojewody Paweł Sapieha, i drugi podkanclerzy biskup Stanisław Łubieński. Tyszkiewicz odpowiada im także. Najniewinniej naraził się wojewoda królowi; chciał albowiem wyczerpać wszystkie spokojne środki, zaczęmby w pogroźki wojny uderzył. A król właśnie chciał zerwania układów i natychmiastowej wojny. Z tego powodu uniewinniał się przed Zygmuntem Tyszkiewicz, a żalem zranione serce wymownie się tłumaczyło przed majestatem: „że Rzeczpospolita po takich ciężkościach, które ją w tych dwudziestu kilku lat najciężej trapiły ustawicznie, wychnąć wzdoby mogła”. Król zagniewany był wtenczas i na hetmana polnego Krzysztofa Radziwiłła, i na księdza biskupa wileńskiego Eustachego Wołłowicza. Z Dyaryusza tego wyjaśniają się choć troszkę powody gniewów. Układy w samą rzecz nie doprowadziły do pożądanego skutku: król szwedzki napadł Prusy i rozpościerał w nich pożogę, ale dyaryusz zawiadamia nas o treści układów. Nie mieliśmy jeszcze do tego wypadku wielu wiadomości; w Tyszkiewiczu spotykamy to właśnie, czego nam dotąd brakowało:—dokument prawie urzędowy.

Drugie umowy ze Szwedami w r. 1635 w Sztumsdorfie prowadził kanclerz Zadzik. We wrześniu podpisany był wprawdzie pokój, ale rokowania zaczęły się jeszcze w styczniu tegoż roku. W V tomie Biblioteki (str. 93) mamy nadzwyczaj ważną *relacyą kommissyi ze Szwedami, uczynioną in martio*. Jestto raport do króla, i, jak zdaje się, pióra Zadzika. Myśmy przynajmniej po tonie relacyi poznali to. Rękopism niezmiernéj wagi.

Do wojen szwedzkich za Jana Kazimiérza także przybyły ciekawości. Przed samém rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich, Rzeczpospolita przewidując burzę od Północy, czyniła co mogła, żeby się przed nią zasłonić. Wysłany został do Sztokolmu do ministrów Karola X jakiś Żabiński. Za nim dopiero wielcy posłowie mieli wyjechać. *Per Ulyssleos* po morzu *errores*, Żabiński stracił dwie niedziele, zanim przybył do Sztokolmu. Z Gdańska puścił się na morze 7 czerwca 1655 r., i stanął w sto-

licy szwedzkiej dopiero 21, a 26 już pisał list do prymasa Jędrzeja Leszczyńskiego, ale jeszcze bardzo spokojny. Donosił jednak, że cała Szwecya brzmi odgłosem wojny, że floty się gotują, że jeżeli przyjdzie do starcia się, piorun od Wielkopolski wypadnie. Nasi jednak panowie spali i z niemi król Jan Kazimierz. List Żabińskiego jest umieszczony pod tytułem: *Traktaty ze Szwedami* (T. V str. 79), bo prócz tego, zaraz idą punkta nie-szczesne W. Polski (pod Ujściem), i punkta niektóre do traktatów szwedzkich, gdzie mowa o Inflantach i Piltynie. Szlachta pod Ujściem, pokazuje się z tego i z wielu innych niedawno zrobionych odkryć, poddawała się królowi szwedzkiemu pod protekcyą, zostawiała go przy dochodach i władzy królewskiej, pozwalała mu rozdawać urzędy, w sądach pod imieniem Karola Gustawa, miała wyrokować sprawiedliwość, warowała tylko sobie szlachta dawne wolności i prawa. Ciężkieto nadużycie, bo to przywłaszczona dyktatura nad narodem, części szlachty, przeciw ogromowi jeszcze. Było zatem dwóch królów w rzeczypospolitej: jeden panował w Wielkopolsce, drugi w reszcie kraju. To nam tłumaczy, dlaczego potem szwedzki wojownik nie chciał zwoływać sejmu elekcyjnego, kiedy go o to upraszali Sandomierzanie. Była w tém wszystkiém intryga, dzisiaj jeszcze głęboką tajemnicą pokryta. Poddanie się pod Ujściem nie było skutkiem chwili, nie nastąpiło z przerażenia, jak to dotąd utrzymywaliśmy. Przyczyny sięgają głębiej; widać, że Jan Kazimierz miał silne przeciw sobie stronnictwo, które nawet wielkiego zamachu się dopuściło.

Wszystkie traktaty, ugody i umowy ze Szwedami, w Bibliotece, wydrukowane zostały z rękopisów Albertrandego, który w księżnicach skandynawskich znalazł te relacye i ciekawe opisy.

Co do samej wojny, w Bibliotece Wojcickiego, znajdują się dwa także bardzo ważne kawałki. Jedno nazywa się: *Opisanie wielu poważniejszych rzeczy, które się działy podczas wojny szwedzkiej w królestwie polskiem od roku Pańs. 1655 w miesiącu lipcu, aż do r. 1660 w miesiącu maju trwającej, w sobie zamykające i do wiadomości potomnym wiekom podane* (T. V, str. 151 do 208). Drugie nazywa się: *Szwedzi do Polski za króla Gustawa* (T. I. str. 185—246). Znajdziem w tych dwóch opisach wiele nowych faktów. Charakter M. Ludwika wyraziście pokazuje się; byłato kobiéta z rozumem dyplomatycznym w całym znaczeniu tego wyrazu. Jój gieniusz w części ocalił Polskę, a nie mniema-

ne poświęcenie się Jana Kazimiérza. Bardzo interesujące szczegóły czytamy o układach, jakie Karol Gustaw zagał z wygnanym Wazą na Szlązku, kiedy go prosił, aby Jan Kazimiérz uznał go tylko za syna. Królowa prowadziła całą tę dyplomatyczną intrygę, i potrafiła zawieść nadzieję zdobywcy (T. V, str. 160—170). Forguel, Denhof Henryk, podkanclerzy Jan Leszczyński, występują tutaj w rzeczy zupełnie dla dziejów polskich nowój, bo nawet senat zgromadzony na Szlązku, radził królowi skończyć wojnę przez obranie sobie następcy. Tę propozycyę może i zapadły w serce Maryi Ludwice, że potem tak z zapalem dobijała się elekcji za życia króla.

Zaczepiliśmy o sprawę Lubomirskiego. W Bibliotece są dwa do niej wyjaśniające fakta. Mamy naprzód manifest Jana Kazimierza piorunujący przeciw marszałkowi, wydany w Warszawie 11 maja 1666 r. Był ten manifest wprawdzie drukowany i rozesłany starostom, wszystkim wojewodom, senatorom, izbie poselskiej, rozrzucony w wojsku, po wszystkich grodach i miastach; a jednak dobrze, że ocalony i wydrukowany tutaj został jak rękopism. Mamy powtóre list Jana Kazimierza do Małachowskiego sekretarza, który potem był krakowskim biskupem, z d. 19 lutego 1666 r., list bardzo tajemny, do własnych rąk, w którym rozpytuje się król, czy prawda, że hetman wielki a krakowski wojewoda, Stanisław Rewera Potocki, przy stole, wobec wielkiej liczby osób powiedział; „darmo się panowie ofiarujecie, skoro wiosna nastąpi, musi to być, że całe wojsko przejdzie na stronę Lubomirskiego”. (T. V, str. 209 i 317).

Z czasów Jana Kazimierza mamy jeszcze w Bibliotece *Testament Tobiasza Morsztyna łowczego koronnego z r. 1664*, wydrukowany z oryginalnego rękopismu (T. V, str. 113 do 149). Takich testamentów dawać nam więcej, a będziemy pisali żywoty sławnych mężów naszych, i schwycimy dobrze ich historyczny charakter. Tobiasz było człowiek pobożny, założyciel kościoła i klasztoru Bonifratrów w Warszawie. Widzimy tutaj całe jego serce, widzimy zamożność dawnych panów polskich, widzimy ich sprzęty i sposób życia. Do historii Morsztynów przybył znakomity pomnik. Dzieje téj rodziny, tajemnicze i zagadkowe dzisiaj, kiedyś będą bardzo chciwie czytane. Ci ludzie, którzy się tak nagle pojawili i tak nagle znikli, wiele wspomnień nawiązali do swojego imienia. Stali na czele sprzysiężenia, które szeroko swoje korzenie rozgałęziło, i nurtowali długo i skrycie w łonie rzeczy-

pospolitéj. Ale to jeszcze wielka zagadka, jakie były ich plany; zamiary, widoki, i czy chcieli się zasłużyć krajowi, czy téż narazić na pogardę swoje imię. A nim będziemy mieli dzieje rodziny Morsztynów, przeczytajmy tymczasem testament łowczego koronnego. Jeden to z najciekawszych testamentów.

Do panowania króla Michała mamy dwa zabytki: list samego Korybuta z Warszawy, 14 stycznia 1670 r. do Tarły wojewody sandomierskiego, z zaproszeniem na ślub do Częstochowy i na wesela do stolicy, z poleceniem, żeby wydał ze skarbcu krakowskiego, bo miał do niego klucz, koronę z innemi insgniami (T. V, str. 323), i komput wojska na wojnę turecką za króla Imci Michała, z rękopismów Naruszewicza (T. VI, str. 253). Rzecz nadzwyczaj ciekawa; obejmuje spis hussarskich, pancernych, kozackich, wołoskich, arkabuzerów, spis dragonii, piechoty i Węgrów. W każdej chorągwi podana liczba żołnierzy starego i nowego zaciągu. Każdej chorągwi nazwany dowódzca. Jestto statystyka wojskowa w r. 1672—1673. Z końca, gdzie summaryusz, dowiadujemy się, że koronnego wojska było 31,270, litewskiego 12,000, razem 43,270. Przypomina się nam wydanie Raczyńskiego w r. 1830 w Warszawie *Pamiętników do panowania króla Stefana*. I tam takiz sam obrachunek projektowanego przez króla wojska na wojnę turecką, ale tam sto tysięcy.

Pamiętniki do panowania Jana III Sobieskiego, z rękopismu społecznego, biblioteki lwowskiej Józefa Dzierzkowskiego (T. II, str. 265—293). Są tutaj listy króla zapraszające senatorów na sejmiki przedkoronacyjne, które przypadały na dzień 31 grudnia r. 1675. Potém uniwersał na tenże sejm koronacyjny.

„Wracamy się *in sinum* rzeczypospolitéj, pisze Jan III, miłujący ojciec ad pupillam, syn do matki *ex studio*, nie z miękkih i delikackich *sub favonis* przechadzek, ale z głodnych i milionami z dziedzicznej substancyi naszej obsypanych obozów zimowych, chłodnych, lgnistych, albo ostrych przepraw, pustyń, ledwo wiarą pojętych, *studio* zaszczytu rzeczypospolitéj mężnie wytrzymanych. Wracamy po złamanéj rebeliéj i przymuszonéj do posłuszeństwa Ukrainie przyłączonej *ad compagem* i sukkurwowanych fortecach, wyrzuconych meczetach, wykorzenionych nowego Krymu gniazdach. Wracamy po przepłoszonych i nastrzelanych sołtanów, baszów, bejach i murzach bez liczby bitych, albo powiązanych: spędzonych hufcach z Misyru, z Anatolii, nietylko z Rumelii albo z Grecyi zebranych, że się po Wezerze, albo sa-

mym cesarzu mało liczniejszych spodziewać, po wydartym nieprzyjacielowi moście i przeciętych od Dunaju nieprzyjacielowi komunikacyj, oczyszczonym Dnieprze, obnażonym wszelkiej usługi i wygody Kamieńcu. Zgoła *cursum consumavimus, Remp. servavimus* i czekamy *coronam*".

Jużcić to wszystko dość wymowne i dlatego ubolewamy, że Załuski biskup warmiński, akta tak autentyczne, jak ten np. uniwersał, tłumaczył na łacinę. Cała oryginalność wysłowienia i stylu tam znikła.

Jest potem kilka listów zpod Żurawna od króla i innych osób, są *conditié* pokoju zawartego pod tém miasteczkiem z Turkami dnia 16 października 1676 r. Jest i *respons* króla na listy biskupa Trzebickiego, z których pokazuje się coraz piękniej znany charakter i obywatelstwo znakomitego senatora. Następuje kilka listów z wyprawy wiedeńskiej.

Jestto niewyczerpany przedmiot opisów dla pisarzy dawnych i braci szlachty, ta wyprawa wiedeńska. Dotąd o żadnym wypadku nie wiemy tak wiele, o żadnym nie mamy tylu rękopismów, dyaryuszów, podań, co o zwycięztwie pod Wiedniem króla Jana. Śnać wyprawa ta była bardzo w guście pobożnego narodu, który idąc pod Wiedeń, szedł przeciw bisurmanom na prawdziwą wyprawę krzyżową, nie myśląc o skutkach i przyszłości.

Tak np. i w Bibliotece jest *Dyaryusz marszu wiedeńskiego, tojest zemkniętego wojska z partyi, jakoto zpod Trębowli, Bucniowy, Sniatynia i Krzemieńca, które kupiło się pod Będzynie, a ztamąd poszło z królem Janem IIIcim pod Wiedeń, w tym pod Strygonią, a nazad przez Węgry, 1683* (T. V, str. 223 do 238). Ciągnie się dyaryusz od 20 sierpnia do 7 listopada. Autorem był tego rękopisu jakiś Polanowski z hussarskiej chorągwi, jak to z textu widać. Czemuż nie widział tego p. Wojcicki?

O skutkach wyprawy wiedeńskiej, dowiadujem się pokrótce z pamiętników tutaj drukowanych. Cesarz turecki chciał się wynieść z Konstantynopola. Ludwik XIV kiedy się dowiedział o zwycięztwie: „in tantam melancholiam raptus est, że list donoszący w pół pogryzł”. O wezyrze tureckim piszą, że po przegranej posłał na modły najwyższego kapłana swojego do stolicy, żeby odprawował *festum quadraginta millium martyrum*, tojest Turków pod Wiedniem pobitych. (T. II, str. 291).

O Sobieskiego czynach pisze jeszcze *Mercuryusz nowy z r. 1672* (złe wydrukowano: 1662) (T. I, str. 17). Jestto po-

emat, osobliwość. Język, wiérsz, duch—wszystko w nim wyższe. Opisuje zwycięstwa Sobieskiego, kiedy był hetmanem jeszcze za życia króla Michała. Pomimo tego, że to prawdziwa poezya, jest tu i historia. Na wielu miejscach, niewiadomy autor przypomina obrazy Maryi Malczewskiego, tak w nim pełno czucia, zapału, taki piękny, rycerski język.

Dyaryusz prawdziwój relacyi praecclare gestorum wojska J. K. Mości i rzeczypospolitėj na kampanii in anno 1685, po wielu miejscach, a osobliwie w Wołoszech (T. V, str. 239); z tém, co nam Załuski w listach poufnych zostawił, posłuży do odmalowania dziejów kampanii 1685 r.

Dyplom Augusta IIgo z r. 1669 (powinno być 1699) na postanowienie kongregacyi muzyków przy kościele katedralnym (powinno być kollegiaty) fary św. Jana w Warszawie, dany szlachetnemu Fabrowskiemu organiście przy téjże katedrze (T. V, str. 327) jest bardzo ciekawym nabytkiem dla tego, kto napisze kiedyś kronikę dzisiejszej archikatedry warszawskiej.

Wreszcie własnoręczne błogosławieństwo księdza Marka, dane Michałowi Krasińskiemu podkomorzemu rożańskiemu w roku 1770, a przedrukowane tutaj z autentyku (T. V, str. 335), daje nam tak historyczny obraz tego natchnionego proroka, że dosłownie przytoczmy to błogosławieństwo:

„W imię Jezus. Pokój Chrystusów, miłość Jego, zdrowie doskonałe, straż aniołów świętych, zachowalność na wojnie, ocalenie w potyczkach, odkrycie w zdradach, dar Ducha Św. w komendach etc. etc. etc. i boskie tobie Michale, rycerstwu, podjazdom i wyprawom, objaszczkom, potyczkom, bataliom etc. etc. daję i dawać nie przestanę z ołtarzowych ofiar błogosławieństwo. Wszelkim zaś chorobom, zarazom, powietrzom, impetycyom, zdradom, natarczywościami, niebezpieczeństwom, nieprzyjacielskim odwagom etc., krwią Jezusowy surowy ordynans daję, won, precz, na ustę, każę i przymuszam, a to na fundamencie przymierza między mną a obywatelami niebieskiemi zawartego i zaprzysiężonego. Ks. Marek mp”.

Zachowaliśmy sobie na końcu pomówić o gazetach, których w Bibliotece jest kilka. Pod nazwą nowin i relacyj zjawił się u nas ten rodzaj pisem już w końcu XVIgo wieku, a nie za Władysława IVgo dopiéro, jak uczył nas Bentkowski. Nie wychodziły one ciągle, bo jeszcze na myśl peryodyczności nie wpadł naród; ale przy każdym ważném zdarzeniu obiegały naród.

Wielka wygrana bitwa, opis poselstwa, wesele królewskie, dawały powód do rozsyłania gazet. Były gazety i drukowane, przeznaczone dla wszystkich, i rękopiśmienne, od przyjaciół dla przyjaciół. Później już, w XVIIIym wieku, gazety drukowane zmieniły się w peryodyczne pisma, a pisane trwały ciągle aż do ostatnich chwil Stan. Augusta, czasami utajone w kluczu.

O Merkuryszu Polskim, który miał wychodzić to w Krakowie, to w Warszawie od roku 1661, tylko głuche latają wieści. Wojcicki imię *gazety* pierwszy raz dostrzegł za panowania Jana IIIgo.

Z tych gazet trzy wydrukował Wojcicki w Bibliotece (wszystkie w pierwszym tomie).

1. *Nowiny z Inflant* i t. d. o zwycięstwie Chodkiewicza pod Kirholmem 27 września 1605 r. Przedruk z broszury, wydanej u Mikołaja Szarfenberga.

2. *Nowiny pewne z Rakus*, przywiezione 12 stycznia 1620 r. do Krakowa, z daty 1 stycznia. Także przedruk. Tutaj o początkach wojny trzydziestoletniej.

3. *Gazeta z Warszawy* 6 10bris 1673 roku z rękopismu; z czasu bezkrólewia po Michale.

Wszystko rzeczy nadzwyczaj ciekawe.

Wspomnimy jeszcze o *rozmowach umarłych Polaków*, w których różne ile sekretniejsze za ich żywota dzieje i cirkumstancje są zebrane (T. VI, str. 69 do 193).

Takich rozmów jest dwie: jedna pomiędzy królem Janem III, a Jeremiaszem księciem Wiśniowieckim, ojcem króla Michała. Druga pomiędzy kardynałem Radziejowskim a prymasem Wydźgą.

Sąto rozmowy jednej ręki, a obiedwie pisane przed rokiem 1733, bo król Jan wspomina pomiędzy innemi, że ciało jego niepochowane leży u Kapucynów w Warszawie, a już po r. 1705, to jest po śmierci kardynała Radziejowskiego.

Nie jestto naśladowanie starożytnych, te rozmowy, tylko myśl z nich wzięta dla formy. Nieznany autor wystawia Jana III i Wiśniowieckiego wzajemnie sobie opowiadających swoje czyny; a Radziejowskiego i Wydźgę starających się, jeden przed drugim błysnąć swojemi zasługami. Byłybyto dwa bardzo ważne źródła do życiorysu tych czterech sławnych mężów, gdyby nie było widać po wszystkiém, że te rozmowy pisane li tylko z podania, bo spotykają się w opowiadaniu błędy historyczne.

Wszystko jednakże w tych rozmowach ma koloryt miejscowy i cechę wysokiego prawdopodobieństwa. Rozszerzylibyśmy się cokolwiek więcej nad treścią tych rozmów, w których wiele, bardzo wiele faktów nowych, rzeczy nieznanych, ciekawych wreszcie do najwyższego stopnia: gdybyśmy i tak już nie rozpisali się szeroko o *Bibliotece*. Niechaj te fakta będą podaniem tylko, a zawsze będą mieć wartość. Z wielką ostrożnością cytując wiadomości w tych rozmowach zawarte, ożywym przecież zawsze powieść o Wydzździe albo Radziejowskim, np. kiedy przytoczym gniów Mazurów na kardynała, który na sejmie konwokacyjnym karmazynowy aksamitny baldachin u śgo Jana w Warszawie nad tronem swoim zawiesił. Baldachin szlachta obaliła, a Mazur jeden gadał ztąd na elekcyi: „podaj nam tego scygła, choćbyśmy cierpiacki aż do samego Zymu stawiać mieli, to go utłucemy”.

Rozmowa króla Jana z Wiśniowieckim, drukowaną była już w *Rusałce Grozy*. Widać zatem, że krążą rękopisy, i że wieleby jeszcze takich rzeczy odszukać można. Ubolewamy, że końca brak: bo Radziejowski z Wydzgą urwali w najciekawszym miejscu. Wydzga tutaj bardzo malowniczo skreślony, chociaż w kilku podaniach, ale prawdziwych.

Oddział bibliografii w *Bibliotece* wcale ubogi. W tomie I jest opis *Apokalipsis Reja*, dzieła wydanego w r. 1565, pióra Wojcickiego. Opis bardzo treściwy, jak wszelkie w tym rodzaju prace zacnego wydawcy. Potem nagle skoczyć musimy aż do VI tomu, w którym czytamy obszerny artykuł księdza Anzelma Załęskiego, to jest wiadomość o rękopiśmie z XVI wieku, znalezionym na kościele niegdyś jezuickim a teraz benedyktyńskim w Pułtusk. W r. 1827, kiedy opat ks. Wnorowski rozpoczął naprawę kościoła Benedyktynów, ksiądz Załęski spostrzegł nad kaplicą Pana Jezusa rękopism oprawny w kształcie mszału, złożony z 201 arkuszy. Były w nim prawie same dyalogi, tragedye, komedye pisane po polsku i po łacinie wierszem. Otóż opis tych wszystkich zabytków starożytnych jest przedmiotem pracy, o której mówim, księdza Załęskiego.

Śmiało możemy powiedzieć, że żadne z kollegiów polskich Jezuitów, nie ma jeszcze tak pięknego zbioru swoich dyalogów, jak pułtuskie w rękopiśmie księdza Załęskiego. Jakiś zacny zakonnik pozbiierał te płody muzy, te uniesienia liryczne, które się rozlegały w Pułtusk. Są tutaj albowiem prócz komedyj i tragedyj, pieśni i mowy. Najdawniejszy dyalog sięga czasów bisku-

pa Erazma Ciołka r. 1521. Ostatnie jest drama, miane polskim wierszem 22 czerwca 1623 na zakończenie uroczystości Bożego Ciała, o *skrzyni przymierza*. Takim sposobem znajdują się tutaj i niejezuickie rzeczy. Ale najwięcej tych zabytków jest z epoki biskupów Piotra Wolskiego i Wojciecha Baranowskiego (od roku 1577 do 1606). Obadwaj biskupi bywali na aktach rozpoczęcia szkół i na uroczystościach zakończenia. Z tego powodu Jezuici wyprawiali im te dyalogi, które obejmuje rękopism. Jest dyalog i na przyjęcie kardynała Jędrzeja Batorego w Pułtusk z r. 1585, i na uczenie nuncyusza papieżkiego Rangoni, który zwiedzał także miasto w 1600 roku. Osnowy po większej części religijne: o św. Janie Damasceńskim, o św. Alexym, o wężu miedzianym, oblężenie Samaryi, dyalog o przeniesieniu arki. Ale są i świeckie przedmioty, np. komedia o człowieku wahającym się w wyborze stanu dla siebie, o młodzieńcu ubiegającym się za honorami, i t. d. Dla bibliografii polskiej przybywa szereg nowych autorów, jakoto: Martinus Lasius, Franc. Bencyusz, Marcin Lwowczyk.

Tragedya *Jeftes* umieszczona w tym zbiorze, grana w Pułtusk przed Baranowskim 23 sierpnia 1599 r. jest zupełnie inném dziełem od wspomnionego wyżej dramatu, który napisał Zawicki. Tutaj nawet i forma inna tragedyi, chociaż i ta ostatnia ma swoje piękności, jak zapewnia nas ks. Załęski. Wartoby porównać obadwa dzieła. Widać, że sam przedmiot utworu był popularny w narodzie szlacheckim.

Rękopism księdza Załęskiego wartoby wydrukować, choćby nie ze wszystkiém, jeżeli koszta wydania mają być ogromne. Poznaliśmy nową całkiem, schowaną dla oczu naszych literaturę: bo jak dotąd, nie możemy mieć o niej wyobrażenia nawet z rozprawy księdza Załęskiego. Rozbudził tylko ciekawość, nic więcej.

Nieoceniona szkoda téj pięknej *Biblioteki*, że wychodziła tak krótko, że znowu takie zyskała spółczucie i zawiodła wiele nadziei. Na fałszywy kierunek i plan wydania, jużśmy wskazali. Rzeczto nie pojedynczego człowieka, a z kilku osób złożonej redakcyi. Wojcicki chciał tego zapewne, a jednak sam tylko drukował; a oprócz rozprawki księdza Załęskiego, nie widać wcale, żeby się do téj sprawy zainteresował ogół. Wojcicki recenzentem swoim wyrzucał, kiedy wołali o białe kruki, że chcą samych

tylko rzadkości bez wyboru, a więc plew literackich; a jednak wiele tych plew literackich, chociaż ich *zgarniać nie myślał*, *dobyl z zapomnienia wieczystego* (T. III, str. 8 w przedmowie).

Ze tytuł wydaniu nie odpowiadał, kiedy się myślało drukować broszury i rękopisma, wskazaliśmy także. Bo gdzie tutaj *biblioteka pisarzy*? Prócz Zbylitowskich, Rysińskiego i Jagodyńskiego, myśmy w całym zbiorze żadnych znanych pisarzy nie znaleźli. Lepiejby już było nazwać całe wydanie *Biblioteką broszurową i szpargałową literatury*. Taki tytuł byłby prawdą sam w sobie, a przyznamy się, że sami kiedyś chcielibyśmy być wydawcami broszur i szpargałów na wielką skalę. Zasluga to byłaby dla literatury, równa zasługom najznakomitszych pracowników na polu dziejowém.

Bo jakieżto cudne rzeczy dałyby się robić z broszur? np. w Bibliotece samój? Pieniążek ślicznym jest przedmiotem, bogatą treścią do historycznej powieści. Jaki znowu ciekawy byłby artykuł, gdyby wziąć *Drogę do Szwecyi*, albo Makowieckiego broszurkę, i wypuściwszy z tych poezyj wszystko, co tylko obcem jest i wtrąconém, np. mitologie wszelkie, zwroty poetyczne i porównania, wyjąć treść samą jedynie i napisać opis podróży króla do Sztokolmu, albo opis wyprawy Potockiego pod Kamieniec.

(Dalszy ciąg nastąpi).



JASKÓŁKA.

Po zimie, po lodach, gdy wiosna nadchodzi,
Ja lecę świegocąc jój gońcem,
W łagodnych powiewów woniącej powodzi,
Olsniona wschodzącem znów słońcem.

I kwiląc powracam pod rodzinną strzechę,
Rzuconą w jesienne zawieje,
Stęsknionym, spragnionym przynosząc pociechę,
I błogą dni lepszych nadzieję.

Wśród lata, gdy niebo groźnie się zachmurzy,
I ciężarna dysze spieka,
Ja lecę zwiastować przyjście srogiój burzy,
Nim gromy nadciągną zdaleka.

Nim wichry szalone zahuczą w swój sile,
Wód mącąc zwierciadło skrzydłami,
Czarnemi nad głową migając kręgami,
Niebaczne ostrzegam oryle.

Na moich skrzydełkach pióra białe, czarne,
Zmieszane ze sobą spór wiodą;
Ja wróżę wam nocy gromami ciężarne,
I ranki kwitnące pogodą.

Z.

PIEŚŃ WIOSENNA.

Jest w życiu czas, ach! jeden w życiu całym,
Czas żądź olbrzymich, czarodziejskich snów,
Święty szczerością, promienny zapałem,
Wiek pełny dziwów i zaklętych słów:
Młodości wiek.

Jest jeden kwiat — kwiat, jak wiosenne zorze,
Tak pełny blasku i woniających tchnień;
Lecz rwać go można w rannój tylko porze,
Jak słodką manę we wschodzący dzień:
Miłości kwiat.

Więc zrywaj kwiat! korzystaj z błogięj chwili,
W uroczy wiąż miłość z młodością ślub!
Nim słońce życia na zachód się schyli,
Nim wrzące serce zamknie chłodny grób,
Korzystaj z lat,
Rwij miłości kwiat!

Z.



TANKRED DE MONTECUTE

CZYLI

NOWA KRUCYATA.

(Powieść przez d'Israeli napisana).

(Ciąg dalszy).

CZEŚĆ IVta.

Rozdział V.

Dziesięć dni już minęło od wzięcia w niewolę Tankreda. Amalek z swoimi Arabami przebywał ciągle wśród tych samych ruin. Pierwsze promienie wschodzącego słońca złożyły szczątki wielkiego niegdyś miasta, gdy czterech Arabów z pokolenia Rehabitów całym pędem cwałując, i rzucając i podnosząc włócznie, przybyło do obozu szeika. Wielu wyszło z namiotów na ich spotkanie, inni zdaleka witali ich przyjacielskiem pozdrowieniem; konie rżały, wielbłądy powyciągały swe długie szyje, wszystko zdawało się przeczuwać jakieś niezwykłe wydarzenie.

Mnóstwo ciekawych otoczyło czterech wyżej wspomnianych jeźdźców, a jeden z nich nie odpowiadając nawet na zadawane mu pytania, udał się wprost do namiotu szeika.

— A co szeidzie synu Amra, czy przyprowadziliście nam wielbłądy?— zapytał jeden z otaczających nowoprzybyłego.

— Byliśmy w El-Khuds— odrzekł zapytany— a to, co przyprowadziliśmy z sobą, równa się pieczęci Salomona.

— Cóżście widzieli w wesołej i pięknej krainie od góry Sier, aż do miasta *Przyjaciela*? (1).

— Widzieliśmy synów Hamara na południowej stronie Jumdy, i napotkaliśmy liczne ślady wielbłądów w wąwozie Gharendel, a ślady te nie były śladami wielbłądów Beni-Hamara.

— A mnie się śniło—dodał jeden z słuchaczy—że synowie Tora pytali mnie: „Kto wy jesteście, co zapominacie o ziemi, na której się pasły trzody naszych ojców? Czyż tylko dzieci Rehaaba kosztować mają słodkich wód Edonu?” I mnie się zdaje, że ślady napotymane w wąwozie Gharendel są śladami wielbłądów pokolenia Tora.

— W istocie, dzieci Beni-Tora i Beni-Hamar —odrzekł inny Arab—pokłóciły się z sobą: pokolenie Beni-Tora udało się na stepy, a synowie Beni-Hamar spalili ich namioty, połapali wielbłądy i zabrali w niewolę dzieci i kobiety; i to jest przyczyną, dla której obecnie pokolenie Hamar poi swe trzody w studniach Jumdy.

Wkrótce potem karawana, którą poprzedzało tylko czterech jeźdźców naprzód przybyłych, spuściwszy się z wąwozu zaległa równinę.

— Cóżto Szehadzie, synu Amra, czyście harem Mehmeda w niewolę zabrali? widzę albowiem na dromaderach osłonięte niewiasty.

Po chwili ukazał się wielki szejik przed swoim namiotem, pogwizdując wesoło i głaszcząc długą brodę.

— Mój zięć—mówił zcicha sam do siebie—nieodrodny syn Izraela, i własnym tylko dzieciom skarby swoje powierza.

Tymczasem karawana przebywszy równinę i strumień, zbliżała się do namiotu szejika.

Zaczęto zsiadać z koni, wyładowywać klęczące wielbłądy, a Baroni przy pomocy dwóch innych jeźdźców zsadzał ostrożnie jedną z osłoniętych kobiet, do której wielki szejik zbliżywszy się, rzekł uprzejmie:

— Witam cię i pozdrawiam imieniem Boga naszego; niech wszelkie błogosławieństwa spłyną na twoją głowę.

— I ja także przybywam z pozdrowieniem i tysiącem błogosławieństw onego Boga—odrzekła młoda niewiasta.

— I tysiącem czegoś jeszcze innego—dodał zcicha Amalek. Zwyczaj jednakże uprzejmość i grzeczność Arabów, nie pozwoliła szejikowi głośno swęj myśli objawić i mówić przedwcześnie o interesie.

(1) Abrahama.

— Gdybym się spodziewał nawiedzin królowej Saby—ciągnął dalej starzec uprzejmie—byłbym wziął z sobą namiot Miryam, by godnie przyjąć i uczcić tak miłego gościa. Jakże się miewa Róża Saronu?—dodał wprowadzając Ewę do wnętrza namiotu—jak się miewa syn mego serca, szlachetny Besso, wspanialszy i hojniejszy od tysięcy królów.

— Nie mów o synie twego serca; nie mów o Besso, o dobrym, szlachetnym Besso, bo głowa jego posypana popiołem, a usta pełne piasku.

— Co to ma znaczyć?—rzekł do siebie Amalek.—Gdyby Besso był chory, córka nie odjechałaby go; to coś niejasnego, to wprost wymierzone do moich piastrow. Ci synowie Izraela—mówił w duchu—ostrzejsze mają pióra od naszych włócznie; miejmy się na baczności i stójmy uparcie przy swoim.

Tu weszli niewolnicy przynosząc chłodniki, kawę, owoce i ciasta. Przez czas, w którym się Ewa posilała, wypytywał ją Amalek o przygody podróży; pytał, kiedy wyjechała z Jeruzalem, gdzie odpoczywała? czy spotkała jakie w stepach koczujące pokolenie? Po skończonem śniadaniu, ofiarował jej swą własną fajkę, którą Ewa przez grzecność wzięła i przytknąwszy do ust, zaraz ją oddała szeikowi, gdy jej podano pachnące nargyle. Ewa pilnie śledziła każde poruszenie, każde spojrzenie wielkiego szeika; znała ona nadto dobrze swego dziada, by się dać uwieść pozorami spokojności i swobody, cechującej zwykle powierzchowność tegoż, i po krótkiej obojętnej rozmowie zapytała jakby zniechcenia:

— Cóż sprowadziło pana i władcę bogatych syryjskich państwisk do tych dzikich i zdawna opuszczonych stepów?

Na te słowa wielki szeik wyjął fajkę z ust, zaciągnął się i odrzekł łagodnie:

— To samo, co spowodowało Baroniego do odwiedzenia El-Kudu.

— Baroni przyszedł prosić o pomoc dla swego pana, którego zabrałeś w niewolę.

— I dla otrzymania 2,000,000 piastrow—dodał Amalek.

— Dwa miliony piastrow? lepiej było żądać tronu Salomona!

— Którybym także otrzymał—odrzekł spokojnie wielki szeik.—Wszakżeż mówiono w dywanie twego ojca, że gdyby ten książe Franków chciał odbudować świątynię Salomona, toby mu Besso i na to pieniądze dostarczył.

— To są tylko plotki, nedorzeczne wieści—powiedziała Ewa z pogardą.

— To są własne słowa twego ojca, córko Bessa, który jakkolwiek mieszkaniec miasta, jest przecież roztropnym człowiekiem, i zna wartość swoich słów. Wié on dobrze co migdał, a co perła.

Ewa udala obojętność, lubo żywo dotknięta była tém, że dziad jój tak dokładnie wiedział, co się działo w domu jój ojca. Nie nastając zatem więcej na przesadzone wieści o majątku i stanie Tankreda, jak to zrazu zamierzała, rzekła słodkim głosem, zmieniając treść rozmowy:

— Nie pytasz mnie ojciec matki mojej, czemu Besso w tak wielkiem pogrążony zmartwieniu?

— Wiele jest zmartwień na świecie, lecz dopóki zdrowie nam służy, wszystko inne da się naprawić; a widzę, że mu niepotrzeba pomocy lekarskiej, kiedy go odjechała Róża Saronu.

— Choć ciemność oczy mu zasłoni, i światła słonecznego pozbawi, człowiek przecież potrzebuje jedzenia i spoczynku; a nieszczęście, które spotkało Bessa, zdolne nawet krucze włosy dziecięcia przedwczesną siwizną przyprószyć.

— Któż mu tak życie zatrul? Czy zaszło jakie nieporozumienie między nim a Portą?— zapytał szejk nie patrząc na Ewę.

— Besso zawdzięcza obecne zmartwienie swoim najlepszym przyjaciółom, i to właśnie zakrwawia mu odebraną ranę.

— Znadto zasiedział się w murach; szkoda, że sam nie przybył do mnie z okupem. Powietrze pustyni nowém życiemby go natchnęło.

— Ktokolwiek przywiózł okup, zawsze on, a nie kto inny go zapłaci; onto bowiem jest twoim prawdziwym jeńcem, a nie ten syn Frangistanu, którego trzymasz w swoim obozie.

— Twój ojciec chce mię widzę pozbawić moich piastrow?— zawołał wielki szejk mierzając surowym wzrokiem swą wnuczkę.

— Gdyby mój ojciec chciał cię piastrow pozbawić—odrzekła Ewa spokojnie, lecz ze smutkiem—nie wyrobiłby ci wolności wyłącznego eskortowania karawan idących do Mekki, bez najmniejszego w zysku udziału.

Po krótkim namyśle, wielki szejk tak znowu odezwał się do Ewy:

— W rodzinie strzedz się należy nieporozumień i gniewu, a otwartość korzystniejsza od niepotrzebnych tajemnic. Powiedz mi więc szczerze, ile królowa angielska na okup brata swego przeznaczą?

— On nie jest bratem królowej angielskiej.

— Nie jest nim dopóki w moim ręku, ale niech tylko wróci do Jeruzalem, a znowu nim zostanie.

Jakiegokolwiek jego znaczenie, jest on zawsze pod opieką i wyłącznym staraniem mojego ojca, a twego syna; i Besso ręczył słowem, swoim życiem nawet, że młody pielgrzym wyjdzie ztąd bez szwanku. On za niego myśli, mówi i czuje; a teraz nie mogąż powiedzieć niewierni, że skutkiem niegodnych Bessa zabiegów, ten, co miał mu być synem, wysłany został przez niego do pustyni Arabii, by tam przez teścia wzięty został w niewolę.

— O! po cóż córka moja wybrała męża wśród miasta mieszkańców—zawołał stary szejik w uniesieniu.

— Tak, prawda, po cóż twoja córka wybrała człowieka, który swym wpływem pogodził cię z Egiptem wtenczas, gdy nawet te piaszczyste pustynie nie zdołałyby cię zasłonić przed orężem potężnego Mehmeda. O tak, narzekaj, że córka twoja pojęła za męża człowieka, który zapewnieniem eskorty do Mekki, pozyskał ci 10,000 wielbłądów.

— Wszakże ten sam Bóg jest w miastach jak i na pustyniach; powiedz mi więc szczerze Rózo Saronu, ile mi piastrów przywiozłaś.

— Jeżeli jesteś w potrzebie, Besso chętnie ci pomoże, jak to już zresztą nieraz uczynił; jeżeli chcesz zakupić liczniejsze trzody, i w tém gotów ci równie jak przedtém usłużyć; lecz jeżeli się spodziewasz okupu za tego, którego jak własne dziecko, jak najdroższy klejnot strzedz i pielegnować powinienes, to ci nie przywiozłam.

— Doprawdy? to chyba koniec świata!—zawołał szejik z dzikim wzrokiem.

— Po cóż ja tu przybyłam—mówiła dalej Ewa—ja słaba niewiasta, bez żadnej straży, sama: to i mnie możesz zatrzymać i posłać do Bessa po okup; spróbuj, a zapłaci ci tyle, ile sam zechcesz. Wszakżeż ja jego jedyne dziecko; wszystkie swoje miliony tu ci przywiezie i będzie błagać ze łzami, na kolanach, byś je przyjął w zamian za ukochaną Ewę. Jeżeli ci własne jego mienie nie wystarczy, i żądać będziesz więcej, i to pozyskasz; Besso roześle po wszystkich miastach Syrii, powie, że dziecię jego wzięte w niewolę przez tego, któremu tyle dobrodziejstw wyświadczył; przez tego, którego wyrwał od zguby, a każdy w miarę możliwości przyłoży się chętnie do dopełnienia summy żądanej przez ciebie.

— Czémże jest ten książę Frengistanu dla ciebie i twoich?—zapytał Amalek.—Jest on równie jak inni podróżni zwiedzający pustynie, prostym, nieobchodzącym nas wędrowcem. Tak jak i wszyscy, przywiózł zapewne list do twego ojca, gdzie stoi napisane: „Daj temu człowiekowi tyle pieniędzy, ile żądać będzie, a my znowu oddamy je tym, co w twojem imieniu zwrotu ich zażądata”. Jestto przecież zwyczajna kolej interesów twego ojca, do którego wszyscy z Zachodu udają się w tym celu, wiedząc, że on jeden w tym kraju ma pieniądze. Ale słuchaj Ewo, córko mojej córki, nie chcę się kłócić z własną krwią moją: niech twój ojciec da mi milion piastrów i sto wielbłądów wdowie po szeiku Salem, a zabierze sobie brata królowej.

— Będą wielbłądy dla wdowy szeika Salema; i ty także, jeżeli zechcesz, mój dziadku, dostaniesz od Bessa milion piastrów, a nawet i więcej; nie w tém leży główna trudność: nie chodzi bowiem o pieniądze, lecz o okup twego więźnia, a na ten okup ojciec mój w żaden sposób zgodzić się nie może, bo na tém polega spokojność, szczęście, dobre imię twego zięcia. Tak, dobre imię i spokojność mego ojca wymagają, abyś dobrowolnie tego młodzieńca, i z przynależną nawet czcią do El-Kudu odesłał.

Na te słowa wielki szeik mruczał tylko niewyraźnie, a w końcu rzekł do Ewy:

— Nie, com zaczął, to i dokonam; nie dopuszczę, by ludzie moi twierdzili, żem daremnie opuścił słodkie wody Kostalu, aby w tych pustych stepach trudzić się beznżytecznie. A jednak, mówiąc znowu prawdę, radbym ten interes zakończyć jakokolwiek, byle dzisiaj. Mów więc córko wiele dać możesz, bo jutro może będzie zapóźno, i brat wielu królowych będzie tylko prochem.

— Co chcesz przez to powiedzieć?—zapytała niespokojnie Ewa.

— To, że angielski książę umiera. Po wyjeździe Baroniego, młody emir Franków nie miał chwili spokojnej, dopóki nie zwiedził góry Synaj; nie chcąc mu się sprzeciwiać, zezwoliłem na tę podróż, i nie wiem, czy w skutek zbytniego gorąca rany jego zaogniły się, czy też go tak bardzo niewola zmartwiła (bo ci ludzie Zachodu tak często bezpotrzebnie się frasują), dość, że powrócił ztamtąd z wielką gorączką, prawie bez przytomności, i odtąd stan jego ciągle się pogorszał. Dziś piąty dzień jego choroby, i Shedad syn Amro powiedział, że jeżeli mu nie damy żółci z feniksa, wątpi, by przetrwał dzień następny, a w tych stepach trudno o podobne lekar-

stwo. Ale ty dziecię dziecka mego, jesteś podobno znakomitą lekarką: idźże do młodego Franka i zobacz, co czynić należy, bo jeżeli umrze, piastry moje przepadną, a tém samém i kwota, jaką z nich ojcemu twemu przeznaczałem.

— Co za smutna wiadomość! — zawołała Ewa, nie zważając na ostatnie słowa Amaleka.

W téj chwili odsłonięto boczną firankę namiotu i wszedł emir Fakredeem; a skoro spotkał wzrok Ewy, zakrył twarz obiema rękami.

— Jak się miewa książę Frangistanu? — zapytał szejik. Młody emir zamiast odpowiedzi rzucił się do nóg Ewy, mówiąc:

— Prośmy Róży Saronu, aby go odwiedzić raczyła, bo w całej Arabii niéma bieglejszój lekarki. O, tak — dodał — przyszedłem pozdrowić cię, a zarazem błagać, abyś nie odmówiła téj łaski najszlachetniejszój i najwznieślejzój istocie, jaką dotąd spotkałem na ziemi.

— I ty także lękasz się — rzekła Ewa — by cię ta śmierć nie pozbawiła spodziewanych zysków?

Emir spojrział wokoło siebie z głębokim wyrazem boleści, a potém schylając głowę i całując kraj beduińskiego płaszcza Ewy, zawołał:

— Obecność moja jest tu tylko przypadkową; nieszczęśliwy to traf wprowadzie, lecz ręczę ci, że tylko traf, a nie więcéj. Polując, zapuściłem się aż w te strony i niespodzianie spotkałem wiel...

— Nie kończ! — przerwała Ewa — albo równie nizko cenić będę twój rozum, jak i twe serce. Czyż sądzisz, że podobne słowa zwieść mię zdołają?

— Nie znasz go, i nigdy nie widziałas; nie możesz więc zrozumieć mojego uczucia. Nietylko że nie przyjmuję w okupie udziału, ale poświęciłbym własne zdrowie i życie za całość jego. Była nawet chwila — dodał głos zniżając — w czasie jego nieszczęsnej do Synai wycieczki, że sądziłem, iż go uwolnić potrafię; lecz sam tego nie chciałem. Miałem przygotowane dwa ręce wielbłądy i mimo pogoni, byłem pewny umknąć i schronić się do Hebron.

— Byłeś z nim na górze Synai?

— Nie byłem, nie pozwolił bym mu towarzyszyć. Mówił mi, że musi być sam i pielgrzymkę tę w samotności i milczeniu odprawić powinien. Jeden z eskortujących go Beduinów opowiadał mi, że u podnóża góry zatrzymali się, i że na górę sam tylko książę się udał, gdzie całą noc i dzień następny strawił. Za jego powrotem wielką w nim zmianę spostrzegłem: mowa jego stała się zwięzłą, urywaną, a oczy niezwykłym blaskiem pałały. Twierdził on,

że miał objawienie, że widział anioła; nazajutrz rano stracił już zupełnie przytomność. Gorzko nad nim płakałem, modliłem się za niego obyczajem każdej znanéj mi wiary, okładałem go cudowną wodą z gór Libanu, zawiesiłem w jego namiocie tysiące amuletów: wszystko daremnie. O Rózo Saronu! ubóstwiona, ukochana Ewo! w tobie tylko ostatnia nadzieja; chodź, zobacz go i ratuj. Gdybyś go choć raz w życiu była ujrzała, gdybyś usłyszała głos jego, oceniła ten wzniosły i szlachetny umysł, tak różny od tych, które dotąd spotykałaś, nie potrzebowałbym błagać cię za nim, bo własne twoje serce zawiodłoby cię do łóża Tankreda. Lecz ty go nie znasz, nie widziałaś go, nie słyszałaś nigdy; inaczéj żadne z nas, ani ty, ani on, ani ja, nie byłibyśmy w tak smutném i oplakaném położeniu.

Rozdział VI.

Jakże często mylné są ludzkie rachuby, jak daremne starania i trudy! Na cóż bowiem przydała się Tankredowi cała troskliwość rodziców: w walce z nieprzyjacielem nie wsparło go silne ramie pułkownika Brace, a w chorobie dalekim był od niego doświadczony lekarz Roby. Może téż pierwiastkową przyczyną tych wszystkich nieszczęść był wybrany przez księżnę nauczyciel Bernard: gdyby ten ostatni zdołał ocenić i zgłębić dokładnie ucznia swego charakter i zaspokoić jego umysł, Tankred nie leżałby teraz chory, bez pomocy wśród pustyń, między nieprzyjaciołmi, a księztwo Bellamont nie wylewałiby gorzkich łez niepokoju i tęsknoty.

* * *

— Nie dopuściliśmy żadnego z tych dzikich do naszego pana — mówił Freeman do Baroniego, skoro tenże z Jeruzalem powrócił.

— Nikogo, oprócz tego młodego Hemira, czy jak go tam zowią, bo to prawie chrześcianin — dodał Trueman.

— Emir znaczy to samo, co u nas książę — przerwał Freeman. Ten książę mieszka w pięknym zamku, dokąd i naszego pana zaprosił; szkoda tylko, że nie był z nim na górze Synaj, możeby go od téj strasznej choroby ochronił.

— On téż ciągle pilnował milorda — rzekł Trueman — dzień i noc czuwał przy nim; właśnie ztąd wyszedł, dowiedziawszy się o powrocie karawany.

— Widziałem go — odpowiedział Baroni — a teraz wejdźmy do namiotu.

Na dywanie, z głową opartą na poduszkach, spoczywał Tankred okryty beduińskim płaszczem. Bładość śmiertelna powlekała jego rysy; leżał na wznak z oczyma szeroko roztwartemi bez uczucia i poznania. Baroni przeraził się tą nagłą zmianą, którą w tak krótkim czasie zrządziła choroba.

— Od czasu jak mocniej zasłabł, nie zmrużył oka — rzekł Freeman cichym głosem. — Przez pierwszych dni kilka, często z samym sobą rozmawiał; ale od wczoraj zupełnie już spokojnie leży.

Baroni zbliżył się do Tankreda i pochyliwszy się, dotknął pulsu.

— Krwi brakuje — szepnął po chwili zcicha, potrząsając głową, i łza spłynęła mu z oka.

— Czy już nie ma nadziei? — zapytał płacząc Freeman.

— O mój Boże, tak wielki pan, miałaby tak nędznie zginąć w tej odludnej pustyni — zawołał Trueman szlochając. Baroni rozkazawszy im oddalić się, sam, ze zwieszoną głową i założonemi rękami, pozostał przy Tankredzie.

— Straszna ta choroba — mówił do siebie — skończyć się musi śmiercią lub szaleństwem. Cóż na to powie pan de Sidonia? czyż ośmieli się kiedy spojrzeć mu w oczy? a jednak czyż moja wina? W Europie zabiliby go puszczaniem krwi, zbytkiem starania; tutaj, zabije go brak pomocy. Trochę opium możeby sen sprowadziło, ale i tego tu nie ma. Wspieraj mnie Boże ojców moich! Zgubiła go ta wybijająca wyobraźnia, przeważająca nad rozumem. Jego zgubiło serce; ale może też i to tak gorąco przywiązało mnie do jego osoby; wszystko poświęciłbym dla ocalenia mu zdrowia.

Długo tak pozostał zamyślony spoglądając smutnie na konającego już prawie Tankreda, gdy Fakredeen wezwał go do Ewy.

— Może tu, w pustyni, w braku innéj, moja pomoc przydać się może — rzekła dziewczica. — Znam różne skutecznie działające zioła.

— Nie ma już nadziei — ponuro odpowiedział Baroni.

— Czy doprawdy stan jego taki oplakany?

— O Rózo Saronu, ratuj go! Ty jedna to potrafisz — zawołał Fakredeen — inaczej i ja z nim umrę.

Ewa przemówiwszy kilka słów do Baroniego, weszła do namiotu. W tej chwili Tankred przyszedł nieco do siebie. Oczy jego spotkały anielski wzrok dziewczicy, a usta poruszyły się jakby w przemówienia chęci. Widać było, że mimo odmiany stroju poznał Saronką Różę; na pustyni bowiem Ewa ubrana była jak Beduin-ka: pasek skórzany obciskał błękitną szatę, sznurki ponawlekanych

cekinów mieszały się do kruczych splotów; biały *haik* okrywał ją zupełnie.

Tankred długo patrzył na nią, a potem przemówił cichym, przerywanym głosem:

— Widzę aniołów około siebie... otaczają mię...

— Tyś sam do nich podobny — odrzekła Ewa spoglądając na niego z rozrzewnieniem.

Po chwili dała znak Baroniemu, by się udał za nią. Fakredeen, który przez ten czas klęczał pochylony nad chorym, powstał także i uczyniwszy znak krzyża świętego, wyszedł.

— Przebacz mi — rzekł ujrzawszy zdziwienie Ewy — w smutku przypominam sobie, że chrześcjanin.

— Gdybyś zawsze o tém pamiętał, żadne z nasby tu nie było — odparła Ewa z wyrzutem; potem obracając mowę do Baronięgo, dodała:

— On umrze, jeżeli go nie uśpimy.

— O! uśpij go, uśpij — zawołał Fakredeen zatłumując ręce.

— Ale tu nie ma opium.

— To posłój do El-Kudu, Rózo Saronu.

— Napróżno — zawołał Baroni — to zbyt daleko, a tu każda chwila droga.

— Zdaje mi się — mówiła Ewa, że spostrzegła niedaleko ztąd kwiat arniki; może go nim uleczyć; ale czas upływa, poszukajmy go naprzód nad brzegiem strumienia.

* * *

Fakredeen pozostawszy sam przy Tankredzie, płakał nad nim rozpaczając, że on jest wszystkiego złego przyczyną. Przeklinał siebie i godzinę w której powziął tę myśl szatańską; przysięgał całym życiem winę swoją okupić, a później uspokoiony nieco, przeliczał swoje długie i rozmyślał nad sposobami zapłacenia Sherifa Effendego; i znowu wracał do Tankreda, upewniał o swoim żalu i przywiązaniu, jak gdyby tenże mógł go słyszeć, i znowu myślał wracał do swoich osobistych kłopotów. Tak upłynęło całe trzy godziny. Emir zmordowany myślami i niepokojem, liczył niecierpliwie każdą minutę, gdy wszedł Baroni trzymając dużą czarę w rękę.

— Znaleźliście kwiat cudowny? — zapytał skwapliwie.

— Tak jest, lekarstwo już gotowe; trzeba tylko, by je lord Montecute wypił, i żeby sprawiło pożądany skutek.

Okolo południa, Tankred po wypiciu lekarstwa wpadł w sen głęboki. Fakredeen pobiegł uwiadomić o tém Ewę, Baroni zaś oka z chorego nie spuszczał.

Słońce zaszło, mrok okrył ziemię, gwiazdy zaiskrzyły w przestworzach, a Tankred spał ciągle; i znowu słońce weszło i zaszło, a Tankred spał jeszcze. Srebrna lampa napełniona palmowym olejem, rzucała przyćmione światło na łożo chorego i na jego blade oblicze. Fakredeen i Baroni na krok go nie odstępowali, a gdy promienie jutrenki blask lampy zmniejszyły, spojrzeli na siebie z niepokojem i trwogą, bo Tankred jeszcze się nie przebudził. Byłżeto sen doczesny, czy wieczny? Baroni dotknął ręki i puls nie poczuł. Fakredeen przyłożył klingę szabli do ust: nie straciła połysku, ale ciało nie stygło. Smutek osiadł na czole Baroniego. Nic nie mówił, czy nie mógł powiedzieć: tak był swym panem zajęty. Fakredeen pobiegł do Ewy, by ją o wszystkim uwiadomić.

— Twój przestрах podwaja moją trwogę—mówił do niej wiodąc ją do namiotu Tankreda. —O Róże Saronu! dlaczegożeś tak pobladła?

— Będzieto wieczna dla nas hańba, jeżeli on tu zginie—rzekła Ewa cichym i drżącym głosem.

— A dla mnie będzie więcej jak hańbą, bo klątwą nowego Kaina. Nie śmiałbym spojrzeć na ludzi, porzuciłbym wszystkie moje zamiary, oddałbym najbliższemu krewnemu me zamki, z warunkiem wszakże, by nie płacił moich długów, a sam uciekłbym w pustynię.

— Uspokój się Fakredeen i nie traćmy nadziei; teraz cała odpowiedzialność na mnie jednej ciąży.

— Aleś ty go nie znała!—zawołał emir—nie słyszałaś go nigdy, nie możesz pojąć jak on mi jest drogi, i jak go kocham.

Ewa dała znak milczenia, bo właśnie wchodzili do namiotu.

Emir otarł łzawe oczy, i stanęli oboje nad łożem Tankreda.

Wyraz cierpienia zniknął zupełnie z jego twarzy, jakiś spokój wewnętrzny, jakaś myśl nieśmiertelna jaśniała mu na czole. Ewa patrzyła długo na niego, smutnym, tęsknym wzrokiem, z całą troskliwością matki; gdy nagle Tankred otworzył oczy, i wyciągnawszy ku niej ręce, zawołał zupełnie przytomny:

— Dziewica z Bethanii!

Roździał VII.

Między pustyniami Arabii i Egiptu wznoszą się góry granitu, jakby ocean rozburzony i skamieniały nagle słowem Bożem. Gdzieniegdzie wśród pustych i dzikich dolin zielenieją tu i owdzie palmy i daktyle,

tworząc dziwną sprzeczność z otaczającym je ohrazeni. Najwyższą z tych skał granitowych jest góra Synai; u stóp jej widać ruiny chrześcijańskiej świątyni i mahometańskiego meczetu, bo tu Izmael i Izrael zarówno chcieli uczcić Boga Abrahama. Lecz dlaczego oba kościoły leżą w gruzach? czyż każde dzieło ludzkiej ręki koniecznie musi zniszczyć i w proch się rozsypać, przy tym cudownym objawienia ołtarzu, pod cieniem Horebu i Synai?

W połowie góry, na pochyłej równinie otoczonej skałami, wznoszą się wysmukłe cyprysy, i płynie cudowne źródło. Tamto, wedle tradycji, Mojżesz odebrał od Najwyższego tablice zakonu.

Do tychto miejsc uświęconych tylu ważnemi w dziejach świata wypadkami, i uwiecznionych tajemnicą objawienia, zmuszeni jesteśmy na chwilę przenieść się myślą, i cofnąwszy nieco opowiadanie, wyświecić okoliczności i szczegóły pielgrzymki, poprzedzające chorobę Tankreda.

* * *

Wśród jasnej nocy, samotny, pielgrzym klęczał nad cudownym miejscem, i wznosząc ręce i oczy ku niebu modlił się z wiarą, co góry przynosi:

„Boże Izraela, Stworzycielu świata niewysłowiony Jehowo! Ja, dziecię chrześcijańskie przychodzę do stóp Twego odwiecznego ołtarza, przynosząc Ci serce udrećzone zwątpieniem Europy. Dlaczego milczysz? dlaczego przestałeś już ziemię oświecać? Wiara niknie, powinność ustaje, smutek umysł przygniata. Wszędzie gdzie okiem rzucić zakon wątpi, a władza ziemską się chwieje; miliony ludzi wśród cierpień i tęsknoty woła w szaleństwie o nowych Bogów. Jeśli nie zstąpisz sam na tę górę uświęconą Twojem objawieniem, ześlij nam choć jednego z jasnych duchów, co strzegą Twego przybytku, by świat z rozpaczki wybawić”.

Na te słowa wiary i pragnienia, gwiazdy poblady, otaczające skały zdawały się w mgłę rozplýwać, cyprysy z drzeniem głowę schyliły, a pielgrzym przejęty nieopisaną trwogą spojrział w niebiosy, i ukazał mu się jakiś kształt niby ludzki, lecz olbrzymi jak otaczające góry, z obliczem promieniejącem nieśmiertelnością, z okiem lśnięcém blaskiem myśli i z gwiazdą nad wyniosłym czołem. Cała postać ta, rysowała się przed wzrokiem mglista i jasna, jako noc arabska.

— Dziecię chrześcijańskie—przemówiła postać—jestem aniołem Arabii, duchem strzegącym ten kraj; potęgą jego spoczywa nietylko w mieczu, przemyśle i w materyjalnej sile, ale w myśli, w myśli

odwiecznej i nieskończonej. Myśli narodów z Boga pochodzą, a myśl Arabii, to myśl boska. Dlatego też pierwiastek nasz rządzi, i światem rządzić nie przestaje. Europa, którąś porzucił, nad której losem teraz ubolewasz, była jeszcze dziką puszczą, gdy już od wieków potężni królowie budowali pyszne z naszych cedrów zamki. A jednak w tych puszczech drzémały pokolenia, które miały nadać światu nowy kierunek. Przedwieczne wyroki zrzędziły, że gdy te dzikie ludy rzuciły się ku granicom starego świata, spotkały w progu pierwiastek arabski, który je oświecił i nadał im inny popęd. Wszystko było przygotowane do tej wielkiej chwili; Cezary podbili świat, by łatwiej na Kapitolu znamię krzyża postawić, a chrystyanizm jest to najwyższe objawienie, dopełnienie wiary, którą Mojżesz na tej górze odebrał.

Teraz Europa nową ciężarna epoką; znowu burzą się pokolenia, nie w odwiecznych puszczech i lasach jak dawniej, ale wśród miast i pól kwitnących. Porzucili już dawną wiarę, i dlatego cierpią, szukają innych Bogów, a nie mogąc ich znaleźć, rozpaczają. Trzeba teraz, żeby znowu jaki nowy pierwiastek odżywił i odświeżył ich zbutwiałą cywilizacją; człowiek może być równym tylko pod rządem i w obliczu Boga; braterstwo może tylko istnieć pod panowaniem wspólnego ojca; teraz ludy oddaliły się od siebie, zerwały ten węzeł rodzinny, i zład wzrastająca niedola. Nie szukaj w czem inném rozstrzygnięcia dzisiejszych kwestyj społecznych, nie lękaj się niczego, nie wątpij, nie upadaj na duchu, idź za natchnieniem serca, kochaj i wierz, a w miłości i wierze znajdziesz rozwiązanie zagadki życia ludzkości.

*

Długi czas upłynął, zanim Tankred przyszedł do siebie; zjawisko przeminęło, a gdy pielgrzym spojrział wokół, skały rysowały jak zawsze ostre szczyty na niebios błękitach, gwiazdy nad głową świeciły, a głos opiekuńczego Arabii ducha brzmiał jeszcze w jego uchu.

U stóp góry spotkał drzemiącą lub pasącą wielbłądy straż swoją, połączył się z nią i ruszył w stronę pustyni.

Rozdział VIII.

Piękna córka Bessa siedziała smutna i zamyślona w namiocie swojego dziadka; dwie niewolnice posłuszne jej skinieniu śpiewały

i grały na cytrze: śpiewały o miłości Ibli i Antara, Leili i Mejnuna; śpiewały pieśni arabskie, namiętne i dzikie o bohaterach z lwim sercem i dziewicach z obliczem jaśniejszym od księżyca.

Dlaczegoż piękna córka Bessa smutna i zamyślona? jakież myśli mogą zakłócić jój spój, jakież smutek czoło jój zasępil?

Głos wielkiego szejka przerwał dumanie. Odzywał on się w przyleglój komnacie z niezwykłą gwałtownością; wkrótce dał się słyszeć i głos Fakredeena łagodniejszy, proszący, potem oba zmieszały się; nastąpiła kłótnia, wrzawa, a wreszcie głuche milczenie. Ewa myślała, że wyszli z namiotu, gdy nagle ukazał się we drzwiach emir z rozognionem okiem, prawie bez tchu rzucił się na sofę, i zaledwie prosząc Ewy o posłuchanie, zaczął mówić z oburzeniem:

— Wielki szejka wyrzuca mi tchórzostwo, dlatego, że nie umiem raz w powziętym wytrwać zamiarze: nie słyszałaś? Krzychełliśmy tu obadwaj jak opętani; nie widziałem go nigdy jeszcze w takiej złości. Wielka téż rzecz dla niego, wypuścić swego więźnia bez okupu.

— Czy tak się przy tém upiera? — zapytała Ewa.

— Zajadle, a jednak to taka bagatela dla niego.

— Dwóch milionów piastrów nie można nazwać bagatelą.

— Wziąłby i milion, gdyby mu go kto dać zechciał, a i tego połowa do mnie należy, a drugą chciałem od niego pożyczyć.

— Jakto pożyczyć?

— Zapewne, dałbym mu dobry procent: bo pytam, na co się przyda wielkiemu szejkowi 500,000 piastrów? Ma aż nadto koni i wielbłądów; chybaby je gdzie zakopał lub nosił w turbanie, a wtedyby mu nic nie przyniosły: ja bym mu dał 40 od sta, i to coś warte, choć prawdę mówiąc w Beirucie, Tripoli i Lataki płacę po sześćdziesiąt.

— Zawsze mię przerażasz Fakredeenie zwrotem do twoich interesów. Czyż doprawdy tak źle w nich stoisz?

— Ja? nie; owszem, długi są moim żywiołem, one jedne zmuszają mnie do działania: inaczej zapomniałbym o wszystkiem i nigdy bym się nie odznaczył.

— Wątpię, abyś się mógł odznaczyć przy takich ciągłych drobnych kłopotach.

— Dlaczegożby nie? moje długi nie przenoszą majątku i możności zapłaty.

— Twoje dochody naprzód wybrane, klejnoty zastawione lub sprzedane.

— I cóż to znaczy? moje pomysły więcej warte, niż wszystkie klejnoty, a moje zasady uczynią mnie wkrótce panem Libanu.

— Zdaje mi się właśnie, że ci zawsze brakowało zasady.

— O! mam ją teraz.

— Bardzo jestem ciekawa poznać ją bliżej.

— Wiara.

— W samego siebie?

— Nie, w górę Synai.

— Co znowu, w górę Synai?

— Tak jest: książę angielski był na górze Synai i tam ukazał mu się anioł. Nie wiem jeszcze co z nim mówił, ale to pewna, że powrócił zupełnie zmieniony, odrodzony; pragnie tylko działania i czynu: któż wie, może zechce przyjąć udział w wielkiem poruszeniu Azji, które się zbliża. Obiecał mi, że zamiast wracać do Jeruzalem, pojedzie ze mną do Kanobii.

— Będzie to z korzyścią dla ciebie. Lord Montecute ma wielkie pomysły.

— Ale powiedz mi też Ewo, jakim sposobem poznałaś go? Ujrzawszy cię, wymówił natychmiast twoje imię i przyznał mi się, że cię już dawniej widział, choć strasznie trudno wyciągnąć co od niego. Będzie prawil godzinę o Arabii, o wierze, o aniołach; ale o sobie, o swoich osobistych interesach, ani słówka. Widziałaś go pewnie w Jeruzalem?

— Spotkałam go przypadkiem w Bethanii, nie wiedząc nawet kto on jest.

— Zaprosiłem go do siebie, do Kanobii. Ale poradź, jakim sposobem uwolnić go z rąk szejka?—zapytał emir niespokojnie.

— Na twojem miejscu, wstrzymałabym, jak je nazywasz, poruszenie Azji, póki bym się z tego nie wydobyła kłopotu.

— Muszę się jakoś ułożyć z wielkim szejkiem. Gdybym tylko miał parę tysięcy piastrów! Ach moja Ewo, żebyśmy je mogli gdzie dostać!

Ewa wstrząsnęła głową.

— Cóżto za zacięty pies z tego żyda —zawołał emir nie mogąc dłużej utajonego pohamować gniewu.

Na tak obelżywe słowa Ewa powstała z iskrzącym okiem i rozdętym nozdrzem. Obejście Fakredeena tego rana nie podobalo jej się wcale, bo ten doświadczywszy przykrości, zapominał o należnych względach. Nadto go zajmowała jedyna chęć uwolnienia Tankreda, żeby sobie zadał pracę o czem innem pomyśleć, choć sam będąc naj-

pięrszą przyczyną kłopotów i niepokoju w jakim się znajdował, gniewał się na Amaleka, jakby na jedyne go tychże sprawcę. Emir dnia tego był w jednym z tych czarnych dni, co odstręczały od niego najwierniejszych przyjaciół, i w których nie śmiał się dotąd nigdy Ewie pokazać: nadto wielki wpływ wywierała na niego, nadto ją kochał i szanował. Ale uczucia jego były tak zmienne i niestałe, że w obecnej chwili poświęciłby dla Tankreda całą Bessa rodzinę, która go za syna przyjęła, a wykrzyknik jakiego się dopuścił, wyjawiał aż nadto jego sposób myślenia. Ewa znała go doskonale, zrozumiała co chciał powiedzieć, dlatego też powtórzyła z gniewem:

— Zacięty pies z tego żyda? a czémże ty jesteś? ty, co śmieśz tak mówić. Niedosć, że z łaski twojej wszyscy wplątani jesteśmy w tę sprawę, mamyż jeszcze słyszeć z twych ust podłych, słowa pogardy? Szkoda, że ten Anglik, którym się tak zajmujesz, którego do siebie zapraszasz, nie wie, żeś ty oddał go w Beduinów ręce, nie wie że ty życie jego naraziłeś.

Te słowa Ewy wzruszyły Fakredeena i obudziły w nim wyrzuty sumienia. Powstał z sofy i rzucając jęć się do nóg, zaczął ją najczulszemi słowy przeproszać, całując szatę jęć ze łzami.

— O ja niegodziwy! Przebacz mi droga Ewo, przebacz! Ty mnie znasz najlepiej, ty jedna, jedyna, którą kocham na świecie. Przebacz mi te słowa wymówione w uniesieniu, których sam się wstydzę. Wszakże twój ojciec jest moim ojcem, twoja rodzina, moją rodziną. Ja tak szanuję wielkiego szejka; nie wiem sam, jak mogłem go tak niebacznie obrazić; wszakżeż ja sam jestem żydem, jakżebym śmiał wami pogardzać. Tylko tak mnie niecierpliwi ta pustynia, takbym pragnął dostać się najprędzej do Ziemi Obiecaniej!

— Dobrze już, dobrze — rzekła Ewa z niechęcią — lepiej naradzimy się, co tu począć.

— Ach Ewo! — zawołał Fakredeen powstając — czemuż tego wieczora, gdym był u ciebie w Bethanii, nie mówiłaś mi, że znasz Tankreda. Oszczędziłoby nam to wiele cierpień.

— Jakże wiiesz, żeś go wtenczas widziała? — rzekła rumieniając się Ewa.

— Bom go spotkał na drodze, lecz nie zważałem na niego, sądząc, że to Frank jaki szukający grobu Łazarza.

— Zastałam go w moim ogrodzie — rzekła Ewa.

Fakredeen długo chodził po namiocie głęboko zamysłony, nagle zatrzymał się wołając z radością:

— Potrafię wszystko ułożyć.

— A to jakim sposobem?

— Obaczysz. Pojutrze zobaczę się w Gazzie z kupcem jadącym z karawaną w góry; oddam ją w ręce szejka i to zastąpi piastry Tankreda. Potem wszyscy razem pojedziemy do El-Kudu.

— Ja nie jadę do El-Kudu. Wielki szejik da mi straż do Damaszku, gdzie zabawię aż do czasu, w którym przeniosę się do Alepo.

— Bogdajbyś nigdy nie była w Alepo—zawołał emir zachmu-rzony wspomnieniem blizkiego małżeństwa Ewy.

— Zresztą—dodała dziewczica chcąc zmienić tok rozmowy—po-dróż ta zależy od postanowienia wielkiego szejika; jeśli nie uczyni zadość mego ojca żądaniom, noga moja tu więcej nie postanie; nie przyjmę ani jego straży, ani opieki.

— Gdyby nie chciał darmo wypuścić Tankreda, dam mu broni za jego wolność.

— Zkądże jój weźmiesz?

— Ma ją Sherif-Effendi, ten sam, z którym się w Gazzie zjadę. Oddam 500 karabinów szejkowi i szejkowi, a i tak dla mnie 4,500 pozostanie.

— Sherif-Effendi?—rzekła Ewa zdziwiona.—Wszakżeż upro-siłam dla ciebie o trzy miesiące zwłoki?

— Tak, tak... czyli raczej nie—odpowiedział Fakredeem ru-mieniając się.—Droga, najdroższa Rózo Saronu, na co się przyda kła-mać przed tobą? Widzisz, prosiłem cię o wstawiennictwo do Sherifa-Effendi jedynie dla wmieszania cię w tę sprawę, a tymczasem musia-łem mu przyrzec, że pojutrze stawię się w Gazza, zapłacę mu 200,000 piasstrów i broń odbiorę.

— Ale czémże zapłacisz?

— Angielski książę uwolniony przezemnie, nie odmówi mi tak małej przysługi.

Rozdział IX.

Tankred szybko do zdrowia powracał. Trzeciego dnia po tym długim śnie powstał z łoża i chciał nawet wyjść z namiotu, nudząc się, gdyż emir bez żadnego towarzystwa wyjechał nie wiadomo w któ-rą stronę. Za pośrednictwem Baroniego dowiedział się tylko Mon-tecute, że nie jeszcze względem okupu nie postanowiono. Wielki szejik czekał tylko na jego wyzdrowienie, aby opuścić pustynię, a Ewa, która całą drogę myślała tylko o jego uwolnieniu, teraz nie mogła

mu przesłać żadnej pocieszającej wieści. Baroni jednak w ciągłym jej pobycie u dziadka znajdował otuchę. Wiedział bowiem, że gdyby straciła nadzieję otrzymania przychylniej odpowiedzi, nie zostałaby i jednej chwili pod szeika namiotem.

— Zapewnił mię przecież wczoraj Fakredeen—mówił Tankred do Baroniego—że mogę zupełnie być spokojnym, bo on całą rzecz wziął na siebie. Sądzę jednak, że to się tak łatwo nie da zakończyć, ale ufam słowu emira i dobroci pięknej właścicielki z Bethanii.

— Więcejbym na niej, jak na emirze polegał—odrzekł Baroni. Niebardzo ufam tym wszystkim Shehaabom, którzy gonią nie wiedzieć za czém.

— Fakredeen wiele mi już tu przysług wyświadczył; i bądź co bądź, lubię go bardzo.

— Nie mam w myśli nic złego przeciw niemu—żywo odparł Baroni—owszem, podczas choroby z braterską pilnował milorda troskliwością; tylko w ogólności nie ufam rodzinie Shehaabów, i szlachetny emir, jak oni wszyscy, nie wiem do czego dąży.

— Fakredeen jest ognisty i ambitny; nie wiem czy to można nazwać wadami; zresztą jest jeszcze bardzo młody, niewyrobiony, rzucony zbyt wczesnie w ciężkie życia warunki, sam jeden bez przewodnika. Może też Opatrzność przeznacza mu spełnienie wielkich czynów.

— Jako potomek Shehaabów, rzucać się będzie na niepodobne przedsięwzięcia.

— Zapewne; szczególnie, jeżeli tém przedsięwzięciem jest złączenie pod swoje berło wszystkich części téj ziemi i wyswobodzenie Libanu.

— Tego nikt nie dokáže, bo Wschód już przeżył się oddawna.

— Wschód jest jeszcze tak pełnym sił żywotnych, jak za Mahometa czasów; słaby jest tylko rząd turecki, nieumiejący silnie tym krajem zawładnąć.

— Wszystko tu na nic się nie przyda. Pan de Sidonia miał podobne zamiary, i pewno, gdyby tlała choć iskierka ducha w Syryjczykach, w inném byliby położeniu.

— Ale jakiegoż czynnika używał pan de Sidonia?—zapytał Tankred widocznie zajęty.

— Najogólniejszego: —pieniędzy. Miał wówczas 3,000,000 w ręku.

— Gdyby wydał i dziesięć i dwadzieścia milionów, nie dopiąłby celu. Nic wierzę, żeby tym środkiem naród podnieść można. Na to

potrzeba natchnienia, nie wyrachowania, siły Bożej, nie ludzkiej. Zamiast piastry rozrzucić, należało wstąpić na szczyt Karmelu i głosem wiary przemówić.

— Cóż, kiedy Syryjczycy nie mają artyleryi — rzekł Baroni nie pojmując słów milorda — a przytém i mocarstwa Europy mogłyby wmieszać się w tę sprawę.

— Cóżby znaczyły potęgi ziemskie, gdyby ich wspierał Pan Zastępów?

— Zapewne, cóż zachodnie mocarstwa mogłyby im uczynić w Bagdadzie lub Ispahanie?

— Trzeba tyłko, żeby na równinie Mezopotamii zabrzmiały słowa zrozumiane przez te rozliczne pokolenia. Arabia powinna pociągnąć całą Azyą za sobą, a Azya odmłodzona zabije tego nienasyconego ducha europejskiego przemysłu i *komfortu*, zwanego nie wiem dla czego cywilizacją.

— Będąc w Jerozolimie — rzekł Baroni, zmieniwszy temat rozmowy za wysokię dla niego — widziałem się z pułkownikiem Brace. Nie słyszał nic o naszym wypadku; opowiedziałem mu rzecz całą w sposób zaspokajający, prosząc, by czekał na nas w Jeruzalem.

— Bardzo dobrze uczyniłeś, bo jeżeli rzeczy dobry obrót wezmą, odwiedzę emira w jego zamku Kanobii. Świeże powietrze Libanu może mi zdrowie powrócić, a tak mi potrzeba powietrza. Wyjźdźmy nieco z namiotu.

Gdy Tankred wyszedł, wsparty na ramieniu Baroniego, księżyc oświecał mdławo ruiny miasta i równie puste Beduinów namioty, bo ich mieszkańcy zgromadzeni tłumnie wokół szajki, przysłuchiwali się improwizacji jednego z sławnych wieszczów pustyni. Opiewał on przygody Antara, słynnego bohatera z pokolenia Nuszyrwan; opiewał, jak ów bohater zwiedził świątynię ognia w Persyi i zwyciężył wielkiego Grecyi rycerza i jak kochał piękną Iblę. Beduini skupieni wokół, z religijną słuchali go uwagą, a w niektórych miejscach przytakiwali głośnym wykrzykiem.

Historya Antara jest prawdziwą Illiadą pustyni; tém ważniejsza, że będąc ułożoną na kilka wieków przed przyjściem proroka, przedstawia dawne obyczaje Arabów i pokazuje, jak mało też obyczaje zmieniły się przyjęciem Islamizmu.

Tankred wraz z Baronim zbliżył się do zebrania właśnie w chwili, gdy śmiech serdeczny wszystkich ogarnął.

— To wieszcz opowiada ucztę u króla perskiego — rzekł Baroni. Scena ta tysiąc razy słyszana, zawsze śmiech wywołuje. Sheduzie sy-

nu Amro — zapytał odwracając mowę do stojącego obok Araba — znasz tę powieść od kolebki, a zawsze cię zajmuje.

— Rzecz piękna zawsze jest piękną i nigdy nie znudzi — odpowiedział Arab — kadzidło jest zawsze wonne, choć je dzień cały wachasz.

Cisza głęboka panowała w zgromadzeniu, przerywana tylko głośnym śmiechem lub jękiem wywołanym wymową improwizatora. Wielki szejik przed drzwiami swego namiotu siedzący, słuchał także legendy Antara. Tankred zobaczył go zdaleka, a Baroni szepnął mu, że należy szejika odwiedzić. Ostatni mile jeńca swego powitał, a skoro wieszcz skończył opowiadanie, wydobyl z kieszeni ogromny worek złota, i po długim szukaniu rzucił mu jedną z najdrobniejszych sztuczek, którą improwizator przyjął jednak z widoczną radością, wielbiąc wspaniałość Amaleka, i dodając z uizkim ukłonem:

— O szejiku szejików! to, co teraz śpiewałem, znane jest i śpiewane od niepamiętnych wieków; alem teraz we własnej piersi natchnienia zaczerpnął. Może także przejdzie do późnych pokoleń pieśń, którą ułożyłem na cześć najpiękniejszej dziewczycy, co jak księżyc w pełni ukazała się oczom naszym w tej piaszczystej pustyni. Będę śpiewał o Ewie córce Amaleka. (Rehabici zawsze w swęj genealogii opuszczali Bessa, jako nienależącego do ich pokolenia). Tak, będę śpiewał o Ewie córce tysiąca wodzów.

Szmer zachwycenia rozszedł się wśród Arabów, a szejik posłał niewolnika, by Ewa z orszakiem swych dziewic przyszła słuchać pieśni na jęj cześć ułożonej. Gdy ukazała się wśród zgromadzenia, wieszcz zaczął w te słowa:

„Widziałem drzewa palmowe, lecz żadne nie było tak wysmukłe, jak kibić Róży Sarou; widziałem oczy antylop i kóz dzikich, lecz te się do jęj zrenic nie mogą porównać. Jęj oddech wonniejszy od przesyconego wonią wietrzyka; jęj oblicze jaśniejsze od księżycy”.

* * *

„Któż ona jest? — córka Amaleka; córka władców, co nam od tysiąca lat przywodzą. Oby nigdy nie opuszczała namiotów swego pokolenia! Oby zawsze wśród nas na pięknych i łagodnych jeździła rumakach! i często ukazywała się naszym zrenicom, olśniewając blaskiem słonecznym”.

* * *

Temi słowy wieszcz zakończył improwizacyę; po nięj nastąpił długi zachwycenia okrzyk. Tankred, któremu słowa tłumaczył Baroni, rzucił mu łańcuch od swego zegarka, co wielce uciesza

szyło Arabów, i utwierdziło w mniemaniu, że ten wspaniałomyślny pielgrzym musi być rzeczywiście bratem wielu królowych. Gdy się rozeszło zgromadzenie, Tankred zbliżył się do Ewy i rzekł do niej z wzruszeniem:

— Gdybym był wieszczem, zanuciłbym na cześć twoją pieśń dziękczynną; tobie, coś powróciła mi życie. Chciałem ci jutro złożyć podziękowanie, nie spodziewając się dzisiejszego spotkania.

— Noc tak piękna, powietrze tak łagodne, nie mogą ci zaszkodzić.

— Istotnie, czuję, że świeże powietrze zdrowie mi powraca.

— Słyszałam, żeś spełnił upragnioną na górę Synai pielgrzymkę.

— Mówił ci o tém zapewne emir Fakredeen.

— Tak, wspominał mi nawet o twoich nadprzyrodzonych widzeniach, które mnie jednak nie zdziwiły po naszej rozmowie w Bethanii.

— Tak niedawno marzyłem na brzegu twój fontanny—rzekł Tankred z westchnieniem—a teraz zdaje mi się, że wieki od owej chwili mnie przedzielają: wieki myśli i wydarzeń.

— Lecz i wówczas serce twoje, zajmował los nieszczęsnej Azji.

— Możesz-że nazwać nieszczęsnym, kraj cudów i natchnienia? kraj wielkich myśli i wielkich czynów? Azja straszniejsza jest teraz choć uśpiona, od niby żyjących i czynnych cywilizowanych ludów. I ty nazywasz Azją nieszczęśliwą; ja mam słusznieszczą przyczynę płakać nad losem Europy.

— A przecież Europa podbiła Indye, rządzi według woli Persyą, Azją mniejszą i Syryą!—zawołała Ewa z goryczą.—Cóż my możemy przeciw Europie postawić?

— Możecie ją zbawić.

— Nie mając dosyć siły siebie zbawić, jakże możemy zbawić drugich?

— Jak? tak, jak niegdyś słowem prawdy, słowem Chrystusa. Gdy myśl wielka znów od pustyni Arabii powionie, orzeźwi starą naszą społeczność, i wleje w nią ducha nowego.

— Kiedys miałam podobne marzenia—rzekła smutnie Ewa—ale to być nie może. Europa nazbyt dumna, aby chciała kiedykolwiek głosu proroka usłuchać. Ci ludzie, co najwyższe znurtowali

góry, co pływają bez wiatru i jeżdżą bez koni, nie uwierzą nigdy w wyższą potęgę.

— Cóż znaczy ich panowanie nad siłami natury? Czyżby drugi naprzykład potop wstrzymać zdołali? Żdźbło trawki jest dla nich pełném tajemnic. Jakżeż jest próżna Europy nauka! Zgłębiwszy wszystko co zgłębić można, uczuliśmy przesyt i znużenie; napróżno nazywamy stan obecny postępem; szatan zwątpienia ciągle szepce nam w duszy, postępek, czego? Wszyscy wątpią w Europie, bo tam nigdy Bóg nie przemówił, nigdy głosu jego nie słyszeli.

Rozdział X.

Przez czas niebytności Fakredeena, Tankred co dzień Ewę widując, odkrył jęj tajemnicze swe myśli, marzenia i żądze; ona go pojmowała i umacniała swém współczuciem. Widząc jęj namiętą duszę, gorącą miłość swego rodu, co dzień ją więcej poznawał i uwielbiał. Chciał kilka razy naciągnąć rozmowę względnie do obecnego swego położenia, ale widząc, że Ewa niechętnie odpowiadała w tym przedmiocie, więcej nie nalegał. Mówili często o Fakredeenie. Ewa szczerze chwaliła jego niezłomną w wielu okolicznościach wolą, przywiązanie jakie miał do nięj; ubolewała tylko nad brakiem zasad, ciesząc się jednak, że towarzystwo Tankreda, którego tak kochał, mogło na umysł jego wpłynąć zbawiennie.

W kilka dni powrócił i Fakredeen i zaraz udał się do namiotu wielkiego szejka, gdzie długi czas pozostał. Baroni uwiadomił o tém niezwłocznie Tankreda, obadwaj niespokojnie rachowali każdą tęj narady chwilę, gdy nagle drzwi otworzono i emir z rozjaśnioném licem rzucił się na szyję Tankredowi, wołając:

— Bracie, jesteś wolny!

Szeik Amalek rozkazał zwinąć namioty: miał się udać z Arabami w stronę Martwego morza, Ewa zaś odjeżdżała pod silną eskortą do Damaszku. Tankred z Fakredeeniem jechał do Gaza z 25 Rehabitami, którzy mieli tam czekać dalszych emira rozkazów.

Zaledwie rozporządzenia te szejka rozeszły się w obozie, ruch nadzwyczajny panującą ciszę zastąpił. Wszędzie słyhać było okrzyki, śpiewy i rżenia koni.

Tankred użył całej mocy nad sobą, by znieść napozór spokojnie to nagłe z Ewą rozstanie. O! jakżeby przeniósł niewolę przy nięj, nad swobodę, co ich rozdzielała. Wszystkie te wypadki: na-

paść. pielgrzymka, choroba, cudowne uleczenie, wydawały mu się snem męczącym, zbyt jednak prędko ubiegłym.

Na godzinę przed zachodem słońca, wszystko gotowe było do pochodu: objuczono wielbłądy, osiodłano konie, czekając niecierpliwie znaku wielkiego szejka, którego namiot stał jeszcze nietknięty. Kilkanaście pysznych wierzchowców i dwa dromadery wodzone przez kilku Beduinów, czekały u wejścia namiotu. Wreszcie ukazali się szejki Amalek, Ewa, Tankred i Fakredeen.

— Jeden jest tylko Bóg — rzekł szejki przyciskając rękę do piersi, żegnając emira i swego więźnia — oby czuwał nad wami!

Niewolnice Ewy umieszczono na wielbłądzie, ona zaś skoczyła lekko na klacz arabską, zgrabną, rączą jak antylopa, i zwaną „Brylant pustyni”. Tankred spojrział na nią raz ostatni, i w pożegnalnej chwili zdała mu się piękniejszą niż kiedykolwiek. Usiłując wesółością pokryć tłoczący ją smutek, Ewa zwróciła się ku nim, wołając:

— Żegnaj cię Fakredeen! — Potém dodała wzruszonym głosem: — i ciebie pielgrzymie Synail

Rozdział XI.

— Jakże ci się podobają nasze lasy? — pytał Fakredeen Tankreda, gdy już przybyli w góry Libanu i wjechali w obszerną dolinę, odwiecznymi pokrytą dębami. — Jestto jedyny las dębowy w całej Syrii, posłuży mi może kiedy do zbudowania floty.

Po kilkodniowej dopięro podróży, nasi wędrowcy przybyli do Gazy, bo Fakredeen z macierzyńską prawie troskliwością czuwał nad młodym Anglikiem, lękając się, by mu zbyt spieszna nie zaszkodziła podróż. Tam spotkali Sherifa-Effendi, którego podpis lorda de Montecute zaspokoił zupełnie; i tym sposobem emir z ciężkiego wywikłał się kłopotu. Tam także pożegnali eskortę, która udała się nad brzegi Martwego morza, odwoząc wielkiemu szejkowi umówioną część karabinów, stanowiącą okup Tankreda. Oba zaś przyjaciele yachtem lorda popłynęli do Bejrutu, gdzie Fakredeen z wielką rozkoszą pysznił się tak potężnym sprzymierzeńcem, jakim był brat królowej angielskiej i właściciel tak pięknego yachtu, którego sam widok wzbudził we wszystkich zazdrość i zdziwienie, i uspokoił na czas jakiś natrętnych naszego emira wierzycieli.

Powietrze gór ożywiło Tankreda i przywróciło siły nadwątlone chorobą i słońcem Arabii. Oko jego zmordowane jednostajnością

pustyni, z rozkoszą spoczęło na pięknych i urozmaiconych krajobrazach. Szczyty Libanu nie giną w obłokach jak tajemniczego Araratu, lasy okrywające je nie są tak bujne i dziewicze jak Himalai puszcze; nigdzie nie widać wulkanicznych skał i szumnych wodospadów, ale trudno sobie wyobrazić tak czarującej natury, tak rozkosznego powietrza. Ludy uciekające zpod przemocy Turków i Arabów schroniły się tutaj pod cienie winnic i drzew figowych, zamieniając w ogród starannie uprawny dzikie niegdyś góry. Zewsząd wznoszą się zamki i klasztory, każda piędź ziemi jest zużytkowaną, a wioski z gór załomków, niby orle gniazda wyglądają. Kilka pokoleń z odmienną religią, formą rządu i wyobrażeniami osiadło w tej ziemi. Po drogach spotkać można zarówno turbany arabskie, biskupie infuły, mnisze kaptury i srebrne rogi Druzów.

Nasi podróżni wsiedli w Bejrucie na czekające tam Fakredeena rumaki, zostawało im bowiem jeszcze kilka dni drogi do Kanobii. Na noc zatrzymywano się w wioskach Maronitów, gdzie przyjmowano z zapalem emira. Trzeciego dnia wieczorem, wyjeżdżając z dębowego lasu o którym wspomnieliśmy wyżej, ujrzeli w dali, na górze, wśród drzew i krzewów pyszny zamek saraceńskiego stylu.

— Otóż i Kanobia. Mam nadzieję, że ją nieprędko opuścisz — rzekł Fakredeen.

— O zapewne — zawołał Tankred z zapalem — trudno mi będzie wyrwać się z tego rajy ziemskiego.

Kanobia również zachwyciła Truemana i Freemana, gdyż ten ostatni odezwał się:

— Otóż pierwszy porządny zamek, który widzę od owego nieszczęsnego dnia, w którym opuściłem naszą starą Anglią.

Jeden z ludzi Fakredeena uderzeniem w bęben, dał znać oczekującym, że zbliża się pan zamku; otworzono ogromną bramę, a emir ze swym gościem wjechali w obszerny kwadratowy dziedziniec, otoczony arkadami. W środku wytryskała fontanna, a wokoło stała służba i niewolnicy, witając pana z pokorą. Tu zsiadli z koni, a Fakredeen poprowadził Tankreda przez długi szereg pokoi, napozór skromnie, lecz rzeczywiście bogato przybranych. Wszędzie widać było mozaikowe posadzki, pyszne dywany, wyrabiane sufity i ciężkie materye na sposób wschodni okrywające sofy.

— Tu twój pokój — rzekł wreszcie emir otwierając drzwi ślicznego gabinetu, z którego było wyjście na taras pełen drzew cytrynowych. — Jest on najpiękniejszym z całego zamku, bo ozdobiony zwierciadłem może jedynem w Libanie. A tu — dodał drugie drzwi otwierając,

—jest twoja łaźnia—i wprowadził Tankreda do ozdobnej komnaty, wyłożonej marmurem.

CZEŚĆ Vta.

Rozdział I.

Fakredeen umiał z wielką zręcznością korzystać z szczęśliwego położenia w swych rodzinnych górach, starając się ciąglą i uprzejmą gościnnością powiększyć jeszcze swój wpływ i ściślej przywiązać do siebie serca wszystkich pokoleń, niegdyś rodzinie jego podwładnych, które i tak z upodobaniem i dumą na potomka swych dawnych władców patrzyły. To też Kanobia zawsze licznych miała gości, używających jego dwustu czystej krwi arabskiej ogierów, spożywających liczne trzody, pijących złote góry Libanu wino, i palących sławny tytoń emira. Tankred zasmakował w tym nowym sposobie życia, powietrze gór świeże i ostre w krótkim czasie powróciło mu dawne siły, rana w kilka dni się zagoiła. Każda doba upłyniona nowe przedstawiała mu widoki, nowe odkrywała obyczaje, a ciąglą obecność miłego i kochanego towarzysza, który wszystko do jednego celu kierował, mając tylko własne wywyższenie na myśli, nowego jeszcze dodawała życia tym wszystkim, i tak już z siebie zajmującym scenom.

W obecnej chwili wszystkie Fakredeena starania dążyły naprzód do ustalenia pojednania między dwoma zdawna nieprzychylnymi sobie ludami, Druzów i Maronitów, jak to już poprzednio w Bejrucie chcieli skutecznie pełnomocnicy wielkich państw Europy; powtóre, do powiększenia swego wpływu w Libanie obecnością angielskiego księcia, którego bytność w Kanobii utwierdzało mniemanie ścisłych jego stosunków z tak potężnym i bogatym mocarstwem.

Łatwowierność i niewiadomość Syryjczyków ułatwiała tę ogólną mistyfikacją, do której mimowolnie lord Montecute się przyczynił; uważany był bowiem równie tutaj jak w obozie szejka szejków przez wszystkich mieszkańców Libanu za brata królowej angielskiej, a nawet zawsze podzieleni dotąd w zdaniach; Achmet Russlan, Druz i Butros Kernezy, Maronita, tą razą zgadzali się na jedno; i niedziw, bo Butros dostał już za to 200 sztuk broni, a Russlanowi obiecano pewien procent od pożyczki, mającej się zaciągnąć w Anglii za pośrednictwem obecnego tu księcia.

Nadzwyczajne uszanowanie i cześć, jakimi wszędzie młody emir gością swego otaczał, utwierdzały wszystkich w przekonaniu o jego

wysokiej godności. Ile razy Tankred zmęczony tém ciągłym nadskakiwaniem swego gospodarza, chciał się uwolnić od otaczających go zewsząd prawie holdów, Fakredeen prosił, by tego nie czynił przez wzgląd na obyczaje miejscowe; takie bowiem postępowanie z jego strony, mówił, byłoby uważane jako dowód wzgardy lub przynajmniej lekceważenia przez ludzi, nieświadomych nawyknień Zachodu. Trudno przybyszowi walczyć z miejscowymi obyczajami, i lord Montecute zatém, rad nie rad musiał się do nich zastosować.

Dnia jednego, gdy młody książę wracał z polowania, znalazł licznie zgromadzonych jeźdźców i dostojnych gości w głównym dziedzińcu zamku, pośród których Fakredeen na dzielnym kochlańskim ogierze uwijał się żwawo, strojny i cały jaśniejący od złota i klejnotów, jak niegdyś ów Soliman sławnej pamięci, o którym lud tameczny często dotąd wspomina. Skoro młody emir spostrzegł wjeżdżającego Tankreda, posunął się naprzód i zeskoczywszy z konia przytrzymał strzemień zsiadającemu lordowi.

— Nie mogę na to pozwolić—zawołał z żywością zarumieniony od wstydu Tankred, sadowiąc się napowrót na siodle.

— Jeżeli odmówisz tój przysługi z méj strony, wszyscy tu przytomni wezmą to za osobistą urazę—mówił Fakredeen zcicha i prędko, nie zdradzając przed okiem otaczających go osób tego sporu.—Od siedmiu blisko wieków jest naszym zwyczajem okazywać cześć podobną ukochanemu gościowi.

— Dziwny, zaprawdę dziwny obyczaj,—mówił Tankred stosując się do wymagań swego gospodarza.

* * *

Cała Syrya od Gaza do Eufratu jest dotąd feodalną; system ten głęboko wkorzeniony w całą ludność tego kraju. Chęć albowiem przedwczesna obalenia feudalizmu była powodem buntu przeciw Egipcyanom w r. 1840, i pozbawiła Mehmeda-Alego tój ziemi, tyłą krwi i takim trudem nabytą. Każde następne poruszenie, po przejściu tego ludu pod władzę Turków, przypisać należy lekceważeniu lub pogwałceniu tego feodalnego systemu.

Cały Liban podzielony jest na piętnaście *mookatasów* czyli osobno rządzonych feodalnie prowincyj, a każdy rządca tychże ma samowładną prawie w ręku władzę, tak co do administracji wewnętrznej, nakazywania i wybierania podatków, stanowienia liczby i utrzymania wojska, jak i samowolnej nawet kary śmierci. Rządzą oni wprawdzie imieniem Porty, której część wybranych podatków powinni rok rocznie przesyłać, ale władza dywanu jest tylko imienną;

górzyste albowiem prowincye Libanu nigdy prawdziwie podbite nie były. Cała potęga, całe moralne zwierzchnictwo jest rzetelnie udziałem mookatasów, albo raczej najdawniejszych rodzin tego kraju, które władzę tę piastują, nazywając się emirami lub szeikami, a z których niejeden przechodzi dawnością rodu i mieniem wsławioną Europy arystokracją.

Niewątpliwie, wszystkie te uprzywilejowane rodziny, bez względu na ich dzisiejsze wyznanie, tak muzułmanie, Maronici lub Druzy pochodzą od dawnych Arabów, zdobywców Syryi. Najświetniejszą jednak z pomiędzy wszystkich była rodzina Shehaabów, i od początku XVIIIgo wieku, rzetelna władza piastowaną była przez członków z téj familii, których nazywano najwyższemi emirami. Naczelnicy wszystkich innych pokoleń uznawali ich zwierzchnictwo i całowali ich w rękę; przy nich była także wyłączna władza rozdawania tytułów i nagród i wypowiedzania wojny. Z całej téj rodziny najwięcej odznaczył się emir Beshir, który w czasie najazdu Egipcyan piastował najwyższą władzę w Libanie, a o którego dalszym losie i powodzeniu poprzednio już uwiadomiliśmy czytelnika. Po zwycięstwie Turków emir Beshir, wraz z synami odesłany został do niewoli do Carogrodu, a Porta nauczona ostrożności zbyt łatwem wtargnięciem i opanowaniem Syryi przez Mehmeda-Alego, chciała odtąd sama przez siebie krajem tym rządzić i obsadzić wszystkie główne miejsca własnem wojskiem. Lecz chrześcijańskie państwa na to nie zezwoliły i powołano na rządcę Kassima Shehaaba. Kassim będący chrześcianinem uległ wpływowi patriarchy Maronitów, i wspierał dążność tegoż patriarchy w zniszczeniu wszelkich feudalnych instytucyj pomiędzy Druzami, zachowując jednak nietykalnie przywileje Maronitów. Ztąd powstała domowa wojna na Libanie w 1841 r., która tak zafrasowała Anglików, a którą Francuzi z tryumfem przytaczali jako dowód nieudolności władzy Turków i niestosowności mieszania się tychże w wewnętrzne kraju tego rządu. Turcy całemu temu wypadkowi równie byli obcy, jak Guizot i lord Palmerston, ale nasza zupełna niewiadomość o stosunkach i położeniu Wschodu sprawiła, że wszyscy ślepo wierzyli deklamacyom i krzykom francuzkich gazet, i niektórzy z członków parlamentu, co dotąd wspierali w tym względzie ministerstwo, zmienili odtąd swe zdanie bez żadnych rzetelnych powodów.

Turcy korzystając zręcznie z tych wewnętrznych zamieszek ponowili znowu swe poprzednie żądania, i nastawali na wprowadzenie i wznowienie swéj władzy; lecz mocarstwa Europy i teraz przystać

na to nie chciały. Złożono wprawdzie z rządów nieszczęśliwego Kasima, bo Turcy nie ufali rodzinie Shehaab, a Europa nie ufała Turkom. Zaczęły się więc dyplomatyczne noty względem urzędzenia Libanu, lecz dwa przeciwne sobie stronnictwa usiłowały zniweczyć lub przynajmniej odwlec ostateczne postanowienie, a temi byli z jednej strony zwolennicy i liczni przyjaciele rodziny Shehaab, a z drugiej sama Porta. Ci dowodzili, że tylko silnie uorganizowana władza Turków potrafi Liban uspokoić; tamci, że dopóki członek rodziny Shehaab rządu nie obejmie, rozruchy i niepokój niszczyć będą ciągle ten kraj nieszczęśliwy. W tej dyplomatycznej walce Shehaabowie więcej rozwinęli czynności od swych ospałych przeciwników i otrzymali zwycięstwo. Główném zadaniem zagranicznych ambasadorów było zupełne uspokojenie wzburzonych umysłów. W tym celu ustanowili oni dwóch oddzielnych w Libanie rządców, zwanych kaimakanami, z których jeden miał być rodem Druz i rządzić Druzami, a drugi Maronita i rządzić Maronitami. Z pozoru zdawało się to odpowiadać miejscowym potrzebom, ale w praktyce okazało się zastosowanie tej teorii zupełnie niepodobnym, bo w wielu miejscach ludność była mieszana. Miały więc kaimakan Druzów rządzić chrześcianami? A potem jakże znowu ustanowić podział tych rządów? czy zastosować je do geograficznego kraju położenia, czy też li tylko do wyznania krajowców, tak, by bez względu na miejsce ich pobytu, chrześciański kaimakan rządził wszystkiemi chrześcianami, a Druz wszystkiemi Druzami Libanu?

Ztąd powstało pierwotne nazwanie mieszanych Druzów i mieszanych chrześcian, które wyobrażało Druzów żyjących pomiędzy chrześcianami i chrześcian zamieszkujących ziemię Druzów, i wyrodziło różnorodne kwestye, których rozwiązanie niemało zadało kłopotu mieszkańcom Downing-Street, którzy w swoim niepojętym zrozumieniu rozsiadłszy się wygodnie w swych eleganckich salonach, układali tak konstytucye dla Syryi, jak traktat handlowy z Chinami; i niemało się zadziwili, że ich mądre wypracowania oparte na zupełnej niewiadomości miejscowych stosunków, nie zyskały powszechnego przyzwolenia.

Bo i jakże jedynowładztwo kaimakana istnieć mogło tam, gdzie feudalny system głęboko wkorzeniony, każdego z naczelników większych rodzin czynił także w swém kółku samowolnym i niezależnym władcą. Czyż rodziny tak Druzów, jak chrześcian zniosłyby nad sobą zwierzchnictwo jakiegokolwiek, a cóż dopięro innowiercy? Niepodobne także było geograficzne oddzielenie wyznawców krzyża od

ich pogańskich współbraci, a dążność zbyt stronna, jaką okazał patriarchy Maronitów dla chrześcian, wywołała tylko wojnę domową. Wzięła zatem się dyplomacya do pojednania różnowierców i do spojenia w jedną niepodległą całość wszelkiej ludności Libanu, ale i to dla braku bliższego poznania miejscowych stosunków, nie przyszło do skutku. Stronnicy Shehaabów z wielką zrećnością korzystali z tych okoliczności na własną obracając je korzyść, i umieli pozyskać sobie coraz to więcej zwolenników. Cała ludność Maronitów, dochodząca do 150,000, ogłosiła się jawnie za tą rodziną, bo rodzina ta uchodziła w ich oczach za prawowierną; wszyscy prawie, tak emir Beshir, jak nieszczęśliwy Kassim, i jak większa część tej rodziny była chrześcijańskiego wyznania, a jeżeli było wśród nich kilku muzułmańskich książąt, to za to ledwie dwóch lub trzech Druzów liczyła w swém łonie. Duchowieństwo zaś Maronitów liczne, i dobrze uorganizowane (miało bowiem oprócz patriarchy, dziewięciu biskupów, dużo klasztorów i mnogich parafialnych księży), ogromny wpływ wywierało.

Jeszcze przed wojną 1841 r. cała ludność Druzów dosyć przychylną była domowi Shehaab; a doświadczone klęski, połączone z obawą utraty przywilejów, jakie im system feodalny zapewniał, odnowiły te uczucia. Utworzył się nawet komitet Shehaabów, mający ciągle posiedzenia w Deir-El-Kamar główném mieście Libanu, i chociaż złożony z chrześcian, miał jednak liczne stosunki z głównymi naczelnikami Druzów. Lecz najciekawszym w owym czasie zjawiskiem, był związek młodej Syrii, który się utworzył około 1844 r. i dotąd rozkrzewia się i kwitnie. W każdym mieście i nawet miasteczku Libanu jest młodzież nazwę tę przybierająca, odziewając ją płaszczem narodowości, lecz pod tym pozorem przebija się dość jawnie dążność przywrócenia na tron domu Shehaab.

Przełknięte tą dążnością Downing-Street, porzuciło co prędzej dyplomacyą religijno-duchowną, i postanowiło trzymać się od-tąd dawnego geograficznego podziału. Druzy widząc tém postanowieniem zapewnione swe dawne feodalne przywileje, ostygli w zapale jedności narodowej; a Shehaabowie ze swój strony po tej dezercyi zaczęli dowodzić, że jeżeli chrześcianin może i musi uleż muzułmanowi, nie podda się przecież Druzowi, poganinowi, czcicielowi złotego cielca, że woli raczej żyda, niż wyznawcę Eblisa.

Patriarchy Maronitów przysłał swym wyznawcom 200,000 piastrow na zakupienie broni; przełożony klasztoru Maashmooshi tyleż

prawie podarował na potrzeby publiczne, twierdząc, że lepiej oddać swe skarby na wspomnienie chrześcian, niż je widzieć zrabowane-mi przez Druzów. Biskup Sabi podobną kwotę obiecał; biskup Józef Dżisni przybył do Sidon z pełnemi worami złota, i obiecał ludowi, że niedługo potomek Shehaabów stanie na ich czele; lubo potem zawezwany do wytłumaczenia się z tego postępowania, nie przyznał się do obietnicy.

W tym też czasie, tojest w r. 1845 w maju wybuchła powtórnie na Libanie domowa wojna. Chrześcianie jednocześnie w kilku razem miejscach napadli na Druzów; napaść ta była niesłuszna i nie powiodła się też szczęśliwie; wokoło Beirutu widać, było płomień kilkudziesięciu wsi umyślnie podpalonych. Druzowie silny stawili chrześcianom opór, i skarcili ich surowo; a na wniosek ambasadorów europejskich w Stambule, tureckie wojsko weszło do Libanu w celu uśmierzenia rozpoczętej wojny.

Maronici w ogóle nietyle okazali odwagi i męstwa na placu boju, jak na posiedzeniach komitetu w Deir-El-Kamar; lecz kilku członków rodziny Shehaab, a mianowicie emir Kais dowiedli osobiście męstwem, że są nieodrodnemi potomkami swych walecznych przodków.

Przypadek zdarzył, że w czasie tego, nie mówię niespodziewanego, lecz raczej przedwczesnego powstania, emir Fakredeem spokojnie siedział w Kanobii. Pospieszył on na czele zebranych ludzi na miejsce bitwy, lecz gdy przybył, Maronici byli już pokonani, a zwątpienie i upadek ducha zastąpił poprzednie ich zrozumienie i przechwałki. Tureckie wojsko powstrzymywało obie strony od dalszych kroków wojennych. W takim stanie rzeczy, młody emir stawił się jako medyator pomiędzy zwalczonemi, a korzystając z ogólnej trwogi wszystkich mieszkańców tak Maronitów jak Druzów, z powodu tak nadspodziewanego rzeczy obrotu i wtargnięcia Turków, tak zręcznie na wszystkie strony umiał się obracać, iż został przyjętym za ogólnego w tej sprawie pośrednika, i pozyskał nawet od Porty wynagrodzenie przynależne Maronitom za szkody zrządzone im przez Druzów, jeszcze w czasie wojny z r. 1841, a których Druzowie nie byli dotąd w stanie uiścić; przyrzekając ich imieniem, że za to Maronici zgodzą się na podział geograficzny ziemi, pomiędzy obu pokoleniami, na co dotąd w żaden sposób zezwolić nie chcieli. Jakoż podpisawszy wraz z innemi emirami i szejkami dziesięć artykułów pokoju, odjechał do Jeruzalem, gdzie przybył właśnie, jak to już wiadomo czy-

telnikowi, w czasie obecności tamże Tankreda, którego spotkanie dało powód do tak dziwnych i zawikłanych następnych wypadków.

Rozdział II.

Po stromej skale Kanobii, czwałował szejik Said Dżinblat, jeden z najmłodszych naczelników Druzów, piękny i szlachetnego oblicza mężczyzna. Jechał on z poblizkiego zamku swego Mooktara; postępowało za nim czterech jego synowców. Był on w całej tylko co rozwiniętej sile dojrzałości: szczupły i wysokiego wzrostu, obwinięty płaszczem, miał na sobie biały turban, i bogato złotem haftowany kaftan, trzymając długą dzidę w rękę.

Po stromej skale Kanobii wolnym znowu krokiem, na pięknych czarnych jak noc rumakach, postępowało dwóch dzikich braci Abuneked: Nasiw i Hamood; za nimi szło około dwudziestu pieszych ludzi z nabitemi strzelbami i ostremi kindzałami. Na samo imię Abunekedów blednieją lica maronickich dziewczic. Abunekedowie, rodzina druzyjska, rządziła miastem Deir-El-Kamar, chociaż przemagająca ludność tego miasta jest chrześcijańska. W czasie, gdy patriarchy Maronitów chciał pozbawić Druzów ich feudalnych prerogatyw w miejscach przez chrześcian zamieszkałych, Nasiw i Hamood napadli i zniszczyli własne swe miasto Deir-El-Kamar. Gdy po uspokojeniu tej domowej wojny postanowiono, by wszelka nieprawnie zrabowana własność, wróconą była swym pierwotkowemu właścicielowi, Nasiw-Abuneked rzekł spokojnie: „Mam około 500 srebrnych rogów wziętych chrześcijańskim niewiastom (1), niechże kto odważy się przyjść do mnie i zwrotu zażądać?”

Lecz wszystko to poszło już dzisiaj w niepamięć, i chyba o tém pamięta ten oto łagodnego oblicza mężczyzna, co w tej chwili na spokojnym mule drapie się powoli po stromej skale Kanobii. Okryty burą wełnianą odzieniem, wygląda na prostego mnicha, a jednak jestto wielki dygnitarz kościoła, piastuje bardzo rozległą duchowną władzę: słowem, jestto biskup Nikodemus, pierwszy powiernik patriarchy i rzetelny sprawca nieszczęśliwych wypadków domowej wojny z roku 1841. Jeden tylko równie cichy i skromny zakrystyan jak sam biskup, stanowił całą tegoż świtę, bo fundusze biskupa są szcu-

(1) Kobiety na Libanie używają dużych srebrnych rogów do stroju na głowę, u których przyczepiają zasłonę.

ple, i tylko powszechny szacunek i cześć, jaką go cała ludność chrześcijańska otacza, wynagradza mu sownie to ubóstwo. Każdy co go spotka, czy najwyższy szejik, czyto prosty wieśniak, całuje ręce jego z uszanowaniem i prosi o błogosławieństwo, które biskup rad zawsze udziela.

Gdyby go los na rozleglejszym widnokregu postawił, byłby równą sławę pozyskał, co biskup d'Authun: bo umysł jego równie przebiegły, równie obfite zbiera plony z dokładnego słabości ludzkich poznania. Oddany zupełnie Fakredeenowi, z którym w ścisłym związku zostawał, służył mu szczerze; za jegoto pośrednictwem młody emir przesłał swe propozycje biskupowi Miurad do Europy, które tak bardzo gabinety angielski i francuzki zakłopotaly, a które później znowu za témże samém odwołał pośrednictwem.

Po stromój skale Kanobii widać mnogą liczbę strojnych jeźdźców, których rumaki zwinne i lekkie zaledwie ziemi dotykają. Święto księża Kais i Abdullach, Shehaab, Francis El-Kazim, i kilku jeszcze głównych młodój Syrii naczelników. Niektórzy z nich zaledwie wyszli z lat dziecinnych, jak to świadczy nieporosła jeszcze broda, lecz wszyscy z nich na dzielnych siedzieli koniach, i każdy z nich trzymał na ręku sokoła. Byłto bowiem piérwszy dzień tegorocznego polowania, dlatego wszyscy tak tłumnie się zgromadzili. Ci, co gardzili łatwém zwycięstwem nad słabą kuropatwą lub zwinną gazellą, znajdowali także w lasach Kanobii mrukliwego niedźwiedzia lub dziką panterę. Po stromój skale Kanobii jedzie także księżę Druzów, naczelnik domu Dżaż-Bek, który od 500 lat walczy o pierwszeństwo z domem Dżinblit; a dalej szejik Fahour-Kanga, który od czasu ostatniej domowej wojny nie palił jeszcze fajki z żadnym Maronitą, lecz teraz pozdrowił słowem: „salem“ liczną gromadę Habischów i Dopdadsów, jadących także obok niego po stromój skale Kanobii. Dalej widać także Butrosa-Karamej: jestto siostrzeniec patryarchy i sam przez siebie potężny szejik, który dotąd nie spojrział nawet na żadnego Druza, a spotkawszy go podnosił głowę i puszczał w górę dym z fajki, by nie skalać wzroku widokiem synów Eblisa. Dziś spokojnie przejeżdża przez ich różnorodne tłumy. Także rodzina Talhorków i potężny dom Abdel-Maleka ma tutaj swoich wysłańców, i tłum Elwasudsów, Elhierysów i Eldabasów, wszystko pnie się po stromój skale Kanobii.

I znowu po stromój skale Kanobii jadą emirowie i szejikowie na dzielnych ogierach i tłumy zbrojnych pieszych strzelców w lekkich kaftanach z obnażonemi nogami, obutemi tylko w drewniane sandały.

Po stromej skale Kanobii idą czarni niewolnicy, niosąc mnogie czary i kosze pełne żywności; gdzie spojrzysz, wszędzie strojne i wesołe tłumy, wszędzie ruch, życie i wesele.

*

Główny, wielki dziedziniec zamku Fakredeena zapchany mnóstwem ludzi i koni, arkady napełnione szejkami siedzącymi na dywanach i pałacami poważnie tytuń. Mało który z nich udał się do wnętrza zamku, z kądem ich po większej części odstręczał panujący tamże przepych, chociaż i tam rozesłano mnogie i miękkie dywany dla wygody gości. Skoro jaki nowy gość zawitał, ludzie naprzód mieścili i wiązali konie, następnie rozściełali dywan i przynosili nowoprzybytemu jaką przekąskę, najczęściej kawę, sorbety lub wino, które miejscowa służba dostarczała natychmiast, następnie dopiero podawano nargyle. Wszędzie panował wielki ruch, gwar, nigdzie jednak do kłótni nie przyszło; a co najdziwniejsza, iż pomiędzy tym tłumem uzbrojonym, wśród tych kindżałów, strzelb, pałaszy, jednem słowem pomiędzy całą tą ludnością wojenną, każdy dawnym syryjskim obyczajem, pozdrawiał drugiego słowem pokoju.

Fakredeen odziany w bogate szaty i w ogromnym turbanie czysto-narodowego kształtu, wszystkich witał uśmiechem zadowolenia i wszystkich serdecznie i hojnie ugaszczał. Z równą uprzejmością przemawiał do Druza jak do Maronity. Długi czas siedział obok Szeida Dżinbal, którego chciał sobie koniecznie pozyskać, i ofiarował znowu najpiękniejszego ogiera szejkowi Dżeżbek, by tenże nie obraził się grzecznością, okazywaną jego przeciwnikowi; słowem, tak umiał wszystkim nadskakiwać, tak wszystkich zadowolnić, że Talhookowie i Abdel-Malek nie mieli nic do zarzucenia Habissom i Eldodohom. Pocałował wprawdzie z uszanowaniem rękę biskupa Nikodema, lecz w téjże właśnie prawie chwili posłał swe nargyle emirowi Achmet-Rasslan kaimakanowi Druzów. Pośród tych wszystkich zgromadzonych gości, Tankred w eleganckim myśliwskim z aksamitu stroju, wsparty na strzelbie, arcydziele Purdaja, był celem ciekawości i podziwu dla wszystkich nowoprzybyłych. Jakkolwiek obyczaje Wschodu, w każdym przypadku każą zachowywać pozór zupełnej obojętności, jednak piękna broń jest dla nich rzeczą tak powabną, że emir Francis El-Kazim po długim przypatrywaniu się Tankredowi, posłał do Fakredeena z zapytaniem, czy angielski książę zaszczyci ich wspólnem do celu strzelaniem. Po tak nadzwyczajnym kroku na Wschodzie, Fakredeen zbliżywszy się do młodych ludzi, zapoznał ich z sobą, i wkrótce strzelba lorda Montecute była już w ręku Francis-El-Ka-

zima, i natychmiast szeik Sale zbliżył się, by ją także szczegółowo obejrzyć. Kais-Shubub, kilku członków rodziny Habeschów, Eldadasów, otoczyli wokół El-Kazima, i wkrótce głośne podziwienia oznaki, przeplatane ciągle wykrzyknikami: „Wielki i jeden tylko jest Bóg” zewsząd się rozchodziły.

Młody margrabia chcąc bardziej jeszcze gości swego przyjaciela zadowolnić, kazał Truemanowi i Freemanowi przynieść resztę swęj broni, tojest wykwintnej roboty dubeltówkę i dziwnie piękne i bogate pistolety. Ludzie ci z taką obojętnością i głupotą (zwykłą wreszcie wszystkim angielskim służącym) dopełniali polecenia swego pana, nie dając najmniejszego w niczém objaśnienia i rzucając tylko jeden na drugiego wzrok podziwienia i pogardy dla mieszkańców Libanu, że rozgniewany Tankred ich nieprzyzwoitóm obejściem, sam zbliżywszy się wykladał i tłumaczył wszystkie odmiany i nowe wynalazki w dzisiejszėj fabrykacyi broni.

Od czasu bow em swego pobytu w tych stronach nauczył się nieco miejscowego języka, i choć z trudnością można go było zrozumieć. Po skończonych objaśnieniach podniósł strzelbę, wziął na cel czapkę, w odległości przeszło stu prętów lecącą, strzelił—a ptak spadł z urwaną głową nieżywy, pośród wspólnych oklasków zadziwienia, tak Druzów jak Maronitów.

— Jest on tu przysłany—mówił nieco później Butros-Kerami wskazując na Tankreda—od królowej angielskiej, by się przekonać naocznie, czy ludność Libanu przychylną jest wyniesieniu na tron domu Shehaabów; bo czy uwierzycie, że słyszałem wczoraj, iż konsul angielski przedstawił królowej, że sam nawet patriarchy jest mu niechętny.

— Czy podobna?—zawołał Rafael Farach, Maronita z rodziny Eldadahów.—To chyba Druzowie podobne bajki roznoszą.

— Stójcie!—zawołał Francis El-Kazim, jako reprezentant młodziej Syryi—nie ma już Druzów ani Maronitów, są tylko Syryjczycy.

— W takim przypadku niemała liczba naszych współziomków Syryjczyków należy do rodziny Eblisa (1), a co do mnie przyznam się, że nie mam chęci do niej należeć.

— Doprawdy, pięknieby wyglądał Liban bez Maronitów—dodał Rafael Farach—tak jak lato bez deszczu.

— Wielkie téż rzeczy działali Maronici—odrzekł Francis El-Kazim.—Gdybyśmy wszyscy byli Syryjczykami a nie Maronitami, Dru-

(1) Szatana.

zami i tżlu jeszcze innemi ludami, bylibyśmy zdobyli Egipt, zamiast dać się zawojować Egipcyanom; zaprawdę, mają się czém poszczycić Maronici.

— Co słyszę? członek rodziny El-Kazim powstaje na Maronitów?—rzekł z oburzeniem Rafael Farah—na naród mający do 200 klasztorów.

— I patryarchę—dorzucił Butros Kerami—którego wszyscy szanują, sam nawet papież rzymski.

— A którzy dali się rozbroić, jak jaka trzoda owiec.

— Rozbroili nas, to prawda, ale nie pobili—dodał Butros, który był dosyć mężny osobiście.

— Tak, to prawda—mówił Rafael.

— A rozbroili za pomocą klasztorów, któremi tak się szczycicie.

— Bo ich zwiedli synowie Eblisa. Co do mnie, nigdy broni méj nie oddałem—ciągnął dalej Butros—mam ja jeszcze kilka strzelb choć nie tak wykwintnych jak księcia angielskiego, zdolnych przecież do zabicia każdego syna Eblisa, czyli to Druza, czy Egipcjana.

— Nie mów ani słowa więcej—zawołał rozgniewany Francis El-Kazim—kochasz przecie naszego wspólnego gospodarza, a podobna mowa do serca pewno mu nie przypadnie.

— Ani mnie, moje dzieci—rzekł nadchodzący biskup Nikodem.— Wielki to dzień dla Syryi, który zgromadził naczelników obu narodów pod dach Shehaaba, ja zaś na to tylko tu przybyłem, by was zachęcić do zgody i jedności. A ty kochany Butros, mój przyjacielu, moje ulubione dziecko, jeżeli chcesz serce moje radością napełnić, także i serce patryarchy twego wuja, nie nazywaj więcej Druzów synami Eblisa.

— Jakież ich nazywać?—zapytał Rafael Farah porywczo.

— Braćmi—odrzekł biskup—obłąkanemi wprawdzie, lecz zawsze braćmi. Nie jest to pora stosowna do kłótni lub niezgody, gdy wielka Anglii królowa przysyła własnego brata, by się przekonał o jedności i braterstwie naszych pokoleń.

* * *

Bicie w bębny, naszczekiwanie psów i odgłos trąby, zwiastowały zbliżającą się polowania chwilę. Wszędzie powstał gwar i hałas; wielu szejków wyszło z podwoi zamkowych na dziedziniec, niektórzy przecierali strzelby, inni oglądali dzidy, inni znowu dobywali i chowali do pochew lśniące kindzały. Przed bramą zamkową stało dużo osiodłanych koni: jedne przywiązane były do słupów, drugie trzymane przez małych syryjskich groomów, a czarni niewol-

nicy przyprowadzali klacze i ogiery Fakredeena, przygotowane dla niego i znakomitszych gości.

Cała gromada myśliwych, składająca się z przeszło 800 osób; podzieloną na trzy części została, którym przywoził emir Fakredeen, oraz dwaj naczelnicy czyli kaimakany obu narodów; a skutkiem troskliwych starań i tajemnych emira zabiegów tak wszystko było niby przypadkowie ułożoném, iż naczelnik Druzów emir Russlan dowodził tą częścią myśliwych, która najwięcej w sobie znakomitych Maronitów oraz zagorzałych wyznawców młodej Syrii mieściła: a kaimakan Maronitów emir Haidar przywoził znakomitym Druzów rodzinom. Trzej dowódcy zjechawszy z góry i skłoniwszy się uprzejmie, udali się każdy w inną stronę. Niedługo odgłosy strzałów, naszczekiwania psów, głos trąby myśliwskiej, co zrazu tak wyraźnie w stronę zamku dochodziły, oddalać się zaczęły, a w końcu znikły zupełnie. Cała okolica Kanobii zdawała się wyludnioną, nigdzie nie ujrzałeś mężczyzny, ani nawet podrosłego młodzieniaszka; gdzieś tam tylko kilka kobiet z podniesionymi zasłonami przechodziły po łące.

Po kilku godzinach zupełnej i niczém nieprzerwanój cichości, dały się znowu słyszeć coraz to bliższe strzelania powracających myśliwców, a wkrótce i oni sami ukazali się, poprzedzeni niesioną zdobyczą z łowów. Na ogromnych noszach z zielonych gałęzi, dźwigano dwudziestu kilku dzików, mnóstwo gazelli (z których każda niesiona przez czterech ludzi, zatknięta była na czterech dzidach), i jedną ubitą hyenę.

Po tym pierwszym konwoju nadciągnęła i reszta myśliwych; jechali oni wesoło, wyścigali się, rzucali i podnosili dzidy, i kiedyniekiedy na znak radości i ochoty strzelali w powietrze. Fakredeen ujrawszy wyjeżdżającego z lasu kaimakana Druzów, pospieszył naprzeciw niemu z wszystkimi towarzyszami i wieszował szczęśliwych łowów, a potem poczekawszy wspólnie przez chwilę na nadjeżdżającego także kaimakana Maronitów, ruszyli wszyscy razem do zamku.

Kuchnie w Kanobii na wielką urządzone skalę, były przecież bardzo proste. Nieopodal od zamku wykopano około pięćdziesiąt kwadratowych dołów, długich i szerokich na kilka stóp, a na dwie stopy głębokich. Przy każdym rogu takiego dołu, zatknięto mocną tykę dębową, na tych czterech tykach zawieszono prosty ruszt z świeżego drzewa spleciony, pod który sypano żarzące się węgle. Leżące mięso na ruszcie, piekło się tym sposobem równo i jednakowo. Na niektórych rusztach spoczywały ogromne dziki, na drugich tłuste ba-

rany lub delikatne gazelle do góry obrócone nogami, i do czterech przywiązane słupów, tak, by ciągle w tém położeniu zostawały, i dopiero ładowano wypróznione żołądki posiekanymi cytrynami i granatami. Sok tychże łącząc się z kipiącym tych zwierząt tłuszczem, stanowił wyśmienity sos tak co do smaku, jak i zapachu. Służbę myśliwską przeistoczono na kucharzy, i lubo większa część starszyny udała się do wnętrza zamku, gdzie siedząc na dywanach, rozmawiając i paląc nargyle, czekała przyrządzanej uczyty, niejeden z Mooskatadźów cichaczem wyniósł się z komnat, by mieć udział w przyrządzeniu téj prawdziwie patryarchalnej wieczerzy, godnej tych stron i tego zamku. Oprócz tych ogromnych ognisk pod gołym niebem, zajmowano się także czynnie, choć już pod dachem, w osobnej, obszerniej budowie, gotowaniem ryżu, rościeraniem go na cynowych misach, paleniem i tłuczeniem kawy, oraz przyrządzaniem wątrób tak dzików, jako i gazelli, a które duszono w złotém winie Libanu i hojnie podsycano korzeniami.

Uczyty zaś porządek był następnym: Fakredeen kazawszy rozestłać na ziemi najpiękniejszy dywan w najparadniejszej komnacie zamku, zaprosił Tankreda, obydwóch kaimakanów, biskupa Nikodema, Saida Dżinblat, dwóch braci Abeneked, Nassifa i Hamooda, naczelników domu Dżeżbek; Talhuka i Abdel-Maleka i niektórych jeszcze znamienitszych maronickich naczelników, wszystkich emirów z domu Shehaab, i kilku znaczniejszych Druzów. Każdy z zaproszonych rozestłał przed sobą swój dywan, zostawując tylko małe miejsce do przejścia. Reszta zaś szejków i Mooskatadżisów porozścierało także grupami swoje dywany to po innych komnatach, to pod arkadami. Każdy gość miał własny nóż przy sobie, widelce zaś były im zupełnie niepotrzebne. Fakredeen z upodobaniem popisywał się ze swoją bogatą porcelaną francuską, na którą spoglądali z podziwieniem Dżinbladsy, Abunekedy i Thalhooky. Ten zbytek ograniczał się tylko do głównego stołu emira; w innych salach krążyły jednak obficie cynowe, miedziane i polewane gliniane misy. W potrzebie brak talerzy zastępowano dużym i płaskim plackiem z jęczmienia, który każdemu z biesiadujących podano. Dla głównych gości dostarczono rżniętych kryształowych szklanek, woda zaś stała w glinianych naczyniach, utrzymujących dłużej jej świeżość. Ci z biesiadników, co własne drewniane posiadali łyżki, jedli niemi zaraz na wstępie podany ryż z pachniącym i wybornym sosem, lecz większa część przytomnych gości obchodziła się bez tak zbytkowego narzędzia, zastępując je z wielką zręcznością palcami i dłonią.

Wniesiono duże dębowe nosze, ułożone z gestych poprzecznych gałęzi, okrytych wysoko liściem morwowym; na tém miękkim i zieloném łożu spoczywał olbrzymi dzik i dwie po jego bokach gazelle z sterczącemi do góry nogami, tak jak były upieczone, by zachować sok, co ich wnętrze napełniał. Od tego zaś, co je miał piérwszy napocząć, wielkiej wymagano zręczności, by nic z tak doskonałego przysmaku nie stracić. Pokój napełnił się rozkoszną wonią, gdy wprawna Habassa z Deir-El-Kamar ręka rozdarła ostrym pugińalem z jednego boku wierzchnią skórę gazelli. Nalewał on potém z ostrożnością w przygotowane naczynia wyśmienitą ciecz co ją napełniała, następnie dopiéro innym już i ozdobnym nożem krajał duże kawałki tłustego, soczystego i białego mięsa, które wraz z sosem roznoszono gościom.

Ten sam widok powtarzał się tak zewnątrz jak i wewnątrz zamku: już dziesięć dołów czyli ognisk kuchennych wypróżniono na zaspokojenie piérwszego głodu myśliwców. Ogniska te natychmiast rozpalono na nowo i świeżym zapasem żywności naładowano, by nie tylko dostojniejsi goście, ale cała służba i cała ludność zgromadzona obecnie w Kanobii, dostatecznie posilić się mogła. Tankred z podziwieniem przypatrywał się cichój i spokojnej biesiadników postawie, którzy zasiedli do posiłku z taką powagą i uroczystością, jakby do najważniejszego zatrudnienia; gdy u nas każda uczta, każda biesiada ożywioną być musi rozmową i śmiechem. Wszyscy należący do tego zgromadzenia, a którym Tankred to postrzeżenie udzielił, tak Shehaaby jak Habisze, Talhooksy i Dżinblatsy, jako ludzie mądry zgodzili się jednomyślnie, że dwóch rzeczy razem dobrze wykonać nie można; że kto chce mówić, jeść nie powinien, i naodwrot. Ztąd téż u ludów na Wschodzie przy ucztach i obiadach wzbroniona bywa i obecność kobiet; twierdzą oni bowiem, że zdrowie człowieka wymaga zupełnego odpoczynku i pokoju myśli w czasie téj funkcyi, nie tak jak w Europie, gdzie zwykle w podobnej chwili mężczyźni w towarzystwie niewiast wysilają swój rozum na dowcipy i komplementa, któremi usiłują zająć piękne współbiesiadniczki.

Inaczej działo się w Kanobii; tu wszyscy obecni, tak Druzy jak Maronici, oddani byli wyłącznie jedzeniu. Niknęły ogromne misy tak pożywnego dzika, jak delikatniejszej gazelli, zastępowane znowu gołębiami, kuropatkami i inném ptastwem, którego także hojnie dostarczyli myśliwi; i dużo upłynęło czasu, nim nasi biesiadnicy powtórnie zażądali ryżu, co było dowodem, że już dostatecznie nasyceni byli mięsiwem. Natychmiast zbliżyli się nubijscy niewolnicy niosąc sre-

brne i kryształowe nalewki, oraz ręczniki złotem i jedwabiem przetykane, a każdy z biesiadników obmył swe ręce w czystej wodzie.

Po chwili Butros-Kerami tak odezwał się do Rafaela Farah, wychylając spory kielich wina Oro:

— Doprawdy, że zaczynam wierzyć w jedność narodową Maronitów i Druzów.

— Trudnobo przeczyć, że kiedyś oba narody przez jednego nie były rządzone władcą. Gdyby i dziś władza piastowaną była przez członka rodziny Shehaabów i gdybyśmy często na podobne uczty mogli się zgromadzać, to co do mnie, chętniebym przystał na wszystko; trzeba raz zwalczyć niesłuszne przesady.

— A jednak trudnoby było nazwać się współrodakiem Hamooda Abunekeda.

— Tak, to prawda; współrodakiem człowieka, który burzył klasztory.

— I który dotąd jeszcze zatrzymuje w swym zamku 500 rogów maronickich niewiast.

— Lecz gdyby je też zwrócił dobrowolnie—dodał stojący obok Francis El-Kazim.

— Toby zmieniło położenie rzeczy—odrzekł Rafael.

— Nic nie zmienia położenia rzeczy; dopóki on żyje, zbrodnie jego wołają o krew i pomstę.

— Zabranie stroju niewieściego nie jest zbrodnią wołającą o krew i pomstę—rzekł Francis El-Kazim.

— Tak, to prawda, lecz o wieleżto innych rzeczy oskarżają go—zawołał Butros.

— Oskarżają, lecz nie przekonywają—ponowił Francis El-Kazim z wytrwałością.

— Alboż to mało?—powiedział z goryczą Rafael Farah, i obracając się do niewolników roznoszących konfitury, likwory, kawę i sorbety, suto się niemi obdarzył.

Po skończonej biesiadzie powstali z miejsca naczelnicy i przedniejsi goście, i po krótkiej modlitwie posiadali znowu to na dywanach wśród komnat, to przed zamkiem pomiędzy arkadami, i paląc podane sobie nargyle, spokojnie toczyli rozmowy. Jedni rozprawiali o dzisiejszym polowaniu, drudzy o własnych interesach, inni znowu wypytywali lorda Montecute o Anglię. I tak szeik Said Dżinblat pytał, czy w Anglii są hyeny; lecz zawstydzony jego niewiado-

mością Kais Shehaab, nie dając nawet czasu Tankredowi do odpowiedzi, odrzekł spiesźnie, że w Anglii są tylko lwy i jednorożce (1).

Biskup Nikodem korzystając z ogólnego goszczących usposobienia, zaczął przypominać z upodobaniem ubiegłe czasy, opowiadać zgromadzonym różne wypadki, zaszłe podczas rządów emira Beshir, gdy tenże przebywał w swym wspaniałym zamku Beteden niedaleko Deir-El-Kamar, chcąc tym sposobem zwrócić myśl swych licznych słuchaczy do owych czasów, gdy oba narody pod jednym zostawały berłem, i gdy najpotężniejsi naczelnicy tak Druzów, jak Maronitów, z ochotą schylali głowę przed potężną prawicą rodziny Shehaab.

— Co najdziwniejsza, że ci ludzie chcą uchodzić za chrześcian—mówił Freeman do Trueman, sadowiąc się pod drzewem z sutym mięsiwa zapasem. — Kto kiedy słyszał o chrześcianach noszących turbany?

— Albo jedzących bez noża i widelca.

— Jakżeby się dziwili nasi towarzysze w Bellamont, gdyby to wszystko widzieli; już to trzeba przyznać, że podróż ma swoje wielkie korzyści.

— Ale i niemniejsze trudy—odrzekł Trueman, zajadając ze smakiem świeżo przyniesione mięso.—Oni to nazywają gazellą—mówił dalej—to zapewne to samo, co u nas zowią wędliną.

— Dziwnieby jakoś spoglądano na tę wędlinę w Bellamont.

— Co Bellamont, to nie Kanobia—odrzekł poważnie jego towarzysz—i tutejszy *hemir* jest sobie prawdziwym gentlemanem. Zawsze to stosowniejsze dla milorda towarzystwo, niż mnichy, pielgrzymy i podobna im tłuszcza, która gotowa jeszcze naszego pana zbałamucić i na swoje przerobić kopyto.

— Tam do licha! toby dopiero był piękny interes; milady nigdy nie przeżyłaby tego. Lepiejby już zrobił, żeby został Turkiem.

— Niewątpliwie, sto razy lepiej; przecież sultan turecki przysłał ambassadorów do naszej królowej, a nie każdy może to uczynić.

— Nie chciałbym jednak zostać Turkiem—rzekł Freeman z namysłem.

— Ani ja—odparł Trueman—bo proszę, gdyby człowiekowi przyszło umrzeć w tym kraju, toby nie miał uczciwego chrześcijańskiego pogrzebu.

(1) Zwierzęta znajdujące się w herbie Wielkiej Brytanii.

Przypis. tłum.

— Ani nawet szklanki wina przed śmiercią—rzekł znowu Freeman — coto za bałwany te Turki, żeby nie pić tak doskonałego truneczku, jakim jest wino.

* * *

Z nadchodzącą nocą porozpalano wszędzie ogromne ognie, tak dla dodania wesołości i otuchy czuwającym, jak dla odstraszenia hieny lub pantery, gdyby zwabione wonią świeżego mięsa, chciały się nadto zbliżyć do biesiadników; powoli jednak gwar i ruch się zmniejszał, a wkrótce zupełna zastąpiła je cisza. Goście Fakredeena zmęczeni całodziennym trudem, przesyleni jadłem i napojem, udali się na spoczynek: jedni leżeli na rozesłanych w pokojach dywanach i sofach, inni owinięci płaszczami, pod gołym niebem smaczno zasypiali.

Polowanie miało trwać jeszcze trzy dni i nikt z zaproszonych gości nie pomyślał wywalić się z Kanobii przed owym czasem. Fakredeen oddał nawet swe własne pokoje licznym gościom, wszystko stało otworem w zamku, z wyjątkiem jednego mieszkania Tankreda, które pozostało nietknięte. Emir prosił margrabię, by go na ten czas przyjął do siebie, i nasi dwaj przyjaciele pożegnawszy uprzejmie resztę nieśpiącego jeszcze zgromadzenia, udali się małym i wązkim korytarzem, na końcu którego otworzyli boczne drzwi, prowadzące do pokojów Tankreda. Baroni czekał na nich u progu, strzegąc, by kto nie przywłaszczył sobie chwilowo tego schronienia. Na małym tarasie zastali już rozesłane dywany i miękkie poduszki, zapaloną lampę, kipiącą kawę i świeże nargyle.

— Dzięki Bogu, jesteśmy sami—zawołał Fakredeen rzucając się na sofę—a teraz powiedz mi szczerze mój drogi Tankredzie, co myślisz o tém wszystkiém.

(Dalszy ciąg nastąpi).



O NOWÉM WYDANIU SAG SKANDYNAWSKICH.

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Stare sagi skandynawskie, sąto ogromne i nieprzejrzane jeszcze dobrze skarbnice, z których na dzieje całej, a zwłaszcza północnej Europy, spłynie kiedyś wielkie i dobroczynne światło. Dawne podania Skandynawów napomykają wyraźnie, że całe to ogromne plemię narodów niemiecko-gotyckich, które zaludniło północ Europy, jeszcze przed Cezarem i Tacytem wyszło ze Wschodu, i że praojcowie tego plemienia mieli związki z historyczną Azyą, kiedyś, przed kilką dziesiątkami wieków. Potém te ludy gotyckie posunęły się ze wschodu więcój na zachód, panowały nad Dnieprem, nad Dunajem, i nad Wisłą, były się ze Wschodniem i Zachodniem cesarstwem, ścierały się ze strasliwą nawałą Hunnów, która już późno napłynęła, wywędrowały nareszcie w dalekie strony, wszędzie znacząc ślady swojego pochodu, wywalając stare państwa, a zakładając nowe na dawnych gruzach i zwaliskach. Ojczyznę jednakże tych narodów w Europie, w czasach już historycznych, były przedewszystkiém lasy zamierzchłe i góry Skandynawii. Ztąd wychodziły pokolenia, jedno za drugim, na wędrówkę i panowanie innym okolicom i ludom, ztąd rozpościerały łupieżę, łotrząc na morzach, a postrach swojego imienia zanosząc aż na brzegi Afryki, ojczyzny Hannibala. Przed zaraniem swojej historii, ulegali i ojcowie nasi, Słowianie, Gotom i Normandom, i dlatego do dziś dnia nie mogą trafić do źródła pierwotnych swoich dziejów, bo czyny ich i życie, pokryły swojemi czynami i życiem, zwyciężkie, panujące nad ziemią słowiańską, ludy gotyckie. Bo

i gdzież doprawdy nie były te narody gotyckie? Sagi skandynawskie są wprawdzie podaniami jednego tylko ludu, ale że lud ten, zdobywczy i niespokojny, zappełnił sobą wszystkie strony, zapisał się na wszystkich kartach Europy: sagi te objaśnić mogą przeszłość nie tylko dzisiejszej Skandynawii i Niemiec, ale i naszą. Postanowiliśmy zwrócić na ten ciekawy przedmiot uwagę uczonych polskich.

W starożytnym języku Północy, wyraz *saga*, znaczy poprostu razem *podanie* i *opowieść*; nie to samo podanie ustne, które z pokolenia jednego przechodzi w drugie przez lat setnice, ale podanie skrytalizowane w nieśmiertelne słowo, napisane, zachowane dla potomstwa. Sagi, to prawdziwe rapsody, i dlatego autorowie ich wiele mają podobieństwa do dawnych Homerycznych pieśniarzy Hellady. Sagi rodziły się same, jak powiada o nich sprawiedliwie jedna stara narodowa pieśń Norwegii. Układały się same w opowieść, i wypełniały się same podług formy raz nazawsze przyjętej i uświęconej, jakby przez ogólne natchnienie narodu, tak, że nie można było nigdy wskazać nawet autora sagi; a następny jej opowiadacz czy kopiista, nie każąc wcale zasady podania, nie psując wcale całego toku opowieści, wyrzucał z niej, albo dodawał to lub owo, i saga mimo to zostawała nietknięta w pierwotnej swojej treści historycznej. Ztąd na jeden zawsze sposób, widzimy, są opowiadane w sagach wypadki dawnych dziejów skandynawskich, nawet te same we wszystkich zwroty i wyrażenia. Niepodobna przypuścić, żeby każdy opowiadacz albo kopiista podać rodzinnych, miał przed sobą całą bibliotekę dawnych sag, żeby czerpał z jednych i drugich i naśladował ślepo to, co czytał. To właśnie bliźniące podobieństwo sag wszystkich, ta forma opowiadania raz dla nich przyjęta, stanowi o całej ich wartości dziejowej. Sagi sąto skamieniałe odłamy wielkiego gmachu historii, które przetrwały lat tysiąc bez najmniejszej odmiany, a dzisiaj dla nauki potomstwa, zbierają się i chowają w archeologicznych muzeach. Bo można przecież dzisiaj i kamienie zmusić, żeby przemówiły zrozumiałym dla nas językiem. Nic więc dziwnego, że wiele sag o królach norweskich przedstawia się nam, jako zbiór urywków mniej więcej jednej treści; nic dziwnego, że nawet kronika skandynawska, pisana uczonym językiem, bo po łacinie, pod koniec XIIgo wieku przez mnicha Thiodrika, zawiera w tekście swoim wiele takich rzeczy, które, zdaje się, żywcem są wzięte z sagi, i tylko przetłumaczone na język dawnego

Rzymu. Ztąd też bardzo naturalnie, kopiści, spisywacze sag, nie kładli przy nich swojego imienia, jak starożytni historyografowie klassyczni, bo czuli to dobrze, że wypełniali tylko podrzędną rolę kopiistów i nie zdobywali się wcale na nic wielkiego, na nic nad siły, coby w nich przypominało oryginalność albo twórczość. Owszem przeciwnie, jeżeli jest mowa o pracy twórczej, np. o redakcyi danego przedmiotu, autor nie waha się nigdy powiedzieć potomności i swojego nazwiska dla pamiątki, jak to widzimy, zrobił Snorre Sturlason, Ar-Frod, mnich Gunnlaug i t. d.

Aleto przedmiot już bardzo często poruszany przez uczonych, i nie ma dlatego potrzeby mówić dzisiaj o historycznym znaczeniu sag skandynawskich, kiedy za nimi świadczą niezmierne odkrycia dla nauki. Powtarzalibyśmy po raz setny to, co inni już przedtém lepiej powiedzieli. Nie mamy tutaj na myśli jedynie pisarzy duńskich i szwedzkich, którym doprawdy wszyscy możemy zazdrościć, że posiadają w dawniej swojej literaturze tak piękny i bogaty materiał dziejowy. Przed kilkudziesięcią laty dużo pisał o sagach i klechdach Skandynawii ojcom naszym Tadeusz Czacki, a wywodząc z Północy początek praw naszych, kazał tam szukać i objaśnić względem pierwotnych dziejów Słowiańszczyzny. Przed kilkunastą znowu laty, ogłosił znakomitą rozprawę swoją o sagach Józef Sękowski, autor *Kollektanei* (1). Praca jego zawiadomiła nas bliżej teraz o tém odkryciu świata prawie nowego, o tej pięknej i złotodajnej Ameryce literackiej Kolumba. Interes koniecznie podnieść się musiał dla znakomitych i niezliczonych pomników przeszłości skandynawskiej.

Towarzystwo królewskie starożytników Północy w Kopenhadze, które już od lat kilkunastu wielkie położyło zasługi dla dziejów Danii, Norwegii i Szwecyi, przez mozolne badania swoje i prace znakomite, podjęte dla objaśnienia starobytniej przeszłości Skandynawii, myślało już oddawna o wydaniu krytycznym sag, jako źródła historycznego. I w samej rzeczy, myśl ta przyszła we właściwej porze: nie wszystkie jeszcze zabytki dawniej literatury Normandów były upowszechnione drukiem. Dawniejsi badacze wydawali pojedyncze sagi, ale nigdy nie objęli całości. Dla nauki Europy, potrzeba jednak było zdobyć się na wydanie całości, na-przód dlatego, że szczegóły lepiej się przez to uwydatniają w ramach ogromu, a potem wydanie to było potrzebne, chociażby dla-

(1) W *Bibliotece do czytania*, wychodzącej w Peters. 1834 t. 1szy.

tego, żeby upowszechnić sagi. Krytyka europejska prawie nie tknęła się jeszcze tych dawnych podań Skandynawii, bo gdzież ich miała szukać? Po bibliotekach trzech królestw północnych? Leżały tam na pulkach, jak martwe składy, spisane podania Skandynawii, dostępne dla małej liczby wybranych, z których jeszcze nie każdy umiał zajmować się niemi. Druk tylko mógł rozpowszechnić jawność sag po świecie. Przez wydrukowanie sag jedynie, mogło spłynąć na dzieje Europy dobroczynne światło, o jakim wspominaliśmy. Z księgi otwartej mogli wszyscy czytać, a każdy czytelnik mógł tego poszukać, co rozumiał, do czego tęsknił.

Mamy właśnie pod ręką ogromny tom świeżo wydanych sag Skandynawii, pod nazwiskiem *Starożytności ruskich* (1). Co za powód tego nazwania?

Ludy gotyckie, jak sagi nas uczą, wyszły ze Wschodu, a więc mieszkały kiedyś na ziemi, którą zajmuje dziś Rosya, zanim osiadły w północnej i środkowej Europie. Cały ten Wschód sagi nazywają *Gardarikiem* (*Garda* imię własne, a *rik*, to niby dzisiejsze *Reich*, państwo). Związki Skandynawów z Gardarikiem poprzedziły jeszcze czasy historyczne późniejszej Rusi. Nie pierwszy Ruryk znał Słowian, kiedy państwo zakładał w Nowogrodzie. Przed nim osobna jeszcze dynastia panowała w Połocku, a takich dynastij mogło być kilka, kilkanaście, w różnych stronach wschodnio-północnej Słowiańszczyzny. Zobaczym to zaraz. Sigurd król szwedzki z Haraldem Hildetannem walczył na ziemi słowiańskiej jeszcze w VIIym wieku ery chrześcijańskiej; i kiedy Sigurd miał Kurów i Estów pod swoim dowództwem, w wojsku Haralda byli Wendowie, Liwowie i Reitgoty. Cała siła Sigurda opierała się na Gardariku. Sami Normandowie, którzy założyli państwo Nowogrodzkie u Słowian, nazywali się Rusami, mieszkali w jakiejś krainie Roslagen, która dzisiaj jeszcze zagadką jest dla uczonych. Nazwisko więc Rusi nie było słowiańskie, ale gotyckie. Rejtgotlandya często wspomiana jest w sagach; byłto zawsze kraj jakiś na Wschodzie. Nazwisko Rejtgotlandyi przypomina Ruś. Tysiące więc nitek wiąże dawne ludy skandynawskie z tym Gardarikiem, który już bardzo późno otrzymał ogólne nazwisko dziejowe *Rusi*. I oto powód, dlaczego Towarzy-

(1) *Antiquités russes. Tome premier. Copenhague. 1850 r.* Wydanie śliczne w ogromnym arkuszu, z tablicami genealogicznymi i podobiznami.

stwo uczone w Kopenhadze nadało swojemu wydaniu sag, nazwisko *Starożytności ruskich*. Pierwotną ojczyzną ludów gotyckich w Europie, nim osiadły stale w Skandynawii i w Niemczech, była ziemia dzisiaj słowiańsko-ruska. Na tej więc starzej ziemi, ludy Skandynawii musiały poszukiwać śladów swojej starożytności.

Nieoznaczona jest wcale liczba wydać się mających tomów. Mamy tylko plan wydania, z którego domyślać się możemy ogromu nadzwyczajnego bogactw. Plan ten rozumny i sumienny. Na cztery części główne, rozdzielili pracę uczeni wydawcy. Chcieli zebrać osobno: 1ód Starożytne opowieści, w których myty plątają się z historją, a obok nich rozlana wszędzie poezya i podania, które pochodzą z czasów najodleglejszej starożytności; 2re opowieści właściwie historyczne; 3cie napisy runiczne o Waregach; 4te dyplomata i inne urzędowe dokumenta, pisane w języku islandzkim, albo w jakimkolwiek bądź innym skandynawskim, a mające związek z dziełem. W tomie pierwszym niewyczerpana jeszcze treść tych czterech poddziałów. Wszystkie jednakże podziały, utworzono li tylko dla wydania pomników dziejowych, świadczących o życiu dawniej Rurykowej Rusi, a raczej o życiu ludzi północnych, osiadłych pomiędzy Słowianami wschodniemi.

Znakomity duński uczoney Rafn stoi na czele przedsięwzięcia. Imię jego znane jest uczonej Europie. Wyzbierał on niedawno wszystkie wiadomości, porozrzucane w sagach o historii pierwszego odkrycia Ameryki od wieku Xgo aż po XIVty, i wydał w roku 1837 osobną w tym celu księgę, osnowaną na podaniu dokumentów urzędowych pod tytułem: „*Antiquitates americanæ, sive scriptores septentrionales rerum ante-columbianarum in America*”. Potem razem z Finn-Magnusenem, wice-prezesem Towarzystwa, pracował Rafn w tymże samym przedmiocie, i już z pomników historycznych Grenlandyi wykazał, że Skandynawowie jeszcze dobrze przed Kolumbem znali Amerykę. I to dzieło wydało nakładem swoim Towarzystwo. Nadzwyczajny interes całej uczonej Europy obudziły te ciekawe poszukiwania uczoney duńskiej. Nie mówim już o tém, że nowe fakta przybyły do dziejów naszej części świata; możemy teraz i prędjiej zrozumieć serce Kolumba, który wiedział coś o podróżach Normandów na Północ i z pewnością wiedział, że znajdzie swoje obiecaną ziemię, o której w snach nawet marzył. Niedawno zmarły Kajetan Trojański, w broszurce wydanej w Krakowie, zawiadomił też i nas o tych nowych odkryciach naukowych Rafna i Finn-Magnusena.

Rafn zachęcony głośnemi pochwałami Europy, wskazał swojemu przyjacielowi na Wschód, jak niegdyś na Zachód, i takim sposobem powstał zamiar wydania sag skandynawskich, objaśniających przeszłość nie tylko ludów, które mówiły niegdyś sag językiem, ale i przeszłość ziemi, dzisiaj słowiańskiej. W samym Towarzystwie starożytników północnych, zawiązało się w tym celu oddzielne towarzystwo. Powołanie Finn-Magnusena pod koniec r. 1847 do nowych obowiązków, w zakresie więcej świetnym jak skromne prace literackie, było wprawdzie ciosem dla gotującego się dzieła, ale znakomity uczony nie skąpił i tak swojego światła i nauki, pomagał wydaniu zdaniem wytrawnym i radą. Na jego sąd zdało Towarzystwo wybór dokumentów i sag, które miały wejść w skład wydania, a oprócz tego Finn-Magnusen wygotował kilka rozpraw i wiele not krytycznych. Redakcja tekstu dostała się w podział samemu wydawcy, który musiał obejrzyć wszystkie rękopisy sag, spisać warianty, i text prawdziwy krytycznie oczyścić. Pomagał Rafnowi w tej pracy Jan Sigurdsson, archiwista Towarzystwa i Brynjolf Snorrason, urzędnik archiwum koronnego Danii. Obaj ci młodzi uczeni, jak i sam Finn-Magnusen, pochodzą rodem z Islandyi. Tłumaczenie łacińskie tekstu, oryginalnego i noty krytyczne do poezyj znajdujących się w texcie wygotował inny jeszcze uczony islandzki Sveibiörn Egilsson, Dr. teol. i rektor kollegium w Reikiavik, autor ważnego bardzo dzieła: „*Lexicon poeticum antiquæ linguæ septentrionalis*”, które ma wyjść w tych dniach nakładem Towarzystwa. Sage Ejmunda z islandzkiego wytłumaczył na język francuzki Chrystyan Juliusz de Méza, generał-major artyleryi duńskiej, znakomity lingwista, znany Europie jako szef brygady w czasie kampanii holsztyńskiej 1849 r. Do rozdziału o runach dostarczył szacownych wiadomości Ludwik Westfelt podpułkownik wojsk szwedzkich i adjutant króla Oskara: jako pomocnik korpusu topograficznego, zwiedził ten uczony większą część prowincyj szwedzkich, przyjrzał się kamieniom i napisom runicznym i zrobił wielu dokładny rysunek, który nadesłał Towarzystwu. Część główna źródeł, z których wydawcy czerpali, ma przedewszystkiém związek z dziejami Norwegii, w której spisano wiele sag i podań. Munch więc, professor uniwersytetu w Chrystyanii, na prośbę Rafna, dostarczył wydawcom bogatego materiału.

Wyliczyliśmy naumyślnie te wszystkie imiona, oprócz dwóch, trzech zresztą, może u nas wcale nieznanie; wyliczyliśmy dlatego

właśnie, żeby poznała je nasza publiczność. Mielśmy w tém wyliczeniu i ten cel, żeby pokazać, że na nowe wydanie sag skandynawskich, składali się razem Islandowie, Norwegi, Duńczycy i Szwedzi, to jest potomkowie dawnych Skandynawów, ci, którzy swoich praocjów rodzinny pierwiastek najdoskonalej aż do naszych czasów zachowali. Widać, że ta praca była narodową pracą dzisiejszej Skandynawii.

Nie mozem w naszym sprawozdaniu pisać wszystkiego, coby się już dało powiedzieć o tém wydaniu sag skandynawskich; nie mozem wchodzić w szczegóły, ile to wydanie rozjaśniło już i rozjaśni jeszcze przeszłość całej Północy: bo na to potrzebaby było osobnych studyów nad sagami i nad dziełem, którego tom pierwszy oglądamy. Owszem, nie mieliśmy nawet nigdy tego zamiaru. Zwróciwszy tylko uwagę uczonych na wydanie, które nam niezawodnie wiele nowych wypadków dorzuci do skarbnicy ogólnej dziejów, zastanowimy się trochę nad kilką szczegółami, które nas bliżej dotyczą. O Polsce samej w ogólności, nie znaleźliśmy prawie nic w tym pierwszym tomie; ale dla dziejów nadwiślańskiej naszej ziemi, dawno-słowiańskiej, kiedy po niej Gotowie jeszcze błędzili, znajdzie się tutaj niejedno świadectwo i niejedno wspomnienie.

Herwararsaga np. opowiada nam o bojach, jakie nad Wisłą w odległej starożytności Gotowie z Hunnami staczali. Wypadki w niej podane rozjaśniają text Jornandes, pisarza *De rebus geticis*, który pierwszy cośkolwiek o tych bojach wspomina. Jornandes troszkę inaczej wprowadzie opowiada te dzieje, alez trudno wymagać po kronikach, które się pisały w lat kilkaset po zaszłych wypadkach i pospolicie na inném miejscu od tego, na którym zaszły, żeby zawierały czystą prawdę bez przymieszania fałszu. Właśnie téz dlatego samego, potrzeba porównywać pomiędzy sobą kroniki, a światło spłynie na dawne ludy i czasy. W Jornandesie (rozdział 17) Gepidowie biją się z Gotami. Fastida król Gepidów, który panował na całym pobrzeżu ujść wiślanych i podbił Burgundów (podajemy tutaj treść podania Jornandes), wyprawił posłańców do Ostrogothy króla Gotów z ubolewaniem, że jego państwo ma granice zbyt proste, jako otoczone pagórkami i wielkimi lasami naokoło. Żądał więc od Ostrogothy, żeby albo ustąpił się cokolwiek Gepidom, albo szedł z niemi na wojnę, kto kogo przeprze. Zaczepiony król Gotów odpowiedział, że kęsa ziemi nie ustąpi. Wybuchła wojna. Wojska

spotkały się około miasta *Galtis* (czy *Caltis* według innej pisowni) nad brzegami rzeki *Aucha*. Walczono z zaciętością aż do nocy. Fastida nareszcie z małą garstką niedobitków, ocalił się ucieczką, i tak nagle zapadł w zamierzchłe swoje lasy, że dotąd już wcale nie zaczął Gotów. To *Jornandesa* powieść. Nasza saga przychodzi w porę dla tych dziejów ziemi nadwiślańskiej. Text podany przez kronikarza był, że Gotowie opuściwszy swoje siedziby przy ujściach Wisły, które naszli Gepidowie, przeszli jakąś rzekę, być może samą Wisłę i udali się troszkę dalej ku wschodowi. Nazwisko króla ich *Ostrogothy*, nie jest prawdziwem nazwiskiem osoby; to raczej imię narodu. W sadze rolę *Ostrogothy* pełni *Angantyr*, wyraz, który jak objaśniają wydawcy, nie jest także nazwiskiem osoby, ale znaczy *pan miły*. *Ostrogotha* u *Jornandesa*, *Angantyr* w sadze, są ludźmi charakteru stałego i zacnego: ubolewają obadwaj nad bratobójczą walką. Bitwa skończyła się przy zmierzchu nocnym i u *Jornandesa* i w sadze, z tą tylko różnicą, że w sadze trwa rzeź całe dni dzień, co oczywiście jest przesadzone. Dwa bratnie ludy biją się u kronikarza; w sadze dwaj bracia rodzeni, jednego ojca, ale innej matki, a idzie im także o podział kraju. Ojciec *Angantyra*, mówi podanie sagi, porwał niegdyś córkę króla *Hunnów*, a potem ją odpędził: syn z niej zrodzony *Hlod*, chował się u dziada macierzystego, a po śmierci ojca zgłosił się do starszego brata po równy podział dziedzictwa, i z tego właśnie powodu nastąpiła wojna. Według sagi, ojczyznę *Hloda* była *Humlaland*, inaczéj *Hunaland*; on sam zowie się często *Humlungr*, to jest potomkiem *Humla*, swojego dziada macierzystego, a to imię znowu bardzo blizkie do *Halmał* czyli *Hulmul*, którego wspomina *Jornandes* (roz. 15). *Humlaland* leżała na południo-zachód *Reitgotlandyi*. Dalej i saga i kronikarz mieszczą bój nad brzegami rzeki; rzeka ta nazywa się u *Jornandesa* *Aucha*. Wydawcy uważają, że to pomyłka zamiast *Ahua*, czyli w języku gotyckim *Ahwa*, co także po prostu oznacza rzekę, nie tę albo drugą, ale rzekę w ogóle, bez bliższego określenia miejscowości. Ojczyznę *Angantyra* według sagi, była *Arheimar*, co oznacza znowu *kraj rzeki* czyli *Ahvy*. W podobnym sposobie wydawcy pokazują pokrewieństwo opowieści zawartéj w sadze i w *Jornandesie*, a z tego wszystkiego wypada, że polem wypraw króla *Heidreka* i syna jego *Angantyra*, była ziemia rozciągająca się pomiędzy Wisłą a *Dnieprem*, ziemia na której mieszkamy. Wypadki te zaszły w czasach bardzo da-

wnych, przedhistorycznych dla Słowian. Kiedy spiszemy dzieje wędrówek ludów obcych na ziemi naszej, wyjaśni się tajemnica dotąd niepojęta dla historii, dlaczego tak późno Słowianie pod swoim nazwiskiem wystąpili na świat polityczny.

Z innej sagi przywodzą wydawcy kilka wierszy, dla dziejów naszej ziemi wcale nieobojętnych, które tak brzmią w tłumaczeniu: „Atla panował nad Hunnami, Jormunrek nad Gotami, Bekke nad Baningami, Guike u Burgundów. Szukałem Ulfara i Ormara; często walka nie zatrzymywała się tutaj, kiedy wojsko Hrederów z ostremi mieczami miało bronić lasów nadwiślańskich (*vistla-vudu*), swojej dawniej siedziby allodyalnej przeciw ludowi Atli”. Te kilka wierszy są największym dowodem, że saga i Jor-nandes, o jednym rozповідаją wypadku, o bojach nad Wisłą.

Ten jeden wyraz zachowany w sadze: *Vistla-Vudu*, to fakt niezmierniej wagi, to odkrycie. Kto w tych dźwiękach, w skandynawską formę ulanych, nie spostrzeże brzmienia staro-słowiańskiej mowy przodków naszych? *Vistla-vudu* wszakże to wyraźnie *Wisła-woda*. Nazwisko rzeki polskie wskazuje na lud słowiański, który mieszkał w odległej starożytności, za Hunnów jeszcze, nad jej brzegami. Fastida król podbił Burgundów: to lud gotycki, ale także nadwiślański, bo gościł wtenczas w stronach naszych. Widzimy to z sagi, jak widzieliśmy i z Ptolomeusza w r. 161 ery chrześ. Posadę tego ludu nad Wisłą wskazywał nam Maciejowski w Kronice polskiej pierwszych dziesięciu wieków. A jednak nazwisko Wisły nie gotyckie, ale polskie, chociaż rzeki nasze musieli i obcy nazywać po swojemu. Czyż to doprawdy nie wskazuje na mieszanie ludów różnego plemienia nad Wisłą? Słowianie byli już wtedy na swojej ziemi, ale przyparli właśnie do ziemi, rolnicy i osiedleni, obcym przybyszom ustąpili panowania nad sobą, a nie zatarli przecież w dziejach i śladów swojego bytu.

Herwararsaga wydana po polsku krytycznie, przekonani i my jesteśmy, przyczyniłaby się także wiele do objaśnienia kilku ciemnych punktów w naszej pierwotnej historii.

Z czasów dobrze późniejszych ciekawe bardzo są szczegóły, które inna saga podaje o wyprawach Olawa Tryggasona (umarł w roku 1000) do Wendyi, która leżała wtedy także gdzieś nad Bałtykiem, może przy ujściach Wisły. Olaw wracając z Gardariku, gdzie bawił u króla Waldemara, stanął raz na kotwicy pod wyspą Burgundą, ale zaskoczyła go tak okropna burza, że musiał

pomknąć się nieco więcej na południe i stanąć w porcie krainy Wendów. Kilka dni bawił tutaj w gościnie. Król Wendów Burisleif panował na tych wybrzeżach; rozdzielił on właśnie kraj pomiędzy trzy córki: Geirę, Gunhildę i Astridę. Olaw stanął w państwie Geiry. Saga zawiera wiele szczegółów o tém spotkaniu się, które zakończyło się małżeństwem pomiędzy królem Normandów a córką władcy Wendów Burislejfa, Geirą. Opisuje nawet saga wojny Olawa w kraju wendyjskim. To wszystko nowe fakta dla dziejów naszego Pomorza, współczesne Bolesławowi Wielkiemu. Wypadki opowiadane w sadze w żaden sposób nie mogą być podane w wątpliwość, bo historia opiera się tutaj na wierszach skandynawskich współczesnych poetów, często w sadze przytaczanych. Tymczasem Burisleif, o którego wyprawach tutaj gęsto, jest zupełnie zagadką w dziejach. Takiego imienia nie znajdźmy ani pomiędzy polskimi, ani pomiędzy pomorskimi książętami. Nie jestto zapewne nasz Wielki Bolesław, a jaki książę naczelnik starego Pomorza, którego nie zna wcale historia. W sadze Ejmunda, następcy Włodzimierza świętego naszego Bolesława, nazywał się Burislejsem. Miałoby i ten książę pomorski nazywać się po słowiańsku Świętopelkiem? Pan Szulc, który napisał tak szczegółową geografią zaodrzańskiego Pomorza, możeby nas raczył bliżej w téj mierze objaśnić.

Ale, jak mówiliśmy, bardzo mało jest w dotąd wydanych sagach, o właściwej Polsce. Nic dziwnego: imię to zjawiało się późno w pomnikach południowo-zachodniej Europy, więc późno występuje i w sagach. Historia lechickich plemion przed nastaniem politycznym Polski, łączy się zawsze z historią ludów niemieckich, które po naszej ziemi błędziły. Ale dla Słowiańszczyzny wschodniej, historia ta wcale inną przybiera postać. W czasach bardzo dawnych, niepamiętnych, dobrze przechodzących wiek IXty i Ruryka, spotykamy związki Skandynawów z Gardarikiem.

Z Gardariku, to jest ze Wschodu, wyszły pierwiastkowe ludy gotyckie. Tam więc zdaje się miały i w kilka wieków potem swoje ognisko, tam punkt ogólny ciążenia. Te ciągłe wyprawy konungów Skandynawii na wschód wskazują na nowe fakta, których dotąd nie spostrzegaliśmy. Wlekło ich coś do Gardariku, do braci. W późniejszych nawet, historycznych już czasach dla Słowiańszczyzny, książęta Rurykowicze panujący w Nowogrodzie albo Kijowie, uważali Skandynawię za swoje ojczyznę, jeździli

za Bałtyk zenić się, z dawniej Szwecyi ściągali dla siebie wojowników i sprzymierzeńców, a w krytycznych chwilach uciekali za morze. Role się zmieniły wtenczas i ruscy książęta znajdowali już w wieku X do XI i później punkt swój ciężenia w Skandynawii, jak kilka przedtém stuleci, Skandynawowie w Gardariku. Gardarik dla Normandów, byłoto coś, jak Mekka dla Turków, jak Jerozolima dla chrześcian.

Latopisy słowiańskie, a Nestora przedewszystkiém, mówiły, że Ruryk przybył z bracią do Nowogrodu i założył państwo ruskie na północy słowiańskiej. Latopisy te nie wiedziały nic o dawniejszych jeszcze stosunkach Skandynawów z Gardarikiem, bo bardzo zlekka i raz tylko wspominają o najściu Normandów przed Rurykiem. Zdaje się z ich podań, że Ruryk pierwszym był zdobywcą Słowiańszczyzny, pierwszym, który stał wpośród zwyciężonych osiadł. To błąd główny, za którym poszła moc innych. Owszem, dzisiaj widzimy, że miało się zupełnie przeciwnie, że Ruryk nie był pierwszym, nie był też i ostatnim inoplemiennym zaborcą: on tylko pierwszy pokolenia słowiańskie skupił w jedną przypadkową całość, która się potem rozszczepiła na mnogie polityczne związki, a miała trzy główne punkta ciężenia: Nowogród, Połock i Kijów.

Biarmia była jakby świętą ziemią północnych ludzi, do której często odbywali pielgrzymki. Byłto kraj już nie słowiański, bardziej jeszcze na wschód położony, posunięty ku góróm Uralskim. Żadne imię nie spotyka się tak często w sagach, jak imię Biarmii. Nawet Gardarik ma podrzędniejsze znaczenie, bo przez Gardarik szła tylko droga do Biarmii. Władca uralskiej krainy rozciągnął jakby opiekuńcze skrzydła swoje nad całym Gardarikiem. Między swojemi, był on pierwszy. Książęta jego pokolenia, konungi, panowali nad całą tą krainą słowiańską, która się rozciągała nad Dnieprem i Dźwiną. Przez Gardarik szła także Waregom droga do Grecyi, do bogatego Miklagardu (Konstantynopola), w którym zarabiali sobie na sławę i bogactwa. Bardzo często zanosili cesarzom wschodnim Normandowie pomoc swojego ramienia i oręza. Tak więc na wschód i południe, przerzynały Słowiańszczyzną tysiączne drogi, zajęte zawsze przez północnych ludzi, którzy nieraz naszedłszy z tłumem wojowników obce ziemie, osiadali w nich i zakładali państwa chwilowe. Państwa te upadały same przez się, kiedy Normandowie gdzieindziej pogonili za zdobyczą, albo kiedy się cofnąć musieli przed przeważniejszą siłą nowo nad-

chodzących ziomków, którzy ich znowu wyparli. Biedni Słowianie cierpieli długą niewolę, nim samodzielnie wystąpili w dziejach. Ale, widać, niewiele obchodziły ich te zmiany u góry; Normanowie nie powstawali na ich narodowe uprzedzenia, nie zaprowadzali pomiędzy nimi swojej wiary i obyczajów, zdaje się nawet, że dla własnego pożytku nie starali się poddanych swoich Słowian, natchnąć duchem zdobywczym. Cierpieli więc te wędrówki po swoich ziemiach Słowianie, kiedy już tak przeznaczenie kazało. Może też spodziewali się, że te napływowe ludności przemkną się tylko na powierzchni ziemi, którą oni potem i pracą własną uprawiali, i że nie pozostawią tak po sobie śladu, jak wichry kiedy wodę zamąci i powierzchnię jej zwinię w kłęby, nie pozostawi śladu na modrym rzeki lazurze; jak burza, kiedy przeciągnie nad lasem, a nie zamąci ogólnej ciszy starych dębów. Przejście Waregów po ziemi słowiańskiej nie było przejściem huraganu. Wszystko to daje nam poznać, jakim sposobem, dobrze jeszcze przed Rurykiem, mogły panować w Słowiańszczyźnie rozmaite dynastye konungów skandynawskich. Ruryk, co niby pierwszy budował państwo Nowogrodzkie i miał być niby wyłącznym panem w potomkach swoich całej Słowiańszczyzny od Ilmenu aż do granic Bulgaryi i Chersonu, zmałał teraz za tém odkryciem, kiedy niedawno tak ogromną jeszcze uderzał oczy wielkością. W Połocku zastał osobną dynastyą, która względem niego zachowała swoje niepodległość i dopiero jego prawnukowi uległa. O tém nawet Nestor wspomina w swoim latopisie. Państwo przez Ruryka założone, rozwinęło się wprawdzie na ogromnej podstawie, ale nie było zapewne budowane w widokach trwałego panowania. Pierwszy późniejszy napad Normandów mógł je obalić, i nowe zakładać dynastye i państwa na Słowiańszczyźnie.

Historycy rossyjscy, którzy dla objaśnienia dziejów własnego kraju, zajmowali się rodziną Ruryka i opisywali zdobycze jego następców, Olega, Igora, Swiatosława, Włodzimierza i t. d. robione w Słowiańszczyźnie, nie widzieli długo związku, jaki łączył rycerzy normañskich z ziemią naszych słowiańskich praojców. Poszli za słowem Nestora, który powiedział, że Nowogrodzianie znudzeni bezrządem, zaprosili trzech książąt z zamorza i oddali im panowanie nad sobą. Tak więc podług historyków fakt był przypadkowy, nic więcéj. Nowogrodzianie chcieli tylko obcych książąt, i wszystko im jedno było wezwać tych albo owych. We-

zwali Normandów, bo byli ich najbliżej, za jedném morzem tylko. Potém już historycy rossyjscy nie wchodzili bliżej w te okoliczności i od czasów Ruryka ciągnęli już nieprzerwanie nic dziejów ruskiej ziemi.

Tymczasem i samo nazwisko *Rus* jest Słowianom obce, i przyszło do nas razem z Waregami. Tymczasem pokazuje się, że i wybór Nowogrodzian nie był tak dobrowolnym, jakby się na piérwszy rzut oka komu zdawało. Normandowie Ruryka przyszli do Gardariku, do dawniej osiadłych w tych stronach braci. Szli za utartym szlakiem, nie piérwsi i nie ostatni. Szli do znajomych, jakby do drugiej ojczyzny, w której znajdowali język swój i obyczaje i zdobycze. Wybór Nowogrodzian nastąpił może z konieczności. Najście Ruryka nie dlatego więc może ważne, że skupiło narody słowiańskie na Północy, ale dlatego; że ocuciło Słowian z długiego uspienia, że wywołało praojców naszych na pole historyi. Odtąd Słowianie stają się narodem. Że więc Ruryk ma taką ważność dla dziejów Słowiańszczyzny, nie jemu to trzeba przypisać, a temu właśnie obudzeniu się naszego plemienia. Odtąd plemię to działa samo przez się, pod przewodem tylko książąt panujących z rodziny Ruryka. Zamyka się okres bezwarunkowego błędzenia Normandów po ziemiach słowiańskich. Jeżeli przyjeżdżają, to już nie dla zdobyczy, ale dla chleba i służby. Książęta ich ściągają, obsypują bogactwami, powierzają się im całym sercem i duszą; Igną do Skandynawii, w której widzą zbawienie swoje przed narodami słowiańskimi, którym panują. W tych książętach tkwi jeszcze długo duch normański, ale już przeradza się zwolna pod wpływem słowiańskich wyobrażeń. Jeszcze to dwa żywioły w państwach kijowskich, nowogrodzkich i połockich: u góry obcy, u dołu swojski. Ale następują czasy Mongołów i zmienia się wszystko do niepoznania. Pod wpływem trzeciego pierwiastku, wyradzają się zupełnie dwa piérwsze, przez całe wieki jeszcze zupełnie z sobą niepokodzone.

Karamzyn nie miał wcale wyobrażenia o tém wszystkiém, co tutaj opowiadamy. Północ średniowieczna, która do dziś dnia żyje w swoich sagach całą siłą swoją, i całą swoją naturą heroiczną i romantyczną, ta Północ tak piękna, malownicza i wspaiała, zniknęła zupełnie pod jego piórem, chociaż nierównie artystyczniejszém, jak pióro Naruszewicza. W texcie Karamzyna pustynia tylko, zimna i głucha, pokryta śniegiem, a rzadkie na niéj śladystopy człowieka, i to ślady polane krwią; a w notach fałszywe

rozumowania (1). Polewoj w historyi narodu ruskiego, stał pod tym względem nierównie wyżej od Karamzyna i pojmował lepiej tę Północ, chociaż jeszcze nie trafił do źródła. Ale w naszych czasach tak prędko niktą wiekowe uprzedzenia i systematy, tak prędko to, co wczoraj jeszcze było nowe, trąci dzisiaj starością, że i punkt widzenia Polewoja dzisiaj krytyki wytrzymać nie może. I on także od Ruryka zaczynał historyą, a winien był sięgnąć jeszcze głębiej w czasy oddalone. Nawet najnowszy pisarz Ustriałow, lubo późniejszy od wszystkich badaczów, nie rozumiał jeszcze całej prawdy, kiedy utrzymywał, że potomkowie Ruryka zesłowiańszczyli się zupełnie już w trzecim pokoleniu. Kładł na dowód słowiańskie imiona książąt. Światosław wnuk Ruryka, zdobywca Bulgaryi, oddychał jeszcze wspomnieniami normandzkimi, kiedy całe życie przepędził wśród bojów; ale syn jego Włodzimierz miał być już sercem i duszą Słowianinem, nietylko ze swojego imienia. Tak sądził Ustriałow. Przecież życie Włodzimierza przed przyjęciem wiary chrześcijańskiej, przypomina zupełnie okrucieństwami dawnych Normandów; a po przyjęciu wiary, nowy to pierwiastek, natchnienie z niebios, a nie wpływ Słowiańszczyzny, zmienił to życie w coś innego, jakąś duchowością uświęcił czyny. Owszem, w sagach świeżo wydanych, syn Włodzimierza, Jarosław autor Prawdy Ruskiej, jest jeszcze żywym Normandem, człowiekiem zdobyczy i panowania. Zapewne wielkie to imię w dziejach Słowiańszczyzny, a przecież nic wspólnego nie ma z duchem słowiańskim. Spójrzycie w sagi. Jarosław ożenił się w Skandynawii z Indigerdą, kobietą, która nie pojmowała nawet innego życia, jak życie swojej dzikiej ojczyzny, stworzoną dla swojego świata. Władła ona państwem Jarosława, jak najlepszy konung. Władła i samym mężem. Wtenczas mądrość panowania nie była tylko w sile, ale w chytrności, podstępach i zabiegach. Kropla w kroplę był do żony podobny Jarosław. Nikomu słowa nie dotrzymać, obiecać coś innego, a co innego zrobić, mówić komu o przyjaźni, a myśleć o zemście: wszystko to uchodziło u rycerskich Normandów za wysoki dowód odwagi, mądrości i rządu. Jarosław był wielkim człowiekiem wpośród Normandów. Żył on więcej z ziolkami swojemi, jak z ludem sobie podległym. Miał ogromne państwo, miał rozum normandzki i tryumfował nad wszystkimi przeciwnikami. Błyszczał więc

(1) Sękowski.

na całej Północy. Tłumami zbiegali się do niego bracia z za morza; i był doprawdy Jarosław słońcem swojego czasu dla Normandów. Prawda Ruska, jeden to czyn w jego życiu, w którym potężny konung, przypomniał sobie o narodzie słowiańskim. A kto wie jednak, czy o sławie prawodawcy dla Normandów, osiadłych w ziemiach sobie podległych, nie myślał więcej konung Jarosław, jak o Słowiańszczyźnie, kiedy wydawał te rozporządzenia, które unieśmiertelniły jego pamięć. Panując nad Kijowem, książę siedział przecież zwykle w Nowogrodzie (w Holm-Gardzie), zapewne dlatego, aby bliżej być swoich. W sagach teraz wydanych, najświetniejsze imiona królów skandynawskich, blednieją przed postacią Jarosława. O jego weselu z Indigerdą jest kilka, a może kilkanaście oddzielnych podań i opowieści. To zdaje się dosyć, żeby wiedzieć, jakim Słowianinem był autor Prawdy Ruskiej.

Owszem utrzymuję z pewnością to, cośmy niedawno wyrzekli, że aż do najścia Mongołów, książęta ruscy nie wspólnego nie mieli z narodem swoim, że byli mu obcy krwią, duchem, pochodzeniem, sercem, które ich zawsze ciągnęło do dawniej zamorskiej ojczyzny. Imiona Swiatosława, Włodzimierza, Jarosława, nie dowodzą wcale, żeby ci książęta byli Słowianami. Tak też i późniejsze imiona Wszewłodów i Mścisławów nie mogą wcale dowodzić, że słowiański duch ożywiał normandzkich książąt na Rusi. Owszem, krytyka historyczna nowe na tém polu porobiła zdobycze, które do szczytu obalają stary systemat zapatrywania się na dzieje plemienia Rurykowego. Uczeni nasi o tém nie wiedzieli, a to fakt przecie, że jeszcze w XII i XIII wieku, a więc przed samym najściem Mongołów na Europę, książęta ruscy mieli swoje rodowe nazwiska skandynawskie, pod którymi, a nie pod innemi, stale występują w sagach. Latopisy po-Nestorowe zwały ich ciągle Mścisławami, Włodzimierzami, a to byli zawsze Haraldy i Waldemary. Więc książęta ci, dla ludu zwali się inaczej, dla dawnych ziomeków inaczej. Więc duch normandzki nie opuścił ich tak prędko, i nie przerodził się wcale w duch słowiański, jak mówili dotąd historycy. Więc ten charakter dziki i zdobywczy, który Skandynawów na kilka jeszcze wieków przed r. 862 prowadził do Gardariku, uwiecznił się,—i w lat trzysta, czterysta po roku 862, wciąż jeszcze oddychał wojną i zaborem. Więc książęta ruscy żyli i wtenczas jeszcze pomiędzy Słowianami, jak w zawojowanym kraju, z którym nie wcale wspólnego nie mieli. Włodzimierz Monomach i syn jego Mścisław, byli w duchu je-

szcze Normandami, tak, jak ich praojciec Ruryk. Czyż polityka i mądrość normańska nie odbijają się w każdym czynie tych wszystkich książąt?

Uczeni wydawcy sag skandynawskich, porównawszy podania latopisów ze swojemi źródłami, dowiedli jasno, że książęta ruscy w XII wieku, a więc i wcześniej niezawodnie i później może, nosili aż po trzy imiona; jedno dostawali przy urodzeniu, i to było oczywiście skandynawskie, pożyczone z dawniej ojczyzny; drugie otrzymywali przy chrzcie, i to było imię greckie; trzeciem nazywał ich naród słowiański. Włodzimierz Św. był Bazylim, Jarosław Jerzym, i Dorpat w Inflantach, który założył, nazywany był od jego imienia—Jurjewem. Indigerda nosiła imię Ireny i Anny. Potém Izasław powrócony na tron kijowski przez Bolesława Śmiałego był Dymitrem. Mścisław syn Włodzimierza Monomacha w sagach występuje pod imieniem Hāralda. Byli pomiędzy książętami ruskimi Ingwary i Rogwołody. Niejedna księżniczka nazywała się Malfryda.

Wszystko to są fakta, które niezmierne światło rzucają na dzieje książąt Rusi, pochodzących od Ruryka, przez jakie trzy, cztery wieki, od czasu ich osadzenia się na ziemi słowiańskiej. W tym ogromnym lat przeciągu, książęta szli osobno, a lud osobno. Jedna rodzina zawładła niezmierną przestrzenią ziemi, na której panowała niegdyś gmina słowiańska. Ale ta rodzina nie mogła przecież zeszczepić ludów rozmaitych, lubo jednoplemiennych, w całość silną i organiczną. W wiekach średnich tworzyły się dopiero w Europie na większą skalę społeczności, układając się w narody. Pojęcia ojczyzny nigdzie nie było, bo to pojęcie wyrabia się wiekami w jednej rodzinie ludów: wspólne klęski, nieszczęścia, wspólny los i radość, wiązały dwa, trzy, lub więcej pokoleń, w jedną ojczyznę. Duch normański pragnął zdobyć i podziału, to też Rurykowicze dzielili się plemionami słowiańskimi, jak łupieżą wojenną. Nie było tam na wschodzie Słowiańszczyzny wspólnych klęsk i nieszczęść; nie mogła się zatem utworzyć i jedna ojczyzna przed najściem Mongołów. Napad dopiero barbarzyńców Azyi, narodowość rozproszoną Słowian, nazwanych ruskimi przez Skandynawów, zaczął skupiać do wspólnego ogniska. Jeszcze przed XIII wiekiem, gmina słowiańska zagłuszona, zdaje się, chwilowo przez Skandynawów, zaczęła się na nowo rozwijać i zdradzać samodzielne życie. Najświetniej w Nowogrodzie rozblęła. Książęta też więcej środkiem ciężkości

swojej ku południowi zbliżeni, zapomnieli zupełnie o Nowogrodzie. Byłoby przyczyną świetności rzeczypospolitej północnej, która potęgą przewyższała wszystkie księstwa skandynawskie na Rusi, a która sama jedna posiadała jeszcze zarody życia słowiańskiego, niezacmione żadnym obcym pierwiastkiem. Słowiańskie południowe plemiona traciły swoją narodowość, jeden Nowogród ją utrzymał.

Narzuciliśmy tylko szkic lekki. Ale przekonani jesteśmy, że gdybyśmy poznali wszystkie sagi skandynawskie tej dawniej epoki, ocalone ręką zniszczenia, szkic ten wypełniłby się nową zupełnie prawdą. Znaleźlibyśmy w tych sagach źródło wielu powieści Nestorowych, który także czerpać musiał z sag północnych, bo za jego czasów, rycerzy normańskich jeszcze dużo było nad Dnieprem. Zwróćmy uwagę na formę rządu, obyczaje, prawa, a przekonamy się, że wszystko, co skandynawskie, było na dworze książąt,—ale w ogół narodu słowiańskiego tak prędko przeszczepić się nie mogło. Jeżeli jednak stan polityczny i moralny Rusi ludowej, w ciągu pierwszych okresów jej historycznego życia, nie nosił na sobie zupełnie prawdziwego piętna Skandynawii, to nie ma za to wątpliwości, że błyszczał jasnym, czystym Skandynawii odbłaskiem. Dzieje Rusi zaczynają się za Bałtykiem i na wodach Bałtyku. Stan moralny i polityczny Normandów północy, to pierwsza karta Nestorowej kroniki. Sagi należą o tyle do Słowiańszczyzny, ile do narodów skandynawskich. Badać w nich potrzeba. Może one lepiej nam rozświecą stosunki Polan gnieźnieńskich do Polan kijowskich, i walki Bolesławów naszych, i stanowisko do Lachów Jarosława Mądrego. Jeżeli nie bezpośrednio z sag spłynie światło do historyi polskiej, to niezawodnie pośrednio przez historyą Rusi. Wydanie Rafna zbliża tę chwilę (1).

* * *

Przychodzi nam jeszcze krótko zastanowić się nad pewnym podaniem sagi Snorre Sturlasona (Heimskringla st. 379), dla odzyskania jednej córki Bolesława Krzywoustego, którą zgubił Długosz w swojej historyi. Szczęśliwy zbieg okoliczności dał nam ją odkryć i dowiedzieć się bliżej o jej losach.

Saga podając genealogią królów Szwecyi i Danii, i plątając do niej różne szczegóły o związkach rodzinnych i małżeńskich książąt ruskich, powiada: „*rex Valdemarus* (syn Kanuta, król duń-

(1) Grammatykę staro-islandzkiego języka, dla pomocy uczonych, którzyby nad sagami pracować chcieli, ułożył po rosyjsku Sabiniin.

ski), *duxit Sophiam, filiam Valaderi, poloniae regis et reginae Rikizae; liberi ejus cum Sophia fuere rex Kanutus et Valdemarus rex et Christina, quae nupta fuit regi Carolo, Sörkveris filio.*" Z tych kilku słów podania, poprawić możemy text Długosza w niejednym miejscu.

Zofia żona Waldemara Igo miała być więc córką króla polskiego Wołodara. To błąd. Był wtenczas właśnie księciem przemyskim na Rusi pogranicznej Polsce Wołodar Rościslawicz, prawnuk z najstarszej linii Jarosława Mądrego, autora Prawdy Ruskiej (um. 1124). Ta Zofia mogła być jego córką, ale Wołodar nie był przecież królem polskim.

Z Knytlingasagi, odniesionej do innych źródeł, wiadomo jest, że ta Zofia żona Waldemara Igo, rodziła się z téjże samej matki, co król Kanut Vty, syn Magnusa Nicolassona (Mikołajewicza). Matką tą była, podług skandynawskich wiadomości, Richiza, czyli Ryxa córka Bolesława IIIgo, księcia polskiego. O niej téż mowa w przytoczonym wyżej textcie.

Naruszewicz, który już porównywał źródła nasze, liczy sześć córek Bolesława Krzywoustego: ze Zbysławy ruskiej miał Judytę, a z Niemki Salomei Świętosławę, potem Przedysławę, znowu Judytę i dwie bezimiennie. Jedna bezimienna, jak mówi Naruszewicz, zasadzając się na podaniu Grammatyka Saxona, była za Magnusem synem Mikołaja, królewiczem duńskim, a Świętosława, wydana była, ile się zdaje, powiada zawsze Naruszewicz, za Jarosława księcia włodzimierskiego i halickiego. Mamy nadzwyczaj poplątane podania. Trzeba je pomiędzy sobą porównać.

A naprzód, Świętosława i Ryxa, jest jedną i tąż samą osobą. Naruszewicz kiedy bezimienną córkę Bolesława Krzywoustego wydawał za Magnusa, a Świętosławę za Jarosława ruskiego, mylił się, to jest dwie osoby, zbijał w jedną. Zobaczym to zaraz.

Według Długosza, Świętosława rodziła się 12 kwietnia 1106 r., na rok przed Magnusem. Podług Saxona (str. 628), ślub jej z tym królem nastąpił w latach, pomiędzy śmiercią Ingi Halsteinsona króla Szwecyi, a wyprawą przeciw Wandalom w roku 1127 albo 1128. Z téj strony, nie wadziłoby nic przypuszczeniu, że Richiza była wprzód za Wołodarem Rościslawiczem, bo oczywiście *Valadar* sagi, to Wołodar; dalej, że w roku życia swego 18tym albo 19tym, wydała na świat córkę Zofią (1124), i że nareszcie potem poszła za Magnusa, mniej więcej około ro-

ku 1125. Dalej Saxon powiada wyraźnie, że po śmierci Magnusa, co nastąpiło w roku 1134, Richiza poszła za mąż za Swerkera króla Szwecyi, który znowu umarł 1155 r. W tym czasie Richiza w żaden sposób (od r. 1125 do 1155) nie mogła być w zamęzcju ze trzecim jakimś księciem ruskim, czy polskim, a więc nie mogła też mieć z nim córki, którąby już król Waldemar w roku 1157 mógł poślubić. Saxon powiada, że w roku 1152 ta córka przy zaręczynach nie była jeszcze dorosłą; a więc w żaden sposób urodzić się nie mogła przed rokiem 1125, i matka jej przed tą epoką nie mogła już być za Wołodarem. Chciano więc przypuścić: że po śmierci Magnusa, jako pierwszego męża, w roku 1134 Ryxa szła za mąż powtórnie za księcia przemyskiego; a że Wołodar już nie żył, a podanie zawsze na Wołodara wskazuje, przypuszczano, że podanie zmieszało ojca Wołodara z synem Włodzimirkiem księciem halickim, i że córka naszego Bolesława była za tym Włodzimirkiem, zmarłym w r. 1153. Ale to przypuszczenie zabiło inne pytanie: kiedyż więc Ryxa była za Swerkerem królem szwedzkim? Przestrzeń lat dwóch między 1153—1155 była zbyt małą. To znowu nie zgadzałoby się z podaniem Saxona, wyżej przytoczonem, ani z Knytlingasagą. Saxon opowiada, że po bitwie wyborgskiej w roku 1148, Knut syn Magnusa, schronił się ucieczką do króla Swerkera, wtenczas męża swojej matki Richizy. Więc Włodzimirko nie może być Wołodarem.

Wskazaliśmy drogę, jaką szli uczeni skandynawscy dla dojścia prawdy. Dowiedli, że Ryxa a Świętosława, córka naszego Bolesława Krzywoustego jest jedną i tą samą osobą; potem, że była z kolei za królem duńskim, jakimś księciem Wołodarem i znowu za królem Szwecyi. Dojść tylko nie mogli, jakito był Wołodar i co znaczył na Rusi. Że Wołodara pomieszano tutaj z Włodzimirkiem, pierwszy oświadczył się Wedekind (Noten zu einigen Geschichtsschreibern des deutschen Mittelalters) i był tak pewny swego, że ofiarował 50 dukatów, za obalenie swojej hipotezy.

Uczeni wydawcy, dla objaśnienia tego miejsca, przedstawili swoje wnioski. Podług nich Valader król Pulinalandu, jak go nazywają sagi, rex Ruthenorum Saxona, ojciec Zofii, a mąż Ryxy-Swiętosławy, córki Krzywoustego, był Wołodarem, synem Hleba, księciem gorodeckim, a może mińskim, z rodu książąt połockich, pochodzących od najstarszego syna Włodzimierza św., Izaśława i matki jego Rogniedy. Był wnukiem Wszestawa, prawnu-

kiem Bracysława, nazywanego w Eymundowej sadze Vartislafr. Roku jego urodzenia i śmierci nie zanotowali kronikarze. Ale Wasilko syn rodzonyego jego stryja, Rogwołoda, popisuje się już walecznymi czynami w latach 1132 i 1137 (u Karamzina T. II, str. 148 do 152), a Rogwołod syn drugiego jego rodzonyego stryja Borysa, ożenił się w roku 1144 z córką Izasława Mściśławowicza wtenczas, kiedy Swiatosław, syn wielkiego księcia Wszewołoda, zaślubił córkę dopiero co wspomnionego Wasilka (tamże 165). Nareszcie Włodzimierz, który w roku 1182 był księciem mińskim, zdaje się, że jest synem tego Wołodara. Nie przeszkadza więc nie przypuścić, że Wołodar Hlebowicz, był dorosły już w latach 1130 do 1150, i że mógł mieć wtedy żonę. Wszystkie podania Saxona, sag, Długosza, pogodzić można, skoro się przypuści, że córka Krzywoustego, była za tym właśnie Wołodarem. Zofia córka Ryxy zaręczona w roku 1154 Waldemarowi duńskiemu, dopiero w roku 1157 dla wczesnej swojej młodości, mogła przystąpić do zawarcia ślubów małżeńskich. Rodzić się właśnie mogła przed rokiem 1143.

Jako książę mińskiej ziemi, to jest krainy pogranicznej z państwem Bolesława Krzywoustego i potomek najstarszej linii Włodzimierza św., która zawsze nieprzyjazne stanowisko względem całej rodziny zajmowała, jakby się chciała odrębnością swoją wyosobnić od niej, Wołodar Hlebowicz mógł być zwany przez obcych pisarzy tak dobrze królem Pulinalandu, jak królem ruskim. Z Mińska poznać on mógł bliżej wdowę króla Magnusa duńskiego, jak Wołodar Rościsławicz z Halicza. A księstwo połockie i mińskie rozciągało się wtenczas do Baltyku, i obejmowało całe Inflanty; kraj, w którym łotrowali jeszcze po skandynawsku królowie Danii.

Zarzucić można temu wywodowi, że Wołodar Hlebowicz żył jeszcze w roku 1166 podług Nestora, a król Swerker, trzeci mąż Ryxy, umarł 1155. Zaręczyny nawet Zofii odbyły się u Swerkerka, jako ojczyma księżniczki. Ale na ten zarzut, stawia wydawcy sag przykłady małżeństw ówczesnych. Ulfhilda, którą zaślubił król Mikołaj, po śmierci żony Małgorzaty, opuściła tajemnie męża i poszła powtórnie za Swerkerem Kolsona, który był i Swerkerem Ryxy. Sagi opowiadają, że przed tém jeszcze małżeństwem, Ulfhilda była za królem Ingą Halsteinsonem. Magnus ślepy, konung Norwegii, odesłał znowu Krystynę, córkę Kanuta, dla téj jedynie przyczyny, że nie mógł jéj kochać. Może więc i Ryxa, dla ja-

kichciś nieznanym nam powodów opuściła drugiego męża swojego Wołodara.

Kiedy Długosz opowiada, że Bolesław Krzywousty, ożenił syna swojego z córką króla Danii, myli się wyraźnie, biorąc jedno za drugie. Kromer zbija Długosza (*De origine et rebus gestis Polonorum*, str. 485), bo mówi, że to stosować się nie może do synów Bolesława. Książę krak. miał dwóch wtedy: Władysława i Kazimierza (nie tego, co Sprawiedliwym nazwany). Władysław żonaty był, a Kazimierz dzieckiem, i miał dopiero lat 7. Zamiast wydać córkę Bolesława za królewicza duńskiego, Długosz synom Bolesława zaślubiał królową z zamorza.

Waldemar nie chciał się długo żenić z Zofią, córką Ryxy; bo, jak Saxon powiada, obawiał się ubóstwa narzeczonej: „córka ojca ruskiego, mówił, nie ma żadnego dziedzictwa w Danii”. (*Saxon* str. 703). Miała jednakże Zofia bogate dziedzictwo na Rusi; Wołodar, jej ojciec, oprócz jednego syna Wasilka, miał jeszcze drugiego Włodzimierza, władcę na Mińsku. Karamzin zbija te dwie osoby w jedną, ale Tatyszczew je rozdziela i widzi razem dwóch braci. Włodzimierz musi być tą samą osobą, co Włodzimierz połocki, który w roku 1186 pozwolił Meinhardowi misyonarzowi niemieckiemu, opowiadać wiarę chrześcijańską w Inflantach. Czy nie możnaby przypuścić, powiadają uczeni wydawcy sag, że pewne pretensje w imieniu Zofii, np. prawo do dziedziczenia po braciach, bezpotomnie zmarłych, pobudziły jej synów, Kanuta i Waldemara, do wojny w Inflantach? Wszakże młodzi ci książęta szukali sławy na brzegach, nad którymi panował kiedyś ojciec ich matki? Kto wie, czy nie w tych stosunkach rodzinnych szukać potrzeba przyczyny bezustannych wojen nad Bałtykiem Kanuta VI i Waldemara II.

Zofia miała też i bogate dziedzictwo w Szwecyi, które wliczają sagi. Zakończyła życie w roku 1198.

TABLICZKA GENEALOGICZNA.

Włodzimierz święty, um. 1015.

Izasław syn Rogniedy książę połocki, um. 1001.			Jarosław Jerzy, Jarisleifr) um. 1054. Ż. In- digerda (Anna) córka Olafa szwedz. um. 1050.		
Braczesław (Vartislaf) um. 1044.			Włodzi- mierz um. 1052.	Izasław (Dymitr Holti?) um. 1077.	Wszewołod um. 1093.
Wszesław um. 1101.			Rościsław um. 1066.	Zbysława za Bole- sławem Krzyw.	Włodzimiera Monomach um. 1125. Ż. Gyda c. Ha- ralda króla angiels.
Borys, um. 1128.	Hleb	Rogwołod	Wołodar.	Ryxa Świętosła- wa (*).	Mścisław (Ha- rald) um. 1132. Ż. Chrystyna c. Ingi I kr. szw.
Rogwołod żeni się 1144.	Wołodar ksią- żę miński. Żona Ryxa Święto- sława c. króla pols.	Wasilko	Włodzi- mierz ha- licki um. 1153.	Malfrida za Sigur- dem król. norw. 2) za Eirikr kr. duńs.	Ingibiorga za Knutem Lava- drem ks. Infl. królem Obo- trytów.
Włodzi- mierz ks. poł. i infl. 1190.	Zofia n. 1143, um. 1198.		Żona		Waldemar I kr. duńs.

(*) Ryxa Świętosława. Mąż 1) Magnus I, syn Mikołaja króla Danii,
2) Wołodar Hlebowicz Miński, 3) Swerker I król szwedzki.

Z pierwszego męża Knut król
duński, um. 1157.

Z drugiego męża Zofia.



DO REDAKTORA.

OD

Augustyna Bielowskiego.

(ciąg dalszy).

Dotychczas Gawęł, czyli tak zwany *Martinus Gallus*, uchodził za najdawniejszego polskiego kronikarza; najdawniejszym zowie go jeszcze Pertz, (1) mąż ogromnej erudycji, zagarnawszy jego kronikę w XIty tom pomników historycznych niemieckich. I trudno było dać wiarę natrącanemu tu owdzie, ale niepopartemu należyce przeciwnemu mniemaniu, gdy obok niego jeden i drugi z wielce uczonych rodaków naszych upewniał, iż z textu Gawęła nigdzie nie widać, jakoby miał on pod ręką księgi pisane, lecz tylko jakieś ustne podania. Staralem się w jednej z dawniejszych moich rozpraw (2) okazać mylność tego twierdzenia, powołując się na słowa Gawęła samego, we „Wstępie krytycznym do dziejów Polski”. Po skreśleniu ważności i dawności roczników, zaczynam poczet kronikarzy polskich opisem następującym:

MIORSZA

kronika Łęchitów i Polaków.

Skąpe i w znacznej części tylko na prawdopodobieństwie oparte jest to, co wiemy o życiu tego kronikarza, nikt bowiem o nim jako autorze nie pisał; wszakże kronika jego leży przed nami, i chociaż rzadko, dostarcza jednak niektórych szczegółów do jego życia. W niej rozpatrując się czytelnik łatwo dostrzeże, na czém jedna lub druga z napomknionych tu okoliczności opiera się, i czy jest mniej lub więcej wiarogodna.

(1) W liście do Szlachtowskiego z d. 15 listopada 1850 r.

(2) Biblioteka nauk: zakł. Ossolińskich z r. 1841, t. I. str. 108.

Miorsz żył w Polsce na początku XI wieku, wkrótce jakoś po śmierci Chrobrego, którego mógł też pamiętać. Cudzoziemiec z rodu, podobno Anglo-Sas, trafił u nas na czasy, kiedy to za wpływem Ryxy żony Mieczysława II, łatwo było obcemu przed rodakami osiągać najwyższe dostojeństwa. Nie był on ich niegodny jako człowiek uczony, dowcipny i niepospolitą biegłość w języku łacińskim posiadający; musiał też mieć w narodzie zasługi i poważanie, bo się śmiało w obronie wygnanej królowej odzywa, a pomimo burz, jakimi się wówczas Polska zatrzęsała, widzimy syna jego Roberta kasztelanem sieradzkim, a wnuka jego, także imieniem Roberta, krakowskim biskupem (1), i bezpośrednim poprzednikiem Mateusza herbu Cholewa. Sam Miorsz wskazany jest przez naszych heraldyków za pierwszego przodka, z którym herb Korab przybył do Polski (2).

Przed rokiem 1035, kiedy Ryxa była już z Polski wygnana, a syn jej Kazimierz jako prawy następca w Polsce jeszcze został (3), Miorsz jął się do pisania polskiej kroniki. Dwa główne źródła miał on przed sobą: kronikę starożytnych Łęchitów, i roczniki polskie, które już wtedy przy kościołach katedralnych i po klasztorach znajdowano. Miorsz użył tych źródeł tak, że gdzie się wątek pierwszej urywał, tam starał się go nadtoczyć drugimi, chwytając za podobieństwo imion, jakie między starożytnymi łęchickimi dziejami, a nowożytnymi rocznikami Polski zachodziło. Kronika Łęchitów obejmowała zdarzenia z dziejów ilirodackich, począwszy od Graka, na czterysta lat z górą przed Chrystusem, aż do czasów rzymskiego Trajana, czyli do drugiego po Chrystusie wieku; roczniki polskie zaczynały się od czasów cesarza niemieckiego Arnolfa. Przerwa więc, która między jednymi a drugimi dziejami zachodziła, wynosiła ośm wieków. Prócz tego kronika Łęchitów mówiła o zdarzeniach, które zaszły nad Adryatykiem i nad Dunajem; przeciwnie, roczniki polskie mówiły o zdarzeniach, które zaszły nad Wisłą lub też w niewielkiej od niej odległości. Ale dzieje ilirodackie Łęchitów były istotnie starymi naszych przodków dziejami; zbliżało je z pomiędzy wszystkich Słowian najwięcej do Polaków to, że właśnie naszemu to narodowi

(1) Paprocki: Gniazdo enoty, str. 509. Herby rycerstwa str. 462.

(2) Długosz: Descriptio Clenodiorum, rkp. str. 5; Paprocki ut supra.

(3) Traditores eam (Rixam) de regno propter invidiam eiecerunt, puerumque suum, quasi decepcionis obumbraculum tenuerunt. Gallus I, 86.

w nadwiślańskich i nadbałtyckich już siedzibach stare imię Lęchów dostało się (1), i nikt nie wątpił, że jesteśmy ich potomkami. W pomnikach piśmiennych owego czasu, robiono częste do zdarzeń ilirodackich zastosowania, i same nawet roczniki polskie spominały, acz nawiasowo tylko, o Piaście i o Popielu, a Lestka syna Ziemowitowego nazywały już czwartym, przez wzgląd na trzech Lestków starożytnych, panujących niegdyś w Iliryku. Przy skąpém w owym wieku świetle, krążyła téż zapewne w naszym narodzie nie jedna bajeczka lub przywidzenie, jak np. o burzeniu miast w tych tu stronach przez macedońskiego Alexandra, lub zakładania ich przez Juliusza Cezara, o którémto ostatniém już Tietmar merseburski z poważną miną upewniał (2); a Miorsz nie był mężem nad swój wiek światlejszym, coby błędy swych poprzedników prostować umiał; owszem, jako cudzoziemcowi nie ze wszystkiém z nową swoją ojczyzną i jej dawnymi stosunkami obeznanemu, łatwiej było dopuścić się grubszego niekiedy błędu, niż rodakowi.

Było między Słowianami od niepamiętnych czasów przyjęte, że ród ich z plemienia Jafetowego pochodzi (3). U greckich pisarzy znajdowała się wiadomość, że Dakowie wiodą ród swój od Jona (4), który podług napomknienia Teopompowego miał być synem Adryosa czyli Antara (5); ztémwszystkiém w kronice lęchickiej powiedziano było wyraźnie, że począwszy od Antara przodka Lęchitów, aż do czasów Graka, żyjącego na czterysta lat przed Chrystusem, nie mieli oni żadnego pana ani księcia nad sobą, i że dzieje ich z tego przeciągu lat zaginęły (6). To rozsądne pominięcie dziejów starożytnych Lęchitów przed Grakiem

(1) Siedoszę na Wiśle i prozwaszę się Lęchowe, a ot tiech Lęchow prozwaszę się Polane. Nest. Połn. Sobr. I. 3. Poleni qui prius vocabantur Lachowye dum essent pagani. Rkp. Santka str. 14.

(2) Pertz. S. S. III. 734. 823.

(3) Massudy u D'Ohssona str. 85; Nestor Połn. Sobr. I. 3.

(4) Appian Hist. Rom. XXIII; u Zonara księga XI rok 20.

(5) Teop. fragm. 140.

(6) In descriptione quorum suorum annalium hec inventi quod a dicto Wandalo (Antaro) patre Polonorum (Antariotarum seu Lechitarum) usque ad tempora regis Assueri, Hester mariti, qui regnavit super centum viginti septem provincias, regem sive principem Polonia (Lechitta) habere non curavit, de ipsorum etiam actibus sive bellis *usque ad dicta tempora nulla fit mentio.* wyd. gd. str.2; wyd. warsz. I. 12; porów. rkp. Lub. i Kurop.

dozwala wnosić, że i przodków między Jafetem a Antarem kronika łęchicka nie wymieniała. Miorsz zasilił się tu wiadomościami u swoich rodaków, i podał rodowód od Jafeta taki sam, jaki najprzód w kronice swojej umieścił mnich angielski Nennius, i jaki za nim Niemcy w XI wieku powtarzali (1). A że u Nenniusa nie było nic o Antarze, lecz tylko o Wandalu, ilirski tedy Antar, którego imię z nadadryacką miejscowością ściśle było związane, bo i o górze tego imienia i rzece tamże świadczą starożytni pisarze, uległ zmianie i nazwany został Wandalem. Zmiana ta prowadziła już prosto do nadbałtyckich Wandalów; jakoż świątliwszy zresztą nad swój wiek Adam bremeński utrzymuje, iż Wandalowie byli przodkami słowiańskich Winulów, pod które to imię i Polacy u niego są podciągnięni. Szukano później i góry i rzeki tegoż imienia: rzekę niebawem jakoś znaleziono, twierdząc, o czém się żadnemu ze źródłowych pisarzy nie śniło, że Wisła zwać się miała Wandalem; ale wzmianka o górze tegoż imienia, została tylko u Miorsza.

Mimo tych błędów, jakie przy zmaconych owego wieku wyobrażeniach były po części konieczne i od których najznakomitsi owego wieku pisarze wolni nie są, Miorsz postępował sobie sumiennie, i stosował się wszędzie do źródeł, z których rzecz samą wyjąwszy niekiedy ją skraca, niekiedy dodatkiem zkądinąd wyjętym rozszerza, a zawsze opowiada swojemi słowami, przychylność swoje do monarchizmu i krwi cesarskiej otwarcie wynurzając. Od Graka aż do Ziemowita rozpowiada przygody samych książąt; nie zstępuje w głąb narodu, o którym niekiedy z pogardą natrącając, rzadko tylko jakową okoliczność wprost z życia jego podchwytuje; a przygody z téj epoki, w której naród pozbył się książąt lub moc ich skrócił, wcale go nie obchodzą: w takim razie zwykł tylko opowiadanie swoje zamykać uwagą, że potem naród długo *chromał* bez króla (2). Nie zaniedbuje téż robić ze zdarzeń dawnych zastosowanie do obecności: moralizuje jak kaznodzieja przy każdym nowém zdarzeniu, kraszając uwagi swoje licznemi przytoczeniami z wzorowych rzymskich pisarzy, w czém niepospolite znajomości rozwija. Obznajomiony jest poufniej z rozmaitemi pisma-

(1) Pertz S. S. VIII, 314.

(2) *Dluque post Ipsam (Wandam) sine rege claudicavit Imperium.* Wyd. warsz. I. 27. Wyrażenie pożyczone od rzymskiego pisarza: *cum regium claudicasset Imperium.* Trog. ap. Just. VI. 2.

mi Cyserona i Seneki; Troga Pompeja przywodzi obszerniej nie-
co niż Justyn; z poetów zna Wirgilego, Owidiego, Lukana; okazuje
tęż niejaką znajomość prawnictwa, ale nierównie większą znajom-
ność biblii (1), a z ojców kościelnych przytacza zdania Ambrożego
i zdania Syxta II papieża, znane pod imieniem Xista pitagoryka.

Ale losy narodu w losach jego książąt wskazując, co dla
czasów w których pisał, mianowicie w rozrywaniu Polski pod na-
stępami Chrobrego nie było niestosowne, Miorsz nie zamilcza
lat w których książęta owi panowali, i choć dziełko jego było
kroniką a nie rocznikiem, rok jednak nietylko głośnie z dziejów
obcych zdarzeniami ciągle natrąca, ale niekiedy oblicza go nawet
najściślej: Grak, powiada on, kwitnął na lat 400 z górą przed
Chrystusem, a blisko na lat sto przed Alexandrem Macedoń-
skim (2); wiek Lestka I oznaczon jest u niego dostatecznie woj-
nami z tymże Alexandrem, jak znowu wiek Lestka II i III woj-
nami z Juliuszem Cezarem. Przy Lestku III nie zaniedbał on do-
dać i tę okoliczność, iż za tego króla Chrystus narodził się (3).
Po takich wyznaniach nie można go o nierzetelność posądzać: nie
przenosi on zdarzeń prawdziwych w inną epokę; nie zmyśla też
ich ani fałszuje umyślnie własnymi przydatkami; myli się jako
człowiek, składając w jedno wiadomości różnorodne; ale zosta-
wia drugim możność sprostowania tego, w czém chybił. Nie udaje,
jak to wielu po dziś dzień jeszcze mniema, dziejów obcych za na-
sze; idzie za źródłami na które wyraźnie się powołał, i okazuje
rzadką przezorność w tém, że chronologią przy Graku dobitniej
oznaczywszy, ułatwił tém samém oddzielenie dziejów staroży-
tnych lęchickich, od dziejów Polski. Nie jego wina, że tych lę-
chickich czyli starożytnych ilirodackich dziejów odszukać nie mo-

(1) Zastanawia to niepomąłu, że Długosz i inni heraldycy Miorsza jako
przodka Korabitów wymieniając, zamilczają zupełnie jego stan. Zdaje się,
że pisząc w czasach, kiedy celibat u rzymsko-katolickiego duchowieństwa
najsurowiej był przestrzegany, unikali wzmianki o tém, co mogło być powo-
dem zgorzenia. W XI i XII wieku duchowni, nawet najwyższe dostojen-
stwa piastujący, byli żonaci, jak to dostatecznie z dziejów wiadomo; księdzem
tedy był prawdopodobnie i nasz Miorsz, i widoczny ślad tego mamy w jego
kronice.

(2) Floruit autem Graccus primus rex Polonie (Lechitie) ante incar-
nationem Christi annis plus quadringentis, et ante Alexandrum Macedonem
pene centum. Wyd. gd. str. 2 wyd. warsz. I. 16.

(3) Hujus quoque Lestkonis tempore Christus de virgine creditur esse
natus. Wyd. warsz. I. 56; gd. str. 8.

gli późniejsi uczeni w greckich i rzymskich źródłach, i że dotąd jeszcze albo je gwałtem w czasy po-Chrystusowe wsrubować usiłują, albo jako wierutne brednie odrzucają.

O ile atoli ostrożniejszy od innych jest Miorsz w oznaczeniu czasu, o tyle mętniejsze były wyobrażenia jego o miejscowości, co téż niekorzystnie na wyłuszczenie zdarzeń samych oddziaływało. Zmieszawszy Antara z Wandalem, miesza i okolice Iliryku z okolicami nadwiślańskimi, nie odróżnia przodków naszych starożytnych od nas samych, jako narodu nowego, dowolnie imion *Poloni*, *Lechitae* lub téż *Wandali* używając. Rozwiódł się z listem skityjskiego Ateasa, pochwyconym z księgi listów Alexandrowych, bo mniemał, i w tém zapewne nie mylił się, że państwo Ateasowe aż w ziemie Polski sięgało; ale zdaje się nie wiedzieć tego, że wojna tego króla z Macedonami, należy do dziejów łęchickich głównie tém tylko, iż Trybalowie, którzy część jedną łęchickiego państwa pod Grakiem stanowili, z wojny owéj korzystając, uderzyli na wracającego z niéj Filipa, i klęskę mu niemałą zadawszy, odebrali łup wszystek. W inném znów miejscu wspomniana w wyprawach Alexandra Pannonia i Pannonowie, którémto imieniem późniejsi pisarze rzymscy zarówno kraj między Dunajem i Sawą rozciągający się, jako téż i sąsiednią Macedonom Peonią nazywają, wyłożył sobie Miorsz przez Węgry. Opierając się więc na wzmiance w jednym z listów Alexandrowych o jakimś mieście Karantas i o przyległej do niego krainie, sprowadza macedońskiego Alexandra do Krakowa, i robi uczestniczką téjże sławy ziemię sieradzką (1), choć ta wcale na boku leżała; ale była siedliskiem autora rodziny i podobno téż siedliskiem jego. Później pisarze szlęcy, z większą trafnością napozór, ale i z jedną niezgrabnością co do istoty, odnieśli ten zaszczyt do swojej świętej Silesii (*sacra divina Silesia*).

Miorsz tedy, jako pisarz pod względem sposobu, w jaki różnorodne wiadomości skojarzył, nie ma żadnej zalety: krzywiące się tu i owdzie w narodzie wyobrażenia o swoim pochodzeniu, nie tylko nie zostały przezeń sprostowane, ale pozorną uczonością pochwycone w nowy zamęt. W tém swoim zwichnienu znalazły one trwałą podstawę w jego kronice, na której się wszy-

(1) *Cracovie et Syradie* provinciis subactis perpetui operis menta solo prosteruit (Alexander). Wyd. gd. st. 5.

scy przez długie lata opierali. Atoli ma ona zalety jako pomnik najdawniejszy kronikarstwa naszego, a to tém większe, że autor jój, nawet tam, gdzie się myli, postępuje sobie sumiennie, tak, iż błędy jego przejrzeć można aż do dna, i zbadać istotę opowiedzianych zdarzeń, a oraz poznać: jak? co? i z czego w kronice jego powstawało. A gdy źródła ilirodackiej historii po większej części już zaginęły, z niej oto daje się jeszcze wykryć niejedna arcyenna wiadomość, na którą dziś nigdzie więcej nie natrafiamy. Wszechstronne rozpatrzenie się w téj kronice jest dla nas nieskończenie ważne ztąd, że dopiero za pomocą takiego rozpatrzenia się można dokładnie ocenić pracę każdego z kronikarzy następnych, i powziąć pewne skazówki, według których wszystkie źródła o pochodzeniu Słowian mówiące, do jednego ogniska sprowadziwszy, postąpić możemy o krok wyżej w poznaniu własnego narodu.

Powody, które mnie skłoniły do uznania pierwszym kronikarzem polskim Miorsza i do poprawienia w ten sposób imienia jego, które w rękopiśmie Kuropatnickiego, dziś w Petersburgu znajdującym się, napisane jest Dzirsza, wymieniłem obszernie w mojem dziele. Dla czytelników Biblioteki chcę je tu zebrać w krótkości, dodając wszakże parę postrzeżeń, które się tam wcale nie znachodzą, gdyż dopiero później mi się nawinęły.

Maciej Strykowski przytaczając mnóstwo pisarzy polskich i obcych na poparcie swoich twierdzeń, wymienia między kronikarzami polskimi *Miarecius*a, kładąc go na ich czele; a Wincen- tego zwanego Kadłubkiem, tudzież Galla po nim dopiero wymieniając. Słowa jego są: „Naprzód Mojżesz prorok i zakonu Bożego objawiciel, i Berosus kapłan i historyk kaldejski najdawniejszy. Potym Xenophon, Appolonius, Herodotus, Cajus Julius, Solinus Ptolomeus, Plinius, Trogus Pompejus et Justinus, Pomponius Mella, Josephus Flavius, Philo Judeus, Cornelius Tacitus, Strabo etc. i inszy wszyscy starodawni hebrejscy, caldejscy, grecy, łacińscy historykowie starodawni; a niedawnego, i drudzy naszego wieku kronikarze, jako: *Miarecius*, Vincentius Cadlubcus, Anonimus Gallus, Dlugossus, Miechovius, Jostus Decius, Vapovius, Cromerus, Bielski etc. polscy; Tilemannus Stella, Cesareus, Carion, Philippus Melancton, Cureus etc. niemieccy; Eneas Sylvius, Volateranus, Datravius etc., włoscy i czescy historykowie” i t. d. (1).

(1) Stryj. Kron. wyd. król. z roku 1582. str. 89; wyd. Malin. I. 91.

Czy Strykowski znał bezpośrednio kronikę Miorsza, lub też za pośrednictwem kroniki Jana Tarnowskiego, którą wyraźnie w wykazie źródeł, na czele dzieła swego wyszczególnił (Miareciusa nie wymienił on w tym wykazie), to rzecz inna; ale tak dobitne najstarszego kronikarza polskiego wyszczególnienie, zasługuje ze wszech miar na uwagę.

Spółczesny Strykowskiemu Warszewicki miał niewątpliwie kronikę Miorsza pod ręką, jak o tém przekonać się można z następującego ustępu:

Christ. Varsevicii de orig. generis Poloni dialogus. Romae 1601, st. 25.

Alii enim genus (nostrum) ab ipso usque Japheto repetunt, et ex Japheto Javanum procreatum; ex hoc Philaram, et ex eo porro Alanum, hinc infinitos illos usque ad Javanum (Alanum) secundum, qui primus ex Asia in Europam domicilium fixit, fuisse memorant, cujus filium Vandalum, natu maximum Vistulae et Polonis nomen indidisse putant.

Miersuae Chronicon. ed. gd. p. 1; ed. Vars. p. 8, mss. lubin. p. 1.

Poloni ab Japhet, qui fuit filius Noe, sunt exorti. Hic Japhet habuit multos filios. Unum habuit cui nomen erat Javan... Javan autem genuit Philaram, Philara autem genuit Alan... Rea Sylva genuit Alanum (secundum), Alanus autem qui primus Europam intravit, genuit Negro. Negro autem quatuor filios habuit, cujus filius primogenitus Wandalus, a quo Vandalite, qui Poloni nunc dicuntur, orti sunt. Hic ex nomine suo fluvium qui Wysla vulgariter nunceupatur, Wandalum censuit appellari.

Owóż ten Warszewicki w tym samym dyalogu, gdzie Jana Tarnowskiego i Jana Tęczyńskiego rozmawiających wprowadza, zowie tego kronikarza, z łacińskiego *Mierzua*, zaliczając jego imię między powszechnie znane imiona polskich pisarzy: „Cadlubcos, Dlugoschos, Miechovitas, Bascos, Mierzuas, Vapovium, et alios” (1). Nakoniec zna tego pisarza i Marcin Bielski, i przytoczywszy z niego dosłownie prawie ustęp w języku polskim, zowie go *bardzo starym* kronikarzem (2). Nie kładzie imienia jego Bielski, ale go zowie anonimem: jakoż wypuszczone było je-

(1) *Christ. Vars. de orig. gen. Pol. str. 18.*

(2) *Kronik. polsk. Kraków, 1597, str. 11.*

go imię w rękopiśmie Szamotulskiego, z którego wydanie gdańskie sporządzono, a w rękopiśmie lubińskim, którego mam odpis i podobiznę przed sobą, zamiast słów: „*ego qui Dzirsua sum cognominatus*” powiedziano: „*ego qui sum incognominatus*”. Ten ostatni wyraz powstał przypadkiem. Wiadomo, że imiona własne tak w dyplomatach, jak i rękopismach dawnych, najczęściej tylko głoską początkową wyrażano. W kronice Gawła, na przykład czyta się we wszystkich rękopismach: *Domino M.* a to ma znaczyć *Martino*. W rękopiśmie pergaminowym Zamojskich czytamy w księdze I, rozdziale 30 téjże kroniki: *O. venerabili Abati sancti Egidii*, a to ma znaczyć *Odilloni* (1). Mnóstwo innych wskazać tu można przykładów, w których samo nawet imię autora oznaczone jest tylko głoską początkową. Tak téż niewątpliwie oznaczone było imię Miorsza w owym oryginale, z którego przepisywał kopiista lubiński. Samo bowiem wyrażenie: *ego qui sum incognominatus* zawiera w sobie pewną sprzeczność, i skoroby autor imienia swego powiedzieć nie chciał, po cóżby pisał *ego qui sum....* Było tedy w owym oryginale tak: *ego qui sum M, cognominatus*, a przepisywacz złączywszy głoskę początkową imienia autorowego z wyrazem następnym, wyczytał: *ego qui sum incognominatus*. Ale jakim znowu sposobem mógł przepisywacz Kuropatnickiego rękopismu czytać *Dzirsua* nie *Mirsua*? W piśmie gockim wielka głoska *M.* przy mniej staranném pisaniu rozpada się w dwie części, z których ostatnia podobna jest do *z*, pierwszą zaś za *d* wziąć można. Mam przed sobą rękopism z XV wieku (a właśnie z tegoż wieku jest i rękopism *Dzirswy* Kuropatnickiego), w którym na str. 326 znajduje się spis książąt czeskich przed *Borzywojem*. Znane imię księcia czeskiego *Mnata*, napisane jest tu wyraźnie *Aznata*, i tylko twardy zbieg spółgłosek przeszkodził, że przepisywacz nie czytał raczej *Dznata*. Tak samo zrobił się z *Mirswy* naszego *Dzirswa* w rękopiśmie wyż wymienionym.

Kronika *Miorsza*, chociaż ją mnóstwem przyczepków nadłatanano, ma jednak w sobie pewną krągłość, i daje się dość ściśle oddzielić od dopełniaczy. Zaczyna się wywodem od *Jafeta*, a kończy się z panowaniem *Mieczysława II* chlubném wspomnieniem *Ryxy* i jój wysoce urodzonego syna *Kazimiérza*, o którego nazwisku *odnowiciela* (restauratora) nie jeszcze nie słyszano. Dawny uzupełniacz téj kroniki, ostrzegł poniekąd czytelnika, że

(1) Ob. Mabillona: *Annal. Ord. S. Bened.* V. 128.

tu się urwał text stary i jednolity kroniki, kiedy do bajek o mni-
 chostwie Kazimierza przystępując, powiada: *Ab isto Kazimiro
 series historiae textitur modo diverso* (1). Dawność téj kroniki
 daje się téż udowodnić z samego jéj textu, i można wyrzec, jeśli
 nie z zupełną pewnością, tedy z bardzo wielkiém prawdopodob-
 ństwem, że pisana była w piérwszój połowie wieku XI. Autor
 nazywa owo zaburzenie, które według Nestora i Polikarpa zaraz
 po śmierci Chrobrego w Polsce zaszło, (2) *nostra tempestas*
 i czas wygnania Ryxy z Polski, które w kilka lat później na-
 stąpiło: *moderni tempusculi* (3), i wytyka jakichś wyrodków, za-
 pewne Ottona i Bolesława Kamedulę, braci Mieczysława II, co
 napróżno wysokiém pochodzeniem swoim szczyć się (4). Nie
 zna on jeszcze Szlązka, lecz tylko Polskę w tych stronach, po-
 dobnie jak go nie zna Adalbold, pisarz wieku XI, a nawet i Ko-
 zma pragski, u którego podbój Szlązka przez Brzetysława I zro-
 biony, nazwany jest podbojem Polski (5). W opisie Polski da-
 nym przez Miorsza, przebija się dużo jeszcze z owéj świetności,
 które Gawel i inni polscy kronikarze wyraźnie tylko do czasów
 Chrobrego odnoszą (6). Jest nakoniec czas, w którym pisze
 Miorsz, czasem przewagi w Polsce obrządku morawskiego, bo
 autor skarży się na jakichś nibyto pogan, co chlebem duchownym
 tuczają się, a krzewią niewiarę w kraju (7); imię zaś Iwan, wscho-

(1) Wyd. gd. str. 13.

(2) Nest. Połn. Sobr. I. 64; tenże w Pater. w żywoc. ś. Teodoz. rkp. lwowski str. 97; Polikarp w żyw. ś. Mojżesza Węgrzyna, Pater. rkp. lwowski str. 382. Porów. Kozmę prag. w SS. rer. Boh. I. 84.

(3) Wyd. gd. str. 4.

(4) *Frustra igitur nostri degeneres ex alti generis umbra gloriantur: de roseto namque nascitur et rosa et spina pungens.* Wyd. gd. str. 12; wyd. warsz. I, 80.

(5) Dobner ad Hagek, passim.

(6) *Polonia, famosissima princeps provinciarum ac domina.* Miorsz wyd. gd. str. 2. Temi samemi niemal słowami mówi kronikarz szlązki o panowaniu Chrobrego: *Polonia domina gentium vicinarum* (Stenz. I. 55), tudzież Gawel str. 80: *Polonia, reglua auro radiante cum gemmis coronata.*

(7) *Ad pia fidei ubera gemina pendent viperarum catuli, suggunt perfidi.* Wyd. gd. str. 4. Przenosiła o dwojgu piersiach wiary świętój, objaśnia niżej sam autor, mówi bowiem o Chrobrym, że tenże „in cunis vagientem ecclesiam tam tenero amplexu fovit, ut geminam metropolim institueret: unam Cracoviae et aliam Guesne.” Wyd. gd. str. 12.

dniemu obrządkowi właściwe, nazywa imieniem polskiem (1). Tak z tych, jako i z innych jeszcze okoliczności wnoszę, że pisał kronikę swoją między rokiem 1025—1036. Około tego czasu znany jest istotnie w Polsce znakomity podobnegoż imienia mąż, o którym podane szczegóły dziwnie jakoś do naszego kronikarza przypadają. Najdawniejsza wzmianka o nim znachodzi się w Długoszewym herbarzu, który niezbyt dawno wykryty został w bibliotece lwowskiej Ossolińskich. Nazwany on tu Mirzō i podany za pierwszego przodka Korabitów. Wnosząc z niektórych wyrażen kronikarza naszego, i z téj okoliczności, że się ujmuje za Ryxą wygnaną (2), był on prawdopodobnie cudzoziemiec: cudzoziemcem téż według Długosza i innych naszych heraldyków był Miorsz. Tak pisze jego imię Paprocki, który miał pod ręką herbarz Długosza, a prócz tego powołuje się na nieznane dziś katalogi. Z Anglii lub z Niemiec przybył do Polski, według Paprockiego, Miorsz: a kronikarz nasz zdradza w swym texcie znajomość angielskiej kroniki Nenniusa banchoreńskiego, i Polskę zowie krajem na wschód (od ojczyzny swéj) leżącym. Rodzina Korabity Miorsza miała swe siedlisko w Sieradzu, i według Paprockiego, syn Miorszów, imieniem Robert, był w drugiej połowie XI wieku kasztelanem sieradzkim; a w naszej kronice Sieradz wymieniony jest zaraz po Krakowie, jako jedna z dziwnie starożytnych warowni, którą Alexander Macedoński miał zburzyć. Z tych szczegółów oczywisty jest wniosek na identyczność przodka Korabitów i kronikarza.

Gawel przed powieścią o Popielu, którą najwidoczniej z Miorsza wyjął, powiada: *narrant seniores antiqui* (3). Mówił téż i Bogufał, a raczej Godysław Pasko, że będzie opowiadał nieco *ex narratione seniorum, procerum Polonie* (4), i zaczyna słowami

(1) Wydanie gd. str. 1.

(2) Non tamen ego in femina Wanda virilem admiror industriam; sed multo amplius in viris nobilibus Polonorum fidei constanciam: licet eum bonis moribus videtur dissonum feminam principibus imperare: pletati tamen decencius visum est et paternis prolem juvari meritis, et mortuorum apud posteros non mori beneficia i t. d. Wyd. gd. str. 4. O Słowianach w ogólnosci mówi autor, że: multas nationas exterminantes regiones earum sibi usurpaverunt (wyd. warsz. str. 1. 10) wyrażenie, którego rodak nie pozwolił sobie. Później złagodzone je na *subjugarunt*, jak jest w wydaniu gdańskim str. 1.

(3) Wyd. Bandtk. str. 26.

(4) Wyd. Jabłonowsk. Varsaviae, 1752. str. 7. Porów. Bogufała z rkp. Hodiejowskiego, przytoczonego u Dobniera koment. do Hageka str. 9.

Miorsza: *Tempore siquidem regis Assueri*. Ta okoliczność, że tak jeden, jak i drugi powoławszy się na osoby dostojne, na możnych, wpada bezpośrednio w słowa, które w kronice Miorszowej znajdujemy, pozwala wnosić, że w XII i XIII wieku była w narodzie jakaś wiadomość, iż kronika ta wyszła od męża znakomitszego, a takim jest właśnie Miorsz, przodek możnej w Polsce rodziny Korabitów.

(Dalszy ciąg nastąpi).



USTAWA WEXLOWA NIEMIECKA

Z DOŁĄCZENIEM ODMIAN TEXTU AUSTRYACKIEGO I Z OBJAŚNIENIAMI.

PRZEZ

Felixa Zielińskiego.

Ustawa wexlowa obowiązująca obecnie w całych prawie Niemczech, w Prusach i Austrii, napisaną została pierwotnie dla krajów do Związku Niemieckiego należących. Utworzenie jej i dalsze koleje łączą się z pamiętnymi wypadkami dziejów społecznych.

Związek celny niemiecki tworząc z różnych krajów jedno państwo pod względem handlowym, dał uciec potrzebę wspólnego w tym państwie prawa wexlowego, i pomnożył liczbę głosów za jednością prawodawstwa w Niemczech przemawiających. Na konferencyi państw związkowych w r. 1846 odbytej, wynurzone zostało życzenie, aby rząd pruski przedsięwziął dokonać pod swoim przewodnictwem pożądane przez wszystkich dzieło. Czyniąc zadość uznaną potrzebę czasu, rząd pruski wezwał w r. 1847 rządy wszystkich krajów niemieckich, aby wysłały delegowanych do miasta Lipska, dla naradzenia się nad ułożeniem jednój, całej Niemcy obowiązującej ustawy wexlowej. Wezwanie odniosło skutek; owocem narad konferencyi lipskiej, trwającej od d. 20 października do 9 grudnia 1847 r., w których za podstawę do nowego prawa przyjęty został projekt przedstawiony przez Prusy, była niniejsza ustawa.

Nim ustawa ułożona na zjeździe lipskim uzyskała zatwierdzenie państw związkowych, zaszły wypadki 1848 roku, zdające się zapowiadać ściślejsze zjednoczenie krajów niemieckich. Ogniskiem tego zjednoczenia stało się na czas zgromadzenie zebrane w Frankfurcie nad Menem. Zgromadzenie frankfurckie miało na najbliższym a prawie wyłącznym względzie stosunki publicznego prawa; pomnąc przecież na to, że wykonywaniem ustala się władza, nie pominęło sposobności opatrzenia sankcją swoją gotowego już projektu ustawy wexlowej, która ogłoszo-

na została pod d. 27 listopada 1848 r. w Dzienniku praw państwa (Reichs gesetzblatt) jako prawo z d. 1 maja 1849 r. całe Niemcy obowiązująć mające. Na téj zasadzie ustawa wexlowa przez większą część państw niemieckich przyjętą i w wykonanie wprowadzoną została.

Zgromadzenie frankfurckie, powołane do urządzenia Niemiec, rozeszło się nie dokonawszy swojego zadania. Powaga jego w całej rozciągłości uroszczeń w znacznej części Niemiec nigdy uznawaną nie była; nawet i tam, gdzie więcej ku temu skłonności okazano, działalność praw przez zgromadzenie uchwalonych, ustała wraz z jego istnieniem.

Z ogólnego rozbicia jedna ocalała ustawa wexlowa. Wewnętrzna wartość nowego prawa utorowała mu drogę do uznania nawet w krajach nadawcom jego niechętnych. W roku 1850 ustawa wexlowa przyjętą została za prawo w królestwie bawarskiem, i, z niektórymi wszakże zmianami, w całej monarchii austryackiej (*).

Z krajów należących do Niemiec tylko w księstwach luxemburskiem i limburskiem, zostających pod rządem króla niderlandzkiego i w księstwie Lichtenstein ustawa wexlowa dotąd wprowadzoną nie jest.

Zaraz po ogłoszeniu, nowe prawo obudziło wielki ruch w piśmiennictwie niemieckiem. Objasnienia i komentarze zjawily się w znacznej liczbie. Wydrukowano kilkakrotnie protokoły narad konferencyi lipskiej. PP. Brauer i Liebe członkowie konferencyi, p. Koch, pruski, p. Kalessa, austryacki, prawnicy,—że tu wspomnimy tylko celniejszych,—wydali osobne pisma o nowój ustawie. Zbiorowym punktem pojedynczych, nieraz znakomitój wartości rozpraw w przedmiocie prawa wexlowego, stało się pismo czasowe, które pp. Siebenhaar i Tauchnitz w r. z. wydawać zaczęli w Lipsku p. t.: „Archiv fuer das deutsche Wechselrecht”.

Nie schodzi zatém na materyałach do ocenienia wartości nowój ustawy, choć może nie nadszedł jeszcze czas stanowczego w téj mierze wyrzeczenia.

Dzieło prawodawcze Niemców przypadło na czas, w którym, w skutek rozwinięcia się stosunków handlowych i zdążającój za ich przemianą teoryi, zachwiało się ustalone pojęcie o naturze i prawnej istocie wexlu. „Kiedy powszechnie”, mówił p. Koenneritz minister saski na 29tój sessyi zjazdu lipskiego „wexle uważane są za papier kredytowy, utworzony dla potrzeb handlu i przeznaczony do obiegu, zaczęto, zwłaszcza na większych

(*) Zmiany te odnoszą się do art. 2, 4, 25, 40, 70, 73. Zamieściliśmy je pod temi artykułami w texcie wydrukowanym według brzmienia pierwotnej ustawy, oprócz zmiany w art. 70, która w tłumaczeniu znika. Odstąpienia od pierwotnego textu w art. 49 i 83 uważamy za proste omyłki druku.

placach handlowych, widziéć w nich przedmiot handlu, towar. Piérwsze stanowisko wiéćej uwzględnia interes okaziciela; na stanowisku drugiem, uwaga wiéćej jest zwróconą na handel wexlami i jego potrzeby”.

Teoryą wexlu uważanego ze stanowiska ostatniego, jako pieniądz w handlu przyjęty, odrębnie od wszelkich stosunków dających powód do jego wystawienia, wykształcił Einert w dziele p. t. „Das Wechselrecht nach dem Beduerfnisse des Wechselgeschæfts im neunzehnten Jahrhundert” Lipsk 1839, i zyskał licznych stronników ().

Odmienne pojęcia o naturze wexlu, w znacznej różnitości odcieni, dotąd mają przecież między prawnikami większość. Wśród tak rozróżnionych zdań, konferencya lipska nie straciła z uwagi głównego swego zadania: utworzenia wspólnej dla krajów niemieckich, ustawy wexlowej; ile możności, staraniem jój było zakres swój pracy ograniczyć, unikając sporów teoretycznych, stanowiąc w nowém prawie tylko względem stosunków ściśle z wexlu wynikających, pomijając kwestye drażliwe, na które różnica teoryi największy wpływ wywiera, pozostawiając przyszłym prawodawcom oznaczenie stanowiska, jakie wexel w ogólnym systemacie praw zajmować ma. Konferencya nie poszła za żadną z odmiennych teoryj, których celniejszych przedstawców w gronie swoim liczyła, lecz trzymając równą między niemi wagę, przechylała kolejno ich szale, przy-
padkową lub względami praktycznemi kierowaną większością.

Dzieło będące owocem takich usposobień nie może mieć jednolitości, cechującej klasyczne pomniki prawodawstwa. Ustawa wexlowa niemiecka nie jest dziełem jednej myśli, nie opiera się na jednej podstawie; lecz jak przy utworzeniu jój przeważały praktyczne względy, tak téż w ułatwieniu obiegu wexli, w zwolnieniu form ścieśniających, w usunięciu zbytecznych przepisów a dodaniu potrzebnych, leży główna jój zaleta.

Zdolność do działań wexlowych przyznana każdemu, kto się może zobowiązywać przez umowy; dozwolone ciągnięcie wexlu w miejscu; wzmiarki o dostarczonej wartości tak w wexlu, jak w indosie uznana za niepotrzebną; dozwolone z pełnym skutkiem indosowanie in blanco; pominięcie przepisów o pokryciu wypłaty wexlu: oto są główne punkta, w których ustawa wexlowa niemiecka korzystnie wyróżnia się od prze-

(*) W Revue étrangère wydawanéj przez p. Foelix, zamieścił Mittermajer (T. VII i VIII 1840) artykuł: Des progrès et de l'état actuel de la législation et de la science du droit en matière des lettres de change, podziela-
jąc w nim w głównym punkcie stanowisko Ejnerta. — Za Mittermajerem poszedł J. Bergson w artykule: Des lettres de Change d'après le Code de Commerce et le nouveau projet de loi pour l'Allemagne. (Revue de droit français et étranger 1848).

pisów o wexlach, zamieszczonych, w księdze piérwszój kodexu handlowego francuzkiego.

Ustawa wexlowa niemiecka, jako prawo obowiązujące w państwach z któremi łączą nas liczne stosunki handlowe, jako utwór nowszych dążeń prawodawczych, zasługiwała na upowszechnienie w naszym kraju i języku. Wprawdzie w Austrii, w wydaniu niemiecko-polskiém dziennika praw zamieszczone zostało tłumaczenie ustawy rzeczonój, lecz tłumaczenie to nie odpowiada wymaganiom, jakie do tego rodzaju pracy słuszenie rościć mamy prawo. Przy względzie na stan techniki prawnej w kraju naszym niepodobna było ograniczyć się na prostym jego przedruku. Tłumaczenia, jakie zapewne wyszło w W. Ks. Poznańskim nie mieliśmy pod ręką; biorąc miarę z ionych prób tamecznych urzędowego pióra, wartość jego niewiele od austryackiego wyższą być może.

Należało zatem na nowo tę pracę wykonać.

Ułatwiły ją znacznie wydane w latach ostatnich przekłady kodexu handlowego francuzkiego i dzieła o przedmiotach handlowych traktujące. Nie zaniedbałem z nich korzystać, zwracając przytém baczenie na terminologią w dawnych prawach i przekładach użytą. Gdzie od wyrażen technicznych przez poprzedników moich przyjętych odstąpiłem, przywodzę je porównawczo w przypisach na końcu umieszczonych.

W tłumaczeniu starałem się o jak największą czystość języka, z wyrazów obcych zachowałem te tylko, które w powszechne wszedłszy używanie, dostały prawa obywatelstwa w języku, i nowo utworzonym tak łatwo miejsca nie ustępują.

Ustawa wexlowa odwołuje się w niektórych artykułach do zwyczajów handlowych, zwłaszcza jarmarcznych; w innych zastrzega działalność prawodawstw państw pojedynczych. Postarałem się ile możność dozwoliła i miejscowe potrzeby wymagać zdawały się, zebrać przepisy i zwyczaje uzupełnienie ustawy stanowiące. Znajdzie je czytelnik zamieszczone w przypiskach pod tekstem.

W końcu dopełniam miłego dla mnie obowiązku, składając podziękowanie p. A. Cyprysińskiemu, który przyjąwszy udział w téj pracy, wiele się do jój udokładnienia przyczynił.

USTAWA WEXLOWA NIEMIECKA (*).

ROZDZIAŁ PIÉRWSZY.

O zdolności do działań wexlowych (1).

Art. 1. Zdolnym do działań wexlowych jest każdy, kto może zobowiązywać się przez umowy.

Art. 2. Za dopełnienie zaciągniętego zobowiązania wexlowego, dłużnik wexlowy odpowiada osobą i majątkiem.

Przymus osobisty (2), nie jest dopuszczalnym jednakże:

1. przeciwko spadkobiercom dłużnika wexlowego;
2. za oświadczenia wexlowe w imieniu korporacyi lub innych osób moralnych, spółek na akcye lub w interesach osób niezdolnych do zarządzania własnym majątkiem przez ich wyobrazicieli uczynione.

(* Woryginalie: *Allgemeine deutsche Wechselordnung*. Obowiązuje według uchwały zgromadzenia frankfurckiego z d. 26 listopada 1848 r. od 1 maja 1849 r. Oznaczenie wcześniejszego terminu zaprowadzenia, pozostawione było do woli państw pojedynczych. Jakoż w Nassau zaprowadzoną została ustawa wexlowa z d. 1 stycznia 1849 r., w Prusach z d. 1 lutego 1849 r. na zasadzie postanowienia królewskiego z d. 6 stycznia t. r. zastąpionego później prawem z d. 15 lutego 1850 r., w Badeńskim z d. 1 marca 1849 r. Księstwo Sachsen Meinnigen uprzedziło nawet uchwałę frankfurcką wprowadzając u siebie ustawę prawem z d. 22 kwietnia 1848 r. W zupełnej niezależności od uchwały frankfurckiej zaprowadzoną została ustawa wexlowa w Bawaryi z d. 1 stycznia 1851 r. z mocy prawa z d. 25 lipca 1850 r. W Austrii patentem z d. 25 stycznia 1850 r. pod zmienionym tytułem: *Allgemeine Wechselordnung für die k. k. oesterreichischen Staaten*. Ustawa wexlowa dla cesarsko-królewskich państw austryackich, i ze zmianami w art. 2, 4, 25, 40, 70, 73, z terminem od d. 1 maja 1850 r. Jednocześnie wyszły dwa rozporządzenia ministerstwa Sprawiedliwości: jedno dla krajów koronnych austryackich rządzących się kodexem cywilnym anstryackim, z wyłączeniem królestwa Lombardzko-Weneckiego i granicy wojskowej, drugie dla Węgier, Kroacyi, Sławonii, województw Serbii i Banatu Temeskiego; oba zawierające tymczasowe przepisy co do postępowania w sprawach wexlowych. W d. 31 marca t. r. wyszło podobnie rozporządzenie dla Lombardyi.

Ustawy przechodnie wydane w różnych krajach niemieckich znajdzie czytelnik w dziele: *Deutsches Wechselbuch* przez Ludwika Fort. 2gie wydanie w Lipsku u Haendla 1850 r., str. 205—236, i dokładniej u Brauera: *Die allgemeine deutsche Wechselordnung*, 2gie wydanie, Erlanga u Euckiego str. 155—233. Przepisy tych ustaw uszykowane porządkiem artykułów, zamieszczone są także w piśmie czasowém: *Archiv für das deutsche Wechselrecht* zeszyt 1szy, str. 63—113 i 3ci str. 331—336.

3. przeciwko koblétom nietrudniącym się handlem lub innym przemysłem.

Szczegółowe ustawy oznaczają, o ile z powodów czerpanych w prawie publiczném, użycie przymusu osobistego przeciw innym, niżeli wyżej wymienione osobom, ulega ograniczeniu.

Text austriacki od ustępu trzeciego do końca tak brzmi:

3^o „Przeciwko tym wszystkim osobom, które według właściwych szczególnym krajom koronnym praw przymusowi osobistemu nie ulegają (*)”.

Art. 3. Zamieszczone na wexlu podpisy osób niemogących albo wcale, albo z pełnym skutkiem zaciągać zobowiązań wexlowych, nie mają żadnego wpływu na odpowiedzialność innych do wexlu obowiązanych.

R O Z D Z I A Ł D R U G I.

O wexlach ciągnionych.

I. O formie wexlu ciągnionego (3).

Art. 4. Do istotnych form wexlu ciągnionego należą:

1. Zamieszczenie w samymże wexlu nazwy *wexel* lub wyrażenia nazwie téj odpowiedniego w obcym języku, jeżeli wexel w takim języku jest wystawiony;
2. Wymienienie summy mającej być wypłaconą;
3. Imię osoby lub firma, której, lub na zlecenie której wypłata uiszczoną być ma (Remittent, biorący wexel).
4. Czas, w którym wypłata nastąpić ma.

Czas wypłaty ustanowionym być może:
na dzień pewny;

(*) Według rozporządzeń ministerstwa Sprawiedliwości austriackiego z d. 25 stycznia 1850 r., dłużnik ulegający przymusowi osobistemu nie może ponosić aresztu bez przerwy dłużej nad rok jeden (§ 21 rozporządzenia dla krajów rządzących się prawem austriackim; § 19 rozporządzenia dla Węgier). Według § 7go ostatniego z tych rozporządzeń, przymus osobisty nie jest dopuszczalnym przeciwko wojskowym w czynnej służbie, pensyonowanym lub uwolnionym ze służby z zachowaniem charakteru wojskowego, tudzież przeciwko urzędnikom w służbie rządowej i duchownym.

Prawo pruskie z d. 11 maja 1839 r. przeciąg zamknięcia w areszcie za długi wexlowe oznacza na lat pięć, poczem dłużnik za żaden dług poprzednio zaciągnięty przymusowi osobistemu nie ulega. Czas zamknięcia może być przedłużonym, gdy wierzyciel prawdopodobnie wykazuje, że przez

za okazaniem (a vista i t. d.) lub na czas oznaczony po okazaniu, na czas oznaczony po wystawieniu (po dacie); na czas jarmarku lub targu (wexel jarmarczny lub targowy, Mess oder Marktwechsel);

Po wyrazie a vista, text austriacki dodaje „a piacere”.

5. Podpis wystawcy (trassanta) z imienia lub firmy;
6. Miejsce, dzień, miesiąc i rok wystawienia;
7. Imię osoby lub firma wypłacać mające (trassat, wypłatnik);
8. Miejsce, w którym wypłata nastąpić ma. Jeżeli osobne miejsce wypłaty wskazanem nie zostało, będzie uważanem za miejsce wypłaty wexlu i zarazem za miejsce zamieszkania wypłatnika, miejsce położone obok imienia lub firmy wypłatnika (4) (*).

Art. 5. Jeżeli zachodzi różnica między wyrażeniem liczbami i wypisaniem głoskami summy mającej być wypłaconą (art. 4 n. 2), trzymać się należy wypisania głoskami. Jeżeli różnica zachodzi w kilkokrotném wyrażeniu summy liczbami lub w kilkokrotném wypisaniu jęj głoskami, trzymać się należy summy mniejszėj.

Art. 6. Wystawca może samego siebie podać za biorącego wexel (wexel na własne zlecenie). Również wystawca może samego siebie podać za wypłatnika, jeżeli wypłata nastąpić ma w inném miejscu, niż miejsce wystawienia (wexle ciągnione na siebie).

Art. 7. Pismo, któremu schodzi na jakiej z istotnych form wexlu, nie skutkuje odpowiedzialności wexlowej. Oświadczenia na takim piśmie zamieszczone (Indos, przyjęcie, poręczenie), nie mają również mocy wexlowej.

ten środek zaspokojenie swęj należności otrzyma, lub że dłużnik stał się niewypłacalnym skutkiem niemoralnego prowadzenia się (patrz rozkaz gabinetowy z d. 5 lipca 1832 r.). Przymus osobisty jest w Prusach niedopuszczalnym, ze względuw w ustępie końcowym art. 2go ustawy wexlowej wytkniętych, tylko przeciw wojskowym w czynnej służbie zostającym. Urzędnicy cywilni i wojskowi ulegają mu z pewnemi ograniczeniami (§ 5 prawa z d. 15 lutego 1850 r.).

Prawo saskie z d. 7 czerwca 1849 r. znacznie rozszerzyło zakres wyłączeń od przymusu osobistego, uwzględniając wiek dłużnika (lat 70), stosunek pokrewieństwa jego z poszukującym wierzycielem i stan upadłości. Przeciąg czasu zamknięcia ograniczony jest w tém prawie do lat dwóch; lecz tylko co do poszukiwań wystosowanych przez jednego i tego samego wierzyciela.

(*) Ustawa wexlowa nie zna terminów używalnych (uso). Gdy jednak wexle za granicą krajów, w których ustawa obowiązuje, wystawione, mogą mieć czas wypłaty w ten sposób oznaczony, przeto znaczenie terminu uso zostało w niektórych krajach niemieckich, przy wprowadzeniu ustawy wexlowej, określone. W Saxonii np. i Bawaryi uso znaczy obecnie dni czterenaście po przedstawieniu wexlu. Zresztą gdzie indziej zwyczaj opiera się jeszcze przepisom ustawy.

II. *Obowiązki wystawcy.*

Art. 8. Wystawca wexlu odpowiada za jego przyjęcie i wypłatę podług prawa wexlowego.

III. *Indos (5).*

Art. 9. Biorący wexel, może ustąpić wexlu komu innemu przez indos (giro). Jeżeli przeciw wystawca zabronił w wexlu indossowania w słowach: „nie na zlecenie” lub przez inne równoznaczające wyrażenie, indos nie ma skutków wexlowych.

Art. 10. Skutkiem indosu wszelkie prawa z wexlu przechodzą na indossata, mianowicie zaś możność dalszego indossowania wexlu. Wexel może być ważnie indossowany na wystawcę, wypłatnika, przyjmującego, lub którego z wcześniejszych indossantów, i przez nich dalej indossowany.

Art. 11. Indos winien być napisany na wexlu, na kopij tegoż albo na dodatku (allonge), czyli papierze złączonym z wexlem lub kopią (6).

Art. 12. Indos jest ważny, jeżeli indossant podpisze się z imienia lub firmy na stronie odwrotnej wexlu, kopii lub dodatku (indos in blanco).

Art. 13. Okaziciel (7) może zapełniać znajdujące się na wexlu indosy in blanco; może także i bez tego zapełnienia wexel dalej indossować.

Art. 14. Indossant odpowiada według prawa wexlowego każdemu późniejszemu okazicielowi za przyjęcie i wypłatę wexlu. Jeżeli jednak do indosu dołączył słowa: „bez odpowiedzialności (8), bez obowiązku (obligo)” lub inne równoznaczające zamieścił zastrzeżenie, indos nie czyni go odpowiedzialnym.

Art. 15. Jeżeli w indosie dalsze zbywanie wexlu jest zabronioném przez słowa: „nie na zlecenie” lub przez inne równoznaczające wyrażenie, ci, do których wexel dojdzie z rąk indossata, nie mają zwrotnego poszukiwania (9) na indossancie.

Art. 16. Jeżeli wexel indossowanym zostanie już po upływie czasu zakreślonego na zaprotestowanie niewypłaty, indossatowi służą względem wypłatnika prawa z przyjęcia, jeżeli takowe zaszło, i prawa zwrotnego poszukiwania na tych, którzy indossowali wexel już po upływie tego czasu.

Jeżeli przeciw zaprotestowanie niewypłaty nastąpiło przed indosem, indossatowi służą prawa jego indossanta względem przyjmującego wy-

stawcy i tych, którzy wexel indossowali przed zaprotestowaniem. Indossant w takim razie wolnym jest od odpowiedzialności wexlowej.

Art. 17. Jeżeli w indosie zamieszczone zostały wyrazy: „do odebrania (zainkassowania), dla zastępstwa (procura)” lub inne oznaczające pełnomocnictwo, indos nie przenosi własności wexlu, lecz upoważnia indossata do odbioru należności wexlowej, do założenia protestu (10) i zawiadomienia poprzednika (11) swego indossanta o niewypłacie (art. 45), jak również do wytoczenia skargi w razie niewypłaty długu wexlowego lub do podniesienia go z depozytu. Taki indossat ma prawo przenieść władzę swoją na trzeciego przez dalszy indos dla zastępstwa; lecz nie jest mocen puścić wexlu w dalszy obieg przez indos właściwy, chociażby w indosie dla zastępstwa dodatek „lub na zlecenie” był uczyniony.

IV. *Przedstawienie do przyjęcia.*

Art. 18. Okaziciel może natychmiast przedstawić wexel do przyjęcia wypłatnikowi; i jeżeliby przyjętym nie był, założyć protest. Wyjątek zachodzi tylko co do wexli jarmarcznych lub targowych, które dopiero w czasie prawnie na przedstawienie oznaczonym w miejscu jarmarcznym lub targowym przedstawione do przyjęcia, i gdyby przyjętymi nie zostały, zaprotestowane być mogą (*). Samo posiadanie wexlu nadaje moc do przedstawienia go i zaprotestowania nieprzyjęcia.

Art. 19. Tylko wexle wystawione na czas oznaczony po okazaniu, okaziciel obowiązany jest przedstawiać do przyjęcia. Takie wexle powinny być, pod utratą poszukiwania wexlowego na indossantach i wystawcy, przedstawione do przyjęcia, podług rozporządzenia w nich zawartego, a gdy go nie ma, w ciągu lat dwóch od wystawienia. Obowiązek

(*) Oto są urządzenia istniejące na celniejszych jarmarkach:

Co do jarmarków lipskich. Prawo saskie z d. 25 kwietnia 1849 r. stanowi (§ 3). „Za wexle jarmarczne lipskie uważają się tylko wexle płatne na wymienionym w nich jarmarku lipskim, bez oznaczenia terminu wypłaty na dzień jaki miesiąca lub tygodnia. Czas zakreślony na przedstawienie do przyjęcia takich wexli rozpoczyna się nazajutrz po wydzwonieniu jarmarku, w którym wypłata wedle osnowy wexlu nastąpić ma.” Czas ten trwa (według Leforta str. 69, 70) do piątku tegoż tygodnia, godziny 12tej w południe, w czasie jarmarków wielkanocnego i święto-Michalskiego; do d. 7 stycznia w czasie jarmarku noworocznego lub gdy dzień ten przypada na niedzielę, do dnia poprzedniego. Później nadsyłane wexle winny być natychmiast po otrzymaniu przedstawione i w ciągu godzin 24 przyjęte lub zaprotestowane. Według tegoż autora, czas zakreślony na przedstawienie wexli do przyjęcia trwa na jarmarkach frankfurckim (nad Odrą) i magdeburg-

wexlowy indossanta wexlu tego rodzaju, który w indosie zakreślił czas na przedstawienie, ustaje, jeżeli w ciągu tego czasu wexel do przyjęcia przedstawionym nie był.

Art. 20. Jeżeli przyjęcie wexlu wystawionego na czas oznaczony po okazaniu nie może być otrzymaném, lub jeżeli wypłatnik odmówi położenia daty na swoim przyjęciu, okaziciel winien na dowód przedstawienia wexlu w właściwym czasie, założyć protest w ciągu czasu na przedstawienie zakreślonego (12) (art. 19), pod utratą prawa poszukiwania wexlowego na indossantach i wystawcy. Dzień protestu uważa się w takim razie za dzień przedstawienia.

Jeżeli protest założonym nie został, termin wypłaty liczy się względem przyjmującego, który nie położył daty na swoim przyjęciu, od ostatniego dnia czasu na przedstawienie zakreślonego.

V. Przyjęcie (*Akceptacja*).

Art. 21. Przyjęcie wexlu ma być piśmiennie na nim wyrażone. Każde oświadczenie na wexlu napisane i przez wypłatnika podpisane uważa się za przyjęcie bezwarunkowe, jeżeli wyraźnie zastrzeżone w niem nie jest, że wypłatnik albo wcale nie, albo tylko z pewnymi ograniczeniami przyjmuje.

Uważa się również za przyjęcie bezwarunkowe, jeżeli wypłatnik podpisze się z imienia lub firmy na głównej stronie wexlu bez żadnego zastrzeżenia.

Przyjęcie raz zasze cofniętém już być nie może.

Art. 22. Wypłatnik może przyjąć wexel na część summy nim objętej. Gdy zachodzą inne jakie ograniczenia przyjęcia, wexel uważa się

skim przez dzień trzeci i czwarty tygodnia wypłat; na wrocławskim, od poniedziałku do piątku godziny 10tej przed południem, pierwszego tygodnia jarmarku; na elbląskim przez dzień 1, 2 i 3 targu.

W Austryi, w krajach koronnych rządzących się kodexem cywilnym austryackim, wexle płatne na targach i jarmarkach krajowych nie mogą być przedstawione do przyjęcia przed rozpoczęciem jarmarku lub targu; a jeśli jarmarki rzeczzone trwają dni ośm lub dłużej, przed rozpoczęciem drugiego ich połowy (§ 2 i 3 patentu z d. 25 stycznia 1850 r.).

W Węgrzech i krajach z nimi dawniej złączonych, wexle płatne na jarmarkach jedno-dniowych wcale nie potrzebują być przedstawiane do przyjęcia, płatne na jarmarkach dwu do ośmiodniowych winny być przedstawione pierwszego dnia jarmarku; płatne na jarmarkach dłużej nad dni ośm trwających, winny być przedstawione pierwszego tygodnia jarmarku, aż do soboty włącznie (§ 57 części 1szej ustawy węgierskiej).

tak, jakby w przyjęciu zupełnie został odmówiony; jednakże przyjmujący odpowiada w granicach swego przyjęcia, według prawa wexlowego.

Art. 23. Wypłatnik staje się przez przyjęcie wexlowe obowiązany do wypłacenia w terminie summy przyjętej.

Podobnie odpowiada z przyjęcia wystawcy.

Przeciwnie, względem wystawcy nie służy mu prawo wexlowe.

Art. 24. Jeżeli miejsce wypłaty w wexlu wskazane różnym jest od miejsca zamieszkania wypłatnika (art. 4, N. 8, wexel umiejscowiony) (13), wypłatnik winien, o ile z samego wexlu nie okazuje się, kto w miejscu wskazanym wypłatę ma uskutecznić, wyrazić to na wexlu, przy jego przyjęciu; czego jeżeliby zaniedbał, uważa się, że sam gotów jest uskutecznić wypłatę w miejscu wskazanym.

Wystawca wexlu umiejscowionego może w niem zastrzedz przedstawienie do przyjęcia. Niezastosowanie się do tego zastrzeżenia, pociąga za sobą utratę zwrotnego poszukiwania na wystawcy i indossantach.

VI. *Zwrotne poszukiwania zabezpieczenia.*

1. *Z powodu nieotrzymanego przyjęcia.*

Art. 25. Jeżeli wexel albo wcale nie, albo warunkowo, albo na mniejszą summę przyjęty został, indossanci i wystawca obowiązani są wexlowo, za wydaniem im sporządzonego protestu nieprzyjęcia, dać dostateczne bezpieczeństwo co do wypłaty w terminie summy objętej wexlem lub ilości nieprzyjętej, i zwrotu kosztów przez nieprzyjęcie zrządzonych.

Wystawca i indossanci mogą na swój koszt summę dłużną złożyć w sądzie lub inną władzę, albo instytucji upoważnionej do przyjmowania na skład.

Text austriacki w ustępie końcowym brzmi:

„Umówienie się o sposób zabezpieczenia i o miejsce, w którym zachowana być ma rzecz na bezpieczeństwo daną, pozostawia się stronom; w razie niezgodności między nimi, kwota o której zabezpieczenie idzie, winna być w sądzie złożoną.

„Wierzyciel wexlowy ma prawo zastawu na rzeczy złożonej na zabezpieczenie, chociażby mu wyraźnie danym nie zostało”.

Art. 26. Posiadanie protestu nieprzyjęcia daje biorącemu wexel i każdemu indossatowi moc żądać od wystawcy i innych swoich poprzedników, zabezpieczenia, i wytaczać o to skargi w drodze procesu wexlowego. Zwrotnie poszukującego nie wiąże w tém działaniu ani której indosów, ani raz uczyniony wybór.

Nie potrzebuje okazywać wexlu, ani dowodzić, że sam wystawił ubezpieczenie dla swoich następców.

Art. 27. Wystawione zabezpieczenie służy nie tylko dla zwrotnie poszukującego, lecz i dla innych następców zabezpieczającego, o ile na nim zwrotnie poszukują zabezpieczenia. Żądać lepszego ubezpieczenia wtenczas tylko mają prawa, jeżeli usprawiedliwić zdołają zarzuty przeciw wysokości lub sposobowi wystawionego zabezpieczenia.

Art. 28. Wystawione zabezpieczenie ma być zwrócone:

1. jak tylko po jego wystawieniu zupełne przyjęcie wexlu nastąpi;
2. jeżeli w ciągu roku, licząc od terminu wexlu, nie zostanie o wypłatę z wexlu wytoczona skarga przeciw zwrotnie obowiązanyemu, który dał zabezpieczenie;
3. gdy wexel wypłaconym zostanie, lub moc wexlową utraci.

2. Z powodu niepewnej wypłatności przyjmującego (14).

Art. 29. Jeżeli wexel w całości lub w części przyjętym został, zabezpieczenia ilości przyjętej żądać można tylko:

1. w razie ogłoszenia upadłości majątku przyjmującego, lub gdy przyjmujący wypłaty zawiesi;
2. jeżeli przedsięwzięta po wystawieniu wexlu egzekucja na majątku przyjmującego nie przyniosła skutku, lub jeżeli zarządzone przeciw niemu zostało wykonanie przymusu osobistego, w przedmiocie dotyczącym pieniężnego zobowiązania.

Jeżeli w takich razach przyjmujący nie da zabezpieczenia, to za protestowaniem zostanie, od żadnego zaś z wypłatników w wexlu wymienionych na wypadek (15), po okazaniu im protestu, przyjęcia otrzymanie będzie można: okaziciel i każdy indossat mocni będą żądać zabezpieczenia od swoich poprzedników za wydaniem im protestu (art. 25 do 28).

Samo posiadanie wexlu stoi za pełnomocnictwem do żądania, w przypadkach pod liczbą 1szą i 2gą wymienionych, zabezpieczenia od przyjmującego, a gdyby danym nie było, do założenia protestu.

VII. Wykonanie zobowiązania wexlowego.

1. Dzień wypłaty.

Art. 30. Jeżeli jako dzień wypłaty wskazany został w wexlu dzień pewny, wexel w tym dniu staje się płatnym. Jeżeli za czas wypłaty po-

dany jest środek miesiąca, wexel staje się płatnym dnia piętnastego tego miesiąca.

Art. 31. Wexel wystawiony z terminem za okazaniem jest płatny za przedstawieniem go do wypłaty.

Przedstawienie do wypłaty takiego wexlu nastąpić powinno stosownie do zawartego w nim szczególnego zastrzeżenia; a jeżeli go nie ma, w ciągu lat dwóch od daty wystawienia, pod utratą poszukiwania wexlowego na indossantach i wystawcy. Obowiązek wexlowy indossanta wexlu tego rodzaju, który w indosie zakreślił czas na przedstawienie, ustaje, jeżeli w ciągu tego czasu wexel do przyjęcia przedstawionym nie był.

Art. 32. Termin wexli płatnych na czas oznaczony po okazaniu lub po dacie, przypada:

1. jeżeli czas oznaczony jest na dnie, w dniu ostatnim; przyczém nie liczą się: ani dzień w którym wexel płatny po dacie został wystawionym; ani dzień w którym wexel płatny po okazaniu został przedstawionym do przyjęcia;
2. jeżeli czas oznaczony jest na tygodnie, miesiące lub przeciąg kilkomiesięczny (rok, pół roku, kwartał), w dniu tygodnia lub miesiąca wskazanych do wypłaty, odpowiadającym nazwaniem lub liczbą dniom wystawienia lub przedstawienia; jeżeli takich dni nie ma w miesiącu wypłaty, termin jój przypada w ostatnim dniu tego miesiąca.

Wyrażenie pół miesiąca znaczy przeciąg dni piętnastu. Jeżeli wexel jest wystawiony na jeden lub więcej miesięcy i pół, dni piętnaście doliczają się na ostatku.

Art. 33. Dni względności nie będzie żadnych (16).

Art. 34. Jeżeli wexel płatny w kraju po dacie, wystawiony został za granicą w miejscu, gdzie liczą według starego kalendarza, bez zastrzeżenia, że data w wexlu położona jest według kalendarza nowego, lub jeśli wexel ma datę podwójną podług obu kalendarzów, dzień wypłaty oblicza się podług dnia, który według nowego kalendarza odpowiada dniowi wystawienia według kalendarza starego.

Art. 35. Wexle jarmarczne i targowe stają się płatnymi w dniu na wypłatę oznaczonym [przez prawo obowiązujące w miejscu jarmarku lub targu (*); jeżeli zaś dnia takiego nie ma oznaczonego, w dniu

(*) Co do wexli jarmarcznych lipskich prawo saskie z d. 25 kwietnia 1849 r. stanowi § 5. „Termin wexli płatnych na jarmarki lipskie Wielkanocny i święto-Michalski, przypada we czwartek po wydzwonieniu jarmarku; termin wexli płatnych na jarmark noworoczny przypada d. 12 stycznia, lub gdy dnia tego jest niedziela, w dniu następnym.

poprzedzającym prawne zakończenie jarmarku lub targu. Jeżeli jarmark lub targ trwa tylko dzień jeden, czas wypłaty wexlu w tym dniu przypada.

2. Wypłata.

Art. 36. Okaziciel wywodzi się z własności wexlu nieprzerwanym i aż do niego dochodzącym ciągiem indosów. Na pierwszym indosie zatem winien być z imienia podpisany biorący wexel; na każdym z następnych indosów, ten, którego bezpośrednio poprzedzający indos podaje za indosata. Jeżeli po indosie in blanco następuje dalszy indos, uważa się, że wystawca ostatniego indosu stał się nabywcą wexlu przez indos in blanco. Indosy wymazane uważają się przy sprawdzeniu wyvodu (legitymacji) za nieistniejące. Płacący nie jest obowiązany sprawdzać czyli indosy nie są sfałszowane.

Art. 37. Jeżeli wexel wystawiony jest na gatunek monety niebędącej w obiegu w miejscu wypłaty, lub na monetę liczalną, summa wexlem objęta może być wypłaconą w terminie według swjej wartości w monecie krajowej, chyba wystawca wyraźnie zastrzegł wypłatę w gatunku monety w wexlu wymienionej, przez użycie słowa: istotnie (effectiv) lub innego podobnego wyrażenia.

Art. 38. Okaziciel nie może odmawiać ofiarowanej mu upłaty częściowej, chociażby nawet przyjęcie nastąpiło na całą summę wexlem objętą.

§ 6. Co do wexli płatnych na jednym z lipskich jarmarków w oznaczonym tygodniu jarmarcznym i dniu tygodnia, wyrażenie w nich: w tygodniu pierwszym jarmarku, znaczy tydzień poprzedzający wydzwonienie jarmarku (Böttcherwoche); w tygodniu drugim, znaczy tydzień następujący po wydzwonieniu jarmarku czyli tydzień właściwy jarmarku; w tygodniu trzecim, znaczy tydzień wypłat, t. j. tydzień po oddzwonieniu jarmarku.

Jeżeli wexel płatny jest w tygodniu jarmarku bez bliższego oznaczenia, termin jego przypada w tygodniu między wydzwonieniem i oddzwonieniem jarmarku."

W Austrii, w krajach koronnych rządzących się kodexem cywilnym (§ 4 patentu z d. 25 stycznia 1850 r.): wexle wystawione na jarmark lub targ jednodniowy stają się w tym dniu płatne; wystawione na jarmark lub targ dwu do ośmiodniowy stają się płatne w dniu poprzedzającym prawne zakończenie jarmarku lub targu. Wexle wystawione na jarmarki lub targi dłużej nad dni ośm trwające, stają się płatne w dniu trzecim przed prawnym zakończeniem jarmarku.

W Węgrzech i krajach do nich dawniej należących (§ 7 część Isza ustawy węgierskiej) wexle ciągnięte na jarmark lub targ jednodniowy, w tym dniu są płatne; ciągnięte na jarmark lub targ dwu-do ośmiodniowy stają się płatne ostatniego dnia jarmarku; ciągnięte na jarmarki dłużej nad dni ośm trwające, stają się płatne we środę drugiego tygodnia.

Art. 39. Dłużnik wexlowy tylko za wydaniem mu zakwitowanego wexlu płaćć jest obowiązany. W razie częściowej upłaty może tylko żądać odpisania jój na wexlu i wydania mu kwitu na kopii.

Art. 40. Jeżeli wypłata wexlu nie jest na terminie żadaną, przyjmujący ma prawo po upływie czasu zakreślonego na założenie protestu niewypłaty, summę wexlem objętą na koszt i niebezpieczeństwo (ryzyko) okaziciela złożyć w sądzie, *albo innój władzy lub instytucyj umocowanych do przyjmowania na skład*. Niepotrzeba przytém zapożywać okaziciela.

Wyrazy złożone kursywą, wypuszczone są w teście austryackim.

VIII. Zwrotne poszukiwanie z powodu niewypłaty.

Art. 41. Dla wykonania zwrotnego poszukiwania na wystawcy i indossantach, dopuszczalnego w razie nieotrzymania wypłaty, potrzeba:

1. aby wexel był przedstawiony do wypłaty;
2. aby tak przedstawienie do wypłaty, jak i jój nieotrzymanie stwierdzoném było przez protokół w tym przedmiocie, w czasie właściwym sporządzony.

Założenie protestu dopuszczalném jest w dniu wypłaty; najpóźniej przecież nastąpić winno w drugim dniu powszednim po dniu wypłaty.

Art. 42. Zastrzeżenie niezakładania protestu (bez protestu, bez kosztów) uwalnia od protestu, lecz nie od przedstawienia w właściwym czasie. Do zobowiązanego wexlowo, który to zastrzeżenie uczynił, należy stawić dowód, jeżeli przedstawienia w czasie właściwym zaprzecza. Zastrzeżenie powyższe nie znosi obowiązku zwrócenia kosztów protestu.

Art. 43. Wexle umiejscowione należy przedstawić do wypłaty wskazanemu w umiejscowieniu; jeżeli nikt taki wskazany nie został, samemu wypłatnikowi w miejscu, na które wexel jest wystawiony, a w razie nieotrzymania wypłaty, należy w tém miejscu protest założyć. Niezałożenie na czas protestu u wskazanego w umiejscowieniu, pociąga za sobą utratę prawa poszukiwania nietylko na wystawcy i indossantach, lecz i na przyjmującym.

Art. 44. Dla zachowania prawa wexlowego przeciw przyjmującemu, niepotrzeba (z wyjątkiem przypadku wyluszczonego w art. 43) ani przedstawienia w dniu wypłaty, ani założenia protestu.

Art. 45. Okaziciel wexlu zaprotestowanego z powodu niewypłaty, obowiązany jest w ciągu dwóch dni od dnia założenia protestu, zawiadomić na piśmie bezpośredniego swego poprzednika o niewypłaceniu wexlu, ku czemu dostateczném jest oddanie w ciągu tego czasu pisma zawiadamiającego na pocztę. W takim samym sposobie i w takim sa-

mym przeciągu czasu, liczyć się mającym od dnia odebranego zawiadomienia, każdy zawiadomiony poprzednik winien uwiadomić najbliższego swego poprzednika. Okaziciel lub indossat zaniedbujący zawiadomienia, lub stosujący je nie do bezpośredniego swego poprzednika, staje się przez to odpowiedzialnym wszystkim przeskoczonym poprzednikom za szkody z niezawiadomienia wynikłe. Sam zaś utracą prawo domagania się od nich procentów i kosztów, i tylko summy wexlem objętej żądać może.

Art. 46. Dopełnionego na czas piśmiennego zawiadomienia dostatecznym dowodem jest świadectwo pocztowe, że list od zawiadamiającego do zawiadomionego w dniu wymienionym na pocztę oddanym został, jeżeli się nie okaże, że list nadeszły był innéj osnowy. Dzień odbioru zawiadomienia na piśmie może być również zaświadczeniem pocztowém udowodniony.

Art. 47. Jeżeli który z indossantów zbył wexel bez oznaczenia miejsca, należy o niewypłacie zawiadomić jego poprzednika.

Art. 48. Każdy dłużnik wexlowy ma prawo, uiszczając summę wexlem objętą z procentami i kosztami, żądać od okaziciela wydania zakwitowanego wexlu i protestu niewypłaty.

Art. 49. Okaziciel wexlu zaprotestowanego z powodu niewypłaty może wytoczyć skargę wexlową przeciw wszystkim do wexlu obowiązany, przeciw niektórym z nich, lub jednemu, nie utracając przeto poszukiwania na tych, przeciw którym nie wystąpił. Nie jest obowiązany trzymać się kolei indosów.

Art. 50. Prawo zwrotnego poszukiwania służące okazicielowi, który z powodu niewypłaty założył protest, ogranicza się:

1. do summy wexlem objętej z procentem 6 od sta rocznie, licząc od dnia płatności.
2. do kosztów protestu i innych wykładów.
3. do prowizyi $\frac{1}{3}$ od sta.

Powyższe opłaty będą uiszczone, jeżeli zwrotnie obowiązany mieszka nie w miejscu wypłaty, podług kursu wexli płatnych za okazaniem, ciągnionych z miejsca wypłaty na miejsce zamieszkania zwrotnie obowiązane. Jeżeli w miejscu wypłaty nie ma kursu wexlowego na miejsce zamieszkania, służy za zasadę kurs placu najbliższego zamieszkania zwrotnie obowiązane: kurs winien być w razie żądania zwrotnie obowiązane stwierdzony albo cedułą sporządzoną pod powagą urzędową, albo świadectwem przysięgłego meklera (stręczyciela) (17), albo w niedostatku obu tych środków, poświadczeniem dwóch kupców.

Art. 51. Indossant, który wexel wypłacił, lub w wypłacie otrzymał (18), ma prawo żądać od wcześniejszego indossanta lub od wystawcy:

1. wypłaconej przez siebie lub w wypłacie otrzymanej summy, z procentem 6% rocznie licząc od dnia wypłaty;
2. kosztów ztąd dlań wynikłych;
3. prowizyi $\frac{1}{3}$ od sta.

Powyższe opłaty będą uiszczone, jeżeli zwrotnie obowiązany mieszka gdzieindziej niż zwrotnie poszukujący, podług kursu wexli płatnych za okazaniem, ciągnionych z miejsca zamieszkania zwrotnie poszukującego na miejsce zamieszkania zwrotnie obowiązanego. Jeżeli w miejscu zamieszkania zwrotnie poszukującego nie ma kursu wexlowego na miejsce zamieszkania zwrotnie obowiązanego, służy za zasadę kurs placu najbliższego zamieszkania zwrotnie obowiązanego. Do poświadczenia kursu stosuje się przepis art. 50.

Art. 52. Przepisy art. 50 i 51 (pod liczbami 1 — 3) nie wyłączają, w razie zwrotnego poszukiwania na miejsce zagraniczne, użycia wyższych, tam dopuszczalnych zasad obliczenia.

Art. 53. Zwrotnie poszukujący może ciągnąć na zwrotnie obowiązanego wexel zwrotny (19) do wysokości należności swojej, do której w takim razie dodaje się wynagrodzenie meklera za nastręczenie (20) wexlu zwrotnego tudzież opłaty stępla. Wexel zwrotny wystawiony będzie bezpośrednio (a drittura) i z terminem za okazaniem.

Art. 54. Zwrotnie obowiązany, tylko za wydaniem mu wexlu, protestu i pokwitowanego rachunku zwrotnej wymiany (21), wypłatę uścić winien.

Art. 55. Indossant, który zaspokoił jednego z następców swoich, może wymazać ich i własny swój indos.

IX. Wyręczenie (22).

1. Przyjęcie przez wyręczenie.

56. Jeżeli na wexlu zaprostestowanym z powodu nieprzyjęcia, zamieszczony jest do miejsca wypłaty adres na wypadek (23), należy przyjęcia domagać się od adreśmentów na wypadek, zanim żądać będzie można wystawienia bezpieczeństwa. Pomiędzy kilku adreśmentami na wypadek, pierwszeństwo temu się należy, przez którego skuteczniona wypłata największą liczbę zobowiązanych uwalnia.

Art. 57. Okaziciel nie jest obowiązany dopuszczać przyjęcia przez wyręczenie przez osobę niewskazaną na wexlu w adresie na wypadek.

Art. 58. Przyjmujący przez wyręczenie za zwrotem kosztów będzie miał sobie wydany protest nieprzyjęcia; w dodatku do tegoż da uczynić

wzmiankę o przyjęciu przez wyřęczenie. Prześle ten protest wyřęczonemu, zawiadomi go przytém o nastąpióném wyřęczeniu i odda zawiadomienie wraz z protestem na pocztę wciągu dni dwóch po dniu założenia protestu, pod odpowiedzialnością za szkody z zaniedbania tego wynikłe.

Art. 59. Jeżeli przyjmujący przez wyřęczenie nie zrobił w swoim przyjęciu wzmianki kogo przez nie wyřęczyć zamierza, za wyřęzonego uważa się wystawca.

Art. 60. Przyjmujący przez wyřęczenie staje się przez przyjęcie wexlowo zobowiązany względem wszystkich następców wyřęzonego. Zobowiązanie to ustaje, jeżeli wexel przyjmującemu przez wyřęczenie nie będzie do wypłaty przedstawionym najpóźniej w drugim dniu powszednim po dniu wypłaty.

Art. 61. Jeżeli wexel zostanie przyjęty przez adresenta na wypadek lub innego wyřęzyciela, okaziciel i następcy wyřęzonego nie mogą zwrotnie poszukiwać zabezpieczenia. To zwrotne poszukiwanie służy przeciw wyřęzonemu i jego poprzednikom.

2. *Wypłata przez wyřęczenie.*

Art. 62. Jeżeli na wexlu przez wypłatnika nieuiszczonym lub kopii tegoż zamieszczone są adresy na wypadek, lub przyjęcie przez wyřęczenie, z oznaczeniem tegoż co w wexlu miejsca wypłaty, okaziciel winien przedstawić wexel do wypłaty, najpóźniej w drugim dniu powszednim po dniu wypłaty wszystkim adresentom na wypadek i przyjmującemu przez wyřęczenie i skutek stwierdzić w proteście niewypłaty lub dodatku do tegoż. Gdy tego zaniedba, traci zwrotne poszukiwanie na dającym adres lub wyřęczonym i ich następcach. Okaziciel odmawiający przyjęcia wypłaty ofiarowanej mu przez innego wyřęzyciela, traci zwrotne poszukiwanie na następcach wyřęzonego.

Art. 63. Wexel i protest niewypłaty będą oddane za zwrotem kosztów płacącemu przez wyřęczenie. W skutek wypłaty przez wyřęczenie wchodzi on w prawa okaziciela (art. 50 i 52).

Art. 64. Pomiedzy kilku oświadczającymi gotowość wypłaty przez wyřęczenie, pierwszeństwo temu należy, przez którego uskuteczniła wypłata największą liczbę zobowiązanych uwalnia. Wyřęzyciel płacący, pomimo że z wexlu lub protestu mógł wiedzieć iż kto inny pierwszeństwo przed nim mający wexel wypłacić jest gotów, nie ma zwrotnego poszukiwania na indossantach, którzy byliby zostali uwolnionemi w skutek uiszczenia wypłaty przez tego innego.

Art. 65. Przyjmujący przez wyłączenie, który do wypłaty nie dojdzie z powodu skutecznienia jej przez wypłatnika lub innego wyręczyciela ma prawo żądać od płażącego prowizyi $\frac{1}{3}$ od sta.

X. *Wielopismo wexlu (24)*!

1. Wtóröpisy (duplikaty) wexlowe.

Art. 66. Wystawca wexlu ciągnionego obowiązany jest wydać okazielowi na jego żądanie kilka jednobrzmiących exemplarzy wexlu, które w osnowie swój winny mieć nazwanie piérwszy, drugi, trzeci (prima, secunda, tertia) i t. d. W przeciwnym razie każdy exemplarz będzie uważany za osobny wexel (sola wexel).

Indossat może również żądać duplikatu wexlu. W tym celu zgłosi się do bezpośredniego swego poprzednika, który znowu swego poprzednika pociągnie, aż żądanie dojdzie do wystawcy. Indossat może żądać od swego poprzednika, ażeby wcześniejsze indosy powtórzone zostały na duplikacie.

Art. 67. Jeżeli z kilku sporządzonych exemplarzy jeden został wypłaconym, inne tém samém tracą moc swoją. Wszakże odpowiedzialni są z innych exemplarzy:

1. Indossant który mając kilka exemplarzy tego samego wexlu indossował je na różne osoby, i wszyscy późniejsi indossanci których podpisy zamieszczone są na exemplarzach niezwróconych przy wypłacie, w moc swoich indosów;
2. przyjmujący który przyjął na kilku exemplarzach tego samego wexlu, w moc przyjęć na exemplarzach niezwróconych przy wypłacie.

Art. 68. Kto posłał do przyjęcia jeden z kilku exemplarzy wexlu, winien na reszcie exemplarzy uczynić wzmiankę u kogo znajduje się exemplarz do przyjęcia przesłany. Nieuczynienie téj wzmianki nie odejmuje przecież wexlowi mocy wexlowej. Zachowujący u siebie exemplarz przesłany do przyjęcia, zostaje w obowiązku wydania go temu, kto prawo swoje do odebrania jako indossat lub w inny sposób wywiedzie.

Art. 69. Okaziciel wtóröpisu na którym jest zapisane u kogo znajduje się exemplarz przesłany do przyjęcia, nie może zwrotnie poszukiwać zabezpieczenia w razie nieprzyjęcia, a wypłaty w razie niewypłacenia, aż gdy protestem stwierdzi:

1. że exemplarz przesłany do przyjęcia nie został mu wydanym przez tego u kogo był w zachowaniu;
2. że nie można było otrzymać przyjęcia lub wypłaty na wtóröpis;

2. Kopie wexlu.

Art. 70. Kopje wexlu zawierać będą odpis wexlu i zamieszczonych za nim indosów i zastrzeżeń, i będą opatrzone wzmianką „aż dotąd odpis” lub inną podobnego znaczenia. W kopii należy wymienić u kogo się znajduje przesłany do przyjęcia pierwopis (oryginał) wexlu. Nieuczynienie téj wzmianki nie odejmuje przecież kopii indossowanój mocy wexlowój.

Art. 71. Piérwotny (oryginalny) indos zamieszczony na kopii obowiązuje indossanta tak jak gdyby stał na pierwopisie wexlu.

Art. 72. Zachowujący u siebie pierwopis wexlu zostaje w obowiązku wydania go okazicielowi kopii opatrzonój jednym lub więcéj indosami pierwotnymi, o ile tenże prawa swoje do odebrania, jako indossat lub w inny sposób wywiedzie. Jeżeli pierwopisu wexlu zachowujący go u siebie nie wyda, okaziciel kopii może na indossantach, których pierwotne indosy znajdują się na kopii, zwrotnie poszukiwać zabezpieczenia dopiero po sporządzeniu wzmiankowanego w art. 69 protestu, wypłaty zaś, dopiero po dniu płatności wymienionym na kopii.

XI. *Wexle zatracone* (25).

Art. 73. Właściciel wexlu zatraconego żądać może umorzenia go od sądu miejsca wypłaty. Po rozwinięciu postępowania w przedmiocie umorzenia żądać może wypłaty od przyjmującego, dając zabezpieczenie aż do umorzenia wexlu. Jeżeli takiego bezpieczeństwa nie daje, mocen jest tylko żądać złożenia summy z przyjęcia dłużnej w sądzie lub inszój władzy albo instytucyi upoważnionój do przyjmowania na skład.

Art. 75 w texcie austryackim brzmi jak następuje:

„Właściciel wexlu zatraconego żądać może umorzenia go od sądu miejsca wypłaty. Sąd do którego żądanie umorzenia wexlu wniesioném zostanie, wezwie przez obwieszczenie okaziciela aby mu wexel złożył, zakreślając na to czas 45dniowy i oznaczając bieg tego czasu, jeżeli wexel nie stał się jeszcze płatnym, od piérwszego dnia po dniu płatności.

„Po rozwinięciu postępowania w przedmiocie umorzenia, i gdy wexel stał się już płatnym, właściciel żądać może wypłaty od przyjmującego, dając zabezpieczenie aż do umorzenia wexlu. Jeżeli takiego bezpieczeństwa nie daje, mocen jest tylko żądać złożenia summy z przyjęcia dłużnej w sądzie”.

Art. 74. Kto wywiedzie, podług rozporządzeń art. 36, prawo swoje do posiadania wexlu, wtedy tylko może być do wydania go zobowią-

zanym, gdy nabył wexel w złej wierze lub przy tém nabyciu grubego dopuścił się niedbalstwa.

XII. *Wexle fałszywe (26).*

Art. 75. Przyjęcie i indosy prawdziwe zachowują skutek wexlowy, nawet wtenczas, gdy podpis wystawcy jest podrobiony lub sfalszowany.

Art. 76. Wszyscy indossanci i wystawca których podpisy są prawdziwe, zobowiązani są według prawa wexlowego do wexlu opatrzonego podrobioném lub sfalszowaném przyjęciem lub indosem.

XIII. *Przedawnienie wexlowe.*

Art. 77. Prawo poszukiwania wexlowego (26) na przyjmującym przedawnia się w lat trzy od terminu wexlu.

Art. 78. Prawo okaziciela poszukiwania zwrotnie na wystawcy i innych poprzednikach (art. 50) przedawnia się:

1. we trzy miesiące, jeżeli wexel był płatny w Europie, z wyjątkiem Islandyi i wysp Faröer;
2. w sześć miesięcy, jeżeli wexel był płatny w krajach Azji, Afryki, na północnym wybrzeżu mórz Śródziemnego i Czarnego, lub na wyspach tych mórz do owych krajów należących;
3. w ośmnaście miesięcy, jeżeli wexel był płatny w innym kraju zaeuropejskim lub w Islandyi, albo na wyspach Faröer.

Przedawnienie rozpoczyna się przeciw okazicielowi z dniem założenia protestu.

Art. 79. Prawo indossanta (art. 51), poszukiwania zwrotnie na wystawcy i innych poprzednikach przedawnia się;

1. we trzy miesiące jeżeli zwrotnie poszukujący mieszka w Europie z wyjątkiem Islandyi i wysp Faröer.
2. w sześć miesięcy, jeżeli zwrotnie poszukujący mieszka w krajach Azji i Afryki, na północnym wybrzeżach mórz Śródziemnego i Czarnego, lub na wyspach tych mórz do owych krajów należących.
3. w ośmnaście miesięcy, jeżeli zwrotnie poszukujący mieszka w innym kraju zaeuropejskim, lub w Islandyi, albo na wyspach Faröer.

Czas przedawnienia upływa przeciw indossantowi, jeżeli wypłacił nim skarga z wexlu przeciw niemu wytoczona została, od dnia wypłaty; we wszystkich innych przypadkach, od dnia doręczenia mu skargi albo zapozwu.

Art. 80. Przedawnienie (art. 77 do 79) przerwaniem zostaje tylko przez doręczenie powództwa, i tylko względem tego, przeciw komu powództwo wytoczonym zostało. Zapowiedzenie sporu przez zapozwanego zastępuje w tym względzie wydanie powództwa.

XIV. *Powództwo (27) wierzyciela wexłowego.*

Art. 81. Obowiązek wexłowy ciąży wystawcę, przyjmującego i indossanta wexłu, jak niemniej każdego, który wspólnie z drugimi na wexlu, przyjęciu lub indosie podpisał się, chociażby nawet nazwał się tylko poręczycielem (per aval). Obowiązek tych osób rozciąga się do wszystkiego czego okaziciel ma prawo żądać z powodu niewypełnienia zobowiązania wexłowego. Okaziciel może co do całego swego żądania trzymać się każdego z nich pojedynczo; od jego wyboru zależy, na kim z obowiązanych do wexłu zechce naprzód praw swoich poszukiwać.

Art. 82. Dłużnik wexłowy takie tylko excepcye (28) przywołać może, jakie, lub z samego prawa wexłowego są czerpane, lub służą mu bezpośrednio przeciw każdorazowemu powodowi (*).

Art. 83. Jeżeli zobowiązanie wexłowe wystawcy lub przyjmującego upadło, bądź w skutek przedawnienia, bądź z powodu niedopełnienia czynności prawem przepisanych dla zachowania prawa wexłowego, zostają oni w obowiązku względem okaziciela o tyle tylko, o ileby się z jego szkodą zubożyci. Poszukiwanie takie nie służy na indossantach, których wexłowy obowiązek ustał.

(*) Artykuł ten ma swoje źródło w przepisach Landrechtu pruskiego części IIgięj tyt. 8 § 916 i 927. Z mocy powołanych przepisów dopuszczalne były w Prusach tylko excepcye czerpane w prawie wexłowym i *sarazem* służące przeciw każdorazowemu powodowi. W projekcie pruskim ustawy wexłowej, chciano, jak się to z motywów okazuje, powtórzyć tylko ten przepis Landrechtu; w rzeczy samej przecie powiedziano co innego, rozłączając dwa warunki których zbiegu wymagał Landrecht do dopuszczalności excepcyj przeciwko wypłacie wexłu. Ustawa wexłowa przyjęła w tym punkcie bez zmiany projekt pruski, a tak zakres dopuszczalnych excepcyj znacznie rozszerzonym został. Z narad konferencyi lipskiej okazuje się przecie, że excepcye nawet co do treści swęj dopuszczalne, o tyle tylko wnoszone być mogą, o ile poparte są gotowemi środkami dowodu (liquide Beweismittel). Patrz o tem Borchardta rozprawę w *Archiv für das deutsche Wechselrecht* zeszyt 2gi, str. 194.

Do tego artykułu odnosi się § 7 prawa pruskiego z d. 15 lutego 1850 r. brzmiący tak: „W częściach kraju rządzących się ordynacją sądową, w sprawach wexłowych excepcye z treści swęj dopuszczalne o tyle tylko uwzględnione być mogą, o ile przez dokumenta, deferowaną przysięgę

XV. *Prawodawstwo zagraniczne.*

Art. 84. Zdolność cudzoziemca do zaciągania zobowiązań wexlowych ocenia się według praw państwa, do którego cudzoziemiec należy. Wszakże cudzoziemiec niezdolny według praw swego kraju do działań wexlowych, staje się zobowiązanym przez zaciągnięcie w kraju tutejszym zobowiązania wexlowego, o ile według praw tutejszo-krajowych zdolność do działań wexlowych posiada.

Art. 85. Istotne formy, bądź wexlu, bądź każdego innego oświadczenia wexlowego wystawionych za granicą, oceniają się podług praw miejsca, w którym oświadczenie nastąpiło. Jeżeli wszakże oświadczenia wexlowe, dane za granicą, czynią zadość wymaganiom prawa tutejszo-krajowego; okoliczność, że oświadczenia te według praw zagranicznych są niedostateczne, nie może być ze skutkiem przywiedzona przeciwko ważności prawnej oświadczeń w kraju tutejszym [później na wexlu uczynionych. Również oświadczenia wexlowe, któremi krajowiec zobowiązuje się względem krajowca za granicą, mają moc wexlową, chociażby odpowiadały wymaganiom tylko krajowego prawodawstwa.

Art. 86. Co do formy czynności potrzebnych dla wykonania lub zachowania prawa wexlowego na placu zagranicznym, rozstrzyga prawo tam obowiązujące.

XVI. *Protest.*

Art. 87. Protest ma być sporządzony przez notaryusza lub urzędnika sądowego. Przybieranie świadków lub protokulisty (pióro trzymającego) nie jest przytém potrzebném.

Art. 88. Protest zewiierać ma:

1. dosłowny odpis wexlu lub kopii ze wszystkimi zamieszczonemi na nich indosami i zastrzeżeniami;

lub zeznania świadków znajdujących się w miejscu są udowodnione. Protokuly zeznań przyjętych w obcém miejscu od świadków, chociażby nawet na terminie złożone zostały, o tyle tylko są ważne, o ile sporządzone zostały z przyzwaniem strony przeciwnej lub osoby od niej do tego umocowanej."

W znacznej części Niemiec (np. w Saxonii) przysięga nie należy do gotowych środków dowodu.

W Austrii § 3 rozporządzenia Minist. Sprawiedliwości dla Węgier i t. d. z d. 25 stycznia 1850 r, stanowi: „Potrącenie (kompensacya) wzajemnych należności w procesie wexlowym jest dopuszczalne wtedy tylko, jeżeli dłużnik wexlowy stawia do potrącenia należność, której termin przypadł, prawomocnie mu zasądzoną lub przez układ sądownie zawarty przyznaną, i bezpośrednio od powoda dłużną.

2. imię lub firmę osób na rzecz których, i przeciw którym protest założony zostaje;
3. wezwanie uczynione do osoby, przeciw której protest się zakłada, i jej odpowiedź lub wzmiankę że żadnej nie dała, lub że jej zastać nie było można.
4. wskazanie miejsca, tudzież dnia kalendarzowego, miesiąca i roku, w których wezwanie (n. 3) uczynioném zostało lub uczynić je bezskutecznie usiłowano.
5. w przypadku przyjęcia lub wypłaty przez wyłączenie, wzmiankę przez kogo, za kogo i w jaki sposób zostały ofiarowane i dopełnione.
6. podpis notaryusza lub urzędnika sądowego, który sporządził protest, przy wyciśnięciu urzędowej pieczęci.

Art. 89. Do wszystkich wezwań czynionych w razie, gdy dopełnienie obowiązku wexlowego ma być od kilku osób wymaganém, jeden akt protestu jest dostateczny.

Art. 90. Notaryusz i urzędnicy sądowi obowiązani są sporządzone przez siebie protesta wciągać w całej ich osnowie każdodziennie, i w porządku daty, do osobnego rejestru opatrzonego liczbą bieżącą od strony do strony (*).

XVII. *Czas i miejsce przedstawienia i innych w rzeczy wexlowej zachodzących czynności.*

Art. 91. Przedstawienie do przyjęcia lub wypłaty, założenie protestu, zażądanie wtóropisu wexlowego, i wszelkie inne akta mające być przedsiębraniami u oznaczonej osoby, będą sporządzone w jej pomieszkaniu do interesów (29), a w niedostatku tego, w jej mieszkaniu. W innym miejscu, np. na giełdzie, może to nastąpić tylko za obustronném zezwoleniem. Nie możność wynalezienia pomieszkania do interesów lub mieszkania wtenczas dopięro uważa się za udowodnioną, gdy zapytanie

(*) W Prusach, w części kraju rządzącej się Kodexem Postępowania sądowego francuzkim, upoważniono komorników sądowych do sporządzania protestów. Protest sporządzanym być może w czasie od godziny 9tej z rana do 6tej wieczorem; wcześnlj lub późnlj tylko za zezwoleniem zaprotestowanego (§ 3 i 4 prawa z d. 15 lutego 1850 r.). W królestwie Sakskim czas w którym protesta sporządzać wolno, również trwa od godziny 9tej do 6tej (prawo przechodnie § 8).

o to policyi miejscowej przez notaryusza lub urzędnika sądowego pozostało bez skutku, o czém wzmianka ma być uczynioną w proteście.

Art. 92. Jeżeli termin wexlu przypada na niedzielę lub święto ogólne, dniem wypłaty jest najbliższy dzień powszedni. Tylko w dniu powszednim można domagać się wydania wtóropisu, oświadczenia względem przyjęcia i wszelkich innych czynności.

Jeżeliby dzień, w którym skutecznienia której z tych czynności najpóźniej domagać się należało, przypadał na niedzielę lub święto ogólne, należy żądać załatwienia w najbliższym dniu powszednim. To samo rozporządzenie stosuje się i do założenia protestu.

Art. 93. Jeżeli na placu wexlowym istnieją dnie ogólnej rozpłaty (30), wypłata wexlu, który nie jest płatny za okazaniem, i którego termin przypada pomiędzy dniami rozpłaty, może być odłożona do najbliższego dnia rozpłaty. Wszakże czas określony w art. 41 na sporządzenie protestu niewypłaty nie może być przekroczonym (*).

XVIII. *Podpisy niedostateczne.*

Art. 94. Oświadczenia wexlowe zamiast podpisu krzyżami lub inaczej podznaczone (31), mają moc wexlową tylko w razie uwierzytelnienia podznaczeń sądownie lub notaryalnie.

Art. 95. Kto nie mając do tego pełnomocnictwa, podpisuje się na oświadczeniu wexlowém jako pełnomocnik drugiego, odpowiada osobiście, tak samo, jakby odpowiadał mniemany mocodawca (32), gdyby pełnomocnictwo był udzielił. To samo stosuje się do opiekunów i innych wyobrazicieli wystawiających wexlowe oświadczenia z przekroczeniem swój władzy.

ROZDZIAŁ TRZECI.

O wexlach własnych (33).

Art. 96. Do istotnych form własnego (suchego) wexlu należą:

1. Zamieszczenie w samymże wexlu nazwy „wexel” lub wyrażenia nazwie téj odpowiedniego w obcym języku, jeżeli wexel w takim języku jest wystawiony.

(*) Z praw przechodnich ustawę wexlową wprowadzających do pojedynczych państw niemieckich, o dniach rozpłaty mówi jedynie prawo bawarskie, oznaczając je dla Augsburga na poniedziałek i czwartek, a znosząc w reszcie kraju.

2. Wymienienie summy mającej być wypłaconą.
3. Imię osoby lub firma, której, lub na zlecenie której wystawca obowiązuje się wypłacić.
4. Czas, w którym wypłata nastąpić ma (art. 4 n. 4).
5. Podpis wystawcy z imienia lub firmy.
6. Miejsce, dzień, miesiąc i rok wystawienia.

Art. 97. Jeżeli w wexlu własnym osobne miejsce wypłaty wskazanem nie zostało, miejsce wystawienia uważanem będzie za miejsce, tak wypłaty: jak i zamieszkania.

Art. 98. Następujące zawarte w ustawie niniejszej przepisy o wexlach ciągnionych stosują się i do wexli własnych:

1. Artykuły: 5 i 7 o formie wexlu;
2. Art. 9 do 17 o indosie;
3. Art. 19 i 20 o przedstawieniu wexlu wystawionego na czas po okazaniu, z tą odmianą, że wexel własny przedstawić należy wystawcy;
4. Art. 29 o zwrotném poszukiwaniu zabezpieczenia, z tą odmianą, że poszukiwanie to służy w przypadku niepewnej wypłatności wystawcy;
5. Art. 30 do 40 o wypłacie i możności złożenia summy wexlem objętej, i już płatnej z tą odmianą, że złożenia dopełnić może wystawca;
6. Art. 41 i 42 tudzież 45 do 55 o zwrotném poszukiwaniu na indossantach z powodu niewypłaty;
7. Art. 62 do 65 o wypłacie przez wyręczenie;
8. Art. 70 do 72 o kopiach;
9. Art. 73 do 76 o wexlach zatraconych i fałszywych, z tą odmianą, że w przypadku art. 73 wypłaty winien dopełnić wystawca;
10. Art. 78 do 96 o ogólnych zasadach przedawnienia wexlowego; o przedawnieniu prawa zwrotnego poszukiwania na indossantach, o powództwie wierzyciela wexlowego, o zagraniczném prawodawstwie wexlowém, o proteście, o miejscu i czasie przedstawienia i innych w rzeczy wexlowej zachodzących czynności, tudzież o podpisach niedostatecznych.

Art. 99. Własne wexle umiejscowione przedstawione będą do wypłaty wskazanemu w umiejscowieniu, lub gdy nikt taki wskazanym nie został, będą przedstawione samemu wystawcy w miejscu umiejscowienia i tam winny być zaprotestowane w razie niewypłaty. Jeżeli założenie

protestu, u wskazanego w umiejscowieniu na czas dopełnione nie zostało, traci się poszukiwanie wexlowe na wystawcy i indossantach.

Art. 100. Poszukiwanie wexlowe na wystawcy własnego wexlu, przedawnia się we trzy lata od terminu wexlu (*).

(*) Ustawa wexlowa nie wspomina o innych niż wexle papierach kredytowych w handlu znanych, jakoto assygnacyach i t. d.; w tym przedmiocie prawodawstwo państw pojedynczych niemieckich uzupełnia ustawę.

W wielu z tych krajów, jednocześnie z wprowadzeniem ustawy wexlowej zajęto się urządzeniem procesu wexlowego. Z ważniejszych w tym przedmiocie przepisów przywieziemy tutaj, w że Prusach i Saxonii wolno jest dłużnika wexlowego na osobie i majątku jednocześnie exekwować, co w Austrii, według rozporządzeń Minist. Sprawiedliwości z d. 25 stycznia 1850 r. (§ 18 rozporządzenia dla krajów rządzących się kodexem austriackim, a § 4 dla Węgier i t. d.) nie jest dozwoloném.

PRZYPISY (*).

(1) Wechselfähigkeit, zdolność do działań wexlowych; Wechselfähig, zdolny do działań wexlowych. Konst. 1775 ma: zdolny dawania wexlów. Lr. zdolność wexlowa. A. uzdolnienie do wexlów, zdolny do wexlów.

(2) Wechselarrest, przymus osobisty. Wyrażenie u nas razem z francuzkiem prawem upowszechnione (po francuzku: contrainte par corps). Konst. 1775 ma areszt na osobę. Lr. areszt osobisty. A. areszt wexlowy.

(3) Forma wexlu, Erfordernisse eines Wechsels. A. ma *wymogi* wexlu. Zastosowałem się do terminologii kodexu handlowego francuzkiego i konstytucyi z r. 1775, a nawet do wyrażenia ustawy niemieckiej, która powołując w art. 98 przepisy artykułów 5—7, nazywa je przepisami o formie wexlu.

(4) Co do wyrażen technicznych w artykule tym użytych, następujące nastroczają się uwagi:

Wyraz wexel obcy, lecz dawno przyswojony, z trudnością dałby się swojskim zastąpić. Za polskie nazwanie właściwe uważałbym „list wymienny.” Na wzór ustawy i stosownie do istniejącej praktyki, tudzież Lr. i A. używam, bez różnicy „wexel ciągniony” i „wexel” na oznaczenie wexlu trasowanego. Ten ostatni wyraz ma M.—R. i Z. mają wexel bez dodatku.—S. uważając takie nazwanie za najwłaściwsze, stosuje się do praktyki i używa wexel ciągniony. H. wexel obiegowy.

Wechsel aussteller oddają przez wystawcę wexlu jak R. S. Z.—Konst. 1775 ma dający wexel. Lr. wexłodawca, wystawiciel. A. wystawiciel. H. trasant; tenże autor mówi wypuszczać wexel, zamiast wystawić wexel.

Remittent, biorący wexel. Tak ma H.—Konst. 1775 ten, komu służy wexel. Lr. nabywca, odbierający. A. Remittent.

Trasat, wypłatnik. Możliwość powiedzieć wystawnik. Konst. 1775 ma trasat, trasowany, akceptant. Lr. trassat, płacić mający. M. płatnik. H. trasat. R. i S., ten na którego wexel był wystawiony. Z. wystawiony. A. trassat, ciągniony.

Odważając się na użycie wyrazów złożonych, możnaby powiedzieć: Wexłodawca, wexlobierca, wexlopłatec, wexlozbywca (indossant) wexlonabywca (indossat) wexlodzierzca (okaziciel).

An dle Ordre, na zlecenie. Tak mają H. S. Z.—Konst. 1775 i A. za zleceniem. Lr. za rozkazem, R. na wezwaniu.

(*) Dla skrócenia przywodzę: Przekłady kodexu handlowego francuzkiego, Majewskiego (r. 1808) przez M.; Rzezińskiego (1845) przez R.; Heylmana (1847) przez H.; Szymanowskiego (1847) przez S.; przekład Landrechtu pruskiego (według wydania poznańskiego z r. 1826) przez Lr.; konstytucye polskie z lat 1775, 1778 i 1780 przez Konst. z dodaniem cyfry roku. Dzieło profesora Zubelewicza p. t. Rachunkowość handlowa w ważniejszych jej zastosowaniach. Warszawa. 1846 przez Z. i nakoniec Przekład austriacki ustawy wexlowej przez A.

Anf Sicht, za okazaniem. Tak mają H. Z. A.—R. i S. na okazaie. Konst. 1775 i Lr. za pokazaniem, za obaczeniem.

(5) Indossament, indos. Tak ma H. oparty na zwyczaju handlowym warszawskim. Konst. 1775 i A. mają indossament. Ostrowski w Inwentarzu str. 316, przelewek. Lr. indossament, zlewek. M. przeniesienie. R. indossacya.

(6) Allonge, dodatek. Tak ma Z.—Lr. karta przylepiona. A. kartka przyłączona.

(7) Inhaber, Inhaber eines Wechsels, okaziciel. Konst. 1778 ma ukazyiel, późniejszy okaziciel. A. posiadacz wexlu.

(8) Gewährleistung, odpowiedzialność. Tak ma H. (patrz jego przypisek na str. 35), R. rękojmia. A. bez gwarancyi, bez obligu.

(9) Regress, zwrotne poszukiwanie. Regress nehmen, zwrotnie poszukiwać. R. i S. mają, wykonywać skargę o rękojmią. H. poszukiwać odpowiedzialności. A. żądać regresu. Zgodnie z tém tłumaczą regresnehmer, zwrotnie poszukujący, Regresspflichtige, zwrotnie obowiązany.

(10) Protesterhebung, założenie protestu. Protestaufnahme, sporządzenie protestu. A. ma podniesienie protestu, zrobienie protestu. Mówię protest (zaprotestowanie) nieprzyjęcia, protest niewypłaty. Tak ma H.—S. i A. mają protest z powodu nieprzyjęcia lub niewypłaty, Z. protest z braku akceptacyi lub z braku wypłaty. R. protest względem nienastąpionego przyjęcia lub niezapłacenia.

(11) Vormann, poprzednik, Nachmann, następca. Tak ma A. Odpowiednie w kodexie francuzkim wyrażenie H. oddaje przez Cedent. R. przez ustępujący, S. przez wexlozbywca.

(12) Praesentationsfrist, czas na przedstawienie zakreślony. A. termin prezentacyi.

(13) Domicilwechsel, wexel umiejscowiony. A. wexel domicyliowany. W przykładach kodexu handlowego francuzkiego wexel tego rodzaju określony jest przez omówienie.

(14) Unsicherheit, niepewna wypłatność. A. ma niepewność.

(15) Verfallzeit. Wechsel wird fällig. Czas wypłaty (termin). Wexel staje się płatnym, M. upadek (termin) wexlu, wexel upada. A. termin zapadły, wexel zapada.

(16) Respittage, dni wględności. Lr. dni dyskrecyjne. A. dni respektowe.

(17) Mäkler, mekler. Lr. stręczarz. S. stręczyciel. A. meklerz.

(18) Als Rimesse erhalten, w wypłacie otrzymał. Z. oddaje rimesse przez remissa. A. przez rymessa.

(19) Rückwechsel (po francuzku retraite), wexel zwrotny. Tak ma A.—H., zwrotwexel. Z. wexel zwrotowy. R. i S. wexel powrotny. Wystawienie zwrotnego wexlu nazwalibyśmy zwrotném ciągnięciem, a tak wyrażenie prawa francuzkiego „le rechange s'opère par la retraite”, oddalibyśmy przez: zwrotna wymiana skuteczniejsza się przez zwrotne ciągnięcie.

(20) Negozierung des Rückwechsels, nastęczenie wexlu zwrotnego. A. negocyowanie.

(21) Retourrechnung, po francuzku compte de retour, rachunek zwrotnej wymiany. A. porachunek powrotny. H. rachunek powrotowy. Zwrotna wymiana odpowiada francuzkiemu rechange. A. Zmiana wexlu zaprotestowanego. S. kontrakt wexlowy powrotowy. R. ściągnięcie ilości wexlem za-

protestowanym objętej. Change oddalibyśmy przez wymiana, échange przez zamiana, changement przez zmiana.

(22) Intervention, wyręczenie. Tak ma H.—M. pośrednictwo, inni interwencya. Intervenient, wyręczyciel, honorat, wyręczony. A. honorat.—Ehrenannahme, przyjęcie przez wyręczenie, ma H.—M. przyjęcie honorowe, pośrednicze. A. przyjęcie honorowe. R. przyjęcie przez interwencyą. Podobnie Ehrenzahlung, wypłata przez wyręczenie.

(23) Nothadresse, adres na wypadek; (jeżeli o osobie mowa) Adressant na wypadek. A. adres potrzeby. Adressant, dający adres.

(24) Vervielfältigung eines Wechsels, wielopismo wexlu. A. rozmnożenie wexlu. Pod tym tytułem mowa jest o wtóropisach (duplikatach) i o kopiach. Wtóropisem, duplikatem nazywam nie tylko drugi, ale i trzeci exemplarz wexlu. Tak ma A i M., (który wyraz ten pisze: duplicata. R pisze powtórny, potrójny, poczwórny i t. d. wexel. H. duplikat, wexel potrójny i t. d.

(25) Abhanden gekommen Wechsel. Wexle zatracone. Wyrażenie to ma Z.; inni zgubione, zagubione. A. zaginione.

(26) Falsche Wexel, wexle fałszywe. Całkowite zmyślenie podpisu na wexlu nazywam *podrobieniem*, przekształcenie podpisu prawdziwego *sfalszowaniem*, (wyrażeń tych użył kodex kar dla król. Pol. art. 1201). Lr. za podrobiony, ma: zmyślony. A. fałszywy. Echt, prawdziwy. A. autentyczny.

(27) Der wechselfässige Anspruch, prawo poszukiwania wexlowego, A. prawo wexlowe.

(28) Klagerecht, powództwo, A. prawo zaskarżenia.

(29) Einreden, excepcye. A. odezwy przeciwne.

(30) Geschäftslocal, pomieszkanie do interesów. A. miejscowość sprawowania interesów.

(31) Kassirtage, Zahltage, dnie rozpłaty. A. dni wypłaty (dni kassowe).

(32) Mit Kreutzen vollzogen, podznaczone krzyżami. A. wykonane krzyżami.

(33) Angebliche Machtgeber, mniemany mocodawca. A. mocodawca podług podania mniemany.

(34) Eigene Wechsel, własne wexle. Konst. 1775 ma wexel własny, osobisty. M. wexel suchy czyli osobisty. Lr. wexel własny, cichy. R. bilet na wezwanie (z francuzkiego: billet à ordre) H. S. i Z. wexel suchy. Szymanowski przeniósłby jednak, jak oświadcza, nazwanie: „karta na zlecenie”. A. wexle własne.

Wexle te nazywały się w Niemczech suchemi; i nazwa ta w nawiasie w ustępie art. 96 przypomnianą została; odrzucono ją wszakże jako nieodpowiednią dzisiejszym stosunkom. Wexel znaczy tyle, co list wymienny. Wymiana była uważana za podstawę stosunku wexlowego, wexel przecież, którym sam wystawca do wypłaty się obowiązuje, nie zdawał się polegać na żadnej *rzeczywistej* wymianie, ale uważany był raczej za ukrytą pożyczkę na procent, dawniej zakazaną. Co zaś nie było rzeczywiste, nazywano w wiekach średnich *suchém*. (Mamy dotąd: sucha arenda, suche dni) i t. d. Ztąd nazwa change sec, cambium siccum, *sucha wymiana*; ztąd i suchy wexel. Obecnie pożyczka na procent jest dozwolona. Ustawa niemiecka przyznaje za ważne wexle ciągnięte w miejscu; pojęcia więc o suchej wymianie mogą mieć tylko historyczne znaczenie, a z nią upada i nazwa suchego wexlu.

KRONIKA LITERACKA.

Przekłady poetów polsko-łacińskich, tomik IIgi: Rymy łacińskie Jana Kochanowskiego, przekład Władysława Syrokomli. Wilno. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. 1851. 16ka. str. 180.

Parę już lat minęło, (bo jeszcze w 1848 r.), jak wyszły po raz pierwszy w przekładzie *Poemata Klemensa Janickiego*, i tych rozbiór ogłosił w roku zeszłym (1). Obecnie w inną zewnętrzną formę, lecz dosłownym przedruku, spotykamy się nie tylko ze znanym *Janickim*, ale nadto *Kochanowskim* i *Klonowiczem*, poetami znanymi ogółowi tylko z pism polskich, a małej liczbie wybranych i posiadających język łaciński, i miłujących te martwe, a jednak tak wymowne pod różnemi względami zabytki.

Nie będziemy powtarzać tego, cośmy już o *Janickim* powiedzieli; z nim jednak przystąpimy do rozpatrzenia się w obecnych przekładach, zrobimy kilka uwag na odpowiedź, jaką przeszły nasz rozbiór ze strony p. Syrokomli wywołał (2).

I tak, co do zarzutu o niewierność odwołuje się p. S. do tego, co w życiorysie *Sarbiewskiego* powiedział. Daruje nam szanowny tłumacz, ale nie znaleźliśmy podówczas tego życiorysu, a nawet znając go teraz, nie cofamy swego zdania, bo nie mieliśmy na względzie czy kto nazwie *Tethys* morzem, *Feba* słońcem i t. d. lub inaczej: boć to przecie nie jest niewierność tłumaczenia, i nam o co innego chodziło. Na zarzut niewyliczenia wszystkich wydań *Janickiego* odpowiada tłumacz, że: „szczegółowość bibliograficzna nie wchodziła do jego planu, tém bardziej, iż nie wszystkie utwory w tłumaczeniu podać zamierzył”. Z tej wychodząc zasady,

(1) Zob. Bibl. Warszaw. r. 1850. tom I, str. 365.

(2) Odpowiedź ta znajduje się w Tygod. Petersb. na r. 1850. Nr. 35.

być może, iż p. S. ma za sobą słuszość; lecz my sądziliśmy, że przy opisie życia Janickiego nie zawadziłaby i wiadomość bibliograficzna, bo równie mało znano jego życie, jak i dzieła które pozostawił.

Naostatek co do zarzutu o używaniu wyrażen staroświeckich, p. S. stanowczo oświadcza, że: *to jego grzech niepoprawiony*. Nie zrozumiał nas, jak sądzę, szanowny wydawca, bo nie mieliśmy na uwadze wyrażen, oddających całe myśli choć staremi, lecz czysto polskimi i zrozumieliśmy wyrazy, ale tylko mówiliśmy o nazwach herbu Rolitów i Rawitów. W heraldyce polskiej od najdawniejszych czasów istnieją tylko herby: Rola, Rawicz: rodziny używające tych herbów, przybierały od nich ogólne miano *Roliczów, Rawiczów*, jak tego liczne przykłady w urzędowych aktach dawnych napotykamy. Wyrażenie Rolita, Rawita, sąto poprostu na podstawie łacińskiej ukute wyrazy (*stirps et genus Rolitarum, Ravitarum*), które później dopiero w użycie weszły, lecz nie są tak dalece stare i polskie, iżby z ich przyczyny spór zawodzić, i w ich obronie stać warto było. Zresztą, jakkolwiek p. S. nie obiecuje poprawić się z grzechu, to nie wątpimy bynajmniej, iż nie zechce wprowadzać w życie wyrażen podobnych, jakie Brodziński w pismach swoich na wzór wystawił, bo dziś dla wielu byłoby to niezrozumiałem (1). Przynajmniej dotychczas nie napotykamy nic podobnego, i to może być rękojmią na przyszłość.

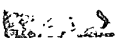
W końcu jeszcze jedno:

Zadaniem naszym nie jest pisanie panegiryku lub paszkwilu, bo jak jedno tak drugie nie odpowiada ani naszemu usposobieniu, ani chęci; i zastanawiając się poprzednio nad pracą p. S., oddaliśmy mu tylko zasłużoną sprawiedliwość, a nie hojne pochwały. Rzecz dobrze wykonana nie potrzebuje pochwał, tak jak niesłuszne przygany, wynikające z jakiegoś osobistego uprzedzenia, również nic nie szkodzą. Jeżeli wreszcie nasz rozbiór zawierał jakowe pochwały, to szanowny tłumacz niesłusznie przymawiał się o dalsze sprawozdania z jego przekładów, bo to niby

(1) Brodziński w pismach swoich wydanych w Wilnie, w tomie VIII na str. 129, takie przytacza przykłady przez Bohusza zestawione:

Rodzic w ojczyźnie na brata mojego spadłej nie dotrzymał roku, ponieważ napadł nań przymiot, którego osoba była pomieszanie umysłu.

Czyżby mę kto (mówi) zrozumiał? a przecież byłby to język Orzechowskiego i Górnickiego.—Albo np. w przypisie tamże:

 Jątraw moja, która jakmiarz zawsze z chochołem chadzała, czwarczyła się jednemu szybale. Gdy lepali tęgać jąta, przybrała sobie storzypiętę i t. d.

dziś niezrozumiałe, a nawet śmieszne, chociaż czysto po polsku.

jakby żądał podobnych pochwał; i bez tego mieliśmy zamiar zająć się tém w swoim czasie, co dopełniamy tém ochotniej, gdy w p. S. niepospolitego znajdujemy tłumacza.

Jan Kochanowski to nie Janicki. Janicki syn biednego kmiotka, bez żadnych w szlacheckiej rzeczypospolitej na przyszłość widoków, tylko w nauce widzący dla siebie zapewnienie dalszego bytu, wzniósł się wysoko, kierowany pałacem go uczuciem. Poeta w duszy, chciwy sławy, zachęcony pochwałami, sam się do tego przyznaje:

..... O jak to słodko
 Kiedy bywało chwalić kto zacznie!
 Lubiłem sławę, pragnąłem sławy,
 Badałem drogi, co do niej wiodą.

.....

Przygniatany ciągłymi przeciwnościami, na tęskną nutę stroi swoje lutnię i w rzewne rymy przelewa myśli swoje. Nareszcie boleść bierze górę. Natężona struna żywotnej siły pęka, i poeta nie doszedłszy nawet męskiego wieku, nie skosztowawszy słodyczy w nagrodzie za swe prace, żegna się z życiem, które na łasce panów, i obcy wśród swoich, pędził. To też w Janickim ciągnęła tęskność, a jeżeli nawet gdzie (w epigrammatach) uśmiech wywoła, to i ten jeszcze skrępowany sercem boleścią.

Kochanowski to typ przeciwny. Szlachcic z rodu, syn sędziego, dość zamożny, aby go matka o własnym koszcie na nauki za granicę wysłać mogła, również jak tamten pragnie nauk, i z korzyścią je sobie przyswaja. Za powrotem do kraju czeka go szczęście domowe i otwarte do popisów i wszelkich zamiarów pole. Ztąd inny charakter cechuje pisma jego; bo dusza poety nie doznawała cierpień upokorzenia od wyższych urodzeniem lub majątkiem. Wesołym też jest Kochanowski: dowcip jego lekki, niekiedy rubaszny, szczerze rozśmiesza, i tylko religijne przejęcie się przy tłumaczeniu psalmów Dawida, lub głęboka boleść po stracie córki Urszuli, wystawują nam go poważnym i tęsknym; bo nawet elegie, w których się na niepodzielną miłość żali, mają w sobie dowcipnie żartobliwą stronę. Utwory polskie Kochanowskiego, znane dziś powszechnie, nie potrzebują ocenienia; wszystko, coby o nich powiedzieć można, byłoby tylko powtórzeniem tego, co inni wyrzekli: najlepsza dla nich pochwała, że do dziś za wzór czystego pisania po polsku są uznane. Nie tak rzecz się ma z utworami łacińskimi; te po części w młodości pisane, gdy autor nie wyrobił jeszcze w sobie samodzielności, i często jako naśladowca starożytnych klasyków do nas się odzywa, mniej są znajome, bo też do rzadkości bibliograficznych prawie policzyć ich dziś można.

Jak w pismach polskich, a mianowicie *Fraszkach*, Kochanowski z całą szczerotą ducha maluje to, co czuł i myślał; tak podobnie i w łacińskich wieczorynkach (*Foricoenia*) zostawił część samego siebie. Pogoda duszy i prostota wyrażen; jakie tam znajdujemy, w doskonałej są harmonii z życiem bez troski, do którego zawsze Kochanowski wzdychał; a to lenistwo niejako, obojętność i stateczny opór w uchylaniu się od służby Rzeczypospolitej, aby tylko muzom się poświęcić, wybornie pasują do tego, co sam wyrzekł:

Ten pan zdaniem mojem,
Co przestał na swojóm.

Jednakowoż utwory łacińskie słabsze są od tych, które nam w polskim pozostawił języku. Czuł to może i sam poeta, gdy z mozołem kując miarowe wiersze, nie mógł popuścić cugli dla swego pióra, i również lekko i dźwięcznie do czytelnika przemówić; dowodem tego, piękne w treści, lecz ciężkie elegie, które tylko talenta równe niegdyś Brodzińskiemu lub dziś Syrokomli, tak strojnie w polską przyoblekły szatę. Choć nie obcym poecie był język starożytnych Rzymian, (bo jak wszyscy wiedzą, był on główną podstawą ówczesnego wykształcenia), to przecież niezawsze z równą łatwością mógł poeta martwy język do swych uczuć naginać. Nie dziw przeto, że go później porzucił, gdy zamiłowanie życia domowego i bezpiecznego, przed okazałemi błyskotkami dworu, na który go prawie gwałtem wciągnąć chciano, przemogło, i pod spokojną wiejską strzechą usadziło. Oddany domowemu w gronie obywateli pożyciu, pisał dla nich językiem rodzimym, a wrodzona iskra gieniuszu, przetarlszy sobie chropowatą i nieutartą drogę, buchnęła jasnym płomieniem, zaświeciła współczesnym, i została na zawsze pochodnią dla potomnych.

Brodziński tłumacząc elegie Kochanowskiego, *jedenaście* z nich, a nie dziesięć, jak sam w przedmowie do wydania z r. 1829 oświadczył, wypuścił, niektóre niezupełnie wiernie oddał, w czém żądał usprawiedliwienia od znających oryginał. Obecnie więc p. S. w tłumaczeniu swojóm opuszczone przez tamtego nam podaje. Są one prawie wszystkie treści miłosnej, i tak:

Elegia 1sza, u Kochan. 2ga księgi I, ma za treść historią Fedry i Hippolita, którą jednemu z swych przyjaciół nazwiskiem *Barses* (1) opowiadając, taką mu w końcu daje przestrożę:

Oto jak się okropnie pomściła macocha;
Kara godna każdego, co niewiast nie kocha.

(1) Może to Barzy, do którego polską fraszkę napisał.

Barses! nie droż się wielce, bo ucierpisz srodze,
Niech ci ta moja powieść służy ku przestrodze.

O zaletach wiersza w tłumaczeniu, tak téj, jako i następnych elegij Kochanowskiego, nie możemy nic powiedzieć, coby ujęcie dla sławy autora lub tłumacza przynieść mogło. Objawiliśmy wyżej nasze zdanie o śpiewaku z Czarnego-lasu; z wyrzeczeniem sądu o p. S. wstrzymamy się na koniec, a tu nie przerywając wątku ustawiczną pochwałą lub przy-mówką, przywoździć będziemy kolejno, tak jak idą, treść elegii wraz z celniejszymi ustępami.

Drugą z porządku jest elegia 8 téjże księgi, opisująca miłość i utyskiwania zakochanego, ze smutną przepowiednią, niejako groźbą dla obo-jętnój, w tych wyrazach:

Hańbać, gdy jeńców odprawisz z pogardą,
A potem sama wyciągniesz ramiona;
Niewolnik wtedy postawi się hardo
I słusznie czyni, boś drogo kupiona.
Dziś, choć ci przyniósł upominek złoty,
Odchodzi wzgardzon; ale jutro może
Próżno go wzywać na lube pieszczoty,
Gdy wiek zmarszczkami lice twe poorze.
I sama będziesz uskarżać się nieraz,
Z ust narzekania wykną się bolesne:
„Czemum nie miała rozwagi, jak teraz?
Czemu nie wróca wdzięki owoczesne?”
Los twój dziewicom za przykład posłuży,
Że późno mądry, kto mądry po szkodzie,
Że hyacenty albo krzewy róży,
Nie zawsze kwieciem *krasują* w ogrodzie.
Zapłacze wtedy, kto dręczył z rozkoszą,
Kto śmiał się z płaczu, uczuje cc nędza;
Zdrętwiałe usta całunku poproszą,
Gdy głos grobowy do Styxu zapędza (1).

W elegii III, u Kochanowskiego 14, w ks. I, żali się poeta na obfudną, i dosadnie maluje charakter przedajnej miłości; lecz posłuchajmy samego:

(1) Dla porównania kładziemy je tu w oryginale.

Fortunae vineti faciunt comicia servi,
Vos invat accepto munere jussa pati.
Quid? quod nulla empto debetur gratia lecto,
Et mercede data liber amator abit.
Frustra implorandus, cum formam carpserit aetas
Invida, et ingenuus fugerit ore color.

.....
 Ktokolwiek jesteś, posłuchaj mię bracie.
 Nie wierz w fortunę swawolną!

Niedawno dla mnie były te przynęty,
 Gdy ty słuchając wycia Akwilona,
 Marzęś pod progiem, co ci był zamknięty:
 Jam tulił dziewę do łona.

Cóż ją zmieniło? czy pieniądz, czy czary?
 Czy lepsze złoto, czy wiersze, czy zielsko?
 O! kto masz złoto, szczęśliwyś bez miary,
 Bo przyjmą cię przyjacielsko.

Jak zaprzędaniec słuchałem wyroku:
 Czegoż bywało nademną nie czyni?
 Strzegłem jój wiernie, jak zrenicy w oku,
 Jeszcze się znęca władczyńi.

A dziś, wy inși me skarby bierzecie!
 Czym się spodziewał, że stanę tak ślisko?
 Bogdaj przekłęty, kto pierwszy na świecie
 Wprowadził serc targowisko!

Niewieścia skromność i wstyd usunięty,
 Zuczono kłamstwa niewinnęj dziewoi,
 Dziś chytre dziewczę swojemi ponęty,
 Z poważnych mężów żart stroi.

Szczęśliwa młodzież za dawniejszych czasów,
 W polach i lasach bujała bez skazy;
 Nie znały dziewy rozkosznych hatłasów,
 Ani pierścieni w topazy.

Kiedy jelenie albo wilcze skóry
 Stały za odzież; kiedy czuły śpiewek,
 Lub młode sarnię, lub ptak złotopióry,
 Mile był widzian u dziewczek.

Tunc mens culpatur laeva, et stulte acta iuventa...
 Tunc ille erumpit tristis ab ore sonus:
 Quae mihi nunc mens est, cur non fuit ante puellae?
 Huic animo, aut cur non pristina forma redit?
 Admonitae exemplis aliorum estote puellae,
 Sero sapit, damnis qui sapit ipse suis.
 Non semper florentue rosae, florentue hyacinthi,
 Et forme exitium fata dedere suum,
 Nunc dum aetas patitur, constans querendus amicus,
 Nunc vel supremo qui legat ossa die. 1 t. d.

Z tego łatwo się przekonać, że choć tłumaczenie nie jest dosłowne, to przecież nie uroniona myśl autora, a p. S. zawsze tak tłumaczy.

Gdy złoty owoc od śliwy lub gruszy
Niesiono lubej, w upojeniu młodém,
Błahy podarek! a przecież dla duszy
Bywał miłości dowodem.

Dziś na dziewicę choć się złoto leje,
Nie kocha dawcy, choć złoto przyjęła;
Śmiała dziewico! odbierz mu nadzieję,
Idź zbrojną ręką do dzieła.

Dał ci brylanty, szatę z złotogłowu,
Kaź mu precz odejść, niech serca nie drażni;
W późne twe lata zaprosisz go znowu.
Na żute skwarki przyjaźni!

.....
Tłumaczenie elegii IV, u Kochanowskiego III w księdze 2, zupełnie nam się nie podoba, bo nie harmoniuje z resztą tłumaczeń przez p. S. dokonanych; zresztą i forma wiersza jest taka, że jęj Kochanowski pisząc po polsku rzadko używał, a w końcu zupełnie porzucił, bo się o jęj niedogodności przekonał.

W elegii V, u Kochanowskiego 10, w księdze 2ej, znowu narzekania na niepodzielną miłość. Njktóre w niej zwroty przypominają nam w części wieszczą, gdy żali się i grozi:

.....
Gdy mię przeżyjesz, o biada ci, biada!
Będę cię dręczyć z najmilszą rozkoszą:
Gdy zechcesz spocząć, moja mara blada
I dzikie widma ze snu cię wypłoszą;
Gdy będziesz czuwać, tuż przy tobie stanie
Szkielet kościsty, otoczony w ciemno;
Będę cię wzywać przez głośnie wołanie,
I zaklnę ciebie, byś cierpiała ze mną.

.....
Moc wyrażen, głębokie uczucie serca malujących, z niczém zresztą porównać się nie da, i tu tłumacz przewyższył w części oryginalny utwór.

Następna elegia szosta, u Kochanowskiego IIa (1), w księdze 2ej opiewa, jakim sposobem poeta skąpany przez bóstwo w wodach Leukadyi, zapomina o swęj poprzedniej miłości; przyczém wychwala spokojność serca i umysłu.

W elegii siódmęj, u Kochanowskiego 3, księgi 3ej, prosi poeta kochanki o wzajemność i niedręczenie serca przewłoką. Opowiada przytém wypadek Zaryadra i Odaty, którzy nie widząc się nigdy, ale tylko marząc we śnie o sobie, pokochali się wzajemnie, a następnie poznawszy na jawie, wśród zgromadzonych na wesele gości, rzucili się w swoje objęcia i na wiernym rumaku z oczu ojca i gości umknęli.

(1) Mylnie w druku położona jako druga.

Elegia 8, u Kochanowskiego 6 księgi III, podobnie do poprzednich ma za przedmiot miłość, przysięgi wierności i stałości.

Elegia 9, u Kochanowskiego 12 ks. III, jest niby listem pożegnalnym do kochanki, którą prosi o stałość, wystawując jej za przykład Penelopę. Pięknym jest ustęp, w którym wystawia hańbę niesławy w tych wyrazach:

A gdy niesława zada życiu plamę,
Tęj nie osłonią i brylanty same.

Przekład tej elegii pióra p. Szymona Konopackiego, niczem się nie różni od przekładów samego p. Syrokomli, i z prawdziwem zadowoleniem cieszymy się, że nie tylko p. S. tak nas podbić urokiem swych tłumaczeń potrafił. Cieszymy się, że przybył jeszcze jeden talent więcej na polu od tak dawna zagrożonem wiecznym odłogiem, a teraz tak pięknie wydającym plony.

W elegii dziesiątej, u Kochanowskiego 16tej, w księdze III, napisanej na zaślubiny Dudzicza, przytacza starą powieść grecką o synach Japeta, wyjaśniającą z kąd powstała wzajemna ku sobie skłonność płci obojga.

Elegia XI, czyli ostatnia, u Kochanowskiego trzecia, w księdze IV, napisana do Firleja, opiewa wielkość Boga w stworzeniach. Piękne zwroty o ułomności ludzkiej i rozmaite z kąd nasuwające się uwagi, płyną gładko z pióra poety, a tłumaczenie lubo w niektórych miejscach zbacza od oryginału, nie mniejszej wszakże jest mocy i piękności.

Tu kończą się przekłady elegij, które, jakośmy już wspomnieli, Brodziński wypuścił. W połączeniu z tamtymi, stanowią one piękne dopełnienie tego ojca poetów polskich. Ślęcząc nad dykcją i formą zewnętrzną, możeby się udało tu i owdzie wytknąć jakie uchybienie; ale gdy nam głównie idzie o ducha, o związek myśli, o cel, jaki miał na uwadze poeta pisząc to; gdy postawimy się w okolicznościach współczesnego wieku: radzi nie radzi musim zamilknąć i poprzestać na przyjęciu tych utworów w stanie, w jakim je Kochanowski pozostawił.

Po elegiach miłosnych, tak monottonnych, że prawie nudnych, następują fraszki. A któż nie zna tych fraszek, tych ucinków, w które Kochanowski z upodobaniem kładł całą duszę swoją. Kto fraszek nie zna, ten niełatwo zrozumie i oceni w podobnym smaku pisane łacińskie *Foricoenia* (wieczere w gościnie). Krótkie te wierszyki, z myślą nieraz głęboką w dowcipny żart przyodzianą, noszą cechę odrębną ówczesnej epoki i lakonizmu. Niewszystkie pochodzą oryginalnie z pióra autora, bo często się potraça o naśladowanie Rzymian lub Greków.

Ze stu dwudziestu oryginalnych fraszek łacińskich Kochanowskiego, wytłumaczył p. S. tylko 63; mało zatem co więcej nad połowę. Pochodzi

to zład, że p. S. wybierał według swego uznania te, które godnemi przekładu osądził. Przejrzyjmy jednak wprzód te, które opuścił, co też one w sobie zawierają? I tak zaraz z początku opuszczona fraszka druga pod napisem *Votum*, zawiera dość skromne żądanie poety, zakończone śmiałym wierszem:

Nec sceptrā invideo, cum phialam teneo.

Opuszczone następnie fraszki: 11, *Ad Venerem*; 12, *In Convivium* dość są dowcipne, lecz ta druga nie da się wytłumaczyć tak, iżby jęj dowcip, ugruntowany na grze wyrazów, nietknięty pozostał (1); łatwiejby się dała spolszczyć 14, *De Anna* (2), lubo się nie odznacza żadnym szczególnym dowcipem. Sądźmy także, iż 35, *in Victoriam Nicophontis*; 43 *Ad Nic. Radivilium*, 61 *Ad Andr. Duditium* i inne niektóre warte były przekładu. Reszta słusznie pominięte, bo albo dowcip w nich za-gruby, albo też żadną miarą spolszczyć się nie dadzą.

Tyle o opuszczeniach. Teraz przystąpmy do tego, co w przekładzie przed sobą mamy; i tak: Nr. 9ty w przekładzie, pod napisem: do Jędrzeja Patrycego (Nideckiego), u Kochanowskiego z kolei 10, jest w oryginale sonetem. P. S. w przekładzie nadał mu formę dwóch czterowierszowych strofeko. Myśl wprawdzie pozostała ta sama, ale znikł Kochanowski. Nr. 33 nosi napis: *Do Kandidula* (może białowłosego), u nas odpowiadający Nr. 44 nosi tytuł *Ad Aurelium*; z kąd więc ta zmiana? Lecz mniejsza o to, kiedy jest myśl taż sama, to i dobrze. Przekład wszystkich w ogóle fraszek jest wierny, a niektóre odznaczają się do tyła, że i sam Kochanowski może nie oddałby ich lepiej. Przejrzyjmy niektóre:

7) *Do Kalistrata.*

Niegdyś ciebie kochano—pomnisz Kalistracie?
 Dzisiaj cię nikt nie kocha, gdyś z fortuną w gniewie;
 Kochanka czułe serce niegdyś miała dla cię,
 Dzisiaj cię nie poznawa i nazwiska nie wie.
 Pyta cię: z kąd jesteście? i czego zacz chcecie?
 Ej, trudno o przyjaciół, gdy pusto w kalecie.

14) *Do Ibika.*

Spraszasz poetów, będą ci radzi;
 Lecz pomnij bracie: to mądra rzesza,

(1) Oto jęj brzmienie:

Quae nunc dicuntur convivia, conbibia olim
 Dicta puo: hoc siquidem symposium est proprit.
 Affinis genuinum invertit littera sensum:
 Ni quis id esse putet vivere, quod bibere.

(2) Illud nomen Amo, quod seu legisse latino,
 Seu velis Hebraeo more, perinde sonat.

Więc przedewszystkiém przykaż czeladzi
 Niechaj do wina wody nie miesza.
 Gdy wino chrzczone, gdy kufel mierny,
 Wierzaj mi, chyba upoisz dziewczki;
 Nam zaś Cekuby albo Falerny
 Niechaj do sporój leją konewki.
 Ja nie chcę płonną męczyć się pracą,
 Wolę być trzeźwym, niż pić ladaco.

17) *Do Fausta.*

Miłość ciężka choroba: ej źle z tą swawolą!
 Fauście! jam niegdyś kochał, a dziś kości bołą.

Dość na tém. Bez liku byłoby tych cytacyj, z których każda ma swą oddzielną zaletę; jedno tylko dodamy: że można we fraszkach polskich napotkać niekiedy wspólną myśl z łacińskimi; np. jakież podobieństwo w fraszce łacińskiej 45: *Nagrobek Maronidzie*, z polską pod napisem: *Nagrobek Rozynie*; i tak:

po łacinie:

Tu stara Maronide położyła zwłoki.
 Na gróbie miasto godeł, kieliszek głęboki.
 Nie płacze za małżonkiem, za dziatwą kochaną,
 Lecz kwili, że kielicha winem nie nalano.

po polsku.

Tu syta wieku leży Rozyna,
 Lecz tylko wieku, ale nie wina;
 Nie stoi o mszą, ani o dzwony,
 Wolałaby dzban piwa zielony.

Zastanawiając się nad fraszkami Kochanowskiego tak łacińskimi jako i polskimi, i widząc w nich tyle erotyzmu, wpadamy na domysł, że poeta, przypatrując się obyczajom rozwolnionym nauką Lutra, która podówczas wielu miała stronników, będąc z natury wesołym i bezpiecznym, może zanadto przejął się albo przynajmniej nie gardził rozpowszechnioną maxymą niemiecką:

Wer liebt nicht Wein, Weib und Gesang,
 Der bleibt ein Narr sein Lebelang.

bo inaczej czyżby mógł nadać myślom swoim tak zręczny tok i naturalność? I to zdaje się może głównym było powodem, że go o herezyą oskarżano.

Lecz dość już o fraszkach; przejdźmy teraz do innych utworów poety, więcej poważnych, bo poważniejsze myśli w sobie zawierających. Mając pod ręką tylko poprzednie utwory łacińskie Kochanowskiego, trudniej dla nas będzie ocenić następne rymy; nie wątpimy wszakże, iż pan Syrokomla sumiennie swego zadania dopełnił. Tu następuje nam się uwaga, że szkoda, iż szanowny wydawca nie obdarzył nas obok i textem łacińskim. Być może ta uwaga zbyt czarna i nie w miejscu; lecz dla nas,

gdy rzadko która biblioteka nawet, posiada oryginalne wydania, pożądanym byłoby powtórzenie tych utworów Kochanowskiego. Nie mówimy o Janickim, o Sarbiewskim, którzy mieli tyle wydań (za granicą, nie w Polsce), bo i dziś znajdują się tacy, co powiedzą: „a to na co?” ale mówimy o dziełach Kochanowskiego, Klonowicza, które dziś rzadko kto widział w oryginale. Wydanie podobne, byłoby niejako uświęceniem ich pamięci, że przecież choć raz poznano się na prawdziwej wartości ich pracy, która z czasem niknąc i niknąc, przejdzie nareszcie w podanie że ten lub ów pisali kiedyś po łacinie. A wydanie takowe zyskałoby dla p. S. podwójną chwałę.

Tak więc do dzieł Kochanowskiego, których oryginału nie mamy pod ręką, a i dostać z jakkolwiek trudnym dla nas było zadaniem, należą wszystkie następne, a naprzód: *Epinikion* czyli pieśń zwycięzka do Stefana kr. pol. po zwycięstwie i odzyskaniu Inflant w r. 1582, śpiewana przy dźwięku liry na weselu Jana Zamojskiego z Gryzeldą Batorówną w r. 1583. Utwór ten składający się z 73 strof dwunastowierszowych, opowiada naprzód stan Polski po odjeździe Henryka Walezyusza, dalej obiór na króla Stefana, jego czyny wojenne, i kończy czterowierszem, zastosowanym do imienia i nazwiska królewskiego:

Gdys narzeczon *Stefanem*, już to samo imię
Wróżyło ci z koroną i państwo olbrzymie.
Zaś *Batory* nazwisko twoje starożytne,
Znaczy głęboką mądrość i czyny zaszczytne.

Piesni liryczne zamykają w sobie same ody okolicznościowe. Z nich oda I do *Henryka Walezyusza* kr. pol. bawiącego we Francji, wzywa go do spiesznego powrotu, wystawia cały naród w tęsknym oczekiwaniu na swego pana, obiecuje zwycięstwa i szczęśliwość w panowaniu. Oda II. *Na bogi fałszywe*, opisuje przymioty dawnych bożków pogańskich, z pięknym zwrotem do nauki Chrystusa:

.....
My znamy cię w twój prawdzie nieśmiertelny Panie,
Bez początku i końca, od wieków do wieków!
Nie jelitami bydła, lecz czystym pacierzem,
I sercem Ciebie chwalim o Panie nad pany!
.....

Oda III *na zjazd stężycki*, mówi znowu o Henryku Walezyuszu ze zwrotem do Polaków, aby dobrze radzili. W odzie IV *do Zgody*, prosi bóstwa o zesłanie swój łaski na starą Polskę. Dwie te ody słusznie uznane za wyższe przez Wiszniewskiego, mieszczą w sobie wiele pięknych myśli, lecz każda z nich ma oddzielny typ piękności, równie jak

i następną oda V do *Firleja*, której znowu p. Syrokomla pierwszeństwo oddaje. W tej bowiem widzimy postać wesołego poety, gdy mówi:

.....
 Pachołcy! hej wina! nie próżno wam gwarzę
 Odbijcie gwóźdz stary w smolonym ankarze,
 I lejcie do szklanic, do czarék,
 Dymiący, niebieski nektarek.
 Gdy krąży po rękach szklanica dośtojna,
 Nie będziem się troskać czy pokój, czy wojna,
 Nieżgoda, czy zgoda w narodzie
 Niewiele nas tedy uhodzie.

Następne trzy ody nie odznaczają się żadną wzniostą myślą. Oda XI do wsi *Pramnik* pięknie wystawia życie wiejskie, ostatnia zaś o *zdobyciu Połocka* opisuje czyny wojenne przy tej okoliczności podjęte.

Rymy rozmaite liczą się także do utworów okolicznościowych, forma ich tylko zewnętrzna różna od poprzednich; Isza *Epitalamion* na weselu Jana Zamojskiego i Gryzeldy Batorówniej, śpiewał przy lirze Krzysztof Klabonus muzyk królewski. Wiersz ten składa się z trzech dziesięcio-zgłoskowych strof, tyluż antystrof i takieżże liczby epodów; nie znajdujemy w nich nic prócz czezych formuł grzeczności. Drugi wiersz do *Jędrzeja Patrycego* opowiada figle Kupida, nad którym gdy chciał się zemścić poeta, sam padł ofiarą. Wiersz IIIci do *Francuza krakajęcego* jest odpowiedzią na paszkwil Desport'a: *Adieu à la Pologne*, który napisał po wyjeździe z Polski z Henrykiem Walezym. Gra wyrazów powstająca z troistego znaczenia łacińskiego *gallus*, twardym była kąskiem dla tłumacza. Pan Syrokomla jednak wywiązał się ze swego zdania ze zwykłym sobie talentem. Szyderczym potwarzom Francuza w wierszach zamkniętym, rzuca Polak ostrą prawdę również w wierszu. Tu żywy dowcip Kochanowskiego na właściwej znajduje się drodze, a treść całego tworu osnowana głównie na tém, co pod koniec w kilku wierszach tylko zebrał poeta:

.....
 Francuz widząc, że na tron Henryka wołamy,
 W nadziejach niepomiernych nie zakładał tamy;
 Mniemał, że idąc z królem idzie do rozkoszy.
 Choćby był lada ciurą, choćby syn kokoszy,
 Już go trzeba wzbogacić, i w szkarłatnej szacie
 Po prawicy królewskiej posadzić w senacie.
 Że wielkie bohaterzy, mężowie polskiej strony,
 Wciąż będą im przynosić złoto i pokłony.

Zawiedli się ujrzawszy jak my rzeczy bierzem,
 Ze pacholek pachotkiem, a rycerz rycerzem.
 Więc zową nas żebractwem, jak liszka na dworze
 Co schab zwała powrozem, gdy dostać nie może.

.....

Pan (bożek leśny) *Zamechski* do Stefana Batorego, ma wiele podobieństwa z utworem *Dryas Zamechska* znanym po polsku. *Orfeusz Sarmacki* zawiera wezwanie do Polaków, aby się upamiętali z gnuśności, w jaką się przez zbytki i zniewieściałość pogrążyli.

Ostatnim z podanych w tym tomiku utworów Kochanowskiego jest spolszczony *wiersz makaroniczny*, o którym szerokie studium p. S. w przedmowie napisał. Zgadza się z tem co tam wyrzekł szanowny tłumacz; dodamy tylko, że jak w fraszkach polskich ukrył przez dopiski właściwe znaczenie wiersza *Na Barbarę*, tak i tu za pośrednictwem wiersza mieszanego nie chciał razić wprost żartobliwą satyrą.

Taką jest puścizna po Kochanowskim, dziś dla wszystkich w równy udział dana. Dopełniając tego cośmy wyżej powiedzieli, że z wydaniem sądu o p. S. wstrzymamy się pod koniec, czytujemy za obowiązek zwrócić naprzód uwagę czytelników na to, co tenże w życiorysie Sarmiewskiego powiedział, objaśniając swą metodę tłumaczenia:

„Trzeba tylko przejąć się, i przejąć się duchem poety, każdą myśl jego przewarzyć w sobie, czasem przeciąć węzeł gordyjski, zamiast go rozwiązać.... i zawsze tłumacząc *kogoś*, być *sobą*”. Otóż p. S. wierny temu założeniu, został samym sobą. Myśli oryginalne Kochanowskiego pozostały w przekładzie ale obecną barwę i kształt tłumaczowi są winne. Na tej to właśnie zasadzie gruntuje się nasza wdzięczność szczerą, bez przymówek. Taki nasz sąd cały; prawda krótki, lecz sumienny. Napotykamy wprawdzie usterki, ale to zapewne w pośpiechu i przypadkiem tu się wmieszały. Dziwnie np. brzmi dla nas wyrażenie na str. 27: „Niezawsze kwieciem krasują w ogrodzie”, nie rozumiemy bowiem co znaczy: *krasują*, tak jak nie rozumiemy co to są *sumioty* (na str. 43 „Brnie przez *sumioty*, przez rzeki, przez drogi). Sądziimy także, iż przez omyłkę w druku wystawiono wiersz taki na str. 50: „Ze nim miłość *nie* była znaną człowiekowi; bo tu zbyt dodano *nie*. Co ma znaczyć: Parka tnie w *nożny*” str. 63. Dziwnie także brzmi w uszach naszych wyrażenie *Nie jużto* (pobratymcze nieuzeli) mające zastępować nasze proste zapytanie *czyli?* i t. d. i t. d. Drobne to wprawdzie rzeczy, lecz nie radzi je widzimy. Na co te prowincjonalizmy, kiedy nie dla wszystkich dostępne.

Kończąc to nasze sprawozdanie, musimy jeszcze odpowiedzieć na czynione nam już nieraz zapytania: kto jest właściwie pan Syrokomla?

czy rzeczywiście tak się nazywa, czy też to tylko miano przybrane? i jeżeli tak jest, to w jakim celu? Odpowiedź na pierwsze pytania łatwa, boś my już zkądnąd o tém się dowiedzieli. Syrokomla jestto nazwa rodzinnego herbu, za którego tarczą skrył się pan *Ludwik Kondratowicz*; bo to już taki zwyczaj za Niemnem. Tam rzadko który z piszących własnego używa nazwiska, jak gdyby na niem jaka klątwa ciążyła, albo też praca literacka ubliżała ich godności! Na ostatnie trudniej odpowiedzieć; zdaje się nam tylko, że to chęć znalezienia miejsca kiedyś w słowniku pisarzy bezimiennych i niby imiennych (anonymów i pseudonymów), bo inaczej, zyskałoby się tylko prawo do zwyczajnego katalogu, w historii literatury lub bibliografii.

10 lutego 1851 r.

St. Lisowski.

Królewicze biskupi. Żywoty czterech kapłanów, przez Juliana Bartoszewicza. Warszawa, nakładem S. Orgelbranda, 1851.

Książka pod tym tytułem wydana, jest częścią większego dzieła o *kardynałach polskich* i biskupach z domów królewskich i książąt panujących w Polsce, jak autor w przedmowie oświadcza. Zawiera żywoty *kardynała Fryderyka* arcybiskupa gnieźnieńskiego, a razem biskupa krakowskiego, który był synem Kazimiérza Jagiellończyka, i Elżbiety Austryaczki (ur. 1468 † 1503); *Jana z książąt litewskich*, biskupa wileńskiego, a następnie poznańskiego, syna pobocznego Zygmunta I, z Katarzyny Telniczanki (ur. 1498 † 1538); *kardynała Jana Olbrachta*, biskupa warmińskiego, a następnie krakowskiego, syna Zygmunta III, z Katarzyny Austryaczki (ur. 1612 † 1634); nakoniec *Karola Ferdynanda* biskupa wrocławskiego, a razem plockiego, brata Jana Olbrachta kardynała, z ojca i matki (ur. 1613 † 1655).

Z materiałów przygotowanych oddawna, autor ma uzupełnić ten poczet biskupów świetnością rodu znakomitych (jakiemi są np. książęta mazowieccy na katedrze plockiej); tudzież kardynałów, z pomiędzy których, Zbigniew Oleśnicki, Stanisław Hozyusz, Bernard Maciejowski, zajmowali świetne stanowisko w dziejach naszych, i zasługują na dłuższe wspomnienia i trwalszy pomnik historyczny. Ale piérwój chce się dowiedzieć pan B., jaki sąd publiczność wyrzeknie o jego pracy, którą jako próbę naprzód wyduje.

Przedewszystkiém powiedzieć trzeba, że ta książka powinna być, i będzie czytana. Chociaż bowiem nie zawiera (jak sam autor w przedmowie oświadcza), żadnych nowych faktów, nowych odkryć, któreby rzuciły jasne światło na przeszłość narodu; jednakże zagłębiając się w źródłach, przestając dłużej z osobami historycznymi, i pół-historycznymi, które nam opisuje, pan B. rozmyślał się w swoim przedmiocie, i przedstawia nam, jeśli nie charaktery śmiałą ręką kreślone, to przynajmniej obrazy zajmujące, bo dawne, a często nawet prawdziwém życiem tchnące.

Tak występuje przed nami szczególnie kardynał Fryderyk Jagiellończyk; ów dwudziestoletni biskup krakowski, a w 25m roku życia, razem arcybiskup gnieźnieński, znany tylko powszechnie z tego, iż nieporządném życiem, kalał charakter święty pomazańca Bożego; ale który wiele przyczynił się do elekcji dwóch królów, Jana Olbrachta i Alexandra, rządził krajem, zwoływał sejmy (1501 — 1503), i zbrojną ręką gotował się odpierać napad Tatarów. — Takim widzimy téż Jana z książąt litewskich biskupa wileńskiego naprzód, a później poznańskiego, jednego tylko dobrego pasterza spośród tylu dostojnych infulatów.

Skrętnie zebrał o nich p. B. najdrobniejsze szczegóły biograficzne, porozrzucane po naszych łacińskich pisarzach mało komu znajomych; i *odtworzył* z nich, że tak powiemy, zajmującą całość; ale nie rozwiązał przez to żadnej *zagadki historycznej*, do czego się po kilkakrotnie w ciągu dzieła przymawia; bo téż żadnej zagadki do rozwiązania nie było. Trudno przynajmniej zgodzić się na znaczenie, które autor do tego wyrazu przywiązuje; np. przy końcu żywota Jana Olbrachta, str. 181: „Żył Jan Olbracht lat 22, miesięcy 6 i dni 27. Nie dorósł więc nawet lat kapłańskich, ztąd postać jego jest *bardzo zagadkowa* w naszych dziejach. Ale mu do twarzy ta postać i t. d.”

W ogólności pan B. niezawsze dość krytycznie przebieira w nagromadzonych przez siebie materyałach, a czasem na niepewnych lub błahych źródłach, zupełnie dowolne lub błahie *domysły* buduje.

Usprawiedliwimy to zdanie przytoczeniem przykładów. Opisując młodość królewicza Fryderyka Jagiellończyka, str. 11, autor tak się wyraża: „Królowa matka w dzieciństwie pozwałała mu na wszystko. Skłonności zatém młodego księcia, nieha mowane żadnym przymusem, miały czas puścić korzenie i rozwinąć się kwieciami bujnym. Kallimacha teraz zadaniem było myśl światową do nieziemskich nakręcić westchnień; przeznaczeniem jego było, *zmrozić w samym zarodzie to młode życie*, które dopiero co zaczęło domyslać się, zdala pojmnować ten cudny urok ziemskiego życia. Zadanie trudne, trudniejsze tém bardziej, że tu walczyć

było potrzeba nie z nałogami, nie z przyzwyczajeniem, a z naturą samą, nie z wolą człowieka, a Boga.”

Jeżeli z takim rozumieniem rzeczy, o Boskości natury ludzkiej przystępował Kallimach do jej zwalczania, nie dziw, że mu się nie udało, i że wychowaniec jego, nieporządnym życiem i oplakaną śmiercią, staraniom nauczyciela odpowiedział. Ale Kallimach, kochanek Świętochny, i autor tylu wierszów erotycznych na jej pochwałę, nie był wcale stosownym mentorem, dla zmrożenia w samym zarodzie młodego życia; a jeżeli pobłazał księciu (str. 15), czynił to zapewne z własnego popędu bardziej, niż stosując się do woli matki, owój cnotliwej i pobożnej Elżbiety Austryaczki, której, domysł autora, na kilku słowach o dwa wieki prawie późniejszego biskupa Łubieńskiego oparty, każe tu odgrywać ohydną rolę królowej Bony.

Podobny domysł o tęsknicy, która napadała młodego królewicza, dlatego, „że zazdrościł bratu Władysławowi władzy, zazdrościł braciom młodszym, że mają nadzieję władzy. Fryderyk całe szczęście swojego życia, cały blask dostojności duchownych, oddałby z rozkoszą za chwilę uciechy, za prawo myśli swobodnej; a tu krępowały go narzucone obowiązki, jakaś fatalna konieczność. Nie śmiał powiedzieć ojcu, że chęci jego są inne od chęci z góry mu wytkniętych. Bał się obrazić króla, lękał się dni jego zatruć goryczą, po ostatniem zmartwieniu. Utaił więc w sobie całą tęsknotę; a ztąd charakter jego, choć w wieku młodzieńczym, ciemną przybięrał barwę (str. 17—18)”.

Takim sposobem chce pan B. wytłumaczyć życie bez celu, miłostkami i zabawami zajęte, królewicza; jakby dwie pierwsze katedry w kraju nie przedstawiały mu dość ważnych zatrudnień, i nie otwierały mu pola do władzy, o której marzył (wedle słów autora), którą rzeczywiście piastował przez pierwsze lata panowania Alexandra, a o którą nikt nie dbał dla siebie, ponieważ przyczynił się znakomicie do elekcji Jana Olbrachta. A jednak mógł być starać się o koronę dla siebie, zwłaszcza, że nie był odebrał jeszcze święceń większych, lubo nazywał się już oddawna elektem biskupem krakowskim.

Domysły podobne mogłyby znaleźć miejsce w powieści historycznej; ale w żywotach wymagających przedewszystkiem prawdy, stanowią rażąca sprzeczność.

Cóż powiedzieć o niepewnej wycieczce Jana z książąt litewskich na Podlasie (str. 129)? Jan, biskup poznański był jednym z kommissarzów królewskich, w r. 1536 do rozgraniczenia dóbr Zygmunta Augusta z dobrami Jana Radziwiłła, księcia na Goniądzu i Medeli: „Ale jakie to były posługi księcia, co zrobił? o tém milczą dzieje. Zwiedził wtenczas może

książę, Podlaskie dawne, i goniądzkie dobra Radziwiłłów. Błądził może po lasach Białowieży, a w lasach i puszczech zamierzchłych widział żubrów i łosi litewskich, ród prawie dzisiaj zaginiony zwierząt'...

Albo w zgadywaniu ostatnich myśli umierającego Zygmunta I (str. 135). „Król Zygmunt zgryzł się śmiercią syna starszego. Przeszło 70 letni starzec, nie spodziewał się tak prędko płakać na mogile syna, którego tyle ukochał. *Gotował mu godności, honory i dostojenstwa*. Śmierć jednak przecięła pasmo dni tak niedawnych, a pięknych, nie ulitowała się siwych włosów ojca starca na tronie’’. Nie przysadzając o zamiarach Zygmunta względem pobocznego syna już biskupa poznańskiego (po złożeniu biskupstwa wileńskiego), zdaje się, że królowa Bona, która więcej niż król państwem rządziła, nie tak skorą byłaby do posuwania go na wyższe jeszcze krzesła biskupie.

Inne domysły rzucają cień niekorzystny na te postaci nawet, które autor pragnie ozdobić wieńcem cnót domowych, np. w żywocie Jana Olbrachta, syna Zygmunta III (str. 143). „Zygmunt młodsze dzieci chciał uposażyć w dobra kościelne, duchowne, których było dosyć w Polsce, bogatych i pięknych. Ale jakkolwiekby, sam się król nie *spodziewał*, że tak prędko stanowcza chwila nastąpi. W roku 1621 *umarł* biskup warmiński, Szymon Rudnicki.’’... A w żywocie Karola Ferdynanda, także syna Zygmunta III (str. 195): „*chciał umierać spokojny, że krew jego nie pójdzie na poniewieranie i nędzę*’’.

Czy w domysłach tych nie maluje się *chciwość* jakaś przesadzona, którą miłość ojcowska nigdy dostatecznie ubarwić nie zdoła?

Przytoczone wyjątki usprawiedliwią, zdaje się, zupełnie dwa zarzuty, które uczynić mamy autorowi *Królewiczów biskupów*, a które i do innych dzieł jego zastosować można, to jest: *mnożenie domysłów dowolnych, lub błahych, oraz upodobanie w drobnostkach, a przeto rozwlekłość w obrazach i stylu*. Drobnostki za którymi ubiega się pan B. nie nieznaczące, niemalujące ani charakterów, ani ducha czasu (zwłaszcza gdy na domysłach tylko oparte), nie nadadzą osobom niemającym żadnego znaczenia w dziejach *nieśmiertelności kronikarskiej*, jak ją pan B. nazywa (str. 175).

Niepotrzebne też, zdaniem naszym, mnożenie tych wyrazów łącznikami spojonych: *królewicz-biskup, król-ojciec, starzec-król* i t. d., z którymi co chwila spotykać się musimy, a które nadają stylowi pewien rodzaj epicznej przesady, zanadto często przeplatanej poufałością mowy potocznej, której próbek kilka podaliśmy w przytoczonych wyżej słowach autora. A jednak pan B. umie pisać inaczej, i malowniczość wyrażen z wdziękiem prostoty połączyć; np. (str. 8): „Dzieciństwo jednak królewicza przypadło na dni piękne dla dynastji Jagiellońskiej. Cisnęły się

korony w dom królewski; młodzi bracia Fryderyka zasiadali na tronach pobratymczych wokoło. Był czas, kiedy król polski wydawał się Europie, jak patriarchy nowego pokolenia książąt: otoczony synami i wnukami, co korony i berło dźwigali, król Kazimierz wydawał córki za odległych książąt, a Europa ceniła jego potęgę i znaczenie, widziała wpływ jego na losy całej Słowiańszczyzny."

Niektóre błędy historyczne, które spostrzegliśmy w ciągu dzieła, wyświecić, powinnością jest krytyki historycznej, potrzebniejszej dziś niż kiedykolwiek, wśród tak ogromnego zamącenia wyobrażeń o dziejach naszych.

Żywot królewicza Karola Ferdynanda biskupa wrocławskiego i plockiego, zakończony jest artykułem: *O stosunkach biskupstwa wrocławskiego do metropolii gnieźnieńskiej*. Tu mieliśmy prawo wymagać wyjaśnienia tych stosunków wedle nowych źródeł, które *Ritter* w historii biskupstwa wrocławskiego, i *Stenzel* w dokumentach do historii tegoż biskupstwa podali. W miejscu tego mamy tylko katalog biskupów, znany już z Długosza, Sommersberga i Niesieckiego. Wprawdzie pan B. robi wzmiankę, że według Dytmara, Bolesław Chrobry dopiero w r. 1000 ustanowił biskupstwo wrocławskie, ale dodaje zaraz: „Fakt przecież *niezaprzeczony*, że w Smogorzewie pierwotkowo założona była ta katedra. W Smogorzewie pierwsi szlęscy biskupi spoczywają na sen wieczny. Ztąd przeniesioną była katedra do *Byczyny*, a potem i do stolicy całej ziemi, do Wrocławia (str. 240).” Jednakże już *Naruszewicz*, lubo za powagą Długosza idąc, w texcie historii swojej o tych przenosinach katedry wrocławskiej pisze, a w przypisach wątpliwość o nich oświadcza (1). *Bandtkie* już dowodzi statutami Rudolfa biskupa wrocławskiego z r. 1468, że kapituła wrocławska nie wspominała bynajmniej *o wątpliwych biskupach smogorzewskich i ryczyńskich* (2). Nie w *Byczynie* bowiem, ale w *Ryczyńcu* (Reczen) mieście, którego już gruzy tylko w XV wieku sterczały, na prawym brzegu Odry, pomiędzy Olawą i Brzegiem, mogli czas jakiś przesiadywać biskupi wrocławscy, podczas zamieszek krajowych za Mieczysława II i Ryxy. Tak sądzi *Stenzel*, ale poczet biskupów, aż do r. 1052, urojonym nazywa (3). W nomenklaturze późniejszych biskupów mielibyśmy do zarzucenia tenże sam brak krytyki historycznej.

Zamiast powtarzania znanych już, błędnych lub niedostatecznie wyjaśnionych wiadomości, powinnością dzisiejszego pisarza dziejów krajo-

(1) *Naruszewicz*, Hist. narodu polskiego. Wyd. Grölla, T. II, p. 360.

(2) *Bandtkie*, Dzieje narodu polsk. Wyd. 3cie T. I, p. 138.

(3) *Stenzel*: Urkunden zur Geschichte des Bisthum's Breslau im Mittelalter p. XIV.

wych czy ogółowych, czyli téż szczegółowych, jest obeznać się z nowszemi badaniami, i znowo odkrytych źródeł korzystać. Uczynił to pan B., kiedy z wydanych przez K. Wł. Wojcickiego pamiętników do panowania Wazów, wiele zajmujących szczegółów powyciągał. Szkoda, że nie mógł przejrzeć rękopismu Długosza: *Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich* (w bibliotece Zamojskich), o których słyszeliśmy, że mają być drukiem ogłoszone. Pewnie znalazłyby się w nich jakie szczegóły ciekawe do życia kardynała Fryderyka.

Wyliczając majątki nabyte na Wołyniu przez Janusza z książąt litewskich biskupa wileńskiego, wymienia pan B.: „*Januszpol i Paniowce i inne wszystkie po lewej stronie rzeki Światca* (str. 134);” a w przypisku dodaje: „O tém niema w Starożytnej Polsce. Fakt to przecież ciekawy, ważny dla dziejów drukarstwa naszego, i dla dziejów rodziny Potockich, która wslawiła potem *Paniowce*.” Cały ten zarzut upada, gdyż pan B. zamiast wsi *Pankowce* ponad Świątcem na Wołyniu (1), wyczytał *Paniowce*, wieś ponad Smotryczem, na Podolu, drukarnią luterską Jana Potockiego w XVI wieku wslawioną (2).

Przez omyłkę także niezawodnie umieszcza pan B., „*miasto i zamek Krzemieniec, na Podolu* (str. 121)”, a nie na Wołyniu, co przecież dokładnie wyluszczone było w artykule p. Nowoszyckiego *O Krzemieńcu*, umieszczonym w Bibliotece Warszawskiej na czerwiec 1848 r., a który pan B. nazywa *nędzną pracą bez życia*, dziwując się, że i więcej podobnych prac historycznych bez wartości historycznej, Biblioteka Warszawska drukowała! (str. 122 w przypisku).

Pomimo tych uwag, które nastreczyło nam czytanie *Królewiczów biskupów*, nie wahamy się powtórzyć, że ta praca pana B. czytana będzie z upodobaniem, i że powinna być wstępem tylko obiecanych w przedmowie *żywołów kardynałów polskich*, w których chcielibyśmy tylko znaleźć mniej domysłów, mniej drobnostkowych uwag, ale zawsze pełną życia i wdzięku całość.

A. P.

(1) *Starożytna Polska*. T. II, p. 932.

(2) *Starożytna Polska*. T. II, p. 952 i *Przedziockiego* Aleksandra: *Podole, Wołyń, Ukraina*. T. II, p. 16.

ROZMAITOŚCI.

POLNIK ZWYCZAJNY

(*ARVICOLA ARVALIS*).

Wyjątek z listu p. Gustawa Belke do Konstantego hrabi Tyzenhauza.

Pod koniec upłynionego lata, na Podolu, osobliwie w okolicach Kamieńca, gospodarze wiejscy zaczęli uskarżać się na mnóstwo (jak mówiono) myszy, które w zbożach jarych, szczególnie w gryce, wielkie sprawiły szkody. Przed kilku zaś tygodniami rozeszła się pogłoska, jakoby myszy jakieś w niezliczonych stadach z Galicyi przez rzekę Zbrucz pod wsią Milowcami przepłynęły; pogłoska ta jednak, po bliższém badaniu potwierdzenia nie znalazła, gdyż miejscowi wieśniacy, jedni do świadectwa drugich odwołując się, widza tego zdarzenia wskazać nie mogli. Co do szkód zrządzonych w zbożach, te wątpliwości nie ulegają. Między innymi, na polach do wsi Rzepiniec należących, gryka na łanie do stu kilkudziesięciu kop wydającym, na pokosach jeszcze, tak z ziarn objędzoną została, że właściciel w stożki zgromadzić ją kazał i na polu, jako nieprzydatną, nie zwożąc nawet do toku, zostawił. W owémto miejscu i w innych koło Kamieńca, poszukiwania robiłem, lecz zamiast myszy, znalazłem polniki zwyczajne (*Arvicola arvalis*) (1). Nic w tém wprawdzie szczególnego nie ma; wiadomo bowiem że te zwierzątka niekiedy bardzo się mnożą i wielkie sprawiają szkody, chociaż takiej ich ilości

(1) Zwierzęta te bardzo blizkie myszy, lud nasz wszędzie *potnemi myszami* nazywa. P. R.

w jakiej się teraz pokazały, już oddawna nikt tu nie pamięta. Mając jednak zreczność schwytać wiele indywiduów i porównać z opisami autorów, dostrzegłem pewne niezgodności. Tak np. P. De Selys Longchamps, w dziele *Etudes de Micromammalogie*, o polniku zwyczajnym (*Arvicola arvalis* Lacép.) mówi: że ma ogon jednostajnie żółtawy, $\frac{1}{4}$ długości ciała równy, a na słabiznach czysto-żółtą pręgę; że indywidua młode przed dojściem zupełnego wzrostu, mają brzuch popielaty zamiast białawego. Za synonimy zaś tak opisanego gatunku, między innymi *Lemmus arvalis* Tiedemanna i *Arvicola vulgaris* Desmaresta, przywodzi. Porównyując powyższe cechy z opisem gatunku *Ar. vulgaris* Desmarest'a (*Mammalogie* 2 part. p. 282), znajdujemy tam cechy następujące: *queue velue de la longueur du tiers du corps, gris roussâtre en dessus et gris clair en dessous*; toż samo podaje Fischer w swoim *Synopsis Mammalium*, cytując Tiedemann'a. Badane przezemnie indywidua, zgadzając się w charakterach osteologicznych z opisem gatunku *Arv. arvalis* De Selys, w tém szczególniej co do cech zewnętrznych odmiennymi się okazały, że żaden z nich ogona jednostajnie żółtawego nie miał, lecz zawsze też ogony były czarniawo-szare z wierzchu, białawe zaś pod spodem, że nie $\frac{1}{4}$ długości ciała, jak p. Deselys podaje, lecz prawie $\frac{1}{3}$ tylko wynosiły; że żółtej pręgi na słabiznach (*une ligne d'un jaune plus pur sur les flancs*) nie miały, a tylko bardzo słaby, u niektórych żółtawy w tych miejscach odcień się znajdował; że nie tylko indywidua niedorośle mają spód popielaty zamiast białawego, lecz owszem, u tych co się większym odznaczają wzrostem, takie ubarwienie widziéć się zdarza. P. De Selys, w późniejszym piśmie, 1847 r. w *Revue zoologique* umieszczoném (*Distribution géographique des campagnols en Europe*), dając znów gatunkowi *Ar. arvalis* za synonimę *Ar. vulgaris* Desmarest'a, niżej pod nr. 9 wymienił osobny jakby gatunek *Ar. britannicus*, którego od polnika zwyczajnego ta między innymi odróżnia cecha, że ma ogon dwubarwny, t. j. *zwierzchu czarniawy i nieco dłuższy*; dalej zaś na str. 311 wnosi, że *Arv. arvalis* i *Ar. britannicus*, jeden stanowią gatunek i tylko miejscowemi są odmianami. Z tych uwag i na zasadzie badanych przeze mnie w naturze indywiduów polnika zwyczajnego *Ar. arvalis*, mniemałbym, że ubarwienie jego i ogon w Mikromammalogii pana De Selys opisane, odnoszą się tylko do pewnej odmiany tego zwierzątka; właściwy zaś typ gatunku odpowiada polnikowi *britannicus* przez tegoż autora nazwanemu, tudzież zgadza się z dyagnozami polników *Lemmus arvalis* Tiedemanna i Fischera i *Arvicola vulgaris* Desmaresta, a następnie, że opis w Mastologii mojej, tomie 2gim na str. 425 pod nr. 1223 i należące do niego synonimy, zmienić wypada jak następuje:

POLNIK ZWYCZAJNY. *Arvicola arvalis* (1).

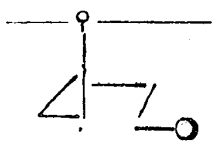
Głowa gruba, pysk tępny. Uszy mierne, zaokrąglone, dość szerokie, nieco od odzieży dłuższe, lecz u żywego zwierzęcia zpod napuszonej sierci mało widoczne, przy osadach długimi, na końcach po samych tylko brzegach krótkimi, czarniawo-szaremi włoskami porośnięte, zresztą bardzo rzadką siercią posiane, tak, że pośrodku osobliwie na stronie zewnętrznej, prawie nagimi być się wydają, i czarniawą ich skórę widzieć można; z przodu osad uchowych długie, miękkie, rudawe włosy. Oczy dość spore, lecz gdy zwierzę spokojnym jest, mniejszemi się wydają, w przestraszeniu zaś, ruchach lub gniewie, więcej na wierzchu wychodząc, wydatniej się okazują. Wąsy przeszło na 6''' długie, tylko przy samych osadach czarne, przez całą zaś długość białe. Ogon $\frac{1}{3}$ długości ciała wraz z głową wziętego wynosi; niekiedy jednak cokolwiek krótszy bywa; krótką siercią jest porośnięty, zwierzchu czarniawo-szary, pod spodem białawy, z krótkim na końcu kosmykiem. Nogi wszystkie bardzo krótką siwo-białawą siercią porośnięte, przez którą nieco cielistą skórą się przebija. Odzież na ciele miękka, długa, szczególnie na grzbiecie, gdzie każdy włos około 4''' dochodzi; zwierzchu czarniawo-szara, tu i owdzie z rudawą przymieszką, osobliwie na przodzie głowy. Podbródek i piersi, aż poza nogi przednie, popielato-białawe; brzuch prawie biały, z bardzo lekkim, nieco żółtawym na słabiznach odcieniem. Uda tylne zwierzchu ziemisto-szare, od spodu popielate. Nozdrza nagie, brunatne. Niektóre indywidua wcale nie mają na bokach żółtawego odcienia, innych spód całkiem jest popielaty. Biały kolor sierci na brzuchu ztąd pochodzi, że każdy włos popielaty ma koniec biały. Długość ciała 3 do 3 $\frac{1}{3}$ ". Długość ogona 1"—1"4". (Żeber par 13, w ogonie pacierzy 15).

Odmiana β . Słabizny żółtawo pociągnięte. Ogon krótszy, jednostajnie zewsząd żółtawy (*Ar. arvalis* De Selys, *Hypudaecas arvalis* Schinz).

Zwierzątka te, jak namieniłem wyżej, w nadzwyczajnej na Podolu okazały się mnogości, tak, że w niektórych miejscach około Kamieńca, całe pola stadami ich okryte widzieć było można, a z jednej do drugiej przebiegając nory, bez ustanku się uwijały. Nory te dwojakiego natrafiałem rodzaju: jedne płytkie, zaledwo na stopę w ziemię zapuszczone, i pod nią z ukosa prawie poziomo ciągnące się, a z sobą licznymi otworami połączone; w miejscach, gdzie zboże było, zapasy ziarn, osobliwie gryki po $\frac{1}{2}$ garnca blisko w sobie mieściły. Znaczny obszar norami temi

(1) Syn. *Mus agrestis* Lin. *Mus campestris minor* Briss. *Mus terrestris* Lin. (Erxl?). *Mus arvalis* Pall. *Campagnol* Buff. *Arvicola vulgaris* Desm. *Lemmus arvalis* Tiedem. Fisch. *Arvicola britannicus* De Selys.

był zajęty, a na każdym prawie kroku po kilka ich widzieć było można. Na polach nieuprawnych i sianożęciach, gdzie ziemia jest twarda, wychodzące na powierzchnię jam tych dziurki, krętymi, wydeptanemi, czy też wyrytymi ścieżeczkami połączone między sobą znalazłem. Inne nory daleko mniej liczne, zapewne dla wylęgania i wychowywania potomstwa przeznaczone, większych nierównie były wymiarów: ciągnęły się bowiem wzdłuż na 3, w głąb' na $1\frac{1}{2}$ łokcia; najprzód zukosa w dół, potem w bok pod kątem prawie prostym zwracając, jak to załączony obok rysunek



wyobraża. Początkowe ich wejście niespełna 3 cale średnicy miało; im zaś głębiej, tem szerszym stawał się otwór, tak, że nakoniec całą rękę włożyć było można.

Tam dopiero kilka garści bardzo delikatnej, miękkiej, z różnych ziół naciętej drobno, suchej trawy się znajdowało, widać dla zakładania gniazd przeznaczonęj. Trzymane u mnie żywcem indywidua, jadły chętnie wszystko i bez ustanku, tak ziarna, jako i warzywa, szczególnie selery; gryce jednak pierwszeństwo przed innym dawały pokarmem, i tę po ziarnku w przednie łapki ujmując i z plewy wyłuszczać, chciwie zajadały. Siana zaś w norach ich znalezionego, o którym dopiero namieniłem, zgłodniałe nawet jeść nie chciały, bo gdy dla przekonania czy je będą jadły, innęj żywności na noc im nie dałem, wcale go nie tknęły. lecz natomiast silniejszy, słabszego jak widać towarzysza, zamordował i pożarciem w ciągu nocy, połowy prawie zwłok jego, głód swój zaspokoił. Teraz na polach liczba tych zwierzątek znacznie się zmniejszyła, co zapewne temu przypisać należy, że dla braku żywności, jedne do tokiew się przeniosły, inne wzajemnie wytepić się musiały.

Polnik zwyczajny, według cech wyżej podanych określony, zewnętrzną postacią niewiele różnić się będzie od gatunku *Arvicola subterraneus* przez pana De Selys (*Micromammalogie* p. 102) nazwanego. Długość bowiem ogona jego w stosunku do ciała, ubarwienie tegoż ogona i odzieży, są prawie te same. Główne między nimi różnice zachodzą w tém łód, że polnik podziemny (*Arv. subterraneus*) oczy i uszy ma mniejsze, (choć jak wyżej namieniłem, u polnika zwyczajnego (*Arv. arvalis*) żywego, uszy lubo od odzieży nieco dłuższe, przy napuszonej sierci niewiele są widoczne, a oczy w stanie spokojności zwierzęcia, nierównie mniejszemi się wydają niż wtenczas, gdy jest przestraszonym lub gniewem poruszone). 2re że polnik podziemny ma mieć mniejszą liczbę cyc; i 3cie że według p. De Selys nie jada ziarn zbożowych i tylko warzywem się karmi. Co do wymiarów ogona, które pan De Selys u polnika zwyczajnego (*Arv. arvalis*) na $\frac{1}{4}$, u podziemnego zaś (*A. subterraneus*) na $\frac{1}{3}$ długości ciała podaje, różnica nie tak rażąca się wyda, gdy przyjdzie zważyć, że ona od sposobu mierzenia ogonka zależeć może: gdyż ogon

polnika zwyczajnego w widocznej tylko poza odzieżą części, nie licząc (króciutkiego wprawdzie) kosmyka zmierzony, wyniesie mało co więcej nad $\frac{1}{4}$ długości ciała, gdy przeciwnie od samej osady w odzieży ukrytej, do końca wzięty $\frac{1}{3}$ stanowi.

Te uwagi považam się oddać pod uczony sąd JWMPana Dobr. i t. d.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Spodzielam się, że Szanowna Redakcyja po czteromiesięcznej zwłoce, raczy umieścić w następnym Nrze swego pismozbioru moję odpowiedź panu T. Kurhanowiczowi, na zarzuty mi uczynione jeszcze w miesiącu wrześniu r. z. Niechaj też bezstronni czytelnicy osądzą, kto z nas dwóch ma prawdę i słusność po sobie.

A najprzód: w swojej odezwie do Redakcyi zarzuca pan T. K. moję recenzji Grammatyki D. Łazowskiego *zupelny brak ocenienia w wyższym tego wyrazu znaczeniu*, dlatego, że m pominął względy uboczne, a nawet nie zważał na pośpiech, z jakim ta Grammatyka została ułożoną i wydaną przez autora. Na to odpowiadam, że względy wymienione przez podawcę Odezwy nie wchodziły i zapewne słusnie w plan recenzji; musiałem je tedy pominąć, abym się nie stał wybrydny i rozwlekłym recenzentem; a pośpiechu nie widzę bynajmniej w książce o kilkuset stronicach, napakowanej tyłą drobiazgami, wymagającami długiego myślenia i wyszukiwania.

Drugi zarzut, że m mylnie nazwałem Mrozińskiego *prezesem Deputacyi do ustalenia pisowni* jest również niesprawiedliwym. Bo jeszcze przed rokiem 1830tym, w którym wyszły *Rozprawy i Wnioski o pisowni*, powszechne było przekonanie w Warszawie, że Mroziński był prezesem Deputacyi, czego się nawet sam Mroziński nie zapierał, chociaż go dla okoliczności ówczesnych w Przedmowie do *Rozpraw i Wniosków* nie nazwano prezesem, ale tylko najczynniejszym członkiem Deputacyi. Wreszcie umieszczone tuż zaraz po Przedmowie *Przymówienie się Mrozińskiego na pierwszym posiedzeniu Deputacyi*, za istne zagajenie prezesa uważać należy; bo prezes zagaja, zwłaszcza pierwsze posiedzenie, a nie kto inny.

Trzeci zarzut znowu niesprawiedliwy: że m *nie znał* dwóch Grammatyk późniejszych Henryka Sucheckiego, mających tak osobliwsze napisy: *Nauka Języka Polskiego* i *Zwięzła nauka Języka Polskiego*. Nie moja

w tém wina, że obu tych Grammatyk nasi warszawscy księgarze dotychczas nie sprowadzili z Galicji.

Czwarty zarzut osobliwszy; zem dla popisywania się ze znajomością Grammatyk *rossyjskich* wspomniał o Wostokowie, od którego zdaje się jakby przejął w swojej Grammatyce gruby błąd D. Łazowski, nazywając nasze imiesłowyy neodmienne *przysłówkami*, a nie wymieniłem *Grecza*, który na lat kilkanaście pisząc swoją Grammatykę przed Wostokowem, tak samo imiesłowyy uważa. Znam ja i Grammatykę Grecza, ale w niej tego błędu nie znalazłem, zapewne popełnionego w piérwszém wydaniu, którego nie miałem nigdy pod ręką. Na cóż mi było niestuszuie oskarżać przed naszymi czytelnikami Grecza, kiedy ten osiwiaty w trudach grammatycznych i literackich autor sam się już poprawił, choć niezupełnie, w późniejszém wydaniu swojej Grammatyki. Mówi on wprawdzie o imiesłowach neodmiennych w dodatku do podanej przez siebie nauki o przysłówkach, ale tych imiesłowów przysłówkami nie nazywa, owszem zostawia je przy właściwém ich nazwisku *diejepryczastija*. Nie mogę tu przemilczéć, że pan T. K. po Greczu i Wostokowie w swojej *Grammatyce polskiéj*, wydanej podobno w r. 1832 u T. Glücksberga w Wilnie, tegoż samego błędu się dopuścił, i dotychczas go nie poprawił, ani nawet nie uznał.

Piąty zarzut jeszcze dziwniejszy: że wymieniłem pana Adr. Krzyż. jako *twórcę zasady* w pisaniu *poszedł, wyszedł*, zamiast *poszedł, wyszedł*; a nie wspomniałem o Naruszewiczu. Tu niepotrzebnie i tylko dla popisania się z erudycyjką występuje pan T. K. z Naruszewiczem, który był za tém, aby pisać *poszed, wyszed* i *bieg, strzyg*, zamiast *poszedł, wyszedł, biegł, strzygł*; mnie zaś odsyła po objaśnienie do samego pana Adr. Krzyż. dobrze jeszcze, że nie do Naruszewicza. Cóżto za związek między panem Adr. Krzyż. a Naruszewiczem? Oba grubo pobłądzili, kiedy jeden z nich wprowadził, a drugi doradzał błędny sposób pisania w tychże samych wyrazach. A możnaż było jeszcze nazywać człowieka błędzącego *twórcą zasady*, na której błąd swój opiera? Jakże zniżony byłby do pospolitości ten wielkiego znaczenia wyraz *twórca*!

Nareszcie zarzuca mi pan T. K., że *mylnie* jemuż samemu przypisuję wprowadzenie nowotnych wyrazów *prawidelnosc, prawidelnie* przez D. Łazowskiego skleconych, które są *oczywiście*, jak powiada, *jabryki gali-cyjskiéj*, i *najpiérwéj się ukazały w grammatyce J. N. Deszkiewicza*. Na to odpowiadam z całą szczerością, że nie mając pod ręką grammatyki pana T. K. przy pisaniu recenzji grammatyki p. Łazowskiego, mylnie wziąłem wyrazy *prawidlowo, prawidlowosc*, za *prawidelnie, prawidelnosc*, które rzeczywiście po raz piérwszy się ukazały w grammatyce Deszkiewicza.

Mamże przemilczeć błędy albo raczej zdrożności językowe, jakich się dopuścił mój krytyk w swojej odezwie do redakcyi. Wykażę je jak najsumienniej, lubo nie wszystkie, a mój krytyk niechaj mi nawzajem wykaże otwarcie i jawnie uczynione przezemnie grammatyce p. Łazowskiego *zarzuty bezzasadne*, o których tylko ogólnie i podjazdowo wspomina. Dowódźmy teraz sobie naszych błędów, aby tym sposobem prawda się wyświeciła. Ja pierwszy zaczynam, a mój krytyk i spółzawodnik pewnie mi się wywzajemnić nie omieszka.

Zaraz w 1ym i 2im wierszu odezwy mnie dotykającej, użyty jest niegrzecznie i nawet niegrammatycznie wyraz *przez nią*, zamiast *przez redakcyę*; tu bowiem piszący do redakcyi używa zaimka osoby 3iej *przez nią*, zamiast zaimka osoby 2ej *przez ciebie*, a tym sposobem popełnia grubą *francuzczyznę*, niezgodną z duchem naszego języka. Nie może się zaś w żaden sposób tém wymawiać, że zaraza francuzczyzny tak się już u nas rozszerzyła, iż gdy starodawni przodkowie nasi nawet do króla mówili i pisali: „*jeżeli Wasza Królewska Mość zezwolisz*”, ale nie *zezwoi*, dziś niejeden szurgot warszawski do podobnego sobie szurgotu mówi: „*czy pani pójdzie na targ za marchwią? zamiast, czy pójdziesz*. Lecz im złe więcej upowszechnione, tém je staranniej wykorzeniać lub przynajmniej wyświecać należy.

W 4tym wierszu niewłaściwie użyty wyraz *ostrzeżeń* po wyrazie *uwag*, bo uwagi ściągają się więcej do przeszłości, a ostrzeżenia jedynie do przyszłości; już tedy nie czas, aby redakcyja czytającemu swój artykuł na posiedzeniu środowém dawała *ostrzeżenia*. i nawet byłoby to z jej strony niegrzecznie,

Również niewłaściwe i niegrzeczne jest wyrażenie *pisarz artykułu pod tytułem*, zamiast *autor* albo *podawca artykułu*, ma się rozumieć *przez siebie napisanego* nie zaś *cudzego*; bo *pisarz* zamiast *autor* najchętniej się u nas używa ogólnie bez wyraźnego oznaczenia wydanego pisma. Dobrze tedy się mówi; *nasi pisarze* albo *pisarze słowników*, zamiast *autorowie*, ale opacznie byłoby mówić: *pisarz tego dzieła, téj książki, tego artykułu, téj odezwy*, zamiast *autor*. Dalej znowu źle użyte wyrażenie *obecnej krytyki*, bo się tam mówi o krytyce przed trzema miesiącami wydanej drukiem.

„...*co strudzona ciągłą i długoletnią pracą pamięć i uwaga mylnie podała*.” Tu ile wyrazów, tyle grubych błędów: *strudzona* niabyto grzeczniej zamiast *stepiona*; ale prawda i szczerłość, zawsze jest lepszą od grzeczności; *ciągłą* wyraz zbyt techniczny, bo dość było powiedzieć *długoletnią pracą*; należało też oznaczyć *jaką?* zapewne nie *mechaniczną*, ale *umysłową, nauczycielską, literacką*; *podała* źle użyty wyraz po wyrazie *uwaga*, bo

uwaga nie podaje mylnie lub niemylnie, ale tylko pomaga pamięci do podawania rozumowi nabytych wyobrażeń; wreszcie i pamięć i uwaga, kiedy zajęta i czynna, nie tępieje tak prędko, choćby i na starość; nakoniec *poadała* zamiast *poadały* błąd grammatyczny, bo tu słowo osobiste ściąga się do dwóch podsądników: *uwaga i pamięć*.

Daléj rażą nas dwa sterczące wyrazy: *téz, tudzież*: piérwszy niepotrzebnie, a drugi nienależycie użyty zamiast *i*.

....z ludem, o którym już Jan Śniadecki twierdził, że *najlepiéj ze wszystkich prowincyj mówi po polsku*; tu złe pojęta myśl Śniadeckiego, który użył wyrazu *mówi*, zamiast *wymawia*, a nie należy brać jednego za drugie; bo można dobrze wymawiać, a złe mówić po polsku. I wyrażenie: „*najlepiéj ze wszystkich prowincyj*” niezgrabnie uklecone.

....o odosobnieniu tychże pisarzy od innych ognisk ruchu literatury krajowej i ich dążeniu do puryzmu; tu znowu ile wyrazów, tyle błędów. Możnaż było utrudnienie literackich stosunków między Krakowem a Warszawą uważać za odosobnienie, jak gdyby Kraków był na jakiej wyspie niedostępnej. I wyraz *tychże* złe użyty, zamiast *pisarzy krakowskich* lub *galicyjskich*; bo w poprzedniém zdaniu pan T. K. mówi tylko ogólnie o pisarzach grammatyk, a tych pisarzy nie wymienia. A wyrażenie: „*ognisk ruchu litteratury krajowej*” nienależyte i krzyczące; bo za ledwo zbyt wolny w swojej mowie Francuz mógłby tak powiedzieć: *foyers du mouvement de la litterature du pays*; u nas zaś głównego siedliska nie można uważać za ognisko, ani ruchu literatów czyli literackiego za *ruch literatury*. Nie mówi się téż po naszymu: *literatury krajowej*, już lepiéj było napisać *swojskiej*; bo dobrze się mówi *wyrób krajowy*, ale nie *zwyczaj*, *obyczaj*, *mowa*, *język*, *literatura*:... nareszcie o *ich dążeniu do puryzmu*, a myżto nie dążyłoby także do *puryzmu* czyli *czystej polszczyzny*; ale i w *puryzmie* trzeba pewną miarę i względy zachować, aby nie oszpecać języka nietrafniém wprowadzaniem nowotnych wyrazów, zamiast go oczyszczać z tak zwanych *makaronizmów*.

Wykazawszy już błędy w 16 wierszach Odezwy pana T. K. popełnione, resztę pomijam, bo i z tego, co się wykazało, łatwo pomiarkować, jaką polszczyzną napisana jest cała odezwa.

Przy końcu mojej odpowiedzi na zarzuty pana T. K. niech mi będzie wolno upraszać redakcyi, aby, nawet dla lepszego powodzenia swojego pismozbioru, nie przyjmowała artykułów złe pisanych po polsku, choćby te zalecały się treścią i wychodziły od osób głośnego imienia w swoim zawodzie. Prośbę tę raczy mi Szanowna Redakcyja darować i łaskawie ją przyjąć przez wzgląd na to, że z powołania i obowiązku mojego winniem bronić i zabezpieczać nasz język ojczysty od skazy nie tylko w szkole, ale i w pismach, zwłaszcza peryodycznych, jako przeznaczonych dla ogółu czytelników naszych.

T. Sierociński.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

KRAKÓW.

(Bez roku).

Drzeworyty w różnych dziełach polskich używane przez drukarzy krakowskich w XVI, XVII i XVIII wieku, a zachowane dotąd w zbiorze prywatnym D(aniela) E. F(riedleina) w Krakowie. Kart 12. Złp. 4.

1849.

KRAKÓW.

90. Zbiór odcisków drzeworytów w różnych dziełach polskich w XVI i XVII wieku odbitych, a teraz w bibliotece uniwersytetu Jagiellońskiego zachowanych. Folio. Kraków. 1849. W drukarni uniwersyteckiej. (Z textem francuzkim). Napisów karta 1, wstępu str. liczb. 8, i odcisków drzew. ark. liczb. 171. Złp. 100.

1850.

WARSZAWA.

98. Bratowa (,) romans z przygód społecznych, napisał M. Skotnicki.

Z godłem:

A witajże, czyś zdrowa,

A witajże Bratowa?

(*Lilie, Ballada*).

12ka. Warszawa. 1850. Druk Jaworskiego. Tom I, str. 225. II, 224. III. 223. IV. 227. Z prenumeratą na t. V, VI i VII. Złp. 35.

99. Królowa Bona. Romans historyczny XVI wieku (1516—1520) przez K. z Bolesławic. Ska. 4 tomy. Warszawa 1850. Druk S. Orgelbranda. Tom I, str. 227. II, 253. III, 187. IV, 222. Złp. 20. (Z ryciną).

100. Opis królestwa Polskiego pod względem historycznym, statystycznym, rolniczym, fabrycznym, handlowym, zwyczajowym i obyczajowym. Z dwunastu rycinami. 2 tomy. Ska. Warszawa. 1850. Druk Gazety Codziennej. Tom I, str. IV, i 144. Tom II. 89. Złp. 28

101. Ustawa celna dla Królestwa Polskiego, przełożona z textu rossyjskiego potwierdzonego przez Najjaśniejszego Pana w Carskiém Siele 5 listopada 1850 r. Folio. Warszawa, 1850. Nakładem i czcienkami Kommissyi Rządowej Przychodów i Skarbu. Str. 117. i anexów nie liczb. kart 20. Rejestru kart 2.

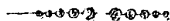
1851.

WARSZAWA.

29. Dwa Towarzystwa. Komedia w czterech aktach, przez L. Nie-mojowskiego. 12ka. Warszawa, 1851. Nakład G. L. Glücksberga, druk Jaworskiego. Str. 113.

30. Kawaler d'Harmenthal, romans historyczny Alexandra Dumas. Przekład J. N. O. 12ka. 5 tomików. Warszawa, 1851. Nakład J. Breslauera, druk Kaczanowskiego. Tom I, str. 204. II, 201. III, 184. IV, 156. V, 176. Złp. 16.

31. Joachima Bielskiego dalszy ciąg Kroniki Polskiej, zawierającej dzieje od 1587 do 1598 r. w rękopiśmie odkrył i do druku podał, oraz historyczno-bibliograficzny opis żywota i prac Marcina ojca i Joachima syna Bielskich, napisał i przyłączył F. M. Sobieszczanski. Z dwiema rycinami. Ska. Warszawa. 1851. Kart napis. 2, str. CVI i 811 (jest rzeczywiście str. 311).



Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

P. Konstanty hrabia Tyzenhauz, autor znakomitego w literaturze naszej dzieła pod tyt: *Ornitologia powszechna*, po dwuletniej blisko przerwie, czwarty jego tom sposobi do druku. Treścią tego tomu będzie: 1ód, Krótkie objaśnienie dzisiejszego stanu nauki. 2re, Poczet autorów z wyszczególnieniem ich dzieł podług daty nadającej im prawo pierwszeństwa w utwierdzeniu nazw rodzajowych i gatunkowych. 3cie, Nomenklator ornitologiczny, czyli tłumaczenie pochodzenia wyrazów i nazw ornitologicznych. 4te, Wykład systematyczny całej gromady ptaków, według najnowszych postrzeżeń, obejmujący całą synonimią dziś w nauce przyjętą, krytycznie zbliżony do ostatniego układu p. I. R. Gray, z dodaniem najnowszych rodzajów i gatunków w dziele Graya niewymienionych, w przypisach zaś sprostowania i odmiany, tudzież omyłki, jakie się do trzech poprzednich tomów Ornitologii powszechnej wkradły. 5te, Spis rodzajów i podrodzajów polsko-łaciński i łacińsko-polski, do czterech tomów téj Ornitologii. Autor zamierza jeszcze, jeżeli mu na przyszłość zdrowie posłuży, wydać tom piąty i szósty opisów opuszczonych i nowo-przybyłych ptaków.

— Znane jest miłośnikom starożytności i nauk przyrodzonych wielkie dzieło o Egipcie pod tyt.: *Description de l' Egypte ou Recueil des observations et des recherches qui ont été faites en Egypte pendant l'expédition de l'armée français etc.* najświetniejszy pomnik wypraw Napoleona do tego kraju, na miejscu w nim ułożone, i pierwszy raz za cesarstwa w Paryżu wydane. Exemplarz tego wspaniałego dzieła (wydania powtórnego w r. 1820) ośmset pięćdziesiąt i kilka rycin na wielkich arkuszach, tudzież 17 tomów in 8vo textu obejmujący, zostawiony jest w Warszawie do sprzedania, jako część małej puścizny przez podupadłą rodzinę odziedziczonej. Ryciny nie są nawet zszyte, i składają 69 kart geograficznych i topograficznych, 129 planów architektonicznych, 135 widoków miejsc, 239 starożytności, 31 sztuk i rzemiosł, 10 ubiorów, 241 tablic do historii naturalnej, słowem, wystawiają cały Egipt starożytny i nowożytny z jego miastami, mieszkańcami, płodami natury i t. d. Dzieła tego exemplarz może być za kilkaset złotych nabyty, a do tego z zasługą przyniesienia wsparcia sierotom, gdy pierwotnie 2,291 franków kosztował. Bliższą w téj mierze wiadomość powziąć można u profesora Wagi, mieszkającego w Alejach ujazdowskich w domu pod liczbą 1721 na dole, i tamże każdego czasu dzieło to zobaczyć.

— Nakładem księgarza Orgelbranda wkrótce wyjdzie z druku dzieło p. n.: „Przewodnik dla podróżujących po Europie”; tom jeden duży.

— Nakładem J. Glücksberga wyszły z druku: *Wieczery Dyrektoryatu* czyli *Powrót generała Bonaparte z Egiptu*: z francuzkiego przez Saint-Felina, dwa tomy.

— Tom 1 dzieła p. n. *Historja Literatury polskiej* W. A. Maciejowskiego, wkrótce wyjdzie zpod prasy drukarskiej.

— *Nauka poezyi*, zawierająca teorię poezyi, przez H. C. z dobranemi przykładami, wydana przez M. L. wyszła z druku w 8ce.

— Tom VI dzieł Jana Chrzciciela Pokelina Moliera, tłumaczony wierszem przez Franciszka Kowalskiego wyszedł z druku i zawiera: *Sielankę komiczną*, operetkę z baletem (la Pastorale comique). *Skąpca* (L'Avare) komedia w 5 aktach wierszem. *Pana Gapięto* (Monsieur de Pourceaugnac) 1669, w 3 aktach z baletem. *Kochankę*, wspaniałą komedią w 5 aktach, z baletem.

— Dzieje literatury w Polsce *Ludwika Kondratowicza*, zeszyt IV i V, kończący tom pierwszy, już wyszedł. Tom ten obejmuje zarys poezyi w Polsce epoki Jagiellońskiej.

— Fr. L. Czelakowsky wydał w Pradze czeskiej wypisy polskie p. n. *Vseslovanske Poeãtenci Cteni* (w Pradze 1850. Tiskem c. k. dvorni knihhtiskarny Synu Bohumila Haase). 8ka, str. 242. Wydanie ozdobne, druk polski piękny, pisownia staranna. Zaczyna od przysłów i przypowieści: dalej idą *Anegdoty Narodni*: *Listy*, *Życiorysy* i drobne rozprawki, ludowe pieśni. Następnie zabytki najdawniejsze języka polskiego. W przydatkach dał także stare zabytki języka polskiego, i uwagę o polskiej prozody; w końcu objaśnienie mniéj zrozumiałych wyrazów polskich dla Czechów.

Całe to dziełko zaleca się i pięknym doбором przykładów z literatury naszej, i sumiennością wydania.

— Pan M. F. Klacela wydał w Bernie: *Słownik wyrazów cudzoziemskich*, a w powszechném będących używaniu w języku czeskim: *Słownik pro ctenare novin, w němž se vysvětlují slova cizího puvodu. Složen od M. F. Klacela*. W Brně, 1849 r. 8ka, str. 166.

— Dr Kollar prof. słowiańskich starożytności w uniw. wiedeńskim, przysłał do Warszawy następny prospekt po czesku i po niemiecku, z datą 8 stycznia 1851: „Włochy, ta kolebka europejskiej oświaty, zamieszkałe były początkowo od rozlicznych narodów pelasgo-helleńskich, ibero-celtyckich i weneło-ilirskich. Dwa pierwsze plemiona znalazły już znakomitych historyków, pomiędzy któremi odznaczają się Micali, Lanzi, Ott. Müller, Lepsius i t. d.; ale Słowianie, chociaż najbliżsi Włoch, i chociaż najszerzej kwitnęli w tej stronie, nie mieli jeszcze badacza swoich dziejów. Niżej podpisany czuł bardzo ten niedostatek w ogólnej historii, i chciał koniecznie próżnię wypełnić. Dla tego celu od lat dawnych zgromadzał napisy na pomnikach, zabytki starożytności, podania, dzieła rozmaite, czytał autorów klassycznych, i nawet umyślnie jeździł dwa razy do Włoch, dla uczonych poszukiwań w r. 1841 i 1844, żeby na miejscu przypatrywać się i badać. Wypadek tych prac chce teraz ogłosić w języku czeskim pod tytułem: *Staroitalia slavian-ská* (starożytne słowiańskie Włochy). Następują warunki przedpłaty. Dzieło zajmować będzie 100 arkuszy wielkiej 8ki, 37 tablic ark., ze 400 mniéj więcéj litografowanych charakterów alfabetu staro-italskiego, bogów,

ołtarzów, grobów, pomników, urn, zwierciadeł i t. d. Cztery pokolenia starych Włoch: Etruskowie, Umbrowie, Opskowie, Latynowie i narody słowiańskie otaczające Italią, ujrzą tutaj swoje zabytki. Szczątki ich literatur tutaj zebrano, rozebrano, na język łaciński i niemiecki wy tłumaczono. Sławne 7 iguwińskich tablic podane będą w podobiznach, w oryginale i w tłumaczeniu z potrzebnymi objaśnieniami. Druk już zaczęty. Dzieło wyjdzie w dwóch poszytach, składających ogromny tom. Tablice składać będą trzeci poszyt. Przedpłata wynosi 15 złr. mon. kon. Przedpłata trwa do końca września; potem cena podwyższoną będzie. Przyjmuje przedpłatę W. Braumüller w Wiedniu.

— W Wiedniu pracują obecnie nad specjalną mapą Galicyi na wielką skalę. Podstawą téj pracy są ostatnie katastralne pomiary. Wykonaniem zatrudniają się kapitanowie Lichtenstern i Kummersberg. Ołbrzymia ta mapa wyjdzie w 74 kartach 18½ cala długich, 12½ cala szerokich.

— P. Szafarkiewicz prof. w gimnazjum Maryi Magdaleny w Poznaniu wydał: *Historią naturalną dla szkół*, kurs Iszy.

— Leon Skorupka napisał i wydał w Krakowie nową broszurę: „*Ekonomia polityczna i socyalizm*”.

— Doktor Mikłoscich przedsięwziął wydawać w Wiedniu: „*Słowiańską Bibliotekę*”, której piérwszy zeszyt wkrótce wyjdzie z druku. Do tego czasopismu przyjmowane będą artykuły we wszystkich narzeczach słowiańskich, szczególnież jednak w języku staro-słowiańskim.

(Wyjątek z listu).

„P. Hippolit Stupnicki z dniem 19 lutego b. r. rozpoczyna we Lwowie wydawnictwo czasopismu w zeszytach tygodniowych, pod nazwą: „*Przyjaciel Domowy*”, dzieląc go na dwa oddziały. Przedpłata roczna wynosi z pocztą złp. 15 gr. 10.—Po piśmie tém nie mamy nadziei nawet spodziewać się czegoś dobrego, bo imię p. Stupnickiego dostateczną daje rękojmię jego nieudolności, niesumienności i braku wszelkiej nauki. Przekonał nas o tém ze zgrozą, ogłaszając: „*Geografją Galicyi i Lodomeryi (?)*” w r. 1849, przepelnioną fałszami i baśniami. Imię p. Stupnickiego jest tylko podziwem dla naszój literatury, i zarazem pomnikiem w jój dziejach, że w naszym wieku mógł się zjawić gryzmoła, który mieszkańców Galicyi zapragnął otumanic swemi bredniami. Tyle możemy powiedziec o p. Stupnickim, tyle téż spodziewać się należy po jego Przyjacielu Domowym, który niebawem przed wyjściem upadnie na pociechę naszego piśmiennictwa”.

— Na tegorocznój wystawie sztuk pięknych w Paryżu, zwracają uwagę następujące utwory Polaków. Z rzeźby: popiersie gen. Chłopickiego przez młodego Stattlera; tegoż generała portret przez Fajansa z Warszawy. Portret Matki, przez pannę Szymanowską. Ostatnie chwile Szopena, przez Teofla Kwiatkowskiego.



Redakcja Biblioteki Warszawskiej.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Styczeń, 1851.

Styczeń 1851.

Dostrzeżenia w Obserwatoryum

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza,
czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1		749.85	751.48	751.35	748.80	— 9°.3	— 6°.3	— 4°.0	+ 0°.2	
2	☉	748.49	749.66	750.33	750.70	+ 2.9	+ 3.2	+ 4.0	+ 4.2	97.0
3		751.09	750.95	751.05	750.45	+ 4.2	+ 4.2	+ 5.2	+ 3.6	90.7
4		749.83	749.96	749.14	750.11	+ 2.4	+ 2.4	+ 2.3	+ 0.8	97.8
5		750.16	750.09	748.84	747.57	+ 0.2	+ 0.8	+ 1.7	+ 1.7	96.5
6		745.71	744.99	743.32	741.65	— 0.2	— 1.1	— 1.0	— 1.3	
7		740.12	740.58	742.41	744.01	+ 0.3	+ 0.8	+ 1.0	— 1.3	100.
8		746.58	748.87	751.65	753.36	— 6.9	— 8.3	— 10.0	— 13.8	
9		754.82	751.31	756.68	758.23	— 13.4	— 12.2	— 10.7	— 13.0	
10	☾	759.97	761.16	762.18	764.80	— 15.0	— 14.1	— 11.0	— 14.1	
11		767.14	768.39	768.38	767.96	— 15.7	— 15.1	— 11.1	— 14.7	
12		764.58	764.77	762.26	760.75	— 15.5	— 13.9	— 10.3	— 7.8	
13		758.07	758.30	757.50	758.28	— 13.6	— 11.9	— 8.9	— 12.9	
14		757.80	758.89	758.28	758.09	— 16.0	— 14.7	— 9.9	— 13.2	
15		756.32	756.35	755.36	756.20	— 15.1	— 13.8	— 7.2	— 11.6	
16		757.20	757.78	757.95	757.93	— 12.4	— 9.7	— 6.5	— 9.9	
17	☽	756.67	756.61	754.95	754.32	— 11.8	— 7.6	— 1.6	— 2.9	
18		755.15	756.34	756.00	756.60	— 2.7	— 0.9	+ 0.1	— 1.9	95.8
19		756.59	757.29	757.16	757.48	— 0.9	+ 0.0	+ 0.2	— 1.1	
20		756.55	757.10	756.87	757.14	+ 0.0	+ 0.2	+ 0.1	— 0.6	99.0
21		756.51	756.72	755.44	755.30	— 0.2	+ 0.2	+ 0.1	— 1.5	92.5
22		755.00	756.13	756.68	758.85	— 4.8	— 3.8	— 3.6	— 6.5	
23		760.20	761.27	761.28	762.42	— 5.7	— 3.0	— 0.4	— 0.4	98.0
24	☾	762.85	763.85	763.38	763.63	— 1.0	— 1.6	— 2.3	— 6.6	
25		762.65	762.62	760.94	760.45	— 5.5	— 5.3	— 3.1	— 3.1	
26		758.82	758.39	756.85	756.42	— 5.4	— 5.2	— 4.2	— 5.5	
27		755.54	756.28	755.86	756.38	— 6.9	— 6.8	— 6.4	— 8.4	
28		755.84	755.50	754.59	754.85	— 8.3	— 7.6	— 6.2	— 10.7	
29		755.68	756.22	755.25	753.90	— 14.0	— 12.6	— 7.1	— 4.2	
30		751.80	750.85	747.66	746.80	— 7.8	— 4.6	+ 1.3	+ 0.6	
31		746.67	746.78	745.61	744.61	— 2.3	— 1.0	+ 0.8	— 1.6	93.7
Śre.		754.976	755.337	755.007	755.098	— 6°.47	— 5°.46	— 3°.51	— 5°.08	96.1

Astronomiczném Warszawskiem.

jego szerokość geogr. $52^{\circ}13'5''$, długość w czasie $1^{\text{h}} 14^{\text{m}} 45^{\text{s}},7$
względem południka paryzkiego.

S T A N N I E B A				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé- szczu	śnie- gu
pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	dészcz b. dr.	—	—	Pd.	Pd.	21.5	9.8
deszcz dr.	dészcz dr.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	2.7	
poch. mgła	mgła gruba	pochmurny	pochmurny	Z.	—	Z.	—		
pochmurny	pochmurny	mgła gruba	poch. mgła	—	Pd.	—	Pd.		
poch. mgła	mgła gruba	poch. mgła	pochmurny	—	Pd.	Pd.	Pd.		
poch. mgła	poch. mgła	mgła gruba	śnieg	Z.	Z.	—	—		6.0
śnieg	pochmurny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	—	W.		7.5
napół pog.	napół pog.	pogodny	pogodny	PnW.	W.	W.	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	—	—	—		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	—	—	—		
pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	PdW.	—	PdW.		
pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	—	—	—		
pogodny	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	—	—	Pd.	Pd.		
pochmurny	pochmurny	poch. mgła	lek. pochm.	—	—	—	—		
poch. mgła	poch. mgła	poch. mgła	pochmurny	—	—	—	—		
mgła gruba	mgła gruba	mgła gruba	poch. mgła	—	—	—	—		
poch. mgła	mgła gruba	pochmurny	pochmurny	Pd.	—	Pd.	Pd.		
pogodny	pogodny	napół pog.	pochmurny	Pd.	PdW.	Pd.	PdW.		
śnieg drob.	krupy	poch. mgła	mgła gruba	PdW.	—	—	—		3.2
mgła	poch. mgła	pochmurny	pogodny	—	—	—	W.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	PdW.	PdW.	PdW.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	W.	—	W.	W.		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	W.	—	—	—		
pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		1.5
pogodny	pogodny	pogodny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	—		
pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
napół pog.	pogodny	lek. pochm.	pogodny	—	PdZ.	—	PdW.		
								24.2	28.0

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	755.105	27	10.734
Najwyżej dochodził — d. 11 o g. 10 r.	768.39	28	4.588
Najniżej — — d. 7 o g. 6 r.	740.12	27	4.092
Średnia zmiana dzienna barometru	2.871		1.276
Największa zmiana dzienna barometru d. 9—10 o g. 10 r.	9.85		4.367
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	3.779		1.674
Średnia temperatura Stycznia wynosi: —	5 ^o .13 C.	—	4 ^o .104 R.
i ta jest wyższa o od stanu normalnego z 25 lat po- przedzających	0.74	„	0.586 „
Największe ciepło dochodziło d. 3 o godz. 4 wieczór.	+ 5.87	„	— 4.69 „
Największe zimno dochodziło d. 14 o godz. 6 rano.	+ 5.2	„	+ 4.16 „
Termometrograf wskazał:			
Maximum: + 5. ^o 2 R. d. 3 po poł.			
Minimum: — 14.0 „ d. 14 rano			
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.775	„	2.22 „
Największa zmiana dzienna d. 7—8 o godz. 10 wiecz.	12.5	„	10.0 „
Wody z deszczu spadło wysoko na 24,2 milim., czyli 10,8 lin. par.; z śniegu 28,0 milim., czyli 12,5 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 52,2 milim., czyli 23,3 lin. par., to jest: o 11,5 lin. par.; więcej niż w stanie normalnym.			
Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 96,1, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do cięż- zaru, 3,82 gramów, na jednym metrze sześciennym powie- trza. Wilgotność ta jest o 2 setne większa niż w stanie nor- malnym.			
Dni pogodnych było 8, napót pogodnych 6, pochmurnych 17.			
— deszczu 4 (d. 1, 2, 3, 31).			
— śniegu 7 (d. 1, 7, 8, 23, 24, 26, 28).			
— krup 1 (d. 23).			
— mgły 10 (d. 2, 4, 5, 6, 7, 18, 19, 20, 21, 23).			
Wiatr panujący: Południowy.			
Wichrów nie było.			
Styczeń r. b. był ciepły, wilgotny, mglisty, pogodniejszy i przeszło o pół stopnia R. cieplejszy jak zwykle. Początek mie- siąca a osobliwie pierwsze pięć dni, przy gęstych mgłach były ciepłe; dwa dni 2 i 3 były tak łagodne jak w porze wiosennej. Dziesięć dni od d. 8 do 18 były pogodne lecz mroźne, przy wietrze południowo-wschodnim. Następne dni od d. 18 do 24 przy zna- cznych i ciągłych mgłach, ciepłe. Koniec miesiąca pogodny, lecz mroźny. W ogóle styczeń r. b. był cieplejszy i mniej w śnieg obfity jak zwykle. Zmiany temperatury zachodziły często jakoto d. 1—2; 5—6; 7—8; 18—19; 21—22. Najcieplejsze dni były: 2, 3, 4. Najzimniejsze d. 10, 11, 13, 14, 15, 29. Powietrze było spokojne przy wysokim stanie barometru.			
D. 6 o godz. 9 wieczorem, przy pochmurném niebie, widziano błyskawicę chwilową.			
D. 23 przez cały dzień a osobliwie nad wieczorem, była złódź i mgła nadzwyczaj gęsta.			
D. 12, 14, 22, 23 okazywały się liczne plamy na słońcu.			
D. 18 o godz. 10 wieczorem, koło białe otaczało księżyc.			
D. 13 o godz. 3 z rana Wisła pod Warszawą przed mostem stała.			

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1851.

Tom drugi.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLII.



117152

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Dąbrowskiej Nr. 617, w dawniej Bibliotece Załuskich.

1851.

Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

POSZUKIWANIA

DO HISTORII ROLNICTWA KRAJOWEGO.

Część pierwsza.

Podział ziemi pod względem rolniczym.— Mała uprawa; system kolonizacyjny i czynszowy.— Wzrost kraju i ludności w wieku XIV i XV. — Zmiana systematu rolniczego w wieku XVI. — Folwarki i latifundia.— Skutki tej zmiany.— Zebranie.

Kiedy patrzymy na daleki krajobraz, mglista powłoka zakrywa nam wszystkie przedmioty, zaledwie pozwalając oku wielkie oddziały mass od siebie rozróżnić. W miarę zbliżania się, wydatniejsze przedmioty wychodzą coraz wyraźniej: w blizkich tylko rozróżnia się wszystkie szczegóły. Tak samo w historii: pierwsze jej epoki rysują się mgliście i niewyraźnie; później spostrzega się ważniejsze wypadki publiczne i znakomitsze postaci historyczne: szczegóły zjawiają się naostatku. W uporządkowaniu, rozwinięciu społeczeństwie myśleć dopiero można o zażytkach piśmiennych, któreby wskazywały, czém był w jakim kraju przemysł, handel, rolnictwo.

Zwykle pierwsi na widowni piśmiennictwa zjawiają się kronikarze, którzy ważniejsze fakta, dzieła ludzi znakomitych, daty zapisują, nie wglądając w przyczyny i skutki. Rzadko który z nich, i to obojętnie spojrzy i zatrzyma się nad układem wewnętrznym społeczeństwa i państwa. Później dopiero powstają inne pomniki piśmienne: akta, umowy, nadania; dalej księgi praw i uchwał; historycy głębiej już na wypadki, ludzi, na przyczyny i skutki faktów dziejowych zapatrujący się. Nareszcie ze wzrostem oświecenia, piśmiennictwo się rozgałęzia, prawodawstwo rozwija, gromadzą archiwa. Wszystkie szczegóły życia wewnę-

trznego: wychowanie, sztuki, przemysł, stan rolnictwa i oświaty stają się jawniejsze i dostępnejsze dla potomności.

Tak działo się wszędzie, tak było i u nas. Dlatego w pierwszych naszych kronikarzach zaledwie ślady, zaledwie napomknięcia można napotkać, naprowadzające na domysły, jak była zamieszкана i rozdzielona ziemia, jakie klasy i różnice ich posiadaczy, czém była ludność rolnicza lub samo rolnictwo. Dopiero dyplomata i księgi praw późniejsze, rozjaśniają nieco, choć i tak jeszcze niedokładnie, ten przedmiot.

Nie można przecież powziąć wyobrażenia o stanie rolnictwa w jakiejś epoce, jeżeli podział ziemi, rodzaje posiadłości, warunki posiadania, ciężary do niego przywiązane, nie są wiadome. Ziemia jest warsztatem rolniczym; obszerność lub szczupłość jego, swoboda lub ograniczenie w rozporządzaniu nim, są jednym z ważnych warunków takiego lub innego położenia rolnictwa. Sam nawet stosunek posiadłości większych do mniejszych, ważną odgrywa rolę w ekonomice ziemiańskiej.

Jeżeli same wielkie posiadłości wyłącznie zajmują ziemię, można przypuszczać, że kraj taki produkuje wiele zboża na handel; że się zajmuje chowem licznych stad; że przy wzroście przemysłu i kapitałów może wysoko podnieść produkcją z ziemi i zaprowadzić wszystkie ulepszenia i oszczędzenia pracy, korzystne dla rolnictwa i właściciela. Ale można nawzajem i to przewidzieć, że ludność rolnicza jest tam nieliczna i niezamożna; że targ wewnętrzny jest ubogi, a tém samém: że stan miast i fabryk kwitnący być nie może, jeżeli te nie zdołały sobie wyrobić wielkiego targu i pola obszernego dla swój działalności zewnątrz kraju.

Jeżeli ziemia jest rozdrobniona na cząstkowe same posiadłości, można się domniemywać, że kraj ten, lub prowincya ta, wiele produkuje i wiele konsumuje, przeto mało na handel wysyła; że jego lub jój targ wewnętrzny jest ożywiony; że mnóstwo rzemiosł tam kwitnie; że miasta są częste i ludne. Można być pewnym, że się tam nie spotka wydoskonalonych ras inwentarza, skracających robotę maszyn i naukowych metod rolniczych. Praca, zabiegłość z obawy głodu i ofiłość rąk, zastępują miejsce tamtych. Ale jeżeli do takich okolic zakradnie się zaraza próżniactwa i niemoralności, stają się siedliskiem pauperyzmu, czyli nędzy i głodu. Chwile przeludnienia stają się nieraz przyczyną przesilen, którym niezawsze roztropna administracya zapobiedz jest w stanie.

Gdzie wreszcie ziemia według natury swój, położenia, swobodnego biegu rzeczy i naturalnych stosunków, rozdziela się w mniejsze i większe posiadłości; gdzie instytucje lub obyczaje strzegą od obudwóch ostateczności, to jest rozdrobnienia i zbytecznego skupienia: tam można z pewnością przewidywać pewną równowagę, przyjazną zarówno ludności, przemysłowi i rolnictwu. Tam rolnictwo nie wywozi zawiele kosztem własnej ludności i bogactwa wewnętrznego, ani kraj nie przeludnia się pod groźbą głodu i przesilen społecznych. Tam i wiele rąk znajduje zatrudnienie, i wszystkie teorie ważne dla rolnictwa, a niepodobne do zastosowania na małych częściach, znajdują dla siebie miejsce. Targ wewnętrzny kwitnie i produkcja się powiększa. Maszyny ułatwiające skrócenie i oszczędzenie pracy, nie wywołują dzikich zemst: jest miejsce swobodne dla pracy, przemysłu, dla kapitałów i rąk.

Mając więc dany w jakiej epoce lub miejscu podział ziemi i rozróżnienie rodzajów posiadłości, możnaby z tego samego do pewnego stopnia wnioskować o położeniu i stosunkach rolnictwa. Możliwość wnioskować o produkcji, wywozie, przewadze jednych gałęzi gospodarstwa nad drugimi, chowie stad, liczbie i zamożności ludności rolniczej, o targu wewnętrznym, liczbie warsztatów i zamożności miast.

Jednakże podział ziemi pod względem rolniczym i zmiany w tym względzie z kolejną czasów zachodzące, jest to tylko część obrazu historycznego rolnictwa. Wiele innych okoliczności może wpływać na jego stosunki i położenie, modyfikować następstwa z takiego lub innego podziału ziemi wynikające. I tak: stosunki wzajemne osób i klas, prawa, oświata, stosunki handlowe zewnętrzne; pomyślnie i długie lata pokoju, wojny lub długie burze i wstrząśnienia wewnętrzne; same nawet obyczaje i stan moralny ludności, nie tylko wpływ wywierają na wznoszenie się, upadek, kwitnienie lub cofanie ogólnego bytu jakiego kraju, a także samego jego rolnictwa, ale często są powodem zmian w stosunkach rolniczych; zmian w samym nawet podziale ziemi, na lepsze lub gorsze. Mógłby się więc bardzo pomylić, kto by a priori z danego podziału ziemi i zmian w tej mierze zachodzących, chciał dzieje rolnictwa wyprowadzać, pomijając wszystkie inne względy. Zawsze jednakże materia ta zajmuje ważne miejsce w rozpoznaniu i obejrzeniu stanu pierwotnego i biegu następnego rolnictwa krajowego. Jako materia przygotowawcza, ułatwia rozpoznanie głó-

wniej, objaśnia ją i tłumaczy; na nią więc najpierw zwróćmy uwagę.

I.

Z pierwotnych dziejów naszych powziąć nie można dokładnego wyobrażenia o stosunkach co do ziemi. Gruba zasłona czasu pokrywa te części dziejów naszych wewnętrznych. To tylko pewna, że już wówczas ziemia rozdzielala się na liczne posiadłości mniejsze i większe, jużto w ręku monarchy, jużto duchowieństwa, jużto panów, szlachty i rycerstwa, a na tych i wśród tych mieścił się lud rolniczy pod różnemi obowiązkami. W jakich stosunkach, w jakich rozległościach? — trudno o tém szukać śladu. W kraju puszciami okrytym, nad których wytopieniem długo potem jeszcze pracowano, wyrabialy się stosunki rolnicze z wzrostem potęgi i ludności. Potrzeby, okoliczności, jak wszędzie tworzyły stosunki wewnętrzne; zwyczaje utwierdzały się; sankcya prawa później je uświęcać, historia później je zbierać i notować przychodziła.

Od najdawniejszych zdaje się czasów pochodzi zwyczaj zakładania rolniczych posad gromadnie, to jest wsiami. W tej postaci zjawiają się wszystkie, w miarę przybywania i mnożenia się świadectw historycznych. W XII i XIII wieku spotykamy już niektóre nazwiska wsi i osad, które do dziś dnia jeszcze zachowały. Z wielu nadań i świadectw pokazuje się, iż chętnie zakładano je nad brzegami wód, strumieni lub jezior. W takich osadach lub wsiach dzielila się ziemia na pługi, które później nazwę łanu, *mansio*, *mansus* przybrały. Pług jest najdawniejszym podziałem ziemi; przez to rozumie się część roli, którą jeden człowiek parą wołmi obrobić może. Już Helmold świadczy, iż w słowiańskiej ziemi od pługa płacono podatek. Bogufał pod r. 1232 mówi: *a quolibet aratro duo mensurae*. Długosz i Kromer mówią już o podatkach z łanu, a Bielski raz tego, drugi raz tego wyrazu bez różnicy używa. Pierwotnie pług, późniejszy łan, był zwykłą jednostką w miarze ziemi i najczęściej osadą rolnika czyli kmiecia. Z łanu ustanawiane były powinności, na łany nakładane podatki, łanami naznaczana ziemia na zakładać się mające osady.

Takie wsi z większej lub mniejszej ilości osadników, na mniejszych lub większych rozległościach, pod temi lub innemi warunkami osadzanych złożone, były dziedzictwem lub zostawały pod zwierzchnictwem monarchy, panów duchownych lub świe-

ekich i rycerstwa. Do tych wsi łączyły się często puszcze, pastwiska, wody, nieużytki w większych lub mniejszych rozległościach.

W takich ogólnych rysach przedstawia nam się stan kraju, aż do końca XII wieku. W XIII wieku zaczyna się ten jednostajny obraz urozmaicać i z bogacać wielu szczegółami: częścią, że bieg czasu nowe przyniósł w nim zmiany i urozmaicenia, częścią, że liczba i ważność materyałów historycznych, pozwalają dokładniej obejrzyć drobniejsze szczegóły, których wprzód dostrzedz nie było podobna. Jakoż z licznych dyplomatów i nadań z owej epoki widzimy, że w naturze i rozległościach posiadłości ziemskich, panowała wielka różnaitość. Pomimo hojnego rozdawnictwa, liczne włości, ziemie i puszcze zostawały jeszcze w ręku panujących. Duchowni i klasztory przez darowizny, zapisy, kupna, korzystne zamiany, gromadzili coraz liczniejsze posiadłości. W ręku niektórych panów świeckich, skupiały się zbiegiem okoliczności liczne niekiedy imiona (1). Ale pomimo i obok tego napotykamy liczne ślady średnich, a nawet małych własności, odmiennój natury jak posiadłości kmiece. Nietylko spotykamy wsi małych rozmiarów, ale te jeszcze, równie jak większe, dzielone bywały częstokroć na połowiczne i mniejsze nieraz części (2). Oprócz tego to darowizną, to sprzedażą powstawały w nich osady pojedyncze, dziedziczne, wolne, to z pojedynczej włóki, to z kilku lub z kilkunastu złożone (3). Często spotykamy, że takie części (sortes) dziedziczne, bywały zastrzegane przy sprzedaży lub darowiznie (4). W niektórych dyplomatach, łany nadawane zowią łanami wolnemi (5). W innych wymieniane są łany kmiece dziedziczne i wyjęte od sprzedaży lub darowizny całości dóbr lub włości. Z czego jednakże wuosić nie można, iżby dziedzictwo kmieci, było powszechnym stanem prawnym; owszem, samo zastrzeżenie dowodzi, iż to było wyjątkiem. Wszystkim było wolno nabywać

(1) Comes Bronisius w r. 1234 darował klasztorowi paradyskiemu dziewięć wsi.

(2) Kodex. dyp. war. n. 60 T. II pod r. 1295. Tamże n. 265 r. 1338. Kod. dyp. Wiel.-polski. NN. 10. 11, 56, 61.

(3). Kod. Dyp. war. T. II N. 157. Tamże 169—Kod. D. Wielkp. N. 77.

(4) K. D. Wielkp. n. 10.

(5) Comes Wojciech de Lubolów kasztelan zbąszyński r. 1293 służebnemu 16 łanów *wolnych*. Władcy. Kujaw. r. 1295 służebnemu Wilczkowi 2 łany *wolne* w Wielkiej wsi pod miastem Szadkiem i w t. p.

na własność ziemię; mógł ją kupić lub być nią nadanym zarówno kmieć, jak każdy inny mieszkaniec kraju. Królowie i książęta nie szczydzili rozdawnictwa ziemi, bo kraj nie był dostatecznie zaludniony, a stosownie do prawa rycerskiego, wzrastała przez to liczba żołnierzy, do obrony kraju obowiązanych. Nie szczydzili i dlatego, że z pomnożeniem ludności, wzrastały pomyślność i bogactwa kraju. Kazimierz W. w r. 1346 w przywileju dozwalającym Teodorykowi Sturm (K. dyp. Rzysz. n. 113) założyć wieś nad rzeką Lipnik, mówi: *Quod cupientes utilitates regni nostri augere et facere de silvis et nemoribus, de quibus nulla penitus utilitas nobis proveniebat.* Mnożyły się więc średnie i drobne własności, przez nadania, kupna i podział ziemią w naturze przy rozradzaniu się rodzin, jak tego liczne napotykamy ślady w dyplomatarjuszach.

Jednocześnie zjawił się i upowszechnił nowy sposób osadzania włości, i dał początek nowego rodzaju osadom i nowego rodzaju drobnym własnościom. Aby zaradzić brakowi ludzi, który sprowadziły ciągle zamieszki wewnętrzne i napady sąsiednich ludów, będące wówczas prawdziwemi razziami na ludzi; zaczęto przenosić włości pod prawo niemieckie, lub na témże prawie osadzać nowe. Ulegająca temu nowemu prawu ludność, wolną była od sądów kasztelańskich, od licznych obowiązków osobistych i danin w naturze, z prawa polskiego wymagalnych, a natomiast opłacała czynsze, składała sepy i sądziła się przez miejscowych sołtysów albo własnych panów duchownych lub świeckich. Tak we wsiach na prawie niemieckim jak polskim osadzonych, wydzielano ziemię na łany; rozmiary ich tylko były różne. Nastąpiły łany frankońskie, magdeburskie, chełmińskie, stosownie do okolic lub narodowości osadzanych przychodniów. I tutaj łan był zwyczajną osadą rolnika, na łany oznaczano ciężary i podatki.

W tychto wsiach i osadach utworzył się nowy rodzaj średniej własności dziedzicznej—sołtystwa, których posiadacze również do służby wojennej byli obowiązani. Sołtystwa różniły się w rozległości, stosownie do rozległości osad czyli liczby osiedlonych łanów. W jednych nadaniach widzimy szósty łan wolny dla sołtysów (1); gdzieindziej nadają łan siódmy (2). Kazimierz W. nadając Mikołajowi de Tilusio 100 łanów magd. na osadę, jemu, jako sołtysowi dziedzicznemu, daje ośm włók wolnych (3). Gdzie-

(1). Kod. Dyp. War. T. 1. N. 65, str. 114. (2) Tamże. (3) Tamże, T. 1. N. 116.

indziej do 60 łanów, przeznaczają dla sołtystwa 4 łany wolne. W inném nadaniu spotykamy dla sołtystwa 2 włóki wolne. Dołączano jeszcze niekiedy w nadaniach dla sołtystw, lub sprzedażach tychże, części kar sądowych, części dochodów z karczem i inne różne dogodności i uposażenia (1).

Zarówno szlachta jak nieszlachta posiadać mogła i posiadała sołtystwa; wszyscy obowiązani byli do służby wojennej. Zamożność ich musiała być niekiedy znakomita, kiedy Konrad sołtys w r. 1273 ze swego wolnego dorobkowego dziedzictwa, mógł darować klasztorowi ołobockiemu trzy łany wolne (2).

W wielu nadaniach prawa zakładania osad nowych, spotykamy zarazem nadania jednego lub dwóch łanów, stosownie do ilości osady, dla pasterza trzód (*quod scotnicza dicitur*) (3). Dobry ten zwyczaj godzien byłby dziś jeszcze naśladowania. Chroniłby pola i zasiewy od licznych szkód, a młode wiejskie pokolenia od zepsucia i próżniactwa.

Szkodliwém wprawdzie mogło być wprowadzenie osad, na prawie niemieckim lokowanych, z tego powodu, iż gdy część ludności uwolnioną była od ciężarów i obowiązków publicznych, tém więcej obarczano resztę. Niemniej przez to, że wprowadzone były podwójne prawa i sądy w łono kraju. Z tego względu jednakże było korzystne, iż pozwoliło zaludnić się i zakwitnąć krajowi, mnóstwem klęsk publicznych skołatanemu i wyludnionemu. Wprowadzoną została nowa klasa pośrednich właścicieli, pożytecznych zwłaszcza w czasie wojny. Najważniejszém zaś jest to, iż się przygotowała zmiana powinności i ciężarów zbytecznych, z prawa polskiego wypływających. Osiedlenie się oprócz tego znacznej liczby cudzoziemców, korzystnie wpłynęło na przemysł rolniczy. Wielka liczba takich przychodniów osiadła w Podgórzu, okolicach Węgrom przyległych i Rusi; a lubo Kromer i Bielski nie zgadzają się co do czasu ich przyjścia, na to się obadwa zgadzają, iż dobry rząd i nowe gałęzie przemysłu rolniczego z sobą przynieśli (4).

(1) Oswald kasztelan ze Słońska a pan Płowców, sprzedając Stefanowi kmieciowi z Płonia sołtystwo, daje mu oprócz 4 łanów wol. 3ci denar ze spraw sądowych, 3ci denar z karczem. Pozwala mu aby miał stada owiec, klacz i bydła, i pasał je w pomienioném dziedzictwie bez przeszkody ze strony kmieciów. Nadaje mu jeszcze wolność łapania ptastwa używanego do myślistwa. Kod. Dyp. War. T. 1, N. 126.

(2) Tamże N. 54. (3). Tamże N. 113, 116 i 117.

(4) „Po dziś dzień jeszcze widzimy ich” mówi Kromer „już grubszej mowy używających i nie nie różnej od języka w Szlązku, w Morawach,

III.

Wiadomo, że statut wiślicki nie tworzył nowego porządku rzeczy, nie niweczył dawnego. Był on zlanie, zjednoczeniem statutu małopolskiego i wielkopolskiego. Wszystko więc co było, weszło w niego, albo się w nim odbiło. Nadał moc prawa temu, co było zwyczajem; charakter ustawy ogólnej temu, co było przepisem prowincjonalnym; usankcjonował porządek już istniejący.

Różne nazwiska posiadaczy ziemskich, odpowiadające różnego rodzaju własnościom i posiadłościom, znajdujemy w nim wymienione. Lubo *miles* i *nobilis* brany tam jest za jedno, różni jednak *militem famosum*, którego zwie szlachcicem; *scartabelum*, którego tłumacz statutu zwie świrczałką, i *militem creatum de sculleteo aut emethone*. W ustanowieniu głowszczyzny, tak są oszacowani na pieniądze: szlachcic 60 grzywien, świrczałka 30, żołnierz z sołtysa lub kmiecia 15, kmieć *villanus* 10 grzywien. Wszystkie te nazwy oznaczają różne klasy posiadaczy ziemi. Pierwsi są posiadaczami mniej lub więcej rozległych włości; dwie drugie klasy części mniejszych lub większych, i w nich to trzeba szukać zarodu późniejszej zagonowej szlachty; ostatni, osad mniej więcej łąnowych lub półłanowych.

Tenże statut podciąga pod obowiązek służby wojennej sołtysów i duchownych dobra dzierżących; reguluje podział dobrami w naturze pomiędzy spadkobiercami; urządza stosunki pomiędzy panami a kmieciami; nie kładzie żadnej tamy rozrzadzaniu, alienowaniu ziemi komubądź; dozwala własności skupiać

w Czechach i w Prusiech zwyczajnego. Zładże imiona zawziąwszy, wsłom i miasteczkom przez siebie pobudowanym, abo więc zaprzątunonym, nadali: jakoto są Lamberg, Landeshuta, Pilzno, Gorlica, Freistadt. Hieczyn, co Niemcy Tyczynem zowią, Rozemberg, więc i inne od tych nieróżne. Za pieczołowaniem tedy i pracowitością pomientonych przychodniów wnet Polska ludźmi i budynkami zagęszczać się poczęła: są bowiem Niemcy oprzątniejszy i dbalszy gospodarze tak w nabyciu jak zatrzymaniu gospodarstwa, ktemu i ochędoźniej radzi mieszkają”. (Kromer, tł. Bła. k. XII, str. 272). Bielski zaś mówi, iż te osady za Bolesł. Chr. powstały „dlatego Bolesław tam osadzał” mówi „aby bronili granie, ale że był lud gruby, niewaleczny, obrócono je do roli a do krów, bo sery dobrze czynią, zwłaszcza w Spiżu i na Podgórzu, drudzy też kądziel dobrze przęda i przez to płóciem u nas z Podgórza bywa najwięcej”. Krom. T. 1. str. 142.

się lub drobnieć wedle stosunków i okoliczności; wreszcie, jak słusznie i trafnie uważa p. Maciejowski, wspólném prawem rycerskiém łączy klasy większych i mniejszych właścicieli w jedno ciało. Znajdujemy w nim przeto objaśnienie i potwierdzenie tego, co się dotąd o podziale ziemi mówiło.

Ale następuje się pytanie głównie interesujące pod względem rolniczym: jaki był stosunek wielkich posiadłości do średnich i małych? jak się miała wielka uprawa czyli wielkie gospodarstwo folwarczne, do małej uprawy czyli do gospodarstwa cząstkowego?

Na żadne z tych pytań nie można odpowiedzieć cyframi. Żadne ślady statystyczne z owych wieków nie istnieją, nie pomyślano zapewne nawet o nich natenczas. Za ledwie w XVI wieku, i to w drugiej jego połowie zjawiają się opisy kraju, obejmujące obok niektórych szczegółów pod względem przemysłu, handlu, rolnictwa, niejaki wiadomości statystyczne, bardzo szczupłe, i jak to później zobaczymy, niedokładne. W innych nawet krajach wiele później pomyślano o potrzebie i ważności wykazów i zbiorów statystycznych. O liczbach więc mowy być nie może. Można tylko przez pilniejsze rozpatrzenie, znaleźć ślady to w dyplomatach, to w statutach, to w dziejopisach, które pozwolą na rozwiązanie tych pytań w sposób przybliżony.

Ponieważ wielkie posiadłości czyto monarsze, czy duchowne, czy świeckie, obejmowały w sobie znaczną ilość posiadłości mniejszych, jużto czynszowych, jużto wolnych, jużto pod różnemi powinnościami osadzanych: liczba ich więc musiała być mniejsza. O liczebny jednak stosunek nie chodzi. Z rozlicznych nadań na zakładanie osad nowych widzimy, iż najwięcej dawano od 20 do 100 łanów do obsadzania, do których często łączyły się lasy, pastwiska, puszcze. Łany kmieccie i sołtystwa nie ulegały rozdrobnieniu, bo *supremum dominium* nad nimi należało do pana. Alienowanie nawet sołtystw, statut wiślicki do pewnego stopnia zależnym od głównych właścicieli uczynił. Włości w ręku rycerstwa zostające i wszelka własność wolna alienowała się, dzieliła i rozdrabniała, skupiała dowolnie. Skupiała przez spadki, darowizny; rozdrabniała przez rozradzanie się rodzin, zapisy, długi i zobowiązania. Prawo dozwalało podziału ziemi w naturze pomiędzy spadkobiercami; temi więc sposobami wielkie posiadłości przechodzić mogły w mniejsze, średnie, a średnie

w małe. Wielkie fortuny znajdowały ocalenie w spadkach, do-robkach i largicyach monarchów. Wiele znajdujemy śladów, wsi podzielonych na połowy, części i cząstki, a ślady tych podziałów gdzieindziej do dziś dnia jeszcze przetrwały. Im więcej dóbr gromadziło duchowieństwo, tém mniej miejsca zostawało dla rycerstwa.

Wyjednywano więc ciągle nadania na nowe osady, których w kraju zaległym puszciami nie było potrzeby oszczędzać. Wido-oczném jest jednakże, iż w sposobie użytkowania z gruntów otrzymanych i świeżo zdobytych uprawie, przeważał, a raczej wy-łącznie był używany system kolonizacyjny. Tym sposobem małe posiadłości, zyskiwały coraz więcej na liczbie. Pożytkowano z ziemi za pośrednictwem osadników.

Spotykamy wprawdzie ślady, iż gospodarstwo folwarczne, czyli na własny rachunek właścicieli prowadzone, istniało od naj-dawniejszych czasów u nas, tak po dobrach książęcych, duchow-nych, jak prywatnych. Mówią historycy, iż Kazimierz W. po swo-ich śpichlerzach, gumnach i składach posiadał wielkie zapasy zbo-ża, któremi żywił w latach nieurodzajnych. Lubo w statucie wi-ślickim nie spotykamy nigdzie wzmianki o dniach roboczych czy-li pańszczyźnie, w wielu dyplomatach najdawniejszych, na które w drugiej części zwrócimy bliższą uwagę, znajdujemy opisane i oznaczone dni i powinności do posługi folwarcznej. Tam się przekonamy, że pańszczyzna nie jest wymysłem czasów później-szych, ale że ginie w pomroce starożytności. W tymże statucie wiślickim spotykamy wyraz *vladarü*, oznaczający officyalistów, do-zorem folwarcznym trudniących się. W różnych nadaniach spo-tykamy również ślady gospodarstwa folwarcznego, spotykamy je-szcze i w układzie Bodzanty co do dziesięcin (1).

(1) „Cæterum mandamus annuente domino vobro, domino rege præ-dicto, ut ubicumque, per totam nostram Dioeces. in civitatibus, castris, oppidis, villis, prædiis et possessionibus, decimæ manipulatim, in campis hætenus tol-lebantur” etc; dalej: „Item decrevimus quod ubicumque aliquis nobilis sibi aequali. necessitate cogente, hæreditatem suam obligaverit et creditor colue-rit in ea. decimam frugum de agris suis solvat illi ecclesie, cui is qui obliga-vit solvere consveverat ab antiquo, sed si forte labores suos dictus creditor voluerit ampliare. repellendo emethones et excellendo agros eorum, de agris emethonum quos colit decimam in *gonitwa* solvere tenetur, etiam si nobilis kmethoni vel alteri similiter hæreditatem obligaverit, idem ignobilis decimam illiberam cui de jure debuerit, de agris quos colit dare sit adstrictus.

Były więc folwarczne oddziały z gospodarstwem oddzielném, ale że te były mało znaczące, niewielkich przestrzeni, że ginęły w tłumie cząstkowej uprawy, kilka, jedno i półłanowej, na to spotykamy w XIII i XIV wieku znaczną liczbę poszlak.

Gdzie jest wielka uprawa folwarczna, musi być ludność robotnicza, najmem się trudniąca, lub do prac dominialnych obowiązana. Dzisiaj nawet przy maszynach istnieć bez niej folwarki nie mogą. W owych czasach spotykamy nieliczne przykłady pańszczyzny, a za ledwie ślad jakiś niezupełnej ludności zarobniczej. To, co statut wiślicki nazywa *famulus v. golota* albo *obłamek*, nie masz żadnego przekonania, iżby to był rodzaj ludzi do roli używanych; tém więcéj, że w ówczesnych dyplomatach wśród ludności wiejskiej téj nazwy nie spotykamy. Nazwiska rozliczne ludzi do robót rolnych używanych, o jakich Naruszewicz mówi w T. VI, str. 346, już to nie są swojskimi, ale z obcych źródeł przeniesionemi, już to może odnoszą się do czasów, w których system osadniczy i czynszowy, jeszcze się w zupełności nie rozwinął. Że nazwisko *adscriptitii*, *coloni adscriptitii*, nie oznaczało, a przynajmniej niezawsze, ludzi nabytych, w celu użycia ich do uprawy roli czyli niewolników rolnych, jak mniema p. Maciejowski (1), posłużyć może za dowód przywiléj z r. 1273 (2). *Hortulani*, których znaczenie późniéj objaśnione zobaczymy, o ile nam wiadomo piérwszy raz zjawiają się w uniwersałach poborowych za Kazimiérza Jagiellończyka. Najczęściéj w XIIIym i XIVym wieku spotykamy albo wsi na łowiectwie, rybołostwie, bartnictwie osadzone, albo kmieci na wolach (*libertas*), albo na wieczystych dzierżawach, albo gdzie indziej dziedziczne *sortes*; w ogólności najwięcéj rolników czynszowników.

Sama pochopność z jaką osadzano wsi na prawie niemieckim i przenoszono je z polskiego na tamto, dowodzi, iż więcéj sta-

(1) Hist. prawod. sło. T. I, str. 147.

(2) Kod. Dyp. War. str. 86: „Nos Vladimirus episcopus Vladisl. notum facimus.... quod Rothek, Raden, Gostek, Nezalec et Radik homines nostri adscriptitii haeredes de Gacow coram nobis praesentibus.... et aliis quam pluribus militibus nostris et capellanis: testium fide dignorum testimonio et iuramento, ab omnibus solucionibus personalibus seu praedialibus se liberos esse comprobarunt, excepto hoc solummodo: quod omnes generaliter viri prenominati et eorum posteri in perpetuum duas urnas mellis nobis, et nostris successoribus, singulis annis, solvent. Ceterum ad omnia servitia, ad que omnes adscriptitii nostri sunt astricti.... ipsi et eorum posteri obnoxii esse tenebuntur”.

rano się o dochody pośrednio, przez pracę małych dzierżawców wieczystych lub czasowych wpływać mające, jak o ręce do pracy lub rozszerzenie gruntów folwarcznych.

Popiera nasze mniemanie co do bardzo ograniczonej uprawy folwarcznej i to, że statut wiślicki stanowi co do opiekunów, iż ci, tylko z stada a czynszów mają zdawać liczbę po skończeniu opieki (1).

Spostrzegamy wprawdzie częste wzmianki i w samym statucie wiślickim i w różnych dyplomatach o licznych stadach, jakie już wówczas hodowano, co jednakże nie zmienia naszego domniemania o szczupłości zakresu, w jakim się uprawa większa mieściła: byłyto bowiem stada hodowane sposobem stepowym. Zwykle przy wzmiance o nich spotykamy przymiotnik *indomitus*; a i opiekunowie, jak mówi statut wiślicki, mają tylko składać liczbę *de jumentis indomitis*.

Samo nawet prawo rycerskie i ścisłe wykonywanie obowiązków z niego wypływających, nie mogło się pogodzić z rozległą uprawą folwarczną, wymagającą więcej czasu i zajęcia właściciela. Jakoż widzimy, że wówczas obok czynszów, danin w naturze, bacznie zwracano uwagę na gałęzie dochodów, zwykle mniej szacowane, a często zaniedbywane, przy obszernej uprawie zbożowej, jakoto: łowiectwo, rybołówstwo, bobrowe gony, dochód ze skórek futrzanych aspergillów i t. p.

Ten brak rozleglejszej uprawy zbożowej tłumaczy nam owe często powtarzające się głody w wiekach XII, XIII, XIV. Niekiedy mogły one pochodzić ze zniszczenia w skutek wojen, barbarzyńskim sposobem wówczas prowadzonych; ale takie byłyby tylko dotykały niektóre okolice, a Długosz, Kromer, Bielski mówią często o głodach ogólnych. Zobaczymy później, że w miarę jak wzrastała i rozwijała się uprawa większa folwarczna, będą one się stawały coraz rzadszemi, a wywóz zboża na handel zagraniczny coraz większy, pomimo przybytku ludności.

Jakkolwiek taki podział ziemi, jaki wykazaliśmy, mógł być niekorzystny wielkiej produkcji i handlowi wywozowemu, odpowiadał on trafnie ówczesnym potrzebom kraju. Wyludniony poprzedniemi klęskami, zapełniał się ludnością; padały puszcze pod siekierą kolonistów, których korzystne warunki posiadania ziemi zwabiały. Miasta wzrastały, równie jak targ wewnętrzny i liczba

(1) Vol. Leg. 1. St. Wiś. de tutori.

rzemiosł. Ale ten sam przyrost ludności wywoływał nowe potrzeby na przyszłość, i przygotowywał zmiany tak w stosunkach wewnętrznych, jak w samym podziale ziemi, które w późniejszych czasach powoli rozwinąć się miały.

III.

W drugiej połowie XIV wieku nowe prowincje pomnożyły posiadłości Korony. Z wzrostem potęgi wzrosło bezpieczeństwo dla osób i pracy. Mnożyły się drogi handlowe i pole dla przedsięwzięć rozszerzało. Pomnożenie ludności wpływało zbawiennie na wzrost miast, targ wewnętrzny i liczbę rzemiosł, a te nawzajem oddziaływały na wzrost rolnictwa, na żądanie produktów i ich cenę. W życiu kraju panuje solidarność pracy i zysków. Wszystkie przedsięwzięcia przemysłowe i rolnicze, każde rozwinięcie pracy, starań i kapitałów, ożywia, porusza wszystko, co naokoło drzymało; poruszone elementa, dodają nawzajem siły temu, co ich życie obudziło. Przeważająca ludność w jednych miejscach, rozsypanywać się musiała po okolicach mniej zaludnionych. Swoboda ruchu, jaką prawa nadawały ludności, dopomagała do tego. Z przybytkiem ziemi, wzrostem ludności, bezpieczeństwa i pokoju, z wzrostem cen i nowymi drogami handlowymi, musiało rolnictwo nabrać nowego popędu i otworzyć sobie nowe źródła produkcyi. Jakoż Kromer mówi pod r. 1401 (1): „Spokojnie naówczas we wszystkiem powodziło się Polsce, i ztądże się téż mnożyły chęci do rzemiosła gospodarskiego”.

Sama potrzeba nawet pędzić musiała wszystkich do niego. Ludny i silny kraj potrzebował coraz więcej chleba i coraz więcej wartości zamiennych za potrzeby zbytkowe, które zwykle z dobrym bytem się pomnażają. Rolnictwo cząstkowe, rozdrobione, nie mogło mu dostarczyć ani jednego, ani drugiego w dostatecznej ilości. Naród czerstwy i pełen życia, nie skazuje się dobrowolnie na głód i nędzę. Przymus lub fałszywe systemata finansowe i administracyjne, mogą go do tego doprowadzić; ale gdzie pierwszy nie istnieje, drugie ustąpić muszą sile życia i rozsądku publicznego. Mianowicie ludy rozwijające się posiadają do wysokiego stopnia potęgę łamania zawad i zdobywania tego wszystkiego, co stanowi warunek ich życia i wzrostu. Kraje téż zupełnie lub nawpół dziewicze, łatwiej dają się organizo-

(1) Str. 350.

wać, stosowni do zjawiających się lub wzrastających potrzeb. Każda przemiana w towarzystwie ustalonym, potrąca mnóstwo interesów i mnóstwo wyobrażeń, które czas w głębokie przekonania zamienił. Wśród puszczy, lasów, stepów, jakie posiadają narody rozwijające się, jest miejsce na wszystko i dla wszystkich. Przemiany odbywają się bez potępiania porządku ustalonego i stosunków prawnych. Tę korzyść miała wówczas Polska. Pełna czerstwości i siły, dzielnymi ramiony rozszerzała pole swojej pracy i zysków. Nieużytki, stepy, lasy zamieniały się w rodzajne niwy; ale system wielkiej uprawy musiał brać górę nad systemem cząstkowym i osadniczym. Jakoż w dyplomatach z początków XV w. nie spotykamy już rozdawnictwa łanów na kolonizacyą. Chylące się prawo rycerskie mogło pomagać do przemiany systemu rolniczego. Małe własności żołnierskie traciły główny cel swego istnienia, a wskutek tego i opiekę prawną, jaka im się dawniej z interesu państwa należała. W wojnach przeciwko Krzyżakom, poczęto się coraz więcej przekonywać, że pospolite ruszenie mało pożytku przynosiło (1). Odkładano je na walne wydarzenia, a używano więcej zaciężnego żołnierza. To uwalniając coraz więcej właścicieli ziemskich od rzemiosła wojennego, dawało większą swobodę do obszerniejszych zatrudnień rolniczych. Jako lekkie nachylenie ku zmianom, o których mówimy, można uważać konstytucyą o nieużytecznym albo nieposłusznym sołtysie w r. 1420 zapadłą (2); lubo ta wyływać mogła loicznie z prawa zwierzchnictwa przyznanego panom nad sołtystwami jeszcze statutem wiślickim, i być tylko objaśnieniem tamtego.

Wielkie, trwać mające przemiany społeczne nie dzieją się odrazu, jednym skokiem, skoro nie są chwilowe, przemijające jako wypadek gwałtu lub rewolucyi; dlatego słusznie nadają im teraz miano ewolucyi, dla odróżnienia od tamtych. Płyną one niejako same z siebie; wywołuje je i popycha konieczność, potrzeba, natura rzeczy; okoliczności przyjazne sprzyjają im lub nieprzyjazne stają na przeszkodzie, a mimo tego prąd idzie naprzód, jak strumień wody po pochyłości. Zrazu niedostrzeżone, później, bystrzejszemu tylko oku widoczne we wszystkich następstwach,

(1) Wspomina o tém kilka razy Bielski przy opisie wojen pruskich za Kazimierza Jagiellończyka. (2) V. L. s. 79.

wreszcie stają się faktem dokonany i zadziwiają umysły nieprzewidujące.

Przez przeciąg wieku XV nie spostrzegamy żadnej stanowczej zmiany w stosunkach ziemi. Ewolucya odbywała się powoli bez szkody niczyjej i na korzyść ogólną. W uniwersałach poborowych w czasie wojen pruskich, do oceniania dochodu jeszcze brane są czynsze. Prawie też same klasy ludności rolniczej w nich się jeszcze uwijają, jakie i dawniej widzieliśmy, przybyli tylko hortulani.

Złączenie dopiero Prus królewskich, jakkolwiek kosztem wielkich wysiłen dokonane, otwierając najważniejsze ujścia handlowe, spajając najludniejsze i najzamożniejsze prowincye, nowe życie obudziły w reszcie kraju i otworzyły źródła nowych pomyslności. Pisze Bielski (1), iż wówczas nastąpiły wielkie zbytki i rozkosze. Odtąd zdaje się wielka uprawa stanowczy popęd zyskała, bo w wieku XVIIm znajdujemy ją ustaloną i spostrzegamy wyraźną przewagę latifundyów.

Ciągły przybytek ziemi pod uprawę obracanej bez użycia w pomoc systemu kolonizacyjnego, objawia się w coraz większej potrzebie rąk do pracy. W szeregu praw w tym celu wydanych, aby liczbę rąk dla rolnictwa krajowego pomnożyć, widzimy wzrastający postęp tej potrzeby. Prawodawca używa wszelkich środków, aby jej zadosyć uczynić. System czynszowy zaczyna ustępować pańszczyznianemu.

Opiekunowie już nie z czynszu i stada tylko mają zdawać liczbę, gdyż, jak mówi konstytucya z r. 1565 (2), daleko większe są pożytki z gruntów i innych rzeczy pozostałych, niżeli z czynszu i stada.

W uniwersałach poborowych z XVIgo wieku spotykamy już nietylko kmieci co panom orzą, ale mnóstwo rodzajów robotników do prac folwarcznych używanych, jakoto: zagrodników, którzy w ogrodach siedzą, zagrodników z rolami, zagrodników co domki mają i ogrody, a na czynszu są; komorników, którzy bydło mają, luźnych ludzi, alias hultajów (3).

Wzięło więc przewagę gospodarstwo folwarczne wielkie, system latifundyów; ale ta przemiana nie stała się bynajmniej kosztem małych własności lub małych dzierżaw wieczystych lub czasowych. O rugowaniu z ziemi ludności rolniczej lubo wspomina

(1) Ks. IV, str. 165. (2) V. L. II, str. 692. (3) V. L. T. II, str. 662 i inne.

i powoływany wyżej ułamek układu Bodzanty o dziesięciny i Frycz Modrzewski, było to jednak coś nader rzadkiego. Sam sposób w jaki o tém mówi Modrzewski (1) każe się domyślać, iż to było rzeczą niezwykłą. Ścieśniano swobodę ruchu, aby prace rolnicze na opuszczaniu posad nie traciły; ale rozmiary posiadłości kmiących, pozostały w większej części te same. Stosunek jednakże do rozległości niw folwarcznych zmienił się; niwy te rosły tém wszystkiém, co rolnictwo nieużytkom, lasom, bagnom zdobyło; już to we własnych granicach, już to w okolicach niezaludnionych i mało uprawnych. Dyplomata z XVgo wieku świadczą o licznych zastawach, sprzedażach ziemi, na rzecz prywatnych, przez panujących czynionych. Znana jest hojność Jagiellonów, a Alexander przewyższał w niej wszystkich braci swoich. Za panowania Zygmunta Igo, Konstanty książę Ostrogski na Wołyniu, a w Kijowskiém Semen książę Słucki ziemie rozdawali; na Podlasiu Gastold w imieniu tegoż króla w lasach do karczowania nadawał służby. „Takie więc nadania” mówi Czacki (2) „umniejszały ziemi panującym, a czyniły fundusze obywatelów.” Łącząc Prusy Kazimiérz Jagiellończyk rzekł się nakorzyść tamtejszych posiadaczy przypadać na niego mającego dziedzictwa wszystkich feudów (3). Znaczna liczba zamków, dóbr, dochodów wykupioną została wprawdzie przez Bonara za Zygmunta Igo (4); wiele fałszywych lub nieprawnych przywilejów zniszczono za Zygmunta Augusta, w czasie naprawy Rplitej, ale pomimo tego, większa część ziemi od panujących przeszła w ręce rycerstwa i panów. Jak wiele zaś jeszcze lasów padało pod siekierą i zamieniało się w owym wieku na pola, domyślać się można ze skargi Jana Kochanowskiego, który narzeka, że bóstwa leśne wkrótce opuszczą Polskę, bo w niej nie będą miały już przytułku. Tymto sposobem rozszerzyło się gospodarstwo wielko-folwarczne, przynosząc z sobą rozliczne zmiany wewnętrzne.

Zakaz plebejom posiadania dóbr ziemskich, zmienił o tyle tylko stan rzeczy, że summa dóbr, posiadanych przez plebejów, wyprzedana przez tychże, o tyleż powiększyła summę ziemi posiadanej przez rycerstwo. Stosunek więc posiadłości ziemskich zmienił się przez to, ale nie pod względem rolniczym.

(1) O poprawie Rplitej, wy. 1770 r., str. 187. (2) T. I, str. 269.

(3) V. I, r. 1476, str. 229. (4) Bielski ks. V, str. 103.

IV.

Lubo w drugiej połowie XVIgo wieku spotykamy w pismach i dokumentach ówczesowych, niektóre cyfry i daty statystyczne, mianowicie do proporcji rolniczego podziału ziemi się odnoszące, te jednakże albo są wątpliwe, albo bezwarunkowo przyjmowane być nie mogą. W ogólności jest ich mało. Różne opisy kraju, z owego czasu pozostałe, notują to tylko, co pod względem politycznym, historycznym, geograficznym, handlowym lub przemysłowym, pamięci było godne; nad właściwą statystyką, zwłaszcza nad tą jej częścią, która ziemi dotyczy, nie zatrzymując się wcale. Ta część nauki statystycznej dziś dopiero jest uznawaną pod względem swój ważności, a mało gdzie dotąd udokładnioną. System podatkowy polegał na zasadach niepewnych, wątpliwych. Myślał wprawdzie Zygmunt August o pomiarze kraju, ale zdaje się, iż myśl jego przeprowadzoną tylko była w ekonomicznych litewskich. Mówi Bielski pod r. 1475, iż tak niedokładnie łany do podatku są podciągane, iż chociaż ich liczba i liczba kmieci potroiła się, summa zebrana nie wyrównywa téj, jaką dawniej zbierano. Dlatego można powątpiewać o prawdziwości tego, co nam podają, jakoby w r. 1576 miało być liczone do podatków w Koronie łanów 146,661 (1). Byłybyto tylko łany kmieccie, tak zwane osiadłe? Czy wszystkie pod uprawę użyte? W jednym i drugim przypuszczeniu liczba zdaje się za niską. Jeżeli prawdą jest (co podług nas wątpliwości również podlega), iż sześć włók liczone na obrobienie jednej włóki folwarcznej, jakobyto nieproporcjonalnie mała liczba wykazała się łanów folwarcznych. Jakżeby kraj tak mało ziemi pod uprawą większą posiadający, mógł wywozić tak wiele, jak podają: Opaliński, Cellaryusz, Rzączyński, a jak to później zobaczymy. Widocznie więc ta liczba musi być mylną, lubo może tyle tylko do podatku liczone. Starowolski powiada: „rozumiałbym, iżby wszystka Korona z W. Ks. litewskiem przeniosła 10 milionów łanów” (2). Ta cyfra lubo na domysł tylko przez niego podana, jak to z późniejszych obliczeń, podług mil geograficznych robionych pokazuje się, jest znowu za wysoką. Chociażby jednakże ta liczba prawdziwą była, bez szczegółowych rozliczeń, nie byłaby do naszego przedmiotu przydatną.

(1) Czacki T. I, przypis. 49 str. 223. (2) Reform. Obycz. r. 22, str. 162.

Co do proporecyi rozdziału łąnów folwarcznych i kmiecych, zdaje się niewątpliwém, iż zasada liczenia sześciu włók kmiecych na obrobienie jednej folwarcznej, nie mogła być ogólna. Czacki o niej mówi, jako o używanój w nowo-urządzonych ekonomiciach na Litwie. Z tego niektórzy wnosili, jakoby ta zasada była powszechną. W samej Litwie inne były powinności w dobrach królewskich, a prywatnych. Tam, również jak w Koronie, stosunek zmieniał się w miarę przybieranój roli pod uprawę. Powiększano uprawę, choć liczba nowych pokoleń, równie szybko rozradzać się, nadrastać i na rolach obsiadać nie mogła. Można przypuścić, że stosunek rol kmiecych do folwarcznych, zmieniać się musiał codzien niemal. Kiedy jeszcze zważymy, jak różną była w różnych prowincjach kraju wartość ziemi, dni roboczych i zboża; jaka nierówność zaludnienia; kiedy zważymy, jak Prusy np. wyprzedzały w kulturze Koronę, Korona Litwę i Ruś; jak każda prowincya innego prawa i zwyczaju pilnowała, a te z innego źródła wszędzie płynęły:—tém więcęj się utwierdzimy w przekonaniu, iż co do proporecyi łąnów kmiecych do folwarcznych, nie mogło być stałej, jednostajnej, ogólnej zasady. Ta zmieniać się musiała stosownie do czasu, miejsca i okoliczności.

W Litwie z również niedostatecznymi cyframi się spotykamy. Pierwsze urządzenie ekonomiczne z r. 1529 (1) nie o pomiarach ziemi nie wspominając, przepisuje tylko tryb zarządzania ekonomiciami; oznacza płacę służebnym; rozdziela dochody pomiędzy panującego i starostów. Druga z r. 1557, o której Czacki często wspomina i w ułamkach przytacza, wykazuje rozległość posiadłości kmiecych, rzemieślniczych, strzeleckich, mierniczych i t. d. Ale i tu spotykamy sprzeczności, a zatém i wątpliwości. W jedném miejscu mówi tenże Czacki, iż z urzędzenia ekonomicznego na Litwie pokazuje się, że włóka była osadą gospodarza; wieś miała ławników, wójt rządził stu włókami mniej więcęj. Rzemieślnicy, strzelcy, mostowi i różnego rodzaju bojarowie, należeli do udziału, którym *urząd* rządził w Podlasiu, a w Żmudzi *Cywon* albo *Tywun* (2). W inném miejscu, również powołując się na urządzenie ekonomiczne z r. 1557, powiada: iż służba miała najczęściej dwie włóki w dobrach panującego; oprócz innych powinności, chłop z włóki robił dwa dni pańszczyzny;

(1) W Zbiorze Pr. Lit. Tyt. Działyń. (2) T. I. str. 269 przypis. 140.

z służby zatem jednej w dobrach król. rachowano dni cztery (1). Gdzieindziej jeszcze mówi, także powołując się na toż urządzenie, iż przyjęto cztery gatunki ziemi, i w zamianie mieszanych dziedzin, czyli jak nazywano szachownic, dawano najgorszego gruntu cztery włóki za jedną. Ileż więc posiadał kmieć? jaki mógł być stosunek łąnów kmiecych do folwarcznych? — pozostaje w wątpliwości.

Co do Prus, Żmudzi, Rusi i t. d. żadnych już liczb nie spotykamy, któreby zresztą tylko nowe wątpliwości rodzić mogły. Wszystko co o tych prowincjach mówią ówcześni pisarze, ogranicza się na ogółowych spostrzeżeniach, lubo niekiedy ciekawych pod względem rolniczym, jak to później zobaczymy.

Summa więc wiadomości liczebnych redukuje się prawie do zera. To tylko ogólne spostrzeżenie pozostaje i przedstawia się jako fakt widoczny, że system pańszczyzniany wzrósł na Litwie; a stanowczo przeważał w Koronie: że system wielkiej uprawy wziął górę nad małą uprawą; że zatem wzrosła obszerność gruntów folwarcznych, i proporcya tychże do kmiecych i wolnych posiadłości zmienić się musiała.

Ten fakt spotykamy zarówno w Koronie, Litwie i innych prowincjach, z wyjątkiem tylko Żmudzi, bo tam urządzenie ekonomiczne z r. 1529 (2) kassuje robocizny narzucone przez starostów, a ustanawia stałe opłaty czynszów i daniny w naturze, utrzymując jedynie dawne dni do sianożęć.

V.

Dziwnym sposobem w życiu ludów, przemysł, handel, rolnictwo, bogactwo, łączą się i jednocześnie z uprawą umysłową, z zamiłowaniem w sztukach i naukach. Nieomal wszędzie i zawsze idą one w parze. We Włoszech, Holandyi, Francyi, Niemczech, obecnie Anglii, widzimy tego przykłady; widzimy to i u nas w XVI wieku. Dlatego nie lękamy się, aby terażniejszy duch przemysłu, miał stłumić ducha sztuk i nauk, a kłęby pary zaćmić blask tamtych. Owszem, w ożywionym ruchu znajdują one nową podniętę, a w przyroście bogactw, nową zachętę i zasilek. Jeżeli bogactwa które gromadzi przemysł, porywają jednych do zbytku, zepsucia, to za to umysły wyborowe, żywiące w sobie myśl i uczu-

(1) T. II str. 163, przypis 310. (2) W księ. pr. lit. Tyt. Dział.

cie piękności i nieskończoności, znajdują w nich pokój i swobodę umysłu potrzebne do tworzenia, i środki do wykonywania dzieł w duchu poczętych.

Wiek XVI u nas przedstawia się nie tylko jako wiek wysokiej kultury umysłowej, ale jeszcze jako wiek znakomitego ruchu rolniczego i bogactwa wewnętrznego; nie wiemy, co wprzód w nim podziwiać: czy działalność umysłową, czy skrzętność około zatrudnień materyalnych. To pewna, iż spostrzegamy w nim dobry byt, obfitość, handel wewnętrzny i wywozowy wzrastające w sposób olbrzymi, i to równoległe i jednocześnie z nowym systematem rolniczym. Niektóre interesujące pod tym względem szczegóły, znajdujemy w kilku pisarzach ówczesnych.

O ogromnych stadach bydła, które kraj wyżywiał i do Niemiec, Czech i Morawii wysyłał, o niezliczonych stadach koni, spotykamy wzmiankę w Jana Kraszińskiego: *Polonii* (1). Z odległych krain, mówi on, z Luzytanii, Francji, Flandryi, Holandji, Anglii, Szkocji, Hibernii, Szwecji, Norwegii, Danii i Niemiec, przyjeżdżają kupcy zabierać nasze zboża, drzewo do budowy okrętów, popioły, len, konopie, wełnę, skóry zwierzęce, woski. Dwieście i trzysta wielkich i mniejszych okrętów, zawija jednocześnie do Gdańska po te płody. Litwa otrząsa się, mówi tenże, ze starej powłoki, *olim aut silvis horrida aut paludibus foeda*; teraz wyciąwszy lasy, wzrasta w ludność i uprawę.

Starowolski wylicza jeszcze dłuższy szereg produktów dostarczanych za granicę (2).

Opaliński (3) powiada, iż 60,000 wołów do różnych krajów wprowadzano rocznie.

Jako dowód obfitości krajowej przytacza Cellaryusz, że przy elekcji Henryka Walezego sto tysięcy jeźdźców, zajmując przestrzeń czterech mil pod Warszawą, przez czterdzieści dni żadnego nie doznało niedostatku (4). Wspomniany już wyżej Opaliński powiada, że jak niegdyś Sycylia i Egipt żywiły Rzym, tak my jesteśmy śpichlerzem nie samej Holandji, ale wielu narodów. Ostatniej wiosny, mówi dalej, 5,000 statków spławiono Wisłą do Gdańska. Spław roczny do tegoż miasta oblicza na sześć milionów medimnów rzymskich, co by czyniło 120,000 łasztów, bo łaszt zawiera 50 medimnów. Cenę zaś wysyłanego zboża poda-

(1) Cap. XIII. Lib. I. (2) In Polonia, s. 471. (3) Polon. defen. con. Barclaj. (4) Descr. R. P. s. 503.

je na trzy miliony talarów. Byłto zaś wywóz, jak sam uważa, zaledwie z trzeciej części kraju; Szląsk i Pomerania potrzebowały również dowozu; wiele prowincyj miało inne drogi handlowe. Litwa np. Niemnem i Dźwiną; a przez sam port piławski przeszło w jednym roku piętnaście tysięcy łasztów.

Wśród takich okoliczności tworzyły się ogromne fortuny prywatne. Zadziwiającemi teraz są w tej mierze niektóre podania. Opowiada Opaliński w piśmie wyżej wymienioném: iż wielu było obywateli, którzy po tysiącu piechoty, tyleż lekko uzbrojonej jazdy, a trzy i cztery tysiące kozactwa na wojnę wysyłali. Tym jeszcze żołd wypłacano na wojnę jadącym. W Wielkiej Polsce, gdzie chów stad najwięcej kwitł, w jednym majątku żywiono 30,000 owiec. Na Rusi, powiada tenże, jest zwyczaj, że poddani co siedm lat dziesięcinę z bydła swego oddają. Z tej, jeden właściciel na raz 10,000 wołów odebrał. Po zniesieniu zaś siedmioletniego odbierania dziesięciny, dobra jego tak podzielone zostały, iż co rok przeszło 1,000 wołów mu oddawano. Niektórzy tyle dóbr rozrzuconych po kraju posiadali, iż połączone, 20 do 30 mil przestrzeni zajmowałyby.

Piasecki, lubo to już sięga początków XVIIgo wieku, wspomina o ogromnych dostatkach pozostawionych przez Andrzeja Lipskiego biskupa krakowskiego i Janusza księcia Ostrońskiego kaszt. krakowskiego, który zszedł bez potomka męskiego, jedną tylko córkę zostawiwszy. Pułki całe utrzymywał i żywił swoim kosztem, a testamentem 600 jeźdźców zbrojnych, na obronę granic utrzymywać polecił. 300,000 dukatów węgierskich pozostawił w gotowiznie, prócz ogromnych kosztowności i wielkiego dostatku wszelakich sprzętów.

Na utworzenie tak wielkich dostatków prywatnych i krajowych, na tak olbrzymie podniesienie się produkcji i wywozu, składać się musiało i składało wiele rozmaitych przyczyn: bezpieczeństwo publiczne, dogodność sflawów, zniesienie ceł, łagodność systematu podatkowego, ciągła potrzeba i wysokie ceny produktów rolniczych. Za jedną z ważniejszych jednakże przyczyn uważać należy zmianę systematu rolniczego i przejście z małej części uprawy do wielkiej folwarcznej. Nigdy małe gospodarstwa cząstkowe nie byłyby w stanie tak licznych i ludnych miast zaopatrzyć, i zarazem takiej mnogości produktów handlowi dostarczyć.

Ale wszystko ma swoje dobre i złe strony. Uprawa wielkich obszarów i otrzymanie tak wysokiej produkcji, jakieżeto

liczby rąk wymagało? Łatwiej było odkrywać pola i obracać je pod uprawę, niż stworzyć dostateczną liczbę ludności rolniczej zarobkowej do ich obrobienia. Podkopywał się więc w miarę coraz więcej naglącej potrzeby, system dawny czynszowy. Zrazu statut toruński oznaczył minimum dni roboczych, potem poczęto podnosić je w miarę potrzeby. Zrazu ograniczano liczbę rolników, mogących jednorazowie miejsce swego siedliska opuścić; niebawem zupełnie to zostało zabronioném, a prawo zajęło się tylko ściganiem i dochodzeniem uszłych. Jednocześnie więc z dochodzeniem do coraz większej produkcji i do coraz rozleglejszego wywozu, położenie ludności rolniczej się pogorszało. Spotykamy na to dowody nietylko w samém prawodawstwie, ale jeszcze wzmianki a niekiedy przestrogi w Modrzewskim, Krasieńskim i Kromerze. Ale nie chcemy nad tą materją dłużej się zatrzymywać; chcieliśmy tylko wskazać ją, a zarazem zwrócić uwagę, że umysły wyższe i dostrzegawcze poczęły już wówczas ostrzegać o złem, które było nieledwie w samym zawiązku.

Wpóśród takiej przewagi i korzyści wielkiej folwarcznej uprawy, położenie małych własności, których dawniej znaczną liczbę dostrzegać mogliśmy, stawało się wątpliwém. Zagrozały im: to łatwość skupna, jaką zawsze mają wielcy właściciele, to kolejne drobnienie, prowadzące wreszcie małe własności do niknienia w wielkich. Jestto bowiem prawo niemyślne, równie ogólne i pewne, jak prawa fizyczne, którym ciała w ogólności ulegają, iż wielka własność naturalnie dąży do coraz większego wzrostu, a mała do kolejnego drobnienia i rozpadania na cząstki. To też coraz mniej będą nam się nawijać pośrednie i mniejsze wolne własności, które się dawniej roiły. Natomiast spotykamy już wzmianki o zagonowej szlachcie, owych *pauperes milites*, o których już wspominał statut wiślicki, ale teraz spotykamy ich w takiej liczbie, że z samego Mazowsza, rozstrzygają elekcyą Henryka Walezego: „Ci najwięcej, mówi Bielski (1), głosami swemi na ks. andegaweńskie zageścili, acz go i wymówić dobrze nie umieli, i zwali gaweńskim ksiązęciem, a Ernest inaczój u nich nie był, jedno Rdest”.

VI.

W ciągu tego długiego i suchego opowiadania staraliśmy się wskazać: jak początkowo przeważał system kolonizacyjny i czyn-

(1) K. IV, s. 137.

szowy; system mniejszych posiadłości rolniczych i małej uprawy; jak dogadzał potrzeby kraju, dopomagając do jego zaludnienia, trzebieży lasów i puszczy, i przyczyniając się do napływu obcych osadników, których tak wyniszczone z ludzi prowincye pożądały. Staraliśmy się wskazać zarazem, jak z wzrostem ludności i miast, potrzeb i handlu, ten system nie zdołał wystarczyć ani wewnętrznym potrzebom, ani zamianie handlowej, i ustępować musiał nowemu podziałowi ziemi i nowemu systematowi rolniczemu, wywołanemu instynktem życia i wzrostu narodu; jak nowy system wielkiej uprawy wzmógł i do wysokiej potęgi doprowadził produkcją i wywóz; uśmierzył głody, które w poprzednich wiekach prawie chroniczném stały się złem; jak wszystkim wewnętrznym potrzebom zadosyć uczynił. Wskazaliśmy nareszcie: jak ten system rozszerzając się rugował dawny czynszowy, a wzmagając coraz większą potrzebę rąk, przyczynił się pośrednio do zmiany położenia ludności rolniczej.

Następuje się pytanie: czy można było przejść, skoro tego istotna zachodziła potrzeba, z małej do wielkiej uprawy, zmienić stosunek posiadłości ziemskich pod względem rolniczym, bez nadwężenia systematu czynszowego i bez naruszenia korzyści położenia, jakiej ludność rolnicza używała? czy można było wszystkie pożytki jednego systematu osiągnąć, zachowując zarazem stan prawny i pożytki drugiego?

Opatrzeni doświadczeniem i przykładami różnych czasów i ludów, możemy dziś odpowiedzieć:—że można było. Dwojaka do tego prowadziła droga: albo stwarzając, organizując ludność wolną, zarobkową, do posługi folwarcznej, do czego już były zarodki we wzmiankowanych w statucie wiślickim *gołotach*, *oblamkach*, w wymienianych w nadaniach *adscriptitiach*, ludności tak zwaną niewolną, w późniejszych hortulanach, i rozszerzając granice folwarków w miarę przybytku takiej ludności; albo organizując system średnich a długotrwałych dzierżaw. Takie kilko i kilkunasto włókowe dzierżawy łączyłyby były wszystkie korzyści wielkiej i małej uprawy, bez niedogodności wyłącznie jednej lub drugiej. Powstałaby była właściwa klasa rolnicza zamożna, pracująca i zdolna ukształcenia, czém nasi dawni posiadacze ziemscy, przy swych obowiązkach publicznych, nigdy być nie mogli. Tacy dzierżawcy nie mogliby byli następować na prawa i korzyści innych klas rolniczych, a popychani zarazem i widokami korzyści z większej uprawy wynikającymi, i koniecznością oszczędzania

czasu i rąk, byliby znaleźli środki dojścia do celu przemysłem i zabiegłością. Stworzyliby byli, wywołali wolną ludność zarobkową, lub korzyściami najmu przyczyniali się mimowolnie i mimo wiedzy do podnoszenia moralnie i materyalnie klass rolniczych. Właściciele ziemscy zastąpieni w ten sposób w zatrudnieniach rolniczych, byliby znaleźli całą swobodę do prac publicznych, i nie stawali tak często w sprzeczności, pomiędzy własnym interesem, a interesem publicznym. Tym sposobem można było uniknąć błędu, którego skutków wiek XVIty nie uczuł, lecz który później miał się stać ważnym w swych skutkach.

Ale jak nie można wyobrażeń i zasad z innych wieków i czasów przenosić bezwarunkowo i stosować do bieżących; tak téż wyobrażeń i zasad, nabytych długiém doświadczeniem i wyrobionych rozpatrywaniem różnych przykładów, przenosić i stosować do wieków minionych. Wieki różnią się częstokroć tak dalece wyobrazeniami i zasadami, że jedne nie pojmują, nie rozumieją zupełnie drugich. A chociaż wzajemnie szanować się powinny, błędów i zalet zarówno pokrywać się nie godzi, dla nauki i przykładu żyjących.



TANKRED DE MONTECUTE

CZYLI

NOWA KRUCYATA.

(Powieść przez d'Israeli napisana).

(Dokończenie).

CZEŚĆ Vta.

Rozdział III.

— **W**ielki to zawsze dzień—rzekł Tankred—i wart pamięci.

— Tak, lecz powiedz szczerze, co myślisz o moich gościach? Sążto ludzie, co zdolni świat cały podbić?

— Świata nie podbijesz samą siłą fizyczną; trzeba na to i myśli twórczej.

— Wszakżeż nam na niej nie zbywa.

— Nam, zgadzam się, ale nie wiem, czy oni ją posiadają.

— To ich też samą myślą natchniemy.

— Wątpliwe to zadanie; dążą oni raczej do ustanowienia teokratycznej równości na zasadach starego feudalizmu; co do mnie, radziłbym ci więcej liczyć na mieszkańców pustyni. Arabcy nie łudzą się sofistkami; są dzisiaj tém, czém byli za czasów Mahometa, Mojżesza i Abrahama: szczerą pobożność jest i była ich udziałem, a dobrze zrozumiana równość jest tylko rozwinięciem dalszych zasad patryarchalnych.

— Ależ i nasi goście są Arabami—odrzekł Fakredeen—i ja jestem Arabem; każdy z obecnych tu Mookatadzów, jakiegokolwiek

jest jego wyznanie, pochodzi także albo od Yemena, albo od Hedjuza, albo od Nedzida.

— Piękne to pochodzenie—rzekł Tankred poważnie.

— I patrz, co to za ludzie—dodał Fakredeem z zapalem.— Liban może wysłać przeszło 50,000 dobrze uzbrojonego żołnierza, a pozostanie jeszcze dosyć rąk na miejscu do uprawy roli, do hodowli jedwabników i strzeżenia kobiet. A co to za wojsko z tych Beduinów? jaka wstrzemięźliwość, jaka moc, jaka wytrwałość!

— A mimo to dotąd nic wielkiego nie zdziałali, gdy przeciwnie Arabowie zawsze i wszędzie dopięli swego.

— Otóż wyjaśnię ci wszystko. Prawda, żeśmy dotąd niewiele učinili dla Syrii, i że, gdyśmy pierwsiastkowo osiedli na tujszych błoniach w r. 63 po nar. Chrystusa, za emira Youssefa, pobito nas ucziwie; ale pomimo klęsk nie wyparto nas z Libanu, a Liban jest kluczem całej Syrii. Dzisiaj zmieniła się postać rzeczy: dziś sprzyja nam Amalek, a on jest wszechwładnym w pustyniach Syrii, i za jego pomocą możemy mieć równie bitną, liczną i silnie uorganizowaną jazdę, jaką jest i nasza piechota.

— Niewątpliwie przyjdzie kolój na Liban, bo kraj ten przeznaczony zdawna na to, by przodkował innym na Wschodzie; lecz kiedy i jak?—to pytanie, na które trudno odpowiedzieć, bo najczęściej przychodzi nam ztamtąd moc i siła, z kąd się jój najmniej spodziewamy. Jakżeby rad obejrzyć niektóre miasta Syrii, ciągnął dalej Tankred—jakżeby chciał być w Bagdadzie. Czasami zdaje mi się, że cały ten kraj aż do brzegów Eufratu możnaby w jednej kampanii zawojować; czasami znowu stają mi na myśli materialne trudności, i przemyśliwam, jakiej artyleryi i ile wojska wymaga miejscowa potrzeba; to znów zwracam się myślą do Azyi Mniejszej, bo o Azyi Mniejszej nigdy zapominać nie należy: jestto punkt główny naszego przyszłego działania, kraj w całym świecie najbogatszy, i choć dziś wyludniony i opustoszały, może przecież dzielnie wpłynąć na całą Europę. A gdyby też Turcy, w czasie wyprawy na babilońskie i assyryjskie państwa, weszli Azyą Mniejszą i Liban zdobyli? Ale nie, to być nie może, boście tu silni i mocni, zwłaszcza gdy ściśle złączeni z Druzami, jedną stanowić będziecie całość. O tak, wówczas będziecie silni, ja temu bynajmniej nie przeczę; lecz kto będzie w czasie domnie-manój wojny zajmował obronne miejsca północnej Syrii? Na kogo liczyć możecie, komu powierzycie kraj od Tripolis aż do Antyochii, i znowu od Alepo do Adanach?—powiedz.

Fakredeem słuchał swego przyjaciela z uwagą, przejął się całym zdaniem i wiarą Tankreda; gotów był poświęcić swoje obszernie posiadłości, swoje piękne zamki, liczne winnice, murywane plantacje i swój las dębowy (jedeny, jaki znajduje się na Libanie), i sam osobiście walczyć dla wprowadzenia nowego systemu i nowych stosunków w życie Syrii, a które miały się opierać na czystym słowie Pana Zastępów, i miały złączyć wszystkie narodowości węzłem braterstwa, a nie przemocy.

Wprawdzie, wpośród tej nowej reorganizacji starego świata, młody emir upatrywał dla siebie miejsce na jednym z nowo-wzniesionych tronów Azji; lecz było tylko względem podrzędny, i osobiste wyniesienie nie było główną, przynajmniej nateraz, sprężyną działań Fakredeena. Nie, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, że myśl jego wyżej sięgała i wznosiła się nad samolubne osobiste korzyści. Rzetelnym obecnie bodźcem czynów emira była chęć sławy, chęć czynnego i głośnego odznaczenia się na obszerniejszym polu, niż góry Libanu; chciał on zadziwić swą czynnością i odwagą nie tylko miejscowych naczelników pokoleń, lecz i Europy władców. Pragnął też i pozbyć się swych długów, i myślał, że to jego przyszłe wyniesienie, wywikła go z obecnych trudności. Lecz długi Fakredeena nie tak bardzo mu dokuczały, jakby się zrazu zdawać mogło; przywykł on do nich niby do nieodstępnych towarzyszy, i nieraz wyznawał, że mu już niejedną wyświadczyły przysługę. „Bo i czémże byłbym bez moich długów—mówił czasami sam do siebie—one nauczyły mnie poznawać ludzi, odgadywać ich słabą stronę, korzystać z ich ułomności. Tak więc moimto wierzycielom zawdzięczam umiejętność pokrycia mych wrażeń, tę pierwszą i konieczną dla każdego dyplomaty naukę, a która tak mi będzie pożyteczną w moim wyniesieniu na przyszłość. O, tak! moje długi są moim aniołem-stróżem; jeżeli jestem zniechęcony lub ociężały, one mnie pobudzają do czynności; jeżeli nadto oddają się zbyt komu i uciechom, one mnie znowu zwracają na drogę zastanowienia i rozmyślenia; one zatem nadają mi tę ciągłą działalność, tę nieustanną żywotność, które są jedynym środkiem wyniesienia i rządzenia nie tylko sobą, lecz i drugimi”.

Mimo to, Fakredeem czuł czasami całą uciążliwość swego położenia i znowu rozmyślał z radością nad środkami zmuszenia nędznych lichwiarzy, co go tak bezczelnie rabowali, do oddania choć jednej części tego, co mu wzięli; i uśmiechał się do nadziei

osiągnięcia najwyższej władzy, jako jedyne go środka oddania im wet za wet. Młody emir, przy wszystkich wadach, posiadał czułe serce i gorącą wyobraźnię, a niezwykle przymioty Tankreda, jego odwaga, jego wzniosły umysł, głęboka wiara, silne znalazły odbicie na wrażliwym charakterze emira. Przysłuchiwał on się z chciwością głębszym swego przyjaciela rozmowom, i wyciągał z nich korzyści dla siebie, jak skrzętna pszczołka miód z kwiatów. Nie zdradzając swęj głębokiej niewiadomości, umiał z każdego wyrzeczonego słowa czynić wnioski i stosować je do swego położenia. Nie rozumiejąc w zupełności Tankreda, pojął przecieź jego ducha, jego dążność, i całą duszą przyłgnął do niego, bo dążność ta wywoływała koniecznie czynność i zmianę.

* * *

— Czy słyszałeś kiedy, i wi^{*}iesz co o Ansarejach—zapytał Tankred Baroniego—jestto lud osiadły w północnej stronie tych gór.

— Nie, milordzie; wiem tylko, że są mieszkańcami górzystej ziemi poza Antyochią, nikogo pośród siebie nie wpuszczają, przytém są bitni i odważni. Silny opór stawili oni Egipcyanom, i dopiero piastry Ibrahima-Baszy zjednały mu ich przychylność.

— Czy są muzułmanami?

— Nie sąto Mahometa wyznawcy, nie są chrześciance, nie są Druzy, nie są także zwolennikami starego testamentu, nie są nawet Gwebami, bo pytałem o to mieszkańców Dzedda, a ci ich także za braci swych nie przyznają.

— Jakiego są pochodzenia, czy arabskiego?

— Nie zdaje mi się; jedyny bowiem Anserejczyk, którego widziałem, podobniejszy był do Greka lub Armeńczyka, jak do syna pustyni.

— Widziałeś więc Anserejczyka?

— Tak jest, było to w Damaszku. Podczas chwilowego zaburzenia w mieście, pan de Sidonia uratował mu życie; przyznał się natenczas że był Anserejczykiem, chociaż taił przed innemi swoje pochodzenie. Mają oni dużo tajemnych agentów po wszystkich prawie miastach Syrii, mówią po arabsku, lecz pan de Sidonia twierdził, że mają także swój własny język.

— A widziałeś kiedy powtórnie tego Anserejczyka z Damaszku?

— Widziałem go jeszcze potém kilka razy w Damaszku, pa-
liłem z nim nawet nargyle, nazywa się Darkusz, i zajmuje się handlem aptecznych materiałów.

Ciekawość Tankreda wywołaną była następującą okolicznością. W ostatnim dniu wielkich łowów w Kanobii, Fakredeen chcąc zgłębić dążność Druzów względem dalszego rozwinięcia swych planów, spytał o zdanie Hamooda Abunedek, gdy tylko z nim i z Tankredem znajdował się na ustroniu. Hamood ze zwykłą sobie opryskliwością odpowiedział jednak szczerze, że nie ma nic przeciw zjednoczeniu pod jednym rządem Druzów i Maronitów, zwłaszcza, jeżeli tym rządcą będzie szlachetny właściciel Kanobii; lecz do żadnych innych poruszeń mieszać się nie myśli, dopóki nie miał pewnej zwycięstwa rękami, bo nadto już ucierpiał od domowych niepokojów i ciągłych wewnętrznych zaburzeń. Wnioskując z tego, co słyszał tak od swego ojca i dziada, jako i emira Beshir, twierdził, że dopóki Syryjczycy nie zabezpieczą się od strony północnej, dopóty nie będą nigdy wolni od pozornego zwierzchnictwa Porty, która od czasu do czasu da im gorzko uczuć swoją władzę.

— A któż jest panem północnej strony Syrii?—zapytał Tankred.

— Prawdziwi synowie Eblisa, ci przekłeci Anserejczycy, co przy każdym zaburzeniu na Libanie niechęć nam swoją objawiają.

— O ile słyszałem, nigdy z nami trzymać nie chcieli; a jak mi mówił stryj mój, emir Beshir, gdyby się byli z nami złączyli w roku 1840, tobyśmy byli Turków i Egipcyan na głowę pobili.

— I ja toż samo słyszałem—dodał szejik Hamood—mogą oni na zawołanie dostawić 25,000 dobrze uzbrojonego żołnierza.

— A w potrzebie nie zlekliby się Porty w Anatolii—dorzucił Fakredeen.

— Gdyby się z nimi połączyli Kurdy i Turkomany—mówił znowu Hamood — śmiało mogą poić swe konie w wodach Bosforu.

— Dziwna rzecz doprawdy—powiedział Fakredeen—że ja, co ciągle jestem w ruchu i tyle razy zwiedziłem Alep i Antyochią, nie zabłądziłem przecież nigdy do Anserejów. Zawsze mnie wprowadzie ostrzegano, bym tego nie czynił; i wyznać muszę szczerze, jakkolwiek czuję całą nedorzecznosc tego przypuszczenia, iż ogarnia mię przecież jakieś złowrogie przecucie, jakiś strach mimowolny na myśl téj podróży; może to skutek powieści mych nianiek. A potem znowu przypuszczam, nie wiem dlaczego, że oni szczególnie nienawidzą rodziny Shehaabów. Pamiętam dobrze, jak ich wiecznie przeklinał emir Beshir w Betedden.

— A jednak nieraz kusił się o pozyskanie ich przychylności, lecz zawsze bezskutecznie.

— I sądzisz—pytał znówu Tankred Hamooda—że bez nich nie można zapewnić Syryi niepodległości?

— Sądzę, że mając ich po sobie i do tego zapewnioną spokojność od strony stepów, Syrya może się urągać z potęgi Porty i Egiptu.

— I przenieść nawet plac boju na ziemię swych nieprzyjaciół—dodał Fakredeen.

— Lecz gdyby nas mieli zawieść, to lepiej siedźmy spokojnie—rzekł Hamood.

— Patrz, szlachetny szeiku—zawołał Fakredeen—czy widzisz tę oto szybką gazellę; puśćmy się za nią w pogoń, a może nas zaprowadzi na ziemię Anserejów.

— Daleka to trochę wędrowka, i co do mnie, niebardzo byłbym rad poddać mą głowę epiece niewieścich rządów.

— Niewieścich?—zawołali razem Tankred i Fakredeen.

— Tak mówią.

— Nic o tém nie słyszałem, a za czasów mego stryja panował tam sheik El-Deridis. Mówiono mi tylko, że Anserejczycowie oddają cześć jakiéjs niewieście.

— W takim razie byłiby chrześcianami—odrzekł Hamood— a nigdy za pewność tego i wiarogodność nikt mi nie zaręczył.

ROZDZIAŁ IV.

Damaszek, jedno z najdawniejszych miast w świecie, nie posiada przecież żadnego swéj starożytności śladu; wszędzie zamożność, wszędzie dostatek, wszędzie świeże gmachy, a nigdzie ruin dawnych świątyń i pamiątek: a przecież miasto to nieraz było podbite, nieraz także i zwyciężkie. Niejedna tu świątynia nieznanym już bogom była wzniesiona: wszystko znikło bez śladu. Dziwne to i cudowne, że tak powiem miasto, tchnęło zawsze zamożnością i życiem. Zawsze młode i piękne, przeradza i przeobraża na swoje korzyść całą przeszłość; nie ma tu śladów upłynionych wieków, bo wszystko się przeistoczyło, wszystko nową przybrało postać. Ileżto sławnych miast runęło w gruzy, ileż ruin rozsypanych po świecie! Czemuż Damaszek zawsze tém samém tchnie życiem? Miasto to posiadało prawa i przywileje municypalne w owym jeszcze czasie, kiedy Wszechmocny objawiał się Mojżeszowi. Ileżto państw powstało i upadło od tego czasu! Przeszła po-

tęga Greków i Rzymian. Tatarzy, Arabowie i Turcy dzierżyli kiedyś to miasto w swój władzy, a jednak miasto to zawsze równie kwitnące, zawsze równie pełne ruchu i życia. Wszelkie wyznania miały tu swoje siedlisko, wszelkie formy rządu, wyjąwszy reprezentacyjnego, dzierżyły pod swą władzą ludność tutejszą. Daremnie siłą się sofisci wytłumaczyć to nadzwyczajne powodzenie Damaszku jego korzystnym położeniem, obfitością otaczających go wód. Czyż mniejszemi obdarzone były korzyściami leżące dziś w gruzach sąsiednie kraje i miasta? czyż Nil zachował Teby od upadku? czyż Tygrys zapewnił istnienie Niniwy? czyż Eufrat zbawił Babilon?

* * *

W obszerniej kwadratowej sklepionej sali, najstaranniej przyozdobionej rzezbami i złoceniami w guście saraceńskim, siedziało dosyć liczne zgromadzenie na bogatych zielonych, jedwabiem i srebrem przetykanych sofach i dywanach, które salę tę dokoła otaczały. W sali tej ozdobionej kolumnami z białego marmuru, wyrabianemi w kształcie palm, mieściło się dużo wytwornych rzeźb i sprzętów nieznanymi w ogóle najbogatszym mieszkańcom Zachodu. Piękne indyjskie stoły, chińskie wazy, agatowe koszyki napelnione najrzadszemi kwiatami, stroiły ten przybytek zbytku i wschodniego komfortu. Jedna strona sali ozdobiona szerokiemi saraceńskimi oknami, zupełnie nieoszlona, zasłaniana tylko bywała czasami firanką z zielonego jedwabiu i srebra; lecz obecnie dla pięknej pory zupełnie odsunięta, odkrywała prześliczny widok na pyszny ogród, napelniony wonnemi i rzadkiemi kwiatami. Dochodził także zewsząd szmer płynących strumieni i wodospadów, które głużyła wszakże wpośrodku sali spadająca fontanna. Około tej ostatniej, czterech murzynów wyrobionych z czarnego marmuru, wylewało z pięknych konch perłowych świeżą i zimną wodę do obszernego naczynia z jaspisu.

Zgromadzeni w tym salonie goście zaproszeni byli przez miejscowego gospodarza Adama Besso. Odzież jego odpowiadała wspaniałości salonu: biały turecki szal, z którego miał turban tak był cienki, że kupiec, który mu go sprzedał, przywiózł go przez morza i pustynie w wydrążonym granacie; zatknięty za pasem puginał miał ostrze z najdoskonalszej, sztucznie emaliowanej stali, pochwa zaś cała pokryta była brylantami.

Jakiś człowiek małego wzrostu rozmawiał z Adamem Besso; ozdobiony był wielu orderami i miał na sobie mundur Franków;

choć miał głowę wygoloną, osłaniał ją rodzajem czerwonej w miejsce turbanu czapeczki. Był to signor Elias de Laurella, bogaty żyd, kupiec z Damaszku, a przytém konsul austriacki: człowiek z wyższym usposobieniem, pojmujący równie interesa handlowe, jak i dyplomatyczne stosunki. Wszyscy byli dla niego z wielkim szacunkiem, tylko nie wiem czyto dla jego dokładnej znajomości Wschodu, czy téż dlatego, że był ojcem dwóch najpiękniejszych córek Lewantu.

Panny Laurella, Teressa i Sofonisba, ukończyły właśnie edukacją po części w Smyrnie, a po części w Marsylii, z kąd dopiero co przybyły; ale pobyt ten w Europie zawrócił im głowę zupełnie, powróciły albowiem przejęte głęboką pogardą dla Wschodu, którą zaledwie mogły ukryć. Panny Laurella odebrały wysokie ukształcenie, wedle pojęć ogólnie w téj mierze przyjętych: to jest prześlicznie śpiewały, malowały jako tako kwiaty i owoce, i paplały pomiędzy sobą po francuzku o balach i zabawach Europy, z których im tylko wspomnienie zostało. Lubiły się odznaczać europejskim strojem, chociaż dotąd nawet ich ojciec ubierał się podobnie tylko w uroczystych wydarzeniach, i żaden jeszcze członek licznie po Damaszku rozplenionej rodziny Laurella, nie dopuścił się takiej zdrożności.

Zwykłym obyczajem ludzi chcących cudze nawyknięcia i zwyczaje naśladować, przesadzały we wszystkiém europejskie mody; lecz i ta nawet przesada nie zdołała zatrzeć lub zmniejszyć wrażenia ich cudnej urody, która każdego zachwycala. Pierwszy raz panny Laurella odwiedzały rodzinę Bessa; znały one wprawdzie zdawna z reputacyi ten dom przemożny, lecz oddalone od Damaszku nie mogły mieć z nim ściślejszych stosunków; nadto, może i nie pragnęły tych stosunków, bo jakkolwiek był majątek i wziętość téj rodziny, byli oni przecież żydami, a panny Laurella niezmiernie ubolewały nad swoim hebrajskiém pochodzeniem; serdecznie się go wstydziły, i pragnęły zatrzeć, jeżeli nie w własnej, to przynajmniej w drugich pamięci. Teressa nawet nie ukrywała ztąd swego żalu i rozpaczony w własnej rodzinie, lecz Sofonisba brała rzecz nieco filozoficzniej i przypuszczała, że jeżeli żydzi szczerze się postarają, to potrafią tak naśladować inne narody, tak się przejąć ich obyczajem i strojem, że przyjdzie do tego, iż zniknie różnica, jaka ich dzieli dotąd od innych ludów, i że nikt już później nie rozpozna żyda.

Pomimo lekceważenia swych współrodaków, panny Laurella uczuły przecież pewne poszanowanie, pewien wzgląd dla gospodarzy tego domu, skoro weszły do wnętrza przez te pyszne podwoje. Szlachetne i bez żadnej przesady obejście Bessa, poważne choć uprzejme przyjęcie Ewy, równie strojem, jak pięknnością różnej od nich, zrobiły na nich pomimowolne wrażenie.

Pani Laurella, matka tych panien, jeszcze dość młoda, uchodziła kiedyś za najpięrszą w Smyrnie piękność. Mimo przekwitłych wdzięków, zajmowała się jedynie strojem, i przy pomocy różnych kosmetyków nieźle wcale wyglądała; a potem jeżeli blask jój oczu był nieco przyćmiony, to blask brylantów, w które się hojnie stroiła, nie pozwalał dostrzedz téj zmiany: jakoż i dzisiaj okryta była od stóp do głowy brylantami, rubinami, szmaragdami i kilku sznurami olbrzymich pereł. Każdy jój palec jaśniał niby gwiazda; siedziała na osobnym dywanie, kiedykolwiek poruszając ręką, lub obracając głowę w stronę światła, by błyszczące na niej kamienie lepiej zamigotały.

Młody człowiek w wschodnim stroju, chodził żwawym krokiem rozmawiając to z tym, to z owym, poruszając ramionami, zacierając ręce; słowem, przybierając raczej pozór Franka, niż Syryjczyka.

Byłto Hillel Besso, najstarszy syn Bessa z Alepo, przyszły małżonek Ewy. Hillel był także światowym człowiekiem; przepędził zimę w Pera, nosił strój Franków i uczęszczał na bale i wieczory do ambassadorów tamże osiadłych, gdzie go mile przyjmowano. Mimo to jednak, nie przyniósł on ztamtąd, jak panny Laurella, pogardy i lekceważenia dla swego rodu i religii; przeciwnie, był on niezmiernie zadowolony z życia jakie prowadził, z całej rodziny Bessa, a szczególnie z siebie samego. Lecz byłto człowiek bez przesądów: czytał Woltera i sądził się być filozofem; to téż, gdy mu Ewa mówiła o wyższym powołaniu swojego narodu, jako przez Boga wybranego, gdy wzdychała za prędkim odrodzeniem żydów i powrotem ich dawnéj potęgi; Hillel uśmiechał się i myślał sobie w duchu, że mu nigdy i nigdzie lepiej nie było i nie będzie, jak teraz.

Przystąpił on do Teressy Laurella i zaczął z nią potoczną rozmowę. Teressa przyjęła go zrazu bardzo obojętnie, lecz dowiedziawszy się że to jest Besso, a do tego poznawszy z jego rozmowy, że był wtajemniczony do uciech i zabaw Zachodu, że był

na balach ambassadorów na przedmieściu Pera, zmieniła natychmiast swoje z nim obejście.

Było tam jeszcze dosyć osób zupełnie czytelnikowi nieznanych, a między innymi rodzina Farkisów. Pani Farkis, żona jednego z członków téj rodziny, była kobietą w całym blasku urody, żywego umysłu, choć powolnych ruchów. Oczy jój pełne ognia, przyémione długimi, czarnymi rzęsami, świeciły zpod nich jak oczy pantery przy świetle słoneczném; kibić jój wysmukła była jak drzewo palmowe, czoło zaś gładkie i wyniosłe zdradzało głębokie pojęcia. Jakoż była kobieta wysoko wykształcona, zamilowana w swoim narodzie i serdeczna przyjaciółka Ewy: obiedwie znały swoją wartość wzajemną.

Pośród tego poważnego towarzystwa, igrało kilkoro dzieci tak dziwnej piękności, że je koniecznie za nadziemskie istoty poczytać trzeba było: tyle było wdzięku w ich ruchach, tyle powabu w archanielskich obliczach. Wesole te i szczebiotliwe zarazem stworzenia, biegały z kąta w kąt téj obszernéj komnaty: to podziwiając blask brylantów pani Laurella, to chwytając Bessa za poły obszernego jego odzienia, to czerpiąc w swe drobne i białe rączeta szumiącą ciągle wodę fontanny i kropiąc się nią wzajemnie, to nareszcie rzucając się w objęcia matki lub Ewy, którą również prawie kochały. Byłyto dzieci siostry Helilla Besso, przybyłej chwilowo do Damaszku. Siedziała ona obok swéj młodéj kuzynki, obojętna na resztę zgromadzenia, bacząc tylko na swoje dzieci; jój piękne i łagodne niebieskie oczy zwrócone pilnie za niemi, śledziły i podziwiałały zgrabne ich ruchy. W ogóle mężczyźni oddzieleni byli od kobiet, i siedząc z założonemi na krzyż nogami, rozmawiali o interesach i handlu, jak gdyby znajdowali się w bursie lub kantorze.

Niedługo otworzono boczne drzwi prowadzące do mniejszej, lecz równie wspaniale przystrojonej sali, i wszedł mnogi szereg służących. Dwóch z nich niosło ogromny kosz srebrny, płaski, przeslicznój filigranowój roboty, napelniony gałęziami palmowymi i mirtowemi. Dwóch innych niosło znowu kosz duży złoty, odmiennego kształtu, pełen świeżo zerwanych cytryn, które z kolei gościom podawano; każdy z przytomnych wziął w prawą rękę gałąź, a w lewą cytrynę. Po chwili gospodarz domu potrząsł dość mocno trzymaną w rękę gałązką, co posłyszawszy Ewa powstała natychmiast z miejsca i zbliżyła się do ojca.

Córka Bessa miała na sobie tunikę obcisłą, spadającą aż do kolan, z białej, jedwabnej materyi, spiętą dużemi brylantowemi guzikami i przepasaną sznurem pereł. Jój szerokie mameluckie szarawary z różowego atłasu, spadające na takież pantofle całkiem zakryte brylantami, spięte były ponad kostką takimże sznurem pereł; na to dopiero przywdziała kaftan syryjski z wiśniowego aksamitu, bogato haftowany w stanie, do gorsu i z krótkimi rękawami, które całkiem zakryte były obszerną zwierzchnią szatą, z indyjskiej, złotem przetykanj materyi. Ta zwierzchnia szata przewiązana była szarfą jasno-pomarańczowego koloru, obszytą frendzlą z drogich i różnokolorowych kamieni. Na głowie miała małą syryjską aksamitną czapeczkę wiśniowj barwy, włożoną nieco na bok i brylantami naszytą. Jój długie czarne i spadające warkocze, także przeplatane były brylantami.

— Oni chyba już nie przyjdą—mówił Besso do córki.—Nie myślę czekać na nich.

— Pewna jestem, że przyjdą, mój ojciec—odrzekła Ewa poważnie. Jakoż w téjże prawie chwili, gdy słów tych domawiała, trzymając w jednym ręku gałązkę, którą oparła na piersiach, a w drugiej cytrynę, otworzyły się znowu drzwi wchodowe i służba miejscowa wprowadziła dwóch nowo przybyłych gości. Jeden z nich był młody człowiek w europejskim stroju, drugi znany od wszystkich emir Fakredeen.

Rozdział V.

Ewa ujrzawszy wchodzących cofnęła się na swoje miejsce; Besso zaś zbliżywszy się do nowo przybyłych, rzekł:

— Witam cię szlachetny cudzoziemcze. Szlachetny emir Fakredeen, którego także witam serdecznie, mówił mi, że raczysz przepędzić wspólnie z nami jedno z wielkich świąt mego narodu...

— Zawszebym chętnie złożył ci moje uszanowanie—odrzekł Tankred—lecz szczęśliwszy jestem, że mogę to uczynić w czasie takiej uroczystości.

— Kiedyż szlachetny cudzoziemcze przybyłeś w mury Esh-Shamu?

— Dopiero dziś rano. Lecz gdzież jest twoja córka?—zapytał lord Montecute, i Besso zaprowadził go do Ewy.

Przybycie tych dwóch gości zrobiło wielkie na całym towarzystwie wrażenie, a zwłaszcza na pannach Laurella. Już obec-

ność samego młodego księcia Libanu była bardzo szczęśliwem zdarzeniem, a cóż dopióro w towarzystwie pięknego i młodego Europejczyka, którego przytomność słodką karmiła nadzieją serce panien Laurella, iż może im się uda, nawet na tém wygnaniu, choć raz polkę przetańczyć; słowem, widok jego białej chustki na szyi i paryzkich lakierowanych butów równą ich napelnił radością, jak szmer wody i widok zielonej palmy spragnionego wędrowca w pustyni.

— Jestto jedno z wielkich i uroczystych świąt naszego ludu— rzekła Ewa do zbliżającego się Tankreda, poruszając lekko gałąź trzymaną w ręku—jestto święto palmowe (1), na pamiątkę naszych piérwszych winobrań.

O, tak! winobrania Izraelitów przeminęły, lecz posłuszni przepisom Odwiecznego, dzieci tego narodu obchodzą zawsze pamięć téj uroczystości. Lud tak wytrzymały, co straciwszy swe winnice, pozbawiony nietylko owocu, ale i ziemi gdzie się te owoce rodziły, zawsze przecież czci i święci ich pamięć, ostoi się zniszczeniu i odzyska kiedyś swą własność. Jeżeli cudowną jest trwałość tych ustaw, niemniej może cudowne mężstwo i odwaga dzieci Izraela.

Zresztą święcenie téj uroczystości łatwiej może jeszcze przychodzi téj części ludu izraelskiego, która żyje dotąd pod gorącym niebem Azyi; lecz wyobraźmy sobie mieszkańca północnej Europy, który w ludném jakim i brudném przedmieściu święcić musi pamięć tych pięknych scen południa. I jemu nakazuje prawo, równe dla wszystkich, bez względu na zimny i ostry klimat spędzić dni siedm pod gołym niebem, pod okryciem zielonych tylko liści; i oni muszą z prostych gałęzi sosny, dębu lub wierzby budować sobie chwilowe schronienie. Rabinowie powiedzieli im, że gałęzie te wyobrażają palmy i mirty. Im także nakazuje prawo zerwać czarowny owoc, a rabinowie powiedzieli im znowu, że cytryna lub rajske jabłko owoc ten wyobrażać będzie, i biedni Hebrajczycy drogo jeszcze opłacać go muszą, i z uszczerbkiem może codziennego posiłku w składach korzennych kupować. A jeżeli po wielu trudach i kosztach, za pomocą rozległych stosunków handlowych, wyznawcy starego testamentu mieszkający na Zachodzie dostaną czasem gałązkę palmową, z jakąż radością roznoszą ją po synagodze, i wołają, jak niegdyś tłum witający wjeżdżającego do Jeruzalem potomka Dawida: „Hosanna na wysokości”!

(1) U nas w Polsce pospolicie *kuczki* zwane.

Jakże jest rozczulająca ta powolność żydów w krajach północnych, co zrodzeni w rozsypce i upokorzeniu, otoczeni nędzą, nienawiścią i prześladowaniem, obchodzą przecież święcie pamięć tryumfów i zwycięstwa swych przodków, przed kilku tysiącami lat zaszłych, które im dały ziemię Chanaan i pierwsze winne jagody. Otrząsają się oni wówczas z atmosfery zepsucia i kału, w jakich cały rok strawili; odrywają myśl od zysków lichwy i zdzierstwa, by ją wznieść do tego, co wiecznie opiewają poeci, do czego wzdycha każde niezepsute jeszcze serce: do cudów przyrody i ojców swych pamięci. A gdy biedny Izraelita po całorocznej ciężkiej pracy zasiądzie na chwilę spokojnie w rodzinném kole pod zielonym dachem smutnych i ponurych sosen, i zanuci: „hosanna na wysokości” —przechodzący мимо tego szalasu mieszkaniac miejscowy z oburzeniem patrzeć będzie na tę, jak ją nazwie, zieloną budkę i z pogardą zawoła: „To ci przekłęci żydzi obchodzą swe zabobonne święta. Doprawdy, dziwić się należy, że dzisiaj, w tym wieku postępu i oświaty, policya pozwala jeszcze na podobne niedorzeczności”. Słowa te słyszane wewnątrz szalasu, nową goryczą napełniają serca biednych ziemi judzkiej wygnańców.

* * *

Wkrótce po przybyciu Tankreda, dał się słyszeć odgłos wesolej muzyki. Besso zaprosiwszy lorda Montecute i Fakredeena, wyszedł z wszystkimi gośćmi do ogrodu. Kobięty wbrew przyjętem u nas zwyczajom, szły same za mężczyznami. Na pięknym tarasie urządzone na dachu mieszkalnego domu, ozdobionym najwykwintniejszymi krzewami i kwiatami, i tak osłoniętem, by ciekawe oko sąsiada nie przejrzeć nie mogło, odkrywając jednak oczom zgromadzonego towarzystwa wszystkie powabne i rozkoszne widoki okolic Damaszku, ustawiony był rodzaj osobnej znowu altany. Dwanaście drzew palmowych, świeżym okrytych owocem, i tyleż kwitnących mirtów, tworzyły jakby kolumny téj na chwilę postawionej budowli. Pomiedzy temi drzewami, na przyczepionych zręcznie gałęziach, pozawieszane były najpiękniejsze owoce: cytryny, pomarańcze, granaty, figi, melony, a to w takiej obfitości, iż formowały niejako mozajkową pomiedzy drzewami ścianę, z wierzchołka których spuszczały się najdoskonalsze winne jagody. Niższe zaś części ścian, czyli miejsca wolne pomiedzy palmami a mirtami, zapełnione były kwitnącém pomarańczowém drzewem, zostawując tylko w górze nieco wolnego miejsca, przez które, jakby

wśród naturalnych zielonych arkad, dochodziło naszych gości wonne i ciepłe Wschodu powietrze.

W téj dopięro altanie zastawiono stół do wieczerzy, z całym zbytkiem i przepychem Wschodu, jak i *komfortem* Europy. Wokoło stołu umieszczono żółtą atlasową sofę z mnóstwem takichże samych poduszek, by każdy wedle upodobania mógł zasiąść czyto na sposób europejski, czy téż wedle miejscowych zwyczajów.

Rozdział VI.

— Powinniśmy się byli dawno spotkać w Jeruzalem—mówił Tankred do p. Besso w czasie obiadu, siedząc po jego prawej ręce—ale szczęśliwy jestem, że choć w Damaszku mogę ci podziękować za tyle wyświadczonych mi łask.

— Moja córka mówiła mi, że dosyć jesteś zyczliwy dla naszego narodu, dlatego ośmieliłem się dziś cię tu zaprosić.

— Nie mogę zrozumieć, by chrześcianin mógł obojętnie, a tém mniej niechętnie patrzeć na naród, któremu swą pierwiastkową wiarę zawdzięcza.

— W ogóle inaczéj świat nas sądzi.

— Lecz cóż jest świat? czy Europa jeszcze dotąd niezupełnie zaludniona i pełna dzikich i niedostępnych lasów, czy odwiecznie świetna już Azja?

— Koleje żelazne prędko resztę niedostępnych lasów wytrzebią.

— Cóż będzie wtenczas z krainą przeszłości, z Azją?

— Bóg nie zapomni swojej wybranej ziemi.

— Tak, to prawda, rządy tego świata winny się na prawach Boskich opierać, a tych znowu w Azji szukać należy.

— Gdyby wasz rząd angielski choć raz zrozumiał i pojął prawdziwe położenie Wschodu —przerwał generałny konsul austriacki Laurella, nie rozumiawszy wcale prowadzonej rozmowy i dosłyszawszy z niej tylko kilka urywanych wyrazów.— Jest ono łatwiejsze niż zrazu sądzić można, i będę się miał za szczęśliwego, jeżeli, zanim ztąd wyjedziesz, by zająć miejsce w parlamencie, zechcesz się zemną obszernie w tym względzie rozmówić. Może moje długoletnie doświadczenie niezupełnie straconém będzie dla ciebie milordzie.

Tankred skłonił się tylko w milczeniu.

— Co do mnie—odezwał się Hillel z zarozumieniem—nie rozumiem zupełnie, coto jest kwestya Wschodu, i sędzę, że to tylko jest dyplomatyczne urojenie gabinetów Europy. Bó proszę, zkąd i na co tak bardzo frasować się o Wschód? alboż to nam tak źle na świecie? Doprawdy nie mamy się na co uskarżać.

— Jakżem szczęśliwy, że znowu między wami—mówił Fakredeen do siostry Hillela—ja tylko tutaj jestem prawdziwie u siebie.

— Myśmy wszyscy radzi i szczęśliwi, że cię znowu oglądamy—odrzekła zagadniona.

— Jakże ma pięknie ułożone włosy—szeptała Teressa Laurella do siostry, patrząc na Tankreda—jak ślicznie odbijają od tych obrzydłych turbanów.

— I całe ubranie. W istocie nieraz dziwię się, jak ludzie ucivilizowani mogą nosić podobne szaty; to niby ciągła maskarada.

— Nie przeczę ja wcale i przyznaję wiele przymiotów Frankom; ale co się tyczy ich stroju, tego im nigdy nie zazdrościłem—rzekł Mojżesz Laurella, brat konsula.

— Ach mój drogi stryju!—zawołała Teressa—spojrzyj tylko na tę śliczną białą chustkę na szyi: czémże się podobnym strój Wschodu poszczyci? Jak to niewyszukane, a jak piękne zarazem! A te buty świecące? mogąż nasze pantofle, jakkolwiek upstrzone złotem i klejnotami, iść w porównanie z tém lśniącym obuwiem?

— Jak on tu nudzić się musi—dodała Sofonisba.

— I ja tak sędzę; bez balu, bez opery. Doprawdy, żal mi go szczerze. Co go tu mogło sprowadzić?

— Musi się kochać, taki jakiś smutny.

— Cóż dziwnego, że smutny. Zkimże tu może pomówić, kto go tu zrozumieć?

— Lord Palmerston—mówił znowu konsul Laurella—dość był z kwestyą Wschodu obeznany; lecz gdybym był w służbie królowej angielskiej, potrafiłbym wiele jeszcze rzeczy wyjaśnić;—tu się zatrzymał z pewnym tajemniczym uśmiechem.

— Nie mogę słuchać tych wiecznych pochwał Palmerstona—zawołał Fakredeen porywczo—czyż nie ma już na świecie innych mężów stanu prócz niego? Jak on może znać kwestyą Wschodu, kiedy nigdy nie był na Wschodzie?

— Ależ szlachetny emirze, to są zadania wysokiej dyplomacyi, które tylko zręczni bardzo ministrowie rozwiązać potrafią.

— Jabym w ciągu jednego miesiąca kwestyą Wschodu załatwił, gdybym tylko zechciał.

Konsul Laurella uśmiechnąwszy się pogardliwie, tak mówił dalej:

— Lecz to właśnie najgłówniejsza *kwestya*, by wyjaśnić, co jest właściwie *kwestya* Wschodu?

— Dla mnie *kwestya* Wschodu wyłącznie na tém się zasa-
dza, kto będzie panem morza Śródziemnego, a tym musi być ko-
niecznie Egipt lub Syrya. Daremnie o to kusić się będzie An-
glia, Francya lub Austria; mogą one nawet chwilowo dopiąć swe-
go celu, lecz to nigdy długo nie potrwa.

— Egipt po daremnej próbie upadł już pod brzemieniem tego przedsięwzięcia.

— Niechże teraz Syrya z kolei sił swoich spróbuje.

— Czy pan masz zamiar zwiedzić Egipt przed swoim powro-
tem? — zapytał Besso Tankreda.

— Nie myślę wcale o powrocie—odrzekł lord Montecute—
i radbym poznać się z Egiptem; jestto kraj, którym dużo zaj-
mują się w Europie. Takie tam wielkie zaszły zmiany!

— Egipt—przerwał Besso z uśmiechem—nigdy się nie zmie-
nił; jestto zawsze ten sam kraj, jak za czasów Faraonów, rzą-
dzony według tych samych zasad, jak wówczas przez Józefa, tak
i dziś przez żydów.

— Przez żydów?

— Tak jest. Artim-Bej pierwszy minister Porty i niegdyś
jój ambassador w Paryżu, najlepsza dyplomatyczna w całym
Wschodzie głowa, jest nietylko tegoż samego rodu co Józef,
pierwszy minister Faraonów, ale nadto jego w prostój linii
potomek.

— Trzeba go więc dodać do liczby wielkich polityków
i mężów stanu, o których mi wspominał twój przyjaciel pan de
Sidonia.

— O tak, brzemień rządów tego świata w części i na naszych
barkach spoczywa.

— O ile mi się zdaje, to rządzący każdym krajem, wyjąwszy
własnym.

— I to mogło nastąpić w 1839 roku—rzekł Besso z west-
chnieniem—lecz po cóż mamy mówić o obojętnych rzeczach dla
ciebie.

— Obojętnych?—przerwał Tankred—cóż mnie więcej obchodzi może na świecie?

Po skończonej uczcie roznoszono nargyle i porożściełano na ziemi różnokolorowe dywany, zasłane poduszkami, by każdy wedle upodobania czas swój przepędzał. Konsul generalny Laurella korzystał z pierwszego rozruchu przy wstawaniu od stołu, by przedstawić lorda Montecute swym córkom. Panie te chcąc mu pokazać, że Damaszek nie w takim pograżony barbarzyństwie, jak sądzą cudzoziemcy, zaczęły rozmawiać z naszym wędrowcem o balach i ostatniej operze przedstawionej w Paryżu. Tankred w wielkim był kłopotcie, jak wywinąć się z rozmowy tak obcej dla niego, gdy ktoś z obecnych wyrwał go z tego kłopotu, prosząc panien Laurella, by raczyły uszczęśliwić towarzystwo swym śpiewem. Po długich prośbach i naleganiach dały się przecie namówić, nie bez poprzedniego jednak narzekania na brak głosu i trudność śpiewania pod gołym niebem.

Tankred korzystał z tej sposobności, by się zbliżyć do Ewy, która przechadzała się po ogrodzie oświeconym tysiącem lamp kolorowych, w towarzystwie siostry Hillela i pani Nassim Farhi. Rzadko który z salonów Europy mógłby się poszczycić obecnością trzech razem zebranych tak doskonałych piękności.

— Panny Laurella ślicznie wprawdzie śpiewają—mówił Tankred do Ewy—ale co do mnie, pragnąłbym słyszeć w Damaszku tylko pieśni i psalmy żałobne.

— I w Europie podobno najpiękniejsza muzyka na ten temat zwykle bywa ułożona.

— Naturalnie, jedna tylko muzyka oddać może podobne myśli i uczucia.

— Panny Laurella śpiewają także modlitwę z *Mojżesza w Egipcie*.

— Chciałabym ją dziś usłyszeć, muszę posłać do nich Hillela, by je o to poprosił.

I skinąwszy na młodego Bessa, który natychmiast zbliżył się do niej z uprzejmym uśmiechem, powiedziała mu o co rzecz idzie.

— Teraz mają śpiewać te panie duet z *Don Pasquale*—odrzekł tenże wzruszając lekko ramionami—a przyznam się, że jakkolwiek modlitwa jest piękną kompozycją, wolę jednak nateraz serenadę.

— Cóż myślisz o moim ojcu?—po chwili zapytała Ewa lorda Montecute z wyrazem dumy i zadowolenia.

— Jest takim, jak mi go pan de Sidonia opisywał: wart jest nie tylko twoim być ojcem, lecz ojcem rodu ludzkiego.

— Muzułmanie utrzymują, że raj był położony w bliskości Damaszku—rzekła pani Nassim—i że Adam ulepiony był z tutejszej czerwonej gliny.

— Dawno już pragnął cię poznać—ciągnęła Ewa nie uważając na słowa swój towarzyszek—i twoja tu obecność wielce mi jest miłą.

— Dawno powinienem był szczyć się jego znajomością. Moja to wina zrządziła to opóźnienie i wszystkie moje następne przygody. Nie wart jestem szczęścia, którego dziś używam.

— Lepiej późno jak nigdy; cieszy mnie to, żeśmy się przecie raz wszyscy poznali i że nam pan sprawiedliwość oddajesz. Za swoim do Europy powrotem, będziesz naszym obrońcą gdy nas zechcą spotwarzać, jak to przed kilku laty czynili mszcząc się, jak twierdzili, za ukrzyżowane i męczone przez nas chrześcijańskie dziatki w czasie świąt Paschy.

— Nie myślę wracać do Europy—odrzekł Tankred rumieniąc się—a jeżeli was będą prześladować, to mam nadzieję, że i tu was obronić potrafię.

Jakaś głośniejsza nuta śpiewu pańien Laurella, przerwała chwilowo rozmowę.

Po krótkim przysłuchiwaniu się tym melodyjnym dźwiękom, rzekł Tankred do siostry Hillela, iż dla dopełnienia czarującego zewsząd obrazu i zmienienia go w istny raj, brakuje tylko jej prześlicznych dzieci.

— Śpią już—odpowiedziała matka—pewna jestem, że równie jak królowa Saba marzą o kwiatach i dźwiękach.

— Twierdzą ogólnie—mówiła dalej Ewa—że dzieci naszego plemienia są najpiękniejszymi dziećmi na świecie, lecz że w późniejszym wieku znika ta nadzwyczajna piękność.

— Tak zwykle się dzieje—dodała siostra Hillela—jestto skutek doświadczanego przez nich niesmaku i niepokoju; zamiast uśmiechu pobłażania i zadowolenia, spotykają tylko cierpkie i niezasłużone wyrzuty lub oskarżenia: to też wyraz smutku i chytrości zastępuje na ich młodych twarzach wdzięk szczeroci i swobody, i piętno niewoli i wzdargy wyciska się na ich czole.

— Lecz dzieci naszej rodziny—przerwała Ewa —wychowane w pojęciach własnej godności, otoczone czułym i tkliwym staraniem, nie doświadczały tego uczucia; ich więc przynajmniej rysy nie powinny uleść tój powszechnój zmianie.

Słowa te wymówiła z taką powagą, z tak głębokim współczuciem, z takim smutkiem, połączonym z godnością obrażonej dumy narodowej, że Tankred patrzył na nią z uwielbieniem, i w myśli jego powstała chwilowo wątpliwość, ażali to stworzenie pełne wdzięków ciała i wzniosłych duszy i umysłu przymiotów, jest istotnie tylko zwyczajną tój ziemi mieszkanką. Przypomniał sobie pierwsze z nią w ogrodzie Bethanii spotkanie, gdzie go tak głęboko zdziwiła swą wiarą i wyższem rzeczy pojęciem; dalej zjawienie się jój w pustyni; czułe starania i umiejętne leki, któremi go od nieuchronnej prawie śmierci ocaliła, wreszcie obecną rozmowę. Oczy ich spotkały się, i niepojęte jakieś wzruszenie przebiegło wskrós Tankreda; odwracając wzrok od tego arcydzieła Stwórcy, westchnął głęboko.

W tójże chwili nadchodzący z Hillelem Fakredeen, głośnym śmiechem i żywą rozmową przerwali dalsze lorda Montecute rozmyślanie. Hillel zbliżywszy się do Ewy podał jój rękę, i prosił całe towarzystwo, by wraz z niemi udało się do salonu, gdzie właśnie przyniesiono nadesłane z Marsylii klejnoty, które dla Ewy przeznaczał, a które wybierała osobiście żona ambassadora austriackiego w Paryżu. To mówiąc, Hillel poprowadził córkę Bessa, a za niemi udały się jego siostra i pani Nassim. Fakredeen pozostał w ogrodzie.

— Kto to taki?—zapytał Tankred wskazując na Hillela.

— Jój narzeczony—odrzekł emir—człowiek, który mię pozabawił Ewy. Mimo to jednak pewny jestem, że po zamęzceniu córki, Besso przyjmie mnie za syna, którym i jestem po części, bo mnie jego żona własnym wykarmiła mlekiem; i jeżeli nie zostawi mi całego majątku, to przynajmniej wykupi wexle i wszystkie długi zapłaci. Jak ci się zdaje, cóż myślisz o tém?

— O czém?—zapytał Tankred zamyślony.

Tu doszły ich głośnie wybuchy śmiechu.

— Chodź, chodź—mówił Fakredeen—słyszysz, jak wszyscy cieszą się i podziwiają zapewne ślubny podarunek.

— Idę, spieszę — mówił Tankred pozostając nieco wtyle.

Lecz zamiast iść za emirem, młody lord w inną udał się stronę, a skrywszy się za drzewo cyprysowe, spoglądał żałośnie

to na piękne gwiazdami i jasnym, pełnym księżycem ustrojone niebo, to na wznoszące się ciemne i wysokie szczyty minaretów, to na rozlegające się z drugiej strony obszary pustyni. Serce jego głęboka gorycz zalała, i westchnąwszy, szepnął zcicha:

— Gdybym był tobą, o cudny Damaszku! nie pozwoliłbym nigdy, by mi Alep wydarł najpiękniejszy z méj korony dyament. Lecz na cóż mnie obcemu tu przybyszowi podobnemi zaprzętać się myślami? Inną mi drogę wskazała Opatrzność.

Rozdział VII.

Skoro Baroni, stosownie do obyczaju Wschodu, odświeżył się w łaźni po swoim do Damaszku przybyciu, i wyczesawszy starannie brodę oblókł się w białe szaty wełniane i podobnyż turban, wyszedł i podążył w stronę wielkiego bazaru. Część miasta, którą przechodził była ludna i hałaśliwa: ulice wąskie, kręte, ścieśnione jeszcze wywieszonemi ponad drzwiami markizami, pod które chroniono się przed zbytnim upałem. Znał on widać dokładnie cały labirynt arkad, przerzynanych w różne strony różnorodnemi sklepami: bez wahania się bowiem przechodził to przez uliczkę zapełnioną samą bronią, to znowu składami jedwabiu, to bawełnianemi Anglii wyrobami; mijał także pstro ustrojone sklepy żółtych babuszy i czerwonych pantofli, przechodził szybko mimo składów Wschodnich towarów, które tak często mieszczą w sobie nieszczęsny zarodek straszliwej zawsze zarazy.

W miarę jak Baroni spieszył dalej, ustawał gwar i ruch, jaki dotąd cechował same jądro handlowego miasta, gdzie każdy tak się zdawał zajęty, iż ledwie miał czas odpocząć chwilowo i szybko spożyć czyto filiżankę kawy, czy nieco ożywiających owoców, czy w końcu fajkę wypalić spiesząc do dalszych zatrudnień. Tu mało już widać było przechodniów; czasami tylko przesuwał się jak cień Armeńczyk lub żyd doktor, spiesząc do chorego, albo jaka osłonięta całkiem postać niewieścia.

Baroni zwrócił się jeszcze na prawo i wszedł pod arkady osłaniające składy apteczne. Tu sprzedawano także najdoskonalsze, najrzadsze gummy i najwykwintniejsze pachnidła Arabii.

W jednym z tych składów siedział z fajką w ustach człowiek średniego wieku, ponurego oblicza, z dużym orlim nosem i jasnymi niebieskimi oczyma, odziany w szatę koloru orzechowego i ciemny turban.

— Witam cię, witam, Effendi—rzekł tenże postrzegłszy Baronię—jakżeś już dawno nie był w Esh-Sham!

— Nie tak bardzo; a ty odwiedzałeś często Damazek od czasu ostatniego mego tu pobytu?

— Kilka razy tu już byłem—odrzekł zapytany podając własną fajkę Baroniemu.

— Cóż tam słyhać u naszych przyjaciół w górach?—pytał Baroni oddając fajkę.

— Żyją.

— I to już dobrze.

— Byłeś teraz w kraju Franków?—zapytał nieznajomy.

— Ja najczęściej w ich kraju przebywam.

— Czy nie znasz kogo, coby potrzebował opium lub skamonii (1)?

— Jeszcze nie *wiem*, czy co o *tém wiedzieć* mogę—odrzekł tajemniczo Baroni.

— Mam ją w najlepszym gatunku, miłą jak mąka.

— Czy nie pomieszana czasem z mirrą?

— Alboż ja żyd?—odrzekł obrażony kupiec.

— Wprawdzie, nigdy dotąd nie mogłem się dowiedzieć rzetelnie, czém jesteś panie Darkusz. Ale wracając się do skamonii, mógłbym ci bardzo dobry interes nastreczyć, a nawet nietylko we względzie zbycia skamonii, ale i co do innych jeszcze towarów.

— Jużto mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, że nikt w całym Esh-Sham nie ma lepszego i większego składu odemnie.

— Co to, to prawda; i dlatego będę cię mógł sumiennie polecić. Coś mi się wszystko widzi, że dużo piastrow wory twe napelni.

— Bodaj to mieć przyjaciół: oni nam zawsze przychodzą w pomoc w smutnych przygodach.

— Te słowa przypominają mi moje własne kłopoty i zmartwienia. Wyobraź sobie, że podróżuję obecnie z młodym księciem angielskim, który powiedział, że mnie zabije na miejscu, jeżeli nie pomogę mu do odwiedzenia królowej Anserejów.

— Niech wprzód odwiedzi króla Salomona w krainie duchów—odrzekł Darkusz drwiącym tonem.

— I to może kiedyś nastąpi—powiedział Baroni—bo to do prawdy odmienny człowiek od reszty ludzi, i jeżeli sobie nabije

(1) Skamonia, preparat lekarski z rośliny zwanój *convolvulus Syriacus*, znajdującój się obficie w Syrii, mianowicie w okolicy Alepo.

głowę duchami, to ich nad ziemią i pod ziemią szukać będzie. Lecz wróćmy się do skamonii—ciągnął dalej Baroni sadowiąc się obok Darkusza—choć doprawdy więcéjbyś zyskał na wyrobieniu pozwolenia zwiedzenia waszych gór, niż na spieniężeniu wszystkich tu nagromadzonych towarów. Lecz darmo się kusić o rzecz niepodobną.

— Tak, to rzecz niepodobna.

— Mówmy więc o skamonii. Czy pamiętasz mojego dawnego pana?

— Któżby go mógł zapomnieć, mając raz to szczęście oglądać go.

— Ten książę cudzoziemski, z którym obecnie podróżuję, władca ziem obszernych, jest jego przyjacielem; jeżeli jemu dogodzisz i usłużysz, to tak, jakbyś tamtemu usłużył.

— Sam powiedziałeś, że daremnie kusić się o rzeczy niepodobne.

— Mówmy więc o skamonii. Lecz pamiętam dobrze, że lat temu piętnaście, gdy ówczesny mój pan toż samo miał zachęcenie, nie robiłeś tyle trudności, i tylko szerząca się wówczas zaraza wstrzymała go od téj podróży.

— Czasy się zmieniły, a od lat piętnastu wiele wody upłynęło.

— Mówmy więc o skamonii. Anserejowie mają wielu przyjaciół w obcych krajach, ale cóż, kiedy odpychają dobre ich chęci.

Darkusz ściągnął tylko ramionami.

— Jeżeli mnie przyjaźń twoja nie zbawi—dodał Baroni—jestem zgubiony na wieki. Z chęcią dałbym jakie tysiąc piastrow, by głowę moję okupić wprowadzeniem do waszych gór mego pana.

— Książęta Franków nie mogą ścinać głów niewolnikom swoim—odrzekł Darkusz spokojnie—w najgorszym razie wysyłają ich tylko na wygnanie do wysp zamieszkałych przez złe duchy.

— Lecz książę, u którego w usługach obecnie zostaje, jest potężnym władcą obszernych ziem, bratem wielu królowych; nawet wielka królowa angielska jest jego siostrą.

— Winszuję tym, co służą królowym—odrzekł Darkusz szyderczo.

— Ależ i ty sam jesteś poddanym królowej.

— Właśnie téż dlatego nie mogę was puścić w góry, jak to przed piętnastu laty za panowania jój ojca uczynić mogłem.

— Czyż rozkazy jój są tak surowe?

— Oświadczyła, że w życiu swoim nie chce widziéć ani muzułmana, ani chrześcianina, bo jest w otwartéj wojnie z obydwojma wyznaniem, a zlagodzenie téj krwawéj niechęci nie leży w méj mocy.

— Jakiz może być powód téj nienawiści?

— O tém możesz się tylko w górach Anserejów dowiedziéć.

Baroni podumał chwilę, a następnie tak przemówił do Darkusza:

— To, coś mi powiedział, naprowadza mnie na dziwny domysł. Ten młody człowiek, u którego w usługach zostaje, jest przyjacielem waszego ludu i zna zapewne powód waszój niechęci, tak do muzułmanów, jak i do chrześcian, bo ich sam także niebardzo kocha; lecz jest on skąpy w słowach, choć uczuć gwałtownych. Nie śmiałem go nigdy pytać o powody téj chęci zwiedzenia waszego kraju, ale o ile teraz widzę, to on sam musi być Anserejczykiem. Przybył on umyślnie, by was odwiedzić, z bardzo dalekich stron, gdzie łatwiéj o piastry, jak o wodę, i pewnie ma wiele ważnych rzeczy waszój królowéj powiedziéć; lecz cóż robić, daremnie się kusić o rzeczy niepodobne. Mówmy więc znowu o skamonii.

— Sądzisz, że on nasz rodak?—zapytał Darkusz półgłosem spoglądając badawczo na Baroniego.

— Tak sądzę.

— Na czém opierasz to mniemanie?

— To właśnie tajemnica, którój ci odkryć nie mogę.

— Wprawdzie nie mogę bezpośrednio udzielić pozwolenia dla zwiedzenia naszego górzystego kraju, lecz wzajemna przyjaźń jest jako rzeka w pięknym ogrodzie płynąca. Jeżeli ten książę skąpy w słowach choć gwałtownych uczuć, jest rzetelnie....Czy mogę go widziéć, Effendi?

— Nigdybym mu o tém nie śmiał mówić. Napomknąłem o czémsiś podobném słów kilka, zanim do ciebie przyszedłem; ale oczy jego ogniem zabłyśły, brwi się ściągnęły jak u syna Eblisa. Nie, to być nie może. Przestańmy się więc kusić o rzeczy niepodobne. Niech sobie wraca zkąd przybył, niepoznawszy waszój królowéj, którój jest może bratem, niech nienawidzi jak dotąd chrześcian i muzułmanów; ja na to nie poradzę, choć mié wypędzi na resztę życia pomiędzy złe duchy.

— Królowa dowie się o wszystkiem; czekajmy na jój odpowiedź.

— O tak, czekać na powrót karawany z Mekki—zawołał Baroni—nie znasz widzę gwałtowności mego pana (i to mnie po części utwierdza w mniemaniu, że jest Anserejczykiem), bo gdyby był chrześcianinem lub muzułmanem, nauka ewangelii lub koranu, byłaby złagodziła tę jego porywczosć.

— To zielone owoce, to niedojrzałe figi, ten wasz koran i ta wasza ewangelia. Wiész, co u nas myślą o tych obydwóch wyznaniach.

— Nie wiem—odrzekł spiesznie Baroni —I cóż takiego?

— Dowiesz się o tém w naszych górach.

— Więc nas tam zaprowadzisz?

— Jeżeli królowa na to zezwoli.

— Ależto ztąd do was przeszło 300 mil angielskich, a ty tak o tém mówisz, jakby chodziło o jaką krótką przechadzkę. Zanim wyślesz posłańca, zanim królowa raczy odpisać, a każda kobiéta, a cóż dopiero królowa lubi się drożyć i ociągać z odpowiedzią, i zanim znowu odpowiedź jój dojdzie rąk twoich, to wszystko nie tak prędko nastąpi, i podobno wyschną piérwój źródła Esh-Shamu, zanim doczekamy się listu i to jeszcze odmównego.

Darkusz uśmiechnął się i potrząsł głową.

— Przyjdź jutro o zachodzie słońca, a będziesz miał od królowej Anserejów odpowiedź. Powiesz mi przytém, ile przygotować skamonii, by odrazu oba interesa załatwić.

— Zakupię wszystko i zaraz z góry zapłacę, choć nie wezmę teraz towaru, który u ciebie aż do mego tu powtórnego przybycia pozostanie.

Darkusz rzuciwszy na bok trzymańą dotąd w ustach fajkę, włożył ostrożnie rękę w zanadrze i wyjął ładnego gołębia z dużemi czarnemi oczyma. Gołąb' był zupełnie oswojony i spokojnie spoczywał na dwóch palcach ręki Darkusza, i patrzył mu w oczy z uwagą.

— Ho, ho, mój czarnooki—mówił Darkusz głaszcząc gołębia —mój kochany Karagusie, puszczam cię w świat, daleką odbędziesz pielgrzymkę, zwiedzisz twe gaje rodzinne. Tak jest—rzekł dalej obracając się do Baroni—Karagus jest moim zwykłym posłańcem; nie zdradził mnie nigdy. Jutro o tym czasie przyjdź po odpowiedź.

CZEŚĆ VIŁA I OSTATNIA.

Rozdział I.

Pośród dzikich gór, w ciasnym wąwozie, jechało dwóch jeźdźców w stroju Kurdów, składającym się z białego turbanu i koszuli sznurkiem przepasanéj. W ręku trzymali długie widły, przy boku krzywy pałasz połyskał, a przy siodle umocowane były pistolety. Pomimo dzikości otaczającéj natury znać było, że pracowite ręce góry te użyzniały; wszędzie widać było ludne wioski, uprawne pola i bogate winnice.

— Widziałem dziś dwa razy orły na szczycie Gibel-Killis; co to za wróżba? — zapytał jeden z jeźdźców drugiego.

— Korzystnéj przygody dla naszéj królowéj — odparł drugi. — Jeżeli to prawda, że te dzieci Frangistanu tak hojnie opłacili zwiedzenie pustyni Tadmoru, cóżby dopiéro dać powinni za obejrzenie tych gór, których żaden z obcych nie widział.

— Ale mówią, że ten Frank jest naszego wyznania.

— Nigdy nie słyzałem, aby który z nas był Frankiem, gdyż Franki są Nazareńczykami, a nim tę wiarę przyjęli, żyli jak dzicy wśród puszczy i lasów.

— Przecież Keferini wydał rozkaz, aby całe nasze pokolenie czuwało nad cudzoziemcem, jakby nad samą królową; musi więc on do nas należeć.

— Mój ojciec umierając miał lat 110, a mówił mi przy śmierci, że podczas jego długiego życia żaden z Franków nam podobny w górach się nie ukazał.

— Znowu orły szybują nad szczytem Gibel-Killis; cudzoziemcy muszą się zbliżyć.

— Oby ich przybycie nie przyniosło nam nieszczęścia.

— Czy masz złe przeczucie?

— Nie, aleśmy sami na szerokim świecie, wszyscy są naszymi nieprzyjaciółkami, wszystko grozi nam zniszczeniem.

— Masz słuszność. Byłem kiedyś w Alepo, jakżeż mi tam pusto i obco było!

— Nigdzie nie ma takich gór, jak nasze ojczyście, i to, co u nas widzieć można, nigdzie już nie istnieje.

— W bazarach Alepo i ogrodach Damaszku nie marzą nawet o tém, co my posiadamy.

— Któż może się porównać z naszą królową? my tylko bracie wiemy, ale nie wymówimy do kogo ona podobna.

* * *

Karagus, gołąb' czarnooki przyniósł pod skrzydłem list Darkusza do królowej Anserejów, w którym ją tenże uwiadamił, że dwóch książąt: Frank i Syryjczyk, chcieli zwiedzić jój państwo i pomówić z nią o bardzo ważnych przedmiotach, zwłaszcza, że jeden z cudzoziemców do jój pokolenia należał.

Na drugi dzień Rubylip, brat Karagusa, przyniósł do Damaszku odpowiedź królowej i zarazem pozwolenie przestąpienia jój granic dla dwóch obcych książąt i dwóch tylko służących. Baroni zatém mógł im towarzyszyć. Wybrali się oni natychmiast, lecz podróż odbywali bardzo wolno, bo Tankred chciał za jedną drogą zwiedzić Hamet i Alepo.

Przebywszy rzekę Koweik, zbliżali się do celu swój podróży, utrudzonej nateraz wojną toczącą się między królową Anserejów a baszą Alepu. Zbrojne oddziały górali drogę im przebiegały, lecz za pomocą i objaśnieniem Darkusza, przebyli szczęśliwie te niebezpieczeństwa i zbliżali się do bram stolicy.

Tankred i Fakredeen otoczeni zbrojnemi Anserejami, jechali na pysznych rumakach czystej krwi arabskiej. Ta podróż, ten kraj tajemniczy, te wspólne przygody i niebezpieczeństwa, ściślejszym jeszcze węzłem ich połączyły.

— Tankredzie—zawołał Fakredeen rzucając mu się na szyję— ileżeśmy cudnych rzeczy razem widzieli!

Wąwóz otoczony prostopadłemi skałami oddzielał ich tylko od stołecznego miasta, które zewsząd otoczone górami, zdawało się niezdobyte. Po krętej, w górę wiodącej drodze, stanęli wreszcie nasi podróżni przed ogromną bramą spiżową, prowadzącą do podziemnego przejścia, której podwoje z trzaskiem się za nimi zawarły. Po kilku dopióro minutachienne światło ujrzeli, wjeżdżając na obszerny plac, różnokształtnemi budynkami otoczony. Byłto środek miasta; ze wszech stron z poza wież i dachów inne wyglądały skały. Nasi podróżni rzucili na siebie wzrok niespokojny, bo jakkolwiek z trudnością przyszło im zwiedzić kraj Anserejów i ich stolicę Dżindarik, zdawało im się nierównie trudniej wydostać się z niego; udali się jednak za przewodnikiem do jednego z gmachów, gdzie im mieszkanie naznaczono.

Według wschodniego obyczaju przyniesiono im zaraz kawę i fajki, a wkrótce ukazał się starzec z pomarszczoną twarzą i okiem

błyszczącym, bogato ubrany, który ich witał głębokim ukłonem i imieniem królowej pozdrowił.

— Zdaje mi się—rzekł Tankred—że mamy szczęście oglądać wszechwładnego Keferiniego, pierwszego ministra królowej.

— Nie omyliłeś się szlachetny książę—odrzekł nowo przybyły z przesadą, a potem dodał oglądając się wokoło:—Nie spodziewaj się znaleźć u nas zbytków wielkiego świata, do jakich przywykłeś w Londynie; w tém mieście otoczoném ze wszech stron morzami, gdzie wam miliony niewolników usługują na klęczkach. Nasz naród jest ubogi i odarty z dawniej zamożności i potęgi.

— Wszechwładny Keferini podobno wiele podróżował?—spytał Tankred.

— Angielski książę prawdę wyrzekł—odparł Keferini.—Zwiedziłem wszystkie miasta Syryi prócz Jeruzalem, w którém być nie chciałem, ponieważ jestto miasto dobre tylko dla psów niewiernych.

Tu Tankred zaledwie zdołał stłumić oburzenie.

— Czy zwiedzałeś Liban?—zapytał Fakredeen.

— Szlachetny emirze gościłem u twojej rodziny, rozmawiałem wiele z emirem Beshir, i może, gdybyśmy się byli lepij porozumieli, Beshir nie byłby teraz w niewoli u tych obrzydłych barbarzyńców.

— I cóż wam przeszkodziło do umowy z emirem?—zapytał żywo Fakredeen.—Dlaczegoście się nigdy nie porozumieli z rodziną Shehaabów, kiedy dwa te plemiona złączone, mogłyby całą Azją owładnąć.

— Słusznie mówisz szlachetny emirze, wielką jest Anscrejów potęga.

— Czy prawda, że wasza królowa ma na skinienie 25,000 wojowników?—zapytał Tankred.

W istocie — odrzekł Keferini — mamy 25,000 wojowników, z których każdy starczy za trzech Druzów i dziesięciu Maronitów.

Wejście czterech paziów i czterech dziewic niosących sorbety i owoce, nie dopuściło zbyt może ostrój odpowiedzi Fakredeena, oburzonego temi przechwałkami pierwszego ministra. Później rozmowa inny obrot wzięła: zaczęto rozprawiać o królowej, a Keferini rzekł im uprzejmym i słodziutkim głosem, że jej ani dziś, ani przez cały tydzień widzieć nie będą mogli.

— Ojciec królowej zwał się Suedya?—zapytał Fakredeen.

— Tak jest, ojciec królowej zwał się Suedya.

— A jakież było nazwisko jej matki?

— Nie nieznaczące; byłato bowiem niewolnica, nieależąca do naszego pokolenia.

— Czyto pierwszy raz białogłowa rządzi Anserejami?

— Pierwszy, od czasu, jakieśmy w tych górach osiedli.

— A gdzieście wprzód mieszkali?

— W wspaniałych miastach, o których nie ma potrzeby wspominać, bo nam i tak nigdy nie wyjdą z pamięci.

Tankred i Fakredeen pragnęli ułyszyć nazwisko królowej, lecz nie śmieli o nie zapytać. Już po drodze chcieli wyciągnąć na słowa spotykanych Anserejów, lecz zawsze coraz inną otrzymywali odpowiedź; wreszcie Baroni ostrzegł ich, że nie wolno tym ludziom mówić pod żadnym pozorem o swym kraju, rządzie lub wierze, i że tym sposobem oszukiwali zawsze ciekawość pytających. Keferini zaś lubo ciągle mówił, tyle używał niepotrzebnych słów i porównań, że nie z mowy jego wyciągnąć nie było można i nasi podróżni po całodziennej z nim rozmowie tak mało wiedzieli o Anserejach, jak wten czas, gdy po raz pierwszy zasłyszeli o nich.

Rozdział II.

— Uciekajmy, uciekajmy moja Cypros! Nie mogę tu dłużej pozostać, tak mi serce bije.

— Droga pani—odrzekła powiernica—to zdziwienie tak cię wzruszyło.

— Nie wiedziałam, moja Cypros, że to zdziwienie; to chyba dotąd nigdy mnie nic nie zdziwiło.

— O tak, to zdziwienie—rzekła śmiejąc się Cypros.

— Cicho, tak głośno się śmiejesz.

— Czyż ja się śmieję? to chyba dotąd nigdy się nie śmiałam.

— Nie chciałabym, by słyszano nasze westchnienia i śmiechy—mówiła do Cypros młoda dziewczica, zaledwie ośmnastą wiosnę licząca. Rysy miała greckie, włosy czarne jak heban, a oczy koloru fioletów. Jój towarzyszka była młodsza jeszcze i piękna jak pączek róży.

Obiedwie zaczęły uciekać wzdłuż galeryi wiodącej do mieszkania cudzoziemców, dokąd przyszły w chęci widzenia ich ukradkiem; lecz nagły ruch Fakredeena spłoszył je i zmusił do ucieczki. Z galeryi zbiegły na wschody, a ztamtąd przez kilka pokoi do ogrodu pełnego fontan i mirtów.

— Jak sądzisz, czy nas widziano? — zapytała jedna z nich padając na marmurową ławkę.

— Niepodobna—odrzekła Cypros.

— Cóż robić? muszę się im przecie kiedyś pokazać; ale jeżeli mi tak zawsze serce bić będzie, to ich przyjąć nie potrafię.

— Każ im zaczekać z kilk dni, to się może aż niemi oswoisz.

— Nigdy się z niemi nie oswoję. A potem, byłoby to niegościnnie: wczoraj byli zmęczeni, miałam powód nieprzyjęcia ich; ale dziś... dziś... Wymyśl coś przecie, moja Cypros, jaką przyczynę, któraby ich zaspokoila.

— Zdaje mi się, że już tém powinni być uradowani, żeś naznaczyła dzień przyjęcia.

— Być może, ale ja nie będę zadowolona. Raz ich zobaczywszy, chciałabym ich znowu widzieć; a przecież nie mogę kryć się wiecznie w tej galeryi.

— To ich przyjmij dzisiaj; posłój zaraz po Keferiniego.

— Ach! jakżeś ty nieczuła, spokojna; jakże ci zazdrosczę. Ale powiedz mi, jak sądzisz, który z tych dwóch książąt do naszego pokolenia należy?

-- Doprawdy nie wiem, obadwaj tak wspaniale wyglądają.

— Choć tak niepodobni do siebie.

— Niepodobni, to prawda. Jeden z nich—dodała Cypros z namyślem—ma rysy do twoich zbliżone.

— Ten, z temi pięknemi niebieskiemi oczyma? Więc sądzisz, że ten do nas należy?

— Jąbym chciała, żeby obydwaj do naszego pokolenia należeli.

— O, nie! to nie on, to nie on jest nasz rodak; nie, nie Cypros. Uważaj tylko dobrze rysy drugiego młodzieńca: czy widziałś kiedy co równie zachwycającego? Te ciemne włosy, to wyniosłe czoło, wyraz powagi i godności; ten dumny i łagodny zarazem uśmiech, czyż ci nic nie przypominają? czy nie widzisz w nich odbicia innych, bozkich kształtów?

— Ach, tak, to prawda!

— Powiedz mi cicho to święte imię, którego głośno nie godzi nam się wymówić.

Cypros nachyliła się do jój ucha i szepnęła słowo, na które rumieniec oblał twarz młodej dziewczicy.

— To więc on—zawołała Cypros—pochodzi z naszego plemienia!

Rozdział III.

Nasi podróżni ze smutkiem przemyślivali, jak potrafią przepędzić ten nudny tydzień w Dżendariku, gdy wszedł Keferini i oznajmił

im, że królowa zmieniwszy swe poprzednie postanowienie, wzywa ich natychmiast do siebie, i niebawem poprowadził ich do niej.

Młoda królowa Anserejów przyjęła ich tak poważnie, jakby jaka Wiktorya z Saint James, odbywająca swoje *levée*. W obszernej komnacie ozdobionej rzeźbami w jońskim stylu, siedziała na wysokiej sofie, szatą purpurową okryta; jej długie ciemne włosy odgarnięte z czoła złotą starożytną roboty przepaską, spływały w bogatych splotach na ramiona. Po prawej stronie stał Keferini dowódzca straży, i jakiś starzec z długą białą brodą, a za nimi mnóstwo niewolników; po lewej orszak dziewięć królowej.

— Najmilsza i najpiękniejsza królowa w dowód swjej łaski i przyjaźni, pozwala wam usiąść w swjej przytomności—przemówił Keferini.

W skutek tych słów Tankred zajął miejsce po prawej, a emir po lewej ręce tronu. Fakredeen w stroju syryjskim błyszczał cały od okrywających go klejnotów i ciężkich Wschodu materyj, gdy przeciwnie młody Anglik przedstawił się w ciemnym i opiętym mundurze bellamontskiej gwardyi.

— Jesteś księciem angielskim? — zapytała go królowa.

— Jestem Anglikiem—odpowiedział Tankred—poddanym naszej królowej, bo i nami rządzi także młodość i piękność.

— Moi ojcowie—rzekła znowu królowa odwracając się do Fakredeena—żyli zawsze w przyjaznych stosunkach z domem Shehaabów.

— Oby tak i nadal było; bo gdy Shehaaby złączą się z Anserejami, Syrya będzie prawdziwym rajem.

— Naród wasz często zamieszkuje na okrętach—mówiła królowa obracając do Tankreda mowę.

— Jesteśmy wyspiarzami—odpowiedział tenże zdziwiony tém nagłym pytaniem.

Lecz Keferini dobrze obznajmiony z obyczajami innych ludów, w ten sposób nieświadomą objaśnił królowę:

— Anglicy sześć miesięcy tylko przepędzają na okrętach; resztę zaś czasu w wiejskich zamieszkują zagrodach.

— W jakim wieku wasza królowa?

— Była w twoich latach wszechwładna pani, gdy na tron wstąpiła.

— Jak dawno?

— Siedm lat temu.

— Jak téż wygląda jej pałac?

— Ogromny i przepyszny.

— Emir Beshir jest teraz w Stambule? — zapytała znów Fakredena.

— Nie, nateraz mieszka w Bruzie.

— A Stambuł, czy największe miasto w świecie?

— Wcale nie.

— Jakież największe miasto?

— Londyn, stolica Anglii, z której właśnie książę przybywa. Paryż jest także bardzo wielkie miasto, ale już nie takie, jak Londyn.

— Jaka jest ludność Stambułu?

— Podobno pół miliona.

— Widziałeś Antyochią? — zapytała Tankreda królowa.

— Nie jeszcze.

— A Bejruth?

— Widziałem.

— Antyochia teraz mniejsza od Bejruthu, a przecież ta sama Antyochia była kiedyś większą od Stambułu, a może i od waszego wielkiego miasta.

— I niezawodnie była piękniejszą — dodał Tankred.

— Ach! słyszałeś więc już o tém — zawołała żywo królowa — to powiedzże mi, dlaczego Antyochia upadła, dlaczego przestała być wielką, piękną i potężną?

— Podobne pytanie zastanowiłoby mędrca — odparł Tankred.

— Nie jestem mędrce, a przecież mogłabym je rozwiązać — rzekła królowa.

— Racze to uczynić wszechwładna pani.

— Są rzeczy, które można, a są znowu rzeczy, których nie można powiedzieć — dodała królowa spoglądając na Keferiniego.

— Wszechwładna królowa wyraziła się z prawdziwą mądrością i rozwagą — mówił minister — na to nieme pytanie.

Królowa zamilkła i przez kilka chwil zostawała pogrążona w myślach; potem skinęła białą dłonią na znak, by się cała świta oddaliła. Pozostał tylko Keferini, który na jój rozkaz zajął miejsce opodal.

— Szlachetni książęta — odezwała się poważnie młoda królowa — bądźcie pozdrowieni w Dżindariku, gdzie nikt obcy dotąd nie postać, bo naród nasz nie pragnie ani poznać, ani dać się poznać innym ludom. Niepodobni jesteście do żadnego z nich, i niczego im nie zazdrościmy. Nie zazdroścę okrętów królowej angielskiej, a naród mój nie zazdrości wam bogatej wyspy. Te dzikie skały od naszych cjców zamieszkałe, choć w nich ciężko rolę uprawiać, wystarczają na nasze potrzeby, i choć

w nich nie ma złota, srebra, klejnotów, ani jedwabiu, miłujemy je i przenosimy nad wszystko. Ożywia nas wszystkich bowiem myśl wzniosła i pocieszająca. Gdy Darkusz wierny mego ojca sługa, mieszkający w Damaszku, przysłał do mnie gołębia z wiadomością, że dwóch obcych książąt chce państwo moje zwiedzić, pewnym był, że niepotrzebnie przysyłałby tu ludzi, co by zajęci byli tylko zwyczajami swego kraju, pięknnością Frangistanu lub wynalazkami przemysłu, bo nas to wszystko mało obchodzi. Darkusz pisał mi, że nie chcecie rozmawiać ze mną o rzeczach ziemskich, przemijających jak bałwany wody, ale że macie się ze mną w ważnych przedmiotach naradzić. Na to następną Darkuszowi przesałam odpowiedź: „Jeżeli słowa obcych książąt nie są tylko próżnym dźwiękiem, jeżeli w duchu braterstwa i pokoju pragną słowo prawdy usłyszeć, wskaż im drogę Dżindaryku”.

Gdy zamilkła, Keferini skłonił się z uszanowaniem, Fakredeen i Tankred spojrzeli po sobie, a ten ostatni zabrał głos w te słowa:

— Z ust twoich mądrość sama płynęła; ja i mój przyjaciel uznajemy słusność twoich wyrazów. Prawdę mówił Darkusz, iż nie o zwyczajnych przedmiotach chcemy z tobą pomówić i nie prosta ciekawość jest bodźcem naszych odwiedzin; i nas także ożywia myśl wznioślejsza, i ta sprowadziła nas tutaj. Uznajemy, że Azja zawiera w sobie myśli żywotne, które reszta świata z niej czerpać przymuszona, uznaje tém samém jej wyższość. W Azji tylko Bóg ludziom się objawił, w Azji nadał im wiarę, a wiara wszędzie upada; znać więc, że potrzeba nowego wstrząśnienia w świecie, nowej świętej z Azji iskry. Sądzymy, że posłannictwo to ciąży szczególnie na Syryi i Arabii, jako krajach najbardziej umiłowanych od Boga. Te dwa pokolenia ludzi wolnych, pełnych życia i świeżości myśli, zdają się być przeznaczone na podbicie świata. Chcemy więc podbić świat stary z boskiem słowem na ustach, z obrazem Boga na sztandarze, z aniołami na czele; chcemy uszczęśliwić zbyt długo cierpiącą ludzkość i rozszerzyć wokoło święte słowa wiary i prawdy.

Królowa Anserejów słuchała tych słów z głęboką uwagą, i po chwili tak przemówiła:

— I ja także wierzę w duchowe Azji posłannictwo; bo póki jej żywioł światem rządził, wszystko było wznioślejsze i piękniejsze, jak dzisiaj. Słyszając was ucieszyłam się, żeście tu przybyli; ale mówiąc o Arabii powiedz mi, o jakimże Bogu mówiłeś?

— Mówilem o jednym Bogu prawdziwym, o Bogu, co się na górze Synai objawił i odkupił winy nasze na syryjskiej Kalwaryi.

— I w Anatolii jest góra Olimp, gdzie także mieszkali bogowie.

— Bogowie poetów?

— Nie, bogowie ludu, którzy go kochali i których on też kochał.

Tu nastąpiło chwilowe milczenie, które przerwała królowa, mówiąc do Keferiniego:

— Myśli tych książąt są wzniosłe i nadziemskie, nie trzeba więc, by bramy piękności zamykały się przed niemi.

— Mamże wszechwładna pani otworzyć im podwoje cudownej i zakłętą świątyni?

— Tak, i każ ją w kwiaty przystroić. Szlachetni książęta—dodała obracając się do swych gości—ujrzycie to, co dotąd oko żadnego cudzoziemca nie widziało: ujrzycie naszą Azyą i jej bóstwa.

Za chwilę znowu tłum napełnił pokoje, królowa i książęta powstali, strojne dziewicę pod przewodnictwem Cypros rozdały obecnym girlandy z kwiatów, i udano się przez długi szereg komnat i wysoką spizową bramę, misternemi okrytą rzeźbami, do podziemnego przejścia, nakształt tego, którym Tankred i Fakredeon wjeżdżali do Dżindariku. Wkrótce blask słońca znowu ich uderzył, i ujrzeli się na płaszczyźnie otoczonej wokoło niebotycznymi skałami, tak, iż jedynie przez podziemia dostać się na nią było można.

W przeciwną skalę wykuta była grotą, do której wiodły wschody, otoczone jońskimi kolumnami. Wnętrze było ozdobione wspaniale. Królowa rzucała kwiaty i wieńce i przewodniczyła chórowi, nucąc pieśń w jakimś nieznanym języku. Gdy wzrok Tankreda przyzwyczaił się do półcienia panującego w grocie, jakież wspaniały uderzył go widok! Wokoło grotę, na bogatych podstawach, stał rząd posągów doskonałej piękności. Ich wspaniałe kształty i wyraz boskości promieniejący w idealnego wdzięku postaciach, przejmował mimowolną cziłą i poszanowaniem.

Na tronie z słoniowej kości, siedziała postać z łagodnym i poważnym wyrazem twarzy, trzymając w ręku pioruny i cyprysowe berło. U nóg leżał orzeł z rozwiniętymi skrzydłami. Wokoło zaś postaci bogów, bogiń, nimf i faunów, zdawały się uosobistniać każdą namyślność, odpowiadając każdej myśli. Słabe światło rzucające blade na grotę promienie i padające na te marmurowe kształty, zdawało się je ożywiać i nadawać im jakiś pozór istotnego życia.

— Bogowie Grecyi!—zawołał Tankred.

— Bogowie Anserejów, bogowie ojców moich!—rzekła królowa.

— Co za dziwy!—szeptał zdumiony Tankred—czy to sen jaki, czy obłąd zmysły moje ogarnia?

— Nazwałeś ich bogami, a emir Libanu, czy także przyznaje im boskie pochodzenie?

— Uczulem je w téj chwili.

— Jakimże sposobem—pytała królowa—ty, dziecię północnej wyspy....

— Poznałem bogów Olimpu! nieprawdaż?—przerwał Tankred.—Nic w tém dziwnego, mówiono mi o nich oddawna.

— Prawdę Darkusz powiedział—mówiła zcicha do siebie królowa z wyrazem radości—on rzeczywiście jest jednym z naszych.

— Więc ujrzałem wreszcie bóstwa Anserejów — zawołał emir.

— Oto wszystko, co pozostało z Antyochii, z Antyochii tak niegdyś możnej i wielkiej, z jój poświęconych gajów, z jój licznych arcydział.

— Nieszczęsna Azyo, jakżeś upadła!—wykrzyknął emir.

— Gdy lud przestał palić bogom ofiary—mówiła królowa jakby w natchnieniu—rozgniewane bóstwa opuściły ziemię (ufam, że nie nazawsze); wtedy szczupła liczba wiernych schroniła się w te góry, unosząc z sobą święte posągi. Dlatego wam mówiłam, że posiadamy w naszych obyczajach i pamięci wielką myśl przeszłości; wszystkośmy stracili: potęgę, wielkość, sztuki piękne, to nam tylko pozostało. Przywdzieliśmy ubiór Kurdów, jesteśmy im prawie podobni, tylko te posągi strzegą nas od upadku, i swą pięknością unosząc nas nad ziemię, przypominają nam, że po latach próby, gdy Azya się upamięta i wróci do dawnych bogów, oni nam przebaczą i znów zstąpią na ziemię, która bez nich jest tylko miejscem wygnania.

— O pani!—zawołał Tankred—pomówimy jeszcze o nich, nieprawdaż? bo teraz serce moje nazbyt jest pełne.

— Chodź ze mną—rzekła słodkim głosem królowa i weszła z nim do mniejszej grotty, łączącej się z poprzednią, w której stały tylko dwa naturalnej wielkości posągi; i zaprowadziwszy go przed jeden z nich, zapytała:

— Poznajesz-że go?

— To bóg poezyi i światła: Phoebus Apollo.

— Nasz bóg, bóg Antyochii. Możnaż spojrzawszy na niego wątpić o jego bóstwie?

— Jestżeto doprawdy ten sam Apollo, przed którym gwiazdy bladły, na którego cześć wychylano puchary pełne najslodsze go wina i wieczne palono kadzidła?

— O tak, wiesz wszystko.

— Aniołowie! czuwajcie nademną—szeptał Tankred—tehu mi brakuje.... A któż to jest?—wskazując na drugi posąg zapytał.

— Bogini Syryi, przed którą tysiące klękało: Wenus naszego kraju, nazwana u nas imieniem, które i ja noszę, *Astarté*.

Roździał IV.

— Jak długo przed przyjściem proroka ludzie przestali czeić te bóstwa?—pytał późniój Fakredeen Tankreda.

— Gdy Chrystus zstąpił na ziemię.

— Lecz prawda i przed jego przyjściem zstąpiła na ziemię, gdy Bóg przemówił do Mojżesza na górze Synai, gdy potém oświecał duchem swoim proroków i wielu książyć z domu Dawida.

— Tak, lecz Bóg objawiał się jedynie wówczas ludowi wybranemu, przez usta zaś Jezusa na świat cały rozszerzył słowo prawdy i zbawienia. W mojm pojęciu, chrystyanizm jest rozwinięciem i udoskonaleniem judaizmu, zastosowaniem go do pojęcia ogółu; dlatego zadał on cios śmiertelny bałwochwalstwu i rozszerzył się aż na krańce ziemi. Wiara ta święta aż do nas przeszła, do mego narodu niegdys dzikiego; oświeciła go, ocaliła od upadku i uczyniła go tém, czém jest dzisiaj.

— Ciekawa to i zabawna historia — rzekł Fakredeen — chciałbym ją znać dokłaźnie. Czy Juliusz Cezar należał do ludów niewiernych?

— Bez wątpienia.

— A Alexander macedoński?

— Także. Byli to dwaj najwięksi ludzie z narodów nieuświęconych objawieniem, i przedstawiali niejako dwa największe szczepy południowój Europy.

— A przecież, choć nie byli, jak mówisz, uświęceni objawieniem, tak wielkich dopełnili czynów, tak olbrzymie państwa zdobyli!

— Cóż znaczą podobne zwycięstwa w porównaniu z podbiciem moralnym? Gdzież się podziela ich potęga? gdzie ich potomkowie? Obadwaj byli ubóstwieni, któż im teraz pali ofiarne kadzidło? Dzi-

siejsi Grecy i Rzymianie schylają czoło przed ołtarzem Chrystusa, potomka Dawida; tylko jedna Azya otoczona Saracenami i Tatarami, przeniecierzyła się wierze wyszłej z jój łona; lecz jeszcze kiedyś Bóg ulituje się nad nią i znów w niej zajaśnieje prawda, i znów nada ona światu wyższy kierunek.

— A cóżby się stało, gdyby Azya uwolniona od narzuconej wiary Mahometa, powróciła do owych cudnych bogów, któreśmy dziś rano widzieli?

To pytanie nie pierwszy raz od rannych wydarzeń zadawał sobie Fakredeen, i zawsze w jego myśli zostało bez odpowiedzi. Dwaj przyjaciele wrócili do Astarté znużeni, milczący. Zdawało się, jakoby szczerść braterska pomiędzy nimi nagle zniknęła. Fakredeen szczególnie zdawał się zatopiony w dumaniach; nigdy nie słyszał o dawnych bogach Olimpu, dlatego widok ich otworzył nowe myślom jego pole i nie mógł ich oderwać od cudnych kształtów, co tak niespodzianie wzrok jego uderzyły. Na Tankredzie przeciwnie, grota cudowna zupełnie inne uczyniła wrażenie; nagłe zjawienie się bogów Grecyi zastanowiło myśl jego, młoda królowa także go zajęła. Ten umysł wyższy, przyzwyczajony do nadziemskich marzeń, wzbudził w nim nadzieję nawrócenia jój, a jakże ważne byłoby jój przejście na wiarę Chrystusa. Nie pierwszy to raz Bóg przez usta kobiece szerzył świętą prawdę.

Fakredeen nie mając dotąd żadnej wiary, nie mógł nawracać Anserejów; prędzejby sam przyjął wiarę Astarty, gdyż ona silny wpływ na jego słaby umysł wywarła. Jedyną dotąd kobietą, co nim kierowała, była Ewa; kochał ją jak siostrę i przyzwyczał się we wszystkiem rady jój zasięgać; lecz Astarté zjawiła się jak gwiazda przed jego oczyma, i blaskiem go swoim oślniła. Młoda, cudownie piękna, przytém królowa, namiętna i wymowna, otoczona zarazem urokiem nowój dla niego wiary i dziwnej tajemniczości, opanowała wkrótce jego bujną wyobraźnię. Ewa i Tankred mówili mu wprawdzie o bogach, ale Astarté objawiła mu ich niejako dotykalnie. Porównywał w myśli cudną widzianą świątynię, z niekształtnymi klasztorami chrześcian i meczetami muzulmanów. Czyż bogowie Olimpu nie byli dawniejszemi od Boga Synai i Kalwaryi? czyż ich czciciele nie doszli najwyższej potęgi? Dlaczegoż miał ich odrzucać? Skłaniało go do tego i niejake pokrewieństwo z plemieniem Anserejów. Uwierzył słowom królowej, która twierdziła, że świat cierpi od czasu, jak dawne bogi porzucił, bo widział cierpienie w każdym wyższym umyśle, a nie umiał odgadnąć jego prawdziwej przyczyny. Rozumiał

jeszcze, że on sam cierpi jako Syryjczyk, niemający politycznego znaczenia; rozumiał, że Ewa jako żydówka płakała, widząc pogardę ciążącą na swém plemienu, lecz nie pojmował, dlaczego Tankred, młody, bogaty, syn potężnego narodu, nie był szczęśliwy; dlaczego opuścił ten raj ziemski, ucylizowaną Europę? dlaczego cierpiał?

Wszystkie te myśli wiły się po głowie potomka Shehaabów, wraz z dymem niezliczonych fajek; przyczém rachował i obliczał w duchu, ile to 25,000 bitnych Anserejów, połączonych z jego wojskiem, wielkich dopełnią czynów. Nieznaczenie marzenia Tankreda, które z takim zapalem podzielał, rozszerzenie prawdziwej wiary, odrodzenie świata i t. p., ustępowały osobistym widokom. Widział się w myśli samowładnym panem Libanu, którym władał wspólnie z Astartą. Jego granic strzegło 100,000 walecznego wojska; wszędzie wprowadzał bogów Olimpu i znowu otaczał ich dymem ofiar i kadzideł. Patriarchę Antyochii zamienił na arcykapłana, a żydom, przez szczególny wzgląd na dom, w którym odebrał wychowanie, pozwalał trudnić się handlem w swoim państwie.

Rozdział V.

Od owych odwiedzin w świątyni Anserejów, można było dostrzedz wielką zmianę w obejściu Fakredeena z Tankredem: odpowiadał uszczypliwie na jego pytania, i zamiast zwierzać mu się z doznanych wrażeń, unikał jego obecności.

Na drugi dzień rano królowa zaprosiła ich na konną przejażdżkę w okolice Dżindaryku. Porzuciwszy dzikie skały, wjechali na piękną i uprawną dolinę. Fakredeen jako doskonały jeździec popisywał się przed królową; lecz ona nie zważając na niego, spoglądała z widoczném upodobaniem na Tankreda, który jechał obok niej w zamysleniu.

Po południu książęta w towarzystwie Keferiniego udali się znowu do królowej, i tam spędzili kilka godzin, rozmawiając o różnych przedmiotach. W tym stanie rzeczy kilka dni upłynęło. Rano jeździli do pięknej doliny, pełnej akacyj i kwitnących oleandrów, wieczory zaś u pięknej Astarté spędzali. Z Fakredeeniem królowa była wesoła i poufała: podobał jój się ten wyraz nieśmiałości i pokory, który tak zręcznie, a może i szczerze przybierał. Zdawało się, że każde jój słowo i spojrzenie pożera, zawsze się zgadzał z jój zdaniem, rumienił się co chwila, i nie taił swego uwielbienia. Jakkolwiek emir nie mógł się na obejście królowej uskarżać, uważał jednak, że zupełnie inną była względem Tankreda, i nie wiedział na czyją korzyść

wypadała ta zmiana postępowania i obejścia królowej. Jeśli on z chciwością chwycił każde przez nią wyrzeczone słówko, to ona nawzajem słuchała z religijną uwagą najmniej znaczącego zdania młodego Anglika; jeśli on był przy niej nieśmiały, to ona także zaledwie się odzywała przy Tankredzie; gdy tymczasem ten ostatni zajęty swém posłannictwem, nie zważał na uczynione wrażenie. Wszystko to nie uszło bacznego oka Fakredeena, nie stracił jednak nadziei, uczuł bowiem, że jeśli ma rywala, potrafi go zwyciężyć; tém bardziej, że Tankred nie myślał o obronie, a on postanowił wszelkimi sposobami dopiąć swego celu. Starał się naprzód pozyskać Keferiniego, cały dzień obsypywał go pochlebstwy, radził się go względem spraw i interesów nigdy nieistniejących, upewniając, że emir Beshir zaklinał go o utrzymanie przyjaznych stosunków i pozyskanie pomocy ministra Anserejów, a nadewszystko czynił mu wielkie obietnice i kosztownymi klejnoty obdarzył.

Wreszcie dnia jednego znalazł się samnasam z królową, gdy tymczasem Keferini zatrzymał u siebie Tankreda. Byłato sposobność dawno upragniona przez emira, i nie omieszkał z nią korzystać.

Zaczęli mówić o Libanie. Astarté pytała go o Kanobią, a Fakredeen opisując swój zamek zaniósł pokorną prośbę, by królowa Anserejów raczyła go odwiedzić. Lecz ta przerwała mu z żywością:

— Dziwi mnie to, że Darkusz, mój wierny sługa w Damaszku, napisał mi przez gołębia, że jeden z książąt chcący zwiedzić Dżindaryk, podziela naszą wiarę; tymczasem angielski książę upewnił mnie, że tak nie jest w istocie, że ta wiara znaną jest tylko w kraju jego ojców z dawnych greckich poematów (u nas zatraconych), gdzie są opisane wszystkie nasze bóstwa i podania, których się uczą, lecz im wcale nie wierzą.

— W Anglii nic nas dziwić nie powinno: jestto najoryginalniejszy kraj w świecie. Wyspa północna, nieco większa od Malty, lecz daleko mniej obronna. Sprowadzają oni z zagranicy wszystkie najpierwsze potrzeby życia: zboże z Odessy, wina z południowych krajów. Mówiono mi nawet w Bejrucie, że bawelna nie rodzi się u nich; ale temu już wierzyć nie mogę. Religiją nawet z Syrii czerpali. Dlaczegożby więc nie korzystali z greckich poematów?

— Jakiżto musi być biędny lud—zawołała Astarté.—A jednak widać, że chcą się czegoś dowiedzieć, nauczyć, kiedy tak podróżują po świecie.

— Jednakże Darkusz nie mylił się, pisząc ci, że jeden z nas wiarę twoję podziela.

— Jaktó?

— Tak, jeden z nas należy niejako do twego pokolenia, ale tym szczęśliwym nie jest angielski książę. Cudna Astarté, nie znałaś mojej matki—dodał Fakredeen z westchnieniem.

— Jakże ją znać mogłam? nie opuszczałam nigdy tych gór droższych dla mnie, niż piramidy dla wielkiego baszy Egiptu. Nie spojrzalam nigdy na kobietę z pokolenia Maronitów lub Druzów.

— Spytaj Keferiniego, on był na dworze emira Beshir, on słyszał o mojej matce, która, jak ty cudna Astarté, należała do pokolenia Anserejów.

— Twoja matka?—zawołała zdziwiona królowa.—Z którejże pochodziła rodziny?

— Ach!—zawołał emir—to jest dla mnie tajemnicą, i to mnie wiecznie boli; straciłem tak młodo rodziców, i właśnie tu przybyłem chcąc dojść pochodzenia méj matki, jeżeli to być może. Zylem tylko tą myślą, marzyłem o jój cudnej wierze, dusza moja pragnęła bogi jój oglądać. O Astarté! gdybyś wiedziała, com ja już dla téj wiary ucierpiał...— i łza zawisła na długich rzesach emira.

— Jakimże sposobem—zapytała królowa, przybyłeś tutaj inną wiarę opowiadać?

— Ja — przerwał Fakredeen z wyrazem pogardy—przyszedłem inną opowiadać wiarę? To ten szalony cudzoziemiec przybył tu z zamiarem nawracania na religią, której sam dobrze nie pojmuje; bo religia ta jest wschodniém wyznaniem i sam się przyznał, że u nich nie masz ani cudów, ani objawienia; że Bóg ich kraj opuścił.

— Nie zrozumiałam cię dobrze emirze—rzekła Astarté — myślałam, że obadwa macie jedne zamiary, i że obadwa wspólnie w jednej sprawie walczyacie.

— Wszystko to zapewne wiész przez Darkusza, lecz on go nie znał osobiście, miał tylko niejaki z jego kamerdynerem stosunki, od którego wszystkie te wiadomości czerpał. Ja wiedziałem o wszystkiém, lecz nie przeczyłem mu, chcąc korzystać z téj sposobności dla zwiedzenia Dżindaryku, chcąc dostać się do téj upragnionéj ziemi, nie pytając, jakim sposobem i nie mieszając się do zamiarów, dla których Anglik podróż tę przedsięwziął.

— Jakiekolwiek są cele angielskiego księcia, ufam, że są wzniosłe, i że ich dopnie—odparła poważnie Astarté.

— Nie chciałem nic złego przeciw niemu powiedzieć—podchwycił emir—ale jest on zbyt żywy, dumny i niepraktyczny; a nadto po-

wiązany z ludźmi złej sławy i wiary, przez których niezawodnie upadnie. Naprzykład teraz zakochał się szalenie w żydówce z Damaszku, choć żydom w Anglii mieszkać niewolno, i chce przewrócić cały porządek towarzyski, byle się z nią ożenić.

Na te słowa Astarté zbladła straszliwie i powtórzyła drżącym głosem:

— Zakochany w żydówce z Damaszku?

— Namiętnie: onato go jedynie zachęca do tych szalonych przedsięwzięć, ona wyjaśnia mu zawikłane myśli *hebrajskiej kabały* (1), a on mówi jęj o Nazareńczyku; i umyśliłi we dwoje podbić Azyą, a może i świat cały naszymi szabłami, za co nas wynagrodzą wielkanocną macą.

— Ależ to straszne, niegodne!

— Zapewnie.

— Czyż królowa angielska dozwoli jednemu z swych książąt zaślubić żydówkę?

— Nigdy. On będzie ścięty, a ona spalona; ale tymczasem wiele nieszczęść może spaść na nas, jeżeli im nie zapobiegniemy.

— Trzeba im zapobiedz.

— Co mnie najwięcej bawi—mówił dalej Fakredeem—to zimna krew, z jaką ten Anglik rachuje na nasze wsparcie. Najprzód przyjeżdża do mnie do Kanobii, potem tutaj do Dżyndariku; chce, byśmy wszystkie usunęli trudności naszymi wojownikami, i aby on i jego żydówka z tego korzystali! Zapewnie, gdyby Ansarejowie połączyli się z resztą plemion Libanu, nieby dla nas nie było trudnego; łatwo byśmy się mogli oswobodzić z jarzma Turków, szczególnie, gdyby nas wsparł Guizot i Aberdeen. Tyś nigdy o nich nie słyszała, sęto wielcy wezyrowie króla Francuzów i królowej angielskiej.

— Dziwne są to rzeczy—mówiła Astarté (widocznie czém innym zajęta)—ale powiedz mi, ta żydówka musi być bardzo piękna.

— Przynajmniej taką się Anglikowi wydaje; o niczym innym nie myśli, przez sen nawet, o niej tylko mówi.

— Co za szalona myśl, byśmy się bili dla żydówki. Czy ona czarno-, czy jasnowłosa?

— W swych wierszach Anglik nazywa ją zawsze gwiazdą lub księżycem: sęto nocne światła, wnoszę zatem, że musi być czarnowłosa.

— Nie cierpię żydów, ale słyszałam, że ich kobiety są dziwnie piękne.

(1) Znany system filozoficzny judaizmu.

— Wypędzimy ich z naszego królestwa—rzekł emir—patrz na królową.

— Gdybyśmy mieli zaczynać wojnę, to pewno nie dla nich; przecież zdawna sływały syryjskie państwa.

— I będą istnieć jeszcze, nadobna królowo, a ty niemi rządzić będziesz. Teraz zaczynam ufać, że sprawdzą się moje marzenia.

— Jakie marzenia?

— Ostatnie pragnienia umierającej matki, które mi przekazała.

— A zatem pamiętasz swoje matkę?

— Nie. Lecz matka moja umierając powierzyła swoje życzenia méj mamce, która mi później objawiła jój ostatnią wolę.

— Jakaż ona była?

— Abym wystawił w Deer-el-Kamar świątynię na cześć syryjskiej bogini.

— Co za cudna myśl!

— Niezawodnie cały Liban wróciłby do dawnéj wiary. Druzy już są do tego przygotowani, czekają tylko mego skinienia.

— Cóżby się wówczas stało—zapytała królowa—z nazareńskimi biskupami?

— Jak dawniej kapłani syryjskiej bogini zostali chrześcianami, tak dziś zakonnicy chrześcianańscy powróciliby do dawnéj wiary.

Rozdział VI.

Tankred i Fakredeen opuścili na dni kilka Dżindarik, by zwiedzić okoliczne góry. Podczas téj przejażdżki Tankred odzyskał nieco dawnego wpływu nad emirem, który zaczął żałować ostatniéj z królową rozmowy. Powróciwszy do dzikiego i niedostępnego zamku Astarty, zastali na głównym dziedzińcu ruch niezwykły. Anserejowie pilnowali rozbrojonych Turków, tu i owdzie leżały wielbłądy, wodzono wokóło niecierpliwe rumaki.

— Co to wszystko znaczy?—zapytał Fakredeen.

— Wzięliśmy w niewolę harem baszy Alepu i przyprowadziliśmy tutaj do królowéj królowych—odrzekł jeden z przytomnych.

— Słyszysz Tankredzie? wojna się zaczyna.

— Czyż mamy wojować z kobietami?

— To tylko piérwszy krok—dodał Fakredeen—zresztą nie pogardzaj tak kobietami, są one główném źródłem każdéj prawie sprawy.

Zaraz na wstępie odwiedził ich Keferini, winszując szczęśliwego powrotu. Minister był dnia tego jeszcze słodszy, jeszcze grzeczniejszy, i bardziej tajemniczy jak zwykle; na każde zapytanie odpowiadał tak zawikłanym stylem, że po całogodzinnej rozmowie, nasi młodzi podróżni nie mogli zrozumieć zaszłych wypadków podczas ich nieobecności.

— Porwanie haremu baszy Alepu—rzekł wreszcie zniecierpliwiony Fakredeen—jest rzeczą bardzo ważną, i może straszne za sobą pociągnąć skutki.

— Nie ma co o tém mówić—odpowiedział minister—przyszłość rozwiąże dopiero to zagadnienie. Są jednak ludzie, przed których wzrokiem nie ma nic tajnego, którzy równo odgadną przyszłość jak przeszłość.

— Poznając bliżej ludzi, przekonywamy się z żalem—dodał Tankred—że pamięć jest może równie rzadkim darem, jak odgadywanie przeszłości.

— Nie unas—odparł Keferini.—W tych górach przechowujemy w pamięci dzieje naszych naddziadów. Być może, że pamięć rzadką jest w Anglii, ponieważ Anglia jest krajem tak młodym, iż nie ma co pamiętać.

Tankred skłonił się tylko na to grzeczne orzeczenie swojego narodu.

— Jak się ma królowa królowych?... —zapytał emir.

— Wszzechwładna królowa królowych jest teraz zajęta ważnemi myślami—odrzekł minister tajemniczo.

— Jeżeli potrzebuje pomocy, może rachować na mnie—zawołał emir z zapalem.

Keferini spuścił głowę i rzekł po chwili:—Emir Libanu słusznie mówił, że zdobycie haremu może ważne spowodzić wypadki, i że przyjdzie może chwila, iż będziemy potrzebować pomocy; lecz to jeszcze rzecz nie pewna, może wszystko da się jeszcze ułożyć bez rozlewu krwi pomiędzy nami, a mieszkańcami dolin.

— Na miejscu królowej zatrzymałbym harem baszy—powiedział Fakredeen z namysłem—i czekałbym, co ztąd wypadnie. Ja z mojej strony posłałbym z listem gołębica do mego krewnego emira El-Kazim, a ten jakby napadł na baszę na czele młodej Syrii, toby go zniósł ze szczerem; wówczas pułkownik Roze, stojący z flotą w Bejrucie, uwiadomi lorda Aberdeen, że cały Liban już powstał, że zewsząd wznoszą się dymy pożarów.

Wieczorem dnia tego Astarté przyjęła naszych podróżnych z widoczną radością, dopytując się troskliwie o szczegóły ich wędrówki, i o stan ich zdrowia. W końcu, gdy się wyczerpał ten przedmiot rozmowy, powiedziała im o zaszłych wypadkach w Dżindariku.

— Oświadczyłem już Keferiniemu — rzekł na to Fakredeen — iż w każdym przypadku Anserejowie mogą rachować na moje pomoc.

— Nie o to teraz chodzi; mam dosyć wojowników, i skłaniam się zupełnie do zgody, jeśli basza odstąpi żądanego haraczu. Niepokoi mnie stan jednej z niewolnic najdostojniejszej, jak się zdaje. Jestto cudnej piękności dziewczyna, chrześcianka, o ile sądzić mogę. Płacze nieustannie i tak gorzko, że się serce kraje patrząc na nią; napróżno starałam się ją uspokoić, nic nie może zatrzymać łez z jej cudnych oczu płynących.

Rozmowę tę przerwała Cypros, wchodząc nagle i szepcząc słów kilka swój pani. Piękna niewolnica, która mimo nalegań królowej nie chciała wejść do jej komnat, teraz prosiła sama o tę łaskę, a Cypros nie śmiała jej wprowadzić z powodu obecności księżąt.

Astarté po krótkiej naradzie z Keferinim, zezwoliła na to żądanie, a sama dała znak Tankredowi, aby się zbliżył do niej. W czasie nieobecności cudzoziemców, Keferini często zachwalał królowej emira i żywo popierał jego żądanie; podobala się wprawdzie młodej Astarté myśl zjednoczenia Syryi, a małżeństwo z Fakredeenem, zdawało się również dla obojga stosowne, jak korzystne; przy wzrastającej słabości Turków, mogli z łatwością zawładnąć całą Azją Mniejszą. Fakredeen korzystając z rozmowy sam na sam z Keferinim dowodził mu, jak żywo pragnie zaprowadzić w Libanie wiarę Anserejów, i wystawić w Deir-El-Kamar świątynię na cześć syryjskiej bogini; obiecując w darze Kanobią ministrowi, jeżeli mu pomoże do dopięcia swych zamiarów.

Tymczasem Astarté nie wiedząc jak zacząć rozmowę z Tankredem, zapytała:

— Czy marzysz czasami?

— Kto wie, może też całe życie jest tylko marzeniem.

— O nie, to być nie może! nadto wiele cierpimy.

— Cóż możesz mieć za cierpienie?

— Miałam straszny sen w twojej nieobecności, i ten mnie przeraził; śniłam, że żydzi zdobyli Dżindarik; może dlatego, żeś mi tyle o nich mówił.

— To być nigdy nie może; twoje sny, o królowo królowych, powinny być jak twój los: jasne i błogie.

— Sądzisz więc, że tak szczęśliwa? Kiedyś i ja tak myślałam, ale teraz.....

— A teraz, cóż się zmieniło?

— Domyśl się; szczęście i radość jak ptak ulatują.

— Jak gołąb', któregoś posłała do Damaszku.

— Ach! czemużem go posłała?

— Boś była dla nas łaskawą.

— Raczej powiedz zbyt żywą i lekkomyślną.

— Gdy się staną wielkie rzeczy, o których marzymy, przestanieś tego żałować.

— Ja słaba kobieta, nie stworzona do wielkich czynów.

— Więc już nie marzysz o syryjskiej bogini?

— O, nie! podobno hebrajskie niewiasty są piękniejsze od niej.

— Rzeczywiście, słyną one z piękności.

— Ale jakże ty ich znajdujesz?

— Znałem kilka żydówek bardzo pięknych.

— Czy podobne do naszych posągów?

— Równie są piękne, choć w odmiennym nieco rodzaju, bo Grecy i Izraelici sąto najpiękniejsze pokolenia ludzi.

— Ty pewno przekładasz typ izraelski! — zawołała żywo Astarté.

— Nie jestem tak stronnym; piękność wszędzie uwielbiam, nie pytając do jakiego typu lub pokolenia należy—odrzekł Tankred nie rozumiejąc do czego to wszystko zmierza.

— Otóż nadchodzi moja niewolnica—rzekła królowa—możesz ją uwolnić, jeżeli tego pragniesz, bo ujęła moje serce. Jestto Georgianka, a o ile mi się zdaje, wśród tłumu najpiękniejszych dziewcząt, jęby się jeszcze należała palma urody; zaćmitaby zapewne tę żydówkę, którą tak miłujesz.

Tankred spojrział na nią zdziwiony, i chciał coś odpowiedzieć, gdy weszła Cypros, a za nią niewolnica. Gdy ta według zwyczaju oddając pokłon królowej podniosła zasłonę, nasi podróżni poznali Ewę.

Rozdział VII.

W jednej z komnat wykutych w skale, słabo oświetlonej zostawionym w górze otworem, i służącej zwykle za więzienie, leżała

z twarzą ukrytą w dłoniach, na nędzném posłaniu piękna córka Bessa, wychowana w największym przepychu i zbytkach, o jakich my nawet wyobrażenia nie mamy.

Wypadki kilku dni ostatnich były dla niej tak dziwne i niespodziewane, że mimo tłoczącej ją boleści, rozważała jakim nadzwyczajnym zbiegiem wypadków, ona, córka najmożniejszej rodziny Izraela, była teraz w tak smutném położeniu. Przed dziesięciu dniami wyjechała w towarzystwie ojca z Damaszku do Alepo. W połowie drogi, spotkali wysłaną przez Hillela Besso eskortę turecką, gdyż droga była niepewna, z powodu świeżo powstałych niezgód z Anserejami. Mimo jednak téj ostrożności, napadli ich straszliwi górale, i po krótkiej walce, ojciec jój padł na polu bitwy, a ją samą wzięto w niewolę i przyprowadzono w te dzikie góry.

Pogrążona w boleści i trwodze o los i życie ojca, mało z początku myślała o sobie. Zaledwie ocknęła się nieco z pierwszego przerażenia, i zaczęła spokojniej zapatrywać się na rzeczy, dowiedziała się od Cypros, że dziwnym wypadkiem Tankred i Fakredeen znajdowali się w Dżindariku. Wiadomość ta była dla niej prawdziwą pociechą; dlatego na wezwanie królowej udała się do jój komnat, sądząc, że tam spotkawszy swych przyjaciół, uwiadomi ich o swoim położeniu.

Tymczasem widzenie, o którym wspomnieliśmy wyżej, pogorszyło tylko jój stan, i zmieniło nagle przychylność królowej w nieubłaganą nienawiść. Widząc, że ją młodzi podróżni witali ze smutkiem i uszanowaniem, że się nią mocno zajęli; stała się dumną, niechętną i niecierpliwą. Rozmawiała długo i żywo na uboczu z Fakredeenem; potem zadawszy kilka pytań lordowi Montecute, na które on, ze zwykłą odpowiedział szczerością, wyszła do swoich komnat, nie pożegnawszy nikogo, a Cypros odprowadziła Ewę nie do jój pierwotnego mieszkania, lecz do więzienia. Napróżno pytała o przyczynę téj nagłej zmiany i surowości, przewodniczka zbyła ją milczeniem.

Położenie to było nieznośne, i najsilniejszemu odebrałoby władzę myślenia, bo nie tak nie dręczy, jak tajemnica i niepewność. Obecne cierpienia i przyszłość ciemna jak noc, żadną nie objaśnioną nadzieją, w opłakanym stanie pogrążyły Ewę.

Piękna córka Bessa w głębokim zatopiona dumaniu, leżała bez ruchu na swój nędznej pościeli. Jedynym przedmiotem stojącym w jój myśli, było martwe ciało ojca; gdy nagle przywołał ją jakiś głos cichy, wymawiający jój imię.

— Ewo! Ewo!

— Jestem tu.

— Cicho....—rzekła jakaś postać stojąca tuż przy niej, odsłaniając okrywający ją płaszcz.

— Fakredeen!...—zawołała Ewa podnosząc się—co to wszystko znaczy?...

Fakredeen stał przed nią strwożony i pomieszany.

— Musisz ze mną uciekać—rzekł zcicha—nie ma chwili do stracenia, musisz uciekać.

— Gdzie?... dlaczego? wszakże nas wzięto w niewolę jedynie dla zysku, dla okupu, a nie z osobistych pobudek; nie płaczę nad sobą, lecz nad moim ojcem. Królowa była dla mnie tak dobrą z początku, że gdyby nie ojciec, jój współczucie uspokoiłoby mnie zupełnie; a teraz, gdy tu spotkała was, moich przyjaciół, obchodzą się ze mną surowo, nieludzko; i z tego co mi mówisz wnosiłbym mogła, że życie moje jest w niebezpieczeństwie.

— Bo tak jest w istocie.

— Ale dlaczego?

Fakredeen załamał tylko ręce.

— Co mi teraz po życiu?—zawołała Ewa—nie ruszę się ztąd ani kroku, póki mi nie wytłumaczysz wszystkiego.

— Słuchaj więc: królowa Astarté zazdrosna o tego Anglika, który nam tyle przyniósł nieszczęść.

— Czy to on nam przyniósł nieszczęście?...—odrzekła Ewa—Jakim sposobem królowa o niego zazdrosna; zaledwo zamieniłam z nim słów kilka. Dlaczegoż tak usilnie mnie do siebie wzywała? Nie, to nieprawda, Fakredeenie.

— To jeszcze nie wszystko, ale tak jest, doprawdy. Królowa zazdrości tobie, bo kocha się w Tankredzie. Przekleństwo im obojgu. Ktoś jój powiedział, że on ciebie kocha.

— Kto, i kiedy mógłby powiedzieć?

— Dawno już jój mówiono, że Tankred jest zaręczony z córką Bessa z Damaszku. Teraz twoje nagłe przybycie, przypomniało jój te wieści. Staralem się odwrócić grożące niebezpieczeństwo zaręczeniem, że ty nie jesteś córką, lecz daleką krewną tego Bessa; lecz ona odgadła wszystko, i wpadła w gniew tak zapamiętały, że lękam się o twoje życie.

Ewa zamyśliła się głęboko, a potem rzekła patrząc bystro w oczy emira:

— Fakredeenie! toś ty powiedział te wszystkie fałszywe królowej Anserejów. Nie wiem jeszcze w jakim celu to uczyniłeś, lecz mniej-

sza o to. Wiem, że gdyby ci to było potrzebne, sprzedałbyś własną matkę. Daj mi pokój, nie chcę twojej pomocy; albowiem wierzę w potęgę prawdy, i mało dbam o życie. Powiem wszystko królowej, a jeśli mi nie uwierzy, zniosę mój los spokojnie, jakimkolwiek on będzie.

Na te słowa Fakredeen zalał się gorzkimi łzami, i padając przed Ewą na kolana, całował jej stopy, wymawiając ze łkaniem wyrazy przywiązania i żalu.

— O Ewo droga! najukochańsza Ewo! siostró mojej duszy! próżnobył kłamał przed tobą! Tak, jestem ostatnim łotrem; ja to sprowadziłem na nas wszystkich nieszczęście. I słusznie jestem ukarany; bo tém samym zniszczyłem mój los przyszły, moje najdroższe marzenia. Ten Frank, był mi jedyną zawadą do zaślubienia królowej tych gór, której piękność sama podziwiałaś, której potęga połączona z moją, silne utworzyłaby państwo. Tak, chciałem się z nią ożenić; tego nie możesz wziąć mi za złe, bo wiesz dobrze, że gdybyś była nie odrzuciła moich ofiar, żadne z nas nie byłoby w tak okropnym położeniu. Teraz chciałem się żenić z królową, a ona pokochała się w tym Franku; spostrzegłem to zaraz, i chcąc przerwać tę rodzącą się skłonność, powiedziałem jej, że serce Tankreda oddawna inną miłością zajęte. Nie wiem sam, dlaczego jej przy tém powiedział twoje imię; ale nie mogłem się spodziewać tego nieszczęsnego spotkania; a potem, mam podejrzenie, że tak jest w istocie. — I Fakredeen skończywszy to niezbyt jasne opowiadanie, zakrył oczy dłońmi.

— Oh! ileż ty nieszczęść gotujesz dla siebie samego, i dla wszystkich, którzy cię znają—rzekła Ewa z goryczą. — Co do mnie, nadto już cierpiałam, by się lękać czegokolwiek.

— Posłuchaj, posłuchaj mnie jeszcze: wyrzekłem się już mych dalszych zamiarów. Ty jedna mnie tylko obchodzisz; o tobie tylko myślę, ciebie tylko chcę ocalić. Nie odpychaj mnie.... przebac mi, przebac! Prawda żem łotr, szaleniec, wiem o tém dobrze, ale to mnie pan Bóg już tak stworzył; teraz tylko o to chodzi, by cię ztąd wydostać, by ci życie ocalić!

— Czy doprawdy sądzisz, że moje życie jest w niebezpieczeństwie?

— Tak jest, niestety—odrzekł emir, płacząc jak dziecko.

— Bo ty nie wierzysz, że prawda musi przekonać; chciałybyś się widzieć z królową.

— To być nie może!—przerwał emir z przerażeniem.

— Dlaczego?

— Dlaczego? bo jest jakby szalona. Sam Keferyni nie śmie do niej przystąpić; twoja obecność pozbawiłaby ją zmysłów do reszty, gdyż sądzi, że już nie żyjesz.

— Że już nie żyje?

— Tak.

— A gdzie jest twój przyjaciel?... Czy wie o tych wszystkich okropnościach?

— Prócz mnie, nikt o nich nie wie. Królowa posłała po mnie wczorajszej nocy, by się o wszystkiém rozmówić. Powiedziała mi, że ty umrzeć musisz. Wtedyto użyłem okropnego wybiegu: zachęcałem ją do zemsty, mówiąc, że twoja rodzina jest nieprzyjazną mojej, że dałbym połowę życia, bym się jój mógł złem za złe odplacić; słowem, zwiodłem ją tak dobrze, że zamiast przysłać tu którego z niewolników, mnie przysłała, i teraz myśli, że już wszystko skończone.

— Rozumiem: podjąłeś się być moim katem!

— Tak, aby cię ocalić.

— Co mi teraz po życiu, gdy straciła ojca, dla którego żyłam jedynie.

— O Ewo, Ewo! nie doprowadzaj mnie do rozpacz, gdy ci powierzam marzenia mego życia: królestwo, i więcej jak królestwo. Słuchaj — mówił dalej pospiesznym głosem — Keferyni jest mi zupełnie oddany, powierzył mi pierścień, który nam wszystkie bramy otworzy; przyniosłem ci cały ubiór mamelucki: przebieraj się i uchodźmy, bo nie ma chwili do stracenia. Za mostem czekają na nas dwa szybkie rumaki: za 48 godzin będziemy zupełnie bezpieczni, a ty, kochana Ewo, osuszysz twe łzy i uśmiechniesz się do mnie po dawnemu.

— Ja się już nigdy uśmiechać nie będę — odrzekła smutnie Ewa. — Nie Fakredeenie — dodała po chwili — ani ja, ani ty, nie możemy ztąd uciekać; gadziż ci się opuścić twojego przyjaciela, któregoś sam tu przywiózł?

— Nie troszcz się o niego — powiedział emir z niechęcią — oby go oczy moje nigdy nie były widziały! On tu zupełnie bezpieczny; przecież Astarté uciąwszy mu głowę, nie pozyska jego serca. Chodź moja Ewo, moja najdroższa siostró! za kilka chwil będzie zapóźno. Pomyśl o ojcu, o jego niepokoju; twój widok prędzej go uzdrowi, niż najlepsi lekarze.

— Nigdy go już nie zobaczę — zawołała Ewa zalewając się gorzkiemi łzami — Widziałam sama, jak padł bez życia; nigdy nie zapomnę tój okropnej chwili!...

— Ależ on żyje — odparł Fakredeen — Widziałem kilku tureckich niewolników, którzy mię o tém upewnili; padł wprawdzie na polu bitwy, ale tylko raniony, a dziś musi być w Alepo.

— I oni widzieli go?

— Widzieli go w bezpieczném miejscu. Zaręczali nawet, że rana dość lekka.

— Boże ojców moich! — zawołała Ewa padając na kolana — ty jesteś Bogiem miłosierdzia.

— Tak, tak Ewo! nie ma tak potężnych Bogów, jak Bóg ojców twoich. A gdybyś wiedziała, co się to tu dzieje w tym przeklętym zamku, gdzie czczą tylko kamienne posągi, stare jak świat, to byś się dzień i noc modliła, przejęta zgrozą i przerażeniem. Królowa pokochała się w Tankredzie jedynie dlatego, że podobny jest do jednego z jój bóstw. Ale spiesz się, kładź mamelucką suknię: każda chwila jest drogą.

— Zdaje mi się, że to niekzemnie tak jego samego zostawiać; mieszkał pod naszym namiotem, dzielił się z nami chlebem i solą: jego krew spadłaby na nasze głowy.

— A więc uciekaj! uciekaj dlatego, aby jego ocalić, bo i cóż mu tu pomódz możesz? Gdy już raz będziesz bezpieczną, ja tu mogę powrócić.

— Dobrze Fakredeenie — rzekła Ewa poważnie — przyrzecz mi, że jeżeli ucieknę z tobą, powrócisz tutaj.

— Przysięgam na moje prawdziwą wiarę! na moje nadzieje królestwa ziemskiego.

Rozdział VIII.

Nagle zjawienie się Ewy w Dżindariku, i wszelkie następne wypadki, napęłniły Tankreda trwogą i niepokojem; napróżno pytał emira o wyjaśnienie poprzednich okoliczności, napróżno błagał go o jaką radę. Fakredeen zdawał się nieprzytomnym, i po raz pierwszy nie odpowiadał na głos przyjaciela. Rysy jego były zmienione, słowa urywane; rozpaczał o wszystkim. Lubo Tankred przypisywał stan jego uwięzieniu Ewy i współczuciu dla niej, nie mógł odgadnąć tego odrętwienia władz umysłowych w człowieku, co z najtrudniejszego umiał się wywikłać położenia.

Zaledwie powrócili do siebie wieczorem, w którym ją tak nagle ujrzeni, emir rzucił się na sofę, szepcząc niezrozumiałe wyrazy;

a potem zerwał się nagle i szybko przebiegając komnatę, łamał ręce z rozpacz.

Daremnie Tankred starał się porozumieć z Keferinim; minister stał się jakby niewidzialny. Dzień zeszedł na próżnych naradach z Baronim, a noc całą przepędził bezsennie, zmordowany myślami, nie wiedząc co począć i co przedsięwziąć. O świcie powstał, wołając Fakredeena; ale jakież było jego zdziwienie, nie zastawszy go w sypialni. Złowroga cisza zaległa Dzindarik; zdawało się, że mieszkańcy gdzieś się pokryli, lub przesuwali się tylko jak cienie. Zwyczajnie z rana Keferini odwiedzał dostojnych cudzoziemców, ale dnia tego napróżno wyglądał go Tankred. Nie mogąc znieść dłużej tej niepewności, chciał koniecznie widzieć się z Astarté i pomówić z nią szczerze i otwarcie o Ewie, rachując, że odkrywszy królowej ściśle związki, łączące ją z emirem Kanobii, zyska jej uwolnienie. Ale trudno było się dostać do Astarté; nie mógł nigdzie znaleźć ani Fakredeena, ani Keferiniego, a każda chwila powiększała jego obawę.

Okolo południa Baroni uwiadomił go, iż królowa udała się do podziemnej świątyni; natychmiast Tankred przedsięwziął mimo trudności wejść za nią do tajemniczej groty. Łatwo przeszedł dobrze znane, puste nateraz komnaty zamku, aż do wielkiej spizowej bramy; lecz tu się musiał zatrzymać, bo brama była zamknięta. Już chciał zaniechać swego zamiaru i smutnie wracać do siebie, gdy śpiew daleki uderzył jego ucho; myślał, że to królowa powraca. Miotany nadzieją i obawą, zatrzymał się. Jakoż drzwi się otworzyły i ujrzał wychodzący chór kapłanów i dziewic, ale napróżno szukał pomiędzy niemi Astarté. Szczęściem nikt go nie spostrzegł; korzystając z tego, szybko minął bramę, która się za nim z jękiem zawarła. Po chwili wzrok jego zaczął się przyzwyczajać do ciemności, i lubo z trudnością, rozpoznał swoją drogę. Wkrótce okazał mu się w dali promyk światła, a idąc za nim, doszedł do świątyni, i ujrzał znowu te cudowne kształty, które nie były rzeczywiście obrazem jednego człowieka, ale raczej kształtem, typem całego narodu. Tej tajemnicy nie może pojąć dzisiejsza społeczność, i dlatego artyści zimnej Północy napróżno naśladować usiłują arcydzieła Fidyasza i Praxtellesa.

Tankred owiany dymem kadzideł i otoczony nadziemskimi pięknosciami, zwolna i z uszanowaniem postępował; lecz napróżno spoglądał wokoło: grota była pustą. Zbliżył się wreszcie do bocznej świątyni, i zoczył przed posągami Apollina klęczącą piękną Astarté, z okiem wlepioném w jego oblicze, zatopioną w dumaniu, czy w modlitwie.

Promień słońca złocił głowę posągu, nadając mu blask nadziemski i pewien pozór życia. Gdy Tankred poznał królową, zatrzymał się we drzwiach; lecz cień jego odrysował się na przeciwległej skale. Astarté ujrawszy go krzyknęła i powstała nagle; a poznawszy lorda Montecute, odrzuciła zasłonę i ukazała się jego oczom nieśmiała i zarumieniona.

— Chciałem się już oddalić—rzekł Tankred.

— A to dlaczego?—zapytała słodkim głosem.

— Są chwile, w których trzeba szanować samotność.

— Ja aż nadto często jestem samotną; czuję to z boleścią.— To powiedziawszy, postąpiła kilka kroków naprzód, Tankred szedł przy niej, i razem wyszli z grotty.

Tu dopiero lord Montecute korzystając z tej rzadkiej sposobności, starał się wyjaśnić rzecz całą, błagając o wyswobodzenie Ewy. Mówił o zasługach i cnotach Adama Besso, i chcąc ją zająć losem młodej Izraelitki, opisywał z zapalem jej wysokie cnoty, heroiczną odwagę, wzniosły umysł; nie tał, ile jej był winien wdzięczności za uwolnienie z rąk Rehabitów.—Możesz pojąć, kończył młody Anglik, jak żywo mnie obchodzi, i jak mi było boleśnie, ująć ją w niewoli. Uspokoilem się, jednak, pomnąc, w czyjej jest mory, i spieszę do ciebie, błagać o jej wolność.

— O tak, rozumiem cię—rzekła glucho Astarté.

Tankred spojrział na nią z podziwieniem, bo głos ten, boleśnie go uderzył, lecz jej wyraz twarzy mocniej go zastanowił. Oblicze to przed chwilą tak łagodne i miękkie, zmieniło się nagle: bladość śmiertelna twarz jej powlekła, i wszystkie złe namiętności wypiętnowały się w jej rysach.

— O tak, rozumiem cię—powtórzyła—ale nie chcę ci pomagać w niecnym zamiarach przełamania praw twego kraju, i obrażenia twój monarchini.

— Ja miałbym przełamywać prawa mego kraju!—zawołał Tankred zadziwiony.

— Tak, tak, wiem wszystko. Twe plany są rzeczywiście bardzo śmiałe, i szczególniejszej dogadzają waszej miłości własnej. Więc nasze lance i oręż, mają obsadzić na syryjskim tronie córkę wyklętego rodu, której nawet zamieszkać w twoim kraju niewolno.

— Lecz o czémże i o kim mówisz?

— Mówię o tej żydówce, z którą się chcesz żenić, mimo wszelkich praw boskich i ludzkich.

— Z kim?

— Z mą niewolnicą.

— Czyż mogłaś choć na chwilę przypuścić, bym się starał o córkę Bessa? Ja, co noszę krzyż na piersiach, i sędzę się powołanym do wyższych celów, które nie dopuszczają do serca ziemskiego uczucia. A choćbym ją nawet pokochał, czyż ona nie jest narzeczoną innego?

— Narzeczoną innego?

— Tak, i gdyby nie ten nieszczęśliwy wypadek, byłaby już żoną syna Bessy z Alepu.

Na te słowa Astarté zatrzymała się nagle, głęboki smutek zastąpił wyraz gniewu i nienawiści, i zaledwo półgłosem wymówić mogła: „Czyż to prawda?”

— Któż ci mógł tę rzecz inaczej przedstawić?

— Nieprzyjaciel jój rodziny, pragnący zemsty—odrzekła zicha jakby w zamyśleniu. I tu spojrzała na Tankreda badawczym wzrokiem, lecz spotkawszy jego śmiałe i otwarte wejrzenie, rzekła nagle:—Nie, ty kłamać nie możesz.

— Dlaczegożbym miał kłamać?

— Dlaczego?—powtórzyła smutnym głosem.—Dlaczegoż nas wszyscy zdradzacie?—i zalała się łzami.

— Co ci jest? uspokój się—mówił Tankred z współczuciem, biorąc ją za rękę—z kąd ten żal? ten smutek?

— Ach! to więcej niż smutek. Nieszczęśliwa dziewczina!
—dodała łkając.

— Odeślesz ją pod strażą stroskanój rodzinie, bo słyzałem od tureckich żołnierzy, że ojciec jój nie zginął; za chwilę więc osuszysz łzy starca, który cię będzie błogosławił.

— Zapóźno—zawołała ponuro Astarté.

— Co mówisz?

— Zapóźno. Córka Bessa już nie żyje.

— Panie! zmiłuj się nad nami!—zawołał Tankred—cofnij to okropne słowo!

Astarté potrzęsała tylko głową.

— Kobięto!—zawołał znowu młodzieniec wstrząsając jój rękę; lecz napróżno silił się powiedzieć coś więcej: słowa konały mu na ustach.

— Córka Bessa już nie żyje—powtórzyła królowa—nie żałuję tego, boś ty ją kochał.

— O ja nieszczęśliwy!—zawołał Tankred zakrywając oczy— kochałem ją jak gwiazdę na niebie, jak blask słoneczny!—Po chwili rzekł nagle do królowej:—Lecz któż mógł dopełnić tak okropnego dzieła?

— Czyż to doprawdy tak okropne?

— Równie okropne, jak podobne słowa w ustach kobiety. Przeklęta niechaj będzie ta godzina, w której stopa moja dotknęła tój ziemi.

— O! nie! nie!—zawołała Astarté—nie przeklinaj.

— To nieprawda, to nie może być prawdą, ona żyje!

— Oby tak było, jeśli jój śmierć ma sprowadzić na nas twe przekleństwo.

— Kiedyż to się stało?

— Przed godziną.

— Nie wierzę w to: nie masz ręki, któraby ją śmiała uderzyć. Spieszmy do niej, może czas jeszcze.

— Niestety! zapóźno—powtórzyła Astarté.— Nieprzyjaciel podjął się tego czynu.

— Nieprzyjaciel?... jakiegoż nieprzyjaciela mogła mieć córka Bessa?

— Śmiertelnego, który uchwycił tę sposobność, aby spełnić dawno upragnioną zemstę. Nie ma, nie ma nadziei.

— Któżto taki?...

— Twój przyjaciel i towarzysz, emir Libanu.

— Fakredeen?

— Tak jest.

— Kto?... Fakredeen nieprzyjacielem i zabójcą Ewy?... W tém jest jakieś nieporozumienie. Spieszmy do zamku.

— Sam mnie błagał o to polecenie. Chciał się pomścić swojej i mojej urazy.

— Mordując jedyną istotę, którą kochał, i która jego kochała; swą towarzyszkę lat dziecinnych, swą siostrę przybraną, którą te same wykarmiły piersi, z którą byłby się ożenił, gdyby się temu nie sprzeciwiały prawa żydowskie...

— Jego siostra?... — powtórzyła Astarté.

W tój chwili ukazała się Cypros, spiesząc ku nim niespokojnie z załamaniem rękami, wołając: „Pani! emir Libanu opuścił zamek, a niewolnica zniknęła; zastałam tylko jój szaty w więzieniu: musiała uciec”.

— Z tym, który nas wszystkich zdradził!—rzekła Astarté—Bo to on, Fakredeen, powiedział mi, żeś ty jest narzeczonym córki Bessa, i ostrzegł, żebym ci nie ufała i nie skłoniła się do twych zamiarów, gdyż jedynym twym celem jest jój wyniesienie.

— Podły! nikczemny kłamca!—zawołał Tankred z oburzeniem. — Czemuż Ewa nie ma w tej chwili innego opiekuna!—dodał, jakby mówiąc do siebie.

— Widzę, że myśli twoje gonią za córką Bessa!—rzekła Astarté—pragniesz czuwać nad nią i oddać rodzinie.

Tankred podniósł oczy, i spotkał wzrok Astarty smutny, lecz łagodny.

— Zdaje mi się—powiedział po chwili—że czas dla mnie opuścić te miejsca, gdzie i tak tyle ci przyniósł niepokoju.

Astarté zalała się łzami, i biorąc go za rękę, zaczęła mówić przerywanym głosem:

— Zostań tu z nami. Jeśli chcesz tronu, przyjm władzę w tych dzikich górach. Wprawdzie mój zamek nie jest tak piękny jak zamki Damaszku i Antyochii, ale Dżindarik jest niezdobyty, a moi wojownicy pod twojém dowództwem podbiją świat cały.

— Niestety!.. nadto się już skaląłem ziemskimi uczuciami; muszę powrócić na pustynię, by odzyskać spokojność ducha. Arabia jedna może świat zbawić.

— Wszechwładna pani! —zawołała Cypros stojąc na boku—oto spostrzegam w górze wiernego gołębia.

Na te słowa oboje podnieśli głowy, i ujrzeli mały szary punkcik na błękitie nieba, którego niewprawne oczy Tankreda, za ledwie rozpoznać mogły.

— Czyto wierny Karagus, czy Rubi-Lip, posłaniec dobrych wieści?—zapytała Astarté.

— To Karagus: poznaję go po obrączce na szyi.

Niedługo potem spuścił się gołąb' o kilka łokci nad ziemię, a zmordowany długą podróżą padł na łono królowej. Ta podniósłszy mu skrzydło, wyjęła zpod niego małą karteczkę, zawicrającą te słowa: „Basza na czele 5,000 regularnego wojska, opuszcza jutro Alep dla zdobycia gór naszych”.

Przeczytawszy tę kartkę, Astarté powiedziała do Tankreda: — Jedź, teraz cię nie zatrzymuje, bo nie jesteś bezpieczny w naszych górach. Dzięki szybkości gołębia, masz dość czasu do ucieczki. Opuść kraj, którego rządem pogardziłeś, i gdzie cię tak kochają.

— Nie opuszczę cię w godzinę trwogi—zawołał Tankred—będę walczył z Turkami na czele twych wojowników.

Rozdział IX.

— Czy nie masz żadnych wiadomości?— pytał Adam Besso Issahara, syna Selima, najbieglejszego szarlatana Alepu, gdy tenże pilnował go nieodstępnie w długiej chorobie.

— Są wiadomości, ale jeszcze do nas nie doszły— odparł Issahar syn Selima, człowiek średniego wieku i wesołego oblicza.

— Tak, są perły w morzu, lecz cóż nam z nich przyjdzie?— szepnął Besso z westchnieniem.

— Położyłem kabałę— rzekł Issahar syn Selima— i gdym trzy razy otworzył świętą księgę, wyczytałem trzy słowa: pierwsza litera każdego z tych trzech słów, oznacza trzy nazwiska osób, co wejść dziś do tej komnaty, a każda z nich przyniesie ci wiadomość.

— Ale jaką?— mruknął Besso— może wiadomość 10,000 czarnych duchów?

— Położyłem kabałę— mówił znowu Issahar syn Selima — i powiadam, że wiadomość będzie dobrą.

— Ale dla kogo dobrą? Dobrą może dla baszy, ale nie dla mnie; dobrą może dla Alepu, ale nie dla rodziny Bessa.

— Bóg będzie czuwał nad nami. A teraz pozwól opatrzeć mi twe rany.

— Ach! w sercu mam większe rany, niż te, które opatrujesz.

Rezygnacya właściwa wschodnim ludom, bronila jedynie Bessa od gwałtownej rozpaczki. Pograżony w ponurém dumaniu, czekał z pozorną cierpliwością skutku uczynionych kroków dla odzyskania Ewy: ta jedna nadzieja utrzymywała go przy życiu.

Basza Alepu oddawna rozgniewany na Anserejów, miał zamiar ukrócić ich zuchwałość. Rodzina Bessa, swym wszechwładnym wpływem, przyspieszyła tę wyprawę. Młody Hillel miał towarzyszyć wojsku, i zgodnym sposobem, jeżeli to być mogło, otrzymać wolność swój narzeczonej. Czwartego dnia Hillel przystał wiadomość, że królowa Anserejów nie chce wydać Ewy, i w tym zapewne celu oświadcza, że ta, od dni kilku opuściła jej państwo; że jednak wiadomość ta nie miała żadnej pewnej zasady; uważa ją więc za prosty wybieg, a wojsko dnia następnego zapuści się w góry.

Na godzinę przed zachodem słońca, w dniu w którym Issahar syn Selima ciągnął kabałę, ujrzano z murów Alepu kilku jeźdźców, spieszących w rozsypce do miasta, a wkrótce Hillel Besso, okryty kurzem i pyłem, zatrzymał się u bram rodzicielskiego domu.

— Piękna to rzecz bitwa—mówił tenże sam do siebie zsiadając z konia—mimo to jednak cieszę się bardzo, że się wreszcie dostał do Alepo.

— Co to jest?—zapytał Adam Besso, usłyszawszy jakiś hałas na dziedzińcu.

— Słowo piérwszój kabały—odpowiedział Issahar syn Selima.

— To ja stryju—rzekł zbliżając się Hillel.

— Mów!—zawołał Besso przerywanym głosem—mów prędko; ciemno mi w oczach.

— Niestety!—powracam sam jeden.

— Pochowajcież mnie na dolinie Józefata—szepnął Besso upadając na łożo.

— Ależ mój stryju! jest jeszcze nadzieja.

— Mów prędko co za nadzieja?—odezwał się Besso porywając się konwulsyjnie.

— Doprawdy, widziałem syna gór, który mi zaręczał, że Ewa uciekła z niewoli.

— To pewno nowa zdrada! Czy zdobyliście góry? gdzie wojsko?

— Gdybyśmy zdobyli góry, nie byłbym tutaj, mój stryju. Z murów miasta widać szczątki naszego wojska, co zdołały ująć przed lancami Anserejów. Gdy królowa nie chciała wydać nam Ewy, basza postanowił opanować góry. Nieprzyjaciel cofnął się po lekkiej utarczce; ale wojna to wcale niełatwa zabawka; to cofnięcie było tylko pozorne. Zaledwie ścigając ich zapuściliśmy się w wąwozy, obsypali nas zewsząd wystrzałami, i stoczyli na nas z wierzchołków gór ogromne głazy: wówczas nasza liczba i siła na nic nam się nie przydała, a artylerya utrudniała tylko nasz odwrót. Wtedyto giaury i Kurdy wpadli na nas z swemi długimi lancami, straszną rzeź sprawiając. Myślałem, że już po mnie, zbawiła mnie tylko szybkość mojego rumaka.

— A kiedyżeś widział tego syna gór? kiedy ci mówił o naszym straconym skarbie?—przerwał Besso cichym, przerywanym głosem.

— W wilią bitwy—odrzekł Hillel.—Przybył on do mnie umyślnie z listem, ale Niestety! list ten zaginął. Sam zaledwie zdołał się do mnie dostać, i upewniał, że list ten pisany był przez naczelnika ich wojska, i że Ewa rzeczywiście opuściła góry.

— Więc jeszcze jest nadzieja! Ale cóżto słyhać za głos?

— Oto drugie słowo kabały—odrzekł Issahar syn Selima.

W tój chwili wszedł niewolnik i kiwnął na Issahara, który się oddalił, zostawując Hillela przy łożu stryja. Po krótkiej chwili powrócił z rozjaśnioném obliczem, i rzekł zbliżając się do chorego:

— Przywieziono ci dobre wieści o córce.

— Boże ojców naszych!—zawołał Besso, zrywając się nagle.

— Uspokój się, uspokój—mówił Issahar.

— Któż je przywiózł?

— Emir Fakredeen.

— Syn mojego serca przynosi mi wieści słodsze od miodu! Gdzież on jest?

— Jestem tu, mój ojciec — rzekł Fakredeen, zbliżając się do łoża.

Besso schwycił jego obie ręce, i podnosząc się spojrział mu w oczy, szepcząc: „Mów o Ewie”.

— Jest bezpieczna, wolna—zawołał emir, przyciskając usta do rąk jego—jam ją ocalił.

— Twoja flaga powiewać będzie na tysiącach zamków, gdy ocalił dziecię moje, a Bóg ojców moich czuwać będzie nad tobą. Fakredeenie! mów tylko, a wypełnię każde twoje żądanie.—Tu Besso zmordowany nadzwyczajnym wysileniem, opadł na łożo, wołając: „Ewa!”

— Niedługo tu będzie—odparł Fakredeen.

— Może szlachetny emir raczy spocząć i ochłodzić się nieco po tych trudach—rzekł Hillel, dopełniając obowiązków gościnności.

— Serce moje nadto wzruszone, bym mógł myśleć o ciebie.

— Być to może; ale ja sądzę, że trzeba zawsze równie posiadać ciało, jak duszę.

— Oddalcie się od łoża!—zawołał Issahar syn Selima.—Besso zemdlął, i potrzebuje spiesznej pomocy.—Usilny ratunek, wrócił niedługo Bessa do życia, który rzekł: „Śniłem o mojem dziecku”—lecz zaledwie zdołał przywołać pamięć zaszłych wydarzeń, marzenie jego urzeczywistniło się, i Ewa zalana rozkosznymi łzami, rzuciła się w jego objęcia.

— Oto trzecie słowo kabały! — zawołał z tryumfem Issahar syn Selima.

Rozdział X.

Tankred nauczony własném doświadczeniem w bitwie z Rehabitami w Arabii, użył tego samego wybiegu, by zwabić Turków

w głąb' wąwozu. Udał uciezkę, a gdy nieprzyjaciele uradowani tak małym oporem, zapuścili się nieostrożnie w góry; przecięto im drogę i zewsząd obsypano strzałami i kulami. Tankred ścigał długo niedobitków, i posłał królowej zapewnienie zwycięstwa i zdobyty buńczuk baszy. Jednak w pogoni zapędziwszy się zbyt daleko, ujrzał się wkrótce sam z Baronim i dwudziestu tylko jeźdźcami, oddalony od swoich, i nieledwie otoczony zewsząd kawaleryą turecką.

Baroni w jednej chwili zmierzył całe niebezpieczeństwo.

— Niepodobna dostać się nam w góry — powiedział po krótkim namyśle — uciekajmy raczej ku wschodowi w pustynie, bo wszędzie indziej spotkamy nieprzyjaciół.

Tankred przekonawszy się, że ta jedna zostaje mu droga — do brze! — zawołał. — Sprobujmy szybkości naszych rumaków. Żegnaj mi Dżindariku! żegnajcie mi bogi Olimpu.... Dalej na pustynię, której nigdy nie powinienem był porzucić.

Wkrótce stracili z oczu wojska nieprzyjacielskie. Po kilku dniach nieustannej jazdy w pustyni, ujrzeli nagle kilku Arabów, których odrazu poznali, że są Rehabitami.

— Jeden jest tylko Bóg! — krzyknął Baroni — idźcie oświadczyć wielkiemu szejkowi, że jego przyjaciel książę angielski chce go pozdrowić i odwiedzić. — Usłyszawszy to Beduini, zwrócili konie, i przewodniczyli im w dalekiej drodze. Wkrótce ukazały im się porozrzucane namioty, i sam szejk Amalek wyszedł na spotkanie swego gościa.

— *Salaam! Salaam!* — wołał on, witając Tankreda — jeden jest tylko Bóg, oby zawsze jak dotąd czuwał nad tobą.

— *Salaam!* wielki szejku; teraz czuję, że jesteśmy braćmi, bo mamy wspólnych przyjaciół.

Po długich witaniach, ucztach, Tankred ujrzał się samnasam z szejkiem, który rzekł: „Jest czas na wszystko: jest czas na ucztę, i czas na pytania. Co sprowadziło brata królowej angielskiej do tej dzikiej pustyni?

— Wiele mam rzeczy do powiedzenia. Pozwól, bym wprzód zapytał, czy nie masz jakiej wiadomości o Ewie, córce Bessa?

— Czyż nie jest jak zwykle w pałacach swego ojca, otoczona zbytkiem i przepychem?

— Niestety! — odrzekł Tankred — ona sama dostała się do niewoli, a teraz błąka się może bez schronienia.

— Coto za syny Eblisa wyrządzili jej krzywdę?

— Opowiem ci wszystko szeiku szeików, ale najprzód posłój myślnego o jaką wiadomość o Ewie i Adamie Besso.

Po długich naradach, Amalek wysłał oddział Rehabitów do Alepo, a potem zapytał Tankreda:

— Jakieżto zły duch poniósł was w góry Anserejów, tych przeklętych czcicieli Eblisa?

— Długato powieść; lecz teraz, gdyś ulżył memu sercu wysyłając do Alepo, pozwól mi spocząć, bo trzy dni i trzy nocy byłem na koniu, a ciało moje nie przywykło jeszcze do takich trudów.

Rozdział XI:

— Besso ma się lepiej—mówił Pasqualigo do Barisiego zpod wieży, spotkawszy go na *Via-Dolorosa*.

— Lecz jeszcze niezupełnie dobrze—szybko odpowiedział Barizi—mówił mi to lekarz angielskiego księcia.

— To nieprawda, bo lekarz angielskiego księcia nie widział go wcale.

— To nie nie znaczy; mimo to, lekarz wie dobrze, co się tam dzieje: mówił mi o ranach.

— Rany jego już zagojone; zmęczyła go tylko ta podróż, bo też po co tu przybył chory z Alepo?

nika Anserejów. Pisze mi o tém z Damaszku konsul generalny Laurella. To musi sprowadzić ważne wypadki.

— Doprawdy, doprawdy?—mówił Barizi zdumiony tak rozległymi wiadomościami.—Zawsze myślałem, że na tém się skończy. Palmerston musi koniecznie zdobyć Jeruzalem.

— Bo Anglicy starają się wszędzie rozszerzać swój handel i sprzedawać swoje wyroby.

— Sprowadzą tu swoje bawełniane towary. Wdałbym się i ja chętnie w ten handel, ale cóż, kiedy dom Bessa zabija wszelkie konkurencyje.

— I czegożby tu dostali Anglicy w zamian za swoje wyroby? Nie, nie, to być nie może. Nam zawsze lepiej trzymać się z Austryakami, którzy są religii chrześcijańskiej, i mają także bawełnę, którą będą zamieniać na nasze krzyże i różańce.

— Ależ ja nie mogę sprzedawać relikwii chrześcianom — zawołał Barizi zakłopotany.

— To cię w tym razie ubiegnie Barizi zpod wieży, który już zamówił w Betleem masę krucyfixów.

— A, zdrajca!—krzyknął Barizi.—No, cóż robić, czego nie przewycięży cywilizacya? I gdy ten tylko tu handel kwitnie, muszę i ja sprzedawać różańce.

W téj chwili orszak konny zatrzymał się przed jednym z sąsiednich domów; a gdy Pasqualigo odgadywał, coby to być mogło, Barizi korzystał ze sposobności okazania się lepiej uwiadomionym, objaśniając go, że to książę angielski powraca z Egiptu, gdzie bawił 6 miesięcy.

— Pewnie tam polował na krokodyle—mówił Pasqualigo—bo to upragniona rozrywka wszystkich Anglików.

— Być może. Ale jak on musi się cieszyć z powrotu do Jeruzalem! Mogą być w świecie większe miasta, ale pewnie nie ma piękniejszego.

— Najpiękniejszym miastem w świecie jest Wenecya.

— Nigdyś tam nie był.

— To nic nie znaczy. Zbudowali ją moi przodkowie i nazwali królową mórz—odrzekł dumnie Pasqualigo.

— Nigdy nie słyszałem, żeby kto porównywał Wenecyą z Jeruzalem.

— Bo nikt przy Wenecyi nie wspomina nawet o tak nędzném mieście, jakim jest Jeruzalem.

— Powiadam ci, panie Pasqualigo, raz na zawsze, że Jeruzalem nietylko jest ulubioném miastem Boga, ale i chlubą swoich mieszkańców.

— Ba— mruknął Pasqualigo.

— Co tam— szepnął Barisi.

— Nic a nic się nie dziwię, że Besso mało w niém przemieszkuje.

— Nie śmiałbyś mu tego powiedzieć.

— Jak możesz tak mówić do reprezentanta jednego z mocarstw Europy? Zaskarżę cię do mego ambassadora w Stambule.

— Czemu sam tam nie jedziesz, gdy ci się nasze El-Khuds znudziło?

W czasie téj gwałtownej sprzeczki, Tankred wjeżdżał do swego pustego mieszkania. Spotkał na progu Freemana i Truemana, których odesłał z Bejrutu, i którzy mu się skłonili tak zimno i poważnie, jak gdyby wracał ze zwykłego spaceru lub śniadania; ale żaden z jego towarzyszy nie był w domu, by go powitać. Pułkownik Brace obiadował u konsula, gdzie sam przyrządzał olbrzymi *Plum-Pudding*. Pan Bernard pomagał biskupowi w Betleem do nawrócenia całej żydowskiej rodziny, a doktor Roby zbierał zioła na brzegach Jordanu.

Tak więc, gdy Tankred po długiej i niebezpiecznej podróży powrócił do siebie, nie było komu go powitać i cieszyć się tym powrotem. Nie mając żadnego zajęcia, lord Montecute przebiegał smutnie dom i ogród w czasie, gdy Baroni płacił i odsyłał eskortę, daną im przez wielkiego szejka.

— Nie sądziłem nigdy— rzekł wreszcie do swego kamerdynera— bym mógł w Jeruzalem doświadczyć takiego smutku i takiego upadku ducha.

— Jestto skutek znużenia i długiego pobytu w pustyni.

— Przykro mi, że tu Bessa nie zastał; takem go pragnął zobaczyć.

— Może posłać po pułkownika?— pytał Baroni otrzepując i układając rzeczy swego pana.

— Nie, nie; ja sam nie wiem czego chcę. Dziwno mi, że nie zastał listów z Anglii, chociaż nieledwie cieszę się z tego, bo listy.....

— Tak, listy pisane kilka miesięcy temu— kończył Baroni— są jakby martwe, i zawsze zasmucają.

— Czemuż się ta bitwa w Dżindariku tak prędko skończyła! Chciałbym ciągle ruchu, wojny.

— Nic tak nie ożywia, jak czynność i działanie— powiedział Baroni, czyszcząc pistolety.

— Ale cóż można nazwać działaniem na téj ziemi?—ciągnął dalej Tankred.

— Widzę—pomyślał Baroni—że mój pan ma coś skrytego w głębi serca, czego nawet sam przed sobą nie wyznaje; ale to wszystko niedługo na wierzch wypłynie.

Dzień ten zszedł Tankredowi smutno i nudno nad czytaniem i rozmyślaniem. Często myśl jego błądziła gdzieś daleko, często łza zabłysła mu w oku; aż wreszcie zdudzony, udał się na spoczynek, nie doczekawszy się żadnego z towarzyszków podróży.

Najpierwszy wrócił do domu pułkownik Brace, i zdziwił się niezmiernie, zastawszy młodego margrabiego. Chciał się z nim widzieć natychmiast, lecz Baroni nie pozwolił snu mu przerywać. W godzinę później zjawił się pan Bernard, nadzwyczaj zmęczony i przerażony, ponieważ jeden z jego katechumenów ułakomił się na jego kosztownie oprawną biblią, i o mało że go nie obdarł na drodze. Pan Roby wracał obładowany cudownymi ziołami; lecz zastawszy bramy miasta zamknięte, musiał nocować w jakimś pusty nagrobku, i dopiero nazajutrz rano w najgorszym humorze przybył do domu.

Tankred spędził tę noc bardzo niespokojnie; jakieś dziwne sny zakłóciły jego spoczynek: raz zdawało mu się że jest na pustyni, to znów w Dżindaryku widział zamek Bellamont, a Fakredeen był jego panem!—to znów majaczył o świątyni syryjskiej, o pięknej bogini, przypominającej rysy Ewy. Zmordowany temi marzeniami, ocknął się rano, i wyszedł na przechadzkę, zostawiwszy polecenie Freemanowi, aby prosił jego towarzyszy, by go czekali ze śniadaniem.

Poranek był cudowny, powietrze tchnęło ożywiającą wonią. Tankred oddychając pełną piersią, pogodził się trochę z życiem i światem. Poszedł na górę Oliwną, i tam przebiegał myślą wydarzenia, które go oddzielały od ostatniej w to miejsce przechadzki; a tak rozmyślając, wszedł nieznacznie na drogę wiodącą do Bethanii.

Rozdział XII.

Palmowe drzewa w ogrodzie Ewy kąpały głowy w zachodzącym słońcu, gdy sama, zostawiwszy Tankreda przy łożu ojca znacznie już zdrowszego, siadła na brzegu fontanny, i pogrążona w dumania, patrzyła bezmyślnie na spadające krople. Głos lorda Montecute wyrwał ją z tego marzenia.

— Ten piękny wieczór—mówił—skłonił mię do przechadzki, i o mało, zem twego ojca nie namówił, aby użył świeżego powietrza.

— Już pora nazbyt spóźniona; lękałabym się dla niego wieczornego chłodu.

— Czemuż już minęły te cudne letnie nocy, podobne do téj trzykroć błogosławionéj, w której cię po raz piérwszy ujrzałem!

— Alboż my wiemy jaką godzinę błogosławić? — odrzekła smutnie Ewa.

— Jeśli nie wiemy z pewnością, to odgadujęm sercem—szepnął Tankred siadając przy niéj.

—Ze wszystkich wydarzeń i nadziei, co napelniały zeszłe miesiące—rzekła Ewa po chwili—pozostało mi tylko jedno uczucie głębokiego smutku. Czuję w sobie jakby upadek ducha; wierzę we wszystko, w com dotąd wierzyła, ale nie wiem dlaczego straciłam nadzieję?

— Dlaczegoż?—spytał Tankred cichym głosem.

— Jakiś żal serce moje ścisła. Czuję, że się wiele szlachetnych chęci, bohaterskich usiłowań zmarnowało; a może nikt temu nie był winien, możemy tylko gonili za niepodobnym marzeniem, i powinniśmy sami sobie przypisać rozczarowanie.

— Wiara moja dotąd była silna, ale mnie twoje zwątpienie ogarnia.

— Może to mrok wieczorny nasunął mi te myśli—rzekła Ewa z udanym uśmiechem.

— Przy współzuciu nie powinno być smutku. I ja czasem czuję zwątpienie i boleść, ale nigdy przy tobie.

— Jednakże—przerwała mu—nie jesteś już tém, czém byłeś przy naszym piérwszym spotkaniu, gdyś marzył jedynie o Bogu, gwiazdach i aniołach! Teraz się te święte myśli pokalały błotem ziemskim, podłą intrygą. Choć sam byłeś wolny od złego, w ciągłej z niém styczności musiałeś coś stracić z pierwotnej wiary; zmieniłeś zdanie o Arabii.

— Bo ty stałaś się dla mnie Arabią, aniołem opiekuńczym i pocieszycielem — zawołał Tankred padając przed nią na kolana.— Nie mów o wygastłej wierze, bo ufam w ciebie; nie mów mi o porzuceniu walki, bo ja chcę walczyć z całym światem dla ciebie; nie mów nic o smutku, bom szczęśliwy przy tobie, i tylko myśl, że może nie dzielisz mych uczuć, przywodzi mię do rozpaczyl!

To mówiąc, uchwycił jéj rękę i patrzył na nią błagalnie z uwielbieniem; ona zaś spoglądała na niego smutnym, tęsknym

wzrokiem, nie usuwając dłoni, i szepnęła wreszcie: „Nie mów mi tego nigdy; wszak wiesz, że nawet marzyć o tém nie powinniśmy“.

— Nic nie wiem, nic nie chcę wiedzieć, tylko to, że cię kocham!

-- Należysz do innego narodu, do innego wyznania—zawołała z wysileniem, wyrrywając mu rękę.—Uciekaj, uciekaj odemnie synu Europy i chrześcijaństwa!

— Jako wyznawca krzyża, klękam przed córką pokolenia mego Zbawcy! dlaczegóż więc miałbym uciekać?

— Ależ to szaleństwo!

— Powiedz raczój: natchnienie! — zawołał Tankred. — Nie porzucę téj fontanny, świadka naszego pierwszego spotkania, póki mi nie powiesz, że mnie kochasz, że złączysz twój los z moim. Nie mów nic o różnicy wiary, narodu, ani o tych, co nas mogą rozdzielać; wyrzekam się rodziny, ojczyzny i wiary dla ciebie! wyrzekam się wszystkiego, co stanowi zaporę między nami. Powiedz tylko, o powiedz że mnie kochasz, a skruszę wszystkie przesady świata.

Na tak namiętne słowa, głowa Ewy skłoniła się na jego ramię, i Tankred złożył pierwsze pocałowanie na jéj bladém licu, lecz znalazł je zimne jak marmur. Uczucia jéj były zbyt silne, straciła przytomność. Tankred położył ją lekko w kiosku na sofie, i skrapiając jéj czoło wodą z fontanny, starał się przywrócić do życia. Po chwili Ewa westchnęła ciężko, i zwolna, otworzywszy oczy, podniosła się nieco, patrząc wokoło, jakby starała się rozeznaczyć marzenie od rzeczywistości.

W czasie téj uroczystej ciszy wieczoru, dały się nagle słyszeć krzyki i wołania, a potém zbliżające się kroki i głos. Tankred posłyszał wymienione swoje imię. Porzuciwszy na chwilę otrzęzioną Ewę, pospieszył zapytać, coby to być mogło? U bram ogrodu spotkał pana pułkownika Brace, p. Bernard i doktora Roby, Freemana i Truemana z pochodniami; a za niemi tłum ludu, wołający na wszystkie strony lorda Montecute, albowiem księstwo Bellamont przybyli do Jeruzalem.

— Tłumaczyła z angielskiego

Walerya Morz.....

DO REDAKTORA.

OD

Augustyna Bielowskiego.

KRONIKA

Gawła mnicha i Michała kanclerza.

Między duchowieństwem obrządku łacińskiego, zasługującym się Polsce już od czasów Mieczysława I, wystąpił nowy zakon pod koniec wieku XI. Byli to mnisi s. Gawła, sprowadzeni do Polski z Prowancyi czy Helwecyi, za Władysława Hermana, a szerzący się znacznie pod Bolesławem Krzywoustym. Przypadek zjednał im nadzwyczajne względy tych królów. Troszczącemu się bezpotomnością Władysławowi podał radę Franko, biskup kruszwicki (1), aby przesłał wota ś. Idziemu, doświadczonemu w téj mierze patronowi, którego zakon na cześć ś. Gawła założon, kwitnie w Prowancyi niedaleko ujścia Rodanu. Usłuchał rady Władysław, przesłał bogate dary do *Saint-Gille*, a królowa niebawem mu syna powiła. Nie lenił się król polski w okazach wdzięczności za cud tak wielki: powstawały kościoły i zakłady kosztowne na cześć tego świętego w Kłodawie, w Krakowie, Łęczycy, w Krobii i po innych miejscach (2), a księża nie mało względów od Władysła-

(1) Franko ten był biskupem kruszwickim między r. 1081 — 1087. Zna go Gawęł; Długosz o nim zamilcza, nie wiadomo z jakiego powodu. Zdaje się, że w wyborze jego zachodziła jakaś nieformalność. Ob. *Catalogus episcop. Vladislaviensium*; rkp. Bibl. Oss. XVIII in 4to, kart. 100 odwr.

(2) *Iste Vladislaus in honorem beati Egidii dotavit et fundavit ecclesias parochialem in Clodawa; ecclesiam collegiatam in honorem beati Egidii in Cracovia; etiam collegiatam in Lancicia; parochialem in Crobya, et alias plures in*

wa doznawszy, starali się wcześniej zapewnić sobie wpływ na syna jego: postanowili więc i dawne swoje zasługi przypomnieć i położyć nowe, opisując czyny młodego i żądzą sławy pałającego Bolesława. Tak powstał jeden z najznakomitszych pomników kronikarstwa polskiego, znany pod napisem *Galli Chronicon*. Że go pisał mnich zakonu ś. Gawła, o tém nie ma najmniejszej wątpliwości; że ten mnich zwał się na imię Marcin, na to nie ma żadnego dowodu; piszący po łacinie Sarnicki zowie go poprostu *Gallus* (1), jakby to było jego imię własne. Jakoż jest rzeczą naturalną, że między mnichami tego zakonu, imię patrona ich, które z łacińska brzmi *Gallus*, a w ustach polskich *Gawel*, musiało być najpowszechniejsze. Bądź jak bądź, to jednak pewna, że kronikarza tego zwano po łacinie Gallusem, nie z przyczyny francuzkiej jego rodowości, ale z przyczyny téj, że był zakonnikiem świętego Gawła, a nie jest téż niepodobna, że i sam Gawłem nazywał się. W oboim tedy razie, służy mu w języku polskim miano Gawła, a nie Gallusa lub Marcina Galla, jak go w późnych już czasach nazwano (2).

Czy nasz kronikarz jest cudzoziemiec lub Polak? o tém dotąd spór wiodą uczeni; wszelako za pierwszym z tych twierdzeń przemawia nierównie większe podobieństwo. Zna on bardzo dobrze okolice południowej Francyi; umie podać imię opata w *Saint-Gille*, któremu Władysław Herman list z darami przesyłał; króla polskiego zowie królem północnym i Polskę północnym

in honorem beati Egidii confessoris, ad cuius preces habuit filium. Rkp. Sędziwoja z Czechelu str. 36. Na cześć ś. Idziego stawiał téż kościoły w Polsce tak zwany Piotr Dunib, i synowi swemu dał na chrzcie imię zawołanego w owym wieku cudotwórcy Idziego. *Chronica Petri Comitiss*; rkp. Bibl. książąt Chiziów w Rzymie.

(1) *Annual*. II, c. 4.

(2) *Martinus Gallicus* nazywał się biskup płocki, zmarły r. 1024. *Lubiński Vit. epp. Ploc. in Opp. posth. Antw. 1643*, str. 317. Tego to podobno Marcina powołuje *Długosz* (*Hist.* I, 36 i 65); że naszego Gawła to się nie tyczy, dowodzi ta okoliczność, iż ustęp przezeń przytoczony o Leszku, który walczył z Niemcami r. 805, nie znajduje się zgoła w Gawła kronice, ale znalazłem go w bezimiennych wyciągach z czeskich i polskich dziejów, dawną już ręką w *Kodexie Tytusa Działyńskiego* na str. 326 spisanych. Wyciągi te mogły być istotnie robotą jakiego Marcina Gallika, ale nie Gawła naszego. Pierwszy przełożony *Miechowitów* sprowadzonych do Polski przez *Jaxę Gryfa* około roku 1162, zwał się także *Martinus Gallus* (*Nak. Miech.* str. 63 i 65), a był, jak widzimy, przeszło pół wiekiem młodszy od Gawła naszego.

krajem, gdy przeciwnie u Miorsza Polska jestto kraj wschodni. Skoro wejdziem w przyczynę takowego nazwania, nasuwa się samo przez się, że jak Miorsz od granic niemieckich patrząc widział Polskę na wschodzie, tak samo téż i Gawel Polskę na północy upatrujący musiał pochodzić z krain południowszych, i prawdopodobnie przybył on do Polski z Francyi południowej lub téż ze Szwajcaryi; podobnie jak tamten z Niemiec, czy z Anglii. Jest tedy cudzoziemcem z rodu nasz kronikarz, ale cudzoziemcem spolonizowanym: posiada język polski i w zwrotach jego łaciny uderzają nas widoczne polonizmy (1), a z upodobaniem rozpowiada on, że król węgierski Władysław przez dłuższy czas w Polsce zostając, przejął się polskimi obyczajami i zwyczajami tak, iż się nieżem od Polaka nie różnił (2). Oddaje téż niemałe pochwały temu królowi.

Mniej znana, acz ugruntowana w wyraźnym świadectwie Gawła jest okoliczność, że spółautorem téj kroniki jest Michał kanclerz (3) kapituły kruszwickiej; okoliczność godna tém większej uwagi, że wyjaśnia nam niejedno, co inaczej trudne byłoby do wyjaśnienia. Michał kanclerz jest rodowity Polak, stanu duchownego (4); ale tylko świecki ksiądz, nie zakonnik. U Bolesława Krzywoustego zażywa on niemałej powagi, towarzyszy jego wyprawom, i śród boju podaje mu rady zbawienne. Gawel ceni jego pobożność i światło: wymienia z uwielbieniem radę, którą tenże podał królowi w czasie daremnego ubijania się o Kołobrzegę (5); a gdy kilkakrotnie napomyka, iż ten albo ów czyn królewski mędracowie polscy chwalili lub potępiali, niepodobna jest nie widzieć na czele owych mędrców Michała, którego wiadomościami co do spraw publicznych, zasilał się sam autor. Jestto, jak powiedziałem, kanclerz kapituły kruszwickiej; pomocnikiem bowiem Pawła, biskupa kruszwickiego zowie go sam autor (6). Jak dalece pomocnik taki był mu na rękę, i w czém właściwie pomoc jego zależała, łatwo zmiarkować. Gawel ma wprawę pisarską (7), ma

(1) Dowody na to przytoczyłem w Bibl. Oss. z r. 1842, I, 105.

(2) Wyd. Bandt. str. 108.

(3) Cancellario Michaëli, ceptique laboris opisici, str. 4.

(4) Że był księdzem, to widać ze słów: *tamque religiosorum memoriam pretatorum*; str. 126. Na polski ród Michała zdaje się wskazywać autor, zaliczając go między *hujus patrie principes*; str. 8. (5) Str. 192.

(6) Paulo, suoque cooperatori Michaëli, str. 123.

(7) Ut dictandi consuetudinem conservarem; str. 234. *Dictare* znaczy tu *metrice componere*; porów. Pertz § ll. 80, w. 35, tudzież str. 101, w. 15

wczas do pisania, jako zakonnik; ale mu zbywać mogło na dokładnej znajomości Polski, na znajomości dawnych jej dziejów, a i społeczne sprawy publiczne trudno było obejrzeć wszechstronnie z za krat zakonnych. Z pokorą mnicha przyznaje on się do swęj niewiadomości (1): powiada, że zasięgał rady od tych, którzy z przedmiotem tym dokładnie byli obznajomieni: „anibym się odważył rozwinąć żagla na toń niezbrodzoną wypadków, nie pozyskawszy sobie piérwěj przychylności życzliwych opiekunów i pomocy biegłych sterników” (2). Opiekunami tymi byli oczywiście biskupi polscy, którym dzieło swe przypisuje; ale równie jest pewna, że pomoc istotną miał właśnie od Michała: bo jego wyłącznie zowie dzieła tego spółtwórcą; jego i Pawła kruszwickiego czyli kujawskiego w szczególności jako mędrców wysławia (3). Onto jako świadomy dobrze rozmaitych przygód narodu, wytknął dziełu jego pewien kres (4); on poddawał źródła, które Gawel pilnie wertował; nakoniec zasilał go przy każdėj księdze tak obfitą powieścią ustną, że tenże pisać nie nastarczał, a wyznając, iż powtarza ze słuchu (5), robi téż częstokroć uwagę, że wie nierównie więcej czynów tego lub owego króla, ale je dla pośpiechu pomija (6).

Taką pomoc zewnątrz miał nasz kronikarz; nadaje ona dziełu jego poniekąd cechę urzędowości: bo owe obszerne i wielostronne opisy wypraw Krzywoustego, w których nietylko dzień bitwy oznaczon, ale niekiedy i godzina nawet, w którėj bitwa zaczynała się lub ustawała (7); owe napomknienia stosunków z ościennemi państwami; owe narady i zdania pojedynczych osób przy ważniejszych wypadkach: pochodzą od męża wtajemniczonego w bieg spraw publicznych, i niepospolitą w nich rolę grającego, mianowicie od Michała. Obaczmy teraz, co nasz mnich

(1) *Ignarus vie; str. 5. Neque ceptum iter bene cognitum habuimus; sed per illos qui noverunt paulatim inquisivimus, str. 130. Copiosa bellorum materia ad presumendum opus viribus inequale meam ignorantiam excitavit; str. 238.* (2) *Str. 5.*

(3) *Quorum sapientia bicipiti philosophie monte derivata, str. 127.*

(4) *Ni vestre benignitati placuisset certas mihi metas interius aperire; str. 5.* (5) *Recordatio ab auditoribus imitata; str. 61.*

(6) *Multa et magnifica gesta pretermittam, quedam tantum suggerere non dimittam; str. 6. Alliis quampluribus (gestis Kazimiri sub silentio pre festinantia reservatis; str. 98. Pauca de multis gestis Boleslai largi) aperire; str. 100.* (7) *Str. 134, 135, 136, 246, 247, 251, 262 i t. d.*

miał z siebie, i jakieto były wiadomości, które sobie w Polsce czytaniem przyswoił.

Naukę ceni wysoko Gawęł, i oddaje jój cześć bez względu na to, czy ją w przyjacielu lub nieprzyjacielu dostrzeże. Wié, że z pomiędzy spólcześnie panujących, żaden naukowém wykształceniem nie zrównał Kolomanowi węgierskiemu (1), przyjacielowi Krzywoustego; a o Zbigniewie, mimo słusznego oburzenia na jego postępkę, nie zamilcza, że to był książę nad podziw mądry, i nie tylko swoje, ale i brata swego mowy uczonością zaprawiał (2).

Sam téż Gawęł posiada niepospolitą na swój wiek naukę. Pominąwszy erudycją biblijną, którój ślady są w dziele jego widoczne, nie lenił się w przyswojeniu sobie wiadomości z ksiąg świeckich. Tak zwane dzieje barbarów, obszernie przez Troga Pompeja, a w skróceniu przez Justyna podane, rozczytywał z uwagą, i przechwala się, że dzień cały nie wystarczyłby na to, gdyby chciał same tylko imiona znanych sobie barbarzyńskich królów wyliczyć (3). Zna okolicznie przygody wojny trojańskiej, bądź z wzorowych dzieł starożytnych pisarzów, bądź z podrobionego Daresa frygijskiego. Z łaciny jego rymami poprzecinanój, zalatuje nas niekiedy jakby stłumiony odgłos wierszów Horacego (4). Zna Sallustego i powiada, że jego księdze jugurtyńskiej zrównaćby mógł objętością zupełny opis czynów Sieciecha (5). Z pisarzów nowożytnych znani mu są kronikarze sascy, a szczególniej Adam bremeński (6), wraz ze spólczesnym swoim komentatorem. Ale dobitniej nad

(1) Colomanus super reges universos suo tempore degentes litterali scientia eruditus; str. 193.

(2) Lectis (Zbignei literis) quilibet sapientis admiratur; str. 211. Zbigneus orationem fratris ut literatus rhetorice coloravit; str. 163.

(3) Str. 240. (4) Cur rota currus percuritur, str. 30. *Porów.* Currente rota cur urceus exit; Horat ad Pis. v. 22.

(5) Str. 167. Gawęł zna zarówno wojnę katyllńską jak i jugurtyńską Sallustego; to widoczna ze zwrotów mowy i wyrażeń zabranych z obu tych dzieł, jak to wysledził Jan Szlachtowski.

(6) Dość liczne podobieństwa między Adamem bremeńskim, a Gawęłem tak co do myśli całkowitych, jako i zwrotów, zebrałem i udzieliłem J. Szlachtowskiemu dla zrobienia z nich użytku w nowém wydaniu krytycznym tego kronikarza. Oto są niektóre z nich: Veritatem nos in medio relinquamus, *mówi Adam* (edit. Lugd. Bat. 1595) str. 21; sed haec in medio deferamus *mówi Gawęł* str. 110. Sed quod bene ego non potui melius scribendi, ceteris materiam reliqui. *Adam.* str. 4; Et si forsitan in hoc opere verborum nuditate accusatis, ex his saltem materiam tractandi profundius et argumentosius habeatis; *mówi Gawęł* str. 238. De cuius viri gestis et moribus

to wszystko wypiętnowała się w naszym kronikarzu znajomość ksiąg Sangaleńskiego klasztoru, które, jak się zdaje, z San Gallen w Helwecyi, rozchodziły się i w inne kraje do klasztorów świętogawelskich. Zna tedy nasz kronikarz żywot najstarszy św. Gawła, w VIII wieku przez bezimiennika rymowaną łaciną napisany (1), i cuda przy tym żywocie dopełniane przez Gozberta dyakona. Zna przygody tegoż klasztoru sangaleńskiego, (2) które opisał pod koniec wieku IX Ratpert, a Ekkehard IV i inni dopełniali: zna leoniny, jakie mnisi sangaleńscy za popędem Notkera na cześć świętego Gawła i świętego Otmara układali, i jakich próbkę zostawił nam pomieniony Ekkehard (3). Te i tym podobne pomniki stanowiły podstawę zakonnego wykształcenia Gawła naszego; napojony i przesiąkły wzorami temi mnich, wniósł w polskie kronikarstwo formę odrębną: opowiada dzieje Polski tak samo, jak bezimienny żywociarz czyny św. Gawła, rubaszną swoją łaciną, rymami i asonancami zaplatając, a powieść swoją urozmaica nasz Gawel leoninami, jak to robili autorowie przygód sangaleńskiego klasztoru: Ratpert i Ekkehard. Nakoniec rymowane epilogi, któremi przedmowę każdéj z trzech ksiąg kroniki swojej zamyka, a z których pierwszy ma za cel uczczenie świętego Idziego, epilogi te są jakby tylko dalszym ciągiem owych lukubracyj, jakie niegdyś Notker Labeo mnichom sangaleńskim zadawał (4).

Następujące atoli źródła wprost do dziejów Polski odnoszące się, których ślady dostrzedz się dają w jego kronice, winien jest niewątpliwie pomienionemu kanclerzowi, co w części ukazuje już sama tych źródeł natura. Zna tedy Gawel traktat przez Bolesława Chrobrego z Ottonem III zawarty, a przez Sylwestra II papieża zatwierdzony (5); zna listy królów polskich

cum difficile est aliquid dignum scribere; *Adam* str. 79. De cuius gestis scribere jam tempus est, *mówi Gawel* str. 12. Licet stulte audacterque hoc introirem pelagus; nunc autem haud imprudenter fecisse videar si ad littus properabo; *Adam* str. 79. Cum fragili cymba periculose tantam equoris immensitatem introirem i t. d. *Gawel* str. 5. Romani pontificis fultus auctoritate; *Adam* str. 127; Vestra auctoritate suffultus patres praetitulati *Gawel* str. 4 i t. p.

(1) Vita s. Galli ap. Pertz. § II. 5.

(2) Casus s. Galli ap. Pertz. § II. 59.

(3) Casus s. Galli ap. Pertz. § II. 59.

(4) Zestawienie miejsc podobnych Gawła kroniki z pomienionemi pomnikami mnichów sangaleńskich znajdzie czytelnik w najnowszym wydaniu

naszego kronikarza, skutecznioném przez Jana Szlachetowskiego, a zamieszczoném w XI tomie Zbióru Pertzowskiego: Monumenta Germaniae.

(5) Str. 41.

Władysława Hermana i Bolesława Krzywoustego, tudzież cesarza Henryka do Bolesława (1); nie tajne mu są ani powody, jakie dawał Baldwin Paschalisowi II papieżowi, celem uzyskania przyzwolenia jego na związek Bolesława ze Zbislawą swą krewną (2); ani bliżkie: jakieś stosunki Judyty żony Władysława Hermana z Sieciechem (3); ani ustna Bolesława z Kolomanem węgierskim umowa, o której w całej Polsce ledwie kto wiedział; (4), i o której milczą wszystkie roczniki. Nakoniec co się tyczy ksiąg samych, ma on pod ręką jakiś rodzaj wykazu poborów wojskowych za Bolesława Chrobrego, i powiedziawszy ile Poznań, Gniezno, Władysław i Gdecz dostarczały piechoty lub jazdy, daje do zrozumienia, że jest w stanie podać także daty z całej rozległej Polski (5). Ma polskie roczniki z których całkowite ustępy wciela w swoje kronikę; ma pieśni o Bolesławie Chrobrym; ma żywot i cuda ś. Wojciecha, z których, jako odnoszących się wprost do zdarzeń kraju naszego, wyjmuje gdzie nieco; ma kronikę Miorsza, z której rzecz o Popielu przytaczając, zagartuje ją w ogólne wyrażenie: *narrant seniores antiqui* (6), bądź że prócz Miorsza zna jeszcze innych opowiadaczy tego zdarzenia, bądź też dlatego, że w kronice téj opowiadanie zdarzeń, i zarazem rozciąglejsze zastanowienia się i rozumowania nad nimi, uważał za rodzaj dialogu, w którym dwaj dostojnicy (*seniores antiqui*) rozmawiają. Pielgrzymkę Krzywoustego w towarzystwie księży po Węgrzech i Polsce przedsiębraną, mianowicie do św. Idziego i do grobu św. Stefana i św. Wojciecha, opowiada jakby świadek naoczny.

Wielkie zaiste byłyto zasoby i ułatwienia do skróślenia dokładniejszego niż dotąd dziejów Polski; użył ich Gawel zrećnie do swego celu, którego na włos z oczu nie spuszczał, nie z takim wszakże, jakby to być mogło i jakbyśmy sobie dziś życzyli dla całkowitej historii polskiej pożytkiem. We wstępie do dzieła powtarza dwukrotnie, że zamierzył opisać czyny Bolesława Krzywoustego, a przez wzgląd na niego podać oraz *niektóre* sprawy jego przodków (7). Nie zamilezał téż o głównej do tego przedsięwzięcia pobudce: robi to dlatego szczególnie, że Bolesław z łaski Bożej, na prośby św. Idziego narodzon, z jego téż przy-

(1) Str. 122, 255, 256. (2) Str. 181. (3) Str. 141, 168.

(4) *Paucissimis hoc rescientibus*; str. 309.

(5) Str. 53. Uważać tu należy, że w dyczezył, której biskupem był Paweł, Włoch rodem, a pomieniony Michał kanclerzem, okazuje się kronikarz nasz najzuajomszym. (6) Str. 26. (7) Str. 13.

czyny, jak wierzym, szczęśliwy jest zawsze i zwycięzki (1). Jakóż iskrzącą myślą z której wychodzi, i z kąd promienie na całe dzieło rozprowadza, jest cudowne Bolesława na prośby mnichów św. Idziego (2) poczęcie. Pięciu biskupom i Michałowi kanclerzowi poświęca piérwszą swą księgę: „bo wy, powiada, byliście świadkami cudu i patrzycie na świetne czyny cudownie narodzonego” (3). Następuje rymowany epilog, którego treścią jest dość szczegółowy opis tegoż cudu. Piérwszą znowu księgę zamknął autor obszernym, dwurodziałowym opisem tychże cudownych narodzin, a jeszcze i na początku drugiej księgi napomknął, że Bolesław narodził się w dzień św. Szczepana, a matka jego wnet po położu umarła (4).

Główny tedy zamiar opisywania czynów Bolesławowych, oraz wstret do czasów bałwochwalskich, nie dozwalały mu zagłębiać się w naszą przeszłość; a jeśli z czasów dawniejszych co rozpowiada, czyni to, jak sam wyznaje, z pośpiechem: mnóstwo wypadków wypuszczając lub przekręcając rzecz samą, jak np. w powiastce o Popielu. Stare Lęchitów dzieje całkiem niemal pomija, nie dlatego, jakoby ich nie uznawał zgoła, i miał za bajki; lecz że wychodzi z zasady powszechnie niemal przez mnichów przyjętej, a sformułowanej przez bremeńskiego Adama, który powiada: „inutile est acta non credentium scrutari” (5). Powtarza ją téż nasz Gawęł, mówiąc: „quos error et idolatria defedavit memorare negligamus” (6). Ale genealogią swego bohatera wypuścić nie godziło się; względ tedy na tę genealogią zaprowadził go mimowolnie, acz na króciuchno, w czasy dawniejsze: a tu chrześcijańska o Piaście legenda, którą jeszcze Miorsz czysto, bez najmniejszej przyczepki do miejscowości nadwiślańskiej rozpowiedział, uległa zmianie u Gawęła i jego wielkopolskiego towarzysza: kanclerza Michała, i po raz piérwszy wyrzeczono głosem nieledwie urzędowym, że Popiel w Gnieźnie miał swą stolicę, i że tu gdzieś odbywały się postrzyżyny syna Piastowego, Semowita (7). Tego nie poważył się wyrzec Miorsz, nie dlatego, jakoby sam dokła-

(1) Str. 14. (2) Tychże mnichów zowie mnichami św. Gawęła kronikarz szlązki: Ad Abbatem et *conventum s. Galli* ymaginem auream infantuli transmisit Wladislaus. Stenz. SS. rer. Siles. I. 12. I te więc kościoły i klasztory, które Władysław Herman w Polsce zakładał, zwane były raz św. Idziego, drugi raz św. Gawęła klasztorami. (3) Str. 6. (4) Str. 131. (5) Pertz. § VII. 305. (6) Str. 26. (7) Erat namque in civitate Gneznensi dux nomine Popel; str. 19.

dnięj rozróżniał miejscowość naddunajską od nadwiślańską; lecz że trzymał się ściślej swych źródeł, a te przy Popielu i Piaście nic zgoła o Gnieźnie lub jeziorze Gopie nie spominały. Od Pia-
sta przemyka się szybko ku Mieczysławowi nasz Gawł, wyraźnie tylko cel genealogiczny ścigając. Chociaż atoli tylko po kilka słów rzucił o Ziemowicie, Leszku i Ziemisławie, widać z nich jednak, że miał gruntowne o tych książętach wiadomości, i tém bardziej uważać się możemy w tém miejscu na jego małomówność. Czasy Bolesława Chrobrego zajęły mocniej jego uwagę: z nich wydobywa wzory dla swego bohatera, Krzywoustego, którego dzieckiem Marsa nazywa (1), i mozolnie pojedyncze rysy po rozmaitych księgach rozrzucone wyszukując (2), nakreśla wielostronny i nader cenny obraz stanu Polski za tego króla. O Mieczysławie I i Kazimierzu znowu pobieżnie tylko gdzie nieco natrąca, chociaż ich panowania obfite były w wypadki. Postrzegł się późnięj i dodał w drugiej redakcyi swojej kroniki opis wojny Kazimierzowej z Pomorzanami, oświadczając wyraźnie, że wie nie-
równie więcj czynów tego króla, ale zamilcza o nich z przyczyny pośpiechu. Jeszcze usilność wyszukiwania wzorów do naśladowania dla swego bohatera skłania go podnieść niektóre szczegóły z domowego życia Bolesława Śmiałego, i zajrzeć nieco troskliwiej w charakter tego króla; wszystko inne, począwszy od Mieczysława Igo, aż do urodzin Krzywoustego, niewiele różnemi od rocznikarzy słowami, trochę tylko rozwlekłej i z opuszczeniem lat opowiedziawszy, zamknął swą pierwszą księgę cudem św. Idziego. W dalszych dwóch księgach już się głównie swoim bohaterem zaprzęta, kilka tylko początkowych rozdziałów księgi drugiej pamięci ojca jego poświęciwszy. W tych dwóch ostatnich księgach jest główna zasługa Gawła: tu on jest nieocenionym pisarzem, umięjącym zajrzeć w najważniejsze szczegóły publicznego i domowego życia narodu, które z mniejszą wprawdzie od Wincentego zręcznością pisarską, ale z nierównie większym przejęciem się obowiązkami historyka nakreśla.

Skromny wreszcie ten mnich, zrobiwszy wszystko co wziętość zakonu jego podnieść mogło w oczach narodu, zamilcza zupełnie swe imię; chce aby dzieło jego, jakiegokolwiekby miało za-

(1) *Per puerum Martis quem chamao pingimus*, str. 138; toż samo str. 154. (2) *Quid nocet oculos lectoribus hoc audire, quod vix potest cum labore historiographus inventire*; str. 74.

lety, znane było tylko pod imieniem biskupów polskich i Michała kanclerza (1), którym je poświęca, zastrzegając klasztorowi swojemu jedynie względy królewskie i materyalny pożytek, o który się kilkakrotnie przymawia (2). Czuje on, że historia podnosi sławę książąt i narodu (3); ale nie kładzie tego za cel historyi. Wié, że ona powinna być mistrzynią rządzących, i kasze się na to, aby książęta mogli znaleźć wzory dla siebie w jego kronice (4). Pojmuje, że jako malarz obok farb jasnych nie zaniedbuje dodać cienia dla schwylenia prawdy, tak téż sama prawda jest celem historyi (5): ją głównie ściga i z tém wyraźnie się oświadcza (6). Dlatego biskup Stanisław, szczególnym w pismach księżych wyjątkiem, podpadł tu ściśle historycznemu sądowi; dlatego zbrodzeń stanu, Skarbimir, znalazł tu należyte uznanie swych zasług, a i o samym królu, dla którego księgi te były pisane, powiedziano tu, acz w tonie usprawiedliwiającym, zawsze jednak dobitnie, że pojął *zbrodnię* względem brata swego Zbigniewa (7). Tak wykonawszy swe dzieło, pociesza się autor tą myślą, że chociażby takowe nie odpowiedziało wysokiemu powołaniu historyi, da przecież innym materyał do głębszego i dowodniejszego jój traktowania (8). Nie mylił się potulny mnich: między pomnikami jakimi wiek XIIIy ubogacił historią, zajmuje jedno z miejsć piérwszych jego kronika.

Dwie jój redakcye.

Z łatwością pisał Gawęł, i ta sama łatwość, oraz chęć dokonania jak najprędzej dzieła, które względy królewskie dla całego

(1) Ne viles persone videamur. vanitatis fimbrias dilatare, codicellum non nostro decrevimus, sed vestris nominibus titolare, quocirca laudem hujus operis et honorem hujus patrie principibus ascribamus; str. 8.

(2) Str. 8, 9, 237, 243. (3) Str. 129, 241, 243.

(4) In exemplum regni gubernatoribus; str. 100. Ad imitationis exemplum successoribus intimabo; str. 105.

(5) Speciosis coloribus, pro veritate operis, niger color inseratur; str. 126 i następ.

(6) Hoc recitamus ut veritatem historie teneamus; str. 195.

(7) Crimen lamentabile; str. 37. Wyrażenie to o Bolesławie jest tém ostrzejsze, że Zbigniew, jak się dowiadujemy z Kozmy pragskiego (III. 245, wyd. Pelzla i Dobrow.) był tylko oślepiiony z rozkazu króla polskiego; a było w owych wiekach zwyczajna kara za zbrodnię stanu.

(8) Ex his saltem materiam tractandi profundius et argumentosius habeatis; str. 238.

zakonu zaskarbić miało, sprawiała, że jak nie zapuszczał się w czasy dawniejsze, tak też i ze zdarzeń społecznych wymykało się niejedno jego uwadze. Poprawiał później co do tych ostatnich i dodawał to, co przez niebaczność opuścił. W rękopismach, jakie nam są dziś znane jego kroniki, dają się dostrzedz dwie różne jej redakcyje. Różnice ich są bardzo znaczne, a dokładne wytknięcie ich ważne jest ztąd, że rzuca bliższe światło tak na sposób, jakim ta kronika powstawała, jako też i na czas jej pisania. Pierwsza redakcyja przechowała się w rękopiśmie Szamotulskiego, przepisywanym z jakiegoś bardzo starego kodexu; ale przepisujący zeszepecił ją wtrętem o ś. Stanisławie i niektórymi przypadkowemi opuszczeniami. Dwa inne rękopisma: Sędziwoja i pergaminowy Zamojskich, podają nam text ostatniej redakcyi.

Pierwsza księga według redakcyi pierwszej składała się z 30 rozdziałów, które miały wprawdzie nadpisy tu owdzie, ale liczbowane nie były. Jakoż stałego liczbowania rozdziałów nie widać nawet i w pergaminowym rękopiśmie Zamojskich. Nie było tedy w tej księdze ani rubasznej powiastki o Chrobrym, jak swoim towarzyszom cięcie w kijowską bramę złotą tłumaczył; ani powiastki o Kazimierzcu, jak cesarzowi i matce swojej odwodzącym go od powrotu do Polski, odpowiedział formułką prawniczą; ani nakoniec opisu bitwy Kazimierza z Pomorzanami, którą dziś w rozdziale 21 czytamy; a rozdział następny zaczynał się inaczej: W rozdziale też 17tym zatrzymane były na początku słowa rocznikarza: *anno domini MXXV post mortem Boleslai*, tak samo, jak to czytamy i w Miorszu; dopiero w drugiej redakcyi wyrzucił Gawęł rok, i zaczyna sposobem opowiadawczym: *Postquam igitur* i t. d. Czy w rozdziałach 27 i 28 od ostatniej redakcyi różnicy jakiej nie było, tego z powodu wtrętów, jakim rękopism Szamotulskiego w tém miejscu uległ, powiedzieć dziś nie możemy. Druga księga, w której, według ostatniej redakcyi zawiera się 50 rozdziałów, miała ich według redakcyi pierwszej zaledwie trzydzieści kilka. Nie było w niej rozdziału 9 o pacholectwie Bolesława, lecz autor mówił w niej odrazu o wyprawie jego do Moraw, przedsięwziętej w towarzystwie Sieciecha; dopiero w ostatniej redakcyi wtrącił Gawęł ten rozdział, a to pociągnęło za sobą zmianę wyrazów *pueri Boleslai* w rozdziale następnym. Jakoż w rękopiśmie Sędziwoja i Zamojskich stoi zamiast tych wyrazów, zaimek *ejus*. Nie było przepowiedni o Bolesławie, którą

dziś czytamy w rozdziale 20; były nakoniec przemilczane ważne wypadki między rozdziałem 26 a 34, mianowicie wyprawy przedsiębrane na Pomorzan i zwycięstwa Skarbimirowe (1); oraz między rozdziałem 43 a 48. Mógł wprawdzie jeden lub drugi z tych rozdziałów wypuszczony być jedynie przez niedbałość Szamotulskiego kopiisty, jakoż zdaje się być rzeczą niewątpliwą, że rozdział 32 i 33, jakowymś przypadkiem były opuszczone (2); że jednakże zachodziły w tej księdze ważne jakies opuszczenia z winy samego autora, to widać najprzód ze słów jego, iż stopniowo zasięgał coraz więcej wiadomości u drugich:

Neque ceptum iter bene cognitum habuimus

Sed per illos qui novernat paulatim inquisivimus.

a dalej z tego oświadczenia, że przyrzeka autor dodać to, w czém się okazał nieświadomym:

Et addamus si quid nimis ignoranter diximus.

Trzecia księga według redakcyi piérwszej urywała się z rozdziałem 15, zakończonym temi słowami: *quia cesar cum satis copiosa confusione ad propria remeavit*. Jakoż, że tym rozdziałem istotnie trzecia księga pierwiastkowo kończyła się, na to mamy uderzające dowody:

a. Zwykł autor w rymowanych epilogach, które w końcu przedmowy do każdej księgi dodaje, natrącać o treści samėje księgi. Tak w epilogu księgi piérwszej mówi o cudzie ś. Idzie-

(1) Tu zasługuje na uwagę następująca okoliczność: Skarbimir wojewoda krakowski, wierny towarzysz wypraw Krzywoustego, i bez wątpienia jeden z piérwszych wojowników swojego czasu, wpadł około roku 1117 w podejrzanie u króla, jakoby chciał sięgać po koronę: jakoż wnet został schwytyany i oslepiony (Długosz Hist. IV, 409). W drugiej księdze Gawła według piérwszej redakcyi nie ma nic o Skarbimirze; ale w redakcyi późniejszej poświęcone mu są wyłącznie dwa rozdziały, mianowicie 30 i 31, z tym jednakże dodatkiem, który namacalnie wskazywać się zdaje na przygodę z roku 1117: „hoc non ideo de Scarbimiro recitamus ut eum in aliquo suo domino conferamus; sed ut veritatem hystorie teneamus”. To uniewinnianie się autora zdradza oczywiście świadomość tego, co między Skarbimirem a królem około roku 1117, lub może już i wcześniej trochę zachodziło. Nie są więc te rozdziały przypadkiem w rękopiśmie Szamotulskiego opuszczone; ale nie znajdowały się weale w piérwszej redakcyi, i dopiero w kilka lat później zostały dorobione.

(2) Rozdział 34 w tej księdze zaczyna się od słów „Hoc eventu”... które wskazują wyraźnie na zasadzkę Pomorzan, opisaną w dwóch poprzednich rozdziałach, przez kopiistę Szamotulskiego opuszczonych, jak się zdaje, przypadkiem.

go, i właśnie opisem dwurodziałowym cudu tego zamyka się ta księga. Owoż w epilogu księgi trzeciej powiada tylko o wyprawie pomorskiej i o wojnie z Niemcami, i właśnie opis tych dwu wojen zawiera się w piętnastu pomienionych rozdziałach. O dalszych wyprawach Bolesława na Pomorzan, o spustoszeniu Prus, o zgodzie Zbigniewa z Bolesławem, nakoniec o podłaniu się Nakła Polakom, nie napomkniono ani jednem słowem w epilogu: wniosek więc oczywisty, że to są dodatki późniejsze.

b. Począwszy od rozdziału 16 zachodzi różnica w opowiadaniu taka, jaka zwykła zachodzić w pismach jednego autora, znacznym przeciągiem czasu przedzielonych. Do końca rozdziału 15 opowiadanie jest płynne, widać w niem pewien rodzaj pośpiechu, który nie pozwala autorowi rzecz raz już powiedzianą, temi samemi słowami powtarzać. Przeciwnie w rozdziale 15 i następnych opowiadanie jest nierównie rozwleklesze, nie ma téj żywości, co poprzednie; i gdy już w rozdziale 15 powiedział autor o cesarzu, że powrócił: *pro tributo nihil portans nisi cada-vera*; powtarza i w 16 rozdziale, który jedynie dla opisanja śmierci Świętopelkowej wtrącił: *cesar mortuorum cadavera pro tributo reportavit*. Tymto rozdziałem kończyła się kronika Gawła w owym rękopiśmie, z którego Mateusz, i Wincenty syn Kadłubka, użytkowali.

c. Zakończenie rozdziału 15 w rękopiśmie Szamotulskiego, a w rękopiśmie Sędziwojowym i Zamojskich nie jest jednakie; a dodatek, jaki tu w rękopiśmie Szamotulskiego znachodzim, aczkolwiek zawarty w kilku słowach tylko, nadaje jednak pewne zaokrąglenie opowiadaniu. Dopelniając później autor swoje kronikę, musiał owe zaokrąglenie odrzucić, a natomiast położyć słowa, które łączą osnowę rozdziału tego z rozdziałem następnym (1). Ta okoliczność stwierdzona powyższemi rękopismami okazuje dostatecznie, że rozdział 16 i następne, nie były przypadkiem lub téż niedbałością kopiisty Szamotulskiego opuszczone; lecz, że tu najpierw kończyło się opowiadanie autora. Jakoż stara już ręka dołożyła w tém miejscu na owym rękopiśmie te słowa: *hucusque Gallus*.

(1) Et injuriam in Suatopole et illam et aliam vindicavit; str. 281.

Czas, w którym ta kronika pisana.

Żadna okoliczność z życia naszego Gawła nie jest udowodniona mocniej jak rok, w którym pisał swoją kronikę, zwłaszcza dwie pierwsze jej księgi. Ztémwszystkiém niektórzy pisarze spominając o nim, wołają wskazywać na niepewny rok jego śmierci, niż na udowodnione lata jego pisarstwa. Schlözer robi go późniejszym od Nestora; Palacki późniejszym od Kozmy pragskiego (1). Krótkie zastanowienie się okaże, że i jeden i drugi myli się. Pierwszy z nich utrzymuje, jakoby Gawel żył aż do roku 1138 (2). Gdzieby atoli tę wiadomość wyczytał lub na jakiej kombinacji oparł ją, tego zgoła nam nie powiada.

Puszczał Gawel w świat pojedynczo księgi swojej kroniki, opatrzywszy każdą z nich listem poświęcającym, i epilogiem rymowym, każdy takowy epilog zwykle wtedy, gdy już sama księga była wygotowana, dokładając. Pierwszą, zawierającą dzieje od czasów najdawniejszych aż do narodzin Krzywoustego, poświęcił Michałowi kanclerzowi i pięciu biskupom, z których Maurus krakowski obrany został roku 1109, a Paweł kruszwicki umarł w roku 1110. Napisana więc była ta księga w końcu roku 1109 i w tymże jeszcze roku, lub najdalej na początku 1110 ogłoszona. Drugą księgę zawierającą dzieje społeczne, mianowicie ostatek panowania Władysława Hermana i panowanie Krzywoustego, aż po klęskę Czechów i Zbigniewa, przypadłą około roku 1108, poświęcił temuż jeszcze kruszwickiemu biskupowi Pawłowi, wraz z kanclerzem Michałem. Ta więc księga napisana i ogłoszona była w pierwszej połowie roku 1110 przed śmiercią Pawła, przypadłą w tymże roku. Kiedyż napisał księgę trzecią?

W epilogu księgi pierwszej zapowiedział był autor, że się wraz do następnej księgi zabięra (3), a skutek okazał, jak dalece uiscił się z tej zapowiedzi. W epilogu księgi drugiej znajdujemy podobne napomnienie, że wnet do pisania reszty przystępuje (4); a ta okoliczność zgodnie z okolicznościami innemi, mianowicie że rękopism Szamotulskiego na rozdziale 15 i na zdarzeniach

(1) *Geschicht. v. Böhm.* I. 341, uwag. 143.

(2) *Nestor Russ. Ann.* I. 26.

(3) *De ejus (Bolesłai) gestis scribere, jam tempus est;* str. 12.

(4) *Ilac (die) expleta, de futura satis cogitabimus; prosequamur quod interposuimus; persolvamus qui frequenter supra titubavimus;* str. 130.

z r. 1109 kończy się, a autor pisząc go nie wiedział jeszcze o śmierci Świętopelka, jasno dowodzi, że Gawęł i księgę trzecią kroniki swój, jeszcze w r. 1109 napisał, i poświęcając ją kapelanom królewskimi całemu duchowieństwu, z zaleceniem, iżby czyny Bolesława opisane w niej po dworach i szkołach rozczytywali, osiągnął cel do którego z takim pośpiechem zdążył; i tém śmieliej mógł liczyć na nagrodę, o którą się w poświęceniu téj księgi przemawia. W przeciągu tedy półtora roku, mianowicie między połową 1109 a końcem roku 1110, napisane były wszystkie trzy księgi Gawęła kroniki, mniej więcej w tym oto kształcie, jak nam je rękopism Szamotulskiego i wydanie gdańskie przedstawia: poprzedziło więc o lat kilka kronikę Nestorową, a o lat kilkanaście kronikę Kozmy pragskiego.

Dopełnianie kroniki i śmierć Gawęła.

Krzywousty był bezustannie czynny, i po sławnej wojnie z Niemcami przedsiębrał nowe wyprawy: miał tedy nasz mnich wątek do ciągłych uzupełnień swojej kroniki, i takowe niejednokrotowe uzupełniania, widzimy dziś w jedenastu dalszych rozdziałach III księgi. Mateusz herbu Cholewa użytkował, jak widzimy, z jakowegoś rękopismu, który na 16 rozdziale III księgi kończył się; inaczej byłby napomknął choć cokolwiek o znakomitych zwycięztwach Krzywoustego, opisanych w 10ciu dalszych rozdziałach Gawęła kroniki. Najzupełniejsze jój rękopisma: Sędziwoja z Czechelu i pergaminowy Zamojskich, kończą się na poddaniu się Nakła, przypadlém r. 1119, i wszelkie uboczne w téj kronice napomknięcia, nie wybiegają poza tenże rok 1119 (1). Słusznie więc zawnio-

(1) Pielgrzymka Krzywoustego do św. Idziego i do grobu św. Stefana w Węgrzech, tudzież do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie, zaszła wnet po oślepieniu Zbigniewa około roku 1116. Mamy na to wyraźne świadectwo Gawęła, który mówi, że Bolesława przyjmował ze czcią w swym kraju Koloman (str. 310), zmarły, jak wiadomo, roku 1118. (Chron. Poson. ap. Endlicheri Rer. Hung. Mon. str. 56). Prócz tego sam Gawęł mówiąc o pokucie Krzywoustego, zowie go jeszcze młodzianem (str. 308); jakoż około tego czasu miał Krzywousty niespełna lat 30. W dziesięć lat później zwać go *deliciosum juvenem* byłoby niedorzecznością. Długosz nie dał należytej baczości na słowa Gawęłowe; popełnił więc dwojaki błąd: każe bowiem Krzywoustemu podróżować do grobu św. Idziego we Francyi, gdy tymcza-

skować, że jakoś wkrótce po tym roku, zaskoczyła autora śmierć, która mu nie dozwoliła nietylko czyny dalsze Krzywoustego opisać, ale nadać nawet dziełu swemu pewne zaokrąglenie, bo rozdział ostatni urywa się nagle bez żadnego dobitniejszego przestanku.

sem Gawł mówi tylko: „ad s. Egidium” (str. 309), a wiemy, że sławne opactwo św. Idziego było i w Węgrzech, w Szimegu, założone przez króla Władysława (Mabillon V, 128). Drugi nierównie większy błąd popełnił Długosz kładąc tę pielgrzymkę do Węgier pod rokiem 1129, i wbrew świadectwu Gawła utrzymując, że nie Koloman, lecz Stefan przyjmował uroczyscie Krzywoustego w swym kraju. Naruszewicz jak zwykle tak i tu poszedł za Długoszem; nam wypada się trzymać w tej mierze Gawła nietylko społecznego, ale podobno naoczego nawet świadka owęj pielgrzymki, bo mówi: „Vidimus enim talem virum, tantum principem, tam deliciosum juvenem primam karinam jejunantem, assidue cinere et cilicio humi provolutum” i t. d. str. 308.

OŻENIE KRÓLA WUKASZINA.

(Z GMINNYCH POEZIJ SERBSKICH).

Pismo pisze król Wukaszin Żura,
W białym Skadrze nad rzeką Bojaną,
Posyła je do Wojwodowiny,
Do białego grodu Pirlitora (*),
Pirlitora, koło Durmitora,
Widosawie, Momezilowój żonie,
Tajnie pisze i tajnie posyła;
W piśmie zasie tak do niój przemawia:

— „Widosawo! żono Momezilowa!
Co tam robisz w swych lodach i śniegach?
Pogłądiesz-li z grodu ponad siebie,
Nic pięknego nie ujrzy twe oko,
Jeno białą górę Durmitora,
Wiecznie śniegiem i lodem pokrytą,
Wpóśród lata zarówno jak w zimie.
Pogłądiesz-li na dół z grodu swego,
Tam zmaćcona bieży rzeka Tara,
Rwąc kamienie nadbrzeżne i drzewa;
Na niój znikąd ni mostu, ni łodzi,
Wkoło same bory a skaliska.
Otruj oto wojwodę Momezila,
Bądź go otruj, bądź téż mnie go wydaj;
Sama przyjdź do mnie na przymorze,
Do białego Skadru nad Bojanę.
Za małżonkę wierną pojmęć sobie,
I panować będziesz tu królową:
Prząść jedwabie na złote wrzeciona,
Prząść jedwabie, na jedwabiach siadać,

(*) Ściany grodu tego dotąd jeszcze stoją.

W aksamitach, w drogich złotogłowiach,
 W szczerozłoty chodź będziesz strojach.
 A cudnyż to ten Skadr nad Bojana!
 Kiedy spojrzysz z grodu mego w górę,
 Wkoło wzgórza widać winogradem,
 Oliwami, figami porośle.
 Poglądniesz-li z grodu mego na dół,
 Tam dojrze wa bielutka pszenica,
 Przy niej łąka zalega kwiecista,
 Środkiem ciecze zielona Bojana:
 W niej się pławią wszelkie ryb rodzaje;
 Możesz jeść je, skoro wola twoja.”

Momezilowa pisanie przeczyta,
 I wnet drobny liścik odpisuje:

— „Panie mocny! Wukaszynie królu!
 Nie tak snadna rzecz wydać Momezila;
 Ani wydać, ni go otruć snadna.
 Jest u niego siostra Jewrosima,
 Ona jemu jedzenie gotuje,
 I kęs każdy przed nim pokosztuje.
 Jest u niego dziewięć rodnych braci,
 I po bracie najstarszym synowców
 Dwanaścioro;—ci mu wino leją,
 I z każdego przed nim kubka piją.
 Ma Momezilo konia Jabuczila (*),
 Jabuczila, konia skrzydlatego,
 Kędy zechce przelecić nim może.
 Ma Momezilo szablę uroczytą,
 Nie boi się nikogo, prócz Boga!
 Lecz słuchaj mnie, Wukaszynie królu!
 Zbierz ty tylko mocne wojsko sobie,
 I ku równém ciągnij z niem jeziorom,
 I za górą zasadź się zieloną.
 Momezilo ma zwyczaj osobliwy:
 Każde rano we świętą niedzielę!
 Wstawszy, jedzie na łów nad jeziora,
 Dziewięcioro biorąc z sobą braci,
 I po bracie synowców dwunastu,
 I czterdziestu towarzyszków z grodu.
 Gdy więc będzie niedziela przyjsć miała,
 Ja koniowi spalę jego skrzydła,
 Krwią zaś słoną namażę szablęcę,
 Że mu z pochwy wyciągnąć się nie da:
 Tak podolasz pokonać Momezila.”

(*) Jabuczil, tyle co jabłkowaty: koń bajeczny skrzydlaty; skrzydła jego przecie nie były zawsze widziane, jeno w pewnym czasie i potrzebie prędkiego lotu je rozwijał.

Kiedy króla dojdzie to pisanie,
 A przeczyta co w pisaniu stało,
 Wielce luba powieść mu to była.
 Wnet się zbiera mnogie wojsko mężne,
 Prowadzi je na Wojwodowinę,
 Przy zielonój zasadzi się górze.

W wieczór zasie przed świętą niedzielą,
 Wszedłszy Momezil do łożnicy swojej,
 Układnie się do miękkiej pościeli.
 Za niedługo przyjdzie żona młoda,
 Lecz do miękkiej nie chce ledz pościeli,
 Jeno w głowach mężowych łzy roni.
 Spyta się jój Momezil wojewoda:
 — „Widosawo! młoda żono moja!
 Jakaż ci to niedola tak sroga,
 Że u głów mych płaczesz łzy rzewnemi?”

Widosawa młoda odpowiada:
 — „Drogi panie! wojwodo Momezilu!
 Mnieć się żadna nia stała niedola,
 Lecz słyszałam-ci ja wieść o dziwie,
 Wieść słyszałam, wszak gom nie widziała,
 Jako ty masz konia Jabuczila,
 Jabuczila, konia skrzydlatego;
 Nie widziawszy zaś koniowych skrzydeł,
 Wierzyć w prawdę nie mogę powieści,
 A boję się, że cię stracić mogę.”

Mądrym słynął Momezil wojewoda,
 Słynął mądrym, przecć oszukać dał się,
 I małżonce pocznie rozpowiadać:
 — „Widosawo! wierna moja żono!
 Troskę twoję snadno uspokoję,
 Że koniowe widziéć możesz skrzydła.
 Skoro piérwsze zapieją koguty,
 Zszedłszy na dół, bież do nowój stajni;
 Wtedy skrzydła Jabuczil roztoczy,
 A tak snadno przyjrzyć im się możesz.”

Rzekłszy, legnie, a uśnie snem twardym.
 Śpi Momezilo, ale nie śpi żona,
 Jeno w miękkim łożu nasłuchuje,
 Piérwsze kury rychtoli zapieją?
 A jak skoro po piérwsze zapiąły,
 Mołodyca wyskoczy z pościeli,
 Ognia znieci i zapali świecę;

Weźmie z sobą łoju a tłustości,
I do nowój bieży prosto stajni.

Szczerą prawdę powiedział Momezilo:
Jabuczilo skrzydła swe roztoczył,
Aż mu zwisyły po same kopyta.
Tu mu ona skrzydła namazała,
Namazała łojem i tłustością,
Wreszcie świecą skrzydła zapaliła;
Tak spaliła skrzydła Jabuczila.
Co do szczętu ogniem nie zgorzało,
To popręgiem silnie skrępowała.

W też się tropy żenie do szatnicy,
Pochwyciła szablę Momezilową;
Jasny brzeszczot słoną krwią pordzawi,
Zaś do miękkiej ulegnie pościeli.

Skoro z jutrem zorza zaświtały,
Wstaje rano Momezil wojewoda,
I tak mówi k' żonie Widosawie:
— „Widosawo! wierna żono moja!
Dziś mi w nocy śnił się sen podziwny:
Że się mglista przywaliła chmura,
Od przekłętój ziemi Wasosewy,
I legnęła kołem Durmitora.
Przez tę chmurę ja się przedzierałem,
Z miłych braci moich dziewięciorgiem,
I z dwunastu po bracie synowcy,
I z czterdziestą towarzyszy z grodu.
W tej mgle, droga! rozłączyliśmy się;
Rozłączywszy, nie znašli się więcéj.
Bóg wie—nic to dobrego nie wróży!”

Widosawa, żona jego na to:
— „Nie lękaj się hospodzie mój drogi!
Bohatyru dobremu, sen wszelki
Dobre niesie. Sen mara, Bóg wiara.”

Wybrawszy się Momezil wojewoda,
Zstąpi z białej wieży swojej, na dół,
Gdzie go dziewięć lubych czeka braci,
I po bracie synowców dwunastu,
I czterdziestu towarzyszy z grodu.
Żona sama konia przyprawadza.
Tak na dzielne siędą wszyscy konie,
I odjadą na łów ku jeziorom.

Kiedy byli gładkich jezior blisko,
 Silne wojsko zewsząd ich oskoczy.
 Skoro wojsko ujrzawszy, Momezilo
 Za swą szablę chwyci się do boku;
 Ale darmo! wyciągnąć nie może,
 Jakby była do pochw przyrosła.
 Tu zawoła Momezil wojewoda:
 — „Słyszycie-li bracia moi drodzy!
 Zdradziła mnie suka Widosawa!
 Dajcie mi-no szablę co najlepszą.”

Bracia prędko szablę mu podali,
 Podali mu szablę co najlepszą.
 Momezil zasie tak do braci rzecze:
 — „Słyszycie-li bracia moi drodzy!
 Wy uderzcie na wojsko po skrzydłach,
 Ja sam wojsku do środka uderzę.”

Miły Boże! byłoż to tu dziwu!
 Byłoż komu popatrzeć się na co!
 Jako siecze Momezil wojewoda,
 Rąbiąc sobie drogę popod górę.
 Koń Jabuczil więcéj jeszcze zwali,
 Niż Momezilo ostrą szablą zetnie.
 Aż wtém srogi cios na niego spadnie:
 Gdy się zwracał ku Pirlitorowi,
 Dziewięć wronych drogę mu zabiegło,
 Ale brata na nich ni jednego!.....

To gdy ujrzy wojewoda Momezilo,
 Żał mu ściśnie bohaterskie serce,
 Żał okrutny po rodzonej braci.
 Z żalu białe omdlały mu ręce,
 Że już więcéj szablą ciąć nie może.
 Nagli tedy konia Jabuczila,
 Biję nogą i ostrogą bodzie,
 By z nim leciał na gród Pirlitora.
 Lecz Jabuczil polecieć nie może.
 Wojewoda Momezil kląć nań pocznie:
 — „Niech cię wilcy pożrą, Jabuczilu!
 Żartem dotąd zawzdyśmy latali,
 Bez potrzeby, jeno ze swywoli;
 Dziś w potrzebie polecieć mi nie chcesz.”

Lecz Jabuczil rzeniem odpowiada:
 — „Mój hospodzie! wojewodo Momezilu!
 Ani klnij mnie, ani bódź mnie próżno;

Dziś ja z tobą polecieć nie mogę:
 Bodaj zabił Bóg twą Widosawę!
 Ona skrzydła mi moje spaliła,
 A co ogień do szczytu nie spalił,
 To poprzęciem silnie skępowała.
 Sam radź sobie, kędybyś ujsć zdołał!”

To słyszący wojewoda Momezilo,
 Łzami zalał bohaterskie lice:
 Skoczył z konia swego Jabuczila,
 Trzykroć skoczył, do grodu doskoczył,
 Lecz zawarte znalazł grodu wrota,
 A zaparte zapory silnemi.

Tu się w krutój widząc Momezil doli,
 Wołać pocznie k' siostrze Jewrosimie:
 — „Jewrosimo! miła siostrzo moja!
 Puść mi z muru na dół sztukę płótna,
 Żebym po niém mógł się na gród dostać.”

Siostra z płaczem bratu odpowiada:
 — „O mój bracie! wojewodo Momezilu!
 Jakże ja ci z muru płótno spuszczę,
 Gdy mi żona twoja Widosawa,
 Ma bratowa, twoja niewiernica,
 Kołem kłody włosy obwiązała.”

Wszakże siostra serca litośnego,
 Użali się brata rodzonego:
 Zasyczała jak gad rozdrażniony,
 I ze wszystkiój targnie głową mocy,
 Aż wytargła wszystkie włosy z głowy,
 Kołem kłody zosta wiła włosy;
 Sama sztukę płótna pochwyciła,
 Koniec trzyma, koniec na dół spuści.

Momezilo się sztuki płótna imie,
 I po płótnie na mur grodu pnie się.
 Już mu tylko na mur było wskoczyć,
 Gdy niewierna nadbieżala żona,
 W rękę szablę niosąc wyostrzoną;
 I nad dłońmi płótno mu przekroi.

Tak Momezilo z szczytu murów spadnie!
 Spadnie na dół, królewskim wojakom,
 Na ich miecze, na kopije wysokie,
 Na oszczepy, a na buzdygany.

Wtém téz sam król Wukaszin nadbieży:
 Ostrą kopiją swą w niego uderzy,
 Przebodzie mu nawskróś żywe serce.

Tu przemówi Momezil wojewoda:
 — „Odpuszczam ci, Wukaszynie królu!
 Lecz ty nie ślub sobie Widosawy,
 Widosawy mojej niewiernice;
 Bo i ciebie jak mnie ona zgubi.
 Jako mnie dziś dla ciebie zdradziła,
 Dla drugiego jutro ciebie zdradzi.
 Pojmij oto siostrę moję miłą,
 Moję siostrę miłą Jewrosimę,
 Mnie równego porodzi ci syna.”

Tak przemawia Momezil wojewoda.
 Gdy tak rzeka, życie zeń ucieka,
 Mówić skończy, z duszą się rozłączy.
 Skoro skołał Momezil wojewoda,
 Otwarty się oścież grodu wrota,
 Widosawa, zdrajczyni wychodzi,
 Wukaszinu królowi naprzeciw.
 Zawiedzie go do grodu białego,
 Posadzi go poza stół złocisty,
 Częstuje go winem a gorzałką,
 A wszelkimi łąkoćmi pańskimi.

Potém zaś idzie do szatnicy,
 Wynosi mu szaty Momezilowe,
 Momezilowe szaty i oręż.
 A tu, patrzcie dziwu niezwykłego!
 Co Momezilu po kolana było,
 Wukaszinu po ziemi się wlecze;
 Co Momezilu słuszny kołpak bywał,
 Wukaszinu na ramiona spada;
 Co Momezilu ciasne skórznie były,
 Do jednego król nóg obie wzuje;
 Co Momezilów złoty pierścień bywał,
 Wukaszin weń troje palców włoży;
 Co Momezilu krótka szabla była,
 Poza królem na łokieć się włóczy;
 Co Momezilu ładownica była,
 Król się pod nią ledwie dźwignąć może.

Tu zawoła król Wukaszin Żura:
 — „Biada-że mi! przez żywego Boga!
 O ta żmija! młoda Widosawa,

Takiego jój zdradzić bohatera!
 Jakiego dziś nie ma więcej w świecie:
 Aż jutro mnie równie nie zdradzi?"

Zawoła zatém wierne swoje sługi,
 Ci obmierzłą chwycą Widosawę,
 Przywiążą ją koniom do ogonów,
 Rozegnają konie popod grodem:
 Tak ją konie żywo roztargały.

Król wziął wszystek Momezilów dostatek,
 Wziął téż z sobą siostrę Momezilową,
 Krasną dziewczkę mianem Jewrosimę;
 Do Skadru ją zawiodł nad Bojanę,
 I owieńczył (*) za małżonkę sobie:
 Piękny ród z téj Jewrosimy spłodził,
 Spłodził syny: Marka i Andrzeja.
 Marko (**) się zaś udał całe w wuja,
 W wuja swego, wojwodę Momezila.

(*) Przy zaślubinach wschodniego obrzędu, zamiana wieńców zastępuje zamianę pierścieni, u nas zwykłą.

(**) Ten to Marko stał się potem głośnym w poezyi serbskiej bohaterem, *Kraliewiczem Markiem* zwanym.



MAUROWIE

NIEGDYŚ W HISZPANII, A DZIŚ W AFRYCE.

PRZEZ AUTORA:

O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d.

(Ciąg dalszy).

V.

Sewilla. Kordoba.

Quien no ha visto Sevilla, no ha visto maravilla, (kto nie widział Sewilli, nigdy nie widział cudu), mówi Hiszpan w jakiegokolwiek bądź części swego rozległego i pięknego kraju zrodzony; i każdy cudzoziemiec, Anglik nawet dumny i uprzedzony, nie spuszcza-
jący nigdy swój maxymy *nil admirari* z oka; każdy cudzoziemiec zdolny uczuć ducha téj poetycznej atmosfery, razem z Hiszpanem sła-
wić będzie uroki tego cudownego miasta. Lecz nie w niém cel, ani téż koniec naszych wędrówek;—wiele nam jeszcze nale-
ży przebiez miejsc, wiele znieść trudów, by nareszcie stanąć u kresu i wyznać z pokorą: że najlepiej nie opuszczać nigdy ro-
dzinnej zagrody, i przeżyć razem z swemi wszystkie złe i dobre czasy żywota ziemskiego.

Lecz już znamy Sewillę; podziwialiśmy jój muzeum, jój katedrę i gród maurytański górujący nad miastem, i wieżę wznoszącą się ku niebu.

Jeden tylko pominęliśmy przybytek bardzo ważny.

Może pałac inkwizycyi, leżący z drugiej strony Guadalkwiru na przedmieściu zwaném Itálica?

Oh nie! nie wskrzeszajmy jój, niech sobie leży w swym czar-
nym grobie nazawsze pogrzebiona. Nie zostawiła ona żadnych
miłych wspomnień ani pamiątek po sobie. Ale wskrzesimy na
chwilę pamięć innój istoty: istoty, której osobistość przedsta-
wiana na ziemi nieraz nas zajmowała, nieraz rozśmieszała, ale
niestety! rzadziej może zgorzyla.

W jednej z odległych części miasta stoi od ośmiu wieków
mały, ale piękny kościół *de la Caridad*, a przy nim klasztor zamie-
szkały przez siostry miłosierdzia.

W kościele tym wiele wspaniałych pomników, uwieczniają-
cych pamięć rycerzy i bohaterów. Ale tuż pod chórem zakonnic,
zastanowił nas pomnik z białego kararyjskiego marmuru; pomnik
skromny z pierwszego wejrzenia, ale wykwintny gdy mu się zbli-
żka przypatrzysz. Ciągła siatka arabesków przeplatana kwiat-
kami. Anioł płacząc rzewnymi łzami, obejmuje urnę jedną rą-
czką, a w drugiej trzyma zgaszoną pochodnię.

To zapewnie jakiś pięknej damie, zmarłej w kwiecie wie-
ku, postawiono ten ładny i prawdziwie paniński pomnik—mó-
wiłem do siebie samego zbliżając się tragicznym krokiem wolno
ku chórowi.

Ale nie! to nie dama tu spoczywa, to mężczyzna. Taki na-
pis na pomniku:

*Aquí en la esperanza de una dichosa resurreccion duerme el cu-
erpo de Don Juan de Tenorio hidalgo Castellano i Caballero de Sant
Jago de Compostella. Una muerte exemplar merece el pardon por una
vida llena de pecados (1).*

Kto był ten Don Juan de Tenorio?

Wielkim grzesznikiem, doprawdy bardzo wielkim był ów
Don Juan; wszakże to ten sam, którego Mozart swą operą uwie-
cznił, i na końcu opery do piekieł wysłał. Ale wielki bałamut
nie zaszedł tam tak prędko, jak go wypadało kompozytorowi, dla
swego pięknego, setce wzruszającego finału, wysłać. Owszem
bałamut żył, doczekał się późnej starości, pędząc życie jak najroz-

(1) Tu śpi w nadziei szczęśliwego zmartwychwstania ciało Don Jua-
na de Tenorio, szlachcica kastylijskiego i kawalera św. Jákóba z Com-
postelli. Przykładna śmierć zasługuje na przebaczenie za grzeszne życie.

koszniejsze; a jak go wszystkie opuściły nałogi, wówczas oddał się skrusze i umarł, nie zostawiając ani grosza na pogrzeb, prosząc, żeby go choć pod ścieżką do klasztoru wiodącą pochowano.

„Niech choć nogi bogobojnych Sewillanek grób mój błogosławia!” mówił stary Don Juan oddając ducha.

A poczciwe siostry, chociaż dobrze wiedziały co sumienny Leporello o swym panu wygadał, poczciwe siostry dały się przebłagać tym wielkim dowodem zaufania i wiary: nabalsamowały starego grzesznika, pochowały go jak najokazaléj, wzniosły mu śliczny pomnik, i na wieczne czasy msze zakupiły.

Tak się szlachetnie, litościwie obeszły poczciwe siostry z tym bałamutem, którego sławą tętnią i długo jeszcze tętnić będą wszystkie teatra świata.

Dobrze jest mieć dowcip i w chwili śmierci; ale że trudno jest mieć dowcip każdemu, nawet w chwilach życia: nie radziłbym zatem i najmniejszemu Don Juanowi, uciekać się do podobnych środków dla zabezpieczenia sobie pogrzebu i grobu.

Już czas pożegnać lubą Sewillę, i puścić się w dalszą podróż. Idę tedy do hotelu po mego Pegaza, który mi tymczasem zjadł kilkanaście snopków ambrozji i tyleż garnce nektaru; siodłam go i wyprowadzam na ulicę. Pegaz kopytem w ziemię uderzył, aż jęły dzwony na wieżach Sewilli, rozdarł powietrze swemi skrzydłami, i już jesteśmy ponad obłokami: „Do Kordoby!” zawołałem, i ku wschodowi bieżymy.

I na najpogodniejszym niebie bywają czasem chmury, i słońce zaćmi się niekiedy łzami. My tego doświadczyli w naszej podróży. Powietrze im jest czystsze, tém mniej chce być winne ziemi, i oddaje jéj w kroplach co pożyczyło w niewidzialnym pyle. Deszcz nas bił rżęsiły i przemókł mię do nitki.

— Zdałby się dobry deszczochron—mówię do Pegaza. A on z oburzeniem odpowiedział mi:—Deszczochron? masz tedy! chyba chcesz wyglądać jak angielski generał na paradzie. Takiemi jesteście, o niewdzięczni śmiertelni! Wzdychacie do balonów, a gdy je raz mieć będziecie, chcielibyście zakładać hotele, bilardy i teatra zawieszane na kotwicach w powietrzu. Gdy raz się wzniesiecie talentem lub téż przypadkiem ponad poziom ziemi, zaraz wam tęskno do wygod poziomych: i niknie boskie natchnienie w gorących pożądliwościach ciała, tak, jak się wosk roztopia w skrzydłach Ikaryusza. Oh człowiecze! bądź zadowolonym z twego położenia! Może zazdrościsz tym podróżnym, któ-

rzy wloką się w owym ciężkim dylizansie na podnózu góry. Konduktor nie pytając ani o prawo, ani o przepisy, a korzystając z próżnych żołądków hiszpańskich, napchał swój dylizans tyloma passażerami, ile ich się tylko zmieścić mogło. Patrz, co się dzieje w tej beczce śledzi! Jeden siedzi na drugim, nudziarz opowiada długie historye, ciekawiec pyta się nietościwie każdego o to i o owo; tamta jęczy, żali się na ból zębów i okien otwierać nie pozwala; ów oficer ćmi najszkaradniejsze cygara, jakie tylko fabryki hiszpańskie wydać mogą; tamta znów zasypia, przechyla swą głowę na prawo i na lewo, i raz uderzy w nos sąsiada, drugi raz brwi sobie sparzy cygarem oficera. Ani nóg wyciągnąć, ani ramion rozprzecz; spać ani sposób. A cóż, zazdrościsz tym podróżnym? Do tego wszystkiego miesza się obawa spotkania rozbójników, których tu mnóstwo na drodze; to klassyczny grunt bandytów. Dalibóg człowiecze, bądź kontent, że na mym grzbiecie siedzisz, i nie myśl o deszczochronie, choćbyś przemókł jak gąbka!

— Będę się starał nie myśleć o deszczochronie, choć mi woda spływa strugami po ciele; jeżeli jednak o nim pomyślę, racz mi wybaczyć, o dobry, wyrozumiały Pegazie! wszakże wiesz, że myśl nie jest utworem umyślnym ludzkiej głowy, lecz konieczną córką potrzeby, więc nie łaj mnie za mą myśl, choć ci ją bez ogródki powierzę.

— Biędni ludzie, biędni ludzie!—rzekł do siebie mój dobry Pegaz.—Prawda, ani za myśl, ani za zwierzenie się z nią, na ludzi gniewaćbym się nie powinien. Myślami otacza się człowiek, tak, jak swemi naturalnemi sprzymierzeńcami; myślami chce przewidzieć i zwalczyć wszystkie nań godzące niebezpieczeństwa; jakżeż można potępić za myśli człowieka, który w czynie pokazuje się przyjacielem swych bliźnich?

Tak sobie mówił sam do siebie Pegaz; uderzył w skrzydła zmoczone wodą, i uniósł mnie w najwyższe sfery firmamentu, tam, gdzie nie było ani chmur, ani obłoków, ni deszczu, ni burzy, ani téż widoku ziemi; tam, gdzie jednostajna panuje spokojność, i błoga ogarnia serdeczność.

Któryż człowiek w swém życiu nie doświadczył tego uczucia? któryż człowiek nie przeczuł choć raz jeden możliwości szczęścia bez chmur i bez końca? Tylko dla jednego przeminęły te chwile bez skutku i bez postanowień; drugim nadały niezwalczoną sympatyą dla wszystkiego, co jest dobrém i piękném, a niezwalczoną antypatyą dla złego i brzydkiego; innym jeszcze, szczęśli-

wszym, powinny były wszczepić miłość dla dobrego, a chrześcijańskie pobłażanie dla złego.

Życie nasze jest tak krótkiem, a nienawiść, żeby była według rozumu naszego najwięcej usprawiedliwioną, zawsze jest trującą życie własne, a życiu innych może mniej pomocną, jak raczej szkodliwą!

Poddajemy się jednakże natchnieniom złości, częściej może, jak natchnieniom dobroci; poddajemy się im wtenczas nawet, gdy położenie nasze stawia nas w możności zwalczenia chwilowych popędów naszej przyrody.

Wpóśród żyznej okolicy, otoczone gaikami oliwnemi, wznosi się na kilku pagórkach powabne, świeże miasto, a nad niém góruje stary gród Maurów, którego potężne, czarne, brzozą uwieńczone wieże, chmury w biegu zatrzymują. To Carmona, dawna Carmo Rzymian. Dwie jeszcze okazałe po niej pozostały bramy; muszą być piękne, kiedy znalazły łaskę u Maurów. Do jakiegoś wysokiego, rzeźbą ozdobionego domu cisną się tłumy. To nowo wykończony teatr. Jakto? w mieście zaledwie 13,000 ludności liczącem stawiają teatr, i to podczas wojny, gdy nieprzyjaciel domowy stokroć straszniejszy od obcego kraj zalewa? A przecież *silent musae inter arma*, mówi stare przysłowie.

Tak nie jest w Hiszpanii. Tu bardzo głośno muzy nigdy nie gadają, ale i w czasie wojny mówić nie przestają. Wojna nie wyczerpuje nigdy wszystkich sił narodu nieoddającego się obżarstwu, pijaństwu i kartom: tym niewinnym nałogom tępiącym umysł, serce i czynność ludzi.

Stary zamek Maurów czuwa nad tobą Carmono, i przypomina ci, że kiedyś byłaś stolicą potężnego bejliku, w którym odbywały się sławne na świat cały turnieje.

Lśni się na murawie i mruczy po okrągłych kamyczkach srebrny strumyk, nareszcie rozacza swe wody po płaskiej, skalistej dolinie. Nikt tu nie mieszka prócz karłowatych palm, chylących spiekle swe głowy ku rzeczce.

Już tu nie dochodzą chłodne powiewy morskie; nieznośne dokuczają nam gorąco; bujamy nad miastem Ecija, dawnym rzymskim Astigsi, znanym powszechnie pod nazwiskiem: *el sarten de Andalucia* (patelnią Andaluzji.)

Za Maurów były tu sławne artezyjskie studnie, wyświdrowane wielkim kosztem w twardej opoce. Ale dawni panowie

Hiszpanii przymuszeni z niej uchodzić, zarzucili te studnie głazami. Późniejsi panowie tak mało dbali o dobro kraju, że nawet glazów wydobyć nie rozkazali.

W bliskości Ecigi mieszka liczne plemię Morogotów, to jest potomków owych Gotów, którzy po wkroczeniu Maurów do Hiszpanii, wiarę Mahometa przyjęli, później zaś po wypędzeniu Maurów, znów na łono chrystyanizmu wrócili. Za tę zmienność swych przodków do dziś dnia odpowiadają Morogoci ogólném, w całej Hiszpanii doświadczaném potępieniem. Hiszpanka wolałaby zostać niewolnicą Maura, jak pójść za Morogota, choćby najmniejszego, a Hiszpan nie spowiada się, gdy go zabije: za grzech to wcale nie uważa. A jednakże ci potępieni są ucziwami ludźmi, rzetelność ich w przysłowie wesza; tylko wzrosłszy od tylu pokoleń w prześladowaniu, szczególny sobie wyrobili charakter: stali się chciwymi i nieufnymi jak nasi żydzi. Z innych względów mniej są do nich podobnymi: odważni, dumni bez chępliwości, surowi względem innych i względem siebie samych; noszą znamię swego wyjątkowego charakteru na swych grubych rysach twarzy i swych atletycznych postaciach. Kobięty ich również silnie trudnią się uprawą roli, a oni sami przewożeniem towarów z jednego końca Hiszpanii na drugi. Ubiór ich przypomina Maurów. Noszą niezmiernie szerokie, ledwo do kolan spadające spodnie, pas z całym arsenałem pistoletów i noży, przytém lejbik w arabeski wyszywany, i czapki zwane *montero* kształtu turbana.

Jest coś nieubłaganie srogiego w tój zemście, wywieranój na Morogotach za to, że ich przodkowie byli przed czterema wiekami Mahometanami. W naszym kraju nie mamy na szczęście ani wyobrażenia o podobnej nietolerancji.

Już ostatnie pasmo gór przebyte, pod naszymi stopami rozpościera się zielona dolina, drzewami oliwnymi umajona; błyszczą na ciemném tle szerokie zwierciadła Guadalkwiwuru, jak ocean żywego srebra. Z drugiej strony rozwijają się żółtawe błonia Campiny, to jest płaskiego lądu prowincji korduańskiej i łączą się od południa z szarym, zamglonym widnokregiem. Od wschodu i północy piętrzy się bałwaniste pasmo Sierry Moreny, tém ciemniejsze, im więcej od nas odległe. Tam leży na podnożu gór Kordoba, miasto kalifów, niegdyś tak świetne, tak dumne. Błyszcza w świetle księżyca liczne wieże, a ogromny meczet Abd-er-Hammana cięży swą olbrzymią masą na znękanój ziemi i zdumiewa oko podróżnego. Lecz znów się zapada miasto za

pagórkami, pomiędzy któremi wije się nasza droga. Niezliczone mnóstwo willi ozdobionych gankami, marmurowemi słupami podpartemi, niezliczone mnóstwo lasków i ogrodów poprzedza miasto. To są mieszkania letnie bogatych Korduańczyków. Potém długie ciągnie się przedmieście: wiele w niem ruchu i życia, chmary ludu poruszają się z miejsca na miejsce. Każdy wnosząc z tego co widzi, obiecuje sobie, że ujrzy za chwilę ludne, możne, handlem ożywione miasto. Już i brama wysoka, okazała, i na nięj wyryte pod herbem szlchetnego miasta następujące godło herbowe:

„Cordoba, casa de guèrrera gente,
Y de sabiduria clara fuente.”

Co znaczy:

„Kordoba, ojczyzna rycerskiej ludności,
I czyste źródło wszystkich wiadomości.”

Ale jakież nas przykre czeka odczarowanie! Właściwe miasto smutne jest i opuszczone; nie masz w niem ani sklepów, ani rzemieślników, ani gwaru ludzi, ani życia. Smutnie tętnią dyżizanse na tym bruku trawą porośłym, pomiędzy temi wysokimi domami z wybitemi lub papierem zalepionemi oknami.

Smutno się spogląda na nas zpoza swego płaszcza wysoki Korduańczyk swemi czarnemi długimi oczyma, zdaje się do nas przemawiać ponurym głosem: „Wy tu przybyliście do méj ojczyzny z tak wielkim zasobem ciekawości, ale nie zapominajcie, bo to, co nasz rodak Lopez de Vega powiedział wieszczym duchem o kwiatach:

„A prended flores de mi,
Lo que va de ayer a hoy!
Ayer maravilla fui,
Hoy sombra mia no soy.”

Nauczcie się kwiaty odemnie,
Zmiany od dnia wczorajszego do dzisiejszego;
Wczoraj byłam ubóstwianą,
Dziś nawet cień mój nie pozostał.

to do naszego stosuje się miasto.

Nie masz w świecie całym miejsca noszącego smutniejsze ślady upadku i zniszczenia. Tyle innych miast pochłonęły żywioły, zalały hordy barbarzyńców, zniszczyły trzęsienia ziemi; widok ich ruin sprawia boleść, ale nie rozdziera tak serce, jak widok świetnej Kordoby, której szatany zniszczenia nigdy nie nawiedzili, ale z której jednego razu ustępować zaczęło życie, jak nieraz ustępuje z ciała pięknej młodej kobiety, której już nie zdrowia przywrócić nie zdoła, która musi umrzeć na wolną, ale nieochybną konsumpcją.

Kto tu uwierzyć zechce, patrząc na te próżne place, na te zasypane dziedzińce, na te ogrody w których gady panują, a so-

wy się rozgościły; kto tu uwierzyć zechce, patrząc na zaniedbane suknie wysokich i bladych Korduanek, że Kordoba liczyła kiedyś milion mieszkańców, że jój obwód miał siedm mil długości, że jój bogactwo i przepych przewyższyły wszystko, co tylko bujna wschodnia wyobraźnia wymyślić zdoła?

Tu w Kordobie stał ów na cały świat sławny *Azzahra*, pałac zbudowany przez Abderhammana III dla jednej z swych żon, dla téj, którą najwięcej kochał. Przytoczę słowa arabskiego kronikarza: „Pałac zwany *Azzahra* wznosił się zpośrodku niezliczonego mnóstwa budynków, które wszystkie do rezydencyi *Zahry*, żony kalifa, należały. Dziennie do 10,000 ludzi zatrudnionych było budowaniem, 1500 mułów, 400 wielbłądów i 200 słoni zносиło ciągle materiały do budowli. Spotrzebowano dziennie 6,000 kamieni ciosowych, prócz nieciosanych, których ilości obliczyć nie można. Kolumn marmurowych 4,312 dźwigało sklepienia: wszystkie były lazurem i złotem powleczone, bogatą rzeźbiarską robotą ozdobione. Prócz cedrowego, żadne inne drzewo nie wchodziło w skład budynku. Sala kalifa cała była z porfiru, a ściany jój i sufit wysadzono arabeskami z dyamentów, szmaragdów i pereł. W środku téj sali znajdowała się fontanna, z ogromną misą jaspisową, a dno jój wyłożono drogiemi kamieniami, naśladującemi dno naturalnych źródeł”.

„Dwadzieścia zwierząt drapieżnych, z szczerego złota lanych, a naturalnej wielkości pilnowało téj krynicy; z nozdrzy tych zwierząt wytryskała najczystsza woda w jaspisową misę. Na zwierciadle fontanny pływały złote łabędzie, a nad niemi wisiała, przyczepiona do sufitu, owa perła bajecznej wielkości, którą cesarz grecki *Leon* przysłał w darze korduańskiemu kalifowi”.

„Również pięknie ozdobione były i inne podwoje. Wszędzie obicia z Damaszku, kobierce z Persyi, złoto na najrozmaitszy sposób przerabiane: młotkowane, dłutowane, bite i kręcone, a przytém różne przybierające kolory. Wszędzie kwiaty i owoce z mozajki tak piękne, że się motyle i ptaszki do nich zlatywały, a same motyle i ptaki z mozajki tak naturalne, że się zdawały trzepotać skrzydełkami i śpiewać”.

„Tu się znajdowała i mennica kalifa. Trzydzieści stęplów złoto bijących w ciągłej było robocie. Koszar było 20 dla samej gwardyi przybocznej, z 15,000 jeźdźców złożonej; pałace z najpyszniejszymi łazienkami i ogrodami”.

„Szczęśliwi tego raju mieszkańcy przechadzali się pod cieniem altan, albo téż wozili się po jeziorze, którego woda napawana

wonią najrzadszych kwiatów, zdawała się być perfumowaną. Mi-ryady zagranicznych zwierząt i ptaków ożywiały płasami i śpiewem owe szpalery, błonia i drzewa“.

„ Wpółrodku tych ogrodów wznosił się pawilon kalifa. Sufit jego i ściany zdobiły szczerozłote, dyamentami wysadzone zwierciadła. Olbrzymia muszla z porfiru stała w środku głównej sali: była ona napelnioną żywem srebrem, w ciągłym ruchu zostającym. Fontanna ta metalowa ulubioną była zabawką Abderhammana. W tém miejscu przyjmował gości odwiedzających go po raz pierwszy. Lubił im robić niespodziankę w ten sposób, że na znak dany otwierały się podwoje, dach zlatywał, promienie słońca wpadając strumieniami na ściany, odbijały się po milion razy na powierzchni polerowanej złota i drogich kamieni, i raziły swym blaskiem jak błyskawice; a padając na stumanioną powierzchnię żywego srebra tak oślepiającym blaskiem świeciły, że wszystko zdawało się być w płomieniach. Goście truchleli na ten niespodziany widok, a ich przestkach był źródłem rozkoszy dla wielkiego kalifa.”

Tyle jest słów sławnego filozofa i historyografa Averroes, żyjącego za panowania Abderhammana przy dworze korduańskim, a później prześladowanego za swe liberalne opinie przez imanów i ulemów, i zmuszonego do ucieczki do Maroko, gdzie umarł wielkim dygnitarzem 1198 roku. Temuż samemu Averroes świat winien, że dziś zna Arystotelesa; on bowiem z zapomnienia wydobyl jedyne kompletne rękopism tego filozofa, i ogłosił go wraz z swym własnym komentarzem, dziś jeszcze za dzieło klasyczne uważanym. W swęj filozofii Ibn-Rochd-Averhoes połączył doktrynę Arystotelesa z doktryną Alexandryczyków, i uznawał istność emanacyi ducha, nawet istność ogólnej uosobionej idei, rozlanej na świat cały, a przejmującej z zewnątrz z makrokosmu istotę ludzką. Razem z Platonem jednakże, dzielił pod względem rozumu dusze ludzkie na dwie ważne kategorie: 1) na dusze ludzi, którzy tylko w ślepej wierze rozkosze umysłowe czerpać winny i szczęście znaleźć mogą; 2) na dusze ludzi, którym dozwolonym być winien wolny rozbiór kwestyj wiary dotyczących. Pędzłem godnym Lavatera opisał charaktery znamionujące jednych i drugich, i wytknął ulemom i imanom drogę, według której mają rozsądzać sprawy prawodawcze, przestępstwa religijne i urzadzania pedagogiczne, jeśli chcą postępować zgodnie

z naturą człowieka i zdrową filozofią. Wyszły one w Wenecyi roku 1595, in folio, w łacińskim języku, i od tego czasu przetłumaczone zostały kilkakrotnie na język angielski, francuzki, niemiecki, a nawet i włoski.

Historya zna, dzięki wspomnianemu filozofowi i kilku innym współczesnym kronikarzom, cały bieg życia wielkiego kalifa Abderhammana IIIgo, i upewnia nas, że nietylko był wykwiintnym i pełnym rycerskiej grzeczności monarchą, ale nawet sławnym wojownikiem, mądrym politykiem, człowiekiem, którego serce i gieniusz sięgały poza swe wieki. Gardził przesądami Mahometanów, zakazujących wyobrażeń ludzkiej postaci, jako rzeczy prowadzących do bałwochwalstwa; wyraźnie protegował obrządek katolicki, pozwalając chrześcianom pod swém berłem żyjącym wszelkiej wolności religijnej, i wszelkich przywilejów osobnego sądownictwa.

Mieli wówczas chrześcianie swych księży, biskupów i arcybiskupów; wolno im było dzwonić w dzwony nietylko na prowincyi, lecz nawet w samej rezydencyi kalifa, a nawet odbywać processye po wszystkich ulicach, wyjąwszy ulice, na których stały meczety. Jedném słowem, pod panowaniem Maurów w XIym wieku katolicy doświadczali większych przywilejów, niż dziś w Anglii.

Pod pięćdziesięcioletniem panowaniem Abderhammana IIIgo, Kordoba wzrosła w niesłychaną potęgę. To miasto stało się słońcem, którego promienie rozgrzewały wszystkie uniwersytety świata: sięgały do Alexandryi, do Konstantynopola, do Salerny i do Montpellier, mojej *alma mater*. Akademia korduańska tak była sławną, że monarchowie chrześciańscy wysyłali do niej swych synów na wychowanie. Język arabski stał się językiem niezbędnie potrzebnym nietylko dla uczonych, ale nawet dla wszystkich wyżej wykształconych kawalerów. Abu-Ibn-Sina znany powszechnie pod nazwiskiem Avicenna, Arab urodzony w Persyi, założył jeszcze przed Abderhammanem fakultet medyczny w Kordobie roku 1012; fakultet ten stał się matką wielu innych w chrześciańskich krajach. Avicenna pomimo że był skorym do awantur i do rozpusty, umiał pracować z niesłychaną usilnością. My lekarze, winniśmy bardzo wiele temu Hippokratesowi arabskiemu, który zebrał rozrzucone po świecie i zapomniane dzieła ojca medycyny Hippokratesa z Kos, Galena i Celsyusza Aureliana. I filozofia wiele mu winna. Avicenna napisał dzieło pod tytułem:

metafizyka czyli Filozofia pierwsza, które podczas kilku wieków służyło za podstawę filozofii nauczanej w Azji i w Europie, i dziś jeszcze zaszczytnie jest wspominanem przez niemieckich i francuzkich ideologów.

Ale już wprzódyy Mohammed-Abu-bekr-Ibn-Zakaria, znany światu pod nazwiskiem Rhazes, lekarz bagdadski, odwiedził Kordobę i w niej zorganizował zarodek późniejszej akademii lekarskiej. Napisał on do trzydziestu grubych tomów o higienie i sztuce lekarskiej. Księga jego o ospie i odrze, do dziś dnia bardzo jest poważaną.

Muzyka słynęła w Kordobie, wraz z innemi sztukami pięknemi. Konserwatorium tutejsze, już wówczas zwane szkołą wyższą muzyki, wydało sławnego Muzali, uważanego jeszcze dzisiaj za jednego z największych znawców fizyki i mechaniki chromatycznej.

Biblioteka kalifa korduańskiego zawierała za Abderhammana IIIgo 600,000 tomów. Szkół bezpłatnych było wówczas w Kordobie 83; w wielu z nich sposobiono się na hydraulików, geometrów, budowniczych, a mianowicie na fabrykantów zbroi i broni. Klingi korduańskie słynęły kiedyś jak dziś damasceńskie lub toledańskie.

I cóż dziś pozostało, coby świadczyło o świetnej przeszłości tego miasta?

Z sławnego zamku Azzahra ani śladu; tylko tu i owdzie rolnik kopiąc ziemię, wydzwignie lemieszem kawał złoconego marmuru, porfiru lub jaspisu. Zresztą stoi jeszcze w swém miejscu stary gród królów zakopcony, czarny, pomiędzy jaśminem, bluszczem i aloesami, tak, jak pajak osiadły na kwiecie.

Ale nie! bądźmy sprawiedliwemi; Kordoba zawiera dziś jeszcze w swych zaniedbanych murach jedno z najpyszniejszych arcydzieł architektury, jakie gdziekolwiek w starych lub nowszych czasach, praca ludzka i cierpliwość wzniosły.

Któż nie słyszał o sławnym meczecie Kordoby, służącym od sześciu wieków za kościół chrześcijański?

Obudowany naokoło domami, tak, jak kościół śgo Pawła w Londynie, trudno zrazu wynaléć ów starodawny zabytek świetnych czasów Kordoby, niesposób objąć go zblizka jednym rzutem oka. Budowla to imponująca swym ogromem, ale z zewnątrz nie oczaruje cię pięknoscią kształtów. Wysokie mury, których szczyty wykrojone w sposób staro-teutoński w zębate flerony, przedarte są tu i owdzie oknami, misternie w podkowy

wykrojonemi. Ale to wszystko spoczywa na podstawie 360,000 stóp kwadratowych zajmującej. Proszę sobie wystawić budowlę wzniesioną w kwadrat, którego boki mają sześćset stóp długości. Na wschodniej połowie gmachu wznosi się wysoka kopuła i potężna w niebo sięgająca wieża ponad chórem katolickim, wbudowanym w meczet. Powierzchnia zewnętrzna pokrytą była niegdyś siatką złożonych arabesków, ale ręka niezręcznych odnowicieli pokryła ją warstwą gipsu i pokostu. Szczęściem, że nie starczyło tych materiałów, gdy przyszło do odnowienia facyaty, a tak przynajmniej ochronioną została, i zachowała starodawną piękność. Dawniej 24 bramy prowadziły do świątyni; dziś pozostały tylko trzy, resztę zamurowano. Wysoki krużganek drzewami pomarańczowemi wysadzony, marmurem brukowany i na marmurowych kolumnach spoczywający, otacza wokół całą świątynię. Dwanaście fontan chłodzi tu ciągle powietrze i jednostajnym mruzeniem wzywa do marzeń i uspokaja duszę.

Drżącą ręką odsuwam kurtynę przegradzającą wewnętrzne wejście i staję w kościele. Zdumiały, ujrzałem się w lesie kolumn, przedstawiającym gdziekolwiek staniesz, nieskończone perspektywy rozciągające się we wszystkie kierunki. Uroczysta cisza panowała w tych niezmiernych przestworach; czasem tylko przerywał ją głos słodki i poważny organów, brzmiących w tym lesie jak eolska harfa, która me ucho niegdyś czarowała w parkach szkockich. Kolumny te całe z jednej sztuki marmuru, tworzą od zachodu na wschód trzydzieści dwie naw, szerokich na czternaście, a długich na 250 stóp; od północy zaś na południe szesnaście naw daleko szerszych, a na 600 stóp długich. W symetrycznych odstępach rozstawione kolumny grupują się regularnie; wszędzie widzisz przed sobą długie, w odległości zwężające się i schodzące szpalery.

Dla chóru katolickiego wbudowanego w dawny meczet, zwalono 360 kolumn; pozostało ich jeszcze 860. Ta świątynia już teraz tak obszerna, jeszczeby się wydawała ogromniejszą, gdyby jej sklepienie było wyższem. Ale wysokość jego zaledwie do 35 stóp dochodząca, nie odpowiada rozmiarom rozciągłości i nęka duszę pewnym niezwalczonym uczuciem ciężkości. Gmach ten dopóki był meczetem nie cieszył się nigdy światłem dziennym; szczelne kurtyny zasłaniały okna, a lamp kryształowych 4700 ciągle tu gorzało, w odstępach regularnych zawieszono. Tyle światła rozbijającego się o złożone arabeski! Musiał to być cudny widok.

Już ucichły organy, i już mogę postąpić dalej bez obrażenia solennego usposobienia duszy mojej, i już mogę przebiegać ten święty przybytek i przypatrywać się zblizka wszystkim szczegółom téj zastanawiającej budowli. Inni wprawdzie, oswojeni z imponującym widokiem, nie robili sobie żadnego przymusu, przebiegali podczas mszy wszystkie kąty, rozmawiali głośno, śmiali się, i ucierając zatabaczone nosy, dęli w nie jak w jerychońskie trąby, strasząc echa drzemiące tu od lat tysiąca. Byłito księża kanonicy schożdzący się na summę. Byli u siebie, nie żenowali się.

Jeden tylko ksiądz z siwiuteńką głową stał oparty o filar, i z oka mnie nie spuszczał; odgadł on uczucia mną władające, i widząc mię niepewnym krokiem postępującego naprzód, zbliżył się do mnie i ofiarował służyć mi za *cicerona*. Przystąpiłem na to z wielką wdzięcznością; na twarzy starego księdza malowały się bystrość rozumu i dobroć serca: dwa przymioty bardzo rzadko razem istniejące.

Żadna część meczetu nie daje tak wysokiego wyobrażenia o doskonałości, do jakiej doszła sztuka architektoniczna w Hiszpanii pod Maurami, jak kaplica kalifów. Ani Alcazar sewilski, ani granadeńska Alhambra nie są w stanie wytrzymać porównania z tém miejscem. Kaplica ta podzielona na trzy części, pokryta trzema wysokimi kopułami, cała jest z białego marmuru i ozdobiona nieustającą siatką najcudniejszych arabesków. Szesnaście wysokich kolumn marmurowych różnego koloru, unosi śmiałe a lekkie sklepienie, a wewnątrz jego wyłożone różnokolorową mozajką na tle złotém, sprawia wrażenie, które opisać niepodobna.

Z téj kaplicy wchodzi się przez drzwi z jednego kawałka porfiry wyciosane i w srebro oprawne, do owego *sanctissimum* mahomekańskiego, w którym przechowują relikwie. Światło dnia nigdy tu nie wpada, i tylko za pomocą pochodni obejrzyć można te ściany, pokryte iskrzącą się mozajką z najdroższych w rozety szlifowanych kamieni. Ale niejedyn już ztąd wydlubano kamyczek od czasu, kiedy i do tego miejsca wniesiono ołtarz i w niém msze odprawiają. Francuzi za czasów wojen Napoleońskich chętnie tu chodzili na mszę, mianowicie marszałkowie Soult, Davoust, Suchet i inni miłośnicy religii, relikwii i obrazów. Generał Dupont na swą własną rękę zabrał z sobą blach złota wazących 8,000 uncyj (wartość przechodząca milion złp.), które w jego pakunkach znaleziono po bitwie pod Baylen, tak nieszczęsnój dla Francuzów

Chór katolicki wbudowany w XV wieku w katedrę tak jest wielki, jak katedra niejednego wielkiego miasta. Jestto niezaprzeczenie arcydzieło najczystszej florenckiej stylu, ale wcale nie odpowiada reszcie budynku. Chór ten rozpada się w trzy nawy wyższe daleko, jak nawy reszty przybytku, i pyszną uwieńczone kopułą. Kaplice poboczne zawierają niejedną szacunku godny obraz korduańskiej i sewilskiej szkoły, a płaskorzeźby zdobiące organy i ambony przedziwnej są roboty i rysunku najpoprawniejszego, jaki widzieć można. Stalle kanoników wyłożone hebanem i perłową macią, służyły niegdyś za model owym przedudnym stallom, które zdobiły kościół Franciszkanów w Krakowie. Zawistny los pozazdrościł nam tego arcydzieła sztuki; niedawno temu zgorzały one wraz z kościołem.

Na jednej z kolumn marmurowych dźwigających sklepienie, *el padre Jago*, poczciwy ksiądz oprowadzający mnie po tym przybytku, wskazał na obraz Chrystusa ukrzyżowanego, wyrznięty dość niezręcznie, a przegrodzony żelazną siatką od dotknięć profanów. Następujący piękny dystych łaciński obznajmia nas z naturą tego rysunku:

*Hoc sua dum celebrat Mahometicus orgia templo,
Captivus Christi numina vera vocat.
Et quem corde tenet, rigido saxo unque figurat,
Laureolam pro quo fune peremptus habet.*

Nie masz rady: dla pięknej łaciny i ku zbudowaniu chrześcian trzeba tutaj uwierzyć, że rysunek ten niezgrabny wyrzniętym paznogciem niewolnik chrześcijański, przykuty przez Maurów do tej kolumny.

— Czasu musiał mieć bardzo wiele, a paznogcie twarde jak stal angielska, mój ojcie Jakóbie, ów niewolnik chrześcijański, którego Mahometanie w świątyni trzymali—rzekę do ojca Jago.

— *Fides salvat hominem*—odrzekł stary ojciec—kto chce niech wierzy; *volenti nihil difficile*.—Ja poprostu wyznam, że nie wierzę. Maurowie mieli tę świątynię w tak wielkiem poszanowaniu, że żadnego chrześcijaнина, nawet ambassadorów, cesarzów Wschodu, ani królów Leonu i Kastylji, którzy nieraz Abderhammana odwiedzali, wpuścić doń nie chcieli. Po cóżby tedy trzymać zechcieli więźnia w tej świątyni?

Pomimo, że 900 było łazienek publicznych w Kordobie, a nikomu do meczetu wchodzić nie było wolno w obuwiu, tyle oni dbali o czystość, że sto osmdziesięciu derwiszów usługujących czyściło każdej nocy posadzkę, obcierało kurz i zmieniało

kryształowe lampy. Trzysta sześćdziesięciu takich usługujących derwiszów mieszkało tutaj w samych murach świątyni.

— Jakto ojcze, w samych murach świątyni? gdzież, chyba w samej świątyni; żaden tu budynek nie przytyka.

— Mury téj świątyni, są wydrążone jak ule, i roje pobożnych derwiszów w sobie zawierały. Pokażę panu, jakie to dziwne schody i kurytarze snują się wewnątrz tych murów; niktby się nie spodziewał, że w samych ścianach téj świątyni, zawarte są mieszkania dla tak licznej ludności. Panu je pokazać mogę, bo pan się przecisnąć zdoła do tych ciemnych siedzib. Nie jesteś bardzo tłusty.

Czy mnie do jaszczurczej jamy wieść zechce? — pomyślałem sobie. Istotnie, w jednej ze ścian za oltarzem, tam, gdzie się spotykają dwie kolumny, ojciec Jago oparł się całą siłą o mur, i ogromny głaz wysokości pięciu stóp, a szerokości zaledwie jednej, ustąpił pod naciśnięciem. Dalej schody kamienne, ciasne jak trumna, a wijące się ślimakiem; dalej jakieś ciemne krużganki; światło tu dochodzi przez ukośne szczeliny, których z zewnątrz wcale nie widać. Te krużganki długie a ciasne, podzielone na nieskończenie wiele celek, tak wązkich, że prócz ławki kamiennéj, półtoréj stopy szerokiéj, nic w sobie nie zawierały, nic wcale; a przechód z jednej celki do drugiéj zawsze tak ciasny, zdaje się, że coraz ciasniejszy. Przebyliśmy takich celek wysokich i długich na sześć stóp, a szerokich na półtrzeciéj, dziewięć; dzięsiąta była dwa razy szerszą, choć równieź długą i wysoką, przepuszczała cokolwiek więcéj światła: kaganiec w niej tlał chudziutki. Odetchnąłem.

— To moje mieszkanie—rzecze mi ojciec Jago.

— Jakto, ten grób to pańskie mieszkanie?—zapytałem zdziwiony —Księżę dobrodzieju! przecieź tu żyć nie sposób!

— To moje mieszkanie od lat blisko sześćdziesięciu; innego nie mam, a to mię nic nie kosztuje. To mieszkanie dziesiętnika derwiszów, te inne prości derwiszowie zajmowali. Jest takich celek 360 w czterech ścianach meczetu.

— Wcale nie zazdroszczę ci tego lokalu, i proszę Boga, żebyś przypadkiem nie utył; nie mógłbyś wejść do twéj celi, tak tu ciasno.

— Proś raczéj Boga, żebym nie spuchł jednéj pięknej nocy w tém wilgotném powietrzu, bo nie mógłbym wyjść z méj celi; musiałbym z głodu umrzeć, mało jest bowiem ludzi wiedzących, że

tu mieszkam, a mniej jeszcze ludzi, których los mój zajmuje. Ani-
by się spostrzegli, że mnie nie masz, gdybym im woczy nie wcho-
dził. Żyję z jałmużny, z tego, co mi pobożne dusze pod krużganek
przyniosą; czasem przyniosą zawiele, często nie przyniosą nic
wcale: wtenczas pościć trzeba. Nie masz tedy niebezpieczeń-
stwa, żebym tu utył—mówił uśmiechając się ojciec Jago.

— I żadnych innych nie masz dochodów?

— Czasem dadzą na mszę, czasem i który z kapitulnych księży
odstąpi mi swój mszy, gdy zachoruje, lub da stary habit. Żyję
tak, jak niegdyś żyło trzechset sześćdziesięciu derwiszów:
żyję z jałmużny i nie żalę się nigdy, bo jeśli tamci dla swego pro-
roka toż samo znosili, czemuż ja dla mego Boga nie mam znieść
mniej, jak oni. Nocą przechadzam się sam jeden po wspaniałej
świątyni, po tych podwojach, po których stąpało od wieków dzie-
sięciu tylu sławnych mężów, pod którymi spoczywa tylu świętych
biskupów i walecznych rycerzy. To mój raj, to moje szczęście;
nikomu nie zazdroszczę, o wierzaj mi cudzoziemcze! Znam tego
przybytku całą historią; w tych celach zgromadziłem, co jeszcze
uratować się dało z zabytków starożytności; samych lamp maury-
tańskich wynalazłem ze trzysta w ulach; mnóstwo ksiąg i ułam-
ków marmuru, bronią mych skarbów przed wkraczającymi pu-
szczykami, sowami, kawkami i nietopérzami. Bóg wie, kto je
odziedziczy. Ja może jednéj nocy tu umrę, i w tym grobie aż
de sądu ostatecznego pozostanę. Niech się dzieje wola boska!

— A wierzysz w duchy, księżu Jakóbie?

— Wierzę—odpowié uśmiechając się stary.

— I nie boisz się duchów owych imanów, muezzinów, fa-
kirów i derwiszów, którzy tutaj nocną porą niezawodnie hulać
muszą z puszczykiem, sową, kawką i nietoperzem?

— Oh mój synu!—rzecze zdumiony ksiądz częstując mię
tabaką, i śmiejąc się serdecznie.—Wszystko to byli dobrzy lu-
dzie: żyli oni więcéj duchem niż ciałem, choć im chrześcijańskiéj
wiary światło nie przyświecało. Bóg im przebaczy, a ja ich się
nie obawiam wcale. Nie myśl wcale, żeby za dawnych czasów,
póki jeszcze światło nauk i sztuk pięknych jaśniało w Kordobie,
żeby tu chrześcianie doświadczaali prześladowań. Juliusz Cezar
kazał wymordować 22,000 Korduańczyków za to, że Pompeju-
szowi sprzyjali. Ale Maurowie żadnych się nie dopuszczali okru-
cieństw przeciw chrześcianom. Tylko 45 chrześcian postradało
życie w skutek zatargów sprowadzonych wybrykami fanatyzmu,

a Ojciec Święty nie śmiał ani jednego z nich kanonizować, nie śmiał wystąpić wbrew prawdzie.

Pożegnałem poczciwego księdza, i z głową brzemieną myślami, z sercem miotaném uczuciami, wróciłem do hotelu.

— Poznałem w katedrze ojca Jago—mówię do mego gospodarza, kapitana gwardyi narodowój konnej.

— *Ha! es un loco, es un descendiente de los Moriscos!* (Ha! to waryat, to potomek Maurów)—odpowiedział waleczny kapitan.

— *Es un hombre santo, Sennor Caballero!* (Jestto człowiek święty, panie kawalerze)—dodała cicho pani gospodyni.

O przedziwny instynkcie kobięcy! ty często jesteś jak ów promień słońca, przekradający się przez grube chmury w ciemne przepaści; ty przeczujesz prawdę, nim ją tępy rozum mężczyzny rozpoznać zdoła!

Oh nie! ten człowiek, który żyje z cieniami swych zmarłych przodków, i całą swą istność poświęcił na chwałę Boga i na przeblaganie Go za błędy swych naddziadów, ten człowiek szalonym nie jest. On w oczach moich większą ma wartość, niż owi wszyscy, którzy w hołdach składanych materji zatracają prawo do wieczności.

VI.

Toledo. Granada.

W jednym rozdziale chcesz zajechać z Kordoby do Toledo, i z Toledo do Granady, odbyć podróż przeszło stumilową? O podróżniku! choć szybko jeździsz na twym Pegazie, ale prawdziwie zaszybko nawet na naszą wiarę. Wiele ci wierzymy, idąc za przysłowiem: *a beau mentir qui vient de loin*; ale nie licz zanadto na naszą łatwowierność; gotowiśmy się spostrzedz, że jój nadużywasz.

Tak mnie zapewnie zagadnie czytelnik łaskawy.

Uznaję sprawiedliwość tego zarzutu; zaraz tedy przystępuje do opowiedzenia całego toku rzeczy.

„Człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi”, mówi stare nasze przysłowie. Sprawdziłem je raz jeszcze wyjeżdżając z Kordoby. Wsiadam na Pegaza, wzbijam się pod obłoki i wołam: „na północ, Pegazie! do Toledo!”

— Za kogo mię bierzesz? — rzecze Pegaz — chyba za konia pocztarskiego, któremu za złotówkę na milę, możesz kazać

biedz w którą chcesz stronę. Nie tak ze mną; do Toledo tą razą nie pojedziesz, tylko prosto do Granady.

— A to dlaczego nie? Chciałbym wiedzieć — zapytam zdziwiony.

— Najprzód dlatego, że mi się nie chce; potem dlatego, że tam wybuchnie jutro *pronunciamiento* ludowe; potrzebie dlatego, że inną razą tam będziesz, wiem o tém.

— Więc i w księdze przeznaczenia czytać umiesz, Pegazie, i wiesz co się stanie?

— Wiem doskonale. A cóż dziwnego? wszakże i niektórzy ludzie przewidują przyszłość: masz góralów szkockich, Nostradama, pannę Lenormand, i pana Thiersa. Pan Thiers naprzykład przewidzi, że pojutrze spadną raptownie papiéry hiszpańskie w skutek rokoszu toledańskiego, i że się za kilka tygodni po wygnaniu Espartery znacznie podniosą, i już w ciągłym stanie podniesienia pozostaną.

— Tak przewidzi! Zapewnie za pomocą telegrafu na ministerjum spraw zagranicznych—odpowiem Pegazowi.

Pegaz śmiał się do rozpuku; nigdy nie widziałem konia tak serdecznie ubawionego.

— Nie bój się; przewidzi on i inne jeszcze rzeczy: przewidzi, że zero choćby było w świetną szatę historii obszyte, i choćby na polach Elizejskich mieszkało, zawsze jest tylko karnawałową farsą. Ale tu nie o to idzie. Pojmuję ją zacne powody, dla których chciałeś zwiedzić Toledo. Życzysz sobie odkopać wszystkie ślady istności Maurów, i z tych pamiątek przeszłości sądzić o ich przyszłości. Opowiem ci tedy, co tam później znajdziesz, tak wiernie, jak ty opowiadasz twoim czytelnikom to, coś widział i uczył w twoich wędrówkach. Tymczasem puścim się ku Granadzie i przebieżymy tę część Andaluzyi, która najmniej jest powabną.

— Toledo nazwano twarzą Hiszpanii, dlatego, że żadne z miast półwyspu nie jest tak smutném i imponującém; nigdzie wspomnienie melancholiczne przeszłości nie wybiło się na kamieniu w rysach tak wyraźnych i tak wspaniałych. Toledo jest miastem starodawném, założoném przez ród, którym dziś Hiszpanie prawie się brzydzą.

— Przez Anglików?—zapytałem.

— Oh! jaki anachronizm! Anglików wówczas jeszcze wcale nie było na świecie. Anglicy są narodem nowożytnój fabrykacyi.

Żydzi to, żydzi założyli Toledo jeszcze przed przyjściem Gotów do Hiszpanii. „Tol-e-doth po hebrajsku znaczy miasto starożytnych rodzajów. Tak jest, żydzi założyli Toledo.

— Patrzaj! ja myślałem, że żydzi nie zakładają miast, tylko banki i loterye.

— Myliłeś się. Toledo jest zbudowaném jak gdyby nigdy przepaść nie miało, ani téż mogło. Wszystko tu silne i wieczyste. Domy jak zamki zbudowane na opoście 2500 stóp nad powierzchnią morza wystającą, a w każdym domu tylko jedna rodzina. Tag otacza miasto z trzech stron; bramy strzeżone wieżami i posągami świętych zastaniają je od strony lądu; mnóstwo fontan starożytnych, ale rzadko która bije. Dawny zamek Maurów, upiększony wielkim kosztem przez Karola Vgo, góruje nad całą okolicą.—Tak skończył Pegaz, ja zaś dodam tutaj, com rok później widział w Toledo: kościołów prócz katedralnego jest tu 26, z których sześć tak nazwanych mozarabskich (z Arabów żyjących, językiem arabskim), to jest kościołów chrześcijańskich założonych przez Gotów, a tolerowanych przez Maurów za ich panowania. Zresztą dziewięć jeszcze jest kaplic, a było 14 klasztorów męzkich, 23 żeńskich niedawnemi czasy; szpitalów 10, akademij duchownych trzy. Niebraknie tedy przybytków dla chwały Boga. Tutaj się także pierwsze zbierały *Concilia*. Na *Zacodowar*, najstarszym rynku miasta, znajduje się kaplica z cudowną statuą *del sanctissimo Cristo de la sangre*. Statua ta wiele wyleczyła chorych.

Katedra toledańska jest przedziwną bazyliką. Jój dziś śpiące echa brzmiały niegdyś potężnie wymownym głosem świętego Izydora z Sewilli i św. Ildefonsa na owym sławnym zborze, w którym kapłani naszej religii wystąpili w obronie sprawiedliwości i praw ludzkości. Znali pierwsi chrześcijanie daleko lepiej wzniesłego ducha ewangelii, niż następnie w wiekach średnich. Nie wszystkim może wiadomo, że pierwotny *rytus* chrześcijański różnił się znacznie od późniejszego, przyjętego w Hiszpanii r. 1086. W tym roku odprawiono pierwszą mszą georgiańską w Toledzie; to znaczy, że dopiero wówczas zaprowadzonym został rytuał rzymsko-katolicki, bezżeństwo księży i spowiedź do Hiszpanii.

Fundamenta katedry toledańskiej położono już za czasów gotyckich. Każda epoka obdarzyła ją później dodatkami według panującego smaku. Królowie, pielgrzymi i żebracy przyczyniali się do budowy przez wiele wieków. Jako całość mniej jest pię-

kną jak sewilska, ale w szczegółach zawiera uroki, które tamta, daleko nowsza, nie posiada. Rozliczne kaplice i groby, ganki i chóry, portale i portyki, sale kapituły i cele mnichów, przedstawiają nieocenioną kronikę w piśmie lapidarném. A któż kiedy widział coś równie majestatycznego, a zarazem nadobnego, jak owa wieża toledańska? Jest ona niezaprzeczenie najeudniejszym utworem architektury. Dzwonów w niej 30; największy waży 45,000 funtów, ale jest nadpęknięty.

Środek katedry podzielonym jest na pięć naw, a spoczywa na 84 kolumnach. Średnia nawa ma 160 stóp wysokości. Szyby kolorowe, iskrzące się jak rubiny przy złotém świetle zachodzącego słońca, rzucają magiczną jasność na owe fantastyczne ozdoby, któremi Maurowie przyozdobili tę świątynię. Pióro najwymowniejsze nie może dać wyobrażenia o uroku téj przedziwnéj gry kolorów. Kaplica poświęcona Najświętszój Pannie (Virgen del Sagrario) cała jest z purpurowego, czarnego i białego marmuru. Sama jéj statua, zrobiona z ciemnego drzewa jeszcze w VII wieku ery chrześcijańskiéj, okryta jest płaszczem utkany-m całkowicie z pereł. Cały ubiór téj statuy do dziś dnia istnieje, i przechodzi w wartości garderobę najbogatszój królowéj ziemi.

Capilla de los reyes jest kaplicą, w którój pięciu królów z XIV wieku pochowali.

Na brzegu Tagu stoi pałac królewski z wysokim belwederem, Miradorem zwanym. Pałac ten wybudować kazał ten sam król Rodryk, o którym podanie głosi, że się kazał żywcem z jadowitym wężem pochować. Do pałacu królewskiego przytykały niegdyś obszerne łaźnie owego zamku, który teraz leży w gruzach. Zamek należał do hrabiego Juliana, a w tych łazienkach Rodryk z córką hrabiego dokonał dzieła, które go przyprawiło o utratę korony, królestwa i życia. Ojciec dla zemstczenia się za krzywdę wyrządzoną córce, dał na łup Maurom własną swą ojezyznę.

Z Miradoru pyszny widok na spadziste skały, przeciwległe góróm toledańskim: na ten labirynt granitowy, kryjący w sobie przepaści, pieczary i jaskinie, w których drapieżne zwierzęta, partyzanci i bandyci zawsze gościnnie przytułek znajdują.

Daléj oko sięga aż na niwy królestwa Manszy, klassycznój ziemi bohaterskiego Don Quichota; widzimy nawet przez perspektywę owe wiatraki, które dobroduszny rycerz wziął za olbrzymów.

Tagus pod Toledo jest szeroką, wartkącą rzeką; toczy swe nury śmiało i odważnie, jak niegdyś Hiszpania losu swego koleje; ale i most toledański pyszny, pyszniejszy od paryzkiego *Pont neuf*. Na pięciu olbrzymich łukach przekracza most bystrą rzekę; stoi tu niezachwiany od przeszło sześciu wieków, choć zbałwaniana rzeka ciągle się sili zwalić go w swe odmęty. Dwieście kilkadziesiąt lat temu kazał go odnowić i posągami świętych ozdobić, własnym swym groszem, (choć to nie jest wyryte ani na kamieniu, ani na miedzi, tylko w pamięci ludu), własnym swym kosztem arcybiskup toledański don Pedro de Tenorio, godny prałat, choć krewny owego Don Juana de Tenorio, którego zwłoki złożone w klasztorze de la Caridad w Sewilli.

Szpital toledański założony jeszcze przez Maurów, zdumiewa swym ogromem, wspaniałością i przepychem. Schody marmurowe, również piękne i okazałe jak schody prowadzące do podwojji Luwru, wiodą na sale chorych. Mnóstwo arabskich napisów nad wszystkimi bramami i drzwiami; mnóstwo oddziałów dowodzących, że Maurowie musieli mieć jasne wyobrażenie o różnicy i różności chorób. Przy każdej sali znajduje się oddzielny korytarz z łazienkami, dziś jeszcze tak czystymi, jak gdyby były w tym roku postawione. Wszystko z dobrego siwego marmuru, opierającego się najlepiej wpływowi czasu i ognia. Fontan pełno wszędzie, ale mała ich część zawiera wodę; te tylko, do których płynny żywioł sprowadzić można cysternami. Dawniej woda zasilająca fontanny sprowadzana była szczelnym, hermetycznym wodociągiem z gór naprzeciwległych, z odległości trzymilowej, i wnoszoną na dachy szpitala do wysokiego marmurowego rezerwoaru prawem własnej ciężkości. Utrzymanie takiego, powietrze nieprzepuszczającego wodociągu, musiało niezmiernie pożerać koszt; chrześcijanie zaniechali téj pracy. Dziś szpital toledański nie jest nawet cieniem tego, czém był za Maurów.

Trzeba przyznać, że naród, który miał tak wysokie a zarazem delikatne wyobrażenie o powinnościach swych względem bliźnich nędznych i cierpiących, nie mógł być wyzuty z bardzo jasnych pojęć o godności człowieczeństwa.

O wy wielcy ludzie, którzy tyle rozprawiacie o prawach ludzkości, o powinnościach bogatych względem ubogich, wpadliście wy choć raz w życie waszém na myśl, że każdemu cierpiącemu należą się od *pięroszego lepszego zdrowego*, który go spostrzeże, takie względy, jakimi Maurowie otaczali swych bliźnich?! To je-

dnakże zdanie, na bramie prowadzącej do szpitala toledańskiego jest wyryte na marmurze, i ręczę, że było w życiu praktykowaném, bo Maur nie dlatego zdania szlachetne upowszechniał, żeby niemi świat durzył, ale dlatego, żeby ludzkość w nie wierzyła, żeby każdy z ludzi według nich postępował. Więcej w owych czasach było wiary w skuteczność postanowień ludzkich, jak dziś, kiedy nam wyższe światło przyświeca, a niższe uczucia przewodniczą.

Toledanie dzisiejsi marzą wiele, a mało czynią. W oryentalném marzeniu pogrążeni, duszą przyjęli wiarę w przeznaczenie, a ciałem idą za natchnieniem namiętności, prowadzących do gnusności. Z założonemi rękoma spoglądają na widoczny, ciągle wzrastający upadek rodzinnego miasta! Ale duma ich dlatego nie upada. Gdy się przesuwają przez ulice, wyglądają jak cienie owych wielkich panów i rycerzy, którzy niegdyś ożywiali świetne miasto Toledo* swemi czynami.

Toledo liczyło niegdyś 200,000 mieszkańców, a dziś liczy zaledwie 15,000.

Tyle o Toledo tą razą w tém miejscu, i o tyle tylko, ile potrzeba dla ocenienia reszty tych wspomnień.

Bieżymy ciągle ku Granadzie. Już nam się w oddaleniu ukazują zębate, sosnami porośłe szczyty Sierry de Arenas, już nas dochodzi aromatyczny powiew z dziwnie ułożonych wierzchołków pasma gór Jarana; już nawet wyrasta na oddalonym widnokręgu śnieżna piramida zwana Picacho de Veleta. W kilka chwil później odsłonił się ze strony południa majestatyczny łańcuch Sierry Nevada, odsłonił się jak wał olbrzymich kryształów, pławiących się w eterze nieba i igrających z przeciągającymi chmury. Czasem i chmury się rozdały, błyskawice całe pasmo purpurą zalewały, i firmament okropnym odgłosem napęniały. Ale to nie porusza bynajmniej ogromnego łańcucha! stoi jak wał ręką Tytanów wzniesiony, i drwi z gniewu żywiołów.

Nizkie pasmo Sierry Elviry przegradza nas od Granady, rozpostartej jak ogród na stopach gór Nevada; ale i Elvira ustępuje pod skrzydłami Pegaza, i w stronie południowej błyskają w pomroku wieczornym śnieżne szeregi pałaców i domów królewskiego miasta Granady; błyskają jak widma czasów przeszłych.

Granada jest jednym z tych uprzywilejowanych miejsc, które z żadnym innym porównać nie można, ale które pałającymi ry-

sami wpisują się w pamięć podróżnika. Ten, który na widok tego rajy nie wpadnie w zachwycenie; ten, który na widok téj szczęsnój krainy, łączącój w sobie wszystkie uroki Północy i Południa, pozostanie oziębłym: ten pewno nie umie cenić żadnych cudów ani dobrodziejstw przyrody.

A komu powietrze Granady nie wskrzesi w pamięci długiego szeregu fantastycznych snów młodości, ten niech sobie sam wyzna, że tylko do grubój jest stworzony materji, że umysł jego więziony w ciasnych granicach, nie zdoła nigdy wznieść się nad poziom.

Granado, mam cię przed sobą! Tętnią mi w uszach nieśmiertelne słowa ulubionego naszego wieszczka, które wpisały już w dzieciństwie imię twe i Almanzora w głąb mego serca: Przecież choć jedno z mych najdroższych życzeń urzeczywistnione!

Mijamy laski, parki, plantacye i ogrody, otaczające Granadę atmosferą uroczej woni; już jesteśmy na przedmieściu Elviry, gdzie wieść doszła Boabdila, że Alama wzięta; już stajemy na wielkim *placu tryumfu*, na którym Izabella królowa Arragonu i Kastylii d. 6 stycznia roku 1492, na czele swojego zwyciężkiego wojska Bogu dziękowała za zdobycie Granady.

Ciągną mię do hotelu Minerwy, najlepszego w całym mieście.

— Nie, ja nie chcę mieszkać w hotelu, pomiędzy francuzkami komiwojażerami i angielskimi turystami: ja chcę mieszkać w samym obrębie Alhambry, choćby na dziedzińcu, na którym ścięto Abencerragów!—zawołałem zniecierpliwiony naleganiami.

— I możesz mieć to szczęście, o cudzoziemcze!—rzeknie do mnie człowiek już podeszłego wieku.

— Kto jesteś, Sennor?—zapytałem.

— Jestem Mateo Ximenes, *el hijo de la Alhambra* (syn Alhambry).

— Ha! to ty Mateo Ximenes, który przed szesnastu laty Washingtonowi Irving służyłeś za przewodnika, i przez niego w swoich powieściach o Alhambrze uwiecznionym zostałeś? Daj mi twą rękę Mateo Ximenes, wierny synu Alhambry, potomku przodków, którzy od czterech wieków stary gród Maurów zamieszkują; przyjmuję zaproszenie, gościć będę u ciebie.

Ah, jaki to nieoceniony człowiek, ten Mateo Ximenes! On zna na palcach całą historją Granady, i opowiedzieć ją umie

tak pięknie i dźwięcznie. Jemu duchy Zegrysów i Abencerragów powierzyły wszystkie tajemnice. Zobaczym to później.

Po drodze do Alhambry, w wąwozie snującym się pomiędzy krzewami najpiękniejszych kwiatów, czekała mnie jeszcze jedna niespodziana i niewypowiedziana radość.

Tu, pod tém niebem spotkałem rodaka!...

Jakżeż nie mam kochać Granady? Tyle uroczych, błogich wspomnień w niej się łączy!

(Dalszy ciąg nastąpi).



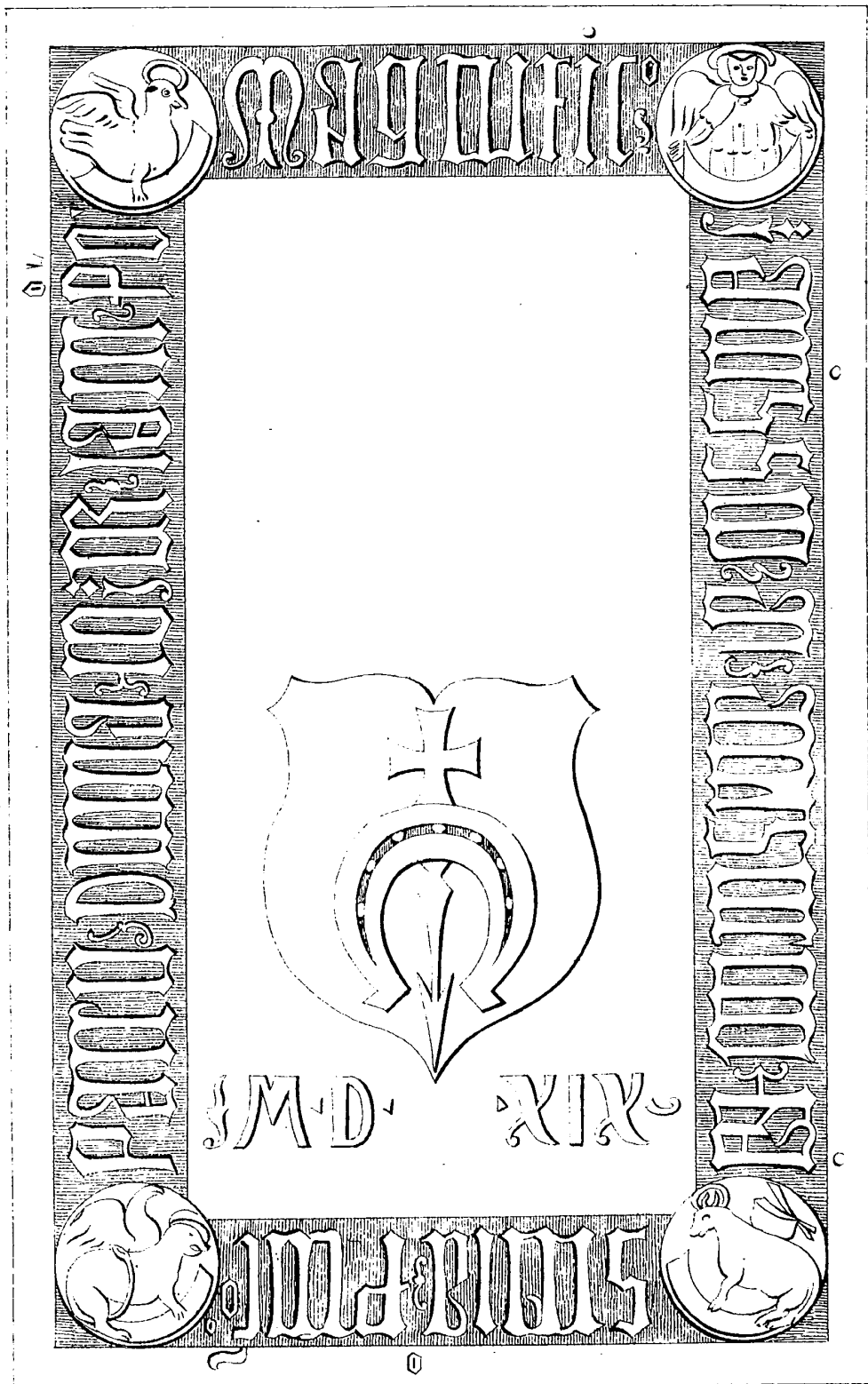
KAMIEN W SARBIEWIE

W KOŚCIELE PARAFIALNYM

MAGNIFIC

PALEUM DOMINA UXOR LAMENTANS · DOXIT

ZAVISSIO DE DUCHINOVA



HERMANN SCHMIDT

Objaśnienia

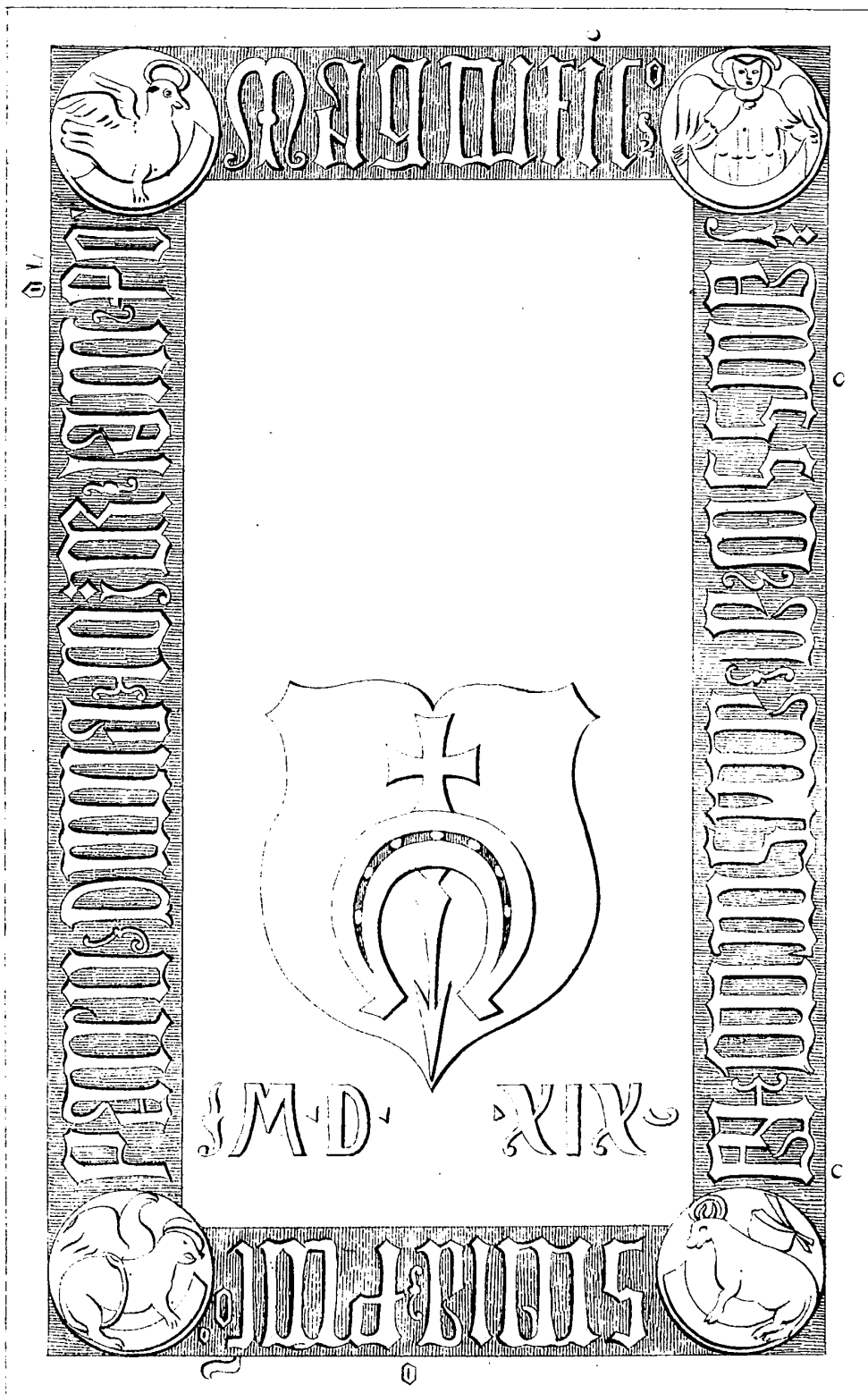
————— 1 ————— 2 ————— 3 ————— 4 miara łokcia

Długość kamienia łokci 3 Cwierć 1. Szerokość kamienia łokci 2. Od brzo-
gu z literami Cwierć 1/4. Wysokość liter Cwierć 1. Srebrnica kół cali 8.

KAMIEN W SARBIEWIE

W KOŚCIELE PARAFIALNYM

MAGNIFICO



PALEUM DOMINA UXOR LAMENTANS POSUIT

ZAVISKO DE DUMBRVA ZA

NSNENIE ONVIELS

Objaśnienia

miara łokcia

Długość kamienia Łokci 3 Cwierć 1. Szerokość kamienia Łokci 2. Od brze-
gu z literami Cwierć 1/4. Wysokość liter Cwierć 1. Średnica kół cała 8.

O NAGROBKU W SARBIEWIE.

PRZEZ

Rajetana Bwiątkowskiego.

(Z ryciną).

Jak mile być powinny dla każdego wszelkie starożytne pamiątki krajowe, pozostałe po przodkach naszych w dawnych napisach na różnych gmachach, w malowaniach, w portretach, rzeźbach, i nagrobkach; tak obowiązkiem jest każdego mieszkańca, podobne pomniki zachowywać od zniszczenia, już dosyć samym srogim zębem czasu wątlejące, mieć w poszanowaniu, i do dalszej potomności w ochronie przekazać. A przecież, ileżto starodawnych drogich pamiątek, przez nieczułość, niedbalstwo, i lekceważenie, nie doszło oczu naszych, i na zawsze dla potomności zaginęło! Ileżto nieraz zdarzyło mi się widzieć w kraju naszym po zamkach dawnych, po spustoszonych pałacach, po świątyniach kościelnych, sponiewieranych i w kął wrzuconych obrazów, portretów i odwiecznych napisów, a marmurowe lub kamienne nagrobki, na schody, progi, albo na wysłanie ścieżek, na podłogi w kruchtach użyte, lub przy restauracyach kościołów pod ściany na cmentarz wyrzucone, poszczerbione i potłuczone, a całkowite zaś na potrzeby gospodarskie obrócone zostały. Smutna to jest rzecz dla obywatela wspominać o obojętności tego rodzaju, osób nawet takich, które z powołania, lub ze stopnia wychowania i oświecenia swego, inaczéj szanować, inaczéjby cenić takie rzeczy powinny; owszem być onych stróżami wiernymi i zachowawcami gorliwymi należałoby. Starowolski jeden dawném dziełem swoim ogromném 1655 r. pod tytułem: *Monumenta Sarmatarum*, i inni zbieracze napisów z kościołów krakowskich, jakoto Michał Sołtyk 1785 r. na wdzięczność naszą zasłużyli, lubo naśladowców dotąd nie zyskali. Nie bierzemy przykładu

z krajów obcych, jak tam jest w poszanowaniu każda dawna krajowa pamiątka. Gdzie niepotrzeba żadnego bodźca, żadnej zachęty lub przypomnienia; bo tam już zdaje się, że weszło w naturę każdego krajowca uczucie téj miłej i szlachetnej powinności, przesyłania do pamięci w potomne wieki, śladów jak najdawniejszych pomników od przodków zostawionych.

W tym duchu i ja ratując od zatracenia w pamięci starożytny od lat 330 pomnik grobowy, podaję do wiadomości potomnym czasom opisanie.

W dobrach dłuźniewskich, obywatela ś. p. Karola Kwiatkowskiego, przed pół rokiem zmarłego, dziedzicznych, we wsi Sarbiewie, gniazdowej owego księdza Kazimierza Sarbiewskiego Jezuity, tak słynnego z poezyi w łacińskim języku (Horącym polskim zwanego), pod Płońskiem, miasteczkiem powiatowém byłego województwa płockiego położonój, jest kościół parafialny, w którym na środku kościoła znajduje się nagrobek z kamienia ciosowego piaskowego, wyrobiony w ten sposób. Na środku kamienia długości łokci $3\frac{1}{4}$ wyrażony jest robotą wypukłą herb Dołęga zwany; pod nim poniżej rok liczbą kościelną 1519; na rogach grobowego tego kamienia są (także wypukłe) symbola czterech ewangelistów, i napis od chodzenia po nim już zacierający się, z czterech stron przy brzegach kamienia literami gockimi z XIVgo wieku, taki w skröceniach: *Magnifico Zawisio de Dlusniewo Castellano Plocensio patrum domina uxor lamentans posuit.* Wielmożnemu Zawiszy Dłuźniewskiemu kasztelanowi płockiemu kamień (ten) pani małżonka oplakująca położyła.—Jakoż istotnie w herbarzu Niesieckiego w tomie I, na str. 225, jest umieszczony w spisie kasztelanów płockich około tego czasu dziesiąty w rzędzie Zawisza Dłuźniewski herbu Dołęga. Przed lat 300 i więcej, Zawisza było imię za chrześcne brane, później z wiekami za nazwisko familii znakomitój służy, tak, jak się to z innymi imionami chrześcnymi stało; naprzykład Bogusz, Bronisz, Dobek, Hebda, Jarosz, Jordan, Niemiera, Żegota i t. p., z imion w nazwiska familijne z czasami obrócone. Wymieniony na kamieniu grobowym Dłuźniewski był właścicielem Dłuźniewa, wsi o pół ćwierci mili tylko od Sarbiewa odległej; więc jako w swoim parafialnym kościele pochowany został.

Dołączony tu wizerunek kamienia, lepiej go czytelnikowi wyobrazę.

Pisałem w Warszawie, d. 11 września 1850 r.



KRONIKA LITERACKA.

Athenaeum. Pismo zbiorowe, poświęcone historii, filozofii, literaturze i sztukom. Wydawca J. I. Kraszewski. Rok 1849, tomów 6. Rok 1850, tom 1—5. Wilno.

Rubon. Pismo zbiorowe, poświęcone pożytecznej rozrywce. Wydawca Kazimierz Bujnicki. Serya V, tom 1, 2 (całego zbioru 9 i 10). Z rycinami. 1849. Wilno.

Athenaeum mieści w sobie artykuły cenniejszej wartości, niż którekolwiek inne pismo zbiorowe, wychodzące w Wilnie lub Kijowie. Znaczną jego część sam wydawca wypełnia swojemi pracami. Jednakże Athenaeum nie cieszy się równem powodzeniem, co inne pisma pana Kraszewskiego. Nie obudziło ogólniejszego zajęcia; nie przywiązało czytającej publiczności do swego istnienia, i ta głuchą została na ponawiające się do niej odezwy wydawcy, co, jak bicia z dział tonącego okrętu, dają znać o niebezpieczeństwie i spiesznego wzywają ratunku.

Niecała w tém wina cięży obojętną publiczność. Pismo zbiorowe, rodzaj publikacyi wątpliwych zalet, i tylko okolicznościami wywołany, tém lepiej odpowiada swemu celowi, im się więcej do natury pisma peryodycznego zbliża; tém mniej usprawiedliwia potrzebę swego istnienia, im dalej od tego wzoru odchodzi. Pod tym względem, Athenaeum, mniej może niż inne publikacye jednego z niem rodzaju, czyni zadość słusznym wymaganiom publiczności. Kilka dzieł na kawałki pociętych i tak obok siebie drukowanych, nie utrzymają pisma zbiorowego. Bez żadnej dla kogobądź straty, owszem, z istotną dla tych dzieł korzyścią, mogłyby wyjść oddzielnie, jak też po większej części w oddrukach wyszły zamieszczone w Athenaeum za rok 1849 artykuły. Poszły z roku 1850

więcej okazują różnaitości, ale w tym roku Athenaeum zanadto zapożyczyło się u zagranicznych *Revue*s.

Sprawozdanie nasze zaczniemy od utworu damy, nie dla samej grzeźności, lecz że w nim widzimy najcelniejszą ozdobę Athenaeum. Chcemy mówić o Wspomnieniach podróży do Syberyi, i pobytu w Berezowie p. Ewy Felińskiej. Oddawna nie czytaliśmy w naszym języku równie zajmującego, i z równą dokładnością skreślonego opisu dalekiej strony.

P. Felińska, o której osobistych stosunkach nie wiemy więcēj nad to, cośmy w jej Wspomnieniach wyczytali; zlekka tylko i mimochodem tych stosunków dotyka. Jestto dla nas jednym powodem więcēj do pominięcia wszystkiego, co się osobistości autorki tyczy; oceniamy jej podróż tak prawie, jakby ją odbył wędrowiec od siebie tylko zależny, i dla pożytku drugich, lub zaspokojenia własnej ciekawości, drogę przedsiębiorający.

W roku 1839 dnia 23 marca (n. s.), pani Felińska opuściła Kijów. Przebywszy po lodzie Dniepr, mocno jeszcze w tēj porze zamarzyły, potem Orel, Tułę, Riazan, puszcę muromską, Niżny Nowogród, Kazań, Perm, poryte bogatemi kopalniami pasmo Uralu, i Ekaterynburg, podróżna stanęła nakōniec w Tobolsku. Podróż odbyta saniami trwała miesiąc; po drodze pani Felińska nigdzie się nie zatrzymywała, w przelocie tylko kreśląc kilka wrażeń i wypadków podróży.

Po kilku dniach odpoczynku, 29 kwietnia, pani Felińska puściła się znowu saniami do Berezowa, miejsca swego przeznaczenia. Podróż tą razą odbywała się po rzece. Taki jest sposób podróżowania na Syberyi, zwłaszcza ku północy. Latem jest jeszcze od Tobolska w tym kierunku droga pocztowa, idąca do Bronikowa, wioski o 36 wiorst odległej; lecz dalej ustaje wszelka komunikacya lądowa, i w każdej porze koryta rzek stanowią jedyną drogę. Zimą, a zima trwa tam więcēj siedmiu miesięcy, jedzie się po zamarzłym ich grzbiecie; w lecie podróż odbywa się statkami. W porze niepewnej, gdy rzeka rozpuszcza lub lód ją ścisnąć zaczyna, nie ma żadnej komunikacyi.

Na taką porę właśnie trafiła pani Felińska. Irtysz rozpuszczać zaczął, jechać dalej było niepodobieństwem; wypadło wrócić lądem z Bronikowa do Tobolska i oczekiwać w tēm mieście otwarcia splawu.

Przez kilka tygodni przedłużył się pobyt p. Felińskiej w Tobolsku. Czytajmy, jak opisuje to miasto i swoje wśród niego wycieczki:

„Wiosna przybliżała się żywym krokiem, śniegi topniały, ulice się oczyszczały; a ponieważ dolna część miasta w której mieszkaliśmy jest wyłożona zamiast bruku drewnianym mostem: bardzo prędko korzystając

z pięknej pory wiosennej, mogliśmy używać przechadzek i zaznajamiać się z tutejszym miastem.

Tobolsk leży na prawym brzegu Irtysza, w większej części złożony z domów drewnianych, które bez tynku, rzadko zewnątrz malowane, wyglądają szaro, a zatem wcale niewesoły dają pozór miastu.

Jest jednak kilka cerkwi murowanych i kilka takichże gmachów, oraz kilka domów bogatych kupców.

....Skierowaliśmy przechadzkę nad brzeg Irtyszu. Wielka błonia legająca nadbrzeża tej rzeki, zalana wodą, wspaniały przedstawiała widok. Ścigając wzrokiem płaszczyznę równą jak tafla zwierciadlana, oko ginęło w przestrzeni, dostrzegając tylko zdaleka między błoniami, gościńiec siny, szeroki, malujący się coraz wyraźniej, wyraźniej, наконец łącząc się z Irtyszem, stanowiący jedną całość. Tym gościńcem Tobola przybywając z zachodu, przynosi w dani Irtyszowi swe obfite wody.

Przestrzeń ta wody płaska jak szyba, nie przecięta ani ograniczona żadnym innym widokiem, niemająca innej krawędzi nad błękit nieba, dziwnie nastrajała wyobraźnię. Oko duszy rozprzestrzenia wyobraźnię, umysł jest nieścigniony w swym locie, ale dla oka zmysłowego podobny widok, to nieskończoność.

Wracając, zajrzałyśmy do publicznego ogrodu. Jestto mały kawałek ziemi zasadzonej brzojami i akacyami żółtymi, między którymi wiją się gracowane drożyny. Tu i owdzie rozrzucone ławeczki do siedzenia; wreszcie jest tam dom zbudowany dla zabawy publicznej.

Może, gdybym zwiedzała w innej porze ten ogród, wydałby mi się korzystniej; ale przy drzewach z liści ogołoconych, które można palcem policzyć, przy wilgoci zresztą i nieczystości nieuchronnej w tej porze, ogródek ten wydał mi się bardzo lichym...

...Dwudziestego siódmego maja, wiosna zaczęła przymilać się pierwszym uśmiechem młodości. Brzozy przy ciepłym wietrze powiewały spuszczone mi warkoczami zieloności, walczącej jeszcze z szarością zimy. Już trawka zieleniała, skromne kwiatki wiosenne nieśmiało wyscibiały do słońca różnobarwne główki. Promienie słońca mocno dogrzewały”.

We dwa dni potem, p. Felińska wypłynęła z Tobolska statkiem należącym do kupca Brahima.

Statek ów, przeznaczony na morze Obkie, dla przyjęcia ładunku ryb, był jeden z większych między odbywającymi corocznie żeglugę na morze Lodowate. Unosić mógł dziesięć do jedenastu tysięcy pudów. Nasza podróżna i jej towarzyszka panna Rzążewska, znalazły na nim przygotowaną dla siebie kajutę czyli mały pokój pod pokładem, jedyny,

jaki się znajdował na statku ciasny wprawdzie, dość ciemny, a nawet zapakowany skórą i wódką, które nie nader miłą woń wydawały, ale nieocenionej wartości, jako własny kącik.

Kilku innych podróżnych mieściło się jak mogło na worach mąki, będącej głównym ładunkiem statku, przeznaczonej na potrzeby Berezowa i Obdorska, a razem jako towar, za który się nabywa ryby lub inne produkty mieszkańców przymorskich. Wory te służyły za siedzenie, łóżka i stoły, a kawał miejsca próżnego w środku statku był jakby salą ogólną.

Podróż wodna, mimo wiatrów czasem przeciwnych i burz na Irtyszu i Obie, szła dosyć szybko.

Irtysz na wiosnę na wiorst kilka szeroko rozlewa swoje mętne wody; płynie bystro, ścieśniony wysokimi górami. Wzniosłe brzegi okryte są lasem po większej części cedrowym; podnóża tych wzniosłości i wyspy porosłe są gęstymi wierzbami.

Kilka zaledwie osad urozmaica widok nadbrzeżny; na północ od Demiańska (200 wiorst za Tobolskiem), znikają wszelkie ślady rolnictwa. W miarę posuwania się na północ znikala zieloność wiosenna, a skracaly się godziny nocy. Zimno było bardzo przykre i wiatr północny śniegu napędzał. Po tygodniu żeglugi, statek minawszy osadę Samarów, leżącą przy ujściu Irtyszu do Oby i będącą środkowym punktem między Tobolskiem i Berezowem, wpłynął na Ob.

Ob toczy swoje bogate wody, przezroczystsze od wód Irtyszu, po szerokiej na wiorst kilkadziesiąt płaszczynie, a rozdzielając się na rozliczne gałęzie, tworzy z niej niezrachowaną prawie ilość wysep, porosłych płaczącymi wierzbami. Po dwóch stronach płaszczyny, wyniosłe brzegi okryte cedrami, modrzewiem i jedliną, rozpoczynają ład panujący nad płaskim łożyskiem rzeki.

Brzegi Oby choć są jedynym zbiegowiskiem ludności całego kraju, bo masa lądu jest niezamieszkałą, przecież tak są puste, że ledwie co wiorst kilkadziesiąt można napotkać jurtę ostyacką. K rajobraz nie zmieniał fizynomii, tylko coraz puściój, puściój: tylko ogromne głazy zaległy wybrzeża i łożysko rzeki, stercząc spod wody łysymi wierchołkami. Zdawało się (mówi p. Felińska), że te masy kamienne w fantastycznych formach porozrzucane w wielkiej ilości, ogromnością rozmiarów chciały sprostać dzikiej wielkości tancecznego przyrodzenia.

Nakoniec opuszczając Ob, podróżni, czternastego dnia żeglugi 12 czerwca wpłynęli na rzekę Sowę wpadającą do Oby, mniejszą od niej, lecz jeszcze bardzo znaczną, i wkrótce dał się na statku słyszeć okrzyk: Berezów! Berezów!

Na ten odgłos podróżni wbiegli na pokład, jakby chcąc własnymi oczami zapewnić się o prawdzie. Po chwili mogli rozeznac miasteczko, złożone z małych drewnianych domków, najwięcej o piętze, ale zecer- niałych od dęszczy. Dwie murowane cerkwie i jeden dom duży, żółto malowany, drewniany jak reszta, zbudowany na wzgórzu, wyróżniały się z ogółu. Wyjawszy stronę przypierającą do rzeki, wokoło las cedro- wy opasywał miasteczko, które zupełnie zdawało się z niego wyglądać.

Jednakże na brzegu mnóstwo ludzi różnej płci, różnego stanu i wie- ku, czekało na wylądowanie statku, witającego ich trzema wystrzałami z małej, ale hucznej armatki. Kolorowe sukienki, mantyle, chustki, pstrzy- ły się jak kwiatki. Ludzi było jak na jarmarku.

Ta ciżba, ten stek ludzi, rozpogodził cokolwiek umysł naszej podró- żnej, wystawiającej sobie Berezów pod daleko smutniejszymi farbami. Lubo bowiem to miasto jest stołeczném powiatu, do gubernii tobolskiej należącego, to przecież w Tobolsku tak niedokładne o nié m panowały wyobrażenia, że pani Felińska mniemała, iż w nié m mléka nawet nie do- stanie, i po drodze kupiła sobie na gospodarstwo krowę.

Ta ostrożność okazała się zbyteczną: była w Berezowie jest dosta- tek; za to nie ma tam targu, bo nie ma okolicznych osad, któreby płoda- mi swemi go zasilaly. Jestto miasteczko w puszczy.

Poznajmy bliżej miejsce, w którém p. Felińska miała przepędzić przeszło dwa lata swojego życia; miejsce sławne pobytém i zgonem Men- żykowa, Dołgorukiego i Ostermana. Ludność Berezowa składa się po większej części z Kozaków, stanowiących straż wewnętrzną kraju. Prócz nich jest kilku kupców, trochę mieszczan i urzędników. Lecz mieszczan- ie, kupcy i Kozacy, wszyscy właściwie zatrudniają się handlem.

„Dzisiejsi Kozacy berezowscy nie przechowali zgoła (mówi pani Felińska) obyczajów męzkich walecznych swych przodków. Widać, że ciągle bezpieczeństwo uspiło w nich wojennego ducha. Wszyscy zgnu- śnieli i zrobili się przekupniami. Tęsknią za piernatem, za wygodami. Widziałam Kozaków dwudziestoletnich płaczących, jeżeli ich przypadkiem ominęła herbata w porę zwyczajną!

Kozacy berezowscy są na ogólnych prawach kozaczyzny w pań- stwie rossyjskiém; każdy mężczyzna z tego pokolenia musi służyć woj- skowo koniecznie od lat 17 do późnej starości. Aby wiek uwolnił od służby, trzeba, aby zwierzchność uznała niezdolność. Wszakże ta słu- żba ogranicza się lekkimi obowiązkami, nie ruszając ich daleko od wła- snych domów. Odbywanie straży w kilku sądownictwach miasta Bere-

zowa i pełnienie służby przy sztabie głównym w Tobolsku kolejno:—oto całe zatrudnienie.

W nagrodę téj służby, rząd uwalnia od podatków i daje mąkę i krupy podług oznaczenia każdemu od wstąpienia do służby.

Z rzędu Kozaków postępują niektórzy na oficerów; wszakże stopień choćby najwyższy daje tylko przywileje osobiste, nie rozciągając się do następców. Syn pułkownika nie jest niczém więcej, jak prostym Kozakiem, i musi wraz z innemi dobijać się stopnia osobistemi zasługami.

Dawniej wolno było Kozakom przechodzić do służby cywilnej lub zapisywać się w mieszczaństwo. Dziś już niewolno.

Wyjąwszy nieuciążliwą służbę, o której wspomniałam, Kozacy tém są w Berezowie, czém u nas żydzi. Są przekupniami, sami nie nie produkując. Niczém się sami nie zajmują prócz handlu, nawet ani rybolostwem, ani polowaniem, wyjąwszy łatwe i przyjemne polowanie na kaczki z sieciami. Ryby, zwierzyny, tak stanowiące przedmiot handlu jak i potrzebne do życia, nabywają od Ostyaków. Do zaopatrywania nawet potrzeb dniowych najmują posługaczy Ostyaków”.

Zmiękczenie obyczajów zdaje się być powszechném na Syberyi. Wszędzie panuje zwyczaj snu poobiedniego. W Tobolsku zamykają nawet natenczas sklepy. Za to wieczorne czuwanie długo się w noc przeciąga, poświęcone ulubionej zabawie gry w karty.

Pomimo tych wad zakorzenionych i braku rolnictwa, panuje w Berezowie dostatek a nawet zamożność między wszystkimi klassami mieszkańców.

„U najbiedniejszej wyrobniczy”, pisze p. F. „co zarabia na życie myciem podłóg i praniem bielizny, znajdziesz na stole chleb dobry, zwierzynę, rybę, pieróg z mięsem lub rybą przynajmniej co święto; codzień herbatę dla siebie chociażby z wywarków, dla gości konfitury; bieliznę cienką białą: inną nikt nie nosi; kilka par pięknych sukien, i jeżeli nie więcej, to przynajmniej choć jedną salopę od święta materyalną, podszytą lisami lub popielicami z sobolowym kołnierzem.”

Ten dobry byt zawdzięcza Berezów handlowi, prowadzonemu na zamianę z Ostyakami i Samojedami. Mąka, noże, siekiery, świeczki, tytuń, paciorki szklane, różno-kolorowe blaszki mosiężne służące do ozdób, nawet perkale, kitajki i sukna w jaskrawych kolorach, zastępują tu miejsce pieniędzy i mienianę bywają w stałych ilościach za futra rozmaitego gatunku, ryby i zwierzynę. Zysk na téj zamianie jest niezmierny. Pud np. mąki żytniej kosztującej w Tobolsku od 25 do 50 kop. as. podróżony transportem o 15 kop. as. wymienia się za skórę białego piesaka, za którą kupcy hurtowi płacą na miejscu w Berezowie rubli as. trzy.

Zyskowny ten handel jest przecież ograniczonym co do wysokości obrotów, a tak mimo dobrego bytu mieszkańców, Berezów nie zdaje się mieć wielkiej przyszłości. Będzie zawsze rodzajem faktoryi, prowadzonej nie na rzecz pojedynczej kompanii, lecz na rzecz wszystkich handlujących rossyjskich. Z ziemi Berezów nic lub mało korzysta. Sieją tam tylko rzepę i rzodkiew. Kartofle w małej ilości sadzone służą do użytku, lecz nie dochodzą znacznej wielkości. Kapusta w głowy się nie zwija, a listki jej używane są tylko do barszczu. Uprawę zboża próbował zaprowadzić przed laty Niżegorodcow, najbogatszy kupiec berezowski. W latach cieplejszych otrzymywał nawet plon ze swoich zasiewów, lecz Berezowianie umyślnie je niszczyli; a gdy Niżegorodcow kazał zasiewy płotem opasać, nieprzyjazna ręka w nocy płot spaliła.

Przyczyną tej niechęci było rozszerzone mniemanie, że skoro powieździe się uprawa, obrócą ich na włóścian rolniczych, i każą się trudnić uprawą roli.

Jeżeli jeszcze dodamy rozmaite jagody rosnące po lasach, trawę i siano dla bydła, wyliczymy wszystko, czem ziemia Berezów zasila.

Za to ma on nieprzeliczone mnóstwo ryb najwyborniejszego gatunku i wszelkiej zwierzyny.

Czytelników szukających opisu stosunków towarzyskich, w Berezowie, odsyłamy do dzieła p. Felińskiej. Napomniemy tylko, że klasy mieszkańców jakkolwiek mieszające się z sobą, różnią się od siebie ubiorem, i klasy niższe ściśle przestrzegają, aby nikt sobie nie przywłaszczał stroju, który mu nie należy; że umysłowa kultura stoi nisko i tylko zamiłowanie w bajkach i cudowności, jedna czytelników w romansom krajowym i tłumaczonym.

W lecie wszyscy prawie Berezowianie wyjeżdżają statkami na morze Obskie, nie tyle dla połowu ryb, co dla nabycia ich przez zamianę od Ostyaków.

W zimie wielu udaje się na jarmark obdorski. Obdorsko leżący przy ujściu Oby do odnogi morskiej, jest w tych stronach punktem zamieszkałym, najdalej na północ posuniętym.

„Raz na rok” pisze p. F. „około połowy grudnia, przyciągają pod Obdorsk ze swemi czumami wszystkie familie koczujące po bezludnej pustyni, przypierającej do oceanu Lodowatego, tak Ostyaki jak Samojedzi nie tylko z powiatu herczowskiego, ale i z gubernii jennissejskiej, dla zrobienia zamian potrzebnych.

Dzieci ci krajowej przywożą tam zdobyte przez siebie futra: kupcy zaś z Tobolska, Surguta i Berezowa przywożą towary zamienne. Z odda-

lonych nawet bardzo okolic, łechtani podniętą dobrych zamian, przywożą płody ruskich wyrobów. Kupczyki z Suzdala, nie uważając na odległość kilku tysięcy werst; przywożą tam drobiazgi, jakoto: igły, śpilki, tasiemki i najokropniejsze sztychy, jak tylko być może, szkoły suzdalskiej. Zaś z gubernii archangelskiej przybywają Zirany, mieszkający nad rzeką Peczerą. Są oni dobrze zbudowani, odważni i przemysłni. Mają swój język odrębny, wszakże dobrze mówią po rusku.

Gdy śnieg upadnie i rzeki pozamarzają, ci mieszkańcy z nad Peczery zaprząwszy reny, przez góry Uralskie przebywając tysiące werst, docierają do Obdorska, a nawet do Berezowa, dla załatwienia swych interesów handlowych.

Przywożą swoje płody i wyroby, jakoto: masło, pończochy wełniane, siomgę, postronki, sieci na ryb łowienie, nici, płótno i t. d. W zamian biorą puch z kaczek, skóry renów i inne skóry surowe, kość mamutową, futra, a nawet czasem mąkę”.

Na jarmarku też obdorskim, sprawnik powiatu wybiera jeśak czyli podatek w futrze od watah czyli pokoleń ostyackich i samojedzkich.

Oba te plemiona wiadą życie koczujące; Samojedy przypierają do morza Lodowatego, Ostyacy koczują więcéj na południe. Piérwsi wyznają szamanizm, drudzy w znacznej części już się nawrócili. Oba plemiona są łagodnego usposobienia, odznaczają się rzetelnością; ale piérwsi odważniejsi i silniejsi, czasem nabawią kłopot umiejscowe władze, czego ciekawy przykład opowiada p. Felińska, udzielając przytém wiele zajmujących szczegółów o tych plemionach.

Poczyniliśmy tyle wyjątków z dzieła p. Felińskiej, a nie wyczerpaliliśmy ani w części wszystkiego, cośmy w niém zajmującym znaleźli. Musimy przecież spieszyć do innych utworów w Athenaeum zamieszczonych.

P. Kraszewski wydrukował w tém piśmie dwie większe swoje prace: Litwę za Witolda, opowiadanie historyczne, i powieść p. t.: Pán i Szewc.

Litwa za Witolda odznacza się łatwością w opowiadaniu, cechującą wszystko, co zpod pióra p. Kraszewskiego wychodzi. Widać przytém, że autor starał się obznajmić ze źródłami i z nowszemi badaniami źródła te wyswiecającemi.

Na tém prawie kończą się zalety, jakie przyznać możemy téj pracy, która, mimo wysokiego szacunku jaki mamy dla talentu pana Kraszewskiego, nie usunęła w nas powątpiewania o jego dziejopisarskiém powołaniu. Kto chce nam przeszłość przedstawić, musi naprzód jéj obraz odtworzyć w swoim umyśle. Jeżeli z pojedynczych rysów, które przechowały dzieje, całej fizyonomii złożył i życiem jéj natchnął nie zdoła, i mar-

twoje tylko rysy przeniesie do swego obrazu: pracajego jakkolwiek ją ubarwi, pozostanie w gruncie kompilacją mniej lub więcej szczęśliwie dokonaną.

Gdzie nad ten poziom pan Kraszewski się wznosi, ulega innemu zarzutowi.

Dawno już powiedziano, że talent powieściopisarza trudno się godzi z powołaniem historyka. Przyczajony tworzyć dowolnie postacie, stawiać je w położeniach przez siebie obranych i kierować według upodobania grą zmyślonych wypadków, pisarz powieści zbyt ściśnionym czuć się musi w opowiadaniu dziejowych wydarzeń; z trudnością przestaje na skromniejszym zadaniu nakreślenia postaci według faktów danych i życia już ubiegłego. Ztąd mimowolny powstaje pociąg zmienić bohatera historyi w bohatera powieści, tego, który był rzeczywiście, na tego, któryby więcej warunkom twórczości dogadzał.

Niezupełnie podobno ustrzegł się tej usterki wydawca Athenaeum. Jego Witold co chwila potrąca się o rzeczywistość dziejową; postać narysowana przez pana Kraszewskiego, widocznie nie przystaje do treści opowiadanych faktów. Sam autor, zdaje się, to uczuwał, gdy nieraz na niewytłumaczone zagadki w działaniach swego bohatera się skarży, (str. 33, tom IIIci), to znowu postępowaniu jego się dziwi, to wreszcie otwarcie z nim się spiera, dość pociesznie pytając się (jak w tomie IIIcim, str. 40): na co było robić to, lub owo?

Dzieje opowiadane przez pana Kraszewskiego tak niedostatecznie są nam znane, że z nieśmiałością jedynie wynurzymy zdanie, w czym mianowicie uważamy postać Witolda za chybioną w obrazie pana Kraszewskiego. Mniemamy, że autor pomylił się dwojako. Usiłował wykryć więcej ciągu i jedności w charakterze swego bohatera, niż na stanowisku uobyczajenia, na jakim się Witold znajdował, być ich mogło; a pisząc pod wpływem nowoczesnych preokupacyj, zbyt wyłącznie chciał widzieć w Witoldzie bohatera narodowości litewskiej.

Tło na którym rysuje się postać Witolda, położenie ówczesne Polski i Litwy, oddane jest dosyć szaro i niewyraźnie.

Są też i usterki z pośpiechu; np. pod rokiem 1411 (Tom V, str. 5), pan Kraszewski mówi, iż Polacy zawsze Witoldowi niechętni, na niego wrzucali winę, iż potomstwu Jagiellowemu niezyczliwy, umyślnie nieprawe pochodzenie synów com swym zadawał:—zarzut przedwczesny, gdy, jak p. Kraszewski o kilkanaście stronnie dalej (str. 23, rok 1413), sam powiada, król wówczas jeszcze innego potomstwa nad Jadwigę nie miał.

Pan i Szewc. Tytuł zapowiada treść powieści. Widzimy w niej stawione naprzeciw siebie dwa światy, dwie różne klasy społeczeństwa, w grę wprowadzone w życie dwóch braci.

W Warszawie, na Starém-Mieście, w biednej izdebce umiera biedna kobieta, pozostawiając dwoje małych sierot. Jedną z nich bierze na wychowanie szewc bezdzietny, imieniem Maciej, drugie, również bezdzietna starościna Mylżyńska; sierotami temi są dwaj bracia: Marek i Jan Porębscy. Starościna oddana życiu światowemu, z początku nie trudni się swoim wychowancem, w którym przecie domyśla się syna swojej siostry; oddaje go naprzód na wychowanie murgrabiemu swego pałacu, gdzie w wielkiej zostaje poniewierce; później troskliwszą o nim mając pieczę, bierze go za pazia. Dziecko pojętne i bystre wczesnie przesiąka zepsuciem wśród którego żyje. Gdy dorósł Jan Porębski, starostwo wysłało go na oficjalistę do Żalic, dóbr swoich w Krakowskiem.

Inne wychowanie otrzymał drugi brat Marek: bogobojne i pracowite. O jednym czasie i tą samą drogą, którą Jan jechał konno do Żalic, szedł Marek pieszo, z tłumoczkim na plecach na wędrowkę do Krakowa. Zaraz za Warszawą na popasie spotkali się dwaj bracia. Nie widzieli się oni od dzieciństwa; lecz każdy z nich wiedział, że ma brata, a uderzony nadzwyczajnym podobieństwem do siebie w drugim, przeczuwał, że w nim tego brata ogląda. Jan chcąc się coś o nieznanem swoim pochodzeniu dowiedzieć, wszedł w rozmowę z Markiem, i z niej dowodnie o pokrewieństwie się przekonał; lecz wzgardziwszy biednym rzemieślnikiem, poznać mu się nie dał; a Marek nieśmiały, o to pokrewieństwo dopytywać się nie odważył. Scena ta pierwszego spotkania się dwóch braci, należy do najszczęśliwiej oddanych.

Jan przyjechawszy do Żalic przewycięża nieufność rządcy do siebie; z żoną jego wchodzi w stosunki i po jej owdowieniu żeni się z nią, a tak razem miejsce i majątek rządcy ogarnia.

Starsza od niego małżonka prędko przecież mu obrzydła; szukał innych miłostek. Wpadła mu w oko w sąsiedztwie Anusia, wnuczka gumienego, który dawniej służył u jego dziadka Lutyńskiego; zaczął ją ścigać natrętnie. Tu po raz drugi spotkał brata, który w powrocie z Krakowa zaszedł był w te strony, pokochał się w pięknej Anusi, i z nią się ożenił, dawszy wprzód dobrą odprawę paniczowi, bo na takiego wyglądał Jan Porębski, gdy w zuchwałém natręctwie miarę przebrał.

Umarła nakoniec starościna Mylżyńska. Jan wynalazłszy w ciągu pobytu w Żalicach dowody swego pochodzenia, zgłosił się do spadku po niej jako siostrzeniec. Zmuszony z powodu wytoczonego przez innych krewnych procesu, do wyjaśnienia swoich stosunków familijnych, wtedy dopiero przyznał, że ma brata; a wyludziwszy od niego za marną cenę odstąpienia sobie praw do spadku po ciotce, sam jeden ją odziedziczył.

Zostawszy bogatym, Jan Porebski sprowadził się do Warszawy, wszedł w wyższe towarzystwo, dostał starostwo i wstęgę, i grał w stolicy rolę spanoszonego dorobkowca. Koniec takiej roli zwykle bywa smutny. Na grę i zbytek strawił Jan Porebski źle nabyty majątek, w końcu zuudzony życiem skrócił je sobie trucizną. Konającego już brata pilnował w chorobie szewc Marek i po śmierci pogrzeb mu sprawił, bo go pochować za co nie było.

Marek dorobił się uczciwej fortunki, żył długo i szczęśliwie. Taka jest krótko zebrana treść powieści.

Niejeden w niej ustęp szczęśliwie zdarzony, niejeden charakter dobrze oddany. Zajęcie obudzone z początku, trwa do końca. Jeżeli mimo tych zalet powieść Pan i Szewc nie dorównywa najlepszym utworom p. Kraszewskiego, tym, w których świetne strony jego talentu najjaśniej błyszczą, przyczynę naznaczylibyśmy w tém, że polem działania jest w tej powieści głównie nie wieś, ale miasto.

P. Kraszewski dziwną ma odrazę od miasta i miejskiego życia. Odrazę tę, lub przynajmniej brak wszelkiej sympatii, często nawet wynurzać lubi. O gust indywidualny, bacząc na przysłowie, spierać się nie będziemy, lubo mielibyśmy ochotę: bo uważamy, że gust ten jest w wysokim stopniu anty-cywilizacyjny. Ale łatwo pojąć, ile podobne usposobienie jest niekorzystnem dla pisarza malującego życie miejskie.

Zamiłowanie jest pierwszym, nieodzownym warunkiem udania się każdego artystycznego dzieła. Brak tego zamiłowania wyraźnie czuć się daje w obrazkach miejskich p. Kraszewskiego. Brud i ciasnota tak nieodłącznie towarzyszą u niego każdej sconie miejskiej, że w końcu jednostajnością cikliwość obudza. Usiłując oddać mowę pospolitego ludu w Warszawie, okazuje, że jój z ust tego ludu nie słyzał; używa prowincjonalizmów zupełnie tu nieznanych, pisze np. *taki* w znaczeniu *przebież*. Czucie i rozumienie natury, doskonała harmonia każdej postaci z otoczeniem, wśród którego pan Kraszewski przywołuje ją do życia; znakomite przymioty, któremi autor Budnika i Ulany nad innych naszych powieściopisarzy celuje—nie znajdując dla siebie w miejskich murach dość rozległego pola, maleją i schodzą na sztukę zręcznego dobierania drobiazgowych akcesoryów, w czém znówu zanadto widoczne jest ubieganie się za efektem, choćby ten miał być osiągnięty kosztem barwy miejscowej i historycznej wierności obrazu. Czytając niejeden ustęp powieści pana Kraszewskiego, wydawało nam się, jakby autor ją zawiele napatrzył się obrazów flamandzkiej szkoły, lub raczej jeszcze, jakby zawiele naczytał się nad niemi niemieckich komentarzy.

Usprawiedliwmy to na przykładzie. Izbę w której umarła matka Jana i Marka, p. Kraszewski tak opisuje:

„Izba w której się to działo, okazywała najostatniejszą nędzę; nic w niej sprzętów, nic, coby obiecywało chleb powszedni na jutro. Słoma na której leżała nieszczęśliwa matka, była nawpół przegniła; ubranie zmarłej w łachmanach, dzieci lepiej trochę odziane, ale i ich sukienki ze szmat się składały, pozszywanych tylko dla ogrzania. W kącie na ławie drewnianej walały się: miska czarna i próżna, garnek rozbity, dwie łyżki drewniane i nóż w prostej drewnianej oprawie, jakiego po wsiach do krajania chleba używają. Na ścianach po ćwiekach wisiały podarte szmaty odzienia, okryte kurzem, rzucone na ćwiek z rozpaczą, bo już się na nie nie przydały. U pieca dawno zgasłego, walał się wygrzebywany popiół, w którym nie było już ani jednego węgla; łupiny kartofli zgryzione do szczytu, okrywały podłogę; w dzbanie wody nie stało, leżał wywrócony i suchy”.

Obrazowi temu zaiste nie brakuje efektu; widne w nim bogate traktowanie akcesoryów, lecz nie jestże niemi przepełniony? Malarzowi przystałoby nagromadzenie tylu dosadnych szczegółów: ów rozbity garnek, dzban wywrócony, i popiół bez jednego węgielka. On nędzy zmarłej inaczej wystawić nie może: jego sztuka przemówić niezdolna, sili się aby dać poznać, co chce wyrazić. Ale p. Kraszewski władając słowem, zapoznaje granice jego potęgi, gdy, mogąc wszystko co zechce nazwać i wypowiedzieć, przyzywa w pomoc tylu symbolów. Zapomniał, że nie pędzel, ale pióro ma w rękę; że w izbie do której nas wprowadza, powinien nam pokazać to tylko, na cobyśmy sami będąc obecnymi zwrócili uwagę. Nikt przecież w obec umarłej kobiety i dwojga płaczących sierot, nie będzie spisywał w swój pamięci inwentarza pozostałych sprzętów, i nie będzie przypatrywał się im tak, jak się przypatruje obrazowi flamandzkiej szkoły lub rycinie Hogartha. Ta zaś: „rozpacz z jaką rzucono na ćwiek szmaty odzienia, bo się już na nie nie przydało”, żywo nam przypomniła komentarze niemieckich estetyków.

Przywiódłszy sobie wreszcie na pamięć, że rzecz się dzieje na początku panowania Stanisława Augusta, a może jeszcze za Sasa, wolelibyśmy nie widzieć owych łupin kartoflanych okrywających podłogę; w tych czasach kartofle nie wchodziły w skład artykułów, stanowiących pożywienie ludności ubogiej. Barwę historyczną poświęcono tu dla efektu.

Wolnym od tych wad, naturalniejszym, a więc piękniejszym jest opis domku, w którym Marek w powrocie z Krakowa szuka wypoczynku, i gdzie poznaje Anusię, przyszłą żonę swoją i jej zgrzybiałego dziada.

....Ku schyłkowi dnia znalazł się (Marek) przy małej chatce, przypartej do spadzistego wzgórza, obwitemi krzaki pokrytej. Słońce zachodzić miało, a podróżny był znużony i zrażony; usiadł więc na kamieniu, i rzuciwszy tłomoczek i kij przy sobie, naprzeciw chatki spoczął. Malownicza to była, choć biedna lepianka. Co za sztuka w tej niewytwornej budowie! Jedną ścianę zastąpiła góra kamienista; drugą w części stanowił bok parowu; pozostałe dwie z niezmierną pracą związane z pniami, gałęzi i kawałków drzewa, cudem prawie dach na sobie trzymać się zdawały. Dach ten garbaty porastał prześlizgny mech zielono-aksamitnego koloru, którym Bóg stroi stare dęby i ubogich strzechy upadłe. Ponad nim wyglądał troszeczkę stary także i szczyrbaty wierzch komina. Brzozy i sosny na szczycie pagórka porosłe, tuliły chatkę zewsząd i osłaniały. Do jej drzwi wypaczonych trzeba było wchodzić po kilku kamiennych chwiejących, a okienko patrzące na południe, tak było małe, tak oszczędnie zaszkłone, że ledwie światelko wpuszczać musiało. Z drugiej strony chaciń, gdzie nie przypierała do parowu, kawałeczek lichej niwy obrzucony kamieniem, obrosły tarnem stanowił ogródek, z którego tylko wychyliła się dynia, ze swemi liśmi ogromnemi, żółtym brzuchem i żółtym kwiatem.

....Marek wpatrywał się z jakimś zadumaniem w drzwi chałupki.

Ostatnie słońca blaski padając na dach i główną ścianę lepianki, złościli ją zalotnie, jakby naumyślnie.

Na ciemniejszych barwach parowu i szarych kamieni, gałązki brzozy i drobnych krzewów, odskakiwały ożłoczone silnym światłem misternie, i drżały w powietrzu migając. Stado szarych wróbli polatywało nad gałęziami świergocząc.

Gdy Marek jeszcze poglądał na drzwi przymknięte ciekawie, ze skrzypem uchylily się powoli i starzec z siwą, długą brodą, w szaraczkowej sukmanie, z kijem w rękę, wysunął naprzód głowę, potem bosą nogę żylastą, aż i cały stanął na kamieniu próg stanowiącym. Zdawał się chcieć przypatrzeć podróżnemu, i zdaleka, zgasłym głosem odezwał się do niego: „Niech będzie pochwalony. Może drogi szukacie?” i t. d.

Po tym obrazku spodziewamy się, że czytelnicy pogodzą się z powieścią p. Kraszewskiego, a on sam, jeśli nas czytać będzie, ze swoim recenzentem.

Gdyby nie obawa o świeżo zawartą zgodę, powiedzielibyśmy jeszcze, że nas raziło cokolwiek tak w tej, jak w innych powieściach p. Kraszewskiego, malowanie charakterów i scen nieszlachetnych w taki sposób, że zdawałoby się mogło, iż autor znajdował szczególne upodobanie w tego rodzaju obrazach; że nauki p. Maciejowej dawane Markowi

wcale nie są tak proste, jak je p. Kraszewski być mieni i jakimi zapewne były w ustach stariej szewcowej, że... Ale dosyć już tego.

Powieść p. Pługa pod tytułem: *Spowiedź*, nie jest ani lepsza, ani gorsza od wielu innych; nie zatrzyma też nas nad sobą, tak jak owe duchy ani złe ani dobre nie zatrzymały poety, który o nich powiedział:

„Non ragionam di lor ma guarda e passa”.

Autor okazał nieco więcej talentu w małym obrazku, zamieszczonym w tomie V Athenaeum na rok 1850. Godzi się zostawić mu czas do dalszych prób.

Tak szybko przebiegniemy *Listy z podróży* Karola Drzewieckiego, jak on przebiegł Egipt i Nubię. Musi nam wybaczyć szanowny podróżny, że go tak bez ceremonii rzucamy; ale nam spieszo do Pamiętników jego ojca, Józefa Drzewieckiego.

I pocóż zresztą zatrzymalibyśmy się? Obyczajowych obrazów w których kreśleniu istotnego talentu dał dowód pan Drzewiecki w swoich Kontraktach, nie znajdujemy prawie wcale w Listach z podróży. Osnowa ich nie przechodzi zwykłej miary turystowskich opisów. Prawdziwie mielibyśmy ochotę uwierzyć na słowo autorowi, gdy list pierwszy do p. Kraszewskiego zaczyna od słów:

... „Bawiliśmy trzy dni w Nubii, żeby u was powiedzieć... widzieliśmy w Nubii, albo, kiedyśmy byli w Nubii”....

Szóstą większych rozmiarów pracą w Athenaeum pomieszczoną, są *Pamiętniki* żyjącego jeszcze Józefa Drzewieckiego.

Józef Drzewiecki urodził się na Wołyniu w Krzemienieckim, w roku 1772. Szkoły odbył w Krzemieńcu, właśnie w czasie przejścia z wychowania danego przez ex-Jezuitów, na dawane przez uczniów akademickich. W roku 1792 obrany w Krzemieńcu delegowanym na obchód rocznicy, przybywszy do Warszawy, uczestniczył w uroczystościach z tego powodu odbytych. Wrócił potem na Wołyn, czas jakiś przepędził w Galicyi, później użyty do różnych działań w roku 1794, pod Maciejowicami dostał się w niewolę. Wyszedłszy z niej w roku 1796, powziął zaraz myśl, udania się do tworzących się podówczas włoskich legionów. Towarzyszył mu w tej drodze przebrany za służącego Książewicz. Przez Kraków, Wiedeń, Pragę dostali się podróżni do Karlsbad; stamtąd już niedaleko stały posterunki francuzkie. Przyjęci gościnie i z współczuciem przez generałów Soult'a, Championnet'a i naczelnego wodza armii francuzkiej, w Niemczech Hoche, zdziwili się podróżni, gdy ledwo co przejechawszy granicę francuzką, zupełnie tam przeciwne znaleźli usposobienie.

„Nietylko” mówi p. Drzewiecki „że nam odmówiono doświadczo-nych wygod i pomocy, ale nawet drogo płacąc, ledwie ich dostać od niechętnych mogliśmy. Gdyśmy się odwoływali, że jesteśmy republikanie, z gniewem odpowiadano, jeśli podobni naszym, to bodajbyście nie przyjeżdżali do nas... Narzekania wszystkich rozczarowały naszą ufność, z jakąśmy Francją ujrzeć się spodziewali, a w ogólności powszechnie były przeciwko rewolucyom żale.”

Dojechawszy do Nancy, zawrócili nasi podróżni, zrażeni takim przyjęciem, na drogę ku Szwajcaryi. Przez Zürich, Lausannę i górę św. Bernarda dostali się do Włoch.

Odtąd zaczyna się właściwy interes pamiętników p. Drzewieckiego. Historia jego życia aż do r. 1801 ściśle jest związana z historią legionów. Nie braknie przecież zajmujących szczegółów i w pierwszej, wstępnej niejako części pamiętników.

P. Drzewiecki lubo bardzo podówczas młody, miał stosunki z ludźmi znakomitą rolę w wypadkach krajowych grającemi; sam był czynny w różnych kierunkach, a co widział, w wiernym wspomnieniu dochował.

Polacy w armii Bonapartego stali wówczas pod Wenecją, której Sułkowski zawiózł był wezwanie do poddania się. Uśmiechały się im nadzieje zwycięstw i przyszłych powodzeń, i pocieszały w przykrą rzeczywistość. Włochy z niechęcią widziały u siebie Francuzów. Weronę powstała, a jej zdobycie Liberacki życiem okupił. Bonaparte chciwym nadziei wskazywał ją zdaleka; lecz nie nie dawało rękojmi, żeby ich uważał za coś więcej, jak za narzędzie swojej polityki, żeby na chwilę wahał się ich poświęcić, gdy to uzna dla siebie potrzebnym. Wierzone też może więcej jego gwiazdzie niż jego słowom. P. Drzewiecki, który mu się przedstawiał wraz z Książewiczem, nie okazuje dlań wielkiego entuzjazmu, ani nie podaje wskazówek, żeby ten entuzjazm w legiach panował.

Oddano Książewiczowi dowództwo pierwszej legii; zaczęto formować drugą, sposobiono się przenieść wojnę bliżej kraju. Niebawem nagle nastąpiła zmiana. „Jednego wieczora” pisze p. Drzewiecki „przylatuje adjutant Bonapartego z własnoręcznym jego listem. Ja pokój zawieram, zapewne krótkotrwały; wojsko wasze jest z żołnierzy austriackich złożone, na ten odgłos możeby swoje chorągwie opuściło; w chwili odebrania rozkazu wyruszaj WPan forsownym marszem i aż w Bolonii się zatrzymasz, i tym sposobem się ocalisz.

Generałowie potracili głowy: puszczone krew Wielhorskiemu, zachorował Dąbrowski, Książewicz z połowę swęj energii utracił, legią jednak poprowadził.”

W takie nagle przejścia od nadziei do zwątpienia obfitowały tamte czasy.

Legie weszły w służbę rzeczypospolitej Cyzalińskiej. Bez upoważnienia od jej rządu, opanował Dąbrowski St. Leo, zamek papieżki, stanął w Pesaro, Fano i zajął Urbino. Nie spodziewane okoliczności usprawiedliwiły ten napad; wkrótce odnowiła się wojna, a na legie przyszła kolej stanąć załogą w Rzymie. Po drodze w Imoli poznał autor kardynała Claramonte, później Piusa VII. W Lorecie odprawiły legie wspomniały obchód. Po zajęciu Rzymu przyszła kolej na wojnę z Neapolitańczykami. Jeden ich oddział spędził z placu Książewicz pod Falari, drugiemu zabrał obóz Chłopiński pod Maliano, całe wojsko rozproszonym zostało bez walnej bitwy. Wszystko to dokonano małemi nadpodziw siłami, przeciw armii kilka razy liczniejszej i wśród nieprzyjaznego ludu, nie bez spółdziału jednak i tajnej pomocy ze strony klas wyższych. „Kaźdegoby to może zastanowiło, co mi nieraz naówczas przychodziło na myśl” mówi autor. „Francuzi mieli za godło swobody ludów, lud przecie był z ich nieprzyjaciołmi; oni u siebie arystokracją zgnębili, a do ich falkcyj najznakomitsze imiona w państwie Neapolitańskim należały. Mogło się to nieco tłumaczyć tćm, że królowa i Acton który jej przewodniczył mieli osobistą do możniejszych odrazę, a możni przesiąknieni nieważnością i nowych wyobrażeń choiwi, z cudzoziemoami i filozofią się bratali.”

Po zajęciu Neapola, Książewicz odjechał dla odwiezienia zdobytych trofeów do Paryża. Towarzyszyli mu w tej drodze: nasz autor, Kossecki i syn Dąbrowskiego. Czekali ich w stolicy Francyi świetne, chociaż chłodne trochę przyjęcie. Pobyt w Paryżu przedłużył się staraniem o ustalenie bytu legii i pomnożenie ich liczby. Rzeczy szły oporem. Garat, z natchnienia Bonapartego który obalił dyrektoryat i objął stćr rządu, dawał zupełnie przeciwne rady. W końcu przyszło przecie do utworzenia legii naddunajskiej pod dowództwem Książewicza. Drzewiecki został w niej szefem batalionu.

W Paryżu miał autor najwięcej styczności z bawiącemi w tej stolicy ziolkami. Mieszkając razem z Książewiczem, zaszczycony zaufaniem Kościuszki, ciekawe o nich i kilku innych znakomitościach naszych podaje szczegóły.

Legia naddunajska odpowiedziała swojej nazwie; w kampanii 1800 roku przeciw Austrii, odznaczyła się w bitwie pod Hohenlinden: należąc do przedniej straży nasz autor stanął w Kremsmünster i Hall. Czekano niecierpliwie dalszych wypadków, doczekano się tylko traktatu lunewilskiego. Legie miały przejść w służbę którego z nowo utworzo-

nych państw włoskich. Część ich zamierzono usunąć z przed oczu Europy, przez wyprawę do St. Domingo. Nie chciał dzielić tych nowych a smutnych kolei szanowny autor. Widzimy go jeszcze na chwilę we Włoszech, sprawującego obowiązki komendanta placu w Siennie, później za urlopem zwiedza Neapol, nakoniec bierze zupełne uwolnienie ze służby.

Na tém kończą się, a raczej przerywają pamiętniki p. Drzewieckiego; wydawca Athenaeum czyni nadzieję, że dalszy ich ciąg nastąpi. Do jego prośb wszyscy czytelnicy dołączają swoje.

Ton panujący w pamiętnikach p. Drzewieckiego jest tonem niezłomnej prawości, wzbudzającej zupełne zaufanie w wiarygodność opowiadanych wypadków. Pisane po długim lat upływie, co straciły na świeżości doznanych wrażeń, zyskały na spokojnym i pogodnym wejrzeniu na rzeczy i ludzi. Autor mówi o sobie wtedy tylko, gdy tego uniknąć nie może, a jednak od początku do końca czujemy, że tu maż powszechnie szanowany opowiada swój zaszczytnie spędzony żywot. Pod tym względem pamiętniki p. Drzewieckiego są rzadkiem w naszym czasie zjawiskiem, i za wzór postawione byćby mogły.

Przejdźmy do rozbioru prac drobniejszych.

Kalifornia, Kaukaz i Algier, na tém się ogranicza wiadomość nasza o krajach odległych, o ile ją z pism krajowych czerpiemy. Poza te fatalne szranki wystąpiło Athenaeum, chociaż i w niem czytamy o Kalifornii, Kaukazie i Algierze, pozwalając nam, pod obcym wprowadzie przewodem, odhyc wycieczkę do ruin Niniwy i monasterów Wschodu. Wyżej już wspomnieliśmy opisy Syberyi i Egiptu. Oddział ten odznacza się jeszcze w Athenaeum artykułem niepospolitego interesu o Kaukazie. Mówimy tu o niewoli u Szamila, opisanéj w liście z cyfrą A. Z.

Nieznanym autor wzięty do niewoli w kumyehskim zamku w miesiącu marcu 1842 r. przebył w niej ośm miesięcy srogiogo obchodzenia się, z nim za wymianą jeńców wolność odzyskał. Szamila niepoehlebnie opisuje, nie przyznając mu ani wyższych talentów wojskowych, ani gieniuszu wielkiego rządecy i kładąc w fanatyzmie całą jego siłę. W wojnie, jaka się rozpałiła na Kaukazie, widzi autor walkę islamizmu z chrześcijaństwem, Azji z Europą. „Teraz” mówi „mieszkaniec gór opuszcza swą kryjówkę i rzuca się do boju nie dlatego tylko, aby zabrac u nieprzyjaciela trzode bydląt lub koni, lecz aby zabić giaura i zasłużyć na nagrodę w przyszłym życiu.”

Zaraz po opisie niewoli u Szamila spotykamy (t. IV r. 1850) dobrze napisany artykuł p. t.: Kilka zarysów z życia wiejskiego ludu w Kobryńskim. Żałujemy tylko, że te zarysy tak są krótkie, zwłaszcza gdy stanowią jedyny w tym rodzaju artykuł w Athenaeum. Autor załączył kilka

pieśni w téj okolicy śpiewanych; objaśnienie w jednéj z nich wyrazów „za tesowym stołem” przez *stół gładki i biały* (str. 180), nie zdaje nam się trafne. Raczej tu będzie mowa o stołach cisowych tak często w polskich pieśniach ludu wzmiankowanych.

Zastępują jeszcze na uwagę zamieszczone w Athenaeum materiały historyczne. Zgadza się z szanownym wydawcą (t. I, r. 50, str. 7), że w pismach czasowych i zbiorowych, przedmiotom bieżącym poświęconych, dokumenta historyczne wyjątkowo tylko miejsce znaleźć mogą. To też w udzielaniu ich Athenaeum nie przebrało miary. Dwa tylko pomniki przeszłości pomieściło, i oba chętnie tam widzimy. Przywilej fundacyjny kościoła w Obolcu, nadany przez Władysława Jagiełłę w Wilnie w r. 1387, w wilią św. Katarzyny, ważny czasem nadania i treścią, drukowany jest według oryginału w archiwum archikatedry mohylewskiej znajdującego się. Załować należy, że w wyczytaniu czy w wydrukowaniu tego przywileju zaszyły omyłki. Zamiast np.: „decimas post araturas nostras de singulis *acloriis* nostris (str. 5 w. 7 do 5 od spodu, Athenaeum, t. I, r. 1850), widocznie winno być w końcu: de singulis *alodiis* nostris (1).

Ciekawy jest również wyciąg z księgi Lauda miasta Słucka z lat 1654—1659 (t. III, r. 1850).

Do archeologii krajowej szacownym materiałem jest opis zamku Siesickiego koło Wilkomiérza i zebranych w nim starożytności (t. I,

(1) Wyraz *alodium* błędnie bywał u nas rozumianym, dlatego objaśnienia niejakiemu wymaga.

Alodium pisało się czasem *olodium* (u Rzyszcz. t. I, str. 331), a nawet *holodium*. Starożytna Polska t. II, str. 152, w opisie Żarnowca nad Pilicą przytacza wyjątek z lustracyi 1564 r., w którym między przedmiotami opodatkowanymi znajdujemy: „Holodia, de holodiis 6 per 1 gr.” W przypisku dodano: „Akta tryb. piotrk. z 1699 r. wyjaśniają, iż *holodium* znaczy stodołę”. Nie znamy aktu, na jaki mianowicie wydawcy się powołali. To pewna, iż *alodium* bardzo często w dyplomatach naszych od XIVgo wieku się napotyka. U Rzyszczewskiego wyraz ten opuszczony, jak wiele innych, w indexie, czytamy w t. I, str. 35 (r. 1232), str. 38 (1233), str. 329 331; w tomie II str. 367, 372, 416, 444, 447 (wszystko z XVgo wieku pierwszej połowy). Pierwszym z kronikarzy naszych u którego *alodium* napotkać nam się zdarzyło, jest żyjący w XIV wieku Jan z Czarnkowa archidyakon. U niego, jak w powołanych dyplomatach z XVgo wieku, *alodium* znaczy folwark, a to tak grunta, jak zabudowania folwarczne, i o tyle tylko mogło oznaczać stodołę. Znaczenie *alodium* w cytowanych dyplomatach XIIIgo wieku jest dla nas wątpliwem. W każdym razie folwark i gospodarstwo folwarczne występuje w pomnikach naszej przeszłości wybitniej dopiero w XIVtym wieku.

Z dyplomu Jagiełły okazuje się, iż włościanie nie byli przezeń poddani pod obowiązek dziesięciny.

r. 1850). Do historyi sztuki odnosi się artykuł o rytowniku Falcku przez p. Kraszewskiego (t. II, r. 1850) wyliczający 155 dzieł tego artysty!

Krytyka mała w Athenaeum miejsca zajmuje i nie wybitnego nie przedstawia; nie możemy jednak pominąć korespondencyi literackiej (t. V, r. 1850), odznaczającej się zdrowym zdaniem i trafnością sądu.

Tyle o Athenaeum.

Rubon, pismo zbiorowe wydawane przez p. Bujnickiego, wydało w r. 1849 piątą swoją seryą, tomy 9 i 10. Zadaniem pisma jest, jak się wyraża wydawca, być pamiętnikiem intelektualnego ruchu swęj krainy, t. j. okolicy naddziwińskiej. Przedsięwzięcie chwalebne; żałujemy tylko, że intelektualność tameczna nie znalazła dla siebie lepszej firmy. Pod redakcją p. Bujnickiego Rubon, choć w Wilnie wydawany, w takim prawie stosunku zostaje do Athenaeum, w jakim niegdyś akademii polocka była względem uniwersytetu wileńskiego.

Bardzo mało artykułów Rubona wywołuje szczegółowy rozbiór. Ogólne stanowisko tego pisma zdaje nam się przecież przedmiotem godnym zastanowienia.

W przedmowie do piątęj seryi mówi pan Bujnicki:

„Chcieliśmy dostarczać czytelnikom pożytecznej rozrywki; sądzymy bowiem, żeśmy jeszcze, Bogu dzięki, nie dożyli tych czasów, w których ludziom ucywilizowanym pożytecznie nawet bawić się wolno nie będzie; tęg epoki, w której wszelka rozrywka uważać się będzie za coś niegodnego ludzi myślących, i udziałem dziecinnego wieku i prostego gminu pozostanie. Ku tęg następności zdają się chcieć usposabiać młode pokolenie z jednej strony żarliwi wyznawcy systematów filozoficznych, czyli tak nazwanego umnictwa (!), z drugiej zaś zwolennicy wyłącznie utylitarnych dążeń”.

Już z tych słów widać, jak mała wydawca jest w stanie zdać sobie sprawę z ruchu umysłowego naszego czasu; jak zaś mała obznajomiony jest z objawami tego ruchu, czyliż na to lepszego potrzeba dowodu, nad ten, iż za jedno bierze „tak nazwane umnictwo” i systemata filozoficzne?!

Próżnémby było usiłowaniem chcieć wywieść go z błędu. Na szczęście, możemy inną oddać mu przysługę. Możemy rozprószyć chmurę troski, która czoło jego oblega, możemy go zapewnić, że dręczące go czarne przewidzenia nigdy się nie ziszczą, że zawsze pozostanie liczne koło wiernych, którzy w czytaniu pożytecznej rozrywki szukać będą, a na poziomie Rubona i pisma równego z nim polotu ją znajdą. Tylko, czyli ci czytelnicy nie będą pomówieni o należenie do dziecinnego wieku ucywilizacji, czyli nie będą uważani za prosty gmin w krainie umysłowej—w tęg

wydawcę Rubona uręczyć nie śmiemy. Złośliwość tego zepsutego wieku jest tak wielka!

Kto przecież tak walecznie jak szanowny wydawca z przeciwnikami sobie poczyna, ten do obawy słusznego nie ma powodu. Rubon wywiązał się z przyrzeczenia. Zapelniony jest rzeczami do sprawienia rozrywki zmierzającymi, a rozrywka zawsze jest pożyteczna—dla tych, którzy na nią przez pracę zasłużą. *Umniectwo* już na samym wstępie wydawca niemałe ciosy zadał; w ciągu dzieła, przybył mu jeszcze w pomoc i porażki dokonał doświadczony w tych zapasach bojownik, pan Michał Grabowski. Naprzeciw hydrze utylitarnych dążeń wreszcie, sam wydawca wystąpił do walki i byłby niezawodnie ten potwór zwalczył, gdyby mu za jedną uciętą głowę, siedm innych nie odrastało.

Tyle jest pobudek, żeby się nie troszczyć o los Rubona. Czyliż przeto symptomata, które zatrwożyły wydawcę, mniej są rzeczywiste? Przetłumaczmy język jego na naszą mowę, odrzućmy jego pojmowanie rzeczywistości, a przypatrzmy się jój samój.

Był czas, kiedy przychodziło na świat występujące dziś na jego widownią pokolenie; był czas, mówimy, ogólnego zapału dla sztuki, ogólnego zajęcia się jój utworami. Sztukę obwołano samą dla siebie celem; w istocie, była ona przynajmniej jednym z celów swojej epoki. W utworach sztuki szukać innych warunków, przymierzać je do innych, niż uczucie piękności, potrzeb człowieka, uchodziło za prozaiczność, za myślenie poziome. Ówczesne francuzkie hasło: „sztuka dla sztuki” *l'art pour l'art*, brzmiało i w naszym obozie, i zapewniało przyjęcie każdemu, kto je miał napogotowiu.

Kiedy Brodziński chciał ruch ten bezwzględny miarkować, kiedy w rozprawach swoich potępiał obojętność artystyczną na wyższe cele istnienia, przypominał sztuce jój obowiązek uzacniania natury ludzkiej i przywoływał na pamięć starożytne godło poezyi: „emollit mores, nec senit esse ferus”; głos jego w młodszym pokoleniu niechęć tylko wywołał: a my, jeżeli z wynurzeniem wdzięcznego uczucia, osobiste wspomnienie łączyć wolno, my, dla których wówczas w umysłowym świecie, słabe zaledwie świtało zaranie, w słowach niezapomnianego pisarza czerpaliśmy pierwsze pojęcia wyższej godności piśmiennictwa i sztuki.

Małośmy przewidywali wówczas, że nim zestarzeje się pokolenie, które mieliśmy przed sobą, nim zgasną wszystkie świeczniki, które młodości jego zabłyły, popęd równie bezwzględny, równie gwałtowny jak tamten, porwie umysły w przeciwną stronę, i że równa raz doświadczonej niechęć, spotkałaby może, gdyby tych czasów dożył, przewodnika, który z prostej nie zbaczając drogi, tak dziś zbłąkanym wskazałby ją na lewo, jak wówczas wskazywał na prawo. Tak przy dnia zachodzie, wędro-

wiec chociaż swój drogi nie zmienił, widzi cię padający w stronę przeciwną téj, na którą padał z rana.

Skończyła się wielka epoka naszej poezji. Widzieliśmy jęj kwiat ostatni, tak pełny wytworności i wdzięku, samotnie kwitnący, jak czasem w pogodną jesień, na krzaku który tylko wiosna pełnym wieńcem ozdobić może, zakwitnie samotna róża. Jęj tylko jednęj mróz nie zaszkodził; inne pączki zima zwarzyła.

Publiczność z oklaskiem, jak niespodziewane zjawisko, przyjęła Kirgiza. Byli tacy, których gniewała niespodzianka, którzy w sercu mieli pytanie, choć go wynurzyć nie śmieli: po co kwitniesz piękny kwiatku? to nie wiosna!

Innego rzędu utwory już były owały umysł publiczny, utwory takie, że wobec nich estetyczna krytyka, choćby najgłębięj w swój przedmiot wnikająca, wyznać swoje niedostateczność musiała. Forma była tam na drugim względie; proza poetyczna lub rytm ubogi świadczył widocznie o jęj upadku, a treść w swojej mistyczno-lirycznęj zawilości była, jeśli tak rzec wolno, tak bezkształtną jak forma.

Gdzie utwory poezji w takięj się postaci ukażą, i spólczenie znajdują, tam na zegarzo umysłowym narodu godzina poezji już przeminęła; tam nadszedł czas na krytykę, na nauki społeczne i przyrodzone, na filozofią, na przemysł. Treść i forma, których doskonała harmonia jest warunkiem dzieł sztuki powaśniły się z sobą: harmonia upadła przewagą treści; zawsze to lepiej, niż gdyby upadła przewagą formy.

Jeżeli z kolei rzeczy uczucie piękności ustąpić musiało pierwszeństwa innym poważniejszym, tém więcj czuwać powinniśmy nad jego czystością, i podnosić jego ważność w sferze uczuć ludzkich. Nie w porę przyszedłby ten, ktoby teraz chciał podnieść kamień na panującą niedawno teorią: sztuka dla sztuki. Jeżeli pogrześć ją potrzeba, niechże ten pogrzeb odbędzie się ze czeią zmarłym przynależną. Względem tych, którzy do poziomych i podrzędnych celów sztuki nadużywają, zawsze ona prawdziwą zostanie.

W ten sposób rozumiemy koleje naszej literatury, i takie znaczenie mają dla nas skargi wydawcy Rubona. Żyjąc w zakątku, gdzie słabo drga życie umysłowe, a ruch literacki jest prawie żaden; pan Bujnicki obraz spólczesnęj umysłowości tak skreślił, jak się oczom jego przedstawiał, a my z uzaleń jego wniesliśmy, co zresztą sama treść pisma stwierdziła, że pierwsze powiewy nowego prądu umysłowego zawitały już i w ustronie naddziwińskie. W Rubonie to tylko prawie zasługuje na uwagę, co w jakikolwiek sposób z nowym kierunkiem się łączy. Użyteczność i filozofia tyle naganione w przedmowie, wydarły tam palmę literaturze.

Wydawca uszykował swoje zastępy we trzy szeregi. W pierwszym stoją rzeczy poważne, w drugim literatura, do trzeciego zopchnięte zostały rzeczy użyteczne. W pierwszym dziale mieszczą się czasem artykuły, którebyśmy zaledwie do najlżejszej *literatury*, mówiąc językiem wydawcy, zaliczyć chcieli. Tu należy np. przejażdżka do Odessy, pana A. P. tego samego zapewne, co czytelnikom Rubona dał się poznać z zamieszczonego w tomie VIIym tego pisma, opisu wycieczki do Prus; opisu godnego mieszkańca Kafirryi lub Nowej Zelandyi, i na który, jako na rzadką w swoim rodzaju osobliwość, uwagi czytelników dość zwrócić nie możemy.

Czasem przecież rzeczy poważne w istocie zasługują na to miano. Może być, że pan Grabowski w swojej polemice przeciw młodym pisarzom kijowskim, za ich argumenta, z dziesiątój, jak mówi, ręki brane, podobną odpląca się monetą; spór w ten sposób prowadzony, może być, że przypomni komu walkę dzieci rzucających na siebie znalezione na pobojowisku kulami, co choć losu wojny nie rozstrzygnie, zawsze przecież którego z walczących guza nabawić może, a w każdym razie niepospolitego męstwa i poświęcenia dla dobrej sprawy niezaprzeczonego stawi dowód. Wszystko to, powtarzamy, być może: nie mniej przeto artykuł pana Michała Grabowskiego jest poważny, i co mu za większą zasługę mamy, choć polemiczny, napisany z umiarkowaniem i pewną godnością.

Nawet życie Mahometa, przez wydawcę, choć bez samoistnej wartości, nie na własnych studyach oparte, w poważnym dziale mieścić się ma jakieś prawo.

Nie możemy tyle dobrego powiedzieć o całym dziale literatury. Zupełna tam i najopłakańsza nicość. Łaskawi czytelnicy nie żądają zapewne po nas, żebyśmy im dawali dySSERTACYĄ *de nihilo*. Musimy więc dział ten zostawić bez rozbioru. Przejrzelismy cały dziesiątek tomów Rubona, i przekonaliśmy się, że wszędzie tak samo. Jeden tylko talent czasem, jak gwiazdki promyk niepewny! przedrze tę grubą mgłą pomrokę. Lecz i ten talent (pan Ignacy Chrapowicki) przypominający nutę Zaleskiego, to raczej poetyczna dusza, niż poeta. Śpiew jego, jak dźwięk gitary, indywidualne uczucie wynucić zdoła, tłumy nie poruszy.

Poeta nie dla siebie tylko, dla drugich śpiewa. Władzące nim uczucie z uczuciem słuchaczy zlewać się winno; i takie tylko podzielone, zbiorowe uczucie pieśni jego nadać może ogólniejsze znaczenie. Tego właśnie panu Chrapowickiemu niedostaje. Czuje on i rozumie poezją ludu, dał tego dowód w pięknej swojej rozprawie: „O poezji ludu białoruskiego”, (t. V Rubona), ale między nim a tym ludem zbyt wielki zachodzi prze-

dział, żeby uczuciom jego mógł nadać wyraz, i stać się jego poetą. Ukształceńsza społeczność do której przemawia, zamało widać w tamtych stronach ma zbiorowego życia, aby to życie rozszerzyło pierś poety, i z ust jego głośniejszym ozwało się dźwiękiem. Sam on to uczuł kończąc piękny wiersz o Dźwinie (ten sam, z którego wyjątek zamieścić w Bibliotece pan Michał Baliński, w recenzji pierwszego tomu Rubona), następującą zwrotką:

Płyńcie czas, widać ludzkiej oznakę już ręki,
I brzmi jakiś chór cichy, z różnych głosów zlany;
Lecz długo jeszcze będzie las zarastać łany,
I szmer wiatru tu głuzyć wszystkie inne dźwięki.

Inny współpracownik Rubona pogonił za natchnieniem aż w zamierzehle czasy normandzkiej przeszłości Palteska. Nie dziw, że go nie znalazł.

W dziale rzeczy użytecznych zamieszcza Rubon artykuły znanego agronoma pana Wyżyckiego. Istotną ozdobą tego dzieła jest artykuł Adama hr. Platera, pod napisem: Rzut oka na rolnictwo i przemysł gubernii witebskiej. Hr. Plater jestto drugi odznaczający się współpracownik Rubona. Z przyjemnością czytaliśmy artykuły jego do archeologii miejscowej odnoszące się. W rzucie oka hr. Platera smutnie przedstawia się Białoruś. Rolnictwo i przemysł, te podstawy dobrego bytu, dotąd tam zostają w kolebce. Mała liczba tych, którzy ulepszenia zaprowadzić chcieli, prawie bez wyjątku zło na tém wyszła. Przyczyny tego stanu rzeczy trafnie hr. Plater wskazuje. Przysnać przecież potrzeba, że położenie gubernii witebskiej zawsze dość trudnem pozostanie. Mało żyzna i mało ludna, wystawiona jest na swobodne współubieganie się zamożniejszych okolic. Potrzeba wielkiej energii i wytrwałości, umiejętniej i zabięgliej pracy, aby te niedogodności położenia przezwyciężyć.

F. Z.

Odparcie opinii p. Dutkiewicza w kwestyi: odkąd ustawie hypotecznój z r. 1818 i połączonym w nią przepisom służy moc obowiązująca?

W poglądzie na opinią p. Dutkiewicza, co do teoryi ostrzeżeń hypotecznych, uprzedziłem: że w kwestyi, odkąd ustawie hypotecznój i wszelkim przepisom w nią połączonym moc obowiązująca służy, dysputa p. Dutkiewicza przeciwko wyraźnemu brzmieniu działu X i artykułów 162 i 163, łącznie z art. 29 na wstępie, na nic się nie przyda.

Na tém oświadczeniu mógłbym poprzestać, ile, że p. J. C. Sławianowski nazbyt śmiałej interpretacji tegoż autora, wbrew wyraźnej i formalnej literze prawa w art. 163 objawionej, krótką i dobitną dał odprawę.

Lecz, że autor ten przywołując rozprawy moje: jedną z r. 1828 w Themidzie, drugą z r. 1841 w Bibl. Warszaw. ogłoszone, z pewnym zadowoleniem wspominał, iż co do mocy obowiązującej przepisów o stosunkach majątkowych małżeńskich, zdanie *nieco zmieniłem*, gdy dawniej twierdziłem, że przepisy te w b. województwie krakowskim rok jeden obowiązywały; później zaś, że tam wcale żadnej mocy obowiązującej nie miały, a ztąd wnosil, że zdanie moje jest mylne: przeto rzecz tę bliżej wyjaśnić należy.

Potrzeba rozróżnić kwestyą i zasadę główną, od kwestyi i zasady podrzędnej. Obie te kwestye autor Objasnień pomieszał, nie wiem, czy umyślnie, czy z niepojęcia. Dość, że czytelnik mniej świadomy, w błąd wprowadzonym być może, nie będąc objaśnionym, w czém rzeczywiście zdanie *nieco zmieniłem*.

W obu rozprawach, tak pierwszej z r. 1828, jak w drugiej z r. 1841 utrzymywałem, że wszelkie przepisy ustawy hypotecznej, a zatém i przepisy co do stosunków majątkowych między małżonkami, zaczęły obowiązywać po byłych województwach, nie od daty ogłoszenia ustawy w dniu 20 lipca 1818 r., lecz od terminów prekluzyjnych, w szczególności dla każdego województwa w art. 145 ustanowionych: wyjąwszy jedynie 6 artykułów w art. 163 wymienionych.

Otóż jestto główna zasada, której nigdy w niczém nie zmieniłem, i dziś nie zmieniam, poprzestając w zupełności na tych powodach, które w rozprawie drugiej z r. 1841 w Bibl. Warszaw. w tomie I str. 76 rozwijałem.

Drugą podrzędną kwestyą jest: jak powinny być liczone terminy prekluzyjne *roczne* w art. 145 ustanowione: czy od początku roku, czy od jego końca. Kwestya ta wcale nie była przedmiotem sporu w rozprawie Themidowej z r. 1828. Atoli w niej liczyłem terminy prekluzyjne od początku roku. Byłto błąd mimowolny, gdyż termin prekluzyjny bądź roczny, bądź miesięczny, bądź tygodniowy, bądź nawet dzień jeden, nie przy początku, lecz przy końcu roku, miesiąca, tygodnia, dnia, zamyka się dopięro. Błąd więc ten w rozprawie późniejszej z r. 1841 sprostowałem. Skutkiem tego, gdy dla b. województwa krakowskiego przepisany był termin prekluzyjny od dnia 1 stycznia 1825 r. do dnia 1 stycznia 1826 r., a z dniem tym ostatnim nastąpiła księga I Kodexu Cywil. z r. 1825, która w miejsce przepisów ustawy hypot. z r. 1818, co do

stosunków majątkowych małżeńskich i opiek, inne zasady przepisała; pomienione przepisy z ustawy hipotecznej żadnej w b. województwie krakowskiem mocy obowiązującej nie otrzymały.

Do téjto zmiany zdania w punkcie podrzędnym, ściąga się owe słówko *nieco*, jako téż owe zadowolenie autora Objaśnień, które widać na niczém spelzło.

Wroćmy się teraz do głównej kwestyi, w celu przekonania się, na jakichto powodach autor Objaśnień swoje twierdzenie opiera, że przepisy o majątkach małżeńskich z dniem 20 lipca 1818 r. jako datą ogłoszenia ustawy, moc obowiązującą otrzymały. Powody te, objęte w § 30 dzieła jego, dwojakię są natury: gdy jedne i to największa ich liczba, mają na celu krytykę przepisu art. 163, drugie zaś jego interpretacyą.

Co do powodów krytycznych wierzymy autorowi, że mu się zasady i przepisy art. 163 nie podobają, gdyż istotnie poddanie systematowi hipotecznemu instytucyi o majątkach małżeńskich lub innych materij prawnych, których wątek stanowi lub wewnętrzne urządzenie bynajmniej od systematu hipotecznego nie zależy, nie znajdzie usprawiedliwienia w teoryi prawodawstwa. Atoli krytyczne spostrzeżenie to nie jest nowém, ponieważ w tym względzie wyprzedziła autora Objaśnień rozprawa z r. 1828 w Themidzie, w tomie IV, str. 205 ogłoszona.

Teraz wszelako nie idzie bynajmniej o krytykę lub poprawę prawa, o nową legislacyą, lecz o pojęcie i interpretacyą prawa stanowionego, *ius positivum*, i w miarę jego o usprawiedliwienie: odkąd przepisy o majątkach małżeńskich obowiązywać zaczęły.

Jakież tedy powody *interpretacyjne* przywodzi autor, prawo hipoteczne objaśniający? Oto dwa, z których jeden na tém polega, że się zapytuje: „o jakichto przepisach w art. 163 jest mowa? czy nie o stosunkach majątkowych i opiekach?”, i na to odpowiada: „nie, bynajmniej”; drugi zaś na zapewnieniu osobistém: „że prawodawca ani pomyślał, ażeby zmiana przepisów co do majątków małżeńskich i opiek, miała być zaprowadzoną z kolejnym zaprowadzeniem porządku hipotecznego”. Niepewny wszakże autor własnych swoich argumentów konkluduje tylko, iż *zdaje się* nie ulegać wątpliwości, że przepisy te od daty ogłoszenia ustawy obowiązywać zaczęły.

Wyrocznią interpretacyjną „nie, bynajmniej” możemy pominąć, jako prostą negacyą niczém niepopartą. Osobiste zaś zapewnienie o myślach lub pobudkach, jakie mógł mieć prawodawca czyli raczej redaktor prawa, nie nie znaczą, żadnej nie mają wartości, gdy idzie o interpretacyą prawa. Lecz w obecnym przypadku osobiste zapewnienie nawet jest skutkiem improwizacyi, ponieważ myśli i zasady redaktora ustawy

hypotecznój są wiadome, i już w roku 1841 w Bibliotece Warszawskiej, tomie I str. 80 z Dyaryusza z r. 1818 dosłownie wypisane, które tu na nowo przytaczają się:

„Projekt, którego celem tylko jest uporządkowanie hypotek, mieści w sobie jednak inne *spokrewniane* materye o spadkach, *stosunkach majątkowych między małżonkami* i o opiekach. Zaisto bardzo wielką w nich, a co do kontraktu małżeńskiego, nawet w głównych zasadach zrobiono zmianę. Lecz takowe zmiany stały się potrzebnymi dla *pogodzenia* przepisów Kodexu Cywilnego, z nowym systematem hypotecznym, na wzór pruski urządzonym, dla *związania z nim* łącznych spokrewnionych materyj, dla uniknienia sprzeczności, *bo prawo hypoteczne nie będzie się stosowało do Kodexu Cywilnego, lecz ten do tamtego*; zgoła wszystkie odrębne materye i przepisy w ustawie hypotecznój połączone, odmieniono lub uporządkowano tak, aby z przepisami hypotek, *jedną harmoniczną, jedną związkową składały całość*”.

Mniemam, że te nazbyt wyraźne myśli redaktora ustawy hypotecznój, w stosunku do zachodzącej kwestyi głównej, dalszej interpretacyi nie wymagają.

Po odbyciu wszystkich tych okoliczności, pozostaje poniekąd do rozważenia stan prawny, jaki skutkiem nadania połączonym w ustawie hypotecznój przepisom, prócz 6ściu artykułów, mocy obowiązującej, w miarę terminów prekluzyjnych artykułem 145 ustanowionych, powstał, *dotyczący do stosunków majątkowych pomiędzy małżonkami*.

Stan ten prawny tyle przedstawia trudności w jego rozwikłaniu i unormowaniu, że przedewszystkiém błogosławić należy szczęsny wypadek legislacyjny w zaprowadzeniu księgi I Kodexu Cywilnego z r. 1825, mocą której z dniem 1 stycznia 1826 r. przepisy ustawy hypotecznój co do majątków małżeńskich i opiek moc swoją obowiązującą nadal, zupełnie utraciły: tak, że przepisy te, licząc termina prekluzyjne od końca, w b. województwie krakowskiém, jak się to już rzekło, żadnej mocy obowiązującej nie otrzymały; w innych zaś b. województwach, a mianowicie: w sandomierskiém, tylko rok jeden, w lubelskiém lat dwa, w podlaskiém lat trzy, w plockiém i augustowskiém, lat cztery, w kaliskiém lat pięć, w mazowieckiém lat pięć i pół obowiązywały.

Albowiem ustawa hypoteczna z r. 1818, wciągając do porządku hypotecznego i subordynując mu odrębne i niezawisłe instytucye prawne co do majątków małżeńskich i opiek; znosząc prawne domniemanie wspólności majątkowej małżeńskiej: nietylko przekroczyła właściwy swój zakres, ograniczający się na uporządkowaniu i wydobywaniu na jaw wszelkich praw rzeczowych, ale nadto przez puszczoną na los nową wyobra-

źnią prawa, *fictio juris, unieruchomiła* stosunki majątkowe pomiędzy przyszłemi małżonkami, odnosząc i przywiązując je nie do osób, lecz podług przyjętej dowolnie różnicy, do dóbr ziemskich i do miast, w których zasiadał trybunał cywilny I instancyi, czyli raczej do nieruchomości miasta te składających, oraz do kapitałów na takich nieruchomościach zahypotekowanych.

Takie rozporządzenia niezwykle, zaniknąć należy zwyczajem jurisprudeneyi angielskiej, w najściślejszych granicach literalnych; poddać tak zwaną *interpretatio intensiva*, z wyłączeniem zupełną tak zwaną *interpretatio extensiva*. Nietylko niewolno przekraczać ich literalnego brzmienia, ale potrzeba nadto w ich zastosowaniu do zachodzących przypadków i sporów wszelkie domyślne warunki prawa jak najściślej przestrzegać.

Tym torem interpretacyjnym postępując, zdołamy ustanowić zasady i wyprowadzić z nich proste konsekwencye; inaczey zaś niktby nie potrafił, odpowiednio prawu, rozstrzygnąć następujących zawikłanych stosunków: jeżeli w jednym i témże samém województwie, po następnój regulacyi hypotek i po upływie terminu prekluzyjnego, jeden z nowożeńców nie posiadał ani dóbr ziemskich, ani nieruchomości w mieście trybunalskiém, ani kapitałów tamże ubezpieczonych; albo jeżeli tego rodzaju dobra nieruchome posiadali nowożeńcy w różnych województwach, z których jedno nie miało jeszcze uregulowanego porządku hypotecznego.

Nim przystąpimy do utwierdzenia sterujących zasad i wynikających konsekwencyi, potrzeba wprzód jeszcze przytoczyć główniejsze okoliczności, które teoryi interpretacyjną powyżej podaną wspierają, a w szczególności zważyć potrzeba: że w przepisach ustawy hypotecznej z r. 1818 o majątkach małżeńskich, używały tylko wyrażenia, że przepisy te nie stanowiły samodzielnej teoryi, tylko włączone były do kontraktu małżeńskiego Kodexem Cywilnym określonego; że nie rozciągały się na wszystkich mieszkańców krajowych, tylko stosowały się do dziedziców dóbr ziemskich, do właścicieli nieruchomości po miastach trybunalskich i do wierzycieli kapitałów na tego rodzaju dobrach zahypotekowanych, a to tylko o tyle, o ile pierwsiastkowa regulacya hypotek nastąpiła i terminu prekluzyjnego upłynęły. Ztąd więc nie ma żadnej pobudki ani moralnej, ani materyalnej do rozciągnięcia ich mocy nad zakres literalnego brzmienia prawa; owszem ich exystencya i moc przemijająca, ich znaczenie li excepeyjne, tylko zawikłanie i trudność w stosunkach rodzinnych rządzące, wskazują konieczną, bo konsekwencyjną potrzebę uważania ich, podług litery prawa, w zachodzić mogących sporach

i wątpliwościach za wyjątek od reguły kontraktem małżeńskim Kodexu Cywilnego przepisanej, a ogólnie w całym kraju panującej.

Wychodząc więc z przewodniczących ustawie hipotecznej pobudek powyżej wypisanych, że przepisy o stosunkach majątkowych pomiędzy małżonkami, z przepisami hipotecznymi jedną harmoniczną związkową całość składać powinny, z pewną nawet przewagą prawa hipotecznego nad przepisami Kodexu Cywilnego i ustawy hipotecznej o majątkach małżeńskich; następnie trzymając się wyraźnego i literalnego brzmienia prawa w art. 162, że przepisy ustawy hipotecznej ściągają się tylko do nieruchomości i hipotek ziemskich, tudzież miast, w których sąd ziemski czyli trybunał cywilny zasiada; dalej zważając, że ostatecznie wyrażenie to, o ile się dotyczy stosunków majątkowych pomiędzy małżonkami przyszłemi, tylko do osób nieruchomości lub hipoteki ziemskie, albo nieruchomości lub hipoteki w miastach trybunałskich położone, posiadających, odnoszone być może; nakoniec nie spuszczając z uwagi, że jakiegokolwiek bądź przepisy o małżeństwie, z natury swojej zawsze do dwóch osób: do męża i żony się ściągają, że więc podług téj koniecznej konsekwencji, przepisy ustawy hipotecznej o stosunkach majątkowych między małżonkami, nie mogą mieć zastosowania, jeżeli li jedno z przyszłych małżonków posiadało bądź dobra ziemskie, bądź nieruchomość w mieście trybunałskiem położoną, bądź kapitały na takich nieruchomościach zahypotekowane; albo jeżeli na skutek ustanowionych terminów prekluzyjnych, dopiero dobra nieruchome jednego z przyszłych małżonków regulacyi hipotecznej uległy. Z związku więc tych argumentów wypływa, że przepisy ustawy hipotecznej o stosunkach majątkowych małżeńskich jedynie w takim przypadku zastosowanie mogą, jeżeli każdy z nowożeńców posiadał dobra nieruchome, w art. 162 oznaczone, po nastąpisznej regulacyi pierwiastkowej i po upływie właściwych terminów prekluzyjnych; do innych zaś małżeństw, pod innemi okolicznościami majątkowymi w ciągu epok między dniem kończącego się każdego terminu prekluzyjnego, a dniem 1 stycznia 1826 r. zawartych, przepisy ustawy hypot. o majątkach małżeńskich, wbrew artykułowi 162 zastosowane być nie mogą. Ztąd więc, bez względu na zawarcie lub niezawarcie umowy przedślubnej, bez względu na zamieszkanie osób, skoro tylko nowożeńcy lub jeden z nich nie posiadali dóbr nieruchomych w art. 162 przewidzianych, Kodex Cywilny w tytule: o kontrakcie małżeńskim, za wyłącznie obowiązujący uważanym być powinien.

Heylman.

Dzieło p. Vossberg o chorągwiach krzyżackich.

Znakomity nasz dziejopis ks. Jan Długosz zostawił po sobie rękopism z 47 kart pergaminowych in fol. min. złożony, w którym opisał chorągwie, wiszące niegdyś u sklepień kościoła katedralnego w Krakowie, a zabrane zakonowi Krzyżaków w pamiętném zwyciężtwie króla Władysława Jagielly pod Grünwaldem i Tannenbergiem w 1410 r. dnia 22 lipca i pod Koronowem, dnia 10 października tegoż roku, oraz kawalerom Mieczowym inflantskim pod Nakłem w 1431. Oryginalny ten rękopism, obejmujący razem wyobrażenia namienionych chorągwi, ma tytuł następujący:

„Banderia Prutenorum anno domini millesimo quadingentesimo decimo, in festo divisionis apostolorum erecta contra Polonie regem Wladislaum Jagyelo, et per eundem regem prostrata, et Cracoviam adducta, ac in ecclesia cathedrali suspensa, que ut sequitur, in hunc modum fuerunt depicta.” Na końcu zaś rękopismu: „Expliciunt banderia prutenorum per manus picta Stanislai Dyrink (1) de Cracovia, die Veneris 29 Marcij 1448”.

Z dawniejszych odpisów tego dzieła znane są dwa: jeden z pierwszej połowy XVI wieku na pergaminie zrobiony, którego tytuł prawie zgodny z powyższym, ma następujący dodatek: „et hoc opera et industria Joannis Dlugossij Canonici Cracovien. Liber autem, seu exemplum horum Banderiorum in Repositorio Cracovien. Capituli servatur a predicto Joanne Dlugossio ibidem (2) repositus anno dni 1448”. Odpis ten zachowany jest w bibliotece uniwersytetu królewieckiego. Drugi odpis z poprzedzającego w zeszłym wieku zrobiony w 4cc, bardzo błędny, posiada biblioteka miejska w Królewcu. Obiedwie te kopie, wraz z trzecią przed 10 laty z krakowskiego oryginału przez ks. Kainkę zakonnika Kamedulę wykonaną dla hr. Działyńskiego w Kórniku, służyły p. Vossberg

(1) W Słowniku malarzów polskich, w Warszawie 1850 r. przemieniono nazwisko *Dyrink* na *Durink*.

(2) W rękopiśmie krakowskim nad tytułem umieszczony jest współczesny dodatek: „Pro libraria Universitatis studii Cracovien. datum per dnm Johannem Dlugosch”, gdzie wyrazy: *Universitatis Studii Cracovien* są przekreślone, a nad nimi „*Ecclesie Cathed. Crac.*” dopisane (zob. podobną tego w Roczn. Tow. Nau. Kra. 1850), z czego okazuje się, że rękopism oryginalny, pierwotkowo dla biblioteki uniw. Jagiell. był przeznaczony; jednakże dopisek wyżej przytoczony, na tytule kopii królewieckiej przekonywa, że oryginał już od 300 lat jest własnością kościoła kated. krak.

znanemu zuczonych prac, mianowicie numizmatycznych i sfragistycznych, do napisania książki w Berlinie w r. 1849 wydanéj, pod tytułem: *„Bandieria Prutenorum. oder die Fahnen des Deutschen Ordens und seiner Verbündeten, welche in Schlachten und Gefechten des 15 Jahrhunderts eine Beute der Polen wurden. Nach den Dlugoschen Handschrift herausgegeben, mit vielen Abbildungen* (Ska, str. 68 z 8 rycinami), w którejto książce po opisaniu przytoczonych wyżej odpisów rękopismu Długosza, podaje w języku łacińskim text naszego dziejopisa i dołącza tegoż tłumaczenie niemieckie, z niektórymi objaśnieniami ciemnych w oryginale nazwisk osób i miejsc; a uprzedziwszy czytelnika, iż kopią kórnicką za rękopism krakowski (oryginalny) uważać będzie, wytyka w nim liczne błędy i opuszczenia, które z odpisu królewieckiego prostuje i dopłnia, mówiąc w przypiskach *„in der Krakauer Handschrift fehlt... steht statt... i t. p.* Dziwić się należy, jak mógł p. Vossberg wziąć się do ocenienia oryginału, nie mając go pod ręką, a co gorsza, za podstawę (1) swój pracy użyć kopii kórnickiej pełnej błędów, w której przepisujący ją, nie mogąc wyczytać wielu wyrazów, takowe innemi zastąpił, albo wcale opuścił, a nawet całe ustępy jedne poopuszczał, inne równie jak i sam tytuł zupełnie zmienić sobie pozwolił, jak się o tém nietrudno przekonać, porównawszy text przez p. Vossberg wydany, z oryginalnym krakowskim, w którym ani wyrazów, ani ustępów według zdania wydawcy opuszczonych, nie brakuje, ani błędy przezeń poprawione, miejsca nie mają: przeciwnie, wydawca złożony przez siebie z trzech wymienionych odpisów text łaciński, obfity w pomyłki, pozmieniawszy w nim pisownię, własnymi jeszcze uchybieniami nappełnił.

Co do porządku, pan Vossberg opisuje najprzód chorągwie według stopni dostojników zakonu, następnie biskupów, potem dowódców obcych posiłkujących Krzyżakom, a nareszcie w porządku abecadłowym nazwisk komturstw, miast i zamków, do których chorągwie należały. Długosz nie trzymał się téj kolei, lecz opisał chorągwie w takim porządku, w jakim zapewne u sklepień kościoła katedralnego krakowskiego widział je zawieszane.

(1) Wprawdzie na str. 13 mówi p. Vossberg, że za podstawę bierze odpis kopii królewieckiej, jednakże czynem tego nie potwierdza; bo opisując chorągiew infantską, a raczej jedną téjże stronę z wyobrażeniem św. Maurycego, temi wyrazami kończy text łaciński: *„In alia vero parte imago sancti Laurencii”*; w przypisku zaś dodaje: *„In der Königsberger Handschrift steht Mauricii”*. Zatem królewieckim rękopismem poprawia text inny, wzięty przez siebie za podstawę, a tym jest kopia kórnicka.

Jako znaczniejsze uchybienia w tłumaczeniu i dodanych doń uwagach pana Vossberg, przytoczymy tu następujące:

Na str. 23, przy opisie chorągwi 106j, a w rękopiśmie oryginalnym 47m6j, umieszcza w przypisku swą uwagę: „Dass diese Fahne vielleicht dem Vogte der Neumarkt Michael Kuchmeister v. Sternberg, dem nachmaligen Hochmeister angehört haben kann, nicht aber die Fahne des Hochmeisters selbst, oder die grosse Ordensfahne, leuchtet aus ihrem Aeusseren ein”. Uwaga ta nie niewyjaśniająca i domysł niczém nie party, iż chorągiew o której mowa, raczej wójtowi Nowego-miasta, niż wielkiemu mistrzowi przypisaną być winna, są zupełnie mylne: chorągiew bowiem ta występuje tu dopiero w październiku 1410 roku pod Koronowem, to jest wtenczas, kiedy chorągiew wielkiego mistrza Uryka de Jungingen poległego w lipcu tegoż roku, przez zwyciężkie wojska zabrana już była, i kiedy Henryk de Plauen wprzód komtur świecieński (Schwetz) świeżo do godności wielkiego mistrza wyniesiony został. Ten zaś Henryk de Plauen nie znajdował się ze swą komturską chorągwią w wielkiej bitwie pod Tannenbergiem, bo naówczas zasłaniał ziemię pomorską przeciw wkroczeniu Janusza Brzozogłowskiego dowódcy Bydgoszozy: tym sposobem chorągiew ta losowi innych jednocześnie nie uległa, i w rękach zakonu pozostała aż do czasu, kiedy z nią nowy mistrz wielki, jako ze swoją niedawno komturską, pod Koronowem występuje. Nie wypada jej przeto uważać za wielką chorągiew zakonu, chociaż obecnienie do wielkiego mistrza należy, ani téż według domysłu pana Vossberg nie jest ona chorągwią wójta Nowego-miasta (Neumarkt), które nie musiało mieć własnej chorągwi, kiedy pod Bratyańską siły swe połączyło (o czém Długosz przy opisie chorągwi miasta Bratyanu, wspomina), ale jest chorągwią komturstwa świecieńskiego.

Na str. 36 opisując chorągiew bratyańską robi pan Vossberg zapytanie: „Wenn Dlugosz unter der Fahne der Vogtei (Brathean) auch Bürger der *Neustadt* fechten lässt, so möchte man fragen, welche *Neustadt* er gemeint; wir kennen keine in der Nähe von Brathean.” Na to odpowiadamy, że *Nova-civitas* w rękopiśmie Długosza, jestto miasto o milę od Bratyanu nad rzeką Drwęcą położone, zwane po niemiecku *Neumarkt*, które się tłumaczowi *Neustadt* nazwać podobają. Zwracamy przytém uwagę na przypisek pana Vossberg poprzednio przytoczony, w którym chorągiew miasta Świecia przypisać chce miastu Neumarkt, tu zaś toż samo miasto przestało mu być znajomém.

Na str. 38, przy chorągwi 26t6j (w rękopiśmie oryg. nr. 6) pisze: „Nach Voigt's Preuss. Gesch. hat Dlugosz den Nahmen des verrätheri-

schen Baunenführers des Culmer Landes Nicolaus Nyksz verstümmelt, er hiess Nicolaus von *Renys*'. Niestusznie tu zarzuca Długoszowi skłeczenie nazwiska; bo w rękopiśmie oryginalnym jest: *Nicolaus dictus Nixsz*; a w inném tamże miejscu: *Nicolaus alias Nixsz*, to jest Mikołaj inaczej *Niklosz*. Długosz więc nie kładzie tu nazwiska, które nie było mu znane, lecz tylko imię Mikołaja czyli *Niklosza*, przez skrócenie *Nixsz* napisane, o czém przekonywa kreska poprzeczna nad tymże wyrazem położona, a skrócenie wyrażająca: że zaś *Nicolaus*, i z niemiecka *Niklosz*, jedno i to samo znaczy, widzimy to przy opisie chorągwi w rękopiśmie oryg. 11tój, a w książce pana Vossberg 48tój, gdzie *Niklosz Vilez*, w przekładzie niemieckim położony jest *Nicolaus von Viltz*.

Na str. 41, chorągiew 28, a w rękop. oryg. 44, w przypisku jest: „Da der König *Wladislaw* von Polen bei seiner Anwesenheit in Danzig im Jahre 1457..... das bisherige Stadtwappen.... durch eine goldne Königskrone vermehrte, so erhellet aus dieser Thatsache..... das die im Jahre 1448 von *Długosz dem krakauer Domkapitel übergebene Handschrift der Banderia*, entweder später umgearbeitet, oder doch mit erweiternden Zusätzen versehen worden ist”; toż samo prawie powtórzone jest na wstępie książki, na str. 14tój. Ze ta uwaga pana Vossberg jest po części mylna, dosyć jest powiedzieć, iż naprzód: w rękopiśmie oryginalnym nie ma wzmianki o tém, aby Długosz miał go kapitule krakowskiéj w 1448 roku darować, lecz tylko, że *Dyrink* rysunek chorągwi w tymże roku ukończył. Powtóre, że rękopism oryg. nie wspomina wcale *Władysława* króla, opisując chorągiew *Gdańska*, lecz króla *Kazimierza IIIgo* (*Jagiellończyka*); jakoż ten właśnie monarcha po zajęciu posiadłości krzyżackich, przywilejami miasto *Gdańsk* obdarzył i do dawnego herbu tegoż miasta koronę królewską dodał. Potrzebie, że Długosz żyjąc do roku 1480 mógł był wspomnieć to zdarzenie, które w 1457 roku nastąpiło. Ponieważ zaś rękopism nie był zupełnie wykończony, bo próżne ustępy na umieszczenie nieznanego Długoszowi imion, dotąd niezapełnionemi pozostały: przeto wnosić raczej złąd można, że rękopism ten po śmierci dopiero dziejopisa dostał się kapitule krakowskiéj.

Pominąwszy wiele mniejszych pomyłek i niedokładności, tak w łacińskim tekście przez pana Vossberg wydanym, jako téż w jego tłumaczeniu i niedosć wiernym rysunku chorągwi, można ogólnie powiedzieć, iż text łaciński nie jest dosłownym odpisem rękopismu Długosza, a w tłumaczeniu i dodanych objaśnieniach strona historyczna zbyt lekko jest traktowaną. Główną więc wartość książki pana Vossberg stanowi dodanie wielu nazwisk osób, które Długoszowi niewiadomemi były i dlatego w rękopiśmie opuszczonemi zostały. Z téjże książki dowiadujemy się, że rękopis oryg. jest uszkodzony wycięciem z niego karty z wyobrażeniem *N. P. Maryi*, stanowiącém odwrotną stronę chorągwi św. *Maurycego*, a znajdującém się w kopii królewskiéj.

Pisałém w Krakowie, d. 10 marca 1851 r.

T. Żebrowski.

Kilka słów w odpowiedzi na recenzję Zabytków miasta Krakowa, umieszczoną w Bibliotece Warszawskiej, miesiąc luty 1851 r.

Przeciwno uznanej potrzebie krytyki, nikt słowa powiedzić nie śmiałby, a bezstronna i nienamiętne wskazanie wad w dziełach na widok publiczny wychodzących, autorów ich urażać nie powinno, skoro ocenienie sprawiedliwe zawarte jest w granicach przyzwoitości, a nagana wymierzona przeciw dziełu, ubocznie autora nie dotyka.

Nie mam zamiaru występować z polemiką przeciw zdaniu szanownego recenzenta Zabytków miasta Krakowa, ani kopii z nim kruszyć nie przedsięwiorę. Sąd jego uważam za osobisty, i mniemam, że może nie wszyscy, którym się Zabytki w ręce dostaną, tego samego co on będą zdania.... Ze względu tylko, że ojciec za swym potomstwem, a wydawca dzieła za swym utworem ująć się powinien, poważam się puścić te kilka uwag w ich obronę.

Że w moich pracach nie widać ani *sztuki*, ani *zdolności*, jest może poniekąd słuszność po stronie recenzenta: ależ pozwoli mi zwrócić na to jego uwagę, że w tego rodzaju pracy jaki dla siebie obrałem, ani jedno, ani drugie nie jest potrzebne. Zbieranie i ogłaszanie dawnych pomników piśmiennych, nie jest ani dramatem, ani romansem, przy których *zdolność* i jej wynikłość *sztuka*, są koniecznymi warunkami. Zbieracz starych pamiątek winien być tylko wiernym ogłosicielem tego, co mniej jest wiadome, a ten obowiązek sumiennie spełnić starałem się.

To życzenie, jakie mi recenzent poddaje, abym się zapuścił w badania wewnętrznego życia miasta, jego urządzeń, życiorysów ludzi składających jego starszyznę, uważam za przechodzące moje zdolności. Mając w pamięci Horacego: *sumite materiam vestris aequam viribus*, nie występowałem nigdy jako pisarz samodzielny, jako historyograf, lecz zawsze tylko jako szperacz, co mi i recenzent i inni właściwi w tej rzeczy sędziowie przyznali (Athenaeum tom V, 1848 r.). Mój więc zawód nie przekraczał nigdy za szczyły zakres, który sobie wymierzyłem: nie byłem, nigdy budownikiem, tylko pomocnikiem jego, a podając cegły i wapno, nie rwałem się do kielni.

Takim sposobem pisarstwu mojemu zakreśliwszy ciaśniejsze granice, obrębem murów krakowskich objęte; trudno mi było wychodzić z nich, aż do rozprawiania o dziejach ogólnych Rzeczypospolitej.

Mówi recenzent, że się zgubił w artykułkach... Temu nie przeczę, ale inaczej stać się nie mogło. Wiedziony miłownictwem starych wspomnień Krakowa (w którym lat pięćdziesiąt kilka przeżyłem), szu-

kałem ich w zapyłonych księgach archiwalnych, a znalazłszy cokolwiek, gdy mniemałem, że to i drugim przydatne być może, zaraz to powszechniej oddawałem wiedzy, nie kryjąc samolubnie i wyłącznie dla siebie tego, co do wszystkich należy.

Troskliwość recenzenta trochę zadaleko posunięta, mianowicie: że chcący z tych materyałów tworzyć gmach czyto o sztuce, czy o czémkolwiek, będzie miał mozolną pracę w pozbieraniu ich.... Odpowiedź na to leży zaraz obok jego obawy, że łatwiej jest przejrzeć pisma czasowe i broszurki będące pod każdego ręką, niż polować za temi wiadomościami ukrytymi w ogromnych foliałach, i nie każdemu dostępnych; bo nie wszyscy potrzebować ich mogący w Krakowie zamieszkują; bo zresztą mozolne przoglądanie ksiąg indexami nieopatrzonych, nie każdy podjąćby chciał.

Większą nierównie mamy liczbę lubowników czytania rzeczy krajowych, niż archeologów, dla których *ti tylko* (jak mniema recenzent) Zabytki mogą być użytecznymi....; przeto nie odbiega mię otucha, że i pierwsi w tej suchej księdze, chętnie poszukają wiadomości o stariej stolicy kraju, i oni znajdują w niej niejedną szczegół interesujący każdego Polaka.

Wymawia mi recenzent, że nie wyszukał w aktach krakowskich wiadomości o zachowaniu się miasta w czasie najścia Karola Gustawa.... Trudną jest rzeczą wyszukać to, czego tam nie ma; a przytém ramy Zabytków są zbyt wąskie, aby w nich wszystko zmieścić się mogło. Wprawdzie nie brak tam obszernych obrad rajców z radą gminną w czasie inwazyi Szwedów, w których maluje się niezmierny ucisk miasta i smutny stan jego mieszkańców, które, gdyby mi Pan Bóg czasu pozwolił, ogłosić chciałbym.

Nie posiadając znajomości praw, nie moją było rzeczą obeznawać ziomków z ustawami dawnemi, jakimi rządziło się miasto: ten, komu by to było potrzebnóm, wiedzieć będzie gdzie tych wiadomości szukać należy, mianowicie w dziełach drukiem ogłoszonych, prawodawstwo magdeburgskio miast polskich obejmujących. Kodex zaś Baltazara Behna, ustawy cechowe zawierający, chociaż jest najszanowniejszym pomnikiem starożytności, choćby tylko w wyjątkach, nie mógł znaleźć miejsca w Zabytkach, bo w nich przestrzeń zaszczupła.

W ogóle mówiąc, w recenzji pana J. B. Zabytki nie zostały zlekceważone, i owszem wychodzą z niejedną zaletą dla ich wydawcy: albowiem mianowany w niej żelaznej cierpliwości pracownikiem, kochającym stare pamiątki i t. p., a przyznanie tych tytułów jest mu zaiste miłe, i tych też jedynie pragnąć mógł, bo więcej mu się nie należy. Nawet nad zasługi widzi się położony na równi, obok, z mężem *ex professo* gruntownie uczonym; lecz uważa, że mu ślisko na tém miejscu. Ale co jest fenomenalnego, to rzeczywiście zdarzenie, że krytyce poddany wydawca Zabytków, nie uczuwa niechęci do nieznanego mu recenzenta; i owszem, za względne obejście się z nim, dzięki mu składa.

Pisałem w Krakowie.

Ambroży Grabowski.

Stanisława Strąbskiego *Rocznik na rok zwyczajny 1851. Warszawa, nakładem i drukiem wydawcy, 1850. 8ka, str. 128. Z 18 drzeworytami, z dwiema rycinami (litogr.) do budownictwa wiejskiego, i kartą rzek splawnych, oraz lasów rządowych nad temiż położonych w Królestwie Polskiem.*

W części literackiej zawiera obszerną rozprawę, p. n.: *Dziejowość bojowych zapasów chrześcijaństwa, z potęgą turecką w XV i XVI wieku*, Adryana Krzyżanowskiego. Autor w niej głównie od klęski warneńskiej i upadku Konstantynopola, przebiega zasługi każdego narodu, jakie który położył w łamaniu się z potęgą turecką. Zaczyna od zakonu rodyjskiego, przechodzi do Siedmiogrodu, Węgrów, Czechów, Epiru czyli Albanii pod *Skanderbegiem*, Persyi w okresie szacha *Ussum-Kassan*, Rossyi pod *Iwanem III Bazylewiczem*, Polski, pod *Kazimierzem Jagiellończykiem*, i dodaje ustęp o weneckich i perskich do króla *Kazimiérza (Jagiellończyka)* poselstwach. W zamknięciu, całą rozprawę swoją p. A. Krzyżanowski tak w treści przedstawia:

„W tym ściśnionym zarysie bojowych zapasów chrześcijaństwa z potęgą turecką z XV i XVI wieku, któż na stronie chrześcijaństwa szczęśliwą odegrał rolę?—nikt. Kto do ostatka zwyciężką? Jerzy Kastrjota *Skanderbeg* władca Epiru czyli Albanii. Kto po nim zniewalał tureckich Moslemów bić czołem przed żołnierzem *Chrystusa*? *Jan Korwin Huniades*, siedmiogrodzko-węgierski, i *Stefan IV moldawsko-wołoski* rządca; nakoniec zakon rodyjski. Któryż z narodów europejskich pod przewodem swych władców, wystąpił wówczas do boju przeciw Turkom, w duchu prawdziwie chrześcijańskim? żaden. Któż te bojowe zapasy na wielką *stopniówkę* rozpoczął, a kto je zamknął?—*Władysław III Jagiellończyk* r. 1444 pod *Warną*, i *Jan III Sobieski* r. 1683 pod *Wiedniem*. Komu nareszcie z tego okresu zostało dłużne chrześcijaństwo pomnik uczczenia i wdzięczności?—azyatyckiemu monarsze, mężowi chrześcianki, cesarzównęj *trebizonckiej*, ormiańskiemu zrazu, perskiemu potem królowi, *Mahometa II* pogromcy, *Usum-Kassanowi*. Z winy kłótliwych między sobą chrześcijańskich władców, nie zdołał ten perski spojć Europę węzłem zbrojnej jednoty na roztrzaskanie potęgi tureckiej; ale sprawił, że ta potęga za granice dawnego greckiego cesarstwa, nie posunęła swoich krwawych i *rozwalinnych* podbojów. Takich podbojów ofiarą do reszty padłyby ludy słowiańskie”.....

„...„My nie naprózno zapewne podjęliśmy niniejszy piśmienny trud, chcąc na nim, jako na *podstopiu*, do pomnika wyryć wyrazy, czci i pamięci, należnej słynnemu w dziejach królowi perskiemu *Usun-Kas-sanowi*, od chrześcijaństwa, którego w XV wieku, srogo od potęgi tureckiej trąpionego, on był statecznym i skutecznym obrońcą”.

Po krótkim życiorysie Albrechta Thänera, założyciela szkoły agronomicznej w Mögelinie, z drzeworytem pomnika, do którego już podnóże położone w Lipsku dla tego zasłużonego meża, następują obszernie i ważne rozprawy: *O związku niektórych rodzajów fabrykacji z gospodarstwem*, Michała Oczapowskiego. *O głównych częściach składających ziemię, uważanych pod względem ich użyteczności*, Wojciecha Jastrzębowskiego. *O kościołach i ich użytkach*, J. Belzy. *O zarazie bydłowej zwanój księgosuszem*, Edwarda Ostrowskiego: rozprawy obchodzące ogół naszych ziemian. Następuje wizerunek Jerzego Stephensoną (w drzeworycie) z krótką biografią. Ciekawe jest wielce sprawozdanie p. Wilhelma Kolberg o drodze żelaznej warszawsko-wiedeńskiej. Przytoczymy tu ciekawsze cyfry:

Długość drogi żelaznej wynosi, licząc ogółem z odnogą od Skiernewie do Łowicza, mil 44 polskich. W odległościach co 600: sążni mniej więcej, są domki dróżnicze i słupy do dawania znaków w czasie biegu pociągów. Domków takowych jest 315. Każdy domek obejmuje sionkę wstępną, izbę i komorę; za nim jest oparkanie podwórko, stajenka na krowy i chléwek. Do domku dodano morgę gruntu na ogród.

Stacyj jest 21. Tabor drogowy składa się z 43 parochodów i 408 powozów i wagonów. Koszta budowy w ogóle wynoszą rub. sr. 6,600,000, co czyni na jedną milę długości 150,000 rub. sr. Żadna drogą zagraniczną przez towarzystwa prywatne budowana, tak tanio nie kosztowała.

Ruch większy na drodze rozpoczął się od r. 1846. W tym roku wyprawiono pociągów; 1,085] w r. 1849 pociągów 2742. W r. 1846 przewieziono osób 269,346, w r. 1849 osób 373,369; ale to powiększenie nie można za normalne uważać, bo wypadki zaszły w r. 1848 i 1849 na zachodzie Europy, niepomyślnie także na ruch naszej drogi żelaznej wpłynęły. Dochód czysty po strąceniu wydatków na milę drogi wynosił w r. 1849 po rub. sr. 2726.

Po tém sprawozdaniu czytamy rozprawę p. Bolesława Podczaszynskiego: *Budownictwo wiejskie* (z dwiema litografowanymi tablicami), której treścią: wybór miejsca pod siedzibę; zabudowania dworskie i ich układ; budowle mieszkalne i ich rozkład. P. L. Wol-

skiego ciekawa i ważna ze wszech miar rozprawa: *O rzekach krajowych, ich zastosowaniu do splawów, ze wzmianką o lasach rządowych nad rzekami splawnymi położonych (1)*, z kartą rzek splawnych oraz lasów rządowych nad temiż położonych w królestwie.

W artykule p. n. *Żegluga parowa na rzekach splawnych królestwa polskiego*, czytamy ciekawe szczegóły zawiązku i rozwoju, głównie energią i współdziałaniem hr. Andrzeja Zamojskiego, tój żeglugi, która nie tylko dla królestwa, ale i dla ziemian galicyjskich, wołyńskich i podolskich błogą przyszłość pod względem handlowym i spieniężania plodów rolniczych obiecuje. Z początkiem r. b. spółka żeglugi parowej (do której, oprócz hr. And. Zamojskiego przystąpili hr. Adam Potocki, i hr. K. Z. Plater), posiada siedm paropływów i 16 gabar, o sile, począwszy od 30 do 100 koni.—Wspomnienie Szyllera (z drzeworytem przedstawiającym tego poetę siedzącego na osle i palącego fajkę), wraz z przywiedzeniem wyjątków z hymnu *Do radości*, i *Apolo-gii kobiet*, w nowym przekładzie, wprawnego pióra; krótki opis (z drzeworytem) kościoła katedralnego w Kolonii; nareszcie: *Przysłowia*, *przypowieści* i *sposoby mówienia od imion*, p. Tymoteusza Lipińskiego, kończą część literacką kalendarza p. Strąbskiego, który pod względem ozdobności wydania, treści i taniości swojej, mało co pozostawia do życzenia. Rocznik ten (jak go sam wydawca nazywa), odbity w 3000 exemplarzy, rozchwytny, daje rękojmię, że czytająca publiczność nasza zawsze potrafi ocenić sumiennosc wydania, cel użytku—i widoczny postęp w wydawnictwie tak podręcznego dzieła.

W.

(1) Skrócenie z Biblioteki Warszawskiej.

ROZMAITOŚCI.

O malarzach lwowskich.

Mamy kilka ognisk oświaty, kilka punktów, gdzie się łączy duchowe życie nasze: Poznań, Warszawa, Wilno, Kraków i Lwów. Za pomocą dziennikarstwa należy porozumiewać się z sobą, i wspólnie pracować koło wspólnego dobra. Sztuki piękne powinny być pod szczególną opieką literatury, aby znakomitsze utwory jednej prowincyi, stawały się tym sposobem skarbem całego narodu: byśmy mogli widzieć i oceniać ich postępy. Sztuka przez to stanie się popularniejszą, obudzi się zamiłowanie, wykształci się dobry smak publiczności. Słowem, literatura powinna teźnać nowe życie w krainę sztuk pięknych, zająć niemi ogół, wpoić zasadę: że wykształcenie estetyczne jest nietylko ważną, ale niezbędną potrzebą prawdziwej oświaty.

Dotychczas, pod względem zajęcia się sztukami pięknymi, szczególnie malarstwem, czasopisma innych prowincyj polskich daleko nas prześcignęły. Nie możemy niczem się usprawiedliwić. Mamy malarzy utalentowanych i znakomicie wykształconych, którzy pracując w swoim zawodzie, śmiało powiem, bezinteresownie pełnią służbę swego powołania. Ale obojętność nasza dla wielu rzeczy, które nie przynoszą materialnych korzyści, pomimo że piękne, że kształcą umysł i serce, że są chlubą dla kraju, wszystko to niekorzystnie wpływa na byt naszych malarzy. Słuszna zatem niezrażających się w swoim zawodzie podać cześci powszechniej.

Bezpośrednie *Rajchan* i *Jul. Kosak* zajmują najzaszczytniejsze miejsca w rzędzie malarzy naszej prowincyi; pierwszy głębokim znaniem sztuki, artystycznym wykształceniem; drugi wrodzonym talentem, wyraźnym namaszczeniem duchowym na mistrzostwo. *Rajchan*, nietylko

u nas, gdzie tak nisko stoją sztuki, ale obok najbogiejszych malarzy bylly znakomitym. Technika nieporównana; biegły, doskonały rysunek; koloryt cudny, taki lekki, świeży, ciepły! Z malowideł p. Rajchana technic życie, wieje jakaś luba słodycz; portrety jego rysowane i malowane tak sumiennie, że nietylko publiczność, ale i artystów zadowolnić powinny. Jedno daje się postrzegać, idealizowanie rysów. Wrodzony gust estetyczny, każe mu czasem poprawiać błędy natury, i areypowszednią twarz odtworzyć po bożemu. Zupełnie nie mamy tego za złe malarzowi, owszem, więcej nas smuci, że p. Rajchan same tylko maluje portrety. W pracowni jego nie widzieliśmy żadnego historycznego, ani rodzajowego obrazu; nie wiemy, czy nie ma zamiłowania w podobnym rodzaju utworów, czy potrzeby życia zmuszają go pracować w zawodzie więcej korzystnym. Bądź co bądź, zawsze to nieodżałowana szkoda marnować podobny talent pracą tak niewdzięczną, chociaż niektóre portrety p. Rajchana śmiało można policzyć do rodzajowych obrazów. Takimi są: *Druciarz; portret familijny dzieci samego malarza; portret młodej dziewczyny, pod draperią pąsowych firanek; parę głów starców*. O portretach robionych akwarelą nie będziemy mówić, albowiem te mają europejską prawie sławę. Oświadczając publicznie p. Rajchanowi uwielbienie godne talentu i pracy, serdecznie życzyć należy, by zwrócił się na drogę, gotującą mu w sercach rodaków trwalszą cześć i pamięć.

Wspomnieliśmy, że *Jul. Kosaka* uważamy za najwięcej uzdolnionego, najgigantalszego z naszych malarzy; nie mówimy przez to, żeby stał na najwyższym szczeblu sztuki; przeciwnie, przy ogromnym talencie, przy natężonej twórczości, nie ma artystycznego wykształcenia. Szkice jego są pełne prawdy, życia i siły, ale brak im poprawności rysunku. Do najpiękniejszych jego utworów należy *Album rossyjskie*. Ale p. Kosakowi zbywa na pracy, wytrwałości, nauce! Nie namawiamy go zupełnie, by pracował na inném polu, to na które sam wszedł jest bardzo pomyślnie i korzystne; nie namawiamy go do żadnej szkoły: zapatrywanie się na naturę i praca, dadzą mu resztę. Ale czas już wziąć się do większych utworów. P. Kosak zapomina, że z odebranych talentów trzeba zdać rachunek Bogu i ludziom. Że lepiej jest nic nie umieć, niż zmarnować wiele. Niech p. Kosak nie zapomina, że powołanie jego jest służbą dla rodaków, że mamy prawo wielbić talent, karcić opieszałość.

Raczyński, śmiało twierdzić można, jest jednym z znakomitych malarzy, nietylko naszej prowincyi: kraj cały słusznie chlubić się nim powinien. Wrodzony talent wzbogacił obszerną nauką, pracowitem studyowaniem i zapatrywaniem się na dzieła mistrzów; estetycznie wykształcił się zwiedzeniem pierwszych europejskich galeryj. Zamiłowany

w swoich dziejach i zwyczajach, wzbogaca pięknymi utworami skarbiec krajowej sztuki, i da Bóg, będziemy mogli ozdobić jego imieniem wiele kart w dziejach polskiego malarstwa. Życzyłoby wypadło, aby młodzi artyści pracujący za granicą, brali przykład z p. Raczyńskiego; gdyby z nich każdy przyniósł nam parę takich kopij, jak żniwiarze (*les moissonneurs*) *Leopolda Roberta*, *Rafał* i *Michał-Anioł* w galerji Watykanu i *Judyta Werneta*; wkrótce kraj posiadałby tyle pięknych wzorów, że już synowie nasi nie potrzebowaliby jeździć na naukę do zagranicznych akademij. Ale powtarzamy, takich kopij jak p. Raczyńskiego. Nie będziemy opisywać obrazów z których kopiował p. R., albowiem są znane z tysiącznych litografij.

Żniwiarze (*les moissonneurs*) wielkości oryginału. Ze wszystkich prac p. Raczyńskiego ta jest najwięcej wykończona. Bogaty, żywy koloryt, rysunek mistrzowski, biegły i śmiały, wszystkie postaci pełną życiem, każdy ruch pełen wdzięku i prawdy, każda fizyonomia nacechowana pewnym wyrazem. Z zachwyceniem możemy przyznać p. R., że nas obdarzył kopią zupełnie godną sławnego oryginału. Do szczególnie wypracowanych miejsc obrazu należą: z prawej strony dwie żniwiarki siedzące na snopach; po środku młodzieniec, co idzie przed wołami; po lewej stronie cała grupa idąca przy wozie.

Po żniwiarzach słusznie położymy *Judytę*. Chociaż *Michał-Anioł* i *Rafał w Watykanie*, co do kompozycyi większą ma wartość; jednakże pisząc o kopiach musimy mieć na pierwszym względzie wykończenie; a co do tego, *Judyta* nie ustępuje w niczem żniwiarzom.

Rafał i *Michał-Anioł w Watykanie* ($\frac{1}{4}$ naturalnej wielkości). Jeden ze znakomitych obrazów *Werneta*, mniej jest znany, opiszemy w krótkości treść kompozycyi. Oto przed nami Watykan w chwili swego powstania. Na przodzie obrazu *Michał-Anioł* niesie księgę, miecz i klucze. Z pooraniej jego twarzy promieni cały gieniusz, cała potęga ducha. Postawą, ubiorem, wyrazem, różni się od stojącego w głębi *Rafała*.

Z oryginalnych prac p. Raczyńskiego znakomitsze są:

1. *S. Jan*, jeden z dawniejszych jego obrazów, bo jeszcze w r. 1844 widzieliśmy go w pracowni artysty. Na pomoście kamiennym stoi święty poprzednik pański. Twarz jego wyraża pokój i natchnienie, oczy pełne myśli, nad głową świeci aureola. W jednym ręku krzyż, druga wskazuje w stronę, z kąd przychodzi Baranek Boży. Cały ubiór składa skóra wisząca przez biodra i płaszcz purpurowy. Za nim, w pięknej perspektywie cudny widok syryjski, Jordan; dalej odziane lekką mgłą wzgórze, a nad nim pogodne niebo powłócone chmurkami, zarumienione zo-

rzą. W całym obrazie naturalność i prostota, chociaż w niektórych częściach chcielibyśmy większego wykończenia; tak np. twarz i głowa proroka zdają nam się niezupełnie, pod względem techniki, doskonałe. Rysunek także nie jest bardzo poprawny.

2. *Szlachta sejmikowa na winie* w gospodzie małego miasteczka. Wyborne postaci! Po prawej stronie przy kominie widzimy siedzących trzech braci szlachty, wszyscy pod dobrą już datą; biorą właśnie na uwagę czwartego, co także dobrze już podpiły wystąpił na środek izby i przytupując nogą, śnać pocieszną jakąś prawi krotochwilę; przy nim staruszek w zielonym żupanie, z szklanką w rękę, kołysze się na krześle. Głębiej dwie inne postaci ściskają się serdecznie. Na wszystkich twarzach, ta prawdziwie polska szczerota i wesolość, prawdziwie sejmikowa rubaszność: rumiane zdrowiem twarze, podgolone czupryny. Jeszcze raz powtarzamy, wyborne! Prześliczne jest tło obrazu. Szare ściany gospody, komin, w głębi drzwi, okno z kąd pada oświetlenie na cały obraz. Zrobilibyśmy jedną uwagę panu Raczyńskiemu, że na tło tak ładnie szaro trzymane, przyjaskrawe są kontusze, szczególnie ten czerwony i zielony. Podział światła jest bardzo dobry i naturalny, rozplywa się wolno bez wyliczonych efektów. W twarzach pragnęlibyśmy więcej gry i różnorodności.

3. *Izba czeladna. Obiad.* Czworo czeladzi siedzi u stołu. Przy palącym się ognisku, kobieta zajęta gotowaniem. Obok różne sprzęty gospodarskie. We wszystkich postaciach i w całej grupie wiele naturalności i prawdy, chociaż cały obraz trzymany zanadto szaro; zapewne ubiór naszego ludu jest bardzo jednostajny, martwy, że się tak wyrażę, nie masz tu jaskrawego kolorytu, ani fantastyczności włoskiej: zawsze jednakże chcielibyśmy więcej ciepła, więcej życia. Wnętrze izby szczególnie piękne. W ogóle pan Raczyński celuje w malowaniu tła i w dobrém urządzeniu światła.

4. *Biwak rossyjskich żołnierzy.* Przy zapaloném ognisku zebrało się małe kółko z czterech złożone osób. Jeden rozebrany z wierzchniej sukni, klęczy przy gotującym się kociolku. Nad nim ułan z fajką w ustach; po drugiej stronie ognia dwaj inni w całym rynsztunku. Wszystkie twarze bardzo charakterystyczne, rysunek biegły, koloryt piękny; ale znać pośpiech i niewykończenie, jeden z głównych grzechów p. Raczyńskiego. Życzymy zwrócić uwagę artysty na rękę żołnierza sięgającego do drewna. To są rzeczy drobne zapewne, ale w najmniejszynie szczególe chcemy poprawności i wykończenia—wykończenia!

5. *Pejzaż zimowy.* Przed karczmą w polu stanęły chłopskie sanki; para chudych koników i chłop przed nimi, oto cała grupa. Dalej pola pokryte śniegiem, lasek. Taka pojedynczość, taka prostota! A jednak

ten obraz liczymy do najlepszych pana Raczyńskiego. Perspektywa, nadzwyczajna lekkość i technika, znamionują mistrza. Nie radzi widzimy tę budę na przodzie obrazu; bez niej byłoby i piękniej i prościej. *S. Jan i pejzaż zimowy* ze wszystkich obrazów są najpraktyczniej malowane.

Z mniejszych obrazów zasługują na uwagę: *Studia z podróży: bawarskie okolice*. Charakterystyczne typy, a szczególnie niebo lekkie, przejrzyste. Pejzaże jak wszędzie u pana Raczyńskiego wyborne. *Szlachta kosztująca wino u żyda* mniejszej jest wartości; szczególnie przypomina sejmikową szlachtę w gospodzie; radzilibyśmy nie powtarzać się. Lepsze jest: *Wnętrze klasztoru przy świetle lampy*. Portrety p. Raczyńskiego zasługują na uwagę. Wyrazistością i pięknym rysunkiem nie mogą jednakże porównać się z portretami p. Rajchana. Widzieliśmy u p. Raczyńskiego kilka portretów rysowanych wiszerem z nadzwyczajną elegancją, wyrównywającą miedziorytom, z lekkością i rutyną mistrzowską. Bolesnie nam bardzo, że pan Raczyński od niejakiego czasu zda się więcej zajęty chlebem powszednim, niż sztuką, w której tak pięknie się odznaczył. Lekcje rysunku dawane prywatnie zabierają mu czas drogi, z kądem, gdy przyjdzie wylać się z myślą ciężącą na sercu, ów pośpiech i niewykończoność.

Korneli Szlegel z wielkim talentem łączy większe zamiłowanie i oddanie się sztuce, niezmordowaną pracę i żywe przejęcie się dziejami i zwyczajami przodków. Ze wszystkich naszych malarzy jemu jednemu nie możemy zarzucić marnowania czasu. Już znamy kilka jego obrazów zasługujących na uwagę powszechną; a droga, na którą się rzucił, tak okwita, tak bogata i zajmująca, że mamy nadzieję pochłubić się kiedyś pięknymi utworami jego pędzla, jak dziś słusznie stawiamy go w pierwszym rzędzie krajowych malarzy.

Ulubionym przedmiotem p. Szlegla są obrazy rodzajowe, obyczajowe. Zwykle bierze charakterystyczne sceny z powieści więcej znanych w literaturze, doskonale je pojmuje, ożywia mocą twórczej wyobraźni, i w całym uroku pięknej plastyki stawia nam przed oczy. Znamy jeden tylko historyczny jego obraz: *Posłuchanie u Jana IIIgo*; obyczajowe zaś: *Polonez Trembeckiego ze Szczęsnym Potockim*, z powieści: *Ogrody i poeci* Lucyana Siemieńskiego; *Miecznik z Maryi Malczewskiego*; *Maryasz*, taniec w lesie przy pasiece. *Zaczęte: Puławski na chrzcinach* i jakiś mały rodzajowy obrazek; po całym ułożeniu grupy i sposobie malowania sędzę, że będzie w tym guście co *Maryasz*. Z kopij jego znamy *Madonę Rafała*. Utwór ten pełen natchnienia, pełen twórczości jest jakby wzniosłą modlitwą do Bogarodzicy. W zachwycie nabożnym, ze łzami w oczach musiał go mistrz tworzyć. Pan Szlegel dał nam poznać prześliczną, pra-

wdziwie mistrzowską kopią. Ogrody *Valleau*; tu zarzucilibyśmy, że koloryt trzymany za ciemno. Mały obrazek niderlandzkiej szkoły, z dobrem użyciem światła i piękną perspektywą.

Oryginalne prace pana Szlegla: Posłuchanie u Jana IIIgo, jeden z najpiękniejszych jego obrazów. Szczególnie zasługuje na uwagę harmonijna całość w kolorycie i świetle, chociaż i tu niebardzo się zgadzamy z tym żółto-zielonym kolorem sukni damy dworskiej; jest zanadto, że się tak wyrażę, krzyczący; szczególnie przy tém cudném tle, bo tło obrazu jest tak piękne, że nie już życzyć nie wypada: całe jest doskonale utrzymane w szarych kolorach. Do najwyborniejszych postaci należą: klęcząca, postać Wilczka, w czarnym ubiorze z koronkami; kardynała w gronostajowej pelerynie; bardzo ładna Polaka, słuchającego żołnierza i Jezuity. Co do głównej figury Jana IIIgo, ta się nam nie podoba; widać malarz bardzo się trzymał portretu, dlatego dał tak sztywną postawę Janowi, dlatego król ma obojętną twarz i nie jest zajęty zupełnie akcją. Widać z wyrazu, że myśli, ale zdaje się o czém inném, niżeli w tój chwili powinien. Kobiety są bez gracy i nadto wymuszone. Główne osoby, jak: król, Marya Kazimiéra, Wilczek, kardynał, są bardzo starannie kopiowane z portretów, co nadaje obrazowi więcej historycznej wartości. Technika, a szczególnie malowanie złotogłów i ciężkich materij na sukniach jest bardzo piękne, ale i w tém malarz zgrzeszył w głównej figurze: płaszcz na królu Janie nieznacznie łamie się pod ręką i nadto jest ciężki.—Nad obraz opisany przenosimy *Polonez*. Co do przedmiotu, jest przyjemniejszy, łatwiejszy do wykonania: albowiem rzecz dzieje się pod gołym niebem, i nie ma tyle szarych kolorów. Mamy przed sobą cały łańcuch par w poważnym polskim tańcu. W pierwszej parze Zosia w stroju wiejskiej dziewczyny z sierpem na głowie, ze spuszczołemi oczkami; całą tę anielską postać starał się malarz odtworzyć. Dalej kilkanaście par: kobiety wszystkie we francuzkich strojach, mężczyźni w kontuszach i mundurach. Po prawej stronie obrazu muzyka: Jankiel grający na cymbałach, i młody ulan, Smyk, niegdyś kochanek Zosi, smutny, zamyślony. Tło obrazu stanowi dom ocieniony drzewami; na lewo zwaliska zamku, wyżej niebo pogodne wieje spokojem i ciszą. Do najdoskonalej pojętych postaci w tym obrazie liczymy Jankiela, Smyka i Telimeny; koloryt i światło także bardzo się podobają, tylko pary, które są w cieniu, zanadto już ciemnozymane. W ogóle u pana Szlegla w cieniach predominuje asfalt, tak, że często twarze jego osób są prawie czarne, a przez to nie mają tój świeżości, tego przezroczystego ciała, jak np. widzimy w portretach Rajchana. Kobiety są zanadto sztywne, manierowane; nie mają tych wolnych ruchów, tój naturalności i swobody, które tak miło wi-

dzimy. Radzilibyśmy więcej zapatrywać się na naturę. U nas szczególnie tyle mamy pięknych kobiet, że malarz nie może uskarżać się na brak wzorów.

Mniejszej jest wartości, choć także bardzo ładny obraz: *Ogród*. Przedstawił nam malarz Zosiówkę w chwili, gdy Trębecki czyta Potockiemu swój poemat. Jestto często błąd najznakomitszych malarzy, szczególnie wiedeńskiej szkoły, że malują nam sceny potrzebujące wykładów i komentarzy. Prócz tego nie ma jedności w tej całej grupie; pojedyncze postaci są przesłizane, pełne życia, doskonale prawdziwe, ale do uzupełnienia całości, brakuje celu głównego: akcyo porozrywane. Szczególnie pięknie jest rysowana i malowana kobieta mdlejąca. Koloryt, pejzaż malowany w guście *Vatteau*, nie zostawiają nam nic do życzenia.

Maryasz, niewielki obrazek rodzajowy. Przy stoliku staruszkowie grają w karty i częstują się tabaczką. Młodsza para tuż przy nich. Ubiory przypominają Stanisławowską epokę. Twarze bardzo charakterystyczne i pełne wyrazu; koloryt ciepły i żywy.

Portrety pana Szlegla są malowane śmiało, z pewną rutyną; ale trochę za surowo, nie mają tej lekkości, życia, jak portrety pana Rajchana. Sądząc z wyrazu, ze szczególnych charakterów, bardzo muszą być trafne. Widzieliśmy zaczęty obraz *Puławski na chrzcinach*. Myślimy, że ten obraz będzie należał do najlepszych. Dziś już jest piękny. Chcielibyśmy wypędzić pieska, co zupełnie niepotrzebnie figuruje na przodzie obrazu; zresztą nie jest nawet naturalny, bo w całym pędzie, nie zważając, że nie ma miejsca.

Oprócz malarzy wspomnianych, winniśmy zwrócić uwagę jeszcze na kilku innych, mających swoje pracownie we Lwowie.

Do dawno znanych i wziętych malarzy należy *Jabłoński*.

Jabłoński zajmuje się głównie malowaniem portretów. Znany jest jako portrecista w całym kraju, który prawie zarzucony jest jego pracami, tak, iż mało znamy domów, gdzieby się nie znajdował portret pędzla Jabłońskiego. Celują one podobieństwem, chociaż nie wyrównują pracom Rajchana, Szlegla lub Raczyńskiego pod względem artystycznej wartości, gdyż są tylko niewolniczym kopiowaniem natury i mają wszystkie jednakowy wapienny surowy koloryt: sato portrety regułkowe.

Podziwiać wszelako musimy Jabłońskiego, gdy pomnimy, że nie bywszy nigdy za granicą, nie miał sposobności zapatrywać się na wzory i arcydzieła rozlicznych mistrzów, na których się zwykle artyści nasi kształcą; że umiał swój wrodzony talent jedynie przez praktykę i długie doświadczenie do tego rozwinąć stopnia, na którym dziś stoi. Jabłoński

jest artystą z natury; wrodzonemu talentowi, długoletniej pracy i doświadczeniu winien wszystko, co umie.

O rozlicznych obrazach jego, najwięcej kościelnych, mamy tylko do powiedzenia, że są malowane tym samym sposobem, co portrety; widać po nich, że sobie przywłaszczył jedną paletę, którą do wszystkich prac swoich stosuje; widać oraz to samo wielkie doświadczenie, tę samą obszerną praktykę. Do twórczości i kompozycyi Jabłoński nie rości sobie w skromności swojej żadnego prawa, gdyż bierze do obrazów kościelnych za wzory najwięcej ryciny, robione podług dawnych włoskich mistrzów.

Maszkowski gdyby nie był sam artystą i posiadał dostatki niejednego zamożnego obywatela w naszym kraju, byłby może najpiérwszym mecenasem, największym opiekunem malarstwa. Jemu winna większa część naszej młodzieży kształcącej się za granicą początkowe nauki, zachęcenie i umysłowe wykształcenie pod względem malarstwa.

On jest może jeden w kraju, który celuje znawstwem i bezstronnością, oraz, tym tak rzadkim między artystami darem; on może być każdemu malarzowi w każdej gałęzi malarstwa pomocnym radą i chętnie to czyni. Żałujemy, że nie posiadamy tyle prac jego, abysmy go między piérwszych naszego kraju policzyć mogli. Przechodząc bowiem rozmaite losów koleje nie mógł się bezwzględnie oddawać umnictwu; pomimo tego przyniósł tę wielką przysługę krajowi, że będąc przez długie lata nauczycielem, przyczynił się do obudzenia w młodzieży naszej zamiłowania do sztuk, i dał, możemy powiedzieć, niejednemu z naszych młodszych i znakomitszych artystów piérwsze namaszczenie. Tém bardziej musielibyśmy ubolewać, gdybyśmy go widzieli przez prywatne stosunki i słabości zdrowia zmuszonego do opuszczenia tak pięknego zawodu.

Morawski więcéj posiada wiadomości historycznych, potrzebnych do historycznego malarstwa, niż artystycznego uzdolnienia i praktyki. Pomysły jego do obrazów historycznych są często bardzo dobre, jednakże wykonanie nie odpowiada, niestety! ani oryginalności pomysłów, ani obszernym wiadomościom jego. Gdyby który z biegłych artystów poprzerabiał obrazy Morawskiego pod względem rysunku, kolorytu i układu, mielibyśmy wiele szacownych dzieł, odznaczających się trafnością historyczną, i dokładną znajomością dawnych strojów i zwyczajów. W tym ostatnim względzie zasługują na uwagę:

Przeproszenie Zebrzydowskiego, gdzie nawet ugrupowanie osób jest dobre. Byłbyto obraz znamienitéj wartości, gdyby ręka Morawskiego sprostala jego pomysłom. *Morsztyn ciągnący za sobą Tatara na sznurze za szyję*. Obaj konno, koń Morsztyna w lansadach, Tatara zaś

koń opierający się dalszemu pochodowi; pomysł oryginalny i historyczny, chociaż niebardzo estetyczny. Jeszcze mniej powabu ma *Konaszewicz* ścinający Turkom głowy.

Titz niedawno osiadły we Lwowie, nie przywiózł z sobą żadnych utworów z Francyi; tu zaś zakrótko bawi i nadto zajęty jest nauczaniem, ażeby miał czas dać się poznać z dzieł swoich. Widzieliśmy u niego kilkanaście rozpoczętych portretów, w których pochwalić możemy usiłowanie czynienia z portretów oraz obrazy rodzajowe. *Titz* stara się skrócić portret wśród ruchu, przez co może mu nadać więcej życia, niż mają zwykle portrety. Główną jednak zasługą jego nauka, którą udziela z zamiłowaniem a nawet poświęceniem, przez co i w uczniach obudza tak mało znane u nas prawdziwe artystyczne zamiłowanie. Zresztą należy mu i to przyznać jako zasługę, że uczy metodą nową, która nie zaprawia ucznia do kopiowania martwych wzorów, ale zostawiając wrodzonemu usposobieniu wszelką samodzielność, stawia żywą przyrodę za wzór.

Oprócz tych kilku mamy jeszcze niemało artystów krajowców, na których wielkie można mieć nadzieje; gdy jednak jeszcześmy nie mieli sposobności poznać ich dokładnie, nie możemy nateraz dać sprawozdania. Teraz zaś skończywszy nasz pogląd, wypada nam wynurzyć dwa życzenia.

Jedno jest, aby w naszym kraju ustało raz, że się tak wyrazimy; uspienie artystycznego zmysłu i obojętność dla umnictwa. Mamy zarody wielkich talentów, może nawet gieniuszów w kraju, ale te muszą gnuśnić, kartowacić, bo mają do walczenia to z przesądami towarzyskiemi, to z niedostatkami. Drugie jest powtarzająca się przynajmniej raz w parę lat wystawa obrazów.

Wiadomość o życiu i pismach ś. p. Ignacego Jagiello, nauczyciela literatury starożytnej w byłym gimnazjum winnickim, zmarłego dnia 29 grudnia 1849 roku.

Ś. p. Ignacy Jagiello urodził się we wsi Remejsiach w powiecie wilkomirskim dnia 9 lutego r. 1784, z Józefa i Elżbiety z Jakubowskich Jagiellów. Chodził do szkół w Traszkunach, atrzymywanych przez księży Bernardynów. Pracowity i zdolny młodzieniec poznał, że nauka ztąd wyniesiona nie wystarczała potrzebom jego umysłu, przeto wyjechał do uniwersytetu wileńskiego, gdzie przyjęty w poczet kandydatów do stanu nauczycielskiego, oddał się filologii i będącym z nią w związku naukom, Po trzechletnim kursie pod przewodnictwem uczonego i cnotliwego profesora Ernesta Grodka, otrzymał stopień kandydata filozofii, i wysłany

został w r. 1808 na nauczyciela łacińskiego języka do szkoły postawskiej. Rok jeden tu przebywszy, upraszał rządu uniwersytetu, aby na dalsze studia dozwolił mu powrócić do Wilna. Na podane prośby, nigdy ta władza nie umiała dać odmownej odpowiedzi. Wrócił więc Ignacy Jagiełło do Wilna; po dwóch latach otrzymał stopień magistra filozofii iznaczony został w 1811 roku starszym nauczycielem języków starożytnych w Winnicy na Podolu, gdzie zamierzano otworzyć gimnazjum, a co dopiero w 1814 r. nastąpiło.

Od tego czasu aż do śmierci, Winnica była miejscem ciągłego pobytu Ignacego Jagiełły. Po otrzymanej emeryturze na jeden tylko rok był na wieś się wychylił, zaprobował gospodarki i znowu wrócił do ulubionego miasta, a raczej do właściwych sobie zatrudnień.

Niewielu ludzi tak trafnie, jak Jagiełło, zawód i stan dla siebie wybierali. Cierpliwy, rozsądny, szlachetny, poważny, gruntowny, słowem i czynem najbawienniejszy wpływ na młodzież wywierał. Był on jednym z pierwszych nauczycieli tworzącego się gimnazjum winnickiego, i prawie ostatni po jego zniesieniu umarł. Rok 1849 nie mógł boleśniej dla stron tutejszych się zakończyć, jak zabiérajac męża, który był ich ozdobą i wzorem.

Jako nauczyciel starożytnych języków, Ignacy Jagiełło znakomite położył zasługi; dla każdego pilniejszego ucznia, lekye jego były bardzo nauczające; pierwszy on porzucił wykład drobiazgowy, przeciążający pamięć uczniów suchemi prawidłami, a natomiast trzymał się zawsze stroiny praktycznej; w porównaniu z mową ojczystą wykazywał właściwości języków starożytnych, zwracał uwagę na szczególną ich budowę i bogactwo; żadna piękniejsza myśl filozoficzna, żadne prawdziwie poetyczne wyrażenie, nie uszło jego, a ztąd i uczniów uwagi. Mając sam umysł rozległemi wiadomościami wzbogacony, wszystko co wymagało dopełnienia objaśnienia, objaśniał, dopełniał; słowem żadnej zręczności nie opuścił, aby coś do wzbogacenia młodzieży serca i umysłu nie przydał.

Prócz głębokiej znajomości języków starożytnych i ojczystego, znał języki i literatury francuzką i niemiecką. Historia powszechna, ulubionym jego badań i rozmyślań była przedmiotem; ztąd jego poglądy na ludzkosć i czasy zawsze były piękne, zastosowania trafne i nauczające. Z nauk przyrodzonych wybrał sobie botanikę na naukę rozumnego i razem miłego odpoczynku po zmudnych domowych nauczycielskich pracach, i flora podolska, ręczę, nie miała dotąd bieglejszego nadeń znawcę i stałsze go miłośnika.

Piękny był widok męża, wzniosłej, wspaniałej postawy, z obliczem jakie widzimy na medalionach greckich i rzymskich, z włosami, które mu poważnie ubielaty skroń i czoło. Szczerosć uczuó i myśli, jak w każ-

dém poruszeniu ciała, w każdym słowie, tak téż i w całej jego prześwie-
tlała się fizyonomii.

W skutek ciągłego czuwania nad swemi namiętnościami, zawsze w obyczajach był czysty, w stosunkach towarzyskich jednostajny; któ-
jakim go znał przed laty, takim znalazł i przy śmierci: na ruchomym tea-
trze świata, wszystko wokół niego się zmieniało, a on pozostał wier-
ny raz poślubionym uczuciom, myślom, pojęciom. Sympatyzując z tém
wszystkiém, co zacne, piękne, umiał być wyrozumiałym na ułomności
i błędy drugich, pobłażliwym w sądzeniu wad cudzych; do żadnej intrygi
i plotki nigdy się nie wmixszał, nikomu pokoju nie zamącił.

Najlepszy mąż, ojciec, krewny, swą niespodzianą śmiercią ciężką
i długą żal po sobie zostawił. Umarł dnia 29 grudnia 1849 roku, w 65
roku życia z napadu apopleksyi. Jedna chwila położyła kres życiu tak
pięknemu, pożytecznemu. Czyż taki nauczyciel, taki człowiek nie mógł
sobie zjednać szacunku publicznego? Nie dziw więc, że ciało jego tłumnie
odwiedzano, że pogrzeb choć o to nikt się nie starał, odbył się wśród
zbioru liczego ludu; nie tylko katolicy i innych wyznań chrześciance, ale
nawet żydzi towarzyszyli konduktowi. Cnota, prawdziwa zasługa, w każ-
dém miejscu i czasie, zawsze należną sobie cześć odbierze.

Wolniejsze chwile od zatrudnień publicznego i prywatnego nauczy-
ciela, od ciągłego czytania, aby nie zostać za postępem czasu i nauki, pō-
święcał Ignacy Jagiełło na pisanie licznych mów i rozpraw w języku
polskim i łacińskim, które miewał przy otwarciu i zamknięciu prawie
każdego szkolnego roku. Prócz tego, wypracował: *Lód*, *Uwagi nad hi-
storyą powszechną*, pokazujące w rzedzie ludzkich wiadomości jój arcy-
wielkie przeznaczenie i nieskończone pożytki w doskonaleniu człowie-
ka pod wszystkiemi ważniejszymi względami; *2re*, *Traktat o rządzie
i prawach najstawniejszych w starożytności narodów*. Ale najważniej-
szą pamiątką umysłowej pracy Ignacego Jagiełły, jest przekład dziejów
rzymskich Liwiusza wszystkich ksiąg, jakie do naszych czasów doszły,
oraz wstęp do tego tłumaczenia, w którym opowiedział historyą cywili-
zacyi Greków i Rzymian. Dzieło to z pięciu obszernych tomów złożone,
tylko przy pomocy gorliwych o ojczyzną literaturę ziomków wydruko-
waném być może. Jakbyto było pięknie, gdyby uczniowie ś. p. Ignac-
cego Jagiełły tę cześć swemu nauczycielowi wyrządzili; byłbyto pomnik
godny ich uczuć i pamięci męża, dobrze swemu krajowi zasłużonego.

Ignacy Jagiełło pochowany został na cmentarzu katolickim w Win-
nicy, w katakumbie kościoła tamże znajdującego się. Tablica z surow-
cu-żelaza odlana, ma wskazywać miejsce spoczynku jego zwłok i opo-
wierać dzień urodzenia i zgonu.

Alexander Groza.

WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Schönbein przytoczywszy wiele doświadczeń świadczących o wpływie światła słonecznego na chemiczne działanie kwasorodu, następną podaje teorią powstawania elektryczności w chmurach

Już od czasu Franklina wiadomo wszystkim, że w chmurach istnieje ogromna ilość elektryczności; dotąd jednak nie jesteśmy w stanie wskazać przyczynę jój powstawania. W tym wszakże przedmjuocie mamy wiele hipotez. Najpowszechniejszą i najprawdopodobniejszą jest hipoteza poczytująca parowanie wód, na powierzchni kuli ziemskiej rozlanych, za przyczynę elektryczności atmosferycznej; do innych zaś liczymy szybkie przechodzenie par wodnych do stanu płynnego i stałego, różność temperatur rozmaitych warstw powietrza w odmiennych wysokościach. Niektórzy uczeni poczytują stan elektro-dodatni atmosfery za jój stan normalny. Schönbein odrzuca wszystkie powyższe mniemania i w ich miejsce podstawia teorią tworzenia elektryczności chmur, w skutek powinowactwa chemicznego, będącego znów wypływem galwanizmu.

Woda jest ciałem zdolnym przybierać biegunowość elektryczną, czyli stan napięcia płynów elektrycznych, skoro jakakolwiek materya ma do jój kwasorodu lub wodorodu chemiczne powinowactwo. Kwasoród o zwykłej temp. jest w ogóle obojętnym na pierwiastki, lecz pod wpływem światła słonecznego działa tak jak ozon, to jest ukwasorodnia metale dla których był obojętnym w ciemności. Kwasoród oświetlony, uważany pod względem chemicznym, posiada więc odmiennie własności od kwasorodu ciemnego. Nadto w pierwszym stanie jest mocniej elektroujemnym, aniżeli w drugim, i ztąd te dwie odmiany kwasorodu mogą wywołać biegunowość elektryczną w cząstkach wody.

Aby w atmosferze mogła powstać burza z błyskawicami i piorunami, koniecznemi są te warunki: najprzód aby istniały chmury, czyli aby

cząsteczki wody były nagromadzone w massy; powtóre, aby chmury były oświetlone; nakoniec, aby w atmosferze był kwasoród.

Przypuśćmy że latem, w skutek pewnej przyczyny, w dolnej warstwie atmosfery tworzy się chmura: wówczas każda jej cząstka stykając się z kwasorodem powietrza pod wpływem światła słonecznego, staje się elektryczną. Chmura oświetlona przez słońce, może być uważaną za zbiór molekularnych par galwanicznych, w których natężenie elektryczności wzrastać będzie stosownie do mocy światła słonecznego; zrazu natężenie to będzie słabsze, wśród dnia najmocniejsze. Nadto, należy według powyższego przyjąć, że cząsteczki wody składające jedną chmurę, posiadają różne napięcie elektryczne; te z nich, które są w zetknięciu z najmocnié oświetlonym kwasorodem, czyli które zajmują górną część chmury, mają natężenie elektryczne największe; słabsze zaś cząstki wody składające wewnątrz chmury. Wzbudzona w ten sposób biegunowość w cząstkach chmury, oddziaływać musi na otaczające cząstki wody i przez indukcję wywołać w nich napięcie elektryczności, które znów dalej udzielać się będzie następnym cząstkom wodnym. Podobnie jak w stosie Volty, napięcie elektryczne całej chmury równać się będzie summie napięć wzbudzonych w każdej cząstce przez wpływ kwasorodu oświetlonego, i chmura wyobrażać będzie stos Volty niezamknięty.

Przyjmijmy, że druga chmura nieoświetlona, do poprzedniej się zbliża; jasną jest rzeczą, że w tej drugiej chmurze przez indukcję powstanie biegunowość elektryczna. A jeżeli ta druga chmura jest oświetlona, wtedy takie chmury wzajemnióm na siebie działaniem zwiększą swe własne napięcia elektryczne, wzbudzone pierwotnie jedynie przez kwasoród oświetlony. Zdaje się, że koniecznym warunkiem burzy zdolnej wydać błyskawice i pioruny jest, aby chmury nie stanowiły jednej ciągłej massy, lecz były kształtu zwanego *cumulus*, i dopiero gdy takie chmury przechodzą w warstwowate (*stratus*), następuje burza, kończąca się natychmiast po nastąpnój zamianie. Podobnie w dzień, gdy wiatr lub inna przyczyna rozedrze chmurę warstwowatą i rozsunie ją na oddzielne części, zwykle następuje burza.

Właściwe burze z grzmotami i piorunami, mają miejsce w niższych warstwach atmosfery, i nie wznoszą się wyżej nad 10—12000 stóp. Schönbein upatruje tego przyczynę w tém, że tylko cząstki wody w stanie płynnym zdolne są przyjmować stan elektryczny, pod wpływem kwasorodu i światła; temperatura zaś atmosfery tak szybko się zniża w miarę wznoszenia się nad ziemię, że na wysokości 12000 stóp, cząstki wody są już zmarznięte nawet podczas lata.

Co się tyczy burzy nocnych, napozór sprzecznych z przywiedzioną hipotezą, Schönbein tłumaczy je w taki sposób. Przyjmijmy, że w pewnej okolicy dla której słońce już zaszło, rozciągają się chmury *cumulus* aż do miejsca, które jest jeszcze oświetlone promieniami słońca; w tej ostatniej stronie nieba nastąpi pierwotna burza; ta wywrze swe działanie indukcyjne przez cały szereg chmur przyległych, i może wywołać podobną lecz słabszą burzę w okolicy, gdzie już noc panuje. W samej rzeczy nocno burze nie powstają nigdy z pojedynczych chmur zawieszonych w atmosferze, lecz objawiają się wtedy tylko, gdy chmury *cumulus* rozciągają się w różnych kierunkach, szczególnie zaś ku wschodowi i zachodowi. Błyskawica jest połączeniem przeciwnych elektryczności wtedy, gdy napięcie tych płynów w chmurach dojdzie pewnego kresu, który, jak w każdym ciele istnieć musi. Droga jej idzie przez te części chmury, które dosięgły największego natężenia elektrycznego poprzedzającego rozbrojenie, czyli przez te linie, na których znajdują się molekularne stosy Volty, posiadające największe napięcie elektryczności. W skutek wyładowania, pojedyncze chmury zbliżają się ku sobie zlewając się w jedną warstwę, a cząstki wody składające chmury, spajają się w krople deszczowe. Dlatego błyskawice i pioruny wyprzedzają zawsze spadnięcie ulewnego deszczu, i za każdym nowym grzmiotem deszcz, który się zmniejszył, na nowo się wzmacnia. (*Bibl. de Genève, 1850. Octob.*)

S. P.

MINERALOGIA.

Porównanie składu piasków złotonośnych Kalifornii, Nowej Grenady, Uralu i Renu.

Któż nie słyszał i nie czytał o niezmiernych bogactwach Kalifornii? kto nie zdumiewał się nad niemi, i nie życzył sobie czerpać z owych skarbów? ileż zmian już przypuszczano? Zdawało się, iż z tém odkryciem zniży się wartość złota, tego jedynego kruszcu, który dla swjej szlachetności a przytém i rzadkości, dotąd w tak wysokiej cenie się utrzymywał; jednakże na czém się te przypuszczenia opierały? Na wiadomościach z gazet wyciągnionych, do których wielkiej wagi przywiązywać nie można było. Wszakże interesem było Amerykanów, aby nowo nabyte prowincje jak najspieszniej zaludnić; z łatwością więc domyślać się należało, iż wszystkie te wieści znacznie przesadzonemi były. Po tylu więc ro-

zlicznych i różnorodnych wiadomościach, spodziewam się, iż każdego zajmie ściślejsze opisanie składu piasków Kalifornii, w porównaniu z innymi dawniej już znanymi; a niejedyn zadziwi się, iż te tak nadzwyczajnie głoszone skarby, niewiele albo nie przewyższają w bogactwie kopalni, o których teraz, słysząc o Kalifornii, nikt prawie nie wspomina. Porównawczo to zbadanie piasków złotonośnych uskutecznione zostało przez pana Dufrénoy w Paryżu (1), i takowe tu w krótkości udzielić pośpieszam.

Pokłady Kalifornii. Poddany badaniu zbiór części stanowiących pokłady złotonośne Kalifornii, zawierał:

1. Dwa kawałki ziemi złotonośnej, wziętej z dwóch punktów doliny Sacramento.

2. Piasek pochodzący z płókania dość już daleko posuniętego, a w którym wyraźnie dostrzedz już można było blaszki złota.

3. Zwir kwarcowy i ułamki skał, wzięte z napływów stanowiących dolinę.

4. Dwa kawałki złota.

5. Nakoniec blaszki pochodzące z trzech punktów Sacramento, to jest: z rzeki Amerykańskiej przy ujściu do Sacramento, z téjże rzeki o mil sześć od ujścia, nareszcie z rzeki Piór, odległej o 7 do 9 mil na wschód od pierwszej rzeki. Te trzy punkta dają poznać prawie piątą część doliny rzeki Sacramento, która wypływa zpod Sierra-Nevada (gór śnieżnych), a wpada do oceanu u portu San-Francisco; bieg jej ma około 50 mil długości.

Blaszki złota z Kalifornii są daleko szersze aniżeli uralskie lub brazylijskie; różnią się także od nich kolorem więcej czerwonym; składają się zaś podług rozbioru pana Rivot: z 90,70 złota

8,80 srebra

0,38 żelaza

99,88

Ziemię z doliny Sacramento, są lekkie, w dotknięciu dość gładkie, chociaż w części daje się czuć pewna szorstkość; koloru są brzoatnego; za pomocą mikroskopu rozpoznać można, iż się składają z małych ułamków krzemienistych, ostrokanciastych i przezroczystych; gołym okiem, ziarn bardzo trudno dostrzedz.

Jeden z kawałków złota ważył 47⁵/₁₀₀, 7415 (blisko 4 łóty), koloru czerwonawego i składu podobnego do blaszek; przywiera do niego kawałek kwarcu zaokrąglony, co dowodzi iż zdaleka został przytoczonym,

(1) Annales des Mines IV Série. Tome XVI, 4. Livr.

a nadto że żłotu pierwiastkowo towarzyszył kwarc, z którym, stosownie do zachowanego jeszcze płaskiego kształtu, tworzyć musiał żyły.

Odlamki łupkowe znajdowane w napływach, każą nam przypuszczać, iż skały w których żyły złotonosne były zawarte, z łupków a nie granitów się składały.

Natura piasków z Kalifornii: Powszechnie kolor tych piasków jest czarny, co głównie pochodzi od kwasorodu żelaza, który odciągnięty za pomocą magnezu, wynosił 59,82 na sto. Pomimo tego piasek pozostały zachował jeszcze kolor czarny. Badana pozostałość ta, za pomocą mikroskopu, zawierała małe ośmiościanki błyszczące tytanianu żelaza, zmieszane z kryształami spłaszczonemi błyszczu żelaza i ziarnkami zaokrąglonemi niedokwasu manganu: pomiędzy tych pierwszy jest przeważający, a ostatni dość rzadki. Wśród tych znajdują się jeszcze białe, przezroczyste, z obydwóch końców wyraźnie zakończone kryształki cyrkonu, których kąty, pomimo ich drobnych rozmiarów, dają się dość dokładnie zmierzyć. Cyrkon biały, tak obfity w piaskach złotonosnych, powszechnie jest bardzo rzadki, znajduje się bowiem tylko w Zillertal w Tyrolu i w Brewig w Norwegii.

Oprócz tego, piasek z Kalifornii zawiera jeszcze kwarc niekryształiczny bezkolorowy i zadymiony, który zawsze da się rozróżnić od innych odłamków przez swój złam muszlowy; nareszcie spostrzegać się dają czasem kawałki niebieskawe korundu.

Ziarnka piasku płókanego takich są rozmiarów, że je można pod mikroskopem rozgatunkować, i stosunek ciał wyżej wyrażonych oznaczyć. Tym sposobem doszedł p. Dufrénoy, że piasek z Kalifornii składał się:

z 59,82 kwasorodku żelaza magnezem wyciągniętego,
16,32 tytanianu, błyszczu żelaza z śladami niedokwasu manganu,
9,20 cyrkonu,
13,70 kwarcu niekryształicznego (hyalin),
0,67 korundu,
0,29 złota,

100,00

Stan kryształiczny tytanianu żelaza i cyrkonu dowodzi, że skały pierwiastkowe z których utworzone zostały pokłady doliny Sacramento, nie musiały być oddalone, i zdaje się, że należały do łańcucha gór śnieżnych. Nienadwreżone kryształy, a nadto zupełne ich w obu wierzchołkach zakończenie, prowadzą nas także do przypuszczenia, że te skały są łupkowe, a nie granitowe. W tych bowiem ostatnich kryształy przywarte do skały, zwyczajnie jeden tylko przedstawiają wierzchołek, gdy w łup-

kowych najczęściej położone w kierunku warstwowania skał, kryształy są całkowite. Zdaje się więc że góry Śnieżne, stanowiące granicę wschodnią Kalifornii, po większej części są z łupku mikowego i talkowego.

Piasek z Nowej Grenady zebrany w dolinie rzeki Rio-Dolce, płynącej w prowincyi Antioquia, jest prawie całkowicie krystaliczny, jak w Kalifornii, a kryształy jeszcze mniej uszkodzone. Piaski te są raczej popielate jak czarne, dlatego też za pomocą magnesu można było odciągnąć tylko 34,35% kwasorodku żelaza. Skład piasku tego, podobnym sposobem oznaczony jak poprzedzającego, jest następujący:

34,35	kwasorodku żelaza
15,00	tytanianu i błyszczu żelaza
20,00	cyrkonu
25,00	kwarcu
1,00	korundu
4,65	skały żółtawej nieprzezroczystej, zapewne kwarcu, pirytu żelaznego i złota.

100,00

Cyrkon jest koloru pomarańczowego; w kryształach bardzo wyraźnych, często w obu wierzchołkach zakończonych. Kwarec prawie zawsze w ulankach mało zaokrąglonych, czasem w kryształach. W ogóle ziarnka piasku z Grenady są mniej zaokrąglone, aniżeli w Kalifornii, musiały zatem nie tak daleko być toczonemi, i rzeczywiście Andy od Rio-Dolce zaledwie 10 mil są odległe, gdy tymczasem dolina Sacramento blisko 50 mil ma długości. Piaski grenadzkie zawierają w sobie mniej kwasorodu, co ztąd pochodzi zapewne, iż ich płókanie mniej daleko posunięte było jak w Kalifornii. Ich skład zaś jest tenże sam, a z tego wynika, iż góry Andy początek im dające, w przestrzeni 600 mil przedstawiają zupełną tożsamość składu.

Piasek uralski. Dwie odmiany piasku uralskiego poddane poszukiwaniu, pochodziły z dwóch odmiennych stopni wypłókania; w jednej bowiem mniej wymytój, znajdowało się kwasorodku żelaza tylko 10%, w drugiej zaś 22,12. Najobfitszym w tym piasku pokazuje się tytanian żelaza koloru czarnego, w ziarnach zaokrąglonych i bez wyraźnego kształtu; kwarc znajduje się trojaki: niekrystaliczny, ametyst i zadymiony. Oprócz tego napotkać się jeszcze dają ziarnka żółtawe cymofanu i białe kryształki zaokrąglone cyrkonu.

W ogóle ziarnka piasku uralskiego są bardzo zaokrąglone, i noszą ślady długiego tarcia, a tém samym odległego przypiływu. Składa się z następujących części:

z 23 kwasorodku żelaza magnetycznego,
 50 tytanianu żelaza,
 10 cymofanu,
 14 kwarcu,
 3 cyrkonu.

100

Oprócz tego, znajduje się jeszcze w nim piryt żelazny, a nawet jak się zdaje i miedziany.

Nareszcie badał p. Dufrenoy piasek z Renu pochodzący, w którym główną częścią jest kwarc, bo blisko 90% wynosi; jest on zawsze niekryształiczny, różnych kolorów, a szczególnie różowego; pomiędzy temi odłamkami kwarcu ostro zakończonemi, znajdują się rzadkie ziarenka zaokrąglone białego cyrkonu. Kwasorodku żelaza zawiera zaledwie 2%, a tytanianu od 3 do 4%.

Robiąc porównanie piasków jednej ciężkości gatunkowej, a zatem prawie jednego stopnia wypłókania, okazuje się, iż nie zachodzi wielka w ich bogactwie różnica. Niektóre wiadomości statystyczne potwierdzają tę prawdę. Rossya w r. 1847 wyprodukowała złota za 77 milionów franków, przyczém użyto 50,000 robotników. Podług ogłoszonych wiadomości z Kalifornii, produkeya tamtejsza dochodzi od 20 do 25 milionów franków, liczba zaś pracujących wynosi od 15 do 16,000; stosunek więc robotników do produkeyi jest takiż sam w Kalifornii, jak i w Rosyi, bo 25 milionów jest tak $\frac{1}{3}$ częścią 77 milionów, jak 16,000 pięćdziesięciu tysięcy robotników. Jedna zatem liczba robotników w obu krajach tą samą ilość złota dziennie produkuje, a tém samym bogactwo kopalni złota w Kalifornii, przedstawia się zupełnie w tych samych stosunkach co na Uralu.

Ważne więc odkrycie w Kalifornii pokładów złota może w początkach znaczne przynieść korzyści; jużto dlatego, że pierwsi poszukujący na najkorzystniejsze punkta trafić mogą, już téż dla inszych jakichkolwiek przyczyn; w końcu jednak musi się ustalić pewna średnia produkeya, która dopiero naznaczy rzeczywistą wartość tego przemysłu.

Możemy się więc z tych uwag porównawczych przekonać, iż pokłady Kalifornii nie są bogatsze nad inne dawniej już znane, nie spowodują zatem zmian, które już przewidywano, ale staną się dla tego nowego kraju Stanów Zjednoczonych, źródłami bogactwa i cywilizacyi.

J. Bocheński.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850.

W I L N O.

102. Rady dla matek czyli sposób utrzymania zdrowia kobiety, od narodzenia do późnej starości. Skreślił Julian Moszyński, doktor medycyny. Z 6 tablicami figur litografowanych. 12ka. Wilno. 1850. Drukiem Zawadzkiego. Str. XX i 650.

L W Ó W.

103. Wróżka nieomylna. Puścizna po panie Maryi Lenormand w Paryżu. Z 9 popiersiami najświetniejszych wróżek.... 8ka. Lwów. 1850. Nakładem Pillera. Str. 32. Złp. 3.

1851.

W A R S Z A W A.

32. Modlitwy dla pobożnych chrześcian katolików, z celniejszych dzieł w literaturze ojczystej i zagranicznej zebrane. 12ka. Warszawa. 1851. Nakładem G. L. Glücksberga, drukiem J. Ungra. Kart 4, str. V, X i 499. Złp. 13 gr. 10.

33. Notatki przez K. z T. H. 12ka. Warszawa. 1851. Druk S. Orgelbranda. Kart napis. 2 i str. 218. Złp. 5.

34. Rocznik urzędowy, obejmujący spis naczelnego władz Cesarstwa, oraz wszystkich władz i urzędników Królestwa Polskiego, na r. 1851. 16ka. Warszawa (1851). Drukiem S. Orgelbranda. Kart 10, str. 967 i LXXXVIII. Złp. 8 gr. 20.

35. Ulżenie kłopotu młodym gospodyniom w dysponowaniu obiadów, w 60 różnych sposobach na większą i mniejszą skalę ułożonych. Wydanie drugie. 16ka. Warszawa. 1851. Nakład Maurycego Orgelbranda, druk S. Orgelbranda. Str. 37. Złp. 2.

36. Wieczery Dyrektoryatu, czyli powrót generała Buonaparte z Egiptu. Z francuzkiego przez Saint Felix. Przekład redakcyi Magazynu Mód. 12ka. 2 tomy. Warszawa, 1851. Nakład i druk J. Glücksberga. Tom I, str. 216, II, 215. Złp. 9.



Doniesienia literackie.

W A R S Z A W A.

Edward bar. *Rastawiecki* wykończy obecnie tom IIgi: Słownika malarzy polskich.

— F. M. *Sobieszczański* przygotowuje rękopism do druku tomu IIIciego i ostatniego, dzieła: „Wiadomości historyczne o sztukach pięknych w dawnej Polsce”. Tenże wkrótce ukończy opis Warszawy pod względem historycznym głównie, który zarazem będzie służył jako przewodnik chcącemu poznać ten gród stary. Wydanie będzie ozdobne z drzeworytami wśród tekstu, i rycinami.

— G. L. Glücksberg po wydaniu 2ch tomów *Przeglądu dwóch światów*, więcej wydawać go nie będzie. Ogłosił swoim nakładem: *Historię powszechną dla zakładów naukowych płci żeńskiej* przez S. Smaragdowa, przekład z ros. L. Rogalskiego. Tom 1 obejmuje historią starożytną; tom 2gi wieki średnie; tom 3ci nowsze czasy. Każdy tom oddzielnie będzie do nabycia. Wydaje także swoim nakładem, w jednym tomie, dzieło dra. Tripplina: *Anglia teraz i dziesięć lat temu*.

— Czytamy w pismach naszych następane ogłoszenie dr. T. Tripplina:

„Z powodu niedostatecznego jeszcze rozpowszechnienia się przedpłaty na dzieło: „Wspomnienia z podróży po Danii, Norwegii, Anglii, Szkocyi, Hebrzydach, Portugalli, Hiszpanii i państwie Marokańskiem;” zawiadamia się szanownych prenumeratorów, że wydanie onego wstrzymanem zostało jeszcze na trzy miesiące, to jest aż do 30 maja r. b. Szanownych zaś kolektorów prenumeraty uprasza się o rozpowszechnienie przedpłaty i zatrzymanie u siebie pieniędzy aż do przesłania im exemplarzy”.

— Nakładem księgarza *Bernstejna* wyjdzie wkrótce w przekładzie polskim dzieło w 2ch tomach z drzeworytami i rycinami, p. n.: *Nauka rozumowanej praktyki gospodarstwa przemysłowego pp. Otto i Siemens* (przekład znanego w literaturze naszej J. Belzy).

— W Petersburgu nakładem M. Wolfa wyszła z druku powieść Michała Czajkowskiego p. n. „Szwedzi w Polsce” we 2ch tomach.

— Tamże wyszły także: Poezye Bohdana Zaleskiego, wraz z poematem: *Przygrywka na Stepie*.

— Obszerna powieść historyczna J. I. Kraszewskiego p. n. „Kordecki” w dwóch sporych tomach, już oddana pod prasę drukarską.

— Pisma Henryka hr. Rzewuskiego, w 7 tomach, których pierwsze tomy już wydrukowano, wkrótce w całości wyjdą.

— P. Alexander Afanasiew w Kijowie, rozpoczyna po rosyjsku wydanie: „Galeryi pisarzy polskich”. Już przełożonego ma *Budnika* i kilka powieści J. I. Kraszewskiego. Księgarz Zawadzki podjął się wydania własnym nakładem.

— W Wrocławiu professor dr. Fritz, nauczyciel języka polskiego przy uniwersytecie tamecznym, tłumaczy na język niemiecki niektóre powieści J. I. Kraszewskiego.

— Powieść J. I. Kraszewskiego p. n.: „Ostatnia z Siekierzyńskich”, w jednym tomie, wyszła już zpod prasy drukarskiej w Wilnie nakładem M. Wolfa.

— Tegoż autora powieść: *Komedyanci* już jest na ukończeniu.

— *Athenaeum* będzie wychodzić i w r. b.; sąm wydawca odwołuje dawniejsze swoje ogłoszenie, którym zawiadamiał, że z końcem VIgo tomu na r. 1850, zamyka wydawnictwo tego pisma zbiorowego.

— Michał Baliński, współpracownik Biblioteki Warszaw. po ośmiomiesięcznej ciężkiej chorobie, do zdrowia powrócił i zajmuje się dokończeniem kilku prac historycznych. Wyda on wkrótce: „Studia historyczne i biograficzne”, w których oprócz „Spytka z Melsztyna” i „Żółkiewskiego pod Cecorą”, drukowanych niegdyś w Bibliotece Warsz. umieszczone będzie porównanie Tadeusza Czackiego z Janem Śniadeckim, ze źródeł autentycznych napisane; także „Historyczny opis Nieświeża” i inne artykuły. Wydanie u Zawadzkiego ma być ozdobne, z rycinami. Pracuje on téż nad „Opisem

wypraw wojennych Stefana Batorego”, z listów króla Stefana do panów litewskich, pisanych, prawie w połowie własnoręcznych, nader ważnych. Główne to źródło dopełnione będzie i objaśnione z innych mniej znajomych dokumentów, na wzór wydania *Wapowskiego*, przez Mikołaja Malinowskiego. Dzieło to dopiero latem wyjdzie w Wilnie, a w tych datach ukaże się tam ilgi tom: „Listów Komendoniego”.

— P. Gołębiowski (syn zasłużonego ś. p. Łukasza) wydał: „Czasy Zygmunta Augusta”; ustęp z przeszłości. Dwie części, w 8ce.

— Julian Korsak zajął się przekładem „Komedyi Boskiej” Dantego, wierszem. Miał pod ręką najlepsze wydania tego poematu i najlepsze komentarze, które także do jego tłumaczenia wejdą. Już przełożył *Czystości* cała, i 23 pieśni *Piekiła*; pozostaje mu jeszcze *Raj*.

— Biblioteka zakładu Ossolińskich we Lwowie od czasu nastania nowego kuratora, księcia Jerzego Lubomirskiego (syna ś. p. ks. Henryka), i nowego kustosa, Augustyna Bielowskiego, przychodzi do nieznanego dotąd porządku. Nikt nie był ciekawy dotąd przeliczyć i zostawić na piśmie, wiele też woluminów rękopismów w bibliotece tej znajduje się, a tém mniej pozgartywać w jedno ze wszystkich kątów i szaf, i jakotako posortować, a psujące się ponaprawiać i od zagłady ochronić. To samo i co do autografów i do dyplomatów bibliotecznycych, oraz obrazów i osobliwości muzealnych. W przeciągu *miesiący kilku*, o najwięcej *roku jednego* praca ta olbrzymia ma być wykonana z wielkim pożytkiem dla świata uczonego.

— Około Wielkiéjnocy ma wyjść u Żupańskiego w Poznaniu IV tom: *Polski średnich wieków*, w którym umieszczony będzie trafny rozbiór dzieła A. Bielowskiego: *Wstęp krytyczny do dziejów polskich*.

— Uczony autor: *Polski średnich wieków*, wraz z panem *Carmoly* ex-rabinem bruxelskim, pracuje nad dziełkiem pod tytułem: *Notice historique sur Benjamin de Tudèle*. Jestto wiadomość o żydzie podróżującym po Wschodzie w XII wieku, a który i Polskę zwiedził.

— *Michał Grabowski* w załszu wiejskiem i wśród zatrudnień gospodarskich, pisze powieści, których sceną zawsze Ukraina; do tej części kraju ograniczył też swoje poszukiwania archeologiczne i zbiór dyplomatów. Resztę zaś zbiorów tegoż rodzaju po ś. p. Karolu Prozorze, obożnym litewskim, powierzył znanemu bibliografowi Konstantemu Swidzińskiemu, którego powrót do tutejszego kraju, i zajęcie się wyłącznie bibliografią, byłoby tak pożądane.

— W Kijowie wkrótce wyjść mają z druku: *Negocjacje Dyplomatyczne* za Zygmunatów, podobno Dantyszka i innych. P. Swidziński zrobił także wydanie polskie listów kozackich, drukowanych w aktach kijowskiej komisji archeograficznej; stanowi to dodatek do Igo tomu *Ukrainy* M. Grabowskiego.

— *Koliszczyzna i stepy*, powieść Michała Grabowskiego, wyszła w przekładzie czeskim p. Kar. Wład. Zapa, w Pradze, 1851.

— *Młwnice polskiego jazyka* od Vacláva Hanky, doczekało się wydania 2go w Pradze. 1850 r.

— *Życie św. Wojciecha* biskupa i męczennika, patrona narodu czeskiego (a obchodzące i nasze dzieje), wyszło w odbitkach z dziennika *Blahowest* w r. 1849, w Pradze. Str. 96. Przez Waclawa Sztulca.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Luty, 1851.

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.968	27	8.901
Najwyżej dochodził — d. 10 o g. 10 r.	764.64	28	2.962
Najniżej — — d. 21 o g. 6 r.	740.75	27	4.371
Średnia zmiana dzienna barometru	3.772		1.672
Największa zmiana dzienna barometru d. 13—14 o g. 10 r.	11.14		4.902
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	0.577		0.256
Średnia temperatura Lutego wynosi: i ta jest wyższa o od stanu normalnego z 25 lat po- przedzających	—	2 ^o .28 C.	—1 ^o .824 R.
Największe ciepło dochodziło d. 19 o godz. 10 wieczór.	—	3.04 „	— 2.452 „
Największe zimno dochodziło d. 10 o godz. 6 rano.	+	4.7 „	+ 3.8 „
Termometrograf wskazał: Maximum: + 5. ^o 8 R. d. 20 po połud. Minimum: — 14.2 „ d. 10 rano	—	16.8 „	— 13.4 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.47	„	1.976 „
Największa zmiana dzienna d. 11—12 o godz. 6 rano.	10.5	„	8.4 „
Wody z deszczu spadło wysoko na 34,6 milim., czyli 15,3 lin. par.; z śniegu 31,6 milim., czyli 14,0 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 66,2 milim. czyli 29,3 lin. par., to jest: o 18 lin. par. więcej niż w stanie normalnym.			
Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 95,2, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do cięż- żaru, 4,42 gramów na jednym metrze sześciennym powie- trza. Wilgotność ta jest o 3 setne większa niż w stanie nor- malnym.			
Dni pogodnych było 4, napót pogodnych 6, pochmurnych 18. — deszczu 7 (d. 12, 13, 16, 17, 19, 20, 21). — śniegu 6 (d. 5, 12, 13, 14, 22, 27). — krup 1 (d. 28). — mgły 7 (d. 3, 5, 6, 12, 16, 20, 22). Wiatr panujący: Zachodni. Wichrów 2 Zachod., wiatrów mocnych 3 Zachod.			
Luty r. b. był wilgotny, mglisty, przeszło o pół stopnia R. cieplejszy jak zwykle, więcej do jesiennego niż zimowego miesi- ca podobny. Pierwsze piętnaście i ostatnie sześć dni, były nuro- żne, wszelako mrozy były nieznaczne; przeciwnie siedm dni, od d. 16 do 23 to jest od <i>Pełni</i> do <i>Ostatniej kwadry</i> były tak ciepłe jak w porze wiosennej. Dnia 16 po mrozach nastąpiła nagła zmiana temperatury i wielka odwilż. Deszcze i mgły były częste; śniegu spadło bardzo mało, co przy łagodnym stanie powietrza, nadawało temu miesiącowi cechę wyjątkową. Najcieplejsze dni były: d. 20, 21; najzimniejsze d. 9, 10, 11, 27, 28. Zmiany tempe- ratury przypadły d. 12—13; d. 13—14; d. 15—16; d. 22—23. D. 25 i 28 o godz. 8 wiecz., przyświecała <i>Zorza Zodyakalna</i> . D. 1, 10, 14, 18, 24, 25, 27 pokazywały się plamy na słońcu. D. 25 o godz. 9 wieczorem, lody na <i>Wiśle</i> powyżej mostu, przy wysokości wody 6 stóp i 6 cali, łamać się zaczęły.			

PAWEŁ Z PRZEMANKOWA.

RYS HISTORYCZNY Z DRUGIEJ POŁOWY XIII WIEKU W POLSCE, Z NIEZNANYCH
PO WIĘKSZEJ CZĘŚCI, LUB MAŁO ZNANYCH ŹRÓDEŁ SKREŚLONY

PRZEZ

Alexandra Przechdzieckiego.

Scribitur ad narrandum et ad probandum.

Słów kilka wstępnych.

Znajome są z dziejów naszych zatargi Leszka Czarnego z Pawłem z Przemankowa, biskupem krakowskim, człowiekiem złych obyczajów, popędliwym i mściwym, który przez związki swoje z rycerstwem krakowskim i sandomierskim, w obu księstwach przeciw księżętom wicherzył, i nie wahał się nawet w pomoc zemście swojej, pogańskie szajki Jadźwingów i Litwinów, do własnego kraju, na rzeź i łupy sprowadzać!

Piętno hańby na niecnym kapłanie wycisnął sprawiedliwy Długosz w historii swojej, (sam kapłan i dygnitarz kościoła). Za nim powtarzali Miechowita, Kromer i inni historycy, zbrodnic biskupa krakowskiego, i sąd o nich surowy; a Starowolski, w *Żywotach biskupów krakowskich*, przydał jeszcze niektóre szczegóły nowe, z Długoszowskich *Żywotów biskupich*, dotąd w rękopiśmie ukrytych, pożyczone.

Z kronik przed-Długoszowych, jedne tylko *Roczniki* przy kronice *Dzierzwy*, czyli *Mierzwy*, czy *Miorsza* (jak chce p. Bielowski) wspominają cokolwiek o zradach, ale nic o uwięzieniach

Pawła z Przemankowa (1). Śladów zaś społecznych ani w dyplomatach, ani w kronikach nie było dotąd żadnych. O powtórném więzieniu biskupa, świadczyła tylko wydrukowana w Rocznikach kościelnych Rajnalda, bulla Marcina IV papieża, rzucająca klątwę na Leszka Czarnego. Ale Długosz o niej nie wspominał; Naruszewicz ostrożnie wyjątki z niej tylko dał, (nie w tekście Historji swojej, ale w przypiskach); Röpell dopiero wcielił je do dziejów polskich: ale sama bulla, ciekawy obraz wieku, w spleśniałej łacinie ukrywała się dotąd przed ogromną większością czytelników.

Nie dziw więc, że nader ważném zdało mi się odkrycie oryginalnego aktu Pawła z Przemankowa, świadczącego o zgodzie z Leszkiem Czarnym r. 1284 zawartój; odkrycie zrobione w bogatém archiwum książąt Sanguszków w Zaslawiu wołyńskim przez p. Krechowieckiego, który owe archiwum z wzorowym porządkiem ułożył. O tém odkryciu, jeszcze w r. 1848 uwiadomił mię Michał Grabowski, któremu p. Krechowiecki pospieszył donieść o tak interesującej dla dziejów krajowych zdobyczy. Ale pomimo uprzejmój obietnicy ks. Romana Sanguszki i p. Krechowieckiego, wiele lat upłynęło, nim za powrotem z przeciwnego krańca Europy, z Włoch, mogłem znowu Zaslów odwiedzić, i ów pergamin z zawieszoną jeszcze pieczęcią biskupa krakowskiego, oglądać i przepisać. Byłoto w połowie 1849 roku.

Za przyjazdem do Warszawy, zająłem się natychmiast przejrzeniem wszystkich kronik i innych źródeł drukowanych, dla znalezienia i porównania wzmianek o tój ugodzie Leszka Czarnego z Pawłem z Przemankowa. Jak o bulli papieżkiej, tak i o tój ugodzie Leszka z biskupem, Długosz nic nie wspomina; z późniejszych Strykowski, Bielski, Pastoryusz i Neugebauer w kilku słowach tylko (2). Jeden Kromer nieco obszerniej o znacznej

(1) Roczniki te wydrukowane w edycyi gdańskiej *Kadłubka* str. 30. Röpell nazwał je *Annales Cracovienses Majores* (Ob. *Geschichte Polen's, Vierte Beilage*, I, p. 624), i pod tym tytułem zawsze je przywołuje; my też za jego przykładem pójdziemy. Kownacki przetłumaczył te roczniki, wraz z kroniką Dzierżwy, i wydał w Warszawie 1823 roku, z prawdziwą dla dziejów krajowych zasługą.

(2) *Długosza Historia*, wydanie lipskie, księga VII, p. 831. *Strykowskiego Kronika*, wydanie Glücksberga, T. I p. 333. *Bielskiego Kronika*, wydanie warszawskie, w drukarni Gałęzowskiego, Tom XII, p. 213. *Pastoryusza: Florus Polonicus*. Amstelodami, 1664, p. 108. *Neugebaura: Historia Rerum Polonicarum*. Hanoviac, 1618.

nawiązce pisze, dodając: „czego świadkiem jest przywilej Leszków, w krakowskim kościele leżący (1)”.

Natychmiast pisałem do Krakowa po informacją, czy ów przywilej Leszka zachował się jeszcze w archiwum kościelnym? Odpowiedziano mi, że dyplomata oryginalny zaginął, ale że w tranzumptach znajduje się dwa razy: w tomie I p. 8, i w tomie II p. 61 przywilejów katedry krakowskiej, z kąd przepisał go uczony autor *Żywota Bl. Prandoty*, ksiądz Mateusz Gładyszewicz, officyał i kanonik krakowski, dla umieszczenia w dziele przygotowanym do druku, pod tytułem: *Zbiór pomników starożytnych kościoła katedralnego krakowskiego*. Dzięki uprzejmości szanownego prałata, a niemniej p. Teofila Żebrowskiego, który własnoręcznie rzeczony przywilej Leszka przepisał, mogłem przekonać się że ten akt z 30 listopada 1286 roku, o dwa lata późniejszy od Pawłowego, stanowi oddzielną, zmieniającą dawniejszą, ugodę.

Tymczasem znalazłem nowe szczegóły o wypadkach z tej epoki w *Rocznikach* przy kronice Galla, w pergaminowym rękopiśmie biblioteki Zamojskich, które p. Bielowski od ostatniego dopełniacza, *Rocznikami Traski* (a ja czytam *Thratki*) nazywa (2). Także w *Rocznikach* przy kronice archidyakona gnieźnieńskiego, w rękopismach ottoboniańskim i willanowskim; w rękopiśmie Długosza *Żywotów biskupów krakowskich*, (z biblioteki Zamojskich); (3) w metrykach koronnych; w zbiorach drukowanych

(1) *Kromera* w tłumaczeniu *Błażowskiego*, wydanie pierwotne str. 222.

(2) *Bielowski*: Rzut oka na polską historią, w *Bibl. Warsz.* na rok 1851 w zeszycie na luty, p. 213. Większa połowa *Roczników Thratki*, t. j. do roku 1325, prawie jednobrzmiąca jest z *Rocznikami* przy kronice Dzierżwy, *Annales Cracovienses majores*, które właśnie na tym roku się kończą; (przez pomyłkę położony jest r. 1327). Nie są jednak jedne prostą kopią drugich, ale w obu *Rocznikach* wcielone są dawniejsze katalogi kościelne. W *Rocznikach Thratki* są wzmianki o uwięzieniu Pawła z Przemankowa, i szczegóły o bitwie pod *Równem*, których nie znajdujemy w *Annales Cracovienses majores*, ale z których Długosz oczywiście czerpał.

(3) *Żywoty biskupów krakowskich* zaczynają się na str. 122 pięknego Mss. *Żywotów arcybiskupów gnieźnieńskich* przez Długosza, w Lublinie r. 1476 napisanych; od str. 250 są dodatki *Macieja z Miechowa*. Biblioteka Ossolińskich posiada kilka kodexów pod tytułem: *Catalogi Episcoporum Cracoviensium*. Mss. XIX in 4to, z którego uczony kustosz biblioteki Ossolińskich August Bielowski, łaskawie wypisać kazał dla mnie *Żywot Pawła z Przemankowa*, zgadza się co do słowa (w tym żywocie) z Mss. bibl. Zamojskich; oprócz dopisku, daleko późniejszą ręką dodanego. Drugi Mss.

szlązkich Stenzla, i węgierskich Fejera i Katony, cytowanych w historii węgierskiej Fesslera; nakoniec w *kronice wołyńskiej*, przez kommissyą archeograficzną w Petersburgu wydanej, jako część *kroniki hypatyewskiej*.

Tak więc dla objaśnienia dyplomatu zaslawskiego, utworzył się znaczny zapas materyałów po większej części mało znanych, do rysu historycznego z drugiej połowy XIII wieku w Polsce, do którego nie z wyboru, a z samej treści przypadł tytuł:

Paweł z Przemankowa.

20 września 1266 roku pod wieczór, jęk dzwonów z Wawelu ogłaszał ludowi krakowskiemu śmierć biskupa, owego Prandoty z Białaczewa, którego żywot świętobliwy w lat dwieście później uwieńczony został mianem błogosławionego w niebie i na ziemi. Pochowano go uroczyście w kościele katedralnym, w kaplicy śś. apostołów Piotra i Pawła, a to (jak zapewnia podanie) w tym samym grobie, w którym złożone było ciało św. Stanisława, od przeniesienia ze Skalki, do kanonizacyi, przed laty dwunastą staraniem najwięcej samego Prandoty dokonanej (1).

Przystąpili potem do wyboru następcy kanonicy krakowscy, i formą kompromissu przez wysadzonych na to mistrza Gerarda, proboszcza wiślickiego, mistrza Stefana, i Wysza, zgodnie obrali jednego z pomiędzy siebie, kanclerza Bolesława księcia krakowskiego, ale świeckiego jeszcze, a przynajmniej święceń większych nie mającego, Pawła, syna Jacka, hrabiego z Przemankowa, z rycerskiego rodu Półkożiców (2).

Łączyła go z księciem, oprócz zbliżenia z urzędu kanclerskiego, spólna zapamiętała miłość do łowów; z rycerstwem krakowskim i sandomierskim rozległe stosunki rodowe. W dzień

XVII in 4to, zgadza się z pierwszym; trzeci Mss. XVIII in 4to, w wieku XV pisany, a który do Piotra Tomickiego należał, ma żywoty krótkie; a co do Pawła z Przemankowa, nie więcej nad to, co ma Długosz w *Historji* swojej. Wiadomość tę zawdzięczam p. Augustowi Bielowskiemu.

(1) *X. Gładyszewicza: Żywot Bł. Prandoty*, str. 64 i 65.

(2) *Roczniki Thratki; Kronika Baszki* pod r. 1266 i 1267. *Żywoty biskupów krakowskich*, Długosza, w Mss. i *Starowolskiego*.

śś. Szymona i Judy (28 październ.) tegoż roku, w Uniejowie, Janusz arcybiskup gnieźnieński potwierdził wybór kanoników krakowskich. A w roku następnym w Lelowie, w sobotę przed drugą niedzielą postu, wyświęcił elekta na kapłana, a nazajutrz konsekrował go na biskupa krakowskiego, z taką radością ludu, że mimo postu wielkiego, nie można ich było od uczt i tańców powstrzymać (1).

Zaraz na wstępie wysokiej godności swojej, umiał nowy biskup zaskarbić sobie i w duchowieństwie te same względy, które w rycerstwie i u ludu posiadał. W czerwcu 1267 roku bowiem, odprawiał wjazd do Krakowa Gwidon, z zakonu Cystersów, kardynał *S. Laurentii in Lucina*, legat papieża Klemensa IV. Przybywał z Wrocławia, gdzie odprawił się w dzień Oczyszczenia Panny Maryi (2 lutego) synod prowincjonalny. Zabronił księżętom świeckim obciążać kościół, duchownych, i ludzi w dobrach kościelnych mieszkających, poborami i składkami. Biskupom zaś w razie potrzeby, o zezwolenie papieża starać się kazał. Sam jednak, właśnie w celu zbierania składek na wspomnienie Ziemi Świętej przybywał, rok odpustu jubileuszowego nadając, a po wszystkich główniejszych kościołach wystawione były skrzynie, dla składania ofiar pobożnych.

Chętnie przyjmowany był legat papieżki w Krakowie, owęj stolicy świętych, gdzie panowała ś. Kinga, żona Bolesława; w pobliżu którego ś. Salomea, siostra Bolesława, wdowa po Kolumanie królu halickim, dokonywała świątobliwego żywota, w klasztorze Klarysek na Skale; gdzie świeżo ś. Jacek i bł. Czesław, a dopiero co bł. Prandota, cnotami heroicznymi jaśnieli; gdzie niedawno obchodzono uroczystą kanonizacją św. Stanisława, a wyglądano obiecaną Wrocławianom kanonizacją córki Piastów, św. Jadwigi. Wyszli naprzeciwko Gwidona księżę i zgroma-

(1) *Sabbato in vigilia Reminiscere in sacerdote ordinatus, et in crastino in Episcopum in Lelow fuit consecratus. Roczniki anonima krakowskiego w Mss. ottobontiańskim. (W Sommersbergu Script. Rer. Siles. T. II p. 94 to wszystko opuszczone). Długosz nie wspomina o wyświęceniu Pawła na kapłana przed konsekracją na biskupa w Historji, ale w Żywotach biskupów krakowskich, zkad powtórzył Starowolski w dziele: *Vitae Antistitum Cracoviensium*. O radości ludu tak pisze Długosz w Żyw. bis. krak.: „Et tunc facta est leticia magna in populo tum clero quam laicis, ita etiam quod leti festas duxere choreas”.*

dzeni biskupi polscy. Kardynał uprzejmy był dla wszystkich, dla pasterzy i dla ludu, ale najwięcej dla Pawła z Przemankowa (1).

Poznał w nim zapewne nieugiętość ducha, wielkich czynów źródło; a nałogi złe, co go miały wkrótce na drogę zbrodni sprowadzić, nie tak straszliwie rozwinięte jeszcze, umiał biskup ukrywać. Jakoż przez pierwsze lata, znajdujemy go synodami zajętego. Wkrótce po wyjeździe kardynała Gwidona, 16 października 1267 r., w Dankowie, zjazd zgromadzeni biskupi, statuta synodalne wrocławskie tegoż Gwidona, dopiero co wydane, Mestwinowi księciu pomorskiemu, przesyłali; a w 1270 roku (20 września), w Sieradzu, gdzie wraz z innymi biskupami, Paweł dawniejsze nadania książąt, biskupom kujawskim potwierdzał (2). Do tegoczesnych czynów Pawła z Przemankowa, wypada też może odnieść fundacyą trzech ołtarzów w katedrze krakowskiej: św. Wojciecha, św. Małgorzaty i św. Leonarda, na instancją mistrza Hermana z Leodyum, kanonika krakowskiego i proboszcza bytomskiego, oraz uposażenie ich odstąpieniem dziesięciny stołowej ze wsi: Kalina, Zielenina, Chocięgi i Rzeppek, a także odstąpienie kościołowi parafialnemu w Mikułowie, dziesięciny ze wsi biskupich: Przedczyc, Toporowic i Targoszy (3)

(1) *Eodem anno (1267), Guido de ordine Cisterciensi, tituli Sancti Laurentii in Lucina presbyter Cardinalis, Legatus a latere, in partes Poloniae venit, concilium Wratislaviae celebravit. Hic quinto Kalendas Julii in Cracoviam nostram veniens provinciam pietate se mansuetum omnibus presentavit.* Roczniki anon. krak. w Mss. ottononiańskim (w *Sommersb.* II, p. 94 opuszczone). Porównać także *Roczniki Thracki* pod rokiem 1267 i *Długosza VII*, p. 781; zamiast *quinto Kalendas Julii* (27 czerwca), u niego data jest: *quinto Idus Julii* (11 lipca). Zdaje się, że tańta data pewniejsza, gdyż po drodze z Wrocławia do Krakowa, 22 czerwca, legat był w Raciborzu, z kąd datował dyplomata. Obacz *Stenzel, Urkunden zur Geschichte des Bisthums Breslau*, p. 31). Z Krakowa, każe Długosz legatowi jechać na synod do Włocławka (*Vladislavia*, zamiast *Wratislavia*), na dzień Oczyszczenia Najświętszej Panny, (2 lutego, a więc chyba 1268 roku). Oczywiście przez pomyłkę, ponieważ dawniejsze źródła i dyplomata z 16 października 1267 roku o synodzie wrocławskim wspominają. *Stenzel* wahał się pomiędzy rokiem 1265 a 1268, jako datą synodu. Autor artykułu: *O dawnych statutach synodalnych* (w *Bibliotece Warszawskiej* na styczeń 1851 roku, str. 97), dowiódł z Dyplomatarjusza *Rzyszczeńskiego i Muczkwoskiego*, że synod wrocławski musiał mieć miejsce w 1267 roku.

(2) *Dyplomatarjusz Rzyszczeńskiego i Muczkwoskiego*, tom IIgi, str. 74 i 82. (3) *Długosz*, w *Żywotach bisk. krak. i Starowolski*.

Ale niedługo potrwał gwałt burzliwym namiętnościom zadany. Łowami całkiem zajęty, wśród lasów kieleckich zapomniał biskup o kościele, i tak zapamiętale gonił za zwierzem, iż pewnego razu, łowczego, który mu przez nieostrożność przed sieciami zwierza spłoszył, na miejscu oszczepem przebił. „Nie lękał się—wykrzykuje Długosz—dla zwierzęcia, człowieka zgubić, którego jednorodzony Syn Boży, krwią przenaświętszą odkupił!” (1). Łowom towarzyszyły uczty, pijatyka i gorszące zabawy w zamkach biskupich, w Kielcach, Kunowie i Tarszku (2).

Tarszek, wieś biskupstwa krakowskiego, opłacała dawniej co rok dziesięć grzywien srebra księżęciu, na znak najwyższej zwierzchności. Ale od roku 1262, darował Bolesław Wstydlivy tę opłatę na rzecz klasztoru, przeniesionego dopiero co dla obawy Tatarów, z Zawichosta do Skąły, a w którym siostra księcia, Salomea, ksienią mniszek Klarysek była (3).

W czarującej dolinie nad Prądnikiem, między Ojcowem a Pieskową Skalą, wznosił się zamek na skale, przezwanąj od-tąd *Skalą Panny Maryi*, (*Lapis Sanctae Mariae*), a w nim umieścił się klasztor świętych panien. Dziś tylko szczątki murów starego grodu pozostałe, lud okoliczny *Grodziskiem* nazywa. Nie-rzaz odwiedzać tam musiał biskup Paweł, królewskiego rodu ksienię Klarysek, która w pokorze i umartwieniu ciała, ostatnie dni żywota świętego pędziła. Jako świadek, wraz z księciem Bolesławem, 28 sierpnia, 1268 r., podpisał testament Salomei, którym relikwie świętych pańskich, kielich, krzyż, ornaty i księgi kościelne i do nauki służące, kościołowi swemu zapisywała (4). W kilka miesięcy później nakoniec musiał być przytomny jej śmierci, (10 listopada), a w roku następnym przeniesieniu jej relikwii do kościoła OO. Franciszkanów do Krakowa, z towarzyszeniem wielu cudów świętości (5).

(1) *Długosz w Żywotach bisk. krak.* i w *Historji VII*, str. 865.

(2) *Tarszek* wieś parafialna w dekanacie borzęcińskim. Obacz *Starowolskiego*: Opis dyecezyi krakowskiej w *Vitae Antistitum Cracov.* Sam *Borzęcin* nazywał się dawniej *Tarzęcinem*, i należał do stołu biskupów krakowskich, którzy mieli tam dwór i czasem tam przemieszkiwali (*Starożytna Polska, Baliński i Lipiński*, tom II, str. 310).

(3) *Starożytna Polska Balińskiego i Lipińskiego*, tom II, str. 79.

(4) *Starożytności polskie, Ambrożego Grabowskiego*, tom I, str. 3.

(5) *Kronika Baszki*, pod rokiem 1268. *Roczniki Thratki*, pod rokiem 1268. *Annales Cracovienses minores* (tak nazwane przez Röpella ro-

I ten klasztor jaśniejący świętością, nie wahał się Paweł z Przemankowa zbrodnią skalać! Przebywała w nim, już Bogu poświęcona mniszka, dziewica szlchetnego rodu, której wdzięki obudziły namiętą miłość w niecnym pasterzu. Nie uchylając zasłony, którą dzieje społeczne z pobożną względnością na tak obydny obraz rzuciły, powiemy tylko z Długoszem, że porwana z klasztoru mniszka, wkrótce z ksiązęcym przepychem, na czele orszaku służebnych kobiet, w Kielcach i po innych zamkach biskupich, w kolebce za nim jadąc, na hucznych biesiadach rej wodziła (1).

Wtedy też może przybywali na dwór jego przedniejsi z Litwinów i Jadźwingów, z którymi bratał się i kumał przy kielichu i towarzystwie zbrodniczym! (2).

Ale razu jednego inni goście do kieleckiego dworu przybyli—kanonicy krakowscy, którym zakałę czyniło gorszące życie zwierzchnika, i związki ohydne, i targi beneficjami kościelnymi, jak naprzykład probostwem skalmierskiem, i którzy daremne dotąd napomnienia po raz ostatni powtórzyć chcieli, próbując, ażali nie zdołają urzędowego zaskarżenia do Rzymu powstrzymać. Zdziwił się zapewne Paweł z Przemankowa, na widok niespodziewanych gości; ale plan obronny, a raczej zaczepny stanął mu na myśli. Zastawiono stoły na ucztę; tego dnia oprócz kanoników, sami tylko rycerze zapewnie i domownicy biskupa za gościnnym stołem zasiedli. Pod koniec biesiady, wśród spełnianych kielichów, każdy z kanoników po kolei zaczął dawać znaki

czniki mniejsze przy kronice Dzierżwy, w edycyi gdańskiej Kadłubka, a tłumaczone przez Kownackiego i wydane z kroniką Dzierżwy, w Warszawie, 1823 roku) i *Długosz* VII, p. 784, dzień śmierci św. Salomei naznaczają w wigilią św. Marcina, t. j. 10 listopada; dzień pogrzebu w Skale, *Baszko* tylko naznacza *Idus novembris*, t. j. 13 listopada; *Thratka, Annales Cracovienses minores* i *Długosz* przez oczywistą pomyłkę, na IV *Idus Novembris*, t. j. 10 listopada, w sam dzień śmierci. Przeniesienie zwłok do Krakowa, wedle *Baszka* i *Annales Crac. min.*, miało miejsce 1go lipca 1269 roku; wedle *Thratki* 22 maja, a wedle *Długosza* 28 czerwca. Jak te podania pogodzić!

(1) *Cum moniali de Skala cohabitans, quam ducali more splendide servans, et per omnia loca que ibat secum in cunabulo cum virginibus ducens, mechus efficeretur Christi.*—*Długosz w Żyw. bisk. krak.*; a z niego *Starowolski*.

(2) *Quod.... cum Duce Lithwanorum Strojmath ethnico et pagano connubia jungeret.*—*Długosz w Żywotach bisk. krak.*

szczególnej niespokójności: to podskakiwali na stołkach, to jękiem, to krzykiem zdradzali jakieś bole niezwykłe, jakby chorobę raptowną. Przyczynę tego najlepiej wiedział Paweł z Przemankowa, gdyż z rozkazu jego schowano pod stołem kartów kilku, którzy szpilkami kłóli kanoników w żywe ciało, i do krwi ranili. Jak szalonych kazał ich wiązać gospodarz; posłuszni dworzanie rzucili się na przelektłych i zbolatych gości, powiązali i do ciemnie wtrącili. I tak długo trzymał ich biskup, dopóki się prawa do natrętnych strofowań nie zrzekli (1).

Niepodobna, aby ten czyn zuchwały nie oburzył na Pawła z Przemankowa i książąt i rycerstwa. Panował jeszcze w Krakowie Bolesław Wstydlivy, ów mąż pobożny, miłośnik kościoła, a szczególnie krakowskiego, tytu przywilejami uposażonego: „z przepełnionej szcudroblivością ręki (jak pisał do niego papież Alexander IVty), z kąd dla nas radość, a dla ciebie tytuł do pochwały i nadmiar zasług wynika! (2)”. Jako bezdzietny, do wyboru rycerstwa nazначzył następcą po sobie, już przed sześcią laty, synowca swego stryjecznego, Leszka, Czarnym zwanego, księcia kujawskiego na Sieradzu, a to zaraz po ożenieniu go z rodzoną siostrzenicą żony swojej Kingi, z Gryfiną, to jest Agryppiną, córką Roścysława niegdys kijowskiego księcia, i Anny królownej węgierskiej (3).

Czyli biskup krakowski przeciwny był wyniesieniu Leszka, czy téż Leszek i sam Bolesław dzielali tylko powszechne oburzenie przeciw występniemu biskupowi, nie wyjaśniają nam żadne społeczne ani późniejsze ślady. Wiemy tylko z Długosza, że w połowie stycznia 1271 roku, Otton i Żegota, dwaj rycerze z rodu Toporczyków napadli na dwór biskupi w Kunowie, domowych rozbili, samego biskupa i rzeczy jego zabrali, i przez lasy z nim uciekając w obawie pogoni przyjaciół i pokrewnych Pawła z Przemankowa, dowieźli go do Sieradza, i w ręce Leszka oddali. Miesiąc cały trzymany był biskup na zamku w uczci-

(1) *Długosz w Żywotach bisk. krak.*; z niego *Starowólski*. W archiwum watykańskim nie mogłem się żadnych śladów skargi na biskupa Pawła dopytać.

(2) *Alexandra IVgo papieża*, ann. II, Ep. 109 w bulli, której kopia autentyczna z archiwum watykańskiego, w moim zbiorze.

(3) *Dux Lestco Duxit Gryphinam uxorem suam*. *Roczniki Thratki* pod r. 1265 i 1279. Także: *Annales Crac. maj.* i *Długosz VII str. 774*.

wém więzieniu, nie bez wiadomości i przyzwolenia zapewnie księcia Bolesława. Ale gdy Janusz arcybiskup gnieźnieński mszcząc się za uwięzienie kolegi, interdykt na kraj cały rzucił, Bolesław na skargi ludu biédnego czuł, kazał uwolnić biskupa; i w czasie postu wielkiego za pośrednictwem Dzierżkraj proboszcza, i Waltera kanonika krakowskich, ugoda pomiędzy nimi stanęła. Główniejszym warunkiem było ukaranie Ottona i Żegoty, którzy po odsiedzeniu miesiąca więzy, majątności swoje sprzedali, i wynieśli się na Szlązk, w księstwo opolskie. Dar dwiestu grzywien srebra i swobody wsiom biskupim nadane, uzupełniały wynagrodzenie za krzywdę (1).

Nieprześlągany jednak tém wynagrodzeniem Paweł z Przemankowa, zemstę w sercu nietylko na Leszka, lecz i na Bolesława chował. Podwoził na niego (pisze Bielski, za Długoszem idąc) szlachtę krakowską, „a zwłaszcza te, którzy swoje dobra marnie potrąciwszy, na cudze się radzi miecą: także którzy byli dłużni, a płacić nie było czym; albo którym o gardło szło: tedy z temi y z innemi takimi wszystkimi, pokątnie zjazdy swe jął miewać biskup, namawiając ich do tego, aby sobie innego pana obrali (2)”.
 .

Możeby trzeba szukać ręki Pawła z Przemankowa w nieporozumieniu, jakie teraz właśnie pomiędzy księciem Bolesławem, a domniemanym następcą jego Leszkiem sieradzkim wybuchło.

Naprzód bowiem wkrótce po owém więzieniu Pawła w Sieradzu, porzuciła Leszka, żona Gryfina; i zwoławszy baronów, rycerstwo i niewiasty znaczniejsze do Krakowa, w klasztorze OO. Franciszkanów zastłonę z głowy złożyła, jawnie na męża po-

(1) *Długosz*, w *Żyw. bisk. krak.* i w *Historji* VII, p. 795 piérwszy o tém uwięzieniu Pawła z Przemankowa za rządów Bolesława Wstydliwego wspomina. W żadnych dawniejszych rocznikach o tém uwięzieniu wzmianki nie masz; ale tylu innych wiadomości Długoszowych źródło znajdujemy w odkrywających się dawnych rocznikach, że nie możemy wprost świadectwa jego odrzucać. Lecz co do ugody za to więzienie, kiedy Długosz w *Historji* (VII, p. 796) pisze, że Bolesław odstąpił Pawłowi *Sortem ducalem in Dzierzna*; a w *Żyw. bisk. krak.* że Leszek (nie Bolesław) skazany został na zapłacenie 3,000 grzywien srebra, że darował *totam sortem in Dzierzazna que ad ipsum Ducem pertinebat*, i uwolnił od wszelkich ciężarów dobra biskupie *Slawkow* i *Deputeomste (Pustkowice?) alias Pabianicze*; to oczywiście pomieszał z daleko późniejszą ugodą Pawła z Leszkiem Czarnym, bo w 1286 roku zawartą, którą w całej obszerności niżej podamy.

(2) *Bielski*, XII, str. 196.

wiadając (że się słowami kroniki Bielskiego wyrażę), „*iz mu bylo nic po zenie, y przetosz przestowłosa* (t. j. z rozpuszczonemi włosami jak panna) *chodziła, na sześć lat szedwszy zeń* (1)”.

Następnie zaraz po Wielkiéjnocy tegoż roku (1271), księżęta polscy wmieszali się do wojny wszczętej pomiędzy Stefanem królem węgierskim, bratem Kingi, a Przemysławem Ottokarem królem czeskim, szwagrem Gryfiny; ale Bolesław i Leszek w dwóch obozach przeciwnych walczą.

Powodem do téj wojny była po części Anna, siostra króla węgierskiego Stefana, a matka Gryfiny księżnej sieradzkiej i Kunegundy, żony Przemysława Ottokara króla czeskiego. Po śmierci męża swego Roścysława, niegdyś księcia kijowskiego, jako pani na Bośni i Machowie przebywała na dworze ojca swego króla Beli; ale w ostatniej chorobie ojca, wkrótce przed śmiercią jego, zabrała wiele klejnotów i kosztownych sprzętów w złocie i srebro, i lękając się aby ich nie stracić, powierzyła zięciowi swojemu królowi czeskiemu, u którego przytułek znalazła. Syn jej Bela, pan na Bośni i Machowie, wiernym sprawie wuja pozostał; ale kilku baronów węgierskich pogranicznych korzystając ze zmiany panującego, poddali zamki swoje potężnemu sąsiadowi, który już i tak Styryą przemocą oręza trzymał (2).

Rokiem wprzódy (w sierpniu 1270 roku), wkrótce po śmierci ojca Beli, król Stefan zjechał był do Krakowa, pod pozorem odwiedzenia relikwii św. Stanisława; i tam przez siostrę Kingę, i szwagra Bolesława przyjmowany, zawarł z niemi pokój wieczny, który księżęta i rycerze, przysięgą na drzewie krzyża świętego, stwierdzili (3).

Należeli do tego przymierza księżęta haliccy i wołyńscy: Lew, (mąż podobno Konstancyi królewniej węgierskiej, siostry Stefana i Kingi), i brat jego rodzony Mścisław, obaj synowie Dániła, niegdyś króla ruskiego; a brat ich stryjeczny Włodzimierz,

(1) *Bielski* XII, p. 199. *Długosz*, VII, 794. Najdawniejszém źródłem są *Roczniki Thratki*: „*Eodem anno (1271) Griphina uxor ducis Lestconis Syradiensis, deposuit de se peplum publice, eo quod dixit se esse virginem incorruptam, nec ab eo poterat cognosci propter impotentiam ipsius ut dicebat*”. To samo w *Annales Crac. Maj.*

(2) *Fessler*: Die Geschichten der Ungern. T. II, str. 622.

(3) *Ann. Crac. minores* (ale pod r. 1268). *Roczniki Thratki* pod r. 1270. *Dyplomata Stefana Praya* (Hist. Reg. P. I, p. 282), cytowany przez *Fesslera* T. II, str. 623.

syn Wasylka, sam nie poszedł, gdyż miał z Jadźwingami do czynienia, ale posłał drużynę swoją, pod wodzą Żelysława (1). Dalej Bolesław Pobożny, książę kaliski, mąż Jolanty, także siostry Kingi i króla Stefana; i Konrad książę mazowiecki z rycerstwem swoim.

Ze strony zaś króla czeskiego stanęli: Henryk książę wrocławski, Władysław książę opolski, i książęta kujawscy: Leszek Czarny i brat jego Ziemomysł Łęczycki (2).

Gdy Węgrzy okolice Wiednia pustosząc, zdobyc i więźniów na osadę pustyni swoich wybierali; a Czesi śmiałym napadem na kraj węgierski, i wzięciem Prezburga, zdobywali sobie korzystny pokój: rycerstwo krakowskie i mazowieckie, pod wodzą samych książąt Bolesława i Konrada, i w towarzystwie Rusinów, Kumanów i Litwinów, (owych sprzymierzeńców Pawła z Przemankowa), pustoszyli ziemie szląckie około Namysłowa, a zwłaszcza dobra biskupów wrocławskiego i lubuskiego, od połowy kwietnia, do końca maja. Ciekawe szczegóły o tych łupieztwach, znajdujemy w listach Tomasa biskupa wrocławskiego, do Janusza arcybiskupa gnieźnieńskiego, i biskupów polskich: Pawła krakowskiego, Mikołaja poznańskiego i Piotra mazowieckiego pisanych, oraz do samego Bolesława, którego po kilkakrotnie, ale zawsze daremnie, o powrócenie szkód wyrządzonych pozywał (3).

„Z niezmiernym żalem Wielebności Waszej donieść mamy, (pisał 28 czerwca 1271 roku, Tomasz biskup wrocławski, do Pawła biskupa krakowskiego), że Bolesław, pan i książę krakowski, za nic mając bojaźń Boga, za niecną radą idąc, z niezliczonymi tysiącami Rusinów, Kumanów i Litwinów, jak nieprzyjacieli na Szlązk napadł, i wsie nasze, oraz lubuskiego kościoła i innych kościołów naszej dyecezyi, złupił i spalił. A co więcej, (o czém z wielką boleścią donosimy), po wyłamaniu drzwi koś-

(1) *Kronika wołyńska* pod r. 6781. (*Ipatiewskaia Letopis*. Ob. *Połnoje Sobranie Ruskich Letopisej*. T. II, str. 205).

(2) Długosz wcale o uczestnictwie książąt polskich w tej wojnie nie wspomina. VII, p. 794. *Naruszewicz* (edycja Gröllowska) T. V, p. 123—127 bardzo mało; podobnież *Palacki*: *Geschichte von Böhmen* T. II, p. 216—223 i *Röpell* T. I, p. 497 i 531.

(3) *Stenzel: Urkunden z. Bisth. Breslau* p. 37—46. Piotr biskup mazowiecki, któremu Niesiecki, za Długoszem idąc, r. 1263 umierać każe, w listach tych jeszcze wzmiankowany, a w przeszłym (1270) roku przytomny był na synodzie w Steradzu. Ob. *Dyplomatarjusz Rzyszczewskiego i Mucz-kowskiego* T. II, str. 82.

cielnych, i wyprowadzeniu z tamtąd nędznych ludzi, bez względu na przywileje kościoła, wielu z nich życia pozbawiono, wielu poraniono, a niezliczone mnóstwo wiernych Chrystusowych, młodzianów i dziewic, starców i dzieci, bez różnicy płci i wieku, w żalną uprowadzono niewolę. Z tego powodu Wielebny Ojciec, blagamy was jak najgoręcej, abyscie upomnieli rzezonego księcia i baronów jego, *Warsza* kasztelana, *Piotra* wojewodę krakowskich; *Janusza* wojewodę sandomierskiego; *Dobiesława* wiślickiego, *Lassotę* sandeckiego, *Smilona* brzeskiego, *Jakóba* lubelskiego, *Bozę* małogoskiego kasztelanów; *Mikołaja* syna *Mzuj*a (sic); *Mirosława* sędziego nadwornego (*Judex Curie*); *Zegotę* podczaszego krakowskiego, *Pelkę* syna Michałowego, *Bogusł*a młodszego, i *Wawrzyńca*, aby przed następującym świętem Wniebowzięcia Najświętszej Panny (15 sierpnia), nam i kościołowi naszemu, a także innym kościołom tak srodze, bez ich winy, skrzywdzonym, za krzywdy i zniewagi wyrządzone zadość uczynili. W przeciwnym razie wyroki, jakiebyśmy prawnie z urzędu naszego wydali, lub jakie *ipso-facto* wypadną, zechcecie w dyecezyi waszej ogłosić, lub ogłosić kazać: aby broń Boże, czyn tak występny, na wzgardę swobód kościelnych dokonany, nie pozostał bez kary, i aby drudzy nie poważyli się go naśladować. Dan we Wrocławiu w wigilią śś. apostołów Piotra i Pawła 1271 roku" (1).

W listach téjże saméj treści do Janusza arcybiskupa gnieźnieńskiego, i biskupów poznańskiego i mazowieckiego, wymienieni są oprócz powyżéj przytoczonych rycerzy małopolskich, z Wielkopolski: *Syxtus* (2) kasztelan rudzki, *Roszko* i *Mroczo* kasztelan starogrodzki; podkomorzowie: *Andrzéj* sędzia i brat jego *Wacław*; *Strzałko* sędzia z Borowna; dwóch synów *Janka* z Kalisza; *Sieciech* wojewoda sieradzki, *Sędziwój* podczaszcy, i *Przedwój* kasztelan sieradzcy (a więc rycerze sieradzcy księcia swego opuścili); *Zawisza* (3), *Marcin* ze Zbąszynia, *Szczedrzyk* z Krzywina, *Ziemięta* z Dupina, *Jarasz* ze Szrema, *Mikołaj* z Karnkowa, wraz z bratem *Bodzantą*, kasztelanowie; *Marcin Przybysławicz*, *Czeckostaw* podczaszcy, *Czeléj* z Punica, *Czeléj* syn Gabryelów.

(1) *Stenzel, Urk. z. B. Breslau*, str. 38.

(2) Może to będzie *Sędziwój*, podpisany na dyplomie Przemysława z 1284 roku. *Dyplom. Rzyszcz. i Muczk.* T. 1, str. 114.

(3) *Zamsam* w Stenzlu.

Z Mazurów wymienieni tylko: *Menera* wojewoda, *Mancina* wojewoda czerski (*Palatinus de Girasz*), i *Michał* podskarbi.

Największe szkody uczynili Krakowianie w *Zarzysku* pod *Rozenbergiem*, w dzień św. Wojciecha (23 kwietnia), i w *Skoryszewie* pod *Namysłowem*, gdzie nazajutrz po św. Wincentym (25 maja), dwór biskupi, wartości 100 grzywien srebra spalili, a biędnym ludziom (*pauperes*) po kilka koni, krów, owiec i innej trzody pozabierali, oraz odzież i inne sprzęty, i *dzieci* témże samém wyliczeniem objęte, a chaty i pnie z pszczołami (*trunci apum*) spalili. To samo powtórzyło się w *Buciechu* (*Butschkau*) koło *Namysłowa*, gdzie ze zgwalconego kościoła wyniesiono świecę paschalną, cztery obrusy od ołtarzów (*palle*), puszkę z Ciałem Pana Jezusa, ampulki, chorągiew starą i nową, i wszystkie rzeczy jakie w nim biędni ludzie złożyli (1).

Jeżeli książe *Bolesław* na początku téj wyprawy osobiście dowodził, to niedługo, bo już 15 maja znajdował się w *Krakowie*, wraz z *Warszem* kasztelanem, *Piotrem* wojewodą krakowskim i *Januszem* wojewodą sandomierskim, jak się okazuje z przywileju wsi *tynieckiej*, *Opatowiec* zwanéj, pod tą datą i w tém miejscu nadanego (2).

Wedle podanego przez *Tomasza* biskupa wrocławskiego rachunku (arcybiskupowi gnieźnieńskiemu) 5 lipca tegoż roku, tak umiarkowanego, że konie i kłacze (choć droższe), po grzywnie srebra rachował; wynosiły jednak szkody wyrządzone 3,731 grzywien, licząc w tém w 500 grzywnach, uwolnienie wsi zniszczonych na lat cztery od czynszów i dziesięciny (3). Napróżno do *Bolesława* pisał *Tomasz* 18 lipca sam, a 7 i 27 sierpnia łącznie z biskupem lubuskim *Wilhelmem*, aby żadanego zadośćuczynienia nie odmawiał, i nie przymusił do żalenia się wyżej na niego i jego baronów, „aby grzech przez was i waszych ludzi (słowa listu) na dobrach kościelnych spełniony, duszy waszój nie szkodził i nie obciążał”.

Wątpić można, czyli biskup krakowski ujął się mocno za wynagrodzeniem krzywd, wyrządzonych w części przez Litwinów z którymi posądzony był o kumowstwo i przyjaźń, a przeciw którym walczył osobisty wróg jego *Leszek* książe sieradzki. *Janusz* zaś, arcybiskup gnieźnieński umarł 26 sierpnia tegoż roku,

(1) *Stenzel* str. 41. (2) *Dyplom. Rzyszcz. i Mucz.* T. I. str. 90.

(3) *Stenzel* str. 43.

a pierwój jeszcze (3 lipca), pod murami zdobytego Prezburga stanął był pomiędzy królami czeskim i węgierskim pokój, do którego piérwszy, między innemi, książąt szlązkich i kujawskich, a drugi Bolesławów książąt krakowskiego i wielkopolskiego, i książąt ruskich załączył (1).

We dwa lata późniój nawet zjechali się w Opawie: król czeski i Bolesław Wstydlivy, i rozejm na lat dwadzieścia zawarli; tém korzystniejszy dla Bolesława, że mu rycerstwo krakowskie przez Pawła z Przemankowa podburzone, we własnym kraju wojnę domową gotowało (2).

„Niektórzy rycerze krakowscy, (podają pod r. 1273 *Roczniki Thratki*) przeszli do księcia opolskiego Władysława, z całą potęgą swoją, z porady Pawła biskupa krakowskiego. Ale Bolesław wysłał za nimi w pogoń wojsko, i zachwycił ich na polu około *Bogucina*. Po uporczywój bitwie wielu z obu stron zginęło” (3).

Długosz podaje dzień bitwy na 10 czerwca, i wynajdując przyczynę téj wojny domowój w zemście Pawła z Przemankowa nad Bolesławem i przybranym następcą jego Leszkiem, przywodzi wszystkie głosy niechętne, jakie na Bolesława pomiędzy rycerstwem krążyły; jak: niesprawiedliwy, przyjaciel podarków byle jakich, bo psami nawet można go było zjednać (4). Psy jego niezliczone wedle całej srogości prawa *leśnego*, przez łowczych książęcych, sokolników i bobrowników prowadzone, po wszystkich lasach polując, kosztem ziemian po rycerskich i duchownych włościach karmione bywały; a nikomu we własnych dobrach niewolno było polować, chyba za osobnym przywilejem książęcym (5). Miał takie przywileje biskup krakowski, bo jeszcze w 1255 roku. za poprzednika jego Prandoty, Bolesław uwolnił

(1) *Dumont*: Zbiór traktatów w *Naruszewicza Historji* T. V, p. 123. *Palacki* T. II, p. 221. *Fessler* T. II, p. 629.

(2) *Roczniki Thratki* pod r. 1273. Także *Ann. Crac. Major*; *Długosz* VII, p. 794.

(3) *De consilio Episcopi Pauli Cracoviensis*. w *Rocznikach Thratki* pod r. 1273 i w *Ann. Crac. Major*. *Długosz*, VIII, p. 800. Miejsce bitwy przekrecone *Bogehim*, gdy w *Rocznikach* wyrażnie *circa Boguczim* stol. Będzie to podobno w Olkuskłém.

(4) *Kronika Janka*, u *Steuzla: Scriptores Rerum Silesiacarum* T. I, p. 22. (5) *Naruszewicza, Historja* T. IV, p. 244. *Bandtkie: Prawo polskie*, p. 144.

był wszystkie wsie biskupie od utrzymywania księcia i jego łowczych, z tém, że gdyby przez kasztelanie biskupie, kilka razy do roku miał przejeżdżać książę, i *przejazdem*, po lasach polować: to dwóch ludzi tylko, i dwa psy *ślednikami* zwane *qui dicuntur slednici*) obowiązani karmić ludzie biskupi, ale książę ani zatrzymywać się będzie na łowy, ani téż ludzi na łowy przysyłać (1). W 1258 r. zaś we wszystkich posiadłościach biskupich nadał biskupowi wyraźnie prawo myślistwa i rybołostwa; a widzieliśmy jak prawa tego używał, a raczój nadużywał Paweł z Przemankowa (2).

Tém dotkliwiój oburzały prawa *lesne* pozostałych. Już papież za taki ucisk, klątwami kościelnemi grozili. „Nowy rodzaj uciemnienia, (pisze Grzegorz IX w bulli do prowincyała Dominikanów w Polsce), wynaleźli książęta polscy na biednych ludzi *circa pauperes*; straży ich poruczają bobry i sokoly; a gdy te gniazda swoje opuszczają, za przyrodzonym instynktem wolności idąc, albo téż z przypłodka ich co braknie, biędnych ludzi tych na karę siedmiudziesiąt grzywien skazują. Wielu z nich (z boleścią to piszemy), podają tym sposobem powód do potępienia wiecznego; gdy bowiem tak niesłusznój i niestychanój niewoli znieść już nie mogą, uciekają do pogaństwa pruskiego, opuszczając obcowanie wiernych!” (3).

Tacyto zbiegowie najpewniój przewodnikami byli napadów pogańskich Prusaków, Jadźwingów i Litwinów, którzy i w tym roku, ziemię lubelską zniszczyli (4). A narzekania ludu przemieniając się w głos duchów, w opowiadaniach kronikarskich tę najcięższą zbrodnię na Pawła z Przemankowa zwalają.

„Przyszedł także głos do Pawła biskupa krakowskiego, (czytamy w *Rocznikach Thratki*), mówiąc: *Biada tobie, biskupie Pawle; lepijby tobie było, żebyś się był nie urodził*”. Głos ten słyszało pewnie siedmdziesiąt ludzi. Zadawano mu bowiem, że za jego sprawą (*ipso procurante*) stała się klęska wyżej wspomniona w Lublinie.

(1) *Ks. Gladyszewicza: Żywot B. Prandoty*, p. 221, z dyplomatu oryginalnego. Także *Bullarium Franciscanum* T. II, p. 109.]

(2) *Żywot B. Prandoty* p. 234 z dyplomatu oryginalnego.

(3) Bulla Grzegorza IX z Anagni 25 lutego, 1233 r. (*Bullarium Ord. Praedicatorum* T. I, p. 43).

(4) *Eodem anno (1273) Lithwani miserabiliter devastaverunt terram Lublinensem. Roczniki Thratki. Długosz VII, p. 801.*

Nareszcie po niejakiem czasie znowu przyszedł głos mówiąc do niego: „*Nie lękaj się Pawle, czyni co tylko zechcesz, bo ja z tobą jestem.*“ Głos ten słyszało wielu braci zakonu Kaznodziej-skiego (Dominikanów), w których domu pod Krakowem mieszkał biskup. (1). A znów po niejakiem czasie, w tym samym roku, gdy pomieniony biskup sam jeden był w sypialni swojej, przyszedł głos z góry (*de aere*), mówiąc: „*Nie lękaj się Pawle, czyni co chcesz, bo w siódmym roku umrzesz.*“ I nie wyraził, czy w siódmym roku biskupstwa, czy téż siódmego roku od czasu, jak się głos do niego odezwał. Na ten głos odpowiedział biskup: „*Dobrze, bo do siódmego roku, będę mógł żywot mój poprawić.*“ A głos ten słyszało wielu stojących przed sypialnią jego (2).

Cokolwiekbydz, przez lat siedm następnych nie znajdujemy wzmianki w dziejach o nowych bezprawiach Pawła z Przemankowa; nie przypisują mu nawet najdawniejsze roczniki napadu Litwinów na Łęczycę, w święto św. Łukasza (18 październ. 1277 roku), z rzezią i uwięzieniem niezliczonych tłumów brańców połączonego (3).

Musiąło ustać i zgorszenie z powodu mniszki z klasztoru Klarysek na Skale, gdyż w bulli datowanej 4 kwietnia 1276 roku, Innocenty Vty papiież, cały klasztor pod opiekę św. Piotra i swoje, stosownie do prośby mniszek, przyjął (4).

Pogodził się téż Bolesław krakowski z Leszkiem Czarnym; i razem z nim, oraz z Konradem mazowieckim, pustosząc ziemię księcia opolskiego, zemścił się nad nim za udział w buncie rycerstwa krakowskiego. A w tymże 1274 roku, książę krakowski, sam dobrowolnie bezdzietny, z przykrością patrząc na bez-

(1) *In quorum domo eo tempore morabatur ante Cracoviam*—w *Rocznikach Thratki*; *Tunc extra civitatem Cracoviensem*—w *Ann. Crac. Maj.* Nakoniec w *Długoszu VII*, str. 801.: *In monasterio S. Trinitatis Ordinis Praedicatorum in Cracovia tunc commorantem.*

(2) *Roczniki Thratki* pod r. 1273. *Ann. Cracov. Maj.* pod r. 1273 z małemi odmianami. *Długosz VII*, str. 801.

(3) *Circa festum Sancti Luce Evangeliste, Litwani Lancicium crudelissime devastaverunt, abducentes secum in captivitate, preter eos qui occisi sunt, XI millia hominum utriusque sexus.*—*Roczniki Thratki* po r. 1277. *Długosz VII*, str. 811.

(4) *Bullarium Franciscanum T. III*, str. 243. Oryginał bulli znajdował się w archiwum klasztoru Klarysek w Krakowie.

dzielnego następcę swego Leszka, odwiózł mu żonę Gryfinę do Sieradza, i poróżnionych małżonków pogodził (1).

Jak gorąco pragnęli potomstwa Leszek i Gryfina, i do jakich guseł lekarskich uciekali się, które już w XIIIym wieku popłacały, znajdujemy ciekawe świadectwo w tyle razy przywiedzionych *Rocznikach Thratki*:

„Tegoż roku (1278) powstał zakonnik jakiś, imieniem Mikołaj, rodem Niemiec, z zakonu braci Kaznodziejów, który nauczał ludzi jadać węże, jaszczurki i żaby, gdy na jakąbądź chorobę cierpieli: na ból oczu, lub co innego. Nie patrzył na urynek chorego, ale miał jakieś sakiewki zamknięte; a co w nich było, nie pozwalał zajrzeć. Po jednej sakiewce takiej zawieszał na chorych przez noc; a którzy pocili się podczas zawieszenia, i którym sny się roily, ci wyzdrowieni byli, inni nie.“

„Gołą ręką brali ludzie węże, w imię rzonego Mikołaja, nie w imię Chrystusa Pana. Albowiem jeżeli kto chciał brać węża w imię Chrystusa, choć ją rękawiczką (*chiroteca*) pokrył, wnet go wąż ukąsił. Od niego to nauczenni niektórzy bracia zakonu Kaznodziejskiego, węże jadali. A Leszek książę sieradzki, z żoną swoją Gryfiną, z polecenia tegoż kaznodziei, tego roku zaczął jadać węże, jaszczurki i żaby; i dlatego brzydził się nim lud cały, chociaż dla nich były bardzo zbawienne (2).“

Jednakże potomstwa oczekiwanego nie było. Gdy umarł Bolesław Wstydlivy książę krakowski i sandomierski, ów znakomity poplecznik kościoła, dobrodziej klasztorów, przyjaciel rycerstwa, 10 grudnia 1289 roku; a z woli Bożej i wyboru baronów, rycerzy i ziemian, nastąpił po nim Leszek Czarny; książę ten i żona jego Gryfina odprawiali wjazd uroczysty do Krakowa (3). Wtedy synek Ziemomysła księcia kujawskiego, malutki

(1) *Eodem anno (1274) Dux Lestco accepit iterum Griphinam uxorem suam, quā fuerat privatus.—Roczniki Thratki. Ann. Cracov. Maj. i Długosz str. 805, ale pod rokiem 1275.*

(2) *Dominus vero Lestco Dux Syradie cum uxore sua Griphina permandatum eiusdem predicatoris eodem anno cepit comedere serpentes, lucertas et ranas, propter quod fuit abhominabilis omni populo, licet fuerunt eis valde medicinales.—Roczniki Thratki pod r. 1278.*

(3) *Cui successit per electionem dux Lestco. Roczniki Thratki pod r. 1279.—Cui successit Lestco per electionem militarium. Ann. Cracov. Maj. Succedit autem Boleslaw Pudico per electionem procerum terre Lestko niger. Ann. Cracov. Min.—Dux. Lestco.... per voluntatem Dei et electionem terrigenarum adeptus est Cracovie et Sandomirie ducatus.—Roczniki Anonima krakowskiego w Mss. ottoboniańskim (u Sommersb. II, str. 95).*

Leszek, siedząc na kolanach u Gryfiny, zaczął prorokować: „*Słuchaj stryjenko, oto wydasz na świat syna małego, któremu imię będzie Bolesław!*” i to samo często powtarzał. Zadawały mu pytania, siedzące na wozie panie, ale nic więcej nie odpowiedział (1).

Z tak zgodnego obioru oczywiście wypada, że biskup krakowski nie musiał opierać się wyniesieniu Leszka i Gryfiny na księstwo krakowskie, z którego Bolesław Wstydlivy dopiero co do grobu wstąpił; a wdowa jego, Kinga, pomimo prośb Leszka i rycerzy, przywdziała sukienkę Klarysek w klasztorze w Nowym Sączu, wraz z siostrą Jolantą, wdową po Bolesławie wielkopolskim.

Zdaje się także, że Paweł z Przemankowa nie miał żadnego udziału w napadzie Lwa księcia halickiego na ziemię sandomierską, w towarzystwie Tatarów i Litwinów, których rycerstwo krakowskie i sandomierskie w liczbie 600, pod dowództwem Piotra syna Wojciechowego wojewody krakowskiego, Janusza wojewody sandomierskiego i Warsza kasztelana krakowskiego, pod *Goslicami*, o dwie mile od Sandomierza, spotkali. W wigilię św. Macieja, (23 lutego) (2), rozpoczęła się bitwa i skończyła zupełnym zwycięstwem nad Lwem, nad którym *Bóg wolę swoją uczynił*, (pisze kronikarz wołyński) (3). „*Bogu też, (domino celi), zwycięstwo przypisali zwycięzcy*“, czytamy w *Rocznikach Thratki*. Mnóstwo bojarów i Tatarów ubito, wielu dostało się w niewolę, i Lew ze wstydem do siebie powrócił. W piętnaście dni później, pojechał się za nim Leszek w 3,000 koni i 2,000 piechoty, zamek

(1) *Ingrediente duce supradicto Lestcone Cracoviam cum uxore sua Grifhina, filius ducis Zemovithi Cuiavie, puer parvulus nomine Lestco, sedens in sinu Grifhine prophetizavit dicens: Audi patria, ecce tu paries filium parvulum qui nominabitur Bolezlaus; et hoc frequenter iteravit; interrogantibus eum dominabus que sedebant in currum, sed ille nichil amplius respondit.* Roczniki Thratki pod r. 1279. Zdaje się, że tu *Zemovithi* zamiast *Zemomyśli*, o którym wiemy, że miał syna Leszka.

(2) *In vigilia Mathie Apostoli.*— *Roczn. Thratki*, i *Ann. Crac. Maj.* co wypada na 23 lutego.—*Długosz VII*, p. 820, zamlastr: *die vigesima tertia*, ma przez omyłkę *die veneris tertia februarii*; podobnież *Miechowita*; a *Kromer* już wprost: *tertia die februarii*. Za nim *Bielski* i *Naruszewicz*. *Röpell* prawdziwą datę z *Ann. Cracov. Maj.* przywrócił. T. I, str. 536.

(3) *Boh uczyni nad nim wolę swoję.* Kronika wołyńska. (*Pobnoje Sobranie* T. II, str. 209).

Przeworsk wziął i spalił, i powrócił z łupami i chwałą (1). „A to stało się, dodaje rocznik *Thratki*, gdy siedział na stolicy rzymskiej papięż Mikołaj (IIIci), a na krakowskiej biskup Paweł.“

Ale już skończyły się owe siedm lat prorocstwa. Paweł z Przemankowa nie umarł, i znowu odzywają się na jego pamięć oskarżenia dziejowe! Cztery wydarzenia następują jedne po drugich, w roku 1282 i na początku 1283, tojest: napad Jadźwingów na Lublin, bunt Sandomierzan, napad Litwinów na ziemię sandomierską, i uwięzienie biskupa krakowskiego. A lubo najdawniejsze roczniki (*Thratki*), które najwięcej szczegółów o tych wypadkach podają, nie łączą ich w jedną całość; musiały jednak trzy pierwsze (jak chce Długosz), powodem być ostatniego, tojest uwięzienia biskupa (2).

Ślad tego niejaki znajdujemy w *Kronice wołyńskiej*. W niej opisane są dokładnie ściśle stosunki Konrada księcia mazowieckiego na Czersku, z książętami na Haliczu, na Włodzimierzu, i innymi Rusinami; a tych, z pogaństwem Tatarów ujarzmieli Rusi, których wodzowie *Kończak*, *Koziój* i *Kubatan* z hufcami swoimi, towarzyszyli im na wyprawę do Polski (3); także z Jadźwingami, których książęta *Minela*, *Szurpa*, *Mudiejko* i *Pestilo*, przed dziesięciu laty zwyciężeni, przyjeżdżali do nich, i mir z nimi zawarli (4); nakoniec z Litwinami pod *Trojdenem*, z którym bili się Rusini, i na nowo zaczęli żyć w wielkiej przyjaźni (5).

Konrad ten, książę czerski, sprzymierzeniec Rusinów, prowadził wojnę domową z rodzonym bratem swoim Bolesławem księciem na płocku, sprzymierzeńcem Leszka Czarnego, i ciągle wzywał przeciw niemu pomocy książąt ruskich. Ci, to sami, to przez wojewodów swoich, to przez Litwę pomoc Konradowi dawali (6). A że Konrada po dwakroć Paweł biskup krakowski na

(1) *Kronika wołyńska* loco citato. *Roczniki Thratki* i *Ann. Cracov. Maj.* mają: XXX millia equitum et duo millia peditum; oczywiście XXX zamiast III przez pomyłkę. Długosz i wszyscy za nim aż do Naruszewicza i Röpella pomyłkę tę powtórzyli. *Bielski* tylko przemienił XXX na XV. Wszak sam Długosz wyliczając 6,000 wojska Leszkowego, konnicy i piechoty, w bitwie z Jadźwingami w tymże roku stoczonej, dodaje, że to były nie mało znaczące siły, „*haud copias contemnendas*” VII, p. 826.

(2) *Długosz* VII, str. 831 (3) *Kronika wołyńska* II, str. 208.

(4) *Kronika wołyńska* II, p. 205. (5) *Kronika wołyń.* T. II, p. 206.

(6) *Kronika wołyń.* T. II, str. 210. *Lew* ks. halicki zażalony na ks. Bolesława mazowieckiego, posyła do stryjecznego brata swego *Włodzimierza* ks. włodzimierskiego z prośbą: „*Bracie, sprowadź Litwę na Bolesława.*” A Włodzimierz posłał *Dunaja* (wojewodę swego) Litwę podburzać.

księstwo krakowskie prowadził, nie dziw, że i ze sprzymierzeńcami jego, nawet z poganami, miał stosunki.

Tak więc Jadźwingowie napadli na ziemię lubelską i z ogromnym łupem wracali do siebie, gdy Leszek Czarny przez archanioła Michała we śnie ostrzeżony, puścił się za nimi w pogoń, za Narwią dogonił, zwyciężył i zdobycz całą odebrał. Dziwnym trafem żaden z ludzi jego życia nie stracił; a pomoc wielką mieli z psów lubelskich przez pogan zabranych, które podczas bitwy rzuciły się na wrogów, srodze kalecząc zębami (1). Pamiątką tego zwycięstwa była fara w Lublinie, którą Leszek na cześć św. Michała zbudował. Podanie miejscowe głosi, że na tém miejscu był podówczas las wielki, w którym Leszek za Jadźwingami idąc, obóz swój rozłożył, a sam pod cieniem wielkiego dębu zasnął. We śnie ukazał mu się archanioł Michał, i miecz swój odpasawszy, przy boku jego złożył, obiecując zwycięstwo. Po bitwie, zwycięzca użył brańców do budowy wspaniałej świątyni pod wezwaniem św. Michała, na tém samym miejscu, w którym mu się archanioł ukazał. Świątynia ta przed kilką laty dla starości rozebrana, dziś już tylko w rysunku pozostała (2).

Jednocześnie może *Janusz* wojewoda sandomierski, wraz z rycerstwem, wypowiedzieli posłuszeństwo Leszkowi, i główne zamki ziemi swojej, Sandomierz i Radom, Konradowi mazowieckiemu poddali. Ale Leszek z pozostałym wojskiem oba zamki odzyskał, i Konrada z ziemi sandomierskiej wypędził (3). Zbuntowanym rycerzom przebaczył, a ten sam *Janusz* wojewoda sandomierski, zdradę ówczesną, świetnym udziałem w pogromie Litwinów, odkupił.

Wszystkie klęski bowiem w tym nieszczęsnym roku na kraj nadwiślański spadły. W ziemi krakowskiej głód był okropny,

(1) *Roczniki Thratki. Ann. Cracov. Maj. Ann. Cracov. Min. Długosz* T. VII, str. 825.

(2) W posiadaniu p. Kazimierza Stronczyńskiego, którego zbiór bogaty, wszystkie ważniejsze pomniki krajowe obejmuje.

(3) *Anno eodem* (1282) *Janussius Palatinus et milites Sandomirienses opposuerunt se predicto duci Lestkoni et castrum Sandomiriense et castrum de Radom tradiderunt duci Conrado princ. Mazovie; sed prefatus dux L. expulit Conradum de terra et predicta castra, et totam terram in pace possedit.* *Roczniki Thratki.*—W żadnych innych wydanych rocznikach tej wiadomości nie masz; służy zatem za świadectwo powadze historycznej *Długosza*, który nieco obszerniej wypadek ten opisuje. T. VII, p. 827. Zamku radomskiego jednak nie wymienia. *Kronika wołyńska* T. II, str. 207, o napadzie Jadźwingów na Lublin wspomina, ale o 4 lata wcześniej.

bo miarka mąki pszennej przedawała się XIII skojców srebrnych (1). Tysiącami wychodzili mieszkańcy, jedni na Ruś, drudzy do Węgier; ale jednych i drugich los żaloszny spotkał: tamtych Tatarom, tych Kumanom zaprzędano w niewolę (2).

W Krakowie zgromadzona była w dzień św. Franciszka (4 październ.) kapituła zakonu Kaznodziejskiego, pod ich najwyższym mistrzem. Książę Leszek i prawie całe rycerstwo zjechali się na ten akt solenny, gdy Litwini do ziemi sandomierskiej wpadli, i bez oporu żadnego postępując, zabijali księży i rycerzy, a żony ich z dziećmi, oraz mieszczan i włościan z żonami i dziećmi, jak trzodę zaganiali w niewolę wieczną. Rycerze, którzy się w zamku sandomierskim zamknęli, wysłali rączego gońca do Krakowa do księcia z oznajmieniem tak okropnej klęski. Okrzyk rozpaczny rozległ się po Krakowie. Leszek i rycerze krakowscy i sandomierscy uzbroili się w siłę Najwyższego „dzielniejszą (słowa *Roczników Thratki*) od sił ciała i od hartu zbroi”. Spowiadają się z grzechów swoich, przyjmują Ciało Pańskie, i jedni drugich zachęcając, puszczają się w pogoń za nieprzyjacielem. Litwini zatarasowali się w lasach, w miejscu zwaném *Równie* (3), a chrześciance lękali się ich zaczepiać. „Jednakże, za natchnieniem Chrystusa Pana idąc“ dodaje rocznikarz „ucieczkę udając, oddalili się nieco od zasięku pogan; co widząc nieprzyjaciele Chrystusa wyszli wszyscy z zasięku w którym zamknięci byli, zostawując w lesie brańców związanych jak owce na zarznięcie; i uszykowali się w boju naprzeciw Leszka i rycerzy jego. Niektórzy z tych przelekli się na widok własnego wojska; ale książę w pomoc boską ufny, tak do towarzyszków swoich przemówił: *Lepiej nam zginąć w imię Chrystusa Pana i za więźniów naszych, aniżeli widzieć nieszczęście narodu!*” Po tych słowach wojska na dwa skrzydła obrócił: jedno *Żegocie*, podówczas wojewodzie krakowskiemu, drugie *Januszowi* wojewodzie sandomierskiemu powierzył. Oba skrzydła z boską pomocą otoczyły pogan i zwyciężyły. Trupów na placu bitwy porachowano nazajutrz 1,600, oprócz tych, któ-

(1) *Scotus* czyli *skojec* jest dwudziestą czwartą częścią grzywny, czyli dwoma groszami. *Czacki*: O prawach litewskich T. I, str. 159.

(2) *Brevis Chron. Cracov.* pod r. 1289 (u Sommersb. str. 83). *Roczniki Thratki* i *Ann. Cracov. Maj.* pod r. 1282. *Długosz* T. VII, str. 827. *Kronika wołyńska* T. II, str. 207, ale trzema laty wcześniej.

(3) Wedle *Długosza*, w ziemi *lukowskiej*.

rych po lasach i bagnach zabito; więźniów oswobodzono około 6,000 (1).

Biskup krakowski spokojnie oczekiwał wieści o téj wyprawie. Jakikolwiek był udział jego w buncie sandomierskim, żadnej odpowiedzialności dotąd na niego nie ściągają, bo 4 paździer. 1282 roku w ten sam dzień św. Franciszka, kiedy Dominikanie kapitułę obchodzili w Krakowie, a Litwini pod Sandomierz wpadli, Paweł z Przemankowa nabywał dożywociem wieś *Wolę Pomianową* od zakonnic Benedyktynek staniątkowskich, za dziesięciny z dwóch wsi kościelnych: *Kargowa* i *Wielkiego Zakrzewa*, na ten sam przeciąg czasu oddane; jak świadczy dyplomata oryginalny, datowany w *Wawrzeńcyczach*, a zachowany w Staniątkach (2).

Wtém Leszek za powrotem z wyprawy na Litwinów, zjazd (*parlamentum*) baronów i rycerstwa sandomierskiego zwołuje; na który biskupa krakowskiego, osobném wezwaniem zaprasza. Przybywa nań Paweł z Przemankowa, i bez obawy przed obliczem księcia staje. Ten z udaną uprzejmością przemawia do niego, i przypuszcza go do pocałunku pokoju. Ale wkrótce w pobliskim Łagowie, dworze biskupów kujawskich, w którym biskup krakowski przebywał, chwytają go nasadzeni rycerze sieradzcy, i skępowawszy silnie wszystkie członki, na prostym wozie do zamku sieradzkiego przywożą (3).

Lubo kanonicy krakowscy ze scholastykiem na czele, spory z biskupem swoim wiedli, a stolica metropolitalna gnieźnieńska osieroconą była przez śmierć arcybiskupa Marcina (kronikarza)

(1) *Roczniki Thratki* bardzo obszernie pod r. 1282; podobnież *Brev. Chron. Cracov.* u *Sommersb.* T. II, p. 83; ale w Mss. *ottoboniańskim* i *wilanowskim*, oraz w *Ann. Cracov. Min.* pod r. 1283, za czém i *Długosz* poszedł, T. VII, str. 828. Jeżeli ta bitwa pod *Równem* poprzedziła uwięzienie Pawła z Przemankowa, to musiała mieć miejsce w paździer. 1282 roku, bo pod koniec tego roku lub na początku następnego, już Paweł był uwięziony, jak świadczy bulla Marcina IV papieża z 10 kwietnia 1283 r. Już *Röpell* z właściwą sobie akuratuością chronologiczną tę datę sprostował, ale sam przez pomyłkę datę bulli 27 lipca naznacza.

(2) Kopią tego dyplomu Pawła biskupa krakowskiego, datowanego *in Laurincich anno domini MCCLXXX secundo. Quarto Nonas Octobris* miałem sobie uprzejmie udzieloną przez uczonego W. A. Maciejowskiego.

(3) *Episcopus Cracoviensis dominus Paulus a duce Lestcone predicto in Lagow captivatur, ligatis omnibus artubus, Syradiensibus militibus, in castrum Syradz transmittitur custodiendum.* *Roczniki Thratki* pod r. 1283.—Wiadomości téj nie znalazłem w żadnych innych dawniejszych

r. 1279, ustąpienie elekta Włóścibora (r. 1281), i wahanie się nominata Henryka z Brenu (syna Eudoxyi księżniczki mazowieckiej); skargi jednak na uwięzienie biskupa prędko do stolicy apostołskiej doszły (1). Już 10 kwietnia 1283 roku wywołały bullę papieżką w surowych i groźnych wyrazach, polecającą biskupom wrocławskiemu (Tomaszowi), i poznańskiemu (Janowi Łodzi), rzucić klątwę na Leszka, gdyby biskupa krakowskiego nie uwolnił, i za wyrządzoną mu krzywdę zadość uczynić nie chciał (2).

Bulla ta, w której znajdujemy wiele szczegółów ciekawych, gdyż odbija się w nich dokładny obraz wieku, tak brzmi w przekładzie polskim:

„Marcin IV papież, do wielebnych braci biskupów: wrocławskiego i poznańskiego.

O ciężkiem i straszliwem nadużyciu, którego mąż szlachetny Leszek (*Lescho*) książę krakowski, sandomierski i sieradzki, dopuścił się (jak powiadają) w obmierzłej zuchwałości swojej, na osobie wielebnego brata naszego, Pawła biskupa krakowskiego, usłyszeliśmy niedawno; i tém większego doznaliśmy ztąd niepokoju, im boleśnieszce nam są wyrządzone spółbiskupom naszym krzywdy i zniewagi. Słyszeliśmy bowiem, że książę ten, nagan-

źródłach. Bulla *Marcina* IV papieża w *Rajnaldzie* T. XIV, r. 1283 nr. 59. *Długosz* T. VII, p. 831 w kilku słowach tylko powiada, że biskup był ludzko i uczciwie trzymany, co już *Naruszewicz* T. V, p. 177 zbija bullę *Marcina* IV papieża; ale sam myli się odnosząc to uwięzienie do r. 1282, przed buntem sandomierskim, i zwycięstwem nad Litwinami pod *Równem*; a dyplomata staniątkowski dowodzi, że Paweł wolny był jeszcze 4 paździer. 1282 r.

(1) Ob. bullę *Mikołaja* III papieża z d. 23 grudnia 1279 r. o śmierci arcybiskupa *Marcina* i obiorze kanonika *Włóścibora*, w *Rajnaldzie* i *Bull. Ord. Praedic.* T. I, str. 568. Bullę *Marcina* IV z d. 23 grudnia 1281 o zrzeczeniu się *Włóścibora*, i mianowaniu *Henryka z Brenu* arcybiskupem w *Bull. Franciscan.* T. III, p. 478; a bullę tegoż *Marcina* IV z d. 30 lipca 1283 r. o nieprzyjęciu tej godności przez *Henryka*, i nominowania *Jakóba Swinki*, w *Bull. Franciscan.* T. III, p. 509. Zkąd pokazuje się błąd *Niesteckiego*, który *Henryka z Brenu* za arcybiskupa liczy i każe mu umierać w r. 1283 przed elekcją *Jakóba*; kiedy d. 10 lipca 1284 r. jeszcze wymieniony jest jako świadek w apellacyi *Henryka* ks. wrocławskiego do Rzymu przeciw *Tomaszowi* biskupowi wrocławskiemu. (*Stenzel*: Urk. z. B. Breslau) str. 112.

(2) Już *Rajnald* w *Rocznikach* kościelnych przytaczając bullę *Marcina* IV, zbił twierdzenie *Długosza*, jakoby interdyktu nie ogłoszono dla osierocenia stolicy metropolitalnej gnieźnieńskiej; co *Röpell* dokładniej jeszcze objaśnił. T. I, str. 539.

nym obyczajem przykładając się do przewrotnych złościwości czynów; dla łatwiejszego wykonania ukartowanej naprzód niegodziwości, i rozlania jadu bezbożnego, jaki w kryjówkach nienawistnego serca, przeciw temu biskupowi chował; nakazał zjazd (*parlamentum*) na dzień oznaczony, i rzezonego biskupa osobnym wezwaniem zaprosił. A gdy ten z ufnością w obliczu księcia stanął, po udanej łaskawości przywitaniu, które zdawało się bezpieczeństwo zwiastować, przypuszczono go do pocałunku pokoju, pod pokrywą zmyśloną zyczliwości. Tak więc poszedł przeklętym torem tego, który Zbawiciela rodzaju ludzkiego zdradliwym pocałunkiem wydał! A po takim przyjęciu biskupa, niegodziwie łamiąc zapory ukrytej zdrady, i na oścież otwierając złościwości bramę, gwałtowną ręką targnął się na biskupa, na bok odkładając bojaźń Boga, i uszanowanie sługom bożym winne, świętokradzkim czynem kazał go schwytać i na wóz drewniany zelżywie posadzić. A na domiar ciężkiej krzywdy, bezbożnymi rękami nogi mocno skrępowawszy, do jakiegoś zamku swojego Sieradz, (*Syrac*) w języku pospolitym zwanego, w téjże samej sromotnej zelżywości odwieźć go kazał. Tam zamknął go do ciemnicy, w której, powiadają, że go dotychczas w kajdany okutego trzyma. Nie dość było dla złości pomienionego księcia, tak zdradziecko biskupa schwytać, tak obelżywie z nim się obejść; jeśliby członków do chodzenia przeznaczonych, nie skrępował ciasnymi pętami! Nie bez przyczyny dziwić się nam przychodzi, iż książę ten (jeżeli czyny jego zgadzają się z tém, co o nich donoszą), porywczej woli tak dalece cugle popuścić, i niegodziwym zamiślom tak zupełnie się oddać, aby wpaść w tak śmiałą zuchwałość (że nie powiemy szaleństwo), popełniając czyny tak występne, tak potworne! Wszak powiadają, że książę ten, niegodziwości całkiem oddany, nie przestając na wykonanych już nagannych czynach, ale dodając złość do złości, gromadząc przestępstwa jedne na drugie, zuchwale zabrać kazał zamki, księgi, ornaty biskupie, konie, tudzież wszystkie prowenta i dochody tak stolicy biskupiej krakowskiej, jak duchownych (*clericorum*) i innych domowników (*familiarium*) biskupa, na obrazę Majestatu Bożkiego, zniewagę i wzgardę stolicy apostolskiej, na ciężkie zgorszenie okolicznego kraju, i niemłą krzywdę swobód kościelnych. Ponieważ przestępstwa tak niezmiernego, tak szkodliwego przykładu, i tak obmierzłego w obliczu Najwyższego Pana, nie mo-

żemy i nie powinniśmy milczeniem pokrywać; dla ukarania go jak słusznie, aby bezkarność gorszego złego nie zrodziła, postanowiliśmy użyć władzy apostolskiego urzędu. Dlatego braterstwu waszemu listem apostolskim zalecamy, jeżeli takowe porwanie się rękoma na biskupa i trzymanie go w więzieniu, rzeczywistém się okaże: abyście rzeczonoego księcia i wszystkich takich, którzyby okazali się spółnikami jego, albo sami, albo przez drugich; lub też którykolwiek z was, sam albo przez drugich, publicznie wyklęli, i rozkazali wszystkim unikać ich najstaranniej, dopóki rzeczonoego biskupa nie uwolnią, i nie uczynią mu zupełnie zadość; zasługując takim sposobem na dobrodziejstwo rozgrzeszenia od stolicy apostolskiej. Poprzednio więc upomnieniem, potem klątwą na osobę księcia rzuconą (od której apellacyi niniejszém wzbraniamy), zmuszać go będziecie do restytucyi zupełnej wszystkich rzeczy zabranych przez niego lub na jego korzyść, i do zadośćuczynienia za wszystkie szkody, stolicy biskupiej krakowskiej, duchowaym i domownikom zrządzone. Jeżeliby zaś pomieniony książę po takiém ogłoszeniu waszém, w klątwie téj dni piętnaście z zatwardziałym umysłem przetrwał: wtedy ziemie jego macie pod interdykt duchowny podciągnąć, obciążając ręce wasze przeciw niemu, jak sprawiedliwość poradzi, i jak zuchwałość nieposłuszeństwa wymagać będzie; wezwawszy przeciw księciu i stronnikom jego, jeżeliby tego potrzeba była, pomocy świeckiego ramienia. Dan w *Civita Vecchia* IV Idów Aprilis, roku III.“

Nie musiał odrazu przystać Leszek na uwolnienie nienawistnego biskupa, tém bardziej na wymagane przez niego wynagrodzenie, bo i klątwa, a następnie i interdykt rzucony był na kraj cały. Świadczą o tém dwie bulle Honorjusza IVgo papieża (27 lipca 1285 roku i 18 lipca 1286 roku), na imię biskupa krakowskiego i ojca prowincyała księży Dominikanów polskich, w których na prośbę księżnej krakowskiej (Gryfiny), poleca dać rozgrzeszenie kapelanom, którzy pomimo interdyktu, poważyli się służbę Bożą odprawiać; jeżeli ich nie więcej było jak siedmiu, i do zamachu na biskupa nie należeli (1).

We dwa lata prawie po uwięzieniu swoim, musiał dopięro wolność odzyskać Paweł z Przemankowa; gdyż w grudniu

(1) Kopie autentyczne tych bulli były w posiadaniu hrabiego Edwarda Raczyńskiego, który je Röpellowi do użycia użyczył. *Röpell* T. I, p. 539. *Rajnat* w Rocznikach kościelnych pod r. 1285. (T. XIV, p. 379) pisze:

1284 roku, stanęła pomiędzy nim a Leszkiem następująca ugoda, której list oryginalny pod datą 8 grudnia, i z zawieszoną przy nim pieczęcią biskupa krakowskiego, przechowuje się w archiwum zaślawnym książąt Sanguszków, a który tu w przekładzie polskim dajemy (1):

„W imię Boże, amen. Luboć odwiecznego Ojca Syn, z wysokości nieba na ten świat zstępując dla odkupienia i zbawienia rodzaju ludzkiego, wiele nauk postanowił zbawiennych; jednak mając już wracać na łono Ojca, z kąd był przybył, uczniom swoim, przez których nauczać chciał świat cały, zalecił pokój, który jest węzłem miłości, zachowywać stale i dotrzymywać. W pokoju bowiem spoczynek ciała, spokojność duszy i pożądana dostatków obfitość, urzeczywistniają się stosownie do nauki. A chociaż pokój ów z łaski Bożego postanowienia dla wszystkich, i każdego z usiłujących go zachować, pomnażać się winien; przystoi jednakże, aby z większą rzetelnością wkorzeniony był pomiędzy temi, którzy do przewodniczenia téjże nauce, z Bożej łaski są przeznaczeni. Dlatego my, Paweł, z Bożego miłosierdzia biskup krakowski, do wiadomości wszystkich podajemy, którzy tę kartę oglądać będą, iż znamienity książę i pan, Leszek z Bożej łaski książę krakowski, sandomierski i sieradzki, do nienaruszalnych przymierzów pokoju i zgody, z gorącym upragnieniem przystępując, po uspieniu wszelkich niesnasków, pokój z nami zawarł, i zgodę postanowił wieczną, takim sposobem: że za nasze więzienie i przytrzymanie, oraz inne wszystkie krzywdy i obelgi w naszej osobie, dostojności kapłaństwa i kościoła naszego, przez niego jakim bądź sposobem wyrządzone, zadość czyniąc, zareczył nam i obiecał w dobrej wierze wypłacić sześć tysięcy grzywien srebra, przez lat sześć z rzędu, od niniejszego czasu, w zupełności i całkowicie. Tak, iż w trzech tysiącach grzywien zastawił nam Nowe Miasto swoje, które dawniej nazywało się *Korczyn* (*Chorcyn*), ze wszystkimi tegoż miasta prawami, opłatami, sądami, rzeczami osądzonemi (*iudicatio*), pożytkami (*questibus*), używalnościami (*usu-*

Flagitata etiam criminis venia fidelium communioni est restitutus Lesko Niger Cracoviensis Dux, qui ob conjectum in vincula Paulum illius urbis Episcopum, quem excivisse in Polonorum perniciem barbaros accusavit, anathemate devinctus fuerat; atque ejus capellani qui ob divina coram Duce antea celebrata Pontificum legibus sacris erant interdicti, Honorii jussu sunt absoluti. (Lib. I, Epistol. 109).

(1) Text łaciński w dodatku do tego opowiadania umieszczony będzie.

fructibus), i attynencyami wszystkimi należąciami do władzy książęcej (*ad ducatum*); wprowadzając nas do tego miasta, aż do czasu, w którym całkowita summa trzech tysięcy grzywien srebra, w zupełności wypłaconą nam nie będzie. To tylko dla księcia pana warując, iż jeśli w ciągu już zaczętego roku, nam tysiąc grzywien zapłaci, wtedy wolno mu będzie dać inny zastaw, równie dobry, za dwa tysiące grzywien, a przereczone miasto w jego władanie powróci. Wszystkie zaś pożytki, opłaty i używalności z owego miasta, przez czas kiedy je posiadać będziemy, policzone będą na kapitał i wypłatę powyższej summy. Przydał nam także wieś swoją nad Dzierżazną (*in Deruzna*), która nazywa się *Konary* (*Chonarij*), całkowicie, ze wszystkimi jej mieszkańcami należąciami do księstwa; tak, aby nam, jako samemu księciu panu, przez te same trzy lata we wszystkiém prawnie obowiązani byli (*obnoxii teneantur*). Na drugie zaś trzy tysiące grzywien, dał nam i naznaczył tych rękojemców (*fideiussores*), baronów swoich, tojest: *Janusza* kasztelana krakowskiego, *Otona* (*Otham*) wojewodę, i *Marka* kasztelana sandomierskich, *Sulka* kasztelana wiślickiego, *Jana* kasztelana lubelskiego, *Piotrka* kasztelana radomskiego, i *Świętosława* kasztelana wojnickiego. Którychto wraz ze wszystkimi, i każdego z osobna dobrami ruchomemi i nieruchomemi, na tak długo naznaczył nam na rękojmię (*obligans fideiussoria cautione*), całej summy wypłacić się mającej, dopóki cała ta summa trzech tysięcy grzywien srebra, całkowicie nam zapłaconą nie będzie. Ci zaś wszyscy rękojemcy, zobowiązawszy się publiczną, dobrowolną umową, jednomyślnie nam się poddali. Przereczony książę pan obiecał także dla Boga, i dla odpuszczenia grzechów swoich, a zwłaszcza w dodatek powyższego zadośćuczynienia, iż jeśliby poganie (*gentiles et pagani*) napadać chcieli na dycezyą krakowską, on z rzeczonymi baronami, wedle możności swojej, opierać się im będzie. To wszystko w ogóle i poszczególnie czyniąc, za powszechną zgodą (*de communi consensu*), i przyzwoleniem wszystkich baronów swoich, obiecał nam w dobrej wierze potwierdzić, i nienaruszonym dotrzymać, niczém przeciwko temu nie działać i nie iść ani prawem, ani fortelem (*ingenio*), ani czynem. Obiecał także nas i kościół nasz winnym afektem miłować, cześć i wszelką uczciwość wyrządzać, z synowskiem, jako dla biskupa, poważaniem. Dlatego my, widząc go ze szczerą uległością, i uległym umysłem przystępują-

cego do słusznego (*meritam*) pokoju i zgody; wszelką nienawiść (*rancorem*) z serca naszego składając; zadośćuczynienie jego pochwalając, najuprzejmiej (*gratantissime*) przyjmujemy, i obiecujemy zresztą jego téż nawzajem miłować, i we wszystkiemu sprzyjać, a do panowania jego i chwały, we wszystkiemu się przyczyniać. Na dowód tego wszystkiego, i na słuszne i oczywiste świadectwo, kazaliśmy list niniejszy napisać i pieczęcią naszą obwarować. Działo się w Krakowie, roku Pańskiego 1284, indykta XIIgo, szóstego idow decembrowych (8 grudnia), w przytomności przerwanych baronów, a także tych zacnych i przeczornych (*discretis*) mężów, panów: *Wojciecha* dziekana, *Wacława* proboszcza, *Prokopa* scholastyka, *Pawła* kantora, *Michała* kustosza, *Jakóba* archidyakona sandomierskiego, i innych wielu kanoników krakowskich i rycerzy”.

Fakta nowe, które nam dyplomata powyższy odkrywa, są: *naprzód*, ogromna ilość *nawiazki* za więzienie, 6,000 grzywien srebra, którą sobie biskup Paweł wymówił. *Powtórnie*, zastawa *Nowego-miasta Korczyna* w połowie téj summy, o której nie mamy wiadomości czyli przyszła do skutku. *Potrzenie*, zastawa wsi *Konary* nad *Dzierzazną*. *Poczwarne*, nazwiska rękojemców za pozostałą summę 3,000 grzywien, których obiera sobie biskup z najpiérwszych rycerzy krakowskich i sandomierskich. Są nimi:

1. *Janusz* kasztelan krakowski, o którym tu piérwsza wiadomość; gdyż w 1280 roku, w bitwie pod *Gośclicami*, jeszcze *Warsz* kasztelanem krakowskim; a od roku 1286, we wszystkich dyplomatach już *Sulko z Miedźwiedzia* wzmiankowany (1).

2. *Otton* wojewoda sandomierski, także nieznanym *Niesiekiemu*, o którym, jako należącym do buntu połączonego rycerstwa krakowskiego i sandomierskiego, dowiadujemy się z dyplomatu węgierskiego u *Fejera* (2). Po nim nastąpić musiał *Boxa*, którego w dyplomatach od 1286 r. znajdujemy (3).

(1) *Przywilej lokacyjny sandomierski z r. 1286 (Metryka koronna 93, p. 318). Przywilej Leszka z r. 1286, o którym niżej w teście. Przywileje Leszka tynieckie z r. 1286 i 1288 (Szczygielski: Tynecia, p. 158 i 161). Przywileje Leszka miechowskie, z r. 1287 i 1288 (Nakielski: Miechovia, p. 209—211). Spis kasztelanów i wojewodów, oraz biskupów niektórych, poprawiony wedle źródeł naszych, podajemy w IIgim dodatku do tego opowiadania. (2) *Fejer* Cod. V 3, p. 384; u *Röpellu* I, p. 541.*

(3) *Przywileje Leszka lokacyjne sandomierskie, tynieckie, miechowskie i t. d.*

3. *Marek* kasztelan sandomierski, o którym dotąd żadnej wzmianki nie było; musiał nastąpić po *Krystynie*, o którym Długosz tyle razy wspomina. Po buncie z 1285 roku, w dyplomatach już *Mikołaj* na jego miejsce występuje (1).

4. *Sulko* kasztelan wiślicki; może ten sam Sulko z *Mie-dźwiedzia*, którego we dwa lata później kasztelanem krakowskim widzimy, gdyż na jego miejscu w *Wiślicy*, mamy już *Świętosława* (2).

5. *Jan* kasztelan lubelski, którego znajdujemy znowu rokiem później (6 kwietn. 1285 r.) świadkiem w dyplomacie Leszka Czarnego biskupowi kujawskiemu, *Comite Johanne Abramovize Castellano de Lublyn*, a na jego miejscu w 1286 r. znajdujemy już *Floryana* (3).

6. *Piotrko*, kasztelan radomski, po raz pierwszy tu wzmiankowany.

7. *Świętosław* kasztelan wojnicki, zapewne ten sam, którego już w 1286 r. znajdujemy kasztelanem wiślickim, na miejscu *Sulka*, a włości którego Leszek Czarny, za wierność w buncie w 1285 r. doświadczoną, różne swobody nadał (4). Wtedy na jego miejscu znajdujemy kasztelanem wojnickim *Anbrzeja* (5).

Po piątę, dyplomata Pawła świadczy o obowiązku przyjętym przez Leszka, wojowania przeciw poganom, a z którego w tym roku jeszcze się wywiązał.

Ledwie bowiem uwolnili go z polecenia papieżkiego od klątwy, biskupi krakowski i płocki, dla obrony wiary chrześcijańskiej i ziemi jego od pogan (6), a już chorągiew krzyża świętego przeciw Tatarom przyjął z rąk *Jakóba Swinki*, w przeszłym roku obranego arcybiskupem gnieźnieńskim, i potwierdzonego na to dostojęństwo przez *Marcina IV* papieża (7). Tatarowie bowiem

(1) Przywileje cytowane w poprzedzającym przypisku.

(2) *Przywilej tyniecki* z r. 1286 (*Tinecia*, p. 158).

(3) *Dyplomatarjusz Rzysz. i Muczk.* T. II, str. 109. *Dyplomata Leszka* z r. 1286 niżej w tekście przytoczony.

(4) *Przywilej Leszka* z r. 1287 (w *Metryce koronnój* 36 str. 602).

(5) Tenże sam dyplomata, i *Przywilej Leszka* z r. 1287 (*Miechovia* p. 41).

(6) *Bulla Honorjusza IV* (z d. 27 lipca 1285 r.), u *Röpella* I, p. 539.

(7) *Ad hec idem princeps terras et bona cruce signatorum, incliti videlicet principis domini. Lesthconis d. gr. ducis Cracovie et militum suorum sub vexillo sancte crucis, per nos sibi autoritate apostolica tradite, contra Tartarorum acies militancium, invasit. vastavit hostiliter et combussit.* List *Jakóba Swinki* (u *Stenzla: Urk. z B. Breslau*, str. 167).

pod Nogajem i Telebugą ze służebniczym orszakiem książąt ruskich, przez San i Wisłę, ponad Sandomierzem, po lodach przeszli, ale pokłóciwszy się między sobą, do Krakowa nie doszli, i po dziesięciu dniach pustoszenia na Ruś powrócili (1).

Gdy tak Leszek Czarny pod znakiem krzyża świętego z Tatarami walczył, biskup krakowski Paweł, wraz z innymi biskupami polskimi i arcybiskupem gnieźnieńskim, w święto Trzech Króli 1285 r. odbywali synod prowincjonalny w Łęczycy. Szło tu głównie o załatwienie wieloletnich sporów pomiędzy Tomaszem biskupem wrocławskim, a księciem wrocławskim Henrykiem, który niedość że dziesięciny biskupowi odmawiał, a podatków z dóbr biskupich żądał; ale nawet włości jego pustoszył i zamki zabiérał, mszcząc się za rzuconą na niego przez biskupa klątwę (2).

Zjechali się na święto Trzech Króli do Łęczycy: *Jakób Swinka* arcybiskup gnieźnieński, *Paweł z Przemankowa* biskup krakowski, *Jan* poznański, *Tomasz* płocki, *Wisław* kujawski i *Tomasz* wrocławski, i tam rozpoznawszy sprawę Henryka, klątwę na niego rzuconą potwierdzili, uwiadamiając o tém papieża Marcina IV listem z 15 stycznia tegoż roku; a we dwa dni później w liście do kardynałów rzymskich, opisali stan oplakany ziem polskich.

„Gdy kraj polski kościołowi rzymskiemu szczególnie jest podległy, i na znak téj podległości, z głowy każdego mieszkańca opłatę składa, *groszem św. Piotra* zwaną; słusznie zatem, jako właściwi synowie tego kościoła, pod opiekę Świątobliwości Waszój, w braku opieki, z ufnością postanowiliśmy uciekać. Żądaniem naszym jest, aby Wielebności Waszój wiadomém było, iż naród polski, od czasu nawrócenia swojego, pod opieką i władzą kościoła świętego, ciągle używając pokoju, przywileje tegoż kościoła i nasze, wiernie i pobożnie szanował. Teraz zaś za wciskaniem się narodu niemieckiego, który już wiele miejsc w Polsce zajął, nietylko Świątobliwości Waszój, ale i nam dzieje

(1) *Kronika wołyńska*, ale pod r. 1283, T. II, str. 212.

(2) *Dominus Jacobus dictus Swinka Archiepiscopus Gneznensis cum suis suffraganeis in epiphania domini synodum in Lancicia celebravit, in quo synodo duces Wratislaviensem Henricum III. pro violentia quam intulerat Episcopo suo et Canonicis Wratislaviensibus, publice excommunicavit.* Róczniki Thratki p. r. 1285. *Długosz* VII, p. 836. *Stenzel Urk. z. B. Breslau: Wstęp passim* 1 str. 136 i następne.

się krzywda wielka w przywilejach naszych. Kościół rzymski na tém szkodzi, że kraje polskie zajmują książęta niemieccy, którzy są pod cesarstwem; a więc i zajęte przez nich kraje, pod cesarstwo przechodzą, a kościół rzymski pozbawiony jest państwa swojego. Rycerze zaś (milites) i osadnicy (coloni) niemieccy, wciskają się do Polski, wsie i inne miejsca dawniej przez Polaków posiadane zajmują, i czynszu z nich opłacanego przez Polaków, z każdej głowy, t. j. *grosza św. Piotra* nie chcą płacić. Tak więc kościół rzymski pozbawiony jest służącego mu prawa, i na zawsze pozbawiony będzie, jeżeli przezorność Wasza skutecznie złemu zaradzić nie potrafi. Nam zaś odejmuje napływ Niemców swobody duchowne i przywileje, pobożnie dawniej przez Polaków szanowane, a których teraz zaprzeczają nam zupełnie. Najlepiej daje się to widzieć na dziesięcinach; jedni wcale ich nie płacą, a drudzy nie podług zwyczaju ziemi (*non jure terre consueto*), lecz wedle dawniejszego zwyczaju swojego narodu. Inne jeszcze klęski namnożyły się ze wciśnięciem się tego narodu do tej ziemi: gdy naród polski przez nich uciemiężony, wzgardzony, wojną trapiiony, przywilejów i zwyczajów chwalebnych ojczystych pozbawiony, wśród milczenia północy, z własnego majątku ograbiony; a co gorsza, gdy swobody kościoła przez nich gwałcone, a klątwami kościelnymi gardzą" (1)! List kończył się skargami na Franciszkanów niemieckich we Wrocławiu, niezważających na klątwę i na interdykt, na księcia wrocławskiego rzucone; i prośbą, aby prowincya Franciszkanów *polską* jak dawniej, a nie *saską* mianowaną była, i prowincyałowi polskiemu podlegała.

Książę wrocławski nie zważając na klątwę, opanował zamki biskupie, *Otmuchow* i *Edelstein*, potem nie szczędząc dóbr arcybiskupa gnieźnieńskiego, i niektóre kościoły w nich na warownie obracając, dziesięcinę z ziemi *rudzkiej* (*wieluńskiej*) zagrabił, i ziemie Leszka Czarnego i rycerzy jego pod znakiem krzyża świętego z Tatarami walczących, mieczem i ogniem spustoszył. Za to rzucił na niego *Jakób* arcybiskup gnieźnieński klątwę większą, 24 maja 1285 roku (2).

(1) *Stenzel: Urkund. z. B. Breslau*, p. 151 i 152. *Dum gens Polonica per eos opprimitur, despicitur, guerris concutitur, juribus et consuetudinibus patrie laudabilibus privatur, noctis intempeste silencio in propriis commodis, capitur et quod hiis est deterius ecclesiarum immunitas violatur et ecclesiastica censura per eosdem contempnitur et parvi penditur omnino.* (2) *Stenzel. str. 166.* Porównać także cytacją powyższą z listu *Jakóba* arcybiskupa.

Gdy Henryk w miejscu upokorzenia i poprawy, nowe bezprawia popełniał, zgromadzili się na nowo biskupi polscy, wraz z *Tomaszem wrocławskim*, i *Konradem lubuskim* w Krakowie, i ztamtąd 29 czerwca, nowe listy do papieża i kardynałów wysłali, z prośbą, aby na księcia, który *mieczem duchownym* pogardza, *prawdziwego miecza* użył, to jest pomocy ramienia świeckiego, zwłaszcza, gdy ksiązę ten, równie jak i inni książęta nasi, na pomnieniu i władzy kościoła rzymskiego podlegają“ (1). A dalej: „żeby tak szkodliwy przykład, nie doszedł do sąsiedzkich kościołów, dyecezyj i prowincyj, *gdy i drudzy książęta nasi, już się na podobne bezprawia gotują*“ (2).

Oczywiście miał tu na myśli Leszka Paweł z Przemankowa; ale sam jako biskup, przeciw nadużyciom książąt pisał, a jako pan krakowski, bunty przeciw książętom knował.

Pomimo zawartej ugody z Leszkiem, i wymożonej na nim za więzienie swojej *nawiązki*, nie mógł mu Paweł przebaczyć; czyli też Leszek może obiecanych warunków (oprócz ostatniego, wojny krzyżowej na pogan) nie dotrzymał. Cokolwiekby, rycerze krakowscy i sandomierscy obrócili się po raz drugi do Konrada, księcia mazowieckiego na Czersku, któremu już przed trzema laty Sandomierzanie zamki swoje byli poddali. Teraz obierają Konrada, panem i dziedzicem swoim, na wzgardę Leszka, któremu wypowiedzieli posłuszeństwo (3). Mało bardzo rycerzy pozostało mu wiernych; współczesny dyplomata, jednego tylko *Świętosława* wymienia, natenczas wojnickiego, a wkrótce wiślickiego kasztelana (4). Miasto Kraków przez owych Niemców, nienawistnych duchowieństwu, zaludnione, zachowało wierność dla swego księcia. W zamku zamknęła się Gryfina, gdy Leszek opuszczony od wszystkich rycerzy swoich, do Węgier po posiłki pojechał. Ściągnął tam nie tylko chrześcijański hufiec węgierski, ale i pogański z Kumanów; oba pod dowództwem mistrza *Jerzego Soos z Sowaru*, syna hrabiego *Szymona Mitzbana*, już poprzedniem zwycięstwem nad Tatarami wsławionego (5).

(1) *Stenzel*, p. 179. (2) *Nostris aliis principibus se jam ad faciendum similia parantibus*. *Stenzel* p. 180.

(3) *Roczniki Thratki* pod r. 1285; także *Ann. Cracov. Maj.*; *Ann. Cracov. Min. Roczniki Anonim. krak.* w Mss. *Ottobon. i willan.* (*Sommersberg* II, p. 95). *Długosz* VII, p. 837.

(4) *Dyplomata Leszka* z r. 1287 już cytowany (*Metr. kor.* 36, p. 602).

(5) *Fessler* T. II, p. 680.

Na czele tych posiłków węgierskich i kilku wiernych rycerzy krakowskich, wracał Leszek do kraju, gdy Konrad mazowiecki z wiarołomnym rycerstwem krakowskiem i sandomierskiem, po daremnem usiłowaniu zdobycia zamku krakowskiego, miasto tylko spalił, i naprzeciw Leszka wyruszył. Spotkali się nad rzeczką Rabą, pod wsią *Bogucice* zwaną, w dzień przeniesienia relikwii św. Stefana pierwszego męczennika (3 sierpnia) (1). Rozpoczęła się walka zażarta. Leszek miał tylko 600 posiłkowych, przeciw daleko liczniejszego nieprzyjaciela; ale przy opiece boskiej, cuda waleczności *Jerzego* i jego towarzyszków, dały mu zwycięstwo. *Jerzy* pięć razy był raniony; obok niego walczył mistrz *Tomasz Talpos*, giermek hrabiego *Wawrzyńca* i dostał w niewolę *Mikołaja*, najdzielniejszego z towarzyszków broni księcia Konrada, który później za 2,000 grzywien srebra wolność swoją od hrabiego odkupił (2). Odznaczył się także w tej bitwie hrabia *Świętosław*, kasztelan następnie wiślicki, dziedzic włości *Krzyżanowice* nad Rabą, której we dwa lata później książę Leszek wiele swobód nadał, w nagrodę wierności i mężstwa dziedzica (3). Wielu nieprzyjaciół trupem legło, wielu dostało się w niewolę, reszta wraz z Konradem w rozsypkę poszła.

Z tryumfem powrócił Leszek do Krakowa, gdzie go żona i wierni mieszczanie przyjęli. Wtedy zaświtał dzień sprawiedli-

(1) *Eodem anno (1285) Dux Lestko piissimus de suis militibus triumphavit in die sancti Stephani protomartyris.*—*Roczniki Thratki* pod r. 1285, co wypadła na 3ci sierpnia. W innem miejscu tychże Roczników przy opisanii samej bitwy, dodano późniejszą (XV wieku) ręką: *secunda die mensis Augusti.*—*Ann. Cracov. maj.* i *Ann. Cracov. min.* nie wymieniają ani dnia, ani miejsca bitwy. *Roczniki Anon. krak.* w Mss. *Ottobon.* i *willan.* wymieniają *Boguczicz* (w *Sommersb.* T. II, p. 95 *Doguczicze*). *Dyplomat Leszka* z r. 1287 (*Metr. kor.* 36, p. 602) wyraźnie wspomina o bitwie z Konradem w *Bogucicarb.* *Długosz* VII, p. 839 z datą 2 *Augusti.*

(2) *Dyplomat węgierski* króla Władysława z r. 1288 (w *Katonu Hist. Critica*, VII, p. 953 i 961); u *Fesslera* T. II, p. 682.

(3) *Nos Lestko dei gratia Dux Cracoriensis, Sandomirie et Sira-die, volentes fidelitatis servitia que Comes Swentoslaus Castellanus Wisliciensis nobis exhibuit, aliqua retributione respicere, cum nos non deseruit pugnantes contra principem Conradum Masoviensem nostrum fratrem. triumphumque gerentes iuxta villam que dicitur Boguchit.* *Przywilej Leszka* z r. 1287 w tranzumpcie *Zygmunta I* z r. 1524 (*Metr. koron.* 36, p. 602). Wskazanie tego ciekawego dyplomu winienem nprzejmości uczonego urzędnika archiwum głównego, p. Muczkowskiemu, spółwydawcy *Dyplomatarjusza.*

wości, nagrody i kary. Zawdzięczając wierność Niemców, mieszczan krakowskich, miasto ich warownemi wałami i rowami opasał, pomimo oporu rycerzy „którzy stracili już prawie całą władzę i więźność swoją!” dodaje stary rocznikarz (1). Miastu zaś wielkie swobody i przywileje szlacheckie nadał. „Sprawę miejską samym Niemcom poruczył, w których się kochał (pisze Bielski), jakoż i sam po niemiecku się wszystko nosił” (2). A dla miłości ich (wedle świadectwa starego rocznikarza), nawet długie włosy zapuścił (3).

Węgrowsi udarowanych odesłał Leszek do domu; bohaterskiemu dowódcy ich *Jerzemu*, nadał dobra złożonego z urzędu wojewody sandomierskiego *Otona* (4). Inni wszyscy urzędnicy krakowscy i sandomierscy: *Janusz* kasztelan, *Żegota* wojewoda krakowski (5), *Marek* kasztelan sandomierski, musieli wtenczas urzędy swoje postradać, bo już w dyplomatach z roku 1286 i z lat następnych, widzimy kasztelanem krakowskim *Sulka* (może wiślickiego, gdyż na miejscu tego jest już *Świętosław*, jeden ze zwycięzców pod *Bogucicami*) i wojewodą krakowskim *Piotra*, wojewodą mazowieckim *Bozę*, kasztelanem sandomierskim *Mikołaja* (6).

O głównym sprawcy buntu, o Pawle z Przemankowa, milczą zupełnie współczesne źródła; ale już to milczenie samo go obwinia: bo gdy całe niemal rycerstwo opuściło Leszka, a o biskupie kra-

(1) *Et sic deinceps Poloni quasi totum posse suum et gloriam perdidierunt.*—*Ann. Cracov. min.* pod r. 1285. Także *Roczniki Thratki* pod r. 1285 i 1286. *Ann. Cracov. maj. Roczniki Anon. krak.* (*Sommersb.* T. II, p. 95). *Długosz* VII, p. 839.

(2) *Bielski* T. XII, str. 217.

(3) *Hic infavorem Theutonicorum comam nutriebat.*—*Ann. Cracov. min.* pod r. 1288.

(4) *Fejer*, *Cod. Dipl.* V 3, p. 384, u *Röpella* I, p. 541.

(5) *Żegota* wojewoda krakowski wspomniany jest w r. 1284 w Przywileju *Przemysława II*, nadającym mu różne dobra na dziedzictwo i swobody, na zjeździe w Sieradzu (*Metr. koron. sekretna* nr. 35).

(6) *Dyplomata Leszka* z r. 1286, o którym niżej; *dyplomata lokacyjny sandomierski* z r. 1286 i cytowane już po kilkakrotnie wyżej przywileje Leszka *tynieckie* i *miechowskie*. *Długosz* jednakże wspomina jeszcze *Warsza* kasztelana krakowskiego, *Janusza* wojewodę sandomierskiego, i *Krystyna* kasztelana sandomierskiego, którzy już na tych urzędach nie byli, jak świadczy poprzednio przywiedziony *dyplomata Pawła*. Dalej utrzymuje *Długosz*, iż Leszek panów do łaski przywrócił i do urzędów, co widzimy że nie było. Za *Długoszem* wszyscy inni historycy poszli.

kowskim wzmianki nie czynią, że w Krakowie wraz z Gryfiną pozostał; musiał w ulubionej puszczy swojej kieleckiej oczekiwać skutków knowanej zdrady. Długosz, opierając się zapewne na nieznanych nam dotąd źródłach, nie waha się nazywać Pawła z Przemankowa naczelnikiem buntu; ale o dalszych stosunkach jego z Leszkiem, nie wspomina już wcale (1).

Nie ustawały jeszcze wojny domowe. Zaślony na Leszka Konrad mazowiecki, w następnym (1286) roku bratu jego Władysławowi Łokietkowi postanowił zamek Gostynin, niegdyś swoją własność, odebrać. Sprowadził więc przyjaciół swoich Litwinów i Rusinów, i za ich pomocą, gród ten po okropnej rzezi i rabunku, z rąk łupieżców otrzymał. Ale ciż sami barbarzyńcy, znajomą już drogą do Mazowsza wracając, *Sochaczew* i *Płock* spalili, które po Wniebowzięciu Najśw. Panny (15 sierpnia) Władysław Łokietek zdobył, i z Konradem na *Gostynin* zamienił (2).

Leszek tymczasem urządzał na nowo odzyskane księztwa. Wynagradzając zasługi i wierność żupnika swego *Witka*, mianował go w 1286 roku, dziedzicznym wójtem sandomierskim, ponawiając miastu prawo osadnicze magdeburskie (3). W Sieradzu (27 marca tegoż roku), na prośbę biskupa kujawskiego *Wisława*, urządzał obowiązek obiadu, jaki mu się w kasztelanii wolborskiej należał, gdy raz do roku, tędy, jako księżę sieradzki przejeżdżał. Ciekawy spis tych wiktuałów, zachował się w współczesnym dyplomie Leszka, w archiwum kapituły kujawskiej we Włocławku. „Krowę i dwie owce, jeżeli latem; a gdyby zimą, to dwie szynki (*pernas*), trzydzieści kurcząt (*pullos*), sto jaj, pół miarki grochu (*pise*), pół miarki jagieł, i trzecią część (*tercianum*) soli“. I na tyłu wozach ile będzie potrzeba, winni ludzie kasztelanii wolborskiej, księcia do granic kasztelanii, ale nie dalej odwozić (4).

Chciał też Leszek zatrzyć ostatecznie wszelkie powody do targów z biskupem krakowskim, a razem oswobodzić się od opłaty 3,000 grzywien srebra, ciężaczej jeszcze na nim od pierwszej

(1) *Długosz* VII, p. 837—840.

(2) *Roczniki Thratki* pod r. 1286 ze szczegółami opuszczonemi w *Ann. Cracov. maj.* Zdaje się, że tę samą wyprawę Rusinów pod Sochaczew opisuje *Kronika wołyńska* pod r. 1281 T. II, p. 209. *Długosz* VII, p. 841.

(3) *Leszka przywilej lokacyjny sandomierski* z r. 1286: oryginał w archiwum sandomierskiem, kopia w *Metr. koron.* 93, p. 318.

(4) *Dyplomatarjusz Rzyszcz. i Muczsk.* T. II, p. 111.

ugody z Pawłem z Przemankowa, przed dwoma laty zawartej. Już i biskup musiał być do zgody skłonniejszym, po zwycięstwie nad Konradem; i dlatego, że rękojemcy jego w dawniej ugodzie wymienieni, jedni przy życiu nie byli, drudzy urzędy i dobra potracili. Wszak *Otona* wojewody sandomierskiego dobra, *Jerzemu* dowódcy Węgrów oddano. Obraly zatem obie strony pośredników i arbitrów; Leszek *Sulka* kasztelana, i *Piotra* wojewodę krakowskich; Paweł zaś, *Wojciecha* dziekana, i *Prokopa* scholastyka krakowskich, już na dawniejszym dyplomacie za nim świadczących. Za ich staraniem, stanęła pomiędzy ksiąźciem a biskupem nowa ugoda, którą Leszek przywilejem swoim z 30 listopada 1286 r. potwierdził.

Przywileju tego, który długo zachowywał się w oryginale, (o czém świadczy *Kromer*), a dziś w tranzumptach tylko znajduje się w archiwum kapituły krakowskiej, przekład polski tu podajemy:

„W imię Boże amen. Jeżeli czyny ludzkie prawem dozwolone, do trwałości wiecznej przeznaczone, nieporuszone zostawać winny; tém bardziej więc czyny ksiąźąt i starszych (*majorum*), których chwała niby pochodnią jest (*lumen*), dla potomności niezłomném i wieczném stwierdzeniem cieszyć się powinny, a zwłaszcza przy staraniu się o pokój trwały, i o wyrwanie z korzeniem niezgody. Niechże wiadomo będzie terażniejszemu i przyszłemu wiekowi, iż my, Leszek, z Bożej łaski ksiąźę krakowski, sandomierski i sieradzki, gdy żagiew nienawiści, nasieni i nieprzyjaźni i niezgód koleje (*discrimina*), między wielbnyim ojcem naszym Pawłem, biskupem krakowskim, z jednej strony, a nami z drugiej, z poduszczenia nieprzyjaciela rodzaju ludzkiego, wzniecone zostały; pragnąc teraz pomienioną żagiew zagasić, i rzezone nasieni i wyrwać, i wspomniane koleje do szczytu wygładzić; aby między nami czysta miłość i przymierze wiecznej przyjaźni, w pokoju, wytrwałości i zgodzie, na wieki dotrwały; dla lepszego i stalszego ułożenia, wybieramy z naszej strony: *Sulka* kasztelana, i *Piotra* wojewodę krakowskich; a biskup ze swojej strony obrał dostojnych mężów, panów: *Wojciecha* dziekana, i *Prokopa* scholastyka krakowskich, na pośredników i arbitrów, dając im zupełne, doskonałe i wszelkie prawo układania, urządzenia i postanowienia pokoju i zgody pomiędzy nami, a rzezonym ojcem naszym, wiecznie trwać mającej. Cokolwiek zaś ci pośrednicy ułożą, urzędzą i postanowią w tym wzglę-

dzie, przyjąć i dotrzymywać wiecznemi czasy obiecujemy. Oni, po przekonaniu się i ocenieniu szkód, uciążliwości i zniewag, ułożyli, urządzili i postanowili: że za wszystkie szkody, uciążliwości, zniewagi i obelgi, przez nas na osobie biskupa i dobrach kościelnych bez winy jego, (jak utrzymywał) wyrządzone, zapłacić winniśmy 3000 grzywien srebra; oraz, że wszystkich przywilejów przez poprzedników naszych, jego poprzednikom i kościołowi samemu nadanych, dotrzymywać będziemy sami, i dzieciom naszym i następcom, stale i nienaruszenie, na zawsze i we wszystkiem dotrzymywać nakazemy. Że całkowitą ziemię, którą ludzie książęcy (*ducales homines*), w *Dzierżąźnie* (*in Derusna*) (1), uprawiali i posiadali, ze wszystkimi jej pożytkami i przynależnościami, z temi ludźmi i ze swobodami (*cum libertate*), do stołu biskupstwa krakowskiego, wiecznemi czasy darujemy. Nadto, że swobody, których wsie kapituły krakowskiej używają, rozciągniemy w zupełności na kasztelanią *puszkowicką* (2), ze wszystkimi jej wsiami i mieszkańcami. Że kasztelanii *ślawkowskiéj*, ze wszystkimi jej wsiami, mieszkańcami i z miastem samém oddamy na zawsze swobody, jakich używała za czasów Bolesława świętej pamięci książęcia poprzednika, i stryja naszego. Nakoniec że samego ojca naszego biskupa, kościół krakowski, niby matkę naszą duchowną, jako syn przywiązany, z uszanowaniem synowskiem, w szczerości ducha kochać i miłować będziemy. My więc książę, przereczony powyższy układ we wszystkiem potwierdzając, szczególnie pragnąc wygód pokoju, z których wyradza się spoczynek dla ciała, pokój dla duszy, dostatek dla poddanych (*subditorum*), i rozkrzewienie rzeczypospolitéj (*Reipublice propagatio*). Naprzód i głównie obiecujemy w dobrej wierze, rzeczzonego ojca naszego, i rzeczony kościół

(1) Nie mógł więc tę samą część książęcą (*Sortem ducalem*) w *Dzierżąźni* darować biskupowi krakowskiemu, piętnaście lat pierwej Bolesław Wstydlitwy, czy Leszek, jak chce *Długosz*, VII, p. 796. *Dzierżąźniu* leżała w Krakowskiem, w dekanacie sokołowskim, wedle *Starowolskiego* opisania dyecezyi krakowskiej (*Vita Antistitum Cracoviensium*).

(2) *Długosz* w *Żyw. bis. krak.* opisując pierwsze uwięzienie Pawła i wynagrodzenie za nie, oprócz nadania *Dzierżąźni*, dodaje: *et Castellaniam Slawkoviensem, et Deputecomste alias Pabianicze libertans et absoluciones a daciis et tributis conferens*; wyraźnie odnosi do tego warunki niniejszej ugody. Jeżeli *Puszkowice* nie są *Pabianicami*, które już dawniej *Chrapy* nazywały się wedle *Długosza*; to nie wiadomo, czy szukać ich we wsi tego nazwania w Piotrkowskiem, czy w Radomskiem.

jego z synowskiem uszanowaniem miłować, a wszystkie ich przywileje chcemy mieć przez nas i naszych dziedziców i następców, stale i niewzruszenie zachowane, potwierdzając je na wieczne czasy, i wszystkim niezłomnie ich dotrzymanie nakazując. Przytém wyraźnie objawiamy i potwierdzamy, że kasztelania *ślawkowska*, wraz z miastem i wszystkimi wsiami i mieszkańcami swoimi, oraz z całym obszarem gruntów (*cum toto suo territorio*), używać ma tychże samych swobód, które za czasów księcia Bolesława posiadała. Nadto wszystkie ziemie ludzi książęcych w *Dzierżaznie*, wraz z temiż ludźmi, z pożytkami, z przynależnościami wszystkimi, w zupełności nadajemy, i tytułem wiecznej darowizny, nieodwołalnie do stołu biskupiego, prawem dziedzicznym w posiadanie oddajemy. Ziemi téj i mieszkańcom, którychby na niej biskup wedle woli swojej osiedlił, te same swobody nadajemy, któremi się inne wolne wsie biskupie cieszą. Nadto, tytułem nieodwołalnej darowizny, nadajemy kasztelanii *pustkowickiej*, leżącej w ziemi sieradzkiej, oraz wszystkim wsiom téj kasztelanii i mieszkańcom, oraz czasowie mieszkającym (*incolis et inhabitatoribus*), zupełnie te same swobody, któremi wsie kapituły krakowskiej, z łaski poprzedników naszych wiecznymi czasy obdarzone zostały. To jest: ażeby wszyscy ludzie wolni i niewolni (*non liberi sive ascriptitii*), w całej kasztelanii *pustkowickiej*, i wsiach do niej należących, takich swobód zupełnie używali, jakie osadnikom niewolnym (*ascriptitii*), świętej stolicy krakowskiej, zdawien dawna służą. Kasztelanią *pustkowicką*, wraz z jej wsiami i mieszkańcami wszystkimi, uwalniamy zupełnie od *stróży*, *stanu*, *powozu* i od wszystkich innych służebności, służb, opłat, podatków i posług zwyczajnych i nadzwyczajnych (*angariis et perangariis*), pod jakimkolwiek nazwiskiem, i komukolwiekby się nie należały. Uwalniamy także od władzy naszej i następców i dziedziców naszych, także wszystkich kasztelanów, wojewodów i jakichkolwiek sędziów, urzędników, władz i urzędów. Nikomu więc oprócz kapituły krakowskiej, lub tego, który je z nadania téjże kapituły posiadać będzie, podlegli nie będą. Z tym jednak wyjątkiem, że wedle dotychczasowego zwyczaju, do naprawy zamku i mostu sieradzkiego należeć będą; a w razie napadu wojska nieprzyjacielskiego na ziemię sieradzką, na obronę téjże ziemi, (ale w żadnym innym razie) służbę wojenną pełnić będą. Nadto, jeżeli raz w rok zdarzy nam się przez grunta téj kasztelanii dla łowów przejeżdżać, to nas swoim kosztem utrzymywać i przepro-

wadzić obowiązani będą, oraz do przewodu (*ad prevod militare*), wedle zwyczaju téj ziemi“.

„Te więc przereczone darowizny, swobody i ulgi (*exemptiones*) wszystkie, które nadaliśmy dla zadośćuczynienia rzeczonemu biskupowi i kościołowi jego, oraz dla zbawienia duszy naszój i najukochańszój małżonki naszój Gryfiny, oświeconój księżnój tych ziem, oraz poprzedników naszych, obiecujemy w dobrej wierze, za siebie i za dziedziców lub następców naszych, stale i wiecznie dotrzymywać i nic przeciwnego nie czynić, ani przez siebie, ani przez kogokolwiek, ani prawem, ani fortelem, ani czynem żadnym; i nie odwoływać ich żadnym sposobem, ani dla żadnój przyczyny, dopóki rzeczonego ojca, i kapituły jego stałość ku nam wedle sprawiedliwości dotrwa (1). Ten zaś ojciec nasz biskup i pan widząc życzliwość naszą ku niemu i kościołowi jego, rzeczono 3,000 grzywien srebra, przez pośredników i arbitrów wspomnianych z łaski swojój i hojności nam darował. Na oczywiste tedy i pewne świadectwo wszystkiego o czém wyżej wspomniono, kazaliśmy niniejszą kartę napisać, i obwarować pieczęciami, naszą, ukochańej małżonki naszój, która zgodę swoję (*beneplicitum et consensusum*) na powyższe nadania oświadczyła, oraz przereczonych pośredników i arbitrów. Działo się publicznie w Krakowie, roku pańskiego 1286. Indykta XIII przed kalendami decembrowemi. Obecni byli: hrabia *Boxa* wojewoda sandomierski; mistrz *Mikołaj* archidyakon, *Michał* kustosz krakowscy, *Floryan* kasztelan lubelski, *Wojciech* łowczy, *Mszczuj* koniuszy, *Mściwniew* podkomorzy sieradzcy, i innych wielu. Dano przez ręce *Prokopa* kancelarza naszego krakowskiego, arbitra rzeczonego (2).“

Tym razem ugoda pomiędzy Leszkiem a Pawłem z Przemankowa musiała być z obu stron dotrzymaną, bo już do śmierci Leszka Czarnego, biskup przeciw niemu nie wicherzył. Zaraz na początku następnego (1287) roku, wzywał go książę opolski do Opola na dzień Zwiastowania (25 marca) dla uczynienia zgody pomiędzy Tomaszem biskupem wrocławskim, a księciem wro-

(1) *Dummodo predicti patris et ipsius Capituli circa nos stabilitas secundum justiciam perseveret.*

(2) Przywilej ten w tranzumptach zachowany w T. I, p. 8 i T. II, p. 61 przywilejów katedry krakowskiej, wyjdzie z druku w dziele ks. Gładyszewicza, pod tytułem: *Zbiór pomników starożytnych kościoła katedralnego krakowskiego.*

ławskim Henrykiem, która nie udała się podówczas, ale wkrótce potem w Raciborzu do skutku przysłała (1).

Tymczasem Tatarzy napadli od południa na Sandomierz i Kraków, a Litwini od północy na Dobrzyń. A gdy kolektorowie papieżcy *Adam* kanonik krakowski, i *Mikołaj*, z polecenia Honorjusza IV papieża i legata jego Jana biskupa tuskulańskiego, wymagali znaczne dziesięciny na obronę Ziemi Świętej, biskupi polscy żalili się na to legatowi stolicy apostolskiej, wystawując oplakany stan dyecezyj swoich, a zwłaszcza krakowskiej, która „przez największe wojny domowe (przyznawał się do nich Paweł z Przemankowa), teraz i dawniej prowadzone, oraz przez częste napady pogan, żałośnie spustoszona“ (2). Przez wzgląd na te żale legat papieżki zmniejszył sumę postanowioną 1000 grzywien na 700, żądając zapłaty przed lipcem t. r. przez Wenecją, Wiedeń, lub Brugę (3).

Leszek Czarny tymczasem, krzyżując się po raz drugi z rycerstwem swoim przeciw poganom, obrócił poświęcony oręż przeciw Konradowi mazowieckiemu, i mszcząc się za dawne urazy, Mazowsze złupił. Ale mu ta świętokradzka wojna na dobre nie wyszła; bo wielu rycerzy w przeprawach przez rzeki potracił, a wkrótce głód, mór i napad Tatarów własne jego ziemie zgębiły (4).

Tatarzy pod wodzą zawsze *Nogaja* i *Telebugi* pod miastami wprawdzie opór znaleźli, jak pod Sandomierzem, Krakowem (w wilią Bożego Narodzenia), a nawet pod opactwem świętokrzyżkiem na Łysiej-górze, ale za to kraj cały zniszczyli. A gdy Leszek z Gryfiną w pobliskich i spokrewnionych Węgrzech schronienia szukali, Tatarzy pod Włodzimierzem łupy swoje rachując, 31,000 samych dziewic i wyrostków, jeśli rocznikarzom wierzyć mamy, naliczyli (5).

(1) *Stenzel*: Urk. z. B. Breslau, p. 236 i LXXXI.

(2) *Cracoviensis per maximas guerras intestinas nuper et antehabitas et per incursus frequentes gentilium est miserabiliter devastata. Stenzel* Urk. z. B. Breslau, p. 229.

(3) *Stenzel* p. 237.

(4) O tém najdawniejsze źródło *Długosz*, VII, p. 844.

(5) *Ita ut in Ladimiria cum debebant predam dividere XXX et unum millia de solis virginibus et juvenculis primo maturatis numeraverint. Ann. Crac. min.* pod r. 1287. *Długosz* poprawia na 21,000 samych dziewic (VII, p. 847). W *Rocznikach Thratki* pod r. 1287 czytamy tylko: *Tar-*

Mistrz *Jerzy Soos z Sowaru*, bohaterski zwycięzca pod *Bogucicami*, z braćmi, krewnymi, ich drużynami, znowu ofiarował pomoc swoją Leszkowi. Pod *Sądczem* dogonili kupę Tatarów, zwyciężyli ich; wielu trupem legło, do tysiąca dostało się w niewolę, i klasztor Klarysek w *Sączu* ocalał (1). Wprawdzie uciekły były z niego do warownego zamku *Pieniny*, wdowy książąt polskich Kinga i Jolanta z 70 innymi zakonnicami; a modlitwom ich, a zwłaszcza św. Kingi przypisuje *Długosz* ocalenie klasztoru sandeckiego (2). Po kilkakroć jeszcze Tatarzy usiłowali zemścić się, napadając na granice ziemi spiskiiej, ale zawsze odpierał ich dzielnie *Jerzy*, oszańcowawszy się na pograniczu w zasiekach (3).

Stan opłakany kraju, maluje najlepiej sam Leszek, w przywileju tynieckim (23 maja 1285 roku): „Ziemie nasze spustoszone mieczem wrogów, z powodu grzechów naszych, nietknięte motyką ani pługiem, krwią niewinną skalane, odlogiem leżące, życząc sobie innymi ludźmi i rolnikami zaludnić, do lepszego stanu przyprowadzić.....“ (4).

A jednak na wzór Tatarów, gotował się Leszek pustoszyć jeszcze raz ziemię mazowiecką, przez zemstę na Konrada za dawne krzywdy. Odmówili mu pomocy swojej rycerze krakowscy i sandomierscy, poszli tylko Sieradzanie z wojewodą swoim *Ma-*

thari veniunt.—*Kronika wołyńska* (T. II, p. 213) pod tymże rokiem 1287 opisuje, jak Tatarzy pod *Telebugą* i *Algujem* szli na *Lachów*, i kazali towarzyszyć sobie książętom ruskim; poszli wszyscy, oprócz jednego *Włodzimierza* księcia wołyńskiego chorobą złożonego, którego odpuścili Tatarzy do domu. Ale bliższych szczegółów o tej wyprawie nie podaje.

(1) *Dyplom. węgierski kr. Władysława* z r. 1288 u *Katony* VII, p. 956 i *Dyplom. Leszka* u *Katony* 951, cytowane u *Fesslera* T. II, p. 683.

(2) *Długosz*, VII, p. 847.

(3) Ten sam *Jerzy* po raz trzeci odegrał rolę w Polsce, gdy w roku 1291, wkrótce po koronacyi króla węgierskiego *Andrzeja III*, niektórzy panowie węgierscy, królem swoim ogłosili samozwańca, mniemającego się być *Andrzejem*, bratem zmarłego króla *Władysława*. *Jerzy hrabia Soos z Sowaru* z drużyną swoją wyruszył przeciw nim, ścigał aż poza Karpaty, a ten *Andrzej mniemany* w *Chroberzu*, gdzie mu *Przemysław* podówczas książę krakowski dał był przytułek, od swoich opuszczony, w *Nidzie* utonął, czy też utopiony został. *Dyplomata Andrzeja* z d. 28 sierpnia 1291 r. (u *Wagnera* *Dypl. Saros.* p. 304). *Fessler* T. II, p. 698. *Długosz* T. VII, p. 856, nazywa tego *Andrzeja* prawdziwym królewiczem węgierskim i cud Kingi przy pogrzebie jego w *Sączu*, opowiada. *Roczniki Thrakii* pod r. 1290, mają: *Eodem anno rex Ungarie circa Chroberz subjugitur.*

(4) *Szczygielski, Tinecia*, p. 163.

ciem, i ziemię Konrada złupili; ale ten zaczaiwszy się, dogonił ich 26 czerwca 1288 roku, i zwyciężył w bitwie, w której sam Maciej wojewoda życie postradał, i łupy zabrane odbił (1).

Wkrótce potem, bo w sam dzień ś. Hieronima (30 września) tegoż 1288 r., umarł Leszek Czarny, bezdzietny, a śmierć jego była początkiem długich rozruchów i wojen domowych między książętami polskimi na Sieradzu, Mazowszu i Szlązku (2).

Brat Leszka rodzony, Władysław Łokietek, ksiązę łeczycki i kujawski, odziedziczył tylko po nim księstwo sieradzkie; a na księstwo krakowskie i sandomierskie, obrali rycerze Bolesława księcia mazowieckiego, sprzymierzeńca niegdyś Leszkowego, bo z wrogiem jego, a bratem własnym Konradem, ciąglą wojnę prowadził. Zdaje się, że jeszcze przez Leszka Czarnego musiał być

(1) Najdawniejszym świadectwem tego wypadku był dotąd *Długosz* (VII, p. 849), który wojewodę sieradzkiego *Mateuszem* nazywa. Jednak już w *dyplomacie Leszka* (z 1 stycznia 1287 r.) w Sieradzu pisanym występuje jako świadek: *Comes Mathias* (Maciej). Ob. *Dyplomatarjusz Rzysz. i Muczk.* T. I, p. 121 — 123. A *Kronika wołyńska* T. II, p. 213 w tych słowach wyprawę mazowiecką opisuje: *Tohoże leta* (wprawdzie mylnie pod r. 1285) *Lestko Kazimirycz postaw polk swoj wojewa kniazia Kondrata Symowitowicza; kniaz że Kondrat, sobraw družynu swoju, gna po nich i bisia s nimi i pobiedija, Bożym posobijem, i mnogi izbi ot polku Lestkowa, bojar i prostuju czad', i Wojewodu ieho ubi Sierazskaho Macieja, a swoj polon a poloni, i tako wozwratisia wo swojasi s czestiju welikaju, chwalia i slawia w Trojcy Oica i Synu i Swiataha Ducha.*

(2) Wszyscy historycy nasi, za *Długoszem* idąc, śmierć Leszka naznaczają rokiem późnlej, tojest w dzień 30 września 1289 roku. Piérwszy *Röpell* (I, p. 542) za dawniejszemi źródłami idąc, poprawia tę datę na rok 1288. Jakoż *Ann. Crac. min.* wyraźnie mają: *Qui mortuus est in die beati Jeronimi anno Domini MCCLXXXVIII deinde multa mala exorta sunt.* A *Chron. Princip. Polon.* (u *Stenzla* Script. Rer. Siles. T. I, p. 148) oznacza dokładnie datę bitwy pod *Siewierzem* o następstwo po zmarłym Leszku, d. 26 lutego 1289 r. „*In Sewor prope Bithom, anno Domini MCCLXXXIX quarto Cal. Martii*”; a że Leszek umarł 30 września, musiało to być 1288, a nie 1289 roku. Do tych świadectw możemy jeszcze nowo odkryte przydać: *Roczniki Anon. krak.* w Mss. *Ottobon.* i *willan.* mają: *Sine prole anno Domini MCCLXXXVIII defuncto, Terrigene Cracovienses* i t. d. (gdy to samo miejsce drukowane u *Sommersb.* T. I, p. 95 ma błędnie poprawione: *Sine prole decessit.—Anno Domini MCCLXXXIX defuncto Lestkone Terrigene Cracovienses etc.*). Nakoniec *Roczniki Thracki* także pod r. 1288 mają: *Lestco dux Cracovie, Sandomirie, Syradie sine prole obiit, cui Boleslaus dux Mazovie succedit per elec-*

naznaczony następcą na księstwo krakowskie, gdyż jako książę mazowiecki i dziedzic krakowski (*heres Cracovie*), r. 1287, w Krakowie w oktawę sw. Jana Chrzciciela, darował wieczyście kościołowi gnieźnieńskiemu połowę wsi *Prussy*, w parafii raciborowickiej, pod Krakowem; a której druga połowa już do kościoła gnieźnieńskiego, z nadania Bolesława Wstydliwego, należała (1). Paweł z Przemankowa także jego stronę trzymał, lubo niektórzy z rycerstwa lubelskiego, wzywali po raz trzeci już samego Konrada, odwiedzającego podówczas sprzymierzeńców swoich, książąt wołyńskich: *Mścistawa* w Brześciu, i *Włodzimierza* w Lubomli.

„Po odjeździe Konrada z Lubomli (pisze *Kronika wołyńska*) przybiegł *Jartak*, Polak z Lublina (*Lach iz Lublina*) i powiedział Włodzimierzowi: „*Jartak przyjechał*”, a on go nie puścił do siebie, ale powiedział księżnej swojej (2): „*Idź, i zapytaj go z czém przyjechał?*” Księżna poszła po niego; przyszedł wkrótce, a ona ją go wypytywać: „*Książę (kniaź), mówi ci; z czémżeś przyjechał? powiedz:*“ A on zaczął opowiadać: „*Książę Leszek (kniaź Lestko) umarł*“. Włodzimierzowej żal się zrobił, i rozplakała się po nim (3). „*Przystali mnie Lubelczycy, chcą mieć księcia Konrada, aby panował w Krakowie, i ja zaraz chce odszukać Konrada, gdzieby nie był*”. Księżna wszedłszy, powiedziała słowa Jartakowe. Włodzimierz kazał dać koni pod niego, bo jego konie ustały. Popędził zaraz i zastał Konrada

cionem. A pod następnym rokiem 1289 opisana bitwa pod *Siewierzem*. Ostatnie dyplomata, jakie znamy, nie przechodzą roku 1288. Oczywiście musiał zbłądzić *Długosz* (VII, p. 851), a za nim wszyscy historycy nasi, przedłużając życie Leszka do 30 września 1289 roku, a bitwę pod *Siewierzem* odrzucając do 1290 roku. Pozostałaby jeszcze wątpliwość z powodu grobowego kamienia Leszka Czarnego, w kościele ks. Dominikanów w Krakowie, ocalonego nawet po ostatnim pożarze; ale zdaniem uczonego archeologa krajowego Kazimierza Stronczyńskiego, kamień ten nie jest społeczny, a w napisie data arabskimi liczbami dotąd czytana 1289, równie może rok 1288 oznaczać.

(1) *Długosz* w Żywotach arcybiskupów gnieźnieńskich pod *Jakóbem Swinką*. (Mss. bibl. Zamojskich, p. 46).

(2) Byłato księżna *Olga* córka Romana księcia brańskiego, zaślubiona w 1264 roku z *Włodzimierzem* księciem włodzimierskim, synem *Wasylka* brata *Danily* króla ruskiego.

(3) W tekście jest; *Włodymir że szaliw sia i rozplaka sia po nim*; ale że to wśród słów Jartaka do księżnej Włodzimierzowej umieszczone, oczywiście do niej stosować się musi.

w mieście Włodzimierzu, i jął mówić Konradowi: „*Książę Leszek umarł, a przystali mnie Lubelczycy: przyjedź panować nam do Krakowa!*”. A Konrad ucieszył się serdecznie, i uradował z duszy z panowania krakowskiego, i zaraz wyjechał, i przyjechał do Lubomli; chciał bowiem posiedzieć u brata, aby z nim o tém pogadać. Włodzimierz zaś nie puścił go do siebie, ale rzekł do księżnej swojej: „*Idź, pogadaj z nim i odpraw go, nicch sobie pojedzie precz; a u mnie nie ma co robić*”. Księżna wracając powiedziała mu słowa Konradowe: „*Brat ci panie powiada: posłój ze mną swojego Dunaja (1) i tém zrób mi ucziwość*”. I pojechał wkrótce do Lublina. Ale gdy do Lublina dojechał, Polacy zamknęli miasto nie puszczając Konrada do siebie, i Konrad stał na górze u mnichów (2) i posłał do mieszczan powiedzieć im: „*Po cóżecie przywieźli mnie, a teraz zamknęliście miasto przedemną?*”. A mieszczanie odrzekli: „*My ciebie nie przywieźli, i nie posyłali po ciebie; ale głową naszą Kraków; tam wojewody nasze i wielkie bojary: jeżeli będziesz panował w Krakowie, tośmy gotowi być twoi*”.

Potém powiedziano Konradowi „*Rota (Rať) idzie ku miastu*”. Mówią, że to rota litewska; przeląkł się Konrad, i pobiegł na wieżę (wo stolp) u mnichów z bojarami swoimi i sługami, i Dunaj Włodzimierzów z nim; a gdy rota pod miasto podeszła, poznali, że to ruska rota. Konrad zapytał rotowych (*Ratnych*) „*кто jest wojewodą w tej rocie?*”. A oni odpowiedzieli: „*książę Jerzy Lwowicz (3). Zacheiało mu się Lublina i ziemi lubelskiej*”. I przyjechał Jerzy pod miasto, a mieszczanie nie poddali mu miasta, i przygotowali się dzielnie do walki. Jerzy poznał ich chytróść. A oni rzekli do niego: „*Książę lichy jeździsz, rota z tobą mała; przybędzie Polaków (Lachów) dużo i wstyd będzie tobie wielki*”. A Jerzy usłyszawszy ich słowa, rozpuścił drużynę swoją na wyprawę, i wzięwszy brańców wiele, spaliwszy żyta i wioski (a wszę-

(1) *Dunaj* ten sam wojewoda księcia Włodzimierza, którego do Litwinów posyłał dla podburzenia ich na Polskę. Oh. wyżej przypisek pod rokiem 1282.

(2) Musiał to być klasztor przy kościele *św. Mikołaja*, najdawniejszy z kościołów Lublina, obrządku ruskiego, zbudowany na górze, nad rzeczką Czechówką; zkąd całe miasto najlepiej widać. (*Sierpiński, Obraz miasta Lublina*, str. 52).

(3) Syn *Lwa Daniłowicza* księcia halickiego, a syna *Danily* króla ruskiego.

dzie nawet po lasach palili rotowi towarzysze); powrócił do siebie z mnóstwem brańców, czeladzi, bydła i koni. A Konrad pojechał do siebie, z wielkim sromem; lepiejby mu było nie żyć"! (1).

Tymczasem brat Konrada, Bolesław książę płocki przybył do Krakowa i zamek dotychczas drewnianymi budowlami obwarowany, *Sulkowi* rycerzowi z Międzyrzecza powierzył (2). Ale mie-

(1) *Kronika wołyńska* (T. II, p. 217). Wprawdzie pod r. 1287, ale mylnie, ponieważ się to działo wnet po śmierci Leszka Czarnego: musiało być w końcu 1288 roku. Żyto przez wojsko Lwa w okolicy Lublina, musiało być w stogach spalone. Najoczywistszy mamy dowód, że *Lublin* (lubo czasowie posiadany przez *Daniła* króla ruskiego po zdobyciu na Polakach w r. 1244) nie przestawał jednak do Polaków należeć, i Lubelczycy tego tylko księciem uznawali, który w Krakowie panował. Jednakże ta sama *Kronika wołyńska* T. II, p. 227 pod r. 1304 pisze: „*Lublin Lachy ot szukali ot Rusi, był Lublin pod Rusiu 57 liet.*” Wprawdzie jestto wiadomość oderwana przy samym końcu; liczba 57 lat cyframi, musi być mylnie pisana; ale za tą pomyłką poszli: *Kromer* (edit. Colon. p. 186); *Sarnicki* (przy ed. Lip. Długosza II, p. 1119); *Strykowski* (ed. Glücksberga I, p. 334), *Pastorius* p. 117; *Neugebauer* p. 176; a nawet krytyczny zwykle *Naruszewicz* (T. IV, p. 339 i V, p. 273); a z nowszych uczony autor *Uwag nad Mateuszem h. Cholewa*, i niektórzy nowsi pisarze. *Długosz* jednak (IX, p. 900) pisząc o odzyskaniu Lublina przez Polaków w r. 1302, wyraźnie pisze, że od lat kilku przez Rusinów był zawojowany: *annis aliquot impune occupaverunt*; za nim *Miechowita* tylko poszedł (*wydanie krakowskie* p. 198) i *Bielski* T. XIII, p. 8, a z nowszych *Röpell* I, p. 524. Widzieliśmy ciągle kasztelanów lubelskich przy boku książąt krakowskich: w r. 1271 *Jakóba*, w r. 1284 i 1285 *Jana* Abramowicza, w r. 1286 *Floryana*. Gdy *Jadźwingowie* napadli na ziemię lubelską w r. 1281 i Leszek ich z pomocą Boga przez archanioła Michała objawioną, zwyciężył, w *Lublinie* kościół pod wezwaniem św. Michała, zwycięzca założył. W roku 1288 z samej *Kroniki wołyńskiej* najpewniejszy dowód mamy, że *Lublin* do Krakowa należał, a gdy w którym i z lat następnych zdobył go Rusini, odzyskali Małopolanie sami miasto i ziemię lubelską r. 1302; na co przytoczyć możemy dwa dawne świadectwa: pierwsze z *Roczników Thratki* pod r. 1302. „*Eodem anno inierunt milites Cracovienses et Sandomirienses Russiam videlicet Lublin novum quo d Rutheni occupaverunt pluribus annis expugnaverunt; de inceps in paucis cum multitudine Ruthenorum et Lithuanorum ac Tartharorum pugnauerunt et domino cooperante de omnibus triumphaverunt. Postea reversi ipsum castrum Lublin obtinuerunt.*” Drugie, *Dodatków do Kroniki wołyńskiej* (T. II, p. 348): „*Wtoż lieto (1300) Rus sobra sia so wożem swoim Petrom Gałkoiu i s Tatary i Litwoiu, w Sandomirskoju stranu wszedsze.... no iedinacze pogonisz ich Lachy pod Lublinom i porazisz i pobiegosz w Lublin, no i tamo ich gładom poddati sia prynudisz.*”

(2) *Roczniki Anon. krak. w Mss. Ottobon. i willan.* (u *Sommer sb.* T. II, p. 95v).

szczenie krakowscy, Niemcy i stronnictwu duchowieństwa zawsze przeciwni, wezwali byli do siebie owego Henryka wrocławskiego, z zatargów swoich z biskupem Tomaszem słynnego. Skoro zbliżył się do Krakowa Henryk, rzeźnicy otworzyli mu bramy miasta, *Sulko* zamek poddał, a Bolesław oddalił się szukając sprzymierzeńców, których i w Kujawach, i w Wielkiej Polsce, i na Pomorzu, a nawet w Konradzie bracie swoim i przyjaciółach jego Rusinach znalazł (1). Henryk rad z nabycia Krakowa wraz z przychylnym sobie rycerstwem, wszystkie sprawy ziemi krakowskiej wedle woli swojej urządził, a miasto pod obroną załogi niemieckiej zostawując, sam w lutym 1289 roku do Wrocławia wracał (2).

Ale już gromadziły się sprzymierzone wojska; na ich czele bracia Leszka Czarnego, Władysław Łokietek książę sieradzki, i Kazimierz książę łęczycki, a z nimi posilki Przemysława księcia wielkopolskiego, i Mestwina, księcia pomorskiego; dalej Bolesław książę płocki i krakowski w zgodzie z bratem swoim Konradem księciem mazowieckim, który z pomocą Mściława Daniłowicza księcia brzeskiego i włodzimierskiego i wojewody jego *Czudina*, zawojował sobie na czas krótki księstwo sandomierskie (3).

Sprzymierzeńcy dognali Szlązaków w *Siewierzu*, niedaleko Bytomia i granicy szląckiej, i 26 lutego wszczęła się bitwa żarliwa, zakończona świetnym zwycięstwem Polaków. Mnóstwo rycerzy szląckich i niemieckich pod mieczem zginęło, wielu żywcem dostało się w niewolę (4). Smutny los spotkał *Przymka* księcia sprotawskiego, przez matkę Salomeę, siostrzana Przemysława gnieźnieńskiego. Biedny młodzian jakby przewidując śmierć przedwczesną, przyjął komunię świętą, i testamentem zapisał wsie *Łososiewice* i *Ziarkow* klasztorowi lubiązskiemu, w którym miał być pochowany. Wśród bitwy rzucili się na niego Sieradza-

(1) *Stalim Henricus dux Wratislaviae venit, cui civitas per carnifices tradita. Castrum per Sulconem et multa mala orta sunt in terra.* Roczniki Thratki pod r. 1288. Z nich *Długosz* VII, p. 851.

(2) *Roczniki Anon. krak. l. c.*

(3) *Kronika wołyńska* (T. II, str. 225) pod rokiem 1289.

(4) *Duces in Sevijor bellum committunt, Boleslaus Masovie. et Cuijaviae, cum Zlesiensibus et vincunt. Multos in captivitate ex Zlesiensibus et Theutonicis occiderunt.* Roczniki Thratki pod r. 1289. Porównać *Rocz. An. krak. l. c. Długosz* VII, p. 854, ale mylnie pod r. 1290.

nie, a schwytawszy go, obdarli, i mieczami, włóczniami okrutnie zabili (1).

Po tém zwycięztwie poszli sprzymierzeńcy pod Kraków, i przedmieścia zajęli; ale naprózno kusili się o zamek warowny, przez wierną Henrykowi załogę broniony. Mieszczanie nawet nie chcieli bić się z załogą zamkową, mówiąc: „*Kto panuje w Krakowie, ten jest nasz książę*”. Bezczyinnie stali księżęta przed zamkiem. Przybył do nich i *Lew Daniłowicz* książę halicki, z rotami swojemi; pod Tyńcem i w innych miejscach bił się ze Szlązakami, ale widząc że zamku obronnego nie weźmie, zwłaszcza że Polacy sami niebardzo mu radzi, puścił się na Szlązk, i cały kraj pomiędzy *Nissą* a *Grotkowem* spustoszył (2).

Za jego przykładem musieli i inni księżęta odejść, *Władysław Łokietek* zaś dwukrotnie pod *Skatą* i pod *Świątnicą* Szlązaków i Niemców poraził (3). Poddał mu się nareszcie Kraków, za wpływem *Pawła z Przemankowa* i przychylnego mu rycerstwa, ale nie na długo, bo w tym samym roku jeszcze, za nadejściem nowego wojska szląckiego, mieszczanie krakowscy powtórnie poddali miasto. *Łokietek* ledwie umknął piechotą z klasztoru *Franciszkanów*, i w ich habicie (pisze *Długosz*); biskup *Paweł* uwięziony został, wielu rycerzy zabito, ziemię spustoszoneo, „*i coraz gorzej było*“, pisze rocznikarz (4).

O tém trzecim uwięzieniu *Pawła z Przemankowa*, nie znajdujemy szczegółów w przed-*Długoszowych* rocznikach, ani w *Długosza* *Historji*, ani w szląckich kronikach; *Starowolski* (w *Żywotach biskupów krakowskich*) wspomina tylko, że *Henryk* odesłał wkrótce biskupa do *Łokietka*. Straty zaś jakie poniósł w ornatach, sprzętach i księgach kościelnych, hojnie wy-

(1) *Chron. Princip. Polon.* (u *Stenzla* *Scrip. Rer. Siles.* T. I, p. 148). *Röpell* T. I, p. 544 przez pomyłkę datę bitwy na 24 marca, zamiast 26 lutego naznacza.

(2) *Kronika wołyńska* T. II, p. 225, ale pod r. 1290 i 1291: oczywiście błędnie, bo podówczas już *Henryk* ks. wrocławski nie żył. Także *Brevis Chron. Siles.* (u *Stenzla* *Scrip. Rer. Siles.* T. I, p. 35).

(3) *Circa Scalam perierunt milites multi; in Swetnicz Dux Wladyslaus dictus Loctek cum Teuthonicis bellum committit et vicit eosdem.* — *Roczniki Thratki* pod r. 1289.

(4) *Civitas denuo Cracoviensis Zlesiensibus traditur et dux Wladislaus pedestre via effugit. Episcopus Paulus captivatur et milites multi occiduntur et multa mala aucta sunt.* — *Roczniki Thratki* pod r. 1289. Także *Ann. Crac. maj. Długosz* VII, p. 854, ale mylnie pod r. 1290.

nagrodził mu testamentem swoim, w wigilią św. Jana (23 czerwca) 1290 roku pisany, a po którym w dni kilka umarł.

„Ziemie nasze: Kraków i Sandomierz, do władania któremi prawnie i szczęśliwie przyszlśmy nie bez wielkiego kosztu i trudu, Przemysławowi panu i księciu wielkopolskiemu na dziedzictwo oddajemy; polecając naszym baronom, rycerzom i wazalom, wójtom, mieszczanom i ogólnie wszystkim poddanym naszym, aby na mocy złożonej nam przysięgi, dziedzicom naszym poddali się i zgodnie ulegli..... Chcemy zaś i rozkazujemy, aby książę polski, dziedzic nasz w ziemi krakowskiej, do kościoła św. Wacława w Krakowie, dla zbudowania nowego klasztoru (*monasterium*), dał sto grzywnien złota. Chcemy także, aby ornaty, księgi i sprzęty kościelne krakowskie i tynieckie, zwrócone były kościołom przez posiadaczy, jacybykolwiek byli“ (1).

Na mocy tego testamentu, potwierdzonego przez papieża Mikołaja IVgo (2), Przemysław książę wielkopolski przybył do Krakowa, i objął w nim panowanie, jak świadczy przywilej nadany przez niego kościołowi miechowskiemu 6 września 1290 roku, jako książę polski i krakowski, a którego świadkami byli: hrabia *Żegota* kasztelan, i hrabia *Mikołaj* wojewoda krakowscy (3). Na prośbę Pawła z Przemankowa, darował też Przemysław wiecznemi czasy dziesięcinę z żup solnych kościołowi krakowskiemu, przymuszając żupników do jej wypłacania, zagrożeniem klątwy kościelnej (4). Niedługo jednak bawił w Krakowie, jak z dyplomatów jego w listopadzie tegoż roku z *Pyzdr* i z *Dłuska* datowanych widzimy; ale do końca roku używał w tychże dyplomatach tytułu: *księcia polskiego i krakowskiego* (5). Władysław

(1) *Testament Henryka*, u *Stenzla*: *Urk. z. B. Breslau*, p. 252 i 257.

(2) Bullą z 29 września 1290 roku.

(3) *Nakielskiego Miechovia*, str. 214.

(4) *Hujus contemplacione et intercessione Premislaus Dux Polonie et Cracovie decimam in Zuppa Ecclesie Cracoviensi perpetuo contulit et donavit; Zupparios ad solucionem ejus, ecclesiasticis censuris compellendos subijciens.*— *Długosz w Żyw. bisk. krak.* (Mss. bibl. *Zamojskich*). Musiał potwierdzić tylko przywilej Bolesława Wstydliwego z d. 23 czerwca 1250 r. nadający dziesięcinę z soli bocheńskiej kościołowi krakowskiemu (*ks. Gładyszewicza Żyw. Bł. Prandoty*, str. 202).

(5) *Nakielskiego: Miechovia*, str. 216. *Kodex Dyplom. Wielk. Pol. Raczynskiego* str. 81.

Łokietek księstwo sandomierskie (krótco tylko chyba przez Konrada mazowieckiego posiadane), posiadał (1).

Ale stronnictwo niemieckie, do którego przyłączyła się podobno i wdowa po Leszku Czarnym, Gryfina, nie dawało Przemysławowi spokojnie panować w Krakowie. Zaprosił go do Pragi siostrzeniec Gryfina, Wacław król czeski (który we dwaście lat później miał się z córką jego Ryxą ożenić). Tam chytrą, prośbami i pieniędzmi, wymógł od niego odstąpienie mu praw swoich (2). Odtąd przestał Przemysław tytułować się księciem krakowskim, a tylko polskim, a wkrótce pomorskim nazywać się zaczął (3). Tobiasz biskup pragski przyjechał do Krakowa, objął rządy w imieniu Wacława, którego władzę uznali rycerze krakowscy; jak np. kasztelan ze Skały, listem z 7 lutego 1291 roku, co ma się dotąd w archiwum pragskim znajdować (4). Władysław Łokietek tymczasem opanował Wislicę i Obleskom, i woj-

(1) *Henricus Dux Wratislaviae et Cracovie obiit. Primistius Cracoviam obtinuit, Wladislaus Sandomiriam.* Roczniki Thratki pod r. 1290.

(2) *Terra Cracoviensis Regi Bohemie traditur per ducem Polonie Premistium et Episcopus Bambergensis (sic) venit cum exercitu regis Bohemie.*—Roczniki Thratki pod r. 1291. A w *Roczn. Anon. krak.* w Mss. *Ottoboniańskim* poprawny text (odmienny od Mss. *willanowskiego* i od drukowanego w *Sommersb.* T. II, str. 95) tak brzmi: *Cum in Wratislavia languescens diucius ad portas mortis appropinquasset.* (Henryk) *Ducatum Cracoviensem quasi in testamento legavit Przemistio Duci Poznaniensi, cujus filiam iam pridem copulaverat sibi matrimonialiter (zamiast Henrici filius nomine) Wenceslaus Secundus Rex Bohemie: qui tandem ad se Pragam eodem Socru invitato, (zamiast eodem Sacra invitato) ipsum precio circumveniens et precibus, ab eo Ducatum Cracoviensem tanquam et dolosus sapiens sibi dari et assignari procuravit, ejus que nanciscens possessionem plenam dominii (Demum w Mss. willan.) cum exercitu valido et forti Poloniam (intravit, dodano w Sommersbergu) et Cuiaviam ingressus, ducem Wladislaum cognomine Loctek de Cuijavie et Siradie terris potenter expellens.* Do tego przydał kronikarz czeski *Pulkawa*, i *Długosz*, a za nim wszyscy inni historycy, zapisy *Gryfina*, jakoby przez nią od *Leszka Czarnego* otrzymane, a *Wacławowi Czeskiemu* ustąpione, o których *Palacki* w krytycznej historii swojej czeskiej (T. II, str. 365), ani żadne inne dawniejsze źródła czeskie ani polskie (dotąd znane) nie wspominają.

(3) *Dyplom*at z d. 28 sierpnia 1291 r. z *Dłuska.* (*Dypl. Rzyszcz. i Mucz.* T. I, str. 138), a z d. 18 października 1291 z *Gniezna* (*Dyplom. Wielko-P. Raczyń.* str. 140).

(4) *Palacki* T. II, str. 365.

sko czeskie zwycięzko zpod Sandomierza odparł (1). Odtąd nazywał się już *księciem sandomierskim, kujawskim i sieradzkim*, jak to w dyplomie w Lelowie 1291 roku, bez oznaczenia dnia wydanym, widzimy. Jako świadkowie wymienieni są: *Świętopelk* wojewoda krakowski (za Przemysława był *Mikołaj*), *Otton* wojewoda sandomierski, kasztelan sandomierski z imienia niewymieniony i *Zbigniew* kasztelan sieradzki (2).

Jaki udział w tych ważnych wypadkach krajowych miał biskup krakowski Paweł, zamilczają spólczesne, a także późniejsze (nawet Długoszowe) świadectwa. Musiał więc wpływ jego ustać wśród rozdartego wojną domową kraju.

Rycerstwo małopolskie trzymało ciągle z Łokietkiem, który ziemię sandomierską i część krakowskiej trzymał; i ciągłemi napadami trapił Kraków i wierne Waławowi ziemie. Na początku 1292 roku, przybyli do Pragi posłowie z Krakowa donosząc o smutnym stanie kraju, i o pomoc prosząc. Król Waław wezwał *Otona*, margrabiego brandeburskiego (jednego z przyszłych zabójców Przemysława) do Opola, passował go tam na rycerza; i z połączonemi wojskami weszli do Krakowa, gdzie Waław, jako pan, z radością przyjęty został. Ztamtąd poszli pod Sieradz, gdzie się Łokietek z bratem swoim Kazimierzem łęczyckim zamknęli. Przemogłą siłą zdobył zamek król czeski, w sam dzień św. Waława, patrona swego (28go września), i obu książąt w niewolę dostał (3).

Pierwszych dni października, w przytomności *Jakóba Swinki* arcybiskupa gnieźnieńskiego, biskupów pragskiego i ołomunieckiego, *Bolesława* księcia mazowieckiego (a niedawno jeszcze krakowskiego), i wielu książąt szlązkich i rycerstwa, musiał Władysław Łokietek rzec się na osobę Waława króla czeskiego wszelkich praw, *jakie mu służyły lub zdawały się służyć (compe-tebat, vel competere videbatur)* do ziem krakowskiej i sandomier-

(1) *Wladislaus Dux Wysliciam et Oblekom expugnavit, et exercitus Bohemicus a Sandomiria confusus discessit.*—*Roczniki Thratki* pod r. 1291.

(2) *Dyplomaturyusz Rzyszcz. i Mucz.* T. I, str. 142.

(3) *Franciszek Praski* pod r. 1292. *Benessius de Weitmil* pod tymże rokiem, ze źródeł polskich dawniejszych. *Roczniki Thratki* pod r. 1292: *Eodem anno Rex Bohemie Syracz acquisivit, i Roczniki Anon. krak.* (u *Sommersb.* T. II, str. 95) już cytowane z mylnym dodatkiem o koronacji Waława przez *Jakóba* arcybiskupa w Gnieźnie. *Długosz* T. VII, p. 863.

skiej, a z pozostałych przy nim *kujawskiej* i *sieradzkiej*, królowi, jako księżęciu krakowskiemu hołd i wierność pod przysięgą złożyć. A 13 października wydał list na to, że w przeciągu dni czterech, mieszczanie z *Brzeźnicy* i z *Brześcia* przysięgną jako rekojemcy za niego; a w razie gdyby sam przysięgi nie dotrzymał, księztwa kujawskie i sieradzkie, tém samém do Wacława przechodzić miały (1). Tak więc Wacław król czeski, już jako księżę krakowski i sandomierski do Pragi powrócił, a za nim zapewne i ciotka jego Gryfina, która w lat kilka później w Pradze umarła, i w kościele Franciszkańskim św. Jakóba, przy siostrze Kunegundzie czeskiej, pochowana.

Skłaniał głowę przed koniecznością Łokietek, ale nie rozpaczał o sobie i o kraju. Niespełna we trzy miesiące później, ten sam *Władysław Łokietek*, jako księżę kujawski i sieradzki, wraz z bratem *Kazimierzem* księciem łęczyckim, i *Przemysławem II* księciem polskim, w Kaliszu, w oktawę święta Trzech Króli (14 stycznia) 1293 roku, jako *dziedzice krakowscy* (*heredes Cracovie*) obiecywali *Jakóbowi* arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, w nagrodę szkód kościołowi metropolitalnemu wyrządzonych, z powodu wojen o ziemię krakowską i sandomierską wszczętych, 300 grzywien srebra z Wieliczki. A wypłacić miał je którybykolwiek z nich pierwój dostał się na księztwo krakowskie (2).

Tego związku świętego, nie doczekał się już biskup krakowski. Modłom św. Kingi już raz winien był życie, gdy wśród bólów straszliwych na kamień i rapturę, oddał się był w ręce chirurgów, i po dokonaniem przecięcia, trzy dni i trzy noce napół żywy się męczył (3).

Teraz przy schyłku 1292 roku, w miesiący kilka po błogosławionej śmierci św. Kingi, 29 listopada, we dworze biskupim

(1) Dyplomata przez *Palackiego* z Pragi komunikowane *Röpellowi* i w wyjątkach drukowane przez niego. T. I, str. 690 et seq. Oryginały, oraz tranzumpta z r. 1340 mają być w archiwum pragskim zachowane. *Palacki* T. II, str. 367.

(2) *Omnes et singuli et qui libet nostrum ante dictum Cracoviense, dominium accedentes quodocunque trecentas marcas argenti in Zuppa majori ducatus ejusdem.... permittimus et ex nunc quantum in nobis est, et quantum nobis de jure competit vel competet in futurum.... jure hereditario damus et conferimus perpetuo possidendas.* (Dyplomatarysz *Wiel. Polski Raczyńskiego* str. 84).

(3) *Długosz* w *Żywotach* biskupów krakow., a za nim *Starowski*.

Tarsku, Paweł z Przemankowa niecny i burzliwy żywot zakończył; a w katedrze krakowskiej pochowany został, na stolicy biskupiej przesiedziawszy niegodnie lat dwadzieścia sześć (1). „Mąż okrutny, cielesny i światowy (pisze *Długosz* w *Żywotach* biskupów krakowskich), rzadko kiedy za ciężkie zbrodnie wyrzutami sumienia trapiony” (2).

Obraz jego życia w sześciu wierszach skreślił *Krzysztof Kątski*, który przy końcu XVI wieku żywoty biskupów krakowskich wierszami po łacinie opisał.

Hinc silvae placere magis quam templa, canesque
 Quam grex, vel populus Christe benigne, tuus.
 Quid venandum inter caesus? quid rapta sacerdos,
 Quid monitor clerus, carcere pressus ait?
 Cuncta licent, non cuncta juvant, dabit improbus omnis
 Poenas, acri oculo, cuncta vidente Deo (3).

czyli po polsku:

On w borach, nie w kościele miał upodobanie;
 Psy przekładał nad trzodę, lud twój, Chryste Panie.
 Cóż, na łowach zabity? Mniszka uwiedziona?
 Cóż księży strofujących wolność pohąnbiona?
 Wszystko można, nie wszystko służy, a zbrodniarze,
 Bystrém okiem Bóg wszystko widzący ukarze.

Niecny był jako człowiek i jako kapłan *Paweł z Przemankowa*. Jako pan krakowski, przedłużał tylko szereg potężnych i dumnych możnowładców, którzy zaczawszy od *Sieciecha i Skarbimira*, a kończąc na *Wincentym z Szamotuł*, trzęśli powagą księżęcą, i uginali ją pod jarzmo baronów.

Dzielność *Władysława Łokietka*, którego gwiazda już w opowiadaniu naszym świtać zaczyna, przytarła wprawdzie ich dumę pod odnowioną koroną królewską. A *Kazimierz Wielki* i pra-

(1) *Paulus Episcopus Cracovie obiit.*—*Roczniki Thratki* pod rokiem 1292. Także *Długosz* w *Historii* T. VII, str. 865, i w *Żyw. bis. krak.* a za nim *Starowolski* i *Nakielski* (*Miechovia*, str. 219); ale ci ostatni przez pomyłkę każą mu siedzieć na stolicy biskupiej lat 28, zamiast 26, a jednak poprzednik jego *Prandota* umarł 20 września 1266 roku, a *Paweł z Przemankowa* 29 listopada 1292 r.

(2) *Vir crudus, terrenus et mundanus, et qui super facinoribus gravibus rare conscientie remorsu tangebatur.* (Mss. bibl. *Zamojskich*).

(3) *Christophori Kątski: Vitae Archiepiscopi et Episcopi Cracoviensis.* *Cracoviae*, ap. Lazarum, 1593.

wami i warownemi zamkami utrzymywał ich w uległości, póki frymarki o tę samą koronę, co władzę książęcą wzmocniła, nie oddały znowu władzy królewskiej na łup rozrodzonego już na kastę szlachecką rycerstwa.

Paweł z Przemankowa, jako możnowładca, miał nawet barwę narodową, trzymał się bowiem stronnictwa książąt krajowych; a w obozie przeciwnym widzimy Niemców, mieszczan krakowskich i zniemczonych Piastów szlązkich, i Przemysławowiczów czeskich.

Około téj głównej postaci historycznej staraliśmy się ugrupować sceny z rozmaitych warstw towarzystwa ówczesnego. Świętość niewiast książęcego rodu, i powaga wyższego duchowieństwa, blaskiem swoim zaćmiewają gusła, zabobony i zbrodnie pojedynczych osób. Dzielność rycerzy na niejednym polu bitwy, wawrzynem zdobyła niezawsze wierne oręża. Miasta w perzynę obracane, z ludnością uprowadzaną w niewolę przez Tatarów i Litwinów, gdzieniegdzie tylko, za warowniami zamków, przyjmują obcy żywioł niemiecki. A pod tém wszystkiém lud biedny (*pauperes* w urzędowym języku) tyle tylko wspomniany jest w dziejach, o ile tam mowa o *stróży*, o *osepie*, *narazie*, daninach wszelkiego rodzaju, służebnościach najrozmaitszych, (*angaria et perangaria*), lub karmieniu łowczych i psów książęcych, i pilnowaniu bobrów i sokołów; dopóki głos z Watykanu za tyle uci-sków klątwą nie zagrozi!

Obok wyższego ukształcenia bardziej zbliżonych do Zachodu księstw polskich, a zwłaszcza w duchowieństwie, lepiej odbija patryarchalna prostota obyczajów ruskich, którą *Kronika wołyńska* z naiwnym wdziękiem oddaje.

Odkrycie nieznanego dyplomatu Pawła z Przemankowa było powodem do téj pracy historycznej; wyjaśnienie niektórych faktów, sprostowanie niektórych dat, podanie niektórych szczegółów z niewydanych dotąd, lub mało znanych źródeł: przedłużyły ją nad zakres zamierzony, nie bez możolnego a sumiennego trudu dla piszącego, a z pożytkiem niewielkiej może liczby czytelników.

Pisałem w Warszawie,
d. 7 marca, 1851 r.

DODATEK Iszy.

*Ugoda Pawła z Przemankowa z Leszkiem Czarnym z d. 8 grudnia 1284 r.,
(z oryginalnego dyplomu Pawła, na pergaminie, z zawieszoną pleczęcią
biskupa krakowskiego, przechowanego w archiwum książąt Sanguszków
w Zasławiu wołyńskim).*

In nomine Domini Amen. Quamvis eterni patris filius a summo celo egrediens in hunc mundum pro humani redemptione generis, et salute, multa precepta instituerit salutaria; tamen in sinum patris unde venerat, regressurus, suis discipulis per quos orbem instrui voluit universum, pacem que caritatis est vinculum reliquit servandam firmiter et tenendam. In pace namque quies corporis, tranquillitas animorum et votiva rerum opulencia precepto accedentes comprobantur. Que et si ex divine institutionis amplitudine ad omnes et singulos observacionis sue extendentes debeat incrementa, tamen ampliori sinceritate inter eos ipsam fore convenit radicatum qui eidem precepto presidere superna gracia dignoscuntur. Proinde Nos Paulus divina miseratione Episcopus Cracoviensis notum esse volumus omnibus hanc paginam inspecturis quod illustris princeps dominus Lesztko, dei gracia Dux Cracovie, Sandomirie et Syradie, ad intemperate pacis et concordie federa desiderio ferventi accedens, nobiscum ipsam pacem, omni sopita discordia reformavit et concordiam fecit perpetuam tali pacto: Quod pro nostra captivitate et detentione, nec non aliis injuriis et offensis omnibus in nostra persona tam Pontificij dignitati quam ecclesie nostre per ipsum quomodo libet irrogatis satisfaciens, nobis spondit et promisit bona fide sex milia marcarum argenti, infra sex annos continuos, ab hoc tempore plene et integre persolvenda. Ita quod in tribus milibus marcarum, nobis suam civitatem que Chorcija antiquitus vocabatur, cum omnibus eiusdem civitatibus iuribus solucionibus, iudiciis, iudicato, questibus, usufructibus et attinenciis universis ad ducatum pertinentibus tam diu obligavit, in possessionem civitatis ipsius nos mittendo quousque totalis eadem pecunia trium milium marcarum argenti nobis integre

exsolvantur. Hoc tamen pro ipso domino duce salvo, quod si infra annum iam incipientem currens nobis mille marcas exsolverit tunc sibi licebit aliud tradere nobis pignus eque bonum pro duobus marcarum milibus, et prefata civitas ad suum dominium revertetur. Omnes autem questus, soluciones, et ususfructus ex ea civitate, eo tempore quo eam possidebimus, computabuntur in sortem et solucionem pecunie supradicte. Addidit eciam nobis villam suam in Deruzna quod Chonarij nuncupatur totam integre cum omnibus ibidem incolis ad ducatum pertinentibus, ut nobis tunquam ipsi domino duci infra eosdem annos III omnibus obnoxij teneantur. In alijs vero tribus milibus marcarum nobis dedit et assignavit hos fideiussores suos Barones, videlicet *Janussium*, Castellanium Cracoviensem, *Otham* palatinum et *Marcum* Castellanium Sandomirienses, *Sulconem*, Castellanium Wizliciensem, *Johannem* Castellanium Lublinensem, *Petrkonem* Castellanium de Radom, et *Suntoslaum* Castellanium de Woynich. Quos et eorum universa et singula bona tam mobilia quam immobilia, tam diu assignavit nobis, super eadem solvenda pecunia totali obligans fideiussoriâ caucione, donec eadem tota pecunia trium milium marcarum argenti nobis integre persolvatur. Hii eciam omnes fideiussores ad hoc ipsum sese per publicam et sollempnem stipulacionem, voluntate propria obligantes nobis unanimiter subiecerunt. Item prefatus dominus dux promisit propter Deum et suorum remissionem peccaminum, maxime in augmentum predictæ satisfactionis quomodo gentilibus et paganis, cum voluerint irruere super dijocesim Cracoviensem, resistet pro sua possibilitate, cum baronibus supradictis. Hec igitur omnia et singula faciens de communi consensu prout et assensu suorum omnium Baronum, promisit nobis vera fide rata habere et firma tenere, et non contra facere, non venire iure vel ingenio aliquo, sive facto. Promisit eciam nos et ipsam ecclesiam debito affectu diligere, honorare, omnique devocione prosequi, et ut Episcopum reverencia filiali. Ea propter Nos videntes ipsum sincera devocione et devoto animo ad meritam pacem et concordiam accedere, omnem rancorem nostri animi deponentes, ipsius satisfactionem ratam habendo, gratantissime acceptamus et promittimus de cetero ipsum versa vice diligere et in omnibus confovere ac suo dominio cooperari per omnia et honori. In horam itaque omnium evidentiam meritum et evidens testimonium presentes conscribi fecimus et nostri sigilli munimine roborari. Actum publice Cra-

cove, anno domini MCCLXXX quarto indictione XII, VI Idus Decembris. Presentibus prefatis Baronibus, nec non hijs viris honorabilibus ac discretis, dominis *Alberto* decano, *Wencezlao* preposito, *Procopio* scolastico, *Paulo* cantore, *Michaele* custode, *Jacobo*, archidiacono Sand. et aliis multis canonicis Cracoviensibus et quamplurimis militibus.

D O D A T E K IIgi.

Spis niektórych biskupów, oraz wojewodów i kasztelanów małopolskich między r. 1271 a 1291, z Niesieckiego; poprawiony i pomnożony wedle źródeł w poprzedzającym opowiadaniu przytoczonych (1).

1. *Gnieźnieńscy arcybiskupi.*

Janusz, do 26 sierpnia 1272 r.

Przez lat sześć wakans.

Marcin (kronikarz), od 23 maja 1278 r. do końca roku 1279.

Przez lat cztery wakans.

Elekt Włościbor, od 23 grudnia 1279 r.

Nominat Henryk z Brenu, od 23 grudnia 1281 roku.

Jakób (Swinka), od 30 lipca 1283 r.

2. *Krakowscy biskupi.*

Paweł z Przemankowa, od 28 października 1266 r. do 29 listopada 1292 r.

3. *Mazowieccy biskupi.*

Piotr, żył jeszcze 1270 i 1271 r.

Tomasz — 1285 r.

4. *Lubuscy biskupi.*

Wilhelm, 1270 i 1271 r.

(*) Konrad, 1285 r.

5. *Kasztelani krakowscy.*

Warsz, 1271—1280.

(*) Janusz, 1284.

Sulko, 1286, 1287, 1288.

Żegota, 1290.

6. *Wojewodowie krakowscy.*

Piotr, 1271—1280.

Żegota, 1282—1284.

(*) Piotr, 1286, 1287, 1288.

Mikołaj, 1290.

(*) Świętopelk, 1291.

7. *Wojewodowie sandomierscy.*

Janusz, 1271—1280—1282.

(*) Otton, 1284—1285.

Boxa, 1286—1287.

(*) Otton, 1291.

(1) Znakiem (*) oznacza wcale niewymienionych w *Niesieckim*, nawet w edycji lipskiej. Lata są te, pod którymi wzmiankują o nich źródła w poprzedzającym opowiadaniu wzmiankowane.

8. *Kasztelanowie sandomierscy.*

- (^{*}) Marek, 1284.
Mikołaj, 1286, 1287, 1288.

9. *Kasztelani wiśliccy.*

- (^{*}) Dobiesław, 1271.
(czy Bolesław).
(^{*}) Sulko, 1284.
(^{*}) Świętosław, 1286, 1287,
1288.

10. *Kasztelani lubelscy.*

- (^{*}) Jakób, 1271.
(^{*}) Żegota, 1280.
(^{*}) Jan, 1284—1285.
(^{*}) Floryan, 1286.

11. *Kasztelani wojniccy.*

- (^{*}) Świętosław, 1284—1285.
Andrzej, 1287.

12. *Kasztelani radomscy.*

- (^{*}) Piotr, 1284.

13. *Wojewodowie sieradzcy.*

- (^{*}) Sieciech, 1271.
(^{*}) Zawisza, 1285.
(^{*}) Stogniew, 1286.
Maciej, 1287.
Piotr, 1287—1288.
Zawisza, 1291.

14. *Kasztelani sieradzcy.*

- (^{*}) Przedwój, 1271.
(^{*}) Zawisza, 1273.
(^{*}) Tomasz, 1274.
(^{*}) Maciej, 1286.
(^{*}) Paweł, 1287.
Marcin, 1290.
(^{*}) Zbigniew, 1291.

15. *Kasztelani małogoscy.*

- (^{*}) Boxa, 1271.

16. *Kasztelani brzescy.*

- (^{*}) Smilon, 1271.
(^{*}) Marcin, 1278—1280.
(^{*}) Krystyn, 1282.
Przeclaw, 1291.

17. *Kasztelani sandeccy.*

- (^{*}) Lassota, 1271.

18. *Kasztel. rudzcy (wieluńscy).*

- (^{*}) Syxtus, 1271.
(^{*}) Sędziwój, 1284.

19. *Kasztelani starogrodzcy.*

- (^{*}) Mroczek, 1271.

20. *Wojewodowie mazowieccy.*

- (^{*}) Menera, 1271.
(^{*}) Getko, 1273—1286.

21. *Wojewodowie czerscy.*

- (^{*}) Mancina, 1271.

NOWA EPOKA LITERATURY HISTORYCZNEJ POLSKIEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Materyały historyczne wydane w Warszawie.

Inne przedruki. — Pomniki Kraszewskiego. — Strykowski.

(ciąg dalszy).

Kraszewski także wziął się do przedruków broszur dawnych. Myśl ta dawno w nim powstała i sięga chwili pierwszych jego marzeń młodzieńczych, kiedyto jeszcze za wszystko chwycił z zapalem, kiedy myślał nawet o pisoniu słowników i o układzie grammatyki porównawczej słowiańskich narzeczy. Kraszewski stworzył wtenczas i plan do *archeoteki*. Miał to być przedruk wszystkich broszur i pism dawnych, cohy w czémkolwiek wyjaśniały albo dzieje narodu, albo jego obyczaje. Przez gazety wzywał wtenczas uczonych, żeby mu dostarczali rzadkości; nawet katalog tych poszukiwanych przez siebie rzadkości, ogłosił. Rzecz cała wzięła pozor prawdy, ale skończyło się wszystko li tylko na projekcie. Ze wspaniałych ruin téj archeoteki, zostały się obłamki tylko, które wyszły u Orgelbranda w Warszawie, pod tytułem: *Pomników* (1).

(1) Pomniki do historii obyczajów w Polsce z XVI i XVII wieku, wydane z rzadkich druków przez J. I. Kraszewskiego. Warszawa, nakładem S. Orgelbranda, 1843, w 8cc, str. 269.

W *Pomnikach* tych, Kraszewski drukował obyczajowe broszury, żeby tę stronę dziejów kraju wyświetlić. Dawniej, powiada, nie uważano na rys obyczajów, nie myślano, żeby on był potrzebny do całości obrazu, który jak najbardziej heroicznym starając się uczynić, wymazywano szczegóły. „Ale są przecie i całe pisemka, jakby naumyślnie przeznaczone dla nas, a swego czasu wzgardzone i na pastwę niższym klasom rzucone. Takimi są owe Albertasy, Klechy, Rybałty i t. d. A one przecie objaśniają nas bardzo; nie żebyśmy na wiarę ich, wszystko co skarykaturowane widzimy, za świętą prawdę przyjmować mieli, ależ i w karykaturze jest pierwiastek prawdy, jest cecha jakaś z natury wzięta. Pisemka drobne, mianowicie wierszem, wystawujące śmieszną stronę różnych klas, składają, wedle nas (bardzo być może, że się mylim), dość ważny pomnik do historyi obyczajów”.

Kraszewski się nie myli; wie o tém lepiej, niż bardzo wielu z jego czytelników.

„Zdało nam się przeto zbyt czynnem (może ze zbytnej troskliwości) wydać dziś rzadsze, drobne pisemka polskie XVI wieku”.

Nie zbyt tu wcale troskliwość, a myśl szlachetna w wydaniu *Pomników*. My powiemy: *zbytnią* Kraszewskiego *skromność*, że się tak wyraża. I jeszcze jeden dowód przytoczmy téj skromności:

„Wybraliśmy teraz kilka pisemek na początek, próbując, uznali czytająca powszechność nasza publikacją tę użyteczną, jakbyśmy chcieli, i ciekawą. Jeśli tak będzie, chętnie damy następnie, co zkażdykolwiek wydobyć się nam uda” i t. d.

Publiczność takie rzeczy przyjąć musi chętnie, i widziałaby z radością dalszy ciąg archeoteki, którego jednak nie widać dotąd. Kraszewski o tém nie może wątpić.

Jednakże musimy zrobić chociaż jeden zarzut znakomitemu pisarzowi. Kraszewski się przyznaje, że z *pomników*, które wydał, wiele wyrazów i wierszy opuścić musiał nie na jednem miejscu, bo, jak mówi, w terażniejszym czasie serce się zepsuło, uszy się naprawiły. „Dawniej nie wszystko złe myśli nastęrczało; dziś boimy się słówka. Czy obyczaje na tém zyskały?—osądzą nas później”. Myśmy wyżej przedstawili myśl naszą, co do wydawania dzieł dawnych. Podług nas, wydanie takie z umyślnemi opuszczeniami, to świętokradztwo.

Napróżno zatem uniewinnia się Kraszewski i przeprasza, że jeżeli zostało się co naiwnego, nie grubiaństwo pisarzy tu winą, i napróżno zasłania się Kochanowskim. Jeżeli Kochanowski *niewolen*

jest także tego grzechu, stanowiącego jedną z cech wieku, to Kraszewski opuszczając całe wiersze dla chwalebnej choć pozornej skromności, zatargł jedną z cech rodowych wieku. Kraszewski widocznie się płacze.

Mamyż tedy powiedzieć prawdę? Samo przyznanie się znakomitego wydawcy obaliło w nas wiele społecznia dla jego *Pomników*. Jakiżto dziwna rzecz w naszej chwili, wstydzic się za przodków! Jakiżto grzech, dla ich pamięci, ten wstyd fałszywy! boć Kraszewski mówi, że to tylko *pozorna skromność* i w nim i w czytelnikach wstyd obudza. Więc się sami zwodzimy?

W *Pomnikach* są wydrukowane następujące broszury:

1. Albertus z wojny. Podług wydania dziedziców Jakóba Siebeneichera, w Krakowie, r. 1613.

2. Peregrynacya dziadowska, zwłaszcza owych jarmarczniczków, trzęsigłowów, w który sposób zwykli bywać na miejscach świętych; nie tykając tych, którzy sprawiedliwym karaniem Bożem nawiedzeni, przy kościele albo w szpitalach siedzą. Januarius Sowizralius. *Annus Dominus* § 31, 954, 730. Roku Pańskiego 1614.

3. O psiech gończych i myśliwiczach z nimi. W Krakowie, w drukarni Andrzeja Piotrkowczyka, roku Pańskiego 1608.

4. Światowa rozkosz z ochmistrem swoim i ze dwunastą swych służebnych panien; drukowano z poprawą roku 1624 (dzieło Hieronima Morsztyna).

5. Przesławnego wjazdu do Krakowa, i pamięci godnej koronacji Henryka Waleczusza Xiążęcia z Andegawy, z łaski Bożej króla polskiego, Wielkiego Xięcia litewskiego, etc. tudzież na przodku niektórych postępków godniejszych posłów naszych we Francyji, i w drodze z królem skuteczne wierszem opisanie. Przez Mathysa Strykowiusa Prekonidesa. W Krakowie, drukowano u Macieja Wierzbięty, typografa Jego Królewskiej Mości, roku Pańskiego 1574.

Ciekawe z przeszłości naszej figury Klechów, Albertusów i peregrynujących dziadów, jużesmy dawno poznali. Sam Kraszewski, Wojcicki i Maciejowski, dostarczyli nam do charakterystyki tych figur wiele pięknych, interesujących zarysów. Tutaj, w *Pomnikach* Kraszewskiego spotykamy się już nie z kopiami tylko, a z samymi oryginałami.

W *Albertusie* nie ma akcji; prosty dyalog tylko. Książd wychodzi z domu i prawi sam do siebie o słudze swoim, co go był wyprowadził na wojnę. Wtém uadjeżdża Albertus, książd go wita, py-

ta się naprzód o konia, o przyłbicę, bo Albertus wrócił na jakiś nędznej marsze i z czapką na głowie. Wojak wykręca się jak może, kłamie nieznośnie; ksiądz się dziwi, robi coraz nowe pytania i coraz więcej płacze się Albertus: ale zmyślenie jedno wywołuje drugie zmyślenie, i ksiądz nareszcie przekonał się, i zaprasza na nowo Alberta do służby przy kościele. Dyalog wlecze się ciężko, nie ma w nim poezi; wiész słaby, kulejący, ale jest bardzo często dowcip, ślady humoru polskiego i wyborny rys epoki.

Ksiądz poczciwosz sobie, największym krętarstwom uwierzył. Albertus zabawnie opowiada przed nim swoje waleczne czyny i zdobycze, a proboszcz się dziwi. Jest tu i trzeci, Wojtas, wplątany do rozmowy.

Peregrynacya dziadowska ma nierównie więcej pod względem literackim, od Albertusa wartości. Pod względem dziejowym nie ma znowu sobie nic podobnego: tak dosadnie przedstawia starych dziadów naszych, oszustów pobożnych z rzemiosła. Kraszewski mówi, że *Peregrynacya* dostarczyć może kolorytu na wyborny rozdział romansu. Kraszewski się myli: w *Peregrynacyi* cały romans, cała strona charakterystyczna jednej klasy ludu. W Zygmunrowskich Czasach, czy gdzieś indziej, pamiętamy, czytaliśmy zajmujący rozdział, poświęcony charakterystyce dawnych dziadów; rozdział napisany z wielkim talentem, który najprzedziwniej wydaje zdolności Kraszewskiego, do malowania takich małych obrazków. Znakomity nasz powieścio-pisarz nie ma dość cierpliwości w naturze swojej, żeby wielką stworzył historyczną powieść, chociaż ma siły po temu; za to nienaśladowany w tych małych obrazkach, których nam tyle przedstawia. Obrazek dziadów o którym mówimy, wzięty jest żywcem z *Peregrynacyi*. W niej opisany cały sposób ich życia, wykręty, sposoby, czary bab starych. Nazwiska dziadów dla nas będą zupełnie nowe, a jednak charakterystyczne; zdają się być dźwiękami jakiegoś tajemniczego, zaklętego języka. Chelpa, Lagus, Wyrwant, Taboła, Dygubcy, Łupa, Kałwica, Marek, Balabasz, Kubrak, Choroba, Chrapek, Kula, Labaj, Chmielasz, Drabant, Kuźma, Lech, Stypuła, Kropiński, Sztyła, Wicholek, Lepiarz, Korman, Pędziwiatr i t. d.

Broszurka o *Psiech gończych* wydana została z *raptur*, które Jan Ostroróg kasztelan poznański, starosta malborski i garwoliński, dla jakiegoś myśliwego przyjaciela przepisywać kazał. Dlatego też Piotrkowczyk dedykował ją Ostrorogowi. Broszura dzieli się na trzy księgi: pierwszej jest tylko fragment, trzeciej początek, tylko druga cała. Opisał sposób, jakim się powinny chować

szczenięta, autor rozbiera przymioty psów podług *pieciorga mistrstwa*, do którego są zdolne. Ztąd nazwiska rodzajowe psów: przejemca, popędzca, gońca, wyprawca i poprawca. Potem o zasadzkach, o sprzęganiu psów, o ich liczbie i t. d. Księgi trzecie mówią o myśliwcu i jego powinnościach.

Światowa rozkosz, często cytowana przez pisarzy naszych, jest poematem, w którym występuje ochmistrz rozkoszy: dostatek, za nim dwanaście panien służebnych, to jest: pompa, asystencya, kompania, dyeta (z dodatkiem: ale nie doktorska), pijatyka, podwika, muzyka, saltarella, krotochwila, gra, przejażdżka, uciecha. Na końcu wiersze: czas, nadzieja, cnota, złoto. Z samego już tytułu dziełka i nazwisk panien fraucymerowych domyśleć się można o treści całego poematu. Zbiór to satyr, które mają na celu wskazać na społeczne zepsute obyczaje, kiedy się już zbytek wkradał w łono Rzeczypospolitej. Dodajmy do tego, że Morsztyn często błyszczy wyrażeniem poetycznym, a nawet poezją. Wybornie określa błędy swojego czasu, i dlatego tak często cytują go starożytnicy nasi. *Światowa rozkosz* dedykowana jest Michałowi Zenowicowi wojewodzie brzeskiemu, dworzaninowi Jego Królewskiej Mości, staroście ciecierskiemu i propejskiemu, w Krakowie, 1606 r.

Wjazd do Krakowa jest broszurą Strykowskiego, dedykowaną staroście grodzieńskiemu Alexandrowi Chodkiewiczowi. Wszystko wierszem, nawet dedykacja; jest to wiersz Strykowskiego, nieregularny, ciężki, bez żadnych ozdób i kwiatków. W *początku* opisuje kronikarz Litwy poselstwo polskie do Francji, pożegnanie się Henryka z rodziną, i przybycie do Poznania. Potem *wjazd*; tutaj obrzędy koronacyi i uroczystości z tego powodu. W końcu broszury ceremoniali zwykły, używany przy koronacyach królów polskich, ale już prozą, bo Matys Prekonides nie mógł już łacińskich modlitw ułożyć wierszem ojczystym, i tutaj rad nie rad musiał porzucić rymy: węgę poetycką. Bo, że wena była i przy tym *wjeździe*, to świadczą wszystkie akcesorya użyte w opowiadaniu; np.

Nie wzywam tu Apollo ciebie z lutnią strojną,
 Ni muzę z Hellkonu was z wymową hojną;
 Piszę prosto: prostoci prawda potrzebuje,
 A w Helikonie mównym często uchramuje.
 Nie piszę tu Jowisza, jak się stał łabęciem,
 Ni Wenery ognistej z swém ślepem dziecęclem.
 Ni jak Pluto o jabłka on wziął Prozerpinę i t. d.

Strykowski dalej powiada, że poetowie, kiedy co pisali, folgowali ozdobie słów i dlatego schodzili z gościńca. On więc szedł prosto do prawdy, bo chciał być historykiem nie słów, ale rzeczy.

Dlatego *Wjazd do Krakowa* jest żywcem historią, i ztąd cała jego wartość. Ceremoniał wydrukowany na końcu, dodaje w dwójnasób wartości rzadkiej bardzo broszurze.

Sławny nasz poeta, wielki dziejopis litewski, ksiądz kanonik czy archidyakon żmudzki, jakoś bardzo wiele w naszych czasach zarobił na potężnym literackim znaczeniu. Śmieliśmy się dawniej z niego, z jego zarozumiałości i z jego przygód, z jego dumy i szlachectwa, z jego nauki i z jego utyskiwań na ludzi, którzy mu wielkie dzieło skradli. A jednak zajmuję się dzisiaj Strykowskim więcej, jak innym jakimkolwiek pisarzem złotej epoki Zygmunto-wskiej. Pisał o nim Daniłowicz w rozbiórce kronik litewskich; Kraszewski poświęcił mu także kilka chwil pracy; Malinowski napisał osobno całe życie Strykowskiego, Ostrowski wydrukował świetną improwizacją o nim i o ziemiach litewsko-ruskich. Pomyślano nawet o całkowitym wydaniu dzieł Matysa Ossostowicza w Warszawie wtenczas, kiedy Kraszewski drukował *Wjazd do Krakowa w Pomnikach obyczajów*. Czyż to wszystko nie dowód wysokiej wartości dzieł historycznych, wielkiego rodzinnego poety z pól mazowieckich, którego Opatrzność ocaliła z pośrodku tyłu niebezpieczeństw na lądzie i morzu, któremu podała rylce w rękę, żeby nam dzieje Litwy napisał? Będziem się jeszcze i dzisiaj śmiać z pretensyi, z dumy Strykowskiego, ale jednak innym już okiem na jego prace będziem spoglądali. Pamięci jego, chwile nasze prawdziwy pomnik wzniosły. Nie zdolnościom jednak swoim winien Strykowski to wysokie stanowisko, jakie dzisiaj w literaturze naszej zajmuje, a tej okoliczności, że pierwszy dzieje Litwy pisać zaczął, i to w czasach, kiedy jeszcze miał pod ręką wiele latopisów dawnych, których my już nie mamy. Że treść wycisnął z tych pomników, że je przepisał w swoje dzieło; ztąd dzieło jego jest odgłosem wieków, encyklopedyą kronik litewskich i ruskich. Kto chce dzisiaj pisać o dziejach Litwy, na Strykowskim głównie opierać się musi, bo w nim skryzalizowane znajdzie najdawniejsze o przedchrześcijańskich wiekach podania. To strona dodatnia kroniki, która przedtem nigdy światła nie widziała. Brak wszelkiej krytyki i dlatego nieumiejętne zlepianie podań—to ujemna strona prac Strykowskiego.

Był to w każdym razie człowiek zacny i sumienny, z małą nauką, ale z naczytaniem się ogromnym. Lubo wierzył wszystkiemu, lada kronicę, lada podaniu, przecież zawsze dla swojego opowiadania

szukał jakiegóś wiarogodności i powagi. Czasami zdobywał się nawet i na dziecinną krytykę. Stworzył cały systemat, o ile pozwalały mu na to zdolności. Mówił o sobie, że kronikę swoją napisał: „częstém ruszaniem z mózgu i z głębokich historyków.” Więc w zapale nawet zacnych pisarzy oskarżał. Robił wyrzuty Miechowicie za płątanie wypadków, a sam przecież nie potrafił związać w jedno piękną, ogromną całość; początków Litwy nie odszukał, zamącił tylko podania, z którychby prawdę wyłamać mogła dzisiejsza krytyka historyczna. W jego Kronice wiele tajemnic. Nie ma tam nic o społeczności, o prawach, o rządzie, o zwyczajach i przesądach narodowych Litwy, tylko kronikarska powieść. O pragmatyzmie dziejów nie miał Strykowski żadnego wyobrażenia: w jego pojęciu, Polska i Ruś i Litwa spletały się przypadkiem w jakąś dziwną całość. Nie widział w tój jedności Matys Ossostowicz wyższych celów; i co dziwniejsza, Mazur, ubolewał nad Litwą, nad jój przeszłością, że zachodziła mgła polską, zazdrościł rodzinnej ziemi, że tak daleko wpływ na wschód posunęła pomiędzy Kunigasów, potomków Gedyminowych. To ogólne wady Kroniki Strykowskiego.

Ileż teraz dodatniej siły zawiera w sobie to jego dzieło znakomite! Uczucie rodzinne powiewa w Kronice wszędzie i swobodnie. Strykowski na każdym miejscu widział Słowian, znajdował ich w odległej jeszcze starożytności na ziemi, którą i za jego czasów zajmowali. Może miał nawet zawiele uprzedzenia o ich przedwiekowej potędze, ale nie grzeszył za to dziwactwem, jak wszyscy prawie pisarze polscy mu spółcześni, którzy ród Słowian od Scytów, Gotów, Wandalów i Sarmatów wywodzili. Litwinów za to połączył ze wszystkimi prawie narodami średnich wieków. Względem Niemców, Strykowski oddychał prawdziwie słowiańskim uczuciem. Był dla nich surowy, często za gwałtowny, a jednak zawsze sprawiedliwy. I ta zachość jego charakteru, ta poczciwa myśl, wszędzie widoczna. Zajęty wielkością dawnych ludzi, których dzieje kreślił, porównywał przeszłość z obecnym czasem, i z goryczą powiadał, że za niego wszystko jakoś dziwnie maleje. A byłto jednak wiek Zygmunów Jagiellońskich i Stefana Batorego! Strykowski nie ludził się nadziejami; jeżeli nie głową, to sercem pojmował jasno niebezpieczeństwa Rzeczypospolitej. Zbytek za jego czasów skaził czyste staropolskie obyczaje, a byłto już wszystkiego złego początek. Panowie się stroili w wymyślne ubiory, wydzielali sobie królewsczyzny i godności. Skromny pod tym względem kanonik żmudzki, powiada o so-

bie z chlubą, że beneficyów nie chwytał; ale nie mógł zdać sobie jednak sprawy, z kąd się przecież wzięło to łowienie. Wszędzie, na urzędy kościelne wynosiła wtedy, już nie zasługa wynagrodzona kanonicznym wyborem, ale łaska królewska i stosunki rodzinne, czasami nawet haniebnie. Ztąd też Strykowski o nieszczęścia rzeczypospolitej obwiniał i katolicyzm, bo katolicyzm pozwalał na straszne nadużycia. Przywiązany mocno do wiary ojców, nie zabronił sobie przecież szlachetnej i zbawienniej niepodległości względem Rzymu. Był człowiekiem śmiałym, otwartym, rznął wszystkim w oczy prawdę, a o resztę nie pytał. Prawdziwy typ dawnego, nieczepsutego jeszcze cudzoziemskim duchem i krojem szlachezca.

W ostatnich czasach zwrócono jeszcze uwagę na jedną stronę podań naszego autora, stronę zupełnie dotąd zapoznaną; rzecz dziwna, że w ostatnich dopiero czasach! Nowe odkrycie podniosło znakomitą ważność jego Kroniki. W Kronice swojej Strykowski pisał wiele o wyborach książąt litewskich, i o wolnych głosach narodów sprzymierzonych. Opisywał sejmy, przytaczał nawet szczegóły rozpraw toczonych jakby w jakim senacie litewskim, albo w izbie poselskiej. Mówiono nam długo, że to Strykowski Polak, Mazur, przeniósł z sobą do historyi litewskiej wyobrażenia szlacheckie swojej ojczyzny, że wszystkie te sejmy wylęgły się w jego imaginacji, że te wybory, te narady sprzymierzonych z sobą ludów, wszystko to, jednem słowem, trąciło pojęciami polskimi. Mazur więc, okiem szlacheckim miał patrzeć na dzieje litewskie. A jednak ten Mazur nie domyśla się wcale i wypadków nie płącze; owszem, cytuje kroniki ruskie i litewskie, a co wyczytał w tych kronikach, podaje prosto bez objaśnienia, bez tłumaczenia, i prawi przecież ciągle i upornie o elekcji i o przyzwoleniu ogólnem.

Jakoś teraz z inszego stanowiska zaczynamy spoglądać na te dawne stosunki Kunigasów z pierwotnemi ludami Wielkiego Księstwa. Zdaje się, że Litwa oswobodziła Ruś od jarzma Mongolów, i spleła się w związek federacyjny, ogromny, z całą tą masą ludności, prawie aż po krainy Dnieprowe. Ryngold nie był z dziedzicznego prawa panem Litwy, jak potem Giedymin nie był panem Litwy i Rusi. Obadwaj panowali przez wybór, przez zezwolenie narodów sprzymierzonych. Strykowski opisując czyny dawnych książąt, przy każdym powtarza starą piosnkę o tej elekcji, o tém zezwoleniu Litwinów i Rusinów. Widać, że wyczytał te fakta w starych kronikach, które miał pod ręką, i że nie wprowadzał zawczasu sejmikowań polskich do Litwy. Epoka nasza, która nauczyła się cenić Matysa Osso-

stowicza, więc jej ma wiary w jego szczerłość i miłość dla prawdy, jak w jego niby przekręcanie wypadków. Strykowski nigdy nie sfalszował historii. Można go posądzić o brak krytyki, ale nigdy o fałsz umyślny albo dobrowolny. To przekonanie czerpiem z jego charakteru, jako człowieka i jako pisarza.

Dawne gminowładztwo Litwy, dopiero więc teraz ukazało się przed oczyma historii. Nie rozumiała tego wypadku nasza jeszcze niedawna przeszłość literacka: znakomity Daniłowicz uwodził się nawet koteryjnemi pojęciami, lubo to już był człowiek bliższej nam epoki i krytyk dziejowy wielkiego znaczenia. Widział on wiele rzeczy w tych stosunkach pomiędzy Litwą i Rusią, których my teraz nie widzimy. Nadszedł czas, że badacze lepiej umieją czytać kroniki, jak ci niedawni jeszcze kronikarze, co z latopisów starych kompilacye swoje i niby historye zbierali. Gallus i Kadłubek nie zmienili ani jednego słowa od lat siedmuset, a przecież epoka dopiero nasza, w tych dwóch ojcach historyków naszych dojrzała takie wypadki i stosunki, o jakich Naruszewicz jeszcze nie miał żadnego wyobrażenia. „Nasz czas jest czasem odkryć, o których nawet przecucia nie miano” powiedział jeden z piszących o Strykowskim.

Archidyakon czy kanonik żmudzki, potrzebował więc nowego w naszej chwili wydania i to wydania krytycznego. Minęła epoka, kiedy prosty przedruk dawnego autora, był wielką zasługą literacką. Dzisiaj gwałtem potrzeba krytyki. Wydając starego autora, bez objaśnienia go światłem naszych pojęć i naszych odkryć, rozpowszechniamy tylko szczegóły historyczne, często mylne, często niezrozumiałe, — nie więc jej.

Ta cała dawna historia Litwy Strykowskiego potrzebuje więc koniecznie przejrzenia. Nie umiał się wziąć do tego Matys, myśmy to dzisiaj za niego zrobić powinni. A mamy w jego poważnym dziele piękny i bogaty materiał do badań. Trzeba chwycić na locie w jego Kronice wpływ Rusi i Niemców krzyżackich na Litwę; trzeba rozważać, jak pod naciskiem tych nowych wyobrażeń, ustępowały dawne zwyczaje praocjów. Pokaże się potem, że połączenie Litwy z koroną Piastów, nie było tak bardzo przypadkiem w dziejach, jakby to sądzić napozór było można. Miłość Jagielly dla Jadwigi dobra dla romansu; ale w dziejach ludzkości cóż ona waży, i co ważyć może? Litwa ocaliła swoje zasady federacyjne jedynie przez zetknięcie się z Polską, chociaż pod wpływem cywilizacji Zachodniej, jej narodowość przechowała się tylko po wiejskich chałupach. Witold był

księciem potężnym i samowładnym Litwy, jakim nikt nie był przed nim i po nim. Ale już zbieg wypadków stworzył te czasy Witolda, prawdziwy ustęp, dziwny epos w dziejach Jagiellońskiego państwa, w niczém niepodobny do przeszłości, i całkiem odrębny od tego, co miało nastąpić. Za Witolda, Witold tylko był Litwą.

Nad Strykowskiem koniecznie trzeba studyować. Podania jego winny być związane z podaniami kronik i dokumentów, których teraz pokazuje się zewsząd takie mnóstwo; a nowe zupełnie spłynię światło na całą przeszłość litewską. Z kroniki Strykowskiego nauczymy się filozofii dziejów naszych niezawodnie więcej, jak z dzieł wszystkich historyków. Znakomity ten człowiek, winien to znowu nie swoim zdolnościom, a téj okoliczności, że pisał razem o Polsce, o Litwie, i Rusi jakby na pograniczu tych trzech plemion, a zjawił się w tym właśnie czasie, kiedy duch szlachecki niszczył już pomimowolnie pomiędzy niemi, dawne narodowe niechęci i pamiątki.

To téż myśl wydania Strykowskiego pojawiła się bardzo w czasie, ale ta myśl nie dorosła nigdy wielkości chwili, w której urzeczywistnioną została (1). Wydanie nagie, bez krytyki, rozposzechniło tylko u nas Kronikę, zresztą bardzo rzadką, ale nie wpłynęło nic na postęp samej nauki. Nie było zapewne żadnej trudności przedrukować Strykowskiego na czysto. Ależ nie w takim tylko wydaniu, zasługa literacka dla naszej chwili. Wydawać trzeba tak, jak ogłosił niedawno znalezionego Wapowskiego Malinowski; trzeba błędy kroniki prostować, prawdy, które podała, rozjaśniać. Znajdą się potem ludzie, którzy z tego wszystkiego wyprowadzą wnioski, poruszą w grobach stare namiętności, a historia wstanie z kronik, jak z martwych, będzie jaśniała blaskiem prawdy. Schylim się wtedy przed jęj majestatem: będzie to dla nas nauka życia!

Nie wiemy, czy to miał na uwadze Michał Wiszniewski, kiedy wspominając w jednym tomie swojej *Historii Literatury* o gotującym się w Warszawie wydaniu dzieł Strykowskiego, ubolewał, że to

(1) Kronika polska, litewska, żmudzka i wszystkięd Rusi Macieja Strykowskiego, wydanie nowe, będące dokładném powtórzeniem wydania pierwotnego królewieckiego z roku 1582; poprzedzone wiadomością o życiu i pismach Strykowskiego p. Mikołaja Malinowskiego, oraz rozprawą o łacpisach ruskich przez Daniłowicza; pomnożone przedrukiem dzieł pomniejszych Strykowskiego od pierwotnych wydań. Warszawa, nakładem Gust. Leona Glücksberga księgarza. 1846 r. T. I, str. 63. XLVIII i 392. T. 2, str. 572. Wydania pilnował Leon Rogalski.

wydanie ma nastąpić bez żadnej literackiej powagi i rękojmi (T. VII, str. 482). Jeżeli przez te słowa rozumiał brak krytyki historycznej przy wydaniu, ubolewamy z nim razem; jeżeli nie myślał o krytyce, ale o prostym przedruku, to zbyt zawcześnie sądził o pracy p. Rogalskiego. Ostatnie wydanie Matysa Ossostowicza nie pozostawia nic do życzenia, pod względem samego przedruku. Owszem, możemy położyć dowody nadzwyczajnej sumiennosci wydania. Kronikę przedrukowano z egzemplarza królewieckiego z roku 1582, a więc z pierwszej ręki. Zachowano nawet wiernie omyłki druku w texcie, i spis ten omyłek zrobionych nienaumyślnie przez samego Strykowskiego, dodano umyślnie do naszego wydania.

Szkoda, że nie wziął się do Strykowskiego Jaroszewicz, któremu radził się zająć tą pracą Wiszniewski. Ale za to Malinowski czém mógł z oddali, tém pomógł przedsięwzięciu. Czytamy naprzód obszerną jego wiadomość o życiu i pismach Macieja Strykowskiego. Wiadomość to ciekawa, piękna, pożądana. Zbił w niej uczony wiele uprzedzeń i fałszywych wieści o Strykowskim, rozsianych bez najmniejszej krytyki przez Starowolskiego i bibliografów, którzy znowu księdza kantora Tarnowskiego przepisywali. Wiadomość ta przedstawia nam zupełnie człowieka i autora jakim był: próżny, samochwał, ale zawsze człowiek znakomitęj zasługi. Wtajemniczamy się zupełnie w całe jego życie, w jego przesady i nawyknięcia. Ubijamy się z nim na pograniczu Litwy pod Witebskiem. Jedziemy z nim razem do Carogrodu, podróżujemy po Dardanellach i Archipelagu, modlimy się w katedrze miednickiej, drukujemy z nim razem Kronikę, która nigdy świata nie widziała, w Królewcu. Żal się z nim rozstać, z tym zacnym Matysem, tak go pokochaliśmy sercem i duszą. Ginie on nagle z przed oczu historyi po roku 1582; nie wiemy nawet kiedy i gdzie złożył kości swoje, i kiedy śmierć zamknęła mu powieki.

Strykowski był człowiekiem nadwyczaj pracowitym. Wydrukował dzieł 8, w rękopiśmie zostawił 11, a prócz tego w spisie bibliograficznym Malinowskiego, znajduje się dzieł jego 4 wątpliwych. Ten cały artykuł o wydaniach i pracach autora Kroniki, jest nadwyczaj ciekawy. Znać po wszystkiém rękę mistrza dużo ocytanego, który się oswoił z dawnymi pisarzami, i umie wydobyć im z serca tajemnice zakryte dla całego świata. Gdyby tak sumienne i piękne życiorysy posiadali wszyscy dawni nasi pisarze, ileżby z tego powodu cieszyć się mogła literatura polska, a nawet dzieje Rzeczypospolitej w ogóle!

Wydanie warszawskie nie obejmuje wszystkich dzieł Matysa Ossostowicza, ale tylko trzy najcenniejsze: *Gońca cnoty*, *Przesławny wjazd do Krakowa* i *Kronikę*. *O wjeździe* i *Kronice* mówiliśmy. Co do *Gońca cnoty*, wydaniem tego zabytku, zbogaconą została na prawdę literatura polska. Długi czas nie znano wcale téj książki; wątpiono nawet czy żyła kiedyś. Byłato jednak najpiérwsza praca Strykowskiego, najpiérwszy owoc jego badań i szperań po kronikach ruskich. Najbogatsze biblioteki nie miały *Gońca cnoty*. Opisały go nareszcie Księgi Bibliograficzne i zagadka się rozwiązała: dzisiaj znamy już kilka exemplarzy tego nadzwyczaj rzadkiego dziełka, które tylko jedno miało wydanie. Wojcicki pozwolił swojego exemplarza do przedruku. Takim sposobem *Przesławny wjazd* doczekał się niedawno i prawie jednocześnie dwojga wydań, drugiego i trzeciego (w r. 1843 i 1845); *Kronika* trzeciego (w r. 1582, 1766 i 1845). *Goniec cnoty* drugiego (1). Inne dzieła Matysa należą do rzadkości niedostępnych ogółowi. Opisanie Sarmacyi europejskiej, które wyszło także dwa razy w tłumaczeniu polskim, a które należy do pism Strykowskiego, nie mamy wcale w nowém wydaniu. Dostrzegł Kraszewski porównyując *Gońca cnoty* z *Sarmacją*, że prawdę miał za sobą Strykowski, kiedy posądzał Gwagnina o kradzież literacką. Zdaje się więc, że to już fakt udowodniony, a Malinowski zebrawszy za i przeciw dowody, przekonywa nas o tém zupełnie. Otóż i jeszcze jedna śmieszność przeminęła dla Strykowskiego, otóż i jedna jeszcze pracowitego żywota zasługa.

O *Gońcu cnoty* rozszerzać się nie będziemy. Jestto poemat napół satyryczny, napół historyczny. W satyrze Strykowski rozwija myśl późniejszą Klonowicza z dagerotypowaną w *Zwycięztwie bogów* (Victoria Deorum). Rzecz dziwna, że szlachcic Matys Ossostowicz przymawia tak samo szlachcicie, jak mieszczanin lubelski Klonowicz. W historii *Gońca cnoty*, Strykowski spisał dawne podania o królach polskich i książętach litewskich i pomieścił swój wywód sławnego narodu sarmackiego, i krótki a dostateczny sławnego

(1) *Goniec cnoty* do prawych szlachciców, przez Matysa Strykowskiusza uczyniony, w którym są przykłady pięknych spraw mężów zacnych, postęпки Sarmatów i królów polskich, książąt litewskich i ich narodu sławnego, wywód i sprawy skuteczne zdawna w prochu zakryte, a od żadnego przedtym niewydané, od początku ich aż do dzisiejszego z łaski Bożej króla Henrika. W Krakowie. Drukowano u Macieja Wierzbity, typographa Jego Królewskiej Miłości. Roku od narodzenia Syna Bożego 1574. Cum gratia et privilegio Sacrae Regiae majestatis.

narodu litewskiego, przedtym nigdy od żadnego nieopisany. Ale wszystko co byśmy o tym Gońcu cnoty, pod względem historycznym powiedzieć mogli, nie zastąpi pięknej rozprawy Kraszewskiego, która nowe światło rzuciła na znakomitą w przeszłości naszej Strykowski postać.

Daniłowicza rozprawa przydana do niniejszego wydania trzech dzieł dziejopisarza Litwy, jako wiadomość o właściwych latopiscach Wielkiego Księstwa, jest ciekawą rozprawą, mającą może dzisiaj jeszcze wartość. Ale pokazała się podobno już po niewczasie.

Wydanie Strykowskiego miało być tylko początkiem wielkiego przedsięwzięcia, które równie jak i myśl *Biblioteki Starożytnej*, charakteryzowało naszą epokę historycznej literatury. Księgarz Gustaw Leon Glücksberg chciał się przysłużyć publiczności polskiej pracą Bohomolca i Gałęzowskiego. Dla badań, które tak rozległe w naszej chwili przybierają rozmiary, potrzeba było koniecznie nowego wydania źródłowych pisarzy. Tęj pracy miał podjąć się Glücksberg, i Strykowski wyszedł na zaczątek. Za Strykowskim miał podobno pójść Bielski, a potem inni historycy (1). Skończyło się na zagajeniu; wielka szkoda dla literatury. Za to odwleczone na czas nieoznaczony wydanie naszych starych historyków, zyska może w przyszłości. Znajdzie się może jaki uczony na wzór Malinowskiego, co porobi noty i objaśnienia krytyczne do textu Strykowskich i Bielskich. Dzisiaj wydanie na czysto dawnego textu, doprawdy jest anachronizmem. Nie samą tylko powierzchownością mają błyszczyć nasze wydania, ale jeszcze treścią wewnętrzną. Co do powierzchowności, wydanie Glücksberga także nic nie pozostawia do życzenia.

Nie możemy mówić o nadziejach, o wieściach, w piśmie poświęconém na przegląd tego, co już jest faktem i życiem. Ale jednak grzech byłoby nie zwrócić uwagi na gotujące się ogromne prace. Zdaje się, że krytycznego wydania, doczekają się najprzód nasi łacińscy, Piastowscy jeszcze kronikarze. Myślał o tém już Maciejowski i Przedziecki w Warszawie, bo mówim tutaj li tylko o Warszawie. Maciejowski ma już zupełnie gotowego do druku Bogusłałę i zajmujemy bardzo, czemu wziął się naprzód do tego kronikarza: w nim najpiérwsze podania o Lechii i Lechach, na któ-

(1) Bielski cały nie wyszedł, ale niedawno bardzo p. Sobieszczański wydał u Orgelbranda (1851): *Dalszy ciąg kroniki* tego autora, z rękopismu Stronczyńskiego. Ten *dalszy ciąg* jest nowém odkryciem. Obejmuje zdarzenia od roku 1587 do roku 1598, t. j. *Interregnum po śmierci króla Stefana Batorego albo sprawy koronne, które się toczyły w Polsce*.

rych p. Maciejowski zbudował cały systemat Pierwotnych dziejów. Przeddziecki wspomniał już nawet i o wytłumaczeniu dawnych kronikarzów na język polski, zaczawszy od Gallusa i Kadłubka. Myśl to nie nowa; wykonaniu téj myśli już przed trzydziestu laty poświęcił się Hippolit Kownacki; ale bez krytyki, potłumaczył to, co dziwne i zawikłane. Galla umiejętnie wydał w tamtych czasach Jan Wincenty Bandtkie. Ale i Bandtkie już się przestarzał, a Kownacki prawie żadnej nie położył zasługi. Przeddziecki ogromne zebrał materiały po archiwach włoskich; wiele zatem rzeczy nieznanych przyjdzie w pomoc nowym wydaniom i pracom. Znajdują się téż i u nas odkrycia. W Bibliotece Zamojskich, szczęśliwy przypadek ukazał nową, nieznaną dotąd kopią kroniki Galla, która na wielu miejscach różni się od znanych rękopisów tego kronikarza, a nawet i pod żywotem św. Stanisława zawiera nowe cuda (1). Zdaje się, że od wydania Galla, jako pierwszego latopisa, zaczęłyby się powinna krytyczna praca około źródeł dziejowych polskich, a obok tekstu isłby zaraz powinno tłumaczenie na język, w którym tym latopisom byłoby najwłaściwiej.

Materiały wydane z rękopismów Wojcieckiego. Pamiętniki i historia Raczyńskiego. Piasecki i Kochowski po polsku. Dyaryusz Chrapowickiego. Statuta wiślickie.

Skończywszy o przedrukach, z kolei mówić nam przychodzi o rękopismach, które pierwszy raz w druku ujrzaly światło dzienne w Warszawie. Nasze miasto nie może się poszczycić wielkimi zasługami na tém polu. Jeżeli idzie o samo wydanie czysto historycznych materiałów, Warszawę przewyższa pod tym względem Poznań, Lwów, a nawet Wilno, i to nietylko ilością książek wydrukowanych, ale jeszcze i samą wewnętrzną ich wartością. Znajduje się i u nas wiele rękopismów, tylko większa niedbałość, czy téż większe o nich zapomnienie, jak gdzieindziej. Z wydań poznańskich, możnaby wcale porządną zebrać sobie bibliotekę historyczną o kilkuset tomach, a przecież ta biblioteka urosła jedynie z rękopismów, które druk ocalił przed wieczną zagładą, bo za jakie pół wieku, niejednaby jeszcze może pamiętka zginęła.

Największym interesem co do samych dziejów, odznaczają się wydań warszawskich: *Pamiętniki* do panowania trzech Wazów,

(1) Album literackie Wojcieckiego T. I. str. 295.

które wydał Wojcicki (1). W przedmowie powiada zacny nasz wydawca, że rękopism jego znaleziony był w Warszawie bez początku i końca, że uderzyło go wiele ważnych szczegółów i wiadomości dla dziejów, że te szczegóły są nowe a nieznane dotąd, że wiele wypadków znajomych wyświecają te pamiętniki, że wreszcie dla tych wszystkich powodów starał się jak najusilniej ogłosić swój rękopism, jako ważny i ciekawy do historii przyczynek. Prawda, nie ma najmniejszej kwestyi, że to rękopism ciekawy, i że pożądane jego wydanie dla naszej historii. Prawda, że wiele tam drobiazgowych nawet szczegółów, wypadków i opowiadań. Prawda, że wiele w całym tém dziele pragmatyzmu i znajomości rzeczy. Na pierwszy rzut oka uderza zaraz charakter pamiętników: autor, który je pisał, to człowiek światły, bezinteresowny, to człowiek szlachetnego serca i wyższego prawdziwie poglądu na ludzi i rzeczy. Autor ten ma niezawodnie zdolności historyka, umie prowadzić zreżymie swoje opowiadania, a lubo naturalnie płacze tę nie dziejową bezładnie, dotyka tego i owego: wojny zagranicznej i rokoszu; poselstwa do Turcyi i buntu Kozaków; wszystką opowieść swoją snuje tak zręcznie i misternie, przejście od jednego do drugiego przedmiotu tak łatwe i naturalne, że nie morduje się wcale uwaga czytelnika, bo wszędzie znajduje myśl i związek naturalny wypadków. Kiedy historyk odsuwa zastłonę zdarzeń i wskazuje na stronictwa, na walkę toczoną w łonie obrad narodowych, na szlachtę zazdrosną o swoje przywileje i swobody; kiedy tłumaczy przyczyny oporu stawionego nieraz przez posłów Zygmunta III: doprawdy rozumiéć zaczynamy lepiej ludzi téj sławnej epoki. Kiedy skreśla charakterystykę osób działających wtedy na świeczniku rzeczypospolitej, kanclerzów, marszałków, albo hetmanów, i skreśla nie w ogromnych obrazach, ale w kilkunastu, w kilkudziesięciu treściwych słowach; dziwimy się, jak może mimochodem, niechcący prawie uchwycić tak dobrze za te fizyczne i duchowe rysy człowieka, że go nam zupełnie, z ciałem i z kośćmi, przedstawi. Historyk spostrzeże tak dobrze wagę natury, jak przymioty serca, a sąd, który wyda o ludziach przejdzie do potomności, bo sąd to nie podejrzany, nie lekko-

(1) Pamiętniki do panowania Zygmunta IIIgo, Władysława IVgo i Jana Kazimierza, z rękopismu wydał K. Wł. Wojcicki. Warszawa, nakładem i drukiem Orgelbranda, księgarza i typografa przy ulicy Miodowej, nr. 496. 1846 roku, tom I, str. III i 288; t. IIgł, 235. Przedmowa Wojcickiego datowana w Warszawie, 15 listopada, 1846 r.

myślny, ale obmyślony, uchwycony trafnie. Nie ma wątpliwości, że autor Pamiętników Wojcieckiego jest prawdziwym dziejopisem swojej chwili, i ubolewać tylko nam przychodziło nad tém, że nie znamy jego nazwiska.

Ale wpatrując się lepiej w tę fizyonomią pamiętników, myśmy coś sobie przypominali. Zdało się nam, że gdzieś, kiedyś, myśmy już raz spotykali te same obrazy, żeśmy się w nie wpatrywali z zajęciem. Ci książęta zbarańscy, np. Janusz kasztelan krakowski, Krzysztof koniuszy koronny i sławny poseł do Turek, doprawdy, to nasi dawni znajomi. Dwaj bracia kierowali kiedyś potężną i wszechmocną opozycją szlachty przeciw pierwszemu Wazię; te wszystkie szczegóły o nich chociaż opowiedziane tak treściwie, a jednak w całości tworzącej obraz, te wszystkie szczegóły doprawdy, są nam znajome. I nawet ta charakterystyka osób wielkich w Rzeczypospolitej przypomina nam coś: w naszych notatach mamy też same rysy, też same żywce podania... Tak, nie ma wątpliwości; Pamiętniki Wojcieckiego są pożyczone: to *Chronica gestorum in Europa singularium*, to żywce tłumaczenie sławnego dzieła biskupa przemyskiego. Dziwić się po tém, że Pamiętniki umiały tak do siebie przywiązać naszą uwagę i serce?

Rękopism Wojcieckiego zaczyna się od r. 1608 w chwili, jak powiada wydawca, kiedy drugi samozwaniec zjawia się w obozie polskim, a Maryna Mniszchówna, wzgardziwszy poważnym i szanownym stanem wdowy po Dymitrze, gburą i opoją przyjmuje jak ocalałego męża, i t. d. Nie, opowiadanie wypadków w Pamiętnikach zaczyna się właściwie od bitwy nad Chodynką, w której książę Rożyński rozbił kniazia Wasila Massalskiego. Wojciecki zaczyna od wyrazu: *napendził*, po łacinie jest *dissipavit* (na str. 254 łacińskiego textu). Po *napendził*, kropka stać powinna, bo zaczyna się inny peryod i opis skutków bitwy nad Chodynką. Ale nim do tego starcia się przyszło, drugi samozwaniec już od dziewięciu miesięcy bujał w okolicach Staroduba i Połocka na czele swoich stronników. Pod koniec roku 1607 już dobywał Kozielska, a bitwę nad Chodynką stoczono dopiero w lipcu 1608. Ubolewa p. Wojciecki w przedmowie nad tém, że w rękopiśmie nie znalazł opisu rokoshu Zebrzydowskiego i bitwy pod Guzowem, bo wnosząc ze słów Żółkiewskiego hetmana „żem przeciwko sumieniu stawał przy królu na bracią wojując”, p. Wojciecki sądzi, że opis ten byłby w duchu konfederacji, w duchu szlacheckim. Te słowa Żółkiewskiego są i w kronice biskupa na str. 260. To dowodzi, że autor rękopismu tłu-

maczył jawnie i poprostu Piaseckiego. Biskup przemyski cały opis rokосу umieścił w swoim dziele, ma więc p. Wojcicki i bitwę pod Guzowem tegoż samego pióra, ale ma w łacińskim tekście kroniki. Piasecki był przecież pisarzem bez namietności, sędzią bez uprzedzenia, i dlatego nie widać w nim wcale zapалу za stronę Zebrzydowskiego. Gdyby więc p. Wojcicki znalazł pełniejszy rękopism swoich Pamiętników, zaczynający się np. od r. 1605, byłby i w opisie rokосу nie znalazł tego, co szukał; szlachcie-tłumacz Piaseckiego, mógł co zapewne dodać do słów biskupa, ale te dodatki skończyłyby się pewnie na słowach kilku albo utyskiwaniach, i nie zmieniłyby przecież w niczym całego toku opowiadania. Nadzieje nasze zawodzą tak często!

Z tego wszystkiego, cośmy tutaj powiedzieli, płynie przekonanie, że i sam rękopism nie zawiera wcale nowych szczegółów a nieznanych dotąd, jak to utrzymywał zacny wydawca. Porównywaliśmy pilnie *Pamiętniki* z tekstem dzieła Piaseckiego: znaleźliśmy wszędzie jego obrazy, tę samą kolej opowiadania wypadków, ten sam sposób zapatrywania się na nie, nawet słowa, wyrazy też same. Tłumaczenie polskie prawie w niczym nie zmieniło oryginału: wlecz się za nim zawsze i wszędzie. Więc nie mogą być nieznanne te szczegóły, które już były ogłaszane drukiem i to nie raz, ale w kilku wydaniach przed kilkuset laty. Łatwo się było o tём przekonać, bo kronika Piaseckiego nie jest wcale bibliograficzną rzadkością. Pamiętniki Wojcickiego nie pomnożyły wcale takim sposobem naszego kapitału dziejowego, tylko podały nam w ręce książkę ciekawą, jakby przypomnienie tych bogactw, co to się kryją jeszcze w literaturze polsko-łacińskiej przed ogółu sercem i myślą. Pamiętniki rozpoznały tylko ważne swojego czasu wiadomości o panowaniu trzech Wazów w Rzeczypospolitej.

Nie chciał być przecież tłumacz Piaseckiego, prostym jedynie tłumaczem. Marzył widać o sławie autorskiej, kiedy się przystroił we wszystkie szaty oryginalności, kiedy nie przyznawał się do tłumaczenia, a imię prawdziwego autora starannie zataił; kiedy się wreszcie zdobywał na przemianę gdzieniegdzie tekstu, a do obrazów biskupa wtrącał i swoje widzimisię szlacheckie, które bardzo zdradzało jego usposobienie i widoki, goryczą i satyrą napojone przeciwko panom. Tych zmian niewiele wprowadził w tłumaczeniu, ale są one ozdobą dzieła; nadają mu jakiś charakter kontuszowy, z którym tak do twarzy literackim zabytkom dawniej Polski. Wskażemy je tutaj.

Piasecki pisał kronikę całej Europy, nie jednej rzeczypospolitój: dzieło jego, to prawdziwie synchronistyczna historia. Polskę z Europą autor łączył w jedną powiązał całość, bo wypadki nasze miały rozgłos za granicą, a dynastia Wazów nie w jednym miejscu, nie w jednym czasie dała się uczuć wpływem swoim w Europie, (może niechęć). Tłumacz oczywiście poopuścił to wszystko, co tylko nie dotyczyło się Polski, bo wziął sobie za cel napisać dzieje Wazów w rzeczypospolitój, ale nie dzieje Europy. Nie spostrzegł więc, kiedy tylko tłumaczył polskie rzeczy, że i pod rubrykami zagranicy zawierały się ciekawe wiadomości, które nas także bliżej obchodziły. Tak np. pod rokiem 1627, jest w Piaseckim (str. 397) zachowany szczegół: że Baudysz wódz, który w imieniu króla duńskiego walczył przeciw cesarzowi na Szlązku, ściśnięty zewsząd przez Walenstejna, cofał się przez powiat kościański do Marchii, a po drodze rabował szlachtę, i opata w Paradyżu Marcina Łatowskiego. Tłumacz nic o tym nie wie. Były przecież i takie rzeczy, które tłumacz umyślnie opuszczał. Piasecki lubi zbliżenia, porównania, lubi się czasami popisać z erudycją, ze znajomością dziejów starego Rzymu, z literaturą uczoną wreszcie. Cytuje np. Marcellina, mówiąc o Prucie Strabona i t. d., że nie wspomnim już uczonych wywodów Kromera; hetmanów naszych porównywa z rzymskimi. Tłumacz opuszczał zwykle te cytacje. Piasecki miał też zwyczaj dla wygody może czytelników swoich, płać do swojego opowiadania i dawniejsze wspominki, np. pod rokiem 1612, mówiąc o wyprawie Stefana Potockiego do Wołoszczyzny, liczy wojny, jakie rzeczpospolita od pierwszych jeszcze Zygmunatów staczała o tę ziemię. Ale Piasecki umieszczał takie wiadomości w nawiasach, stawiał je niby dopiski, zamiast u spodu stronicy, w texcie samym. Tłumacz wcielał te szczegóły do textu, a miało to minę znowu popisu z erudycją, tylko nie w miejscu, bo czytelnik nieuprzedzony, nie wiedząc dlaczego, przechodzi nagle od jednego przedmiotu do drugiego, żeby znowu potem do dawnego wrócić. Ztąd często w Pamiętnikach Wojcickiego i brak związku spostrzegać się daje. Piasecki umie połączyć różne wypadki, w różnych narodach, jedną wiążącą myślą; w Pamiętnikach, zdaje się, widać jakieś porozrywane kawały jednej ogromnej opowieści, spojonej sztucznie. Mówiąc np. o Hiszpanii, biskup przemyski bardzo zgrabnie przechodzi do opata Makowskiego, który bawił w Madrycie na poselstwie, a od Makowskiego znowu wraca do Polski, i ciągnie nic dalszą opowiadania (1623 roku). W Pamiętnikach tej nici wcale nie widać. Mamy i to za złe autorowi

polskiemu, że z textu Piaseckiego, opuszcza wiele nawet ważnych rzeczy, a przez to samo staje się niezrozumiałym. Tak pod rokiem 1635, z powodu poselstwa Ossolińskiego do Rzymu, biskup rozwodzi się nad stosunkami duchowieństwa polskiego do rzeczypospolitej. Pamiętniki zamilczały o tym ważnym przedmiocie. Kiedy w inném miejscu, autor polski mówiąc o śmierci biskupa Kuczborskiego, który ogromne pieniądze zapisał królowi, powiada, że miejsce jego w Płocku zajął Cielecki, a w Chełmnie Zadzik: czytelnik widzi, że tutaj jakieś nieporozumienie; w Piaseckim tymczasem, znajduje się wiadomość, że Kuczborski był wtedy nominatem na biskupstwo płockie z chełmińskiego, czego polski tłumacz nie dojrzał. Takim sposobem przeoczył autor polski, i wiadomość o spaleniu się Gniezna, w kwietniu 1613 (Wojcicki tom I, str. 42. Piasecki str. 284).

Ma tłumacz wyraźną słabość przerabiania dzieła łacińskiego, na dzieło oryginalne, i z tego powodu nowe w nim powstały zawiłkiania. Jeżeli Piaseckiemu zdarzy się kiedy, opowiadanie zaczęte zawiesić, albo odnieść do roku przyszłego, tłumacz tego nigdy nie robi, i zająwszy pod rok następny, przerabia zaraz text biskupa stosownie do swoich widoków, całą sprawę wywodzi i pląta wypadki; bo zaciągnawszy się z roku jednego w drugi, kończy wprawdzie jedną materyą, ale wraca do opowiadania dawniejszych zdarzeń już nie w chronologicznym porządku. Tak np. Piasecki mówiąc o wojnie Władysława królewicza z Rosyą, pod rokiem 1618, (str. 309), wspominał coś i o roku 1619, a tłumacz cały ustęp wyjął z właściwego miejsca, żeby go wsadzić gdzieindziej (str. 63). Przyczepił się potem, ni ztąd ni zowąd do Żółkiewskiego, i nieostrożny czytelnik mógłby sądzić, że przebiega już wydarzenia z roku 1619, kiedy po dwóch kartkach znowu liczbę 1618 napotyka. Od str. 66, zaczyna się właściwie w Pamiętnikach Wojcickiego historia r. 1619. Takie rzeczy łatwo przeoczyć, bo i w texcie łacińskim Piaseckiego są lata, o których bardzo mało powiedzieć się dało: dwie, trzy karty najwięcej; tłumacz wyrzuciwszy z obrazu Europę, skrócił jeszcze i tak treściwość opowiadania, a lata te właśnie (około r. 1617 do 1621) przemijają tak prędko w Pamiętnikach, jak malowidła kameryobskury. Gdyby wydanie pana Wojcickiego było krytyczne, opuszczenia te i błędy można było łatwo sprostować. Ale zacny nasz wydawca dał nam poprostu tylko text znalezionej rękopisem, nie więcej.

Kronika Piaseckiego, jak wiadomo, kończy się na roku 1638. Od tego czasu przebiega biskup przemyski w krótkości tylko dzieje

Europy, ale polskie doprowadza aż do roku 1648, to jest do śmierci króla Władysława. Tutaj i w samym texcie łacińskim poplątane są podania: widać, że pod koniec pisał biskup swoje dzieło tak, jak mu pamięć starczyła i poddawała obrazy, ale bez nakreślonego już planu. Ściśnięty, więcéj niezrozumiały jest pod koniec, bo nic nie rozwija; owszem zdaje się, że jakby cenił każde swoje słowo, jakby się bał żeby nie powiedzieć zawiele. O śmierci króla kilka wyrazów. Nasz autor tłumaczy tutaj słownie Piaseckiego, plątając wypadki, ale kiedy się zbliżył do roku 1648, staje się jakoś gadatliwszym, więcéj rozmaitym i ciekawym, bo już wtenczas innego chwycił się źródła, jak to za chwilę zobaczymy.

Że tłumacz polski starał się zacierać wszelki ślad swojej kradzieży literackiej, to zdaje się bardzo oczywista. Piasecki czasem rozprawia i o sobie w kronice. Mówi np. o swoich urzędach, o biskupstwie kamienieckim, chełmskim i przemyskim, o tém, że odradzał królowi posyłać flotę przeciwko Szwedom na morze, kiedy Zygmunta do tego nierozumnego kroku namawiał poseł hiszpański; że potém w lat kilka, on sam jeden stanął w radzie królewskiej przeciw wszystkim biskupom rzeczypospolitej, dowodząc, że Władysław IV żenić się może z księżniczką luterskiego wyznania, i że tém wcale nie ubliży prawom narodowym. Biskup mówi wszędzie o sobie *ja*; ale autor nasz mimochodem tylko o nim zawsze wspomina. Biskupstwo kamienieckie dostał Piasecki w dzień rozejścia się apostołów, to jest d. 15 lipca 1627 r. w rocznicę boju pod Grünwaldem. Tłumacz nie osądził za rzecz stosowną napisać te wspomnienia, niby kamienie drogic, do swojego textu. Mało téż pisał i o radach biskupa przeciw wysyłaniu floty na morze, a z textu Piaseckiego widać, że król możeby jój nie wysłał wcale, gdyby nie odjazd biskupa do dyecezyi (str. 394 u Piaseckiego, u Wojcieckiego I, 139). Dla niepoznaki jeszcze, wspominając i o śmierci królowej Konstancyi, tłumacz odsyła ciekawych do kroniki Piaseckiego, żeby tam przeczytali cały napis grobowy nad trumną zmarłej.

Za małe opuszczenia i nieostrożną czasami plątaninę zdarzeń, tłumacz Piaseckiego sownie wynagradza swojego czytelnika dodatkami, które porobił w oryginalnym texcie kroniki. Biskup przemyski pisał dla druku i dla całej Europy. Za granicę posłał drukować nawet dzieło swoje; ale autor polski pisał w ciszy swojego mieszkania, może zdala od wielkiego świata, w spokojnej wiosce, może téż dobrze i po czasach królów Wazów; mógł zatém więcéj otworzyć się ze szlacheckim swoim zdaniem. Piasecki oczywiście kompromito-

wał się nie chciał, i lubo miał niepodległy sposób myślenia, i śmiało zawsze mówił, co myślał, wstrzymywał się cokolwiek w piśmie, bo co innego prawie w radzie królewskiej, a co innego drukować dla całego świata. Słowa ulecą z wiatrem, pismo zostanie. Słowo chociaż niepodległe, ujdzie, ale wcielone w druk, przybiera nieraz postać paskwilu. Dlatego Piasecki nienamiętny wcale w swojej kronice, dlatego w autorze polskim widać wszędzie myśl szlachecką pożądaną, poszukiwaną przez badaczy, bo jest zawsze wyrażeniem stronnicej myśli młodszych braci w Rzeczypospolitej. Pamiętniki nie kryją się wcale, ostro przymawiają osobom i rzeczom, do charakterystyki znakomitych ludzi przydają wiele ciekawych spostrzeżeń, a więc świeżości poglądu i barwy. Charakterystyka np. Zygmunta IIIgo (u Wojcickiego str. 164 — 167) należy zupełnie do naszego autora: trudno się z nim nie zgodzić, kiedy tam w całym jego obrazie prawda historyczna. Nasz szlachcic powiada słusznie, że przyczyną wszystkich nieszczęść Rzeczypospolitej za Zygmunta IIIgo była ta okoliczność, że król pochodził z cudzej ziemi. Zrosły w nałogach obcych i wyobrażeniach, nie mógł się nagiąć tak prędko do charakteru polskiego, do praw Rzeczypospolitej. Dlatego Estonii odstąpić nie chciał Polsce, a stracił Szwecyą, dlatego obraził naród, kiedy się żenił z księżniczkami rakuskiemi, dlatego rokosz zwalczać musiał, i zwodził ogromne bitwy ze Szwecyą, i tracił jedno za drugim; dlatego pomagał cesarzowi w wojnie trzydziestoletniej, chociaż naród potępiał to nietrafne wdanie się w sprawy Czech i Węgier, naturalnych sprzymierzeńców Rzeczypospolitej przeciw Austrii; dlatego nareszcie wplątał się w wojny z Turczyńcem, na których zginął kwiat rycerstwa polskiego. Czytelnicy przypominają sobie to, cośmy napisali niedawno o królu Zygmuncie, mówiąc o *żywocie Krzysztofa Pieniążka*. Myśmy nasz obraz zrysowali z pamięci, i jakżeż dobrze tuamez kroniki Piaseckiego w pomoc rozumowaniom naszym przychodzi! Surowy i ostry w swoim sądzie, on, jak Pieniążek, oskarża tylko panów, którzy „pochlebając królowi fakcye robią, jeden na drugiego intryguje, sposoby sami podają do oppresiej, byle sobie zjednali kredyt, a intratnych królewszczyzn nachwyłali, honorów najwyższych dostąpili; dobrem ojczyzny, ojczyznę gubią.” Nie był w samej rzeczy Zygmunt dobrym królem Rzeczypospolitej, ale to, jak mówiliśmy, wina panów, którzy go gwałtem trzymali w Polsce. Miał wprawdzie pierwszy nasz Waza wiele uporów, a ta wada charakteru psuje wiele dobrego w człowieku, był przecież na to środek; ale tylko jeden Zamojski umiał królem kierować, lecz potem panowie mu nieprzyjaźni uderzyli

w intrygi na dworze krakowskim. Kanclerz zbурczał dawniej biskupa Baranowskiego, że zatrzymał w Rewlu Zygmunta, kiedy król młody chciał Polskę porzucić na zawsze i wrócić do ojca; a przecież potem następca jego polityki, przyjaciel zaufały kanclerza, hetman Żółkiewski, przeciw sumieniu stawał za królem, na bracią wojując. Nie oskarżamy pamięci wielkiego męża poległego pod Cecorą: sławne to imię jeszcze przeżyje wieki, ale hetman może źle rozumiał swoją powinność. Człowiek, który jak Zebrzydowski zwoływał pospolite ruszenie szlachty pod Lublin, pod Sandomierz, Stępcę; człowiek na którego głos powstawało nagle ogromne wojsko, i szło posłuszne skinieniu wodza: człowiek taki nie był prostym tylko przywódcą rokoszu. Sam Zebrzydowski mógł służyć pomimowolnie cudzym widokom, mógł być narzędziem zdolniejszej głowy, ale w konfederacyi jego widziała szlachta zbawienie Rzeczypospolitej: to zdaje się widoczne. Nie przymawiamy też konfederacyi, ale Zebrzydowskiemu, który uwodził się prywatą dowodząc szlachcie. Król Zygmunt był już wtenczas bez opieki, bez stróża, któryby mu śmiało powiedział w oczy prawdę, i dlatego pozwolił na rozlew krwi pod Guzowem, a całą burzę mógł przecież jednym słowem poskromić. Otaczali go już wtedy nie senatorowie, ale dworacy i pochlebcy. Jeżeli więc zblądził, nigdy przez złe serce, ale przez nieświadomość, przez brak przyjaciela, któryby go oświecił. Zygmunt w roku 1607 był jeszcze cudzoziemcem dla Polski. Ale dodaje nasz autor: „lubo tak wielkich przysmaków użyła Rzeczpospolita przez obranie cudzoziemca, jednak dla honoru swego narodu, wygnańca dla wiary świętej katolickiej z państwa jego wieczystego królestwa Szwecyi, prowidowała z honorem i z familią tak liczną, nie opuszczając, konserwowała albowiem przez lat 45. Poznawszy naturę i upór jego, oraz król Zygmunt naturę i rezolucyą Polaków przy obronie praw i swobód polskich spenetrowawszy żył w zgodzie. Ztąd się w nim na starość Rzeczpospolita zakochała i w dzieciach jego, albowiem był pan majestatu pełen, statura poważna, przeciwnościami żadnemi niewyciężony, poczciwość kochający, dotrzymujący słowa, a najbardziej, że katolik prawdziwy, sumienia dobrego, nabożny i bogobojny pan, ledwo ku końcowi naturę cudzoziemską w obyczaje polskie przelamał, a temi Polaków za serce ujął i w owych afekt i miłość zniewolił sobie i dzieciom swoim.”

Czyż to nie piękna, nie zasłużona dla króla Zygmunta IIIgo pochwała?

Bardzo wymowne i nauczające także skargi rozpościera nasz autor na panów Rzeczypospolitej, kiedy na sejmie elekcyjnym 1632 r.

wniesiono po raz setny już materyą rozdawania zasłużonym starostw i królewszczyzn. Piasecki napisał o tém wszystkiém 15 wierszy, a w Pamiętnikach cała rozprawa. Jedni posłowie podawali wnioski, drudzy je zbijali, przerabiali, bo chcieli napisać takie prawo, żeby już tłumaczeniu panów w żaden sposób podlegać nie mogło; i nareszcie odłożyli całą sprawę do koronacyi, a „tam ministrowie i faworyci nie dali sobie z rąk wydrzcć tego.... Królewszczyzny żołniérz ani szlachcie nie może się domieścić, chyba co z nosa spadło familiantom. Wcześniej przez *jura communicativa* białogłowy wynoszą królewszczyzny, dzieciom w kołyskach one transfundując, a żołnierski chléb, królewszczyzna, rzadko albo nigdy żołnierzowi i zasłużonej szlachcie nie dostanie się, wpadłszy w ręce familiantom” i t. d. „Lepiejby skasować, mówi autor, *jura communicativa*, i królewszczyzny wszystkie na żołąd żołnierski obrócić, tylko pewne pensye z nich wyznaczyć senatorom, urzędnikom, ministrom, jako się dzieje w Hiszpaniej, Francyej, także inszych narodach.”

Wyrazy te wyjęte zapewne z ust wszystkiéj szlachty. Któż nie wie, ile złego były przyczyną te starostwa bogate, których tak było wiele po wszystkich zakątkach rzeczypospolitéj, a do których sięgali ci przedewszystkiém łakomą ręką, co mieli i dobra rodzinne i urzędy, i tytuły, i łaski u dworu. Zagarnąć chcieli pod siebie wszystko, nawet chléb zasłużonych w królewszczyznach. Dwa to wyrazy i dwa kłamstwa były w rzeczypospolitéj. Chléb zasłużonych brali zawsze niezasłużeni, chyba pod jednym tylko Stefanem Batorym działało się inaczej; a cóż znaczyło to puste na wiatr porzucone słowo *królewszczyzna*? kiedy król miał do swojej niby ziemi to jedynie prawo, że mógł ją komuś oddać za swoim przywilejem, a panowie krzyczeli jeszcze, że przywilój tak późny.

Później, kiedy Władysław IVty myślał o jakicheiś zamiarach reformy i chciał dlatego wplątać rzeczypospolitą w wojnę z Portą Otomańską, nasz autor ostro odzywa się o tych chęciach, a Piasecki nie prawie o nich nie wspominał.

Trudno iść za ciągiem powieści autora polskiego i wskazywać na wszystkie różnice między nim, a oryginalnym tekstem łacińskim. W ogólności trzeba powiedzieć, że nie Piasecki na małych zmianach zaprowadzonych w swoim dziele nie stracił. Gdybyśmy nie wahali się zrobić zbyt śmiałego porównania, powiedzielibyśmy, że *Pamiętniki* to takie tłumaczenie, jak dzisiaj wszystkie przekłady Syrokomli. Piasecki chociaż pisze o Polsce, wygląda zawsze jak cudzoziemiec;

samochcąc ubrał się w jakąś dziwną, obcą szatę. Już nie mówim o jego erudycyi i porównaniach wziętych z historii rzymskiej, ale same nazwiska techniczne urzędów naszych i dygnitarzy, biskup przemyski tak dziwnie potłumaczył, że wyglądają wcale inaczej, jak we wszystkich innych dziełach naszych łacińskich. Piasecki ma właściwą zupełnie sobie terminologią. Podkomorzy u niego nazywa się *Praetor finium regundorum*, podskarbi *praefectus aerarius*, podkomorzy nadworny *Camerae regiae Praefectus*, hetman *Praefectus armorum generalis* i ten jest *major* albo *minor*. Porucznik u Kochowskiego nazywa się *optio*, a w Piaseckim *vicarius*. Nieraz zamęt, bo jeden urząd dwojako, nawet trojako uczczony, i nieostrożny czytelnik zwodzić się może. Nasz tłumacz używa właściwych wyrazów i znajomych w rzeczypospolitej. Nie ma u niego tego zamętu i niepewności. A przytém dobrze włada językiem dosyć czystym i malowniczym. Duch jego czysto szlachecki, opowieść żywa, kiedy opisując napady Tatarów, mówi o podjazdach, czambułach i Jedykule (u Piaseckiego *Praecursores*, *incursiones*, *turris nigra*); zdaje się, że żyjem wpośród tych stepów wystawionych na łup i jassyr, a nie w tym jakimś uczonym i konwencyonalnym świecie, który nam wystawił Piasecki. Pamiętniki nie tłumaczą żywcem, nie przywiązują się do słowa kroniki, i dlatego wszelka w nich swoboda; dlatego zdaje się, że to dzieło oryginalne. Ma i autor Wojcickiego wiele wyrazów łacińskich spolszczonych, a raczej z zakończeniem tylko polskiem; zachowuje nawet w tych wyrazach pisownię łacińską, pisze np. podpadł pod paeny, a o Żółkiewskim Piaseckiego wyrażenie *in omnibus historiis versatissimus fuit*, wyklada: „bo wszystkie historye spenetrował;” to przecież podnosi jego oryginalność, a uroku wcale nie psuje.

Za jedném odkryciem następuje drugie. Powiedzieliśmy, że autor Pamiętników pod koniec panowania Władysława IV więcej zawiera szczegółów, jak biskup przemyski. W Piaseckim jeszcze ani wzmianki o Chmielnickim, a w Pamiętnikach ta wielka historyczna postać już całe stronnice wypełnia. Autor polski przerabiał jednego autora, przerabia zatém niezawodnie i drugiego, a temu drugiemu więcej nierównie jak Piaseckiemu starczy wątku, więc i fizyonomia dzieła nagle się zmienia. Od r. 1648 już nie wyrwane kawały, już nie ułamki, nie sklejne jakiéjsz całości, ale ciągnie się powieść jedna, wielka, także ożywiona, ale pełniejsza, obszerniejsza, cała mozaika niezmiernéj wagi wypadków. My także znamy zkądcis tę powieść; tak, to Kochowskiego Klimaktery.

W istocie pod koniec pierwszego tomu, i cały tom drugi Pamiętników, jest znowu tłumaczeniem Kochowskiego; tłumaczeniem także przerabianém, ukrywaniem, udawaniem także za dzieło oryginalne. Rękopism Wojcickiego kończy się śmiercią Tymoszki, który wojował na Wołoszczyźnie, i pokojem, który jego ojciec Bohdan Chmielnicki zawrzeć musiał w obozie pod Soczawą w dniu 9 października 1653, to jest zawiera lat pięć rządów ostatniego Wazy.

Zajrzeliśmy do *Historyi panowania Jana Kazimierza*, którą wydał Raczyński z rękopismu w dwóch obszernych tomach, żeby porównać Pamiętniki nasze z tym nowym opisem ciekawej bardzo epoki. Pokazało się, że tom 2gi Wojcickiego, a pierwszy Raczyńskiego, zaczynające się od roku 1648, jedno i też same zawierają rzeczy, wyraz w wyraz. Poszliśmy dalej i porównywali Raczyńskiego z Kochowskim, zwłaszcza od roku 1662 aż do abdykacji Jana Kazimierza. Nie ma wątpliwości: to tłumaczenie Klimakterów, całe i umiejętnie.

Raczyński, jak wiemy, przerabiał także sam swoje wydania. Nieraz wyszło to dzieło na dobre, kiedy nie trzymając się dziwnego przesądu, że dawnych rękopismów tknąć się niewolno, a trzeba je drukować jak są, nawet z błędami z wysłowienia i rzeczy, tłumaczył wyrazy łacińskie rękopisów, styl wygładzał, język przybliżał do toku potocznej naszej rozmowy. Taką metodą wydany Pasek, zyskał powtórnie na wartości, i jego dzieło było tak nowe, tak piękne, że uderzyło nas, jakby nadzwyczajne jakieś odkrycie, któremuśmy długo wierzyć nawet nie chcieli, sądząc, że to podrobienie, że to wesola igraszka z uczonych historyków i z czytającej naszej publiczności. Byłoby to wszystko bardzo dobrze, gdyby Raczyński te jedynie zmiany zaprowadził w swoich wydaniach. Ale on nieraz umyślnie kosił text, opuszczał całe wyrażenia, pomijał niejedyn opis, żeby zataić prawdę, która obrażała jego sposób myślenia, albo konwencyonalne pojęcia wyższego świata. Ztąd wiele niewiary dla jego wydań.

Ale przy pamiętnikach Wojcickiego, łapiemy go na gorącym uczynku. Czasy to zaodległe od naszej chwili, i dlatego nie widzimy w Raczyńskim umyślnego skażenia textu, ale oczyszczenie textu radykalne i wcale pożądane. Wojcicki drukował swoje Pamiętniki z jakiegoś rękopisu pełnego błędów, nawet ortograficznych. Rękopism Wojcickiego nie był oryginałem, ale złą widać i nieumiejącą kopią. Może z tego powodu pochodzą i te przeoczenia i ta plątanina obrazów, na którą wskazaliśmy wyżej. W Wojcickim przecinkowanie niegodziwe, nie pozwoli nieraz uchwycić sensu i zdrowej myśli. Ra-

czyński poprawił te wady swojego rękopismu, jeżeli były w jego kopii, inaczej ułożył ustępy; tam gdzie wyrazu nie rozumiał, radził się sądu własnego i stosownie do myśli przywracał text prawdziwy. Tam gdzie Wojcicki np. wydrukował: „do zajonczku się zabierali (tom Iszy, str. 24), u Piaseckiego jest *nexus*, to wyraźnie *związek*, nie *zajączek*. *Szpansretery* Wojcickiego, Raczyński wyłoży na *ostrokoły*. *Puszy*, to będzie pasza (dla koni), *po niedoborze*, to będzie po *Dniestrze* (Raczyński str. 123, Wojcicki str. 136). Imiona własne źle wyrażone u Wojcickiego, Raczyński poprawi; np. Dynoff to Denhoff, podkomorzy miaslawski, to podkomorzy mścislawski. Pamiętniki mówiąc o bitwie Stefana Potockiego na Wołoszczyźnie pod rokiem 1612, twierdzą, że zaszła „na miejscu Sasowy Rohna zwanym” (tom Iszy, str. 37). Czysty kalembur, bo należało wydrukować: „na miejscu Sasowy Roh nazwaném”. Wszakże sławne to imię w dziejach wojennych Rzeczypospolitej. Raczyński pewnoby takiego błędu nie wydrukował, choćby go znalazł w Pamiętnikach.

(Dalszy ciąg nastąpi).



ZAKLĘCIA:

(Z LUDOWYCH POEZYJ SERBSKICH).

Pprzed wrotyma, na drawnianej ławie,
Siedział w wieczór Konstant Jakubowicz;
Przy nim jego niewiasta Miliada,
A syn mały igrał z ojca szablą.
Wtém od lasu obcy człek przychodzi,
Dłoń podając przyjaźnie ich wita;
Obcy, zdał się z postaci młodzieńcem,
Lecz włos szarzał, ómawy był wzrok jego,
Błade wargi i chwiejące kroki.

— „Mój ty bracie w Bogu—rzekł przybylec—
Pragnę strasznie, podaj mi się napić.”

I Miliada poskoczywszy chyżo,
Wnet powraca z mlekiem i gorzałką.

— „Bracie! powiedz, co to za pagórek,
Tam przegląda zniędzy drzew zielonych?”

— „Snać, żeś jeszcze (Konstanty odповіć)
W téj nieświadom całej okolicy,
Gdyś naszego nie poznał ementarza!”

— „Tu więc spoczne! (zawołał gość). Czuję,
Śmierci mojej nadchodzi już chwila.”

I odjąwszy z siebie pas czerwony,
Ranę krwawą, głęboką odslania.

— „Ode wczora, turecka ot kula,
Tkwi mi w piersi, że ani żyć dłużej,
Ani dotąd umrzeć z nią nie mogę.”

Jakubowicz opatruje ranę,
A Miliada wspiera gościa ramię.

— „Smutne było życie me (wzdychając
Rzecz młodzian) smutna i śmierć będzie;
Na tym wzgórku pogrzebicie me ciało,
Bo za życia mąż był ze mnie dzielny,
Zdolny władać najcięższym orężem.”

I na ustach jego błysnął uśmiech...
Wtém mu na wierzch wystąpiły oczy,
I zwisnęła nagle na pierś głowa.

— „Mężu drogi! pomóż mi go wspierać!
Strasznie cięży ten człowiek; już sama
Nie podołam z nim” rzecze Miliada,
A Konstanty poznał, że gość skonał.

* * *

Na swojego konia złożył ciało,
I na cmentarz blizki zaprowadził,
Nie zważywszy: zechceli święcona
Ziemia, przyjąć odszczepieńca ciało?
I na wzgórku otwartym mogiłę
Wykopawszy, pogrzebł w niej zmarłego,
Z mieczem jego i nożem u pasa,
Jak przystało chować wojownika.

W tydzień czasu po owym dniu smutnym,
Zachorzało dziecię Konstantego;
I co niegdyś biegało tak rade,
Teraz blade obliczem, niezdolne
Wstać, leżało smutne na rogożach.
Aż Opatrzność przywiodła do chaty
Pustelnika z sąsiedniego lasu.

— „Dziwno (rzekł on) zło na dziecko padło!
Patrzcie! oto upiorzega zębu
Znak na szyi, ta czerwona plama.”

I dobywszy z torby swoje księgę,
Poszedł z całą rodziną na cmentarz;
Tu odkopać rozkazał mogiłę,
W której obcy spoczywał wojownik.

Trup się czerstwy i świeży pokazał,
Włos i broda urosły mu długie,

I paznogie jak jastrzębie szpony.
 Krwią zbroczone były jego wargi,
 I grób cały pełen krwi czerwonej.
 Jakubowicz chwycił osikowy
 Kół, i przebódl nieboszczyka ciało.

Patrz! i oto trup zawrzasnął głośno,
 I zerwawszy się uciekł do lasu;
 Żadenby koń zgonić go nie zdołał,
 Tak spłoszone pierzchało widziadło.
 Przed nióm gięły się gałęzie młode,
 A konary grube drzew ogromnych
 Łamały się, i waliły z trzaskiem.

Świętobliwy pustelnik wziął wtedy
 Krwi i ziemi z upiora mogiły,
 Tarł nią ciało chorego chłopięcia,
 Toż czynili dziecięcia rodzice.

Gdy wieczorna przyszła pora, rzekli:
 „Właśnie o tój zmarł obcy godzinie.”
 Aż ci, ledwie zdążyli wymówić,
 Pies zaszczekał, i pod pana nogi
 Skrył się jeżąc; wtóm, drzwi się otwały,
 I do izby, schyłony wszedł olbrzym,
 Siadł na ziemi skrzyżowawszy nogi,
 Głową belek pułapu sięgając;
 Szydny wlepił wzrok w Jakubowicza.
 Ten, upiora owładnięty czarem,
 Nie mógł oczu od niego odwrócić.

Lecz pustelnik otworzył swą księgę,
 Rzucił w ogień gałąź rozmarynu,
 I dym dmuchnął naprzeciw widziadłu,
 Zaklinając je w Jezusa imię.
 Upiór począł drżéć na całym ciecie,
 I spłoszony wybiegł ze drzwi chaty,
 Jak wilk trwożny przed strzelca pogonią.

Na wtory dzień, o tójże godzinie,
 Pies zaszczekał, wrota się otwały,
 I mąż zwykłej człowieczej postaci,
 Wszedłszy do dom, siadł wpośród świetlicy,
 Wzrok utopił w Konstantego lieu,
 Chcąc go urzec. Lecz pustelnik znowu
 Jął się swoich zaklinań, i znowu
 Widmo pierzehło, powtórnie spłoszone.

Na dzień trzeci, o téjże godzinie
Karzeł w chacie zjawił się tak mały,
Żeby szczur mu wierzchowcem mógł służyć.
Ale jego źrenice pałały
Dziko, niby dwie smolne pochodnie.
Lecz pustelnik rozpoczął zaklęcia,
I widziadło przepadło na zawsze!

R. Z.



ROZBIÓR KRYTYCZNY

DZIEŁA P. WALENTEGO DUTKIEWICZA, POD TYTUŁEM:

PRAWO HYPOTECZNE W KRÓLESTWIE POLSKIM.

PRZEZ

C. Ł.

Dzielo pana Dutkiewicza zawiera wykład *leazwistyczny* naszego prawa hipotecznego. Wypracowane szczegółowo, obszernie, przedstawiające najważniejsze praktyczne kwestye, stanowi ono epokę w polskiej literaturze prawnej. Dotąd nie mieliśmy żadnej pracy naukowej drukiem ogłoszonej, tak zupełnie zaspokajającej.

Główną zaletą autora jest jego samodzielność. Chociaż obeznany z literaturą prawną francuzką, i chociaż często cytuje *Trop-Longa*, którego obrał sobie za wzór, i innych znakomitych jurystów, wszelako rzadko trzyma się ich zdania i właściwym sobie postępuje torem.

Lecz do krytyki należy nie tylko wykazać dobre strony autora, ale szczególnież zwrócić uwagę na jego niedostatki, aby pobudzić wstępujących w jego ślady do staranniejszego przedmiotu wypracowania.

Czytając z uwagą dzieło pana Dutkiewicza, przedewszystkiém nastrecza się zarzut, iż autor nie tylko na czele swego komentarza nie podał zasad *interpretacji* i stosowania prawa, ale nawet że ich sobie należycie nie wyrobił. Praco zaś tego rodzaju okazywała się niezbędną ze względu na okoliczności, wpośród których układany był i przedstawiany projekt o hipotekach.

Przed wprowadzeniem kodexu cywilnego francuzkiego do Królestwa, obowiązywało w niektórych guberniach prawo pruskie i pruska hipoteka.

Dogodność jej powszechnie była uznana i było życzeniem nawet pod panowaniem kodexu, wrócić się do zasad hipotecznych poprzednio obowiązujących. Lecz przepisy kodexu cywilnego spoczywają na zasadach przeciwnych prawu pruskiemu, i zostając z niemi w związku hipotece. Prawo pruskie albowiem otacza ważniejsze akta formami i dąży do tego, aby czynności ile można były zawierane ważnie i nie ulegały wzruszeniu. Prawo francuzkie zaś zmierza do ułatwienia każdemu zeznawania czynności cywilnych, i przede wszystkim nie chce tamować szybkiego obiegu praw majątkowych, zostawiając późniejszemu rozpoznaniu stron i sądów rozwiązanie wyniknąć mogących trudności.

Również przeciwnymi są zasadom hipoteki pruskiej przepisy obowiązującego prawa cywilnego i postępowania sądowego francuzkiego; według pierwszej, sąd zwykle działa z urzędu; według procedury francuzkiej, instrukcja interesów pozostawiona jest stronom i ich obrońcom.

Aby nowe prawo hipoteczne nie doznało żadnych trudności w wykonaniu, przed ogłoszeniem onego wypadało rozebrać wszystkie przepisy obowiązującego prawa cywilnego i postępowania, i uchylić lub zmodyfikować wyraźnie te, które zostawały w sprzeczności z hipoteką. Lecz w owym czasie napisanie tego przechodniego prawa było nader trudnem, a może i niepodobnem; już bowiem wtedy zamierzano przerobić całe prawodawstwo cywilne, z wielu względów niedogodne; nie chciano się przeto wiązać częściowymi zmianami; lękano się także, aby jawne wzruszenie zasad kodexu francuzkiego, nie zaszkodziło przeprowadzeniu przez sejm projektu; dlatego nawet unikano w nim szczegółowego rozwinięcia zasad, któreby mogły ściągnąć zarzut zbyt licznych komplikacyj. Rachowano przeto na współdziałanie sądów i na przejęcie się ich widokami prawodawcy.

Oprócz tego w naszym prawie hipotecznem, opartem na zasadach pruskich, przyjęto niektóre niezupełnie z nimi zgodne przepisy hipoteki francuzkiej; a mianowicie hipotekę sądową bez należytego jej rozwinięcia. Powstały ztąd liczne trudności, których rozwiązanie wymaga stałych i jednostajnych zasad.

Nie wchodząc w szczegółowy rozbiór zasad interpretacji, ograniczymy się na wskazaniu niektórych rezultatów, odnoszących się mianowicie do naszego prawa hipotecznego.

Naprzód, nie ulega wątpliwości, iż nowe prawo uchyla przepisy poprzednio obowiązującego nietylko *wyraźnie* mu przeciwnie, ale i takie, które utrudniają jego wykonanie, a także sprzeciwiają się jego widokom. Uważać przeto należy za uchylone we względzie hipotecznym wszystkie artykuły kodexu francuzkiego niezgodne z zamiarem prawodawcy, który chciał ustalić prawa własności i prawa rzeczowe, poddając roztrząsaniu sądowemu tytuły nabywania, obciążenia i umorzenia, i stanowiąc *ujawnienie* ich w księdze hipotecznej.

Powtóre, z okoliczności, wśród których prawo hipoteczne było układane, wynika, iż nie było zamiarem prawodawcy zmieniać kodex cywilny, o ile jego postanowienia nie ściągały się do praw hipotecznych, i że te przepisy, wyjąwszy wyraźnie uchylonych, pozostały w swój mocy.

Nakoniec, ponieważ prawo pruskie było źródłem naszej hipoteki, przeto niedostatek w niej przepisów *drugorzędnych*, czyli szczegółowych, rozwijających główne zasady, należy zawsze uzupełniać przepisami hipoteki pruskiej. Jeżeli prócz tego zgodzimy się, iż każdy artykuł prawa przedstawiający się nam w znaczeniu wątpliwym, powinien być stosowany w rozumieniu najwięcej odpowiedniem ogółowi zasad, najmniej niedogodnym i nieobrażającym ani uczucia sprawiedliwości, ani zdrowego rozsądku: w takim razie otrzymamy dostateczne kryteria dla ocenienia licznych wątpliwości, napotykanych w naszym prawie hipotecznym.

Zobaczmy, jak dalece autor trzymał się w swój pracy owych zasad interpretacji i stosowania praw, i zacznijmy od prawa własności.

Według prawa francuzkiego, legityma czyli część obowiązkowa zapewniona dla dzieci i wstępnych, mocniejszą jest od prawa służącego właścicielowi rozporządzać rzeczą (art. 950); każda darowizna uczyniona przez obowiązane do legitymy, może być krytykowana przez jego sukcesorów linii prostej i na ich żądanie uchylona; nieruchomości darowane mogą być windykowane przez nich nawet wtedy, gdy przeszły w ręce trzecie.

Nadto, darowizna uczyniona przez osobę bezdzietną upada z mocy samego prawa, jeżeli darujący będzie miał potomstwo. Powstaje zapytanie: jak dalece to górujące stanowisko legitymy nad prawem własności, utrzymaném zostało obok prawa hipotecznego? Autor utrzymuje (§ 46), że gdy dobra nieruchome zostaną darowane, prawa sukcesorów obowiązkowych nie potrzebują być objawia-

ne w wykazie hipotecznym, i że pomimo tego służą one przeciw trzecim nabywcom.

Zdanie to, mogące w zastosowaniu sprowadzić wielkie niedogodności, nie jest bynajmniej uzasadnione. Śmiało można powiedzieć, iż w razie przyznania w całej rozciągłości mocy obowiązującej przepisom Kodexu Cywilnego obok hipoteki, nie byłoby żadnego bezpieczeństwa hipotecznego, i większa część dóbr nieruchomości byłaby usunięta z pod porządnego obiegu; słowem, z postępem czasu wrócilibyśmy do tego chaosu, z którego usiłują teraz wyjść Francuzi.

Skoroby tylko od roku 1818 jakie dobra były darowane, nie możnaby było na nich zaciągnąć z pewnością ani pożyczki z Towarzystwa Kredytowego, ani ze skarbu, ani ich sprzedać: bo wszystkie te akta, według teorii autora, mogłyby uleść wzruszeniu przez skargę successorów obowiązkowych. Skarga zaś ta służy im przez lat 30 i przez małoletność może być przedłużoną. Jurysprudencja francuzka nadto przyznaje możność wytoczenia skargi przeciw darowiznom pokrytym formą udanych sprzedaży.

Taka niepewność w prawie własności hipotecznie zabezpieczonym, sprzeciwiałaby się zamiarom prawodawcy, który chciał doprowadzić do matematycznej pewności wszelkie nabycia i cały ruch w prawie rzeczowym. Lecz nietylko ogólne względy, ale i wyraźne przepisy prawa, przeciwne są zdaniu autora.

Artykuł 30 prawa hipotecznego stanowi: „Po uznaniu zwierzchności hipotecznej, iż tytuł nabywcy żadnemu nie podlega zarzutowi, i po zapisaniu treści tytułu do wykazu hipotecznego, tenże nabywca uważanym jest w czynnościach z trzecim o dobra nieruchome zawieranych, za istotnego właściciela.“

Cóż tu znaczy istotny właściciel? Właściciel taki, za jakiego uznała go zwierzchność hipoteczna, to jest właściciel bezwarunkowy, zdolny przenieść prawo własności na nowego nabywcę.

Zwierzchność hipoteczna ocenia ważność aktu, jego znaczenie prawne, jego niewzruszalność. Dopiero, jak się wyraża art. 20, przez uznanie zwierzchności że akt nie podlega powyższym zarzutom, przybiera takowy akt znamię wiary publicznej względem każdego trzeciego, mającego czynność z właścicielem gruntu lub prawa hipotekowanego.

Pytam się, coby tu była za rękojmią, za znamię wiary publicznej, jeżeliby prawa przez trzecich nabyte, mogły być unieważnione skutkiem legitymy, należącej od pierwotnego właściciela? Niewątpliwie przeto po uznaniu nabycia prawa rzeczowego przez zwierz-

chność hipoteczną za istotne, nieokreślone żadnymi warunkami, późniejszy ruch w tém prawie nie ulegnie już wzruszeniu, z powodu pretensyj formowanych do poprzednich właścicieli.

Zwierzchność hipoteczna, która ocenia akt zeznany, i której niewolno w błąd wprowadzać interesantów, przyznając obszerniejsze prawa, aniżeli w istocie służą; zwierzchność hipoteczna nie zostaje w konieczności przestrzegać praw osób, którym należy część obowiązku, albowiem art. 20 prawa hipotecznego zaleca jęj uważać: „czyli czynność nie sprzeciwia się prawom trzeciego wiadomym z ksiąg hipotecznych”. Ostrzeżenie o legitymie mogłoby być wniesione do ksiąg hipotecznych tylko na żądanie samych stron interesowanych, i zanimby dobra darowane przeszły w ręce trzecie.

Autor utrzymuje także (§ 47), iż art. 865 Kodexu Cywilnego, obowiązuje w całej swęj rozciągłości i co do aktów hipotecznie zeznanych. Według tego wykładu, jeśliby dobra darowane były domniemanemu sukcesorowi i na niego bezwarunkowo tytuł własności uregulowany, a następaie zwrócone przez niego do massy spadkowej, wszelkie obciążenia hipoteczne przez czasowego właściciela zeznane, i osobom trzecim przez wierzycieli hipotecznych ustąpione, uległyby wykreśleniu na korzyść współsukcessorów.

To zdanie również nie jest uzasadnione, jako niezgodne z rękojnią publiczną, wynikającą z zatwierdzenia zwierzchności hipotecznęj.

Należy wybierać pomiędzy dwiema instytucjami: albo legityma i zwroty dla sukcesorów w całej swęj rozciągłości, albo hipoteka. Ponieważ zaś instytucja hipoteczna jest późniejsza od kodexu i ważniejsza dla kraju, przeto niewątpliwie przyznać jęj należy pierwszeństwo.

Więcej trudności przedstawia rozwiązanie zapytania rozbieranego przez autora; czyli jeden ze współsukcessorów wpisany do hipoteki *pro indiviso*, jako współwłaściciel może ważnie i ze skutkiem część swą zbywać i obciążać? Powód do powątpiewania wynika z warunkowego prawa własności sukcesorów, mogącego ustać w skutek działu. Niektóre nowsze prawodawstwa hipoteczne zawierają przepis, iż współsukcessorom i w ogólności współwłaścicielom, niewolno jest oddzielnie obciążać swych praw, *pro indiviso* do hipoteki wniesionych, lecz że tego rodzaju akta dozwolone im są za wspólną zgodą. Przepis ten zapobiega wielu komplikacyom, utrzymuje bowiem jedność kontroli przez zabronienie cząstkowego obciążania. Wszakże, gdy nasza hipoteka tego ograniczenia nie zna, przyjąć na-

leży, iż każdy z współwłaścicieli mocen jest swém prawem rozporządzać. Dla ocenienia zaś skutków tych rozporządzeń, należy rozróżnić, czyli współsukcessorowie wpisani *pro indiviso* zastrzegli sobie w wykazie hipotecznym wzajemne pretensye, mające się wykazać w drodze działów, i czy postarali się o zamianę praw osobistych z art. 883 służących, na rzeczowe, lub nie?

Jeżeli uczynione było zastrzeżenie, w takim razie akt zeznany przez współsukcessora, nie może im szkodzić; w przeciwnym przypadku, uważać należy wpisanych do hipoteki współsukcessorów, jak innych współwłaścicieli, i akta przez nich hipotecznie zeznane, otrzymują zupełny skutek co do ich części reprezentowanej przez szacunek, mający otrzymać się na licytacji.

Nasz autor rozwiązuje to ważne zapytanie innym sposobem. Mniema on, iż gdy idzie o rozporządzenie nabytą przez spadek i hipotecznie uregulowaną współwłasnością, akta współsukcessora, nawet hipotecznie zatwierdzone, mogą być wzruszone skutkiem działów, dla tego, iż współsukcessor nie miał żadnej pewnej w naturze wydzielonej, ograniczonej, oddzielnie gospodarowanej części; zaś, gdy idzie o rozporządzenie częścią summy spadkowej, akta jego, jako ściągające się do oznaczonej części czyli ilości, nie ulegną skutkom działu.

Lecz można zarzucić temu wykładowi, iż współnabywca dóbr nieruchomości przez kupno, także nie ma w naturze wydzielonej części, a przecież swą częścią ze skutkiem rozporządzać jest mocen; że szacunek mogący zrealizować się na licytacji, reprezentuje dobra i dzieli się wygodnie; że art. 883 Kodexu Cywilnego wzruszający cząstkowe alienacye i obciążania przez sukcesorów zeznane, napisany dla kraju w którym nie ma ustalającej prawo własności hipoteki, nadaje tylko prawa osobiste interesowanym w wzruszeniu czynności sukcesorów, a pod względem prawa rzeczowego nie obowiązuje obok art. 20, 30, 37 prawa hipotecznego; że przeto żadnej różnicy nie można czynić co do możliwości rozporządzania przez współsukcessorów pomiędzy dobrami hipotecznie uregulowanymi i summami hipotecznymi.

Zastanawiając się nad wpływem, jaki wywarła nasza hipoteka na przenoszenie prawa własności, autor przychodzi do przekonania (§ 38, 39 i 40), iż dobra nieruchome, urządzone hipotekę mające, przechodzą na nabywcę nie tylko w stosunkach z trzecimi, ale i bezwzględnie, dopiero od dnia zeznania nabycia w księdze hipotecznej, lub od dnia wciągnięcia do niej tytułu własności; że do tego dnia

axioma casum sentit dominus, pogorszenia i straty w nieruchomości wydarzone, dotyczą sprzedawcy.

Lecz prawo hipoteczne tego przepisu nie zawiera; autor usiłuje go przeto wywieść z art. 1go Ustawy hipotecznej i przytacza na poparcie swego zdania różne argumenta. Najważniejszymi z nich są:

1. Że prawo rozporządzania nieruchomością według naszej hipoteki, zyskuje się przez wciągnięcie tytułu nabycia do ksiąg hipotecznych; zaś prawo rozporządzenia jest jedną z głównych atrybucji prawa własności i nie da się oddzielić od innych jego przymiotów.

2. Że wielkie komplikacje i niedogodności rodzi system uznający dwóch właścicieli dóbr zbywanych do wniesienia nabycia w księgę hipoteczną, to jest nabywcę, którego prawa tylko względem zbywającego są ważne, i zbywającego którego prawa stanowczymi są dla trzecich.

3. Nakoniec, że art. 143 nakazuje do zaprowadzenia nowego porządku hipotecznego, czynności o własność dóbr nieruchomości, zawierać w formie urzędowej.

Lecz moc tych wywodów niknie, jeżeli wspomnimy, że prawo hipoteczne nie urządza stosunków między zawierającymi umowy, że te umowy urządzone są przez Kodex Cywilny, którego prawodawca nie zamierzał zmieniać.

Art. 1szy naszej hipoteki miał na celu wskazać formę tytułów, które mają skutkować nabycie, umorzenie lub obciążenie prawa hipotecznego. Oddzielenie zaś prawa posiadania służącego właścicielowi od prawa rozporządzania, i przypuszczenie dwóch razem jednego majątku właścicieli, a mianowicie jednego względnego, drugiego bezwzględnego, stanowi istotnie wielką niedogodność i nawet niekonsekwencyą prawną; lecz te tylko na drodze prawodawczej a nie na drodze interpretacji mogą być uprzątnione; tém bardziej, że w obecnym prawie hipotecznym znajdujemy nieraz dwóch właścicieli jednego majątku. W art. 30, 32 i 33 mowa jest o właścicielu istotnym, niewpisanym i prawdziwym, co dopuszcza przeciwnego jemu właściciela nieistotnego, wpisanego i nieprawdziwego. Nakoniec art. 143 Prawa hipotecznego zawiera tylko powtórzenie w części przepisów art. 1 i 2 w zamiarze zapewnienia im mocy przechodniej; skutki zaś tych artykułów oznaczone w art 3 ograniczają się tém, że czynności zeznane nie w formie przepisanej, nie mogą być wciągnięte do ksiąg hipotecznych, a zatem nie ma tu bynajmniej mowy o przenoszeniu własności.

Przechodzimy do praw rzeczowych nieruchomości obciążających.

Art. 45 prawa hipotecznego stanowi: „na przyszłość jednak powinno być zapisanem w księgę hipoteczną każde umorzenie dotąd istniejących służebności, lub ustanowienie nowych i tychże umorzenie, jakiegokolwiek rodzajuby te służebności były“.

Skutki niezachowania tego przepisu oznaczone są w art. 11, pomieszczonym w części ogólnej prawa, którego brzmienie następuje: „wszelkie tytuły, które wciągnięte do ksiąg hipotecznych stanowią prawo rzeczowe, dopóki nie zostały wciągnięte, są tylko prawami osobistymi“. Przepisy te są jasne, tak dalece, iż trudno wymagać więcej precyzji od prawodawcy; według nich art. 690, 691, 692, oznaczające różne sposoby nabycia służebności, stosownie do ich rodzaju, obowiązują między stronami; lecz aby ustanowienie i nabycie służebności jawnych i ciągłych przez przedawnienie, lub przez rozporządzenie ojca rodziny, było ważnem względem trzecich nabywców, trzeba wciągnięcia ich do ksiąg hipotecznych. Autor, (§ 125), wierny swemu systematowi, przyznający Kodexowi Cywilnemu górujące stanowisko nad hipoteką, nie podziela tego wykładu. Utrzymuje on: „iż nasz artykuł nie miał względu na stanowczy podział służebności na widoczne i ciągłe, oraz na niewidoczne i przerywane, i że nie zdaje się, aby do tego była racjonalna pobudka.“ Na co odpowiedzieć można, iż prawodawca ważne miał powody do uchylecia tego podziału i skutków onego we względzie hipotecznym; że zamierzył on zabezpieczyć nabywcę od ciężarów w księdze hipotecznej nieobjawionych, o których istnieniu nie mógłby się przekonać innym sposobem. Ciężary albowiem jawne i ciągłe dotyczące nieruchomości, zwykle dobrze są wiadome właścicielowi zostającemu w jój posiadaniu, lecz mogą być niedostrzeżone przez nabywcę; może on także uważać je za skutek prostej tolerancyi poprzedniego posiadacza, lub za skutki jego niebaczności.

Autor dodaje nadto: „Każe on (prawodawca) wpisać wszystkie jakiegokolwiek rodzaju (służebności), ale nakazu tego żadnej nie ma sankcyi“. Lecz tę sankcyą znajdujemy w powołanym przez nas art. 11stym ustawy hipotecznej. Według tego artykułu, prawo niewniesione do księgi wieczystej, nie nabędzie charakteru prawa rzeczowego.

Nakoniec twierdzi autor: „przepis ten (nakazujący wpisywanie służebności), w całej rozciągłości wykonany nawet być nie może: bo ściśle biorąc, może być wykonany względnie służebności, które tylko z tytułu byt swój wywodzić mogą, ale nie da się wykonać co do służebności widocznych i ciągłych, które powstać mogą, skoro przez lat 30 były wykonywane; nie da się wykonać co do służebno-

ści tegoż samego rodzaju *per destinationem patris familie* ustanowionych.“

Lecz i w tym względzie nie zachodzi wskazana przez autora trudność. Służebności nabyte skutkiem przedawnienia mogą być wniesione do hipoteki z mocy wyroku otrzymanego przeciw właścicielowi niedbałemu; służebności zaś ustanowione przez właściciela dwóch nieruchomości, mogą być przez niego w hipotece objawione.

Tak pod względem prawa własności, jako i pod względem wszystkich praw rzeczowych, ważnemi są nader: dobra wiara wymagana dla nabycia, i stosunek między prawami wpisanemi do różnych działów księgi hipotecznej. Przedmioty te autor w miarę ich ważności wypracował nader starannie i zwrócił silną uwagę na połączone z nimi wątpliwości; lecz gdy rezultata przezeń podane niezupełnie zaspokajają, przeto pozwolimy sobie poddać je krytycznemu rozbirowi.

Dobra wiara zawsze jest domniemana aż do udowodnienia przeciwnego stanu rzeczy; zaś zła wiara wynikająca z wewnętrznego przekonania, zależy od wielu okoliczności, które zwykle świadkami lub przysięgą mogą być tylko wyjaśnione.

Te dowody nie dosyć zgodne z istotą hipoteki, polegającej na jawności i dopełnieniu form przepisanych, mogłyby wzruszyć samą instytucją, jeśliby zbyt łatwo były przez sądy dopuszczanemi.

Prawodawca hipoteczny wszelako odrzucić ich nie mógł, albowiem dozwolił zahypotecznie zeznawać akta dotyczące praw hipotekowanych, z kąd dla spekulantów złej wiary powstała możność zawierania szkodliwych czynności dla nabywcy, w czasie pośrednim między sporządzeniem aktu notaryalnego i wniesieniem onego do hipoteki. Także prawodawca nie mniemał, aby pomimo jawności hipotecznej nie wydarzały się jeszcze podstępny i fałszywe, nadwerężające prawa istotnych właścicieli.

Autor obdarzony rzadkim praktycznym zmysłem, w przekonaniu, że nierozważne przypuszczanie złej wiary może stać się źródłem pieniactwa i samowolności sędziego, starał się o podanie niewątpliwych w tym względzie skazówek, i traktował o dobrej i złej wierze w trzech różnych miejscach, a mianowicie w §§ 58, 68 i 71.

W § 58 autor prócz ogólnego kryterium dobrej wiary, aby nabywca nie wiedział, że dobra nabywane mają innego prawdziwego właściciela, że summa ustąpiona mu jest umorzona, podaje nam jeszcze inną ważną zasadę, że dobra wiara nie jest wymagana, jeżeli otrzymujący prawo hipoteczne wiedział, iż na nieruchomości służy

komu innemu prawo niezahypotekowane, które obok nabytego przezeń, może być wykonaném; że przeto ten, kto wie o zaciągnięciu na dobra długu zahypotecznie, może na nie udzielić pożyczkę i uzyskać pierwszeństwo przed zaciągniętym poprzednio długiem.

W § 68 autor idzie dalej, mówiąc o przypadku, w którym udzielający pożyczkę wie, że dobra długiem obciążone pozahypotecznie przeszły w ręce trzeciej; podaje zasadę, że akt hypoteczny należy uważać wtedy tylko za złą wiary, a tém samym za nieważny, jeżeli udzielający pożyczkę zmówił się z wpisanym właścicielem na szkodę pozahypotecznego nabywcy. Albowiem pożyczający mógł nie wiedzieć, czy strony nie zrobiły czynności pozornej, czy od niej później nie odstąpiły, czy nabywca zapłacił szacunek i jak się strony umówiły względem długów hypotecznych. Lecz teoria ta zbyt śmiała, zostająca w związku ze zdaniem autora, iż niewpisany nabywca nie jest właścicielem, zmodyfikowaną jest przez niego niejako w § 71.

Czytamy bowiem w tym paragrafie: „Ci nabywcy, lub na hypotekę pieniędzy pożyczający, nie powinni mieć wiadomości, że dobra, kapitały lub inne prawa hypotekowane są własnością kogo innego a nie tego, z którym w umowę wchodzili; jeżeli zaś mieli tę wiadomość, a zatém byli w złej wierze, nie mogą, pomimo że czynność zatwierdzona została przez zwierzchność hypoteczną, odnieść korzyści, jak mówi art. 33ci, nabywać żadnego prawa ze szkodą prawdziwego właściciela”.

Prócz tego jeszcze autor podaje dwie nowe zasady, a mianowicie: że dobra wiara powinna być w chwili nabycia; powtóre, że rozsiewane pogłoski i odkazywania się procesem przez interesowanych, nie osłabiają dobrej wiary wchodzącego w czynności z wpisanym właścicielem.

Te dowody autora o dobrej i złej wierze, nie ulegają żadnemu zarzutowi. Tylko trudno się zgodzić na kryterium podane przezeń w § 68, iż hypoteki mogą być zyskiwane przeciw niewpisanemu nabywcy z wiedzą o nabyciu. Litera prawa temu się sprzeciwia; art. 20 wyraźnie stanowi: „nie może odnieść korzyści z aktu zatwierdzonego, zawierający tenże akt w złej wierze”. Zła wiara zaś zachodzi, gdy mający wiadomość o prawach nabywcy, wchodzi w czynności onemu szkodliwe. Myśl prawa także nie sprzyja temu wykładowi; zabezpieczenie aktów pozahypotecznych przeciw złej wierze, a *nawet przeciw podstępowi zeznających* takowe, nie byłoby osiągnięte. Lecz dla należytego

wyjaśnienia przedmiotu, należało autorowi bliższe złej wiary podać skazówki, i szukać ich mianowicie w sposobie, jakim zawierający czynność, dowiedział się o prawach onój przeciwnych, w rozróżnieniu praw nadwierzanych, nakoniec w postępowaniu tak nabywającego prawa hipotekowanego, jako i mającego prawa hipoteczne. Wiadomość o prawach pozahypotecznych trzecich osób, może być powzięta przez zamierzającego nabycie prawa hipotecznego, albo osobiście, albo od strony z którą tenże traktuje, albo od mającego prawo zahypoteczne, albo nakoniec od osób czynności zupełnie obcych. Osobiście powzięta wiadomość o prawach zahypotecznych, niemniej wiadomość powzięta od strony z którą czynność jest zawarta, skutkuje złą wiarę, jeżeli nie zachodzą okoliczności usprawiedliwiające. Ten więc, kto czytał akt kupna i sprzedaży zahypotecznie zeznany, albo osnowę jego miał sobie oświadczoną przez notaryusza sporządzającego akt, kto widział prawdziwego sukcesora dla ważnych przeszkód nieobjawiającego praw swoich w terminie oznaczonym, albo o tych okolicznościach był przez wpisanego właściciela uwiadomiony, ten nie może zawierać z nim aktów szkodliwych dla właściciela prawdziwego. Działania jego mają na celu w takim razie, albo własne nieprawe wzbogacenie się, albo mniej godziwe zjednanie korzyści traktującej z nim stronie.

Lecz mogą i w tym przypadku zachodzić okoliczności niweczące domniemanie złej wiary. Jeżeli akt pozahypoteczny zawiera warunki, których spełnienie jest wymaganem przed wniesieniem onego do hipoteki, albo równocześnie z wniesieniem, i jeżeli po upływie niejakiego czasu od zeznania onego, objawienie w hipotece nie nastąpiło; również, jeżeli prawdziwy sukcesor, pomimo ustania przeszkód, które tamowały jego zgłoszenie się ze swemi prawami, zaniedbuje ich przedstawienie w hipotece; w takim razie zawierający czynność z wpisanym właścicielem, może uważać niewpisanego, za odstępującego od praw swoich.

Skoro zaś zawierający czynność na zasadzie ksiąg hipotecznych, otrzymuje wiadomość o przeciwnych jej prawach niehypotekowanych od samego pretendenta, lub od osób obcych, których doniesieniom wierzyć nie jest obowiązany, domniemanie o jego dobrej wierze nie będzie osłabione, chyba, że zachodzą okoliczności wymagające z jego strony większej uwagi, lub wykazujące jego nierzetelność.

Gdyby właściciel niewpisany pozbawiony został swych praw skutkiem oszustwa lub fałszu, wtedy na samą pogłoskę o dokonaniem przestępstwie, nie może nikt wchodzić w czynności hipoteczne z fałszerzem lub z oszustem, aby mu nie ułatwić nieprawych korzyści.

Również, jeżeli kto powziąwszy nawet od osób obcych wiadomość o cudzém pozahypoteczném prawie, skwapliwie zawiera przeciwną onemu czynność, tak, iż szybkością swoją uprzedza objawienie praw pozahypotecznych, i z aktu zawartego nadzwyczajne osiąga korzyści: wtedy przyjąć należy, iż oparł on swe rachuby na wiadomości o przechodnim stanie prawa przezeń nabytego, i działał w złej wierze.

Nakoniec, postępowanie osoby, której prawa zahypoteczne zostają nadwężone, także wpłynąć może na ocenienie dobrej lub złej wiary uzyskującego przeciw niej prawa hypotekowane. Jeżeli właściciel niewpisany przez czas długi, ociążał się z objawieniem w hipotece swych praw i postępował niedbale, w takim razie wchodzący w czynności z właścicielem wpisanym, jako domniemywający się zrzeczenia tych praw, niełatwo może być posądzony o złą wiarę. Wiadomość niepewna lub jakakolwiek o istnieniu praw zahypotecznych, nie osłabia w okolicznościach zwykłych dobrej wiary wchodzącego w czynności, z mającym prawa hypotekowane. Żeby ją zniweczyć, trzeba udowodnić wiadomość niewątpliwą i dokładną. Dlatego przysięga deferowana lub naznaczona, celem wyjaśnienia złej wiary, powinna obejmować fakta, z których musiało wyniknąć przekonanie osoby nabywającej zaprzeczone prawo hipoteczne.

Stosunek między różnymi prawami rzeczowemi, również starannie przez autora ze strony praktycznej przedstawiony. Szczególniej zasługuje na uwagę rozbiór jego wzajemnych praw wierzycieli hipotecznych, zastawników i dzierżawców. Lecz autor nie rozebrał ważnego zapytania, przedstawiającego się w ogólności, jak dalece prawa różnorodne, jedno drugiem ubliżające, mogą być ustanawiane w hipotece; czy np. właściciel dóbr obdłużonych mocen jest ustanawiać na nich służebności pastwiska i węgabu, bez zezwolenia wierzycieli, czy może te dobra oddawać w zastaw bez ich zgodzenia się? W niektórych prawodawstwach, tego rodzaju umowy, jako rodzące zawikłania i mogące utrudnić satysfakcyą wierzycieli, wyraźnie są zabronione. Nasze prawo z roku 1818, żadnych w tym względzie nie zawiera ograniczeń,

lecz potrzeba onych jest widoczną; zaś ich istnienie może dałoby się wywieść z natury instytucyi hipotecznej. Hipoteka bowiem dąży do usunięcia sporów, przez ustalenie i wyjaśnienie praw zabezpieczonych.

Również autor nie rozebrał ani z praktycznego, ani z ogólnego stanowiska, jak dalece może mieć miejsce ruch hipoteczny; czy np. mogą być zyskiwane hipoteki na czynszach i na subintabulatach. Wszakże bez ujęcia w pewne karby wpisów, wykazy hipoteczne staną się częstokroć niezrozumiałemi; kontrola materialna nie wystarczy dla utrzymania ich w porządku.

Przechodzimy do hipoteki prawnej i sądowej, które nazwiemy hipoteką *przymusową*. Autor bardzo trafnie rozróżnił tę hipotekę od *umownej* czyli *dobrowolnej*, i udowodnił, że rekojmia wiary publicznej otaczająca akta dobrowolne i zatwierdzone przez zwierzchność hipoteczną, nie odnosi się w równym stopniu do wpisów wynikających z mocy samego prawa lub wyroków sądowych. Lecz w dalszém rozwinięciu tego przedmiotu przez autora, znajdujemy wykłady prawa mniej trafne.

Chociaż hipoteka przymusowa wpisywana bywa zawsze w skutek decyzji zwierzchności hipotecznej, wszelako decyzya ta może zapaść:

1. albo w zastosowaniu tylko samego prawa;
2. albo w wykonaniu rezolucyi sądu tymczasowej lub wyroku nieprawomocnego;
3. albo w wykonaniu wyroku prawomocnego.

W pierwszym i trzecim przypadku wpisywana jest hipoteka stanowcza; w drugim, wniesioném zostaje do księgi hipotecznej *ostrzeżenie*.

Hypoteki wynikające z mocy prawa i ostrzeżenia, dały powód do nader ważnych wątpliwości.

Co do pierwszych, powstaje zapytanie, czy w każdym razie żona, której służy hipoteka prawna, udowodnić winna swą pretensyą do męża, gdy żąda jęj zahypotekowania? Autor utrzymuje (§191): „gdyby zasada do hipoteki była w umowie przedślubnej, takowa także złożoną być ma. Gdy hipoteka żądana jest z odpowiedzialności, zupełnego usprawiedliwienia wymagać nie należy i nie można. Tu samo prawo jest tytułem do hipoteki, i ta bez innego usprawiedliwienia, jak tylko za złożeniem aktu małżeństwa, zapisaną być winna”.

Ze zdaniem tém zgodzić się nie można; należytość wnoszona do księgi wieczystej z tytułu hipoteki prawnej, równie jak każda inna powinna być udowodniona; wynika to nietylko z natury akcyi, ale i ze źródeł z których czerpał nasz prawodawca; nakoniec ze względu na ważne niedogodności, jakieby powstały z przeciwnej teoryi.

Żądanie żony zapisania hipoteki prawnej na dobrach męża, zmierza naprzód do przyznania jej należytości poszukiwanjej, a następnie do hipotecznego oniej zabezpieczenia. Zwierchność hipoteczna zezwalając na wpis, przysądza tém samém poszukiwaną summę. Gdyby zaś jej wolno było nie opierać swego wyroku na dowodach, to od jej samowolności zależałoby pozbawić przeciwną stronę majątku. Wszakże podług postępowania sądowego francuzkiego, nawet żądania zaoczne, potrzebują być usprawiedliwione. Przymiot hipoteki prawnej uwalnia tylko interesanta od konieczności zyskiwania wyroku sądowego, lub rezolucyi sądowej, lecz nie uwalnia go od obowiązku udowodnienia swjej należytości. Cała trudność wynikła ztąd, iż prawodawca nic nie wspomniał o rodzaju dowodów, jakie złożyć winna osoba żądająca wpisania hipoteki prawnej, czego przyczyną są źródła z których czerpał. Art. 72 prawa z r. 1818, i art. 15 prawa z r. 1825, stanowiące o hipotekach prawnych, powzięte są z art. 2121 Kodexu Cywilnego czyli z hipoteki francuzkiej. W tym zaś artykule ani w następnych, nie było wzmianki o dowodach hipoteki prawnej; albowiem według kodexu, hipoteka prawna nie potrzebuje być wpisywaną, a tém samém udowadnianą, aby nadawać pierwszeństwo. Lecz skoro idzie o zasądzenie należytości żon i wyeksekowanie takowych, wtedy udowodnienie onych, i według kodexu francuzkiego jest konieczném. Tymczasem nasza hipoteka prawna ustala zarazem i należytość i pierwszeństwo, i w myśl art. 20 uzasadnia exekucyą. Dlatego nie można jej skutków rozumieć w związku z przepisami hipotecznemi prawa francuzkiego, lecz celem rozwiązania zachodzących trudności, należy zapatrywać się na hipotekę pruską; tam zaś znajdujemy następane przepisy:

§ 182. Hipoteki prawne nie będą nigdy wpisywane z urzędu; wpisanie ich nastąpi w skutek podania stron interesowanych lub ich pełnomocników.

§ 183. Do podania powinien być dołączony tytuł bądź oryginalny, bądź w urzędowym wypisie, z którego wynika, że podający ma prawo do hipoteki prawnej.

§ 184. Tytuł powyższy albo ustanawia przyznanie niewątpliwej wierzytelności, albo nieprzedstawia dostatecznego dowodu.

§ 185. W pierwszym przypadku wpis będzie zarządzony, i nie ma potrzeby uprzedzać o tém dłużnika; należy go tylko uwiadomić o wpisie.

§ 186. W drugim przypadku, jeżeli przyznanie wierzytelności nie wynika widocznie ze złożonych dokumentów, należy żądać deklaracji dłużnika, i nie można zarządzać wpisu, dopóki dłużnik nie zgodzi się na takowy, lub dopóki nie zapadnie wyrok stanowczy.

Stosownie do tych przepisów, i w myśl art. z prawa z roku 1830 o legitymacji świadków w razie niedostateczności dowodów, składanych przez kobietę zamężną, mąż powinien być przez nią przed zwierzchność hipoteczną zapozwany; w razie zaś jego niezgodzenia się na wpis, interes do drogi sądowej odesłany być winien.

Niedogodności z przeciwną teorią wynikające są znaczne. Według tej teorii, przewrotna żona łatwo mogłaby wyzuc z majątku swego męża. W tym celu trzebaby jej tylko postarać się o decyzję zwierzchności hipotecznej, zatwierdzającą jej urojone pretensje i wręczyć ją podczas choroby lub nieobecności męża. Decyzja stałaby się prawomocną, i mąż po upływie trzech miesięcy od dnia wręczenia, nie mógłby jej wzruszyć.

Z widoków także prawa francuzkiego wychodził autor, kiedy hipotekom prawnym, w zbiegu jednych z drugimi, przyznał pierwszeństwo od daty, w której wierzytelność nastanie wzięta. „Jak bowiem (są jego wyrazy, § 190) w hipotekach umownych i sądowych data dokumentu lub wyroku w zbiegu jednoczasowego zgłoszenia się do hipoteki, względem pierwszeństwa, stanowi, tak w prawnych trzeba brać datę nastania wierzytelności lub odpowiedzialności.“ Zdanie to przypominające nam hipotekę francuzką, przeciwną polskiej, nie zgadza się z zasadą objawioną w art. 12 prawa hipotecznego, który nie rozróżniając między hipotekami umownymi i prawnymi w ogólności, stanowi: „Pierwszeństwo prawa rzeczowego zależy od pierwszeństwa wpisu. Pomiędzy wpisami dnia jednego, porządek numerów stanowić będzie pierwszeństwo“ i t. d.

Również ważne zagadnienia powstały co do ostrzeżeń. Ostrzeżenia te są trojakiego rodzaju: dotyczą one albo zdolności

cywilnej osób, albo praw rzeczowych i z przestępstwa wynikających, albo nakoniec praw osobistych.

W art. 132 lit. c mowa jest o ostrzeżeniach co do praw rzeczowych; wynikają one z rezolucyi sądowej, uzyskanej po dopełnieniu formalności, w art. 137 przepisanych, przez stronę, która, jak się wyraża art. 132, „w drodze sądowej wykazać chce jakie prawo do dóbr lub należitości hipotekowanych”.

W końcu art. 137 opisany jest sposób uzyskiwania ostrzeżeń w drodze kryminalnej; nakoniec art. 138 tyczy się ostrzeżeń czysto osobistych, co do których, wyrok przysądżający należność, nim się stał prawomocnym, może być wniesionym do ksiąg hipotecznych.

Z tych nader jasnych i niepodlegających wątpliwości textów wynika, iż dla uzyskania ostrzeżenia, zabezpieczającego tymczasowo i ewentualnie prawo rzeczowe, tudzież dla zabezpieczenia należitości z przestępstwa kryminalnego, dostateczna jest rezolucya sądu, wydana na przedstawienie jednostronne interesanta; zaś dla uzyskania ostrzeżenia należitości osobistej, wpisania tymczasowego summy, potrzebny jest wyrok sądowy; że nakoniec skoro wyrok nierównie więcej przedstawia rękojmi, aniżeli rezolucya, która jest tylko wstępem do wyroku, przeto *a fortiori*, ostrzeżenia rzeczowe mogą być wpisywane i na zasadzie nieprawomocnych wyroków.

Te tak ważne rozróżnienia utrudniające wniesienie do hipoteki długów ręcznych, nie są bez celu. Nadwergęzenie prawa rzeczowego, którego odzyskanie poszukiwanem jest sądownie i przedewszystkiem zabezpieczone przez ostrzeżenie, częstokroć mogło nastąpić bez winy poszkodowanego. Właściciel lub wierzyciel hipoteczny mógł być pozbawiony praw swoich skutkiem fałszu, podstępu, albo skutkiem złej wiary wyobrażających jego osobę, i dlatego prawodawca ułatwia mu onych zabezpieczenie, dozwala mu rychło tamować czynności hipoteczne, mogące zniweczyć skutki pomyślnego wyroku dla niego.

Odmienne jest zupełnie położenie wierzyciela ręcznego; ten nie żądał zabezpieczenia hipotecznego, poprzestał na osobistém zapewnieniu dłużnika, i jeżeli później uznał potrzebę silniejszej rękojmi, to niedostatek onój, swój nieprzezorności przypisać winien. Dlatego też prawo pruskie nie dopuszcza nawet hipoteki sądowej, ani żadnych ostrzeżeń dla wierzytelnosci ręcznych, chyba, że wierzyciel przystępuje do exekucyi.

Nadto, każda rezolucya sądowa wydana na jednostronne przedstawienie w skutek dokumentów wątpliwych, niekiedy i zmyślonych, może być uciążliwą dla przeciwnej strony, może mieć na celu jedynie dokuczenie jój, szykanę i wytargowanie czego-bądź z powodu urojonych pretensyj.

Prócz tego, poszukiwania praw rzeczowych muszą być rzadkie, bo wynikają z nadzwyczajnych wypadków, kiedy poszukiwania wierzytelności należą do zwykłego biegu życia cywilnego, i dlatego muszą być częste; zbyt łatwe zaś otwieranie przystępu do hipoteki pretensjom, które mogą być płodem zuchwałej spekulacyi, nie jest pożądaném. Prawodawca przeto miał ważne powody ograniczenia ostrzeżeń z rezolucyj sądowych do samych poszukiwań praw rzeczowych. Autor przeciwnego jest zdania; utrzymuje on, zgodnie z jurysprudencją, że ostrzeżenia z rezolucyi sądowej, mogą być uzyskiwane i przez wierzycieli osobistych. Główne jego argumenta czerpane są w art. 10 prawa hipotecznego (§ 52), i już dlatego nie przekonywają, że przytoczony artykuł zawiera tylko ogólną zasadę, której bliższe i szczegółowe rozwinięcie znajdujemy w art. 132 i 138. Artykuł 10ty nie jest siedliskiem materji, bo znajduje się w dziale 2gim, wskazującym w ogólności przedmioty wnoszone do ksiąg hipotecznych, kiedy sam przedmiot szczegółowo jest urządzony w tytule o ostrzeżeniach w art. 132 i następnych. Nakoniec wyrażenia artykułu 10go jakkolwiek ogólne, łatwo się godzą z myślą, przedstawiającą się naturalnie po przeczytaniu art. 132 i 138; kłedy przeciwnie, trzeba koniecznie zgwałcić literę prawa, aby z tych artykułów wyprowadzić rozumienie jakie im daje autor, w skutek wykładu art. 10go. Lecz zastanówmy się nad textem tego artykułu:

Art. 10 stanowi: „Ktoby sądził mieć jakie z wymienionych w art. 5, 6, 7, 8 praw, które w drodze sądowej wykazanemi być mogą, mocen jest zabezpieczyć sobie ich skutek przez uczynienie ostrzeżenia w księgach hipotecznych, podług przepisów art. 137go. Toż samo stosuje się do uwolnień, których wymaga dłużnik od wierzyciela w drodze sądowej”.

W tym artykule uderza nas powołanie się na art. 137. Cytacya ta nadaje artykułowi charakter szczegółowy, uprzedza to, co niżej dokładniej powiedziano, i dlatego zdaje się niepotrzebną. Lecz autor wyjaśnia nam źródło onój i całego nieporozumienia: dowiadujemy się od niego, iż wyrazy „podług przepisów art.

137" nie znajdowały się w pierwiastkowej redakcyi, i że dodane zostały na wniosek Kommissyi Sejmowej, objawiającej obawę z powodu łatwości protestacyi. Bez téj cytacyi zaś, myśl prawa jest zupełnie jasną; art. 10 bowiem, wzięty w najobszerniejszym znaczeniu, dozwala w ogólności ostrzegania praw rzeczowych jako i osobistych. Zaś art. 132 w związku z art. 137, niemniej art. 138 wskazujący sposób uzyskania ostrzeżeń, wymagają rezolucyi sądowej, dla ostrzegania praw rzeczowych, a wyroku sądowego dla ostrzegania praw osobistych. Lecz dodatek Kommissyi Sejmowej, którego celem było ścieśnić a nie rozszerzyć ostrzeżenia, z powodu opuszczenia w nim w art. 138, utrudnił nieco prosty wykład art. 10go, i dlatego zgodnie z jęj widokami, ograniczył jego skutek do praw rzeczowych. Wyrażenia przeto art. 10go: „ktoby sądził mieć jakie z praw”, stosować należy do praw już hipotekowanych, do których kto ma pretensyą, nie zaś do takich, które zamierza dopiero nabyć; nie do hipoteki sądowej.

Nakoniec autor utrzymuje, że dozwole nie ostrzeżeń, na skutek jednostronnej rezolucyi sądu, nie stanie się uciążliwem dla dłużnika, jeżeli sąd rozpoznając żądanie, ostrożnie postępować będzie; wszelako przypuszcza zarazem, że prawo pozostawiło zupełnie sędziemu ocenienie, jakie dowody ma składać żądający dozwolenia, co niweczy wszelkie ograniczenia.

Strona, na której majątku żądane jest ostrzeżenie, byłaby zabezpieczoną od niesprawiedliwych napaści w takim tylko razie, gdyby od przeciwnika wymagano urzędowego dokumentu na poparcie jego wierzytelności.

Przechodzimy do hipoteki nabywanój przez spadek, czyli do hipoteki spadkowej.

W tym względzie pozwalamy sobie zwrócić uwagę autora na jedno tylko jego objaśnienie, w którym, według nas, niewłaściwie zastosował przepisy kodexu do prawa hipotecznego. Autor utrzymuje (§ 227), iż każdy sukcesor testamentowy bez wyjątku, zamierzający wpisać swe prawa do hipoteki, winien złożyć wyrok nakazujący wydanie spadku. Lecz warunku podobnego dla uzyskania wpisu, nie znajdujemy w hipotece naszej i w hipotece pruskiej, i nie możemy się zgodzić ani na potrzebę, ani na pożyteczność onego. Wprawdzie art. 1004, 1011 i 1014 Kodexu Cywilnego francuzkiego stanowią: że sukcesorowie testamentowi nie mogą w pewnych przypadkach wchodzić sami w posiadanie majątku, lecz muszą się udawać z żądaniem do sukcesorów

beztestamentowych, i dopiero od dnia żądania zyskują dochody i procenta; że żądanie formalne nie jest potrzebne, jeżeli sukcesorowie beztestamentowi zgadzają się na wydanie zapisu. Lecz pytam się, co te przepisy mogą mieć wspólnego z hipoteką? Przed uregulowaniem na imię dziedziców *ab intestato* tytułu własności, nie mają oni posiadania cywilnego majątku nieruchomego, i nie są mocni żadnych praw hipotecznych do niego przyznawać; pod względem hipoteki, prawa sukcesorów testamentowych jako i beztestamentowych są zupełnie równe, i powinny być udowodnione w jednym terminie, naznaczonym dla ukończenia postępowania spadkowego. Jeżeli sukcesorowie beztestamentowi i wylegitymowani, nie będą czynić zapisom żadnego zarzutu, stanowcze wpisy nastąpią; w przeciwnym razie zachodzące spory odesłane będą do drogi sądowej. Wyrok przyznający posiadanie nieruchomości, przed ukończeniem postępowania spadkowego nie miałby dla hipoteki żadnego znaczenia, bo przed wydaniem onego, nie byłoby jeszcze wiadomém, kto powinien być zapozwanym, i dziwnieby było, aby sukcesor testamentowy zmuszony był do legitymowania sukcesorów beztestamentowych. Lecz hipoteka, której stanowisko wyższe od Kodexu, uwalnia sukcesorów testamentowych od tych formalności. Ogłoszenia publiczne wykryją sukcesorów beztestamentowych, ich liczbę, naturę ich praw, przyjęcie spadku lub odrzucenie, a wtedy wzajemne żądania załatwią się naocznie i ustnie.

Rozebrawszy tym sposobem zasady autora co do hipoteki, w których nie podzielamy jego wykładu i jego sposobu zapatrywania się na stosunek jej do Kodexu Cywilnego, zwrócimy się do przedmiotów obcych hipotecznemu prawu, któremi się autor zajmował.

Przed rozpoczęciem tego rozbioru uczynimy jedną tylko uwagę.

Autor objął w swoim dziele wiele kwestyj, żadnego związku z hipoteką niemających; znajdujemy w nim i wykład stosunków majątkowych między małżonkami, i naukę o nieważnościach i t. d. Przeciw temu bogactwu materyałów nieby nie było do powiedzenia, jeśliby ekskursje autora nie następowały kosztem głównego przedmiotu. Przez zbyt szerokie rozszerzenie zakresu swych badań, autor widocznie pozbawił się możności wypracowania szczegółowego kwestyj czysto hipotecznych, nie podał nam tych wszystkich uzupełnień i wykładów, które praktyka musiała

utworzyć przy długoletniém stosowaniu prawa, zredagowanego ogółowo. Autor np. w końcu swego dzieła nawiasowo wspomina, że wykaz hipoteczny przez zlewki i subintabulata, staje się nieraz zawikłanym. Lecz traktując w swoim miejscu o wykazie, nie rozbiera téj ważnej niedogodności, i nie przedstawia jej przyczyn; a przecież jestto przedmiot czysto hipoteczny i wielce interesujący.

Zpomiedzy przedmiotów zahypotecznych, rozbieranych przez autora, nieznajdujemy, aby wyjaśnione były przez niego według zasad nowéj interpretacji: spadki między małżonkami, niemniej przywileje.

(Dokończenie nastąpi).



MAUROWIE

NIEGDYŚ W HISZPANII, A DZIŚ W AFRYCE.

PRZEZ AUTORA:

O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d.

(Ciąg dalszy).

VII.

Panowanie Maurów w Granadzie.

Już noc mija w Granadzie, spoczęły posępne cienie dawnych mieszkańców Alhambry; już zpoza gór Alpucharry świta jutrzienka i rozsyła swe błogie światło na królestwo Maurów. Rumienią się i błyszczą purpurą wieczne śniegi na groźném czole Nevady; sterczą w obłokach smętne mogiły Elviry, a dzika, skalista Jarana rozbija swemi krawędziami promienie słoneczne i rzuca je na wesołe doliny Vegi.

Świta—już i dzień! Wszystko do nowego powołane życia, co nocą spoczywało; nie już nocy nie przypomina, prócz ciebie słowiku Alhambry. Tęsknisz nocą i rozwodzisz swe czułe żale; i w dzień tęsknić nie przestajesz, biedna poetycka duszo! Tobie wolno tęsknić, gdyż twoje żale każdy pojmuje!

Całe królestwo ptasie ocknęło się ze snu, trzepocze skrzydełkami i wesołym świegotaniem wita słońce. Ocknęły się i kwiatki, wznoszą ku niebu schylone główki i ślą w atmosferę tysiączne wonie. Drga w promieniach wyniosły aloes, dumny granat barwą swą urąga purpurze jutrzienki, akacye, jaśminy, bzy i kapryfolie, róże liczne jak piasek na brzegu morza, tysiące innych

kwiatów wychodzi z poza listków obwijających skrzepłe *korolle*, a *dyonea* rozwija powoli swój biały pyszny kielich, i wypada z niego omdlały motyl, przez całą noc tam więziony. On już umarł, ten szczęśliwy kochanek lubieżnej dyonei, umarł w rozkoszach miłości! Nie! trafia go promyk słońca, i wlewa weń nowe życie. Atalant rozpina swe złote skrzydła, różki swe macza w kropli rosy, unosi się w powietrze, i idzie igrać z swą atalantą, która noc całą za nim tęskniła.

O motylu! jeszcze kilka takich nocy, a będzie po tobie! Cały ogień Feba już cię do życia przywrócić nie zdoła. Strzeż się zdradliwych objęć dyonei.

I szmaragdowe jaszczurki Alhambry wyszły z kryjówek, i ufne w swą piękność przypatrują mi się bez bojaźni owemi ładnemi i mądremi oczkami, które tak spotwarzono przysłowiem. To wcale dobre i niewinne zwierzątka; nikomu nic złego nie robią, ale ugryzą boleśnie, gdy je rozdrażnisz: potrafią się ująć za sobą pocziwe zwierzątka.

Nie tak stary kameleon. Ten sobie wylazł powoli na gałązkę tarniny, okręcił się około niej ogonem, żeby nie spadł, i czycha na zdobycz. Mieni się ciągle: raz jest modry, drugi raz zielony, czasem nawet czerwienią się zaleje. Paszczę swą wielką groźnie otwiera, dąsa się i głupio na ciebie spoziera. Myślałbyś, że cię chce pochłonać. Nie obawiaj się: on dużo ma złości, często się gniewa i nie brak mu chęci szkodzenia, ale w tej paszczy tak wielkiej, zębów nie ma ani też siły. Nie dał Pan Bóg zębów kameleonowi czworonożnemu, ale je dał na nieszczęście dwunożnym: — tych unikaj.

Dzień w Granadzie i wiosna w Granadzie!

Jak pysznie jaśnieje przyroda, jak tu świeci słońce i śmieją się pola. Lubo tu chwalić Boga w tym szczęsnym kraju: jest za co!

Jedno tylko jest miejsce w Europie, posiadające wiosnę godną bujnej wyobraźni poety; wiosnę, jak niegdyś była wiosna w raju. Tém miejscem jest Granada. Mówię bez przesady, z zastanowieniem i z pełną znajomością rzeczy, a świadczę się Byronem i Irwingiem, dobrimi znawcami, każdy to przyzna. Ani we Włoszech, ani w Grecyi, nie wskazali miasta mogącego równać się w tym względzie z Granadą; nigdzie nie znajdziesz tak pysznej vegetacyi, tyle róż i geranij, tyle lauru i granatu. Wszystkie dziedzińce, ganki, tarasy pokryte kwiatami; wszystkie mu-

ry porosłe kwiatami, cała Granada opleciona kwiatami. A z pośród tego łoża róż wznosi się jak urzeczywistnienie snu fantastycznego—Alhambra!

Czytelniku! żeby ci dać w kilkuset jedrnych słowach, w kilkunastu śmiałych zarysach trwale wyobrażenie o piękności budynku, którego opisowi poświęcano całe tomy: oto serdeczne życzenie tego pióra, poświęconego całkiem tryumfowi prawdy i piękna.

Ale czemuż w tém piórze tyle dobrej chęci, a tak mało mocy? Jednakże pędzone niepohamowaną żądzą, żadną trudnością nieustraszone, pióro to bieży ciągle ku swemu celowi, licząc na chwilę boskiego natchnienia, które mu może udzieli wspomnienie rozkoszy niegdyś doświadczonych.

Od przeszłości pożyczę uroku, by memu opisowi nadać wartości, nadać prawo rozgoszczenia się w twój pamięci, o czytelniku! Udam się do źródeł historyi, by świadkowi ich tak wymownemu jak Alhambra, udzielić powabu. Opowiedzeniem kilku scen historycznych na tym klassycznym gruncie odegranych, może zdolam wzbudzić w tobie zajęcie, którego miejsce to tak godne, i zyskam cierpliwość na architektoniczne szczegóły.

Wiele już pisano o Granadzie i o Maurach, ale w historyi Hiszpanii Don Xawerego Burgos, dawnego ministra hiszpańskiego, w przeszłym roku wyszłej, znalazłem nowe, Irwingowi nawet nieznanne źródła prawdy. W nich to czerpałem osnowę następującego rozdziału.

* * *

Prawie w tém samym miejscu, na którym dziś leży Granada, istniało w pomroku przedhistorycznych czasów miasto zwane Illiberis, założone podobno jeszcze przez Fenicyan. Mało o tém mieście wspominają dzieje; musiało jednakże być możnym i mocnym, kiedy potrafiło w 711 roku stawić silny opór wkraczającym do wnętrza kraju Arabom. Zburzonym zostało za ten opór przez zwycięzców, i długo ruiny pozostały jedynemi świadkami lepszej przeszłości. W dziesiątym dopiero wieku Maurowie podbiwszy największą część półwyspu pyrenejskiego i Afryki północnej, osiągnąwszy pod mądrymi królami z dynastji Omeyadów wysoki stopień władzy i oświaty, założyli tu nowe miasto, i dali mu nazwisko Granada, to jest granat, z podobieństwa jego do tego owocu. Królowie Granady nosili w herbie swym tenże sam

owoc w polu lazuruwém i z napisem: *Wal la galib ileh Allah*; co znaczy: „nie masz zwycięzcy prócz Boga”.

Aż do upadku świetnej dynastyi Omejadów, Granada należała do kalifatu korduańskiego; lecz gdy w roku 1031 mocarstwo rozpadło się na wielką liczbę pomniejszych państw, Granada została stolicą niezależnego emira.

Niezgody zaczęły wkradać się pomiędzy Maurów. Alfons VI król Kastylii korzystając z niezgód i zamieszek, wypowiedział wszystkim emirom półwyspu wojnę, a ci nie czując się na siłach, przywołali w pomoc sultana marokańskiego Jusef-Aben-Taszfina z rodziny Almorawidów, panujących w Maroko od upadku Omejadów. Przybył do Hiszpanii i zniszczył wojsko króla Alfonsa w bitwie pod Zalara niedaleko Badajoz; lecz korzystając z swego położenia zwycięzcy, napadł w r. 1090 nagle na Granadę, postąpił jęj emira jako jeńca do Maroko, i zwolna, aż do roku 1103 podbił sobie całą Hiszpanią mahometańską. Takim sposobem Granada straciła swoje niezależność.

Almorawidowie choć bitni, nie umieli sobie pozyskać miłości ludów maurytańskich, przyzwyczajonych do łagodniejszego berła i do używania wyższej oświaty. Już się zwracały oczy Maurów na chrześcian po nadzieję i pomoc, gdy nagle w Afryce dynastya Almorawidów legła pod ciosami Almohadów (1146). Teraz cała Hiszpania maurytańska wzięła się do broni przeciw wielkorządcóm Almorawidów, i przywołała na swą pomoc hufce Almohadów. W roku 1170 wszyscy Maurowie uznali cesarzem Yusefa-Aben-Jakuba, z dynastyi Almohadów. Lecz bunt, niepokoje i wojny nie nadługo ustały. Królówie nowej dynastyi niepowodowani żadną wyższą ambicyą, uważali swoje państwo poprostu jako zdobycz, wyssysali krew swego ludu i dali upaść naukom i sztukom, niegdyś tak kwitującym w Kordobie, Toledzie, Sewilli i w Granadzie. Nareszcie po wstąpieniu Ferdynanda III, zwanego Świętym, na tron hiszpański, i po wzniesieniu się za pomocą jego na godność sultana Maurów, Mohammeta Aben-Hooda, z rodziny świetnych emirów Saragossy, dynastya Almohadów upadła na polach Tarify pod ciosami Maurów. Andaluzya podzieloną została na 3 różne państwa: 1^o, na państwo, którego Sewilla była stolicą, a zawierające w sobie królestwa Sewilli, Algarwii i Estramadury; 2^o na państwo zawierające w sobie królestwa: Murcyi, Almeryi, Granady, Malagi i Kordoby; 3^o na państwo złożone z księztw: Jaenu, Aryony, Guadyxu i Bazy.

Od roku 1238 panował Granadzie Mahomet-Abu-Alhamar, pierwszy z świetnej rodziny Bën Nassarów. Wzniósł się własnymi zasługami na tron, i ozdobą był jego przez cały ciąg swego panowania. Władzę nad miastami oddał ludziom znanym z moralności i dobroci; policją zorganizował nadzwyczajnie czujną, administracją zaś zaprowadził szybką i sprężystą. Biedny i prześladowany zawsze znalazł łatwy do niego występ. Szpitale pozakładał nie tylko dla chorych, lecz także dla kaleków, upośledzonych od przyrody i dla starców. Sam je zwiedzał bardzo często bez świty i bez eskorty; niespodzianie, dla zapewnienia się, czy administratorowie pełnią swoje obowiązki. Abu-Alhamar już wówczas kazał budować szlachtuzy publiczne na miejscach wyniosłych, gdzie codziennie w obliczu ludu kupowano od wieśniaków i handlarzy bydło przez *licytacyą publiczną*, i gdzie mięso rozprzedawano także *licytacyą publiczną*. (Pan Carlier znał historią Mahometa Abu-Alhamar i umiał z niej dla dobra Paryżanów korzystać).

Szkoły, akademie, konserwatorya, gimnastyki i muzea cieszyły się szczególną protekcyą dobrego sultana. Jemu także Granada winna swój system irygacyi: źródło bogactw i dobrego bytu tego kraju. Rolnik był szczęśliwym, handel czynnym i uczciwym, nauki i sztuki kwitnęły wówczas w Granadzie.

Alé gdy Mahomet Abu-Alhamar panował tak mądrze swemu krajowi, inni monarchowie maurytańscy swarzyli się pomiędzy sobą, a chrześcijańscy książęta korzystali z tych niesnasek i opanowywali dawne posiadłości. Jakób zwany wojownikiem podbił Walencyą, a Ferdynand święty wkroczył do Andaluzyi. Mahomet uznał, że wojsko jego nie zdoła obronić państwa przed przemagającą siłą, i udał się potajemnie do króla Ferdynanda. „Oto przed tobą król Granady”, rzecze do chrześcijańskiego monarchy. „Uciekam się pod twą protekcyą; wiem, żeś sprawiedliwym panem. Bierz wszystko co posiadam, przyjmij mnie za twego lennika, ale zachowaj mój kraj od okrucieństw wojny”.

Król Ferdynand tym dowodem zaufania usęty, nie chciał być zwyciężonym szlachetnością księcia maurytańskiego. Podniósł swego rywala, uściśkał go jak przyjaciela, przyjmąc nie chciał jego skarbów, lecz przyjął go jako lennika płacącego hardcz i zasiadającego w kortezach jako grand Kastrylii.

Kronikarz mówi, że Mahomet wracając do Granady, często powtarzał następujące wiele znaczące słowa:

Que angosta y miserable seria nuestra vida, si no fuera tan dilatada y espaciosa nuestra esperanza.

(Oh! jak nędzném i w ciasnych granicach zawartém byłoby nasze życie, gdyby nasze nadzieje nie były tak szczytnemi i świetnemi).

W smutném usposobieniu wracał monarcha do Granady, ale jego lud wybiegł naprzeciw niemu i witał go jako zbawcę i ojca; i znikł smutek z jego czoła. Nie ustawał w swój gorliwości dla dobra publicznego; owszem, idąc za przysłowiem: „uzbrajaj się nawet w czasie pokoju i okrywaj się nawet w lecie” wzmocnił swoje zamki, nappełnił swe arsenały bronią i wszystkie użyteczne sztuki i rzemiosła wspierał. Postanowił nagrody dla gospodarzy trudniących się poprawieniem rasy koni i innych zwierząt. Wyroby jedwabne granadeńskie wkrótce przewyższyły dobrocią i cienkością wszystkie utwory Syryi i Damaszku. Kopalnie złota i srebra, odkryte w wysokich górach królestwa, tak umiał użyć, że niezmiernie dostarczały dochody. Piérwszyto monarcha maurytański, który kazał bić monetę srebrną i złotą ze swém popiersiem. Dziś jeszcze numizmatycy podziwiają piękność odbicia na uncjach i piastrach granadeńskich.

Książę ten tak wielki i świetny, nadwyczajnie był skromnym w swych potrzebach osobistych. Sukniami nie różnił się wcale od swych poddanych. W haremie utrzymywał tylko małą liczbę kobiet, rzadko je widywał, ale je otaczał wszelkimi przyjemnościami bogactwa. Żony jego należały do piérwszych rodzin kraju. Mahomet obchodził się z nimi jak z istotami rozumnymi, jak z przyjaciółkami, i tyle dokazał, że w przyjaźni pomiędzy sobą żyły. „Musiał mieć rozum, kiedy tak zwalczyć umiał naturę kobiecą” dodaje naiwny kronikarz.

Nie przeniewierzył się nigdy swemu dobrowolnie uznanemu zwierzchnikowi, królowi Kastylii Ferdynandowi świętemu; a gdy król ten umarł w r. 1254 w Sewilli, książę maurytański w nieutulonym był żalu: posłał do Sewilli stu najszlachetniejszych rycerzy Granady, i kazał im, na znak cześci, otoczyć podczas ceremonii żałobnej trumnę świętego króla z gromnicą w ręku. I każdego roku w rocznicę pogrzebu wysyłał do Sewilli stu rycerzy maurytańskich, by składali swe hołdy dostojnemu nieboszczykowi w świetnej katedrze sewiliańskiej.

Mając lat siedmdziesiąt dziewięć, Abu-Alhamar wsiadł na konia, by odeprzeć na czele swego wojska hufiec najezdników, któ-

rzy napadli na królestwo. Wyjeżdżając z miasta bramą zwaną Elwiry, naczelnik gwardyi królewskiej złamał swą włócznię o też samą bramę. Astrolog monarchy wziął to za złą przepowiednię, i chciał go odwieść od tego przedsięwzięcia. Ale Mahomet nie dał się wzruszyć. W godzinę potém król Granady nagle zasłabł i o mało co nie spadł z konia. Słabość powiększała się raptownie. W rękach księcia Kastylji, don Filipa, skonał monarcha maurytański wśród łkań swych dworzan. Ciało jego nabalsamowane, złożone w srebrną trumnę, pochowano w pyszném mauzoleum, wzniesioném w Alhambrze.

Tento księżę światły i ludzki zaczął budować Alhambrę. Sam dozorował robotników, których było przeszło dwa tysiące, sam wybierał materyały zwożone z bardzo daleka. Nazwisko założyciela arabskimi literami wypisane, dotychczas wyczytać można we wszystkich arabeskach. Pamięć tego króla, wzbudza w duchu przechodnia, odwiedzającego ten przybytek, myśli jak najszczytniejsze. Tyle dobrego smaku, tolerancyi i ludzkości w monarsze XIIIgo wieku, w monarsze maurytańskim! Iluto chrześcian zawstydzia ten księżę muzułmański!

Tak wzrastała Granada pod dobroczynnym wpływem gieniuszu monarchów, i jeszcze przez półtrzecia wieków opierała się zamachom chrześcian, usiłujących ją zagarnąć. Można nawet powiedzieć, że Granada wzrastała w miarę jak się potęga królów Kastylji na okoliczne rozciągała państwa. Maurowie bowiem woleli żyć pod ludzkim berłem królów Granady, jak pod jarzmem fanatycznych mnichów. W r. 1350 miasto samo liczyło 200,000 mieszkańców. Wówczas miastu temu panował Yusef Abul Hagig, wielki monarcha, który ukończył Alhambrę, a który swemi cnotami i zdolnościami zasłużył na sławę, równą prawie sławie założyciela Granady. Wielką to dla mnie stanowi przyjemność wydobyć z zapomnienia nazwisko drugiego monarchy tego narodu prawie straconego, który panował nad Hiszpanią z taką świetnością, i dostąpił tak wysokiego stopnia oświaty wówczas, kiedy reszta Europy była jeszcze pogrążoną w grubój i srogiej barbaryi.

Yusef Abul Hagig wstąpił na tron Granady w roku 1333. Przymioty jego fizyczne i moralne przepowiadały długie i świetne panowanie. Z rzadką pięknością, łączył zastanawiającą siłę. Kronikarze arabscy mówią, że miał brodę nadzwyczajnej długości, ale tak jasną, że ją sobie na czarno farbować musiał dla sprawienia większego wrażenia na swój lud. Należał zatem do rzędu

ludzi, lubiących imponować ludzkości pięknoscią urody. Pamięć miał doskonałą, a przytém lubił poezją i improwizował bardzo piękne wiersze. Serce jego tak było dobrém i litościwém, że pomimo wielkiej osobistej siły i odwagi, nie lubił wypowiadać wojny; nie był tóż szczęśliwym w swych przedsięwzięciach wojennych. Nie cierpiał żadnego okrucieństwa, zawsze zalecał litość, nawet względem nieprzyjaciół, i czułym był opiekunem kobiet, dzieci, starców i księży.

Wyprawa jego przeciw królom Kastylii i Portugalii nie powiodła mu się wcale. Yusef został pobitym w owej sławnej bitwie pod Salado, która potędze Muzułmanów w Hiszpanii zadała cios bardzo dotkliwy.

Jednakże po tój nieszczęśliwej bitwie, Yusef uzyskał pokój dość korzystny. Umiał tóż z niego dla dobra swego ludu doskonałe odnieść owoce. W każdej wsi pozakładał szkółki, uposażył nauczycieli; w każdym folwarku złożonym przynajmniej z 12 chat, założył meczet. Zaprowadził patrole nocne po wsiach i miastach, i pierwszy wpadł na myśl, aby powierzyć broń rodzajowi gwardyi narodowej.

Yusef wykończył Alhambrę w sposób godny myśli założyciela, i na świetnej bramie, zwanój *bramą sprawiedliwości*, a prowadzącej do głównego gmachu tój pysznej budowli, kazał napisać słowa wyrzeczone przez Mahometa Abul Alamarą, gdy go lud powracającego zwycięzcą, witał radosnemi okrzykami: *Wa la galib ila Allah!* Bóg jeden jest zwycięzcą!

Wybudował także *alcazar*, czyli cytadelę w Maladze. Dziś leży ona w gruzach, ale niegdyś tak miała być piękną, jak dziś jeszcze Alhambra.

Szlachta granadeńska poszła za przykładem monarchy, i wybudowała sobie pyszne pałace w stolicy, pałace złożone, mozaiką i rzezbą wyłożone, pięknymi belwederami i wieżyczkami ozdobione. „Granada za panowania Yusefa była naczyniem złotém, napełnioném kwiatami i szmaragdami”, mówi kronikarz arabski.

Zdarzenie jedno służyć będzie wiecznie za dowód szlachetności tego monarchy. Król Alfons XI, nieprzyjaciół jego śmiertelny, wtargnął do królestwa Granady z liczném wojskiem i obległ Gibraltar. W wielkiej był trwodze Yusef, gdy się dowiaduje, że Alfons umarł nagle w skutku zarazy. Yusef zamiast tryumfować, rzekł z wielkim i szczerym smutkiem do swych dworzaków:

„Wielki to był monarcha, choć mój nieprzyjaciel; umiał on cenić zasługę i talent we wszystkich ludziach, i nam wypada nie tryumfować, lecz włożyć żałobę”.

Kronikarze hiszpańscy oddają nawet sprawiedliwość rycerskiej szlachetności króla Maurów i jego oficerów. „Obleżeni w Gibraltarze, dowiedziawszy się, że król Alfons umarł, zawiesili wielką czarną chorągiew na najwyższej baszcie, wysłali do nas parlamentarzy z trębaczami i heroldami w żałobę ubranemi, i oznajmili nam, że wszelkie kroki nieprzyjacielskie przeciw chrześcianom ustaną natychmiast na czas ceremonij żałobnych, i ofiarowali nam eskortę, do przeprowadzenia zwłok królewskich do Sewilli przez najkrótszą drogę, wówczas przez wojską Maurów zajętą”. Tak mówi Frayle Bartolomeo, Augustyanin i sekretarz króla Alfonsa XIgo.

Do Granady zjeżdżano się wówczas ze wszystkich blizkich i odległych krajów na zabawy rycerskie, na łowy i na turnieje. Bywali tam nie tylko książęta hiszpańscy, lecz i królewicze francuzcy, bohaterowie Anglii, kurfirsty, herzogi i burgrafy niemieckie. Język arabski stał się językiem modnym w świecie uczonym i w świecie rycerskim; ale przed wszystkiemi innemi książętami jaśnieli potęgą talentu książęta granadeńscy. Każda z dam dworskich umieć musiała po hiszpańsku, a tańczyć, śpiewać i haftować, jak rusalka. Wiele też mieli chrześcianek w swych haremach.

Lecz Yusef niedługo przeżył nieprzyjaciela, którego zgon tak szczerze oplakiwał. Umarł, jak później Henryk IV. Fanatyka religijnego sztylet przeszył mu serce. Yusef, monarcha oświecony, dozwolił w swych krajach wszelkiej wolności wyznań, i na dworze swym miał nawet Maurów chrześcian, co bardzo gorszyło prawowiernych Muzułmanów.

Pochowano zwłoki Yusefa w pyszném mauzoleum z marmuru białego, i na tle lazuruwém wryto mu napis następujący:

„Tu leży król, męczennik, potomek szlachetnego rodu, miły w obejściu, uczony, cnotliwy, sławny z piękności i z układu; król, którego miłosierdzie i bogobożność znanemi były na świat cały.”

Jeszcze istnieje sala, w której ducha wyzionał świetny książę Maurów granadeńskich.

I w późniejszych czasach monarchowie tego kraju, idąc torem poprzednika, ściągali na Granadę rosę błogosławieństwa Boskiego. Granada liczyła na początku XVgo wieku 400,000 mieszkańców, a całe państwo przeszło sześć milionów. Królowie

chrześcijańscy widząc kraj tak silny, tak waleczny, nie śmieli go napadać.

Ale insze wcale losy spadły na piękną Granadę po wstąpieniu na tron Kastylii Izabelli katolickiej w r. 1474. Muley-Hassan panował wówczas krajowi Maurów. Byłto monarcha bitny i rycerski, i gdy przybył do Alhambry wysłannik Izabelli w r. 1478, żądając zaległego haraczu, Muley odpowiedział mu z dumą: „Mennice moje już nie biją złota, tylko groty i pałasze.“ Królowa zaś Kastylii słysząc o tém, rzekła: *grano por grano se come la granada*, „ziarno po ziarnie zjada się granat“, i zaczęła podszechuwaniem intryg i niezgód wicherzyć spokojność Granady. Muley-Hassan widząc co się dzieje i nie chcąc czekać końca kalamburu, uderzył nocną porą bez wypowiedzenia wojny na twierdzę Zahara, położoną na granicy królestwa Sewilli, wyciął załogę i uprowadził mieszkańców w niewolę. Zemścił się za tę zniewagę margrabia Kadyxu, bohaterski Don Rodrigo Ponce de Leon, wzięciem Alhamy, miasta oddalonego tylko o siedm mil od Granady.

Muley-Hassan napróżno usiłował odebrać Hiszpanom to przedmurze swego królestwa. Teraz następuje zacięta wojna, której rycerskie przygody pełne najszlachetniejszych poświęceń i bohaterstwa, w tysiącnych balladach świata wyśpiewano. Wojna ta krwawa, okrutna, byłaby się skończyła z chwałą dla Maurów, gdyby ich domowe niesnaski nie były osłabiały. Wina całego nieszczęścia spada na Muley-Hassana. Rozkochawszy się w swój brance Donnie Isabel de Solis, pojął ją za żonę i wyniósł do godności sultanki, kosztem swój dotychczas pierwszej żony i sultanki, znaniej w historii pod nazwiskiem Fatimah la Zoraya, (światło zorzy). Tak nawet daleko zapomniał się Muley, że ściąć kazał potajemnie trzech swych synów spłodzonych z sultanką Zoraya która była księżniczką z krwi królewskiej. Jeden tylko pozostał syn z tego małżeństwa, ulubieniec ludu, Mohamed-Abdalah- Abu- Abdilehi. Astrologowie przepowiedzieli mu z horoskopu zaraz przy urodzeniu, że on będzie ostatnim królem Granady. Dlatego téż lud wierząc w przepowiednię, nazwał młodego księcia: *el Zogoybi* (nieszczęsnym), przezwisko usprawiedliwione aż zanadto losem jego. Hiszpanie zaś nazwali go Boabdil (przez elizyą z Abu-Abdilehi) i odróżniali od stryja jego tegoż samego nazwiska przydomkiem *el chico* (mały czyli młody). Z tego mnóstwa nazwisk, przezwisk i przydomków takie zawikłanie w historii Granady powstało,

szczególniej przy pomocy romansopisarzy (1), że niełatwo było wysłedzić prawdę biegłym nawet historykom.

W ścisłym więzieniu trzymał Muley-Hassan syna swego Boabdila, razem z matką Fatimą Zorayą; nie chciał go nigdy dopuścić do panowania, a zabić go nie śmiał, bo się lękał zaburzeń ludu. Lecz podczas wyprawy króla pod Alhamę, królewicz, dzięki podstępowi swój matki, zdołał uciec z więzienia z Alhambry. Wraca Muley-Hassan i znajduje bramy miasta zawarte i rokosz w mieście. Boabdila lud obwołał królem. Rozdzieliły się zdania kraju pomiędzy ojcem i synem. Syn udał się do Ferdynanda katolickiego z prośbą o pomoc przeciw ojcu. Przybywa waleczny margrabia Kadyxu z licznym wojskiem, z kwiatem andaluzkiego rycerstwa, lecz je pobija ze szczeniem pod Malagą Boabdil starszy, stryj młodego (d. 21 marca 1483).

Król Boabdil uznał, że serce ludu swego postradał przywołaniem obcych na rozstrzygnięcie walki swój z ojcem; pojął, że odzyskać je może jedynie szczęśliwą jaką wyprawą przeciw chrześcianom. Wyrusza tedy na czele wojska swego przeciw Hiszpanom, i dostaje się wkrótce potem do niewoli. Okupuje sobie wolność obietnicą zrzeczenia się za lat sześć tronu Granady na korzyść monarchy Kastylji, i poprzestania na przyszłość przy tytule księcia Guadixu. Ale tymczasem Muley-Hassan odzyskał koronę Granady. Boabdil wraca do stolicy, bój się okropny wszczyła na ulicach, krew się leje. Boabdil pokonany ucieka z swą matką do Almerji. Wojska Ferdynanda i Izabelli wkraczają do kraju; jedna forteca po drugiej wpada w ręce chrześcian. Muley-Hassan wiekiem pochylony powierza kommandę wojska swemu bratu. Nowy rokosz w Granadzie. Boabdil starszy obwołany królem. Muley-Hassan chronić się musi, traci wzrok, uznaje brata swego młodszego swym panem, i wkrótce potem umiera (1485). Boabdil starszy dobrowolnie oddaje część państwa swemu synowcowi. Lecz wkrótce znów wybu-

(1) Przy tej sposobności napomknę, że sławny romans Floryana, z którego dawni podróżnicy czerpali wszystkie swe historyczne wiadomości dotyczące się Granady, zawiera bardzo mało prawdy, i że to, co w nim jest prawdziwego, przekształconem zostało w sposób historyi, opowiadanej w romansach przez pana Alex. Dumas. Dlatego też tyle się rozwodzę nad dziejami Granady, pewny, że to co tu podaje, a co tylko w kilku wiarogodnych kronikach znajduje się, potrafi się ostać przed krytycznym sądem znawcy historyi.

cha pomiędzy Boabdilami wojna na ulicach samej Granady. Bój trwa dni pięćdziesiąt, i zalewa krwią całe miasto. Walczy Boabdil młodszy ze swoim stryjcem na placu wielkiego meczetu, i rani go nawet.

Ferdynand wysłał młodemu królowi posiłki pod dowództwem Doń Fadryka de Toledo, tegoż samego, który później pod nazwiskiem księcia Alby wpisał się krwawemi literami w księgę historii. Stary Boabdil zbity pod Velez-Malaga; młody osadzony z wielką pompą po drugi raz na tronie w Alhambrze.

Widząc, że losu nie przewycięży, stary Boabdil poddaje się królowi Ferdynandowi, i uzyskawszy od niego wielką sumę pieniędzy, wyjeżdża do Afryki do swego krewnego króla Fezu, i zostaje przez niego pozbawionym oczu, wolności i pieniędzy.

Boabdil młodszy, teraz jedyny król Granady, chwiał się pomiędzy przysięgą daną chrześcianom, a wiarą zaprzysiężoną ludowi. Największą część kraju była w rękach Ferdynanda:

— Boabdilu, sześć lat już mija! — wołał Ferdynand: A lud trzymał króla swego w oblężeniu w Alhambrze, i nie dał mu zrzekać się korony; wołając: „raczej gin z nami pod gruzami Granady, ale nie zdradzaj twego ludu!”

Król Boabdil nareszcie postanowił biec się do upadłego: mianował rycerskiego Muza-Ben-Abil-Gazana dowódcą swęj jazdy i wyruszył przeciw Ferdynandowi, stojącemu na czele pięćdziesięcio-tysięcznej armii o dwie mile od Granady; tam, gdzie teraz miasto Santa Fé stoi.

Boabdil nie posiadał nic prócz Granady i Alpuchary, z kąd go dochodziły żywności: I to źródło umiał przeciąć król Ferdynand. Znow osłabła odwaga w sercu Boabdila; pomimo sprężystych przedstawień bohaterskiego wodza swych hufców, który w stu bitwach Hiszpanów pobit. Boabdil podpisał d. 25 listopada 1491 roku zobowiązanie poddania swego królestwa Hiszpanom d. 31 stycznia następnego roku.

Jeszcze tegoż samego dnia Muza skończył swe bohaterskie życie w nurtach Xenila. Nie chciał być świadkiem upadku swęj ojczyzny.

W Granadzie wybuchł bunt na odgłos haniebnego traktatu, podpisanego przez Boabdila. Solenna proklamacja króla Ferdynanda, w której Granadeńczykom najwięcej przyobiecuje wszel-

kie wolności religijne, sędownicze i narodowe, uśmierza umysły Granadeńczyków.

Boabdil obawia się nowych rozruchów, i poddaje miasto już 2go stycznia. O 10tej godzinie z rana spadł srebrny półksiężyc z wieży Vela. Na ten znak czekali Ferdynand i Izabella z swém wojskiem; na ten znak padli na kolana i cześć oddali Bogu. Ferdynand i Izabella wjeżdżają do miasta; Boabdil je opuszcza. Nie! on się zwraca już poza bramą i spieszy ku królom chrześcijańskim, nie wiem jakim uczuciem pędzony; chce się rzucić z konia na kolana, na widok majestatu Kastylii i Arragonu, ale Ferdynand zwalczony uczuciem litości, przytrzymuje Boabdila na koniu i serdecznie go rękami obejmuje. Nawet Izabella łzy ronila: „Patrzcie! ten raj teraz do was należy, królu i królowo!—rzeczcie łkając biedny Boabdil—niech Allah pozwoli, byście w nim byli szczęśliwszemi niż ja.”

I potem zwrócił konia ku góróm Alpucharry, gdzie król Kastylii wyznaczył mu dobra, i gdzie już jego rodzina i dwór przebywali.

Opanowano Granadę. Wszystko się odbyło w uroczystej, grobowej ciszy. Żaden Maur na ulicach Granady; ani jeden. Chrześcianie nawet zamieszkali tu oddawna nie wołali: „niech żyją zwycięzcy”! Tak skończyło się panowanie Arabów w Hiszpanii. Trwało lat 780, miesięcy 8 i dwa dni. Boabdil pięć lat wytrzymał w górach Alpucharry, lecz dłużej awanturniczy jego umysł nie mógł znieść spokojności. W Almeryi, w obliczu wielu tysięcy dawnych swych poddanych przybiegłych zdaleka, by go pożegnać, Boabdil rozstał się z Hiszpanią. Poczciwy lud wybaczył mu wszystkie jego błędy, dlatego, że był *el Zogoybi khalif*, królem nieszczęsnym z urodzenia. Boabdil mieszkał u swego krewnego Muley-Achmeda króla Fezu. Doczekawszy się późnej starości, poległ w r. 1536 w bitwie przeciwko zbuntowanym braćiom króla, na brzegach rzeki Guadiswed.

Dzięki światłu i cnotom arcybiskupa Talavera i hrabi Tendella, Granada doznała dobrodziejstw pokoju pod berłem hiszpańskim. Arcybiskupa pokochali Maurowie jak ojca, wielu z nich dobrowolnie przyjęło chrzest i wiarę Chrystusa. Można było rokować temu narodowi najpiękniejszą przyszłość. Rozumny, łagodny i pracowity nie opierał się wcale wpływowi prawdy i cnoty. Ale chciwość zniweczyła te piękne nadzieje. Nalegano na

króla, aby rozpoczął dzieło nawracania przymusowego; przewidywano bowiem, że gwałty wyrodzą bunt, i że bunt pociągnie za sobą prześladowania i konfiskaty. Izabella dość chętnie ucho tym radom dawała; ale człowiek wielkiej wagi i niezmiernego wpływu, odradzał nawracania przymusowych. Nikt nie zgadnie kto był ten człowiek. Był nim wielki inkwizytor Torquemada, ten sam fanatyczny zakonnik, który tysiące żydów i kacerzy posłał na stosy. Torquemada dowiódł królowej, że wszystkie przymusowe nawracania wyradzają tylko kacerzy. Opuszczono tedy na czas niejaki myśl nawracania, lecz nie zaniechano pojedynczych dotkliwych prześladowań. Zdaje się, że umyślnie jątrono Maurów, aby ich zmusić do buntu. Maurowie wszystko znosili cierpliwie. W roku jednakże 1498, gdy sam kardynał Ximenes zjechał do Granady i samowolnie zaczął przymusem nawracać Maurów do chrystyanizmu, ci się zbuntowali i kardynała w własnym jego pałacu oblegli. Hrabia Tendella zdołał uśmierzyć umysły zbuntowane obietnicami i namową. Pomimo przedstawiań Tendelli, kardynał postanowił zemścić się za zniewagę, i wielu kazał uwięzić Maurów. Inni poczuwający się do winy uszli w góry Newady, i zorganizowali się w potężne bandy rozbójnicze, znane pod nazwiskiem Monfis. Bandy te w spółce z korsarzami afrykańskimi roznosili postrach na całe królestwo.

Królowa Izabella umarła w r. 1504. Po jej śmierci Ferdynand zatrudniony sprawami własnego królestwa, nie mógł doglądać spraw Granady i porucił je cheiwym krwi i bogactw sługom. Coraz cięższe brzemie prześladowań cisnęło Maurów; zostali oni bez żadnej opieki po śmierci arcybiskupa Talavery i hrabi Tendella, a nagłeni groźbami, przyjęli w massie wiarę chrześcijańską. W roku 1516 umarł Ferdynand. Mściwy kardynał Ximenes objął rządy kraju na czas niebytności Karola V, syna Filipa i Joanny. Maurowie doświadczali niesłychanych prześladowań: palono ich kopami za kacerstwo. Karol sam zjechał do Granady, przekonał się o stanie rozjątrzenia ludu maurytańskiego, przypisał jego przyczynę ich narodowości, i nakazał, żeby Maurowie zaniechali swęj mowy najdalej za trzy lata, jeśli nie chcą postradać majątku i być wypędzonymi z kraju. Ustanowił także osobną policją złożoną z mnichów, a mającą czuwać nad szczerością wiary nowonawróconych Maurów. Inkwizycyi zaś polecił srogo karać nieszczerych wyznawców Chrystusa. To się działo w r. 1527. Biedni Maurowie złożyli się na 160.000 dukatów,

i tą wówczas ogromną summą okupili sobie prawo rozmawiania pomiędzy sobą własnym swym językiem. Coraz nowe prześladowania wynajdywano umyślnie na wymożenie coraz nowych haraczów. Tak się rzeczy ciągnęły do r. 1566. W roku tym Filip II ponowił edykt Karola V, z zagrożeniem najsurowszych kar dla tych wszystkich, którzy mową, ruchem, lub ubiorem nie staną się za dwa lata do Hiszpanów zupełnie podobnemi. Żadna protestacya, prośba lub ofiara już nie Maurom nie pomogła. Termin ostateczny wynarodowienia się oznaczono na dzień 14 kwietnia 1568 r.

Do ostateczności przywiedzeni Maurowie zaczęli znów spiskować, i w nocy poprzedzającej ostatni dzień ich narodowości, obwołali swym królem młodego szlacheica don Fernanda de Valor, potomka kalifów korduańskich z pokolenia Omeyadów. Młody ten, zaledwie 22 lat liczący, przystojny, ukształcony i powszechnie szanowany szlacheic, uchodził za dobrego chrześcianina, i pozostał nim, nawet po wyniesieniu swém na tron Granady, pod nazwiskiem Muleya-Abdahli. Farax, ostatni z Abencerragów przybył na czele Monfisów Alpucharry i dopuścił się krwawej zbrodni na 3000 chrześcian; za co zrzuconym został z urzędu przez Muleya-Abdahli. Koronował się ten improwizowany król z wielką pompą w Laujar, i potem zorganizował z trudną do uwierzenia szybkością i zręcznością powstanie w górach Alpucharry. Margrabowie Mondejar i los Velez wysłanemi zostali przeciw zbuntowanym góralom z wojskiem bardzo liczném, i zaraz z początku świetne nad nimi odnieśli zwycięstwa. Łatwo byłoby uspokoić kraj cały w téj chwili, ale chciwość i okrucieństwo margrabiego do tego stopnia rozdrażniły umysły Monfisów, że postanowili święcie bronić się do ostatniego. Cudów waleczności dokazywali niesłychanych; tryumf następował po tryumfie, Hiszpanie wyparci zostali z zajętych fortec przez garstkę rozpaczających, dowodzonych z rzadkim talentem przez młodego Muley-Abdahli. Odgłos tych zwycięstw rozniósł się po całym kraju; prowincye Malaga i Almerya przystały do powstania. Młody król odważny i przebiegły stał się postrachem Hiszpanów. Król Filip wysłał przeciw niemu brata swego naturalnego, don Juana de Austria, zwycięzcę spod Lepanto. Młody bohater zdobył fortecę Galera, i wyciął w pień wszystkich Maurów bez różnicy płci i wieku. Korzystając z sprawionego przestachu, obiecał powstańcom przebaczenie, byle się tylko poddali. Uciekł się nawet do przekupstwa, i znalazł w jednym z dowódców Abdalhi, w El-Habakim gotowego

do wszystkich zdrad pomocnika. Takim sposobem zyskał kilka ważnych twierdz, klucze Alpucharry. W Granadzie tymczasem okuto wszystkich Maurów w więzy i wyprowadzono ich do Kastylii i do Estramadury. Trzy korpusy otoczyły Alpucharre i systematycznie cały kraj niszczyły, aby żadnego w nim nie pozostawić przytułku. Krew Maurów płynęła strumieniami. Ci, co się bronić mogli, bronili się jeszcze, cofając się na najwyższe szczyty gór. Aben-Abdallah-Omeya padł ofiarą zazdrości swęj żony: został zamordowanym. Don Juan de Austria kazał pochować zwłoki tego walecznego rycerza z wielką okazałością, ale nie przedstawiał ani na chwilę wytępiac Maurów ogniem i mieczem. Okropne teraz następiły czasy!

Nakoniec w r. 1609 król Filip III podpisał za radę księcia Lermy dekret wygnania na wszystkich potomków maurytańskich całego półwyspu. Tylko dzieci urodzone w więzieniach wyjęto zpod tego okrutnego wyroku. Wszystkich innych zaprowadzono do portów morskich i zawleczono na brzegi Afryki.

Tak Hiszpania samowolnie ogołociła się ze swych najpilniejszych dzieci! tak oddała demonom zniszczenia swe najpiękniejsze okolice! Z sześciu milionów mieszkańców Granady, zaledwie pozostało tyleż kroci; w Andaluzyi z 14tu wsi, zaledwie dziś istnieje jedna.

Nawet prace umysłowe Maurów nie znalazły łaski u fanatyków. Kardynał Ximenes kazał spalić na publiczném *auto da fé* 80,000 ksiąg arabskich, znalezionych w bibliotekach Granady. Oszczędził tylko 300 tomów treści lekarskiej i naukom przyrodzonym poświęconych. Dziś te dzieła stanowią w bibliotece orientalnęj Eskuryalu, część bardzo ważną.

I tak znikła w odmętach zapomnienia pogrązona, w żywiołach chaotycznych rozdrobniona, ta wielka fala powodzi arabskiej, która zlała się niegdys na Europę z tak niepohamowaną wściekłością.

Bóg jeden jest zwycięzcą!

VIII.

Alhambra. Generalif.

Alhambra, czyli królewska forteca, leży na najniższym stopniu pasma gór, przegradzającego dolinę Darro od doliny Xenilu,

a pasmo to bieząc coraz wyżej, wyżej w górę, nurza o mil cztery najdalej, swe śnieżne, błyszczące szczyty w obłokach. To Sierra Nevada, wyższa jak nasze Karpaty, a śniegi z niej nigdy nie znikają.

Od strony południa pagórek na którym leży Alhambra, wolno zstępuje w dolinę; ale ze strony północnej spada raptownie w skalisty, przerażający odmet, w głębi którego huczy Darro zapienionymi wodami.

Ze strony wschodu pagórek Alhambry odgraniczonym jest wązkim, lecz głębokim parowem od góry daleko wyższej i dzikiej. Na szczycie tej góry leżą gruzy zamku Maurów, zwanego Silla del Moro, a na jej podnóżu, ze strony doliny Darro, wznosi się nadobny pałac zwany Generalifem, to jest siedliskiem miłości. To jest villa sułtanek Granady.

Tuż nad tą przepaścią, nad tym parowem i nad doliną, wznosi się pałac granadeńskich królów, a z niego wysuwa się z jednej i z drugiej strony wysoki i gruby mur, okrążający wszystkie budowle, dziedziniec i baszty, wchodzące w skład fortecy. Mur zaś ten opatrzony jest strzelnicami i trzynastu czworograniastymi wieżami. Kilka żelaznych dział ogromnego kalibru pozostało tu jeszcze po Maurach. Drugi jeszcze tu był mur okrężny i wał wysoki, ale Francuzi wysadzili go w powietrze.

Ze strony południowo-zachodniej muru wznosi się ogromna wieża broniąca głównego wstępu do Alhambry. Przejście przebiega gzygzakiem całą grubość tej budowli, zastanawiającej ogromem. Okazały portyk z marmurowym baldachinem, zdobi wnijście do tej wieży. Tu pod tym portykiem królowie Maurów rozsądzali w *czwartek* patryarchalnie i za wspólną ugodą obu stron takie sprawy, które trybunałom krajowym powierzyć nie chciało. Jaka piękna instytucja! jedyny sposób zapobieżenia pojedynkom.

Na tejto wieży, którą, według zdania tutejszego ludu, astrolog jakiś miał wystawić z głazów piramid egipskich, na tej mowie wieży, wyryto w kamieniu godło jakiegoś kolosalnej wielkości: *rękę chcącą, chwycić za klucz*. Ręka ma przedstawiać naukę, a klucz wiarę; tak przynajmniej utrzymują talibowie arabscy, przybywający tu od czasu do czasu, aby płakać w straconym dla nich raj.

Przeszedłszy łamaną drogę w wieży, wstępujesz w wąwóz, otoczony wysokimi murami, a potem na obszerny plac, zwany *Plaza de los Algibes*. Plac ten zawiera dwie wielkie w skale wy-

kute sadzawki i głęboką studnię, także w skale wywierconą. Wodę z téj studni sprzedają jako specyał na ulicach Granady. Zachodnia część tego placu odgraniczoną jest wysokim murem, oddzielającym część fortecy, dziś za więzienie politycznym przestępcom służącej, od reszty budynków w skład fortecy wchodzących. Z drugiej, przeciwnéj strony placu sadzawek, wznosi się imponujący pałac przez cesarza Karola V zaczęty, ale dziś jeszcze niedokończony. W pałacu tym przechowują działa forteczne; jest ich przeszło trzysta z różnych wieków. Karol V ty aby wnieść swój pałac, kazał zburzyć zimowy pałac królów Granady, o którym podania głoszą, że piękniejszym był od wszystkiego, co pozostało. Są ludzie patrzący z zazdrością na wszystko co piękne: czyto żywe, czy umarłe. Takim był Karol V.

Za pałacem Karola V wznosi się kościół Alhambry; wprzód był on meczetem. Pomiędzy tym kościołem a pałacem granadeńskich książąt, opierającym się o północną część pałacu Karola, znajduje się przeszliczny ogródek pełen najpyszniejszych i najrzadszych kwiatów, np. drzew trąbkowych (*Bignonia catalpa* L.), i akacyi Chrystusowej (*Gleditschia triacanthos* L.), pełen także fontan alabastrowych, wytryskujących bezustannie chłodzący deszczyk na te miłe córki Flory, które swym widokiem tak cieszą.

Maurytański pałac królów Granady z zewnątrz nie ma okazałego; tak jak wszystkie budowle Arabów, chowających piękności swe tylko dla prywatnego, tajemnego użytku. Pałac Alhambry jest dziwnym różnokształtnym konglomeratem wysokich murów bez okien; nad nimi sterczą wieże różnéj wielkości i różnokolorowe; wznoszą się także dwa ośmioboczne wysokie pawilony z gankami na zewnątrz.

Ale gdy raz przestąpisz skromną furtkę, stanowiącą jedyne wejście do pałacu, wówczas pomyślisz, żeś od jednego razu wstąpił w krainę czarów. Znajdziesz się w dziedzińcu czworograniastym, podługowatym, wyłożonym tallami marmurowemi i otoczonym wokoło portykami całkiem z białego marmuru, spoczywającym na alabastrowych kolumnach. A te kolumny stojące parami, wiązane pomiędzy sobą, i pomiędzy innemi parami łukami najpowabniejszego wygięcia; te kolumny tworzą labirynty najfantastyczniejszych kształtów, i ozdobione są rzeźbą, arabeskami i złoceniem. W pośrodku tego dziedzińca, zwanego *Patio de la Alberca*, znajduje się stawik na 130 stóp długi, a 80 stóp szeroki. Dwie fontanny ciągle go napelniają, a złote pstrągi krążą w nim bezu-

stannie. Stawik otoczony jest zewsząd myrtami, różami i oleandrem.

Północną część tego dziedzińca stanowi wieża kolosalnej wielkości, zwana *Torre de Comares*. Wysoki portal prowadzi do sali ambasadorów, zajmującej wewnątrz tej ogromnej wieży. W tej sali dumny Muley-Hassan rzekł do wysłannika Ferdynanda: „Moja mennica już nie bije złota, lecz groty i palasze.“ Nad wejściem zaś do samej sali, znajduje się długi napis arabski, który, według tłumaczenia danego przez *Itinerario descriptivo de Espanna*, znaczy:

„O Ben-Hassanie! nie na tronie zostałeś zrodzonym, lecz w własnem pławisz się świetle, tak jak owa gwiazda, która nam dzień przynosi. Twoje ramię jest naszym murem, a twoja sprawiedliwość naszym światłem. Ty umiesz powściągać złość nieprzyjaciół naszych, a uszczęśliwiasz twą dobrocią liczne dzieci twego ludu. Gwiazdy firmamentu przyświecają ci z cześcią, słońce patrzy na cię z miłością, a cedry, królowe lasów chylą swe dumne czoła przed tobą, o wielki nasz kalifie”.

Znamy historią panowania Mohameta Abu-Alhamana z domu Ben-Hassanów. O nim tu mowa w tym czułym i pełnym poezji napisie.

Sala ambasadorów jest bez żadnej wątpliwości najobszerniejszą salą, znajdującą się gdziekolwiekby wewnątrz wieży. Panuje tu sztuczny pomrok, nie pozwalający dostrzedz wszystkich cudów architektury i ozdób tego czarującego miejsca. Ile tu złotych, ile mozaiki, ile rzeźby na drzewie cedrowém! Ale dwanaście okien, to zamało na ogrom tej sali.

Każdego roku d. 2 stycznia, to jest w rocznicę poddania się Granady, gubernator Alhambry daje tutaj bal w tej pysznej sali, dla sześciuset osób. Wystawić sobie 600 osób w wewnątrz jednej wieży! Za każdym z okien znajduje się ganek; z nich widok na pola, góry, lasy i przepaści najpyszniejszy.

W wyższej części wieży Comares, znajdują się pokoje, w których Muley-Hassan więził swą żonę, piękną Fatimę la Zoraya, światło zorzy, i syna swego Boabdila małego, przezwanego *el Zogoybi*, nieszczęsnym już od urodzenia.

Naprzeciw wniścia do tego dziedzińca, znajduje się wniście bardzo okazałe do głównego dziedzińca zamku, do dziedzińca lwów: *patio de las Leones*. Jest to regularny czworokąt, opasany portykami, który podpira 168 kolumn marmurowych.

Dwa przedsionki cudnej architektury, stojąco na ostrych łukach, wspartych wysokimi kolumnami, wystają ku dziedzińcowi, w środku którego znajduje się owa sławna fontanna, unoszona przez dwunastu lwów marmurowych. Kilka miednic kolosalnej wielkości, ale coraz mniejszych, unosi się jedna ponad drugą w powietrzu; woda spada z jednej w drugą i tworzy cudnej piękności katarakty; nareszcie wpada w wnętrze lwów i przez nich znów jest oddawaną nozdrzami w szumnych strumieniach.

Miejsce to było widownią wielu scen historycznych, opiewanych balladami i romansami.

W tym dziedzińcu Muley-Hassan obronił własną swą ręką don Juana de Vera ambasadora Izabelli od niechybnej śmierci. Tenże don Juan de Vera wdał się był w tęj właśnie sali z niektórymi Maurami wysokiego rodu w rozmowę o tajemnicach religii chrześcijańskiej. Mówiąc o Niepokalaném Poczęciu, jeden z przytomnych Maurów, Abencerrag rodem, pozwolił sobie zrobić żarcik jakiś uchybiający świętości religii. Don Juan de Vera do żywego obruszony wy dobył miecz, i jedném cięciem powalił bluzniercę o ziemię. Wszyscy przytomni dobyli szabli i uderzyli na ambasadora. Byliby go rozsiekli na kawałki, ale Muley-Hassan usłyszał zgietk w przyległej sali, przybiegł i obronił nietykalność ambasadora. W nagrodę nawet za męstwo przy tej sposobności okazane, król Maurów darował don Juanowi de Vera bogaty dyamentami wysadzany pałasz: „Królu! darowałeś mi ostry upominek; będę się starał nim ci się wywdzięczyć przy najpiérwszej sposobności“ rzekł ambasador do monarchy przyjmując dar.

Ale i innéj, jeszcze okropniejszej sceny, dziedziniec ten był świadkiem.

Tutaj, pod tą fontanną, Muley-Hassan folgując namowom swéj nowo wyniesionéj sułtanki donny Isabel de Solis, kazał ściąć własnych synów, spółdzonych z Zorayą.

Z obu stron dziedzińca lwów, znajduje się sala dwóch siotr i sala Abencerragów.

Sala dwóch siotr najpiękniejszą jest ze wszystkich; tak jest nazwaną od dwóch olbrzymich taffi marmurowych, wchodzących z obu stron fontanny w skład białej, jak śnieg posadzki. Spodnia część sali jest czworograniasta, ściany składają się z mozaiki; wyższa część ozdobna gankami tworzy ośmiobok, i kończy się przecudną kopułą, sklejoną z fantastycznych sztukatur, niby wewnątrz dla przedstawiających i przypominających stalaktyty zawie-

szone w jaskiniach, w których krzepnie woda ściekająca kroplami z sklepienia. Wszystkie wypukłości są złocone, wklęsłości zaś wyłożone białą, czerwoną i lazurową mozaiką. Wszystko tak jeszcze jest świeże, jak gdyby wczoraj było wykończonem. Światło wpada ośmioma oknami w kopule wykrojonemi, i zlewając się w tę czarodziejską salę, sprawia widok nie do opisanie piękny. Ściany zdają się być obwiedzione koronkami bruxelskiemi; tak cienką jest siatka arabesków, opasująca zewsząd okazałe te przestrzenie. Portyk okrążający tę salę, dźwiga ganek; do niego zaś prowadzą schody z haremu. Często ztąd patrzyły czarne oczy na ucztę dawane w téj sali. W tylnej ścianie tego przybytku znajduje się mała, ale nadzwyczaj wykwiutna komnateczka, cała wyłożona alabastrem, a okna jój misternie i uroczo wykrojone, wychodzą na ogródek sultanki, zwanój Lindaraxa. Ogródek ten niewielki, ale ozdobiony krużgankami, fontannami i altankami, był niegdyś lubym przytulkiem królewskiego haremu.

Obszerniejszą niż sala dwóch sióstr, okazalszą, ale mniej ozdobną jest sala, znana pod nazwiskiem halli Abencerragów. Miejsce zawarte pod kopułą, pod którą ciągnie się gzygzakiem ganek naokoło, większém jest, jak sama sala. Promienie słońca wpadające niezliczonem mnóstwem okien kolorowych, walczą tu z sobą wszystkiemi barwami tęczy.

— W téjto sali—rzecze mi Mateo Ximenes, wymordowano 36 Abencerragów; tu w téj marmurowój fontannie, złożono ich głowy, a około téj miednicy porozkładano tuławy, by krew ściec mogła podziemnymi rynnami.

— Mateo! znasz ty szczegóły téj krwawój sprawy, umiesz je opowiedzieć? Jeśli umiesz, siadajmy, słuchać cię będziemy nabożnie, tak, jak kiedyś słuchano Ulissesa.

— Czy znam szczegóły téj sprawy? wszakże ja obcuje z cieniemi zmarłych w tym przybytku bohaterów; jestem synem Alhambry; znam jój tajemnice, słuchajcie!

„Król Boabdil był rycerzem mężnym w boju, ale w pokoju człowiekiem wahającym się, łatwowiernym i słabym. Znamna mu przepowiednia, że będzie ostatnim królem Granady, stała jak widmo przed jego oczyma, ściagała go wszędzie i nieraz do okrucieństw pobudzała. Często widział nieprzyjaciół w wierznych swych sługach; często nie spostrzegał nieprzyjaciela w pochlebcy. Gomele i Zegrissy, zacięci nieprzyjaciele Abencerragów,

sprzysięgli się na ich zgubę, i wmówili w Boabdila, że jeden z Abencerragów uwiódł królowę, że ją widziano w jego objęciach pod owemi cyprysami, rosnącemi w ogrodach Generalifu od czterech wieków. Boabdil zwalczony przysięgą fałszywych świadków, udał się do téjże sali z swym katem i z trzydziestu żołnierzami. Przywoływał Abencerragów jednego po drugim, i głowę ściąć kazał każdemu. Tu poskładano głowy i tu tułowiy. Trzydziestu sześciu padło ofiarą ławowierności Boabdila. Lecz paż ostatniego z ściętych spostrzegł co się dzieje, umknął z sali i okrzykiem rozpaczy dał znać reszcie Abencerragów, jaki ich los czeka. Zdrada! zemsta! wołali Abencerragi, lud powstał; było go czternaście tysięcy pod bronią. Wydobyto z więzienia Muley-Hassana, zrzuconego z tronu i okutego w kajdany przez syna swego Boabdila. Oddano mu koronę. Boabdil schronił się do meczetu. Gommelów i Zegrysów wyrznięto dwieście. Muza, bohater przez lud ubóstwiany umiał uśmierzyć umysły; Boabdilowi znów oddano koronę.

Lecz król trwał w swych podejrzeniach względem królowej, gdyż jój oskarżyciele ofiarowali się utrzymywać kłamstwo z bronią w ręku. Król zwołał sąd starców, którzy osądzili królowę na spalenie żywcem, jeśli za dni 30 czterech rycerzy nie pokonają oskarżycieli ostrzem swych włóczni. Zamknięto żonę Boabdila w wieży Comares. Wielu rycerzy maurytańskich ofiarowało się stanąć w obronie królowej, lecz ona tak wysokie miała wyobrażenie o waleczności rycerzy chrześcijańskich, że im tylko chciała powierzyć obronę swojego honoru. Napisła potajemnie do don Juana de Chacon gubernatora Kartageny, prosząc, by w dniu oznaczonym przybył na jój obronę i przywiódł z sobą trzech godnych siebie rycerzy. Królowa tyle zaufała chrześcianom, że nawet wzgardziła bohaterem Muzą i jego przyjaciółmi.

Dzień fatalny nadszedł. Już rusztowanie kirem pokryte wzniesiono, już w bieli ubraną królowę na plac przyprowadzono. Łkania ludu i szlochy rozlegały się po całej Granadzie. Dwadzieścia tręb oznajmiło przybycie czterech oskarżycieli. Zbliżają się na pysznych andaluzkich koniach, zbroją pokryci od stóp do głów; pióra strusie powiewają w powietrzu, na tarczach mają dwa na krzyż złożone miecze, z napisem: „oto obrońcy prawdy”.

Lud spogląda na wszystkie strony, obrońców nie widać! Od ósmój z rana do drugiej po południu nikt nie przybył. Już królowa zaczyna się chwiać w swém zaufaniu, i zalewa się łzami.

Czterech nowych rycerzy maurytańskich jawi się znowu i błaga, aby im wolno było stanąć w obronie niewinności: „Jeśli za dwie godziny żaden inny nie przybędzie rycerz, wówczas was przyjmuję za obrońców” rzecze królowa.

Wtém zagrzmiały trąby. Czterech przybywa tureckich rycerzy: jeden z nich prosi sędziów, aby zezwolił na rozmówienie się z królową. Sędziowie zezwalają. Rycerz turecki przybliży się do królowej i odchyła *wizier* swego hełmu. Królowa pozna je don Juana de Chacon, i daje znak sędziom, że przystaje na tych obrońców.

Bój się rozpoczyna; długo trwał zacięty, długo zwycięstwo niepewne. „Lecz Allah, mówi rękopism arabski, wlał odwagę w serce, i siły w ramiona obrońców niewinności. Zegrysy pokonani, przyznają się do winy, przysięgają, że zazdrość jedynie niemi powodowała, że królowa niewinną.

Sędziowie ogłaszają tryumf niewinności. Król rzuca się do nóg swój małżonce, lecz ona go odpycha i chroni się do klasztoru chrześcijańskiego. Rycerze kastylijscy znikli, a Abencer-ragi opuścili na zawsze Granadę. Tak król stracił odrazu wszystkich swych najlepszych przyjaciół”.

— Często, dodał don Mateo Ximenes, często głuche rozlegają się tutaj jeki nocną porą, gwary głosów, szczęki kajdan i płacz dzieci. Czasem nawet przeraźliwe słyhać krzyki: to niezawodnie dusze tylu ludzi umarłych tutaj w grzechu; pokutować muszą Maurowie po śmierci, bo Chrystusa uznać nie chcieli.

A Don Sobek Gruszka, były podoficer byłej legii nadwiślańskiej, a od wzięcia Badajoz, od roku 1812 organista w kaplicy Alhambry i przykładny małżonek gospodyni kapelana Alhambry; a Don Sobek Gruszka, mówię, widząc jak słucham z takim zajęciem opowiadania Don Matea, wziął to zajęcie za dowód ławowierności, i dodał ośmielony moją naiwnością:

— Tak, tak, panie Sennor, pokutować muszą koniecznie, bo to hajdamaki. Wszakżeż raz ja wchodzę do téj sali ranną bardzo porą i zobaczyłem co? czterech hajdamaków z długimi brodami, a ubranych od stóp do głów w czerwone-i żółte atlasy, zbliżających się do mnie. „Wszelki duch Pana Boga chwali!” krzyknąłem struchlały, i nie czekając odpowiedzi, kopnąłem się z sali na dziedziniec. Oj, źle zrobiłem, bo jak się później dowiedziałem, widma te chciały mi, jako dobremu katolikowi, objawić, gdzie są złożone skarby królów muzułmańskich.

— Ho, ho! Don Sobku Gruszko! co to, to za wiele! Cóż do stu tysięcy, przecież nie chcesz, żebym uwierzył w strachy i zaklęte skarby; a pfe! stary wiarusie!—odpowiedziałem z oburzeniem Don Sobkowi.

— Ach panie! na miłość Boga, albo się to raz zdarzyło, że widma Alhambry ludziom skarby wskazały? Niedawno temu, będzie lat z dwadzieścia, żołnierz jeden zbogacił się nagle tu w Alhambrze, wziął dymissyą i kupił sobie dwa domy w Malladze. Dotychczas żyje, i żyje wesoło, bo wino tam wyborne. A cóż Don Mateo, czy nieprawdę mówię?

Mateo powołany na świadka rzekł z tajemniczym i uroczystym wyrazem twarzy: „Gdyby się nie działo coś nadzwyczajnego w Alhambrze, nie oblewałby ksiądz kapelan, mieszkający tu obok tej sali, pokoju swego wodą święconą. Kiedy on się duchów lęka, to nam wolno w nie wierzyć!”

Istotnie ksiądz kapelan wierzył w duchy, i sam mi to najnaiwniej w świecie wyznał; ale nigdy żadnych nie widział, krzyki tylko i jęki przerażające słyszał nieraz w nocy; jęki tak okropne, że aż do kości przejmowały.

Jęki te i wycia pochodzą zapewne z szelestu, który sprawia woda spływająca licznemi rurami w fontanny. Rury te umieszczone są pod ziemią; wodociągi konstrukcyi maurytańskiej, sprowadzają wodę o cztery mile. Płynny kryształ przebiegłszy sto fontan w pałacu królewskim, napęlnia wanny w łazienkach, sadzawki i kanały, spływa licznemi strugami w ogrody i szumnemi kaskadami po murach i murawach, po skałach i młynach, do parku Alhambry. Dwieście siedmnaście kwart wody przybywa tu każdej minuty z gór Nevady.

Opisać wszystkie cuda i piękności Alhambry, byłoby to nadużyć cierpliwości czytelnika. O kilku jeszcze miejscach historycznej wartości wspomnieć muszę.

Budoar królowej, *el tocador de la Reyna*, znajduje się na samym szczycie wieży, stojącej na samym końcu haremu. Jest to pawilon, którego kopuła jest ruchomą, i tak urządzoną, że ją łatwym mechanizmem otworzyć można. Oknami widok najpiękniejszy na wszystkie strony świata. W jednym kącie podłogi znajduje się w posadzce marmurowej mały otwór, którym wchodzi wone palone pod spodem do budoaru. W tym cudnym pokoju sultanka Fatima la Zoraya miała teleskop, i nim spoglądała na gwiazdy; wierzyła ona mocno w wpływ konstellacyi na losy ludzkie.

W jednej z pomniejszych sal, (a tych jest w Alhambrze z pięćdziesiąt, trudno tylko dostać się do wszystkich, w wielu bowiem są składy, inne zawierają meble gubernatora, inne jeszcze marmury i alabastry, zdobiące wprzód pokój pałacu Karola Vgo); w jednej z sal widzieć można portrety osób, które główną rolę grały w wojnie granadeńskiej. Szczególnie uderzył mię portret Izabelli katolickiej. Była piękna, okazała pani: oczy miała pełne, mądre, koloru niebieskiego, włosy jasno-brunatne. W całym jej ustroju wiele się maluje dumy kobiecjej, powagi królewskiej, połączonej z dobrocią serca i łagodnością charakteru. Szkoda, wielka szkoda, że ta szlachetna księżniczka żyła w wieku przesądów, w którym monarchowie byli ślepymi narzędziami w rękach fanatycznych mnichów.

Prócz pałacu królów maurytańskich, wiele jeszcze jest w Alhambrze budynków maurytańskich bardzo pięknej struktury; na przykład *la Casa del Arco*, *la Torre de las Infantas*, wieża zawierająca przesliczne pokoje, przeznaczone kiedyś dla infantek granadeńskich. Płaskorzeźby zdobiące przedtém te komnaty, poprzedawano Anglikom za drogie pieniądze.

Nic romantyczniejszego, jak owa spadzista ścieżka, wijąca się od stóp wieży stojącej nad przepaścią, aż do spodu doliny Darro. Za każdym tuzinem kroków inne niespodziewane widoki na Granadę, na góry, na Alhambrę i na pola. Teraz jesteśmy u spodu przepaści, gdzie szumny huczy potok; przekraczamy go i pniemy się znów w górę.

W połowie wysokości téj góry, stoi pałac zwany przez Hiszpanów Generalife, a wprzód przez Maurów Ginar al Iph (to jest po arabsku *dom miłości*). Pałac ten ogołocony prawie całkiem z pierwotnej piękności, jest teraz villą, należącą do jakiegoś granda Hiszpanii, którego także nie przypominam nazwiska. Wandalscy restauratorowie nie umieli cenić piękna w płaskorzeźbach i arabeskach, zarzucili je wapnem i pomalowali w kolory narodowe: na żółto i czerwono. Ale istnieją jeszcze owe długie kurytarze, z których królowe Granady spoglądały niegdyś na wieże Alhambry niżej leżące, na miasto i na góry, błyszczące na zachodnim widnokregu.

W jednej z sal Generalifu umieszczono portret Boabdila i matki jego.

Ostatni król Granady pięknym był młodzieńcem; bogaty jasny włos spływa mu na barki, w oczach wiele dobroci, w ustach

wiele słodczy, ale coś niepewnego, wahającego się w rysach twarzy. Na głowie ma koronę królewską, podbitą czarnym aksamitnym beretem; odziany jest w żupan z złotego brokatu z wyłogami czarnymi, perłami haftowanymi.

Fatima la Zoroya, światło zorzy, także jasno-włosa, piękna, z rozumnymi oczyma i klasyczną twarzą. Musiała i ona być Europejką z rasy gotyckiej; tyle bowiem klasyczności i szlachetności w rysach, w żadnej arabskiej twarzy nie widziałem nigdy.

Zoraya ma na głowie zawój z dwóch muślinowych szali; z białego i różowego. Za wielką brylantową spinką zatkanie piórko z pereł różnych wielkości. Żupanik także z złotego brokatu; kaftan z purpurowego aksamitu, bogato dyamentami haftowany. Perły i klejnoty całej Golkondy rozsiane we włosach i na ramionach. W rękę trzyma papugę; czemu raczej nie sokoła? byłby stosowniejszym.

Ogrody Generalifu niegdyś tak świetne, dziś już leżą w zaniechaniu. Lecz owe odwieczne cyprysy, pod cieniem których Abencerragi mieli bałamucić seraj Boabdila, dziś jeszcze wznoszą dumne a posępne czoło ku niebu. Przypominają sobie, że ich ręka Maurów sadziła, i nim zginą, chcą się doczekać końca potęgi ich nieprzyjaciół. Już się tego doczekaliście stare cyprysy! chrześcianin nie był nigdy nieprzyjacielem szlachetnego i pracowitego narodu, tylko inkwizycya, a ta leży pogrzebana na wieki.

Czytelniku! jeszcze dalej tam na szczyt téjże samej góry; uciążliwa to podróż! Prawda! część jęj odbyć możesz sławnymi schodami zwanymi wodnistymi, *Escalera de las aguas*. Jedyne to w swym rodzaju schody: na każdym marmurowym stopniu dwie fontanny przyskające złocistą wodą, a wszystko z obu stron opasane krzewami róży, jakich może w życiu swém nikt nie widział. Szczyt téj góry zwie się *la Silla del Moro*, krzesłem Maura. Niegdyś stała tu forteca, teraz leżą gruzy. Na szczycie tym jest mnóstwo jaskiń i katakumb, niegdyś służących za miejsce pogrzebu rodzinie królewskiej. Ale dawno już zniknęły srebrne trumny, marmury i alabastry, a kości królewskie ziemia strawiła, tak, jak inne ludzkie kości poniewierające się po tyłu polach bitwy.

Jak tu dziwnie marzyć nad znikomością rzeczy ludzkich, tu: na popiołach królów, a w obliczu tylu trwałych dzieł wzniesionych ich ręką; w obliczu tych Alpuchar, Newady i Elwiry, których

echa wiecznie powtarzać będą ostatnie westchnienia Maura, na szczycie téj góry, u stóp której wznoszą się jeszcze silne i mocne owe *Torres vermejas*, wieże czerwone, wybudowane przez Fenicyan w czasach przedhistorycznych!

Nie! nie masz znikomości rzeczy ludzkich, choćby żaden z naszego ciała nie pozostał atom. Kto ma wolą i siłę, i niemi rozrządzać potrafi, ten sobie postawić zdoła na téj ziemi trwalszy jak nasze ciało pomnik. A kto wyższych nie ma zdolności, ten niech powierzy pamięć swą roślinie, niech sadi drzewa i cieszy się lubą nadzieją, że kiedyś prawnuki bawić się będą pod ich cieniem.

W promieniach zachodzącego słońca jaśniała Alhambra jak zamek jaki czarodziejski. Zastanawiająca budowla! tyle wież i baszt różnokształtnych, tyle pawilonów różnej wielkości! Zdaje się, że zupełnie bez systematu stawiana, a jednak wszystko razem tak jest lekkie, nadobne i urocze.

Ta wykwintność zalotna wewnątrz, ta lekkość urocza charakteryzująca architekturę maurytańską, charakteryzowała także naród Maurów, i stała w przeciwieństwie z imponującą, smętną uroczystością pomników gotyckich. Charaktery te różne, wybite są wyraźnie na dwóch wielkich narodach, które przez czas tak długi spierały się o panowanie nad półwyspem.

Architektury maurytańskiej znamieniem nie jest szczytność; czaruje ona prawie jedynie wykwintnością kształtów, wrażliwem rozdzieleniem światła, bogactwem i ujmującą nadobnością ozdób. Krużganki Generalifu, przybytki Alhambry, pomniki maurytańskie w Sewilli, Kordobie i Toledo, tenże sam noszą charakter. Wszędzie nadobność, wszędzie przepych. Poznać zaraz z uludnego pomroku, panującego w tych przestrzeniach, wzniesionych jak gdyby ręką sylfów, że ich dawni mieszkańcy lubili przedewszystkiém oddawać się wzruszeniom zmysłowości. Wybór miejsca i ozdoby jego tak wyszukane i wykwintne, dowodzą, że Maurowie byli doskonałemi znawcami piękności sztuki i natury, i że przytém namiętnie kochali komfort cywilizowanego życia.

Słodko było Maurowi marzyć o bojach, i o czarnoookich wieczno-dziewicznych huryskach w tych złożonych podwojach, gdzie igrały kolory tęczy z kryształem wody, wytryskującej z fontan, gdzie wonie najpyszniejszych kwiatów upajały wyobraźnię. Pograżony w swych lubieżnych illuzyach Maur, nie dbał o kształty zewnętrzne tych przestworów, w których wnętrzu znajdował rozkosz swą i szczęście. Budował dla swój wygody, ale nie dla oka

ludu; nie zdołał się wznieść w architekturze ani do szczytności pomysłów, ani do wyższego ducha ludzkości. Umysł Maura żywny nauką, podniecany rozpamiętywaniem, wiele był w stanie objąć; dowodzą tego jego księgi, pomniki i dobroczynne instytucje. Wyczerpał on w swém życiu politycznym i socyalmém, wszystkie zasoby mądrości, jakie mogło dostarczyć źródło Alkoranu; ale w nauce Chrystusa nie odgadł on tych niewyczerpanych zasobów wszelkiego życia, które nam z *serca chrześcianom* udzielają przedsmak wieczności. Krótką swą metę świetnie przebiegł Maur, i potem zniknął z pośrodku ludów politycznie żyjących. Do wyższych chrześcianin powołany celów; i gdy raz je pojmie, uznać musi, że idea jemu przewodnicząca wystarczy na lat sto tysięcy.

Ale już słońce kryje się za mogiłami Elwiry; Alhambra już w pomroku nocnym zanurzona; olbrzymie cienie wkraczają na Generalif; już się i do naszych stóp zbliżają. Błonia Vegi, lasy oliwne, parki królów Granady pogrążone w ciemności. Alpucharra otuliła się nieprzejrzystym płaszczem mgły i obłoków. Nevada tylko czuwa nad nami, i więzi na swych brylantowych szczytach purpurę słoneczną. Przyświeca, jak latarnia morska, nam podróżnikom schodzącym stromą ścieżką w dolinę.

Gasną od jednego razu gorejące śniegi Newady; jesteśmy znów u bram Alhambry.

Ocknął się puszczyk i sowa wylatuje z swój kryjówki; budzą się Abencerragi i zgrzytają zębami; siedzi posepny cień Almanzora na szczycie najwyższej baszty i usiłuje złamać porzec noszący złotego lwa Kastylii; płacze w Tocadorze piękna Zoraya, a jój biędne dzieci leżą w dziedzińcu lwów krwią zbroczone.

„*La illah illah Allah!*” wyją tęskne echa Alhambry, a w ogrodzie Lindaraxy śpięwa słowik, tak jak śpięwał już w raju, i dowodzi nam, że tylko Bóg jest zwycięzcą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)



KRONIKA LITERACKA.

Emeryt. Powieść przez Józefa Korzeniowskiego. Wilno. 1851.

Czytelnicy Biblioteki w roku bieżącym nie wszyscy zapewne znają tę powieść, której główne obrazy umieszczone były w zeszytach tego pisma z lat 1849 i 1850, a której całość mamy teraz przed sobą w oddzielném wydaniu; powtórzymy tu więc w zblizeniu a w kilku słowach treść téj powieści.

Przy ulicy Żytnéj w Warszawie, w dworku gdzie jest dziedziniec obwiedziony parkanem, mieszkał przed laty 10cią p. Cypryan Ambrożyński, niegdyś nauczyciel języka łacińskiego w szkole powiatowéj, teraz *emeryt*. Gorliwość i zamilowanie w swoim przedmiocie, odznaczały zawód nauczycielski p. Ambrożyńskiego; gorliwość owa, porządek i zamilowanie w szczegółach, przeciągnęły się i na czas odpoczynku. P. Ambrożyński lubo już nie wykladał lekcyj grammatyki, o nicém jednak więcéj nie rozmyślał, jak o grammatyce. Na jednéj półce w jego sypialnym pokoju stały wszystkie grammatyki łacińskie wydawane od lat 30stu, na drugiéj wszystkie dykeyonarze tegoż języka od lat 30stu, a nadto na 3ciéj 30 słojuw mieszczących tyleż oddzielnych kombinacyj (źródło odmiennéj rozkoszy na każdy dzień miesiąca) proszków z liścia tabakowego; owoc własnéj cierpliwości, pracowitości i przemysłowéj twórczości p. Ambrożyńskiego. Przymioty te wszystkie nie były jednak jeszcze największą zasługą emeryta. Emeryt miał córkę—*Kasię*.

Jeżeli w mieszkaniu p. Ambrożyńskiego była czystość i strojność na jakie zdobyć się może mieszkanie nauczyciela-emeryta, byłoto dzieło Kasi; jeżeli p. Ambrożyński samotny i już emeryt nie czuł ciężaru chwil dziennych i przeciągłego ich chodu, byłoto dzieło Kasi; jeżeli wreszcie kto z przechodzących ulicą Żytną spotkał kiedy piękność, tak, iż się zatrzymał i stanął, byłoto pewnie Kasia. Ładna a skromna, zawsze pracą

zajęta i zawsze strojna, czeząca ojca, pobożna, Kasia była ideałem młodej dziewczyny. Ideału tego nie była godną ulica Żytna.

Na pensyi pani S. przy ulicy Śto-Jerskiej, p. Roman Wyżopolski obywatel przybyły z prowincyi, wchodził w umowę o umieszczenie swęj małej synowicy *Heluni*. Pani S. była wymagającą, i p. Roman targował się. Pani S. miała już znacznie ustąpić, ale nagle p. Roman wymówił: zgoda. Roztropna ochmistrzyni, uczyniła natenczas próbę dalszych wymagań; przypominając i wynajdując potrzeby, podnosiła rachunek roczny; a p. Wyżopolski zawsze jedno tylko powtarzał: zgoda. Pani S. ile z zysku, tyle też pyszną była przed sobą ze swęj wymowy, ale niesłusznie. Wymową tą były nie usta pani S. ale oczy młodej jęj przyjaciółki, (niegdyś uczennicy) która weszła i usiadła była przy nięj w czasie targu. Tą młodą uczennicą i przyjaciółką była właśnie córka p. Ambrożyńskiego, Kasia.

P. Roman Wyżopolski, po skończeniu owęj umowy, cały tydzień jeszcze bawił w Warszawie i przez cały ten tydzień codzięj widywał się z Kasią. P. Roman miał szczególny dowcip wynalezienia co dzień powodu i wymożenia na Kasi słowa zejścia się gdzieś: na pensyi p. S. dla interesu, w magazynie dla robienia sprawunków do domu i dla Heluni, w ogrodzie Krasińskich i t. p. Kasia wcale niechętnie i bojaźliwie czyniła te zejścia się, i owszem, na godzinę jeszcze przed naznaczonym terminem miała zawsze stałe postanowienie z domu nie wychodzić. W dzień wszakże odjazdu p. Romana żegnając się z nim na ulicy Śto-Jerskiej była nader jawnie wzruszoną; darowała p. Wyżopolskiemu książeczkę swą do modlitwy z której się co dzień modliła, i miała łzy na oczach. P. Roman to wzruszenie jęj postrzegł, „i byłby jęj do nóg upadł, mówi autor, lecz nie mógł tego zrobić, gdyż dużo przechodziło żydów, którzy ich potracali”.

Żadnego przyrzeczenia, wyznania, nie uczynili sobie p. Roman i Kasia, a jednak powstało i pozostało w nich to przekonanie, że im nigdzie być nie może lepiej jak z sobą, że muszą kiedyś należeć do siebie. Wyobrażenie to wprawdzie po bliższęj rozwadze znajdowała dziwaczném roztropna Kasia (i aby je zatrzyć, uczyła się dla przypodobania ojcu deklinacyj łacińskich i tłumaczyła Korneliusza), zawsze jednak jak miły ciężar na dnie serca jęj spoczywało. P. Roman przeciwnie, myślał o Kasi z całym bezpieczeństwem, i z książeczki, którą mu darowała, więcj może modlitw przeczytał, niż pierwęj przez cale życie. P. Roman co dzień raz przynajmnięj ucałował owę książeczkę; Kasia lubiła odwiedzać często pensyą p. S. i całowała Helunię.

Tak szczęśliwie i wdzięcznie zaczął się los dwojga tych młodych osób, które poznaliśmy; lecz świat nie stoi. Z losem p. Romana i w domu ojca Kasi wnet znaczne odmiany zająć miały. P. Roman przymuszo-

ny był jechać na Ukrainę do swój bogatój ciotki pani Winickiej, która go wezwwała; do domu p. Ambrożyńskiego przybył—uczeń.

Uczeń, którego p. Ambrożyński dostał na wychowanie, byłto chłopiec już lat 22ch *Marcinek Wiedzki*. Marcinek ten, jakkolwiek miał już lat 22, i jakkolwiek nazywał się Wiedzki, rzeczywiście jednak niczego jeszcze nie wiedział, a nawet kto mu był ojcem. P. Ambrożyńskiemu polecił go p. *Marek Wielowiedzki* referendarz stanu, który niegdyś był kolegą p. Ambrożyńskiego, dzisiaj zaś szefem biura. P. referendarz Marek mógłby był i sam zająć się Marcinkiem i udzielić mu wychowanie, ale był szefem biura, a w biurze swém „sam robił za wszystkich i otrzymał pochwalny reskrypt za sprężystość”, jak to lubił powtarzać.

Matka Marcinka byłato szlachcianka zpod Łomży, z *Siechurskiej Woli*, gdzie była siedziba Siechurskich, Wielowiedzkich, Wiedzkich i t. p. Życie skończyła w nędzy, i Marcinek dostał się na wychowanie do wuja p. Marka, kuzyna zmarłej, p. Bartłomieja. Marcinek byłto chłopiec ładny i bystry, i między dziewczętami z okolicy Siechurskiej Woli, śród sfery obertasów, miał rolę lwa; cała jednak nauka którą był nabył w domu wujaszka, byłoto tylko powtarzanie niekiedy, bez szkody na zdrowiu, licznych kieliszków, oraz liczenie drzewa, które się czasem przypadkiem razem z wujaszkiem z lasów rządowych przywiozło. Gdy doszedł lat 20, wuj Bartłomiej dla powodów jemu tylko wiadomych, a po krótkiej naradzie z siostrzeńcem, odwiózł go do Warszawy p. referendarzowi Markowi na opiekę.

Marcinek znalazłszy się śród Warszawy, uszczęśliwiony był z miasta; zachwyciły go jasne i wesołe szyldy przy szynkach, na które zatrzymując się patrzył, i zgadł zaraz, że dlatego w mieście przy drzwiach są dzwonki, że boją się złodziejów. Przybywszy do pana Ambrożyńskiego, który już był uprzedzony, opowiedział się, iż go przysyła na naukę pan referendarz, i że wreszcie on sam z siebie chciałby coś robić na świecie, lecz nie chce być: „ani blacharzem, ani lakiernikiem, a woli drugich rozumu uczyć”. Marcinek kiedy to mówił, ścigał i połykał oczyma Kasię, i myślał: „niech djabli porwą”. Nazajutrz na naznaczoną godzinę stawił się pilnie.

Marcinek miał jak powiedzieliśmy bystrość; siechurski lew, kiedy się porównał z Kasią, uczuł, iż tak przy niej wygląda, jak prosty wiejski parobek, i że jedna mu tylko pozostała droga: milczeć i uczyć się. Jakoż i milczał i uczył się: przychodził co dzień i po dwa razy na dzień, i uczył się; i ktoby potem w czasie niedługim, w pół roku, ujrzał go, ani moralnie, ani fizycznie nie poznałby dawnego Marcinka. Pan Ambrożyński pysznił się z swego pedagogicznego daru, (jak pani S. z swojej wymowy);

patrząc na swego ucznia. Kasia go polubiła jak brata. Kasia mogłaby nawet łatwo odgadnąć, kto był jego mistrzem istotnym, gdyby tylko chciała była nad tém pomyśleć: gdyby Kasia, oprócz codziennych robót, mogła kiedy o czém była pomyśleć, co nie było panem Romanem.

A pan Roman? Pan Roman był na Pobereżu w Bykówce, w domu swój ciotki: pośród dam ukraińskich, pod bokiem swatającej go ciotki; a zwłaszcza pod okiem i urokiem świetnej kuzynki ciotki, p. *Rożewskiej*.

Pani Krystyna Rożewska, byłato młoda rozwódka, pełna smaku w uczuciach, rozumu w myśli, złota w szkatułkach: przedmiot holdów i przedmiot rozmów pół Ukrainy.

Arystoteles, znany wszystkim (przynajmniej z nazwiska), grecki filozof, w jednej z swych ksiąg o topikach, mówi: „lepiej jest kochać, jak być kochanym; kochać bowiem to czynność, być kochanym to bierność; być kochanym może być pies, kwiat, nawet istota martwa”. Czy pani Krystyna Rożewska zajmowała się filozofią?—z tego, co autor o niej wspomina, wniesić można, iż być to mogło; ale to pewna, że nie była w niej tego zdania co Arystoteles. Pani Krystyna Rożewska wierzyła w postęp, uważała więc za właściwsze być kochaną, jak kochać. Wprawdzie kiedy była jeszcze panną (panną Krystyną), przedmiotem jej miłości, mówiono, był niejaki pan Władysław I.; ale ten p. Władysław byłto gracz i panna Krystyna kiedy się dowiedziała że był graczem, przestała go kochać. Mężem jej potem został niejaki pan Klemens Rożewski, ale ten pan Rożewski był zerem, a pani Rożewska kiedy się przekonała że był zerem, rzuciła go. Teraz wróciła właśnie była do siebie od wód z Odessy, i pospieszyła zaraz odwiedzić babcię swą, panią Winicką w Bykówce, nie wiedząc zapewne, że znajdzie tu gościa z Warszawy.

—„Wieleż teraz masz starających się?”—byłto jedno z pierwszych pytań, które zadała jej pani Winicka po przywitaniu, wobec pana Romana, który stał zachwycony pięknnością i gracyą przybyłej damy.

—„Teraz tylko trzech”—odpowiedziała z uśmiechem ale śmiało pani Rożewska, całując babkę w kolano— „a ten pan—dodała pokazując na pana Romana—będzie czwarty”.

Pani Winicka zaprezentowała jej swego kuzyna, który jednak po takim zaczęciu, nie spieszył się; zaś pani Rożewska odpowiadając, zaprezentowała się panu Romanowi sama, a to w tych słowach:

—„*Votre servante, Mr*, Krystyna Rożewska, z domu Winicka, rozwódka od lat trzech po panu Klemensie Rożewskim; trochę wdzięków jak pan widzisz, trochę rozumu jak to pan obaczysz później, dużo kapryśków, uległości żadnej, ale serce niezłe”.

Pan Roman był zrażony tym tonem z góry; po kilku słowach w których wzajemnością odplacił, wymknął się, pojechał konno na przechadzkę i nie wrócił aż po rozejściu się gości. Pani Rożewska wyjechała nazajutrz przed kawą. Pierwsza znajomość i pierwsze widzenie się pana Wyzopolskiego z panią Rożewską, zaczęły się tym sposobem od kłótni i robienia sobie na przekór.

Widzenie się drugie wkrótce miało miejsce na wielkim wieczorze w sąsiedztwie u państwa Osinowskich. Widzenie to tém się odróżniło od pierwszego, że się skończyło na zgodzie; ale cały wieczór znowu zszedł na robieniu sobie na złość. Przez cały ten wieczór pani Rożewska tańczyła tylko z dawną znajomością swoją, panem Władysławem I., który téż zgadł przed wieczorem jeszcze o której minucie przyjedzie pani Rożewska, i téżże minuty co ona za nią wyjechał.

Trzecie widzenie się pana Romana z panią Rożewską, ale już widzenie się długie, było w własnym jej domu, Myszowcach. Pan Roman przyjechał tu z wizytą z panią Winicką; lękał się, aby nie znalazł p. Władysława, ale przeciwnie, znaleźli panią Rożewską samą w domowym, ale domowo wykwinłym stroju, wracającą z przechadzki i bawiącą się z pięknym chartem czarnym. Pani Rożewska była uszczęśliwiona z gości, i zaraz wymogła słowo, że zabawią przynajmniej z tydzień. Dnie, które tu spędził pan Roman, byłyto dnie czarów. Pani Rożewska już nie robiła naprzekor; w jej słowach, spojrzeniach, postępkach, czynach, był tylko wyraz szczęścia, zajęcia się zupełnego i wyłącznego panem Romanem. Olśniony i zachwycony, popierany namową ciotki, pan Roman w chwili odjazdu miał już oświadczenie na ustach, ale wtém przerwał mu słowa i myśli, wpadając, ów czarny chart, którego widzieli w dzień przyjazdu, lecz który potem zniknął. Pani Rożewska uradowała się z ładnego zwierzęcia, głaszcząc go przyłożyła twarz swoją do jego głowy, i wyjaśniła, że to jest chart pana Władysława I., który tak ją lubi, iż co dni kilka o mil dwie do niej przybiega, aby się popieścić.

Wróciwszy do Bykówki, p. Roman wybierał się do Warszawy i myślał o Kasi; za namową jednak pani Winickiej, pozostał jeszcze do zimy, dla poznania kontraktów kijowskich. Na kontrakty p. Roman przybył tegoż prawie tygodnia, co pani Rożewska, a téżże godziny, co pani Rożewska, pan Władysław. Czas kontraktów tych miał téż się stać stanowczym dla losu tych trzech osób.

P. Roman nie miał wcale pociągu do owiej wpółtajemniczej figury p. Władysława, który téż w ogólności, w towarzystwie, w którym nie grano, umiał tylko milczeć i pociągać brodę; nie był więc z nim nie tylko zażyłym, lecz prawie znajomym. Jednego jednak wieczora otrzy-

mał niespodzianie jego wizytę. P. Władysław do mieszkania p. Romana wpadł w półprzytomny, i wprost do rzeczy przystąpił; wyznał, iż zgrał się, iż wszystko przy czém pozostał, jest tylko surdut, który ma na sobie i 30,000 długu, które przegrał wczoraj podobnym sobie szulerom, którzy go ścigają; dodał, iż dwa razy już w podobnej toni ratowała go p. Rożewska, ale że dziś nie śmiałyby już iść do niej; że więc, słowem, dwa tylko pozostają mu środki: pożyczka u p. Romana, albo—pistolet.

P. Roman pożyczył mu 30,000 bez terminu, czyli darował, i dodał jeszcze 2,000 na wyjazd, z warunkiem jednak, aby natychmiast wyjechał. P. Władysław ścisnął dłoń pana Romana, i istotnie nazajutrz wyjechał. P. Roman poszedł do pani Rożewskiej, lecz znalazł ją słabą; tegoż dnia w wieczór otrzymał od niej bilecik mieszczący te słowa: „Nie przyjęłam pana, bom była brzydką i zapłakaną. Wiem o wszystkiém; nie dziwię się, żeś pan tak postąpił. Takim cię marzyłam. Jutro jadę prosto do Bykówki, do mojej jedynej babci. Czy pan tu jeszcze zostajesz?”

P. Roman pospieszył do Bykówki, i nie później, jak w kilka tygodni w sąsiedztwie dowiedziano się, że odbyły się zaręczyny między panią Rożewską, a p. Romanem Wyżopolskim.

Kiedy p. Roman Wyżopolski w ten sposób kończył swój romans na Pobereżu, w Warszawie Marcinek Wiedzki kończył kurs swój nauki u p. Ambrożńskiego. Zdał examen, otrzymał posadę nauczyciela szkółki wiejskiej, a pan referendarz Marek „który sam robił za wszystkie, i otrzymał pochwalny reskrypt za sprężystość”, wymógł na p. Ambrożńskim, iż wyda za niego córkę, jeżeli tylko ta nie będzie sprzeciwiać się temu związkowi. Kasia wysłuchiwała zapytań ojca spokojnie, jakby zapytań, do których oddawna była przygotowana. Odpowiedziała, że przeciw panu Marciniowi nie ma, i tylko prosiła o zwłokę. Tymczasem na pensyą pani S. nadszedł pakiet z Pobereża i zawiadomił ją o wszystkiém. Marcinek i ojciec przez kilka dni następnych nie poznawali Kasi. Błada i zapłakana wyrwała się z domu i przez kilka godzin nie powracała. Upoważniony od ojca Marcinek poszedł raz wreszcie, aby ją śledził, i znalazł ją samotnie modlącą się na kolanach w lewej kaplicy kościoła ś. Krzyża. Kiedy Kasia postrzegła go, przywołała do siebie, wyznała, że wie o jego zamiarze, i po dwakroć przysięgła mu przed obrazem „że będzie mu wierną żoną, i że wszelką wolę jego zawsze wypełni”. Trzeba dodać, że Kasia przysięgając w te słowa, była trochę *kazuistyczką*; nie przysięgała bowiem Marcinkowi, że będzie mu żoną, ale tylko, że będzie mu wierną, jeżeli mu będzie żoną. Ucieszył się p. Ambrożński ze skutku wyprawy Marcinka, i dzień 25 czerwea na dzień ślubu został naznaczony.

P. Roman i pani Rożewska zaręczeni już byli istotnie od kilku miesięcy, lecz dzień ich ślubu nie był jeszcze naznaczony. P. Roman czekał aż naznaczy go pani Rożewska; pani Rożewska, aż p. Roman. Cenił on i uwielbiał przymioty swojej narzeczonej, a jednak nigdy może tak mu nie ścisnęło się serce, jak kiedy wśród tego szczęścia wspominał przypadkiem na pensyą pani S., ogród Krasińskich i Kasię; nigdy mu nie przedstawiało się żywiżej, jak teraz, co miał utracić. P. Roman miał z gruntu serce więcej dobre jak próżne, więcej lubiące pokój, niżli światowe. W życiu domowym, w małżeństwie pragnąłby znaleźć *przyjaciółkę* codzienną, a miał mieć *panię*; chciałby znaleźć schronienie od świata i pokój; a miał w widoku zbliżenie owszem do świata, i od godziny ranniej do ranniej domowe wojny. I w sercu drugiej strony zdaje się, iż się obudzała także podobna walka, lubo może całkiem z przeciwnych pobudek. Jakoż, ile razy p. Roman odważył się wreszcie na ostatnie słowo, zabrzmiało dziwnie, jakby do należytego biegu rzeczy nieprzystające, i wyszła ją pani Rożewska; ile razy znowu zaczynała ją wreszcie pani Rożewska, ucinął z góry pan Roman. Lubili się ich *ciała* i *myśli*, jakbyśmy rzekli, ale nie lubili się *duchy*. Pani Winicka gorszyła się, iż były bez powodu przewłoki, iż nawet nie przewidywał się im koniec. P. Roman chodził niekontent sam z siebie i zachmurzony; wreszcie przyszło mu na myśl, iż musi jeszcze przed ślubem odwiedzić matkę w domu, prosząc o błogosławieństwo, i być w Warszawie.

Kiedy za kilka dni pan Roman był prawie już na wsiadaniu, niespodziany gość na dziedziniec Bykówki zajechał, a mianowicie p. Władysław I., którego p. Roman nie widział, jak się zdaje, od czasów Kijowa. P. Władysław i tu jak w Kijowie z góry przystąpił do rzeczy, mówiąc, iż potrzebuje odebrać na ręce swoje odpowiedź na list, który wręczał. Był to list od pani Rożewskiej. W liście tym pani Rożewska pisała do pana Romana, iż należy do niego, i jeżeli chce, jutro z nim do ołtarza stanąć; lecz radziła mu, aby się jeszcze raz zastanowił i doniósł jej co sądzi: czyli są dla siebie stworzeni? czyli sobie nawzajem szczęście zapewnią? Pan Roman nie zastanawiał się i chwili, zwłaszcza widząc kto był posłańcem, i oddał na ręce p. Władysława i odpowiedź i pierścień. P. Władysław także nie czekał chwili, pożegnał się i odjechał.

„Jak więzień oswojony z kajdanami, mówi autor, nie umie prawie użyć nóg gdy mu je zdejmą: tak pan Roman po tym niespodzianym wypadku, nie wiedział na razie co zrobić ze swoją myślą, do czego ją obrócić, którądy jej wolne już skrzydła skierować. Zdawało mu się, że mu brakuje powietrza w tym kraju rozległym, że go to niebo szerokie przyciska i dławi.” Pożegnał ciotkę i poleciał ku Mazowszu i ku Warszawie.

Byłto dzień właśnie 25 czerwca, kiedy p. Roman stanął w Warszawie. Przybywszy poszedł zaraz na pensyą pani S.; tu wybiegła uszczęśliwiona Helunia, uścisnęła go i zaraz dodała, że dzisiaj ślub cioci Kasi za godzinę u Reformatów.

Za godzinę w kościele OO. Reformatów siedział p. Roman w ławce i czekał na młodą parę. Pan młody wchodził smutny, panna młoda była blada jak śmierć. Kasia spojrzała ku ławkom, ujrzała pana Romana i padła bez zmysłów. Ślub się nie odbył. Kasia ozdrowiała. Marcinek który już był zmęczony cierpieniem Kasi (gdyż mu sama była wyznała szczerze wszystkie szczegóły uczuć swojego serca), poszedł do p. Romana i opowiedział mu je. Kasia téjże jeszcze jesieni została panią Wyżopolską. Na wiosnę pojechali do ciotki, do Bykówki. Tu oddawali wizyty i przyjmowali rewizyty, byli weseli i byli szczęśliwi, rzec można, jak aniołowie na ziemi. Jedynem dla nich piekłem był los Marcinka, który przystał do żołnierzy, rozpił się, i prawie pod ich okiem otrzymywał zasłużoną chłostę.

A pani Rożewska? Panią Rożewską poznali państwo Wyżopolscy zawsze panią Rożewską. Stosunek jój z p. Władysławem, była to snąc tylko intryga na swój sposób; a taki lub inny los oddanego pierścienia, miał dopiero zależeć od takiego albo innego losu dalszego czasu.

W takich ramach rozwinięty Emeryt, ostatnia powieść p. Korzeniowskiego. Powieść ta, ileśmy słyszeli, i jak to już w zdaniach o niej ogłoszonych czytaliśmy, i powszechnie podoba się, i zajmuje.

Treść jój jednak jest z siebie prosta; żadne szczególne węzły, niespodzianki, tajemnice, intrygi; żadne nawet szczególne passye, dziwy moralne lub materyalne nie są w zawarcu powieści.

Opowiadania jój nie wznosi ani odznacza żadna szczególna *dykcya* poetyczna (liryzm Szyllera, jak to wróżyliśmy niegdyś, nie stał się cechą utworów autora *Anieli*; dalsze rozwinięcie moralne tego autora pójsć miało raczej w kierunku świata, jak ducha). Żaden wreszcie cel jakiś jawny, dobitny, światowy lub zaświatowy nie cechuje powieści.

A jednak ta powieść i podoba się i zajmuje; czemuż?—powodem tego jest—prawda obrazów.

Bieg ludzkich rzeczy, jak to powtarzaliśmy nieraz, jestto harmonia; lubo nasze patrzące tylko na *chwile* i *oderwanie* oko, widzi w nim zamęt. Przedstawienie w zbliżeniu, a jednym łącznym obrazie, kilku faktów z owego biegu ujętych, a ze stanowiska owój harmonii opowiedzianych, stanowi powieść. Im więcej wykład tych faktów trafia w prawdę owój harmonii, tém więcej podoba się powieść: bo źródło sądu i źródło czynów jest jedno, na dnie serca każdego. A to upodobanie snąc nam kształci nadto poznanie, i, jak słusznie uważa sam autor Emeryta,

jest warunkiem śród drogi tego kształcenia. P. Korzeniowski zwróciwszy w tej powieści uwagę, iż dziś wszystkie dawne gatunki poezyi polknięte zostały przez dramat i powieść, i wróżąc że wreszcie polkniętym będzie i dramat, takie dodaje zdanie o przedstawianiu przez powieść przedmiotów społecznych: „coraz bardziej społeczność dzisiejsza zrywa z historią (przeszłością); ztąd dramat i powieść obrabiają dziś prawie wyłącznie przedmioty społeczne, aby z nich lepiej i wydatniej wyszły na jaw te myśli i uczucia, które są codziennym pokarmem naszego ducha, które on łakomie chwyta, żuje i przeżuwa, bo ich jeszcze nie przetrawił i w krew krwi swojej nie przelał.” Nie podzielaamy zdania, wyrażonego przez autora dalej, iż żywioł terażniejszości wyłącznie jest śród powieści żywotnym; lecz to pewna, że jest żywotnym, że dziś najpowszechniej jest czynnym, i że wreszcie kreślenie społecznych albo pamięcią zasięganym czasów w powieści, najwięcej poręki prawdy przedstawia.

Emeryt jest powieścią społeczną a wierną, nie martwym więc jest z swego zadania. Dodajemy tu parę uwag o charakterach, które nam skreślił.

Najpiérwszym, albowiem stojącym na tytule, jest sam *Emeryt*. *Emeryt* z samego brzmienia swego oznacza zasługę, więc pewną zacność; takim téż był istotnie bohater powieści autora, p. Ambrożyński. P. Ambrożyński, który spędziwszy życie na pracy miał już za nałóg pracę; który przywykły przez ciąg życia do mierności, w mierności téj znajdował pokój i szczęście; który żyjąc w ciągłym zbliżeniu z masą różnorodnych serc i charakterów, miał pewną obojętność, brak wszelkich żywszych passyj w stosunkach życia: rzeczywiście niejednego żywego przypomina nam emeryta. W rysach dawnego nauczyciela grammatyki łacińskiej, autor téż trafnie skreślił typ człowieka missyi cząstkowej, chcemy rzec drobiazgowej. Po tabace, to co nad wszystko przekładał, o czém głównie rozmyślał p. Ambrożyński, byłato zawsze grammatyka łacińska; umiejętność jéj reguł uważał za najpiérwszą ozdobę moralną, za główne podniesienie moralnej godności człowieka. Reguły te rozrywały go we dnie, ściagały we śnie; „niekiedy mu się przysniło, mówi autor, że słowa *utor* użył z przypadkiem 4, że kazawszy któremuś malcowi deklinować *epulum epuli*, dopuścił, że ten w liczbie mnogiej mówił *epula, epulorum* i nie poprawił go wcale; że gdy przyszło do wytłumaczenia składni *supinum*, zapomniał, jak *venio salutatum amicos* powiedzieć siedm razy inaczej, i chociaż go uczniowie o to pytali, wytłumaczyć im tego nie umiał. Zdręczony i zimnym potem oblany budził się wtenczas, siadał na pościeli, i opamiętawszy się, żegnał się i dziękował Bogu, że to był sen tylko” Stosunek emeryta do córki, do ucznia, do znajomych, jego życie codzien-

ne od początku do końca powieści wszędzie trafnie skreślone. Emeryt ten nie jest jednak główną osobą w powieści, której daje nazwisko; bohater wstępu, dalej, rzec można znika i ustępuje pierwszego miejsca innym figurom. Jedną z tych figur jest jego córka Kasia; autor zapewne tylko przez wzgląd na skromność młodej dziewczyny, nazwał powieść raczej od nazwiska jej ojca.

Od czasu jak otrzymujemy od autora dramata i powieści, uważamy, iż najczęściej główną w nich grają rolę młode piękności żeńskie, zawód ich serca. Piękności tych dwa głównie spotykamy rodzaje. Piękności *ciche* i piękności *głośne*, czyli piękności *skromne* i piękności *próżne*. Typ pierwszych mamy np. w pierwszej tragedji p. Korzeniowskiego *Anieli*, w bohaterkach powieści *Spekulant* i *Kollokacya*; typ drugich w dramatach: *Piękna kobieta*, *Młoda wdowa*, *Autorka* i t. p.

Dwa te typy połączyły się w jeden obraz, spotkały się i zmierzyły się z sobą w obecnej powieści; uosobiły je, jak widzieliśmy, *Kasia* i pani *Rożewska*.

Dobra i cicha Kasia, niemarząca o zbytkach i sławie, jednemu uczuciu wierna, stosująca zawsze swą wolę do woli ojca i niebios, pobiła tu dumną piękność światową, i tak też bywa; osoby podobne Kasi rzeczywiście utworzone są częścią i prawie zawsze, na rzetelne szczęście domowe.

Uosobieniem piękności próżnej i głośnej jest pani Rożewska. Kokieterya jest wdziękiem płci pięknej, jeśli jest tylko wdziękiem, to jest żywszej uprzejmości wyrazem; lecz posunięta do kłamstwa, przynosi owoc kłamstwa; to też tylko w rozumieniu ściślejszém zowie się kokieteryą. Osoby które lubią myślenie, zwykle nie lubią świata; osoby kokieteryą zajęte nie lubią zwykle myślenia; na tym świecie jednak jest wszystko, i typ, który autor w powieści stworzył, i który spostrzegamy w kilku już ostatnich jego utworach, jestto typ *kokietki duchowej*. Duch wyższy, to zapewne jednym orężem więcej, i tém łatwiej dopomagać może zwycięztwom; lecz istność, która szczególne dary otrzymuje od ducha a zapiera się ducha, ściąga też bezpośrednio kary od tegoż ducha. Autor poeta prawdę tę figurycznie wyraził w krótkiej, ale mówiącej powiastce (czytelnikom Biblioteki z lat dawnych znajomój): *Panna postępowa*. Bohatérka powieści téj zaparłszy się, do niewiary, ducha, zakochała się w *duchu*. W innych znowu powieściach, kary te, autor praktycznie przedstawia. Myślą jego tu zdaje się być, iż osoby duchem bogatsze, jeśli ze światem się wiążą, tém ściślej i różnostronniej się wiążą, i nie znajdują dalej pokoju, ani w świecie (gdzie pokój nie mieszka), ani bez świata. Pani Krystyna Rożewska, która, jak ją wyobraża nam autor, wsiadała na koń z pistoletem, do toalety szła z książką; która miłując

ludzkość i postęp, w jednym ręku co chwila trzymała nowy traktat moralny, w drugim nową dłoń przyjaciela; która jednego kochała, z drugim się zaręczała, a za trzeciego szła za mąż: jest właśnie typem przed nami owój piękności próżnej, przymiotów sprzecznych, czyli kokietki duchowej. Zawodem i losem jój było mieć zawsze głośność, ale nie szczęście. Miała ona tę boleść, że wszystkie jój towarzyski młode, które przenosiła środkami zwycięstw, któremi pomiałała w zebraniu, ubiegały ją po kolei w szczęściu; sama go znaleźć nie mogła, ani w oddaleniu od pojedynczych osób, ani w zbliżeniu, i została tylko panią Rożewską. Typ ten o tyle, o ile nam się przedstawia, trafnie jest rozwinięty. Miejsca, w których figuruje pani Rożewska, należą do najładniej wypracowanych w powieści.

O panu Romanie Wyżopolskim, jakkolwiek postaci głównej, albowiem i przy początku powieści, i w środku, i na końcu, i w Warszawie, i na Pobereżu w akcji figurującej, nic prawie do powiedzenia nie mamy. Jeżeli jego spółzalatnik pan Władysław I. nic nigdy nie mówił, i to było jego charakterem; pan Roman choć nieraz mówił, nie więcej jednak zaznajomił nas z sobą, jak pan Władysław. To, co wyraziliśmy niegdyś pisząc o *Kollokacyi*, iż autor tak zdał się mieć silnie przed sobą wyobrażony typ bohatera swojej powieści, że zaniedbał zaznajomić z nim czytelnika, moglibyśmy i teraz powtórzyć. Miano niegdyś za wadę powieściopisarzom, iż kreśląc charakterystykę osób, ograniczali się na opowiadaniu jój słowami bez rozjaśnienia jój dramatycznie; przeciwny zarzut można by robić niekiedy figurom pana Korzeniowskiego. Pan Korzeniowski nie określa zwykle swych bohaterów opisem; gdy zaś (co wreszcie jest naturalne), nie daje się im wywnętrzać ani przez monologi, ani przez listy, pozostaje nam tylko ich dyalog, i czytelnik nie zna ich więcej, jak z krótkich i przypadkowych dyalogów. Tak tylko właśnie określonym, a ztąd prawie nieokreślonym został przed nami pan Roman. Toż w części, dodajmy, zastosowaćby można nawet i do charakteru p. Rożewskiej; autor wspomina parę razy że miała rozum, że lubiła czytanie, jakby o rzeczy, która wszystkim winna być wiadomą. Jestto szczegół, który jednak wprost jest w sprzeczności z jój akcją i dykcją, i dlatego z innych utworów autora musieliśmy dotaczać i tworzyć przed sobą całość tego charakteru. Autor sobie tylko winę może przypisać, jeżeli charakter jego figur jest niekiedy tylko domysłny, jeżeli przeto może mniej wiernie przytoczyliśmy wyżej treść powieści.

Zarzut ten wreszcie co do charakterystyki dwóch figur głównych czynimy tylko dlatego, iż sąto figury główne, i że to, co nadaje zajęcie i życie powieściom p. Korzeniowskiego, nie jestto, jak właśnie uważa-

liśmy, widok ani powikłań sztucznych, ani żywszych paśsyj, lecz tylko charakterystyka. Jakoż, oprócz charakteru pana Romana i pani Rożewskiej ile bohaterki (któryto charakter życzylibyśmy, aby autor kiedy raz pełnił i dokładniej rozwinął), wszystkie inne, jak Kasi, jej ojca, p. referendarza Marka, Marcinka, nawet wspomnianych figur trzeciego rzędu: jak np. p. Bartłomieja z Siechurskiej Woli, pani Winickiej i t. p. nakreślone są wiernie, dobitnie i przedstawiają się nam jako figury z właściwemi sobie rysami z rzeczywistego świata wyjęte, a przeto typy.

Obrazy, które autor do przedstawienia obrał, wiernie wszystkie skreślone; i owszem, z wyjątkiem ostatnich kart kilkunastu, gdzie po-kończywszy już malowidła, spieszył tylko do opowiadania rozwiązań, tok powieści wyrażonym jest wszędzie w kształcie rozwiniętych położeń i dramatycznie.

Te typy, które przedstawił Emeryt (tak jawne, jak domyślne), nie sąto wprawdzie po największej części typy klasy, ale typy wyjątków.

Panna Ambrożyna np., ta prosto-serca Kasia, dobra, wierna, myśląca, oddana ojcu, szczerze pobożna, jestto typ, który nie jest, wyznajmy, typem młodych córek naszego grodu; jednakże zdarza się.

P. Wyżopolski obywatel ziemski, który rzuca bogatą dziedziczkę, a jest wierny i spieszy pojąć córkę nauczyciela-emeryta; nie jestto wcale typ obywatelski; jednakże zdarza się.

Zepsute i wpółdzikie serce Marcinka, przemienione nagle na zające i nader zacne, jestto fakt, który także być może zdarza się, lecz tylko zdarza się.

Są mężowie, jako niewiasty, a jako mężowie niewiasty; ale typ pani Rożewskiej, typ zarazem męża-niewiasty, w doskonałości tych cech (rzeczy można huzara-aniola, albo aniola-huzara), nie jestto wcale typ klasy, a jednak zdarza się.

Pedanterya nie jestto wcale także charakterystyka jednostek wyższych i niższych w zawodzie, który reprezentuje p. Marek w mieście, gdzie go autor postawił; typ p. Marka w mieście tém jest prawie nieznanym, a jednak zdarza się.

Wszystkie te typy w Emerycie są więc jako wyjątki, lecz jako wyjątki są typy, i *Emeryt* to z rąk autora *Spekulanta* i *Kollokacyi* nowy dla literatury krajowej przybytek, który ma przechować i podać naszym następcom zbiór figur i charakterystyk z 5go dziesiątka XIX wieku naszego kraju.

Co do sądu wreszcie ogólnego o tej powieści, wartości jej szczególnych obrazów, redakcyja Biblioteki wyraziła go już, umieszczając tę powieść.

T.

Grammatyka polska dla dzieci krótko zebrana przez Adama Stanisława Krasieńskiego Pijara. Wilno. 1850 r.

Mole quidem exiguum, sed pravitate ingens.

Już przy wydanéj przezemnie recenzji Grammatyki B. Łazowskiego w Nrze sierpniowym Biblioteki Warszawskiej r. z. wspomniałem o Grammatyce A. S. Krasieńskiego, że *krótkość prawdziwie elementarna* jest największą i jedyną jéj zaletą. Takie o téj Grammatyce powziąłem przekonanie, przejrzawszy tylko pośpiesznie przed ośmiu laty pierwsze zapewne jéj wydanie z r. 1840, w księgarni warszawskiej Zawadzkiego. Teraz, gdy z pilną uwagą przeczytałem całą książeczkę o 78miu str. w niczem nie różniącą się od niegdyś przejrzanéj, umyśliłem o niéj cokolwiek się rozpisać; nie dlatego, żebym ją samą z siebie uważał za wartość szczegółowego rozbioru i osądzenia, ale że ta osobliwsza w swoim rodzaju *Grammatyka dla dzieci*, napozór bardzo dogodna uczącym się i uczącym, jest jakby panującą po domach prywatnych w całej Litwie, jako téż na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, a nawet i w Królestwie Polskiem.

A najprzód w *Przemowie* błędnie powiada autor, że mamy kilkanaście Grammatyk polskich, gdy ich kilkadziesiąt łatwo naliczyć można. Potém wyszczególnia bez ładu ośmnastu zapewne celniejszych u nas grammatyków polskich, z których korzystał, i pomiędzy późniejszymi z nich po Kopczyńskim wymienia nawet Trąbczyńskiego, Szumskiego i Borodzieza, jak gdyby i ci nędzni zbieracze mieli jaką zasługę. Mówi zresztą i słusznie, że trzymał się pisowni podanéj przez Deputacyą Tow. Przyj. Nauk „bo mu się zdawało, że ta pisownia największą mieć powinna powagę.” Kończy wynurzeniem życzenia, aby dzieci z jego książeczki uczone, *czysto mówiły i pisały po polsku.*

Po takiéj przemowie następuje *Grammatyka krótko zebrana*, w której dość przejrzyć umieszczony przy końcu *registr* czyli spis, aby dostrzedz, co za nieporządek w układzie całego dziełka, zamkniętego bez żadnéj zasady w 4ch rozdziałach, a w każdym z nich oddzielnie liczbowane paragrafy; lubo rozdział 2gi jest rzeczywiście tylko rozwinięciem bardzo niedostateczném 1go.

Największy zaś nieporządek zachodzi w 3ch pierwszych rozdziałach, a mianowicie:

1. W rozdziale 1szym i 2gim pięć części mowy, jakoto: *imiesłów, przyimek, przysłówek, spojnik* i *wykrzyknik* nie mają osobnych dla

siebie paragrafów, tylko krótka i ryczałtowa o nich wzmianka w § 1szym, rozdziału 1go.

2. W rozdziale 3cim składnia szyku, któraby powinna w grammatyce polskiej podrzędne i ostatnie miejsce zajmować, umieszczona jest przed składnią zgody i rządu; a składnia rządu zaczyna się, nie wiedziéć jakim prawem, od niestychanego rządu wykrzykników, choć ta do składu zdania nie należą: poczém tuż zaraz idzie *rząd przyimków*, o którym mówić należało w rozdziale 1szym lub przynajmniej w 2gim przy wskazaniu, jakie względy oznaczają się przyimkami. Nie wyszczególnił autor tych względów nawet w rozdziale 3cim, a wskazując użycie przyimków czyli rząd ich różnemi przypadkami, nie odróżnił przypadków bezwzględnych od względnych, i ani wspomniął, że przyimek *za* rządzi niekiedy przypadkiem 2gim, przyimek zaś *po* rządzi przypadkiem 3cim, np. *za Stanisława Augusta, po modnemu*. W tak małej i tak nieporządnie ułożonej książeczce nie dziw, że zaszyły liczne opuszczenia rzeczy ważnych i należących do składu grammatyki nawet początkowej dla dzieci przeznaczonej, które opuszczenia tylko w drobnej części wskazałem. Ale zachodzą tu także i częste powtarzania, a rozdział 2gi nie jest właściwie rozwinięciem, tylko po większej części jest powtórzeniem rozdziału 1go.

Już w samym wstępie mówi błędnie autor na str. 1szój: „*mowa składa się z myśli i wyrazów*.” Toż samo przy końcu wstępu powtarza: „*z wyrazów i myśli tworzy się mowa*.” Powiada téż w przemowie:

„Trzymałem się pisowni podanej przez Deputacyą Towarzystwa Przyjaciół Nauk; zdawało mi się bowiem, że ta pisownia największą mieć powagę powinna.” I znowu na str. 68mej niepotrzebnie wywodząc dzieciom, że pisownia nasza dotąd nie jest jednostajną, tak kończy paragraf 1szy rozdziału 4go, „*Trzymać się więc będziemy zaleconej przez Deputacyą ortograficzną pisowni*.”

Cóż powiedzieć mam o grubych i niezliczonych błędach, jakie zachodzą w samym wykładzie *Grammatyki polskiej dla dzieci*? Oto najgrubsze tylko błędy i to nie wszystkie wymienię:

1. Na str. 1szój: „*Mowa składa się z myśli i wyrazów*.” Jak może mowa składać się z myśli, kiedy często człowiek myślący najwięcej milczy i odwrotnie.

2. Na téjże str. 1szój: „*Głosek w języku naszym jest 25*”; tu nie należycie wtrącone *x* do alfabetu czyli abecadła polskiego, a opuszczone samogłoski ściśnione *ó, é*, tudzież nosowe *q, e*, i spółgłoski podwójne dla oka, a pojedyncze dla ucha *rz, sz, dz, dź, cz*; nareszcie opuszczone i spółgłoski miękkie *ń, m', ź, ś*, i t. d. (Patrz *Pierwsze zasady Grammatyki polskiej*, wydane w r. 1838 przez T. S.).

3. Na str. 2giój: „Z połączenia samogłosek ze spółgłoskami powstają sylaby czyli zgłoski, np. *sen*”.

„Zgłoska czyli sylaba, jest połączenie jednej samogłoski z jedną lub kilką spółgłoskami, np. *ro-dzi-ce*.”

Dalój znowu na téjże str.: „Jedna samogłoska bez spółgłoski może złożyć sylabę, np. *A-zy-a*.” Tu zachodzi sprzeczność z powyższém oznaczeniem zgłoski.

4. Na téjże str. 2giój i 3ciój: „Prawidło ogólne czytania polskiego jest takie: *jak się pisze, tak się czyta*”; tuż zaraz idą wyjątki od podanego prawidła bardzo niedokładne i nie obejmujące wszystkiego, coby powiedziéć należało. Powiada bowiem autor „o kreskowane wymawia się prawie jak *u*, np. *wódz*; e kreskowane wymawia się prawie jak *i*, np. *cztery, mléko*; przecinek oznacza, że głos potrzeba przerwać; średnik oznacza, że głos zawiesić potrzeba i t. d.

5. Na str. 4tój: „Zaimek jest część mowy odmienna, która się kładzie zamiast imienia, np. *ja, ty, on, ten, który*.”

6. Na téjże str. 4tój: „Słowo jest część mowy odmienna, która oznacza zdanie o rzeczy i *stanowi dopełnienie sensu*; np. *jestem, czytamy, uczyć się*” i t. d.

7. Na str. 5tój: „Imięstów jestto przymiotnik pochodzący od słowa; np. *czytający, uczący się, kochany*” i t. d.

8. „Przyimek jest część mowy nieodmienna, która kładzie się przy imieniu i rządzi przypadkiem; np. *w, na, bez, od*”.

9. „Spojnik jest część mowy nieodmienna, która spaja dwa wyrazy *lub dwie myśli*; np. *i, lub, lecz, więc*” i t. d.

10. „Imię rzeczowne jest trojake: *właściwe, pospolite i zbiorowe*.”

11. Na str. 6tój: „Zbiorowe, które pod jedném nazwiskiem wiele rzeczy zamyka, np. *pospólstwo, tłum, zgromadzenie*” i t. d.

12. „Imię rzeczowne odmienia się przez liczby i przypadki, a rodzajów ma trzy”.

13. „Przypadek jestto odmiana imienia”.

14. Na str. 7mój: „Przypadkowanie czyli deklinacya jestto odmiana imion przez rodzaje, liczby i przypadki”. Że zaś tu mowa o rzeczownikach, więc podług autora i rzeczowniki odmieniają się przez rodzaje, a odmiana wyraźnie etymologiczna, zachodząca w trzech różnego znaczenia wyrazach *król, królowa, królestwo* nazywa się przypadkowaniem, kiedy téj odmiany nawet rodzajowaniem nazwać nie można.

15. „Poznaje się, do której formy jakie imię należy po rodzaju”; a jednak rzeczowniki rodzaju męskiego zakończone na *a*, należą w liczbie pojedynczej do formy 2giój np. *monarcha, dozorca* i t. p.

16. Na str. 11: „Imiona liczbowe są dwojakie, to jest: *kardynalne* czyli *rzeczowne* np. *trzy, pięć, sto* i t. d.” a jednak w wyrażeniach *trzem, pięciu, stu* uczniom; albo *trzech, pięciu, stu* uczniów, te liczebniki oczywiście używają się przymiotnie.

Pomijam resztę błędów z rozdziału Igo i z następnych; ale tego pominąć nie mogę, że autor na str. 16, dzieli słowa na *posiłkowe, czynne, nijakie, zaimekowe i bierne*, a o nijakich mówi, że nie wyrażają czynności; jednakże słowa *nijakie biegać, latać, tańcować, jeździć, grać, śpiewać* i inne, oczywiście czynność wyrażają. Toż na str. 17 i następnych *tryb warunkowy*, nazywany jest *czasem warunkowym*; na téjże stronnicy wprowadzone są 4 formy czasowania słów na wzór łaciny, a na str. 20 wyrażenia *mam pisać* i *pisać będę* uważają się za jedno i toż samo znaczące.

W rozdziale IIgim błędnie autor uważa za imiesłowy wyrazy: *uczony, ukochany*, odmieniające się przez stopnie, które tu wyraźnie są przymiotnikami, *ukochany*, zamiast *miły*, a *uczony*, zamiast *mający wiele nauki*. Błędnie też na str. 45tój napisane są wyrazy *ciśnij, błysnij*, zamiast *ciśnięj, błysnięj*, od *ciśnie, błysnie*; a na str. 4tój *dre, darłem, drzyj*, zamiast *drzej* od *drze*. Niepodobna z tegoż rozdziału nie przywieść uwagi umieszczonej na str. 52tój: „Jest jeszcze nieosobistość na *o* zakończona, która się tworzy z imiesłowu biernego, np. *czytano, pisano, chwalone* i t. d.” Jak mogą słowa nieosobiste czynne formować się z imiesłowu biernego? wszak forma czynna jest pierwotną, a bierna pochodną.

W rozdziale IIIeim, na str. 56tój tak jest podane oznaczenie składni: „Składnia jest część grammatyki pokazująca, jak się szykują wyrazy, z czém się każdy wyraz zgadza, lub od czego zależy”.

W tym krótkim rozdziale z 5ciu tylko kartek złożonym, wszystkich niedostateczności niepodobna wyliczyć; bo tu więcej jeszcze jest opuszczeń niż wydrukowanych błędów. Toż samo powiedzieć można i o rozdziale 4tym.

Nareszcie nie mogę pominąć mnogich śmieszności niegrammatycznych w wymawianiu, pisaniu i użyciu wyrazów, któreto śmieszności, zagęszczone na Litwie, nawalęm przywodzi autor na str. 52giój, 53ciój 4tój i 5tój: *nogie, reńkie*, zamiast *nogę, rękę*; *sreble, szkura, szmarować*, zamiast *srebro, skóra, smarować*; *ja widział*, zamiast *widziałem*; *dwie pytań, dwie ocz*, zamiast *dwa pytania, dwoje oczu*; *un, kóždy, krolow, panow*, zamiast *on, każdy, królów, panów*; *w ciebie, w niego, w rodziców*, zamiast *u ciebie, u niego, u rodziców*; *świeca* zamiast *święca*; *astor* zamiast *autor*. Czemuż tu jeszcze nie zamieszczone wyrazy: *chrapuje, chrapująca, (piękność)*, używane na Wołyniu zamiast *frapuje*,

frapująca, wyrazy wzięte z francuzkiego, a przekręcone tak dziwacznie przez Wołynianki, nie umiejące po francuzku.

Toż: *znajomościę, pieśnię*, zamiast *znajomości, pieśni*; *poszłem, poszedła, poszedliśmy*, zamiast *poszedłem, poszła, poszliśmy*; *uczuciów, skłonnościów*, zamiast *uczuć, skłonności*; *ta piec*, zamiast *ten piec*; *stanętem, zaczętem*, zamiast *stanątem*; *prosił, gdyby zrobiłem*, zamiast *abym zrobił*; *gorońco*, zamiast *gorąco*; *więc*, zamiast *więc*; *rzekoma, sanioma*, zamiast *rzekami, saniami*; *odać, niewinność*, zamiast *oddać, niewinność*; *szósta biwszy*, zamiast *gdy szósta wybiła* albo *wybiję*; *on przyjechawszy*, zamiast *gdy on przyjechał*. Czy autor powinien był przywozić tyle błędów wymawiania i pisania, nader rzadko się pojawiających w okolicach Wilna, pomiędzy wyższą gawiedzią.

Warto się teraz zastanowić: z kąd poszło, iż *Grammatyka polska dla dzieci* tak niedostateczna i tyłą przepelniona błędami, przez dziesięć lat najszcześniejsze miała powodzenie, gdy żaden nawet z uczących i uczonych nie odezwał się o nią w naszych pismach peryodycznych, które tylko powtarzały jedne po drugich doniesienie czysto-księgarskie o jej wydaniu. Pewnie ta mała książeczka, chociaż wcale nie odpowiadająca swojemu celowi i przeznaczeniu, kilkakrotnie ze wszystkimi swojemi błędami została jak najstaranniej przedrukowana; pewnie tysiącami egzemplarzy rozeszła się po domach prywatnych, a przezorny księgarz-wydawca nawet nie wystąpił z jej pochwałą, wypłaciwszy słynnemu teologowi i kaznodzieli za ledwo kosztą przepisowywania, aby przez niewczesną pochwałę nie wywołał samochcąc rozbioru i osądzenia dziełka, przynoszącego mu niemalą korzyść. Nie śmiem tu przypisywać żadnej innej winy szanownemu autorowi, chyba tylko, że przez dziesięć lat sam swoich błędów nie dostrzegł i nie poprawił w ostatniem wydaniu. Ale wielką jest wina uczących, że nie rozważyli pierwój, a może nawet nie odczytali tak małej książeczki, z której uczyć mają; czego zapewne była przyczyną albo ich dobrodusznosc ślepo przyjmująca wszystko za dobre co wydrukowane, albo pewnie bezsumienna obojętnosc i niedbalstwo w rozczytywaniu innych grammatyk obszerniejszych, a nie zasianych tyłą i tak rażącymi błędami. Błędy te przejął niewątpliwie autor od Szumskiego i Boro-dzicza, których z dorywczego tylko przejrzenia za nędznych zbieraczów, a gdzieniegdzie za nieudolnych nowatorów osądziłem. Czemuż raczej z większą uwagą i starannością nie poradził się Jakubowicza, który lubo sam od zarzutu nie wolny, wiele jednak błędów Kopczyńskiego wyświecił i poprawił. Czemu się nie poradził uczonego Muczkowskiego, którego obszerna i na elementarną zanadto drobiazgową, a jeszcze do tego mnó-

stwem podziałów przyémiona grammatyka, chociaż się nie odznacza czystym i jasnym wykładem, jest przecież prawdziwą skarbnicą gruntownych postrzeżeń i uwag, wielce ważnych dla zamierzającego pisać nową grammatykę polską lub pisać grammatycznie po polsku w jakimkolwiek przedmiocie. Z tak szacownego i w 3ciém wydaniu znacznie już poprawionego dzieła, bardzo wiele korzystał niespracowany nowator D. Łazowski, a po nim zapewne i Suchecki; przed nimi zaś ja sam, z wdzięcznością tu wyznaję, w układzie mojej grammatyki do użytku szkolnego zastosowanój, o ile tylko mogłem, korzystałem.

Niechaj nikt nie sądzi, że występując po tyle już razy i z taką otwartością przeciwko nowszym grammatykom, stoję ubocznie we własnej sprawie, i chcę bronić dokonanego przez siebie dzieła, które mi przeszło dziesięć lat pracy najmozolniejszej i troskliwych poszukiwań zabrało, a nie ustaliło się jeszcze dotąd po naukowych zakładach; chętniebym raczej ustąpił drugim zasłużonemu pierwszeństwa, niżelibym miał dochodzić do jakiej wziętości, po czyich ruinach. Aby odwrócić od siebie podobne posądzenie, odwołuję się w téj mierze do uznania samychże moich czytelników, którzy nigdzie w wydanych przezemnie recenzjach nie znajdują bezdowodnych zarzutów ani potępiających ogólników, ale zawsze obok szczegółowych zarzutów, znajdują tuż zaraz i dowody, wzięte z dzieł osądzonych.

T. Sierociński.

*Świat zastosowany do pojęcia młodzieży. Warszawa.
1850 rok. Zeszytów 6.*

Często słyszeć można utrzymujących, że zbytne zamiłowanie młodzieży w umiejętnościach fizycznych, wpływając na zmianę właściwych wiekowi młodemu pojęć, wzbudza wyłączny jeden kierunek, działa na wygaszenie popędu do sztuk pięknych, poezyi, a nawet uczuć religijnych. Nie rozbierając szczegółowo tego ważnego pytania, sądzimy, że wczesne zamiłowanie i upowszechnienie wiadomości z nauk fizycznych, tyle ważnych później, dla wyrobienia znośnego materialnego bytu i postępu oświecenia, nie pociąga za sobą wymienionych skutków; że przeciwnie, obojętność dla tych umiejętności, czyli jednostronne kształcenie młodzieży na naukach, zwanych humaniora, jako niezgodne z naszym usposobieniem, dążnością wieku, bez zaprzeczenia w umysłach młodych, niezdolnych jeszcze pojąć ich znaczenia, większe szkody przynieść jest w stanie. Nauki fizyczne wykrywając całą wielkość i strojność budowy świata i pojedynczego stworzenia, zwracając uwagę na to, co jest prawdziwie pięknym, bo naturalnym, nietylko wzbogacają umysł licznymi pożytecznymi

wiadomościami, lecz pomimowolnie wpływają na obudzenie uczucia piękności, i zamiast zarzucanego zobojętniania uczuć, nasuwając ciągle myśl o Stwórcy, uczą go kochać i wielbić Jego mądrość.

Lecz aby ten cel przez nauczanie umiejętności fizycznych mógł być osiągnięty, potrzeba, aby dzieło traktujące te nauki dla młodzieży, oprócz innych pedagogicznych warunków, nie spuszczało nigdy z widoku dążności moralno-estetycznej. Autor przy wiadomościach z bogacających umysł, winien kształcić serce.

Można także słyszeć zarzut, iż tych nauk, popularnie, prawie niepodobna traktować, i że te umiejętności winny zawsze pozostać wyłączną należnością małej liczby osób, które postępując systematycznie za kursami, są w stanie pojąć i zgłębiać wszelkie ich trudności, i dlatego przy wychowywaniu początkowem młodzieży zupełnie je zaniechać wypada. Nie należymy do bezwarunkowych stronników podobnego mniemania, bo przekonani jesteśmy, że przy tylu licznych zastosowaniach, potrzeba w ogólnem pierwotnem kształceniu młodzieży, podawać zasady wielu prawd, które się już zespoliły z praktycznym życiem. Lecz w tém należy być ostrożnym: lepiej wcale nie mówić w dziełach ku temu celowi o przedmiotach, których mniej więcej zrozumiale skreślić nie jesteśmy w stanie, aniżeli tylko bardzo powierzebownie o nich nadmieniać. Takie dzieła niekoniecznie wszystko, co nauka zawiera, w swym planie obejmować winny; przy ich pisaniu cała trudność, pominiawszy zajmujący wykład, polega na stosownym wyborze przedmiotów.

Z takim usposobieniem (a może ktoś nazwie uprzedzeniem), czytamy dość licznie u nas wychodzące dla młodzieży dzieła z nauk przyrodzonych. Szanując szczerę chęć i poświęcenie się autorów wyznajemy jednak, że te dzieła po większej części grzeszą zbytnią pretensją, nowatorstwem w podobnych traktatach zupełnie bezpożytecznem a nawet szkodliwem, zbyt drobiazgowemi, a więc niepedagogicznemi podziałami, jako też wyłącznym naukowym kierunkiem, z zapomnieniem, że i imaginacja młodzieży wymaga stosownego uprawiania i podsycaenia. Z tych wszystkich dzieł świeżowysze: „Świat zastosowany do pojęcia młodzieży”, zdaje się jedynie odpowiadać swemu celowi tak dążnością moralną, zajmującym sposobem obrobienia, trafnym wyborem przedmiotu, a wkońcu pięknnością języka. Zakres i plan jego jest następujący:

Po wstępie, następują rozdziały o ziemi, jój kształcie, podania narodów o sposobie zawieszenia jój w przestrzeni, historia odkrycia kulistości ziemi; o gwiazdach i słońcu, gdzie za pomocą porównań autor przystępuje do dania pojęcia wielkości wszechświata. W końcu jest ustęp o świecie słonecznym. Cała ta część astronomiczna wyłożoną jest nad podziw jasno i przystępnie dla dzieci, i może służyć za dowód, jakim sposobem wiek młodociany, chciwy wiadomości, przy pożytecznej nauce może kształcić swe uczucie i serce. Nie pojmujemy tylko, dlaczego autor szanowny, nie swym rodakom nie wspominał o Koperniku, i o przodku tyle sławnym jednym prawie wyrazem nadmienił; a tu właśnie była sposobność na swojskim przykładzie stawić młodzieży wzór poświęcenia się i wyrzeczenia się świata w celu oddania się Bogu i nauce, wielbienia Stwórcy przez rozważanie dzieł Jego. Tém bardziej to dla nas jest nie-

pojętém, że poniżej znajdujemy wizerunki i krótkie zarysy życia ludzi mniej sławnych i mniej dla nas drogich, jakeimi są Galileusz, Franklin i t. d.

W następnym zeszycie jest opis ciał nieważkich, które, stosownie do nazwy, każe autor poczytywać za materye ciężkie, które dotąd nie zdołano zważyć. Zgodzi się autor, że podobny sposób zapatrywania dziś jest zaniechanym, jakkolwiek nazwy plynów zostawiono dla analogii i łatwości tłumaczenia. Podanie młodzieży pojęcia jakie teraz przyjmuje nauka, jest trudne a nawet niepodobne; dlatego niemamy, że najstosowniej w dziełach podobnego celu, opisywać i przytaczać fakta, a wcale w oznaczanie przyczyn takich, jakeimi są elektryczność, magnetyzm, światło i t. d. wchodzić nie ma potrzeby. Pominąwszy to, wyznać należy, że autor umiał zrobić stosowny wybór z ogromu téj nauki: wziął to, co prawdziwie jest niezbędném dla młodzieńca, i przedstawił w formie jasnej, zajmującej i popart szczęśliwie dobranymi porównaniami.

Po wiadomościach z fizyki następuje zoologia (tylko o zwierzętach ssących), przedmiot który w tych czasach kilku zajmował pisarzy. Unikając systematycznych i drobiazgowych podziałów, niebardzo stosownych w dziełach, gdzie czytelnik ani stopniowania cech dokładnie pojąć, ani całego systematu ogarnąć nie jest w stanie, i przez co tylko zamiast porządku, w głowach młodzieży zamęt się wprowadza; unikając przytaczania cech ujemnych, jak to niektórzy czynią, autor po prostu przechodzi ważniejsze rodzaje w porządku systematycznym, mało zastanawia się nad cechami a natomiast obszerniej mówi o zmyślności, instynkcie zwierząt; przy czém używa sposobu obrazowania, cytując wyciągi z podróży, zdarzenia zastosowane do pojęcia dzieci: np. o głupocie barana, dzikości wołu, zmyślności kozła, wydrze Paska i t. d., a w końcu nie szczędzi ustępów poetycznych naszych wieszczów.—Jako pomoc dla młodéj wyobraźni, posilkuje się drzeworytami znanymi z dawniejszych u nas publikacyj, lecz tu stosownie umieszczanymi.

Na tém się kończy zeszyt szósty i ostatni, nie wiadomo bowiem, czy wspomniane dzieło dalej wychodzić będzie; jakkolwiek nieznaną autor i nakładca prawdziwą przysługę wyświadczyliby młodéj generacyi, nie szczędząc pierwszemu pracy, a drugiemu kosztów na dokończenie tego pięknego dzieła.

S. P.



ROZMAITOŚCI.

SPRAWOZDANIE

Z OBROTU HANDLU ZBOŻOWEGO, DRZEWNEGO, TUDŻIEŻ INNYCH PŁODÓW W R. 1850.

Port gdański.

W roku 1850 przybyło do Gdańska łasztów 60-szeflowych:

	Pszeni.	Żyta	Jęcz.	Gro.	Owsa	Sie.l.	Rze.
z Królestwa Polskiego i Wołynia, 19,021	—	—	—	14	—	487	—
z prow. pruskiej wodą	17,608	5,402	3,221	1,902	1,150	282	756
„ „ na kołach; w zbliżeniu	4,000	3,000	2,200	800	250	„	450
Razem	41,529	8,402	5,421	2,716	1,400	769	1,206
Dowóz w r. 1849 był	27,983	7,086	4,269	1,480	400	95	1,370
W ciągu całej handlowej kampanii, port gdański wysłał łasztów 56 1/2 szefl.							
	Pszeni.	Żyta	Jęcz.	Owsa	Gro.	Sie.l.	Rze
do Anglii, Szkocji i Irlandyi . . .	32,222	701	4,010	191	2,588	198	18
Francyi	82	—	—	—	—	—	—
Belgii	—	—	—	—	—	312	—
Holandyi	4,279	1,804	33	—	112	123	—
Wysp Jersey i Gersey	470	—	—	—	—	—	—
Norwegii i Danii	83	3,203	25	—	69	—	—
portów niemieckich	—	444	—	—	1	—	—
Razem	37,136	6,152	4068	191	2,770	633	18
Wywóz w r. 1849 wynosił	28,397	2043	2,899	100	1,310	400	249

Po 31 grudnia 1850 zostało na śpichrzach gdańskich:

Łasztów 60-szefl.	Pszeni.	Żyta	Jęcz.	Groch.	Owsa	Siem.ln.	Rzep.
	17,853	2,976	299	211	28	112	437

Po 31 grud. 1849 było w śpich. 10,901 3,970 300 247 47 90 190

Za piękną buźną, sandomierską i lubelską pszenicę, płacono łaszt od 145 do 155 tal. Średnie gatunki przynosiły 135 do 140 tal., niższe utrzymywały się od 128 do 130, a kilka najpiękniejszych buźnych partyj, otrzymały wyjątkowie 160 do 163 tal. za łaszt. Pszenica świeża ze zbioru 1850 r. daleko niższą dla słabiej wagi i gatunku

przynosiła cenę, bo za najlepsze ziarno płacono 140, za średnie 120, a za gorsze około 110 tal. za łaszt.

Zyto w ciągu lata utrzymywało się od 55 do 60 tal.; przy żniwach cena podniosła się do 70, 75, a wyjątkowo 80 tal.; w końcu roku notowano około 70 tal. za łaszt.

Jęczmień z wiosny płacono od 40 do 55 tal. W środku lata ceny doszły od 48 do 57 tal. i w tej pozycji dotąd się utrzymują.

Owies z wyjątkiem krótkiego peryodu wielkich potrzeb dla wojska, został przy średniej cenie od 35 do 44 tal. za łaszt.

Przed zbiorem, ceny grochu stały na 60 tal., w skutek złych wiadomości z Anglii, podniosły się do 70, 75, 80, a wyjątkowo i 90 tal., lecz później zeszły do 70 i 75 tal. za łaszt.

Siemię lniane utrzymywało się między 120 a 140 tal., a ryps i rzepak notowano od 155 do 180 t. za łaszt.

Mięso. Zabito na wywóz 8,524 wieprzów (w roku 1849, sztuk 4,450) i wysłano do Anglii 8,600 wędzonych szynek, 300 centnarów smalcu, i 10,623 cent. solonego mięsa. Ceny surowej wieprzowiny do solenia, 13 pol. gr. za funt notować można.

Drzewo. Handel drzewny w upłynionym roku w ogólności był ożywiony, i towar dobry, korzystnie dawał się realizować. Przy czynnym wywozie zapasy gdańskie się zmniejszyły, jak to z następujących liczb można widzieć:

	B e l e k	Dylów	Krzywek
	Kantak.	Murlat.	okrąg. dęb. belek dęb. klep. kop.
zostaje na składzie w 1851	87,540	42,350	47,784
zostawało w 1850 roku	108,693	62,547	55,158
			23,133
			7,908
			2,218
			4,038

Kantaki sosnowe z wiosny płacono 4 do $4\frac{2}{3}$ s. gr. za stopę kubiczną angielską w partyach złożonych z $\frac{2}{3}$ części ordynaryjnej, a $\frac{1}{3}$ dobrej średniej klasy. W jesieni żądanie było większe, i ceny się podniosły. Za najlepszą średnią klasę (best-mittel) zapłacono do 8 sr. gr. za stopę kubiczną dla braku dowozów.

Murlaty od 7 do 10 cali w kant, nie były poszukiwane. Ceny zostały od $3\frac{1}{2}$ do 4 sr. gr. za stopę kubiczną.

Okrągłe sosnowe belki, nader chętnych znajdowały kupców po 5, 6 do 10 i 12 tal. za sztukę. Partya jedna z 1,200 sztuk, między którymi było wiele masztów, szpirów i korony, przyniosła 28 do 30 tal. sztuka w sztukę. Braki płacono 3, 4 i 5 tal. Zapas okrągłego drzewa jest w Gdańsku mały, a potrzeba wielka.

Sosnowe długie dyle. Ten artykuł do Anglii, Francji, Hiszpanii, na potrzeby wojennej marynarki bardzo był poszukiwany. Za sztukę korony 3 cale grub. 40 stóp długości, płacono 5 do 6 tal. Druga

klasa (Krohn Brach) w powyższych rozmiarach, $2\frac{2}{3}$ do 3 tal. wynosiła.

Krótkie sośnowe dyle płacono: 3 cale grube, 18 stóp długie, korona $2\frac{1}{3}$ do $2\frac{1}{2}$ sr. gr. za biegącą stopę. Korona brak $1\frac{1}{2}$ do $1\frac{3}{4}$ sr. gr.; ale przed zamknięciem żeglugi, artykuł ten zupełnie wyczerpany został.

Sosnowe dyle cienkie płacono: korona półtora calówki 1 sr. gr., druga klasa $\frac{2}{3}$ sr. gr. za biegącą stopę. Calówki korona $\frac{2}{3}$ sr. gr., druga klasa $\frac{1}{2}$ sr. gr. za biegącą stopę.

Na poprzeczniki do kolei żelaznej niema żądania; zapas jednak tutejszy powoli się zmniejsza.

Kantaki jodłowe nie miały kupców; nominalne ceny 4 sr. gr. za stopę kubiczną.

Modrzewiowe drzewo: 3,100 belek przeznaczonych do Anglii; cena od 10 do 12 sr. gr. za stopę kubiczną w Gdańsku.

Dyle dębowe bardzo poszukiwane, a kopa korony (720 stóp kubicznych) przyniosła od 1,000 do 1,150 tal., ale i po tych wysokich cenach, dla niedostatku towaru, rozkazy angielskie, francuzkie i hiszpańskie nie zostały w zupełności wykonane. Belki dębowe proste i krzywki, stosownie do gatunku przyniosły od 10 do 30 sr. gr. za stopę kubiczną.

Klepka pipówka, w upłynionym roku podniosła się do 28, 30 tal., a nawet w niektórych razach doszła 33 tal. za kopę (60 sztuk). Inne rozmiary klepki, w przyjętej proporcji znajdowały kupców.

Handel drzewa, z wyjątkiem poprzeczników do kolei żelaznej, korzystniejszy wziął kierunek. Przy wyższych cenach, zapasy tak w Gdańsku, jak w Memlu i Szczecinie znacznie się zmniejszyły, co dobre dla gałęzi tej płodów krajowych na rok 1851 otwiera nadzieje; tém więcéj, że rząd angielski zamierza zniżyć do połowy cło na drzewo zagraniczne. Od każdych więc 50 stóp kubicznych (load) drzewa piłowanego, cło angielskie nadal będzie tylko 10 szylingów (zamiast 20), a od tyluż stóp drzewa ociosanego $7\frac{1}{2}$ szylin. (zamiast 15). Klepka dębowa w przyjętych rozmiarach, bez żadnego cła, jak i dawniej.

Nie mamy potrzeby rozszerzać się, że zniżona w Anglii przez zmniejszenie podatku wartość drzewa, powiększy znacznie jego konsumpcją, i że budulec, jako towar łatwiejszy znajdzie przystęp i odbyć.

Port królewiecki.

Tegoroczny handlowy obrót królewieckiego portu, we wszystkich gałęziach nader znaczne przybrał proporcye.

Oto jest wyszczególnienie wywozu zboża:

	Pszen.	Żyta	Jęczm.	Owsa	Wyki groch. i bob.	Lnę cent.	Pieńki	Siemienia lnia. i rze.
w r. 1850	14,328	28,311	5,055	4,801	6,256	29,192	3,672	5,101
w r. 1819	6,542	5,016	2,768	4,192	3,871	31,768	2,889	3,271

W dostawach bieżącego roku, prowincye litewskie dostarczyły łąszków pszenicy 2,700, żyta 10,947, jęczmienia 567, owsa 60, grochu, bobu i wyki 337, nasienia lnianego cent. 239,278, konopnego cent. 1854, rzepakowego 2,148, lnu i pieńki cent. 92,068, skór surowych 976, smoły cent. 8,253, potażu beczek 342, wełny cent. 294, opałowego drzewa sążni 6,028, budulcu, murlatów, desek i dylów 174,036 sztuk.

Ceny średnie za pszenicę były od 110 do 150 tal., żyto od 54 do 70 tal., jęczmień od 52 do 55 tal., owies od 37 do 39 tal., groch od 82 do 103 tal., bób i wyka od 66 do 75 tal., siemię lniane i rzepakowe od 92 do 142 tal., lnu pierwszy gatunek od $6\frac{2}{3}$ do 11 tal. za cent., drugi gatunek od $4\frac{1}{2}$ tal. do 6 tal. cent., pieńki pierwszy gatunek od 9 do 12 tal. za cent., pieńki drugi gatunek od $5\frac{1}{2}$ do $8\frac{1}{2}$ tal. za pruski centnar.

Port memelski.

Bardzo ograniczony miał w tym roku obrót zbożem. W całej kampanii wysłał:

pszenicy łąszków	491	Zostało na spichrzach łąszk.	146
żyta	9,122	—	1,597
jęczmienia	997	—	82
owsa	660	—	170
grochu	223	—	34
siemienia lnian. .	9,456	—	860
lnu 1 ^o gat. cent.	170,335	cent.	6,206
— 2 ^o — —	10,099	—	2,399
pieńki	138	—	686
siem. ln. na siew			
beczek	1,577	—	—
skór surow. ciel.	287,085	—	—
— — koz.	5,300	—	—

Co do drzewa, obrót był znaczny i po lepszych cenach. Wyexpedyowano w ciągu roku:

belek sosnowych	103,029	lipowych desek	1,037
desek —	327,676	jesionowych belek	37
dylów —	516,796	dębow. belek i bali	7,108
poprzecz. drogi żelaz.	30,827	— desek	905
masztów i spirów	563	klepki pipowej kop	16,461
jodłowych belek	223	— wódczanej	1,883
— desek .	2,584	— okseftowej	3,222
— dylów	26,907	— beczkowej	4,609

Drobne drzewa nie umieszczamy.

Port odeski.

W roku 1850 wywiózł:			
pszenicy łasztów	99,148	wartości rubli sréb.	11,178,335
siem. lnian. —	3,460	— — —	454,758
wełny cent. angiél.	72,881	wartości rubli sréb.	3,517,146
łoju — —	45,056	— — —	586,483
Zostało na spichrzach pszenicy łasztów 46,728			
	żyta	—	1,993
	owsa	—	2,743
	siem. lnian. —		1,372

A zatem port odeski z nader obfitego zbioru 1849 r. wysłał $2\frac{1}{2}$ razy tyle co Gdańsk pszenicy, i w téjże samej proporcji zapas na spichrzach posiada. Winniśmy zwrócić uwagę, że wywóz odeski w r. 1851 bardzo się zmniejszy, z przyczyny nieurodzaju w wielu częściach Podola, Wołynia i Ukrainy.

W okólnikach ogłaszających założenie domu naszego, tudzież w sprawozdaniu z obrotu handlu zbożowego w 1849 roku, objawiliśmy przekonanie nasze:

1^o Że przy wolnym handlu zbożowym, ceny na średniej utrzymać się będą stopie, i że zmiany cen nie będą miały miejsca, chyba w razie nieurodzaju.

2^o Że spekulacya zbożowa koniecznie upaść musi.

Przepowiedzenie nasze pod każdym względem się sprawdziło, jak to w kilku słowach okazać możemy.

W początkach 1850 r. ogólne było mniemanie, że ceny pszenicy podnieść się muszą; raz dlatego, że zbiór kartofli w r. 1849 w całej Anglii został dotknięty chorobą, a powtóre, że wartość targowa pszenicy nie pokrywała wysokości dzierżawy i kosztów gospodarstwa. Stało się wszakże inaczej. Targi uciśnione dowozami zagranicznymi, oraz obfitością ziarna krajowego, coraz się uchylały, pomimo nader zimnej i opóźnionej wiosny. Silne, a w Anglii niesłychane przymrozki w maju, wywołały obawę o stan zasiewów, w skutek czego ceny podniosły się o 5 szyl. na kwarterze (50 guld. na łaszcie). Po przekonaniu się jednak, że materyalnej nie było szkody, targi się natychmiast cofnęły, i dopiero w czerwcu w czasie kwitnienia i zawiązania ziarna pszenicy, przymrozki, oraz gwałtowne wiatry dały powód do małego ożywienia handlu, co również niedługo trwało. Przy końcu lipca i w początkach sierpnia, panujące deszcze nie tylko przerywały żniwa, ale zagrażały zniszczeniem całego zbioru. Znowu więc o parę szylingów na kwarterze ceny

poszły w górę, lecz po sprzątnięciu z pola, zaraz do dawnego wróciły stanu; a chociaż zbiór angielski 1850 roku bez żadnej wątpliwości okazał się szczupłym co do ilości, a lichym co do gatunku, zbiory zaś całej Europy uważano niżej średnich, ceny jednak bez przerwy ku niżeniu dążyły, tak, że całoroczne przecięcie cen pszenicy w Anglii, zeszło na 40 szyl. 4 den. za kwarter, wtenczas, kiedy przecięcie 44 sz. 6 den. z roku 1849, zdawało się już ceną najniższą, i całe rolnictwo do ruiny prowadzącą.

Oto jest krótkie opisanie pozycyi targów zbożowych w r. 1850, które tylko pod wpływem nieprzyjaznych warunków temperatury, wychodziły chwilowo z odrętwienia, a ze zmianą pogody, natychmiast do dawniej stagnacyi wracały. Trzeba zatem przejąć się tą dziś zaprzeczeniu ulegać niemogącą prawdą, że targ otwarty dla całego świata zawsze zaopatrzone zostanie, a ceny tylko w razie ogólnego nieurodzaju wysoko pójść mogą: bo cząstkowy upadek krajowych lub zagranicznych zbiorów, stanowczego na handel nie wywrze wpływu, jak o tém w dwóch ostatnich latach, dotykalne mieliśmy przekonanie.

Pod opieką ruchomiej lub zabronnej taryfy, spekulacya otwarte miała pole do zysku, a bogaci i praktyczni kupcy wiedzieli kiedy, gdzie i jak zapasy zboża gromadzić, i potem przy zręczności świetnie realizować. Dziś operacye tego rodzaju są niepodobne, a nawet nie miałyby celu. Na co bowiem Anglikom wcześniej po rozmaitych portach kupować pszenicę, kiedy ta nad potrzeby konsumcyi sama się do Anglii wciska, a konkurencyja, nie już jak dawniej bywało, między kupującymi, lecz tylko między sprzedającymi istnieje, bo każdy stara się pozbyć towaru z najmniejszym zyskiem, a często nawet i z małą stratą, byle spichrzowania uniknąć.

Anglia jest dziś jedynym krajem na świecie, niemogącym się żywić własnymi ziemnymi płodami, i corocznie potrzebującym wprowadzać wielkie massy zagranicznej pszenicy. Trudno jest bardzo z niejaką dokładnością ocenić konsumcyą lub produkcją tak wielkiego i zamożnego kraju; winniśmy jednak czytelnikom przytoczyć z najlepszych źródeł czerpane liczby i fakta, aby choć zbliżone dać wyobrażenie o potrzebach i środkach Wielkiej Brytanii w gałęzi zbożowej.

Oto jest tabela pszenicy i mąki pszenniej, w ciągu ostatnich 20 lat do Anglii wprowadzonych. Obok dowozu kładziemy średnie angielskie ceny pszenicy z całego roku, a w ostatniej kolumnie zamieszczamy średnie ceny we Francyi, redukując je dla jasności do miary i monety angielskiej. W cenach angielskich sięgamy roku 1800.

Lata	Ilość pszenicy zagranicznej, wprowadzonej do Anglii w kwarterach	Ilość mąki zagranicznej, wprowadzonej do Anglii w centnarach	Średnia całoroczna cena pszenicy w Anglii za kwarter		Średnia całoroczna cena pszenicy we Francyi, redukując do kwarterów i szylingów	
			szyl.	pen.	szyl.	pen.
1800	—	—	110	5	—	—
1805	—	—	87	1	—	—
1810	—	—	103	3	—	—
1815	—	—	63	8	—	—
1820	—	—	67	11	—	—
1825	283,236	94,348	68	7	—	—
1830	1,414,262	560,249	64	3	51	11
1831	1,857,278	627,742	66	4	53	3
2	405,884	224,668	53	8	50	8
3	247,625	170,092	52	11	38	6
4	131,566	149,554	46	2	35	4
5	46,530	84,684	39	4	35	4
6	162,778	279,602	48	9	40	2
7	432,369	346,325	55	10	43	—
8	1,240,138	439,910	64	4	45	8
9	2,638,593	793,606	70	6	51	4
1840	1,995,153	1,552,697	66	4	50	8
1	2,409,754	1,275,656	64	5	43	—
2	2,722,305	1,151,827	57	5	45	4
3	932,866	440,955	50	2	47	5
4	1,097,963	987,744	51	3	45	10
5	844,533	924,256	50	9	45	10
6	1,437,336	3,363,810	54	9	55	9
7	2,650,058	8,637,377	69	5	67	4
8	2,477,366	1,731,974	50	6	38	7
9	4,507,626	3,778,435	44	6	36	6
1850	3,936,514	3,858,332	40	4	33	—

Ale Anglia nie samą tylko pszenicę potrzebuje. Rozmaitego rodzaju ziarno i mąka znajduje tam przystęp i odbyć.

Oto jest stan urzędowy dowozu zagranicznego do całej Wielkiej Brytanii:

	W roku 1849	W roku 1850
Pszenucy kwarterów	4,507,626	3,778,435
Jęczmienia „	1,554,860	1,042,801
Owsa „	1,368,673	1,167,177
Żyta „	256,308	94,078
Grochu „	285,487	182,559
Bobu „	485,430	449,493
Kukurydzy „	2,249,570	1,286,281
Gryki „	308	296
Różnych „	1,749	571
Razem	<u>10,710,011</u>	<u>8,001,691</u>

	W roku 1849	W roku 1850
Mąki pszennej centnarów	3,936,514	3,858,332
„ jęczmiennéj „	224	106
„ owsianéj „	40,055	5,839
„ żytniéj „	24,735	960
„ grochowej „	300	66
„ bobowej „	2	—
„ kukurydzowej „	102,181	11,401
„ gryczanej „	1,095	96
Mąki razem centnarów	4,105,106	3,876,806
Redukując wszystko na kwartery, cały dowóz zagraniczny w r. 1849 był	11,882,898	
w r. 1850 „	9,109,340	

w r. 1850 mniej 2,773,558 kwart.;

co jest skutkiem obfitości zbioru 1849, w porównaniu ze zbiorem 1848 roku.

Z tego, co poprzedza, daliśmy wyobrażenie o ilości zboża zagranicznego, potrzeby Anglii zasilającego. Zastanówmy się w krótkości nad produkcją tego kraju.

Podług opinii poważnych ekonomistów, a szczególnie opierając się na raportach komitetu, na ten cel przez parlament wyznaczonego, przyjęć można: że Anglia, Szkocya i Irlandya, razem wzięte, obsiewają rocznie pszenicą 6 milionów akrów (akr równy jest 217 prętom kwadratowym polskim), a na każdym akrze w przecięciu, zbierają 26 buszli ($8\frac{1}{3}$ korcy warsz.). Co w zwyczajnych latach, biorąc okrągłe liczby, wydaje około 20 milionów kwarterów (2 miliony łasztów) pszenicy. W latach obfitego urodzaju, jak np. w 1849, zbiór Anglii mógł być 10 do 15% wyższym, i dojść do 22 albo 23 milionów kwarterów. W roku zaś mało urodzajnym, jak np. 1850, zbiór należy szacować 10 do 15% niżej średniego, to jest od 17 do 18 milionów kwarterów.

Sąto dane zbliżone, od prawdy jednak nie odległe; a o ile na ich nieomyślności opierałby się można, Anglia w 18^{50/51} roku, 5 milionów kwarterów, 500,000 łasztów więcej, niż w roku 18^{49/50} zagranicznego ziarna potrzebowaćby musiała.

Zobaczmy bliżej źródła ważniejsze, z których i zwyczajne około 1 miliona łasztów potrzeby, i nadzwyczajny z nieurodzaju 1850 roku pochodzący deficyt Anglii zaspokoić potrafi.

Francya przed rokiem 1845 nie zbierała dosyć zboża na własne wyżywienie, i w zwyczajnych latach 17 dni kupnym chlebem żyć

musiała. Ogromne ceny, wywołane nieurodzajem 1846 roku, zachęciły tamecznych rolników do staranniejszego gospodarstwa, a przy dostatecznych kapitałach, żyznej roli, oraz klimacie ułatwiającym 10 miesięczną wegetacją, już w roku 1848 Francya mogła wysłać za granicę 1,994,310 centnarów mąki i pszenicy; w roku 1849 wywóz podniósł się do 2,903,421 centnarów, a w r. 1850 przeszedł 4 miliony centnarów. Jestto zadziwiający i może nieznanym fakt w dziejach gospodarczych, żeby kraj wielki, ludny, w trzyletnim peryodzie z przywozowego, stał się wywozowym.

Podług urzędowych liczb, udzielonych przez konsulat, Francya w rozmaitego rodzaju ziarnie:

	wprowadziła wartości		wywoziła wartości
w roku 1840	61,000,000 fr.		22,000,000 fr.
44	86,000,000 „		38,000,000 „
46	133,000,000 „		41,000,000 „
49	17,000,000 „		71,000,000 „

Cyfry z bieżącego roku jeszcze większą przewagę na stronę wywozu okażą. Wprawdzie położenie Francyi do handlu zbożowego z Anglią bardzo jest szczęśliwe: fracht i assekuracja małe, nawigacya cały rok otwarta, a na hasło najmniejszej poprawy, okręty z portów francuzkich w kilkanaście godzin stają na Tamizie, co właśnie handel mąką w workach robi możliwym i łatwym, i co jest powodem, że mąka francuzka od angielskiej piękniejsza, wciska się już na wszystkie bez wyjątku Wielkiej Brytanii targi.

Ameryka, podobnie przed 1845 rokiem wcale prawie pszenicy do Europy nie wysyłała, zaledwo zbierając dosyć na obfite wyżywienie powiększającej się w ogromnych proporcjach ludności.

Oto jest urzędowy obraz produkcji, wywozu i wartości zbiorów zbożowych w Ameryce od 1845 roku:

	Cały zbiór pszenicy w Stanach Zjednoczonych wynosił kwarterów	Ilość wyeksportowanych w kwarterach	Średnia cena kwarteru w dolarach		Wartość w dolarach całego zbioru
			dol.	cent.	
1845	13,318,500	95,733	6	56	87,375,360
6	14,650,350	1,632,647	8	32	121,890,912
7	14,280,685	3,289,054	11	02	159,743,700
8	15,795,575	1,703,959	10	04	164,272,986
9	16,090,000	1,520,950	9	20	148,028,000

Wartość dolara jest około 9 złotych polskich.

Musimy tu zwrócić uwagę na szczególny fenomen przedstawiający się z liczb powyższych, to jest, że lubo produkcya zboża zwolna postępuje, a exportacya (z wyjątkiem 1847) w jednostajnych zostaje

granicach, średnie ceny zboża podnoszą się tak, że 13 milionów kwarterów w 1845 warte były 87 milionów, a 13 milionów kwarterów w 1848, podniosły się do 164 milionów dolarów, co najdotykalniej wzrost bogactwa krajowego w Stanach Zjednoczonych poświadcza.

Okazuje się z tego co poprzedza, że Ameryka w przecięciu nad 150,000 łasztów pszenicy i mąki nie dostawia, i że na ceny dzisiejsze, wywóz nie powiększy się. Gdyby jednakże w Anglii ceny stałe miały się podnieść, odleglejsze prowincje Ameryki przyjdą z produktami, a przy ogromnych kapitałach i środkach, jakimi Stany dysponują, terażniejsza exportacja zdublowaną i stryplowaną byćby mogła. Ogromne dowozy mąki w r. 1847 do Anglii i Francji rzucone, i siły nadzwyczajnej produkcji, i potęgi mechanicznych środków, i zadziwiającej łatwości dostawy z dalekich przestrzeni jasno dowiodły.

Moldawia i Wołochy, przez poprawę gospodarstwa, oraz urządzenie wewnętrznej komunikacji, coraz więcej zboża wywozić są w stanie, a gatunek ziarna, lubo podrzędny, w ostatnich latach znacznie się już polepszył, i dla taniości, łatwy, szczególnie w Irlandyi znajdował odbył.

Oto jest tabella wywozu w ostatnich 13 latach:

	z Galacza.		Ibraiły.	
	pszen. łasz.	kukuryd. łasz.	pszen. łasz.	kukuryd. łasz.
1837	9,838	8,696	7,579	2,431
8	17,181	5,837	6,132	3,720
9	14,811	13,376	14,318	5,717
1840	13,056	18,903	13,259	6,858
1	10,084	3,539	8,469	2,681
2	15,467	9,353	16,012	1,622
3	10,763	14,066	32,234	12,130
4	16,653	17,402	34,788	12,822
5	18,003	15,710	31,491	12,471
6	11,090	33,662	32,752	16,314
7	18,086	31,860	39,081	61,915
8	11,360	14,372	15,948	29,211
1849	16,902	24,819	12,901	32,771

A zatem w r. 1849, *Moldawia* z dwóch portów też samą ilość pszenicy co *Gdańsk*, a do tego 57 tysięcy łasztów kukurydzy za granicę wysłała.

Dowozy z portów *morza Azowskiego* w ostatnich latach, zwracają uwagę handlowego świata; a jaka ztamtąd w bliższej przyszłości może powstać konkurencja, okaże następne wynotowanie ruchu w trzech głównych portach:

Ogólny wywóz

	Tagan- rog	Ma- ryopol	Ber- dyańsk	w roku 1850	roku 1849
Pszeniczy łasztów	22,300	7,300	8,100	47,700	32,500
Siem. ln. łasztów	9,400	300	800	10,500	7,600
— rzep. —	400	600	60	1,060	2,000
Łoju centnarów	28,300	—	800	29,100	54,700
Wełny —	32,200	400	11,200	43,800	31,700
Skór surowych	4,600	—	12,600	17,200	18,600
Żagl. płótna arsz.	129,700	—	—	129,700	207,400

Na tém kończymy nasze cytacye, nie chcąc zajmować uwagi czytelników exportami, ze źródeł zwyczajnych, a w handlu dobrze znanych, pochodzącemi.

Niedawno jeszcze, pszenica rossyjska i polska, z portów Bałtyckiego i Czarnego morza, miała niejako przywilej, wyłącznie targi angielskie i francuzkie zaopatrywać. Dziś już się rzeczy zupełnie zmieniły, a zboże polskie na wszystkich konsumcyjnych placach spotyka się z ziarnem francuzkiem, amerykańskiem, i płodami innych, dawniej w handlu zbożowym nieznanym krajów.

Anglia również pod względem powiększenia produkcyi, w ostatnim roku niesłychane zrobiła postępy; a podziemne kanały dla odciążenia zbytnej wilgoci w całym kraju na wielką skalę przedsięwzięte, i w znacznej części już wykonane, bardziej jeszcze zbiory powiększą. Przejęto się tam tą prawdą, że trzy kwartery pszenicy po 40 szyl. więcej czynią, jak dwa sprzedane po 50. Wszystko ku osiągnięciu tego rezultatu dąży, i nikt w Anglii nie wątpi, że przy kapitale i stosownem urządzeniu gospodarstwa, podwyższenie produkcyi o $\frac{1}{3}$ jest możebnem.

Czy polska produkcyja jest na drodze wzrostu, twierdzić nie możemy; biorąc wszakże na uwagę stan dowozów do Gdańska, zda się nam, że zdanie przeciwne wyciągnąć wolno. Zresztą, liczby w tym względzie najwyraźniej przemówić potrafią.

W ostatnich 8 latach dowieziono do portu gdańskiego:

	Pszeniczy łasztów.			Żyta łasztów.		
	z Rosyyi i Polski	z prow. pruskich	Razem	z Rosyyi Pol. i Gal.	z prow. pruskich	Razem
1843 r.	49,003	14,058	63,061	15,976	4,209	20,185
4 —	48,498	5,509	54,007	—	—	20,174
5 —	7,355	9,915	17,270	135	3,535	3,693
6 —	5,065	4,006	9,071	135	1,747	1,882
7 —	20,203	10,135	30,338	287	800	1,087
8 —	17,627	15,848	33,475	98	3,217	3,315
9 —	15,803	12,180	27,983	546	6,540	7,086
1850 —	19,921	21,603	41,529	—	8,402	8,402

Siemienia lnianego, rzepakowego, grochu i t. d.

	z Rosyi, Polski i Galicyi.		z prow. prus.	razem
W r. 1843	łasztów	1,783	2,208	3,991
4	—	—	—	4,520
5	—	—	2,273	2,273
6	—	—	2,943	2,943
7	—	531	2,303	2,834
8	—	207	3,585	3,792
9	—	6	3,359	3,365
1850	—	501	5,590	6,091

Winniśmy objaśnić, że dostarczenia prowincyi pruskiej pochodzą tylko z okręgów najbliżej Wisły położonych; odleglejsze bowiem na prawym brzegu okolice, jak i najbogatsza część Żuław, idą do Elbląga, a pszenne Kujawy, oraz lewy brzeg górnej Wisły, kanałem i Notecią szukają konsumcyjnych berlińskich targów.

Zastanawiając się nad ostatnią tabelką, nie możemy nie doznać smutnego wrażenia, że wywóz polski jeszcze 1843 i 1844 roku tak znaczny, zwinął się już dziś do samej tylko pszenicy; a przeciwnie, część Prus Zachodnich nie tylko więcej dostarcza pszenicy, lecz w stałej podnosząc się progressy, już w roku upłynionym 14,000 łasztów żyta, grochu, jęczmienia, siemienia lnianego i rzepakowego dostawiła.

Dwie gubernie litewskie, przy gorszej roli i mniejszych materialnych środkach, znaczną ilość zboża, wszelkiego rodzaju nasion olejnych, lnu, pieńki, smoły, do Królewca, Memla i Rygi dowiozły, a całe królestwo Polskie, część Galicyi, Wołynia i Litwy oblanj Bugiem, z bogatego w r. 1849 zbioru, 20 tysięcy łasztów, i to samej pszenicy, osiągnąć nie mogły.

Obręb niniejszego pisma, dozwala nam tylko przytoczyć liczby, zwrócić na nie uwagę obywateli; ale może kto inny w kraju, rzucone przez nas kwestye podniesie, zgłębi, i prawdziwe powody upadającego wywozu, czyli w innych słowach, upadającego rolnictwa, wyjaśni.

Wprowadzone, i coraz rozszerzające się fabryki cukru z buraków, zapewne część gruntów pszennych zajęły; ale dosyć mamy ziemi i sił, aby produkcją zboża powiększyć, a uprawą lnu, pieńki i t. d. urozmaicić. Widzieliśmy wyżej, że wszystkie kraje rzucają się dziś do uprawy pszenicy, a nawet już massy jej z okolic dawniej w handlu nieznanych do Londynu przybywają, i coraz w większych ilościach przybywać będą. Przy takiej więc granic nie mającej konkurencyi, rzecz oczywista, że kto z najtańszem zbożem przybędzie, ten najłatwiej znajdzie odbyt.

Uznajemy stosowném przytoczyć w tém miejscu ceny pszenicy w miesiącu grudniu 1850 r. na główniejszych portowych targach, rachując na miarę i monetę angielską, a obok położyć zbliżony fracht do Anglii z każdego miejsca; co da wyobrażenie ceny sprzedażnej w Londynie.

	Cena kwartera pszenicy wladowanej na okręt; w szylingach		Fracht zbliżony kwartera do Anglii, szyl. pen.	
Gdańsk. Pierwszy gatunek	40	do 45	3	—
— drugi	34	— 40	3	—
Nowy York (Ameryka) . .	31, 2	— 41	2	3
Hamburg	36	— 40	2	—
Rostock	37	— 40	2	6
Królewiec.	35	— 40	3	6
Bilbao (Hiszpania) . . .	35	— 39	3	—
Szczecin	35, 6	— 38	2	3
Bordeaux	36	— 37, 6	2	—
Nantes	34	— 37	2	—
Philadelphia	32	— 36	3	—
Montreal	30	— 36	4	6
Genua	26, 6	— 35	4	—
Petersburg	32	— 34	4	6
Tryest	24	— 33	6	—
Neapol	30, 6	— 33	6	—
Marsylia	29	— 33	4	—
Ancona	31	— 32	4	—
Odessa	24, 2	— 30, 10	8	—
Taganrog	28, 2	— 29, 6	6	—
Archangiel	25	— 27	4	—
Galatz	19, 1	— 24, 6	10	—
Konstantynopol	21	— 24	6	3
Alexandrya	16	— 17, 9	6	3

A więc pszenica gdańska (z wyjątkiem Australii, której najwyższe gatunki czasem do 84 szyl. za kwarter w Londynie płacono), jest najdroższą na świecie. Przemawia to wprawdzie za jej pięknoscia i wartoscia, ale rozważając gruntowniej rzeczy, nie można nie spotkać się z tą myślą, że zboże tak drogie, na zbyt kowe tylko potrzeby odchodzi, a dla konsumcyi ogólnej niezawsze jest przystępne. Młynarze i piekarze na chleb zwyczajny chętnie dają pierwszeństwo ziarnu mniej pięknemu, lecz 10, 20, 30 i 50% tańszemu. Ztąd następstwo, że spichrze gdańskie stoją napełnione, a spekulanci tutejsi kupione w cią-

gu lata zboże, albo ze stratą musieli sprzedać, lub je na składach angielskich trzymają.

Przy istniejących dawniej cłach protekcyjnych, zboże przez kombinacye wielkich spekulantów, nieraz sztuczną przybięrało wartość; dziś to już miejsca mieć nie może, bo ceny targowe, nie według najdroższej, lecz według najtańszej regulować się muszą. Rzecz bowiem jasna, że jeśli spekulanci Odessy, Mołdawii wystawią zboże w *Londynie* po 35 szyl. za kwarter, gdańskie albo w stosunku musi ulec zniżeniu, albo nie znajdzie kupca.

Nim ta ważna, bo całą przyszłość i gdańskiego handlu i rolnictwa polskiego interesująca kwestya, bardziej w skutkach swoich da się uczuć, winniśmy uprzedzić właścicieli ziemi, że przy wolnym handlu, na wszystko przygotować się należy, a nawet, że czasowe zniżenie wartości zdoła, nie jest niepodobnym. Niemile to są wyrazy, ale w podobnej materji, ze stanowiska naszego winni jesteśmy z najszczerzą wystąpić prawdą. Wiemy, że u nas gospodarstwo kosztowne, i wielkie ciężory przywiązane do ziemi; ale we Francji i w Anglii koszta bez porównania większe, a jednak rolnictwo mimo upadku cen, w sposób zadziwiający, przez energią, pracę i powiększenie produkcji, utrzymuje się i podnosi.

Przykład ten mając przed oczyma, właściciele ziemi rossyjscy i polscy, nie ograniczając się do samej pszenicy, winni dążyć ku urozmaiceniu płodów, oraz uprawy lnu, pieńki, których produkcya nie odpowiada potrzebom, a na które tak we włóknie, jak w nasieniu zawsze jest odbyty korzystny i łatwy.

Dopóki zmiany gwałtowne miały zbożowemi targami, spekulacya na wielką skalę i handel pośredni mogły exystować, bo kupiec przy dobrém wyrachowaniu, zręczności lub szczęściu, miał sposobność tanio nabyć, a drogo sprzedać. Wstrząśnienia te dziś już minęły. W całym roku 1850, mimo nieurodzaju w Anglii, ceny ledwo 2 lub 3 razy się poruszyły, a różnica między najwyższym a najniższym punktem, 50 guld. na łaszcie nie przeszła. W takim położeniu rzeczy, zapytujemy, jakie ma pole do zysku spekulant lub kupiec. Po każdej tranzakcyi, dwie rzeczy mogą nastąpić: albo kupiec nabywszy bardzo tanio, wiele zarobi—albo zapłaciwszy drogo, straci. W pierwszym razie właściciel ziemi nie może nie czuć, że gdyby sam posłał do portu, zyskby przy sobie zatrzymał; w ostatnim, prawdziwie niewolno mu się cieszyć ze straty kupca, bo każdy godziwy układ, zobowiązaną winien przynieść korzyść i dogodność.

Najwłaściwsza przeto w naszym mniemaniu dla producenta droga, jest sprzedaż w portowym mieście na własny rachunek, bo tu otrzyma istotną wartość zboża, według pozycyi targów całego świata.

Wczytanie się uważne w wyżej przytoczoną specyfikacją cen średnich angielskich i francuzkich od roku 1830, okaże, że w handlu zbożowym po najsłabszych peryodach przychodzą wysokie; a po najwyższych natychmiast bardzo niskie następują. I tak: wysokie w 1831 i 1832 roku ceny, już w 1833 zaczęły się przesilać i w 1835 do najniższego doszły punktu. Po dwóch latach znowu do pierwszej korzystnej wróciły stopy, i przez lat 4, to jest do 1842, na niej się utrzymywały. Od 1842 do 1845 ciągle się schylały, a rok 1846 i 1849 przyniósł powszechną drożyznę; od 1848 roku mieliśmy trzy lata dobrego urodzaju, średnich cen w Polsce, a nadzwyczaj niskich, rujnujących w Anglii i we Francji. Można zatem mieć nadzieję, że obecny słaby peryód, prawem doświadczenia lat przeszłych, wkrótce pomyslniejszemu ustąpi. Naturalnym więc biegiem rzeczy, sprzedając corocznie na targu portowym po cenach i dobrych i słabszych peryodów, producent zboża otrzyma w przecięciu nieodmiennie najwyższe; realizując zaś na miejscu, albo też długie lata trzymając na spichrzach, zawsze mieć będzie gorszy rezultat, bo w pierwszym razie weźmie przypadkowe ceny, jak ślepy los zdarzy, a w ostatnim, strata procentów, utrzymanie zboża i ubytek, nie pokryje się podniesieniem, jeśli takowego uda mu się doczekać.

Nie mamy najmniejszej pretensyi ogólnych przepisować reguł, bo te w handlu zbożowym, a jeszcze wolnym, żadnej nie mają zasady. Dziś głównie wszystko zależy od pogody, lub nieprzewidzianych, a pod żaden rachunek podciągać się niedających okoliczności. Blizki tego mieliśmy dowód w roku zeszłym. Opierając się na chybném zbożu angielskiém, cały świat przepowiadał konieczne podniesienie się cen na jesieni. W téj pewności spekulanci ze wszystkich portów tak wiele wystali zboża do Anglii, że dowozy nad potrzeby konsumpcyi ucisnęły i zabiły targi, a tym sposobom w miejsce zysku, znalazła się strata, i stan cały handlu zbożowego się pogorszył.

Z drugiej strony, lichey gatunek ziarną angielskiego zdawał się zapewniać zagranicznemu świetny odbyt. Stało się znowu przeciwnie. Rolnicy angielscy ze słabém przychodząc zbożem, pozbywali je jak mogli, piekarze więc i młynarze na zagranicznej pięknej pszenicy podobnego wymagali niżenia, lub tyle jęj kupowali, ile konieczna kazała potrzeba. Ztąd zupełna stagnacya, z której dotychczas wydobyć się nie możemy.

Nie ma więc w téj materyi ani praw stałych, ani niemylnego sądu. Właściciel ziemi wysyłając w najstosowniejszym czasie, najtańszym frachtem piękne zboże do portu, zrobił co mógł, a kommissant znając pozycye wszystkich zbożowych targów, winien co do sprzedaży wyrozumować prawdopodobną przyszłość, która może niezawsze się sprawdzi, ale w cenach przecięciowych dziesięcioletnich, dobry rezultat będzie niezawodny.

Gdańsk, 1 lutego 1851 r.

Alexander Makowski.

Malarze krakowscy ().*

Bogaty nasz stary Kraków w pamiętki, dzieje Polski pełne wielkich przykładów, poświęcenia, cnót publicznych i domowych, piękna ziemia Polski, co ją przyroda nie macoszą odziała ręką w precudowne sukienki: a jakże mało artystów zrodziło się na téj obfitéj w dobre ziarna glebie! Nie mieliśmy ani jednego artysty malarza, coby czarodziejską siłą przywołał nam przed oczy dzieje Polski, coby nas oprowadził po kraju, kiedyto na odgłos wojennéj trąbki, jak myśliwe sokoły zrywali się do szabli przodkowie nasi; coby nam ukazał łuny pożarów, co jak żmije wiły się za najezdny m Tatarem, Turkiem i Szwedem.

Jeśli nam Stachowicz, pełen fantazyi i miłości kraju, ukazywał przyszłość w swém czarodziejskiém zwierciadle, to obraz odbił się blado: bo Stachowicz nie znał sztuki, był tylko malarzem, poetą, a nie artystą; jeśli nam Statler przedstawił Machabeuszów po artystowsku, to ubliżył dziejom naszym, szukając przedmiotu do utworu, gdzieś tam w judzkich a nie w swoich źródłach. Jeden tylko Głowacki, po obrazku, jak w szajnej katarynce, ukazywał nam cudne okolice nasze; ale i on zgasł przedwcześnie, jakby na przekor, by Kraków nie miał rozumiejącego swoje tło, doskonałego artysty. Ci trzej jednak, każdy po swojemu, zasiali ziarna dla przyszłości, zostawili swe prace i uczniów. Choć więc w przeglądzie pracowni młodych artystów nie znajdujemy nic wielkiego, nic coby olbrzymim dzisiejszym pracom europejskim w tym zawodzie równało, coby postępowi nową gwiazdą zabłysło; jednak przejrzyjmy się w tém zwierciadle; pokażmy i te światełka, które może kiedyś szerzej zajaśnieją.

(*) Tak ten artykuł, jak i o malarzach lwowskich, zamieszczony w Bibl. Warszaw. na m. kwiecień r. b. ogłasza redakcyja w całości, jak jój zostały nadane. *Przyp. Red.*

Józef Kurowski, piérwój w obczyźnie niż w kraju znany, i przez znawców sztuki wysoko oceniony artysta; dziś Kraków obrał sobie za miejsce stałego pobytu. Oprócz wielu akwarelli, portretów, tohnących życiem i poezją, przedstawił nam p. Kurowski cudnój piękności do sztychu i na wzór sztychu (à la noir) wykonany obrazek: *Śmierć* znanój z enót, historycznój już osoby ś. p. *Klaudyi P.....* Postać zmarłój w bezładzie spoczywa na łożu śmierci; z piersi na bok spada czarny krzyż, ręce jakby do modłów złożone. Księżyc połową przez otwarte okno, połową przezroczem firanki rzuca blade i cudną harmonią tohnące światło na martwe zwłoki, twarz obrócona ku spadającym na nią promieniom księżyca. Patrząc na ten obraz uwierzyłbyś, że dusze zmarłych po promieniu księżyca płyną w krainy nieśmiertelności. Ależ twarz! twarz zmarłój tohnje żywym wyrazem konania człowieka, co spełnił swoje posłannictwo. Każdy na niój cień zmarszczku, ledwie nie każdą kreskę, chciał mieć artysta hieroglifem, z którego doczytasz się przeszłości, tój dziś niby martwój, leżącój przed tobą kobiety. Z prawdziwą radością powziąłem wiadomość, że rysunek ten będzie wkrótce przesłany do Paryża, gdzie go Tytus hr. Działyński sztychować polecił. Niejeden to, choć może mniejszój wartości owoc zdolności i pracy artysty, spoczywa u nas w tece; bo w mieście naszym ani uniwersytet, ani nikt prywatny nie może się zdobyć na założenie porządnej litografii, na postaranie się o drzeworytnika. W litografii, w właściwym jój technicznym zawodzie, to jest odbiciu wykonanej na kamieniu ryciny, tylko może z Chinami rywalizowaćbyśmy mogli. A czyto dla każdego artysty zdarzy się, aby jaki mecenas do Paryża dla sztychu posyłał jego utwór? Jakie w tém nieobliczone straty przynosi ta zawada w postępie sztuki i chronieniu zabytków przeszłości od zagłady?!... Ależ próżna jeremiada! u nas niejeden głupstwo częściej znajduje poparcie, niż jaki pożyteczny krajowi zakład; na to nikt nie ma pieniędzy. Wspomniałem o chronieniu od zniszczenia zabytków przeszłości.... ileżbym o tém mógł powiedzieć! ale czuję, że gorycz wypłynęłaby mi zpod pióra... zamilczć wolę. Obecnie, znany rysownik M. Cercha zajmuje się urządzeniem nowój litografii; może to będzie piérwsza litografia w Krakowie, urządzona na obraz i podobieństwo zagranicznych. P. Kurowski wykonał ostatniemi czasy, znane już z częstych wzmianek po pismach obrazki ołówkowe: *Kraków spalony*; *Nowy most na Wiśle pod Krakowem*, którego litografią bardzo starannie wykonano w Wiedniu; *Nabożeństwo na gruzach kościoła OO. Dominikanów* i *Widoki okolic Krakowa*, z głęboką znajomością rzeczy i pięknościami natury oddane, pomimo całej nienowości pomysłu, uderzają nowością formy i pojęcia. P. Kurowski zamyśla (jak wspomina Gazeta

Lwowska) wydawać: Galeryą widoków i okolic znakomitych miejsc całej Polski, którą pojedynczemi poszytami na kamieniu lub odciskach stali, dodając do każdego rysunku text drukowany, któryby treścią swoją zawierał albo jakąś legendę przywiązaną do miejsca, albo wspomnienie historyczne. Wreszcie, kilka widoków włoskich szczęśliwie schwyconych, i małego rozmiaru akwarella, przedstawiająca kopią Madonny *Sassaferrata* (Salvi Giambattista) zakończonej pracą p. Kurowskiego. Twarz przeczystej dziewicy, cudownie piękne oczy zwrócone ku niebu, pełne wzniesłego natchnienia i modłów, usta rzewnego i tęsknego westchnienia, rodzą głębokie uczucie poszanowania. Lecz twarz ta nie jest kopią *Sassaferrata*, ale z natury zdjęta z pewnej dziewicy włoskiej. Obecnie bawi ten artysta we Lwowie, gdzie go wysłało nakładztwo dzieł katolickich w celu zrobienia portretu namiestnika Galicyi. Portret ten rysowany ołówkiem, obecnie już do litografii paryzkiej jest odesłany. Oprócz trafnego podobieństwa, które nietylko na dokładnym oddaniu wszystkich rysów i rozmiarów zależy, lecz szczególniejszym uchwyceniem prawdziwego charakteru i wyrazotwarzy ma się zalecać. Staranne osobiście wykończenie aż do najdrobniejszych szczegółów, godne ma być podziwienia w tej pracy.

Alexander Płonczyński, uczeń Głowackiego, a obecnie professor rysunku w szkole technicznej i w liceum św. Anny. Pana Płonczyńskiego wraz z Kurowskim postawiłem tu na czele, bo tych nie waham się słusznie nazwać doskonałemi artystami, każdego w rodzaju jaki sobie obrał. P. Kurowski wyborny malarz miniatur i scen obyczajowych; p. Płonczyński jedyny pejzażysta. To też aż miło wejść do pracowni ostatniego. Jak w sennym widzeniu przesuwają ci się przed oczami wszystko, co pod niebem naszym cudniejszemu nad inne przyrodziła przyroda, a to wszystko tak jasne, piękne, naturalne, jakbyś je widział przed sobą. Co mówię? wyższe od naturalnego poczucie piękna, wzbudza się w twój duszy, bo artysta z pięknych okolic wybrał najpiękniejsze, a wyborem korzystnego oświetlenia, okazał ci w chwilach, jakie niezawsze napotkasz w zmienną przyrodzie. Popatrz na ściany, a nie będziesz wiedział gdzie piérw utkwie zdumione oko; w wielkich olejnych obrazach: to pyszny zwałiskami Czorsztyń, to góra Wawelu z zamkiem z różnych stron i miłym na nadwiślańską okolicę widokiem; to jakby czarodziejski, śmiały most w pustyni Karmelitów na Czerny; to znów bogate kaplice zamkowe; to Tatry w różnych grupach z coraz rozmaitszych punktów rozwiną ci się przed okiem i duszą; to wreszcie stary drewniany Zembrzycki kościółek, sterczące ruiny kalwaryjskiego pałacu, przypomną ci piękną przyrodę i bolesne wspomnienia; to nakoniec odwzór tyrolskich gór Steinfeld, nasunie ci myśl, że nasze Tatry nie wstydzą się przed tyrolskimi szczytami, i nasz

Płoczyński nie zarumieni się przed Steinfeldem i Kumerem. Obok talentu nie można odmówić p. Płoczyńskiemu i pracy; jako professor bowiem kształci przyszłych artystów; a sam od r. 1838, do 140 już widoków olejnych wykonał, po największej części przelewając na płótno cuda naszej ziemi krakowskiej.

Jan Kanty Wojnarowski, dziś professor rysunku w szkole technicznej, maluje obrazy do kościołów, ale tym żadnej szczególnej wartości przypisać nie można. Pan Wojnarowski jest wybornym rysownikiem; przerysy pomników krakowskich, które dla p. G. Pawlikowskiego do Medyki wykonywa, szkicowano lekko a podłożone tuszem dla efektu, pięknie i elegancko są wykończone. P. Wojnarowski robił już kilkaset podobnych przerysów do różnych rycinobiorów, wprawa więc postawiła go na tym stopniu doskonałości.

Hruzik, pejzażysta, niedawno pojawił się w Krakowie; malarz ten niezmordowany w pracy, więcej może wynalezieniem przedmiotu, niż sztuką do artystów liczyćby się mógł. Redakcyja *Czasu* w 4tym numerze swego *Dodatku Literackiego* z r. 1849, dała o p. Hruziku nader pochlebną dla niego opinią; ja jednak, mając przed sobą kilka płodów Hruzika, właściwiejbym je nazwał *pracami*, niż utworami artysty-malarza. Z ostatnich krajobrazów pędzla p. Hruzika znane mi są następne olejne widoki: *Kraków od strony Podgórze*; *Trzy widoki gorskich okolic*, na jednym z nich legowisko niedźwiedzia; *Widok na Wisłę i Kraków z klasztoru OO. Kamedulów na Bielanach*, zamknięty dwiema mogiłami Kościuszki i Krakusa; wreszcie *Wnętrze kościoła P. Maryi w rynku krakowskim*. W pierwszych, jak powiedziałem, brak sztuki i talentu; w ostatnim znać, że p. Hruzikowi zbywa na umiejętności perspektywy malarskiej. Obecnie zajęty p. Hruzik zdejmowaniem szkiców popiersi królów polskich z rycin i pomników, któremi p. Friedlein księgarz, jako drzeworytami, ozdobi mającą wyjść jego nakładem: *Historję Polską*.

Niedźwiecki. Jestto godny wspomnienia, jedyny u nas porządny malarz pokojowy. Jegoto pędzel ozdobił pysznie sale biblioteki Jagiellońskiej, reductowe, teatr, a obecnie wiele prywatnych mieszkań. Nie wypada tu pominąć pana Cholewicza, wybornego restauratora, który pracując obecnie pod kierunkiem komitetu uniwersyteckiego archeologicznego, jakby cudowną siłą wskrzesza zbutwiałe z Franciszkańskiej świątyni, obrazy biskupów krakowskich.

Karol Balicki, malarz krajobrazów. Jestto jeden z najwięcej obiecujących dawnych uczniów Głowackiego, a dziś A. Płoczyńskiego. W pracowni jego widziałem olejne kopie krajobrazów Steinfelda, Gauermana, Kumera, A. Górczyńskiego, Głowackiego i Płoczyńskiego. Gdy kopią

postawisz obok oryginału trudno rozpoznać, które odwzorem, a które pierwotworem. Pan Balicki wykonał też wiele prac litograficznych, jak kilka rycin do Starożytności i pomników Krakowa, które często wyszły z pod prasy niekorzystnie dla artysty. Prócz studyów tak rysunkowych, jako i litografowanych, widziałem między płodami pana Balickiego kilka napół pokończonych widoków Krakowa, malowanych olejno z natury; koloryt piękny, żywy, naturalny, dokładność w przedstawieniu i umiejętność pod względem mechanicznej strony malarstwa wykonanie: oto zalety pana Balickiego. Obecnie, w porze zimowej, oderwał się pan Balicki od widoków, a oddał się sztycharstwu, w czém znakomicie postąpił. Wykonywa on piękne obrazki religijno rylcem na kamieniu, z których nakładnictwem dzieł katolickich, już kilka ogłosiło przy dziełkach swego nakładu.

Leon Dębowski, uczeń Głowackiego, a dziś Płonczyńskiego, wykonał już kilkanaście pięknych kopij z Głowackiego, Górczyńskiego i Płonczyńskiego; zdolności okazał pan Dębowski niepospolite, osobiście tych wakacyj postąpił wysoko, wykonywając w Tatrach śliczno widoczki z natury.

Piotr Wroński, zarządca spalonej litografii szkoły technicznej, zastępca profesora perspektywy w téjże szkole, wykonał wraz z uczniami, kilka perspektywicznych widoków budowli krakowskich. Jak w tém, tak i w innych pracach pana Wrońskiego widać dobre chęci, usiłowanie i niezimordowaną pracowitość; lecz nieszczęściem fantazyja i poezyja, na których mu zbywa, nie ożywiły żadnego z jego utworów.

P. Statler gotuje na którąś z europejskich wystaw wielki obraz: *Chrzest Chrystusa*; będzie to utwór, który znów nowego doda blasku temu znakomitemu artyście. Pomiędzy uczniami szkoły malarskiej pana Statlera, pierwsze trzyma miejsce pan Felix Szynalewski. Widziałem jego prawie już ukończony, olejny, większych rozmiarów historyczny obraz: „Przejrzenie Mieczysława”.

Leopold Pless, wykonaniem wyborném głowy z modelu, przypominał nam włoskie wzory, i wielką o sobie wzbudził nadzieję. Obaj wspomnieni, jako też Kazimierz Mirecki, studyują obecnie kilka obrazów treści religijnej, pod kierunkiem profesora i z pomocą modelów.

Zasługuje tu wreszcie na wspomnienie pan *Maxymilian Cereha*, niedawno uczeń p. Statlera, dziś nauczyciel rysunku w szkole wydziałowej. Szczególniej posiada on talent w rysowaniu wierném z natury. W przerysach jego kilku pomników krakowskich, z zadziwieniem zobaczysz z mozolną pracą oddany każdy nawet drobiazgowy odłam cegielki. Kopiista jedyny.

Z uczniów Statlera, *Władysław Luszczykiewicz* wrócił obecnie z Paryża, gdzie kosztem rządu był wysłany. Nie miał on jeszcze sposobności okazać swego uzdolnienia, bo nie dotąd ważniejszego nie zrobił, a więc zamilczamy o nim.

Wreszcie wspomniéć tu wypada o dwóch naszych malarzach, którzy niedawno z zagranicy wrócili: pan *Lorenowicz* powrócił z Paryża, a pan *Konrad Kogen* kształcił się w Antwerpii, pod znakomitym artystą baronem *Wauters*, i w Paryżu. Piérwszy z nich kończy obecnie wielkiej wartości obyczajowo-historyczny obraz: „Tatar ucieka w step z porwaną Polką”: widnokrąg, ruch, wyraz twarzy i postać porwanój, koloryt i oświecenie zachodzącém słońcem, wybornie się udało artyście. Pan *Kogen* pracuje nad przedstawieniem sceny z pożaru; w tyle obrazu paląca się świątynia *Dominikańska*, po bokach wyratowano z pożaru sprzęty, w treści obrazu grupa: starzec, żona jego, córka i dwóch chłopców, zebrali się jakby symbolo uczuć, które niemi w chwili okropnego nieszczęścia władały. Praca ta nie jest jeszcze ukończoną, a więc zawezesniechym ją sądził. Inny jednak utwór pana *Kogena*: popiersie *krakowskiej mieszczki* wystawiający, udał się wybornie, nietylko rysunkiem, ale i blaskiem kolorytu, a w *Wiedniu* w roku zeszłym, gdzie był na wystawie, zasłużył na wysoką zaletę znakomitych tamtejszych artystów. Sądząc wedle tego, słusznie panu *Kogenowi* imię artysty przyznać należy. *Pless* lub *Szynałowski* pojedzie tego roku za granicę kosztem rządu; przeniesienie jednego nad drugiego zależeć będzie od sądu *professora Statlera*.

I za życia *professora rzeźbiarstwa Ceptowskiego* i po jego zgonie nie mieliśmy i nie mamy prawdziwych artystów rzeźbiarzy. *PP. Galli, Filippi* i inni, to dobrzy rzemieślnicy kamieniarze, nie więcéj. Pan *Kossowski*, dzisiejszy *professor rzeźby*, od dziesiątka już lat po powrocie, kosztem rządu odbył za granicę nauki, zasypia na laurach, które jeszcze na ławach szkolnych nabierał. Może bluźnię, szycząc z nieczynności *p. Kossowskiego*, może téż właśnie używa tych kilku lat na przygotowanie się do jakiego znów arcydzieła; z robót jego dawnych, widzieliśmy tylko popiersie króla pruskiego; może teraz cesarzowi *Franciszkowi Józefowi* *Imu* sprawi podobną niespodziankę.

Niedawno przybył z zagranicy *Krakowianin*, zdatny rzeźbiarz *Sthelik*, może ten pobudzi pana *Kossowskiego* do emulacji. Zdolny téż *Cengler* wykonaniem statuy *Chrystusa*, którą do pogorzałej świątyni *Dominikańskiej* darował, niemale obudził o sobie nadzieje. Czternastoletni młodzieniec, syn *professora Statlera*, rozwija w sobie pod kierunkiem ojca znamienity talent rzeźbiarski. Widzieliśmy niedawno wiele obiec-

jące popiersie profesora Muczковского, H. Meciszewskiego i generała Chłopickiego. Ostatnie szczególnie pięknie wykonane, bo twarz generała opowiada prawie całe jego życie.

Kraków, d. 10 lutego, 1851 r.

* *

Lord Ashley, missyonarz Londynu.

Od lat wielu istnieje w Londynie, a za przykładem stolicy we wszystkich większych miastach Anglii towarzystwo, liczące już przeszło dwustu missyonarzy ze stanu rzemieślników, którzy w imię Zbawiciela, od rana do wieczora, po wydzielonych im okolicach miasta, za zatraconemi owieczkami biegają: ażeby im wręczyć słowo boże, wdrażać do modlitwy i pracy, przykazać wstrzeźliwość, wstrzymać od wszeteczności, przyuczać do domowego nabożeństwa. Starych do kościoła, młodych do szkoły prowadzą: tą drogą znoszą się z pół milionem ludnego miasta.

Twórcą i duszą tego towarzystwa jest lord Ashley.

W roku 1848 Londyn wśród dwóch milionów ludności, winien był swe ocalenie od zamachów chartystowskich tymto missyonarzom miejskim.

Gdy spostrzegą włóczące się dziecię, każą się zaprowadzić do jego rodziców lub krewnych. Słyszac gdzie przekleństwo lub bluźnierstwo, wchodzą do domu, a nawet najmują się po domach, w których zbiera się stek wszeteczników i złodziei, pijaków i graczy: tu rozpoczynają swe nabożne prace.

Prawda, że trudno skłonić do posłuchu głuche i zatwardziałe serca: lecz missyonarze miejscy uzbrajają się w cierpliwość i wytrwałość. Jeden z nich zaprowadzony przez zapłakano a pobite dziecię do ludzi w zakale grzechu żyjących, po ozwaniu się w jakim celu przybył, wypchnięty za drzwi, przybył znowu dnia następnego, a zapukawszy napróżno do drzwi, przemówił do nich przez otwarte okno, które gdy mu zatrasnęto, stanął w sieni przed drzwiami, a przeczytawszy w głos rozdział z biblij, zaczął jeszcze głośniej modlić się za tych ludzi. Oni usiłowali zagłuszać go stukaniem; lecz kiedy nie ustawał w modlitwie, uciszyło się; wtedy kobieta nagle drzwi rozwarłszy, rzekła: „Już dłużej nie wytrzymam, wejdź-no pan”.

Missyonarze miejscy utrzymują księgi swych prac. W każdej części miasta przełożony jest nad nimi superintendent, gdy zwłaszcza wielu duchownych liczy się pomiędzy nimi. Na czele całej téj missyi stoi lord Ashley sercem i czynem.

On także jest twórcą tak zwanych szkół *galganiarskich*: bo misjonarze miejscy zaraz na początku swojego działania spostrzegali mnóstwo ubogich dzieci, które albo żadnych krewnych nie miały, albo przez nich wypędzone, po ulicach błąkały się za żebranią lub kradzieżą, i bez wszelkiego chowu i bożego słowa na zakał ludzkości wyrastały. Ażeby je ochronić od zguby, urządzono szkoły. Otóżto są szkoły dzieci galganami okrytych. Już dotąd przeszło piętnaście tysięcy takich dzieci z ulic pozbierano, z których siedm tysięcy ani ojca, ani matki nie znają. Wkrótce obok nauki religijnej okazała się potrzeba przyzwyczajenia dzieci tych do pracy. Tym sposobem początkowo szkoły galganiarskie zamieniły się w szkoły robocze. Że zaś wiele dzieci żadnego przytulku nocnego nie miały, obmyślono i noclegi dla nich.

Jedna z tych szkół galganiarsko-roboczych znajduje się przy ulicy *Old-Pye*. Przechodząc około wspaniałego parlamentu, największego z wszystkich gotyckich pałaców na ziemi, poza katedrą westminsterską, po prawej ręce zamku królewskiego w pięknym parku *St. James*: wśród tych wspaniałości wchodzisz do pustej części miasta, gdzie już nie nie ujrzysz, tylko po ulicach toczące się gromady lotrów i pijaków. Tam znajduje się ta szkoła.

W innej części miasta mają wystawić podobną gospodę dla pięciuset opuszczonych dzieci.

Jaki to zaś rodzaj dzieci, które po tych szkołach do sferności przywiedzione być mają, przykład objaśni. Po otworzeniu szkoły na Westminsterze, pewnego dnia wpadło nagle ze dwudziestu młodych chłopaków, którzy przewracając stoły, wypędzili nauczycieli misyonarskich. Toż samo raz jeszcze powtórzyli: nakoniec cierpliwością misyonarzy pokonani, obłaskawili się, chętnie naukę ewangelii przyjmując. Już jest ośmdziesiąt trzy tego rodzaju szkół w Londynie, a mnożą się ciągle.

Na ich czele stoi także towarzystwo, towarzystwem *galganiarskiem* zwane: a ich prezesem znowu jest lord Ashley, który wręcz oświadczył, że przewodnictwo nad szkołami galganiarskimi tak mu jest drogie, jak miejsce w wspaniałym parlamencie Wielkiej Brytanii.

Wszelkie stowarzyszenia chrześcijańskie, których wiele znajduje się w Londynie, odbywają roczny obchód swój w miesiącu maju, co poniekąd przypomina, że miesiąc ten poświęcony był za czasów rzymsko-katolickich Najświętszej Pannie Maryi, jako matce *miłosierdzia*. Dla obchodów tych wystawiona budowa *Exeter-Hale* zwana, może w sobie mieścić do trzech tysięcy osób. Tu na uroczystych posiedzeniach zwykle lord Ashley przemawia do zgromadzenia z wielkim zadowoleniem słu-

chaczy. Inne znakomite osoby biorą udział w miejscach miejskich, a między niemi młody książę de Argyle, pierwszy magnat Szkocyi.

Troskliwą uwagę zwrócono na bardzo liczną i bardzo biedną klasę szwaczek londyńskich. Nieszczęśliwe istoty te, pracą dniem i nocą nie mogą tyle zarabiać, ile potrzeba na najmizerniejsze utrzymanie życia przez dzień jeden: bo żywność droga, a uszytą gotową koszulę za bezcen dostanie, gdyż handlujący szwaczkom za robotę nazbyt mało płać. Dziewczę takie szyje a szyje, licia blednieją, oczy czerwienieją, nakoniec z rozpaczy wpada w ten brudny kał, który w ogromnej stolicy rocznie po tysiąc takich nieszczęśliwych ofiar pochłania. Otóż znowu lord Ashley stał się opiekunem, dobroczyńcą i przewodnikiem stowarzyszenia pracowitych szwaczek, starając się polepszyć ich los radą i uczynkiem.

Wejdziny teraz do tajemnych jaskiń miasta Londynu, które złoczyńcom za schronienie służą. I tu widzimy lorda Ashley. Albowiem jeden z missyonarzy nazwiskiem *Jakson*, starał się szczególnież wysledzić tego rodzaju jaskinie. Zapoznawszy się z ich mieszkańcami, pozyskał ich zaufanie. Lat temu parę, niektórzy z nich nadmienili przed nim, że już tyle słyszeli o lordzie Ashley, że chcieliby go widzieć i z nim mówić. Lord Ashley zawiadomiony o tém, oznaczył dzień i godzinę swojego przybycia. Jakoż Jakson prowadził lorda w najodleglejszą okolicę miasta wpoprzek i na krzyż ulic, podziemnymi korytarzami do obszernego sklepienia, w którym przy bladawem świetle ujrzeli około trzystu ludzi srogiego spojrzenia i w dziwacznych ubiorach. Podano lordowi krzesło, a Jakson tak począł: „Najprzód racz się przekonać, mylordzie, że to są ludzie szczerego serca. — Kto z was popełnił proste tylko kradzieże, niech podniesie rękę”. Bardzo mała liczba podnosiła rękę. „Kto popełnił kradzież gwałtowną, niech podniesie rękę” i w tej chwili wszyscy inni podnosili rękę. „Wiécie, że nie masz nic dobrego ani trwałego bez słowa bożego i modlitwy” i począł czytać z ś. Łukasza ewangelią o marnotrawnym synie. Potém cała rzesza uklękła, a Jakson odmówił modlitwę z szczerego serca, podczas głębokiej ciszy. Następnie lord Ashley odezwał się do rzeszy w te słowa „Chcę z wami mówić otwarcie przyjaciele, i dać wam zdrową radę; tylko powiedzcie mi wprzód, czy na prawdę postanowiliście porzucić wasze oplakane rzemiosło”? Wszyscy głośno odpowiedzieli „postanowiliśmy”. Poczém lord przełożył im, że byłoby dla nich najkorzystniej, gdyby się przesiedlili do innego kraju. Wielu na to się zgadzało, mówiąc, że udawali się na uczeiwą robotę, lecz skoro się dowiedziano o ich poprzedniém życiu, natychmiast ich odprawiono: nic im więc nie pozostawało, jak z rozpaczy dawniejsze rzemiosło na nowo rozpocząć.

Inny młody człowiek wynurzył, że przybywszy do Londynu wdał się w złe towarzystwa, lecz odkąd słyszał słowa Jaksona, sumienie jego nie dawało mu pokoju, wszedł więc w służbę do pewnego bankiera, który acz dowiedział się o jego dawniejszym trybie życia, jednakże nie oddalił go ze służby, ale owszem podwyższył mu jeszcze zasługi. Teraz zaś jedynie dlatego przybył tutaj, ażeby pomódz lordowi Ashley i zakląć rzeszę, ażeby poszła za jego przykładem.

Rzadkie to w swoim rodzaju posiedzenie nie pozostało bez owoców, bo lord przyrzekł ludziom tym, pod warunkiem dobrego sprawowania się przez sześć miesięcy, dać zasiłek i świadectwa, za którymi mogliby się przesiedlić do krajów zamorskich. Przy oddaleniu się prosili lorda o powtórne zwiedzenie, a wszyscy wołali „błogostaw Boże mylorda”. Lord Ashley rozrzewniony, łzę uronił i odtąd częściej tamże bywał, przynosząc im wiarę, miłość, nadzieję i ludzką pomoc.

Jakoż mieszkańcy kryjówek miejskich stami wytrzymali czas próby, i dziś żyją w innych częściach świata porządnie i szczęśliwie, osiadłszy na gruntach lub zajmując się przemysłem lub handlem: bo lord Ashley odbiera od nich listy rzewną wdzięcznością tehnące. Inni na słowo lorda przyjmowani są do służby królewskiej jako majtkowie.

Cześć lordowi Ashley i jego bogobojnemu sercu i wyznawanej przez niego religii, która opierając się bezpośrednio na ewangelii bożego słowa, żywi ducha poświęcenia się i ofiary, i zmierza do wskrzeszenia pojęć i uczuć prawdziwej bogobożności (1).

(1) Recenzent przekładu poezyj i fraszek łacińskich Jana Kochanowskiego (w Bibl. Warszaw. z r. b. z miesiąca marca, str. 585) przypisując erotyczną barwę tych fraszek obyczajom rozwołnionym nauką reformacyi, dwa razy się pomylił: raz w tém, że nie poznał dobrze historycznych przyczyn reformacyi, która głównie poprawę i prostotę obyczajów, jako téż pokonanie systematycznej obfudy miała na celu; drugi raz w tém, że wieszcz Czarnego lasu właśnie karcit złe obyczaje lub nałogi i dlatego nie był heretykiem. Mylny także jest domysł recenzenta, jakoby przytoczony przez niego wierszyk niemiecki, miał być maksymą rozpowszechnioną, gdy wyśmiane przez Kochanowskiego Maronidy i Rozyny pewnie go nie rozumiały, nie umiejąc po niemiecku.

Heylman.

Testament Tomasza Kajetana Węgierskiego.

W zeszycie Biblioteki Warszawskiej za grudzień roku zeszłego, podaliśmy piękny życiorys T. K. Węgierskiego, skreślony znakomitým piórem: obecnie, odkryty testament tego poety, podajemy jako dopełnienie do wzmiankowanej biografii.

„Kopia testamentu JWP. Węgierskiego, zmarłego w Marsylii, dnia 11go kwietnia 1787 roku.

„Nizéj na podpisie wyrażony, czując się zdrowym na zmysłach, a widząc przybliżający się koniec życia mego, postanowiłem uprzędzić godzinę ostatniego oddechu, i w następujący sposób wyrazić wolę moję”.

„Część najznaczniejsza majątku mego, jest ulokowana na banku angielskim; tę całą, bez żadnego umniejszenia zapisuję i daruje synowcowi mojemu, najstarszemu synowi siostry mojej, pod tą kondycją, żeby indata z téj summy pochodząca, była corocznie przyłączona do kapitału *usque ad majoritatem*, i wtenczas dopiéro jemu oddana; a to z téj przyczyny: żeby do męzkiego wieku przyszedłszy, znalazł uczciwą fortunę i nie znał biedy i potrzeby, która upadła umysł, cieśni rozsądek. Ztém-wszystkiém wolno będzie rodzicom jego odebrać z banku te pieniądze i ulokować je w Polsce zyskowniejszym sposobem, czyli kupnem majątku dziedzicznego, czyli dając tę summę na zastaw, co jest bardziej rozsądniej i pewniej”.

„W przypadku śmierci tego dziecięcia, ten kapitał ma się dostać drugiemu synowi pod tą samą kondycją. Jeżeliby zaś rodzice mego dziedzica tym kondycjom nie uczynili zadosyć, cała ta summa ma przejść w ręce najstarszego syna pułkownika *Węgierskiego* stryja mego”.

„Resztę zaś mego majątku, jaki się okaże z rachunku z panem *Peregaw* bankierem moim, summy które mnie są winni, pieniądze pochodzące z sprzedaży meblów i ruchomości, srebra, wszystko to zapisuję mojej *matce*, zalecając jęj, żeby pamiętając na jedyne go syna swego, dobrym rzędem ten majątek powiększać starała się, i żeby los najstarszego syna mojej siostry, (który powinien używać naszego herbu z moją dewizą) był jęj testamentem znacznie polepszony, żeby wychowanie jego było jak najlepsze, i żeby nie zaniedbała do wyniesienia go na stopień przyzwoity jego urodzeniu, mieszając go zawczasu w publiczne interesa, i gotując młodość jego do życia publicznego”.

„Biblioteka moja na małoby się przydała familii mojej; małobym także miał wdzięczności, żebym ją publicznym szkołom, gdzieby nawet czytana nie była, zapisał: zatém ma być publiczną aukcją w Paryżu przedana, i pieniądze z nięj pochodzące mojej *matce* dostać się mają”.

„Memu ojcu zostawiam moje dwa zegarki: złoty z naszym herbem, i srebrny z repetycją”.

„Mojój siostrze zegarek perłami otoczony z łańcuszkiem perłowym”.

„Memu szwagrowi zegar, który stoi na kominie w salonie moim. Mego stryjecznego brata proszę, żeby przyjął dwie pary sprzączek podług swego wyboru”.

„Memu staremu kamerdynerowi, jeżeli jeszcze będzie w mojej służbie, kiedy umrę: całą moję garderobę, koronki, bieliznę (prócz stołowych) i pięćdziesiąt luidorów.”

„Doktorowi Du Parè, jeżeli będzie w mojej służbie w czasie śmierci mojej: trzysta franków i książki doktorskie z mojej biblioteki”.

„Innym moim ludziom dwa miesiące zasług, prócz tego dwa fraki z mojej garderoby: Janowi szwajcarowi lokajowi memu, i Józefowi de Vaux drugiemu lokajowi.

W Marsylii, dnia 27 lutego, 1787 roku.

Tomasz Kajetan Węgierski.

Zgadza się z oryginałem, na co podpisuję

P. C. Fergusson Teppel.

Księgarz i nakładca D. E. Friedlein, w Krakowie.

Przypatrzwszy się z uwagą ruchom literackim, nietrudno dostrzedz, iż księgarze i nakładcy nie błahe mają na tém polu stanowisko. Onito wyborem ogłaszanych dzieł, nie dopuszczając na swe półki książek naukowych, głupstwu stawiają trony z stosów broszur i romansów, lub téż protegując nakładami zdolnych pisarzy, stają się jak kółko w maszynie, przyczyną popędu lub opóźnienia w biegu naukowego postępu.

Tą zapewne myślą powodowana redakcyja *Czasu* krakowskiego, oceniła w swych kolumnach dążności wydawnictwa dzieł katolickich, i nakłady pana Pizsa księgarza w Bochni. I my z téj wychodząc zasady, ani przedajnego używając pióra, ani usposobieni do panegirycznych pochlebstw; z intencją uznania zasługi, z miłością prawdy w słowach naszych, przystępujemy do podania wiadomości o wielkich a tak cichych i nieznanach zasługach na polu wydawnictwa, położonych przez księgarza, którego imię na czele niniejszego pisma położyliśmy.

W roku 1828 Daniel Edward Friedlein Krakowianin, otworzył w Krakowie objętą przez niego niegdyś Trasslerowską księgarnię. W owe

czasy, nie było w Krakowie drukarni, któraby Guttenberg mógł za swój uważać wynalazek; dość spojrzeć na tłuste, prawie nie w celu czytania, drukowane w owym czasie książki, by się przekonać o tém naocznie. Pierwszy Friedlein wskrzesił 1833 roku drukarstwo w Krakowie, prowadzając do swego zakładu francuzkie czcionki i prasy. Pierwszém polem nakładctwa Friedleina, po urządzeniu drukarni, była niwa religijna, na której dotąd tylko częstochowskie jaśniały utwory. Wydawał tedy książki do nabożeństwa, śpiewniki, opisy miejsc świętych i obrazki religijne, gdzie upowszechnił sztychem utwory celnych krajowych artystów, których pracom nikt jeszcze w owe czasy zasłużonej nie umiał oddać zalety (1). Za myślą upowszechnienia arcydzieł sztuki, poszło dążenie do obznajmiania świata naukowego z pomnikami, pamiątkami i widokami ziemi krakowskiej. Nie szczędził tedy nasz wydawca niepowrotnych kosztów, na ogłoszenie zupełnego zbioru rycin, przedstawiających Kraków i jego okolice, wykonanych w paryzkiej litografii *Engelmana*, wedle rysunków J. N. Głowackiego (2). Wydanie rycin pociągnęło za sobą kierunek nakładów ku opisom historycznym Krakowa, które przy tychże w dwóch językach dołączono; a wreszcie zachęciło do publikacyi dzieł treści historycznej, z których dostatecznie już oceniono wyszłe u Friedleina: *Historja języka łacińskiego w Polsce*; i *O magistra-*

(1) Wyszłe nakładem Friedleina dzieła religijne są: Bóg najwyższe dobro; Boga rodzica Marya w Nazaret i na Jasnej górze, przez ks. Plebankiewicza; Cześć Boga w Bł. Bronisławie (życie tej bł.); Dzień chrześcianina katolika, tłumaczenie z Lamenego; Starodawne krakowskie kantyczki; Książka do nabożeństwa wedle niemieckiego tekstu Schneidera; Książka do nabożeństwa dla Polek (Hoffmanowój); Modły dla chrześcian, wedle tekstu Fenelona; Opis Częstochowy pod względem historycznym i religijnym ks. Plebankiewicza; Moje zbawienne godziny, przez Michała Haubera; Mowy pogrzebowe *Bossuetta*; Treść nauki chrześcijańskiej; Naśladowanie Jezusa Chrystusa *Tomasza a Kempis*; Śpiewy chóralne kościelne Gorączkiewicza; Kazańia przygodne ks. Łanuckiego; Wiadomość o obiorze papieża i jego dworze; wreszcie: Zbiór modlitw dla dzieci. Cenniejsze piękne sztychy zdobiące te dzieła, a zarazem stanowiące piękną osobną całość, są: Chrystus (Dollabelli), Marya częstochowska (Peszki), ŚŚ. Wacław, Wojciech, Wincenty Kadłubek, Kazimierz, Jacek, Kunegunda, Jadwiga, Floryan, Stanisław, Władysław, kopie z obrazów Kunieca istniejących w krakowskiej katedrze, i Ojciec nasz w litografowanej rycinie.

(2) Karty: Okręgu miasta Krakowa i samegoż miasta, wykonane przez T. Żebrowskiego. Widoków 24 miasta Krakowa i jego okolic, wedle rysunków J. N. Głowackiego. Widok miasta Krakowa od strony zachodniej (miedzioryt). Widok izby sądowej, zburzonego ratusza krakowskiego (litograf.). Drzeworyty w różnych dziełach polskich używane przez drukarzy krakowskich w XVI, XVII i XVIII wieku.

tach miast polskich przez Dr. profess. K. Mecherzyńskiego. Tu należą: Pamiątki polskie w Wiedniu X. Kluczyckiego, Potok genealogiczny Książąt i Królów Polskich, Der Freistaat Krakau bis j. 1845. Niemałą wreszcie zasługę przyznać wypada p. Friedleinowi, jaka mu się słusznie należy za wydanie pierwszych w Polsce podręcznych Słowników, i niebłahéj wartości książek elementarnych dla dzieci; tą razą ujrzelśmy pierwszy raz w Polsce słowniki po złp. 6 (1).

Przez lat więc *osmnaście* wydał Friedlein do 50 książek, z których niejedna i kilkakrotnéj doczekała się edycji. Dziś, wydawnictwo dzieł katolickich krakowskie, krząta się na polu religijném i zyskuje zasłużone pochwały, a nawet panegiryki. Ambroży Grabowski: *Opis Krakowa*; J. Łepkowski: *Starożytności Krakowa*; Alexander Płonczyński: *Groby Królów*; wreszcie wydział archeologiczny w uniwersyteckim naukowym towarzystwie zawiązany, gorliwie zabytki przeszłości chronią od zagłady, zasłużoną odbierając w opinii publicznej pochwałę; a któż pomoi, że Friedlein był pierwszym, co na polu religijném, archeologiczném i elementarném, tyle w Krakowie pożytecznych wydał nakładów, początkował, rozbudzał, dziś bójnie wzrosłe usiłowania? Któż wie, że Friedlein pierwszy w Krakowie począł układać zbiory materyałów: drukarstwa, papierni, introligatorstwa i litografii; pierwszy z prywatnych zebrał galerią obrazów, gabinet litografij, rycin, ksiąg polskich rzadkich i o Polsce traktujących, medalów, mapp i materyałów ogromnych do słownika geograficznego polskiego? I jakież to los spotkał tego zasłużonego krajowi męża? Oto iskra pożaru krakowskiego zniszczyła wszystko z tych naukowych zbiorów, nakładów, stereotypów, drukarni i księgarni; pozostała kupa popieliska i gruzów, a wśród niej sparalizowany na ciele tyloletni pracownik na niwie naukowej. Friedlein stracił prawie wszystko, co przez całe uzbierał życie; ale nie stracił wiary w Opatrzność i energii w działaniu, i oto widzimy go znówu krzątającego się nowém życiem, jak Fenixa, pracą w nowe porastającego pierze.

Cześć mu! cześć szczerą: bo na nią w kraju zarobił.

Kraków, 1851 r.

A. B. C.

(1) Słownik podręczny polsko-niemiecki, *Handwoerterbuch der polnischen und deutschen Sprache*; *Dictionaire portatif français-polonais*; Słownik Dr. Majera i Skobla wyrazów lekarskich; ABC malowane; Abecadło ruchome; Abecadło polskie; Książeczka Helenki (Tańskiéj); Olesia i Adaś (Tańskiéj); Przewodnik młodego wieku, ks. Lamene; Wiązanie Helenki (Tańskiéj); Wzory kaligrafii; Prawidła pisowni (K. Mecherzyńskiego); Assarmot (Tańskiéj); Szkoła na fortepian (Nowińskiego) i wiele drobniejszych. Wydania te zalecają: drzeworyty, ryciny i nadzwyczajna taniość.



WIADOMOŚCI

na drodze postępu nauk przyrodzonych.

FIZYKA.

Ważnym jest pytanie, czy przyczyna strumieni elektrycznych pojawiających się w stanie życia lub wkrótce po śmierci zwierzęcia, jest wewnętrzną lub zewnętrzną, albo innemi słowy, czy jest niewiadomą lub też znaną. Przedmiot ten Matteucci w następny usiłuje rozwiązać sposobem.

Nobili piérwszy dowiódł istnienie siły elektro-wzbudzającej w zwierzętach; nie okazał jednak dostatecznych dowodów na ogólne zjawiska elektro-fizyologiczne, jako też na związki łączące je z własnościami i funkcjami istot żyjących. Po wynalezieniu galwanometru, śledzono elektryczność w nerwach, mózgu i mięśniach zwierząt; lecz błędy towarzyszące obserwacyom i metody doświadczania nieszczęśliwie wybierane, uczyniły prawie bezpożytecznymi te mozolne prace. Chcąc bowiem niezaprzeczenie okazać bytność zjawisk elektro-fizyologicznych i wykryć prawa nimi kierujące, należało zwiększyć źródło elektryczności organicznej, nie zwiększając jednak ubocznych i szkodliwych, a jednak koniecznych okoliczności. W samej rzeczy, Matteucci dopiero układając stos z wielkiej liczby mięśni wziętych z żywych lub świeżo zabitych zwierząt przekonał, że natężenie strumieni elektrycznych wzrasta z liczbą użytych elementów mięśniarnych, i że kierunek strumieni od wnętrza do powierzchni mięśni nie zmienia się, jakiegokolwiek płyny użyjemy na końcach stosu i do jakiegokolwiek zwierzęcia mięśnie należące będą.

Szło więc teraz o rozstrzygnięcie, czy siła elektro-wzbudzająca jest w tym razie wynikiłością działania chemicznego między płynami użytymi do stosu a ciałami stałymi tkanki organicznej, albo działania chemicznego stanowiącego część funkcji ustroju zwierzęcego, albo w końcu skutkiem budowy samejże tkanki podczas życia istoty. W tym celu badano wpływy, jakim podlegają strumienie mięśniarne, i znaleziono że: 1) natężenie tych

strumieni wzrasta w miarę im zwierze stoi wyżej w szeregu istot żyjących; np. stos z mięśni żywych ptaków jest mocniejszy od stosu z mięśni żabich; 2) strumienie słabną, gdy mięśnie brane były z zabitych zwierząt i to tém prędzej, im mięśnie użyte należały do zwierzęcia wyższej organicznej budowy; 3) że moc tych strumieni zmienia się stosownie do stanu odżywiania mięśni: np. stos z żab złapanych zimą przy niskiej temp. był bardzo słaby; 4) że te strumienie słabną, gdy zwierzęta użyte, zabite były np. gazem wodorodno-siarkowym; 5) że bytność nerwów i ich całość, równie jak i trucizny narkotyczne nie wpływają na moc strumieni mięśniowych, i w tym razie nerwy odbywają działanie prostych przewodników; 6) że badając stosy z mięśni i z innych gatunków tkanki zwierzęcej np. mózgu, mleczajaciznowego, płuc i t. d. zawsze się okazało, iż strumienie prawie wyłącznie należą do mięśni i mają jeden stały kierunek. Powyższe wnioski wyprowadzone niezależnie od wszelkiej hipotezy, prowadzą wyraźnie do szukania przyczyny strumieni mięśniowych w działaniach chemicznych, stanowiących sposób odżywiania tkanek. A ponieważ trudno zaprzeczyć, że działania chemiczne między włókami mięśni a krwią tętnicową, stykającą się z nimi są daleko większe, od działań zachodzących między krwią a błoną tkanki otaczającą mięśnie, czyli tak zwaną powierzchnią mięśni, przeto Matteucci wnosi, iż:

1) strumienie mięśniowe są pewno niezależne od przyczyn obcych organizmowi; 2) że przyczyna tych strumieni zawiera się w fenomeńcie życia tkanek organicznych i jest stale zawisłą od mocy odżywiania tychże tkanek, tak, że biegun dodatni pary galwaniczno-organicznej zawsze znajduje się tam, gdzie moc odżywiania jest większą 3) Nie podlega wątpliwości, iż działania chemiczne towarzyszące odżywianiu, ważną odgrywają rolę przy powstawaniu wspomnianych strumieni. (*L'Institut*, 1850 Nr. 883).

* A. Bain, jeszcze w 1842 r. przekonał się, że tafla miedziana zakopana w ziemię i złączona drutem z podobną taflą cynkową zakopaną w odległości prawie milowej od pierwszej, wydaje strumień elektryczny dostatecznej mocy do okazania różnych doświadczeń elektro-magnetycznych. El. Loomis zastanawiając się nad powyższym strumieniem przez długi czas, widział, że tafla cynkowa blisko przez 5 miesięcy dawała prawie jednakowej mocy strumień i zmiany zbieżności nie dochodziły. 4^o Te zmiany zdają się pochodzić od większej lub mniejszej wilgotności ziemi, dostrzegał bowiem, że zawsze po długich deszczach natężenie strumienia wzrastało. (*L'Institut* nr. 883).

* Dawniej już Regnault oznaczył rozprężliwość pary wodnej tak w próżni jako i w gazach; teraz wykonał liczne doświadczenia dotyczące

rozprężliwości par innych cieczy, w różnych temperaturach. Przytém wspomniany uczony zajął się dokładném zbadaniem siły sprężystości par, powstających z mieszaniny dwóch cieczy, dla których już Gay-Lussac znalazł prawo: że siła rozprężliwości mieszaniny dwóch par wyrównywa summie sprężystości tychże par uważanych oddzielnie. To prawo musi podlegać pewnym ograniczeniom, w przypadku gdy użyte do mieszaniny ciecze wzajemnie się rozpuszczają lub łączą chemicznie; dlatego Regnault śledząc je w ogólności, zastanawiał się nad trzema następnymi przypadkami: 1) gdy użyte ciecze wcale albo bardzo mało rozpuszczają się jedna w drugiej np. woda i benzin, woda i siarczyk węgla i t. d.; 2) gdy ciecze rozpuszczają się wzajemnie w znaczących stosunkach, np. eter siarczany i woda; 3) gdy ciecze rozpuszczają się we wszelkich stosunkach, np. siarczyk węgla i eter.

Z doświadczeń wypada, że prawo Gay-Lussaca bardzo jest blizkiém prawdy dla cieczy piérwszej kategorii, jakkolwiek dostrzegać się dają różnice między sprężystościami obserwowanemi a otrzymywanemi, z rachunku. Dla mieszanin cieczy drugiego rodzaju np. eteru i wody, prawo wspomniane nietylko że nie znajduje zastosowania, ale co jest ciekawszém, że przy użyciu powyższej mieszaniny, sprężystość jej pary nie różni się prawie wcale od sprężystości par czystego eteru. Nakoniec, do mieszanin cieczy trzeciego rodzaju, prawo Gay-Lussaca także stosować się nie powinno, gdyż sprężystość pomieszanój pary zmienia się względnie do stosunku użytych cieczy, tak, iż zawsze jest niższą od sprężystości cieczy więcej lotnej wchodzącej do połączenia, a wyższą od sprężystości cieczy mniej lotnej. Zdaje się więc, że w tym ostatnim przypadku zachodzi między obydwoma cieczeniami przyciąganie molekularne, sprzeciwiające się parowaniu i podnoszące punkt wrzenia mieszaniny do wyższej temperatury. W końcu Regnault zajął się przejrzeniem prężności par w gazach, na któryto przypadek oddawna w fizyce przyjęto zasadę: że sprężystość par w gazach, przy tychże samych innych okolicznościach, jest jednaką ze sprężystością par w próżni. I z licznych dokładnych doświadczeń powziął przekonanie, że przywiedziona zasada stosowaną być może tam tylko, gdzie nie chodzi o zbytnią dokładność, bo w ogóle zdaje się, że prężność par w gazach niższą jest od prężności par w czczości; czego liczebnie dla wielu trudności towarzyszących obserwacyom nie mógł oznaczyć. (*Bibl. de Genève 1850 Mai*).

S. P.

CHEMIA.

W dzienniku *L'Institut*, 17 Juillet. 1850 nr. 863, czytamy następane zawiadomienie, które tu prawie co dosłownie przytaczamy.

Chemia Przemysłowa. Wyrabianie cukru. P. Rousseau przesłał (Akademii Umiejętności paryżkiej) swój pamiętnik tyczący się cukru i jego otrzymywania.

Aż dotąd w cukrownictwie, po otrzymaniu soku, oczyszczano go, cedzono i parowano, a nakoniec cukier rafinowano. W pamiętniku swym p. R. zastanawia się szczegółowo nad powyższymi robotami, wskazuje niedogodności im towarzyszące, a nakoniec objaśnia sposób przez który podług niego, można wyrabiać oszczędniej i to odrazu, cukier biały nie potrzebujący być rafinowanym.

„Przez nowy sposób otrzymywania unika się okoliczności nieodzielnych od postępowania dotychczasowego, wydobywa się cukier niezmieniony, czyli w tym stanie, jak znajduje się w roślinie; oddziela się go od ciał innych i otrzymuje głowy białe; wyrób zaś nie posiada obcego smaku, a tém samém może już służyć do użytku, bez następnego oczyszczania.

Dla osiągnięcia tego celu, oparłem się na znanych własnościach soli wapiennych, przez te bowiem stają się nierozpuszczalnemi na gorąco tkanki roślinne, i wiele ciał organicznych; jednocześnie także nie dozwalam niszczyć tych ciał wapnem, a to przez stosowne ogrzanie. Tak więc nie można dodawać jednostajnej ilości soli wapiennej, potrzebnej do osadzenia obcych części od cukru, bo to zależy od gatunku rośliny z której się sok otrzymuje, rodzaju jęj uprawy, i rozmaitego sposobu przechowania a ztąd i różnego stanu ciał do wyrabiania użytych. Jedném słowem, sól wapienna tak się zachowuje z sokiem cukrowym, jak octan ołowiu zasadowy, z tą tylko różnicą, że w obecnym przypadku, cukier działa jak kwas, a żaden związek obcy nie pozostanie w syropie. Wytłumaczyć to będzie łatwiej można, po objaśnieniu sposobu postępowania”.

W następujący zaś sposób p. R. radzi postępować z przerobieniem soku z buraków, w stosownej porze zebranych:

Sok otrzymany sposobem zwyczajnym ogrzewa się blisko do 55° C.; dodaje się do tego taką ilość wodoru wapna przesianego, aż przestanie tworzyć się osad. Po wymieszaniu, znowu ogrzewa się go blisko do 80° C. W miarę podwyższania ciepła, spostrzegać się dają w cieczy jasno-żółtej, liczne kłaczkę, które wkrótce zbijają się na powierzchni w gruby kożuch biało szarawy, połyskujący się; jednocześnie zaś część wapna niepołączonego, czyli kawałki cięższe, opadają na dno kotła.

P. R. uważał, że przy wskazaném postępowaniu, nie wydobywa się ani ślad amonii: ciecz zaś wywięzuje z siebie słabą woń owoców.

Tym więc sposobem ciała obce znajdujące się przy cukrze całkiem skrzeplę; wtedy zlewa się część ciekłą, a następnie osady i pianę wy-ciska się w prasach jak w postępowaniu zwyczajném. Powyższa ciecz ma teraz kolor jasny słomiany, jest bardzo czysta, wcale nie wpada w kolor czerwonawy, jak to spostrzegać się daje w soku, zwyczajnym sposobem oczyszczanym; działa mocno alkalicznie, i ma smak gryzący do tego stopnia, że prawie nie rozpoznaje się w niej smaku cukru. Alkaliczność ta powstaje nietylko ze związku części wapna z cukrem, przez co tworzy się cukrzau dobrze znany, ale jeszcze z potażu i sody gryzących, bo te alkalia zostały wyłączone od kwasów z niemi złączonych, przez wapno, które w tych kwasach miejsce ich zajęło. Jedném słowem, sok tym sposobem oczyszczony, jest jedynie roztworem oczyszczonym cukrzau wapna, potażu i sody gryzących, a może cukrzanów tych zasad i soli wapiennych, które mogły się utworzyć w skutku różnych oddziaływań.

Powyższe własności już niejako wskazują sposób dalszego postępowania.

W dalszym ciągu potrzeba wyłączyć cukier ze związku jego z wapnem; do tego zaś celu p. R. używa kwasu węglowego. Zwykle ten kwas otrzymuje się przez palenie węgla, a po przepłókanu go przepuszcza się przez sok. Wtedy wszystko wapno połączone z cukrem krystalicznym zostaje stracone w postaci węglanu wapna; przy końcu jednak roboty, co łatwo rozpoznać można, zagotowyywa się ciecz mętną dla zniszczenia dwuwęglanu, który mógł powstać. Gdyby jednak spostrzeżono, że sole wapienne powstałe w skutku wydzielenia potażu i sody, nie zostały rozłożone przez kwas węglowy, wtedy te zasady gryzące tylko w węglany mogłyby się zamienić, a wówczas jeszcze, jako alkaliczne, działałyby szkodliwie na cukier.

Należy więc wyłączyć wapno, i zmienić potaż i sodę na sole obojętne, jakimi były poprzednio. W tym celu dodaje się do kotta, przy końcu nasycania, amonii gryzącej w stosownej ilości ze względu wapna które mamy osadzić. Wtedy natychmiast część tego alkali zmieni się w węglan, który w skutku podwójnego rozkładu utworzy węglan wapna, i sole amoniakalne; te ostatnie znowu rozkładają się przez potaż i sodę, które tym sposobem utracają swą alkaliczność, amonia zaś się uwalnia. Powyższy sok należy precedzić przez węgiel z kości, a tym sposobem otrzyma się ciecz przezroczysta, bezbarbna, która może być niezwłocznie wyparowana, czyto na wolném powietrzu, czy w próżni, bez obawy dalszego zafarbowania. Ciecz ta tak łatwo się gotuje jak woda, bo

nie pieni się, a przez to unika się szkodliwego dodawania masła lub sadła; oprócz tego nie tworzy się skorupa na bokach kotła. Po ukończeniu parowania, syrop natychmiast może być zlany w formy, i utworzy się cukier w głowach bardzo piękny i nadzwyczajnie biały.

Syropy odciekłe z cukru powyższym sposobem wyrobionego, przy pierwszej krystalizacji, tak są czyste, że zaraz mogą być parowane bez żadnego poprzedniego przerabiania; ztąd zaś otrzymuje się cukier zupełnie prawie tak piękny jak pierwszy. Ale te syropy mogą zawierać w sobie pewne ciała obce organiczne, które z powodu małej ich ilości, nie wyłączyły się przez odczynniki poprzednio użyte. Dla zaradzenia temu, pan R. na nowo używa do tych syropów wapna, w niewielkiej ilości, i w miernym cieple. Oprócz tego, do ciał poprzednich na 10 hektolitrow soku (1000 kwart) dodaje 2 kilogramy (około 5 funtów) gliny szarzej rozmąconej w wodzie, która pochłania znaczną ilość soli zawartych w soku, a tym sposobem cukier straci zupełnie smak i zapach niewłaściwy.

Tak otrzymany cukier z największą łatwością krystalizuje się, nie posiada smaku obcego; kryształy łatwo się opłókują, i wszystko nietrudno zmienić w głowy najpiękniejsze, bo cukier z następnych krystalizacji, oczyszczony od syropu, po włożeniu do soku burakowego, gdy ten będzie miał 25°, zgęszcza tym samym sok; przez co oszczędza się opał, i wyrób piękny łatwo się otrzymuje.

Sposób powyższy zastosowany został w trzechnaj znaczniejszych cukrowniach francuzkich, departamentu północnego (du Nord).

* Pan Chatin przesłał akademii umiejętności paryżkiej swą pracę, o znajdowaniu się jodu w rozmaitych ciałach, a w szczególności w wodach słodkich, i roślinach w nich żyjących. Rośliny wodne europejskie, azjatyckie, afrykańskie, amerykańskie i Nowej Holandyi, zawierają w sobie ten pierwiastek, co dowodzi jak jest obfity w przyrodzeniu: popiół roślin lądowych nie zawiera w sobie jodu. Ztąd pan Chatin wyprowadza wniosek, że z rozbiorów popiołu roślin, można wnioskować o stanie kuli ziemskiej w rozmaitych okresach. Tak np. *węgiel kamienny* obfitujący w jod musiał powstać z roślin żyjących na ziemi jeszcze pokrytej wodą; *antracyt* mniej zawierający jodu od *węgla kamiennego*, wskazuje że rośliny ziemne domieszały się do wielkich roślin kryto-płciowych, z których utworzył się węgiel kamienny; *lignit* mało tylko, lub nie mający w sobie wcale jodu, przekonywa, że gatunki ziemskie utworzyły się na skorupie kuli opuszczonej przez wody. Jod znowu się okazuje w popiele torfu, tych okruszyn nowoczesnych, powstałych z skarlawatěj roślinności naszych bagien. Z powodu znacznego stosunku jodu, grafit

czyli ołówek zdaje się zajmować miejsce pomiędzy ciałami pochodzącymi z jestestw żywotnych (organicznych) i wodnych; i już dawniej przed utworzeniem węgla kopalnego, ołówek wyobrażał najstarszą roślinność, czyli taką, która nasamprzód powstała na kuli ziemskiej po jej ostygnięciu. Zwierzęta wody słodkiej zawierają w sobie jod w znaczniejszej ilości od roślin w tychże samych okolicznościach żyjących. Pan Chatin sądzi, że obfitość jodu w wodach, zależy od ilości znajdującego się w nich żelaza; a to w ten sposób, że woda uważana za *żelazną*, może być także nazwana *wodą jodową*. Wody pokładów ogniowych zdają się zawierać więcej jodu od wód pokładów osadowych. Wody zawierające wiele soli wapiennych i magnezyowych, mało zwykle mają jodu; pierwiastek ten może w wodach się przytrafia, w stanie jodku żelaza. Jod znajduje się w roślinach i zwierzętach lądowych, a szczególnie w roślinach często skrapianych. Sole potażowe, sodowe i magnezyowe handlowe, prawie zawsze mają ślady jodu. Ciecze wyfermentowane zawierają jod w większej ilości, od średniej w wodach słodkich. Wina, tak jak wody niejednakowo go mają, a to stosownie do roli z której pochodzą. W mleku jeszcze więcej jest jodu od win; (w mleku oslicy, więcej jak w krowim). Jaja obfitują w jod: jedno jaje kurze wążące 50 gramów ma więcej w sobie jodu od kwarty mleka, a tyle co 2 kwarty wina lub dobrej wody. Jod znajduje się w roli ornój, w siarce, rudach żelaznych, najwyższym kwasorodku manganu, siarczku żywego srebra i t. p. Autor utrzymuje, że brak jodu lub mała jego ilość w wodach do picia pewnych okolic, jest główną przyczyną powstawania *wola*; i radzi dla zaradzenia temu i wyleczenia się, używać pokarmów i napojów zawierających w dostatecznej ilości ten pierwiastek. (*L'Institut* z 28 *Août*. 1850).

* Pan Augendre probierz w mennicy konstancyńskiejskiej, doniósł akademii umiejętności paryskiej o nowej własności chloroformu, która może znaleźć ważne zastosowanie przy zachowywaniu ciał od zgnilizny. Chociaż eter posiada wiele wspólnych własności z chloroformem, ale nie ma tej ostatniej, bo mięso włożone do flaszki w którą poprzednio wlało kilka kropel eteru, w kilka dni się zepsuło; ale także mięso zawieszona w flaszce zawierającej na dnie chloroform, w zupełności się przechowywało, nabierając jedynie woni chloroformu, i cokolwiek jego smaku. Jedna dwóchsetna część chloroformu, dostateczną jest do przechowywania przez czas jak najdłuższy ciał zwierzęcych gnijących, a nawet i roślinnych, ponieważ p. A. przechowywał przez długi czas tym sposobem poziomki ananasowe, a te, jak wiadomo, w powietrzu pleśnieją i bardzo prędko się psują. Wynalazca utrzymuje, że chloroform działa tylko fizycznie, i polega na ściąganiu włókien i tkanki komórkowej, przez co soki wyciskają się i utrudnia psucie. Kończy zaś uwagę, że ciała najmocniej sprzeciwiające się zgniliznie, to jest chlorek sodu, chlorek cynku, chlorek merkurjuszu, chlorek formylu, zawsze w swym składzie mają chlor, i że działają na jestestwa żywotne, nie ustępując żadnej swej części składowej tymże jestestwom. (*L'Institut*, 13 *Nov*. 1850).

J. B...a.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850.

LIPSK.

104. Nauka rachunków na drugą i trzecią klasę szkół narodowych w c. k. państwach austriackich. Przez dra Franciszka Moznika... Przetłumaczona na język polski przez A(pollnarego) S(tokowskiego). 1850. 8ka. Druk F. A. Brockhauusa w Lipsku, nakład J. Milikowskiego we Lwowie. Napisów kart 2 i str. 212. Złp. 5.

105. Nauka rachunków na pamięć, na pierwszą klasę szkół narodowych w c. k. państwach. Przez dra Franciszka Moznika... Wydanie drugie. 1850. 8ka. Druk F. A. Brockhauusa w Lipsku, nakład Milikowskiego we Lwowie. Str. 98 i napisów kart 2. Złp 1. gr. 20.

1851.

WARSZAWA.

37. Krótki wykład buchalteryi podwójnej (.) z dodaniem słowniczka trudniejszych wyrażen w kupiectwie używanych. Przez A. Schwarzensteina. 12ka. Warszawa. 1851. Druk Jana Jaworskiego. Str. III i 167. Złp 3 gr. 10.

38. O źródle (*tak*) wiedzy tegoczesnej przez Dominika Szulca.

Z godłem: *Der erste Reformator neuern Zeit war ein Pole, der Verfasser der Schrift: de r. orbium coelestium, — Nicolaus Kopernicus.* L. Feuerbach.

8ka. Warszawa. 1851. Nakład R. Friedleina, druk Ungra. Kart 4 i str. 85. Złp 6, gr. 20.

39. Poziomowanie topograficzne. Wykład teoretyczny i praktyczny, obejmujący: Sposoby mierzenia spadków przy pomiarach: gruntu, podziemnych i hydrotechnicznych; sposoby rysowania profilów, obliczania bryłowości wykopów i nasypów, ze szczegółowem zastosowaniem do budowy dróg i zmiany kształtu danych powierzchni, oraz rozmaite zagadnienia; z domieszczeniem wielu tablic, jakoto: wstaw i dostaw na różne promienie obliczonych, ułatwiających rachunek bryłowości, do obliczeń wysokości z obserwacyj barometrycznych i do różnych zmian służące. Tudzież niektóre uwagi dotyczące się użytkowania z biegu wód (.) Z 20 tablicami figur. Napisał A. Gerschow inżynier gubernialny. 8ka. Warszawa. 1851. Druk Ungra, skład w księgarni H. Natansona. Str. XI i 430. Tablic drukowanych, osobno liczbowanych str. 130. Złp. 30.

40. Przewodnik dla większych i mniejszych plantatorów buraków, sposobem praktycznym wyłożony przez B. Handke, b. ucznia Instytutu Agromicznego w Marymoncie. 8ka. Warszawa. 1851. Nakład Merzbacha, druk Ungra. Str. 55. Złp 3, gr. 10.

41. Neron, romans historyczny przez Alexandra Dumas. 8ka. 2 tomy. Warszawa. 1851. Tom I, str. 173. II, 152. Złp. 6. (Jestto powieść wyszła w Warszawie jeszcze w r. 1846, pod tyt: Aktea, tylko z dorobionym nowym tytułem).

42. Woda solecka, jej działanie, do niektórych chorób zastosowane, i sposób użycia. Przez J. Libchena, doktora medycyny. 8ka. Warszawa. 1851. Druk J. Tomaszewskiego. Str. 160. Złp. 5.

43. Zasady technologii chemicznej gospodarskiej; obejmujące naukę: o wypalaniu wódki; warzeniu piwa; wyrabianiu różnych napojów wysokowych; otrzymywaniu octu i cukru z buraków; wydobywaniu mączki i przerabianiu jej na syrop; wybijaniu olejów i t. p. Wydał Józef Betza.... Z dodaniem pomnożonych wiadomości praktycznych Karola Kurka, tyczących się gorzelnictwa i piwowarstwa. Wydanie drugie, przerobione. Z jedną tablicą rycin. 12ka. Warszawa. 1851. Druk S. Orgelbranda. Napisów i przedmowy kart 5 i str. 450. Złp. 13, gr. 10.

PETERSBURG.

44. Pisma Henryka hrabi Rzewuskiego. 8ka. 7 tomów. Petersburg. 1851. Nakładem B. M. Wolffa, drukiem K. Kraja. Tom I, II, zawiera: Wędrowki umysłowe. T. I str. XII i 192; II, 301. Z portretem autora. Tom III i IV: Teofrast polski. T. I, str. XII i 241; II 198. Tom V i VI: Adam Smigiel-ski starosta gnieźnieński. T. I str. XIII i 202; II 251. Tom VII: Nie-bajki, powieści różne. 16ka, (wydanie redakcyi Tygod. Petersb.) Str. 150. Złp. 66 gr. 20.

45. Poezye Józefa B. Zaleskiego. 12ka. 2 tomy. Petersburg. 1851. Nakładem B. M. Wolffa, drukiem K. Kraja. Tom I str. 314. Tom II, 122. Złp. 18.

WILNO.

46. Dramata i komedye mniejsze. Przez Józefa Korzeniowskiego. Serya II. 2 tomy. 12ka. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Tom I str. 331; II 275. Spisu rzeczy karta 1. Złp. 15.

47. Dzieła Ignacego Krasickiego. Z portretem autora. Wydanie Towarzystwa Typograficznego z 1819 r. 10 tomów. 18ka. Wilno, Warszawa i Kijów. 1851. W księgarni pod firmą Józefa Zawadzkiego. Tom I str. LIII i 388; II 429 i rejestru kart 6; III, 654; IV, 621; V, 563; VI, 624; VII, 608; VIII 611; IX 616; X 525. Złp. 26 gr. 20.

48. Ostatni z Siewierzyńskich. Historia ślachecka przez J. I. Kraszewskiego. 12ka. 1851. Nakładem B. M. Wolffa, drukiem Józefa Zawadzkiego. Kart napisowych 3 i str. 290. Złp. 8.

49. Wykład obrzędów i religijnych zwyczajów Rzymsko-katolickiego Kościoła, ze względu na ich duchowne znaczenie; zebrany i ułożony przez ks. Jana Ludwika Łunkiewicza Pijara. Z godłem:

Nil innovetur, quod traditum est, servetur.

S. Stephanus Papa.

8ka. Wilno. 1851. Drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. XVI i 420. Spisu rzeczy kart 4. Złp. 10.

50. Rozmowy łatwe dla młodych panien. Przez M. J. Frings, nauczyciela języka francuzkiego w Berlinie. We czterech językach. 12ka. Wilno. 1851. Nakładem Rubena Rafałowicza, drukiem M. Zymelowicza. Str. 276. Złp. 5.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Między doniesieniami literackimi w zeszłym miesiącu mylnie podaliśmy wiadomość o tłumaczeniu dzieła Otton'a i Siemens'a, gdyż przekładem tym zajmuje się p. Tadeusz Szczepański magister b. uniw. warszawskiego.

— (Wyjątek z listu). Towarzystwo naukowe w Krakowie nie ustaje w pracach. Jakoż teraz ukończony został druk tomu 1go: *Matematyki* profesora *Steczkowskiego*; drukuje się *Farmacomorafka* profesora *Skobla*; pierwsza część *Encyklopedyi* dla filologów prof. Małeckiego, a który zarazem jest dyrektorem organizującego się gimnazyum. Wykończy do druku professor *Kuczyński fizykę*; drukuje już *Czerwiakowski* dalszą część swęj *Botaniki szczególnej*; podobnie téż teoria *okulistyki*, i znów nauka *perspektywy* niezadługo pójdzie pod prasę. W przeciągu może pół roku professor Majer, dzisiejszy rektor, ukończy *fizyologią*. Otóż jest ośm dzieł ściśle umiętnych, wydawanych kosztem Towarzystwa. — Wincenty Poll drukuje trzy książki, wszystkie treści geograficznej, w najnowszém pojęciu rzeczy. Zygmunt Helcel wykładając *prawo polskie*, zapewne je wyda kiedyś.

— Zbiory archeologicznej sekcyi w Krakowie, w której prezyduje Józef Muczkowski, a członkami są czynnemi: Poll, Karol Kremer i Żebrawski, codziennie się powiększają: ze wszystkich stron kraju przesyłają dary, a nawet i bardzo kosztowne: do najdroższych i najosobliwszych należy bez zaprzeczenia dar Mieczysława hr. Potockiego posągu *Światowida*, znalezionego w rzece *Zbruczu* na Podolu, w tak zwanych *górach Miodoborskich*, w okolicy gdzie rzeka *Gniła* do *Zbruczu* wpada, poniżej wsi *Liczkowce*, miejsca urodzenia i śmierci Tymona Zaborowskiego, którego *Dumy podolskie* prawdziwego poetę cechują. Posąg jest z kamienia ciosanym, ma 4 łokcie wysokości; patrzy na świat czterema twarzami, i ze czterech stron jest ozdobiony płaskorzeźbami.

Jestto jedyny zabytek nieulegający żadnej wątpliwości, jedyny posąg tak dochowany na całym obszarze ziem słowiańskich. (Redakcja Biblioteki Warszawskiej, w jednym z następnych zeszytów, szczegółowego opisu tego posągu i historii jego odkrycia nie zaniedba podać).

— Rodak nasz p. Sosnowski, poświęcający się sztuce rzeźbiarstwa w Rzymie, ofiarował darem kolosalną grupę *Antygony* własnego pomysłu, odkutą w marmurze Karrara, na korzyść pogorzeli Krakowa, któryto materiał sam przez się 500 skudów (5000 złp.) kosztował. Grupa ta, licząc tylko wartość marmuru i kamieniarskiej pracy, oszacowaną być może na 1000 czer. zł. — Komitet pogorzeli posiada także trzy zbiory numizmatyczne monet i medalów, między któremi zbiór ofiarowany przez Franciszka hr. Wodzickiego, blisko 12,000 złp. wartujący, jest najcenniejszy. Te i inne przedmioty sztuki starożytności, oraz złożone książki, będą puszczone wraz z innemi kosztownościami przez loteryą na korzyść pogorzalców.

— W Wiedniu pracują obecnie nad ułożeniem słownika porównawczego dziesięciu głównych języków monarchii.

— Biblioteka uniwersytecka we Lwowie, została zubożona darem zmarłego hr. Borkowskiego, wynoszącym do kilkunastu tysięcy książek. Dotąd zakład ten jest dla publiczności nieprzystępnym.

— Kilku artystów polskich w Paryżu, a mianowicie Oleszczyński i Kwiatkowski, odznaczają się niepospolitym talentem. Nagrobek *Chopina*, powierzony jednemu z pierwszych snycerzy francuzkich, był wykonany tak niedbale, że familia przyjąć go nie chciała; kiedy tymczasem nagrobek dłuta Oleszczyńskiego, jest ozdobą cmentarza.

— Brak w Krakowie dobrych, a przynajmniej znośnych litografii, zastąpił nowo otwarty zakład pana Czerchy, z którego wyszło już kilka prób, wróżących dobrą przyszłość dla tej litografii.

— Professor historii powszechnej przy uniw. lwowskim dr. Wacholz, stara się o założenie w tej stolicy historycznego seminarjum, mającego na celu kształcenie zdolnych professorów dla galicyjskich gimnazyj.

(Nadesłano).

... „Dowiedziałem się z radością, że w tych czasach drukarnie wydały kilka polskich utworów: ucieszyło to zarówno wszystkich, dla których poecie są książki polskie. Wyszły: Poezye *J. B. Zaleskiego*; *Marya Matczeskiego*; Powiastki i gawędy; Szwedzi w Polsce przez autora *Anny*; Ostatni z Siekierzyńskich, *J. I. Kraszewskiego*, oraz *Pisma Henryka hr. Rzewuskiego*, jakoto: *Śmigielski*; *Teofrast polski*; *Wędrowki umysłowe*; *Nie-bajki*; a to wszystko tak pięknie drukowane, że aż miło oka dołożyć. I rzeczywiście, nigdy wartość zewnętrzna pod względem typograficznym, nie była w większej harmonii z wartością wewnętrzną czyli treścią”.

„Wydawca książek wyżej wymienionych przygotowuje nadto jeszcze przedruk dzieła: *Monumenta Regni*, do którego udało mu się nabyć tablice *Stachowicza*”.

„W rodzaju ozdobnych wydań księgarskich, zabiegły wydawca zamierza ogłosić: *Podróż krajobrazową po dawnej Polsce*; coś podobnego do *Świata Malowniczego Didotów*, co wytwornością przypominać będzie w podobnym rodzaju wydania angielskie”.

† W Krakowie, dnia 16 lutego b. r. umarł Konstanty Majeranowski, niegdys wydawca *Pszczółki* i kilkoletni redaktor *Gazety Krakowskiej*, *Gońca* i innych pism, autor kilku znanych dzieł dramatycznych, z których *Urszula Majeryn* i *Rej z Nagłowic*, w ostatnich latach wystawione na teatrze krakowskim, zyskały powszechny poklask. Wreszcie autor kilku powieści, a za czasów Rptej cenzor rządowy.

† W Krakowie, dnia 6 lutego b. r. umarł Apoloniusz Tomkowicz w 47 roku życia, znany z wielu pism w zawodzie historycznym, drukowanych w dziennikach i zbiorach literackich. Zajmował się zmarły szczególnie dziejami dawnych księstw oświęcimskiego i zatorskiego, w których zamieszkiwał. Zostawił piękny księgozbiór i materiały do historii wspomnianych księstw, oraz wiele wykończonych artykułów.

† W dniu 28 lutego (12 marca) b. r. umarł w miasteczku Cudnowie, w gub. wołyńskiej, Jan Barszczewski, Białorusin, znany w naszej literaturze z rozmaitych pism prozą i wierszem. Żył lat 61.

† Dnia 5 października 1850 roku, w Zwierzyńcu w pow. zamojskim umarł Marcell Skotnicki. Żył lat 35.

Redakcja Biblioteki Warszawskiej



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Marzec, 1851.

Marzec 1851.

Dostrzeżenia w Obserwatorium Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza
czyli w łuku 18°41'25,45" na wschód

jego szerokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1^h 14^m 45^s,7
względem południka paryzkiego.

Dnia	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stusstopniowy				WISZYCHROMETR wilgotność na 100 cz. sredn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
	6	10	4	10	6	10	4	10		6	10	4	10	6	10	4	10	dé-	śnie-
	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. r.	god. r.	god. w.	god. w.	sztu	cu
1	751.93	751.22	748.39	745.34	-13.0	-7.8	-3.8	-5.6	89.5	pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	—	—	PdZ.	Pd.	7.8	
2	743.25	743.90	746.98	750.49	-5.9	-6.2	-4.2	-10.6	91.7	pochmurny	napót pog.	pr. pochm.	pogodny	—	—	—	Pn.	7.8	
3	753.18	753.11	747.81	739.10	-19.1	-13.9	-6.5	-7.1	—	pogodny	pogodny	pochmurny	śnieg	—	—	PdZ.	PdZ.	3.2	
4	736.77	738.40	740.68	741.38	-3.7	-2.7	-4.8	-8.1	—	napót pog.	pogodny	pochmurny	pogodny	—	PnZ.	PnZ.	PnZ.	3.2	
5	742.46	742.70	740.28	735.42	-8.5	-6.0	-1.3	-3.3	95.7	lek. pochm.	pogodny	pochmurny	pochmurny	Z.	—	—	Pd.	3.2	
6	729.65	730.35	732.36	738.30	+0.1	+1.7	+0.9	-3.8	96.0	pochmurny	pochmurny	śnieg	pogodny	Pd.	PdZ.	—	—	15.8	
7	740.33	742.58	745.12	748.19	-9.0	-5.0	+1.2	-3.6	91.1	pogodny	pogodny	pogodny	mgła	—	—	—	—	15.8	
8	751.51	752.96	754.30	756.38	-3.9	-3.3	-2.6	-4.0	94.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.	15.8	
9	756.34	757.12	756.28	757.25	-6.9	-5.0	+0.4	-7.2	91.8	pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	—	—	PdW.	PdW.	15.8	
10	756.82	756.28	754.68	754.65	-6.9	-3.0	+2.3	-1.2	90.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	—	PdW.	PdW.	PdW.	15.8	
11	755.11	756.27	756.91	758.16	-2.0	+1.7	+2.7	-2.0	83.5	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	—	15.8	
12	758.27	758.46	751.01	754.88	-1.6	+3.1	+1.3	-2.3	89.0	pogodny	pr. pochm.	lek. pochm.	pogodny	—	PdW.	PdW.	PdW.	15.8	
13	752.09	751.75	750.20	752.20	-4.7	+0.6	+4.4	-0.9	86.5	pogodny	pogodny	lek. pochm.	pogodny	PdW.	Pd.	—	PdW.	15.8	
14	752.20	752.93	753.57	753.22	-4.0	+0.3	+4.5	-0.7	—	pogodny	pogodny	pogodny	pggodny	—	PdW.	PdW.	PdW.	15.8	
15	753.28	754.28	754.06	753.54	-2.3	+1.2	+2.0	-2.3	91.3	pogodny	lek. pochm.	pogodny	pogodny	PdW.	Pd.	—	Pd.	15.8	
16	752.51	752.14	749.76	748.82	-4.9	-0.6	+6.5	-0.6	96.7	pogodny	pogodny	pogodny	pr. pogod.	—	PdW.	PdW.	—	15.8	
17	748.76	748.93	747.69	746.81	-0.4	+4.3	+7.7	+0.4	86.0	pogodny	pogodny	pochmurny	pogodny	—	—	Pd.	—	15.8	
18	745.30	745.40	744.07	745.21	-0.9	+3.2	+4.9	+1.2	92.5	pr. pogod.	napót pog.	dészcz drob.	mgła lekka	PdZ.	—	—	—	8.3	
19	744.81	743.14	739.33	739.63	+0.4	+3.2	+4.0	+1.7	80.5	pochmurny	pochmurny	dészcz drob	napót pog.	PdZ.	Pd.	Z.	PnZ.	8.5	
20	744.22	744.72	740.24	741.17	+0.6	+2.3	+5.0	+5.4	86.5	napót pogd.	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PdZ.	Pd.	PnZ.	8.5	
21	743.83	744.60	744.28	743.62	+2.5	+3.1	+3.9	+2.7	96.8	pochmurny	pochmurny	dészcz drob.	pochmurny	—	—	—	PdW.	22.0	
22	742.82	742.22	740.76	742.89	+1.2	+5.1	+12.6	+5.7	91.2	mgła	pogodny	pochmurny	pogodny	Pd.	PdW.	PdW.	Z.	22.0	
23	744.39	744.62	743.82	743.92	+2.9	+4.9	+13.1	+6.2	89.3	mgła	mgła	pogodny	pogodny	—	PdW.	W.	—	22.0	
24	743.24	743.16	743.22	746.34	+4.9	+12.4	+17.4	+8.9	65.7	pogodny	lek. pochm.	napót pog.	pogodny	—	PdW.	PdW.	—	22.0	
25	748.27	748.95	747.32	746.96	+6.0	+9.5	+14.1	+7.2	83.8	mgła	—	lek. pochm.	pogodny	—	Pn.	—	—	22.0	
26	746.99	748.04	747.79	747.86	+5.7	+7.1	+11.0	+3.8	84.5	lek. pochm.	lek. pochm.	pogodny	pogod. mgła	Z.	Z.	—	PnZ.	1.7	
27	746.80	746.41	745.34	747.45	+4.8	+9.5	+13.1	+5.5	79.5	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	Pd.	—	—	—	4.2	
28	745.50	742.55	739.65	739.68	+2.7	+9.0	+8.2	+6.0	85.2	pogodny	napót pog.	napót pog.	dészcz	PdZ.	Pd.	PdZ.	PdZ.	3.2	
29	743.46	745.08	743.78	740.33	+3.7	+6.3	+8.4	+7.4	77.5	pochmurny	pr. pochm.	napót pog.	pochmurny	Z.	PdZ.	PdZ.	Pd.	0.6	
30	735.78	737.66	739.47	743.03	+9.4	+9.4	+8.4	+4.0	81.5	pochmurny	pochmurny	dészcz drob.	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	Z.	2.3	
31	743.63	744.39	743.42	741.06	+1.4	+7.4	+9.7	+4.7	87.8	napót pog.	napót pog.	pochmurny	dészcz	PdZ.	Pd.	Z.	Z.	2.3	
Śre.	746.886	747.236	746.373	746.654	-1.66	+1.63	+4.64	+0.18	88.18									63.3	26.8

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	746.780	27	7.044
Najwyżej dochodził — d. 12 o g. 10 r.	758.46	28	0.222
Najniżej — — d. 6 o g. 6 r.	729.65	26	11.451
Średnia zmiana dzienna barometru	4.048		1.752
Największa zmiana dzienna barometru d. 3—4 o g. 6 r.	16.41		7.285
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	2.10		0.931
Średnia temperatura Marca wynosi: +	1.922 C.	+0.96	R.
i ta jest wyższa o	0.584 „	0.451 „	„
od stanu normalnego z 25 lat po- przedzających	+ 0.636 „	+ 0.509 „	„
Największe ciepło dochodziło d. 24 o godz. 4 popołud.	+ 17.6 „	+ 14.08 „	„
Największe zimno dochodziło d. 3 o godz. 6 rano.	— 19.1 „	— 15.28 „	„
Termometrograf wskazał:			
Maximum: + 15.1 R. d. 24 po połud.			
Minimum: — 15.3 „ d. 3 rano			
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.762 „	2.209 „	„
Największa zmiana dzienna d. 3—4 o godz. 6 rano.	15.4 „	12.32 „	„
Wody z deszczu spadło wysoko na 63,3 milim., czyli 28,05 lin. par.; z śniegu 26,8 milim., czyli 11,9 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 90,1 milim. czyli 39,95 lin. par., t. j. o 24,05 lin. par. więcej, niż w stanie normalnym.			
Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 88,18 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do cięż- aru, 5,12 gramów na jednym metrze sześciennym powie- trza. Wilgotność ta jest o 1,3 większa niż w stanie nor- malnym.			
Dni pogodnych było 7, napót pogodnych 11, pochmurnych 13.			
— deszczu 9 (d. 18, 19, 20, 21, 26, 27, 28, 30, 31).			
— śniegu 6 (d. 1, 2, 3, 4, 5, 6).			
— mgły 8 (d. 7, 18, 19, 21, 22, 23, 25, 26).			
Wiatr panujący: Południowo Wschodni.			
Wichrów 2: PdZ. i Z., wiatrów mocnych 5 PdZ=3; Pd=1; Z=1.			
Marzec r. b. w pierwszej połowie był mroźny i śnieżny; w dru- giej ciepły, lecz stotny i mglisty; w ogóle pogodniejszy i blisko o pół stopnia cieplejszy jak zwykle. Najcieplejsze dni były d. 23, 24, 27; najzimniejsze d. 1, 2, 3. Od dnia 18 deszcze padały czę- sto i obficie.			
D. 1 i 4; świeciła Zorza Zodyakalna.			
D. 2, 3, 9, 14, 15, 16, 17, i 22 pokazywały się plamy na słońcu, z tych jedna d. 14 była tak wielka, że ją przez szkło ciemne nie powiększające widać było.			
D. 20 o godz. 6 wieczorem, lody na Wiśle powyżej mostu ru- szyły.			
D. 22 przy wysokości wody stop 12 cali 2, lody jeszcze płynęły.			

POSZUKIWANIA

DO HISTORII ROLNICTWA KRAJOWEGO.

Część druga.

Rodzaje ludności rolniczej. — Własność i dzierżawa. — Pańszczyzny i czynsze. —
Postęp pańszczyzny z wydziałowej na tygodniową. — Różnice urzędzenia wsi
w XIII i XIV, a XV i XVI wieku.

Aby poznać stosunki naszego dawnego rolnictwa, zwróciliśmy na-
przód uwagę na podział ziemi pod względem rolniczym, i na zmia-
ny w tym podziale z kolejną czasów zachodzące. To jednakże
było jedną tylko stroną przedmiotu. Aby go dokładnie poznać,
potrzeba rozpatrzyć się, kto posiadał ziemię, czyli poznać rodza-
je i klasy ludności rolnictwu oddanej; poznać dalej warunki po-
siadania ziemi, ciężary publiczne i prywatne do niej przywiązane.
Ziemia jest tylko warsztatem rolniczym; trzeba jeszcze znać lu-
dzi około tego warsztatu krzątających się, warunki pod jakimi
ten warsztat istnieje i ruch swój odbywa, ciężary jakie ponosić
musi; wreszcie stosunki wzajemne, jakie rozmaitych pracowników
łączy. Wszystko to łączy się i wpływa na losy samego rolnictwa.
Niedosyć jest, aby ziemia była żyzną z przyrodzenia, tak lub ina-
czej rozdzielona; jeżeli brakuje podstaw pewnych, byt rolnika ubez-
pieczających; jeżeli wzajemne stosunki pomiędzy sobą osób rol-
nictwem się trudniących, nie są ustalone; jeżeli tłumaczenie umów
i zobowiązań wzajemnych, dowolności strony jednej lub obu-
dwóch zostawione: ważne ztąd wyrosć mogą skutki dla ogólnego
stanu rolnictwa. Ciężary znowu i powinności gruntowe, wpra-
wdzie z natury swojej zmienne i regulujące się zwykle do ludno-
ści kraju, obfitości pieniędzy, stosunków handlowych, wartości

produktów rolniczych, mogą być, ze względu na te okoliczności, zbyteczne, umiarkowane lub małe; w każdym z tych przypuszczeń, wywiązują się odmienne stosunki, na położenie rolnictwa wpływające.

Rodzaje ludności rolniczej, ich stosunki wzajemne, warunki posiadania, mogą być nader rozmaite. Jak na szachownicy, tak na ziemi rolnictwu oddanej, ludzie rozmaicie mogą się ustawiać, rozmaite mieć prawa i warunki swego ruchu, a wypadek zawsze będzie odmienny.

Mogą być wielcy, średni, drobni posiadacze rolni; mogą posiadać ziemię tytułem własności, dzierżawy wieczystej, czasowej krótko lub długotrwałej; dzierżawa może być opłacana w czynszach pieniężnych, ziarnie, pewnej ilości roboty albo dni roboczych. Część ludności rolniczej względem drugiej jej części, może być w stosunkach póddaństwa z tytułu posiadania ziemi; albo téż ich stosunki mogą się opierać na dobrowolnej stron obydwóch umowie. Te umowy znowu mogą być różne wedle potrzeb i zwyczajów. Takie różnice mogą istnieć w ciężarach publicznych, jak w stosunkach prywatnych pomiędzy różnymi klassami rolniczemi. Mogą być w pieniądzach, naturaliach lub robocie. Jedne klasy mogą ponosić odmienne od drugich, lub zupełnie być od nich wolnemi. Rzadko się zdarza jeszcze, aby te różnice, które wskazaliśmy, nie mieszały się w rozmaite kombinacye. Najczęściej jeden system nie jest wyłącznie przyjętym, ale różne, z mniejszą lub większą przewagą, obok siebie zajmują miejsce. To tworzy znowu liczne urozmaicenia; a każda z nich wywiera wpływ oddzielny i sobie właściwy.

W jaki sposób każda z tych różnic w stosunkach osób, posiadania ziemi, ciężarów i powinności wpływa na taki lub odmienny stan pewnej klasy rolniczej, jednej z gałęzi rolnictwa lub na jego ogół, nie myślimy nad tém się zastanawiać; chcieliśmy tylko wskazać w ogólnych wyrazach, że względ na to jest ważnym i prawie niezbędnym, kreśląc obraz rolnictwa jakiegobądź kraju, gdyż różnice te wpływ wywierają na losy jego, i położenie pewnej epoki objaśniają.

Rzeczywiście rolnictwo może podnosić się lub upadać, w miarę jak przechodzi w ręce rolników ubogich i nieukształconych, lub zamożnych i oświeconych; w miarę jak własność ustala się i ubezpiecza; w miarę jak zmieniają się kontrakta dzierżawne; jak powiększa się lub zmniejsza liczba właścicieli. Może podnosić się

lub upadać w miarę jak praca uwalnia się z więzów sztucznych; lub nowe na nią są wkładane; w miarę wreszcie, jak natura opłat gruntowych zmienia się stosownie lub niestosownie do położenia i okoliczności, na pieniądze, zboże lub robociznę, bez względu na pracowitość, moralność i przemysł ludności rolniczej; na obfitość pieniędzy i ceny produktów.

Wprawdzie, praktyczne rolnictwo mniej na to wszystko zwraca uwagi. Zadaniem jego jest z danej przestrzeni ziemi wyciągnąć jak największą czystą intratę. Na tém zadaniu zwykle się ogranicza. W tym zakresie nawet pozostaje mu jeszcze obszernie pole do ważnych i pożytecznych odkryć i spostrzeżeń. Ogólną organizacją posiadłości ziemskich uważając za rzecz daną, stosunki osób, rodzaje powinności za opisane i ustalone prawami i zwyczajami, niezawsze potrzebuje zatrzymywać się nad przedmiotami, w jęj wyłączne zadanie niewchodzącemi. Sądzimy jednakże, że to, na co mniej ma powodów zwracać uwagę rolnictwo praktyczne, nie może być obojętném dla historii rolnictwa. Historia każda, a zatém i historia rolnictwa, pod tym warunkiem tylko może być użyteczną i nauczającą, jeżeli nie ogranicza się na samém zebraniu faktów, ale bada przyczyny i skutki.

Jest wiele przyczyn upadku lub wzniesienia się rolnictwa, które bez rozważenia stosunków i położenia różnych klas rolniczych, bez rozpatrzenia się w warunkach posiadania ziemi i ciężarach do niej przywiązanych, byłyby rzeczywistą zagadką. Dlatego na ten przedmiot zwrócimy teraz nasze poszukiwania, nie sądząc, abyśmy odstępowali od zamierzonego celu.

I.

Od czasu, w którym stosunki wewnętrzne krajowe zaczynały rysować się w wyraźniejszych kształtach, to jest od wieku XII, spostrzegamy różne i liczne rodzaje posiadaczy ziemi. Znikły i zatarły się ślady dawniej wspólności gminnej przedchrześcijańskiej, i śladów jęj dopatrzeć się nie można. Własność prywatna pojedyncza pokazuje się wyraźnie i dobitnie. Monarchowie, książęta nadają *jus haereditarium*, a lubo niekiedy ograniczają nadania pewnemi obowiązkami: to służby wojennej, to opłat pieniężnych, natomiast nadają znowu niektórym moc sądenia, rządzenia, władania, prawie równą swojęj. Takież same nadania otrzymuje duchowieństwo. Tym sposobem powstają własności

prywatne, i właściciele ziemscy wyżsi nad prawo i bezwarunkowi. Ale takie wyjęcia z pod prawa ogólnego zyskiwało tylko wyższe rycerstwo i duchowieństwo. Właściciele na prawie dawném polskiem dzierżą ziemię z licznemi obowiązkami i ciężarami książęcemi, czyli publicznemi. Stosunek tych właścicieli do reszty ludności rolniczej, do samej ziemi, jest raczej zwierzchnictwem, jak czystem prawem własności. Zwyczajem, jeśli nie wyraźne przepisy prawa, oddają posiadanie ziemi różnym klasom rolniczym, które najliczniejsze powinności i ciężary względem państwa albo monarchy ponoszą. Obok tych niewiele pozostaje miejsca dla ciężarów i powinności dominialnych. Prawa więc i dochody właścicieli, o ile nie są w stanie wyjątkowym, zdają się być ograniczone. Ale nadania wyjmujące z pod ogólnego prawa, coraz się więcej szerzą. Nowe osady zakładają się na nowych prawach. Czyste dziedzictwo ustala się z czasem. Ciężary publiczne powoli się zmniejszają, a właściciele zyskują korzystniejsze warunki z oddawaną pod uprawę ziemi. O ile państwo, a raczej monarchowie ustępują swoich praw i korzyści, o tyle prawo własności staje się rozciąglejszem i korzystniejszym.

Następujące spotykamy w XII wieku rodzaje posiadaczy ziemi: monarchę, prałatów świeckich, zakony i klasztory; panów, szlachtę, rycerstwo; posiadaczy osad rycerskich (*praedium militare*) części dziedzicznych (*sortes haereditarias*) łąnów wolnych; dalej rozliczną ludność rolniczą różnie nazywaną i pod różnemi obowiązkami ziemię posiadającą.

Najdawniejsze dyplomata ludność tę nazywają: *incolae, inhabitatores, possessores, obnoxii, rustici, coloni*, albo poprostu *homines*. Jeden z dyptomatów XII wieku wyraża się: *conferimus eam (villam) cum familiis suis*; niektóre używają wyrazu *haeredes*. W owym wieku rzadko się spotykamy z wyrazem kmieć; w XIII dopiero wieku staje on się częstszym, a w XIV powszechnym. Zdaje się, iż jakiś czas nie mógł wejść do ówczesnej łaciny; z czasem dopiero odważono się w łacinę wcielać i końcówkę dodawać właściwą wyrazom polskim; wprzód próbowano stosować łacińskie i obce nazwy różnego rodzaju rolnikom. Ztąd ta rozmaitość nazwisk. *Praedium militare, sors haereditaria* znikły zdaje się wprzód, zanim się język polski ustalił w użyciu piśmiennym i prawodawczym; dlatego na nie nie spotykamy właściwej polskiej nazwy.

Pod względem osobistych stosunków ludności rolniczej, najogólniejszy jej podział zdaje się być na wolnych i niewolnych

(*liberi, illiberi*). Ostatnich nazywają często dyplomata *ascriptiti, originarii, obnoxii*. Niektóre jeszcze mówią o niewolnikach (*servi*) i zdają się odróżniać ich od *ascriptitiów*.

Ze niewolnicy (*servi*) mogli powstać z branców wojennych jest bardzo prawdopodobnem. Wielu kronikarzy krajowych i obcych wspomina o zaborach jeńców i obracaniu ich do uprawy roli. Kadłubek opisując zwycięstwa Bolesława III (1), Gallus (2), Długosz (3) świadczą o frymarczeniu niewolnikami i osadzaniu ich na gruntach. Ostatni powiada o wielkiem mnóstwie pojmańców (Prusaków), któremi pustynie obsadzono, i że za jego czasów jeszcze nazwiska narodu, z którego wyszli, nosili (4). Toż samo potwierdza Bielski (5). Aby tym jednak nadano nazwę *ascriptiti*, aby to miało jedno i to samo znaczyć, lub *ascriptiti* powstać z jeńców wojennych, trudno w tém podzielać zdanie Bandtkiego i Naruszewicza. Nazwa *ascriptitiów* nadawana była nazbyt znacznej części ludności rolniczej, iżby można przypuścić, że z niewolników i branców wojennych powstać miała. Inny więc musi być początek jednych, a inny drugich. Jak się jednak tworzyły, jak powstawały różne rodzaje ludności krajowej, nie należy do naszego przedmiotu. W późniejszych czasach wyraz *servus* używany jest tylko w znaczeniu służebnego.

Jaka była różnica pomiędzy *ascriptitiami* a *originariami*, wyjaśnia Długosz (6). W ogólności wyraz *originarii* nieczęsto się spotyka w pismach źródłowych; wyraz *ascriptiti* jest częstszy, mianowicie w wieku XIII. Zdaje się, iż nim oznaczano wszelką ludność rolniczą, na zawsze lub pewne lata do ziemi przywiązaną, a z kondycyi swój do ludności wolnej nie liczącą się. W XIII i XIV wieku upowszechnia się, jak powiedzieliśmy, wyraz *kmetho* na oznaczenie rolnika, i zastępuje inne; lubo i dawne gdzieniędzie się jeszcze plątają. Ale wprowadzenie tego ogólnego nazwiska

(1) Edy. lip. 112. (2) S. 82. (3) I. s. 109, 115, 183, 197, 368. Ditmar, s. 129. Bandtkie: His. pr. pol. s. 89.

(4) Str. 405. (5) T. 1. s. 253, „Jakoż jest wiele wsi w Polsce co je Prussy zowią”. (6) Wspominając o darowiznie kasztelanii Chropy (później Pabianice) w ziemi sieradzkiej pod r. 1086 mówi: „cum hominibus ascriptitiis qui per 30 annos fuerunt in manuali possessione vel qui astricti sunt glebae soli propria professione et originariis qui ex ascriptitis nati, in ipso solo glebae coaluerunt et cum servitutibus eorum et tribulis quae consistunt in frumentis, melle, pellibus mardurinis, Band. Hist. P. P. s. 90.

w miejsce mieszaniny nazwisk dawnych, nie zacierają różnicy rolników wolnych i niewolnych.

Trudno jest dzisiaj oznaczyć, jaka była właściwie różnica pomiędzy ludnością rolniczą wolną i niewolną. Jedni jak drudzy zarówno zamieszkiwali włości, pomieszani z sobą (1). Zarówno jednych jak drugich niektóre nadania uwalniają od sądów kasztelańskich (2), inne od danin i powinności osobistych (3). Jedni jak drudzy zarówno mogli posiadać ziemie dziedziczne (4). Zdaje się, iż najogólniejsza różnica była w używaniu wolności osobistej i prawa swobodnego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Musiały jednakże zachodzić pewne różnice pod względem sądownictwa i niektórych obowiązków publicznych, gdyż o nich wspomina przywilej z r. 1239 (5). Można także wnosić, iż wolni (*liberi*) nie będąc żadnymi osobistymi obowiązkami krępowani, dobrowolnymi tylko umowami brali zobowiązania.

Ta to część ludności nadawała życie i ruch ówczesowemu rolnictwu, i wraz z obcymi kolonistami zakładała nowe osady, wole, jak świadczy przywilej z r. 1293 (6). W owym czasie, kiedy niektóre nadania dawały moc zbiegłym *ascriptitiów*, wszędzie gdzieby się znajdowali imać, więzić i jakoby za karę w niewolę obracać (7), ludzie wolni byli prawdziwą dźwignią, wznoszącego się na nowych zasadach rolniczego porządku, ważną wskazówką, w czem dawny poprawę potrzebuje i gdzie lekarstwo znaleźć może.

Powiększono liczbę ludzi wolnych przez przejście prawa niemieckiego, a ztąd powstały dwa nowe rodzaje ludności rolniczej: osadnicy (*coloni*), kmiecie pod prawem niemieckim będący, równający się ludności wolnej, i sołtysi, właściciele dziedzicni, ale do pewnego stopnia pod zwierzchnictwem właścicieli głównych będący.

Oprócz powyższych rodzajów ludności rolniczej, spotykamy jeszcze wzmianki rzadkie w końcu XIII i XIV wieku o hortulanach,

(1) K. D. War. T. 1. nr. 39, r. 1252. „Et ut nostra libertas clarius elucescat, volumus ut incolae dictarum villarum, tam liberi, quam alii”; ibi nr. 40 r. 1252 „Statuentes jure perpetuo ut homines eidem ecclesiae, tam *ascriptitii* quam liberi”.

(2) Ibi: „tam *ascriptitii* quam liberi, pro quacunque causa nullatenus debeant ad praesentiam Castellani Vislic. provocari”. (3) Ibi nr. 45 r. 1256: ut incolae, ejusdem villae, cujuscunque conditionis *ascriptitii* seu liberi ab omni exactione et vexatione praediali penitus sint immunes”. (4) Ibi T. II, nr. 101 r. 1273. (5) Ibi. T. II nr. 24. (6) Ibi T. I. nr. 83 r. 1293: *Constitutimus auctoritatem locandi... cum Theutonicis et liberis Polonis*. (7) Ibi T. I, nr. 76 r. 1291.

mniejszą rozległością posiadanej ziemi różniących się od innych rolników, ale zwykle czynszowych. Musiał ten rodzaj ludzi być nieliczny jeszcze za czasów statutu wiślickiego, bo nadania rzadko o nim mówią, a statut zupełnie zamilcza. W aktach publicznych pierwszy raz zjawia się około połowy XV wieku (1).

Przy nierozwiniętym systemacie wielkiej folwarcznej uprawy i małej wartości ziemi, chętnie zdaje się rozdawano ją pod pewnymi obowiązkami nawet ludziom służebnym. Oprócz osad i ról łowieckich, bartniczych, rybackich, spotykamy od najdawniejszych czasów karczmy z rolami, młyny opatrzone gruntami, a nawet koniuszych, pokojowych, zakrystyanów, kucharzy i t. p. osadzonych na rolach (2).

Statut wiślicki pomija wszystkie różnice liberów, illiberów ascriptitiów, servów, a nato miejsce wprowadza ogólną nazwę *rustici, villani seu kmethones* i o nich tylko mówi. Tych rozróżnia na osiadłych na prawie niemieckim, na osiadłych na prawie polskim i na osiadłych na wolach.

Kiedy wszystkie ciężary i powinności z prawa polskiego płynące za Ludwika zniesione zostały; kiedy Władysław Jagiełło w Czerwińsku r. 1422 (3) wyrzekł „iz niestosownie, aby poddani jednego monarchy różnego nzywali prawa”, a wszystkim i każdemu z osobna nakazał, aby w sądach ziemskich szukali sprawiedliwości; kiedy prawo niemieckie chylić się, a sama ludność jemu uległa opuszczać go zaczęła, dlatego: iż było niekiedy surowsze, niezawsze dość znane i oznaczone, a mianowicie pozbawiające opieki dominialnej w chwilach klęsk i upadku; kiedy soltystwa coraz częstszemu ulegać zaczęły skupowi, jako niepożyteczne i władzy sądowniczej pozbawione (4); kiedy przyplływ obcych osadników ustał, wole nowe mniej często były zakładane,

(1) W XIII i XIV w. znajdujemy o nich wzmiankę w kilku dyplomach: u Nakielskiego w Miechowie, u Długosza w *liber benefici*. W XV w. jest mowa o nich w przywileju Wład. Jagieł. w Jedlnie 1433 i w Taxie pod. Kaz. Jagell. (2) Kod. dy. wa. T. I. r. 1145. „Szechowo cum cocis, Irgowo cum sanctuariis et stabulariis, Grabonowicz cum camerariis, Zlauscho cum piscatoribus” etc.

(3) Vol. Leg. I. s. 84. (4) Najwięcej soltystw zostało skupionych w XV i XVI wieku, jak przekonywają dypl. oryg. w metry. sekret. Główn. Archiw. W r. 1457 Zygmunt I dał pozwolenie Bonie wykupienia wszystkich soltystw i wójtostw do stołu królewskiego przynależnych i używania ich dożywotnie. M. S. A. G. nr. 315.

a system większej uprawy upowszechnić się zaczął: zacierają się powoli wszystkie różnice i odmiany ludności rolniczej, tylko rozległość posiadanej ziemi, wysokość czynszu i powinności mogły jeszcze różnicę pomiędzy nimi stanowić. Mogła jeszcze być wątpliwość: czy są tacy, którzy ziemię posiadają dziedzicznie, ale i to późniejsze prawodawstwo usunęło.

Jak więc w stanie rycerskim znikają rozróżnienia *baro, comes, miles famosus, scartabellus, miles creatus de sculteto aut kmetthone*, tak w klasie ludności rolniczej nastąpiło porównanie czyli koekwacya obowiązków publicznych, praw i nazwisk. Odtąd w prawodawstwie jest tylko mowa o kmieciach, których różne obowiązki miejscowe różnią.

III.

Jak różne były podziały ziemi, i różne rodzaje jej posiadaczy, tak niemniej różne tytuły i warunki pod jakimi ziemię dzierżyli. Były wielkie, średnie i małe posiadłości; te rozdrabiała się, zrasła w większe i mniejsze naprzemian. Pod jednym właścicielem często gnieździła się gromada rozmaitego rodzaju posiadaczy. Na jednej dziedzinie duchownej lub świeckiej spotykamy nieraz części dziedziczne, osady rycerskie (1), sołtystwa, łany wolne, zamieszkałe przez wolnych i niewolnych, kmieci, kolonistów, dziedzicznych i czynszowych ludzi; oprócz karczmarzy, młynarzy, łowczych, rybaków, bartników i t. d.

Tak w dobrach monarszych jak prywatnych, urządzano osady albo folwarki wedle potrzeby i stosunków miejscowych. Ponieważ początkowo przeważał system kolonizacyjny i czynszowy, więcj urządzano osad, jak folwarków. Tu zakładano je na czynszach, tam na sepach, gdzieindziej na pewnych daninach. Tu nakładano daninę miodową, gdzie miejscowość do tego przemysłu zachęcała; tu obowiązki łowieckie, tam rybackie, (gdzieindziej wkładano obowiązek pilnowania i łowienia bobrów. Tym sposobem wszystkie gałęzie przemysłu rolniczego rozkwitały, i tworzyła się korzystna, a zarazem zajmująca różnaitość, zarówno przyjazna różnym skłonnościom i usposobieniom ludzi, jak zyskownemu ciągnienu intraty z ziemi.

(1) P. Maciejowski w Rocznikach i Kronikach mówi, iż osada czyli udział rycerski zawierał w sobie 4 łany. Str. 231.

Z téj rozmaitej ludności, tak różnobarwną mozajkę składającą, jednych źródła historyczne nazywają czynszownikami (censuales), innych posiadaczami (possessores), innych wreszcie dziedzicami (hæredes). Oprócz osad rycerskich (prædium militare), części dziedzicznych (sortes), sołtystw, łąnów wolnych, które niewątpliwie były własnościami niezawisłemi, spotykamy jeszcze wzmianki o innych drobnych własnościach.

Przywilej z r. 1105, jakkolwiek wątpliwy, ale jednak za ważne źródło historyczne uznany, wspomina dziedzicznych posiadaczy w każdej włości, wyliczając ich po nazwisku (1). Nadanie fundacyjne klasztoru sulejowskiego z r. 1176 mówi: „His (villis) addimus Chennam cum hæredibus suis et Thadow” (2). W przywileju z r. 1255 czytamy: „salva tamén hæreditate hominum nostrorum ibi degentium” (3). Przywilej z r. 1273 mówi: „quod Rathek, Raden, Nezalec, et Radik homines nostri ascripti hæredes de Gacow” (4).

Co do pierwszego przywileju sprawiedliwą robi uwagę p. Maciejowski (5), iż kiedy tam powiedziano, iż ci właściciele albo wolni od ponoszenia ciężarów dla księcia, obowiązani są przecie płacić czynsz opatowi; tém samém dano poznać, że tu nie o właścicielach jest mowa, lecz o czynszownikach, niezupełną własność mających, kiedy z niéj czynsz płacili. Ta sama uwaga da się odnieść do ludzi w tymże przywileju niżej wyrażonych, pewne powinności osobiste odbywających; ale nie da się zastosować do innych wyżej przytoczonych przywilejów, w których nie masz mowy o powinnościach osobistych lub czynszach. Czemużby nie można przypuszczać, że skoro prawa nie wzbraniały nikomu posiadać i nabywać na własność ziemię, mogła częściowo, pojedynczo, lub w niektórych całych osadach, darowizną lub kupnem, stawać się własnością jéj mieszkańców. Tym sposobem mogli być pojedynczo lub włościami właściciele, których prawa nabyte szanowano. Że to nie było przeciwne ówczesnym wyobrażeniom i duchowi praw, widzimy z tego, że statut wiślicki nazywa posiadłości kmieci, na prawie niemieckim osiadłych, dziedzictwem; a statut Wład. Jag. z 1420 roku mówi o dziedzictwie kmiecém. Musiało to jednak nie być prawem ogólném,

(1) Hist. Mo. Tinec. s. 138. (2) Kod. Dy. Wa. no. 4. (3) Kod. D. W. T. II, no. 68. (4) Tamże no. 101. (5) Pamiętniki t. II, s. 191.

i zwyczajem uswieconém, bo kiedy Frycz Modrzewski dopomina się o to, aby kmięcie dziedzictwem ziemię posiadali, nie powołuje się na dawne prawa upadłe, lub zwyczaje, których odstąpiono.

Całą ludność po włościach prywatnych i monarszych, obejmowały wspólne powinności i ciężary publiczne z prawa polskiego płynące, odmienne w miarę miejscowości i umów, dlatego w tak liczne nazwiska przybrane, a ogółowo zwane *angaria* i *perangaria*. Bandtkie naliczył ich trzydzieści, dodał niektóre pan Maciejowski; objaśniali znaczenie ich Naruszewicz, Czacki, Maciejowski i Bandtkie. Nie będiem zabierali miejsca i nużyli czytelnika powtarzaniem tego, co w tój materji napisano.

Nadmienić tylko musimy, że z tych ciężarów i powinności z prawa pól płynących, widocznie jedne są publiczne i ciężyc mogły albo włości tylko monarsze, albo w ogólności wszystkie, jak np. pomocne, znaczące wszelki podatek, datek; naraz, które było powinnością myśliwską, przewód, podymne, pogoń, powołanie, podatek nadzwyczajny w dobrach monarszych. Inne były dominialne, niemniej w dobrach monarszych istniejące. Inne znowu sądowe. Niektóre z nich są wcześniejsze, inne późniejsze; jedne znoszono, inne zamieniano na pieniądze. Były nareszcie takie, które pojedynczo niektóre osady obowiązywać mogły, jak np.: lesne, mech czyli opłata od rybołówstwa, bobrownictwo i t. p. Byłoby więc błędem myśleć, jakoby wszystkie wszędzie obowiązywać miały; zawsze jednak były liczne i uciążliwe.

W miarę jak mnożyły się nadania i przywileje uwalniające prywatnych zpod angaryów i perangaryów, i jak prawo niemieckie się szerzyło, upadały powoli, pojedynczo, aż nareszcie wszystkie ustąpiły miejsca ogólnemu podatkowi łąnowemu (1).

III.

Posiadacze rolni po włościach monarchy, duchowieństwa i rycerstwa, o ile nie byli właścicielami wolnemi i nieobciążonemi

(1) Oprócz zwyczajnego podatku dwa grosze z łąnu przez Ludwika ustanowionego, na którym Kazimierz Jagiellończyk 1511 r. i z dóbr duchownych zobowiązał się poprzeżstawać, składano w nadzwyczajnych przypadkach pobory, podług pana Maciejowskiego od 6 do 12 gr., podług Lelewela od 8 do 15 gr. z łąnu, a które, jak Lengnich mówi (str. 425), niekiedy do 50 były podnoszone.

żadnymi czynszami i powinnościami, uiszczali się z dzierżaw swych w sposób rozmaity. Albo oddawano daniny w naturze, a to właściwem było osadom, które stałemu jakiemś zatrudnieniu były oddane, jakoto: łowiectwu, rybołóstwu, pszczolnictwu i t. p.; albo opłacano czynsze pieniężne; albo, co najczęściej spotykamy, obok czynszów pieniężnych oddawano pewne daniny lub sepy. Tam, gdzie folwarki istniały, co rzadziej się zdarza, oprócz czynszów i sepów, wyznaczano pewną ilość robót, rocznie i wydziałowo wykonać się mających. Osad czysto pańszczyznianych nie spotykamy nigdzie, równie jak pańszczyzny na dni w tygodniu oznaczonej. Zdarzają się jednakże i wsi na prawie niemieckiem osiadłe, mające pewne roboty sposobem wydziałowym oznaczone.

Wspomniany wyżej przywilój tyński z roku 1105 tak oznacza roczną robociznę: Mieszkańcy wsi do klasztoru należących mają: dwa domy postawić; każdy zosobna po pięć kop zboża użąć i zwieźć do stodół; po pięć wozów siana sciąć i zwieźć do tychże; podwoję do Tyńca odprawiać, ile razy potrzeba; dziesięcinę omłócić i do klasztoru odwieźć; cztery dni rocznie orać i włóczyć w najbliższym folwarku; z każdego gospodarstwa rocznie naczyć miodu i cztery *asperiole* oddawać. Wreszcie przywilój dodaje: *Item quidquid eisdem praecipitur laborant.*

Inny przywilój Mieczysława Star. z roku 1145 (1), oprócz daniny z żyta, owsa, pszenicy, naznacza rocznie mieszkańcom wsi do klasztoru Cystersów w Łędzie należących: użąć pięć kop zboża; trzy wozy siana; tyleż wozów zwieźć drzewa; dwa pnie sosnowe; przez trzy dni z familią zboże czyścić; jeden dzień młócić i trzy kity lnu oddać.

Jeden tylko znajdujemy przywilój u Sommersberga, w którym roboty nie są stale oznaczone, ale w ogólnych wyrazach jest powiedziane: „*Sed medio tempore ad servitium abbatis et claustris stabunt omnes in propriis expensis, quidquid ipsi praecipitum fuerit laborando*” (2). Być może, iż nie chciano przez to rozumieć robót polnych i folwarcznych, ale obsłużenie i opatrzenie potrzeb klasztornych.

Takie są najdawniejsze pomniki obowiązków pańszczyznianych. Kiedy za wstępem prawa niemieckiego system czynszowy i kolonizacyjny upowszechniać się począł i mnóstwo włości przeszło za tym przykładem, stare zwyczaje upadały. Te same do-

(1) Kod. Dy. War. T. I, n. 1. (2) T. I, s. 894, r. 1178.

bra do klasztoru tynieckiego należące, których ordynacją pańszczyzną dopiero widzieliśmy, poszły pod prawo niemieckie. „Po barbarzyńskim spustoszeniu Polski”, mówi przywilój Leszka Czarnego (1) „pozwalamy osiedlać wsie i miasteczka tegoż klasztoru na prawie niemieckim; ktokolwiek w nich osiadzie, używać będzie wolności lat 30 w lasach, 12 na zaroślach, 8 lat na polach“:

Jakkolwiek prawo niemieckie usuwało pańszczyznę, w niektórych jednakże nadaniach tém prawem, spotykamy zastrzeżone pewne roboty. Jeden z nich (2) dzień orki pod oziminę, dwa dni pod jarzynę w roku waruje. W innym (3) zastrzega sobie nadawca podwoły pod pewną ilość odstawić się mającego zboża. Byłyto jednak wyjątki od ogólnej zasady, bo w licznych nader nadaniach prawem niemieckim, które się dotąd zachowały, niewiele podobnych zastrzeżeń naliczyć można.

Co do wysokości czynszów i osepów zbożowych, liczne tego pozostały ślady; tylko różnaitość monet i nieznamość miar ówczesnych, robi pewne zamieszanie i porównanie utrudnia.

Przywilój Leszka księcia sieradzkiego z r. 1265, po 13 latach wolności, naznacza z łanu po wiardunku srebra, po dwie miary pszenicy, cztery żyta, a sześć owsa (4).

Przywilój tegoż Leszka z roku 1279 zamiast czynszu naznacza daninę z miodu w ten sposób: w pierwszym roku dwa naczynia; w drugim cztery; w trzecim sześć; w czwartym ośm; w piątym dziesięć; w szóstym dwanaście; w siódmym czternaście; w ósmym szesnaście; w dziewiątym osmnaście; w dziesiątym dwadzieścia, i tak zawsze po upływie lat dziesięciu co rok dwadzieścia naczyni (5).

Podobnym sposobem widzimy oddaną wieś Bartodzieje w roku 1298 na wieczność bartnikom, z warunkiem dawania na ś. Michał 24 urn miodu (6).

Przywilój Przemysława IIgo z r. 1284, po upływie 8miu lat wolności, oznacza czynszu i dziesięciny z łanu małego wiardunek srebra, sześć miar żyta, sześć miar owsa na miarę poznańską (7).

Przywilój z roku 1303 po wiardunku zwyczajnych denarów i po miarze pszenicy (8).

(1) His. Mon. Tinec. str. 162, r. 1288.

(2) Ko. Dy. War. T. II, Nr. 223, r. 1317. (3) Ko. Dy. War. T. II, Nr. 242, r. 1351. (4) Ibi. T. I, Nr. 51. M. A. Głow. k. 647. (5) K. D. W. T. I, N. 60. (6) Ibi T. II, N. 169. (7) Ibi T. I, N. 65. (8) Ibi.

Przywilej z roku 1346 nadający prawo lokowania wsi nad rzeką Lipnik, po 20 latach wolności oznacza czynsz po 8 skojców groszy, a w miejscu dziesięciny 6 skojców (1).

Przywilej z roku 1295 po 13tu latach wolności od czynszu, a 10 od dziesięciny, oznacza z łanu po wiardunku srebra, a za dziesięcinę dwie miary pszenicy, cztery miary żyta, sześć owsa (2).

Przywilej Gerwarda biskupa z roku 1317 po czterech latach wolności, naznacza czynszu pół grzywny toruńskich denarów, i dziesięcinę wytyczną (3).

Przywilej Trojana archi. z roku 1349 naznacza 8 skojców monety toruńskiej, dwa kapłony i dziesięcinę wytyczną (4).

Przywilej z roku 1351 oznacza po dwóch latach wolności czynszu po 15 skojców monety toruńskiej i dziesięcinę wytyczną. Za dziesięcinę ze lnu po skojcu. *Pro tribus etiam prandiis trium magnorum iudiciorum in anno cadencium, pro porco et agnellis et ovis sedecim scotos monetae usualis*, dodaje tenże przywilej (5).

Przywilej z tegoż jak powyższy roku, oznacza po sześciu latach wolności: 10 skojców denarów i 2óch kapłonów; jeden małdrał potrójnego zboża, to jest 2 miary pszenicy, 4 żyta i sześć owsa (6).

Przywilej z roku 1356 nadając prawo lokowania wsi Wola Piotrowa (*Libertas Petri*), po 14 latach wolności, oznacza: 8 skojców groszy; *tria prandia*, albo za każdy po wiardunku; za dziesięcinę sześć skojców (7).

Przywilej z roku 1369 naznacza z łanu grzywnę groszy; po 30 jaj na Wielkanoc; po 2 kapłony na Matkę Boską; na przybycie królewskie po dwie kury; za dni sądowe po wiardunku (8).

W przywileju z roku 1305 widzimy ustanowiony czynsz na 8 solidów brandeburskich (9).

Podobne ślady dawnych czynszów i sepów są bardzo liczne w dyplomatarjuszach. Przywiedliśmy tych kilka przywilejów dla przykładu, dla wskazania niejednostajności umów, różności monet i zapoznania się z przybliżoną wysokością tychże czynszów. Ponieważ grzywna liczyła 60 groszy pragskich albo czeskich lub 48 groszy polskich; przez wiardunek (*ferton*) rozumiano $\frac{1}{4}$ część grzywny; a pod nazwiskiem skojca (*scotus*) $\frac{1}{24}$ część grzywny; po-

(1) Ibi. (2) Kod. Dyp. War. T. II, Nr. 150. (3) Ibi Nr. 223. (4) Ibi Nr. 289. (5) Ibi Nr. 292. (6) Ibi Nr. 293. (7) Ibi T. I, Nr. 121. (8) Ibi Nr. 131. (9) Kod. Dyp. wielkopolski. Nr. 83, str. 94.

nieważ kopa zawierała groszy 60, a grosz w XIV wieku miał wartości około złp. 1 gr. 10 dzisiejszych, łatwo więc zredukować powyższe czynsze na dzisiejszą monetę. Nierówność w czynszach pochodzić musiała z większych lub mniejszych dogodności miejscowych, dobroci gleby i t. p.

Statut wiślicki gdzie wspomina o kmieciach, mówi o nich jako o czynszownikach. Zbiegłym *in jure terrestri non theutonico* będącym, każe opłacać trzy grzywny kary i czynsz roczny za uwolnienie od poszukiwania. Na prawie niemieckim będącym każe dziedzictwo wprzód sprzedać lub innym kmieciem osadzić, a pola wykarczować i obsiać, zanim się z miejsca oddalą. Tym, co na wolnościach czyli wolach, a pod prawem ziemskim są, zaleca, aby po odsiedzeniu lat wolnych, tyleż lat odsiedzieli ile wolnych było; gdy zaś na prawie niemieckim, tyle lat czynsz mają płacić, ile lat wolności używali (1).

Mogły wprowadzić być powinności osobiste mniejsze lub większe, liczniejsze i częstsze w prawie polskim, mniejsze i rzadsze w prawie niemieckim; mógł zwyczaj i umowy je utrzymywać pomimo milczenia prawa, i zapewne tak było, zwłaszcza, że nie spotykamy ludności oddzielnej do obrabiania folwarków używanej, które jednakże choć nierozległe, istniały; ale, jak powiedzieliśmy nieraz, system czynszowy przeważał stanowczo.

Później, zmieniać się ten stan rzeczy począł. Zwróciliśmy w pierwszej części uwagę na to, jakie okoliczności, potrzeby wywoływały wielką uprawę i gospodarstwo rozleglejsze folwarczne, jak wszystko do niej zachęcało i nagliło, i jak powoli, ale ciągle wzmaęgała się, pociągając za sobą coraz większą potrzebę i żądanie rąk. Zanim jednakże prawo ogólne przyszło w pomoc téj potrzebie, co dopiero w XVI wieku nastąpiło, starano się jęj zaradzać umowami powiększającemi liczbę odprawiać się mających robót folwarcznych. Potrzeba z nowego systemu płynęca wywoływała nowe warunki ugód, a wzrastająca ludność otwierała możność dla właścicieli ziemi zyskiwania korzystniejszych. Jakoż spotykamy w XV wieku nadania i umowy, które wskazują na kierunek, o jakim mówimy. W sprzedaży soltystwa we wsi Świątniki r. 1404, Mikołaj kustosz włocł. zastrzega sobie, aby mieszkańcy téj wsi płacili jak dotąd płacą z lanu 24 groszy w szerokich groszach pru-

(1) Vol I, str. 49.

skich, ale oprócz tego waruje, aby role jego, które w tójże wsi posiada *pro alodio seu dominio*, ciż mieszkańcy obrobili, obsiali, sprzątnęli, zwiezli, tak zboże jak siano. Wprawdzie widzieliśmy takie nieoznaczone prace w powoływany z dawniejszych wieków przywileju, ale co do tamtego pozostawała wątpliwość, czyli włożony obowiązek odnosił się do robót rolnych, czyli tylko do posług klasztornych; tutaj nie pozostaje już żadna wątpliwość. Drugi przywilój późniejszy, bo z r. 1449 Piotra przełożonego klasztoru św. Magdaleny *extra muros Plocenses* jest raczej układem z kmecciami wsi Bronisław, co do czynszu przez nich opłacać się i robót wykonywać mających. Brzmi bowiem: *Qualiter et quomodo ordinamus et concordamus cum nostris emethonibus de Bronisław pro omnibus laboribus et redditibus ejusdem villae, quomodo et quid debent solvere et laborare*. Dalej wymienia wysokość czynszu i wszystkie powinności, jakoto: obrobić folwark (*praedium*); dzień jeden z dwóch łanów orać (rocznie); jedną podróż do Torunia, do Brześćcia i Włocławka w miarę potrzeby odbyć; odwiedzić do Płocka do klasztoru kapłony i jaja.

Dotąd więc nie masz mowy nigdzie o robociznie tygodniowej.

Tymczasem prawa właścicieli ziemskich zyskiwały coraz obszerniejszą podstawę; z dziedziców zwierzchników, ograniczonych przepisami prawa i zwyczajami, stawali się istotnymi właścicielami, których nowe przepisy prawa inaczéj już uważać poczęły. Stosunek ludności rolniczej do właścicieli ziemskich się zmieniał. Dawne stosunki prawne osłabły, albo przez nowe przepisy prawa zostały zmienione. Ustawy, mianowicie z r. 1496 położyły w tój mierze nieomal nowe zasady, usuwając wszystkie prawie przepisy z statutu wiślickiego płynące, a raczej zastępując je innemi. Pomimo tego jednakże powaga tegoż statutu była tak znaczną, jego wpływ moralny jeszcze tak wielki, uwaga na to, że wyraźnie nie był nigdzie odwołany lub skasowany tak silną, iż właściciele nie sądzili się mocni kassowania jednostronnie zobowiązań, z umów i zwyczajów dawnych pochodzących. Przy szybkim wzroście latifundyów, które się ciągle mnożyły, wzmagając bogactwo ogólne i podnosząc rolnictwo do tych rozmiarów, jakie w kraju głównie rolniczym zajmować winno, prawa musiały przyjść w pomoc, aby niedostatkowi robotnika zaradzić. Poczęto naprzód ścieśniać ruch ludności rolniczej, a obostrzać przepisy na zbiegłych z gruntu. Zabroniono nawet ludziom najemnym wychodzić za granicę dla zarobku w czasie żniw. Niektóre konstytucye te przepisy

i obostrzenia zawierające, mówią wyraźnie: iż się to dzieje dla niedostatecznej liczby robotnika.

Albo te środki nie wystarczały, albo ludność rolnicza nie była dość skłonna do wolnej pracy, albo też żądano nie niekosztującej produkcji, ogłoszono bowiem statut toruński ustanawiający tygodniowo pańszczyznę (1). Brzmienie jego jest następujące: *Statuimus et ordinamus: quod omnes kmethones omnium villarum nostrarum Regalium, spiritualium et saecularium subditorum regni nostri, secundum decretum conventionis Thorunensis generalis, proxime preteritae, debent dominis suis laborare unum diem in septimana, exceptis villis nostris, desuper privilegiatis, quae expresse speciali privilegio docerent, quod loco laborum, censum pecuniarium auxerunt; tales dumtaxat privilegiis gaudebunt, alii, ut praemissum est laborabunt* (2).

Lubo powodów tego statutu szukać należy w przyczynach czysto ekonomicznych i w tej naglącej, gorącej potrzebie rąk, którą wzrosły do zbyt wysokich, jak wnosić można rozmiarów, system wielkiej uprawy wywoływał, i tym sposobem tegoż statutu powstanie tłumaczyć; pod wielu względami jednak daje on powód do sprawiedliwego zdziwienia. W pewnych stosunkach robota jest może stosowniejszą, a przynajmniej możebniejszą opłatą od dzierżawców ziemi, niżeli pieniądź, którego mało, lub którego nie masz zkąd zarobić lub wziąć. Tutaj powstaje ona w czasie, kiedy wzrastające bogactwo wewnętrzne, obfitość pieniędzy, przemysł i kultura, ułatwiać zdawały się środki odkupywania dzierżawy gruntowej pieniędzmi, a nie robotą. Widocznie nie było równowagi pomiędzy olbrzymimi latifundiami a ilością rąk. W powyższym statucie to jeszcze zadziwia, iż nie ujmując z opłat czynszowych i wcale na ich wysokość nie zwracając uwagi, dodawał do nich dzień roboty. Wreszcie zadziwia i to, że porzucając dawny system oznaczania robocizny wydziałowo, pierwszy raz wprowadza nowość pańszczyzny tygodniowej. Stary zwyczaj miał niezaprzeczoną wyższość nad nowym pod względem ekonomicznym (3).

(1) Nastąpiło to w roku 1520.

(2) V. Leg. 1, str. 394. (3) Jeżeli powodu ścieśnienia co do ruchu ludności rolniczej i podniesienia pańszczyzny należy szukać we względach ekonomicznych; powodu innych ścieśnień, jakie księgi praw z końca XV i początków XVI wieku zawierają, jakoto: co do sądownictwa dominialnego dźugów kmiecych, posiadania ziemi przez plebejów i t. p. wypada śledzić

Statut toruński jest ostatniem wmięszaniem się prawa w tę materję; odtąd prawo zamilkło i wszystko dowolności zostawiło. Jak zaś pańszczyzna daleko od tego maximum odeszła, zobaczymy w wieku XVII.

IV.

Musimy obejrzyć i inne ówczasowe części kraju pod względem tych stosunków, jakie w Koronie rozbieraliśmy. Ekonomicznie tworzyły wszystkie pewną całość; gdybyśmy je z niniejszego poglądu wyłączali, obraz całości byłby niezupełny, a pod niektórymi względami nawet niezrozumiały.

Lubo Mazowsze osobną składało całość, i miało oddzielne księgi statutów, spotykamy tam nieomal te same stosunki rolnicze, co w Koronie. Podobne urządzenie posiadłości ziemskich, podobne ciężary publiczne, podobne rodzaje i nazwiska posiadaczy rolnych i ludności rolniczej, podobne stosunki jednych klas do drugich, zbliżają bardzo jego urządzenia do tych, jakie dopiero co oglądaliśmy. Zdaje się tylko, że ziemia więcej była rozdrobniona tam, jak w innych częściach kraju. Zwyczaję także niektóre są odmienne; przepisy określające, własność,

gdzieindziej. Mogły na zapadnięcie tych ustaw wpłynąć znane rady Kallimacha, które tak mocno działały wówczas na opinię publiczną i przerażały umysły. Według Bielskiego (tom VI, str. 42) miał on radzić królowi, aby grunta szlachcie odebrał, dozwolewszy im tylko folwarków jakich małych, coby je swym pługiem zorać mogli. Mówi o tych wątpliwych radach obszernie p. M. Wiszniewski w Hist. Literaturny. Napędzając one obawą stan rycerski o już posiadane prawa, dla zabezpieczenia tamtych mogły go skłonić do probowania oparcia się na nowych. Więcej jeszcze mógł działać wpływ poczynających się poruszeń chłopów w Niemczech. Poruszenia te rozpoczęły się w r. 1491 i zajmowały jeszcze kilkanaście pierwszych lat następnego wieku. Jak historycy mówią, ucisk dał do nich powód, a fałszywie pojęta reforma religijna rozdmuchała je w ogromny pożar. Nazbyt blizki był teatr tej wojny i nazbyt rozległe stosunki ówczesne z zagranicą, aby wieści i obawy nie miały wpływać na prawodawców i dyktować im postanowień, które zapewne uważali za zapobiegające, za zaradczę. Wśród zakradającej się i do nas reformy religijnej, lękali się tych następstw, jakie gdzieindziej za sobą sprowadziła, i usiłowali przeciąć im drogę surowością prawa. Sąto jednakże tylko domysły, które podziela Krasieński w swojej historii reformacyi w Polsce.

prawa, obowiązki klass rolniczych dokładniejsze; przenoszenie się z miejsca na miejsce zawarowane dobitniej (1).

Swoboda ruchu ludności tamecznej, ubezpieczona była tak zwaném rękojemstwem. Czém ono właściwie było, nie można z pewnością powiedzieć; objaśnienie, jakie daje Czacki (2), jest niedostateczne. Zdaje się więcćj dokładną poprawka, jaką w tój mierze robi p. Maciejowski: iż rękojemstwo było zaręczeniem za zwrot należności od kmiecia przypadających, które jeżeli kto dał, puścić go w każdym czasie pan był obowiązany. Poprawka ta zupełnie jest odpowiednia duchowi ustaw mazowieckich, które nie tamowały nigdy wolnego wyjścia i przesiedlania, byleby zobowiązaniom zadość było uczynioném, lub te stosownie wynagrodzone zostały. „Akta polskie świadczą, mówi Czacki, że były częste sprawy o te rękojemstwa. Dla tych kłótni między współwłaścicielami upadło prawo włościan, zgasła ta jedyna pamiątka rocznego kontraktu każdego chłopca z panem (3)”.

Za wnioskiem naprzód posłów województwa płockiego w r. 1563 w témże województwie, a wkrótce potem w reszcie Mazowsza, prawo o rękojemstwie usuniętem zostało, i tym sposobem nastąpiło zupełne porównanie z Koroną.

W ustanowieniu także pańszczyzny tygodniowej, na wiek cały prawie wyprzedzili Mazowszanie Koronę. Już bowiem w roku 1421 postanowiono z przyzwolenia ks. biskupa i innych panów świeckich i duchownych, że wszyscy przebywacze włóki albo pół włóki, dzień lub pół dnia w tydzień robić będą winowaci (4).

Co do Litwy i Żmudzi, stan ich pod względem stosunków rolniczych i urządzeń ekonomicznych, dopiéro w XVI wieku staje się nieco wyraźniejszym, Lubo i tam majątki ziemskie w tój samój przedstawiają się postaci i pod takim samym zwierzchnictwem monarchy, rycerstwa lub duchowieństwa, jednakże wiele rzeczy i nazwisk jest odmiennych.

Zdaje się, iż przed Jagiellonami ciężary gruntowe musiały być bardzo znaczne. Piérwszy Kazimierz Jagiel. zajął się przyniesieniem w tój mierze pewnych ulg. Przywilejem ziemskim z r. 1454 uwolnił chłopów szlachty i duchowieństwa od koszenia siana, żęcia i orania w dobrach zamków królewskich, uwol-

(1) Porównaj Statuta mazowieckie wyd. Lele. (2) O Lit. i p. P. T. 2. str. 200. (3) Ibid. (4) Patrz: Statuta mazow.

nił od angaryów i perangaryów, i dawania podwód. Pozostawił tylko powinność budowania i naprawiania nowych i dawnych zamków i mostów. Więcej zrobił jeszcze Zygmunt August. On sam, wojewodowie i starostowie zrzekli się dochodów, które pod imieniem *peresud*, *prysud* były znane. Statut Lit (1) uwolnił poddanych szlacheckich od *serebrieszczyzny*, od *dziakła*, od uciążliwości wyrządzanych przez *dzieckich*, od stacyj, od *powołoszczyzny*.

Z ustawy ekonomicznej z r. 1529 (2) poznajemy, jaka tam była wówczas ludność wiejska. Ustawa ta wspomina o czeladzi niewolnej i niewolnikach, którzy domów swoich nie mają. Mówi o innych poddanych, których nazywa *ludi tiahlyi*, a od których należy się służba ustawiczna. O nich dodaje ustawa: że jeśliby w zimie robota ich nie była potrzebną, mają za to albo beczkę pszenicy, albo wieprza oddać. Dalej mówi o bojarach putnych i osocznikach, którzy jak zdawna, powinni wojnę służyć i siano kosić. Dalej rybacy, bartnicy, kowale i inni poddani; od tych każe żądać 12 dni tłuki i po kopie groszy osadnego. Czacki uważa bojarów za klasę pośrednią między szlachtą a chłopstwem, i za właścicieli gruntów. Statut Lit. wzmiankuje jeszcze o ludziach osiadłych na *woli*, podobnie jak w Koronie, którym równie jak tam wolno było odejść po latach umówionych. Równie więc jak w Koronie ludność dzieliła się na wolną i niewolną, tylko, że ten podział trwał w Litwie, kiedy już nie istniał w Koronie.

Jeszcze jeden rodzaj oddzielny ludności rolniczej posiadała Litwa, którego żadna inna prowincya nie miała, to jest Tatarów. Mówi o nich Mateusz z Miechowa (3), że licznie mieszkają około Wilna we własnych osadach, po naszymu uprawiają ziemię, pracują i handlem się trudnią, a na zawołanie służą wojskowo; dodaje, iż mówią po tatarsku i czczą Mahometa.

W dobrach panujących, jak z urzędzeń ekonomicz. Zygmunta Augusta pokazuje się, chłop z włóki robił dwa dni, ze służby zaś, to jest dwóch włók, dni 4 (4). Na zarobienie jednej włóki folwarcznej miano rachować włók 7 (5). Czacki mówi, że tam, równie jak w Koronie, uprawa wielka folwarczna początkowo nie-

(1) Roz. 1. ar. 22. (2) Zbiór pr. lit. Dział. str. 126.

(3) Descriptio Sarmati. str. 211 wyd. Mizl. (4) O Lit. i P. P. T. II. str. 169. (5) Ibi. T. I. str. 250.

wiele była w użyciu. Czynsze stanowiły największe intraty, a robocizna 40tą lub 50tą część dochodów wynosiła. Zdaje się potwierdzać to Statut litew., który równie jak prawa koronne, opiekunom za pracę naznacza pożytki z rolnictwa, młynów i jezior, a czynsze na dochód małoletnich oddaje (1). Za czasów 2go i 3go Statutu, jak mniema Czacki (2), powiększyć się miały znacznie pańszczyzny.

Niezupełnie jednakże z tém zgadzają się opisy z XV i XVI wieku. Przedstawiają one stan tego kraju w nader smutnych kolorach, a obraz jaki kreślą ludności rolniczej, jest prawdziwie przerażający. Zygmunt Herberstein piszący o Litwie w XV w. powiada, że lud rolny jest tam ubogi i srodze uciśnięty, wystawiony na zdzierstwa urzędników pańskich, którym wszystko wolno robić co chcą; że właścicielom gruntu oprócz czynszów, sześć dni w tygodniu pracować są w obowiązku; a prócz tego proboszczom za chrzciny, pogrzeby, wesela, spowiedzi sownie się opłacać. „W takiej są ryzie” dodaje „od czasów Witolda trzymani, że skazany na śmierć własną ręką powiesić się musi (3)”.

Rzecz dziwna, że Strykowski (4) powtarza tylko dosłownie Herbersteina, niewiele co do opisów ludności litewskiej dodając. Nicze się od czasów tego ostatniego do czasów Strykowskiego w Litwie nie zmieniło? Czynne i gorliwe o dobro tego kraju i o wzrost jego dwa panowania Zygmunatów, mnogie ulgi, prawa i urządzenia ekonomiczne, miałyż tak dalece pozostać bez skutku, iż Strykowski nie miał do zmienienia w stariej relacji Herbersteina? Zaprzeczą temu wszystkie świadectwa historyczne; jakże znowu przypuścić, aby Strykowski miał Litwy nie znać? Że jednak Jan Krasieński (5) potwierdza to, co obadwa poprzedni mówią, lubo już innemi wyrazami, trzeba więc wierzyć.

Wszystcy, którzy przed końcem XVI w. opisywali Prusy, uznali je za najzamożniejszą, najludniejszą, i najwięcej w kulturze posuniętą część kraju. *Hinc est vulgo simul et nobilitatis res lautior, vestitusque et habitatio cultior*, powiada Kromer (6). Tenże sam pisarz mówi, że dzielą się Prusacy na szlachtę i lud, na świeckich i duchownych; ale dodaje, iż lepszego losu doznaje lud w Prusach, jak w reszcie Polski. Używa jednych praw z szlachtą,

(1) O Lit. i P. P. T. II, str. 58, (2) Ibi. str. 169.

(3) Wyd. Mizl. str. 223. (4) In Sarm. Eur. str. 81 wyd. Miz.

(5) Pol. L. 11, str. 416. (6) De Rep. L. 11, str. 171.

tylko mniej prerogatyw posiada; jednakże od posiadania ziemi, od urzędów i zaszczytów nie jest usunięty.

W Prusach, równie jak w innych prowincjach, spotykamy *liberów*, jakoby klasę pośrednią pomiędzy szlachtą a prostym ludem wiejskim. O nich mówi Kromer, iż nazywają się wolnemi, dlatego, iż są w istocie wolni od usług i robót, które wieśniacy panom swoim są winni; lubo niektóre ciężary zarówno z innemi ponoszą.

Już w r. 1399 miano liczyć w Prusiech (jak Gralath, Schütz, Pauli i inni historycy pruscy świadczą) 55 miast obmurowanych, 48 zamków warownych, 18368 wsi, między którymi 640 było parafialnych, 2000 folwarków z prawem jurysdykcji, a zakon miał pobierać 8 mil. flor. reńskich. Włościanie zaś byli tak zamożni, że chłop we wsi Nikolswalde miał 1 1/2 miliona majątku (1).

V.

Przebiegłszy w pierwszej części podział ziemi pod względem rolniczym, teraz poznawszy różne klasy rolników, ich stosunki, ciężary i powinności do posiadania ziemi przywiązane, będziemy mogli rzucić okiem na organizacją czyli układ wewnętrzny wsi, na przemiany jakim uległy i na wyrobienie się téj formy, jaką w XVI wieku przybrały.

Nie jestto kwestya ani obca, ani obojętna dla historii rolnictwa. Rozkład pewnej przestrzeni ziemi może być bardzo rozmaity, jużto pod względem rozległości użytych pod pola, łąki, pastwiska i lasy, jużto pod względem przestrzeni użytych pod wielką i małą uprawę, jużto pod względem stosunków, jakie łączą różne klasy rolników, jużto pod względem czasu i warunków dzierżaw, już wreszcie pod względem sposobu płacenia téjże dzierżawy. Taki rozkład i urządzenie ziemi może się zmieniać wedle czasu, potrzeb i okoliczności; w każdym jednak razie zadaniem tu jest głównym, aby nie tylko każda cząstka ziemi najstosowniej i najkorzystniej była użyta, ale aby ogół pewną całość harmonijną tworzył, w którejby było miejsce dla swobodnego rozwijania się najkorzystniejszych gałęzi rolnictwa, i miejsce dla swobody pracy, dla wygod i dogodności wszystkich klas ludności rolniczej; aby się na danéj przestrzeni ziemi mieściły wszystkie

(1) Wiadomość o stanie przemysłu. i han. w Pol. str. 10.

warunki postępu i wzrostu przemysłu rolniczego, obok wszystkich warunków dobrego bytu, postępu kultury ludzi rolnictwem się trudniących.

Mogą być różne sposoby dochodzenia do rozwiązania tego zadania ekonomicznego, lecz nie tu miejsce aby je rozbiierać; na to tylko zwracamy uwagę, że wszędzie, gdzie rolnictwo do wysokiego i rozumowanego doszło rozwinięcia, przywiązywano do tego przedmiotu ważność, jaka mu się należy. Rzeczywiście rozkład i urządzenie posiadłości wiejskich jest niejako fundamentem pomyslności rolnictwa, warunkiem jego wzrostu, a pod pewnemi względami warunkiem bezpieczeństwa publicznego, równie jak własności prywatnej.

Rzymianie, którzy w czasach kwitnienia Rpltej szanowali rolnictwo i umiejętnie się niém zajmowali, jak to z pism w tym przedmiocie pozostałych pokazuje się, zwracali bardzo uwagę na urządzenie racjonalne posiadłości wiejskich. Kato i Columella uczą jak rozdzielać ziemię pod uprawę, pastwiska i lasy, jaki stosunek w tych podziałach zachowywać; co poświęcać większej uprawie, co osadzać kolonistami; jak ograniczać uprawę folwarczną; jak postępować z gruntami odlegle położonemi; jak zawierać umowy z kolonistami. Kiedy z czasem i pod wpływem różnych wypadków od tych racjonalnych zasad odstąpiono, żyzna Kampania, niegdyś siedlisko pięknych włości i osad, stała się dziką pustynią, nad którą unosi się blade widmo malaryi.

Dosyć jest porównać dzisiejszy stan włości irlandzkich i angielskich, aby pojąć do czego doprowadzić może zła lub dobra ich organizacya; do jakiego upadku rolnictwo, do jakiej nędzy ludność rolniczą, do jakiego kwitnienia i zamożności oboje może podnieść w miarę swój dobroci lub błędności.

„Každy majątek w Anglii, mówi p. G. Beaumont, jest arcydziełem sztuki, które harmonijną całość tworzy; dzielić go, ćwiertować byłoby prawie występkiem. Jestto obraz Corregia, który należy do rodziny, i aby nie być pokrajany musi należeć do jednego. Te rozkoszne i z takim staraniem wypieszczone włości nie są pojedynczemi zjawiskami, ale tworzą ogólny charakter kraju, idą jedna za drugą, od jednego końca kraju do drugiego; nie masz żadnej anomalii, żaden kontrast nie psuje powabnego uroku; wszystko wielkie, pyszne, wzniosłe, we wszystkich posiadłościach angielskich. Trzeba sto razy te godne podziwiania włości przejechać, na które przyrodzenie najpiękniejsze swe da-

ry, czynność ludzka całe swoje bogactwo, a sztuka najdroższe swoje ozdoby wylała”.

Pomijając wpływ praw starszeństwa i substytucyi, które nie są ani powszechne, ani przymusowe, wysoki wzrost rolnictwa, zdaniem wszystkich, winna Anglia swojemu systematowi dzierżawczemu, który nie rozdrabniając zbyt znacznie ziemi, oddając ją na długie lata w ręce klasy rolników zamożnych i ukształconych, dozwolił zaprowadzić wszelkie oszczędzenia pracy i otworzył pole do wszelkich ulepszeń. Prawami niekrępującemi ludności rolniczej do gruntu, zapewniono jej odpływ do fabryk i rzemiosł, i przez to powstał wielki przemysł narodowy. Wreszcie, drobna własność ocalając się wśród wielkich posiadłości, stała się tém dla ogółu rolnictwa, czém jest balast dla puszczonego na morze okrętu.

Przeciwnie w Irlandyi, gdzie wielkie posiadłości wydzierżawiają się w ręce przedsiębiorców i przez dziesięć rąk przechodząc i coraz drobniejąc, w małych cząsteczkach dostają się wreszcie ciemnemu i ubogiemu ludowi, ubóstwo i nędza powszechna nie ma granic.

Wprawdzie takie zasady organiczne posiadłości ziemskich, są prawie zawsze dziełem wieków nie pojedynczych ludzi, wyrobem wypadków, okoliczności, któremi niezawsze kierować można, niezawsze nawet bezpiecznie jest dotykać się ich. Teorye najgłębiej pomyślane, w wykonanie wprowadzone do innych często doprowadzają wypadków. Krzywią się przez interes, namiętności, wypadki ważne a nieprzewidziane, które częstokroć budowę ekonomiczną do gruntu wstrząsają! Skryte działanie Nemesis jest tu często silniejsze, jak wąż usiłowania mądrości ludzkiej. Jakkółwiek bądź, nie bez korzyści jest porównywać różne epoki, różne wyobrażenia i różnych ludzi pomiędzy sobą, bo się tém nabywa umiejętność, w granicach możliwych unikania błędów lub ich naprawiania.

Zwracając oko na pierwotne urządzenie włości u nas, to jest na takie, jakie w XIIIym i XIVym wieku pomniki historyczne nam wskazują, spostrzegamy, iż znacznie się różniło od tego, jakie w XVym wieku wyrabiać się poczęło, a w XVI wieku wyrobiło. Majątki ziemskie w XIIIym i XIVym wieku, stanowią prawdziwie mozajkową różnaitość. Na jednej dziedzinie mieszczą się prawie zawsze różnych rozmiarów i rodzajów posiadłości, a na tych różnego rodzaju ludność rolnicza, którą je-

den zwierzchnik łączy w jedną całość. Częstki dziedziczne, posady rycerskie, łany wolne, osady kmiecie jedno i półłanowe, a na tych wszystkich gruntach kmiecie, służebni, czynszownicy, rzemieślnicy, wolni i *adscriptitii*, sołtysi i drobne rycerstwo. Ci zajmują się rolą, ci rybactwem, ci pszczolnictwem, ci myślistwem. Ci oddają część swoich produktów w naturze, ci czynszu, ci częścią pracy obok innych opłat się uiszczają. Folwarki stosunkowo niezbyt rozległe nie stanowią punktów koncentracyjnych, do których wszystko się zbiega, i około których wszystko się jednoczy. Są one częścią wielkiej całości, a nie jej sercem i głową. Pewna swoboda ruchu, system czynszowy i kolonizacyjny, pozwalają rozwijać się wszystkim drobnym gałęziom rolnictwa. Jedna część ludności przywiązana do roli, druga snuje się, wali puszcze, osusza bagna, zakłada osady. W górach powstają wsie pasterskie; w puszczech osady pszczolnicze i myśliwskie; nad wodami wsie rybackie. W układzie majątków ziemskich i ich zaludnieniu jest mnóstwo prawdziwych żywiołów gminy. Jeżeli nadania i przywileje wynoszą niektórych posiadaczy włości ponad prawo, nadając im władze wyjątkowe, to za to w innych prawa niemieckie coś podobnego do urzędzeń gminnych zaprowadzają. Zjawiają się jeszcze często po wsiach ślady sądów wiecowych w owych wiekach. Rozdrobnienie ziemi nie zdaje się zbyt koniecznym, bo obok jednołanowych dzierżaw, niewiele spotykamy półłanowych, a prawie nigdy mniejszych. Ta przestrzeń ziemi obok puszczy, pastwisk i łąk, przedstawiających możliwość różnych zatrudnień i zarobków, i prowadzenia różnych potocznych gałęzi rolniczych, nawet przy zupełnym dzieciństwie rolnictwa, zdaje się dawać łatwość wygodnego utrzymania.

Natomiast wielkie ciężary publiczne i dziesięciny wytyczne i małdratowe ciążą na rolnictwie. Ale pierwszy ciężar powoli się usuwa, naprzód częściowo, dalej znika zupełnie, ustępując miejsca stałym i umiarkowanym podatkom.

Obok tego wielka uprawa prawie nie istnieje; więksi posiadacze są skrupowani, albo przez obowiązki publiczne, albo przez prawo rycerskie; ich zatrudnienia rolnicze mogą być tylko dorywcze, nie ciągłe. Rolnictwo właściwie jest w ręku klasy ani dość ukształconej, ani dość zamożnej, aby było zdolne do wielkich rezultatów, jakich od niego domagać się ma prawo kraj prawie wyłącznie rolniczy. Pomnaża się więc ludność jak bogactwo krajowe;

a lubo miasta rosną i dobry byt się wzmaga, o znacznym ruchu handlowym, o znacznym wywozie jawnych nie spotykamy śladów.

Ten stan rzeczy nie wystarcza więc potrzebom ogólnym kraju, i uledek musi zmianie. Swobody nowo nabyte i ulgi przyniesione rolnictwu, powołują do obszerniej uprawy; folwarki zaczynają się rozszerzać. Zdaje się, że wiek XVty jest epoką, w której stosunek mniejszych posiadłości do większych, żądania rąk do ich ilości, wielkiej do małej uprawy jest najwłaściwszym. W XVI wieku, waga zaczyna się na jedną stronę przechylać. Gałęzie drobne rolnicze ustępują miejsca produkcji wielkiej zboża i mięsa. System folwarczny bierze przewagę; osady i ludność rolnicza poczynają annex folwarków stanowić; wiążą je z nimi coraz bliższe stosunki zależności; folwark staje się głową i sercem posiadłości ziemskich. Właściciela stanowisko, mocą świeżych praw, zupełnie się zmieniło. Bez jego zezwolenia, poddany ani odejść, ani sądownie działać, ani posiadać na własność nie może. Zaczyna właściciel niejako powracać do tych praw, jakie mu szczególne, wyjątkowe przywileje niekiedy przed statutem wiślickim nadawały, z tą jeszcze różnicą, że już obok siebie nie ma nikogo, co by miał jakie prawa ze stanu osobistego lub tytułu posiadania ziemi płynące. To położenie daje niekiedy powód do nadużyć, na które niektórzy pisarze XVI wieku, zaczynają się użalać, i pomnaża zbiegostwo ludności rolniczej, które prawa surowe napróżno ukrócić usiłują. Ale choć prawa się zmieniły, zwyczaj jeszcze podtrzymują dawną budowę; wymiary gruntów kmiecych pozostają te same (1); system czynszowy waży się jeszcze z pańszczyznianym; religijność, patryarchalność obyczajów łagodzi postępowanie.

(1) Grewenitz, autor pisemka pod tytułem: „Włościanin polski (w Warszawie, 1818 r. z niezwykłą Niemcom znajomością praw polskich napisanego, tak porównywa rozległość łanu polskiego (zwykłej osady kmiecia w w. XVI) i ocenia jego przychód: „Huffa (podług Ulphila hoba) pług, znaczył pierwsiastkowo przestrzeń ziemi, którą jeden człowiek parą wołmi obrobić może. Później oznaczono tym wyrazem w ogólności powierzchnią pola, wystarczającą do wyżywienia jednej włościańskiej familii: ztąd zapewne powstały podług różnej dobroci gruntu, tak nierówne wielkości włók co do wymiaru ich powierzchni. Tak znajdują się na 15, 18, 24, 30, 42 i aż do 60 dni orania (morgów), a i te same znowu bardzo różne bywają. W polskiej niegdyś prowincyi Szlązku, włóka zamykała w sobie 506,230 łok. □. Gdy w r. 1718 w należącej niegdyś w części do Polski, Nowej Marchii, oznaczono do owego czasu, podług wielkości, powierzchni włóki, dla ustanowienia gruntowego podatku, podług dobroci i dochodu z gruntu, na idealne

Wszystko to działo się powoli, nie odrazu; wynika prawie z samej natury rzeczy, płynie z ogółu potrzeb, z natury stosun-

równiej wartości włóki zredukowanemi zostały, oszacowano włókę takową na 20 tal. intraty zbożowej. „Wszystko to, co się powiedziało” mówi niżej „wziąwszy na uwagę, można, zdaje się, przyjąć za rzecz pewną, że łan 1582 r. był przynajmniej równy włóce magdeburskiej, zamykającej 30 mg. morgów. Stosownie zaś do zaprowadzonego oddawna w Polsce gospodarstwa we trzy ręce, włóka takowa zabiera około 5 korecy berliń. wysiewu ozimego. Średnia czysta intrata z gospodarstwa we trzy ręce na gruncie średniej rodzajności, mającego nadto do potrzeby opał, siano i pastwisko, waży się, licząc na żyto, między 4 a 6 kor. ber. żyta, na każdy korzec wysiewu ozimego. Na ten wypadek zgadzają się równie rachunki przez 80 lat w Berlinie pod okiem rządu wykonywane, jak i sam Thaer”.

Wszelako rozpatrując się w powyższym ułamku, trafla się na powody do mniemania, że większą przestrzeń ziemi posiadłości kmieccie zajmowały. Instrukcją Zyg. Aug. dla Litwy nakazano, aby pole w trzy ręce miało po 11 mor. czyli włóka 33 mor., a służba takich włók dwie. Oprócz tego było wiele osad, które posiadały łany obce, znacznie większe. Łan frank. zawierał bowiem ł. p. 851,512 $\frac{1}{4}$. Łan fra. mniejsz. ł. p. 681,210. Łan tentoński v. niem. ł. p. 719,000. Włóka chełm. polska i cheł. pruska ł. p. 506,250. Włóka litewska miała ł. p. 602,479, a jak mówi Czacki (T. I, s. 223) Podlasie, które jeszcze 1648 r. z dziesięciu włók jednego jezdnego dawało, pomiar mając przed wcielaniem do Korony, litewskiej pilnowało miary. Równą miał miarę i Wołyń, choć w mniejszej części królewsczyzn i to tylko ekonomicznie mierzony. Że łan frankoński był bardzo w użyciu, przekonywa nas i to, że dekreta referendarskie, mianowicie za podkanclerstwa Kollątaja, przyjmowały za zasadę, że na 4 dni ciągłe lub 8 pieszych pańszczyzny tygodniowej, powinno być dane włościaninowi, samego ornego i bonitowanego gruntu, oprócz placu, łąki i ogrodu, łan frank. mający 50 mor. 138 pr. Taki łan wynosi 114 mor. 40 $\frac{1}{4}$ p. miary magde. (O dziesięcinach p. Ign. Miączyńskiego, w Krak. 1816, str. 171). Nie wzmiankują pomniki dawne, o ile więcej był w nżyciu łan większy lub mniejszy; ale Ładowski (w Inwent. do konsty. pod wyraz. łan) mówi, że łan większy nazywał się łanem kmiecym.

Z tego wszystkiego wnosić można, że osada kmiecia była większa jak włóka magd., a często dwom wyrównywająca. W tém domniemaniu tém więcej utwierdzić się można, porównywając wygórowany stan zamożności kmieci i zbytki, które prawodawcy karcili (Stat. an. 1496, V. L. I, s. 261) z obrachowaniem powinności z wł. mag. które robi tenże Grewenitz w wyżej przywzodzoném piśmie. „Mierzac, mówi on, mogącą być zdziałaną przez dzień pańszczyzny ciągłą robotę, na największą skalę jaka jest w kraju ustanowioną, ponieważ ta zwykle odnosi się do dobrego wyorania jednego wielkiego krajowego morga (to jest między 2 a 3 morgi magd.), wypada przeto policzyć trzy włościańskie konie, a tak wartość dnia jednego może być na blisko 8 meców (7 $\frac{1}{2}$ garncy) żyta oszacowaną. Tym sposobem 52 dni ciągłych na rok z każdej włóki (magd.) stają się dla włościanina uciążliwemi tam nawet, gdzieby mu pańszczyzna około połowy czystej intraty pozostawiła”.

ków, nie z planu, nie z układu pojedynczych osób. Niemniej jednakże tak się nowe stosunki wykształcają.

Obok tego wszystkiego sztuka rolnicza się kształci. Ważną różnicą pomiędzy dawniejszemi wiekami, a XVtym i XVItym, jest to: iż teraz rolnictwo staje się zatrudnieniem klasy zamożnej i ukształconej, która może umiejętnie nióm kierować i posiada środki do jego podniesienia. Tym sposobem nabiera i wielkich rozmiarów, i umiejętnego kierunku; dorasta do potrzeb narodu. Zjawiają się w XVItym wieku dzieła rolnicze; powstaje myśl kadastru i pomiarów; niektóre prowincye otrzymują regulacye i instrukcye co do stosunków rolniczych. Ludność się powiększa, dobry byt się nie zmniejsza, ale, jak powiedzieliśmy, organizm włości się zmienił. W ogólności zaczynają przybierać kształt, jaki nieomal do dziś dnia zachowują. W XVItym wieku ta zmiana nie była jeszcze stanowczo i ostatecznie wykształconą; wiele jeszcze ze starego pozostało, zasady tylko przekształcenia położone zostały. Wieki późniejsze miały tylko dokończyć rozpoczęte dzieło.



NOWA EPOKA LITERATURY HISTORYCZNEJ POLSKIEJ.

PRZEGLĄD

PRZEZ

Juliana Bartoszewicza.

Materyały historyczne wydane w Warszawie.

(Ciąg dalszy).

Historya panowania Jana Kazimierza wydana jest więc nierównie staranniej, jak rękopism Wojcickiego. Zresztą oprócz tych zmian w texcie, które nie psują wcale dzieła, *Historya* bardzo długo niczém się od *Pamiętników* nie różni. Na stronniczo przeszło, kilka zmian i to bardzo mało znaczących; pospolicie zmian wyrazowych. Idzie tak Wojcicki z *Raczyńskim* wciąż razem aż do roku 1651, to jest do epoki nowych buntów kozackich po traktatach Zborowskich (*Raczyński* do str. 138, *Wojcicki* do str. 152). Odtąd różnią się obadwa wydania. *Pamiętniki* w dalszym ciągu zawierają artykuł: *Po opisaniu dworskich min i chyrczółów opisuje się położenie Ukrainy*, i wypadki aż do śmierci Tymoszka Chmielnickiego, bardzo ciekawe i opisane obszernie; szkoda tylko, że text nadzwyczaj zepsuty. *P. Wojcicki* nie ostrzega nas, ale widać częste próżnie w jego rękopiśmie, a rzecz jedna drugiej się nie ima, i to aż do końca książki. Od epoki wojny kozackiej, autor *Pamiętników* przechodzi nagle (na str. 205) do listów *Radziejowskiego*, jakie pisał odsądzony

już od czci i wiary, Pan Bóg wie za co, podkanclerzy, do Kozaków i do stanów rzeczypospolitój. Przejście jest tak nagłe, że nawet nie ma sensu między wierszami, gdzie się obraz jeden przerywa, a drugi zaczyna; nie dojrzał przecież tego p. Wojcicki. Cały sejm z roku 1652, najniegodziwiej w text wojny kozackiej wcielony, przegradza wypadki téj wojny, nie wiedziéć dla czego. Są wprawdzie i w Raczyńskim częste luki, ale wydawca poznański wie o tém i umie przestrzedz czytelnika, gdzie go przestrzedz potrzeba.

Kiedyśmy już zaczęli pisać o Kochowskim, pociągniem dalej rzecz naszą o *Historyi* Raczyńskiego, rzuciwszy na chwilę *Pamiętniki*, i wskażem jeszcze na różnicę pomiędzy oryginałem Klimakterów, a ich tłumaczeniem polskiem; mianowicie od roku 1662, bósmy te właśnie czasy najpilniej porównywali w obudwu dziełach.

Kochowski jak i Piasecki pisali dla druku; więc téż Kochowski równie jak biskup przemyslski, wstrzeźliwszy jest w sądzeniu swoim o ludziach, a zwłaszcza wysokich urzędnikach koronnych. Ale tłumacz Kochowskiego nie tai się wcale ze swoją myślą, i zdaje się, że ostrzejszym jest nawet od tłumacza biskupa. Zabity szlachcic, nie lubi elekcyi za życia króla, a więc nie cierpi M. Ludwika, kanclerzów Paca i Prażmowskiego, i gdzie tylko może, to ich ugryzie, nawet boleśnie i okropnie. Tłumaczy wiersze i paszkwile, których jest tyle w Kochowskim, a że ma wene poetycką, wiersh łaciński wykłada rymem polskim. Kochowski jednak nie gniewa się, zbierając nawet paszkwile; jego tłumacz nie może strawić tego, co boli, i wylewa z całej piersi żółć swoją. Ztąd Kochowski zimny, ztąd więcéj interesuje autor *Historyi*; zupełnie tak samo, jak Piasecki i jego tłumacz, z tą tylko różnicą, że Kochowskiego czasy lepiej jeszcze i z większym życiem opisać, jak panowanie Zygmunta III albo Władysława IV. Wojski krakowski był znakomitszym artystą od biskupa przemyslskiego.

W Klimakterach jest uniwersał króla Jana Kazimierza, wydany w roku 1659, w którym czytamy zagajenie o elekcyi. Autor *Historyi* wspomina mimochodem o tym uniwersale, ale serdecznie i z nienawiścią przymawia kanclerzom (str. 167, a zwłaszcza Prażmowskiemu na str. 152, 201). Za Jerzym Lubomirskim dałby się, jak to mówią, powiesić; lubo i jego błędów wcale nie ukrywa, rozpowiadając, że M. Ludwika chcąc go ułoić w swoje sidła, obiecywała marszałkowi jakieś świetne małżeństwo jego syna Stanisława z księżniczką francuzką, podobno nawet krwi panującój

(str. 170 do 173). Kochowski tak obojętny pod tym względem, że doprawdy niktby nie wiedział z jego dzieła, jakiego się trzyma stronnictwa, gdyby sam potem nie zdradził się, że przeciw królowi walczył pod Montwani. Mówiąc dalej o śmierci Łukasza Opalińskiego, odzywa się o nim surowiej nieco jak Kochowski, a to z tego jedynie powodu, że Opaliński wchodził w rachuby dworu, kiedy wydał od laski wyrok na Radziejowskiego (str. 175). Dostaje się nawet za swoje Stefanowi Czarnieckiemu (str. 201—217). Nasz autor powiada o nim, że dla respektów królewskich odstąpił wojska, przez które do swojej reputacji przyszedł, a sam darmo nigdy ojczyźnie nie służył. Kiedy Paweł Borzęcki, substytut konfederacji wojskowej, umarł w tym czasie, a Kochowski powiada, że było podejrzenie o truciznie, autor *Historyi* zaraz objaśnia, że to sprawka M. Ludwiki. Okropny paszkwil o czterech jedzach rzeczypospolitój znajduje się w *Historyi*, ale nie ma go wcale w *Klimakterach* (str. 323). W ogóle w Kochowskim nieszczęściom rzeczypospolitój dwór winien; u Raczyńskiego zawsze pani tego dworu.

Kochowski jest także bardzo znakomitym historykiem i równej wagi jak Piasecki. Lubi jak i biskup obrazy wzięte z dawnych dziejów i cytacje nietylko z historyków rzymskich, ale i z poetów. Tacyt znajduje się u niego obok Lukana, a z Lukaniem Olimp i najczęściej mściwa Nemezys. W Raczyńskim nie ma tego wszystkiego; widać, że tłumacz polski mitologii nie lubił, i miał wielką pod tym względem słusność. W Kochowskim poseł cara Alexego, w mowie mianej do senatorów we Lwowie, wtrąca Styx i Charona. Raczyńskiego autor nie wierzył widać w tę erudycją posła. To też nierównie oryginalniejszy tłumacz *Klimakterów*, jak same *Klimaktery*. Z erudycją nie popisuje się; a kiedy Kochowski uczenie zagaja o rzeczy i jak z katedry powiada: teraz o tém a o tém mówić będę, autor polski już prawi i rozpowiada wiele doprawdy ciekawych rzeczy. Jest on daleko więcej narodowy, daleko więcej dramatyczniejszy. Mowy Kochowskiego wiele zyskują w przekładzie na język polski naszego autora. Nie wiemy, czy sam tłumacz je układał, czy też spisywał z ust braci szlachty; ale w każdym razie serdecznie wierzym, że to pomnik historyczny. Jeżeli taka mowa np. nie była powiedzianą w gromie szlachty przy obradach, to napisaną była przy stoliku; a czy tak, czy inaczej, charakteryzuje zawsze pewną część narodu. Mowa biskupa Czartoryskiego do związkowych, kasztelana Bieniew-

skiego do Kozaków po ugodzie w Hadziaczu są prześliczne i mogą nawet służyć za wzór prawdziwie męskiej wymowy. Nie sam układ wyrażen tam przedziwny, ale i myśli wszędzie obywatelskie, i sam punkt zapatrywania się na społeczne wypadki prawdziwy. Nigdy dosyć nie można się nachwalić politycznych jasnowidzeń Bieniewskiego (T. I, str. 359 i II 27). Mowy Biejkowskiego, którą miał w odpowiedzi do Zygmunta Czyżowskiego posłańca prymasa do wojska, prawie nie ma w Kochowskim, (str. 209—211). Kochowski nie kochał się w dramatyczności, a przecież pięćkroć razy podniósł przez nią wartość swojego dzieła jego umiętny tłumacz.

Opisy wojen w Kochowskim, napchane są masą wyrazów obcych, dla nas niezrozumiałych. Rzymskie wyobrażenia przeniesione żywcem do Polski. Co znaczą np. *Protribunus, primipilus*? Gdzież te miasta, pod któremi walczy Jan Kazimiérz z Czarneckim? *Virgo, Arca*? To jakiś kraj nie słowiański, bo na Rusi zadnieprskiej była *Dziewica* i *Korab*. Kochowski umie téż pochlebiać. Nie powtórzy ani razu imienia Sobieskiego za Jana Kazimierza, chociaż nawet przyszły zwycięzca pod Chocimem i Wiedniem, był tylko prostym starostą, albo chorążym koronnym, żeby nie dodał zaraz *Illustrissimus*; ale nazwiska hetmanów, marszałków idą u niego w texcie bez tego przydomku: zapewne, że to wygląda dziwnie. Kochowski miał zawsze na myśli, że mówi o przyszłym królu rzeczypospolitéj, a historia jednak nie powinna uprzedzać wypadków. Więc kiedy potem hetman wielki burzył z Prażmowskim przeciwko Michałowi Korybutowi, kiedy bawił się w sprzysiężenia niegodne hetmańskiej buławy, byłże i wtedy *Illustrissimus* Sobieski obok *najjaśniejszego* Michała? Kochowski nawet o weselu Sobieskiego z Maryą Kazimiérą Zamojską wspomina pod rokiem 1665, jako o ważnym wypadku politycznym. Tłumacz jego miał już pod tym względem więcej przyzwoitości i taktu. Zdobywa się czasami nawet i Kochowski na przyganę ludziom, ale to już nie hetmanom, tylko prostym mniuchom, którzy za króla Augusta Mocnego, w sprawie Rzymu walczyli za władzą obcą generałów, przeciw biskupom polskim i prawom rzeczypospolitéj; a rzeczpospolita oczywiście miała przecież wszelką moc mianować na opactwa, kogo chciała, i jak chciała. Ale i tak przygana Kochowskiego jest grzeczna, powiedzilibyśmy salonowa, gdyby salonowość nasza była już w modzie za Augusta Sasa (Klimakt. 3, str. 30). Uchwyciwszy za tę samą

okoliczność, autor polski ciska swój gniew wymowny na tę władzę obcą, a oburzenie jego nie ma granic (str. 174 do 175).

Tłumacz Klimakterów opuścił w swoim dziele wzmiankę Kochowskiego o weselu księcia Bogusława Radziwiłła z synowicą, i okoliczność, że król Jan Kazimierz wystawić sobie kazał grobowiec w katedrze na Wawelu; wreszcie wiadomość pod rokiem 1664, o znalezieniu w Krakowie ciała Szymona Albimontana, który z Radziwiłłem sierotką jeździł kiedyś do Ziemi Świętej: mniej to ważne rzeczy, nie żałuję ich wcale, kiedy w zamian za te wiadomości, mamy tyle ciekawych rzeczy. Brakiem jednakże uwagi należytej przy wydaniu stało się, że wypadki z roku 1665 i 1666, ogromnie w *Historji* pomieszane. Zaczawszy od ugody pod Palczynem (Racz. str. 374), ogromna luka kilkunastu kart w Raczyńskim. Tego łatwo też można było dostrzedz przy wydaniu. Autor doprowadził właśnie opowiadanie swoje do przymierza, zawartego pomiędzy królem a Lubomirskim, a potem ni ztąd ni zowąd rozpoczyna na nowo dzieje wojny; i uważny czytelnik spostrzeżga, że przed tą wojną coś przecie zajść musiało, a to coś było czas, mniej więcej ośm do dziewięciu miesięcy. Kochowski pomieścił w Klimakterach dwa opisy bitwy pod Montwami: jeden swój własny, bo był oczywistym świadkiem boju, a drugi obcy, jakiegoś stronnika królewskiego, który był sędzią wojskowym, dla porównania świadectwa. Są te dwa opisy i w naszym autorze, który (na str. 384) tłumacząc Klimaktery, nie wspomina nic o Kochowskim, a mówi w ogóle: „ta bitwa jak się stała, przytomny autor w tej akcji opisał”. Wygląda to jakoś dwuznacznie, a celem tłumacza było zatrzeć ślady swojej kradzieży literackiej. Tak i w innych miejscach; Kochowski pisze: „wspomniałem o tém w tym a w tym Klimakterze“; a Raczyńskiego autor: „jak się wyżej wspomniało”. Ale wracając do rzeczy: na stron. 377 *Historji* zaczyna się już rok 1666, a nie na 387, a to, co przed tém wypuszczone, mieści się w Klimakterze IIIcim, na str. 210—229. Zatem: „Król do konia ruszył się” u Raczyńskiego (str. 377), powinno być do *Konina*, jak w Kochowskim. Powtarzamy: łatwo było dojrzec tej próżni i błąd naprawić, kiedy np. w rękopiśmie napotykał się taki nieporządek, że jeden opis bitwy Montewskiej jest pod rokiem 1665, a drugi zaraz obok już pod rokiem 1666; a tutaj i tam jedne spotykają się osoby, jedne wypadki.

Najwięcej dziwi nas jednakże ta okoliczność, jak mógł Wojcieki drukować po polsku dzieło Piaseckiego, nie wiedząc o tém;

jak mógł znowu Raczyński Kochowskiego wydawać, nie wiedząc o tém? Takżeto mało znamy dzieje literatury naszej polsko-łacińskiej, żebyśmy się nawet na takiej kradzieży nie poznali? A pominawszy i to na bok, jak mógł Wojcicki nie wiedzieć w roku 1846, że prawie cały drugi tom jego *Pamiętników* wyszedł w Poznaniu w roku 1840? Jednakże tak jest w rzeczy samej. Na co złożyć winę? na opieszałość czy niedbalstwo nasze?

Raczyński czasami doprawdy w rozumowaniach swoich zabawny. Każde swoje wydanie musiał poprzedzić przedmową wielką czy małą, ale zawsze przedmowa być musi. W pierwszym tomie *Historji* napisał od siebie, że Towarzystwo Przyjaciół Nauk poleciło członkom swoim wypracowanie szczegółowych panowań królów polskich; że prezes tego zgromadzenia przodkując pracy, wydał naprzód dzieje Zygmunta IIIgo; że Władysława IVgo napisał Kajetan Kwiatkowski; że do całego obrazu ponowania Wazów, brakowało tylko historyi Jana Kazimierza. Traf szczęśliwy podał mu w rękę pismo zapomniane w zakątku wiejskiego domu, w jednej z najodleglejszych prowincyj dawniej Polski, a w tém piśmie znalazł pragmatyczny opis dziejów Jana Kazimierza, i właśnie jakby ostatni tom historyi domu Wazów w rzeczypospolitej. Zapomniał Raczyński o dziele księdza Dymitra Krajewskiego, skończoném już przed rokiem 1817. Zapomniał, że nie znaleziony rękopism, ale Krajewski tylko mógł kończyć pracę prezesa Towarzystwa, i Kwiatkowskiego. Dzieła historyczne Przyjaciół Nauk są jak dwie krople wody do siebie wszystkie podobne; jeden w nich sposób pisania, wpływ jednych i tychże samych literackich wyobrażeń. W czémże więc może się równać panowanie Zygmunta IIIgo z obrazem, jaki nam skreślił nieznajomy tłumacz Klimakterów, nie prosty jedynie kopiista, ale prawdziwy sercem i duszą szlachcic, obywatel? Historycy nasi epoki niedawno zeszlęj wzrosli pod wpływem innego nieba, i mieli swoje przesady konstytucyjne, jako ludzie Stanisławowscy ze szkoły Ignacego Potockiego i Kołłątaja. Ci panowie wcale już nie rozumieli epoki Wazów, jak ją rozumiał tłumacz Kochowskiego, bo żył albo w niej samej, albo jej podaniami, które zachwyił od ojców. Nasz autor bronil elekeyi; literaci Stanisławowscy ją potępiali. Doprawdy, Raczyński popełnił śmieszność, kiedy powiedział, że wydaniem swojego rękopismu spełnia polecenie Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Nawet Klimaktery o dziesięć procent lepsze od panowań Zygmunta IIIgo i Władysława IVgo, a cóż dopięro *Historja!* Kochowski

w pojęciu kunsztu historycznego był nierównie wyższym od prezesa Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a nawet od Piaseckiego; nie zapomnijmy, że biskup przemyski pisał tylko kronikę, i nic więcej. Kochowski jest pisarzem malowniczym, obrazowym. Jakito piękny np. opis świętego i pobożnego związku, któremu marszałkowali Świdorski i Niezabitowski! *Pobożny* związek szedł za królem, dworem i elekcją za życia, a *Święty* popierał marszałka Lubomirskiego. Prosty porucznik, nagle wołą związkowych braci wyniesiony na dyrektora, Świdorski pokazuje się światłym rządcą, zacnym obywatelem. Jak święcie sprawiedliwość pod jego chorągwiami zachowana! jak skarcony każdy czyn przemocy! jaka chęć szczerą powrócenia do powinności. jaka szlachetna mowa do rzeczypospolitój, kiedy się domaga jednéj, wysłużonéj nagrody! Świdorski był człowiekiem stworzonym do rządzenia ludźmi. Jest tam pomiędzy jego konfederatami i miłość dla kraju, i uszanowanie dla króla, i pilność o własny interes. Mówiono téż o nim: „ten świder żadnéj dziury nie robi w rzeczypospolitój!” A obraz biskupa kujawskiego, staruszka, tak jaskrawemi farbami oddany; a toć to sama cnota, sama święta poczciwość. Książę staje pośród konfederatów, nie boi się gwałtu z ich strony; przemawia od serca, słuchają go, wierzą mu, i jakże mu nie wierzyć, kiedy się zacny starzec rozplakał, mówiąc o cierpieniach rzeczypospolitój! Kochowski także jak Piasecki lubi skreślać charakterystykę osób; wszystko niezawodnie ciekawe, ale nie mogę zapomnieć pięknych rysów, jakimi nam odmalował biskupa Mikołaja Gniewosza. Kto potrafi tak w kilku słowach przedstawić nam postać dawnego człowieka, jak Kochowski, że poznajem i jego część fizyczną i duchową, zaiste musi być sam znakomitym historykiem. Tłumacz Klimakterów odrzucając formę, uczone wstępy i wywody, erudycją bezpotrzebną i nie w miejscu Wespazyana z Kochowa, ożywiwszy obraz dramatycznością i szlachecką myślą, podniósł bardzo cały ogólny obraz, który jest o tyle wyższym nad dzieło autorów z Towarzystwa Przyjaciół Nauk, że ich prawie przy nim nie widać. A cóżby dopiero zrobił z tą epoką Jana Kazimierza prawdziwy talent historyczny naszego czasu, kiedy materyałów tak wielkie mnóstwo, że części ich nawet nie mógł mieć pod ręką Kochowski!

Dlatego właśnie po tylu znakach, któreśmy dopiero przywieśli, łatwo było poznać piszącego w Goleniowach, ojczystej swojej włości, Wespazyana z Kochowa, który się szumnie podpisywał w dedykacjach do króla Augusta Mocnego: *tribunus terrae Cracoviensis Generalis*. Gdyby Raczyński Klimakterów nie czytał, jużby

z tekstu swojej Historji mógł wyprowadzić prawdopodobne wnioski. Autor jego rozprawiał pod Janem Kazimiérzem o intrygach Maryi Kazimiéry, która własnego syna Jakóba odtręcała od tronu (II, 168). O Zbąskim, kiedy fundował kościół w Studzianny, powiada, że to był biskup warmiński, a Zbąski dostał Heilsberg już późno, pod koniec panowania Sobieskiego, w roku 1687. Zresztą powtarza się ciągle: „świadczy autor Kochowski, mówi Kochowski” i t. d. To było dosyć do naprowadzenia na ślad niezawodny. Raz nawet zapomniał się zupełnie nasz szlachcic. Rozповідаjąc (II, str. 411) o bitwie pod Ładyżynem, wspomina i o niewoli Alexandra Kochowskiego, którego wzięli w jassy Tatarzy: jak go potem do mahometańskiej wiary namawiali, jak umarł na wygnaniu chrześcianinem, jak się dowiedział o nim Wespazyan Kochowski, brat jego stryjeczny i dodaje zaraz o Wespazyanie: *autor kroniki téj*.

Ruskie wyrazy często się trafiające w *Historji*, np. *opyt*, *przedać się*, w znaczeniu *zdradzić* albo przejść na drugą stronę, może wskazują, że autor mieszkał na Rusi, albo z nią wojował. A wzmianki z okoliczności zabójstwa Wincentego Gąsiewskiego, że był synem Alexandra wojewody, którego posyłał Władysław IV do Francji po uwięzionego brata, *jako się wyżej namieniło*, mogły zwrócić Raczyńskiego uwagę, że nie tylko panowanie Jana Kazimiérza miał w rękę; owszem, że znalazł tylko jeden urywek ogromnego dzieła.

To właśnie spowodowało i nas do rzucenia jeszcze kilku ostatnich myśli o tych dwóch wydaniach: warszawskim i poznańskim. Widoczna jest rzecz, że *Pamiętniki Wojcickiego* i *Historja Raczyńskiego*, są częściami jednego dzieła. Boć Wojcicki znalazł swój rękopism w Warszawie, a Raczyński w jednej z najodleglejszych prowincyj dawnéj Polski. Jeden zaczynał się wcześniej, drugi za to później się kończył, a obadwa jednak zawierały jeden i ten sam opis piérwszych kilku lat panowania Jana Kazimiérza, bez najmniejszój odmiany przez stronic sto kilkadziesiąt. Bliższe studia nad historykami naszymi wyświecą, dlaczego Wojcicki różni się od Raczyńskiego pod koniec *Pamiętników*. Dalej widzimy, że szlachcic, autor tego ogromnego dzieła, powziął widać myśl napisania dziejów polskich na ogromną skalę; może zaczął od tego, na czém Bielski skończył, może chciał ciągnąć dalej jego *Kronikę*, i dlatego przerabiał na język ojczysty łańskich pisarzy. Szedł za nimi prawie niewolniczo, tłumaczył ich dosłownie, ale czasami puszczał i własnéj fantazyi

cugle, rozpowiadał wiele ciekawości wprost od siebie, których w drukowanych książkach nie znalazł: oczywiście pisał już za Augusta Sasa, bo znał klimakter IIIci, który wyszedł dopiero w roku 1698. Widzieliśmy sami, że ostrzej jak Kochowski przemawia mnichom, którzy spierali się z królem w sprawie opactw. Czyby to wszystko nie dało powodu do myślenia, że autor wciąż pisał dzieje Rzeczypospolitej, aż do swoich czasów, prawie aż do dnia swojej śmierci? Pamiętniki Erazma Otwinowskiego należą do téjże saméj kategorii; i w nich też sama wszędzie myśl szlachecka, ten sąd ostry, ale bardzo często prawdziwy, też same obrazy wypełnione, też sama niekronikarska metoda opowiadania, a wszędzie logiczny i historyczny związek myśli i następstwo wypadków. Erazm Otwinowski ma wprawdzie styl nieczysty, i nie pojedyncze już wyrazy, ale całe wystowienia łacińskie, które potłumaczył Raczyński na polskie. Widzieliśmy, że zrobił toż samo z Panowaniem Jana Kazimierza. Ale Wojcicki, który żywcem przedrukował *Pamiętniki* nawet z potwornemi błędami kopii, ma język wcale czysty, a przynajmniej czystszy, jakiegoby się spodziewać było można po tych czasach smakujących w makaroniczném słowie. Nie utrzymujem tutaj z pewnością, że i pamiętniki Erazma Otwinowskiego są dziełem naszego autora, który wziął się do przerabiania; ale wskazujemy na ślad, że między nim a Otwinowskim znaleźćby się jeszcze powinny panowania Michała Korybuta i Sobieskiego. Kochowski zostawił przynajmniej czwarty klimakter o Wiśniowieckim; w rękopiśmie mógł on gęsto latać po rękach. Jeżeli Rzeczpospolita nie miała zresztą historyka, któryby opisywał czasy tych dwóch królów, a zwłaszcza Sobieskiego, to miała za to pracowitego zbieracza i znowu biskupa, który wszystkie pamiętniki tego czasu, jakie tylko mógł dostać, zgromadził w swoje pięć tomów listów historyczno poufnych. A może też i ustał nasz pisarz, kiedy mu wątku nie stało; na kanwie danéj może potrafił haft przerabiać, ale sam nic nie umiał wyhaftować.

Przecież i to dziwi, że dwóch znanych w Rzeczypospolitej pisarzy przerabiał tak na swoje konto nasz autor, i nie bał się wcale, żeby go kto czasem nie złapał na gorącym uczynku. Jednakże, kiedy zastanowimy się nad tém bliżej i weźmiem bardzo częste przykłady w naszej i obcej literaturze, przekonamy się, że uchodziły bardzo te przerabiania i podrabiania. Niedawno widzieliśmy, że toż samo zrobić się miało z kroniką Marcina

i Joachima Bielskich. Autor polski kopiował łacińskich pisarzy rzeczypospolitej, ale i sam zdradzał się ze swoim usposobieniem, ze swoim sądem, który dzieło jego namaścił pewną oryginalnością poglądu i przedstawienia rzeczy; więc go nie poznawali w tłumaczeniu. Ale jak darować szanownemu wydawcy *Pamiętników* w roku 1846, że nie znał *Historji Raczyńskiego* wydanej w r. 1840? jak darować Raczyńskiemu, że nie poznał w swoim rękopisie *Klimakterów Kochowskiego*?

W naszym czasie, nie ulega to żadnej wątpliwości, wezmą się nowi pracownicy do tłumaczenia starych kronik i dzieł historycznych, jako źródła dziejowego. To myśl bardzo naturalna i bardzo nasza, żeśmy powinni mieć po polsku wszystkich naszych łacińskich pisarzy, nie samych tylko historyków, ale powtarzamy, wszystkich pisarzy. Kiedy więc przyjdzie do tłumaczenia *Piaseckiego* i *Klimakterów*, *Pamiętniki Wojcickiego* i *Raczyńskiego Historia* zastąpią miejsce pergaminowych rękopisów, które trzeba bezustannie porównywać słowo za słowem, przy wydawaniu kronik. Z pergaminów zbieramy warianty do kronik; do naszych autorów łacińskich dobierać będziemy warianty z polskich tłumaczeń starych, jakie jeszcze czas i poczciwi ludzie wykryją. Do *Piaseckiego* i *Kochowskiego* mamy już gotowe plony, komentarze, warianty w dwóch dziełach, któreśmy ocenili. Przy tłumaczeniu więc na polskie, text autorów łacińskich trzeba zostawić nienaruszony, a najmniejszą różnicę dostrzeżoną pomiędzy *Piaseckim* a *Pamiętnikami*, *Kochowskim* a *Historją*, trzeba notować w przypisach, zaraz u spodu stronnicy, dla porównania; i tak w jednym, dwa będziemy mieli dzieła. Naprzód nie zatrzemy oryginalności autorów łacińskich, potem w przypiskach wskażemy na inną indywidualność, która fakta brała wprawdzie z kądinąd, ale charakter swój nadawała przerobieniu. Będzie to wydanie zupełnie krytyczne, a podjąć się tłumaczenia *Klimakterów* i *Piaseckiego* nie radzim bez takiej porównawczej pracy. Potem w kronice biskupiej znajdujemy prawie drugi text, nietłumaczony wcale przez autora *Pamiętników*. Text ten należy do całości; razem obok siebie zestawiona całość, zaokrągli się ładnie w przekładzie całą już historją Europy i Polski. Błędy wydań polskich, to nowe wydanie krytyczne oczywiście wytknąćby powinno, bo te błędy widocznie należą do przepisywacza, ale nie do autora, który rzecz dobrze rozumiał. Kiedy mi *Wojcicki* napisze (T. I, str. 24), „do zajonczku zabierali się”, oczywiście ta wersja nie ma myśli: i trzeba poprawić: do *zwiazku*; u *Piaseckiego* jest téż w tém

miejscu użyty wyraz *nexus*. Tak samo wydanie krytyczne poprawi omyłkę o Macieju Łubieńskim, że to był kujawski, ale nie kijowski biskup. Wydanie to poprawi: *Krzysztof Zgłobicki*, ale nie *Zgłębocki*, jak jest u Raczyńskiego; *Alexander Żaboklicki*, ale nie *Żablicki*, jak mówi tłumaczenie polskie, kiedy w *Kochowskim* wyraźnie stoi prawdziwe nazwisko. *Stefan Bidziński* był stolnikiem koronnym, nie podstolim, bo w *Kochowskim* stoi: *Dapifer*. *Erchercog Karol* umarł w *Epinacie*, piszą polscy wydawcy, bo po łacinie jest *Oenipenti*; to miasto nazywa się dzisiaj *Oettingen* i leży w wyższej Bawaryi nad Renem. Przodkowie nasi dziwny zwyczaj zaprowadzili do literatury, że miasta całego świata nazywali po łacinie; ztąd te dziwne tytuły w języku polskim eboraceńskich, rotomagskich arcybiskupów, parlamentów lugduńskich, burdegalskich. Byłoto dla nich zrozumiałe i piękne, ale dla nas, to bez sensu. Trzeba zaraz uciekać się do słowników, żeby się z nich dowiedzieć, że *Argentorati* znaczy w Strasburgu, że *Aquae-Sextiae*, to Aix francuzkie. My sądym, że ten zwyczaj dziwny przestrajania nazwy własnej w obcą zniknie z czasem i za granicą; po cóż go mamy naśladować bez potrzeby? Oprócz tych poprawek, które przedsiębrać ma wydanie krytyczne *Piaseckiego* i *Klimakterów*, tłumacz może wdać się w krótkie rozprawki, a przynajmniej objaśnienia faktów, lekko natrąconych w autorze oryginalnym. Człowiek piszący o swoim czasie i dla współczesnych, nigdy nie wypowie całej duszy, chociażby to był sam *Sokrates* piszący historią. Prędzej zamilczy, jak powie wszystko. Są excentryczne charaktery, ale to przecież nie stanowi dowodu: to wyjątek od ogólnego prawidła. Otóż i *Kochowski* i *Piasecki* nieraz nie domówi wszystkiego; domówi coś za nimi ich tłumacz, ale i ten nieraz niewiele słyszał o jakim wypadku; i tamci dwaj przez wzgląd na ludzi, ten ostatni przez niewiedomość, mogą mieć opuszczenia i niepewności. Zresztą, i sama stronniczość dużo ukrywa z tego, coby plamę mogło rzucić na stronnictwo. Wydawca polski krytyczny powinienby mówić wtenczas za autorów łacińskich i polskiego. Względy ludzkie dla niego już nie istnieją, a o czasach dawnych może wydać wyrok sprawiedliwy; niechaj tylko ludzi i rzeczy nie sądzi podług pojęć swojego wieku, ale podług pojęć, w których oni, ci dawni ludzie, żyli i działali. Tyle się mnoży u nas ciekawych wydań listów, pamiętników: z nich trzeba czerpać światło dla

krytycznych wydań, a będą doprawdy piękne, zdumiewające nauką i uroczystością. Tak przy Piaseckim, Kochowskim i tłumaczu polskim, zjawiały się trzecia indywidualność pośredniczą pomiędzy słowem ostrożnym, a szorstkiem, pomiędzy obrazem łagodnym, a mocnym, pomiędzy dźwiękiem serca słabym, a silnym. Wszystko, co w naszych czasach będzie tak wydane *in crudo*, bez krytyki, bez objaśnień, będzie może ciekawe, piękne, ale nie dorosnie nowój epoki literatury historycznej polskiej.

Od bezimiennego autora, który przerabiał dzieła znanych historyków, przejdziem teraz do notatek innego autora, który wprawdzie nie zasłynął w dziejach literatury, który nawet nie miał zamiaru ubiegania się o sławę pomiędzy piśmiennikami rzeczypospolitej, a jednak od lat sześciu prawie, zajął dosyć poważne miejsce w gronie zacnych ludzi, którzy nam w pracach swoich zostawili źródła dla dziejów. Mówimy o Chrapowickim. Pan wojewoda witebski, jak wielu porządnych obywateli wszystkich stron i wszystkich czasów, dzień za dniem, pisał sobie dyaryusz zdarzeń, na które patrzył, albo w których sam miał udział. Pisał widać dla pamiątki; chciał może zostawić dyaryusz ten dla synów, dla wnuków, dla żony, ale najwłaściwiej powiemy, że pisał w młodszym wieku dla siebie, żeby w dniach siwizny szukać po księgach wspomnień dziecinnych. Natóg raz zaciągnięty stał się prawidłem dla niego na całe życie, i wojewoda ciągle, nawet w dni stare, swój dyaryusz pisał i pisał. Nadszedł czas z kolei, że jeszcze młodzianem będąc, Chrapowicki dzierżył urzędy ziemskie pomiędzy szlachtą bracią; potem nadszedł czas drugi, że zasiadł na sejmie jako poseł, a potem łaskę nawet piastował. Król Michał mianował go wojewodą witebskim. Wszystkie te okoliczności wpływały znakomicie i na sam dyaryusz Chrapowickiego; widnokrąg jego zdarzeń rozwijał się wciąż i rozwijał, nareszcie objął i całą rzeczypospolitę. Wiśniowiecki Michał kochał Chrapowickiego; matka króla, Gryzelda Zamojska, miała także wiele spótczucia dla naszego wojewody. Stosunki pomiędzy temi trzema osobami były więcéj, jakby na przyjacielskiej stopie: były na stopie prawdziwie rodzinnej. Ztąd i dyaryusz, w którym Chrapowicki zajmował się naprzód sobą tylko i swojemi, stawał się powoli dyaryuszem rzeczypospolitej; ale zawsze zaciśniony do miejsca pobytu pana wojewody, nie rozwinął się w Klimaktery Kochowskiego, ani nawet w Kronikę Piaseckiego, a jednak wiele taje-

mnie owego wieku, stosunków, intryg rozjaśnił. Ztąd wartość jego historyczna (1).

Dyaryusz ten zaczyna się w 1668 roku: „który zacząłem w Łubnie w powiecie grodzieńskim” pisze Chrapowicki. Tutaj więc najwłaściwsze miejsce, żeby pomówić o nim. Po *Pamiętnikach Wojcickiego i Historyi*, Dyaryusz następuje zaraz w chronologicznym porządku.

Przyznamy się, żeśmy z uprzedzeniem pewnym siedli do czytania pism Chrapowickiego. Zjawiał się nowy autor jak Pasek; jeżeli nie umiał interesować sobą dziejów literatury polskiej, to przynosił z sobą książkę nową, nieznaną o dziejach narodu, pomnażał bibliografią historyczną Rzeczypospolitej. Te okoliczności uprzedzały dobrze za panem wojewodą. Ale pamiętaliśmy też, że gdzieś czytaliśmy recenzją, czy sprawozdanie o pismach Chrapowickiego, bardzo dla tych pism nie pochlebne. Oskarżano w tej recenzji naszego autora, iż nie wiedział jak pisać, że nie umiał pisać, że ciągle tylko zajmował się sobą, że notował skrupulatnie co jadł, i kiedy jadł, gdzie spał i w jakim towarzystwie; powiadano też nam, że dla tych wszystkich powodów, nie ma w pismach Chrapowickiego treści, że dziejom się nie przysłużył w niczem, że drukować książkę jego, było szkoda czasu i atlasu. Oskarżenia stanowcze, żeby zabić w nas, w czytelnikach, wszelką wiarę w pana Chrapowickiego i wartość dziejową jego dyaryusza.

Blizsze rozpatrzenie się atoli w dziele, które wydał Józef Rusiecki, kazało nam o wiele zmienić nprzedzenia nasze względem pana wojewody. Pamiętnik Chrapowickiego jest bardzo zacnym do dziejów naszych przyczynkiem.

Juścić jeżeli pójdzie na porównanie z Kochowskim, wojewoda witebski oczywiście wiele straci w tém porównaniu. Ale też wielka między zamiarami jednego a drugiego różnica. Kochowski dzieje narodu pisał; Chrapowicki tylko swój dyaryusz. Kochowski pisał dla Rzeczypospolitej; Chrapowicki dla siebie. Kochowski myślał o imieniu, o sławie literackiej; Chrapowicki zapewne nawet we śnie o tém nie marzył. Wojski krakowski miał talent;

(1) Pisma Chrapowickiego. Dyaryusz wojewody witebskiego, Jana Antoniego dwóch imion Chrapowickiego, jako przyczynek do dziejów z czasów Jana Kazimierza, Michała Wiśniowieckiego i Jana Sobieskiego królów polskich, wydany z autentyku przez Józefa Rusieckiego z Trojanki. Oddział pierwszy. W Warszawie u Józefa Ungra, 1845 roku, w 8cc. Str. XLVIII i 332, i faksimile rękopismu Chrapowickiego.

wójtowa witebski żadnego; testament pisał też z pretensją, ten bez żadnych widoków. Kochowskiego można krytykować, zbijać, można mu robić zarzuty, że to albo owo opuścił, że tego albo tamtego nie rozjaśnił, albo nie rozumiał; można mu powiedzieć, że ma zły wykład, mało treści i t. d. (jeżeli nb. tego wszystkiego naszemu historykowi dowieść można); o Chrapowickiego recenzja się nie zaczepi, bo trudno wymagać kunsztu historycznego i wprawy pisarskiej od człowieka, który nie myślał być autorem. Więc tém przyjemniej dla czytelnika, jeżeli w książce, w której się tego wcale nie spodziewał, znajdzie ciekawe i interesujące wiadomości. Mamy prawo wymagać nauki dla siebie od Kochowskiego, a za przechowanie choćby małego, ale nieznanego szczegółu, winniśmy już prawie wdzięczność Chrapowickiemu.

Wydawca, pan Rusiecki, skreślił nam w przedmowie życiorys wojewody, podług jego własnych zeznań w Dyaryuszu. Zrobił to bardzo niedbale, bo nierównie więcej i lepiej opowiedzieć można o Chrapowickim; tém bardziej, gdyby się porównało inne jeszcze źródła. Z Dyaryusza poznaliśmy dobrze zacnego obywatela, który nie malując się wcale, odkreślił nam swoje rysy, charakter, sposób myślenia, nadzieje. Gdyby Chrapowicki nie dodał do naszego kapitału historyi, to już to samo odwzorowanie się jego w pismach, wzięlibyśmy za ciekawą i ważną nabytek, nie obojętny dla przeszłości. W Dyaryuszu tego nie ma, ale jest w Kochowskim (Klim. III, str. 171), że w r. 1665, kiedy sprawa Lubomirskiego zaczęła niepokoić stany na sejmie zwołanym do Warszawy, król Jan Kazimiérz nikogo innego, tylko Chrapowickiego podawał za marszałka obrad szlacheckich. Toby nam wskazało, że nasz autor, natenczas podkomorzy smoleński, należał do stronnictwa dworskiego i chciał elekeji Kondeusza na tron Polski. Potém widzimy go z kolei posłem na wszystkie prawie sejmy, marszałkiem na konwokacyi w r. 1668. Stosunki jego bardzo serdeczne z Pacami, kanclerzem i hetmanem, którzy za Jana Kazimierza popierali elekcyą i wyobrażenia francuzkie, a potém za Michała Korybuta, połączyli się znowu z prześladowanym od panów królem, dlatego tylko, żeby sprzeciwić się Sobieskiemu i prymasowi, a więc wyparli się Kondeusza; dałyby może poznać, że Chrapowicki odegrał także znakomitą rolę w intrygach swojego czasu. Ale sąd taki na pozornych rozumowaniach zasadzony, byłby bez podstawy: wniknąwszy głębiej w sprawę Chrapowickiego, prze-

konywamy się, że mogły go używać stronnictwa do swoich widoków, i starać się go nakręcić wedle swojej myśli; ale autor nasz, mimo to wszystko, pokazał się wszędzie mężem staropolskiej cnoty. Do spisków nie uciekał się i kochał prawe publiczne rzeczypospolitą. Gościnny, przyjacielski, wymowny, chwilki jednej nawet nie spoczął; jeździł, to na sejmy, to po dobrach swoich, oglądając wiejskie gospodarstwo, to po kommissyach, zjazdach, wyznaczany na to od stanów, albo uproszony przez obywateli. Byłto człowiek nadzwyczaj popularny nietylko w Smoleńskiem, ale na całej Litwie. Reprezentant przez lat kilkadziesiąt rodzinnego województwa, nie nadużył nigdy ufności swoich spółobywateli. Nie miał wysokich przymiotów męża stanu, i dlatego kierować nie chciał i nie umiał umysłami; ale to jednakże nie naruszało wrodzonej mu poczciwości. Każdego króla serdecznie kochał, bo widział w nim majestat rzeczypospolitej; ale chociaż zostawał w stosunkach przyjaźni z całą rodziną Wiśniowieckich, nie chwycił przecież za oręż w obronie Michała, chociaż przymawiał się o to król Korybut. Chrapowicki pierwój piórem władał, jak orężem, ubolewał więc nad Michałem, ale nie walczył za nim. Był jednakże czas, że zdawało się, iż trzymał Chrapowicki w ręku swoim losy Wielkiego Księstwa, a więc razem i korony polskiej. Korybut popychał go do konfederacyi, hetman Pac obiecywał mu, że wszystkie województwa litewskie staną pod jego laską. W Polsce zawiązała się na obronę króla konfederacya koronna, a Korybut myślał sejm złożyć i sąd na spiskowych, którzy chcieli go z tronu strącić, posadzić na nim Francuza, i reformy na korzyść jednego wyłącznie stanu zaprowadzić. Chrapowicki był wtedy tak potężny, że prymas Prażmowski i podskarbi Morsztyn błagali go listownie o pomoc.

Osoba więc tak wielkiego znaczenia, jaką był Chrapowicki, ma prawo obchodzić każdego badacza przeszłości polskiej. Gdybyśmy postać każdego wojewody, hetmana, tak dobrze zrysować mogli, jak możemy Chrapowickiego zrysować z jego Dyaryusza, mielibyśmy historią.... W czasach tak okropnego ścierania się dwóch zasad przeciwnych, jakie widzimy za Jana Kazimiérza i Michała Korybuta, nie obojętną jest dla nas, myśl każdego posła na sejmie, myśl każdego prawie szlachcica; jakże nie ma interesować postać wojewody, który się zbliżał więcéj jak kto inny do tajemnic stanu, i wiedział wszystko: i to co mówiono pokryjomu, i to co działano przeciw prawom kardynalnym rzeczypospolitej. Dajmy

na to, żebyśmy mogli zebrać taką statystykę historyczną osób i powiedzieć, że za Korybuta w obronie króla i szlacheckiej rzeczypospolitej stawali ci a ci, a przeciw tamci; gdybyśmy mogli pochwycić na gorącym uczynku wszystkie odcienia tych dwojga przeciwnych stronnictw: bo bez odcieni takich nie może być żadne społeczeństwo, tém bardziej mające prawo naradzania się publicznego; gdybyśmy wskazać mogli na rozwój myśli M. Ludwiki historycznie, nietylko w kraju, ale i w pojedynczych członkach naszego społeczeństwa: czegoż więc moglibyśmy już żądać? Wszakże nie w wypadkach, ale w myśli ogółu, spoczywa historia. Historia ma wskazywać nie na bitwy, ale na kierunek ducha, a raczej historia ma zająć się przedewszystkiém bitwami ducha, nie ciała.

Takię charakterystyki jednego ze znakomitych wielkoradców rzeczypospolitej, dostarczyły nam właśnie pisma Chrapowickiego. Obok niego, kogoż znamy tak dobrze?—pięć, sześć najwięcej osób.—Ale i oprócz téj charakterystyki, jest bardzo wiele dobrego w Dyaryuszu pana wojewody.

Prawda, że zbyt drobiazgowy jest Chrapowicki w swoich notatach, że na dzień każdy roku ma coś zapisać, jeżeli nie wypadek polityczny, to spostrzeżenia meteorologiczne, i stacye na których nocował, albo na których się *pokarmił*; prawda, że notuje ze skrupulatnością największe dzieciństwa: jak np. że myszka wbiegła do izby sejmowej, kiedy tam perorował jakiś wielki obywatel w ojczyźnie; że dla pamiątki zapisuje sobie nawet dzień, w którym zginął piesek jéjności specjalny bardzo, i drugi dzień na wiosnę, w którym słyszał słowika i kukulkę formujących głosy swoje; ale to wszystko małe wzmianki obok opowieści, w której wiele faktów tą razą już prawdziwie nieznanych.

W pismach Chrapowickiego znajdujemy dyaryusze sejmowe, i dzień za dniem wiemy o nowych zajściach, nowych projektach, intrygach. Nie ma tam mów wprowadzie, których pełno w każdym dyaryuszu sejmowym, wydanym urzędowo przez sekretarza obrad; ale są za to niemniej ciekawe szczegóły o walce stronnictw, o środkach walki, o zabiegach i przymówkach, które mogą być tylko w dyaryuszu nieurzędowym, prywatnym. Łapiemy tutaj narazie namiętność, interes własny, albo obywatelstwo. Kiedy sejm ma być zerwany, chwytamy za nić intrygi; wiemy teraz, jakiego pozorów używali panowie albo szlachta, żeby sejm zerwać; wiemy, jak prawa obradowania bronił marszałek. Chrapo-

wicki nie obrazuje, napomyka tylko; ztąd jest czasem i ciemny, ale zawsze rzuca niezmiernie światło. Szczęściem dla nas, że p. wojewoda był popularnym człowiekiem, i że dlatego zasiadał na wszystkich sejmach z kolei; mógł więc nam z kolei i historią obrad narodowych przedstawiać przed oczy. Obywatelstwo jego szczególnież wydatnieje w tych czasach, kiedy sam trzymał marszałkowską laskę; a trzeba znowu nieszczęścia, że walczył wtedy ze swoimi ziomkami, exulantami smoleńskimi, bo zawsze się ktoś pomiędzy nimi znalazł, obrońca *liberum veto*.

Żałujemy, że ten dyaryusz Chrapowickiego zaczyna się tylko od roku 1668, że nie sięga jeszcze lat dawniejszych. Nasz autor miał w roku 1668 już 56 lat życia; a więc się zbliżał już ku starości. Dlatego nawet nie zdaje się nam, żeby i przedtém jeszcze pamiętników swoich nie pisał. W wydanych jego pismach przez Rusieckiego, natrafiamy odrazu na ciekawe szczegóły, dotyczące się chwil ostatnich panowania Jana Kazimiérza. Widzimy, jak myślabydycy jeszcze przed r. 1668 rzucona, wzrasta co chwila w umyśle królewskim. Widzimy, jak myśl ta mężnieje i z kolei przechodzi w czyn. Dzień za dniem przytomni jesteśmy naradom, perswazyom, przedstawieniom, to w pałacu Kazimirowskim, to w Prymasówskim. Widzimy, jak senat się zjeżdża do Warszawy niewezwany, naradza się o sprawach i przyszłości Rzeczypospolitej. Dużo szczegółów zebrał biskup Jędrzej Chryzostom Załuski o tych ostatnich chwilach panowania Jana Kazimierza, ale w Chrapowickim obraz nierównie więcej zajmujący.

Z bezkrólewem odżyły intrygi francuzkie panów. Tutaj znowu śledzim krok za krokiem myśl dawnego stronnictwa, chcącego się narzucić Rzeczypospolitej. Ale Pacowie przeciwstawili księcia lotaryngskiego Kondeuszowi, i znowu najdrobniejsze szczegóły, wszystkie przejścia i fazy szlacheckiej myśli na sejmie elekcyjnym, aż do wykluczenia Kondeusza i elekcji Michała. Obrazu tak drobiazgowego o téj chwili jeszcze nigdzie nie czytaliśmy; znajdziem niejeden jeszcze zapewne taki zarys w pamiętnikach, w rękopismach, które wiek nasz drukuje, a wtedy nowe jeszcze światło uzupełni się podaniami Chrapowickiego. Dzień elekcji Michała (19 czerwca) nazywa p. podkomorzy smoleński dniem cudownym: bo w samej rzeczy, tryumf odniosła wtedy nad intrygami szlachta, a obiór jój miał coś w sobie wielkiego i uroczystego jednomyślnością i zapałem. „Zdrętwieliśmy wszyscy, tak wiel-

kim przerażeni cudem; co nie mogło się stać bez wyraźnej Boga woli“ (str. 131), mówi Chrapowicki, i zaraz podaje szczegóły ciekawe, jak dąsał się hetman, i z gniewu, że przeprzćć nie może szlachty, podawał projekt do nowych bardzo ostrych paktów konwentów, tak, że ich nie mógł w żaden sposób przyjąć król Michał. Hetman gotował zatem nową przymuszoną abdykacją, ale szlachta na to zaimponowała pospolitým ruszeniem i okrzykami zdrady. Zamiast zgubić Michała, intryganci francuzcy zaciekłością swoją ku niemu, obudzali tylko dla króla szlachty miłość.

Przyduszona дума energią zapaśników, odżyła przecież, i biédny Korybut panował wpośród strasznych konwulsyj narodowych. Nie miał on także woli jak Zygmunt IIIci i zgubił siebie. Piérwszego Wazę szanowali jeszcze magnaci, bo dopiéro za niego rodził się bezrząd; a potóm król Zygmunt III, pochodził z rodziny panującej, nie drażnił zatem dumy wielkoradców. Nie miał tych korzyści na swojej stronie król Michał, a najmniej znaczący za jego czasów senator albo minister, sądził, że więcéj położył zasług dla rzeczypospolitej, jak Korybut Wiśniowiecki, a ród swój uważał za tyle szlachecki, co ród króla Michała. Intrygi na sejmie konwokacyjnym, intrygi o wakanse i współzawodnictwo możliwych, widne jak na dłoni z pamiętników Chrapowickiego. Charakter prymasa Prażmowskiego skreślony nienaumyślnie, nie po artystycznemu, ale w wypadkach wydatnieje mocno. Jakże nie miał Turek zdobywać Ukrainy i Podola, jak Kozacy nie rwać się na stronictwa, kiedy panowie bawili się już nie w spiski, a w jasne bunty przeciw królowi? Prymas jawnie wymyślał w senacie na swoich przeciwników i wzywał króla, żeby abdykował. Księcia de Longueville (szlachta przeważa go Długosielskim) prowadził jawnie na tron, a kiedy zginął ten młody bohater, prymas zdrzał, ale znowu księcia de Vendôme popierał. I znowu powtórzmy tutaj, że tak dokładnego obrazu intryg francuzkich za króla Michała, nigdzieśmy jeszcze nie czytali; chyba będzie równy temu, ale nie tak zawsze szczegółowy w czwartym Klimakterze Wespazjana z Kochowa.

Okropny rok 1672, który Chrapowicki najnieszczęśliwszym nazywa, ze swoją konfederacją gołębską, przedstawiony także w jaskrawych bardzo zarysach. Doprawdy, zdaje nam się, że czytamy gazetę tamtego czasu. Tutaj co się dotyczy ruchów wojennych na Ukrainie, oprócz listów Załuskiego, dla wyświeccenia okoliczności, przychodzą nam w pomoc ciekawe bardzo dyaryusze

i pamiętniki, które podrukował p. Ambroży Grabowski w Ojczy-
stych Spominkach.

Panowanie króla Michała Wiśniowieckiego, przez wydanie pism naszego wojewody zyskało wiele. Przesady historyczne o ludziach i czasach umilkną, skoro bezstronny czytelnik przejrzy te akta, te *pièces justificatives*, które wydał p. Rusiecki. Nie będziemy tak bardzo potępiali Michała Korybuta, jak to robili ludzie zeszłej epoki. Nam się tylko dziwném wydaje, że szanowny wydawca, który musi być tąż samą osobą, co i pan Rusiecki z Dyplomatarjusza Rzyszczewskiego, mając pod ręką tak spory zapas faktów, po którychby mógł sądzić o królu Wiśniowieckim, nie usprawiedliwia go, a owszem prawie potępia, jak to sądzić mozem z treści, w której zebrał znakomitsze czyny dotknięte przez Chrapowickiego.

Być może, i nam zarzucą z kolei, żeśmy zbyt stronnie przedstawili charakter wojewody witebskiego; żeśmy z uprzedzeniem dobrém dla niego pisali o nim; może nam powiedzą, że i Chrapowicki miał wady swoje, że należał do możnowładców rzeczypospolitej pilnujących interesu własnego, ale nie sprawy ojczystego kraju. Być może, zacytują nam fakta, jak ciągle rozprawiał wojewoda na sejmach o wynagrodzeniu exulantów smoleńskich, jak brał królewszczyzny i dostojności, jak wnosił, żeby „nie przystępować do żadnych spraw rzeczypospolitej, aż się nam zadosyć stanie”. Te słowa i wnioski potępiłyby kogo innego, ale nie naszego autora. Nie on pierwszy dla prywaty mógł narażać obrady sejmowe: wtenczas opozycja i *liberum veto* stawały się już nałogiem szlacheckim, bez którego żyć nie można było. Każdy brał ze wspólnego stołu, każdy do brania sądził że ma prawo. Wszyscy, źle nawet służąc rzeczypospolitej i ulegając podszeptowi namiętności, albo duchowi stronnictw, sądzili, że pracują na sławę i dobro kraju. Żądali zatem wynagrodzenia *ex pane bene merentium*, a jeżeli nie dostali starostwa albo wrębu do lasów, albo prawa na palenie towarów leśnych (tojest potażu), albo wójtostwa, sołtystwa jakiego, rozwodzili publicznie skargi, nie dlatego nieraz, że nie dostali, ale dlatego, że zasług ich nie uznaje rzeczpospolita. Prawem kardynalném Polski stało się, żeby na początku każdego sejmu król rozdawał wakanse; prawo to uświęcało prywatę i nie w jednym razie doprawdy, tamowanie obrad publicznych z powodu nierozstrzygniętej jeszcze sprawy o interes jednego albo drugiego obywatela, uchodziło za cechę, za dowód czystego patryotyzmu. Później nawet najzacniejsi ludzie tej

broni prywaty używać musieli, żeby sejm prędkiej zerwać, jak dopuścić na nim stanowienia praw obrażających Rzeczpospolitą. Przekonani jesteśmy mocno, że Chrapowicki pomimo tego, że groził nie przystępować do żadnych praw Rplitej, nie zerwałby jednak sejmu dla exulantów smoleńskich.

Nie można nigdy dosyć odżałować, że p. Rusiecki skończył swoje wydanie na pierwszym tomie pism Chrapowickiego. Wojewoda witebski umarł dopiero w roku wyprawy wiedeńskiej, więc jeszcze z jedenaście lat przynajmniej pisał swój pamiętnik, a p. Rusiecki zapewne posiada i dawniejsze jeszcze z przed r. 1668 pisma i listy Chrapowickiego. Takby przynajmniej wnosić należało z tytułu Dyaryusza, na którym napisano: *oddział pierwszy*. Więc być mógł oddział drugi i trzeci, więc nowy autor miał wystąpić w naszej literaturze historycznej odrazu z całą biblioteką dzieł swoich. Zaczny wydawca owszem zapowiadał, że dobre od czytającego ogółu przyjęcie jednego oddziału, będzie dla niego zachętą do ogłoszenia dyaryuszów Chrapowickiego z lat innych, a może i podobnego rodzaju innéj ręki piśmiennych zabytków. Upraszał nawet p. Rusiecki posiadających dawne dokumenta, pisma urzędowe, dyplomata i historyczne rękopisy, ażeby się do niego zgłaszali, bo chciał te zabytki nabywać i drukować.

Mieliśmy zatem znaleźć swojego Edwarda Raczyńskiego; ale nieszczęśliwa recenzja wydrukowanego już Dyaryusza, ostudziła widać od razu gorliwość zacnego wydawcy. Lat sześć już minęło od téj chwili, a nie możemy się jeszcze doczekać spełnienia danéj obietnicy.

Jednakże nie sądzim, żeby p. Rusiecki doprawdy i nazawsze umilknął. Zasługi jego nie zapomni już literatura i historia: w Dyplomatarjuszu Rzyszczewskiego, w pismach Chrapowickiego wojewody zostaną pomniki téj zasługi. Dlatego prosimy zacnego wydawcę o dalszy ciąg Dyaryusza, prosimy o całą bibliotekę dzieł jego, o rozpowszechnienie tych innych rękopisów, które ma w bogatym swoim zbiorze posiadać. W naszej chwili, jedyną prawie drogą do zarobienia sobie na pamięć dobrą pomiędzy społecznymi i potomstwem, jest praca około wydawania pomników piśmiennych, które giną z dniem każdym. Sława Raczyńskiego tak piękna, jak rzadko czyja, bo tak nadzwyczajny jest człowiek, któryby grosz łożył dla dobra nauki, wpośród wieku spekulantów i kapitalistów. Czyżby ubliżeniem było dla p. Rusieckiego podobną sławą pomiędzy nami rozbłysnąć?

Na końcu dopiero przychodzi nam mówić o wydaniu Wojcickiego Statutów wiślickich (1).

W roku 1847 upływało pięćset lat od prawodawczego sejmku w Wiślicy. Powzięty był zamiar uczczenia téj półtysiącnej rocznicy przepyszném wydaniem statutów Kazimiérzowych. Kilku uczonych myślało o tém. Już Kazimiérz Stronczyński przepisał cały kodex Sieniawski, do którego Mikołaj Malinowski i Wincenty Majewski mieli dorobić krytyczne noty i objaśnienia. Text łaciński miał być zamieszczony obok tłumaczenia polskiego. Ale kiedy nieprzewidziane przeszkody opóźniły przedsięwzięcie: p. Wojcicki pochwycił za ich myśl i swoim wydaniem Statutów w r. 1847 przypomniał nam zasługi Kazimiérza Wielkiego.

Użył do tego księgi nazwanéj Wiślicyą, która stanowi najcenniejszą ozdobę metryki koronnéj. Jestto rękopism zawierający w sobie tłumaczenie polskie dawnych statutów, między któremi prawa wiślickie zajmują główne miejsce. Ztąd pochodzi nazwa samego rękopismu. Jestto zabytek piśmienny jeszcze z XVI wieku. Stronczyński wydał w podobiznie księgę Wiślicy, jednocześnie prawie z Wzorami pism dawnych, ale że odbił kilkadziesiąt exemplarzy tylko, wydanie jego zostało już dzisiaj bibliograficzną rzadkością. Autor Ksiąg Bibliograficznych, zbierając historyczne pomniki języka i uchwał polskich i mazowieckich, używał także księgi Wiślicy dla porównania ze swojemi zabytkami. Znali ją więc wszyscy dla siebie: Wojcicki piérwszy dał ją poznać wszystkim.

W książce, którą nazwał wydawca *Statutami polskimi króla Kazimiérza*, nie ma nowych danych dla historii prawa. Nie odznacza się ona wcale nowością, albo raczój znalazło się w niej mało nowości. Wydanie to przecież rozpowszechnia pomiędzy nami statut wiślicki, rzecz dziwna, tak mało znany dotąd, dziwniejsza tém bardziej, że niedawno znaleziono nawet dwa przekłady statutu na język ruski, z których jeden z XV wieku ogłosiła w Petersburgu kommissya archeograficzna.

Miało być krytyczném wydanie Wojcickiego. Miało obok textu zawierać w sobie porównanie ważniejszych ustaw przeszłych z prawodawstwami obcemi, mianowicie zaś z prawem rzymskiém pod względem dziejowym i filozoficznym. Przed samym textem jako wstęp, miała być rozprawa o statutach wiślickich, o ich wartości i znaczeniu: bo wielki pomnik cywilizacyi narodu z XIV stulecia, zasługiwał na wszelkie względy. Niestety dla

(1) Statuta polskie króla Kazimierza w Wiślicy złożone, z rękopismu wydał K. Wł. Wojcicki, Warszawa, 1847. 8ka, Druk Kom. Rząd. Sprawiedliw. Str. VII i 179. Cena złp. 8.

szanownego wydawcy, Majorkiewicz umarł, a zamiast jego rozpraw, Felix Żochowski napisał w dodatku do statutów o języku polskim XV wieku.

Statuta wiślickie zajęły tylko 66 stronnic; co nad to jest w książce Wojcickiego aż do rozprawy o języku, jest dopełnieniem praw Kazimierzowych i rozwinięciem. Tak w wydaniu naszym następują statuta Jagielly, uchwalone w Warcie, przełożone na język polski przez Świętosława z Wocieszyna, kustosa kollegiaty ś. Jana w Warszawie, znane już z wydania Joachima. Potém idą ustawy niezawskie, czyli odnowienie praw ziemskich z przyzwoleniem niektórych artykułów z roku 1454. Daléj potwierdzenie praw ziemskich Władysława Jagielly w Krakowie 1433 r. drukowane już były w *Jus polonicum* Bandtkiego. Następują artykuły z rozmaitych statutów królów Kazimierza i Władysława, i niektóre przywileje zebrane, prawom ziemskim przez nie przydane naprzeciw drapieżcom dóbr kościelnych, wydane także przez Bandtkiego, a uchwalone na sejmie piotrkowskim w roku 1458. Potém statuta w Nowém-Mieście Korczynie uchwalone w roku 1465, wydane w *Jus polonicum*. Niektóre artykuły zebrane ze statutów sędziom potrzebne, statuta w Opatowie zapadłe z roku 1474, i znowu uchwały Kazimierza Jagiellończyka w Piotrkowie z roku 1447 i 1457: oto treść książki, którą pan Wojcicki uświęcił pięciosetną rocznicę uchwał wiślickich. Prawnicy nasi, historycy i filologowie, wdzięczni mu będą za piękny pomysł, za wydanie staranne, a tanie. Wizerunek Kazimierza Wielkiego, zdjęty z wierzchniej części grobowca jego na Wawelu, zdobi wydrukowaną księgę Wiślicy, a wiadomo, że rysy znakomitego króla, artysta uwięził na grobowcu. Twarz szlachetna, piękna, spokojna, a cała postać uderza jakąś dziwną powagą. Gdyby nie korona na głowie, zdawałoby się, że to wizerunek polskiego kmiecia, a przynajmniej kmiecia z czasów Kazimierza Wgo.

* * *

Skończyliśmy mówić o materyałach wydanych w Warszawie.

Mała ich liczba, zapewne, tych materyałów w porównaniu z innymi miastami polskimi. Mało téż nieznanymi, nowych dzieł i rękopisów. A jednak ma się z czego pochwalić nasze miasto. Na kodex dyplomatyczny zdobył się tylko Poznań, obok Warszawy. Ale

Rzyszczewskiego wydanie o wiele cenniejsze jest od dwóch kodexów Raczyńskiego, a nawet Wzory pism dawnych, nie ustąpią tym kodexom pierwszeństwa. Niedość, że massa błędów skaziła wydanie poznańskie, ale na to jeszcze potrzeba zwrócić uwagę, że krytyki tam wcale nie było. Są dyplomata podrukowane oddzielnie i w transumptach, a niedbalstwo tak ogromne, że tego nie spostrzegli ani Raczyński, ani korektorowie w druku. Potem jeden dyplomata wydrukowany z téj kopii, a drugi z tamtéj; po przeczytaniu pokazuje się, że jeden i drugi toż samo, tylko pisownia inna, tylko błędy inne i data zepsuta. Takim sposobem kilkaset dyplomatów u Raczyńskiego zeszło na sto kilkadziesiąt i źle jeszcze wydanych. Nasz Dyplomatarjusz w porównaniu z poznańskim, to czyste złoto przy miedzi. Mamy już dwa grube tomy, za kilka tygodni posłyszemy zapewne i o drugiej połowie drugiego tomu, a wieści chodzą, że pan Rzyszczewski postanowił pracować nad swoim Dyplomatarjuszem z podwojoną gorliwością. Obok tego przedsięwzięcia, cóż równego wskażą inne miasta?

Odkryliśmy dalszy ciąg Bielskiego Kroniki, wydaliśmy Piaseckiego po polsku, pan Rusiecki obdarzy nas całą biblioteką nowych rzeczy i nowych autorów.

Prawda, że Piasecki nie jest rzadki: to téż uważajmy Pamiętniki Wojcickiego prosto za przedruk. Któreż miasto popisie się taką liczbą przedruków ważnych, jak nasze? *Biblioteka starożytna* przypomniła nam kilka imion niesprawiedliwie zagrzebanych; obok niéj, wydanie Strykowskiégo i *Statutów wiślickich*, to wszakże prawo nie mniejszój zasługi naszój do wdzięczności spółziomków. Małośmy tylko wydrukowali ojczystych spominek, mało listów, relacyj, mów sejmowych, opisów różnych zabaw i uroczystości. Mało u nas wyszło broszurek takich jak Sagatyńskiego albo Pstrokońskiego, aleśmy się zdobywali na co mogli, i na co stać było. Powiedzmy i to jeszcze, że wydania nasze nie były gładzone, obcinane, przez wzgląd na osoby i rzeczy. Ale mamy nadzieję, że nietylko jakością, ale i ilością zalecimy się wkrótce.

Za to, że Warszawa mało zajmowała się pracą około wydawania materyałów, drukowała wiele własnych badań, prac, dzieł, rozpraw, objaśniając niby przeszłość. Wszystko to jeszcze może zawczasu przed uporządkowaniem i rozpowszechnieniem naszych materyałów. Ale człowiek lubi szukać, więc i badać w przeszłości, chociaż wie, że ma do tego mało środków; nie wstrzymuje go przecież ta okoliczność, i mimowoli poddaje się słabości,

idąc za przywiązaniem. Zobaczmy tedy *utwory* wydane w Warszawie. Zastanówmy się bliżej, które z nich noszą cechę prac naszego czasu, a którym brakuje na myśli żywotnej. Warszawa tutaj niezawodnie ilością nawet przodkuje innym miastom, swoim siostrzycom. Czy może téż przodkować siostrzycom i zdolnościami swoich pisarzy?

15 lutego, 1851 roku.

(Dalszy ciąg nastąpi).



ROZBIÓR KRYTYCZNY

DZIELA P. WALENTEGO DUTKIEWICZA, POD TYTUŁEM:

PRAWO HYPOTECZNE W KRÓLESTWIE POLSKIM.

PRZEZ

C. Ł.

(Dokończenie.)

Pod względem spadku powstały, w zastosowaniu Kodexu Cywilnego z r. 1825, następujące kwestye:

1) Czy mają do niego prawo małżonkowie, którzy w umowie przedślubnej zastrzegli wspólność majątku?

2) Czy mają do niego prawo małżonkowie, którzy zawarli związek małżeński przed ogłoszeniem prawa z r. 1825?

3) Jak się urządza spadek małżonka ze względu na prawa dzieci naturalnych uznanych, niemniej ze względu na część obowiązkową i część rozrządzalną?

Co do 1go zapytania. Autor mniema (§ 181), iż małżonkowie nie biorą po sobie spadku, jeżeli zastrzegli wspólność majątkową. Głównym jego argumentem jest art. 231 prawa z r. 1825, który stanowi: „Jeżeli małżonkowie przez umowę przedślubną, lub przez umowę w art. 210 przewidzianą nie postanowili, jakie prawa ma mieć małżonek przy życiu pozostały do majątku współmałżonka, natenczas służyć będą prawidła następujące.” Autor przypuszcza, iż zastrzeżenie wspólności jest oznaczeniem praw pozostałego przy życiu mał-

żonka, podchodzącóm pod art. 231. Lecz bliższe wejrzenie na naturę wspólności austriackiej, przeniesionój do prawa z roku 1825, nie usprawiedliwia tego wykładu. Cóż to jest bowiem wspólność austriacka, jeżeli nie darowizna na przypadek śmierci, uboższemu małżonkowi przez bogatszego, połowy przewyżki jego majątku. Jeżeli przeto majątki małżonków były równe, albo jeżeliby bogatszy przeżył uboższego, wtedy nie byłoby żadnych praw dla pozostałego przy życiu małżonka, umową przedślubną zastrzeżonych; przeciwnie, mąż majątniejszy straciłby część swego majątku. Widocznie więc w takim razie art. 231 wymagający dla usunięcia spadku oznaczenia praw równających się onemu, wyobrażających spadek, nie może być stosowany do umów, że tak powiem losowych, mogących pozbawić części majątku jednego ze współmałżonków. Art. 231 stosuje się przeto do zapisów uczynionych małżonkowi przez małżonka, na przypadek śmierci, i wyraźnego oznaczenia między nimi ilości spadkowej. Nie należy się obawiać dla małżonka pozostałego przy życiu, zbyt-czynnych z tego wykładu prawa korzyści: albowiem z mocy art. 234, korzyści osiągnięte w skutek wspólności, ulegną zwrotowi na rzecz innych spadkobierców. Lecz stanowczy dowód zamiarów prawodawcy z r. 1825 co do przyznanych praw spadkowych małżonkom, którzy zawarli nawet wspólność, wynika z trzeciego ustępu art. 230; brzmienie tego ustępu jest następane: „W razie zrzeczenia się, żona odbierze swój własny majątek, tak jakby wspólność wcale zastrzeżoną nie była; lecz majątek męża nie będzie odpowiedzialnym za długi żony, i żona nie będzie korzystała z praw w oddziale następnym oznaczonych”; to jest nie będzie korzystała ze spadku.

W tym texcie prawodawca wyraźnie stanowi, że żona w razie zrzeczenia się wspólności, nie będzie brała spadku po mężu; z kąd wynika, że otrzyma spadek, jeżeli przyjmie wspólność.

Nasz autor zwykle z wielką skrupulatnością przytaczający przepisy prawa, w tym jednym przypadku nieco odstąpił od textu, i cytuje wyrazy artykułu 230 w ten sposób: „choćby się żona zrekła wspólności, już udziału z art. 232, 233 mieć nie będzie”; tymczasem wyraz *choćby*, któryby nadał prawu znaczenie odpowiednie wykładowi autora, nie znajduje się w art. 230. Autor dodaje nadto: „tém bardziej, gdy wspólność przyjmie (żona), już o większej korzyści myśleć nie może”; któryto argument nie jest również przekonującym. Jeżeli bowiem żona przyjmie wspólność, a majątek męża równy będzie co do wartości jej majątkowi, albo téż od niego mniej znaczny, to ze wspólności żadnej nie osiągnie korzyści; korzy-

ści te powstaną dla niej dopiero, gdy weźmie spadek po mężu. Gdy zaś żona zrzecze się wspólności, widocznie w takim razie bogatszą jest od męża, i spadku po nim nie potrzebuje, i dlatego prawo tylko w razie zrzeczenia się wspólności wyłącza ją od spadku.

Trudniejsza jest nieco do rozwiązania kwestya, czyli biorą po sobie spadek małżonkowie, którzy wstąpili w związki małżeńskie przed ogłoszeniem prawa z r. 1825?

Według ogólnych zasad interpretacyi, powtarzanych zwykle w ustawach przechodnich, spadki jako nabywane i realizowane po śmierci spadkodawcy, podlegają nowemu prawu, jeżeli innego nie było zastrzeżenia. Spadki przeto otwarte po ogłoszeniu kodexu z roku 1825, podług tegoż powinny być regulowane, i małżonkowie mają w nich udział. Autor wszelako mniema (§ 185), iż ten udział im się nie należy, i swe zdanie opiera na argumentach obszernie i zręcznie wywiedzionych, których osnowa następująca:

1) Spadek ustanowiony prawem z roku 1825 jest warunkowy, szczegółowy, powiązany z umowami przedślubnymi i uzupełniający takowe. Zaż umowy przedślubne podlegają prawu, pod powagą którego zawarte zostały, a zatem cały ten stosunek, nie podług prawa z roku 1825, ale podług praw poprzedzających, nieznających spadku między małżonkami, ocenianym być winien.

2) Motywa urzędowe przekonywają, że oddział IV działu V o małżeństwie, nie tyczy się małżeństw przed 1 stycznia 1826 r. zawartych.

3) Gdy kodex francuzki obowiązywał, małżonkowie niezawierający przedślubnej umowy, zostawali w wspólności majątku, która nadawała połowę majątku wspólnego pozostałemu przy życiu małżonkowi; a zatem małżonkowie nie potrzebowali wtedy wzajemnego spadku.

Jakkolwiek silnemi mogą być te powody, wszelako poważamy się mniemać, iż one nie są w stanie wzruszyć wzajemnych praw do spadku, jakie służą małżonkom z mocy ustaw obowiązujących w chwili zejścia spadkodawcy. Co się zaś tyczy argumentów autora, te ulegają następnym zarzutom:

Co do 1go: związek między umowami przedślubnymi i spadkiem po małżonkach, nie jest tak ścisły i bezwzględny, jak autor utrzymuje, żeby przepisy o nich prawa, uważać za tworzące jedną całość. Udowodniliśmy wyżej, że małżonkowie biorą po sobie spadek, chociaż zastrzegli wspólność majątku. Lecz obok tego wpatrując się w budowę oddziału 4 tytułu o małżeństwie, łatwo

dostrzeżemy, że art. 231 mówiący o urządzeniu spadku przez umowę przedślubną, nie zawiera ogólnej zasady, ale tylko przepis wyjątkowy. Ogólną zasadą jest spadek, który służy wzajemnie małżonkom z mocy prawa; zaś wyjątek od zasady, stanowią umowy, oznaczające bliżej ten spadek. Jakiż bowiem cel jest art. 231? Czyż prawodawca zamierzył przezeń przeprowadzić jaką myśl ogólną, np. nakłonić małżonków do zabezpieczenia sobie wzajemnie losu na przypadek zejścia? —bynajmniej; gdyż osiągnięcia tego celu spodziewać się nie mógł. Lecz prawodawca pragnął oswobodzić pozostałego przy życiu małżonka od zwrotów, obrachunków i zatargów z krewnymi zmarłego. Odstępując na korzyść małżonka od przepisu zabraniającego układać się o spadki przyszłe, prawodawca ustalił nieodwołalnie wzajemne zapisy tak dożywocia, jako i oznaczonych summ i przedmiotów, aby i pozostały małżonek na nich poprzestał, i krewni zmarłego krytykować ich nie mogli, wyjąwszy w razie nadwreżenia części obowiązkowej; prawodawca chciał, aby ile można ustanowiony przezeń spadek nie zrodził sporów. Wyjątkowy przepis art. 231 nie niweczy przeto natury prawa spadkowego małżonków, nie wiąże tych praw z umowami przedślubnymi tak dalece, aby je za jedno i toż samo poczytywać, i jednoczesnej poddawać ustawie.

Co do 2go: ważną zaiste stanowią skazówkę zamiarów prawodawcy motywa czyli głosy urzędników przedstawiających projekta do prawa; lecz te jakkolwiek urzędowe świadectwa, nie mają powagi prawa, nie uzupełniają onego i nie tamują interpretacji. W obecnym zaś przypadku, tém mniej można się powoływać na głos rady stanu, mianym w r. 1825 na sejmie, że w nim, bez wskazania bliższych pobudek prawa, uczyniona tylko wzmianka o mocy obowiązującej działu 4go.

Co do 3go: dosyć jest przypomnieć sobie stosunki związane przez wspólność prawną francuzką, aby nabyć przekonania, jak dalece spadek między małżonkami był obok niej potrzebnym, a w naszym kraju niezbędnym. Majątek wspólny między małżonkami, według kodexu francuzkiego, składał się z ruchomości ich i dochodów, tudzież z nabytych za nie nieruchomości. Nieruchomości posiadane przez małżonków w chwili małżeństwa lub odziedziczone, były ze wspólności wyłączone. Na wspólności téj ciążyły długi ruchome małżonków. Wiadomo zaś, że w naszym kraju wstępujący w związek małżeński mężczyźni nieco zamożniejsi po wsiach, zwykle starają się o majątek nieruchomy, który w części nabywają na kredyt, i spłacają należny szacunek posagiem żony. Wstępująca pod wspólnością kobieta w związki małżeńskie w takich okolicznościach utracala po-

łową majątku, a nawet cały posąg, jeżeli mąż miał długi ręczne. Mąż zaś mógł jeszcze posiadać dobra znacznej wartości, do których żona nie miała żadnego prawa, tak dalece, iż po zgonie jego, pomimo swego wniosku, pozostać mogła bez sposobu do życia. Zapewnienie przeto wdowom udziału w pozostałym po mężu majątku, okazywało się potrzebném i pod kodexem francuzkim, aby zabezpieczyć je od nędzy i straty wniosku. Wspólność francuzka równie szkodliwe skutki pociąga dla kobiet, jak wspólność austryacka dla mężów; i jeżeli autor nader trafnie uważał, iż w razie rozwiązania małżeństwa z winy żony, lub w razie udowodnienia z jój strony złej wiary w zawarciu nieważnego małżeństwa, mąż mocen jest zrzec się wspólności urządzonej prawem z r. 1825, i tym sposobem ocalić własny majątek; to podobnie zgodzić się należy, iż przyznanie spadku małżonkom, obok wspólności francuzkiej stanowi środek złagodzenia surowości prawa, przenoszącego częstokroć na krewnych zmarłego męża, majątek wdowy do wspólności wniesiony. Położenie współmałżonka niemajątnego, który za życia bogatego męża lub bogatj żony obfitował w dostatki, i nagle przy śmierci onego byłby przywiedzionym do nędzy, jest tak dotkliwie, prawo jego do używania części majątku małżonka zwłaszcza bezdzietnego, tak dalece wypływa ze wzajemnych obowiązków wstępujących w stan małżeński i ze względów ludzkości, że urządzenie spadku między małżonkami, należy koniecznie tłumaczyć w rozumieniu obszerném i rozciągać do małżeństw zawartych przed rokiem 1826. Gdyby prawo z r. 1825 zawierało przepis temu wykładowi przeciwny, wypadłoby życzyć jego zmiany; lecz, jak wyjaśniłem, i jak się nawet poniekąd z rozbioru przez autora tego przedmiotu okazuje, litera prawa nie sprzeciwia się obszernemu stosowaniu art. 231 i następnych.

Co się tyczy zbiegu praw małżonka z prawami dziecka naturalnego do spadku po współmałżonku, autor przytoczywszy, iż dla rozwiązania niektórych zadań w tym względzie, nie ma klucza do odgadnienia; podaje następny przypadek: (§ 186) „Spadkodawca zostawia oboje rodziców, a małżonka jedno dziecko naturalne i brata rodzinnego: rodzicom należy połowa, dziecku naturalnemu połowa, bratu połowa, małżonkowi jedna czwarta; jak tu spadek podzielić? Wnosi autor:” Zdaniem naszym trzeba zważać, kogo tu prawo najwięcej faworyzuje: jako frakcyę dziecka prawego, dziecko naturalne otrzymać powinno połowę, a druga połowa w stosunku proporcjonalnym pomiędzy małżonka i rodziców podzieloną zostanie”. Brata autor wyłącza od spadku, jako successora niekoniecznego.

Rezbierając to zdanie, naprzód nie zgadzamy się z autorem, aby nie było zasady rozwiązania przezeń przedstawionego zapytania. Stosować tu należy ogólną i niezaprzeczoną zasadę interpretacyi, że każde prawo nowe, znosi zatrudniające onego wykonanie, poprzednio obowiązujące przepisy. Prawodawca z roku 1825 stanowiąc spadek między małżonkami, nie przyjął żadnych ograniczeń z powodu praw dzieci naturalnych, i te bynajmniej nie wpływają na ustalenie części spadkowej pozostałego przy życiu współmałżonka. Lecz przeciwnie, prawa małżonka ograniczają część innych spadkobierców. Z tego wynika, iż w przytoczonym przypadku, małżonek otrzymuje przed innemi część czwartą, reszta zaś dzieli się pomiędzy brata rodzzonego, rodziców i dziecko naturalne w tym sposobie, że z pozostałych $\frac{3}{4}$, dziecko naturalne otrzymuje $\frac{3}{8}$, rodzice po $\frac{1}{8}$, i brat również $\frac{1}{8}$. Przyjęta przez autora zasada, że trzeba zważać kogo to prawo faworyzuje, nie jest dostateczna, nietylko dlatego, że jest samowolną, na niczem nieopartą, ale i z tego powodu, że z urzędu przez prawo francuzkie spadków beztestamentowych i części obowiązkowej, niepodobna domyśleć się, jakiemu rodzajowi sukcesorów to prawo najwięcej sprzyja. Tytuł Kodexu Cywilnego o spadkach beztestamentowych, układany był widocznie i wypracowany nie przez tegoż samego redaktora, któremu poruczona była redakcyja tytułu o darowiznach i testamentach, czyli o spadkach testamentowych. Oba redaktorowie wychodzili z przeciwnych widoków, czerpali w różnych źródłach, z kąd wynikła naturalnie sprzeczność w głównych zasadach i szczegółowych rozporządzeniach.

Według tytułu o spadkach beztestamentowych dzieciom naturalnym przyznanym, służy część obowiązkowa; w tytule o spadkach testamentowych, przy urządzeniu części rozrządzałnej, nie o dzieciach naturalnych nie wspomniano. Według tytułu o spadkach testamentowych, krewnym wstępnym przychodzącym do spadku zstępnych, służy zwrot rzeczy darowanych i pozostałych w naturze; w tytule zaś o spadkach testamentowych, żadnego nie dano względu na to prawo wstępnym. Według tytułu o spadkach beztestamentowych, bracia osoby zmarłej bezdzietnie, ubiegają się do spadku wspólnie z rodzicami i wyłączają innych wstępnym; zaś według tytułu o spadkach testamentowych, bracia nie mają części obowiązkowej, która służy dziadom i innym wstępnym zmarłego.

W takim przeto zamieszaniu i krzyżowaniu się różnorodnych zasad, wiedzieć nie można kogo prawodawca faworyzuje, i na tej zasadzie trudno opierać wykład prawa.

Lecz autor rozbiera jedną jeszcze trudność, pochodzącą z zastosowania przepisów o spadku małżonków do części rozrządzałnej i legitymy, oznaczonej w Kodexie Cywilnym. Według prawa z roku 1825, liczba sukcesorów obowiązkowych zwiększyła się, i dlatego przepisy Kodexu o części rozrządzałnej i części obowiązkowej, stanowione bez względu na powyższe prawo, ułędz muszą zmianie. Powstaje przeto zapytanie: jaka część ulegnie zmniejszeniu: czy część rozrządzalna służąca z mocy Kodexu, czy część obowiązkowa? Autor trafnie zdaje się głosować (§ 186) za zmniejszeniem części obowiązkowej Kodexu; wszelako utrzymuje, iż na ten przypadek w prawie nie ma zasady, i w ogólności twierdzi, że trudno się zdeklarować.

Istotnie trudność tu zachodzi, lecz nie co do praw żony, albowiem te, jak wyżej wyjaśniliśmy, nie ulegają wpływowi Kodexu, i oznaczone są w sposobie niewątpliwym. Trudność zachodzi w oznaczeniu praw innych sukcesorów obowiązkowych, a mianowicie zstępnych i wstępnych.

Ze sposobu, w jakim przepisy tego przedmiotu dotyczące, są w Kodexie francuzkim wyłożone, niemniej z widoków ówczesnych prawodawców wnosić należy, że główne znaczenie ma tamże część rozrządzalna. Kodex bowiem zajmuje się mianowicie tą częścią, i w art. 913 i następnych, postawił ją w pierwszym miejscu; części zaś obowiązkowej nigdzie wyraźnie nie zastrzegł, ale uważał ją jako wypadek ograniczeń części rozrządzałnej. W widokach także prawodawcy leżało ustalenie części rozrządzałnej, dla wzmocnienia władzy rodzicielskiej. Wynika ztąd, iż gdy prawo z roku 1825 zwiększyło liczbę sukcesorów obowiązkowych, nie zmieniając wyraźnie przepisów Kodexu o części rozrządzałnej, zasady te pozostały w swój mocy, lecz uległa zmianie część obowiązkowa, która według Kodexu, jest podrzędną.

Przechodzimy do przywilejów.

Uwagi nasze nad sposobem zapatrywania się autora na ten przedmiot, winniśmy poprzedzić niektórymi pojęciami ogólnymi i historycznymi.

Przywilej czyli pierwszeństwo między wierzycielami niehypotecznymi, ubiegającymi się do majątku dłużnika, wynika z natury długu, i z posiadania cywilnego lub naturalnego, pośredniego lub bezpośredniego rzeczy dłużnika.

Ostatni rodzaj przywileju, według art. 41 Prawa hypotecznego, i art. 7 prawa z roku 1825 służy zastawnikowi, jako posiadaczowi cywilnemu, rzemieślnikowi i furmanowi, o ile ci znajdują się

w posiadaniu naturalném rzeczy, na której poszukują zaspokojenia; nakoniec wypuszczającemu nieruchomości w dzierżawę lub najem, tudzież oberżyscie, jako posiadaczom pośrednim.

Przywileje opierające się na naturze wierzytelności, ustanowione zostały albo z widoków interesu ogólnego, albo z widoków interesu jaki wzbudzają pewne osoby, albo z powodu udziału wierzyciela w utworzeniu, zachowaniu lub dostawieniu rzeczy dłużnika, albo nakoniec z czystych względów ludzkości.

Tylko przywileje oparte na posiadaniu, są ściśle w teorii usprawiedliwione; przywileje oparte na naturze wierzytelności, prócz tych, które wynikają z widoków interesu ogólnego, nie mają należytej podstawy, nie dają się one bowiem ściśle określić, i jak postanowienia prawodawcze o nich, zwykle zależą od pojęć czasowych, niekiedy indywidualnych, tak i zastosowanie tych przepisów rodzi częste wątpliwości, otwiera pole samowolności sędziego.

Jeżeliby myśl oparcia pierwszeństwa między wierzycielami, na naturze wierzytelności była ściśle rozwinięta, toby się okazało, że większa część długów zasługuje na zaspokojenie przed innymi. Wierzyciel który pożycza na zakłady przemysłowe i potrzeby istotne dłużnika, więcej godzien względów prawodawcy, aniżeli ten, który pożycza na jego zbytki; wierzyciel który nie wymaga procentów, jest mniej interesowanym aniżeli ten kto je zastrzega i t. d. Lecz wtedy niepodobnóm byłoby ustanowić stałych przepisów o przywilejach, i należałoby ocenić pierwszeństwo między wierzycielami, pozostawić wyrozumieniu sędziego. Jak dalece wątplą jest podstawa przywileju, i jaki zachodzi niedostatek ścisłych zasad w tym względzie, przekonują nas przepisy różnych prawodawstw, urządzających tę materję.

Co do przywilejów osobistych. Większa część prawodawstw przyznaje kobietom zamężnym przywilej na majątki mężów, kiedy prawo angielskie i prawa niektórych miejscowości Prus i Bawaryi, wierzycielom męża przyznają pierwszeństwo przed należnością żony. Kodex kantonu Vaud w Szwajcaryi uważa za uprzywilejowane należności szwerców i krawców, zaś prawo bawarskie należności piwowarów.

Co do przywilejów wynikających ze związku, jaki zachodzi między rzeczą i wierzytelnością, prawo sardyńskie przyznaje przywilej wywłaszczoneму posiadaczowi z nieruchomości, za ulepszenia onęj, a także współdziedzicom i stowarzyszonym, co do należności ze spadku i wspólki wynikających. Ostatni przywilej znajdujemy w innych

jeszcze prawodawstwach. Nakoniec przywileje oparte na względach ludzkości, także niejednostajnie są pojmowane. Niektóre prawodawstwa ograniczają je kosztami pogrzebu dłużnika, ostatniej jego choroby, niemniej należnością za żywność dla niego i rodziny, w ostatnich sześciu miesiącach. Inne zaś dodają nadto kosztu sprawienia żałobnych sukni dla wdowy i utrzymania jej przez sześć miesięcy po śmierci męża. Oprócz tego w większej części prawodawstw nagromadzone przywileje, nie są należycie uporządkowane, z kąd powstają naturalnie sprzeczności. Zamieszanie w nauce o przywilejach powstało z kodyfikacji, kiedy z szczegółów często nieuzasadnionych starano się wywieść ogólne przepisy. W prawie rzymskiem liczba przywilejów była nader ograniczona i zawarta w granicach posiadania rzeczy dłużnika. Dopiero na schyłku rzymskiego państwa zjawily się przywileje kobiet zamężnych, górujące nad wierzycielami hipotecznymi, a także przywileje bankierów (argentarii).

W prawie francuzkiem również przed kodexem nie było żadnych zawikłań z powodu przywilejów, w nader ograniczonej liczbie ustanowionych. Komplikacją właściwie zrodziła procedura pruska, ogłoszona w roku 1793. Wiadomo, że prawodawstwo pruskie powstało z zebrania systematycznego wszystkich praw miejscowych, i prawa rzymskiego; objęło więc ono przywileje miejscowe i rzymskie. Według niego, wierzyciele osoby której majątek nie wystarcza na zapłacenie długów, podzieleni są na siedm klas i na ósmą wstępną, a wszystkie te klasy zawierają przeszło ośmdziesiąt rodzajów wierzytelności. Prawodawcy francuzcy, którzy mieli przed sobą ten wzór, i dla których wytłumaczono nawet Landrecht pruski, czerpali z niego; a chociaż uniknęli odmetu, jaki ordynacya pruska zaprowadziła co do przywilejów, wszelako powiększyli ich liczbę. Zamiast klas wierzycieli, w kodexie francuzkim przyjęto podział na przywileje szczególne i ogólne. Lecz z powodu niedokładnego oznaczenia ich stosunku, wynikło, iż przepisy jego trudno bez wyteżenia objąć, i niepodobna z pewnością stosować. Nasze prawodawstwo z roku 1825 ulepszyło znacznie przepisy kodexu francuzkiego o przywilejach, oznaczając bliżej stosunek między przywilejami ogólnymi i szczególnymi, i przyznając przewagę przywilejom, opartym na posiadaniu. W takim położeniu rzeczy, gdy ograniczenie liczby wierzytelności uprzywilejowanych, byłoby pożadaném; jurysprudencya nie powinna zakresu ich rozszerzać, aby nie tworzyć nowych komplikacyj.

Nasz autor komentarza nad prawem hipoteczném nie zdaje się mieć stałych zasad co do stosowania prawa o przywilejach, i nie-

kiedy upatruje on trudności tam, gdzie takowe nie zachodzą, niekiedy zaś przyznaje przepisom prawa zbyt obszerne znaczenie.

Autor przedstawia następną wątpliwość (§ 109): „Jeżeli kupujący jest dzierżawcą, i rzecz nabytą wniesie do dzierżawy, czy przywilej przeważy: czy sprzedawcy, czy puszczającego w dzierżawę?” Przepisy prawa służące do rozwiązania téj wątpliwości, znajdują się w art. 7 prawa z roku 1825 nr. 5, i w ustępie drugim i trzecim art. 8go.

Art. 7, nr. 5 brzmi następnie: „Przedawca rzeczy ruchomej, dopóki ona jest jeszcze w ręku kupującego, ma na nią przywilej względem ceny za nią umówionej, bez różnicy czy termin zapłaty był, albo nie był oznaczony. Jeżeli sprzedaż nastąpiła bez oznaczenia terminu zapłaty, albo jeżeli natychmiast zapłaconą być miała, sprzedawca może przeciw wierzycielom kupującego iść nawet o odzyskanie sprzedanej rzeczy, jeżeli ona jest jeszcze w ręku kupującego, i może tamować jej odprzedanie, byle środki o odzyskanie uczynił w dni ośm po jej wydaniu, i byle się znajdowała jeszcze w tym samym stanie, w jakim była po wydaniu“.

Ustępy 2gi i 3ci artykułu 8go prawa z roku 1825, brzmią następnie: „Po skarbie ma pierwszeństwo ten, kto jest w posiadaniu rzeczy, na której mu przywilej służy. Pomiędzy innemi wierzycielami nie ma żadnego pierwszeństwa“.

Podług tych tekstów, dla rozwiązania przedstawionej przez autora kwestyi, należy rozróżnić, czy sprzedawca znajduje się jeszcze w terminie pożytecznym (ośmiodniowym) dla windykowania swéj rzeczy, i chce czynić kroki o rozwiązanie kupna lub nie? Jeżeli poszukuje tenże swéj rzeczy, i sprzedaż zastaje rozwiązaną, przywilej żaden nie służy wypuszczającemu nieruchomość w dzierżawę lub najem, na rzeczy do dłużnika jego nienależącój; jeżeli zaś sprzedawca poszukuje ceny sprzedaży, wtedy otrzymuje zaspokojenie *pro rata* z właścicielem nieruchomości wypuszczonej w dzierżawę lub najem. Autor waha się w rozwiązaniu téj kwestyi, z powodu, że podług Kodexu cywilnego francuzkiego, wypuszczający nieruchomość w dzierżawę lub najem, używał pierwszeństwa przed sprzedawcą, i że ten przepis prawo nasze opuściło; że przeto prawo nasze przyznało pierwszeństwo sprzedawcy. Lecz powód dla którego w prawie z roku 1825 pominięty został, jest inny. Prawodawca nasz bowiem przywiązał pierwszeństwo pomiędzy przywilejami do posiadania bezpośredniego rzeczy dłużnika, pomiędzy nieposiadającemi zaś zaprowadził równość; dlatego ani sprzedawca rzeczy do dzierżawy wniesionej, ani wydzier-

zawiający nie mogą rościć pretensyj do pierwszeństwa na szacunku rzeczy między sobą.

Autor przedstawia nam jeszcze inny przypadek: „Dłużnik daje zlecenie odwieźć rzecz w zastaw przyrzeczoną wierzycielowi. W drodze zdarza się przypadek, że rzecz dla utrzymania jej potrzebuje naprawy; rzemieślnik tę dopełnia. Tu będzie zbieg trzech uprzywilejowanych: przewoźnego, rzemieślnika i zastawnika: w jakim porządku przyjść mają do wykonania przywileju?”

Widocznie i w tym przypadku należy trzymać się skazówki przez prawodawcę w przytoczonym przez nas artykule 8 podanej, a mianowicie posiadania.

Naprawiający rzecz, będzie miał pierwszeństwo, jeżeli zatrzyma ją dopóki nie zostanie zaspokojonym, a to na zasadzie służącego mu posiadania naturalnego. Za oswobodzeniem rzeczy od przywileju lub posiadania rzemieślnika, zaczną się prawa przewoźnego, a jeżeli ten nie postara się o zrealizowanie swój należytości i odda rzecz zastawnikowi, przywilej onego mieć będzie pierwszeństwo.

Autor utrzymuje, iż ten, kto łożył wydatki na utrzymanie rzeczy, powinien mieć pierwszeństwo; a jednakże litera artykułu 8go, nie zdaje się temu rozwiązaniu sprzyjać. Powód do powątpiewania autora zdaje się pochodzić ztąd, że posiadanie przeważające między przywilejami, ustanowione w art. 8 prawa z r. 1825, według jego mniemania należy rozumieć w sensie ściśle cywilnym, tak, iż posiadacze naturalni nie mogą na niem opierać żadnego pierwszeństwa.

Lecz wykład ten art. 8go, któryby przeważający przywilej przyznawał tylko zastawnikowi, jako jedynemu posiadaczowi cywilnemu, byłby zbyt ścieśniającym; prawodawca chcąc postanowienie swe w tém rozumieniu ograniczyć, wyraziłby się dobitnie, że w razie zbiegu przywilejów, pierwszeństwo służy zastawnikowi.

Nakoniec autor nasz utrzymuje, iż przywilej służący kobietom zamężnym na majątku mężów, z mocy art. 205 Kodexu Cywilnego z roku 1825, rozciąga się i do żon kupców. Zdanie to jakkolwiek może mieć za sobą literalne brzmienie prawa, nie jest zgodne wszelako z myślą onego. Kodex handlowy urządza dwojakiego rodzaju stosunki, a mianowicie: te, które wynikają z instytucyj handlowych, i te, które stanowią wyjątek od praw cywilnych. Lecz przepisy wyjątkowe od prawa cywilnego w oddzielnym kodexie i oddzielném prawodawstwie zawarte, nie zostają uchylone w skutek zmian w samémże prawie cywilném zaprowadzonych. Postanowienia Kodexu

handlowego o prawach żon do mass upadłości, opierają się na widokach tak dalece handlowi właściwych, tak odrębnych od widoków prawa ogólnego, że dla zmienienia ich mocy obowiązującej, trzeba by wyraźnego postanowienia. Żeby się przekonać o bezzasadności przeciwnego zdania, dosyć jest zastanowić się, nad celem i osnową tych przepisów. Prawodawca handlowy wychodził z przekonania, że bankruci częstokroć chwytają się rozmaitych środków dla ukrycia swego majątku przed wierzycielami, i że zwykle przenoszą na imię swych żon dobra, że przyznają im przed ogłoszeniem dawno obmyślonemu bankructwa znaczne wnioski, nakoniec że upadłości kupców są częstokroć spowodowane zbytkami ich żon; postanowił przeto surowe środki dla zapobieżenia gorszącym bankructwom i przeszkodzenia, aby wierzyciele nie byli pokrzywdzeni. W tym celu Kodex handlowy ograniczył hipotekę prawną żon i uznał za niebyłe wszelkie ich pretensye do massy upadłości, aktami urzędowemi nieudowodnione i wszelkie podejrzone kupna dóbr na imię żon; nie przyznał im prawa do sprzętów domowych, srebra i klejnotów, nawet do ich użycia przeznaczonych, jeżeli prawo własności nie było aktami urzędowemi udowodnione. Pytam się teraz, czy można przypuścić, aby ten szereg ograniczeń praw żony bankruta, ten ogół środków zmierzających do odwrócenia *Łmowuz* między mężem i żoną na szkodę trzeciego, został osłabiony skutkiem zmian zaprowadzonych w Kodexie cywilnym, bez wyraźnego zastrzeżenia, że te zmiany stosują się i do prawa handlowego? Czy można przypuścić, aby żona, której zbytkowe życie może przyłożyło się do upadłości, pozbawiała wierzycieli zaspokojenia, występując z przywilejem wyraźnie nadanym tylko żonom osób niehandlujących? Jeżeliby art. 205 prawa z roku 1825 o przywilejach żon, miał być stosowany do żon kupców upadłych, to wtedy wypadaloby zastosować do nich i przepis art. 194, który dozwala żonom w pewnych okolicznościach dowodzić swych praw przez wieść powszechną. Lecz tak ten artykuł, jako i artykuł 205 nacthnione są widokami prawodawcy zabezpieczenia i ocalenia wniosku żon, i nie stosują się bynajmniej do osób handlujących, względem których innego rodzaju zachodzą jego zamiary.

Dla uzupełnienia tego rozbioru, mającego na celu głównie zasady przyjęte przez autora pod względem interpretacji i jego ogólniejsze widoki, pozostaje nam jeszcze wspomnieć o części historycznej jego pracy, tudzież o proponowanych przez niego ulepszeniach w prawodawstwie hipoteczném.

Fakta historyczne dotyczące hipotek przytoczone są przez autora dosyć urywkowo, bez należytego powiązania. Autor zamierzwszy napisać dzieło praktycznie pożyteczne, uważał historią hipoteki polskiej jako podrzędną; i nie zwracalibyśmy uwagi na tę część jego pracy, gdyby jedno jego spostrzeżenie, rzucone nawiasowo, nie stało się już powodem do mylnych mniemań. Przytaczając konstytucją z roku 1588, autor oświadcza: „wolno nam przeto twierdzić, żeśmy pierwsi może mieli dokładną hipotekę, pruska bowiem datuje się od 1722 roku. P. Sławianowski, który umieścił w Bibliotece Warszawskiej (1) wiele szczegółowych i trafnych uwag nad dziełem p. Dutkiewicza, podzielił to zdanie, a nawet przywiązując do niego więcej wagi aniżeli sam autor, pochlebne dla prawnictwa polskiego wyprowadził ztąd wnioski.

Wszelako śledząc rozwijanie się instytucji hipotecznej w ogólności, do innego przychodzimy przekonania. Ta instytucja tyle sprowadza korzyści, i tak naturalną stanowi kombinacją pojęć o prawie własności z pojęciem o długach, że przed rokiem 1589 w różnych krajach europejskich musiała się ustalić, skoro urządzone zostały po sądach księgi dla zapisywania aktów majątku dotyczących. Historia hipoteki pokazuje nam bystre przejście z zastawu do hipoteki miejscowej, to jest, ciężającej wszystkie dobra dłużnika w danej miejscowości położone; czego następstwem koniecznym były: hipoteka szczegółowa, wykazy, i uzupełniająca cały system, kontrola zwierzchności.

Wiadomo, że w średnich wiekach wszystkie niemal kraje zachodnie rządziły się prawami zwyczajowymi, które były różne według miejscowości, i władza najwyższa niekiedy tylko pod względem prawodawstwa dawała znak życia, uświęcając prawo zwyczajowe lub zmieniając takowe.

Księgi hipoteczne skutkiem tych zwyczajów, zaprowadzone były naprzód w Niderlandach, kraju przemysłowym i bogatym; i miasta Antwerpia, Brügge i Gandawa (Gent) (2), miały je zanim zaczęto stosować tamże prawo rzymskie. Ztamąd hipotekę przyjęło miasto Leodium, a następnie północne prowincje Francji, a także północne i południowe Niemcy.

Epoka w której nastął ten porządek, nie jest wiadoma; lecz to pewno, że musi ona sięgać XIIgo lub XIIIgo wieku, kiedy niektórzy

(1) W zeszycie lipcowym z roku 1850.

(2) Paul: Allgemeine Hypothekenordnung. Leipzig, 1837.

pisarze przytaczają akta wniesione do ksiąg hipotecznych miasta Mölln w północnych Niemczech, datowane roku 1317. W mieście Ulm zaprowadzoną publiczną księgę hipoteczną, potwierdził cesarz Rupprecht w roku 1401. Urządzenie szczegółowe o księgach hipotecznych dla miasta Monachium w Bawaryi, wydane zostało w r. 1478.

Nakoniec znajdujemy urządzenie hipoteczne dla miasta Frankfurtu nad Menem z roku 1578. Prusy, które nie tak rychło wystąpiły na widownią polityczną, dopiero później przyjęły system hipoteczny. Widzimy przeto, że w wielu miejscowościach niemieckich przed końcem XVIgo wieku nie tylko ustanowiło się pierwszeństwo hipoteczne, ale nadto i rodzaj buchalteryi, uzupełniającej samą instytucyą. Zresztą, w historii hipoteki nietylko idzie o wcześniejsze lub późniejsze zaprowadzenie onój, bo hipoteka zwykle ustalała się w krajach i miejscowościach zamożnych, posiadających ukształconych prawników, bez inicjatywy nawet ze strony władzy prawodawczej; lecz idzie raczej o zbadanie przyczyn zbyt wolnego jój w wielu krajach postępu. Przyczyny te można odnieść do pojęć niejasnych o prawie własności, do takichże pojęć o prawach wierzycieli, nakoniec do nieudoskonalonój manipulacyi hipotecznój. Pojęcia o własności dóbr nieruchomych były zamącone przez feudalizm, przeszkadzający przechodzeniu z rąk do rąk dóbr nieruchomych, i dlatego hipoteka porządna dotąd nie mogła być zaprowadzona w Anglii.

Jasnemu pojęciu praw wierzycieli stały na przeszkodzie powzięte z prawa rzymskiego przywileje górujące nad hipotekami, i przesady przeciwne procentom. Nakoniec utworzeniu się dokładnego pojęcia o manipulacyi hipotecznój, stały na przeszkodzie wyobrażenia wyczerpane również z prawa rzymskiego o hypotece ogólnój, którą przywiązywano do każdego aktu notaryalnego, a także wstręt do formalizmu, utrudniającego zwykły bieg czynności cywilnych. Te ostatnie przeszkody, wraz z przywilejem, zatałowały postęp hipoteki we Francyi i w krajach, które kiedyś wchodziły do składu państwa rzymskiego. Jeżeli dodamy jeszcze do tego brak w wielu miejscach osób zdolnych prowadzić księgi hipoteczne, niechęć właścicieli gruntowych ku jawności odsłaniającej ich stan bierny, nakoniec nieufność do nowych udoskonaień i instytucyj, i silne obstawanie za dawném: wtedy mieć będziemy wyobrażenie o powolném szerzeniu się hipoteki. Francuzi, którzy ze wstrętem patrzyli na formalizm zaprowadzony w prowincyach swych północno-zachodnich, i którzy tam usilnie starali się zniweczyć prawdziwą hipotekę, nakoniec trafili na właściwą drogę; po zwalczeniu hipoteki ogólnój,

dziś jeszcze usiłują otrząść się z przywileju, i zdają się nakoniec pojmować użyteczność téj instytucyi. Kraje, które wraz z Francją zostawały w jednościi rzymskiej, zawsze się na nią zapatrują co do prawa cywilnego, i bez wątpienia uznają użyteczność porządnéj instytucyi hipotecznój wtedy, gdy na niéj ujrzą piętno francuzkie. W takim stanie rzeczy może być pochlebném dla nas, że system hipoteczny zaprowadzony został w Królestwie bez względu na przeciwny przykład Francyi, że Polska należy do maléj liczby krajów, które posiadają wykazy hipoteczne i systematyczne urządzenia o hipotekach, utwierdzone przez władzę najwyzszą (1).

Zbliżamy się nakoniec do ostatniéj części naszego zadania, to jest do rozbioru ulepszeń projektowanych przez autora. Te polegają głównie:

1) Na zaprowadzeniu niektórych zmian w urządzeniu ksiąg hipotecznych, obecnie składających się z wykazów, księgi umów i zbioru dokumentów, i na pozostawieniu w nich samych tylko wykazów, obok których byłyby zaprowadzone księgi ingrossacyjne.

2) Na sporządzaniu wszystkich aktów mających wejść do hipoteki notaryalnie i składaniu ich pisarzowi kancelaryi, bez zeznawania tychże aktów w księdze hipotecznój.

Powodem do tych zmian jest, że przy dzisiejszój manipulacji, jak się wyraża autor „księgi łącznie z oryginalnemi dokumentami przenoszone z kancelaryi hipotecznój do kancelaryi regentów, licznym podlegać mogą wypadkom; że księga raz do regenta wzięta, lub na wydział hipoteczny do zatwierdzenia zaniesiona, staje się niedostępną dla innych stron; że często zachodzą trudne spory co do pierwszeństwa między aktami gotowemi i aktami nieukończonemi” i t. d.

Niedogodności przedstawiane przez autora, zachodzą istotnie, lecz jak dalece środki proponowane przez niego zaradzają złemu, o tém możemy się przekonać z rozważenia przyczyn, dla których prawodawca hipoteczny mając przed sobą wzór podobnego projektowanemu porządku w hipotece pruskiej, odstąpił od niego i uznał potrzebę sporządzania aktów w księdze hipotecznój. Otóż do tego

(1) Kraje, które mają skodyfikowaną hipotekę i wykazy hipoteczne, prócz Królestwa Polskiego są: Prusy, Bawarya, królestwo Wirtembergskie i kanton Solury w Szwajcaryi. Inne kraje, a osobliwie miasta niemieckie, chociaż oddawna w nich zaprowadzone są wykazy hipoteczne, dotąd wszakże nie mają szczegółowego urządzenia. Nakoniec w bardzo wielu krajach ogłoszone zostały nader dokładne urządzenia hipoteczne, lecz bez zaprowadzenia wykazów.

odstąpienia od wzoru skłonił prawodawcę wstręt do pruskich hypotekenszejnów, czyli wyciągów głównych hypotecznych, i obawa, ażeby przez zaprowadzenie onych w naszej hypotece, nie powstały niedogodności i nadużycia w Prusach doświadczone. Bez tych zaś wyciągów głównych, które zbywający lub obciążający prawo hypoteczne składa do rąk nabywcy albo wierzyciela, akta zahypoteczne żadnej nie mają pewności, oprócz rękojmi osobistój, czerpanej w przekonaniu o charakterze i rozwadze stron czynność zawierających.

W systemacie naszej hypoteki podstawą czynności nie w księgach zawartej jest wykaz hypoteczny, a ten nie mając przymiotów hypotekenszejnu, nie zabezpiecza bynajmniej, że zbywający poprzednio komu innemu praw swych nie ustąpił, albo że nie udzielił pełnomocnictwa do przeniesienia ustępowanego prawa innej osobie. Znaczenie wykazu hypotecznego mniejsze w stosunku do pruskiego osłabionem zostało jeszcze w prawie z r. 1818 przez hypoteki sądowe, które mogą być wpisane w czasie pośrednim, między zeznaniem aktu notaryalnego i wniesieniem onego do hypoteki; a tém samém wykaz przedstawiony w czasie zawierania aktu, częstokroć nie jest obrazem wiernym stanu biernego nieruchomości. Prawu pruskiemu nieznanne są hypoteki sądowe, i dlatego wyciągi główne raz tylko i jednej osobie wydawane, wyobrażają do pewnego stopnia księgi hypoteczne, i dla zawierających notaryalnie umowy tworzą rękojmią ich skuteczności. Brak tój rękojmi w naszym prawie hypoteczném, zastąpionym został możliwością zeznawania aktów w księgach. Kiedy regent sporządza w nich akt i zapisuje zastrzeżenie, kiedy z księgi hypotecznej nie okazuje się żadna przeszkoda wstrzymująca zatwierdzenie aktu, wtedy i wypłata należności z niego wynikającej może z pewnością nastąpić. W systemacie zmian projektowanych przez autora, zniknęłaby i ta jedyna podstawa pewności dla zawierających czynności hypoteczne: nie byłoby wiadomém, kiedy można bezpiecznie płacić. Ztąd okazuje się, że porządek opisany przez autora, wykonywający się łatwo w kraju niezbyt obszernym, w którym interesanci osobiście się znają i polegają na wzajemném zaufaniu, nie byłby dogodnym dla obszerniejszego kraju bez obwarowania go innemi ostrożnościami. Dla tego zaś posłużyłoby zaprowadzenie głównych wyciągów hypotecznych i ograniczenie hypotek przymusowych, albo podawanie onych do powszechnój wiadomości.

W istocie, obawa nadużyć powstać mogących z głównych wyciągów hypotecznych jest przesadzona, zwłaszcza, jeśliby zabroniono

takowe zastawiać, obciążać i w ogólności jeżeliby prawo nie przyznało im charakteru odrębnego i ruchomego.

W urzędzeniu hypoteczném bawarskiém, ogłoszoném w roku 1822, w urzędzeniu wirtembergskiém z r. 1825, nakoniec w urzędzeniu saskiém z roku 1843, nie wahano się przyjąć tych głównych wyciągów, i trudno pojąć jakim sposobem bez nich obejść się można. Art. 26 naszej Ustawy hypotecznej stanowi: „do wykonania zobowiązań, które uzyskały znamię wiary publicznej, może być dłużnik zagnalony bez wyroku przez exekucyą.“ Lecz powstaje zapytanie: na zasadzie jakiego dokumentu exekucya może być przedsięwzięta? Na zasadzie wykazu hypotecznego nie można jęj rozpocząć, bo takowy w myśl art. 24 jest tylko kopią wierzytelną, na zasadzie samego wyciągu głównego także nie można wydzierżawiać ani subhastować dóbr dłużnika, bo znaczenie wyciągu tego zależy od zatwierdzenia zwierzchności hypotecznej, jest ono zatem problematyczne, a jeżeli wyciąg ten do księgi był złożony, pozostałby w nięj powinien jako oryginał i jako podstawa prawa hypotecznego. Właściwie przeto dla rozpoczęcia exekucyi aktu przez zwierzchność hypoteczną zatwierdzonego, potrzebny jest i wykaz hypoteczny i wyciąg główny notaryalny. Lecz oba te akta niemające charakteru zupełnie exekucyjnego, odpowiedniego hypotece, właściwięj zastąpione byłyby głównym wyciągiem hypotecznym. Ustanowienie głównych wyciągów hypotecznych posłużyłoby do bezpiecznego zeznawania czynności, i zapobieżenia fałszom. Dziś właściciel dóbr lub wierzyciel hypoteczny zawierający akt, przedstawia regentowi swą fizyonomią jako pierwszy dowód praw swoich i tożsamości. Lecz wiadomo jak zwo-dnicze są częstokroć fizyonomie, jak uderzające między ludźmi podobieństwa. W razie zeznania aktu przez niewłaściciela, którego rysów trudno rozróżnić, od rysów osoby przez niego przedstawianęj, wyświecenie fałszu stanie się niemal niepodobnym. To zaś niepodobieństwo nie zachodziłoby, jeżeliby zeznawający czynności hypoteczne posiadali główne wyciągi i one okazywali regentom. Koszta manipulacyjne znacznieby się także powiększyły, jeżeliby, jak autor proponuje, składane były wyciągi główne aktów notaryalnych pisarzowi kancelaryi hypotecznej, a następnie przepisywane w księdze ingrossacyjnęj; każdego bowiem niemal aktu notaryalnego sporządzona być musi minuta, i tym sposobem akt, który dziś raz tylko sporządza się w księdze hypotecznej, musiałby być w systemacie autora trzy razy pisany. Gdyby zaś uzyskujący prawo hypoteczne potrzebował wykazu, wtedy ponosiłby koszta trzech kopij i jednego

oryginału. Tych kosztów uniknąćby można stanowiąc sporządzenie aktów przeznaczonych dla hipoteki bez spisywania minuty, to jest *en brevet*, a zatém w jednym tylko exemplarzu, następnie przepisując składanie tych aktów pisarzom kancelaryi hipotecznej, nakoniec wydając stronom które nabyły praw, hipoteczne wyciągi główne, służące zarówno dla dowodu i exekucyi.

Prócz tych ważnych niedogodności w naszej hipotece przedstawionych, autor upatruje jeszcze pomniejszą, a mianowicie, że właściwszym był przepis Kodexu cywilnego w art. 2148, który zmuszał wierzyciela hipotecznego do obrania zamieszkania w okręgu, na który biuro konserwatora było ustanowione, aniżeli art. 27 obowiązujący Prawa hipotecznego, pozwalający mu obrać zamieszkanie w kraju. Z tém zdaniem autora zgodzić się trudno. Obranie przez stronę zamieszkania za obrębem pobytu rzeczywistego, jest dla niej niebezpiecznym i częstokroć illuzoryjnym. Zwykle bowiem obierają się zamieszkania u obrońców sądowych, ci zaś obarczeni bieżącymi interesami, nieraz nie są w stanie natychmiast donieść stronom o nastąpieniu dla nich wręczeniu, albo też mogą zaniedbać i opóźnić doniesienie, a wtedy strony wystawione są na straty. Prawodawca hipoteczny pozwalając im obierać zamieszkanie w miejscu zwykłego pobytu, usunął te niedogodności, i dlatego przepis jego więcej jest uzasadniony, aniżeli przepis kodexu francuzkiego.

DO REDAKTORA.

OD

Augusta Bielowskiego.

NESTOR.

Z dwojakiemu stanowiska wychodzą zwykle krytycy w ocenieniu tego pisarza. Jedni utrzymują, że latopis jego doszedł do nas, uszkodzony wprawdzie tu owdzie winą przepisywaczy, nie tak jednak, iżby go nie można było oczyścić z wtretów za pomocą krytyki; drudzy mniemają przeciwnie, że text właściwy Nestora zaginął, i nigdy nam w czystości swojej znany nie będzie, a to, co pod imieniem latopisu Nestorowego posiadamy, jest zlepkiem z rozmaitych kronik, nie przez Nestora, lecz przez późniejszych kompilatorów udziałanym. Piérwsze z wymienionych tu twierdzeń ożywiało Schlözera w pisaniu obszernych swoich nad Nestorem komentarzów, a ma i teraz w wielu uczonych rossyjskich silnych zwolenników; drugie napomykane już niegdyś przez Ignacego Daniłowicza (1), podniesione jest dziś przez petersburską archeograficzną kommissyą, i czytać je można w przedmowie do najnowszego wydania Nestora (2). Powody, które wydawcy na poparcie twierdzenia swego przytoczyli, są: a) że pomieniony latopis nie doszedł nas ani w jednym rękopiśmie osobno, lecz tylko z dopełnieniami; nie masz nawet dostatecznych świadectw, iż osobne rękopisma znajdowały się, a imię Nestora nie znachodzi się ani w kodexie Ławrentego, najstarszym, ani w wielu kodexach późniejszych (3); b) że ustęp w którym jakiś Wasyl pod rokiem

(1) Latopisiec Litwy. Wilno, 1827, str. 19.

(2) Poln. Sobr. I, XIX.

(3) Jeszcze w ostatnich latach wieku przeszłego, jeśli mamy dać wiarę Tatyszczewowi (Ist. I, str. 53, 63 i dalsze), znajdowało się imię Ne-

1097 rozpowiada, iż był posłany od księcia Dawida Igorowicza, do Wasylka Rościsławicza (wyd. peters., str. 112), oczywiście nie od Nestora pochodzi. Nakoniec c): że to samo powiedzieć można o dziwotworze ułowionym w Sietomli, odnodze Dniepru (wyd. peters., str. 71), i o niektórych innych w tymże latopisie ustępach. Czy temi dowodami mocno zostało wsparte mniemanie wydawców?—zostawiam to rozwadze czytelnika.

Nader ważny materiał do dziejów Polski zawiera ten latopis, i w rozpoznaniu źródeł polskiej historii pominięty być nie może. Robiąc moje nad nim poszukiwania, trzymałem się przede wszystkim wydań krytycznych, dokonanych niegdyś częściowo przez Schlözera i Tymkowskiego, a świeżo i w zupełności przez archeograficzną kommisję w Petersburgu, która miała na swoje zawołanie 53 rękopismów téj kroniki. Natrafiłem téż na parę rękopismów nieznajdujących się w liczbie tych, które archeograficzna kommisja zgromadziła, i dotąd w bibliografii kodexów latopisu Nestorowego nieznanymi. Dwa z nich są ruskie, i zawierają text Nestora mniej lub téż więcej skracany, z dopełnieniami, które się w jednym z tych rękopisów z końcem wieku XVgo, w drugim z połową wieku XVIgo urywają. Trzeci zawiera tłumaczenie polskie Nestora i kroniki wołyńskiej, w XVII jak się zdaje wieku zrobione. Tłumacz polski skracał oczywiście rozwleklesze opisy oryginału, w tém jednak co z niego wyjmował, trzymał się wiernie Nestora słów, którego kilkakrotnie nazywa po imieniu przy różnych sposobnościach, i przytacza niekiedy całkowite ustępy w języku ruskim. Tłumaczeniu swemu dał tytuł łaciński: *Annales sancti Nestoris*, i zwyczajem wieku owego rzuca gdziegdzie makaronizmy do czystego zresztą i nie bez znajomości rzeczy wykonanego wykładu.

O życiu Nestora wiemy tylko to, co bądź sam o sobie w latopisie i w żywocie św. Teodozego napomknął, bądź, co dorzucił o nim późniejszy jakiś dopełniacz Pateryku. Na szczęście oba

stora na kilku rękopismach; dziś, ile mi wiadomo, czytać je można na rękopiśmie, który należał do znanego w literaturze polskiej Sylwestra Kossowa, a nazwany jest po imieniu nowego swego właściciela rękopiśmie Chlebni-kowskim; powtóre w Zborniku z wieku XVgo, który należał niegdyś do cesarzowej Katarzyny, a znajduje się dziś w archiwum moskiewskiem; jest ono tu na brzegu napisane tym samym charakterem. Nakoniec w znalezioném przeczemnie tłumaczeniu polskiem Nestora, wykonaném w wieku XVII przez autora nieznanego, położone jest to imię i na tytule i kilkakrotnie spomniane w ciągu opowiadania.

te źródła zgadzają się z sobą zupełnie co do istoty, możemy zatem zaliczyć do pewniejszych wiadomości następujące:

Urodził się Nestor roku 1056, najpodobniej w Kijowie. W owym czasie nabierali coraz większej wziętości zakonnicy peczerscy, zwani tak od pieczar, w których pierwiastkowo mieszkając, odznaczyli się chrześcijańskimi cnotami. Wkrótce założono nad temi pieczarami monaster, a igumen Teodozy, za którego liczba zakonników od 20 do 100 urosła, urządził go według ustawy klasztoru studyjskiego w Carogrodzie. Ustawę tę przyjęły później wszystkie klasztory na Rusi. Cnotliwy Teodozy przyjmował mile tych, którzy zgłaszali się do niego w chęci wstąpienia do zakonu. „Do niego, mówi Nestor, przyszedłem i ja, ubogi i niegodny sługa, i przyjął mnie mającego lat 17” (1). Niebawem umarł Teodozy, a autor nasz, po odbytych nowicyacie, postrzyżony i wyświęcony był na dyakona już za igumeństwa Stefanowego.

W roku 1091, skoro cerkiew Bogarodzicy, rozpoczęta niegdyś przez Teodozego, ukończona została, postanowili mnisi wykopać zwłoki jego, które dotąd w pieczarze spoczywały, i tu je pochować. Nestor otrzymał polecenie zająć się ich wynalezieniem; opowiada to w swym latopisie z pewną uroczystością i dumą. Oto są jego słowa: „Gdy się zbliżało święto Wniebowzięcia Bogarodzicy, trzy dni naprzód rozkazał igumen kopać, gdzie leżą zwłoki Teodozego, ojca naszego: ja grzeszny byłem tego świadkiem naocznym, a co powiem, nie powzięłem tego ze słuchu, lecz sam byłem przewodcą. Przyszedłszy do mnie igumen, rzekł: pójdźwa do pieczary ku Teodozemu; i nie nikomu nie mówiąc poszliśmy z igumenem, rozglądając się kędy kopać, i miejsce obok wnijścia oznaczając. Rzekł zaś do mnie igumen: nikomu z braci nie powiadaj, niechaj o tém nikt nie wie; jeno weź kogo chcesz, aby ci pomógł. Przygotowałem w tym dniu rydle do kopania, a we wtorek zmrokiem wziąłem z sobą drugiego brata; i gdy nikt o tém

(1) „K' nemuże i az pridoch, chudyj i nedostojny rab, i prijęt mę let mi saszcziu 17 ot roženija mojego.“ (Poln. Sobr. I, 69). Według Pateryku wstąpił Nestor do zakonu, gdy jeszcze żył Antoni, a postrzyżony był dopiero za Stefana. Antoni umarł w roku 1073, dnia 10 lipca. Teodozy umarł w roku 1074, dnia 3 maja, mianowawszy Stefana swoim następcą. Do tych tedy dat dodawszy okoliczność wymienioną przez Nestora, że wstępując do zakonu miał 17 lat, wywiązuje się rok 1056 jako rok jego urodzenia. Przy tychto słowach „*az pridoch chudyj*“, dodano w pomienionym wyżej Zborniku moskiewskim, tą samą ręką, na brzegu: Nester.

nie wiedział, przyszedłem do pieczary i prześpiewawszy psalmy zacząłem kopać. Utrudziwszy się dałem rydel bratu. Kopaliśmy do północy; utrudziliśmy się, i nie mogąc się dokopać, jałem się smucić, ażali nie kopiem na stronie. Znowu wzięłem rydel, zacząłem silnie kopać, a towarzysz mój odpoczywał przed pieczarą. I rzekł mi: „uderzyli w dzwon”; a w tej chwili ja na relikwie trąfiłem, i mówiącemu do mnie „uderzyli w dzwon” odrzekłem: „dokopałem się”. Gdym się zaś dokopał, przejął mnie strach i zacząłem wołać: *hospody pomiluj!* Téjże chwili siedzieli w monastyrze dwaj bracia: patrzyli ku pieczarze śledząc, kiedy igumen nieść będzie pokryjomu relikwie; ci za uderzeniem w dzwon ujrzeli trzy słupy jako tęcze promienne, które wzniosłszy się, przysły nad cerkiew, gdzie miał być złożon Teodozy. Tegoż czasu, Stefan który był po nim igumemem, a podówczas biskupem w swoim monastyrze, widział przez pole łunę wielką nad pieczarą. Mniemając, że niosą zwłoki Teodozego, było mu to bowiem obwieszczono dniem przedtém, żałował, iż bez niego przenoszą: wsiadł więc na koń i jechał szybko, wzięwszy z sobą Klemensa, który był igumemem na jego miejscu. I puścili się w drogę widząc łunę wielką, a zbliżywszy się widzieli mnóstwo świec nad pieczarą, a przyszedłszy do pieczary nie widzieli nic; i weszli w głąb pieczary i zastali nas siedzących u relikwii jego. Owoż, skoro się dokopałem, stałem do igumena: „przyjdź niech go wyjmiesz.” Igumen przyszedł z dwoma braćmi. Rozkopałem szeroko, i oglądaliśmy relikwie: członki jego nie rozsypały się, i włosy na głowie były przyklepy; i wzięwszy je na mantę wynieśliśmy je i położyli przed pieczarą. Nazajutrz zgromadzili się biskupi: Efrem perejaślawski, Stefan włodzimirski, Jan czernihowski, Marcin jurjewski i igumeny ze wszystkich monastyrów z zakonnikami przysli, i ludzie prawowierni, i relikwie Teodozego z tymianem i ze świecami wzięwszy i przyniosłszy, położyli w cerkwi jego, w przedsieniu, po prawej stronie, w miesiącu sierpniu, dnia 14, w czwartek, o pierwszej godzinie dnia indykta 14 roku. I dzień ten odtąd uroczyste święcimy (1).”

Nie bez namysłu przytoczyłem tu w zupełności ten rozwlekły nieco opis, bo prócz tego, że nam odsłania jedną okoliczność z życia autora, dozwala téż wejrzeć w jego charakter i stopień umysłowej uprawy. W inném téż miejscu rozwodzi on się nad

(1) Połn. Sobr. I, 90.

cnotami pierwszych zakonników peczerskich, i mówiąc o cudach jakie działał św. Izaak żyjący za igumeństwa Stefana, dodaje: „i wiele innych cudów jego opowiadano mi, a niektórych byłem sam świadkiem” (1).

W czasie napadu Połowców na Kijów roku 1096, złupiony też był przez nich monaster peczerski: kilku zakonników ubito; Nestor z innymi braćmi ratował się ucieczką. Przygodę tę rozpowiada obszernie w swym latopisie: „I przyszli do monasteru peczerskiego Połowce, gdyśmy w celach odpoczywali po jutrzni; i krzyknęli około monasteru i zatknęli dwa proporce swoje przed bramą klasztorną. Pobiegliśmy poza monaster, a drudzy na strych uciekli; bezbożni zaś synowie Izmaelowi wyrąbali bramę klasztorną i rzucili się na cele wyrębując drzwi, i cokolwiek w celach znaleźli zabierając; potem zapalili dom święty, władczyni naszej Bogarodzicy, i przyszli do cerkwi, i zapalili drzwi, które są od południa, i drugie, które są od północy. Wszedłszy w przedsień, u grobu Teodozego brali obrazy, palili drzwi i urągali Bogu i wierze naszej. Kilku braci naszych zabili orężem bezbożni synowie Izmaelowi, wypuszczeni na karę chrześcian. Wyszli oni z pustyni jatrebskiej, która jest między wschodem a północą, wyszło zaś ich czworo pokoleń: Turkomany, Pieczyngi, Torki i Połowce“.... Tu zapuszczając się autor w wywody coraz bałamutniejsze, przytacza szczegół następujący:

„Opowiem com słyszał jest temu lat cztery. Powiadał mi Juriata Rogowicz, Nowogrodzanin, mówiąc: posłałem pachółka mego w Peczerę do ludu dającego dań Nowogrodowi; i przyszedłszy pachółek mój do nich, szedł ztamtąd w Jugrę; Jugra zaś jest naród obcy, i mieszka z Samojedami w stronach północnych. Mówili więc memu pachółkowi Jugrowie: dziwne znaleźliśmy cudo, o jakim przedtém nie słyszano: oto już trzeci rok jak się to dzieje. Są góry opasujące morską odnogę, które wysokością niebios sięgają; w górach tych krzyk wielki i gwar: sieką górę chcąc się wysioc, a w tój górze wycięte małe okienko, i tędy mówią, a nie można ich mowy rozumieć; ale wskazują na żelazo i ręką kiwają żelaza prosząc; a jeśli im kto da nóż lub siekiere, dają skórę za to. Jest zaś droga w te góry niedostępna, z powodu przepaści, śniegów i lasów; przeto z naszych nie chodzi nikt do nich, bo też są opodal na północy. Na to (mówi Nestor) odrzekłem Juriacie: To są ludy zaklęte przez Alexandra macedońskie-

(1) Połn. Sobr. I, 84.

go, o nich Metody z Patary tak mówi: I wyszedł Alexander do wschodnich krajów nad morze, do miejsca rzezonego słonecznym, i widział tu ludy nieczyste z plemienia Jafetowego: jadły wszelkie kały, i komary, i muchy, i koty, i gady, a umarłych nie grzebły, i jadły ludzkie zronienia i wszelkie bydłę nieczyste. To widząc Alexander bał się, że gdy się rozmnożą, pokalają ziemię, i wygnał ich w północne krainy, w góry wysokie. I na rozkaz boży obsiadły ich góry północne, zostawiwszy przedział tylko na łokci 12. I tu uczyniła się miedziana brama i zamazała się sunklitem, i choć zechcą ją zniszczyć za pomocą ognia, stopić jej nie zdołają: jest bowiem własność sunklitu taka, że go ani ogień nie spali, ani żelazo go się nie imie. Atoli pod koniec świata wyjdzie tych ośm pokoleń z pustyni jatrebskiej, za nimi i te kalne ludy, które są w górach północnych wyjdą z rozkazu bożego (1).“

Nakoniec pod rokiem 1106 zaciągnął kronikarz śmierć Jana Wiszatowego, 90-letniego starca, który pochowany został dnia 24 czerwca w cerkwi peczerskiej, gdzie też złożone były zwłoki żony jego Maryi, zmarłej przed laty 15, jednocześnie z przeniesieniem zwłok Teodozego. Spomniawszy pochwalnie o życiu tego Jana, dodaje: „od niego też i ja mnogo słów słyszałem i wpisałem je w latopis ten” (2).

Na tych ustępach można poniekąd oprzeć się w rozpoznaniu pracy Nestorowej, i według nich rozsądzać, co właściwie z jego pióra wypłynęło, a co jest odgłosem dawniejszych źródeł jego lub też pracą jego dopełniaczy. Jest on mnichem peczerskim, i żyje na początku wieku XII; a jak z jednej strony nie słyszymy z wiarogodnych świadectw o żadnym mnichu peczerskim w owym czasie, iżby był zarazem i kronikarzem (3): tak z drugiej strony autor-

(1) Połn. Sobr. I, 99—107.

(2) „Ot negože i az mnoga słowesa słyszach, ježe i wписach w letopisanii sem.” Połn. Sobr. I, 120. Zdarzenia, które Nestorowi ów Jan opowiadał, dają się i dziś rozpoznać w jego latopisie. Tu należy najprzód przygoda, jaką miał z czarownikami ten Jan, wysłany od Świętosława do Białego Jeziora jako poborca danin; opisuje ją obszernie Nestor pod rokiem 1071. Dalej przepowiednia Teodozego, zrobiona żonie Jana, Maryi, zapisana pod rokiem 1091. Nakoniec wyprawa Wiszaty ojca Janowego na Greków, w której dostał się do niewoli, opisana pod rokiem 1043, i także wyprawa Jana na Połowców pod rokiem 1093, zdają się być w części przynajmniej pówzięte z jego opowiadania.

(3) Drugago peczerskiego letopisca nie znam; mówi Karamz. Ist. gos. II, przyp. 213.

stwo Nestora, na początku XIIgo wieku żyjącego, daje się udowodnić świadectwem Polikarpa, wspartém samemiż rękopismami latopisu i żywotem albo raczej pochwałą Nestora przez bezimiennego dopełniacza Pateryku napisaną (1).

Skoro mamy niejaką pewność co do życia Nestora w ogólności; przystąpmy do ściślejszego oznaczenia czasu jego autorstwa. Powiada o nim dawny żywociarz w Pateryku: „I nażył się do woli, trudniąc się latopisarstwem i pomnąc na wieczność; i tak podeszłym wiekiem swoim dobrze usłużył Stwórcy, do którego po latach starości, nażywszy się do woli przeniósł się na wieczność” (2). Z tego widać, że Nestor pisał swój latopis w wieku podeszłym. Zgadza się z tém wyznanie samego autora, który do właściwego latopisu przystępując, daje chronologią obliczoną od Adama, i kończy ją temi słowami:

„Owóz od śmierci Świętosława do śmierci Jarosława (upłynęło) lat 85; a od śmierci Jarosława do śmierci Świętopelka lat 60; lecz wróćmy do początku” i t. d. Jarosław umarł dnia 19 lutego 1054 roku; zaś Świętopelk umarł dnia 16 kwietnia roku 1113: ściśle tedy licząc, upłynęło od śmierci Jarosławowej do śmierci Świętopelkowej lat 60 niespełna. Zaczął więc Nestor pisać swój latopis nie wcześniej, jak w ciągu jeszcze roku 1113, lub na początku roku 1114, za panowania w Kijowie Włodzimierza zwanego Monomachem, a w 57 lub 58 roku życia swojego. Napróżno usiłował Schlözer powyższe słowa Nestora podać w podejrzenie, jakoby one były wtętem (3): żaden rękopism, żadna nawet uboczna okoliczność nie wspiera jego mniemania (4). Prze-

(1) Pateryk. Wyd. mosk. z r. 1759, str. 229 — 231.

(2) „Poziweże leta dowolna, truźdajasia w dziełach letopisanla, i dzieła wiecznaja pominaja; i tako dobrze ugodi Tworeu lety, k' nemuże po latach wremennych, dowolnych, prestawisia na wiecznost”. Tamże. *Leta wremenna, dowolna*, oznaczają widocznie wiek bardzo podeszły. Sam Nestor nie w inném znaczeniu używa słowa *wremenny*, kiedy o pierwszych początkach Rusi mówiąc, i aż o czasy potopu rzecz swoją zaczepiając, kładzie na początku te słowa: *Se powiesti wremennych let*: oto powieści starych lat. Schlözer nie umiał dobrze po rusku, wy tłumaczywszy więc słowa powyższe Pateryku na *ziemliches Aller*, zawiązał równie mylny wniosek, że Nestor umarł około roku 1116.

(3) Nestor Russ. Ann. II, 146.

(4) Przed kilką laty, mówiąc o źródłach do dziejów początkowych Polski (Bibl. Ossol. z r. 1842, I, 108), zwróciłem uwagę na to, że powyższe słowa Nestora powinny być wzięte za podstawę w oznaczeniu czasu, w któ-

ciwnie, pod rokiem 1107, rozpowiada Nestor o Świętopelku w sposób taki, w jaki rozpowiadać się zwykło o człowieku, który już nie żyje. Mówi on: „Miał Świętopelk ten zwyczaj, że ilekroć szedł na wojnę lub indziej, pokłonił się najprzód u grobu Teodozego, i wzięwszy błogosławieństwo igumena, jaki tu był, szedł dopiéro w drogę swą” (1). Oczywista, że te słowa pisane były już po roku 1113 w którym umarł Świętopelk. Chciawszy więc podać w podejrzenie o nieautentyczność owę chronologią, trzeba- by zarazem wtrętem nazwać i ten oto ustęp, którego nie miał w podejrzeniu nawet sam Schlözer.

Z przytoczonych wyżej słów żywociarza dawnego, widać, że Nestor w podeszłym już wieku do latopisu zabrawszy się, pracował nad nim aż do późnej starości. I ta okoliczność znajduje potwierdzenie w samej kronice. Kiedy bowiem pod rokiem 1107 czytamy w niej te słowa: „Włodzimierz był tak serdeczny, lubił metropolitów, biskupów i igumenów, nadewszystko zaś lubił zakonników, i tych, którzy go odwiedzali karmił i poił jako matka dzieci swe; a jeśli kogo widział pijanego, lub w jakowém wykroczeniu, nie potępiał go, lecz był pobłażający” (2); nie jest- że widoczna, że to pisał autor już po śmierci Włodzimierza Monomacha, przypadłej, jak wiadomo, dnia 19 maja, roku 1125. Tę to zapewne okoliczność mając na względzie, naznaczał już Karamzyn w Panteonie autorów rosyjskich (3), śmierć Nestora nie wcześniej, jak około roku 1125; atoli jeśli zechcemy ściślej zastosować się do powyższych słów Pateryku, tedy nie zbłądzimy bynajmniej, choćbyśmy ją o lat dziesiątek przeciągnęli: bo późna starość, o jakiej w Pateryku jest mowa, przypuszcza jakich 80 lat. Przypadła więc śmierć jego najpodobniej dopiéro około roku 1136.

Tę jedną okoliczność w dotychczasowych kombinacjach o życiu Nestora poprawiwszy, dają się snadno wytłumaczyć wszy-

rzym on pisał. Jakoż tego zdania są i uczeni rosyjscy, mianowicie M. Pogodin w dziełku: *Nestor istor. kryt. razsużdenije*, Moskwa, 1839, str. 39; i A. Kubarew, który powiada: „Letopiś Nestorowa kak dołżno połagat' naczasza byt' pisana *nie rańsze* 1113 goda.” (Russk. Ist. Sbornik. Moskwa 1842, ku. 4, str. 432). Atoli mylą się obaj ci uczeni mniemając, że Nestor dociągnął dzieje tylko do r. 1110.

(1) Połn. Sobr. I, 120.

(2) Połn. Sobr. I, 112.

(3) Obacz artykuł ów Karamzyna przełożony na język polski w Dzienniku Wileńskim z r. 1806, m. kwiecień, str. 168 i dalsze.

stkie zjawiska napotykanie w jego kronice. Zaczął ją pisać około roku 1113, i na tymże 1113 roku zakończył ją, jak mamy na to uderzające dowody (1). Ale wykonał tę pracę nie odrazu, lecz w ciągu długiego życia swego, kilkakrotnie do niej zabierając się, i podobnie jak nasz Gawęł dzieło swoje, już do pewnego kresu doprowadzone i w świat puszczone, tu owdzie rozszerzając i dopełniając. Na jeden z takich przestanków w pracy zdaje się wskazywać dopisek Sylwestra, znajdujący się w rękopiśmie Ławrentowym i Radziwiłłowskim, a w Nikonowym już do niepoznania przeinaczony. Sylwester ten, igumen klasztoru widubickie-

(1) Dowody te jedne są wewnętrzne, dające się wydobyć z treści samej, drugie zewnętrzne. Pod rokiem 1110 mówi Nestor o jasnym s'uple widzianym nad cerkwią Teodozego, i za pomocą ojców ss. i biblii tłumaczy nam, że w takich zjawiskach zwykli pojawiać się aniołowie. O podobnym zjawisku mówił on już w opisie wykopania relikwii Teodozego, i wszyscy zgadzają się na to, że oba te opisy są jego pióra. Ależ pod rokiem 1111 według rękopismu hipackiego, chlebnikowskiego i innych znachodzim także sam opis, który jest jakby tylko ciągiem dalszym owój o aniołach teorii: w nim przytacza autor znanego sobie już i dawniej Metodego z Patary, i wyraźnie powołuje się na słowa swoje pod rokiem 1110 powiedziane, mówiąc: „se bo, *jakoże rekocho*m widienije widiesza w peczerskom manastyri” i t. d. (Połn. Sobr. II, 3). Są więc te opisy odpowiednie sobie duchem i treścią, i przyznawszy z nich dwa pierwsze Nestorowi, niepodobna mu nie przyznać i trzeciego.

Wyśmienitą skazówkę do oddzielenia textu Nestorowego od jego dopełniaczy, podaje rękopism hipacki. W rękopiśmie tym, który, jak wiadomo, jest jednym z najcenniejszych, a co do wieku mało co młodszy od Ławrentowego, nie masz dopisku Sylwestra, a text Nestora ciągnie się do roku 1113 włącznie. Po tym roku zostawiono półtoręj stronnicy białego papieru; dalej zaś następują zdarzenia pisane inną ręką, a tak z treści, jako i ze sposobu opowiadania różne zupełnie od Nestora. Na roku więc 1113 skończył swój latopis Nestor; a odtąd dopiero rozpoczyna się praca jego dopełniaczy. Utwierdza mię także w tém mniemaniu szczegół następujący. Jeden z wspomnianych wyżej przezemnie słowiańskich rękopismów, a który tu głoską B oznaczę, zawiera najprzód od karty 1—39 kronikę widocznie z Nestora skróconą, z niektórymi tu i owdzie upiększeniami. Że skróciciel ten idzie za Nestorem, o tém ani wątpić nie można, bo całkowite ustępy dosłownie z niego wyjmuje. Przyszędłszy do roku 1113 i powędziawszy o panowaniu Włodzimierza Monomacha gdzienteco, przerywa powieść swoją na karcie 39 następującą uwagą: „Tut letopiśca 33 let ne masz, i jak skonczyłsia car Władimir Monomach i sin jego, i chto po nem siedł na carstwie w Kijewie.” A dalej opowiada śmierć Wsewołoda Olgowicza przypadłą roku 1146 i t. d. Widoczna więc, że i ten skróciciel miał latopis Nestora na r. 1113 urywający się.

go w Kijowie, powiada, jakoby w roku 1116 latopis ten przepisywał (1). I łatwo téż być mogło, że Nestor po dwu lub trzyletniej pracy między rokiem 1113 do 1116 dociągnął już go był do roku 1110, po którym ten dopisek znajduje się. Ale ani rękopism Ławrentego, ani Radziwiłłowski, które nam dopisek Sylwestra podały, nie podały nam czystego tekstu pierwszej redakcyi, ale już z dodatkami, robionemi nierównie później po roku 1116, a któreto dodatki, jak mniemam, od samego Nestora pochodzą (2). Według tego tedy, praca latopisarska Nestora w czasach późniejszych, zależała w tém, że zdarzenia krótko tylko pod dawniejszemi latami napomknione, opisywał potem obszernie i szczegółowo (3), zagartując niekiedy całkowite trakta-

(1) „Igumen Selivestr śwętego Michaiła *napisach* knigi si letopiseć” i t. d. Połn. Sobr. I, 123. Wielu brało słowo *napisach* w znaczeniu autorstwa, i zrobiło Sylwestra tego ni ztąd ni zowąd dopełniaczem Nestora. Za takiego uważał go i Schlözer, mniemając, że dopełnianie jego dopiero rozpoczęło się od roku 1110. Tymczasem mnóstwo mamy przykładów, osobliwie w księgach cerkiewnych, że słowo *napisach* oznacza tylko prostego przepisywacza. Inne jeszcze dowody mówiące za tém, że Sylwester był tylko przepisywaczem. przytacza Karamzyn: Ist. Gosud. II, przyp. 213.

(2) Do takowego mniemania upoważnia okoliczność następująca. Najwięcej podejrzany o nieautentyczność w latopisie Nestorowym jest ustęp, znajdujący się pod rokiem 1097. W ustępie tym czytamy między innemi, że Mściśław Świętopełkowicz przeszyty został strzałą we Włodzimierzu. Tymczasem Polikarp, który tylko niewielką dziesiątkami lat był od Nestora oddalony i znał kronikę jego dokładnie, bo się na nią powołuje, rozpowiada przygodę Mściśława Świętopełkowicza temiż samemi słowami. A więc ów ustęp o nieautentyczność podejrzany, znajdował się tak, jak dziś go znajdujemy już za czasów Polikarpa, który mógł sam nawet autograf Nestora mieć w ręku.

(3) Wiadomo, że w Nestorze znajdujemy niektóre zdarzenia zaciągnięte podwójnie: raz krótko, drugi raz obszernie. Pierwsze z nich czytać można w *Połnom Sobraniju*, na str. 116; a ostatnie bezpośrednio przed nimi. Karamzyn mniemał, że tylko krótkie należą do Nestora, a obszerniejsze są wtętem. Ależ właśnie w tych krótkich powołuje się sam autor na obszerniejszy swój opis; mówi bowiem, że Włodzimierz, Dawid i Oleg „stworisza mir, jako że i w preźneje leto skazach” (Połn. Sobr. I, 116). Daleko więc rozsądniej jest widzieć w tém ślady podwójnej redakcyi tego latopisu, i przyznać, że sam autor opisy swoje dawniejsze, pomnikami, jakie później do rąk mu wpadły, pouzupełniawszy, zatrzymał w niewielu miejscach krótką o tychże wypadkach wzmiankę, dla dokładniejszego wskazania chronologii, która w opisie obszernym i wiele zdarzeń razem obejmującym, nie mogła być dokładnie wskazaną. Tego zdania był już i Arcybyzew, mówi bowiem: „Nestor pomieścił w swoju letopis słowa Wasilia i tiem peremieszał w niej letoczislenije.” Powiestw. o Ross. I, 50, przyp. 299.

ty książąt i tym podobne pomniki, a kolój zdarzeń na roku 1110 urwaną, dociągnął do końca roku 1113, przez co nadał dziełu swemu, w którym już na początku wzmianka o śmierci Świętopełkowej, roku 1113 przypadłej znajdowała się, pewną okrągłość. Pisał Nestor, jakeśmy powiedzieli, jeszcze po śmierci Włodzimierza Monomacha, zaszłej roku 1125: bo to widoczna ze słów wyrzeczonych o tym księciu. Skoro więc należycie rozważym tę okoliczność, nie znajdziem w tém żadnego niepodobieństwa, co nam objawia rękopism Ławrentowy: że do latopisu Nestorowego wciągnięte jest: *Pouczenie Monomachowe* (1). Mógł je bowiem wciągnąć sam Nestor, podobnie jak wciągnął opis oślepienia Wasylka trembowelskiego pod rokiem 1097, skreślony przez poprzednika swego Wasyla, zostawiając w całości słowa jego, jako naocznego świadka. Wasyl ten, którego wzmianka robi tyle trudności w rozpoznaniu Nestorowego latopisu, jest istotnie pisarzem starszym od Nestora. Już w roku 1098, posłował on między książętami, a byłoto zapewne nie pierwsze jego poselstwo; podczas kiedy Nestor w piętnaście lat później do pisania kroniki swojej przystępował. Jestto ten sam Wasyl mnich peczerski (2), którego żywot skreślił Polikarp (3). Poznajemy to z następujących szczegółów: Był ów Wasyl, jak powiada Polikarp, jednym z najukształceńszych księży, między pe-

(1) Czytając z uwagą to *pouczenie*, ledwieby nie można młnemać, że który z mnichów peczerskich pomagał pisać je księciu. Ta sama w niem obfitość przytoczeń z pisma św., z którą tak często spotykamy się w latopisie Nestorowym, niekiedy nawet te same zdania i powstawanie na jeden i tenże sam przesąd. Żali się w prostocie swojej kronikarz, na str. 73, że lud zdybawszy mnicha wraca się, lub ucieka na bok „jak przed odyńcem lub świnią”. Książę więc zaleca z powagą w swém pouczeniu: „ot popow i igumenow ne ustraniajcie sę.” Połn. Sobr. I, 102. Nie więc dziwnego, że dla pomnika tyle spowinowaconego duchem z naukami peczerskiego mnicha, znalazło się miejsce w Nestorowym latopisie.

(2) Że mnichem jest kijowskim, to można łatwo poznać wezytawszy się w jego słowa: daje on Wasylkowi nauki duchowne, a wie dokładnie wszystkie okoliczności, zaszłe w Kijowie z powodu tego zdarzenia. Powiada, że za Wasylkiem wstawiali się igumenowie kijowscy do Świętopełka, a ten proszącym na Dawida ukazał i t. d. Obszerniej o tém rozwiódłem się w dziele mojem „Wstęp krytyczny do dziejów polski” str. 66.

(3) W Pateryku tłumaczonym na język polski przez Sylwestra Kossowa jest ten żywot skrócony i przelnaczony; w zupełności atoli czytam ten żywot w jednym z najstarszych rękopismów Pateryku, który jest własnością lwowskiej akademickiej biblioteki, i jego tu stronnice przytaczam. Nie

czerskimi mnichami (1). Igumen wysyłał go w rozmaitych potrzebach w strony dalekie, i w jednej z takowych posyłce, bawił przez trzy miesiące (2). Posyłka ta, ile można zmiarkować, była właśnie około roku 1097, bo autor wzmiankuje nawiasowo, iż monaster był już wtedy spalony (3). Wasyl był znany na książęcych dworach, a mianowicie na dworze Mściława Świętopelkowicza, co był około tegoż czasu księciem włodzimirskim; miał też ów Wasyl tajne jakieś z tym księciem stosunki, które pobożny Polikarp za pomocą przeobrażeń djabelskich tłumaczy. Wróciwszy nakoniec z tego poselstwa i czas jakiś w monastyrze przemieszkawszy, zginął ten mnich z ręki Mściława, niewielką dniami tylko śmierć swego zabójcy, dnia 12 czerwca, roku 1099 przypadła, poprzedziwszy (4). Nasuwa się samo z siebie, że Wasyl za powrotem swoim z Włodzimierza do Kijowa, nie zaniedbał wciągnąć owe zdarzenia, których był świadkiem, do ksiąg klasztornych. Z takichto klasztornych zapisków, na rozmaite czasy i osoby wskazujących, kompilował Nestor latopis swój, i dzięki mu za to, że śladów dawniejszego zapisywacza tak tu, jako też i w innych miejscach nie zatarł.

Przed Nestorem tedy znajdowały się na Rusi rozmaite zapiski, odnoszące się do dziejów. Zapiski takowe znajdowały się po cerkwiach i monastyrach, a były różnorodne, jak różnorodne były żywioły, z których potęga Rusi w Xtym i XIstym wieku wyrabiała się. Z za morza od Skandynawii wędrowni Waregowie zostawiali po sobie pogłoski o szlakach wodnych, któremi Europę przebiegali. Z Carogrodu przybywały z wyższém duchowieństwem oryginalne piśmiennictwa bizanckiego zabytki, z których acz w omglonym połysku, przebijało się światło starożytnego Rzymu i Grecyi. Bolgarowie nakoniec i Morawcy, co o półtora wie-

potrzebują zresztą ostrzegać czytelnika, że w tym przez Polikarpa skreślonym żywocie, jak w ogólności we wszystkich niemal pismach tego rodzaju, jest jedna część upiększeniem tylko, dodaném w celach duchownych, i takoweto upiększenia nietrudno jest odróżnić od okoliczności wiarogodnych.

(1) „Jedinze niekto ot sowerszenniejszich, imenem Wasilije, togoż monastira mnich.” Pat. rkp. str. 414.

(2) „Jako tri miesiaci sut... i se tretij den w monastirie imam.” Tamże, str. 422.

(3) „Biebo togda pozzen monastir.” Tamże stron. 426.

(4) „Ne po mnoziechże dnech sam Mstisław zastrichen byst' w Wołodimeri na zabralech.” Tamże str. 435.

ku wcześniej chrześcjanami zostawszy, już nieco w sobie naukę swoich mistrzów przetrawili, przynosili na Ruś jako nauczyciele ludu, całkowite latopisy, w których prócz wiadomości bizanckich, przełożonych na język słowiański, znajdowały się rodzime nad-dunajskie o Słowianach podania. Ogniskiem tych różnorodnych wiadomości był Kijów, a w nim szczególnież monaster peczerski. Pieczary jego były niegdyś przytuliskiem Waregów, pierwszych chrześcjan na Rusi, po których zwano niektóre z nich waregskiem, i znajdowano w nich kościelne naczynia z łacińskimi napisami (1), bo ci Waregowie wyznawali obrządek zachodni. Ten nakoniec monaster, którego pierwsi założyciele niejednokrotnie odwiedzali Carogród, przyjmował ustawy swoje od mnichów greckich, a liczył w zgromadzeniu swoim rodowitych Bołgarów, których ojczyste księgi nietylko treścią swoją, ale i językiem służyły za wzór Rusi piśmiennój. Ta więc różnorodność, która się podówczas na Rusi w życiu objawiała, załatuje nas, częstokroć nawet w swój surowiznie, z obszernego i cennego latopisu, peczerskiego czarnoryzca, Nestora.

Zaczyna on od uświęconego powagą biblii, a rozkazem jednego z patriarchów, Filastryusa, w artykuł wiary zamienionego podziału ziemi między synów Noego, który podaje dosłownie tak, jak go ma w kronice swojej mnich grecki, Jerzy grzeszny, Γέωργιος ó άμαρτολος w dawnych już² czasach na język bołgarski przełożony: tu w steku imion rozmaitych krain i wysp, które mniemanym działem dostać się miały Jafetowi, znachodzim po Epirze położone ogólne imię kraju *Ilurik*, z dołączoném takimże ogólném imieniem narodu *Słowiene*, które ani w greckim, ani w przełożonym na język bołgarski Hamartolu nie znajduje się. Zupełnie podobne objaśnienie widzieć można w jednym z dawnych kodexów Cycerona *De officiis*, gdzie przy wzmiance najstarszego króla ilirskiego Bargyla, dodaje spółczesny tego kodexu objaśniacz, Polak *zapewne, nad wyrazem Illyricus, te słowa: id est Slavonius (2)*. Po ogólném imieniu kraju i narodu następują szczegółowe imiona krain: *Lachitija, Andriakia, andriatińskaja pączina*. Gdyby te imiona nie znajdowały się już w takim samym porządku w orygi-

(1) Pokładze warańskij jest, poneże sosudy łatyńskli sut, i segoradi warańskaja peczera zowetsia. Pat. rkp. str. 431.

(2) Rkp. z wieku XIV lub XV w bibl. ord. Zamojskich tu fol. nr. 466, k. 153, str. odwr.

nale greckim, możnaby w tém mieć dowód, że Nestor wskazuje wybrzeża nadadryackie za najpiérwszą ludów słowiańskich siedzibę, z której później nad Dunaj byli strąceni; tak atoli jak jest, nie można powziąć w téj mierze nic pewnego z jego latopisu, chociaż najwidoczniej pokazuje się to z kronik polskich. Na rzece Tygr między Midyą a Babilonem płynącej, powieść Hamartola urwawszy, wpada w opis geograficzny europejskiej północy, zachwycony zkądsinąd, góry karpackie, podobnie jak Jornandes, górami kaukazkiemi nazywając (1). Znowu na chwilę do plemion Jafetowych zawróciwszy, zestawia dwa imiona: *Wólchwa-Rimłane*, jakby należące do siebie, podobnie jak *Iluryk-Słowiene*, i spieszy do wieży babilońskiej na Sennarpolu za dni Nektana i Faleka wzniesionój, którą za Hamartolem opisuje. Tu powiedziawszy o pomieszaniu języków, i wynikłej ztąd nowój wędrówce Semowych, Chamowych i Jafetowych plemion, dodaje z niewiadomego źródła: że jednym ze siedmdziesięciu i dwu narodów, na które wówczas ród ludzki podzielon został, był naród słowiański od Jafeta idący; przytacza téż jego starożytne nazwisko, które w rękopismach, po większej części mylnych, brzmi: *Narri*, *Norci*, *Noricci*, *Inorri*, *Inowierci*, a podobno i *Torri* (2). Czy pójdziem za powszechnie dziś przez uczonych przyjętym wykładem, i będziemy widzieli w tém imieniu zmylone imię *Ilurci*; czy zechcemy w jego wariantach podsłuchiwać imię rzuconych ponad adryacką odnogę Antarów czyli Adryotów, zwanych u Pliniusza Taryotami, (*Tariotarum antiqua regio cum urbe Tariona*, III str. 26); czy nakoniec przyjmiemy inny jeszcze wykład, i powiemy poprostu, że Nestor wymienił tu jeden ze starożytnych ludów Peonii, zwany Norykami, *Νορικοί*, u Klemensa Alexandryjskiego (3) i u Euze-

(1) De orig. Get. c. 7. Nadmienilem już wyżej, że i to, co polscy kronikarze Miorsz i Mateusz rozpowiadają, trała niekiedy zupełnie w wiadomości, jakie Jornandes z pisarzów zaginionych wyciągał.

(2) Żałować tu przychodzi, że najnowsi wydawcy Nestora, mając pod ręką 53 rękopismów jego kroniki, nie dali w tém ważnem miejscu wszystkich wariantów, które, jak to wiemy z doświadczenia, w późniejszym kodexie mogą być czasem lepsze niż w starym. W moim kodexie B. czytamy na stronnicy 4 „których wo onyj czas *Norcami* albo *Noricami* nazywały.” Podobnież mówi dawny tłumacz polski Nestora: „Słowianie nazywali się *Norcami*” (rkp. stron. 1).

(3) *Quin etiam Noropes est autem gens Paeoniae* (Εθνος ἐστὶ Παθονίων) nunc autem appellantur Norica (*Νορικοί*), aēs elaborarunt, et primi ferrum purgarunt. Stromat. I, 16. Porów. Eusebii Caes. Praeparat. evang. X, 6, tudzież Steph. Byzant. De urbb. wyd. Amst. z r. 1678, in fol. str. 502.

biego z Cezarei, a którego siedlisko w Peonii wskazuje także Stefan z Bizantu; zawsze jestto wiadomość nieskończenie ważna i wzięta w związku z rozpołożeniem Słowian po Iliryku, okazuje się identyczną z wiadomościami, które innym sposobem i ze szczegółami rozpowiada nasz Miorsz i Mateusz herbu Cholewa. Ztąd przechodzi autor do podania bołgarsko-morawskiego: powiada, że Słowianie po mnogich latach (od rozpołożenia się ponad Adryatyki?) osiedli wzdłuż Dunaju, gdzie dziś są Węgry i Bołgaria, a gdy ich tu Włosi czyli Rzymianie przygnietli, rozpoczęli wędrówkę swoją na północ, i zajęli przestrzeń od Karpat i Dniestru, aż do Baltyku i jeziora Ilmeru. Oto jest najcenniejsze z podań, jakie Nestor w swoim wstępie umieścić; uważane samo w sobie nie prowadzi ono do szczególnych wyników, jak tego mamy dowód w komentarzu Schlözera; jest też ono w pierwszej swjej części niedokładne, a w drugiej ani pod względem czasu, ani pod względem wypadków dziejowych nie oznaczone ściśle; skoro je atoli dodamy do ustępów tych, które Miorsz i Mateusz z kroniki łęchickiej i z historyi Troga Pompeja poprzytaczali, zaokrągla się z niemi w wyborną całość, i nie dozwala wątpić, że, czy sam Nestor, czy też pierwszy podawca téj wiadomości rozumiał tu wędrówkę Daków, przetrąconych orężem Trajana za Dniestr i za Karpaty.

Rozsadzwszy autor plemiona słowiańskie na północy, podnosi zpomiędzy nich nadewszystko Polanów, do których opisu po kilkakrotnie rozpędzając się, porywany jest raz wraz w inną stronę, ledwie tylko słów kilka o nich powiedziawszy. Mówi więc najpierw o szlakach wodnych za podaniem waręgskim, i po dwakroć o komunikacyi między Skandynawią a Rzymem spominając, zdaje się nie wiedzieć, że ta komunikacja była nie morska, ale pół lądowa, pół wodna. Wzmianka o ujściu Dnieprowém naprowadza go na legendę o św. Andrzeju: rozpowiada więc, jak tenże Dnieprem od Korsunia przybywszy, błogostawił góry kijowskie i przepowiadał uczniom, że tu stanie kiedyś gród wielki i mnóstwo cerkwi na chwałę bożą się wzniesie, a dziwem dla niego były łaźnie północniejszych Słowian, i o nich w Rzymie narozpowiadać się nie mógł. W dalszym ustępie zabawił autor dłużej przy Polanach, i wbrew swojemu natrąceniu gdzieindziej, iż to imię już na północy, od pół dostać się im miało, podobnie jak Derewlanom od drzew czyli od lasów (1), powiada tu i pół-

(1) Nie powiedział Nestor nigdzie wyraźnie, że Polanie od pół otrzymali swe imię; takowy wywód daje się tylko wywnioskować pośrednio,

źniej jeszcze powtarza, że właśnie u tychto Polan były wielkie bory i lasy, i że oni w lasach siedząc trudnili się łowiectwem (1): „bylićto ludzie mądrzy i zmyślni: od nich są Polanie w Kijowie po dziś dzień”. Z tych słów, jak w ogólności z owego zamiłowania z jakim o Polanach rozpowiada, upośledzając resztę ich pobratymców, można słusznie zawiązać, że sam pochodził z ich rodu. Po nopomknięciu o wyprawie księżęcia Kija na Carogród i wyliczeniu plemion słowiańskich i obcych na Rusi, daje w krótkim a wielce pogmatwanym ustępie jakoweś wrywki o najściach Bołgarów, Węgrów białych i czarnych, dalej zaś Obrów i Pieczyngów, któreto wiadomości ani dokładnością, ani dowodnością twierdzeń nie zalecają się, i mogą poniekąd służyć za wskazówkę, iż sam Nestor mętne miał wyobrażenie o tych wypadkach, zapisując po części bez wyboru, co gdzie natrafił. Znowu od Polan zacząwszy, opowiada jak plemiona lęchickie: Wętycze i Radymicze ze swoimi naczelnikami z Polski na Ruś przesiedlili się, a powtórzywszy raz jeszcze rozpołożenie ludów słowiańskich na północy, nakręśla obraz ich obyczajów, chlubny dla Polanów, a dla ich braci aż do przesady naganny. Tu przypomina mu się Jerzy grzesznik, którego po raz pierwszy i ostatni imiennie nazwawszy, przytacza spory ustęp z jego kroniki o rozmaitych obyczajach u różnych narodów. Jeszcze zabawia go przez chwilę powiastka rodzinna o zhołdowaniu Polan kijowskich przez Kozarów, o ich obosiecznych mieczach, którym zwycięzcy dziwiąc się i takowe z jednosiecznymi szablami swemi porównywając, wyciągali złą wróżbę dla się na przyszłość, i zamyka uwagą, powtórzoną za kimś dawniejszym (2), że co oni przeczuwali, to

z tych słów, które się znachodzą w *Połnom Sobraniju*, na stronie 3: „siedoszę po Dniepru i narekoszę się Polane, a druzli Drewlane, zane siedoszę w lesiech.” Gdy atoli wnioskowi temu sprzeciwia się wbrew to, co na stronicy 4 i 7 czytamy: iż ci Polanie w borach i lasach siedzieli, a trudnili się łowiectwem, tedy jest wszelkie podobieństwo, że słowa: „zane siedosze w lesiech” są prostym wtrętem któregoś z przepisywaczy.

(1) Biasze około grada *les i bor welik*, i biachą łowieszca zwler, biachą mażi mądri i zmyśleni, naricachą się Polane, ot nichże jest Polane w Kijewie i do sego dnia. *Połn. Sobr.* I, 4. I najdoszę je (Polanów) kozarie *siedęszczają na gorach siech, w lesiech*. *Połn. Sobr.* I. 7. Oniże rieszę: *w lesie, na gorach*, nad rieką Dnieprską. *Tamże*.

(2) Kozarowie znikli z widowni politycznej już w wieku XI; i to więc miejsce zaliczyć trzeba do tych, które Nestor powtarza dosłownie za swemi poprzednikami.

się ziściło: dotąd bowiem panuje Ruś (Polanie dawniejsi) nad Kozarami.

Taki jest wstęp tego dzieła: drobny co do objętości, ważny co do treści; różnorodny w szczegółach, a w ich złożeniu bezładny i połamany, gdzie z pomiędzy lada jakich wiadomości biblijno-kosmograficznych, których źródło dokładnie jest przez autora wskazane, przeglądają ciekawe i nieskończenie ważne ułamki wiadomości ojczystych, których źródło zupełnie zamilczane. Zbiegły się tu i stanęły przy sobie cząstkowe wieści, o rodzie Słowian, z epok różnych i bardzo od siebie odległych: jedne z czasów Grecyi i Rzymu kwitnącego, drugie z późnych po-Chrystusowych wieków, terminologią nie dość właściwą oddane, które czy autor tak znalazł? czy sam w ten sposób ułożył? czy tu i owdzie skrócił? czy ubogacił własnym dopiskiem? czy nakoniec w przeświadczeniu swém każdą z nich do właściwych czasów odnosił? — można się wprawdzie domyślać, ale zaręczyć ani na jedną, ani na drugą stronę nie można.

Latopis właściwy zaczyna Nestor chronologią, i zaraz w pierwszej dacie, wstąpieniu na tron bizantyński cesarza Michała IIIgo, myli się o lat 10, jak to już postrzegł dawny jego tłumacz polski, i wziął ztąd pochop do cofnięcia całej Nestorowej chronologii w tył o lat tyleż (1). Wniosek jego byłby zupełnie słuszny wtedy, gdyby kronikę Nestora uważać można za utwór jednolity. Skoro atoli dowiedziona jest, że Nestor zapiski rozmaite z różnych czasów i od różnych osób pochodzące kompilował, dodając tu owdzie i własne swoje spostrzeżenia, więc jest rzeczą widoczną, że poprawiając w ten sposób całą księgę, można i tak już mylną w wielu miejscach chronologią, daleko gorzej powikłać. Mówi Nestor: „Lata 6360, indykta 15, (roku 852 po nar. Chr.) gdy Michał (IIIci) panować począł, zaczęło być znane imię Rusi. O tém bowiem dowiedzieliśmy się, że za tego cesarza przychodziła Ruś na Carogród, jak o tém piszą kroniki greckie: dlatego odtąd poczniemy i liczbę lat kłaść będziemy (2)”. Michał IIIci cesarz wstąpił na tron roku 842; gdy więc tak widocznie przebija się w tych słowach, że je mówi sam Nestor, mamy więc dowód,

(1) *Annales s. Nestoris*, rkp. str. 4. Myłkę tę Nestora w chronologii wyknał w naszych czasach Arcybyszew. *Ob. Powiestw. o Rossii*. Moskwa, 1838. T. I, str. 12, przyp. a.

(2) *Połn. Sobran.* I, 7.

że to, co ten kronikarz swego dokładał, było czasem mylniejsze niż owo, co wprost za swoimi poprzednikami powtarzał.

Piérwsze z zapisanych zdarzeń w tym latopisie tyczy się Bołgarów, jakby na wskazówkę, kto najpiérw głos zabierał w Rusi piśmiennój; za obcemi występują tu zdarzenia swojskie, za suchemi datami rozwija się powoli powieść dostatnia i ożywiona. Początkowe o Rusi zapiski są nadzwyczaj ważne. Czyn główniejszy tylko kładzie w nich Nestor; uzupełnić go wszystkiemi okolicznościami i rodzaj czynu zcharakteryzować, nazywając rzecz po imieniu właściwém: to przechodziło, jak się zdaje, jego możliwość. Widać atoli w piszącym wydatną ku szlachetnemu przewagę: zpod zamilczeń, a gdzieniegdzie i upiększeń bajecznych, wszędzie niemal u niego wylamuje się na wierzch szorstkie oblicze prawdy, domagając się o swoje prawa w historii.

Dawszy opis początków Rusi, o których ledwie kilka słów zachwycić można zkądinąd, postępuje Nestor dalej kolejną lat, mieszając niekiedy do zdarzeń prawdziwych wątpliwe wieści, zachwycone ze słuchu lub przywidzenia; oraz legendy, cuda i t. p., a wszystko to aż do zdarzeń na które sam patrzył, raz obszerniej, raz krócej, sposobem rocznikarskim, opowiadając. Wielu opisów nietylko styl, ale i język i treść sama zdradza, że ani w jednym czasie, ani z jednego pióra pierwiastkowo wyszły (1). Jestto więc poniekąd księga klasztorna peczerska, w której praca wielu osób, wielu mnichów w jedną całość między rokiem 1113 — 1136 została przez Nestora zebrana i ubogacona tu i owdzie. *Nieukiem* prostym nazwał się on sam, we wstępie do żywota św. Teodozego (2), z którego to wyznania jego można odliczyć część jedną na

(1) Prócz wskazanych już wyżej miejsc w Nestorze, z których dawniejszy zapisywacz przegląda, są jeszcze następujące: a) Opis Wszesława połockiego, który do téj pory, w której autor pisał (umarł ten książę roku 1101), miał bliźnę na głowie. *Połu. Sobr.* I, 67. b) Wyciągnięcie dziecka potworne, z Sietomli, odnogi Dnieprowej, roku 1064, o którym autor dodaje: „jegoże pozorowachom do weczera”. *Połu. Sobran.* I, 71. Nestor mógł liczyć wtedy zaledwie 7 lub 8 lat. c) Śmierć metropolity Jana, o którym powiedziano: „i siakogo ne byst' preže w Rusi, ni po nem ne badet siak”. *Połu. Sobr.* I, 89. d) Opis napadu Połowców pod rokiem 1093. *Połu. Sobr.* I, 95, 96, któryto napad wkrótce jakoś po samém zdarzeniu opisany był przez kogoś ze współczesnych. e) Poselstwo Wasyla od Dawida do Wasylka trembowelskiego. *Połu. Sobr.* I, 112 i t. d.

(2) „Grubyj i ne rozumiczen, k' simže jako i ne blech uczen nikojeżdychytrosti.” *Pateryk rkp.* str. 57.

karb mnichowskiej pokory; mimo to jednak zostanie w tém jakaś część prawdy, jak to widoczne z tego, cośmy już wyżej napomknęli. Jakoż podobniejsza jest, iż języka greckiego nie umiał (1), a to, co za przeciwném zdaniem przemawiać się zdaje, należy raczej do jego poprzedników i tylko przez niego powtórzone (2). Posiadał atoli w wysokim stopniu sumiennosc i pracowitość, i tego zalety mogły być w znacznej części powodem, że imię jego jako kronikarza zagłuszyło wszystkie inne, i samo jedno z tamtych wieków wypłynęło; z niem doszedł do nas obraz przygód całej Rusi i stosunków jej do narodów ościennych, a zarazem obraz przygód peczerskiego monasteru, jednego z najznakomitszych. Rozpatrując się w tym latopisie widzimy nietylko czynności i moralne wizerunki ksiąg, ale poznajemy i naród: jego prawodawstwo, jego przesady i obyczaje, w których światło nauki Chrystusa łamie się z ostatkami pogaństwa; podsluchujemy przysłowia ludu i odgadujemy, jak w rozmaitych sprawach publicznych brał chętniej udział, lub też był biernym tylko narzędziem swych władców. Nakoniec przypatrujemy się najstarszemu piśmiennemu językowi Słowian, który znad Dunaju nad Dniepr przeszczepiony, i ograniczony niemal na same duchowieństwo, zatrzymał jeszcze silnie w Nestorze swój typ pierwotny, gdzieniegdzie tylko zlekka ku mowie ludu pochylając się. Prócz znakomitej tedy ważności historycznej ma ten latopis dla Słowianina i ważność językową, na której zbywa kronikarzom naszym łaćńskim.

Jako pomnik językowy z początku XIIgo wieku, powinienby takoz latopis ten być przedmiotem większej niż dotąd troskliwości wydawców. Tatyszczew świadczy, że między starymi rękopismami kroniki Nestorowej były niektóre pisane *jusami*; nie spominają nic o tém petersburscy jego wydawcy, i starek irylskie bukwy oddają ciągle grażdzańskimi czyli noworossyjskimi głoskami. Tymczasem udowodnioną jest rzeczą przez Wostokowa, Kopitara,

(1) Tak mniema i Kubarew w przytoczonej wyżej rozprawie na str. 393.

(2) Tu należą niektóre greczyzny w tym latopisie, jakoto: *oksapsalm*, gr. ἑξαφάλμιον. PoIn. Sobr. I, 58; *epitemia*, gr. ἐπιτιμία. PoIn. Sobr. I, 81, i t. p. Powołanie się kronikarza na latopis grecki: „jakoże piszet się w letopisanii grezczciem.” (PoIn. Sobr. I, 7), jest raczej powołaniem się na dawny słowiański przekład jego, który w części doszedł aż do naszych czasów. Porów. Kubarewa rozprawę str. 393. Nakoniec i to, co przywodzi Nestor z Metodego Patarskiego znalazł Karamzyn w dawnym przekładzie słowiańskim. Ist. II, przyp. 243, a i na polski język przelożone było w dawnych już czasach, i znachodzi się w rękopiśmie bibl. Ossolińskich nr. 10, in folio.

Miklosicza i innych znakomitych filologów, że dwie różne postaci głoski cerkiewnej (1): Я są głoskami nosowemi, i odpowiadają zupełnie polskiemu *a* i *ę*. Są także dowody i na to, że kirylska głoska *zeło* nie była jednobrzmiąca z głoską *zemla*; ale wymawiała się jak polskie *dz* (dzelo). Ślad właściwych brzmień języka Nestorowego został w rękopiśmie Ławrentego: kiedy bowiem słowa Начяше, прокляше pisze on w jednym miejscu przez А, w innym znowu miejscu rozkłada je na brzmienia nosowe i pisze Наченше, прокленше: dowód oczywisty, że samogłoskę А wymawiał jak polskie *ę*. Nie jest tedy rzeczą obojętną pod względem językowym wydawać latopis Nestora głoskami grażdzańskimi, które znaków na oddanie powyższych brzmień zgoła niemają, albo też cerkiewnymi lub łacińsko-polskimi; tylko w ostatnich rozpoznać można właściwy język Nestora, i należałoby włożyć staranie w to, aby z pomylnych rękopismów odbudować text tego pomnika i pod względem brzmień jego właściwych, do czego w pracach wyżej wymienionych filologów rzucone są zasady, tak, że stosując się do nich, można tę rzecz uskutecznić choćby rękopisma były pod względem ortografii zupełnie mylne. Do tychto zasad wyluszczonej u Kopitara i Miklosicza stosowałem się, przytaczając text Nestora głoskami łacińsko-polskimi.

(Dokończenie nastąpi).

(1) Dla braku u nas głosek cerkiewnych, przymuszani jesteśmy zastąpić je zwyczajnymi rossyjskimi. P. R.



MAUROWIE

NIEGDYS W HISZPANII, A DZIŚ W AFRYCE.

PRZEZ AUTORA:

O Danii i Norwegii, Baskach, Portugalii i t. d.

(Ciąg dalszy).

IX.

Gibraltar. Tangier.

Ślepo, ślepo idąc za radą Mahometa, Muzułmanie rozpuścili swe hordy na wschód i na zachód, i podbili Syryą i Egipt, Afrykę północną i najpiękniejszą część Europy. Podbijali i wkroczyli, niewstrzymani żadnym tryumfem, aż do Francyi. Ale na płaszczyznach Tours znaleźli naród dbały o całość swój ojczyzny, dbały o honor chrystyanizmu. Cofnęły się hordy Saracenów poza Pyrenee. Gdyby nie miecz Karola Martela (732), półksiężyc błyszczałby dziś może jeszcze nad murami Paryża i Londynu.

Powróciwszy do Hiszpanii hordy saraceńskie uznały jednakże, że to kraj piękny, pełen powabu i bogactwa. Zatrzymały się, i odstąpiły od dogmatu mahometańskiego—*podboju*. Wkrótce ci zacięci podbijacze dali dowody tolerancyi wyrównywającój ich waleczności, wkrótce nawet wywyższyli się ponad wszystkie inne narody potęgą rozumu i światła. Oddaleni od ziemi rodzinnej, Mahometanie rozmiłowali się w téj, która im była nadaną przez Allę, i starali się z bogacić ją wszystkimi darami, mogącemi przyłożyć się do szczęścia ludzi. Prawa mądre i sprawiedliwe, uprawianie sztuk i umiejętności, zachęta

dana rolnictwu, handlowi i rzemiosłom, wszystkie sprężyny życiodawcze przyczyniły się do wzniesienia państwa, którego wzrost zaciął wszystkie chrześcijańskie kraje. Świetność Maurów do tego doszła stopnia, że okoliczne narody pogrążone w ciemnocie, szukały u nich światła i rozumu!

Wyrobniicy chrześcijańscy przychodzili do Maurów uczyć się rzemiosła; uczeni całego świata biegli do Toledy, Kordoby, Sewilli i Granady kształcić się w naukach. Nawet i poeci i trubadurowie napawali się poezją i muzyką u Maurów; a rycerze chrześcijańscy ćwiczyli się w waleczności i grzeczności na dworach książąt mahometzańskich, panujących w Hiszpanii.

Maurowie hiszpańscy zaniechali dogmatu zaboru, i na swych pomnikach głosili światu, że ostatecznie osiadą w Hiszpanii. Potomkowie Rolla i Wilhelma Zwycięzcy toż samo zrobili w Anglii. Maurowie dłużej daleko pozostali w Hiszpanii, niż dotychczas Normanndzi pozostają w Anglii.

Czemu potomkowie Muzy i Taryka mieliby mniemać, że ich panowanie nie ustanie nigdy?

Pomimo całej swój świetności, państwo Arabów w Hiszpanii było tylko exotyczną rośliną, niemogącą się nigdy rozkrzewić w gruncie. Tam, gdzie większa, głębsza prawda wkroczy w ziemię, tam nie masz stałego przytułku dla płytkich, choć pozornie wybujałych doktryn i systematów.

Wzruszony, tknięty bliskością wstecznego żywiołu, duch chrystyanizmu Gotów ocknął się nareszcie z swego długotrwałego letargu. Po długich wojnach, po krwawych potyczkach, wrząca odwaga Maurów uległa waleczności cierpliwój i statecznej obrońców krzyża.

Zniknęli Maurowie z widnokregu Hiszpanów. Gdzież teraz mam szukać potomków tego wielkiego narodu, który swém męstwem i przepychem, swemi naukami i swą szlachetnością, zdumiał niegdyś świat cały? Gdzież mam szukać potomków ludzi, którzy wystawili meczet w Kordobie, szpital w Toledo, i twierdzę w Granadzie?

Gdzież was mam szukać?

Szukać was bowiem muszę. Ja nie uwierzę, żeby naród cały mógł zniknąć z kuli ziemskiej, w tak krótkim czasie. Ja odkopię przeszłość Maurów, i w trwaniu przeszłości szukać będę ich przyszłości zasobów.

Mówią, że dwa miliony Maurów hiszpańskich wróciło do Afryki, do dawniej swojej kolebki. Mówią, że z religijną wiernością potomkowie tych Maurów przechowują w swém sercu wiarę w powrót do dawnych posiadłości, z których zostali wyzwoleni. Maurowie w Tetuan osiedli, zachowali swe hiszpańskie nazwiska Paezów, Medinów i Albergów, nie łączą się węzłem małżeńskim z rodzinami afrykańskimi; jako klejnoty familijne przechowują od pokolenia do pokolenia plany, rachunki, klucze nawet swych dawnych posiadłości w Granadzie, w pewnej wierze, że do nich wrócić muszą kiedyś.

Tak! pójdę aż do Afryki przekonać się naocznie, czy trwa w sercu Maurów pamięć dawniej świetnej przeszłości; przekonać się, czy pamięć przeszłości rokuje jakąkolwiek nadzieję dla przyszłości.

Z tē m postanowieniem opuściłem Granadę, smutny i zgryziony.

Niełatwo było dostać się do Afryki. Europejczyk źle tam jest widziany u wszystkich różnorodnych mieszkańców tēj starēj, a jeszcze tak mało znanēj ziemi.

Czy tam kto odgadnie, w tēj barbarzyńskiej ziemi, szlachetność moich intencji?

Tak siebie zapytywałem stroskany, widząc ludy i ludzi Europy obracających się jak mdłe pyły, w wirze osobistych interesów. Ty sobie zaufasz, bo w tylu położeniach trudnych do przebycia poznałeś siebie samego, ale czy ci zaufają inni?

Wiele minęło czasów, wiele nowych powstało w mój głowie myśli; ale myśl głębsza czuwała na spodzie, i nowych sił nabierała za każdą razą, kiedy urzeczywistnienie jēj stawało się możliwszēm.

Jestem po drugi raz w Kadyxie, i puszczam się do Gibraltaru, już nie na grzbiecie Pegaza, lecz poprostu parostatkami katalońskimi, wracającym do Barcelony przez Taryfę, Gibraltar, Malagę, Almerję, Kartagenę, Walencyę i Tarragonę.

Konsul angielski w Kadyxie opatrzył paszport mój wizą do Gibraltaru. Niełatwo ją uzyskać, rząd bowiem Wielkiej Brytanii niechętnie dozwala cudzoziemcom pobytu w twierdzy. Nieufność ta nie wiem czēm może być usprawiedliwioną.

Czekaliśmy długo na gubernatora miasta Algesiras, osoby dostojnej, wysmukłej, wysokiej, sztywniej, siedmdziesięcioletniej, z twarzą długą, cienką i pomarszczoną. Prawdziwy grand Hiszpanii!

Przybywa nareszcie dostojna osoba. Windujemy kotwicę, i puszczamy się na morze. Zgiełk wielki na pomoście. Gaworzą nieznośnie swēm narzeczem Katalończyki. Język to brzydszy jeszcze jak

portugalski, dla Kastyljczyka zupełnie niezrozumiały, podobny dźwiękiem do skrzypienia młynka od kawy, porządnie zakatarzonego.

Okolo południa byliśmy na wysokości Trafalgaru, tuż pod sławnym przylądkiem, gdzie floty francuzka i hiszpańska, wraz z swym zwycięzcą Nelsonem, grób swój znalazły. Do dziś dnia burze wydobywają z głębi oceanu szczątki okrętów tu zatopionych.

Ale cóż tam wzrasta na widnokregu południowym, z pomiędzy mgły i obłoków? To brzegi Afryki, to przylądek Spartel.

Don Fadrique Jesus Maria de la concepcion Juan Bautista de Torres Castellanas y Quintanar, Visconde de Casarabonda, Gubernador Real de Algeiras y Caballero de Sant Yago de Compostella wyświadczył mi zaszczyt zbliżenia się do mnie, i zaczął, po ukończeniu wszystkich formalności wstępnych, najnielitościwiej psy wieszac na heretyków.

— Zapewne mnie Wasza Excellencya bierze za Anglika? Nie mam zaszczytu należeć do tego narodu, jestem sobie poprostu.....

— *Ah Caballero, por Dios, un muy fiel defensor de nuestra santa confession!* A, jak się cieszył doprawdy, na honor!

Pan gubernator raczył teraz zmienić tok rozmowy, nie odrazu wprawdzie, ale po stosownych do okoliczności zwrotach, preludyach, introdukcyach i apostrofach. Nareszcie zsiadłszy z heretyków, wsiadł na Maurów i nieubłaganie po nich jeździł. Torquemada i Ximenes nie mogli o nich mówić z większą nienawiścią. Często zwiedzał brzegi Afryki, ale nigdy nie wrócił do ojczyzny, bez doświadczenia jakiejś dotkliwej nieprzyjemności ze strony tych Kafirów, tych dzikich zwierząt, sprzyśniętych przeciw chrześcianom. Anglicy tylko doświadczały lepszego od nich przyjęcia, ale „kruk krukowi oka nie wydziobie“, dodał Don Fadrique etc. etc. etc.

— A ja jednakże myślę odwiedzić Maurów w ich terazniejszych siedzibach. Naród ten niegdyś był tak rycerskim, oświeconym, przedsiębierzym! Nie sposób, żeby się miał zupełnie wyrodzić—rzekłem naiwnie.

Pan gubernator obrócił się na pięcie, i pod nosem śpiewał następujący paciérz:

„Santa Maria, stella del mar!
Salva nos de Moriscos
Y de heréticos
Y de los demas amigos del mal!”

(Święta Maryo, gwiazdo morza! chroń nas od Maurów, i od heretyków, i innych przyjaciół czarta).

Mijamy Taryfę i stajemy pomiędzy słupami Herkulesa, w ścisnionych wodach oceanu, tracącego tu swoje nazwisko. Widok to pyszny, zdolny oczarować najapatyczniejszą duszę! Dwa niebotyczne wały, wznoszące się po obu stronach wód huczących jak grzmot, pnących się białą pianą wysoko po krawędziach skały, jak gdyby rozbić usiłowały te zapory! Na prawo wyziera ponad obłoki Abyła, przedmurze Afryki, i przypatruje się Europie. Ani jednej na nim chatki, ani lepianki; wilki tylko, dziki i skoczne małpy tu mieszkają. Na lewo kąpie się w nurtach morza, ale śpi w tej chwili ów niezmierny potwór skalisty, którego nazywają opoką gibraltarską. Pilnuje wejścia do morza Śródziemnego ten kolos ogromny, z którego oka spuścić nie zdołasz, którego widokiem nigdy się nie nasyisz.

Na podnożu tego widma pnie się i rozpościera tysiąc ładnych domów różnej wielkości; to miasto Gibraltar. Piętrzą się baterye jedne nad drugimi, i wyzierają tysiącami długich, czarnych armat na przystań, na ciążinę, i na język piaszczysty, łączący tego tysiącznookiego Argusa z ogrodem Hesperyd, które we trzy tylko jedno oko miały, i dlatego wkraść się tu dały Anglikowi.

Baterye, baszty, zamki, wieże, reduty i atalaje sterczą wszędzie, gdzie tylko skrzydło ptaka dolecieć może. Aż cierpienie krew w żyłach, nawet temu, który nie wie, że ten potwór wydrążony jest w środku potrójną galeryą, i że w niej dyszy tysiąc jeszcze armat plujących ogniem i żelazem na wszystkie strony, aż na brzegi Afryki.

Sześć tysięcy żołnierzy angielskich w czerwonych mundurach, kręci się i uwija po ulicach i ścieżkach, spacerach zawieszonych jak ogrody Paimyry na skalistych tarasach, po całej powierzchni góry. Powiedziałbyś, że to niezmierny kaktus i rój koszenilli.

Dwieście sztyldwachów wysokich, milczących i poważnych strzeże tego zaklętego miejsca; jedni przy bramach, drudzy w redutach, inni jeszcze tam wysoko, wysoko na grzbiecie Tytana, pod słońcochronami wkopanemi w ziemię połyskują szkarłatnemi mundurami w gorących promieniach słońca.

A wieża strażnicza ciągle daje znaki: widzi co się dzieje wszędzie naokoło. Żadna feluka, żadna łódź nie ujdzie jej oka: pilnuje honoru Wielkiej Brytanii.

Spadła kotwica i słońce już zapada; każdej chwili działa fortecy zagrzmieć mogą wieczorném pozdrowieniem, a oficera komendy portowej nie widać. Miałabym strawić noc jeszcze całą z tym grandem maurofobicznym, z temi Katalończykami uszy kuleczącemi? Ach!

przecież jakieś czółno zbliża się ku nam szybko jak strzała, jakiś jegomość w mundurze marynarki pyta się nas rozkazującym tonem: „zkąd? dokąd? co wieziecie?” Prócz mnie, do Gibraltaru nikt wylądować nie chciał. „Mogę się zabrać z panem?” zapytałem dumnego oficera portu. Posiadał on długi nos, takąż twarz, szerokie usta, wielkie czarne niespokojne oczy, przytém śniadą miał cerę jak ziemia, i w ogóle nieprzyjemnego był oblicza. Jednym słowem byłato istota z rodziców angielskich, tutaj, w Gibraltarze zrodzona: „a rock-lizard” jaszczurka skalna, jak ją Anglicy zowią.

Takie indywiduum kubana nie przyjmie: zadumne na to; ale téż chętnie żadnej nie wyświadczy usługi: złośliwe na to. Dumny zawsze jest złośliwym, skoro nie jest głupim.

— Kto pan jesteś?—zapyta jaszczurka.

— *An english Doctor, natif of Poland, Sir*—odpowiedziałem.

— *Jump in the boat, Sir*, skacz pan w łódź.

Wstępuję do Gibraltaru główną ulicą, pelzającą u podnoża skały. Jaki tu zgiełk, jaki hałas! Tutaj chmary ludu, i jakiego ludu?—żeglarze wszystkich krajów: Grecy, żydzi, Maurowie, Francuzi, Genuieńczycy, Maltańczycy i Turcy. Tam gruppa oficerów angielskich pięknych, wesołych i w świetnych mundurach; tutaj znów Hiszpanie otuleni w czarnych płaszczach, i strzelający na Anglików z ciemnych bystrych oczu jak z pistoletów; dalej w spodnicach szkoccy górale i romaicczy wyspiarze. Nie masz w całej Europie ulic podobniejszych do maskarady, do dobrej maskarady, mówię, do takiej, gdzie wre życie i dowcip.

Ryknęło działo wieczorne, zachwiała się cała opoka. Sto doboszy uderzyło w bębny, sto muzykantów zajęczało w trąby, waltornie i klarnety. Tambur-major jak dąb wysoki dał znak potężną buławą, ruszył z miejsca liczny, huczący, szkarłatny hufiec. Odezwały się wszystkie echa potężnej skały i klaskały w ręce. Oto castrzyk gibraltarski.

W téj chwili pojąłem dumę Anglików.

* * *

Wieleby można powiedzieć o Gibraltarze. Jestto miejsce nader ważne dla historyka, polityka, etnografa i naturalisty. Jak dziwnym sposobem dostał się Gibraltar w ręce Anglików! jak ważną gra rolę w równowadze Europy! a przytém jaki tu stek ludności z całego świata! Nie masz kraju, któryby tu swego nie wysłał kontyngensu.

Dla naturalisty Gibraltar ma nadzwyczaj wielką ważność; na-
przód jako dla geologa, potem jako dla zoologa.

W części skały naprzeciwległej Afryce, ze dwa tysiące stóp nad
powierzchnią morza, znajduje się otwór okrągły, mający przynajmniej
ze dwanaście stóp średnicy. Tym otworem pełza się, czołga pochyłą
ścieszka w wnętrze skały, i staje się, uszedłszy z 300 stóp w obszer-
nej otchłani, podpartej naturalną prawie w środku stojącą kolumną.
Zład kilka otworów poziomo leżących prowadzi do przepaści, które
dotąd żaden człowiek nie był w stanie zgłębić, i w których wielu
ciekawych i excentrycznych Anglików straciło życie. Pomiędzy in-
nemi, niedawno dwóch braci od jednego razu.

Podanie głosi, że ta pieczara, rozmiarów prawdziwie olbrzymich,
służyła bałwochwalcom za świątynię, w której ubóstwiano Herkulesa.
Ale żaden zabytek starożytności, żaden posąg nie świadczy o pra-
wdzie tego podania.

Podróźni, którzy się spuszczały na linach do wnętrza tych prze-
paści, zgadzają się na to, że drogi do nich rozpadają się na lewo
i prawo na nieskończoną ilość pomniejszych ścieżek. Pokazuje się
tedy, że cała ogromna skała gibraltarska wydrążona jest wszędzie jak
kawał pomeksu, wyrzucony z wnętrza wulkanu. Oczywiście wulka-
nicznego jest pochodzenia ten gład niezmierny.

Ależ te niezmierne pieczary nie mogą być bez misysi, przezna-
czenia lub użytku.

Pewno, że nie. Anglicy nie umieścili tu wprawdzie żadnej
fabryki, żadnej szkoły biblijnej, żadnego meetingu, ale pewne zwie-
rzęta, niestety aż zanadto do nas podobne, założyły tu swój cmentarz.
Tu się nawet chronią kiedy wichur świszczy ze wszech stron, kie-
dy gdzieindziej schronić się nie mogą.

Coto za zwierzęta, niestety aż zanadto do nas podobne?

Zgadujesz czytelniku, jakie to istoty? Skała gibraltarska osta-
tniém jest przytułkiem małp w dzikości żyjących, i bez sukni chodzą-
cych. Tu w tej jaskini małpy chowają swych nieboszczyków, tu nie-
raz przychodzą płakać nad grobami swych lubych. Niejeden szyl-
dwach angielski świadkiem był małpiego pogrzebu, niejeden wi-
dział czułą wdowę przybiegającą na trzech rękach i z niemowlęciem
na plecach, płakać nad grobem swojego męża.

Brzmi to prawdziwie jak bajka, i niejeden z mych czytelników
będzie się obawiał uwierzyć w moje opowiadanie. Ale tak jest isto-
tnie. Anglicy nie są łatwowierni, a oni wierzą w hołdy, które małpy

składają swym nieboszczykom. Zresztą, mnóstwo tu kości i czaszek zupełnie podobnych do ludzkich, tylko cokolwiek mniejszych.

Tyle dla geologów i zoologów. Wróćmy do Maurów.

Często tu przybywają. Anglia bowiem w przyjacielskich zostaje stosunkach z cesarzem marokańskim, i ciągnie całą żywność dla garnizonu i ludności Gibraltaru z państwa marokańskiego. Ciągna z nich także inne korzyści; później o tém. Maury także udają się bardzo często okrętami angielskimi na brzegi Syrii dla zwiedzenia Mekki i Medyny; idą i wracają na Gibraltar.

Osobną mają gospodę w Gibraltarze: rodzaj to karawan-seraju, gdzie są małe stancyjki dla możniejszych, wielki dziedziniec dla biednych, a krążganek dla średniej klasy. Równości bowiem nie masz nawet pomiędzy Maurami, choć unizoności i płaskości nie znajdziesz nigdzie pomiędzy niemi.

Nieraz chodziłem do tego karawan-seraju, i podziwiałem tam wszystkich różnokolorowych synów Afryki: od czarnego jak węgiel Etyopezyka, aż do białego jak alabaster szlachcica maurytańskiego. Maur bowiem gdy się pieści i muska tak delikatną zdobywa cerę, jak panna gdy ocet pije. Trzeba wiedzieć, że dla tryumfu teoryi antagonizmu, lew Atlasu stara się wyglądać jak owieczka, a owieczki Sekwany, Szprei i Dunaju usiłują sobie nadawać fizyonomie lwów.

Tak tedy w gibraltarskim karawan-seraju było ze sześćdziesiąt Afrykanów z państwa marokańskiego. Pomiedzy niemi kilkanaście osób z wyższej klasy, ubranych z całym przepychem i z świetnością orientálną: w turbany białe jak śnieg, w kaftany z karmazynowego lub zielonego atlasu, bogato srebrem i złotem haftowane, i w niezmiernie szerokie hajdawery, galonami i wyszywaniem ozdobione. Przytém pyszne a lekkie burnusy fantastycznie drapowane.

Niektórzy z nich bardzo byli przystojni, lecz uderzającej piękności było tylko dwóch młodzieńców około lat 18 mających, cery tak białej i delikatnej, rumieńca tak czystego, jaki się tylko na licach pięknych córek Albionu zwykł jawić.

Osobą najważniejszą, której reszta towarzystwa unizone od dawiała hołdy, był Maur wysoki, atletycznej budowy, około lat czterdzieści liczący. Kamizelę miał z białego kazimirku, zielonemi arabskimi sztucznie haftowaną, spodnie z zielonego tybetu, w niezliczone faldy; głowę miał otuloną w bieluteńki szal kaszmirowy i tak długi, że spadał na barki, otaczał pas, i w bogatych spływał draperiach aż na ziemię. Rodzaj to burnusu, zwany po arabsku *haik*,

w wielkiem będący poszanowaniu od niepamiętnych czasów u Maurów. Sam szal miał przynajmniej 300 dukatów wartości. Ramiona muszkularne, żelazne tego dygnitarza marokańskiego, wychodziły nago spod wylotów kamizeli; nogi od kolan, także nagie, stopy tylko miał w żółtych papuciach wyszywanych wielkimi perłami. Prócz tych pereł, których wartość mogła dochodzić do 100,000 złp. nie miał najmniejszego klejnotu ani w uszach, ani na szyi, ani na palcach, i tém się odróżniał od reszty arystokracji maurytańskiej. Poważna czarna broda spływała po obnażonej, silnej, wypukłej piersi, porostej jak u niedźwiedzia czarnym, świecącym włosem. Rysy tego Maura prawie klassycznej regularności, srogiego były i nieubłaganego wyrazu, a oczy zamale na rozmiary twarzy, błyskały dumą i fanatyzmem. Nigdy tam nie zabłądził uśmiech, tak zawsze były ponure: ta twarz, to zmarszczone czoło, które żadna radość nigdy nie rozjaśniała.

Osoba, nad której opisem tyle się rozwodzimy, siedziała na pysznym dywanie, z skrzyżowanemi nogami, w głównej sali karawanseraju. Drzwi jej wychodziły na krużganek otaczający dziedzińec, i były otwarte.

— Możemy iść powitać tego dygnitarza marokańskiego, otoczonego tak świetnym hufcem kawalerów dworskich—rzecze do mnie tłumacz seraju, Genueńczyk rodem.

— Chętnie, ale powiedz mi naprzód, kto jest ten dygnitarz.

— To jest *santuron* nadworny cesarza.

— Co to jest *santuron*?

— *Santuron*, to znaczy święty. Ten tu właśnie wraca z Mekki, gdzie był już cztery razy; teraz dopiął najwyższego szczebla świętości, i znaczy w kroju prawie tyle, co najwyższy iman, to jest kapłan, choć sam nie jest kapłanem, tylko cywilnym świętym, a przytém ulemą, to jest prawnikiem i potomkiem z rodziny Mahometa, co łatwo odgadnąć z koloru zielonego jego spodni. Patrz pan jak okropnie oczami wywraca. Oh, to wielki święty! idźmy go powitać.

Zbliżam się do *santurona*, kładę rękę na sercu, a potem na głowę, i mówię: „*Wa la galib illah Allah!*” (Bóg tylko jest zwycięzcą).

Santuron spojrzal się byстрыm wzrokiem na mnie, przyłożył rękę do serca, i rzekł głosem dzikim i stłumionym: „*Kapul ud bag, Sidi, li Allah Mahomi-Allah hedżina.*” (Bóg tylko jeden, a Bóg Mahometa jedynym, prawdziwym).

— Powiedz, że nie przystaję na to—rzeknę do tłumacza; ale *santuron* złożył ręce na piersi, wywrócił oczy w górę i rozmawiać już nie chciał ze mną.

— Jego dusza teraz w niebie, rozmawia z kuzynem Mahometem — rzuć do mnie tłumacz; — on jest teraz w zachwyceniu, czyli raczej udaje, że jest w zachwyceniu. To stereotypowy figiel tych santuronów i marabów; widzimy ich często od czasu, kiedy rząd Anglii ułatwia im podróż do Mekki i Medyny. Grzeczniejszym byłby może dla pana, gdyby wiedział, że pan lekarzem.

— A to dlaczego? nie wygląda na chorego ten lew Atlasu.

— Nie dla siebie potrzebuje on lekarza, ale dla armii swego pana, srogo nawiedzonej jakimś epidemicznym zapaleniem ocz, kończącym się najczęściej ślepotą. Santuron zastał tu za swym powrotem z miejsc świętych listy z Maroko, przywiezione mu przez kilku z przytomnych tu paniczów, i w skutek tych listów wszedł w układy z obecnym tu okulistą angielskim, Sidi Alhamilt-Bejem.

— Nie słyszałem nigdy o Angliku z tureckim nazwiskiem.

— Sidi Alhamilt-Bej jestto nazwisko egipskie doktora Hamiltona.

— Doktor Hamilton tu w Gibraltarze? to mój dobry znajomy; a gdzie mieszka, na Boga, powiedz, gdzie mieszka?

— Mieszka u komendanta placu, majora Campbell z drugiego pułku gwardyi szkockiej.

— I to mój znajomy, czyli raczej ojciec znanej mi w Hebrydach rodziny. Naści piastra dragomanie serajowy; spieszę do komendanta placu.

Taka się odbyła scena w karawan-seraju gibraltarskim.

Dra Hamilton poznałem w Londynie, a odnowiłem z nim znajomość przed kilku miesiącami w Lizbonie. Byłto człowiek bardzo sprężysty i przedsiębiorczy. Po stracie młodej żony, którą kochał namiętnie, oddał dwie pozostałe mu córeczki siostrze swęj w opiekę, i puścił się lat temu kilkanaście, pędzony potrzebą silnych wrażeń, do Alexandryi w Egipcie.

W krótkim czasie wstąpił się tutaj jako zręczny i szczęśliwy chirurg i okulista; wkrótce potem powołany do wice-króla, umiał mu się nadzwyczajnie podobać, i użytym został do organizacyi szpitalów i szkół lekarskich w Alexandryi i w Kairze. Walczył bardzo długo ze wszystkimi przeszkodami, które niedbałość wschodnia, przesady i zabobony, wnoszą przeciw wierze w skuteczność sztuki lekarskiej. Walczył z niesłychaną odwagą i pokonał trudności. W dieście, czy jedenaście lat dosłużył się godności beja, wyrównywającej stopniowi pułkownika i zebrał piękny majątek, do pół miliona złp.

Tymczasem córeczki pozostałe w Anglii dorosły; trzeba było myśleć o wyposażeniu ich. Pan Hamilton uzyskał od wice króla Egiptu urlop na lat dwa, i udał się do swój ojczyzny, gdzie go miałem szczęście poznać.

Urządziwszy interesa familijne, wracał teraz do Egiptu. W Lizbonie zatrzymał się na prośby dworu tygodni kilka, a potem przybył do Gibraltaru, gdzie go zatrudnienia lekarskie już od tygodnia przytrzymały.

Majora *Sir James Campbell of Mull* nie znałem wprawdzie osobiście; ale byłto ojciec owój prześlizniętej Dyany Hebrydów, którą poznałem w Mull, której odstąpiłem mego kaledońskiego kuczka. Pewny byłem, że Miss Clarissa doniosła o mnie swemu ojcu, że rozrzewniła jego szkockie serce opisem zapachu, z jakim zwiędzałem starodawne siedziby Campbellów.

I nie zawiódłem się. Przyjęto mię z rozczulającym współczuciem. O wy! których serca więzione sobkostwem, zamrożone niechętnością, nie przypuszczacie nawet, żeby prócz materialnych rozkoszy, była choć jedna przyjemność na tym świecie; o wy! serca próżne, wy nie uwierzycie nigdy w urok bezinteresownej przyjaźni, w niewypowiedziane szczęście, które dobry człowiek doświadcza, gdy się widzi cenionym, kochanym przez szlachetnego, godnego siebie bliźniego! Duszę zatracacie ubiegając się za błotem! macież wy choć najmniejsze prawo do wieczności?

— Lordzie Glenelg! oto twój rywal — rzecze major Campbell przedstawiając mnie swemu przyszlętemu zięciowi, oficerowi gwardyi szkockiej, zaledwie 20 lat mającemu.

— Dumni jestem z tego — odpowiedź mylord rumieniąc się jak panienka aż po obnażone kolana, i ściskając mi rękę, rzekł: — *I am proud of that rivalry.*

O! wierście mi samoluby, trapiący swój umysł dla wynalezienia zrzętnych pochlebstw, bawiących brzuchy, poruszających anegdotek! o wierście mi pasożytne dowcipne zwierzątka: każdy człowiek niepokalanego honoru, czystego sumienia, żeby się nawet najmniej z swym rozumem szermierzył, więcej ma daleko trafnego rozsądku, jak wy! Oh zaprawdę, wierście mi! Z politowaniem na was spoglądam, trapionych ciągłą żądzą pochlebiania bliźnim, i korzystania z bliźnich tém pochlebstwem zarazem. Wiście wy, że w tém ubieganiu się ciągłym zatracacie wszelką wiedzę o wyższości przyrody ludzkiej? I to nawet wiście! ale nałogi wasze silniejsze są, jak wasza wola: giniecie mdle stworzenia jako ofiary waszój próżności.

Nareszcie dr. Hamilton zapoznawszy mnie z gospodarzem domu i jego przyszłym zięciem, przemówił do mnie w sposób następujący:

— Najszczęśliwszy traf zsyła cię tu do Gibraltaru, mój kolego. Cesarz marokański, a raczej syn panujący w jego imieniu, uwiadomiony o mojem przybyciu do Gibraltaru, zlecił powracającemu z Mekki santuronowi zaprosić mnie do swęj stolicy, dla nauczenia lekarzy tamecznych sposobów leczenia owego okropnego zapalenia egipskiego ócz, które mu corocznie kilka tysięcy żołnierzy na kaleków przemienia. Chętnie odwiedziłbym kraj marokański, bardzo mało znany, ale nie sam, tylko w towarzystwie kolegi, którego mam upoważnienie przywieść z sobą. Wzywam cię tedy do uczestnictwa w tęg wycieczce, która nie potrwa dłużej, jak sześć tygodni. Podróżując pod protekcyą Anglii, nie doznamy żadnych, zdaje się, przeszkód i przykrości.

Znałem dra H. jako człowieka zacnego, śmiałego i w pożyciu przyjemnego. Żądza zwiedzenia Afryki, od tak dawnego czasu we mnie paląca, mogła być zaspokojoną! To było dostateczném.

Już nazajutrz, zaopatrzwszy się w żywność różnego rodzaju, mianowicie w doskonałe wędliny, w wina i w lekarstwa, wsiedliśmy na bryg kupiecki dążący do Tangieru.

Bryg ten, jestto nasz stary znajomy. Poznaliśmy go niegdys na początku roku w Falmouth w Kornwallii, pótém odnowiliśmy naszą znajomość pod Ayamonte, przy ujściu Guadyany, na tępe i ostre wystrzały, a teraz powierzamy jego pokładowi nasze życie.

Żadnego śladu stoczonej walki nie było znać na pięknej Dyanie. Niktby nawet nie śmiał powiedzieć, że Dyana walczyć umie.

Statua jęg złota błyszcziała w rżesistych promieniach południowego słońca. Ani tęg nic nie wyjawiało najwprawniejszemu oku, że córka Apollina mogła w razie potrzeby wytrzymać zęby i ogniem plunąć na swą zdobycz. Łuki zamknięte, zakitowane, pokostem pokryte; tylna część pomostu niby żaglami zawalona, nie widać na nim armat; do dolnego pomostu nikogo nie puszczano z passażerów, a wielka kajuta kapitańska tak była zbudowaną, że pod boczne łózka można było wepchnąć działa, i pokryć je drzewczkami.

Takiemi sposobami można było ujść oka ciekawego passażera; ale nie wystarczały one na oszukanie władz portowych i policyi morskiej, znającęj kruków nietylko z piór i krzyku, ale i z chodu i lotu.

Wiedziała dobrze admiralicya angielska, co się kryło w naszej Dyanie, i nietylko nie sprzeciwiała się jęg zamiarom, ale owszem pomagała do ich wykonania, gdzie tylko mogła.

Dyana w téj chwili wiozła broń i amunicyą Abd el Kaderowi, a ta broń i ta amunicya pochodziły ze składów rządowych w Gibraltarze. Francuzi! ufajcie przyjaźni Anglików! Niedaleko zajdziecie.

Prawo wizyty (*le droit de visite*), służy wprawdzie marynarce francuzkiéj, tak jak i innym mocarstwom sprzymierzonym przeciw rozbojom morskim, handlowi niewolnikami i zbrojnej kontrabandzie. Ale niechże Francya zechce wykonywać to prawo wizyty na angielskich statkach, a zobaczy co się święci. Wiele mówią i drukują o marynarce francuzkiéj, ale łatwiej błyszczyć na papierze, jak na falach oceanu. Francyi wpływ niknie tam zupełnie, gdzie Anglia nogę swą postawiła.

Na kilka minut przed wyciągnięciem kotwicy, przybiła do naszego statku wielka łódź, napelniona osadą w świetne barwy ubraną. Byłito nasi Maurowie odprowadzający santurona, pozostającego w ciągłym stanie zachwycenia i złego humoru. Zaledwie rączył przywitać się z nami przyłożeniem ręki do serca. Orszak jego grzeczniejszy daleko, witał nas uściśnieniem ręki. Dwaj piękni młodzieńcy, o których wprzódy wspominałem, byli mirzami, ze strony matki z dworem spokrewnieni. Ojciec ich khasnadar, to jest obożny cesarski, w wielkich był u dworu łaskach.

Patrząc z nieprzewycięzonym wstrętem na naszego protektora, cieszyłem się, że trykolor Francyi na naszym nie powiewa maszcie; on swoich zwolenników bronić nie umie!

Część orszaku odprowadzającego Maura wróciła do Gibraltaru, zaraz po wypłynięciu z przystani. Pożegnała się z nim z pokorą, z nami zaś z pewną serdecznością, mówiąc: „*Allah ebbady charud el Maurok!*“ co znaczy: Bóg niech czuwa nad wami w kraju marokańskim.

Wiatr świszczy w liny i miota flagą, ta złata przy odgłosie dział, przesyłając ostatnie pożegnanie Europie.

Stary świecie, w którym wszystkie moje skupiają się uczucia, w którym leży kraj mój rodzinny, żegnam cię na czas niejaki, nie pędzony żadną materyalną chciwością, ale pędzony jedynie żądzą przeświadczenia się, czy zniknąć może z téj ziemi naród, który kiedyś był jéj ozdobą.

Wiatr dął potężnie i właśnie w kierunku wprost przeciwnym naszemu biegowi. Musieliśmy krzyżować dla schwywania go w nasze żagle. Podbiegliśmy aż pod samą twierdzę Taryfy, tak często wspomnianą w rycerskich balladach. Któż nie słyszał o jéj kome-dancie Don Alonzo Guzman, który wolał znieść widok konającego

syna swego, ukrzyżowanego przez Maurów pod murami twierdzy, niż poddać się haniebnie kalifowi, oblegającemu miasto?!

Na wysokości latarni morskiej, zwracamy się ku wschodowi południowemu, i wkrótce potem Tangier okazuje się na krańcu widnokregu, biały jak gołąb' siedzący na swém gnieździe.

Ale wiatr wyje i miota okrętem. Nie spodziewano się takiej nawalnicy; między passażerami zgłęb i nieporządek na pokładzie. Oberbotsman Dyany, człowiek brutalski, prawie ciągle pijany, przechodząc z jednego miejsca na drugie, potracił tak mocno siedzącego w zachwyceniu santurona, że tenże zwałił się jak długi na pokład; lecz powstawszy natychmiast, rozjuszony jak lew, uderzył niezgrabnego Anglika w głowę tak mocno, że tenże padł na wznak na pokład, i ruszyć się nie mógł z miejsca.

Santuron zaś usiadł znów z skrzyżowanemi nogami, i znowu wpadł w zachwycenie, nie zmieniawszy ani na chwilę wyrazu swęj twarzy.

Na widok zniewagi wyrządzonej koledze, wszyscy majtkowie angielscy porwali się do pięści; ale Maurowie otaczający santurona, dobyli z za haików i burnusów kindzały, i groźnie stanęli w obronie świętego.

— Poznaje was, o bracia Maurowie! — rzekłem do siebie.

Szcześnie, że się rozsądniejsi wdali w tę rzecz. Dr Hamilton kazał zanieść oberbotsmana do kajuty i puścił mu krew natychmiast, zaręczając, że przyjdzie do siebie. Z jednej strony burza, z drugiej strony obawa rzezi, uśmierzyła wzburzone umysły. Ale Maurowie ani na chwilę nie odstępowali santurona.

Słońce już się chyliło ku zachodowi, kiedyśmy wplynęli do przystani Tangieru, i rzucili kotwicę pośród kilkunastu statków genueńskich, francuzkich, duńskich i feluk maurytańskich.

Tu rozwijał się przed nami Tangier w położeniu bardzo mało-wniczém, wznosząc się na bokach i szczytach dwóch sporych pagórków, z których jeden śmiały i spadzisty, nurzał się w huczącym odmęcie oceanu, a drugi w lekkich pochyłościach zstępował wolniej na piaszczyste wybrzeże przystani.

Miasto było zabezpieczone wysokimi wałami od strony lądu, przegradzającemi górę od morza, a dość niskimi od stron z przyrody niedostępnych. Ponad stopami obu pagórków umieszczono kilka bateryj z ciężkimi działami skierowanemi na przystań, a nad baterjami piętrzyło się miasto po tarasach, jak po stopniach olbrzymich schodów. Skała, domy i wały, słowem wszystko było białe,

ale tak rążaco białe, jak gdyby z ogromnej skały wapiennej wykute. Tu i owdzie tylko kilka wielkich drzew wyskakiwało z pośrodku tych płat śnieżnych, wysokie jak nasze najwyższe sosny, gęsto na wierzchołku pokryte liściem długim na pięć stóp, a grubym i mocnym jak palona skóra. Palmy te rosły w ogrodach haremów; okolo ich stóp igrają niezawodnie teraz owe czarnookie huryski, które Maurów zabezpieczają od niewygód małżeństwa. Tuż przed nami wspina się dość wysoka wieża pstro malowana. To minaret; należy on do głównego meczetu tangierskiego. Czarna długa chorągiew powiewa nad minaretem z powodu święta żałobnego, zwanego Aszor.

Piękna ława bieluteńkiego piasku odgranicza morze od miasta, i ciągnie się daleko, daleko aż do przylądka Aliminaru, gdzie sterczy latarnia morska, migająca światłem czerwonym i zielonym.

Od południa, na odległym, bystremu oku tylko czasem doścignym widnokregu, połyskują w promieniach zachodzącego słońca wierzchołki starego i niezmordowanego Atlasu. Dźwiga on od niepamiętnych czasów to nasze stare pocziwe niebo.

Ze wschodu pasmo gór Gibil Muza wzbija się w obłoki; dalej, wieczny Tytan, pik tetuański. Takim jest Tangier, takimi jego okolice.

Przedmurzem, obroną przystani tangierskiej jest kamienna tama, wchodząca na 2000 stóp w odnogę. Sąto tylko szczątki pysznej tamy, którą Anglicy lat temu czterdzieści kilka opuszczając Tangier, prochem w powietrze wysadzili. Maurowie nie śmieli nigdy wziąć się do odbudowania kosztownego tego dzieła. Dziś w wielu miejscach wściekłe fale morskie przelamują kamienną zaporę i strącają w otchłań niezmiernie glazy, niegdyś z takim trudem tu napiętrzone.

Łodzie nasze przecież dobijają do brzegu. W jednej siedzi santuron z swym orszakiem do boju gotowym; w drugiej siedzi towarzystwo europejskie.

Dobijamy do brzegu, stajemy na gruncie Afryki. Witaj Afryko! ty milczący sfinxie, który kryjesz w sobie nieodgadnięte jeszcze ludy i państwa, i przechowujesz zdaleka od oczu naszych cywilizacją jakąś, na odrębnych od znanych nam, wykształconą podstawach.

Czekało tu na nas pod bramą miasta kilkanaście osób: kapitan portu, ogromny, stary barbarzyńiec, z siwą, nieczęsto czesaną brodą, w brudnym turbanie, haiku i dziabadorze (kaftanie), z golemi nogami, których ogromne stopy zaledwie tkwiły w dziurawych panto-

flach. Ale sokół choć z pierza brzydki, pyszny miał dziób i pazury: cały był uzbrojony w broń najpiękniejszej roboty, suto złotem nabijaną, drogiemi kamieniami wysadzaną.

Barbarzyniec ten pocałowawszy santurona z największą uniżonością w rękę, przywitał nas z godnością, mówiąc: „*Abi bekihr sal-malek Sidi*” (bądźcie mi serdecznie powitani panowie).

Pomiędzy czekającymi był pan Drummond-Hay, syn generalnego konsula angielskiego, i zięć tegoż major Petersen konsul szwedzki; przytém dragoman konsulatu angielskiego, renegat izraelski, sztuka filuterna, i czterech janczarów tegoż konsulatu, ubranych czysto i pięknie w kaftany i spodnie szkarłatne, podobnież wysokie turbany z zawojem białym muślinowym, i w pstre burnusy. Deputacja ta przybyła w celu zaproszenia nas do konsula Anglii, złożonego chorobą, i uwiadomionego od dwóch dni o naszym przybyciu.

Poza bramą pięliśmy się spadzistą i krętą ulicą w górę. Na lewo grozi bateria pełna ciężkich żelaznych armat, wymierzonych na przystań. Obdarci kanonierowie siedzieli przy nich na piętach z zapalonemi lontami.

Na prawo, ściana skalista zasłaniała wszelki widok. W pewnych odległościach były w niej wykute dość głębokie framugi, służące za ochronę żebrakom i biędnym przekupniom. Tą drogą doszliśmy na obszerny w skale wykuty taras, gdzie stał już wspomniony meczet. Przypatrzwszy się bliżej minaretowi, dostrzegłem w nim wielkie podobieństwo do Giraldy sewilskiej, nie co do koloru, minaret bowiem z różno-kolorowych postawiony kamieni, przedstawiał pstrą mozaikę, a Giralda z kamieni różowych wzniesiona; ani co do wielkości, tylko co do kształtu budowy i niepojętych myśli, zawartych w owych dziwnych znakach, które się snują po obu budowlach, jak tkanka jaka czarodziejska. Obie budowle są, że tak powiem, istnemi godłami wielkości tych, którzy je wznieśli. Giralda cud świata, przedstawia dumnego i pysznego Maura, zwycięzcę ziemi; minaret tangierski zaś, Maura słabego i zniewieściałego, zaledwie znanego światu, ale strojnego w ubiór malowniczy, pełnego jeszcze uroku w swych pojęciach o honorze, w swych uczuciach poetycznych, w swych gustach romansowych.

Przechodząc, zatrzymałem się u bramy meczetu, i ciekawe rzuciłem spojrzenie na wewnątrz. Nie spostrzegłem nic, prócz czworobocznego dziedzińca, brukowanego taflami kamiennymi, w mozaikę ułożonemi.

W środku była marmurowa fontanna, przy której kilku Maurów odbywało obmywania; wzdłuż boków ciągnęły się pod arkadami małe kapliczki, podobne do stacyj w dziedzińcach naszych klasztorów. W środku dziedzińca stał meczet; wnijsście do niego zasłonięte kurtyną. Wszystko wyglądało bardzo czysto, ale skromnie. Nie widziałem tu żadnego oczy rażącego malowidła, żadnych niezgrabnych przedstawień męki tego, którego obrazowi dusza nasza jedynie za tło służyć może.

Wyznam nawet, że było coś uroczystego w téj nagości przybytku mahometańskiego, w téj spokojności i cichości tu panującej, w postaciach tych Maurów pogrążonych w rozpamiętywaniach i dumaniach. Stanęliśmy mimowolnie wszyscy przy drzwiach, prowadzących do dziedzińca, ujęci tym widokiem. Wtém głos donośny, straszliwy jak ryk lwa na puszczy spadł ze szczytu minaretu, jak z trąby archanioła: „*Kapuhl ud bag! Kapuhl hedżina!*” Bóg jest jeden, Bóg jest jedyny!

Zwracamy się na lewo w przejście prowadzące pod minaretem, i zaledwie kilka uszliśmy kroków, kiedy nas doszedł gwar głosów dziecinnych, powtarzających za mustym wiersze alkoranu. Znów inna nauka dla nas chrześcian. Maur uczy swe dzieci ustępów najważniejszych téj księgi prawa, która mu służy za podstawę wiary; kiedy chrześcianin nie wie, najczęściej nawet nie chce wiedzieć, jakie skarby w sobie zawiera księga jego własnych praw i prawd odwiecznych.

Jeszcze kilka krętych ulic, i stajemy w konsulacie angielskim. Mieszkanie obszerne, zupełnie europejskiej budowy, z wielkim dziedzińcem, w środku którego pluska ciągle i żwawo fontanna przeczyszczając woda.

Wprowadzono nas do obszernego i chłodnego przedsionka, na którego ścianach zawieszono były skóry ze zwierząt drapieżnych, przez konsula upolowanych. Od lwa królewskiego aż do podłego szakala, cała rodzina niszczycieli była tu swą siercią reprezentowaną.

Pan Drummond-Hay konsul generalny Wielkiej Brytanii podagrą dręczony leżał na kanapie, i oczekiwał pomocy dra Hamiltona. Dawnyto oficer marynarki królewskiej, ranny kilkakrotnie, przytém wielki myśliwy i namiętny zwolennik Madery i Xeresu. Nie był członkiem towarzystwa żadnej wstrzemięzliwości.

Santuron z swym orszakami oczekiwał nas na dziedzińcu konsulatu, i oznajmił nam zimno, prawie z pogardą, że nas uwiadomi, kiedy karawana wyruszy do Maroko.

— *God dam my eyes!*—krzyknął konsul—co ja słyszę, tożto ten chytry tygrys Zahary ma was zaprowadzić do Maroko? Tożto jemu powierzono missyą namówienia was do wycieczki? Jemu? a wszakże on sam ma pretensyą leczenia zażegnaniem lepij, niż wszystkie fakulteta europejskie swemi lekarstwami. Jest w tém coś, co mi się niekoniecznie podoba. Słuchaj Ismail dragomanie! wywiędz się. Ho! ho! jest tam węgórz pod opoką; w tym kraju niedobrze powierzać swoje życie świętym.

— To prawda, panie konsulu generalny—rzecze Ismail dragoman konsulatu—szczególnie takim świętym, co jednym kułakiem majtków angielskich do wieczności przesyłają.

— Co ty gadasz, Ismailu, co ty gadasz?—spytał konsul wstając z kanapy.

Ismail opowiedział całą przygodę, wydarzoną na pokładzie Dyany.

— Jakto, doktorze, i z tego człowieka nic już nie będzie? umrzeć musi w skutku jednego ciosu pięścią?

— Trudno, mój konsulu—odpowiéd dr Hamilton.—Oberbotsman już od cycka oddawał się trunkowi, a mianowicie gorzałce, mózg ma przepalony, miękki, tak, że lada cios, byleby był *arte* aplikowanym na głowę, sprowadzi rozdarcie mózgu i rozlanie się krwi, tojest apopleksyą.

— Do tysiąca milionów! Doktorze, masz dar tłumaczenia się bardzo malowniczo, aż kości cierpną! niech cię dja..., niech cię Bóg błogosławi za to. Koniec końcem byłto cios nielada, chciałbym był widzieć jego aplikacyą. Zaprosim jutro santurona do konsulatu, nasadzę mu godnego siebie boxera; satysfakcyą dać nam musi, inaczéj wypowiedamy wojnę cesarzowi marokańskiemu. Oh tak! dziwi mię bardzo, że człowiekowi tak znanemu z fanatyzmu wściekłego, z niepomówianéj nienawiści ku chrześcianom, poruczono takie posłanictwo, którego się może dlatego tylko podjął, żeby was przy piérwszój sposobności zgładzić ze świata. Słuchaj Ismail, szperaj, szukaj, wywiaduj się, szpieguj, a gdy sam nie poradzisz, udaj się do Manueli Diaz, niech wszystkie natęży sprężyny, niech jutro raniuteńko wyprawi się w podróż z ową Marsylianką nr. 4, i stara się złowić w sieci tych młodych mirzów, skoro będą wracać z meczetu. Oni wszystko wypowiadają, jeśli co wiedzą. Tak to ładne główki, że zapewne wiele rozumu w nich nie masz.

— To nie żarty, moi panowie—rzecze daléj konsul z twarzą prawdziwie stroskaną—w ostatnich czasach pojawiła się znów sekta du-

sicieli, która kiedyś, lat temu siedmnaście, w jednym roku do 300 chrześcian w państwie marokańskim zgładziła. O ile znam Santurona naszego, wolno mi go posądzić o należenie do téj sekty; kto wie, może nawet jest jój przewodzącą. Ale teraz, moi panowie doktorzy rzęgóście się w konsulacie, jesteście jego mieszkańcami na cały czas waszego pobytu w Tangierze i w okolicach. Oto mój syn, oto mój zięć, oto kilku z mych kolegów i przyjaciół. Przy obiedzie poznamy się lepiej. Dalej, nakrywać!

Istotnie przy obiedzie poznaliśmy się z liczném gronem konsulów, sekretarzy konsulatów, kupców bogatych, doskonale obznajmionych z stosunkami politycznymi kraju, i z młodym oficerem inżynierji angielskiej, udającym się w missji dyplomatycznej ładem do ideału Anglików i Marokańczyków, do Abd-el-Kadera.

Obiad dano godny konsulatu Wielkiej Brytanii. Bawół marokański, koza dzika z gór Gibil Muza, pstrągi z rzeki Tizar, spadające z Atlasu; sławne jarzabki mogadorskie, nabrały nieskończenie wiele cywilizacyi pod nożem kucharza konsulatu.

Podczas obiadu rozmowa toczyła się o polityce, tak jak w salonach jakiej stolicy europejskiej, z większą tylko znajomością rzeczy.

Przepowiadano, że Abd-el-Kader, straciwszy Konstantynę i Maskarę, ścigany przez cztery korpusy Francuzów, będzie się musiał cofnąć ku granicy marokańskiej, i że wpływem wywieranym na umysły fanatycznych islamizmu obrońców, zmusi cesarza Maroko do wzięcia udziału w świętej wojnie przeciw Francuzom. Wypadki okazały gruntowność tego rozumowania.

Nie tajono także bynajmniej, że rząd Anglii wspiera emira prywatną drogą, nie wzbraniając fabrykantom broni i amunicyi przedawać swe wyroby Abd-el-Kaderowi, i protegując kontrabandę wysyланą do Algierji francuzkiej.

To wszystko działo się w Afryce, podczas kiedy pan Guizot cieszył się na trybunie paryzkiej wynalezieniem naiwnego wyrażenia *entente cordiale*, jako najlepiej cechującego czułą przyjaźń, istniejącą pomiędzy Anglią i Francją.

Obiad w Tangierze skończył się, jak zwykły się kończyć pod wszystkimi niebami obiady angielskie. W krainie pięknej Dydony i pobożnego Eneasza, wielkiego Scypiona, Annibala i Jugurty, Anglik po obiedzie spoczywa pod błogim cieniem stołu, i marzy, że to gościnny namiot Abd-el-Kadera.

X.

Tangier i podróż do Tetuan.

— Już konie czekają na panów—rzecze do mnie Ismail na-
zajutrz rano, równo ze świtem—już Sidi-Al-Hamilt-Bej ubrany czeka
na pana.

— Jakie konie? czy już do Maroko jedziemy? A santuron?
a oberbotsman?—krzyknąłem zdziwiony.

— Nie do Maroko, tylko do morza na kąpiel. Taki tu zwy-
czaj w Tangierze. Santuron wyniósł się nocą, Allah wie gdzie,
a oberbotsman wyniósł się na tamten świat przed godziną. Dyana
przybrała się w krepę; możesz to pan zobaczyć z miradoru naszego.
I my także na znak współczucia opuściliśmy flagę do połowy ma-
sztu. To pięknie z naszej strony, nieprawdaż?

— Nie wiem, co jest w tém pięknego, spuścić flagę do poło-
wy masztu.

— To znaczy, że cały konsulat angielski smutny z tego, że
jeden angielski żeglarz umarł w przystani. No, to rozczulająca rzecz!
Ach himmele chayrum bubbles dues! to bardzo czuła rzecz! Dla je-
dnego pijaka tyle honorów! *a way Allah!*

Trzeba wiedzieć, że nasz dragoman był Izraelitą nim został
muzułmanem, i wiele z swych dawnych zachował zwyczajów i zwrotów
w mowie.

Stało przed oknami naszymi kilkanaście berberyjskich kuców,
stworzeń szczególniej rasy, udającój się najlepiej w górach Barbaryi.
Konie te małe, ale nadzwyczaj szerokie w piersiach i w krzyżu,
krepę, rączę i ogniste, nadzwyczaj są silne i zręczne przytém. Pę-
dząc wypuszczonym galopem z najnierówniejszej góry, nigdy się nie
potykają, biegnąc zaś pod górę nieprędko się męczą. Suwają przez
rowy i przepaści, jak dzikie kozy. Zły jeździec nie usiedzi na
nich, są bowiem bardzo zuchwale; trzymać je trzeba silnie, nigdy
jednakże nie targać wędzidłem, bo ich to bardzo niecierpliwi. Ogień
jakiś dziki pryska z ich oczu; głowy mają małe, ale czoła wypukłe,
szerokie, nosy zgięte, greckie, a nozdrza szerokie, zawsze rozdęte
i wewnątrz czerwone, jak konchy purpurowe. Szczególnie zasta-
nawia pamięć konia berberyjskiego: nigdy nie zapominają doznanej
urazy i przy zdarzonej sposobności mszczą się srodze zębem i ko-
pytem.

Stajen wcale tu nie znają, ani berberyjskie, ani nawet arabskie konie. Stoją pod gołym niebem ze spletanymi przednimi nogami, przytwierdzone linami do dwóch na prawo i lewo w ziemię wkopanych palów. Nawet kłaść im się niewolno. Maurowie utrzymują, że wyleganie stępsia konia i robi go sztywnym. Żywią się jedynie prawie słomą, zawierającą w tych krajach więcej części pożywnych niż u nas: co łatwo się wyjawia aromatycznym zapachem. Na noc tylko dostają po garncu jęczmienia, w torbie do głowy przyczepionój. Owies uważany jest tutaj za pokarm koniom szkodliwy. Raz téż tylko na dzień pojone są te konie. Zgrzebła tu nie znają, ani szczotki, ale je staranne mycie i pławienie zastępuje.

Koniki te rozmnażają się w górach prawie dziko, i choć małe, użyte są pod kawaleryą; nie każdy bowiem Arab posiada konia z czystej krwi arabskiej, zwierzęta te bowiem jeśli są piękne i młode, kosztują czasem do tysiąca dukatów. Ale téż rozum, wytrwałość, siła, szybkość, zręczność, mądrość konia arabskiego, stawia go wyżej nad wszelkie rodzaje koni.

Koniki berberyjskie tanie są nadzwyczajnie w tym kraju; wartość ich nie przechodzi prawie nigdy 250 złp. Cesarz marokański pod karą śmierci zabronił wyprowadzanie tych koni za granicę. Można wprawdzie ominąć srogość tego prawa wielkimi podarunkami, danemi haszy, kademu, khasnadarowi i kapitanowi portu, ale wówczas wartość takiego kubanami przemyconego konia, dojdzie do 800 i więcej złotych, a tyle niewarte, choć są ładne i silne.

Trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia człowiek jest w stanie pokochać konia. Arab kocha go jak własne swe życie, i każdemu powie w przytomności swój rodziny, że prędzejby zniósł jój stratę, jak śmierć swego konia. Koń jest dla niego uzupełnieniem własnego swego ciała i swój istności.

Wiemy, że Heliogabal mianował swego konia 1szym konsulem dożywotnim i wyznaczył mu bardzo wysoką pensyą, osobny dwór i służbę honorową. Rodryk Cyd, bohater świetny i filar chrześcijaństwa, ten sam, który tak walecznie bił Maurów, zwykł był mawiać, że konia swego Babięka więcej kocha, jak żonę i córki.

Dla Araba koń jest pierwszym przyjacielem i powiernikiem jego żalów. Do niego przemawia i zdaje mu się, że od niego jest zrozumianym. Tłumaczy sobie po swojemu każdy ruch konia, każde jego rzenie; całuje go w czoło i błogosławi go słowami: *bismillah!* Gdy zaś koń jest dzikim i niesfornym, natenczas Maur łapie go za uszy, patrzy mu bystro w oczy, przemawia surowo, i w nozdrza dmie

mu dym tytoniowy. Skuteczność tego środka jest niewątpliwą; nikt o niej tutaj przynajmniej nie wątpi.

Przecież za pomocą sług konsula i jego janczarów, oficer inżynierji i sekretarze konsulatu wydostali się z objęć Morfeusza i zpod gościnnego namiotu Abd-el-Kadera, reprezentowanego stołem i krzesłkami. Wsiadamy wszyscy na konie i poprzedzeni janczarami, puściliśmy się przez górną część miasta ku brzegom morza.

Stawamy na rynku. Dziwny widok przedstawiało to niezbyt wielkie, czworoboczne, nędznemi napozór domami otoczone miejsce. Z przodu tych domów znajdowały się sklepy bławatne, korzenne, żelazne i inne, w których sprzedawano pyszne rzędy na konie, haftowane ubiory, turbany, kobierce, szale, aromaty i inne różnorodne towary. Przy każdym prawie sklepie siedział poważnie na małym dywaniku, ze złożonemi jak rak nogami Maur, dość brudno ubrany, z fajką w ustach. Siedział nieporuszony jak automat; tylko ścigał oczami kupujących. Powiedziałby każdy, że to nędzny jaki kramarz. Ale nie sądźmy z pozoru: w niejednym z tych sklepów większe są skarby, niż w błyskotliwych, ozłoconych, w świetle gazu migających się magazynach paryzkich; a ów dom, którego małe zakurzone okna, żelaznemi kratami zasłonięte, — to tylko skorupa, która perły w sobie zawiera. W środku tego domu są pokoje perskiemi dywanami wybite, sale na jaspisowych filarach wsparte, łaźnie z alabastrowemi wannami. Za domem ogródek rzadkimi kwiatami i krzewami woniejący, ścieszki różnokolorowym piaskiem wysypane. Dalej harem, a w tym haremie przebrzydły kramarz, wywracający oczami pod swym sklepem, więzi kilka, czasami i więcej nadobnych córek Wschodu.

A ów brudny Maur, czyhający tak chciwie na kupujących i ich *szekiele* (pieniądze), smażący się w skwarze słońca, udający nędzara z bojaźni, żeby nie wzbudził chciwości baszy; ów brudny Maur zniesie to wszystko i więcej jeszcze w potrzebie, dla tego, co go tam czeka w domu, gdy sklep swój zamknie i pacierze zmówi. Czeka go kąpiel ambłą i benzoesem zaprawiona, czekają go tańce i śpiewy swych żon i niewolnic, czekają go urzeczywistnienia namiętnych snów młodości.

Ale co to za zgiełk i wrzawa na rynku, krzyki dzikie i nieharmonijne: ledwo uszy nie pękną. To są przekupnicy i przekupniczki, siedzące w klatkach, podobnych do tabakierek z boku się otwierających, z wiekiem podniesionem i podpartem drążkiem. Sprzedają winogrona, daktyle, baryłki cukru, mydło, masło, melony, arbuzy

i placki z kukurydzy. Zalecają swój towar nieznośnym sposobem, wrzeszcząc w niebogłoso: *szrit hindäi, szrit linäi*, (kupuj tutaj), i machają bezustannie kijem, na którym osadzone są liście palmowe, dla spędzania much cisnących się chmarami. Są i Beduinki pod kapeluszami słomianemi, objętości dobrego familijnego deszczochronu; skrzydła zwieszane na twarz, dojrzyć ich nie pozwalają. Czasem jednakże jedna lub druga uchyli skrzydła dla przypatrzenia się naszej kalwakacie. Boże! w życiu mojem nie widziałem nic tak brzydkiego, jak owe stworzenia. Paszcze mają z długimi jak migdały zębami, których ściągająca się jak żywy kapciuch skóra brunatna, ani w stanie pokryć. Ale już spostrzegły wrażenie, jakie na nas sprawiły, i nie robiąc sobie żadnej illuzji o swęj piękności, zaczynają nas przeklinać jak najserdeczniej. W oka mgnieniu zapalczywość udzieliła się wszystkim jedzom, wszystkie uchyliły skrzydeł, i miotają na nas najbezpieczniejsze przekleństwa. Co do klątw i wymyślań, przekupki tangierskie nie ustępują żadnym: ani berlińskim, ani paryżkim, nawet ani krakowskim.

Nasyciwszy się widokiem harpij i ich grzecznością, opuściliśmy rynek i wstąpili na główną ulicę Tangieru, zwaną *Siarrin*. Dość szeroka i niezle brukowana, zamieszkałą jest przez urzędników cesarskich, wyższego stopnia wojskowych i ulemów czyli prawników, którzy korzystając z wpływu swego i z czasu, trudnią się zarazem kupiectwem. Ci panowie, nie obawiając się baszów i ich zdzierstwa tyle, ile inni zwyczajni kupcy, siedzieli czysto i ozdobnie przybrani przed domami, i witali nas przyłożeniem ręki do serca i głowy. Tu poznaliśmy drugiego baszę tangierskiego; piérwszy znajdował się w Maroko.

Hamet Sin Samani, drugi basza Tangieru, starzec sędziwy, z przyjemną twarzą i śnieżną brodą, siedział przed swym domem, wymierzał sprawiedliwość i zarazem sprzedawał esencją różaną, arabskie kadzidła, pastylki serajskie i koszenillę, na swój rachunek; a proch strzelecki i kwiat siarczany na rachunek cesarza; na te dwa bowiem przedmioty rozciągnięty jest monopol cesarski. Tak więc, śmierć i życie, proch i olejki trzymał Sin Samani jednocześnie w swych rękach. Ale nikogo tu nie raziło to połączenie handlu i urzędów. Nie zdarzyło się nigdy, żeby basza sprzedał stryczek, zamiast cukierków serajskich, lub żeby kogo namaścił olejkami, zamiast go uduścić. Sprawiedliwości był nieugiętej, jak zaręczał nam dragoman. Przed kilku tygodniami kazał własnemu pięćdziesięcioletniemu synowi publiczną dać bastonadę, za to, że wnuk ostatniego źle mówił

wiersze alkoranu w meczecie. Przy téj sposobności dostało się i wnukowi i prawnukowi, tak, że trzy generacye w jednéj chwili były bite za alkoran...:Rzecz miła sercu Mahometa!

Nie oparliśmy się chęci nabycia czegoś od tak dostojnej osoby, i kupiliśmy od negocyanta generalskiej rangi, każdy za kilka złotych olejków i pastylków.

Tuż blisko bazar, tojest dziedziniec bardzo obszerny, pokryty jak namiot rzadkiém, ale mocném płótnem; po czterech bokach do stu małych budek z najrozmaitszemi towarami Wschodu i Europy. Wszystkie wyroby ze skóry i surowego jedwabiu, były przedziwne. Część bazaru, w której sprzedają niewolników, stoi otworem dla wszystkich, ale na targowicę niewolnic nie każdy ma prawo wejść. My nie doznaliśmy żadnej trudności: dragoman i janczary wszystko ułatwiają. Białych kobiet zabrakło właśnie na targu tangierskim; na większych trzeba ich szukać targach: w Konstantynopolu, Kairze, Alexandryi, Tripolis i w Maroko, ale nie w Tunis. Bej tunetański, choć nie chrześcianin, poznał, że handel życiem ludzkim jest krzywdzącym godność człowieczeństwa, i zniósł go w swoim państwie.

W bazarze niewieścim było kilkanaście murzynek, po największej części z Senegambii, kilka z Kongo, dwie czy trzy z Angoli i Bengeli. Skromnie były przybrane, bardzo nawet skromnie; prócz koleczyków bowiem i sznurka paciorków na szyi, miały tylko ten już z mody wyszły artykuł stroju, który dumna Juno pożyczyć musiała raz od pięknej Afrodyty, dla skłonienia sobie Jowisza. Skromnie tedy były przybrane, ale pomimo tego nie zachwycaly nas wcale swą urodą, o której łatwiej mogliśmy sądzić, jak ślepy o kolorach; proszę temu wierzyć. Dla lubowników jednakże atletycznej budowy, włosów w kędziory wełniane zwijanych, ócz żółtaczkowych, warg mięsistych funtowych, i innych kolosalnych wdzięków, było tu obszerne pole do szukania zachwycen; szczególnie dla tych, którzy się nie gniewają, że lis pachnie jak lis, dudek jak dudek, a murzynka jak lis i dudek razem.

Jeden był wyjątek jednakże: murzynka z etyopskiego plemienia, które różni się jedynie kolorem ciała od najpiękniejszych kobiet plemienia kaukazkiego. W jednéj z klatek siedziała na ziemi, samotna i w głębokim smutku pogrążona, młoda murzynka z Nubii, ciała cudnie lekkiego i kształtnego, rysów bardzo miłych i szlachetnych, podniesionych tęsknotą i smutkiem. Trzymała przy piersiach niemowlę prawie zupełnie białe. Na plecach obnażonych blizny biała

we, szerokie: ślady chłost doznanych; ręce i nogi nadzwyczaj zgrabne, były głęboko poprzecinane powrozami, ale także już oddawna zagojone. Trzeba wiedzieć, że najmniejsze blizny łatwiej rozeznac na ciele murzynów, jak na ciele białych: pochodzi to z braku pierwiastku kolorowego w substancyi nowój, zagajającej rany, i zastępującej ubytek przeciętej skóry.

Młoda córka Nubii liczyła lat dopiero trzynaście, kiedy ją upolowano. Wiadomo, że Mehemet-Ali wice-król Egiptu, który także przez całe życie był pod pewnym względem kupcem, wysyłał corocznie najlepszych jeźdźców na upolowanie potrzebnej mu do handlu liczby Nubijczyków, Etyopów i Abissyńczyków.

Młoda Nubijka bawiła się w kraju swym szczęśliwym nad brzegami rzeki Niebieskiej, (która łącząc się z Białą, tworzy Nil), kiedy ją obskoczyli zaczajeni *myśliwi*. Usiłowała utratą życia uniknąć niewoli, i wskoczyła do rzeki, spodziewając się znaleźć śmierć w jej nurtach lub w paszczy krokodyła. Lecz ją schwytano, skępowano, i zasłoniwszy oczy umyślnie na to przygotowanemi plastrami, aby nie wiedziała w którą idzie stronę, uprowadzono. Potém razem z innemi ofiarami przytwierdzono ją do długiej żerdzi, której dawał kierunek jeden z łowczych wice-króla, i pędzono ku Alexandryi. Stawiając ciągle swym oprawcom opór, i korzystając z każdej sposobności ratowania się ucieczką lub samobójstwem, ściągnęła na siebie owe nielitościwe chłosty, których ślady niezatarte na całe życie pozostaną.

W Alexandryi zachorowała tak mocno w skutek dręczącej ją tęsknoty, że kupiec Mehemet-Ali, pomimo jej piękności, za tanie ją musiał sprzedać pieniądze, lękając się, żeby mu towar nie zmarł.

Takim sposobem dostała się w ręce i w objęcia Maura tangierskiego, kapitana feluki kupieckiej. Przywiózł ją z sobą do Tangieru. Dobrze obchodzenie się, młodość, instykt macierzyński, rozwijający się z zarodkiem życia nowego w jej łonie, cokolwiek pogodził biedną Aily z losem. Ale nie tu koniec jej cierpień. Urodziła panu swemu syna; wkrótce potém w burzy pan traci felukę, majątek i życie: pozostały długi. Wierzyciele zabrali co było jeszcze w domu, a nawet i niewolnicę z dzieckiem. Smutna ta historia, opowiedziana nam przez Kapudi-Iwa, to jest sekwestratora publicznego, obudziła w nas największą litość. Chcieliśmy się złożyć, aby nabyć biedną Aily i udarować ją wolnością; ale nas ubiegł dr. H., który znając język arabski, nie potrzebował tłumaczeń dragomana do zrozumienia historyi, opowiadanej przez sekwestratora.

Kupił matkę i dziecko za 120 piastrow hiszpańskich, to jest za 960 złp., pod warunkiem, że jej da wolność. Chrześcianinowi bowiem niewolno posiadać w państwie marokańskiem niewolnika mahometanckiego, a Aily była mahometanką. Powierzono ją opiece rodziny Ismaila; ale Aily przyjęła z obojętnością dar wolności: ona nie pojmowała wolności, jak na łakach Nubii.

Wychodząc z bazaru, spotkaliśmy karawanę idącą z Maroko. Dwadzieścia kilka wielbłądów, ciężko obciążonych, postępowało długą linią, jedne za drugimi, wolno i poważnie, ale tak posuwistym krokiem, że koń dobry stępek, za ledwieby im dotrzymał. Dwa wielbłądy niosły na sobie dziwne jakieś wysokie budowle, naksztalt szylderhausa czyli budki strażniczej. Budki te ozdobnie malowane, obwieszane były pięknymi draperjami, spadającymi aż na ziemię; z przodu miały zasłony z zielonej kitajki. W pierwszej budce siedziały dwie kobiety, otulone i zakafione: jedna z nich ubrana w najdroższe jedwabie i muśliny, błyszczała perłami i dyamentami. W drugiej budce, siedziała murzynka z całym rojem dzieci różnokolorowych. Byłyto, zapewne żony, niewolnicy i dzieci którego z tych brudnych kupców, co tam siedzą przed domami wywracając oczy.

Wał bardzo wysoki przegradza nam drogę; przebywamy go pod długim sklepieniem, zwanem *Bab del Faz* czyli *brama Fetzu*, i stajemy w miejscu obszernem, ale nierównem, zwanem *Sok de Barra*, czyli targ zewnętrzny, na którym każdej niedzieli i czwartku sprzedają zboże. Blisko rowu fortecznego, znajduje się mnóstwo podziemnych składów zboża, z małemi otworami na zewnątrz, które zamykają kamieniami lub zatykają słomą, tak, jak u nas doły na ziemniaki. Tu i owdzie, kilka bud słomą okrytych dla strzegących te składy podziemne. Po zamknięciu bram miasta, rozpuszczają tu psy tak dzikie i srogie, że nie radziłbym nikomu obcemu zbliżyć się do nich; rozszarpałyby go na kawałki.

U spodu pagórka, jest miejsce ogrodzone czterema białemi ścianami. Tu spoczywają zwłoki sławnego maraba czyli świętego, nazwiskiem Sidi Mokfid, który cztery razy był w Medynie i Mekce, i umarł w religijném zachwyceniu, w meczecie tangierskim, lat temu dwadzieścia. Ten sobie koniec sam przepowiedział. Pytanie, czy nie umarł umyślnie, aby dotrzymać słowa?

Daléj schodzimy na El-Kawar czyli cmentarz. Groby są oznaczone kamieniami, ułożonemi w podłużne koło; inne są przykryte podobnego kształtu głazami, inne jeszcze mają wzniesione nad glo-

wami kamienne turbany różnego kształtu, podług rangi nieboszczyka.

W środku pola umarłych, na dość wysokim kopcu, pochowany jest pierwszy i najwięcej czczony święty tangierski, zesły z tego świata pięćdziesiąt lat temu. Nazywał się Mahomed el Hadzi; z powołania był lekarzem, ale więcej się zajmował pacierzami i przepowiedniami, niż praktyką lekarską. Mnóstwo jego przepowiedni już się ziściło, reszta ma się ziścić niebawem. Przepowiedział zjawienie się Abd-el-Kadera, świetność jego przyszłą, i tryumf islamizmu w Afryce i Granadzie. Przepowiednia byłaby się może ziściła, gdyby kupcy paryzcy chcieli byli dotrzymać słowa, danego Abd-el-Kaderowi przez młodego księcia francuzkiego. Lecz, aby powiedzieć, że losy niegdyś rycerskiego narodu, dostaną się w ręce spekulantów i milionowych wydrwigroszów, na to nietrzeba było być ani Hadzim, ani Mahometem, ani Habakukiem i Eliaszem, ale samym Thiersem.

Wracając do naszego proroka, doktora medycyny, dodamy jeszcze, że mu obywatele Tangieru i okolic wystawili bardzo ładny meczet, z czystego białego marmuru i z śmiałym sklepieniem, wspartym na ośmiu kolumnach korynckich. Przybytek ten ozdabiają wierni Mahometanie kolorowemi chorągiewkami.

Najkształtniejszy to budynek ze wszystkich, jakie widziałem w tej stronie Afryki.

Cmentarz odgraniczonym jest od brzegów morza wysokim murem, stanowiącym część zewnętrznego wału miasta, od strony zachodniej. Dostawszy się za bramę, ujrzeliśmy nareszcie małą zatokę, którą oddziela od przystani tama, wyżej opisana. Bałwany morskie biegły ku nam od strony Europy, ale się rozbiły o kamienną zaporę, i ryczały jak gdyby z gniewu, że nas dosięgnąć nie zdołają. Nieraz cała ława skalista zajaśniała białą pianą, tak jak mleczna droga na niebie. Pęd fali bardzo był gwałtownym. Podczas kąpieli, byliśmy zniewoleni trzymać się łańcuchem silnie za ręce; inaczej bałwany byłyby nas uniosły, i zgruchotały na głazach. Temperatura piasku na wybrzeżu, dochodziła do 38° R.; o tém przekonaliśmy się termometrem; ustać nie można było na brzegu golemi nogami.

Przytém inne nam jeszcze groziło niebezpieczeństwo. Pod powierzchnią gorącą piasku, siedziały zaczajone w chłodniejszej warstwie owe najjedowitsze białe afrykańskie niedźwiadki, znane już Pliniuszowi pod nazwiskiem: *Scorpio arenarius albus*. Żądło cienkie, zdradzieckie, wystawiają szkaradne te stworzenia nad samą po-

wierzchnią, tak, że łatwo na nie nadeptać, i co gorsza być śmiertelnie rannym, nie wiedząc nawet o tém. Skóra bowiem podeszwy nogi, choć jest tak drażliwą, że jój łechtanie trudno wytrzymać, nie jest bardzo czułą na zranienie. Ze drażliwość nie jest czułością, o tém wie niejedyn mąż, choć nie lekarz, z doświadczenia w własnym domu nabytego, i nie potrzebuje po nie chodzić aż na piaski afrykańskie. Wracając się do owych *zagranicznych* niedźwiadków, dodamy, że wypalenie natychmiastowe rany ammoniakem, i zażycie kilku kropli tegoż lekarstwa w szklance wody, zabezpiecza od złych skutków. Przykładanie na rany oliwy, w której mokły te owady, także jest dobrém. I tak, człowiek klin wybije klinem, niedźwiadka uczyni nieszkodliwym innym niedźwiadkiem; dlatego téż idąc tym samym systematem, można kobietę nauczyć rozumu inną kobietą; i nieraz to się uda.

Najlepszym atoli lekarstwem przeciw ukąszeniu niedźwiadka, jest mlęcz rośliny rosnącej tu obficie na całym wybrzeżu, niezawodnie z przykazu Boga, który łagodzi wiatr dla nowostrzyżonych owiec, i nie mniej dba o skórę ludzką jak o zwierzęcą. Roślina ta należy do rodziny *Euphorbiaceów*, czyli wilczego ziela. Mlęcz jój przyłożony na ranę zadaną żądłem niedźwiadków, uobojętni jad i zapobieży zapaleniu. Przyłożony zaś na każdą inną ranę, rozogni ją w bardzo widoczny i bolesny sposób. Pierwiastek ostry, zawarty w całej roślinie, a który rozkłada jad niedźwiadka, zabezpiecza ją znów od żarłocstwa szarańczy. Plaga ta ziemi, trapiła w téj chwili część północną państwa marokańskiego, i ogołacała z reszty téj świeżości, której palące słońce jeszcze nie zwarzyło. Wszystkie drzewa, prócz palm, niektórych gatunków *Ilex Rhododendron*, *Euphorbia* mających liście twarde lub ostre, ogołoczone były z zieloności, i wyciągały gałęzie obnażone jak w późnej jesieni. Nic nie pozostało z pysznej wegetacyi, prócz owoców, mianowicie winogron; szarańcza bowiem nie tyka owocu, dopóki ostatniego listka nie pozre. Miryady tych przebrzydłych stworzeń zalegały miejsca pokryte resztkami trawy, podlatywały chmarami przeciw nam z wszystkich kierunków, i ginęły milionami pod kopytami naszych koni.

Mirad las ayanas (patrz pan na szarańczę), mówił do mnie po hiszpańsku renegat żydowski, służący konsulowi angielskiemu za dragomana. — Patrz pan na szarańczę i słuchaj jak jedzą! Potężną jest szarańcza, potężniejszą jak sułtan albo konsul. Niech sułtan wyśle wszystkich swych Mahasniah (rodziny arabskie najbitniejsze) przeciwko szarańczy, a ona ich się niezłęknie. Szarańcza nie boi się kon-

sula. Kilka tygodni temu, konsul powiedział: „Ja jestem mocniejszym jak szarańcza, i chcę ją wyniszczyć”. Kazał więc obwieścić w mieście: „O Tangierczyki! spieszcie walczyć z szarańczą, zniszczcie ją w swym zarodzie, i wiedźcie, że ktokolwiek z was przyniesie mi funt jaj szarańczy, temu zapłacę pięć realów hiszpańskich, (półtrzecia złotego polskiego); nie będzie tego roku szarańczy”. Tak cały Tangier wyruszył na wojnę przeciw szarańczy, i zbierał jaja, które szarańcza złożyła do wyklucia pod piaskiem, na krańcach pagórków, na brzegach dróg i na płaszczynach. I mój własny syn, który ma 7 lat, poszedł walczyć z szarańczą, i ubierał 6 funtów jaj, za które mu konsul zapłacił. Stu innych zanosilo jaja konsulowi: jeden mniej, drugi więcej, i konsul płacił im ich cenę, i kazał palić je na popiół. W tydzień kassa konsula była wyczerpaną, bo zapłacił do 18,000 pesetów (30,000 złp.) i wtenczas rzekł: „Przestańcie, o Tangierczyki! możemy już zniszczyć szarańczę”. Cha, cha! patrz około siebie, patrz pod sobą i nad sobą, i powiedz, czy konsul zniszczył szarańczę.

Dodajmy tutaj zaraz, że w tydzień po tym czasie, szarańcza znikła z widnokregu tangierskiego; nikt nie wiedział gdzie i jak; domniemywano się jednakże, że gwałtowny wiatr południowy, wiejący z śnieżnych wierzchołków Atlasu, a którego srogości doświadczyliśmy w Maroko, porwał ją i wtrącił do oceanu. Owady te były dość duże, koloru brunatno-zielonawo-żółtego; wyglądały bardzo obrzydliwie.

Powracaliśmy do miasta drogą prowadzącą około cmentarza żydowskiego. Każdy prosty żydek miał głaz na grobie, a każdy marmorajny tablicę kamienną z napisem hebrajskim, zupełnie jak u nas. Ten zaś cmentarz Izraelitów tangierskich podobnym był zupełnie do pińczowskiego, z tój przyczyny, że jak w tym, tak w tamtym żydki założyli spekulacyjkę, i połowę jego obsiewają, tylko w każdej strefie innym owocem: nad Nidą sadzą ziemniaki, a w Afryce figi kolczaste. Owoc ten tak jest szczególnym i mało znanym w Polsce, że go warto bliżej opisać.

Figa kolczasta, zwana *Kermous de Inde* po maurytańsku, rośnie na krzewie kaktusowym, dziwnego a nawet śmiesznego kształtu. Pień jego choć częstokroć grubości człowieka, nie ma korony, lecz się dzieli, w małej odległości od ziemi, na wielką ilość dziwnie w tę i owę stronę łamanych gałęzi, które mają liście niezgrabne, mięsiste, na pół cała grube. Owoc z kształtu podobny do gruszki, okryty jest twardą skórą, obsadzoną cienkimi kolcami, które głęboko wchodzą

w dotykającą je nawet najlżej rękę, i niełatwo dadzą się wyciągnąć. Trudno bardzo obierać ten owoc, ale przyjemnie go jeść; jest bowiem wybornego smaku, daleko lepszego niż zwyczajna figa, nie mająca nic z nią wspólnego, prócz kształtu.

Dragoman patrząc się na cmentarz, rzekł: „O Sidi! mało oni się nacieszą swemi owocami, te głupie żydy; dzieci maurytańskie z całego Tangieru schodzą się tutaj każdego poranku i obrywają owoce dojrzałe w nocy, i to pod nosem stróżów, którzy nie śnią im się sprzeciwiać. Nie ma nic trwożliwszego nad żyda. Dwudziestu ich ucieknie przed jednym ulicznikiem arabskim” dodał ze wzgardą renegat izraelicki.

Ja mu na to odpowiedziałem: „Oh dragomanie konsulatu Wielkiej Brytanii! tchórzostwo żydów nie leży w ich naturze, lecz pochodzi z ucisku, pod którym żyją.”

Dragoman mi odpowiedział: „Oh Sidi! choć jesteś mądrym jak wąż, ale mylisz się tą razą! Żyd jest tchórzem z natury, bo w sobie samym ma czarta, co go ustawicznie straszy.”

— A ty jesteś tchórzem, dragomanie?

Dragoman. Ja jestem zapalczywym jak tygrys z Bengalu, mężnym jak lew z Atlasu, a krwi chciwym jak hyena!

Ja. A przecież jesteś żyd z urodzenia.

Dragoman. Kto powiedział że ja żyd? Byłem żydem, prawda, ale już nie ma ani kropli krwi żydowskiej, ani kosteczki nieczystej w mojem ciele, bo przeszedłem przez czyściec i pozbyłem się tam całego mego ciała, i mam teraz świeże i nowe.

Ja. Oh dragomanie! co nazywasz czyścem?

Dragoman. Czyściec jestto klasztor muzułmański, w którym odnawiają ciało i duszę tych, którzy z żydowskich błędów przechodzą do uznania prawdziwego Allaha. Tam pokutowałem przez całe trzy miesiące. Tam mi nie pozwalano nic jeść, tylko dawano ciągle mleko z kozy świętej, zaprawione mleczem białym z świętego ziela, które wszelki jad niszczy. To mleko okropnie mnie przeczyszczało. Przytém kąpano mnie codziennie dwa razy i myto siarką i pomieksem tak mocno, że mi całą skórę zdarto. Dawano mi na poty, ogolono wszystkie włosy, poobcinano paznogie. Dla wystraszenia djabła, cały zakon bastonadował mię co piątek. Przeczyszczenia, poty, głód i bastonada tak mię osłabiły w miesiąc, że mi się prawie ruszyć nie mogł; ale djabeł jeszcze tkwił we mnie, gdyż włosy czerwone ciągle odrastały na głowie i brodzie. Już mi mało zostawało życia, i mało brakło do śmierci, kiedy święty maraba Sidi Leim przyszedł do mnie

i rzekł: „Dziś djabła z ciebie wypędzę, ale daj sto czekielów srebrnych.” Powiedziałem: dam trzydzieści. I maraba odwrócił się i poszedł. Na drugi dzień przyszedł znów i rzekł: „Djabła wypędzę, ale daj 120 czekielów.” Odpowiedziałem: dam co chcesz. Maraba się wykręcił, obracał, kłaniał i modlił, a potem namaścił mi głowę i brodę jakimś olejkiem i poszedł. I tak robił codziennie. I włosy urosły czarne jak u Mahometa. Wtenczas przestano mnie bić i przeczyszczać, zabito świętą kozę i dawano jeść jój mięso. Za sześć tygodni broda czarna urosła, i krew moja, która była przedtém czarno-żółtą, stała się czerwoną, i znikły strupy z méj głowy i krosty z mych rąk. Nabrałem siły i piękności wielkiej, i sam siebie nie poznałem. Wtenczas przyjęto mię z wielką okazałością do meczetu, ubrawszy w nowe, z igły zdjęte suknie. I zostałem nowym człowiekiem, a stare ciało pozostało w czyścju, i niech będzie przeklęte na wieki. Powróciłem do domu, i wypędziłem z niego starą mą żonę Sure Libche, bo żydówką gardziłem, i ożeniłem się z dwiema młodemi: z jedną Maurytanką i z mulatką etyopską. Teraz handel mój lepiej idzie, a konsul angielski wziął mię za swego dragomana, bom wielki *Talib* (uczony) w językach. Teraz mam wszystkie cnoty synów Mahometa: brodę czarną jak on, i brwi i rzęsy, i odważny jestem jak lew, i jak tygrys zapalczywy.

— A ja ci powiadam, oh dragomanie! żeś nie jest ani lwem, ani tygrysem, tylko farbowanym lisem; i powiem ci, jeśli chcesz, czém się codziennie z rudego na czarnego przeistaczasz — rzekłem chętliwemu renegatowi, obrażony tém mocném zaufaniem w moje łatwowierność.

— *Allah-bismillah!* Na imię Boga! — krzyknie renegat składając ręce — niech mnie pan nie wydaje. Ja tylko próbowałem czy pana zwiode, o Sidi, i czyś takim mądrym jak się wydajesz; ale jesteś mędrszym jak wąż, i przenikliwszym jak błyskawica.

— Ja zaś przekonałem się z twego opowiadania, żeś chytry jak lis, a sprośny *como un perro*. Widzę, że biédna Aily w złych jest rękach; tyś gotów nadużyć naszego zaufania, i wdzięczyc się do pięknej Nubijki.

— Ah wah! za kogo mnie pan bierzesz? ah wah! ja się wdzięczyc do téj Nubijki? Ja za nią całą nie dalbym nawet tyle, ile warta strawa, co ją spożyje w jeden tydzień. Oh Allah! żebyś pan widział moje żony! to co innego! Każda z nich pięć razy tyle waży, ile ta Nubijka; takie są tłuste, że ledwie ruszyć się mogą z miejsca. Téj Nubijki nigdy się nie dopasie; ona umrze z tęsknoty; dlatego téż

żądałem, żeby mi za miesiąc cały z góry zapłacono za jej utrzymanie. Ah wahl! wolałbym wrócić do méj staréj Sury: ona dziś jeszcze waży przeszło ośm kamieni. Ale otoż jesteśmy w konsulacie, otoż i kapitan Dyany zapewne się domaga satysfakcyi za swego oberbotsmana. No! co robić, promieni słońca wysłać nie możemy w pogoń za santuronem. Anglia téż nie wyda zapewne wojny o jednego majtka.

Istotnie, piękności maurytańskie wazą się na kamienie, a wdzięki na funty. Sprawa santurona wytoczyła się przed trybunał konsula, który, znany z swéj sprawiedliwości, w ten sposób zagadł kapitana Dyany:

— Słuchaj kapitanie Davenport, wiem, że nie powiesz nic przeciw prawdzie.

— Nigdy konsulu—odpowié kapitan.

— Byłeś świadkiem obrazy zadanej santuronowi przez nieboszczyka, który przez całe swe życie był pijakiem i zawadyakiem, i umyślnie potrącił Maura siedzącego sobie spokojnie na pokładzie. Czy nie tak?

— Tak jest.

— I potém dostawszy legalnie, rycersko pięścią w głowę, upadł, i dopiéro w trzynaście godzin potém umarł. Czy nie tak?

— Tak jest istotnie — odpowió kapitan Davenport.

— Nie było zatém rozmyślnego zabójstwa. Pięść, żeby była najcięższą, nie jest bronią palną, ani sieczną, i przewidziéć nie można, że śmierć nastąpi po jej aplikacyi na głowę angielską. Zresztą, santuron miał prawo pomszczenia się wyrządzonej mu zniewagi; kto pod flagą Anglii pozostaje, ten zawsze winien być traktowanym jako człowiek honoru. Nie masz tedy w téj sprawie żadnego powodu do zrywania stosunków przyjaznych z państwem marokańskim, żadnego *casus belli*. Ale jest coś innego: oberbotsman miał żonę i kilkoro dzieci; rodzina ta pozostała bez sposobu do życia. Na drodze tedy cywilnej ma prawo poszukiwać satysfakcyi pieniężnej, satysfakcyi sowitej. U świętego, władającego tak dobrze pięścią, powinny być pieniądze w kieszeni. Przyslijcie mi tedy z Anglii papiéry, a ja tutaj przypilnuję tę sprawę, i zobowiązuje się wywindykować u rządu marokańskiego sowite wynagrodzenie dla rodziny oberbotsmana. A tak i honor i interes Anglii będzie ocalonym.

— Niech żyje królowa!

Tak zakończył konsul, i Anglicy sławili jego mądrość.

— Ale my, co z sobą zrobimy, konsulu? Nasz przewodnik umknął; zdaje się, że kontrakt zerwany, i że winniśmy wrócić do domu—zapytał dr. Hamilton.

— Wcale nie: przecież panowie posiadacie każdy swój osobny firman cesarski?—spyta konsul.

— Posiadamy.

— To bardzo dobrze. Kwestyą tedy zredukujemy do tego, co jest najmatematyczniejszém, najpewniejszém w świecie—do pieniędzy. Santuron umknął do Maroko w godzinę po przybyciu do Tangieru; umknął dlatego, żeby wieść o harmidrze na Dyanie sprawionym, nie doszła przed jego przybyciem do Maroko uszu królewicza, niekoniecznie mu przychylnego. Obok wypadnięcia z łaski, nie byłaby naszego świętego ominęła sowita bastonada. Tak tedy umknął, i nie omieszka królewiczowi przedstawić rzecz całą w jak najkorzystniejszém dla siebie świetle. Ale i my téż nie w ciemności. Wyślemy do Maroko relacją całej sprawy, potwierdzoną przez baszę; powiemy, że tu w Tangierze czeka kommissya lekarska sprowadzona przez santurona z Europy, i liczy sobie dziennie po 10 funt. szt. szkody, za sprawiony zawód, czekając jak najniecierpliwiej odpowiedzi. Każda kwestya mogąca być zredukowaną do pieniędzy, jest prostą i jasną, skoro jest protegowaną przez flagę Wielkiej Brytanii. Moi panowie, proszę na obiad.

Oh, dziwna loiko angielska! mało w tobie poezyi i niewiele czucia, ale wiele tego, co dziś jeszcze nazywamy rozumem.

*

Przeszła i noc druga na gruncie Afryki, dość podobna do pierwszej. Budzi nas znów dragoman z prośbą, żebyśmy przyszli odwiedzić jego niską strzechę, i pocieszyć nieutuloną Aily, a zarazem poradzić jój dziecku, które bardzo chore i nie pożyje zdaje się długo.

Mieszkał w rynku ów dobry Ismail; handel miał bławatny, zarządzany przez ojca swój mahometańskiéj żony. Sklep wychodził na rynek, niepozorny, ale piękne zawierający towary. Ze sklepu wchodziło się kilkoma stopniami do pokoiku wcale ozdobnego. Tu nas przyjął dragoman kawą i fajkami, i prosił, byśmy wypoczęli. —Oto syn z méj pierwszej żony, z żydówki—przemówił Ismail wskazując na ładnego i dobrze ubranego ośmioletniego chłopaka. To pierwsze me dziecko i jedyne, co przy życiu pozostało; dziewięcioro innych straciłem. Allah nie błogosławi memu plemieniu, i o tego się obawiam życie.

— A to znowu czemu? przecież chłopak doskonale wygląda— spytał Al-Hamilt-Bey.

— No, cóż z tego, kiedy go moje nowe dwie żony ścierpieć nie mogą; gotowe go struć przy piérwszej sposobności— odrzekł Ismail drapiąc się w brodę.

— A to masz piękne jakieś dobrodziejki za żony? Struć? a to dobre! Przecież musi być jakaś kara za taką zbrodnię?

— Jest na to kara śmierci. I cóż mi z tego przyjdzie? sam sobie szkodę wyrządę, oddając sądom mą żonę. Każda z nich wiele mnie kosztuje pieniędzy. W haremach dziwne się dzieją rzeczy, bardzo dziwne. Z dziesięciu dzieci, ledwo jedno dorosnie; i to dorosły jeszcze jest w niebezpieczeństwie. Nieraz ojciec własny dusić każe swe dzieci, zwalczony namowami jakiejś nowój oblubienicy. Okropne się nieraz dzieją rzeczy w haremach, okropne! Kto może wiedzieć, ile w nich dusz mieszka, a ile z nich znika? Harem jest jedyném miejscem, które nikt zgwałcić nie śmié, nawet sam cesarz; tam wieczna tajemnica, tam wieczne intrygi! Oh! żal mi mojego syna, bo wiem, że go moje żony niecierpią.

— A czemuż go puszczasz do haremu twego?— spytał Al-Hamilt-Bey.

— Cóż ja mam robić? jeśli go nie będę chować w domu i uczyć w domu, to go muszę posyłać do szkoły do Imanów, a oni go wnet nauczą nienawidzić swego ojca jako psa żyda: bo oni nie zapomną nigdy żem był Izraelitą, choć dużo wydałem *szekielów* za me przyjęcie do Moslemów. A trzymać go nie mogę wiecznie w téj komnacie: muszę mu pozwolić bawić się na dziedzińcu, gdzie w ciągłej jest styczności z memi żonami i niewolnicami.

Ismail dał nam dowód wielkiego zaufania: wprowadził nas do swego haremu, przygotowawszy wprzódy jego mieszkańców na nasze przyjęcie. Niewielki, marmurowemi taffami wyłożony dziedziniec, przedzierał harem od frontowój części budynku. W środku igrała fontanna, pomarańczowe drzewa, laurowe i cyprysy, zdobiły ten dziedziniec, z trzech stron otoczony krużgankiem. W jednym z kątów stała budka, a w niej czuwał jak Argus młody Murzyn z rodzaju tych dobrych ludzi, którzy w Rzymie śpiewają dyszkantem. Po kilku stopniach wchodziło się do przedsionku, służącego za salę jadalną: po obu jego stronach dwa małe pokoiki z kamiennemi wannami. Znów po kilku stopniach weszliśmy do przedpokoju dość szerokiego, ale niegłębokiego. Kurtyna adamaszkowa przedzierała go na dwie nierówne części; światło wpadało z okien umieszczonych na dachu.

Ismail dał nam znak, byśmy wstępowali ostrożnie, i pocichu odsłonił kurtynę. Na ziemi pokrytej dywanikiem siedziała biedna Aily, z swém dzieckiem na kolanach i w ubiorze swego kraju: z sznurkiem fałszywych pereł na szyi i w rodzaju spódniczki, do kolan niedochodzącej. Fartuszek z musłinu miała zarzucony na barkach. Zoczywszy nas chciała wstać, ale ją Hamilt-Bey wstrzymał. Później jakimś wszystkim nam nieznanym językiem, ale gestami wszystkim zrozumiałemi opowiadała, że dziecko jój cierpi, że umiera, że ssać nie chce.

Któż zdoła opisać boleść téj biednej matki? Uczucie macierzyńskie wszędzie jest jednakiem, wielkiem i poszanowanie wzbudzającym. Kto wie? może to uczucie potężniejsze jest w dzieciach natury, jak w owych córkach wykwintnej cywilizacji, które dla zabezpieczenia swemu płodowi dobrego zdrowia, powierzają go najemniczym piersiom!

Ona już łez nie miała! Wyschły ich źródła już oddawna; ileż to boleści nie kołatało o to biedne, a tak młode serce!

Dziecko biednej Aily umierało z wycieńczenia. Hamilt-Bey dał kilka piastrów na zakupienie mleka i kazał w nim kąpać małego mulata. Matce zaś oznajmił we wszystkich znanych mu narzeczach Wschodu, że najdalej za miesiąc odwiezie ją do jój kraju, na łąki Nubii, i odda rodzicom. Zdaje się że Aily pojęła, gdyż z radości rzewnemi się łzami zalała, i padła do nóg swemu dobroczyńcy.

— Daléj Ismail, przypuść nas przed dostojne oblicze twych szanownych żon—rzecze Hamilt-Bey.

— Piérwszyto raz noga mężczyzny postąpiła w mym haremie; nawet ojciec méj maurytańskiej żony nigdy tu nie był: ale panom odmówić nie mogę—odpowiedział Ismail i wprowadził nas do dość obszernéj sali, wybitéj kobiercami w kraju tkanemi, i oświetlonéj oknami w suficie umieszczonemi. Tutaj na poduszkach w głębi sali siedziały dwie kobiety świetnie ubrane i haftowały: jedna na tamborku, druga na krosienkach. Obie po naszym wnijsciu zasłoniły twarze bardzo przezroczystym kwefem, i przywitały nas z pewną gracyą, składając ręce na piersiach, ale nie wstając z swych poduszek.

Ismail przemówił słów kilka do swych żon, a one odsłoniły kwefy i spoglądały na nas z wielką ciekawością, nawet z kokieterią.

— Moje żony piękne są jak gwiazdy na firmamencie, choć już nie piérwszej młodości, choć każda po kilkoro dzieci miała. Ale Allah błogosławi im widocznie; co straciły na latach, to zyskały

na tuszy. Dziś jeszcze tyle są warte, ile były warte lat temu pięć, kiedy się ich wdzięki rozwijać zaczęły—rzekł z dumą dragoman.

Kobiety te ładne były istotnie. Maurytanka biała jak alabaster, świeciła rumieńcem delikatnym, jak kolor róży. Oczy jęj wielkie, brunatne, pełne łagodności, wlepiły się na nas z wyrazem niepewnościągnionego zadowolenia. Zawój biały i różowy gustownie związany, spływał na barki, a gors trzymany w skupieniu sznurówką, na przodzie spięty, wydierał się w pełnej plastyczności zpod cisanącego jarzma. Kaftan w arabeski wyszywany różowy, dochodził prawie do kolan, spodnica biała do połowy nóg, a białe atlasowe spodnie spadały do kostek. Na małych białych nogach tkwiły amarantowe, złotem wyszywane papucie.

Druga żona dragomana, córka mulatki i renegata Włocha, cery mocno śniadęj, kolosalnego była wzrostu, strzelała bystrém okiem, i w rysach swych zresztą pięknych miała coś złośliwego, wyzywającego. Pełna gracya siły, wyjawiała się w każdym ruchu, w każdym spojrzeniu. Ubrana była cała w bieli, prócz zawoju purpurowego, takichże spodni i szalu przepasującego jęj mocną, ale wysmukłą i giętką kibić.

— Oh sennores! — rzecze Ismail — przypatrzcie się dobrze tęj niewieście, bo zaprawdę ręczę wam, że nigdy nie ujrzycie nic piękniejszego od nięj. Ah! to istna lwica atlantycka! Patrzcie jaki wzrost, jaka siła w barkach, jaki ogień w oczach, jaka wściekłość w nozdrzach! A była dość niepozorna, kiedym się z nią żenił. Jęj ojciec Genuńczyk, korsarz, pijak i kontrabandzista, uciekł przed długami z Genui, wyrzekł się swęj wiary tutaj w Tangierze, i zadłużył się u mnie i złożył mały handelek. Ale pił ciągle, choć przysiągł, że pić nie będzie. Ja się spostrzegłem, że córka jego spłodzona z mulatki etyopskięj, będzie piękną jak lwica; więc prośbami, groźbami, intrygą i namową, winem i wódką tak dobrze władać umiałem, że mi ją stary grzesznik oddał za żonę, kiedy miała zaledwie lat dwanaście. Osm lat z nią żyję, i u mnie tak wyładniała, jak cedr z Libanu. Co to za szkoda, że jest moją żoną: wieczna szkoda! Wolalbym żeby była moją niewolnicą; sprzedałbym ją za bardzo drogie pieniądze królewiczowi, który lubi zapamiętałe tego rodzaju piękności. Dostałbym z 50 worków *szekielów* (120000 złp.) za nią; bismillah! dostałbym. A teraz mam ją za żonę i drżęc muszę nieraz przed nią, bo wściekła jak tygrys i mocna jak lwica, a zawsze do boju gotowa. Ona mnie już nieraz zabić obiecała i może raz dotrzy ma słowa! Mego rzezańca już nieraz powaliła o ziemię. Oh Allah! jakie utrapienie!

Zulema zdaje się odgadywała co jej mąż o niej pawił: wstała i wolnym, grożącym krokiem ku niemu postępowała. Doprawdy Minerwa piękniejszą nie była! Renegat cofnął się kilka kroków w tył, a ona gorzko się śmiejąc, na nas spojrziała smutno, kiwając głową, jakby powiedzieć chciała; „Patrzcie! dla takiej jak ja kobiety, taki mąż!”

*

Trudno widzieć coś równie pstrego kolorem twarzy i ubrania, jak jest ludność miasta maurytańskiego. Ludność ta składa się istotnie z różnorodnych, częścią nawet sobie nieprzyjaznych żywiołów, jakoto: z Maurów, Arabów, Berberów, Kabyłów, żydów i Negrów.

Maurowie (1) stanowią największą i najoświeceniszą część ludności. Mieszkają prawie wyłącznie w miastach, piastują wszystkie wysokie urzędy i panują nad krajem. Oni jedynie wchodzą z Europejczykami w styczność.

(1) W najuowszej pracy o państwie marokańskim, wyszłej lat temu trzy w Madrycie, pod tytułem: *Guia del official viaiando en el Imperio del Maroc, por Don Seraphin de Calderon*, autor daje następujący wykaz ludności:

Królestwo Fezu	3,200,000	mieszk. na	9,853	mil geog. □.
— Maroko	3,600,000	—	5,700	—
— Taffletu i Segelmezy	700,000	—	5,184	—
— Adrar, Suza i Te . .	1,000,000	—	5,633	—

ze wszystkiem 8,500,000 mieszk. na 24,370 mil geog. □.

czyli 340 mieszk. na jedną milę geog. □,

nie wliczając w to puszczy, na której nikt mieszkać i nie się rodzić nie może.

Ludność tu mniejsza jest jeszcze jak ludność Andaluzji i prowincyj: Algieru, Tunls, Tripolis, Turcji i Egiptu.

Ludność państwa marokańskiego oceniona według ras, języka i pochodzenia, następujący przedstawia stosunek:

Maurów (czyli Arabów mieszanych)	jest 3,550,000.
Arabów czystych (czyli Beduinów izraelskich)	— 740,000.
Berberów (czyli Tuaryków)	— 2,300,000.
Kabyłów (czyli Amazingów, Szellów i Suzów)	— 1,450,000.
Żydów	— 339,500.
Murzynów Sudanu, Madingu i Felanów	— 1,200,000.
Chrześcian Europejczyków	— 300.
Renegatów, którzy się wyparli Chrystusa	— 200.

Pan Gräberg de Hemsö dawny konsul szwedzki w państwie marokańskim ogłosił prawie jednocześnie z Donem Serafinem de Calderon swe drugie dzieło o Maroko, i podaje wykaz ludności nadzwyczajnie szczegółowy i bardzo zbliżony do wykazu tutaj umieszczonego.

Arabowie mieszkają częścią w namiotach, częścią we wsiach. Mieszkańcy namiotów są prawdziwym koczującym narodem; przebywają na rozległych płaszczynach wnętrza kraju, i mało zależą od swego sultana, którego prawie tylko *pro forma* uznają. Jako głowie duchownej, płacą mu jednakże daninę. Opuszczając jedno miejsce już spasione, dla drugiego w pastwiska obfitszego, opłacają się sultanowi lub jego paszy. Wszystkie bowiem ziemia należy do panującego.

Plemieniem najdzikszém są Berbery. Sąto podług wszelkiego prawdopodobieństwa potomkowie pierwotnych mieszkańców kraju, Numidyjczyków. Największa część żyje w górach i lasach, i trudni się więcej łowami, rybołostwem i rabunkiem, jak rolnictwem. Tych Maurowie i Arabowie nazywają Kabailami, czyli Kabyłami i nie cierpią jak czartów. Dziki ten, choć tak starożytny szczep, słabe ma wyobrażenie o bóstwie, i nie obserwuje, prócz kilku zabobonnych form, żadnego stałego wyznania religijnego. Niemało tych Kabailów około Tangieru na skalistych odnogach, które Atlas do morza wysyła. Kabailowie ci korzystając z popłochu panującego w Tangierze, w chwili kiedy go Francuzi w r. 1844 bombardowali, i widząc syna cesarskiego uciekającego z wojskiem zaraz po piérwszym wystrzale, wpadli do miasta i chcieli je złupić. Ale pasza gubernator, zebrał orszak nieliczny swych wiernych, uderzył na rabusiów, kilku z nich własną ręką zabił, i tak zachował Tangier od nieszczęścia, któremu uległ w tych samych okolicznościach Mogador.

Inni Berberowie trudniący się hodowaniem bydła, mniej dzikiego są usposobienia, i cokolwiek więcej mają oświaty i sumienia. Nazywają ich tutaj Amazirgami.

Żydzi mieszkają w miastach, i oddają się łatwiejszym rzemiosłom i szacherce. Czynniejszemi są i przemyślniejszemi jak Maurowie, i dlatego stają się niezbędnie potrzebnymi w tym kraju, choć ich każdy nienawidzi, i choć wszyscy, murzyni nawet, nimi pogardzają.

Murzyni po większej części są niewolnikami, używanemi za ogrodników i do straży haremu. By ich uzdolnić do służby odalisk, Maurowie robią to samo z murzynomami, co Rzymianie z dziećmi przeznaczonemi na dyszkantów, a co wszędzie robią z młodemi kogutami przeznaczonemi na kapłonów. Murzynów rosłych, pięknych i z wierności znanych, pozostawiają w stanie naturalnym, i obracają ich do służby stajennój. Wielką ich część

cesarz zakupuje do swój przybocznej gwardyi, tak świetnej, pysznie uzbrojonej i ubranej jak trudno widzieć coś podobnego. Jest jój jeszcze 6,000.

Jest także wielu murzynów wolnych i trudniących się handlem i rzemiosłami. Sąto w ogólności bardzo rzetelni, zgodni i zręczni ludzie. Poznamy później dobrego Abu-Maleka.

Hamilton-Bey nie chciał się puszczać do Maroko, przed odebraniem pewności, że syn cesarski znajduje się w tém mieście, i przed uzyskaniem firmanu z własnoręcznym podpisem księcia. Postanowiliśmy tymczasem zwiedzić miejsca niezbyt oddalone od Tangieru, mianowicie Tetuan.

Tetuan leży na wschód od Tangieru, w odległości 10 mil geog. Pasza dodał nam do straży jednego ze swych najwierniejszych oficerów. Byłto piękny, choć prawie już sędziwy człowiek. Jechał na czele naszej karawany na dzielnym siwku arabskim, z długą białą grzywą, i z długim białym ogonem, którego końce farbowane były koszenillą na purpurowy kolor. Na głowie miał owę wysoką, czerwoną czapkę żołnierską, a około niej zawój z białego czystego muślinu. Haik otaczał jego piersi, a na nim powiewał rodzaj burnusu niebieskiego, zwany *sulkam*. Nagie nogi tkwiły w żółtych pantoflach, do których przysnurowane były rzemieńcem ostrogi, z kolcami na pół stopy długimi. Uzbrojony był w pałasz, puginał, i parę pistoletów; przytém miał długą bardzo strzelbę w czerwonym futerale, na poprzek siodła przytwierdzoną.

Zabraliśmy z sobą także prócz żywności i rzeczy, żyda, służyć nam mającego za tłumacza. Leżał on na koniu jucznym jak worek żywności; siadać bowiem na konia niewolno żydowi; byłoby to zbezcześcić to szlachetne zwierzę, które Maurowie tak wysoko cenią. Lecz zabrać żyda i włożyć go jako pakunek na jucznego konia, to wolno; żyd wtenczas jest uważanym jako rzecz, i jako takowa nie uwłacza honorowi konia.

Na mule lub osłe wolno jeździć żydowi, aleśmy ani jednego, ani drugiego tą razą nie mieli. Biedny żyd musiał tedy pozostać rozciągnięty na pakunkach, dzwiganych przez niezmiernie jucznego konia. Niewolno też żydowi nosić żadnej broni pod żadnym pozorem. Nasz żyd ani się chciał dotknąć fuzyi, którą mu podałem do trzymania. „Nie jestem godzien tego zaszczytu” odpowiedział i przywołał Maura, aby go wyręczył. Biedny Mosiek! był on przecież dobrym, rzetelnym człowiekiem.

Takięto upokorzenia znoszą żydzi we wszystkich krajach bisurmańskich, i chętnie je znoszą, byleby im tylko wolno było w nich żyć i szachrować. Rany zadawane honorowi, ciosy znoszone na ciele, odbijają sobie na kieszeniach swych panów. Pewien obrządek religijny, który ich, co do ciała przynajmniej, podobnemi czyni do wyznawców islamizmu, i inne wspólne obu religiom artykuły wiary, nie nadają im żadnego tytułu do współczucia dumnych Maurów, którzy nawet nawróconego do islamizmu żyda, ledwie w czwartej lub piątej generacyi za brata swego i to jeszcze bardzo niechętnie uznają.

Było nas wszystkich ze dwadzieścia osób w karawanie; towarzyszyło nam bowiem kilku Anglików i innych podróżnych w wycieczce; nawet trzech rodowitych Maurów z swemi sługami przyłączyło się do nas przed bramą miasta, chcąc korzystać z naszej eskorty. Oficerowi przykazał basza jak najuroczyściej, żeby nas jeszcze tego wieczora dostawił do Tetuan. Byłato uciążliwa podróż. Małe nasze koniki nurzały się aż po piersi w błotach, których pełno było w dolinie poprzedzającej górzystą okolicę. W parowach natrafialiśmy tu i owdzie na małe wsie czyli *duary*. Składały się po największej części z lepianek pokrytych wrzosem lub trzcina, a opartych z jednej strony o spadziwą ścianę skały lub opoki. Niektóre tylko otoczone były ogródkiem. Prócz aloesów i fig indyjskich dziko rosnących, nie widzieliśmy innego drzewa. Pola zasiane były tutaj ryżem, tam jęczmieniem. Kilka nagich jak robaki dzieci igrało przed lepiankami, a chmary bocianów i flamingów bujały w powietrzu. I tu także uważa je lud za święte ptaki, i dozwala im gnieździć się na dachach.

Włościanie arabscy spotykający nas witali naszego Kapudi z wielką uprzejmością. Niektórzy całowali go w brzeg haika, inni w rękę. Niektórym sam Kapudi podawał rękę, lub ją kładł na swém sercu na znak serdecznego współczucia, które w nim wzbudza los witającego bliźniego. Maur wiele dba o godność i etykietę, i objawia to nieraz ceremoniami dość śmiesznymi. Gdy się dwóch krewnych lub dobrych przyjaciół spotka, wówczas jeden rzuca się drugiemu na szyję, całują się w twarz i brodę, i szturmują się niezliczonym mnóstwem pytań, na których odpowiedzi ani oczekują, ani też nie słyszą.

Obiadowaliśmy nad brzegiem strumyka. Maurowie osobno usiedli wokółko na piętach, my Europejczycy legliśmy na murawie

około naszego kosza z żywnością; biedny żyd ze swoim dworem usiadł na stronie. Chleb nasz zamókł. Spostrzegł to Kapudi i ofiarował nam część swego, rodzaj podpłomyka tłustego, niekwaszonego i niebardzo smacznego. Żydowi nawet raczył ofiarować z odrzucającą godnością kawał swego chleba. Od nas przyjął daktyle, figi i orzechy tureckie, ale nie chciał przyjąć ani mięsa wędzonego, ani wina. „Prawo mi to wzbrania” odrzekł kładąc rękę na sercu. Był to bogobojny Maur. Nie wszyscy są tak skrupulatni w obserwowaniu religijnych przepisów.

Odkiełznano konie i własnemu je powierzono przemysłowi. Same się pasły, potem napoiły, a później na zawołanie przyszły i dały się okiełznać.

Teraz droga wiała się między wysokimi górami, gdzie napół dzicy Berberzy mieszkają w niedostępnych lasach, niezawsze w chatach, najczęściej w jaskiniach, a nawet w spróchniałych pniach drzewa. Ci się żywią z łowów i z łupu, i niejeden podróżny legł ofiarą ich chciwości i zbójckiego instynktu.

Nasz oficer maurytański przysnurował mocniej swe ostrogi dotychczas o szerokie strzemiona bręczące, i wyciągnął strzelbę z czerwonego futerału. Wkrótce spotkaliśmy kilku ludzi istotnie bardzo dziko wyglądających. Byli to Berberzy. Żadnego nie mieli turbanu ani pokrycia na głowie; włosy nosili krótkie, brudno-brunatne, najeżone; żadnego haiku ani spodni, tylko rodzaj koszuli krótkiej i do ciała przylegającej z grubego ciemnego sukna. Ale uzbrojeni byli w dobre dubeltówki z pistonami, a nie w owe długie, pojedyncze fuzye ze skałką, których Maurowie zarzucić nie chcą.

Nie witali oni naszego Kapudi, srodze na nich spoglądającego. Mówili pomiędzy sobą dziko-brzmącym, Maurom, Arabom, żydowi i nam niezrozumiałym językiem. Nieraz basza tetuański wysyła przeciw tym góralom swych żołnierzy, by ukrócić ich zuchwałość; ale zawsze napróżno. Berberzy ustępują w wyższe góry, rażą żołnierzy z jaskiń i z wierzchołków drzew, a ci powracają pobici i nie zadawszy Kabailom żadnej kłeski.

W pośrodku gór i prawie na połowie drogi z Tangieru do Tetuanu, leży rodzaj dworcu czyli karawanseraju obronnego, zwanego w krajowym języku Fondak. Już zdaleka zobaczyć go można, wystawiono go bowiem na podnóżu góry, w miejscu, gdzie las jest daleko rzadszym. Maurowie podróżujący z Tetuanu do Tangieru z towarami, nocują w tym dworcu. Z drugiej

strony Fondaku, droga prowadzi w żyzną dolinę, a zpoza niej wзира łańcuch gór spadzistych, na podnózu których leży Tetuan. Jestto odnoga małego Atlasu; wierzchołki jej pokryte wiecznym śniegiem, a podnóże najbujniejszą wegetacją. Kształtem swym góry te podobne do szwajcarskich Alp.

Miasto Tetuan rozciąga się na wielkiej przestrzeni. Mury jego obronne są redutami, z których tu i owdzie wyzierają groźnie żelazne armaty. Niewinneć to bawidła w rękach Maurów; a jeśli są niebezpieczne, to chyba dla tych, co z nich strzelają.

Tetuan liczy 25,000 mieszkańców, i najważniejszym jest miejscem handlowém po mieście stołeczném Fez. Tetuan leży o półtoręj mili od morza Śródziemnego, tuż blisko rzeki zwanęj Marthin, tworzącęj jego przystań. Ale smutnato przystań; tak zasypana piaskiem, że ledwie łódź przejść może.

W przeszłym stuleciu Tetuan był jeszcze miejscem rezydencyi konsulów europejskich, ale cesarz marokański powodowany nie wiem jaką drobnostkową okolicznością, zakazał od jednego razu chrześcianom pobytu w Tetuan. Dwadzieścia lat trwał ten zakaz, i przez ten czas żaden chrześcianin nie przestąpił wrót miasta.

Dziś jeszcze żadnemu chrześcianinowi niewolno tam zostać obywatelem, czyli raczćj osiedlić się; gdyż o prawach obywatelskich ani może być mowa w państwie marokańskiem.

Słońce już dobrze zbliżyło się ku zachodowi, gdyśmy ujrzeli Tetuan, a jeszcze mieliśmy milę drogi przed sobą. Kapudi wyciągnął różaniec i zaczął modlić się nabożnie.

Pytaliśmy go, czemu się tak rzewnie modli; a on odpowiedział: „Allah jest wielkim! ja jego przebłagać muszę, że wam, Nazareńczykom, służę za przewodnika w chwili, kiedy wszyscy wierni zgromadzeni są w meczecie. Zobowiązałem się jednakże przyprowadzić was do miasta jeszcze tego wieczora. Bóg kieruje losami ludzkiemi.“

— Bóg ci nie porachuje tego grzechu—rzekliśmy.

— Któż wiedzieć może—odpowiedział Kapudi—co nam będzie za grzech poczytaném? Wy Nazareńczycy najmniej o tém sądzić możecie.—Wy sobie tworzycie wasz sąd i raj już na tym świecie; ale tam, wysoko, gdzie on nas czeka, tam go mieć nie będziecie.

Przy takiém pojęciu religii nic naruszyć nie zdoła dumy mahometanina, ani nawet uznanie wyższości umysłowćj w chrześcianach.

Ale pocóż szukać w zwolennikach Mahometa téj dumy? Fałszywe pojęcie religii wyradza ją nawet u chrześcian, i to tak często, że bigoterya służy najczęściej na pokrycie próżni w głowie naszym dewotkom, i dewotom nawet. Tak jest, próżni w głowie, i złości w sercu.

Stanąwszy przed bramami, musieliśmy wysłać naszego przewodzcę do baszy dla zapytania go, czy nam wolno będzie wejść do miasta. Nie jestto próżną formą. Niedawno Francuz jeden po sześciodniowej podróży, stanął przed bramami Maroko, i prosił, nie opatrzywszy się wprzód w firman, o pozwolenie wejścia. Żądano od niego daniny do 700 złp. wynoszącej. Téj złożyć nie chciał, i powrócić musiał do Tangieru.

Przed miastem, niedaleko od drogi, Arabowie założyli obóz. Namioty ich składały się częścią z derek tkanych z włosia wielbłądziego, częścią z liści palmowych podpartych grubą i lekką trzcina. Szerokie, niskie i długie, miały kształt wielkiej przewróconej łodzi. Także na czarno były umalowane smołą.

Nareszcie nadeszła od baszy odpowiedź: „Allah niech was broni! Ciesz się, że w mojem mieście spocząć chcecie.”

(Dalszy ciąg nastąpi).

SOBIE ŚPIEWAM, NIE KOMU.

Szła pieśń wędrowną, brzmiące słowo Boże,
Przez chłód światowy, w wieczność ku grobowi...
Rzadki przechodzień rzucił jój grosz wdowi,
A nikt jój nie rzekł: „pójdź, serce-ć otworzę.”
O pieśni moja! ty wiosno majowa!
Wróć w pierś, jak byłaś, niech cię chłód nie studzi,
Wszystkiego chciałem dla Boga, dla ludzi,
A nie dla siebie, krom dobrego słowa.

* * *

O pieśni moja! przebrzmieć tobie próżno.....
O myśli moja! zmierzchnąć tobie w ciemni;
Światu niech pięją ptaszkiwie nikiemni.
Myśl, tułacz biedny, nie styje jamużną,
I światło Boże nie zagra z świecideł,
Ni w mętach kału, wśród burzy ostoja....
A w pieśni mojej, wszystka dusza moja!
A w myśli mojej, wszystek lot mych skrzydeł!

* * *

Grzmieć, albo nie żyć! duch tchnie gdzie mu gwoźl....
Niepokój wieczny, gdy go rozkoleba,
W niebie chciał ziemi, na ziemi chce nieba,
Wzrok mu, wzrok orli, lot mu, lot sokoli.
I w słońce wiary pojrzy bez zmrużenia,
I nie ma jemu krańca wśród przestrzeni,
I za to chwałą skroń jego promieni,
Chleb mu powszedni w słowo-pieśń się zmienia.

* * *

Co z Boga wyszło, do niegoż powróci,
Co wyszło z piersi, łącno w pierś utonie:
W Bogu jest ducha wesele, a w łonie,
Pieśni wesele, wolne ziemskiej chuci.

I byle w piersi ciepła dość, i byłem
 Dał jój dość światła, co w niej życie wznieci.
 Jak gąsienica zamrze w własnej sieci,
 By wprędce krasnym zmartwychwstać motylem.

* * *

I wziąłem w siebie pieśń moję, lecz oto
 Duch mój, w ślad za nią, wrócić chce do Boga.
 Nie przeżyć pieśni! O śmierci zbyt sroga.
 Wiedz mnie w niepamięć... za nieba tęsknotą.
 Więc pieśni moja! przebrzmieć ci niebogo...
 Więc myśli moja! zmartwić cię w grobie...
 Bo nie żyć piewcy, co śpiewa sam sobie,
 Bo nie brzmieć pieśni, co brzmi dla nikogo!

W Sieku, 1851.

Felicyan.

WYSTAWA POWSZECHNA W LONDYNIE.

(ARTYKUŁ DLA BIBLIOTEKI WARSZAWSKIEJ WYŁĄCZNIE NAPISANY).

London, 18 maja 1851.

I.

Znaczenie wystawy. — Inauguracja pałacu. — Jego budowa. — Pierwsze wrażenie. — Rozkaszfikowanie wystawy na narody. — Ich porównanie i przegląd pobieżny. — Dzieła sztuki.

Jak w życiu indywidualu, tak i w życiu narodów są chwile uroczyste refleksyi, zebrania, skupienia sił nowych rozrzuconych w czasie i miejscu; zestrzelenia w jedno ognisko promieni ciepła, które po nich krąży, i światła, które ich wnętrze rozjaśnia. Te wielkie jubileusze widne zdała jako drogokazy, któredy idzie duch ludzki, w starożytności wyznaczano prawem: co rok, co trzy lata, co siedm lat, stanowiąc, iż one być mają peryodyczną rocznicą cywilizacyi, niejako obejrzeniem się jęj poza siebie, świadectwem które sobie daje, epoką uroczystego ukorzenia się ludzkości przed ową tajemniczą potęgą, która ją prowadzi ku światłu wiekuistemu. W naszych czasach, w epoce ciągłego rozłamywania się korporacyj na indywiduala, kiedy prawo nie może już sprostać określeniu wszystkich pulsów naszego życia, i z każdym dniem ustępuje coraz bardziej zwyczajom i umowom; w naszych czasach chwile podobnego zebrania leżą w naturze rzeczy i wychodzą same z siebie, bo są konieczne, konieczniejsze niż dawniej, bo bez nich gieniusz ludzki rozdrobniony na miliony strumyków, zapomniałby o sobie i stracił nić wiążącą; bo one mu wytykają kierunek przeznaczenia, tłumaczą przeszłość i dają pewniejszą rękojmią na dni jutrzejsze. Nie wywołuje ich rachuba, poli-

tyka, ani przezorność prawodawcy, lecz wola Boża; ona tym uroczystościom naznacza czas, miejsce i charakter. Zesłane przez nią, zostają nazawsze w rocznikach świata, i świecą jako lampy nadmorskie żeglarzowi, szukającemu ścieżki na oceanie dziejów; jako pojedyncze konkluzye tego rozumowania wielkiego, przez które logika Opatrzności myśl swą prowadzi. I dlatego takie chwile mają szatę zacności i świętości, przed którą upada sceptycyzm i ironia naszego wieku. Rzecz bowiem godna uwagi: w dniach takich jak nasze, kiedy dowcip nieraz lepiej popłaca, niż rozum i uczucie; kiedy śmieszność jest straszliwszą często bronią, niżli prawda, kiedy nam się nic a przynajmniej niewiele zostało, czego by humor nie nadszarpał: żaden dziennik nie zażartował ze znaczenia i ducha wystawy powszechnój. Żart był widocznie niepodobny.

Przyszła kolój na jubileusz wieku XIX, brzemiennego rewolucjami politycznymi, ale i postępem niezatrzymującym się nigdy. Pokój od lat trzydziestu pięciu panujący w większej części Europy, zmienił sferę działalności ludzkiej. Narody nie walczyły z sobą, ale z przeszkodami, które napotykały na drodze do szczęścia wszystkich. Historya świata w ciągu téj epoki, mało liczy zwycięstw okupionych krwią; ale za to każdy jój rok, każdy prawie miesiąc, jaśnieje nowym tryumfem intelligencyi, nowym zyskiem powszechnego dobra. Wypowiedziano bój wszystkim nieszczęściom, które dręczą ród ludzki:—nędzy, ciemnocie i złości. Walka to długa, nie my jój koniec obaczymy; lecz choć były zawody, były i będą ofiary: ostatnia karta niewątpliwa. Wielka armia walczących rozrzucona jest po całym globie. Jeden jój oddział, to jest ludzie przemysłowi, w umówionym dniu stanął w jednej falandze, wywiesił sztandar i zebrał się na radę, aby uczcić zwycięstwa dotąd odniesione, obliczyć i porównać swe szeregi, poznać się wzajemnie i wzajemnie się uczyć. „Błogosław Boże—mówi pieśń wystawy w trzydziestu językach—braciom, których praca połączyła”, błogosław, dodam, téj świętej gołębicy, którą przyszłość z arki swój wypuściła dla zwiastowania ludziom pokoju, i zapowiedzi świetniejszych, walniejszych jeszcze jubileuszów!

Lecz gdzież się miał odbyć ten piérwszy sobor, jeśli nie w stolicy kraju, który góruje filantropią, a przemysłem panuje na całym świecie. Londyn mógł mieć tylko dwóch współzawodników, to jest Nowy-York i Paryż. Ale Ameryka aczkolwiek wielka i wielką ma przyszłość, jeszcze jest dziecięciem, które przy-

pomina, że ją Europa wyrwała przed trzema wiekami z barbarzyństwa: jeszcze żyje ruchem i inicjatywą starego świata; Francya zaś, ojczyzna gustu i zabawy, przemysłem mieszkańców i bogactwem kraju, ustępuje Anglii. Ktokolwiek statkiem parowym odbył drogę z Herne-Bay do Greenwich, a ztąd do Westminster-Bridge, i rzucił wzrok na prawo i na lewo, zmierzył nieskończone lasy masztów, niezliczone rzędy kominów fabrycznych, i przypatrzył się potwornemu ruchowi, jaki panuje w dockach londyńskich, ten zgodzi się ze mną, że Londyn jest stolicą pracy całego świata, a zatém i handlu. Życie jest wszędzie, ale serce, rozsyłające krew po całym ciele, jest tutaj. Tu się ostatecznie odbija, poczyna i kończy działalność ludzkości; tu ze wszystkich stron spływa złoto, którego w dzisiejszém społeczeństwie użyto jako najkrótsze i najprostsze wyrażenie czynności człowieka. Tu ono przemienia się, przerabia, miesza i wypływa napowrót w cztery strony świata. Nigdzie tak mocno i tak wytrwale jak w Londynie nie jest wyteżona intelligencya dla rozwiązania ważnych zagadnień; nigdzie tak silnie jak tutaj interes prywatny nie spaja się z interesem publicznym, któremu czyniąc ofiary, nową podnieętą życia sobie samemu dodaje; nigdzie wartość wynalazku nie znajduje prędszych sędziów; nigdzie praca ludzka nie ma większej wagi; nigdzie czas nie jest więcej szacowany; nigdzie umowy jakiegobądź nie załatwiają się szybciej, prościej, z regularnością więcej mechaniczną; nigdzie się nie napotyka tak mało owój nierozsądnej zazdrości, która przeszkadza i szczęśliwemu współzawodnikowi; nigdzie nie ma tak gorącej emulacyi między pracującymi, i tak prędkiego korzystania, wydoskonalenia nowych wynalazków i budowania na nich nowych ulepszeń i odkryć; jedném słowem, nigdzie duch handlu, który u nas, bodaj czy nie jest synonimem nieprawego zysku, nie ma właściwszej sobie cechy, to jest rzetelności, uczciwości, siły i energii. Zpośrodku więc tego niezmiernego bazaru, musiało wypaść hasło na pierwszy sobor XIXgo wieku, sobor przemysłowy. A jakież ono miało echo!—Największy wypadek nie zrobiłby równie mocnego i trwałego wrażenia.

Co jest najbardziej uderzającym w tym fakcie, to niezawodnie chwila, z którą przyszedł. Spojrzmy wstecz na trzy lata dziejów Europy. Ile zamieszania, nieładu, przesilen, burzy; ile tronów zachwianych, zburzonych opinij, wymazanych wiar, zagrożonych i zdruzgotanych instytucyj? Zda się, że powietrze

zatrzęsło się i z niem myśl całego świata. Jeszcześmy nie przejeżdżeli przez tę kurzawę, którą zostawiły po sobie galopujące wypadki; jeszcze oko nasze nie może rozeznaczyć drogi, na którą, jakby los nas rzucił mimo naszej woli; jeszcze huczy burza i pluska bałwanami, zalewając dotychczasowe ścieżki ruchu ludzkiego, a świat podobny jest do morza, do którego wpadła ogromna skała i którego powierzchnia póty się kołysze, póki nowego przybytku za swego mieszkańca nie uzna i z nim zgodnego życia nie rozpocznie. Nigdzie pewności, nigdzie mocnego ukonstytuowania! Ze świtu, który dniaje we Francyi, jeszcze wschodu słońca na czas wróżyć nie można; Niemcy, owa ziemia myśli i spokoju marzyciela, szarpnąwszy się na niespodzianą wycieczkę w sferę czynów, dziwią się teraz sobie, i nie wiedzą, gdzie stoją, dokąd ich czas zaprowadził i z kąd dalej rozpocząć drogę. Dania, owa ziemia nieżyźna, lecz naród pracowity, zajęta wojną, zrujnowana wojną, ostatni grosz i ostatniego człowieka wydała na odzyskanie Szlezewigu i Holsztynu. Turcja, rozerwana powstaniem w Montenegro, Samos, rozruchem w Alepie, rewolucją w Bośni, zazdrośnym okiem spogląda na wice-króla Egiptu. Grecya ze słabym rządem, dręczona tysiącami kleftów, których poskromić dotąd nie może. Włochy okryte ranami, zniszczone wojną; Szwajcarya szarpana intrygami; Hiszpania przywalona długami i niedość bezpieczna; Portugalia bliska bankructwa, z nieszanowaną konstytucją i wojną domową w zarzewiu: oto obraz chaosu europejskiego. I w takiej chwili, Anglia pewna siebie i jutra, ogłasza turnieje ludzi przemysłowych; buduje najśmielszą ze wszystkich budowę:—panteon ze szkła, i sprasza do niego narody, jeszcze zdyszałe walką i gonitwą ze swemi rządami.

Myślanoby, że ani jeden nie usłucha; tymczasem ani jeden nie chybił. Przed kilkunastoma dniami w ogromnym pałacu, kiedy przy huku dział i śpiewie kilkuset chórzystów, królowa stojąc obok tronu ogłosiła, złożonywszy dzięki Najwyższemu Twórcy wszelkiej wielkości, że wystawa jest otwartą; widziałem pośród tysięcy twarzy uderzonych majestatem chwili na wieki pamiętnej, widziałem typy całego rodu ludzkiego: potomków Chama, Sema i Jafeta. Wszyscy tam byli: Europejczycy wszelkiego narodu i języka; Chińczyk z głową ogoloną i kosmykiem włosów, na wzór naszych Kozaków w warkocz z wstęgami splecionych; olbrzym Patagonii, karzeł lapoński, Negr z włosem kędzierzawym, Albinos z włosem białym, wyspiarz z Otaiti, mieszkaniec z Tombu-

ktu; cery białe, żółte, czerwone i czarne, wszystkie ludy i wszystkie ziemie przez swych delegowanych reprezentowane. W czasie największej potęgi Rzym nie widział nic podobnego. Kiedy chciał podwyższyć orszakiem z całego świata tryumfy imperatorów, prokonsulowie przysyłali mu niewolników wszelkiej rasy okutych w kajdany, na okrętach z czterech stron ówczesnego globu. Oni świadczyli o potędze miecza, ulegali jego przemocy. Lecz kto na dzisiejszym był zebraniu, przyszedł z własnej woli; zbiegli się pielgrzymi, ochotnicy, nie dla podniesienia tryumfu miasta dumnego, ale dla zabrania miejsca przy bankiecie, który jest wspólny wszystkim, dla dotknięcia palcem owych cudów, które o wspólnej świadczą sile, i dla potwierdzenia wielkiego faktu, to jest solidarności całej rasy ludzkiej, która jest początkiem cywilizacji nowiej, spokojniejszej i bogatszej w zwycięstwa człowieka nad naturą, a uboższej w klęski zadane ludziom przez ludzi.

To też wielkości chwili odpowiadała uroczystość inauguracji. Rzecz zapewne zanadto znana, abym ją czytelnikom waszym opisywał, ale zanadto mocno w pamięci mej utkwiała, abym ją całkiem pominął. Podobnego zebrania, podobnego przepychu i majestatyeczności nie było nigdy. Być może, iż większa część ludności, co nie mogąc dostać się do pałacu, zalegała wnijsie jego dookoła, nie umiała sobie zdać sprawy z ważności wypadku; ale ulegając instynktowi, który ją ostrzegał, spieszyła na ten wielki obchód sił ludzkiego rozumu. Czytaliście szczegółowe opisy inauguracji w dniu 1 maja. Niezliczone masy usadowiły się po niezmiernych przestrzeniach Hyde-Parku, lub jako mur ściśnięty stanęły po obu stronach drogi. Sąsiednie domy, balkony, okna, dachy, przepełnione były widzami. Ci, którzy nie mogli się dostać na miejsca poblizsze drogi, zajęli wzniesienia, z których wzrokiem można było dosięgnąć uroczystego orszaku, a wkrótce taki nastął ścisk, że najciekawszy widz choćby Herkulesowej siły, krokiem naprzód postąpić nie mógł. Lecz co mnie najbardziej uderzyło, to owe uczucie zadowolenia na wszystkich twarzach, jakby przekonanie o wielkiem szczęściu tego wypadku, który się odbywał. Każdy się zgadzał ze swym położeniem; tłok, kurzawa, zmęczenie i inne drobne cierpienia, podobnym uroczystościom właściwe, nie mogły zniszczyć ogólnej wesołości mass. Prawda, że i obraz, jaki się przedstawiał, był dość wspaniały, aby zapomnieć o sobie. Co za przepych, jakie bogactwa!

Tysiące karet herbownych, jakie tylko w Anglii widzieć można, ciągnionych przez wspaniałe rumaki, a na kozłach siedzieli woźnice upudrowani biało i w trójgraniastych kapeluszach. Poza pojazdami strzelcy straszni wzrostem, albo lokaje w kostiumach zeszłego wieku. Każdy z nich trzymał laskę z gałką złotą lub srebrną; przy czerwonym fraku bogato wyszywanym, przypięty niezmierny bukiet, podobny do tych, z jakimi śpiewaczki występują na koncercie. A owe ekwipaże złożone, malowane *al fresco*, z oknami w różne figury wyrzniętymi, z formą i ozdobami będącymi żywym anachronizmem; a owe stroje historyczne dygnitarzy, czerwone lub błękitne płaszcze, podbite gronostajem lub sobolem, wielkie białe peruki, złote łańcuchy i gwiazdy; owe toalety damskie wonne świeżością i gustem, połyskujące wszystkimi promieniami słońca, obsypane perłami, dyamentami; ów zbiór kosztowności i bogactwa, świetności i jaskrawości uniformów: jakżeż to wszystko nie miało nęcić oczu patrzącego. Tylko czasami sceny innego rodzaju rozrywały uwagę; ciekawszy a niezadowolnieni ze stanowiska, wdrapywali się na drzewa chcąc korzystać z widoku na ten ocean głów ludzkich, rozlegający się tak daleko, że oko końca dosięgnąć nie mogło; lecz owi amatorowie pięknych widoków nie rachowali na policję, a ta pospieszyła dopełnić obowiązku. Ztąd komiczne walki i gonitwy; pomnę, żeśmy wszyscy przypatrywali się zabawnej scenie, jak policeman uganiał się za ulicznikiem, który przeskakując z drzewa na drzewo, zerwał się na skok śmiały, lecz gałęzi nie dosięgnął i spadł tryumfalnie na ziemię wśród hucznego śmiechu tysięcy ludzi. Taki zaś panował duch porządku, takie uczucie ważności pełniącego się faktu, że mimo ścisłu miliona ludzi, mimo przejazdu przeszło dziesięciu tysięcy powozów, nie było żadnego nadużycia, nieporządku, zamieszania, chociaż w natłoku każdy ucierpiał.

I ja nie bez trudu i nie bez stłuczonych boków dostałem się do pałacu. Tutaj zmieniło się miejsce, ale nie zmienił się dramat: ileżto nóg zdeptanych, ściśniętych piersi, poszarpanych sukni, podartych szalów! Bo i ludzie świata, to jest ci, których stać było na zapłacenie trzech gwinei, mają łokcie tak twarde i pięści tak silne, jak owe tłumy, z których przed chwilą wydobyłem się. Nareszcie za ukazaniem karty, doręczono nam bilety oznaczające nasze stanowisko. Lecz jak je zdobyć? Wchodzimy, niema czasu spojrzeć na pałac, każdy chce mieć pierwsze miejsce; damy również się spieszą, lecz większa część przyszła zapóźno; ławki i krzesła na dole i na galeryach od 9tej zajęte.

— Policemen! co znaczy na mojej karcie nr. 10?

— To znaczy, że masz pan udać się do galeryi nr. 10.

— Gdzież ona jest?

— Trzeba iść na prawo, przez Francją i Portugalią do Niemiec.

— Czybyś mi nie chciał powiedzieć, gdzie jest Francya, Portugalia i Niemcy?

— Czytaj pan napisy!

— Aha, to dobrze, ale ja ztamtąd nic nie będę widział, tu mi daleko lepiej, tu wolę zostać.

— Nie można panie; idź pan na swoje miejsce....

— Policemen, gdzie są Chiny?

— Tuż obok Brazylii, nad panem.

— A którądyż ja tam pójdę?

— Po schodach od Szwajcaryi!

— Niepodobna, proszę cię, patrzaj, czy ja mogę ze schodów spędzać te wszystkie damy.

— Trzeba żebyś pan prosił, tu panu zostać niewolno—i t. d.

Takie rozmowy toczyły się przy wejściu do sali, lecz wnet rozprysnęły się tłumy, znalazłem miejsce wolne, i spojrzałem.

Boże! cóż za widok wspaniały! Jakżeż go opiszę, jakżeż z niego zdam sprawę! To nie pałac, to zamek, to miasto zaczarowane, ze szklaném niebem, z tęczowym i brylantowym horyzontem. Nie widziałem nic, coby miało w sobie tyle lekkości i wesołości. Rzuciwszy wzrok na wielkość budowy, doznałem takiego wrażenia, jakie się uczuwa wchodząc do kościoła ś. Piotra w Rzymie. Olbrzymia bazylika nie zdaje się tak wielką jak jest, i dopiero po rozpatrzeniu się w szczegółach, przychodzień przejęty jest zdumieniem i niemal strachem. Lecz inną jest sztuka chrześcijańska Bramanta i Michała Anioła, a inną przemysłu nowoczesnego; tam myśl korzy się przed wiekuistością i potęgą budowli, tu jest przywalona ogromem, mając w pamięci, jak krótkiego czasu trzeba było, aby ten las żelaza i te góry kryształów stanęły foremnie, jakby je dźwigały niewidzialne Tytany i trzymały nad naszą głową.

Com wówczas czuł, nie potrafię wypowiedzieć. Niech czytelnik postawi siebie pod ogromnym łukiem szklanym, gdzie olbrzymie drzewa dogodnie rozciągają wieczne gałęzie, nie mogąc najwyższemi szczytami dosięgnąć téj czarownej klatki, w której je zamknięto; niech nad głową dookoła zawiesi nieprzeliczoną moc

dywanów, które mimo swój wielkości zdają się, jakoby małe sztandary; niech rzuci okiem na prawo i na lewo, póki błękitny kolor atmosfery nie zaćmi mu widoku; niech wzrok zatrzyma na tych górach kwiatów, na tym ogrodzie róż, rododendronów, azalei i mnóstwa innych, których w tej pomieszanej grze kolorów rozpoznać nie zdołałem; niech przyjrzy się blaskom szklanych i srebrnych fontan i kryształowych strumieni, które z nich tryskają; niech wreszcie przypatrzy się temu, co w równej sobie wysokości spostrzega, owym wdziękom i białości alabastrowych statuy, co drażnią się z kolorami kostiumów; owemu ruchowi, przepływowi, wzbieraniu i opadaniu tłumów, owemu blaskowi i migotaniu brylantów:— a wszystkie nerwy artystycznego ducha tak zostaną naraz przywalone, że umysł wpadnie w rozkoszne upojenie, traci dar rozróżnienia i zyskuje jakiś organ, którym naraz widzi, czuje, słyszy wszystkie piękności o których kiedykolwiek marzył, wszystkie cuda o których słyszał, wszystkie potęgi którym się dziwił, wszystkie tony którymi się rozkoszował; a upojonemu tą atmosferą tęczy i harmonii zdaje się, że ten czarowny pałac i wszystko co w nim jest, ci ludzie i te posągi, porwane są w jakiś taniec dziwaczny, kręcą się, wirują i giną w oddali poza promieniami złota, brylantów i błękitu.

Dopiero wejście znamienitych gości i huczne brawo, którym ich witano, wyrwało mnie z tego stanu nieokreślonego. Chóry czterech kościołów, uczniowie dwóch towarzystw muzycznych, dwoje potężnych organów i muzyka wojskowa hymnem narodowym *God save the Queen* powitały wchodzącą królową. Po chwili milczenia, podczas której książę Albert odczytał sprawozdanie, a prymas zmówił prostą lecz wzniosłą modlitwę, zabrzmiało Alleluja Händela i rozpoczęła się processya. Dla mnie, którego los tą razą fortunny, posadził na blizkiej galeryi, byłto widok najwspanialszy, najbogatszy jaki kiedykolwiek miałem przed oczyma. Z początku ujrzałem pomieszaną masę błękitu, złota, karmazynu, lecz coraz bardziej odróżniały się kolory i rysy stawały się wyraźniejsze. Naprzód zjawili się heroldowie w dziwacznych kostiumach: wspomnienie wieków i ludzi minionych, bo wówczas urząd heroldów miał rzeczywiste znaczenie; dalej cywilni w czarnych frakach i białych krawatach, stanowiąc z kostiumem heroldów najdziwaczniejszą sprzeczność, charakteryzującą dni przeszłe i obecne, poetyczne rządy rycerstwa i wiek pozytywny umiejętności i przemysłu. Następnie parami szły osoby prywatne i publi-

czne w kostiumach dworskich, lub uniformach Yeomenów, wyprzedzając trzydziestu zagranicznych kommissarzy, z których każdy przybrany był w mundur swego narodu; dalej kilku urzędników, kommissarze wystawy, a wśród nich sekretarze stanu i członkowie obu izb. Wspaniały kostium windsorski, błyszczał w tém gronie, świadcząc o obecności najcelniejszych mężów stanu Anglii. Za nimi ambassadorowie i kilku weteranów, jak margrabia Anglesea i książę Wellington, siwy, pochylony starzec, który w tym samym dniu, 83cią rocznicę urodzin swoich obchodził. Prymas i rząd kapłanów czarnym i białym ubiorem przerwali świetną grę bogatych kostiumów, lecz wnet za nimi szereg oficerów dworu królewskiego, przywrócił orszakowi żywy i jaskrawy koloryt. Nakoniec opierając się na rękę męża i prowadząc następcę tronu, postępowała królowa, witana oklaskami i radosnymi okrzykami widzów. Processya przeszła przez obydwa skrzydła, a za nią nastąpiło ogłoszenie otwarcia wystawy.

Po odjeździe królowej publiczność nie chciała rozstawać się z nowym i rozkosznym widokiem wnętrza pałacu; lecz że wszyscy pragnęli naraz widzieć i dążyli do środka gmachu, z kąd widok jest najszerszy, nikt nie mógł dobrze obaczyć. Rad nie rad wyszedłem do parku, gdzie zgromadzone tłumy, jeszcze raz chciały widzieć znakomitych gości. Słyszałem, że książę Wellington kazał sprowadzić do Londynu kilka szwadronów ulanów, dragonów i kirasyerów, lecz to było niepotrzebne. Obawiano się cudzoziemców, a na tych, przykład i klimat zdaje się wpływać cudownie. Londyn absorbuje wszystkich. Uważałem, że Francuzi są poważni, że Włosi nie gestykują; Turcy mają minę najpiérwszych gentelmenów, Egipcyanie chodzą w rękawiczkach, Niemcy mówią mało i palą jeszcze mniej. Jestem pewny, że pod koniec wystawy żaden Anglik inaczéj jak zwykle włosów nie zaczesze i chustki nie zawiąże, a cudzoziemcy wyjadą zangliczeni.

Rzecz prosta, że w piérwszych dniach po otwarciu, postanowiwszy przypatrzeć się wszystkiemu i rozebrać mniej więcej szczegółowo, rozpocząłem przegląd od najcelniejszego z produktów angielskich, to jest od pałacu. Gmach mający 1848 st. ang. długości, 408 szerokości, w środkowej nawie 108 st. a w obu skrzydłach-podłużnych 66 stóp wysokości, złożony z 11,000 centnarów żelaza kutego, a 70,000 lanego, z massy szkła mającój 896.000 st. kw. powierzchni, i 8000 centnarów wagi, z drzewa którego wyszło 600,000 stóp sześć.; gmach, którego powierzchnia

posadzki ma 772,784 stóp kw., a galeryi 217,000 st. kw.; zawierający 33 miliony stóp sześć. objętości, dwa razy większy od jednej z największych londyńskich budowli, to jest kościoła św. Pawła, budowany z skrzętnością, rozważą i tysiącznemi doświadczeniami; rozpoczęty i ukończony w ciągu trzydziestu tygodni! Zaprawdę, patrząc na te przestrzenie w których oko się gubi, na tę śmiałość budowli i ogromną moc materiałów, trzeba przyznać, że tylko Anglicy przy swój energii, wytrwałości i bogactwie, mogli pomyśleć, i w tak krótkim czasie wykonać olbrzymie dzieło.

Jak wiadomo, pałac położony jest w południowym końcu Hyde-Parku, i ma cztery główne bramy, to jest: południową, wschodnią, północną i zachodnią. Środkiem jego od południa na północ, idzie nawa najwyższa, poprzeczna, z dachem lukowym; od wschodu na zachód ciągnie się ogromna nawa z dachem płaskim, krzyżująca piérwszą. Wchodząc do nawy środkowej, widzimy przedśionek 72 stóp długi, za nim balustrady, fontanny, ogrody wpośród szeregu statuy i posągów, dopóki nie dojdziemy do punktu środkowego, gdzie się obie nawy krzyżują. Wzdłuż krzyża idą galerye, poprzecinane we środku i połączone galeryami poprzecznymi, tak, że formują obszerne piérwsze piętro, pod którym dół również jak one służy jako pole wystawy.

Naszkicowawszy w ten sposób miejsce, przyjrzyjmy się jak jest zapełnione. Środkowy krzyż w obu nawach zastawiono statuami z bronzu, cynku, marmuru, alabastru, gipsu i t. d., wspaniałymi fontannami, kilkoma ogromnej wielkości organami, kopalinami odznaczającemi się ogromem i rzadkością, niesłychanie wielkimi zwierciadłami i t. p. Wszystkie te przedmioty należą do krajów, obok których są ustawione, te zaś idą w następnym porządku:

NAWA GŁÓWNA POPRZECZNA

(wejście od bramy północnej).

Turcja	Indye Wschodnie
Egipt	"
Persya i Arabia	"
Chiny	Indye Wschodnie
Tunis	"
Brazylia	"

NAWA BOCZNA

(wejście od bramy wschodniej).

SKRZYDŁO ZAGRANICZNE

(wschodnie).

Stany Zjednoczone	Stany Zjednoczone	Francya
Rossya	Rossya	
Niemcy północne	Dania, Szwecya i Norweg.	
Związek celny	Związek celny	
Austria	Austria	Rossya
Holandya	Belgia	
Belgia	Francya	
Francya	Francya	
Włochy	Szwajcarya	
Hiszpania i Portug.	Chiny	
Grecya		
Persya i Arabia		

SKRZYDŁO ZACHODNIE

(wejście od bramy zachodniej).

Anglia	Anglia
Anglia	Anglia
Anglia	Anglia
Anglia	Kolonie
Anglia	Kolonie
Anglia	Kolonie
Indye Wschodnie	Indye Wschodnie.

Przejdźmy teraz pobieżnie po tych krajach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA LITERACKA.

O źródle wiedzy tegoczesnej przez Dominika Szulca. 1851. Warszawa.

Nie wspominalibyśmy o tém dziełku, gdyby nie zasługi jego autora w innych gałęziach krajowych nauk, gdyby zbiór empirycznych wiadomości z dziedziny wiedzy które złożyły to dziełko, nie mógł się komu wydać istotnie przedstawieniem przebytych momentów téj wiedzy, i wreszcie, gdyby nie było ciekawém widzieć, jak się w drugiej połowie XIX wieku odzywa, i że się jeszcze odzywa czysty empiryzm.

Pisemka p. Szulca przytoczymy tu treść w rysach wiernych; lecz ostrzedz winniśmy, iż czytelnik nie ma w niej tego szukać, co zapowiada napis; treść ta bowiem właściwie nie mówi nam o żadném źródle wiedzy tegoczesnej, a raczej przedstawia tylko rząd wzmianek o skutkach wiedzy w czasach ubiegłych.

* * *

Ogół drogi moralnej, przebytej dotąd przez ludzkość, da się podzielić na *Sofia*, *Filozofia* i *Umiejętność*. *Sofia*—to mądrość wschodnia. Ród ludzki żył niegdyś przebywając tylko momenta natury, gdy nagle powstałe wzdłuż i wszérz Wschodu umysły, zaczęły mówić i uczyć o duchach o demonach: Indye, Medya, Persya, Egipt, cała słowem Azya, północ Afryki (jak później dziecinna północ Europy) mówiły tylko i uczyły o złych i dobrych demonach.—W Grecyi myśl zawróżyła lepiej, lecz zaraz przy samym początku zakradła się *Sofia*.—Ukazało się tu 7mciu mężów prawiących o moralności, którym lud nadał nazwisko siedmiu mędrców; właściwiéjby jednak było, objaśnia autor, nadać im nazwisko 7mciu głupców: prawili bowiem o tém, o czém przecie żadna trawka i żaden kamyk ludziom nie mówił. Tales tylko, a dalej Pitagoras powołał do czynienia *doświadczeń*, i zaczęli umiejętność rzetelną;—lecz na nie-szczęście rozumu i Grecyi zjawił się wkrótce w niej człowiek imieniem

Sokrates. Człowiek ten małej nauki, ale wymowny, wmówił w lud, iż ludzie rozumniejsi od niego byliby tylko sofisci, a sam wierzył w demona, i, jak donosi nam uczeń jego Xenofon, warunkowym tylko był zwolennikiem astronomii. Jeszcze lepiej wystąpił *Plato*: ten nie tylko wierzył w demona, ale nadto napisał dialog *Fedon*, w którym dowodził (jak wyraża się autor) „trwałości umysłu.” Summą jego nauki było: „iż należy najszczelniej zamknąć oczy, usta, nos i gębę przed światem zewnętrznym, a rozpańiętywać tylko o typie dobra.” Lud ateński ukarał Sokratesa śmiercią, a uczniów jego Xenofonta i Platona wygnaniem z kraju; „tkwiła widać, dodaje autor uwagę, w głowie Sokratyków myśl przeciwna duchowi wieku, kiedy ich to spotykało.” Też zasady upowszechniał wśród Rzymian *Cycero*, „w dziele o przyrodzie bogów i w kwestyach akademickich ekliwie rozpisuje się nad duszą świata, a w kwestyach tuskulańskich nad *trwałością umysłu*. Wszystko to posłużyło tylko niektórym z nowożytnych pisarzy do poznania retorycznej łaciny.” Za pierwszych wieków ery naszój ukazał się nowo-Platonizm, kierunek najbliżniejszy, stanowczo od nauki odwodzący. Całe téż piśmiennictwo téj epoki przyjęło demoniczne znaczenie. Od wieku VIIgo bezwładność opanowała umysły, od XIIgo i woła. Za wieku nowego we Francyi zjawił się *Dekartes*, mąż, który wprawdzie położył niejaki zasługi w umiejętności, lecz który wielbił Platona i twierdził, że pewniki takie, jak np. że całość jest większa od części, że z niczego nic, wrodzone są człowiekowi. Poszedł za nim jego spółrodak „niedołężny *Mallebranche*” i Niemiec *Lejbnitz*; za tym ostatnim zaś całe Niemcy, a mianowicie *Kant* i *Fichte*.—Od zarazy téj nie uszły Anglia, i za wieku naszego Francya; dowodem *Rejd*, *Royer-Collard*, *Cousin* i t. p.—Uczeni kraju naszego trzymali się dobrze do końca XVIIIgo wieku i za naukę mieli tylko umiejętność; ale z początkiem tego wieku zaczął upowszechniać w kraju wyobrażenia *Kanta* uczeń jego królewiecki *Józef Kalasanty Szaniawski*. Próżno usiłował powściągnąć od tego wpływu najuczestszy dotąd z pisarzy krajowych *Jan Śniadecki*, i odwoływał się do nauki wielkiego *Locka*; młodzież poszła za kierunkiem niemieckim, a najnowsi nawet pisarze nasi traktujący o filozofii, prawiąc o *jaźni*, *duchu*, *podmiocie bezwzględnym* i t. p. prawią tylko o demonach nowo-Platońskich.

To dzieje Sofii.

2. *Filozofia*. Sofia opierała się na kraju demonów, filozofia zaczęła szukać ogólników, aby się na nich wesprzeć. Pytagoras szukał ich w sile skrytej wszechświata. Jończykowie i Eleaci wznosili postępy nauk przyrodzonych. „Ci filozofowie, mówi autor, stali się wątkiem pomysłu ciągnącego się przez 23 wieki od *Ksenofanesa* do *Spinozy* i jego przy-

jaciół". „Postępowemi pisarzami w Grecyi byli Arystotelicy, nie dla ich loiki i syllogizmów, ale że się wyrzekli wrodzonych pojęć Platona". Tymczasem wydoskonalona następstwem wieków nauka Zoroastra na Wschodzie odbiła się w *gnozie*, *manizmie*, *sabizmie*, *sabellizmie* i *essenizmie*; ta wiedza wschodnia za Jana Zemisesa przeniosła się do Tracji, Bulgaryi i w kraje naddunajskie, gdzie otrzymała imię *Bogumitów* lub *Duchoborców*. Ztąd wczasie wojen krzyżowych pod nazwą paulicyanizmu i kataryzmu przeniosła się na Zachód Europy, dając początek *Albigensom* i *Waldensom*. Polska w XIII wieku wspierała Waldensów, w XV wstawiała się za Hussem, w XVI dała przytułek Socynom i Socynianom; a szkoła rakowska (socyniańska) wzniosła w kraju nauki na skalę olbrzymią. „Liczba pisarzy postępowych i ludzi oświeconych, mówi autor, nad podziw rozrosła, bez żadnego porównania z resztą Europy". Polska wprawdzie jak i inne narody musiała przebyć czczy peryod scholastyzmu, który gniazdo sobie uwił w akademii krakowskiej; ale prędko skończyła go. Uczeń téj akademii, Kopernik „przeniknął istotę rozumu greckiego i położył kamień węgielny samodzielnemu pogładowi. Był on pierwszym filozofem w Europie na początku XVI wieku. Wyrazem wszakże postępowości był *Piotr z Goniądza*, który badał przyczynę fizyczną świata i umysłu". Pisarze nawet o obyczajowości piszący, jak *Tobiasz Wiśniowski*, *Jarosz Moskorzowski*, *Krell*, *Wiszwowaty*, *Stoiński*, *Lubieniecki* Stanisław, *Przybkowski*, *Tomasz z Bukowca* opierali się na postrzeżeniach i rozumowaniach. W końcu XVIII wieku Kommissya Edukacyjna nie chcąc schodzić z drogi oddawna w kraju przyjętej, uprosiła Kondyllaka o napisanie Loiki (byłato w gruncie loika Arystotelesa, którą autor dopiero potępił) i tę zaprowadziła natychmiast po szkołach; w niej uczucie (wrażenie zmysłowe) jest punktem wyjścia, a rozum i rozumowanie dalszym wyrobem. Kwiatem tych usiłowań była nauka Śniadeckich. W Anglii powstali *Lock*, *Hume*, *Priestley*; „wszystkie ich usiłowania, dodaje autor, na nicby się nie przydały, gdyby nie dźwignia wywodowa *Bakona*, która podniosła czoło służebne Platonizmu (?) i wlała godność samodzielności". We Francyi trzymano się zwykle zasad stoickich Zenona, lub angielskich Locka. W Niemczech *Szelling* i *Hegel* absolut widzą w obustronności. Hegel nadto przydał myśl postępową, że absolutu, jeżeli ma być prawdziwy, szukać należy na drodze umiejętności. „Pasmem wieków ciągnące się dwie różne uczelnie (sofów i filozofów) starły się w wieku terażniejszym. Zatrwożeni, mówi autor, sofowie stanowiskiem, którego dobrze nie rozumieli, dla zwalczania przeciwników utworzyli spółkę, mającą w piśmie czasowém pod przewodem *Hengstenberga* wydawaném, rozwinać swoją doktrynę. Tu się połączyli

Tholuck, Gericke, Hahn, Harms, Olshausen, Sartorius, przeciwko *Röhrowi, Wegschneiderowi* (zapewne *Wegscheiderowi*), *Paulusowi, Geseniusowi, Dawidowi Schulz*, a mianowicie Baumgartenowi *Crusius*, który oświadczył, że sofia jest już niedorzecznością wsteczną i uwodzeniem ludu. Znaleźli się następnie pojednawcy, przybierający charakter eklektyków, *Marheineche, Rosenkranz, Schlejermacher*. Ale przedsięwzięte pojednanie było niepodobnym, bo dwa stanowiska wręcz sobie przeciwne pogodzić się nie dadzą. „Taki jest, mówi autor, kończąc ten rozdział, widok niemethodycznej jeszcze filozofii, która szukała w łonie istniejącego wszechświata siły głównej, sprowadzającej odmiany fizyczne”.

3. *Umiejętność*. Umiejętność rzetelna jestto znajomość metodyczna, to jest oparta na *doświadczeniu*. Taką przed innymi umiejętnościami jest *astronomia*. Astronomią zajmowali się już Chaldejczycy, Egipcianie i Grecy. Arabowie używali lepszych narzędzi astronomicznych od Greków; ale „na czele najpiękniejszych odkryć nowej cywilizacji, na czele swobody umysłowej stanął *Kopernik*”. Całą prawie resztę rozdziału poświęca autor wyłącznie historii dzieła *Kopernika*; lecz przy końcu mówi jeszcze o wpływie na zmianę świata przez pośrednictwo *pary, prasy, elektryczności, chemii, elektrochemii* i t. p. (telegrafy elektryczne, balony, oświetlanie gazem, bawełna piorunująca, chloroforaja, pirofory, zamki perkusyjne, blicharnie gazowe i t. p.). Najnowszą epokę umiejętności, mówi autor, stanowi zastosowanie chemii do życia; początek do tej nauki dała Jędrzeja Śniadeckiego: *Teorya jestestw organicznych*, tłumaczona na języki francuzki i niemiecki. Śniadecki odkrył w niem tę prawdę: że „wszelki fenomen życia jest procesem chemicznym”. Przyszłość tej nauki musi zmienić higienę, wychowanie fizyczne, lekarnictwo, wyzuje ograniczone lub złe umysły z przesądów, dumy i niesprawiedliwości (?). „Znalazł się dla Śniadeckiego *Moestlin*, pracuje w tym kierunku *Liebig*, będzie i *Galileusz*”.

Na tém się kończy dziełko p. Szulca.

Winniśmy z góry tu ostrzedz, że nie mamy nic wcale przeciw matematyce, chemii, astronomii i w ogóle przeciw naukom przyrodzenia. Nauki te, jestto wielka gałąź wiedzy człowieka, nader znakomita jej część; stan i znaczenie ich w danej epoce, są i muszą być równoległe do wewnętrznego znaczenia tej epoki; lecz dziełko p. Szulca zapowiedziało nam przedmiot nie o części jednej gałęzi wiedzy, ale o całości wiedzy, jej źródle; według tego zadania głównego mamy więc sądzić i o szczegółach książki. Czogoż nas nauczyły, obaczmy, sofia, filozofia i umiejętność?

Sofia. „Sofia, uczy nas autor, to mądrość wschodnia; każdy człowiek, który dziś mówi lub pisze o kraju duchów, o duchu, to mistyk

wschodni; wiedza jego nie jest wsparta na doświadczeniu, jest przeto dziecinna, żadna”.

W naukach i wiedzy człowieka, z kądzie się znalazł kraj duchów?

P. Szule ma racją zupełną, kiedy dowodzi, że o duchach już pisa-
no i wspomniano na starym Wschodzie. Cała ludzkość za pierwszej
nawet epoki swego bytu, pomimo grubości myśli i twardości serca, czuła
jednak, iż nie jest najwyższą na ziemi, iż los jój, jój byt, jój zawód,
w chwili każdej jest w rękę sił wyższych; i siłe tój, co chwila cześć odda-
wała. Wyrazem epoki owój nie było *bezbóstwo*, ale owszem przeci-
wnie *wielobóstwo*. A ta wiara i cześć, nie byłyto skutki jakiegoś mu-
su, rozkazu, ale wewnętrznego popędu. Kiedy np. Mojżesz, jak wspo-
mina biblia, opuścił lud swój na puszczy i zostawił go własnej woli, lud
ten pobudował cielca i wielbił go. Grubość i materyalność epoki, wy-
rażała się jednak w sposobie pojęcia przedmiotu, w sposobie hołdu.
Prorok Pański nie znajdował trudności w powoływaniu swojego ludu
do czci Jehowy, lecz w utrzymaniu go przy wyobrażeniu tój prawdy,
że: „ani płazem, ani zwierzęciem, ani słońcem, ani obrazem męża, ani
obrazem niewiasty jest Pan.” *Deuter. IV.* Co Mojżesz w Izraelu, to
u narodów przepowiadać usiłowali inni wyższego nad tłum pojęcia mę-
żowie, ale bez skutku. W Indjach np. pierwotna nauka prawodawców
o *duszy najwyższej* (prawa *Manu*), w Persyi nauka o Bogu światła
i księciu cieniów (*Zend-Avesta*), przemieniły się wkrótce w cześć ma-
teryalną potwornych bożków, ciał światłych i t. p. Nawet w Grecyi
i Rzymie, mimo wzrostu rozwagi i myśli pośród ludzkości, czczono jeszcze
powszechnie bożków i ludzi; i tylko kilku pisarzy, kilku mężów, w któ-
rych siła materyalnego myślenia (pomijając nawet rodzaj ich docieczenia)
objawiła się w stopniu, dotąd w jednostkach ludzkich nie powtórzonym,
wyznało tam, iż wierzy inaczej. Mężowie ci (*Plato, Arystoteles, Cycero*),
z urodzenia poganie, którzy nie słyszeli nigdy zapewne o żadnej nauce he-
brajskiej, którzy mieli zupełnie swobodny wybór albo wierzyć w bogów lub
w nic nie wierzyć, twierdzili jednak, że jest w wszechświecie siła sie-
bie świadoma, wolna, oddzielona od tego wszystkiego, co jest śmiertelne,
która wszystko tworzy i wszystkiém rządzi; i że nią nie jest ani bożek
kamienny, ani jakiś młodzian lub starzec siedzący w Olympie, ale iż jest
Bóg-duch (1). Te nauki i docieczenia zostawały jednak przy samych
mistrzach, lud je odrzucał; w Rzymie na odpowiedź Cyceronowi wznie-

(1) Deus intelligi potest non aliter nisi mens soluta, et libera, segregata
ab omni concretione mortali, omnia sentiens et movens. *Cicero, Quest. Tuscul.
lib. I.*

siono *Panteon*. Nagle jednak nowa objawiła się era, nowy fakt w życiu ludzkości (1). Serca jej zmiękły, pojęcia się otworzyły, a hołd Twórcy dotąd składany w czci materialnej, przemienił się miał na duchowy. Ten, który przeważenie to sprawił, sam też pierwszy przepowiedział ten fakt (2). Naukę jego z łatwością przyjął naród hebrajski; w Judzie i Izraelu poznikały na zawsze bogi z wierchołków; lecz ze zdumieniem samych jej apostołów, zaczęli jej żądać i przyjmować ją nawet poganie. Nie rozkaz władzy, nie nauka rodziców, nałogi dziecinne, nie przykład klas możnych, wielkiego ludu, widoki zysku, były bodźcem do tego przyjęcia; cóż więc? Przyczyn faktu nie wyłożą nam dzieje, i jeden tylko pozostaje tu środek:—iść po odpowiedź do Tego, który z góry o nim wiedział i przepowiedział. Założył on tu sobie *królestwo*, a to królestwo jego (daruje nam p. Szulc wyrażenie), jestto królestwo *ducha*, nie empiryczne.

Nauka ducha rozbiegła się prędko po ziemi, i dziś prawie cały świat obejmuje. Lud, władcy, mężowie czynów, fantazyi, najgłębszych pojęć, nie z musu ani nałogu, (każdy ma np. swobodę zupełną być Lockiem albo Leibnitzem), mówią dziś i piszą o duchu, fenomenach ducha; badaniem wszystkich szczegółów ziemskich objawień, w odniesieniu do ducha są zajęci. Przewaga wewnętrzna ery, stała się tak jawną, dodajmy, że nawet nowe religie w niej zjawione lub rozszerzone, jako *mahometanizm*, *buddyzm* i t. p., powoływały już tylko do czci najwyższego pojęcia (*budhi*), jednego Boga-Ducha (Alkoran VII, 189); a z krajów wschodnich i Afryki, wyparły bogów i bożków, aby ułatwić przejście, i kiedyś zgotować Panu: „lud doskonały”. *Bibl.*

Taki jest fakt; jakież z niego wyciągnął wnioski autor książki?

Wschód wielbił kamienie i słońca, Zachód czci ducha; więc wnosi pan Szulc: Sofia (nauka ducha) to mądrość *wschodnia*.

Ludzkość za swych czasów dziecinnych, zaledwo przez usta kilku odzywała się niekiedy o duchu; dziś za okresu męskiego, duch jest przed-

(1) P. Szulc nie wierzy w podział dziejów ludzkości na dwie ery i postęp: gdzież, pyta na którejś karcie, postęp w tych erach? „pierwsza wydała przynajmniej Solona i Ateny, a druga wieki średnie.” Twierdzenie to podaje nam w podejrzenie szczerłość uwielbień autora dla matematyki. Porównywać erę zaczęłą z erą skończoną, czyli część do całości, nie jestto mieć w pamięci wywód matematyczny.

(2) „Aleć przychodzi godzina i teraz jest, że prawdziwi chwalczy chwalić będą Ojca w duchu i prawdzie. Duch-ci jest Bóg, a którzy go chwają, powinni go chwalić w duchu i prawdzie.” (*Jan IV*, 23).

miotem wiary i wiedzy powszechnój, więc robi wniosek autor: Sofia, to wiedza *dziecinna*.

Autor mówi: iż ducha nikt nigdy nie widział; to téż jednak rozjaśnienia wymaga. Gdyby *Demon* było jakowys rycerz, któryby tkwił nad światem, z ogromnym hełmem na głowie, z olbrzymią bronią, nie dziwiłobyśmy się czci jego powszechnój; ale ducha nikt nigdy nie widział; zkądże więc fakt? Autor ten fakt wyszydza; jestto zwycięstwo, ale jestto zwycięstwo owego żołnierza, który ucieka z placu w czasie potyczki i woła: zwyciężyliśmy.

Nie mając przed sobą rozumowania, nie mamy się o co spierać; wskażemy jednak jeszcze na kilka szczególności w rozdziale.

Wyrazem nauki Platona, mówi autor, było: rozpamiętywać tylko o typie dobra i tkwić bezwładnie. Twierdzić tak o nauce Platona jestto tylko dowodzić, że się jój nie zna. Plato mówił o ideach, o Bogu, o części wewnętrznej świata; badając bowiem wszechświat pojmował w nim i naturę wewnętrzną, jój rzeczywistość, wagę; i to mu dało przed innemi głośność w chrześcijaństwie; lecz Plato w całości nauki swojej, był głównie praktykiem. Jego najobszerniejsze i najwypracowańsze traktaty sąto księgi o *Prawach*, tudzież o *Urządzeniu kraju* czyli *rzeczypospolitej*; ten pomysł rzeczypospolitej tak nawet był materyalnym, że po dwakroć wspomina, iż tolerować w niej nie należy poetów epicznych; a tak dobitnym, iż stał się wzorem traktatów podobnej treści: Arystotelesa i Cycerona, i owszem uważanym jest *dotąd* za najlepszy wzór w swym rodzaju.

Chcąc pobić jednym dowodem Sokratesa i Sokratyków, autor na potępienie ich, mówi: „Tkwiła widać w głowie Sokratyków myśl przeciwna *duchowi* wieku, kiedy ich lud prześladował”. Zdziwił nas ten dowód w książce autora; autor, który od początku do końca książki ściga demony i duchy, tu nagle uwierzył w *ducha* ludu ateńskiego z wieku Sokratyków. Duch Grecyi w wieku Sokratyków było duch jój upadku pod każdym względem, duch który umiał tylko utrwać szkoły epikurejskie; duch wreszcie, który z duchem całej ludzkości potrzebował odnowienia i odrodzenia. Jeżeli jednak autor wierzy w ducha *wieku*, tedy tém więcej winienby wierzyć w ducha *wieków*, a te uwielbiły Sokratyków. Gwałtowne zmiany znaczeń figur dziejowych są zawsze próżne. Kuszono się nieraz podobnie, czylito przez widok, czy tylko dla odróżnienia się, przedstawiać główne figury z dziejów rzymskich, w inném niż je przekazały tradycje ludów, znaczeniu; opinie te jednak przynosiły wraz z sobą śmierć, nie dla opinii powszechnój, a tylko dla siebie.

Co jednak najszczególniejszym jest w tym rozdziale, to widok osób, które autor odniósł pod kategorią swój sofii; nie mamy zapewne prawa rozstrzygać, kto ma należeć do jakiejś gałęzi wiedzy, której nie znamy (jakiejś gałęzi wiedzy, autor sam dał nazwisko *Sofii* i sam je dalej wyszydza). Skoro raz wszakże objaśnił, iż Sofia ta, jestto mistycyzm wschodni, byćby to przeto winna przynajmniej jakaś wiedza twierdząca, nie racjonalna; kogoż jednak znajdujemy w tej kategorii? *Kant, Fichte, Leibnitz, Reid, Cousin*; u nas autorowie *Systemu loiki, Umnictwa* i t. p.

Jeżeli autor podciągał pod kategorią sofów tych wszystkich, którzy czyto przygodnie, czy rozumując, wspomnieli kiedy o duchu: tedy powinien tu być odnieść wszystkich piszących, których dalej i pod rozdziałem filozofii i umiejętności wspomina, nie wyjmując nawet głównych swych reprezentantów tej ostatniej (*Kopernika* i autora *Teoryi jestestw*) (1). Dlaczegoż jednak tu umieścił tych, a nie innych? *Kant*, który był pierwszym twórcą nowej wśród filozofii metody krytycznej (przeciwdogmatycznej), i którego np. znane jest powszechnie w literaturze niemieckiej, jako charakteryzujące system, twierdzenie: „*Die Anschauungen ohne Begriffe sind blind, die Begriffe ohne Anschauungen sind leer*” (Nie ma faktów bez pojęć, i pojęć bez faktów); *Fichte*, który za swe pisma: *Krytyka objawienia* i *Zasady wiary*, wzbroniony miał wykład prelekcji, a dalsze główne swe prace poświęcił badaniu swego *Nichtich* (natury zewnętrznej, umiejętnościom); autor *Systemu loiki* krajowej, którego całą winą w rzeczy demonów jest, że pisał *demonomanię*; ci, jak i wszyscy obok wymienieni, nie pojmujemy w czém winni są, że byli kiedyś na Wschodzie mistycy, albo że mądrość po grecku nazywała się sofia?

Filozofia. Któżto byli albo są filozofowie według autora? Filozofowie są ci, którzy się opierają już nie na kraju *ducha*, ale na *ogólnikach*. Nie zgadujemy jakie autor widzi granice między zasadą ducha i ogólnika; dlaczego np. *monada* Leibniza (jednostka *dwustronna*) była duchem? dlaczego *idee, subjekt*, nie byłyto ogólniki? jakieto znowu są ogólniki, na których się opierali *Bakon, Lock, Kondyllak*? Nie mamy więc i w tym rozdziale o co się spierać dyalektycznie, i tylko wskażemy krótko na parę faktów.

Filozofami już (a nie mistykami), dowiadujemy się tu, byli następcy nauki Zoroastrowej: *Sabelliści, Maniści, Gnostycy* i t. p. Filozofo-

(1) Autor *Teoryi jestestw* np. tak dalece, mówiąc stylem autora, *demonizował*, iż w drugim tomie tego dzieła, czy też w rozprawie: „O pokarmach i napojach”, nie przypominamy, mówiąc o higienie wiosennej, tak się wyraził: „śmiało twierdzą, iż ta instytucja (wielkiego postu) była rozkazem *natchnionym* i *objawionym*.”

wie ci dali początek Waldensom i Albigenom; w związku z tymi był mistrz *Socyn*, od tego zaś poszła sławna w wieku XVIIym w Polsce szkoła aryańska *rakowska*, główny cel i przyczyna, jak się zdaje, napisania przez autora tego rozdziału.

Autor wraca na chwilę do Grecyi, czyni wzmiankę o Jończykach i Eleatach, a od nich przechodzi już wprost do *szkoły rakowskiej*. Była, mówi, wprawdzie w Polsce oświata i pewne nauki; ale oświata ta była niczém do czasów szkoły rakowskiej. Wszystkie zakłady naukowe, nie wyjmując akademii krakowskiej, byłyto tylko gniazda jaszczurek przy owój szkole. Szkoła ta liczyła 1000 uczniów, miała rozgłos w całej Europie, i wzniosła w kraju światło i nauki, do stopnia, z którym światło i nauki w reszcie Europy, dodaje autor, *porównać się* nawet nie mogły.

Nie mogliśmy nie być dumni próżnością krajową, wyczytawszy to założenie; wszakże musimy wyznać prawdę—autor nie sprawdził go.

Szkoła rakowska istotnie liczyła do 1000 uczniów i z pierwszych rodzin krajowych, ale jój wpływ na nauki i oświatę krajową, był prawie żaden. Szkoła ta trwała od roku 1603—1638; czas w którym jój uczniowie wzrosli na mężów i grali rolę w kraju, było koniec wieku XVIIgo i początek XVIIIgo, i było czas najsmutniejszy w dziejach oświaty krajowej. Autor wypisuje wprawdzie kilkanaście imion i nazwisk na poparcie swego twierdzenia, ale sąto imiona, których nietylko Europa, ale dziś już nie zna kraj własny (1). Miał wprawdzie nasz kraj w owych wiekach ubiegłych i w części za wieku Socynów, historyków, uczonych, poetów i t. p., których zna powszechnie imiona i kraj, i w znacznej części Europa; lecz żaden z nich (nie wyjmując Mikołaja Kopernika) nie miał zaszczytu być uczniem szkoły rakowskiej. Z owoców ocenia się drzewo; a szkoła rakowska, jak w ogóle sekta Socynów, miała tylko zadanie i rolę w dziejach oświaty kraju: płomyka bezowocnego. Nie może tu być odpowiedzią obudzone przez rząd i stany krajowe prześladowanie Aryanów; srozsze prześladowanie obudzone było kiedyś w Rzymie przeciw chrześcianom, a jednak zatryumfował chrystyanizm. Nauka Aryanów przeciwnie pozostała prawie bez śladu: i tu gdzie zamieszkiwali, i tam gdzie przeszli. Autor przytacza dalej kilkanaście zdań oderwanych z naszych pisarzy owego wieku (w części Aryanów), lecz nie wiemy, na zaletę czy na przestrożę;

(1) Zbiory pism naszych pisarzy aryańskich (treść ich stanowią wyłącznie spory teologiczne) nie znalazły i nie znajdują zapewne nigdy, ani w kraju, ani za granicą nowego wydawcy. Jeżeli o zastudze ich zdarza się nam niekiedy czytać wzmianki w pismach obcych, chociażby protestanckich, te (jak np. w tomie IIgim dzieła Ottona *Fock: Der Socinianismus* etc.) nie są wcale na potwierdzenie ich wysokości.

nie mogliśmy bowiem dostrzedz, co to jest za *ogólnik*, na którym się ci *filozofowie* mieli wspierać.

Powiedziawszy dalej słów parę o Bakonie i Locku, pół o Szellingu i Heglu, autor wspomina wreszcie o spólczesnej filozofii niemieckiej, i reprezentacją jęj widzi w polemice byłej gazety berlińskiej: *Ewangelische Kirchenzeitung*. Autor przytacza tu kilka nazwisk *supernaturalistów* i nie o nich nie mówi, kilka nazwisk *racyonalistów* i nic o nich nie mówi;—dodaje wreszcie iż byli i tacy, którzy chcieli łączyć oba kierunki, ale że te usiłowania są niczém. Autor nie chce oporu na *wierze*, nie chce oporu na *racyi*, a w połączeniu ich widzi potworność. Czegoż więc pragnie? Wiara taka lub inna w człowieku rzeczywistością jest, i myśl taka lub inna rzeczywistością jest; twierdzić, iż ich złączenie jest niepodobném, jestto to samo, co twierdzić, iż człowiek nie może mieć *jednocześnie* serca i głowy, i że nie może rość w tém złączeniu. Nie podzielimy bynajmniej wszystkich wniosków np. *Schleiermachersa* w jego *Ewangelische Glaubenslehre*; lecz metoda, której w niej trzyma się, jestto w swojej zasadzie jedyna godna ludzi metoda.

Kończąc rozdział autor, raz jeszcze cały zakres sofii i filozofii wykreśla (naturalnie piórem na swym papierze) z dziedziny wiedzy człowieka, objaśnia, iż taki jest obraz *wiedzy niemethodycznej*, i spieszy do swęj wiedzy rzetelnej.

Umiejętność. Rozdział ten zaczyna p. Szulc od powitania swego przedmiotu, tojest umiejętności rzetelnej, nietylko prozą, ale i wierszem. Cóżto jest ta umiejętność, według autora? Umiejętność rzetelna jestto według autora, wiedza, która nie jest ani sofją, ani filozofją (tojest ani *mądrością*, ani nawet *przyjaciółką mądrości*), ale jestto nauka wsparta na gruncie pewnym, zmysłowym, słowem, na *doświadczeniu*.

„Jedynym, rzetelnym gruntem naszego poznania winno być—doświadczenie; jedyną w nas, rzetelną władzą poznania jest—rozum zmysłowy; jedyną, prawdziwą wiedzą—nauki przyrodzenia.”

Doświadczenie, jestto zapewne środek pewny podźwignienia na wyższy stopień wiedzy człowieka. Rozum zmysłowy, to jedna z władz jego istotnych; a nauki przyrodzenia (jak uważaliśmy już), to wielka i znakomita częśćka wiedzy człowieka. Lecz jak nauki przyrodzenia częśćką są tylko nauk, jak rozum zmysłowy nie jest zbiorem władz wszystkich poznania, lecz tylko jedną: tak téż i doświadczenie jestto tylko jeden ze środków.

Doświadczenie jest owszem najpiérwszym, a ztąd najniższym ze środków w badaniu prawdy; jestto kryterium najwyższe tylko dla dziecka.

Doświadczenie wspiera się tylko na tém, co widzi; jego gruntem, tylko świadectwo zmysłów; to wszystko, co przechodzi kraj zmysłów, przechodzi i doświadczenie.

W wszechświecie jest jednak nietylko to, co widzimy, lecz i coś więcej. Prawdą, jest dla nas nietylko przeszłość, nietylko obecność, ale prawdą jest także, i owszem ważniejszą nad wszelkie, taka lub inna przyszłość. Jak w skutkach stworzonych rzeczy, tak w prawach czyli przyczynach skutków jest pewna harmonia. Tą przyrodą, którą widzimy zewnętrznie, coś rządzi wewnętrznie. Cóż jest ta siła skryta, która nią rządzi? Jaki stosunek nasz do niej? Zkąd harmonia ludzi do ludzi; faktów, do faktów; wieku, do wieku? Ten tłum odkryć i wynalazków (owoc zwykle przypadku, czyn ludzi nieraz mniej umiejętności), który się stał nam społecznie, i nad którym się sam autor unosi, czemu się nie stał dawniej, lecz dzisiaj? nie przez rząd tylu wieków, lecz w naszym? co znaczy ten majestat rozwię moralnych nieznanych dawniej w *sztuce, prawach, ustawach, umiejętności, sądzie* i t. p., jak i do czego idzie? O tém wszystkiém nie nie wiem, nie nam nie mówi, nie umie nawet myśleć *empiryk*. Dla niego wszechprzestrzenią jest—*punkt*, wszechczasem—*chwila*, alfa i omega to—co *doświadczył*.

Empiryzm jest stopniem najpiérwszym wznoszenia rozwagi; dlatego téż cała ludzkość rozpoczynszy drogę rozwagi, zaczęła od empiryzmu (Grecya). Filozofia każdego kraju (sam autor dowodził tego o naszej) zaczęła od empiryzmu; od zasad jego zaczęli podobnie piérwsi sprawcy wskrzeszenia żywszej rozwagi za epoki nowój: Bakon i Lock (których sam autor do pisarzy niemethodycznych odniósł). Zasady te doprowadziła do kresów teoretycznie, a do zastosowań wszechstronnie, przy końcu wieku zeszłego, Francya; i okazało się, iż co jest częstką, nie może być uznawaném za całość, iż nie może istnieć w swém oderwaniu.

Te jednak właśnie zasady chce znowu obecny rozdział autora wskrzeszać *teoretycznie*, i cóż razem mówi *praktycznie*?

Że autor za wiedzę rzetelną ma wszystkie nauki przyrodzenia, tego domyślamy się tylko z jego wzmianek o doświadczeniu; w praktyce jednak jedną z nich tylko za umiejętność rzetelną podał, jedną wynosi, o jednej prawie wyłącznie w rozdziale mówi, a tą jest—*astronomia*.

Jeżeli który lud starożytny, dowiadujemy się tu, był umiejętny, to tylko ten, który liczył zaćmienia, budował obserwatorya. Pomimo to wszystko jednak, świat ciemnym był, aż przyszedł Mikołaj Kopernik.

Nikt nas nie posądzi zapewne o nieprzyjaźń dla astronomii jako nauki, tém więcej o chęć uwłaczania sławy Kopernikowi. Astronomia, to umiejętność wzniosła, i której ostatecznych celów (tak jak każdej innój

umiejętności) dotąd nie znamy; a dzieło: *De revolutionibus orbium caelestium* (1) uczyniło istotnie epokę w tej gałęzi umiejętności. Od czasu jednak, jak sama astronomia wyrzekła, że astrologia jest fałszem, nauka gwiazd stała się nauką najmniej okazującą związku z losem człowieka. Od pierwszego rachunku, który uskutecznił Chaldejczyk lub Chińczyk, wskazując, iż w danym czasie zaćmi się na chwil kilka słońce, do odkrycia społecznego nam Leveryera, który wnikając w tajniki przestrzeni bez granic, dowiódł, iż oprócz milionów znanych nam gwiazd jest jeszcze jedna; nie prawie więcej o stosunku tych gwiazd do ludzi dotąd nie dowiedzieliśmy się nad to, co zapisał jeszcze Mojżesz w Genesis. Fakt największy w żeglarstwie, odkrycie Ameryki, dokonany był jeszcze na pół wieku przed wykładem rzeczywistego systemu planetarnego.

Że w empiryzmie grała, i jak widzimy, gra główną rolę zawsze astronomia, to pojmujemy; dla empiryka, dla którego wszystkiem jest chwila, jestto zapewne szczytem tryumfu, że widzi gwiazdy; jeżeli jednak jest jakiej wagi dla nas badanie i poznawanie gwiazd, które *od nas* tak oderwane: tém większej, zapewne, trochę być winno badanie by najmniejszego fenomenu ducha, który jest *w nas*.

Szczytem nauk jest astronomia; szczytem władz moralnych rozum zmysłowy. „Rozum, rozum i rozum ten, to jedyny, rzetelny w nas czynnik; jedyny który kształcony i w uwagę brany być winien; wszystko inne to sofia lub filozofia”, mówi autor.

Chcemy wszakże wierzyć, iż p. Szulc pomyślał swe dziełko pospiesznie, i wykonał pośpiesznie; inaczéj bowiem posądzić go musielibyśmy, iż chciał w niém coś wcale innego wyrazić, jak apologią rozumu.

W wykładzie docieczeń ludzkich, wszyscy tu potrąceni; sam Kopernik zatarty Marcinem z Goniądza, i jedna tylko, na ostatniej karcie zjawiona: *Teorya jestestw organicznych* została niepokalana.

Teorya jestestw, jak dzieło *De revolutionibus* etc. i wielbimy i szacujemy; jedno z nich ma sobie przyznaną powszechnie wagę w gałęzi gwiazdziarskiej, drugie w lekarskiej. Wielką pochwałę *Teoryi jestestw*, przełożonej na język niemiecki przez *Neubiga*, czytaliśmy jeszcze przed parą laty w którémś piśmie niemieckim. Ale przyzna nam autor sam, że jeżeli od czasu jako są ludzie, to jest od wieków LX. albo, jak przypuszcza zapewne autor, od miliona, tryliona i więcej wieków, tkwił rozum w jednostkach ludzkich, i jeżeli ten rozum przez te tryliony wieków i tryliony trylionów jednostek, nie zdołał nigdy nic począć, i raz ledwie napisał wre-

(1) Zapowiedzenie prędkiego ukazania się dzieła tego w przekładzie polskim, jest najważniejszą wiadomością, jaką znajdujemy w obecnej książce.

szcie *Teoryą jestestw*: tedy taki fenomen przyjąć raczej musimy jako przygodność, skrzywienie prawa natury, i nie możemy być wcale stronnikami i wielbicielami tego czynnika.

Czytaliśmy właśnie w tym czasie w naszym języku pismo, które sobie wprost przeciwny, napozór, obecnej książce, cel założyło. Autor tego pisma, zapewne *protestant*, powołuje nas do samej „wiary bez uczynków”, do zaniechania wszelkiej rozumowanej czynności, do *kwietyzmu*. Ostateczności stykają się (1), i dziełko p. Szulca może się uważać za ap-

(1) Ostateczności stykają się; nie odstępimy więc zapewne od przedmiotu, jeżeli i o tym wprost przeciwnym kierunku, powiemy tu słowo. Reformatorowie kościoła w wieku XVI, lubo różniali się z sobą w szczegółach wielu, w tém jednym zgadzali się wszyscy, iż dostateczną jest dla rzetelnych chrześcian „wiera bez uczynków.” Silne wyjście przed kilką laty przeciw zasadzie téj, w dziele: *Kościół chrześciański i praktyka anglikańska*. (The ideal of a Christian Church in comparison with existing practice. 1844. London) przez *Warda* duchownego anglikańskiego (dziś już katolickiego) i nazwanie jej śmiało „kacerstwem Lutra”, stało się właśnie piérwszém hasłem do licznych nawróceń w Wielkiej Brytanii. Luter powstawał zwłaszcza na *rozum ludzki*, jako niedołążny, upadły i do różróznienia żadnej prawdy niezdolny (*Lejbnitz: dissertatio de conform. fidei cum ratione*, 1768 I, 12; jestto wreszcie zasada, którą w protestantyzmie i dziś wyznają *allluteranie* i *supernaturaliści*), ztąd téż usunął *wykłady* hierarchii i kon-syliów, stosowane do pisma św. jako pisanego nie rozumem ludzkim, lecz duchem bożym. Loiczni następcy Lutra odtrącili i rozum Lutra, *jako upadły*, i powoływali się tylko na własny w wykładzie pisma. Droga ta w jedném korycie wydała sekty bez końca, w drugiem, nazywany tak racjonalizm; obie zaś w ostatnich wypadkach swoich rozwiązują chrześciaństwo. Taki jest krzywy skutek krzywój zasady. W kościele katolickim jestto istotnie dogmatem także, że „rozum i ciało człowieka od grzechu pierworodnego są w stanie upadłym.” (...corpus et anima in deterius commutatum fuisse. *Conc. Trident. Sessio V*), lecz téż zasadą jest: iż winny być *podźwigane*, nie *potępiane*. Ewangelia nie podaje bynajmniej rozumu ludzkiego za dzieło czarta; mówiąc owszem o uzdrawianiu przez Zbawcę *lunatyków*, *opętanych*, świadczy: iż znakiem *odejścia czarta* był powrót rozumu. Nauka Jezusa Chrystusa mówiła zapewne głównie do *ducha*, za cel miała odrodzenie duchowe; lecz duch żywy w człowieku żywym, życie swe przez uczynki objawia. Rozkazem religii wschodnich była miłość bezwładna; sam dekalóg Mojżesza mówił tylko o powściąganiu; lecz cechą nauk i przestróg ewangelicznych jest *czynność* i *czynność*. Jak do uczynków *ciała*, tak do uczynków *myśli* liczne tu powołania. Dłaczegóż *i sami z siebie*, mówił Zbawca, nie *rozsądzacie* natury (znamion) czasów. *Łukasz XII*, 58. Rozbierajcie pisma. *Jan*, V, 39. Poganie was zawstydzą na sądzie, iż przyjeżdżali szukać mądrości. *Mat.*, XII, 42. Kto grzebie i nie rozwija swych *darów*, piekłem ukarze go Dawca. *Mat.*, *Łuk.* (rzecz tę o *darach* po kilkakroć rozwijał św. *Paweł*, jako I, *Korynt.*, XII, *Effez.* IV, 8). Ztąd téż strażnicy i kierownicy ducha Chrystusowego w kościele, od *Piotra*, który mimo swą prostotę, pisał: „wy dodawajcie do

pendiæ do tego pisma. Istotnie bowiem, czyli to obierzemy za cel usuwanie z istoty ludzkiej *rozumu*, a pozostawianie w niej samego *uczucia*, czyli też pozostawianie w niej *samogo rozumu*, z usuwaniem *wiary i du-*

wiary waszój cnotę, do cnoty umiejętność." 2, *Piotr.* 1, 5. Do encykliki *Piusa IX* przy wejściu na urząd, w której powoływał spółchrześcian iżby dodawali do wiary *ćwiczenia moralne*, wszyscy za pożyteczność i za konieczność w żywocie chrześcian czynność moralną uznawali. Nauki kwietystyczne czyli powołujące do samej miłości (bezwładnej i samolubnej) bez wymagania uczynków, lubo się niekiedy wciskały w pisma duchownych, wnet jednak znajdowały skarcenie i potępienie przez kierowników. Wspomnimy tu dla przykładu na bullę *Innocentego XI: Coelestis Pastor* (28 sierpnia 1687) z okoliczności dzieła księdza hiszpańskiego *Moliny*; i *Innocentego XII* (12 marca 1699) z okoliczności dzieła *Życie świętych* (nawróconego dalej z takim pożytkiem dla spółchrześcian) *Fenelona*, które wyraźnie potępiły kwietyzm (1).

W chrześcijaństwie jest zapewne wiele tajemnic. Tajemnicą jest jego początek, tajemnicą cel ostateczny, tajemnicą i droga. Lecz gdy jest droga podana, winna być tak przebyta, jak jest podana. Autor pisma o którym mówimy twierdzi: iż gdyby człowiek jaki nie kształcił się wcale moralnie, i gdyby społeczność jaka zniosła u siebie wszystkie zakłady naukowe, kościół nie poczytałby tego za kacerstwo. Być może; są bowiem „różności *darów*, różności *posług*”, (*św. Paw.*) i wreszcie różności przyczyn. Gdyby ktoś nie dał przez życie grosza jałmużny, gdyby społeczność jaka zniosła u siebie wszystkie zakłady dobroczynne, kościół i tego zapewne nie uznałby za kacerstwo; miłosierdzie jednak nie jest mniej przeto rzetelnym obowiązkiem chrześcijańskim. Autor mówi: „dosyć mi, abym poznał Boga i jemu służył, a nie chcę być ani uczonym, ani filozofem, ani sztukmistrzem i t. p.” Można nie chcieć, ale jeśli o chrześcijaństwie jest mowa, każdy czynić tak winien „jako jest wezwan.” Czyn wprawdzie, to zwykle trud, ciernie i potracenie od świata. Wszakże żyć nie dla siebie, lecz każdy ma *zaprzecić się siebie* i dźwigać *krzyż*. Usuwać i grzebać dary, które Bóg daje i jego rozkaz o darach, nie jest to bynajmniej mu służyć, a tém samym ani go znać. Zaniechania ćwiczeń moralnych jakież wreszcie praktycznie jest skutek? O skutku uczą nas dzieje, przykład codzienny; kraje, indywidua, wieki, które zaniedbują ćwiczeń moralnych, toną w rozpuście. Wiara sama, tak nawet żywa jak w wiekach średnich, pół jest tylko ratunkiem. Pierwszą taką erę ludzkości, erę martwości moralnej, rozpusty fizycznej, potopem ukarał Pan Bóg. Bieg nowój nie ujrzał potopu, i nie sprowadzą powodów nasze wzywania; bieg ten bowiem okazał jawnie, iż jest to już era łaski.

(1) Iż nie twierdzimy stronnice, przytoczymy tu zdanie pierwszój, która nam wpada pod rękę, a jednej z najnowszych, *teologii dogmatycznej* dra i profesora teologii, księdza Cystersy *Więsta*: „Contra dogma catholicum graviter errarunt quidam Pseudomistici, qui Christianae perfectionis apicem *in amore puro* ut ajunt, reponentes, crediderunt etc. Cum opinionis hujus defensores simul docerent, hominem ita in Deo debere quasi *quiescere* ut nihil operetur, dicti sunt *Quietistae* et eorum doctrina *Quietismus, Institutiones Theologiae Dogmat.* II. 439, *wyd. 4te.*

cha, zawsze ścigać będziemy cel jeden, to jest zamienienia rodzaju *ludzi* w rodzaj *pół-ludzi*.

Taki jest jednak cel, taka treść i zasady dziełka: „O źródle wiedzy tegoczesnej” przez p. Szulca, jeżeli tylko czytelnik przyznać zechce, że jest w niem jakaś treść i jakieś zasady. Co najtrudniejszém nam było, dodajmy, to zgadnąć powód oraz znaczenie napisu dziełka. Czy autor źródło wiedzy tegoczesnej uważa za złe? za dobre? i w czém mianowicie je widzi? Jeżeli za źródło wiedzy tegoczesnej ma doświadczenie, tedy myli się; doświadczenie, jeżeli już tak chce autor, było przeważném źródłem wiedzy ludzkości, gdy była dzieckiem, kiedy rozpoczynała, w różnych stopniach wznawiane, ery rozwagi, ale nie tegoczesnej.

Lecz w gruncie, źródło wiedzy człowieka jest zawsze jedno.

Źródłem wiedzy są zarówno *zmysły* i *myśl*. Źródłem zmysłów i myśli jest to, co kieruje uczuciem zmysłów, obrotem myśli, czyli—jest *duch*.

Co jest źródłem zmysłów i myśli, jest źródłem wiedzy.

Każdy, który ogląda źródło wiedzy czyli to tegoczesnej, czy innoczesnej, nie *w duchu*, ale *w punkcie i chwili*, buduje na téj podstawie gmach, który tak tylko będzie trwał, jak ta podstawa, to jest: że się wywróci za drugą chwilą.

T.



ROZMAITOŚCI.

Mormony.

Między dziwactwami obecnej epoki nie ma zapewne większego i niedorzeczniejszego nad historią owych wieśniaków, którzy zabłąkawszy się w niezmiernych pustyniach nowego świata, nie ma lat dwudziestu, przedsięwzięli założyć nową religią, używając nikczemnego i grubego kłamstwa. Choć im się to nie udało zupełnie, liczą jednak dzisiaj apostołów we wszystkich częściach świata, a już prawie naprawdę stanowią osobny stan polityczny; a silném, jakie być może na ziemi, zjednoczeniem dążą do tego, żeby społeczność przyjęła ich na swoje łono jako indywidualność oddzielną. Zkąd pochodziła siła żywotna Mormonów, że w krótkim czasie tak wielkie zrobili postępy?—trudno jest wytłumaczyć, choć zaprzeczyć niepodobna. Nawet nie brakło im na przeciwiństwach: przeszli oni wszystkie próby ognia i miecza, po wiele razy mniemać było można, że upadli ze wszystkiém. Wyparci przemocą z Missuri i Illinus, po krwawej przegranej na wiosnę 1846 roku wypędzeni na łąki Far-westu z żonami, dziećmi, starcami, można było mniemać, że tam zginą, zdziesiątkowani karabinami dzikich, przeredzeni przez głód i choroby: aż tu po trzech latach za ledwie, pierwsze szeregi wychodźców, które skwapliwie biegły do Kalifornii na wiadomość cudownych złota pokładów, znajdują Mormonów nad brzegami jeziora Słonego, w pustyniach, które ledwie śmiały myśliwiec nawiedzać. Zbudowali miasto, które już miało 6,000 mieszkańców, wykarczowali kilka tysięcy włók ziemi, i rzecz dziwna, sektarze ci, którzy dla swojego fanatyzmu i gwałtownych a niehumanicznych obyczajów musieli być wypędzeni bronią świata cywilizowanego, otwierali hojnie swoje składy zbożowe zgłodniałym wychodźcom, przyjmowali ich gościnnie do swoich domów. Piérwsito oni odkryli złoto Kalifornii, a dziś

są dla wszystkich wędrowców opatrzniemi przewodnikami. Przed kilku nawet dniami w dziennikach Stanów Zjednoczonych z przyjemnością czytaliśmy, że Mormony swoje osady rozszerzali w stronę Sierra-Newada, w obszarach, w których tysiące wychodźców umierało, zasypani w śniegach, przez Indian wymordowani, wybici głodem i chorobami. Będzieto strażnica. Na niczém więc nie zhywa téj historii: jest w niéj patetyczność, romans, dziwactwo, i niedarmo téż z wielkiém zajęciem długi jéj opis czytała angielska publiczność w *Morning-Chronicle*, z którego krótkie porobimy wyciągi.

II.

Założyciel sekty, Józef Smith, młody, jak go do śmierci saméj nazywano, urodził się w 1805 r. Dopiero w r. 1831 uorganizował pierwsze zgromadzenie świętych dnia ostatecznego, a dziś, nie ma lat 20, sekta ta liczy do 30,000 adeptów w Anglii, i około 160,000 albo nawet 180,000 wiernych w Stanach Zjednoczonych. Mormony są dziś założycielami i głównemi mieszkańcami kraju położonego w pustyniach Ameryki północnej, w obrębie Stanów Zjednoczonych, pomiędzy łańcuchem gór skalistych i Sierra-Newada, któremu dali nazwę *Deseret*, wyraz, który się znajduje na każdej karcie ich nowéj biblii albo księgi Mormona, a który, jak mówią, w ich języku mistycznym znaczy *rój pszczół*. Mają nadzieję, że przez napływ Anglików i połączenie się wszystkich braci w Stanach Zjednoczonych, będą w dostatecznej liczbie do wejścia jako stan oddzielny na łono jedności amerykańskiej. Podług brzmienia ustawy, żądana liczba mieszkańców jest 60,000 dusz: a wątpić nie można, że za kilka lat Mormony urzeczywistnią ten projekt; prócz tego kongres Stanów Zjednoczonych już kilka razy miał przedstawione sobie w tym względzie propozycye, życzące ich prowincyj i stosunku do państwa, a wiadomo, że w Stanach Zjednoczonych dziś przedział bardzo prędko przebyć można.

Takie jest obecnie stanowisko świętych dnia ostatecznego; jakkolwiek postępy mahometanizmu szybkie były w jego początkach, nie można ich przecież porównać z postępem Mormonów. Przejdziem pobieżnie okoliczności życia Józefa Smitha i historją sekty, którą założył, objaśniając rzecz wykładem téj nowéj nauki religijnej. Żeby uniknąć nawet cienia złéj woli ku ludziom, którzy (jakibądź byłby charakter i zamiary pierwszego ich naczelnika, i fanatyzm, który ich ożywia), przedsięwzięli dzieło wielkie a mało znane, oprę się ile będzie można na ich własnych pisarzach, powołując się jednak i na sąd obcych. Okoliczności, które opiszę, są wyjęte z książki, która ma tytuł: *Ważne widzenia*, a autorem jéj jest Orson Pratt, agent emigracyi Mormonów w Liverpool, który zaraz na pierwszój

karcie swojego dzieła przyswaja sobie tytuł: *jednego z dwunastu apostołów kościoła Jezusa Chrystusa i świętych dnia ostatecznego*, a którego Mormoni liverpolscy uważają zwykle jako *pięrnwszego apostoła kościoła świętych dnia ostatecznego w Anglii i głównego ajenta kościoła Jezusa Chrystusa w Europie*.

Józef Smith, młody, mówi Orson Pratt, narodził się w mieście Sharon, w hrabstwie Windsor, w prowincyi Wermont, 23 grudnia 1805 r. Miał lat 10 kiedy jego rodzice przenieśli się z całą familią do Palmyry, prowincyi New-Jork, w którójto okolicy mieszkał około lat jedę-nastu. Używano go od dzieciństwa do uprawy roli. Nie dziw przeto, że nie miał żadnych środków nauczania się. Dorosłym był już młodzianem, a dobrze czytać nie umiał, i wcale źle pisał; zaledwie początki arytmetyki rozumiał. Tyle umiał mając 14 albo 15 lat, kiedy mu przyszło na myśl przysposobić się do nowego sposobu życia. Dlatego oddalił się do groty tajemnej, niedaleko od domu ojca i zaczął błagać Pana. Z początku był straszliwie kuszony potęgą ciemności, która wszystkiego użyła, by go pokonać; ale oparł się, a ciemność znikła z jego umysłu, a w nagrodę swoich gorących modłów, Pan ukazał mu w niebie jasność cudowną, nadzwyczajnego blasku, która zdawała się ginąć w głębiach eteru. Jednak siłą swych modłów zmusił owę jasność do zstąpienia ku niemu, tak, że osiadła na ziemi, a Józef Smith ujrzał się okryty nadprzyrodzonym ognia płomieniem, poczuł dziwną w sobie odmianę, a duch jego natychmiast uniesiony poza obręb świata fizycznego, który go otaczał, rozplywał się w bozkiem widzeniu, w którém spostrzegł dwie osoby bozkie, zupełnie do siebie podobne. Od niehto się dowiedział, że jego grzechy były mu odpuszczone, i otrzymał objawienia w tych rzeczach, które oddawna zaprzątały jego umysł. Nauczono go, że nauka wszystkich wyznań religijnych była skażona błędami, a żadna z nich nie była uznana od Boga za jego kościół, za jego królestwo. Odebrał potém obietnicę „że prawdziwa nauka, i dopełnienie ewangelii kiedyś mu objawione będą”. W końcu widzenie zniknęło, zostawując go w nieopisanym stanie pokoju; a jednak w jakiś czas po tém chwalebném widzeniu, będąc młodym jeszcze, uległ marnościom tego świata, ale niedługo żałował tego szczerze i pobożnie.

Podobało się Bogu d. 21 września roku łaski 1823 wysłuchać gorącej modlitwy swojego ucznia. Zdało mu się nagle, że dom jego ogarnęły ogniste płomienie. To zjawisko niespodziane zrobiło na nim, jako się domyśleć można, nadzwyczajne wrażenie, za którém nastąpiło uczucie spokoju i pogody, zachwyt wesela, które przechodzą wszelkie pojęcie, i natychmiast ukazała się postać tajemnicza.

Mimo blasku światłości, która napelniała izbę, zdało się, jakoby nowa jasność ukazała się przy téj osobie; a choć wzrok jój był od błyskawicy przenikliwszy, wejrzenie było tak słodkie i ujmujące, że wszelka bojaźń ustąpiła z serca Smitha, a dusza jego pogrążona była w niebiańskim pokoju.

Postawa téj osoby była okazalsza, aniżeli zwykle miewają ludzie tego wieku, w jakim ona się wydawała: szata jój była biała, cała tkana.

Ta nadprzyrodzona istota było anioł Pański, posłany od Boga samego żeby oznajmić Smithowi, że jego grzechy są mu odpuszczone, modlitwy wysłuchane; a dać mu dobrą nowinę, tojest: że dawne przymerze zawarte niegdyś z Izraelem miało się dopełnić wkrótce dla jego potomstwa, że wielkie dzieło przygotowawcze dla drugiego przyjścia Messyasza miało się rozpocząć, że czas nadchodził, w którym ewangelia dopełniona miała być opowiadana wszystkim narodom, że lud nowy miał być przysposobiony przez wiarę i prawdę do królestwa bożego na ziemi.

Anioł mu oznajmił, że on sam był powołany i wybrany za narzędzie Pana. Objawił mu także, że Indyjanie Ameryki byli szczątkami Izraela; że w czasie w którym przeszli do Ameryki składali oświecony naród, posiadający poznanie prawdziwego Boga, cieszący się jego łaską i szczególnymi dary; że pomiędzy nich prorocy i natchnieni pisarze mieli rozkaz zachowania historyi najważniejszych wydarzeń, które się dokonały wśród ludu; że historia ta przechodziła z pokolenia do pokolenia aż do czasu, w którym Izrael popadł w wielką przewrotność. Największa część narodu zginęła, ale księga święta była złożona w miejscu bezpiecznym, by ją uchronić od rąk złośliwych, które chciały ją potargać. Udzieliwszy mu wiele innych objaśnień tyczących się rzeczy przeszłych i przyszłych, bożki posłaniec zniknął, nadprzyrodzone światło ustało, zostawiając Smitha w stanie pokoju i wesela, który trudno opisać. Lecz dwa razy téjże nocy to samo się powtarzało widzenie, a za każdą razą anioł dodawał coś do wiadomości, jakie dawał Smithowi o wielkiem dziele, które Bóg miał przez niego dokonać na ziemi. Nazajutrz rano, kiedy wychodził do zwyczajnej pracy, anioł znów mu się ukazał, i uwiadomił go o miejscu, w którym księga święta była złożoną.

Udał się więc na wskazane miejsce, a oto opis jego, zrobiony przez osobę, która je oglądała:

„Idąc wielkim gościńcem, który prowadzi z Palmyry do Canan-diga w prowincyi New-York, kiedy przybliżasz się do małej wioski Manchester, o 3 lub 4 mile od Palmyry, odkrywasz na prawej ręce przy drodze wysoki pagórek. Tamto, na zachodnim brzegu tego pagórka, w niewielkiej odległości od szczytu, książka była znaleziona; a kiedy odwie-

działem te miejsca w 1830 roku, było tam jeszcze drzewa w takiej ilości, że w lecie cień dawały, a nie tak zgęszczone, żeby trawa rość nie mogła. W otworze niebardzo głębokim, który zrobiono, znaleziono naprzód kamień dość znacznej objętości, i oglądony po wierzchu. Kamień ten zamykał małe wydrążenie, również gładkimi czterema kamieniami wyłożone, w środku na trzech podstawach z kamienia była złożona księga święta. Kiedy Smith z podziwieniem religijném rozważał ten skarb święty, anioł który się był mu pokazał, zjawił się i teraz, a dusza jego była oświeconą jako poprzedniego wieczora; napelniony był Duchem św., niebiosa się otwały, a promień chwały bożej zstąpił na niego. Był jeszcze pogrążony w zachwyceniu, kiedy rzekł mu anioł: „spójrzyj”—i widział księżęcia ciemności, za którym szło niezliczone wojsko duchów piekielnych. Kiedy wojsko przeszło przed nim, bożki posłannik rzekł mu: „to ci było pokazane, dobre i złe, zdrowe i nieczyste, chwała Pana, i moc ciemności, ażebyś odtąd znał dwa początki, a nie szedł nigdy ani był zwyciężony od złego. Nie możesz zaraz dziś wziąć księgi świętej, bo rozkaz Pana jest wyraźny, a chce, abyś ten święty skarb pozyskał przez modlitwę i zachowanie jego przykazań.”

„Przez cztery późniejsze lata Smith odbierał częste nauki z ust bożkiego posłańca, a dopiero rano 22 września roku łaski 1827 anioł Pana oddał mu księgę.”

„Była wrytą na blachach metalowych, które miały podobieństwo złota. Każda blacha miała 7 do 8 cali długości, i tyleż szerokości, a nie była tak grubą jak blacha pobielana. Blaszki te były pokryte z obu dwóch stron charakterami egipskimi: były złożone w księgę, jako karty książki zwyczajnej, a z jednego brzegu były związane razem trzema kółkami, które przez wszystkie blaszki przechodziły. Księga miała blisko sześciu cali grubości, a na części jej kart była wyciśnięta pieczęć tajemnicza.”

„Charaktery albo litery wryte na kartach nieoznaczonych pieczęcią były małe i bardzo dobrze wypracowane. Cała księga miała pozór wielkiej starożytności, jako też wielkiej zdolności w sztuce rytowania. Znalaziono przy niej położony bardzo ciekawy instrument, od dawnych nazywany *wim* i *thummim*, który miał kształt małego łuka, przy obu końcach opatrzonego dwoma przejrzystymi jak kryształ kamieniami. Tego narzędzia używali niegdyś ci, których nazywano *widzącymi*, i za jego pomocą odbierali objawienia.”

Kiedy Józef Smith objawił swoją naukę ludziom, jako on sam nieumiejętnym, i wielu innym, którzy też nie więcej umieli, zaczęto w publiczności rozpowiadać o cudownych blaszkach. Żalować trzeba, że Orson Pratt nie powiedział co było zrobione, żeby wykazać ich pra-

wdziwość. Nadewszystko szkoda, że nie daje żadnego objaśnienia, co do kroku jednego z nowych nawróconych, Marcina Harris, do uczonego New-Yorku, pana Anthon. Szczęściem w dziennikach New-Yorku znajdujemy list tego profesora, który najlepiej publiczność oświeci. Zapewne gdy rozgłosili Mormonowie, że p. Anthon widział blaszki i ogłosił, że charaktery na nich były egipskie, był proszony od wielu osób, żeby oświadczył, co wiedział o tym przedmiocie. Oto odpowiedź jego, dana doktorowi Howe:

New-York, 17 lutego 1834 r.

„Drogi mój panie! Otrzymałem twój list z d. 9., i pospieszam ci nań odpowiedzieć. Cała historia, jakobym miał powiedzieć, że pismo Mormonytów jest w charakterach hieroglifów egipskich poprawnych, największym jest kłamstwem. Przed kilką laty, młody rolnik z pozorów naiwny i prostak, przybył do mnie z listem doktora Mitchell, prosząc, żebym odczytał jeżeli potrafię, pismo, które mi ów rolnik miał okazać. Po kilku chwilach badania postrzegłem, że to było głupstwo albo oszustwo. Kiedy zapytałem go, zkąd ma ten papier? odpowiedział mi: księga złota, złożona z pewnej liczby blaszek złotych, związanych razem nicią tegoż metalu, znalezioną była na północy w prowincyi New-York, i z nią para kolosalnych okularów. Okulary te były tak wielkie, że jedno szkło wystarczało na oba oczy; jakoż były rozmiarów nazbyt wielkich dla obecnego rodu ludzkiego. Lecz co było jeszcze dziwniejszym wedle mniemania biédnego chłopczyzny, że przez te okulary patrząc na pismo księgi złotej, można było nietylko czytać je, ale jeszcze myśl rozumieć. Przecież władza ta nadzwyczajna dostała się wyłącznie młodemu człowiekowi, właścicielowi skrzyneczki, w której znalazł księgę i okulary. Schowany za zasłoną w stodole pewnego folwarku, ów młodzieniec ukryty przed oczami wszystkich, kładł okulary, a patrząc przez jedno szkło, odczytywał pismo księgi, tłumaczył z niego kilka wierszy, które chwytały ciekawi stojący z drugiej strony zasłony. Przy tém nawiedzeniu, Marcin Harris słowa nie rzekł o łasce Boga, jako środka wyczytania tajemniczego pisma: wszystko tu okulary dopełniały. Powiedział mi tylko, że mocno na niego nalegano, ażeby dał pieniędzy na koszt ogłoszenia téj księgi złotej, której treść, mówił, miała sprawić wielkie zmiany na świecie, a ród ludzki od zguby zachować. Tak silne były te nalegania, że postanowił sprzedać swoją rolę, a pieniądze oddać tym, którzy przyrzekali ogłosić tę książkę. Chciał zażyć jeszcze roztropności, i przyszedł do New-Yorku, w celu poradzenia się ludzi uczonych i dowiedzenia się, co obejmował ów papier, który przyniósł ze sobą, a był

mu dany, jako ułomek księgi złotój, którego ów młodzieniec okularami swemi jeszcze nie odczytał. Słuchając tego dziwnego opowiadania, domyśliłem się, że w tém nietylko jest sam żart, a jeszcze podłe oszustwo, wymierzone przeciwko temu młodzieńcowi. Udzieliłem mu swoich domysłów, ostrzegając, żeby się miał na ostrożności. Prosił mię, żebym moją opinią dał mu na piśmie, czego naturalnie odmówiłem i rozłączyliśmy się”.

„Co się tyczy papieru, który z sobą zabrał, był pokryty charakterami pogmatwanemi różnego rodzaju, ustawionemi w kolumny, i widocznie wrytymi przez kogoś, który je pobrał z różnych alfabetów greckich, hebrajskich i t. d.; widziéć można było nawet litery łacińskie przewrócone, albo pisane na bokach w kolumnach prostopadłych: wszystko się kończyło kołem grubo nakreślonym, na wiele podzielonym części, pokrytych dziwnymi znakami, widocznie pożyczonemi z kalendarza meksykańskiego, wydane go przez Humboldta, ale tak skopiowane, żeby nie można było dojść źródła, z kąd były wzięte. Wehodge w te drobnostki, bo często o tym przedmiocie rozmawiałem z przyjaciółmi, odkąd Mormony zaczęli zajmować publiczność, a przypominam sobie doskonale, że papier ów, był pokryty wszelkiego rodzaju charakterami, wyjąwszy hieroglifów egipskich.”

„Oto wszystko, co mi wiadomo o początkach Mormonizmu, a proszę cię, jako o osobistą przysługę, żebyś kazał natychmiast ten list ogłosić, żeby więcéj ci nieszczęśni fanatycy nie nadużywali mojego imienia.

Zostaję i t. d.

Karol Anthon”.

List ten nie potrzebuje rozbioru.

Z drugiej strony, oto treściwy wyciąg z księgi Mormona, tak dziwnie w świat rzuconej. Wyjmujemy to z ogłoszenia, które ma za tytuł: *Voice of warning* (głos poradnika), a autorem jego jest Parley P. Pratt, drugi apostoł Mormonów.

Księga Mormona zawiera historią dawnych mieszkańców Ameryki, którzy byli szczepek rodu izraelskiego, i z pokolenia Józefa, których Indyjanie naszych czasów ostatnie przedstawiają szczątki. Główny z pośrodka ich naród uległszy w walce, około IV lub V wieku naszej ery, jeden z ich proroków, którego imię było Mormon spisał pokrótce ich historią, proctwa, nauki, które wrył na blaszkach metalowych, a sam będąc zabity, książka jego dostała się synowi jego, imieniem Moroni, który ścigany od zwyciężkich nieprzyjaciół, otrzymał z nieba rozkaz zakopania tego świętego skarbu, z obietnicą Boga, że on nie zaginie, a owszem będzie dany ludziom w dniach ostatecznych świata, przez jeden naród, który w następstwie czasów i przemian stanie się panem Ameryki. Zabytek ten

był dokonany koło roku 420, na wzgórzu zwaném podówczas Cumora, położoném dziś w hrabstwie Ontario, prowincyi New-Yorku, gdzie był wybornie przechowany aż do chwili, w którój za pośrednictwem aniołów był oddany ludziom, a natchnieniem niebieskiém wytłumaczony.

Może się kto zapyta, jakim sposobem człowiek tak nieoświecony, jak Józef Smith, mógł napisać dzieło, chociażby nawet niedorzeczne, jakim jest księga Mormona. Oto mała anegdota, która choć trochę objaśni pytanie. Pokazuje się, że w r. 1809, pewien człowiek imieniem Salomon Spaulding, były minister kościoła, któremu źle się powiodły interesa w Cherry-Vale, w prowincyi New-York, usunął się na wieś, by żyć oszczędniej, a utrzymywać się z prac literackich. Uderzony przypuszczeniem, które naówczas było powszechne w Stanach Zjednoczonych, a które Indyan uważać kazało za potomków 10 pokoleń izraelskich, a historia ich zaginęła; powziął myśl zrobić z tego przedmiot romansu religijnego:—bajki biblią natchnioną. Nad tém przez 3 lata pracował, a owoc téj pracy jest dzieło, które nazwał *rękopism znaleziony*. Mormon i syn jego Mormoni byli głównymi osobami romansu. W r. 1812 rękopism był przedstawiony księgarzowi wydawcy Pittsburga, w Pensylwanii; lecz nim zgodzono się na warunki wydania, autor umarł, a rękopism został w rękach księgarza, który nawet mało nań dawał uwagi. W r. 1826 umarł znów księgarz, lecz przedstawił poprzednio rękopism pewnemu Sidney Rigdon, zarządcy jego drukarni, a który téż po Józefie Smith jest głównym naczelnikiem Mormonów. Jakim zaś sposobem poznali się z sobą, nie wiadomo, i który z nich powziął myśl z bajki Salomona Spaulding zrobić nową biblią, i to niepewno. To tylko wiadomo, że żona, towarzyszy, kilku przyjaciół i brat Salomona Spaulding pod przysięgą zeznali tożsamość głównych części księgi Mormona ze znalezionym rękopismem, które autor im czytywał częściami, i po kilka razy.

Rzecz religijna, naśladowana ze starego i nowego testamentu, tak jest przekręconą w bajce Salomona Spaulding, że zupełną zdradza niewiadomość pisarza; pełno błędów najgrubszych pisowni angielskiej, nieznanomość grammatyki w każdym wierszu widoczna; przy dodanym texcie najczęstsze anachronizmy: mówi o bussoli jako o narzędziu znaném przed erą chrześcijańską, Zbawiciel świata wystawiony jest jako ukazujący się zaraz po swoim zmartwychwstaniu żydom w Ameryce: naród, który wedle Józefa Smith, nie rozumiał greckiego, lecz mówił jakąś hebrajszczyzną, albo poprawnym egipskim, i do którego Zbawca odzywa się w tych słowach: „Ja jestem Jezus Chrystus, syn Boga, stworzyłem niebo i ziemię, i wszystkie rzeczy, które zamykają. Jestem światłością i żywotem świata, *alfa* i *omega*, początek i koniec”. Co dowodzi, że Józef Smith nie wie-

dział, że Jezus jest tłumaczeniem z hebrajskiego Josua; że Chrystus zna-
czy po grecku *pomazaniec pański*; że *alfa* i *omega* są pierwszą i ostatnią
literą alfabetu greckiego, i że te wszystkie słowa i wiele innych, których
używa, a które nie tu miejsce przywozić, nie miałyby żadnego znaczenia
dla ludu, któryby słowa po grecku nie umiał.

Oprócz księgi Mormona, święci dnia ostatecznego mają jeszcze
książkę nauk, które utrzymują, że były objawione Józefowi Smith i in-
nym. Książka ta mówi o zarządzie doczesnym ich kościoła, o utrzymaniu
biednych, o dziesięcinie, o ustanowieniu miast i kościołów, o podziale zie-
mi, o wędrowce świętych, o wychowaniu ludu i t. d. Księga ta pełna jest
błędów przeciw pisowni i składni, więcej nawet jak księga Mormona.
Kilka wyjątków z tych objawień i styl, w jakim Józef Smith każe prze-
mawiać Wszechmocnemu w rozmowach z nim, przekonają, jakimuto
ludzie pod wpływem fanatyzmu mogą dać wiarę głupiemu oszustwu, ja-
kim szaleństwu, a nawet niedorzecznościom. Oto kilka wierszy obja-
wienia, które, jak utrzymuje Józef Smith, było mu uczynione w lutym,
1831 r. We wszystkich tych objawieniach, Pan zawsze dodaje do imion
Józefa Smith miano *młodszy* (junior), ażeby go zapewne nie brano za
jedno z ojcem Józefem Smith, *starszym* (senior). „Trzeba, mówi jedno
objawienie Pana, datowane w lutym, 1831 roku, trzeba żeby był zbu-
dowany dom mojemu słudze, Józefowi Smith młodszemu, gdzieby mógł
żyć i tłumaczyć w pokoju”. Inne objawienie tego miesiąca mówi: „jeże-
li chcecie tajemnic mojego królestwa, opatrzcie Józefa Smith młodszego
żywnością, odzieżą, i wszystkimi rzeczami, których potrzebuje”. We
dług objawienia, prorok nie miał obowiązków pracowania, ażeby żyć.
„W pracach doczesnych, mówi objawienie z lipca, 1830 roku, nie bę-
dziesz miał siły, bo to nie twoje powołanie. Spełniaj twoje powołanie,
a będziesz miał wszystko, co ci będzie potrzebném do wypełnienia two-
ich powinności, i wytłumaczenia wszystkich pism”.

Wypada nam dodać, że Mormony uznają dwa porządki kapłaństwa,
Aarona i Melchisedecha; że są żądzeni przez proroków albo prezydenta,
przez 12stu apostołów, przez radę zwaną siedmdziesięciu, przez liczbę
nieoznaczoną biskupów, arcykapłanów, dyakonów, starszych i nauczają-
cych. Utrzymują, że dar prorocstwa i moc czynienia cudów nie ustały po-
między ludźmi; że Józef Smith i wielu innych Mormonów czynili cuda
i wypędzali djabła; że koniec świata blizki; że są świętymi przepowiedzia-
niami w Apokalipsie, którzy mają odziedziczyć królestwo doczesne Jezusa
Chrystusa na tym świecie. Nauczają także, że to królestwo powinno być
założone albo nad brzegami Missouri, miejscu piérwszój ich osady, albo
w kraju, który teraz zajmują nad brzegami wielkiego jeziora Stonego, na

plaszczynnie którą nazwali *Deseret*. Utrzymują, że księga Mormona ze zbiorem nauk, stanowi dopełnienie ewangelii, że nic nie wzięła, ani ze staro-
 rego, ani z nowego testamentu, które ma dopełniać. Zdaje się jednak, że jéj nauka o Bogu, różni się od ewangelii, i uznaje bóstwo materyalne. Wyraźniej to ogłaszają w zbiorze, który ma tytuł: *Times and Seasons* i w wielu innych pismach. Następny wyjątek z pewnego rodzaju wyznania wiary, podpisanego przez Orsona Spencer, jednego z 12 apostołów ich kościoła, daje poznać ich mniemanie w tym względzie. „Pod niektórymi a nawet pod wielu względami różniły się od innych religijnych wyznań. Wierzymy, że Bóg jest istotą, która ma przytém ciało i części, a nawet namiętności. Nie wierzę, aby pismo święte kończyło się objawieniem św. Jana, ale wierzę, że wszędzie gdzie Bóg znajduje swój prawdziwy kościół, częste daje objawienia; a jako Bóg wie wszystkie rzeczy duchowne i doczesne, jego objawienia tyczą się wszystkich rzeczy, które mogą posłużyć do okazania jego chwały”.

Józef Smith jeszcze jest wyraźniejszy w szóstéj księdze *Millennial Star*; czytamy z jego podpisem:

„Coto jest Bóg? Jestto inteligencya materyalna, organiczna, która ma ciało i części. Ma postać człowieka, i jest rzeczywiście tego samego rodzaju; ale jest wzorem i typem doskonałości, do jakiej człowiek dążyć powinien. Bóg jest naczelnikiem i ojcem całej rodziny. Istota ta nie może na raz dwa zajmować miejsca: dlatego nie może być wszędzie obecny.

„Coto są aniołowie? Istoty mające początek z rodu ludzkiego; wielu są dziećmi Adama i Ewy, z ludzi, jak napisano, istoty Boże, mające tę samą władzę, przymioty, jaką posiadają: Ojciec niebieski i Jezus Chrystus.

„Najmizerniejszy z dzieci Boga, które dziś na ziemi żyją, będzie miał królestwo obszerniejsze i więcej bogactw, więcej podwładnych, więcej potęgi, więcej chwały, niż posiadają dziś Jezus Chrystus i Jego Ojciec; lecz w tymże czasie Jezus Chrystus i Jego Ojciec ujrzą wzrastającą swoją potęgę, swoje państwo i podwładnych w odpowiednim stosunku”. Materyalizm przeto spoczywa na dnie prawdziwej nauki Mormonów, a jedna z broszur, którą w największej liczbie i z największą troskliwością rozrzucają, ma napis: *niedorzeczność niematerialności*.

Dosyć tego zapewne o naukach Mormonów. Czytelnik może teraz dostatecznie ich osądzić. Nie jeszcze nie powiedzieliśmy o żarliwości ich fanatyzmu, a dosyć, żeby pokazać, co dziś znaczą pod względem religijnym. Poprobujem teraz opowiedzieć historią téj sekty nadzwyczajnej, wyjętej z początku w śmieszności i pogardzie, rozwijającej się potem mimo dziwnych losów, wśród prześladowań i najzaciętszej wojny, a dziś

widziny ją liczącą swoich wiernych na krocie, chwalcą się, że zebrała dla powołania swoich adeptów do *Deseret*, fundusz 3500 kilog. złota Kalifornii, że ma wysłańców po wszystkich krajach Europy, i dokonywa planu nierównie obszerniejszego wychodźstwa, niż wszelkie inne w nowszych czasach towarzystwa polityczne lub religijne.

III.

Dzień każdy bardziej potwierdza tę prawdę, niebardzo schlebającą miłości własnej człowieka, że nie ma niedorzeczności, ani fanatyzmu, któreby nie znalazły takich, co by weń nie uwierzyli. Uczni czy nieświadomi, bogaci czy ubodzy, prostaki czy światli ludzie, wszyscy mogą w danym dniu przejść za granicę rozumu, i stać się ślepym narzędziem oszustów religijnych, a co niebezpieczniejsza, szaleńców, którzy ich sprawie dają straszliwą podporę sumiennój wiary, z jaką oni przy niej obstają. Czyby Józef Smith do jednej czy drugiej z tych dwóch klass należał? To jest pewno, że od początku jak rozpoczął głosić swoją naukę, zaraz zaczął robić koło siebie nawrócenia. Przepowiednia dni ostatecznych, to jest dni, które mają poprzedzić drugie przyjście Chrystusa, ukazującego się znów na ziemi, dla utwierdzenia swojego królestwa doczesnego, *millenium*, miała wielki wpływ na massy. Józef Smith chytya to wyobrażenie, a każde trzęsienie ziemi, ogłoszone w pismach, każda nowa kometa, którą odkryto, każdy meteor, który ukazywano, każda wojna lub pogłoska o wojnie w Europie lub Ameryce, każdy potwór u zwierząt, każda klęska publiczna, burza, pożar, wybuch, przepowiadane były przez niego z siłą i zręcznością, jako dowód i blizki zwiastun przybliżania się dni ostatecznych. Dwie wielkie sprzyjały mu potęgi: nowość w myślach i nieugięty charakter. Nauka jego była razem dawną i nową. Trzymała dosyć z dawną wiarą, by uwieść tych, których zupełna nowość byłaby odstraszyła, a zawieriała dosyć nowości, by ściągnąć uwagę i zapalić imaginacją tych, dla których dawne podania zwietrzały. Opierając naukę swoją na oderwanych ustępach Biblii, utrzymując, że wprost jest natchnionym przez Wszechmocnego, obiecując prawdziwie wierzącym posiadłość ziemi, władzę i chwałę doczesną, połączoną z błogosławieństwem nieba; obdarzony odwagą i śmiałością, które za nie miały przeszkody i niebezpieczeństwa: Józef Smith wkrótce był uznany i szanowany jako naczelnik trzody uczniów, wprawdzie nielicznej, ale na drodze postępu, i ożywionych gorącym fanatyzmem.

Dnia 1go czerwca, 1830 roku, sekta uorganizowawszy się w kościół, miała pierwsze zebranie w Fayette, małej miejscinie, która przez długi czas była rezydencją proroka i główną kwaterą religii. Liczba wie-

rzących, policzywszy i familią Smitha, wynosiła 30 osób. Lecz zaraz od pierwszego dnia swojego urzędowego istnienia, spotkali żywą nienawiść u ludu. Józef na małym strumieniu kazał zbudować budkę, żeby w niej chrzcili swoich uczniów. Tłum ludu zebrał się, zniszczył zaczęte dzieło, a na ten raz słowami tylko znieważył proroka, niebardzo pochlebnie dla niego i jego wyznawców; o mało nawet nie przyszło do gwałtu i morderstwa. Nie ustraszył się przecież. Z rzadką zręcznością umiał odwrócić od siebie zarzuty jakie mu czyniono, wyznając wprost niebardzo poczciwe a nawet niemoralne życie, jakie dawniej prowadził; ale jakkolwiek był niegodnym, Pan go powołał, odpuścił mu jego grzechy, a w nieprzejrzanych swoich wyrokach, postanowił uczynić z niego, biednego grzesznika, narzędzie swojej chwały.

Mimo to wszystko jednak Palmyra i Fayette, pierwsze stolice nowego kościoła, siedlisko rodziny Smitha, ojca i braci, którzy się zbierali u Józefa dla założenia nowej religii, były zawiele znane; przenieśli się więc do Kirtland, w prowincyi Ohio. Prócz tego w pierwszych zaraz dniach powzięli zamiar przejść na Wschód, w krainy ledwie znane, mało jeszcze zamieszkałe, a mające dobrą ziemię, którą można było nabyć w wielkiej ilości a po małej cenie. Oliwer Cowdery, wysłany na zwiady tak dobrze zachwalił hrabstwo Jackson, w prowincyi Missouri, że po kilku tygodniach przebywania w Kirtland, Józef Smith sam postanowił zwiedzić Missouri. Zostawiwszy swoją rodzinę w Kirtland, puścił się w drogę z Sidnejem Rigdon i innymi wiernymi dla oznaczenia miejsca dla nowej Jerozolimy, przyszłego miasta Chrystusowego, w którym Pan miał panować nad świętymi jako król doczesny, w wielkiej chwale, i wielkiej potędze. Udali się w środku czerwca, już to wozami, już łódkami, a nawet pieszo aż do Cincinnati; statek parowy powiózł ich nawet aż do Luisville i St. Louis. Tam nie mając żadnych sposobów do jazdy, do stu mil drogi zrobili pieszo, aż do Independence, miasta położonego w hrabstwie Jackson, prowincyi Missouri. Przybyli na miejsce przeznaczenia z pokaleczonemi nogami i nadzwyczaj strudzeni, ale zachwyceni byli pięknnością i żywnością kraju.

Józef Smith im dłużej mieszkał w Missouri, tém więcej unosił się nad krajem, w którym chciał urządzić świętych; w czém żeby mu różność opinii wiernych nie przeszkadzała, miał wprost objawienie, w którym Bóg stanowił, żeby Missouri było nowym Syonem, i dawał poznać swoją wolę co do urządzenia kościoła, zbudowania świątyni, podziału gruntu, i sposobu prowadzenia życia ludu. Oto ten szczególny dokument:

„Słuchajcie, o wy starsi mojego kościoła, rzekł Pan, Bóg wasz, słuchajcie, wy którzyście się zgromadzili wedle moich rozkazów na tej zie-

mi, którą obrałem i poświęciłem na mieszkanie świętych; ona jest ziemią obiecaną i miejscem w którym ma stanąć miasto Syon. A Pan, wasz Bóg mówił jeszcze: jeżeli szczerze szukacie mądrości, oto mądrość. Uważajcie to miejsce, które się dziś nazywa Independence: jestto środek mojego królestwa, a na wschodzie ma plac, gdzie ma stanąć świątynia, niedaleko gdzie dziś jest pałac sprawiedliwości. Ziemia ta więc musi być kupiona przez świętych, jako i cały kraj na wschód położony, aż do linii, która ma przedzielać żyda i poganina. Oto co powinni uczynić, żeby weszli w posiadanie dziedzictwa wiecznego.”

„Niech sługa mój Gilbert spełnia powinności, do jakich go wybrałem: niech zbiera pieniądze wiernych, niech będzie ajentem mego kościoła, niech zakupi tyle ile będzie mógł ziemi, ile uczciwość i roztropność mu każą.”

„Niech sługa mój Edward Partridge spełnia urząd, do jakiego go wybrałem; niech rozdzieli między świętych dziedzictwo, jako rozkazałem; niech mu dopomagają wierni, których sam do tego wybierze.”

„I mówię wam jeszcze, ażeby mój sługa Gilbert zamieszkał w tém miejscu; żeby zbudował magazyn, sprzedawał w nim swoje towary bez oszukaństwa, a dochód z tego żeby był użyty na zakupienie ziemi dla dobra świętych, na nabycie wszystkich przedmiotów, których święci potrzebują dla urządzenia się w swoim dziedzictwie. A prócz tego niech mój sługa Gilbert zyska sobie pozwolenie, na przesyłanie wszystkich rzeczy potrzebnych memu ludowi; niech do tego ma komisantów, albo kogo chcieć będzie, ażeby moi święci byli opatrzeni, a ewangelia moja była głoszona tym, którzy zostają w ciemności, w krainie śmierci.”

„A jeszcze mówię wam zaprawdę, ażeby mój sługa William W. Phelps zamieszkał w tém miejscu, żeby był drukarzem mego kościoła, a jeżeli ludzie będą kupować jego książki, niech uczciwie zysk obraca na pożytek świętych. Niech mój sługa Oliwer Kowdery będzie przy nim, jak to rozkazałem, niech przygotowywa kopie, robi poprawki, wybiera materye do druku, aby wszystko było w obliczu mojem dobrze, jako będzie pochwalonóm przez ducha, który go prowadzić będzie. Niech więc ci, o których mówiłem, urządzają się na ziemi Syon, i prędko, ile można, i ze swojemi familiami, dla wypełnienia tego, co powiedziałem.”

„A oto teraz co postanawiam względem ostatecznego zebrania świętych: niech biskup i ajent kościoła robią potrzebne przygotowania dla sprowadzenia najprędzej jak można rodzin, które oznaczyłem, na tę ziemię, ażeby odebrały w posiadłość ich dziedzictwo; a co się tyczy innych starszych i członków mego kościoła, później dane im będą rozkazy. Amen.”

Kilka też zrobił nawróceń. D. 3 sierpnia, miejsce kościoła było uroczyscie oznaczone i poświęcone Panu; potem nazajutrz prorok ukończywszy wszystkie urządzenia, postanowiwszy biskupa, przygotowawszy jako mniemał, miejsce dla swego kościoła, zabierał się powrócić do Ohio. Nie wiadomo jednak z jakiej przyczyny powstała sprzeczka z jego przyjacielem Sidnej Rigdon. Po tém co później nastąpiło domyślać się można, że Sidnej wdychał do wyższej władzy w kościele, niżeli mu prorok udzielał; ale jakkolwiek był powód, Józef Smith udzielił morałów swojemu uczniowi przez nowe objawienie, które go oskarżało o wielką pychę i godne kary lekceważenie rozkazów Pana. Pogodzili się jednak, a za pomocą handlowego stowarzyszenia, wspierani od innych świętych i starszych kościoła, założyli w Kirtland młyn i magazyn dla wiernych, i podnieśli bank, którego Józef Smith był dyrektorem, a Sidnej Rigdon kassyerem. W tym samym czasie ogłosili Kirtland za jedną z kolumn Syonu, i postanowili zostać tam najmnień lat pięć dla zyskania pieniędzy, i żeby przez ten czas ziemia Missouri była wykarczowaną i zbudowany Syon.

Od tego czasu aż do stycznia 1832 r. Józef Smith chodził przepowiadając po różnych prowincyach Unii, robiąc różne nawrócenia i odpierając rzucane potwarze, które rozgłaszał pewien Ezra Booth, niegdyś członek rady świętych, a którego jako odstępcę wyklął prorok. Jego dziwaczne nauki, skargi przeciw niemu czynione, nienawiść, jaką budziły jego opowiadania w innych niemnień żarliwych fanatykach, sprawiły mu wiele nieprzyjaciół. Dnia 25 stycznia 1832 r. znajdując się w wiosce Hiram, podczas nocy wyrwany był z łóżka przez tłum Metodystów, Baptystów, i Campbellistów, odarty ze wszystkich szat, omazany smołą, tarzany w pierzach. Sidnej Rigdon, który mu w téj wycieczce towarzyszył, doznał tego samego losu od tych zażartych fanatyków. Po téj nieszczęsnej przygodzie Józef Smith zauważał, że należało oddalić się z kraju tak źle dlań usposobionego, i dlatego wyjechał w pierwszych dniach wiosny z kilku wierzniemi, żeby w Missouri dopełnić objawienia. Lecz chociaż chował w tajemnicy swój odjazd, prześladowcy jego dowiedzieli się i ścigali go przez kilkaset mil aż do Louisville, gdzie ukrył się i miał przytułek u pewnego kapitana statku parowego. Nakoniec 26 kwietnia przybył do Syon, to jest do Independence, gdzie z zapalem przyjęło go liczne zebranie świętych, którzy go urzędownie powitali jako proroka, jako widzącego, jako naczelnika sług kościoła. Podczas jego nieobecności i stosownie do jego rozkazów, zakupiono potrzeby drukarskie i założono przegląd miesięczny pod tytułem: *Eve ing and Morning Star*. W kilka dni potem ukazał się dziennik tygodniowy: *Upper Missouri*

Advertisser. Te dwa czasopisma były poświęcone Mormonizmowi, który liczył naówczas 2000—3000 uczniów, po większej części zamieszkałych w Missouri. Liczba świętych w Kirtland, rachując w to żony i dzieci, nie wynosiła więcej nad 150 osób. Ale w Kirtland miał Józef młyn, grunta i magazyn, nad którymi trzeba było czuwać; a chociaż był tam otoczony nieprzyjaciołmi, rad nierad musiał tam powrócić. Opuścił więc Syon w zaufaniu, że wszystko szło dobrze. Jednak w styczniu 1833 r., kiedy prorok w Ohio zajęty był swojemi materialnemi interesami, rozdział zrobił się w samym Syonie, co przy wielu innych zewnętrznych okolicznościach, było źródłem nieszczęść dla Mormonów, a w końcu wypędzenia ich siłą oręża z prowincyi Missouri. Sposób prowadzenia się Mormonów w swoim nowym Syonie nie mógł im zrobić wielu przyjaciół. Ton wyniosły jaki przybierali, obrażał wszystkich; potwarze jakie rzucali ich nieprzyjaciele i odstępcy wygnani z kościoła dla złego prowadzenia, budziły żywe niespokojności i zawiść nieubłaganą. Oskarżono ich o komunizm, nietylko ziemi, a nawet kobiet. Te obadwa oskarżenia były zupełnie fałszywe, a przez powtarzanie, uwierzono, choć temu zaprzeczali Mormony. A jakby dla powiększenia nienawiści, którą wielu przeciwko nim pałali, mówili tak niebacznie o projekcie, jaki zrobili, o władnięciu całej prowincyi Missouri, i wypędzenia wszystkich, którzy nie należeli do ich kościoła, że przeciw nim uformowało się potężne strounictwo, którego tajemnym a dobrze obmyślanym celem było wypędzić wszystkich o ile być może najprędzej z ich ziemi obiecanej. W jednym liście Józef Smith grozi wszystkim odszczepieńcom Syonu przekleństwem nieba: „Ja mówię wam, a co wam mówię, mówię to do wszystkich, ażebyście słuchali głosu bożego, który woła na was, że Pan zaprzysiągł w swoim gniewie nie przyjmować do swojego pokoju żadnego z mieszkańców Syonu, jeżeli Syon z waszój winy upadnie”. Zdaje się że już wielka liczba świętych Missouri oskarżała Józefa Smith, że dąży do władzy monarchicznej. Jakiekolwiek były marzenia jego ambicyi, uznał potrzebę oczyszczenia się z tego zarzutu, przyjmując do najwyższego zarządu kościoła swego dawnego kolegę Sidneja Rigdon i drugiego świętego. Jak zwykle, w wigilią tak ważnego wypadku miał objawienie.

Jednak, choć niesnaski wewnętrzne temi środkami zdawały się uciśać, dawni koloniści Missouri okazywali wielką nieprzychylność kościołowi. Numer *Przeglądu Mormonów* z daty czerwca 1833 r. ogłosił artykuł z napisem: *ludzie czarni wolni*, który przeciw świętym obudził rozjątrzenie stronnictwa antiabolicyonistów, które tak dziś jak i dawniej żywo się zajmuje kwestyą niewolnictwa. Przeciwna prasa odpowie-

działa Mormonom artykułem, pod napisem: „*strzeżcie się pilnie fałszywych proroków*”; a który Józef Smith osądził, że jest napisany przez wysłańca szatana. Artykuł ten licznie rozrzucony w mieście Independence i w okolicach, zamykał wiele potwarzy i wiele prawdziwych zamachów przeciw Józefowi Smith i jego stowarzyszonym. W początkach kwietnia *meeting* odbyty w samém Independence i złożony przeszło z 300 osób nieprzyjaciół Mormonów z jednomyślnością przyjął postanowienie, w którym wyraźnie powiedziano, że Mormonów trzeba wypędzić z kraju; a inne w innych miejscach odbyte *meetings* jeszcze sroższe wydały postanowienia. *Meeting* generalny mieszkańców hrabstwa Jackson, zwołany wyraźnie „w celu przedsięwzięcia środków do pozbycia się sekty fanatyków nazwanych Mormonami” odbył się 20 lipca. 400—500 osób zebrało się z różnych okolic i uchwalili do publiczności adres. Dokument ten ogłaszał, że przed dwoma laty, dwóch takich lub trzech ludzi ukazało się w Missouri, a teraz jest ich do 1200, że każdej jesieni i każdej wiosny widziano napływający rój tych sektarzy, że z wychowania i nauki o własności mało się różnią od czarnych, a mimo innych zgorzeń, zgubny wpływ wywierali na niewolników. Nie były też przepomniane ani chępliwość Mormonów w uważaniu całej Missouri za swoje dziedzictwo, ani pewność w przepowiadaniu, że wszyscy poganie, to jest ci, którzy nie uwierzyli w postannictwo Józefa Smitha, będą wycięci jako kąko w dniu Pana. Adres tak się kończył:

„O objawieniach, które odbierają wedle swego mniemania z nieba; o prostém obcowaniu, które sobie przypisują z Bogiem i aniołami; o chorobach, które mają leczyć przez ręk kładzenie; o pogardliwych zabobonach, jakimi znieważają zwykle dzień Pański, nic nie powiemy; do Boga tylko należy pomścić się za to. Lecz co do innych przedmiotów, uważamy sobie za prawo i powinność, już to dla osobistej spokojności, już dla społecznego porządku i moralności publicznej, już też przyszłości, jaka czeka młody ten kraj, jeżeli w początkach zaraz ta sekta stłumioną nie będzie, ogłosić, i jakoż uroczystie ogłaszamy:

„Że na przyszłość żadnemu Mormonowi nie jest wolno osiedlić się w kraju.

„Że ci, którzy są teraz osiedleni, a dadzą zaręczenie opuszczenia braterstwa w pewnym przeciągu czasu, będą mogli pozostać bez żadnej przykrości, dopóki nie sprzedadzą swoich dóbr i nie ukończą interesów, bez przymuszania ich do wielkich ofiar.

„Że redaktor *Star* powinien zamknąć natychmiast swoje biuro, i zaprzestać roboty drukarskiej.

„Że naczelnicy Mormonów są wezwani, by użyli swojego wpływu, aby nowe wejście swoich braci wstrzymać, a którzy są obecni, ażeby się zastosowali do tych przepisów.

„Żeby ci, którzy nie będą posłuszni, udali się do swoich braci, którzy mają dar proroctwa i umieją języki nieznanne, by się od nich dowiedzieli, jaki ich los czeka.

Adres po przeczytaniu i uroczystym rozbiorze, jednomyślnie był przyjęty. *Meeting* przerwał potem swoje posiedzenie na 2 godziny, wysławszy deputacją do Phelps'a, redaktora dzienników mormońskich, Partridge biskupa i dozorcę magazynu generalnego Mormonów, żeby im przełożyć, że najlepiej wypadło im poddać się. Po rozpoczęciu posiedzenia deputacja oznajmiła, że nie mogła otrzymać kategorycznej odpowiedzi, że Mormoni żądali zwłoki niepodobnej, żeby się mieli czas naradzić nie tylko z temi, co są w Independence, ale i z Józefem Smith, który był naówczas w Kirtland. W skutek czego natychmiast postanowiono jednomyślnie, że drukarnia *Stara* będzie zniszczoną, że prasa i charaktery będą złożone w miejscu bezpiecznym. Postanowienie to było natychmiast wykonane z największym porządkiem, o ile można bez hałasu, jako też *inne tego rodzaju środki*; a nie było krwi rozlewu, ani żadnej bójki. *Meeting* odroczył się do trzech dni, żeby dać czas Mormonom rozważenia swojego położenia i losu, jaki ich czekał, jeżeliby nie chcieli być posłuszni.

Inne środki tego rodzaju, o jakich wyżej zdają się wspominać, zapewne były *umazanie w smole* i *opierzenie* dwóch Mormonów. Phelps, dziennikarz miał dosyć szczęścia ukryć się przed poszukiwaniem tłumu, ale biskup Partridge i inny święty nazwany Atlen nie byli tak szczęśliwi: pochwyceni, z szat obnażeni, umazani w smole, taczani byli w pieczurze i w tym stanie oprowadzeni po ulicach wśród wrzasków popółstwa. Naczelnicy zarządcy prowincyi Missouri, Lilburn W. Boggs, który z zaciętą nienawiścią ścigał Mormonów, i którego uważają jako głównego sprawcę przedwczesnej śmierci proroka, gorszy od Poncyusza Piłata, znajdował się medaleko, a nie nie przedsięwziął dla spokojności publicznej. *Meeting* zebrał się na nowo 23 lipca rano; znajdowało się na nim kilka setek ludzi dobrze uzbrojonych, mających czerwoną chorągiew. Oznajmili zamiar wypędzenia z Missouri całej sekty, jeżeli spokojnie nie ustąpi. Trudno było się oprzeć; naczelnicy Mormonów przyrzekli w imieniu swoich, że jeżeli im czasu pozwolą, sami wyjdą w puszczę zachodnie. Ułożono więc w formie przymierze i podpisano: połowa Mormonów z familiami miała wyjść 1 stycznia następnego roku, a druga połowa 1 kwietnia. Zobowiązywali się nie drukiem nie ogłaszać, ani z innych krajów nie przybywać do Missouri. Druga strona przyrzekła uroczystie, że nie użyje żadnego gwałtu przeciwko Mormonom, byle wypełnili wszystkie warunki przymierza.

(Dokończenie nastąpi).

Wyjątek z listu Ignacego Domejki (1).

Valparayzo, 7 kwietnia 1842.

Najdrożsi moi! Wiadomo wam, że co rok, latem, w miesiącach wakacyjnych odbywam podróże w góry. Roku przeszłego będąc w Sant-Yago, przedniejsi obywatele zaproponowali mi, abym tych wakacyj zwiedził Kordyliery, położone naprzeciw tego miasta o półtora mil tutejszych (70 do 80 naszych) na południe od Coquimbo, i ofiarowali mi wyłożyć koszta na górników, którychbym potrzebował do poszukiwania żył miedzi i srebra, i na wszystko czegobym zapotrzebował, jakoto: na konie, muły, żywność i przewodników. Jakoż, za ledwo uczniowie moi zdali byli examen roczny przy końcu grudnia, wezwano mię do stolicy, gdzie utworzyła się kompania do eksploatawania kopalni, które spodziewano się że odkryję, i na dostarczenie funduszków na podróż. Prezes Rpospolitej, dwóch ministrów, dwóch generałów i wielu przedniejszych urzędników weszło do téj kompanii, i przyrzeczono dla mnie jedną akcyą oprócz chwały i wdzięczności. Wiedząc, że w południowych prowincjach Chili, gdzie szczególnie rolnictwo kwitnie, nie masz dobrych górników i doświadczonych w górnictwie rzemieślników, przyjąłem na służbę pięciu silnych górników z kopalni położonych blisko Coquimbo, jednego mayordomo czyli dozorcę, i jednego starego *cateadora* (tak nazywają ludzi co się zajmują szukaniem żył mineralnych w górach). Wysłałem tych ludzi lądem 1 stycznia do Sant-Yago, a sam parowym statkiem popłynąłem morzem do Valparayzo, zkąd 10 stycznia przyjechałem do stolicy wziętym o dwóch kołach powozem. Jestto jedyna droga w całym Chili, na 35 mil długa, wielkim kosztem zrobiona jeszcze za hiszpańskiego rządu, po której jeździć można pojazdem; i tak jest ludna, tyle się na niej spotyka podróżnych i ogromnych fur opakowanych towarami, jak na największych gościńcach w Europie. Albowiem droga ta prowadzi z największego dziś portu na brzegach południowego oceanu, do stolicy, która dziś liczy więcej 80,000 mieszkańców, i od której rozchodzą się komunikacyjne drogi do wielu wsi i miasteczek, rozsianych po owęj dolinie

(1) Jestto list wstawionego geologa Ignacego Domejki; uczeń b. uniwersytetu wileńskiego, udawszy się do Ameryki południowej, został tam w Rptej chilijskiej professorem mineralogii. Wkrótce przez wieloliczne uczone prace i nowe odkrycia w geologii dał się poznać w Paryżu, i obecnie uważany jest za jednego z pierwszych geologów. Jakkolwiek list przytoczony jest z daty 1842 r., redakcyja Bibl. Warsz. chętnie go umieszcza, jako zawierający ciekawe podania o kraju mniej znanym, a do tego pisany przez rodaka naszego. P. R.

szerokiej, objętej dwoma łańcuchami gór, która więcej niż na sto mil ciągnie się od północy ku południowi. Valparayzo zaś podniosło się szczególnie podczas ostatnich rewolucyj w Peru, Ekwadorze i Meksyku; jest teraz główną przystanią okrętów i składem towarów europejskiego handlu, i liczy około 30,000 mieszkańców. W pięć dni po przybyciu do Sant-Yago, nakupiwszy koni i mułów, udałem się do *Raneagua*, departamentowego miasta, o 25 mil położonego od stolicy, i ztamtąd ruszyłem w góry, w towarzystwie siedmiu ludzi, których sprowadziłem był z Coquimbo, i dwóch przewodników miejscowych. Dla bezpieczeństwa i mojej wygody dał mi prezes do posługi jednego żołnierza, sierżanta od kawaleryi, i przysłano mi namiot, podostatkim żywności i wszelkie narzędzia górnicze do poszukiwań. Miałem do tego barometr do mierzenia wysokości, i wiele innych narzędzi fizycznych i chemicznych do robienia obserwacyj i prób na miejscu.

Wyobrazić sobie możecie, że taka wyprawa podobała mi się wielce, i z ochotą do niej ruszyłem. Wiedziéć potrzeba, że owa podłużna dolina, na której *Sant-Yago*, *Raneagua*, *St. Fernando*, *Talca* i wiele innych miast leży, oddziela pasmo gór nadbrzeżnych, których wysokość nie przechodzi 4,000 stóp, i które są pokładem niezliczonych kopalni złota i miedzi, od pasma wyższych Kordylierów, znanych pod nazwiskiem *Andes de Chiles*, gdzie za hiszpańskiego rządu znaleziono bogate kopalnie srebra i w którychto górach od dawnego czasu zaniedbane było górnictwo. Dla tych przyczyn i bardziej ciekawy składu i natury gór wysokich, pokrytych odwiecznym śniegiem, obrałem za przedmiot do poszukiwań to ostatnie pasmo, choć podróż była trudniejsza, kosztowna i kraj zupełnie pusty, i tylko latem dostępny.

Dwudziestego drugiego stycznia przepравиłem się na drugą stronę rzeki Cachapual z całą moją karawaną, i we trzy dni marszu poza tą rzeką w górę, byliśmy już w Kordylierach *Cauquenes* na wysokości 1760 metrów (więcej 5,000 stóp nad poziom morza), zkąd rozesałem w rozmaite strony górników dla rozpoznania skał i wąwozów. Trudno sobie wyobrazić zupełniejszą i dzikszą pustynię, jak w tych górach; ludzie mieszkają tylko u wejścia do poprzecznych dolin, gdzie się te ostatnie oddzielają od głównej doliny podłużnej; a ktokolwiek chce zajrzeć choć na parę mil w głąb owego pasma Kordylierów, musi opatrzyć się dobrze w żywność, albowiem ani jednej chaty nie ujrzy, ni jednego człowieka nie spotka. Jednakże po wszystkich spadzistościach i parowach, nawet na wierzchołkach gór pod samą strefą śnieżną, widać pasące się trzody niezliczonych krów, koni i mułów. Pięć tysięcy bydła miał obywatel, do którego należały te góry, a jego sąsiad po drugiej stronie rzeki miał 18,000

rogatego bydła, mnóstwo koni i mułów. Wszystkie te trzody pasą się zostawione same sobie, i bez żadnego dozoru, rozproszone po górach familiami po kilkanaście lub kilkadziesiąt sztuk, młodzież obok starszyny. Widząc to, rzekłbyś, że kraj ten, najszcześniejszy na świecie, nie zna żarłocznych zwierząt i zupełny pokój panuje w królestwie zwierzęcym; ale nigdy nie zapomnę wrażenia jakiegom doznał, kiedy w jednym z odludnych parowów między temi górami, znalazłem budę uplecioną z chrustu, przy której na drzewie wisało dziesięć głów lwich rozmaitego wieku i wielkości. Byłato buda *leonera*, to jest człowieka, którego rzeczą jest polować na lwy, a za każdego lwa ma 6 piastrow nagrody od właściciela majątku; polują zaś poprostu psami, które wytropiwszy zwierza, dopóty uganiają za nim, aż go zmordują, i przy pomocy *leonera*, złowią i rozedrą. Psy nie są większe od naszych wiejskich pokurciów, i lew niepodobny do afrykańskiego: nie tak zuchwały, mniejszy i ucieka od człowieka, jeśli nie jest rozdrażniony lub bardzo głodny. Drugim nieprzyjacielem trzód i daleko niebezpieczniejszym od lwa, jest *kondor*, czyli ogromnej wielkości orzeł tutejszy, który pospolicie czatuje na cielęta. Słyszałem, że większa połowa młodzieży, co rok ginie od orłów. Zbierają się zazwyczaj te ptaki do miejsca, z kąd usłyszą beczenie, i podczas kiedy inne strasząc i bijąc skrzydłami, odpędzają biędne cielę od swojej matki, jeden najzręczniejszy kondor wydzięra mu język, drugie przylatują, szarpia, i w godzinę zaledwo kości zostaną. Ciekawe też jest polowanie na te orły; robi się płot duży albo zagroda z chrustu, na kilka stóp wysoka, podobna do naszych zagród na owce, poczem zabijają w tej zagrodzie dwa czy trzy konie stare lub kaleki, i zostawiwszy otwarte do zagrody wrota, ludzie ukryci czatują zdaleka w parowach. Wtenczas zlatują się zaraz orły, których węch ma być tak silny, że według mniemania górników, o kilka mil zwietrzą zdechlinę. Napełnia się zagroda kondorami, obżerają się do woli, i opychają się tak straszliwie, że się podnieść nie mogą na skrzydłach. Wtenczas wypadają z ukrycia ludzie, wpadają w zagrodę, zamykają wrota i potężnymi mączugami wybijają wszystkie kondory, które nie mając miejsca, gdzieby się rozpędzić i roztoczyć skrzydła swoje mogły, rzucają się na ludzi, szarpia, ale w końcu wszystkie do jednego giną. W letniej porze, kiedym podróżował, wszystkie trzody przepędzone były pod strefę najwyższą, gdzie topniejące nieustannie śniegi, ciągle odwilżają ziemię i utrzymują paszę; muły też i konie w tymże czasie przypędzone znad brzegów morza, i z okolic zupełnie ogołoconych z trawy, zostają tu przez parę miesięcy. Zaledwo przejdzie pora największych upałów i zacznie śnieg padać na wierzchołkach Kordylierów, przyjeżdża *vaquero*, to jest człowiek zawiadujący trzodą, wspólny z kilku

pomocnikami, i zaszedłszy od strony najobfitszych śniegów, zaczyna huknąć, jakby zapowiadając nadchodzącą zimę. Posłuszne temu głosowi najstarsze byki schodzą, i za nimi zstępują wszystkie trzody i młodzież, ku niższym góróm i spadzistościom, gdzie umyślnie na to oszczędzano poschłą już oddawna, ale tak dobrze, jak w naszych stodołach zachowaną na pniu paszę. Za trzodami rogatego bydła, zstępują stada koni, i stopniami, jak nadchodzi zima, zbiegają wszystkie zwierzęta ku dolinom, aż się doczekają zimowych deszczów, któremi ożywiona pustynia zakwita jednym razem, jako najpiękniejszy ogród. Miesiące zimowe są najlepszą porą, ale trzody pasą się w tym czasie przy nizinach, bo reszta gór śniegiem okryta; a ilekroć śnieg pada na wyżynach, deszcze panują w niższej strefie. Na wiosnę, bydło jest w najlepszym stanie, i wten czas wyjeżdża sam właściciel w góry, z gośćmi i wielkim orszakiem służących i poddanych, na tak nazwane *rodeo*; zdarza się, że więcej stu jeźdźców na wybornych koniach mu towarzyszy. Ich obowiązkiem jest spędzać ze wszystkich gór i prawie niedostępnych skał bydło, w zagrody umyślnie na to porobione. Z tych zagród, ludzie silni i zręczni oddzielają sztuki, które są w piątym roku, i z nich jedną część natychmiast sprzedają innym właścicielom, którzy z północnych prowincyj tu przyjeżdżają, i zakupione bydło prowadzą o półtora mil do swoich majątków. Większą zaś część oddzielonego bydła na tém *rodeo*, sam właściciel sprowadza do swojego folwarku, który zazwyczaj położony jest na samém dolinie, nad rzeką, i gdzie zasiewa znaczną część pola lucerną przeznaczoną na karm dla sztuk wybranych. Sprzedają się one potem, już to rzeźnikom do miasta, już to na wędzonkę, łój i skóry, z czego pochodzi główny i po wielu miejscach jedyny dochód dla obywateli. Napiszę wam kiedyś obszerniej o tém *rodeo*, na którym jeźdźcie i góral cudów dokazują na swoich koniach, wstrzymując arkanem i osadzając w największym pędzie zdziczałego byka, na spadzistościach i urwiskach skały. Na ten raz wróćmy do górniczej podróży, o której choć pokrótce powiedzieć wam muszę niektóre szczegóły.

Doszliśmy 26 stycznia do źródeł rzeki *Rio de los Cypresses*, która to rzeka wypływa zpod ogromnego pokładu odwiecznych lodów, na 300 do 400 stóp grubego, między 34° a 35° szerokości geogr. Z niejaką trudnością przeszliśmy przez te lody i wdrapaliśmy się na skały, gdzie było podanie, że za dawnych czasów znaleziono żyły złota i srebra, co zapewne nadało tym skałom nazwisko *Rincon de los Mineros* (kąć górników). Pomimo tego, że masy śniegów mieliśmy pod sobą, i wierzchy Kordylierów okryte lodem na kilkaset sążni wysokie były nad nami, termometr w cieniu wskazywał 23° ciepła, barometr 0,554 me-

trów, co odpowiada wysokości 2,805 metrów (do 9,000 stóp nad poziom morza). Tu uczułem niejakię symptomata słabości zwanęj między góralami *puna*, pochodzącęj zapewne z bardzo rozrzedzonego powietrza, tojest wielkie pragnienie i taką słabość, że kilkadziesiąt kroków bez odpoczynku zrobić nie mogłem. Moi jednak górnicy biegali i czepiali się po skałach z największą łatwością. Niedługośmy gościli, jak każdy się domyśli, w tém miejscu оголоconém zupełnie z wegetacyi, i gdzie nad wieczór, ledwo się zniżyło słońce, termometr spadł do zera, i pościnały się wody. Nazajutrz spuściliśmy się na dolinę rzeki *de los Cypresses*, i obiegłszy okoliczne skały na sześć do siedmiu tysięcy stóp wysokie, rozpoznawszy ich naturę, pociągnąłem z całą karawaną na północ. 29 stycznia przepawiliśmy się przez rzekę *Cachapual*, w górze naprzeciwko wód mineralnych, po moście uplecionym z chrustu i surowcowych powrozów, a zawieszonym na dwóch brzegach rzeki, w taki sposób, jak są najnowsze w Europie mosty o żelaznych łańcuchach. W istocie, kształt i budowa tych mostów, które od niepamiętnych czasów znajome były Indyanom, mogły dać myśl europejskim inżynierom, do budowy wiszących mostów żelaznych, które zdaleka zupełnie są podobne do tu-tejszych indyjskich mostów, tylko, że te ostatnie przed odkryciem Ameryki były z trzciny, czy téż z chrustu i z powrozów roślinnych. Przecho-dząc przez taki most, choć nie masz niebezpieczeństwa, jednak trudno utrzymać się na nogach, bo tak się rozciągają powrozy i cały most tak się waha i podskakuje, jak gdyby na huśtawce. Krajowcy jednak kon-no i paląc cygara przebywają most długi, choć cały pokład nie ma wię-ciej nad 2 łokcie szerokości, a na kilkadziesiąt stóppod nim bezdenny potok.

W kilka dni potém podnieśliśmy się znowu do wysokości śniegów, i w jednęj z gór, które obesztłem w Kordylierze *de los Puquios*, znalazłem bogatą żyłę miedzi, z któręj kawałki kruszcu posłałem natychmiast do Sant-Yago, z pocieszającą wiadomością o tém do junty dyrekeyjnęj, mającęj się zajmować eksploatacyą. W tych górach zastały mię zapusty, i straszliwa burza ze śniegiem i gradem; a co mię bardzo bolało, w jed-nęj przeprawie trudnęj, między skałami, spadł mój barometr w prze-paś i pottóktł się w kawałki, tak, że potém nie byłem w stanie mierzyć wysokości gór. Ale w tydzień potém Pan Bóg mię pocieszył; bo w jed-nęj wycieczce do Kordyliery zwanęj *del Teniente* znalazłem kopalnie miedzi od dawnych czasów opuszczone, które teraz mogą przynieść niemały dochód dla kompanii.

W połowie lutego opuściłem góry, leżące naprzeciw *Raneagua*, i pociągnąłem naprost nie schodząc na doliny, ani do miejsc osiadłych, trzymając się wysokości blizkięj śniegów, na północ, ku górom, gdzie

roku przeszłego widziałem kopalnie San-Pedro No-lasco. Łańcuch, po którym szliśmy, zdawał mi się być przedłużeniem gór tegoż nazwiska, i w istocie był jednéj natury, chociaż mię zawiódł w oczekiwaniach moich górniczych. Podróż jednak³ była przyjemniejszą, niżeli pierwszych dni wyprawy. Nawykłem już był do koczowniczego życia, zdrowie mi służyło, jak nigdy; z nadzwyczajnym smakiem jadłem krupnik z wędzonki (*charqui*) z czerwonym pieprzem i cębulą, i wyborny zawsze miałem nocleg u ogniska pod gwiazdistém niebem, gdzie mię usypiali górnicy swojemi baśniami lub śpiewaniem hiszpańskich romansów. W parowach głębokich, choć blisko wierzchu Kordylierów, znajdowaliśmy podostatkami krzewów, kwitnące mirty i wiele drzew zielonych podobnych do naszego dębu i brzozy. Wyżej nad nimi, blisko już strefy, gdzie nawet w czasie mojej podróży, tojest w połowie lata wiele śniegu leży z ostatniej zimy, nikną owe piękne, pachnące liściowe krzewy i drzewa, a poczyna się strefa drzew iglastych, smutnych, które w tym kraju, gdzie nie masz sosen, zastąpione są przez jakiś gatunek cyprysów, takiego kształtu i wielkości, jak nasze karłowate sosny. Cyprysy te wydają zapach bardzo przyjemny, i są podczas burzy schronieniem dla podróżnego, na przypadek, gdy się naprędce nie znajdzie jaka grotka lub jaskinia w skałach. Ponad nimi żadne już drzewo, ani żaden wielki krzew nie rośnie; trawa jednak acz niewielka, tak jest soczysta, że się nią bydło prędko nasycza, i między trawą widać mnóstwo kwiatów dziwnie pięknych blado-różowego koloru, podobnych ze kształtu do naszych lilij. Wyżej nad tą vegetacją, natura jest prawie martwą, i tylko dla górników powabną. Nie masz też na całej owej przestrzeni gór niskich i najwyższych żadnego płazu, ani owadu jadowitego, tak, że z zupełném bezpieczeństwem wędrownik może spać na ziemi nie podkładawszy nawet płaszcza. Z dzikich zwierząt *guanaco*, zwierzę podobne do naszych sarn czy jeleni, tylko daleko większe i piękniejsze, dziwnie lekkie i pięknych oczu, łagodne, i żyjące zawsze w parze albo trzodami, jest mieszkańcem tutejszym. Lwa nigdy nie napotkalem; lisy podobne do naszych: turkawki, kuropatwy, miejscami papugi zielone, mnóstwo jaszczurek i węzów nieszkodliwych, i niezmierna liczba jakiegoś gatunku kretów (*chulula*), od których po wielu miejscach cała powierzchnia gór jest podziurawiona, stanowią królestwo zwierzęce, między któremi kondor zdaje się być królem; lew bowiem, jak mi mówiono, chowa się po parowach, wypada tylko polować na bydło i konie, a ucieka od ludzi, od psów zaś gorzej, niż lis lub *guanaco*.

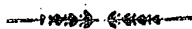
Pierwszego marca doszliśmy do góry San Pedro, gdzie znalazłem takie zimno, jak u nas w październiku lub w grudniu. Obszedłem wie-

le dawnych opuszczonych kopalni, i zszedłszy na dolinę rzeki *Maypu*, przeprowiłem się na drugą stronę dla obejrzenia gór położonych naprzeciw *Sant-Yago*. Przez dwa tygodnie jeszcze podróżowałem z całą karawaną, używszy tylko jednodniowego odpoczynku nad rzeką *Maypu*, w folwarku jednego z moich przyjaciół, gdzie znalazłem nadzwyczajną obfitość wybornych brzoskwiń, winogron, kawonów i t. d. W połowie marca zakończyłem moją ekskursyą na górach zwanych *Cerros del Volcan*, zwanych od wulkanu, który panuje nad niemi. Znalazłszy w tych górach wiele żył miedzianego kruszcu, mogących z czasem przynieść niemało dochodu, zostawiłem tam moich górników i mayordomów, wybrałem trzy punkta w których rozpocząłem eksploatacyę, i sam wróciłem do stolicy, zdrów zupełnie i nie czując bynajmniej trudu, ani zmordowania od dwumiesięcznej wędrówki.

W *Sant-Yago* znalazłem, że rozłakomieni owym bogatym kruszczem, którego próby posłałem był z *Puquios*, obywatele, poczęli się już kłócić o tę kopalnię i prawować się. Dwóch członków saméj junty dyrekcyjnej naszej kompanii, weszło każdy zosobna w umowę z ludźmi nie należącemi do téj kompanii, i utworzyli dwie inne kompanie sobie przeciwne, i przeciwne téj, dla której pracowałem. Widząc to, i nie zastawszy w stolicy członków rzeczonéj junty, zebrałem wszystkich obywateli należących do naszej kompanii, i złożyłem im dziennik mojej podróży, z wyszczególnieniem wszystkich żył i kopalni, które znalazłem, i które mi się wydały godnemi eksploatacyi; oddałem im próby kruszców z każdéj żyły metalicznój, zdałem rachunek z kosztów wyłożonych na całą wyprawę (choć mię o to nie pytano), a któreto koszta wyniosły do 1,800 piastrow (9,000 franków), i otrzymawszy od wszystkich publiczne podziękowanie, wyjechałem natychmiast, nie chcąc mieszać się do niezgód i procesów, jakie między temi ludźmi zająć mogą. Co do mnie, nic nie straciłem na téj wyprawie: nabyłem zdrowia i znajomości gór, odbyłem podróż, którójbym swoim kosztem nie był w stanie przedsięwziąć, i zostaje mi jeszcze jedna akcyja w kompanii, która jeżeli wybrnie prędko z procesów, może wiele zyskać. W przeciwnym zaś razie oświadczyłem, że nie należę do kosztów na kłótnie i pieniactwo.

Przybyłem tu w wielką środę i dowiedziałem się, że minister oświecenia przychyłając się do projektu, jaki podałem był przeszłego roku, wysłała teraz trzech moich najlepszych uczniów na trzy lata na wojaż do Europy. Podczas kiedy czekałem tu na statek parowy, który miał mię przewieźć napowrót do *Coquimbo*, przybyli tu owi trzej młodzi ludzie i wkrótce mają odplłynąć do Francyi. Przez nich wysyłam ten mój list nieco przydłuższy, w pewności że dojdzie. Trzy lata jeszcze mam obowiązek pracować tu w *Chili*.... Pozdrawiam was moi najdrożsi i t. d.

J. D.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1851.

WARSZAWA.

51. Dobry byt fabrykantów i rzemieślników czyli zbiór pożytecznych i praktycznych rad (,) z wielu autorów francuzkich (;) wraz z biografią najznakomitszych właścicieli zakładów przemysłowych w kraju i zagranicą. Przełożył i wydał Karol Łada wydawca Noworoczników dla ziemian. Część I. 12ka. Warszawa. 1851. Druk J. Jaworskiego. Kart 2 i str. 188. Złp. 3 gr. 10.

52. Dykcyonarz biograficzny powszechny, czyli krótkie wspomnienia żywotów ludzi wsławionych cnotą, mądrością, przemysłem, męstwem, wynalazkami, błędami, od początku świata do najnowszych czasów. 8ka. Warszawa. 1851. Nakładem G. L. Glücksberga, drukiem J. Jaworskiego. 2 tomy. Tom I. str. 642, II, 422. Złp. 50.

53. Powieści z pisma świętego wybrane z ksiąg historycznych starego zakonu. Z stosownemi do nich naukami moralnemi, przez autorkę Pamiątki po dobrej matce. 12ka. Warszawa. 1851. Nakład Maurycego Orgelbranda, druk J. Jaworskiego. Str. 387 i rejestru kart 2. Złp. 10.

54. Spis szlachty Królestwa Polskiego, z dodaniem krótkiej informacyi o dowodach szlachectwa. 16ka. Warszawa. 1851. Druk St. Strąbskiego. Napisów karta 1, przedmowy str. II i informacyi str. XVII. (Tytuł, przedmowa i informacja z tekstem rosyjskim). Złp. 6 gr. 20.

W I L N O.

55. Stary mąż. Komedia we czterech aktach, przez Józefa Korzenińskiego. Wydanie drugie. 12ka. Wilno. 1851. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. 138. Złp. 5.

—•••••—

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Nakładem księgarni Orgelbranda wyszedł zeszyt IIgi *Piśmiennictwa polskiego* W. A. Maciejowskiego, zawierający dokończenie *literatury ludowej*. Zwrot II: piśmiennictwo polskie najdawniejsze w rękopisach i pierwotnych dochowane drukach. Zwrot III: *Ludowo-Narodowa* literatura. — Tegoż nakładem wyjdzie wkrótce zbiór powieści J. *Wieniarskiego*, we dwóch tomach.

— Księgarz J. Bernstein ukończył już druk *Życiorysów* we dwóch wielkich tomach.

— U J. Jaworskiego drukuje się drugie wydanie powiększone *Klechd* K. Wł. Wojcieckiego.

— Nakładem *G. Sennewalda* wkrótce wyjdzie zpod prasy drukarskiej dzieło pośmiertne *Jana Majorkiewicza* p. n.: *Historja serca i rozumu* (uczucia i wiedzy) w dwóch częściach, a w jednym obszernym tomie.

— Nakładem i drukiem J. Czecha w Krakowie ukazało się dziełko: „Górale Bieskidowi zachodniego pasma Karpat. Rys etnograficzny zwyczajów i obyczajów włościan okolic Żywca. Skreślił L. D.

— Na scenie teatru krakowskiego przedstawiono w miesiącu marcu dwa utwory dramatyczne znanego autora kilku dobrych powieści i tłumaczeń Szyllera i Göthego p. Adama Gorczyńskiego, pod tytułem: *Anglik*, komedia, i *Baibusza*, dramat.

— P. Sabliński księgarz w Wadowicach, wydał swoim staraniem: Pieśni i ballady Göthego, przełożone przez A(dama) G(orczyńskiego). W ogłoszeniu zapowiada także przekład niektórych tragedj Göthego, jak: Tasso, Ifigenia i Egmont, dokonany przez kogoś z młodych literatów.

— Jan Nepomuceu Kamiński, przez lat tyle dyrektor teatru lwowskiego, ma wkrótce ogłosić dzieło p. n.: *Dusza jako myśl, słowo, znak*.

— Odkryty pomnik przedchrześcijańskich czasów, posąg *Światowida*, już zawitał do Krakowa. Wkrótce umieścimy w naszym piśmie opis najdokładniejszy i samego pomnika, i historją jego odkrycia.

— Tom VIII Historji literatury polskiej Michała Wiszniewskiego już opuścił prasę drukarską. Kosztować będzie złp. 18.

— Towarzystwo Jabłonowskich (Societas Jablonoviana) istniejące w Lipsku, a założone przed 100 laty przez Józefa Alex. księcia Jabłonowskiego, podało do konkursu na rok bieżący i przyszły następujące rozprawy:

1) *Na rok 1851*: Jaki miało wpływ na stosunki polityczne Saksonii, połączenie elektorstwa saskiego z królewską koroną polską?

2) *Na rok 1852*: Historia przemysłu i handlu miasta Gdańska do r. 1308, ze szczególnym względem na jego stosunki z Hanzą, i na jego ludność niemiecką.

Rozprawy mogą być pisane po łacinie, po niem. lub po francuzku. Każda rozprawa powinna być pisana wyraźnie z dokładną liczbą stronnic, i zawierać zapieczetowaną kopertę z godłem zewnątrz, a z nazwiskiem i zamieszkaniem autora wewnątrz. Termin złożenia pierwszej rozprawy jest na 30go listopada r. b. Adres do prof. *Naumana* w Lipsku. Nagroda dla niej jest podwójną, 48 dukatów.

Nie można tu zamilczeć, że towarzystwo obeszło cokolwiek myśl fundatora. Obiedwie rozprawy, a szczególnie pierwsza, tyczą się więcej interesów niemieckich, niż polskich. Ściśle mówiąc, należało towarzystwu inaczej obrócić zdanie i pytać nie o wpływ Polski na Saksonią, ale o wpływ Saksonii na Polskę; wątpić bowiem należy, aby kto z Polaków uczuł silny popęd do wdawania się w interesa saskie.

— Górno-Łużyckie Tow. umiejętności w Gorzelicach odbyło na d. 23 kwietnia r. b. 99te posiedzenie swoje, na którym po raz wtóry ogłoszono 100 talarów nagrody za napisanie rozprawy: „Rys historyczny wojny między niemieckim królem Henrykiem II i Bolesławem Chrobrym ks. pol., na źródłach oparty”. Termin wyznaczony na 31 stycznia 1852 r. Na témże posiedzeniu wyznaczono fundusz na druk 3go tomu nowego poczetu dzieła zbiorowego: *Scriptores rerum Lusaticarum*. Prace tego Tow. blisko tyczą się naszych dziejów, mianowicie Piastowskich czasów.

— W miesiącu kwietniu r. b. miała miejsce w Krakowie mała wystawa robót uczniów szkoły malarskiej: pp. Mireckiego, Plessa, i Szynalewskiego.

Wystawa ta miała za cel konkurencją o fundusz 3,000 zł. pol. na podróż do Rzymu. Roboty były dowolne, jakie w ciągu lat kilku wykonali kandydaci. Wystawa składała się najwięcej z portretów, widoków martwej natury i kompozycji większych treści religijnej. P. Mireckiego ś. Martynian uderzał doskonale, do złudzenia, wypracowaną rogożą, która przysłaniała nagość świętego; lecz oprócz głowy w téjże figurze dobrze zrobionej, reszta części ciała, mianowicie nogi i ręce, nie odpowiadają szerokim barkom i pierśiom. Mimo tego, kompozycja ta ma jakiś urok poezji: brzeg skalisty, bałwany morskie, niebo pochmurne, tworzą poetyczny kontrast z postacią świętego, spokojną i zanurzoną w modlitwie. P. Szynalewskiego: Ścięcie św. Jana, aczkolwiek rysunek figury świętego poprawniejszy i pewniejszy, użycie kolorów mniej szczęśliwe, a osoba pokazującego się we drzwiach kata, tak nieśmiało namalowana, że wziętoby ją raczej za portret wiszący na ścianie, niż za aktora krwawej tragedji. Co do portretów, sąd był trudny, który z trzech kandydatów ma pierwszeństwo? Wszyscy bowiem dali dowód, że w tym rodzaju najmocniejszy; a co więcej, sposób ich malowania tak się nie a nie nie różni między sobą, że najwprawniejszy znawca nie umiałby scharakteryzować osobistych zdolności młodych malarzy. Że taki był sąd ogólny, dowód w tém najlepszy, gdy w rozprawach komu przyznać stypendium, proponowano nakoniec losowanie. W portretach tych nie więcej nie widać, tylko niewolnicze naśladowanie mistrza, p. Sztallera, które odejmując indywidualną stronę talentu, jaki mieć mogą uczniowie; umysł ich wysiła się usiłując przyswoić sobie wszystkie tajemnice mistrza, ręka bojaźliwie wodzi pędzlem, zład powstaje wymęczony płód, który naturalnie nieożywiony samodzielnie myślą, musi nakoniec przejść w maniery, jak wszystko, co nie z nas samych bierzemy. Panu Szynalewskiemu, jako najpoprawniejszy mającemu rysunek, czego dowodem jest osoba św. Jana, najwięcej harmonii mająca, przyznanym został fundusz na wyjazd do Rzymu.

— Jest tu także w ruchu projekt założenia *Kunstvereinu*, za pomocą którego artyści wystawialiby i zbywali swoje płody. Środek podobny niezmiernie ożywiłby sztukę malarską, którego Czechy używszy, przyszli już dziś do znamienitych artystów pod każdym względem.

(Wyjątek z listu do redakcyi).

„Dowiadujemy się z pewnego źródła, że lwowska Ossolińskich biblioteka jest od pięciu przeszło miesięcy otwarta dla powszechnego użytku. Codziennie, prócz soboty i dni świątecznych, zasiada w umyślnie urządzonej na ten cel sali od godziny 9 z rana do 2 popołudniu, grono czytelników, których liczba niekiedy do 120 osób dochodzi. Z księgi w której każdy czytelnik imię swe i tytuł żadanego dzieła wpisuje, można powziąć z radością to przekonanie, że nie romanse, ale dzieła po większej części naukowe, lub obyczajowość przedewszystkiém na celu mające, znachodzą najwięcej czytelników. Jakkolwiek urzędnicy dzisiejsi Biblioteki nieliczni są, i po największej części tymczasowi, panuje jednak w czytelnicy należyty porządek i nadzór”.

Redakcyą Biblioteki Warszawskiej.



DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE
w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIEM.

Kwiecień, 1851.

Kwiecień 1851.**Dostrzeżenia w Obserwatorium**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza,
czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR s t u s t o p n i o w y				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna
		6	10	4	10	6	10	4	10	
		god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	god. rano	god. rano	god. wiecz.	god. wiecz.	
1	☉	745.76	747.57	748.67	750.93	+ 2°.7	+ 2°.7	+ 6°.0	+ 3°.4	79.
2		752.77	753.97	754.00	754.55	1.0	5.9	4.3	1.2	78.8
3		752.97	752.04	750.07	748.28	- 0.2	4.7	3.1	4.4	85.
4		746.35	746.73	746.55	746.85	+ 1.6	7.4	8.4	4.7	82.
5		747.05	748.33	747.96	749.37	4.5	9.9	14.7	7.4	69.7
6		750.21	750.75	751.16	752.22	3.9	10.4	11.6	7.4	60.2
7		752.97	753.27	753.01	753.65	4.4	8.9	9.5	6.8	71.
8		754.50	754.30	753.56	753.74	4.0	9.8	12.7	7.4	61.7
9	☾	753.35	753.42	752.96	753.32	5.5	11.3	14.9	9.3	64.5
10		752.91	753.30	752.72	753.02	6.0	11.4	15.1	10.0	61.7
11		752.75	753.03	752.05	752.34	4.6	11.5	16.7	8.5	58.5
12		751.80	751.83	751.68	751.65	3.6	9.8	14.6	6.4	58.0
13		751.27	752.44	751.61	752.49	3.0	10.5	13.6	6.3	54.2
14		752.73	753.10	751.85	752.59	3.1	10.7	13.0	11.7	70.7
15		752.70	752.95	751.32	751.54	2.9	10.3	12.9	5.3	66.5
16	☽	751.03	751.00	749.18	749.91	3.1	10.6	14.1	8.2	72.2
17		751.58	751.67	751.53	753.65	6.0	12.1	14.8	7.8	53.0
18		754.96	755.49	754.21	754.56	4.6	10.7	13.9	5.8	66.5
19		753.12	752.15	749.76	748.93	2.5	11.0	15.8	9.7	68.7
20		752.14	752.51	750.00	748.46	5.2	10.1	15.2	9.4	64.5
21		745.71	744.90	742.77	742.68	5.6	15.9	16.2	13.6	77.3
22		744.05	745.52	745.11	744.91	12.1	17.2	19.8	13.5	69.5
23	☾	742.68	742.65	742.24	743.03	12.5	21.2	19.0	14.3	72.5
24		744.88	746.98	748.34	749.06	11.6	12.3	8.9	7.2	81.0
25		748.15	747.58	744.58	743.26	7.1	13.0	17.9	11.6	66.0
26		742.69	737.57	733.96	733.66	13.3	18.8	22.2	13.7	72.5
27		735.73	738.78	742.41	745.42	7.3	6.4	9.8	4.8	81.5
28		746.11	745.49	743.63	744.64	5.0	13.0	19.2	10.4	70.0
29		744.02	743.71	741.80	741.70	9.6	16.6	19.4	11.7	76.5
30		744.36	744.83	745.54	745.93	5.8	6.9	12.4	5.9	72.0
Śre.		749.043	749.252	748.474	748.879	+ 5°.40	+ 11°.03	+ 13°.66	+ 8°.26	69.5

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.913	27	7.988
Najwyżej dochodził — d. 18 o g. 10 r.	755.49	27	10.905
Najniżej — — d. 26 o g. 10 w.	733.96	27	1.362
Średnia zmiana dzienna barometru	2.774		1.254
Największa zmiana dzienna barometru d. 26—27 o g. 10 w.	11.76		5.213
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 25 lat poprzedzających	0.547		0.239
Średnia temperatura kwietnia wynosi: +	9.9579 C.	+70.663	R.
i ta jest wyższa o	2.030	„	1.624
od stanu normalnego z 25 lat po- przedzających	+ 7.549	„	+ 6.039
Największe ciepło dochodziło d. 26 o godz. 4 wiecz.	+ 22.2	„	+ 17.76
Największe zimno dochodziło d. 3 o godz. 6 rano.	— 0.2	„	— 0.16
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.65	„	2.12
Największa zmiana dzienna d. 26—27 o godz. 10 rano i 4 wiecz.	12.4	„	9.92

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 18.0 R. d. 23 po połud.

Minimum: — 2.3 „ d. 3 rano

Wody z deszczu spadło wysoko na 43,2 milim., czyli 19,1 lin. par.; to jest o 2,6 lin. par. więcej, od ilości wody, jaka zwykle w tym miesiącu spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 69,5 biorąc na 100 albo co do wagi 6.65 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza. Wilgotność ta jest o 0.05 mniejszą jak zwykle.

Dni pogodnych było 10, napół pogodnych 12, pochmurnych 8.

— deszczu 6 (d. 7, 9, 21, 26, 28, 29).

— śniegu 1 (d. 2).

— mgły 2 (d. 4, 5).

— gradu 2 (d. 28, 29).

— błyskawic i grzmotów 4 (d. 21, 26, 28, 29).

— błyskanie bez grzmotu 1 (d. 25).

Wiatr panujący: Południowo-Wschodni.

Wiatrów mocnych 3 Południowo-Wschodnich.

Kwiecień r. b. był pogodny, suchy, i osobliwie ciepły. Pierwsze cztery dni były chłodne, ostatnie dziewięć gorące. Najcieplejsze dni były: 22, 23, 26, 29. Najchłodniejsze d. 1, 2, 3, 4. Grzmoty i błyskawice tak częste jak w środku lata. Wiatr Południowo-Wschodni prawie ciągle panujący był przyczyną tak ciągłego stanu powietrza. Dni najwilgotniejsze były 3, 4, 27; najmniej wilgotne d. 11, 12, 13. Roślinienie wcześniejsze było w tym roku jak zwykle, gdyż w końcu miesiąca niektóre drzewa pokryły się już liśćmi.

D. 5, 10, 11, 13, 14, 18, 24, 25, widziano plamy na słońcu.

D. 20 i 21 Zorza północna widziana była.

D. 22 o godz. 5 wiecz. słup tęczy po prawej stronie słońca.

D. 23 o godz. 9 rano i 3 wiecz. koło białe otaczało słońce.

Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Ostatnia 17

60-102 Poznań

www.digital-center.pl

biuro@digital-center.pl

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82